Drużyna Pierścienia ∴ Dwie wieże ∴ Powrót króla

J.R.R. TOLKIEN

WŁADCA PIERŚCIENI

Drużyna Pierścienia ∴ Dwie wieże ∴ Powrót króla

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

J.R.R. TOLKIEN

WŁADCA PIERŚCIENI

Tytuł oryginału:

The Lord of the Rings

*The Fellowship of the Ring * The Two Towers * The Return of the King*

Projekt okładki: *Katarzyna Konior*

Redaktor prowadzący: *Redaktornia.com*

Redakcja merytoryczna: *Marek Gumkowski*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu elektronicznego: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Małgorzata Denys*

Wiersze w przekładach *Autorki tłumaczenia*, *Włodzimierza Lewika*, *Andrzeja Nowickiego*

i *Tadeusza A. Olszańskiego*

Dodatki D oraz E przełożył *Ryszard Derdziński*

Originally published in the English language by HarperCollins Publishers Ltd.

under the title *The Lord of the Rings* by J.R.R. Tolkien

The Fellowship of the Ring © The Trustees of the J.R.R. Tolkien 1967 Settlement, 1954, 1966

The Two Towers © The Trustees of the J.R.R. Tolkien 1967 Settlement, 1954, 1966

The Return of the King © The Trustees of the J.R.R. Tolkien 1967 Settlement, 1955, 1966

and ‘Tolkien’ ® are registered trade marks of The J.R.R. Tolkien Estate Limited

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1996, 2013

© for the Polish translation by Rafał Skibiński

ISBN 978-83-7758-455-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2013
Wydanie I

Trzy Pierścienie dla królów elfów pod otwartym niebem,
Siedem dla władców krasnali w ich kamiennych pałacach,
Dziewięć dla śmiertelników, ludzi śmierci podległych,
Jeden dla Władcy Ciemności na czarnym tronie
W Krainie Mordor, gdzie zaległy cienie,
Jeden, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć,
Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać
W Krainie Mordor, gdzie zaległy cienie.

NOTA WYDAWCY

Władcę Pierścieni J.R.R. Tolkiena często określa się błędnie jako trylogię; w rzeczywistości jest to jedna obszerna powieść, składająca się z sześciu ksiąg wraz z uzupełniającymi ją dodatkami, która czasami (ale nie zawsze) bywa publikowana w trzech osobno zatytułowanych woluminach. Taką postać nadano – decyzją wydawcy, a nie autora – pierwszej edycji angielskiej; poszczególne tomy ukazywały się 29 lipca (t. I) i 11 listopada 1954 roku (t. II) oraz 20 października 1955 roku (t. III). Amerykańskie wydawnictwo Ballantine Books w 1965 roku ogłosiło autoryzowaną edycję *Władcy Pierścieni* w oprawie broszurowej (*paperback*), do której Tolkien m.in. napisał nową przedmowę oraz dodał *Notę do prologu*. W 1966 roku w Wielkiej Brytanii opublikowano drugie, poprawione, wydanie powieści; ono też stało się podstawą wszystkich późniejszych wznowień. Nad ich poprawnością czuwa, korygując odnajdywane wciąż drobne usterki, Christopher Tolkien, syn zmarłego w 1973 roku autora, opiekujący się jego pisarską spuścizną. Tekstem takiego skorygowanego angielskiego jednotomowego wydania z 1995 roku posługiwano się przy kolacjonowaniu tłumaczenia w niniejszej edycji.

Trzy tomy polskiego przekładu dzieła Tolkiena autorstwa Marii Skibniewskiej ukazały się nakładem Czytelnika w latach 1961, 1962 i 1963. Było to trzecie – po holenderskim i szwedzkim – tłumaczenie powieści na język obcy. W 1981 roku ta sama oficyna opublikowała wydanie drugie, nieco zmodyfikowane, oparte na poprawionej edycji angielskiej z 1966 roku. Wersja owa została – bez żadnych zmian – przedrukowana w broszurowej edycji Czytelnika i CiA Books/SVARO z 1990 roku oraz w jednotomowym ilustrowanym wydaniu Atlantisu z 1992 roku. We wszystkich tych wydaniach pominięto dwa spośród sześciu zamieszczonych w oryginale dodatków: pierwszy był poświęcony rachubie czasu i kalendarzom, drugi dotyczył pism i alfabetów. Dodatki te (w tłumaczeniu Ryszarda Derdzińskiego) uwzględniła dopiero pierwsza pełna edycja *Władcy Pierścieni*, ogłoszona przez Wydawnictwo Muza w 1996 roku. W tym samym roku Wydawnictwo Zysk i S-ka opublikowało tom I (tom II i III ukazały się w roku następnym) nowego polskiego tłumaczenia powieści Tolkiena, dokonanego przez Jerzego Łozińskiego.

Znakomity przekład *Władcy Pierścieni* autorstwa Marii Skibniewskiej uznawany jest w dalszym ciągu – wraz z tłumaczeniami fragmentów poetyckich, spolszczonych przez Włodzimierza Lewika (w tomie I i II) oraz Andrzeja Nowickiego (w tomie III) – za kanoniczną wersję dzieła Tolkiena w języku polskim. Podczas przygotowywania jego edycji w Wydawnictwie Muza okazało się jednak, iż można tam znaleźć pewną liczbę sformułowań błędnych lub nietrafnych oraz że opublikowane w ostatnich latach nowe materiały – przede wszystkim autokomentarze i notatki samego J.R.R. Tolkiena – dostarczają niekiedy argumentów na rzecz innych rozwiązań translatorskich. Do tekstu wprowadzono zatem poprawki i modyfikacje. Najważniejsze z nich to: zastąpienie niektórych przekładów wierszy autorstwa Włodzimierza Lewika (który tworzył je przed wydaniem dzieła Tolkiena *Silmarillion* i w wielu szczegółowych kwestiach skazany był wyłącznie na domysły) nowymi tłumaczeniami Tadeusza A. Olszańskiego; zmiana polskiego tytułu I tomu na *Drużynę Pierścienia*, bliższą oryginałowi angielskiemu (*The Fellowship of the Ring*); uwzględnienie znaków diakrytycznych, m.in. oznaczeń długich samogłosek, oraz wprowadzenie zróżnicowanego zapisu głoski *k* (za pomocą liter „k” lub „c”) i głoski *f* (za pomocą liter „f” lub „ph”) w słowach pochodzących ze stworzonych przez Tolkiena języków elfów i ludzi.

Korekty i zmiany dotyczą również niektórych imion własnych i nazw geograficznych. Opierano się tu m.in. na wskazówkach samego pisarza, zawartych w tekście *Guide to the Names in „The Lord of the Rings*” (w wyd. zbiorowym *A Tolkien Compass*, edited by Jared Lobdell, Open Court 1975, Ballantine Books 1980). Nowe brzmienie otrzymały następujące imiona i nazwy (w nawiasach podajemy oryginalną wersję angielską oraz wcześniejszą wersję polską): Brama Półmroku (*Dimrill Gate*, dawniej „Brama Dimrilla”), Cienistogrzywy (*Shadowfax*, dawniej „Gryf”), Dolina Półmroku (*Dimrill Dale*, dawniej „Dolina Dimrilla”), Gadzi Język (*Wormtongue*, dawniej „Smoczy Język”), Kamieniołom (*Quarry*, dawniej „Spytki”), las Chetwood (*Chetwood*, dawniej „Zalesie”), Nowosioło (*Nobottle*, dawniej „Bezpiwie”), „Pod Złotym Okoniem” (*Golden Perch*, dawniej „Pod Złotą Tyczką”), Scary (*Scary*, dawniej „Wypłosz”), Schody Półmroku (*Dimrill Stair*, dawniej „Schody Dimrilla”). Uzasadnieniem tych modyfikacji może być bądź potrzeba skorygowania ewidentnej pomyłki tłumaczenia (tak ma się rzecz np. z „Gryfem” – „Cienistogrzywym”, a także w przypadku nazw zawierających słowo *Dimrill*, które nie jest

imieniem postaci, lecz stanowi połączenie *dim*, przyćmiony + *rill*, strumyk), bądź konieczność wyboru właściwego wariantu (np. *Golden Perch* można tłumaczyć i jako „Złoty Pręt”, i jako „Złoty Okoń”, jednak autorskie komentarze wyraźnie wskazują na to drugie znaczenie), bądź wreszcie chęć lepszego oddania wymowy i stylistycznej barwy danego imienia (to przypadek Grímy, zdradzieckiego służalca króla Theodena, którego lepiej, jak się wydaje, charakteryzuje przydomek „Gadzi Język” niż porównanie do smoka, w świecie Tolkiena istoty złej i przewrotnej, ale niepozbawionej swoistej wielkości).

Wspomnieć także należy o modyfikacji innego rodzaju: rzeczownikowi „elf” w mianowniku i bierniku liczby mnogiej nadawana jest tu męskoosobowa forma „elfowie”, niefigurująca w słownikach języka polskiego. Odważono się na takie odstępstwo od językowych prawideł zarówno dlatego, że w odniesieniu do postaci określanych tym mianem są tu zawsze stosowane formy gramatyczne przynależne istotom ludzkim (a więc „oni”, nie „one”; „zrobili”, nie „zrobiły”), jak i z chęci naśladowania w tej mierze decyzji autora, używającego nieprawidłowej w angielszczyźnie formy liczby mnogiej *elves* (zamiast *elfs*) i toczącego o to zażarte boje ze skrupulatną korektą. Tolkien chciał w ten sposób odświeżyć sens słowa, które – jak pisał – „z biegiem czasu skarlało i dziś kojarzy się raczej z fantastycznymi duszkami”. W polskim przekładzie forma „elfy” została pozostawiona wyłącznie w kilku miejscach jako zbiorowe określenie ludu czy też szczepu (np. Elfy Szare, Elfy Leśne – ale już: Elfowie Wysokiego Rodu). Podobnie, choć w sposób nie tak konsekwentny, wprowadzone zostały, jako oboczne, formy „krasnoludy” i „krasnoludowie”.

Marek Gumkowski

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA ANGIELSKIEGO

Opowieść ta, w miarę jak ją snułem, rozrosła się niemal w historię Wielkiej Wojny o Pierścień i objęła poza tym liczne wzmianki o wydarzeniach z bardziej jeszcze odległej przeszłości. Zacząłem ją wkrótce po napisaniu *Hobbita*, lecz przed jego ukazaniem się w druku w 1937 roku. Jednakże odłożyłem pracę nad cyklem opowieści, ponieważ chciałem najpierw zgromadzić i uporządkować mity oraz legendy z Dawnych Dni, kształtujące się już wtedy od kilku lat w moim umyśle. Chciałem tego dokonać dla własnej satysfakcji, bez większej nadziei, że dzieło moje zainteresuje innych ludzi, tym bardziej że początkowo miało ono charakter studium lingwistycznego; podjąłem je, żeby zebrać materiał niezbędny do odtworzenia „historii” języków elfów.

Jednakże osoby, których rady i opinii zasięgałem, odebrały mi nawet tę resztkę nadziei, jaką miałem. Wróciłem więc do pracy nad cyklem, zwłaszcza że czytelnicy domagali się bliższych informacji o hobbitach i ich przygodach. Ale ta opowieść z natury swej wciągała mnie w dawny świat, aż się zmieniła niejako w relację o jego zmierzchu i zniknięciu, zanim opowiedziałem początek i okres pośredni. Proces ten można wyśledzić już w *Hobbicie*, gdzie nie brak napomknień o sprawach dawniejszych: Elrond, Gondolin, Elfowie Wysokiego Rodu, orkowie; zakradły się też nieproszone wzmianki o sprawach wyższych, głębszych lub bardziej tajemnych niż powierzchnia opowieści o hobbicie: Durin, Moria, Gandalf, Czarnoksiężnik, Pierścień. Odkrycie sensu tych epizodów oraz ich związku z najstarszą historią prowadzi w głąb Trzeciej Ery i Wojny o Pierścień, która była najdonioślejszym zdarzeniem tamtej epoki.

Czytelnicy ciekawi dokładniejszych wiadomości o hobbitach zostali w końcu zaspokojeni, ale musieli długo czekać, bo praca nad *Władcą Pierścieni* trwała z przerwami od roku 1936 do 1949. Miałem w tym okresie inne obowiązki, których nie zaniedbywałem, i często pochłaniały mnie jako badacza i nauczyciela liczne inne zainteresowania. Oczywiście, do zwłoki przyczynił się również wybuch wojny; pod koniec 1939 roku nie miałem jeszcze napisanej w całości nawet Księgi pierwszej. Pomimo ciemności panujących przez pięć następnych lat doszedłem do wniosku, że

nie mogę już porzucić rozpoczętej książki, ślęczałem więc nad nią przeważnie po nocach i brnąłem naprzód, aż stanąłem nad grobem Balina w Morii. Tam się zatrzymałem na długi czas. Prawie rok upłynął, zanim znów ruszyłem z miejsca i zawędrowałem do Lothlórien i nad Wielką Rzekę późną jesienią 1941 roku. W następnym roku naszkicowałem pierwszą wersję zdarzeń wypełniających obecnie Księgę trzecią oraz pierwszy i trzeci rozdział Księgi piątej. Zapłonęły sygnały wojenne w Anórien, Théoden przybył do Harrowdale. Na tym utknąłem. Wizja zniknęła, a czasu na rozmyślania wówczas nie miałem.

W ciągu roku 1944, pozostawiając nierozwiązane wątki i komplikacje wojny, której prowadzenie czy przynajmniej opisywanie było moim obowiązkiem, zmusiłem się do pracy nad historią podróży Froda do Mordoru. Napisałem wtedy rozdziały wypełniające teraz Księgę czwartą i wysłałem je, jako fragment powieści, do Afryki Południowej, gdzie przebywał w służbie RAF-u mój syn Christopher. Jednakże upłynęło dalszych pięć lat, zanim książka przybrała ostatecznie kształt, w jakim została wydana. W ciągu tych lat przeniosłem się do innego domu, na inną uniwersytecką katedrę w innym college'u; lata te, chociaż mniej czarne, były równie jak poprzednie pracowite. Kiedy wreszcie doprowadziłem opowieść do końca, musiałem ją całą przeredagować, a właściwie w dużym stopniu napisać na nowo, cofając się do poprzednich rozdziałów. Trzeba też było tekst przepisać raz i drugi na maszynie, a zrobiłem to własnymi rękami, bo pomoc zawodowej maszynistki za drogo by kosztowała.

Władca Pierścieni od dnia, gdy w końcu ukazał się w druku, miał wielu czytelników. Chciałbym w tym miejscu wyjaśnić pewne sprawy w związku z opiniami i domysłami, które mi przekazywano w listach lub które wyrażano w recenzjach, dotyczącymi motywów i myśli przewodniej mojej książki. Głównym motywem była chęć autora baśni i opowiadań, by wypróbować swe siły w utworze o naprawdę szerokim rozmachu; chciałem napisać długą opowieść, która by przykuwała uwagę czytelników, bawiła ich, zachwycała, a niekiedy podniecała lub do głębi wzruszała. W poszukiwaniu tego, co może czytelników interesować lub wzruszać, miałem za jedynego przewodnika własne wyczucie; oczywiście wiem, że ten przewodnik często zwodził mnie na manowce. Pewne osoby, które przeczytały, a w każdym razie zrecenzowały tę książkę, oceniły, że jest nudna, niedorzeczna i nic niewarta; nie mogę się obrażać, bo sam podobnie osądzam ich dzieła lub też rodzaj literatury przez nich zachwalany. Ale

nawet ci, którzy moją opowieść przeczytali z przyjemnością, znajdują w niej różne błędy. Zapewne nie jest możliwe, aby w bardzo długiej historii wszystkim wszystko się podobało albo żeby wszystkim nie podobały się w niej te same rzeczy. Z listów nadsyłanych przez czytelników przekonałem się, że te same fragmenty lub rozdziały, które jedni najostrzej krytykują, innym wydają się szczególnie udane. Najsurowszym czytelnikiem jestem ja sam i widzę teraz w swoim dziele mnóstwo większych lub mniejszych błędów; na szczęście nie muszę ani recenzować, ani po raz drugi pisać tej książki, więc nie będę wyliczał dostrzeżonych wad z wyjątkiem jednej, którą wiele osób mi wytknęło: książka jest za krótka.

Co do myśli przewodniej czy „przesłania” zawartego w tej opowieści, to stwierdzam, że autor nie miał żadnych intencji tego rodzaju. Moja opowieść nie jest alegorią ani aluzją do aktualnych zdarzeń i sytuacji. Rozwijając się, wypuściła korzenie (w przeszłość) i nieoczekiwane gałęzie, lecz zasadnicza fabuła była od początku nieuchronnie wyznaczona przez wybór Pierścienia jako motywu łączącego ją z *Hobbitem*. Najbardziej istotny rozdział, „Cień przeszłości”, napisałem wcześniej niż inne, gdy jeszcze na horyzoncie nie gromadziły się groźne chmury zapowiadające kataklizm 1939 roku; moja historia rozwinęłaby się w zasadzie tak samo, gdyby świat zdołał uniknąć wojennej katastrofy. Książka zrodziła się z myśli od dawna mnie nurtujących, a częściowo też wyrażanych w innych utworach; wojna rozpoczęta w 1939 roku oraz jej konsekwencje nie wywarły żadnego wpływu na jej treść, a jeśli ją zmodyfikowały, to jedynie w znikomym stopniu.

Prawdziwe wojny nie są podobne do legendarnych ani w swoim przebiegu, ani w skutkach. Gdyby to rzeczywistość natchnęła i ukształtowała legendę, przeciwnicy Saurona z pewnością przejęliby Pierścień i użyliby jako oręża w walce; zamiast unicestwić Pierścień, zmusiliby go do służby swoim interesom, a zamiast burzyć Barad-dûr, okupowaliby tę twierdzę. Saruman, nie mogąc zdobyć Pierścienia, mógłby wśród zamętu zdradliwej epoki odnaleźć w Mordorze brakujące ogniwa, które wypełniłyby luki w jego własnych studiach nad tajemnicami Pierścieni, i wkrótce zdołałby stworzyć swój własny Wielki Pierścień, który pozwoliłby mu rzucić wyzwanie nowemu samozwańczemu Rządcy Śródziemia. Obie walczące strony nienawidziłyby hobbitów i pogardzałyby nimi. Nawet uczyniwszy z nich niewolników, nie pozwoliłyby im przetrwać długo na świecie.

Można by wymyślić rozmaite inne warianty zależnie od gustu i poglądów osób lubujących się w alegoriach i aktualnych aluzjach. Ale ja z całego serca nie cierpię alegorii we wszelkich formach i zawsze jej unikałem, odkąd osiągnąłem z wiekiem przezorność, która mi umożliwia wykrywanie jej obecności. Wolę historię, prawdziwą lub fikcyjną, dającą czytelnikowi możliwość różnych skojarzeń na miarę jego umysłowości i doświadczeń. Zachowuje on w takim wypadku pełną swobodę wyboru, podczas gdy w alegorii autor świadomie narzuca swoją koncepcję.

Oczywiście, autor nie może się wyzwolić całkowicie od wpływu własnych doświadczeń, lecz są one niejako glebą, w której ziarno opowieści rozwija się w sposób niezmiernie skomplikowany; wszelkie próby określenia tego procesu są w najlepszym razie tylko hipotezami opartymi na niedostatecznych i wieloznacznych świadectwach. Fałszywe również, chociaż oczywiście pociągające dla krytyka żyjącego współcześnie z autorem, są przypuszczenia, że nurty umysłowe i wydarzenia bieżącej epoki wywierają nieuchronnie najpotężniejszy wpływ na dane dzieło. To prawda, że trzeba osobiście przejść przez cień wojny, aby w pełni odczuć jej ciężar, lecz w miarę upływu czasu wielu ludzi zdaje się, tak jak teraz, zapominać, że młodość w latach 1914–1918 była doświadczeniem nie mniej okropnym niż lata 1939–1945. Podczas pierwszej wojny światowej zginęli wszyscy, z wyjątkiem jednego, moi najbliżsi przyjaciele. Przejdźmy jednak do mniej bolesnych przykładów. Niektórzy czytelnicy sądzą, że rozdział „Porządki w Shire” odzwierciedla sytuację w Anglii w okresie, gdy kończyłem pisać swoją opowieść. Tak nie jest. Ten epizod stanowi ważną część fabuły i był zaplanowany od początku, chociaż pierwotny pomysł uległ pewnym modyfikacjom związanym z postacią Sarumana, która w toku pisania nabrała nieco innego charakteru, niż przewidywałem. Nie muszę chyba powtarzać, że ten rozdział, podobnie jak cała książka, nie zawiera żadnych alegorycznych znaczeń ani jakichkolwiek aluzji do problemów politycznych naszych czasów. Rzeczywiście wiąże się z pewnymi moimi osobistymi przeżyciami, lecz nicią bardzo cienką (sytuacja ekonomiczna była zupełnie inna) i sięgającą o wiele głębiej w przeszłość. Okolica, gdzie spędziłem dzieciństwo, została zniszczona i oszpecona, zanim skończyłem dziesięć lat, w epoce, gdy samochód był rzadką osobliwością (mnie wówczas nieznaną) i budowano dopiero podmiejskie linie kolejowe. Niedawno w jakimś piśmie trafiłem na fotografię ruiny młyna, niegdyś świetnie

prosperującego nad stawem, który przed laty odgrywał ważną rolę w moim życiu. Młody młynarczyk nigdy mi się nie podobał, ale jego ojciec, stary młynarz, miał czarną brodę i nie nazywał się Sandyman.

Władca Pierścieni ukazuje się teraz w nowym wydaniu, skorzystałem więc z okazji, żeby tekst przejrzeć. Poprawiłem pewne błędy i niekonsekwencje, jakie w nim jeszcze zostały, i spróbowałem wyjaśnić pewne kwestie, które mi uważni czytelnicy sygnalizowali.

Starałem się uwzględnić wszystkie ich komentarze i zapytania, a jeśli któreś pominąłem, to jedynie dlatego, że nie zdołałem utrzymać porządku w swoich notatkach. Na wiele wszakże pytań mógłbym odpowiedzieć, tylko rozszerzając zamieszczone na końcu trzeciej części uzupełnienia lub wydając jeszcze jeden tom, by w nim pomieścić znaczną część materiałów niewłączonych do pierwszego wydania, a zwłaszcza bardziej szczegółowe informacje lingwistyczne. Na razie w niniejszym wydaniu czytelnik znajdzie nową przedmowę, dodatek do prologu i trochę dodatkowych przypisów.

Część pierwsza:
DRUŻYNA PIERŚCIENIA

PROLOG

1 W sprawie hobbitów

Książka ta w znacznej mierze poświęcona jest hobbitom i z jej kartek czytelnicy dowiedzą się wiele o ich charakterze, a trochę też o ich historii. Dodatkowe informacje znaleźć można w wybranych fragmentach Czerwonej Księgi Marchii Zachodniej, ogłoszonych poprzednio pod tytułem *Hobbit*. Tę wcześniejszą opowieść oparłem na najstarszych rozdziałach Czerwonej Księgi, napisanych przez Bilba, pierwszego hobbita, który zdobył sławę w szerszym świecie; zatytułował on swoje wspomnienia „Tam i z powrotem”, ponieważ opowiedział w nich o swojej wyprawie na wschód i o powrocie do domu: ta właśnie przygoda stała się później powodem wplątania wszystkich hobbitów w doniosłe wypadki Trzeciej Ery opisane w niniejszej książce.

Wielu czytelników zechce może jednak dowiedzieć się więcej o tym godnym uwagi ludzie już na samym początku tej opowieści, niektórzy zaś mogą nie posiadać poprzedniej książki. Dla nich właśnie zamieszczam tu kilka uwag dotyczących ważniejszych spraw zaczerpniętych z zachowanych źródeł traktujących o hobbitach; przypominam też pokrótce przebieg wcześniejszej wyprawy.

Hobbici to lud skromny, lecz bardzo starożytny, o wiele liczniejszy ongi niż dziś; kochają bowiem pokój i ciszę, i żyzną, uprawną ziemię: najchętniej osiedlali się w dobrze rządzonych i dobrze zagospodarowanych rolniczych krainach. Nie rozumieją i nigdy nie rozumieli ani nie lubili maszyn bardziej skomplikowanych niż miechy kowalskie, młyn wodny czy ręczne krosna, chociaż narzędziami rzemieślniczymi posługiwali się zręcznie. Nawet w starożytnych czasach onieśmielali ich Duzi Ludzie, jak nas nazywają, teraz zaś unikają ich trwożnie i dlatego coraz trudniej spotkać hobbita. Hobbici odznaczają się doskonałym słuchem i bystrym wzrokiem, a chociaż są skłonni do tycia i nie lubią się spieszyć bez potrzeby, ruchy mają zwinne i zgrabne. Zawsze posiadali dar szybkiego i bezszelestnego znikania, jeśli zjawiał się w pobliżu któryś z Dużych Ludzi,

a nie życzyli sobie go spotkać; udoskonalili tę sztukę tak, że ludziom dziś wydaje się ona magią.

W rzeczywistości jednak hobbici nigdy nie studiowali magii w żadnej postaci, nieuchwytność zawdzięczają jedynie zawodowej wprawie, a wskutek dziedzicznych uzdolnień, wytrwałych ćwiczeń i serdecznego zżycia się z ziemią doprowadzili ją do doskonałości, której większe i mniej zręczne rasy nie mogą naśladować.

Hobbici są bowiem mali, mniejsi niż krasnoludy, a w każdym razie nie tak grubi i przysadziści, nawet jeśli wzrostem niewiele im ustępują. Wzrost hobbitów bywa różny, waha się od dwóch do czterech stóp naszej miary. W dzisiejszych czasach mało który hobbit sięga trzech stóp, ale – jak twierdzą – rasa skarlała, bo dawniej bywali wyżsi. Czerwona Księga mówi, że Bandobras Tuk (Bullroarer), syn Isengrima Drugiego, mierzył cztery i pół stopy i mógł dosiadać konia. Wedle hobbickich kronik tylko dwaj sławni bohaterowie dawnych czasów przewyższali Bullroarera; ale o tej ciekawej historii powie nam więcej niniejsza książka.

Jeżeli chodzi o hobbitów z Shire’u, których właśnie dotyczy nasza opowieść, był to za dni pokoju i dostatków lud wesoły. Ubierali się oni w jasne kolory, szczególnie lubili żółty i zielony; rzadko nosili obuwie, ponieważ stopy ich mają z natury twardą, rzemienną podeszwę i obrośnięte są, podobnie jak głowa, bujnym, kędzierzawym włosem, zwykle kasztanowatym. Dlatego też jedynym rzemiosłem niepraktykowanym wśród hobbitów było szewstwo; u rąk natomiast mieli długie, zręczne palce i umieli wytwarzać mnóstwo pożytecznych i ładnych przedmiotów. Twarze mieli na ogół bardziej poczciwe niż piękne, szerokie, jasnookie, rumiane, o ustach skorych do śmiechu, jedzenia i picia. Toteż śmiali się, jedli i pili jak najczęściej i z wielkim zapałem, lubili o każdej porze dnia żartować, a sześć razy na dzień jeść – o ile to było możliwe. Byli gościnni, przepadali za zebraniami towarzyskimi, a podarki równie hojnie dawali, jak chętnie przyjmowali.

Nie ulega wątpliwości, że mimo późniejszego rozdzielenia hobbici są spokrewnieni o wiele bliżej z nami niż z elfami, a nawet niż z krasnoludami. Niegdyś mówili ludzkimi językami, na swój sposób oczywiście, te same rzeczy co my lubili i tych samych nie cierpieli. Ale nie sposób stwierdzić dokładnie, jakie wiązało ich z nami pokrewieństwo. Początki hobbitów sięgają w głąb Dawnych Dni, dziś już zamierzchłych i

zapomnianych. Jedynie elfowie dotąd przechowują pamięć minionych czasów, lecz tradycje te ograniczają się niemal wyłącznie do ich własnej historii, w której ludzie rzadko występują, o hobbitach zaś wcale nie ma wzmianki. Mimo to jest rzeczą jasną, że hobbici żyli cicho w Śródziemiu przez długie lata, zanim inne ludy dowiedziały się o ich istnieniu. A że świat bądź co bądź roił się od rozmaitych niezliczonych dziwnych stworzeń, mały ludek hobbicki bardzo niewiele znaczył wśród innych. Za życia wszakże Bilba i jego spadkobiercy Froda hobbici nagle, wbrew swoim życzeniom, stali się ważni i sławni i zmącili spokój narad Mędrców oraz Dużych Ludzi.

Te czasy, Trzecia Era Śródziemia, to już dzisiaj odległa przeszłość i nawet zarysy lądów bardzo zmieniły się od owej epoki. Niewątpliwie jednak hobbici zamieszkiwali wówczas te same strefy, w których dotąd jeszcze żyją: północno-zachodnie kraje Starego Świata na wschód od Morza. O swej pierwotnej ojczyźnie hobbici z epoki Bilba nie zachowali żadnych wiadomości. Umiłowanie wiedzy (z wyjątkiem badania genealogii) nie było wśród nich zbyt rozpowszechnione, lecz kilku hobbitów ze starych rodów studiowało księgi o własnej przeszłości, a nawet zbierało u elfów, krasnoludów i ludzi zapiski z dawnych lat i dalekich krajów. Własne hobbickie kroniki nie sięgały w przeszłość przed osiedleniem się w Shire, a najstarożytniejsze legendy rzadko mówiły o zdarzeniach sprzed Dni Wędrówki. Jednak jasno wynika z tych legend oraz z zachowanych w języku i obyczajach dowodów, że hobbici, podobnie jak wiele innych ludów, przywędrowali na zachód w zamierzchłych czasach. Najdawniejsze opowieści pozwalają domyślać się, że w pewnej epoce zamieszkiwali nad górnym biegiem Anduiny, między Wielkim Zielonym Lasem a Górami Mglistymi. O powodach późniejszej ciężkiej i niebezpiecznej przeprawy przez góry do Eriadoru nie wiadomo dziś już nic pewnego. Źródła hobbickie mówią o rozmnożeniu się tutaj ludzi i o cieniu, który padł na lasy i tak je wypełnił ciemnościami, że otrzymały nową nazwę: Mroczna Puszcza.

Jeszcze przed przekroczeniem gór hobbici podzielili się na trzy szczepy, różniące się dość znacznie między sobą: Harfootów, Stoorów i Fallohidów. Harfootowie mieli skórę bardziej smagłą, byli niżsi i drobniejsi, nie nosili bród ani butów; dłonie i stopy mieli kształtne i zręczne; osiedlali się najchętniej w górach i na stokach pagórków. Stoorowie, bardziej masywni i

cięższej budowy, ręce i stopy mieli większe, a lubili szczególnie równiny oraz brzegi rzek. Fallohidzi, o jaśniejszej cerze i owłosieniu, byli wyżsi i smuklejsi od innych hobbitów, a kochali się w drzewach i lasach.

Harfootowie mieli ongi wiele do czynienia z krasnoludami i długi czas przeżyli u podnóży gór. Wcześnie wywędrowali na zachód, rozpraszając się po całym Eriadorze aż po Wichrowy Czub, gdy dwa pozostałe szczepy jeszcze zamieszkiwały Dzikie Kraje. Harfootów uznać można za najbardziej typowych przedstawicieli hobbitów, a także za najliczniejszych. Bardziej niż inni skłaniali się do życia osiadłego, nie lubili się przenosić z miejsca na miejsce i najdłużej zachowali obyczaj przodków, zamieszkując podziemne tunele albo nory.

Stoorowie najdłużej trzymali się brzegów Wielkiej Rzeki Anduiny i najmniej stronili od ludzi. Później niż Harfootowie przybyli na zachód, ciągnąc dalej z biegiem Grzmiącej Rzeki na południe. Tu większość z nich osiadła na długi czas między Tharbadem a granicą Dunlandu, zanim ruszyli znowu na północ.

Fallohidzi, najmniej liczni, stanowili północną gałąź. Nawiązali serdeczniejszą niż inni hobbici przyjaźń z elfami, więcej wykazywali zdolności do języków i śpiewu niż do rzemiosła, a za najdawniejszych czasów woleli łowy od uprawiania ziemi. Przebyli góry na północ od Rivendell i powędrowali w dół rzeki zwanej Szarą Wodą. W Eriadorze wkrótce przemieszali się z innymi szczepami, które tu wcześniej od nich osiadły, lecz jako odważniejsi i bardziej przedsiębiorczy, często wybijali się na przywódców wśród Harfootów i Stoorów. Nawet za czasów Bilba można było jeszcze zauważyć silne wpływy krwi fallohidzkiej w żyłach najznakomitszych rodów, jak Tukowie lub dziedzice Bucklandu.

W zachodniej części Eriadoru, między Górami Mglistymi a Księżycowymi, hobbici zastali ludzi i elfów. Były tu jeszcze niedobitki Dúnedainów[1], królów wśród ludzi, pochodzących zza Morza, z Westernesse; lecz wymierali szybko, a ich ogromne Północne Królestwo stopniowo pustoszało. Było aż za wiele miejsca dla nowych przybyszów i wkrótce hobbici zaludnili ten kraj, tworząc porządne osiedla. Większość pierwotnych osiedli od dawna zniknęła i za czasów Bilba została już zapomniana; jedno wszakże z tych, które najwcześniej doszły do znaczenia, przetrwało, jakkolwiek mniejsze niż ongi; znajdowało się ono w Bree oraz

w położonym obok lesie Chetwood, o jakieś czterdzieści mil na wschód od Shire’u.

Z pewnością w tej właśnie dawnej epoce hobbici nauczyli się alfabetu i zaczęli pisać, wzorując się na Dúnedainach, którzy z kolei nabyli tę umiejętność od elfów. W tym także okresie hobbici zapomnieli swego pierwotnego języka i odtąd przyjęli Wspólną Mowę, zwaną inaczej językiem westron, panującą we wszystkich krainach rządzonych przez królów, od Arnoru do Gondoru i na wybrzeżach Morza od Belfalas do Zatoki Księżycowej. Zachowali jednak kilka słów starego języka, a także odrębne nazwy miesięcy i dni tygodnia oraz mnóstwo imion własnych.

Mniej więcej w tej samej epoce, wraz z wprowadzeniem rachuby czasu, kończy się okres legend, a zaczyna historia hobbitów. Albowiem w 1601 roku Trzeciej Ery dwaj Fallohidzi, bracia Marcho i Blanko, wyruszyli z Bree; uzyskawszy pozwolenie wielkiego króla w Fornoście[2], przeprawili się z liczną rzeszą hobbitów przez brunatną rzekę – Baranduinę. Przeszli przez Most Kamiennych Łuków, zbudowany w okresie potęgi Królestwa Północy, i zajęli na swoją siedzibę cały obszar między rzeką a Dalekimi Wzgórzami. W zamian mieli tylko utrzymywać w porządku Wielki Most oraz wszystkie inne mosty i drogi, udzielać pomocy gońcom królewskim i uznawać zwierzchnictwo króla.

W ten sposób zaczęła się era Shire’u, bo rok przekroczenia rzeki Brandywiny (jak hobbici ją przezwali) stał się pierwszym rokiem Shire’u, a wszystkie późniejsze daty liczono od niego[3]. Osiadli na zachodzie hobbici natychmiast pokochali swoją nową ojczyznę i pozostali w niej; wkrótce też znów wyłączyli się z historii ludzi i elfów. Póki istniał król, byli jego poddanymi, lecz z imienia tylko, bo naprawdę rządzili nimi właśni wodzowie, a hobbici wcale się nie mieszali do wydarzeń rozgrywających się na świecie poza ich krajem. Podczas ostatniej bitwy pod Fornostem przeciw Czarnoksiężnikowi, władcy Angmaru, posłali na pomoc królowi garstkę łuczników; tak przynajmniej twierdzą, bo w ludzkich kronikach brak o tym jakiejkolwiek wzmianki. Ale ta wojna przyniosła kres Królestwu Północy, a wówczas hobbici zawładnęli krajem samodzielnie i wybrali spośród swoich wodzów thana, żeby przejął władzę po królu, którego zabrakło. Przez następny tysiąc lat żyli w niezamąconym niemal pokoju. Po Czarnej Pladze (37 r. wg kalendarza Shire’u) rośli w liczbę i dostatki aż do katastrofalnej Długiej Zimy i spowodowanego przez nią głodu. Mnóstwo

ludu wtedy wyginęło, lecz w czasach, o których mówi ta opowieść, nie pamiętano już Chudych Lat (1158–1160), a hobbici zdążyli ponownie przywyknąć do dobrobytu. Ziemia była bogata i łaskawa, a chociaż długi czas przed przybyciem hobbitów pozostawała opuszczona, dawniej była doskonale zagospodarowana, tam bowiem królowie mieli ongi swoje liczne fermy, pola zbóż, winnice i lasy.

Kraj rozciągał się na czterdzieści staj pomiędzy Dalekimi Wzgórzami a mostem na Brandywinie i na pięćdziesiąt między północnymi wrzosowiskami a moczarami na południu. Hobbici nazwali go Shire'em; była to kraina podległa władzy thana, słynna z ładu i spokoju; w tym miłym zakątku pędzili spokojny, stateczny żywot i coraz mniej troszczyli się o resztę świata, po którym krążyły złe moce, aż wreszcie doszli do przeświadczenia, że pokój i dostatek panują wszędzie w Śródziemiu i że wszystkie rozsądne stworzenia korzystają z tego przywileju. Zatarło się w ich pamięci, a może zatarli umyślnie to, co przedtem wiedzieli – a nigdy nie wiedzieli dużo – o Strażnikach i o trudach tych, którzy umożliwili tak długi pokój w Shire. W rzeczywistości ktoś ich chronił, lecz hobbici o tym zapomnieli.

Żaden szczep hobbitów w żadnej epoce dziejów nie odznaczał się wojowniczością i nigdy hobbici nie bili się między sobą. Dawnymi czasy oczywiście bywali zmuszani do walki, żeby utrzymać się pośród nieprzyjaznego świata, lecz w epoce Bilba wojny te należały już do starożytnej historii. Nikt ze współczesnych Bilbowi nie mógł już pamiętać ostatniej bitwy w okresie poprzedzającym naszą opowieść, jedynej zresztą bitwy, jaka rozegrała się w granicach Shire'u, kiedy to w roku 1147 (wg kalendarza Shire'u) Bandobras Tuk zwyciężył na Zielonych Polach i odparł najazd orków. Nawet klimat z czasem złagodniał, a wilki, które ongi podczas srogich śnieżnych zim ciągnęły wygłodniałe z północy, znano teraz jedynie z bajek starców. Chociaż więc w Shire przechowało się trochę oręża, służył on zazwyczaj do ozdoby ścian nad kominkami lub wystawiony był w muzeum w Michel Delving. Muzeum to nazywano Domem Mathom, bo słowem *mathom* określali hobbici wszelkie rzeczy doraźnie na nic nieprzydatne, których wszakże nie chcieli wyrzucać. W hobbickich mieszkaniach gromadziło się mnóstwo różnych *mathom*, do nich też można by zaliczyć większość urodzinowych podarków przechodzących z rąk do rąk.

Mimo wszystko, wśród wygód i pokoju hobbici wciąż jeszcze zachowali zadziwiająco wiele hartu. Jeśli już dochodziło do walki, niełatwo było ich spłoszyć lub zabić; może jedną z przyczyn – i to nie ostatnią – niezmordowanego upodobania hobbitów do dobrych rzeczy było to, że w razie konieczności umieli się bez nich obywać; wytrzymywali srogie męczarnie z ręki wroga, ból, chłody i burze tak dzielnie, że zdumiewali tych, którzy nie znając dobrze hobbitów, sądzili ich z pozorów: z tłustych brzuchów i sytych twarzy. Nieskorzy do kłótni, nie zabijali dla rozrywki żadnych żyjących istot, lecz przyparci do muru stawali mężnie, słynąc z bystrego oka i pewności ręki. Nie tylko wtedy, gdy mieli łuk i strzały. Kiedy hobbit schylał się po kamień, każde obce stworzenie dobrze wiedziało, że lepiej zrobi, jeśli szybko uskoczy do kryjówki.

Początkowo wszyscy hobbici mieszkali w norach ziemnych – tak przynajmniej powiadają – i w tego rodzaju mieszkaniach po dziś dzień czują się najbardziej swojsko. Z czasem wszakże musieli przyjąć również inne formy budownictwa. Za życia Bilba w Shire tylko najbogatsi i najbiedniejsi przestrzegali starego obyczaju. Biedacy mieszkali w prymitywnych jamach, w prawdziwych norach o jednym jedynym oknie lub bez okien w ogóle; zamożni hobbici budowali sobie zbytkowne odmiany tradycyjnych nor. Nie wszędzie jednak można było znaleźć odpowiedni teren do budowy obszernych, rozgałęzionych korytarzy podziemnych (zwanych po hobbicku „smajalami”). W płaskich, nizinnych okolicach hobbici, których wciąż przybywało, zaczęli wznosić domy nad ziemią. A nawet w górzystych stronach i w starych osiedlach, jak Hobbiton albo Tukon, czy też w stolicy Shire’u, w Michel Delving na Białych Wzgórzach, powstało wiele domów z drewna, cegły i kamienia. Szczególnie upodobali je sobie młynarze, kowale, powroźnicy i cieśle oraz inni rzemieślnicy; hobbici bowiem, nawet mając nory mieszkalne, na warsztaty od dawna zwykli budować szopy.

Podobno zwyczaj wznoszenia na fermach budynków gospodarskich i stodół pierwsi wprowadzili mieszkańcy Moczarów z nizin nad Brandywiną. Hobbici z tej części kraju, zwanej Wschodnią Ćwiartką, byli dość tędzy, nogi mieli grube i podczas dżdżystej pogody nosili buty na modłę krasnoludzką. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że w ich żyłach płynęło dużo krwi Stoorów, o czym świadczył zarost hodowany przez wielu z nich na brodzie. Harfootowie i Fallohidzi nie mieli ani śladu zarostu. Większość hobbitów z Moczarów i z Bucklandu na wschodnim brzegu Rzeki, którym

następnie zawładnęli, przybyła do Shire’u później, z dalekiego południa; trafiały się wśród nich osobliwe imiona i dziwne słowa, niespotykane w innych okolicach.

Możliwe, że sztuka budowlana, tak jak wiele innych rzemiosł, została przejęta od Dúnedainów. Ale mogli się jej również nauczyć hobbici bezpośrednio od elfów, mistrzów ludzkości w epoce jej zarania. Albowiem Elfowie Wysokiego Rodu nie opuścili jeszcze Śródziemia i zamieszkiwali podówczas w Szarej Przystani na zachodzie oraz w innych miejscowościach niezbyt odległych od Shire’u. Za moczarami na zachodzie widniały trzy wieże elfów, stojące tam od niepamiętnych czasów. W blasku księżyca lśniły, a ich poświata widoczna była daleko wokół. Najwyższa była jednocześnie najdalszą i sterczała samotnie na zielonym wzgórzu. Hobbici z Zachodniej Ćwiartki utrzymywali, że z jej szczytu widać Morze, lecz żaden hobbit, o ile wiadomo, nigdy się na ten szczyt nie wdrapał. Prawdę mówiąc, bardzo nieliczni hobbici widzieli w życiu Morze i żeglowali po nim, a jeszcze mniej było takich, którzy powrócili, by o tym opowiedzieć. Na ogół hobbici nieufnie spoglądali nawet na rzeki i łódki, mało który też umiał pływać. Im dłużej trwały spokojne dni Shire’u, tym rzadziej hobbici wdawali się w rozmowy z elfami, aż wreszcie zaczęli się ich lękać i podejrzliwie traktować tych, którzy się z nimi zadawali; sama nazwa Morze stała się postrachem i wróżbą śmierci dla hobbitów, więc odwrócili twarze od wzgórz na zachodzie.

Może więc nauczyli się budownictwa od elfów, a może od ludzi, w każdym razie stosowali tę sztukę na swój własny sposób. Nie wznosili wież. Domy hobbitów bywały zazwyczaj długie, niskie i wygodne. Najdawniejsze stanowiły właściwie tylko pewną nadziemną odmianę „smajalów”, kryto je strzechą z siana lub słomy albo darniną, a ścianom nadawano kształt nieco wypukły. Ten typ budownictwa należy jednak do wczesnego okresu Shire’u; od dawna już hobbici zmienili je i udoskonalili dzięki sposobom, których nauczyli się od krasnoludów lub które sami wynaleźli. Najbardziej charakterystyczną cechą hobbickiej architektury pozostało upodobanie do okrągłych okien, a nawet drzwi.

Domy i nory hobbitów z Shire’u bywały zwykle obszerne i zamieszkane przez liczne rodziny. (Bilbo i Frodo Baggins, jako bezżenni, stanowili wyjątek, jak zresztą pod wielu innymi względami, choćby pod tym, że przyjaźnili się z elfami). Niekiedy, jak na przykład u Tuków z Wielkich

Smajalów albo u Brandybucków z Brandy Hallu, kilka spokrewnionych pokoleń żyło razem w zgodzie (mniejszej lub większej) w jednej dziedzicznej siedzibie rozbudowanej w liczne boczne tunele. Wszyscy hobbici bądź co bądź mieli silnie rozwinięte poczucie rodowej więzi i bardzo dokładnie orientowali się w swoich pokrewieństwach. Wywodzili długie i zawiłe rodowody, kreśląc drzewa genealogiczne o mnóstwie rozgałęzień. Obcując z hobbitami, trzeba pamiętać, kto z kim jest spokrewniony i w jakim stopniu. Byłoby niemożliwe pomieścić w tej książce drzewo genealogiczne obejmujące bodaj najważniejsze rody z epoki, o której tu opowiadamy. Drzewo takie, dodane na końcu Czerwonej Księgi Marchii Zachodniej, stanowi samo w sobie sporą książeczkę, która każdemu, kto nie jest hobbitem, wydałaby się straszliwie nudna. Hobbici przepadają za takimi wywodami, pod warunkiem żeby były ścisłe: lubią znajdować w książkach to, co i bez nich dobrze wiedzą, ale przedstawione jasno, prosto i bez sprzeczności.

2 O fajkowym zielu

Jest jeszcze pewna sprawa, której, mówiąc o dawnych hobbitach, nie wolno pominąć, a mianowicie dziwaczne przyzwyczajenie tego ludu: hobbici ssali czy też wdychali za pomocą drewnianych lub glinianych fajek dym żarzących liści ziela, zwanego zielem albo liściem fajkowym; był to prawdopodobnie jakiś gatunek z rodzaju *Nicotiana*. Głęboka tajemnica okrywa pochodzenie tego szczególnego zwyczaju czy może sztuki, jak woleli to nazywać hobbici. Wszystko, co na ten temat udało się w starożytności wykryć, zebrał Meriadok Brandybuck (późniejszy dziedzic Bucklandu), ponieważ zaś i on, i tytoń z Południowej Ćwiartki grają pewną rolę w dalszym opowiadaniu, przytoczę tu uwagi zamieszczone we wstępie do jego *Zielnika Shire'u*.

„Z całą pewnością – pisze Meriadok Brandybuck – wolno nam tę sztukę uznać za nasz własny wynalazek. Kiedy hobbici zaczęli palić fajki – nie wiadomo, bo z najdawniejszych nawet legend i kronik rodzinnych wynika, że już w zamierzchłych czasach zwyczaj był ustalony. Od wieków mieszkańcy Shire'u palili rozmaite zioła, jedne gorsze, inne lepsze. Wszystkie jednak świadectwa zgadzają się co do tego, że pierwsze prawdziwe ziele fajkowe wyhodował Tobold Hornblower w swoich

ogrodach w Longbottom, w Południowej Ćwiartce, za panowania Isengrima Drugiego, około roku 1070 wg kalendarza Shire’u. Po dziś dzień najlepszy krajowy tytoń pochodzi z tej właśnie okolicy, a najbardziej lubiane jego odmiany noszą nazwy: Liście z Longbottom, Stary Toby i Gwiazda Południa.

W jaki sposób Stary Toby uzyskał tę roślinę, nie wiadomo, bo umarł, nie zwierzywszy nikomu sekretu. Znał się na ziołach, nie był jednak podróżnikiem. Podobno za młodu bywał często w Bree, lecz z pewnością nigdy nie zapuścił się dalej. Toteż wydaje się bardzo możliwe, że usłyszał o tej roślinie w Bree, w tej bowiem krainie i za naszych czasów rośnie ona bujnie na południowych stokach wzgórz. Hobbici z Bree twierdzą, że to oni pierwsi palili w fajkach prawdziwe fajkowe ziele. Co prawda hobbici z Bree we wszystkim roszczą sobie prawa do pierwszeństwa przed hobbitami z Shire’u, nazywając ich kolonistami, w tym wszakże szczególnym przypadku pretensje ich wydają mi się dość uzasadnione. Niewątpliwie nie skądinąd, lecz z Bree sztuka palenia prawdziwego fajkowego ziela rozpowszechniła się w ostatnim stuleciu między krasnoludami i takimi istotami, jak Strażnicy, Czarodzieje, różni wędrowcy, bo ruch jest niemały przez ten kraj, który był z dawna węzłem wielu szlaków. Tak więc za kolebkę i ośrodek sztuki fajkowej uznać można starą gospodę w Bree «Pod Rozbrykanym Kucykiem», w której od niepamiętnych czasów gospodarzyła rodzina Butterburów.

Mimo to poczynione przeze mnie podczas wielu wypraw na południe obserwacje przekonały mnie, że ojczyzną ziela fajkowego nie jest nasza część świata, lecz że przywędrowało ono do nas z doliny Anduiny, tam zaś, jak przypuszczam, przywieźli je zza Morza ludzie z Westernesse. Rośnie ono obficie w Gondorze, jest tam bujniejsze i wyższe niż na północy, gdzie nigdy nie pleni się dziko i gdzie udaje się tylko w zacisznych zakątkach, jak właśnie w Longbottom. W Gondorze ludzie zwą je pachnącą psianką i cenią jedynie za woń i piękne kwiaty. Stamtąd ziele to przewożono Zieloną Ścieżką dalej w ciągu długich stuleci dzielących nasze czasy od przybycia Elendila. Lecz Dúnedainowie z Gondoru również przyznają, że to hobbici pierwsi użyli ziela do fajek. Nawet żaden z Czarodziejów nie wpadł wcześniej na ten pomysł. Jeden wszakże Czarodziej, którego znałem osobiście, z dawna tej sztuki się nauczył i doszedł w niej do wielkiej wprawy, jak zresztą we wszystkim, czym się zechciał bawić”.

3 O ustroju Shire’u

Shire dzielił się na cztery części, na Ćwiartki, o których już wspomniałem: Północną, Południową, Wschodnią i Zachodnią; te z kolei dzieliły się na krainy, których nazwy pochodziły od nazwisk znakomitych starych rodów, jakkolwiek w epoce, gdy rozgrywały się opisane w tej książce wypadki, spotykało się często hobbitów danego nazwiska poza krainą niegdyś do ich przodków należącą. Wprawdzie wszyscy niemal potomkowie rodziny Tuków mieszkali jeszcze w Tukonie, lecz nie można tego samego powiedzieć o innych, takich jak na przykład Bagginsowie albo Boffinowie. Poza Ćwiartkami pozostawały Marchie Wschodnia i Zachodnia: Buckland (por. dalej, s. 140) i Marchia Zachodnia, dołączone do Shire’u w r. 1462 wg kalendarza Shire’u.

Shire podówczas nie miał własnego rządu w ścisłym znaczeniu tego słowa. Rody najczęściej same rządziły swoimi sprawami. Cały niemal czas wypełniała hobbitom produkcja żywności oraz jej zjadanie. Obywatele Shire’u byli na ogół hojni, nie łapczywi, lecz powściągliwi i skłonni zadowalać się tym, co mieli, toteż wielkie i mniejsze gospodarstwa rolne, warsztaty i drobne przedsiębiorstwa handlowe przechodziły z pokolenia na pokolenie niezmieniane.

Żyła, oczywiście, starodawna tradycja możnych królów z Fornostu, czyli z Norbury, jak hobbici nazywali to miasto leżące na północ od Shire’u. Lecz od tysiąca niemal lat nie było już tych królów, a ruiny Grodu Królów zarosła trawa. Mimo to hobbici mówili o dzikusach i złych stworach (na przykład o trollach), że to są istoty, które nigdy nie słyszały o królu. Przypisywali bowiem owym dawnym królom wszystkie swoje podstawowe prawa; przestrzegali ich zazwyczaj z dobrej woli, ponieważ były to prawa (jak powiadali) starożytne i sprawiedliwe.

Niewątpliwie ród Tuków przodował wśród hobbitów z Shire’u przez długie wieki, ponieważ urząd thana przeszedł na Tuków (od Oldbucków) kilkaset lat temu i odtąd zawsze głowa tego rodu piastowała ową godność. Than przewodniczył sądownictwu, zwoływał wiece i dowodził siłami zbrojnymi, ponieważ jednak sądy i wiece zbierały się tylko w razie szczególnej potrzeby, co się od długich lat wcale nie zdarzało, urząd thana stał się jedynie chlubnym tytułem i niczym więcej. Rodzina Tuków cieszyła się nadal wyjątkowym poważaniem, była bowiem wciąż bardzo liczna i

bogata, a przy tym w każdym pokoleniu płodziła osobników silnego charakteru, skłonnych do dziwactw, a nawet do awanturniczych przygód. Te ostatnie cechy co prawda tolerowano raczej (i to tylko u bogaczy), niźli pochwalano. Niemniej przetrwał obyczaj nazywania głowy tego rodu Wielkim Tukiem i dodawania do jego imienia w razie potrzeby numeru porządkowego: na przykład Isengrim Drugi.

Jedynym rzeczywistym urzędem w ówczesnym Shire była godność burmistrza Michel Delving, którego wybierano co siedem lat podczas Wolnego Jarmarku na Białych Wzgórzach w Sobótkę (*Lithe*), czyli w Dzień Środka Roku. Obowiązki burmistrza ograniczały się niemal wyłącznie do przewodniczenia na bankietach wydawanych z okazji świąt hobbickich, nadzwyczaj licznych. Lecz z godnością burmistrza łączyły się funkcje Najwyższego Poczmistrza i Pierwszego Szeryfa, musiał więc kierować listonoszami oraz szeryfami. Były to jedyne dwa rodzaje służby publicznej w Shire, przy czym poczta miała znacznie więcej do roboty niż policja. Nie wszyscy hobbici umieli pisać, lecz ci, którzy tę sztukę posiedli, pisali niezmordowanie do mnóstwa przyjaciół (oraz do wybranych osób z rodziny), mieszkających w takiej odległości, że spacerkiem w ciągu popołudnia nie dało się do nich dojść.

Szeryfami nazywali hobbici swoją policję czy ściślej mówiąc to, co w Shire za policję uchodziło. Szeryfowie nie nosili mundurów (o takich rzeczach hobbici nigdy nie słyszeli), wyróżniali się tylko piórem na czapce; w praktyce byli raczej pastuchami niż policjantami i zajmowali się częściej szukaniem zabłąkanego bydła niż pilnowaniem porządku wśród ludności. W całym kraju liczono ich dwunastu, po trzech na każdą Ćwiartkę, do utrzymywania ładu wewnętrznego. Znacznie liczniejszy zastęp, powiększany lub zmniejszany zależnie od potrzeb, patrolował granice, strzegąc, by wszelkiego rodzaju obcokrajowcy, wielcy czy mali, nie czynili szkód.

W czasach, w których zaczyna się nasza opowieść, oddział Pograniczników – jak ich zwano – znacznie wzmocniono. Krążyły bowiem niepokojące wiadomości i skargi na dziwne stwory i osoby grasujące na pograniczu, a nawet przekraczające granicę: znak, że coś jest nie w porządku i nie tak, jak było dotąd – natomiast tak, jak bywało dawnymi czasy wedle świadectwa starych bajek i legend. Mało kto zwrócił uwagę na ten objaw, nawet Bilbo nie miał pojęcia o jego prawdziwym znaczeniu.

Sześćdziesiąt lat upłynęło, odkąd wyruszył na swoją pamiętną wyprawę; Bilbo był już stary, nawet jak na hobbita, a hobbici nierzadko żyją do stu lat; wszelkie jednak pozory świadczyły, że sporo mu jeszcze zostało z bogactw przywiezionych z podróży. Jak wiele czy jak mało – tego nikomu nie zwierzył, nawet ulubionemu bratankowi imieniem Frodo. Nadal też przechowywał w tajemnicy pierścień, znaleziony podczas wyprawy.

4 O znalezieniu Pierścienia

W książce pod tytułem *Hobbit* opowiedziano o tym, jak pewnego dnia do domu Bilba przybył Gandalf Szary, Czarodziej, a z nim trzynastu krasnoludów: nie byle kto zresztą, lecz sam Thorin Dębowa Tarcza, potomek królów, oraz dwunastu jego towarzyszy wygnania. Z tą kompanią Bilbo – ku swemu nigdy niewyczerpanemu zdumieniu – wyruszył w kwietniowy poranek roku 1341 (wg kalendarza Shire'u) na poszukiwanie wielkich skarbów, bogactw krasnoludów, ongi własności Królów Spod Góry, spod Ereboru w kraju Dale, hen, na wschodzie. Skarby znaleziono, a smoka, który ich strzegł, zabito. Jakkolwiek przed ostatecznym zwycięstwem stoczono Bitwę Pięciu Armii, jakkolwiek poległ w niej Thorin, jakkolwiek dokonano mnóstwa chwalebnych czynów – cała ta wyprawa niewiele by wpłynęła na dalszy bieg historii i nie zyskałaby więcej niż parę wierszy w obszernych kronikach Trzeciej Ery, gdyby nie pewien „wypadek", który przytrafił się po drodze. Drużynę Thorina ciągnącą ku Dzikim Krajom napadli na wysokiej przełęczy w Górach Mglistych orkowie; Bilbo przypadkiem zabłąkał się w czarnych podziemiach orków, wydrążonych głęboko w skałach, i omackiem posuwając się w ciemnościach, natrafił ręką na pierścień, leżący na dnie tunelu. Włożył pierścień do kieszeni. W owym momencie wydało mu się to po prostu szczęśliwym trafem.

Szukając wyjścia, Bilbo zaszedł w głąb, aż do korzeni góry, i tu musiał się zatrzymać. Drogę przecięło mu lodowate jezioro, do którego nie dochodził ani promień światła; pośród tego jeziora na skalistej wysepce mieszkał Gollum. Był to mały, szkaradny stwór: wiosłując szerokimi, płaskimi stopami, pływał po wodzie w łódeczce i bladymi, świecącymi oczyma wypatrywał ślepych ryb, chwytał je długimi paluchami i pożerał na surowo. Żarł zresztą wszelkie żywe istoty, nawet orków, jeśli zdołał którego

złapać i udusić bez walki. Gollum miał tajemniczy skarb, zdobyty przed wiekami, gdy jeszcze żył na jasnym świecie: złoty pierścień, który czynił swego właściciela niewidzialnym. Był to jedyny przedmiot miłości Golluma, jego „skarb”; Gollum przemawiał do niego nawet wówczas, gdy go nie miał przy sobie. Trzymał bowiem pierścień w bezpiecznej skrytce, w skalnej szparze na swojej wysepce, a nakładał tylko wówczas, gdy wybierał się na łowy albo na zwiady wśród orków w ich podziemiu.

Byłby pewnie od razu napadł na Bilba, gdyby w chwili spotkania z nim miał pierścień przy sobie; nie miał go jednak, a hobbit ściskał w garści nóż zrobiony przez elfów, służący mu za miecz. Żeby zyskać na czasie, Gollum wyzwał Bilba na turniej zagadek, oznajmiając, że go zabije i zje, jeśli hobbit nie odpowie na któreś jego pytanie, jeśli natomiast wygra Bilbo, spełni jego życzenie i wyprowadzi go z lochów na świat.

Bilbo, zabłąkany bez nadziei w ciemnościach, nie mogąc ani iść naprzód, ani się wycofać, przyjął to wyzwanie. Zadali sobie nawzajem mnóstwo zagadek. W końcu Bilbo zwyciężył, co zresztą zawdzięczał bardziej szczęściu (jak się zdawało) niż rozumowi; nie wiedząc bowiem pod koniec gry, jaką wymyślić zagadkę, a natrafiwszy ręką w kieszeni na znaleziony pierścień, wykrzyknął: „Co ja mam w kieszeni?”. Na to oczywiście Gollum nie znalazł odpowiedzi, chociaż zażądał prawa do trzykrotnej próby.

Rzeczoznawcy różnią się co prawda w opinii, czy ostatnie pytanie Bilba można uznać za zagadkę zgodnie z ustalonymi przepisami gry, wszyscy wszakże zgadzają się, że Gollum – skoro nie zaprotestował od razu i trzykroć próbował odpowiedzieć – był obowiązany spełnić obietnicę. Bilbo nalegał, żeby stwór dotrzymał danego słowa, przyszło mu bowiem na myśl, że tak oślizły gad może okazać się przeniewiercą, jakkolwiek obietnica tego rodzaju uważana była z dawna za świętość i tylko najprzewrotniejsze istoty śmiałyby ją złamać. Lecz po wiekach samotności i mroków serce Golluma znikczemniało i wylęgła się w nim zdrada. Wymknął się, wrócił na swoją wysepkę, o której Bilbo nic nie wiedział, a która sterczała w pobliżu z czarnej wody. Gollum przypuszczał, że jego pierścień leży w kryjówce. Potwór był już głodny i zły, a gdyby miał swój „skarb” przy sobie, nie lękałby się żadnego oręża.

Ale pierścienia nie było na wysepce: zginął, zniknął. Gollum wrzasnął tak, że ciarki przeszły po krzyżach hobbitowi; chociaż jeszcze nie rozumiał,

co się stało. Gollum poniewczasie odgadł ostatnią zagadkę. „Co on ma w kieszeni?!” – krzyknął. Zielony płomień palił się w jego ślepiach, kiedy wracał, żeby zamordować Bilba i odzyskać swój „skarb”. Bilbo w samą porę dostrzegł niebezpieczeństwo i na oślep rzucił się do ucieczki korytarzem, byle dalej od jeziora. Raz jeszcze ocalił go szczęśliwy przypadek. Kiedy bowiem, pędząc, wsunął rękę do kieszeni, pierścień sam wskoczył mu na palec. Dzięki temu Gollum minął hobbita, nie widząc go wcale i pobiegł zagrodzić wyjście, żeby uniemożliwić „złodziejowi” ucieczkę. Bilbo ostrożnie podążył za nim, gdy potwór, wlokąc się korytarzem, klął i mówił sam do siebie o swojej cennej zgubie. Z jego słów wreszcie nawet hobbit zrozumiał całą prawdę i w ciemnościach błysnęła mu nadzieja: oto znalazł cudowny pierścień, miał szansę wymknąć się zarówno Gollumowi, jak i orkom.

Wreszcie obaj zatrzymali się u wylotu korytarza, który prowadził do niższej bramy lochów, otwierającej się na wschodnich stokach gór. Gollum przyczaił się tutaj, węsząc i nasłuchując, a Bilba korciło, żeby go usiec mieczem. Przeważyła jednak litość; wprawdzie zachował sobie pierścień, w którym tkwiła jedyna nadzieja ratunku, lecz nie chciał pod jego osłoną zabijać nieszczęsnego Golluma, zdanego na jego łaskę. Zebrał całą odwagę, przeskoczył w ciemności nad głową Golluma i umknął w głąb korytarza, ścigany krzykiem nienawiści i rozpaczy: „Złodziej! Złodziej! Baggins! Nienawidzimy go na wieki!”.

Otóż najciekawsze w tej historii jest to, że Bilbo początkowo opowiedział ją swoim towarzyszom zupełnie inaczej. Według jego relacji Gollum obiecał mu w razie wygranej prezent, ale gdy po niego poszedł na wysepkę, stwierdził, że zginął mu klejnot: magiczny pierścień, otrzymany niegdyś w podarku na urodziny. Bilbo domyślił się, że to chodzi właśnie o ten sam pierścień, który on znalazł, a który uznał teraz za swoją prawowitą własność, skoro zwyciężył w grze. Ponieważ jednak był w rozpaczliwym położeniu, nic o tym Gollumowi nie powiedział, lecz zamiast prezentu zażądał wskazania drogi z lochów na świat. Tak przedstawił Bilbo tę sprawę w swoich pamiętnikach i nie zmienił, zdaje się, nic w swojej relacji nawet po Radzie u Elronda. Tak też zapisana została owa przygoda w Czerwonej Księdze i w licznych jej odpisach oraz w skrótach. Niektóre wszakże kopie zawierają prawdziwą wersję (podaną jako alternatywę), zaczerpniętą niewątpliwie ze wspomnień Froda lub Sama; ci dwaj hobbici

znali bowiem prawdę, jakkolwiek niechętnie dementowali słowa zapisane własną ręką starego Bilba.

Gandalf jednak od pierwszej chwili nie wierzył w prawdziwość opowiadania Bilba i w dalszym ciągu bardzo był ciekawy prawdy o pierścieniu. Wielekroć brał Bilba na spytki – co nawet na czas jakiś ochłodziło między nimi przyjazne stosunki – aż w końcu wydobył prawdziwą historię. Czarodziej przywiązywał wielką wagę do prawdy. Nie powiedział tego hobbitowi, lecz niemałą wagę przywiązywał również do faktu, że zacny Bilbo, wbrew swoim zwyczajom, od razu mu jej nie wyznał, i bardzo był tym zaniepokojony; a jednak pomysł „prezentu” nie wykluł się w głowie Bilba z niczego. Bilbo później zwierzył się Gandalfowi, że tę myśl nasunęły mu słowa Golluma, podsłuchane w tunelu. Gollum rzeczywiście kilkakrotnie nazwał wtedy pierścień swoim „urodzinowym prezentem”. To także wydało się Czarodziejowi dziwne i podejrzane, lecz nie wykrył całej prawdy w owym czasie ani przez wiele lat później, jak się dowiecie dalej z tej książki.

O późniejszych przygodach Bilba niewiele mam tu do opowiedzenia. Z pomocą pierścienia hobbit wymknął się straży orków u bramy i odnalazł przyjaciół. Wiele razy podczas wyprawy użył pierścienia, najczęściej po to, żeby ratować towarzyszy; mimo to, jak mógł najdłużej, zachował go przed nimi w tajemnicy. Po powrocie do domu nigdy o pierścieniu nie wspominał nikomu z wyjątkiem Gandalfa i Froda, toteż nawet żywa dusza w Shire nie domyślała się, że skarb ten jest w posiadaniu Bilba – a przynajmniej on sam tak sądził. Sprawozdanie z wyprawy, które potem spisał, pokazał jedynie Frodowi.

Miecz swój – Żądło – Bilbo powiesił nad kominkiem, a zbroję cudownej roboty, dar krasnoludów, wybraną ze skarbca odbitego smokowi, ofiarował do muzeum, do Domu Mathom w Michel Delving. Przechował jednak w jednej z szaf w Bag End stary płaszcz i kaptur, które nosił podczas wyprawy. A pierścień, bezpiecznie umocowany na pięknym łańcuszku, miał stale w kieszeni.

Powrócił do domu w Bag End 22 czerwca roku 1342 (wg kalendarza Shire’u) w wieku lat pięćdziesięciu dwóch. Nic godnego uwagi nie zdarzyło się w kraju aż do roku 1401, gdy pan Baggins rozpoczął przygotowania do

uroczystego obchodu swoich sto jedenastych urodzin. I w tym momencie zaczyna się nasza opowieść.

Nota do prologu

Hobbici odegrali tak ważną rolę w wielkich wydarzeniach, które pod koniec Trzeciej Ery zostały uwieńczone wcieleniem Shire’u do zjednoczonego na nowo Królestwa, że rozbudziło to wśród nich powszechne zainteresowanie własną historią; wiele tradycji, przekazywanych przedtem tylko ustnie, zebrano podówczas i spisano. Członkowie co znakomitszych rodów, powiązanych również ze sprawami całego Królestwa, studiowali też jego najdawniejsze dzieje i legendy. W początkach Czwartej Ery było już w Shire kilka bibliotek, gdzie gromadzono liczne książki historyczne i kroniki.

Najbogatsze takie zbiory znajdowały się Pod Wieżami, w Wielkich Smajalach i w Brandy Hallu. Ta relacja o zdarzeniach z końca Trzeciej Ery opiera się głównie na Czerwonej Księdze Marchii Zachodniej. Tytuł tej księgi, stanowiącej główne źródło dla kronikarza Wojny o Pierścień, pochodzi stąd, że przechowywano ją przez długi czas Pod Wieżami, w siedzibie Fairnbairnów, Strażników Zachodniej Marchii[4]. Pierwotnie były to osobiste pamiętniki Bilba, zabrane przez niego do Rivendell. Frodo przywiózł je do Shire’u wraz z mnóstwem luźnych kartek i zapisków i w latach 1420–1421 (wg kalendarza Shire’u) wypełnił prawie wszystkie niezapisane jeszcze stronice własną relacją z Wojny. Razem z tymi pamiętnikami przechowywane były, prawdopodobnie we wspólnej szkarłatnej tece, trzy grube tomy oprawne w czerwoną skórę, ofiarowane przez Bilba Frodowi jako pożegnalny prezent. Do tych czterech tomów dołączono w Marchii Zachodniej piąty, zawierający komentarze, genealogie i różne inne materiały dotyczące hobbitów, którzy należeli do Drużyny Pierścienia.

Oryginał Czerwonej Księgi nie zachował się, lecz na szczęście sporządzono wiele jego kopii, szczególnie pierwszego tomu, na użytek potomstwa dzieci Samwise’a Gamgee. Najbardziej interesująca kopia ma jednak inną historię. Przechowywano ją w Wielkich Smajalach, lecz przepisana została w Gondorze, zapewne na polecenie prawnuka Peregrina, a ukończono tę pracę w roku 1592 według kalendarza Shire’u (172 roku

Czwartej Ery). Skryba załączył następującą adnotację: Findegil, pisarz królewski, pracę tę ukończył w 172 r. Jest to dokładna kopia Księgi Thana z Minas Tirith, ta zaś była sporządzoną na rozkaz króla Elessara kopią Czerwonej Księgi Periannów, ofiarowaną królowi przez Thana Peregrina po jego powrocie do Gondoru w 64 roku Czwartej Ery.

Tak więc była to najwcześniejsza z kopii Czerwonej Księgi i zawierała wiele fragmentów później pominiętych lub zagubionych. W Minas Tirith wprowadzono do tekstu liczne adnotacje i poprawiono błędy, zwłaszcza w imionach własnych, wyrazach i cytatach z języków elfów; dołączono również w skróconej wersji te części „Historii Aragorna i Arweny", które nie dotyczyły Wojny o Pierścień. Autorem pełnego tekstu tej opowieści był ponoć Barahir, wnuk Namiestnika Faramira, a spisana została ona w jakiś czas po zgonie króla. Największa jednak wartość kopii Findegila polega na tym, że tylko w niej zamieszczono „Przekłady z języka elfów" dokonane przez Bilba. Dzieło to liczy trzy tomy i spotkało się z uznaniem, jako owoc głębokiej wiedzy i umiejętności. Bilbo pracował nad nim w latach 1403–1418, przebywając w Rivendell, gdzie miał dostęp do bogatych źródeł w postaci przekazów zarówno piśmiennych, jak ustnych. Frodo, zajmując się niemal wyłącznie historią Dawnych Dni, mało z tej pracy krewniaka korzystał, dlatego niniejsza książka nic więcej o niej nie mówi.

Meriadok i Peregrin stali się głowami wielkich rodzin, utrzymując stałe i bliskie stosunki z Rohanem i Gondorem, a biblioteki w Bucklebury i Tukonie posiadały mnóstwo materiałów nie zamieszczonych w Czerwonej Księdze. W Brandy Hallu było wiele dzieł dotyczących Eriadoru i historii Rohanu. Niektóre z nich opracował czy przynajmniej zapoczątkował osobiście Meriadok, lecz w pamięci ziomków pozostał przede wszystkim autorem znakomitego *Zielnika Shire'u* i *Rachuby czasu* – analizy pokrewieństw oraz różnic między kalendarzem hobbitów z Shire'u i Bree a kalendarzami obowiązującymi w Rivendell, Rohanie i Gondorze. Meriadok napisał też krótką rozprawę *Stare słowa i nazwy w Shire*, interesując się szczególnie pokrewieństwem języka hobbitów z językiem Rohirrimów, w wypadkach takich wyrazów jak *mathom*, oraz pradawnymi cząstkami słowotwórczymi zachowanymi w nazwach geograficznych.

Księgozbiór w Wielkich Smajalach poświęcony był w mniejszym stopniu sprawom ludu z Shire'u, a w większym – historii szerszego świata. Peregrin sam nie parał się piórem, lecz i on, i jego następcy gromadzili

manuskrypty pisane przez skrybów z Gondoru, przeważnie kopie lub kompilacje historii albo legend dotyczących Elendila i jego spadkobierców. Właśnie w Shire znajdowały się najbogatsze materiały do historii Númenoru i pojawienia się Saurona. *Kronika Lat*[5] prawdopodobnie została opracowana w Wielkich Smajalach na podstawie materiałów zebranych przez Meriadoka. Daty w niej podane są w wielu przypadkach wątpliwe, szczególnie w odniesieniu do Drugiej Ery, lecz mimo to zasługują na uwagę. Meriadok zapewne korzystał z pomocy i informacji dostarczanych mu z Rivendell, które wielokrotnie odwiedzał. Elrond wprawdzie opuścił tę siedzibę, lecz jego synowie wraz z kilku Elfami Wysokiego Rodu pozostawali w niej jeszcze długo. Podobno w Rivendell zamieszkał po odjeździe Galadrieli także Celeborn, brak jednak ścisłej daty jego odejścia i nie wiadomo, kiedy wreszcie ten ostatni żyjący świadek Dawnych Dni Śródziemia udał się do Szarej Przystani.

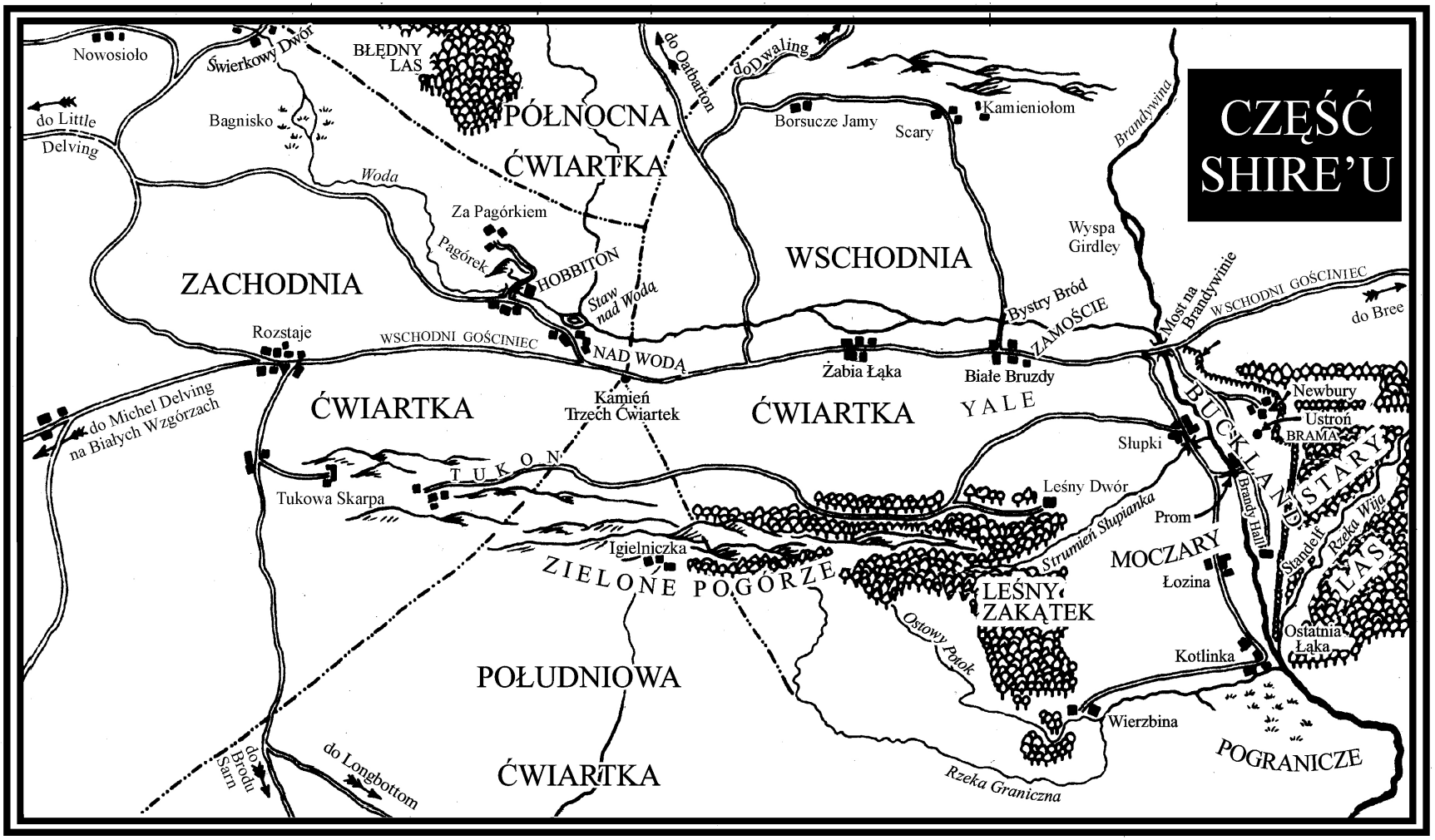
CZĘŚĆ SHIRE'U
Nowosioło
Świerkowy Dwór
BŁĘDNY LAS
do Oatbarton
do Dwaling
do Little Delving
Bagnisko
PÓŁNOCNA ĆWIARTKA
Borsucze Jamy
Scary
Kamieniołom
Brandywina
Woda
Za Pagórkiem
Pagórek
HOBBITON
Staw nad Wodą
ZACHODNIA
WSCHODNIA
Wyspa Girdley
Most na Brandywinie
WSCHODNI GOŚCINIEC
do Bree
Bystry Bród
ZAMOŚCIE
Rozstaje
WSCHODNI GOŚCINIEC
NAD WODĄ
Żabia Łąka
Białe Bruzdy
do Michel Delving na Białych Wzgórzach
ĆWIARTKA
Kamień Trzech Ćwiartek
ĆWIARTKA
YALE
Newbury
Ustroń
BRAMA
Słupki
BUCKLAND
STARY LAS
TUKON
Leśny Dwór
Tukowa Skarpa
Prom
Brandy Hall
Strumień Słupianka
Rzeka Wija
Standelf
Igielniczka
ZIELONE POGÓRZE
MOCZARY
Łozina
LEŚNY ZAKĄTEK
Ostatnia Łąka
Ostowy Potok
Kotlinka
POŁUDNIOWA
Wierzbina
POGRANICZE
do Brodu Sarn
do Longbottom
ĆWIARTKA
Rzeka Graniczna

Księga pierwsza

ROZDZIAŁ 1
ZABAWA Z DAWNA OCZEKIWANA

Kiedy pan Bilbo Baggins z Bag End oznajmił, że wkrótce zamierza dla uczczenia sto jedenastej rocznicy swoich urodzin wydać szczególnie wspaniałe przyjęcie, w całym Hobbitonie poszły w ruch języki i zapanowało wielkie podniecenie.

Bilbo był wielkim bogaczem i wielkim dziwakiem, stanowił w Shire przedmiot powszechnego zainteresowania od sześćdziesięciu lat, to jest od czasu swego zagadkowego zniknięcia i niespodziewanego powrotu. O bogactwach, które przywiózł z podróży, opowiadano w okolicy legendy i ogół wierzył – wbrew słowom miejscowych starców – że pod Pagórkiem w Bag End ciągną się podziemia, wypełnione skarbami. Gdyby to nie wystarczało, żeby mu zdobyć sławę, był jeszcze godny podziwu z innej przyczyny, ponieważ mimo podeszłego wieku zachował pełnię sił. Czas płynął, lecz nie miał, jak się zdawało, władzy nad panem Bagginsem. Mając lat dziewięćdziesiąt, Bilbo wyglądał tak samo jak w wieku lat pięćdziesięciu. Gdy skończył dziewięćdziesiąt dziewięć lat, zaczęto o nim mówić, że się dobrze trzyma, ale słuszniej byłoby powiedzieć, że się wcale nie zmienia. Ten i ów kręcił głową i myślał, że za wiele tego dobrego: nie zdawało im się sprawiedliwe, że ktoś posiadał wieczną (pozornie) młodość, na dodatek do niewyczerpanych (rzekomo) bogactw.

– Będzie musiał za to kiedyś zapłacić – mówili. – To nie jest naturalne, wyniknie z tego jakaś bieda.

Ale bieda jak dotąd nie wynikła, a pan Baggins tak był hojny, że większość hobbitów chętnie mu przebaczała i dziwactwa, i szczęście. Bilbo wymieniał od czasu do czasu wizyty ze swymi kuzynami (z wyjątkiem oczywiście Bagginsów z Sackville) i miał licznych oddanych wielbicieli wśród hobbitów z mniej dostojnych i uboższych rodzin. Nie nawiązał jednak z nikim serdeczniejszej przyjaźni, póki nie zaczęli dorastać młodsi krewniacy.

Najstarszy spośród nich, młody Frodo Baggins, był ulubieńcem Bilba. Ukończywszy dziewięćdziesiąt dziewięć lat, Bilbo usynowił Froda,

mianował go swoim spadkobiercą i sprowadził na stałe do Bag End; w ten sposób wszelkie nadzieje Bagginsów z Sackville rozwiały się ostatecznie. Przypadek zrządził, że Bilbo i Frodo obchodzili urodziny tego samego dnia, 22 września. „Zamieszkaj ze mną, chłopcze kochany – powiedział Bilbo do Froda. – Będzie nam wygodniej razem wyprawiać urodziny". Frodo podówczas był jeszcze smarkaczem, jak hobbici nazywali nieodpowiedzialnych dwudziestolatków, którzy wprawdzie wyrośli z dzieciństwa, lecz nie osiągnęli pełnoletności, czyli trzydziestu trzech lat.

Minęło dalszych lat dwanaście. Co roku dwaj Bagginsowie urządzali wesołe przyjęcia z okazji podwójnych urodzin, lecz tej jesieni spodziewano się czegoś nadzwyczajnego: Bilbo miał skończyć sto jedenaście lat – a to liczba dość osobliwa i wiek, nawet dla hobbita, szacowny (sam Stary Tuk dożył tylko stu trzydziestu lat); Frodo zaś kończył lat trzydzieści trzy – znamienna liczba oznaczająca pełnoletność.

Nie próżnowały więc języki w Hobbitonie i Nad Wodą; pogłoski o spodziewanej uroczystości szerzyły się po całym kraju. Dzieje i charakter pana Bilba Bagginsa znów stały się głównym tematem wszystkich rozmów, a starcy zauważyli, że nagle wzrósł popyt na ich wspomnienia.

Nikogo jednak nie słuchano z takim skupieniem jak sędziwego Hamfasta Gamgee, zwanego powszechnie Dziaduniem. Rozprawiał on w małej gospodzie „Pod Bluszczem" przy drodze Nad Wodą i przemawiał ze znajomością rzeczy, bo przez czterdzieści lat pielęgnował ogród w Bag End, a przedtem pracował tam jako pomocnik ogrodnika Holmana. Teraz, gdy się postarzał i kości mu zesztywniały, zdał tę robotę na swego najmłodszego syna, Sama Gamgee. Zarówno ojciec, jak syn byli w przyjaznych stosunkach z Bilbem i Frodem. Mieszkali na Pagórku, tuż pod siedzibą Bilba, w zaułku Bagshot pod numerem trzecim.

– Pan Bilbo to bardzo grzeczny i rozmowny hobbit, zawsze to powiadałem – oświadczył Dziadunio. I mówił prawdę. Bilbo traktował go jak najgrzeczniej, zwracał się do niego „Panie Hamfaście" i często zasięgał jego rad co do uprawy warzyw, ponieważ w dziedzinie roślin bulwiastych, a szczególnie ziemniaków, Dziadunio w opinii całego sąsiedztwa (i w swojej własnej) uchodził za najlepszego znawcę.

– A jak się wam podoba ten Frodo, co z nim mieszka? – spytał stary Noakes z Nad Wody. – Nazywa się Baggins, ale, jak powiadają, więcej w

nim Brandybucka niż Bagginsa. Licho wie, dlaczego taki Baggins z Hobbitonu poszukał sobie żony aż gdzieś w Bucklandzie, gdzie mieszkają sami dziwacy.

– Nie mogą być inni – wtrącił się Dad Twofoot, najbliższy sąsiad Dziadunia – skoro siedzą na gorszym brzegu Brandywiny i tuż pod Starym Lasem. Jeżeli bodaj połowa tego, co mówią, jest prawdą, musi to być ponure i złe miejsce.

– Masz rację, Dadzie – przytaknął Dziadunio. – Brandybuckowie wprawdzie nie mieszkają w Starym Lesie, ale, jak się zdaje, rodzina jest rzeczywiście zbzikowana. Zabawiają się pływaniem łódkami po tej wielkiej rzece, a to jest przeciw naturze. Nie dziw, że z tego wynikło nieszczęście. No, ale swoją drogą pan Frodo jest tak dobrym młodym hobbitem, że lepszego nie potrzeba. Bardzo podobny do pana Bilba, nie tylko z wyglądu. Bądź co bądź miał Bagginsa za ojca. Pan Drogo Baggins był przyzwoitym, szanowanym hobbitem i nigdy o nim wiele nie mówiono, póki nie utonął.

– Utonął? – powtórzyło kilka głosów. Wszyscy oczywiście znali tę historię, a także rozmaite jeszcze bardziej ponure pogłoski na ten temat, ale hobbici namiętnie lubią legendy rodzinne, chcieli więc usłyszeć całą rzecz na nowo.

– Ano, tak mówią – rzekł Dziadunio. – Wiecie, pan Drogo ożenił się z tą biedną panną Primulą Brandybuck. Była ona cioteczną siostrą naszego pana Bilba, po kądzieli, bo miała za matkę najmłodszą córkę Starego Tuka; pan Drogo zaś był jego przestryjecznym bratem. Więc panicz Frodo jest jednocześnie jego ciotecznym siostrzeńcem i stryjecznym bratankiem, zależy od której strony patrzeć, ma się rozumieć. Pan Drogo bawił w Brandy Hallu w odwiedzinach u swojego teścia, starego pana Gorbadoka, u którego często bywał od czasu ożenku (lubił dobrze zjeść, a u starego Gorbadoka jadało się wspaniale); wybrał się łódką na rzekę, no i oboje z żoną utonęli, a nieborak Frodo, mały jeszcze dzieciak, został sierotą.

– Słyszałem, że wypłynęli po obiedzie przy księżycu – rzekł stary Noakes – i że łódź poszła na dno, bo Drogo za wiele ważył.

– A ja słyszałem, że to żona go pchnęła do wody, a on ją wciągnął za sobą – odezwał się Sandyman, młynarz z Hobbitonu.

– Nie powinieneś słuchać wszystkiego, co mówią – odparł Dziadunio, który niezbyt lubił młynarza. – Po co gadać o popychaniu, kiedy wiadomo,

że taka łódź to zdradliwa sztuka, nawet jeżeli ktoś w niej siedzi spokojnie; nie potrzeba szukać innych przyczyn nieszczęścia. Jak było, tak było, a Frodo został sierotą i zabłąkał się, można powiedzieć, między tych dziwaków z Bucklandu, bo go wychowywano w Brandy Hallu. Tłok tam był jak w króliczym gnieździe. U starego pana Gorbadoka nigdy mniej niż stu krewniaków naraz nie gościło. Pan Bilbo nie mógł nic lepszego zrobić, niż zabrać malca z powrotem między przyzwoitych hobbitów.

Ale rozumie się, że dla Bagginsów z Sackville to był cios okropny. Już kiedy pan Bilbo wyjechał i wszyscy go mieli za umarłego, liczyli, że dostaną Bag End. A tymczasem wrócił i przepędził ich z domu i odtąd żyje i żyje, i wcale nie wygląda starzej niż przed laty… niech mu będzie na zdrowie! Nagle znalazł sobie spadkobiercę i wszystko jak się należy załatwił urzędowo. Bagginsowie z Sackville nigdy już nie zobaczą domu w Bag End od środka… Przynajmniej mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Jak mówią, w Bag End zakopany jest ładny grosz – odezwał się obcy hobbit, kupiec przybyły z Zachodniej Ćwiartki, z Michel Delving. – Wedle tego, co słyszałem, cały wierzchołek Pagórka jest wydrążony w środku i korytarze są tam zapchane skrzyniami pełnymi srebra, złota i klejnotów.

– No, toście słyszeli więcej, niż ja mogę powiedzieć – odparł Dziadunio. – Nic nie wiem o żadnych klejnotach. Pan Bilbo nie skąpi pieniędzy i nie widać, żeby mu ich brakowało, ale o żadnych wydrążonych w Pagórku tunelach nie słyszałem. Widziałem za to pana Bilba, kiedy wrócił z wyprawy, sześćdziesiąt lat temu. Byłem jeszcze wtedy małym chłopakiem. Dopiero w kilka lat później stary Holman (cioteczny brat mojego ojca) wziął mnie do siebie na praktykanta, ale tego dnia zawołał mnie do Bag End, żebym pomógł mu pilnować trawników i ogrodu od zdeptania podczas licytacji. A tu w połowie wyprzedaży pan Bilbo zjawia się na Pagórku i prowadzi kuca objuczonego ogromnymi workami i paru skrzyniami. Nie przeczę, były w tych bagażach na pewno skarby, które pan Bilbo zdobył w dalekich krajach, gdzie, jak mówią, są całe góry złota. Ale nie było tego tyle, żeby tunele w Pagórku wypełnić. Mój chłopak, Sam, wie o tych rzeczach więcej jeszcze ode mnie. Stale się kręci po Bag End. Przepada za historiami z dawnych czasów i słucha pilnie wszystkiego, co pan Bilbo opowiada. Pan Bilbo nauczył go abecadła… nie zrobił tego, uważacie, ze złych chęci i mam nadzieję, że nic złego z tego nie wyniknie.

„Elfowie i smoki! – powiadam mojemu synowi. – Dla ciebie i dla mnie ważniejsze są ziemniaki i kapusta. Nie mieszaj się do spraw hobbitów, co wyżej niż ty stoją, bo napytasz sobie kłopotów za wielkich na twoją głowę”. Tak powiedziałem mojemu chłopcu i to samo mógłbym każdemu powtórzyć – dodał, patrząc znacząco na obcego i na młynarza.

Dziadunio jednak nie przekonał swoich słuchaczy. Legenda o bogactwach Bilba zakorzeniła się już głęboko w umysłach młodego hobbickiego pokolenia.

– Ale pewnie pan Bilbo sporo przez ten czas dołożył do tego, co wtedy przywiózł – rzekł młynarz, wyrażając powszechne przeświadczenie. – Często wyjeżdżał z domu. A widzieliście też, jacy zagraniczni goście odwiedzali go tutaj: przychodziły po nocach krasnoludy, przychodził ten stary wędrowny magik Gandalf i wielu innych. Mówcie sobie, Dziaduniu, co chcecie, ale Bag End to dziwne miejsce i dziwni hobbici tam mieszkają.

– A wy sobie także mówcie, co chcecie, ale znacie się na tym tak samo jak na żegludze, panie Sandymanie – odparł Dziadunio, który w tej chwili czuł do młynarza jeszcze mniej sympatii niż zwykle. – Jeśli to są dziwacy, oby się tacy na kamieniu rodzili w naszych stronach. Bo nie trzeba daleko szukać hobbitów, co kufelka piwa żałują przyjacielowi, chociażby w ich norach ściany były ze szczerego złota. Ale w Bag End nie tacy hobbici gospodarzą. Mój Sam powiada, że na przyjęcie wszyscy bez wyjątku będą zaproszeni i że każdy – uważacie? – każdy dostanie prezent. Czeka nas to jeszcze w tym miesiącu.

Ten miesiąc – to był wrzesień, piękny jak rzadko. W jakieś dwa dni później gruchnęła pogłoska (zapewne rozpuszczona przez dobrze poinformowanego Sama), iż przyjęcie pana Bilba uświetnią fajerwerki, i to takie, jakich w Shire nie widziano od wieku, od śmierci Starego Tuka.

Dni mijały, zbliżał się wielki dzień. Pewnego wieczora w ulice Hobbitonu wtoczył się dziwaczny wóz załadowany dziwacznymi pakunkami i ciężko wspiął się na Pagórek, do Bag End. Zaalarmowani turkotem hobbici wysuwali ciekawie głowy z oświetlonych drzwi. Na wozie, śpiewając nieznane pieśni, jechali zagraniczni goście: brodaci krasnoludowie w ogromnych kapturach. Kilku z nich zostało w Bag End. Pod koniec drugiego tygodnia września, w biały dzień, od strony mostu na Brandywinie wjechała Nad Wodę bryka. Powoził nią samotny starzec.

Ubrany był w wysoki spiczasty niebieski kapelusz i w długi szary płaszcz przepasany srebrną szarfą. Miał siwą brodę po pas, a krzaczaste brwi wystawały mu aż poza rondo kapelusza. Małe hobbicięta biegły za bryką przez cały Hobbiton aż na Pagórek. Słusznie się domyśliły, że bryka wiezie zapas fajerwerków. Przed frontowymi drzwiami Bilba starzec zaczął wypakowywać swój towar: wielkie paki sztucznych ogni wszelkich odmian i rodzajów, a na każdej duża czerwona litera G i runiczny znak elfów .

Była to oczywiście pieczęć Gandalfa, a starcem tym był Czarodziej Gandalf, sławny w Shire przede wszystkim ze sztuk, jakich dokonywał z ogniem, dymem i światłami. W rzeczywistości Gandalf zajmował się o wiele trudniejszymi i groźniejszymi sprawami, lecz o tym w Shire nic nie wiedziano. Dla mieszkańców tego kraju był on po prostu jedną więcej atrakcją Bilbowego przyjęcia. Dlatego właśnie hobbicięta witały go z takim zapałem. „G pewnie znaczy: gigantyczne!” – krzyczały, staruszek zaś uśmiechał się na to. Znały go z widzenia, chociaż z rzadka tylko pokazywał się w Hobbitonie i nigdy nie zostawał długo; lecz ani małe hobbicięta, ani ich rodzice nie widzieli dotychczas nigdy jego fajerwerków, bo te widowiska należały do legendarnej przeszłości.

Kiedy starzec z pomocą Bilba i kilku krasnoludów uporał się z wyładunkiem, Bilbo rozdał malcom trochę grosza, ale ku rozczarowaniu widzów żadna rakieta nie wystrzeliła.

– Zmykajcie teraz – rzekł Gandalf. – Napatrzycie się dość, jak przyjdzie odpowiednia pora. I zniknął we wnętrzu domu wraz z Bilbem, zamykając drzwi za sobą. Małe hobbicięta chwilkę jeszcze stały, gapiąc się na drzwi, ale daremnie; wreszcie odeszły, tak zmartwione, jakby dzień obiecanej zabawy nigdy nie miał nadejść.

Tymczasem w domu Bilbo i Gandalf siedzieli w małym pokoiku przy otwartym oknie od zachodu, wychodzącym na ogród. Późne popołudnie było jasne i ciche. Kwiaty płonęły czerwienią i złotem; lwie paszczki, słoneczniki i nasturcje pięły się pod darniowe ściany i zaglądały w okrągłe okna.

– Jak pięknie wygląda twój ogród! – rzekł Gandalf.

– Tak – odparł Bilbo. – Toteż bardzo go lubię, jak zresztą cały kochany stary Shire. Mimo to myślę, że przydałyby mi się wakacje.

– A więc trwasz w swoim zamiarze?

– Tak. Postanowiłem to sobie przed kilku miesiącami i dotąd się nie rozmyśliłem.

– Dobrze. Skoro tak, nie ma już o czym mówić. Wykonaj swój plan… ale pamiętaj: wykonaj go w całości!… a mam nadzieję, że wyjdzie to na dobre i tobie, i nam wszystkim.

– Ja też się tego spodziewam. A w każdym razie chcę się w czwartek zabawić i spłatać wszystkim figla.

– Ciekaw jestem, kto się będzie śmiał – powiedział Gandalf, kręcąc głową.

– Zobaczymy – rzekł Bilbo.

Nazajutrz znów wozy za wozami zajeżdżały na Pagórek. Doszłoby zapewne do szemrania, że Bilbo pomija miejscowych kupców, ale jeszcze w tym samym tygodniu zaczęły się sypać z Bag End zamówienia na wszelkiego rodzaju prowianty oraz przedmioty pierwszej potrzeby lub zbytku, jakie tylko można było znaleźć w Hobbitonie, Nad Wodą i w okolicy. Entuzjazm ogarnął obywateli, którzy skreślali dni w kalendarzu i niecierpliwie wypatrywali listonosza, spodziewając się zaproszeń.

Wkrótce zaproszenia sypnęły się obficie, urząd pocztowy w Hobbitonie pękał od nich, a urząd pocztowy Nad Wodą tonął w ich powodzi, musiano wezwać do pomocy ochotniczych listonoszy. Nieprzerwany strumień liścików płynął też z powrotem na Pagórek, niosąc w odpowiedzi setki kurtuazyjnych wariacji na ten sam zawsze temat: „Dziękuję najuprzejmiej, stawię się niezawodnie”.

Na bramie Bag End ukazało się ogłoszenie: „Wstęp wyłącznie dla interesantów w sprawie urodzinowego przyjęcia”. Ale nawet osoby powołujące się na rzeczywisty lub rzekomy interes w sprawie przyjęcia nie zawsze wpuszczano do wnętrza. Bilbo był zajęty: pisał zaproszenia, odnotowywał odpowiedzi, pakował prezenty i w sekrecie czynił pewne osobiste przygotowania. Od dnia przybycia Gandalfa nikt pana Bagginsa nie widywał.

Pewnego ranka hobbici, zbudziwszy się, ujrzeli na rozległym polu, ciągnącym się na południe od frontowych drzwi domu Bilba, wbite paliki i rozsnute sznury: tu miały stanąć namioty i altany. W nasypie, oddzielającym posiadłość Bilba od drogi, przekopano dogodne wejście i

zbudowano szerokie schody pod wysoką białą bramą. Trzy rodziny hobbickie z zaułka Bagshot, przytykającego do terenu zabawy, żywo interesowały się tymi robotami, a wszyscy im zazdrościli. Staruszek Gamgee już nawet nie udawał, że pracuje w swoim ogródku.

Zaczęły się pojawiać namioty. Jedna altana, większa od innych, tak była obszerna, że całe drzewo rosnące pośrodku pola zmieściło się w niej i sterczało dumnie nad głównym stołem. Na gałęziach rozwieszono lampiony. Ale najbardziej obiecująco (dla hobbitów) wyglądała olbrzymia polowa kuchnia urządzona w północnym kącie terenu. Istna armia kucharzy, zwołanych z wszystkich gospód i traktierni w promieniu kilku mil, przybyła na pomoc krasnoludom oraz innym niezwykłym gościom kwaterującym w Bag End. Ogólne podniecenie doszło do szczytu.

Nagle niebo się zachmurzyło. A stało się to w środę, w wilię przyjęcia. Zaniepokojono się okropnie. Wreszcie zaświtał czwartek, 22 września. Słońce wstało, chmury się rozpierzchły, wciągnięto flagi na maszty i zaczęła się zabawa.

Bilbo nazwał to „przyjęciem”, naprawdę jednak była to jedna wielka zabawa złożona z mnóstwa rozmaitych zabaw. Właściwie zaproszony został kto żyw w okolicy. Paru hobbitów, pominiętych przypadkowo, i tak przyszło, więc można ich nie odliczać. Zaproszono też wiele osób z dalszych stron kraju, a kilka nawet z zagranicy. Bilbo osobiście witał gości (przewidzianych i dodatkowych) przy nowej białej bramie. Wręczał podarki wszystkim oraz wielu innym, to znaczy tym, którzy, wymknąwszy się furtką od tyłu, po raz drugi zgłaszali się u białej bramy. Hobbici w dzień własnych urodzin zawsze rozdają znajomym prezenty. Zwykle są to niekosztowne drobiazgi i nie w takiej obfitości, jak na przyjęciu u Bilba; zwyczaj wcale niezły. Na przykład w Hobbitonie i Nad Wodą co dzień, jak rok długi, przypadały czyjeś urodziny, więc każdy hobbit w tej okolicy miał szansę otrzymać co najmniej jeden prezent tygodniowo. Ale nikt z tego powodu nie narzekał.

W tym wypadku prezenty okazały się wspanialsze niż zazwyczaj. Hobbickie dzieci tak się cieszyły, że na chwilę zapomniały niemal o jedzeniu. W życiu nie widziały podobnych zabawek, bo wszystkie były piękne, a niektóre bez wątpienia czarodziejskie. Większość ich rzeczywiście zamówił Bilbo na rok naprzód i sprowadził z daleka, spod Góry i z Dale, oryginalne wyroby rąk krasnoludzkich.

Kiedy już wszyscy goście przywitali się z gospodarzem i znaleźli się za bramą, rozpoczęły się śpiewy, tańce, muzyka, gry towarzyskie, no i oczywiście jedzenie i picie. Oficjalnie podawano trzy posiłki: lunch, podwieczorek i obiad, czyli kolację. W rzeczywistości lunch i podwieczorek wyróżniały się tym, że w ich porze całe towarzystwo zasiadało i jadło razem; między lunchem a podwieczorkiem natomiast, oraz przedtem i potem, każdy jadł z osobna; trwało to od jedenastej przed południem do pół do siódmej po południu, wtedy bowiem wystrzelił pierwszy fajerwerk.

Fajerwerki były dziełem Gandalfa. Nie tylko je tutaj przywiózł, lecz także sam wymyślił i zmajstrował, a najbardziej kunsztowne osobiście puszczał. Nie brakowało wszakże mnóstwa pospolitszych rac, bombek, młynków iskrzących, żyrandoli, świec krasnoludzkich, elfowych ogniotrysków, goblinowych pukawek i brylantowych błyskawic. Wszystkie były wspaniałe. Gandalf z wiekiem coraz bardziej doskonalił się w swojej sztuce.

Były rakiety wzbijające się jak chmara roziskrzonych ptaków z miłym świergotem. Były zielone drzewa, którym słupy czarnego dymu zastępowały pnie, liście rozwijały się nagle, jakby w błyskawicznym wybuchu wiosny, ze świecących gałęzi płomienne kwiaty sypały się na tłum zdumionych hobbitów i w ostatniej sekundzie, gdy już zdawało się, że musną podniesione twarze, znikały w obłoku słodkiego zapachu. Były fontanny motyli, które, migocąc, wyfruwały z koron drzew. Były kolumny różnobarwnych płomieni, które w górze zamieniały się w lecące orły, żeglujące statki lub w ciągnące kluczem łabędzie; były czerwone błyskawice i ulewy złotego deszczu; był las srebrnych włóczni, które znienacka wystrzeliły z krzykiem w niebo, jak armia do ataku, a spadły potem do rzeki z sykiem niby setki gorących węży. Była wreszcie ostatnia niespodzianka na cześć Bilba i ta najbardziej zadziwiła hobbitów, zgodnie z zamierzeniem Gandalfa. Światła zgasły. Wzbił się olbrzymi kłąb dymu. Dym przybrał kształt odległej góry, a szczyt jej zaczął się żarzyć, po czym wykwitły z niego zielone i szkarłatne płomienie. Wyfrunął spośród nich czerwonozłocisty smok – nie dorastał wprawdzie rzeczywistych rozmiarów Smauga, ale wydawał się straszliwie wielki. Ogniem ział z paszczy, ślepia błyskały, wypatrując czegoś na ziemi. Z hukiem i świstem zatoczył trzykroć koło nad głowami widzów. Wszyscy naraz kucnęli, a ten i ów padł nawet

plackiem. Smok przemknął niby pociąg pospieszny, wywinął kozła i z ogłuszającym trzaskiem pękł Nad Wodą.

– To hasło do kolacji – powiedział Bilbo. Natychmiast rozwiał się przykry nastrój i strach, skuleni hobbici zerwali się na równe nogi. Każdy dostał wyśmienitą kolację, a wybrańcy zostali zaproszeni na specjalny rodzinny obiad, podany w największej altanie, tej, w której rosło drzewo. Liczbę zaproszonych ograniczono do dwunastu tuzinów (hobbici taką liczbę nazywają grosem, ale nie bardzo wypadało używać tego określenia do osób); gości dobrano spośród wszystkich rodzin spokrewnionych z obu solenizantami, dołączając kilku serdecznych, chociaż niespowinowaconych przyjaciół (jak na przykład Gandalf). Przyjęto także do wybranego grona wielu młodych hobbitów, za pozwoleniem ich rodziców; hobbici są pobłażliwi pod tym względem dla swoich dzieci i chętnie pozwalają im wieczorem dłużej się bawić, zwłaszcza gdy zdarza się sposobność bezpłatnej kolacji. Hodowla młodych hobbitów wymaga wielkiej ilości paszy.

Było mnóstwo Bagginsów i Boffinów, a także wielu Tuków i Brandybucków; nie brakowało rozmaitych Grubbów (krewnych ze strony babki Bilba) oraz Czubbów (powinowatych przez dziadka Tuka), a także wyróżnionych zaproszeniem przedstawicieli takich rodzin, jak Burrowsowie, Bolgerowie, Bracegirdle’owie, Brockhouse’owie, Goodbody’owie, Hornblowerowie i Proudfootowie. Wielu z nich łączyły z Bilbem bardzo nikłe więzy pokrewieństwa, a niektórzy pierwszy raz odwiedzali Hobbiton, ponieważ mieszkali w odległych kątach kraju. Nie zapomniano również o Bagginsach z Sackville. Zasiedli do stołu Otho i jego małżonka Lobelia. Nie lubili Bilba, a Froda wręcz nienawidzili, lecz zaproszenia, wypisane złotym atramentem, wyglądały tak imponująco, że nie śmieli odmówić. Zresztą kuzyn Bilbo od lat specjalizował się w sztuce kuchennej i stół jego cieszył się wielką sławą.

Stu czterdziestu czterech gości liczyło więc na rozkosze uczty, jakkolwiek z pewną obawą myślało o przemówieniu, które gospodarz miał wygłosić przy deserze (nieunikniony punkt programu). Można się było spodziewać, że Bilbo zechce uraczyć ich próbkami tego, co nazywał poezją; często też, po paru kieliszkach, lubił napomykać o niedorzecznych przygodach, których zaznał podczas swojej tajemniczej wyprawy. Goście nie zawiedli się rzeczywiście: uczta okazała się bardzo, ale to bardzo

przyjemną, wręcz pochłaniającą rozrywką, była bowiem wykwintna, obfita i urozmaicona, a trwała długo. W następnym tygodniu zanotowano prawie całkowity zastój w handlu produktami spożywczymi w całym okręgu, ponieważ jednak wskutek zakupów poczynionych przez Bilba wyczerpały się na razie zapasy w składach, piwnicach oraz magazynach towarów spożywczych w promieniu kilku mil dokoła – chwilowy spadek popytu nie miał większego znaczenia.

Gdy się wszyscy (mniej lub więcej) nasycili, Bilbo zaczął przemowę. Ale większość towarzystwa była teraz w pobłażliwym nastroju, doszedłszy do rozkosznego etapu, zwanego dopychaniem ostatnich wolnych kątów: goście pociągali małymi łyczkami ulubione trunki, dziobali po troszku ulubione przysmaki i zapomnieli o poprzednich obawach, skłonni w tej chwili wysłuchać wszystkiego i wiwatować po każdym zdaniu mówcy.

– Mili goście – zaczął Bilbo, wstając. „Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie!” – zakrzyknęli goście i powtarzali ten okrzyk chórem tak uporczywie, jakby nie zamierzali wcale zastosować się do własnego wezwania. Bilbo opuścił swoje miejsce za stołem i wlazł na krzesło pod oświetlonym drzewem. Blask padał z lampionów prosto na jego rozpromienione oblicze, a złote guziki lśniły u haftowanej jedwabnej kamizelki. Wszyscy widzieli go dobrze, gdy stał tak wywyższony i gestykulował jedną ręką, drugą trzymając w kieszeni od spodni.

– Moi kochani Bagginsowie i Boffinowie – zaczął po raz wtóry. – Moi drodzy Tukowie i Brandybuckowie, Grubbowie i Czubbowie, Burrowsowie i Hornblowerowie, Bolgerowie i Bracegirdle’owie, Goodbody’owie, Brockhouse’owie i Proudfootowie…

– Proudfuci – poprawił go starszy hobbit siedzący w głębi altany. Nazywał się Proudfoot, stopy miał duże i bardzo kudłate, a trzymał je obie na stole.

– Proudfootowie – powtórzył Bilbo – a także moi poczciwi Bagginsowie z Sackville, których witam nareszcie znowu w Bag End. Dziś obchodzę sto jedenastą rocznicę urodzin. Skończyłem sto jedenaście lat!

– Wiwat! Wiwat! Dwieście lat! – wrzasnęli wszyscy, bębniąc radośnie pięściami po stole. Bilbo mówił doskonale. Takie właśnie przemówienia lubili: krótkie i jasne.

– Mam nadzieję, że wszyscy bawicie się równie dobrze jak ja.

Ogłuszające wiwaty. Okrzyki: „Tak!” (Albo „Nie!”). Hałas trąbek, rogów, piszczałek i fujarek oraz wszelkich innych instrumentów muzycznych. (Wśród obecnych, jak już wspomniano, nie brakowało młodocianych hobbitów). Strzeliło parę setek czekoladowych bombek. Prawie wszystkie nosiły znak „Dale”, a chociaż ta nazwa większości hobbitów niewiele mówiła, przyznawali, że bombki są wspaniałe. W ich wnętrzu znajdowały się instrumenty muzyczne, maleńkie, lecz doskonale wykończone i brzmiące pięknymi tonami. Zaraz też w jednym kącie altany kilku młodych Tuków i Brandybucków, przekonanych, że wujaszek Bilbo skończył mowę (skoro najoczywiściej powiedział już wszystko, co należało), zorganizowało błyskawicznie orkiestrę i zagrało wesołą melodię taneczną. Everard Tuk i panna Melilota Brandybuck wskoczyli na stół, żeby wykonać hopkę-galopkę, taniec ładny, lecz nieco zbyt skoczny.

Bilbo wszakże nie skończył jeszcze. Wyrwawszy z rąk stojącego obok młodzieńca róg, zadął trzykrotnie i głośno. Zgiełk ucichł.

– Nie będę was nudził długo! – zawołał Bilbo. Całe zgromadzenie przyjęło te słowa wiwatami. – Wezwałem was wszystkich tutaj nie bez przyczyny! – Powiedział to z takim naciskiem, że nikt nie oparł się wrażeniu. Zaległa niemal doskonała cisza, a ten i ów spośród Tuków zastrzygł uszami.

– Są nawet trzy przyczyny! Po pierwsze, chcę wam oświadczyć, że bardzo was wszystkich lubię i że sto jedenaście lat wydaje mi się okresem zbyt krótkim, by nacieszyć się życiem w towarzystwie tak znakomitych i miłych hobbitów. – (Burzliwy entuzjazm). – Ani połowy spośród was nie znam nawet do połowy tak dobrze, jak bym pragnął; a mniej niż połowę z was lubię o połowę mniej, niż zasługujecie. – To zabrzmiało niespodziewanie i zawile. Tu i ówdzie ktoś klasnął, lecz większość słuchaczy głowiła się, co może znaczyć to powiedzenie i czy należy je rozumieć jako komplement.

– Po drugie, wezwałem was, żeby uczcić swoje urodziny! – Znów buchnęły oklaski. – Powinienem właściwie wyrazić się inaczej: nasze urodziny. Oczywiście, bo przecież urodziny obchodzi również mój spadkobierca i siostrzeniec Frodo. Dzisiaj osiąga pełnoletność i obejmuje spadek. – Starsi przyklasnęli dość chłodno, młodzi wrzasnęli głośno: „Frodo! Frodo! Brawo, stary!”. Bagginsowie z Sackville skrzywili się, rozważając, co miał na myśli Bilbo, mówiąc: „obejmuje spadek”.

– Obaj razem mamy sto czterdzieści cztery lata. Was także zgromadziłem w tej znamiennej liczbie – cały gros, jeśli wolno się tak wyrazić.

Nie było braw. Bilbo się ośmieszał! Niektórzy goście, a przede wszystkim Bagginsowie z Sackville, poczuli się dotknięci, podejrzewając, że zaproszono ich wyłącznie dla uzupełnienia liczby, jak dopakowuje się towar do paczki. „Gros! Coś podobnego! Ordynarny dowcip!”.

– Dzisiaj także, jeśli pozwolicie mi wspomnieć stare dzieje, przypada rocznica mojego wylądowania na beczce w Esgaroth nad Długim Jeziorem. Prawdę mówiąc, nie pamiętałem wtedy nawet o swoich urodzinach. Kończyłem pięćdziesiąt jeden lat, a w tym wieku urodziny nie wydają się jeszcze ważne. Mimo to odbyła się wspaniała uczta, chociaż miałem taki okropny katar, że na toasty ledwie zdołałem odpowiedzieć: „Dźkuje badzo!”. Dziś mogę powtórzyć tę odpowiedź poprawniej: Dziękuję wam bardzo serdecznie za przybycie na tę skromną uroczystość.

Gości zdjął strach, że teraz nie unikną pieśni lub wiersza; to przemówienie zaczynało ich już nudzić. Czemu Bilbo wreszcie nie zakończy i nie da im wypić swego zdrowia? Ale Bilbo nie zaśpiewał ani nie zadeklamował. Zrobił natomiast małą pauzę.

– Po trzecie i ostatnie – rzekł – pragnę złożyć wam pewne oświadczenie. – Wygłosił te słowa tak donośnie i niespodzianie, że wszyscy, a przynajmniej ci, którzy jeszcze byli do tego zdolni, wyprostowali się i skupili. – Z żalem oznajmiam, że chociaż, jak już powiedziałem, sto jedenaście lat to za mało, by się waszym towarzystwem nacieszyć, dziś nadszedł kres. Odchodzę. Z tą chwilą porzucam was. Żegnam!

Zeskoczył z krzesła i zniknął. Rozbłysło oślepiające światło, goście zmrużyli oczy, a kiedy je znów otwarli, Bilba nie było wśród nich. Stu czterdziestu czterech hobbitów oniemiało i osłupiało. Stary Odo Proudfoot zdjął nogi ze stołu i tupnął. Na chwilę znów zaległa głucha cisza, a potem nagle Bagginsowie, Boffinowie, Tukowie, Brandybuckowie, Grubbowie, Czubbowie, Burrowsowie, Bolgerowie, Bracegirdle’owie, Brockhouse’owie, Goodbody’owie, Hornblowerowie i Proudfootowie, zaczerpnąwszy tchu w płuca, zagadali wszyscy naraz.

Jednomyślnie uchwalono, że dowcip Bilba był w jak najgorszym guście i że gościom należy się jeszcze trochę jedzenia i picia, by mogli przyjść do

siebie po doznanym przykrym wstrząsie. „On ma bzika. Zawsze to mówiłem” – tak zapewne brzmiała najczęściej powtarzana uwaga. Nawet Tukowie (z kilkoma wyjątkami) uważali, że Bilbo zachował się głupio. W pierwszej chwili większość towarzystwa była przeświadczona, że zniknięcie gospodarza jest tylko niemądrym żartem.

Ale stary Rory Brandybuck żywił co do tego pewne wątpliwości. Ani podeszły wiek, ani potężny obiad nie zaćmił jego umysłu, toteż Rory rzekł do swojej synowej Esmeraldy:

– Coś mi się w tej historii nie podoba. Myślę, że ten wariat Baggins znów wyruszył w świat. Stary, a głupi. Ale czemuż mielibyśmy się tym przejmować. Nie zabrał przecież z sobą piwniczki. – I głośno zwrócił się do Froda, żeby kazał napełnić kielichy winem.

Spośród wszystkich obecnych jeden tylko Frodo nie wymówił dotąd ani słowa. Jakiś czas siedział w milczeniu obok pustego krzesła Bilba i nie odpowiadał na uwagi i pytania gości. Chociaż był z góry w cały projekt wtajemniczony, figiel ubawił go oczywiście. Z trudem powstrzymał się od śmiechu na widok oburzenia zaskoczonych hobbitów. Jednocześnie wszakże ogarnęło go głębokie wzruszenie. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo kocha starego wuja. Reszta gości dalej jadła, piła i rozprawiała o przeszłych i teraźniejszych dziwactwach Bilba Bagginsa, tylko Bagginsowie z Sackville wynieśli się zagniewani. Frodo nie chciał już dłużej brać udziału w zabawie. Kazał podać wino, wstał i w milczeniu wychylił swój kielich za zdrowie Bilba, po czym wymknął się chyłkiem z altany.

Wracając do samego Bilba, trzeba powiedzieć, że już podczas wygłaszania przemowy dotykał ukrytego w kieszeni złotego pierścienia, magicznego pierścienia, który przechowywał w tajemnicy przez tyle lat. Zeskakując z krzesła, wsunął pierścień na palec i od tej chwili żaden hobbit nie zobaczył już Bilba Bagginsa w Hobbitonie.

Bilbo pobiegł żwawo do swojej norki, chwilę przystanął pod jej drzwiami, nasłuchując wrzawy w altanie i wesołego gwaru na całym polu. Potem wszedł do domu. Zdjął odświętny strój, złożył i zawinął w bibułkę swoją haftowaną jedwabną kamizelkę i schował ją do szafy. Szybko wciągnął na siebie jakieś stare, liche ubranie i przepasał się wytartym skórzanym pasem. U pasa zawiesił krótki mieczyk w zniszczonej pochwie z

czarnej skóry. Z zamkniętej szuflady, pachnącej trutką na mole, wydobył stary płaszcz i kaptur. Przechowywał je pod kluczem, jak rzeczy drogocenne, lecz były one zniszczone i wyłatane, zapewne ongi ciemnozielone, teraz tak spłowiałe, że nikt by nie odgadł ich pierwotnego koloru. Były też trochę na hobbita za duże. Potem Bilbo przeszedł do swojego gabinetu i wyjął z wielkiego zamczystego kufra tłumoczek owinięty starym suknem oraz oprawny w skórę rękopis i dużą wypchaną kopertę. Rękopis i tłumoczek wcisnął na wierzch ciężkiego worka, który stał w kącie, niemal całkowicie już wypełniony. Złoty pierścień razem z pięknym łańcuszkiem wsunął do koperty, zapieczętował ją i zaadresował do Froda. Kopertę najpierw umieścił na gzymsie kominka, lecz po chwili nagle zdjął ją stamtąd i schował do kieszeni. W tym właśnie momencie drzwi się otworzyły i szybkim krokiem wpadł Gandalf.

– A więc jesteś – rzekł Bilbo. – Zastanawiałem się, czy przyjdziesz.

– Rad jestem, że cię zastałem widzialnego… – odparł Czarodziej, siadając w fotelu. – Chciałem cię przyłapać i zamienić z tobą jeszcze kilka słów na pożegnanie. Pewnie się cieszysz, że wszystko udało się tak wspaniale i zgodnie z twoim planem?

– Owszem, cieszę się – powiedział Bilbo. – Jakkolwiek ta błyskawica była niespodzianką i zaskoczyła mnie, a jeszcze bardziej, oczywiście, resztę towarzystwa. To był twój własny mały dodatek, prawda?

– Tak. Mądrze zrobiłeś, zachowując swój pierścień przez wszystkie te lata w tajemnicy, toteż sądziłem, że trzeba gościom dać coś, co w inny sposób pozornie wyjaśni im twoje nagłe zniknięcie.

– I co popsuje efekt mojego figla. Zawsze lubisz wtrącić swoje trzy grosze, Gandalfie! – zaśmiał się Bilbo. – Ale pewnie miałeś rację, jak zwykle.

– Miewam zwykle rację, jeśli jestem dobrze poinformowany. Co do tej jednak sprawy, mam pewne wątpliwości. Doszliśmy w niej do ostatniego punktu. Spłatałeś figla, jak chciałeś, przestraszyłeś i obraziłeś większość swojej rodziny, dostarczyłeś wszystkim mieszkańcom Shire’u tematu do gadania przez dziewięć, a może przez dziewięćdziesiąt dziewięć dni. Czy zamierzasz zrobić coś więcej?

– Tak. Czuję potrzebę wakacji, i to bardzo długich wakacji, zresztą już ci o tym mówiłem. Może będą to wakacje bezterminowe: nie myślę, żebym tu

kiedykolwiek miał wrócić. Prawdę rzekłszy, nie zamierzam wracać, w tym przewidywaniu rozporządziłem wszystkimi swoimi sprawami.

Jestem już stary, Gandalfie. Nie wyglądam na to, ale czuję w głębi serca, że się postarzałem. „Dobrze się trzyma!” – powiadają. A tymczasem ja mam wrażenie, że cały ścieniałem, że jestem jakby rozciągnięty, nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli: jak masło rozsmarowane na zbyt wielkiej kromce chleba. Coś tu jest nie w porządku. Potrzebuję odmiany czy może czegoś innego w tym rodzaju.

Gandalf z ciekawością i uwagą przyglądał się hobbitowi.

– Rzeczywiście, coś tu jest, jak mi się zdaje, nie w porządku – rzekł z namysłem. – Tak, w gruncie rzeczy uważam twój plan za najlepsze wyjście.

– No, ja w każdym razie powziąłem już decyzję. Chcę znów zobaczyć góry, Gandalfie, góry! A potem chcę znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym odpocząć. Odpocząć w spokoju i w ciszy, z dala od tłumu krewniaków, węszących dokoła mnie, bezpieczny od nieustannej procesji gości, urywających dzwonek u moich drzwi. Może znajdę miejsce, gdzie będę mógł skończyć swoją książkę. Wymyśliłem już dla niej piękne zakończenie: „I odtąd żył szczęśliwie aż po kres swoich dni”.

Gandalf roześmiał się.

– Miejmy nadzieję, że będziesz naprawdę szczęśliwy. Jakkolwiek jednak zakończysz tę książkę, nikt przecież jej nie przeczyta.

– Może ktoś przeczyta kiedyś, po latach. Frodo czytał początek, tyle, ile zdążyłem napisać. Będziesz miał oko na Froda, prawda?

– Nawet parę oczu, w miarę możności.

– On by poszedł oczywiście ze mną, gdybym go o to poprosił. Nawet sam się z tym ofiarował, kiedyś, na krótko przed tym urodzinowym przyjęciem. Ale w głębi serca nie pragnie tego. Jeszcze nie. Ja chcę przed śmiercią zobaczyć znowu tamte pustkowia i góry, ale Frodo wciąż jeszcze kocha Shire, tutejsze lasy, pola i rzeczki. Będzie mu tu chyba dobrze. Zostawiam mu wszystko prócz kilku drobiazgów. Mam nadzieję, że będzie szczęśliwy, kiedy się oswoi z samodzielnością. Czas, żeby sam sobie był panem.

– Zostawiasz wszystko? – spytał Gandalf. – Pierścień także? Zgodziłeś się go zostawić. Pamiętasz?

– No, cóż… hm… chyba tak – wyjąkał Bilbo.

– Gdzież on jest?

– W kopercie, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć – odparł Bilbo zniecierpliwiony. – Tam, na kominku… Nie! W mojej kieszeni! – Wahał się chwilę. – Czy to nie dziwne? – szepnął sam do siebie. – Ale właściwie czemuż by nie? Dlaczego nie miałbym go zatrzymać?

Gandalf znów przyjrzał się hobbitowi bardzo uważnie i błysk zapalił się w jego oczach.

– Wiesz, Bilbo – powiedział łagodnie – ja bym ci radził zostawić go tutaj. Czy nie masz ochoty?

– No… mam i nie mam. Teraz, kiedy przyszła ta chwila, przykro mi się z nim rozstać, muszę to wyznać. Zresztą nie bardzo rozumiem, dlaczego powinienem to zrobić. Czemu ty mnie na to namawiasz? – zapytał, a głos zmienił mu się jakoś dziwnie. Zabrzmiał ostro, jakby podejrzliwie i gniewnie. – Stale mnie nudzisz o ten pierścień, chociaż nigdy nie wymawiasz mi innych rzeczy, które przywiozłem z wyprawy.

– Musiałem cię nudzić – rzekł Gandalf. – Chciałem znać całą prawdę. To bardzo ważne. Magiczne pierścienie są… no, po prostu: magiczne; a przy tym osobliwe i bardzo interesujące. Można by powiedzieć, że twój pierścień interesował mnie jako zawodowca. Interesuje mnie nadal. Chciałbym wiedzieć, gdzie się znajdzie, kiedy ty ruszysz na wędrówkę. Myślę też, że już dość długo miałeś go w swoim posiadaniu. Jeżeli się nie mylę, nie będzie ci już więcej potrzebny.

Bilbo poczerwieniał i gniew błysnął w jego oczach. Jego łagodna twarz przybrała nagle srogi wyraz.

– Dlaczego nie?! – krzyknął. – I co ci do tego? Czemu to chcesz koniecznie wiedzieć, co robię z moją własnością? To mój pierścień. Znalazłem go. Należy do mnie.

– Tak, tak – odparł Gandalf. – Nie widzę powodu do gniewu.

– Twoja wina, że mnie rozgniewałeś – rzekł Bilbo. – Pierścień jest mój, powiadam. Mój własny. To mój skarb. Tak, mój skarb. – Oblicze Czarodzieja pozostało skupione i poważne, tylko błysk w głębi oczu zdradzał zdziwienie, a nawet przestrach.

– Ktoś go już tak nazywał – powiedział. – Ktoś inny, nie ty.

– Ale teraz ja go tak nazwałem. Czy mi nie wolno? Nawet jeśli Gollum kiedyś mówił tak samo. Teraz pierścień jest mój, nie Golluma. I powiadam ci, że mój zostanie.

Gandalf wstał. Twarz miał surową.

– Będziesz głupcem, jeśli go zatrzymasz, Bilbo – rzekł. – Z każdym słowem, które wypowiadasz, jaśniej to widzę. Pierścień już ma o wiele za potężną władzę nad tobą. Porzuć go! A wtedy sam możesz iść w świat i będziesz wolny.

– Zrobię, co zechcę – z uporem powiedział Bilbo.

– Spokojnie, spokojnie, hobbicie kochany – rzekł Gandalf. – Przez całe twoje długie życie byliśmy przyjaciółmi i zawdzięczasz mi coś niecoś. Posłuchaj mnie. Dotrzymaj obietnicy, wyrzeknij się tego pierścienia.

– Przyznaj się, że sam chcesz go mieć! – krzyknął Bilbo. – Ale nie dostaniesz. Nie oddam nikomu mojego skarbu. Powiedziałem! – I położył rękę na głowicy miecza.

Gandalfowi płomień strzelił z oczu.

– Jeszcze chwila, a z kolei ja się rozgniewam – rzekł. – Jeżeli powtórzysz to raz jeszcze, na pewno się rozgniewam. A wtedy zobaczysz Gandalfa Szarego bez płaszcza.

Zrobił krok w stronę hobbita i zdawało się, że urósł groźnie; jego cień wypełnił cały pokoik. Bilbo cofnął się pod ścianę; dyszał ciężko, a rękę zaciskał kurczowo w kieszeni. Stali twarzą w twarz naprzeciw siebie; cisza zaległa taka, że aż w uszach dzwoniło. Oczy Gandalfa niewzruszenie tkwiły w oczach hobbita. Pięści Bilba zaczęły się z wolna otwierać, drżał na całym ciele.

– Nie rozumiem, co się z tobą stało, Gandalfie – powiedział. – Nigdy dawniej taki nie bywałeś. O co ci chodzi? Mój pierścień czy nie mój? Przecież ja go znalazłem, a Gollum zabiłby mnie, gdybym wtedy tego pierścienia przy sobie nie zatrzymał. Nie jestem złodziejem, chociaż on tak mnie nazwał.

– Ja cię nie nazwałem tak nigdy – odparł Gandalf. – I sam też nie jestem złodziejem. Nie usiłuję go ci odebrać, chcę ci tylko pomóc. Dobrze by było, gdybyś mi zaufał, jak dawniej ufałeś.

Odwrócił głowę i cień się rozwiał. Zdawało się, że Czarodziej znów zmalał i stał się z powrotem siwym staruszkiem, zgarbionym i strapionym.

Bilbo przetarł dłonią oczy.

– Przepraszam – rzekł. – Coś dziwnego działo się ze mną. A przecież naprawdę odetchnąłbym, gdybym się pozbył kłopotów z pierścieniem. Ostatnio coraz natrętniej narzucał się moim myślom. Czasem miałem wrażenie, że to jest czyjeś oko wpatrzone we mnie. I wiesz, wciąż mam ochotę włożyć go na palec i zniknąć albo też niepokoję się, czy nic się z nim złego nie stało, i wyciągam go z ukrycia, żeby sprawdzić. Próbowałem go zamknąć pod kluczem, ale denerwuję się okropnie, jeśli go nie mam w kieszeni. Nie mam pojęcia dlaczego. A teraz nie jestem zdolny, jak widać, do decyzji.

– Więc polegaj na mojej – odparł Gandalf. – Jest niewzruszona. Odejdź stąd, a pierścień zostaw. Wyrzeknij się go. Oddaj Frodowi, a już ja twego siostrzeńca będę pilnował.

Bilbo stał chwilę w napięciu i rozterce. Wreszcie westchnął.

– Dobrze – powiedział z wysiłkiem. – Tak zrobię. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się trochę żałośnie. – Przecież w gruncie rzeczy po to urządzałem tę całą urodzinową zabawę, żeby rozdać mnóstwo prezentów i w ten sposób jakoś sobie ułatwić podarowanie także tego pierścienia. Okazało się, że to niewiele pomogło, ale szkoda, żeby wszystkie te przygotowania poszły na marne. Mój figiel spaliłby na panewce.

– Tak, pozbawiłbyś całe przedsięwzięcie jedynego sensu, jaki w nim upatrywałem – rzekł Gandalf.

– Więc zgoda – powiedział Bilbo. – Frodo dostanie pierścień razem z resztą majątku. – Odetchnął głęboko. – A teraz muszę już iść, bo ktoś mnie gotów tutaj przyłapać. Pożegnałem się, nie zniósłbym tej sceny po raz wtóry.

Chwycił worek i ruszył ku drzwiom.

– Masz pierścień w kieszeni – zauważył Czarodziej.

– No, mam! – krzyknął Bilbo. – Pierścień, testament i mnóstwo innych dokumentów. Lepiej weź to wszystko i doręcz w moim imieniu. Tak będzie bezpieczniej.

– Nie, nie oddawaj mi pierścienia – rzekł Gandalf. – Połóż go nad kominkiem. Tam będzie leżał bezpiecznie, póki nie nadejdzie Frodo. Zaczekam tu na niego.

Bilbo wyjął z kieszeni kopertę, ale kiedy ją kładł na parapecie obok zegara, ręka mu drgnęła i cała paczuszka spadła na podłogę. Nim Bilbo się schylił, Czarodziej go uprzedził, chwycił kopertę i umieścił nad kominkiem. Znowu skurcz gniewu przemknął przez twarz hobbita. Nagle jednak Bilbo rozpogodził się, odetchnął z ulgą i wybuchnął śmiechem.

– No, stało się! – rzekł. – A teraz w drogę!

Wyszli razem do sieni. Bilbo wziął ze stojaka ulubioną laskę i gwizdnął. Trzech krasnoludów, przerwawszy jakąś robotę, przybiegło z trzech różnych pokoi.

– Czy wszystko gotowe? – spytał Bilbo. – Zapakowane i opatrzone nalepkami?

– Wszystko gotowe – odpowiedzieli.

– A więc w drogę! – I wyszedł przez frontowe drzwi.

Noc była piękna, czarne niebo usiane gwiazdami. Bilbo spojrzał w górę, wciągnął w nozdrza pachnące powietrze.

– Co za uciecha! Co za uciecha ruszać znów w drogę z krasnoludami. Do tego właśnie tęskniłem w gruncie rzeczy już od lat. Żegnaj! – powiedział, patrząc na swój stary dom i ukłonił się jego drzwiom. – Żegnaj, Gandalfie!

– Do widzenia, Bilbo. Bądź ostrożny. Jesteś chyba już dość stary i może też dość rozumny.

– Ostrożny? Co mi tam! Nie martw się o mnie. Jestem taki szczęśliwy, jak byłem w swoich najszczęśliwszych chwilach, a to znaczy: bardzo! Ale wybiła godzina. Wreszcie mnie znów nogi niosą – dodał, i cichutko, jakby dla siebie tylko, zaśpiewał w ciemnościach:

A droga wiedzie w przód i w przód,
Choć się zaczęła tuż za progiem –
I w dal przede mną mknie na wschód,
A ja wciąż za nią – tak jak mogę…
Skorymi stopy za nią w ślad –

Aż w szerszą się rozpłynie drogę,
Gdzie strumień licznych dróg już wpadł…
A potem dokąd? – rzec nie mogę[6].

Chwilę jeszcze stał w milczeniu. Potem, nie dodając już ani słowa, odwrócił się od świateł i głosów bijących z pola i z namiotów, okrążył swój ogród i zbiegł długą ścieżką w dół zbocza, a trzej towarzysze za nim. U stóp Pagórka przeskoczył żywopłot w najdogodniejszym miejscu i wyszedł na łąki, sunąc pośród nocy jak szelest wiatru w trawie.

Gandalf jakiś czas patrzył za nim w ciemność.

– Żegnaj, Bilbo kochany, do zobaczenia – szepnął i wrócił do środka.

Kiedy wkrótce potem nadszedł Frodo, zastał Gandalfa siedzącego po ciemku i pogrążonego w myślach.

– Poszedł? – spytał.

– Tak – odpowiedział Gandalf. – Poszedł wreszcie.

– Wolałbym… a raczej łudziłem się aż do dzisiejszego wieczora nadzieją, że to tylko żart – rzekł Frodo. – Ale w głębi serca wiedziałem, że on naprawdę chce odejść. Zazwyczaj żartował z poważnych spraw. Szkoda, że nie przyszedłem wcześniej, żeby go pożegnać.

– Sądzę, że on wolał wymknąć się cichcem – odparł Gandalf. – Nie martw się, Frodo. Teraz już nic mu nie grozi. Zostawił dla ciebie paczuszkę. Spójrz.

Frodo zdjął z kominka list, przyjrzał mu się, lecz nie odpieczętował koperty.

– Znajdziesz wewnątrz testament i różne inne dokumenty, o ile mi wiadomo – powiedział Czarodziej. – Od dziś jesteś panem na Bag End. Zdaje się, że w tej kopercie znajdziesz również złoty pierścień.

– Pierścień! – wykrzyknął Frodo. – A więc i to mi zostawił? Ciekaw jestem dlaczego. No, może mi się przyda ten dar.

– Może tak, a może nie – rzekł Gandalf. – Na twoim miejscu nie używałbym tego pierścienia. Ale przechowuj go w tajemnicy i strzeż pilnie. Teraz już idę spać.

Frodo w roli pana domu poczuwał się do niemiłego obowiązku pożegnania gości. Po całym polu już się rozeszły wieści o dziwnych wydarzeniach, lecz Frodo nie mówił nic, powtarzając tylko formułkę, że „niewątpliwie jutro wszystko się wyjaśni”. Około północy zajechały powozy po najznakomitsze osoby. Jeden pojazd za drugim staczał się z Pagórka, uwożąc sytych, ale bardzo niezadowolonych hobbitów. Po tych gości, którzy niechcący zamarudzili dłużej, przyszli (zamówieni w tym celu z góry) ogrodnicy z taczkami.

Noc z wolna przemijała. Słońce wstało wcześniej niż hobbici. Przed południem zjawili się (wezwani) pomocnicy, żeby uprzątnąć altany, stoły, krzesła, łyżki, noże, butelki, talerze, latarnie, donice z kwitnącymi krzewami, okruchy, papierki od cukierków, zapomniane torebki, rękawiczki, chustki do nosa, a także resztki potraw (bardzo skąpe). Potem zjawili się inni hobbici (niewzywani), a mianowicie Bagginsowie, Boffinowie, Bolgerowie, Tukowie i przedstawiciele wszystkich rodzin zamieszkujących stale lub chwilowo w bliskim sąsiedztwie. Około południa, gdy nawet ci, co najwięcej jedli i pili w nocy, stanęli znowu na nogach, zebrał się w Bag End tłum gości – nieproszonych, lecz spodziewanych.

Frodo czekał w progu uśmiechnięty, chociaż wyraźnie znużony i zatroskany. Witał wszystkich grzecznie, ale nie dowiedzieli się od niego wiele więcej niż poprzednio. Na wszelkie pytania odpowiadał po prostu: „Pan Bilbo Baggins wyjechał. O ile mi wiadomo – na zawsze”. Część osób zaprosił do wnętrza domu, ponieważ Bilbo zostawił dla nich „słówko”.

W sieni piętrzyły się paki i paczki rozmaitego kształtu oraz drobniejsze meble. Na każdej paczce i na każdym sprzęcie widniała kartka. Napisy na kartkach brzmiały mniej więcej tak:

Na parasolu: „Dla Adelarda Tuka, żeby miał wreszcie WŁASNY parasol – od Bilba”. Adelard bowiem wynosił zwykle z domu Bilba parasole gospodarza lub jego gości.

„Dla Dory Baggins ku pamięci DŁUGOTRWAŁEJ korespondencji – od kochającego Bilba” – na ogromnym koszu do papierów. Dora była siostrą Droga i najstarszą z żyjących krewniaczek Bilba i Froda, miała dziewięćdziesiąt dziewięć lat i od pół wieku zdążyła zapisać całe ryzy papieru dobrymi radami.

„Dla Mila Burrowsa, w nadziei, że mu się przyda ten prezent od B.B.” – na złotym piórze i butli atramentu. Milo z zasady nie odpowiadał na listy.

„Do OSOBISTEGO UŻYTKU Angeliki – od wuja Bilba” – na okrągłym wklęsłym lusterku. Młoda Angelika Baggins nie taiła zachwytu dla własnej urody.

„Na zbiory Hugona Bracegirdle’a – od jednego z ofiarodawców” – na pustej półce bibliotecznej. Hugo często pożyczał książki, lecz oddawał je jeszcze rzadziej niż inni hobbici.

„Dla Lobelii Baggins z Sackville – W PREZENCIE” – na skrzynce ze srebrnymi łyżkami. Bilbo podejrzewał, że lwią część srebrnych łyżek, które zginęły z domu podczas jego poprzedniej wyprawy, wzięła właśnie Lobelia. Lobelia wiedziała dobrze, jak uzasadnione są te podejrzenia. Kiedy pojawiła się nieco później w Bag End, zrozumiała przytyk błyskawicznie, lecz równie błyskawicznie zabrała łyżki.

Wymieniliśmy tylko parę wybranych podarków spośród mnóstwa podobnych. W ciągu długiego żywota Bilba w jego siedzibie nagromadziło się wiele różnych rzeczy. Nory hobbitów zwykle zagracają się z czasem, co w znacznej mierze przypisać można rozpowszechnionemu zwyczajowi obsypywania się wzajem podarkami. Nie znaczy to oczywiście, by wszyscy bardzo się wysilali na te urodzinowe prezenty, bywało wśród nich wiele starych *mathom* niewiadomego przeznaczenia, krążących po całej okolicy. Bilbo wszakże dawał zazwyczaj przedmioty specjalnie na ten cel kupione i zatrzymywał wszystko, co od innych dostał. Tego dnia stara norka została co nieco uprzątnięta z gratów.

Na każdym pożegnalnym darze przypięta była karteczka własnoręcznie przez Bilba wypisana, a niektóre z tych bileciков zawierały jakąś aluzję lub dowcip. Przeważnie jednak były to rzeczy przydatne i dla obdarowanego miłe. Bardzo dobrze wyszli na prezentach Bilba biedacy, zwłaszcza sąsiedzi z zaułka Bagshot. Dziadunio Gamgee dostał dwa worki ziemniaków, nową łopatę, wełnianą kamizelę oraz butelkę maści na obolałe stawy. Sędziwy Rory Brandybuck w podzięce za hojną gościnność otrzymał tuzin butelek najszlachetniejszego trunku: mocne czerwone wino z winnicy Południowej Ćwiartki, stare i dostałe, bo pochodzące jeszcze z piwniczki ojca Bilba. Po osuszeniu pierwszej butelki Rory wybaczył Bilbowi wszystko i odtąd zawsze powtarzał, że Bilbo to wspaniały hobbit.

Dla Froda zostało wszelkiego dobra pod dostatkiem. Oczywiście przypadły mu w udziale najcenniejsze sprzęty, książki, obrazy i mnóstwo mebli. Niczyje oko wszakże nie dostrzegło śladu ani znaku pieniędzy lub klejnotów. Wśród prezentów nie było najdrobniejszej bodaj monety czy choćby szklanego paciorka.

Frodo niemało się natrudził tego popołudnia. Po okolicy migiem rozniosła się plotka, że w Bag End rozdają darmo cały dobytek. Wkrótce też ściągnął tłum hobbitów, którzy nie mieli tu nic do roboty, lecz nie sposób było się ich pozbyć. Porozdzierano nalepki, pomieszano prezenty, wybuchły kłótnie. Ten i ów próbował w sieni od razu wymieniać rzeczy lub handlować, a znaleźli się i tacy, którzy usiłowali zwędzić jakieś drobiazgi nie dla nich przeznaczone lub chwytali, co im pod rękę wpadło, jeśli rzecz wydawała się wzgardzona przez innych czy też po prostu niestrzeżona. Taczki i wózki zabarykadowały drogę spod bramy.

Pośród tego zamętu zjawili się Bagginsowie z Sackville. Frodo właśnie wtedy wycofał się na chwilę, pozostawiając na straży swego przyjaciela Merry'ego Brandybucka. Gdy Otho gromkim głosem zażądał rozmowy z Frodem, Merry ukłonił się grzecznie.

– Frodo jest niezdrów – powiedział. – Poszedł odpocząć.

– Schował się, oczywiście – rzekła Lobelia. – Ale chcemy go widzieć i nie ustąpimy. Proszę mu to powiedzieć.

Merry zostawił ich na czas dość długi w sieni, zdążyli więc odkryć między pożegnalnymi prezentami łyżki przeznaczone dla Lobelii. Nie poprawiło im to humoru. Wreszcie zaproszono ich do gabinetu. Frodo siedział za stołem zarzuconym papierami. Sądząc z miny, czuł się rzeczywiście nieswojo, a w każdym razie tak się poczuł na widok Bagginsów z Sackville. Wstał z ręką w kieszeni, coś w niej jakby wymacując. Ale rozmawiał z gośćmi bardzo uprzejmie.

Bagginsowie z Sackville zaczęli dość napastliwie. Ofiarowali Frodowi najniższe wyprzedażowe ceny (jak to między przyjaciółmi) za rozmaite cenne i nieopatrzone nalepkami przedmioty. Kiedy Frodo odpowiedział, że rozdaje wyłącznie rzeczy przez Bilba na ten cel przeznaczone, stwierdzili, że cała sprawa wydaje się mocno podejrzana.

– Jedno dla mnie jest jasne – rzekł Otho – a mianowicie, że ty doskonale na tym wyjdziesz. Żądam okazania mi testamentu.

Otho byłby spadkobiercą Bilba, gdyby stary hobbit nie usynowił Froda. Przeczytał dokument bardzo uważnie i prychnął gniewnie. Testament, na nieszczęście dla Otha, był jednoznaczny i prawomocny (sporządzony zgodnie z hobbickimi przepisami prawnymi, które między innymi wymagały podpisów siedmiu świadków, i to koniecznie czerwonym atramentem).

– I tym razem figa! – powiedział do swej małżonki. – Po sześćdziesięciu latach oczekiwania! Łyżki! Kpiny! – Strzepnął palcami tuż pod nosem Froda i wyniósł się natychmiast. Ale Lobelii trudniej było się pozbyć. Gdy w jakiś czas później Frodo wszedł do holu, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, zastał Lobelię, która jeszcze się tu kręciła, myszkując, węsząc po kątach i opukując podłogę. Frodo stanowczo wyprowadził ją za drzwi, uwolniwszy najpierw od brzemienia licznych drobnych (lecz cennych) przedmiotów, które dziwnym trafem znalazły się w jej parasolce. Oblicze Lobelii wykrzywiło się w bolesnym napięciu, tak usilnie starała się wymyślić jakąś druzgocącą pożegnalną złośliwość; w braku lepszego pomysłu powiedziała, odwracając się w progu:

– Pożałujesz tego jeszcze, młodzieńcze! Dlaczego nie wyniosłeś się razem z Bilbem? Nie tutaj twoje miejsce. Nie jesteś Bagginsem. Jesteś… jesteś Brandybuckiem!

– Słyszałeś, Merry? To była obelga – rzekł Frodo, zamykając drzwi za Lobelią.

– To był komplement – odparł Merry Brandybuck. – I, jak zwykle komplementy, nieprawdziwy.

Obeszli razem całą norkę i przepędzili trzech młodocianych hobbitów (dwóch Boffinów i jednego Bolgera), którzy w jednej z piwnic zajęci byli wybijaniem dziur w ścianach. Frodo stoczył też potyczkę z małym Sanchem Proudfootem (wnukiem starego Oda), który rozpoczął wykopy w dużej spiżarni, twierdząc, że podłoga w tym miejscu dudni pustką. Legenda o złocie Bilba podniecała ciekawość i nadzieje; legendarne skarby (uzyskane w sposób tajemniczy, a kto wie, czy nie wręcz przestępczy) stają się, jak powszechnie wiadomo, własnością tego, kto je znajdzie, pod warunkiem że go nikt na poszukiwaniach nie zaskoczy. Po zwycięstwie nad Sanchem i wyrzuceniu go z domu Frodo padł w holu na fotel.

– Czas zamknąć sklepik, Merry – rzekł. – Zarygluj drzwi i nie otwieraj już dzisiaj nikomu, choćby walił taranem. – I Frodo poszedł do kuchni, żeby się nareszcie pokrzepić filiżanką herbaty.

Ledwie jednak usiadł, gdy u drzwi frontowych rozległo się delikatne kołatanie. „Pewnie Lobelia – pomyślał. – Może przyszła jej poniewczasie do głowy jakaś naprawdę mordercza zniewaga i wraca, żeby mi ją powiedzieć. Ale to nic pilnego”. Pił dalej herbatę. Pukanie powtórzyło się, tym razem o wiele głośniejsze, lecz Frodo puszczał je mimo uszu. Nagle w oknie ukazała się twarz Czarodzieja.

– Jeżeli mi nie otworzysz, Frodo, wysadzę drzwi tak, że przelecą przez norkę na wylot i wyskoczą po drugiej stronie Pagórka.

– Gandalf! To ty, mój kochany! Już otwieram! – krzyknął Frodo pędząc do holu. – Proszę, proszę. Myślałem, że to Lobelia.

– W takim razie jesteś całkowicie usprawiedliwiony. Ale widziałem ją przed chwilą po drodze Nad Wodą. Jechała bryczką, a minę miała taką, że na jej widok świeżo udojone mleko skwaśniałoby natychmiast.

– Ja także omal nie skwaśniałem. Słowo daję, już chciałem użyć pierścienia Bilba, taką miałem ochotę zniknąć.

– Nie rób tego – rzekł Gandalf, siadając. – Bądź ostrożny z tym pierścieniem. Właśnie między innymi po to przyszedłem, żeby ci jeszcze coś na ten temat powiedzieć.

– Cóż więc mi powiesz?

– A co już wiesz?

– Tylko to, co mi Bilbo opowiedział. Słyszałem od niego całą historię, jak znalazł pierścień, jak go używał… podczas wyprawy, oczywiście.

– Ciekaw jestem, jaką wersję ci opowiedział – rzekł Gandalf.

– No, nie tę, którą opowiedział krasnoludom i powtórzył w swojej książce – odparł Frodo. – Mnie powiedział wszystko wkrótce po moim tu przybyciu. Mówił mi, że ty, Gandalfie, wymogłeś na nim prawdę, ale że chce, abym ja znał ją również. „Między nami nie trzeba sekretów, mój Frodo – rzekł – ale niech się to dalej nie rozejdzie. W każdym razie ten pierścień jest moją własnością”.

– To bardzo interesujące – rzekł Gandalf. – A ty co myślisz o tym wszystkim?

– Jeżeli chodzi o tę zmyśloną wersję, jakoby dostał go w prezencie – cóż, myślę, że prawda jest o wiele bardziej prawdopodobna, i nie rozumiem, dlaczego ją inaczej przedstawiał. Nigdy bym się tego po Bilbie nie spodziewał. Wydaje mi się, że w tym tkwi coś dziwnego.

– Mnie się też tak wydaje. Ale osobom, które posiadają takie skarby, zwykle zdarzają się dziwne rzeczy… jeśli z nich robią użytek. Niech to będzie dla ciebie przestrogą i skłoni cię do wielkiej ostrożności. Pierścień ma zapewne inną jeszcze władzę, nie tylko tę, że pozwala ci znikać, ilekroć zechcesz.

– Nie rozumiem – rzekł Frodo.

– Ja także – odparł Czarodziej. – Zacząłem zastanawiać się nad tym dopiero od niedawna, właściwie od wczorajszego wieczora. Martwić się nie ma powodu. Ale jeżeli zechcesz posłuchać mojej rady, będziesz go używał bardzo rzadko albo nawet wcale. W każdym zaś razie, proszę cię, nie rób z niego nigdy takiego użytku, który by mógł wywołać plotki albo wzbudzić podejrzenia. Powtarzam raz jeszcze: pilnuj go dobrze i zachowuj w sekrecie.

– Jakiś ty dzisiaj tajemniczy, Gandalfie! Czego się boisz?

– Nie jestem zupełnie pewien, dlatego wolę na razie nic nie mówić. Kto wie, czy nie będę mógł powiedzieć ci więcej po powrocie. Bo teraz już odchodzę. Tymczasem niech to starczy na pożegnanie.

Gandalf wstał.

– Odchodzisz już? – zawołał Frodo. – Myślałem, że zostaniesz co najmniej przez tydzień. Liczyłem na twoją pomoc.

– Zamierzałem zostać, ale musiałem zmienić plany. Możliwe, że będę w podróży dość długo, na pewno jednak wrócę do ciebie, jak się da najprędzej. Ani się spodziewasz, kiedy mnie znów zobaczysz. Wśliznę się cichcem. Nieprędko odwiedzę ten kraj jawnie. Zauważyłem, że nie cieszę się tutaj zbytnią popularnością. Hobbici powiadają, że przysparzam im kłopotów i zakłócam spokój. Niektórzy nawet oskarżają mnie o porwanie Bilba czy bodaj o gorsze jeszcze sprawki. Jeśli chcesz wiedzieć, to krążą plotki, że uknułem do spółki z tobą spisek, by zawładnąć majątkiem Bilba.

– Niektórzy? – krzyknął Frodo. – To znaczy Otho i Lobelia. Co za nikczemność! Oddałbym im chętnie Bag End i całą resztę, byle odzyskać Bilba i z nim razem włóczyć się po kraju. Kocham nasz Shire. Ale chwilami

żałuję, że nie poszedłem w świat z Bilbem. Wciąż sobie zadaję pytanie, kiedy go znowu zobaczę.

– Ja także – powiedział Gandalf. – Zadaję sobie prócz tego wiele innych pytań. Do widzenia, Frodo! Bądź ostrożny. Spodziewaj się mnie szczególnie w najbardziej niespodziewanych momentach. Do widzenia!

Frodo odprowadził go do drzwi. Gandalf raz jeszcze podniósł rękę na pożegnanie i ruszył przed siebie zdumiewająco żwawym krokiem; Frodo jednak spostrzegł, że stary Czarodziej garbi się wbrew swoim zwyczajom, jak gdyby przytłoczony ciężkim brzemieniem. Wieczór już zapadał i sylwetka starca w szarym płaszczu szybko roztopiła się w zmierzchu. Długi czas upłynął, nim go Frodo ujrzał znowu.

ROZDZIAŁ 2
CIEŃ PRZESZŁOŚCI

Plotki nie ucichły ani po dziewięciu, ani nawet po dziewięćdziesięciu dziewięciu dniach. Przez rok z górą w Hobbitonie i w całym Shire gadano o powtórnym zniknięciu pana Bilba Bagginsa, a jeszcze dłużej zachowało się wspomnienie tego wypadku. Opowiadano o nim małym hobbitom wieczorami przy kominku i wreszcie Szalony Baggins, który znikał w huku i błysku gromu, a wracał z workami klejnotów i złota, stał się ulubionym bohaterem legendy i żył w niej przez długie lata, nawet wówczas, kiedy od dawna zapomniano o wszystkich prawdziwych związanych z tym zdarzeniach.

Na razie wszakże powszechna opinia okolicy głosiła, że Bilbo, zawsze trochę postrzelony, zwariował w końcu do reszty i wyleciał w powietrze. Niewątpliwie spadł potem do stawu albo do rzeki i zginął tragiczną, aczkolwiek nie przedwczesną śmiercią. Winę za to przypisywano najczęściej Gandalfowi.

„Byle ten przeklęty czarodziej pozostawił Froda w spokoju, to może jeszcze chłopak ustatkuje się i wyjdzie na rozsądnego hobbita” – mówiono. Wszelkie pozory świadczyły, że Czarodziej rzeczywiście zostawia Froda w spokoju i że Frodo się ustatkował, jakkolwiek wcale nie dawał dowodów hobbickiego rozsądku. Przeciwnie, od początku robił, co mógł, żeby odziedziczyć po wuju również reputację dziwaka. Nie chciał włożyć żałoby i w następnym roku wydał przyjęcie dla uczczenia sto dwunastych urodzin Bilba, które nazwał Ucztą Stu i Tuzina. Przyjęcie nie do końca odpowiadało tej nazwie, jako że zaproszono tylko dwudziestu gości, podawano jednak kilka posiłków, podczas których – wedle hobbickiego wyrażenia – jadło sypało się jak lawina, a trunki lały się jak deszcz.

Niejeden hobbit gorszył się, lecz Frodo nie odstępował od zwyczaju święcenia co rok urodzin Bilba. Mówił, że nie przypuszcza, aby wuj umarł. Gdy go pytano, gdzie wobec tego Bilbo przebywa, wzruszał tylko ramionami.

Żył samotnie, wzorem Bilba, lecz miał sporo przyjaciół, szczególnie wśród młodych hobbitów (zwłaszcza między potomstwem Starego Tuka),

którzy za swych dziecinnych lat lubili Bilba i często odwiedzali Bag End. Do tego grona należeli Folko Boffin i Fredegar Bolger, ale najserdeczniejszymi druhami Froda byli Peregrin Tuk (zwany potocznie Pippinem) i Merry Brandybuck (jego imię brzmiało właściwie Meriadok, rzadko jednak o tym pamiętano). Z nimi to Frodo wędrował po całym kraju, lecz częściej jeszcze wałęsał się samopas; ku zdumieniu rozsądnych hobbitów spotykano go nieraz w gwiaździste noce z dala od domu, pośród wzgórz i lasów. Merry i Pippin podejrzewali, że Frodo odwiedza niekiedy elfów, podobnie jak dawniej Bilbo.

Z biegiem lat także o nim zaczęto mówić, że „dobrze się trzyma", wyglądał bowiem wciąż na krzepkiego i energicznego hobbita, który ledwie wyrósł z lat chłopięcych. „Jak się komuś szczęści, to już we wszystkim" – mówili sąsiedzi. Ale dopiero gdy Frodo zbliżył się do pięćdziesiątki, u hobbitów zazwyczaj wieku już większej stateczności, zaczęto się dziwić na dobre.

Sam Frodo, ochłonąwszy po wstrząsie, przekonał się, że samodzielność oraz rola Pana Bagginsa z Bag End to rzeczy dość przyjemne. Przez kilka lat czuł się szczęśliwy i niewiele myślał o przyszłości. Ale chociaż nie zdawał sobie z tego jasno sprawy, z każdym rokiem bardziej żałował, że nie poszedł wraz z Bilbem w świat. Przyłapywał się niekiedy – zwłaszcza jesienią – na marzeniach o dzikich krajach, a w snach zwidywały mu się dziwne góry, których nigdy w rzeczywistości nie widział. Mówił sobie: „Może kiedyś i ja przeprawię się przez Rzekę". Ale druga połowa jego duszy odpowiadała zawsze: „Jeszcze nie dziś".

Tak minęła mu czterdziestka i zbliżały się pięćdziesiąte urodziny; pięćdziesiątkę uważał za liczbę znamienną (czy może wręcz groźną), bo przecież w tym właśnie wieku Bilbo dał się niespodzianie porwać przygodzie. Ogarnął więc Froda niepokój, a stare ścieżki zdawały mu się teraz zbyt wydeptane. Przyglądał się mapom, rozmyślając, co też znajduje się poza ich marginesem: na mapach sporządzanych w Shire za granicami kraju widniały tylko białe plamy. Frodo zaczął coraz dalej wypuszczać się na wędrówki i coraz częściej włóczył się samotnie. Merry i wszyscy przyjaciele obserwowali go z niepokojem. Nieraz widywano go gawędzącego z obcymi wędrowcami, którzy podówczas licznie pojawiali się w Shire.

Krążyły pogłoski, że gdzieś na świecie dzieją się dziwne rzeczy, a że w owym czasie Gandalf od wielu lat nie pojawiał się ani nie przysyłał wieści, Frodo sam starał się, jak mógł, o nowiny. Elfowie, rzadko odwiedzający Shire, teraz ciągnęli wieczorami przez lasy na zachód, ale nie widywano, by wracali; oni jednak opuszczali Śródziemie i nie zajmowali się dłużej jego problemami. Krasnoludów natomiast widywano więcej niż kiedykolwiek. Oczywiście, starodawny szlak ze wschodu na zachód przecinał Shire i, zmierzając do Szarej Przystani, krasnoludowie zawsze go używali, gdy podróżowali do swoich kopalń w Górach Błękitnych. Od nich to czerpano głównie wiadomości z odległych stron – o ile hobbici w ogóle raczyli się nimi interesować. Zwykle krasnoludowie mało mówili, a hobbici jeszcze mniej zadawali pytań. Teraz jednak Frodo często spotykał dziwnych krasnoludów, odmiennych nieco od znanych mu dotychczas, a przybywających z południa. Byli zatroskani, a ten i ów szeptał coś o Nieprzyjacielu i o Krainie Mordor.

Nazwę tę znali hobbici jedynie z legend mrocznej przeszłości, przetrwała ona niby cień na dnie ich pamięci, a brzmiała złowieszczo i niepokojąco. Ponoć zła moc, wygnana przez Białą Radę z Mrocznej Puszczy, pojawiła się ponownie w większej jeszcze potędze w starych warowniach Mordoru. Krążyły wieści, że odbudowana została Czarna Wieża. Stamtąd władza złych sił rozpościerała się daleko i szeroko; a hen na wschodzie i południu toczyły się wojny i rosła groza. Orkowie znów rozmnożyli się w górach. Trolle grasowały, a nie były już tępe jak ongi, lecz przebiegłe i uzbrojone w morderczy oręż. Szeptano także o jakichś stworach jeszcze groźniejszych, które nie miały nazwy.

Niewiele z tego wszystkiego docierało oczywiście do uszu przeciętnych hobbitów. Lecz coś niecoś usłyszeli nawet najbardziej głusi i najszczelniej zamknięci w swoich norach; ci zaś, których interesy zmuszały do wypraw na pogranicze kraju, widywali dziwne rzeczy. Rozmowa, która toczyła się „Pod Zielonym Smokiem” Nad Wodą pewnego wiosennego wieczora roku pięćdziesiątych urodzin Froda, jest dowodem, że pogłoski dotarły nawet do najcichszych zakątków Shire’u, jakkolwiek większość hobbitów wciąż jeszcze przyjmowała je śmiechem. W kącie przy kominie siedział Sam Gamgee, a naprzeciw niego Ted Sandyman, syn młynarza; inni hobbici, okoliczni wieśniacy, przysłuchiwali się ich rozmowie.

– Co tu mówić, dziwne rzeczy słyszy się ostatnimi czasy – powiedział Sam.

– Ech! – odparł Ted. – Słyszy, kto chce słuchać. Ja tam, jeśli mi się chce dziwów, wolę w domu stare gadki przy kominie i bajki dla dzieci.

– Masz rację – rzekł Sam. – Więcej w tych bajkach prawdy, niż ci się zdaje. Kto je wymyślił? Weź na przykład smoki…

– Dziękuję pięknie, nie wezmę – odparł Ted. – Słyszałem o smokach, kiedy byłem smarkaczem, ale nie ma powodu, żeby w nie wierzyć. Nad Wodą w każdym razie jest tylko jeden smok, i to zielony! – zakończył, wywołując ogólny śmiech na sali.

– Prawda! – rzekł Sam, śmiejąc się razem z wszystkimi. – Ale co powiesz o tych drzewoludach, o tych olbrzymach, czy jak ich tam nazwać? Powiadają, że jednego takiego widziano niedawno za Północnymi Moczarami i że był wyższy niż drzewa.

– Kto powiada?

– Choćby mój krewniak Hal. Pracuje u pana Boffina za Pagórkiem i chadza na polowania do Północnej Ćwiartki. Hal widział tego olbrzyma.

– Gada, byle gadać. Hal zawsze niby coś widzi, a najpewniej to, czego wcale nie ma.

– Ten był podobno wysoki jak wiąz, a co krok zrobił, to siedem łokci przeskoczył tak lekko, jakby to był jeden cal.

– Bo też pewnie to nie był nawet jeden cal. Założę się, że chłopak widział po prostu wielki wiąz.

– Ale on szedł, mówię ci! – odparł Sam. – A zresztą, na Północnych Moczarach nie ma wiązów.

– No to Hal nawet wiązu nie widział – rzekł Ted. Słuchacze zaśmiali się i przyklasnęli, uważając, że Ted przegadał Sama.

– Mów sobie, co chcesz – powiedział Sam – ale nie zaprzeczysz, że prócz Hala inni też widują dziwnych podróżnych, co ciągną przez Shire. A zauważ, że byłoby ich więcej jeszcze, gdyby wielu nie zawracano od naszej granicy. Nigdy Pogranicznicy nie mieli tyle roboty, co teraz. A słyszałem też, że elfowie wędrują na zachód. Podobno idą do portów, gdzieś aż za Białe Wieże. – Mówiąc to Sam wskazał ręką jakiś niewyraźny kierunek, ani on bowiem, ani nikt z obecnych nie wiedział dokładnie, jak daleko jest z

Shire’u do Morza, leżącego gdzieś za starymi wieżami, na zachód od granic kraju. Dawna tradycja głosiła jednak, że istnieje tam Szara Przystań, z której niegdyś wypłynęły statki elfów, by nigdy już nie powrócić.

– Płyną, płyną, płyną za Morze, przeprawiają się na Zachód i porzucają nas – rzekł Sam niemal śpiewnie i potrząsnął głową uroczyście i smutno. Ale Ted się roześmiał.

– Ano, to nic nowego, jeśli wierzyć starym bajkom. Nie wiem też, dlaczego ty albo ja mielibyśmy się z tego powodu martwić. Niech sobie płyną! Założę się zresztą, żeś ich nie widział. Nikt z Shire’u tego nie widział na własne oczy.

– Bo ja wiem… – w zamyśleniu odparł Sam. Kiedyś wydało mu się w lesie, że widzi elfa, i nie stracił dotychczas nadziei, że zobaczy ich jeszcze w życiu więcej. Z wszystkich legend, jakie za młodu słyszał, największe wrażenie zrobiły na nim strzępy na pół zapomnianych opowieści o elfach, przechowujące się wśród hobbitów. – Są nawet w naszej okolicy hobbici, którzy przyjaźnią się z elfami i dostają od nich wiadomości – rzekł. – Na przykład pan Baggins, mój pracodawca. Mówił mi, że elfowie odpływają, a on wie o nich coś niecoś. Stary pan Bilbo wiedział więcej; nieraz z nim o tym rozmawiałem, kiedy byłem małym chłopcem.

– No, ci obaj mają bzika – odparł Ted. – W każdym razie stary Bilbo miał bzika, a Frodo zaczyna bzikować. Jeżeli do nich będziesz chodzić po wiadomości, to ci nigdy bajek nie zabraknie. A teraz, przyjaciele, czas mi już do domu. Wasze zdrowie! – Osuszył kufel i wyszedł hałaśliwie.

Sam siedział w milczeniu, nic już więcej nie mówiąc. Miał o czym myśleć. Po pierwsze o tym, że w ogrodzie Bag End jest dużo do roboty i że czeka go nazajutrz pracowity dzień, jeżeli pogoda się poprawi. Trawa rośnie szybko. Sam jednak myślał nie tylko o ogrodnictwie. Po chwili westchnął, wstał i wyszedł z gospody.

Był początek kwietnia, niebo rozjaśniło się po deszczu. Słońce już stało nisko, chłodny, blady wieczór spokojnie roztapiał się w noc. Sam szedł pod pierwszymi gwiazdami przez cały Hobbiton, a później na Pagórek ku domowi, z cicha, w zamyśleniu pogwizdując.

W tym właśnie czasie po długiej nieobecności wrócił Gandalf. Od dnia urodzinowej zabawy przez trzy lata nie pokazywał się wcale. Potem wpadł do Froda na krótko, przyjrzał mu się uważnie i znów ruszył w świat. W

ciągu następnego roku czy dwóch lat bywał dość często, zjawiał się niespodziewanie po zmierzchu i bez pożegnania znikał przed świtem. Nie chciał nic mówić o swoich zajęciach i podróżach, zdawało się, że ciekaw jest nade wszystko błahych wiadomości o zdrowiu i trybie życia Froda.

Nagle wizyty się urwały. Od ponad dziewięciu lat Frodo nie widział go ani o nim nie słyszał, aż wreszcie zaczął podejrzewać, że Gandalf już nigdy nie wróci, że przestał się interesować hobbitami. Tego wszakże wieczora, kiedy Sam o zmierzchu szedł ku domowi, u okna gabinetu Froda rozległo się znajome kołatanie.

Frodo powitał starego przyjaciela ze zdumieniem i szczerą radością. Bacznie przyjrzeli się sobie nawzajem.

– Wszystko w porządku, co? – spytał Gandalf. – Nic się nie zmieniłeś, mój Frodo.

– Ty także – odparł Frodo, ale w głębi serca pomyślał, że Gandalf postarzał się i twarz ma bardziej niż dawniej zatroskaną. Zaczął więc nalegać, by mu opowiedział o sobie i szerokim świecie. Wkrótce rozgadali się i do późna w noc nie mogli się dość nagadać.

Nazajutrz po późnym śniadaniu Czarodziej siedział z Frodem pod otwartym oknem w gabinecie. Na kominku palił się wesoło ogień, lecz słońce mocno już przygrzewało, a wiatr dmuchał od południa. Świat lśnił świeżością, młoda wiosenna zieleń puszczała się na polach i na gałęziach drzew.

Gandalf myślał o innej wiośnie, sprzed blisko osiemdziesięciu lat, kiedy to Bilbo wybiegł ze swego domu bez chustki do nosa. Dziś Czarodziej włosy miał może bielsze niźli wówczas, brodę dłuższą i brwi jeszcze bardziej krzaczaste, a twarz poznaczoną zmarszczkami trosk i mądrości, lecz oczy błyszczały mu tak samo, a ćmił fajkę i puszczał kółka dymu z nie mniejszym niż dawniej zapałem i przyjemnością.

Palił teraz w milczeniu, a i Frodo nie odzywał się, zatopiony w myślach. Mimo blasku poranka dostrzegał czarny cień wieści, które przyniósł Gandalf. Wreszcie przerwał ciszę.

– Tej nocy zacząłeś mi opowiadać dziwne rzeczy o moim pierścieniu, Gandalfie – rzekł. – Potem umilkłeś, bo, jak mówiłeś, z takimi sprawami lepiej czekać na światło dzienne. Czy nie sądzisz, że powinieneś teraz

dokończyć historii? Powiedziałeś, że ten pierścień jest niebezpieczny, o wiele bardziej niebezpieczny, niż przypuszczam. Czym więc mi grozi?

– Wielu różnymi niebezpieczeństwami – odparł Czarodziej. – Jest potężniejszy, niż śmiałem się zrazu domyślać, tak potężny, że w końcu owładnąłby każdą śmiertelną istotą, która by go miała w posiadaniu. To on by posiadł swego właściciela.

Dawnymi czasy w Eregionie wyrabiano wiele takich zaczarowanych, magicznych, jak to się mówi, pierścieni, a były wśród nich oczywiście rozmaite: jedne bardziej, inne mniej potężne. Te słabsze stanowiły jakby tylko wprawki w rzemiośle nierozwiniętym jeszcze w pełni i były dla kowali elfów zaledwie zabawką, lecz, moim zdaniem, niebezpieczną dla zwykłych śmiertelników. Ale Wielkie Pierścienie, Pierścienie Władzy, są wręcz groźne.

Widzisz, Frodo, śmiertelnik, który ma jeden z tych Wielkich Pierścieni, nie umiera, lecz także nie rośnie ani nie zyskuje większej żywotności, po prostu trwa, aż wreszcie nuży go każda minuta. Jeżeli zaś często używa Pierścienia, żeby się ukryć przed wzrokiem innych stworzeń, w końcu zanika, staje się już trwale niewidzialny, żyje w półmroku, widziany tylko przez ciemne moce, które rządzą Pierścieniami. Tak, wcześniej lub później – później, jeśli od początku był silny i miał dobrą wolę; lecz ani siła, ani dobra wola nie ostaną się w końcu – wcześniej lub później ciemne moce go pochłoną.

– Jakież to okropne! – rzekł Frodo. Na długą chwilę zapadła cisza. Z ogrodu dobiegał szczęk nożyc, bo Sam Gamgee strzygł trawnik.

– Od jak dawna wiesz o tym? – spytał wreszcie Frodo. – I co z tego wszystkiego wiedział Bilbo?

– Jestem przekonany, że Bilbo nie wiedział nic ponad to, co ci mówił – rzekł Gandalf. – Z pewnością, mimo że obiecałem mu czuwać nad tobą, nie powierzyłby ci nic takiego, co uważałby za groźbę dla twego bezpieczeństwa. Myślał, że ten pierścień jest bardzo piękny i bardzo użyteczny w potrzebie, a siebie samego winił za to, że dzieje się z nim coś dziwnego. Powiedział mi, że natrętnie narzuca się jego myślom, że wciąż się niepokoi o ten swój skarb, ale nie podejrzewał, że to pierścień jest sprawcą zła. A jednak zauważył, że trzeba go pilnować, że pierścień zmienia rozmiar i wagę, kurczy się albo rozszerza w niepojęty sposób i umie nagle zsunąć się z palca, który przedtem mocno obciskał.

– Tak, ostrzegł mnie przed tym w pożegnalnym liście – powiedział Frodo – dlatego zawsze trzymam pierścień na łańcuszku.

– Bardzo rozumnie – rzekł Gandalf. – Lecz sprawy własnej długowieczności Bilbo wcale nie kojarzył z tym pierścieniem. Całą zasługę przypisywał swojej krzepie i bardzo się nią chełpił. Mimo to ogarnął go ostatnio niepokój i czuł się nieswój: cienki i rozciągnięty, jak mówił. Znak, że pierścień zdobywał nad nim władzę.

– Od jak dawna wiedziałeś to wszystko? – spytał znowu Frodo.

– Co wiedziałem? – rzekł Gandalf. – Wiedziałem o wielu rzeczach, o których tylko Mędrcy wiedzą. Ale jeżeli pytasz, co wiedziałem o tym właśnie pierścieniu, to mogę się przyznać, że jeszcze i dziś nie wiem nic pewnego. Muszę przeprowadzić ostatnią próbę. Nie wątpię jednak, że zgadłem trafnie.

A kiedy zacząłem się po raz pierwszy domyślać prawdy? – Czarodziej zadumał się, szukając odpowiedzi w swej pamięci. – Zaraz… zaraz… Bilbo znalazł pierścień w tym samym roku, kiedy Biała Rada wygnała ciemne moce z Mrocznej Puszczy, na krótko przed Bitwą Pięciu Armii. Już wtedy cień omroczył moje serce, chociaż nie wiedziałem, czego właściwie się lękam. Często zastanawiałem się, w jaki sposób Gollum dostał w swoje ręce Wielki Pierścień, bo że to był Wielki Pierścień, od początku zdawało się niewątpliwe. Później usłyszałem z ust Bilba dziwną historię o „wygraniu” Pierścienia i nie mogłem w nią uwierzyć. Kiedy w końcu wydobyłem całą prawdę, zrozumiałem natychmiast, że Bilbo starał się udowodnić niezbicie swoje prawo do tego klejnotu. Tak samo jak Gollum, który mówił, że dostał go w prezencie na urodziny. Podobieństwo tych dwóch kłamstw nie dawało mi spokoju. Zrozumiałem, że pierścień ma w sobie trującą moc, która od pierwszej chwili oddziaływa na każdego, kto go posiądzie. To było pierwsze poważne ostrzeżenie, że nie wszystko jest w porządku. Nieraz powtarzałem Bilbowi, że lepiej takich pierścieni nie używać, ale przyjmował te rady niechętnie, a wkrótce nawet zaczął się za nie gniewać. Niewiele więcej mogłem zrobić. Nie mogłem odebrać mu pierścienia, bo wynikłyby z tego jeszcze gorsze nieszczęścia; zresztą nie miałem prawa. Pozostawało tylko czekać i czuwać. Może powinienem był zasięgnąć rady u Sarumana Białego, ale zawsze mnie coś od tego powstrzymywało.

– Kto to jest? – spytał Frodo. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Możliwe – odparł Gandalf – bo on nie zajmował się ani nie zajmuje hobbitami. To wielka osobistość wśród Mędrców. Głowa naszego bractwa i przewodniczący Rady. Ma głęboką wiedzę, ale dumę nie mniejszą, więc nie znosi, by ktoś wtrącał się do jego spraw. Wiedza o pierścieniach elfów, czy to wielkich, czy małych, stanowi jego własną dziedzinę. Z dawna ją studiuje, poszukując zagubionego sekretu tej sztuki. Kiedy jednak na Radzie dysputowano o Wielkich Pierścieniach, nie ujawnił ze swej wiedzy nic, co by potwierdzało moje obawy. To uśpiło moje wątpliwości, chociaż nie był to sen spokojny. Dalej czuwałem i czekałem.

Bilbo, jak się zdawało, miewał się dobrze, a lata płynęły. Tak, lata płynęły, lecz nie wyrządzały mu żadnej szkody. Nie znać było po nim podeszłego wieku. Znowu cień padł na moje serce. Mówiłem sobie jednak: „No, cóż, Bilbo przecież pochodzi po kądzieli z długowiecznej rodziny. Jeszcze ma czas. Czekajmy!”.

I czekałem. Aż do owego wieczora, kiedy Bilbo opuścił ten dom. To, co wówczas mówił i robił, przeraziło mnie tak, że już żadne słowa Sarumana nie mogły mnie uspokoić. Wreszcie przekonałem się, że bez wątpienia działa tu jakaś ciemna, groźna siła. Większość lat, które odtąd minęły, poświęciłem na wykrycie prawdy.

– Ale szkoda nie jest chyba nie do naprawienia? – spytał Frodo zatroskany. – Z czasem Bilbo wróci do siebie, prawda? Chodzi mi o to, czy odnajdzie spokój?

– Od razu poczuł się lepiej – rzekł Gandalf. – Ale jedna tylko na świecie Potęga wie wszystko o Pierścieniach i o ich wpływie. Nie ma zaś, o ile mi wiadomo, na całym świecie Potęgi, która by wiedziała wszystko o hobbitach. Pośród Mędrców tylko ja badam sprawy hobbitów: to skromna gałąź wiedzy, lecz pełna niespodzianek. Hobbici są miękcy jak masło, a przecież stają się czasem twardzi jak korzenie starego drzewa. Myślę, że niektórzy z nich potrafią opierać się władzy Pierścieni znacznie dłużej, niż przypuszcza wielu Mędrców. Toteż, moim zdaniem, nie ma powodu martwić się o Bilba. Oczywiście, miał ten pierścień przez długie lata i używał go, będzie więc pewnie trzeba czekać dość długo, nim otrząśnie się całkowicie z jego wpływu, to znaczy, nim będzie mógł bez niebezpieczeństwa znów go zobaczyć. Ale poza tym może żyć szczęśliwie przez wiele jeszcze lat, po prostu będzie wciąż takim samym hobbitem, jak w chwili, gdy go zostawił. Bo wyrzekł się go w końcu z własnej woli, to

bardzo ważne. Nie, o Bilba już się przestałem martwić, odkąd pozbył się tego klejnotu. To za ciebie czuję się teraz odpowiedzialny.

Od tamtego wieczora, gdy Bilbo odszedł, z głęboką troską myślę o tobie i o wszystkich uroczych, niemądrych, bezradnych hobbitach. Bolesny by to był cios dla świata, gdyby Czarna Potęga zawładnęła Shire'em; gdyby poczciwi, weseli, głupi Bolgerowie, Hornblowerowie, Boffinowie, Bracegirdle'owie i wszyscy inni, nie mówiąc już o śmiesznych Bagginsach, popadli w niewolę.

Frodo zadrżał.

– Dlaczego miałoby to nas spotkać? – spytał. – Czy on by chciał takich niewolników?

– Jeśli chcesz wiedzieć prawdę – odparł Gandalf – myślę, że jak dotąd – zauważ: jak dotąd! – wcale nie spostrzegł istnienia hobbitów. Powinniście się z tego cieszyć. Ale era bezpieczeństwa dla was się skończyła. On was nie potrzebuje – ma dość sług i to bardziej użytecznych – lecz już teraz o was nie zapomni. Wolałby widzieć hobbitów w nieszczęściu i pod jarzmem niż szczęśliwych i wolnych. Pamiętaj, że istnieje na świecie złośliwość i zemsta.

– Zemsta? – rzekł Frodo. – Za co? Wciąż jeszcze nie rozumiem, co to ma wspólnego z Bilbem, ze mną i z naszym pierścieniem.

– Bardzo dużo – odparł Gandalf. – Nie wiesz dotychczas nic o najistotniejszym niebezpieczeństwie. Ale się dowiesz. Ja sam nie byłem jeszcze tego pewien, kiedy odwiedzałem twój dom poprzednim razem, dziś jednak pora, bym ci wszystko powiedział. Daj mi na chwilę ten pierścień.

Frodo wyciągnął pierścień z kieszeni spodni, gdzie spoczywał umocowany na łańcuszku zwisającym od pasa. Odpiął go i powolnym gestem podał Gandalfowi. Pierścień nagle zaciążył mu na dłoni, jakby klejnot – albo sam Frodo – nie życzył sobie, by Czarodziej go dotykał.

Gandalf podniósł obrączkę w palcach. Była z czystego, szlachetnego złota.

– Czy dostrzegasz tu jakieś znaki? – spytał.

– Nie – rzekł Frodo. – Nic nie ma. Gładkie złoto, nie znać na nim żadnej rysy ani śladów czasu.

– A więc patrz!

Ku zdumieniu i rozpaczy Froda Czarodziej nagle cisnął pierścień w żar zgromadzony w kącie kominka. Frodo krzyknął i chwycił szczypce, ale Gandalf go powstrzymał.

– Czekaj! – rzucił tonem rozkazu i spod krzaczastych brwi żywo spojrzał na Froda.

Pozornie pierścień się nie zmienił. Po jakimś czasie Gandalf wstał, zamknął okiennice, zaciągnął zasłony. W pokoju zapanowała ciemność i cisza, tylko z ogrodu dolatywał stłumiony szczęk nożyc, bo Sam pracował teraz tuż pod oknem. Czarodziej przez chwilę jeszcze patrzył w ogień, wreszcie schylił się, szczypcami wyciągnął pierścień z paleniska i natychmiast wziął w rękę. Frodo krzyknął przerażony.

– Jest zupełnie chłodny – rzekł Gandalf. – Trzymaj!

Frodo niechętnie nadstawił dłoń. Pierścień wydał mu się cięższy i grubszy niż przedtem.

– Podnieś go wyżej – rzekł Gandalf – i przyjrzyj się uważnie.

Frodo usłuchał i dostrzegł teraz zarówno na zewnętrznej, jak i wewnętrznej stronie pierścienia znaki niezwykle delikatne, delikatniejsze niż pismo najcieńszego nawet pióra; linie ognia układały się jakby w litery i wiązały w tekst. Błyszczały olśniewająco, a jednak wydawały się odległe, jakby świeciły z wielkiej głębi.

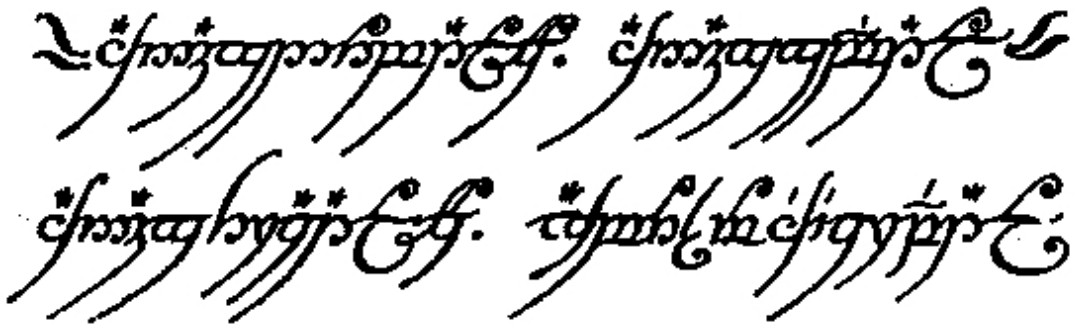

– Nie umiem czytać ognistych liter – drżącym głosem powiedział Frodo.

– Nie – rzekł Gandalf – ale ja umiem. To starożytny alfabet elfów, lecz słowa są w języku Mordoru, którego tutaj nie chcę używać. Przetłumaczone na Wspólną Mowę znaczą mniej więcej tyle:

Jeden Pierścień, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć,

Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać.

To dwa wiersze z prastarego poematu, znanego w tradycji elfów:

Trzy Pierścienie dla królów elfów pod otwartym niebem,

Siedem dla władców krasnali w ich kamiennych pałacach,

Dziewięć dla śmiertelników, ludzi śmierci podległych,

Jeden dla Władcy Ciemności na czarnym tronie

W Krainie Mordor, gdzie zaległy cienie,

Jeden, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć,

Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać

W Krainie Mordor, gdzie zaległy cienie[7].

Gandalf umilkł, a potem z wolna, z naciskiem rzekł:

– To jest właśnie Pierścień-władca, ten Jedyny, który rządzi wszystkimi. Pierścień, który ktoś zgubił przed wiekami, z wielkim uszczerbkiem dla swojej potęgi. Ten ktoś bardzo pragnie go odzyskać, lecz nam nie wolno do tego dopuścić.

Frodo milczał osłupiały. Zdawało mu się, że strach wyciągnął nad nim ogromną łapę, jakby ze Wschodu nadpływała czarna chmura, by go pochłonąć.

– Ten pierścień! – wyjąkał. – Jakim cudem dostał się właśnie mnie?

– Ach! – odparł Gandalf. – To bardzo długa historia. Jej początek sięga w Czarne Lata, w przeszłość, której dziś nikt prócz uczonych mistrzów nie pamięta. Gdybym chciał opowiedzieć ci wszystko, siedzielibyśmy tutaj dopóty, dopóki wiosna nie zmieniłaby się w zimę.

Tej nocy mówiłem ci o Sauronie Wielkim, Władcy Ciemności. Pogłoski, które doszły do twoich uszu, są prawdziwe: Sauron rzeczywiście ocknął się znowu, odzyskał siły, opuścił swoje leże w Mrocznej Puszczy i wrócił do dawnej twierdzy, do Czarnej Wieży w Krainie Mordor. Tę nazwę znają

nawet hobbici, bo majaczyła niby cień na marginesach starych legend. Po każdej klęsce i po latach ciszy Cień przybiera inną postać i urasta na nowo.

– Wolałbym, żeby się to nie zdarzyło akurat za mojego życia – powiedział Frodo.

– Ja także – odparł Gandalf. – Podobnie jak wszyscy, którym wypadło żyć w takich czasach. Ale nie mamy na to wpływu. Od nas zależy jedynie użytek, jaki zechcemy zrobić z darowanych nam lat. A nasz czas zapowiada się czarno! Nieprzyjaciel szybko rośnie w potęgę. Sądzę, że plany jego jeszcze nie dojrzały, lecz już dojrzewają. Czekają nas ciężkie próby. Nie ominęłyby nas zresztą, nawet gdyby nie dotknęło nas to straszliwe zrządzenie losu.

Nieprzyjacielowi brak wciąż jeszcze jednej rzeczy, która by mu dała siłę i władzę, by zmiażdżyć wszelki opór, złamać ostatnie linie obrony, po raz wtóry pogrążyć wszystkie kraje w ciemnościach. Brak mu tego Jedynego Pierścienia.

Trzy najpiękniejsze ukryli przed nim władcy elfów, tych trzech nigdy jego ręka nie dotknęła i nie splamiła. Siedem Pierścieni było w posiadaniu królów krasnoludzkich, lecz trzy z nich Sauron odzyskał, a cztery pozostałe zniszczyły smoki. Dziewięć ofiarował śmiertelnym ludziom, dumnym, możnym ludziom, których w ten sposób usidlił. Dawno, dawno temu ulegli oni władcy Jedynego Pierścienia i stali się upiorami, cieniami wielkiego Cienia, jego najokrutniejszymi sługami. Dawno, dawno temu… Minęło wiele lat od owych czasów, kiedy Dziewięciu grasowało po świecie. Ale kto wie? Skoro Cień znowu powstaje, może i tych Dziewięciu wróci? Jednakże nie trzeba o takich rzeczach mówić nawet w porannym słońcu tego kraju.

Tak więc stoją sprawy: Dziewięć Pierścieni podporządkował sobie; zawładnął także tymi spośród Siedmiu, które nie zostały zniszczone. Trzy jeszcze są w ukryciu, lecz o nie się nie kłopocze. Pożąda tylko tego Jedynego, bo to jego dzieło i jego własność, bo w niego przelał znaczną część swojej dawnej potęgi, żeby dzięki niemu panować nad pozostałymi. Jeżeli go odzyska, będzie miał na swoje rozkazy wszystkie, gdziekolwiek się znajdują, nawet te Trzy ukryte, i pozna wszystko, co dzięki nim zdziałano. Sauron będzie wtedy potężniejszy niż kiedykolwiek.

I na tym, mój Frodo, polega okropność naszego losu. On myślał, że Jedyny Pierścień przepadł, że elfowie go zniszczyli, co powinni byli zrobić. Teraz wszakże już wie, że Pierścień nie przepadł, że go ktoś znalazł. Więc

szuka, szuka, na tym poszukiwaniu skupił cały umysł. To jego wielka nadzieja, a nasza wielka trwoga.

– Czemuż, czemuż nie zniszczono Pierścienia! – wykrzyknął Frodo. – I jak to się stało, że Nieprzyjaciel, chociaż tak silny, chociaż tak ten swój skarb cenił, utracił go niegdyś? – Mówiąc to zaciskał w ręku Pierścień, jakby już widział sięgające po niego czarne szpony.

– Odebrano mu Pierścień – rzekł Gandalf. – Dawnymi czasy elfowie byli silniejsi i stawiali mu opór; ludzie wówczas także nie wszyscy stronili od elfów. Ludzie z Westernesse pomogli elfom. Warto przypomnieć ten rozdział prastarej historii, wtedy bowiem także panował smutek i gromadziły się ciemne chmury, lecz było również i wiele męstwa, i szlachetnych czynów, które nie poszły całkiem na marne. Może kiedyś opowiem ci to wszystko, a może usłyszysz o tych dziejach od kogoś, kto je najlepiej zna.

Tymczasem najważniejsze jest, żebyś dowiedział się, jakim sposobem Pierścień do ciebie trafił, a że to dostatecznie długa historia, o innych sprawach nie będę ci mówił więcej. To król elfów, Gil-galad, i Elendil z Westernesse powalili Saurona, chociaż obaj przypłacili zwycięstwo życiem; Isildur, syn Elendila, odciął z ręki Saurona Pierścień i zabrał go sobie. Duch pokonanego Saurona uleciał i krył się przez wiele lat, dopóki znowu nie przybrał nowej postaci w Mrocznej Puszczy.

Pierścień wszakże zginął. Utonął w Wielkiej Rzece, Anduinie, i zniknął. Isildur bowiem, maszerując na północ wschodnim brzegiem rzeki, wpadł opodal Pól Gladden w zasadzkę orków, którzy wycięli całe niemal jego wojsko w pień. Isildur skoczył do wody, ale Pierścień zsunął mu się z palca, orkowie zobaczyli płynącego rycerza i zabili go strzałami z łuków.

Gandalf przerwał na chwilę.

– Tam w ciemnych głębiach pośród Pól Gladden – podjął znowu Czarodziej – Pierścień przepadł, zginął z pamięci i legend. Nawet te ułamki jego historii, które ci opowiadałem, mało kto zna, a Rada Mędrców nic więcej odkryć nie mogła. Ale ja teraz wreszcie mogę uzupełnić tę opowieść.

Znacznie później, lecz w bardzo odległych od nas czasach, żył na brzegach Wielkiej Rzeki, na pograniczu Dzikich Krajów, pewien ludek o zręcznych rękach i zwinnych nogach. Sądzę, że było to plemię z rasy hobbitów, pokrewne praszczurom Stoorów, lubiło bowiem rzekę, chętnie

się w niej kąpało i budowało łódeczki z sitowia. Był w tym plemieniu ród wielkiej sławy, bo liczny i bogatszy od innych, a rządziła nim sędziwa babka, surowa, mądra staruszka, która znała dobrze tradycje swojego ludu. Najbardziej ciekawy i dociekliwy spośród jej wnuków miał na imię Sméagol. Interesowały go szczególnie korzenie i początki wszelkich rzeczy, nurkował w najgłębszych miejscach rzeki, podkopywał się pod drzewa i rośliny, drążył tunele w zielonych wzgórzach, aż odzwyczaił się od spoglądania w niebo, na szczyty górskie, na liście i kwiaty rozkwitające na drzewach: stale miał głowę i oczy spuszczone ku ziemi.

Przyjaźnił się z niejakim Déagolem, chłopcem o podobnych zamiłowaniach, który miał od niego wzrok bystrzejszy, lecz był mniej niż on zwinny i słabszy. Pewnego razu popłynęli obaj łódką w stronę Pól Gladden, gdzie rosły całe kępy irysów i kwitły właśnie trzciny. Sméagol wyszedł na brzeg i szperał po nim, a Déagol został w łodzi, łowiąc ryby na wędkę. Nagle jakaś ogromna ryba chwyciła haczyk i szarpnęła tak, że nim się Déagol opatrzył, już był w wodzie, na głębi. Coś błysnęło mu przed oczyma w piasku na dnie, puścił więc wędzisko i wstrzymując dech, sięgnął ręką po błyszczący przedmiot.

Kiedy potem wydostał się na powierzchnię, prychał wodą, we włosach miał pełno wodorostów, a w garści zaciskał bryłkę mułu. Spłukał muł – o dziwo! na dłoni został piękny złoty pierścień, który lśnił i migotał w słońcu tak, że chłopcu serce zabiło z radości. Lecz Sméagol śledził go zza drzewa i kiedy Déagol wpatrywał się w klejnot, Sméagol cichutko stanął za jego plecami.

– Déagolu, mój miły, daj mi to – powiedział, zaglądając mu przez ramię.

– Dlaczego? – spytał Déagol.

– Bo dzisiaj są moje urodziny, a bardzo chciałbym to dostać – rzekł Sméagol.

– Co mnie to obchodzi? – rzekł Déagol. – Dałem ci już urodzinowy prezent, nawet bardzo hojny. A to, co znalazłem, zatrzymam sobie.

– Czy aby na pewno, mój miły? – odparł Sméagol, chwycił Déagola za gardło i udusił. Zrobił to, ponieważ złoto lśniło zbyt pięknie. Potem wsunął pierścień na palec.

Nikt się nigdy nie dowiedział, jaki los spotkał Déagola. Sméagol zamordował go z dala od domu, a ciało ukrył chytrze. Wrócił z wycieczki

sam i stwierdził, że jeśli ma pierścień na palcu, nikt z rodziny go nie widzi. Zachwycony swoim odkryciem, zataił je przed innymi. Odtąd niewidzialny podpatrywał i podsłuchiwał cudze sekrety, wykorzystując je następnie w sposób niecny i złośliwy. Szczególnie wyostrzył sobie wzrok i słuch na wszystko, czym mógł innym dokuczyć. Pierścień dał mu siłę wielką jak na jego wzrost. Toteż nic dziwnego, że Sméagola wkrótce otoczyła powszechna niechęć i że cała rodzina unikała go, jak mogła (o ile był widzialny). Dostawał kopniaki, odwzajemniał się, kąsając łydki. Nauczył się kraść, mruczeć pod nosem sam do siebie i gulgotać. Przezywano go więc Gollumem, wyklinano i przepędzano zewsząd. Jego babka, pragnąc przywrócić spokój, wykluczyła go z rodziny i wygnała z domu.

Poszedł w świat samotnie, popłakując nad swoim złym losem, i wędrował w górę Rzeki, póki nie natrafił na potok spływający ze szczytów; wtedy ruszył z jego biegiem dalej. W głębszych miejscach łowił niewidzialnymi palcami ryby i zjadał je na surowo. Pewnego upalnego dnia, gdy pochylał się nad strumieniem, słońce sparzyło mu głowę swoim żarem, a blask odbity od wody boleśnie olśnił mokre oczy. Sméagol zdziwił się bardzo, bo niemal już zapomniał o słońcu. Spojrzał wówczas po raz ostatni w niebo i pogroził mu pięścią.

Ale nim znów spuścił oczy, dostrzegł w dali szczyty Gór Mglistych, z których wypływał potok. I nagle przyszła mu do głowy taka myśl: „Pod górami znajdę chłód i cień. Słońce mnie tam nie wytropi. Korzenie gór to najwspanialsze z korzeni. Z pewnością kryją się pod nimi zagrzebane tajemnice, których nikt jeszcze nie odkrył od początku świata”.

Wędrował więc dalej nocą wśród gór i znalazł małą jaskinię, z której sączył się czarny strumień; jak czerw wgryzł się w ścianę i zniknął, i nikt odtąd nie wiedział, co się z nim stało. Pierścień wraz ze Sméagolem zapadł w ciemności, nawet jego twórca, odzyskujący znów po trosze władzę, nie mógł się o nim niczego dowiedzieć.

– Gollum! – krzyknął Frodo. – Gollum! A więc to był ten stwór, z którym się Bilbo spotkał? Co za obrzydliwość!

– Smutna historia – rzekł Czarodziej – a sądzę, że coś podobnego mogło się przydarzyć również komu innemu, nawet któremuś z moich znajomych hobbitów.

– Nie uwierzę, by Golluma łączyło jakiekolwiek, choćby najodleglejsze, pokrewieństwo z hobbitami – odparł zapalczywie Frodo. – To przypuszczenie oburza mnie.

– A jednak to prawda – rzekł Gandalf. – Bądź co bądź o przeszłości hobbitów wiem trochę więcej niż sami hobbici. Zresztą przygoda Bilba nasuwa również myśl o pokrewieństwie. W gruncie rzeczy mieli bardzo podobne pojęcia i wspomnienia. Rozumieli się wzajem doskonale, o wiele lepiej niż na przykład hobbit z krasnoludem lub z orkiem czy nawet z elfem. Pomyśl choćby o zagadkach, które obaj znali.

– Tak – odparł Frodo. – Ale prócz hobbitów mnóstwo innych plemion zadaje zagadki mniej więcej tego samego rodzaju. A hobbici nie zwykli oszukiwać w grze. Gollum zaś przez cały czas usiłował szachrować. Chodziło mu tylko o uśpienie czujności biednego Bilba. Sądzę, że w swej przewrotności bawił się grą, która w razie pomyślnego wyniku miała mu dać łatwe zwycięstwo nad ofiarą, a w razie przegranej nic by go nie kosztowała.

– Niestety, masz wiele racji – rzekł Gandalf. – Ale myślę, że w tej grze tkwiło coś więcej, czego nie dostrzegłeś jeszcze. Gollum nie był do gruntu zepsuty. Okazał się bardziej odporny, niżby mógł przewidzieć nawet któryś z Mędrców, tak odporny, jak bywają hobbici. Zachował jakąś cząstkę własnej duszy i promień światła docierał poprzez nią jak przez szczelinę w głąb nocy: światło przeszłości. Było mu, jak sądzę, naprawdę przyjemnie, kiedy znów usłyszał czyjś łagodny głos, który przypominał mu o istnieniu wiatru, drzew, słońca, trawy i innych z dawna zapomnianych rzeczy.

Oczywiście, tym większym gniewem musiała zapałać w nim potem gorsza cząstka jego istoty – chyba że udałoby się ją przezwyciężyć. Chyba że udałoby się Golluma uleczyć… – Gandalf westchnął. – Niestety, nie ma dla niego wielkiej nadziei. A przecież odrobina nadziei została. Tak, została, chociaż posiadał Pierścień od bardzo dawna, niemal od niepamiętnych czasów. Nie używał go bowiem często przez wiele lat, w ciemnościach rzadko go potrzebował. To pewne, że Gollum nie zniknął. Jest wciąż chudy, ale krzepki. Lecz Pierścień wyniszczał go nieuchronnie i udręka stawała się już niemal ponad siły. Wszystkie „wielkie tajemnice” ukryte pod górami okazały się tylko pustką i nocą; nic więcej nie było do odkrycia, nic do roboty, nic nie miał prócz wstrętnego, zdobywanego ukradkiem jadła i gorzkich wspomnień. Był okropnie nieszczęśliwy. Nienawidził ciemności,

ale jeszcze bardziej nienawidził światła. Nienawidził wszystkiego, a najbardziej Pierścienia.

– Co mówisz? – zawołał Frodo. – Przecież to był jego skarb, jedyna rzecz, która go obchodziła na świecie. Jeśli nienawidził Pierścienia, czemuż się go nie pozbył, czemu stamtąd nie odszedł, porzucając go w jaskini?

– Powinieneś już trochę to rozumieć po tym, co usłyszałeś – rzekł Gandalf. – Nienawidził Pierścienia i zarazem kochał go, tak jak siebie samego zarazem kochał i nienawidził. Nie mógł się go wyrzec. Nie zależało to już od jego woli.

Pamiętaj, Frodo, że Pierścień Władzy sam o sobie rozstrzyga. On może zdradziecko zsunąć się z palca właściciela, ale właściciel nie może go porzucić. Co najwyżej igra z myślą o odstąpieniu go komuś innemu, lecz i do tego zdolny jest tylko we wczesnym okresie, gdy Pierścień dopiero zaczyna nim władać. O ile mi wiadomo Bilbo pierwszy w dziejach posunął się o krok dalej i naprawdę oddał Pierścień. Ale Bilbo także nie zrobiłby tego bez mojej usilnej pomocy. A nawet z moją pomocą nie zdobyłby się na całkowite wyrzeczenie, na odrzucenie go po prostu. Wiedz, Frodo, że nie Gollum, lecz sam Pierścień rozstrzygnął sprawę. Pierścień opuścił Golluma.

– Jak to? Właśnie w chwili, gdy zjawił się Bilbo? – spytał Frodo. – Czy jakiś ork nie nadawałby mu się lepiej?

– To nie żarty – odparł Gandalf. – A ty szczególnie nie powinieneś z tego żartować. Jest to bowiem najdziwniejsze zdarzenie w dotychczasowych dziejach Pierścienia, że Bilbo zjawił się w samą porę i w ciemnościach, na oślep, położył na nim rękę. Działała tam nie jedna tylko potęga. Pierścień chciał wrócić do swojego pana. Zsunął się z palca Isildurowi i zdradził go; gdy później nadarzyła się sposobność, skusił Déagola, który padł ofiarą morderstwa; potem Pierścień dostał się Gollumowi i zniszczył jego duszę. Wreszcie Gollum nie mógł mu już przydać się na nic, zbyt był mały i nikczemny, a zostając przy nim, Pierścień nigdy by się nie wydobył z podziemnych czeluści. Jego pan tymczasem ocknął się znowu i słał ku niemu z Mrocznej Puszczy swoje czarne myśli, więc Pierścień opuścił Golluma. I stała się rzecz najzupełniej nieprawdopodobna: podniósł go nie kto inny, lecz Bilbo, hobbit z Shire’u.

Wdały się w sprawę inne siły, niezależne od zamysłów twórcy Pierścienia. Nie mogę ci tego jaśniej wytłumaczyć, wiedz tylko, że ktoś chciał, żeby właśnie Bilbo znalazł Pierścień – ktoś inny, nie twórca

Pierścienia. A z tego wynika, że ciebie też ktoś wybrał na następcę Bilba. Może myśl o tym doda ci otuchy.

– Nie – odparł Frodo. – Chociaż nie jestem pewien, czy cię dobrze zrozumiałem. Jakim sposobem dowiedziałeś się tego wszystkiego o Pierścieniu i o Gollumie? Czy wiesz to na pewno, czy tylko się domyślasz?

Gandalf popatrzył na Froda i oczy mu rozbłysły.

– Wiem dużo i dowiedziałem się wielu rzeczy – powiedział – ale nie tobie będę zdawał sprawę ze swoich poczynań. Historię Elendila, Isildura i Jedynego Pierścienia znają wszyscy Mędrcy. Choćby nie było innych dowodów, ogniste litery na twoim Pierścieniu wystarczą, żeby się upewnić, że to jest właśnie ten Jedyny.

– A kiedy to odkryłeś? – przerwał mu Frodo pytaniem.

– Przed chwilą, w tym pokoju – szorstko odparł Czarodziej. – Ale spodziewałem się tego. Wróciłem tutaj po ciężkiej wyprawie i długich poszukiwaniach, żeby dokonać ostatniej próby. Znalazłem dowód niezbity i wszystko stało się aż nadto jasne. Trzeba było dobrze pracować głową, żeby domyślić się roli Golluma i uzupełnić tym epizodem lukę w całej historii. Może początkowo rzeczywiście zgadywałem tylko prawdę o Gollumie, teraz jednak już ją znam. Widziałem go.

– Widziałeś Golluma?! – wykrzyknął Frodo zdumiony.

– Tak. Bez tego nie rozwiązałbym zagadki, bałem się jednak, że okaże się to niemożliwe. Od dawna starałem się go odnaleźć, wreszcie mi się udało.

– Co się z nim stało po ucieczce Bilba? Czy wiesz?

– Niezupełnie dokładnie. Opowiedziałem ci to, co zechciał mi wyznać Gollum, jakkolwiek oczywiście w innej formie. Gollum to kłamca, trzeba przesiewać jego słowa. Na przykład, nazywa Pierścień swoim urodzinowym prezentem i upiera się przy tym. Twierdzi, że dostał go od babki, która miała mnóstwo podobnych pięknych klejnotów. Śmieszny pomysł! Nie wątpię, że babka Sméagola była głową rodu i na swój sposób wielką osobistością, ale nie do wiary, by posiadała mnóstwo zaczarowanych pierścieni i rozdawała je w prezencie. W tym kłamstwie tkwi jednak ziarenko prawdy.

Morderstwo popełnione na Déagolu nękało Golluma; żeby się usprawiedliwić, wymyślił ten argument i udręczony w ciemnościach powtarzał go swojemu „skarbowi” wciąż w kółko, aż wreszcie sam w swoją bajkę uwierzył. Tego dnia rzeczywiście przypadały jego urodziny. Déagol powinien był mu ofiarować Pierścień, który nadarzył się w samą porę jako urodzinowa niespodzianka. A więc to był naprawdę jego urodzinowy prezent… i tak dalej, i tak dalej…

Znosiłem to cierpliwie dość długo, ale chciałem dociec prawdy; to była sprawa życia lub śmierci, w końcu więc musiałem użyć siły. Nastraszyłem go ogniem i wycisnąłem z niego całą historię, słowo po słowie, wśród mnóstwa pochlipywań i pomruków. On się uważa za niezrozumianego i skrzywdzonego. Ale kiedy opowiedział do końca o grze w zagadki i ucieczce Bilba, umilkł i nic więcej nie chciał mówić, tylko napomknął tajemniczo to i owo. Ktoś go widać nastraszył bardziej niż ja. Mruczał coś, że się odegra. Pokaże, czy wolno bezkarnie kopać go, zapędzać do jaskini i potem jeszcze okradać. Ma teraz życzliwych i potężnych przyjaciół, którzy mu pomogą. Baggins dostanie za swoje. To myśl przewodnia Golluma. Znienawidził Bilba i przeklął go. Co gorsza, wie, skąd Bilbo pochodzi.

– Jakże to wykrył? – spytał Frodo.

– Ano, jeśli chodzi o nazwisko, to Bilbo bardzo nieopatrznie sam mu się przedstawił; a z jakiego kraju przybył, mógł Gollum dowiedzieć się bez trudu, gdy wreszcie wyszedł na świat. Bo wyszedł! Tęsknota do Pierścienia okazała się silniejsza od strachu przed orkami, a nawet przed światłem. Po roku czy po dwóch latach opuścił góry. Widzisz, chociaż bolał po stracie, ale Pierścień już go nie zżerał, więc Gollum odżył trochę. Czuł się stary, potwornie stary, a mimo to śmielszy, no i straszliwie głodny.

Światła, czy to słonecznego, czy księżycowego, nadal się lękał i nienawidził, to mu już pewnie na zawsze zostanie. Był jednak sprytny. Przekonał się, że jego wyblakłe, zimne oczy pozwolą mu przemykać się cicho i szybko wśród czarnej nocy, unikając blasku dnia i miesięcznej poświaty, a także łowić drobne, tchórzliwe lub nieostrożne stworzenia. Lepiej odżywiony, na świeżym powietrzu nabrał sił i odwagi. Jak można było przewidzieć, trafił do Mrocznej Puszczy.

– Czy tam go znalazłeś? – spytał Frodo.

– Tam go zobaczyłem – odparł Gandalf – lecz przedtem zdążył zawędrować daleko, tropiąc Bilba. Trudno od niego się dowiedzieć czegoś

pewnego, bo wciąż przerywa opowieść przekleństwami i pogróżkami. „Co on tam ma w kieszeni? – powiada. – Nic nie wygadam, nie, mój skarbie. To oszust. Pytanie było nieuczciwe. On pierwszy oszukał. Złamał przepisy gry. Szkoda, żeśmy go nie udusili, mój skarbie. Ale zrobimy to jeszcze, tak, mój skarbie…”

Oto mała próbka stylu Golluma. Chyba ci wystarczy, co? Nudził mnie tak całymi dniami. Ale z tego bełkotu wyłowiłem trochę treści i wywnioskowałem, że Gollum doczłapał na swoich płaskich stopach aż do Esgaroth, a nawet łaził po ulicach Dale, podsłuchując i przepatrując chyłkiem wszystkie kąty. No cóż, wieści o doniosłych wydarzeniach rozniosły się szeroko po Dzikich Krajach, imię Bilba jest tam znane i niejeden wie, skąd on przybył. Myśmy zresztą nie taili, że wracamy do ojczyzny Bilba na zachodzie. Toteż czujne uszy Golluma wkrótce złowiły wszystkie wiadomości, których mu było potrzeba.

– Dlaczego w takim razie nie tropił Bilba dalej? – spytał Frodo. – Dlaczego nie przyszedł do Shire’u?

– A właśnie! – rzekł Gandalf. – O tym z kolei chciałem mówić. Myślę, że Gollum starał się tu dostać. Ruszył w stronę na zachód i dotarł aż do Wielkiej Rzeki. Ale znad jej brzegu zawrócił. Jestem pewien, że nie zraziła go odległość. Nie, musiało go powstrzymać coś innego. Tak sądzą moi przyjaciele, którzy Golluma na moją prośbę szukali.

Najpierw na jego ślad trafili zamieszkujący las elfowie, a nie mieli trudnego zadania, bo trop był jeszcze wtedy świeży: prowadził przez Mroczną Puszczę i z powrotem. Samego Golluma jednak nie spotkali. W lesie huczało od pogłosek o nim, wśród zwierząt i ptaków krążyły okropne wieści. Leśni Ludzie opowiadali, że zjawił się nowy stwór, upiór wysysający krew, że wspina się na drzewa do gniazd, wpełza do nor zwierzęcych po młode, zakrada się przez okna do kołysek.

Ale od zachodniego skraju Mrocznej Puszczy trop zawracał. Skręcał na południe, wymykał się z dziedziny dostępnej leśnym elfom i ginął. Wówczas popełniłem wielki błąd. Tak, mój Frodo. Błąd nie pierwszy w moim życiu, lecz kto wie, czy nie najgorszy w skutkach. Poniechałem na razie tej sprawy. Pozwoliłem Gollumowi odejść. Miałem bowiem wtedy co innego na głowie, a poza tym ufałem jeszcze wiedzy Sarumana.

Działo się to przed laty. Zapłaciłem za swoją omyłkę wielu ponurymi i niebezpiecznymi dniami. Trop od dawna zdążył ostygnąć, kiedy go znowu

podjąłem po wyjściu Bilba z tego domu. Wszelkie poszukiwania byłyby bezowocne, gdyby nie pomoc pewnego przyjaciela, Aragorna, znakomitego podróżnika i myśliwego naszych czasów. We dwóch szukaliśmy Golluma po całych Dzikich Krajach, bez nadziei i bez powodzenia. W końcu, gdy już dałem za wygraną i ruszyłem w inne strony, Gollum się znalazł. Przyjaciel mój wrócił szczęśliwie z niebezpiecznej wyprawy i przyprowadził z sobą tego nieszczęśnika.

Gollum nie chciał się przyznać, co przez ten czas robił. Płakał, zarzucał nam okrucieństwo, gulgotał bezustannie, a gdy nalegaliśmy, skomlał i łasił się, zacierał długie ręce, lizał palce, jakby go bolały, jakby wspominał jakieś doznane ongi męczarnie. Niestety, nie ma co wątpić, Gollum, po swojemu marudząc, skradając się krok po kroku, mila za milą lazł na południe, aż dolazł do Mordoru.

Posępne milczenie zaległo w izbie. Frodo słyszał bicie własnego serca. Nawet na dworze wszystko ucichło, nie dochodził już teraz do ich uszu szczęk nożyc Sama.

– Tak, do Mordoru – rzekł Gandalf. – Niestety! Mordor przyciąga wszystko, co złe, a Czarna Potęga napięła wolę, by całe zło skupić tam przy sobie. Pierścień Nieprzyjaciela także przecież zostawił na Gollumie swoje piętno, otworzył jego uszy na to wezwanie. A wszyscy wówczas szeptali o nowym Cieniu, który wstał na południu i który nienawidzi Zachodu. Tam właśnie szukał Gollum życzliwych przyjaciół, by mu pomogli wziąć odwet.

Nieszczęsny szaleniec! W tym kraju mógł się dowiedzieć wielu rzeczy, zbyt wielu, na swoją zgubę. Wcześniej czy później, myszkując i szpiegując na granicach, musiał wpaść im w ręce i wzięli go na spytki. Obawiam się, że tak właśnie się stało. Kiedy go odnaleźliśmy, wracał po długim pobycie u nich. Wysłany zapewne z jakąś nikczemną misją. Ale to nie ma teraz większego znaczenia. Najgorszą szkodę już wyrządził.

Tak, niestety, dzięki Gollumowi Nieprzyjaciel wie, że ktoś znalazł Jedyny Pierścień. On orientuje się, w którym miejscu zginął Isildur. Wie też, gdzie Gollum znalazł ten Pierścień. Wie, że to właśnie ten Jedyny, najpotężniejszy, skoro obdarzył swego posiadacza długim życiem. Wie, że nie może to być któryś z Trzech, bo te nigdy nie zaginęły i te nie ścierpiałyby żadnej podłości. Wie, że nie może to być któryś z Siedmiu ani z Dziewięciu; co do losu tamtych nie było nigdy wątpliwości. Wie, że to

Jedyny. I nareszcie Nieprzyjaciel po raz pierwszy, jak sądzę, usłyszał o hobbitach i o kraju Shire.

O Shire… Zapewne teraz szuka tego kraju, jeśli już nie odkrył, gdzie leży. Doprawdy, mój Frodo, lękam się, czy w jego przekonaniu nazwisko Baggins, od tak dawna niezwracające niczyjej uwagi, nie nabrało dziś wielkiego znaczenia.

– Ależ to straszne! – wykrzyknął Frodo. – O wiele gorsze niż wszystko, co mogłem sobie wyobrazić, słuchając twoich poprzednich napomknień i przestróg. Ach, Gandalfie, najlepszy mój przyjacielu, powiedz, co robić? Teraz bowiem naprawdę jestem przerażony. Co robić? Jakże mi żal, że Bilbo nie zadźgał tej poczwary, skoro miał po temu okazję!

– Żal? Przecież to właśnie żal i litość wstrzymały wówczas jego rękę. Litość i miłosierdzie przypomniały mu, że bez doraźnej konieczności nie wolno dobywać miecza. Bilbo został za to hojnie wynagrodzony. Bądź pewien, Frodo, że jeśli Bilbo doznał tak niewielkiej stosunkowo szkody od złych sił i zdołał się w końcu uwolnić, zawdzięcza to właśnie temu, że tak, a nie inaczej poczynał sobie w pierwszej godzinie jako nowy właściciel Pierścienia: miłosiernie.

– Wybacz – powiedział Frodo. – Ale jestem w strachu, a zresztą nie odczuwam wcale litości dla Golluma.

– Nie widziałeś go – odparł Gandalf.

– Nie widziałem i widzieć nie chcę – rzekł Frodo. – Nie rozumiem cię, Gandalfie. Czy znaczy to, że wraz z elfami darowałeś życie Gollumowi, który popełnił tyle okropnych zbrodni? Teraz przecież nie jest on lepszy od orka i stał się po prostu naszym wrogiem. Zasługuje na śmierć.

– Zasługuje. Z pewnością zasługuje. Wielu spośród żyjących zasługuje na śmierć. A niejeden z tych, którzy umierają, zasługuje na życie. Czy możesz ich nim obdarzyć? Nie bądź więc tak pochopny w ferowaniu wyroków śmierci. Nawet bowiem najmądrzejszy nie wszystko wie. Nie mam wielkiej nadziei na wyleczenie Golluma przed śmiercią. Ale ta szansa mimo wszystko istnieje. Zresztą Gollum jest związany z losem Pierścienia. Coś mi mówi, że on jeszcze odegra jakąś rolę, zbawienną albo zgubną, nim się cała sprawa zakończy. A kiedy nadejdzie ta chwila, może właśnie litość okazana przez Bilba rozstrzygnie o niejednym losie, a przede wszystkim o twoim. My w każdym razie nie zabiliśmy Golluma, jest bardzo stary i

bardzo nieszczęśliwy. Leśni elfowie trzymają go w niewoli, ale traktują z całą łagodnością, na jaką stać ich mądre serca.

– Wszystko to pięknie – rzekł Frodo – ale szkoda, że Bilbo, skoro nie mógł zabić Golluma, zatrzymał Pierścień. Wolałbym, żeby nie znalazł go i żeby mi go nie przekazywał. Dlaczego pozwoliłeś mi ten Pierścień przechowywać? Dlaczego nie kazałeś mi go wyrzucić lub zniszczyć?

– Dlaczego ci pozwoliłem? Nie kazałem? – odparł Czarodziej. – Czy nie słuchałeś uważnie tego wszystkiego, co ci opowiedziałem? Sam nie wiesz, co mówisz. Wyrzucając go, popełnilibyśmy w każdym razie straszliwy błąd. Takie Pierścienie zawsze ktoś znajduje. A w złym ręku Pierścień wyrządziłby wiele złego. Co zaś najgorsze, mógłby wpaść w ręce Nieprzyjaciela. Nawet na pewno by się tak stało, bo to jest jego Jedyny Pierścień, on zaś wysila całą swoją potęgę, by tę swoją własność odnaleźć i ku sobie przyciągnąć.

Oczywiście, mój drogi, byłeś w niebezpieczeństwie i to mnie głęboko niepokoiło. Ale gra szła o tak wielką stawkę, że musiałem ważyć się na pewne ryzyko… Wiedz jednak, że nawet wówczas, gdy byłem daleko stąd, czujne oczy strzegły tego kraju dniem i nocą. Dopóki go nie używałeś, mogłem być spokojny, że Pierścień nie wyrządzi ci trwałej krzywdy, a przynajmniej, że ci to nie grozi przez długi czas. Pamiętaj też, że dziewięć lat temu, kiedy ostatni raz widziałem się z tobą, niewiele jeszcze sam wiedziałem na pewno.

– Ale czemu nie kazałeś mi go zniszczyć? Mówiłeś przecież, że należało to zrobić już dawno temu! – wykrzyknął znów Frodo. – Gdybyś był mnie przestrzegł czy bodaj przysłał takie polecenie, byłbym z nim skończył.

– Czyżby? A jakim na przykład sposobem? Czy próbowałeś?

– Nie. Myślę jednak, że dałoby się go zmiażdżyć młotkiem albo stopić.

– Spróbuj! – powiedział Gandalf. – Spróbuj zaraz!

Frodo więc po raz wtóry wyciągnął z kieszeni Pierścień i przyjrzał mu się uważnie: był znów zwyczajny i gładki, nie dostrzegało się na nim żadnych znaków czy napisów. Złoto lśniło jasno i czysto. Zachwycił Froda bogactwem i pięknem barwy, doskonałością kształtu. To był prześliczny klejnot, prawdziwy skarb. Wyjmując Pierścień z kieszeni, Frodo zamierzał go cisnąć w sam środek płomieni na kominku. Lecz teraz zrozumiał, że nie

zdobędzie się na to, przynajmniej nie bez ciężkiej walki. W rozterce ważył Pierścień na dłoni i z wysiłkiem przywoływał na pamięć wszystko, co Gandalf mu opowiedział. Potem skupił wolę i zamachnął się, jakby do rzutu… Ale okazało się, że tylko włożył Pierścień z powrotem do kieszeni.

Gandalf zaśmiał się ponuro.

– Widzisz? Już i tobie niełatwo się z nim rozstać, cóż dopiero zniszczyć go! Nie mógłbym cię do tego skłonić, chyba przemocą, ale to by ciebie złamało. Pierścienia natomiast przemocą nie da się złamać. Gdybyś nawet walił w niego kowalskim młotem, nie zostanie na nim ani śladu. Ani moje, ani twoje ręce nie są zdolne go zniszczyć.

Ten twój ogienek oczywiście nie stopiłby i zwykłego złota. Pierścień już przez tę próbę przeszedł bez uszczerbku, nie rozgrzał się nawet. Nie ma w Shire takiej kuźni, w której by można bodaj trochę zmienić jego kształt. Nie zdziałałyby nic nawet kowadła i piece hutnicze krasnoludów. Powiadają, że ogień smoczy miał moc topienia i trawienia Pierścieni Władzy, ale nie ma już na ziemi takiego smoka, który by po dawnemu ział dość gorącym ogniem, nigdy zresztą nie istniał smok tak ognisty, żeby zmógł ten Jedyny Pierścień, rządzący wszystkimi innymi, dzieło własnych rąk Saurona. Sam Ankalagon Czarny nie byłby od niego mocniejszy.

Jest tylko jeden sposób: znaleźć Szczeliny Zagłady w głębiach Orodruiny, Ognistej Góry, i tam wrzucić Pierścień, jeżeli naprawdę chcesz go zniszczyć i uchronić raz na zawsze od powrotu w ręce Nieprzyjaciela.

– Ależ ja chcę go zniszczyć! – krzyknął Frodo. – Albo raczej chcę, żeby został zniszczony. Bo osobiście nie nadaję się do niebezpiecznych misji. Wolałbym tego Pierścienia nigdy na oczy nie widzieć! Czemuż on mnie właśnie się dostał? Czemuż to na mnie padł wybór?

– Na te pytania nie ma odpowiedzi – rzekł Gandalf. – Z pewnością nie wybrano cię dla jakichś zalet, których by innym brakowało, a w każdym razie nie z racji potęgi lub mądrości. Skoro jednak zostałeś wybrany, musisz dać z siebie tyle siły, serca i rozumu, na ile cię stać.

– Ależ ja mam bardzo niewiele tych rzeczy! To ty jesteś mądry i potężny. Czy nie zechciałbyś wziąć Pierścienia?

– Nie! – zawołał Gandalf, zrywając się na równe nogi. – Gdybym do własnych sił dołączył jego moc, rozporządzałbym zbyt wielką, straszliwą potęgą, a Pierścień zyskałby nade mną władzę tym większą, tym bardziej

zabójczą. – Oczy Gandalfa rozbłysły, cała twarz spłoniła się, jakby od wewnętrznego ognia. – Nie kuś mnie! Bo nie chcę się stać podobny do Władcy Ciemności. A przecież Pierścień trafia do mojego serca poprzez litość, litość dla słabości; pożądam siły po to, by czynić dobrze. Nie kuś mnie! Nie śmiem go wziąć, choćby tylko na przechowanie, nie do użytku. Nie znalazłbym siły, by oprzeć się i nie zatrzymać go. Tak bardzo będzie mi potrzebny! Grożą mi wielkie niebezpieczeństwa.

Podszedł do okna, rozsunął zasłony, otworzył okiennice. Blask słońca znowu zalał pokój. Ścieżką przeszedł Sam, pogwizdując.

– A teraz – rzekł Czarodziej, zwracając się do Froda – do ciebie należy decyzja. Ale zawsze będę ci gotów pomóc. – Położył rękę na ramieniu hobbita. – Pomogę ci dźwigać to brzemię, dopóki będzie ono na tobie ciążyć. Musimy jednak działać bez zwłoki. Nieprzyjaciel nie śpi.

Na długą chwilę zaległa cisza. Gandalf usiadł i pykał fajkę, jakby pogrążony w zadumie. Oczy miał z pozoru zamknięte, lecz spod powiek czujnie śledził Froda. Frodo wpatrywał się w żar na kominku tak uparcie, że wreszcie ogień wypełnił jego wyobraźnię i hobbitowi zdawało się, iż zagląda w płomienne czeluści. Rozmyślał o legendarnych Szczelinach Zagłady i o grozie Ognistej Góry.

– No i cóż? – spytał w końcu Gandalf. – O czym myślisz? Czy już postanowiłeś, co zrobisz?

– Nie – odpowiedział Frodo i ocknąwszy się, jakby wracał z głębi nocy, ze zdziwieniem stwierdził, że wcale nie jest ciemno i że za oknem widać ogród w blasku słońca. – A może tak. Jeżeli dobrze zrozumiałem, co mi mówiłeś, sądzę, że powinienem przynajmniej na razie zatrzymać Pierścień i strzec go, nie dbając o szkody, jakie może mi wyrządzić.

– Jego wpływ, szkodliwy wpływ, będzie oddziaływał bardzo powoli, jeżeli zatrzymasz go w takiej intencji – rzekł Gandalf.

– Mam nadzieję – odparł Frodo. – Ale mam też nadzieję, że wkrótce znajdziesz jakiegoś odpowiedniejszego strażnika Pierścienia. Tymczasem jednak stanowię zagrożenie, jestem niebezpieczny dla całego otoczenia. Zatrzymując Pierścień, nie mogę pozostać tutaj. Powinienem opuścić ten dom i Shire, i wszystko… powinienem stąd odejść! – Frodo westchnął. – Rad bym ocalić Shire, jeżeli zdołam… A przecież bywały dni, kiedy wszyscy jego mieszkańcy wydawali mi się nie do zniesienia głupi i tępi i

myślałem, że przydałoby im się trzęsienie ziemi albo najazd smoków. Dzisiaj tak już nie myślę. Przeciwnie, mam uczucie, że dopóki ten kraj będzie za mną leżał bezpieczny i spokojny, łatwiej zniosę tułaczkę: ze świadomością, że istnieje gdzieś pewny grunt, nawet jeśli ja na nim nie mogę oprzeć stopy.

Oczywiście nieraz marzyłem o podróży, ale wyobrażałem ją sobie jako wakacje, jako łańcuch przygód, podobnych do przygód Bilba, a nawet jeszcze ciekawszych i kończących się szczęśliwie. To, co mnie teraz czeka, oznacza wygnanie, ucieczkę przed jednym niebezpieczeństwem w inne, nieodstępnie ciągnące za mną. Przypuszczam też, że muszę ruszyć w świat sam, jeśli mam wykonać zadanie i ocalić Shire. Ale czuję się bardzo mały, bardzo bezdomny i – co tu ukrywać! – zdesperowany. Nieprzyjaciel jest tak potężny i okrutny!

Nie przyznał się do tego Gandalfowi, lecz w miarę jak mówił, w sercu jego rozpalała się coraz gorętsza ochota pójścia w ślady Bilba, a może też odszukania go w świecie. Chęć ta była silniejsza nawet od strachu. Frodo omal nie wybiegł na gościniec tak jak stał, natychmiast, bez kapelusza – jak zrobił to Bilbo w podobny ranek przed wielu laty.

– Frodo kochany! – zawołał Gandalf. – Hobbici to doprawdy zdumiewające stworzenia, co zresztą zawsze mówiłem. Niby można w ciągu tygodnia poznać ich na wylot, a przecież po stu latach znajomości potrafią cię zaskoczyć niespodzianką nie do wiary! Nawet od ciebie nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. Ale Bilbo nie omylił się w wyborze spadkobiercy, chociaż nie zdawał sobie sprawy, jak doniosłe okaże się to w skutkach. Obawiam się, że masz słuszność. Nie dałoby się dłużej utrzymać w tym kraju Pierścienia w sekrecie, więc zarówno dla twego dobra, jak dla dobra innych będziesz musiał stąd odejść, pozostawiając tu nazwisko Baggins. Nie byłoby bezpiecznie nosić je poza granicami Shire’u i w Dzikich Krajach. Daję ci nowe nazwisko na czas podróży. Ruszysz w świat jako pan Underhill.

Nie sądzę jednak, byś musiał podróżować samotnie. Możesz wziąć towarzysza, jeżeli znajdziesz wśród znajomych kogoś godnego zaufania, kogoś, kto zechce dotrzymać ci kompanii i kogo ty zechcesz pociągnąć za sobą w nieprzewidziane niebezpieczeństwa. Ale szukając towarzysza, bądź bardzo ostrożny w wyborze. Bądź ostrożny, zwierzając się bodaj

najserdeczniejszemu przyjacielowi. Wróg ma wielu szpiegów i wiele sposobów, by podsłuchać twoje sekrety.

Nagle Gandalf urwał, jakby czegoś nasłuchując. Frodo uświadomił sobie, że w domu i w ogrodzie jest niezwykle cicho. Gandalf przyczaił się przy oknie. Znienacka jednym susem skoczył naprzód i długą ręką sięgnął na zewnątrz pod parapet. Rozległ się pisk i ukazała się kędzierzawa głowa Sama Gamgee, którego Czarodziej ciągnął w górę za ucho.

– Na moją brodę! – rzekł Gandalf. – A więc to Sam Gamgee? Coś ty tutaj robił?

– Słowo daję, panie Gandalfie! – odparł Sam. – Nic nie robiłem! Właśnie trawę przycinałem pod oknem, o, widzi pan! – I na dowód podniósł z ziemi nożyce.

– Nie – surowo rzekł Gandalf. – Od dłuższego już czasu nie słyszałem szczęku twoich nożyc. Od jak dawna strzygłeś uszami?

– Nie uszami, tylko trawę strzygłem, za przeproszeniem pańskim.

– Nie udawaj durnia. Mów, coś słyszał i dlaczego podsłuchiwałeś? – Oczy Gandalfa ciskały płomienie, brwi zjeżyły się jak szczotki.

– Panie Frodo! – krzyknął Sam, drżąc cały. – Niech mnie pan broni! Niech pan nie pozwoli, żeby on mnie przemienił w jakiego cudaka! Mój stary tatuś nie przeżyłby tego! Słowo daję, że nie miałem nic złego na myśli!

– Gandalf nie zrobi ci krzywdy – rzekł Frodo, z trudem powstrzymując się od śmiechu, jakkolwiek sam był też zaskoczony i trochę zbity z tropu. – Wie równie dobrze jak ja, że nie miałeś z pewnością złych zamiarów. Ale teraz uspokój się i odpowiadaj uczciwie na pytania.

– Ano, proszę pana – rzekł Sam, dygocąc z lekka – słyszałem różne rzeczy, których ani w ząb nie zrozumiałem, o jakimś nieprzyjacielu i o pierścieniach, i o panu Bilbo, i o smokach, i o górze ognistej, i… o elfach, proszę pana! A słuchałem dlatego, że nie mogłem się oderwać, pan chyba wie, jak to bywa. Okropnie lubię takie historie. I wierzę w nie święcie, niech sobie Ted gada, co chce. Najbardziej mi o tych elfów chodzi. Tak bym ich chciał zobaczyć! Czy nie mógłby mnie pan zabrać z sobą i poznajomić z elfami, panie Frodo?

Gandalf wybuchnął śmiechem.

– Chodź no tutaj! – krzyknął i chwyciwszy oburącz zdumionego Sama, wciągnął go przez okno razem z nożycami, źdźbłami obciętej trawy i całą osobą do pokoju i postawił na posadzce. – Zabrać cię do elfów, co? – rzekł, wpatrując się pilnie w oczy chłopaka, lecz już z uśmiechem na wargach. – Więc słyszałeś, że pan Frodo wybiera się w drogę?

– Tak, proszę pana. I dlatego się zachłysnąłem, a wtedy pan mnie usłyszał. Starałem się powstrzymać, ale wyrwało mi się, bo okropnie się zmartwiłem.

– Nie ma innej rady – ze smutkiem powiedział Frodo. Nagle uświadomił sobie, że ucieczka z Shire’u oznacza wiele bolesnych rozstań, a nie tylko pożegnanie z wygodnym własnym domem w Bag End. – Muszę iść w świat. Ale… – spojrzał uważnie na Sama – jeżeli naprawdę jesteś do mnie przywiązany, dotrzymasz sekretu. Rozumiesz? Bo inaczej – gdybyś chociaż słowo pisnął z tego, co tu podsłuchałeś – Gandalf pewnie by cię zmienił w nakrapianą ropuchę, a do ogrodu napuściłby mnóstwo węży.

Sam, drżąc, padł na kolana.

– Wstawaj! – rzekł Gandalf. – Wymyśliłem dla ciebie coś lepszego, coś, co ci zamknie usta, a zarazem ukarze cię za podsłuchiwanie. Pójdziesz razem z panem Frodem.

– Ja? Pójdę? – wrzasnął Sam i zaczął skakać jak pies, kiedy się go zaprasza na spacer. – Zobaczę elfów i wszystko! Hura!

I Sam rozpłakał się z radości.

ROZDZIAŁ 3
TRZECH TO JUŻ KOMPANIA

– Powinieneś wyruszyć cichcem i powinieneś wyruszyć wkrótce – rzekł Gandalf. Minęło bowiem parę tygodni, a Frodo wcale nie objawiał gotowości do podróży.

– Wiem. Ale trudno spełnić jednocześnie oba te warunki – odparł Frodo. – Jeżeli zniknę jak Bilbo, wieść o tym rozniesie się w mgnieniu oka po całym kraju.

– Oczywiście, że nie możesz tak zniknąć – powiedział Gandalf. – To by wcale nie było dobrze. Powiedziałem: wkrótce, nie: natychmiast. Jeżeli nie możesz znaleźć jakiegoś sposobu, żeby się wymknąć po cichu, tak żeby nie zwrócić powszechnej uwagi, to lepiej już z dwojga złego odwlec trochę wyjazd. Ale nie marudź zbyt długo.

– Może by tak poczekać do jesieni albo do naszych urodzin? – spytał Frodo. – Myślę, że do tego czasu jakoś bym to mógł urządzić.

Prawdę mówiąc, teraz, gdy trzeba już było wprowadzić zamiar w czyn, Frodo z wielką niechęcią myślał o podróży. Bag End nigdy w ciągu tych wszystkich lat nie wydawało mu się tak miłą siedzibą, chciał też nacieszyć się w pełni ostatnim latem spędzonym w Shire. Wiedział, że z nadejściem jesieni bodaj połowa jego serca chętnie skłoni się do myśli o wędrówce, jak zwykle o tej porze roku. W duchu już postanowił sobie opuścić dom w dzień swoich pięćdziesiątych – a Bilba sto dwudziestych ósmych – urodzin. Ten dzień zdawał mu się najodpowiedniejszy do rozpoczęcia przygody i wstąpienia w ślady wuja. Myśl o odszukaniu Bilba zaprzątała go najżywiej i osładzała gorycz wyjazdu. O Pierścieniu i o tym, dokąd Pierścień może go zaprowadzić, starał się myśleć jak najmniej. Nie wszystkie te myśli zwierzał Gandalfowi. Trudno byłoby powiedzieć, ile z nich Czarodziej odgadywał. Przyglądał się Frodowi z uśmiechem.

– Zgoda – rzekł. – Sądzę, że to dobry pomysł. Ale dłużej nie zwlekaj. Zaczynam się poważnie niepokoić. Tymczasem bądź ostrożny i nikomu ani słówkiem nie wspomnij, dokąd się wybierasz. Przypilnuj też, żeby Sam Gamgee nic nie wypaplał. Bo inaczej musiałbym go naprawdę zamienić w ropuchę.

– Choćbym chciał, nie mogę się wygadać, dokąd się wybieram – rzekł Frodo – bo sam, jak dotąd, nic pewnego nie wiem.

– Nie mów głupstw – odparł Gandalf. – Nie przestrzegam cię, żebyś nie zostawiał adresu w urzędzie pocztowym. Ale nikt nie powinien wiedzieć nawet tego, że opuszczasz Shire, dopóki nie będziesz daleko stąd. A wędrować, czy przynajmniej wyruszyć, musisz na północ, południe, zachód czy wschód, nikomu nie zdradzając celu podróży.

– Tak byłem pochłonięty myślą o rozstaniu z domem i o rozłące z przyjaciółmi, że nawet nie zastanawiałem się nad kierunkiem podróży – rzekł Frodo. – Dokąd bowiem mam iść? Czym się kierować? Czego właściwie szukać? Bilbo ruszał po skarb, wybierał się tam i z powrotem, ale ja mam skarb zgubić i wcale nie wracać; przynajmniej nie widzę tej możliwości przed sobą.

– Niezbyt daleko naprzód umiesz sięgnąć wzrokiem – powiedział Gandalf. – W tym przypadku zresztą ja też nie. Może sam będziesz musiał odnaleźć Szczeliny Zagłady, a może ktoś inny przejmie od ciebie to zadanie. Nie wiem. W każdym razie nie jesteś jeszcze gotów do tej dalekiej podróży.

– Nie jestem – potwierdził Frodo. – Ale jaki kierunek powinienem obrać na początek?

– Naprzeciw niebezpieczeństwu. Nie za pochopnie jednak i nie najprostszą drogą – odparł Czarodziej. – Jeżeli chcesz usłuchać mojej rady, idź do Rivendell. Podróż tam nie powinna być zbyt niebezpieczna, jakkolwiek droga jest teraz trudniejsza niż dawniej, a pod jesień pogorszy się jeszcze.

– Rivendell! – rzekł Frodo. – Doskonale! Ruszę więc na wschód i będę zdążał do Rivendell. Wezmę z sobą Sama w odwiedziny do elfów, chłopak oszaleje z radości.

Mówił to lekkim tonem, lecz serce drgnęło mu w piersi i zapragnął zobaczyć dom Elronda Półelfa, odetchnąć powietrzem tej głębokiej doliny, w której dotychczas mieszkało w spokoju mnóstwo elfów.

Pewnego letniego wieczora zdumiewająca wieść dotarła „Pod Bluszcz” i „Pod Zielonego Smoka”. Zapomniano o olbrzymach i wszystkich złowieszczych znakach na pograniczu wobec sprawy o wiele donioślejszej:

pan Frodo sprzedaje czy nawet już sprzedał Bag End. I to komu? Bagginsom z Sackville!

– Wziął ładny grosz – mówili jedni.

– Za bezcen oddał – powiadali inni. – Jakżeby inaczej, skoro to pani Lobelia dobijała targu. (Otho zmarł jakiś czas przedtem, w dojrzałym, lecz niezbyt sędziwym wieku stu dwóch lat).

Jeszcze więcej niż o cenie rozprawiano o przyczynach, które mogły skłonić pana Froda do sprzedaży pięknej norki. Ten i ów – opierając się na pewnych napomknieniach i minach pana Bagginsa – twierdził, że Frodo wyczerpał zasoby pieniężne; opuszczał Hobbiton, żeby osiąść w Bucklandzie wśród swoich krewnych Brandybucków i żyć odtąd skromnie z sumy uzyskanej za Bag End.

– Byle jak najdalej od Bagginsów z Sackville – dodawali niektórzy.

Lecz przekonanie o niewyczerpanych bogactwach Bagginsów z Bag End tak było zakorzenione, że większość nie mogła uwierzyć w taki powód decyzji Froda i snuła inne, mniej lub bardziej nieprawdopodobne domysły z własnej fantazji; przeważnie dopatrywano się jakiejś tajemnej i niewykrytej dotychczas intrygi Gandalfa. Jakkolwiek Czarodziej siedział cicho i nie wychodził za dnia z domu – wszyscy wiedzieli, że „przyczaił się w Bag End”. Ale czy ta przeprowadzka naprawdę dogadzała zamiarom Czarodzieja, czy nie, jedno było pewne: Frodo Baggins postanowił wrócić do Bucklandu.

– Tak, wyprowadzam się tej jesieni – mówił. – Merry Brandybuck szuka tam dla mnie jakiejś przyjemnej norki albo domku.

Rzeczywiście, za pośrednictwem przyjaciela już wybrał i kupił siedzibę Ustroń, opodal Bucklebury. Wszystkim z wyjątkiem Sama opowiedział, że zamierza tam osiedlić się na stałe. Wpadł na ten pomysł już po decyzji wyruszenia na wschód, Buckland bowiem leżał na wschodnim pograniczu Shire’u, a że Frodo tam właśnie spędził dzieciństwo, zapowiedź powrotu w rodzinne okolice brzmiała przynajmniej wiarygodnie.

Gandalf przebywał w Shire dwa miesiące z górą. Wreszcie pewnego wieczoru pod koniec czerwca, wkrótce po ostatecznym ustaleniu planów Froda, Czarodziej niespodzianie oznajmił, że nazajutrz znów rusza w świat.

– Mam nadzieję, że nie na długo – rzekł. – Idę jednak aż na południową granicę zasięgnąć języka, o ile to się okaże możliwe. Już i tak za długo próżnowałem.

Czarodziej mówił to lekko, Frodowi jednak wydał się niespokojny.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Właściwie nic, ale doszły mnie pewne słuchy, trochę niepokojące i wymagające sprawdzenia. Gdybym doszedł do wniosku, że wskazane jest, byś stąd odszedł niezwłocznie, wrócę sam albo w najgorszym wypadku przyślę ci słówko. Na razie trzymaj się ułożonego planu, lecz postępuj jeszcze ostrożniej niż dotychczas, szczególnie z Pierścieniem. Raz jeszcze powtarzam ci, pamiętaj: nie używaj go!

Ruszył w drogę o świcie.

– Wrócę lada dzień – powiedział. – A najpóźniej – na pożegnalne przyjęcie urodzinowe. Biorąc wszystko pod uwagę, sądzę, że na szlaku będzie ci potrzebne moje towarzystwo.

Początkowo Frodo bardzo był zaniepokojony i często rozmyślał, co też za słuchy mogły dojść do Gandalfa; z czasem jednak niepokój stępiał, a że pogoda była piękna, hobbit na razie odsunął od siebie troski. Rzadko Shire zaznawał równie pogodnego lata i równie urodzajnej jesieni; drzewa uginały się od jabłek, miód przelewał się z plastrów, zboża wyrosły bujnie i kłosy miały ciężkie.

Jesień była już w pełni, zanim Frodo znowu zaczął się niepokoić o Gandalfa. Wrzesień mijał, a Czarodziej nie dawał znaku życia. Dzień urodzin i wyprowadzki zbliżał się, ale Gandalf ani się nie zjawił, ani nie przysyłał wieści. W Bag End zapanował ruch. Do pomocy w pakowaniu rzeczy przybyło kilku przyjaciół Froda: Fredegar Bolger i Folko Boffin, no i oczywiście najserdeczniejsi druhowie, Pippin Tuk i Merry Brandybuck. Kompania ta przewracała po prostu dom do góry nogami.

Dwudziestego września drogą przez most na Brandywinie odjechały w stronę Bucklandu dwa kryte wozy załadowane meblami i rzeczami, których Frodo nie sprzedał wraz z Bag End. Nazajutrz Frodo, nie na żarty już zaniepokojony, przez cały dzień wypatrywał Gandalfa. W czwartek poranek wstał piękny i pogodny, jak ongi w dzień wielkiej urodzinowej zabawy Bilba. Gandalf jednak się nie zjawił. Wieczorem Frodo wydał ucztę pożegnalną, bardzo zresztą skromną, bo do stołu siadło prócz gospodarza

jedynie czterech jego pomocników. Frodo wszakże był zatroskany i nie w humorze. Ciążyła mu na sercu myśl, że już wkrótce będzie musiał rozstać się z młodymi przyjaciółmi. Zastanawiał się też, jak im o tym powiedzieć.

Ale czterej hobbici kipieli werwą, toteż po chwili mimo nieobecności Gandalfa wesoły nastrój ogarnął całe towarzystwo. Jadalnia była ogołocona z mebli, został w niej tylko stół i krzesła, lecz kolację podano wyśmienitą, a wina najprzedniejsze, bo Frodo wyłączył swoją piwniczkę z inwentarza rzeczy odstępowanych Bagginsom z Sackville.

– Nie wiem, co się stanie z resztą mojego dobytku, kiedy wpadnie w łapy nowych gospodarzy, ale dla wina znalazłem lepszy schowek – rzekł Frodo, wysączając do dna kieliszek. Była to ostatnia kropla wina ze starych winnic.

Prześpiewali mnóstwo pieśni, nagadali się o wszystkich wspólnych wspomnieniach, a wreszcie wypili zdrowie Bilba, święcąc urodziny wuja razem z urodzinami siostrzeńca wedle przestrzeganego przez Froda zwyczaju. Potem, nim się pokładli do łóżek, wyszli przed norkę odetchnąć świeżym powietrzem i spojrzeć na gwiazdy. Pożegnalna uczta Froda była zakończona, a Gandalf nie przybył.

Nazajutrz ranek przeszedł im na ładowaniu jeszcze jednego wozu resztkami manatków. Zaopiekował się nim Merry i pojechał na wozie wraz z Grubasem, czyli Fredegarem Bolgerem.

– Ktoś musi przygotować nowy dom na twoje przyjęcie – rzekł Merry. – No, do prędkiego zobaczenia pojutrze, jeśli nie zamarudzicie w drodze!

Folko po lunchu wrócił do swego domu, lecz Pippin został. Frodo, niespokojny i niepewny, daremnie nadstawiał ucha, czy nie usłyszy pukania Gandalfa. Postanowił czekać do zmierzchu. Gandalf, jeśliby się zjawił po jego odejściu, a chciał go pilnie widzieć, mógł dopędzić podróżnych w Ustroni, a nawet ich wyprzedzić. Frodo bowiem wyruszał pieszo. Zamierzał dla przyjemności, a bardziej niż z innych powodów dlatego, że chciał raz jeszcze przyjrzeć się dobrze krajowi – wędrować z Hobbitonu do granic Bucklebury bez pośpiechu.

– Będzie to dla mnie zarazem niezła gimnastyka – rzekł, przeglądając się w zakurzonym lustrze na ścianie opustoszałego holu. Od dawna nie uprawiał dalszych marszów i wydał się sobie nieco skapcaniały.

Po lunchu, ku wielkiemu niezadowoleniu Froda, zjawiła się Lobelia w towarzystwie swego płowowłosego syna Lotha.

– Nareszcie to wszystko jest nasze! – powiedziała Lobelia, wkraczając do norki. Nie było to grzeczne odezwanie się, a ponadto, ściśle mówiąc, niezupełnie zgodne z prawdą, bo umowa wchodziła w życie dopiero z wybiciem północy. Lobelia zasługiwała jednak na pewną pobłażliwość, musiała przecież czekać na objęcie Bag End o siedemdziesiąt siedem lat dłużej, niż sobie początkowo obiecywała, i tymczasem dożyła setki. Jakkolwiek bądź, przyszła teraz dopilnować, czy nic z tego, za co zapłaciła, nie wyniesiono z norki, i zażądała kluczy. Nieprędko dała się zaspokoić, przyniosła bowiem dokładny spis nabytych rzeczy i sprawdzała pozycję po pozycji. W końcu odeszła ze swoim Lothem, z zapasowym kluczem oraz z obietnicą, że Frodo zostawi dla niej drugi klucz u Dziadunia Gamgee. Krzywiła się co prawda na to, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że nie jest wcale pewna, czy Gamgee do rana nie splądruje norki. Frodo nie poczęstował Lobelii nawet filiżanką herbaty.

Zjadł podwieczorek w towarzystwie Pippina i Sama Gamgee w kuchni. Oficjalnie ogłoszono, że Sam udaje się do Bucklandu, żeby nadal usługiwać panu Frodowi i zajmować się jego ogródkiem; Dziadunio Gamgee poparł ten projekt, nic wszakże nie mogło go pocieszyć w strapieniu, o jakie przyprawiała go myśl o sąsiadowaniu odtąd z Lobelią.

– Ostatni nasz posiłek w Bag End! – rzekł Frodo, wstając od stołu. Zmywanie pozostawili Lobelii. Pippin i Sam ścisnęli rzemieniami trzy podróżne worki i ustawili je na ganku. Potem Pippin po raz ostatni wyszedł na spacer do ogrodu. Sam zniknął.

Słońce zachodziło. Norka wydawała się smutna, ponura, zaniedbana. Frodo krążył po znajomych pokojach, patrząc, jak blask słoneczny przygasa na ścianach, a cienie wypełzają z kątów. Zrobiło się ciemno. Frodo wyszedł na dwór aż do furtki na końcu ścieżki, a potem kilka kroków drogą w dół Pagórka. Jeszcze się łudził, że może zobaczy Gandalfa wspinającego się w mroku pod górę. Niebo było pogodne, gwiazdy rozbłyskiwały jasno.

– Noc zapowiada się pięknie – powiedział Frodo głośno. – To dobry początek. Mam ochotę już wreszcie wyruszyć. Uprzykrzyło mi się czekanie. Pójdę, a Gandalf niech mnie goni.

Zawrócił, ale natychmiast stanął w miejscu, bo zza zakrętu, od zaułka Bagshot, doszły go jakieś głosy. Jeden z nich należał niewątpliwie do Dziadunia Gamgee, drugi był obcy i nieprzyjemny. Słów nieznajomego Frodo nie rozróżniał, lecz odpowiedzi Dziadunia, trochę krzykliwe, słyszał dobrze. Hamfast Gamgee zdawał się rozdrażniony.

– Nie, pana Bagginsa nie ma w domu. Dzisiaj rano wyruszył w drogę, a mój Sam z nim razem, w każdym razie wywieźli wszystkie rzeczy. Tak, sprzedał gospodarstwo i wyprowadził się, jużem mówił. Dlaczego? To już nie moja sprawa i nie wasza. Dokąd? Owszem, wiem, to nie sekret. Do Bucklebury czy gdzieś w tamte okolice. Tak, tak, szmat drogi. Nigdy nie byłem tak daleko. W Bucklandzie zresztą sami dziwacy mieszkają. Nie, żadnej wiadomości dla nikogo u mnie nie zostawił. Dobranoc!

Kroki zadudniły po stoku Pagórka. Frodo zdziwił się trochę, że odczuł taką ulgę w sercu, stwierdzając, że oddalały się, zamiast zbliżać do jego norki. „Pewnie dlatego, że uprzykrzyły mi się już pytania i dociekania na temat moich poczynań – pomyślał. – Ileż to wścibstwa na świecie!” Przyszło mu do głowy, że może warto spytać Dziadunia, z kim rozmawiał, ale – na swoje szczęście czy może nieszczęście – rozmyślił się i szybko wrócił do Bag End.

Pippin siedział pod gankiem na swoim worku. Sama nie było. Frodo przestąpił próg norki i krzyknął w ciemność: – Sam! Już czas w drogę!

– Lecę, lecę, proszę pana! – odpowiedział z głębi norki głos Sama, a w chwilę później ukazał się hobbit, ocierając dłonią usta. Żegnał się z baryłką piwa w piwnicy.

– Zaopatrzyłeś się, co? – spytał Frodo.

– Tak, proszę pana. Na jakiś czas wystarczy.

Frodo zamknął i zaryglował okrągłe drzwiczki, oddał klucz Samowi.

– Skocz no i odnieś to ojcu, Samie – rzekł. – Potem biegnij na przełaj, żebyśmy na ciebie nie czekali u furtki na końcu ścieżki za łąkami. Nie będziemy teraz nocą szli przez miasteczko. Za wiele ciekawych oczu i uszu.

Sam puścił się pędem do ojcowskiego domu.

– No, wreszcie ruszamy! – rzekł Frodo. Zarzucili worki na plecy, wzięli do rąk laski i obeszli od zachodu Bag End.

– Żegnaj! – powiedział Frodo, spoglądając w ciemne, puste okna. Podniósł rękę, a potem odwrócił się (zupełnie jak kiedyś Bilbo, lecz tego Frodo nie wiedział) i pospieszył za Peregrinem ścieżką w dół przez ogród. Przeskoczyli żywopłot w miejscu, gdzie był najniższy, i jak powiew wiatru w trawach weszli w noc.

U stóp Pagórka od zachodniego stoku znaleźli furtkę prowadzącą na wąską dróżkę. Tu zatrzymali się i przyciągnęli rzemienie u worków. Zaraz też biegiem zjawił się zasapany Sam; ciężką pakę niósł przytroczoną wysoko na plecach, a na głowie miał wysoki bezkształtny filcowy worek, który nazywał kapeluszem. W mroku wyglądał zupełnie jak krasnolud.

– Jestem pewien, że najcięższe rzeczy wpakowaliście do mojego worka – powiedział Frodo. – Współczuję ślimakom i wszelkim stworzeniom, które dźwigają swoje domy na własnych grzbietach.

– Ja bym mógł nieść więcej rzeczy, proszę pana. Mój worek jest zupełnie lekki – oświadczył Sam mężnie, choć zgoła niewiarygodnie.

– Nic od niego nie bierz, Samie – rzekł Pippin. – Dobrze mu tak! Niesie tylko to, co kazał zapakować. Rozleniwił się ostatnimi czasy, ale będzie mu wkrótce lżej, jak straci w marszu coś niecoś z własnej wagi.

– Zlituj się nad biednym starym hobbitem! – zaśmiał się Frodo. – Z pewnością będę wiotki jak wierzbowa gałązka, nim dotrzemy do Bucklandu. Żartowałem oczywiście. Podejrzewam, że Sam wziął na siebie o wiele więcej, niżby mu sprawiedliwie powinno przypaść w udziale. Zrobimy z tym porządek na najbliższym popasie. – Ujął w garść laskę. – No, skoro lubimy nocne przechadzki – powiedział – przemaszerujemy kilka mil przed snem.

Szli najpierw na zachód dróżką, lecz wkrótce ją opuścili i skręcili w lewo na pola. Sunęli gęsiego wzdłuż żywopłotów, skrajem zagajników, a noc otulała ich swoim mrokiem. W ciemnych płaszczach stali się tak niewidzialni, jakby wszyscy mieli czarodziejskie pierścienie. Byli hobbitami, a w dodatku starali się iść cicho, więc nawet hobbit nie słyszałby ich kroków, a zwierzęta polne i leśne zaledwie dostrzegały, że ktoś przeszedł obok.

Po jakimś czasie przeprawili się przez Wodę po wąskiej kładce na zachód od Hobbitonu. Struga ciekła tutaj krętą czarną wstążką między pochylonymi olchami. O milę czy dwie dalej na południe pospiesznie

przecięli gościniec biegnący przez most na Brandywinie; znaleźli się więc w Tuklandzie i kierując kroki na południo-wschód, zaczęli wspinać się na Zielone Wzgórza. Stąd widzieli miasteczko mrugające światłami w łagodnej dolinie Wody. Wkrótce jednak wśród falistego, okrytego mrokiem terenu zniknął Hobbiton, a potem z kolei osiedle Nad Wodą, rozciągnięte wzdłuż szarego stawu. Kiedy światło ostatniej zagrody zostało daleko za nimi, migocąc wśród drzew, Frodo obejrzał się i ręką zrobił gest pożegnania.

– Chciałbym wiedzieć, czy jeszcze kiedyś w życiu zobaczę tę dolinę – powiedział cicho.

Po trzech godzinach marszu zatrzymali się na odpoczynek. Noc była jasna, chłodna, wygwieżdżona, lecz od strumieni i niskich łąk pasma szarej jak dym mgły pełzły na zbocza wzgórz. Przezroczyste korony brzóz, kołysane lekkim powiewem, rysowały nad głowami wędrowców czarną sieć na tle bladego nieba. Zjedli lekką (jak na hobbitów) kolację i ruszyli dalej. Wkrótce trafili na wąską drogę, która rozwijała się faliście to w górę, to w dół i ginęła w ciemnej dali przed nimi: była to droga do Leśnego Dworu i promu w Bucklebury. Odbiegała w górę od głównego gościńca doliny i wijąc się po zboczach Zielonych Wzgórz, prowadziła do dzikiego Leśnego Zakątka Wschodniej Ćwiartki Shire’u.

Po chwili zanurzyli się w głęboki parów między ścianami smukłych drzew, które w ciemnościach szeleściły suchymi liśćmi. Z początku gawędzili albo chórem nucili cichutko jakąś melodię, znaleźli się bowiem wreszcie z dala od ciekawych uszu. Później maszerowali w milczeniu, a Pippin zaczął odstawać od towarzyszy. W końcu, gdy wspinali się na strome zbocze, zatrzymał się i ziewnął.

– Taki jestem senny – powiedział – że chyba przewrócę się na środku drogi. Czy zamierzacie spać w marszu? Już blisko północ.

– Zdawało mi się, że lubisz nocne spacery – rzekł Frodo. – Ale nie ma po co się zbytnio spieszyć. Merry spodziewa się nas dopiero pojutrze, mamy więc niemal dwa dni rezerwy. Zrobimy popas w najbliższym dogodnym miejscu.

– Wiatr wieje od zachodu – powiedział Sam. – Po tamtej stronie wzgórza będzie zacisznie i dość przytulnie. Jeżeli pamięć mnie nie zawodzi, jest przed nami suchy bór sosnowy.

Sam w promieniu dwudziestu mil wokół Hobbitonu dobrze znał okolicę, na tym wszakże kończyła się jego wiedza geograficzna.

Przekroczywszy szczyt pagórka, zaraz weszli w sosnowy las. Zboczyli ze ścieżki, zanurzyli się między drzewa w głąb pachnących żywicą ciemności i nazbierali suszu oraz szyszek na ognisko. Wkrótce płomień trzaskał wesoło u stóp starej sosny, a trzej podróżni siedzieli przy nim chwilę, póki głowy nie zaczęły im opadać sennie na piersi. Wówczas zawinęli się w płaszcze i koce, ułożyli – każdy w wybranym zagłębieniu między potężnymi korzeniami drzewa – i niemal natychmiast zasnęli. Warty nie wystawiali; nawet Frodo nie obawiał się niczego tutaj, w samym sercu Shire'u. Kiedy ognisko zagasło, zbliżyło się do nich kilka zwierząt leśnych. Lis, spieszący lasem w jakichś sobie tylko wiadomych sprawach, przystanął na parę minut, węsząc. „Hobbici! – pomyślał. – Świat się kończy! Słyszałem, że dziwne rzeczy dzieją się w tym kraju, ale pierwszy raz w życiu widzę, żeby hobbit nocował pod gołym niebem u stóp drzewa. Nawet trzech hobbitów! To jest coś nadzwyczajnego!" Lis miał słuszność; nigdy jednak nie dowiedział się czegoś więcej o tym zagadkowym przypadku.

Ranek wstał blady i mglisty. Frodo zbudził się pierwszy i stwierdził, że korzeń sosny wygniótł mu dziurę w plecach i że kark mu zesztywniał boleśnie. „Spacerek dla przyjemności! Czemuż nie pojechałem wozem? – pomyślał, jak zwykle na początku każdej wycieczki. – I wszystkie moje piękne puchowe piernaty sprzedałem Bagginsom z Sackville! W sam raz dogodziłyby im korzenie sosny!" Przeciągnął się i zawołał: – Wstawajcie, hobbici! Mamy wspaniały poranek!

– Co w nim widzisz wspaniałego? – spytał Pippin, otwierając jedno oko i zerkając spod koca. – Sam! Śniadanie na pół do dziesiątej, proszę! Czy woda na kąpiel już gorąca?

Sam zerwał się mocno zaspany.

– Nie, proszę pana! Jeszcze nie.

Frodo ściągnął z Pippina koc i zwinął go, a potem wyszedł na skraj lasu. Daleko na wschodzie słońce podnosiło się czerwone z mgieł zalegających gęsto świat. Drzewa, mieniące się karminem i złotem, jakby odcięte od korzeni, płynęły w morzu mgły. Trochę niżej, po lewej ręce Froda, droga opadała stromo w dół i znikała w parowie.

Gdy wrócił, Sam i Pippin już rozpalili ognisko.

– Woda! – krzyknął Pippin. – Gdzie jest woda?

– Nie noszę jej w kieszeniach – odparł Frodo.

– Myśleliśmy, że poszedłeś szukać źródła – rzekł Pippin, krzątając się koło zapasów i wyciągając kubki. – Skocz no chociaż teraz.

– Chodźcie razem ze mną – powiedział Frodo – i weźcie wszystkie manierki.

U stóp wzgórza płynął strumień. Napełnili manierki, a także polowy kociołek pod małym wodospadem, gdzie woda bryzgała z wysokości kilku stóp na próg z szarego kamienia. Zimna była jak lód; hobbici otrząsali się i parskali, myjąc w niej twarze i ręce.

Nim zjedli śniadanie i zwinęli bagaże, minęła godzina dziesiąta; rozpogodziło się i pocieplało, zbiegli ze zbocza, przeprawili się na drugi brzeg potoku w miejscu, gdzie przepływał pod drogą, potem wspięli się na następny stok, w górę, w dół, na drugi łańcuch wzgórz. Płaszcze, koce, woda, prowiant i wszystek sprzęt znowu zaciążyły im nieznośnie na grzbietach.

Marsz zapowiadał się uciążliwy, dzień upalny. Po kilku wszakże milach droga przestała skakać to w górę, to w dół; wspięła się bardzo krętymi zakosami na stromy wał i stąd już ostatni raz miała ich sprowadzić w dolinę. Otworzył się przed nimi widok na rozległą nizinę usianą kępami drzew i ginącą w oddali w brunatnej leśnej mgle. Ponad Leśnym Zakątkiem spoglądali ku Brandywinie. Gościniec rozwijał się jak sznurek z kłębka.

– Droga biegnie bez końca – rzekł Pippin – ale ja nie mogę biec bez odpoczynku. Pora na lunch.

Siadł na wale opodal drogi i patrzył ku wschodowi na mglisty widnokrąg, za którym kryła się rzeka i granica Shire’u, kraju, gdzie spędził całe dotychczasowe życie. Sam stał przy nim. Szeroko otwierał krągłe oczy – wypatrywał nowego horyzontu za nieznajomą krainą.

– Czy w tych lasach mieszkają elfy? – spytał.

– O ile mi wiadomo, nie – odparł Pippin.

Frodo milczał. On także patrzał na wschód i na drogę, jakby ją widział po raz pierwszy. Nagle przemówił głośno, lecz jak gdyby do siebie. Recytował z wolna:

A droga wiedzie w przód i w przód,
Choć się zaczęła tuż za progiem –
I w dal przede mną mknie na wschód,
A ja wciąż za nią – tak, jak mogę…
Znużone stopy depczą szlak –
Aż w szerszą się rozpłynie drogę,
Gdzie strumień licznych dróg już wpadł…
A potem dokąd? – rzec nie mogę[8].

– To coś, jakby wiersze starego Bilba – rzekł Pippin. – Czy może to twoja własna przeróbka? Nie brzmi to zbyt zachęcająco.

– Nie wiem – powiedział Frodo. – Zdawało mi się, że sam w tej chwili układam te wiersze, ale może je słyszałem dawno temu. Z pewnością przypominają mi żywo Bilba z ostatnich lat przed jego zniknięciem. Mawiał często, że jest tylko jedna jedyna droga i że jest jak wielka rzeka: źródło tryska spod każdych drzwi, a każda ścieżka stanowi jej dopływ. „Niebezpiecznie wychodzić za własny próg, mój Frodo! – powiadał nieraz. – Trafisz na gościniec i jeżeli nie powstrzymasz swoich nóg, ani się spostrzeżesz, kiedy cię poniosą. Czy zdajesz sobie sprawę, że to jest ta sama ścieżka, która biegnie przez Mroczną Puszczę, i że jeśli jej pozwolisz, może cię zaprowadzić aż pod Samotną Górę albo nawet dalej i w gorsze jeszcze miejsce?” Miał na myśli dróżkę zaczynającą się od drzwi w Bag End, a zwykle mówił o tym po powrocie z dalekiej przechadzki.

– No, mnie gościniec nie porwie, przynajmniej nie wcześniej niż za godzinę – rzekł Pippin, zsuwając worek z pleców. Towarzysze poszli za jego przykładem, oparli bagaże o wał i siedli z nogami wyciągniętymi na drogę. Po odpoczynku zjedli sute drugie śniadanie, a po śniadaniu znowu pozwolili sobie na odpoczynek.

Słońce się zniżyło i blask zachodu rozlał się nad krajem, nim zeszli ze wzgórza. Dotychczas nie spotkali po drodze żywej duszy. Szlak był mało uczęszczany, bo nie nadawał się dla wozów, a zresztą mało kto miał interes do Leśnego Zakątka. Wlekli się jeszcze godzinę, a nawet dłużej, gdy nagle Sam przystanął, nadsłuchując. Byli teraz na równinie i droga, po wielu

skrętach, słała się dalej prosto wśród łąk, na których tu i ówdzie wystrzelały smukłe drzewa, forpoczty bliskich już lasów.

– Słychać za nami tętent kuca albo konia – rzekł Sam.

Obejrzeli się, lecz zakręt przesłaniał dalszy widok.

– Może to Gandalf nas goni? – powiedział Frodo, ale bez przekonania; nagle coś go tknęło, żeby się ukryć przed oczyma tego nadciągającego za nimi jeźdźca.

– Pewnie przesadzam – rzekł, jakby się usprawiedliwiając – wolałbym jednak nie pokazywać się tutaj na drodze nikomu. Znudziło mnie się to ciągłe obserwowanie i roztrząsanie każdego mojego kroku. A jeśli to jest Gandalf – dodał na wszelki wypadek – zrobimy mu niespodziankę, żeby odpłacić za spóźnienie. Schowajmy się teraz!

Sam i Pippin szybko skoczyli w lewo i przypadli w małej jamce opodal drogi. Przywarli płasko do ziemi. Frodo wahał się przez sekundę: chęć ukrycia się walczyła w jego sercu z ciekawością czy może jeszcze jakimś innym uczuciem. Tętent kopyt zbliżał się szybko. W ostatniej chwili Frodo rzucił się w gęstą kępę trawy za drzewem ocieniającym drogę. Uniósł trochę głowę i ostrożnie wyglądał zza ogromnego korzenia.

Od zakrętu na drodze ukazał się kary koń, nie hobbicki kuc, lecz rosły wierzchowiec; na nim, jak gdyby skulony w siodle, siedział duży mężczyzna, spowity w suty czarny płaszcz z kapturem, tak że tylko buty, wsunięte w strzemiona, wyglądały spod fałd. Twarzy w cieniu kaptura nie można było dostrzec.

Gdy dojechał do drzewa, za którym krył się Frodo, koń stanął w miejscu. Postać w siodle siedziała zupełnie nieruchomo, pochyliwszy głowę; wydawało się, że nadsłuchuje. Spod kaptura dobył się szmer, jakby jeździec węszył usilnie jakąś nieuchwytną woń; obracał przy tym głową to w jedną, to w drugą stronę.

Nagły ślepy strach zdjął Froda. Wspomniał o Pierścieniu. Ledwie śmiał oddychać, ale pokusa, by wydobyć Pierścień z kieszeni, ogarnęła go z taką siłą, że zaczął przesuwać z wolna rękę. Czuł, że byle wsunął Pierścień na palec – będzie bezpieczny. Rada Gandalfa wydawała się niedorzeczna. Bilbo przecież używał Pierścienia. „Jestem jeszcze w Shire” – pomyślał Frodo, gdy dłoń jego dotknęła łańcuszka, na którym był umocowany

Pierścień. W tym momencie jeździec wyprostował się w siodle i potrząsnął wodzami. Koń ruszył naprzód, z początku stępa, potem żwawym kłusem.

Frodo wyczołgał się na skraj drogi i patrzył za jeźdźcem, póki nie zniknął w oddali. Nie był pewny, lecz wydało mu się, że koń skręcił ze szlaku w prawo, między drzewa.

– Bardzo to dziwne i wręcz niepokojące – rzekł Frodo sam do siebie, idąc po towarzyszy. Pippin i Sam przez cały czas leżeli z głowami zanurzonymi w trawie i nic nie widzieli. Frodo więc opisał im jeźdźca i opowiedział o jego niezwykłym zachowaniu.

– Nie umiem wytłumaczyć dlaczego, ale byłem przekonany, że wypatrywał, a raczej węszył mnie. Nie miałem też wątpliwości co do tego, że nie chcę być przez niego dostrzeżony. Nigdy jeszcze w Shire nie widziałem ani nie odczułem nic podobnego.

– Ale po cóż by się któryś z Dużych Ludzi mieszał w nasze sprawy? – spytał Pippin. – I co w ogóle robi w naszych stronach?

– Kręcą się tutaj ludzie – rzekł Frodo. – W Południowej Ćwiartce, o ile mi wiadomo, doszło do pewnych zatargów z nimi. Ale o jeźdźcach takich jak ten w życiu nie słyszałem. Ciekaw jestem, skąd on się tu wziął.

– Z przeproszeniem pańskim – wtrącił się niespodzianie Sam – ja wiem skąd. Przyjechał z Hobbitonu, chyba że ich jest kilku. Wiem także, dokąd on jedzie.

– Co to znaczy? – ostro spytał Frodo, patrząc ze zdumieniem na Sama. – Dlaczego wcześniej nic o tym nie mówiłeś?

– Dopiero teraz sobie wszystko przypomniałem, proszę pana. To było tak: wczoraj wieczorem, kiedy przybiegłem z kluczem do naszej norki, ojciec mi powiedział te słowa: „Toś ty tutaj, Sam? Myślałem, że wyjechałeś rano z panem Frodem. Jakiś obcy człowiek pytał mnie o pana Bagginsa z Bag End. Dopiero co odszedł. Odesłałem go do Bucklebury. Prawdę rzekłszy, nie podobał mi się ów gość. Bardzo się zeźlił, kiedym mu powiedział, że pan Baggins już na dobre się wyprowadził ze swojego starego domu. Syknął, aż mnie dreszcz przeszedł”. „Co to był za jeden?” – spytałem Dziadunia. „Nic nie wiem – powiada – ale że nie hobbit, to pewne. Wysoki, czarny, z góry na mnie patrzył. Coś mi się widzi, że to któryś z Dużych Ludzi, zza granicy. Mówił też jakoś śmiesznie”. Więcej nie pytałem, proszę pana, spieszyłem się, bo panowie na mnie czekali. Zresztą

nie przejąłem się wcale. Ojciec starzeje się, niedowidzi, a musiało już być dość ciemno, kiedy ten gość przyszedł na Pagórek i spotkał mojego staruszka, jak wyszedł odetchnąć trochę przed dom. Mam nadzieję, że ojciec… i ja… nie napytaliśmy panu jakiejś biedy.

– W każdym razie do Dziadunia nie mogę mieć pretensji – rzekł Frodo. – Prawdę mówiąc, słyszałem, jak rozmawiał z jakimś nieznajomym, który o mnie się dopytywał, i o mały włos nie podszedłem, żeby dowiedzieć się, co to za jeden. Szkoda, że tego wówczas nie zrobiłem, i szkoda, żeś mi ty, Samie, wcześniej o tym zdarzeniu nie wspomniał. Byłbym może ostrożniejszy na tej drodze.

– Ale możliwe też, że ten jeździec nie ma nic wspólnego z nieznajomym, który nagabywał Dziadunia – powiedział Pippin. – Opuściliśmy Hobbiton ukradkiem; nie wyobrażam sobie, jakim sposobem mógłby trafić na nasz ślad.

– Może węchem, proszę pana – rzekł Sam. – Ojciec mówił, że ten nieznajomy był cały czarny.

– Szkoda, że nie czekałem na Gandalfa – mruknął Frodo. – No, ale kto wie, czy to nie pogorszyłoby jeszcze sprawy?

– A więc coś wiesz, a przynajmniej czegoś się domyślasz o tym jeźdźcu? – spytał Pippin, który dosłyszał wyszeptane słowa.

– Nie wiem i wolałbym się nie domyślać – odparł Frodo.

– Dobrze, kuzynie. Zachowaj chwilowo sekret przy sobie, skoro lubisz tajemnice. Ale co teraz poczniemy? Chętnie bym coś przegryzł, zdaje mi się jednak, że powinniśmy wynieść się stąd co prędzej. Twoja opowieść o jeźdźcu, który węszy, chociaż nosa mu nie widać, mocno mnie zaniepokoiła.

– Tak, ja też myślę, że trzeba ruszyć zaraz – rzekł Frodo – ale nie pójdziemy już gościńcem, bo jeździec mógłby zawrócić albo mógłby nadjechać drugi. Trzeba dziś jeszcze zrobić porządny skok naprzód. Do Bucklandu zostało nam ładnych kilka mil.

Cienie drzew leżały długie i smukłe na trawie, gdy ruszali znowu. Trzymali się teraz o rzut kamieniem od gościńca, po jego lewej stronie, starając się iść tak, by nikt z drogi nie mógł ich dostrzec. To wszakże

utrudniało marsz, bo trawa była gęsta i splątana, grunt wyboisty, a drzewa coraz częściej zbijały się w gąszcz.

Za ich plecami słońce zaszło za wzgórza, wieczór nadciągnął, nim dotarli do końca długiej równiny, przez którą droga biegła prosto. W tym miejscu gościniec skręcał nieco w lewo i zbiegał ku nisko położonym terenom Yale, kierując się dalej w stronę Słupków. Jednakże odchodził tu również szlak w prawo, który, wijąc się przez las starych dębów, zmierzał do Leśnego Dworu.

W pobliżu rozwidlenia natknęli się na ogromny zwalony pień, żywy jeszcze, bo liście nie zwiędły na pędach, które puściły się z połamanych gałęzi. Pień jednak spróchniał i był pusty w środku; olbrzymia dziupla otwierała się na stronę niewidoczną z gościńca. Hobbici wczołgali się do środka i siedli na podściółce z zeschłych liści i próchna. Tu odpoczęli i zjedli lekką kolację, gawędząc z cicha i od czasu do czasu nadstawiając uszu.

– Pójdziemy tędy – powiedział Frodo. Gdy podkradli się znów ku drodze, otaczał ich już półmrok. Zachodni wiatr wzdychał wśród gałęzi, liście szeptały. Wkrótce drogę zaczął łagodnie, lecz wytrwale ogarniać zmierzch. Na ciemniejącym wschodzie, nad drzewami, wzeszła pierwsza gwiazda. Maszerowali w szeregu, noga w nogę, żeby dodać sobie ducha. Po jakimś czasie, kiedy gwiazdy rozmnożyły się i jaśniej rozbłysły na niebie, wędrowców opuścił niepokój i przestali nasłuchiwać tętentu kopyt. Zanucili cichutko, bo hobbici lubią śpiewać w marszu, zwłaszcza gdy nocą po przechadzce zbliżają się ku domowi. Większość hobbitów śpiewa w takich razach piosenkę o kolacji albo o łóżku, lecz nasi trzej bohaterowie nucili piosenkę o wędrówce (jakkolwiek nie omieszkali, oczywiście, wspomnieć w niej również o jedzeniu i spaniu). Jej słowa ułożył Bilbo Baggins do melodii starej jak te wzgórza i nauczył jej Froda podczas wspólnych wycieczek ścieżkami Doliny, gdy opowiadał siostrzeńcowi o swoich przygodach.

Na kominku ogień gorze,
A pod dachem ciepłe łoże;
Lecz, że stopy wypoczęte,
Może jeszcze za zakrętem

Ujrzym drzewo albo kamień
Przez nikogo niewidziane…

Kwiat i drzewo, trawa, liść –
Trzeba nam iść, dalej iść,
Woda, niebo, wzgórze, jar –
Naprzód marsz, naprzód marsz.

Za zakrętem może czeka
Droga nowa i daleka,
A choć dziś ją omijamy,
Jutro tuż za progiem bramy
Może ścieżka nas uwiedzie,
Która wprost na księżyc wiedzie…

Jabłko, orzech, cierń i głóg –
Nie żałuj nóg, nie żałuj nóg,
Staw, dolina, piasek, głaz –
Żegnam was, żegnam was.

Dom za nami, świat przed nami,
Wielu trzeba iść drogami,
By w krąg nocy wkroczyć godnie,
Nim zapłoną gwiazd pochodnie.
Wtedy znów przed nami wrota
I powracać w dom ochota…

Cień i chmura, zmierzch i mgła
Niech znikną – sza, cicho – sza.
Piec, wieczerza, lampy blask,
I do snu czas! I do snu czas![9]

Piosenka się skończyła.

– Już do snu czas! Już do snu czas! – zaśpiewał Pippin na cały głos.

– Pss! – uciszył go Frodo. – Zdaje się, że znów słyszę stuk podków.

Cisi niczym cienie drzew, zatrzymali się w miejscu, nasłuchując. Tętent dochodził z dość daleka, lecz z wiatrem niósł się wyraźnie i powoli przybliżał. Hobbici szybko i cichutko zbiegli z drogi w głębszy mrok pomiędzy dęby.

– Nie odchodźmy zbyt daleko – rzekł Frodo. – Nie chciałbym, żeby ktoś nas zobaczył, ale chcę się przekonać, czy to nie drugi Czarny Jeździec.

– Dobrze – odparł Pippin. – Nie zapominaj jednak, że on węszy.

Podkowy stukały już blisko. Nie było czasu na szukanie kryjówki lepszej niż cień dębiny. Sam i Pippin skulili się za grubym pniem, Frodo zaś podpełznął z powrotem ku drodze i przywarował ledwie o parę kroków od jej brzegu. Szara, blada kreska gościńca jaśniała pośród lasu. Nad nią świeciły gwiazdy, gęsto rozsiane po ciemnym niebie, lecz księżyca nie było.

Tętent umilkł. Wytężając wzrok, Frodo dostrzegł ciemną sylwetkę, która przemknęła na tle jaśniejszej plamy między dwoma drzewami i zatrzymała się nagle. Wyglądało to jak czarny cień konia prowadzonego przez mniejszy czarny cień. Czarny cień stał tuż obok miejsca, w którym hobbici opuścili drogę, i kołysał się na boki. Frodowi wydało się, że słyszy jak gdyby węszenie. Cień przygiął się do ziemi, a potem zaczął się czołgać wprost na hobbita.

I znów ogarnęła Froda pokusa, żeby wsunąć na palec Pierścień, pokusa tym razem silniejsza niż poprzednio. Tak silna, że nim hobbit uświadomił sobie, co robi, jego ręka znalazła się w kieszeni. Lecz w tej samej chwili z lasu doleciał gwar, jakby śpiew i śmiech jednocześnie. Jasne głosy wznosiły się i opadały w rozgwieżdżonej nocy. Czarny cień wyprostował się i cofnął. Skoczył na cień konia i zniknął, jak gdyby utonął w ciemności po drugiej stronie drogi.

Frodo odetchnął.

– Elfowie! – krzyknął ochrypłym szeptem Sam. – Elfowie, proszę pana!

I Sam byłby się wyrwał z mroku lasu w stronę, skąd dolatywały głosy, gdyby towarzysze nie odciągnęli go siłą.

– Tak, to elfowie – rzekł Frodo. – Spotyka się ich czasami w Leśnym Zakątku. Nie mieszkają w Shire, lecz wiosną i jesienią zdarza im się tu zawędrować z własnych krajów, spoza Wieżowych Wzgórz. Na szczęście! Wyście nic nie widzieli, ale Czarny Jeździec zatrzymał się tuż przy nas i właśnie czołgał się ku nam, kiedy zabrzmiał śpiew elfów. Na ich głos umknął natychmiast.

– A jak będzie z elfami? – spytał Sam, zbyt podniecony, by przejmować się zagadką jeźdźców. – Czy nie moglibyśmy podejść i zobaczyć ich?

– Posłuchaj! Idą tutaj! – rzekł Frodo. – Wystarczy, byśmy na nich zaczekali przy drodze.

Śpiew się przybliżył. Jeden głos wybił się wyraźnie z chóru. Śpiewał w pięknym języku elfów, w języku, który Frodo znał bardzo słabo, a którego dwaj pozostali hobbici nie znali wcale. A jednak dźwięki mowy stopione z melodią układały się w ich myślach w słowa, na pół tylko zrozumiałe. Oto, co usłyszał Frodo:

O Śnieżnobiała, Czysta Pani,
Królowo zza Zachodnich Mórz,
Światłości dla nas, zabłąkanych
W świecie splątanych drzew i dróg.

Gilthoniel! O Elbereth!
Czysty twój wzrok, jasny twój dech!
O Śnieżnobiała! Tobie nasz śpiew
W kraju dalekim od Wielkich Mórz.

O gwiazdy, których w czas Ciemności
Lśniąca twa dłoń rzucała siew;
Wśród wietrznych pól, dziś jaśniejących
Widzimy srebrne kwiecie twe!

O Elbereth! Gilthoniel!
Wciąż pamiętamy – w cieniu drzew,
W kraju dalekim pędząc swe dnie –

Światło twych gwiazd wśród Zachodnich Mórz[10].

Pieśń ucichła.

– To Elfowie Wysokiego Rodu. Wymówili imię Elbereth! – rzekł Frodo zdumiony. – Nie wiedziałem, że można w Shire spotkać przedstawicieli tego najpiękniejszego ludu. Niewielu ich pozostało w Śródziemiu, na wschód od Wielkiego Morza. Doprawdy, niezwykle szczęśliwy przypadek.

Hobbici siedli w cieniu przy gościńcu. Wkrótce nadciągnęli elfowie, kierując się ku dolinie. Szli wolno, a hobbici zobaczyli odblask gwiazd na ich włosach i w oczach. Nie nieśli pochodni, lecz światło podobne do świetlistej obwódki, która skrzy się nad górami przed wschodem księżyca, słało im się u stóp. Maszerowali teraz w milczeniu, ale ostatni elf, mijając hobbitów, obejrzał się i roześmiał.

– Witaj, Frodo! – krzyknął. – O późnej godzinie wybrałeś się na przechadzkę. A możeś zabłądził?

Potem zawołał głośno na towarzyszy i cała gromada elfów zatrzymała się, otaczając hobbitów.

– A to dziw nad dziwami! – mówili. – Trzech hobbitów nocą w lesie! Czegoś podobnego nie widzieliśmy, odkąd Bilbo wyprowadził się z tych stron. Co to ma znaczyć?

– Znaczy to po prostu, piękni przyjaciele – rzekł Frodo – że wędrujemy tą samą co i wy drogą. Lubię przechadzać się pod gwiazdami. Chętnie też przyłączyłbym się do waszej kompanii.

– Ale nam nie potrzeba niczyjej kompanii, a zresztą hobbici są dość nudni – odpowiedzieli elfowie ze śmiechem. – Dlaczego twierdzisz, że nam wypada ta sama droga, skoro nie wiesz, dokąd idziemy?

– A skąd wy znacie moje imię? – odwzajemnił się Frodo pytaniem.

– My wiemy mnóstwo rzeczy – odpowiedzieli elfowie. – Nieraz widzieliśmy cię dawnymi czasy w towarzystwie Bilba, chociaż ty nas nie widziałeś.

– Kim jesteście i kto wami dowodzi? – spytał Frodo.

– Nazywam się Gildor – powiedział przywódca elfów, ten sam, który pierwszy zagadnął hobbitów. – Gildor Inglorion z domu Finroda. Jesteśmy Wygnańcami, większość naszych pobratymców dawno temu opuściła te

strony, a my także nie zabawimy tutaj długo, wrócimy za Wielkie Morze. Ale garstka naszych współplemieńców nadal mieszka spokojnie w Rivendell. A teraz, Frodo, powiedz nam coś o sobie. Wiemy bowiem, że cień lęku padł na ciebie.

– O, mądrzy przyjaciele! – wtrącił się żywo Pippin. – Powiedzcie nam, co wiecie o Czarnych Jeźdźcach.

– O Czarnych Jeźdźcach? – Elfowie ściszyli głosy. – Dlaczego nas o nich pytacie?

– Bo dwaj Czarni Jeźdźcy dogonili nas dzisiaj na drodze… a może to był jeden, który nas dwukrotnie dopędził – rzekł Pippin. – Zaledwie przed chwilą, kiedy się zbliżaliście, umknął.

Elfowie zrazu nie odpowiedzieli, porozumiewając się cicho między sobą we własnym języku. W końcu Gildor zwrócił się do hobbitów.

– Nie będziemy o tym rozmawiali tutaj – rzekł. – Powinniście teraz pójść z nami. Nie jest to zgodne z naszymi zwyczajami, lecz tym razem wyjątkowo gotowi jesteśmy przyjąć was do kompanii i ugościć na dzisiejszą noc, jeżeli chcecie.

– O, piękni przyjaciele! Nie spodziewałem się takiego szczęścia – rzekł Pippin. Sam oniemiał.

– Dziękuję ci, Gildorze Inglorionie! – powiedział, kłaniając się, Frodo. – *Elen síla lúmenn' omentielvo* – „gwiazda błyszczy nad godziną naszego spotkania" – dodał w języku elfów.

– Uważajcie, przyjaciele! – krzyknął ze śmiechem Gildor. – Nie mówcie przy nim sekretów! Oto hobbit uczony w Starodawnej Mowie! Bilbo był dobrym nauczycielem. Witaj, Przyjacielu Elfów! – zwrócił się do Froda z ukłonem. – Chodźcie teraz wszyscy i przyłączcie się do kompanii. A maszerujcie pośrodku kolumny, żeby który nie zabłądził. Zmęczycie się porządnie, zanim staniemy na popas.

– Dlaczego? Dokąd się wybieracie? – spytał Frodo.

– Dzisiaj do lasów na wzgórzach ponad Leśnym Dworem. To kilka mil stąd, ale u celu czeka nas wypoczynek. A jutro za to będziecie mieli krótszą drogę przed sobą.

Ruszyli w milczeniu, sunąc jak cienie i migocąc nikłymi światełkami; elfowie bowiem (jeszcze lepiej niż hobbici) umieją, jeśli chcą, poruszać się

bezszelestnie. Pippina wkrótce ogarnęła senność i potknął się raz i drugi, ale smukły elf idący przy nim zawsze w porę otaczał go ramieniem i chronił od upadku. Sam u boku Froda kroczył jak we śnie, z wyrazem ni to lęku, ni to oszołomienia i radości na twarzy.

Las po obu stronach drogi gęstniał teraz, drzewa tu były młodsze i bogaciej podszyte; a gdy droga opadła w kotlinę między dwoma wzgórzami, na stokach pojawiły się bujne kępy leszczyny. Wreszcie elfowie skręcili z drogi. Na prawo odbiegała tu zielona ścieżka, niemal niewidoczna w gąszczu; wspięli się jej krętym tropem przez lesiste zbocze aż na grzbiet wzgórza, wybiegającego daleko w głąb nadrzecznej doliny. Nagle wychynęli z cienia drzew, otwarła się przed nimi rozległa łąka, szara w mroku nocy. Z trzech stron obejmowały ją lasy, lecz od wschodu teren opadał stromo, tak że ciemne czuby drzew rosnących w dole kołysały się u ich stóp. Dalej nizina rozpościerała się mroczna i płaska pod wygwieżdżonym niebem. Bliżej, w wiosce zwanej Leśnym Dworem, mrugało parę światełek.

Elfowie siedli na trawie i zaczęli po cichu naradzać się między sobą; zdawało się, że zapomnieli o hobbitach. Frodo i jego przyjaciele, bardzo senni, owinęli się w płaszcze i koce. Noc zapadła głęboka, światła w dolinie pogasły. Pippin usnął z głową opartą o jakąś kępę. Od wschodu wysoko na niebie pojawiła się konstelacja Remmirath, Sieć Gwiazd; z wolna ponad mgły wypłynął czerwony Borgil, rozżarzony niby ognisty klejnot. Podmuch wiatru rozwiał mgły, jakby unosząc zasłonę, i ukazał się Szermierz Nieba, Menelvagor, przepasany blaskiem, pnący się na krawędź świata. Elfowie wszyscy naraz zaintonowali pieśń. Nagle spod drzew czerwonym światłem wystrzelił w górę ogień.

– Chodźcie! – zawołali na hobbitów elfowie. – Chodźcie! Teraz czas na rozmowy i zabawę.

Pippin usiadł, trąc oczy pięściami. Drżał z chłodu.

– W pałacu ogień płonie i uczta czeka na głodnych gości – powiedział jeden z elfów, stając przed nim.

U południowego krańca polany otwierała się w ścianie leśnej przesieka. Zielony dywan trawy wcinał się w las, wyścielając jakby wielką salę, nad którą sklepiały się gałęzie drzew. Po obu stronach potężne pnie ciągnęły się szeregiem niby kolumny. Pośrodku paliło się ognisko, a na pniach

kolumnady równym, srebrnym i złotym płomieniem świeciły łuczywa. Elfowie zasiedli wokół ogniska na trawie lub na pieńkach po ściętych starych drzewach. Kilku kręciło się, roznosząc i napełniając puchary, inni podawali pełne talerze i półmiski.

– Skromna to wieczerza – mówili gospodarze hobbitom – bo kwaterujemy tu chwilowo wśród lasów, z dala od naszych pałaców. Jeżeli będziemy was kiedyś podejmować u siebie w domu, ugościmy was lepiej.

– Mnie się to dzisiejsze przyjęcie wydaje godne urodzinowej uczty – rzekł Frodo.

Pippin nie mógł sobie później przypomnieć, co wówczas jadł i pił, bo tak go oczarował blask bijący od twarzy elfów i piękna różnorodna melodia ich głosów, że przeżył tę noc, jakby śniąc na jawie. Pamiętał jednak chleb, który smakował mu lepiej, niż mogłaby smakować umierającemu z głodu najbielsza bułka, i jagody słodkie jak leśne poziomki, a dorodniejsze niż wszelkie owoce wypielęgnowane w ogrodach; wychylił do dna puchar aromatycznego napoju, świeżego jak źródlana woda, a złocistego jak letnie popołudnie.

Sam nigdy potem nie zdołał w słowach wyrazić ani bodaj uświadomić sobie jasno, co czuł i myślał tej nocy, chociaż zachował ją w pamięci wśród najdonioślejszych wydarzeń swojego życia. Najbliższy był wyrażeniu swoich uczuć, gdy mówił: „Ano, proszę pana, gdybym umiał wyhodować takie jabłka, byłbym pierwszym ogrodnikiem na świecie. Ale do serca bardziej niż wszystko inne trafił mi ich śpiew”.

Frodo gawędził, jadł i pił z rozkoszą; przede wszystkim jednak chłonął słowa. Słabo znał język elfów i przysłuchiwał mu się pilnie. Od czasu do czasu odzywał się do usługujących elfów i dziękował im w ich własnej mowie. Uśmiechali się, odpowiadając wesoło: „Oto perła między hobbitami!”.

Wkrótce Pippin usnął na dobre, odniesiono go więc na ubocze i ułożono w kolibie pod drzewami; tu na miękkim łożu przespał resztę nocy. Sam nie chciał odstępować swego pana, toteż po zniknięciu Pippina skulił się u nóg Froda, aż w końcu skłonił głowę i zamknął oczy. Frodo czuwał do późna, rozmawiając z Gildorem.

Mówili o wielu sprawach, dawnych i nowych, a Frodo wypytywał Gildora o wszystko, co się działo na szerokim świecie poza granicami

Shire’u. Wieści były przeważnie smutne i złowróżbne: o wzmagających się ciemnościach, o wojnach między ludźmi, o ucieczce elfów. W końcu Frodo zadał pytanie, które mu najbardziej ciążyło na sercu:

– Powiedz mi, Gildorze, czy widziałeś Bilba po jego odejściu z Bag End?

Gildor uśmiechnął się.

– Owszem – rzekł. – Widziałem go dwukrotnie. Pożegnał się z nami tutaj, na tym właśnie miejscu. Później spotkałem go znowu, ale daleko stąd. – Więcej nic powiedzieć nie chciał, Frodo zaś umilkł.

– Nie pytałeś mnie o swoje własne sprawy ani mi o nich nie opowiedziałeś – rzekł Gildor. – Ale trochę już o tym skądinąd słyszałem, a trochę czytam z twojej twarzy i zgaduję myśli, ukryte poza twymi pytaniami. Opuszczasz Shire, ale wątpisz, czy znajdziesz to, czego szukasz, czy spełnisz, co zamierzasz, i czy w ogóle wrócisz. Prawda?

– Tak – odparł Frodo. – Myślałem jednak, że moja wyprawa stanowi sekret znany poza mną tylko Gandalfowi i temu oto wiernemu chłopcu – dodał, patrząc na Sama, który pochrapywał z cicha.

– My tego sekretu nie wydamy Nieprzyjacielowi – rzekł Gildor.

– Nieprzyjacielowi? – powtórzył Frodo. – A więc znasz powód, dla którego opuszczam Shire?

– Nie wiem, dlaczego Nieprzyjaciel cię ściga – odpowiedział Gildor – lecz wiem, że cię tropi, jakkolwiek wydaje się to niepojęte. I ostrzegam cię, że teraz niebezpieczeństwo jest zarówno przed tobą, jak za tobą i oskrzydla cię ze wszystkich stron.

– Mówisz o jeźdźcach? Właśnie tego się obawiałem, że to słudzy Nieprzyjaciela. Kim są naprawdę Czarni Jeźdźcy?

– Czy Gandalf nic ci o nich nie powiedział?

– Nie wspominał nigdy o takich istotach.

– W takim razie nie sądzę, że powinienem ci coś więcej mówić, bo strach mógłby cię zniechęcić do dalszej podróży. Zdaje mi się, że wyruszyłeś z domu w ostatniej chwili, jeżeli nie za późno. Musisz się teraz bardzo spieszyć, nie wolno ci się zatrzymywać ani cofać. Shire bowiem nie stanowi już dla ciebie bezpiecznego schronienia.

– Nie wyobrażam sobie, żeby jakiekolwiek informacje mogły mnie bardziej przerazić niż te twoje pósłówka i ostrzeżenia! – krzyknął Frodo. – Oczywiście wiedziałem, że niebezpieczeństwo jest przede mną, lecz nie spodziewałem się go spotkać w swoim własnym kraju. Czy hobbit już nie może spokojnie przejść z Nad Wody nad Rzekę?

– Ten kraj nie jest twój własny – rzekł Gildor. – Inne plemię mieszkało tu, nim się zjawili hobbici, inne też będzie tutaj żyło, gdy hobbitów zabraknie. Otacza cię szeroki świat: możesz się w nim zamknąć, lecz nie uda ci się na zawsze od niego odgrodzić.

– Wiem… a jednak ten kraj wydawał mi się zawsze bezpieczny i swojski. Co mam począć? Zamierzałem opuścić Shire tajemnie i podążyć do Rivendell, a tymczasem, zanim jeszcze dotarłem do Bucklandu, wytropiono już mój ślad.

– Myślę, że mimo to powinieneś trzymać się swojego pierwotnego planu – rzekł Gildor. – Nie sądzę, żeby ta droga miała się okazać zbyt ciężką próbą dla twojego męstwa. Ale jeżeli pragniesz dokładniejszej rady, proś o nią Gandalfa. Nie znam powodów twojej ucieczki, nie mogę więc przewidzieć, w jaki sposób twoi prześladowcy mogą cię zaatakować. Gandalf z pewnością to wie. Przypuszczam, że zobaczysz się z nim jeszcze przed opuszczeniem granic Shire’u?

– Mam nadzieję. Ale to właśnie jeden więcej powód mojego zaniepokojenia. Od dawna oczekiwałem Gandalfa. Trzy dni temu minął ostatni wyznaczony przez niego termin odwiedzin w Hobbitonie, lecz Gandalf nie stawił się u mnie. Otóż zastanawiam się wciąż, co mogło mu się przydarzyć. Czy powinienem na niego czekać?

Gildor przez chwilę milczał.

– To mi się nie podoba – rzekł wreszcie. – Spóźnienie Gandalfa nie wróży nic dobrego. Ale przysłowie mówi: „Nie wtrącaj się do spraw czarodziejów, bo są chytrzy i skorzy do gniewu”. Sam musisz rozstrzygnąć: iść dalej czy też czekać.

– Jest także inne porzekadło – odparł Frodo. – „Nie pytaj o radę elfów, bo odpowiedzą ci ni to, ni sio”.

– Doprawdy? – zaśmiał się Gildor. – Elfowie rzadko udzielają nieopatrznych rad, bo rada to niebezpieczny podarunek, nawet między Mędrcami, a każda może poniewczasie okazać się zła. Ale co ty sam o tym

sądzisz? Nie powiedziałeś mi o sobie wszystkiego, jakże więc mógłbym rozstrzygnąć lepiej od ciebie? Jeżeli mimo to prosisz o radę, udzielę ci jej w imię przyjaźni. Myślę, że powinieneś ruszyć w dalszą drogę, i to bez zwłoki. Jeżeli Gandalf nie zjawi się przedtem, radzę ci, nie idź sam. Weź z sobą przyjaciół godnych zaufania i chętnych. Bądź mi wdzięczny, bo wbrew zwyczajom dałem ci tę radę. Elfowie mają własne zadania i własne kłopoty, niezbyt ich obchodzą sprawy hobbitów i wszelkich innych stworzeń na ziemi. Nasze ścieżki rzadko się krzyżują, czy to przypadkiem, czy umyślnie. W tym dzisiejszym spotkaniu jest, być może, coś więcej niż przypadek, ale niezupełnie rozumiem jego cel i boję się powiedzieć za wiele.

– Jestem ci wdzięczny z głębi serca – rzekł Frodo – ale chciałbym, żebyś mi wyraźnie powiedział, kim są Czarni Jeźdźcy. Jeżeli posłucham twojej rady, może nieprędko zobaczę Gandalfa, a powinienem znać niebezpieczeństwo, które mnie ściga.

– Czy nie wystarcza ci wiedzieć, że to są słudzy Nieprzyjaciela? – odparł Gildor. – Uciekaj przed nimi! Nie zamieniaj z nimi ani słowa. Są straszni. Więcej nie pytaj! Ale serce mi mówi, że nim się wszystko dopełni, Frodo, syn Droga, będzie wiedział o tych złowrogich sprawach więcej niż Gildor Inglorion. Niech cię Elbereth ma w swej opiece!

– Skąd mam zaczerpnąć odwagi? – spytał Frodo. – Bo niczego mi tak nie trzeba, jak odwagi.

– Odwagę można znaleźć w najmniej spodziewanych miejscach – rzekł Gildor. – Bądź dobrej myśli. Teraz idź spać. Rano już nas tu nie ujrzysz, ale roześlemy po świecie wiadomość o twojej podróży. Dowiedzą się o niej nasze wędrowne kompanie, a wszystkie istoty, które mają jakąś władzę i służą dobrym sprawom, będą w pogotowiu. Mianuję cię Przyjacielem Elfów. Niech gwiazdy świecą u kresu twojej drogi. Nieczęsto ktoś obcy tak nam przypada do serca jak ty, wielka to dla nas radość usłyszeć Starodawną Mowę w ustach innych wędrowców na tym świecie.

Nim jeszcze Gildor skończył tę przemowę, Froda ogarnęła wielka senność.

– Pójdę już spać – rzekł.

Elf zaprowadził go do koliby, a Frodo rzucił się na łoże obok Pippina i natychmiast zapadł w głęboki sen bez marzeń.

ROZDZIAŁ 4
SKRÓTEM NA PIECZARKI

Nazajutrz Frodo zbudził się pokrzepiony. Leżał w kolibie uplecionej z żywych gałęzi, zwisających aż do ziemi; łoże, uścielone z paproci i mchów, było miękkie i wonne. Przez drżące, jeszcze zielone liście przeświecało słońce. Frodo zerwał się i wyszedł z koliby.

Opodal skraju lasu siedział w trawie Sam. Pippin, stojąc, patrzył w niebo i badał pogodę. Po elfach nie było ani śladu.

– Zostawili nam owoce, chleb i coś do picia – rzekł Pippin. – Zjedz śniadanie. Chleb smakuje niemal tak samo wybornie jak w nocy. Byłbym nic nie zostawił dla ciebie, ale Sam mnie pilnował.

Frodo usiadł obok Sama i zabrał się do jedzenia.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – spytał Pippin.

– Dojść możliwie jak najszybciej do Bucklebury – odparł Frodo, po czym całą uwagę poświęcił śniadaniu.

– Jak sądzisz, czy zobaczymy znów tych jeźdźców? – spytał Pippin beztrosko. W porannym słońcu myśl o spotkaniu choćby armii Czarnych Jeźdźców nie wydawała mu się wcale straszna.

– Prawdopodobnie tak – rzekł Frodo, nierad, że mu o tym przypomniano. – Mam jednak nadzieję, że przeprawimy się za rzekę, nim oni nas zobaczą.

– Czy Gildor coś ci o nich mówił?

– Niewiele. Tylko niejasne półsłówka i zagadki – wymijająco powiedział Frodo.

– A czy pytałeś o to węszenie?

– Nie było o tym mowy – rzekł Frodo, mając pełne usta jedzenia.

– Powinieneś był spytać. To z pewnością bardzo ważne.

– Jeżeli tak, to Gildor na pewno odmówiłby mi wyjaśnień – szorstko odparł Frodo. – A teraz dajże mi w spokoju przełknąć bodaj kęs. Nie mam ochoty odpowiadać na całą litanię pytań podczas śniadania. Chciałbym pomyśleć.

– Wielkie nieba! – krzyknął Pippin. – Przy śniadaniu? – I odszedł na skraj polany.

Słoneczna pogoda tego ranka – zwodnicza, jak się zdawało Frodowi – nie rozproszyła w duszy hobbita trwogi przed pogonią. Rozpamiętywał słowa Gildora, gdy dobiegł do jego uszu wesoły głos Pippina, który śpiewał, biegnąc przez zieloną murawę.

– Nie! – powiedział sobie Frodo. – Nie mogę tego zrobić. Można wywabić młodych przyjaciół na włóczęgę po Shire, narazić na trochę głodu i zmęczenia, po którym miło zasiąść do stołu i trafić do łóżka. Ale wziąć ich z sobą na wygnanie, może na beznadziejny głód i trudy – to inna sprawa, choćby nawet chcieli iść ze mną. Dziedzictwo tylko na mnie jednego spada. Zdaje mi się, że nawet i Sama nie powinienem brać w tę drogę.

Spojrzał na Sama Gamgee i spotkał jego oczy wlepione w swoją twarz.

– Słuchaj, Samie – rzekł Frodo. – Jakże będzie? Muszę opuścić Shire, jak się da najszybciej, postanowiłem nawet nie zatrzymywać się ani dnia w Ustroni, jeżeli to nie okaże się konieczne.

– Dobrze, proszę pana.

– A więc wciąż jeszcze trwasz w zamiarze pójścia w świat razem ze mną?

– Tak, proszę pana.

– To będzie bardzo niebezpieczne, Samie. To już jest niebezpieczne! Najprawdopodobniej żaden z nas nie wróci do domu.

– Jeżeli pan nie wróci, to na pewno nie wrócę i ja – rzekł Sam. – „Nie opuszczaj go” – mówili mi. „Ja śmiałbym go opuścić? – odpowiedziałem. – Ani mi to w głowie! Pójdę z nim, choćby się na księżyc zechciał wdrapywać. A jeżeli któryś z tych Czarnych Jeźdźców spróbuje go zatrzymać, zobaczy, co potrafi Sam Gamgee!” Tak powiedziałem, a oni się śmiali.

– O kim… o czym ty mówisz?

– O elfach, proszę pana. Pogadałem z nimi tej nocy. Wiedzieli, że pan wybiera się za granicę, więc nie było sensu zaprzeczać. Wspaniały lud, ci elfowie! Wspaniały!

– To prawda – przyznał Frodo. – A więc elfowie nie rozczarowali cię przy bliższym poznaniu?

– Jak by to powiedzieć, proszę pana? Przekonałem się, że moje lubienie albo nielubienie wcale ich nie dosięga, za wysoko stoją – z namysłem odparł Sam. – Nie wydaje się ważne, co ja o nich myślę. Inni są, niż się spodziewałem, bardzo starzy i jednocześnie młodzi, bardzo weseli i bardzo smutni zarazem.

Frodo popatrzył na Sama trochę zaskoczony; niemal oczekiwał, że ujrzy jakieś zewnętrzne znamię dziwnej odmiany, która się w chłopaku dokonała. Ten głos brzmiał niepodobnie do głosu Sama Gamgee, którego, jak mu się zdawało, znał dobrze. Ale Sam wyglądał zupełnie tak samo jak zawsze, z tą jedynie różnicą, że na twarzy miał wyraz niezwykłej zadumy.

– Czy teraz, kiedy się już ziściło twoje życzenie i zobaczyłeś elfów, nie minęła ci ochota do podróży? – spytał Frodo.

– Nie, proszę pana. Nie umiem tego wyrazić, ale po dzisiejszej nocy patrzę na to inaczej. Jak gdybym widział drogę przed sobą. Wiem, że pójdziemy bardzo daleko, w ciemność. Ale wiem też, że nie mogę zawrócić. Już nie marzę o zobaczeniu elfów ani smoków, ani gór; sam nie wiem dokładnie, czego pragnę, ale na pewno mam jakiś obowiązek do spełnienia, zanim się skończy ta wyprawa, a czeka on na mnie gdzieś poza granicami Shire’u. Muszę to spełnić do końca… pan rozumie.

– Niezupełnie. Ale rozumiem, że Gandalf wybrał mi dobrego towarzysza. Cieszę się z tego. Pójdziemy razem.

Frodo w milczeniu dokończył śniadania. Wstał, rozejrzał się po okolicy i zawołał na Pippina.

– Czy wszystko gotowe do wymarszu? – spytał nadbiegającego przyjaciela. – Trzeba ruszać zaraz. Zaspaliśmy, a mamy przed sobą ładnych kilka mil drogi.

– To ty zaspałeś – rzekł Pippin. – Ja od dawna jestem na nogach. Czekaliśmy, żebyś uporał się ze śniadaniem i z myśleniem.

– Jedno i drugie już załatwione. Chcę iść do promu jak najspieszniej. Nie zboczę ze szlaku, nie wrócę na gościniec, z którego zeszliśmy wczoraj. Pójdę prosto, na przełaj.

– To chyba zamierzasz przefrunąć – odparł Pippin. – W tych stronach nie sposób iść bezdrożem.

– W każdym razie można skrócić drogę – rzekł Frodo. – Prom znajduje się na wschód od Leśnego Dworu, ale gościniec oddala się łukiem w lewo; widać tam, na północy, pętlę. Okrąża północny skraj Moczarów, żeby trafić na groblę ciągnącą się od mostu przez Słupki. Ale w ten sposób nadkłada się kilka mil. Moglibyśmy oszczędzić jedną czwartą drogi, idąc wprost z tego miejsca, na którym stoimy, do promu.

– Kto drogi prostuje, ten w polu nocuje – sprzeciwił się Pippin. – Teren tu wszędzie ciężki, na Moczarach pełno bagien i wszelkiego rodzaju przeszkód, znam tę okolicę. A jeżeli ci chodzi o Czarnych Jeźdźców, to nie pojmuję, dlaczego wolisz ich spotkać w lesie lub w polu niż na gościńcu.

– W lesie lub w polu trudniej wypatrzyć kogoś – rzekł Frodo. – Przy tym, wiedząc, że zamierzałem wędrować gościńcem, będą zapewne szukali mnie na gościńcu, a nie poza nim.

– Dobrze! – przystał Pippin. – Pójdę za tobą, choćby przez mokradła i wyboje. Ale to ciężka droga. Liczyłem, że przed zachodem słońca wstąpimy do „Pod Złotym Okoniem” w Słupkach. Najlepsze piwo we Wschodniej Ćwiartce, przynajmniej takie było przed laty, bo nie próbowałem go już od dawna.

– Otóż to! – rzekł Frodo. – Może prawda, że kto drogi prostuje, ten w polu nocuje, ale i tak mniej czasu traci niż na popas w gospodzie. Za wszelką cenę musimy ominąć z dala „Złotego Okonia”. Chcemy przecież dotrzeć do Bucklebury przed zmrokiem. A co ty powiesz o tym, Samie?

– Pójdę z panem, panie Frodo – oświadczył Sam, tając w sercu złe przeczucia oraz głęboki żal, że nie spróbuje najlepszego we Wschodniej Ćwiartce piwa.

– Skoro mamy brnąć przez bagna i ciernie, ruszajmy co żywo – rzekł Pippin.

Było już znów niemal tak gorąco jak poprzedniego dnia, lecz od zachodu płynęły chmury. Wyglądało na to, że dzień nie przeminie bez deszczu. Hobbici zsunęli się stromą zieloną skarpą i zanurzyli w gąszcz drzew. Stosownie do obranej drogi, mieli z Leśnego Dworu skręcić w lewo i skosem przeciąć lasy ciągnące się wzdłuż wschodniego zbocza góry, by dotrzeć na równiny. Potem mogliby już skierować się do promu krajem otwartym, gdzie nie spodziewali się innych przeszkód jak płoty i rowy. Frodo wyliczył, że w prostej linii mają do przejścia osiemnaście mil.

Wkrótce jednak przekonał się, że gąszcz jest bardziej zbity i splątany, niż się z pozoru zdawało. Nie było ścieżek, toteż nie mogli posuwać się szybko. Przedarłszy się po skarpie na sam dół, stanęli nad strumieniem, który ze wzgórz spływał w głęboki parów o stromych, oślizłych brzegach, zarośniętych jeżynami. Parów, jak na złość, zagradzał wybrany szlak. Nie mogli go przeskoczyć ani też przeprawić się inaczej niż kosztem przemoknięcia, mnóstwa zadraśnięć i umazania w błocie. Stanęli, zastanawiając się, co robić.

– Pierwsza przeszkoda – rzekł Pippin z kwaśnym uśmiechem.

Sam Gamgee spojrzał w górę. Pomiędzy drzewami dostrzegł skraj zielonej polany, z której przed chwilą zeszli.

– Patrzcie! – szepnął, chwytając Froda za ramię. Wszyscy podnieśli wzrok i wysoko nad sobą zobaczyli rysującą się na tle nieba sylwetkę konia. Obok niego stała pochylona nad krawędzią czarna postać. Hobbitom od razu odechciało się powrotu na górę. Frodo pierwszy ruszył naprzód, błyskawicznie dając nura w gęste zarośla nad strumieniem.

– Uff! – powiedział do Pippina. – Obaj mieliśmy rację. Prosta droga już się nam zaplątała; ale skryliśmy się w samą porę. Ty masz czujny słuch, Samie, czy słyszysz czyjeś kroki za nami?

Przystanęli w ciszy, niemal wstrzymując dech, i nasłuchiwali, lecz żaden szmer nie zdradzał pogoni.

– Nie wyobrażam sobie, żeby zechciał ryzykować sprowadzanie konia tą stromą skarpą – rzekł Sam. – Ale nie zdziwiłbym się, gdyby zgadł, że zeszliśmy na dół. Zabierajmy się stąd co prędzej.

Okazało się to wcale nie łatwe. Wędrowcy dźwigali bagaże, a zarośla i ożyny zagradzały im drogę. Stok za ich plecami osłaniał od wiatru, w parowie było nieprzewiewnie i duszno. Nim przedarli się na nieco bardziej otwarty teren, zgrzali się, zmęczyli, pokaleczyli, a co gorsza, stracili orientację i nie wiedzieli na pewno, w jakim powinni iść kierunku. Brzegi strumienia obniżały się w miarę, jak spływał na równinę, nurt rozlewał się szerzej i płycej, dążąc ku Moczarom i Rzece.

– Ależ to strumień Słupianka! – rzekł Pippin. – Jeżeli chcemy wrócić na szlak, musimy zaraz przeprawić się na drugi brzeg i skręcić w prawo.

W bród przeszli strumień i biegiem przebyli otwartą, bezdrzewną, porośniętą tylko sitowiem przestrzeń na jego drugim brzegu. Dopiero dalej

znów trafili na pierścień drzew, przeważnie wielkich dębów, między którymi tu i ówdzie rósł wiąz lub jesion. Grunt tutaj był dość równy, poszycie lasu skąpe. Drzewa jednak stały tak gęsto, że wędrowcy nie widzieli drogi przed sobą. Wiatr dmuchnął nagle, rozwiewając liście, i z chmurnego nieba spadły pierwsze krople deszczu. Potem wiatr ucichł, a deszcz lunął rzęsiście. Hobbici brnęli naprzód, jak się dało najspieszniej, przez kępy traw, przez zwały uschłych liści, a deszcz szumiał i pluskał dokoła. Nie mówili nic, oglądali się tylko wciąż to za siebie, to na boki. Po półgodzinie odezwał się Pippin:

– Mam nadzieję, że nie zboczyliśmy zanadto na południe i nie idziemy wzdłuż lasu. Pas drzew nie jest zbyt szeroki, o ile mi wiadomo, mierzy w najszerszym miejscu zaledwie milę, powinniśmy już wyjść na otwarty teren.

– Na nic się nie zda kręcić zakosami – powiedział Frodo. – To by nam już teraz nie pomogło. Trzymajmy się obranego kierunku. Nie jestem wcale pewien, czy pilno mi znaleźć się na odsłoniętej przestrzeni.

Szli więc dalej milę czy dwie, nie zbaczając z kursu. Wreszcie między postrzępionymi chmurami wybłysło słońce, deszcz nieco złagodniał. Minęło południe, wędrowcy bardzo już tęsknili do lunchu.

Zatrzymali się pod wiązem; liście, chociaż wcześnie pożółkłe, były jeszcze dość gęste, dawały więc schronienie, tym lepsze, że ziemia pod nimi została prawie sucha. Zabierając się do posiłku, hobbici stwierdzili, że elfowie napełnili im manierki przezroczystym złotawym trunkiem, który pachniał jak miód zbierany z różnych kwiatów i pokrzepiał cudownie. Wkrótce wszyscy trzej śmiali się, lekceważąco machając ręką na deszcz i na Czarnych Jeźdźców. Nie wątpili, że prędko pokonają kilka ostatnich mil. Frodo oparł się plecami o pień wiązu i przymknął oczy. Sam i Pippin siedli tuż obok i zaczęli nucić, a potem śpiewać z cicha:

Ho, ho, ho – i gul-gul-gul!
By uleczyć serca ból…
Niech deszcz pada, wieje wiatr,
A przed nami drogi szmat –
Wolę leżeć w cieniu drzewa,

A wiatr chmury niech rozwiewa…[11]

– Ho! Ho! Ho! – podjęli głośniej. Ale urwali natychmiast. Frodo zerwał się na równe nogi. Z wiatrem doleciał ich uszu przeciągły skowyt, jakby krzyk jakiegoś złośliwego i samotnego stworzenia. Wzbił się wyżej, opadł i zakończył ostrą, przenikliwą nutą.

Hobbici – czy który stał, czy siedział – zastygli jak lodem ścięci, a tymczasem drugi skowyt odpowiedział pierwszemu, cichszy, dalszy, lecz tak samo mrożący krew w żyłach. Potem zapadła cisza, której nie mąciło nic prócz szelestu wiatru wśród liści.

– Jak wam się zdaje, co to było? – spytał wreszcie Pippin, siląc się na lekki ton, chociaż głos drżał mu trochę. – Może ptak, ale przyznam się, że nigdy w życiu nie słyszałem takiego ćwierkania w Shire.

– Nie był to ptak ani zwierzę – odparł Frodo – ale wołanie czy może sygnał. W tym krzyku dźwięczały jakieś słowa, jakkolwiek nie zdołałem ich pojąć. W każdym razie takiego głosu nie dobyłby z siebie żaden hobbit.

Więcej o tym nie mówili. Wszyscy trzej pomyśleli o Jeźdźcach, lecz nikt się nie odezwał. Wzdragali się teraz zarówno przed dalszym marszem, jak i przed pozostaniem na miejscu. Wcześniej lub później musieli wszakże przebyć otwartą przestrzeń dzielącą ich od promu, a lepiej było zrobić to za dnia niż nocą. Toteż po krótkiej chwili załadowali worki na plecy i ruszyli znowu.

Wkrótce stanęli niespodzianie na skraju lasu. Przed ich oczyma otwarły się rozległe łąki. Teraz dopiero przekonali się, iż rzeczywiście zboczyli zanadto na południe. W dali, nad równiną majaczyło wzniesione za rzeką niskie wzgórze Bucklebury, nie na wprost jednak, lecz na lewo od miejsca, gdzie wyszli z lasu. Ostrożnie wychynęli spod drzew i co sił w nogach pobiegli przez odsłonięty teren.

Z początku ze strachem oddalali się od leśnego schronu. Daleko za nimi widniała wysoka polana, na której tego ranka jedli śniadanie. Frodo niemal spodziewał się, że na jej krawędzi zobaczy małą z tej odległości na tle nieba sylwetkę Jeźdźca; lecz nie było już po nim ani śladu. Słońce, zniżając się nad wzgórza, które wędrowcy zostawili już za sobą, wymknęło się spośród rozdartych chmur i świeciło znowu jasno. Hobbici pozbyli się strachu, ale niepokój ich nie opuszczał.

Kraj jednak zdawał się coraz mniej dziki, coraz lepiej zagospodarowany. Po jakimś czasie znaleźli się wśród porządnie uprawionych pól i łąk, zobaczyli żywopłoty, furtki, groble i rowy odprowadzające wodę. Wszystko tutaj tchnęło ładem i spokojem, jak w zwykłym, cichym zakątku Shire'u. Z każdym krokiem naprzód w serca wędrowców wstępowała otucha. Linia rzeki przybliżała się, Czarni Jeźdźcy wydawali się teraz widmami straszącymi w lasach, które zostały daleko w tyle.

Skrajem ogromnego pola rzepy doszli do potężnej bramy. Za nią ujrzeli bitą drogę biegnącą między nisko strzyżonymi żywopłotami ku odległej kępie drzew. Pippin stanął.

– Poznaję te pola i tę bramę! – zawołał. – To Bamfurlong, farma starego Maggota. Tam, gdzie te drzewa, kryje się jego zagroda.

– Nowa bieda! – rzekł Frodo z miną tak przerażoną, jak gdyby Pippin oznajmił, że dróżka prowadzi do smoczej jamy. Towarzysze spojrzeli na niego zdumieni.

– Co masz przeciwko staremu Maggotowi? – spytał Pippin. – To serdeczny przyjaciel wszystkich Brandybucków. Oczywiście, jest postrachem dla natrętów i trzyma złe psy, ale to zrozumiałe: mieszkańcy pogranicza muszą się mieć na baczności.

– Wiem – odparł Frodo. – Mimo to – dodał, śmiejąc się z zawstydzeniem – boję się Maggota i jego psów. Unikałem tej zagrody przez długie lata. Kiedy za młodu mieszkałem w Brandy Hallu, Maggot często przyłapywał mnie w szkodzie w swoich pieczarkach. Za ostatnim razem spuścił mi porządne lanie, a potem przedstawił psom: „Patrzcie, dzieci – powiedział. – Jeżeli jeszcze kiedyś noga tego smarkacza postanie na mojej ziemi, wolno go wam zjeść. A teraz wyproście go stąd!". I psy goniły mnie aż do promu. Po dziś dzień nie ochłonąłem z tego strachu, chociaż muszę przyznać, że bestie były dobrze wytresowane i nie tknęły mnie nawet.

Pippin roześmiał się.

– Ano, pora, żebyś się z nimi wreszcie pogodził. Tym bardziej że masz się znowu osiedlić w Bucklandzie. Stary Maggot jest naprawdę zacnym sąsiadem, byle nie dobierać się do jego pieczarek. Jeżeli pójdziemy dróżką, nie będzie mógł nas posądzać o wdzieranie się ukradkiem na jego teren. W razie spotkania ja sam wszystko mu wytłumaczę. Maggot przyjaźni się z Merrym, w którego towarzystwie często odwiedzałem ten dom.

Poszli dróżką i wkrótce ukazała im się wśród drzew słomiana strzecha dużego domu i budynki gospodarcze. Maggotowie, podobnie jak Puddifootowie ze Słupków i jak większość hobbitów z Moczarów, mieszkali w domach; farma była porządnie zbudowana z cegieł i otoczona wysokim murem. Szeroka drewniana brama widniała na końcu dróżki.

Nagle, gdy trzej wędrowcy zbliżyli się do bramy, rozległo się straszliwe wycie i szczekanie, a donośny głos krzyknął:

– Łapaj! Trzymaj! Wilk! Do mnie, dzieci!

Frodo i Sam stanęli jak wryci, lecz Pippin posunął się parę kroków naprzód. Brama otwarła się, trzy wielkie brytany wypadły na drogę i szczekając wściekle, rzuciły się na przybyszów. Na Pippina wcale nie zwróciły uwagi, ale Sama, który przywarł do muru, osaczyły dwa podobne do wilków psiska i węsząc podejrzliwie, szczerzyły kły, ilekroć próbował się poruszyć. Największy i najgroźniejszy brytan stanął przed Frodem, jeżąc sierść i warcząc.

W bramie ukazał się tęgi, przysadzisty hobbit z krągłą, rumianą twarzą.

– Hej! Coście za jedni i czego tu chcecie? – spytał.

– Dobry wieczór, panie Maggot – powiedział Pippin.

Gospodarz spojrzał na niego uważnie.

– A niechże mnie! Przecież to pan Pippin! Pan Peregrin Tuk, chciałem rzec… – zawołał i twarz rozchmurzyła mu się w uśmiechu. – Kopę lat pana tu nie widzieliśmy. Szczęście, że pana poznałem. Byłbym poszczuł moje pieski jak na obcych. Dziwne rzeczy dzieją się tu dzisiaj. Oczywiście, widujemy rozmaitych podróżnych w tych stronach. Za blisko stąd do Rzeki! – rzekł, kiwając głową. – Ale nie zdarzyło mi się w życiu zobaczyć gościa tak dziwacznego jak ten, co dziś mi się trafił. Już on drugi raz nie przejdzie bez pozwolenia przez mój teren, póki ja tu gospodarzę.

– O kim to mówicie?

– A wyście go nie widzieli? – odpowiedział farmer. – Dopiero co tu był i odjechał tą dróżką w stronę promu. Dziwny gość i dziwne zadawał pytania. Ale może panowie wejdą do środka, pogadamy wygodniej. Znajdzie się kropelka dobrego piwa w beczce, jeżeli pańscy przyjaciele nie pogardzą.

Zrozumieli, że farmer powie im coś więcej, jeżeli dadzą mu po temu czas i sposobność, przyjęli więc skwapliwie zaproszenie.

– A co będzie z psami? – zaniepokoił się Frodo.

Farmer roześmiał się.

– Nie zrobią nikomu krzywdy, chyba że na mój rozkaz. Do nogi, Łapaj! Do nogi, Trzymaj! – krzyknął. – Do nogi, Wilk!

Frodo i Sam odetchnęli z ulgą, kiedy psy odstąpiły, zwracając im swobodę ruchów. Pippin przedstawił gospodarzowi obu swoich towarzyszy.

– Pan Frodo Baggins – rzekł. – Może go nie pamiętacie, ale mieszkał ongi w Brandy Hallu.

Na dźwięk nazwiska „Baggins” farmer wzdrygnął się i obrzucił Froda bystrym spojrzeniem. Frodowi przemknęło przez głowę, że Maggot przypomniał sobie kradzione pieczarki i zaraz poszczuje go psami. Ale Maggot ujął hobbita pod ramię.

– No, proszę! – zakrzyknął. – A więc to jeszcze dziwniejsza sprawa, niż mi się zdawało! Pan Baggins! Niech panowie wejdą do domu, musimy pogadać.

Weszli do kuchni i siedli przy wielkim kominie. Pani Maggot przyniosła ogromny dzban piwa i napełniła cztery spore kufle. Piwo było doskonałe, toteż Pippin przestał żałować, że ominęli gospodę „Pod Złotym Okoniem”. Sam sączył piwo podejrzliwie. We krwi miał nieufność do mieszkańców innych prowincji Shire’u i nie był pochopny do zawierania przyjaźni z kimś, kto ongi zbił jego pana, choćby nie wiadomo ile lat temu.

Po wstępnych uwagach o pogodzie i urodzajach (nie gorszych niż zazwyczaj) Maggot odstawił kufel i powiódł wzrokiem po twarzach gości.

– Niech no mi pan teraz powie, panie Tuku – zwrócił się do Peregrina – skąd przybyliście i dokąd zmierzacie? Czy do mnie w odwiedziny? Bo jeśli tak, to muszę przyznać, żem was nie zauważył u furty.

– Nie – odparł Pippin. – Skoro sami zgadliście prawdę, nie będę taił, że przyszliśmy dróżką od jej drugiego końca, przez wasze pola. Ale stało się to przypadkiem. Zabłądziliśmy w lasach, idąc od Leśnego Dworu na przełaj do promu.

– Jeżeli wam się spieszyło, byłoby skuteczniej trzymać się drogi – rzekł farmer. – Nie o to wszakże mi chodzi. Pan, panie Pippinie, ma raz na zawsze wstęp wolny na moje pola. A pan, panie Baggins, także, chociaż pewnie pan wciąż jeszcze lubi pieczarki. – Maggot roześmiał się. – Tak,

tak, zapamiętałem pańskie nazwisko. Nie zapomniałem tych czasów, kiedy młody Frodo Baggins był jednym z najgorszych urwisów w Bucklandzie. Ale nie pieczarki miałem teraz na myśli. Na chwilę przed waszym przyjściem słyszałem pańskie nazwisko, panie Baggins. Nie zgadnie pan, o co mnie pytał tamten dziwny gość.

Trzej hobbici w napięciu czekali na dalszy ciąg.

– Ano – podjął farmer bez pośpiechu, rozkoszując się efektem swoich słów – podjechał na wielkim czarnym koniu do furty, która przypadkiem była właśnie uchylona, i stanął tuż przed drzwiami domu. Cały czarny, zawinięty w płaszcz z kapturem, jakby nie chciał, żeby go kto poznał. „Czego, u licha, chce ode mnie?” – pomyślałem. Po tej stronie granicy rzadko widujemy Dużych Ludzi, a już o nikim podobnym do tego czarnego stwora w życiu nie słyszałem. „Dzień dobry – powiadam, wychodząc na próg. – Ta ścieżka nigdzie dalej nie prowadzi; dokądkolwiek się wybieracie, najszybciej tam traficie, jeżeli wrócicie na drogę”. Nie podobał mi się ten jeździec, a kiedy się zbliżył, Łapaj raz tylko pociągnął nosem i szczeknął, jakby go kto żądłem ukłuł; podkulił ogon i uciekł, skowycząc. Czarny typ ani drgnął w siodle.

„Stamtąd jadę” – rzekł, wymawiając słowa powoli i twardo, i pokazał na zachód, ponad moim własnym polem, jakby nigdy nic. „Czy nie widziałeś Bagginsa?” – spytał niesamowitym głosem i pochylił się ku mnie. Twarzy nie zobaczyłem, bo kaptur miał naciągnięty nisko, ale ciarki mi przeszły po krzyżach. Wciąż jednak nie mogłem pogodzić się z tym, że tak bezczelnie obcy wtargnął do mojej zagrody.

„Zabierajcie się stąd! – rzekłem. – Nie ma tu żadnych Bagginsów. Trafiliście nie do tej, co trzeba, prowincji Shire’u. Wracajcie lepiej na zachód, do Hobbitonu, ale gościńcem, nie przez moje pola!”

„Baggins opuścił Hobbiton – odpowiedział mi szeptem. – Idzie tu, jest już niedaleko. Chcę go odnaleźć. Jeżeli będzie tędy przechodził, czy mi o tym powiesz? Wrócę tu ze złotem”.

„Nie – odparłem. – Wrócisz tam, skąd przyszedłeś, i to zaraz. Bo za minutę zawołam wszystkie moje pieski”.

Na to jeździec wydał jakby syk. Może to był śmiech, może nie. Naparł na mnie koniem tak, że ledwie zdążyłem odskoczyć. Krzyknąłem na psy,

ale on zawrócił konia i runął niby piorun przez furtę, a potem drogą ku grobli. No i co o tym wszystkim myślicie?

Frodo chwilę milczał, wpatrując się w ogień na kominie; myślał jednak wyłącznie o tym, jakim cudem zdoła dostać się do promu.

– Nie wiem, co o tym myśleć – powiedział wreszcie.

– W takim razie ja wam powiem, co powinniście myśleć – rzekł Maggot. – Nie trzeba było, panie Frodo, zadawać się z mieszkańcami Hobbitonu. To dziwni hobbici. – Sam wzdrygnął się i popatrzył na farmera nieprzychylnym okiem. – Ale z pana zawsze był lekkoduch. Kiedy się dowiedziałem, że pan opuścił Brandybucków i przeprowadził się do starego pana Bilba, od razu mówiłem, że pan napyta sobie biedy. Zapamiętajcie moje słowa, cały ten kłopot wynikł z dziwactw pana Bilba. Gadają, że podejrzanym sposobem zdobył majątek w dalekich krajach. Może ktoś chce się teraz dowiedzieć, co się stało ze złotem i klejnotami, zakopanymi, jak słyszałem, pod Pagórkiem w Hobbitonie?

Frodo nic na to nie odpowiedział, zaskoczony przenikliwością tego domysłu.

– Tak, panie Frodo – ciągnął dalej Maggot – cieszę się, że pan posłuchał głosu rozsądku i wrócił do Bucklandu. Radzę panu z nami pozostać. I nie zadawać się z tymi obcymi dziwakami. W naszych stronach znajdzie pan przyjaciół. A gdyby któryś z tych czarnych przybłędów szukał znów pana tutaj, już ja się z nim rozprawię. Powiem, że pan umarł albo wyjechał z kraju, czy coś innego w tym guście. Może nawet nie będzie to kłamstwo, bo kto wie, czy dopytując się, nie mieli pana Bilba na myśli.

– Możliwe – rzekł Frodo, unikając wzroku farmera i uparcie patrząc w ogień. Maggot przyglądał mu się zatroskany.

– Widzę, że pan ma o tym swoje zdanie – powiedział. – Jasne jak słońce, że nie przypadek sprowadził do mnie i pana, i tego jeźdźca w ciągu jednego popołudnia. Może też nowiny, które wam opowiedziałem, wcale nie były dla was nowe. Nie pytam o nic takiego, co byście woleli zachować przy sobie, ale rozumiem, że pan jest w jakichś tarapatach. Może rozmyśla pan nad tym, jak się dostać do promu, żeby po drodze nie wpaść tamtemu w łapy?

– Właśnie o tym myślałem – przyznał Frodo. – W każdym razie musimy zaryzykować i dotrzeć do celu. A nie osiągniemy go, siedząc i rozmyślając.

Niestety, trzeba ruszać co prędzej. Dziękuję bardzo za życzliwość. Przez trzydzieści lat bałem się naprawdę was i waszych psów, chociaż śmialiście się, kiedy to powiedziałem. Szkoda! Straciłem trzydzieści lat przyjaźni z zacnym hobbitem. Przykro mi, że tak prędko muszę się z wami dzisiaj rozstać. Wrócę może kiedyś… jeżeli los pozwoli.

– Będzie pan miłym gościem, kiedykolwiek się pan zjawi – odparł Maggot. – Ale mam pomysł! Słońce już zachodzi, pora na wieczerzę. Zwykle kładziemy się spać zaraz po zachodzie słońca. Gdyby pan i pan Peregrin, i wasz towarzysz zechcieli przegryźć coś razem z nami, byłoby nam bardzo przyjemnie.

– Nam tym bardziej! – rzekł Frodo. – Niestety, musimy ruszać w drogę natychmiast. Już i tak nie zajdziemy przed zmrokiem do promu.

– Niechże pan poczeka chwileczkę! Nie skończyłem jeszcze. Po wieczerzy mógłbym zaprząc kuce do wózka i odwieźć panów na miejsce. Oszczędziłoby to wam czasu, a kto wie, czy nie innych kłopotów także.

Ku uciesze Pippina i Sama Frodo przyjął propozycję z wdzięcznością. Słońce już się skryło za wzgórza na zachodzie. Zmierzch szybko gęstniał. Zjawili się dwaj synowie Maggota oraz trzy jego córki, na długim stole zastawiono sutą wieczerzę. W kuchni błysnęły świece, ogień na kominku rozpalił się żywiej. Pani Maggot krzątała się po domu. Nadeszło paru hobbitów, domowników gospodarza. Wkrótce czternaście osób siedziało za stołem. Piwa było w bród, na półmisku piętrzyła się góra pieczarek z boczkiem, nie brakowało też innych posilnych wiejskich dań. Psy leżały przy ogniu, ogryzając kości i skórki.

Po kolacji farmer z synami wyszedł pierwszy, żeby przy świetle latarni zaprząc kuce. Na dziedzińcu było już ciemno, kiedy z kolei wyszli z domu goście. Rzucili na wóz pakunki, potem wsiedli sami. Maggot z kozła smagnął parę tłustych kuców biczem. Jego żona stała w jasnym prostokącie otwartych drzwi.

– Uważaj na siebie, Maggot! – zawołała. – Nie gadaj z obcymi i wracaj prosto do domu!

– Dobrze, dobrze! – odparł, wyjeżdżając z bramy. Najlżejsze bodaj tchnienie wiatru nie zakłócało ciszy, noc była pogodna i spokojna, bardzo chłodna. Posuwali się wolno, bez świateł. O milę czy dwie dalej dróżkę przecinał głęboki rów, a za nim wznosił się nasyp wysokiej grobli.

Maggot zlazł z wozu i uważnie przepatrzył drogę w obie strony, na północ i na południe, ale nic nie było widać w ciemnościach, a ciszy nie mącił żaden szmer. Cienkie pasemka mgły znad rzeki snuły się nad rowami i rozpełzały po polach.

– Będzie źle widać – rzekł Maggot – ale nie zapalę latarni, aż dopiero w powrotnej drodze. Gdyby ktoś nadjeżdżał, usłyszymy go na długo wcześniej, niż zobaczymy.

Pięć mil z okładem dzieliło dróżkę Maggota od promu. Hobbici zawinęli się w płaszcze, lecz wytężali słuch, czujni na każdy odgłos, który nie był skrzypieniem kół ich wozu lub niespiesznym, rytmicznym stukiem podków kucyków. Wóz zdawał się Frodowi ślamazarny jak ślimak. Siedzący obok Pippin kiwał się sennie, lecz Sam miał oczy otwarte i utkwione we mgle unoszącej się nad drogą przed nimi.

Wreszcie dotarli do alei, która prowadziła na prom. Dwa białe słupy stojące u wjazdu wyłoniły się znienacka z ciemności po ich prawej ręce. Maggot ściągnął kuce, wóz zatrzymał się ze zgrzytem. Hobbici już się zaczęli z niego gramolić na ziemię, gdy nagle usłyszeli to, czego wszyscy lękali się najbardziej: stukot kopyt. Jeździec zbliżał się od strony rzeki.

Maggot zeskoczył z wozu i stojąc przy łbach swoich kuców, wpatrzył się w mrok. Klip-klap, klip-klap – dźwięczało coraz bliżej. Uderzenia podków rozległy się głośno w ciszy i mgle.

– Niech się pan lepiej schowa, panie Frodo – powiedział zatroskany Sam. – Niech pan się położy na dnie wozu i przykryje derką, a my tymczasem pozbędziemy się jakoś tego Jeźdźca.

Sam zeskoczył na ziemię i stanął u boku farmera. Czarni Jeźdźcy musieliby przez niego przeskoczyć, żeby się zbliżyć do wozu. Klip-klap, klip-klap. Jeździec był tuż przed nimi.

– Hej tam! – krzyknął Maggot. Stukot urwał się, jakby koń stanął w miejscu. Hobbitom zdawało się, że rozróżniają majaczącą o parę kroków przed nimi we mgle postać w ciemnym płaszczu.

– Trzymaj – rzekł farmer do Sama, rzucając mu lejce i występując naprzód. – Ani kroku dalej! Czego tu chcesz i dokąd jedziesz?

– Szukam pana Bagginsa. Czyście go nie widzieli? – odezwał się głos przytłumiony, lecz niewątpliwie należący do Meriadoka Brandybucka.

Snop światła odsłoniętej latarni padł prosto na zdumioną twarz farmera.

– Pan Merry! – krzyknął Maggot.

– Oczywiście, że ja! A za kogoście mnie wzięli? – spytał Merry, podchodząc bliżej. Wyłonił się z mgieł i w oczach hobbitów, gdy ochłonęli ze strachu, jakby nagle zmalał do zwyczajnego hobbickiego wzrostu. Siedział na kucyku, a szyję i brodę miał okutaną szalikiem dla ochrony przed mgłą. Frodo zeskoczył z wozu, by się przywitać.

– Jesteś nareszcie! – zawołał Merry. – Już zaczynałem wątpić, czy się dzisiaj zjawisz, i chciałem wracać na kolację. Kiedy nadciągnęła mgła, wybrałem się za rzekę i podjechałem do Słupianki, żeby się upewnić, czy nie wpadłeś gdzieś do rowu. Nie pojmuję, jakimi drogami szedłeś. Skądżeście ich wyłowili, Maggot? Może z waszego kaczego stawku?

– Nie. Przydybałem tych hobbitów w szkodzie. Jużem chciał psy na nich poszczuć. Ale pewnie sami panu opowiedzą tę historię. Bo ja, z przeproszeniem pana Froda, pana Meriadoka i całej kompanii, wolałbym, nie zwlekając, wracać do domu. Żona się niepokoi, a mgła coraz gorsza.

Zawrócił wozem.

– Dobranoc! – zawołał. – Nie ma co, dzień był niepowszedni. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy… chociaż tego nie powinno się mówić, póki wszyscy nie staniemy u drzwi własnych domów. Nie wypieram się, że będę rad, kiedy się tam wreszcie znajdę. – Zapalił latarnię u wozu i wsiadł. Niespodzianie sięgnął pod kozioł i wydobył stamtąd spory koszyk. – O mały włos byłbym zapomniał – rzekł. – Żona kazała mi oddać to panu Bagginsowi z pozdrowieniem od niej.

Podał Frodowi kosz i ruszył w swoją drogę, żegnany chórem podziękowań i życzeń dobrej nocy.

Długą chwilę patrzyli na blade kręgi światła jego latarni, migocącej w nocnej mgle. Nagle Frodo wybuchnął śmiechem: spod pokrywy kosza zapachniały mu pieczarki.

ROZDZIAŁ 5
WYKRYTY SPISEK

– My także lepiej zrobimy, jeśli teraz pospieszymy do domu – rzekł Merry. – Widzę, że jest w tej całej historii coś dziwnego, ale pomówimy o tym dopiero na miejscu.

Skręcili na prostą, porządnie utrzymaną ścieżkę, obrzeżoną dużymi bielonymi kamieniami. Doprowadziła ich ona o jakieś sto kroków dalej na brzeg rzeki do przystani i szerokiego, zbitego z desek pomostu. Przycumowany do niego czekał płaski prom. Białe słupy wbite nad samą wodą jaśniały w blasku dwóch wysoko umocowanych latarni. Za plecami wędrowców na niskich polach mgła już unosiła się nad żywopłotami, lecz przed nimi woda lśniła czernią, tylko w przybrzeżnym sitowiu błąkały się tu i ówdzie skłębione niby dym opary. Na drugim brzegu mgła zdawała się rzadsza. Merry sprowadził wierzchowca po kładce na prom, reszta kompanii poszła za nim. Merry ujął długą tykę i pchnął prom w poprzek nurtu. Brandywina płynęła przed ich oczyma z wolna, szeroko rozlana. Przeciwny brzeg wznosił się stromo, od przystani kręta ścieżka wiła się w górę ku migocącym światłom. Dalej majaczyło wzgórze Buck, a na nim, przeświecając przez rozproszone mgły, błyszczało mnóstwo okrągłych okien, żółtych i czerwonych. To były okna Brandy Hallu, starej siedziby Brandybucków.

Przed wiekami Gorhendad Oldbuck – głowa rodu Oldbucków, zaliczanego do najstarszych w prowincji Moczarów, a może i w całym Shire – przeprawił się przez Rzekę, która podówczas wyznaczała wschodnią granicę kraju. Zbudował (i wykopał) Brandy Hall, zmienił nazwisko na Brandybuck i osiadł tu, władając obszarem, który stanowił niemal samodzielne księstewko. Rodzina rozrastała się i nie przestała rozrastać po śmierci Gorhendada, aż wreszcie Brandy Hall zajął całe wzgórze, szczycąc się trzema wielkimi bramami, mnóstwem bocznych drzwi i blisko setką okien. Brandybuckowie oraz ich liczni podwładni zaczęli wtedy kopać nory, a w późniejszych czasach budować domy wszędzie dookoła wzgórza. Tak powstał Buckland, gęsto zaludniony pas

ziemi między rzeką a Starym Lasem, niejako kolonia Shire’u. Główne miasteczko Bucklebury tuliło się na zboczach za Brandy Hallem.

Ludność Moczarów żyła z Bucklandczykami w przyjaźni, a farmerzy gospodarujący między Słupkami a Łoziną dotychczas uznawali władzę Dziedzica z Hallu – jak nazywano głowę rodziny Brandybucków. Większość wszakże obywateli starego Shire’u poczytywała Bucklandczyków za dziwaków, prawie za cudzoziemców. W rzeczywistości nie różnili się oni wiele od innych hobbitów z czterech Ćwiartek. Z jednym jedynym wyjątkiem: lubili wodę, a niektórzy nawet umieli pływać.

Kraj ich początkowo był bezbronny od wschodu, potem ogrodzono go z tej strony żywopłotem, zwanym Zielonym Murem. Żywopłot, pielęgnowany stale przez kilka pokoleń hobbitów, wyrósł wysoko i rozkrzewił się szeroko. Zaczynał się od mostu na Brandywinie, olbrzymim łukiem odbiegał od rzeki i sięgał aż do Ostatniej Łąki (gdzie płynąca z lasu Wija wpadała do Brandywiny), miał więc ponad dwadzieścia mil długości. Nie zapewniał oczywiście niezawodnego bezpieczeństwa. Las w wielu miejscach wysuwał się pod sam Mur. Toteż Bucklandczycy po zmroku ryglowali drzwi swoich domów, co w Shire nie było w zwyczaju.

Prom sunął z wolna po wodzie. Brzeg bucklandzki zbliżał się ku nim. Z całej kompanii tylko Sam nigdy dotychczas nie był za rzeką. Patrząc, jak leniwy nurt z chlupotem przelewa się wzdłuż burty, Sam miał dziwne wrażenie: życie zostawało za nim we mgle, a przed nim była ciemność i przygoda. Podrapał się w głowę i przemknęła mu myśl, że jednak lepiej by było, gdyby pan Frodo nadal spokojnie siedział w Bag End.

Czterej hobbici zeszli na ląd. Merry wiązał prom, a Pippin już prowadził kuca ścieżką pod górę, gdy Sam (który obejrzał się, jakby żegnając Shire) szepnął ochryple:

– Niech pan się obejrzy, panie Frodo. Czy pan coś widzi?

Na drugim brzegu, w przystani, pod odległymi latarniami majaczył jakiś kształt; wyglądało to jak czarny tłumoczek zapomniany przez podróżnych. Lecz gdy się wpatrzyli lepiej, poruszył się, zakołysał, jakby węsząc przy ziemi. Potem wyczołgał się czy może pobiegł skulony z powrotem w mrok poza krąg światła.

– A to co, u licha?! – wykrzyknął Merry.

– Coś, co szło naszym tropem – rzekł Frodo. – O więcej na razie nie pytaj. Chodźmy stąd, i to natychmiast.

Pospieszyli ścieżką na wysoką skarpę, lecz gdy znów z góry spojrzeli na Rzekę, drugi brzeg skrył się we mgle tak, że nic widać nie było.

– Szczęście, że na zachodnim brzegu nikt nie trzyma łodzi! – powiedział Frodo. – Czy konno można przebyć rzekę w bród?

– Można przejść mostem o dwadzieścia mil na północ stąd albo przeprawić się wpław – odparł Merry. – Co prawda nigdy nie słyszałem, żeby jakiś koń przepłynął Brandywinę. Ale skąd ci przyszły na myśl konie?

– Wytłumaczę ci to później. Pogadamy w czterech ścianach.

– Słusznie. Obaj z Pippinem znacie drogę, ja więc pojadę naprzód i zawiadomię Grubasa o waszym przybyciu. Przygotujemy kolację i tak dalej.

– Jedliśmy wczesną wieczerzę u Maggota – rzekł Frodo – ale znajdzie się miejsce na drugą.

– Dostaniecie ją na pewno! Daj mi ten koszyk! – I Merry zniknął w ciemnościach.

Od Brandywiny do nowego domu Froda w Ustroni było dość daleko. Zostawili po lewej ręce Wzgórze Buck i Brandy Hall, a minąwszy Bucklebury, weszli na główny gościniec Bucklandu, biegnący od mostu na południe. Posuwając się ku północy, pół mili dalej skręcili w prawo na boczną dróżkę, która poprowadziła ich przez dalsze dwie mile, to wspinając się w górę, to opadając w dół wśród pól.

Wreszcie stanęli przed ciasną bramą w gęstym żywopłocie. Domu w ciemnościach nie mogli dostrzec, bo krył się w głębi, pośrodku wielkiego kolistego trawnika, otoczony pierścieniem karłowatych drzew, posadzonych wzdłuż żywopłotu. Frodo wybrał ten dom, ponieważ stał w cichym zakątku, z dala od ruchliwych szlaków i z dala od wszelkiego sąsiedztwa. Można tu było wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie. Zbudowali go przed wielu laty Brandybuckowie na siedzibę dla gości lub członków rodziny, którzy pragnęli czas jakiś odpocząć od gwaru ludnego Brandy Hallu. Był to staroświecki wiejski dom, wzorowany jak najściślej na hobbickiej norce: długi, niski, bez piętra; dach miał darniowy, a okienka i drzwi okrągłe.

Idąc spod furtki zieloną ścieżką, nie widzieli świateł. Okna były ciemne, zasłonięte okiennicami. Frodo zapukał do drzwi, otworzył mu Grubas Bolger. Z wnętrza płynął strumień przyjaznego blasku. Wsunęli się szybko i zaraz odgrodzili znów drzwiami siebie i światło od ciemności zewnętrznych. Znaleźli się w obszernej sieni, z której na dwie strony otwierały się drzwi do pokojów. Przez środek domu biegł korytarz.

– No, co powiesz? – spytał Merry, nadchodząc z głębi korytarza. – Zrobiliśmy wszystko, co się dało zrobić w tak krótkim czasie, żeby ten dom zagospodarować. Pamiętaj, że zaledwie wczoraj przyjechaliśmy tu wraz z Grubasem na ostatnim wozie z rzeczami.

Frodo rozejrzał się wkoło. Dom wyglądał przytulnie. Postarano się w miarę możliwości ustawić meble tak samo, jak stały w Bag End. Były to przeważnie jego własne meble, a właściwie meble Bilba, i Frodowi, gdy je zobaczył w tym nowym otoczeniu, Bilbo jak żywy stanął przed oczyma. Miła, wygodna, przyjazna siedziba! Żal ogarnął hobbita, że nie przybywa tu po to, by osiąść w spokoju na stałe. Wyrzucał też sobie, że naraził przyjaciół na tyle trudów, i łamał sobie głowę, jak im powiedzieć, że musi opuścić ten dom wkrótce, a nawet – natychmiast. Ale rozumiał, że trzeba im oznajmić tę złą nowinę jeszcze tej nocy, nim wszyscy pójdą spać.

– Uroczy dom! – powiedział, wreszcie zdobywając się na słowa. – Mam wrażenie, jakbym się wcale nie przeprowadził z Bag End.

Podróżni powiesili płaszcze i złożyli bagaże na podłodze w sieni, a Merry poprowadził ich korytarzem i otworzył drzwi w głębi. Buchnęło zza nich ciepło ogniska i kłąb pary.

– Kąpiel! – krzyknął Pippin. – O, zacny Meriadoku!

– W jakiej kolejności będziemy się kąpali? – spytał Frodo. – Czy pierwszy wejdzie najstarszy, czy najszybszy? W każdym przypadku ty, mości Peregrinie, znajdziesz się na szarym końcu.

– Nie znasz mnie, jeżeli myślisz, że nie wymyśliłem lepszego rozwiązania – rzekł Merry. – Nie możemy zaczynać życia w Ustroni od kłótni o wannę. W tym pokoju są trzy wanny i kocioł pełen wrzątku. Nie brakuje też ręczników, mat pod nogi i mydła. Idźcie wszyscy trzej naraz i nie marudźcie.

Merry i Grubas zajęli się tymczasem ostatnimi przygotowaniami do kolacji w kuchni, leżącej po drugiej stronie korytarza. Z łazienki dobiegały urywki trzech rywalizujących ze sobą pieśni, plusk i chlupotanie. Nagle jednak głos Pippina wybił się ponad inne i rozbrzmiała ulubiona kąpielowa śpiewka Bilba:

Słodką kąpiółkę śpiewaj o zmierzchu.
Co wszelkie błoto obmywa z wierzchu!
Kto nie chce śpiewać – z takim precz,
Gorąca woda to piękna rzecz!

Słodki deszcz, który pluszcze powoli,
I szmer potoku, co mknie wśród dolin,
Lecz nad oboma wciąż wiedzie prym
Gorącej wody para i dym!

Gdy nas pragnienie mocno przyparło,
Lać zimną wodę możemy w gardło,
Lecz lepsze piwo, gdy chce się pić,
Lub ciepłej wody po plecach nić!

Czysta jest woda, co w czas poranny
Strzela pod niebo snopem fontanny,
Ale nad słodki fontanny plusk
Milszy mi wody gorącej chlust![12]

Potem dał się słyszeć okropny plusk i triumfalny krzyk Froda. Woda z wanny Pippina wystrzeliła na kształt fontanny aż pod sufit.

Merry podszedł do drzwi łazienki.

– Czy wam wcale nie pilno do kolacji i kufelka piwa? – spytał.

Wyszedł Frodo, wyżymając mokre włosy.

– Tu jest tyle wody w powietrzu, że wolę osuszyć się w kuchni – oświadczył.

– Rzeczywiście! – przyznał Merry, zaglądając do łazienki. Kamienna podłoga tonęła w powodzi. – Wytrzesz to wszystko, Peregrinie, zanim dostaniesz coś do zjedzenia. A spiesz się, bo nie będziemy na ciebie czekali.

Zjedli kolację w kuchni, przysunąwszy stół do kominka.

– Mam nadzieję, że z was trzech żaden nie zechce jeść znowu pieczarek? – spytał bez wielkiego przekonania Fredegar.

– Ależ owszem, zechcemy! – krzyknął Pippin.

– To moje pieczarki – rzekł Frodo. – Nie kto inny, lecz ja dostałem je w prezencie od pani Maggot, perły wiejskich gospodyń. Trzymajcie ręce przy sobie, łakomczuchy, sam wydzielę wam porcje.

Hobbici w upodobaniu do pieczarek prześcigają najwybredniejszych nawet smakoszy wśród Dużych Ludzi. Temu należy przypisać młodzieńcze wyprawy Froda na słynne pola Maggota i gniew skrzywdzonego farmera. Owego wszakże wieczora – mimo sławnego hobbickiego apetytu – starczyło pieczarek dla wszystkich. Były zresztą liczne inne dania, toteż kończąc kolację, Grubas Bolger westchnął z lubością. Odstawili stół, przyciągnęli fotele bliżej ognia.

– Sprzątniemy później – rzekł Merry. – Teraz opowiedzcie wszystko! Domyślam się, że mieliście przygody, a to niełądnie, skoro mnie z wami nie było. Żądam szczegółowego sprawozdania, a zwłaszcza jestem ciekaw, co ugryzło starego Maggota, że się do mnie odezwał w ten sposób. Miałem wrażenie, że był wystraszony, o ile jest zdolny do strachu.

– Wszyscy byliśmy wystraszeni – odparł Pippin po chwili milczenia, podczas gdy Frodo bez słowa wpatrywał się w ogień. – Też byś miał stracha, gdyby przez dwa dni z rzędu ścigali cię Czarni Jeźdźcy.

– A któż to taki?

– Czarne postacie na czarnych koniach – odrzekł Pippin. – Jeżeli Frodo nie chce mówić, ja ci opowiem całą historię od początku.

I opowiedział dokładnie o podróży, zaczynając od opuszczenia Hobbitonu. Sam potwierdzał jego słowa, wtrącając co chwila wykrzykniki i przytakując. Frodo milczał.

– Myślałbym, że to bajka – rzekł Merry – gdybym nie widział na własne oczy tego czarnego stwora na przystani i nie słyszał na własne uszy

niezwykłego tonu w głosie Maggota. Co ty o tym wszystkim sądzisz, Frodo?

– Kuzyn Frodo dotychczas był bardzo tajemniczy – powiedział Pippin. – Pora, żeby otworzył usta. Na razie nie mamy żadnych danych prócz domysłów Maggota, który wiąże te wypadki z legendą o bogactwach starego Bilba.

– To tylko domysł – żywo odparł Frodo. – Maggot o niczym nie wie.

– Stary Maggot to bardzo tęga głowa – rzekł Merry. – Za tą pyzatą twarzą kryje się więcej rozumu, niżby można sądzić z tego, co stary farmer mówi. Słyszałem, że dawniej chadzał do Starego Lasu i podobno zna się na różnych dziwnych sprawach. Ale powiedz nam wreszcie, Frodo, czy Maggot, twoim zdaniem, odgadł trafnie, czy nie?

– Myślę – powiedział Frodo – że domysł Maggota w pewnej mierze jest trafny. Istnieje jakiś związek między naszą przygodą a dawnymi przygodami Bilba; jeźdźcy szukają – czy może wręcz ścigają – Bilba albo mnie. Jeżeli chcecie wiedzieć prawdę, to boję się, że to gra nie na żarty i że nie jestem bezpieczny ani w tym domu, ani w żadnym innym.

I Frodo rozejrzał się po oknach i ścianach, jakby w obawie, że się nagle otworzą. Przyjaciele patrzyli na niego w milczeniu i wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Teraz już wszystko się wyda – szepnął Pippin do Merry’ego. Merry skinął głową.

– No, tak! – rzekł wreszcie Frodo, prostując się w fotelu, jakby powziął jakąś ważną decyzję. – Nie będę przed wami dłużej taił prawdy. Mam wam coś do powiedzenia. Ale nie wiem, od czego zacząć.

– Zdaje się, że będę mógł ci pomóc – spokojnie odezwał się Merry – mówiąc przynajmniej część za ciebie.

– Co to ma znaczyć? – spytał Frodo zaniepokojony.

– To, mój drogi, że martwisz się, ponieważ nie wiesz, jak nam powiedzieć do widzenia. Chciałeś oczywiście opuścić Shire. Ale spotkałeś się z niebezpieczeństwem wcześniej, niż przewidywałeś, dlatego teraz postanowiłeś ruszyć w dalszą drogę bez zwłoki. Wcale jednak nie masz na to ochoty. Bardzo ci wszyscy współczujemy.

Frodo otworzył usta, lecz zamknął je natychmiast. Jego zdumiona mina była tak zabawna, że przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

– Kochany stary Frodo! – zawołał Pippin. – Czy naprawdę łudziłeś się, że zamydliłeś nam oczy? Nie, nie byłeś dość ostrożny ani dość sprytny, żeby nas wyprowadzić w pole. Już od kwietnia było oczywiste, że zamyślasz o porzuceniu Hobbitonu i żegnasz się z wszystkim, co tak lubiłeś. Ustawicznie mruczałeś: „Ciekaw jestem, czy też jeszcze kiedy w życiu zobaczę znów tę dolinę!” i tym podobne rzeczy. A potem ta komedia, że niby kończą ci się pieniądze, i sprzedaż ukochanej siedziby Bagginsom z Sackville! I te ciągłe tajne narady z Gandalfem!

– Wielkie nieba! – westchnął Frodo. – Zdawało mi się, że działam bardzo przezornie i chytrze. Co teraz Gandalf powie? Czy to znaczy, że cały Shire gada już o mojej wyprawie?

– Och, nie! – odparł Merry. – O to możesz być spokojny. Pewnie sekret nie utrzyma się długo, tymczasem jednak nie zna go, jak sądzę, nikt prócz nas – spiskowców. Pamiętaj, że my, bądź co bądź, znamy cię dobrze i wiele z tobą przebywamy. Zwykle umiemy zgadywać twoje myśli. Ja zresztą znałem także Bilba. Mówiąc szczerze, obserwowałem cię pilnie od czasu zniknięcia Bilba. Przypuszczałem, że wcześniej lub później zechcesz pójść za nim; a nawet spodziewałem się, że zrobisz to wcześniej, i ostatnio wszyscy się niepokoiliśmy. Baliśmy się, żebyś nam nie umknął, ruszając w świat znienacka i samotnie, jak Bilbo. Dlatego od wiosny nie spuszczaliśmy cię z oka i ze swej strony także układaliśmy różne plany. Nie, nie uciekniesz nam tak łatwo.

– Ależ ja muszę odejść – rzekł Frodo. – Nie ma innej rady, moi drodzy. Wielka to przykrość dla nas wszystkich, nie próbujcie jednak mnie zatrzymać. Skoro zgadliście tak wiele, pomóżcie mi, zamiast przeszkadzać.

– Nie zrozumiałeś nas! – odparł Pippin. – Musisz iść w świat, a więc my także, Merry i ja, pójdziemy z tobą. Sam to wspaniały chłopak, gotów z pewnością w twojej obronie skoczyć bodaj smokowi w paszczę… chyba że potknąłby się przy tym o własne nogi. Ale w tak niebezpiecznej wyprawie będziesz potrzebował liczniejszej kompanii.

– Moi drodzy, najmilsi hobbici! – powiedział Frodo, wzruszony do głębi. – Ależ ja do tego nie mogę dopuścić! Zresztą dawno już to postanowiłem. Mówicie o niebezpieczeństwie, nie rozumiecie go jednak. To nie jest

poszukiwanie skarbów, wyprawa tam i z powrotem. Uciekam przed jedną śmiertelną grozą w inną śmiertelną grozę.

– Rozumiemy to, oczywiście! – stanowczo oświadczył Merry. – Właśnie dlatego zdecydowaliśmy się iść z tobą. Wiemy, że sprawa Pierścienia to nie żarty. Zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc przeciw Nieprzyjacielowi.

– Sprawa Pierścienia! – powtórzył Frodo, zupełnie już teraz oszołomiony.

– Tak, Pierścienia – rzekł Merry. – Mój kochany, zapomniałeś o przenikliwości swoich przyjaciół! Od wielu lat – jeszcze przed zniknięciem Bilba – wiedziałem o istnieniu Pierścienia. Ponieważ jednak było jasne, że Bilbo pragnie to zachować w tajemnicy, nie zdradzałem się z moimi wiadomościami, dopóki nie zawiązaliśmy naszego spisku. Co prawda nie znałem tak dobrze Bilba jak ciebie; ja byłem za młody, a Bilbo ostrożniejszy niż ty, chociaż także nie dość jeszcze ostrożny. Jeżeli chcesz, powiem ci, w jaki sposób po raz pierwszy odkryłem sekret.

– Mów! – szepnął Frodo.

– Zgubą Bilba, jak zawsze, stali się Bagginsowie z Sackville. Pewnego dnia, na rok przed urodzinowym przyjęciem, szedłem drogą i zobaczyłem przed sobą Bilba. Nagle w oddali ukazała się para Bagginsów z Sackville, idących w naszą stronę; Bilbo zwolnił kroku i… hop! Zniknął! Tak byłem zaskoczony, że ledwie zdobyłem się w ostatniej chwili na jakiś pomysł, by także się schować, chociaż w bardziej naturalny sposób. Dałem nurka w żywopłot i dalej posuwałem się pod jego osłoną wzdłuż drogi. Wyjrzałem zza krzaków na drogę, gdy wreszcie Bagginsowie z Sackville przeszli, i w miejscu, w którym właśnie zatrzymałem wzrok, wyrósł znienacka Bilbo. Dostrzegłem błysk złota, kiedy wsuwał jakiś mały przedmiot do kieszeni spodni.

Od tego dnia miałem oczy stale otwarte. Powiem, nie owijając w bawełnę: szpiegowałem Bilba. Przyznasz chyba, że zagadka była naprawdę korcąca, a ja przecież byłem młodzikiem. Prócz ciebie, Frodo, jestem pewnie jedynym w Shire hobbitem, który widział tajną księgę starego Bilba.

– Czytałeś jego księgę?! – krzyknął Frodo. – Wielkie nieba! A więc nic nie da się przed światem ukryć?

– Niełatwo coś ukryć, jak się zdaje – odparł Merry. – Zdołałem tylko rzucić okiem na tę księgę, a i to przyszło mi z wielkim trudem. Bilbo nigdy nie zostawiał jej na wierzchu. Ciekaw jestem, co się z nią stało. Chętnie bym do niej zajrzał znowu. Może ty ją masz, Frodo?

– Nie. Nie było jej w Bag End. Pewnie Bilbo wziął ją z sobą.

– A więc, jak mówiłem – ciągnął dalej Merry – trzymałem język za zębami aż do wiosny tego roku, kiedy to wytworzyła się już poważna sytuacja. Wówczas zawiązaliśmy spisek, a że my także traktowaliśmy sprawę poważnie i byliśmy zdecydowani na wszystko, nie bawiliśmy się w zbytnie skrupuły. Z ciebie, Frodo, twardy orzech do zgryzienia, a z Gandalfa – jeszcze twardszy. Jeśli chcesz poznać naszego głównego wywiadowcę, mogę ci go przedstawić.

– Gdzież on jest? – spytał Frodo i rozejrzał się dokoła, jakby oczekiwał, że z którejś szafy wyłoni się ponura postać szpiega w masce.

– Wystąp, Sam! – rzekł Merry. Sam wstał, zaczerwieniony po uszy. – Oto nasz informator! Zapewniam cię, że dostarczał nam mnóstwa wiadomości, nim wreszcie został przyłapany. Wiedz, że po tym zdarzeniu zachował się tak, jakby się czuł związany słowem honoru, i odtąd nie wyciągnęliśmy z niego nic więcej.

– Sam! – zawołał Frodo. Nic w świecie nie mogłoby go bardziej zdumieć, nie umiałby też powiedzieć, czy to, co czuje, jest gniewem, zaciekawieniem, ulgą czy tylko wstydem, że się dał tak wystrychnąć na dudka.

– Tak, proszę pana – rzekł Sam. – Bardzo pana przepraszam. Ale naprawdę nie miałem złych zamiarów względem pana i pana Gandalfa. On zresztą bardzo rozumnie radził. Kiedy pan mówił: „Muszę iść sam”, powiedział: „Nie! Weź z sobą kogoś, komu możesz zaufać”.

– Okazuje się jednak, że nikomu ufać nie można – odparł Frodo. Sam spojrzał na niego strapionymi oczyma.

– To zależy, czego od przyjaciół oczekujesz – odezwał się Merry. – Możesz nam zaufać; że cię nie opuścimy w dobrej czy złej doli, choćby do najgorszego końca. Możesz nam też ufać, że strzec będziemy twojej tajemnicy lepiej, niż ty sam jej strzegłeś. Ale nie licz na to, żebyśmy ci pozwolili samotnie stawiać czoło niebezpieczeństwu i odejść od nas bez słowa. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. W każdym razie tak się rzecz

przedstawia: wiemy bardzo wiele z tego, co ci Gandalf powiedział. Wiemy dużo o Pierścieniu. Boimy się okropnie, ale pójdziemy z tobą albo za tobą, jak psy za tropem.

– Bądź co bądź – dodał Sam – powinien pan słuchać rady elfów. Gildor radził, żeby pan wziął z sobą przyjaciół, jeżeli zechcą panu towarzyszyć. Nie może pan zaprzeczyć!

– Nie przeczę – rzekł Frodo, patrząc w oczy Samowi, który teraz szczerzył zęby w uśmiechu. – Nie przeczę, lecz nigdy już nie uwierzę, że śpisz, choćbyś nie wiem jak głośno chrapał. Odtąd, żeby się upewnić, będę cię w takich razach częstował kopniakiem.

Banda podstępnych hultajów! – krzyknął, zwracając się do pozostałych. – Ale niech tam! – rzekł, wstając i ze śmiechem machając ręką. – Kapituluję! Posłucham rady Gildora. Gdyby nie czyhało na nas tak groźne niebezpieczeństwo, skakałbym z radości. A nawet wiedząc o niebezpieczeństwie, mimo wszystko jestem szczęśliwy, tak szczęśliwy, jak dawno już się nie czułem. Lękałem się tego wieczora!

– Doskonale! A więc sprawa ubita. Trzy razy wiwat na cześć kapitana Froda i jego drużyny! – krzyknęli wszyscy i zaczęli tańczyć wokół niego. Merry i Pippin zaśpiewali pieśń, najwidoczniej przygotowaną z góry na tę uroczystość. Ułożyli ją na wzór tej pieśni krasnoludów, która Bilba niegdyś skusiła na wyprawę, i śpiewali na tę samą melodię:

Bezpieczny domu, żegnaj już nam!
Choć deszcz spaść może, dąć może wiatr,
Musimy ruszać stąd skoro świt
Hen poza lasy, za góry szczyt.

Do domu elfów, do Rivendell
Wśród łąk wtulonych w cień skał i mgieł
Trzeba nam spieszyć przez chłodny step,
A stamtąd – sami nie wiemy gdzie.

Przed nami wrogi, za nami – strach,
Pod niebem nieraz przyjdzie nam spać

Nim w końcu droga swój znajdzie kres,
Wędrówka nasza osiągnie cel.

Musimy ruszać, najwyższy czas!
Ruszamy jeszcze przed zorzą dnia![13]

– Słusznie – powiedział Frodo. – Ale w takim razie mamy mnóstwo roboty, nim pójdziemy do łóżek… bo tę noc przynajmniej możemy jeszcze przespać pod dachem.

– Och, to przecież tylko poezja! – zawołał Pippin. – Czy naprawdę zamierzasz wyruszyć przed świtem?

– Nie wiem – odpowiedział Frodo. – Boję się Czarnych Jeźdźców i jestem pewien, że nie jest bezpiecznie zatrzymywać się dłużej na jednym miejscu, tym bardziej w tym domu, skoro wszyscy wiedzą, że tu się wybierałem. Gildor także przestrzegał mnie przed zwlekaniem. Ale bardzo bym chciał spotkać się z Gandalfem. Zauważyłem, że nawet Gildor stropił się, kiedy mu powiedziałem, że Gandalf nie stawił się na umówione spotkanie. Wszystko zależy od odpowiedzi na dwa pytania: Jak prędko Czarni Jeźdźcy mogą dostać się do Bucklebury? I jak prędko my możemy być gotowi do dalszej podróży? Wymaga to chyba wielu przygotowań.

– Na drugie pytanie zaraz ci odpowiem – rzekł Merry. – Moglibyśmy wyruszyć już za godzinę. Wszystko właściwie przygotowałem. W stajni stoi sześć kuców; żywność i cały sprzęt zapakowane, z wyjątkiem może jeszcze jakichś ubrań i mniej trwałych prowiantów.

– Spisek, jak widzę, pracował sprawnie – rzekł Frodo. – Ale co powiecie o Czarnych Jeźdźcach? Czy można bez ryzyka czekać bodaj dzień jeszcze na Gandalfa?

– A jak myślisz, co jeźdźcy by zrobili, gdyby cię tutaj znaleźli? Decyzja od tego zawisła – odparł Merry. – Oczywiście przyjechaliby już do tej pory, gdyby ich nie zatrzymano przy Północnej Bramie, w miejscu, gdzie Zielony Mur sięga brzegu rzeki, tuż przy moście. Straż u bramy nie przepuściłaby ich w nocy, choć mogliby się przedrzeć przez żywopłot. Za dnia zresztą strażnicy również staraliby się nie dopuścić obcych jeźdźców, przynajmniej dopóty, dopóki by nie wrócił wysłaniec z rozkazem Dziedzica z Hallu, bo ci goście nie wyglądają przyjaźnie i wzbudziliby z pewnością przerażenie. Ale, rzecz jasna, ten kraj nie zdołałby opierać się długo, gdyby napastnicy

uderzyli większą siłą. Możliwe też, że rano otwarto by bramę nawet Czarnemu Jeźdźcowi, który by spytał o pana Bagginsa. Wszyscy niemal wiedzą, że postanowiłeś tu wrócić i zamieszkać w Ustroni.

Frodo przez długą chwilę milczał zamyślony.

– Zdecydowałem się – rzekł wreszcie. – Wyruszę jutro o brzasku. Ale nie pojadę gościńcem, to byłoby jeszcze mniej bezpieczne niż pozostawanie w tym domu. Jeżeli opuszczę Buckland przez Północną Bramę, wieść o tym rozejdzie się natychmiast, a przecież można by przynajmniej na kilka dni zataić mój wyjazd. Poza tym most i gościniec na wschód będą niechybnie pod obserwacją, niezależnie od tego, czy któryś z jeźdźców dostanie się do Bucklandu, czy też nie. Nie wiemy, ilu ich jest: co najmniej dwóch, a może znacznie więcej. Jedyna rada – wyruszyć w kierunku zgoła nieoczekiwanym.

– Ależ to by znaczyło zapuścić się w Stary Las! – zawołał ze zgrozą Fredegar. – Tego chyba nie zamierzasz zrobić? Las jest równie groźny jak Czarni Jeźdźcy.

– Niezupełnie – rzekł Merry. – Plan Froda tylko pozornie wydaje się rozpaczliwy, w gruncie rzeczy jest dobry. To rzeczywiście jedyny sposób, żeby wyruszając, nie mieć od razu pościgu na karku. Przy odrobinie szczęścia możemy odsadzić się dość daleko, nim się tamci spostrzegą.

– W Starym Lesie nie liczcie na szczęście – odparł Fredegar. – Tam ono nikomu nie sprzyja. Zabłądzicie na pewno. Nikt tam się nie zapuszcza.

– Cóż znowu! – zawołał Merry. – Brandybuckowie chadzają do lasu, ilekroć im przyjdzie fantazja. Mamy swoją prywatną furtkę. Przed laty Frodo także był kiedyś w lesie, a ja bywałem wiele razy, oczywiście zwykle w biały dzień, kiedy drzewa są senne i dość spokojne.

– Róbcie, jak uważacie – powiedział Fredegar. – Co do mnie, to boję się Starego Lasu bardziej niż wszystkiego na świecie. Krążą o nim koszmarne historie. Ale mój głos nie liczy się, skoro nie biorę udziału w wyprawie. Mimo to rad jestem, że zostanie tutaj ktoś, kto powie o waszym postanowieniu Gandalfowi, kiedy się zjawi, bo z pewnością zjawi się niebawem.

Grubas Bolger, chociaż szczerze do Froda przywiązany, nie miał wcale ochoty porzucać Shire’u i nie był ciekawy zagranicznych krajów. Rodzina

jego pochodziła ze Wschodniej Ćwiartki, ściśle mówiąc z Budgeford w Bridgefields, lecz Grubas nigdy dotychczas nie przekroczył mostu na Brandywinie. Według pierwotnego planu spiskowców miał pozostać w kraju, odprawiać wścibskich gości i jak najdłużej podtrzymywać legendę, że pan Baggins przebywa nadal w Ustroni. Grubas przywiózł tu nawet stare ubranie Froda, by tym lepiej odegrać swoją rolę. Nikomu do głowy nie przyszło, że ta rola może okazać się niebezpieczna.

– Wspaniale! – rzekł Frodo, gdy zorientował się w całym planie. – Inaczej nie moglibyśmy przekazać Gandalfowi żadnej wieści. Nie wiem, czy Jeźdźcy umieją czytać, czy nie, ale nie zaryzykowałbym zostawienia listu, bo a nuż wtargnęliby tutaj i przeszukali dom. Skoro Grubas podejmuje się bronić tej fortecy, jestem spokojny, że Gandalf dowie się, którą drogę obrałem, a to utwierdza mnie w mojej decyzji. Jutro o świcie ruszam do Starego Lasu.

– A więc rzecz postanowiona – odezwał się Pippin. – Biorąc wszystko w rachubę, wolę swój los niż Grubasa, który ma tutaj czekać na Czarnych Jeźdźców.

– Inaczej zaśpiewasz, jak się znajdziesz w głębi lasu – odparł Fredegar. – Jutro o tej porze będziesz żałował, że nie siedzisz tu razem ze mną.

– Nie ma już co o tym rozprawiać – rzekł Merry. – Teraz trzeba jeszcze posprzątać i ukończyć pakowanie, a potem pójdziemy spać. Zbudzę was wszystkich przed świtem.

Frodo, znalazłszy się wreszcie w łóżku, długo nie mógł zasnąć. Bolały go nogi. Rad był, że nazajutrz kuc poniesie go na grzbiecie. W końcu zapadł w półsen i zwidziało mu się, że przez okno patrzy z wysoka na czarne morze splątanych drzew. W dole, między korzeniami, czołgały się przy ziemi jakieś stwory i węszyły pilnie. Frodo był pewien, że wywęszą go wcześniej czy później.

Potem jakiś hałas dobiegł z oddali. Zrazu Frodo myślał, że to potężny wiatr nadlatuje wśród liści z głębi lasu. Potem zrozumiał, że to nie jest szum liści, lecz odległego Morza – szum, którego nigdy jeszcze nie słyszał, ale który często nawiedzał go w niespokojnych snach. Nagle zauważył, że stoi na otwartym polu. Dokoła nie było wcale drzew. Znalazł się w ciemności wśród wrzosowisk, a powietrze miało dziwny słony zapach. Podniósłszy wzrok, ujrzał przed sobą smukłą białą wieżę, wystrzelającą

samotnie nad wysokim wzgórzem. Zdjęła go chęć, by wdrapać się na szczyt wieży i zobaczyć Morze. Zaczął się wspinać na wzgórze ku wieży, gdy nagle niebo rozbłysło i huknął grzmot.

ROZDZIAŁ 6
STARY LAS

Frodo zbudził się gwałtownie. W pokoju było jeszcze ciemno.

Merry stał w progu: w jednej ręce trzymał świecę, drugą bębnił w drzwi.

– Dobrze, już dobrze! Co się stało? – spytał Frodo, wstrząśnięty i oszołomiony.

– Jak to co? – odparł Merry. – Pora wstawać. Wybiło już pół do piątej, mgła gęsta na dworze. Ruszaj się! Sam przygotowuje śniadanie. Nawet Pippin już wstał. Idę siodłać kuce i przyprowadzę tego, który ma dźwigać juki. Zbudź leniucha Fredegara. Niechże nas przynajmniej odprowadzi.

Nieco po szóstej pięciu hobbitów było gotowych do drogi. Grubas Bolger nie przestawał ziewać. Wymknęli się cicho z domu. Pierwszy szedł Merry, prowadząc objuczonego kuca ścieżką, która biegła za domem przez zagajnik, a potem na przełaj polami. Liście na drzewach błyszczały, z gałązek kapało, trawa srebrzyła się od zimnej rosy. Było bardzo cicho, każdy głos z oddali dochodził wyraźny i czysty: gdakanie drobiu z jakiegoś podwórka, trzask drzwi zamykanych w którymś z odległych domów.

W stajni czekały kuce, krzepkie małe wierzchowce, takie, jakie hobbici lubią najbardziej: niezbyt szybkie, lecz wytrwałe. Skoczyli na siodła i wkrótce zanurzyli się we mgle, która otwierała się przed nimi jakoś opornie, a zamykała za ich plecami jakoś nieprzyjemnie. Przez godzinę jechali tak, powoli i w milczeniu, gdy nagle zamajaczył im przed oczyma Zielony Mur. Był wysoki i osnuty u szczytu srebrną pajęczyną.

– Jak wy się przedostaniecie? – spytał Fredegar.

– Jazda za mną – rzekł Merry – a zaraz się przekonasz.

Skręcił w lewo wzdłuż żywopłotu i wkrótce znaleźli się wszyscy w miejscu, gdzie Mur wyginał się, okrążając głęboką kotlinkę. W pewnej odległości od niego otwierał się wykop łagodnie opadający w dół. Z dwóch stron osłaniał go mur z cegieł, stopniowo coraz wyższy, aż wreszcie sklepiał się, tworząc tunel, który wrzynał się w głąb ziemi pod żywopłotem i wynurzał znów poza nim w drugiej kotlinie.

Grubas Bolger wstrzymał kuca.

– Żegnaj, Frodo! – powiedział. – Wolałbym, żebyś nie wchodził do tego lasu. Miejmy nadzieję, że nie będziesz wołał o ratunek, nim ten dzień przeminie. Ale życzę ci szczęścia – dzisiaj i zawsze!

– Będę szczęśliwy – odparł Frodo – jeżeli nie spotkam po drodze nic gorszego niźli Stary Las. Powiedz Gandalfowi, żeby mnie gonił Wschodnim Gościńcem, bo wrócimy na niego, jak się da najspieszniej.

– Do widzenia! – krzyknęli hobbici, zjeżdżając wykopem w dół i znikając sprzed oczu Fredegara w tunelu. Było tu ciemno i wilgotno. W drugim końcu zagradzała wylot mocna brama z żelaznej kraty. Merry zeskoczył z siodła, odryglował bramę, a gdy wszyscy znaleźli się poza nią, zatrzasnął z powrotem. Rygle opadły z głośnym szczękiem, a dźwięk ten wydał się złowrogi.

– Stało się! – rzekł Merry. – Opuściłeś Shire, jesteś poza granicą kraju, na brzegu Starego Lasu.

– Czy to prawda, co o nim opowiadają? – spytał Pippin.

– Nie wiem, co masz na myśli – odparł Merry. – Jeżeli ci chodzi o stare bajki o goblinach, wilkach i tym podobnych potworach, którymi niańki straszyły Grubasa, to raczej nieprawda. A przynajmniej ja w te historie nie wierzę. Prawda jednak, że las jest niesamowity. Można by powiedzieć, że wszystko żyje w nim bujniej i śledzi czujniej wydarzenia, niż my przywykliśmy w Shire. Drzewa nie lubią obcych. Patrzą na ciebie. Zazwyczaj poprzestają na tym i póki słońce świeci, nie robią nic więcej. Tylko od czasu do czasu któreś, bardziej od innych złośliwe, rzuci gałąź pod nogi, wysunie korzeń na ścieżkę, oplącze cię powojem. Nocą jednak bywa podobno gorzej. Sam ledwie raz i drugi znalazłem się w lesie po zmroku, a i to na skraju, tuż za Murem. Zdawało mi się, że drzewa szepczą coś między sobą, przekazują jakieś nowiny, zmawiają się w niezrozumiałym języku; gałęzie kołysały się i gięły, chociaż wiatru nie było. Powiadają, że drzewa wręcz poruszają się, że umieją okrążyć i zamknąć niepożądanych gości. Rzeczywiście, przed laty zaatakowały kiedyś Zielony Mur: stanęły tuż, schyliły się ponad nim aż na drugą stronę. Przyszli jednak zaraz hobbici z siekierami, wyrąbali setki drzew, rozniecili wielkie ognisko w lesie, wyrąbali długi pas ziemi na wschód od Muru. Drzewa już potem nie powtórzyły napaści, ale stały się bardzo dla nas nieżyczliwe. Po dziś dzień szeroka łysina znaczy to miejsce, gdzie podówczas płonęło ognisko.

– Czy tylko ze strony drzew grozi niebezpieczeństwo? – spytał Pippin.

– W głębi lasu i na jego dalszych krańcach żyją rozmaite dziwne stwory – odparł Merry. – Tak przynajmniej słyszałem, bo nigdy ich na własne oczy nie widziałem. Ktoś wycina ścieżki. Ilekroć wejdziesz w las, znajdziesz otwarte przesieki, ale niepojętym sposobem dróżki te przesuwają się i zmieniają od czasu do czasu. Nieopodal naszego tunelu zaczyna się – albo może zaczynała się – szeroka ścieżka, która wiedzie na polanę po ognisku, a dalej mniej więcej w pożądanym dla nas kierunku, na wschód i trochę ku północy. Tę właśnie ścieżkę spróbuję odnaleźć.

Hobbici, wychynąwszy z tunelu, posuwali się w poprzek szerokiej kotliny. Nikła ścieżyna prowadziła z niej w górę do skraju lasu, który był tutaj o dobre sto jardów oddalony od Muru. Ścieżyna urywała się jednak, gdy znaleźli się pod drzewami. Oglądając się, dostrzegali poprzez gęste gałęzie ciemną kreskę żywopłotu; patrząc przed siebie, widzieli tylko pnie najróżniejszych wielkości i kształtów: proste lub pochyłe i koślawe, grube lub smukłe, gładkie lub sękate i rozgałęzione, a wszystkie gałęzie były zielone albo siwe od mchu i oślizłych, kosmatych porostów.

Wśród hobbitów jeden tylko Merry zachował dość pogodną minę.

– Prowadź nas i znajdź tę ścieżkę – zwrócił się do niego Frodo. – Uważajmy, żeby się nie pogubić i nie zapomnieć, w której stronie jest Mur.

Torowali więc sobie drogę wśród drzew, a kuce stąpały ostrożnie, omijając splątane i wijące się po ziemi korzenie. Las nie był tu podszyty. Teren wciąż się wznosił, a w miarę jak wędrowcy posuwali się naprzód, drzewa zdawały się coraz wyższe, ciemniejsze i gęściej zbite. Nie słyszeli nic prócz szelestu kropel kapiących od czasu do czasu z nieruchomych liści. Na razie nie zauważyli żadnych szeptów ani ruchów wśród gałęzi, lecz wszyscy mieli niepokojące wrażenie, że ktoś patrzy na nich niechętnie i że ta niechęć z każdą chwilą pogłębia się, zmienia w antypatię, a nawet we wrogość. Odczuwali to coraz wyraźniej, aż wreszcie zaczęli zerkać to w górę, to przez ramię za siebie, jakby oczekując, że lada chwila spadnie na nich znienacka jakiś cios.

Ścieżki wciąż nie było widać ani śladu, drzewa ustawicznie zastępowały im drogę. Nagle Pippin, nie mogąc dłużej znieść napięcia, wybuchnął niespodzianie krzykiem:

– Hej! Hej! – zawołał. – Nic złego tu nie zrobię! Pozwólcie mi tylko przejść!

Hobbici zaskoczeni przystanęli, krzyk jednak urwał się, jakby zduszony ciężką zasłoną. Nie odpowiedziało mu ani echo, ani głos żaden, las wszakże jakby się jeszcze bardziej zagęścił i jeszcze czujniej wpatrzył w natrętów.

– Na twoim miejscu nie wrzeszczałbym – powiedział Merry. – Więcej to nam zaszkodzi, niźli pomoże.

Frodo zaczynał już powątpiewać, czy można przedrzeć się przez las i czy dobrze zrobił, wciągając przyjaciół w ten okropny gąszcz. Merry rozglądał się na wszystkie strony i zdawało się, że nie jest już pewny, jaki kierunek obrać. Spostrzegł to Pippin.

– Prędko zdążyłeś zmylić drogę – rzekł. W tej samej jednak chwili Merry gwizdnął z zadowolenia i wskazał coś przed sobą:

– No, no! – powiedział. – A więc te drzewa naprawdę się ruszają. Oto przed nami jest polana po ognisku… przynajmniej mam nadzieję, że to ona… ale ścieżka jakby się od niej odsunęła.

W miarę jak szli naprzód, rozjaśniało się wokół nich. Nagle wydostali się spomiędzy drzew i znaleźli na rozległej kolistej polanie. Nad głowami zobaczyli niebo błękitne i czyste, co ich zdziwiło, bo pod sklepieniem lasu nie mogli zauważyć, jak ranek się rozpogadzał i jak mgła podnosiła się w górę. Słońce wszakże nie stało jeszcze dość wysoko, by zalać blaskiem polanę, chociaż jego promienie sięgały już czubów drzew. Wokół polany drzewa miały liście gęściejsze i zieleńsze, zamykając ją nieprzeniknioną prawie ścianą, na niej za to nie rosło ani jedno drzewo, tylko szorstka trawa i przeróżne zielska: badylasta, spłowiała cykuta, dzika pietruszka, mlecze rozsiewające puszysty popiół, wybujałe pokrzywy i osty.

Ponure to było miejsce, a jednak wydawało im się uroczym, wesołym ogrodem w porównaniu z leśnym gąszczem.

Hobbici nabrali otuchy i z nadzieją spoglądali w niebo, po którym blask dnia coraz szerzej się rozlewał. W głębi polany ściana drzew rozstępowała się nieco, ukazując wyraźną ścieżkę. Biegła w głąb lasu, miejscami szeroka i otwarta od góry, chociaż tu i ówdzie drzewa ją zacieśniały i ocieniały pułapem gałęzi. Pojechali tą ścieżką. Wciąż pięli się nieco pod górę, lecz

teraz posuwali się znacznie szybciej i raźniej, myśleli bowiem, że las dał się ułagodzić i wreszcie przestanie im bronić przejazdu.

Po chwili wszakże zrobiło się na ścieżce gorąco i duszno. Drzewa z obu stron zbiegły się ciasno i podróżni znów niewiele drogi widzieli przed sobą. Silniej jeszcze niż poprzednio wyczuli otaczającą ich wrogość lasu. A las był tak cichy, że szelest suchych liści pod kopytami kuców lub szczęk podkowy o zdradzieckie korzenie dudnił w uszach. Frodo próbował zaśpiewać, żeby dodać towarzyszom serca, ale wydobył zaledwie szept z gardła:

O, wędrujący przez mroczną krainę,
nie rozpaczajcie! Choć ciemne są lasy
muszą się kiedyś skończyć i przeminąć,
ujrzeć nad sobą niebo słońca pełne:
zachodzącego i powstającego,
w porze świtania czy o dnia wieczorze.
Bo lasom wszystkim kres w końcu być musi…[14]

Ostatnie słowo rozpłynęło się w ciszy. Powietrze zdawało się ciężkie, słowa nie chciały się kleić. Tuż za nimi ogromna gałąź nachylonego nad ścieżką starego drzewa z łoskotem spadła na ziemię. Przed nimi las zastępował drogę.

– Nie podoba mu się twoja piosenka o tym, że nastanie jego kres i zginie – rzekł Merry. – Lepiej dajmy na razie spokój śpiewom. Poczekajmy, aż dotrzemy na skraj lasu, a wtedy pożegnamy go gromkim chórem.

Mówił to wesoło; jeśli nawet czuł jakiś poważny niepokój, nie zdradził się niczym. Przyjaciele nie odpowiedzieli ani słowem. Byli zgnębieni. Wielki ciężar przytłaczał serce Froda, który z każdym krokiem bardziej żałował, że wpadł na pomysł stawienia czoła grozie lasu. Ale w chwili gdy już chciał zatrzymać się i zaproponować odwrót (o ile to jeszcze było możliwe), widok zmienił się nagle. Ścieżka, dotąd wciąż wspinająca się do góry, biegła teraz niemal poziomo. Ciemne drzewa rozstąpiły się, ukazując w perspektywie odcinek prostej drogi. W pewnym oddaleniu wznosił się przed wędrowcami zielony pagórek, bezdrzewny, sterczący niby łysa głowa w wieńcu drzew. Ścieżka, jak się zdawało, wiodła wprost na ten pagórek.

Przyspieszyli kroku, uradowani nadzieją, że bodaj na chwilę wydostaną się ponad sklepienie lasu. Ścieżka biegła w dół, potem znowu pod górę, aż doprowadziła ich wreszcie do stóp stromego zbocza; tu pozbywała się drzew, niknąc w trawie. Las otaczał wzgórze niby bujne włosy, wśród których wygolono kolistą łysinę.

Hobbici poprowadzili kuce zakosami pod górę aż na szczyt. Tu stanęli i rozejrzeli się wkoło. Powietrze było pełne słonecznego blasku, lecz mimo to tak przymglone, że nie mogli sięgnąć wzrokiem daleko. W pobliżu jednak mgła zniknęła prawie zupełnie, zalegała jeszcze tylko leśne zapadliska i snuła się niby kłęby pary lub pasma białego dymu w południowej stronie, nad głęboką fałdą terenu, która przecinała las.

– Tam – rzekł Merry, wskazując ręką – widzicie linię rzeki Wii. Spływa ona ze wzgórz, tocząc swe wody na południo-zachód, środkiem lasu, aby pod Ostatnią Łąką wpaść do Brandywiny. Nie pójdziemy tamtędy! Dolina Wii jest podobno najbardziej niesamowitym zakątkiem, jak gdyby ośrodkiem, z którego promieniują wszystkie leśne dziwy.

Przyjaciele spojrzeli w kierunku wskazanym przez Meriadoka, lecz nie widzieli nic prócz mgły nad wilgotną, zapadłą doliną; za tą mgłą ginęła z oczu południowa część lasu.

Na szczycie pagórka słońce przygrzewało już mocno. Musiało być blisko południa, ale jesienne opary wciąż jeszcze zasłaniały ze wszystkich stron dalsze widoki. Na zachodzie nie mogli odróżnić ani linii Muru, ani doliny Brandywiny. Na północy, ku której zwrócili wzrok z najżywszą nadzieją, nie zobaczyli nic, co mogłoby być Wschodnim Gościńcem – celem ich wędrówki. Stali na wyspie pośród morza drzew, a horyzont był ukryty za zasłoną.

Od południo-wschodu teren opadał bardzo stromo, jak gdyby stok wzgórza przedłużał się daleko w głąb lasu, niby zstępujące w morze brzegi wyspy, która jest w rzeczywistości górą sterczącą z głębiny. Hobbici siedli na trawiastej krawędzi i zjedli południowy posiłek, patrząc ponad lasem ciągnącym się u ich stóp. Kiedy słońce, wznosząc się, mijało zenit, otworzył im się na chwilę od wschodu widok na odległe szarozielone kopuły Kurhanów, które ciągnęły się w tej stronie za Starym Lasem. Ucieszyli się, bo miło było dostrzec cokolwiek poza granicą drzew, nie zamierzali jednak wędrować tą drogą; Kurhany w legendach hobbitów miały sławę równie ponurą jak Stary Las.

W końcu postanowili ruszać znowu. Ślad ścieżki, który przywiódł ich na pagórek, ukazywał się dalej na północnym zboczu, ledwo jednak posunęli się parę kroków, zauważyli, że dróżka odchyla się wciąż w prawo. Wkrótce też zaczęła opadać gwałtownie w dół i można było już zorientować się, że prowadzi ku dolinie Wii, czyli w niepożądanym zupełnie kierunku. Po krótkiej naradzie zdecydowali się opuścić zwodniczą ścieżkę i skręcić na północ, bo chociaż nie zdołali ze szczytu pagórka wypatrzyć gościńca, sądzili, że musi przebiegać on w tej stronie i nie dalej niż o kilka mil stąd. Zresztą od północy, po lewej stronie ścieżki, teren wydawał się suchszy i bardziej dostępny, sfalowany wzgórzami, na których las był rzadszy i gdzie rosły sosny oraz świerki zamiast dębów, jesionów i przeróżnych dziwnych, bezimiennych drzew zaludniających gąszcze.

Początkowo mieli wrażenie, że zrobili dobry wybór, słońce, które od czasu do czasu migało im w prześwicie wśród gałęzi, niepojętym sposobem cofało się jak gdyby ku wschodowi, a wędrowcy mogli teraz posuwać się dość szybko. Ale wkrótce drzewa znów zaczęły gęstnieć wokół nich, i to w miejscu, w którym z daleka las wydawał się rzadszy i mniej niż gdzie indziej splątany. Potem niespodzianie trafili na głębokie parowy, jakby koleiny wyżłobione przez koła olbrzymich wozów lub fosy czy też zapadnięte drogi z dawna nieużywane i zarosłe kolczastymi chaszczami. Parowy te najczęściej przecinały im drogę tak, że nie chcąc zboczyć z wytkniętego kierunku, musieli w nie zstępować, a później wdzierać się znów pod górę, co było uciążliwe i trudne dla kucyków. Ilekroć zapuszczali się w parów, zbite zarośla i skłębione zielska stawiały opór, jeżeli chcieli iść w lewo, rozstępowały się natomiast, kiedy skręcali w prawo; musieli też zawsze przedzierać się dość długo dnem jaru, nim znaleźli możliwość wydostania się na jego drugi brzeg. Ilekroć zaś wychodzili z parowu, zanurzali się w gęstszy jeszcze i ciemniejszy las. Stale też coś przeszkadzało iść w lewo i pod górę, zmuszając ich do zbaczania w prawo i schodzenia w dół.

Po godzinie czy może dwóch stracili zupełnie orientację, ale pewni byli, że od dawna nie posuwają się w kierunku północnym. Odciągnięto ich z obranego szlaku, wytknięto inny, na południo-wschód – nie ku skrajowi lasu, lecz w jego głąb.

Późnym popołudniem z trudem i mozołem zleźli w parów szerszy i głębszy niż wszystkie poprzednie. Ściany miał tak strome i zarośnięte, że

nie było mowy o wspinaczce pod górę; ani cofnąć się, ani naprzód pójść nie mogli, chyba że porzuciliby tutaj kucyki i bagaże. Jedyna możliwa droga wiodła dnem parowu w dół. Pod nogami mieli teraz grunt miększy, miejscami nawet grząski; na zboczach pojawiły się strumyki i wkrótce już wędrowali brzegiem potoku, który szemrząc, sączył się wśród zielska. Nagle teren zaczął gwałtownie opadać, a potok, teraz już obfitszy, z pluskiem, wartko i hałaśliwie pędził w dół. Hobbici znaleźli się w głębi mrocznego wąwozu, pod sklepieniem gałęzi rosnących na jego wysokich brzegach drzew.

Czas jakiś wlekli się wzdłuż potoku, gdy niespodzianie wynurzyli się z ciemności. Jakby w wylocie bramy ujrzeli przed sobą znowu blask słońca. Wydostawszy się pod otwarte niebo, stwierdzili, że zeszli żlebem z wysokiego, stromego zbocza, nieomal urwiska. U jego stóp ciągnęła się szeroka dolina porośnięta trawą i sitowiem, a w dali widać było przeciwległy stok, prawie równie niedostępny. Złote przedwieczorne słońce wypełniało sennym ciepłem ukryty w taki sposób zakątek. Przez środek, między dwoma szeregami starych wierzb, ciemna rzeka sączyła leniwie bure wody; wierzby splatały nad nią korony, wierzby zwalone zagradzały jej nurt, wierzby rzucały w nią tysiące zwiędłych liści; ciepły, łagodny wietrzyk lekko tchnął nad doliną, trzciny szeleściły, a gałązki wierzbowe skrzypiały z cicha.

– No, teraz wreszcie zaczynam rozumieć, gdzie jesteśmy! – rzekł Merry. – Zaszliśmy w odwrotnym kierunku, niż zamierzaliśmy. To jest Wija! Pójdę naprzód i zbadam teren.

Wybiegł na blask słoneczny i zniknął w wysokiej trawie. Po chwili wrócił z wiadomością, że grunt między urwiskiem a rzeką wydaje się dość pewny i można znaleźć suche przejścia aż na sam brzeg.

– Co więcej – dodał – wzdłuż tego brzegu widać ślady jak gdyby ścieżki. Jeżeli skręcimy w lewo i pójdziemy tą ścieżką, pewnie w końcu dotrzemy na wschodni skraj lasu.

– Pewnie! – rzekł Pippin – chyba że ścieżka nie prowadzi aż tak daleko i po prostu urywa się w jakimś bagnie. Jak myślisz, kto wydeptał ten ślad i po co? Ręczę ci, że nie zrobił tego przez uprzejmość dla nas. Nauczyłem się nieufności do tego lasu i wszystkiego, co tu żyje; zaczynam też wierzyć w historie, które o nim opowiadają. Czy masz bodaj przybliżone pojęcie, jak długo stąd będzie trzeba iść na wschód?

– Nie – odparł Merry. – Nie mam pojęcia. Nie wiem wcale, jak daleko stąd jest ujście rzeki, nie wiem też, kto może chodzić tędy tak często, że wydeptał ścieżkę wzdłuż brzegu. Ale innej drogi, by się stąd wydostać, nie widzę ani się nie domyślam.

Wobec tego ruszyli jeden za drugim, a Merry zaprowadził ich ku wypatrzonej ścieżce. Wszędzie trzciny i trawy były bujne i wysokie, miejscami sięgały ponad ich głowy; lecz ścieżka, gdy wreszcie na nią trafili, okazała się łatwa i wyraźna; wiła się po suchym gruncie, omijając bagna i kałuże. Tu i ówdzie przecinał ją strumyk spływający z lasów położonych wyżej od rzeki, ale wszędzie w tych miejscach pnie drzew lub wiązki chrustu tworzyły wygodne kładki.

Hobbitom dokuczał teraz upał. Chmary much przeróżnych odmian brzęczały im koło uszu, a popołudniowe słońce piekło w plecy. W końcu osłonił ich niespodzianie lekki cień; ogromne siwe gałęzie splatały się nad ścieżką. Z każdym krokiem jednak trudniej było się posuwać naprzód. Jak gdyby senna ociężałość wypełzała spod ziemi, lepiła im się do nóg, unosiła się w powietrzu, ogarniała głowy i oczy. Frodo spostrzegł, że broda mu opada na piersi, a głowa chwieje się bezwładnie. Idący przed nim Pippin padł na kolana. Frodo przystanął. Usłyszał głos Merry’ego, który mówił:

– Nic z tego. Nie pójdę ani kroku dalej, póki nie odpocznę. Muszę się choć trochę przespać. Pod wierzbami jest rześko. Mniej much.

Froda tknęło złe przeczucie.

– Naprzód! – krzyknął. – Jeszcze nam nie wolno zasnąć. Najpierw trzeba się wydostać z lasu.

Tamci jednak byli zbyt senni, żeby zważać na przestrogi. Sam stał przy nich z ogłupiałą miną, ziewając i mrużąc oczy.

Nagle Froda także opanowała senność. W głowie mu się zakręciło. Dokoła zaległa niemal zupełna cisza. Muchy przestały brzęczeć. Tylko ledwie dosłyszalny, miły szum, jakby nikła melodia szeptanej piosenki, dolatywał spomiędzy gałęzi sklepionych nad ścieżką. Frodo uniósł ciężkie powieki i zobaczył nad sobą schyloną ogromną wierzbę, sędziwą i omszałą. Wydała mu się olbrzymia, a jej rozłożyste konary sięgały ku niemu jak chciwe ramiona o stu dłoniach i tysiącach długich palców; sękaty, koślawy pień ział szerokimi szczelinami, które trzeszczały z cicha, ilekroć poruszyły

się gałęzie. Liście migocące na tle słonecznego nieba olśniły wzrok Froda. Potknął się i runął w trawę.

Merry i Pippin powlekli się parę kroków dalej i położyli, opierając plecy o pień wierzby. Drzewo kołysało się i skrzypiało, a za sennymi hobbitami szpary rozwierały się w pniu, jakby zapraszając do wnętrza. Popatrzyli w górę na szare i zielone liście, drżące w rozświetlonym powietrzu i śpiewające cicho. Zamknęli oczy i wydało im się, że słyszą słowa pieśni, słowa kojące, opowiadające o wodzie i śnie. Poddali się ich urokowi i zapadli w głęboki sen u stóp olbrzymiej siwej wierzby.

Frodo, leżąc na ścieżce, przez chwilę walczył ze snem, który go obezwładniał. Wreszcie przemógł się i z wysiłkiem wstał. Nie zdołał się jednak oprzeć pokusie chłodnej wody.

– Poczekaj na mnie, Samie – mruknął. – Muszę choć na minutę zanurzyć stopy w rzece.

Na pół przytomny posunął się naprzód, obchodząc wierzbę od strony rzeki w miejscu, gdzie wielkie, kręte korzenie wysuwały się ku wodzie, niby sękate małe smoki pełznące do wodopoju. Siadł okrakiem na jednym z tych korzeni, plusnął rozprażonymi stopami w chłodną, brunatną wodę – i nagle on także zasnął, oparty plecami o drzewo.

Sam usiadł i skrobiąc się po głowie, ziewnął szeroko. Był niespokojny.

Wieczór się zbliżał, a gwałtowna senność, która napadła całą kompanię, wydała mu się podejrzana.

– Jest tu jakaś inna przyczyna – szepnął do siebie – nie tylko słońce i upał. Nie podoba mi się to wielkie stare drzewo, nie mam do niego zaufania. Jak to śpiewa! A wciąż o spaniu. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Dźwignął się z trudem i powlókł, żeby zobaczyć, co porabiają kucyki. Stwierdził, że dwa odbiegły ścieżką daleko naprzód; złapał je i sprowadził z powrotem, i w tym momencie usłyszał dwa dziwne odgłosy: jeden gwałtowny, drugi łagodny, lecz wyraźny. Pierwszy – to był plusk, jakby coś ciężkiego wpadło do wody. Drugi przypominał szczęk zamka w zatrzaskiwanych drzwiach.

Sam skoczył na brzeg rzeki. Frodo był już w wodzie, ale tuż przy brzegu; ogromny korzeń obejmował go i wciskał w głąb, on jednak wcale się nie bronił. Sam chwycił go za kurtkę i wyciągnął spod korzenia, potem

wyholował na trawę. Niemal natychmiast Frodo ocknął się, zakaszlał, wykrztusił wodę z gardła.

– Czy wiesz, Samie – powiedział wreszcie – że to niegodziwe drzewo wrzuciło mnie do rzeki? Czułem dobrze. Ogromny korzeń oplątał mnie i zepchnął.

– Śniło się panu pewnie – rzekł Sam. – Nie trzeba sadowić się w takim miejscu, kiedy sen ogarnia.

– A co z tamtymi dwoma? Ciekawym, co im się przyśniło?

Obeszli drzewo i wtedy dopiero Sam zrozumiał, co to za szczęk słyszał przed chwilą. Pippin zniknął. Szpara w pniu, przy której leżał, zamknęła się tak, że nie zostało ani znaku. Merry był w potrzasku: druga szpara zacisnęła się, obejmując go w pasie; nogi sterczały mu na zewnątrz, reszta ciała tkwiła we wnętrzu pnia, a krawędzie dziupli trzymały ją niby kleszcze.

Frodo i Sam zaczęli najpierw walić pięściami drzewo w tym miejscu, gdzie był uwięziony Pippin. Potem gorączkowo jęli szarpać paszczę wchłaniającą biedaka Merry’ego, usiłując ją rozewrzeć. Wszystko jednak na próżno!

– Co za haniebny przypadek! – krzyknął wzburzony Frodo. – Czemuż nie zostaliśmy w Ustroni!

I kopnął wierzbę z rozmachem, bez litości dla własnej nogi. Ledwie dostrzegalny dreszcz przebiegł przez pień w górę ku koronie liści, które zadrżały i zaszeleściły, lecz teraz ich głos zabrzmiał jak cichy, odległy wybuch śmiechu.

– Nie mamy chyba siekiery w naszych tobołkach? – spytał Sam.

– Wziąłem z sobą mały czekanik do rąbania drew na ognisko – odparł Frodo. – Nie na wiele się zda.

– Chwileczkę! – zawołał Sam, jakby wzmianka o ognisku natchnęła go jakimś pomysłem. – Może by ogień coś tu poradził?

– Może – z powątpiewaniem rzekł Frodo. – Udałoby się nam pewnie upiec Pippina żywcem.

– Moglibyśmy na początek spróbować, czy drzewo nie zlęknie się i nie ustąpi z bólu – zapalczywie tłumaczył Sam. – Jeżeli nie popuści, zwalę je, choćbym miał gryźć pień własnymi zębami.

Pobiegł do kuców i w mig wrócił z krzesiwem i czekanikiem. Szybko zgarnęli suchą trawę, liście, okruchy kory, chrustu i połamanych patyków. Usypali stos tuż pod drzewem, ale jak najdalej od dwóch więźniów. Ledwie Sam skrzesał iskrę na hubce, sucha trawa zajęła się ogniem, buchnęły w górę płomienie i dym. Gałęzie zatrzeszczały. Drobne piekące palce ognia zmacały suchą i spękaną korę sędziwego drzewa. Wierzba od korzeni po czub zadygotała. Zdawało się, że liście w górze syknęły z bólu i gniewu. Merry krzyknął, a z wnętrza pnia dobył się stłumiony jęk Pippina.

– Zgaście ogień! Zgaście! – wołał Merry. – Przetnie mnie na pół, jeżeli nie posłuchacie. Tak powiedziała.

– Co? Kto powiedział?

– Zgaście! Zgaście! – błagał Merry. Wierzba gwałtownie zakołysała gałęziami. Szum się rozległ, jakby wiatr się zerwał i niósł poprzez gałęzie wszystkich drzew wkoło coraz dalej; rzekłby kto, że cisnęli kamień w uśpioną wodę i gniew marszczy morze lasu nad całą doliną. Sam kopniakiem rozrzucił małe ognisko i zadeptał żar.

Frodo tymczasem, nie bardzo wiedząc, dlaczego tak robi i co sobie po tym obiecuje, wybiegł na ścieżkę, wrzeszcząc: „Na pomoc! Na pomoc!”. Nie słyszał prawie własnego przeraźliwego krzyku, bo ledwie słowa wyfruwały z jego ust, gdy wiatr huczący wśród wierzb porywał je i topił w szumie liści. Frodo był zrozpaczony. Stracił głowę i nie widział ratunku.

Nagle stanął. Czy mu się wydało, czy też naprawdę ktoś odpowiedział na jego wołanie? Z daleka, z głębi lasu dolatywał jakiś głos; Frodo odwrócił się i wsłuchał; nie mógł dłużej wątpić: ktoś śpiewał. Głęboki radosny głos śpiewał wesoło i beztrosko, ale bez sensu:

Hej dol merry dol, …dziń-dzi-liń-dziń-dillo!

Ding i dong, hop w snop – wierzbo wydziwillo!

Tom Bom, zuch ten Tom, Tomek Bombadillo![15]

Na pół z nadzieją, na pół ze strachem, że zjawi się nowe niebezpieczeństwo, Frodo i Sam zamarli na ścieżce. Nagle, po tej kaskadzie niedorzecznych – jak im się zdawało – dźwięków – głos wzbił się donośnie i wyraźnie słowami takiej oto pieśni:

Hej, chodź, merry dol, derry – serce skacze,

Lekko chodzi wiatr – upierzony szpaczek,
A tu koło wzgórza lśniąca w blaskach słońca
Na poświatę gwiezdną w progu czekająca
Moja piękna pani, Rzeki córka młoda
Śmiglejsza niż witka i czystsza niż woda.
Stary Bombadil – od drzewa do drzewa –
Niosąc wodne lilie skacze i tak śpiewa:
Hej, chodź, merry dol, derry dol… jak młodo!
Złociutka, żółciutka – o Złota Jagodo!
Wierzba Staruszeczka już gałązki zniża,
Tom się bardzo spieszy, bo się wieczór zbliża.
Tom z liliami skacze od drzewa do drzewa –
Hej, chodź, derry dol dong – słyszycie, jak śpiewa?[16]

Frodo i Sam stali jak urzeczeni. Wiatr ucichł. Liście znów zwisły spokojnie ze sztywnych gałęzi. Nowy wybuch pieśni i nagle w tanecznych podskokach wynurzył się spośród sitowia stary, pognieciony kapelusz z wysoką główką i z długim niebieskim piórem zatkniętym za wstążkę. Jeszcze jeden podskok – i ukazał się człowiek – czy może ktoś bardzo do człowieka podobny. Ktoś większy i cięższy niż hobbici, lecz mniejszy, niż bywają zazwyczaj ludzie; hałasował wszakże co najmniej jak człowiek, przytupywał tęgimi nogami obutymi w ogromne żółte buty i gnał przez trawy i trzciny jak krowa do wodopoju. Ubrany był w niebieski kubrak i miał długą kasztanowatą brodę. Niebieskie oczy iskrzyły się jasno, twarz była rumiana jak dojrzałe jabłko, lecz śmiech rysował na niej siatkę wesołych zmarszczek. W ręku niósł na szerokim liściu jak na tacy bukiecik lilii wodnych.

– Na pomoc! – krzyknęli Frodo i Sam, biegnąc na spotkanie nieznajomego z rozpostartymi ramionami.

– Ho! Ho! Spokojnie! – zawołał człowieczek, podnosząc jedną rękę. Stanęli jak wryci. – No, co tam, malcy? Gdzież to tak pędzicie, sapiąc niczym miechy? Co się tu dzieje? Czy wiecie, kim jestem? Tom Bombadil. Powiedzcie, co się wam przydarzyło. Tom się bardzo spieszy. A nie zgniećcie moich lilii.

– Wierzba chwyciła moich przyjaciół! – krzyknął bez tchu Frodo.

– Pan Merry uwięziony w dziupli! – krzyknął Sam.

– Co takiego? – zawołał Tom Bombadil, podskakując wysoko. – Stara Wierzba płata figle? Nic gorszego się nie stało? No, poradzimy na to zaraz. Znam jej piosenkę. Stara, siwa wierzba! Zamrożę jej szpik w kościach, jeśli się nie uspokoi. Tak jej zaśpiewam, że korzenie trzasną, taki wicher rozkołyszę, że jej liście i gałęzie opadną. Starucha!

Ostrożnie położył swoje lilie na trawie, podbiegł do drzewa. Wówczas zobaczył nogi Merry'ego, sterczące jeszcze na zewnątrz: resztę już wierzba wciągnęła do dziupli. Przyłożył usta do szpary w pniu i zanucił cichutko. Hobbici nie mogli dosłyszeć słów, ale Merry najwidoczniej się ożywił, bo wierzgał teraz gwałtownie. Tom odskoczył, ułamał zwisającą gałąź i zaczął nią chłostać wierzbę.

– Wypuść ich, Starucho! – mówił. – Co sobie myślisz? Niepotrzebnie się zbudziłaś. Jedz ziemię! Drąż głęboko! Pij wodę! Śpij! Bombadil do ciebie przemawia.

Potem chwycił Merry'ego za nogi i wyciągnął go przez rozszerzoną nagle szparę.

Rozległ się trzask pękającej kory i rozwarła się druga szpara; Pippin wyskoczył tak żywo, jakby go ktoś z wnętrza pnia wypchnął kopniakiem. Potem obie szpary znowu się zamknęły z łoskotem. Dreszcz przebiegł po drzewie od korzeni po koronę i zaległa cisza.

– Dziękujemy! – powiedzieli hobbici, wszyscy po kolei.

Tom Bombadil wybuchnął śmiechem.

– A teraz, mali przyjaciele – rzekł, schylając się, żeby im zajrzeć w oczy – pójdziecie ze mną do mojego domu. Stół czeka zastawiony żółtą śmietaną, plastrami miodu, białym chlebem i masłem. Czeka też Złota Jagoda. Będzie dość czasu na wszystkie pytania, gdy siądziemy do wieczerzy. Idźcie za mną, a wyciągajcie nogi, jak umiecie.

To rzekłszy, Tom podniósł z trawy swoje lilie, skinął hobbitom ręką i pobiegł w tanecznych podskokach ścieżką, wyśpiewując bardzo głośno, lecz od rzeczy. Hobbici tak byli zdumieni i radzi z ocalenia, że bez słowa ruszyli za nim, jak mogli najspieszniej. Nie dość jednak szybko, bo wkrótce

Tom zniknął im z oczu, a śpiew dolatywał do ich uszu coraz cichszy i coraz odleglejszy. Nagle głos znów się przybliżył w donośnym okrzyku.

Hopsa w czysty nurt Wii, hopsa, byle dalej!
Tom was, chłopcy, prowadzi i świeczkę zapali.
Słońce wkrótce już zajdzie – i mrok was omota.
Gdy nocy cień zapadnie – otworzą się wrota,
Skroś przez szyby zamruga płomyk migotliwy,
Nie bójcie się olszyny ani wierzby siwej,
Nie bójcie się korzeni – Tom idzie przed wami
Hopsa, hej merry derry – zaczeka przed drzwiami[17].

Potem nie usłyszeli już nic więcej. Niemal natychmiast słońce zapadło za drzewa poza plecami wędrowców. Wspomnieli skośne wieczorne promienie lśniące na wodzie Brandywiny i okna Bucklebury odbłyskujące setką świateł. Długie cienie przecięły ścieżkę, pnie i gałęzie drzew schyliły się nad nią, czarne i groźne. Biała mgła podniosła się i skłębiła nad powierzchnią rzeki i rozsnuła wśród korzeni u jej brzegów. Z ziemi, spod nóg hobbitów, wstawały siwe opary i rozpływały się w gęstniejącym szybko zmierzchu.

Teraz już z trudem rozróżniali ścieżkę, zmogło ich zmęczenie. Nogi ciążyły jak ołowiane. Po obu stronach przez zarośla i sitowie przebiegały jakieś dziwne, nieuchwytne szmery, a gdy hobbici podnosili wzrok w górę, ku blademu niebu, majaczyły im w oczach osobliwe sękate twarze, ciemne i ponure w półmroku wyzierające z wysokich brzegów i ze skraju lasu. Wydało się hobbitom, że cała ta kraina jest nierzeczywista, że wędrują mozolnie przez świat złowrogiego snu, z którego nie ma przebudzenia.

Nogi niosły ich coraz wolniej i właśnie już ustawały, gdy spostrzegli, że teren zaczyna się łagodnie wznosić, a woda w rzece szemrać. W miejscu, gdzie rzeka spadała z niezbyt wysokiego progu, pośród ciemności perliła się biała piana. Niespodzianie wyszli spomiędzy drzew i zostawili mgłę za sobą. Wydostali się z lasu na rozległą, falistą przestrzeń traw. Rzeka, tutaj wąska i bystra, z wesołym pluskiem biegła na ich spotkanie, błyskając tu i ówdzie odbiciem gwiazd, które już wzeszły na niebie.

Poczuli pod stopami trawę gładką i niską, jakby koszoną czy strzyżoną. Korony drzew na skraju lasu były przycięte regularnie na kształt żywopłotu. Ścieżka słała się stąd równa, dobrze utrzymana, obrzeżona kamieniami. Prowadziła ślimakiem pod górę na trawiasty kopczyk, szary w bladym świetle gwiaździstej nocy. Na przeciwległym stoku, wciąż jeszcze wysoko nad nimi, mrugały jasne okna jakiegoś domu. Ścieżka zbiegła w dół, potem znów wspięła się ku światłom po łagodnym, długim zboczu porosłym murawą. Nagle z otwierających się drzwi wypłynął szeroki snop promieni. Dom Toma Bombadila czekał ich na stoku następnego pagórka. Za nim nagi i szary teren opadał dość stromo, a dalej na wschód od tła nieba odbijały czarne sylwety Kurhanów.

I hobbici, i kuce przyspieszyli kroku. Pozbyli się od razu co najmniej połowy zmęczenia i całego strachu. „Hej! Bywajcie, wesoło, hop!” – pozdrawiała ich z daleka już pieśń.

Hej tam, hop, merry dol dong – stratujmy murawę!
Hobbity i koniki wszak lubią zabawę.
Uśmiejemy się setnie – zaśpiewamy chórem[18].

A potem inny jeszcze głos, młody i odwieczny zarazem, jak żywe źródło, jak radosny śpiew wody spływającej w noc z blasku górskiego poranka, zadźwięczał srebrzyście na powitanie gości:

Zaśpiewajmy wesoło, zaśpiewajmy w chórze –
O słońcu i o gwiazdach, mgłach, deszczu, wichurze,
O promyku na pączkach i na piórkach rosie,
O wietrze na pagórku i dzwonkach we wrzosie,
O sitowiu nad stawem, o liliach na wodzie,
O Tomie Bombadilu i Złotej Jagodzie[19].

Przy wtórze tych słów hobbici stanęli w progu domu i objęła ich złocista fala światła.

ROZDZIAŁ 7
W DOMU TOMA BOMBADILA

Czterej hobbici przekroczyli szeroki kamienny próg i zatrzymali się olśnieni. Byli w długiej, niskiej sali, jarzącej się światłem lamp, które zwisały od belek stropu. Na ciemnym gładkim stole paliły się wysokie żółte świece.

W głębi, twarzą zwrócona ku wejściu, siedziała w fotelu kobieta. Długie jasne włosy spływały jej na ramiona, suknię miała zieloną, koloru młodego tataraku, naszywaną srebrnymi perełkami niczym kropelkami rosy, ściągniętą złotym paskiem wykutym na kształt łańcucha splecionych lilii i wysadzanym bladoniebieskimi kamieniami w kolorze niezapominajek. U jej stóp w ogromnych zielonych glinianych misach kołysały się lilie wodne, a ona sama zdawała się królować pośród jeziora.

– Wejdźcie, mili goście! – powiedziała, a hobbici poznali srebrzysty głos, którego śpiew przedtem słyszeli. Nieśmiało posunęli się parę kroków naprzód i złożyli niski ukłon, zaskoczeni i zakłopotani, jak ktoś, kto zapukał do wiejskiej chaty z prośbą o szklankę wody, a znalazł się przed piękną, młodą królową elfów, ustrojoną w żywe kwiaty. Nim zdobyli się na jakieś słowo, kobieta lekko przeskoczyła nad misami lilii i ze śmiechem podbiegła do gości; suknia jej w biegu szeleściła miękko, jak wietrzyk w ziołach kwitnących na brzegu rzeki.

– Wejdźcie, moi mili! – powiedziała, ujmując Froda za rękę. – Śmiejcie się i weselcie! Jestem Złota Jagoda, córka Rzeki! – Minęła ich lekkim krokiem, zamknęła drzwi, odwróciła się twarzą do sali, rozpostarła szeroko ramiona. – Niech noc zostanie za zamkniętymi drzwiami – rzekła. – Bo może wciąż jeszcze lękacie się mgły i cieni drzew, i głębokiej wody, i nieoswojonych stworzeń. Nie bójcie się niczego! Dzisiejszej nocy jesteście pod dachem Toma Bombadila.

Hobbici patrzyli na nią w zachwycie, ona z uśmiechem przyjrzała się każdemu z nich po kolei.

– Piękna pani! – przemówił wreszcie Frodo, którego ogarnęła jakaś nieznana dotychczas radość. Stał urzeczony, tak jak nieraz, gdy słuchał czarodziejskiego głosu elfów, lecz urok, który nim teraz zawładnął, był

inny: napełniał rozkoszą mniej ostrą i mniej wzniosłą, lecz głębszą i bliższą śmiertelnemu sercu; był cudowny, ale nie obcy.

– Piękna pani! – powtórzył Frodo. – Teraz wreszcie lepiej rozumiemy radość, ukrytą w pieśni, którą zasłyszeliśmy w drodze.

O smukła jak wierzbina! Od wód czystszych czystsza!
Trzcino u wody żywej! Rzeki Córo śliczna!
Poro wiosny i lata, i znów czasie wiosny!
Wietrze u wodospadu, liści śmiechu lśniący![20]

Urwał nagle, zająknął się ze zdumienia, że niespodzianie dla samego siebie przemawia takim językiem. Ale Złota Jagoda roześmiała się wesoło.

– Witajcie! – rzekła. – Nie wiedziałam, że mieszkańcy Shire'u znają tak słodką mowę. Ale ty jesteś, jak widzę, przyjacielem elfów: zdradza cię blask oczu i dźwięk głosu. Jakże miłe spotkanie! Siądźcie i poczekajcie na pana tego domu. Wkrótce się zjawi, opatruje teraz wasze zmęczone kucyki.

Hobbici chętnie usiedli na niskich wyplatanych trzciną krzesełkach, a Złota Jagoda zakrzątnęła się około stołu. Wodzili za nią wzrokiem, bo widok smukłej postaci i zwinnych ruchów napełniał im serca cichym weselem. Gdzieś spoza domu dolatywał śpiew. Pośród licznych „diri do", „miri do", „ring, ding, dillo" łowili uchem powtarzające się słowa:

Stary Tom Bombadil to kompan milutki,
Ma niebieski kabacik i żółte ma butki[21].

– Piękna pani – zagadnął po chwili Frodo – jeżeli to pytanie nie wydaje ci się zbyt niedorzeczne, powiedz mi, kim właściwie jest Tom Bombadil?

– Jest tym, kim jest – odparła z uśmiechem Złota Jagoda, przerywając na chwilę swoje zajęcia.

Frodo spojrzał na nią pytająco.

– Jest taki, jakim go widzisz – odpowiedziała na to spojrzenie. – Jest panem lasu, wody i wzgórz.

– A więc do niego należy cała ta dziwna kraina?

– Och, nie! – odparła i uśmiech zniknął z jej warg. – To byłoby doprawdy zbyt ciężkie brzemię – dodała cicho, jakby nie dla słuchaczy. – Drzewa, trawy, wszystko, co rośnie i żyje na tej ziemi, samo do siebie tylko należy. Tom Bombadil jest tutaj panem. Nikt jeszcze nie doścignął starego Toma, czy chodzi on po lesie, czy brodzi po wodzie, czy skacze po szczytach pagórków, za dnia ani w nocy. Tom Bombadil nie zna strachu. Jest tu panem.

Drzwi się otwarły i wszedł Tom Bombadil. Zdjął kapelusz, na bujnych kasztanowatych włosach miał wieniec z jesiennych liści. Ze śmiechem podszedł do Złotej Jagody i wziął ją za rękę.

– Oto moja śliczna pani – rzekł, kłaniając się hobbitom – moja Złota Jagoda w srebrze i zieleni, przepasana kwiatami. Czy stół już nakryty? Widzę śmietanę i miód, biały chleb i masło, mleko, ser, świeże zioła i dojrzałe jagody. Czy to wam wystarczy? Czy kolacja gotowa?

– Tak – odpowiedziała Złota Jagoda. – Ale może goście jeszcze niegotowi?

Tom klasnął w dłonie i zawołał:

– Tomie, Tomie! Goście są znużeni, a tyś omal o tym nie zapomniał! Chodźcie za mną, przyjaciele, Tom pomoże wam się odświeżyć. Umyjecie brudne ręce, opłuczecie uznojone twarze. Zrzucicie zabłocone płaszcze i przeczeszecie zmierzwione włosy.

Poszli za nim krótkim korytarzem, który skręcił zaraz ostro. Znaleźli się w niskiej izbie o spadzistym stropie (była to, jak się zdawało, mansardowa przybudówka w północnym szczycie domu). Kamienne ściany niemal całkowicie ginęły pod zielonymi plecionkami i żółtymi zasłonami. Podłogę z płyt wysypano świeżym tatarakiem. Pod jedną ścianą leżały cztery grube materace, a na nich śnieżnobiała pościel. Pod drugą, na długiej ławie, stały wielkie gliniane misy i brunatne dzbany, pełne wody zimnej albo gorącej, do wyboru. Przy każdym posłaniu przygotowano miękkie zielone pantofle.

Wkrótce przyjaciele, umyci i orzeźwieni, zasiedli u stołu, parami z każdej strony, a Złota Jagoda i pan domu zajęli miejsca na dwóch końcach. Wieczerza trwała długo i była wesoła. Czterej goście jedli tak, jak tylko wygłodzeni hobbici potrafią, mimo to niczego nie zabrakło. Napój w kubkach wyglądał jak czysta zimna woda, lecz rozgrzewał serce i gardło

jak wino. Goście ani się spostrzegli, gdy już śpiewali radośnie, bo śpiew wydawał się łatwiejszy i naturalniejszy niż zwykła mowa.

Wreszcie Tom i Złota Jagoda wstali i szybko sprzątnęli ze stołu. Gościom zalecili siedzieć spokojnie w fotelach i podsunęli stołeczki pod ich znużone stopy. W obszernym kominku zapłonął ogień, tak słodko pachnący, jakby weń rzucono gałęzie jabłoni. Gdy sala była już uporządkowana, zgaszono wszystkie światła z wyjątkiem jednej lampy i dwóch świec, rozstawionych na dwóch krańcach półki nad kominkiem. Złota Jagoda stanęła przed gośćmi ze świecą w ręku, życząc im dobrej nocy i głębokiego snu.

– Możecie spać spokojnie – powiedziała – aż do rana. Nie zważajcie na nocne hałasy. Przez nasze drzwi i okna nie przedostanie się nic prócz blasku księżyca i gwiazd, prócz podmuchu od gór. Dobranoc!

Wyszła, lśniąc i szeleszcząc suknią. Słyszeli jej kroki, tak jak w ciszy nocnej słyszy się szmer strumyka spływającego łagodnie z gór po chłodnych kamieniach.

Tom chwilę jeszcze siedział w milczeniu z gośćmi, a każdy z nich usiłował zdobyć się na odwagę i zadać któreś z wielu pytań, cisnących się im na usta od początku wieczerzy. Sen już kleił powieki. W końcu odezwał się Frodo:

– Czy usłyszałeś moje wołanie, czy też przypadek sprowadził cię do nas w najwłaściwszym momencie?

Tom wzdrygnął się, jakby go zbudzono z przyjemnych snów.

– Co? – spytał. – Czy słyszałem twoje wołanie? Nie, nic nie słyszałem, byłem zajęty śpiewem. Sprowadził mnie do was przypadek, jeśli tak chcecie go nazwać. Nie odbyło się to według mojego planu, chociaż was oczekiwałem. Doszły tu wieści o was i wiedzieliśmy, że jesteście w drodze. Domyślaliśmy się, że przyjdziecie niezadługo nad rzekę. Wszystkie ścieżki prowadzą nad Wiję. Śpiew siwej Starej Wierzby ma wielką moc; niełatwo jest małemu ludkowi uniknąć jej chytrych pułapek. Ale Tom miał tam swoje własne sprawy, w których Stara Wierzba nie śmie mu przeszkadzać.

Tom kiwnął głową, jakby go znowu sen zmorzył, zaczął jednak nucić cichym głosem:

Mam tutaj zbierać liście i rwać wodne lilie,

Białe lilie, by pięknej pani się spodobać,
Ostatnie lilie, które z daleka od zimy
U stóp jej będą kwitnąć, póki śnieg nie staje.
Rokrocznie z końcem lata zrywam dla niej lilie
W wodzie czystej jak kryształ nad brzegami Wii;
Tam pierwsze kwitną z wiosną i ostatnie więdną.
Kiedyś tutaj znalazłem piękną córkę Rzeki,
Śliczną Złotą Jagodę, w szumiącym sitowiu.
Jakże pięknie śpiewała, jak biło jej serce![22]

Podniósł powieki i spojrzał na hobbitów z niespodzianie błękitnym błyskiem w oczach:

Dla was dobrze się stało, bo nie będę więcej
Wędrował tak daleko z biegiem leśnej rzeki,
Póki rok się starzeje. Ani nie odwiedzę
Starej Wierzby domostwa po tej wiosny stronie,
Nim nastanie wesoła, zanim Rzeki Córa
Szlak przetańczy wierzbowy, by się kąpać w wodzie[23].

Znów umilkł, lecz Frodo nie mógł się powstrzymać od jednego jeszcze pytania, na które najgoręcej pragnął odpowiedzi.

– Powiedz nam coś o Starej Wierzbie – rzekł. – Co to za jedna? Nigdy o niej dotychczas nie słyszałem.

– Nie! – krzyknęli równocześnie Merry i Pippin, podrywając się nagle. – Nie mów tego! Przynajmniej nie teraz, przed nocą!

– Macie rację – odparł stary Tom. – Teraz pora na odpoczynek. Pewnych historii nie należy słuchać, póki cień leży nad światem. Prześpijcie się do białego dnia, złóżcie głowy na poduszkach. Nie zważajcie na hałasy nocne! Nie lękajcie się siwej Wierzby!

Z tymi słowy ściągnął w dół lampę, zdmuchnął ją, a potem, niosąc świecę w każdej ręce, wyprowadził hobbitów z sali.

Materace i poduszki okazały się miękkie niby puch, koce były z białej wełny. Zaledwie się ułożyli na swoich posłaniach, ledwie naciągnęli na siebie lekkie nakrycia, posnęli wszyscy.

Pośród najgłębszej nocy Frodo pogrążony był w śnie bez świateł. Potem zobaczył wschodzący księżyc, a w bladej poświacie zamajaczyła czarna skała i ziejący w jej ścianie sklepiony otwór niby ogromna brama. Zdawało się Frodowi, że się wznosi w górę i ponad skałą widzi, że ściana jest częścią pierścienia gór otaczających równinę, a pośrodku równiny sterczy kamienny szczyt niczym potężna wieża, której nie zbudowały jednak niczyje ręce. Na szczycie stał starzec. Księżyc, wznosząc się na niebie, zawisł na chwilę nad jego głową, a białe włosy zalśniły w podmuchu wiatru. Z dołu, z równiny, wzbijały się dzikie wrzaski i wycie wilczego stada. Nagle ogromny cień, jakby rozpostartych skrzydeł, przesunął się przez tarczę księżyca. Człowiek podniósł ramiona i z różdżki, którą trzymał w ręku, wystrzeliła błyskawica. Olbrzymi orzeł zniżył się w locie i uniósł go z sobą. Głosy z równiny zaskowyczały, wilki zawyły żałośnie. Szum się zerwał, jakby wichury, a w nim zadźwięczał tętent kopyt mknących galopem od wschodu. „Czarni Jeźdźcy” – pomyślał Frodo i zbudził się z echem tętentu pulsującym jeszcze w głowie. Zadał sobie w duchu pytanie, czy odważy się kiedykolwiek opuścić schronienie kamiennych ścian tego domu. Leżał bez ruchu, wsłuchany w noc, ale było już teraz zupełnie cicho, wreszcie więc hobbit obrócił się na drugi bok i znów usnął, czy może raczej zawędrował w świat innych snów, których nie zapamiętał do rana.

U jego boku leżał Pippin, pogrążony w miłych marzeniach, lecz nagle coś się w nich chyba odmieniło, bo śpiący poruszył się z jękiem. Ocknął się gwałtownie, a może tak mu się tylko zdawało, lecz słyszał wciąż jeszcze w ciemnościach hałas, który zakłócił mu poprzednie marzenia: krk, krk, krk – trzeszczenie gałązek na wietrze, palce gałęzi obmacujące ściany i pukające do okien: krk, krk, krk. Próbował sobie przypomnieć, czy w pobliżu domu Toma rosną wierzby. Nagle zdjął go strach, wydało mu się, że nie znajduje się w zwykłym domu, lecz we wnętrzu wierzby, i nasłuchuje okropnego, suchego, skrzypliwego śmiechu, który szydzi z jego nieszczęścia. Siadł w pościeli, ale poduszki miękko ugięły się pod jego ręką, więc opadł na nie z westchnieniem ulgi. Miał wrażenie, że słyszy dzwoniące w uszach echo słów: „Nie bój się niczego! Nie zważaj na nocne hałasy! Możesz spać spokojnie do rana!”. I usnął znowu.

Merry pośród spokojnego snu usłyszał nagle plusk wody; spływała zrazu łagodnie, potem zaczęła wzbierać niepowstrzymanie, aż otoczyła cały dom ciemnym, bezbrzeżnym jeziorem. Bulgotała pod ścianami, podnosiła się z wolna, ale wytrwale, coraz wyżej. „Utonę! – pomyślał Merry. – Woda przedostanie się do domu, a wtedy utonę”. Wydało mu się, że leży w miękkim, oślizłym bagnie, więc zerwał się i trafił stopą na zimną kamienną płytę podłogi. Przypomniał sobie, gdzie jest, i położył się z powrotem. W uszach, a może tylko w pamięci, zadźwięczały mu słowa: „Przez nasze drzwi i okna nie przedostanie się nic prócz blasku księżyca i gwiazd, prócz podmuchu od gór”. Łagodny powiew poruszył firankami. Merry odetchnął głęboko i usnął znowu.

Sam nie pamiętał z tej nocy nic prócz tego, że przespał ją rozkosznie – o ile kłoda może odczuwać rozkosz.

Zbudzili się wszyscy czterej jednocześnie w blasku poranka. Po izdebce kręcił się Tom, gwiżdżąc jak szpak. Kiedy usłyszał, że goście ruszają się w łóżkach, klasnął w dłonie i krzyknął: – O hej! miri do, diri do! Wstawajcie, najmilsi! – Rozsunął żółte zasłony i hobbici przekonali się, że kryły one okna w dwóch przeciwległych ścianach: od wschodu i od zachodu.

Zerwali się rześcy. Frodo pobiegł do wschodniego okna i ujrzał ogród warzywny, siwy od rosy. Niemal był pewny, że zobaczy sięgającą aż pod ściany domu murawę stratowaną kopytami koni. W rzeczywistości rząd smukłych tyczek oplecionych pędami fasoli zasłonił mu widok na świat. Tylko ponad nimi w dali dostrzegł szare kopuły wzgórz ciemniejące na tle porannej zorzy. Ranek był przymglony, na wschodzie poza wałem chmur, rozciągniętych niby długie pasma brudnej wełny poplamionej na brzegach czerwienią, przebłyskiwało żółte światło. Niebo wróżyło deszcz, lecz dzień rozjaśniał się szybko, a czerwone kwiatki fasoli lśniły wśród wilgotnych zielonych listków.

Pippin wyjrzał przez zachodnie okno na jezioro mgieł. Las ginął w ich zasłonie. Pippin miał wrażenie, że spogląda z góry na pochyły dach chmur. Przecinała go jak gdyby podłużna fałda czy wąwóz, nad którym obłoki rozszczepiały się w tysiące piór i kosmyków: to była dolina Wii. Na lewo od domu ze wzgórza spływał strumień i niknął w mlecznym cieniu. Tuż pod ścianą kwitły kwiaty i ciągnął się strzyżony żywopłot osnuty srebrzystą

pajęczyną, a za nim szarzała niska trawa, pobielona kroplami rosy. Nigdzie w pobliżu nie rosły wierzby.

– Dzień dobry, weseli przyjaciele! – zawołał Tom, otwierając na oścież wschodnie okno. Powiało chłodem, zapachniało deszczem. – Myślę, że słońce dzisiaj nie zechce nam pokazać swojej twarzy. Chodziłem już dziś daleko, przebiegłem wszystkie wzgórza, od pierwszego brzasku węszyłem wiatr i pogodę, deptałem po mokrej trawie i skakałem pod mokrym niebem. Zbudziłem Złotą Jagodę, śpiewając pod jej oknem, ale nic nie zdoła obudzić hobbitów o świcie. Mały ludek zrywa się nocą ze snu, czuwa w ciemnościach, ale śpi, gdy słońce wstaje. Ring, ding, dillo! Ocknijcie się wreszcie, przyjaciele! Zapomnijcie o nocnych hałasach. Ring, ding, dillo del! Najmilsi! Jeżeli się pospieszycie, zastaniecie śniadanie na stole. Jeżeli się spóźnicie, dostaniecie trawę i wodę deszczową!

Nie trzeba chyba zapewniać, że – chociaż groźba Toma nie brzmiała bardzo poważnie – hobbici pospieszyli się, potem zaś nieprędko wstali od stołu – właściwie dopiero wtedy, kiedy półmiski opustoszały. Ani Tom, ani Złota Jagoda nie dotrzymywali im przy śniadaniu towarzystwa. Słyszeli tylko, że Tom krząta się po domu, hałasuje w kuchni, tupie na schodach, biegając to w górę, to w dół, i śpiewa to tu, to tam. Okno jadalni wychodziło na wschód, na spowitą w mgły dolinę, i było otwarte. Z nawisłej strzechy kapały krople. Nim przyjaciele skończyli śniadanie, chmury na niebie sklepiły się w szczelny strop i deszcz zaczął padać prostymi szarymi strugami, miarowo i wytrwale. Las ukrył się całkowicie za ich gęstą zasłoną.

Kiedy tak patrzyli przez okno, spłynął skądś z góry, jak gdyby na miękkiej fali deszczu, czysty głos Złotej Jagody. Nie rozumieli słów, ale było dla nich oczywiste, że to pieśń o deszczu, miła jak deszcz roszący wyschłe pagórki, opowieść o rzece dążącej z gór ku morzu. Słuchali z rozkoszą, a Frodo cieszył się w głębi serca, błogosławiąc łaskawą niepogodę, która odraczała chwilę pożegnania z tym domem. Myśl o wyjeździe ciążyła mu od momentu przebudzenia, teraz zrozumiał, że przynajmniej tego dnia jeszcze nie będzie musiał wyruszać w dalszą drogę.

Wiatr dmący górą od zachodu wznosił się, a chmury coraz gęściejsze, coraz bardziej nasiąkłe wodą, przetaczały się, zlewając deszczem łyse głowy kopulastych pagórków. Wokół domu nie było widać nic prócz strug

deszczu. Frodo stał w pobliżu otwartych drzwi i patrzył, jak biała wapienna ścieżka zamienia się w mleczną strugę i pieniąc się, spływa ku dolinie. Zza narożnika domu wybiegł Tom Bombadil. Wymachiwał rękami, jakby odpędzał deszcz, i rzeczywiście wydawał się zupełnie suchy, gdy przeskoczył przez próg, tylko buty miał mokre. Ściągnął je i postawił w kącie przy kominku. Siadł w największym fotelu, zwołując hobbitów do siebie.

– Złota Jagoda urządza dzisiaj pranie – rzekł – i jesienne porządki. Za mokro dla hobbitów, niechże sobie odpoczną, póki można. W sam raz dzień na długie opowieści, na pytania i odpowiedzi, więc Tom pierwszy ma głos.

Opowiedział im wiele niezwykłych historii, a mówił jakby do siebie, lecz od czasu do czasu nagle podnosił na nich oczy, żywe i błękitne pod krzaczastymi brwiami. Często jego głos przechodził w śpiew, nieraz też Tom zrywał się i tańczył po pokoju. Opowiadał o pszczołach i kwiatach, o zwyczajach drzew, o dziwnych stworach mieszkających w Starym Lesie, o złych i dobrych siłach, o przyjaciołach i wrogach, okrutnikach i poczciwcach, o tajemnicach ukrytych w leśnych chaszczach.

Słuchając, zaczęli rozumieć, że las żyje, niezależny od nich, a nawet poczuli się intruzami wobec tych wszystkich istot, dla których las był domem. W tych opowieściach wciąż powracała Stara Wierzba i Frodo dowiedział się o niej wszystkiego, co chciał wiedzieć, a nawet trochę więcej, bo nie była to przyjemna historia. W słowach Toma objawiły się w całej nagości serca drzew, a także ich myśli, często posępne i złowrogie, nabrzmiałe nienawiścią do wszystkiego, co po ziemi chodzi wolne i może gryźć, rąbać, łamać, palić – do niszczycieli i uzurpatorów. Stary Las nie darmo nosił swoją nazwę, był rzeczywiście bardzo stary, zachował się jako szczątek rozległych, zapomnianych puszcz. Przetrwały w nim dotąd sędziwe drzewa, starzejące się równie wolno jak góry, pradziadowie dzisiejszych drzew, pamiętający czasy, gdy las panował na ziemi. W ciągu nieprzeliczonych lat nasyciły się dumą, zakorzenioną wiedzą i przebiegłością. Ale żadne z drzew nie było tak groźne jak siwa Wierzba: serce jej bowiem spróchniało, podczas gdy siły pozostały młodzieńcze. Była podstępna, władała wiatrem, jej pieśń i jej wola rządziły lasem po obu brzegach rzeki. Chciwa, posiwiała dusza Wierzby czerpała moc z ziemi i rozpościerała szeroko pod ziemią delikatne nici korzeni, a niewidzialne

palce liści w powietrzu, aż ujarzmiła całe królestwo drzew – od Muru aż po Kurhany.

Nagle opowieść Toma porzuciła lasy i z biegiem młodego strumienia, poprzez perlące się wodospady, poprzez kamienne i zwietrzałe skały, między drobnym kwieciem ukrytym w trawie, po wilgotnych rozpadlinach powędrowała aż na Kurhany. Hobbici usłyszeli o Wielkich Kurhanach, o zielonych kopcach, o kamiennych koronach wieńczących pagórki, o jamach ziejących między nimi. Usłyszeli beczące stada owiec. Ujrzeli mury zielone i białe. Na pagórkach wznosiły się twierdze. Królowie małych państewek walczyli ze sobą, a młode słońce błyskało ogniem w czerwonych ostrzach ich nowych krwiożerczych mieczów. Były zwycięstwa i klęski. Wieże padały, grody płonęły, pożary wzbijały się pod niebo. Złoto piętrzyło się na trumnach zmarłych królów i królowych, Kurhany kryły je w swoim wnętrzu za zatrzaśniętymi kamiennymi drzwiami, aż wszystko zarosła trawa. Czas jakiś pasły się tam owce, lecz wkrótce wydmy znów opustoszały. Z dalekich ciemnych krain nadciągnął cień i kości drgnęły w grobowcach. Po rozpadlinach zaczęły się zjawiać upiory Kurhanów, na ich zimnych palcach dzwoniły pierścienie, złote łańcuchy pobrzękiwały w podmuchach wiatru. Kamienne korony sterczały z ziemi i w poświacie księżyca lśniły jak wyszczerzone połamane zęby.

Dreszcz przejął hobbitów. Pogłoski o upiorach Kurhanów i o tym pustkowiu, ciągnącym się za Starym Lasem, dotarły nawet do Shire’u. Lecz żaden w świecie hobbit nie lubi tego rodzaju historii, choćby ich słuchał z daleka, przy miłym kominku. Czterej przyjaciele nagle przypomnieli sobie to, o czym w radosnym nastroju tego domostwa nie myśleli dotychczas: dom Toma Bombadila przycupnął tuż pod wysuniętym ramieniem tych straszliwych wzgórz. Zerkając ukradkiem jeden na drugiego, kręcili się niespokojnie i zgubili na chwilę wątek opowieści.

Kiedy go znowu pochwycili, Tom już wędrował po dziwnych krajach, poza granicami ich pamięci i poza granicami tego, co wypełniało ich myśli na jawie; mówił o czasach, kiedy świat był rozleglejszy, a morza sięgały aż po Zachodni Brzeg; ale i wówczas Tom chadzał to tu, to tam pod odwiecznymi gwiazdami, nocą, gdy dopiero przebudzili się praojcowie elfów. Nagle przerwał opowieść i słuchaczom wydało się, że usnął, bo spuścił głowę na piersi. Siedzieli w milczeniu, w zachwycie; a wtedy, jakby pod czarem słów Toma, wiatr ucichł, chmury obeschły, dzień zagasł, noc

nadciągnęła od wschodu i od zachodu, całe zaś niebo zajaśniało od białego światła gwiazd.

Frodo nie umiałby powiedzieć, czy minął jeden ranek i wieczór, czy też wiele dni. Nie czuł głodu ani zmęczenia, nie czuł nic prócz ciekawości. Gwiazdy świeciły za oknami, cisza niebios otaczała go dokoła. Wreszcie dał wyraz temu zdumieniu i lękowi, którym go nagle przejęła ta cisza.

– Kim jesteś, Panie? – spytał.

– Co takiego? – rzekł Tom, prostując się w fotelu i błyskając oczyma w mroku. – Czyż nie znasz mojego miana? W nim cała odpowiedź. Powiedz mi, kim ty jesteś, ty sam, bezimienny? Ale ty jesteś młody, a ja – stary. Najstarszy, zważcie moje słowa, przyjaciele: Tom był tu wcześniej niż rzeka i drzewa; Tom pamięta pierwszą kroplę deszczu i pierwszy żołądź. Tom budował ścieżki wcześniej niż Duzi Ludzie i był tutaj, kiedy przyszli Mali Ludkowie. Był wcześniej niż królowie i groby, i upiory Kurhanów. Kiedy elfowie wędrowali na Zachód, Tom już tu był, zanim powierzchnia mórz się zakrzywiła. Znał ciemność gwiezdnych nocy, gdy jeszcze nie było w nich strachu – zanim Czarny Władca przybył spoza Granic.

Jak gdyby cień przemknął za oknem. Hobbici żywo obejrzeli się, a kiedy znowu zwrócili oczy na salę, zobaczyli Złotą Jagodę, która stała na progu w aureoli światła. Miała w ręku świecę i osłaniała płomień od podmuchu, a blask przeświecał przez dłoń jak słońce przez białą muszlę.

– Deszcz się skończył – powiedziała. – Świeża woda płynie ze wzgórz, pod gwiazdami. Śmiejmy się i weselmy!

– Jedzmy i pijmy! – zawołał Tom. – Długie opowieści wysuszają gardło. A pilni słuchacze poszczą rano, w południe i wieczorem!

Z tymi słowy zerwał się z fotela, podskoczył, chwycił z półki nad kominkiem świecę i zapalił ją od płomienia świecy przyniesionej przez Złotą Jagodę. Potem obtańczył stół wokoło, dał nagle susa przez próg i zniknął.

Wrócił po chwili z dużą zastawioną tacą. Wraz ze Złotą Jagodą zabrał się do nakrywania stołu, a hobbici przyglądali się temu na pół z zachwytem, na pół ze śmiechem, bo Złota Jagoda była urocza, a podskoki Toma niezwykłe i zabawne. Każde z nich wykonywało jak gdyby własny taniec, nie przeszkadzając jednak drugiemu, to wybiegając z pokoju, to wracając, to okrążając stół. Tym sposobem w mig przygotowali talerze, sztućce i

półmiski, a sala zajaśniała od świec białych i żółtych. Tom ukłonił się gościom.

– Prosimy na kolację – powiedziała Złota Jagoda.

Dopiero teraz hobbici zauważyli, że pani domu ma na sobie suknię srebrną przepasaną białą szarfą, a na nogach trzewiczki jakby z rybich łusek; Tom natomiast ubrał się na niebiesko, w strój o kolorze spłukanych deszczem niezabudek, tylko pończochy włożył zielone.

Kolacja okazała się jeszcze lepsza niż poprzedniego wieczora. Hobbici pod urokiem opowiadań Toma mogli zapomnieć o obiedzie i podwieczorku, kiedy jednak wreszcie zasiedli do stołu, powetowali sobie stratę tak, jakby od tygodnia nic w ustach nie mieli. Nie śpiewali, nie odzywali się nawet przez dość długą chwilę, całą uwagę poświęcając najpilniejszej sprawie. Po jakimś czasie wszakże, gdy pokrzepili serca i umysły, znów zapanował przy stole wesoły gwar i śmiech.

Po wieczerzy Złota Jagoda śpiewała im różne pieśni, a wszystkie zaczynały się radośnie na wyżynach i spływały łagodnie w ciszę; w tych cichych pauzach słuchacze widzieli oczyma wyobraźni jeziora, wody ogromne, jakich w życiu nie spotkali, a zaglądając w nie, dostrzegali niebo i gwiazdy niby klejnoty w głębinie. Potem Złota Jagoda, tak jak poprzedniego dnia, życzyła im dobrej nocy i odeszła, zostawiając hobbitów z Tomem przy kominku. Ale Tom wyzbył się teraz senności i zasypał ich pytaniami.

Okazało się, że wie już dość dużo o nich, o ich rodzinach, nawet o dziejach i poczynaniach ich ojczystego kraju, i to od czasów przez samych hobbitów nieledwie zapomnianych. Teraz jednak już ich to nie dziwiło; Tom zresztą nie taił, że najnowsze wiadomości zawdzięcza głównie staremu Maggotowi, którego uważał, jak się zdawało, za osobistość znacznie ważniejszą, niż sądzili hobbici.

– Maggot chodzi po ziemi, ręce nurza w glinie, mądrość ma w szpiku kości, oczy zaś zawsze otwarte – powiedział Tom. Jasne też było, że Tom utrzymuje stosunki z elfami i że jakimś sposobem dostał od Gildora wieści o ucieczce Froda.

Doprawdy, Tom tyle wiedział i tak przebiegle zadawał pytania, że Frodo ani się spostrzegł, gdy mu zwierzył historię Bilba oraz własne nadzieje i obawy, i to szczerzej nawet niż Gandalfowi.

Tom kiwał głową i błyskał oczami, kiedy usłyszał o Czarnych Jeźdźcach.

– Pokaż mi ten bezcenny Pierścień! – rzekł niespodzianie, przerywając Frodowi opowiadanie. I Frodo, ku swemu zdumieniu, od razu wyciągnął z kieszeni łańcuszek, odczepił Pierścień i podał Tomowi.

Pierścień jak gdyby urósł, leżąc przez chwilę na dużej, śniadej ręce Toma. Nagle Tom podniósł go do oka i wybuchnął śmiechem. Na jedno mgnienie hobbitom ukazał się widok zarazem przerażający i komiczny: jasne, błękitne oko błyszczące w złotej oprawie. Potem Tom wsunął Pierścień na czubek małego palca i podniósł go w światło świecy. W pierwszym momencie hobbici nie spostrzegli w tym geście nic niezwykłego. W następnym – dech im zaparło z wrażenia. Nie przestali widzieć Toma!

Tom znów się roześmiał i podrzucił w górę Pierścień, który błysnął w powietrzu i znikł. Frodo krzyknął, a Tom wychylił się z fotela i z uśmiechem zwrócił mu klejnot.

Frodo przyjrzał mu się z bliska, trochę podejrzliwie – jak widz, który podczas przedstawienia pożyczył kuglarzowi swoją własność. To był ten sam Pierścień, a przynajmniej nie zmienił wyglądu ani wagi: Frodowi zawsze wydawał się dziwnie ciężki. Coś wszakże kusiło hobbita, żeby się jeszcze upewnić. Trochę może rozdrażniło go zachowanie Toma, który tak zlekceważył przedmiot uznany przez Gandalfa za śmiertelną groźbę. Frodo więc doczekał sposobnej chwili, kiedy rozmowa znów się ożywiła, a Tom rozpowiadał jakąś niedorzeczną historię o borsukach i borsuczych obyczajach – i wsunął Pierścień na palec.

Merry zwrócił właśnie ku niemu twarz, żeby o coś zapytać, i wzdrygnął się tłumiąc okrzyk. Frodo ucieszył się (w pewnym sensie): nie odmieniono mu Pierścienia! Merry patrzył ogłupiałym wzrokiem wprost na jego fotel i najoczywiściej go nie widział. Frodo wstał i bezszelestnie cofnął się od kominka w stronę drzwi wyjściowych.

– Ejże, Frodo! – krzyknął Tom, spoglądając na niego doskonale widzącymi, bystrymi oczyma. – Ej! Chodź no tutaj! Dokąd się wybierasz? Stary Tom Bombadil jeszcze nie oślepł. Zdejmij swój złoty Pierścień. Twoja ręka jest bez niego o wiele ładniejsza. Wracaj! Daj spokój figlom i siadaj przy mnie. Musimy jeszcze trochę pogawędzić i pomyśleć o jutrze.

Tom chce was nauczyć właściwej drogi, żebyście nie błądzili po bezdrożach.

Frodo zaśmiał się (wmawiając sobie, że jest zadowolony), zdjął Pierścień i usiadł znów wśród przyjaciół. Tom zaczął teraz mówić o tym, że spodziewa się nazajutrz słonecznej pogody i pięknego poranka, rokującego wędrowcom jak najlepsze nadzieje. Radził jednak ruszać wcześnie, bo w tych okolicach nawet on nie mógł na pewno przepowiedzieć pogody na dłuższy czas, zmieniała się niekiedy tak błyskawicznie, że nie nadążał z przebieraniem się.

– Nie jestem panem pogody – rzekł. – Nie jest jej panem nikt, kto chodzi po ziemi.

Za radą Toma postanowili skierować się z jego domu wprost na północ przez zachodnie, niższe stoki wydm; w ten sposób mogli mieć nadzieję, że osiągną Wschodni Gościniec w ciągu jednego dnia i ominą Kurhany. Tom mówił im, żeby się niczego nie bali, lecz wyłącznie zajęli swoją sprawą.

– Trzymajcie się zielonej trawy. Niech was nie obchodzą stare kamienie, zimne upiory, nie bądźcie ciekawi ich siedzib, chyba że czujecie w sobie wielkie siły i niezawodną odwagę.

Powtarzał to kilka razy i zalecił obchodzić Kurhany od zachodniej strony, gdyby zabłądzili w pobliże któregoś z nich. Nauczył ich też słów piosenki, którą mieli śpiewać, jeśliby nieszczęśliwym przypadkiem znaleźli się nazajutrz w niebezpieczeństwie lub kłopocie.

Ho, Tomie Bombadilu, Bombadilu Tomie!
Na wierzbę i na rzekę, na wodę i płomień,
Na słońce i na księżyc – posłuchaj, sąsiedzie,
I przybądź do nas, Tomie, bo jesteśmy w biedzie![24]

Prześpiewali tę zwrotkę chórem za przewodem Toma, potem gospodarz ze śmiechem klepnął kolejno każdego po łopatce i ze świecą w ręku zaprowadził do sypialni.

ROZDZIAŁ 8
MGŁA NA KURHANACH

Tej nocy nie słyszeli żadnych hałasów. Ale Frodowi – sam nie wiedział, czy we śnie, czy na jawie – miły śpiew dzwonił w uszach; pieśń jak nikłe światło przebijała zza szarej zasłony deszczu, a potem tak przybrała na sile, że zasłona stała się przejrzysta, jak gdyby srebrna i szklana, aż wreszcie rozsunęła się, ukazując oczom hobbita odległy zielony kraj w blasku wschodzącego słońca.

Z tą wizją w oczach Frodo się zbudził. Tom gwizdał jak drzewo pełne ptactwa, słońce świeciło już nad wzgórzem i skośne promienie wpadały przez otwarte okno. Na dworze wszystko było zielone i złociste.

Po śniadaniu, które hobbici znów zjedli sami, zaczęli się przygotowywać do pożegnania, z ciężkim sercem, o ile serce mogło być ciężkie w tak cudny ranek: świeży, jasny, czysty pod zmytym przez deszcz jesiennym niebem z przezroczystego błękitu. Chłodny podmuch ciągnął od północo-zachodu. Stateczne kucyki niemal się rozbrykały, prychając i drepcąc niespokojnie. Tom wyszedł z domu, pomachał kapeluszem, zatańczył na progu, nakłaniając hobbitów, żeby ruszali w drogę co żywo.

Pojechali ścieżką, odbiegającą zza domu skosem ku północnemu krańcowi grzebienia, pod którym tuliła się siedziba Toma Bombadila. Zeskoczyli z siodeł, żeby wprowadzić kucyki na ostatni stromy stok, gdy nagle Frodo się zatrzymał.

– Złota Jagoda! – krzyknął. – Cudna pani w srebrze i zieleni! Nie pożegnaliśmy się z nią, nie widzieliśmy jej od wczorajszego wieczora!

Tak był zrozpaczony, że chciał zawrócić z drogi. Lecz w tej samej chwili dobiegł ich uszu czysty, perlisty głos. Przed nimi na grani stała Złota Jagoda i gestem wzywała ich ku sobie; rozpuszczone włosy lśniły i świeciły w słońcu. Tańczyła, a na zroszonej trawie u jej stóp światło migotało jak na wodzie.

Spiesznie wbiegli na ostatnią stromiznę i bez tchu stanęli przed Złotą Jagodą. Skłonili się, lecz ona dała im znak ręką, żeby się obejrzeli wkoło. Spojrzeli więc ze szczytu na okolicę w blasku poranka. W czystym powietrzu otwierał się rozległy widok na świat, który był zasnuty mgłą i

niewidzialny, kiedy patrzyli nań w Starym Lesie z pagórka, teraz wyłaniającego się jasnozieloną kopułą znad ciemnych drzew na zachodzie. W tej stronie teren falował lesistymi pasmami wzgórz, które mieniły się, zielone, żółte i rude w słońcu, przesłaniając dolinę Brandywiny. Na południe, poza linią Wii, coś błyskało w oddali niby lustro; tam Brandywina zataczała olbrzymią pętlę na nizinie i odpływała w kraj nieznany hobbitom. Na północ ciągnęła się równina, szara, zielona i brunatna, przecięta tu i ówdzie garbami, i rozpływała się na widnokręgu w bezkształtną ciemną plamę. Od wschodu wyżyna Kurhanów piętrzyła łańcuchy wzgórz jedne za drugimi, kryjąc przed wzrokiem hobbitów dalszy plan; ledwie odgadywali błękitniejący, odległy biały blask stopiony z rąbkiem nieba, i domyślali się dalekich, wysokich gór.

Wciągnęli głęboko w płuca powietrze z uczuciem, że jeden skok i kilka energicznych kroków zaprowadziłoby ich wszędzie, gdzie zechcą. Wydało im się małodusznością mozolnie kluczyć postrzępionym skrajem wyżyny ku gościńcowi, skoro powinni raczej, wzorem dziarskiego Toma, w podskokach sadzić z pagórka na pagórek wprost ku górom.

Złota Jagoda przywołała ich oczy i myśli do rzeczywistości.

– Jedźcie, mili goście! – rzekła. – Wytrwajcie w zamiarach! Kierujcie się na północ, tak by wiatr mieć od lewej strony, i niech szczęście sprzyja wszystkim waszym krokom. Spieszcie się, póki słońce świeci! – Zwróciła się do Froda: – Do widzenia, Przyjacielu Elfów, radosne to było spotkanie.

Frodo nie znalazł odpowiedzi. Ukłonił się nisko, dosiadł wierzchowca i na czele przyjaciół ruszył z wolna łagodnym zboczem w dół. Dom Toma Bombadila, dolina i las zginęły im z oczu. Między zielonymi ścianami wzgórz było cieplej, a od murawy bił mocny, słodki zapach. Dotarłszy na dno trawiastej kotliny, odwrócili się i zobaczyli Złotą Jagodę, małą, smukłą sylwetkę na tle nieba, jak kwiat w słońcu; patrzyła na odjeżdżających, wyciągała ku nim ręce. Gdy się obejrzeli, zawołała raz jeszcze swoim czystym głosem, podniosła ramiona, obróciła się i zniknęła za wzgórzem.

Ścieżka wiła się dnem kotlinki, okrążała zielone podnóża stromego pagórka i zbiegała w następną, głębszą i szerszą dolinę, potem zaś wydostawała się na grzbiety dalszych wzgórz, schodziła ich wydłużonym ramieniem w dół, oplatała strome zbocza, pięła się na nowe szczyty, opadała w nowe wąwozy. Nie widzieli nigdzie drzew ani wody, była to

kraina traw i niskiej, sprężystej darni, a ciszę mącił tylko szept wiatru i od czasu do czasu samotny krzyk nieznanego ptaka. Hobbici jechali naprzód, a tymczasem słońce podniosło się na niebie i grzało mocno. Na każdym nowym grzbiecie witał ich słabszy niż na poprzednim powiew wiatru. Gdy popatrzyli z góry na zachód, wydało im się, że daleki las dymi, jakby wczorajszy deszcz parował z liści, korzeni i mchów. Cień zalegał teraz widnokrąg mrocznym wieńcem, nad którym kopuła nieba tkwiła niby błękitna czapka, gorąca i ciężka.

Około południa znaleźli się na wzgórzu, którego wierzchołek był szeroki i spłaszczony, podobny do płytkiej miski o zielonych wypukłych brzegach. Powietrze stało tu nieruchome, a niebo wisiało jak gdyby tuż nad głowami. Wyjechali na przeciwległą krawędź i spojrzeli ku północy. Otucha wstąpiła w ich serca, bo wydawało się oczywiste, że przebyli już więcej drogi, niż się spodziewali. Co prawda dalszy widok był teraz przymglony i zwodniczy, lecz niewątpliwie już niebawem powinni opuścić obszar wzgórz. U ich stóp długa dolina ciągnęła się ku północy aż do bramy otwartej między dwoma stromymi grzbietami. Za nią, jak się zdawało, nie było już wzniesień. Patrząc wprost na północ, dostrzegali niewyraźną czarną kreskę.

– To musi być linia drzew – powiedział Merry – znacząca gościniec. Na wschód od mostu drzewa ciągną się wzdłuż drogi przez wiele mil. Podobno zasadzono je w dawnych czasach.

– Wspaniale! – rzekł Frodo. – Jeżeli w ciągu popołudnia będziemy się posuwali równie szybko jak od rana, wyjedziemy poza wzgórza przed zachodem słońca i bez pośpiechu wyszukamy miejsce na nocleg.

Lecz nim skończył mówić, zwrócił wzrok ku wschodowi i spostrzegł, że z tej strony wyższe wzgórza piętrzą się nad nimi, a każde uwieńczone zielonym kopcem; z niektórych też głazy sterczały w niebo jak wyszczerzone zęby z zielonych dziąseł.

Zaniepokoili się tym widokiem, więc odwrócili od niego oczy i zeszli z krawędzi z powrotem w głąb niecki. Tu na środku tkwił samotny wysoki głaz; słońce świeciło wprost nad nim, toteż o tej godzinie nie rzucał wcale cienia. Głaz był bezkształtny, a mimo to wymowny jak znak graniczny, jak palec wskazujący, a może bardziej jeszcze – jak przestroga. Wędrowcy wszakże byli głodni, a słońce w zenicie odpędzało wszelkie strachy, siedli więc, oparli się plecami o wschodnią ścianę kamienia, wydobyli zapasy i

pod gołym niebem zjedli obiad, który mógł zadowolić najwybredniejsze nawet podniebienia. Jedzenie bowiem i napoje pochodziły z domu pod wzgórzem. Tom zaopatrzył ich sowicie w żywność na ten dzień. Kucyki, rozjuczone, błąkały się po trawie.

Jazda przez wzgórza, pełne żołądki, gorące słońce i zapach trawy, trochę przydługi odpoczynek z wyciągniętymi nogami i z oczyma utkwionymi w niebo nad głową – oto wystarczające chyba wyjaśnienie tego, co się stało. Bo stało się tak: ocknęli się nagle i nieprzyjemnie ze snu, który, nie wiedzieć kiedy i jak, zmorzył ich wbrew woli. Kamień sterczący za ich plecami był zimny i rzucał długi, nikły cień w stronę wschodu. Słońce, blade, żółtawe, lśniło zza mgieł tuż nad zachodnią krawędzią zagłębienia, w którym leżeli. Od północy, południa i wschodu zza skraju miski podnosiła się gęsta, zimna biała mgła. Powietrze było nieruchome, ciężkie i lodowate. Kucyki, zbite w gromadkę, stały ze zwieszonymi łbami.

Hobbici, przerażeni, zerwali się na równe nogi i pobiegli na wschodnią stronę wzgórza. Stwierdzili, że znajdują się na wyspie pośród mgły. W chwili gdy z rozpaczą zwrócili wzrok na zachód, ujrzeli, jak słońce zapada w mleczne morze; jednocześnie za ich plecami zimny, szary cień wypłynął na niebo od wschodu. Mgła wspięła się nad brzegi zagłębienia, podniosła w górę i nad głowami hobbitów sklepiła się niczym dach. Znaleźli się jakby w sali, której ściany i sufit stanowiła mgła, a sterczący pośrodku głaz był filarem podpierającym strop.

Czuli się jak w pułapce, zamykającej się właśnie wokół nich; nie stracili jednak resztek nadziei. Nie zapomnieli bowiem obiecującego widoku, jaki im się przedtem ukazał, i jeszcze pamiętali, w której stronie widzieli linię gościńca. W każdym zaś razie niecka na szczycie wzgórza z umieszczonym pośrodku głazem budziła w nich teraz tak wielką odrazę, że myśl o zatrzymaniu się tutaj dłużej nawet w głowie im nie postała. Spakowali rzeczy, jak zdołali najszybciej skostniałymi palcami.

Wkrótce już przeprowadzali kuce przez krawędź i zaczęli gęsiego schodzić północnym stokiem w dół, w morze mgły. W miarę jak spuszczali się niżej, mgła była coraz zimniejsza i bardziej wilgotna, tak że po chwili włosy w mokrych kosmykach oblepiły im skronie. Nim doszli do stóp pagórka, zziębli tak, że zatrzymali się, by wydobyć z worków płaszcze i kaptury – na których zresztą zaraz zalśniły grube szare krople. Potem

dosiedli kuców i ruszyli z wolna dalej, orientując się jedynie wedle spadków i wzniesień terenu. Starali się w miarę możności kierować w stronę bramy, którą tego ranka dostrzegli w odległym północnym krańcu doliny. Liczyli, że jeśli raz wydostaną się za tę bramę i zdołają potem utrzymać mniej więcej prosty kurs, trafią wreszcie niechybnie na gościniec. Dalej nie wybiegali myślą, mieli jednak trochę nadziei, że mgła skończy się za obszarem wzgórz.

Posuwali się bardzo wolno. Bojąc się rozdzielić i zabłądzić, trzymali się blisko jeden tuż za drugim; Frodo na czele, potem Sam, Pippin, a ostatni Merry. Dolina ciągnęła się bez końca. Nagle Frodo spostrzegł przed sobą coś, co obudziło w nim nadzieję: po obu stronach poprzez mgłę majaczyły jakieś ciemniejsze kształty. Mogło to znaczyć, że zbliżyli się wreszcie do otwartej między wzgórzami północnej bramy. Gdyby im się udało ją przebyć, byliby uratowani.

– Naprzód! Za mną! – krzyknął przez ramię do towarzyszy i popędził kuca. Lecz nadzieja prędko ustąpiła miejsca zdumieniu i rozczarowaniu. Ciemne sylwetki wystąpiły wyraźniej, lecz zmalały i niespodzianie Frodo ujrzał tuż przed oczyma spiętrzone złowrogo i lekko pochylone ku sobie wzajem dwie wielkie sterczące skały, niby filary niesklepionej u góry bramy. Nic podobnego, o ile mógł sobie przypomnieć, nie dostrzegł w dolinie, kiedy się jej przyglądał w południe ze szczytu wzgórza. Przejechał między dwiema skałami, sam nie wiedząc kiedy i jak; natychmiast otoczyły go ciemności. Kucyk chrapnął i stanął dęba, Frodo spadł z siodła. Obejrzał się i stwierdził, że jest zupełnie sam: przyjaciele gdzieś zniknęli.

– Sam! – krzyknął. – Pippin! Merry! Do mnie! Czemu się nie trzymacie razem?

Nie było odpowiedzi. Zdjęty strachem Frodo przebiegł z powrotem przez kamienną bramę, krzycząc dzikim głosem: „Sam! Sam! Merry! Pippin!”. Kucyk skoczył we mgłę i zniknął. Frodowi wydało się, że gdzieś daleko ktoś zawołał: „Hej! Frodo! Hej!”. Stał przed sterczącym ogromnym głazem wpatrzony, wsłuchany w ciemność. Głos szedł jakby od wschodu, od lewej strony. Rzucił się w tym kierunku i biegnąc, zauważył, że pnie się stromo pod górę.

Piął się i nie przestawał nawoływać przyjaciół, krzycząc coraz bardziej gorączkowo; jakiś czas nie było odpowiedzi, wreszcie skądsiś, z wysoka i z

daleka, poprzez mgłę doszło słabe, nikłe wołanie: „Frodo! Hej!” – i zaraz potem krzyk, jakby: „Ratunku!”, powtórzony raz, drugi i trzeci; za ostatnim razem zabrzmiało to jak przeciągły jęk, nagle urwany. Frodo, kierując się tym głosem, parł naprzód co sił, lecz ciemność zapadła już zupełna, noc czarna zwierała się wokół niego, tak że nie był pewien kierunku. Miał wrażenie, że idzie nieustannie pod górę.

W pewnej chwili poczuł pod stopami poziomy teren i tylko to pozwoliło mu zorientować się, że osiągnął wreszcie grań grzbietu czy może szczyt pagórka. Mimo że zmęczony i spocony – drżał z zimna. Dokoła zalegała nieprzenikniona ciemność.

– Gdzie jesteście?! – zawołał zrozpaczony.

Nikt nie odpowiedział. Frodo nasłuchiwał. Nagle uprzytomnił sobie, że jest coraz zimniej i że wiatr się podnosi, lodowaty wiatr. Pogoda się zmieniała. Mgła przepływała teraz koło niego poszarpana na strzępy i włókna. Widział parę własnego oddechu, ciemność jakby się odsunęła i zrzedła. Frodo spojrzał w górę i zobaczył ze zdziwieniem, że blade gwiazdy ukazują się między pasmami pędzących z wiatrem chmur i mgieł. Wiatr już świstał w trawie.

Wydało mu się znów, że słyszy stłumiony krzyk, i ruszył w tę stronę; w tej samej chwili mgła zwinęła się i rozstąpiła, odsłaniając wygwieżdżone niebo. Jednym rzutem oka Frodo zorientował się, że zwrócony jest twarzą ku południowi i znajduje się na kopulastym szczycie, na który wspiął się od północnego wschodu. Po prawej ręce, na tle zachodniej części nieba, dostrzegł czarny kopiec: wznosił się tam ogromny Kurhan.

– Gdzie jesteście?! – krzyknął raz jeszcze, rozdrażniony i wylękły.

– Tutaj! – odpowiedział głęboki zimny głos, dobywający się jakby spod ziemi. – Czekam na ciebie.

– Nie! – powiedział Frodo, ale nie uciekł. Kolana ugięły się pod nim, padł na ziemię. Zrazu nic się nie stało, nie odezwał się najlżejszy bodaj szmer. Kiedy jednak, drżąc cały, podniósł wzrok, ujrzał wysoką postać niby cień przesłaniający gwiazdy. Postać schyliła się nad nim. Zobaczył oczy okropnie zimne, chociaż rozjarzone blaskiem przenikającym jak gdyby z wielkiej dali. Poczuł uścisk rąk, zimniejszych i twardszych niż żelazo. Od lodowatego dotknięcia mróz przeszedł mu po kościach i Frodo stracił przytomność.

Gdy ją znowu odzyskał, zrazu nie mógł sobie przypomnieć nic prócz uczucia zgrozy. Potem nagle zrozumiał, że jest uwięziony bez ratunku. Znalazł się pod Kurhanem. Porwał go Upiór Kurhanu i zapewne już obezwładnił strasznymi czarami, o których tyle mówiły legendy, opowiadane lękliwym szeptem. Frodo nie śmiał poruszyć się, leżał tak, jak się ocknął: na wznak, z plecami przylgniętymi do zimnego kamienia, z rękami złożonymi na piersi.

Strach Froda był tak wielki, że wydawał mu się cząstką otaczających ciemności, a mimo to hobbit wspomniał Bilba i historie, które wuj opowiadał, wspólne włóczęgi po ścieżkach Shire'u, opowieści o wędrówkach i przygodach. Ziarenko odwagi żyje utajone (nieraz, co prawda, dość głęboko) w sercu najbardziej nawet spasionego i nieśmiałego hobbita i czeka na moment jakiegoś ostatecznego i rozpaczliwego niebezpieczeństwa, żeby zakiełkować. Frodo nie był ani bardzo spasiony, ani szczególnie nieśmiały; przeciwnie – chociaż sam o tym nie wiedział – Bilbo (a także Gandalf) uważał go za najdzielniejszego hobbita w kraju. Pomyślał, że to koniec przygody, koniec okropny, ale ta myśl dodała mu sił. Sprężył się jak do skoku, nie leżał już biernie jak bezwolna ofiara.

Gdy tak leżąc, rozmyślał i skupiał siły, spostrzegł nagle, że ciemność zaczyna z wolna ustępować, a dokoła narasta blade, zielonkawe światło. Zrazu nie pomogło mu to w rozeznaniu miejsca, w którym się znajdował, bo światło jak gdyby promieniowało z jego ciała i z ziemi wokół niego, nie dosięgając jeszcze stropu ani ścian. Obrócił się na bok i w zimnym blasku zobaczył Sama, Pippina i Merry'ego. Spoczywali tuż, wyciągnięci na plecach, twarze mieli śmiertelnie blade, ubrani byli w biel. Wszędzie wkoło nich błyszczały klejnoty, może szczere złoto, chociaż w tym świetle wydawało się zimne i wcale niepiękne. Na głowach hobbitów lśniły diademy, na piersi złote łańcuchy, na palcach pierścienie. U ich boku leżały miecze, u stóp tarcze. Lecz jeden długi, obnażony miecz leżał w poprzek na szyjach wszystkich trzech przyjaciół.

Wtem rozległ się śpiew; zimny śpiewny szept to podnosił się, to opadał. Głos dochodził jakby z bardzo daleka, chwilami brzmiał wysokim tonem w powietrzu, chwilami jęczał głucho spod ziemi. Bezkształtny strumień dźwięków smutnych i przeraźliwych układał się od czasu do czasu w jakieś słowa, a wszystkie ponure, twarde, zimne, bezlitosne i pełne bólu. Noc złorzeczyła porankowi, który ją osierocił, mróz przeklinał ciepło, którego

pożądał. Froda dreszcz przejął do szpiku kości. Po chwili pieśń zabrzmiała wyraźniej i hobbit z przerażeniem w sercu zrozumiał, że śpiew przeszedł w zaklęcia:

Zimna niech będzie kość, serce i ramię,
zimny niech będzie sen pod ciężkim głazem,
nigdy niech się nie zbudzą na łożu z kamienia,
póki słońce nie zgaśnie, nie przepadnie księżyc.
W czarnej wichurze wszystkie zgasną gwiazdy,
a oni nadal spać będą wśród skarbów,
nim czarny władca nie wzniesie swej ręki
nad martwym morzem, spustoszoną ziemią[25].

Usłyszał za swoją głową jakiś szmer, lekkie szuranie i chrobotanie. Unosząc się na łokciu, spojrzał, i teraz dopiero, w nikłym świetle, stwierdził, że leży wraz z towarzyszami w korytarzu, który tuż za nimi skręca w bok. Zza tego zakrętu wysuwała się długa ręka; przebierając palcami, pełzła w kierunku Sama, leżącego najbliżej, i sięgała po rękojeść spoczywającego na jego szyi miecza.

W pierwszym momencie Frodo skamieniał z trwogi, jak gdyby go obezwładnił czar zaklęcia. Potem błysnął mu szalony pomysł ratunku. Przyszło mu do głowy, że jeśli wsunie na palec Pierścień, może skryje się przed wzrokiem Upiora i znajdzie jakieś wyjście. Biegałby znów po zielonej trawie, wprawdzie opłakując Merry'ego, Sama i Pippina, ale żywy i wolny. Gandalf musiałby mu przyznać, że nie mógł w tym położeniu zrobić nic innego.

Ale męstwo, które ocknęło się w hobbicie, już zdążyło okrzepnąć i nie pozwoliło mu porzucić przyjaciół na pastwę losu. Zawahał się i pomacał ręką kieszeń, ale zaraz znów zwalczył pokusę. Tymczasem ręka Upiora podpełzła bliżej. Nagle Frodo zdecydował się, chwycił krótki mieczyk leżący u jego boku i klęknął, pochylając się nad ciałami przyjaciół. Zebrał wszystkie siły, na jakie go było stać, i ciął mieczykiem przegub skradającej się ręki. Dłoń odpadła od ramienia, ale w tym samym momencie mieczyk pękł aż po rękojeść. Buchnął wrzask i światło znikło. W ciemności rozległ się chrapliwy pomruk.

Frodo padł na ciało Merry’ego, dotknął zimnej twarzy przyjaciela. I nagle zbudziło się w nim wspomnienie, uśpione, odkąd wkroczyli w mgłę, wspomnienie domu pod wzgórzem i śpiewającego Toma. Przypomniał sobie piosenkę, której ich Tom nauczył. Cienkim desperackim głosem zaczął: „Ho, Tomie Bombadilu!” i ledwie wymówił to imię, głos mu zmężniał, nabrał pełni tonu i siły, aż ciemna komora rozbrzmiała echem, niby graniem trąb i werblem bębnów:

Ho, Tomie Bombadilu, Bombadilu Tomie!
Na wierzbę i na rzekę, na wodę i płomień,
Na słońce i na księżyc – posłuchaj sąsiedzie,
I przybądź do nas, Tomie, bo jesteśmy w biedzie![26]

Zapadła cisza tak głęboka, że Frodo słyszał bicie własnego serca. I po długiej, nużącej chwili doszedł jego uszu wyraźny, chociaż daleki głos, jakby przedzierający się przez warstwy ziemi czy przez grube mury. Głos ten śpiewał:

Stary Tom Bombadil to kompan milutki,
Ma niebieski kabacik i żółte ma butki.
Nikt go jeszcze nie złapał, bo sprytny to chłopak
I w piosenkach mocniejszy, i śmiglejszy w stopach[27].

Rozległ się rumor, jak gdyby kamienie gdzieś blisko toczyły się i waliły, a potem nagle w ciemność spłynął strumień światła, prawdziwego, zwykłego światła dziennego. W głębi komory, u stóp Froda, otwarły się niskie drzwi; w ich obramowaniu na tle czerwonego wschodu słońca pojawiła się głowa Toma – kapelusz, piórko, cały Tom! Światło padło na dno komory, na twarze trzech hobbitów, leżących obok Froda. Nie poruszyli się, ale chorobliwa bladość zniknęła z ich policzków. Wyglądali teraz jak pogrążeni w głębokim, zdrowym śnie.

Tom pochylił się, zdjął kapelusz, wszedł do mrocznej komory, śpiewając:

Wynoś się, Widmo stare! Na słońcu się rozwiej!
Idź łkać pomiędzy wiatry, wyschnij jak mgła chłodna,

Hen, na ziemie jałowe idź, aż poza góry!
Nie śmiej nigdy tu wrócić! Kurhan zostaw pusty!
Przepadnij w zapomnieniu, od mroku ciemniejszym,
Gdzie bramy są zawarte, nim świat się uleczy[28].

Odpowiedział mu krzyk i część pieczary w głębi zapadła się z łoskotem. Przeciągły wrzask zamarł, oddalając się w nieodgadnione czeluście, i wszystko ucichło.

– Chodź, Frodo – rzekł Tom. – Wyjdziemy na czystą trawę. Pomóż mi dźwigać swoich przyjaciół.

We dwóch wynieśli Merry'ego, Pippina i Sama. Opuszczając Kurhan, Frodo po raz ostatni odwrócił się i wydało mu się, że widzi odrąbaną dłoń, jeszcze drgającą jak zraniony pająk, na kupie zwalonej ziemi. Kiedy Tom wrócił do komory, dał się tam słyszeć głośny tupot i łomotanie, a kiedy wyszedł, okazało się, że wydobył z Kurhanu ciężkie brzemię skarbów: mnóstwo przedmiotów ze złota, srebra, miedzi i brązu, drogie kamienie, naszyjniki i rozmaite drogocenne ozdoby. Wspiął się na zielony kopiec i złożył to wszystko na szczycie, w blasku słońca.

Stanął, trzymając kapelusz w ręku, z rozwianym włosem, i spojrzał w dół na trzech hobbitów, którzy leżeli na wznak w trawie na zachodnim stoku wzgórza. Podniósł prawą rękę i jasnym, rozkazującym głosem zaśpiewał:

Hej, wstawajcie, kompany! Posłuchajcie pobudki,
Zimny kamień z was opadł! Krzepcie członki i serca!
Mroczne drzwi otworzone – martwa ręka złamana,
Noc w mrok Nocy się skryła – Brama stoi otworem![29]

Ku radości Froda hobbici poruszyli się, rozprostowali ramiona, przetarli oczy i nagle skoczyli na równe nogi. Ze zdumieniem spojrzeli najpierw na Froda, potem na Toma, który w całej okazałości górował nad nimi na szczycie kopca; wreszcie popatrzyli po sobie i zobaczyli, że są ubrani w lekkie białe szaty, ustrojeni w diademy, pasy z bladego złota i brzęczące świecidła.

– Co, u licha… – zaczął Merry, dotykając złotej przepaski, która zsunęła mu się na jedno oko. Urwał, cień przemknął mu po twarzy. Merry zmrużył powieki. – Oczywiście, pamiętam – rzekł. – Nocą dopadli nas i pokonali ludzie z Carn Dûm. Ach, to ostrze w moim sercu! – Chwycił się za pierś. – Ale co ja mówię? Śniłem widocznie. Gdzieś ty się podziewał, Frodo?

– Zdawało mi się, że zbłądziłem – odparł Frodo – ale wolę o tym nie mówić na razie. Zastanówmy się lepiej, co teraz zrobimy. Chodźmy stąd!

– W tym stroju, proszę pana? – odezwał się Sam. – Gdzie moje ubranie? – Rzucił w trawę diadem, pas i pierścienie, rozejrzał się bezradnie, jakby w nadziei, że płaszcz, kurtka i spodnie oraz inne szczegóły zwykłej hobbickiej garderoby leżą gdzieś w pobliżu.

– Nie znajdziecie już nigdy swojego ubrania – rzekł Tom, zbiegając z kopca i ze śmiechem tańcząc wokół hobbitów w blasku słońca. Można by pomyśleć, że nie przeżyli żadnych niebezpieczeństw ani okropności, bo cała groza ulotniła się z ich serc, kiedy popatrzyli na Toma i zobaczyli wesołe iskry w jego oczach.

– Jak to? – spytał Pippin na pół zaintrygowany, na pół ubawiony. – Dlaczego już nie znajdziemy?

Tom potrząsnął głową.

– Odnaleźliście siebie, wróciliście z wielkich głębi. Ubranie – to mała strata, skoro sami ocaleliście z toni. Radujcie się, moi mili, grzejcie w słońcu dusze i ciała. Zrzućcie te zimne szmaty. Pobiegajcie nago po trawie, a Tom tymczasem ruszy na łowy.

W podskokach zbiegł ze wzgórza, gwiżdżąc i nawołując. Frodo, śledząc go wzrokiem, stwierdził, że Tom pędzi na południe wzdłuż zielonej rozpadliny, dzielącej ich wzgórze od następnego, i usłyszał, jak wciąż pogwizduje i woła:

Hej, tam – hej, chodźcie! Hej, gdzież to się goni?
Daleko, blisko, z tej czy z tamtej strony?
Uszko, Ogon, Nos, Ciura – i w komplecie
Z Białym Kopytkiem ty, miły Pulpecie![30]

Śpiewał w biegu, podrzucał w górę kapelusz i chwytał go, w powietrzu, aż wreszcie zniknął za garbem terenu, tylko okrzyki: „Hej, hej!” dolatywały z

wiatrem, wiejącym teraz od południa.

Słońce już dobrze przygrzewało. Hobbici, posłuszni radom Toma, przez długą chwilę biegali po trawie. Potem legli, rozkoszując się ciepłem słońca jak ktoś, kogo nagle przeniesiono z kraju srogiej zimy pod łaskawsze niebo, albo jak chory, który po długim leżeniu w łóżku budzi się niespodzianie pewnego ranka zupełnie zdrów i wita nowy dzień z nadzieją.

Nim Tom wrócił, odzyskali siły (i apetyt). Najpierw nad krawędzią wzgórza ukazał się kapelusz, potem cały Tom, a za nim kroczyło posłusznie sześć kucyków: pięć wierzchowców hobbitów i jeden obcy. Był to oczywiście stary Pulpet, kuc większy, silniejszy, tłuściejszy (i starszy) od pozostałych. Merry, właściciel pięciu kuców, nie nadał im nigdy imion, ale od owego dnia aż do końca swego życia przybiegały zawsze na dźwięk przezwisk, którymi je Tom obdarzył. Wywoływane przez Toma, kolejno wspinały się na szczyt wzgórza i ustawiały w szeregu. Tom złożył ukłon hobbitom.

– Proszę, oto wasze kucyki – rzekł. – Okazały się rozsądniejsze (przynajmniej pod pewnymi względami) od wędrownych hobbitów, lepszy mają węch. Wyczuły nosem niebezpieczeństwo, w które wy wpadliście na oślep, a ratując się ucieczką, uciekły we właściwym kierunku. Wybaczcie im, bo chociaż serca mają wierne, nie są stworzone do stawiania czoła przeraźliwym Upiorom Kurhanów. Spójrzcie, wróciły do was i przyniosły nienaruszone bagaże.

Merry, Sam i Pippin ubrali się w zapasową odzież wydobytą z worków; wkrótce zresztą się spocili, bo musieli powkładać grubsze, cieplejsze rzeczy, zabrane w przewidywaniu bliskiej już zimy.

– A skąd się wziął ten stary kuc, ów Pulpet? – spytał Frodo.

– To mój kucyk – odparł Tom – mój czworonogi przyjaciel. Rzadko co prawda go dosiadam, najczęściej wędruje sobie do woli po stokach. Wasze kucyki zawarły z nim znajomość w mojej stajni; a tej nocy zwęszyły go w ciemnościach i co prędzej pobiegły do niego. Wiedziałem, że Pulpet zaopiekuje się nimi i znajdzie słowa mądrości, by zażegnać ich strach. Teraz, mój miły Pulpecie, stary Tom pojedzie na twoim grzbiecie. Hej! chcę odprowadzić hobbitów kawałek, żeby trafili na gościniec, więc potrzeba mi wierzchowca. Bo niełatwo byłoby mi rozmawiać z hobbitami, gdyby oni jechali konno, a ja goniłbym za nimi na własnych nogach.

Hobbici z radością przyjęli te słowa i zaczęli Tomowi dziękować; odpowiedział im ze śmiechem, że gości, którzy taki mają talent do błądzenia, musi odstawić bezpiecznie do granic swojej krainy, bo inaczej nie zaznałby spokoju.

– A mam mnóstwo roboty – rzekł. – Muszę się krzątać, muszę śpiewać, gadać, wędrować, strzec okolicy. Nie zawsze będziecie mieli Toma na zawołanie, kiedy trzeba otwierać lochy albo dziuple w wierzbie. Tom ma własne sprawy, a Złota Jagoda czeka na niego w domu.

Słońce jeszcze nie podniosło się zbyt wysoko, było zapewne trochę po dziewiątej, hobbici pomyśleli więc o jedzeniu. Ostatnim ich posiłkiem był lunch zjedzony w południe poprzedniego dnia pod sterczącym głazem. Teraz zjedli resztkę zapasów, które zabrali z domu Toma i przeznaczali na wczorajszą kolację, z dodatkiem prowiantów przyniesionych przez Toma. Nie za wiele tego było – zważywszy okoliczności oraz hobbickie apetyty – lecz pokrzepili się nieźle. Gdy się tym zabawiali, Tom wszedł na szczyt wzgórza i przejrzał zgromadzone tam skarby. Większość ich ułożył w stos, błyszczący i skrzący się wśród trawy. Kazał im tam czekać na „jakiegokolwiek znalazcę, czy to będzie ptak, zwierz, elf, człowiek czy inne stworzenie”. W ten sposób miał zostać zniweczony zły urok Kurhanu, by nigdy już tutaj Upiór nie powrócił. Dla siebie wybrał ze stosu broszę, w której błękitne kamienie mieniły się rozmaitymi odcieniami, jak łan lnu albo skrzydła niebieskiego motyla. Tom długo przyglądał się broszy, jakby w nim budziła jakieś wspomnienia, i kiwał głową, a wreszcie powiedział:

– Oto ładna zabawka dla Toma i jego pani! Piękna była ta, co przed laty nosiła ten klejnot na ramieniu. Teraz będzie go nosiła Złota Jagoda, ale nie zapomnimy o tamtej pięknej pani.

Każdy z hobbitów dostał sztylet, długi, cienki jak liść, ostry, cudownej roboty, z damaskinażem w złote i czerwone wężowe desenie. Kiedy je Tom wyciągał z czarnych pochew, lśniły, bo wykuto je z nieznanego szlachetnego kruszcu, lekkiego a mocnego, i ozdobiono bogato drogimi kamieniami. Czy pochwy były szczelne, czy działał tu czar Kurhanu, dość że ostrza zdawały się nietknięte zębem czasu, bez śladu rdzy, niestępione i błyszczące w słońcu.

– Stare noże dość są długie, żeby hobbitom służyć za miecze – powiedział Tom. – Warto mieć u boku takie ostrze, jeśli ktoś z Shire’u

wędruje na wschód lub na południe, daleko w ciemność, naprzeciw niebezpieczeństwu.

I powiedział im, że taką broń kuli przed wiekami ludzie z Westernesse, którzy byli wrogami Czarnego Władcy, lecz potem zostali pokonani przez złego króla z Carn Dûm w Krainie Angmar.

– Mało kto w naszych czasach ich pamięta – mruczał Tom – a przecież można spotkać po dziś dzień synów zapomnianych królów, którzy samotnie wędrują po świecie i strzegą nieopatrznych wędrowców przed złymi siłami.

Hobbici nie rozumieli jego słów, ale słuchając ich, ujrzeli oczyma wyobraźni rozległą przestrzeń minionych wieków jak szeroką, zasnutą cieniem równinę, po której cwałowali mężowie rośli i posępni, z mieczami lśniącymi u boku, a na końcu jechał rycerz z gwiazdą na czole. Wizja zniknęła, ocknęli się znów na słonecznym stoku wzgórza. Pora było ruszać w drogę. Spakowali manatki, osiodłali kucyki. Nowe miecze obciągały im skórzane pasy pod kurtkami i hobbici czuli się trochę nieswojo, zadając sobie w duchu pytanie, czy ta broń zda się na coś. Żadnemu z nich nie przyszło dotychczas nigdy do głowy, że wśród przygód, w jakie pchnie ich ta wyprawa, może się także zdarzyć zbrojna walka.

Wreszcie ruszyli. Sprowadzili kuce do stóp wzgórza, tam dopiero skoczyli na siodła i pokłusowali wzdłuż doliny. Kiedy się obejrzeli za siebie, zobaczyli starożytny kopiec na wzgórzu i blask słońca niby żółty płomień bijący od stosu złota. Potem odwrócili się tyłem do Kurhanów i kopiec znikł im z oczu.

Frodo uważnie rozglądał się na wszystkie strony; nie dostrzegł jednak ani śladu wielkich skał, sterczących na kształt bramy; wkrótce podróżni dotarli do północnego wylotu doliny, minęli go szybko i zobaczyli przed sobą otwarty, opadający ku nizinie teren. Wesoła to była jazda w towarzystwie Toma Bombadila, który na swoim tłustym kucu często ich wyprzedzał, bo Pulpet ruszał się znacznie żwawiej, niżby można się spodziewać po jego tuszy. Tom prawie nieustannie śpiewał, lecz przeważnie od rzeczy albo może tylko w niezrozumiałym dla hobbitów, dziwnym języku, w starożytnej mowie, której wszystkie niemal słowa wyrażały podziw i radość.

Posuwali się naprzód raźno, ale wkrótce zrozumieli, że gościniec znajduje się o wiele dalej, niż im się wydawało. Gdyby nawet nie ogarnęła

ich mgła, po zbyt długiej południowej drzemce nie byliby zdążyli poprzedniego dnia dojechać do niego przed zapadnięciem nocy. Czarna kreska, którą brali za linię przydrożnych drzew, okazała się pasmem zarośli na skraju głębokiej fosy, odgrodzonej po drugiej stronie murem. Tom wyjaśnił, że ongi, bardzo dawno temu, tutaj biegła granica królestwa. Powiedział to tak, jakby wiązał z tym miejscem jakieś smutne wspomnienie i nie chciał mówić wiele.

Zjechali w fosę, wspięli się na przeciwległy jej brzeg, przedostali przez wyłom w murze, a wówczas Tom skierował marszrutę wprost ku północy, zboczyli bowiem nieco zanadto na zachód. Teren był tutaj otwarty i dość równy, mogli więc przyspieszyć kroku, ale słońce stało już nisko na niebie, gdy wreszcie ujrzeli przed sobą linię strzelistych drzew i zrozumieli, że w końcu, po tylu nieprzewidzianych przygodach, wrócili na gościniec. Ostatni odcinek przebyli galopem i zatrzymali się dopiero w cieniu drzew. Stali na szczycie nasypu opadającego skosem ku drodze, która wiła się u ich stóp i umykała w dal, szarzejąc w zmierzchu. Na tym odcinku prowadziła niemal dokładnie z południo-zachodu na północo-wschód, a na prawo od tego miejsca opadała stromo w rozległą kotlinę. Znaczyły ją głębokie koleiny, a po niedawnej ulewie wszystkie zagłębienia i wyboje zamieniły się w kałuże.

Podróżni zjechali z nasypu i rozejrzeli się na obie strony. Nigdzie wszakże nie było nic widać.

– No, jesteśmy wreszcie na gościńcu – rzekł Frodo. – Zdaje się, że nie straciliśmy więcej niż dwa dni na moim pomyśle skrócenia drogi przez las. Ale kto wie, może ta zwłoka wyjdzie nam na dobre, jeżeli tamci zgubili dzięki temu nasz ślad.

Przyjaciele spojrzeli na niego. Cień strachu przed Czarnymi Jeźdźcami nagle znowu legł na ich sercach. Odkąd wjechali w Stary Las, myśleli niemal wyłącznie o tym, żeby się z powrotem wydostać na gościniec; dopiero teraz, mając go już pod stopami, przypomnieli sobie o niebezpieczeństwie, które ich ściga i bardzo możliwe, że czyha na nich w zasadzce na tej właśnie drodze. Lękliwie obejrzeli się w stronę, gdzie słońce zachodziło, lecz brunatny pas gościńca był pusty.

– Czy myślisz… – spytał niepewnie Pippin – czy myślisz, że mogą nas ścigać tej nocy?

– Nie, mam nadzieję, że tej nocy jeszcze was nie będą napastować – odparł Tom Bombadil – a może i przez jutrzejszy dzień będziecie mieli spokój. Nie ufajcie jednak zbytnio mojej przepowiedni, bo nie twierdzę tego na pewno. Na wschód od tego miejsca moja wiedza zawodzi. Tom nie jest panem Jeźdźców z Czarnego Kraju poza granicami swojej dziedziny.

Mimo to hobbici bardzo pragnęli, żeby Tom pojechał z nimi dalej. Byli przekonani, że jeśli ktoś umie poradzić sobie z Czarnymi Jeźdźcami – to właśnie Tom. Wkrótce mieli się znaleźć w krajach zupełnie nieznanych, o których ledwie jakieś niejasne, odległe echa legend docierały do Shire'u, toteż w zapadającym zmierzchu ogarnęła ich tęsknota za domem. Poczuli się bardzo samotni i zbłąkani. Stali w milczeniu, wzdragając się przed myślą o nieodwołalnym rozstaniu, i nie od razu zrozumieli, że Tom już się z nimi żegna, zaleca uzbroić serca i jechać dalej bez popasu aż do nocy.

– Tom pokieruje wami dobrą radą do końca dzisiejszego dnia, potem musicie już zdać się na własne szczęście: o cztery mile stąd zobaczycie przy drodze miasteczko Bree pod wzgórzem Bree, gdzie drzwi domów otwierają się na zachód. Znajdziecie tam starą gospodę „Pod Rozbrykanym Kucykiem". Jej zacny gospodarz nazywa się Barliman Butterbur. Możecie u niego przenocować, ale nazajutrz skoro świt pospieszcie naprzód w swoją drogę. Bądźcie odważni, lecz i ostrożni! Zachowajcie wesele w sercu i jedźcie na spotkanie swego losu.

Prosili go, żeby ich odprowadził bodaj do tej gospody i raz jeszcze wypił z nimi strzemiennego, lecz Tom ze śmiechem odmówił:

Tu się kończy kraj Toma, który stąd zawróci,
Bowiem w domu nań czeka już Złota Jagoda[31].

Obrócił się na pięcie, podrzucił w górę kapelusz, skoczył na grzbiet Pulpeta, wjechał na przydrożny nasyp i głośno śpiewając, ruszył w zmierzch.

Hobbici wspięli się na wał, żeby patrzeć za odjeżdżającym, póki im nie zniknął z oczu.

– Szkoda, że się rozstaliśmy z panem Bombadilem – powiedział Sam. – Dziwna z niego osoba; słowo daję. Choćbyśmy nie wiem jak daleko zajechali, nie spotkamy zacniejszego przyjaciela ani większego cudaka. A nie wypieram się, że mi pilno zobaczyć tego „Rozbrykanego Kucyka", o

którym wspominał. Mam nadzieję, że to coś w rodzaju naszego „Zielonego Smoka”. Kto mieszka w Bree?

– Hobbici – odparł Merry – a także i Duzi Ludzie. Myślę, że się tam będziemy czuli swojsko. Gospoda „Pod Kucykiem” jest na pewno bardzo porządna. Moi krewniacy bywają w niej od czasu do czasu.

– Niechby nawet była jak najmilsza – rzekł Frodo – ale znajduje się poza granicami Shire’u. Nie pozwalajcie tam sobie jak w domu! Proszę was, pamiętajcie – mówię do wszystkich! – że nie wolno nikomu wymówić nazwiska Baggins. Jeżeli będzie trzeba się przedstawić, jestem pan Underhill.

Dosiedli kucyków i milcząc, ruszyli w wieczornym zmroku. Jechali to z góry, to pod górę; wkrótce noc zapadła, aż wreszcie zobaczyli w pewnym oddaleniu przed sobą migocące światła. Zagradzało im drogę wzgórze Bree, czarna sylwetka na tle przymglonych gwiazd. Na zachodnim stoku rozłożyło się spore miasteczko. Pospieszyli ku niemu, stęsknieni za ciepłem kominka i radzi odgrodzić się zamkniętymi drzwiami od ciemności nocy.

ROZDZIAŁ 9
„POD ROZBRYKANYM KUCYKIEM”

Bree było największym miasteczkiem kraju tej samej nazwy, małego kraiku leżącego niby wyspa pośród bezludnej okolicy. Prócz Bree istniały trzy inne osiedla: Staddle na przeciwnym stoku wzgórza, Combe w głębokiej dolinie, wysunięte trochę dalej na wschód, i Archet na skraju lasu Chetwood. Wzgórze i osiedla otaczał pierścień pól uprawnych i zagospodarowanych zagajników, zaledwie na parę mil szeroki.

Ludzie tutejsi, ciemnowłosi, tędzy, trochę krępej budowy, usposobienia mieli pogodne i niezależne; nikomu nie podlegali, lecz przyjaźnili się i znali z hobbitami, krasnoludami i elfami oraz innymi mieszkańcami okolicy bliżej, niż to na ogół było (i jest) w ludzkim zwyczaju. Twierdzili, że są pierwotnymi mieszkańcami tego kraju i potomkami pierwszych ludzi, którzy zawędrowali na zachód obszaru Śródziemia. Niewielu z nich przetrwało burze Dawnych Dni, lecz kiedy królowie powrócili zza Wielkich Mórz, zastali ludzi w Bree, a nawet o wiele później, gdy pamięć o starych królach przeminęła, lud ten żył jeszcze na tym samym miejscu.

W owych czasach żadne inne ludzkie plemię nie obrało sobie siedziby tak daleko wysuniętej na zachód ani też nie zamieszkało bliżej niż o sto staj od Shire’u. Lecz na dzikich obszarach poza Bree spotykało się tajemniczych wędrowców. Mieszkańcy Bree nazywali ich Strażnikami i nic nie wiedzieli o ich pochodzeniu. Byli od ludzi z Bree roślejsi i bardziej smagli, podobno obdarzeni niezwykłą siłą wzroku i słuchu i znający mowę zwierząt i ptaków. Wędrowali swobodnie na południe i na wschód aż pod Góry Mgliste, lecz niewielu ich było i rzadko się pokazywali. Jeżeli się zjawiali, przynosili wieści z daleka i opowiadali dziwne, zapomniane historie, których słuchano chciwie; mimo to mieszkańcy Bree nie przyjaźnili się ze Strażnikami.

Żyło też w Bree wiele rodzin hobbitów, którzy utrzymywali, że oni właśnie są najstarszym ośrodkiem hobbickim w świecie, założonym przed wiekami, zanim jeszcze plemię to przekroczyło Brandywinę i skolonizowało Shire. Najwięcej hobbitów skupiło się w Staddle, lecz nie brakowało ich i w samym Bree, zwłaszcza na wyższych stokach wzgórza,

ponad domami ludzkimi. Dużych i Małych Ludzi – jak się wzajemnie nazywali – łączyły przyjazne stosunki, każde plemię pilnowało własnych spraw i załatwiało je wedle własnego obyczaju, lecz oba uważały się za równoprawnych i rdzennych obywateli kraju. W żadnym innym kraju świata nie istniał tak niezwykły (a przy tym doskonały) układ.

Mieszkańcy Bree – Duzi czy Mali – niewiele podróżowali; interesy ich ograniczały się właściwie do czterech osiedli. Od czasu do czasu któryś z tutejszych hobbitów zapuszczał się aż do Bucklandu albo do Wschodniej Ćwiartki. Ale hobbici z Shire'u tymi czasy bardzo rzadko odwiedzali nawzajem ich kraik, chociaż był on ledwie o dzień jazdy oddalony od mostu na Brandywinie. Niekiedy jakiś Bucklandczyk albo żądny przygód Tuk zatrzymywał się na noc lub dwie w tutejszej gospodzie. Lecz i te wycieczki zdarzały się ostatnio coraz rzadziej. Hobbici z Shire'u nazywali swoich pobratymców żyjących w Bree i wszystkich ościennych krajach Obcymi; mało się nimi interesowali, uważając ich za tępych prostaków. Na zachodzie żyło wówczas zapewne w rozproszeniu więcej tych „obcych" hobbitów, niż przypuszczali obywatele Shire'u. Byli między nimi oczywiście włóczędzy, gotowi wykopać byle jaką norkę w jakimkolwiek pagórku i mieszkać w niej dopóty, dopóki im się nie sprzykrzyła. Ale w Bree – jeśli już nie gdzie indziej – żyli hobbici stateczni i zamożni, wcale nie gorzej okrzesani niż ich przeciętni dalecy krewniacy z Shire'u. Nie wygasła też tutaj pamięć czasów, kiedy ruch między dwoma krajami był bardzo ożywiony. W każdym razie w żyłach Brandybucków niewątpliwie płynęła krew plemienia z Bree.

Miasteczko Bree liczyło koło setki kamiennych domów Dużych Ludzi, skupionych przeważnie nad gościńcem, uczepionych stoku wzgórza i zwróconych oknami ku zachodowi. Od tej strony biegł łukiem, niemal zamkniętym kołem, głęboki rów, zaczynający się na zboczu i na zbocze powracający, a na wewnętrznym jego brzegu rósł żywopłot. Gościniec biegł po grobli nad rowem, lecz docierając do żywopłotu, trafiał na ogromną zamkniętą bramę. Druga taka brama zagradzała wylot gościńca z miasteczka. Obie bramy zamykano z zapadnięciem nocy, lecz w małych domkach tuż za nimi czuwali odźwierni.

Dalej, w miejscu gdzie gościniec, okrążając wzgórze, skręcał w prawo, stała obszerna gospoda. Zbudowano ją dawno temu, kiedy ruch był znacznie bardziej ożywiony. Bree znajdowało się bowiem na skrzyżowaniu

starych szlaków; po zachodniej stronie wioski, opodal fosy, przecinała Wschodni Gościniec druga droga, ongi bardzo uczęszczana przez ludzi i wszelkie inne plemiona. We Wschodniej Ćwiartce zachowało się porzekadło: „Dziwne jak nowiny z Bree”, pochodzące z owych czasów, kiedy w gospodzie można było posłyszeć wieści z północy, południa i wschodu, a hobbici z Shire’u często zaglądali tutaj, by się czegoś dowiedzieć. Od dawna wszakże kraje północne opustoszały, a gościniec z północy, nieużywany, zarósł trawą tak, że go w Bree nazwano Zieloną Ścieżką.

Gospoda jednak stała tu nadal, a jej właściciel był ważną osobistością. W jego domu spotykali się wszyscy próżniacy, gaduły, wścibscy spośród małych i dużych mieszkańców czterech osiedli; tutaj też zatrzymywali się Strażnicy oraz inni wędrowcy czy podróżni (przeważnie krasnoludowie), którzy się jeszcze kręcili po Wschodnim Gościńcu, idąc w stronę gór lub stamtąd powracając.

Ciemno już było i białe gwiazdy świeciły, gdy Frodo ze swoją kompanią dojechał wreszcie do skrzyżowania gościńca i Zielonej Ścieżki i zbliżył się do miasteczka. Stanęli pod Zachodnią Bramą i zastali ją zamkniętą, ale na progu swego domku za bramą siedział odźwierny. Zerwał się na ich widok i wznosząc do góry latarnię, ze zdumieniem spojrzał przez bramę na przybyszy.

– Czego chcecie i skąd jesteście? – spytał szorstko.

– Chcemy się dostać do gospody – odpowiedział Frodo. – Podróżujemy na wschód i nie możemy nocą jechać dalej.

– Hobbici! Czterech hobbitów! A na dobitkę hobbici z Shire’u, sądząc z wymowy! – rzekł odźwierny z cicha, jakby do siebie. Przez chwilę przyglądał im się ponuro, potem niespiesznie otworzył wrota i pozwolił im wjechać. – Rzadko teraz widujemy nocą na gościńcu mieszkańców Shire’u – powiedział, kiedy zatrzymali się pod drzwiami jego domku. – Wybaczcie, ale bardzo jestem ciekawy, po co wybieracie się dalej na wschód od Bree. Czy wolno zapytać o nazwiska?

– Po co jedziemy i jak się nazywamy to już nasza sprawa. Nie pora i nie miejsce na gawędy – odparł Frodo, któremu się nie podobała mina i ton odźwiernego.

– Pewnie, że to wasza sprawa – rzekł tamten – ale moja sprawa wypytywać gości, którzy przyjeżdżają po nocy.

– Jesteśmy hobbici z Bucklandu, podróżujemy, bo tak nam się podoba, i chcemy przenocować w tej gospodzie – wtrącił się Merry. – Nazywam się Brandybuck. Czy to ci wystarczy? Mieszkańcy Bree słynęli dawniej z grzeczności dla podróżnych, tak przynajmniej słyszałem.

– Dobrze, już dobrze – odparł odźwierny. – Nie chciałem was urazić. Ale zapewne przekonacie się, że nie tylko Harry spod bramy lubi zadawać pytania. Kręcą się tu dziwne osoby. Jeżeli zajedziecie „Pod Rozbrykanego Kucyka”, nie będziecie tam jedynymi gośćmi.

Życzył im dobrej nocy, oni zaś nie wdawali się więcej w rozmowę. Frodo jednak zauważył w świetle latarni, że odźwierny wciąż jeszcze przygląda się im ciekawie, toteż rad był, gdy usłyszał szczęk zamykanej bramy i gdy się wszyscy wreszcie od niej oddalili. Zastanawiała go podejrzliwość tego człowieka; przyszło mu na myśl, że może ktoś za dnia wypytywał go, czy nie widział podróżującej kompanii hobbitów. Może Gandalf? Czarodziej mógł przecież dotrzeć tutaj w tym czasie, który czterej przyjaciele zmarudzili w Starym Lesie i na Kurhanach. Coś jednak w minie i głosie odźwiernego niepokoiło Froda.

Odźwierny chwilę patrzył za hobbitami, potem wszedł do wnętrza domku. Ledwie się odwrócił, jakaś ciemna postać szybko wspięła się przez bramę i zniknęła w ciemnej uliczce osiedla.

Hobbici łagodnym zboczem wjechali na wzgórze, minęli kilka rozproszonych domów i stanęli przed gospodą. Domy tu wydawały się im się bardzo duże i dziwaczne. Gdy Sam zobaczył trzypiętrową gospodę z mnóstwem okien, poczuł, że opuszcza go odwaga. Spodziewał się, że w tej podróży spotka może olbrzymów wyższych niż drzewa oraz inne, jeszcze bardziej przerażające istoty; lecz w tym momencie widok Dużych Ludzi i ich ogromnych domów zupełnie mu wystarczył, a nawet przepełnił miarę ponurych i nużących przeżyć ostatnich dni. Zdawało mu się, że w ciemnych zakamarkach dziedzińca stoją w pogotowiu osiodłane czarne rumaki, a Czarni Jeźdźcy śledzą przybyszów, ukryci w ciemnych oknach na górnych piętrach gospody.

– Chyba nie zostaniemy tutaj na noc, prawda, proszę pana?! – wykrzyknął. – Skoro tu mieszkają hobbici, czemu nie poszukać u któregoś z nich gościny? Byłoby nam o wiele bardziej swojsko.

– Co ci się nie podoba w tej gospodzie? – spytał Frodo. – Tom Bombadil ją polecał. Mam nadzieję, że jej wnętrze okaże się przytulne.

Nawet i z zewnątrz dla oswojonego oka gospoda wyglądała mile. Frontem zwrócona do gościńca, dwoma skrzydłami wcinała się w stok wzgórza, tak że okna, które od tej strony spoglądały z wysokości drugiego piętra, od drugiej znajdowały się na równi z ziemią. Między obu skrzydłami szeroka sklepiona brama, do której wiodło kilka wygodnych schodów, prowadziła na dziedziniec. Drzwi stały otworem i bił z nich snop światła. Nad bramą wisiała zapalona latarnia, a niżej kołysał się szyld z godłem gospody: spasionym białym kucykiem stojącym dęba. Napis wielkimi białymi literami głosił: „Pod Rozbrykanym Kucykiem – Gospoda Barlimana Butterbura”. Z licznych okien parteru zza grubych zasłon przenikało światło.

Gdy hobbici stali w rozterce po ciemku pod bramą, ktoś we wnętrzu domu zaczął śpiewać wesoło i zaraz przyłączył się do pieśni chór rozbawionych głosów. Podróżni chwilę przysłuchiwali się tym wabiącym dźwiękom; potem zsiedli z kuców. Pieśń skończyła się, buchnęły śmiechy i oklaski.

Hobbici wprowadzili kucyki przez bramę i zostawili je na dziedzińcu, a sami wbiegli na schody. Frodo szedł pierwszy i omal nie zderzył się z małym łysym grubasem o rumianej twarzy. Przepasany białym fartuchem grubas wybiegał z jednych drzwi i zmierzał ku drugim, niosąc na tacy pełne kufle.

– Czy moglibyśmy… – zaczął Frodo.

– Chwileczkę, przepraszam! – krzyknął grubas przez ramię i zniknął w zgiełku i obłokach dymu. Po minucie wrócił, ocierając fartuchem ręce.

– Dobry wieczór, paniczu – powiedział, kłaniając się Frodowi. – Czym możemy służyć?

– Prosimy o nocleg dla czterech osób i stajnię dla pięciu kucyków, jeśli to możliwe. Czy z panem Butterburem mam przyjemność?

– Tak jest! Na imię mi Barliman. Barliman Butterbur do usług. Panowie z Shire’u, czy tak? – To mówiąc, nagle plasnął się dłonią w czoło, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. – Hobbici! – zawołał. – Coś mi to przypomina, ale co? Czy wolno spytać o nazwiska?

– Pan Tuk i pan Brandybuck – rzekł Frodo – a to jest Sam Gamgee. Ja nazywam się Underhill.

– No, proszę! – krzyknął pan Butterbur, prztykając palcami. – Już miałem i znów mi uciekło! Ale wróci, żebym tylko miał wolną chwilę, to pozbieram myśli. Nóg wprost nie czuję, ale zrobię dla panów, co się da. Nieczęsto miewamy gości z Shire'u ostatnimi czasy, nie darowałbym sobie, gdybym panów godnie nie przyjął. Tylko że tłok dzisiaj w domu, jakiego już dawno nie było. Jak to u nas mówimy, wprawdzie nie pada, ale za to leje… Hej! Nob! – krzyknął. – Gdzie się podziewasz, marudna niedojdo? Nob!

– Już lecę, już lecę!

Z sali wypadł hobbit miłej powierzchowności i na widok podróżnych stanął jak wryty, wlepiając w nich wzrok z żywym zainteresowaniem.

– Gdzie jest Bob? – spytał gospodarz. – Nie wiesz? No to go poszukaj. Migiem! Ja także nie mam trzech par nóg ani oczu. Powiedz Bobowi, że trzeba wziąć pięć kucyków na stajnię. Musi dla nich znaleźć miejsce.

Nob uśmiechnął się, mrugnął porozumiewawczo i wybiegł pędem.

– Zaraz, zaraz, co to ja chciałem rzec? – odezwał się pan Butterbur, znów klepiąc się po czole. – Można powiedzieć, że jedno wygania drugie z pamięci. Takie mam dziś tutaj urwanie głowy! Najpierw wczoraj wieczorem przyjechała cała kompania Zieloną Ścieżką z południa, a to już był nadzwyczajny początek. Potem dziś po południu zjawili się wędrowni krasnoludowie ciągnący na zachód. A teraz wy! Żeby nie to, żeście hobbici, chyba już bym was nie przyjął na kwaterę. Ale mam w północnym skrzydle parę pokoi specjalnie swego czasu dla hobbitów zbudowanych. Na parterze, jak to hobbici lubią. Okna okrągłe, a wszystkie wedle hobbickiego gustu. Mam nadzieję, że wam będzie wygodnie. Nie wątpię, że chcecie też dostać kolację. Postaramy się coś zrobić naprędce. Proszę tędy!

Zaprowadził ich przez krótki korytarz, otworzył jakieś drzwi.

– Tu jest przyjemny salonik – rzekł. – Spodziewam się, że panów zadowoli. A teraz proszę wybaczyć. Mam tyle roboty… Ani chwilki, żeby porozmawiać! Muszę się uwijać. Za dużo doprawdy na jedną parę nóg, a mimo to brzuch mi nie chce spaść. Zajrzę tu później. Jeśliby panowie czegoś potrzebowali, proszę dzwonić, a Nob zaraz przybiegnie. Gdyby nie przybiegł, dzwońcie i krzyczcie.

Wyszedł wreszcie, zostawiając ich nieco oszołomionych. Barliman Butterbur miał widać niewyczerpane zasoby wymowy, której nawet nadmiar pracy nie mógł powstrzymać. Hobbici znaleźli się w małym, przytulnym pokoju. Przy kominku, na którym płonął jasno niewielki ogieniek, stały wygodne niskie fotele. Okrągły stół był już nakryty białym obrusem, co prawda na razie figurował na nim tylko ogromny ręczny dzwonek. Wkrótce jednak służący hobbit imieniem Nob, nie czekając na dzwonek, przybiegł, niosąc świece i talerze na tacy.

– Co panowie każą podać do picia? – spytał. – Może zechcą panowie obejrzeć sypialnie, póki kolacja niegotowa?

Zdążyli się umyć i wypić po pół sporego kufla piwa, nim zjawili się znowu pan Butterbur i Nob. W mig nakryli do stołu. Na kolację była gorąca zupa, zimne mięso, ciasto z jagodami, świeży chleb, masło, twarożek – słowem, proste, smaczne potrawy, jakich by się Shire nie powstydził, a tak swojskie, że nieufność Sama (znacznie już uśmierzona wybornym piwem) rozwiała się do reszty. Gospodarz krzątał się koło nich przez chwilę, po czym zaczął się zbierać do odejścia.

– Nie wiem, czy panowie będą mieli ochotę po kolacji przyłączyć się do całego towarzystwa – rzekł, stojąc już w progu. – Może wolą panowie wcześnie się położyć. Gdybyście jednak łaskawie zechcieli, wszyscy będą wam radzi. Nieczęsto widujemy tu obcych… to jest, chciałem powiedzieć, gości z Shire’u, chętnie posłuchamy nowin albo opowieści czy pieśni, wszystkiego, na co panom przyjdzie chęć. Oczywiście, panów wola! Proszę dzwonić, gdyby czegoś brakowało.

Po kolacji (czyli po trzech kwadransach solidnej roboty, niezakłócanej czczymi rozmowami) tak się czuli pokrzepieni i rozochoceni, że Frodo, Pippin i Sam postanowili przyłączyć się do towarzystwa bawiącego w gospodzie. Tylko Merry oświadczył, że nie lubi tłoku.

– Posiedzę sobie spokojnie przy kominku, a później może wyjdę odetchnąć świeżym powietrzem. Bądźcie tam grzeczni i nie zapomnijcie, że ponoć wymknęliśmy się w tajemnicy i że jesteśmy jeszcze w drodze, wcale niedaleko od Shire’u!

– Dobrze, dobrze! – odparł Pippin. – Ty bądź też grzeczny! Nie zgub się, nie zabłądź i nie zapomnij, że najbezpieczniej siedzieć w czterech ścianach.

Cała kompania zebrała się w dużej sali gospody. Towarzystwo było liczne i mieszane, jak stwierdził Frodo, gdy oczy jego oswoiły się ze światłem. Dostarczały go głównie polana płonące jasno na kominku, bo trzy lampy zawieszone u belek pod pułapem świeciły mętnie i przesłaniał je gęsty dym. Barliman Butterbur stał w pobliżu kominka, rozmawiając z kilku krasnoludami oraz paru ludźmi dziwacznej powierzchowności. Na ławach rozsiedli się rozmaici goście: ludzie z Bree, gromadka miejscowych hobbitów (trzymająca się razem i zatopiona w pogawędce), jeszcze paru krasnoludów, a także jakieś niewyraźne postacie, które trudno było rozpoznać w mrocznych kątach.

Kiedy hobbici z Shire’u weszli, mieszkańcy Bree powitali ich przyjaznym chórem. Obcy goście, a zwłaszcza ci, którzy przyjechali Zieloną Ścieżką z południa, przyglądali im się ciekawie. Gospodarz zapoznał nowo przybyłych ze swoimi rodakami, ale załatwił to tak szybko, że nie mogli się zorientować, które nazwisko do kogo należy. Wszystkie niemal nazwiska ludzi z Bree przypominały nazwy botaniczne i brzmiały dla uszu hobbitów z Shire’u dość dziwacznie, jak Rushlight, Goatleaf, Heathertoes, Appledore, Thistlewool czy Ferny (nie mówiąc o Butterburze). Niektórzy spośród hobbitów nazywali się podobnie jak ludzie, licznie, na przykład, reprezentowani byli Mugwortowie. Większość jednak nosiła zwyczajne hobbickie nazwiska, a więc Banks, Brockhouse, Longhole, Sandheaver czy Tunnely, rozpowszechnione również w Shire. Znalazło się kilku Underhillów ze Staddle, a że nie wyobrażali sobie wspólnoty nazwiska bez pokrewieństwa, przygarnęli od razu Froda jak odzyskanego kuzyna.

Hobbici z Bree byli z natury przyjacielscy i dociekliwi, toteż Frodo wkrótce zrozumiał, że nie wymiga się od wyjaśnień na temat swoich poczynań. Wyznał więc, że interesuje się historią oraz geografią (co przyjęli, kiwając z zapałem głowami, jakkolwiek żadne z tych słów nie było pospolite w tutejszym dialekcie). Powiedział, że zamierza napisać książkę (na co oniemieli ze zdumienia) i że wraz z przyjaciółmi zbiera wiadomości o życiu hobbitów poza granicami Shire’u, szczególnie w krajach wschodnich.

Wówczas zaczęli gadać wszyscy naraz. Gdyby Frodo naprawdę chciał napisać książkę i gdyby miał więcej niż jedną parę uszu, zebrałby w ciągu pięciu minut materiał do kilku rozdziałów. Jeśliby mu to nie wystarczyło,

gotowi byli sporządzić długą listę osób – z „kochanym starym Barlimanem” na czele – zdolnych udzielić bardziej szczegółowych informacji. Ponieważ jednak Frodo nie zdradzał ochoty tworzenia swego dzieła natychmiast i w sali gospody, hobbici powrócili do pytań o nowiny z Shire’u. Frodo odpowiadał niezbyt skwapliwie, toteż wkrótce znalazł się osamotniony w kącie i zaczął się przysłuchiwać oraz przyglądać towarzystwu.

Ludzie i krasnoludowie mówili przeważnie o wydarzeniach odległych i powtarzali sobie wiadomości, z którymi Frodo zdążył się już aż nadto oswoić. Gdzieś daleko na południu źle się działo; ludzie, którzy przybyli Zieloną Ścieżką, wynieśli się stamtąd i szukali, jak się zdawało, kraju, gdzie mogliby osiąść spokojnie. Mieszkańcy Bree wprawdzie szczerze im współczuli, lecz najwyraźniej nie mieli ochoty przyjmować większej liczby cudzoziemców do swojej małej ojczyzny. Jeden z podróżnych, człowiek szpetny i zezowaty, prorokował na najbliższą przyszłość wielki napływ zbiegów z południa.

– Jeżeli im nie udzielicie miejsca, znajdą je sobie sami. Mają takie samo prawo do życia jak inni – powiedział głośno.

Mieszkańcy Bree kwaśnymi minami pokwitowali tę przepowiednię. Hobbici puszczali mimo ucha owe rozmowy, które na razie ich nie dotyczyły. Duzi Ludzie nie mogą przecież szukać kwater w hobbickich norach. Znacznie bardziej interesowali ich Sam i Pippin, którzy, zupełnie już w gospodzie zadomowieni, wesoło rozpowiadali nowiny z Shire’u. Pippin wywołał wiele śmiechu historyjką o zawaleniu się stropu ratusza w Michel Delving: burmistrz, Will Whitfoot, najgrubszy hobbit w całej Zachodniej Ćwiartce, zasypany został tynkiem tak, że wylazłszy, przypominał przyprószony cukrem pączek. Zadawano jednak także pytania kłopotliwe dla Froda. Jeden z miejscowych hobbitów, który widać nieraz bywał w Shire, koniecznie chciał wiedzieć, gdzie mieszkała rodzina Underhillów i jakie miała koligacje.

Nagle Frodo spostrzegł, że siedzący w cieniu pod ścianą mężczyzna, z wyglądu cudzoziemiec, ogorzały od słońca i wiatru, przysłuchuje się tej pogawędce z niezwykłą uwagą. Obcy człowiek popijał z wysokiego kufla i ćmił fajkę na długim, dziwnie rzeźbionym cybuchu. Nogi wyciągnął przed siebie, pokazując buty z cholewami sporządzone z miękkiej skóry i zgrabnie przylegające do łydek, lecz mocno zniszczone i zabłocone.

Otulony był w dobrze wysłużony gruby ciemnozielony płaszcz i mimo gorąca w izbie naciągnął kaptur na głowę, tak że twarz niknęła w jego cieniu, tylko błysk oczu zdradzał zainteresowanie, z jakim śledził hobbitów.

– Co to za jeden? – spytał Frodo, gdy udało mu się szepnąć słówko panu Butterburowi. – Nie pamiętam, żebyście go nam przedstawili.

– Ten tam? – również szeptem odpowiedział gospodarz, zerkając nieznacznie spod oka. – Nie wiem nic pewnego. Jeden z tych wędrowców, nazywamy ich Strażnikami. Małomówny gość, ale jeżeli się odezwie, zawsze ma coś ciekawego do opowiedzenia. Znika na miesiąc albo na rok, potem znów tutaj zagląda. Wiosną kręcił się tutaj ustawicznie, ale ostatnimi czasy jakoś go nie widziałem. Prawdziwego jego nazwiska nigdy nie słyszałem, znają go w okolicy wszyscy z przezwiska Obieżyświat. Chodzi wielkimi krokami, nogi ma długie, ale nikomu się nie zwierza, dokąd mu tak pilno i dlaczego. Kto by tam zresztą zrozumiał dziwaków ze wschodu i zachodu, jak to się mówi w Bree, mając na myśli Strażników i hobbitów z Shire’u, z pańskim przeproszeniem. Zabawny zbieg okoliczności, że pan o niego pyta, bo… – Ale w tej chwili ktoś odwołał gospodarza, domagając się piwa, i pan Butterbur nie wytłumaczył Frodowi, co w tym dostrzegł zabawnego.

Frodo zauważył, że Obieżyświat patrzy teraz wprost na niego, jakby się domyślił, że o nim była mowa. Skinął ręką i wskazał głową, zapraszając Froda do swojego stołu. Kiedy hobbit przysunął się, obcy człowiek zrzucił kaptur, odsłaniając potargane bujne włosy, ciemne, lecz przetykane siwizną, i ukazując bladą, surową twarz o bystrych szarych oczach.

– Zowią mnie Obieżyświat – rzekł ściszonym głosem. – Bardzo mi miło poznać pana, panie… Underhill, jeżeli stary Butterbur nie pomylił nazwiska.

– Nie pomylił – chłodno odpowiedział Frodo. Bardzo nieswojo się czuł pod przenikliwym spojrzeniem tych szarych oczu.

– Na pańskim miejscu – ciągnął Obieżyświat – powstrzymałbym młodych przyjaciół, którzy zanadto rozpuszczają języki. Piwo, ogień na kominku, przypadkowe znajomości – to rzeczy przyjemne, ale… ale nie jesteśmy w Shire. Kręcą się tu rozmaite dziwne figury. Pewnie myśli pan, że kto jak kto, ale ja nie mam prawa tego mówić? – dodał, wykrzywiając usta w uśmiechu, zauważywszy widać wyraz oczu Froda. – Pokazali się w

ostatnich dniach jeszcze dziwniejsi goście w Bree – powiedział, bystro patrząc w twarz hobbitowi.

Frodo odwrócił wzrok, ale nic nie rzekł, a tamten przestał nalegać. Całą uwagę poświęcił teraz Pippinowi. Frodo z przerażeniem uświadomił sobie, że lekkomyślny młody Tuk, zachęcony sukcesem, jaki odniosła jego anegdotka o grubym burmistrzu z Michel Delving, popisuje się z kolei humorystycznym opowiadaniem o pożegnalnym przyjęciu urodzinowym Bilba. Właśnie naśladował Bilba wygłaszającego mowę i zbliżał się do największego efektu – tajemniczego zniknięcia.

Zirytowało to Froda. Oczywiście, dla większości miejscowych hobbitów była to dość nieszkodliwa historia, po prostu jedna z wielu dykteryjek o dziwakach zza Rzeki; lecz niektórzy z obecnych (na przykład Butterbur) mogli to i owo wiedzieć, słyszeli zapewne niegdyś pogłoski krążące o tej sprawie. Opowiadanie Pippina przypomni im nazwisko Baggins, tym bardziej jeśli ktoś w Bree dopytywał się o nie w ostatnich czasach.

Frodo siedział jak na szpilkach, nie wiedząc, co począć. Pippin był najwidoczniej ogromnie zadowolony, że skupia na sobie powszechną uwagę, i zupełnie zapomniał o niebezpieczeństwie. Frodo nagle się zląkł, że w tym nastroju przyjaciel może nawet napomknąć o Pierścieniu – a to już oznaczałoby niechybną katastrofę.

– Zrób coś, i to zaraz! – szepnął Frodowi do ucha Obieżyświat.

Frodo zerwał się, wskoczył na stół i zabrał głos. W ten sposób rozproszył uwagę słuchaczy Pippina. Ten i ów hobbit spojrzał na Froda, roześmiał się i przyklasnął, myśląc, że panu Underhillowi piwo zaprószyło głowę.

Frodo zaraz się speszył i – jak to było jego zwyczajem, ilekroć przemawiał – zaczął nerwowo przebierać palcami w kieszeniach. Wymacał Pierścień na łańcuszku i nagle, nie wiadomo dlaczego, ogarnęła go ochota, żeby wsunąć Pierścień i zniknąć, ratując się w ten sposób z głupiej sytuacji. Miał niejasne wrażenie, że takie wyjście ktoś mu podpowiada, ktoś – czy może coś – w tej izbie. Oparł się pokusie stanowczo, zacisnął Pierścień w garści, jakby go chciał powstrzymać od ucieczki i od wszelkich złośliwych figlów. W każdym razie to dodało mu natchnienia. Wygłosił stosownie do okoliczności „słów kilkoro” – jak mawiano w Shire:

– Wszyscy jesteśmy bardzo wzruszeni serdecznością waszego przyjęcia i ośmielam się wyrazić nadzieję, że moja krótka wizyta przyczyni się do odnowienia starych więzów przyjaźni między Shire’em a Bree. – To rzekłszy, zawahał się i odkaszlnął.

– Zaśpiewaj! – krzyknął któryś z hobbitów.

– Zaśpiewaj! Zaśpiewaj! – podjęli inni. – Dalejże, zaśpiewaj nam jakąś nową piosenkę!

Frodo chwilę stał oszołomiony. Potem, w desperacji, zaczął śpiewać śmieszną piosenkę, którą Bilbo lubił (i którą się wręcz chełpił, bo sam ułożył do niej słowa). Była to piosenka o gospodzie, dlatego zapewne przyszła w tej chwili Frodowi na myśl. Na ogół pamięta się dziś z niej ledwie kilka słów. Oto jej wszystkie zwrotki:

Jest taka knajpa (powiem gdzie,
Gdy ktoś mnie pięknie zapyta) –
Taki w niej warzą piwny lek,
Że raz z Księżyca spadł tam Człek,
By sobie popić do syta.

W tej knajpie żył pijany kot,
Co grał wspaniale na skrzypkach.
Z rozmachem smyka ciągnął włos
To piszcząc piii, to burcząc w głos –
To z wolna grając, to z szybka.

Gospodarz trzymał także psa,
Co strasznie lubił kawały.
Gdy nagle rósł u stołu gwar,
On chytrze każdy łowił żart
I śmiał się, aż szyby drżały.

Była i krowa (miała coś
Wielkopańskiego w postawie);

Muzyczny mając słuch (to fakt)
Ogonem wciąż machała w takt,
Gdy hops – hopsała po trawie.

Talerzy srebrnych był też stos
I łyżek srebrnych i złotych.
By na niedzielę[32] serwis lśnił,
Polerowano go co sił
Popiołem każdej soboty.

Pociągnął łyk z Księżyca Człek,
Kot przeraźliwie zamiauczał,
A talerz z łyżką dzyń i dzeń,
A krowa w sadzie hop na pień,
A pies się śmiał (był to czau-czau).

Z Księżyca Człek łyk drugi dzban –
Pod stół zwaliło się ciało;
I śnił o piwie, i mruczał w śnie,
Aż zbladła noc na nieba dnie
I pomalutku świtało.

Do kota więc gospodarz rzekł:
Patrz – białe konie Księżyca
Wędzideł gryzą stal i rżą –
Ich pan pod stołem znalazł dom
A Słońce szczerzy już lica.

Więc zagrał kot ti – dudli – da,
Że ożyłby duch w nieboszczyku,
I smykiem w struny siekł i siekł
Lecz ani drgnął z Księżyca Człek –

„Już trzecia, wstawaj no, pryku”.

Pod góry go już toczą szczyt
I wio na Księżyc, braciszku!
A konie naprzód człap, człap, człap,
A krowa w susach niby cap
I talerz na końcu szedł z łyżką.

A skrzypce szybciej dudli – da,
Pies ryczy groźnie i srodze,
Na głowie stają krowa i koń,
A goście z łóżek (Bóg ich broń)
I w hopki po podłodze.

Aż nagle struny pąg – bąg – prask,
A krowa hop ponad Księżyc!
Niedzielny talerz w czworo pękł,
Sobotnia łyżka z żalu brzdęk,
A pies ze śmiechu aż rzęzi.

A Księżyc stoczył się za szczyt,
Gdy Słońce było już w górze,
Więc pomyślało: cóż to, cóż?
Już w krąg aż złoto jest od zórz –
A wszyscy kładą się do łóżek![33]

Przyjęto pieśń długotrwałymi, gromkimi oklaskami. Frodo miał dobry głos, a słowa przypadły słuchaczom do gustu.

– Gdzie jest stary Barliman? – wołano. – Niechby tego posłuchał! Powinien nauczyć swojego kota gry na skrzypcach, żebyśmy mogli zatańczyć!

Wszyscy też upominali się o więcej piwa, krzycząc:

– Napijemy się jeszcze! Dalejże! Jeszcze jednego!

Namówili Froda na nowy kufelek, a potem uprosili, żeby powtórzył piosenkę; wiele głosów przyłączyło się do chóru; melodię znali z dawna, a słowa chwytali szybko. Teraz Frodo rad był z siebie. Brykał po stole, a kiedy znów doszedł do słów „A krowa hop ponad Księżyc!”, podskoczył wysoko w powietrze. O wiele za wysoko, bo spadł na tacę zastawioną kuflami, pośliznął się, stoczył ze stołu wśród łoskotu, brzęku i huku. Widzowie otworzyli szeroko usta, by wybuchnąć śmiechem, i zastygli w zdumieniu: śpiewak zniknął. Jakby się pod ziemię zapadł, chociaż nie wybił dziury w podłodze.

Miejscowi hobbici chwilę patrzyli na to osłupiali, potem zerwali się z ław i zaczęli wołać gospodarza. Wszyscy odsunęli się od Pippina i Sama, osamotnionych w kącie, i zerkali ku nim ponuro i nieufnie. Jasne było, że większość obecnych uważa ich teraz za kompanów wędrownego magika, którego władzy ani zamiarów nikt tutaj nie znał. Jeden tylko smagły mężczyzna spoglądał na nich z taką miną, jakby dobrze rozumiał, o co chodzi, a przy tym uśmiechał się szyderczo, co wprawiało przyjaciół Froda w wielkie zakłopotanie. Wkrótce wymknął się z izby, a za nim pospieszył zezowaty przybysz z południa; ci dwaj zresztą szeptali z sobą przez cały wieczór. Odźwierny Harry poszedł zaraz w ich ślady.

Frodo stracił głowę. Nie wiedząc, co począć, wypełznął spomiędzy stołów w ciemny kąt, gdzie Obieżyświat siedział nieruchomy, niczym nie zdradzając swoich myśli. Frodo oparł się o ścianę i zdjął z palca Pierścień. Nie miał pojęcia, jakim sposobem klejnot znalazł się na jego palcu. Przypuszczał, że śpiewając, bawił się nim bezwiednie w kieszeni i że wsunął Pierścień przypadkiem, kiedy przewracając się, szarpnął ręką, gdy próbował chwycić równowagę. Przemknęło mu też podejrzenie, czy Pierścień nie spłatał mu umyślnie figla: może chciał się ujawnić, odpowiadając na życzenie albo nawet rozkaz kogoś z obecnych na sali. Trzej ludzie, którzy opuścili przed chwilą gospodę, nie budzili wcale zaufania.

– No i co? – spytał Obieżyświat, kiedy Frodo znów się pokazał. – Dlaczego to zrobiłeś? Toż to gorsze niż wszystkie głupstwa, jakie mogli palnąć twoi towarzysze. Paskudnie wdepnąłeś… a raczej wetknąłeś palec… prawda?

– Nie rozumiem, o czym mowa – rzekł Frodo, zły i przestraszony.

– Ależ rozumiesz doskonale! – odparł Obieżyświat. – Teraz lepiej poczekajmy, aż się ten zgiełk uciszy. A potem, jeśli łaska, panie Baggins, chciałbym z tobą zamienić parę słów na osobności.

– O czym? – spytał Frodo, nie zdradzając zaskoczenia na niespodziewany dźwięk swego nazwiska.

– O sprawie dość ważnej… dla nas obu – rzekł Obieżyświat, patrząc mu prosto w oczy. – Usłyszysz może coś, co ci się przyda.

– Dobrze – powiedział Frodo, siląc się na obojętną minę. – Pogadamy zatem później.

Tymczasem przy kominku toczył się spór. Pan Butterbur, który właśnie nadbiegł, próbował coś zrozumieć ze sprzecznych relacji gości, przekrzykujących się wzajem.

– Widziałem na własne oczy! – mówił jeden z hobbitów – a właściwie nie widziałem, rozumie mnie pan chyba, panie Butterbur. Zniknął w powietrzu.

– Nie może być, panie Mugwort! – ze zdumieniem zawołał gospodarz.

– Właśnie że może, skoro było! – odparł Mugwort. – Skoro mówię, to powiadam.

– Musiała tu zajść jakaś pomyłka – rzekł Butterbur, kręcąc głową. – Pan Underhill nie jest taki lekki, żeby się rozpłynąć w powietrzu, z pewnością gdzieś tu się skrył na sali.

– A gdzie? A gdzie? – wykrzyknęło kilka głosów.

– Skądże mam wiedzieć? Wolno mu być, gdzie chce, byle rano zapłacił za nocleg. Proszę, pan Tuk jest tutaj, nie powiecie, że zniknął.

– Co widziałem, to widziałem, a widziałem, że go nie było widać – upierał się Mugwort.

– A ja mówię, że to pomyłka – powtórzył Butterbur, zbierając na tacę potłuczone kufle.

– Oczywiście, że pomyłka – odezwał się Frodo. – Nie zniknąłem wcale! Jestem tutaj! Rozmawiałem w kącie z Obieżyświatem.

Wysunął się w krąg światła padającego od kominka, lecz większość towarzystwa cofnęła się przed nim, jeszcze bardziej teraz zdumiona. Nie zadowoliło ich tłumaczenie, że przewróciwszy się, podpełznął szybko pod

stołami w kąt. Gromada wzburzonych i zaniepokojonych ludzi i hobbitów zaraz wyniosła się z gospody, straciwszy chęć do dalszej zabawy tego wieczora. Ten i ów rzucił Frodowi nieżyczliwe spojrzenie, a wszyscy szeptali coś między sobą. Krasnoludowie i obcy ludzie, których paru tu nocowało, powiedzieli dobranoc gospodarzowi, lecz Froda i jego przyjaciół zbyli milczeniem. Wkrótce tylko Obieżyświat, na którego nikt nie zwracał uwagi, został pod ścianą.

Pan Butterbur nie wydawał się zbytnio zmartwiony. Zapewne liczył, że w jego gospodzie przez następnych kilka wieczorów będzie pełno, póki cała okolica nie obgada gruntownie tajemniczego zdarzenia.

– No i co pan zrobił, panie Underhill? – zwrócił się do Froda. – Wystraszył mi pan gości i potłukł kufle swoim brykaniem!

– Bardzo mi przykro, że sprawiłem tyle zamieszania – rzekł Frodo. – Doprawdy, nie miałem wcale takich zamiarów. To bardzo nieszczęśliwy przypadek.

– Już dobrze, dobrze, panie Underhill. Ale następnym razem, jeśli pan zechce fikać koziołki czy też pokazywać magiczne sztuki, niech pan lepiej uprzedzi całe towarzystwo, a przede wszystkim mnie. My tu trochę podejrzliwie odnosimy się do wszelkich dziwactw… czy cudów. I nie lubimy niespodzianek.

– Nic podobnego nigdy już nie zrobię, obiecuję panu, panie Butterbur. A teraz pójdę chyba do łóżka. Chcemy ruszyć jutro jak najwcześniej. Czy będzie pan łaskaw dopilnować, żeby kucyki były gotowe na ósmą rano?

– Oczywiście. Ale nim się pożegnamy, poproszę o chwilkę rozmowy w cztery oczy, panie Underhill. Coś mi się właśnie przypomniało, co muszę panu powiedzieć. Mam nadzieję, że mi pan tego nie weźmie za złe. Załatwię jeszcze to i owo, a później przyjdę do pańskiego pokoju, jeśli pan pozwoli.

– Proszę bardzo! – odparł Frodo, ale serce w nim zadrżało. Ciekaw był, ile jeszcze rozmów w cztery oczy przyjdzie mu odbyć i czego się jeszcze dowie, zanim będzie mógł pójść spać. Czyżby wszyscy sprzysięgli się przeciw niemu? Zaczął podejrzewać, że nawet pyzate oblicze starego Barlimana kryje jakieś złowrogie zamiary.

ROZDZIAŁ 10
OBIEŻYŚWIAT

Frodo, Pippin i Sam powrócili do saloniku. Zalegały go ciemności. Merry wyszedł, a ogień na kominku przygasł. Dopiero gdy hobbici rozdmuchali żar i dorzucili parę trzasek, okazało się, że Obieżyświat jest tutaj także. Siedział sobie spokojnie tuż przy drzwiach!

– Hej! – zawołał Pippin. – Coś ty za jeden i czego tu chcesz?

– Nazywają mnie Obieżyświatem – odpowiedział – a wasz przyjaciel obiecał mi chwilę poufnej rozmowy, chociaż możliwe, że o tym zapomniał.

– Tyś mi nawzajem obiecał, o ile pamiętam, że usłyszę coś, co mi się może przydać – rzekł Frodo. – Cóż więc masz mi do powiedzenia?

– Dużo różnych rzeczy – odparł Obieżyświat – ale, oczywiście, nie za darmo.

– Co to ma znaczyć? – żywo spytał Frodo.

– Nie bój się! Znaczy to tylko tyle: powiem ci, co wiem, i dam ci dobrą radę, ale zażądam nagrody.

– Jakiej mianowicie? – spytał Frodo. Podejrzewał teraz, że trafił na łotrzyka, i z zakłopotaniem uświadomił sobie, że wziął z domu bardzo niewiele pieniędzy. Cała zawartość jego kasy nie wystarczy zapewne, by zaspokoić łajdaka, a na dalszą podróż nic nie zostanie.

– Takiej, na jaką na pewno będzie cię stać – odparł Obieżyświat z nikłym uśmiechem, jakby odgadł myśli Froda. – Po prostu: weźmiesz mnie z sobą i pozwolisz sobie towarzyszyć, póki sam nie zechcę cię porzucić.

– Och, doprawdy! – rzekł Frodo zdumiony, lecz niezbyt uspokojony. – Nawet gdybym miał zamiar powiększyć kompanię, musiałbym wiedzieć znacznie więcej, niż wiem o tobie i twoich sprawach, zanimbym się na coś podobnego zgodził.

– Świetnie! – wykrzyknął tamten, zakładając nogę na nogę i rozpierając się wygodniej w fotelu. – Widzę, że odzyskałeś rozsądek, a to się bardzo chwali. Dotychczas byłeś zbyt lekkomyślny. A więc dobrze! Powiem ci, co wiem, a nagrodę pozostawię do twojego uznania. Może będziesz rad mi ją przyznać, jak mnie wysłuchasz.

– Mów zatem – rzekł Frodo. – Co ci wiadomo?

– Wiele… aż za wiele o ponurych sprawach – chmurnie odparł Obieżyświat. – Ale jeśli o ciebie chodzi… – Wstał, szybko otworzył drzwi, wyjrzał na korytarz. Potem cicho zamknął drzwi, usiadł znowu i ciągnął, zniżając głos: – Mam dobry słuch, a chociaż nie umiem znikać, dużo w życiu polowałem na rozmaite dzikie i czujne stworzenia; potrafię, jeżeli chcę, ukryć się dobrze. Otóż siedziałem za żywopłotem przy gościńcu na zachód od Bree dzisiejszego wieczora, kiedy czterej hobbici nadjechali od strony Kurhanów. Nie muszę wam chyba powtarzać, co mówili do starego Toma Bombadila i między sobą, coś wszakże zainteresowało mnie w tych rozmowach szczególnie. „Pamiętajcie – rzekł jeden z nich – że nie wolno wam wymieniać nazwiska Baggins. Jeżeli już koniecznie będziemy musieli się przedstawić, jestem pan Underhill”. To mnie tak zaciekawiło, że poszedłem ich tropem aż tutaj. Tuż za nimi przebyłem bramę. Pan Baggins ma pewnie jakieś uczciwe powody, żeby zgubić po drodze swoje nazwisko, ale w takim razie doradzałbym jego przyjaciołom większą ostrożność.

– Nie rozumiem, dlaczego moje nazwisko miałoby kogokolwiek w Bree interesować – z gniewem odparł Frodo – i nie dowiedziałem się jeszcze, dlaczego interesuje ono ciebie. Pan Obieżyświat zapewne ma jakieś uczciwe powody, żeby podsłuchiwać i szpiegować, ale w takim razie doradzałbym mu je wyjaśnić.

– Świetna odpowiedź! – zaśmiał się Obieżyświat. – Wyjaśnienie jest bardzo proste: właśnie szukałem hobbita nazwiskiem Frodo Baggins. Pilno mi było go odnaleźć. Dowiedziałem się bowiem, że wynosi on z Shire’u pewien… pewien sekret, który obchodzi mnie i moich przyjaciół.

– Nie! Źle mnie zrozumiałeś! – krzyknął, widząc, że Frodo wstaje, a Sam zrywa się z gniewnym grymasem na twarzy. – Lepiej będę strzegł tego sekretu niż wy. A musimy go strzec pilnie! – Pochylił się i spojrzał im w oczy. – Uważajcie na każdy cień! – szepnął. – Czarni Jeźdźcy przejeżdżali przez Bree. Słyszałem, że w poniedziałek jeden z nich nadjechał Zieloną Ścieżką od północy, a drugi zjawił się wkrótce po nim od południa.

Zapadło milczenie. Wreszcie Frodo zwrócił się do Pippina i Sama:

– Powinienem był się tego domyślić z tonu, jakim nas przyjął odźwierny przy bramie – rzekł. – Zdaje się, że tutejszy gospodarz także coś wie. Dlaczego nalegał, żebyśmy się przyłączyli do kompanii w gospodzie? I

dlaczego, do licha, zachowaliśmy się tak głupio! Trzeba było siedzieć cicho w swojej kwaterze!

– Pewnie, że byłoby lepiej – rzekł Obieżyświat. – Gdybym mógł, odradziłbym wam przychodzenie do wspólnej sali, ale gospodarz nie chciał mnie do was dopuścić ani przekazać wam ode mnie słówka.

– Czy sądzisz, że… – zaczął Frodo.

– Nie, o nic złego nic posądzam starego Barlimana. Po prostu nie lubi tajemniczych włóczęgów mojego pokroju. – Frodo przyjrzał mu się zaskoczony. – No, wyglądam przecież na łotrzyka, prawda? – spytał Obieżyświat, wykrzywiając usta i dziwnie błyskając oczyma. – Mam jednak nadzieję, że się poznamy bliżej, a wtedy może zechcesz mi wytłumaczyć, co się właściwie stało na zakończenie twojej piosenki. Bo ten wybryk…

– To był czysty przypadek! – przerwał mu Frodo.

– Ciekawa rzecz! – powiedział tamten. – A więc przypadek. Ale wskutek tego przypadku znalazłeś się w bardzo niebezpiecznej sytuacji.

– W dość niebezpiecznej sytuacji byłem już przedtem – odparł Frodo. – Wiedziałem, że mnie Jeźdźcy gonią. Teraz jednak zdaje się, że mnie przegapili, skoro pojechali dalej.

– Na to nie licz! – żywo zawołał Obieżyświat. – Wrócą na pewno. Zjawi się ich nawet więcej. Bo jest ich wielu. Wiem ilu. Znam tych Jeźdźców! – Umilkł na chwilę, oczy miał zimne i srogie. – Są w Bree ludzie, którym nie wolno ufać – dodał. – Na przykład Bill Ferny. Ten ma złą sławę w całym kraju i wiadomo, że odwiedzają go dziwni goście. Zauważyliście może Billa w gospodzie: smagły, chytrze uśmiechnięty chłop. Kumał się z jednym spośród przybyszy z południa i razem się wymknęli z domu zaraz po twoim „przypadku”. Nie wszyscy południowcy przyjeżdżają tu w dobrych zamiarach, a Bill Ferny gotów wszystko każdemu sprzedać albo dla samej zabawy szkodzić innym.

– Cóż tu może Ferny sprzedać i co ma wspólnego mój przypadek z jego osobą? – spytał Frodo, nadal uparcie udając, że nie rozumie, o co tamtemu chodzi.

– Sprzedać może wiadomości o tobie – odparł Obieżyświat. – Opowiadanie o twoim popisowym numerze na pewno bardzo zainteresuje pewne osoby. Jak o tym usłyszą, nie będą już nawet dociekać twojego

prawdziwego nazwiska. A wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że usłyszą tę historię jeszcze dzisiejszej nocy. Czy to ci wystarcza? Teraz możesz rozstrzygnąć o mojej nagrodzie: albo weź mnie za przewodnika, albo nie. Ale muszę ci jeszcze oświadczyć, że dobrze znam wszystkie kraje między Shire’em a Górami Mglistymi, bo wędruję po nich od wielu lat. Starszy jestem, niż wyglądam. Mogę się okazać użyteczny. Nie będziesz mógł odtąd jechać otwartym gościńcem, bo jeźdźcy nie spuszczą już z niego oka w dzień ani w nocy. Może zdołasz umknąć z Bree i pozwolą ci jechać naprzód, póki słońce będzie wysoko. Ale nie zajedziesz daleko. Zaskoczą cię na pustkowiu, w jakimś ciemnym kącie, gdzie nie znajdziesz ratunku. Czy chcesz, żeby cię dopadli? Są straszni!

Hobbici spojrzeli na Obieżyświata i ze zdumieniem zobaczyli, że twarz mu się ściągnęła boleśnie, a ręce zacisnął kurczowo na poręczach fotela. W pokoju było bardzo cicho, światło jak gdyby zmętniało. Obieżyświat siedział chwilę, niewidzącymi oczyma wpatrzony w jakąś odległą przeszłość, a może wsłuchany w najdalsze odgłosy nocy.

– Ach, tak! – wykrzyknął wreszcie, przecierając dłonią czoło. – Może więcej wiem o waszych prześladowcach niż wy. Boicie się ich, ale nie dość jeszcze. Jutro musicie stąd uciekać, jeśli się uda. Obieżyświat pokaże wam ścieżki, którymi mało kto chodzi. Weźmiecie go z sobą?

Zaległo ciężkie milczenie. Frodo nie odpowiadał, w rozterce zwątpienia i strachu. Sam chmurnie patrzył w twarz swego pana, w końcu wybuchnął:

– Za pozwoleniem, panie Frodo, ja bym się nie zgodził! Ten człowiek ostrzega nas i powiada: strzeżcie się! Na to zgoda, ale zacznijmy od tego, żeby się jego strzec. Przyszedł tu z pustkowi, a nic dobrego nigdy nie słyszałem o przybyszach stamtąd. Coś wie, to jasne, więcej nawet, niżbym mu chciał powiedzieć, ale to jeszcze nie racja, żebyśmy go brali za przewodnika i pozwolili się prowadzić w jakieś ciemne kąty, gdzie nie ma znikąd ratunku, jak sam mówi.

Pippin kręcił się na krześle zmieszany. Obieżyświat nie replikował Samowi, ale przenikliwy wzrok zwrócił na Froda. Pod tym wejrzeniem Frodo odwrócił oczy.

– Nie – powiedział. – Nie zgadzam się. Myślę… myślę, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Na początku mówiłeś ze mną tak, jak mówią ludzie z Bree, ale teraz głos ci się zmienił. Sam ma rację: nie rozumiem, jak możesz radzić nam wielką ostrożność, a jednocześnie żądać, żebyśmy ci

zawierzyli na słowo. Dlaczego się maskujesz? Kim jesteś? Co wiesz naprawdę o moim… o mojej sprawie? I skąd to wiesz?

– Nauka ostrożności, jak widzę, nie poszła w las – rzekł Obieżyświat z posępnym uśmiechem. – Ale co innego ostrożność, a co innego niezdolność do śmiałej decyzji. Nigdy o własnych siłach nie dojedziesz do Rivendell, nie masz innego wyboru, jak mi zaufać. Musisz się zdecydować. Odpowiem na część twoich pytań, jeżeli to ci coś pomoże. Czemuż jednak miałbyś uwierzyć moim słowom, skoro nie ufasz temu, co już powiedziałem? Mimo wszystko, powiem…

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Pan Butterbur zjawił się ze świecami w ręku, a za nim Nob z dzbankami gorącej wody. Obieżyświat cofnął się w najciemniejszy kąt.

– Przyszedłem życzyć panom dobrej nocy – rzekł gospodarz, stawiając świece na stole. – Nob! Zanieś wodę do sypialni.

I pan Butterbur zamknął za sobą drzwi.

– Tak się rzecz przedstawia – powiedział z wahaniem i troską w głosie. – Jeżeli nawarzyłem piwa, to bardzo mi przykro, doprawdy. Ale jedno z drugim wszystko się plącze, wiedzą panowie, jak to bywa, a ja mam tutaj istne urwanie głowy. W tym tygodniu jednakże to i owo, jak mówią, tknęło mnie, żem sobie przypomniał, a mam nadzieję, że nie poniewczasie. Widzi pan, prosił mnie ktoś, żebym uważał na hobbitów, którzy przyjdą z Shire’u, a szczególnie na jednego, nazwiskiem Baggins.

– A cóż to ma ze mną wspólnego? – spytał Frodo.

– To już pan wie lepiej ode mnie – znacząco odparł gospodarz. – Nie wydam pana, ale powiedziano mi, że ów Baggins podróżuje pod nazwiskiem Underhill, i opisano jego wygląd, a ten opis pasuje do pana jak ulał, z pańskim przeproszeniem.

– Doprawdy! Jakże to ów hobbit miał wyglądać? – przerwał mu nierozważnie Frodo.

– „Mały grubas z rumianymi policzkami” – oświadczył uroczyście pan Butterbur. Pippin zachichotał, ale Sam wyglądał na oburzonego. – „To ci, co prawda, niewiele pomoże, Barley – tak mi rzekł – bo wszyscy hobbici są mniej więcej tacy – ciągnął pan Butterbur, zerkając na Pippina – ale ten jest

trochę od innych wyższy, włosy ma jaśniejsze, a w brodzie dołek; bardzo wesoły, oczy mu się śmieją”. Wybaczy pan, ale to on powiedział, nie ja.

– Co za on? Kto? – spytał żywo Frodo.

– Ano Gandalf, proszę pana. Czarodziej, jak mówią, ale dla mnie to bez znaczenia, bo to mój wielki przyjaciel. Co on ze mną zrobi teraz, jak się znów zjawi, pojęcia nie mam; nie zdziwiłbym się, gdyby mi piwo skisił albo mnie samego w kłodę zamienił. Trochę jest prędki. No, ale co się stało, to się już nie odstanie.

– A co się właściwie stało? – zapytał Frodo, którego już niecierpliwiło, że Butterbur tak kołuje, zamiast mówić po prostu.

– O czym to ja mówiłem? – rzekł gospodarz, namyślając się i prztykając palcami. – Aha! O Gandalfie. Więc wszedł bez pukania do mojego pokoju, będzie temu ze trzy miesiące. „Barley – powiada – rano wyruszam w drogę. Chcesz mi wyświadczyć przysługę?” A ja na to: „Wszystko, czego sobie życzysz”. Wtedy on znowu: „Bardzo mi się spieszy i nie zdążę zajść do Shire’u, a mam tam pilną wiadomość do przesłania. Mógłbyś znaleźć pewnego posłańca, któremu ufasz?”. „Mogę – powiedziałem. – Wyślę jutro albo najdalej pojutrze”. „Jutro, nie później!” – mówi Gandalf. I dał mi ten list.

– Adres całkiem wyraźny – dodał pan Butterbur, wyciągając list z kieszeni, i z wolna, z niejaką dumą (cenił sobie reputację wykształconego człowieka) odczytał: – „Pan Frodo Baggins, Bag End, Hobbiton, Shire”.

– List do mnie od Gandalfa! – krzyknął Frodo.

– Aha! – rzekł pan Butterbur. – Więc się nazywasz Baggins?

– Tak – odparł Frodo. – Dawajże mi ten list co prędzej i wytłumacz się, czemuś go wcześniej nie posłał. Po to chyba tu przyszedłeś, chociaż trzeba przyznać, że nie kwapiłeś się zanadto.

Nieborak pan Butterbur zdawał się bardzo zafrasowany.

– Racja, proszę pana – rzekł – i najmocniej za to przepraszam. Umieram ze strachu, jak pomyślę, co Gandalf powie, jeżeli z tego jakaś bieda wyniknie. Ale nie przetrzymywałem listu umyślnie. Schowałem go w bezpieczne miejsce. Tamtego dnia ani nazajutrz, ani po dwóch dniach nikogo nie mogłem znaleźć, kto by chciał iść do Shire’u, a z moich domowników żaden od roboty nie mógł się oderwać. No i tak jedno z

drugim – wyleciało mi z pamięci. Okropne mam tutaj urwanie głowy. Wszystko zrobię, co będę mógł, żeby ten błąd naprawić, a jeżeli w czymś mogę dopomóc, niech pan mną rozporządza. Zresztą list listem, a Gandalfowi jeszcze coś więcej obiecałem. „Barley – powiada – ten mój przyjaciel z Shire'u pewnie wkrótce będzie tędy jechał, może w kompanii. Przedstawi się jako pan Underhill. Zapamiętaj! Ale nie zadawaj mu żadnych pytań. Jeżeli mnie przy nim nie będzie, może się znaleźć w kłopotach i potrzebować pomocy. Zrób dla niego wszystko, co możesz, a zyskasz sobie moją wdzięczność". Tak mówił. No i rzeczywiście przyjechałeś tutaj, a wygląda mi na to, że kłopotów także już tylko patrzeć.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Frodo.

– Jacyś czarni przepytują się o Bagginsa – odparł gospodarz, zniżając głos. – A jeżeli oni mają dobre zamiary, to ja jestem hobbit. Kiedy pokazali się tu w poniedziałek, wszystkie psy wyły, a gęsi gęgały. To jakaś niesamowita historia. Przybiegł Nob i powiada, że dwaj czarni są przed drzwiami i pytają o hobbita nazwiskiem Baggins. Nobowi włosy dęba stanęły na głowie. Wyprosiłem tych czarnych, drzwi za nimi zatrzasnąłem. Ale słyszałem, że powtarzali to samo pytanie wszędzie, od domu do domu, aż do Archet. Ten Strażnik, Obieżyświat, także mnie brał na spytki. Chciał się tutaj koniecznie dostać, zanim jeszcze podałem wam kolację.

– Chciał! – odezwał się znienacka Obieżyświat, występując naprzód w krąg światła. – I wielka szkoda, żeś go nie dopuścił, Barlimanie, oszczędziłbyś wszystkim kłopotu.

Gospodarz wzdrygnął się zaskoczony.

– Ty tutaj! – krzyknął. – Zawsze wyskakujesz, kiedy się nikt nie spodziewa. Czego tu szukasz?

– Obieżyświat jest tutaj za moim pozwoleniem – oświadczył Frodo. – Przyszedł zaofiarować mi pomoc.

– No, pańska sprawa – powiedział pan Butterbur, nieufnie przyglądając się obcemu. – Ale na pana miejscu nie bratałbym się ze Strażnikami.

– A z kim? – spytał Obieżyświat. – Ze spasionym oberżystą, który tylko dlatego nie zapomniał jeszcze, jak się nazywa, że przez cały dzień goście wołają go po nazwisku? Ci hobbici nie mogą przecież ani kwaterować „Pod Kucykiem" na wieki, ani też zawrócić do domu. Mają przed sobą daleką podróż. Czy pojedziesz z nimi i obronisz ich przed tymi czarnymi?

– Ja? Wyjechać z Bree? Nie, za żadne skarby! – odparł pan Butterbur, szczerze wystraszony. – Ale czemuż byście nie mieli tu posiedzieć spokojnie przez czas jakiś? Co to wszystko znaczy? Czego właściwie szukają owi czarni? Skąd się tu wzięli, chciałbym wiedzieć?

– Niestety, nie wszystko mogę ci wyjaśnić – rzekł Frodo. – Jestem znużony i bardzo strapiony, a to długa historia. Ale jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, muszę cię ostrzec, że sam także jesteś w niebezpieczeństwie, póki mnie gościsz pod swoim dachem. To są Czarni Jeźdźcy. Nie wiem na pewno, przypuszczam jednak, że przybyli z…

– Przybyli z Mordoru – ściszając głos, dokończył Obieżyświat. – Z Mordoru, Barlimanie, chyba ta nazwa coś ci mówi!

– Biada nam! – krzyknął pan Butterbur, blednąc; widocznie znał tę nazwę dobrze. – To najgorsza z nowin, jakie za mojego życia dotarły do Bree.

– Tak jest – powiedział Frodo. – Czy wobec tego nadal chcesz mi pomagać?

– Chcę! – rzekł pan Butterbur. – Tym bardziej! Chociaż nie wyobrażam sobie, co taki człowiek jak ja może zdziałać przeciw… przeciw… – głos mu się załamał.

– Przeciw Cieniowi ze Wschodu – spokojnie powiedział Obieżyświat. – Niewiele możesz zdziałać, ale każda pomoc jest cenna. Możesz bądź co bądź zatrzymać na dzisiejszą noc w gospodzie pana Underhilla i zapomnieć o nazwisku Baggins, dopóki pan Underhill nie znajdzie się daleko stąd.

– To oczywiście zrobię – rzekł Butterbur. – Obawiam się jednak, że tamci bez mojej pomocy dowiedzą się o jego obecności. Źle się stało, że pan Baggins dziś wieczorem ściągnął na siebie – wyrażając się najłagodniej – powszechną uwagę. Historia pana Bilba znana już była w Bree nie od wczoraj. Nawet mój Nob coś niecoś skombinował w swojej ciężkiej mózgownicy, a przecież znajdą się w Bree sprytniejsi od niego.

– No cóż, miejmy nadzieję, że Jeźdźcy nie zaraz tutaj wrócą – rzekł Frodo.

– Miejmy nadzieję! – powtórzył Butterbur. – W każdym zaś razie, czy to duchy, czy nie duchy, ale łatwo się „Pod Kucyka” nie dostaną. Nie kłopoczcie się przynajmniej do rana. Nob o niczym słówka nie piśnie. A póki ja się jeszcze trzymam na nogach, żaden czarnolud nie przestąpi tego

progu. Będę czuwał razem z moimi domownikami przez całą noc, ale wy lepiej prześpijcie się, póki możecie.

– O świcie w każdym razie musisz nas zbudzić – rzekł Frodo. – Trzeba nam ruszyć jak najwcześniej. Prosimy o śniadanie na pół do siódmej.

– Słucham pana. Przypilnuję wszystkiego! – odparł gospodarz. – Dobranoc, panie Baggins… to jest Underhill, chciałem powiedzieć. Dobranoc… Ale, ale! Gdzież to pański przyjaciel, pan Brandybuck?

– Nie wiem – powiedział Frodo, tknięty nagle niepokojem. Zapomnieli o Meriadoku, a tymczasem noc zapadła głęboka. – Obawiam się, że nie ma go w domu. Wspominał coś, że pójdzie zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

– No, widzę, że wam się naprawdę przyda opieka! Zachowujecie się jak na majówce! – rzekł Butterbur. – Muszę co prędzej zaryglować już teraz drzwi, ale zarządzę, żeby pana Brandybucka wpuszczono, gdyby wrócił. Poślę zresztą Noba, niech go poszuka. Dobranoc! – I pan Butterbur wyniósł się w końcu, rzuciwszy jeszcze raz podejrzliwe spojrzenie na Strażnika i pokręciwszy głową. Słyszeli jego oddalające się kroki w korytarzu.

– No, jakże? – spytał Obieżyświat. – Kiedy otworzysz ten list?

Frodo uważnie zbadał pieczęć, nim ją przełamał. Nie ulegało wątpliwości, że list był od Gandalfa. Wewnątrz, energicznym, lecz zarazem pięknym charakterem Czarodzieja, wypisane były następujące słowa:

„POD ROZBRYKANYM KUCYKIEM”

BREE

Dzień Środka Roku

Rok wg kalendarza Shire’u 1418

Kochany Frodo!

Złe wieści mnie tu dosięgły. Muszę natychmiast ruszać w podróż. Radzę ci opuścić Shire co prędzej, najpóźniej do końca lipca. Wrócę, jak zdołam najspieszniej, i dogonię cię, gdybyś przedtem wyjechał. Jeżeli ci droga wypadnie przez Bree, zostaw mi tutaj wiadomość. Gospodarzowi – Butterburowi – możesz ufać. Zapewne spotkasz na gościńcu

mojego przyjaciela: chudy, ciemnowłosy, wysoki człowiek, a zwą go Obieżyświatem. Zna on nasze sprawy i chce ci pomóc. Podążaj do Rivendell. Mam nadzieję, że się tam zobaczymy. Gdybym się nie zjawił, słuchaj rad Elronda.

Twój oddany, choć w wielkim pośpiechu

Gandalf.

PS. Pod żadnym pozorem nie użyj Tego po raz wtóry! Nie podróżuj nocami!

PPS. Upewnij się, czy to naprawdę Obieżyświat. Na gościńcach włóczą się różne podejrzane typy. Prawdziwe imię Obieżyświata brzmi Aragorn.

Nie każde złoto jasno błyszczy,
Nie każdy błądzi, kto wędruje,
Nie każdą siłę starość zniszczy.
Korzeni w głębi lód nie skuje,
Z popiołów strzelą znów ogniska,
I mrok rozświetlą błyskawice.
Złamany miecz swą moc odzyska,
Król tułacz wróci na stolicę[34].

PPPS. Liczę, że Butterbur wyśle ten list bez zwłoki. To zacny człowiek, ale w jego pamięci jak w rupieciarni: najpilniej potrzebne rzeczy zawsze są na dnie. Gdyby przegapił tę sprawę, upiekę go żywcem.

Szczęśliwej drogi! 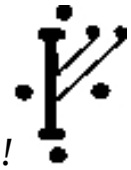

Frodo najpierw sam przeczytał list po cichu, następnie podał go Samowi i Pippinowi.

– Stary Butterbur rzeczywiście narobił zamieszania! – rzekł. – Zasłużył na rożen. Gdybym ten list dostał w porę, już byśmy pewnie dziś siedzieli bezpiecznie w Rivendell. Ale co się mogło przytrafić Gandalfowi? Pisze tak, jakby ruszał na spotkanie wielkiego niebezpieczeństwa.

– Spotyka się z wielkim niebezpieczeństwem stale już od lat – powiedział Obieżyświat.

Frodo obrócił ku niemu wzrok i zamyślił się nad drugim dopiskiem listu.

– Dlaczegoś mi od razu nie powiedział, że jesteś przyjacielem Gandalfa? – spytał. – Nie tracilibyśmy próżno czasu.

– Tak sądzisz? A czy któryś z was uwierzył mi przedtem? – odparł Strażnik. – Nic nie wiedziałem o tym liście. Myślałem tylko, że muszę was skłonić, byście zaufali memu słowu, bo inaczej nie będę wam mógł pomóc. Nie chciałem też od początku mówić wam całej prawdy o sobie. Najpierw musiałem was dobrze wybadać i upewnić się, z kim mam do czynienia. Nieprzyjaciel nieraz już zastawiał na mnie pułapki. Ale gotów byłem wyznać wam wszystko, gdy już pozbędę się własnych wątpliwości. Co prawda – dodał z nieco wymuszonym śmiechem – spodziewałem się, że mi uwierzycie na słowo. Człowiek ścigany czuje się często tak zmęczony nieufnością, że tęskni za przyjaźnią. No, ale moja powierzchowność przemawia przeciw mnie.

– To prawda… przynajmniej w pierwszej chwili – zaśmiał się Pippin, któremu po przeczytaniu listu Gandalfa kamień spadł z serca. – Ale pozory mylą, jak powiadają w Shire. Zresztą my sami będziemy wkrótce do ciebie podobni, jak spędzimy kilka dni w rowach i pod żywopłotami.

– Kilka dni ani kilka tygodni, ani nawet kilka lat wędrówki po pustkowiach nie wystarczy, żeby się upodobnić do Obieżyświata – odparł tamten. – Wcześniej byście ducha wyzionęli, chyba że ulepiono was z twardszej gliny, niż się na oko wydaje.

Pippin skapitulował, lecz Sam, nieprzejednany w dalszym ciągu, zerkał na obcego podejrzliwie.

– Skąd możemy mieć pewność, że to o tobie mowa w liście Gandalfa? – spytał. – Tyś o Gandalfie nie pisnął słowa, póki nie przeczytaliśmy listu. Kto wie, czy nie grasz komedii i nie jesteś szpiegiem, który chce nas wywieść w pole. Możeś sprzątnął prawdziwego Obieżyświata i przybrał się w jego strój? Co mi na to odpowiesz?

– Że zuch z ciebie, Samie Gamgee – rzekł Obieżyświat – ale nic więcej nie mogę ci odpowiedzieć, niestety. Gdybym zabił prawdziwego Obieżyświata, mogłem przecież zabić was także. I byłbym to zrobił, nie gadając tak wiele. Gdybym chciał zrabować Pierścień, mógłbym was jeszcze w tej chwili pozabijać.

Wstał i nagle jakby urósł: w oczach zapalił mu się błysk przenikliwy i władczy. Odrzucił płaszcz i rękę położył na głowicy miecza, który miał u boku ukryty pod fałdami wierzchniego okrycia. Hobbici nie śmieli bodaj drgnąć. Sam otworzył usta i patrzył na Obieżyświata osłupiały.

– Ale na szczęście jestem prawdziwym Obieżyświatem – powiedział tamten, rozjaśniając nagle twarz uśmiechem. – Nazywam się Aragorn, syn Arathorna, i będę was bronił, choćby za cenę życia.

Długo trwało milczenie. Wreszcie Frodo odezwał się niepewnie:

– Uwierzyłem, że jesteś mi przyjacielem, zanim dostałem ten list – powiedział – a w każdym razie chciałem w to wierzyć. Kilka razy w ciągu tego wieczora przeraziłeś mnie, lecz nigdy tak, jak przerażają słudzy Nieprzyjaciela… o ile mi wiadomo. Sądzę, że jego szpieg wyglądałby… no, wyglądałby piękniej z pozoru, ale czułoby się w nim szpetotę… Nie wiem, czy dobrze to wyraziłem.

– Rozumiem! – zaśmiał się Obieżyświat. – Ja wyglądam szpetnie, a czuje się we mnie piękno! Czy tak? „Nie każde złoto jasno błyszczy, nie każdy błądzi, kto wędruje…”

– A więc to o tobie mówi ten wiersz? – spytał Frodo. – Nie mogłem zgadnąć, do czego się te słowa odnoszą. Ale skąd wiesz, że Gandalf je umieścił w swoim liście, skoro go nie czytałeś?

– Nie wiedziałem tego – odparł Obieżyświat. – Nazywam się Aragorn, a ten wiersz związany jest z moim imieniem. – Dobył miecza i zobaczyli ostrze złamane o stopę poniżej rękojeści. – Widzisz, Samie, nie na wiele zda się ten miecz. Zbliża się jednak dzień, kiedy zostanie przekuty na nowo.

Sam nic nie odpowiedział.

– A teraz – ciągnął Obieżyświat – jeśli Sam się nie sprzeciwi, zakończmy na tym sprawę. Będę waszym przewodnikiem. Czeka nas jutro ciężka droga. Jeżeli nawet uda się nam opuścić Bree bez przeszkód, wątpię, czy wymkniemy się niepostrzeżenie. Postaram się wszakże zatrzeć trop jak

najprędzej. Znam parę ścieżek oprócz głównej drogi. A jak tylko zmylimy pościg, skierujemy się na Wichrowy Czub.

– Wichrowy Czub? – powtórzył Sam. – Co to takiego?

– Wzgórze na północ od gościńca, mniej więcej w połowie drogi stąd do Rivendell. Widok z niego jest bardzo rozległy, będziemy mogli się rozejrzeć dokoła. Gandalf, jeśliby nas chciał doścignąć, szedłby z pewnością tamtędy. Za Wichrowym Czubem zacznie się trudniejsza część podróży, przyjdzie nam wybierać między różnymi niebezpieczeństwami.

– Kiedy widziałeś ostatnio Gandalfa? – zagadnął Frodo. – Czy wiesz, gdzie on przebywa i co porabia?

– Nie wiem – odparł Obieżyświat bardzo poważnie. – Wiosną razem z nim przyszedłem na zachód. W ciągu kilku ostatnich lat często pełniłem straż na granicach Shire'u, kiedy Gandalf był zajęty gdzie indziej. Rzadko pozostawia on ten kraj bez straży. Spotkaliśmy się pierwszego maja u Brodu Sarn nad Brandywiną. Powiedział mi, że załatwił z tobą sprawę pomyślnie i że w końcu września wyruszysz do Rivendell. Wiedząc, że Gandalf jest z tobą, oddaliłem się z tych stron w swoich osobistych sprawach. Okazuje się, że źle zrobiłem, bo nie byłem pod ręką, żeby mu dopomóc, kiedy dostał jakieś złe nowiny.

Pierwszy raz, odkąd znam Gandalfa, jestem o niego niespokojny. Nawet jeżeli nie mógł się stawić sam, powinniśmy mieć o nim wiadomości. Jakiś czas temu, gdy tu powróciłem, doszły mnie złe wieści. Rozeszła się szeroko pogłoska, że Gandalf zaginął i że po drogach kręcą się jeźdźcy. Mówili mi o tym elfowie, towarzysze Gildora. Oni też później dali mi znać, że wyruszyliście z domu, ale na próżno czekałem potem na wieść, że już opuściliście Buckland. Czatowałem więc na Wschodnim Gościńcu, pełen niepokoju.

– Czy myślisz, że Czarni Jeźdźcy mają coś wspólnego z… z nieobecnością Gandalfa? – spytał Frodo.

– Nie wyobrażam sobie, żeby coś innego mogło go zatrzymać, chyba sam Nieprzyjaciel – odparł Obieżyświat. – Nie traćmy jednak nadziei! Gandalf jest potężniejszy, niż się zdaje wam, hobbitom z Shire'u; na ogół dostrzegaliście tylko jego żarty i zabawki. Ale ta nasza wyprawa będzie największym z dzieł Gandalfa.

Pippin ziewnął.

– Przepraszam – rzekł – ale jestem śmiertelnie zmęczony. Mimo wszelkich niebezpieczeństw i zmartwień muszę iść do łóżka, bo inaczej usnę tu, w fotelu. Gdzie się podział ten niemądry Merry? To by mnie już dobiło, gdybyśmy musieli teraz wyjść i po nocy szukać w ciemnościach.

Ledwie to powiedział, gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi, a potem w korytarzu zadudniły szybkie kroki. Wpadł Merry, a za nim Nob. Merry pospiesznie zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Przyjaciele patrzyli na niego przestraszeni. Wreszcie Merry przemówił zdyszanym głosem:

– Frodo, widziałem ich. Widziałem Czarnych Jeźdźców!

– Czarnych Jeźdźców! – krzyknął Frodo. – Gdzie?

– Tutaj. W miasteczku. Przesiedziałem w pokoju z godzinę, ale że was nie było widać, wyszedłem na mały spacer. Już wracałem, nim jednak znalazłem się na oświetlonym dziedzińcu, stanąłem, żeby spojrzeć w gwiazdy. I nagle dreszcz mnie przebiegł, wyczułem, że koło mnie pełznie jakiś okropny stwór: jakby ciemniejszy cień wśród cieni przeczołgał się w poprzek drogi, tuż poza kręgiem światła latarni. Bez szmeru wśliznął się natychmiast w ciemność. Nie był to koń.

– W którą stronę poszedł? – spytał nagle i ostro Obieżyświat.

Merry wzdrygnął się, teraz dopiero spostrzegając wśród przyjaciół obcego człowieka. – Możesz mówić – rzekł Frodo. – To przyjaciel Gandalfa. Później ci wszystko wytłumaczę.

– Skierował się jak gdyby w górę gościńca, na wschód – ciągnął Merry dalej. – Próbowałem go ścigać. Zniknął mi zaraz z oczu, ale minąłem zakręt i doszedłem aż do ostatniego domu przy drodze.

Obieżyświat spojrzał na niego z uznaniem.

– Jesteś odważny – rzekł – ale zachowałeś się lekkomyślnie.

– Nie wiem – powiedział Merry. – Nie zdaje mi się, bym działał odważnie albo lekkomyślnie. Po prostu nie mogłem nic innego zrobić. Jakby mnie coś tam ciągnęło. W każdym razie poszedłem i niespodzianie usłyszałem głosy zza żywopłotu. Jeden z tych głosów brzmiał jak pomruk, drugi jak szept czy nawet syk. Słów nie mogłem rozróżnić. Nie podsunąłem się bliżej, bo zacząłem nagle dygotać na całym ciele. Przeraziłem się,

zawróciłem, chciałem umknąć do gospody, kiedy znienacka coś stanęło za moimi plecami i… padłem na ziemię.

– I ja go tak znalazłem – uzupełnił relację Nob. – Pan Butterbur posłał mnie z latarnią. Poszedłem najpierw do Zachodniej Bramy, potem zawróciłem ku Wschodniej. Jakoś niedaleko od domu Billa Ferny wydało mi się, że coś leży na drodze. Przysiąc nie przysięgnę, ale wyglądało to tak, jakby dwóch schylonych ludzi usiłowało coś dźwignąć z ziemi. Krzyknąłem, ale kiedy dobiegłem do tego miejsca, nie było już ani śladu tamtych dwóch, tylko pan Brandybuck leżał przy drodze i jakby spał. Potrząsnąłem nim, ocknął się i mówi: „Myślałem, że wpadłem do głębokiej wody”. Był jakiś dziwny i ledwie go rozbudziłem, zaraz pognał jak zając tu, do gospody.

– Boję się, to prawda – rzekł Merry. – Chociaż nie wiem, co mówiłem Nobowi. Miałem straszny sen, ale go nie pamiętam. Załamałem się zupełnie. Nie mam pojęcia, co mnie ogarnęło.

– Ale ja wiem – rzekł Obieżyświat. – Ogarnął cię Czarny Dech. Jeźdźcy widać zostawili konie za osiedlem i tajemnie wśliznęli się przez Południową Bramę z powrotem. Teraz już dowiedzieli się najnowszych wiadomości, skoro byli u Billa Ferny. Prawdopodobnie ten gość z południa był też ich szpiegiem. Może się coś zdarzyć jeszcze tej nocy, zanim opuścimy Bree.

– Co takiego? – spytał Merry. – Czy napadną gospodę?

– Tego się nie spodziewam – odparł Obieżyświat. – Jeszcze nie wszyscy się tu zebrali. A zresztą to do nich niepodobne. Najpotężniejsi są w ciemnościach i na pustkowiu. Nie napadną otwarcie domu pełnego ludzi i jasno oświetlonego, chyba w ostateczności, ale jeszcze nie teraz, gdy mamy przed sobą wiele staj drogi przez Eriador. Ich siła opiera się jednak na przerażeniu, jakie budzą; już chwycili w jego szpony kilku mieszkańców Bree. Tych mieszkańców podjudzą do jakiejś zbrodni. Pewnie to będzie Bill Ferny, paru cudzoziemców, może odźwierny. Rozmawiali z nim w poniedziałek przy Zachodniej Bramie. Odźwierny był blady i trząsł się ze strachu po tej rozmowie.

– Jak się zdaje, zewsząd okrążają nas wrogowie – rzekł Frodo. – Co robić?

– Zostać tutaj, nie nocować w sypialni! Z pewnością wiedzą, który pokój zajmujecie. Izby przeznaczone dla hobbitów mają okna od północy i tuż nad ziemią. Zostaniemy tu wszyscy razem i zabarykadujemy drzwi i okno. Najpierw jednak Nob pomoże mi ściągnąć tu wasze rzeczy.

Kiedy Obieżyświat wyszedł, Frodo pokrótce opowiedział Meriadokowi o wszystkim, co się zdarzyło po kolacji. Merry jeszcze był zajęty odczytywaniem i rozważaniem listu Gandalfa, gdy Strażnik i Nob powrócili.

– A więc, proszę panów – oznajmił Nob – rozburzyłem pościel i w każdym łóżku ułożyłem wałek pośrodku. A pańską głowę, panie Bag… panie Underhill, pięknie uwinąłem z brązowej wełnianej wycieraczki – dodał ze śmiechem.

Pippin mu zawtórował.

– Będzie jak żywa! – rzekł. – Ale co się stanie, jeśli tamci poznają się na maskaradzie?

– Zobaczymy! – powiedział Obieżyświat. – Miejmy nadzieję, że utrzymamy fortecę do rana.

– Dobranoc panom – rzekł Nob i poszedł dołączyć się do straży czuwającej u wejścia gospody.

Hobbici spiętrzyli swoje podróżne worki i sprzęt na podłodze saloniku. Zastawili drzwi niskim fotelem i zamknęli okno. Wyglądając przez nie, Frodo stwierdził, że noc jest pogodna. Sierp[35] błyszczał nad wzgórzem Bree. Zabezpieczyli okno grubymi wewnętrznymi okiennicami i zaciągnęli szczelnie zasłony. Obieżyświat poprawił drwa na kominku i zdmuchnął wszystkie świece.

Hobbici ułożyli się na kocach, nogami zwróceni do paleniska, ale Obieżyświat siadł w fotelu pod drzwiami. Chwilę jeszcze gawędzili, bo Merry zadawał mnóstwo pytań.

– Przeskoczył przez księżyc! – chichotał, owijając się w pled. – Zbłaźniłeś się, mój Frodo! A swoją drogą żałuję, że tego nie widziałem. Szanowni obywatele Bree będą o tym zdarzeniu mówić przez następnych sto lat.

– Mam nadzieję! – rzekł Obieżyświat.

Wreszcie umilkli wszyscy i hobbici jeden po drugim zapadli w sen.

ROZDZIAŁ 11
OSTRZE W CIEMNOŚCIACH

Gdy hobbici w gospodzie „Pod Rozbrykanym Kucykiem” w Bree przygotowywali się do snu, nad Bucklandem zalegały ciemności, a mgła snuła się w rozpadlinach i nad rzeką. Dom w Ustroni stał cichy. Grubas Bolger ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał na dwór. Przez cały dzień lęk rósł w jego sercu coraz większy, tak że wieczorem Grubas nie mógł sobie znaleźć miejsca ani uleżeć w łóżku. W bezwietrznej nocnej ciszy czaiła się jakaś groźba. Grubas wpatrywał się w pomrokę i nagle zobaczył czarny cień sunący pod drzewami; furtka otwarła się jakby sama i bez szmeru ponownie zamknęła. Strach chwycił hobbita. Cofnął się i długą chwilę stał, drżąc, w sieni. Wreszcie zatrzasnął i zaryglował drzwi.

Noc trwała. Miękko, ledwie dosłyszalnie zadudniły na ścieżce kopyta przeprowadzanych chyłkiem koni. Przy furtce zatrzymały się, a trzy czarne postacie, trzy cienie nocne wśliznęły się do ogrodu. Jeden podszedł do drzwi, dwa stanęły po obu rogach domu. Zamarli tam niby cienie głazów, a tymczasem noc z wolna upływała. Dom i nieruchome drzewa jakby na coś czekały, wstrzymując oddech.

Lekki powiew zaszeleścił wśród liści, gdzieś daleko zapiał kogut. Mijała zimna godzina przedświtu. Postać u drzwi poruszyła się, w ciemnościach tej bezksiężycowej i bezgwiezdnej nocy błysnęło dobyte ostrze, jakby ktoś obnażył z osłon lodowate światełko. Pod głuchym, ale ciężkim uderzeniem drzwi się zachwiały.

– W imię Mordoru, otwierać! – zawołał wysoki, groźny głos.

Pod drugim uderzeniem drzwi ustąpiły i runęły do wnętrza, belki pękły, rygle prysnęły. Czarne postacie błyskawicznie skoczyły do sieni.

W tej samej sekundzie wśród pobliskich drzew zagrał róg. Jego głos rozdarł noc jak płomień buchający ze szczytu góry.

POBUDKA! GORE! GORE! DO BRONI!

Grubas Bolger nie próżnował. Kiedy spostrzegł czarne cienie sunące przez ogród, zrozumiał od razu, że musi umknąć przed nimi albo zginie.

Umknął więc przez tylne drzwiczki, a potem ogrodem i polem. Biegł milę z okładem, nim dotarł do najbliższego domu i tam padł na progu.

– Nie, nie, nie! – krzyczał. – Nie, to nie ja! Ja go nie mam!

Długa chwila upłynęła, nim ktoś zdołał zrozumieć, o co mu chodzi. Wreszcie sąsiedzi pojęli, że wróg wdarł się do Bucklandu, że jakaś straszna napaść ze Starego Lasu zaskoczyła kraj. A wtedy zaczęli działać, nie tracąc dłużej ani chwili.

GORE, GORE, GORE!

Brandybuckowie grali na rogu sygnał alarmowy, który ostatni raz słyszano tutaj sto lat temu, kiedy to podczas Srogiej Zimy białe wilki przeszły po zamarzniętej Brandywinie.

POBUDKA! POBUDKA!

Z dala odezwały się w odpowiedzi inne rogi. Alarm się szerzył. Czarne postacie wybiegły z domu. Jedna z nich w pędzie upuściła na progu płaszcz Froda. Na ścieżce znów zadudniły kopyta, konie przeszły w galop i wkrótce tętent przegrzmiał i zginął w ciemnościach. Wokół Ustroni grały rogi, rozlegała się wrzawa i tupot spiesznych kroków. Ale Czarni Jeźdźcy umknęli jak burza w stronę Północnej Bramy. Niech sobie pohałasują małe hobbity! Sauron zajmie się nimi później. Jeźdźcy mieli na razie inne zadanie: wiedzieli już, że dom w Ustroni jest pusty, że Pierścień wywieziono gdzieś dalej. Stratowali wartę przy bramie i opuścili granicę Shire’u.

Noc jeszcze była wczesna, gdy Frodo ocknął się nagle, jakby go zbudził jakiś szmer, czy może czyjaś obecność. Zobaczył Obieżyświata, który czujnie wyprostowany siedział w fotelu; w jego oczach odbijał się blask płomieni, bo ogień na kominku, świeżo widać podsycony, palił się jasno, ale Obieżyświat nie drgnął, nie dał Frodowi żadnego znaku.

Frodo wkrótce znów usnął, lecz znowu szum wiatru i tętent galopujących koni zakłócił mu sen. Wiatr jak gdyby wirował dokoła domu i wstrząsał ścianami, a gdzieś, bardzo daleko, ktoś rozpaczliwie dął w róg. Frodo otworzył oczy, z podwórka gospody dobiegło jego uszu wesołe pianie koguta. Obieżyświat rozsunął zasłony i z łoskotem otworzył okiennice na oścież. Szary brzask wschodzącego dnia wypełnił pokój, chłód ciągnął od otwartego okna.

Zbudziwszy hobbitów, Obieżyświat zaprowadził ich zaraz do sypialni. Na jej widok uświadomili sobie, jak dobrze zrobili, słuchając rady tego przewodnika: wyłamane okna trzaskały na wietrze, firanki łopotały, łóżka były w straszliwym nieładzie, a rozdarte wałki poniewierały się na ziemi; z brązowej wełnianej wycieraczki zostały tylko strzępy.

Obieżyświat natychmiast pobiegł po gospodarza. Nieborak pan Butterbur miał minę zaspaną i przerażoną. Nie zmrużył oka przez całą noc – jak twierdził – lecz nie słyszał żadnych hałasów.

– W życiu mi się nic podobnego nie zdarzyło! – krzyczał, wznosząc ze zgrozą ramiona. – Żeby moi goście nie mogli spędzić nocy w swoich łóżkach! I takie porządne wałki zniszczone, i w ogóle wszystko! Do czego to dojdzie?

– Do ciężkich czasów – rzekł Obieżyświat. – Ale na razie odzyskasz spokój, skoro nas się stąd pozbędziesz. Wyjeżdżamy natychmiast. Nie troszcz się o śniadanie, byle co łykniemy i przekąsimy, nie siadając do stołu. Za parę minut będziemy spakowani.

Pan Butterbur wybiegł, żeby dopilnować siodłania kuców i przynieść jakąś przekąskę. Wrócił jednak po chwili zrozpaczony. Kuce zniknęły! Ktoś w nocy otworzył stajnię i wypuścił nie tylko kucyki Merry’ego, lecz również wszystkie wierzchowce, jakie były w gospodzie.

Nowina przygnębiła Froda. Jakże mogli liczyć, że na własnych nogach dostaną się do Rivendell, ścigani przez nieprzyjaciół na koniach? Równie dobrze mogliby się wybierać na księżyc. Obieżyświat długą chwilę milczał, przyglądając się hobbitom, tak jakby ważył ich siły i odwagę.

– Kucyki nie pomogłyby nam umknąć przed końmi – powiedział wreszcie, jakby czytając w myślach Froda. – Tymi drogami, które zamierzam wybierać, niewiele wolniej idzie się pieszo. Ja zresztą i tak miałem iść. Martwię się tylko o prowiant i sprzęt. Nigdzie po drodze stąd do Rivendell nie dostaniemy nic do jedzenia prócz tego, co będziemy mieli ze sobą. A trzeba wziąć spore zapasy, bo może się zdarzyć zwłoka albo konieczność nadłożenia drogi i zboczenia daleko od prostego szlaku. Ile gotowi jesteście dźwigać na plecach?

– lle trzeba – odparł Pippin; był markotny, lecz usiłował wmówić sobie, że jest bardziej zahartowany, niż wygląda (i niż się czuje).

– Ja mogę dźwigać za dwóch – oświadczył zuchowato Sam.

– Czy nic się nie da zrobić? – zwrócił się Frodo do gospodarza. – Czy nie znalazłoby się we wsi pary lub chociaż jednego kuca, żeby załadować bagaż? Nie moglibyśmy ich najmować, ale kupilibyśmy – dodał niepewnie, bo nie wiedział, czy mu starczy pieniędzy.

– Wątpię – odparł strapiony pan Butterbur. – Tych kilka kucyków nadających się pod wierzch, jakie Bree posiada, stało w mojej stajni; te, jak wiadomo, zginęły. Poza tym zwierząt pociągowych, czy to koni, czy kuców, jest u nas bardzo mało i nikt nie ma ich na zbyciu. Ale zrobię, co się da. Poślę Boba jak najspieszniej, żeby przepytał się wszędzie.

– Tak – niechętnie zgodził się Obieżyświat. – Trzeba spróbować. Obawiam się, że bez jednego przynajmniej kucyka nie damy sobie rady. To wszakże przekreśla wszelkie nadzieje na wczesny wymarsz i na wyśliźnięcie się stąd ukradkiem! Jak gdybyśmy otrąbili swój odjazd. Niewątpliwie tego sobie właśnie tamci życzyli.

– Jest w tym jednak okruch pociechy – rzekł Merry – a nawet, miejmy nadzieję, więcej niż okruch! Bo czekając na kuca, możemy spokojnie zasiąść do śniadania! Wołajcie zaraz Noba!

Ostatecznie zmarudzili z górą trzy godziny. Bob wrócił z wiadomością, że ani z miłości, ani z chciwości nikt w okolicy nie chce sprzedać konia lub kucyka, z jednym jedynym wyjątkiem: Bill Ferny jest, jak się zdaje, skłonny do rokowań.

– To stara zagłodzona szkapa – powiedział Bob – ale o ile dobrze znam Billa, nie odstąpi jej taniej niż za potrójną cenę, bo wie, w jakim panowie są położeniu.

– Bill Ferny? – spytał Frodo. – Czy to aby nie nowy podstęp? Może ta bestia ucieknie z powrotem do niego z całym naszym dobytkiem albo pomoże nas wytropić czy coś w tym rodzaju.

– Nie wiem – rzekł Obieżyświat – ale nie wyobrażam sobie, żeby jakiekolwiek zwierzę, raz wyzwolone, zechciało wrócić do tego człowieka. Myślę, że to raczej dodatkowy pomysł łaskawego pana Billa: zachciało mu się powiększyć jeszcze w ten sposób zysk z całej awantury. Boję się raczej tego, że to biedne stworzenie zdechnie lada chwila. Ale nie mamy wyboru. Ile on żąda?

Bill Ferny żądał dwunastu srebrnych groszy, co stanowiło co najmniej trzykrotną cenę kucyka w tych stronach. Kuc okazał się kościstym, zagłodzonym, apatycznym zwierzakiem, ale zdychać, jak się zdawało, jeszcze nie zamierzał. Pan Butterbur za niego zapłacił i ofiarował Merry’emu gotówką osiemnaście srebrnych groszy jako odszkodowanie za stracone wierzchowce. Był człowiekiem uczciwym i zamożnym – na miarę tego kraju. Ale trzydzieści srebrnych groszy stanowiło dla niego poważny ubytek, tym boleśniejszy do zniesienia, że to Bill Ferny go okpił.

Jak się okazało, nie wyszedł na tym w końcu źle. Później bowiem wyjaśniło się, że naprawdę skradziono jednego tylko konia. Inne zwierzęta wypłoszono ze stajni, czy może one same w panice się rozbiegły, ale i po kilku dniach znaleziono je błąkające się w różnych zakątkach Bree. Kucyki Merry’ego uciekły na dobre, lecz dały dowód wielkiego rozumu, bo skierowały się na wzgórza i odszukały Pulpeta. Przebyły więc czas jakiś pod opieką Toma Bombadila i dobrze im się działo. Gdy jednak do uszu Toma doszła wieść o wydarzeniach w Bree, odesłał on kucyki panu Butterburowi, który tym sposobem zyskał pięć pięknych wierzchowców za bardzo umiarkowaną cenę. Kuce w Bree musiały ciężej pracować, ale Bob obchodził się z nimi jak najlepiej. W ostatecznym obrachunku można by powiedzieć, że wygrały szczęśliwy los, skoro ominęła je ponura i niebezpieczna wyprawa. Ale też nigdy nie poznały Rivendell.

Na razie jednak pan Butterbur nie wiedział jeszcze tego wszystkiego i uważał swoje pieniądze za stracone bezpowrotnie. Miał ponadto inne kłopoty. Gdy bowiem pozostali goście zbudzili się i dowiedzieli o napadzie na gospodę, powstał nie lada zamęt. Podróżni z południa, którym zginęło kilka koni, głośno oskarżali gospodarza, póki się nie wydało, że jeden z ich własnych kompanów zniknął również tej nocy: nie kto inny, lecz zezowaty wspólnik Billa Ferny. Zaraz też całe podejrzenie padło na niego.

– Jeżeli zadajecie się z koniokradem i wprowadzacie go do mojego domu – rzekł z oburzeniem pan Butterbur – powinniście z własnej kiesy zapłacić wszystkie szkody, zamiast krzyczeć na mnie. Idźcie i spytajcie Billa Ferny, gdzie się podziewa ten wasz szacowny przyjaciel.

Nikt jednak nie przyznawał się do przyjaźni z zezowatym człowiekiem i nikt nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy dołączył on do kompanii.

Po śniadaniu hobbici przepakowali worki i zgromadzili większe zapasy, przewidując podróż dłuższą, niż pierwotnie planowano. Dochodziła już godzina dziesiąta, kiedy wreszcie mogli ruszyć w drogę. Ale o tej porze całe osiedle już huczało podnieceniem. Sztuczka Froda, zjawienie się Czarnych Jeźdźców, kradzież koni, a w dodatku wieść, że Strażnik zwany Obieżyświatem połączył się z tajemniczymi hobbitami – wszystko to składało się na sensację, która mogła wypełnić kilka ubogich w zdarzenia lat. Większość mieszkańców Bree i Staddle, a nawet sporo obywateli z Combe i Archet zgromadziło się na drodze, żeby zobaczyć wyjeżdżających hobbitów. Goście z „Rozbrykanego Kucyka” cisnęli się w progu gospody i w jej oknach.

Obieżyświat zmienił plan i postanowił wyjść z Bree gościńcem. Jakakolwiek próba wymknięcia się na przełaj polami pogorszyłaby tylko sprawę: połowa tutejszej ludności poszłaby za nimi, żeby się przekonać, jakie mają zamiary i czy nie robią szkód na ich polach.

Pożegnali Noba i Boba, podziękowali serdecznie panu Butterburowi.

– Mam nadzieję – rzekł Frodo – że się jeszcze spotkamy w weselszych okolicznościach. Bardzo bym chciał spędzić jakiś czas spokojnie w twoim domu.

Niespokojni, przygnębieni, ruszyli śledzeni przez setki oczu. W tłumie nie wszystkie twarze były przyjazne, wśród okrzyków nie wszystkie życzliwe. Ale dla Obieżyświata większość tutejszych obywateli żywiła, jak widać, respekt, bo każdy, na kogo spojrzał, zamykał usta i wycofywał się co prędzej. Obieżyświat szedł na czele wraz z Frodem, za nimi Merry z Pippinem, a na końcu Sam prowadził kucyka, któremu załadowano na grzbiet tyle worków, na ile miłosierdzie dla zwierzęcia pozwalało. Kucyk jednak wyglądał już mniej nieszczęśliwie, jak gdyby zadowolony ze zmiany losu. Sam w zamyśleniu gryzł jabłko. Miał kieszenie wypchane jabłkami dzięki pożegnalnym darom Noba i Boba.

– Nie ma jak jabłka w marszu, a fajka na popasie – mówił Sam. – Ale zdaje się, że wkrótce będę się musiał wyrzec obu tych przyjemności.

Hobbici nie zwracali uwagi na wścibskich, którzy wyglądali zza drzwi, wytykali głowy zza murów i płotów. Kiedy jednak zbliżali się już do bramy w drugim końcu osiedla, Frodo zauważył ciemny, zaniedbany dom, ukryty za gęstym żywopłotem: ostatni dom w Bree. W jednym z okien mignęła mu smagła twarz z chytrymi, zezowatymi oczyma, lecz zaraz zniknęła. „A więc

tu się ukrywa ten południowiec – pomyślał Frodo. – Wygląda mi niemal na goblina”. Zza żywopłotu przypatrywał się podróżnym zuchwale inny mężczyzna. Miał krzaczaste czarne brwi i ciemne, pogardliwie spoglądające oczy, a grube wargi skrzywione złośliwym uśmiechem; ćmił krótką czarną fajkę. Gdy wędrowcy mijali go, wyjął z ust cybuch i splunął.

– Dzień dobry, Długonogi! – powiedział. – Wcześnie wstałeś. Znalazłeś sobie wreszcie nowych przyjaciół, co?

Obieżyświat skinął głową, lecz nic nie odrzekł.

– Dzień dobry, malcy! – zagadał tamten do hobbitów. – Mam nadzieję, że wiecie, kogo wzięliście do kompanii? To Niepowstrzymany Obieżyświat we własnej osobie! Co prawda znam też jego inne, mniej piękne przezwiska. Pilnujcie się zwłaszcza w nocy! A ty, Samie, nie dręcz mojego biednego, starego kucyka! – I splunął znowu.

Sam odwrócił się żywo.

– A ty, Ferny – odparł – zabierz stąd prędko swoją szpetną gębę, bo ci ją ktoś jeszcze uszkodzi. – Niespodzianie jabłko strzeliło z jego ręki prosto w nos Billa, który uchylił się, ale poniewczasie. Zza żywopłotu bluznęły przekleństwa.

– Szkoda dobrego jabłka – rzekł z żalem Sam i pomaszerował dalej.

W końcu miasteczko zostało za nimi. Gromada dzieciaków eskortujących pochód zmęczyła się wreszcie i zawróciła spod Południowej Bramy. Hobbici przekroczyli ją i szli kilka mil gościńcem. Droga skręcała w lewo, zataczała łuk, okrążając wzgórze Bree, i spadała dość stromo ku lasom na wschodzie. Podróżni mieli teraz po lewej ręce łagodne południowe stoki, na których rozsypane były domy hobbickiego osiedla w Staddle; spoglądając ku północy, widzieli nad głęboką kotliną smugi dymu, wskazujące, gdzie znajduje się Combe; Archet kryło się dalej w kępie drzew.

Droga sprowadziła ich w dół, wzgórze Bree wznosiło się teraz za ich plecami, wysokie i brunatne, a przed nimi ukazała się wąska ścieżka, odbiegająca od gościńca ku północy.

– Tu zejdziemy z otwartego traktu i zaszyjemy się w terenie – oznajmił Obieżyświat.

– Byleśmy nie szli na skróty – rzekł Pippin. – Nasza poprzednia próba skrócenia drogi przez lasy omal nie skończyła się katastrofą.

– Ale wtedy mnie z wami nie było – roześmiał się Obieżyświat. – Kto ze mną drogi prostuje, ten w polu nie nocuje.

Przepatrzył uważnie gościniec przed sobą i za sobą. Nie było widać nigdzie żywego ducha. Szybko sprowadził hobbitów w dół, ku zalesionej dolinie.

Nie znając okolicy, domyślali się jednak, że przewodnik zamierza najpierw kierować się w stronę Archet, potem jednak skręcić w prawo i obejść wieś od wschodu, aby dalej, kierując się możliwie na wprost, przebyć dziką krainę dzielącą ich od Wichrowego Czuba. Tym sposobem – o ile plan by się udał – oszczędziliby sobie sporo drogi, bo gościniec robił wielką pętlę, okrążając od południa Komarowe Bagniska. Co prawda musieliby wówczas przebyć moczary, które Obieżyświat opisał im wcale niezachęcająco.

Tymczasem wszakże marsz nie był przykry. A nawet, gdyby nie groźne przeżycia poprzedniej nocy, można by ten etap uznać za najmilszy z całej dotychczasowej podróży. Słońce świeciło jasno, ale nie doskwierało upałem. Lasy w dolinie jeszcze nie straciły liści i mieniły się kolorami, a wydawały się spokojne i tchnące zdrowiem. Obieżyświat bez wahania wybierał drogę; sami hobbici na pewno zabłąkaliby się wkrótce wśród bocznych, krzyżujących się ścieżek.

Przewodnik kluczył umyślnie, żeby zmylić pościg.

– Bill Ferny niechybnie śledził, w którym miejscu opuściliśmy gościniec – rzekł. – Nie myślę jednak, by szedł za nami. Zna wprawdzie nieźle okolicę, ale wie, że nie może się ze mną mierzyć w lesie. Boję się tylko tego, że tamtym powie o nas. Bo tamci chyba są niedaleko. Jeżeli uwierzą, że idziemy do Archet, tym lepiej dla nas.

Może dzięki zręczności Obieżyświata, a może z innych przyczyn, dość, że przez cały ten dzień nie zobaczyli śladu ani nie usłyszeli głosu żywego stworzenia: ani dwunogiego – prócz ptaków, ani czworonogiego – prócz jednego lisa i paru wiewiórek. Nazajutrz skierowali się już wyraźnie na wschód, ale w dalszym ciągu otaczała ich cisza i spokój. Trzeciego dnia od opuszczenia Bree wyszli z lasu Chetwood. Od miejsca, w którym skręcili z gościńca, teren wciąż opadał, a teraz znaleźli się na rozległej płaszczyźnie,

gdzie czekały ich większe trudności. Byli już daleko za granicami Bree na bezdrożach dzikiej krainy, zbliżali się do Komarowych Bagnisk. Mieli tu już pod nogami grunt podwilgły, miejscami grząski, a tu i ówdzie trafiali na rozlewiska i wielkie kępy trzcin i sitowia, pełne świergotu drobnego, schowanego w gęstwinie ptactwa. Musieli bardzo ostrożnie wybierać drogę, żeby przejść suchą nogą, a zarazem nie zboczyć z wytkniętego kierunku. Zrazu posuwali się dość szybko, ale z każdą godziną marsz stawał się mozolniejszy i bardziej niebezpieczny. Moczary były zwodnicze i zdradzieckie, nawet Strażnik nie znał wśród zmiennych trzęsawisk stałej ścieżki i musiał jej za każdym razem szukać. Wędrowców zaczęły nękać muchy, w powietrzu zaroiło się od chmar drobniutkich komarów, wciskających się w rękawy, nogawki spodni i we włosy.

– Żywcem mnie pożerają! – krzyczał Pippin. – Komarowe Bagniska! Więcej tu komarów niż wody.

– Czym one się żywią, kiedy nie mają hobbitów pod ręką? – pytał Sam, drapiąc się w kark.

Spędzili bardzo niemiły dzień w pustej, brzydkiej okolicy. Obóz rozbili na miejscu podmokłym, zimnym, niewygodnym, a dokuczliwe owady nie dały im oka zmrużyć. W trzcinach i trawach gnieździły się jakieś szkaradne stworzenia, sądząc z głosów, gorsza odmiana świerszczy. Były ich tysiące, a ćwierkały: „skręć-kark, skręć-kark” niezmordowanie przez całą noc, doprowadzając hobbitów niemal do szaleństwa.

Następny dzień – czwarty – nie przyniósł większej poprawy, a nocleg, podobnie jak poprzedni, nie dał wędrowcom odpoczynku. „Skręcikarki” – jak je przezwał Sam – wprawdzie zostały za nimi, ale komary prześladowały ich dalej.

Frodo leżał zmęczony, lecz niezdolny zmrużyć oka, gdy nagle wydało mu się, że w oddali na wschodzie niebo rozświetla się dziwnie; światło błysnęło i zgasło kilka razy. Nie mógł to być blask świtu, bo do rana było jeszcze daleko.

– Co to za światło? – spytał Obieżyświata, który podniósł się i stał wpatrzony w noc.

– Nie wiem – odparł tamten. – Za daleko, żeby coś rozeznać. Wygląda jak błyskawica strzelająca ze szczytu pagórka.

Frodo położył się znów, ale przez długą chwilę widział jeszcze białe rozbłyski, a na ich tle wysoką, czarną sylwetkę Obieżyświata, nasłuchującego czujnie wśród ciszy. Wreszcie hobbit zapadł w niespokojny sen.

Piątego dnia po krótkim marszu wydostali się w końcu spośród rozlewisk, sitowia i bagien. Teren przed nimi znowu zaczął się wznosić. Na wschodnim horyzoncie dostrzegli pasmo wzgórz. Jedno z nich, odosobnione w prawym końcu łańcucha, górowało nad innymi. Jego wierzchołek miał kształt nieco spłaszczonego stożka.

– To Wichrowy Czub – powiedział Obieżyświat. – Stary Gościniec, który zostawiliśmy daleko po prawej ręce, omija szczyt od południa i przebiega nieopodal jego podnóży. Jeżeli pójdziemy na wprost, będziemy chyba jutro w południe na miejscu. Sądzę, że trzeba się o to postarać.

– Co masz na myśli? – spytał Frodo.

– To, że wcale nie jestem pewien, co tam zastaniemy. Góra leży trochę za blisko gościńca.

– Ale przecież mamy nadzieję spotkać się tam z Gandalfem?

– Owszem, lecz to słaba nadzieja. Nawet jeżeli Gandalf rzeczywiście wędrował tym szlakiem, mógł ominąć Bree, a w takim razie nic nie wie o nas. Zresztą byłby to wyjątkowy przypadek, gdybyśmy się właśnie w tym miejscu zeszli jednocześnie; bardziej prawdopodobne, że się rozminiemy. Ani dla niego, ani dla nas nie byłoby bezpiecznie czekać wzajem na siebie zbyt długo. Jeźdźcy, jeżeli im się nie uda zdybać nas na pustkowiu, zapewne także skierują się na Wichrowy Czub. Ze szczytu jest rozległy widok na wszystkie strony. Kto wie, czy mnóstwo tutejszych ptaków i zwierząt nie widzi nas stamtąd w tej chwili. A nie wszystkie ptaki zasługują na zaufanie; są też inni szpiedzy, znacznie groźniejsi.

Hobbici z trwogą spojrzeli na odległe wzgórza. Sam popatrzył w blade niebo, jakby lękając się, że już nad nim krążą sokoły albo orły i śledzą ich bystrymi, nieprzyjaznymi oczyma.

– Bardzo mi się zrobiło nieswojo po tym, coś powiedział – rzekł do Obieżyświata.

– Co nam radzisz? – spytał Frodo.

– Myślę – z namysłem, jakby niepewnie odparł przewodnik – że najlepiej będzie iść możliwie najprostszą drogą ku wschodowi, żeby dotrzeć do wzgórz, ale nie wprost na Wichrowy Czub. Znam tam ścieżkę biegnącą u podnóży łańcucha. Zaprowadzi nas ona na Czub od północy, mniej otwartym stokiem. No, a potem zastanowimy się, co dalej robić.

Przez cały dzień brnęli naprzód, póki nie zapadł wczesny, zimny wieczór. Grunt tu już był suchszy i mniej zarośnięty, ale mgły i opary zalegały nad bagniskami, które wędrowcy mieli za sobą. Niekiedy odzywał się piskliwie i żałośnie jakiś smutny ptak, lecz gdy czerwona tarcza słońca z wolna skryła się w cieniu zachodu, cały kraj ogarnęła głucha cisza. Hobbici myśleli o miłym blasku zachodu przesianym przez wesołe okna odległego Bag End.

Późnym popołudniem trafili na strumień spływający ze wzgórz i ginący w rozlewiskach moczarów; szli jego brzegiem pod górę, póki trwał dzień. Ciemno już było, gdy wreszcie zatrzymali się i rozbili obóz nad strumieniem, pod skarlałą olchą. Na tle mrocznego nieba majaczyły już nagie, bezdrzewne zbocza wzgórz. Tej nocy wystawili przy obozowisku wartę, a przewodnik chyba wcale się nie kładł. Księżyc wzeszedł duży i we wcześniejszych godzinach nocnych zimna siwa poświata zalewała krajobraz.

Nazajutrz wyruszyli wkrótce po wschodzie słońca. Powietrze było mroźne, niebo blade, jasnobłękitne. Hobbici czuli się raźni, jak po dobrze przespanej nocy. Przywykli już do długich marszów po krótkich popasach – o wiele krótszych w każdym razie, niż w Shire uznawano za niezbędne dla jako takiego pokrzepienia sił. Pippin twierdził, że Frodo wygląda teraz na dwakroć tęższego hobbita niż dawniej.

– A to dziwne – odparł Frodo – jeśli wziąć pod uwagę, że jest mnie dwa razy mniej. Spodziewam się, że kiedyś wreszcie przestanę chudnąć, bo inaczej wkrótce zamienię się w widmo.

– Nie mów takich rzeczy! – żywo przerwał mu Obieżyświat z zaskakującą powagą.

Wzgórza się przybliżyły. Tworzyły falisty grzebień, w wielu miejscach wznoszący się do tysiąca bez mała stóp, tu i ówdzie opadający w doliny lub przełęcze, które otwierały drogę do krajów położonych na wschód od

górskiego łańcucha. Hobbici dostrzegali ciągnące się wzdłuż grani szczątki porosłych zielenią murów i fos, a w dolinach sterczały jeszcze ruiny dawnych kamiennych budowli. Wieczorem dotarli do podnóży zachodnich stoków i tu zatrzymali się na nocleg. Była to noc piątego października, a od wyruszenia z Bree upłynęło sześć dni.

Rankiem zobaczyli, po raz pierwszy od wyjścia z lasu Chetwood, wyraźną drogę. Skręcili w prawo i posuwali się ku południowi. Droga biegła kręto, jakby umyślnie kluczą, żeby się skryć zarówno przed obserwacją ze szczytów, jak i z równiny, od zachodu. Zanurzała się w leśne parowy, wspinała się na strome skarpy, a jeśli biegła bardzo płaskim i otwartym terenem, osłaniały ją z obu stron ogromne głazy i kamienne usypiska, za którymi podróżni byli ukryci jak za płotem.

– Ciekaw jestem, kto tę ścieżkę zbudował i w jakim celu? – rzekł Merry, gdy maszerowali takim korytarzem pod murem ze szczególnie dużych i ciasno ułożonych głazów. – Nie bardzo mi się to podoba. Wygląda trochę jakby… jakby kurhanowo. Czy na Wichrowym Czubie jest także kurhan?

– Nie. Ani na Wichrowym Czubie, ani na żadnym z tych wzgórz nie ma kurhanów – odparł Obieżyświat. – Ludzie z Zachodu nigdy tu nie mieszkali, jakkolwiek pod koniec swojej epoki bronili przez czas pewien tego łańcucha przeciw złym siłom ciągnącym z Angmaru. Ta ścieżka łączyła twierdze, biegnąc pod obronnym murem. Ale znacznie dawniej, w pierwszych dniach Północnego Królestwa, zbudowano na Wichrowym Czubie ogromną wieżę strażniczą i nazwano ją Amon Sûl. Później strażnica spłonęła i rozsypała się w gruzy, tak że dziś zostało po niej tylko koliste rumowisko, niby surowa korona na głowie starego wzgórza. Ale niegdyś była to smukła i piękna wieża. Pono z niej właśnie Elendil wypatrywał nadejścia Gil-galada z Zachodu w czasach Ostatniego Sojuszu.

Hobbici uważnie popatrzyli na Obieżyświata. Okazało się, że zna historię dawnych lat nie gorzej niż ścieżki na pustkowiu.

– Kim był ten Gil-galad? – spytał Merry.

Strażnik nie odpowiedział, zatopiony w rozmyślaniach. Niespodzianie ściszony głos zaczął szeptać:

Gil-galad królem elfów był:
Smutny śpiewają o nim rym –

Ostatni to, co wolny kraj
W swej władzy aż po Góry miał.

Przy włóczni ostrej – długi miecz;
Z dala widziano lśniący hełm;
Niebiańskich pól gwiaździsty siew
Na lustrze tarczy jarzył się.

Lecz dawno już odjechał stąd
I nie wie nikt, gdzie znalazł dom,
Bo gwiazda jego padła w mrok
Mordoru, tam gdzie cienie są[36].

Przyjaciele w zdumieniu odwrócili głowy, bo to był głos Sama.

– Mów dalej – rzekł Merry.

– Tylko tyle umiem – wyjąkał, czerwieniąc się, Sam. – Nauczył mnie tego pan Bilbo, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Nieraz mi takie historie opowiadał, bo wiedział, że strasznie lubię słuchać o elfach. To pan Bilbo także nauczył mnie czytać i pisać. Bardzo był uczony nasz kochany stary pan Bilbo. Pisał wiersze. Ten wiersz, który wam powiedziałem, także on ułożył.

– Nie wymyślił go sam – oświadczył Strażnik. – To część ballady pod tytułem „Koniec Gil-galada”, w starożytnym języku. Bilbo widocznie ją przetłumaczył. Nic o tym nie wiedziałem.

– Było więcej zwrotek – dodał Sam – a wszystkie o kraju Mordor. Ale nie nauczyłem się ich na pamięć, bo mnie przejmowały dreszczem. Nie myślałem, że mnie też przypadnie tam wędrować.

– Do Mordoru! – krzyknął Pippin. – Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Nie wymawiaj tak głośno tej nazwy! – rzekł Obieżyświat.

Dzień był już w pełni, gdy wreszcie dotarli do południowego końca ścieżki i ujrzeli przed sobą w bladym przezroczystym świetle październikowego słońca szarozielony wał, który niby grobla prowadził na

północny stok góry. Postanowili wejść na szczyt natychmiast, za jasnego dnia. Dłużej kryć się nie było sposobu, zostawała im tylko nadzieja, że nie śledzi ich żaden wróg ani szpieg. Na wzgórzu nic się nie poruszało. Jeśli nawet Gandalf był gdzieś w pobliżu, nie dawał znaku życia.

Na zachodnim ramieniu Wichrowego Czuba znaleźli zaciszną kotlinę, której dno miało kształt misy wyścielonej trawą. Tu zostawili Sama i Pippina wraz z kucem i wszystkimi bagażami. Obieżyświat natomiast, Frodo i Merry poszli dalej w górę. Po półgodzinnej wspinaczce przewodnik pierwszy stanął na szczycie, Frodo i Merry podążali za nim, zmęczeni i zdyszani. Ostatnia stromizna była uciążliwa i skalista.

Na szczycie – tak jak Obieżyświat zapowiadał – ujrzeli szeroki pierścień kamieni, szczątki dawnych murów wieży, dziś rozsypane w gruz i porosłe już od wieków trawą. Ale pośrodku piętrzył się stos drobniejszych kamieni, sczerniałych od ognia. Wokół darń była wypalona do korzeni, a wszędzie wewnątrz pierścienia ruin osmalona i zwiędła, jak gdyby płomień omiótł cały szczyt. Nie dostrzegali jednak nigdzie śladu jakiejkolwiek żywej istoty. Kiedy stanęli na skraju pierścienia ruin, roztoczył się przed nimi w dole rozległy widok na obszar przeważnie pusty i monotonny, urozmaicony jedynie na południu plamą lasu, za którym tu i ówdzie przebłyskiwała gdzieś daleko woda. U południowych podnóży gór wił się jak wstążka Stary Gościniec; wybiegał od zachodu, kręcił to pod górę, to w dół i niknął za ciemniejącym grzbietem na wschodzie. Gościniec był pusty. Kierując wzrok za jego biegiem na wschód, hobbici zobaczyli góry; ich bliższe podnóża były brunatne i ciemne, dalej rysowały się wynioślejsze szare sylwety, a zza nich wychylały się strzeliste białe szczyty, błyskające wśród obłoków.

– No, doszliśmy! – rzekł Merry. – Bardzo ponure i niegościnne miejsce. Ani wody, ani schronienia. Ani znaku od Gandalfa. Nie mam mu co prawda za złe, że się nie zatrzymał… jeśli rzeczywiście był tutaj.

– Nie wiem – rzekł Obieżyświat, rozglądając się w zamyśleniu. – Nawet gdyby dopiero w dzień czy dwa po naszym wymarszu znalazł się w Bree, mógłby tu przybyć wcześniej od nas. Umie podróżować szybko, jeśli czas nagli. – Schylił się i przyjrzał kamykowi leżącemu na szczycie stosu. Kamyk był płaski i bielszy niż inne, jakby uniknął ognia. Obieżyświat wziął go do ręki i zaczął badać, obracając w palcach. – Ktoś go musiał położyć tu niedawno – rzekł. – Co myślicie o tych znakach?

Na płaskim spodzie kamienia Frodo dostrzegł jakieś wydrapane rysy:

– Widzę jakby kreskę, kropkę, trzy kreski – powiedział.

– Pierwsza kreska z lewej strony wygląda na runę G z lekko zaznaczonymi odgałęzieniami – odparł Obieżyświat. – Może to być znak zostawiony przez Gandalfa, chociaż pewności co do tego nie ma. Zadrapania są delikatne i niewątpliwie świeże. Ale znaki mogą być również innego pochodzenia i wcale nie nas dotyczyć. Strażnicy, którzy niekiedy tutaj bywają, często używają runów.

– Przypuśćmy, że te znaki wydrapał na kamieniu Gandalf. Cóż one by znaczyły? – spytał Merry.

– Sądzę – odpowiedział Obieżyświat – że należałoby odczytać G3, czyli że Gandalf był tu trzeciego października, to jest trzy dni temu. Można by też wywnioskować, że spieszył się i że niebezpieczeństwo było blisko; dlatego nie miał czasu i nie ważył się pisać więcej i wyraźniej. Ale w takim razie musimy zachować wielką ostrożność.

– Cokolwiek mówią te znaki, chciałbym wiedzieć na pewno, że to Gandalf je zostawił – odezwał się Frodo. – Odetchnąłbym spokojnie, gdybym wiedział, że Czarodziej znajduje się gdzieś na tej drodze, przed nami czy też za nami.

– Może – powiedział Obieżyświat. – Co do mnie, sądzę, że Gandalf był tutaj i że był w niebezpieczeństwie. Widzimy ślady spalenizny, a to mi przypomina błyski, które przed trzema dniami zauważyliśmy nocą na wschodzie. Domyślam się, że tu na szczycie został napadnięty, ale jaki był wynik walki – trudno zgadnąć. W każdym razie tu już go nie ma, więc musimy sami sobie radzić i podążać do Rivendell, jak się da.

– Czy stąd daleko do Rivendell? – spytał Merry ze znużeniem, rozglądając się dokoła. Oglądany ze szczytu Wichrowego Czuba świat zdawał się bardzo wielki i bardzo dziki.

– O ile wiem, nikt nie mierzy tej drogi na mile dalej niż do Opuszczonej Gospody, która znajduje się o dzień marszu na wschód od Bree. Jedni mówią: daleko, inni powiadają: blisko. Dziwna to droga, każdy rad dojść do celu prędzej czy później. Mogę wam jednak powiedzieć, ile czasu zajęłoby to mnie, gdybym szedł przy pięknej pogodzie i nie napotkał przeszkód: dwanaście dni do Brodu Bruinen, gdzie gościniec przecina Grzmiącą

Rzekę, wypływającą z Rivendell. Mamy około dwóch tygodni marszu przed sobą, bo nie sądzę, byśmy mogli iść gościńcem.

– Dwa tygodnie! – zawołał Frodo. – Ileż może się zdarzyć w ciągu dwóch tygodni!

– Bardzo dużo – przyznał Obieżyświat.

Jakiś czas stali w milczeniu na szczycie wzgórza, tuż nad południowym skrajem. W tym pustkowiu Frodo po raz pierwszy w pełni uświadomił sobie swoją bezdomność i grozę położenia. Gorzko żałował, że los nie pozwolił mu żyć spokojnie w ukochanym Shire. Patrzył z góry na nienawistny gościniec, który biegł wstecz na zachód, ku jego rodzinnemu krajowi. Nagle spostrzegł na drodze dwa czarne punkciki posuwające się z wolna ze wschodu na zachód. Rozglądając się pilnie, zobaczył trzy inne, pełznące z zachodu na spotkanie tamtych. Krzyknął i chwycił Strażnika za ramię.

– Patrz! – rzekł, wskazując palcem. Obieżyświat błyskawicznie rzucił się na ziemię za wałem gruzów i pociągnął Froda za sobą. Merry padł obok nich.

– Co to? – spytał szeptem.

– Nie wiem, ale obawiam się najgorszego – odparł Obieżyświat.

Z wolna podczołgali się znów na skraj ruin i wyjrzeli przez szparę między dwoma spękanymi głazami. Powietrze było już teraz mniej przejrzyste, bo – po jasnym ranku – w południe nadciągnęły od wschodu chmury i dogoniły słońce, gdy przechyliło się ku zachodowi. Trzy czarne punkty dostrzegali wszyscy, lecz ani Frodo, ani Merry nie odróżniali ich kształtów wyraźnie. Mimo to przeczuwali, że tam, w dole, Czarni Jeźdźcy gromadzą się na gościńcu u podnóży góry.

– Tak – rzekł Obieżyświat, który, mając wzrok bystrzejszy, nie mógł o tym wątpić. – Nieprzyjaciel jest tuż.

Pospiesznie wycofali się i ześliznęli po północnym stoku do kotlinki, w której zostawili przyjaciół.

Sam i Peregrin tymczasem nie próżnowali. Zbadali dokładnie kotlinkę i najbliższe zbocza. Odkryli na stoku opodal źródło czystej wody, a w jego pobliżu ślady stóp, dość świeże, najdalej sprzed dwóch dni. W samej kotlince znaleźli ślady ogniska oraz inne dowody, że ktoś tu bardzo niedawno obozował przez krótki czas. Od strony szczytu na skraju kotliny

sterczały skalne złomy. Sam znalazł ukryty za nimi zapas drew, porządnie zebranych w wiązki.

– Ciekaw jestem, czy to stary Gandalf był tutaj – powiedział do Pippina. – Bo ten, kto przygotował taki zapas, miał chyba zamiar wrócić.

Obieżyświat żywo zainteresował się odkryciami hobbitów.

– Szkoda, że się nie zatrzymałem i nie zbadałem sam tej kotlinki – rzekł, biegnąc do źródła, żeby obejrzeć ślady stóp.

– A więc, jak się obawiałem, Sam i Pippin zadeptali na wilgotnym gruncie wszystkie ślady tak, że się zatarły i splątały – oświadczył po powrocie. – Musieli tu niedawno być Strażnicy. Oni to zostawili wiązki drew. Są jednak świeższe jeszcze ślady, których nie mogli zrobić Strażnicy. W każdym razie rozróżniłem jeden ślad, sprzed dwóch dni czy może wczorajszy, odcisk ciężkich butów. Jeden taki ślad jest niewątpliwy. Co do innych nie mam pewności, ale zdaje się, że było tu kilka par nóg w grubych butach.

Umilkł i zamyślił się zatroskany. Hobbitom ukazały się w wyobraźni postacie jeźdźców w płaszczach i butach. Jeżeli prześladowcy znają tę kotlinkę, niechże przewodnik zdecyduje się odejść dokądkolwiek, a im prędzej, tym lepiej! Sam z głęboką niechęcią patrzył na to miejsce, odkąd się dowiedział, że Nieprzyjaciel jest na gościńcu, ledwie o kilka mil stąd.

– Czy nie warto by, panie Obieżyświacie, wycofać się zaraz? – spytał niecierpliwie. – Robi się późno, a ta dziura wcale mi się nie podoba. Sam nie wiem czemu, ale mnie tu strach oblatuje.

– Tak, trzeba rzeczywiście podjąć jakąś decyzję, nie zwlekając – zgodził się Obieżyświat, podnosząc wzrok ku niebu, żeby się zorientować w porze dnia i pogodzie. – No, tak, Samie – rzekł po chwili – mnie też się to miejsce nie podoba, ale nie przychodzi mi na myśl żadne lepsze, które dałoby się przed nocą osiągnąć. Tu przynajmniej jesteśmy na razie ukryci, ale gdybyśmy ruszyli się, pewnie by nas szpiedzy wypatrzyli. Nie moglibyśmy nic zrobić, chyba cofnąć się na północ po tej stronie łańcucha wzgórz, gdzie teren jest mniej więcej taki sam jak tutaj. Gościniec jest strzeżony, a musielibyśmy go przeciąć, gdybyśmy chcieli zaszyć się w zarośla dalej na południu. Po północnej stronie gościńca za wzgórzami na wiele mil ciągnie się kraj płaski i odsłonięty.

– Czy jeźdźcy widzą? – spytał Merry. – Bo zauważyłem, że zwykle, i to w biały dzień, używają raczej nosa niż oczu i węszą, jeśli można się tak wyrazić. Mimo to kazałeś nam paść na ziemię, kiedy ich spostrzegłeś tam, w dole, a teraz mówisz, że by nas wypatrzyli, gdybyśmy się ruszyli.

– Zachowałem się nieostrożnie na szczycie – odparł Obieżyświat. – Bardzo mi zależało na odnalezieniu jakiegoś znaku od Gandalfa, to jednak był błąd, że we trzech weszliśmy tam i stali tak długo. Czarne konie mają dobry wzrok, a zresztą jeźdźcy posługują się ludźmi albo innymi stworzeniami jako szpiegami, mieliśmy tego dowód w Bree. Sami nie widzą jasnego świata tak jak my, lecz nasze postacie rzucają na ich umysły cień, który tylko południowe słońce rozprasza. W ciemnościach natomiast jeźdźcy dostrzegają wiele różnych znaków i rzeczy dla nas niewidzialnych: dlatego nocą są najgroźniejsi. O każdej zaś porze czują węchem krew żywych istot, pożądają jej i nienawidzą zarazem. Mają też inne zmysły niż wzrok i węch. My też wyczuwamy obecność jeźdźców: kiedy tu się znaleźliśmy, niepokój zamącił nam serca, nim zobaczyliśmy ich na drodze. Oni wyczuwają naszą bliskość jeszcze wyraźniej. A w dodatku – Obieżyświat zniżył głos do szeptu – Pierścień ich przyciąga.

– A więc nie ma ratunku? – spytał Frodo, rozglądając się gorączkowo. – Jeżeli się ruszę, zobaczą mnie i pochwycą. Jeżeli tu zostanę, przyciągnę ich do siebie.

Obieżyświat położył mu rękę na ramieniu.

– Została jeszcze nadzieja – rzekł. – Nie jesteś sam. To drewno, przygotowane do rozpalenia ogniska, możemy uznać za dobry znak. Marny tu znaleźliśmy schron i nie do obrony, ale ogień zastąpi jedno i drugie. Sauron umie posługiwać się ogniem, jak zresztą każdym innym środkiem, do złych celów, lecz Jeźdźcy ognia nie lubią i boją się tych, którzy nim władają. Ogień jest naszym sprzymierzeńcem na pustkowiu.

– Może – mruknął Sam – ale też trudno wyraźniej oznajmić o naszej obecności, chyba że wprost krzyknęlibyśmy: „Hola, tu jesteśmy!”.

W najbardziej ukrytym kącie na dnie kotlinki rozpalili ognisko i ugotowali strawę. Cienie już się wydłużyły, pochłodniało. Hobbici nagle uświadomili sobie, że są okropnie głodni, bo od śniadania nic w ustach nie mieli, ale nie odważyli się na sutszą wieczerzę. Mieli przed sobą kraj pustynny, zamieszkany jedynie przez ptaki i zwierzęta, niegościnną okolicę,

którą opuściły wszystkie ludy Śródziemia. Strażnicy zapuszczali się czasem poza łańcuch wzgórz, lecz było ich niewielu i nigdy nie przebywali w tych stronach długo. Inni podróżni rzadko się trafiali albo też należeli do istot, których lepiej nie spotykać: wałęsały się tu niekiedy trolle z północnych dolin Gór Mglistych. Tylko gościńcem ktoś czasem wędrował, najczęściej krasnoludowie, którzy mieli własne sprawy, a dla obcych skąpi byli w słowa i nieskorzy do pomocy.

– Nie wiem, co zrobić, żeby nam prowiantu starczyło do końca – rzekł Frodo. – Ostatnimi dniami oszczędzaliśmy bardzo, dzisiejszej kolacji też nikt ucztą by nie nazwał, a mimo to zużyliśmy już więcej zapasów, niż należało, jeśli pozostały nam, skromnie licząc, dwa tygodnie marszu.

– Na pustkowiu można znaleźć pożywienie – odparł Obieżyświat. – Jagody, korzenie, zioła. W razie potrzeby umiem też coś upolować. Póki zima nie nadciągnie, głodu się nie lękajcie. Tylko że zbieranie żywności i łowy zajmują dużo czasu i dodają trudów, a my musimy się spieszyć. Zaciśnijcie więc pasów i pocieszajcie się nadzieją na zastawione stoły w domu Elronda.

Z zapadnięciem mroku zrobiło się jeszcze zimniej. Wyglądając nad krawędzią kotlinki, hobbici nie widzieli nic prócz szarego krajobrazu, szybko pogrążającego się w ciemności. Na niebo, znów rozpogodzone, z wolna wypływały gwiazdy. Frodo i jego przyjaciele kulili się przy ognisku, otuleni we wszystkie ciepłe rzeczy i koce, jakie zdołali pozbierać. Tylko Obieżyświat zadowolił się jednym płaszczem i siadł nieco na uboczu, ćmiąc w zadumie fajkę.

Kiedy zapadła noc, ognisko zaś rozpaliło się żywym blaskiem, zaczął hobbitom opowiadać różne historie, by oderwać ich myśli od niebezpieczeństw. Znał wiele starych opowieści i legend o elfach i o ludziach, o szlachetnych i nikczemnych czynach z Dawnych Dni. Słuchając, hobbici zastanawiali się, ile też lat może mieć Obieżyświat i gdzie nauczył się tego wszystkiego.

– Opowiedz nam o Gil-galadzie – odezwał się niespodzianie Merry, gdy przewodnik skończył historię o królestwach elfów. – Czy znasz więcej zwrotek tej starej ballady, o której nam wspomniałeś?

– Owszem, znam – odparł Obieżyświat. – Frodo zna ją także, bo ta historia wiąże się z naszą sprawą.

Merry i Pippin spojrzeli na Froda, zapatrzonego w ogień.

– Wiem tylko to, co mi Gandalf powiedział – rzekł Frodo z namysłem. – Gil-galad był ostatnim wielkim królem elfów w Śródziemiu. Gil-galad znaczy w ich języku „Światłość Gwiazd”. Wraz z Elendilem, Przyjacielem Elfów, wybrał się on do krainy…

– Nie! – przerwał mu Obieżyświat. – Tego nie trzeba opowiadać dzisiejszej nocy, kiedy słudzy Nieprzyjaciela są tuż. Jeżeli uda nam się dotrzeć do dworu Elronda, usłyszycie tam całą historię bez przemilczeń.

– W takim razie opowiedz coś innego o dawnych dziejach – prosił Sam. – Opowiedz o elfach sprzed czasów ich zmierzchu. Bardzo, bardzo bym chciał słuchać historii o elfach. Noc taka straszna tutaj!

– Opowiem wam o Tinúviel – rzekł Obieżyświat. – Opowiem w skrócie, bo to długa historia i końca jej nikt nie zna. Prócz Elronda nikt też dziś nie pamięta dokładnie, jak ją ongi opowiadano. Piękna historia, chociaż smutna, jak wszystkie legendy Śródziemia, a przecież może pokrzepić wasze serca.

Chwilę milczał, a potem zamiast mówić, zaczął z cicha śpiewać:

Zielone liście, zieleń traw,
Wysoki, jasny szalej –
A na polance światło gwiazd
Na tle cienistych alej.
Tinúviel wiedzie tutaj tan
(Ton fletni – słyszysz – bliski),
A na jej włosach światło gwiazd,
Na sukni gwiezdne błyski.

Beren tam przyszedł z mroźnych gór,
Wędrował wciąż pod liśćmi –
Aż ujrzał Rzeki Elfów brzeg
I rzekł: gdzież dalej iść mi?
I spojrzał przez szaleju liść:
Na płaszczu złoto słońca

I fala włosów niby cień
Za głową szła – tańcząca.

Zmęczonym stopom jakiż lek!
Wędrówek dość bez końca!
Więc ruszył naprzód poprzez bór,
Chwytając blask miesiąca.
A ją przez elfów mroczny las
Tańcząca stopa niesie –
A on samotny tak jak wprzód
W milczącym błądzi lesie.

I czasem słyszy szelest stóp
Jak liście lip leciutki –
To znów, jakby z podziemnych grot
Melodii cichej nutki.
Szaleju liść już dawno zwiądł,
A z bukowego drzewa
Czerwone liście lecą w krąg
I zimny wiatr je zwiewa.

Szukał jej wszędzie, szukał wciąż,
Gdzie leżał liść pokotem,
Gdy w mroźnym niebie księżyc lśnił
I gwiazdy przy nim złote.
W miesięcznym blasku lśnił jej płaszcz,
Gdy na pagórku, w dali
Tańczyła, mając u swych stóp
Srebrzystą mgłę z opali.

Wróciła, gdy był zimy kres,
By przyjście głosić wiosny,

Swym śpiewem jak skowronka lot,
Jak rzeki plusk radosny.
U stóp jej – patrz – rozkwita kwiat,
Już Beren urzeczony
Z nią tańczyć chciałby pośród traw
I z kwiatów pleść korony.

I znów uciekła – Beren w głos
„Tinúviel – wołał – miła!”
Myślała, że to może elf,
Więc główkę odwróciła.
Ten głos snadź rzucił na nią czar –
Stanęła urzeczona,
I wtedy spełnił się jej los,
Gdy padła mu w ramiona.

A gdy w jej oczu spojrzał toń,
Jak na niebieskim łanie,
Oczarowany ujrzał gwiazd
Srebrzyste migotanie.
Tinúviel, najpiękniejsza wśród
Odwiecznych elfów grona –
Zarzuca nań swych włosów sieć
I srebrne swe ramiona.

I długą drogą los ich wiódł
Przez grozę gór Północy,
Żelaznych sal i czarnych wrót,
Przez puszcze wiecznej nocy.
Choć ich rozdzielił bezkres Mórz,
Raz jeszcze się spotkali

I w las odeszli, dawno już,
Ze śpiewem – i bez żalu[37].

Westchnął i dopiero po długiej chwili powiedział:

– To jest pieśń na modłę zwaną przez elfów *ann-thennath*, ale trudno ją przetłumaczyć na Wspólną Mowę, słyszeliście ledwo nieudolne echo prawdziwej pieśni. Opowiada ona o spotkaniu Berena, syna Barahira, z Lúthien Tinúviel. Beren był śmiertelnym człowiekiem, Lúthien natomiast córką Thingola, króla wszystkich elfów Śródziemia za czasów młodości naszego globu. Świat nie zrodził nigdy piękniejszej dziewczyny niż Lúthien. Jej uroda jaśniała jak gwiazda nad mglistymi krajami północy, a z twarzy bił blask. W owych czasach Wielki Nieprzyjaciel, którego sługą tylko był Sauron z Mordoru, mieszkał w Angbandzie, na północy; elfowie z Zachodu, wracając do Śródziemia, wypowiedzieli mu wojnę, chcąc odzyskać zagrabione ongi Silmarile. Praojcowie ludzi pomagali elfom. Ale Nieprzyjaciel zwyciężył, Barahir poległ, Beren zaś, uniknąwszy wielkich niebezpieczeństw, przybył przez Góry Zgrozy do tajemnego królestwa Thingola w lesie Neldoreth. Tu ujrzał Lúthien tańczącą i śpiewającą na polanie nad zaczarowaną rzeką Esgalduną. Nazwał dziewczynę Tinúviel, a to znaczy w starożytnym języku: słowik. Potem musiał walczyć z wielu przeszkodami i długo trwała rozłąka tych dwojga. Tinúviel ocaliła Berena z lochów Saurona, razem przeżyli mnóstwo niebezpieczeństw, a nawet strącili Wielkiego Nieprzyjaciela z tronu i z jego żelaznej korony wyjęli jeden z trzech Silmarilów – które były najcenniejszymi klejnotami świata – na dar ślubny dla króla Thingola od córki. W końcu jednak Wilk, przybyły od bram Angbandu, zabił Berena; umarł on w objęciach Tinúviel. Ona dobrowolnie wybrała los śmiertelnych, zgodziła się umrzeć dla świata, żeby pójść za ukochanym. Pieśń mówi, że spotkali się znów za Morzami Rozłąki i na krótko wrócili żywi do zielonych lasów, a potem razem odeszli poza granice tego świata. Tak więc się stało, że spośród wszystkich elfów jedna jedyna Lúthien Tinúviel umarła naprawdę i opuściła świat, a elfowie stracili tę, którą najbardziej kochali. Ale jej potomstwo zapoczątkowało dynastię władców – elfów panujących wśród ludzi. Po dziś dzień żyją prawnuki Lúthien i powiedziane jest, że ród jej nigdy nie wygaśnie. Z tego rodu wywodzi się Elrond, władca Rivendell. Albowiem ze związku Berena i Lúthien urodził się Dior, spadkobierca Thingola. Dior zaś spłodził Elwingę Białą, która zaślubiła Eärendila; on to pożeglował spośród mgieł świata na

morza niebios, mając klejnot Silmaril na czole. Od Eärendila zaś pochodzą królowie Númenoru, czyli Westernesse.

Obieżyświat mówił, a hobbici siedzieli wpatrzeni w jego niezwykłą, ożywioną twarz, oświetloną czerwonym odblaskiem ognia. Oczy mu błyszczały, głos dźwięczał pięknie i poważnie. Nad głową miał czarne, roziskrzone od gwiazd niebo. Nagle mdła poświata ukazała się nad koroną Wichrowego Czuba. Księżyc z wolna wspinał się ponad wzgórze, w którego cieniu kryli się dotąd podróżni, a gwiazdy nad szczytem zbladły.

Opowieść była skończona. Hobbici poruszyli się, przeciągnęli kości.

– Patrzcie – rzekł Merry. – Księżyc jest już wysoko, musi być późna godzina.

Wszyscy spojrzeli w górę i w tej samej chwili zobaczyli na szczycie jakiś kształt, drobny i czarny, rysujący się w księżycowym blasku. Może zresztą był to tylko duży kamień albo występ skalny, łudzący wzrok w tym oświetleniu.

Sam i Merry wstali i odsunęli się od ogniska. Frodo i Pippin siedzieli nadal, milcząc. Obieżyświat pilnie wpatrywał się w blask księżycowy nad szczytem. Wszystko dokoła wydawało się spokojne i ciche, lecz teraz, gdy Obieżyświat przestał opowiadać swoje historie, Frodo uczuł zimny dreszcz ogarniający mu serce. Przysunął się bliżej do ognia. W tym momencie Sam, który odszedł był przed chwilą na krawędź kotlinki, wrócił pędem.

– Nie wiem dlaczego – rzekł – ale nagle zdjął mnie strach. Za żadne skarby nie odważyłbym się wyleźć z tej dziury. Wydało mi się, że coś pełznie po stoku.

– Czy coś widziałeś? – spytał Frodo, zrywając się na równe nogi.

– Nie, proszę pana. Nic nie widziałem, ale, co prawda, nie czekałem, żeby się rozejrzeć.

– Ja coś widziałem – rzekł Merry – a przynajmniej takie miałem wrażenie, jakbym tam, na zachodzie, gdzie księżyc oświetla równinę i gdzie nie sięga cień gór, dostrzegał parę czarnych sylwetek. Zdawało mi się, że suną w naszą stronę.

– Zbliżcie się jak najbardziej do ogniska, twarzami obróćcie się na zewnątrz! – krzyknął przewodnik. – Niech każdy chwyci w ręce długi kij!

Wstrzymując dech, siedzieli w milczącym napięciu, plecami zwróceni do ognia, wbijając wzrok w cienie, które ich otaczały. Nic się jednak nie działo. Nic nie drgnęło ani nie odezwało się wśród nocy. Frodo poruszył się, nie mogąc dłużej znieść tej ciszy; miał nieprzepartą chęć krzyknąć głośno.

– Tss! – szepnął Obieżyświat.

– Co to? – wyjąkał w tej samej chwili Pippin.

Na krawędzi kotlinki, po stronie przeciwległej do stoku, wyczuli raczej niż dostrzegli jakiś cień, czy może kilka cieni. Wytężyli wzrok i wydało im się, że cienie z każdą sekundą rosną. Wkrótce pozbyli się resztek wątpliwości: trzy lub cztery wysokie czarne postacie stały na skraju kotliny i z góry spoglądały na obozujących. Były tak czarne, że wyglądały jak czarne dziury wybite w gęstwinie cienia czającego się za nimi. Frodo złowił uchem nikły syk, jak gdyby tchnienie zatrutego oddechu, i przeszył go lodowaty dreszcz. Czarne postacie zaczęły się z wolna przybliżać.

Pippin i Merry w przerażeniu rzucili się na ziemię i przywarli do niej na płask. Sam przyskoczył do Froda. Frodo, wcale nie mniej wystraszony od towarzyszy, dygotał jak w febrze, lecz nagle nad paniką wzięła górę pokusa, żeby włożyć Pierścień na palec. Ta myśl tak nim owładnęła, że wyparła wszystkie inne. Pamiętał przygodę w Kurhanie, pamiętał nakazy Gandalfa, ale jakaś siła przynaglała go, żeby zlekceważył wszelkie ostrzeżenia, i Frodo pragnął jej ulec. Nie dlatego, by miał nadzieję dzięki temu uratować się lub coś zdziałać; po prostu coś go przymuszało do tego, by wyciągnąć Pierścień i wsunąć go na palec. Nie mógł mówić. Zdawał sobie sprawę, że Sam patrzy na niego tak, jakby rozumiał, iż jego pan znalazł się w wielkiej rozterce; lecz Frodo nie był zdolny odwrócić głowy w stronę Sama. Zamknął oczy i przez chwilę walczył z pokusą, lecz z każdą chwilą opór jego słabnął, aż wreszcie hobbit z wolna wyciągnął łańcuszek z kieszeni i włożył Pierścień na palec wskazujący lewej ręki.

Nic się wokół niego nie zmieniło, otaczały go nadal mgła i mrok, ale napastnicy ukazali mu się natychmiast ze straszliwą wyrazistością. Frodo przenikał wzrokiem przez czarne płaszcze. Było ich pięciu, pięć wysokich postaci; dwie stały na krawędzi kotliny, trzy posuwały się ku ognisku. W białych twarzach płonęły przenikliwe, bezlitosne oczy. Pod płaszczami ubrani byli w długie szare szaty, na siwych włosach mieli srebrne hełmy, w kościstych rękach stalowe miecze. Przeszyli Froda spojrzeniem i rzucili się

ku niemu. W rozpaczy hobbit dobył także miecza i wydało mu się, że ostrze rozbłysło czerwonym płomieniem jak pochodnia. Dwaj napastnicy zatrzymali się. Trzeci, wyższy od nich, miał długie, połyskliwe włosy, a na hełmie koronę. W jednej ręce trzymał miecz, a w drugiej nóż, a zarówno ten nóż, jak dzierżąca go ręka lśniły bladym światłem. Runął naprzód prosto na Froda.

W tym samym okamgnieniu Frodo padł twarzą na ziemię i usłyszał swój własny głos wołający: „O Elbereth! Gilthoniel!”. Jednocześnie rąbnął mieczem po stopach napastnika. Przeraźliwy krzyk rozdarł noc, a Frodo poczuł ból, jakby sopel lodu przebił mu lewe ramię. Omdlewając, poprzez wirującą mgłę ujrzał jeszcze Obieżyświata, który wyskoczył z mroku z płonącymi żagwiami w obu rękach. Ostatnim wysiłkiem Frodo zsunął z palca Pierścień i zacisnął go mocno w prawej pięści.

ROZDZIAŁ 12
BIEG DO BRODU

Kiedy Frodo odzyskał przytomność, wciąż jeszcze trzymał Pierścień w zaciśniętej kurczowo garści. Leżał przy ognisku, które teraz znowu piętrzyło się wysoko i płonęło jasno. Nad sobą ujrzał pochylonych trzech przyjaciół.

– Co się stało? Gdzie jest blady król? – spytał gorączkowo.

Uszczęśliwieni, że wreszcie przemówił, zrazu nie odpowiadali, nie rozumiejąc zresztą pytania. W końcu Frodo od Sama dowiedział się, że trzej hobbici nie zobaczyli nic prócz mglistych cieni zbliżających się ku nim. Sam ze zgrozą spostrzegł nagle, że jego pana nie ma przy nim, i w tym momencie czarny cień przemknął tuż obok. Sam upadł. Usłyszał głos Froda, ale dochodzący jakby z wielkiej odległości czy spod ziemi i wymawiający niezrozumiałe słowa. Więcej nic nie widzieli, aż w końcu któryś potknął się o ciało Froda, nieruchome jak trup, twarzą obrócone ku ziemi. Obieżyświat kazał im podnieść go i ułożyć bliżej ogniska, a potem gdzieś zniknął. Od tej chwili upłynęło już sporo czasu.

Sam nie ukrywał, że ogarnęły go znów podejrzenia co do osoby przewodnika, lecz gdy o tym rozmawiali, Obieżyświat zjawił się między nimi, wychynąwszy z ciemności. Wzdrygnęli się, a Sam dobył miecza i zasłonił sobą Froda. Lecz Obieżyświat szybko ukląkł przy rannym.

– Nie jestem Czarnym Jeźdźcem, Samie – rzekł łagodnie – ani w zmowie z Czarnymi Jeźdźcami. Próbowałem wytropić ich manewr, ale niczego się nie dowiedziałem. Nie mam pojęcia, dlaczego się wycofali i dlaczego nie atakują ponownie. Ale nigdzie w pobliżu nie wyczuwa się ich obecności.

Wysłuchawszy relacji Froda, Obieżyświat bardzo się zatroskał, pokiwał głową i westchnął. Polecił Pippinowi i Merry’emu zagrzać tyle wody, ile zmieszczą wszystkie podróżne kociołki, i przemyć ranę.

– Podtrzymujcie ognisko i dbajcie, żeby Frodowi było ciepło – rzekł. Po czym wstał i odszedł, przywołując Sama. – Zdaje mi się, że teraz lepiej wszystko rozumiem – powiedział do niego ściszonym głosem. – Nieprzyjaciół było tylko pięciu, jak się zdaje. Dlaczego nie przyszli

wszyscy naraz, nie wiem. Myślę, że nie spodziewali się oporu. Tymczasem, bądź co bądź, wycofali się stąd. Obawiam się jednak, że niedaleko. Jeżeli nie zdołamy im umknąć, wrócą następnej nocy. Czekają tylko, bo są przekonani, że cel niemal już osiągnęli i że Pierścień nie ucieknie już dalej. Boję się, Samie, że wedle ich mniemania twój pan otrzymał śmiertelną ranę, która go podda ich woli. Zobaczymy!

Sam zdławił szloch.

– Nie rozpaczaj! – powiedział Obieżyświat. – Musisz mi zaufać. Frodo ma więcej hartu, niż się spodziewałem, jakkolwiek Gandalf to przewidywał. Nie zabili go i myślę, że dłużej będzie stawiał opór złym czarom tej rany, niż to sobie obiecują jego wrogowie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc i wyleczyć go. Strzeż go dobrze, kiedy mnie przy nim nie będzie.

I Obieżyświat odszedł, znowu znikając w ciemnościach.

Frodo drzemał, chociaż ból w ranie stale się potęgował, a śmiertelny ziąb promieniował od barku na całe ramię i bok. Przyjaciele czuwali nad rannym, okrywali go ciepło i przemywali ranę. Noc wlokła się w udręce. Brzask już się rozlewał po niebie, a kotlinkę wypełniło szare światło, gdy wreszcie wrócił Obieżyświat.

– Patrzcie! – krzyknął i schyliwszy się, podniósł z ziemi czarny płaszcz, dotychczas niezauważony w ciemnościach. Na wysokości mniej więcej stopy od rąbka materiał był przecięty. – Oto ślad miecza naszego Froda – rzekł. – Obawiam się, że to jedyna szkoda, jaką wyrządził swojemu przeciwnikowi. Miecz bowiem nie jest uszkodzony, ostrze zaś, które by drasnęło straszliwego króla, musiałoby zniszczeć. Bardziej zabójczo podziałało na niego imię Elbereth. Dla Froda natomiast zabójcze było to! – Obieżyświat schylił się znów, tym razem podnosząc długi wąski nóż. Bił od niego zimny blask. Gdy Strażnik podniósł go do góry, zobaczyli, że ostrze jest wyszczerbione, a sam koniec ułamany. Obieżyświat trzymał go przez chwilę i hobbici osłupieli, bo w rosnącym świetle dnia ostrze zdawało się topnieć, aż znikło niby dym rozwiany w powietrzu, a w ręku przewodnika został tylko trzonek.

– Niestety! – krzyknął Obieżyświat. – To ten przeklęty nóż zranił Froda. Mało kto umie dzisiaj leczyć rany zadane tak złowrogą bronią. Zrobię wszakże wszystko, co w mojej mocy.

Usiadł na ziemi, położył sobie trzonek sztyletu na kolanach i zanucił nad nim powolną pieśń w nieznanym języku. Potem odłożył go, schylił się nad Frodem i wymawiał łagodnie jakieś słowa, których hobbici nie zrozumieli. Z sakwy zawieszonej u pasa wyciągnął podłużne liście.

– Po te liście – rzekł – chodziłem daleko, bo ziele to nie rośnie na łysych wzgórzach, lecz można je znaleźć w zaroślach na południe od gościńca; w ciemnościach poznałem je po zapachu. – Skruszył liść w palcach i zaraz rozeszła się słodka, miła woń. – Szczęście, że je znalazłem, bo to roślina lecznicza, a przynieśli ją do Śródziemia Ludzie z Zachodu. Nazwali ją *athelas*. Stała się teraz rzadkością i rośnie tylko w miejscach, gdzie ci ludzie niegdyś mieszkali lub obozowali. Na północy nikt jej nie zna prócz nielicznych wędrowców, zapuszczających się na dzikie pustkowia. Ma wielką siłę, ale na to, by uzdrowić taką ranę, może się okazać za słaba.

Rzucił liście do wrzątku i przemył ranę Froda. Rozszedł się zapach tak orzeźwiający, że wszyscy doznali ukojenia i rozjaśniło im się w głowach. Ziele też miało pewien wpływ na ranę, ból złagodniał i uczucie lodowatego odrętwienia w boku stało się mniej dotkliwe; ramię jednak pozostało martwe, Frodo nie mógł go podnieść i nie władał ręką. Gorzko żałował szalonego postępku i wyrzucał sobie słabość woli; teraz bowiem zrozumiał, że wkładając Pierścień, posłuchał nie własnej chęci, lecz narzuconego życzenia wrogów. Rozmyślał z niepokojem, czy będzie już do końca życia kaleką i jak podoła dalszej wędrówce. Był tak słaby, że nie mógł utrzymać się na nogach.

Nad tym samym pytaniem zastanawiała się reszta kompanii. Prędko doszli do wniosku, że trzeba bez zwłoki opuścić Wichrowy Czub.

– Przypuszczam – mówił Obieżyświat – że nieprzyjaciel od kilku już dni obserwował to wzgórze. Jeżeli Gandalf tu był, z pewnością zmusili go do odejścia i już nie wróci. W każdym razie po zapadnięciu zmroku czyha na nas tutaj wielkie niebezpieczeństwo, po wczorajszej napaści to jest niewątpliwe. Na nic gorszego nie narazimy się nigdzie indziej.

Gdy rozwidniło się na dobre, zjedli spiesznie śniadanie i spakowali rzeczy. Frodo nie był zdolny do marszu, więc rozdzielili większość bagaży między siebie, a rannego wsadzili na kucyka. W ciągu paru ostatnich dni kuc poprawił się nad podziw, nabrał tuszy i sił, a przy tym zaczął okazywać przywiązanie do swoich nowych panów, szczególnie do Sama. Bill Ferny

musiał go rzeczywiście okrutnie traktować, jeżeli kucykowi podróż przez pustkowie wydawała się przyjemniejsza od dotychczasowego losu.

Ruszyli w kierunku południowym. Pociągało to za sobą konieczność przecięcia w poprzek gościńca, lecz stanowiło najkrótszą drogę na tereny zalesione. A wędrowcy potrzebowali opału, bo Obieżyświat wciąż powtarzał, że dla Froda niezbędne jest ciepło, zwłaszcza nocą, kiedy w dodatku ognisko zapewni wszystkim jako takie bezpieczeństwo. Obieżyświat zamierzał też skrócić podróż, wędrując na przełaj i ścinając jeszcze jedną szeroką pętlę gościńca, który na wschód od Wichrowego Czuba zataczał wielki łuk ku północy.

Posuwali się z wolna i ostrożnie, obchodząc południowe stoki wzgórza, i wkrótce znaleźli się na skraju gościńca. Nie było tu śladu jeźdźców. Kiedy jednak spiesznie przebiegali na drugą stronę, usłyszeli dwa okrzyki w oddali: jeden zimny głos coś zawołał, drugi mu odpowiedział. Drżąc, skoczyli naprzód ku gęstwinie zarośli.

Teren opadał, lecz było to dzikie bezdroże; krzaki i karłowate drzewa rosły zbitymi kępami, ale między nimi ciągnęły się odkryte przestrzenie. Trawa była skąpa, szorstka i szara, liście na krzewach przywiędłe i już przerzedzone. Okolica ziała smutkiem. Wędrowali przez nią mozolnie i posępnie. Wlekli się, nie mówiąc ze sobą wiele. Frodowi serce się ściskało, gdy patrzył na przyjaciół idących ze spuszczonymi głowami, zgarbionych pod ciężarem bagaży. Nawet Obieżyświat zdawał się zmęczony i przybity.

Nim skończył się pierwszy dzień marszu, rana znów bardzo Froda rozbolała, lecz przez długi czas nic o tym nie wspominał towarzyszom. Upłynęły cztery dni, a teren i krajobraz niewiele się zmieniły, tylko Wichrowy Czub stopniowo malał za nimi, a odległe góry przed nimi majaczyły nieco bliżej. Wszakże od owych dwóch okrzyków nie usłyszeli ani nie zobaczyli nic, co by świadczyło, że nieprzyjaciel zauważył ucieczkę i ściga zbiegów. Lękali się ciemności i czuwali po dwóch na zmianę przez całe noce, w każdej chwili przygotowani na to, że z szarzyzny nocnej w mętnym świetle zasnutego chmurami księżyca wyłonią się nagle czarne cienie; nic jednak się nie ukazało i nie złowili słuchem innego szmeru prócz westchnień suchych liści i traw. Ani razu też nie mieli takiego przeczucia obecności złych sił, jakie ich nawiedziło przed napaścią w kotlinie. Nadzieja, że Jeźdźcy znów zgubili ich trop, wydawała się wszakże

nieuzasadniona. Może nieprzyjaciel tylko czekał, przygotowując zasadzkę w jakimś ciasnym kącie?

Pod koniec piątego dnia teren znów zaczął się po trochu wznosić, wyprowadzając ich z szerokiej płytkiej doliny, do której zeszli. Przewodnik wytyczył teraz kurs z powrotem na północo-wschód i w szóstym dniu osiągnęli szczyt wydłużonego łagodnego grzbietu; stąd zobaczyli w oddali stłoczone bezładnie zalesione wzgórza. U ich stóp wił się dołem gościniec; po prawej ręce szara rzeka błyszczała blado w nikłym słońcu. Gdzieś bardzo daleko migotała druga rzeka w kamiennej dolinie na pół przesłoniętej mgłą.

– Obawiam się, że będziemy musieli wrócić na pewien czas na gościniec – powiedział Obieżyświat. – Doszliśmy, jak się zdaje, nad rzekę Hoarwell, którą elfowie nazywają Mitheithel. Wypływa ona z Ettenmoors, górzystej krainy trollów na północ od Rivendell, dalej na południu wpada do niej Grzmiąca Rzeka. W dolnym biegu Hoarwell niektórzy ją nazywają Szarą Wodą. W pobliżu ujścia jest naprawdę wielką rzeką. Nie można się przez nią przeprawić inaczej, jak przez Ostatni Most, do którego prowadzi gościniec.

– A co to za rzekę widać tam dalej? – spytał Merry.

– To Grzmiąca Rzeka, czyli Bruinen, rzeka doliny Rivendell – odparł Obieżyświat. – Gościniec biegnie skrajem pasma wzgórz przez wiele mil aż do brodu. Ale jeszcze nie wiem, jak się przez Bruinen przeprawimy. Na razie wystarczy kłopotu z jedną rzeką. Będziemy mieli wyjątkowe szczęście, jeżeli nie zastaniemy Ostatniego Mostu w ręku wroga.

Nazajutrz wczesnym rankiem stanęli znów na skraju gościńca. Sam i Obieżyświat poszli przodem na zwiad, ale nie znaleźli ani śladu jakichkolwiek podróżnych, pieszych czy konnych. W cieniu wzgórz najwidoczniej padał niedawno deszcz. Obieżyświat osądził, że musiało to być przed dwoma dniami i że ulewa zmyła wszelkie tropy. Od tego czasu, jak twierdził, nie przeszły tędy konie.

Starali się posuwać możliwie jak najszybciej i przeszedłszy niewiele ponad milę, ujrzeli przed sobą Ostatni Most, ku któremu droga opadała krótką stromizną. Drżeli, że zobaczą tam czyhające czarne postacie, ale nie było widać nikogo. Obieżyświat kazał hobbitom schować się w

przydrożnych zaroślach i poszedł naprzód wybadać sytuację. Po chwili przybiegł z powrotem.

– Nie widziałem śladu wroga – rzekł – i bardzo mnie zastanawia, co to może znaczyć. Znalazłem natomiast coś niezwykłego.

Wyciągnął rękę i pokazał im na dłoni jasnozielony drogocenny kamień.

– Leżał w błocie na środku mostu – rzekł. – To beryl, kamień elfów. Nie mam pojęcia, czy go ktoś tam położył umyślnie, czy zgubił niechcący, ale to mi dodało otuchy. Biorę to za znak, że możemy iść przez most, dalej jednak nie śmiem trzymać się gościńca, chyba że otrzymamy jakąś wyraźniejszą zachętę.

Ruszyli, nie zwlekając. Most przebyli bezpiecznie i prócz chlupotu wody, obijającej się o jego trzy wielkie sklepione łuki, nic nie usłyszeli. O milę dalej stanęli u wylotu ciasnego wąwozu, który prowadził w lewo od gościńca przez górzysty teren ciągnący się ku północy. Przewodnik skręcił weń i zaraz zapadli w mrok między drzewa, gęsto stłoczone u podnóży stromych zboczy.

Hobbici radzi byli, że zostawili za sobą ponurą krainę i niebezpieczeństwa gościńca, lecz ta nowa okolica wydawała się groźna i nieprzyjazna. W miarę jak posuwali się naprzód, wzgórza wokół nich piętrzyły się coraz wyżej. Tu i ówdzie na szczytach i graniach dostrzegali resztki starych kamiennych murów i ruiny wież: wyglądało to złowróżbnie. Frodo, jadący na kucyku, miał więcej niż inni czasu, by się rozglądać i rozmyślać. Przypomniał sobie, że Bilbo, opowiadając o swojej wyprawie, mówił o groźnych wieżach na północ od gościńca w pobliżu lasu trollów, gdzie go spotkała pierwsza poważniejsza przygoda. Frodo zgadywał, że znaleźli się w tej samej okolicy, i zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem nie będą przechodzili w pobliżu tamtego miejsca.

– Kto mieszka w tym kraju? – spytał. – Kto zbudował te wieże? Czy to ziemia trollów?

– Nie – odparł Obieżyświat. – Trolle nic nie budują. Nikt tutaj nie mieszka. Ongi, przed wiekami, żyli tu ludzie, ale dziś już ich nie ma. Legenda mówi, że padł na nich cień Angmaru i znikczemnieli. Cały kraj spustoszono podczas wojny, która doprowadziła do upadku Północne Królestwo. Działo się to jednak tak dawno, że nawet wzgórza o ludziach zapomniały, jakkolwiek cień wciąż jeszcze zalega te ziemie.

– Skąd znasz tę historię, jeżeli ten kraj opustoszał i zapomniał o swojej przeszłości? – zapytał Peregrin. – Zwierzęta i ptaki nie opowiadają takich rzeczy.

– Potomkowie Elendila nie zapominają nic z tego, co przeminęło – rzekł Obieżyświat. – O wielu rzeczach, o których ja nie umiem wam opowiedzieć, pamięta się w Rivendell.

– Bywałeś nieraz w Rivendell? – zapytał Frodo.

– Tak – odparł Obieżyświat. – Mieszkałem w Rivendell czas jakiś i powracam tam, ilekroć mogę. Tam zostało moje serce, los jednak nie pozwala mi cieszyć się spokojem, nawet w pięknym domu Elronda.

Wzgórza zacieśniały swój krąg dokoła wędrowców. Gościniec w tym miejscu raz jeszcze skręcił na południe, ku rzece, lecz zarówno drogę, jak rzekę stracili teraz z oczu. Weszli w długą dolinę, wąską, głęboko wciętą w teren, mroczną i cichą. Pogięte korzenie sędziwych drzew zwisały nad urwiskami, sosny pięły się wysoko na zbocza.

Hobbitów ogarnęło wielkie znużenie. Posuwali się wolno, bo musieli sobie torować szlak przez bezdroża, wśród powalonych pni i rumowisk skalnych. Starali się, póki mogli, unikać wspinania się w górę, ze względu na Froda, a także dlatego, że było doprawdy trudno znaleźć jakąś możliwą drogę, prowadzącą wzwyż z ciasnych dolinek. Trzeciego dnia marszu przez tę okolicę zmieniła się pogoda. Wiatr dął stale od zachodu, niosąc od odległych mórz wody, które rzęsistym deszczem wylewał na ciemne szczyty wzgórz. Pod wieczór wędrowcy byli już przemoczeni do nitki, a popas nie dał im wypoczynku, bo nie mogli rozpalić ogniska. Nazajutrz wzgórza spiętrzyły się nad nimi jeszcze wyżej i stromiej, tak że musieli zboczyć z wytkniętego kursu bardziej ku północy. Przewodnik zdradzał już pewien niepokój, bo mijało dziesięć dni od zejścia z Wichrowego Czuba i zapasy prowiantów były na wyczerpaniu. Deszcz lał ciągle.

Nocą biwakowali na kamiennej półce pod skałą, w której otwierała się płytka koliba, a raczej nieznaczne wgłębienie w ścianie. Frodo był niespokojny. Od zimna i wilgoci rana rozbolała go dotkliwiej niż kiedykolwiek, a ból i lodowate dreszcze spędzały sen z oczu. Hobbit kręcił się i przewracał, nasłuchując z trwogą tajemniczych nocnych szmerów: wiatru świszczącego w rozpadlinach, kapania kropli, trzasków i łoskotu odrywającego się nagle i spadającego w dół kamienia. W pewnej chwili

wydało mu się, że czarne cienie pełzną ukradkiem, by go zadusić, lecz gdy podniósł głowę, nie zobaczył nic prócz pleców Obieżyświata, który siedział skulony, ćmił fajkę i czuwał. Frodo położył się znów i zapadł w niespokojny sen. Śnił, że przechadza się po trawniku w swoim ogrodzie w Bag End, lecz cały ogród był nikły, mglisty, mniej wyraźny niż wysokie czarne cienie śledzące go zza żywopłotu.

Rano, obudziwszy się, stwierdził, że deszcz ustał. Chmury jeszcze zalegały niebo, lecz już się rozpraszały, blade smugi błękitu prześwitywały między nimi. Wiatr znowu się odmienił. Tego dnia nie wyruszyli w drogę o świcie. Natychmiast po śniadaniu, które zjedli na zimno i bez przyjemności, Obieżyświat sam wypuścił się na zwiady, poleciwszy hobbitom czekać pod ochroną skalnego nawisu, dopóki nie wróci. Zamierzał, o ile to będzie możliwe, wspiąć się na szczyt i stamtąd rozejrzeć w terenie.

Nie przyniósł zbyt pocieszających wiadomości.

– Zaszliśmy zbyt daleko na północ – powiedział. – Musimy znaleźć jakąś drogę z powrotem na południe. Gdybyśmy trzymali się tego samego co dotychczas kierunku, znaleźlibyśmy się w końcu w Ettendales, daleko na północ od Rivendell. To kraj trollów, mało mi znany. Może zdołalibyśmy stamtąd zawrócić do Rivendell, oznaczałoby to jednak z pewnością wielką zwłokę, bo nie znam drogi, i nie starczyłoby nam prowiantu. Toteż, tak czy inaczej, musimy odszukać Bród Bruinen.

Przez resztę dnia posuwali się mozolnie po skalistym gruncie. Znaleźli przejście między dwoma wzgórzami, które ich zaprowadziło do dolinki, ciągnącej się ku południo-wschodowi, a więc w pożądanym kierunku. Pod wieczór jednak zagrodziła im znowu drogę wysoka stroma ściana; czarna grań jeżyła się na tle nieba mnóstwem skalnych zębów, co ją upodabniało do tępej piły. Mieli do wyboru zawrócić albo wspiąć się na nią.

Wybrali drogę pod górę, lecz okazała się niezmiernie trudna. Wkrótce Frodo musiał zsiąść z wierzchowca i mozolić się na własnych nogach. Mimo to nieraz tracili nadzieję, czy zdołają wyprowadzić kucyka, a nawet czy sami jakoś dotrą do celu, obciążeni bagażem. Zmrok już niemal zapadł i wszyscy byli do szczętu wyczerpani, kiedy wreszcie stanęli na górze. Wspięli się na wąskie siodło między dwoma zębami, a tuż przed nimi zbocze znów opadało stromo. Frodo rzucił się na ziemię i leżał, wstrząsany dreszczem. Lewe ramię zwisało martwo; hobbit miał takie uczucie, jakby

lodowate pazury ściskały mu bark i bok. Drzewa i skały widział nad sobą niewyraźnie jak przez gęstą mgłę.

– Nie sposób iść dalej – rzekł Merry do Obieżyświata. – Boję się, że ten marsz zaszkodzi Frodowi. Okropnie się o niego niepokoję. Co począć? Czy myślisz, że w Rivendell potrafią go uzdrowić, jeżeli w ogóle dostaniemy się tam kiedykolwiek?

– Zobaczymy – odpowiedział przewodnik. – Tu, na pustkowiu, nic więcej zrobić nie mogę, niż zrobiłem. Właśnie rana Froda jest główną przyczyną, dla której naglę do pośpiechu. Ale przyznaję, że dziś już dalej nie możemy iść.

– Co właściwie jest mojemu panu? – zapytał Sam, zniżając głos i błagalnie wpatrując się w Obieżyświata. – Rana była niewielka, już się zabliźniła. Nie widać nic prócz białej blizny na barku.

– Froda dotknął oręż Nieprzyjaciela – rzekł Obieżyświat. – Działa tu jakaś trucizna albo może zły urok, na który nie znam sposobu. Mimo to nie trać, Samie, nadziei!

Noc była zimna na tej wysokości. Podróżni rozpalili ognisko w wykrocie pod sękatymi korzeniami sosny, wiszącymi nad pustą jamą; miejsce to wyglądało jak stary kamieniołom. Siedzieli przytuleni do siebie. Wiatr dął chłodem zza przełęczy, z dołu słychać było, jak korony sosen jęczą i wzdychają. Frodo leżał w półśnie; wyobrażał sobie, że czarne skrzydła bezustannie trzepocą nad nim, a unoszący się w powietrzu prześladowcy właśnie jego wypatrują pośród górskich rozpadlin.

Świt wstał jasny i pogodny, powietrze było czyste, a blade przezroczyste światło rozlewało się po spłukanym deszczem niebie. Wędrowcy nabrali otuchy, lecz tęsknili do słońca, żeby rozgrzało ich zziębnięte i skostniałe ciała. Ledwie się rozwidniło, przewodnik wziął z sobą Meriadoka i poszedł rozejrzeć się po okolicy ze wzniesienia znajdującego się na wschód od przełęczy. Słońce świeciło już na dobre, gdy wrócił z nieco bardziej pocieszającymi nowinami. Szli teraz mniej więcej we właściwym kierunku. Jeżeli zejdą przeciwległym stokiem w dół, będą mieli góry po lewej ręce. Obieżyświat dostrzegł w pewnej odległości lśnienie Grzmiącej Rzeki i wiedział, że gościniec prowadzący do brodu, jakkolwiek stąd niewidoczny, przebiega po tamtej stronie pasma wzgórz, w pobliżu rzeki.

– Musimy znów trafić na gościniec – rzekł. – Nie spodziewajmy się znaleźć ścieżki przez te góry. Gościniec, choćby nie wiedzieć jakie czekały na nim niebezpieczeństwa, jest dla nas jedyną drogą do brodu.

Natychmiast po śniadaniu ruszyli więc znowu. Powoli zleźli południowym stokiem z przełęczy. Zejście okazało się jednak o wiele łatwiejsze, niż przewidywali, bo zbocze nie było od tej strony tak strome i Frodo wkrótce mógł znowu dosiąść kucyka. Biedny stary kucyk Billa Ferny okazał niezwykły talent do wyszukiwania ścieżek i w miarę możności starał się oszczędzić swojemu jeźdźcowi wstrząsów. Nastrój całej kompanii znowu się poprawił. Nawet Frodo czuł się lepiej w blasku poranka, chociaż od czasu do czasu mgła przesłaniała mu oczy i przecierał je ręką.

Pippin nieco wyprzedził towarzyszy. Nagle, odwracając się do nich, krzyknął:

– Jest ścieżka!

Dogonili go i stwierdzili, że się nie pomylił. Tuż przed nimi wyraźnie zaznaczała się ścieżka, która w skrętach wspinała się z położonych niżej lasów ku szczytowi. Miejscami była zatarta i zarośnięta albo zagradzały ją kamienne usypiska i pnie drzew, musiała wszakże być uczęszczana dawnymi czasy. Zbudowały ją krzepkie ręce i udeptały ciężkie stopy. Tu i ówdzie ścięto lub wyrwano stare drzewa, rozłupano lub odciągnięto na bok olbrzymie głazy, żeby utworzyć przejście.

Czas jakiś szli tą ścieżką, bo znacznie ułatwiała zejście w dół, lecz posuwali się bardzo ostrożnie; zaniepokoili się jeszcze bardziej, gdy weszli w ciemny las, a dróżka stała się wyraźniejsza i szersza. Niespodzianie, wynurzając się z kręgu sosen, zbiegła stromo w dół i skręciła ostro w lewo, opasując skaliste ramię góry. Doszedłszy do tego zakrętu, zobaczyli płaski odcinek ścieżki pod niewielkim urwiskiem, nad którym pochylały się gałęzie. W kamiennej ścianie widać było drzwi krzywo zwisające na jednym olbrzymim zawiasie.

Zatrzymali się pod tymi drzwiami. Stanowiły one wejście do jamy czy skalnej groty, lecz w mroku nic w jej wnętrzu nie mogli dostrzec. Obieżyświat, Sam i Merry pchnęli drzwi wspólnymi siłami i zdołali je szerzej rozewrzeć, a wtedy przewodnik z Merrym wsunęli się do środka. Nie zaszli daleko, bo na ziemi zobaczyli kupę starych kości, a w pobliżu wejścia kilka dużych pustych dzbanów i potłuczonych garnków.

– Kiep jestem, jeżeli to nie jest jaskinia trollów! – zawołał Pippin. – Wychodźcie stamtąd i wiejmy. Teraz już wiemy, kto zbudował tę ścieżkę, i lepiej zrobimy, umykając z niej co prędzej.

– Sądzę, że to niepotrzebne – odparł Obieżyświat, wychodząc z groty. – Z pewnością jest to jaskinia trollów, ale od bardzo dawna, jak się zdaje, niezamieszkana. Moim zdaniem, do strachu nie ma powodu. Idźmy dalej ostrożnie ścieżką, to się przekonamy.

Ścieżka spod drzwi skręcała w prawo i znów biegła równo, po czym zapadała w gąszcz rosnący na stoku. Pippin, nie chcąc się zdradzić przed Obieżyświatem, że jeszcze wciąż się boi, wysunął się naprzód wraz z Merrym; Sam i Obieżyświat szli za nimi, mając między sobą Froda na kucyku, bo ścieżka tu była tak szeroka, że czterech, a nawet pięciu hobbitów zmieściłoby się na niej w szeregu. Ledwie jednak uszli kilka kroków, gdy Pippin podbiegł do nich, a w ślad za nim Merry. Obaj mieli przerażone miny.

– Tam są trolle! – bez tchu szepnął Pippin. – Niedaleko stąd, w dole, na polanie leśnej. Mignęli nam między pniami drzew. Olbrzymy!

– Podejdziemy i przyjrzymy im się z bliska – odparł przewodnik, podnosząc jakiś kij.

Frodo milczał, ale Sam zdawał się wystraszony.

Słońce było już wysoko i przeświecając poprzez na pół ogołocone gałęzie, rzucało na polanę jasne plamy blasku. Wędrowcy stanęli na jej skraju i wyglądając zza pni drzew, wstrzymali oddech. Na polanie rzeczywiście stały trzy trolle, trzy olbrzymie trolle. Jeden był pochylony, dwa pozostałe patrzyły na niego.

Obieżyświat jakby nigdy nic ruszył naprzód.

– Wyprostuj się, stary głazie! – rzekł i złamał kij na grzbiecie pochylonego trolla.

Nic się nie stało. Tylko hobbici zachłysnęli się ze zdumienia, a wówczas Frodo się roześmiał.

– Ach, tak! – powiedział. – Zapomnieliśmy o legendzie rodzinnej. To są z pewnością te same trzy olbrzymy, które Gandalf wywiódł w pole, gdy się kłóciły, jak najlepiej przyrządzić trzynastu krasnoludów i jednego hobbita na kolację.

– Nie przyszło mi na myśl, że jesteśmy w pobliżu tego właśnie miejsca – rzekł Pippin. Znał tę historię dobrze. Bilbo i Frodo nieraz już mu ją opowiadali, ale, prawdę mówiąc, nie bardzo w nią dotychczas wierzył. Nawet teraz jeszcze dość podejrzliwie przyglądał się kamiennym trollom, niepewny, czy jakaś magiczna siła nie wskrzesi ich nagle do życia.

– Zapomniałeś nie tylko o legendzie rodzinnej, lecz także o wszystkim, co ci mówiono o trollach – powiedział Obieżyświat. – Jest biały dzień, słońce świeci, a ty przybiegasz w panice i chcesz mnie nastraszyć bajką o trzech żywych trollach, które na nas czyhają pośrodku polany! Bądź co bądź mogłeś przynajmniej zauważyć, że za uchem jednego z nich od dawna jakiś ptak uwił sobie gniazdo. Niezwykła ozdoba jak na trolla!

Wszyscy się roześmieli. We Froda lepszy duch wstąpił; pokrzepiło go wspomnienie pierwszej niebezpiecznej, a pomyślnie zakończonej przygody Bilba. Przy tym słońce grzało mile, mgła powlekająca oczy hobbita rozproszyła się nieco. Odpoczęli przez czas jakiś na polanie i zjedli obiad w cieniu ogromnych nóg trollowych.

– A może by nam kto zaśpiewał, póki słońce wysoko – powiedział Merry, kiedy skończyli posiłek. – Od wielu dni nie słyszeliśmy pieśni ani opowieści.

– Od nocy na Wichrowym Czubie – rzekł Frodo. Przyjaciele spojrzeli na niego. – Nie martwcie się o mnie! – dodał. – Czuję się znacznie lepiej, ale do śpiewu nie mam ochoty. Może Sam odgrzebie coś w swojej pamięci.

– Dalejże, Samie! – zawołał Merry. – Masz w głowie zapasy, których nam skąpisz!

– Nic o nich nie wiem – odparł Sam. – Ale znam coś, co by wam się spodobało. Nie śmiałbym tego nazwać poezją, jak to się mówi. Po prostu żarty. Te stare kamienie przypomniały mi pewną piosenkę.

Wstał, założył ręce za plecy, jak uczeń w szkole, i zaśpiewał na starą melodię:

Na głazie troll, samotny gość,
Obgryzał smętnie gołą kość.
Już parę lat tak jadł i jadł
(O mięso było trudno)

I prudno, i mrudno –
W jaskini mieszkał skromnej dość,
A o mięso było trudno.

I przyszedł Tom, ten mały – wiesz,
I spytał trolla: co ty jesz?
O, ładnieś wpadł – to wuja gnat,
Co dawno w grobie leży –
I bieży, i wreży –
Wuj dawno umarł, chcesz to wierz –
Myślałem: biedak w grobie leży.

Tę kość ukradłem – troll mu rzekł.
Czy kość ma w dole leżeć wiek?
Gdy wuj wpadł w grób – był z niego trup,
Nim sobie wziąłem udko –
I prutko, i siutko –
Na jego miejscu inny człek
Sam dałby człowiekowi udko.

Nie wiem dlaczego – odparł Tom –
Swobodnie odejść miałbyś w dom,
Złodzieju, coś wziął wuja kość.
Gnat oddaj po dobroci!
I troci, i wroci –
Wuj trup, lecz gnaty jego są,
Więc oddaj udo po dobroci!

A na to troll po prostu w śmiech –
Za udko Tomów zjadłbym trzech,
Bo lepszy kęs świeżutkich mięs –
Już zęby sobie ostrzę –

I rozstrzę, i mostrzę –
Od starych kości człek by zdechł,
A więc na ciebie zęby ostrzę.

To mówiąc troll na Toma hyc,
Chce złapać – łaps – a w rękach nic,
Więc gwałtu, w krzyk – a Tom już znikł
I dał mu butem kopsa.
I kropsa, i fropsa –
Nauczkę da mu ostry szpic,
Więc dam mu butem kopsa.

Lecz wiedz, że twardszy trolla zad
Niż głaz, na którym siedzi rad,
Więc pomyśl wprzód, nim poślesz but,
By troll go w kuprze poczuł
I roczuł, i loczuł –
Nasz Tom aż syknął, krzyknął, zbladł,
Bo ból aż w udzie poczuł.

Do domu smętnie wraca sam
I płacze: sztywną nóżkę mam…
A troll – no cóż – wśród swoich wzgórz
Wciąż gryzie kostkę wujka
I fujka, i pstrujka –
A jego zad – to zdradzę wam,
Wciąż taki sam jak kostka wujka[38].

– Ano, to dla nas wszystkich przestroga – roześmiał się Merry. – Dobrze, Obieżyświacie, że użyłeś kija, a nie ręki!

– Skąd ty wziąłeś tę piosenkę, Samie? – spytał Pippin. – Nigdy nie słyszałem tych słów.

Sam mruczał coś niezrozumiale pod nosem.

– Oczywiście, to twój własny utwór! – rzekł Frodo. – Niejednego się dowiedziałem o Samie Gamgee podczas tej podróży. Najpierw okazał się spiskowcem, a teraz – dowcipnisiem. Gotów skończyć jako czarodziej albo może – wojownik!

– Mam nadzieję, że nie! – odparł Sam. – Wcale bym nie chciał być ani czarodziejem, ani wojakiem.

Po południu zeszli niżej w lasy. Zapewne trafili na ten sam szlak, którym przed wielu laty wędrował Gandalf z Bilbem i krasnoludami. O kilka mil dalej wspięli się na wysoką skarpę nad gościńcem. Gościniec oddalił się od rzeki, skręcając w wąską dolinę, i w tym miejscu biegł tuż u stóp wzgórz, kręcił się i wił między lasem a porośniętymi wrzosem stokami, dążąc w kierunku brodu i dalej ku górom.

Obieżyświat wskazał hobbitom kamień, sterczący opodal skarpy w trawie. Można było na nim rozróżnić jeszcze runy i znaki, wyciosane z grubsza pismem krasnoludów, lecz zatarte przez czas.

– Patrzcie – rzekł Merry. – To na pewno ten kamień, którym naznaczono miejsce, gdzie zakopano złoto trollów. Ciekaw jestem, czy z łupu Bilba dużo jeszcze zostało. Powiedz, Frodo!

Frodo, patrząc na kamień, żałował, że Bilbo przywiózł z wyprawy coś więcej niż te nieszkodliwe skarby – coś, z czym trudniej było się rozstać.

– Nic nie zostało – odpowiedział przyjacielowi. – Bilbo wszystko rozdał. Mówił mi, że nie może uznać za swoją prawowitą własność złota, które pochodzi ze zbójeckich łupów.

Gościniec rozciągał się spokojny i cichy w cieniach wczesnego wieczoru. Nie było widać śladu jakichkolwiek wędrowców. Ponieważ nie mieli do wyboru żadnej innej drogi, zsunęli się ze skarpy i skręciwszy w lewo, pomaszerowali najszybciej, jak tylko mogli. Niebawem grzbiety wzgórz przesłoniły światło szybko zachodzącego słońca. Zimny wiatr wybiegł na ich spotkanie z rozciągających się w oddali gór.

Zaczęli się rozglądać za jakimś miejscem przy gościńcu, w którym by można rozbić obóz na noc, gdy doszedł ich uszu odgłos, który znowu lękiem przejął wszystkie serca: usłyszeli na drodze za sobą tętent kopyt. Obejrzeli się, lecz gościniec wił się i kluczył tak, że tylko mały jego

odcinek obejmowali wzrokiem. Jak umieli najspieszniej, odskoczyli w bok i w górę, między bujne wrzosy i krzewy borówek zarastających stoki, aż wreszcie zaszyli się w gęstej kępie leszczyny. Wyglądając z zarośli, widzieli o jakieś trzydzieści stóp poniżej swej kryjówki gościniec nikły i szary w zapadającym zmierzchu. Tętent się zbliżał. Koń pędził, podkowy dźwięczały w galopie. Potem niewyraźny, jakby podmuch wiatru unosił go w inną stronę, dobiegł stłumiony dźwięk, niby brzęczenie dzwoneczków.

– To mi nie brzmi wcale jak podkowy koni Czarnych Jeźdźców – rzekł Frodo, nasłuchując pilnie. Inni hobbici zgodzili się z nim, wyrażając nadzieję, że to nie mogą być Czarni Jeźdźcy, ale w głębi serca wszyscy zachowali wielką nieufność. Tak długo żyli w strachu przed pościgiem, że każdy szmer na gościńcu za ich plecami wydawał im się złowieszczy. Obieżyświat jednak, który wychylił się naprzód i osłaniając ręką ucho, przytknął je do ziemi, miał na twarzy radosny uśmiech.

Zmierzch zapadł, liście krzewów szeleściły z cicha. Coraz wyraźniej, coraz bliżej dźwięczały dzwoneczki, tętniły pędzące kopyta. Nagle w polu widzenia hobbitów ukazał się na drodze siwy koń w galopie, bielejący wśród cieni. Wędzidło i uzda błyszczały w mroku i migotały, jakby je ozdobiono drogimi kamieniami skrzącymi się niby gwiazdy. Płaszcz w pędzie trzepotał za jeźdźcem, który odrzucił kaptur z głowy. Włosy rozwiane na wietrze lśniły złociście. Frodowi zdawało się, że poprzez sylwetkę i płaszcz jeźdźca, jak przez lekką zasłonę, prześwieca białe światło.

Obieżyświat wypadł z ukrycia i puścił się w dół ku drodze, wielkimi susami sadząc przez wrzosy i krzycząc. Nim się jednak pokazał i zawołał, jeździec już ściągnął uzdę i zatrzymał konia, spoglądając w górę na kępę leszczyny, w której przycupnęli hobbici. Na widok Obieżyświata zeskoczył z siodła i biegnąc na jego spotkanie, wołał: „*Ai na vedui Dúnadan! Mae govannen!*”. Te słowa i czysty dźwięk głosu usunęły resztkę wątpliwości z serc hobbitów: jeździec był elfem. Nikt inny na całym szerokim świecie nie mógł mieć tak pięknego głosu. Lecz w jego wołaniu dźwięczała jakaś nuta pośpiechu, czy może lęku; zauważyli też, że spiesznie, z naleganiem tłumaczy coś Obieżyświatowi.

Po chwili przewodnik skinął na nich i hobbici opuścili zarośla, zbiegając na gościniec.

– To Glorfindel, który mieszka w domu Elronda – przedstawił Obieżyświat.

– Witaj, nareszcie się spotkaliśmy! – rzekł dostojny elf do Froda. – Wysłano mnie z Rivendell, żebym cię odszukał. Obawialiśmy się, że jesteście w niebezpieczeństwie.

– A więc Gandalf dotarł do Rivendell! – radośnie wykrzyknął Frodo.

– Nie. Przynajmniej nie było go tam, kiedy wyjeżdżałem, ale od tej chwili minęło już dziewięć dni – odpowiedział Glorfindel. – Elrond otrzymał niepokojące wieści. Moi współplemieńcy, podróżujący przez wasz kraj za Baranduiną[39], zauważyli, że coś się święci, i co prędzej wysłali gońców. Zawiadomili nas, że Dziewięciu znów krąży po świecie i że ty zabłądziłeś, wędrując z ciężkim brzemieniem bez przewodnika, bo Gandalf nie wrócił. Nawet w Rivendell nie ma wielu takich, którzy by się mogli mierzyć w otwartym polu z Dziewięciu Jeźdźcami; wszystkich jednak zdolnych do tego rozesłał Elrond na północ, zachód i południe. Myśleliśmy, że mogłeś znacznie zboczyć ze szlaku, by uniknąć pogoni, i że zbłąkałeś się może na pustkowiu.

Mnie przypadło w udziale przeszukanie gościńca, dojechałem tedy aż do mostu na Mitheithel i zostawiłem tam znak, a było to jakiś tydzień temu. Trzej słudzy Saurona stali na moście, ale pierzchli, a ja ścigałem ich ku zachodowi. Natknąłem się na dwóch innych, ci wszakże skręcili na południe. Odtąd szukałem wciąż twojego tropu. Znalazłem go przed dwoma dniami i wyśledziłem dalej za mostem. Dzisiaj zaś wytropiłem, w którym miejscu zeszliście znowu z gór. Ale czas w drogę! Na razie dość nowin. Skoro już tu jesteśmy, trzeba zaryzykować niebezpieczeństwo gościńca i pospieszać. Tamtych jest pięciu, a niechże tylko raz odnajdą twój ślad na drodze, pomkną jak wicher za nami. A przecież tych pięciu – to jeszcze nie wszyscy. Gdzie się podziewa czterech pozostałych, nie wiem. Boję się, że bród zastaniemy obsadzony przez wroga.

Glorfindel mówił, a tymczasem mrok wieczorny gęstniał dokoła. Froda ogarnęło wielkie znużenie. Odkąd słońce zaczęło się zniżać, mgła, spowijająca w jego oczach cały świat, pociemniała i czuł, że cień gromadzi się między nim a twarzami przyjaciół. Teraz ból go chwycił i przejął mrozem. Frodo zachwiał się i uczepił ramienia Sama.

– Mój pan jest chory i ranny – porywczo odezwał się Sam. – Nie może podróżować nocą. Trzeba mu wypoczynku.

Glorfindel podtrzymał osuwającego się na ziemię Froda, objął go łagodnie ramieniem i z niepokojem zajrzał mu w twarz.

Obieżyświat pokrótce opowiedział o napadzie na obóz pod szczytem Wichrowego Czuba i o zatrutym nożu. Dobył z kieszeni rękojeść, którą przechowywał, i pokazał elfowi. Glorfindel zadrżał, biorąc ją do ręki, lecz obejrzał bardzo uważnie.

– Straszne zaklęcia wyryte są na tej rękojeści – rzekł – chociaż niewidzialne może dla waszych oczu. Zatrzymaj ją, Aragornie, póki nie dostaniemy się do domu Elronda. Bądź wszakże bardzo ostrożny i nie dotykaj jej bez koniecznej potrzeby. Niestety! Nie jest mi dana moc leczenia ran zadanych tym orężem. Wszystko uczynię, co potrafię, lecz tym usilniej radzę pospieszać w drogę bez odpoczynku.

Wymacał ranę na barku Froda i twarz mu spoważniała, jakby to, co odkrył, bardzo go zatroskało. Lecz pod dotknięciem palców elfa lód w ramieniu i boku Froda jakby stajał, ciepło przepłynęło od barku aż do dłoni i ból złagodniał. Wydało mu się, że mrok dokoła trochę się rozświetlił, jakby chmura odpłynęła. Znów wyraźniej widział twarze przyjaciół i odrobina nowej otuchy i siły wróciła mu do serca.

– Dosiądziesz mojego wierzchowca – powiedział Glorfindel. – Skrócę strzemiona, a ty staraj się trzymać jak najmocniej w siodle. Nie lękaj się, ten koń nie zrzuci jeźdźca, którego ja kazałem mu nieść. Chód ma lekki i łagodny, a gdyby niebezpieczeństwo nagliło, ucieknie z tobą takim cwałem, że go nawet czarne rumaki wrogów nie dościgną.

– Nie ucieknie – odparł Frodo – i nie dosiądę go, jeżeli w ten sposób miałbym znaleźć się w Rivendell albo w innym bezpiecznym miejscu, porzuciwszy przyjaciół na pastwę niebezpieczeństwa.

Glorfindel uśmiechnął się.

– Wątpię – rzekł – czy twoim przyjaciołom będzie coś groziło, jeżeli ciebie wśród nich zabraknie. Nieprzyjaciel ciebie będzie ścigał, a nas pewnie zostawi w spokoju. To właśnie ty i to, co masz przy sobie, ściąga na wszystkich prześladowanie.

Na to Frodo nie miał odpowiedzi, dał się więc przekonać i dosiadł białego wierzchowca elfa. Dzięki temu kucyk mógł wziąć na grzbiet większość bagaży, a reszta kompanii, pozbywszy się brzemion, ruszyła

zrazu bardzo żwawo. Po jakimś czasie jednak hobbici stwierdzili, że trudno dotrzymać kroku szybkonogiemu elfowi, który nie zna znużenia. Glorfindel prowadził ich wciąż naprzód w otwartą paszczę ciemności, naprzód, w chmurną głąb nocy. Nie było księżyca ani gwiazd. Świt już szarzał, kiedy wreszcie elf pozwolił im się zatrzymać. Pippin, Sam i Merry wlekli się już wtedy niemal przez sen, na chwiejnych nogach. Nawet Obieżyświat zdawał się zmęczony, bo ramiona mu zwisły. Frodo na siodle zapadał w ponure sny.

Rzucili się wszyscy na ziemię pośród wrzosów o parę jardów w bok od gościńca i natychmiast usnęli. Mieli wrażenie, że ledwie przez chwilę zmrużyli powieki, gdy Glorfindel, który czuwał przez cały czas nad śpiącymi, obudził ich znowu. Słońce stało wysoko, chmury i nocne mgły już się rozwiały.

– Napijcie się – rzekł Glorfindel, nalewając każdemu kolejno napoju ze swojej srebrnej, powleczonej skórą manierki. Był to trunek przejrzysty jak woda źródlana i bez smaku, w ustach wydawał się ani zimny, ani gorący, lecz kto go łyknął, czuł od razu przypływ siły i ochoty w całym ciele. Po jednym łyku tego napoju, czerstwy chleb i suszone owoce – bo innego prowiantu już podróżni nie mieli – zaspokoiły ich głód lepiej niż obfite śniadanie w Shire.

Popas trwał niespełna pięć godzin, po czym znowu ruszyli gościńcem. Glorfindel wciąż naglił i ledwie dwa razy pozwolił na chwilę wytchnienia w ciągu całego dnia marszu. Toteż przeszli do zmroku prawie dwadzieścia mil i znaleźli się w miejscu, gdzie gościniec skręcał w prawo i stromo opadał w dolinę, zbliżając się znowu do rzeki. Jak dotąd hobbici nie dostrzegli ani nie dosłyszeli żadnego znaku czy odgłosu pogoni, lecz Glorfindel często przystawał i nasłuchiwał, a gdy zwalniali kroku, wyraz niepokoju zasępiał mu twarz. Parę razy mówił też coś do Obieżyświata w języku elfów.

Mimo zaniepokojenia przewodników nie było rady, hobbici naprawdę nie mogli maszerować dalej. Potykali się i zataczali z wyczerpania i nie byli już zdolni myśleć o czymkolwiek, tak ich bolały łydki i stopy. Frodo cierpiał okrutnie, a w miarę jak dzień upływał, wszystko dokoła niego bladło, przybierając postać widmowych, szarych cieni. Niemal ucieszył się,

gdy zapadł wieczór, bo świat po ciemku zdawał mu się mniej spłowiały i pusty.

Hobbici nie zdążyli pozbyć się zmęczenia, gdy już musieli nazajutrz wyruszać znowu w drogę. Od brodu dzieliło ich jeszcze wiele mil, toteż parli naprzód ile sił w nogach.

– Największe niebezpieczeństwo grozi nam, gdy znajdziemy się nad rzeką – powiedział Glorfindel. – Serce mnie ostrzega, że pogoń pędzi teraz za nami, a przy brodzie czyha być może zasadzka.

Gościniec wciąż biegł w dół, a jego brzegi zarastała tu i ówdzie trawa, po której hobbici maszerowali najchętniej, bo dawała trochę ulgi obolałym stopom. Późnym popołudniem dotarli do miejsca, gdzie gościniec wpadał niespodzianie w gęsty cień wysokiego boru, a potem schodził w głęboki wąwóz, którego strome ściany z czerwonych kamieni ociekały wilgocią. Echo dudniło, kiedy spieszyli tamtędy, i zdawało się, że niezliczone pary nóg tupoczą w trop za nimi. Niespodziewanie, jakby przez bramę światła, u wylotu tunelu gościniec wynurzył się znów pod otwarte niebo. Hobbici zobaczyli dość gwałtowny spadek, a za nim płaski, długi na milę odcinek drogi, prowadzący do Brodu Rivendell. Na przeciwległym brzegu wznosił się brunatny wał, na który wspinała się serpentyną ścieżka; w oddali piętrzyły się góry, masyw obok masywu, szczyt za szczytem, aż pod zmierzchające niebo.

W tunelu, który zostawili za sobą, wciąż jeszcze dudniło echo, jakby spieszne kroki pościgu; rozległ się szum, jak gdyby wiatr się zerwał i nadciągał między gałęziami sosen. Glorfindel obejrzał się, posłuchał przez sekundę, potem z głośnym okrzykiem skoczył naprzód.

– Uciekajcie! – zawołał. – Uciekajcie! Nieprzyjaciel naciera!

Biały koń poderwał się do cwału. Hobbici pędem zbiegli po pochyłości. Glorfindel i Obieżyświat spieszyli tuż za nimi jako tylna straż. Byli w połowie płaskiego odcinka drogi, gdy nagle zagrzmiał tętent galopujących koni. Spod bramy drzew, którą dopiero co opuścili, wychynął Czarny Jeździec, ściągnął cugle i wstrzymał konia, kołysząc się w siodle. W ślad za nim ukazał się drugi, potem trzeci, wreszcie dwóch jeszcze Jeźdźców.

– Naprzód! Naprzód! – krzyknął Glorfindel do Froda.

Frodo nie od razu usłuchał, bo zbudził się w nim jakiś niepojęty sprzeciw. Zmuszając wierzchowca do stępa, odwrócił się i obejrzał. Jeźdźcy tkwili nieruchomo w siodłach na grzbietach olbrzymich rumaków niby złowrogie posągi na cokołach, czarni i masywni, podczas gdy las i cały krajobraz dokoła cofnął się i przesłonił mgłą.

Nagle Frodo zrozumiał, że tamci milcząco rozkazują mu czekać. W okamgnieniu strach i nienawiść ocknęły się w jego sercu. Puścił cugle, chwycił za rękojeść miecza i dobył go, aż czerwone skry poszły z ostrza.

– Naprzód! Naprzód! – wołał Glorfindel, a potem donośnie i wyraźnie rozkazał wierzchowcowi w języku elfów: – *Noro lim, noro lim, Asfaloth!*

Biały koń poderwał się natychmiast i jak wiatr pomknął przez ostatni odcinek drogi. W tym samym momencie czarne rumaki rzuciły się w pogoń w dół stoku, a z piersi Jeźdźców wydarł się straszliwy krzyk. Frodo słyszał go już kiedyś, daleko stąd, we Wschodniej Ćwiartce, gdy ten sam głos napełniał grozą lasy. Odpowiedział mu drugi okrzyk i ku rozpaczy Froda oraz jego towarzyszy spośród drzew i skał po lewej stronie gościńca wynurzyli się w pędzie czterej nowi Jeźdźcy. Dwaj galopem gnali na spotkanie Froda, dwaj pozostali w zawrotnym pędzie mknęli ku brodowi, żeby odciąć hobbitowi drogę ratunku. Frodo miał wrażenie, że lecą z wichrem, że sylwetki ich rosną i ciemnieją, z każdą sekundą zbliżając się do niego.

Przez ramię rzucił okiem wstecz: nie dostrzegł już przyjaciół. Odległość między nim a ścigającymi go Jeźdźcami rosła; ich olbrzymie rumaki nie mogły się równać z lotnym białym wierzchowcem elfa. Frodo spojrzał znów przed siebie i nadzieja zgasła w jego sercu. Wydało mu się niemożliwe, by osiągnął bród, nim dwaj prześladowcy, którzy wypadli z zasadzki, odetną mu drogę. Widział ich teraz wyraźnie: zrzucili chyba kaptury i czarne płaszcze, bo mieli na sobie biało-szare szaty. W sinych rękach ściskali obnażone miecze, na głowach lśniły hełmy. Oczy jarzyły im się zimnym płomieniem; wołali coś do Froda dzikimi głosami.

Strach poraził hobbita. Teraz już nie sięgał do miecza. Nie zdobył się nawet na krzyk. Zamknął oczy i przywarł do grzywy wierzchowca. Wiatr gwizdał mu w uszach, dzwoneczki przy uprzęży dźwięczały przenikliwie i zawrotnie. Okropny lodowaty oddech przeszył go jak włócznia, kiedy w ostatnim zrywie koń niby biały płomień wionął, jak na skrzydłach, tuż przed twarzą najdalej wysuniętego Czarnego Jeźdźca.

Frodo usłyszał plusk wody. Pieniła się u jego stóp. Koń pod hobbitem zakołysał się, dźwignął w górę i Frodo zrozumiał, że wierzchowiec wynosi go z rzeki na brzeg i wspina się kamienistą ścieżką na wysoką skarpę. Był więc już za brodem.

Ale prześladowcy następowali z bliska. Na szczycie nasypu koń zatrzymał się, obejrzał, zarżał dziko. W dole, na drugim brzegu Frodo zobaczył Dziewięciu Jeźdźców i serce w nim zamarło na widok groźnych, wzniesionych ku niemu twarzy. Nie wyobrażał sobie, by coś mogło przeszkodzić im w przeprawie, która jemu udała się tak łatwo. Pomyślał, że jeśli dostaną się na ten brzeg, daremnie próbowałby ucieczki po długiej, niepewnej ścieżce od brodu do granicy Rivendell. A w każdym razie czuł, że potężna wola nakazuje mu stać w miejscu. Nienawiść znów drgnęła w jego sercu, ale nie miał już siły, żeby się dłużej opierać.

Nagle pierwszy Jeździec ubódł swego wierzchowca ostrogą i ruszył naprzód. Rumak wzdrygnął się przed wodą i przysiadł na zadzie. Frodo z największym wysiłkiem wyprostował się w strzemionach i podniósł miecz.

– Precz! – krzyknął. – Precz do Mordoru, przestańcie mnie ścigać!

Własny głos zabrzmiał mu w uszach wątło i piskliwie. Jeźdźcy zatrzymali się, ale Frodo nie miał władzy Bombadila. Wrogowie odpowiedzieli mu chrapliwym, mrożącym krew w żyłach śmiechem.

– Zawracaj! Zawracaj! – wołali. – Do Mordoru powiedziemy cię z sobą!

– Precz! – szepnął Frodo.

– Pierścień! Pierścień! – wrzasnęli tamci morderczymi głosami i w tym samym momencie ich przywódca pchnął swego rumaka w wodę, a dwaj podwładni ruszyli w ślad za nim.

– Klnę się na Elbereth, na Lúthien najpiękniejszą – rzekł Frodo, ostatkiem sił dźwigając miecz w górę – że nigdy nie dostaniecie ani Pierścienia, ani mnie.

Wtedy czarny przywódca, który był już w połowie brodu, wyprostował się groźnie w strzemionach i podniósł rękę. Frodo oniemiał. Język zamarł mu w ustach, serce biło jak młotem. Miecz pękł i wypadł z drżącej dłoni. Biały koń elfa stanął dęba i chrapnął. Pierwszy z czarnych rumaków już niemal wspinał się przednimi kopytami na brzeg.

W tej samej chwili zagrzmiało, zahuczało, rozległ się łoskot i szum wodospadu toczącego kamienną lawinę. Frodo przez mgłę widział, jak tam, w dole, rzeka wezbrała, a nurtem jej przewaliła się w pióropuszach piany kawalkada fal. Wydało mu się, że z fal strzelają białe płomyki, i w wyobraźni niemal dostrzegł cwałujących przez wodę białych rycerzy na białych koniach o spienionych grzywach. Trzech Jeźdźców, którzy w tym momencie byli jeszcze na środku brodu, porwał prąd; zniknęli, nagle zalani wzburzoną pianą. Inni cofnęli się przerażeni.

Tracąc przytomność, Frodo usłyszał jeszcze krzyki i miał wrażenie, że widzi za szeregiem Jeźdźców, którzy zatrzymali się w rozterce nad brzegiem, postać jaśniejącą białym blaskiem; za nią zaś drobne mgliste sylwetki miotały płomienie, które błyszczały czerwienią w szarzyźnie zasnuwającej cały świat.

Szał ogarnął czarne rumaki, w panice runęły naprzód, pociągając Jeźdźców w wezbraną toń. Przeraźliwe krzyki utonęły w grzmocie wody, która uniosła ich od razu daleko. W tym samym momencie Frodo poczuł, że spada z siodła; huk i zamęt nagle spotęgował się w jego uszach i wydało mu się, że wraz ze swymi prześladowcami sam także ginie, porwany nawałnicą. Więcej już nic nie zobaczył ani nie usłyszał.

Księga druga

ROZDZIAŁ 1
WIELE SPOTKAŃ

Frodo zbudził się w łóżku. W pierwszym momencie myślał, że spał bardzo długo i że prześnił jakiś przykry sen, który jeszcze majaczy mu na pograniczu pamięci. A może przebył jakąś chorobę? Lecz sufit nad jego głową wyglądał obco; był płaski, a ciemne belki miał bogato rzeźbione. Frodo leżał jeszcze chwilę, przyglądając się słonecznym plamom na ścianie i nasłuchując szumu wodospadu.

– Gdzie jestem? Która to godzina? – rzucił głośno pytanie sufitowi.

– W domu Elronda, a jest dziesiąta przed południem – odpowiedział mu znajomy głos. – Ranek dwudziestego czwartego października, jeżeli chcesz wiedzieć dokładnie.

– Gandalf! – krzyknął Frodo, siadając w pościeli. Rzeczywiście, w fotelu przed otwartym oknem siedział stary Czarodziej.

– Tak – rzekł. – Jestem tutaj. A ty miałeś wyjątkowe szczęście, że się też tutaj znalazłeś, mimo wszystkich głupstw, które popełniłeś od dnia wyjazdu z domu.

Frodo opadł znów na poduszki. Było mu tak błogo i spokojnie, że nie miał ochoty sprzeczać się, wątpił zresztą, czy wygrałby w tym sporze. Otrząsnął się już ze snu zupełnie i wracała mu pamięć; wspomniał niefortunny skrót drogi na przełaj przez Stary Las, „przypadek” w gospodzie „Pod Rozbrykanym Kucykiem” i szaleństwo, jakiemu uległ w kotlince pod Wichrowym Czubem, kładąc na palec Pierścień. Przez cały czas, gdy rozmyślał o tych sprawach i na próżno wysilał pamięć, żeby przypomnieć sobie, jakim sposobem znalazł się tu, w Rivendell, w pokoju trwała cisza, zakłócana jedynie pykaniem fajki Gandalfa, który dmuchał przez okno białymi kółkami dymu.

– Gdzie jest Sam? – zapytał wreszcie Frodo. – Gdzie inni? Czy zdrowi?

– Wszyscy zdrowi i cali – odparł Gandalf. – Sam był przy tobie, ledwie przed półgodziną wyprawiłem go stąd, żeby trochę odpoczął.

– Co się właściwie stało tam, u brodu? – zagadnął Frodo. – Całe to zdarzenie wydało mi się jakoś niejasne i dotychczas takie mi się wydaje.

– Nic dziwnego! Omdlałeś – rzekł Gandalf. – Rana w końcu cię zmogła. Jeszcze kilka godzin, a nie byłoby już dla ciebie ratunku. Ale w tobie tkwią niespożyte siły, mój hobbicie kochany! Dowiodłeś tego pod Kurhanem. Wtedy ważyły się szale, był to chyba najgroźniejszy moment w całej podróży. Szkoda, że nie wytrwałeś tak samo pod Wichrowym Czubem.

– Jak widzę, wiesz już bardzo wiele – powiedział Frodo. – A przecież nikomu nie mówiłem, jak to było ze mną pod Kurhanem. Z początku dlatego, że wolałem tych okropności nie wspominać, a później miałem dość innych spraw na głowie. Skąd się o tym dowiedziałeś?

– Dużo mówiłeś przez sen – łagodnie odparł Gandalf – i nietrudno mi było czytać w twoich myślach i pamięci. Nie martw się, Frodo! Chociaż przed chwilą wyrzuciłem ci popełnione „głupstwa”, nie myślałem tego poważnie. Mam uznanie dla ciebie, a także dla twoich towarzyszy. Niemała to rzecz dotrzeć tak daleko, wśród tylu niebezpieczeństw, i nie stracić Pierścienia.

– Nigdy byśmy tego nie dokonali bez Obieżyświata – rzekł Frodo. – Ale bardzo nam ciebie brakowało. Bez ciebie nie wiedziałem, co robić.

– Zatrzymały mnie różne przeszkody – odparł Gandalf – i to omal nie przyczyniło się do klęski naszych zamierzeń. Zresztą nie jestem tego pewien, może to właśnie wyszło nam na dobre.

– Proszę cię, powiedz mi, co się zdarzyło?

– Na wszystko przyjdzie pora. Dzisiaj z polecenia Elronda nie wolno ci się niczym martwić ani dużo gadać.

– Ależ rozmawiając, oderwę się od rozmyślań i dociekań, które są co najmniej równie męczące jak gadanie – rzekł Frodo. – Nie chce mi się już wcale spać i przypominam sobie mnóstwo rzeczy, które domagają się wyjaśnienia. Jakie przeszkody cię zatrzymały? Musisz mi chociaż to powiedzieć.

– Wkrótce dowiesz się wszystkiego, co cię interesuje – odparł Gandalf. – Czekamy tylko na twoje wyzdrowienie, żeby natychmiast zwołać naradę. Tymczasem powiem ci tyle, że byłem w niewoli.

– Ty?! – krzyknął Frodo.

– Tak. Ja, Gandalf Szary – uroczyście oświadczył Czarodziej. – Różne istnieją potęgi na świecie, na jego szczęście czy na zgubę! Są wśród nich

mocniejsze ode mnie. Są i takie, z którymi się jeszcze nie mierzyłem. Ale zbliża się moja godzina. Władca Morgulu ze swoimi Czarnymi Jeźdźcami jest gotów. Nadciąga wojna.

– A więc o Jeźdźcach wiedziałeś dawniej… nim ja się z nimi spotkałem?

– Wiedziałem. A nawet mówiłem ci o nich kiedyś. Bo Czarni Jeźdźcy to nie kto inny, lecz Upiory Pierścienia, Dziewięciu Sług Władcy Pierścienia. Nie wiedziałem jednak, że już znów ruszyli w świat, gdybym był wiedział, uciekałbym razem z tobą, nie zwlekając ani dnia. Dopiero po naszym rozstaniu w czerwcu doszła mnie wieść o tym. Ale na resztę tej historii musisz poczekać. Na razie wyratował nas od klęski Aragorn.

– Tak – rzekł Frodo. – Obieżyświat nas ocalił. Z początku, co prawda, bałem się go. Sam, zdaje się, nigdy nie nabrał do niego całkowitego zaufania, w każdym razie nie dowierzał mu, póki nie spotkaliśmy Glorfindela.

– Słyszałem wszystko o Samie – powiedział z uśmiechem Gandalf. – Teraz już i on nie ma żadnych wątpliwości.

– Cieszy mnie to – rzekł Frodo – bo polubiłem bardzo Obieżyświata. Chociaż nie… „Polubiłem” to nie jest odpowiednie słowo. Stał mi się drogi, mimo że jest taki dziwny, czasem nawet ponury. Doprawdy, często mi ciebie przypomina. Nie wyobrażałem sobie, że ludzie bywają tacy. Myślałem, wiesz, że są po prostu wielkiego wzrostu i dość głupi; poczciwi głupcy jak Butterbur albo nikczemni głupcy jak Bill Ferny. Oczywiście, niewiele wiemy w Shire o ludziach, właściwie znamy tylko trochę mieszkańców Bree.

– Tych także znasz niezbyt dobrze, jeśli uważasz starego Barlimana za durnia – odparł Gandalf. – Ma on dość rozumu na własne potrzeby. Wprawdzie myśli mniej i wolniej, niż gada, ale jeśli chce, przez mur na wylot widzi – jak powiadają w Bree. Takich wszakże ludzi jak Aragorn, syn Arathorna, nie zostało wielu w Śródziemiu. Potomstwo królów zza Morza wygasło już prawie. Kto wie, czy ta Wojna o Pierścień nie będzie ich ostatnią wyprawą.

– Czy ty poważnie twierdzisz, że Obieżyświat jest potomkiem dawnych królów? – spytał Frodo ze zdumieniem. – Sądziłem, że od dawna nie ma ich już na świecie. Myślałem, że Obieżyświat jest po prostu Strażnikiem.

– Po prostu Strażnikiem! – wykrzyknął Gandalf. – Ależ, kochany Frodo, Strażnicy to właśnie potomkowie królewskiej rasy! Ostatni żyjący jeszcze na północy przedstawiciele wielkiego plemienia ludzi z Zachodu. Nieraz mi pomagali i znów w bliskiej przyszłości będę potrzebował ich pomocy; bo chociaż dotarliśmy do Rivendell, Pierścień nie jest jeszcze bezpieczny.

– Pewnie – rzekł Frodo. – Ale dotychczas żyłem tylko myślą o dojściu tutaj i mam nadzieję, że nie będę musiał wędrować dalej. Bardzo mi przyjemnie tak odpoczywać beztrosko. Przez cały miesiąc tułałem się i używałem przygód, uważam, że to dość, przynajmniej jak na moje upodobania.

Umilkł i zamknął oczy. Po chwili znów się odezwał.

– Próbowałem rachować dni – rzekł – ale nie mogę się doliczyć dwudziestego czwartego października. Wypada mi, że powinien dzisiaj być dwudziesty pierwszy. Do brodu przecież doszliśmy dwudziestego.

– I gadasz, i liczysz więcej, niż choremu przystoi – rzekł Gandalf. – Jak się teraz miewa twój bok i bark?

– Nie wiem – odparł Frodo. – Wcale ich nie czuję, a to oczywiście już pewien postęp, ale… – natężył siły i spróbował – trochę mogę poruszać ramieniem. Tak, znów w nie życie wstępuje. Nie jest zimne – dodał, prawą ręką dotykając lewej.

– To dobrze! – powiedział Gandalf. – Goi się szybko. Wkrótce będziesz zdrów zupełnie. Elrond cię wyleczył, pielęgnował cię całymi dniami, od pierwszej chwili, gdy cię tutaj przyniesiono.

– Całymi dniami? – zdziwił się Frodo.

– Dokładnie przez cztery noce i trzy dni. Elfowie przynieśli cię od brodu wieczorem dwudziestego października, od tego właśnie dnia straciłeś rachubę czasu. Okropnie się o ciebie niepokoiliśmy, a Sam nie opuszczał prawie twojego wezgłowia dniem i nocą, chyba że go po coś ważnego posyłano. Elrond to nie lada mistrz w uzdrawianiu, ale broń naszych wrogów jest zabójcza. Prawdę rzekłszy, nie żywiłem wielkich nadziei, bo podejrzewałem, że w zabliźnionej ranie została jeszcze jakaś drzazga odłupana z ostrza. Nie mogliśmy jej wszakże znaleźć aż do wczorajszego wieczora. Wreszcie Elrond usunął odłamek. Tkwił bardzo głęboko i wchodził coraz głębiej w ciało.

Frodo zadrżał na wspomnienie okrutnego noża z wyszczerbionym ostrzem, które rozpłynęło się w rękach Obieżyświata.

– Nie bój się, już go nie ma – powiedział Gandalf. – Stopniał. A jak widać, hobbici mają twarde życie. Niejednemu potężnemu wojownikowi spośród Dużych Ludzi prędko dałaby radę ta drzazga, którą ty nosiłeś w barku przez siedemnaście dni.

– Co by się ze mną stało? – zapytał Frodo. – Co jeźdźcy chcieli ze mną zrobić?

– Usiłowali przebić twoje serce nożem Morgulu, który zostaje w ranie. Gdyby im się to udało, stałbyś się do nich podobny, lecz słabszy i podległy ich woli. Byłbyś upiorem na służbie Czarnego Władcy, on zaś dręczyłby cię za karę, że próbowałeś zatrzymać przy sobie Pierścień; co prawda za najgorszą męczarnię starczyłaby świadomość, że zrabowano ci Pierścień i że tamten go nosi na palcu.

– Co za szczęście, że nie wiedziałem o tym straszliwym niebezpieczeństwie! – słabym głosem rzekł Frodo. – Oczywiście, byłem śmiertelnie przerażony, ale gdybym więcej wiedział, nie śmiałbym nawet drgnąć. Istny cud, że ocalałem.

– Tak, sprzyjało ci szczęście czy może przeznaczenie – odparł Gandalf – nie mówiąc już o męstwie. Albowiem nóż nie tknął twego serca, przeszył jedynie bark; a stało się tak dlatego, że do ostatka się opierałeś. Byłeś wszakże o włos od klęski. Najgorsze niebezpieczeństwo groziło ci, kiedy miałeś Pierścień na palcu, bo wtedy przebywałeś już na pół w świecie widm i tamci mogli cię porwać. Widziałeś ich, oni zaś widzieli ciebie.

– Wiem – rzekł Frodo. – Widziałem, a to widok straszliwy. Ale dlaczego ich wierzchowce wszyscy widzieliśmy?

– Ponieważ to są zwykłe konie, tak samo jak czarne szaty jeźdźców są zwykłymi płaszczami, które przyodziewają, by okryć swoją nicość, gdy mają się spotkać z żywymi.

– Czemuż więc te czarne konie cierpią takich jeźdźców? Wszelkie inne stworzenia, nawet koń elfa Glorfindela, wpadają w panikę, gdy Jeźdźcy się do nich zbliżą. Psy wyją i gęsi podnoszą wrzask.

– Te konie urodziły się i wychowały w służbie Czarnego Władcy w Mordorze. Nie wszyscy jego słudzy i nie cały dobytek należy do świata widm. Służą mu orkowie i trolle, wargowie i wilkołaki; było też i jest wielu

żywych, przechadzających się pod słońcem ludzi, wojowników i królów, co poddali się jego władzy. Ich liczba rośnie z każdym dniem.

– A Rivendell? A elfowie? Czy Rivendell jest bezpieczne?

– Tak. Przynajmniej do czasu, póki wszystko wokół nie zostanie podbite. Elfowie wprawdzie lękają się Czarnego Władcy, wprawdzie przed nim uciekają, nigdy jednak nie dadzą mu posłuchu ani nie będą mu służyli. Tu, w Rivendell, przebywa kilku najzaciętszych jego przeciwników: mędrcy wśród elfów, władcy Eldarów zza najodleglejszych mórz. Nie boją się oni Upiorów Pierścienia, bo kto był w Błogosławionym Królestwie, ten żyje w obu światach naraz i zarówno widzialnym, jak niewidzialnym siłom może przeciwstawić własną wielką moc.

– Zdawało mi się, że widziałem białą postać, która jaśniała i nie ginęła we mgle jak inne. Czy to był Glorfindel?

– Tak. Przez chwilę widziałeś go takim, jakim jest na drugim brzegu: jednym z potężnych Pierworodnych. To elf z rodu książęcego. Zaiste, są w Rivendell siły zdolne opierać się przemocy Mordoru, przynajmniej czas jakiś; a zostały też dobre siły poza tą doliną. Jest również w Shire siła, chociaż innego rodzaju. Wszystkie jednak te miejsca wkrótce staną się wyspami w morzu oblegającego zła, jeżeli wypadki potoczą się tak, jak się zapowiada. Czarny Władca rzuca do walki całą swoją potęgę.

– Mimo to – powiedział, wstając nagle i wysuwając dolną szczękę, tak że broda nastroszyła się i sprężyła jak druciana – musimy zachować odwagę. Jesteś w Rivendell, o nic tymczasem nie potrzebujesz się troszczyć.

– Nie mam wiele odwagi do zachowania – odparł Frodo – ale na razie niczym się nie trapię. Powiedz mi jeszcze tylko, jak się miewają moi przyjaciele i jak zakończyło się starcie u brodu, a zadowolę się tym na dziś. Potem chyba się znów prześpię, ale nie zmrużę oka, dopóki nie opowiesz mi tej historii do końca.

Gandalf przysunął fotel do łóżka i przyjrzał się Frodowi uważnie. Rumieńce wróciły na twarz hobbita, oczy się rozjaśniły i miały wyraz rozbudzony i zupełnie przytomny. Uśmiechał się i nie wyglądał na poważnie chorego. Lecz oko Czarodzieja dostrzegło w nim nieuchwytną zmianę, jak gdyby jakąś przezroczystość ciała, zwłaszcza lewej ręki, która spoczywała na kołdrze.

„No cóż, można się było tego spodziewać – rzekł do siebie Gandalf. – Nie przeszedł jeszcze połowy drogi, a do czego dojdzie u jej kresu – tego nawet Elrond nie umie przewidzieć. Myślę jednak, że nie do czegoś złego. Stanie się może dla oczu tych, którzy umieją patrzeć, jak szklane naczynie napełnione jasnym światłem”.

– Wyglądasz świetnie – powiedział głośno. – Zaryzykuję krótką opowieść, nie pytając Elronda o pozwolenie. Ale naprawdę krótką, a potem musisz zasnąć. Oto, co się zdarzyło u brodu, o ile mi wiadomo. Kiedy uciekłeś, Jeźdźcy pognali wprost za tobą. Nie potrzebowali już wtedy zdawać się na wzrok swoich koni, stałeś się dla nich widzialny, bo znalazłeś się u progu ich świata. Poza tym Pierścień ich przyciągał. Twoi przyjaciele uskoczyli w bok z gościńca; gdyby nie to, stratowałyby ich czarne rumaki. Wiedzieli, że jeśli cię biały koń nie zdoła ocalić, nie ma innego ratunku. Jeźdźcy byli niedoścignieni i zbyt liczni, żeby im stawić czoło. Pieszo nawet Glorfindel i Aragorn nie mogliby się mierzyć z Dziewięciu Jeźdźcami naraz.

Upiory przemknęły, a twoi przyjaciele pobiegli za nimi. W pobliżu brodu jest przy gościńcu mały wykrot pod ściętymi pniakami. Tam spiesznie rozpalili ognisko, bo Glorfindel wiedział, że przyjdzie wielka fala, jeśli tamci spróbują się przeprawić, a wówczas trzeba będzie odeprzeć atak tych Jeźdźców, którzy pozostaną na brzegu. Gdy fala runęła, Glorfindel wybiegł pierwszy, a za nim Aragorn i hobbici, wszyscy z płonącymi gałęziami w rękach. Znalazłszy się między ogniem a wodą, zaskoczeni widokiem dostojnego elfa, który im się objawił w płomieniu swego gniewu, przerazili się, a ich rumaki ogarnął szał. Trzech Jeźdźców pierwszy napór wody porwał w dół rzeki, pozostałych własne konie poniosły w toń.

– Czy to oznacza koniec Czarnych Jeźdźców? – spytał Frodo.

– Nie – odparł Gandalf. – Wierzchowce zapewne zginęły, a bez nich Jeźdźcy są jak kaleki. Upiorów Pierścienia tak łatwo się nie unicestwia. Ale na razie, bądź co bądź, niczego z ich strony nie należy się lękać. Twoi towarzysze przeprawili się brodem, gdy fala powodzi minęła, i znaleźli cię leżącego twarzą do ziemi, a złamany miecz pod tobą. Biały koń stał na straży u twego boku. Byłeś blady i zimny, zlękli się, że nie żyjesz albo stało się z tobą coś od śmierci gorszego. Przybiegli wysłańcy Elronda i zanieśli cię ostrożnie do Rivendell.

– Kto wzburzył rzekę? – spytał Frodo.

– Elrond – odparł Gandalf. – Rzeka tej doliny jest w jego władzy i wzbiera gniewem, gdy Elrond w ciężkiej potrzebie chce zagrodzić bród. Kiedy Wódz Upiorów wjechał do wody, natychmiast otworzyły się upusty. Pozwolę sobie wspomnieć, że ja ze swej strony przyczyniłem się też pewnymi drobiazgami. Nie wiem, czy zauważyłeś, że niektóre fale przybrały postać olbrzymich białych koni niosących promiennych, białych rycerzy; a poza tym słyszałeś może huk i zgrzyt toczonych w wodzie głazów. Przez chwilę bałem się nawet, czy nie rozpętaliśmy zbyt wściekłego żywiołu i czy nawała nie wymknie się spod naszej władzy, zmiatając was wszystkich. Wielka jest siła wody, która spływa z lodowców Gór Mglistych.

– Tak, teraz sobie przypominam ten straszliwy huk – rzekł Frodo. – Zdawało mi się, że tonę razem z przyjaciółmi, wrogami i całym światem. No, ale już jesteśmy wszyscy bezpieczni.

Gandalf żywo spojrzał na Froda, lecz hobbit miał oczy zamknięte.

– Tak, tymczasem jesteście wszyscy bezpieczni. Wkrótce zaczną się tu uczty i zabawy dla uczczenia zwycięstwa u Brodu Bruinen, a wy zasiądziecie na honorowych miejscach.

– To wspaniale! – rzekł Frodo. – Zdumiewa mnie, że Elrond, Glorfindel, takie dostojne osoby, nie mówiąc już o Obieżyświacie, zadają sobie tyle trudu i okazują mi tak wiele życzliwości.

– Mają po temu rozmaite powody – odparł z uśmiechem Gandalf. – Jednym z takich chwalebnych powodów jestem ja. Drugim – Pierścień. Jesteś powiernikiem Pierścienia. A zarazem spadkobiercą Bilba, znalazcy Pierścienia.

– Kochany Bilbo! – sennie wymruczał Frodo. – Gdzie też on się podziewa? Chciałbym, żeby tu był i posłuchał tej całej historii. Ależby się śmiał! Krowa przeskoczyła księżyc! I ten stary nieborak troll!

Z tymi słowy zasnął głęboko. Frodo czuł się teraz bezpieczny w Ostatnim Przyjaznym Domu na wschód od Morza. A był to dom, o którym przed laty Bilbo napisał, że jest niezrównany, czy kto lubi jeść, czy spać, czy słuchać opowieści, czy śpiewać, czy po prostu woli siedzieć i rozmyślać, czy też chciałby wszystkie te przyjemności połączyć. Wystarczyło pomieszkać tutaj, żeby wyleczyć się ze zmęczenia, lęku i smutku.

Pod wieczór Frodo znów się zbudził i stwierdził, że nie czuje już potrzeby snu ani odpoczynku, natomiast chętnie by coś zjadł i wypił, a może też potem pośpiewał i pogawędził. Wstał z łóżka i zauważył, że włada ramieniem prawie tak swobodnie jak dawniej. Zobaczył przygotowane czyste ubranie z zielonego sukna, doskonale pasujące na jego figurę. Spojrzał w lustro i zdumiał się, bo odbiło postać znacznie szczuplejszą, niż zwykł oglądać; z lustra patrzył hobbit uderzająco podobny do młodocianego siostrzeńca Bilba, który ze swoim wujem włóczył się niegdyś po Shire, ale jego oczy miały nowy wyraz zamyślenia.

„Tak, tak, od tamtego dnia, kiedy ostatnim razem wyjrzałeś do mnie z lustra, niemało różnych rzeczy zobaczyłeś na świecie! – powiedział Frodo swojemu sobowtórowi. – No, ale teraz spieszmy na wesołe spotkanie!”

Przeciągnął się w ramionach i zagwizdał melodyjnie. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Sam. Podbiegł do Froda, niezgrabnie i wstydliwie chwycił jego lewą rękę. Pogłaskał ją czule, zaczerwienił się i szybko odsunął.

– Jak się masz, Samie! – rzekł Frodo.

– Ciepła! – zawołał Sam. – Pańska ręka jest ciepła! A taka była zimna przez całe długie noce. Zwycięstwo, grajcie nam, surmy! – wykrzyknął i z błyszczącymi oczyma okręcił się w kółko tanecznym krokiem. – Co za radość widzieć pana znów na nogach i przytomnego! Gandalf przysłał mnie tutaj, żebym spytał, czy pan już ubrany i czy chce zejść na dół. Ale myślałem, że ze mnie kpi!

– Jestem gotów – rzekł Frodo – chodźmy, poszukamy reszty kompanii.

– Mogę pana zaprowadzić – powiedział Sam. – To bardzo duży dom i bardzo dziwny. Coraz to coś nowego się odkrywa i nigdy nie wiadomo, jaka niespodzianka czeka za zakrętem. A ci elfowie! Gdzie się ruszyć – elfowie. Niektórzy jak królowie – groźni i dostojni – a inni znów weseli jak dzieci. A muzyka, a śpiewy jakie! Tylko że nie miałem nawet chęci do słuchania w te pierwsze dni po naszym przybyciu. Ale już zaczynam się oswajać ze zwyczajami tego domu.

– Wiem, czym byłeś dotychczas zajęty – rzekł Frodo, ujmując Sama pod ramię. – Dziś za to będziesz mógł się weselić i słuchać muzyki ile dusza zapragnie. Chodźmy, prowadź mnie przez tutejsze zakamarki.

Sam zaprowadził go przez kilka korytarzy i po wielu stopniach schodów do ogrodu, górującego nad stromą rzeczną skarpą. Frodo zastał przyjaciół na ganku po tej stronie domu, która zwrócona była ku wschodowi.

Cień już zalegał dolinę, ale na widnokręgu ściana gór jeszcze stała w blasku. Było ciepło, woda w rzece i w wodospadzie pluskała głośno, powietrze wieczorne pachniało nikłą wonią liści i kwiatów, jak gdyby w ogrodach Elronda lato nie skończyło się dotychczas.

– Hura! – krzyknął, zrywając się, Pippin. – Oto nasz szlachetny krewniak! Miejsce dla Froda, Władcy Pierścienia!

– Cicho! – odezwał się Gandalf siedzący w cieniu, w głębi ganku. – Złe siły nie mają wstępu do tej doliny, mimo to nie należy ich wywoływać po imieniu. Władcą Pierścienia jest nie Frodo, lecz pan Czarnej Wieży Mordoru, a jego władza znów rozszerza się na świat cały. Jesteśmy w twierdzy. Dokoła niej gęstnieją ciemności.

– Gandalf wciąż nam powtarza wesołe nowiny w tym guście – rzekł Pippin. – Myśli widać, że mnie trzeba przywoływać do porządku. Ale wydaje się niepodobieństwem zachować ponury nastrój i przygnębienie, przebywając w tym domu. Chętnie bym zaśpiewał, gdybym znał jakąś pieśń odpowiednią na dzisiejszą uroczystość.

– Ja też mam ochotę śpiewać – odparł ze śmiechem Frodo. – Chociaż najpierw wolałbym coś zjeść i wypić.

– Wkrótce stanie się zadość twemu życzeniu! – rzekł Pippin. – Okazałeś swój przyrodzony spryt, wstając z łóżka w samą porę na wieczerzę.

– To nie zwykła wieczerza, ale cała uczta! – powiedział Merry. – Kiedy Gandalf oznajmił, że wyzdrowiałeś, natychmiast zabrano się do przygotowań.

Jeszcze Pippin nie dokończył zdania, gdy już dzwonki wezwały wszystkich do wielkiej sali.

Rojno było w wielkiej sali domu Elronda. Przeważali elfowie, nie brakowało jednak również przedstawicieli innych plemion. Elrond, swoim zwyczajem, siedział we wspaniałym fotelu u szczytu długiego stołu na podwyższeniu; po jednej ręce posadził przy sobie Glorfindela, po drugiej – Gandalfa.

Frodo przyglądał im się z podziwem, nigdy bowiem dotychczas nie widział Elronda, o którym tak wiele słyszał opowieści, Glorfindel zaś, a nawet Gandalf – tak dobrze, jak mu się zdawało, znajomy – ukazali się hobbitowi u boku Elronda w nowym blasku godności i potęgi.

Gandalf, mniej okazałej postawy niż tamci dwaj, wyglądał mimo to ze swoją bujną srebrną brodą, długimi siwymi włosami i szerokimi barami jak mędrzec-król ze starej legendy. W sędziwej twarzy spod krzaczastych śnieżnobiałych brwi ciemne oczy iskrzyły się jak węgle, gotowe lada chwila buchnąć płomieniem.

Glorfindel był wysoki i smukły, włosy miał złociste, twarz piękną, młodzieńczą, nieulękłą i radosną, oczy jasne i żywe, a głos dźwięczny jak muzyka; z jego czoła promieniowała mądrość, z rąk – siła.

Oblicze Elronda nie miało wieku, nie było ani stare, ani młode, chociaż wypisana była na nim pamięć wielu radości i wielu trosk. Na włosach, ciemnych jak cienie o zmierzchu, błyszczała srebrna przepaska; w oczach, szarych jak pogodny wieczór, świecił blask, jak gdyby światło gwiazd. Zdawał się czcigodny jak król w majestacie wielu lat panowania, ale zarazem krzepki jak zahartowany wojownik w pełni sił. Był panem na Rivendell i sprawował władzę zarówno nad elfami, jak i nad ludźmi.

Pośrodku stołu, na tle tkaniny rozpiętej na ścianie, stał pod baldachimem fotel, a w nim siedziała pani wielkiej urody, tak podobna do Elronda, jak gdyby była jego sobowtórem w kobiecej postaci, toteż Frodo od razu zgadł, że tych dwoje łączy więź najbliższego pokrewieństwa. Zdawała się młoda i niemłoda jednocześnie, bo chociaż jej ciemnych warkoczy nie pobielił jeszcze szron, a białe ramiona i jasna twarz były hoże i gładkie, oczy zaś, szare jak bezchmurna noc, błyszczały niby gwiazdy, miała w sobie dostojeństwo królowej, a spojrzenie zadumane i rozumne jak ktoś, komu długie lata pozwoliły zaznać wielu przeżyć. Głowę jej okrywał czepiec ze srebrnej koronki usianej drogocennymi kamieniami, które migotały białym ogniem, lecz miękkiej szarej sukni nie zdobiły żadne klejnoty prócz paska ze srebra, kutego w kształt liści.

Tak się stało, że Frodo ujrzał tę, którą niewielu śmiertelników miało szczęście oglądać: Arwenę, córkę Elronda, w której, jak mówiono, objawiła się po raz wtóry na ziemi piękna Lúthien. Nazywano ją Undómiel, była bowiem Wieczorną Gwiazdą swego ludu. Długi czas przebywała w ojczyźnie matki, w Lórien, za górami, i niedawno dopiero wróciła do

ojcowskiego domu w Rivendell. Braci jej, Elladana i Elrohira, nie było tutaj, ruszyli właśnie na jakąś rycerską wyprawę, nieraz bowiem zapuszczali się daleko ze Strażnikami Północy, nie mogąc zapomnieć o tym, co wycierpiała ich matka w lochach orków.

Istot tak wielkiej urody nigdy jeszcze Frodo nie widział, nawet sobie nie wyobrażał, rozglądał się więc teraz zdumiony i zmieszany, że wypadło mu zasiąść przy jednym stole z tak dostojnymi i pięknymi osobami. Chociaż przygotowano dla niego specjalne krzesło i podścielono mu kilka poduszek, czuł się z początku bardzo mały i trochę jak intruz; prędko wszakże odzyskał pewność siebie, bo uczta była wesoła, a sute dania mogły zadowolić najgłodniejszego. Na pewien czas tak się zajął jedzeniem, że przestał się rozglądać i nawet nie spojrzał na najbliższych sąsiadów.

Potem dopiero zaczął szukać wzrokiem przyjaciół. Sam prosił, żeby mu pozwolono usługiwać swojemu panu, lecz odmówiono mu, oświadczając, że tym razem będzie również honorowym gościem. Frodo zobaczył więc Sama siedzącego razem z Pippinem i Merrym u szczytu jednego z bocznych stołów tuż obok podwyższenia. Obieżyświata natomiast nie mógł nigdzie dostrzec.

Po prawej ręce Froda siedział krasnolud godnej miny i bogato odziany. Brodę miał długą, rozczesaną, białą, prawie tak śnieżnobiałą jak sukno, z którego było uszyte jego ubranie. Nosił pas srebrny, a na szyi łańcuch ze srebra i diamentów. Frodo przerwał jedzenie, żeby mu się przyjrzeć.

– Witaj, rad cię spotykam! – rzekł krasnolud, zwracając się do Froda. Wstał od stołu i ukłonił się grzecznie. – Glóin, do twych usług – przedstawił się i pokłonił jeszcze niżej.

– Frodo Baggins, gotów do usług dla ciebie i całej twojej rodziny – odwzajemnił się jak przystało Frodo, zrywając się i w oszołomieniu zrzucając z krzesła poduszki. – Czy się nie mylę, zgadując, że mam przed sobą tego Glóina, który należał do dwunastu druhów wielkiego Thorina, zwanego Dębową Tarczą?

– Nie mylisz się – odpowiedział krasnolud, zbierając z podłogi poduszki i uprzejmie pomagając Frodowi wgramolić się z powrotem na krzesło. – Nie pytam nawzajem, bo już mi powiedziano, że ty jesteś krewniakiem i usynowionym spadkobiercą naszego przyjaciela, sławnego Bilba. Pozwól, że ci powinszuję szczęśliwego powrotu do zdrowia.

– Dziękuję bardzo – rzekł Frodo.

– Słyszałem, że miałeś niezwykłe przygody – powiedział Glóin. – Ciekaw jestem, co mogło skłonić aż czterech hobbitów do tak dalekiej podróży! Nic podobnego nie zdarzyło się od czasu, gdy Bilbo wyruszył z nami w świat. Ale może nie powinienem o to pytać, skoro Elrond i Gandalf nie kwapią się do wyjaśnienia tej sprawy.

– Sądzę, że nie będziemy o tym mówili, przynajmniej na razie – grzecznie odparł Frodo. Domyślał się, że nawet w domu Elronda sprawa Pierścienia nie powinna być tematem potocznej rozmowy, a zresztą wolał chociaż na pewien czas zapomnieć o swoich troskach. – Ja zaś nie mniej jestem ciekawy – dodał – co sprowadziło tak dostojnego krasnoluda z odległej Samotnej Góry.

Glóin spojrzał na niego żywo.

– Jeśli nie wiesz, sądzę, że o tym również na razie nie będziemy mówili. Wkrótce, jak się spodziewam, Elrond zabierze nas na radę, a wtedy dowiemy się wielu rzeczy. Ale znajdziemy z pewnością mnóstwo innych tematów do rozmowy.

Do końca wieczerzy gawędzili ze sobą, ale Frodo więcej słuchał, niż mówił, bo nowiny z Shire’u, jeśli pominąć sprawę Pierścienia, wydawały się błahe, odległe i mało ważne w porównaniu z tym, co miał Glóin do powiedzenia o zdarzeniach na północnych obszarach Dzikich Krajów. Usłyszał więc Frodo, że Grimbeorn Stary, syn Beorna, ma teraz pod swymi rozkazami liczne zastępy dzielnych ludzi i że do ich krainy między górami a Mroczną Puszczą nie ośmielają się zapędzać ani orkowie, ani wilki.

– Zaprawdę – rzekł Glóin – gdyby nie Beorningowie, nikt by już od dawna nie mógł przejść drogą z Dale do Rivendell. Ci waleczni ludzie strzegą Wysokiej Przełęczy i brodu przy Samotnej Skale. Pobierają jednak wygórowane myto – dodał, kiwając głową – i tak samo jak ongi Beorn niezbyt lubią nasze plemię. Bądź co bądź, są uczciwi, a to już niemało znaczy w tych czasach. Nigdzie tak serdecznych przyjaciół nie mamy w ludziach jak w Dale. Dobry to lud, ci Bardanie. Włada nimi wnuk Barda Łucznika, Brand, syn Baina, który był synem Barda. Możny król, jego państwo sięga teraz daleko na południe i wschód od Esgaroth.

– A co słychać u twego plemienia? – spytał Frodo.

– Wiele by o tym można opowiedzieć, dobrego i złego – odparł Glóin – ale więcej dobrego. Jak dotąd, szczęście nam sprzyja, chociaż i na nas pada cień dzisiejszych czasów. Jeśli rzeczywiście chcesz o naszych sprawach posłuchać, chętnie ci opowiem. Ale nie krępuj się i przerwij mi, gdybym cię znudził. Powiada przysłowie, że kiedy krasnolud zaczyna opowiadać o swoich przedsięwzięciach, język go ponosi.

Zastrzegłszy się w ten sposób, Glóin rozpoczął długie sprawozdanie z działalności krasnoludzkiego państwa. Zachwyciła go uprzejmość słuchacza, bo Frodo nie zdradzał znużenia ani nie próbował zmieniać tematu, jakkolwiek dość szybko stracił orientację w gąszczu dziwnych imion i nazw geograficznych, których nigdy w życiu nie słyszał. Mimo to z zainteresowaniem przyjął do wiadomości, że Dáin wciąż jeszcze króluje Pod Górą i jest już stary (ukończywszy dwieście pięćdziesiąt lat), czcigodny i bajecznie bogaty. Spośród dziesięciu druhów, którzy wyszli z życiem z Bitwy Pięciu Armii, siedmiu trwało dotychczas przy nim: Dwalin, Glóin, Dori, Nori, Bifur, Bofur i Bombur. Bombur co prawda utył tak okropnie, że nie może o własnych siłach przejść z łóżka do stołu i sześciu młodych krasnoludów musi mu w tym pomagać.

– A co się stało z Balinem, Orim i Óinem? – spytał Frodo.

Cień przemknął przez twarz Glóina.

– Nie wiemy – odpowiedział. – Właśnie przede wszystkim w sprawie Balina przybyłem tutaj zasięgnąć rady u mieszkańców Rivendell. Ale dziś mówmy raczej o weselszych rzeczach.

I zaczął opowiadać o dziełach swojego plemienia, o wielkich pracach dokonanych w Dale i Pod Górą.

– Nieźle się sprawiliśmy – rzekł – lecz w obróbce kruszców nie możemy sprostać naszym ojcom, bo wiele ich tajemnic przepadło wraz z nimi. Wyrabiamy dobre zbroje i miecze, nie umiemy jednak sporządzać kolczug i ostrzy, które by dorównały dawnym, z czasów przed zjawieniem się smoka. Tylko w sztuce górniczej i budowlanej prześcignęliśmy tamte wieki. Żebyś zobaczył drogi wodne w dolinie Dale, góry i jeziora! Żebyś zobaczył gościńce wybrukowane różnokolorowymi kamieniami! A sale, a podziemne ulice o sklepieniach rzeźbionych na kształt drzew! A tarasy i wieże na stokach góry! Musiałbyś przyznać, żeśmy nie próżnowali.

– Przyjadę i wszystko to obejrzę, jeśli tylko będę mógł – odparł Frodo. – Jakżeby się zdumiał Bilbo, gdyby widział te zmiany w kraju spustoszonym przez Smauga!

Glóin popatrzył na Froda z uśmiechem.

– Bardzo kochałeś Bilba, prawda?

– Bardzo – przyznał Frodo. – Wolałbym jego ujrzeć niż wszystkie wieże i pałace świata.

Wreszcie uczta się skończyła. Elrond i Arwena wstali, by przejść w głąb jadalni, reszta biesiadników ruszyła za nimi w należytym porządku. Otwarły się podwoje i wszyscy przez szeroki korytarz i następne drzwi przeszli do innej sali. Nie było tu stołów, lecz ogień płonął jasno na wielkim kominie, z dwóch stron obramionym przez rzeźbione kolumny.

Frodo szedł koło Gandalfa.

– To jest Sala Kominkowa – rzekł Czarodziej. – Usłyszysz tu wiele pieśni i opowieści, jeśli uda ci się nie zasnąć. Lecz z wyjątkiem dni uroczystych sala ta jest zwykle pusta i cicha, a przychodzą tu ci, którzy pragną spokoju w swych rozmyślaniach. Płonie tu zawsze ogień, przez okrągły rok, lecz prawie nie ma innego oświetlenia.

Kiedy Elrond wszedł i skierował się ku przygotowanemu dla niego fotelowi, minstrele powitali go muzyką. Sala wypełniała się z wolna i Frodo z przyjemnością rozglądał się wśród pięknych twarzy elfów, których tu było tak wiele; złocisty blask ognia rozświetlał je i lśnił na włosach.

Nagle w dalszym kącie sali nieopodal kominka spostrzegł drobną, ciemną figurkę skuloną na zydelku i plecami opartą o filar. Obok na podłodze stał kubek i leżała kromka chleba. Frodo pomyślał, że może to chory (jeżeli w Rivendell w ogóle zdarzają się choroby), który nie mógł wziąć udziału w uczcie. Głowa, jakby senna, opadała nieznajomemu na piersi, poła ciemnego płaszcza zasłaniała twarz.

Elrond podszedł i stanął przed milczącą postacią.

– Zbudź się, mistrzu! – powiedział z uśmiechem. I zwracając się do Froda, skinął na niego. – Nadeszła wreszcie godzina, do której tęskniłeś, mój Frodo! – rzekł. – Oto dawno utracony przyjaciel!

Ciemna figurka podniosła głowę i odkryła twarz.

– Bilbo! – krzyknął Frodo, poznając starego hobbita, i skoczył ku niemu.

– Witaj Frodo, chłopcze kochany! – rzekł Bilbo. – A więc nareszcie jesteś tutaj. Ufałem, że dojdziesz! No, no! Jak słyszę, cała uroczystość odbywa się dziś na twoją cześć. Mam nadzieję, że się dobrze bawisz?

– Dlaczego nie byłeś na uczcie? – zawołał Frodo. – Dlaczego nie pozwolono mi wcześniej cię zobaczyć?

– Ponieważ spałeś. Co do mnie, to już się napatrzyłem na ciebie. Siadywałem wraz z Samem u twojego łoża. Ale jeśli chodzi o ucztę, to już niezbyt lubię takie rzeczy. Miałem zresztą inne zajęcie.

– Co robiłeś?

– Siedziałem i myślałem. Ostatnimi czasy przeważnie się tym zajmuję, a to miejsce zwykle najlepiej się do tego nadaje. „Zbudź się!” Nie spałem, mości Elrondzie! Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to ci powiem, że za wcześnie wstałeś od uczty i przeszkodziłeś mi… przeszkodziłeś mi w ułożeniu do końca pewnej pieśni. Utknąłem na paru linijkach i rozmyślałem nad nimi, ale teraz już chyba nigdy nie odnajdę właściwych słów. Będzie tyle śpiewu, że wszystkie pomysły uciekną spłoszone z mojej głowy. Muszę poprosić przyjaciela Dúnadana o pomoc. Gdzież on jest?

Elrond się roześmiał.

– Znajdziemy Dúnadana – rzekł. – Zaszyjecie się we dwóch w kącie i dokończycie razem poemat, a pod koniec zabawy posłuchamy tej pieśni i wydamy o niej sąd.

Rozesłano gońców na poszukiwania przyjaciela Bilba, jakkolwiek nikt nie wiedział, gdzie przebywa i dlaczego nie zjawił się u stołu.

Tymczasem Frodo i Bilbo siedzieli obok siebie, a wkrótce Sam również usadowił się w ich pobliżu. Rozmawiali ściszonymi głosami, nie zważając na otaczającą ich wesołość i muzykę. Bilbo niewiele miał do powiedzenia o sobie. Opuściwszy Hobbiton, włóczył się bez celu po Gościńcu i terenach położonych po jego obu stronach; lecz, sam nie wiedząc jak, wciąż dążył w kierunku Rivendell.

– Dotarłem tu bez poważniejszych przygód – mówił – a po odpoczynku udałem się z krasnoludami do Dale: to była moja ostatnia podróż. Więcej już nie będę wędrował. Stary Balin odszedł. Wróciłem wówczas tutaj i tu siedziałem. Robiłem to i owo. Napisałem dalszy ciąg mojej książki. No i

oczywiście ułożyłem parę pieśni. Śpiewają je niekiedy, pewnie przez grzeczność, żeby mi sprawić przyjemność, bo nie są dość piękne jak na Rivendell. A ja sobie słucham i myślę. Tu nie czuje się, że czas płynie: jakby stał. Bardzo niezwykły dom.

Dochodzą mnie różne wieści zza gór i z południa, ale rzadko coś słyszę o Shire. Oczywiście, wiem o sprawie Pierścienia. Gandalf bywał tu często. Nie mówił mi zresztą wiele, ostatnimi laty zrobił się jeszcze bardziej skryty niż dawniej. Więcej opowiedział mi Dúnadan. Że też mój Pierścień sprawił tyle zamieszania! Szkoda, że Gandalf wcześniej nie odkrył tej tajemnicy. Byłbym dawno sam przywiózł Pierścień tutaj i obyłoby się bez tylu kłopotów. Nieraz myślałem, żeby wrócić po niego do Hobbitonu, ale starzeję się, a oni nie chcieli mnie stąd puścić, to znaczy Gandalf i Elrond. Im się zdaje, że Nieprzyjaciel szuka mnie po całym świecie i że posiekałby mnie na kawałki, gdyby mnie przyłapał wałęsającego się po Dzikich Krajach.

Gandalf powiedział mi: „Pierścień przeszedł w inne ręce. Nie wyszłoby to ani tobie, ani innym osobom na dobre, gdybyś próbował znów wtrącać się w tę sprawę”. Dziwaczne słowa, z Gandalfa zawsze był dziwak. Ale zapewnił mnie, że czuwa nad tobą, więc ustąpiłem. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę całego i zdrowego!

Umilkł i trochę niepewnie spojrzał na Froda.

– Masz go tu przy sobie? – zapytał szeptem. – Rozumiesz chyba, że po wszystkim, co słyszałem, mimo woli nabrałem ciekawości. Chciałbym tylko raz jeszcze na niego popatrzeć.

– Tak, mam go przy sobie – odpowiedział Frodo, tknięty nagle niezrozumiałą niechęcią. – Wygląda tak samo jak zawsze.

– Chociaż przez krótką chwilkę daj mi na niego popatrzeć – szepnął Bilbo.

Ubierając się, Frodo stwierdził, że podczas jego snu ktoś zawiesił mu Pierścień u szyi na nowym łańcuszku, bardzo mocnym, chociaż lekkim. Z wolna dobył klejnot spod kurtki. Bilbo wyciągnął rękę, lecz Frodo błyskawicznym ruchem schował Pierścień. Z rozpaczą i zdumieniem spostrzegł, że nie widzi już Bilba, jakby cień nagle ich rozdzielił, lecz poprzez mgłę patrzy w oczy małemu, skurczonemu stworzeniu o

wygłodniałej twarzy i chciwych kościstych palcach. Miał ochotę odepchnąć je pięścią.

Wydało mu się, że muzyka i śpiew ścichły, zaległa cisza. Bilbo szybko spojrzał w twarz Froda i przetarł dłonią oczy.

– Teraz rozumiem – rzekł. – Schowaj go! Żałuję, że na ciebie spadło to brzemię. Żałuję wszystkiego. Czy przygody nigdy się nie kończą? Myślę, że nigdy. Ktoś musi zawsze ciągnąć dalej zaczęty wątek. Trudno, nie ma na to rady. Pytanie, czy przydadzą się na coś wysiłki, żeby dokończyć moją książkę? Ale dziś nie pora na zmartwienia, powiedz mi najważniejsze nowiny. Co słychać w Shire?

Frodo schował Pierścień i cień rozwiał się, zostawiwszy po sobie ledwie nikłe wspomnienie. Znów otoczyły ich światła i muzyka Rivendell. Bilbo uśmiechał się, a nawet śmiał wesoło. Każdy szczegół z życia Shire'u, który Frodo sobie przypominał – niekiedy z pomocą Sama, wtrącającego poprawki – interesował go ogromnie, czy chodziło o ścięcie jakiegoś drzewa, czy o psoty jakiegoś malca z Hobbitonu. Tak pochłonęły ich nowiny z Czterech Ćwiartek, że nie zauważyli nawet, kiedy podszedł do nich mężczyzna w ciemnozielonym ubraniu. Stał od paru minut, przyglądając im się z uśmiechem, aż wreszcie Bilbo podniósł na niego wzrok.

– Ach, jesteś nareszcie, Dúnadanie! – zawołał.

– Obieżyświat! – krzyknął Frodo. – Jak widzę, masz mnóstwo imion.

– Imienia Obieżyświat w każdym razie nigdy dotychczas nie słyszałem – rzekł Bilbo. – Dlaczego tak go nazywacie?

– Przezwano mnie tak w Bree – wyjaśnił, śmiejąc się Aragorn. – Pod tym imieniem zostałem Frodowi przedstawiony.

– A dlaczego ty nazywasz go Dúnadanem? – spytał Frodo.

– Najczęściej tak go tutaj nazywamy – odparł Bilbo. – Myślałem, że znasz na tyle język elfów, żeby wiedzieć, co znaczy *dún-adan*: człowiek z Zachodu, Númenorejczyk. Ale nie ma teraz czasu na lekcję. – Zwrócił się do Obieżyświata: – Gdzieżeś się podziewał, przyjacielu? Czemu nie wziąłeś udziału w uczcie? Była tam pani Arwena.

Obieżyświat poważnie spoglądał z góry na Bilba.

– Wiem – rzekł. – Nie pierwszy to raz musiałem wyrzec się radości. Elladan i Elrohir niespodzianie wrócili z wyprawy i chciałem przede wszystkim usłyszeć wieści, jakie przynoszą z Dzikich Krajów.

– Ale teraz, mój drogi – spytał Bilbo – skoro już znasz te wieści, czy znajdziesz chwilkę czasu dla mnie? Potrzebuję twojej pomocy bardzo pilnie. Elrond polecił mi ułożyć pieśń, nim się skończy dzisiejsza zabawa, a ja zaciąłem się w połowie. Chodźmy w jakiś cichy kącik i wygładźmy wspólnie te wiersze.

Obieżyświat się uśmiechnął.

– Chodźmy! – rzekł. – Chętnie posłucham, co wymyśliłeś.

Frodo został na chwilę bez towarzystwa, bo Sam usnął. Czuł się trochę osamotniony i markotny, chociaż otaczał go rój mieszkańców Rivendell. W najbliższym sąsiedztwie wszyscy milczeli, zasłuchani w muzykę głosów i instrumentów, i na nic więcej nie zwracali uwagi. Frodo także zaczął się wsłuchiwać.

A skoro zaczął słuchać, od razu piękna melodia i wplecione w nią słowa oczarowały go, chociaż niewiele rozumiał z mowy elfów. Miał wrażenie, że słowa wcielają się w żywe postacie, że otwierają się przed nim wizje dalekich krajów i pięknych rzeczy, nieznanych dotychczas nawet w marzeniu. Blask ognia zmienił się w złotą mgłę rozsnutą nad morzem piany, falującym u granic świata. Potem czar coraz bardziej upodabniał się do snu, aż wydało się Frodowi, że przepływa nad nim bezbrzeżna rzeka, pełna złota i srebra, skarbów tak mnogich, że nie rozróżniał już ich kształtów; rzeka stapiała się z pulsującą w powietrzu muzyką, aż Frodo cały nią nasiąknął i zatonął. Muzyka nakryła go migotliwą falą i zapadł na dno, w krainę snu.

Błąkał się po niej długo wśród melodii, które przeistaczały się w szum wody, a w końcu zabrzmiały znajomym głosem. Był to głos Bilba, śpiewającego jakąś pieśń. Zrazu nieuchwytne, potem coraz wyraźniejsze dochodziły do uszu Froda słowa:

Żeglarzem był Eärendil,
Mieszkał w krainie Arvernien;
Okręt zbudował w Nimbrethil,
By płynąć do odległych ziem.
W żaglach srebrzysta błyska nić

Srebrne latarnie gorzeją,
Łabędzi się wygina dziób,
Proporce światłem jaśnieją.

Rynsztunek królów dawnych wziął,
Pierś kryją łączone pierścienie,
Na tarczy tajemniczy znak,
Co wszystkie ciosy odżenie.
Ze smoczych rogów jego łuk,
Z hebanu wycięte strzały
Kolczugi srebrne sploty lśnią,
A w pochwie miecz tkwi zuchwały.
Z najtrwardszej stali kuta broń,
Wysoki hełm ma z diamentu,
Na czubie kita z orlich piór
I szmaragd na piersi przypięty.

Prosto w Księżyca płynął blask,
Z dala od brzegów północy,
Zbłąkany wśród zaklętych dróg,
Którymi człowiek nie kroczy.
Od Cieśnin Lodu, kędy w cień
Mroźne się szczyty spowiły,
Od pustyń, które spalił żar,
Uciekł, żeglując co siły –
Aż płynąc wśród bezgwiezdnych wód,
Przybył do Nocy bez Granic –
I ominąwszy czarny brzeg,
Płynął, nie patrząc już na nic.
Wiatr gniewu chwycił teraz ster;
Z zachodu na wschód – szalony

Żeglarz, rzuciwszy dawny cel,
W rodzinne uciekł strony.

Tu Elwing z chmur przybyła doń –
I stanął mrok w aureoli
Jaśniejszej niż diamenty skier,
Co migotały w jej kolii.
Na głowę kładła mu Silmaril
Światłem wieńcząc mu czoło –
Aż, nieulękły, skręcił ster
I łodzią zatoczył koło;
Z drugiego świata, spoza Mórz
Z potwornym wichrem w zmowie
Szedł z Tarmenelu groźny sztorm;
Te szlaki omija człowiek…
Ów sztorm znosiła z jękiem łódź,
Gdyż śmierć tu nocną godziną
Czyhała pośród szarych Mórz,
Gdy znowu na zachód płynął.

Przez Wieczną Noc go znosił prąd
Wśród ryku wściekłego morza –
Z daleka omijając brzeg,
Gdzie nigdy nie świeci zorza.
Nareszcie u perłowych plaż,
O które łodzią się otarł,
Ujrzał błyszczące pośród pian
Bryły klejnotów i złota.
Ujrzał, jak Góra rośnie wzwyż,
Gdzie zmierzch wieczorny kona –
A w dole Eldamaru twarz

Ku morzu tkwi obrócona.
Wędrowiec nocnych uszedł mgieł,
Zawinął w spokojną przystań,
Gdzie elfów stał zielony dom,
Gdzie woda lśni przezroczysta –
I gdzie u Ilmarinu Wzgórz
Jak złotem skrzące się kruszce
W Tirionie lśniły szczyty wież
Odbite w jeziora lustrze.

Wędrówki dość miał Eärendil,
Elfowie uczyli go pieśni –
A mędrcy, brzęcząc w struny harf,
Cudów, o których nie śnił.
I w elfią go ubrano biel,
I świateł wiodło go siedem,
Kiedy w ukryty oczom kraj
Wkraczał odważnie sam jeden.
I w progi wszedł ogromnych sal,
Gdzie potok lat wartko płynie
I gdzie panuje Odwieczny Król
Na górze w Ilmarinie.
I wiele powiedziano słów
O elfach i ludziach z ziemi,
I wizji ukazano moc
(Znają je wtajemniczeni).

Z mithrilu łódź zrobiono dlań
(Drugą mi taką pokażcie!),
Nie miała wioseł ani z lnu
Żagli na srebrnym maszcie.

Latarnią był jej Silmaril,
A żywy płomień sztandarem,
Który zatknęła Elbereth.
Dla łodzi również jej darem
Były podniebne skrzydła dwa
I czaru moc, sprawiająca,
Że mógł się łodzią wzbić do nieb
Za Księżyc i tarczę Słońca.

Z Wiecznego Mroku ciemnych wzgórz,
Gdzie mżą fontanny szklane,
Niosły go skrzydła – lotny blask
Za Góry potężną ścianę.
U kresu świata skręcił ster
I po podniebnych jazdach
Zapragnął znów wrócić w dom…
Już jak paląca się gwiazda
Wysoko wzbił się ponad mgły –
Herold słonecznej urody –
I błysnął nim płomienny świt,
Zapalił Norlandu wody.

Gdy nad Śródziemiem okręt mknął,
Usłyszał nagle Eärendil
Elfin i ludzkich kobiet szloch,
Jak echo z mrocznych Dawnych Dni.
Lecz jemu wielki przypadł los:
Nim Księżyc zblednie – w biegu
Omijać ziemskiej gwiazdy glob,
Śmiertelnych nie tknąć brzegów;
I wciąż zwiastować nowy cel,

Wiedząc, że nie nadejdzie kres
Wędrówki wśród obłocznych mgieł
Z lampą – Płomieniem Westernesse[40].

Śpiew umilkł. Frodo otworzył oczy i zobaczył Bilba siedzącego na zydelku w kręgu słuchaczy, którzy uśmiechali się i klaskali.

– A teraz chcielibyśmy posłuchać raz jeszcze od początku! – oświadczył jeden z elfów.

Bilbo wstał i złożył ukłon.

– Pochlebia mi twoje życzenie, Lindirze – rzekł – ale powtarzanie całej pieśni byłoby zbyt męczące.

– Nie dla ciebie – odparł ze śmiechem Lindir. – Dobrze wiemy, że recytowanie własnych wierszy nigdy cię nie nuży. Doprawdy, nie możemy wydać sądu po jednorazowym przesłuchaniu.

– Co?! – krzyknął Bilbo. – Nie umiecie odróżnić moich zwrotek od utworów Dúnadana?

– Niełatwo nam dostrzec różnicę między dwoma śmiertelnikami – powiedział elf.

– Głupstwa pleciesz, Lindirze – ofuknął go Bilbo. – Jeśli nie potrafisz odróżnić człowieka od hobbita, nie jesteś widać tak rozumny, jak przypuszczałem. Są do siebie równie niepodobni jak ziarnko fasoli do jabłka.

– Może. Owca zapewne rozróżnia inne owce – roześmiał się Lindir. – Pasterz także. Ale my nie poświęcamy tyle uwagi śmiertelnikom. Mamy inne sprawy na głowie.

– Nie będę się z tobą sprzeczał – odparł Bilbo. – Sen mnie morzy po tylu godzinach muzyki i śpiewu. Jeżeli masz ochotę, sam rozwiąż zagadkę.

Wstał i podszedł do Froda.

– No, skończyłem! – szepnął. – Poszło mi lepiej nawet, niż się spodziewałem. Rzadko się zdarza, by mnie proszono o powtórzenie pieśni. A ty co o niej sądzisz?

– Nie próbuję zgadywać – odparł Frodo z uśmiechem.

– Nie ma potrzeby – rzekł Bilbo. – Prawdę mówiąc, całą pieśń sam ułożyłem. Aragorn tylko uparł się, żeby dodać szmaragd. Jego zdaniem to bardzo ważny szczegół. Nie wiem dlaczego. Poza tym uważał, jak się zdaje, że porywam się na zbyt trudne zadanie, i powiedział, że jeżeli ośmielam się wygłaszać swój poemat o Eärendilu w domu Elronda, muszę to wziąć na własną odpowiedzialność. Może ma rację.

– Nie jestem tego pewien – odparł Frodo. – Mnie się twój poemat wydał bardzo tutaj odpowiedni, chociaż nie umiem wyjaśnić, na czym to polegało. Byłem w półśnie, kiedy zacząłeś pieśń, i miałem wrażenie, że to dalszy ciąg moich sennych marzeń. Dopiero pod koniec uświadomiłem sobie, że to ty śpiewasz.

– W tym domu nieprzyzwyczajonemu trudno się opędzić od senności – rzekł Bilbo. – Nigdy zresztą hobbit nie dorówna elfom w ich nienasyconym apetycie na muzykę, poezję i opowieści. Elfowie lubią te zabawy na równi z jedzeniem, a może nawet bardziej. Będą tu śpiewać jeszcze długo w noc. Nie zechciałbyś wymknąć się po cichu i pogadać ze mną gdzieś na uboczu?

– Nie wezmą nam tego za złe? – spytał Frodo.

– Co znowu! To przecież zabawa, nie obowiązek. Można wchodzić i wychodzić, jak ci się podoba, byle nie hałasować.

Wstali i cichcem wycofali się w cień, zmierzając ku drzwiom. Sama zostawili uśpionego i błogo uśmiechniętego przez sen. Frodo, mimo że cieszył się towarzystwem Bilba, z pewnym żalem opuszczał salę i ognisko. Kiedy przekraczali jej próg, czysty głos właśnie podjął pieśń:

A Elbereth Gilthoniel,
silivren penna míriel,
o menel aglar elenath!
Na-chaered palan-díriel
o galadhremmin ennorath,
Fanuilos, le linnathon
nef aear, sí nef aearon!

Frodo na sekundę przystanął i obejrzał się za siebie. Elrond siedział w fotelu, a blask ogniska rozświetlał jego twarz, jak letnie słońce ozłaca

korony drzew. Przy nim siedziała pani Arwena. Ze zdumieniem Frodo ujrzał stojącego u jej boku Aragorna, który odrzucił ciemny płaszcz i miał na sobie zbroję elfów z gwiazdą błyszczącą na piersi. Tych dwoje rozmawiało z sobą i nagle Frodowi wydało się, że Arwena zwróciła na niego wzrok i że jej promienne spojrzenie z daleka trafiło go prosto w serce.

Stał jak urzeczony, a słodkie sylaby pieśni elfów dzwoniły niby klejnoty stworzone z harmonii słów i melodii.

– To pieśń na cześć Elbereth – powiedział Bilbo. – Będą ją śpiewać, zarówno jak i inne pieśni Błogosławionego Królestwa, po wielekroć dzisiejszej nocy. Chodźmy!

Zaprowadził Froda do jego własnej sypialenki. Okna jej wychodziły na ogrody i widać było stąd dalej na południe rozległy krajobraz aż poza dolinę Bruinen. Czas jakiś siedzieli tutaj, patrząc przez okno w jasne gwiazdy nad wspinającym się stromo w górę lasem, i gawędzili z cicha. Nie mówili już o błahych nowinach z odległego Shire’u ani o czarnych cieniach i niebezpieczeństwach, które ich zewsząd osaczały, lecz o pięknych rzeczach, które obaj na świecie widzieli, o elfach, o gwiazdach, o drzewach, o łagodnej pogodzie jesiennej, złocącej lasy.

Wreszcie ktoś zapukał do drzwi.

– Przepraszam – powiedział Sam, wtykając głowę. – Chciałem tylko zapytać, czy może panom czego potrzeba.

– Nawzajem przepraszam, Samie Gamgee – odparł Bilbo – że zgadłem, o co ci chodzi naprawdę. Pewnie uważasz, że twojemu panu już pora do łóżka.

– Bo to, proszę pana, jutro wcześnie zacznie się narada, jak mi mówiono, a pan Frodo dopiero dzisiaj podniósł się pierwszy raz po chorobie.

– Słusznie, Samie – roześmiał się Bilbo. – Idź i zamelduj Gandalfowi, że pacjent już się położył. Dobranoc, Frodo. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię znów oglądam. Nie ma to jak hobbici do prawdziwej pogawędki. Bardzo się już postarzałem i nieraz sobie stawiam pytanie, czy dożyję tego, bym mógł czytać twoje rozdziały naszej wspólnej historii. Dobranoc! Przejdę się trochę po ogrodzie i popatrzę na gwiazdy Elbereth. Śpij spokojnie!

ROZDZIAŁ 2
NARADA U ELRONDA

Nazajutrz Frodo zbudził się wcześnie, rześki i zdrów. Przeszedł się po tarasach nad szumiącą głośno Bruinen i widział, jak blade, chłodne słońce wstało zza dalekich gór, przebijając się skośnymi promieniami przez lekkie, srebrzyste mgły; rosa błyszczała na pożółkłych liściach, nici babiego lata lśniły na każdym krzewie. Sam chodził za Frodem, nic nie mówiąc, ale węsząc w powietrzu zapachy i co chwila wznosząc pełne podziwu oczy ku spiętrzonym na wschodzie górom. Śnieg bielił ich szczyty.

Za zakrętem ścieżki niespodzianie ujrzeli Gandalfa i Bilba siedzących na kamiennej ławce i zagłębionych w rozmowie.

– Witaj! Dzień dobry! – zawołał Bilbo. – Gotów jesteś na wielką naradę?

– Czuję się gotów na wszystko – odparł Frodo. – Największą jednak ochotę miałbym na daleki spacer i zwiedzenie doliny. Chętnie bym zajrzał do tych sosnowych borów! – rzekł, pokazując odległą północną część Rivendell.

– Może będziesz miał po temu sposobność później – powiedział Gandalf. – Teraz nie możemy jeszcze układać żadnych planów. Wiele rzeczy dziś usłyszymy i niejedną trzeba będzie podjąć decyzję.

Nagle dobiegło ich pojedyncze dźwięczne uderzenie w dzwon.

– To wezwanie na naradę do Elronda! – zawołał Gandalf. – Chodźmy! Obaj, ty, Frodo, i ty, Bilbo, będziecie tam potrzebni.

Frodo i Bilbo pospieszyli za Czarodziejem krętą ścieżką z powrotem ku domowi. Niezaproszony i na razie zapomniany Sam dreptał ich śladem.

Gandalf zaprowadził ich na ten sam ganek, gdzie poprzedniego wieczora Frodo spotkał przyjaciół. Pogodny jesienny ranek świecił nad doliną. Od pieniącej się rzeki bił w górę szum i plusk. Ptaki śpiewały, miły spokój roztaczał się nad całą okolicą.

Niebezpieczeństwa jego ucieczki z Shire’u i groźne wieści o potęgujących się na świecie ciemnościach zdawały się Frodowi już tylko

wspomnieniem złego snu, lecz gdy weszli na salę, powitały ich zewsząd twarze pełne powagi.

Elrond już tu był, a wokół niego siedzieli w milczeniu inni. Frodo dostrzegł Glorfindela i Glóina, a w kącie samotnego Obieżyświata, który znów przywdział stare, zniszczone w wędrówkach ubranie. Elrond wskazał Frodowi miejsce u swego boku i przedstawił hobbita zgromadzonym, mówiąc:

– Przyjaciele, to jest hobbit Frodo, syn Droga. Nie ma wśród nas wielu, którzy by przezwyciężyli gorsze niebezpieczeństwa i podjęli ważniejszą misję niż on.

Z kolei przedstawił Frodowi tych uczestników narady, których dotychczas hobbit nie znał. Przy Glóinie siedział młodszy krasnolud, syn jego, imieniem Gimli. Obok Glorfindela skupili się liczni doradcy i domownicy Elronda, którym przewodził Erestor. Wśród nich był Galdor, elf z Szarej Przystani, przybyły z poselstwem od Círdana, Budowniczego Okrętów. Był też obcy elf w zielonobrunatnym stroju, Legolas, syn i wysłanik Thranduila, króla elfów z północnej części Mrocznej Puszczy. Nieco na uboczu siedział rosły mężczyzna o pięknych i szlachetnych rysach, ciemnych włosach i siwych oczach, spoglądający dumnie i surowo. Miał płaszcz i długie buty, jakby do konnej podróży, a ten strój, chociaż bogaty, podobnie jak podbity futrem płaszcz, nosił ślady długiej wędrówki. W srebrnym łańcuchu na szyi błyszczał biały diament, włosy sięgały do ramion. U pasa zwisał oprawny w srebro róg, w tej chwili spoczywający na kolanach właściciela. Nieznajomy jakby się zdumiał na widok Bilba i Froda.

– Oto – rzekł Elrond, zwracając się do Gandalfa – Boromir, gość z południa. Dziś o świcie przybył tutaj, szukając rady. Poprosiłem go na nasze zgromadzenie, bo tu usłyszy odpowiedź na wiele swoich pytań.

Nie wszystko z tego, co mówiono i o czym dysputowano podczas narady, wymaga przytoczenia. Mówiono bowiem dużo o wypadkach na szerokim świecie, szczególnie na południu i w rozległych krainach na wschód od gór. O tych zdarzeniach Frodo słyszał już przedtem różne pogłoski, nowością jednak było dla niego opowiadanie Glóina, toteż skupił całą uwagę, kiedy zabrał głos krasnolud.

– Od wielu już lat – rzekł Glóin – cień niepokoju pada na życie naszego plemienia. Skąd się wziął, nie mogliśmy zrazu pojąć. Zaczęło się od szeptów z ust do ust podawanych. Powiadano, że utknęliśmy w zaścianku, podczas gdy na szerokim świecie jest więcej bogactw i zaszczytów do osiągnięcia. Ktoś wspomniał Morię, potężne dzieło naszych ojców, zwane w naszej mowie Khazad-dûm. Ozwały się głosy, że wreszcie dość urośliśmy w siły i liczbę, aby tam wrócić.

Glóin westchnął:

– Moria! Moria! Cud Północy! Za głęboko tam się wryliśmy i zbudziliśmy bezimienne, straszne moce. Od wieków stoją tam pustką rozległe pałace, odkąd z nich uciekły dzieci Durina. Lecz teraz znów mówiliśmy o nich z utęsknieniem, chociaż i z trwogą zarazem; albowiem w ciągu kilku pokoleń żaden krasnolud nie ważył się przestąpić bramy Khazad-dûm, prócz jednego Thróra, który tę próbę przypłacił życiem. W końcu wszakże Balin dał posłuch szeptom i postanowił wyruszyć do Morii. Dáin wprawdzie niechętnie mu na to pozwolił, lecz Balin wziął ze sobą Oriego, Óina i wielu innych, z którymi odszedł na południe.

Było to trzydzieści lat temu. Początkowo dostawaliśmy od nich wieści, i to dość pomyślne: weszli do Morii i rozpoczęli tam wielkie prace. Później zaległa cisza i ani słowo już nie dotarło do nas stamtąd.

Przed rokiem mniej więcej przybył do Dáina wysłannik, ale nie z Morii. Z Mordoru. Przybył konno, nocą, wywołał Dáina do bramy. Oznajmił mu, że Sauron Wielki pragnie naszej przyjaźni. Ofiarowuje w zamian pierścienie, takie, jakie ongi rozdawał. I zapytuje, co nam wiadomo o hobbitach, co to za plemię i gdzie mieszka. „Albowiem Sauron wie – rzekł poseł – że niegdyś znaliście dobrze pewnego hobbita”.

To nas bardzo zaniepokoiło i nic na to nie odpowiedzieliśmy. Wtedy tamten ściszył swój dziki głos i byłby go pewnie osłodził, gdyby to było możliwe. „Sauron pragnie otrzymać od was drobny zadatek na poczet przyjaźni – rzekł. – Prosi mianowicie, żebyście odszukali złodzieja – tak się wyraził – i odebrali mu, po dobroci albo przemocą, pewien mały pierścionek, najmniejszy z pierścieni, niegdyś przez niego skradziony. Znajdźcie ten pierścień, a zwrócę wam trzy inne, te, które dawniej były w posiadaniu krasnoludzkich władców, i królestwo w Morii będzie wasze na wieki. Znajdźcie bodaj ślad złodzieja, dowiedzcie się, czy żyje jeszcze i

gdzie przebywa, a zdobędziecie hojną nagrodę i trwałą przyjaźń Władcy. Jeżeli odmówicie, może być z wami źle. Czy odmawiacie?”

Skończył i syk dobył mu się z piersi jak z gniazda żmij, a wszyscy stojący w pobliżu zadrżeli, Dáin wszakże odpowiedział: „Nie mówię tak i nie mówię nie. Muszę rozważyć twoje słowa i to, co się kryje pod ich piękną zasłoną”.

„Rozważ, ale niech to nie trwa zbyt długo” – rzekł tamten.

„Czas, który poświęcam na rozmyślanie, jest moją własnością” – odparł Dáin.

„Tymczasem jeszcze twoją” – rzucił tamten, znikając w ciemnościach.

Od tej nocy ciężkie brzemię nosili w sercach nasi przywódcy. Nawet gdyby ów wysłannik nie ostrzegł nas złowróżbnym brzmieniem głosu, poznalibyśmy, że w jego słowach kryje się zarówno groźba, jak podstęp; bez tego wiedzieliśmy już, że potęga, która znów zawładnęła Mordorem, nie zmieniła się i gotuje nam zdradę, jak przed wiekami. Dwakroć poseł wracał i dwakroć odjeżdżał z niczym. Po raz trzeci i ostatni – jak zapowiedział – zjawi się wkrótce, nim ten rok upłynie.

Dlatego wreszcie Dáin wysłał mnie, abym ostrzegł Bilba, że Nieprzyjaciel go szuka, i abym się dowiedział, jeśli to możliwe, dlaczego Czarny Władca tak pożąda tego pierścienia, najmniejszego spośród pierścieni. Potrzeba nam także rady Elronda, Cień bowiem rozrasta się i przybliża. Odkryliśmy, że poseł odwiedził również króla Branda w Dale i że Brand się przeląkł. Boimy się, czy nie ustąpi. Już się zanosi na wojnę u jego wschodnich granic. Jeżeli nie damy odpowiedzi, Nieprzyjaciel może podburzyć uległych sobie ludzi do napaści na króla Branda, a także na Dáina.

– Dobrze się stało, że przybyłeś tutaj – rzekł Elrond. – Usłyszysz dziś wszystko, co powinieneś wiedzieć, by zrozumieć zakusy Nieprzyjaciela. Nie macie wyboru, musicie się przeciwstawić, z nadzieją lub bez nadziei. Lecz nie jesteście osamotnieni. Wiedz, że wasza trwoga jest tylko cząstką trwogi nękającej cały zachodni świat. Pierścień! Co zrobimy z pierścieniem, z najmniejszym pierścieniem, z tym drobiazgiem, którego Sauron przez kaprys tak pożąda? Oto sprawa, którą musimy rozsądzić.

W tym celu właśnie zostaliście tu wezwani. Mówię: wezwani, jakkolwiek nie ja was do swego domu zwoływałem, goście z różnych

dalekich stron! Przybyliście i spotkaliście się wszyscy w tym samym dniu, jak gdyby przypadkiem. A jednak to nie przypadek. Zechciejcie raczej uwierzyć, że to nakaz dany właśnie nam, tu zgromadzonym, byśmy znaleźli radę na niebezpieczeństwo grożące zgubą całemu światu.

Teraz więc będziemy otwarcie mówili o tym, co dotychczas było tajemnicą, znaną tylko nielicznym wybranym. Przede wszystkim dowiecie się historii Pierścienia, od początku po dziś dzień, bez tego bowiem nie rozumielibyście, co nam zagraża. Zacznę tę historię ja, lecz dokończą jej inni mówcy.

Wszyscy słuchali, Elrond zaś swoim czystym głosem opowiadał o Sauronie i o Pierścieniach Władzy, wykutych dawnymi laty, w Drugiej Erze świata. Niejeden spośród słuchaczy znał część tej historii, lecz nikt jej nie znał w całości, toteż wiele par oczu zwróciło się na Elronda z trwogą i zdumieniem, kiedy mówił o elfach z Eregionu, mistrzach w obróbce kruszców, zaprzyjaźnionych z królestwem Morii, i o ich żądzy wiedzy, którą wyzyskiwał Sauron, zastawiając na nich sidła. W owych bowiem czasach Sauron nie był jeszcze, tak jak dziś, od pierwszego wejrzenia odrażający, więc elfowie z Eregionu przyjmowali od niego rady, by doskonalić się w swoim rzemiośle, on zaś, poznawszy ich sekrety, zdradził: w tajemnicy sam wykuł we wnętrzu Ognistej Góry Jedyny Pierścień, który miał władzę nad wszystkimi innymi. Celebrimbor dowiedział się jednak o tym w porę i ukrył Trzy Pierścienie swojej roboty. Wybuchła wojna, kraj został spustoszony i zamknęły się wrota Morii.

Potem Elrond mówił o losach Pierścienia w ciągu następnych lat, ponieważ jednak dzieje te są już gdzie indziej opowiedziane tak, jak sam Elrond je opisał w swoich księgach, nie będziemy tutaj powtarzali jego słów. Była to bowiem historia bardzo długa, obejmująca mnóstwo wielkich i strasznych zdarzeń, a chociaż Elrond mówił zwięźle, słońce podniosło się wysoko i ranek przeminął, nim skończył opowieść.

Wspomniał o Królestwie Númenoru, o jego chwale i upadku, o powrocie królów ludzkich przez morskie głębiny na skrzydłach burzy do Śródziemia. Wówczas to Elendil Smukły i jego potężni synowie, Isildur i Anárion, stali się możnymi władcami; założyli w Arnorze Królestwo Północy, a w Gondorze nad dolnym biegiem Anduiny Królestwo Południa. Lecz Sauron,

władca Mordoru, napastował ich, zawarli więc Ostatni Sojusz ludzi z elfami, a zastępy Gil-galada i Elendila zgromadziły się w Arnorze.

W tym miejscu swojej opowieści Elrond przerwał na chwilę i westchnął.

– Pamiętam dobrze blask ich sztandarów – rzekł. – Przypomniały mi chwałę Dawnych Dni i zastępy Beleriandu, bo skupiło się pod nimi wielu sławnych książąt i wodzów. A jednak byli mniej liczni i nie tak świetni jak w owym dniu, gdy runął Thangorodrim, elfowie zaś głosili, że zło zostało pokonane na wieki… w czym się omylili.

– Pamiętasz? – odezwał się Frodo, tak zdumiony, że głośno dał wyraz swoim myślom. – Sądziłem… – zająknął się, kiedy Elrond zwrócił na niego spojrzenie – sądziłem, że Gil-galad poległ przed wielu wiekami.

– Bo też to prawda – odpowiedział Elrond z powagą – lecz ja sięgam pamięcią w Dawne Dni. Eärendil, urodzony w Gondolinie przed jego upadkiem, był moim ojcem, matką moją była Elwinga, córka Diora, a wnuczka pięknej Lúthien z Doriath. Widziałem trzy ery zachodniego świata, widziałem mnogie klęski i wiele bezowocnych zwycięstw.

Byłem heroldem Gil-galada i maszerowałem z jego wojskiem. Walczyłem w bitwie na równinie Dagorlad u Czarnej Bramy Mordoru, gdzie przypadło nam zwycięstwo, bo nikt nie mógł się oprzeć włóczni Gil-galada, zwanej Aiglos, ani mieczowi Elendila, zwanemu Narsil. Widziałem ostatnią walkę na stokach Orodruiny, gdzie zginął Gil-galad, a Elendil padł na swój złamany miecz. Ale Sauron został pokonany, Isildur zaś ułamkiem ojcowskiego miecza odciął Pierścień z jego ręki i zabrał sobie ten klejnot.

W tym miejscu opowieść przerwał okrzyk Boromira.

– A więc to tak było! – zawołał. – Nie wiem, czy na południe kiedykolwiek dotarła ta historia, w każdym razie od dawna o niej nikt nie pamięta. Słyszałem o Wielkim Pierścieniu, własności tego, którego imienia nie wymawiamy nigdy; myśleliśmy jednak, że Pierścień ów znikł ze świata, zginął w gruzach jego pierwszego królestwa. Więc to Isildur go zabrał! Wiadomość zaiste ciekawa!

– Niestety! – rzekł Elrond. – Isildur wziął Pierścień, a nie powinien był tego uczynić. Należało Pierścień cisnąć w ognie Orodruiny, tam, gdzie powstał. Lecz mało kto zauważył czyn Isildura. Stał on osamotniony u boku ojca w tym ostatnim śmiertelnym starciu, tak jak u boku Gil-galada stałem ja wraz z Círdanem. Isildur nie chciał słuchać naszej rady.

„Biorę ten okup za ojca i brata” – oświadczył. I zabrał klejnot, nie pytając, czy się zgadzamy, czy też nie. Wkrótce wszakże Pierścień zdradą przywiódł Isildura do śmierci, toteż przezwano go w północnych krajach „Zgubą Isildura”. Lecz kto wie, czy śmierć nie była lepsza od losu, który mógł go spotkać.

Jedynie na Północy znana była ta historia, a i to kilku zaledwie osobom. Nie dziw się przeto, żeś jej nigdy nie słyszał, Boromirze. Z klęski na Polach Gladden, gdzie zginął Isildur, tylko trzech ludzi powróciło po długiej wędrówce przez góry. Jednym z nich był Ohtar ze świty Isildura; zebrał on odłamki Elendilowego miecza i oddał je spadkobiercy Isildura, Valandilowi, który był wówczas dzieckiem jeszcze i dlatego został w Rivendell. Lecz Narsil był pęknięty, światło jego zgasło i po dziś dzień nie przekuto go na nowo.

Czy nazwałem zwycięstwo Ostatniego Sojuszu bezowocnym? Nie, pewne owoce przyniosło, celu jednak nie osiągnęło. Sauron poniósł stratę, lecz nie został unicestwiony. Czarna Wieża zawaliła się, lecz fundamenty przetrwały, bo zbudowano je dzięki sile Pierścienia i póki on istnieje, ich także nic nie naruszy. Wielu elfów, wielu dzielnych ludzi oraz ich przyjaciół padło w tej wojnie. Poległ Anárion, poległ Isildur, a Gil-galada i Elendila już nie stało.

Nigdy już nie będzie takiego przymierza elfów i ludzi, bo ludzie się rozmnożyli, Pierworodnych zaś ubywa i dwa te plemiona coraz bardziej stają się sobie obce. Od tamtego też dnia lud Númenoru podupadł i stracił przywilej długowieczności.

Po wojnie i rzezi na Polach Gladden niewielu zostało na Północy ludzi z Zachodu, a miasto ich, Annúminas nad jeziorem Evendim, rozsypało się w gruzy. Dziedzice Valandila wynieśli się do Fornostu i osiedli wśród wysokich północnych wzgórz, lecz dzisiaj te ich siedziby także opustoszały. Ludzie nazwali je Szańcem Umarłych i boją się owego miejsca. Albowiem ród Arnoru zmarniał, szarpany przez wrogów, panowanie jego przeminęło, nie zostało nic prócz zielonych kopców pośród trawy na wzgórzach.

Na południu królestwo Gondor wytrwało długo, a nawet czas pewien cieszyło się sławą, podobnie jak Númenor przed swoim upadkiem. Budowano strzeliste wieże i fortece, i przystanie dla licznych okrętów, a ludzie różnymi językami oddawali cześć skrzydlatej koronie królów. Stolica zwała się Osgiliath – Cytadela Gwiazd – i środkiem jej płynęła rzeka.

Wzniesiono na wschodzie Minas Ithil – Wieżę Wschodzącego Miesiąca – na ramieniu Gór Cienia; na zachodzie zaś, u podnóży Białych Gór, stanęła Wieża Zachodzącego Słońca – Minas Anor. Na królewskim dziedzińcu rosło białe drzewo wyhodowane z nasienia, które Isildur przewiózł przez morskie głębiny; drzewo, co dało to nasienie, wyrosło z ziarna przywiezionego z Eressëi, a do Eressëi nasiona białych drzew przybyły z Najdalszego Zachodu w dniu poprzedzającym dni młodości świata.

Lecz lata w Śródziemiu mkną szybko i szybko nużą, ród Meneldila, syna Anáriona, wygasł, Białe Drzewo uschło, do krwi Númenorejczyków domieszała się krew pośledniejsza. Straż na murach Mordoru spała, a ciemne siły z powrotem wpełzły do Gorgoroth. Wybiła godzina, kiedy złe moce powstały znowu i zagarnęły Minas Ithil, umocniły się tam i przeobraziły wieżę w siedlisko grozy; odtąd nazwano ją Minas Morgul – Wieżą Złych Czarów. Wówczas Minas Anor przyjęła nazwę Minas Tirith – Wieży Czat; dwie twierdze toczą z sobą stale wojnę, a Osgiliath, leżące między nimi, opustoszało i na gruzach stolicy przechadzają się tylko cienie.

Tak trwa od kilku ludzkich pokoleń. Lecz władcy Minas Tirith walczą wciąż, stawiając czoło naszym wrogom, strzegąc Rzeki od Argonath aż do Morza.

Część opowieści, która mnie przypadła, dobiega końca. Albowiem za czasów Isildura Pierścień Władzy zaginął bez wieści, a Trzy Pierścienie uwolniły się spod jego rozkazów. W ostatnich wszakże latach popadły znów w niebezpieczeństwo, bo na naszą niedolę Jedyny Pierścień znalazł się znowu. O jego odnalezieniu powie wam kto inny, ja bowiem odegrałem w tym niewielką tylko rolę.

Elrond umilkł, zaraz jednak Boromir, rosły i dumny, stanął przed zgromadzeniem.

– Pozwól, Elrondzie – rzekł – bym najpierw dodał słów kilka o królestwie Gondoru. To bowiem jest kraj, z którego przybywam. Wszystkim zaś zdadzą się wieści o tym, co się tam dzieje. Mało kto wie o naszych zasługach i dlatego nie możecie ocenić niebezpieczeństwa, które nad wami zawiśnie, jeżeli w końcu siły nas zawiodą.

Nie wierzcie, że w królestwie Gondoru zabrakło krwi númenorejskiej ani że lud ów zapomniał o swojej dumie i godności. Nasze męstwo trzyma dotąd w ryzach dzikie plemiona wschodu i przeciwstawia się grozie

Morgulu. Kraje położone dalej zawdzięczają spokój i wolność nam, którzy bronimy przyczółka Zachodu. Cóż się jednak stanie, jeżeli Nieprzyjaciel zdobędzie przejście przez Rzekę?

A przecież ta godzina jest już może niedaleka. Nieprzyjaciel, którego imienia nie wymawiamy, znowu się podniósł. Znad Orodruiny, którą my nazywamy Górą Przeznaczenia, bije dym jak ongi. Potęga Czarnego Kraju rośnie, a my jesteśmy zewsząd osaczeni. Kiedy Nieprzyjaciel wrócił, wyparł nasz lud z Ithilien, pięknych włości na wschodnim brzegu Rzeki, utrzymaliśmy tam jednak punkt oparcia i zbrojną załogę. Lecz w tym roku, w czerwcu, znienacka napadnięto nas z Mordoru i zmieciono nasze oddziały. Ulegliśmy przewadze liczebnej, bo Mordor sprzymierzył się z Easterlingami i okrutnymi Haradrimami; pokonała nas jednak nie tylko liczba wojowników. Była z nimi potęga, której do tamtego czasu nigdy jeszcze nie odczuliśmy.

Mówili ludzie, że ją widzieli w postaci olbrzymiego czarnego męża na koniu, który jak gęsty cień pojawiał się w blasku księżyca. A gdziekolwiek się zjawiał, szał ogarniał naszych wrogów, a strach padał na najwaleczniejszych spośród nas, tak że konie i wojownicy uciekali z pola. Ledwie garstka naszych wschodnich załóg wróciła do kraju, niszcząc za sobą ostatni most sterczący jeszcze z gruzów Osgiliath.

Należałem do oddziału, który bronił mostu, póki go nie zburzono po przejściu niedobitków. Czterech nas tylko ocalało, rzucając się wpław: mój brat, ja i dwóch naszych towarzyszy. Mimo to walczymy nadal, strzegąc zachodniego brzegu Anduiny; ci, których nasze miecze chronią, nie szczędzą nam pochwał, jeżeli w ogóle wiedzą coś o nas; nie szczędzą nam pochwał, lecz skąpią pomocy. Jedynie z Rohanu przybywają na wezwanie konni wojownicy.

W tej złej dla nas godzinie wyprawiono mnie w niebezpieczną daleką drogę do Elronda; sto dziesięć dni jechałem sam jeden. Ale nie szukam sojuszników wojennych. Potęga Elronda, jak powiadają, opiera się na mądrości, nie na orężu. Przybyłem prosić o radę i wytłumaczenie niepojętych słów. Bo w przeddzień niespodziewanej napaści bratu mojemu przyśnił się dziwny sen; później zaś ten sen powtórzył się parokroć, a raz przyśnił się także mnie.

W tym śnie widziałem, jak na wschodzie niebo się zamroczyło i wzbierała na nim burza, lecz na zachodzie jaśniało blade światło i z tamtej

strony doszedł mnie głos, daleki, ale wyraźny, wołający:

Znajdź miecz, który był złamany,
Imladris kryją go jary.
Tam lepsza znajdzie się rada
Niźli Morgulu czary.
Tam też się znak ukaże,
Że bliska już jest godzina…
Lśni zguba Isildura –
Niziołek się nie ugina[41].

Nie mogliśmy pojąć tych słów i pytaliśmy ojca naszego, Denethora, władcy Minas Tirith, uczonego w dziejach Gondoru. Rzekł nam tylko tyle, że Imladris to starodawna nazwa, którą elfowie nadali odległej północnej dolinie, gdzie mieszka Elrond Półelf, najświatlejszy z mistrzów wiedzy. Dlatego brat mój, świadom naszego rozpaczliwego położenia, zapragnął usłuchać nakazu snu i odnaleźć Imladris; że zaś wyprawa zdawała się niepewna i niebezpieczna, ja wziąłem na siebie to zadanie. Wzdragał się ojciec, nim pozwolił mi ruszyć, długo też błądziłem po zapomnianych ścieżkach, szukając domu Elronda, o którym wielu słyszało, lecz do którego mało kto zna drogę.

– I tu, w domu Elronda, więcej się jeszcze dowiesz – oświadczył Aragorn, wstając. Rzucił swój miecz na stół przed Elrondem i wszyscy zobaczyli ostrze przełamane na pół. – Oto jest Miecz-który-został-złamany!

– Ktoś ty jest i co masz do naszej Minas Tirith? – spytał Boromir, ze zdumieniem patrząc na wychudłą twarz i zniszczony płaszcz Strażnika.

– To Aragorn, syn Arathorna – rzekł Elrond. – Potomek – poprzez wiele pokoleń – Isildura, syna Elendila z Minas Ithil. Wódz Dúnadainów Północy, których niewielu już tu pozostało.

– W takim razie on tobie, nie mnie się należy! – krzyknął Frodo oszołomiony i skoczył na równe nogi, jak gdyby się spodziewał, że Aragorn natychmiast zażąda od niego Pierścienia.

– Nie należy się żadnemu z nas – odparł Aragorn – lecz tobie zostało przeznaczone, żebyś go czas jakiś przechował.

– Pokaż Pierścień, Frodo – odezwał się Gandalf uroczystym tonem. – Nadeszła chwila po temu. Podnieś go w górę, żeby Boromir zrozumiał zagadkę do końca.

Szmer przebiegł po sali i wszystkie oczy zwróciły się na Froda. Hobbit zadrżał, ogarnięty nagle wstydem i trwogą; coś w nim sprzeciwiało się ujawnieniu Pierścienia i czuł wstręt, dotykając go ręką. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Pierścień skrzył się i migotał, kiedy Frodo trzymał go w drżących palcach, pokazując zebranym.

– Spójrzcie, oto Zguba Isildura! – rzekł Elrond.

Boromirowi oczy błyszczały, kiedy patrzył na złotą obrączkę.

– Ten niziołek! – mruknął. – Czy to znaczy, że wreszcie dla Minas Tirith wybiła godzina przeznaczenia? Jeśli tak, po co mamy szukać jeszcze złamanego miecza?

– Nie było powiedziane, że to „godzina przeznaczenia dla Minas Tirith” – odezwał się Aragorn. – Lecz prawdą jest, że zbliża się godzina przeznaczenia i wielkich czynów. Albowiem Miecz-który-został-złamany to miecz Elendila, oręż, który pękł, kiedy Elendil, zabity, upadł na niego. Spadkobiercy Elendila przechowali tę pamiątkę, chociaż stracili wszelkie inne dziedzictwo, ponieważ z dawna istniała wśród nas przepowiednia, że ostrze miecza zrośnie się, gdy odnajdziemy Pierścień – Zgubę Isildura. A teraz, Boromirze, skoro znalazłeś miecz, którego szukałeś, czego żądasz? Czy pragniesz, by ród Elendila wrócił do Gondoru?

– Nie przysłano mnie z prośbą o jakąkolwiek łaskę, lecz tylko po to, bym poznał rozwiązanie zagadki – dumnie odparł Boromir. – Wszelako jesteśmy przyparci do muru i miecz Elendila byłby nam pomocą nadspodziewanie wielką… jeśli to możliwe, by taki oręż mógł wrócić z cieniów przeszłości.

Patrzył znów na Aragorna, w oczach jego odzwierciedliło się zwątpienie.

Frodo zauważył, że Bilbo, siedzący tuż przy nim, poruszył się niespokojnie. Najwidoczniej nieufność okazana przyjacielowi zniecierpliwiła starego hobbita. Wstając nagle, wybuchnął:

Nie każde złoto jasno błyszczy,

Nie każdy błądzi, kto wędruje,

Nie każdą siłę starość niszczy,

Korzeni w głębi lód nie skuje,

Z popiołów strzelą znów ogniska,
A mrok rozświetlą błyskawice,
Złamany miecz swą moc odzyska,
Król tułacz wróci na stolicę[42].

– Nie są to, być może, dobre wiersze, lecz znaczenie ich jest jasne – rzekł. – Jeśli nie wystarcza ci słowo Elronda! Skoro byłeś gotów wędrować przez sto dziesięć dni, aby je usłyszeć, dajże mu teraz posłuch!

I Bilbo usiadł, prychając gniewnie.

– Te wiersze sam ułożyłem dla Dúnadana – szepnął na ucho Frodowi – przed laty, gdy pierwszy raz zwierzył mi swoją historię. Niemal żałuję, że minął dla mnie czas przygód i że nie mogę z nim razem wyruszyć, kiedy jego dzień zaświtał.

Aragorn uśmiechnął się do Bilba, a potem znów zwrócił się do Boromira.

– Jeżeli o mnie chodzi, wybaczam ci zwątpienie – powiedział. – Nie bardzo jestem podobny do posągów Elendila i Isildura, wyobrażonych w całym majestacie pośród sal pałacu Denethora. Jestem dziedzicem Isildura, nie Isildurem. Życie mam za sobą długie i ciężkie, setki mil dzielące nas od Gondoru to tylko znikoma cząstka dróg, które przemierzyłem w swoich wędrówkach. Przeprawiałem się przez wiele gór i rzek, zdeptałem niejedną równinę, nawet w tak odległych krajach, jak Rhûn i Harad, nad którymi inne gwiazdy świecą.

Lecz ojczyzną moją – jeśli mam ojczyznę – jest Północ. Tu bowiem potomkowie Valandila żyli z dawna, syn po ojcu, w długim nieprzerwanym łańcuchu pokoleń. Dni nasze zmierzchły, ród się przerzedził. Zawsze jednak miecz był przekazywany w ręce nowego dziedzica. To ci jeszcze rzeknę, Boromirze, nim umilknę: samotni jesteśmy, my, Strażnicy pustkowi, myśliwcy – lecz tropimy zawsze sługi Nieprzyjaciela, bo tych znaleźć można wszędzie, nie tylko w Mordorze. Prawda, Boromirze, Gondor był twierdzą męstwa, my wszakże też robimy, co do nas należy. Są złe siły, którym nie sprostają wasze potężne mury ani ostre miecze. Mało wiesz o krainach leżących poza waszymi granicami. Pokój i wolność, powiadasz?

Bez nas Północ by ich nie zaznała wiele. Zniszczyłby je strach. Lecz ciemne moce, które spełzają z bezludnych gór albo wychylają się z mrocznych lasów, uciekają przed nami. Jakimi drogami ważyliby się wędrować podróżni, jaką obronę przed niebezpieczeństwem miałyby nocą spokojne krainy i domy poczciwych ludzi, gdyby Dúnadainowie spali albo wszyscy już legli w grobach?

A przecież mniej jeszcze doznajemy wdzięczności niźli wy. Podróżni patrzą na nas wilkiem, chłopi nadają nam szydercze przezwiska. „Obieżyświatem” zwie mnie tłuścioch, mieszkający o jeden zaledwie dzień marszu od siedziby wrogów, którzy by zmrozili jego serce albo w perzynę obrócili jego miasteczko, gdyby nie nasza nieustanna straż. Lecz my nie chcielibyśmy, żeby było inaczej. Jeżeli prości ludzie mają być wolni od troski i strachu, muszą pozostać prości, a na to trzeba, żeby nie znali naszej tajemnicy. Takie zadania spełniali moi współbracia, podczas gdy rok płynął za rokiem i trawa rosła na łąkach. Dziś wszakże znów świat się odmienia. Nadchodzi nowa godzina. Znalazła się Zguba Isildura. Zbliża się bitwa. Miecz będzie przekuty. Pójdę do Minas Tirith.

– Mówisz, że znalazła się Zguba Isildura – powiedział Boromir. – Widziałem pierścień błyszczący w ręku niziołka. Lecz Isildur poległ przed świtem naszej ery, jak słyszałem. Skąd wiedzą Mędrcy, że to właśnie jego pierścień? Jakie były losy tego klejnotu w ciągu wielu lat, nim go tutaj przyniósł tak niezwykły wysłannik?

– Dowiesz się tego – rzekł Elrond.

– Ale nie teraz, proszę cię, Elrondzie! – zawołał Bilbo. – Słońce już zbliża się do południa, czuję, doprawdy, że pora mi wreszcie nieco się posilić.

– Nie wymówiłem twojego imienia – odparł Elrond z uśmiechem. – Teraz jednak wzywam cię do głosu. Opowiedz nam swoją historię. A jeżeli jej nie ułożyłeś do rymu, pozwalamy ci przemawiać niewiązaną mową. Im treściwiej będziesz się wyrażał, tym prędzej doczekasz się posiłku.

– Dobrze – zgodził się Bilbo. – Będę ci posłuszny. Powiem dzisiaj całą prawdę, a jeśli ktoś spośród obecnych słyszał z moich ust nieco inną relację tych samych zdarzeń – tu Bilbo zerknął spod oka na Glóina – proszę, niech o tym zapomni i niech mi wybaczy. Wówczas zależało mi po prostu na tym, żeby udowodnić swoje prawo do tego klejnotu i zrzucić z siebie miano

złodzieja, które mi ktoś przylepił. Dzisiaj może lepiej pojmuję te sprawy. W każdym razie było tak…

Dla części słuchaczy historia Bilba była całkowitą nowością, toteż zdumieli się, kiedy stary hobbit, nie bez satysfakcji zresztą, opowiadał swoją przygodę z Gollumem, nic nie przemilczając. Nie pominął bodaj jednej zagadki. Chętnie by też opisał ostatnie urodziny w Shire i scenę swojego zniknięcia, gdyby mu pozwolono; lecz Elrond podniósł dłoń.

– Pięknie mówiłeś, przyjacielu – rzekł – ale dość na dzisiaj! Tymczasem wystarczy, że wszyscy się dowiemy, iż Pierścień przeszedł w ręce twojego spadkobiercy Froda. Niech on powie dalszy ciąg.

Z kolei zabrał głos Frodo, mniej ochoczo niż Bilbo, i zdał sprawę ze swoich poczynań od dnia, w którym powierzono mu Pierścień.

Wypytywano go o każdy krok wędrówki z Hobbitonu do Brodu Bruinen, a każdy szczegół dotyczący Czarnych Jeźdźców rozważano głęboko. Wreszcie Frodo mógł znów usiąść.

– Wcale nieźle! – pochwalił go Bilbo. – Twoja opowieść byłaby doskonała, gdyby ci tak wciąż nie przerywano. Starałem się trochę notować, ale będziemy musieli kiedyś wspólnie to sobie raz jeszcze odtworzyć, jeżeli mam całą historię opisać w mojej książce. W kilku rozdziałach ledwie się zmieszczą przygody, które cię spotkały, nim tutaj dotarłeś.

– Tak, to długa opowieść – odparł Frodo. – A jednak nie wydaje mi się pełna. Chciałbym się wielu rzeczy jeszcze dowiedzieć, przede wszystkim o Gandalfie.

Galdor, poseł z Przystani, siedzący opodal, dosłyszał te słowa.

– Z ust mi to wyjąłeś! – zawołał i zwracając się do Elronda, rzekł: – Mędrcy zapewne nie bez przyczyny uwierzyli, iż klejnot, znaleziony przez niziołka, naprawdę jest owym Wielkim Pierścieniem, przedmiotem odwiecznych sporów, jakkolwiek nam, mniej świadomym, wydaje się to trudne do wiary. Czy nie moglibyście przedstawić dowodów? Jedno chcę jeszcze zadać pytanie: Co się dzieje z Sarumanem? To przecież mistrz wiedzy o Pierścieniach. Czemu go nie ma wśród nas? Jaka jest jego rada… jeżeli wie o tych sprawach, o których słyszeliśmy?

– Oba twoje pytania, Galdorze, wiążą się z sobą – odparł Elrond. – Nie przez zapomnienie pominąłem te punkty, będą one wyjaśnione. Lecz odpowiedź należy do Gandalfa, a wzywam go do głosu na ostatku, ponieważ to jest miejsce dla mówcy najszczytniejsze, a Gandalf w całej sprawie od początku jest naszym wodzem.

– Przyznasz, Galdorze – powiedział Gandalf – że wiadomości, podane przez Glóina, oraz prześladowania, jakie znosił Frodo, starczyłyby niejednemu za dowód, iż to, co znalazł hobbit, ma wielką cenę dla Nieprzyjaciela. A jest to Pierścień. Cóż z tego wynika? Dziewięć mają w swych rękach Nazgûle. Siedem porwano lub zniszczono. – (Przy tych słowach Gandalfa Glóin drgnął, lecz się nie odezwał). – O losie Trzech wiemy. Którym więc z pierścieni może być ten, tak chciwie przez wroga pożądany?

To prawda, że szmat czasu dzieli Rzekę od Góry, czyli chwilę, gdy Pierścień został zgubiony, od tej, kiedy go odnaleziono. Dopiero w ostatnich latach Mędrcy zdołali nareszcie wypełnić pustą kartę swojej wiedzy. Niestety, za późno. Nieprzyjaciel bowiem był już także na tropie, i to bliżej jeszcze, niż się obawiałem. Szczęście przynajmniej, że nie wcześniej niż w tym roku – tego lata, jak się zdaje – dowiedział się wszystkiego.

Niektórzy z obecnych pamiętają zapewne, że przed laty odważyłem się przestąpić bramy Czarnoksiężnika z Dol Guldur, potajemnie wybadałem jego sekrety i znalazłem potwierdzenie naszych obaw: Czarnoksiężnikiem był nie kto inny, lecz Sauron, odwieczny nasz Nieprzyjaciel, który w końcu przybrał widomą postać i wzmógł się na siłach. Niektórzy z obecnych przypominają też sobie, że Saruman odradzał nam jawną walkę z Sauronem i że dlatego przez długi czas poprzestawaliśmy na śledzeniu go tylko. Później wszakże, kiedy cień rozrósł się groźnie, Saruman dał się przekonać, Rada wystąpiła zbrojnie i wyparła złe moce z Mrocznej Puszczy – a stało się to tego samego roku, w którym został znaleziony Pierścień. Dziwny przypadek… jeśli to był przypadek!

Ale podjęliśmy walkę za późno, co zresztą Elrond jasno przewidział. Sauron śledził nas nawzajem i od dawna zbroił się do odparcia naszych ciosów, rządząc Mordorem z dala za pośrednictwem Minas Morgul, gdzie osadził Dziewięciu, swoich służalców, dopóki wszystko nie było w pogotowiu. Cofnął się przed nami, lecz to była tylko pozorna ucieczka, a

wkrótce potem przybył do Czarnej Wieży i pokazał się jawnie. Wówczas po raz ostatni zebrała się Rada, bo już wiedzieliśmy, że Nieprzyjaciel coraz usilniej szuka Jedynego Pierścienia. Obawialiśmy się, że ma jakieś o nim wiadomości, nam nieznane. Saruman wszakże przeczył temu, powtarzając to, co zawsze mówił, iż Jedynego Pierścienia nikt nigdy już nie znajdzie na obszarze Śródziemia. „W najgorszym razie – powiadał – Nieprzyjaciel wie, iż my Pierścienia nie mamy i że wciąż jeszcze nic o nim nie wiadomo. Ale myśli, że każda zguba może się odnaleźć. Nie bójcie się! Zawiedzie go ta nadzieja. Czyż nie zgłębiłem tej sprawy do gruntu? Pierścień wpadł w toń Wielkiej Anduiny; dawno temu, podczas gdy Sauron spał, Rzeka zaniosła swój łup do Morza. I tam niech spoczywa na wieki”.

Gandalf umilkł, spoglądając z ganku na wschód, ku odległym szczytom Gór Mglistych, pod których potężnymi korzeniami przez długie lata leżało ukryte niebezpieczeństwo dla świata.

Westchnął.

– Popełniłem błąd – rzekł. – Dałem się uśpić słowami Sarumana Mądrego, a powinienem był wcześniej dociec prawdy; wówczas mniej bylibyśmy zagrożeni.

– Wszyscyśmy zbłądzili – rzekł Elrond – i gdyby nie twoja czujność, kto wie, czy Ciemności już by nas nie ogarnęły. Ale mów dalej!

– Od początku nurtowały mnie wątpliwości – podjął Gandalf – nieuzasadnione żadną wyraźną przyczyną, i chciałem koniecznie dowiedzieć się, jakim sposobem Gollum zdobył pierścień i jak długo miał go w posiadaniu. Czatowałem więc na niego, przypuszczając, że wkrótce wyjdzie z mroków podziemi na poszukiwanie swojego skarbu. Wyszedł, lecz wymknął się i nie mogłem go odnaleźć. Później zaś – niestety! – zaniechałem sprawy, czuwając tylko i czekając, jak to aż nazbyt często czyniliśmy.

Czas płynął, niósł z sobą rozliczne troski, aż wreszcie znów w moim sercu ocknął się niepokój i urósł nagle do rozmiarów strachu. Skąd pochodził pierścień hobbita? A jeśli moje obawy były słuszne, co z nim zrobić? Na to pytanie musiałem sobie odpowiedzieć. Lecz nikomu jeszcze nie zwierzyłem swego lęku, bo rozumiałem niebezpieczeństwo słowa szepniętego nie w porę i trafiającego do niewłaściwych uszu. We

wszystkich długich wojnach z Czarną Wieżą najgroźniejszym wrogiem była zawsze zdrada.

Działo się to przed siedemnastu laty. Zauważyłem, że mnóstwo szpiegów wszelkiego pokroju, nawet spośród zwierząt i ptaków, kręci się wokół kraju hobbitów, i zląkłem się tym bardziej. Wezwałem na pomoc Dúnadainów, którzy zdwoili czujność; otworzyłem serce przed Aragornem, dziedzicem Isildura.

– A ja – odezwał się Aragorn – poradziłem mu, by wspólnie szukać Golluma, chociaż mogło się wydawać, że już na to za późno. Ponieważ zaś uznałem za słuszne, by dziedzic Isildura przyczynił się do naprawienia błędów Isildura, udałem się wraz z Gandalfem na długie, beznadziejne poszukiwania.

Z kolei Gandalf opowiedział, jak przemierzali Dzikie Kraje aż po Góry Cienia i po granice Mordoru.

– Tam doszły nas słuchy o Gollumie i zgadywaliśmy, że musiał długi czas przebywać w mroku gór, ale nie znaleźliśmy go i w końcu straciłem resztkę nadziei. W rozpaczy pomyślałem znów o pewnej próbie, która by rozstrzygnęła moje wątpliwości tak, że nie potrzebowałbym już szukać Golluma. Sam Pierścień mógł mi powiedzieć, czy jest Jedynym. Przypomniałem sobie słowa, które padły na Radzie, słowa Sarumana, wówczas puszczone mimo ucha. Nagle znów wyraźnie usłyszałem je w głębi serca: „W każdy z Dziewięciu, Siedmiu i Trzech – mówił Saruman – wprawiono właściwy kamień. W Jedyny – nie. Ten był gładki, nieozdobny, jak gdyby należał do pośledniejszych pierścieni. Lecz jego twórca wyrył na nim znaki, które ktoś biegły w tej sztuce umiałby dziś także dostrzec i odczytać”.

Nie mówił nam, jakie to były znaki. Któż mógł to wiedzieć? Twórca Pierścienia. A Saruman? Jakkolwiek wiedza jego sięgała głęboko, musiała przecież mieć jakieś źródło. Czyja ręka, prócz ręki Saurona, dotykała Pierścienia przed jego zaginięciem? Tylko ręka Isildura. Z takimi myślami zaniechałem tropienia Golluma i spiesznie udałem się do Gondoru. Za dawnych czasów chętnie tam witano przedstawicieli mojego bractwa, szczególnie Sarumana. Często przebywał tam długo jako gość władców kraju. Lecz mnie Denethor przyjął mniej życzliwie niż dawniej i niechętnie zezwolił na zbadanie przechowywanych tam starych pergaminów i ksiąg. „Jeżeli naprawdę szukasz, jak powiadasz, zapisków z dawnych czasów i

świadectw o początkach tego państwa, czytaj! – rzekł. – Dla mnie bowiem przeszłość kryje mniej tajemnic niźli przyszłość, i o nią się tylko troskam. Jeżeli jednak nie znasz lepiej swojej sztuki od Sarumana, który długo ślęczał nad tymi dokumentami, nie znajdziesz nic, czego bym nie wiedział ja, mistrz wiedzy o tym kraju".

Tak mi rzekł Denethor. A przecież w jego archiwach było wiele dokumentów, których dziś nikt prawie czytać nie umie, nawet najbieglejsi uczeni, bo stare pisma i języki stały się niezrozumiałe dla potomnych. Wiedz, Boromirze, iż w Minas Tirith znajduje się dokument, napisany własną ręką Isildura, a nieodczytany od czasów upadku królów przez nikogo, prócz mnie i Sarumana. Albowiem Isildur nie odszedł natychmiast po wojnie z Mordorem, jak to powszechnie się mówi.

– Może tak się mówi na Północy – przerwał Gandalfowi Boromir. – W Gondorze wszyscy wiedzą, że Isildur najpierw udał się do Minas Anor i tam przebywał czas jakiś ze swoim bratankiem Meneldilem, pouczając go, nim mu przekazał rządy w Południowym Królestwie. Wtedy też posadził ostatni szczep Białego Drzewa na pamiątkę swego brata.

– Wtedy też sporządził owe zapiski – powiedział Gandalf – i o tym zapomniano w Gondorze, jak się zdaje. Dokument ten dotyczy bowiem Pierścienia, a napisał Isildur te słowa:

„Wielki Pierścień ma pozostać odtąd w dziedzictwie Północnego Królestwa, lecz świadectwo o nim przechowane będzie w Gondorze, gdzie żyją potomkowie Elendila, aby nigdy pamięć tych wielkich spraw nie zatarła się wśród ludzi".

Dalej zaś Isildur opisał, jak wyglądał Pierścień w momencie, kiedy go znalazł.

„Kiedym go wziął, był gorący, gorący jak ogień, i sparzył mi rękę tak, że nigdy już pono nie pozbędę się w niej bólu. Wszakże dziś, kiedy to piszę, ostygł i, rzekłbyś, skurczył się, nie tracąc wszakże nic z piękności ani też z doskonałości kształtu. Wypisane na nim znaki, jaskrawe ongi niczym płomień, zblakły już i niełatwo je dziś odczytać. Ryto je pismem elfów z Eregionu, bo w Mordorze nie znają liter zdatnych do tak delikatnej roboty, lecz w mowie dla mnie niezrozumiałej. Mniemam, że to język Czarnego Kraju, nikczemny i prostacki. Jaką zaś klątwę wyraża, nie wiem. Skopiuję tu wszakże owe znaki, zanim zatrą się do cna. Pierścień być może potrzebuje żaru Sauronowej ręki, która, choć czarna, ogniem płonie, od

czego zginął Gil-galad. Myślę, że pewnie pismo by wystąpiło znowu, gdyby złoto rozgrzać. Nie zamierzam jednak podejmować tak wielkiego ryzyka, by nie uszkodzić klejnotu; pośród dzieł Saurona to jedno jedyne wyszło z rąk jego piękne. To mój prawdziwy skarb, chociem go męką srogą przypłacił".

Kiedy to odczytałem, nie potrzebowałem już szukać więcej. Napis bowiem, jak słusznie się domyślał Isildur, był w języku Mordoru i sług Czarnej Wieży. Treść jego znaliśmy już wcześniej, gdyż owego dnia, gdy Sauron po raz pierwszy włożył Jedyny Pierścień na palec, Celebrimbor, twórca Trzech, śledził go i podsłuchał z daleka, jak tamten wymówił owe słowa; tym sposobem wydały się od razu niecne zamiary Saurona.

Nie zwlekając, pożegnałem Denethora, lecz w drodze na północ otrzymałem wiadomości z Lórien, że Aragorn tamtędy przechodził i że odnalazł poczwarę, zwaną Gollumem. Toteż przede wszystkim ruszyłem na spotkanie z Aragornem, ciekawy, co mi powie. Nie śmiałem nawet myśleć o śmiertelnych niebezpieczeństwach, które musiał odeprzeć samotnie.

– Nie trzeba o nich mówić wiele – rzekł Aragorn. – Nie uniknie oczywiście niebezpieczeństw człowiek, którego mus pchnie tuż pod Czarne Wrota albo mu każe deptać zabójcze zioła Doliny Morgul. Ja także w końcu straciłem nadzieję i zawróciłem ku domowi. Wtedy jednak traf zrządził, że niespodzianie znalazłem to, czego szukałem: ślady miękkich stóp na brzegu błotnistej sadzawki. Trop był świeży i świadczył, że Gollum spieszył się, nie szedł jednak ku Mordorowi, lecz stamtąd odchodził. Ścigałem go skrajem Martwych Bagien i wreszcie dopadłem. Zaczaiwszy się nad stojącym rozlewiskiem i wypatrując w wodzie, przyłapałem Golluma ciemnym wieczorem. Cały był oblepiony zielonym mułem. Obawiam się, że nigdy mnie ten stwór nie pokocha, kiedy bowiem chciał kąsać, obszedłem się z nim dość surowo. Nie otworzył do mnie gęby, chyba po to, żeby mnie zębami naznaczyć. Śmiem rzec, iż z całej wyprawy ten marsz powrotny był najprzykrzejszy, bom tego stwora musiał przed sobą pędzić z powrozem na szyi i kneblem w paszczy, póki głód i pragnienie go nie zmogły, i tak go prowadziłem ku Mrocznej Puszczy. Wreszcie dotarliśmy do niej i przekazałem Golluma elfom, jak było umówione. Rad się pozbyłem jego towarzystwa, bo cuchnął. Mam nadzieję, że więcej go w życiu nie zobaczę. Gandalf wszakże nadszedł i znalazł siłę, by z nim przeprowadzić długą rozmowę.

– Tak – rzekł Gandalf – długą i męczącą, ale nie bezowocną. Przede wszystkim jego opowieść o stracie Pierścienia zgadzała się z historią, którą Bilbo przed chwilą nam opowiedział, po raz pierwszy nic nie tając. Mniejsza z tym zresztą; i tak domyślałem się prawdy. Ważniejsze, że wtedy dopiero dowiedziałem się od Golluma, iż znalazł Pierścień w Wielkiej Rzece opodal Pól Gladden; dowiedziałem się nadto, że miał go bardzo długo w swym posiadaniu: przez okres równy życiu wielu pokoleń jego gatunku. Potęga Pierścienia obdarzyła go długowiecznością ponad zwykłą miarę, a to jest przywilej, którym darzą tylko Wielkie Pierścienie.

Jeżeli nie dość ci, Galdorze, tych dowodów, dorzucę jeszcze inny, o którym już wspomniałem. Na Pierścieniu, który przed chwilą widzieliście wzniesiony w ręku Froda, na gładkiej, niczym nieozdobionej obrączce można po dziś dzień odczytać słowa zapisane przez Isildura, lecz trzeba się zdobyć na siłę woli i wrzucić klejnot na chwilę w ogień. Zrobiłem to i odczytałem taki napis:

Ash nazg durbatulûk, ash nazg gimbatul, ash nazg thrakatulûk agh burzum-ishi krimpatul.

Zdumiewająca zmiana zaszła w głosie Czarodzieja. Zabrzmiał on nagle groźnie, potężnie, twardo jak kamień. Jak gdyby cień przesunął się przez tarczę słoneczną, cały ganek na mgnienie oka zaległa ciemność. Wszystkich dreszcz wstrząsnął, elfowie zaś pozatykali uszy.

– Nigdy jeszcze nikt nie ważył się w Imladris wymówić słowa w tym języku, Gandalfie Szary! – powiedział Elrond, kiedy cień pierzchnął, a zebranym dech wrócił w piersi.

– Miejmy nadzieję, że nigdy więcej i nikt tym językiem tutaj nie przemówi – odparł Gandalf. – Mimo to nie będę cię, Elrondzie, przepraszał za to, co zrobiłem. Jeśli bowiem ta mowa nie ma rozbrzmiewać wkrótce po wszystkich zakątkach Zachodu, musicie wyzbyć się wszelkich wątpliwości i być pewni, że Czarodziej nie omylił się co do tego Pierścienia: to jest klejnot Nieprzyjaciela, zawierający jego przewrotną moc; w nim jest zaklęty sekret jego dawnej potęgi. Z tamtych Czarnych Lat doszły do nas słowa, które podsłuchał złotnik z Eregionu i które mu ujawniły zdradę Saurona:

Jeden, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć, Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać…

Wiedzcie też, przyjaciele, że nie tylko tego dowiedziałem się od Golluma. Wzdragał się, nie chciał mówić, gmatwał swoją opowieść, lecz niewątpliwie był w Mordorze, a tam zmuszono go do wygadania wszystkiego, co mu było wiadome. Toteż Nieprzyjaciel wie teraz, że Jedyny Pierścień został odnaleziony, że przechowywał się długie lata w Shire. Słudzy Saurona tropili Pierścień niemal pod sam próg tego domu, wkrótce więc Sauron dowie się – jeśli już nie wie w tej chwili – że jego skarb jest tu, wśród nas.

Chwilę trwało milczenie, potem odezwał się Boromir:

– Powiadasz, że ten Gollum to małe stworzenie? Może, ale szkodę wyrządził wielką. Co się z nim stało? Na jaką skazaliście go karę?

– Na nic gorszego niż uwięzienie – odparł Aragorn. – Dużo wycierpiał. Niechybnie brano go na tortury, śmiertelny strach przed Sauronem przytłacza mu serce. Co do mnie, rad jestem, że elfowie trzymają go pod kluczem w Mrocznej Puszczy. To bardzo złośliwa sztuka, przewrotność daje mu siłę, jakiej by się nikt nie spodziewał w tak wychudłym i zwiędłym ciele. Mógłby jeszcze wiele nabroić, gdyby był wolny. Nie wątpię też, że wyprawiono go z Mordoru w jakiejś nikczemnej misji.

– Biada! Biada! – krzyknął Legolas, a na pięknej twarzy elfa odmalowała się głęboka troska. – Pora, widzę, na nowiny, z którymi mnie tu przysłano. Nie są pomyślne, lecz dopiero teraz zrozumiałem, jak groźne wydadzą się wszystkim tu zebranym. Sméagol zwany Gollumem uciekł!

– Uciekł! – zawołał Aragorn. – To zaiste zła nowina. Obawiam się, że gorzko tego pożałujemy. Jak się to stało, że plemię Thranduila nie dopełniło powierzonego zadania?

– Nie przez brak czujności – rzekł Legolas – lecz, być może, przez zbytek pobłażania. Podejrzewamy też, że jeńcowi dopomógł ktoś, kto więcej o naszych poczynaniach wie, niżbyśmy pragnęli. Na życzenie Gandalfa strzegliśmy tego stwora dniem i nocą, chociaż uprzykrzył nam się bardzo ten obowiązek. Gandalf jednak przekonywał nas, że nie należy tracić nadziei na uzdrowienie Golluma, więc serce nie pozwalało trzymać go stale w podziemnych lochach, gdzie pewnie by znów opadły nieszczęśnika dawne czarne myśli.

– Dla mnie byliście mniej tkliwi – odezwał się Glóin, a w oczach jego zapalił się błysk na wspomnienie dawnej niewoli w podziemiach króla

leśnych elfów.

– Dajże spokój! – rzekł Gandalf. – Proszę cię, mój zacny Glóinie, nie przerywaj. Nie wracajmy do starych nieporozumień, od lat już wyjaśnionych. Jeżeli wszystkie niesnaski dzielące krasnoludów i elfów mamy wyciągać na tej radzie, to lepiej od razu ją rozwiążmy.

Glóin wstał i skłonił się, a Legolas ciągnął dalej:

– W dnie pogodne wyprowadzaliśmy Golluma na przechadzkę po lesie. Było tam drzewo wysokie, rosnące samotnie w pewnej odległości od innych, na które Gollum lubił się wdrapywać. Często pozwalaliśmy mu włazić aż na najwyższe gałęzie, by poczuł świeże tchnienie wiatru; zawsze jednak zostawialiśmy wartę pod drzewem. Któregoś dnia Gollum nie chciał zejść, a wartownicy nie kwapili się włazić po niego na drzewo: stwór nauczył się czepiać gałęzi stopami równie dobrze jak rękami. Siedzieli więc pod drzewem do późna w noc.

Tej właśnie nocy ciepłej, lecz bezksiężycowej i bezgwiezdnej, napadli nas znienacka orkowie. Czas jakiś trwała walka, nim ich odparliśmy, było ich bowiem wielu i atakowali wściekle; przyszli jednak zza gór, nie umieli się poruszać w puszczy. Po bitwie stwierdziliśmy, że Gollum zniknął, wartowników zaś wybito lub uprowadzono. Wtedy zrozumieliśmy, że napaść miała na celu odbicie Golluma i że on z góry o niej wiedział. Jakim sposobem to uknuto, nie mamy pojęcia, lecz Gollum jest przebiegły, a Nieprzyjaciel ma wielu szpiegów. Wiele złych stworów, wypędzonych w roku upadku Smoka, powróciło i Mroczna Puszcza znów się stała siedliskiem zła, z wyjątkiem tej części, którą my władamy.

Nie udało się nam pochwycić zbiega. Znaleźliśmy wśród mnóstwa tropów odciśniętych stopami orków jego ślady; prowadziły w głąb puszczy, na południe. Wkrótce wszakże trop się urwał i nie śmieliśmy go szukać dalej, bo zaszliśmy już w pobliże Dol Guldur, a to bardzo groźne miejsce i nigdy się tam nie zapuszczamy.

– Ano tak, uciekł – rzekł Gandalf. – Nie mamy teraz czasu na poszukiwania. Gollum zrobi, co zechce. Może jednak odegra jeszcze kiedyś rolę, o której dziś wcale nie myśli i której mu Sauron nie przeznaczył.

Chcę teraz odpowiedzieć z kolei na drugie pytanie Galdora. Co się dzieje z Sarumanem? Co on nam doradza w tej ciężkiej potrzebie? Muszę opowiedzieć całą historię od początku, bo na razie tylko Elrond ją słyszał, a

i to jedynie pokrótce; zaważy z pewnością na decyzjach, które mamy dziś powziąć. Oto ostatni rozdział dotychczasowej historii Pierścienia.

Pod koniec czerwca byłem w Shire, lecz chmura niepokoju ciążyła nad moim sercem, i wybrałem się nad południową granicę tego kraiku, bo przeczuwałem niebezpieczeństwo, ukryte jeszcze przede mną, ale coraz to bliższe. Tam doszły mnie wieści o wojnie i klęsce w Gondorze, a gdy usłyszałem o Czarnym Cieniu, zimny dreszcz przeszył mi serce. Nie spotkałem nikogo prócz kilku uciekinierów z południa, lecz miałem wrażenie, że gnębi ich jakiś strach, o którym nie chcą mówić. Pospieszyłem z kolei na wschód i na północ, wędrując Zieloną Ścieżką; niedaleko od Bree natknąłem się na podróżnego, siedzącego na przydrożnym wale, podczas gdy jego wierzchowiec pasł się obok na trawie. Był to Radagast Bury, który niegdyś mieszkał w Rhosgobel, niemal na skraju Mrocznej Puszczy. Należy on do tego samego co ja bractwa, lecz nie widzieliśmy się od wielu lat.

„Gandalf! – wykrzyknął. – Właśnie do ciebie jadę! Nie znam jednak tych stron. Dowiedziałem się tylko, że należy cię szukać w jakiejś dzikiej okolicy, noszącej barbarzyńską nazwę Shire”.

„Twoje informacje są zgodne z prawdą – odpowiedziałem – ale proszę cię, nie wyrażaj się w ten sposób, jeżeli spotkasz któregoś z tutejszych obywateli. Znajdujesz się już blisko granicy Shire’u. Czego sobie ode mnie życzysz? Sprawa z pewnością jest pilna. Nigdy nie lubiłeś podróżować, chyba że cię do tego zmuszały ważne powody”.

„Sprawa jest paląca – odrzekł mi – nowiny złe!” Obejrzał się, jakby w obawie, że krzaki mają uszy. „Nazgûle! – szepnął. – Dziewięciu znów krąży po świecie. Przeprawili się chyłkiem przez Rzekę i skierowali ku zachodowi. Przybrali postać jeźdźców w czerni”.

Wtedy zrozumiałem, że tego się właśnie lękałem, chociaż nieświadomie.

„Nieprzyjaciel widać czymś się zaniepokoił i gorączkowo dąży do jakiegoś określonego celu – rzekł Radagast. – Nie mogę tylko zgadnąć, czego może szukać w tak dalekich i odludnych stronach”.

„Jakie strony masz na myśli?” – spytałem.

„Mówiono mi, że jeźdźcy, gdziekolwiek się zjawią, pytają o kraj zwany Shire”.

„O Shire!” – powtórzyłem i serce mi się ścisnęło. Bo nawet Czarodzieja może strach ogarnąć, jeśli ma stawić czoło Dziewięciu zjednoczonym pod rozkazami okrutnego wodza. Był on niegdyś wielkim królem i czarownikiem, a dziś włada potęgą śmiertelnej grozy. – „Kto ci to mówił i kto cię przysyła?” – spytałem.

„Saruman Biały – odparł Radagast. – Kazał mi rzec, iż gotów jest pomóc, jeżeli ci pomocy trzeba, ale musisz zwrócić się do niego bez zwłoki, nim będzie za późno”.

Te słowa wzbudziły we mnie nadzieję. Albowiem Saruman Biały jest w naszym gronie najmożniejszy. Radagast to oczywiście bardzo szanowny Czarodziej, mistrz w zmienianiu postaci i barw; zna dobrze wszelkie zioła i zwierzęta, a szczególnie przyjaźni się z ptakami. Ale Saruman z dawna badał sztuki uprawiane przez Nieprzyjaciela, dzięki czemu nieraz mogliśmy je udaremnić.

Właśnie rady Sarumana pomogły nam ongi wygnać Nieprzyjaciela z Dol Guldur. Przypuszczałem więc, że może odkrył jakiś oręż, zdolny pokonać Dziewięciu.

„Idę do Sarumana” – powiedziałem.

„Nie zwlekaj ani chwili – odparł Radagast – bo straciłem dużo czasu na szukanie ciebie i niewiele go już zostało. Polecono mi, żebym cię znalazł przed Dniem Środka Lata, a ten dzień właśnie mamy dzisiaj. Nawet jeżeli natychmiast ruszysz najkrótszą drogą stąd, nim dojedziesz, Dziewięciu pewnie zdąży odkryć ów poszukiwany kraj. Co do mnie, wracam, nie czekając”.

Z tymi słowy skoczył na konia i zaraz chciał ruszyć w drogę.

„Chwileczkę! – zawołałem. – Będziemy potrzebowali twojej pomocy i pomocy wszelkich stworzeń dobrej woli. Roześlij wieści do zwierząt i ptaków, które są z tobą w przyjaźni. Każ im zbierać wiadomości, mające związek z tą sprawą, i znosić je do Gandalfa i Sarumana. Niech przesyłają gońców do Orthanku”.

„Zrobię to” – odparł i ruszył z kopyta, jakby go Dziewięciu goniło.

Nie mogłem natychmiast pójść jego śladem. Miałem za sobą długą jazdę tego dnia i byłem zmęczony nie mniej od konia, a chciałem też rozważyć położenie. Przenocowałem w Bree i doszedłem do wniosku, że nie mogę

tracić czasu na wstępowanie do Shire’u. Nigdy w życiu nie popełniłem większego błędu!

Napisałem jednak do Froda list i powierzyłem jego wysłanie właścicielowi gospody, memu przyjacielowi. O świcie ruszyłem w drogę i po długiej podróży w końcu dojechałem do siedziby Sarumana. Znajduje się ona daleko na południu, w Isengardzie, w końcu łańcucha Gór Mglistych, opodal Bramy Rohanu. Boromir może nam wyjaśnić, że jest to ogromna, otwarta dolina między Górami Mglistymi a północnym krańcem Ered Nimrais, Białych Gór jego ojczyzny. Isengard to obręcz nagich skał, zamykających zwartym murem kotlinę, pośrodku której wznosi się kamienna wieża zwana Orthankiem. Nie Saruman ją zbudował, lecz ludzie z Númenoru przed wielu laty; piętrzy się wysoko i ma mnóstwo skrytek, mimo to nie wygląda na dzieło przemyślnych rąk. Nie ma do niej innego dostępu niż przez mur Isengardu, w którym istnieje jedna jedyna brama.

Stanąłem u tej bramy późnym wieczorem; jest to potężny sklepiony tunel w skale, zawsze obstawiony przez straże. Wartownicy jednak byli uprzedzeni o moim przyjeździe i oznajmili, że Saruman mnie oczekuje. Wjechałem pod sklepienie, a kiedy brama cicho zamknęła się za mną, ogarnął mnie nagle strach, chociaż nie rozumiałem jego powodów.

Podjechałem pod wieżę, do stóp schodów; Saruman wyszedł na moje spotkanie i poprosił na górę do swojej pięknej komnaty. Na palcu miał pierścień.

„A więc jesteś, Gandalfie!” – rzekł z powagą, lecz w jego źrenicach błysnęła biała skra, jakby w sercu przyczaił się zimny śmiech.

„Jestem – odparłem. – Przybyłem po twoją pomoc, Sarumanie Biały”.

Wydało mi się, że wzdrygnął się gniewnie, słysząc to miano.

„Czy to aby prawda, Gandalfie Szary? – spytał szyderczo. – Szukasz pomocy? Niesłychana to rzecz, by o pomoc prosił Gandalf Szary, mędrzec taki uczony i przebiegły, co zwykł kręcić się po świecie i mieszać do wszystkiego, do swoich i nie swoich spraw”.

Patrzyłem na niego zdumiony.

„Jeżeli się nie mylę – odpowiedziałem – dzieją się teraz na świecie rzeczy, które wymagać będą zjednoczenia wszystkich naszych sił”.

„Być może – odparł – ale poniewczasie wpadłeś na tę myśl. Ciekaw jestem, od jak dawna taisz przede mną, choć jestem głową Rady, sprawy największej wagi? Co cię dziś sprowadza z twojej kryjówki w Shire?”

„Dziewięciu pokazało się znów – odrzekłem. – Przeprawili się przez Rzekę. Tak mówił Radagast”.

„Radagast Bury! – zaśmiał się Saruman, nie kryjąc już pogardy. – Radagast-oswajający-ptaki! Radagast-prostaczek! Radagast-dureń! Miał właśnie jednak dość rozumu, żeby odegrać rolę, którą mu wyznaczyłem. Przybyłeś, Gandalfie, a to właśnie chciałem osiągnąć, wysyłając Radagasta. Jesteś i zostaniesz tutaj, Gandalfie Szary, do końca swoich dni. Albowiem ja jestem Saruman-Mędrzec, Saruman-twórca Pierścieni, Saruman wielu barw”.

Spojrzałem wtedy na niego i zobaczyłem, że szaty, które zrazu wydawały się białe, wcale nie są białe, lecz utkane z wszystkich kolorów i mienią się, grając barwami olśniewająco przy każdym poruszeniu fałd.

„Wolałem cię w bieli” – powiedziałem.

„Biel! – krzyknął drwiąco. – Biel dobra jest tylko na początek. Białą tkaninę można ufarbować. Białą kartkę można zapisać. Białe światło można rozszczepić”.

„Ale wtedy przestaje być białe – odparłem. – A kto psuje jakąś rzecz, żeby lepiej poznać jej istotę, ten zbacza ze ścieżek mądrości”.

„Nie przemawiaj do mnie tak, jak zwykłeś mówić do głupców, z którymi się przyjaźnisz – powiedział Saruman. – Nie sprowadziłem cię tutaj, by słuchać twoich nauk, ale po to, żeby ci dać do wyboru dwie drogi”.

Wyprostował się i zaczął deklamować tak, jakby wygłaszał z dawna przygotowaną mowę:

„Dawne Dni przeminęły. Średnie Dni przemijają. Świtają Dni Nowe. Czas elfów już się skończył, zbliża się nasz czas: świat ludzi, którymi my powinniśmy rządzić. Na to wszakże trzeba nam potęgi, byśmy we wszystkim mogli narzucić swoją wolę, a to dla dobrych celów, które jedynie Mędrcy umieją dostrzec.

Słuchaj mnie, Gandalfie, stary przyjacielu i pomocniku mój! – rzekł, zbliżając się do mnie i łagodząc ton głosu. – Powiedziałem: my, albowiem rządzić będziemy obaj, jeżeli zechcesz ze mną się sprzymierzyć. Nowa

Potęga rośnie. Przeciw niej dawni sojusznicy i dawne środki nic nie wskórają. Nie można pokładać nadziei w elfach ani w wymierającym Númenorze. Jedna tylko droga jest przed tobą, przed nami. Przyłączmy się do nowej Potęgi. Tak nakazuje mądrość, Gandalfie. To droga nadziei. Lada dzień tamta Potęga zatriumfuje, a ci, którzy przyczynią się do jej zwycięstwa, otrzymają hojne nagrody. Kiedy Potęga ta wzrośnie, wraz z nią wzrosną jej wypróbowani sprzymierzeńcy, a Mędrcy, jak ty i ja, z czasem potrafią ją całą opanować i kierować jej działaniem. Będziemy musieli przeczekać cierpliwie, taić nasze prawdziwe myśli na dnie serca, może opłakiwać niegodziwości, których nie da się uniknąć po drodze, mając wszakże wciąż na oku godny, wzniosły, ostateczny cel: Wiedzę, Władzę, Ład – co dotychczas daremnie usiłujemy osiągnąć, bo przeszkadzają nam, zamiast pomagać, nasi słabi lub gnuśni przyjaciele. Nie wymaga to większych zmian naszych celów – których też nie zmienimy – lecz tylko zmiany środków”.

„Sarumanie – odparłem – słyszałem już podobną mowę, lecz jedynie w ustach wysłanników Mordoru, którzy próbowali omamić nieświadome umysły. Nie mogę uwierzyć, żeś mnie sprowadził z daleka po to tylko, by zmęczyć moje uszy”.

Spojrzał na mnie z ukosa i milczał chwilę, jakby się namyślał.

„Widzę, że droga rozsądku nie zyskała twojego uznania – rzekł. – A może wstrzymujesz się z wyborem? Wstrzymujesz się, bo kto wie, czy nie ma lepszego wyjścia? – Zbliżył się i położył swoją długą dłoń na moim ramieniu. – Czemuż by nie? – szepnął. – Pierścień Władzy! Gdybyśmy nim rozporządzali, potęga przeszłaby w nasze ręce. Oto, po co cię naprawdę wezwałem. Mam bowiem wiele par oczu na swoje usługi i jestem przekonany, że ty wiesz, gdzie się znajduje ów klejnot. Nie mylę się, prawda? Dlaczegóż to Dziewięciu dopytuje się o Shire? Co ty masz wciąż do roboty w tym kraiku?”

Kiedy to mówił, oczy mu nagle zapłonęły pożądliwością, której nie zdołał ukryć.

„Sarumanie – powiedziałem, odsuwając się od niego. – Jedynym Pierścieniem może rozporządzić tylko jedna ręka, wiesz to dobrze, nie zadawaj więc sobie trudu, mówiąc «my». Nie, ja Pierścienia nie wydam, nic ci o nim nie powiem, skoro już poznałem twoje myśli. Byłeś głową Rady, lecz teraz odsłoniłeś wreszcie swoje prawdziwe oblicze. Rozumiem już,

mam do wyboru poddać się Sauronowi albo tobie. Nie pójdę żadną z tych dwóch dróg. Czy masz trzecią do ofiarowania?”

Saruman był teraz zimny i groźny.

„Tak – odparł. – Nie spodziewałem się, byś wybrał rozumnie, nawet we własnym interesie. Dałem ci mimo to możliwość przyjścia mi z pomocą dobrowolnie, bo w ten sposób oszczędziłbyś sobie dużo cierpień i kłopotów. Trzecia droga? Zostaniesz tutaj aż do końca”.

„Do jakiego końca?”

„Póki nie wyznasz mi, gdzie jest Jedyny Pierścień. Znajdę pewnie środki, żeby ci rozwiązać język. Albo dopóty, dopóki nie odszukam Pierścienia bez twojej pomocy, dopóki później Władca nie będzie mógł poświęcić cennego czasu na łatwiejsze sprawy, takie jak na przykład obmyślenie stosownej zapłaty dla Gandalfa Szarego za jego opór i zuchwalstwo”.

„To się może okazać wcale niełatwe” – rzekłem, ale on wyśmiał mnie, wiedząc, że to są czcze słowa.

Zawlekli mnie na szczyt wieży i zostawili samego na miejscu, z którego Saruman zazwyczaj śledzi gwiazdy. Nie ma stamtąd innego zejścia jak wąskimi schodami o tysiącu szczebli, a dolina wydaje się z góry bardzo odległa. Patrząc w nią, zobaczyłem, że gdzie dawniej było zielono i pięknie, teraz ziały szyby i dymiły kuźnie. Wilki i orkowie zaludnili Isengard, bo Saruman na własną rękę gromadził wielką armię, rywalizując z Sauronem, któremu jeszcze się nie oddał w służbę. Znad warsztatów bił czarny dym i spowijał mury wieży Orthank. Stałem samotny na wyspie pośród morza chmur. Nie było dla mnie ucieczki, dni pędziłem gorzkie w tej niewoli. Kostniałem z zimna, na ciasnym tarasie ledwie parę kroków mogłem zrobić, rozmyślając w zgnębieniu o Jeźdźcach, którzy dążyli na północ.

Nie wątpiłem, że Dziewięciu naprawdę krąży po świecie, jakkolwiek nie słowa Sarumana, które mogły być kłamstwem, przekonały mnie o tym. Na długo przed przybyciem do Isengardu spotykałem wśród swoich wędrówek znaki nieomylne. Serce moje dręczył lęk o przyjaciół z Shire’u, a jednak nie straciłem resztek nadziei. Myślałem, że może Frodo wyruszył w drogę niezwłocznie, posłuszny naleganiom mojego listu, i dotarł do Rivendell, zanim okrutni prześladowcy odnaleźli jego trop. Ale zarówno lęk, jak nadzieja okazały się nieuzasadnione. Nadzieję bowiem opierałem na

pewnym grubasie z Bree, a lęk na przeświadczeniu o chytrości Saurona. Tymczasem grubas handlujący piwem miał za wiele na głowie, a moc Saurona nie była jeszcze tak wielka, jak ją mój strach malował. Lecz zamkniętemu w murach Isengardu samotnemu więźniowi niełatwo było uwierzyć, że w dalekim Shire szczęście zawiedzie łowców, przed którymi wszystko, co żyje, ucieka lub pada.

– Widziałem cię! – krzyknął Frodo. – Chodziłeś tam i sam. Księżyc błyszczał na twoich włosach.

Gandalf umilkł i w zdumieniu spojrzał na hobbita.

– Widziałem to tylko we śnie – rzekł Frodo – ale teraz nagle sobie ten sen przypomniałem. Jakoś mi zupełnie wyleciał z pamięci. Było to dość dawno, wkrótce po opuszczeniu Shire'u.

– W takim razie sen zamarudził po drodze – odparł Gandalf – jak się sam za chwilę przekonasz. Znajdowałem się tedy w okropnym położeniu. Kto mnie zna, ten poświadczy, że nieczęsto zdarzały się w moim życiu równie ciężkie terminy i że niełatwo godzę się z taką dolą. Gandalf Szary złowiony niby mucha w zdradzieckie pajęcze sidła! Ale nawet najsprytniejszy pająk usnuje niekiedy bodaj jedną słabą nitkę.

Początkowo lękałem się, że Radagast także się załamał; Saruman niewątpliwie chciał mi ten lęk zaszczepić. Lecz podczas krótkiego spotkania nie zauważyłem w głosie i oczach Radagasta niczego podejrzanego. Gdybym coś takiego wyczuł, nie kwapiłbym się do Isengardu wcale albo przynajmniej zachowałbym więcej ostrożności. Saruman to rozumiał, toteż zataił przed wysłannikiem swoje prawdziwe zamiary i oszukał go. Zresztą w żaden sposób nie udałoby się zacnego Radagasta przekabacić i namówić do zdrady. W dobrej wierze powtórzył mi wezwanie i dlategom go posłuchał. Ale dzięki temu również cały plan Sarumana zawiódł. Radagast nie widział powodu, by nie spełnić mojej prośby: pojechał do Mrocznej Puszczy, gdzie z dawien dawna ma mnóstwo przyjaciół. Górskie orły obleciały kawał świata i wypatrzyły niemało: wilcze wiece, ściągające zastępy orków i Dziewięciu Jeźdźców kręcących się po kraju. Zasłyszały też nowinę o ucieczce Golluma. No i wysłały do mnie gońców z tymi wiadomościami.

Tak się stało, że u schyłku lata pewnej księżycowej nocy najśmiglejszy z orłów, Gwaihir Władca Wichrów, nieoczekiwanie zjawił się nad Orthankiem. Ujrzał mnie stojącego na szczycie wieży. Przemówiłem do

niego i ptak, nim go Saruman spostrzegł, uniósł mnie w powietrze; kiedy wilki i orkowie wypadli za bramę w pogoni, byłem już daleko poza kręgiem Isengardu.

„Jak daleko możesz mnie zanieść?” – spytałem Gwaihira.

„Mogę cię nieść wiele mil – odparł, nie polecę jednak z tobą na koniec świata. Wysłano mnie jako gońca, nie jako tragarza”.

„W takim razie trzeba mi wierzchowca, który biega po ziemi – rzekłem – i to lotnego, bo nigdy jeszcze nie było mi tak pilno jak teraz”.

„Jeśli tak, to zaniosę cię do Edoras, gdzie w pałacu mieszka władca Rohanu – powiedział orzeł. – To niezbyt daleko”.

Ucieszyłem się, bo w Riddermarchii Rohanu mieszkają Rohirrimowie, mistrzowie koni, i na całym świecie nie ma lepszych wierzchowców niż te, które oni hodują w rozległej dolinie między Górami Mglistymi a Białymi.

„Jak myślisz, czy ludziom z Rohanu można zaufać?” – spytałem Gwaihira, bo zdrada Sarumana podkopała moją ufność.

„Płacą haracz w koniach – odparł orzeł – i co rok ślą ich wiele do Mordoru. Takie przynajmniej krążą pogłoski. Nie są wszakże dotychczas ujarzmieni. Lecz jeśli, jak powiadasz, Saruman się sprzeniewierzył, los Rohanu pewnie wkrótce będzie przypieczętowany”.

Przed świtem Gwaihir wylądował ze mną w Rohanie. Ale przewlekłem zbytnio moją opowieść, więc dokończę jej pokrótce. W Rohanie już się czuło wpływ złych sił i kłamstw Sarumana. Król nie chciał uwierzyć w moje przestrogi. Poprosił mnie, bym wybrał sobie jednego konia i co prędzej odjechał. Wybrałem wierzchowca wedle swego gustu, lecz królowi wcale się mój wybór nie spodobał. Wziąłem bowiem najlepszego rumaka, jaki był w kraju, a na całym świecie nie spotkałem konia, który by się z nim mógł równać.

– Musi to być wspaniałe zwierzę – rzekł Aragorn. – A chociaż wam inne nowiny wydadzą się pewnie groźniejsze, mnie nade wszystko smuci, że Sauron dostaje haracz z Rohanu. Nie było tak, gdym po raz ostatni bawił w tym kraju.

– I teraz tak nie jest – odezwał się Boromir. – Mogę przysiąc! To łgarstwa szerzone przez wrogów. Znam Rohańczyków, ludzi mężnych i

prawych, wiernych naszych sojuszników, osiadłych na ziemi przed wiekami od nas otrzymanej.

– Cień Mordoru pada daleko – rzekł Aragorn. – Saruman ugiął się pod nim. Rohan jest zagrożony. Kto wie, co tam zastaniesz po powrocie.

– Na pewno nie to – odparł Boromir – by Rohańczycy ratowali własne życie za cenę koni. Miłują je prawie jak rodzone dzieci. Nie bez racji, bo konie te pochodzą ze stepów północy, z krainy, gdzie Cień nigdy nie sięgał, i wywodzą się, tak samo jak ich panowie, z prastarych czasów wolności.

– Prawdę mówisz! – rzekł Gandalf. – A jeden z tych koni godzien jest źrebców, jakie się rodziły o poranku świata. Rumaki Dziewięciu nie mogą się z nim mierzyć: nie zna zmęczenia, śmiga jak wiatr. Przezwano go Cienistogrzywy. Za dnia sierść jego lśni srebrzyście, a nocą przybiera barwę cienia, tak że koń ów przemyka niewidzialny. Chód ma nad podziw lekki. Nigdy jeszcze nie dźwigał człowieka, lecz ja go oswoiłem i niósł mnie tak rączo, że przybyłem do Shire’u w tym samym dniu, w którym Frodo znalazł się na Kurhanach, chociaż wyruszyłem z Rohanu, kiedy on opuszczał Hobbiton.

Pędziłem, ale strach rósł w moim sercu. Znalazłszy się na północy, usłyszałem wieści o Jeźdźcach, a chociaż z każdym dniem zyskiwałem nad nimi przewagę, wciąż jeszcze mnie wyprzedzali. Wiedziałem już, że Dziewięciu rozdzieliło się: kilku zostało pod wschodnią granicą, opodal Zielonej Ścieżki, reszta wkradła się do Shire’u od południa. Dotarłem do Hobbitonu i nie zastałem już Froda, pogadałem tylko ze starym Gamgee. Dużo mówił, lecz nie bardzo do rzeczy. Najwięcej miał do powiedzenia o przywarach nowych właścicieli Bag End.

„Nie lubię zmian – oznajmił – kto by je lubił w moim wieku, a już zmian na gorsze ścierpieć nie mogę”. „Na gorsze!” – powtórzył kilka razy.

„Pewnie, że co gorsze, to złe – rzekłem mu – więc ci życzę, żebyś najgorszego nie doczekał”.

Z całej tej gadaniny dowiedziałem się wreszcie, że Frodo opuścił dom przed niespełna tygodniem i że tego samego wieczora Czarny Jeździec był na Pagórku. Odjechałem stamtąd w strachu. Dotarłem do Bucklandu, gdzie zastałem wielkie wzburzenie i ruch taki, jakby kto kij wetknął w mrowisko. Pospieszyłem do Ustroni: dom na oścież otwarty, pusty, lecz w progu leżał porzucony płaszcz i poznałem w nim własność Froda. Tracąc nadzieję, nie

zatrzymałem się ani dnia, by zasięgnąć języka, a szkoda, bo mogłem usłyszeć nieco bardziej pocieszające wieści. Ruszyłem co prędzej śladem Jeźdźców. Niełatwo go było wytropić, bo rozbiegał się w różne strony i nieraz byłem w rozterce. Zdawało mi się jednak, że jeden z Jeźdźców, a może nawet dwóch zmierzało w kierunku Bree. Pojechałem więc tamtędy, obmyślając w duchu zniewagi, którymi obrzucę właściciela gospody. „Jeśli z jego winy wynikła ta zwłoka – mówiłem sobie – stopię na nim całe sadło. Upiekę starego durnia na wolnym ogniu”. On też, jak się okazało, wcale się czego innego po mnie nie spodziewał, bo na mój widok padł plackiem i zaczął topnieć w oczach.

– Coś z nim zrobił?! – krzyknął Frodo przerażony. – Był dla nas bardzo poczciwy i starał się, jak mógł.

Gandalf się roześmiał.

– Nic się nie bój! – rzekł. – Nie gryzłem, a nawet szczekałem niewiele. Tak mnie uradowały nowiny, które od Butterbura usłyszałem, gdy wreszcie przestał się trząść, że uściskałem poczciwca. Nie rozumiałem na razie, jak się to wszystko stało, ale usłyszałem przynajmniej, że poprzednią noc spędziłeś w Bree i że rankiem wyruszyłeś w dalszą drogę w towarzystwie Obieżyświata.

„Obieżyświata!” – krzyknąłem z uciechy.

„Tak, panie, tak, niestety – rzekł Butterbur, biorąc to za okrzyk grozy. – Obieżyświat wśliznął się między nich, chociaż broniłem, jak mogłem, oni zaś dopuścili go zaraz do kompanii. W ogóle dziwnie się zachowywali tutaj przez cały czas pobytu, śmiem powiedzieć, że bardzo samowolnie”.

„Ach, ty ośle, ty głupcze! Po trzykroć zacny i ukochany Barlimanie! – powiedziałem. – Toż to najpomyślniejsza nowina od dnia przesilenia letniego, warta co najmniej złotego talara! Oby twoje piwo zyskało czarodziejskie zalety i niezrównany smak na siedem następnych lat! Dziś mogę wreszcie noc przespać spokojnie, co mi się od niepamiętnych czasów już nie zdarzyło”.

Przenocowałem zatem u Butterbura, rozważając, gdzie się podziali Jeźdźcy; w Bree bowiem, o ile mogłem się dowiedzieć, dotychczas zauważono tylko dwóch. W ciągu nocy wszakże zdobyłem dalsze wieści. Pięciu, jeśli nie więcej, zjawiło się od zachodu i przemknęło niby huragan

przez Bree, rozwalając bramy. Po dziś dzień tamtejsza ludność drży ze strachu i oczekuje końca świata. Wstałem o brzasku i ruszyłem za nimi.

Pewności nie mam, lecz wydaje mi się niewątpliwe, że to było tak: wódz skrył się na południe od Bree, wysyłając dwóch Jeźdźców do tego miasteczka, a czterech pchnąwszy na Shire. Jedni i drudzy, nie osiągnąwszy celu ani w Bree, ani w Ustroni, wrócili do wodza z meldunkiem o porażce, wskutek czego żaden z Jeźdźców nie pilnował chwilowo gościńca, nad którym czuwali tylko szpiedzy. Wódz kazał zaraz kilku podwładnym ruszyć na wschód, nie drogą jednak, lecz na przełaj, sam zaś z resztą oddziału cwałem pognał gościńcem w wielkiej furii.

Puściłem się zawrotnym galopem ku Wichrowemu Czubowi i stanąłem tam przed zachodem słońca drugiego dnia od wyjazdu z Bree, ale tamci mnie wyprzedzili. Zrazu cofnęli się, wyczuwając mój gniew i nie ważąc się stawić mi czoła, póki słońce świeciło na niebie. Nocą wszakże zbliżyli się i oblegli mnie na szczycie, w kręgu starych ruin Amon Sûl. Przeżyłem tam ciężkie godziny. Takich błyskawic i płomieni, jak owej nocy, nie widziano na Wichrowym Czubie od zamierzchłych czasów, kiedy to zapalano na wzgórzu wojenne sygnały.

O świcie wymknąłem się z okrążenia i uciekłem na północ. Więcej nic zdziałać nie mogłem. Nie sposób było odnaleźć cię, Frodo, wśród dzikich krain, a zresztą nie miałoby sensu szukać, skoro Dziewięciu następowało mi na pięty. Musiałem zdać wszystko na Aragorna. Miałem nadzieję, że odciągnę chociaż paru Jeźdźców od pogoni za tobą i że dotrę wcześniej do Rivendell, by stąd wysłać ci odsiecz. Rzeczywiście, czterech Jeźdźców ruszyło moim tropem, wkrótce jednak zawrócili, zmierzając, jak się zdawało, w stronę brodu. Bądź co bądź wyszło to wam na dobre, bo zamiast Dziewięciu tylko Pięciu wzięło udział w nocnej napaści na wasz obóz.

Nadkładając drogi, i to uciążliwej, w górę brzegiem Szarej Wody, przez Ettenmoors, a później z powrotem ku południowi, dotarłem w końcu tutaj. Szedłem od Wichrowego Czuba niemal dwa tygodnie, konno bowiem nie mógłbym się przedostać przez góry i skałki trollów, toteż odesłałem Cienistogrzywego królowi; zaprzyjaźniłem się z tym wierzchowcem serdecznie, wiem, że stawi się na wezwanie, gdybym go znów potrzebował. Przybyłem więc do Rivendell zaledwie o tydzień wcześniej niż wy z

Pierścieniem, ale na szczęście wieści o grożących wam niebezpieczeństwach już tutaj dotarły przede mną.

Na tym, mój Frodo, kończę swoją relację. Elronda i resztę obecnych przepraszam, że się tak szeroko rozwiodłem. Lecz po raz pierwszy zdarzyło się, że Gandalf nie dotrzymał obietnicy i nie stawił się na umówione miejsce i porę. Uważałem, że winien jestem usprawiedliwienie Powiernikowi Pierścienia z tak niezwykłego wypadku. A więc cała historia, od początku do końca, została opowiedziana. Zebraliśmy się tutaj wszyscy, a Pierścień jest wśród nas. Nie zbliżyliśmy się jednak ani o krok do istotnego celu. Co zrobimy z Pierścieniem?

Zaległa cisza. Potem odezwał się Elrond.

– Zła to nowina, że Saruman zdradził – rzekł – bo mu ufaliśmy i znał najtajniejsze sprawy naszej Rady. Niebezpieczna to rzecz zgłębiać sztukę wroga, choćby w najlepszej intencji! Ale podobne zdrady i upadki znamy, niestety, z przeszłości. Najbardziej ze wszystkich zdumiała mnie opowieść Froda. Niewiele miałem do czynienia z hobbitami, jeśli nie liczyć tu obecnego Bilba. Okazuje się, że Bilbo nie jest takim niezwykłym wyjątkiem, jak sądziłem dotychczas. Świat bardzo się zmienił od czasu, gdy po raz ostatni podróżowałem zachodnimi szlakami.

Upiory Kurhanów znamy pod różnymi imionami, o Starym Lesie wiele słyszeliśmy legend; to, co z niego po dziś dzień przetrwało, jest tylko resztką północnego skrawka dawnej puszczy, były czasy, gdy wiewiórka, skacząc z drzewa na drzewo, mogła przewędrować z miejsca, gdzie teraz leży Shire, do Dunlandu, położonego na zachód od Isengardu. Ongi podróżowałem po tych okolicach i widziałem tam mnóstwo strasznych i dziwnych rzeczy. Zapomniałem jednak o Bombadilu; jeśli nie mylę się, chodzi o tego samego cudaka, który kręcił się po lasach i górach przed wiekami, a wówczas już był najstarszy wśród starców. Nosił wtedy inne imię. Zwaliśmy go Iarwain Ben-adar, co znaczy: najstarszy i niemający ojca. Różne plemiona nazywały go zresztą rozmaicie; krasnoludowie – Fornem, a ludzie z północy – Oraldem, inni jeszcze inaczej. Wielki to dziwak, lecz kto wie, czy nie należało go wezwać na naszą Radę.

– Nie przyszedłby – rzekł Gandalf.

– Może nie za późno jeszcze, by posłać do Bombadila gońca i uzyskać jego pomoc? – spytał Erestor. – On, jak się zdaje, ma władzę nawet nad

Pierścieniem.

– Słuszniej byłoby powiedzieć, że Pierścień nad nim władzy nie ma – odparł Gandalf. – Bombadil sam jest sobie panem. Nie może jednak odmienić istoty Pierścienia ani też unicestwić jego władzy nad innymi. Zresztą Bombadil zamknął się w małym kraiku, którego granice sam wyznaczył, chociaż nikt prócz niego ich nie widzi. Może czeka na inne czasy, w każdym razie nie chce się poza swoją dziedzinę wychylać.

– Za to w jej obrębie nic go, jak widać, nie przeraża – rzekł Erestor. – Może by się zgodził wziąć Pierścień na przechowanie i w ten sposób unieszkodliwić go na zawsze.

– Nie – odparł Gandalf – tego chętnie się nie podejmie. Zrobiłby to może, gdyby go wszystkie wolne plemiona świata poprosiły, lecz nie zrozumiałby wagi zadania. Gdybyśmy powierzyli mu Pierścień, prędko by o nim zapomniał, a prawdopodobnie wyrzuciłby go nawet. Rzeczy tego rodzaju nie trzymają się głowy Bombadila. Byłby bardzo niepewnym powiernikiem, a to chyba rozstrzyga.

– W każdym razie – powiedział Glorfindel – przesyłając Bombadilowi Pierścień, odroczylibyśmy tylko straszny dzień. Bombadil mieszka daleko stąd. Nie udałoby się zawieźć tam Pierścienia niepostrzeżenie, któryś ze szpiegów z pewnością by to wyśledził. A gdyby nawet się udało, Władca Pierścieni wcześniej czy później wytropi kryjówkę i całą swoją potęgę skieruje na to miejsce. Czy Bombadil samotnie oparłby się jego potędze? Myślę, że nie. Myślę, że w końcu, jeśli reszta świata zostanie podbita, ulegnie także Bombadil. Ostatni – tak jak ongi był pierwszy. A wtedy zapanuje Noc.

– Znam Iarwaina niemal tylko z imienia – rzekł Galdor – sądzę jednak, że Glorfindel ma rację. Nie w Tomie Bombadilu znajdziemy moc zdolną pokonać naszego Nieprzyjaciela, chyba że tą mocą jest sama ziemia. Ale widzimy przecież, że Sauron umie dręczyć i niszczyć nawet góry. Ile mocy zachowało się po dziś dzień na świecie, tyle jej skupia się tylko w nas, zebranych w Imladris, wokół Cirdana w Przystani i w Lórien. Czy jednak oni i my znajdziemy dość siły, żeby przeciwstawić się Nieprzyjacielowi, kiedy Sauron z kolei zaatakuje nas, zburzywszy wszystko inne na świecie?

– Ani mnie, ani tamtym – rzekł Elrond – nie starczy sił.

– Jeżeli więc nie możemy przed wrogiem obronić Pierścienia siłą – powiedział Glorfindel – pozostają dwa sposoby, których trzeba spróbować: wysłać Pierścień za Morze albo go zniszczyć.

– Lecz Gandalf objawił nam, iż żadna ze znanych nam sztuk nie zdoła zniszczyć Pierścienia – odparł Elrond – ci zaś, którzy mieszkają za Morzem, nie zgodzą się go przyjąć. Na szczęście czy na zgubę, Pierścień należy do Śródziemia. My, którzy po dziś dzień tu żyjemy, musimy nim rozporządzić.

– A więc – rzekł Glorfindel – rzućmy go w odmęt Morza, niech się stanie prawdą Sarumanowe kłamstwo. Teraz bowiem jasno rozumiemy, że nawet wówczas, gdy Saruman jeszcze uczestniczył w Radzie, noga jego stała już na błędnej ścieżce. Wiedział, że Pierścień nie przepadł na zawsze, ale chciał, abyśmy w to uwierzyli, albowiem już wtedy zaczął go pożądać dla siebie. Często wszakże prawda ukrywa się pod płaszczem kłamstwa: na dnie Morza Pierścień będzie bezpieczny.

– Nie na zawsze – odparł Gandalf. – W odmętach wód żyją różne stwory, a zresztą morza i lądy zmieniają swoje granice. Nie jest zaś naszym zadaniem troska o jedno tylko lato ani o czas kilku ludzkich pokoleń, ani nawet o naszą erę świata. Powinniśmy dążyć do zażegnania groźby raz na zawsze, choćby nadzieja zdawała się płonna.

– Nie osiągniemy tego celu na szlaku do Morza – powiedział Galdor. – Jeżeli powrót do Iarwaina uznaliśmy za nazbyt niebezpieczny, jeszcze groźniejszy byłby teraz bieg ku Morzu. Serce mi szepce, że Sauron, skoro się dowie o ostatnich wydarzeniach, będzie nas wypatrywał na zachodnich szlakach. A dowie się wkrótce. Dziewięciu straciło swoje rumaki, to prawda, lecz dzięki temu nie zyskamy nic prócz krótkiego wytchnienia, póki Jeźdźcy nie znajdą nowych, jeszcze ściglejszych wierzchowców. Jedynie chwiejna potęga Gondoru stoi dziś między Nieprzyjacielem a zwycięskim pochodem wzdłuż wybrzeży na północ. A jeśli Sauron nadciągnie i osaczy Białe Wieże oraz Przystań, zamknie się dla elfów droga ucieczki przed rosnącym cieniem, który zalegnie Śródziemie.

– Nieprędko wróg wyruszy w ten zwycięski pochód – rzekł Boromir. – Gondor się chwieje, powiadasz. Ale wciąż trwa, a nawet u schyłku swej potęgi ma jeszcze wielką siłę.

– Lecz straże Gondoru już dziś nie zdołały zagrodzić drogi Dziewięciu – odparł Galdor. – Nieprzyjaciel może też znaleźć inne drogi, niestrzeżone

przez Gondor.

– Zatem – rzekł Erestor – mamy do wyboru tylko dwa sposoby, jak słusznie mówił Glorfindel: albo ukryć Pierścień na wieki, albo go zniszczyć. Oba wszakże przerastają nasze siły. Któż tę szaradę rozwiąże?

– Nikt z tu obecnych – z powagą odparł Elrond. – A w każdym razie nikt nie zdoła przepowiedzieć, co nas czeka, jeśli wybierzemy jeden z tych sposobów. Lecz zdaje mi się jasne, którą drogą iść powinniśmy. Szlak na zachód jest z pozoru łatwiejszy. Dlatego właśnie musimy się go wyrzec. Będzie obstawiony. Zbyt wiele razy elfowie uciekali tą drogą. Dziś, w tej najcięższej potrzebie, przystoi nam droga najtrudniejsza, nieprzewidziana. W niej nasza nadzieja… jeśli jeszcze wolno mieć nadzieję. Trzeba iść prosto w paszczę niebezpieczeństwa: do Mordoru. Trzeba Pierścień cisnąć w Ogień.

Znowu zapadło milczenie. Nawet pod dachem tego szczęśliwego domu, nawet patrząc w słoneczną dolinę pełną szumu źródlanej wody, Frodo czuł w sercu śmiertelne ciemności. Boromir poruszył się i Frodo spojrzał na niego: rycerz kręcił w palcach ogromny róg i marszczył czoło. Wreszcie się odezwał:

– Nie mogę tego wszystkiego pojąć. Saruman jest zdrajcą, czyż jednak nie miał przebłysków mądrości? Dlaczego mówimy wciąż o ukryciu albo zniszczeniu Pierścienia? Dlaczego nie powiemy sobie, że Wielki Pierścień wpadł nam w ręce, aby nas wesprzeć w najcięższej potrzebie? Mając jego potęgę, Wolni Władcy Wolnych mogliby niechybnie pokonać Nieprzyjaciela. Myślę, że on tego właśnie najbardziej się lęka. Ludzie z Gondoru są waleczni, nigdy się nie poddadzą, lecz przemoc wroga może ich zmiażdżyć. Męstwu trzeba siły i oręża. Niechże Pierścień będzie naszym orężem, jeżeli ma tę moc, którą mu przypisujecie. Weźmy go sobie i ruszajmy śmiało po zwycięstwo.

– Niestety! – odparł Elrond. – Nie możemy użyć Pierścienia Władzy. Wiemy to aż nazbyt dobrze. Jest własnością Saurona, jego, wyłącznie jego dziełem, na wskroś złym. Moc Pierścienia, Boromirze, tak jest wielka, że nikt nie może nim rozporządzać wedle swojej woli, chyba tylko ten, kto i bez niego miał własną moc. Ale tym, co ją mają, Pierścień grozi jeszcze okrutniejszym niebezpieczeństwem. Już sama chęć posiadania go upadla serce. Pomyśl o Sarumanie. Gdyby któryś z Mędrców z pomocą Pierścienia

i dzięki swojej sztuce obalił władcę Mordoru, sam zasiadłby na tronie Saurona i ujrzelibyśmy nowego Władcę Ciemności. Oto jeden więcej powód, dla którego trzeba Pierścień zniszczyć, póki bowiem istnieje na świecie, póty groźba wisi nawet nad Mędrcami. Nic nie jest złe na początku. Nawet Sauron nie zawsze był zły. Lękam się odesłać Pierścień do jakiejkolwiek kryjówki. Nie wziąłbym go za żadną cenę, by użyć jego potęgi.

– Ani ja – rzekł Gandalf.

Boromir patrzył na nich z powątpiewaniem, lecz skłonił głowę.

– Niech tak będzie – powiedział. – A więc Gondor musi zaufać takiej broni, jaką posiada. Może Miecz-który-został-złamany odeprze nawałę, jeśli ręka, co nim włada, odziedziczyła nie tylko ten oręż, lecz także męstwo królów wśród ludzi.

– Któż to wie? – rzekł Aragorn. – Ale przyjdzie dzień, że poddamy ją próbie.

– Oby ten dzień nie kazał nam czekać na siebie zbyt długo – odparł Boromir. – Nie prosiłem o pomoc, lecz bardzo jej nam potrzeba. Dodałaby nam otuchy myśl, że inni także walczą wszystkimi siłami, jakie im są dane.

– A więc nabierzcie otuchy – powiedział Elrond. – Są na świecie inne potęgi i królestwa, o których nic nie wiecie, bo są przed wami ukryte. Wielka Anduina przepływa przez wiele krajów, nim dobiegnie do Argonath i do bram Gondoru.

– A jednak byłoby może dla wszystkich lepiej – odezwał się krasnolud Glóin – gdyby wszystkie siły zjednoczyły się, a moc każdego ze sprzymierzeńców posłużyła wspólnym poczynaniom. Są może inne pierścienie, nie tak zdradzieckie, których by można użyć w naszej sprawie. Siedem jest straconych dla nas, chyba że Balin odnalazł pierścień Thróra, ostatni z Siedmiu, ten, o którym słuch zaginął, odkąd Thrór poległ w Morii. Mogę wam teraz wyznać prawdę: prócz innych pobudek, właśnie nadzieja na odszukanie tego pierścienia skłoniła Balina do odejścia spod góry.

– Balin nie znajdzie w Morii pierścienia – rzekł Gandalf. – Thrór dał go synowi swojemu Thráinowi, lecz Thráin nie mógł przekazać dziedzictwa Thorinowi, bo wśród tortur w Dol Guldur wydarto mu pierścień. Zjawiłem się za późno.

– Biada, biada! – zawołał Glóin. – Kiedyż wybije dla nas godzina pomsty? Ale zostały jeszcze Trzy. Co się dzieje z Trzema Pierścieniami elfów? Były to, jak słyszałem, bardzo potężne Pierścienie. Czy elfowie ich nie przechowali? Trzy Pierścienie także przed wiekami zrobił nie kto inny, lecz Czarny Władca. Czy te Trzy są bezczynne? Widzę tu dostojnych elfów. Może zechcą mi odpowiedzieć.

Elfowie jednak milczeli.

– Czyż nie słuchałeś moich słów, Glóinie? – odezwał się Elrond. – Trzech Pierścieni nie zrobił ani nawet nigdy nie dotknął Sauron. Lecz nie wolno o nich mówić. W tej godzinie zwątpienia pozwolę sobie rzec tylko tyle: Trzy Pierścienie nie są bezczynne. Nie zostały jednak stworzone, by służyć jako oręż w wojnie i dla podbojów. Takiej mocy im nie dano. Ci, którzy je wykuli, pragnęli nie potęgi, nie władzy, nie bogactw – lecz rozumu, umiejętności, sztuki twórczej, sztuki gojenia ran, aby wszelkie rzeczy na ziemi zachować od skazy. Elfowie w Śródziemiu osiągnęli to w pewnej mierze, jakkolwiek nie bez ofiar. Lecz wszystko, co sprawili ci, którzy rozporządzali Trzema Pierścieniami, obróciłoby się przeciw nim, a serca ich oraz myśli zostałyby przed Sauronem odsłonięte – gdyby Nieprzyjaciel odzyskał Jedyny Pierścień. A wtedy żałowalibyśmy, że istniały na świecie Trzy Pierścienie! Sauron dąży do zapanowania nad nimi.

– A co się stanie, jeśli Pierścień Władzy będzie zniszczony, tak jak radzisz? – spytał Glóin.

– Nic pewnego nie wiemy – ze smutkiem rzekł Elrond. – Niektórzy z nas ufają, że Trzy Pierścienie, nigdy przez Saurona niedotknięte, wyzwolą się wówczas, a ich właściciele będą mogli uleczyć rany, zadane światu przez Nieprzyjaciela. Możliwe jednak, że Trzy po zniknięciu Jedynego stracą swoją moc, a wówczas wiele pięknych rzeczy zgaśnie i pójdzie w zapomnienie. Ja tak sądzę.

– Mimo to wszyscy elfowie zgadzają się na ryzyko – powiedział Glorfindel – jeżeli za tę cenę można złamać potęgę Saurona i na zawsze uwolnić świat od strachu przed tyranią.

– A więc wracamy znów do tego, cośmy powiedzieli: Pierścień trzeba zniszczyć – rzekł Erestor. – Lecz nie zbliżyliśmy się jeszcze ani o krok do celu. Czy starczy nam sił, by dotrzeć do Ognia, w którym Pierścień został wykuty? To droga rozpaczy. Powiedziałbym: droga szaleństwa – gdyby mi tego nie wzbraniał wzgląd na mądrość Elronda, z dawna wypróbowaną.

– Rozpacz? Szaleństwo? – odezwał się Gandalf. – Nie, to nie rozpacz, bo rozpaczać mogą tylko ci, którzy przewidują koniec i nie mają co do niego żadnych wątpliwości. Ale my nie wiemy, jaki będzie koniec. Mądrość każe ugiąć się przed koniecznością, jeśli po rozważeniu wszystkich innych dróg ta jedna okazuje się nieuchronna, jakkolwiek może się to wydać szaleństwem komuś, kto łudzi się zwodniczą nadzieją. A więc niech szaleństwo posłuży nam za płaszcz i osłoni nas przed wzrokiem Nieprzyjaciela! On bowiem jest bardzo mądry i waży każde źdźbło na szalach swojej chytrości. Nie zna jednak innej miary jak żądza władzy i wedle niej sądzi wszystkie serca. Do jego umysłu nie znajdzie dostępu myśl, że ktoś odrzuca pokusę władzy i że mając w ręku Pierścień, dąży do jego zniszczenia. Jeśli do tego będziemy zdążali, zmylimy rachuby Saurona.

– Przynajmniej na jakiś czas – rzekł Elrond. – Wstąpić na tę drogę musimy, lecz będzie bardzo trudna. I nie zaprowadzi nas po niej daleko ani mądrość, ani siła. Najsłabszy może podjąć to zadanie z równą nadzieją, jak najsilniejszy. Lecz tak właśnie najczęściej bywa z czynami, które obracają koła świata: dokonują ich małe ręce, na małych spada ten obowiązek, gdy oczy wielkich zwrócone są w inną stronę.

– Dość, dość, mistrzu Elrondzie! – zawołał niespodzianie Bilbo. – Możesz już nic więcej nie dodawać. Jasne jak słońce, do czego zmierzasz. Bilbo, niemądry hobbit, zapoczątkował całą sprawę, niechże więc Bilbo ją zakończy… albo sam zginie. Było mi tu bardzo przyjemnie i dobrze się pracowało nad książką. Jeśli chcecie wiedzieć, właśnie już piszę ostatnie kartki. Obmyśliłem także zakończenie: „i odtąd żył szczęśliwie aż po kres swoich dni”. To doskonałe zamknięcie całej historii, nic nie szkodzi, że przede mną inni już się nim posługiwali. Teraz będę musiał je zmienić, skoro nie ma widoków, by się te słowa sprawdziły. Zresztą przybędzie oczywiście kilka rozdziałów… jeżeli przeżyję i zdołam je dopisać. Okropnie kłopotliwe! Kiedy mam wyruszyć w drogę?

Boromir patrzył ze zdumieniem na Bilba, śmiech jednak zamarł mu na ustach, gdy spostrzegł, że wszyscy inni spoglądają na sędziwego hobbita z wielkim szacunkiem. Tylko Glóin uśmiechnął się, ale ten uśmiech wypłynął z dawnych wspomnień.

– Oczywiście, mój kochany Bilbo – powiedział Gandalf – gdybyś to ty naprawdę zapoczątkował całą sprawę, można by od ciebie wymagać, byś ją zakończył. Ale dobrze wiesz już dzisiaj, iż nikt nie może sobie rościć pretensji, że to on jest sprawcą wielkich zdarzeń; bohater odgrywa w nich tylko skromną rolę. Nie kłaniaj się! Prawda, nie przypadkiem użyłem tego słowa, nie wątpimy też, że mimo żartobliwego tonu twoja przemowa wyrażała bardzo szlachetną gotowość. Lecz taki czyn przekraczałby twoje siły, mój Bilbo. Pierścień nie może wrócić do ciebie. Przeszedł w inne ręce. Jeżeli chcesz mojej rady, powiem ci, że twoja rola jest skończona, zostaje ci tylko zadanie kronikarza. Dokończ pisać swą księgę i nie zmieniaj zakończenia. Wolno mieć nadzieję, że będzie ono zgodne z prawdą. Przygotuj się jednak do napisania drugiego tomu, gdy wysłańcy powrócą.

Bilbo roześmiał się.

– Nigdy w życiu nie dałeś mi przyjemniejszej rady – rzekł. – Ponieważ jednak wszystkie twoje przykre rady wyszły mi na dobre, mam pewne wątpliwości, czy ta miła rada nie okaże się zła w skutkach. Ale to prawda, że już by mi nie starczyło ani sił, ani szczęścia, by się zajmować Pierścieniem. On urósł, a ja się skurczyłem. Powiedz mi jeszcze, o kim myślałeś, mówiąc: wysłańcy?

– O wysłańcach, których wyprawimy z Pierścieniem.

– Oczywiście. Ale kogo wyprawimy? Myślę, że o tym właśnie ma nasza narada rozstrzygnąć i że nic innego nie ma już do roztrząsania. Elfowie umieją żyć samym gadaniem, a krasnoludowie są bardzo wytrzymali, ja wszakże jestem tylko starym hobbitem i w południe lubię coś przegryźć. Czy możecie zaraz wymienić nazwiska? Czy też pogadamy o tym później, po obiedzie?

Nikt mu nie odpowiedział. Dzwon wydzwonił południe. Lecz i wtedy nikt się nie odezwał. Frodo spojrzał wkoło, nikt jednak nie patrzył na niego. Cała Rada, spuściwszy oczy, zatonęła w głębokiej zadumie. Froda ogarnął strach, jak gdyby za chwilę miał usłyszeć jakiś okropny wyrok, którego od dawna się spodziewał, daremnie łudząc się nadzieją, że jednak nigdy nie zapadnie. W sercu wezbrało mu ogromne pragnienie odpoczynku i spokojnego życia u boku Bilba w Rivendell. Wreszcie, łamiąc się z sobą, przemówił i ze zdumieniem usłyszał z własnych ust takie słowa, jakby jego słabiutkim głosem ktoś inny wyrażał swoją wolę:

– Ja pójdę z Pierścieniem, chociaż nie znam drogi.

Elrond podniósł oczy na niego i to spojrzenie, nieoczekiwanie przenikliwe, przeszyło mu serce.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem wszystko, co tu słyszeliśmy – powiedział Elrond – zadanie tobie jest przeznaczone, mój Frodo. Jeżeli ty nie znajdziesz drogi, nikt jej nie znajdzie. Wybiła wasza godzina, hobbici z cichych pól Shire'u budzą się, żeby wstrząsnąć twierdzami i radami możnych. Kto spośród Mędrców mógł to przewidzieć? Spytam raczej: kto z nich, będąc Mędrcem, mógłby mieć nadzieję, że się tego dowie, nim wybije godzina?

Ale to ciężkie brzemię. Tak ciężkie, że nikt nie ośmieliłby się kogoś nim obarczyć. Ja też na ciebie tego brzemienia nie składam. Jeżeli jednak weźmiesz je dobrowolnie, powiem ci, że postępujesz słusznie. A gdyby nawet zebrali się wszyscy dawni przyjaciele elfów, Hador i Húrin, i Túrin, i sam Beren, tobie należałoby się miejsce w ich gronie.

– Ale chyba nie wyślesz go zupełnie samego, Panie? – krzyknął Sam, niezdolny dłużej się hamować, wyskakując z kąta, w którym siedział milczkiem.

– Nie, tego nie zrobię! – odparł Elrond, zwracając się do Sama z uśmiechem. – Jeżeli nie kto inny, ty pójdziesz z nim. Okazało się, że nie sposób was rozłączyć, nawet gdy Frodo jest wezwany na tajną naradę, na którą ciebie nie proszono.

Sam usiadł, czerwieniąc się i mrucząc pod nosem.

– Ładnego piwa nawarzyliśmy sobie, panie Frodo – powiedział, kiwając głową.

ROZDZIAŁ 3
PIERŚCIEŃ RUSZA NA POŁUDNIE

Nieco później tego samego dnia hobbici zebrali się we własnym gronie w pokoju Bilba. Merry i Pippin wybuchnęli oburzeniem na wieść, że Sam zakradł się na Radę i że jego wybrano na towarzysza Froda.

– To jaskrawa niesprawiedliwość! – oświadczył Pippin. – Zamiast go wyrzucić za drzwi i zakuć w kajdany, Elrond nagrodził go za tę bezczelność!

– Nagrodził? – rzekł Frodo. – Nie wyobrażam sobie sroższej kary. Nie zastanowiłeś się chyba, Pippinie. Wyrok skazujący na beznadziejną wyprawę uważasz za nagrodę? A jeszcze wczoraj marzyło mi się, że dopełniłem obowiązku i będę teraz mógł odpoczywać tutaj przez długie dni, może nawet zawsze.

– Wcale ci się nie dziwię – rzekł Merry. – Nie życzyłbym ci tego również. Ale my Samowi zazdrościmy, nie tobie. Skoro ty iść musisz, dla każdego z nas będzie srogą karą pozostać, choćby i w Rivendell. Przebyliśmy razem długą drogę i niejedną ciężką chwilę. Chcemy dalej z tobą wędrować.

– Otóż to! – zawołał Pippin. – My, hobbici, powinniśmy i będziemy trzymać się razem! Pójdę z tobą, chyba że mnie na łańcuch wezmą. Zresztą trzeba, żeby był w kompanii ktoś z olejem w głowie.

– No, w takim razie na ciebie pewnie wybór nie padnie, Peregrinie Tuku! – powiedział Gandalf, zaglądając przez okno niewiele nad ziemię wzniesione. – Ale nie macie jeszcze powodu do zmartwienia. Nic dotychczas nie zostało ostatecznie postanowione.

– Nic nie zostało postanowione?! – krzyknął Pippin. – Cóżeście wy robili przez ten cały czas? Siedzieliście zamknięci przez tyle godzin!

– Mówiliśmy – odparł Bilbo. – Bardzo dużo mieliśmy sobie do powiedzenia i dla każdego znalazło się coś nowego. Nawet dla starego Gandalfa. Mam na myśli wiadomości o Gollumie, które przywiózł Legolas. Gandalf omal pod sufit nie podskoczył, ledwie się powstrzymał.

– Mylisz się – odparł Gandalf. – Jesteś roztargniony. Tę wiadomość już wcześniej słyszałem od Gwaihira. Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to jedynej niespodzianki dostarczyliście wy dwaj: ty i Frodo, a jedyną osobą, której to nie zaskoczyło, byłem właśnie ja.

– W każdym razie – rzekł Bilbo – nie postanowiono jeszcze nic prócz tego, że zadanie ma wykonać nieborak Frodo i Sam. Od początku obawiałem się, że do tego dojdzie, jeśli moją kandydaturę Rada odrzuci. Ale myślę, że Elrond doda im liczną kompanię, niech tylko wrócą zwiadowcy. Czy już wyruszyli, Gandalfie?

– Tak – odparł Czarodziej. – Kilku już wyprawiono, a jutro pójdzie reszta. Elrond wysyła elfów, którzy nawiążą łączność ze Strażnikami, a może też z plemieniem Thranduila w Mrocznej Puszczy. Aragorn poszedł z synami Elronda. Trzeba dobrze przetrząsnąć całą okolicę w promieniu wielu mil, nim podejmiemy jakieś kroki. Pociesz się, Frodo! Prawdopodobnie zostaniesz tu jeszcze dość długo!

– Aha! – mruknął posępnie Sam. – Będziemy zwlekać, aż zima nadejdzie.

– Na to nie ma rady – powiedział Bilbo. – Trochę w tym twojej winy, Frodo, mój chłopcze! Czemu uparłeś się doczekać moich urodzin? Nie mogę się powstrzymać od uwagi, że je uczciłeś w sposób dość szczególny. Ja nie wybrałbym akurat tego dnia na wpuszczenie Bagginsów z Sackville do naszego domu! No, ale stało się. Teraz nie sposób marudzić do wiosny, chociaż z drugiej strony nie puścimy cię w drogę, póki nie zbierzemy wieści.

Gdy w zimie nocą szczypie mróz,
Gdy kamień pęka, skrzypi wóz,
Gdy drzew bezlistnych trzask wśród mgły,
To znak, że w puszczy hula Zły[43].

– Boję się, że taki właśnie los ci przypadnie!

– Ja się też tego boję – rzekł Gandalf. – Nie będziemy mogli wyruszyć, póki zwiadowcy nie przyniosą dokładnych wiadomości o Jeźdźcach.

– Myślałem, że zginęli w powodzi – odezwał się Merry.

– Nie tak łatwo zniszczyć Upiory Pierścienia – odparł Gandalf. – Tkwi w nich moc ich władcy, póki on jest silny, póty i one nie zginą. Mamy nadzieję, że straciły konie i zewnętrzną powłokę, więc są chwilowo mniej groźne; trzeba się jednak co do tego upewnić. Tymczasem staraj się zapomnieć o troskach, mój Frodo. Nie wiem, czy zdołam ci jakoś pomóc, ale szepnę ci coś na ucho. Ktoś tu wspomniał, że na tę wyprawę przydałby się towarzysz z olejem w głowie. Miał rację! Toteż myślę, że pójdę z wami.

Frodo z takim entuzjazmem przyjął tę nowinę, że Gandalf zeskoczył z parapetu okna, na którym siedział, i zdjąwszy kapelusz, ukłonił się hobbitowi.

– Powiedziałem: myślę, że pójdę. Nie licz jeszcze na nic. W tej sprawie rozstrzygający głos będzie miał Elrond i twój przyjaciel Obieżyświat. Ale to mi przypomina, że trzeba z Elrondem pogadać. Muszę więc was na razie pożegnać.

– Jak myślisz? Długo mi tu pozwolą zabawić? – spytał Frodo wuja po odejściu Gandalfa.

– Nie mam pojęcia. W Rivendell nie umiem liczyć dni – odpowiedział Bilbo. – Myślę, że dość długo. Zdążymy się nagadać. A może byś zechciał pomóc mi w pracy nad książką i w przygotowaniach do drugiego tomu? Obmyśliłeś już jakieś zakończenie?

– Owszem, nawet niejedno, ale wszystkie niewesołe – odparł Frodo.

– To na nic! – zawołał Bilbo. – Książki powinny kończyć się dobrze. A jak by ci się podobało takie zdanie: „Odtąd ustatkowali się i zawsze już żyli szczęśliwie wszyscy razem”.

– Bardzo piękne, oby się tylko sprawdziło! – rzekł Frodo.

– Ach! – westchnął Sam. – Ale gdzie osiądą? Często się nad tym zastanawiam.

Czas pewien hobbici rozmawiali i myśleli jeszcze o przebytej drodze i o niebezpieczeństwach, jakie na nich czyhają, lecz dolina Rivendell taki miała urok, że wkrótce wszystkie strachy i niepokoje ulotniły się z ich umysłów. Nie zapominali o przyszłości, dobrej czy złej, ale straciła ona władzę nad ich teraźniejszym życiem. Pokrzepili się na zdrowiu i nabrali otuchy, cieszyli się każdym dniem, rozkoszowali dobrym jadłem, miłymi pogawędkami, pięknymi pieśniami.

Tak płynęły dni, a każdy ranek wstawał pogodny, każdy zaś wieczór zapadał bezchmurny i chłodny. Lecz jesień szybko przemijała; stopniowo złoty blask płowiał i srebrniał, ostatnie liście spadały z nagich już drzew. Od Gór Mglistych dmuchał ku wschodowi zimny wiatr. Nocą na niebie księżyc pęczniał tak, że mniejsze gwiazdy umykały przed nim. Tylko jedna błyszczała czerwono tuż nad południowym widnokręgiem, a kiedy księżyc znowu zaczął maleć, rozpalała się co noc jaskrawiej. Frodo widział ją ze swego okna, tkwiącą w głębi firmamentu, płonącą niby czujne oko nad lasem, który się ciągnął wzdłuż krawędzi doliny.

Niemal dwa miesiące przebywali hobbici w domu Elronda, minął listopad, zabierając z sobą ostatnie ślady jesieni, a grudzień miał się już ku końcowi, kiedy zwiadowcy zaczęli wreszcie ściągać z powrotem. Jedni z nich dotarli na północ, aż powyżej źródeł Hoarwell, na obszar Ettenmoors; inni byli na zachodzie i z pomocą Aragorna oraz Strażników przeszperali okolicę dolnego biegu tej rzeki aż po Tharbad, gdzie Północny Gościniec przecina ją pod ruinami miasta. Wielu udało się na wschód i południe; niektórzy z nich przez góry dostali się do Mrocznej Puszczy, paru zaś wspięło się na przełęcz do źródeł rzeki Gladden i zeszło po drugiej stronie do Dzikiej Krainy, by przez Pola Gladden dotrzeć aż do starej siedziby Radagasta w Rhosgobel. Radagasta jednak nie zastali i wrócili przez wysoką przełęcz zwaną Schodami Półmroku. Synowie Elronda, Elladan i Elrohir, przybyli do domu ostatni; zawędrowali daleko wzdłuż Srebrnej Żyły do dziwnego kraju, lecz nikomu prócz Elronda nie chcieli zdać sprawy z wyników podróży.

Wysłańcy nigdzie nie widzieli Jeźdźców ani innych sług Nieprzyjaciela i nic o nich nie usłyszeli. Nawet od orłów z Gór Mglistych nie dowiedzieli się żadnych nowin. O Gollumie słuch zaginął. Wilki jednak nadal się gromadziły i zapuszczały na łowy daleko w górę Wielkiej Rzeki. Woda tuż za brodem wyrzuciła trzy martwe czarne rumaki. Na skalnych progach nieco niżej odnaleziono ciała pięciu innych oraz długi czarny płaszcz, pocięty i zgnieciony. Innych śladów Czarnych Jeźdźców nie wytropiono i nigdzie nie czuło się ich obecności. Można by pomyśleć, że zniknęli z krain Północy.

– A więc przynajmniej o ośmiu spośród Dziewięciu dowiedzieliśmy się czegoś – rzekł Gandalf. – Nie należy zbyt pochopnie wyciągać wniosków, sądzę jednak, że wolno nam żywić nadzieję, iż Upiory Pierścienia

rozpierzchły się i każdy na własną rękę musiał wracać, jak mógł, do swego władcy do Mordoru, odarty z widomej powłoki i osłabły. Jeżeli tak jest, zyskujemy trochę czasu, nim wznowią pościg. Nieprzyjaciel ma oczywiście więcej sług, lecz ci musieliby przewędrować szmat drogi do granic Rivendell, żeby tu podjąć nasz trop. A jeżeli będziemy ostrożni, nie tak łatwo go odnajdą. Lecz nie wolno nam zwlekać.

Elrond wezwał hobbitów do siebie. Poważnie spojrzał Frodowi w oczy.

– Już czas! – rzekł. – Jeżeli Pierścień w ogóle ma ruszyć w drogę, nie można czekać dłużej. Ci wszakże, którzy z nim pójdą, nie powinni liczyć, że w tym zadaniu wesprze ich oręż albo siła. Muszą się zapuścić w głąb kraju Nieprzyjaciela, z dala od wszelkiej pomocy. Czy podtrzymujesz swoje przyrzeczenie i jesteś gotów zostać Powiernikiem Pierścienia?

– Tak – odparł Frodo. – Pójdę wraz z Samem.

– Nie mogę ci wiele pomóc, nawet radą – rzekł Elrond. – Nie umiem przewidzieć wszystkiego, co cię spotka w tej drodze, i nie wiem, w jaki sposób będziesz mógł wykonać swoje zadanie. Cień sięgnął już podnóży gór i rozszerza się wciąż, docierając do brzegów Szarej Wody. A to, co dzieje się w jego zasięgu, jest dla mnie nieprzeniknione. Spotkasz wielu wrogów, jawnych i zamaskowanych, ale być może, że spotkasz również na swej drodze sojuszników, i to w chwili gdy się najmniej będziesz tego spodziewał. Roześlę gońców i w miarę możności zawiadomię wszystkich przyjaciół, których mam po świecie. Lecz wszędzie wkoło tyle jest teraz niebezpieczeństw, że pewnie nie wszyscy moi wysłannicy dotrą do celu, a niektórzy może nie zdołają cię wyprzedzić. Dobiorę ci towarzyszy podróży, o ile oczywiście zgodzą się iść z tobą i jeśli nic im nie przeszkodzi. Drużyna powinna być nieliczna, bo cała nadzieja w pośpiechu i tajemnicy. Gdybym nawet rozporządzał zbrojnym zastępem elfów, jak za Dawnych Dni, nie przydałoby się to na wiele, przeciwnie, zbudziłoby tylko czujność potęgi Mordoru.

Towarzyszy Pierścienia będzie dziewięciu: Dziewięciu Piechurów przeciw Dziewięciu Jeźdźcom. Z tobą i z twoim wiernym sługą pójdzie Gandalf, to bowiem będzie Czarodzieja największe dzieło, może nawet uwieńczenie trudów całego życia. Poza tym będą w Drużynie przedstawiciele wszystkich wolnych plemion świata: elfów, krasnoludów i ludzi. A więc elf Legolas i krasnolud Gimli, syn Glóina. Obaj zgodzili się

towarzyszyć ci przynajmniej do przełęczy w górach, a może i dalej. Z ludzi pójdzie Aragorn, syn Arathorna, ponieważ Pierścień Isildura jemu jest najbliższy.

– Obieżyświat! – krzyknął Frodo.

– Tak – uśmiechnął się Aragorn. – Prosiłem, by mi pozwolono znów biec w świat z tobą, Frodo.

– Sam bym cię o to prosił – rzekł Frodo – ale sądziłem, że wybierasz się z Boromirem do Minas Tirith.

– Wybieram się rzeczywiście – odparł Aragorn. – Miecz-który-został-złamany trzeba przekuć, nim ruszę na wojnę. Ale mamy wspólną drogę przez kilkaset mil. Dlatego Boromir także przyłączy się do twojej Drużyny. To człowiek wielkiego męstwa.

– Brakuje więc dwóch jeszcze – powiedział Elrond. – Zastanowię się nad ich wyborem. Znajdę z pewnością wśród moich domowników odpowiednich dla ciebie towarzyszy.

– Ależ wtedy dla nas zabraknie miejsca! – krzyknął z rozpaczą Pippin. – Nie chcemy zostać, jeśli Frodo idzie. Chcemy iść razem z nim!

– Nie rozumiecie i nie wyobrażacie sobie, czym będzie ta wyprawa – rzekł Elrond.

– Frodo także nie wie – odezwał się Gandalf, niespodziewanie stając po stronie Pippina. – Nikt z nas jasno tego sobie nie wyobraża. Prawdę powiedziałeś, Elrondzie: gdyby ci hobbici rozumieli niebezpieczeństwo, nie mieliby odwagi wyruszyć przeciw niemu. Ale pragnęliby iść albo przynajmniej pragnęliby mieć odwagę, wstydziliby się i cierpieli. Myślę, Elrondzie, że w tej sprawie lepiej zawierzyć szczerej przyjaźni niż wielkiej mądrości. Gdybyś nawet włączył do drużyny tak dostojnego elfa jak Glorfindel, nie mógłby on zdobyć Czarnej Wieży ani utorować drogi do Ognia siłą, którą rozporządza.

– Ważkie to słowa – odparł Elrond – lecz mam pewne wątpliwości. Shire, jak się obawiam, może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Zamierzałem tych dwóch hobbitów odesłać, żeby ostrzegli swoich rodaków i przedsięwzięli środki, zgodne z miejscowymi obyczajami, by kraj zabezpieczyć. W każdym razie młodszego z nich, Peregrina Tuka, zatrzymam. Serce we mnie się wzdraga przed myślą, by ten młodzik miał iść z wami.

– A więc zamknij mnie, panie, w więzieniu albo związanego w worku odeślij do domu – zawołał Pippin – bo uprzedzam cię, że pobiegnę za Drużyną!

– Niechże więc będzie twoja wola. Pójdziesz z Frodem – rzekł Elrond z westchnieniem. – Teraz mamy dziewięciu wybranych. Za tydzień Drużyna musi wyruszyć.

Płatnerze elfów przekuli na nowo miecz Elendila. Na ostrzu wyryli siedem gwiazd między księżycem w nowiu a promienistym słońcem, wokół zaś mnóstwo znaków runicznych, bo Aragorn, syn Arathorna, szedł walczyć na pogranicze Mordoru. Miecz, znów cały, jaśniał pełnym blaskiem; w słońcu rozbłyskiwał szkarłatem, w poświacie miesięcznej zimną bielą, a klingę miał ostrą i hartowną. Aragorn obdarzył go nowym imieniem: Andúril, Płomień Zachodu.

Aragorn i Gandalf przechadzali się razem lub przesiadywali, rozmawiając o podróży i niebezpieczeństwach, które w niej mogli spotkać; rozpatrywali też mapy, opatrzone wielu napisami i runami, oraz stare kroniki, zachowane w domu Elronda. Frodo niekiedy przebywał z nimi, lecz zdawał się we wszystkim na ich mądrość i spędzał możliwie najwięcej czasu z Bilbem.

W tych ostatnich dniach hobbici słuchali w Sali Kominkowej różnych opowieści; tu usłyszeli między innymi całą historię Berena i pięknej Lúthien, i Wielkiego Klejnotu. Za dnia wszakże, podczas gdy Merry i Pippin kręcili się to tu, to tam, Froda i Sama można było najczęściej zastać w pokoiku Bilba. Stary hobbit czytał im wybrane rozdziały swojej książki (wciąż jeszcze, jak się zdawało, dalekiej od ukończenia) albo urywki wierszy, niekiedy też robił zapiski z przygód Froda.

Rankiem ostatniego dnia, kiedy Frodo był sam z Bilbem, stary hobbit wyciągnął spod łóżka drewnianą skrzynkę. Podniósł wieko i zaczął w niej szperać.

– Oto twój miecz – powiedział. – Ale jest złamany, jak wiesz. Wziąłem go na przechowanie, lecz zapomniałem spytać płatnerzy, czy mogą go naprawić. Teraz już za późno, przyszło mi więc na myśl, że może byś chciał mieć ten, co?

I wyjął ze skrzynki mieczyk w starej, wytartej skórzanej pochwie. Dobył go z pochwy, przetarł polerowane, dobrze utrzymane ostrze, które

zaświeciło niespodzianie zimnym blaskiem.

– To Żądło – rzekł i prawie bez wysiłku wbił mieczyk głęboko w drewnianą belkę – weź je, jeśli masz ochotę, ja już chyba nie będę go potrzebował.

Frodo przyjął dar z wdzięcznością.

– Mam tu coś jeszcze – powiedział Bilbo, wyjmując zawiniątko, które zdawało się bardzo ciężkie w stosunku do swych małych rozmiarów. Rozwinął kilka zwojów starego sukna i podniósł w górę małą kolczugę sporządzoną z gęsto plecionej siatki, giętkiej niemal jak płótno, lecz twardszej niźli stal. Lśniła niby srebro w księżycowej poświacie, a wysadzana była drogimi kamieniami. Był do niej także pas z pereł i kryształów.

– Piękna, prawda? – spytał Bilbo, obracając kolczugę pod światło. – I bardzo użyteczna. To moja krasnoludzka zbroja, dar Thorina. Odebrałem ją z muzeum w Michel Delving przed opuszczeniem domu i zapakowałem między bagaże. Wziąłem z sobą wszystkie pamiątki z wyprawy, z wyjątkiem Pierścienia. Ale nie spodziewałem się, bym miał sposobność używać kolczugi, a teraz nie jest mi już wcale potrzebna, chyba na to, żeby czasem oczy nacieszyć. Nosząc ją, nie czuje się niemal ciężaru.

– Wyglądałbym w tym… myślę, że wyglądałbym nieco dziwacznie – rzekł Frodo.

– To samo i ja mówiłem – powiedział Bilbo. – Ale nie przejmuj się wyglądem. Możesz zresztą nosić kolczugę pod wierzchnim ubraniem… Słuchaj! Powiem ci coś, ale niech to zostanie między nami. Będę o wiele spokojniejszy, wiedząc, że ją nosisz. Mam wrażenie, że od niej odbiłyby się nawet noże Czarnych Jeźdźców – dodał, ściszając głos.

– Dobrze więc, wezmę ją – odparł Frodo. Bilbo sam ubrał go w kolczugę i zawiesił mu Żądło u pasa. Potem Frodo włożył na to wszystko swoje stare, zniszczone spodnie, bluzę i kurtkę.

– Wyglądasz jak każdy hobbit – rzekł Bilbo. – Ale jest w tobie coś więcej, niżby się z pozoru wydawało. Niech ci szczęście sprzyja!

Odwrócił się i patrząc w okno, usiłował zanucić jakąś melodię.

– Brak mi słów, żeby ci podziękować, jak by należało, za te dary i za wszystkie lata dobroci dla mnie – powiedział Frodo.

– Nawet nie próbuj! – zawołał stary hobbit i okręciwszy się na pięcie, trzepnął Froda po łopatce. – Aj! – krzyknął. – Teraz jesteś za twardy na takie karesy. No, ale to już tak jest: hobbici muszą się trzymać razem, a Bagginsowie tym bardziej. Nie wymagam od ciebie w zamian niczego prócz ostrożności. Uważaj na siebie i staraj się przywieźć z podróży jak najwięcej nowin, a także zapamiętaj wszystkie stare pieśni i legendy, jakie posłyszysz. Będę pracował usilnie, żeby skończyć książkę, nim wrócisz. Chętnie bym napisał drugi tom, jeżeli pożyję.

Urwał i, odwróciwszy się znów do okna, zaśpiewał półgłosem:

Siedzę przy ogniu i dumam
O tym, w co pamięć bogata.
O kwiatkach polnych, motylach
W dawnych, minionych latach.

O listkach żółtych i nitkach
Jesiennych, lekkich pajęczyn.
O mgłach, o słońcu, o wietrze,
Co włos na głowie mi piętrzył…

Siedzę przy ogniu i dumam –
Czy też tu będzie inaczej,
Gdy zima przyjdzie bez wiosny –
I czy to kiedy zobaczę.

Boć rzeczy wiele jest w świecie,
A jam ich widział niewiele…
Na przykład w lesie co wiosny
Coraz to inna jest zieleń.

Siedzę przy ogniu i dumam
O dawnych i przyszłych ludach –
I wiem – świat nowy zobaczą,
A mnie się to już nie uda.

Lecz cóż… wciąż siedzę i myślę
O czasach, które już przeszły…
Słucham znajomych mi kroków
I głosów słucham zamierzchłych[44].

Był zimny, szary dzień pod koniec grudnia. Wschodni wiatr szarpał nagimi gałęziami drzew i syczał wśród czarnych sosen na zboczach gór. Postrzępione ciemne chmury płynęły nisko po niebie. Gdy zapadł wczesny, smutny zmierzch, drużyna stanęła w pogotowiu do drogi. Mieli ruszyć o zmroku, bo Elrond radził poruszać się pod osłoną nocy, dopóki nie znajdą się daleko od Rivendell.

– Trzeba się wystrzegać oczu mnogich sług Saurona – mówił. – Niewątpliwie już usłyszał wieść o porażce Jeźdźców i kipi gniewem. Wkrótce chmara jego szpiegów na nogach i skrzydłach pospieszy ku Północy. Nawet nieba musicie się strzec w tej podróży.

Drużyna nie wzięła z sobą wiele oręża, bo nadzieję pokładano w tajności wyprawy, nie w czynach bojowych. Aragorn przypasał Andúrila, lecz poza nim nie brał żadnej innej broni; włożył na drogę rdzawozielone i brunatne ubranie Strażników pustkowi. Boromir miał długi miecz, z kształtu podobny do Andúrila, lecz nie tak starożytny, tarczę i róg rycerski.

– Głośno i czysto gra on po dolinach i górach – rzekł – a na jego dźwięk niech umykają wrogowie Gondoru!

Przytknął róg do ust i zadął weń, aż echo poniosło się od skały do skały i kto żyw w Rivendell zerwał się na nogi.

– Nie bądź zbyt skory do grania na tym rogu, Boromirze – powiedział Elrond – póki znów nie staniesz u granic swojej ojczyzny lub nie znajdziesz się w ciężkiej potrzebie.

– Może i dobrze radzisz – odparł Boromir – ale ja zawsze głosem rogu oznajmiam, że wyruszam w drogę, a choćbym musiał potem przemykać wśród ciemności, nie chcę zaczynać wyprawy milczkiem jak nocny złodziej.

Tylko krasnolud Gimli jawnie obnosił krótką stalową kolczugę, bo jego plemię lekce sobie waży wszelkie pozory. Za pas miał zatknięty topór o szerokim ostrzu. Legolas zaopatrzył się w łuk i kołczan, a u pasa zawiesił

długi biały nóż. Dwaj młodzi hobbici uzbroili się w miecze zabrane z Kurhanu. Frodo wszakże nie miał nic prócz Żądła, a kolczugę, zgodnie z życzeniem Bilba, ukrywał pod ubraniem. Gandalf miał swoją różdżkę, lecz do boku przypasał miecz elfów zwany Glamdringiem, bliźniaczego brata Orkrista, spoczywającego na piersi Thorina pod Samotną Górą.

Wszystkich Elrond zaopatrzył hojnie w grubą, ciepłą odzież, w kurty i płaszcze podbite futrem. Zapasami żywności, ubraniami na zmianę, kocami i wszelakim sprzętem objuczono kucyka, a był to ten sam nieszczęsny zwierzak, którego hobbici kupili w Bree. Parę miesięcy w Rivendell odmieniło go nad podziw: sierść na nim lśniła i zdawał się tryskać młodzieńczą energią. Zabrano go na usilne nalegania Sama, który twierdził, że Bill (bo tak nazwał kuca) zatęskniłby się na śmierć, gdyby go zostawiono.

– Ten zwierzak prawie już umie mówić – powiedział. – Żeby jeszcze parę tygodni tu pobył, zagadałby z pewnością. Spojrzał na mnie, jakby mówił, i to wcale nie mniej wyraźnie niż pan Pippin: „Jeżeli mnie z sobą nie weźmiesz, mój Samie, pobiegnę za wami, nie pytając o pozwolenie”.

Tak więc Bill wziął udział w wyprawie w roli tragarza, a mimo to on jeden z całej kompanii nie miał markotnej miny.

Pożegnali się już z Elrondem w wielkiej Sali Kominkowej i teraz czekali tylko na Gandalfa, który nie wyszedł jeszcze przed dom. Z otwartych drzwi bił blask ogniska, okna jaśniały łagodnym światłem. Bilbo, otulony płaszczem, stał w progu obok Froda. Aragorn siedział z głową zwieszoną na kolana; tylko Elrond wiedział, co Obieżyświat przeżywa w tej chwili. Sylwetki pozostałych uczestników wyprawy ledwie majaczyły w mroku. Sam stanął przy kucu i cmokając przez zęby, wpatrywał się w ciemności, z których dochodził szum rzeki pluszczącej na kamieniach. Nie czuł w tej chwili wcale żądzy przygód w sercu.

– Billu, mój zuchu – rzekł. – Nie powinieneś był napierać się na tę podróż. Mogłeś tu zostać i paść się najprzedniejszym siankiem aż do nowej trawy.

Bill machnął ogonem i nic na to nie odpowiedział. Sam poprawił worek na plecach i zastanawiając się z niepokojem, czy czegoś nie pominął, zaczął sobie w duchu przypominać wszystkie rzeczy, które do worka wpakował: skarb najważniejszy – sprzęt kuchenny; małą puszkę z solą, z którą się nie

rozstawał, napełniając ją przy każdej sposobności; zapas ziela fajkowego spory – ale pewnie jeszcze niewystarczający; krzesiwo i hubkę; bieliznę płócienną i ciepłą wełnianą; rozmaite drobiazgi pana Froda, o których Frodo nie pamiętał, a które Sam wetknął między własne manatki, by we właściwej chwili z tryumfem wyciągnąć. Wszystko to po kolei i w myśli wyliczył.

– Lina! – mruknął. – Nie wziąłem liny. A jeszcze wczoraj wieczorem mówiłem sobie: „Samie, czy nie uważasz, że przydałby się kawałek liny? Jeżeli jej nie weźmiesz, ani chybi okaże się potrzebna”. No, będzie potrzebna na pewno. Teraz już po nią nie wrócę.

W tym momencie zjawił się Elrond z Gandalfem i przywołał całą kompanię.

– Oto moje ostatnie słowo – rzekł cichym głosem. – Powiernik Pierścienia wyrusza z misją dotarcia do Góry Przeznaczenia. Na nim jednym spoczywa odpowiedzialność: nie wolno mu Pierścienia odrzucić ani wydać w ręce Nieprzyjaciela czy któregoś z jego sług, nie wolno dopuścić, aby ktokolwiek bodaj dotknął Pierścienia, chyba któryś z członków Drużyny i Rady, ale i to tylko w ostatecznej potrzebie. Wy wszyscy towarzyszycie Powiernikowi ochotniczo, by mu dopomóc. Macie prawo wycofać się lub zawrócić z drogi, lub skręcić na inne ścieżki, jeżeli nadarzy się możliwość. Im dalej z nim pójdziecie, tym trudniej będzie się cofnąć. Lecz nie wiąże was przysięga ani obietnica, nie jesteście obowiązani iść dalej, niż zechcecie. Nie zmierzyliście bowiem jeszcze męstwa swoich serc i nie możecie przewidzieć, co każdego z was spotka w tej wędrówce.

– Przeniewiercą jest, kto porzuca towarzyszy, gdy ciemności zastępują drogę – odezwał się Gimli.

– Może – odpowiedział Elrond – lecz niech nie ślubuje przebrnąć przez ciemności nocy, kto nie widział jeszcze nawet zmroku.

– Przysięga utwierdziłaby chwiejne serca – rzekł Gimli.

– Albo też by je złamała – odparł Elrond. – Nie patrzcie zbyt daleko przed siebie! Ruszajcie z otuchą w sercach! Bywajcie zdrowi, niech błogosławieństwo elfów, ludzi i wszystkich Wolnych Plemion będzie wciąż z wami. Oby gwiazdy świeciły wam w twarze!

– Szczęśliwej… szczęśliwej drogi! – krzyknął Bilbo, dzwoniąc z zimna zębami. – Nie przypuszczam, żebyś znalazł czas na prowadzenie dziennika podróży, mój Frodo kochany, ale spodziewam się dokładnego sprawozdania po powrocie. Nie każ mi za długo czekać! Bywaj zdrów!

Wielu domowników Elronda, stojących w cieniu, żegnało odchodzących i szeptem życzyło im szczęścia. Nie było śmiechu ani pieśni, ani muzyki. Wreszcie drużyna ruszyła cicho, wsiąkając w mrok.

Przebyli most i z wolna zaczęli się wspinać długą, stromą ścieżką na ścianę wielkiej rozpadliny, w której leżało Rivendell, aż stanęli w końcu na wyżynie stepowej, gdzie wiatr szeleścił wśród wrzosów. Raz jeszcze spojrzeli na Ostatni Przyjazny Dom migocący w dole światłami, a potem zanurzyli się w noc.

Przy Brodzie Bruinen opuścili gościniec i skręcając ku południowi, weszli na wąskie dróżki, wijące się przez falistą okolicę. Zależało im na tym, by jak najdłużej trzymać się zachodniej strony gór. Teren był tu bardziej wyboisty i jałowy niż w zielonej dolinie Wielkiej Rzeki, płynącej za ścianą górską przez Dzikie Kraje, toteż marsz tędy musiał być powolny; mieli jednak nadzieję, że w ten sposób unikną ciekawych a nieprzyjaznych oczu. Szpiedzy Saurona rzadko zapuszczali się na te pustkowia, a ścieżek tutejszych nie znał prawie nikt prócz mieszkańców Rivendell.

Gandalf szedł na czele wraz z Aragornem, który nawet po ciemku orientował się w okolicy doskonale. Reszta drużyny podążała za nimi gęsiego, a Legolas, obdarzony bystrym wzrokiem, zamykał pochód jako tylna straż. Pierwsza część podróży była bardzo uciążliwa i Frodo mało co z niej zapamiętał prócz zimna i wichru. Przez wiele bezsłonecznych dni lodowaty podmuch dął od gór na wschodzie i okazało się, że nie ma płaszcza, przez który by się nie przebijały jego natrętne palce. Wędrowcom, mimo dobrych podróżnych ubrań, nieczęsto udawało się zagrzać, czy to w marszu, czy to na popasie.

Sypiali mało i tylko w ciągu południowych godzin, przycupnąwszy w jakiejś rozpadlinie albo kryjąc się wśród chaszczy tarniny, która tu rosła gęstymi kępami. Późnym popołudniem wartownik budził towarzyszy i zjadali obiad, zwykle zimny i niezbyt pokrzepiający, bo rzadko odważali się na rozniecanie ogniska. Wieczorem ruszali znów w drogę, wybierając ścieżki wiodące możliwie najprościej na południe.

Zrazu wydawało się hobbitom, że chociaż maszerują wytrwale, aż do ostatecznego zmęczenia, pełzną jak ślimaki i nigdy nigdzie nie dotrą. Co dzień oglądali krajobraz taki sam jak poprzedniego dnia. A jednak góry wciąż się ku nim przybliżały. Na południe od Rivendell łańcuch górski spiętrzał się coraz wyżej i zaginał ku zachodowi, u stóp głównego masywu rozsypane były szeroko nagie wzgórza i głębokie jary, w których pieniły się bystre potoki. Nieliczne ścieżki biegły kręto i często urywały się na krawędzi urwiska albo zdradzieckiego bagna.

Wędrowali tak przez dwa tygodnie, gdy nagle pogoda się zmieniła. Wiatr ucichł, a potem znów dmuchnął, lecz teraz w stronę południa. Mknące po niebie chmury podniosły się wyżej i rozpierzchły, wyjrzało słońce, blade i jasne. Po długiej nocy nużącego marszu świt ich ogarnął zimny i czysty. Stanęli na niskiej grani zwieńczonej kępą sędziwych krzaków janowca, których szarozielone pnie wyglądały tak, jakby je wykuto z okolicznych skał. Ciemne liście błyszczały, a jagody płonęły szkarłatem w promieniach świtu.

Dalej ku południowi Frodo widział ogromną ścianę wyniosłych gór, jak gdyby zagradzającą drogę, którą sobie wytknęła drużyna. W lewej części tego łańcucha wystrzelały trzy szczyty. Najwyższy i zarazem najbliższy, ubielony śniegiem, sterczał na kształt zęba; jego wielką, nagą północną ścianę zalegał jeszcze cień, ale tam, gdzie już sięgały ukośne promienie słońca, jarzyła się czerwono.

Gandalf u boku Froda patrzył także, osłaniając oczy dłonią.

– Uszliśmy spory kawał drogi – rzekł. – Jesteśmy na granicy kraju, który ludzie nazywają Hollinem. Mieszkało tu wielu elfów za dawnych, szczęśliwych czasów, kiedy nazwa tego kraju brzmiała inaczej: Eregion. Posunęliśmy się o czterdzieści pięć staj lotu ptaka, jakkolwiek nasze nogi przemierzyły znacznie więcej. Dalej teren i klimat będą łaskawsze, lecz może tym bardziej niebezpieczne.

– Mniejsza o to, w każdym razie miło zobaczyć tak piękny wschód słońca – rzekł Frodo, odrzucając kaptur i wystawiając twarz na blask ranka.

– Ale teraz góry są przed nami – zauważył Pippin. – Widocznie w ciągu nocy skręciliśmy na wschód.

– Nie – odparł Gandalf. – Po prostu w czystym powietrzu dalej sięgamy wzrokiem. Za tymi trzema szczytami łańcuch wygina się łukiem ku

południo-zachodowi. W domu Elronda było mnóstwo map, ale pewnie nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby im się przyjrzeć.

– Owszem, czasem je oglądałem – rzekł Pippin. – Nic jednak nie pamiętam. Frodo ma do takich spraw więcej zdolności.

– Mnie mapy niepotrzebne – odezwał się Gimli, który zbliżył się wraz z Legolasem i patrzył teraz przed siebie z dziwnym błyskiem w głębi oczu. – To kraj, w którym przed wiekami pracowali ojcowie nasi, obraz tych gór wykuliśmy w metalu i w kamieniu na wielu naszych dziełach i upamiętniliśmy w wielu pieśniach i legendach. Widujemy je, wystrzelające pod niebo, w naszych snach. To Baraz, Zirak i Shathûr.

Na jawie widziałem je tylko raz w życiu, znam jednak ich kształty i nazwy, pod nimi bowiem leży Khazad-dûm, stolica krasnoludów – dziś nazwana Czarną Otchłanią, a w języku elfów – Morią. Oto stoi Barazinbar, Czerwony Róg, okrutny Caradhras; za nim szczyty: Srebrny i Chmurny – Kelebdil Biały i Fanuidhol Szary, który po swojemu nazywamy Zirakzigil, i Bundushathûr. Tu Góry Mgliste rozszczepiają się, a między ich ramionami leży pamiętna dla nas Azanulbizar, Dolina Półmroku, przez elfów nazywana Nanduhirion.

– Właśnie do tej doliny zmierzamy – powiedział Gandalf. – Jeżeli wejdziemy na przełęcz, zwaną Bramą Czerwonego Rogu, a znajdującą się poniżej przeciwległej ściany Caradhrasu, zejdziemy potem Schodami Półmroku w głąb doliny krasnoludów. Jest tam Zwierciadlane Jezioro, i tam też z lodowatych źródeł tryska Srebrna Żyła.

– Ciemne są wody Kheled-zâram – rzekł Gimli. – Zimne są źródła Kibil-nâla. Serce we mnie drży na myśl, że może wkrótce już je ujrzę.

– Obyś nacieszył oczy ich widokiem, zacny krasnoludzie – rzekł Gandalf. – Cokolwiek wszakże ty zrobisz, my nie możemy długo bawić w owej dolinie. Trzeba nam spieszyć z biegiem Srebrnej Żyły do tajemnych lasów, a przez nie ku Wielkiej Rzece, potem zaś… – Gandalf urwał.

– No, cóż potem? – spytał Merry.

– Potem do celu podróży, ostatecznie – do celu! – odparł Gandalf. – Nie można patrzeć za daleko przed siebie. Cieszymy się, że pierwszy etap przebyliśmy szczęśliwie. Myślę, że tu odpoczniemy nie tylko przez dzień cały, ale także przez noc. W Hollinie powietrze jest czyste. Siła złego potrzeba, aby kraj, w którym ongi mieszkali elfowie, zapomniał o nich.

– To prawda – rzekł Legolas. – Elfowie tutejsi byli jednak obcej nam rasy, nie z leśnego rodu, a drzewa i trawa już o nich nie pamiętają. Tylko ja słyszę skargę kamieni: „Z głębi nas dobywali, pięknie nas rzeźbili, wysoko z nas piętrzyli mury, ale odeszli”. Elfowie odeszli. Dawno, dawno temu podążyli ku przystaniom.

Tego ranka rozniecili ognisko w głębokiej rozpadlinie osłoniętej gąszczem janowca, a posiłek – nie wiedzieć: wieczerza czy śniadanie? – upłynął tak wesoło, jak nigdy jeszcze od początku marszu. Nie kwapili się potem do snu, bo mieli nadzieję przespać całą noc, i nie zamierzali wyruszać w dalszą drogę przed wieczorem następnego dnia. Tylko Aragorn był milczący i niespokojny. Po chwili, odłączywszy się od kompanii, wyszedł na grań. Stanął tu w cieniu drzewa, rozglądając się na południe i zachód, a głowę wychylił, jakby nasłuchiwał. Wrócił potem na krawędź rozpadliny i spojrzał z góry na śmiejącą się i rozgadaną gromadkę.

– Co się stało, Obieżyświacie? – zawołał Merry. – Czego szukasz? Może ci brak wschodniego wiatru?

– Nie – odparł Aragorn. – Czegoś jednak rzeczywiście mi brak. Bywałem w Hollinie o różnych porach roku. Nie mieszkają tu dzisiaj ani elfowie, ani ludzie, lecz przecież dawniej żyły w tych stronach różne stworzenia, a przede wszystkim dużo ptaków. Teraz jednak nie słychać żadnych głosów prócz waszych. Tego jestem pewien. Na wiele mil wkoło panuje cisza, a wasze głosy echem dudnią pod ziemią. Nie mogę tego zrozumieć.

Gandalf nagle z zainteresowaniem podniósł głowę.

– Jak myślisz, dlaczego tak jest? – spytał. – Czy podejrzewasz jakiś inny powód niż zdumienie na widok czterech hobbitów, nie mówiąc już o reszcie towarzystwa, w miejscu, gdzie rzadko się kogoś widuje i słyszy?

– Mam nadzieję, że tylko w tym leży przyczyna – rzekł Aragorn. – Ale wyczuwam jakieś napięcie i lęk, których tu nigdy przedtem nie zaznałem.

– To znaczy, że trzeba zachować więcej ostrożności – powiedział Gandalf. – Skoro się ma w kompanii Strażnika, należy go słuchać, tym bardziej, kiedy tym Strażnikiem jest Aragorn. Nie będziemy już głośno gadać, położymy się cicho spać i wystawimy wartę.

Pierwsza warta przypadła Samowi, lecz Aragorn czuwał razem z nim. Inni posnęli. Cisza zaległa tak wielka, że nawet Sam ją wyczuwał. Słychać było wyraźnie oddechy śpiących. Każde machnięcie ogona, każde przestąpienie kopyt kuca rozlegało się głośno. Sam słyszał nawet, jak przy każdym ruchu trzeszczało mu w stawach. Otaczała ich głucha cisza, a nad światem rozpięte było pogodne niebo, po którym słońce wznosiło się od wschodu. Daleko na południu ukazała się czarna plamka i rosła, zbliżając się ku północy, niby dym niesiony z wiatrem.

– Co to jest? Nie wygląda na chmurę – szepnął Sam do Aragorna. Tamten nie odpowiedział, z napięciem wpatrując się w niebo. Lecz po chwili Sam bez jego pomocy zrozumiał, co się zbliża od południa. Chmary ptactwa leciały bardzo szybko, zataczały koła, krążyły nad okolicą, jakby czegoś szukając. A wciąż zbliżały się do nich.

– Kładź się na ziemi i ani drgnij! – syknął Aragorn, wciągając Sama w cień janowca, bo jeden pułk ptasi odłączył się nagle od głównego trzonu armii i niskim lotem pędził wprost na grań. Samowi wydało się, że to jakaś odmiana niezwykle dużych wron. Kiedy przelatywały nad głowami wędrowców tak zbitą gromadą, że czarny cień biegł ich śladem po ziemi, rozległo się pojedyncze ochrypłe krakanie.

Dopiero gdy znikły w oddali, na północy i na zachodzie, a niebo znów się rozjaśniło, Aragorn wstał. Zaraz też podskoczył budzić Gandalfa.

– Zastępy czarnych wron latają nad okolicą między górami a Szarą Wodą – powiedział Czarodziejowi. – Przeleciały właśnie nad Hollinem. Ptaki nietutejsze, krebainy z Fangornu i Dunlandu. Nie wiem, co to znaczy. Może gdzieś na południu wybuchły jakieś niepokoje i wrony uciekają przed nimi; ale myślę, że raczej lecą na przeszpiegi. Dostrzegłem też wiele sokołów wysoko na niebie. Sądzę, że powinniśmy stąd odejść dziś wieczorem. Powietrze Hollinu już nam nie służy: to miejsce jest śledzone.

– W takim razie Brama Czerwonego Rogu jest również pod obserwacją – rzekł Gandalf – a jak przez nią przejść niepostrzeżenie, nie mam pojęcia. O tym wszakże pomyślimy, kiedy już do tego przyjdzie. Co do twojej rady, by wyruszyć stąd co prędzej po zmierzchu, to niestety masz słuszność.

– Szczęściem nasze ognisko mało dymi i zdążyło przygasnąć, nim krebainy nadleciały – powiedział Aragorn. – Trzeba je zagasić i więcej już nie rozniecać.

– A to pech! – zawołał Pippin. Pierwsze bowiem nowiny, które usłyszał zbudzony późnym popołudniem, brzmiały: ogniska nie będzie, nocą wymarsz. – I to wszystko przez stado wron! Cieszyłem się na porządną kolację dzisiejszego wieczora, marzyłem, żeby coś ciepłego do gęby włożyć.

– Wolno ci marzyć dalej – rzekł Gandalf. – Kto wie, czy nie czekają cię niespodziewane uczty w bliskiej przyszłości. Osobiście marzę o wypaleniu w spokoju fajki i o rozgrzaniu wreszcie zmarzniętych stóp. Jedno wszakże jest pewne: na południu będzie cieplej.

– Nie dziwiłbym się, gdyby nam było tam aż za ciepło – mruknął do Froda Sam. – Ale myślę, że pora, by nam się wreszcie ukazała Ognista Góra i żebyśmy zobaczyli, by tak rzec, kres podróży. Z początku łudziłem się, że ten Czerwony Róg, czy jak mu tam, to już owa góra, ale kiedy Gimli wygłosił swoje przemówienie, zrozumiałem pomyłkę. Swoją drogą na tym ich krasnoludzkim języku można chyba szczękę połamać.

Mapy niewiele mówiły Samowi, a wszystkie odległości w tych dziwnych krajach wydawały mu się tak wielkie, że do cna się w nich zagubił.

Cały dzień przesiedzieli w kryjówce. Czarne ptaki przeleciały tam i sam parę razy, lecz gdy słońce na zachodzie poczerwieniało, znikły, umykając w stronę południa. O zmroku drużyna ruszyła i skręciwszy nieco na wschód, skierowała się ku Caradhrasowi, który jeszcze się w dali żarzył nikłą czerwienią w ostatnich promieniach niewidocznego już słońca. W miarę jak niebo bladło, jedna po drugiej zapalały się na nim gwiazdy.

Idąc za Aragornem, trafili na wygodną ścieżkę. Frodo przypuszczał, że to ślad starej drogi, niegdyś szerokiej i porządnie wyrównanej, prowadzącej z Hollinu na przełęcz. Księżyc, w pełni tego wieczora, płynął nad górami i w jego mdłej poświacie każdy kamień rzucał czarny cień. Wiele tych kamieni, chociaż teraz leżały bezładnie pośród nagiego, pustego krajobrazu, wyglądało tak, jakby je ociosały pracowite ręce.

Była mroźna godzina przed brzaskiem, księżyc się zniżył. Frodo spojrzał w niebo. Nagle zobaczył, a może tylko wyczuł cień, który przesunął się pod gwiazdami, tak że na jedno mgnienie jakby przygasły i zaraz rozbłysły na nowo. Dreszcz przeszedł Froda.

– Czy widziałeś? – szepnął do Gandalfa, który szedł przed nim.

– Nie widziałem, ale coś wyczułem – odparł Czarodziej. – Może to nic nie było, może tylko przeleciał nad nami strzęp obłoku.

– Szybko leciał – odezwał się Aragorn – i nie z wiatrem.

Potem nic już się nie zdarzyło. Nazajutrz ranek zawitał jeszcze pogodniejszy od poprzedniego. Było jednak zimno; wiatr już znów dął ku wschodowi. Maszerowali jeszcze dwie noce, pnąc się wciąż pod górę, ale coraz wolniej, bo ścieżka wiła się pośród wzgórz, a szczyty piętrzyły się z każdą chwilą bliżej. Trzeciego ranka Caradhras wyrósł tuż przed nimi, potężny szczyt, niby srebrem przysypany u wierzchołka śniegiem; urwiste zbocza jednak były nagie, brunatnoczerwone, jakby splamione krwią.

Niebo było ponure, słońce błyszczało nikle. Wiatr się odwrócił ku północo-wschodowi. Gandalf wciągnął powietrze w nozdrza i obejrzał się wstecz.

– Tam, za nami, zima na dobre ścisnęła świat – powiedział cicho do Aragorna. – Dalej na północy góry są bielsze niż przedtem. Śnieg zsunął się już nisko na ich ramiona. Dzisiejszej nocy będziemy szli w górę ku Bramie Czerwonego Rogu. Na wąskiej ścieżce szpiedzy mogą nas wypatrzyć i jakieś licho gotowe napaść; ale najgroźniejszym przeciwnikiem może się okazać niepogoda. Co teraz sądzisz o swojej marszrucie, Aragornie?

Frodo usłyszał te słowa i zrozumiał, że to koniec jakiegoś sporu między Gandalfem a Aragornem, zaczętego znacznie wcześniej. Z niepokojem nadstawił uszu.

– Od początku i aż do końca jestem jak najgorszego zdania o naszej marszrucie, dobrze o tym wiesz, Gandalfie – odparł Aragorn. – Niebezpieczeństwo – znane i nieznane – będzie tym większe, im dalej zajdziemy. Ale iść naprzód musimy. Na nic się też nie zda odwlekać przeprawę przez góry. Dalej na południe przełęczy żadnych nie ma aż do Wrót Rohanu. Tamtemu przejściu jednak nie ufam, od chwili gdy usłyszałem z twoich ust wieści o Sarumanie. Kto wie, po czyjej stronie stoją teraz mistrzowie koni?

– Tak. Kto wie? – rzekł Gandalf. – Jest wszakże jeszcze inna droga poza przełęczą Caradhrasu, ciemna, tajna droga, o której kiedyś rozmawialiśmy.

– Lepiej o niej więcej nie mówmy! Jeszcze nie dziś! Proszę cię, nie wspominaj o tym naszym towarzyszom, póki nie przekonamy się, że nie ma

wyboru.

– Trzeba się zdecydować, nim zajdziemy dalej – odparł Gandalf.

– A więc rozważmy sprawę między sobą, kiedy Drużyna będzie spała – rzekł Aragorn.

Późnym popołudniem, kiedy Drużyna kończyła posiłek, Gandalf i Aragorn odeszli parę kroków na bok i stanęli, wpatrując się w Caradhras. Zbocza góry były ciemne i groźne, wierzchołek tonął w siwej chmurze. Frodo obserwował dwóch przewodników, ciekawy wyniku narady. Kiedy wrócili do drużyny, Gandalf przemówił, a wówczas Frodo dowiedział się, że postanowiono stawić czoło zimowej zawiei i wyjść na wysoką przełęcz. Odetchnął z ulgą. Nie miał pojęcia, jaka to była owa inna droga, ciemna i tajemna, lecz wzmianka o niej budziła, jak się Frodowi zdawało, grozę w Aragornie, więc hobbit cieszył się, że zaniechano tego pomysłu.

– Ze wszystkich oznak, jakie ostatnio zauważyliśmy – rzekł Gandalf – wnioskuję, że niestety Brama Czerwonego Rogu zapewne jest strzeżona. Ponadto lękam się złej pogody, ciągnącej za nami. Może spaść śnieg. Musimy tedy pospieszać ile sił w nogach. W najlepszym razie i tak czekają nas dwa dni marszu, nim dotrzemy na przełęcz. Dzisiejszego wieczora ściemni się wcześnie. Trzeba ruszyć możliwie jak najprędzej, nie marudząc z przygotowaniami.

– Jeśli wolno, dodam jeszcze pewną radę – odezwał się Boromir. – Urodziłem się w cieniu Białych Gór i wiem coś niecoś o wyprawach na takie wysokości. Nim zejdziemy po drugiej stronie na dół, spotkamy pewnie mróz, jeśli nie coś gorszego. Nie pomoże nam krycie się, jeśli wskutek tego uświerkniemy na śmierć. Jest tu trochę drzew i krzaków, niech więc odchodząc stąd, każdy weźmie na grzbiet wiązkę drewek, ile zdoła unieść.

– A Bill mógłby wziąć największą, prawda, mój Billuniu? – powiedział Sam. Kucyk spojrzał na niego markotnie.

– Zgoda – rzekł Gandalf – ale nie wolno nam użyć tych drew, chyba że staniemy przed wyborem: ognisko albo śmierć.

Ruszyli w drogę zrazu dość żwawo, wkrótce jednak ścieżka stała się bardzo stroma i uciążliwa. Wijąc się i pnąc pod górę, niemal znikała miejscami i zagradzały ją tu i ówdzie zwały kamieni. Noc pod niebem

zaciągniętym grubymi chmurami była ciemna choć oko wykol. Zimny wiatr kłębił się wśród skał. Około północy dotarli do kolan góry. Wąska ścieżyna tuliła się teraz od lewej strony pod stromą, urwistą skałą, nad którą majaczyła niewidzialna w ciemnościach, ponura ściana Caradhrasu; po prawej stronie ziała czarna przepaść, bo zbocze opadało niemal prostopadle w głęboki wąwóz.

Mozolnie wspięli się na spadzisty stok i przystanęli tu chwilę. Frodo poczuł na twarzy miękkie dotknięcie. Wyciągnął ramię i zobaczył białe płatki śniegu osiadające na rękawie.

Szli dalej. Po chwili wszakże śnieg zgęstniał i wypełnił dokoła powietrze, wirując przed oczami Froda. Ledwie teraz dostrzegał ciemne, pochylone sylwetki Gandalfa i Aragorna, choć byli nie dalej niż o krok przed nim.

– Wcale mi się to nie podoba – wysapał za plecami Froda Sam. – Śnieg bywa piękny o jasnym ranku, ale wolę go oglądać za oknami, leżąc w łóżku. Szkoda, że to całe pierze nie leci na Hobbiton. Tam by się może ucieszyli.

W Shire, poza wyżyną Północnej Ćwiartki, rzadko widywano porządny śnieg, toteż uważano go za przyjemne zdarzenie i okazję do zabawy. Nikt z żyjących hobbitów (z wyjątkiem Bilba) nie pamiętał Srogiej Zimy 1311 roku, kiedy to przez zamarzniętą Brandywinę białe wilki wtargnęły do kraju.

Gandalf przystanął. Śnieg grubo przysypał mu kaptur i ramiona, a na ziemi sięgał do kostek.

– Tego się właśnie obawiałem – powiedział. – Co ty na to, Aragornie?

– Że także się tego bałem – odparł Aragorn – mniej jednak niż tamtej innej drogi. Znam niebezpieczeństwo śniegu, chociaż nieczęsto zdarzają się większe opady w kraju tak daleko wysuniętym na południe, chyba że w wysokich górach. Ale my jeszcze nie dotarliśmy bardzo wysoko; tu, niżej, ścieżki są zwykle dostępne przez całą zimę.

– Zastanawiam się, czy to nie jest manewr Nieprzyjaciela – rzekł Boromir. – W mojej ojczyźnie mówią, że on rządzi burzami w Górach Cienia, wznoszących się na granicy Mordoru. Osobliwą ma potęgę i wielu sprzymierzeńców.

– Ręka jego sięga zaiste daleko – powiedział Gimli – jeżeli potrafi ściągnąć z Północy śnieg, by nas dręczył tutaj, o trzysta staj dalej.

– Ręka jego sięga daleko – rzekł Gandalf.

Podczas tego krótkiego postoju wiatr ucichł, a śnieg, z każdą chwilą rzadszy, ustał zupełnie. Wędrowcy ruszyli znowu. Nie uszli jednak wiele drogi, kiedy zawierucha wróciła, atakując ze zdwojoną furią. Wicher świszczał, a śnieżna zawieja oślepiała. Wkrótce nawet Boromir przyznał, że trudno iść dalej. Hobbici, zgięci niemal wpół, brnęli za większymi od siebie ludźmi, lecz było niewątpliwe, że nie ujdą już daleko, jeżeli śnieżyca potrwa dłużej. Frodowi nogi ciążyły jak ołowiane. Pippin ledwie się wlókł. Gimli, chociaż należał do krzepkich krasnoludów, jęczał, prąc z wysiłkiem naprzód.

Drużyna zatrzymała się nagle, jak gdyby bez słowa wszyscy jednocześnie powzięli to samo postanowienie. W ciemnościach zalegających dokoła słyszeli jakieś niesamowite głosy. Może były to tylko sztuczki wichru wciskającego się w szczeliny i rysy skalnej ściany, lecz brzmiały jak przeraźliwe wrzaski i dzikie wybuchy śmiechu. Ze zbocza zaczęły się osypywać kamienie, gwiżdżąc koło uszu albo rozpryskując się na ścieżce pod nogami wędrowców. Co chwila z głuchym grzmotem toczył się z niewidzialnych w mroku wysokości jakiś większy głaz.

– Nie można dzisiejszej nocy iść dalej – powiedział Boromir. – Niech sobie ktoś nazywa to zawieją, jeśli taka jego wola. W powietrzu słychać straszne głosy, a kamienie są dla nas przeznaczone.

– Ja to nazywam zawieją – rzekł Aragorn – ale to wcale nie przeczy twoim słowom. Jest na świecie mnóstwo złych i przekornych sił, nieżyczliwie usposobionych do istot, co chodzą na dwóch nogach, sił mimo to niesprzymierzonych z Sauronem, działających na własną rękę. Niektóre z tych sił istniały wcześniej niż on.

– Caradhras przezwano Okrutnikiem, zawsze miał on złą sławę – powiedział Gimli – nawet przed wiekami, gdy jeszcze nikt w tych stronach nie słyszał o Sauronie.

– Mniejsza o to, kim jest wróg, skoro nie możemy się ostać jego atakom – rzekł Gandalf.

– Co robić?! – krzyknął zrozpaczony Pippin. Opierał się na Meriadoku i Frodzie, dygocąc z zimna.

– Albo zatrzymać się tutaj, albo zawrócić – odparł Gandalf. – Posuwać się naprzód nie ma sensu. Nieco wyżej, jeśli mnie pamięć nie myli, ścieżka dobiega spod ściany i prowadzi do płytkiego żlebu u stóp stromego wydłużonego zbocza. Tam nie znajdziemy schronienia przed śniegiem, burzą, kamieniami… i wszelką inną napaścią.

– Wracać podczas takiej burzy także nie ma sensu – powiedział Aragorn. – Po drodze nie spotkaliśmy przecież żadnego miejsca, które by dawało lepszą ochronę niż ta ściana tutaj nad nami.

– Ochronę! – mruknął Sam. – Jeżeli to jest ochrona, w takim razie jedną ścianę bez dachu można nazwać domem.

Skupili się jak najbliżej ściany. Zwrócona była na południe i nieco podcięta, wędrowcy liczyli więc, że ich trochę osłoni od północnego wichru i od sypiących się z góry głazów. Lecz wiatr wirował i dął ze wszystkich stron, a śnieg padał coraz gęstszy.

Drużyna zbiła się w gromadkę i przywarła plecami do ściany.

Kucyk Bill cierpliwie, lecz markotnie stał przed hobbitami, trochę ich sobą osłaniając, ale wkrótce śnieg dosięgał mu już do kolan i z każdą chwilą piętrzył się wyżej. Gdyby nie wyżsi od nich towarzysze, hobbici dawno by już byli zasypani z głowami.

Niezmierna senność ogarnęła Froda; czuł, że szybko zapada w ciepłą mgłę snu. Zdawało mu się, że ogień grzeje jego stopy, a z mroku po drugiej stronie kominka dobiega głos Bilba, który mówi: „Nie bardzo jestem zachwycony twoim dziennikiem podróży. Dwunastego stycznia: zawieja śnieżna! Z taką wiadomością nie warto było wracać”. „Ależ ja chciałem odpocząć i przespać się, mój Bilbo!” – silił się odpowiedzieć Frodo, lecz w tym momencie ktoś nim potrząsnął i hobbit ocknął się z przykrością. Boromir podniósł go w ramionach, wyciągnąwszy z zaspy śnieżnej.

– To śmierć pewna dla niziołków – zwrócił się do Gandalfa. – Na nic się nie zda wyczekiwanie tutaj, aż nas śnieg z głowami zagrzebie. Musimy przedsięwziąć jakieś próby ratunku.

– Daj im to – odparł Gandalf, szperając w worku i wydobywając skórzany bukłak. – Każdemu po łyku, więcej nie trzeba. Trunek bezcenny,

miruvor, kordiał z Imladris. Elrond mi go dał przy pożegnaniu. Puśćcie bukłak obiegiem.

Po jednym łyku gorącego, aromatycznego napoju Frodo uczuł nową siłę w sercu, a senne odrętwienie opuściło go natychmiast. Inni też odżyli, odzyskując otuchę i energię. Śnieg wszakże nie zelżał. Wirował gęstszymi jeszcze tumanami, a wicher wył coraz głośniej.

– Jak myślisz, czy nie warto by rozniecić ognia? – spytał niespodzianie Boromir. – Zdaje mi się, Gandalfie, że teraz mamy do wyboru śmierć albo ognisko. Jeżeli nas śnieg zasypie, będziemy niewątpliwie doskonale ukryci przed oczyma wroga, ale niewiele nam to pomoże.

– Rozpal ogień, jeśli zdołasz – odparł Gandalf. – Jeżeli są tu jacyś szpiedzy, którym zawierucha nie przeszkadza, zobaczą nas i tak, choćbyśmy nie palili ogniska.

Ale chociaż trzasek i drew dzięki radzie Boromira mieli z sobą pod dostatkiem, ani elf, ani nawet krasnolud nie mogli dokazać tej sztuki, by skrzesać płomień wśród szalejącej zawiei i rozniecić ogień z mokrych drew. Wreszcie sam Gandalf przyłożył rękę, acz bardzo niechętnie. Podniósłszy wiązkę chrustu, trzymał ją chwilę w górze, a potem wetknął w nią koniec swojej różdżki, wymawiając zaklęcie: *Naur an edraith ammen*. W okamgnieniu trysnął zielony i błękitny płomień, a drzewo zajęło się i sypnęło skrami.

– No, jeżeli ktoś nas wypatruje, to przedstawiłem mu się nieomylnie – rzekł. – Wywiesiłem ogłoszenie: „Gandalf jest tutaj” – tym sygnałem, który każdy zna od Rivendell aż po ujście Anduiny.

Drużyna jednak nie dbała już o szpiegów i nieprzyjazne oczy. Serca krzepiły się widokiem ognia. Drwa trzaskały wesoło, a choć śnieg syczał i pod stopami wędrowców tajał, rozlewając się w kałuże – radzi grzali ręce nad ogniskiem. Stali kręgiem, pochyleni nad roztańczonymi i buchającymi ciepłem płomykami. Czerwony odblask padał na utrudzone i stroskane twarze, wokół jednak noc była nieprzenikniona niby czarny mur.

Ale drwa spalały się szybko, a śnieg sypał wytrwale.

Ognisko przygasło, dorzucono już ostatnią wiązkę chrustu.

– Zrobiło się bardzo zimno – rzekł Aragorn. – Świt musi być bliski.

– Jeśli świt zdoła przebić się przez chmury – powiedział Gimli.

Boromir wysunął się z kręgu i zapuścił wzrok w ciemności.

– Śnieg rzednie – stwierdził – i wiatr zacicha.

Frodo znużonymi oczyma patrzył na płatki śniegu, które wciąż wirowały w powietrzu, błyskając bielą nad dogasającym ogniskiem; dość długo jednak nie mógł spostrzec żadnych oznak przycichania śnieżycy. Nagle, w chwili kiedy znowu sen go ogarniał, uświadomił sobie, że wiatr rzeczywiście uspokoił się, a płatki śniegu są większe i znacznie rzadsze. Powoli zaczęło się nieco rozwidniać. W końcu śnieg ustał zupełnie.

Gdy się rozjaśniło, ujrzeli świat cichy i otulony śniegiem. Poniżej ich schronu piętrzyły się białe garby i kopce, ziały bezkształtne jamy: ani śladu ścieżki, po której wspięli się tutaj poprzedniego dnia. Wyżej nad nimi góry ginęły w zwałach chmur, wciąż jeszcze ciężkich od groźby śnieżycy.

Gimli spojrzał w górę i potrząsnął głową.

– Caradhras nam nie przebaczył – powiedział. – Chowa jeszcze zapasy śniegu, żeby nas zasypać, jeśli spróbujemy wspinać się wyżej. Im prędzej zawrócimy z drogi i zejdziemy w dół, tym lepiej.

Na to wszyscy się godzili, lecz odwrót był niełatwy. Mógł nawet okazać się niemożliwy. O kilka ledwie kroków od popiołu ogniska śnieg leżał na wiele stóp gruby i hobbici zapadliby się weń wyżej głów. Miejscami wiatr zgarnął i spiętrzył olbrzymie zaspy pod ścianą urwiska.

– Gdyby Gandalf zechciał iść przodem ze swoim potężnym płomieniem, mógłby, topiąc śnieg, torować nam ścieżkę – rzekł Legolas. Zamieć nie przeraziła go zbytnio i z całej kompanii elf tylko zachował humor.

– Skoro elfowie umieją fruwać nad górami, mogliby ściągnąć słońce, które by nas uratowało – odpowiedział Gandalf. – Ale ja, żeby rozniecić ogień, potrzebuję jakiegoś paliwa. Nie mogę palić śniegu.

– No, tak! – odezwał się Boromir. – Jeżeli rozum zawodzi, mięśnie muszą pokazać, co umieją, jak mówią w mojej ojczyźnie. Najsilniejszy z nas powinien utorować drogę. Spójrzcie! Wprawdzie teraz wszystko jest pod śniegiem, ale pamiętamy, że ścieżka, którą przyszliśmy, tam w dole okrąża występ skalny. W tym miejscu dopiero śnieg zaczął utrudniać nam marsz. Gdyby się udało dotrzeć do tego zakrętu, dalej droga okazałaby się pewnie łatwiejsza. Liczę, że to już stąd niedaleko.

– Chodźmy więc, Boromirze, we dwóch przetrzemy drogę – rzekł Aragorn.

Aragorn był w drużynie najwyższy, lecz Boromir, niewiele ustępując mu wzrostem, bary miał szersze i budowę potężniejszą. Boromir więc ruszył pierwszy, Aragorn za nim. Posuwali się wolno, a wkrótce musieli ciężko się mozolić. Tu i ówdzie zapadali w śnieg po pierś, Boromir nie szedł, lecz jakby płynął czy ył wykop, pracując krzepkimi ramionami. Legolas chwilę przyglądał się z uśmiechem, potem zwrócił się do reszty kompanii:

– Powiadacie, że najsilniejszemu przystoi torować drogę? A ja wam mówię: niech oracz orze, jeśli wszakże trzeba pływać, lepiej wybrać wydrę, a jeśli biec lekką stopą po trawie, liściach lub śniegu – tylko elfa!

Z tymi słowy skoczył zwinnie naprzód; Frodo, choć o tym zawsze wiedział, teraz dopiero zauważył, że elf nie ma na nogach butów z cholewami, lecz, jak zwykle, tylko lekkie trzewiki, a stopy jego zostawiają na śniegu ślad ledwie dostrzegalny.

– Do widzenia! – zawołał Legolas do Gandalfa. – Lecę po słońce!

I pomknął szybko jak po ubitym piasku; prześcignął wkrótce obu mozolących się mężczyzn, minął ich, pozdrawiając gestem ręki, i pobiegł naprzód, znikając za zakrętem.

Reszta drużyny czekała zbita w gromadkę, śledząc wzrokiem Boromira i Aragorna, którzy z dala wyglądali już tylko jak dwa czarne punkciki wśród bieli. Po chwili oni także zginęli im z oczu. Czas się wlókł. Chmury spłynęły niżej i pojedyncze płatki śniegu znów zaczęły wirować w powietrzu.

Nie minęło więcej jak godzina – chociaż czekającym czas się bardzo dłużył – gdy ukazał się wracający Legolas. Zaraz też Boromir i Aragorn wychynęli zza zakrętu i mozolnie zaczęli piąć się pod górę.

– Widzicie? – krzyknął, biegnąc ku nim Legolas. – Słońca nie przyniosłem. Spaceruje sobie po niebieskich łąkach południa i wcale go nie wzrusza wianuszek śniegu na czubie Czerwonego Rogu. Ale przynoszę promyk nadziei dla tych, którzy skazani są na chodzenie piechotą po ziemi. Olbrzymia zaspa piętrzy się tuż za tym zakrętem, nasi dwaj siłacze omal w niej nie ugrzęźli. Byli w rozpaczy, póki nie wróciłem z wieścią, że zaspa nie jest wiele szersza od ściany domu, po drugiej stronie nagle śniegu ubywa,

dalej zaś, w dole, tyle go ledwie leży, ile trzeba, żeby ochłodzić stopy hobbita.

– A więc miałem rację! – mruknął Gimli. – Nie była to zwykła zawieja. Caradhras się złości. Nie lubi elfów i krasnoludów, zbudował tę zaspę, żeby nam odciąć drogę powrotną.

– Szczęściem ten twój Caradhras zapomniał, że macie w drużynie ludzi – rzekł Boromir, który właśnie w tej chwili nadszedł. – I to nie ułomków, pozwolę sobie zauważyć. Co prawda kilku mniej silnych, a za to uzbrojonych w łopaty, bardziej by się wam przydało. Bądź co bądź przetarliśmy przez zaspę dróżkę, za którą winni nam są wdzięczność ci wszyscy, co nie umieją stąpać tak lekko jak elfowie.

– Ależ my nie zdołamy zejść, nawet jeśli przekopaliście w zaspie przejście! – przemówił Pippin w imieniu wszystkich hobbitów.

– Nie traćcie nadziei – odparł Boromir. – Zmęczyłem się, ale trochę sił jeszcze mi zostało, Aragornowi pewnie też. Zniesiemy małoludów. Wszyscy po kolei przedostaniemy się po wydeptanej już ścieżce. Proszę, Peregrinie, zacznę od ciebie! – I podniósł hobbita z ziemi. – Przylgnij do moich pleców. Ramiona muszę mieć wolne – rzekł, ruszając naprzód.

Aragorn z Meriadokiem na grzbiecie szedł za nimi. Pippin podziwiał siłę Boromira, widząc drogę, którą ten utorował własnym krzepkim ciałem, bez pomocy jakichkolwiek narzędzi. Teraz także, mimo obciążenia, otwierał przejście dla następnych wędrowców, odpychając śnieg na obie strony.

Dotarli wreszcie do olbrzymiej zaspy. Zagradzała ścieżkę górską niby prostopadły nieprzenikniony mur, dwakroć wyższy od Boromira, i u szczytu ostra jak nóż; przecinała ją wszakże wyrąbana dróżka, wypukła pośrodku jak mostek. Merry i Pippin zostali za ścianą zaspy wraz z Legolasem, czekając na resztę drużyny.

Po chwili Boromir wrócił, niosąc Sama. W ślad za nim, wąską, lecz już dobrze wydeptaną ścieżką, szedł Gandalf, prowadząc Billa, na którego grzbiecie między jukami siedział Gimli. Ostatni przyszedł Aragorn, niosąc Froda. Przeszli zaspę, ledwie jednak Frodo dotknął stopami ziemi, gdy z góry z głuchym grzmotem zwaliła się lawina kamieni i śniegu. Biały pył przesłonił świat oczom wędrowców, którzy przycupnęli pod skałą, a gdy znów się rozjaśniło, ujrzeli, że ścieżka za zaspą zniknęła pod rumowiskiem.

– Dość! Dość! – krzyknął Gimli. – Wynosimy się co prędzej!

Jak gdyby ten ostatni wybuch wyczerpał całą wściekłość góry, Caradhras uspokoił się, pewien już, że odparł napastników, którzy nie ośmielą się powrócić. Chmury grożące śnieżycą rozproszyły się, zrobiło się widniej.

Schodząc niżej, stwierdzili, że, zgodnie z wiadomościami przyniesionymi przez Legolasa, śnieg leży tam tylko cienką warstwą, tak że nawet hobbici mogli maszerować sami. Wkrótce stanęli wszyscy znowu na płaskiej półce, nad stromym zboczem, w miejscu, gdzie poprzedniego wieczora poczuli pierwsze śnieżne płatki na twarzach.

Teraz był już biały dzień. Z wysoka patrzyli ku niższym terenom na zachodzie. Daleko, w chaotycznym krajobrazie ścielącym się u stóp góry, kryła się kotlinka, z której wyruszyli na podbój przełęczy. Froda bolały nogi. Przemarzł do kości, a w głowie mu się kręciło na samą myśl o długim i uciążliwym marszu w dół. Czarne płatki migały mu przed oczyma. Przetarł oczy, ale mroczki nie zniknęły. Niżej, w oddali, lecz ponad niskim podgórzem, w powietrzu krążyły czarne punkciki.

– Znowu ptaki! – rzekł Aragorn.

– Na to nie ma teraz rady – powiedział Gandalf. – Czy są to przyjaciele, czy wrogowie, czy też stworzenia nic z nami niemające wspólnego – musimy schodzić co prędzej. Nawet tu, u kolan ledwie Caradhrasu, nie wolno czekać nocy.

Zimny wiatr dął im w plecy, gdy odwróciwszy się od Bramy Czerwonego Rogu, wlekli się ciężko po stoku w dół. Caradhras ich zwyciężył.

ROZDZIAŁ 4
WĘDRÓWKA W CIEMNOŚCIACH

Wieczorem, kiedy szary zmierzch dogasał szybko, zatrzymali się na nocleg. Byli bardzo znużeni. Z każdą chwilą głębszy mrok osnuwał góry, a wiatr dmuchał mrozem. Gandalf obdzielił znów wszystkich łykiem *miruvoru*, kordiału z Rivendell. Przegryźli coś, a potem Czarodziej zebrał drużynę na naradę.

– Tej nocy oczywiście nie sposób iść dalej – rzekł. – Próba sforsowania Bramy Czerwonego Rogu wyczerpała nas, musimy tutaj trochę odpocząć.

– A później dokąd pójdziemy? – spytał Frodo.

– Mamy wciąż drogę przed sobą i zadanie do spełnienia – odparł Gandalf. – Wybierać możemy tylko między dalszym marszem naprzód a odwrotem do Rivendell.

Na wzmiankę o Rivendell twarz Pippina rozjaśniła się wyraźnie, a Merry i Sam podnieśli głowy z błyskiem nadziei w oczach. Lecz Aragorn i Boromir nie drgnęli nawet, a Frodo siedział zatroskany.

– Chciałbym znaleźć się znów w Rivendell – powiedział. – Ale czy mógłbym wrócić, nie okrywając się wstydem… Chyba że naprawdę innej drogi nie ma i musimy uznać się już za pokonanych?

– Masz rację, Frodo – rzekł Gandalf. – Wrócić znaczyłoby przyznać się do porażki i narazić na dalszą, gorszą klęskę w przyszłości. Jeżeli zawrócimy z drogi, Pierścień pozostanie w Rivendell, bo drugi raz nie będziemy już mogli wyruszyć. A wtedy wcześniej czy później Rivendell znajdzie się w okrążeniu i po krótkim, lecz gorzkim czasie zostanie zniszczone. Upiory Pierścienia to śmiertelni wrogowie, lecz teraz są jedynie cieniem potęgi i grozy, która zapanuje, jeżeli ich mistrz włoży znów na swoją rękę Pierścień Władzy.

– A więc trzeba iść naprzód, jeżeli istnieje jeszcze jakaś droga – z westchnieniem powiedział Frodo. Sam skulił się znów, zgnębiony.

– Istnieje droga, którą moglibyśmy zaryzykować – rzekł Gandalf. – Od początku kiedy naradzaliśmy się nad planami wyprawy, myślałem, że trzeba tej właśnie drogi próbować. Ale jest bardzo przykra, więc nie

chciałem wam wcześniej o niej wspominać. Aragorn był jej przeciwny, a w każdym razie żądał, by najpierw wypróbować drogę przez przełęcz.

– Jeżeli jest gorsza niż ścieżka do Bramy Czerwonego Rogu, to musi być naprawdę straszna – odezwał się Merry. – Powiedz nam o niej wszystko, lepiej z góry przygotować się na najgorsze.

– Droga, o której mówię, prowadzi przez kopalnię Morii – rzekł Gandalf. Jeden tylko Gimli podniósł głowę. W jego oczach zapalił się płomień. Reszta słuchaczy na dźwięk tej nazwy struchlała ze zgrozy. Nawet w hobbitach legenda Morii budziła niejasne przerażenie.

– Droga prowadzi może do Morii, ale czy wolno się spodziewać, że przez Morię wyprowadzi na świat? – posępnie spytał Aragorn.

– To miejsce złowieszcze – rzekł Boromir. – Nie widzę też potrzeby użycia tej drogi. Jeżeli nie można przejść tutaj górami, pomaszerujmy na południe aż do Bramy Rohanu, gdzie mieszkają ludzie zaprzyjaźnieni z moim plemieniem, i obierzmy ten sam szlak, którym ja szedłem do Rivendell. Albo też powędrujmy jeszcze dalej, przeprawmy się przez Isenę do Anfalas i Lebennin; w ten sposób wkroczymy do Gondoru przez jego nadmorskie prowincje.

– Wiele się zmieniło, Boromirze, od czasu, gdy wyruszyłeś na północ – odparł Gandalf. – Czy nie słyszałeś, com ci mówił o Sarumanie? Z Sarumanem zresztą jeszcze się policzę, zanim cała sprawa dobiegnie końca. Ale wszelkich starań trzeba dołożyć, by Pierścień nie znalazł się w pobliżu Isengardu. Brama Rohanu jest dla nas zamknięta, póki mamy w drużynie Powiernika Pierścienia. Jeżeli chodzi o tę trzecią, najdłuższą drogę – nie mamy dość czasu! Na taką podróż nie starczyłoby roku i musielibyśmy iść przez pustkowia, gdzie nie znaleźlibyśmy żadnego schronienia. Nie byłyby one bezpieczne. Czuwają nad nimi zarówno oczy Sarumana, jak Nieprzyjaciela. Kiedy dążyłeś na północ, Boromirze, byłeś w tych oczach tylko zabłąkanym wędrowcem z południa i nie interesowałeś ich wcale, bo wszystkie myśli Nieprzyjaciela skupiają się na poszukiwaniu Pierścienia. Teraz wracasz w Drużynie eskortującej Pierścień i grozi ci niebezpieczeństwo, póki się z nami nie rozstaniesz. Marsz pod otwartym niebem z każdą przebytą milą staje się bardziej niebezpieczny.

Obawiam się, że ta jawna próba przedarcia się przez góry pogorszyła jeszcze nasze nikłe szanse. Nie widzę teraz dla nas nadziei, jeżeli nie znikniemy chociaż na czas jakiś z oczu Nieprzyjaciela i nie zatrzemy za

sobą śladów. Dlatego radzę iść nie przez góry i nie wzdłuż gór, ale pod górami. W każdym razie na tym szlaku najmniej się nas nieprzyjaciel spodziewa.

– Nie wiemy, czego on się spodziewa – rzekł Boromir. – Może strzeże wszystkich dróg, zarówno prawdopodobnych, jak nieprawdopodobnych. A w takim razie, zapuszczając się do Morii, weszlibyśmy w pułapkę niemal tak, jakbyśmy z własnej woli zakołatali do bram Czarnej Wieży. Moria ma złą sławę.

– Mówisz o rzeczach, których wcale nie znasz, skoro przyrównujesz Morię do twierdzy Saurona – odpowiedział Gandalf. – Z was wszystkich tylko ja byłem w lochach Czarnego Władcy, a i to jedynie w jego dawniejszej i skromniejszej siedzibie, w Dol Guldur. Kto raz przekroczy wrota Barad-dûru, ten już nie wraca. A nie prowadziłbym was do Morii, gdyby nie istniała nadzieja wyjścia z niej. Jeżeli tam siedzą orkowie, narazimy się na straszne spotkanie, to prawda. Lecz większość orków z Gór Mglistych poszła w rozsypkę, jeżeli nie wyginęła, po Bitwie Pięciu Armii. Orły donoszą, że orkowie znów się zewsząd gromadzą, jest wszakże nadzieja, że jeszcze nie zajęli Morii. A nawet można się spodziewać, że są tam krasnoludy i że w podziemnych pałacach przodków spotkamy Balina, syna Fundina. Nie wiemy, co nam przyszłość objawi, ale powinniśmy wstąpić na ścieżkę, której wybór jest nieuchronny.

– Ja na tę ścieżkę pójdę z tobą, Gandalfie – rzekł Gimli. – Cokolwiek by mnie tam czekało, chcę zobaczyć pałac Durina. Ale czy znajdziesz drzwi, które zostały zatrzaśnięte?

– Dziękuję ci, Gimli – odparł Gandalf. – Dodajesz mi otuchy. Razem poszukamy zamkniętych drzwi. I przejdziemy przez Morię! W ruinach krasnoludzkiej siedziby trudniej będzie stracić głowę krasnoludowi niż elfom, ludziom czy hobbitom. A przecież nie będą to moje pierwsze odwiedziny w Morii! Kiedy zaginął Thráin, syn Thróra, długo szukałem go w tych podziemiach. Przeszedłem przez nie i wydostałem się na świat żywy.

– Ja także przekroczyłem kiedyś Bramę Półmroku – cicho oznajmił Aragorn – ale chociaż wróciłem stamtąd, zachowałem straszne wspomnienia. Nie chcę po raz drugi zejść do Morii.

– A ja nie chcę tam wchodzić nawet pierwszy raz – rzekł Pippin.

– Ani ja – mruknął Sam.

– Oczywiście! – powiedział Gandalf. – Któż by tego chciał? Pytanie brzmi inaczej: kto pójdzie ze mną, jeśli was tamtędy poprowadzę?

– Ja! – gorliwie zawołał Gimli.

– I ja – poważnie rzekł Aragorn. – Tyś poszedł za moim przewodem niemal w śmierć pośród śnieżycy, a ja nie usłyszałem od ciebie ani słowa wyrzutu. Pójdę teraz z tobą, jeżeli ta ostatnia przestroga cię nie odstraszy. Nie o Pierścień i nie o nas wszystkich się lękam, ale właśnie o ciebie, Gandalfie. I powiadam ci: nie przestępuj progu Morii, strzeż się, Gandalfie.

– Ja nie pójdę – rzekł Boromir – chyba że mnie cała drużyna zgodnie przegłosuje. Co mówi Legolas? Co mówią niziołki? Niech rozstrzygnie Powiernik Pierścienia.

– Nie mam ochoty schodzić do Morii – powiedział Legolas.

Hobbici milczeli. Sam spoglądał na Froda. Wreszcie przemówił Frodo.

– Nie mam ochoty tam schodzić – rzekł. – Ale również nie mam ochoty sprzeciwiać się radzie Gandalfa. Proszę was, odłóżmy głosowanie i najpierw się prześpijmy. Gandalf łatwiej uzyska naszą zgodę w blasku poranka niż w tych zimnych ciemnościach. Jak ten wiatr okropnie wyje!

Wszyscy umilkli i pogrążyli się w myślach. Słyszeli, jak wicher świszcze wśród skał i drzew, jak zewsząd z pustki nocy osaczają ich jęki i zawodzenie.

Nagle Aragorn zerwał się na równe nogi.

– Jakże ten wiatr wyje! – zawołał. – To przecież głos wilków! Wargowie nadciągnęli z zachodnich gór!

– Czy więc trzeba z decyzją czekać do rana? – rzekł Gandalf. – Sprawdziły się moje słowa. Pościg już idzie za nami. Nawet jeżeli dożyjemy świtu, kto z was zechce maszerować na południe nocami ze stadem dzikich wilków następujących na pięty?

– Jak daleko stąd do Morii? – spytał Boromir.

– Było wejście na południo-zachód od Caradhrasu, o jakieś piętnaście mil lotu kruka, a ze dwadzieścia mil wilczego chodu – ponuro powiedział Gimli.

– A więc ruszajmy skoro świt, jeżeli będziemy jeszcze żywi – rzekł Boromir. – Wilki już wyją, orków natomiast boimy się, aleśmy ich jeszcze nie spotkali.

– To prawda – powiedział Aragorn, sprawdzając, czy miecz lekko wychodzi z pochwy. – Ale gdzie wilki wyją, tam orkowie czyhają w pobliżu.

– Żałuję, że nie posłuchałem Elronda – szepnął Pippin do ucha Samowi. – Teraz widzę, że nie nadaję się do takich rzeczy. Nie mam w sobie dość krwi Bandobrasa Bullroarera; to wycie mrozi mi szpik w kościach. Nie pamiętam, żebym się kiedykolwiek w życiu czuł równie nieszczęśliwy.

– Mnie też dusza ucieka na ramię, panie Pippinie – odparł Sam. – Ale przecież nas jeszcze wilki nie zjadły, a mamy w kompanii paru chłopów na schwał. Nie wiem, jaki los grozi Gandalfowi, ale założę się, że stary Czarodziej nie trafi do wilczego żołądka.

Żeby się zabezpieczyć od nocnych napaści, drużyna wspięła się na szczyt wzgórza, pod którym się schroniła z wieczora. Wieńczyła je kępa sędziwych drzew o koślawych pniach, wokół zaś kręgiem leżały głazy. Wędrowcy rozniecili pośrodku ognisko, nie mogąc i tak liczyć, że ciemności i cisza ukryją ich przed wilczym pościgiem. Obsiedli ognisko i ci, którzy nie pełnili warty, drzemali niespokojnie. Kucyk Bill, nieborak, pocił się i dygotał. Wycie wilków, chwilami bliższe, a chwilami dalsze, otaczało ich teraz zewsząd. O najczarniejszej godzinie nocy błyskały na stokach roziskrzone ślepia. Najzuchwalsze bestie podsuwały się niemal pod sam krąg głazów. W przerwie tego kamiennego muru zamajaczyła w pewnej chwili ciemna sylwetka ogromnego wilczura, który się wpatrywał w wędrowców. Dreszcz ich przeszedł, gdy bestia zawyła nagle, jakby przywódca wzywał sforę do ataku.

Gandalf wstał i wysunął się naprzód z różdżką wzniesioną do góry.

– Słuchajcie, psy Saurona! – krzyknął. – Gandalf jest tutaj! Jeśli wam własna parszywa skóra miła, umykajcie. Który się ośmieli przekroczyć ten krąg, temu sierść spalę od pyska do ogona.

Wilk chrapnął i potężnym susem skoczył naprzód. Lecz w tym okamgnieniu zadzwoniła cięciwa: Legolas wypuścił strzałę z łuku. Straszliwy skowyt przeszył powietrze i zwierz w pół skoku zwalił się na ziemię. Strzała elfa przebiła mu gardziel. Dokoła czujne ślepia nagle zgasły.

Gandalf i Aragorn wyszli poza krąg, lecz wzgórze było już puste; stado wilków pierzchło. Wokół w ciemnościach zaległa cisza, tchnienie wiatru nie niosło już z sobą żadnych głosów.

Noc była głęboka, wąski sierp księżyca zniżał się ku zachodowi, przebłyskując spośród wystrzępionych chmur. Nagle Frodo ocknął się ze snu. Bez żadnego ostrzeżenia znów wszędzie wokół obozu buchnęło dzikie, zajadłe wycie. Olbrzymie stado wargów zgromadziło się milczkiem i znienacka przypuściło atak ze wszystkich stron naraz.

– Dorzućcie drew do ognia! – krzyknął hobbitom Gandalf. – Dobądźcie broni i ustawcie się wsparci plecami o siebie!

Nowe gałęzie trysnęły płomieniem i w migotliwym blasku Frodo dostrzegł tłum szarych cieni przeskakujących przez kamienny krąg. Z każdą sekundą przybywało ich więcej. Aragorn sztychem miecza przebił gardziel ogromnego wilczego prowodyra. Boromir potężnym rozmachem odciął łeb drugiego. U boku dwóch wojowników stał Gimli, szeroko rozstawiwszy krzepkie nogi, z wzniesionym toporem. Strzały ze świstem wylatywały z łuku Legolasa.

Nagle postać Gandalfa jak gdyby urosła w migotliwym blasku ognia. Czarodziej wyprostował się niby groźny olbrzym, kamienny posąg starożytnego władcy na szczycie wzgórza. Pochylił się błyskawicznie, chwycił płonącą gałąź i ruszył przeciw wilkom. Bestie cofnęły się przed nim. Gandalf cisnął wysoko pod niebo roziskrzoną żagiew. Rozpaliła się białym blaskiem niby błyskawica, a Czarodziej grzmiącym głosem krzyknął:

– *Naur an edraith ammen! Naur dan i ngaurhoth!*

Rozległ się huk i trzask, drzewo nad jego głową rozkwitło nagle oślepiającym bukietem ognia. Płomień niósł się z drzewa na drzewo. Szczyt wzgórza zalśnił jaskrawym światłem. Miecze i sztylety obrońców zaskrzyły się płomieniami. Ostatnia strzała Legolasa zapaliła się w locie i płonąc, utknęła w sercu ogromnego wilczego przywódcy. Całe stado pierzchło.

Ogień przygasał z wolna, aż został po nim tylko deszcz iskier i popiołu. Gorący dym kłębił się nad opalonymi kikutami drzew i czarną chmurą spływał ze stoków, kiedy pierwszy nikły brzask dnia pojawił się na niebie. Odparci napastnicy nie wracali.

– A co, nie mówiłem? – rzekł Sam do Pippina, wsuwając miecz w pochwę. – Jego wilki nie dostaną. To była niespodzianka, ani słowa! Mało brakowało, żeby mi wszystkie włosy osmaliło z głowy.

Kiedy dzień wstał, nie ujrzeli nigdzie znaku po wilkach, na próżno szukali ścierwa zabitych bestii. Jedynym świadectwem stoczonej bitwy były opalone drzewa i strzały Legolasa rozrzucone po wzgórzu. Wszystkie zdawały się nietknięte z wyjątkiem jednej, z której zostało tylko ostrze.

– A więc tak, jak się obawiałem – stwierdził Gandalf – nie były to zwykłe wilki żerujące na pustkowiu. Teraz zjedzmy coś naprędce i ruszajmy stąd.

Tego dnia pogoda znów się odmieniła, jakby posłuszna rozkazom jakiejś władzy, której śnieżna zawieja nie mogła już oddać usług, potrzebne było natomiast jasne światło, żeby każdy poruszający się wśród pustkowi punkcik stał się z daleka widoczny. Wiatr w ciągu nocy skręcił z północy na południo-zachód, teraz zaś ucichł zupełnie. Chmury odpłynęły na południe, niebo czyste i wysokie jaśniało błękitem. Gdy drużyna gotowa do odmarszu stanęła na skraju wzgórza, blade słońce błysnęło nad szczytami gór.

– Musimy dotrzeć do drzwi przed zachodem słońca – powiedział Gandalf. – Inaczej w ogóle tam nie dojdziemy. Droga niedaleka, ale może trzeba będzie kluczyć, bo tu Aragorn nie może nas przeprowadzić: rzadko gościł w tych stronach, a ja byłem tylko raz jeden u zachodnich ścian Morii, i to bardzo dawno temu.

– Moria jest tam! – rzekł, wskazując w kierunku południowo-wschodnim, gdzie zbocza gór opadały stromo w cień zalegający u ich podnóży. W dali majaczyła linia nagich skał, a wśród nich, wyższa niż inne, wystrzelała olbrzymia, lita, szara ściana. – Kiedy zeszliśmy z przełęczy, poprowadziłem was nieco na południe od poprzedniego punktu wyjścia, jak zapewne niejeden z was zauważył. Dobrze zrobiłem, bo dzięki temu mamy teraz drogę o kilka mil skróconą, a pośpiech jest wskazany. Ruszajmy!

– Nie wiem, czego sobie życzyć – posępnie rzekł Boromir. – Czy żeby Gandalf znalazł to, czego szuka, czy też byśmy, doszedłszy pod urwisko, stwierdzili, że drzwi znikły na zawsze. Jedno gorsze od drugiego, najbardziej zaś prawdopodobne, że wpadniemy w potrzask między ścianę skalną a stado wilków. Prowadź, Gandalfie!

Gimli szedł teraz na czele, u boku Czarodzieja, bo pilno mu było ujrzeć Morię. We dwóch wiedli drużynę z powrotem ku górom. Jedyna stara droga od zachodniej strony biegła do Morii wzdłuż potoku Sirannon, który wypływał spod skał w pobliżu drzwi. Ale czy Gandalf się omylił, czy też w ostatnich latach teren się zmienił – dość, że nie mógł odszukać potoku w okolicy, gdzie się go spodziewał, o parę mil na południe od miejsca noclegu.

Słońce stało wysoko, a drużyna wciąż jeszcze błąkała się i brnęła przez jałowe rumowiska czerwonych kamieni. Nigdzie nie dostrzegali błysku wody, nie słyszeli jej szmeru. Wkoło otaczało ich suche pustkowie. Tracili już otuchę. Ani żywej duszy na ziemi, ani ptaka na niebie. Nie śmieli nawet myśleć, co noc przyniesie, jeżeli ich zaskoczy w tej głuszy odciętej od świata.

Niespodzianie Gimli, który wysunął się naprzód, odwrócił się i przywołał towarzyszy. Stał na wzgórku i wskazywał na prawo od ścieżki. Podbiegli wszyscy i z góry zobaczyli głęboko wcięte w teren wąskie koryto rzeki. Było suche, milczące; ledwie nikła struga wody sączyła się po brunatnych, czerwonymi plamami poznaczonych kamieniach, lecz wzdłuż brzegu ciągnęła się dróżka, wyboista i niewyraźna, wijąca się kręto między rozwalonymi nasypami i rumowiskami niegdyś brukowanego gościńca.

– Aha! Nareszcie! – zawołał Gandalf. – Tędy więc płynął potok. Sirannon – Woda Spod Wrót, jak nazywali go krasnoludowie. Ale co się stało z tą wodą? Była ongi bystra i hałaśliwa. Chodźcie! Trzeba się spieszyć. Już późno.

Wszyscy mieli nogi obolałe i bardzo byli zmęczeni, lecz wytrwale wlekli się przez kilka jeszcze mil uciążliwej, krętej drogi. Słońce minęło zenit i przeszło na zachodnią stronę nieba. Odpoczywali krótko, zjedli coś naprędce i szli dalej. Przed nimi piętrzyły się góry, oni jednak, idąc głębokim parowem, widzieli tylko ich najwyższe grzbiety i odległe wierchy na wschodzie.

W końcu doszli do ostrego skrętu. Droga, która dotychczas prowadziła na południe, klucząc między krawędzią rzecznego koryta po prawej a stromym zboczem po lewej stronie – tu zawracała znowu prosto na wschód. Za zakrętem ujrzeli ścianę skalną niezbyt wysoką, mierzącą nie więcej niż trzydzieści stóp, poszczerbioną u szczytu na kształt piły. Przez szeroki

wyłom, który zapewne wyżłobił sobie niegdyś potężny i obfity wodospad, ściekała ledwie nikła strużka.

– A więc rzeczywiście wszystko tu się bardzo zmieniło – rzekł Gandalf. – Mimo to nie ma wątpliwości, trafiliśmy na właściwe miejsce. Nic więcej nie zostało po Wodospadzie Schodów. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, tuż obok wykute są w skale stopnie, chociaż główna droga oddala się w lewo i zakosami prowadzi na górną platformę. Od wodospadu aż pod Ściany Morii ciągnęła się płytka dolina, której dnem płynął Sirannon, a wzdłuż jego brzegów biegła droga. Wejdziemy na górę, przekonamy się, jak teraz wygląda.

Bez trudu odszukali stopnie w skale i Gimli wspiął się po nich szybko, a za nim Gandalf i Frodo. Ale u szczytu stwierdzili, że dalej iść tędy nie sposób, i zrozumieli, dlaczego Woda Spod Wrót wyschła. Mieli za sobą chłodne niebo, lśniące złotem zachodzącego słońca, a przed sobą – ciemne, spokojne jezioro. Ani błękit nieba, ani blask zachodu nie odbijały się w jego posępnej tafli. Wodom Sirannonu zagrodzono ujście tak, że rozlały się, zatapiając całą dolinę. Za groźną przestrzenią jeziora potężne skalne ściany, surowe i szare w gasnącym świetle dnia, wznosiły się jak mur nieprzebyty. W ponurej, litej skale Frodo na próżno wypatrywał bramy, pęknięcia czy szczeliny.

– To Ściany Morii – powiedział Gandalf, wskazując skały za wodą. – Tam były ongi Wrota, drzwi elfów u kresu gościńca z Hollinu, który nas tu doprowadził. Ale teraz ta droga jest zamknięta. Nikt z was, jak przypuszczam, nie ma ochoty rzucić się wpław przez tę ponurą wodę, i to o zmierzchu. Jezioro nie wydaje się czyste.

– Musimy znaleźć drogę okrążającą północny cypel – rzekł Gimli. – Drużyna powinna, nie zwlekając, iść pod górę głównym szlakiem i zbadać, dokąd on prowadzi. Nawet gdyby nie było tego jeziora, nie moglibyśmy wciągnąć objuczonego kuca po skalnych schodach.

– Ależ w żadnym przypadku nie można by biednego zwierzaka wziąć do podziemi – odparł Gandalf. – Droga pod górami wiedzie wśród ciemności, jest miejscami bardzo wąska i stroma, kucyk nie przeszedłby tam, gdzie może nam się uda przejść.

– Biedny stary Bill! – westchnął Frodo. – Nie pomyślałem o tym. I biedny Sam! Co też on na to powie?

– Bardzo mi przykro – rzekł Gandalf. – Biedny Bill był dobrym kompanem, serce mi się ściska, że trzeba go teraz porzucić. Gdyby to ode mnie zależało, nie obciążałbym drużyny tylu bagażami i nie brałbym zwierzaka, zwłaszcza Billa, którego Sam tak kocha. Od początku obawiałem się, że będziemy zmuszeni obrać tę drogę.

Dzień miał się ku końcowi, zimne gwiazdy wybłysły w górze ponad zachodzącym słońcem, kiedy drużyna, spiesząc ile sił w nogach, wspięła się wreszcie na zbocze i dosięgła brzegu jeziora. Na oko nie mierzyło ono więcej niż paręset stóp w najszerszym miejscu. Jak daleko rozlewało się ku południowi, trudno było jednak ocenić w mierzchnącym już świetle. Północny brzeg dostrzegali w odległości nie większej niż pół mili, między kamiennym murem zamykającym dolinę a skrajem wody pozostawał wąski rąbek ścieżki. Bez zwłoki ruszyli więc naprzód, bo mila z okładem dzieliła ich od miejsca na przeciwległym brzegu, do którego dążył Gandalf, a potem czekało ich jeszcze poszukiwanie drzwi. Kiedy dotarli do najdalej na północ wysuniętego cypla jeziora, zagrodziła im drogę wąska struga. Stojąca zielona woda wyglądała jak oślizłe ramię wyciągnięte ku ścianie gór. Nieustraszony Gimli wszedł w nią pierwszy i stwierdził, że nie sięga mu wyżej kostek. Towarzysze szli za nim gęsiego, stąpając ostrożnie, bo pod gęstym zielskiem kryły się śliskie, zdradzieckie kamienie i niespodziane wyboje. Frodo wzdrygnął się z obrzydzenia, zanurzając stopy w ciemnej, brudnej wodzie.

W chwili gdy Sam, który szedł ostatni, wyprowadzał Billa na przeciwległy brzeg, rozległ się cichy szelest, świst i zaraz potem plusk, jak gdyby jakaś ryba zmąciła nieruchomą powierzchnię. Wszyscy odwrócili się błyskawicznie i zobaczyli pośrodku jeziora, którego krańce ginęły już w mroku, kręgi rozchodzące się coraz szerzej wokół jakiegoś odległego punktu na wodzie. Posłyszeli jakby bulgotanie, a potem zaległa cisza. Mrok gęstniał, ostatnie promienie zachodzącego słońca ugrzęzły w chmurach.

Gandalf przynaglał, sadząc wielkimi krokami naprzód, drużyna, jak mogła, starała się za nim nadążyć. Szli teraz wąskim skrawkiem lądu między jeziorem a urwiskiem. Przejście było ciasne, miejscami ledwie na kilka stóp szerokie, tu i ówdzie zawalone odłamkami skał i kamieniami. Posuwali się jednak, lgnąc jak najbliżej do ściany, odsuwając się jak najbardziej od Czarnej Wody. Uszli już z milę w kierunku południowym, gdy natknęli się na kępę ostrokrzewu. Pieńki i suche gałęzie butwiały w

kałużach; wyglądało to na szczątki zarośli czy może żywopłotu, niegdyś osłaniającego drogę, która przecinała dolinę, dziś zatopioną w jeziorze. Lecz tuż pod skalną ścianą stały żywe jeszcze i krzepkie dwa drzewa, tak wysokie, że Frodo zdumiał się, bo równie wielkich w życiu ani w marzeniu nie widział. Grube korzenie sięgały spod urwiska aż do wody. Z daleka, ze szczytu schodów, zdawały się pod nawisłą ścianą małe jak zwykłe krzaczki, teraz jednak piętrzyły się nad głowami wędrowców, sztywne, ciemne, milczące, i rzucały gęsty, czarny cień pod ich stopy, sterczące niby dwa filary strzegące kresu drogi.

– No, wreszcie jesteśmy u celu – rzekł Gandalf. – Tu kończy się droga elfów z Hollinu. Ostrokrzew to godło mieszkańców tej krainy, posadzili więc te drzewa jako słupy graniczne swoich włości, bo zachodnie drzwi służyły głównie elfom z Hollinu, utrzymującym ożywione stosunki z władcami Morii. Było to za dawnych, szczęśliwych czasów, kiedy jeszcze serdeczna przyjaźń wiązała często istoty różnych ras, nawet krasnoludów z elfami.

– Nie z winy krasnoludów rozwiała się ta przyjaźń – rzekł Gimli.

– Nigdy nie słyszałem, by zawinili w tym elfowie – odparł Legolas.

– A ja słyszałem jedno i drugie – rzekł Gandalf – i nie chcę teraz roztrząsać tej sprawy. Proszę jednak was obu, Legolasie i Gimli, abyście wy przynajmniej byli przyjaciółmi i wspomagali mnie wspólnie. Bo obaj jesteście mi potrzebni. Drzwi są zamknięte i ukryte, a im prędzej je odnajdziemy, tym lepiej. Noc za pasem! – I zwracając się do reszty kompanii, dodał: – Ja będę szukał drzwi, a wy tymczasem przygotujcie się do zejścia w głąb Morii. Niestety, musimy się tu rozstać z naszym jucznym kucykiem. Odrzućcie wiele z rzeczy wziętych dla ochrony przed chłodem, nie będą nam potrzebne w podziemiu ani też, mam nadzieję, gdy wyjdziemy po drugiej stronie i pomaszerujemy dalej na południe. Resztę natomiast, a przede wszystkim żywność i skórzane worki na wodę, rozdzielcie między siebie.

– Mistrzu Gandalfie, nie chcesz chyba zostawić biednego Billa na tym okropnym pustkowiu! – krzyknął Sam z oburzeniem i rozpaczą. – Nie zgodzę się na to, nie ma mowy! Nie porzucę Billa, który tak daleko zawędrował z nami i taki był przez cały czas poczciwy!

– Mnie też go żal, Samie – odparł Czarodziej – ale gdy drzwi się otworzą, wątpię, czy zdołasz Billa wciągnąć do wnętrza, w długie, czarne

lochy Morii! Musisz wybierać między Billem a swoim panem.

– Bill pójdzie za panem Frodem choćby do smoczej jamy, jeżeli ja go poprowadzę – rzekł Sam, nieprzekonany. – Przecież zostawilibyśmy go na niemal pewną śmierć w tym kraju, gdzie włóczą się stada wilków.

– Mam nadzieję, że nie spotka go śmierć – odparł Gandalf. Położył rękę na łbie kucyka i szepnął mu coś do ucha: – Weź z sobą te słowa, niech cię strzegą i prowadzą – rzekł. – Mądre z ciebie zwierzę, nauczyłeś się niemało w Rivendell. Wybieraj drogę przez krainy obfite w trawę i wracaj szczęśliwie do domu Elronda czy gdzie indziej, gdzie chcesz… Słyszysz, Samie? Bill ma taką samą szansę ocalenia z wilczych łap i powrotu do domu jak my wszyscy.

Sam stał zgnębiony u boku Billa i nic nie odpowiedział Gandalfowi. Kucyk, jak gdyby rozumiejąc, o co chodzi, parsknął i przytknął nos do jego ucha. Łzy płynęły z oczu Sama, gdy majstrował przy jukach, zdejmując pakunki z grzbietu kuca i zrzucając je na ziemię. Hobbici przeglądali rzeczy i odkładali na bok wszystko, bez czego mogli się już teraz obyć, resztę zaś rozdzielali między siebie.

Kiedy się z tą robotą uporali, zaczęli obserwować Gandalfa. Zdawało się, że dotychczas Czarodziej nic jeszcze nie wskórał. Stał między dwoma drzewami wpatrzony w nagą skalną ścianę, jakby spodziewał się, że oczyma wywierci w niej dziurę. Gimli kręcił się przy nim to tu, to tam, opukując toporkiem kamienie. Legolas przylgnął do ściany, nasłuchując.

– Wszystko już gotowe – powiedział Merry – ale gdzie są te drzwi? Nie widzę ani znaku.

– Drzwi zrobionych przez krasnoludów nigdy nie widać, kiedy są zamknięte – odparł Gimli. – Są niewidzialne, nawet prawi właściciele nie mogą ich dostrzec ani otworzyć, jeżeli nie pamiętają hasła.

– Tych drzwi jednak nie strzegła nigdy tajemnica dostępna wyłącznie krasnoludom – powiedział Gandalf, ożywiając się nagle i odwracając głowę. – Jeżeli nie zmieniło się wszystko całkowicie, oczy, które umieją patrzeć, mogą wykryć sekret.

Zbliżył się do skały. Między dwoma drzewami, w ich cieniu, wznosiła się gładka ściana; zaczął po niej wodzić rękoma, szepcząc coś niedosłyszalnie. Po chwili cofnął się nieco.

– Spójrzcie! Czy widzicie?

Księżyc rzucał teraz odblask na szarą powierzchnię skały, lecz nic więcej zrazu nie spostrzegli. Potem z wolna na całej kamiennej powierzchni, wygładzonej rękami Czarodzieja, pojawiły się nikłe linie, niby delikatne żyłki srebra. Początkowo tak nieuchwytne jak blade nici babiego lata, tak cienkie, że ledwie migotały, kiedy padał na nie blask księżyca, stopniowo rozszerzały się i występowały coraz wyraźniej, aż wreszcie można było rozpoznać cały rysunek.

U góry, w miejscu, którego Gandalf ledwie dosięgnął wzniesionymi rękami, sklepiał się łuk spleciony z liter alfabetu elfów. Niżej, zatarty co prawda i zniszczony, widniał rysunek kowadła i młota, a nad nimi korona i siedem gwiazd. Od dołu pięły się dwa drzewa, których liście miały kształt półksiężyców. Pośrodku, wyraźniej niż wszystko inne, jaśniała na drzwiach wieloramienna gwiazda.

– To godło Durina! – krzyknął Gimli.

– Drzewo Elfów Wysokiego Rodu! – zawołał Legolas.

– I gwiazda rodu Fëanora – powiedział Gandalf. – Wykuto ten rysunek z *ithildinu*, w którym tylko światło gwiazd i księżyca się odbija i który jest martwy, póki go nie wskrzesi dotknięciem ktoś, kto zna słowa z dawna zapomniane na obszarze Śródziemia. Od wieków ich nie słyszałem, toteż musiałem głęboko sięgnąć w pamięć, nim je odnalazłem.

– Co znaczy ten napis? – spytał Frodo, wpatrując się pilnie w wyryte na łuku sklepienia litery. – Zdawało mi się, że znam pismo elfów, ale tego nie umiem odczytać.

– To język elfów mieszkających za Dawnych Dni w zachodniej części Śródziemia – odparł Gandalf. – Napis wszakże nie mówi nic, co by nam się przydać mogło. Brzmi po prostu tak: „Drzwi Durina, Władcy Morii. Powiedz przyjacielu i wejdź”. Pod spodem małymi, ledwie widocznymi literami wypisane jest jeszcze: „Zrobiłem te drzwi ja, Narwi. Znaki wykuł Celebrimbor z Hollinu”.

– Co to ma znaczyć: „Powiedz przyjacielu i wejdź”? – spytał Merry.

– Sens dość jasny – rzekł Gimli. – Jeżeli jesteś przyjacielem, powiedz hasło, a drzwi się otworzą i będziesz mógł wejść.

– Tak – odezwał się Gandalf. – Te drzwi zapewne są posłuszne słowom zaklęcia. Niektóre drzwi krasnoludzkich siedzib otwierają się tylko w pewnych określonych porach roku czy dnia albo tylko dla pewnych osób; są i takie, których nie otworzysz nawet o właściwej godzinie i wymawiając właściwe słowa, jeżeli nie masz klucza. Ale do tych drzwi nie potrzeba klucza. Za czasów Durina nie były one tajne. Zazwyczaj stały otworem i pilnowali ich odźwierni. Jeżeli zaś były zamknięte, mógł je otworzyć każdy, kto znał hasło. Tak przynajmniej głosi tradycja. Prawda, Gimli?

– Prawda – przyznał krasnolud – ale hasła nikt nie pamięta. Narwi wraz ze swą sztuką i całym plemieniem zniknął ze świata.

– Ale ty, Gandalfie, chyba znasz hasło? – spytał zdumiony Boromir.

– Nie! – odparł Czarodziej.

Wszyscy spojrzeli na niego z przerażeniem, tylko Aragorn, który dobrze znał Gandalfa, nie poruszył się ani nie odezwał.

– Po cóż więc przyprowadziłeś nas w to przeklęte miejsce?! – krzyknął Boromir, ze zgrozą oglądając się na czarne jezioro. – Mówiłeś, że raz, kiedyś, przeszedłeś przez Morię. Jakże to możliwe, jeśli nie znałeś sposobu, żeby otworzyć to wejście?

– Na pierwsze twoje pytanie, Boromirze, odpowiem tak: jeszcze nie znam hasła – odparł Czarodziej. – Ale wkrótce je poznamy. Na drugie – ciągnął, błyskając oczyma spod krzaczastych brwi – powiem ci, że będziesz miał prawo pytać o cel moich poczynań dopiero wtedy, gdy się okażą niedorzeczne. Co do następnych pytań… Czy wątpisz o prawdziwości moich słów? Czy też straciłeś głowę? Mówiłem, że nie tędy wszedłem wówczas do Morii, ale od wschodu. Jeśli chcesz wiedzieć coś więcej jeszcze, powiem ci, że te drzwi otwierają się na zewnątrz. Od wnętrza wystarczy je pchnąć ręką. Od tej strony nie drgną nawet, chyba że wymówisz hasło. Żadna siła ich nie poruszy.

– Cóż więc zrobimy? – spytał Pippin, który nie uląkł się zjeżonych brwi Czarodzieja.

– Spróbuj przebić drzwi własną głową, Peregrinie Tuku – rzekł Gandalf. – Jeżeli ich nie rozwalisz tym sposobem, a mnie pozwolicie spokojnie się namyślić, zamiast nudzić głupimi pytaniami, będę się starał odgadnąć hasło. Niegdyś znałem wszystkie zaklęcia we wszystkich językach elfów, ludzi i orków, używane w podobnych przypadkach. Po dziś dzień przypominam ich sobie parę dziesiątków bez wysiłku. Myślę, że wystarczy kilka prób i że nie będę musiał wzywać Gimlego do zdradzenia pewnych słów tajnego krasnoludzkiego języka, których jego plemię nie zwierza nikomu. Hasło było wzięte z mowy elfów, tak jak i napis na łuku sklepienia. To wydaje się niewątpliwe.

Podszedł znów pod skałę i lekko dotknął różdżką srebrnej gwiazdy błyszczącej pod kowadłem.

– *Annon edhellen, edro hi ammen! Fennas nogothrim, lasto beth lammen!* – zawołał rozkazującym tonem. Srebrne kreski przybladły, lecz szary kamień nie drgnął nawet.

Po wielekroć powtarzał te słowa w różnej kolejności i w rozmaitych odmianach. Poźniej próbował innych zaklęć, jednego po drugim, wymawiając je to szybko i głośno, to znów powoli i cicho. Wreszcie zaczął rzucać pojedyncze słowa z języka elfów. Nic się nie działo. Urwisko piętrzyło się przed nimi w ciemnościach, gwiazdy bez liku rozbłysły na niebie, wiatr dmuchnął chłodem, ale drzwi wciąż trwały niewzruszone.

Gandalf raz jeszcze zbliżył się do skalnej ściany, podniósł ramiona i tonem władczym, z rosnącym gniewem krzyknął: – *Edro! Edro!* – uderzając różdżką o skałę. – Otwórz się! Otwórz! – powtarzał ten sam wciąż rozkaz we wszystkich językach, jakimi mówiono kiedykolwiek na Zachodzie Śródziemia. Wreszcie rzucił różdżkę na ziemię i usiadł w milczeniu.

W tej samej chwili do ich czujnie nadstawionych uszu wiatr przyniósł z daleka wycie wilków. Kucyk Bill wzdrygnął się ze strachu i Sam skoczył ku niemu, by szepnąć jakieś uspokajające słówko.

– Nie pozwól mu uciec! – powiedział Boromir. – Wygląda na to, że jeszcze nam będzie potrzebny, jeżeli oczywiście wilki nas tu nie dopadną. Nienawidzę tej obrzydliwej sadzawki!

I schyliwszy się, podniósł duży kamień, który cisnął z rozmachem w czarną wodę.

Kamień zniknął z miękkim pluskiem, lecz jednocześnie dało się słyszeć świśnięcie i bulgot. Ogromne, rozedrgane koła rozeszły się po tafli jeziora i od miejsca, w którym spadł kamień, zaczęły powoli przybliżać się do podnóży skały.

– Dlaczego to zrobiłeś, Boromirze? – odezwał się Frodo. – Ja także nienawidzę tego miejsca i boję się… Nie wiem, czego się boję, nie wilków jednak i nie ciemności za tymi drzwiami. Czegoś innego. Boję się tej wody. Nie mąć jej!

– Bardzo bym chciał co prędzej wynieść się stąd! – rzekł Merry.

– Czemu ten Gandalf nie pospieszy się trochę? – mruknął Pippin.

Gandalf nie zwracał na nich uwagi. Siedział z głową zwieszoną na piersi, może zatopiony w rozpaczy, a może w trwożnej zadumie. Złowieszcze wycie wilków rozległo się znowu. Kręgi na wodzie rosły i drobne fale już lizały brzeg.

Nagle Czarodziej zerwał się na równe nogi, a było to tak niespodziane, że wszyscy drgnęli. Gandalf się śmiał!

– Już wiem! – krzyknął. – Oczywiście, oczywiście! Śmiesznie proste, jak większość zagadek, jeżeli się zna rozwiązanie. – Podbiegł do skały, dotknął jej różdżką i dobitnie mówił: – *Mellon!*

Gwiazda roziskrzyła się i natychmiast zgasła. Bez szmeru zarysował się wyraźnie kontur drzwi, przedtem zupełnie niewidoczny. Z wolna płyta skalna rozszczepiła się pośrodku i dwa skrzydła cal po calu zaczęły otwierać się na zewnątrz. W otworze zamajaczyły schody prowadzące stromo pod górę. Powyżej paru pierwszych stopni tonęły w ciemności czarniejszej niźli noc. Drużyna patrzyła na nie w osłupieniu.

– A więc myliłem się – rzekł Gandalf. – Gimli także. Z nas wszystkich Merry wpadł na najwłaściwszy trop. Hasło było wypisane na łuku, widzieliśmy je od pierwszej chwili. Napis trzeba tłumaczyć tak: „Powiedz: «przyjacielu» i wejdź”. Kiedy wymówiłem w języku elfów słowo „przyjaciel”, drzwi się otwarły. Po prostu! Ale to zbyt proste dla uczonego mędrca w naszej nieufnej epoce. Tamte czasy były szczęśliwsze. A teraz – wchodźmy!

Ruszył naprzód i postawił stopę na najniższym stopniu schodów. Lecz w tym momencie zaczęło się dziać mnóstwo rzeczy. Frodo poczuł, że coś chwyta go za kostkę u nogi. Krzyknął i upadł. Kucyk Bill zarżał przeraźliwie i pomknął z kopyta brzegiem jeziora, niknąc w ciemnościach. Sam skoczył za nim, lecz na okrzyk Froda zawrócił natychmiast, płacząc i złorzecząc głośno. Wszyscy inni obejrzeli się i zobaczyli, że jezioro syczy, jakby cała armia węży nadpływała od jego południowego krańca.

Z toni wypełzła długa, kręta macka, jasnozielona, fosforyzująca, ociekająca wodą. Oplotła nogę Froda i zaczęła wciągać go do jeziora. Sam padł na klęczki i rąbnął ramię poczwary nożem. Puściła ofiarę. Wierny sługa odciągnął swego pana, jak mógł najdalej, krzycząc o pomoc. Dwadzieścia nowych macek wyłoniło się z wody. Czarne jezioro kipiało, w powietrzu rozszedł się odrażający smród.

– Do bramy! Na schody! Prędko! – krzyknął Gandalf, jednym susem wracając między towarzyszy, budząc ich z osłupienia, które wszystkich prócz Sama przykuło do miejsca, i zaganiając w otwarte drzwi.

Czas był po temu wielki! Sam i Frodo ledwie zdążyli stanąć na pierwszym stopniu, a Gandalf właśnie znów ruszał pod górę, kiedy wyciągnięte z wody macki poprzez wąski skrawek lądu dosięgły skalnej ściany i drzwi Morii. Jedna z nich przyczołgała się aż za próg, świecąc w blasku gwiazd. Gandalf zatrzymał się i odwrócił. Jeżeli się namyślał, jakim zaklęciem zamknąć drzwi z powrotem, niepotrzebnie się biedził. Mnóstwo wijących się macek oplotło oba ich skrzydła i zatrzasnęło ze straszliwą siłą. Huk echem rozniósł się wkoło, światło dzienne zniknęło sprzed oczu wędrowców. Poprzez ciężką kamienną płytę dochodził stłumiony łoskot. Sam uczepiony ramienia Froda w nieprzeniknionych ciemnościach upadł na stopień schodów.

– Biedny stary Bill – powiedział, dławiąc się od łez. – Biedny stary Bill! Wilki i węże! Węży nie mógł już znieść. A ja musiałem wybierać, panie Frodo. Musiałem pójść za panem.

Usłyszeli kroki Gandalfa, który zszedł znów w dół i dotknął różdżką drzwi. Drżenie przebiegło przez ścianę i schody, lecz drzwi się nie otwarły.

– No, tak! – rzekł Czarodziej. – Teraz wyjście na tę stronę zamknięte jest na zawsze, pozostaje nam jedynie drugie, na przeciwległym stoku góry. Sądząc z tych hałasów, obawiam się, że zwalono pod drzwi głazy, a drzewa wyrwano z korzeniami i zagrodzono nimi drogę. Szkoda! Piękne to były drzewa i stały tu od wieków.

– Od pierwszej chwili, gdy dotknąłem stopą wody, czułem, że w pobliżu czai się coś okropnego – powiedział Frodo. – Co to było? Ile było tych potworów?

– Nie wiem – odparł Gandalf – ale wszystkie te ramiona wyciągały się do jednego określonego celu. Coś wypełzło, może zostało wypędzone z czarnej wody pod górami. W głębinach świata istnieje wiele starszych i gorszych jeszcze niż orkowie stworzeń.

Gandalf nie chciał powiedzieć głośno tego, co w duchu pomyślał: że kimkolwiek był stwór żyjący na dnie jeziora, chwycił on nieomylnie przede wszystkim Froda spośród całej Drużyny. Boromir mruknął do siebie, lecz echo odbite od kamiennych ścian spotęgowało jego głos tak, że zabrzmiał jak ochrypły szept, dosłyszalny dla całej kompanii:

– W głębinach świata… Weszliśmy w te podziemia wbrew mojej woli. Kto nas poprowadzi przez te straszliwe ciemności?

– Ja! – odparł Gandalf. – Gimli zaś będzie szedł obok mnie. Podążajcie za światłem mojej różdżki.

Czarodziej ruszył w górę po olbrzymich schodach, a koniec różdżki, którą trzymał wzniesioną, rozbłysnął łagodnym światłem. Schody były potężne i niezniszczone. Naliczyli dwieście stopni, szerokich i niskich, nim u szczytu stanęli w sklepionym korytarzu, prowadzącym poziomo w głąb ciemności.

– Siądźmy na chwilę, odpocznijmy i zjedzmy coś tutaj, skoro sali jadalnej nie spodziewamy się znaleźć – rzekł Frodo. Otrząsnął się już ze zgrozy, którą go napełniło dotknięcie oślizłego ramienia, i był teraz okropnie głodny.

Wszyscy przyjęli tę propozycję jak najchętniej. Siedli na ostatnim stopniu: grupka cieni w mroku. Kiedy się posilili, Gandalf dał każdemu, trzeci raz w tej wędrówce, po łyku *miruvoru* z Rivendell.

– Nie na długo, niestety, starczy tego trunku – powiedział – ale uważam, że bardzo nam jest potrzebny teraz, po okropnościach, które przeżyliśmy pod drzwiami. Co prawda, jeśli nie będziemy mieli wyjątkowego szczęścia, przyda nam się ta resztka niejeden jeszcze raz, nim ujrzymy wyjście po drugiej stronie. Oszczędzajcie też wody! W tych podziemiach jest wiele strumieni i źródeł, nie należy ich wszakże ruszać. Możliwe, że nie zdarzy nam się okazja do napełnienia bukłaków i manierek wcześniej niż w Dolinie Półmroku.

– A jak długo trzeba tam iść? – spytał Frodo.

– Nie wiem – odparł Gandalf. – To zależy od rozmaitych okoliczności. Idąc prosto, bez przeszkód i bez omyłek, dojdziemy chyba po trzech albo po czterech dniach marszu. Na pewno jest co najmniej czterdzieści mil od zachodnich drzwi do wschodniej bramy w prostej linii, ale droga może się okazać bardzo kręta.

Po krótkim odpoczynku ruszyli znowu. Wszystkim zależało na jak najszybszym skończeniu tej wędrówki i pomimo zmęczenia gotowi byli maszerować jeszcze kilka godzin. Gandalf wciąż kroczył na czele. W lewej ręce niósł roziskrzoną różdżkę, która oświetlała teren pod jego nogami, w prawej dzierżył swój miecz, Glamdring. Za Czarodziejem szedł Gimli, oczy mu błyszczały w pomroce, gdy rozglądał się to w prawo, to w lewo. Następny w szeregu był Frodo, który wydobył z pochwy swój krótki

mieczyk. Ostrza Glamdringa i Żądła nie rozpłomieniły się i to dodawało drużynie otuchy, bo miecze, wykute ongi przez płatnerzy elfów, zapalają się białym światłem, ilekroć w pobliżu znajdą się orkowie. Za Frodem podążał Sam, potem z kolei Legolas, dwaj młodzi hobbici i Boromir. W ciemnościach zamykał pochód chmurny i milczący Aragorn.

Korytarz, po licznych skrętach, zaczął opadać ku dołowi. Długi czas zstępowali coraz niżej, nim wreszcie znów znaleźli się na płaskiej drodze. Było teraz gorąco i duszno, lecz powietrze pozostało dość czyste, a od czasu do czasu świeży powiew muskał im twarze, ciągnąc pewnie od wybitych w ścianach otworów, których jednak tylko się domyślali w mroku. Musiało ich być dużo. W bladych promieniach czarodziejskiej różdżki Frodo dostrzegał niekiedy zarys schodów, sklepień, bocznych korytarzy i tuneli, wznoszących się ku górze lub stromo spadających w dół, albo ziejących czarną pustką. Ta gmatwanina oszałamiała i wydawało się, że nie sposób się w niej rozeznać.

Gimli niewiele mógł pomóc Gandalfowi, wspierał go wszakże swoją niezachwianą odwagą. On jeden przynajmniej nie bał się, jak większość drużyny, samych ciemności. Często Gandalf zasięgał jego rady, gdy na rozdrożu wahał się, które rozgałęzienie szlaku wybrać. Ostatnie wszakże słowo zawsze należało do Czarodzieja. Podziemia Morii były tak olbrzymie i przejścia tak powikłane, że nawet Gimli, syn Glóina, krasnolud z górskiego plemienia, nie ogarniał ich wyobraźnią. Odległe wspomnienia odbytej przed laty wędrówki przez Morię nie na wiele mogły się też Gandalfowi przydać, lecz nawet w ciemnościach i mimo licznych skrętów drogi Czarodziej wciąż jasno wiedział, dokąd zmierza, i nie zachwiał się w postanowieniu, póki miał przed sobą ścieżkę wiodącą do celu.

– Nie bójcie się! – rzekł Aragorn, gdy Czarodziej zatrzymał się dłużej niż kiedykolwiek, szepcząc coś z Gimlim. Drużyna, stłoczona za nim, czekała trwożnie. – Nie bójcie się! Odbyłem z Gandalfem niejedną podróż, chociaż nigdy w tak czarnych ciemnościach. W Rivendell słyszałem też opowieści o jego czynach, jeszcze wspanialszych niż te wszystkie, których sam byłem świadkiem. Gandalf nie zbłądzi… jeżeli w ogóle istnieje jakaś ścieżka. Wprowadził nas tutaj na przekór naszym obawom i wywiedzie nas znów na świat, bodaj kosztem własnej zguby. Lepiej umie znajdować wśród nocy drogę do domu niż koty królowej Berúthiel.

Wielkie to było szczęście dla drużyny, że miała takiego przewodnika. Nie wzięli ze sobą drew na ognisko, nie mieli z czego zrobić pochodni. W rozpaczliwym momencie pod drzwiami zapomniano o mnóstwie potrzebnych sprzętów. Bez światła wkrótce by przepadli w podziemiu. Na domiar trudności wyboru, wśród licznych krzyżujących się korytarzy tu i ówdzie ziały jamy i szyby, a tuż obok ścieżki rozwierały się czarne studnie, w których kroki wędrowców dudniły głuchym echem. W ścianach i w podłodze były szczeliny i zapadliska, co chwila pod stopami maszerujących otwierały się przepaście. Najgroźniejsza mierzyła z górą siedem stóp szerokości i Pippin długą chwilę musiał zbierać odwagę, nim przeskoczył nad straszliwą otchłanią. Gdzieś z dołu dobiegał szum i plusk wody, jak gdyby olbrzymie młyńskie koło obracało się w głębi podziemi.

– Lina! – mruknął Sam. – Wiedziałem, że jeśli jej nie wezmę, na pewno będzie potrzebna.

Niebezpieczeństwa mnożyły się, posuwali się naprzód coraz wolniej. Zdawało im się, że idą, idą bez końca, aż do korzeni góry. Zmęczeni już byli bezgranicznie, a jednak nie znajdowali pociechy w myśli o jakimś odpoczynku. Frodo trochę się pokrzepił na duchu po uratowaniu z macek potwora, zwłaszcza gdy się najadł i łyknął kordiału Elronda. Teraz jednak znowu ogarnął go wielki niepokój, nieomal lęk. Wprawdzie w Rivendell wyleczono go z rany zadanej sztyletem, lecz zostały po niej pewne trwałe ślady. Zmysły miał wyostrzone, lepiej niż dawniej wyczuwał rzeczy niewidzialne. Wśród różnych zmian, które się w nim dokonały, jedną zauważył bardzo wcześnie: oto widział w ciemnościach lepiej od innych uczestników wyprawy, z wyjątkiem chyba tylko Gandalfa. W każdym razie on, nie kto inny, niósł Pierścień; miał go na łańcuszku zawieszony na piersi i chwilami dotkliwie odczuwał jego ciężar. Pewien był, że przed nimi i za nimi czai się groźba, lecz nic o tym nie mówił. Ściskał tylko mocniej w garści rękojeść mieczyka i wytrwale szedł naprzód.

Towarzysze ciągnący za nim rzadko się odzywali, a i to jedynie zdyszanym szeptem. W ciszy nic nie było słychać prócz odgłosu ich kroków: głuchego dudnienia krasnoludzkich butów Gimlego, ciężkiego tupotu Boromira, lekkiego stąpania Legolasa, miękkiego, nieuchwytnego szelestu stóp hobbitów; na końcu kolumny rozbrzmiewał stanowczy, rozważny, długi krok Aragorna. Kiedy się zatrzymywali na chwilę, cisza zalegała zupełna, tylko od czasu do czasu dolatywał ich uszu szmer

niewidocznej wody i kapanie kropel. A jednak Frodo dosłyszał czy może wydało mu się, że słyszy coś innego: jakby człapanie bosych stóp. Nigdy te odgłosy nie były dość wyraźne ani dość bliskie, by mógł nabrać pewności, że je słyszy rzeczywiście, ale też nie milkły nigdy, póki drużyna nie stawała w marszu. Nie były echem, bo kiedy się zatrzymywali, przez chwilkę jeszcze się odzywały, niezależnie od ich kroków, i dopiero potem cichły.

Weszli do kopalni Morii po zapadnięciu zmroku. Posuwali się przez długie godziny, z krótkimi tylko przerwami, nim Gandalf natknął się na pierwszą poważniejszą przeszkodę. Stanął przed szerokim, ciemnym łukiem sklepienia, pod którym rozbiegały się trzy korytarze; wszystkie prowadziły w zasadzie na wschód, lecz korytarz lewy zstępował w dół, prawy piął się pod górę, a środkowy ciągnął się poziomo i zdawał się gładki, chociaż niezmiernie ciasny.

– Tego miejsca wcale nie pamiętam – rzekł Gandalf, stając w rozterce pod sklepieniem. Podniósł różdżkę, spodziewał się bowiem w jej blasku dostrzec jakieś znaki lub napisy, które by ułatwiły wybór drogi. Nic jednak takiego nie znalazł. – Zanadto jestem znużony, by teraz zdobyć się na decyzję – powiedział, kręcąc głową. – A wy pewnie jesteście równie albo nawet bardziej wyczerpani. Zatrzymajmy się więc tutaj na resztę nocy. Oczywiście, rozumiecie mnie: tu jest zawsze jednakowo ciemno, ale na świecie księżyc już chyli się ku zachodowi i dawno minęła północ.

– Biedy stary Bill! – westchnął Sam. – Gdzie też on się obraca? Mam nadzieję, że go wilki nie rozszarpały.

Po lewej stronie sklepionej bramy zauważyli kamienne drzwi; były przymknięte, lecz wystarczyło je pchnąć lekko, by się otworzyły. Za nimi ukazała się obszerna sala wykuta w kamieniu.

– Powoli! Powoli! – krzyknął Gandalf, gdy Merry i Pippin skoczyli naprzód, radzi odpocząć w miejscu, które im się wydawało trochę przytulniejsze od otwartego na wsze strony korytarza. – Powoli! Nie wiemy przecież, co tam jest. Wejdę pierwszy.

Wszedł ostrożnie, reszta drużyny wsunęła się za nim gęsiego.

– Patrzcie! – rzekł Czarodziej, wskazując różdżką środek sali.

U stóp Gandalfa w podłodze rozwierała się okrągła dziura, jak gdyby otwór studni. Koło niej leżały porwane i zardzewiałe łańcuchy, zwisając

nad czarną jamą. Opodal rozrzucone były połupane kamienie.

– Któryś z was mógł wpaść w tę dziurę i może dość długo by leciał, nimby dosięgnął dna – zwrócił się Aragorn do Meriadoka. – Zawsze trzeba puszczać przodem przewodnika, jeśli się go, na swoje szczęście, ma.

– To mi wygląda na wartownię dla strażników pilnujących trzech korytarzy – powiedział Gimli. – Dziura to pewnie studnia dostarczająca wartownikom wody. Musiała być ongi nakryta kamienną pokrywą, teraz rozbitą. Trzeba bardzo uważać w ciemnościach.

Pippina dziwnie ciągnęła ta studnia. Gdy towarzysze rozkładali koce i przygotowywali legowiska pod ścianami komory jak najdalej od dziury, on podpełzł na jej skraj i zajrzał. Zimny dech dobywający się niewidzialnych głębi owionął mu twarz. Nagle skusiło młodego hobbita, by chwycić kamień i wrzucić go w studnię. Czekał na odgłos tak długo, aż zdążył usłyszeć kilka uderzeń własnego serca.

Potem gdzieś w dole rozległ się plusk, bardzo odległy, lecz spotęgowany i powtórzony wielokrotnie w pustym szybie, jakby kamień trafił w wodę na dnie ogromnej jaskini.

– A to co?! – krzyknął Gandalf. Odetchnął z ulgą, kiedy Pippin przyznał się do swego postępku. Rozgniewał się jednak bardzo, Pippin dostrzegł płomień w jego oczach. – Zwariowany Tuk! – fuknął. – To poważna wyprawa, a nie hobbicka majówka. Na przyszły raz skacz sam! Przynajmniej przestałbyś wreszcie dokuczać nam swoimi głupstwami. A teraz bądźcie cicho!

Przez kilka minut nic nie było słychać, potem z głębi studni dobiegło ich uszu stłumione pukanie: tom – tap, tap – tom. Pukanie urwało się, ale kiedy jego echo ucichło, powtórzyło się znowu: tap – tom, tom – tap, tap – tap, tom. Brzmiało to niepokojąco jak sygnały. Po pewnym czasie jednak wszystko umilkło, tym razem już na dobre.

– To był stuk młota, głowę daję – rzekł Gimli.

– Tak – przyznał Gandalf. – I wcale mi się nie podobał. Być może nie miało to nic wspólnego z głupim wybrykiem Peregrina, prawdopodobnie jednak ten kamień poruszył coś, co należało w naszym własnym interesie zostawić w spokoju. Proszę, żeby się żaden z was na nic podobnego więcej nie ważył. Miejmy nadzieję, że uda nam się trochę przespać bez nowych

alarmów. Ty, Pippinie, w nagrodę pierwszy będziesz pełnił wartę – mruknął, owijając się w koc.

Pippin, zgnębiony, przysiadł pod drzwiami w głębokich ciemnościach. Ustawicznie jednak odwracał głowę, bojąc się, że z czeluści studni wychynie jakiś nieznany stwór. Korciło go, żeby nakryć ziejący otwór chociażby kocem, ale nie śmiał ruszyć się i zbliżyć do dziury, mimo że Gandalf zdawał się pogrążony we śnie. Naprawdę wszakże Gandalf wcale nie spał, jakkolwiek leżał milczący i nieruchomy. Zatonął w myślach, usiłując przypomnieć sobie wszystkie szczegóły poprzedniej wędrówki przez Morię i zastanawiając się trwożnie nad wyborem dalszej drogi; omyłka mogła przecież oznaczać klęskę. Po godzinie Czarodziej wstał i podszedł do Pippina.

– Połóż się tam w kącie i prześpij, chłopcze – rzekł łagodnie. – Myślę, że potrzeba ci snu. A ja i tak oka zmrużyć nie mogę, więc chętnie cię zastąpię na warcie.

– Wiem, czego mi brakuje – mruknął, sadowiąc się przy drzwiach. – Fajki! Nie powąchałem jej od tamtego ranka przed śnieżycą.

Pippin, zanim sen skleił mu powieki, zdążył jeszcze zobaczyć ciemną sylwetkę Czarodzieja skulonego na podłodze i osłaniającego sękatymi dłońmi odrobinę żaru. Płomyk na mgnienie oświetlił jego spiczasty nos i kłąb dymu.

Nie kto inny też, lecz Gandalf zbudził drużynę ze snu. Czuwał i strażował sam przez sześć godzin, nie zakłócając towarzyszom odpoczynku.

– W ciągu tej bezsennej nocy powziąłem decyzję – rzekł. – Nie pociąga mnie środkowy korytarz, nie pachnie mi także lewy: ciągnie z niego zaduch, który nic dobrego nie wróży, każdy przewodnik mi to przyzna. Pójdziemy prawym tunelem. Czas, byśmy zaczęli wspinać się znów pod górę.

Maszerowali osiem godzin, ledwie na chwilę zatrzymując się niekiedy dla wytchnienia. Nie spotkali niebezpieczeństw, nie słyszeli nic i nic nie widzieli prócz nikłego światełka czarodziejskiej różdżki, migocącego jak robaczek świętojański na czele pochodu. Korytarz, który obrali, prowadził wciąż pod górę. O ile mogli się zorientować, tunel zataczał szerokie łuki, a im wyżej się piął, tym był wyższy i szerszy. Nie odbiegały od niego boczne

galerie ani korytarze, podłogę miał równą i gładką, wyboje i szczeliny nie utrudniały tu marszu. Najwidoczniej trafili na szlak niegdyś wielkiego znaczenia i szli teraz o wiele szybciej niż na pierwszym etapie.

W ten sposób posunęli się w prostej linii o jakieś piętnaście mil na wschód, chociaż przewędrowali zakosami z pewnością więcej. W miarę jak droga się wznosiła, Frodo nabierał po trosze otuchy, jakkolwiek wciąż jeszcze był przygnębiony i od czasu od czasu słyszał – albo przynajmniej tak mu się wydawało – ciągnące z dala trop w trop za maszerującą drużyną ciche człapanie, które na pewno nie było tylko echem.

Marsz trwał długo, póki hobbitom sił starczyło, wreszcie wszyscy już zaczęli wypatrywać z upragnieniem miejsca na popas, lecz nagle ściany korytarza rozstąpiły się po obu stronach. Jak gdyby przeszli pod jakąś bramą i znaleźli się w czarnej, pustej przestrzeni. W plecy dmuchało im cieplejsze powietrze, w twarze natomiast od ciemności ciągnęło chłodem. Stanęli i zbili się w gromadę, zatrwożeni. Gandalf wszakże był rad.

– Trafnie wybrałem drogę – powiedział. – Wreszcie doszliśmy do mieszkalnej części podziemia i mam wrażenie, że jesteśmy teraz już dość blisko wschodnich stoków góry. Ale wspięliśmy się, jeśli się nie mylę, znacznie ponad Bramę Półmroku. Sądząc z przewiewu, znaleźliśmy się w wielkiej sali. Zaryzykuję trochę większe światło. Podniósł różdżkę, która na chwilę zajaśniała niby błyskawica. Wyolbrzymione cienie podskoczyły w górę i uciekły, przez mgnienie oka wędrowcy widzieli rozpięte nad swoimi głowami ogromne sklepienie, wsparte na szeregu potężnych filarów wyciosanych ze skały. Przed nimi, a także na prawo i na lewo ciągnęła się wielka, pusta sala. Czarne ściany, równe i gładkie jak szkło, połyskiwały i lśniły. Zauważyli też trzy inne wejścia, mroczne, sklepione otwory w ścianach: środkowe – na wschód, dwa boczne na dwie przeciwległe strony. Potem światło zgasło.

– Na razie nie ośmielę się na nic więcej – powiedział Gandalf. – Dawniej były tu wielkie okna w stoku góry, a prócz tego kominy doprowadzające światło z najwyższych pokładów kopalni. Zdaje się, że to właśnie tutaj, ale na świecie jest teraz noc i nie upewnimy się, póki dzień nie wstanie. Jeżeli się nie mylę, zajrzy tu do nas jutro blask poranka. Tymczasem nie ma co wędrować dalej. Odpocznijmy, jeśli się da. Jak dotąd powiodło nam się nieźle, większą część drogi przez ciemności mamy już za sobą. Ale jeszcze

z nich nie wyszliśmy, czeka nas długi marsz w dół do bramy otwartej na świat.

Wędrowcy spędzili noc w wielkiej piwnicznej sali, przytuleni do siebie w kącie, gdzie się schronili przed chłodnym podmuchem, bo od wschodniego otworu wciąż wiało zimnem. Leżeli, otoczeni zewsząd pustą, bezbrzeżną ciemnością, przytłoczeni samotnością i ogromem wydrążonych w skale jaskiń, niezliczonych splątanych korytarzy i schodów. Z głuchych wieści, jakie do nich kiedykolwiek docierały, hobbici wytworzyli sobie fantastyczny obraz Morii, lecz wszystko to zbladło wobec groźnej i wspaniałej rzeczywistości.

– Musiało tu kiedyś roić się od krasnoludów – rzekł Sam. – A pracował chyba każdy z nich wytrwalej od borsuka przez pięćset lat, żeby zbudować takie podziemie, i to w twardej skale! Po co oni to robili? Nie mieszkali chyba w tych ciemnych norach?

– To nie nory – odparł Gimli. – To wielkie królestwo i stolica krasnoludów. Za dawnych czasów nie było też tutaj tak ciemno, wszędzie jarzyły się światła i klejnoty. Pamięć o tym przechowały po dziś dzień nasze pieśni.

Gimli wstał i w ciemnościach zaczął śpiewać niskim głosem, który echo odbijało spod wysokiego sklepienia:

Świat młodym był w te czasy, góry zaś zielone,
Księżyc nie był naówczas plamami skażony,
Ani imion nie miały głazy ni strumienie,
Gdy Durin przebudzony pierwszy na świat wejrzał.
On bezimiennym wzgórzom nadawał imiona,
Wody źródeł dziewiczych on pierwszy smakował,
W Toń Zwierciadlaną wreszcie wejrzał i zobaczył
Jak gwiazd jasna korona w głębinie się jawi
Niby klejnotów osad na srebrzystej przędzy
I na dnie cień mu głowy otacza jak wieńcem.

Świat pięknym był w te czasy, góry zaś wysokie
W Dniach tych Dawnych, nim jeszcze potężni królowie

Przepadli Nargothrondu oraz Gondolinu,
By za Morza Zachodnie najdalsze odpłynąć
Bezpowrotnie, ustępując rosnącej ciemności.
Pięknym za Dni Durina był świat nieskażony.

Władał król Durin z tronu kutego ze skały,
Z hal wspaniałych o wielu potężnych filarach,
Gdzie złote były stropy, a srebrne podłogi,
I gdzie każdego przejścia strzegły runy mocy.
Tam światło księżycowe, słoneczne i gwiezdne
Z lamp biło lśniących, biegle z kryształu wyciętych,
Nieprzyćmione przez chmury, nocy niepoddane,
Wieczyście lśniło światło to czyste i jasne.

Tam waliły w kowadła młoty niestrudzone,
Tam biegłe ryło dłuto, rylec znaki drążył,
Tam kuto ostrza lśniące, formowano jelce,
Tam chodniki kuł górnik, mur stawiał kamieniarz.
Tam beryle i perły, i blade opale,
I metal, na kształt łuski rybiej kształtowany,
Pancerze i pawęże, miecze i topory,
I włócznie lśniące licznie w skarbcu gromadzono.

Niestrudzony był wówczas lud króla Durina:
Pod górami zbudziła się także muzyka –
Pięknie grali harfiści, minstrele śpiewali,
A u bram mocnych huczne dźwięczały fanfary.

Świat szarym stał się dzisiaj, góry postarzały,
Popioły zimne z ogni kuźniczych zostały.
Nie dzwoni harfy struna ani młot uderza –
Tylko ciemność w pałacach Durina dziś mieszka.

Cień się panoszy pośród mogił jego ludu
W głębinach Morii, w czarnych lochach Khazad-dûmu.
Lecz wciąż lśnią gwiazdy w ciemnej toni zatopione
Wód Zwierciadlanych, których wiatr żaden nie mąci.
Tam spoczywa korona, w głębi czystych wód:
Czeka, aż znów się Durin przebudzi ze snu[45].

– To piękne! – rzekł Sam. – Chciałbym się nauczyć tej pieśni. „W głębinach Morii, w czarnych lochach Khazad-dûmu!” Co prawda, kiedy pomyślę o tych wszystkich lampach, ciemności wydają mi się jeszcze bardziej ponure. A czy stosy klejnotów i złota wciąż jeszcze są tutaj?

Gimli milczał. Zaśpiewał swoją pieśń, nic więcej nie chciał powiedzieć.

– Stosy klejnotów? – odezwał się Gandalf. – Nie! Orkowie nieraz splądrowali Morię, nic nie zostało w górnych salach. A po ucieczce krasnoludów nikt się nie ważył szukać w głębi szybów i skarbców u korzeni góry: zatonęły w wodzie albo w cieniu strachu.

– Dlaczego więc krasnoludowie pragną tu wrócić? – spytał Sam.

– Bo tu jest *mithril* – odparł Gandalf. – Bogactwo Morii to nie złoto ani klejnoty – te zabawki krasnoludów; nie żelazo – ich sługa. Prawda, mieli tu również te skarby, zwłaszcza żelazo, lecz nie potrzebowali ich kopać spod skał. Wszystko, czego zapragnęli, mogli dostać w drodze wymiany. Bo na całym świecie tylko w Morii znajduje się szczególne, najszlachetniejsze srebro, zwane w języku elfów *mithril*. Krasnoludowie mają dla niego własną nazwę, której nikomu nie zdradzają. Ów kruszec był dawniej dziesięćkroć cenniejszy od złota, a dziś jest bezcenny. Niewiele go bowiem zostało na powierzchni, a nawet orkowie nie śmią szukać go w głębi. Żyły ciągną się na północ ku Caradhrasowi, w głąb ciemności. Krasnoludowie nie chcą o tym mówić, lecz *mithril* był zarówno początkiem ich bogactwa, jak i przyczyną ich klęski: dokopywali się do niego zbyt chciwie, sięgnęli za głęboko, rozjątrzyli wrogą siłę, która ich stąd wygnała: to była Zguba Durina. Z tego, co krasnoludowie dobyli na wierzch, niemal wszystko zrabowali orkowie i złożyli jako haracz Sauronowi, który jest na *mithril* bardzo łasy.

Mithril! Wszystkie plemiona pożądały *mithrilu*. Można go kuć jak miedź i polerować jak szkło, a krasnoludowie umieli z niego robić metal lekki, a

mimo to twardszy od najhartowniejszej stali. Jest piękny jak zwykłe srebro, ale jego piękno nie śniedzieje ani nie traci nigdy blasku. Elfowie byli w nim rozmiłowani i używali go do różnych celów, między innymi z niego robili *ithildin* – metal gwiezdno-księżycowy; widzieliście go na drzwiach Morii. Bilbo miał kolczugę z mithrilowych pierścieni, dostał ją od Thorina. Ciekawe, co też się z nią stało? Pewnie dotychczas stoi pokryta kurzem w muzeum w Michel Delving.

– Coś ty powiedział?! – krzyknął Gimli, nagle odzyskując mowę. – Kolczuga z *mithrilu*? Toż to królewski dar!

– Tak – przyznał Gandalf. – Nigdy tego Bilbowi nie mówiłem, ale warta jest tyle, ile cały Shire z wszystkimi swoimi dostatkami.

Frodo zmilczał, ale wsunął dłoń pod bluzę i dotknął kolczugi. Oszołomiła go myśl, że obnosi po świecie ukryty pod ubraniem skarb dorównujący wartością całemu Shire'owi. Czy Bilbo to wiedział? Frodo nie miał co do tego wątpliwości. Królewski zaiste dar. I myśli Froda pomknęły z ciemnych podziemi daleko, do Rivendell, do Bilba, do Bag End z owych dni, kiedy Bilbo tam jeszcze gospodarzył. Zatęsknił z głębi serca do tych miejsc i do dawnych czasów, do strzyżenia trawników i krzątania się około kwiatów, do epoki, gdy nie wiedział nic o Morii, *mithrilu…* i o Pierścieniu.

Zapadła głucha cisza. Wędrowcy jeden po drugim usypiali. Frodo pełnił wartę. Dreszcz nim wstrząsnął, jak gdyby przez niewidoczne drzwi z głębokich czeluści owiał go lodowaty dech. Ręce miał zimne, ale pot mu spływał z czoła. Nasłuchiwał. Na dwie wlokące się bez końca godziny zmienił się cały w słuch. Nie ułowił jednak żadnego szmeru, nawet owego echa człapiących kroków, które sobie pewnie uroił.

Czas jego warty dobiegł końca, kiedy mu się wydało, że z daleka, pod sklepieniem zachodniego wejścia, błyskają dwa świecące punkciki, jakby para fosforyzujących źrenic. Frodo się wzdrygnął. Głowa mu opadła na piersi: „O mało nie usnąłem na warcie – pomyślał. – Coś mi się już zaczynało śnić". Wstał, przetarł oczy i już nie usiadł, wpatrując się w ciemności, póki go nie zluzował Legolas.

Położywszy się, usnął zaraz, lecz zdawało mu się, że poprzednie senne przewidzenie trwa dalej: słyszał szepty, widział dwa blade świecące punkciki z wolna zbliżające się ku niemu. Ocknął się i stwierdził, że towarzysze rozmawiają półgłosem i że mętne światło pada mu prosto na

twarz. Z wysoka, sponad sklepienia wschodniego wyjścia, przez świetlik wycięty w stropie sączył się nikły promień świtu. W drugim końcu sali północne drzwi także jaśniały mdłym odległym brzaskiem. Frodo usiadł.

– Dzień dobry! – powiedział Gandalf. – Nareszcie znów dzień! Widzisz, Frodo, miałem słuszność. Znajdujemy się wysoko po wschodniej stronie Morii. Nim dzisiejszy dzień przeminie, musimy odszukać Wielką Bramę i ujrzeć przed sobą Zwierciadlane Jezioro w Dolinie Półmroku.

– Mam nadzieję, że tak się stanie – rzekł Gimli. – Zobaczyłem Morię – jest ogromna, ale ciemna i przerażająca. Nie znaleźliśmy ani znaku pobytu moich pobratymców. Zaczynam wątpić, czy Balin kiedykolwiek tu dotarł.

Ledwo zjedli śniadanie, Gandalf postanowił wyruszać.

– Jesteśmy co prawda zmęczeni, ale odpoczniemy lepiej pod otwartym niebem – rzekł. – Nie przypuszczam, by któryś z was miał ochotę spędzić jeszcze jedną noc w Morii.

– Na pewno nie! – odparł Boromir. – Którym korytarzem pójdziemy? Tym na wschód?

– Może – powiedział Gandalf. – Ale nie wiem dokładnie, gdzie jesteśmy. Jeżeli nie mylę się grubo, powinniśmy być powyżej i na północ od Wielkiej Bramy; zapewne nie będzie łatwo znaleźć najprostszą drogę do niej. Możliwe, że wskazana okaże się wędrówka wschodnim korytarzem. Nim wszakże coś postanowimy, trzeba się trochę rozejrzeć. Chodźmy najpierw ku światłu północnego wyjścia. Jeżeli odkryjemy jakieś okno, ułatwi nam to orientację, lecz obawiam się, że to światło dochodzi tu przez szyb z góry.

Za przewodem Czarodzieja drużyna przeszła pod sklepieniem północnego wyjścia. Znaleźli się w szerokim korytarzu. W miarę jak się nim posuwali, blady pobrzask nabierał coraz większej jasności i wkrótce przekonali się, że płynie od prawej strony. Były tam drzwi wysokie, płasko sklepione, a ich kamienne skrzydło jeszcze się trzymało na zawiasach i było nieco uchylone. Światło, dość mdłe, wydawało się jednak oślepiające wędrowcom, którzy tak długo brnęli przez zupełne ciemności, toteż przestępując próg, wszyscy zmrużyli oczy.

Spod ich stóp wzniósł się pył, grubo zalegający podłogę; potykali się o jakieś przedmioty rozrzucone pod drzwiami, nie mogąc zrazu rozróżnić ich kształtów. Światło padało do wnętrza sali przez szeroki komin wycięty pod stropem w przeciwległej wschodniej ścianie; komin biegł ukośnie i w jego wlocie, gdzieś bardzo wysoko, dostrzegli mały kwadracik błękitnego nieba. Promień światła padał prosto na stół umieszczony pośrodku izby; był to lity podłużny blok, wzniesiony o dwie stopy nad podłogę, na nim zaś duża płyta z białego kamienia.

– To wygląda jak grobowiec – szepnął Frodo i tknięty dziwnym przeczuciem pochylił się nad stołem, żeby go obejrzeć z bliska. Gandalf prędko przysunął się do hobbita. Na płycie głęboko ryte znaki runiczne układały się w taki napis:

– To pismo Daerona, używane ongi w Morii – powiedział Gandalf. – W języku krasnoludów i ludzi napisane jest:

BALIN SYN FUNDINA
WŁADCA MORII

– A więc umarł! – rzekł Frodo. – Tego się właśnie obawiałem.

Gimli zasłonił twarz kapturem.

ROZDZIAŁ 5
MOST W KHAZAD-DÛM

Drużyna Pierścienia stała w milczeniu nad grobem Balina. Frodo wspominał Bilba, jego dawną przyjaźń z krasnoludem i odwiedziny Balina w Shire przed laty. Tu, w zakurzonej górskiej sali, wydawało mu się, że wszystko to działo się przed tysiącem lat i na innym świecie.

Wreszcie odstąpili od grobu, rozejrzeli się wkoło i zaczęli przeszukiwać salę, mając nadzieję znaleźć coś, co wyjaśni los, jaki spotkał Balina i jego współbratymców. We wschodniej ścianie, poniżej komina, były drugie, mniejsze drzwi. Pod nimi, tak samo jak pod pierwszymi, leżało w pyle mnóstwo kości, a wśród nich połamane miecze, strzaskane głowice toporów, pęknięte tarcze i hełmy. Były też krzywe szable i broń orków o sczerniałych ostrzach.

Odkryli w skalnych ścianach wykute nisze, w których stały ogromne, żelazem okute drewniane skrzynie. Wszystkie porąbane i puste. Tylko w jednej pod rozbitym wiekiem zachowały się szczątki księgi. Była pocięta, pokłuta, częściowo spalona i tak zamazana czarnymi i brunatnymi plamami – jakby zeschłej dawno krwi – że niewiele dało się z niej wyczytać. Gandalf wziął ją do ręki bardzo ostrożnie, lecz mimo to kartki pękały z chrzęstem, gdy ją składał na płycie. Dość długo Czarodziej ślęczał bez słowa nad tą księgą. Frodo i Gimli, stojąc przy nim, widzieli, gdy delikatnie przewracał stronice, że są zapisane różnymi charakterami pisma, przeważnie runami używanymi w Morii i w Dal, niekiedy zaś alfabetem elfów.

Wreszcie Gandalf podniósł wzrok znad księgi.

– To kronika plemienia Balina – rzekł. – Zaczyna się, o ile rozumiem, od przybycia do Doliny Półmroku mniej więcej przed trzydziestu laty. Zdaje się, że cyfry na poszczególnych stronach oznaczają kolejne lata pobytu w Morii. Pierwszą kartkę opatrzono cyframi 1–3, więc co najmniej dwóch początkowych brak.

Słuchajcie!

Przepędziliśmy orków z wielkiej bramy i ze straż… Zatarte, ale pewnie ma być: **strażnicy. Mnóstwo ich usiekliśmy w świetle słońca w…** Zaraz, zaraz… Chyba: **w dolinie. Flói poległ od strzały. On to zabił**

największego… Potem czarna plama, a dalej: **Flói pogrzebany pod trawą nad Jeziorem Zwierciadlanym**. Następnych dwóch wierszy nie sposób odczytać. I znowu: **Zajęliśmy dwudziestą pierwszą salę w północnym skrzydle. Jest tam…** Nie, nie mogę odcyfrować. Wzmianka o jakimś szybie… Dalej: **Balin obrał na swoją stałą kwaterę Salę Mazarbul…**

– Salę Kronik – rzekł Gimli. – To pewnie właśnie ta komnata.

– No tak… Dość długi fragment nieczytelny – ciągnął Gandalf – widzę tylko pojedyncze wyrazy: **złoto… Topór Durina… hełm.** A tu napisano: **Balin został teraz władcą Morii**. Tym kończy się rozdział. Odstęp, kilka gwiazdek, pismo zmienione: **znaleźliśmy szczere srebro**, a potem… ach, tak! **mithril**. Ostatnie dwa wiersze wyraźniejsze:… **Óin na poszukiwanie górnej zbrojowni w trzecim podziemiu…** zamazane słowo, ktoś **wyruszył ku zachodowi**, ale nie wiadomo kto… Znów plama, potem: **do Bramy Hollinu.**

Gandalf umilkł i przerzucił kilka kartek.

– Wiele stronic podobnych do siebie, zapisanych pospiesznym pismem i bardzo uszkodzonych – rzekł. – Niewiele widzę w tym oświetleniu. Dalej z pewnością sporo kartek brakuje, bo tu mamy cyfrę 5, a więc chyba piąty rok od założenia kolonii w Morii. Niechże się przyjrzę… Nie, papier zanadto jest pocięty i zbrukany, nic nie odczytam. Może przy świetle słonecznym uda się nam to lepiej. Czekajcie! Tu coś widzę… Duże, śmiałe pismo, alfabetem elfów.

– To charakter pisma Oriego – odezwał się Gimli, zaglądając przez ramię Czarodzieja. – Ori pisał biegle i lubił używać pisma elfów.

– Niestety, pięknym pismem utrwalił złe wieści – rzekł Gandalf. – Pierwsze wyraźne słowo to **smutek**, ale dalej cały wiersz zamazany, kończy się na **oraj…** Tak, to z pewnością znaczy **wczoraj**, bo w następnym wierszu widzę: **to jest dziesiątego grudnia, Balin, władca Morii, poległ w Dolinie Półmroku. Wyszedł samotnie popatrzeć na Jezioro Zwierciadlane, zabił go strzałą ork zaczajony za kamieniem, usiekliśmy tego orka, ale wielu innych… ze wschodu, znad górnego biegu Srebrnej Żyły…** Cały dół kartki tak jest zbutwiały, że ledwie kilka słów mogę odróżnić: **zabarykadowaliśmy bramy…** a potem: **będziemy mogli długo stawiać opór, jeżeli…** Dalej, jeśli się nie mylę, jest wyraz: **straszliwy…** i **cierpienie**. Biedny Balin! Można z tego wnioskować, że godność Władcy

Morii piastował przez niespełna pięć lat. Co też stało się później? Ale nie mamy czasu na rozwiązanie łamigłówki kilku pozostałych kartek. Weźmy od razu ostatnią…

Znowu umilkł na chwilę. Westchnął ciężko.

– Smutna historia – rzekł wreszcie. – Obawiam się, że spotkał ich okropny koniec. Słuchajcie! **Nie możemy się wydostać. Nie ma wyjścia. Zajęli most i drugą salę. Frár, Lóni i Náli zginęli**. Potem cztery wiersze nieczytelne, prócz tych słów: **odszedł pięć dni temu.** Ostatni wiersz brzmi: **woda sięga do murów Zachodniej Bramy. Czatownik z Wody porwał Óina. Nie możemy się wydostać. Zbliża się koniec…** Dalej: **bębny, bębny grają w głębinach…** Co to może znaczyć? Ostatnie słowa nakreślone widocznie w pośpiechu, pismem elfów: **już nadchodzą**… Więcej nie ma nic.

Gandalf umilkł i pogrążył się w myślach. Wszystkich dreszcz przebiegł od grozy, jaką wiało z kątów pieczary.

– „Nie możemy się wydostać” – mruknął Gimli. – Nam się udało dlatego, że woda trochę opadła i że Czatownik zaspał u jej południowego brzegu.

Gandalf podniósł głowę i rozejrzał się po sali.

– Do ostatka bronili tych dwóch wejść – rzekł. – Ale wtedy była ich już tylko garstka. Tak się skończyła próba odzyskania Morii. Próba odważna, lecz szalona. Jeszcze nie czas na to! Teraz niestety musimy pożegnać Balina, syna Fundina. Niech spoczywa w domu swoich ojców. Weźmiemy z sobą tę księgę, Księgę Mazarbul, żeby ją potem dokładnie przestudiować. Pilnuj jej, Gimli, a jeśli to będzie możliwe, oddaj ją Dáinowi. Dla niego jest szczególnie ciekawa, chociaż zasmuci go bardzo. Chodźmy! Ranek już mija.

– Którą drogą pójdziemy? – spytał Boromir.

– Wracamy do poprzedniej sali – odparł Gandalf. – Nie strwoniliśmy jednak czasu, odwiedzając tę. Teraz wiem, gdzie jesteśmy. Gimli ma rację: to jest Sala Mazarbul, a miejsce, w którym nocowaliśmy, to dwudziesta pierwsza sala północnego skrzydła. Z tego wniosek, że należy z niej wyjść przez wschodnie drzwi i kierować się na prawo, ku południowi i w dół. Dwudziesta pierwsza sala znajduje się, o ile pamiętam, na siódmym

poziomie, to znaczy o sześć pięter powyżej Bramy. Dalejże! Wracamy do sali.

Ledwie Gandalf wymówił te słowa, gdy rozległ się straszliwy dźwięk: grzmiące dum, dum dobiegło jak gdyby z głębi podziemi, aż skała zadrżała pod stopami wędrowców. Wszyscy w przerażeniu rzucili się do drzwi. Nowy grzmot – dum, dum – przetoczył się, jakby pięści olbrzymów waliły w wydrążone skały Morii niby w ogromny bęben. Potem rozniósł się echem głos rogu. W sali ktoś zadął potężnie w róg, a z daleka odpowiedziały mu inne rogi i ochrypłe wrzaski. Korytarze dudniły jakby od spiesznych kroków tysięcy stóp.

– Nadchodzą! – krzyknął Legolas.

– Nie ma wyjścia – powiedział Gimli.

– Jesteśmy w pułapce! – zawołał Gandalf. – Ach, czemuż się nie pospieszyłem! Schwytali nas w potrzask tak, jak przed laty tamtych. Ale wtedy mnie tu nie było. Zobaczymy jeszcze…

Dum, dum – zagrzmiały bębny, aż zatrzęsły się ściany komory.

– Zatrzasnąć drzwi i zabarykadować! – krzyknął Aragorn. – Póki się da, nie zrzucajcie bagaży, może zdołamy się przebić.

– Nie! – rzekł Gandalf. – Nie powinniśmy dać się tu zamknąć. Niech wschodnie drzwi zostaną otwarte na oścież. Tamtędy uciekniemy, jeśli się uda.

Znów zagrał ochryple róg i buchnął przeraźliwy wrzask. Z korytarza dobiegł tupot nóg. Szczęknęły i zadzwoniły miecze, gdy je osaczeni dobyli z pochew. Glamdring zajaśniał bladym światłem, ostrze Żądła rozbłysło. Boromir podparł ramieniem zachodnie drzwi.

– Nie zamykajcie jeszcze! – powiedział Gandalf. Jednym skokiem znalazł się u boku Boromira i wyprostował się dumnie.

– Kto jesteście, że przychodzicie zakłócać spoczynek Balina, Władcy Morii?! – krzyknął donośnie.

W odpowiedzi ochrypły śmiech zagrzechotał, jakby gruz sypał się do studni. Ponad wrzaski wzbił się głos komendy. Dum, dum, dum – grzmiały gdzieś w dole bębny.

Szybkim ruchem Gandalf podsunął się do wąskiej szpary uchylonych drzwi i wytknął przez nią swoją różdżkę. Oślepiająca błyskawica oświetliła salę i prowadzący do niej korytarz. Czarodziej na sekundę wychylił głowę za drzwi. Jęknęły cięciwy, z głębi korytarza świsnęły strzały, Gandalf uskoczył wstecz.

– Orkowie, całą chmarą – rzekł. – Są między nimi olbrzymi, najzłośliwsi, czarni Urukowie z Mordoru. Na chwilę ich wstrzymałem, ale idą z nimi jeszcze jakieś inne stwory. Olbrzymi jaskiniowy troll, zdaje się, może nawet kilku. Odwrót tędy byłby beznadziejny.

– Wszystko jest beznadziejne, jeżeli idą także drugim korytarzem – powiedział Boromir.

– Z tej strony na razie nic nie słychać – odparł Aragorn, który nadsłuchiwał u wschodnich drzwi. – Tu korytarz opada w dół schodami i oczywiście nie prowadzi z powrotem do sali. Ale nie ma sensu uciekać na oślep, kiedy pościg jest tak blisko. Drzwi nie możemy zabarykadować. Klucz zgubiony, zamek strzaskany, a przy tym te drzwi otwierają się do wnętrza. Musimy najpierw jakimś sposobem wstrzymać nieprzyjaciela w rozpędzie. Jeszcze się ta Sala Mazarbul stanie dla nich postrachem! – dodał z zawziętością, próbując ostrze swego miecza, Andúrila.

Ciężkie kroki zadudniły w korytarzu. Boromir rzucił się na drzwi i zatrzasnął je własnym ciężarem, potem zaklinował odłamkami mieczy i kołkami. Drużyna cofnęła się pod przeciwległą ścianę. Lecz nie mogli jeszcze uciekać. Zachodnimi drzwiami wstrząsnął potężny cios, zaczęły się z wolna uchylać, ze zgrzytem odpychając kliny. Przez szparę, z każdą sekundą szerszą, wsunęła się olbrzymia ręka, potem ramię okryte ciemną skórą i zielonkawą łuską. Wielka, płaska, pozbawiona palców stopa wdarła się dołem. W korytarzu zaległa cisza.

Boromir skoczył naprzód i rąbnął z całej siły, ale miecz z brzękiem wypadł mu z dłoni, odbiwszy się od ramienia poczwary. Ostrze było wyszczerbione.

Nagle w sercu Froda – ku jego wielkiemu zdumieniu – zawrzał straszliwy gniew.

– Za Shire! – krzyknął. Jednym susem podbiegłszy do Boromira, schylił się i dźgnął potworną stopę Żądłem. Rozległ się ryk, noga cofnęła się gwałtownie, omal nie wyrywając mieczyka z dłoni hobbita. Czarna posoka

ściekała z ostrza i dymiła na podłodze. Boromir naparł na drzwi i zatrzasnął je znowu.

– Niech żyje Shire! – krzyknął Aragorn. – Dobrze gryzą hobbici. Masz wspaniałą broń, Frodo, synu Droga.

Coś ciężkiego huknęło o drzwi raz, i drugi i trzeci. Tarany i młoty waliły w nie z rozmachem. Drzwi trzasnęły, zachwiały się, otworzyła się w nich szeroka szpara. Bzyknęły strzały, ale odbiły się od północnej ściany i nie czyniąc nikomu, szkody spadły na ziemię. Róg zagrał, orkowie jeden za drugim z tupotem wskakiwali do sali. Ilu ich było, nikt spośród drużyny nie liczył. Natarli jak burza, ale nie spodziewali się tak zaciętego oporu. Legolas z łuku przestrzelił niejedną gardziel. Gimli toporem odrąbał nogi orkowi, który skoczył na grób Balina. Boromir i Aragorn położyli wielu. Gdy padł trzynasty, reszta umknęła z wrzaskiem; obrońcy nie ponieśli strat, tylko Sam miał draśniętą czaszkę. Uratował życie, dając nura ku ziemi; Sam zresztą także zabił jednego z napastników, dźgnąwszy go potężnie sztyletem zabranym spod Kurhanu. Piwne oczy Sama płonęły takim ogniem, że gdyby go w tej chwili zobaczył Ted Sandyman, pewnie by się cofnął z respektem.

– Teraz! – krzyknął Gandalf. – W nogi, zanim troll powróci!

Nie zdążyli jednak uciec daleko, Pippin i Merry nie dobrnęli jeszcze do schodów, kiedy już ogromny przywódca orków, wzrostem dorównujący niemal ludziom, od stóp do głów zakuty w czarną zbroję, wpadł do sali. Za nim cisnęli się w drzwi jego podkomendni. Miał smagłą, szeroką, płaską gębę, ślepia jak dwa węgle, jęzor czerwony. Wymachiwał długą dzidą. Wielką, obitą skórą tarczą odepchnął miecz Boromira, rzucił się na wojownika i obalił go. Błyskawicznie jak żmija, kiedy atakuje, uchylił się od ciosu Aragorna i natarł na Drużynę, godząc dzidą prosto we Froda. Frodo, trafiony w prawy bok, pchnięty pod ścianę, oparł się o nią jak przygwożdżony. Sam z krzykiem ciął drzewce dzidy; złamało się od ciosu. Lecz w momencie gdy ork, odrzucając ułamek drzewca, dobył krzywej szabli – na głowę jego runął Andúril. Hełm rozbłysnął jak płomień i pękł na dwoje. Ork zwalił się z rozpłataną czaszką. Jego podkomendni z wyciem rzucili się do ucieczki, kiedy Boromir i Aragorn na nich natarli.

Dum, dum – odezwały się w podziemiach bębny. Znowu zagrzmiał potężny głos.

– Teraz! – krzyknął Gandalf. – Ostatnia szansa! W nogi!

Aragorn uniósł w ramionach Froda, który leżał pod ścianą, i ruszył w stronę schodów, popychając przed sobą Merry’ego i Pippina. Inni biegli za nim, ale Gimlego musiał Legolas odciągnąć przemocą, bo nie pomnąc na niebezpieczeństwo, krasnolud klęczał z pochylonym czołem przy grobie Balina. Boromir zamknął wschodnie drzwi, które zgrzytnęły w zawiasach; po obu stronach opatrzone były ogromnymi żelaznymi pierścieniami, lecz nie miały zamka ani zasuwy.

– Nic mi nie jest – szepnął Frodo. – Mogę iść sam. Puść mnie!

Aragorn ze zdumienia omal go nie upuścił na ziemię.

– Myślałem, że nie żyjesz! – krzyknął.

– Jeszcze nie! – rzekł Gandalf. – Ale nie czas teraz na podziwianie tego cudu. Naprzód, wszyscy schodami w dół! Potem chwilę zaczekajcie na mnie, a jeślibym się nie zjawiał zbyt długo, idźcie dalej sami. Spieszcie się i wybierajcie drogę wciąż w prawo i w dół.

– Nie możemy cię zostawić, żebyś w pojedynkę bronił drzwi – powiedział Aragorn.

– Róbcie, jak kazałem! – fuknął Gandalf. – Miecze już się na nic nie zdadzą. Ruszajcie!

W korytarzu nie było żadnego świetlika i zalegały nieprzeniknione ciemności. Omackiem zstępowali dość długo po schodach, wreszcie przystanęli, by się obejrzeć. Nie widzieli nic, prócz nikłego światełka różdżki, błyskającej gdzieś wysoko w górze. Czarodziej czuwał widać wciąż bez ruchu pod zamkniętymi drzwiami. Frodo, ciężko dysząc, wspierał się na ramieniu Sama, który go obejmował wpół. Stali u stóp schodów, wbijając oczy w mrok rozpostarty nad ich głowami. Frodowi zdawało się, że słyszy głos Gandalfa, pomruk odbijający się echem niby westchnienie od skośnego stropu. Słów jednak nie mógł rozróżnić. Ściany jak gdyby dygotały lekko. Co chwila odzywały się bębny i grzmotem przetaczało się: dum… dum…

Nagle u szczytu schodów wystrzeliła biała błyskawica. Potem rozległo się głuche dudnienie i ciężki łomot. Głos bębnów buchnął wściekle: dum – bum, dum – bum – i urwał się znienacka. Z góry pędem zbiegł Gandalf i padł między towarzyszy na ziemię.

– No! Skończone! – powiedział, wstając z wysiłkiem. – Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Ale trafiłem na równego sobie przeciwnika i omal nie zginąłem. Nie stójmy tutaj! Naprzód! Na razie musicie się obejść bez światła, jestem trochę oszołomiony. Naprzód! Naprzód! Gimli, gdzie jesteś? Pójdziesz na czele razem ze mną. A wy wszyscy trzymajcie się tuż za nami.

Brnęli za Czarodziejem, próżno łamiąc sobie głowy, co się tam na górze naprawdę stało. Dum… dum… – grały znowu bębny; ich dźwięk dochodził teraz stłumiony, odległy, ale wciąż biegł śladem uciekających. Innych sygnałów pościgu, tupotu nóg czy głosów, nie było słychać. Gandalf nie skręcał ani w lewo, ani w prawo, bo korytarz, jak się zdawało, prowadził wprost w kierunku, który sobie wytknęli. Od czasu do czasu schodami, po kilkudziesięciu stopniach, zbiegał na niższy poziom. Stanowiło to tymczasem największe niebezpieczeństwo marszu, bo nie widząc nic w ciemnościach, tracili nagle ziemię pod nogami. Gandalf jak ślepiec macał przed sobą drogę różdżką.

W ciągu godziny uszli w ten sposób milę czy może nieco więcej i mieli za sobą wiele pięter. Wciąż jeszcze nie słychać było pogoni. Zaczynała im już świtać odrobina nadziei. U stóp siódmych schodów Gandalf przystanął.

– Robi się gorąco! – szepnął. – Jesteśmy chyba teraz na poziomie bramy. Myślę, że wkrótce trzeba będzie poszukać drogi w lewo, ku wschodowi. Spodziewam się, że to już niedaleko. Bardzo się czuję znużony. Muszę chwilę wytchnąć, choćby wszyscy orkowie, jakich ziemia spłodziła, deptali nam po piętach.

Gimli ujął Czarodzieja pod ramię i pomógł mu usadowić się na stopniu schodów.

– Co tam się stało pod drzwiami? – spytał. – Czy spotkałeś się z kapelmistrzem tej orkiestry?

– Nie wiem – odparł Gandalf. – Stanąłem twarzą w twarz z czymś, czego w życiu jeszcze nie spotkałem. Nie przychodziła mi na myśl żadna inna rada, więc próbowałem zakląć drzwi, żeby się nie otwarły. Znam wiele czarodziejskich formuł. Ale trzeba pewnego czasu, by czar się utrwalił, zresztą nawet wtedy można roztrzaskać drzwi siłą.

Stałem tam i słyszałem głosy orków po drugiej stronie. W pewnym momencie zdało mi się, że już wysadzają drzwi. Nie mogłem zrozumieć, co

mówili w swoim okropnym języku. Ułowiłem wszakże jedno słowo: *ghâsh* – to znaczy ogień. Wtem coś weszło do sali, wyczułem to przez drzwi, a nawet orkowie struchleli ze strachu i umilkli. To coś chwyciło za żelazny pierścień i wówczas spostrzegło moją obecność i zrozumiało, że to mój czar trzyma drzwi.

Nie mam pojęcia, co to było, ale nigdy jeszcze nie rzucono mi równie groźnego wyzwania. Mojemu zaklęciu przeciwstawiło się inne ze straszliwą mocą. Omal mnie nie złamało. Była sekunda, gdy drzwi, buntując się przeciw mej władzy, zaczęły się uchylać. Musiałem wymówić słowo Rozkazu. Drzwi nie wytrzymały okropnego napięcia, pękły, rozpadły się na kawałki. Jakby czarna chmura przesłoniła mi oświetloną salę i odrzuciła mnie aż do stóp schodów. Runęła cała ściana i strop sali, jak się zdaje.

Obawiam się, że Balin został głęboko zagrzebany pod gruzami, a z nim razem coś jeszcze. Nie wiem nic pewnego. W każdym razie przejście za nami jest zawalone. Nigdy jeszcze nie czułem się tak doszczętnie wyczerpany, ale to już mija. Teraz kolej na ciebie, Frodo! Jak się miewasz? Nie pamiętam, żebym się kiedykolwiek w życiu tak ucieszył, jak w chwili kiedy przemówiłeś. Obawiałem się, że Aragorn dźwiga mężnego, lecz nieżywego hobbita!

– Jak się miewam? – rzekł Frodo. – Jestem żywy i cały, zdaje się. Trochę potłuczony tylko i obolały, ale nie za bardzo.

– Ano – odezwał się Aragorn – muszę przyznać, że nie spotkałem istot ulepionych z tak twardej gliny jak hobbici. Gdybym o tym wcześniej wiedział, ostrożniej bym do was podchodził w gospodzie „Pod Rozbrykanym Kucykiem”. Takie pchnięcie dzidy przebiłoby nawet odyńca na wylot.

– A mnie jakoś nie przebiło, co sobię bardzo chwalę – odparł Frodo – chociaż czuję się trochę tak, jakby mnie młotem przyklepano do kowadła.

Nic ponadto nie chciał mówić. Każdy oddech sprawiał mu ból.

– Masz to po wuju – rzekł Gandalf. – W obu was tkwi coś więcej, niż się na pozór wydaje, dawno to zauważyłem.

Frodo nie był pewien, czy i w tych słowach nie tkwiło coś więcej, niżby się mogło na pozór zdawać.

Ruszyli znowu. Po chwili Gimli, który nawet w ciemnościach widział dobrze, powiedział:

– Jakieś światło chyba jest przed nami. Ale nie światło dnia. Czerwone. Co to może być?

– *Ghâsh!* – mruknął Gandalf. – Czy nie to właśnie mieli tamci na myśli? Ogień na dolnych poziomach! Nie ma wyboru, musimy iść naprzód.

Wkrótce nikt już nie miał wątpliwości, wszyscy dostrzegali światło. Migotało i rzucało odblask na ściany korytarza ciągnącego się przed nimi. Teraz widzieli już drogę, którą mieli przebyć. Korytarz opadał stromo, nieco dalej zarysowywał się niski łuk sklepienia, a spod niego dobywała się łuna. Powietrze niemal parzyło.

Kiedy zbliżyli się do sklepienia, Gandalf wsunął się w otwarte pod nim przejście, dając towarzyszom znak, by czekali. Widzieli z daleka czerwony odblask, który padał na jego twarz. Czarodziej cofnął się szybko.

– Jakaś nowa sztuczka diabelska – powiedział – przygotowana na nasze powitanie, oczywiście. Ale teraz wiem, gdzie jesteśmy: przy pierwszym szybie, o jeden poziom niżej od Bramy. To Druga Sala Morii, Brama już blisko, o jakieś ćwierć mili w lewo za zakrętem na wschód. Przejdziemy mostem, szerokimi schodami pod górę, wygodną dróżką przez Pierwszą Salę – i wyjdziemy z Morii! Ale spójrzcie!

Zajrzeli pod sklepienie. Przed nimi ciągnęła się nowa, wykuta w skałach hala, wyższa i dłuższa od tej, w której poprzednio odpoczywali. Znajdowali się u wejścia do jej wschodniego końca; zachodni ginął w ciemnościach. Przez środek biegł podwójny szereg olbrzymich filarów. Wyciosano je na kształt pni potężnych drzew, których kamienne konary podpierały strop, rozgałęziając się w wypukły wzór. Na gładkiej czarnej powierzchni tych pni lśnił ciemnoczerwony odblask. W podłodze tuż u stóp dwóch wspaniałych filarów ziała szeroka szczelina. Biło z niej jaskrawe czerwone światło, a chwilami płomienie lizały jej krawędzie i pięły się na cokoły filarów. Smugi czarnego dymu snuły się w rozprażonym powietrzu.

– Gdybyśmy tu doszli główną drogą przez górne sale, znaleźlibyśmy się w pułapce – rzekł Gandalf. – Miejmy nadzieję, że teraz ogień odgradza nas od pogoni. Chodźcie! Nie ma czasu do stracenia.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy znów rozbrzmiał nieprzyjacielski sygnał: dum… dum… dum.. Gdzieś z głębi mroków, z zachodniego końca

sali buchnęły wrzaski, zagrały rogi. Dum… dum… Zdawało się, że filary drżą, a płomienie trzepoczą.

– Prędzej, to ostatni etap wyścigu! Jeżeli słońce jeszcze nie zaszło na świecie, możemy ujść cało. Za mną!

Skręcił w lewo i pędem puścił się przez gładką podłogę sali. Odległość była większa, niż się z daleka wydawało. Biegli ścigani głosem bębnów i tupotem mnóstwa nóg. Usłyszeli przeraźliwy okrzyk: a więc ich dostrzeżono! Szczęknęła stal. Strzała świsnęła Frodowi nad głową.

Boromir roześmiał się.

– Tego się nie spodziewali! – rzekł. – Ogień odciął im drogę. Zeszliśmy od nieprzewidzianej strony.

– Uwaga! – krzyknął Gandalf. – Most przed nami. Jest niebezpieczny i wąski.

Nagle Frodo zobaczył u swych stóp ziejącą otchłań. U krańca sali podłoga urywała się nad niezgłębioną przepaścią. Jedyną drogę do zewnętrznych drzwi stanowił smukły kamienny most, bez krawężników i poręczy; wygięty łuk, spinający dwa brzegi czeluści, mierzył około pięćdziesięciu stóp. W ten sposób przed wiekami krasnoludowie zabezpieczyli swoją siedzibę od nieprzyjaciół, którzy by wdarli się od Pierwszej Sali i zewnętrznych korytarzy. Tu można było iść tylko pojedynczą kolumną. Na skraju mostu Gandalf zatrzymał się, drużyna skupiła się za jego plecami.

– Prowadź, Gimli – rzekł Czarodziej. – Następni pójdą Pippin i Merry. Prosto naprzód, po schodach ku drzwiom.

Kilka strzał padło między stłoczoną drużyną. Jedna trafiła Froda, ale odbiła się, nie czyniąc mu szkody. Inna utkwiła w kapeluszu Gandalfa niby czarne pióro. Frodo obejrzał się: za szczeliną buchającą ogniem czerniał rój postaci, setki orków. Wymachiwali dzidami i krzywymi szablami, które błyszczały krwawo w łunie pożaru. Dum… dum… grały bębny, a głos ich potężniał z każdą sekundą.

Legolas naciągnął cięciwę, chociaż odległość była wielka, a jego łuk mały. Wymierzył, lecz ręce mu opadły, strzała wyśliznęła się na ziemię. Okrzyk rozpaczy i trwogi wyrwał mu się z piersi. Dwa trolle wysunęły się, dźwigając olbrzymie kamienne płyty, żeby przerzucić je niby kładkę nad ogniem. Lecz nie trolle przeraziły elfa. Za nimi nadchodził ktoś inny. Nie

było go jeszcze widać, majaczyła tylko pośród ogromnego cienia czarna sylwetka z kształtu podobna do ludzkiej, lecz większa; siła i groza tchnęły z tego stwora i wyprzedzały go, gdziekolwiek szedł.

Zatrzymał się nad skrajem ognistej czeluści i zaraz łuna przygasła, jakby ją chmura otuliła. Potem zebrał się i skoczył nad szczeliną. Płomienie strzeliły ku górze jakby na powitanie i oplotły go wieńcem. Czarny dym zawirował w powietrzu. Rozwiana grzywa potwora tliła się, sypiąc iskrami. W prawym ręku miał sztylet wąski i ostry jak płomienny jęzor. W lewym dzierżył bicz wielorzemienny.

– Aaa! – jęknął Legolas. – Balrog! Balrog idzie!

Gimlemu oczy omal nie wyszły z orbit.

– Zguba Durina! – krzyknął i wypuszczając z garści topór, ukrył twarz w dłoniach.

– Balrog! – mruknął Gandalf. – Teraz wszystko rozumiem. – Zachwiał się i ciężko oparł na różdżce. – Biada nam! A taki już jestem zmęczony!

Czarna postać w ognistej łunie pędziła ku nim. Orkowie wśród wrzasków przerzucali kamienne mosty przez szczelinę. Wtem Boromir podniósł swój róg do ust i zagrał. Rycerskie wyzwanie zadźwięczało donośnie i niby krzyk dobyty z wielu piersi wzbiło się pod strop pieczary. Na mgnienie oka orkowie cofnęli się, a płomienny cień przystanął. Lecz echo rogu zmilkło nagle jak ogień zdmuchnięty potężną wichurą i wróg znów ruszył naprzód.

– Za most! – krzyknął Gandalf, odzyskując energię. – Uciekajcie! Z tym przeciwnikiem żaden z was nie może się mierzyć. Ja sam zagrodzę wąską drogę. Uciekajcie!

Aragorn i Boromir, jakby nie słyszeli rozkazu Czarodzieja, trwali ramię przy ramieniu tuż za Gandalfem u drugiego końca mostu. Inni, już w drzwiach, zawrócili, nie mogąc się zgodzić, by ich przywódca samotnie stawiał czoło nieprzyjacielowi.

Balrog już dosięgnął mostu. Gandalf stał teraz pośrodku wypukłego przęsła, lewą ręką wsparty na różdżce, w prawej wznosząc miecz. Glamdring lśnił zimnym, białym światłem. Napastnik raz jeszcze przystanął twarzą w twarz z Czarodziejem. Cień rozpostarł się nad nim na kształt dwóch ogromnych skrzydeł. Potwór wzniósł bicz, rzemienie świsnęły i

zachrzęściły. Z nozdrzy Balroga buchnął ogień. Ale Gandalf nie drgnął nawet.

– Nie przejdziesz – powiedział. Orkowie zastygli bez ruchu, zapadła głucha cisza. – Jam jest sługa Tajemnego Ognia, władam płomieniem Anoru. Nie przejdziesz. Czarny ogień na nic ci się nie przyda, płomieniu z Udûnu. Wracaj w cień! Nie przejdziesz!

Balrog nie odpowiedział. Ogień jego jak gdyby przygasł, lecz ciemności dokoła jeszcze zgęstniały. Z wolna wstąpił na most i nagle wyrósł na olbrzyma, a rozpostarte skrzydła wypełniły przestrzeń od ściany do ściany. Lecz Gandalf stał wciąż, lśniąc w mroku. Zdawał się mały i bardzo samotny, siwy, zgarbiony, jak zwiędłe drzewo przygięte pierwszym podmuchem burzy.

Z ciemności wybłysnęło płomienne czerwone ostrze.

Glamdring zaświecił jasno w odpowiedzi.

Szczęknęła stal, mignęła biała błyskawica. Balrog padł na wznak, jego ognisty sztylet rozprysnął się w kawałki. Czarodziej chwiał się pośrodku przęsła. Zrobił krok wstecz i znowu stanął pewnie.

– Nie przejdziesz! – powtórzył.

Jednym susem Balrog zerwał się i wskoczył na most. Bicz ze świstem zawirował w powietrzu.

– Nie, on nie będzie walczył tak sam jeden! – krzyknął niespodzianie Aragorn i wbiegł na most od drugiego końca. – Elendil! – zawołał. – Jestem z tobą, Gandalfie!

– Gondor! – huknął Boromir i rzucił się w ślad za Aragornem.

W tym momencie Gandalf podniósł różdżkę i z głośnym okrzykiem smagnął nią most przed sobą. Różdżka pękła i wypadła mu z dłoni. Oślepiający biały płomień buchnął w powietrze. Most zatrzeszczał i tuż u stóp Balroga załamał się nagle. Kamień, na którym potwór opierał nogę, stoczył się w przepaść, druga połowa mostu została, lecz zawisła niby wysunięty język skały nad próżnią.

Z okropnym wrzaskiem Balrog runął głową naprzód, a za nim zapadł się jego cień. Lecz w ostatniej sekundzie potwór machnął biczem; rzemienie owinęły się wokół nóg Czarodzieja, ściągając go na krawędź czeluści. Gandalf zakołysał się i runął także; usiłował chwytać się kamieni, lecz

daremnie; osuwał się w otchłań. – Uciekajcie, szaleńcy! – krzyknął jeszcze i zniknął.

Ognie pogasły, zaległy nieprzeniknione ciemności. Drużyna, jakby w skałę wrosła ze zgrozy, stała wpatrzona w ziejącą czeluść. Ledwie Aragorn i Boromir zdążyli zbiec z mostu, resztka przęsła runęła z trzaskiem. Krzyk Aragorna zbudził drużynę z osłupienia.

– W drogę! Teraz ja poprowadzę! – zawołał. – Musimy spełnić jego ostatni rozkaz. Za mną!

Rzucili się ku schodom, które zaraz za drzwiami sali pięły się w górę. Aragorn na czele, Boromir na końcu kolumny. U szczytu schodów ujrzeli szeroki, dudniący echem korytarz. Tędy pobiegli dalej. Frodo słyszał tuż obok szloch Sama i nagle uświadomił sobie, że także płacze. Dum… dum… dum… grzmiały bębny, lecz teraz powolnym, żałobnym rytmem. Dum…

Biegli bez tchu. Korytarz rozjaśniał się, wykute w stropie kominy doprowadzały tu z góry światło. Przyspieszyli jeszcze kroku. Znaleźli się w sali pełnej blasku dnia, błyszczącego na wschodzie. Minęli ją pędem, wypadli przez ogromne wyłamane drzwi i nagle ukazała im się Wielka Brama, otwarty wylot ku jaskrawemu światłu.

W cieniu wielkich słupów po obu stronach bramy czaili się orkowie strażujący u wyjścia. Brama była jednak rozbita, oba skrzydła leżały strzaskane na ziemi. Aragorn powalił dowódcę, który mu zastąpił drogę, inni wartownicy rozpierzchli się w panice. Cała drużyna, na nic nie zważając, minęła straże. Za bramą wielkimi susami zbiegli po ogromnych, zniszczonych zębem czasu schodach, które stanowiły próg Morii.

W ten sposób znaleźli się znów pod jasnym niebem, którego nie spodziewali się już ujrzeć, i poczuli oddech wiatru na twarzach.

Nie zatrzymali się, póki nie oddalili się tak od ścian Morii, że już nie mogły ich dosięgnąć strzały. Otaczała ich Dolina Półmroku. Leżał na niej cień Gór Mglistych, lecz od wschodu złociło ją światło. Była ledwie pierwsza po południu. Słońce świeciło, górą po niebie płynęły białe obłoki.

Spojrzeli za siebie: w cieniu gór czerniał wylot bramy. Spod ziemi dobiegał odległy, stłumiony warkot bębnów: dum… Cienką smugą sączył się czarny dym. Poza tym nie było widać nikogo i nic, dolina zdawała się

pusta. Dum… Teraz dopiero mogli poddać się rozpaczy i płakali wszyscy długo: jedni wyprostowani i milczący, inni przypadłszy twarzą do ziemi. Dum… dum… Bębny ucichły.

ROZDZIAŁ 6
LOTHLÓRIEN

– Niestety, nie możemy tu się dłużej zatrzymać – rzekł Aragorn. – Popatrzył w stronę gór i zasalutował mieczem. – Żegnaj, Gandalfie! – zawołał. – Czyż ci nie powiedziałem: „Jeżeli przestąpisz próg Morii, strzeż się!”. Niestety! Sprawdziły się moje słowa. Jakaż nam bez ciebie zostaje nadzieja? – Odwrócił się do Drużyny. – Musimy się obejść bez nadziei. Może będziemy kiedyś pomszczeni. A teraz uzbrójmy się w męstwo i otrzyjmy łzy. Chodźcie! Przed nami daleka droga i wiele trudów.

Rozejrzeli się wokoło. Ku północy dolina między dwoma ramionami gór zwężała się w mroczny wąwóz, a nad nim sterczały trzy białe szczyty: Celebdil, Fanuidhol i Caradhras – łańcuch Morii. U wylotu wąwozu potok wił się niby biała wstążka, po niezliczonych, choć niskich progach spadając w dół, a mgła piany wzbijała się u podnóży gór.

– To Schody Półmroku – rzekł Aragorn, pokazując progi skalne. – Tędy, ścieżką, która prowadzi dnem jaru wzdłuż potoku, doszlibyśmy tutaj, gdyby los okazał się dla nas łaskawszy.

– Gdyby Caradhras był mniej okrutny – powiedział Gimli. – Patrzcie, teraz uśmiecha się w słońcu! – I pięścią pogroził ostatniemu z trzech okrytych śnieżną czapą wierchów, nim się od nich odwrócił.

Na wschód wyciągnięte ramię gór urywało się nagle, a dalej majaczyła rozległa równina. Na południu jak okiem sięgnąć Góry Mgliste ciągnęły się w dal. W odległości niespełna mili i nieco poniżej miejsca, na którym stali wędrowcy, bo zatrzymali się dość wysoko na zachodnim stoku doliny, błyszczał staw. Wydłużony, owalny, wyglądał jak wielkie ostrze włóczni wbite w głąb północnego wąwozu, tylko jego południowy skraj wymykał się z cienia gór pod słoneczne niebo. Woda jednak była ciemna, szafirowa jak firmament oglądany w pogodną noc z oświetlonej lampą izby. Spokojnej powierzchni nie mąciły zmarszczki fal. Zewsząd otaczała staw łąka, łagodnie zbiegając ku nagim, równym brzegom.

– Oto Jezioro Zwierciadlane, głębia Kheled-zâram! – rzekł Gimli ze smutkiem. – Pamiętam jego słowa: „Obyś nacieszył oczy tym widokiem, ale my nie będziemy mogli dłużej się tam zatrzymać”. A teraz wiem, że

daleko trzeba mi wędrować, nim się czymkolwiek ucieszę. I to ja muszę stąd spiesznie odejść, on zaś musi zostać!

Drużyna zaczęła schodzić drogą spod bramy. Droga, uciążliwa i wyboista, wkrótce zwęziła się i zmieniła w krętą ścieżynę wśród wrzosów i kęp janowca, wyrastających między spękanymi głazami. Lecz i teraz każdy by poznał, że ongi był to wspaniały bity gościniec, prowadzący z nizin w górę, do królestwa krasnoludów. Tu i ówdzie spotykali przy ścieżce ruiny kamiennych budowli, a na zielonych kopcach rosły wysmukłe brzozy lub sosny, wzdychające na wietrze. Ostry zakręt w lewo zbliżył ich tuż do łąki nad jeziorem; wznosił się w tym miejscu nieopodal ścieżki samotny głaz o ściętym płasko wierzchołku.

– Kamień Durina! – krzyknął Gimli. – Nie mogę stąd odejść, póki chociaż przez chwilę nie popatrzę na cuda tej doliny.

– Dobrze, lecz pospiesz się – odparł Aragorn, oglądając się na bramę. – Słońce teraz wcześnie zachodzi, orkowie zapewne nie wychyną spod ziemi przed zmrokiem, musimy jednak znaleźć się daleko stąd, nim ciemności zapadną. Księżyc dziś będzie mały, noc czeka nas czarna.

– Chodź ze mną, Frodo! – zawołał krasnolud, zeskakując w bok od drogi. – Nie pozwolę ci minąć Kheled-zâram bez jednego bodaj spojrzenia w jego zwierciadło.

Pobiegł zielonym stokiem w dół, a Frodo trochę wolniej ruszył za nim, bo ciągnęła go, mimo ran i zmęczenia, ta cicha błękitna woda. Sam szedł śladem swego pana.

Pod samotnym głazem Gimli przystanął, zadzierając głowę. Kamień był spękany i zniszczony od wichrów i deszczów, a runy na jego powierzchni zatarte tak, że nie dało się ich odczytać.

– Z tego miejsca Durin po raz pierwszy spojrzał w głąb stawu – rzekł krasnolud. – Zajrzyjmy w nią i my choć ten jeden jedyny raz, skoro musimy odejść.

Nachylili się nad ciemną wodą. Zrazu nie zobaczyli nic, potem z wolna ukazały im się sylwety gór odbite w szafirowej głębinie, ze szczytami niby pióropusze białych płomieni. Dalej rozciągała się przestrzeń niebios. Jak zatopione klejnoty skrzyły się w toni jasne gwiazdy, chociaż nad doliną

świeciło jeszcze słońce. Nie dostrzegli tylko cienia własnych schylonych postaci.

– O, Kheled-zâram, piękne, cudowne Zwierciadło! – westchnął Gimli. – Ty przechowujesz koronę Durina, póki król się nie zbudzi znowu! Żegnaj! – Skłonił się, odwrócił i spiesznie ruszył z powrotem zielonym stokiem ku drodze.

– Coście tam widzieli? – spytał Pippin Sama, lecz Sam, zatopiony w myślach, nic nie odpowiedział.

Ścieżka teraz skręcała na południe i opadała stromo, wymykając się spomiędzy ścian doliny. Nieco poniżej jeziora napotkali głębokie źródło, czyste jak kryształ, z którego przez kamienną cembrowinę przelewała się migotliwie struga i z pluskiem spływała w dół dnem skalistej rozpadliny.

– Stąd bierze początek Srebrna Żyła – powiedział Gimli. – Nie pijcie tej wody, jest zimna jak lód.

– Trochę dalej struga zmienia się już w bystrą rzekę i zbiera dopływy z wielu innych górskich potoków – rzekł Aragorn. – Będziemy szli jej brzegiem jeszcze przez kilka mil. Poprowadzę was bowiem drogą wybraną przez Gandalfa i mam nadzieję, że wkrótce dojdziemy na skraj lasów – są tam, przed nami! – w których Srebrna Żyła wpada do Wielkiej Rzeki.

Spojrzeli w kierunku, który im Aragorn wskazywał, i zobaczyli, że strumień w podskokach zbiega na dno doliny, a potem dalej ku nizinom i ginie w złocistej mgle.

– Tam też leżą lasy Lothlórien! – zawołał Legolas. – Najpiękniejsza z krain mojego plemienia! Nie masz w świecie całym drzew cudniejszych niż drzewa tych lasów. Albowiem jesienią liście z nich nie opadają, lecz powlekają się złotem. Dopiero z wiosną, gdy nabrzmiewają nowe pąki, stare liście lecą z gałęzi, na których rozkwitają tysiące żółtych kwiatów. Złota jest ziemia w lesie, złoty strop, a filary srebrne, bo pnie okrywa gładka, jasnoszara korona. Po dziś dzień śpiewamy o tym pieśni w Mrocznej Puszczy. Radowałoby się we mnie serce, gdybym mógł stanąć na progu tych lasów wiosną.

– Moje serce będzie im rade nawet jesienią – rzekł Aragorn. – Ale dzieli nas od nich jeszcze wiele mil. W drogę!

Czas jakiś Frodo i Sam nadążali za innymi, lecz Aragorn prowadził w takim tempie, że wkrótce odstali. Od świtu nic nie jedli. Cięcie na czaszce Sama piekło jak ogień, w głowie czuł dziwne odurzenie. Mimo że słońce grzało, wiatr przejmował chłodem po długim pobycie w gorących mrokach Morii. Hobbitem trzęsły dreszcze. Frodo, z każdym krokiem bardziej zbolały, z trudem chwytał dech w piersi.

Wreszcie Legolas obejrzał się, a zobaczywszy ich daleko w tyle pochodu, szepnął coś Aragornowi. Wszyscy się zatrzymali, Aragorn zaś podbiegł do dwóch maruderów, przywołując Boromira.

– Wybacz mi, Frodo! – krzyknął, bardzo przejęty. – Tyle się dzisiaj wydarzyło i tak ważny wydaje się pośpiech, że zapomniałem o twojej ranie i o ranie Sama. Czemużeście nic nie mówili? Nie opatrzyliśmy was, a należało to zrobić, choćby wszyscy orkowie z Morii nas gonili. Dalej! Jeszcze kilka kroków, a dojdziemy do miejsca, gdzie będzie można spocząć trochę. Wtedy postaram się wam dopomóc, na ile będę potrafił. Chodź no tu, Boromirze. Zaniesiemy ich.

Wkrótce stanęli nad drugim z kolei strumieniem, który spływał z zachodnich stoków i łączył swoje sperlone wody z bystrym nurtem Srebrnej Żyły. Oba potoki razem już spadały, pieniąc się, z omszałego kamiennego progu w kotlinkę; rosły na jej skraju jodły, niskie i krzywe, a na stokach paprocie i gęstwa borówek. Dno kotlinki stanowiło płaską polankę, którą potok przecinał, pluszcząc wśród lśniących drobnych kamieni. Tu drużyna zatrzymała się na popas. Była trzecia po południu, a zaledwie o kilka mil oddalili się od Bramy. Słońce już przechyliło się ku zachodowi.

Podczas gdy Gimli i dwaj młodzi hobbici rozniecali ogień z chrustu oraz jodłowych gałęzi i czerpali wodę, Aragorn opatrzył Sama i Froda. Rana Sama nie była głęboka, lecz jątrzyła się brzydko, toteż Aragorn badał ją z zatroskaną twarzą. Rozjaśnił się jednak zaraz.

– Masz szczęście, Samie – rzekł. – Niejeden zapłacił wyższą cenę za zabicie pierwszego w swym życiu orka. W twojej ranie nie ma trucizny, którą często bywają nasycone szable orków. Po moim opatrunku zgoi się bez śladu. Przemyjemy ją, niech tylko Gimli zagrzeje wodę. – Otworzył swą sakwę i wyjął z niej kilka zeschniętych liści. – Są suche i utraciły część swej mocy – rzekł – ale mam tu jeszcze trochę liści *athelas*, które zebrałem koło Wichrowego Czuba. Rozkrusz jeden i wrzuć go do wody, a potem przemyj ranę, a ja ci ją przewiążę. A teraz na ciebie kolej, Frodo!

– Nic mi nie jest – powiedział Frodo, nie miał bowiem ochoty zdradzać, co nosi pod kurtką. – Potrzeba mi tylko odrobiny jedzenia i odpoczynku.

– Nie! – rzekł Aragorn. – Musimy przekonać się, w jakim stanie wyszedłeś spomiędzy młota a kowadła. Nadziwić się nie mogę, że w ogóle żyjesz.

Delikatnie ściągnął z Froda starą kurtkę, a potem zniszczoną bluzę i aż krzyknął ze zdumienia. W końcu wybuchnął śmiechem. Srebrna kolczuga lśniła jak słońce na migotliwym morzu. Aragorn zdjął ją z hobbita ostrożnie i podniósł do góry, a wówczas drogie kamienie błysnęły niby gwiazdy, poruszone zaś pierścienie zaszemrały jak krople deszczu padające w jezioro.

– Spójrzcie, przyjaciele! – zawołał. – Oto piękna hobbicka skóra, godna księcia elfów! Gdyby świat wiedział, że taką powłokę cielesną noszą na sobie hobbici, wszyscy myśliwcy Śródziemia zbiegliby się do Shire’u!

– Ale strzały wszystkich myśliwców świata nic by nie wskórały – odparł Gimli, z zachwytem oglądając zbroję. – Kolczuga z *mithrilu! Mithril!* Nic równie pięknego w życiu nie widziałem. Czy to o tej zbroi Gandalf mówił? Jeśli tak, to nie docenił jej należycie. No, ale dostała się godnemu!

– Nieraz się zastanawiałem, jakie to sekrety mieliście z Bilbem, że się zamykaliście w jego pokoiku – rzekł Merry. – Zacny stary hobbit! Kocham go za ten dar tym serdeczniej. Mam nadzieję, że będziemy mogli kiedyś opowiedzieć mu tę historię.

Na prawym boku i na piersi Froda czerniał ogromny siniec. Kolczuga była wprawdzie podszyta miękką skórą, lecz w jednym miejscu pierścienie przedarły ją i wbiły się w ciało. Lewy bok również miał Frodo podrapany i stłuczony od gwałtownego uderzenia o mur. Podczas gdy część drużyny gotowała strawę, Aragorn przemył rany wodą, w której zaparzył liście *athelas*. Ostry aromat wypełnił kotlinkę, a ci, co się nachylili nad parującym kociołkiem, od razu poczuli się rzeźwiejsi i pokrzepieni.

Froda ból po chwili opuścił i hobbit mógł teraz oddychać bez trudu. Przez kilka dni jednak był jeszcze odrętwiały i odczuwał boleśnie najlżejsze nawet dotknięcie. Aragorn owinął mu boki miękkim bandażem.

– Kolczuga jest lekka jak piórko – rzekł. – Włóż ją z powrotem, jeżeli cię zbyt nie uraża. Spokojniejszy jestem o ciebie, skoro masz taką zbroję, nie zdejmuj jej nawet do snu, chyba że los zaprowadzi nas w jakieś

naprawdę bezpieczne miejsce. Ale to rzadko będzie się nam zdarzało podczas tej wyprawy.

Posiliwszy się, drużyna zaczęła zbierać się do dalszego marszu. Zgasili ognisko i zatarli po nim ślady. Potem wspięli się na skraj kotliny i znów znaleźli się na drodze. Nie uszli daleko, a już słońce skryło się za górami na zachodzie i wielkie cienie spełzły ze stoków. Brodzili w mroku, z wszystkich zagłębień terenu podnosiły się opary. Gdzieś na wschodzie blade światło wieczoru jeszcze jaśniało nad przymgloną, odległą równiną i lasem. Sam i Frodo czuli się teraz zdrowsi i silniejsi, toteż dotrzymywali kroku towarzyszom; toteż Aragorn w ciągu trzech godzin ledwie raz zatrzymał drużynę na krótki odpoczynek.

Ściemniło się, zapadła głęboka noc. Na niebie błyszczało mnóstwo gwiazd, lecz księżyc wzeszedł wąskim sierpem, i to bardzo późno. Gimli i Frodo szli ostatni, stąpając cicho i nie rozmawiając, nasłuchując szelestów na drodze za sobą. Wreszcie Gimli przerwał milczenie.

– Nic nie słychać prócz wiatru – powiedział. – Albo mam uszy z drewna, albo nie ma goblinów w pobliżu. Miejmy nadzieję, że orkowie poprzestaną na wypędzeniu nas z Morii. Kto wie, może o to tylko im chodziło i nie mają do nas innych pretensji, może nie wiedzą o Pierścieniu. Co prawda orkowie zwykle ścigają przeciwników na równinie, jeśli mają do pomszczenia śmierć swego wodza.

Frodo nic nie odpowiedział. Spojrzał na Żądło, lecz ostrze było matowe. A jednak coś dosłyszał, przynajmniej tak mu się zdawało. Ledwie cienie zaległy dokoła i droga za ich plecami utonęła w mroku, doszedł go znów odgłos spiesznych, człapiących kroków. W tej chwili także je słyszał. Obejrzał się szybko. Na drodze za nimi błyszczały dwa punkciki… ale może mu się tylko wydało, bo zaraz przemknęły na bok i znikły.

– Co to takiego? – spytał krasnolud.

– Nie wiem – odparł Frodo. – Miałem wrażenie, że słyszę kroki i że widzę światełka, jak gdyby czyjeś oczy. Ciągle mi się tak wydaje od chwili wejścia do Morii.

Gimli zatrzymał się i przyłożył ucho do ziemi.

– Nie słyszę nic prócz nocnej mowy roślin i kamieni – rzekł. – Ale pospieszmy się: tamtych już nawet nie widać.

Zimny nocny powiew uderzył im w twarze od wylotu doliny. Przed nimi roztaczał się szeroko siwy cień, liście szumiały nieustannie, jak topole na wietrze.

– Lothlórien! – krzyknął Legolas. – Lothlórien! Dotarliśmy na skraj Złotego Lasu. Niestety, jest teraz zima.

W mroku nocy smukłe drzewa sklepiały korony jak strop nad drogą i strumieniem, który wpadał pod ich rozpostarte gałęzie. W nikłym świetle gwiazd pnie były szare, a drżące liście miały odcień ciemnego złota.

– Lothlórien! – rzekł Aragorn. – Jakże raduje uszy śpiew wiatru w gałęziach tych drzew! Nie uszliśmy wiele ponad pięć staj od bramy, lecz dalej iść dzisiaj nie sposób. Ufajmy, że czar elfów ustrzeże nas tej nocy od niebezpieczeństwa, które ciągnie się za nami.

– Jeżeli elfowie jeszcze tu mieszkają, mimo chmur nagromadzonych nad światem – powiedział Gimli.

– Dawno, dawno już nikt z mojego plemienia nie trafił z powrotem do tej krainy, z której wywędrowaliśmy przed wiekami – rzekł Legolas – lecz mieliśmy wieści, że Lórien nie zostało opuszczone, bo jest w nim tajemna moc, co nie dopuszcza zła w jego granice. Jednakże tutejszych mieszkańców rzadko się widuje, kto wie, czy nie przebywają w sercu lasów, z dala od północnego skraju.

– Prawda, przebywają głęboko w sercu lasów – potwierdził Aragorn, wzdychając, jakby wzruszony jakimś wspomnieniem. – Dzisiejszej nocy sami musimy sobie radzić. Wejdziemy w las tak, by nas zewsząd otoczyły drzewa, a potem zboczymy ze ścieżki i poszukamy miejsca sposobnego do odpoczynku.

Ruszył naprzód, lecz Boromir, wyraźnie wahając się, nie poszedł za nim.

– Czy nie ma innej drogi? – spytał.

– Czy można sobie wymarzyć piękniejszą? – odparł Aragorn.

– Dla mnie piękniejsze są zwykłe drogi, choćby przez las mieczy – rzekł Boromir. – Dziwne drogi, którymi dotychczas wędrowała Drużyna, nie przyniosły jej szczęścia. Mimo mego sprzeciwu poszliśmy przez ciemności Morii i ponieśliśmy okrutną stratę. Teraz powiadasz, że mamy iść przez Złoty Las. Ale my w Gondorze słyszeliśmy o tej niebezpiecznej krainie.

Podobno niewielu z tych, co tu weszli, wychodzi znów na świat. A spośród tych nikt nie wyszedł bez skazy.

– Jeżeli zamiast „bez skazy” powiesz „nieodmieniony”, będziesz miał może słuszność – odparł Aragorn. – Ale widać zmierzchła mądrość Gondoru, jeśli w stolicy ludzi ongi światłych dziś mówi się źle o Lothlórien. Wierz mi albo nie wierz, nie ma dla nas innej drogi, chyba że chciałbyś wrócić pod Bramę Morii albo przedrzeć się przez bezdroża gór, albo przepłynąć samotnie Wielką Rzekę.

– A więc prowadź – rzekł Boromir. – Lecz to jest niebezpieczna droga.

– Zaiste, niebezpieczna! – odparł Aragorn. – Niebezpieczna i cudowna, lecz bać się jej powinni tylko źli albo ci, którzy tu z sobą zło wnoszą. Za mną!

Zagłębili się na jakąś milę w las i zobaczyli trzeci potok, spływający z zadrzewionych wzgórz, które piętrzyły się ku zachodowi, w stronę gór. W ciemności słyszeli plusk wodospadu gdzieś na prawo od ścieżki. Ciemna, bystra woda przecinała im drogę i uchodziła do Srebrnej Żyły, rozlewając się między korzeniami drzew siecią ciemnych sadzawek.

– To Nimrodel – rzekł Legolas. – Ongi elfowie układali o tym strumieniu wiele pieśni, a dotychczas śpiewamy na północy o tęczy nad wodospadem i o złotych kwiatach, co płyną z jego falą. Teraz jest ciemno dokoła, a most na Nimrodel zerwano. Zanurzę stopy w tej wodzie, podobno koi strudzone ciało.

Pobiegł naprzód, zsunął się ze stromego brzegu i wszedł w wodę.

– Chodźcie wszyscy za mną! – zawołał. – Płytko tutaj! Przejdziemy w bród! Na drugim brzegu zatrzymamy się na odpoczynek, a szum wody uśpi nas i pozwoli zapomnieć o smutkach.

Jeden za drugim zeszli z wysokiej skarpy śladem Legolasa. Frodo stał chwilę przy brzegu, by woda opłukała mu zmęczone nogi. Była zimna, lecz jej dotknięcie zdawało się czyste, a gdy posunął się dalej i sięgnęła mu kolan, poczuł, że spływa z niego wraz z kurzem całe znużenie długiej wędrówki.

Kiedy już wszyscy się przeprawili na drugi brzeg, rozsiedli się, odpoczęli i zjedli coś niecoś; wtedy Legolas opowiedział im wszystko, co o kraju Lórien przechowali w swych sercach elfowie z Mrocznej Puszczy, o

słońcu i gwiazdach, co świeciły nad łąkami u brzegu Wielkiej Rzeki, zanim świat cały zszarzał.

W końcu umilkli i słuchali muzyki wodospadu, szemrzącego łagodnie w mroku. Frodowi niemal zdawało się, że w szumie wody rozróżnia śpiew.

– Czy słyszycie głos Nimrodel? – spytał Legolas. – Zaśpiewam wam pieśń o dziewczynie, która nosiła to samo imię, co potok – Nimrodel – a mieszkała nad jego brzegiem przed wiekami. To piękna pieśń w naszym leśnym języku. Ale w Rivendell ją śpiewają we Wspólnej Mowie.

I cichym głosem, który ledwie wznosił się nad szelest liści, zaczął:

Córeczka elfów – to jak w dzień
Gwiazdka na niebie czystym…
W obrąbkach złotych lśnił jej płaszcz
I butki szarosrebrzyste…

Na czole gwiazdy świecił blask –
We włosach smużka wąska
Jak w pięknym kraju Lórien
Błysk słońca w drzewa gałązkach.

Na ustach uśmiech, długi włos
I rączki białe jak mleko –
Na wietrze jak lipowy liść
Tak unosiła się lekko.

Pod wodospadem Nimrodel,
Gdzie woda lśni lodowata,
Jej śpiewny głosik srebrniej brzmiał
Niż wód serbrzysta kantata…

Gdzież ona teraz… Nie wie nikt…
W cieniu – czy w blaskach słońca?
Bo Nimrodel w wąwozach gór

Przepadła gdzieś – pluskająca.

W szarej przystani elfów łódź
Na elfów córkę czekała…
A obok morska grzmiała toń
I fal spienionych nawała.

Aż nocą nagły zawył wichr
W północnej elfów krainie –
I z nurtem fali porwał łódź…
O, patrzcie, patrzcie, jak płynie.

A gdy zróżowił wodę świt,
Brzeg znikł już z oczu – i góry,
A tylko pióropusze fal
Chwiały się w ryku wichury.

I spojrzał Amroth poprzez nurt,
Gdzie brzeg przed chwilą się bielił –
I łódź przeklinał, co go gna
Daleko od Nimrodeli…

Był kiedyś panem elfów król
(Ach, kimże, kimże jest ninie?),
Gdy złotem lśniły pędy drzew
W pięknej Lórien krainie…

Aż nagle w morską skoczył toń,
Jak skacze strzała z cięciwy –
I tak jak mewa w wodę wpadł
Król elfów, wódz urodziwy.

Z rozwianym włosem igrał wiatr,

Dokoła koronki piany,
Patrzcie, o patrzcie – elfów król
Płynie jak łabędź świetlany…

I na tym się urywa wieść,
Jakby zamknęły się wrota…
Na brzegu już nie słyszał nikt
Imienia króla Amrotha[46].

Głos Legolasa zadrżał, pieśń się urwała.

– Nie mogę śpiewać więcej – powiedział. – To tylko urywki, reszty zapomniałem. Pieśń jest długa i smutna, mówi bowiem o niedoli, która spadła na Lothlórien, gdy krasnoludowie zbudzili złe siły w górach.

– Ale krasnoludowie nie stworzyli złych sił! – odparł Gimli.

– Ja też tego nie mówiłem – ze smutkiem rzekł Legolas. – Zło wszakże przyszło! A wówczas wiele elfów z rodu Nimrodel porzuciło swoje siedziby i wywędrowało, ona zaś zaginęła gdzieś daleko na południu, wśród Białych Gór, i nie zjawiła się na pokładzie statku, gdzie daremnie oczekiwał jej ukochany, Amroth. Lecz wiosną, kiedy wiatr szumi w młodych lasach, można po dziś dzień usłyszeć głos Nimrodel nad wodospadem jej imienia. A kiedy wiatr wieje od południa – niesie znad oceanu głos Amrotha; bo potok Nimrodel płynie do Srebrnej Żyły, którą elfowie zwą Celebrantem. A Celebrant – do Anduiny Wielkiej, Anduina zaś do zatoki Belfalas, gdzie statki elfów odbiły od lądu. Ale Nimrodel ani Amroth nigdy nie wrócili.

Powiadają, że Nimrodel miała dom wśród gałęzi drzewa w pobliżu wodospadu; elfowie z Lórien zwykli bowiem podówczas budować domy w koronach drzew, a może nawet i teraz jeszcze to robią. Dlatego nazywano ich szczep Galadrimami, Ludem Drzew. W głębi lasów rosną drzewa olbrzymie. Mieszkańcy leśnej krainy nie kopali sobie siedzib pod ziemią jak krasnoludowie, nie budowali też kamiennych twierdz, póki nie zapadł cień.

– Nawet w naszych czasach mieszkanie na drzewach można uważać za bezpieczniejsze niż siedzenie na ziemi – rzekł Gimli. Spojrzał ponad strumieniem ku drodze, która wiodła z powrotem do Doliny Półmroku, a później w górę, na strop czarnych gałęzi nad swoją głową.

– Przypadkiem dałeś nam dobrą radę, Gimli – powiedział Aragorn. – Nie możemy zbudować sobie domu, ale dzisiejszą noc spędzimy, wzorem plemienia Galadrimów, w koronach drzew, jeżeli oczywiście zdołamy. Już i tak dłużej siedzimy przy drodze, niżby nakazywała roztropność.

Zeszli ze ścieżki i zanurzyli się w ciemną głąb lasu, na zachód od górskiego potoku, daleko od Srebrnej Żyły. Opodal wodospadu Nimrodel znaleźli kępę drzew, których gałęzie zwieszały się nad wodą. Grube szare pnie były potężne, lecz wysokości nie mogli po ciemku ocenić.

– Wdrapię się na górę – rzekł Legolas. – Wśród drzew jestem jak w rodzinnym domu, czy to na korzeniach, czy na gałęziach, chociaż ten gatunek znam tylko z nazwy, bo mówią o nim pieśni. Wiem, że to drzewo nazywa się *mallorn* i wiosną osypane bywa żółtym kwieciem. Nigdy jednak na żadne się nie wspinałem. Teraz zbadam, jaki ma kształt i wysokość.

– Mniejsza o kształt – odezwał się Pippin. – W każdym razie drzewa te okażą się cudowne, jeśli mają do zaofiarowania nocleg dla kogokolwiek prócz ptaków. Co do mnie, nie umiem spać na grzędzie.

– Więc wygrzeb sobie norkę w ziemi – odparł Legolas – skoro to się bardziej godzi z obyczajami twojego plemienia. Ale musisz kopać prędko i głęboko, żeby się ukryć przed orkami.

To rzekłszy, Legolas zwinnie odbił się od ziemi i chwycił konaru wyrastającego z pnia wysoko nad jego głową. W tejże chwili z cienia korony w górze zabrzmiał niespodziewanie głos:

– *Daro!* – krzyknął rozkazująco. Legolas, zdumiony i przerażony, znalazł się natychmiast z powrotem na ziemi. Skulił się pod drzewem.

– Stójcie! – szepnął towarzyszom. – Nie ruszać się i nie odzywać!

Nad ich głowami ktoś roześmiał się z cicha. A potem drugi głos przemówił w języku elfów. Frodo trochę rozumiał, bo mowa leśnego ludu mieszkającego na wschód od gór podobna była do mowy używanej przez elfów na zachodzie. Legolas, zadarłszy głowę, odpowiedział w tym samym języku[47].

– Co to za jedni i czego chcą? – spytał Merry.

– Elfowie – odparł Sam. – Czyż nie poznajesz głosów?

– Tak, to elfowie – powiedział Legolas. – Mówią, że tak głośno sapiecie, iż trafiliby was po ciemku z łuku.

Sam co prędzej zasłonił usta dłonią.

– Ale mówią też, żebyście się ich nie bali. Od dawna zapowiedziano im nasze przybycie. Słyszeli mój głos jeszcze z tamtego brzegu Nimrodel i wiedzą, że należę do ich krewniaków z Północy, dlatego nie przeszkadzali nam w przeprawie. Potem słyszeli moją pieśń. Teraz zapraszają mnie wraz z Frodem na górę, bo doszły ich słuchy o nim i jego wyprawie. Reszta ma poczekać u stóp drzewa i czuwać, póki nie rozstrzygną, co dalej z nami robić.

Z ciemności spłynęła sznurowa drabinka, srebrnoszara, błyszcząca w mroku, a mimo pozorów kruchości dość mocna, żeby wytrzymać ciężar kilku ludzi. Legolas wspiął się lekko, Frodo szedł za nim wolniej, a na końcu, wstrzymując oddech, drapał się Sam. Konary wyrastały z pnia niemal poziomo, dalej jednak wyginały się ku górze, u wierzchołka zaś tworzyły splecioną z mnóstwa gałęzi koronę, a w niej hobbici ujrzeli drewniany pomost, czyli *talan*, jak podówczas taką budowlę nazywali elfowie. Wchodziło się tam przez okrągłą dziurę pośrodku, przez którą przewleczona była drabina. Frodo, wydostawszy się w końcu na ów talan, zastał Legolasa już siedzącego obok trzech obcych elfów. Tamci mieli ubrania ciemnoszare i póki się nie poruszyli, trudno było ich dostrzec wśród gałęzi. Wstali wszyscy, a jeden z trzech odsłonił małą lampkę; podniósł ją, wąska srebrna smuga światła padła na twarz Froda i oświetliła również Sama. Elf zakrył lampkę i powitał gości w swoim języku. Frodo odpowiedział trochę niepewnie.

– Witajcie – rzekł wówczas elf, przechodząc na Wspólną Mowę i wolno wymawiając jej słowa. – Rzadko używamy obcych języków, przesiadując ostatnimi czasy w głębi lasów i niechętnie zadając się z innymi plemionami. Rozstaliśmy się nawet z bliskimi krewniakami z Północy. Ale niektórzy z nas bywają za granicą, żeby zebrać wieści i tropić nieprzyjaciół; ci muszą znać języki innych ludów. Właśnie ja do nich należę. Nazywam się Haldir. Moi bracia, Rumil i Orophin, słabo władają waszą mową.

Wiedzieliśmy, że macie tu przybyć, bo wysłannicy Elronda szli przez Lórien, wracając Schodami Półmroku do domu. Od wielu już lat nie słychać było nic o… hobbitach, czyli niziołkach, powątpiewałem nawet, czy jeszcze mieszkają w Śródziemiu. Z oczu wam dobrze patrzy, a że jest z wami elf z naszego plemienia, chętnie was ugościmy, spełniając prośbę

Elronda, chociaż zazwyczaj nie pozwalamy obcym na przemarsz przez nasze ziemie. Dzisiaj jednak musicie nocować tutaj. Ilu was jest?

– Ośmiu – odpowiedział Legolas. – Ja, czterech hobbitów, dwóch ludzi – z których jeden to Aragorn, przyjaciel elfów, z ludu Westernesse.

– Imię Aragorna, syna Arathorna, nie jest w Lórien obce – odparł Haldir. – Ma on łaski u naszej pani. A więc wszystko w porządku. Wyliczyłeś wszakże dopiero siedmiu.

– Ósmy jest krasnoludem – rzekł Legolas.

– Krasnolud! – zawołał Haldir. – To gorzej. Od Czarnych Dni nie zadajemy się z krasnoludami. Nie mają wstępu do naszego kraju. Tego krasnoluda nie będę mógł wpuścić.

– Ależ to zaufany Dáina z Samotnej Góry, przyjaciel Elronda! – odezwał się Frodo. – Elrond go wybrał na towarzysza naszej wyprawy, i słusznie, bo w drodze okazał się mężny i wierny.

Elfowie porozumieli się między sobą szeptem i zadali kilka pytań Legolasowi w swoim języku.

– Dobrze! – powiedział wreszcie Haldir. – Zgadzamy się, jakkolwiek niechętnie. Skoro Aragorn i Legolas zobowiążą się go pilnować i ręczą za niego, przepuścimy tego krasnoluda. Musi mieć jednak oczy zasłonięte opaską, wędrując przez Lothlórien. Ale dość tych rokowań! Wasi towarzysze nie powinni dłużej stać tam, na ziemi. Strzeżemy brzegów rzek, odkąd, przed wielu dniami, zauważyliśmy wojska orków ciągnące skrajem gór na północ w stronę Morii. Na pograniczach lasów słychać wycie wilków. Jeżeli, tak jak powiadacie, idziecie z Morii, niebezpieczeństwo z pewnością ciągnie waszym tropem. Jutro o świcie trzeba stąd ruszyć dalej.

Czterej hobbici mogą przyjść tutaj i spędzić noc z nami. Ich się nie boimy. Na sąsiednim drzewie jest drugi talan. Reszta może się tam schronić. Ty, Legolasie, będziesz wobec nas odpowiedzialny za nich. Zawołaj, gdyby się coś działo. I miej oko na krasnoluda!

Legolas zszedł po drabinie na dół, by niezwłocznie powtórzyć drużynie polecenia Haldira. Wkrótce potem Merry i Pippin wdrapali się na górę. Byli zdyszani i trochę wystraszeni.

– Masz! – wysapał Merry. – Przynieśliśmy twoje koce razem z naszymi. Resztę bagaży Obieżyświat schował pod wielką kopą liści.

– Nie będą wam potrzebne te rzeczy – powiedział Haldir. – Zimą bywa chłodno w koronach drzew, chociaż dziś wiatr wieje z południa; ale poczęstujemy was takimi potrawami, takim trunkiem, że nie poczujecie nocnego chłodu, a zresztą mamy zapasowe futra i płaszcze.

Hobbici zjedli drugą (i znacznie lepszą) wieczerzę z radością. Potem, zawinięci ciepło, nie tylko w futrzane płaszcze elfów, lecz również we własne koce, usiłowali zasnąć. Lecz mimo zmęczenia żadnemu z nich – prócz Sama – nie przyszło to łatwo. Hobbici nie lubią wysokości, nie sypiają nigdy na piętrze, nawet jeśli mają dom piętrowy. Napowietrzna sypialnia wcale im nie przypadła do smaku. Nie miała ani ścian, ani bodaj bariery, nic prócz lekkiej, plecionej z trzciny przegrody, którą się przesuwało i zależnie od wiatru ustawiało z tej czy innej strony.

Pippinowi dość długo usta się nie zamykały.

– Mam nadzieję, że nie zlecę z tego poddasza, jeśli wreszcie usnę – mówił.

– A ja, jak zasnę, to się nie obudzę, choćbym zleciał – oświadczył Sam. – Im zaś mniej będziesz gadał, tym prędzej sobie chrapnę; spodziewam się, że zrozumiałeś przytyk, co?

Frodo czas jakiś leżał bezsennie i patrzył w gwiazdy poprzez blady strop drżących liści. Sam od dawna chrapał u jego boku, nim wreszcie Frodowi sen skleił powieki. Majaczyły mu się w ciemności szare sylwetki dwóch elfów, którzy, objąwszy ramionami kolana, siedzieli bez ruchu, gawędząc szeptem. Trzeci zszedł na dół, strażować na jednym z niższych konarów. W końcu, ukołysany szumem wiatru wśród gałęzi i łagodnym szmerem wodospadu Nimrodel, Frodo także zasnął, a w głowie brzmiała mu pieśń Legolasa.

Ocknął się późną nocą. Inni hobbici spali. Elfów nie było. Sierp księżyca świecił mdłym blaskiem pośród liści. Wiatr ustał. Gdzieś z bliska, od strony ziemi, dobiegł wybuch chrapliwego śmiechu i tupot mnóstwa nóg. Szczęknęła stal. Z wolna wszystko ucichło, jakby oddalając się na południe, w głąb lasu.

Nagle w otworze pośrodku talana ukazała się jakaś głowa. Frodo usiadł przerażony, ale zaraz poznał szary kaptur elfa. Elf patrzył na hobbitów.

– Co się stało? – spytał Frodo.

– *Yrch!* – odpowiedział elf świszczącym szeptem i wciągnął na pomost sznurową drabinę.

– Orkowie! Co tu robią? – zdumiał się Frodo, lecz elf już zniknął znowu.

Zaległa cisza. Nawet liście nie szeleściły, nawet wodospad jakby stłumił swój szum. Frodo siedział, drżąc mimo ciepłego okrycia. Wdzięczny był losowi, że orkowie nie zdybali drużyny na ziemi, lecz zdawał sobie sprawę, że drzewo nie jest zbyt bezpiecznym schronem, pomaga jedynie ukryć się przed wrogiem. Orkowie, jak wiadomo, nie gorzej od gończych psów węszą tropy, a przy tym umieją wspinać się na drzewa. Frodo dobył Żądła: błysnęło i zalśniło błękitnym płomieniem, potem z wolna zaczęło przygasać, aż zmatowiało zupełnie. Mimo to przeczucie bliskiego niebezpieczeństwa, zamiast opuścić Froda, spotęgowało się jeszcze. Wstał, podpełznął do włazu i spojrzał w dół. Był niemal pewny, że słyszy z daleka, spod drzewa, ukradkowe człapanie.

Nie mogli to być elfowie. Leśne plemię porusza się bezszelestnie. Potem Frodo rozróżnił szmer jak gdyby węszenia i lekki chrobot, jakby ktoś skrobał korę na pniu. Wpatrzony w ciemność hobbit wstrzymał oddech.

Coś lazło po pniu w górę, cichutko sycząc przez zaciśnięte zęby. Kiedy podeszło tuż pod rozgałęzioną koronę, Frodo zobaczył parę bladych oczu. Nie poruszały się, spoglądały w górę bez zmrużenia powiek. Nagle zgasły, a ciemna postać osunęła się po pniu i zniknęła.

Niemal w tej samej chwili ukazał się Haldir, szybko wspinając się wśród gałęzi.

– Coś tu było na drzewie, jakiś stwór, którego w życiu jeszcze nie spotkałem – powiedział. – Nie ork. Umknął, kiedy dotknąłem pnia. Bardzo czujny i ma wprawę w łażeniu po drzewach, gdyby nie to, byłbym go może wziął za jednego z was, hobbitów. Nie strzelałem i nie ośmieliłem się krzyczeć, bo nie możemy ryzykować walki. Przeszedł tędy dopiero co duży oddział orków. Przeprawili się w bród przez Nimrodel – plugawymi łapami zamącili jej czystą wodę! – a później pomaszerowali starą drogą wzdłuż rzeki. Zdaje się, że coś wywęszyli, przeszukiwali teren w miejscu, gdzie biwakowaliście wieczorem. We trzech nie mogliśmy wypowiedzieć bitwy setce, więc zwiedliśmy ich, udając różne głosy i wywabiliśmy tym sposobem bandę z lasu.

Orophin pobiegł szybko do naszej głównej siedziby z ostrzeżeniem. Nigdy żaden ork nie ujdzie żywy z Lórien. Zanim jutrzejsza noc zapadnie, wzdłuż północnej granicy przyczai się wielu elfów. Wy wszakże musicie ruszać na południe skoro świt.

Dzień zjawił się blady od wschodu. Rozwidniało się, a hobbici, patrząc na światło przesiane przez żółte liście drzew, mieli wrażenie, że to chłodny świt w pełni lata. Wśród kołyszących się gałęzi przeświecało jasnobłękitne niebo. Przez rozchylone liście z południowej krawędzi talana Frodo widział dolinę Srebrnej Żyły niby morze rdzawego złota falujące w łagodnym podmuchu wiatru.

Ranek był zimny i jeszcze młody, gdy drużyna wyruszyła w dalszą drogę, prowadzona teraz przez Haldira i jego brata Rumila.

– Żegnaj, miła Nimrodel! – zawołał Legolas. Frodo obejrzał się i dostrzegł blask białej piany między szarymi pniami drzew.

– Żegnaj! – powiedział. Zdawało mu się, że już nigdy nie usłyszy równie pięknej muzyki wody, wiecznie zestrajającej tysiączne dźwięki w różnorodną melodię.

Wrócili na starą ścieżkę, biegnącą zachodnim brzegiem Srebrnej Żyły, i szli nią czas jakiś w kierunku południowym. Na ziemi pełno było śladów wydeptanych stopami orków. Wkrótce jednak Haldir zboczył między drzewa i zatrzymał się na brzegu w ich cieniu.

– Po tamtej stronie potoku czuwa ktoś z naszych – rzekł – chociaż wy pewnie go nie widzicie.

Gwizdnął przeciągle ptasim głosem i zaraz spośród gęstwiny młodych drzew pokazał się elf w szarym ubraniu, lecz z kapturem odrzuconym na plecy, tak że włosy lśniły złotem w porannym słońcu. Haldir zręcznie przerzucił nad strumieniem zwój szarego powroza, a tamten chwycił go i owiązał koniec wokół pnia tuż nad wodą.

– Celebrant tutaj rwie już potężnie – rzekł Haldir – jest głęboki, bystry i bardzo zimny. Tak daleko na północy nie wchodzimy do jego wody, chyba że nie ma innej rady. Ale w obecnych niespokojnych czasach nie budujemy również mostów. Przeprawiamy się takim oto sposobem. Idźcie za mną! – Umocował drugi koniec liny wokół drzewa i przebiegł po niej lekko nad strumieniem, a potem wrócił beztrosko, jakby po równej drodze.

– Ja przejdę – powiedział Legolas – lecz moi towarzysze tego nie potrafią. Czy będą musieli przeprawić się wpław?

– Nie – odparł Haldir – mamy jeszcze dwie liny. Uwiążemy je nad pierwszą w ten sposób, żeby jedna biegła na wysokości ramienia, a druga na wysokości pasa. Trzymając się ich, obcoplemieńcy zdołają chyba przejść, byle ostrożnie.

Kiedy chwiejny most był gotów, drużyna przeszła po nim, jedni w skupieniu i powoli, inni dość zwinnie. Spośród hobbitów wyróżnił się Pippin, biegł bowiem szybko, pewnym krokiem, trzymając się tylko jedną ręką. Oczy jednak miał przez cały czas utkwione w przeciwległy brzeg, nie śmiał spojrzeć w dół. Sam dreptał, kurczowo oburącz ściskając linę, ale spoglądał w biały wir wodny jak w górską przepaść.

Odetchnął z ulgą, kiedy stanął bezpiecznie na drugim brzegu.

– Całe życie trzeba się uczyć, jak mawiał mój staruszek. Co prawda miał na myśli ogrodnictwo, a nie naukę spania na grzędzie niby ptaki albo łażenia po nitce jak pająki. Takiej sztuki nawet mój stryjaszek Andy nigdy nie dokonał.

Kiedy wreszcie wszyscy stanęli na wschodnim brzegu Srebrnej Żyły, elfowie rozsupłali węzły i zwinęli liny. Rumil, który pozostał po drugiej stronie, wziął jeden zwój, zarzucił go sobie na ramię i pożegnawszy drużynę przyjacielskim gestem, odszedł z powrotem na swój posterunek u wodospadu Nimrodel.

– Teraz, przyjaciele – powiedział Haldir – weszliście do części Lórien zwanej Naith, czyli Klin, jak byście w waszym języku powiedzieli, bo ten skrawek ziemi na kształt ostrza włóczni wbija się między ramiona Srebrnej Żyły i Wielkiej Anduiny. Tajemnic Naith nie wolno podpatrywać żadnemu obcoplemieńcowi. Mało komu w ogóle pozwalamy tędy przechodzić. Tak więc, jak się poprzednio umówiliśmy, zawiążemy oczy krasnoludowi. Reszta może iść jeszcze czas jakiś swobodnie, póki nie znajdziemy się w pobliżu naszej siedziby w Egladil, w widłach rzecznych.

Gimli jednak zaoponował.

– Umówiliście się bez pytania o moją zgodę – odrzekł. – Nie będę szedł z zawiązanymi oczyma, jak żebrak lub więzień. Nie jestem szpiegiem. Moje plemię nigdy się nie kumało ze sługami Nieprzyjaciela. Nigdy też nie wyrządziliśmy żadnej szkody elfom. Nie zdradzę was, możecie ufać równie

dobrze mnie, jak Legolasowi czy każdemu innemu spośród mych towarzyszy.

– Nie podejrzewam cię o nic złego – odparł Haldir – ale takie u nas obowiązuje prawo. Nie ja układam prawa, nie wolno mi ich łamać. Posunąłem się już i tak daleko, dopuszczając cię na ten brzeg Celebrantu.

Gimli uparł się. Rozstawił szeroko nogi i dłoń położył na trzonku topora.

– Albo pójdę wolny – oświadczył – albo zawrócę do ojczyzny, gdzie mnie znają i wierzą mojemu słowu, zawrócę, choćbym miał zginąć samotnie wśród dziczy.

– Nie możesz teraz zawrócić z drogi – surowo odpowiedział Haldir. – Skoro doszedłeś aż tutaj, musisz stanąć przed obliczem naszego władcy i naszej królowej. Oni cię osądzą i wedle swojej woli orzekną, czy masz zostać, czy odejść, gdzie zechcesz. Nie zdołałbyś przeprawić się z powrotem przez rzekę i nie puściłyby cię ukryte po drodze straże. Zginąłbyś, nimbyś je dostrzegł.

Gimli wyciągnął topór zza pasa. Haldir i jego towarzysz napięli łuki.

– Do licha z krasnoludami i z ich twardym karkiem! – rzekł Legolas.

– Słuchajcie! – zawołał Aragorn. – Jeśli chcecie, bym dalej przewodził drużynie, musicie robić, co wam radzę. Dla krasnoluda zbyt przykre jest takie wyróżnienie. Wszyscy damy sobie oczy zawiązać, nawet Legolas. Tak będzie lepiej, chociaż marsz się przez to opóźni i nie zobaczymy nic ciekawego.

Gimli niespodzianie się roześmiał.

– Będziemy wyglądać jak stado głupców! – rzekł. – Czy Haldir powiedzie nas na sznurze jak gromadę ślepych żebraków, co na spółkę mają tylko jednego psa? Ale zgadzam się, jeśli Legolas także dostanie opaskę na oczy.

– Jestem elfem i krewniakiem tutejszego plemienia – odparł Legolas, który z kolei zapalił się gniewem.

– Krzyknijmy teraz: „Do licha z elfami i ich sztywnym karkiem!” – powiedział Aragorn. – Cała drużyna pomaszeruje na równych prawach. Żywo, zawiąż mu oczy, Haldirze!

– Zażądam odszkodowania za każdego siniaka albo zadraśnięcie palca u nogi, jeżeli nie poprowadzisz nas troskliwie – rzekł Gimli, gdy Haldir

zawiązywał mu chustką oczy.

– Nie będziesz miał powodów, a ścieżka jest gładka i równa.

– Oto szaleństwo naszych czasów! – rzekł Legolas. – Wszyscy jesteśmy nieprzyjaciółmi wspólnego nieprzyjaciela, a musimy w słoneczny dzień przez lasy, pod złotymi liśćmi wędrować z zawiązanymi oczyma.

– Może się to wydawać szaleństwem – odparł Haldir. – Zaiste nic tak jasno nie dowodzi potęgi Czarnego Władcy jak ów rozdźwięk mącący przymierze między tymi, którzy dotychczas mu się opierają. Ale tak mało wiary i zaufania spotykamy dziś na całym świecie, z wyjątkiem Lothlórien, że nie śmiemy narażać przez własną ufność losów tego kraju. Żyjemy tu jak na wysepce pośród oceanu niebezpieczeństw i palce nasze częściej teraz dotykają cięciwy łuku niźli strun harfy.

Przez długie lata broniły nas rzeki, lecz dziś już i one nie są nam ochroną, bo cień oblega Lothlórien od północy. Niektórzy mówią o porzuceniu tych stron, ale na to, zdaje się, za późno. Góry na zachodzie stały się siedliskiem złych sił, na wschodzie leżą ziemie spustoszone, gdzie roi się od sług Saurona; chodzą też słuchy, że nie moglibyśmy bezpiecznie przejść drogą na południe przez Rohan i że ujście Wielkiej Rzeki jest pod obserwacją Nieprzyjaciela. Nawet gdyby udało się nam dotrzeć do wybrzeży Morza, nie znajdziemy już tam schronienia. Powiadają, że są jeszcze przystanie Elfów Wysokiego Rodu, lecz daleko stąd, na północo-zachodzie, za krajem niziołków. Władca nasz i królowa zapewne wiedzą, gdzie to jest, ale ja nie wiem.

– Powinieneś się domyślić na nasz widok – powiedział Merry. – Porty elfów leżą na zachód od naszego kraju, zwanego Shire’em, który jest ojczyzną hobbitów.

– Szczęśliwy lud hobbitów, że mieszka w pobliżu Morza! – rzekł Haldir. – Moi rodacy od wieków już go nie widzieli, lecz wspominają je w pieśniach. Opowiesz mi po drodze o tamtych przystaniach.

– Nie mogę ci o nich nic opowiedzieć – odparł Merry – bom ich nigdy w życiu nie widział. Pierwszy raz przekroczyłem granicę ojczyzny. A gdybym wiedział, jaki jest świat, pewnie bym się nie zdobył na opuszczenie Shire’u.

– Nawet po to, by ujrzeć piękne Lothlórien? – spytał Haldir. – Świat rzeczywiście pełen jest zasadzek i wiele na nim ciemnych plam; ale nie

brak też jasnych, a chociaż we wszystkich krajach miłość łączy się dzisiaj ze smutkiem, kto wie, czy się przez to nie pogłębia jeszcze.

Niektóre nasze pieśni mówią, że Cień kiedyś się cofnie i że znowu zapanuje pokój. Ale ja nie wierzę, by świat wokół nas kiedykolwiek wrócił do swojej dawnej postaci, by słońce znowu zaświeciło dawnym blaskiem. Obawiam się, że dla elfów będzie to w najlepszym razie jedynie czas rozejmu, który im pozwoli bez przeszkód wywędrować ku Morzu i opuścić Śródziemie na zawsze. Żal ukochanych lasów Lothlórien! Smutno byłoby żyć w kraju, gdzie nie rosną drzewa *mallorny*. A wątpię, czy znajdują się one za Wielkim Morzem, bo nikt o tym dotychczas wieści nie przyniósł.

Tak rozmawiając, szli z wolna jeden za drugim ścieżką przez las: Haldir prowadził, jego towarzysz zamykał pochód. Czuli pod stopami grunt gładki i miękki, toteż wkrótce wyzbyli się strachu przed skaleczeniem lub upadkiem i maszerowali coraz swobodniej. Frodo stwierdził, że brak wrażeń wzrokowych tym bardziej wyostrzył mu słuch i wszystkie zmysły. Czuł zapach drzew i trawy, po której stąpał. Rozróżniał mnóstwo tonów w szeleście liści nad swoją głową, w szumie wody płynącej na prawo od ścieżki, w czystych, wysokich głosach ptaków pod niebem. Ilekroć wychodzili na otwartą polanę, wiedział o tym, czując pieszczotę słońca na twarzy i rękach.

Odkąd postawił stopę na drugim brzegu Srebrnej Żyły, ogarnęło go dziwne wrażenie, które potęgowało się, w miarę jak wchodził coraz dalej w głąb Naith; zdawało mu się, że przekroczył most czasu i znalazł się w zakątku Dawnych Dni, i wędruje przez świat już nieistniejący. W Rivendell przechowywano pamięć rzeczy starożytnych, ale w Lórien żyły one prawdziwie i na jawie. Widywano tutaj zło, słyszano o nim, znano smutki i troski, elfowie bali się zewnętrznego świata, któremu nie ufali; wilki wyły na kresach lasów – ale cień nie padł nigdy na Lórien.

Cały dzień drużyna spędziła w marszu, aż owionął ich chłód wieczoru i usłyszeli szept pierwszego nocnego wiatru wśród liści. Zatrzymali się wówczas i bez lęku przespali noc na ziemi; przewodnicy nie pozwolili im zdjąć opasek z oczu, nie mogli więc wspiąć się na drzewa. Nazajutrz ruszyli, nie spiesząc się, w dalszą drogę. W południe odpoczęli, a Frodo uświadomił sobie, że wyszli z lasu na pełne słońce. Nagle otoczył ich gwar głosów.

Nadciągnął cicho duży oddział elfów; dążyli oni ku północnej granicy, by jej strzec od możliwej napaści z Morii, i przynieśli nowiny, których część Haldir powtórzył drużynie. Grasujących po lesie orków wciągnięto w zasadzkę i wybito niemal do nogi; niedobitki uciekły na zachód, w stronę gór, lecz ruszył za nimi pościg. Wytropiono również dziwnego stwora, który biegł zgarbiony, niemal wlokąc ręce po ziemi jak zwierzę, ale nie był do zwierzęcia podobny. Nie zdołano go ująć, nie strzelano też do niego, nie wiedząc, czy to dobra, czy zła istota; umknął na południe brzegiem Srebrnej Żyły.

– Otrzymałem też – powiedział Haldir – rozkaz od władcy i królowej Galadrimów. Mam odsłonić wam oczy, krasnoludowi również. Okazuje się, że królowa o każdym z uczestników wyprawy wie, co to za jeden. Może nadeszły nowe wieści z Rivendell.

Zdjął opaskę z oczu Gimlego.

– Wybacz mi! – powiedział, kłaniając się nisko. – Spójrz na nas przyjaznym wzrokiem! Spójrz i raduj się, bo jesteś od Dni Durina pierwszym krasnoludem, który zobaczył drzewa Lórien.

Frodo, gdy jemu z kolei odsłonięto oczy, rozejrzał się i wrażenie dech mu zaparło. Stali na otwartej polanie. Na lewo wznosiło się wysokie wzgórze, porosłe murawą tak zieloną, jaka bywała tylko wiosną za Dawnych Dni. Szczyt wieńczyły, niby podwójna korona, dwa pierścienie drzew: zewnętrzny miał pnie śnieżnobiałe, a gałęzie bezlistne, lecz pięknie zarysowane w swej nagości; wewnętrzny składał się z mallornów niezwykle strzelistych i jeszcze strojnych w jasnożółte liście. Wysoko między gałęziami olbrzymiego drzewa, stojącego pośrodku pierścienia, lśnił bielą ogromny talan. Pod drzewami, w trawie na stokach wzgórza rozsiane były drobne złote kwiaty, z kształtu podobne do gwiazd. Wśród nich kołysały się na smukłych łodygach inne kwiaty, białe i bladozielone: błyszczały jak krople rosy w bujnej zieleni murawy. Niebo było błękitne, a popołudniowe słońce jarzyło się nad wzgórzem, kładąc długie zielone cienie do stóp drzew.

– Patrzcie! Oto Cerin Amroth – rzekł Haldir. – Serce dawnego królestwa, które tu istniało przed wiekami; widzicie wzgórze Amrotha i jego podniebny dom zbudowany w szczęśliwych czasach. Tu, pośród niewiędnącej nigdy trawy, wiecznie kwitną kwiaty zimowe: żółte *elanor* i

blade *niphredil*. Zatrzymamy się tutaj trochę, aby o zmierzchu dotrzeć do stolicy Galadrimów.

Jego przyjaciele zaraz poukładali się na wonnej murawie, lecz Frodo stał długą jeszcze chwilę, nie mogąc ochłonąć z zachwytu. Zdawało mu się, że przez jakieś ogromne okno wyjrzał na dawny, zaginiony świat. Nie znajdował w hobbickiej mowie nazwy dla światła, które się tu roztaczało. Wszystko, co tu widział, miało piękny kształt, tak ostro wyrzeźbiony, jakby go wprawdzie z góry obmyślono, lecz stworzono dopiero w chwili, kiedy hobbitowi otwarto oczy, a zarazem tak stary, jakby przetrwał od wieków. Znajome kolory, złoto, biel, błękit i zieleń, były tutaj tak świeże i tak wzruszały, jakby je po raz pierwszy w życiu zobaczył i musiał dla nich znaleźć nazwy nowe i cudowne. Nikt nie mógł tu nawet zimą tęsknić do lata i wiosny. Na niczym, co rosło na tej ziemi, nie dostrzegł znamion uwiądu, choroby czy skarlenia. Kraina Lórien nie znała skazy. Frodo odwrócił się i zobaczył u swego boku Sama, który rozglądał się wokół ze zdumieniem i przecierał oczy, jakby podejrzewając, że śni.

– Nie mylę się, słońce świeci, dzień biały – rzekł. – Myślałem, że elfowie cali są z księżyca i gwiazd, ale to przecież prawdziwszy ich własny świat niż wszystko, o czym w życiu słyszałem. Tak się czuję, jakbym się znalazł w pieśni… nie wiem, czy mnie rozumiecie?

Haldir popatrzył na dwóch hobbitów z taką miną, jakby dobrze rozumiał zarówno ich myśli, jak słowa. Uśmiechnął się.

– Jesteście pod władzą królowej Galadrimów – rzekł. – Czy macie ochotę wspiąć się ze mną na Cerin Amroth?

Spieszyli za nim, gdy lekko wbiegał po trawiastym stoku. Frodo szedł, oddychając głęboko, a dokoła żywe liście i kwiaty poruszały się pod tchnieniem tego samego wiatru, który jemu chłodził twarz; czuł, że jest w kraju, gdzie czas nie istnieje, gdzie nic nie przemija, nic się nie zmienia, nic nie ginie w niepamięci. Wygnaniec z Shire’u odejdzie stąd i znowu znajdzie się na zwykłym świecie, a jednak zawsze odtąd będzie stąpał po tej trawie, wśród kwiatów *elanor* i *niphredil*, w pięknej krainie Lothlórien.

Weszli w krąg białych drzew. W tej samej chwili wiatr od południa owiał Cerin Amroth i westchnął w ich koronach. Frodo stał, nasłuchując szumu wielkich mórz u wybrzeży zatopionych przed wiekami, i krzyku morskich ptaków, których gatunek dawno wyginął na ziemi.

Haldir wspinał się teraz na podniebny taras. Frodo, gotując się iść za nim, położył dłoń na pniu tuż przy drabinie; nigdy jeszcze tak jasno nie uświadomił sobie tkanki kory i tętniącego pod nią życia. Rozkoszował się tym dotknięciem zupełnie inaczej niż leśnik lub stolarz. Cieszyła go sama istota żywego drzewa.

Kiedy wreszcie wydostał się na górujący w koronie pomost, Haldir wziął go za rękę i obrócił w stronę południa.

– Najpierw spójrz tam! – powiedział.

Frodo spojrzał i zobaczył w dość znacznej odległości pagórek uwieńczony mnóstwem ogromnych drzew, czy może miasto wystrzelające zielonymi wieżami. Stamtąd biło potężne światło panujące nad całą krainą. Zatęsknił nagle, żeby lotem ptaka pomknąć do zielonego grodu i tam odpocząć. Spojrzał z kolei na wschód: tu kraj spływał łagodnie ku lśniącej wstędze Anduiny, Wielkiej Rzeki. Sięgnął wzrokiem dalej poprzez wodę na drugi brzeg – i światło zgasło, on zaś znów znalazł się w znajomym, zwykłym świecie. Za rzeką ciągnęła się pustynna płaszczyzna, bezkształtna i szara, gdzieś na dalekim widnokręgu wznosząca się czarną, posępną ścianą. Słońce, błyszczące nad Lothlórien, nie miało dość sił, by rozjaśnić mroki tej odległej wyżyny.

– To południowy ostęp Mrocznej Puszczy – rzekł Haldir. – Porasta go gęstwina czarnych jodeł, które wzajem na siebie napierają tak, że konary gniją albo schną. Pośrodku na kamiennym wzgórzu stoi Dol Guldur, gdzie długo ukrywał się Nieprzyjaciel. Lękamy się, że Dol Guldur znów jest zamieszkana, i to przez siedemkroć potężniejszego wroga. Ostatnio często wisi nad tym miejscem czarna chmura. Stąd widzisz dwie zwalczające się potęgi. Nieustannie ścierają się z sobą siłą myśli, lecz światło przenika w jądro ciemności, a ciemność nie dociera do światła. Jeszcze nie.

Odwrócił się i szybko zbiegł na ziemię, a hobbici poszli w jego ślady. U stóp wzgórza Frodo spotkał Aragorna, który stał milczący i nieruchomy jak drzewo, w ręku trzymał drobny, żółty pąk *elanor*, a oczy miał pełne blasku. Zdawał się zatopiony w jakimś cudownym wspomnieniu, a Frodo, patrząc nań, zrozumiał, że Aragorn widzi coś, co się na tym miejscu niegdyś zdarzyło. Albowiem z twarzy jego zniknęło piętno posępnych lat i wyglądał jak smukły, młody król w białych szatach. Głośno przemówił językiem elfów do kogoś niewidzialnego dla oczu Froda.

– *Arwen vanimelda, namarië!* – powiedział; westchnął głęboko, ocknął się z zamyślenia, zobaczył Froda i uśmiechnął się do niego.

– Tu jest serce królestwa elfów na ziemi – rzekł. – Tu także zawsze przebywa moje serce; gdyby nie to, nie widziałbym światła u kresu ciemnych dróg, którymi obaj – ty i ja – musimy jeszcze wędrować. Chodźmy!

Wziął Froda za rękę i razem zeszli ze wzgórza Cerin Amroth. Nigdy już nie mieli tu za życia powrócić.

ROZDZIAŁ 7
ZWIERCIADŁO GALADRIELI

Słońce zachodziło nad górami, a cień lasu pogłębił się, kiedy ruszali w dalszą drogę. Ścieżka prowadziła teraz przez gęstwinę, gdzie już panował mrok. Noc zakradła się pod sklepienie drzew i wkrótce elfowie zaświecili swoje srebrne latarnie.

Nagle znów wyszli na otwartą przestrzeń i zobaczyli w górze wieczorne niebo, w którym już tkwiło kilka wczesnych gwiazd. Mieli przed sobą szeroki, bezdrzewny pas ziemi wygięty koliście i dwoma ramionami odbiegający w dal. Wzdłuż wewnętrznego obwodu ciągnęła się głęboka fosa, ukryta w łagodnym zmierzchu; tylko trawa na jej skraju zieleniła się jeszcze jasno, jakby zachowała pamięć o słońcu, które już zniknęło. Za fosą piętrzył się wysoki zielony mur, opasujący zielone wzgórze, porosłe gęsto mallornami; tak wybujałych drzew nie widzieli nigdzie indziej w tym kraju. Trudno było z daleka ocenić ich wysokość, lecz wyglądały w zmroku jak żywe wieże. W ich wielopiętrowych koronach i pośród rozedrganych liści błyszczały niezliczone światełka, zielone, złote i srebrne. Haldir zwrócił się do drużyny.

– Witajcie w Caras Galadhon! – rzekł. – Oto stolica Galadrimów, siedziba Władcy Lórien, Celeborna, i Pani Galadrieli. Nie możemy jednak wejść od tej strony, bo od północy nie ma bramy. Trzeba okrążyć wzgórze od południa, a to dość długa droga, gród jest ogromny.

Zewnętrznym brzegiem fosy biegła droga brukowana białym kamieniem. Szli nią, skręciwszy ku zachodowi, miasto więc górowało wciąż nad nimi jak zielona chmura od lewej strony. W miarę jak ciemności nocne gęstniały, zapalało się coraz więcej świateł, aż wreszcie zdawało się, że wzgórze jarzy się od gwiazd. Dotarli w końcu do białego mostu, a gdy po nim przeszli, zobaczyli wielką bramę zwróconą na południo-zachód, osadzoną między dwiema zachodzącymi tu na siebie ścianami obronnego muru, wysoką i potężną, jasno oświetloną latarniami.

Haldir zapukał i wymówił jakieś hasło, a wówczas brama otworzyła się bezszelestnie; straży Frodo nie zauważył. Wędrowcy weszli, wrota

zamknęły się za nimi. Znaleźli się w niskim korytarzu między murami, minęli go szybko i wkroczyli do Grodu Drzew. Nie widać tu było żywej duszy, nie słychać niczyich kroków na ścieżkach, tylko z gór, jakby z powietrza, dobiegał gwar głosów. Gdzieś daleko, na szczycie wzgórza, rozbrzmiewał śpiew niby łagodny deszcz szemrzący wśród liści.

Szli wieloma ścieżkami, wspinali się po wielu schodach, a gdy osiągnęli znaczną wysokość, zobaczyli pośrodku rozległego trawnika migocące źródło. Oświetlały je srebrne latarnie, które kołysały się nad nim na gałęziach, a woda ściekała do srebrnej misy i z niej dopiero płynęła dalej białym strumieniem. U południowego krańca trawnika rosło największe ze wszystkich drzew; potężny gładki pień połyskiwał ciemnym srebrem, a wystrzelał w górę jak wieża i wysoko nad ziemią rozpościerał pierwsze konary, nakryte cienistą kopułą liści. Obok stała szeroka srebrna drabina, u jej stóp siedzieli trzej elfowie. Na widok zbliżającej się drużyny zerwali się wszyscy i wtedy dopiero Frodo stwierdził, że wartownicy są rośli i okryci zbrojami, a z ramion ich spływają długie białe płaszcze.

– Tu mieszkają Celeborn i Galadriela – rzekł Haldir. – Życzą sobie, żebyście weszli na górę i porozmawiali z nimi.

Jeden z wartowników zadął w róg i na czysty jego głos odpowiedziano z korony drzew trzema podobnymi nutami.

– Pójdę pierwszy – powiedział Haldir. – Następny niech idzie Frodo, a za nim Legolas. Reszta w dowolnym porządku. Dla nóg nieprzyzwyczajonych do takich schodów wspinaczka jest dość uciążliwa, można jednak odpocząć po drodze.

Pnąc się z wolna, Frodo minął mnóstwo talanów: jedne umieszczone były po prawej, inne po lewej stronie, a niektóre wokół pnia, tak że drabina przechodziła przez wyciętą w pomoście dziurę. W końcu zatrzymał się bardzo już wysoko na talanie ogromnym jak pokład wielkiego okrętu. Był tu zbudowany dom tak obszerny, że mógłby służyć za pałac ludziom na ziemi. Frodo wszedł za Haldirem do owalnej sali; pośrodku przebijał jej podłogę pień olbrzymiego mallorna, wprawdzie zwężający się pod szczytem, lecz i tu jeszcze potężny.

Komnatę wypełniało łagodne światło; ściany miała zielone i srebrne, strop złoty. Zebrała się tu liczna gromada elfów. Pod środkowym filarem na dwóch fotelach, nad którymi żywe gałęzie splątały się w baldachim,

siedzieli tuż obok siebie Celeborn i Galadriela. Wstali na powitanie gości, bo takiego zwyczaju przestrzegają elfowie, nawet najdostojniejsi. Oboje byli niezwykle wysokiego wzrostu, a królowa nie ustępowała postawą swemu małżonkowi. Oboje też byli poważni i piękni. Szaty nosili śnieżnobiałe, pani miała włosy ciemnozłote, Celeborn zaś srebrzyste, długie i jasne. Wiek nie naznaczył ich twarzy swoim piętnem, dał im tylko głębię spojrzenia, tak przenikliwego, jak ostrze włóczni lub promienie gwiazd, a zarazem tak bezdennego, jak źródła odwiecznych wspomnień. Haldir wprowadził Froda, a władca pozdrowił gościa w jego ojczystym języku. Pani Galadriela nie odezwała się ani słowem, lecz długo wpatrywała się w hobbita.

– Siądź u mego boku, Frodo, gościu z Shire'u – rzekł Celeborn. – Porozmawiamy, gdy zbiorą się wszyscy.

Każdego wchodzącego członka drużyny witał uprzejmie po imieniu.

– Witaj, Aragornie, synu Arathorna! – powiedział. – Na świecie upłynęło trzydzieści osiem lat, odkąd widzieliśmy cię w naszym kraju, a nie były dla ciebie lekkie te lata. Dobry czy zły – koniec się zbliża. Zrzuć tu wśród nas choć na chwilę swoje brzemię.

– Witaj, synu Thranduila! Nazbyt rzadko moi krewniacy z Północy przybywają tu w odwiedziny!

– Witaj, Gimli, synu Glóina! Od dawna nie widzieliśmy potomka rodu Durina w Caras Galadhon. Dziś wszakże przełamane zostało stare prawo. Oby to było zapowiedzią, że chociaż ciemności teraz zalegają nad światem, zbliża się czas szczęśliwszy i odrodzi się przyjaźń między naszymi plemionami.

Gimli skłonił się nisko.

Kiedy już wszyscy goście siedzieli wokół jego tronu, Celeborn powiódł po nich wzrokiem.

– Jest was ośmiu – rzekł. – Miało wziąć udział w wyprawie dziewięciu – takie doszły nas wieści. Ale może zmieniło się coś w postanowieniach Rady, o czym nie wiem. Elrond mieszka daleko, między nami zebrały się chmury, a cień rozrasta się z każdym rokiem.

– Nie, Rada nie zmieniła nic w swoich postanowieniach – odezwała się po raz pierwszy Pani Galadriela. Głos miała czysty i melodyjny, ale niższy,

niż miewają zazwyczaj kobiety. – Gandalf Szary wyruszył wraz z Drużyną, nie przekroczył jednak granic naszej ziemi. Powiedzcie mi, gdzie jest, bardzo chciałabym z nim się porozumieć. Lecz nie mogę dostrzec go w tej dali, póki nie znajdzie się na obszarze Lothlórien. Otacza go szara mgła, jego kroki i myśli zakryte są przed moimi oczyma.

– Niestety! – rzekł Aragorn. – Gandalf Szary wpadł w otchłań cienia. Został w Morii, skąd nie zdołał się wymknąć.

Na te słowa wszyscy obecni w komnacie elfowie krzyknęli głośno z żalu i zdumienia.

– Zła to nowina – powiedział Celeborn. – Najgorsza, jaką słyszeliśmy w ciągu długich lat, wypełnionych smutnymi zdarzeniami. – Zwrócił się do Haldira: – Dlaczego nie zawiadomiono mnie o tym wcześniej? – spytał w języku elfów.

– Nie mówiliśmy Haldirowi nic o naszych przygodach ani o celu wyprawy – rzekł Legolas. – Zrazu byliśmy zbyt znużeni i zbyt blisko za nami była pogoń. Potem zaś niemal zapomnieliśmy na chwilę o smutku, radując się wędrówką przez czarowne ścieżki Lórien.

– Wielki jest wszakże nasz żal i strata niepowetowana – powiedział Frodo. – Gandalf nam przewodził i wiódł nas przez Morię, a gdy już straciliśmy nadzieję, on nas ocalił, lecz sam zginął.

– Opowiedzcie dokładnie wszystko! – rzekł Celeborn.

Wówczas Aragorn opowiedział, co ich spotkało na przełęczy Caradhrasu i w ciągu następnych dni. Mówił o Balinie i jego księdze, o bitwie w komnacie Mazarbul, o czeluści ognistej, o wąskim moście i zjawieniu się straszydła.

– Wyglądało na potwora z przedwiecznego świata, nic podobnego w życiu nie widziałem – powiedział. – Zarazem cień i płomień, siła i groza.

– To był Balrog, sługa Morgotha – rzekł Legolas. – Z nieprzyjaciół elfów najstraszliwszy po tamtym, który się kryje w Czarnej Wieży.

– Prawdę mówisz, na moście ujrzałem na jawie koszmar, co nawiedza najbardziej ponure nasze sny: zgubę Durina – dodał cichym głosem Gimli, a w jego oczach był strach.

– Niestety! – zawołał Celeborn. – Z dawna obawialiśmy się, że pod Caradhrasem czai się zgroza. Gdybym był wiedział, że krasnoludowie

zbudzili w Morii owo zło, wzbroniłbym drogi przez północną granicę zarówno tobie, Gimli, jak wszystkim, którzy z tobą trzymają. Można by rzec, gdyby taka myśl była dopuszczalna, że Gandalf na starość z mędrca stał się szaleńcem, skoro bez potrzeby wszedł w pułapkę Morii.

– Zbyt pochopny byłby taki sąd – odezwała się z powagą Galadriela. – Gandalf nic w swym życiu nie robił bez potrzeby. Ci, co szli za jego przewodem, nie znali jego myśli i nie mogą przedstawić w pełni celu, do którego Czarodziej zmierzał. Cokolwiek wszakże powiemy o przewodniku, nikt spośród jego podwładnych nie ponosi winy. Nie żałujmy, że powitaliśmy przyjaźnie krasnoluda. Gdyby nasz lud przetrwał długie wygnanie z dala od Lothlórien, czy który z Galadrimów, bodaj sam Celeborn Mędrzec, zgodziłby się ominąć bez jednego spojrzenia dawną swoją ojczyznę, choćby ją zamieszkiwały smoki? Ciemne są wody Kheled-zâram, zimne są źródła Kibil-nêla, a piękne były wsparte na kolumnach sale Khazad-dûm za Dawnych Dni, przed upadkiem możnych królów panujących nad skałami.

Pani Galadriela spojrzała na Gimlego, który siedział smutny i wzburzony, i obdarzyła go uśmiechem. Krasnolud zaś, na dźwięk starych nazw w rodzinnej swojej mowie, podniósł wzrok i spotkał jej oczy. Wydało mu się, że nagle zajrzał w serce przeciwnika i zobaczył w nim miłość i współczucie. Wyraz zdumienia odmienił mu twarz i Gimli na uśmiech odpowiedział uśmiechem. Wstał niezgrabnie i kłaniając się na krasnoludzką modłę, powiedział:

– Lecz jeszcze piękniejszy jest kraj Lórien, a Pani Galadriela pozostaje jego klejnotem, cenniejszym niż wszystkie skarby podziemi.

Zapadła cisza. Wreszcie znów przemówił Celeborn.

– Nie wiedziałem, że tak straszne przeżyliście losy – rzekł. – Niech Gimli nie pamięta mi ostrych słów! Płynęły z serca przepełnionego troską. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wesprzeć was, każdego wedle jego potrzeb i życzeń, szczególnie zaś tego spośród małoludów, który dźwiga brzemię.

– Znamy cel waszej misji – powiedziała Galadriela, patrząc wprost na Froda. – Nie chcemy jednak mówić o nim tutaj wyraźniej. Ale zapewne okaże się, że nie na próżno przybyliście do tego kraju w poszukiwaniu pomocy, co niewątpliwie leżało w planach Gandalfa. Albowiem władca

Galadrimów zaliczany jest do najmądrzejszych elfów Śródziemia i może was obdarzyć tym, czym nie rozporządzają nawet potężni królowie. Od zarania ziemi przebywał na Zachodzie, ja zaś od niepamiętnych czasów byłam przy nim. Jeszcze przed upadkiem Nargothrondu i Gondolinu przybyłam tutaj zza gór i razem z Celebornem przez długie wieki walczymy, stawiając opór klęskom.

To ja po raz pierwszy zwołałam Białą Radę. A gdyby nie pokrzyżowano moich zamierzeń, kierowałby nią Gandalf Szary, wtedy zaś pewnie inaczej potoczyłyby się wypadki. Nawet dziś została nadzieja. Nie będę wam radziła, mówiąc: zróbcie to albo zróbcie tamto. Bo nie czynem ani radą, ani wyborem dróg mogę wam być pomocna, lecz wiedzą o tym, co było, co jest, a w pewnej mierze również, co będzie. Jedno wam powiem: wasze zwycięstwo waży się na ostrzu noża. Jeżeli zboczycie choć o włos, wszystko runie, grzebiąc nas pod gruzami. Nadzieja wszakże nie zgaśnie, póki cała Drużyna pozostanie wierna Sprawie.

To rzekłszy, zwróciła na gości przenikliwy wzrok i w milczeniu badała twarze, jedną po drugiej. Nikt prócz Legolasa i Aragorna nie mógł długo znieść jej spojrzenia. Sam natychmiast zaczerwienił się i zwiesił głowę.

Wreszcie Pani Galadriela uwolniła ich z więzi swoich oczu i uśmiechnęła się, mówiąc:

– Nie dopuszczajcie lęku do serc! Dzisiejszą noc prześpicie spokojnie.

Westchnęli i nagle poczuli się zmęczeni, jak po długim, wnikliwym śledztwie, chociaż nie padło ani jedno pytanie.

– Idźcie teraz! – powiedział Celeborn. – Wyczerpały was troski i trudy. Nawet gdyby cel waszej wyprawy blisko nas nie dotyczył, znaleźlibyście w tym grodzie schronienie, póki nie odzyskacie zdrowia i sił. Odpoczywajcie, na razie nie będziemy mówili o dalszej drodze.

Tę noc Drużyna przespała na ziemi, ku wielkiemu zadowoleniu hobbitów. Elfowie rozpięli dla nich namiot wśród drzew opodal źródła i wymościli im miękkie posłania, a potem, melodyjnymi swoimi głosami życząc im spokoju, zostawili samych. Wędrowcy jeszcze czas jakiś gawędzili, wspominając poprzedni nocleg w koronach drzew, marsz przez las oraz wizytę u Celeborna i Pani Galadrieli. W dalszą przeszłość nie odważali się jeszcze zapuszczać myślą.

– Dlaczego się tak zaczerwieniłeś, Samie? – spytał Pippin. – Załamałeś się od razu! Można by cię podejrzewać o nieczyste sumienie. Mam nadzieję, że nie miałeś sobie do wyrzucenia nic gorszego niż ten niecny zamach na mój koc.

– Ani mi w głowie kraść twój koc – odparł Sam, wcale nieskłonny do żartów. – Jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, czułem się tak, jakby mnie kto rozebrał do naga, i było mi bardzo nieprzyjemnie. Zdawało mi się, że ona widzi we mnie wszystko przez skórę i pyta, co bym zrobił, gdyby mi dała możność powrotu do domu, do Shire'u, do miłej własnej norki z ogródkiem.

– A to zabawne! – powiedział Merry. – Niemal dokładnie tak samo było ze mną, tylko że… tylko że… Nie, wolę więcej nie mówić… – zakończył niezręcznie.

Wszyscy, jak się okazało, doznali podobnego wrażenia: każdy czuł, że mu ofiarowano wybór między ciemnością rojącą się od strachów, która go czeka w dalszej podróży, a czymś innym, pożądanym gorąco. Każdy w wyobraźni zobaczył jasno przedmiot swoich marzeń, który by osiągnął, gdyby zawrócił z drogi, poniechał wyprawy i pozostawił innym wojowanie z Sauronem.

– Także mi się zdawało – wyznał Gimli – że wybór pozostanie tajemnicą i że nikt prócz mnie nie dowie się, co wybrałem.

– Mnie się to wydało niezmiernie dziwne – rzekł Boromir. – Może to była tylko próba, może ona usiłowała przeniknąć nasze myśli dla jakichś własnych celów, ale miałbym ochotę nazwać to kuszeniem: jakby nam ofiarowała coś, czym rzekomo rozporządza. Nie trzeba was chyba zapewniać, że nie chciałem tego nawet słuchać. Mężowie z Minas Tirith dotrzymują słowa.

Boromir jednak nie powiedział towarzyszom, co mianowicie wedle jego wyobrażenia ofiarowywała mu Pani Galadriela.

Frodo nic mówić nie chciał, chociaż Boromir dopytywał się natarczywie.

– W ciebie, Powiernika Pierścienia, najdłużej się wpatrywała – rzekł.

– Tak – przyznał Frodo – ale to, co mi wówczas przychodziło na myśl, zachowam dla siebie.

– Bądź jednak ostrożny – powiedział Boromir. – Nie wiem, czy można całkowicie ufać tej władczyni elfów i jej zamiarom.

– Nie waż się źle mówić o Pani Galadrieli! – surowo odezwał się Aragorn. – Sam nie wiesz, co gadasz. Ani w niej, ani w jej kraju nie ma nic złego, chyba że ktoś ze sobą zło przyniesie. Ale wtedy biada mu! Dzisiejszej nocy usnę bez lęku po raz pierwszy od wyjazdu z Rivendell. Obym spał spokojnie i zapomniał choć na tych kilka godzin o moim bólu! Zmęczony jestem na ciele i na duszy.

I Aragorn, rzuciwszy się na posłanie, natychmiast zapadł w długi sen. Towarzysze poszli za jego przykładem, a żadne hałasy ani senne widziadła nie mąciły im spoczynku. Kiedy się zbudzili, biały dzień świecił nad trawnikiem przed namiotem, a woda ze źródła, tryskając w górę i opadając, skrzyła się w słońcu.

Spędzili w Lothlórien kilka dni, o których niewiele umieliby powiedzieć i zachować w pamięci. Przez cały czas słońce świeciło jasno, z wyjątkiem chwili przelotnych ciepłych deszczów, po których zieleń zdawała się czystsza i świeższa. Powietrze było chłodne i łagodne, jak wczesną wiosną, lecz wyczuwali dokoła głęboką, zamyśloną ciszę zimy. Mieli wrażenie, że nie robią nic, tylko jedzą, piją, odpoczywają i przechadzają się wśród drzew, i to im zupełnie wystarczało.

Celeborna i Pani Galadrieli nie widywali później, z innymi elfami mało rozmawiali, niewielu zresztą Galadrimów znało jakikolwiek język prócz własnej leśnej mowy. Haldir pożegnał się z Drużyną i wrócił na północne pogranicze, którego teraz strzeżono pilnie, wiedząc z opowiadań gości, co się dzieje w Morii. Legolas przebywał niemal stale wśród Galadrimów, a po pierwszej nocy opuścił nawet wspólną kwaterę Drużyny, zjawiał się jedynie na posiłki i czasem na pogawędki. Często, wybierając się poza miasto, brał Gimlego, a towarzysze nadziwić się nie mogli tej odmianie.

Teraz już, przesiadując lub spacerując razem, Drużyna mówiła o Gandalfie, a gdy każdy dorzucał do wspomnień, co wiedział i w jakich okolicznościach widywał Czarodzieja, jego postać tym żywiej stawała wszystkim przed oczyma. W miarę jak odpoczynek koił rany i znużenie ciała, serca boleśniej odczuwały żal po straconym przewodniku. Nieraz słyszeli w pobliżu śpiew elfów i wiedzieli, że Galadrimowie układają treny

żałobne o zgubie Gandalfa, bo wśród słodkich, smutnych słów niezrozumiałego języka powtarzało się jego imię.

„Mithrandir, Mithrandir! – śpiewali elfowie. – O Pielgrzymie Szary!” Tak bowiem najchętniej nazywali Czarodzieja. Legolas wszakże, jeśli znalazł się w takiej chwili w Drużynie, nie chciał towarzyszom tłumaczyć słów pieśni, twierdząc, że nie potrafi i że strata, tak bardzo jeszcze świeża, w nim budzi raczej ochotę do płaczu niż do śpiewu.

W Drużynie pierwszy Frodo spróbował, jak umiał, wyrazić w słowach swój smutek. Rzadko brała go ochota układać pieśni i rymy. Nawet w Rivendell wolał słuchać, niż śpiewać, chociaż w pamięci przechowywał mnóstwo wierszy przez innych z dawna skomponowanych. Teraz jednak, gdy przesiadywał przy źródle w Lórien i słuchał głosu elfów, myśli jego mimo woli przybrały kształt pieśni, która mu się wydała piękna; lecz gdy chciał ją powtórzyć Samowi, nie znajdował nic prócz strzępków, spłowiałych jak garść zwiędłych liści.

A kiedy wieczór szarzał w krąg,
Na Wzgórzu słychać było kroki…
Odchodził jednak skoro świt
W dalekiej drogi szare mroki.

Od Puszczy po zachodu brzeg,
Z północy ku południa wzgórzom,
Przez leża smocze, mroczny bór
Szedł – nieznużony swą podróżą.

Z hobbitem, z elfem w cieniu grot,
Z ludkiem zwyczajnych śmiertelników,
Z ptakiem czy wężem pośród traw
Rozmawiał w tajnym ich języku.

Raz miecz, to znów lecząca dłoń,
Ciężarem grzbiet strudzony srodze,
Paląca głownia, grzmiący głos –

To znów znużony pielgrzym w drodze.

To sądził, jak mądrości wzór
Do gniewu skłonny i do łaski,
To znów jak starzec dłonie wsparł
Na pełnym sęków drewnie laski.

Na moście stanął – ciemny Cień
I Ogień wyzywając dumnie…
O kamień złamał mu się kij,
A mądrość zmarła w Khazad-dûmie[48].

– Jeszcze trochę, panie Frodo, a prześcignie pan pana Bilba! – rzekł Sam.

– Wątpię – odparł Frodo. – Ale ten wiersz jest lepszy niż wszystkie, jakie dotychczas ułożyłem.

– Wie pan co, jeżeli pan znowu kiedy będzie coś takiego obmyślał, niech pan koniecznie wspomni o fajerwerkach – powiedział Sam. – Na przykład tak:

Pod niebo tryska raz po raz
Fontanna kolorowych gwiazd –
I grzmotem wypełniwszy przestrzeń
Złocistych kwiatów spada deszczem[49].

Po prawdzie, fajerwerki warte są lepszych wierszy!

– Nie, ten temat tobie zostawię, Samie. A może Bilbowi. Ale… Nie, nie mogę o tym mówić… Trudno znieść myśl, że będę musiał taką nowinę staruszkowi powiedzieć!

Pewnego dnia Frodo i Sam przechadzali się o przedwieczornym chłodzie. Obu znowu nękał niepokój. Nagle ogarnął Froda smutek rozstania; nie wiedział dlaczego, lecz był pewien, że zbliża się chwila, kiedy będzie musiał pożegnać Lothlórien.

– No, Samie, co teraz sądzisz o elfach? – spytał. – Postawiłem już raz to pytanie… jakże to się wydaje dawno temu! Ale od tamtego dnia napatrzyłeś się ich więcej.

– Że się napatrzyłem, to się napatrzyłem! – odparł Sam. – I widzę, że są elfowie i elfowie. Wszyscy najprawdziwsi, a przecież tacy różni. Ci na przykład, tutejsi, nie wędrują bezdomnie, odrobinkę są do nas podobni, bo do tej swojej ziemi przynależą jak hobbici do Shire'u. Czy to ten kraj ich przerobił, czy oni go na swój sposób przerobili – trudno zgadnąć… Nie wiem, czy pan mnie rozumie? Tak tu spokojnie! Jakby się nic nie działo i jakby nikt żadnych zdarzeń nie pragnął. Jeśli tkwi w tym jakieś czarodziejstwo, to chyba bardzo głęboko, nic wymacać nie sposób, że się tak wyrażę.

– Widzi się i wyczuwa czar we wszystkim dokoła – rzekł Frodo.

– No, tak – powiedział Sam – ale nie widać, żeby ktoś czarował. Nie puszczają fajerwerków jak stary Gandalf, nieborak. Dziwi mnie też, że pana Celeborna ani Pani Galadrieli w ostatnich dniach nie spotykamy nigdzie. Myślę, że ona na pewno umie różne czary sprawiać, byle zechciała. Dużo bym dał, żeby zobaczyć sztuki elfów!

– A ja nie – odparł Frodo. – Dobrze mi tak, jak jest. I nie do fajerwerków Gandalfa tęsknię, ale do jego krzaczastych brwi, porywczego charakteru i głosu.

– Racja – przyznał Sam. – Niech pan nie myśli, panie Frodo, że ja grymaszę. Zawsze marzyłem, żeby zobaczyć czary, o których stare legendy opowiadają, a nie ma chyba na świecie kraju, co by lepiej niż ten nadawał się do takich rzeczy. Rozumie pan, tu jest tak, jakby się było u siebie w domu, a zarazem na majówce. Nie chce się stąd odchodzić, ale mimo wszystko czuję, że jeśli trzeba iść dalej, lepiej to zrobić jak najprędzej. „Najdłużej trwa ta robota, której się wcale nie zaczyna" – mawiał mój staruszek. Nie zdaje mi się też, by tutejsi elfowie mogli nam wiele pomóc, z czarami czy bez czarów. Myślę, że dopiero za granicą tego kraju najboleśniej odczujemy brak Gandalfa.

– Niestety, słusznie tak myślisz – rzekł Frodo. – Mam jednak nadzieję, że przed wyruszeniem zobaczymy jeszcze Panią Elfów.

W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na te słowa, ujrzeli zbliżającą się Galadrielę. Smukła, biała i piękna szła pod drzewami. Nie wymówiła

ani słowa, ale gestem wezwała hobbitów do siebie. Zawróciła i poprowadziła ich ku południowym stokom wzgórza Caras Galadhon i przez wysoki zielony żywopłot do zamkniętego jego ścianami ogrodu. Nie było tu drzew, nad ogrodem rozpościerało się otwarte niebo. Właśnie wzeszła gwiazda wieczorna i płonęła białym ogniem nad lasami w zachodniej stronie. Po licznych stopniach schodów Pani Galadriela zstąpiła w głęboką zieloną kotlinę, którą przecinał, szemrząc, srebrny potok, spływający ze źródła na wzgórzu. W dole, na podstawie wyrzeźbionej w kształt korony drzewa, stała srebrna misa, wielka, lecz płytka, obok zaś srebrny dzban.

Galadriela napełniła misę po wręby wodą z potoku, odczekała chwilę, by się woda ustała, potem dopiero przemówiła.

– To jest Zwierciadło Galadrieli – rzekła. – Przyprowadziłam was tutaj, byście w nie spojrzeli, jeśli macie ochotę.

W powietrzu była cisza, mrok zalegał kotlinę, Pani Elfów zdawała się hobbitom bardzo wysoka i blada.

– Czego w nim mamy szukać i co zobaczymy? – spytał z trwożnym szacunkiem Frodo.

– Mogę rozkazać Zwierciadłu, by objawiło różne rzeczy – odparła Galadriela – a niekiedy pokazuję pewnym osobom to, co sobie życzą zobaczyć. Ale Zwierciadło może też z własnej woli ukazać obrazy, o które je nikt nie prosił, a bywają one często niezwykłe i bardziej pouczające niż tamte, upragnione. Co ujrzysz, jeśli zostawimy swobodę Zwierciadłu, nie wiem. Pokazuje ono czasem dzień dzisiejszy albo to, co się może dopiero później zdarzyć. Lecz nawet największy mędrzec nie zawsze jest pewien, czy to, co widzi, należy do przeszłości, do teraźniejszości czy do jutra. Czy chcesz spojrzeć?

Frodo nic nie odpowiedział.

– A ty? – zwróciła się Galadriela do Sama. – Wiedz, że tu wchodzi w grę to, co twoje plemię nazywa magią, chociaż ja niezupełnie pojmuję, co rozumiecie przez to określenie: zdaje się, że tym samym słowem określacie podstępy Nieprzyjaciela. Lecz jeśli chcesz to nazwać magią, pamiętaj, że to magia Galadrieli. Czyż nie mówiłeś, że marzysz o zobaczeniu czarów, które sprawiają elfowie?

– Mówiłem – przyznał Sam, drżąc w rozterce między strachem a ciekawością. – Zajrzę, jeśli pozwolisz, Pani.

Chętnie bym zerknął ku domowi, co się też tam dzieje – powiedział na stronie do Froda. – Wydaje mi się, że wieki upłynęły, odkąd opuściłem Shire. Ale bardzo możliwe, że nie zobaczę nic prócz gwiazd albo takiego obrazu, z którego nic nie zrozumiem.

– Owszem, możliwe – odparła, śmiejąc się przyjaźnie, Galadriela. – Zbliż się jednak, popatrz, a przekonasz się, co zobaczysz. Nie dotykaj wody!

Sam wspiął się na cokół i nachylił nad misą. Woda była ciemna i zdawała się twarda. Odbijały się w niej gwiazdy.

– Nic, tylko gwiazdy, tak jak przepowiadałem – mruknął Sam. Zaraz potem krzyknął cicho, bo gwiazdy znikły. Jakby się ciemna zasłona rozwiała, zwierciadło z czarnego stało się szare, a później zupełnie jasne. Świeciło w nim słońce, drzewa kołysały się i gięły na wietrze. Zanim Sam zdążył zgadnąć, co to znaczy, światło zmierzchło; teraz miał wrażenie, że widzi Froda z pobladłą twarzą, leżącego we śnie pod ogromnym, ponurym urwiskiem. Z kolei zobaczył jakby siebie samego w mrocznym tunelu, pnącego się po niezliczonych stopniach krętych schodów pod górę. Jak we śnie obrazy zmieniały się i powracały: oto znów ukazały się drzewa. Tym razem jednak nie tłoczyły się tak gęsto i Sam mógł dostrzec wyraźniej, co się wśród nich dzieje; nie kołysały się na wietrze, lecz padały, roztrzaskując się, na ziemię.

– Ojej! – krzyknął oburzony. – Ted Sandyman wyrąbuje drzewa, których nie ma prawa ruszać! Nie wolno ich ścinać, to przecież szpaler za młynem, ocieniający drogę Nad Wodą. Żebym tak dobrał się do Teda, tobym jego rąbnął!

W tym momencie Sam nagle spostrzegł, że stary młyn zniknął, a na jego miejscu wznoszony jest duży dom z czerwonej cegły. Mnóstwo robotników kręciło się przy budowie. Opodal sterczał wysoki, czerwony komin. Czarny dym zasnuł powierzchnię Zwierciadła.

– W Shire jakiś diabeł psoci – powiedział Sam. – Elrond miał rację, że chciał pana Meriadoka odesłać do kraju. – Naraz Sam wrzasnął i odskoczył od misy. – Nie mogę tu zostać! – zawołał wzburzony. – Muszę wracać do domu. Rozkopali nasz zaułek, a stary Dziadunio złazi z Pagórka i pcha taczki z całym swoim dobytkiem. Muszę wracać!

– Nie możesz wrócić sam jeden – odezwała się Pani Galadriela. – Zanim spojrzałeś w Zwierciadło, nie chciałeś iść do domu bez swojego pana, chociaż wiedziałeś, że tam, w kraju, może się zdarzyć coś złego. Pamiętaj, że Zwierciadło pokazuje różne rzeczy i nie wszystkie mają się nieuchronnie ziścić. Niektóre nigdy się nie urzeczywistnią, jeżeli ten, komu się zjawiły, nie zboczy ze swej ścieżki, by im zapobiec. Zwierciadło jest niebezpiecznym doradcą, jeśli chodzi o wybór drogi.

Sam siedział na ziemi, ściskając oburącz głowę.

– Po com tu przychodził! Że też mi się zachciało oglądać jakieś czary! – powiedział i znów umilkł. Po chwili przemówił zdławionym głosem, jakby walcząc ze łzami: – Nie! Pójdę do domu, ale tylko okrężną drogą; albo razem z panem Frodem, albo wcale! Mimo wszystko nie tracę nadziei, że kiedyś tam wrócę. A jeżeli to, com widział w wodzie, jest prawdą, ktoś dostanie porządnie po łbie.

– Czy teraz chcesz spojrzeć w Zwierciadło, Frodo? – spytała Pani Galadriela. – Tyś nie marzył o czarach elfów, byłeś zadowolony z tego, co miałeś.

– Co mi radzisz? – spytał Frodo.

– Nic – odparła. – Nie radzę ci ani tak, ani inaczej. Nie jestem doradcą. Możesz się czegoś dowiedzieć, a czy to będzie dobre, czy złe – może ci się przydać, a może nie. Jasnowidzenie to przywilej zarazem cenny i niebezpieczny. Ale sądzę, mój Frodo, że masz dość odwagi i rozumu, by poddać się tej próbie; gdybym myślała inaczej, nie przyprowadziłabym cię tutaj. Zrób, co chcesz!

– Zajrzę – powiedział Frodo i wspiąwszy się na podstawę, pochylił twarz nad ciemną wodą. Zwierciadło natychmiast pojaśniało i hobbit zobaczył krajobraz w półmroku. W głębi na tle bladego nieba majaczyły ponure góry. Długa, szara droga biegła w dal i ginęła na widnokręgu. Z bardzo daleka drogą z wolna nadchodziła jakaś postać, zrazu maleńka i nikła, z każdą sekundą rosnąca, w miarę jak się zbliżała. Nagle Frodo uświadomił sobie, że postać przypomina mu Gandalfa. Omal nie krzyknął na głos imienia Czarodzieja, w porę jednak spostrzegł, że wędrowiec ma na sobie nie szary, lecz biały płaszcz i że ta biel świeci wśród zmierzchu nikłym światłem; w jego ręku zauważył białą różdżkę. Postać szła ze spuszczoną głową, twarzy więc Frodo nie mógł poznać, a w chwilę później pielgrzym zniknął mu z

oczu za zakrętem drogi. Zwątpienie ogarnęło Froda: czy to była wizja Gandalfa sprzed wielu lat, przemierzającego samotnie drogi świata, czy też Saruman?

Obraz się zmienił. Na krótko i bardzo maleńki, lecz wyraźny, mignął Frodowi Bilbo, niespokojnie biegający tam i sam po swojej izdebce. Na stole piętrzyły się porozrzucane papiery, deszcz siekł w okna.

Nastąpiła przerwa, potem błyskawicznie zaczęły się przesuwać różne sceny, a Frodo odgadywał w nich fragmenty jakiejś wielkiej historii, w którą był osobiście wplątany. Mgła się rozwiała i zobaczył coś, czego nigdy w życiu nie widział, a co jednak od pierwszego wejrzenia poznał: morze. Zapadły ciemności. Straszliwa burza rozpętała się na morzu. Na tle słońca, zachodzącego krwawo w kłębach chmur, zarysował się czarną sylwetką smukły statek z poszarpanymi żaglami niesiony wiatrem od zachodu. Potem Frodo zobaczył szeroką rzekę przepływającą przez ludne miasto. Potem – białą, siedmiowieżową twierdzę. I znów ukazał się statek z czarnymi żaglami, lecz teraz był ranek, woda skrzyła się w blasku dnia, a w słońcu błyszczało wyhaftowane na chorągwi godło przedstawiające białe drzewo. Dym się wzbił, jakby nad polem bitwy, słońce zaszło rozżarzone szkarłatnie, kryjąc się w szarych oparach; mały stateczek, migocąc światłami, zanurzył się we mgle. Wszystko znikło, a Frodo westchnął i już zamierzał odsunąć się od misy, gdy nagle Zwierciadło powlokło się ciemnością tak nieprzeniknioną, jakby czarna jama otwarła się w świecie wizji, i hobbit spojrzał w pustkę.

W ciemnej czeluści ukazało się Oko i rosło z każdą sekundą, aż wypełniło niemal całe Zwierciadło. Było tak straszne, że Frodo struchlał, niezdolny krzyknąć ani oderwać wzroku. W ognistym rąbku Oko szkliło się, żółte niby ślepie kocura, czujne i skupione, a czarna szczelina źrenicy otwierała się jak otchłań – w nicość. Potem Oko zaczęło błądzić na wszystkie strony, jakby czegoś szukając; Frodo ze zgrozą, lecz bez najmniejszej wątpliwości zrozumiał, że między innymi szuka również jego; wiedział jednak, że Oko nie może go dostrzec, jeszcze nie może – chyba żeby on sam się na to zgodził. Pierścień zawieszony na łańcuszku u szyi zaciążył mu jak ogromny kamień, ciągnąc głowę hobbita w dół. Zwierciadło, jakby się rozgrzewając, zadymiło parą. Frodo osuwał się coraz niżej.

– Nie dotykaj wody! – szepnęła Pani Galadriela. Wizja rozwiała się, Frodo patrzył w chłodne gwiazdy, mrugające w srebrnej misie. Odsunął się od Zwierciadła, drżąc na całym ciele i spojrzał na Panią Elfów.

– Wiem, co zobaczyłeś na zakończenie – powiedziała – bo ten sam obraz ukazał się moim myślom. Nie lękaj się! Wiedz, że nie tylko śpiew elfów wśród drzew i nawet nie wysmukłe ich łuki bronią krainy Lothlórien przeciw zakusom Nieprzyjaciela. Powiadam ci, Frodo, że nawet w tej chwili, gdy z tobą rozmawiam, widzę Czarnego Władcę i przenikam jego zamysły, jeśli dotyczą elfów. On zaś od wieków usiłuje dostrzec mnie i poznać moje myśli. Ale drzwi są przed nim wciąż jeszcze zamknięte.

Podniosła białe ramiona i wyciągnęła dłonie ku wschodowi takim gestem, jakby coś odrzucała i odpierała. Eärendil – Gwiazda Wieczorna, najmilsza sercom elfów – jasno świeciła na niebie. W jej blasku u stóp Galadrieli kładł się na ziemię mętny cień. Promień gwiazdy trafił na pierścień zdobiący jej palec: polerowane złoto zalśniło srebrnym światłem, a biały kamień rozbłysnął, jakby Gwiazda Wieczorna spłynęła na wyciągniętą rękę Pani Elfów. Frodo ze czcią przyglądał się pierścieniowi, nagle bowiem wydało mu się, że zrozumiał tajemnicę.

– Tak – powiedziała Galadriela, odgadując jego myśli – nie wolno tego sekretu zdradzić i dlatego Elrond nie mógł ci nic powiedzieć. Lecz nie będę taiła prawdy przed Powiernikiem Pierścienia, przed tym, który widział Oko. A prawdą jest, że w kraju Lórien na palcu Galadrieli przechowuje się jeden z Trzech. Nazywa się Nenya, Diament, a powierzono go mnie.

Tamten podejrzewa prawdę, lecz jej nie zna… jeszcze nie. Czy teraz pojmujesz, dlaczego twoje przybycie oznacza dla nas, że zbliża się godzina przeznaczenia? Jeśli ciebie spotka klęska, będziemy wydani bezbronni w ręce Nieprzyjaciela. Jeśli uda ci się spełnić swoją misję, nasza potęga zmaleje, a Lothlórien zwiędnie i fala czasu porwie nasz kraj. Będziemy musieli odejść na Zachód lub zmienić się w zwykłych wieśniaków, mieszkać w norach i jaskiniach, z wolna zapomnieć i utonąć w zapomnieniu.

Frodo schylił głowę.

– A czego pragniesz ty, Pani Galadrielo? – spytał po chwili.

– Aby się stało, co się stać musi – odpowiedziała. – Miłość elfów do rodzinnego kraju głębsza jest niż morze, ich żal nie umrze nigdy i nigdy się

nie ukoi. A przecież elfowie wszystkiego raczej się wyrzekną, niżby się mieli poddać Sauronowi: znają go bowiem dobrze. Ty nie dźwigasz odpowiedzialności za losy Lothlórien, lecz masz własny obowiązek do spełnienia. Gdyby takie życzenie mogło się ziścić, pragnęłabym, żeby Jedyny Pierścień nigdy nie został wykuty albo żeby zaginął na zawsze.

– Jesteś mądra, nieustraszona i piękna, Pani Galadrielo – rzekł Frodo. – Tobie dam ten Pierścień, jeżeli o to poprosisz. Dla mnie to brzemię jest za ciężkie.

Galadriela niespodzianie wybuchnęła melodyjnym śmiechem.

– Mądra zapewne jest Pani Galadriela – powiedziała – lecz w tobie spotkała równego sobie w uprzejmości partnera. Grzecznie zemściłeś się za próbę, jakiej poddałam twoje serce przy pierwszym spotkaniu. Zaczynasz bystro patrzeć na świat. Nie wypieram się, że gorąco pragnęłam poprosić o to, co mi ofiarowałeś. Od wielu lat rozmyślałam, czego bym dokazała, gdybym dostała w swoje ręce Wielki Pierścień, i oto przyniosłeś go! Wystarczyłoby mi po niego sięgnąć! Zło, z dawna uknute, działa na rozmaite sposoby, niezależnie od tego, czy Sauron tryumfuje, czy upada. Przyznaj, że byłby to szlachetny czyn do policzenia między zasługi Pierścienia, gdybym go przemocą albo postrachem odebrała mojemu gościowi!

I wreszcie stało się! Chcesz dobrowolnie oddać mi Pierścień! Na miejscu Czarnego Władcy postawić Królową! A ja nie będę ponura, lecz piękna i straszna jak świt i jak noc. Czarodziejska jak morze, słońce i śnieg na szczytach. Groźna jak burza, jak grom. Potężniejsza niż fundamenty ziemi. Wszyscy kochaliby mnie z rozpaczą!

Podniosła ręce i od pierścienia, który miała na palcu, strzelił jasny blask, rozświetlając tylko jej postać, a wszystko inne pogrążając w ciemności. Wydała się teraz Frodowi wysoka ponad wszelką miarę i nieodparcie piękna, straszna i godna czci. Opuściła ramiona, światło przygasło, Galadriela zaśmiała się znowu i – o dziwo! – skurczyła się, zmalała; stała przed hobbitem znów smukła Pani Elfów, w prostej białej sukni, a głos jej brzmiał łagodnie i smutno.

– Wytrzymałam próbę – rzekła. – Wyrzeknę się wielkości, odejdę na Zachód, pozostanę Galadrielą.

Długą chwilę trwało milczenie. Wreszcie odezwała się znów Pani Elfów.

– Wracajmy! – powiedziała. – Rankiem musicie ruszyć w drogę, wybór już dokonany, a fala losu wzbiera.

– Nim stąd odejdziemy, chcę cię o coś zapytać – rzekł Frodo. – Nieraz w Rivendell miałem ochotę zapytać o to Gandalfa. Pozwolono mi nosić Jedyny Pierścień. Dlaczego nie mogę zobaczyć wszystkich innych Pierścieni i poznać myśli tych, którzy je noszą?

– Nie próbowałeś – odparła Galadriela. – Tylko trzy razy wsunąłeś na palec Pierścień, odkąd dowiedziałeś się, co posiadasz. Nie próbuj tego! To by cię zgubiło. Czy Gandalf nie mówił ci, że każdy z tych Pierścieni daje władzę na miarę sił swego właściciela? Nimbyś umiał użyć tej władzy, musiałbyś wzrosnąć znacznie w siły, wyćwiczyć wolę w panowaniu nad innymi. Lecz i tak jako Powiernik Pierścienia, jako ten, który go miał na swym palcu i widział rzeczy tajemne, zyskałeś już bystrość wzroku. Przeniknąłeś moją myśl jaśniej niż niejeden Mędrzec. Zobaczyłeś Oko tego, który włada Siedmioma i Dziewięcioma. A czyż nie dostrzegłeś i nie poznałeś pierścienia na moim ręku? Czyś ty widział mój pierścień? – zwróciła się do Sama.

– Nie, Pani – odpowiedział Sam. – Prawdę mówiąc, dziwiłem się właśnie, o czym rozprawiacie. Widziałem tylko gwiazdę przeświecającą przez palce. Ale jeśli mi pani wybaczy szczerość, powiem, że mój pan miał rację. Wolałbym, żeby pani wzięła od niego Pierścień. Zrobiłaby pani porządek z tym wszystkim. Zabroniłaby pani rozkopywać zagrodę mojego staruszka i wyrzucać go na bruk. No i ukarałaby pani niektóre osoby za ich podłą robotę.

– Tak – powiedziała Galadriela. – Tak właśnie byłoby na początku. Lecz niestety nie skończyłoby się na tym. Nie będziemy już więcej o tej sprawie mówili. Chodźmy!

ROZDZIAŁ 8
POŻEGNANIE Z LÓRIEN

Tego wieczora wezwano drużynę ponownie do komnaty Celeborna, gdzie oboje – Władca Elfów i Pani Galadriela – powitali gości dwornymi słowami. Wreszcie Celeborn zaczął mówić o pożegnaniu.

– Wybiła godzina – rzekł – i ci, którzy chcą dopełnić zadania, muszą uzbroić swoje serca, by opuścić nasz kraj. Kto nie chce iść dalej, może zostać u nas – na razie. Lecz zarówno tym, którzy odejdą, jak i tym, którzy zostaną, nie wolno liczyć na spokój. Stanęliśmy bowiem na krawędzi i waży się nasz los. Kto woli, niech tutaj czeka na rozstrzygnięcie, na dzień, gdy albo się przed nim świat otworzy znowu, albo wezwiemy go do walki w ostatniej potrzebie tego kraju. Wówczas się okaże, czy będzie mógł wrócić do swojego domu, czy też odejdzie do ojczyzny tych wszystkich, co polegli w boju.

Zapadła cisza.

– Wszyscy postanowili iść dalej – oznajmiła Galadriela, patrząc im w oczy.

– Jeśli o mnie chodzi – odezwał się Boromir – moja droga do domu prowadzi naprzód, a nie wstecz.

– To prawda – rzekł Celeborn – ale czy cała Drużyna pójdzie z tobą do Minas Tirith?

– Jeszcze nie ustaliliśmy, którędy iść – odparł Aragorn. – Nie wiemy, co zamierzał zrobić Gandalf po przejściu przez Lórien. Nie wiem nawet, czy miał jakieś wyraźnie określone plany.

– Może nie miał – rzekł Celeborn – ale opuszczając ten kraj, musicie pamiętać o Wielkiej Rzece. Niektórzy z was zapewne wiedzą, że między Lórien a Gondorem nie sposób przeprawić się przez nią z bagażem inaczej niż łodzią. Czyż mosty Osgiliath nie zostały zerwane, czyż wszystkich przepraw nie strzeże Nieprzyjaciel? Którym brzegiem powędrujecie? Gościniec do Minas Tirith biegnie po zachodniej stronie, lecz prosta droga do waszego celu wiedzie na wschód od Rzeki, jej ciemniejszym brzegiem. Który brzeg wybierzecie?

– Jeśliby mnie pytano o zdanie, radziłbym iść zachodnim brzegiem, gościńcem do Minas Tirith – odparł Boromir. – Nie ja wszakże jestem przewodnikiem Drużyny.

Inni milczeli, Aragorn zaś, jak się zdawało, był w rozterce i zakłopotany.

– Widzę, że nie wiecie, co robić – rzekł Celeborn. – Nie do mnie należy wybór waszych dróg, lecz pomogę wam, ile w mojej mocy. Kilku uczestników wyprawy umie sobie radzić z łodzią: Legolas, który pochodzi z plemienia spławiającego tratwy po Leśnej Rzece, Boromir z Gondoru i Aragorn – podróżnik.

– No i przynajmniej jeden z hobbitów! – krzyknął Merry. – Nie wszyscy u nas patrzą na łodzie jak na dzikie konie. Mój ród mieszka nad Brandywiną.

– Tym lepiej! – powiedział Celeborn. – W takim razie dostarczę waszej Drużynie łodzi. Muszą być małe i lekkie, bo jeśli wypadnie wam dalej podróżować wodą, będzie trzeba je w niektórych miejscach przenosić. Spotkacie na rzece progi Sarn Gebir, a może dotrzecie nawet do wielkich wodogrzmotów Rauros, gdzie woda rzuca się gwałtownie w dół z Nen Hithoel. Mogą się zdarzyć również inne przeszkody. Dzięki łodziom podróż będziecie mieli przynajmniej na początku ułatwioną. Ale to nie zwolni was od wyboru, a w końcu musicie rozstać się z łodziami i z rzeką, by wysiąść na brzeg – wschodni albo zachodni.

Aragorn dziękował Celebornowi stukrotnie. Dar elfów bardzo go ucieszył, w znacznej mierze dlatego, że odwlekał o kilka dni konieczność decyzji. Cała Drużyna nabrała nowej otuchy. Jakiekolwiek miały czyhać po drodze niebezpieczeństwa, woleli płynąć na ich spotkanie z nurtem Anduiny, niż wlec się piechotą z tobołami na grzbietach. Tylko Sam żywił pewne wątpliwości: zaliczał się do tych hobbitów, którym łodzie wydają się równie złe, a może nawet gorsze od dzikich koni, i mimo wszystkich przeżytych dotychczas niebezpieczeństw nie był skłonny do zmiany tej opinii.

– Jutro przed południem zastaniecie w przystani wszystko gotowe – rzekł Celeborn. – Rano przyślę wam elfów do pomocy w pakowaniu. A teraz życzymy dobrej nocy i spokojnego snu.

– Dobranoc, przyjaciele – powiedziała Galadriela. – Śpijcie w pokoju. Nie dręczcie się dzisiaj zbytnio myślą o podróży. Kto wie, może ścieżki,

którymi każdy z was powinien wędrować, już ścielą się wam u stóp, chociaż ich jeszcze nie widzicie. Dobranoc!

Pożegnawszy się, wrócili do swojego namiotu. Legolas poszedł z Drużyną, bo tej ostatniej nocy w Lothlórien chcieli się wspólnie naradzić, mimo słów Galadrieli.

Długo debatowali, co czynić i jakim sposobem najlepiej wypełnić zadanie, lecz nie doszli do żadnych stanowczych wniosków. Okazało się dość jasne, że większość chciała najpierw podążać do Minas Tirith i przynajmniej na razie umknąć przed grozą Nieprzyjaciela. Zgodziliby się pójść za przewodnikiem na drugi brzeg rzeki i w cienie Mordoru, ale Frodo nie rzekł ani słowa, Aragorn zaś wciąż był w rozterce.

Dopóki Gandalf prowadził Drużynę, Aragorn zamierzał towarzyszyć Boromirowi i użyć swego miecza w obronie Gondoru. Wierzył bowiem, że sen Boromira obowiązuje go jako wezwanie i że wybiła godzina, by potomek Elendila wystąpił jawnie i stoczył z Sauronem bój o władzę. Lecz w Morii Gandalf przekazał swoje brzemię na jego barki i Aragorn wiedział, że nie wolno mu poniechać Pierścienia, jeśli Frodo nie zgodzi się w końcu iść z Boromirem. Ale czy mógł on lub ktokolwiek z Drużyny udzielić Frodowi jakiejś pomocy, choćby brnął za nim na oślep w głąb ciemności?

– Pójdę do Minas Tirith sam, jeśli inaczej się nie da, bo to mój obowiązek – powiedział Boromir. Umilkł na długą chwilę i siedział, wlepiając wzrok w twarz Froda, jakby usiłował odczytać z niej jego myśli. Wreszcie odezwał się znów cichym głosem, jakby sam sobie chciał coś udowodnić: – Jeśli chcesz tylko zniszczyć Pierścień, zbroje i miecze nie na wiele ci się przydadzą. Ludzie z Minas Tirith nic ci pomóc nie mogą. Ale jeśli chcesz zniszczyć zbrojną potęgę Czarnego Władcy, byłoby szaleństwem zapuszczać się bez armii w jego dziedziny. Szaleństwem też byłoby, gdybyś rzucił… – urwał nagle, spostrzegając się zapewne, że zdradza ukryte myśli. – Byłoby szaleństwem, gdybyś rzucił na pastwę śmierci życie swoje i towarzyszy, chciałem rzec – poprawił się zaraz. – Masz do wyboru obronę twierdzy albo marsz bez broni ku niechybnej zgubie. Tak ja to przynajmniej rozumiem.

Frodo wyczuł coś nowego i obcego w spojrzeniu Boromira i popatrzył na niego uważnie. Pewien był, że Boromir myślał co innego, niż wyraził w ostatnich swoich słowach. „Byłoby szaleństwem, gdybyś rzucił…” Co?

Pierścień Władzy? Podobne zdanie wygłosił już przedtem na Radzie, ale wówczas dał się przekonać Elrondowi. Frodo zwrócił wzrok na Aragorna, lecz ten, zatopiony we własnych myślach, jakby wcale nie słyszał przemowy Boromira. Na tym skończyła się narada. Merry i Pippin spali już, Sam kiwał się sennie. Noc była głęboka.

Rankiem, gdy zabierali się do pakowania skromnego dobytku, zjawiło się kilku elfów znających Wspólną Mowę, z mnóstwem darów, zapasami jadła i ubraniami na drogę. Prowiant składał się głównie z cieniutkich sucharów, z zewnątrz przypieczonych i rumianych, wewnątrz jasnych jak śmietana. Gimli wziął jeden z nich do ręki i przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

– Kram! – szepnął, chrupiąc ułamany okruch. Mina mu się rozjaśniła i zjadł cały suchar z apetytem.

– Dość! Dość! – ze śmiechem krzyknęli elfowie. – Zjadłeś już porcję wystarczającą na długi dzień marszu.

– Zdawało mi się, że to rodzaj kramów, czyli sucharów, jakie mieszkańcy Dale biorą z sobą zazwyczaj na wędrówkę po pustkowiach.

– Dobrze ci się zdawało – odparli elfowie – ale my to nazywamy *lembas*, to znaczy chleb podróżny. Posila on lepiej niż wszystkie potrawy znane ludziom, a przy tym jest bądź co bądź smaczniejszy niż kram.

– Nie da się temu zaprzeczyć – przyznał Gimli. – Lepszy jest nawet od miodowników, specjalności plemienia Beorna, a to niemała pochwała, bo nie znam od nich sławniejszych piekarzy. Co prawda ostatnimi czasy niechętnie dzielą się swymi wyrobami z podróżnymi. Wy jesteście bardziej gościnni.

– Mimo to prosimy o oszczędzanie prowiantu – odrzekli elfowie. – Jedzcie niewiele naraz i tylko wtedy, gdy was głód przymusi. Zapas przeznaczony jest na wypadek, gdy zawiodą inne sposoby pożywienia się w drodze. Suchary nie skwaśnieją przez długi czas, jeśli nie rozkruszycie ich i pozostawicie owinięte w liście tak, jak je zapakowaliśmy. Jeden lembas wystarczy, by pokrzepić na cały dzień ciężkich trudów każdego podróżnika, choćby to był rosły mężczyzna z Minas Tirith.

Potem rozdzielili między członków Drużyny przyniesione ubrania. Każdy dostał kaptur i płaszcz skrojony na miarę z lekkiego, a mimo to

ciepłego jedwabiu, tkanego przez Galadrimów. Kolor tkaniny trudno było określić, wydawała się szara jak zmierzch pod drzewami, ale przy poruszeniu lub zmianie światła stawała się zielona jak liście w cieniu lub brunatna jak rola nocą, a niekiedy matowosrebrna niby woda w blasku gwiazd. Wszystkie płaszcze spinała u szyi klamra w kształcie zielonego liścia ze srebrnymi żyłkami.

– Czy to są płaszcze czarodziejskie? – spytał Pippin, oglądając je z podziwem.

– Nie wiem, co masz na myśli – odparł przywódca elfów. – To piękne płaszcze z dobrej, bo sporządzonej w naszym kraju tkaniny, prawdziwe ubranie elfów, jeśli o to ci chodzi. Liść i gałąź, woda i kamień – barwy i uroda tego, co najbardziej kochamy w łagodnym świetle Lórien; we wszystko bowiem, co robimy, wkładamy myśl o tym, co miłe naszym sercom. Ale to są płaszcze, nie zbroje, nie odbijają się od nich strzały ani miecze. Będą wam jednak użyteczne: nie ciążą na ramionach, grzeją albo chłodzą, zależnie od potrzeby. Przekonacie się też, jak pomogą wam ukryć się przed nieprzyjaznymi oczyma, czy będziecie wędrować pośród kamieni, czy wśród drzew. Wielkie macie łaski u naszej Pani! Ona to ze swoimi dwórkami sama tkała ten materiał. Pierwszy raz się zdarza, że przyodzialiśmy obcoplemieńców w nasze stroje.

Po śniadaniu Drużyna pożegnała łąkę nad źródłem. Rozstawali się z nią z ciężkim sercem, bo miejsce było piękne i stało im się niemal domem, chociaż nie umieli policzyć dni i nocy tutaj spędzonych. Kiedy stali w blasku słońca, zapatrzeni na białą wodę, przez zielony trawnik nadszedł Haldir. Frodo bardzo się ucieszył.

– Wracamy z północej granicy – rzekł elf. – Wezwano mnie, bym wam znów posłużył za przewodnika. W Dolinie Półmroku kłębią się opary i chmury dymu, w górach wre. Słychać spod ziemi hałasy. Gdyby któryś z was wybierał się z powrotem do kraju na północ, nie przeszedłby tamtędy. Ale przecież wam droga wypada teraz na południe.

Gdy szli przez Caras Galadhon, zielone ścieżki były puste, lecz z czubów drzew dobiegał gwar głosów, szepty i śpiewy. Wędrowcy milczeli. Haldir sprowadził ich południowym stokiem wzgórza pod wielką bramę oświetloną latarniami i dalej na biały most. Znaleźli się za fosą – opuścili gród elfów. Zboczyli z bitej drogi na ścieżkę, która zagłębiała się w gąszcz

mallornów, a potem wiła się po leśnych pagórkach i jarach, pełnych srebrzystego cienia, i wreszcie opadała ku nizinie, na południowy wschód, aż na brzeg rzeki.

Uszli już z dziesięć mil i zbliżało się południe, gdy zagrodził im drogę wysoki zielony mur. Znaleźli w nim przejście i nagle wyszli spod drzew na otwartą przestrzeń. Zobaczyli przed sobą długi pas łąki, gładką trawę usianą złotymi kwiatami *elanor*, które błyszczały w słońcu. Łąka wąskim językiem wciskała się między różnobarwne ramy: z prawej strony – od zachodu – perliła się Srebrna Żyła, z lewej – od wschodu – Wielka Rzeka toczyła swe ciemne, głębokie wody. Dalej za rzeką, ku południowi, ciągnęły się jak okiem sięgnąć lasy, same brzegi jednak były nagie i puste. Za granicę Lórien ani jeden mallorn nie wyciągał swoich złocistych gałęzi.

Na brzegu Srebrnej Żyły, w pewnym oddaleniu od miejsca, gdzie się zbiegały dwa nurty, przy pomoście z białych kamieni i białego drzewa przycumowane były łodzie i barki. Niektóre, pomalowane jaskrawo, błyszczały srebrem, złotem i zielenią, ale najwięcej było białych i szarych. Na wędrowców oczekiwały trzy małe szare łódeczki, do których elfowie załadowali pakunki. Dołożyli również zwoje lin, po trzy na każdą łódź. Liny wydawały się wiotkie, lecz mocne, jedwabiste w dotknięciu, z koloru podobne do płaszczy, które dostali od elfów.

– Co to jest? – spytał Sam, dotykając zwiniętej liny, leżącej na murawie.

– Oczywiście liny – odparł elf stojący w łodzi. – Nie wolno wybierać się w podróż bez lin, i to długich, mocnych a lekkich. Takich jak te! Przydadzą się w niejednej przygodzie.

– Nie trzeba mi tego mówić! – powiedział Sam. – Nie wziąłem z domu liny i przez całą drogę tym się martwię. Pytam, z czego te liny są skręcone, bo trochę się znam na powroźnictwie. Rzemiosło, można rzec, rodzinne u nas.

– Robimy je z *hithlainy* – odparł elf – ale teraz nie czas na naukę powroźnictwa. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, że się interesujesz tym rzemiosłem, pokazalibyśmy ci chętnie to i owo. W tej chwili, niestety, już za późno. Musisz się zadowolić tą darowaną liną, chyba że wrócisz do nas kiedyś znowu. Niech ci służy jak najlepiej!

– Dalejże! – zawołał Haldir. – Wszystko już gotowe. Wsiadajcie do łodzi, ale ostrożnie!

– Zapamiętajcie tę przestrogę! – dodał drugi elf. – Łodzie są lekkie, przemyślnie zbudowane i niepodobne do łodzi innych plemion. Nawet najciężej załadowane nigdy nie toną, ale mają swoje kaprysy i trzeba wiedzieć, jak się z nimi obchodzić. Najrozsądniej będzie, jeżeli wyćwiczycie się przede wszystkim we wsiadaniu i wysiadaniu tutaj, w przystani, zanim puścicie się z nurtem.

Rozmieszczono drużynę w ten sposób: do jednej łodzi wsiadł Aragorn, Frodo i Sam, do drugiej Boromir, Pippin i Merry, a do trzeciej Legolas i Gimli, ostatnimi czasy najserdeczniej z sobą zaprzyjaźnieni. W tej też łodzi złożono większą część zapasów i sprzętu. Do wprawiania łodzi w ruch i sterowania służyły krótkie wiosła o szerokich piórach wyciętych w kształt liścia. Gdy ukończono przygotowania, popłynęli na próbę pod przewodem Aragorna w górę Srebrnej Żyły. Prąd rwał ostro, toteż posuwali się z wolna. Sam siedział na dziobie i kurczowo trzymając się oburącz burt, tęsknie spoglądał na brzegi. Blask słońca na wodzie oślepiał go. Kiedy minęli łąki, drzewa zstąpiły tuż nad wodę. Gdzieniegdzie złote liście tańczyły porwane w perlisty wir. Dzień był jasny i pogodny, cisza panowała wkoło, tylko gdzieś spod nieba dolatywał głos skowronka.

Wzięli ostry zakręt rzeki i zobaczyli dumnie płynącego z nurtem na ich spotkanie ogromnego łabędzia. Pod wygiętą, długą szyją biała pierś ptaka pruła wodę, znacząc ślad drobnymi falami. Dziób lśnił ciemnym złotem, oczy błyszczały niby dwa węgle w oprawie bursztynu, wielkie białe skrzydła były na pół rozpostarte. Kiedy się przybliżył, nad wodą popłynęła muzyka i nagle wędrowcy zrozumieli, że to nie łabędź, lecz statek, misternie przez elfów wyrzeźbiony na kształt ptaka. Elfowie w białych ubraniach pracowali czarnymi wiosłami. Pośrodku siedział Celeborn, a przy nim stała Galadriela, smukła, w bieli od stóp do głów, tylko we włosach miała wianek ze złotych kwiatów, w ręku zaś harfę, na której sobie wtórowała, śpiewając. Smutno i słodko brzmiał jej głos w świeżym, czystym powietrzu.

Śpiewałam liście, liście złote, i złoto liście rosły;
Śpiewałam wiatr i wiatr przychodził i po gałęziach błądził.
Hen za księżycem, hen za słońcem, gdzie piany lśnią na Morzu,

Na błogich stokach Ilmarinu, tam Złote Drzewo rosło.
Gdzie Eldamaru wieczny zmierzch, świeciło pod gwiazdami
Tam, za murami Tirionu, w zieleni Eldamaru.
Rosły tam długo w lat przestrzeniach niezmiennie złote liście,
Gdy dziś za Morzem Rozdzielenia łzy elfów płyną tylko.
O Lórien! Bezlistny dzień, zimowy czas nadchodzi,
Padają liście w bystry nurt, w dal Rzeka je unosi.
O Lórien! Zbyt długo już mieszkałam na Tym Brzegu
Wplatając elanoru kwiat w wieńce, co szybko więdną.
Lecz jeśli statek śpiewać chcę – cóż to za statek będzie,
By mnie z powrotem zabrać mógł przez Morze tak rozległe? *[50]*

Aragorn zatrzymał swoją łódź, kiedy spotkała się z łabędziem. Pani Galadriela zakończyła pieśń i pozdrowiła wędrowców.

– Przypłynęliśmy, żeby raz jeszcze was pożegnać – rzekła – i obdarzyć na drogę błogosławieństwem naszej krainy.

– Byliście wprawdzie naszymi gośćmi – powiedział Celeborn – lecz nie zasiedliśmy ani razu wspólnie do stołu, teraz więc prosimy was na pożegnalną ucztę tutaj, między ramionami rzeki, która was ma zanieść daleko od Lórien.

Łabędź pożeglował dostojnie ku przystani, a Drużyna, zawróciwszy łodzie, podążyła za nim. Tam, u granic Egladil, na zielonej murawie odbyła się pożegnalna uczta. Frodo wszakże niewiele jadł i pił, zapatrzony w piękną Panią i zasłuchany w jej głos. Nie wydawała mu się już groźna ani straszna, ani władająca tajemną potęgą. Stała się teraz w jego oczach taką istotą, jaką w każdym elfie widzieli ludzie późniejszych wieków: obecną, a zarazem odległą, żywą wizją świata, który pozostał daleko za nimi, odrzucony przez falę Czasu.

Kiedy, siedząc w trawie, najedli się i napili, Celeborn zaczął znów mówić o czekającej ich podróży i wzniesioną ręką wskazał na południe, ku lasom za Klinem.

– Płynąc z biegiem rzeki – powiedział – zauważycie, że wkrótce drzewa znikną, a pojawią się wybrzeża puste i nagie. Dalej bowiem rzeka płynie przez kamieniste doliny pośród stepowego wyżu, aż w końcu, po wielu stajach, spotyka skalistą wyspę Tindrock, którą my nazywamy Tol Brandir. Obejmuje dwoma ramionami strome brzegi tej wyspy i grzmiącym wodospadem Rauros w chmurze piany opada ku Nindalf, krainie zwanej w waszej mowie Wetwang. Są to rozległe, grząskie moczary, przez które rzeka wije się krętym nurtem, rozdzielając się na mnóstwo odnóg. Od zachodu z lasu Fangorn płynie ku niej i wlewa się rozgałęzionym ujściem Rzeka Entów. W jej dorzeczu, na zachodnim brzegu, leży Rohan; na wschód zaś od Anduiny wznoszą się nagie łańcuchy wzgórz Emyn Muil. Hula tam wiatr od wschodu, bo od Cirith Gorgor, Czarnych Wrót Mordoru, dzieli te wzgórza tylko otwarta przestrzeń Martwych Bagien i Ziemi Niczyjej.

Boromir i ci spośród was, którzy by zmierzali z nim razem do Minas Tirith, dobrze zrobią, jeżli opuszczą Wielką Rzekę przed wodogrzmotami Rauros i przeprawią się przez Rzekę Entów powyżej bagnisk. Lecz nie powinni zapuszczać się zbyt daleko w górę rzeki ani ryzykować zabłąkania w lesie Fangorn. Dziwne to krainy i mało teraz znane. Nie wątpię zresztą, że Boromir i Aragorn nie potrzebują tych przestróg.

– To prawda, w Minas Tirith słyszeliśmy wiele o Fangornie – rzekł Boromir. – Ale wieści, które doszły moich uszu, uważałem za bajki, jakimi stare niańki straszą dzieci. Wszystkie kraje na północ od Rohanu tak są od nas dzisiaj odizolowane, że wyobraźnia może po nich błądzić do woli. Ongi Fangorn przytykał do granic naszego królestwa, ale od trzech pokoleń nikt z naszych tam nie zawędrował, by potwierdzić lub rozproszyć legendy, odziedziczone w spadku po dawnych wiekach.

Co do mnie, to bywałem w Rohanie, lecz nigdy nie dotarłem do jego północnych kresów. Kiedy wyprawiono mnie z poselstwem, wybrałem drogę przez bramę między Białymi a Mglistymi Górami, a dalej przeprawiłem się przez rzekę Isenę, potem zaś przez Szarą Wodę na północ. Daleka i trudna podróż. Obliczyłem, że musiałem przebyć około czterechset staj i zajęło mi to kilka miesięcy; straciłem bowiem konia w Tharbadzie, u brodu Szarej Wody. Po doświadczeniach tej wędrówki i marszu, który odbyłem z Drużyną, nie wątpię, że znajdę drogę przez Rohan, a jeśli trzeba, również przez Fangorn.

– A więc nie dodam już nic więcej – rzekł Celeborn. – Nie gardź jednak legendami, dziedzictwem odległych wieków, często bowiem się zdarza, iż stare niańki przechowują w pamięci wiadomości, które niegdyś największym nawet Mędrcom oddały usługi.

Z kolei podniosła się z trawy Galadriela i wziąwszy z rąk służebnej puchar, wypełniła go białym miodem, po czym podała Celebornowi.

– Czas spełnić pożegnalny puchar – rzekła. – Wypij, Władco Galadrimów! Niech się nie smuci twoje serce, chociaż noc nieuchronnie nastąpi po dniu i już bliski jest nasz zmierzch.

Obeszła Drużynę, każdemu podając puchar i życząc szczęśliwej drogi. Kiedy jednak wszyscy wypili, poprosiła, żeby na chwilę jeszcze usiedli na trawie, dla niej zaś i Celeborna przyniesiono fotele. Dworki w milczeniu otoczyły swoją panią, a Galadriela czas jakiś wpatrywała się w twarze gości. Wreszcie przemówiła znowu.

– Spełniliśmy puchar rozstania – powiedziała – i cień padł między nas. Nim nas opuścicie, przyjmijcie dary, które dla was przywiozła łódź, od Władcy Galadrimów i od ich Pani na pamiątkę Lothlórien.

Na wezwanie podchodzili do niej jeden po drugim.

– Oto dar Celeborna i Galadrieli dla przewodnika Drużyny – zwróciła się do Aragorna, wręczając mu pochwę, sporządzoną na miarę jego miecza. Zdobił ją w srebrze i złocie ryty ornament z kwiatów i liści, a wśród niego pismem elfów z drogich kamieni ułożony był napis: imię Andúril i historia miecza. – Ostrze dobyte z tej pochwy nie splami się ani nie złamie nawet w klęsce – powiedziała. – Ale może pragniesz czegoś więcej jeszcze w tym dniu rozłąki? Rozdzielą nas odtąd ciemności i kto wie, czy się kiedyś znów spotkamy, a może stanie się to daleko stąd, na drodze, z której nie ma powrotu.

Aragorn odpowiedział tak:

– Pani, znasz moje życzenia, z dawna stoisz na straży jedynego skarbu, którego pragnę. Lecz nie od twojej woli zależy, czy mnie nim obdarzysz, chociaż byś chciała, i tylko przez ciemności mogę do niego dojść.

– Może jednak ten podarek doda twemu sercu otuchy – rzekła Galadriela – bo mi go powierzono, abym ci oddała, gdybyś przez nasz kraj przechodził. – To mówiąc, pokazała duży, jasnozielony kamień oprawiony

w srebrnej broszy, wykutej na kształt orła z rozpostartymi skrzydłami. Kiedy podniosła klejnot w górę, błysnął jak słońce przesiane przez wiosenne liście. – Ten kamień dałam niegdyś córce Celebrianie, ona zaś przekazała go swojej córce. Dziś przyjmij go na zadatek nadziei. Przyjmij w tej godzinie imię, które ci zostało wywróżone: Elessar, Kamień Elfów z rodu Elendila.

Aragorn wziął z jej rąk broszę i przypiął ją do piersi, a wszyscy spojrzawszy nań, zdumieli się, bo nigdy dotychczas nie zdawał się tak wysoki i nie miał tak królewskiej postawy; jak gdyby w tej chwili znużenie wielu lat opadło z jego ramion.

– Dzięki ci za te dary – rzekł – o, Pani Lórien, z której krwi urodziły się Celebriana i Arwena, Gwiazda Wieczorna. Czy mógłbym znaleźć pochwałę lepszą niż te słowa?

Pani Galadriela skłoniła głowę i zwróciła się do Boromira, ofiarowując mu pas ze złota; Merry i Pippin dostali małe srebrne pasy ze złotymi kwiatami zamiast klamer. Legolas otrzymał łuk, jakiego używali Galadrimowie, dłuższy i mocniejszy niż łuki z Mrocznej Puszczy, o cięciwie splecionej z włosów elfów; do tego kołczan pełen strzał.

– Dla ciebie, mały ogrodniku i miłośniku drzew – powiedziała Galadriela do Sama – przygotowałam tylko mały podarek. – Wręczyła mu skrzyneczkę ze zwykłego szarego drzewa, ozdobioną jedynie srebrną runiczną literą na wieczku. – Ten znak to G, inicjał Galadrieli – wyjaśniła – lecz w twoim języku może też znaczyć ogród. W skrzynce jest ziemia z mego sadu, a wraz z nią błogosławieństwo, na jakie stać jeszcze Galadrielę. Ten dar nie wesprze cię w drodze ani nie obroni od niebezpieczeństw, lecz jeśli go zachowasz i wrócisz z nim kiedyś wreszcie do domu, może będziesz z niego miał pociechę. Choćbyś zastał kraj zniszczony i spustoszony, twój ogród, jeśli tę ziemię w nim rozsypiesz, zakwitnie tak pięknie, że mało który w Śródziemiu mu dorówna. Wspomnisz wówczas Galadrielę i ujrzysz z dala od Lórien widok, który tylko tutaj oglądałeś. Bo wiosna i lato nasze przeminęły i nigdy ich nikt nie zobaczy więcej na ziemi, chyba we wspomnieniu.

Sam zaczerwienił się po uszy i mruknął coś niezrozumiale, przyciskając skrzynkę do piersi i kłaniając się, jak umiał najpiękniej.

– O jaki dar prosi elfów krasnolud? – spytała Galadriela Gimlego.

– Niczego więcej nie chcę, pani – odparł Gimli. – Dość mi szczęścia, że oglądałem Panią Galadrimów i usłyszałem z jej ust łaskawe słowa.

– Słuchajcie, elfowie! – zawołała, obracając się do swego dworu. – Niech nikt nie waży się nigdy mówić, że krasnoludowie to plemię chciwe i niewdzięczne! Ale musi przecież istnieć coś, czego pragniesz, a co mogłabym ci dać, Gimli, synu Glóina? Powiedz, proszę, nie chcę, żebyś ty jeden spośród naszych gości odszedł bez podarku.

– Nic takiego nie ma – rzekł Gimli z niskim ukłonem i jąkając się trochę. – Chyba… chyba, żeby mi wolno było… prosić… Nie… wymienić tylko… mały pukiel twoich włosów, cenniejszych dla mnie niż całe złoto ziemi, tak jak gwiazdy są piękniejsze niż wszystkie skarby podziemia. Ale nie proszę o taki dar. Powiedziałem, bo kazałaś mi wyznać, czego pragnę.

Wśród elfów ruch się zrobił i rozszedł się szmer zdumienia, a Celeborn z podziwem spojrzał na krasnoluda, Pani jednak uśmiechnęła się do niego.

– Powiadają o krasnoludach, że mają ręce zwinniejsze od języków – powiedziała – lecz nie jest to prawdą, jeśli o ciebie chodzi, Gimli. Nikt bowiem dotychczas nie wystąpił do mnie z prośbą tak zuchwałą, a zarazem tak grzeczną. Jakże mogłabym odmówić, skoro sama kazałam ci mówić szczerze. Ale powiedz mi najpierw, co chcesz zrobić z moim darem?

– Przechowam go jak skarb – odparł – na pamiątkę słów, któreś mi rzekła przy pierwszym naszym spotkaniu. A jeżeli kiedyś powrócę do kuźni mojego rodzinnego plemienia, oprawię go w kryształ i przekażę potomstwu w dziedzictwie, jako porękę sojuszu między Górą a Lasem po wieczne czasy.

Pani Galadriela rozplotła długi warkocz, odcięła trzy złote włosy i złożyła je w dłoni krasnoluda.

– Wraz z tym darem weź moje słowa – powiedziała. – Nie wróżę, bo wszelkie wróżby są dziś zawodne: po jednej stronie czyhają ciemności, po drugiej nie ma nic prócz nadziei. Lecz jeśli nas nie zwiedzie nadzieja, przepowiadam ci, Gimli, synu Glóina, że będziesz miał ręce pełne złota, a mimo to nigdy złoto nie zdobędzie nad tobą władzy.

– A teraz – zwróciła się do Froda – ciebie chcę obdarzyć, Powierniku Pierścienia, a chociaż zostawiłam to na ostatek, wiedz, że nie jesteś ostatni w moich myślach. Dla ciebie przygotowałam ten oto dar. – Podniosła w górę kryształowy flakonik; błysnął w jej ręku, rozsiewając białe promienie.

– W tym krysztale zamknięte jest w wodzie z mojego źródła światło gwiazdy Eärendila. Jaśnieć będzie tym promienniej, im głębsza noc cię otoczy. Niech ci rozświetli mrok w ponurych miejscach, gdzie wszelkie inne światła zagasną. Pamiętaj o Galadrieli i jej Zwierciadle.

Frodo wziął flakonik i przez sekundę, kiedy kryształ lśnił między nimi, widział znów Galadrielę królową, wielką i piękną, lecz już niegroźną. Ukłonił się, nie znajdując słów podzięki.

Pani wstała, a Celeborn odprowadził gości do przystani. Jasne południe złociło zieloną trawę Klina, woda lśniła srebrem. Wszystko było już gotowe do drogi. Drużyna zajęła w łodziach miejsca poprzednio wyznaczone. Wśród pożegnalnych okrzyków elfowie z Lórien długimi, szarymi tykami zepchnęli łodzie w nurt, a sperlona woda poniosła je z wolna dalej. Wędrowcy siedzieli bez ruchu i bez słowa. Na zielonym brzegu, niemal na ostrzu Klina, stała Pani Galadriela, samotna i milcząca. Kiedy ją minęli, odwrócili głowy i długo jeszcze nie mogli oczu oderwać od odpływającej z wolna postaci. Bo wydało się, że to Lórien odpływa wstecz, niby jasny statek, który zamiast masztów ma czarodziejskie drzewa i żegluje ku zapomnianym wybrzeżom, podczas gdy oni siedzą bezradnie na skraju szarego, bezlistnego świata.

Trwali w zapatrzeniu, a tymczasem Srebrna Żyła już zniosła ich w nurt Wielkiej Rzeki, łodzie skręciły i pomknęły na południe. Biała postać Galadrieli wkrótce zmalała w oddali. Jeszcze świeciła, jak szyba w oknie na dalekim wzgórzu, gdy odbija zachodzące słońce, albo jak odległe jezioro widziane ze szczytu: okruch kryształu błyszczący wśród ziemi. W pewnej chwili wydało się, że Galadriela podniosła ramiona w ostatnim geście pożegnania i z daleka, lecz dziwnie wyraźnie, dobiegł ich z wiatrem jej głos. Śpiewała w starodawnym języku elfów zza Morza, hobbit nie rozumiał słów, a melodia, chociaż bardzo piękna, nie przynosiła otuchy.

Lecz taki czar mają słowa tej mowy, że pozostały wyryte w pamięci Froda i po latach przetłumaczył je sobie, jak umiał; mówiły, na modłę wszystkich pieśni elfów, o rzeczach mało znanych mieszkańcom Śródziemia.

Ai! laurië lantar lassi súrinen,
yéni únótimë ve rámar aldaron!

Yéni ve lintë yuldar avánier
mi oromardi lisse-miruvóreva
Andúnë pella, Vardo tellumar
nu luini yassen tintilar i eleni
ómaryo airetári-lírinen.

Sí man i yulma nin enquantuva?

An sí Tintallë Varda Oiolossëo
ve fanyar máryat Elentári ortanë,
ar ilyë tier undulávë lumbulë;
ar sindanóriello caita mornië
i falmalinnar imbë met, ar hísië
untúpa Calaciryo míri oialë
Sí vanwa ná, Rómello vanwa, Valimar.

Namárië! Nai hiruvalyë Valimar.
Nai elyë hiruva. Namárië!

„Ach! Niby złoto lecą z wiatrem liście, długie lata niezliczone niby skrzydla drzew! Długie lata przeminęły niby słodkie miody, szybko spijane w wysokich salach poza Zachodem, pod nieboskłonami Vardy, gdzie gwiazdy drżą na głos jej śpiewu, święty i królewski. Któż dziś kielich dla mnie napełni? Bo oto Varda Wzniecicielka, Gwiazd Królowa, wzniosła swe ręce niby obłoki z Wiecznie Białej Góry i wszystkie ścieżki pogrążone są w mroku, ciemności szarej krainy zalega na spienionych falach, co nas rozdzielają i mgła na zawsze kryje klejnoty Calacirii. Stracony jest Valimar, stracony jest dla tych ze Wschodu! Żegnaj! Być może ty odnajdziesz Valimar. Może ty właśnie go znajdziesz. Żegnaj!”

Varda – to imię tej, którą elfowie w kraju wygnania zwą imieniem Elbereth.

Nagle rzeka skręciła, a po obu jej stronach brzegi spiętrzyły się wysoko i światło Lórien znikło. Nigdy już więcej Frodo nie miał ujrzeć czarodziejskiej krainy.

Teraz dopiero wędrowcy zwrócili wzrok na drogę przed sobą; słońce świeciło im prosto w oczy, oślepiając i wyciskając łzy. Gimli zapłakał jawnie.

– Wreszcie zobaczyłem to, co najpiękniejsze na ziemi – powiedział do Legolasa, dzielącego z nim łódź. – Odtąd nic nie nazwę pięknym prócz jej daru.

I rękę położył na sercu.

– Powiedz mi, Legolasie, dlaczego wziąłem udział w wyprawie? Nie wiedziałem przecież, w czym tkwi jej największe niebezpieczeństwo. Prawdę mówił Elrond, że nie możemy przewidzieć, co nas spotka w drodze. Najbardziej lękałem się udręk ciemności, ale nie powstrzymał mnie ten strach. Nigdy bym jednak nie wyruszył z Drużyną, gdybym przeczuł niebezpieczeństwo światła i radości. Teraz, w chwili tego rozstania, poniosłem najcięższą ranę, boleśniejszej nie doznam, choćbym dzisiejszej nocy już stanął przed obliczem Czarnego Władcy. Biada Gimlemu, synowi Glóina.

– Nie – odparł Legolas. – Biada nam wszystkim! Biada wszelkiemu stworzeniu, które chodzi po świecie w tych późnych wiekach. Tak bowiem musi być: cokolwiek znajdziesz, zgubisz – jak się wydaje żeglarzom, kiedy bystry nurt niesie ich łódź. Ciebie wszakże, Gimli, synu Glóina, zalicza do szczęśliwych, bo z własnej wolnej woli wyrzekasz się tego, coś znalazł, a mogłeś wybrać inaczej. Nie opuściłeś przyjaciół, nie minie cię w każdym razie ta nagroda, że wspomnienie Lórien przetrwa w twoim sercu na zawsze czyste, nieskalane i nigdy nie zblednie ani nie zgorzknieje.

– Być może – powiedział Gimli – i dziękuję ci za te słowa. Jest w nich prawda, niewątpliwie, ale pociechy niewiele. Bo wspomnienie nie nasyci serca. To tylko zwierciadło, choćby nawet było piękne jak Kheled-zâram. Tak przynajmniej czuje serce krasnoluda. Dla elfów może jest inaczej. Nawet słyszałem, że ich wspomnienia są podobniejsze do jawy niż do snów. Dla krasnoludów nie! Dość jednak tej rozmowy. Popatrz na łódź. Za głęboko się zanurza obciążona bagażem, a Wielka Rzeka ostro rwie. Nie chciałbym utopić moich smutków w zimnej wodzie.

Chwycił za wiosła i skierował łódź ku zachodniemu brzegowi, naśladując Aragorna, bo łódź przewodnika już wydostała się z głównego nurtu.

Tak Drużyna ruszyła w swą daleką drogę, niesiona przez wielką, wartką wodę wciąż na południe. Nagi, bezlistny las przesłaniał brzegi, nie mogli więc dostrzec ukrytych za nim krajobrazów. Wiatr ustał, rzeka płynęła bez szmeru. Żaden ptak nie mącił swym śpiewem ciszy. W miarę jak dzień się chylił, mgła osnuwała słońce, aż wreszcie błyszczało na bladym niebie jak daleka mleczna perła. Kiedy zniżyło się na zachód, zmrok zapadł wczesny, a po nim szara, bezgwiezdna noc. Przez długie, spokojne godziny płynęli po ciemku, prowadząc łodzie w cieniu schylonych nad wodą lasów zachodniego brzegu. Wielkie drzewa przesuwały się obok nich jak zjawy, wyciągając poprzez mgłę chciwe, kręte korzenie ku wodzie. Było ponuro i zimno. Frodo wsłuchiwał się w plusk i chlupot rzeki, burzącej się wśród korzeni i pni zwalonych przy brzegu. Wreszcie głowa zwisła mu na piersi i hobbit zapadł w niespokojny sen.

ROZDZIAŁ 9
WIELKA RZEKA

Zbudził go Sam. Kiedy się ocknął, stwierdził, że jest troskliwie owinięty w pled i leży pod wysokim drzewem o szarej korze, w zacisznym kącie lasu na zachodnim brzegu Wielkiej Rzeki, Anduiny. Przespał noc, mętny brzask szarzał już między nagimi gałęziami. Gimli krzątał się opodal koło małego ogniska.

Ruszyli dalej, nim dzień zajaśniał w pełni. Co prawda większości Drużyny wcale nie było pilno dostać się na południe; w duchu cieszyli się, że ostateczną decyzję będą musieli podjąć dopiero za kilka dni, kiedy znajdą się nad wodogrzmotami Rauros, przy wyspie Tindrock. Zdawali się na rzekę, nie przynaglając łodzi, nie spieszyło im się do niebezpieczeństw, które w dalszej drodze czekały ich nieuchronnie na każdym szlaku. Aragorn nie sprzeciwiał się życzeniom przyjaciół i pozwalał dryfować z prądem, chciał bowiem oszczędzić ich siły na przyszłe trudy. Nalegał jednak, żeby co dzień ruszać o świcie i nie zatrzymywać się aż późnym wieczorem; czuł, że nie ma czasu do stracenia, i obawiał się, że Czarny Władca nie próżnował, podczas gdy Drużyna odpoczywała w Lórien.

Mimo to ani pierwszego, ani drugiego dnia Nieprzyjaciel nie dał znaku życia. Szare, monotonne godziny mijały bez zdarzeń. Pod koniec trzeciego dnia żeglugi krajobraz zaczął się zmieniać: drzewa zrzedły, potem zniknęły zupełnie. Po lewej stronie, na wschodnim brzegu, zobaczyli długi łańcuch bezkształtnych wzgórz, ciągnących się aż po widnokrąg; były brunatne, zwiędłe, jakby osmalone przez ogień, który nie zostawił ani źdźbła żywej zieleni; to bezludzie zdawało się tym bardziej nieprzyjazne, że jego pustki nie urozmaicał nawet zwalony pień lub sterczący kamień. Dotarli do Brunatnych Pól, rozległej, ponurej krainy między południowym krańcem Mrocznej Puszczy a wzgórzami Emyn Muil. Nawet Aragorn nie wiedział, jakie plagi, wojna czy złośliwość Nieprzyjaciela tak wyniszczyły te okolice.

Po prawej ręce, od zachodu, brzeg, również bezdrzewny, był wszakże płaski i w wielu miejscach zieleniły się na nim łąki. Z tej strony rzekę zarastał las trzcin, tak wysokich, że zasłaniały podróżnym widok, a łódki z chrzęstem ocierały się o tę rozchwianą ścianę. Ciemne, zwiędłe kity gięły

się i kołysały w chłodnym powiewie, szeleszcząc cicho i smutno. Gdzieniegdzie jednak mur trzcin rozchylał się na chwilę i Frodo mógł wówczas rzucić okiem na faliste łąki, na spiętrzone za nimi wzgórza w łunie zachodu i na czarną kreskę, znaczącą u widnokręgu południowe ramię Gór Mglistych.

Nie spotykali tu śladów żywych stworzeń prócz ptactwa. Ptaków musiała być chmara, trzciny rozbrzmiewały ćwierkaniem i świstem, ale rzadko udawało się wędrowcom któregoś zobaczyć. Raz i drugi usłyszeli trzepot i szum wielkich skrzydeł, a podnosząc głowy, dojrzeli lecący w górze klucz łabędzi.

– Łabędzie! – zawołał Sam. – A jakie duże!

– Tak – rzekł Aragorn. – Czarne łabędzie.

– Ogromny, pusty i smutny wydaje się ten kraj – powiedział Frodo. – Dotychczas myślałem, że wędrując na południe, spotyka się okolice coraz cieplejsze i coraz weselsze, aż wreszcie zimę zostawia się na zawsze za sobą.

– Nie zawędrowaliśmy jeszcze daleko na południe – odparł Aragorn. – Zima trwa, a do Morza stąd szmat drogi. Tu bywa bardzo chłodno aż do wiosny, która wybucha nagle; możliwe nawet, że nas znowu śnieg zaskoczy. Tam, daleko, nad zatoką Belfalas, gdzie Anduina uchodzi do Morza, jest ciepło i wesoło, a przynajmniej byłoby tak, gdyby nie bliskość Nieprzyjaciela; ale my znajdujemy się nie dalej niż o jakieś sześćdziesiąt staj poniżej Południowej Ćwiartki Shire’u, od morza zaś dzielą nas setki mil. Tam, gdzie patrzysz teraz, na południo-zachodzie, leży Riddermarchia, Rohan, kraj władców koni. Niebawem dopłyniemy już do ujścia Jasnej Wody, rzeki, która ma źródło w lesie Fangorn i wpada do Anduiny. Stanowi ona północną granicę Rohanu; ongi wszystkie ziemie między Jasną Wodą a Białymi Górami należały do Rohirrimów. To piękny i przyjemny kraj, słynny z najlepszych w świecie pastwisk. W naszych groźnych czasach nikt jednak nie śmie już mieszkać nad rzeką ani zapuszczać się na jej wybrzeża. Wprawdzie Anduina jest szeroka, lecz strzały orków dolatują na drugi brzeg; ostatnio, jak mi mówiono, rozzuchwalili się do tego stopnia, że ryzykują przeprawę przez rzekę i napadają stada bydła i koni na terenie Rohanu.

Sam z niepokojem wodził wzrokiem od brzegu do brzegu. Przedtem drzewa wydawały mu się wrogie: kto wie, czyje oczy patrzyły z ich

gąszczu, jakie czaiły się tam niebezpieczeństwa. Teraz żałował, że drzew już nie ma. Rozumiał, że Drużyna, płynąc na odkrytych łódeczkach przez nagi, pusty kraj, po rzece, która stanowi granicę wojny, zbyt jest zewsząd widoczna.

Przez parę następnych dni, w miarę jak posuwali się z biegiem rzeki wciąż na południe, wszyscy coraz wyraźniej wyczuwali to niebezpieczeństwo. Teraz już od świtu do nocy wiosłowali, spiesząc naprzód. Brzegi umykały wstecz. Wkrótce rzeka rozlała się szerzej i płycej, na wschodnim brzegu pojawiły się pola kamieni, pod powierzchnią wody leżały zwały żwiru, trzeba było sterować ostrożnie, omijając mielizny. Brunatne Pola spiętrzyły się wyżej, a nad pustkowiem ciągnął zimny wiatr od wschodu. Po przeciwległej stronie łąki zmieniły się w wydmy porosłe zwiędłą trawą, przecięte pasmami trzęsawisk. Frodo drżał i wspominał murawę, źródła, jasne słońce i perlisty deszcz z Lothlórien. W żadnej łodzi nie słychać było rozmów ani śmiechów. Wszyscy milczeli, zaprzątnięci własnymi myślami.

Serce Legolasa błądziło pod gwiazdami, w letnią noc, na polanie wśród brzozowych lasów północy; Gimli w wyobraźni przebierał grudki złota, zastanawiając się, jaką godną oprawę dać podarunkowi Pani Elfów. Merry i Pippin w środkowej łodzi czuli się nieswojo, ponieważ Boromir to mruczał coś do siebie, to gryzł paznokcie, jakby gnębiły go jakieś niepokoje i wątpliwości, to chwytał za wiosła i doganiał łódź Aragorna. Przy tym Pippin, który siedział na dziobie, twarzą zwrócony do towarzyszy, zauważył dziwny błysk w oku Boromira, gdy ten wpatrywał się we Froda. Sam dawno już doszedł do wniosku, że łodzie, choć może nie tak straszne, jak go od dzieciństwa przekonywano, są jednak jeszcze mniej wygodne, niż sobie wyobrażał. Siedział skurczony, nieszczęśliwy, nie miał nic do roboty i tylko patrzył na przesuwający się krajobraz i na szarą wodę przepływającą po obu stronach łodzi. Inni niekiedy przynajmniej wiosłowali, Samowi nigdy nie powierzano wioseł.

Czwartego dnia o wczesnym zmierzchu Sam spoglądał wstecz ponad głowami Froda i Aragorna aż za płynące ich śladem łodzie; morzył go sen i hobbit tęsknił do popasu, by znowu poczuć ziemię pod stopami. Nagle coś niezwykłego przykuło jego błądzący wzrok; w pierwszej chwili przyglądał się z roztargnieniem, potem wyprostował i przetarł oczy kułakiem, lecz kiedy spojrzał znów w to samo miejsce – nic tam już nie zobaczył.

Tej nocy rozbili obóz na maleńkiej wysepce tuż pod zachodnim brzegiem. Sam, owinięty kocem, leżał obok Froda.

– Przed godziną czy dwiema, nim się zatrzymaliśmy – rzekł – miałem zabawny sen. A może to nie był sen? W każdym razie coś zabawnego.

– Co takiego? – spytał Frodo, bo znając Sama, wiedział, że się nie uspokoi, póki swojej historii nie opowie. – Od opuszczenia Lórien nie zdarzyło mi się jeszcze zobaczyć ani pomyśleć nic, co by warte było uśmiechu.

– Nie, to nie było zabawne w tym znaczeniu, proszę pana. Raczej niesamowite. Jeśli nie przyśniło mi się, to na pewno wróży coś złego. Lepiej niech pan posłucha. To było tak: widziałem kłodę, która miała oczy.

– Żeś widział kłodę, wierzę – odparł Frodo. – Kłód w rzece nie brakuje. Ale przy oczach nie upieraj się, Samie.

– Muszę – powiedział Sam. – Takie oczy, żem się aż poderwał w łodzi. Spostrzegłem w półmroku za rufą łodzi Gimlego coś, co wziąłem za kłodę, ale nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. Potem jednak wydało mi się, że kłoda powoli nas dogania. A to już mnie zdziwiło, bo jeżeli ją tylko niósł prąd, a my wiosłowaliśmy, nie miała prawa, że się tak wyrażę, płynąć szybciej od nas. I w tym momencie ujrzałem oczy: dwa blade punkciki świeciły u końca kłody, gdzie sterczał jakby duży sęk. Co gorsza, kłoda wcale nie była kłodą, wiosłowała błoniastymi łapami podobnymi do łabędzich, tylko że większymi, i to się wynurzała nad wodę, to zagłębiała.

Wtedy właśnie poderwałem się z miejsca i przetarłem oczy; pomyślałem, że jeśli to coś zobaczę znowu po wypędzeniu śpiochów z oczu, krzyknę na alarm, bo ta kłoda-niekłoda posuwa się szybko naprzód i już dopędza ostatnią łódź. Ale czy te dwa ślepia zauważyły moje poruszenie i poczuły mój wzrok, czy też po prostu ja oprzytomniałem – dość, że kiedy znów spojrzałem, nie było już nic. Wydało mi się jednak, że kątem oka, jak to mówią, przyłapałem ciemny jakiś kształt, który mignął prędko w cieniu pod brzegiem. Ślepiów już wtedy nie dostrzegłem.

Pomyślałem: „Znowu ci się przyśniło, Samie Gamgee!” – i nic nikomu na razie nie powiedziałem. Tylko że mi to spokoju nie daje i teraz wcale nie jestem pewien, czy to był sen. Co pan o tym sądzi, panie Frodo?

– Sądziłbym, że to była kłoda i zmierzch, a ty byłeś zaspany – odparł Frodo – gdyby ta para oczu pojawiła się po raz pierwszy i tylko przy tobie.

Ale tak nie jest! Ja ją także widziałem na drodze za nami, kiedy wędrowaliśmy jeszcze północnymi krajami ku Lórien. Widziałem też jakieś dziwne stworzenie skradające się po pniu, kiedy nocowaliśmy na drzewie. Haldir je również widział. A czy pamiętasz, co mówili elfowie, gdy wrócili z pościgu za bandą orków?

– Aha! – rzekł Sam – pamiętam i to, i coś więcej jeszcze. Wolałbym się mylić, ale kiedy sobie przypomnę to i owo, a w dodatku opowiadanie pana Bilba, zdaje mi się, że zgaduję, jak ten stwór ma na imię. Paskudne imię: Gollum, co?

– Tak, tego się właśnie obawiam od pewnego czasu – odparł Frodo. – Dokładnie, od noclegu na drzewie. Przypuszczam, że siedział przyczajony w Morii i szedł stamtąd trop w trop za nami. Miałem jednak nadzieję, że zgubi ślad dzięki naszemu pobytowi w Lórien. Nieszczęśnik pewnie krył się w lasach nad Srebrną Żyłą i wypatrzył nas, kiedy ruszaliśmy z przystani.

– To się wydaje możliwe – rzekł Sam. – Trzeba czuwać, żebyśmy którejś nocy nie zbudzili się z jego wstrętnymi paluchami na gardle, jeżeli w ogóle się zbudzimy w porę! Właśnie o to mi chodzi. Dziś lepiej jeszcze nie alarmujmy Obieżyświata ani reszty kompanii; ja będę trzymał straż tej nocy. Wyśpię się jutro, skoro w łodzi służę tylko za balast, że tak powiem.

– Owszem, powiedz tak – odparł Frodo – ale dodaj, że ten balast ma bystry wzrok. Pozwolę ci pełnić wartę pod warunkiem, że w połowie nocy zbudzisz mnie z kolei, oczywiście jeśli nic się nie zdarzy wcześniej.

Wśród głuchej nocy Frodo zbudził się z głębokiego snu, potrząsany przez Sama.

– Okropnie mi przykro pana budzić – szepnął Sam – ale tak pan kazał. Nic się nie zdarzyło do tej pory, a w każdym razie nic ważnego. Zdawało mi się, że słyszę cichy plusk i taki szmer, jakby ktoś niedaleko nas pochlipywał. Ale nad rzeką w nocy różne dziwne głosy słychać.

Sam położył się, a Frodo usiadł, owinął się kocem i zaczął walczyć ze snem. Wlokły się minuty i godziny, a nic się nie działo. Frodo już miał ulec pokusie i znów ułożyć się do snu, kiedy nagle jakiś ciemny, ledwie dostrzegalny kształt przemknął tuż obok przycumowanych łodzi. Długa biaława ręka zamajaczyła w ciemnościach i chwyciła za burtę. Para bladych, błyszczących niby latarki oczu zalśniła zimnym światłem, zaglądając do wnętrza łodzi, a potem zwróciła się ku wysepce i spojrzała

prosto na Froda. Dzieliło go od tych ślepiów ledwie parę kroków i słyszał cichy gwizd, kiedy dziwny stwór wciągał dech. Zerwał się na równe nogi, dobywając Żądło z pochwy. Latarki oczu natychmiast zgasły. Do uszu Froda dobiegł lekki syk, potem plusk, a wreszcie cień, podobny do kłody, dał susa w wodę, niknąc w ciemnościach.

Aragorn poruszył się przez sen, obrócił na bok i usiadł.

– Co to było? – spytał, zrywając się i stając obok Froda. – Wyczułem przez sen, że coś się dzieje. Dlaczego chwyciłeś za miecz?

– To był Gollum! – odparł Frodo. – Tak mi się przynajmniej zdaje.

– Ha! – zawołał Aragorn. – A więc zauważyłeś tego małego zbója? Dreptał za nami przez całą Morię i potem aż do Nimrodel. Odkąd płyniemy rzeką, ściga nas na kłodzie, wiosłując rękami i nogami. Raz i drugi próbowałem go złapać nocą, ale chytrzejszy jest od lisa, a śliski jak ryba. Miałem nadzieję, że go rzeka pokona, ale to doświadczony wodniak. Jutro trzeba będzie przyspieszyć żeglugę. Teraz idź spać, Frodo, a ja będę czuwał przez resztę nocy. Szkoda, że nie schwytałem nikczemnika. Mógłby nam być użyteczny. Skoro to się nie udało, trzeba mu umknąć. Niebezpieczny towarzysz podróży! Nie mówiąc już o tym, że zdolny jest własnoręcznie któregoś z nas nocą zamordować, może naprowadzić innych nieprzyjaciół na nasz trop.

Noc jednak minęła, a nawet cień Golluma nie zjawił się powtórnie. Odtąd drużyna pilnie wypatrywała, lecz do końca podróży nikt go nie zobaczył. Jeżeli nadal tropił wędrowców, robił to bardzo ostrożnie i przebiegle. Na prośbę Aragorna wiosłowali teraz ile sił, tak że brzegi niemal migały w oczach. Krajobrazu niewiele oglądali, bo płynęli przeważnie nocami i o zmroku, odpoczywając w dzień i starając się kryć o tyle, o ile teren pozwalał. Tak mijał czas bez przygód aż do siódmego dnia.

Pogoda była jeszcze mglista i chmurna, wiatr dął ze wschodu, lecz pod wieczór niebo na zachodzie rozjaśniło się, a spomiędzy szarych zwałów chmur wyjrzały jaśniejsze, żółte i bladozielone plamy. Można było dostrzec biały rąbek młodego księżyca lśniący nad odległymi jeziorami. Sam, przyglądając mu się, zmarszczył brwi. Nazajutrz po obu stronach rzeki krajobraz zaczął się szybko zmieniać. Brzegi były wysokie i kamieniste. Wkrótce już płynęli przez kraj górzysty i skalisty, a na brzegach strome zbocza ginęły pod gęstwą tarniny, splątanych jeżyn i powojów. Dalej

wznosiły się niskie zwietrzałe urwiska i sterczały kominy z szarego kamienia, oplecione bluszczem, a zza nich wychylały się grzbiety gór, na których rosły jodły, pokrzywione od wichrów. Zbliżali się widocznie do szarej krainy wzgórz Emyn Muil, południowego pogranicza Dzikich Krajów.

Na urwiskach i skalnych kominach gnieździło się mnóstwo ptaków; przez dzień cały krążyły chmarami wysoko w górze, czarne na tle bladego nieba. Kiedy drużyna rozłożyła tego dnia obóz, Aragorn z niepokojem przyglądał się tym lotom, podejrzewając, że złośliwy Gollum coś knuje i że wieść o podróżnych już się szerzy na pustkowiu. Później, o zachodzie słońca, gdy wędrowcy już się krzątali, przygotowując do dalszej drogi, Aragorn dostrzegł w mierzchnącym świetle czarny punkt: jakiś ogromny ptak najpierw kołował bardzo wysoko nad obozem, a potem z wolna odleciał na południe.

– Rozpoznajesz go, Legolasie? – spytał, pokazując niebo. – Zdaje się, że to orzeł.

– Tak – odparł Legolas – orzeł. Ciekawe, co to może znaczyć? Góry przecież są daleko.

– Nie wyruszymy, póki nie ściemni się zupełnie – postanowił Aragorn.

Nadszedł ósmy dzień podróży. Był spokojny i bezwietrzny, bo ostry podmuch od wschodu ucichł. Wąski sierp księżyca wcześnie przygasł w bladym zachodzie słońca, lecz wyżej niebo było czyste, a chociaż na południu kłębiły się grube zwały obłoków, wciąż jeszcze rozjarzone nikłym światłem, na zachodzie już błyszczały jasne gwiazdy.

– W drogę! – rzekł Aragorn. – Zaryzykujemy jeszcze raz nocny spływ. Zbliżamy się do tej części rzeki, której nie znam dobrze, bo nigdy w tych okolicach nie podróżowałem drogą wodną. Nie spływałem dotychczas stąd do progów Sarn Gebir. Jeżeli mnie wszakże nie mylą rachuby, dzieli nas od nich wiele mil. Lecz wcześniej jeszcze natkniemy się na trudne miejsca, grożą nam skały i kamienne wysepki sterczące pośród nurtu. Trzeba bardzo uważać i nie można się zbytnio rozpędzać.

Samowi, płynącemu w pierwszej łodzi, zlecono straż. Leżąc w dziobie, wpatrywał się w mrok. Noc zapadła ciemna, lecz w górze gwiazdy błyszczały niezwykle jasno i powierzchnia rzeki lśniła. Zbliżała się północ; od dłuższego czasu pozwalali się nieść prądowi, rzadko używając wioseł,

gdy nagle Sam krzyknął. Ledwie o parę kroków przed nim zamajaczyły nad wodą czarne sylwety, a do uszu wędrowców dobiegł szum wzburzonej wody. Porywisty prąd ściągnął łodzie w lewo, pod wschodni brzeg, gdzie droga była wolna. Zniesieni w bok, wędrowcy ujrzeli tuż przy burtach białą pianę fal rozbijających się o skały, wyszczerzone pośrodku nurtu niby rząd ostrych zębów. Cała flotylla zbiła się w ciasną gromadę.

– Hej, Aragornie! – krzyknął Boromir, gdy jego łódź uderzyła o rufę łodzi przewodnika. – To szaleństwo! Nie można ryzykować nocnej żeglugi przez wodospady! Zresztą, nocą czy dniem, żadna łódź jeszcze nie przedostała się cała przez progi Sarn Gebir.

– Zawracać! Zawracać! – krzyknął Aragorn. – Starajcie się zawrócić! – Zanurzył wiosło, usiłując wstrzymać łódź i skręcić w miejscu. – Źle obliczyłem odległość – powiedział do Froda. – Nie spodziewałem się, że dopłyniemy dziś tak daleko. Anduina rwie szybciej, niż myślałem. Sarn Gebir jest tuż przed nami.

Z wielkim trudem opanowali łodzie i z wolna zawrócili. Początkowo nie mogli jednak przemóc prądu, który znosił ich coraz bliżej pod wschodni brzeg. A brzeg ten piętrzył się ciemny i złowrogi w ciemnościach.

– Wszyscy do wioseł! – krzyczał Boromir. – Do wioseł! Inaczej utkniemy na mieliźnie.

Krzyk jeszcze nie przebrzmiał, gdy Frodo poczuł, że kil łodzi ociera się już ze zgrzytem o kamienie. W tej samej chwili jęknęły cięciwy i rój strzał świsnął koło uszu żeglarzy, a kilka padło między nich. Jedna trafiła Froda między łopatki. Runął twarzą naprzód i wrzasnął, a wiosło wysunęło mu się z rąk. Ale strzała odbiła się od kolczugi, ukrytej pod płaszczem. Druga przeszyła kaptur Aragorna, trzecia zaś utkwiła w burcie łodzi tuż obok ręki Meriadoka. Sam miał wrażenie, że dostrzega czarne sylwetki kręcących się po długim, kamienistym wybrzeżu postaci. Zdawały się bardzo bliskie.

– *Yrch!* – rzekł Legolas, wracając do mowy swego plemienia.

– Orkowie! – krzyknął Gimli.

– Założę się, że to robota Golluma – powiedział Sam do Froda. – Dobrze sobie wybrali miejsce! Rzeka pcha nas prosto w ich ręce.

Wszyscy pochylili się i wiosłowali ile sił w ramionach. Nawet Sam pomagał, jak umiał. Każdy wyczekiwał, że lada sekunda poczuje ukąszenie

czarnopiórej strzały. Cały ich rój gwizdał wędrowcom nad głowami albo wpadał w wodę tuż obok łodzi. Lecz nikt więcej nie został trafiony. Było wprawdzie ciemno, lecz nie za ciemno dla orków, przywykłych do nocnych wypraw, a w poświacie gwiezdnej żeglarze musieli stanowić doskonale widoczny cel dla zdradzieckich napastników; jedyna nadzieja, że szare płaszcze z Lórien i szare drzewo zbudowanych przez elfów łodzi zmylą nawet przebiegłe oczy łuczników Mordoru.

Wytrwale ciągnęli wiosłami. W pomroce trudno było o pewność, czy posuwają się rzeczywiście, lecz z wolna wiry wodne uspokajały się wokół łodzi, a cienie na wschodnim brzegu topniały wśród nocy. Wreszcie, o ile mogli się zorientować, dotarli z powrotem na środek rzeki i oddalili się spory kawałek od sterczących z wody skalnych ostrzy. Obracając łodzie w poprzek nurtu, pchnęli je z wszystkich sił pod zachodni brzeg. W cieniu krzaków schylonych nad wodą zatrzymali się wreszcie i zaczerpnęli tchu.

Legolas odłożył wiosła i chwycił łuk, który dostał w Lórien. Skoczył na brzeg i kilku susami wspiął się na skarpę. Naciągnął łuk, założył strzałę i poprzez szerokość rzeki wbił wzrok w ciemności. Zza wody buchnęły przeraźliwe wrzaski, lecz dostrzec nic nie było można. Frodo spojrzał w górę na smukłego elfa, stojącego na zboczu i wpatrzonego w mrok, jakby wybierał cel dla strzały. Jego ciemną głowę otaczała korona jaskrawobiałych gwiazd, migocących w czarnej topieli nieba. Lecz nagle od południa ukazały się pędzące ogromne chmury i przednie ich straże natarły na gwiaździste pole. Trwoga ogarnęła Drużynę.

– Elbereth Gilthoniel! – westchnął Legolas, spojrzawszy w górę. W tym samym momencie z ciemności od południa wyłonił się jakiś czarny kształt, jak chmura, lecz o wiele od chmury szybszy, i pędem zbliżał się nad zbite u brzegu łodzie Drużyny, przesłaniając światło. Po chwili mogli już rozróżnić olbrzymie skrzydła, czarniejsze od czerni nocy. Za wodą dziki wrzask powitał sprzymierzeńca. Nagły lodowaty dreszcz przeszył Froda i serce w nim stężało od morderczego zimna, jak gdyby odezwała się znów stara rana w lewym barku. Hobbit skulił się w łodzi, szukając kryjówki. Niespodziewanie zadźwięczał ogromny łuk z Lórien. Z napiętej przez elfa cięciwy świsnęła strzała. Frodo podniósł wzrok. Skrzydlaty stwór chwiał się niemal nad jego głową. Lecz nagle z ostrym, ochrypłym wrzaskiem runął w dół i zniknął w mroku na wschodnim brzegu. Niebo znów było czyste. W dali rozległ się w ciemnościach zgiełk mnóstwa głosów,

przekleństw i lamentów, a potem zapadła cisza. Tej nocy nie usłyszeli już więcej ani krzyku, ani świstu strzały od wschodu.

Po jakimś czasie Aragorn powiódł łodzie dalej w górę rzeki. Po omacku płynęli spory kawałek drogi wzdłuż brzegu, aż trafili wreszcie do niewielkiej płytkiej zatoki. Kilka skarlałych drzew rosło tuż nad wodą, za nimi zaś wznosiła się stroma skalista skarpa. Tu Drużyna postanowiła zatrzymać się i przeczekać do świtu; nie sposób było po nocy próbować dalszej żeglugi. Nie rozbijali obozu ani nie rozniecali ogniska; skulili się na dnie łodzi, związanych razem i przycumowanych u brzegu.

– Chwała łukowi Galadrieli, chwała ręce i oku elfa! – rzekł Gimli, żując kawałek lembasa. – Piękny to był strzał w ciemnościach, przyjacielu.

– Któż jednak powie nam, w co moja strzała ugodziła? – spytał Legolas.

– Ja ci tego nie powiem – odparł Gimli – lecz cieszę się, że nie pozwoliłeś temu cieniowi zbliżyć się do nas. Bardzo mi się nie podobał. Zanadto przypominał cień z Morii… cień Balroga – dokończył szeptem.

– To nie był Balrog – odezwał się Frodo, wciąż jeszcze dygocąc od dreszczów, które go podczas starcia napadły. – To było coś zimniejszego. Myślę, że mógł to być… – urwał i zamilkł.

– Co myślisz? – skwapliwie zapytał Boromir, wychylając się ze swojej łodzi, jakby chciał koniecznie zobaczyć wyraz twarzy Froda.

– Myślę… Nie, nie powiem – odparł Frodo. – Cokolwiek to było, upadek tego stwora wzbudził panikę wśród naszych wrogów.

– Tak się zdaje – rzekł Aragorn. – Nie wiemy wszakże, gdzie są, ilu ich jest, co teraz knują. Dzisiejszej nocy nie wolno nam spać. Na razie kryją nas ciemności. Ale kto wie, co dzień przyniesie? Trzymajcie broń w pogotowiu!

Sam siedział, bębniąc po rękojeści miecza palcami, jakby coś obliczał, i spoglądał w niebo.

– Dziwna rzecz! – szepnął. – Księżyc świeci ten sam nad Shire’em i nad Dzikimi Krajami, tak by przynajmniej wypadało. Ale czy on drogę pomylił, czy mnie się rachunek splątał, coś tu się nie zgadza. Pamięta pan, panie Frodo, że kiedy nocowaliśmy na drzewie, księżyc malał. Był wtedy tydzień po pełni, wedle moich obliczeń. Wczoraj wieczorem skończył się tydzień

naszej podróży wodą, a dziś – proszę! – wstaje nów, rożek cienki niby obrzynek paznokcia, jak gdybyśmy ani dnia nie spędzili u elfów. A przecież trzy noclegi w Lórien na pewno pamiętam, marzy mi się nawet, że było ich więcej, chociaż przysiągłbym, że nie siedzieliśmy tam całego miesiąca. Można by pomyśleć, że w tym kraju czas się nie liczy.

– Może tak właśnie jest naprawdę – powiedział Frodo. – Może w tym kraju znaleźliśmy się w czasie, który gdzie indziej na świecie dawno przeminął. Zdaje mi się, że dopiero kiedy Srebrna Żyła zniosła nas do Anduiny, wróciliśmy w nurt czasu płynącego przez śmiertelne kraje do Wielkiego Morza. Nie pamiętam, żebym widział księżyc, w nowiu czy w pełni, nad Caras Galadhon, tylko gwiazdy nocą, a słońce za dnia.

Legolas poruszył się w łodzi.

– Nie, czas nigdy nie zwalnia biegu – rzekł – ale zmiany i wzrost nie są dla każdej rzeczy i w każdym miejscu jednakie. Dla elfów też świat się kręci, kręci się zarazem bardzo szybko i bardzo wolno. Szybko, bo sami elfowie mało się zmieniają, a wszystko inne przemija dokoła, i to elfów zasmuca. Bardzo wolno, bo nie liczą płynących lat, nie liczą ich w każdym razie w swoim życiu. Następujące po sobie pory roku nie znaczą dla nich więcej niż wiecznie powtarzająca się fala w długim, długim strumieniu. Ale wszystko pod słońcem musi kiedyś przeminąć i skończyć się wreszcie.

– W Lórien jednak wszystko przemija bardzo powoli – rzekł Frodo. – Nad tym krajem panuje Galadriela. Każda godzina jest bogata, chociaż wydaje się krótka w Caras Galadhon, gdzie Pani Galadriela włada Pierścieniem Elfów.

– O tym nie powinieneś mówić poza granicami Lórien nawet ze mną – przerwał mu Aragorn. – Pamiętaj, ani słowa więcej! Ale wiedz, Samie, że to prawda: w tej krainie straciłeś rachubę czasu. Tam czas przepływał obok nas, podobnie jak płynie obok elfów. Stary księżyc skurczył się, młody urósł i z kolei zmalał nad światem, podczas gdy my odpoczywaliśmy w Lórien. Wczoraj wieczorem księżyc był powtórnie w nowiu. Zima się kończy. Czas płynie ku wiośnie, która niewiele niesie nam nadziei.

Noc przeminęła w spokoju. Z drugiego brzegu nie dochodziły żadne szmery ani głosy. Wędrowcy, skuleni w łodziach, zauważyli zmianę pogody. Pod wilgotnymi chmurami, które nadciągnęły z południa od dalekich mórz, powietrze ociepliło się i nie poruszał nim najlżejszy nawet

podmuch. Szum wody pędzącej wśród skał zdawał się teraz głośniejszy i bliższy, z gałęzi nadbrzeżnych drzew kapały krople rosy.

Kiedy dzień zaświtał, świat cały dokoła wydał im się miękki i smutny. Z wolna brzask przechodził w blade, rozproszone światło, niepodkreślone przez cienie. Nad rzeką zalegała mgła, białe opary otulały brzeg zachodni, wschodniego zaś wcale nie było teraz widać.

– Nie cierpię mgły – oznajmił Sam – ale dzisiaj wydaje mi się pożądana. Może uda się nam wymknąć stąd tak, że te przeklęte gobliny nic nie zauważą.

– Może – powiedział Aragorn – ale trudno będzie trafić na ścieżkę, jeśli później mgła się nie podniesie. Musimy odnaleźć drogę, inaczej nie przedostaniemy się przez Sarn Gebir i nie dotrzemy do Emyn Muil.

– Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy szukać przejścia przez progi i po co płynąć dalej rzeką – odezwał się Boromir. – Jeśli Emyn Muil leży przed nami, lepiej byłoby porzucić te łupiny i pomaszerować na południo-zachód aż do Rzeki Entów, a potem przeprawić się na drugi jej brzeg do mojej ojczyzny.

– Tak byłoby rzeczywiście lepiej – odparł Aragorn – gdybyśmy zdążali do Minas Tirith. Ale to nie zostało dotychczas postanowione. Zresztą ten szlak mógłby się okazać bardziej niebezpieczny, niż się wydaje z pozoru. Dolina Rzeki Entów jest niska i bagnista, a mgła to śmiertelny wróg podróżujących pieszo, w dodatku z bagażami. Wolałbym nie porzucać łodzi, póki się da. Rzeka bądź co bądź stanowi drogę, na której nie można zabłądzić.

– Ale nieprzyjaciel panuje na jej wschodnim brzegu – argumentował Boromir. – Jeśli nawet przedostaniesz się przez Wrota Argonath i bez szwanku dopłyniesz do Tindrock, co zrobisz dalej? Czy zeskoczysz z wodogrzmotów, żeby wylądować na trzęsawiskach?

– Nie – odparł Aragorn. – Myślę, że należałoby przenieść łodzie starą ścieżką omijającą Rauros i poniżej wodogrzmotów znowu spuścić je na rzekę. Czy nie wiesz, czy też umyślnie zapominasz, Boromirze, o Północnych Schodach i o strażnicy na szczycie Amon Hen, zbudowanej za czasów wielkich królów? Ja w każdym razie postanowiłem wspiąć się tam i rozejrzeć się z góry, nim rozstrzygnę o dalszej podróży. Może stamtąd zobaczymy jakiś znak, który nam wskaże drogę.

Boromir długo opierał się tej decyzji. Kiedy jednak zrozumiał, że Frodo pójdzie za Aragornem, gdziekolwiek ten poprowadzi – ustąpił.

– Ludzie z Minas Tirith nie mają zwyczaju opuszczać przyjaciół w potrzebie – rzekł – a będzie wam potrzebna moja siła, jeżeli chcecie dostać się do Tindrock. Do tej górzystej wyspy będę wam towarzyszył, dalej – nie. Pójdę do swego kraju sam, jeżeli swoją pomocą nie zasłużyłem na taką bodaj nagrodę, by ktoś z was dotrzymał mi kompanii.

Dzień tymczasem pojaśniał, mgła zrzedła trochę. Uradzono, że Aragorn z Legolasem pójdą, nie zwlekając, naprzód wzdłuż brzegu, inni zaś zostaną w łodziach. Aragorn miał nadzieję odnaleźć drogę, którą można by przenieść łódki i bagaże na spokojniejsze wody poniżej skalnych progów.

– Może łodzie elfów naprawdę nigdy nie toną – powiedział – ale nie znaczy to, byśmy mogli w nich przepłynąć Sarn Gebir żywi. Nikomu dotychczas nie udała się ta sztuka. Ludzie z Gondoru nie budowali dróg w tej okolicy, bo nawet w najświetniejszej epoce ich królestwo nie sięgało w dorzeczu Anduiny poza wzgórza Emyn Muil. Z pewnością jednak istnieje ścieżka gdzieś na zachodnim brzegu, nie wiem tylko, czy ją odnajdę. Niemożliwe, by ślad zatarł się już całkowicie, bo jeszcze kilka lat temu, nim orkowie z Mordoru rozmnożyli się tak groźnie, używano lekkich łodzi do żeglugi z wybrzeży Dzikich Krajów do Osgiliath.

– Za mojej pamięci rzadko jakaś łódź przybywała do nas z północy, orkowie zaś grasują na wschodnim brzegu od dawna – rzekł Boromir. – Nawet jeżeli znajdziesz ścieżkę, każdy krok na niej zbliży cię do niebezpieczeństwa.

– Niebezpieczeństwo czyha na wszystkich drogach wiodących na południe – odparł Aragorn. – Czekajcie na nas jeden dzień. Gdybyśmy nie wrócili, będzie to znaczyło, że spotkała nas rzeczywiście najgorsza przygoda. Wówczas musicie wybrać nowego przewodnika i za nim iść jak się da najroztropniej.

Z ciężkim sercem Frodo patrzył na Aragorna i Legolasa, kiedy wspinali się na stromą skarpę i znikali we mgle. Lecz obawy hobbita okazały się płonne. Nie upłynęło parę godzin, ledwie zbliżało się południe, kiedy z mgły wyłoniły się sylwetki wracających zwiadowców.

– Wszystko w porządku – oznajmił Aragorn, zsuwając się ze skarpy. – Ścieżka istnieje i prowadzi do wygodnej przystani, która jeszcze nadaje się

do użytku. Marsz nie będzie zbyt daleki, progi skalne zaczynają się o pół mili stąd i mają niewiele ponad milę długości. Tuż za nimi nurt znów jest czysty i gładki, chociaż dość bystry. Najcięższym dla nas zadaniem będzie przeniesienie łodzi i bagażu na starą ścieżkę. Znaleźliśmy ją, lecz dość daleko w głębi lądu, a biegnie pod osłoną skalistej ściany kawałek drogi od wybrzeża. Gdzie jest przystań północna, nie wiemy. Jeżeli się do naszych czasów zachowała, musieliśmy ją minąć wczoraj w nocy. Gdybyśmy nawet próbowali z trudem do niej dopłynąć pod prąd, możemy jej we mgle nie zauważyć. Obawiam się, że nie ma innej rady, jak wyjść na ląd tutaj i przetaszczyć jakoś łodzie na ścieżkę.

– Nie byłoby to łatwe, nawet gdyby drużyna składała się z samych Dużych Ludzi – powiedział Boromir.

– Spróbujemy dokonać tego z taką drużyną, jaką mamy – odparł Aragorn.

– Spróbujemy – rzekł Gimli. – Nogi Dużych Ludzi nieraz ustają na wyboistej drodze, po której krasnolud wędruje dalej, chociaż dźwiga brzemię dwakroć cięższe niż on sam. Wiedz o tym, mości Boromirze!

Zadanie było rzeczywiście bardzo trudne, lecz w końcu zostało wykonane. Bagaże wyładowano z łodzi i zniesiono na szczyt skarpy, gdzie je złożono na płaskim terenie. Potem wyciągnięto łodzie na ląd i wydźwignięto je również na górę. Okazały się znacznie lżejsze, niż przewidywali. Nawet Legolas nie wiedział, jakiego drzewa z kraju elfów użyto do ich budowy, lecz było zarazem mocne i niezwykle lekkie. Merry i Pippin mogli we dwóch udźwignąć swoją łódź na równej drodze. Ale nawet siły dwóch Dużych Ludzi ledwie starczały, by ją wywindować pod górę i pokonać trudności terenu, który Drużyna musiała przebyć. Brzeg wznosił się bezładnym rumowiskiem szarych wapiennych głazów, wśród których ziały dziury, podstępnie zamaskowane gęstwą zielska i zarośli; trzeba się było przedzierać przez splątane kolczaste krzaki i strome jary, a tu i ówdzie zagradzały drogę grząskie bajora, zasilane wodą ściekającą z wyżyny, która piętrzyła się tarasami w głąb lądu.

Boromir wraz z Aragornem przenieśli kolejno łodzie, reszta drużyny mozoliła się przez ten czas z bagażami. Wreszcie wszystko i wszyscy znaleźli się na ścieżce. Dalej już bez poważniejszych przeszkód – jeśli nie liczyć paru miejsc zarośniętych tarniną i wielu kamieni – posuwali się

zwartą gromadą. Mgła wciąż jeszcze czepiała się pasmami zwietrzałej ściany skalnej, a z lewej strony zasłaniała rzekę; wędrowcy słyszeli huk i szum wody rozbijającej o strome progi i wyszczerzone kamienne zęby Sarn Gebir, lecz nie widzieli nic. Dwakroć przeszli drogę tam i z powrotem, nim cały dobytek dotaszczyli bezpiecznie do południowej przystani.

W tym miejscu ścieżka, zbliżając się do rzeki, zbiegała łagodnie w dół aż na płytki skraj małej zatoki. Była ona wyżłobiona, jak się zdawało, nie pracą rąk, lecz przez samą wodę spadającą z progu Sarn Gebir na płaską skałę, wysuniętą dość daleko na środek nurtu. Dalej brzeg wznosił się stromo szarym urwiskiem i był niedostępny dla pieszych wędrowców.

Krótkie popołudnie miało się już ku końcowi i mętny, chmurny zmierzch ogarniał świat. Drużyna siadła tuż nad wodą, wsłuchując się w huk i szum wodospadów ukrytych we mgle. Wszyscy byli zmęczeni i śpiący, a w sercach ich panował mrok równie ponury jak ten dogasający dzień.

– Ano, jesteśmy w przystani i tu musimy spędzić noc – stwierdził Boromir. – Potrzeba nam snu, a nawet gdyby Aragorn odważył się nocą przeprawić przez Wrota Argonath, zbyt jesteśmy zmęczeni wszyscy… z wyjątkiem oczywiście naszego siłacza krasnoluda.

Gimli nie odpowiedział, drzemał skulony.

– Odpoczniemy więc tutaj, jak się da – rzekł Aragorn. – Jutro trzeba będzie ruszyć za dnia. Jeżeli pogoda nie zmieni się znowu i nie wypłata nam złośliwego figla, mamy szansę przemknąć się niepostrzeżenie dla oczu szpiegujących nas ze wschodniego brzegu. Tej nocy wszakże będziemy kolejno pełnić wartę parami. Każdemu przypadnie godzina czuwania na trzy godziny snu.

W ciągu nocy nie zdarzyło się nic groźniejszego niż krótki deszcz przed świtem. Gdy się rozwidniło, wyruszyli. Trzymali się możliwie najbliżej zachodniego brzegu, którego niskie początkowo urwiska piętrzyły się coraz wyżej i majaczyły przez mgłę jak mur wyrastający wprost z bystrego nurtu rzeki. Nim minął ranek, chmury osunęły się niżej i spadła ulewa. Wędrowcy okryli płachtami ze skór łodzie, aby deszcz ich nie zalał, i zdali się na prąd; przez gęstą załonę ulewy nic prawie nie widzieli przed sobą.

Deszcz nie trwał jednak długo. Niebo z wolna się przecierało, potem nagle chmury się rozstąpiły, a ich poszarpane, włókniste strzępy odpełzły ku północy, w górę rzeki. Mgły i opary znikły. Przed żeglarzami ukazał się

szeroki wąwóz o wysokich skalistych zboczach, z których gdzieniegdzie na półkach i wąskich rozpadlinach wystrzelały pojedyncze drzewa. Koryto rzeczne zacieśniło się, prąd rwał coraz ostrzej. Mknęli teraz naprzód i nie mogli liczyć, by udało się wstrzymać łodzie lub zawrócić, nawet gdyby zaszła potrzeba. Nad ich głowami rozpościerał się jasnobłękitny obszar nieba, z wszystkich stron rozciągała się ciemna, mroczna rzeka, a przed nimi zamykała dostęp słońcu ściana wzgórz Emyn Muil, w której nigdzie nie było widać wyrwy.

Frodo, wypatrując drogi, ujrzał w oddali dwie wielkie skały zbliżające się z każdą minutą; wyglądały jak obronne wieże lub kamienne kolumny. Smukłe, pionowe, groźne, sterczały po obu stronach nurtu. Między nimi otwierało się ciasne przejście, w które rzeka poniosła łodzie.

– Oto Argonath, Kolumny Królów! – krzyknął Aragorn. – Wkrótce je miniemy. Równajcie łódź za łodzią, ale starajcie się zachować jak największe odstępy! Trzymać się środka nurtu!

Łódź rwała z prądem, Frodo miał wrażenie, że dwa ogromne słupy rosną i biegną na jej spotkanie. Te wielkie szare bryły, milczące, lecz groźne, wydały mu się parą olbrzymów. Z bliska dopiero stwierdził, że są rzeczywiście wykute na kształt dwóch postaci ludzkich; dawna sztuka i potęga wyrzeźbiła w nich swój ślad i dotychczas, prażone słońcem i chłostane deszczem od niepamiętnych lat, zachowały podobieństwo, które im ongi narzucili rzeźbiarze. Na ogromnych cokołach, fundamentem zanurzonych w głębinie, stali dwaj kamienni królowie; zatarte oczy i pobrużdżone, chmurne czoła mieli wciąż zwrócone na północ. Każdy z nich wznosił lewą rękę, ostrzegając wymownym gestem odwróconej na zewnątrz dłoni, w prawej zaś dzierżył topór; na głowach mieli skruszałe hełmy i korony. Siła i majestat biły od tych milczących strażników dawno już nieistniejącego królestwa. Trwożna cześć zawładnęła sercem Froda, pochylił się i zamknął oczy, nie śmiejąc podnieść wzroku, kiedy łódź zbliżyła się do stóp posągów. Nawet Boromir skłonił głowę, gdy łodzie, kruche i lekkie, mknęły jak drobne liście w odwiecznym cieniu tych strażników Númenoru. Tak wpłynęli w ciemną czeluść Wrót.

Po obu stronach wznosiły się ku niezmierzonej wysokości pionowe, straszne skały. Niebo zdawało się mętne i bardzo odległe. Grzmot czarnej wody rozlegał się echem, a wiatr gwizdał nad głowami wędrowców. Frodo, skulony na klęczkach, słyszał, jak Sam mruczy i lamentuje: „Co za miejsce!

Okropność! Niech się tylko wydostanę żywy z tej łodzi, a nigdy palca od nogi nie zamoczę nawet w sadzawce, nie mówiąc już o rzece!”.

– Nie lękajcie się! – odezwał się za plecami obco brzmiący głos.

Frodo obejrzał się i zobaczył Obieżyświata, a zarazem nie Obieżyświata, bo po ogorzałym w wędrówkach Strażniku nie zostało śladu: u rufy siedział Aragorn, syn Arathorna, dumnie wyprostowany, sterujący łodzią wprawnymi uderzeniami wioseł. Odrzucił kaptur, wiatr rozwiał mu ciemne włosy, oczy jaśniały blaskiem: król wracający z wygnania do własnej dziedziny.

– Nie lękajcie się! – powtórzył. – Od lat marzyłem, by ujrzeć podobizny Isildura i Anáriona, moich pradziadów. W ich cieniu nic nie grozi Elessarowi, Kamieniowi Elfów, synowi Arathorna z rodu Valandila, syna Isildura, dziedzica Elendila.

Blask w jego oczach przygasł, gdy Aragorn, jakby do siebie tylko, szepnął:

– Gdybyż tu był z nami Gandalf! Serce mi się wyrywa do Minas Anor i do murów mojej stolicy! Lecz dokąd teraz pójdę?

Ciemna czeluść Wrót była długa, wypełniał ją zgiełk wichru i spienionej wody, odbijający się echem od kamiennych ścian. Nurt skręcał nieco ku zachodowi, toteż początkowo łodzie płynęły w mroku; wkrótce jednak Frodo dostrzegł wysoki słup blasku, rosnący z każdą chwilą. Słup zbliżał się szybko i nagle łodzie wypadły na jasne, szeroko rozlane światło.

Słońce, które przed wielu godzinami minęło już zenit, błyszczało na wietrznym niebie. Spętany nurt wyzwalał się tu i rozlewał bladym, wydłużonym owalem jeziora, zwanego Nen Hithoel, zamkniętego wśród szarych wzgórz o stokach pokrytych lasem, lecz wierzchołkach łysych i lśniących zimno w promieniach słońca. U ich odległego południowego krańca wystrzelały trzy ostre szczyty. Środkowy, nieco wysunięty naprzód i odosobniony, tworzył wyspę objętą jasnymi, połyskliwymi ramionami rzeki. Z wiatrem niósł się daleki, lecz potężny huk, jakby grzmot przewalał się w oddali.

– Spójrzcie! To jest Tol Brandir – rzekł Aragorn, wskazując wysunięty szczyt. – Z lewej i prawej strony wznoszą się Amon Lhaw i Amon Hen, Góra Nasłuchu i Góra Wypatrywania. Za czasów Wielkich Królów były na

ich szczytach strażnice i trzymano tam straże. Podobno od tych dni noga człowieka ani zwierzęcia nie postała na Tol Brandir. Nim zapadnie noc, znajdziemy się u stóp tych gór. Słyszę nieustające wołanie wodogrzmotów Rauros.

Drużyna wypoczęła nieco, zdając się na nurt, który niósł łodzie środkiem jeziora ku południowi. Wędrowcy pożywili się, a później chwycili za wiosła, przyspieszając żeglugę. Cień okrył zbocza zachodnich gór, słońce przybrało postać czerwonej kuli. Tu i ówdzie błysnęła przymglona gwiazda. Trzy ostre szczyty majaczyły na wprost przed żeglarzami, coraz ciemniejsze w zapadającym zmroku. Rauros huczały potężnie. Noc już zasnuła fale rzeki, gdy wreszcie łodzie znalazły się w cieniu gór.

Skończył się dziesiąty dzień spływu. Pustkowie zostało za nimi. Teraz już musieli rozstrzygnąć i wybrać drogę: wschodnią albo zachodnią. Zaczynał się ostatni etap wyprawy.

ROZDZIAŁ 10
ROZSTANIE

Aragorn poprowadził ich prawym ramieniem rzeki. Na zachodnim brzegu, w cieniu Tol Brandir, zielona łąka zbiegała od podnóży Amon Hen aż na skraj wody. Za nią wznosiły się pierwsze łagodne i zadrzewione zbocza góry, szeregi drzew ciągnęły na zachód wzdłuż wygiętego łuku jeziora. Spod góry spływał strumyk, zraszając łąkę.

– Tu przenocujemy – rzekł Aragorn. – Widzicie łąkę Parth Galen, która za dawnych czasów bywała latem czarownym miejscem. Miejmy nadzieję, że jeszcze na nią złe siły nie dotarły.

Wyciągnęli łodzie na zielony brzeg i przy nich rozłożyli się obozem. Wystawili wartę, lecz nieprzyjaciół nie było widać ani słychać. Jeżeli Gollumowi udało się przypłynąć tu za nimi, ukrywał się dobrze. Mimo to, w miarę jak noc mijała, Aragorna ogarniał coraz większy niepokój, często przewracał się przez sen i budził. Przed świtem wstał i podszedł do Froda, który właśnie pełnił straż.

– Dlaczego nie śpisz? – spytał Frodo. – Nie twoja kolej teraz wartować.

– Nie wiem – odparł Aragorn. – Jakiś cień i groźba zamąciły mi sen. Dobądź lepiej miecza.

– Po co? – zdziwił się Frodo. – Czy zbliża się nieprzyjaciel?

– Zobaczymy, co nam twoje Żądło powie – rzekł Aragorn.

Frodo wyciągnął więc oręż elfów z pochwy. Ku swemu przerażeniu ujrzał nikły blask bijący od ostrza w ciemności.

– Orkowie! – szepnął. – Niezbyt blisko, ale z pewnością za blisko.

– Tego się właśnie lękałem – powiedział Aragorn. – Może jednak nie przeszli na tę stronę rzeki. Żądło świeci mętnie, kto wie, czy nie zwiastuje tylko szpiegów Mordoru, grasujących po zboczach Amon Lhaw. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby orkowie zapuścili się na Amon Hen. Ale trudno zgadnąć, co się mogło zdarzyć w tych nieszczęsnych czasach, skoro twierdza Minas Tirith już nie zabezpiecza przeprawy przez Anduinę. Musimy jutro posuwać się bardzo ostrożnie.

Dzień wstał w ogniu i dymie. Na wschodzie u widnokręgu legły czarne zwały chmur, niby straszliwe pogorzelisko. Słońce, wschodząc, oświetliło je od dołu smolisto-czerwonym płomieniem, wkrótce jednak wzniosło się wyżej i wypłynęło na czyste niebo. Szczyt Tol Brandir błysnął złotem. Frodo zwrócił oczy na wschód, przyglądając się wyspowej górze. Podnóża jej wyrastały prostopadle z bystrego nurtu. Wyżej ponad urwiskiem wznosiły się strome zbocza, po których wspinały się drzewa, jedne nad drugimi, na samej zaś górze znów piętrzyła się naga, niedostępna ściana szarej skały, uwieńczona ogromną kamienną wieżycą. Krążyło nad nią mnóstwo ptaków, lecz żadne inne stworzenia nie dawały znaku życia.

Zjedli śniadanie, po czym Aragorn zwołał całą Drużynę.

– Wybiła w końcu godzina – rzekł – godzina wyboru, z którym zwlekamy od tak dawna. Co się teraz stanie z naszą Drużyną, dotychczas wędrującą w braterskiej zgodzie? Czy skręcimy wraz z Boromirem na zachód i pójdziemy wojować w obronie Gondoru? Czy na wschód, do Kraju Grozy i Cienia? Czy wreszcie rozbijemy Drużynę i podzielimy się, a każdy skieruje się w jedną lub drugą stronę wedle swej woli? Cokolwiek zrobimy, trzeba działać szybko. Nie możemy tu długo popasać. Nieprzyjaciel, jak wiemy, panuje na wschodnim brzegu, lecz obawiam się, czy orkowie nie znajdują się już także po tej stronie Anduiny.

Długi czas trwało milczenie, nikt nie poruszył się ani nie odezwał.

– A więc – w końcu przemówił znowu Aragorn – na ciebie, mój Frodo, spada ciężar decyzji. Ty zostałeś przez Radę mianowany Powiernikiem Pierścienia. Tobie tylko przystoi wybór własnej drogi. Nic ci w tej sprawie doradzać nie mogę. Nie jestem Gandalfem, chociaż starałem się zastąpić go w podróży. Nie wiem, jakie zamiary i nadzieje wiązał z tą godziną i czy w ogóle miał jakieś z góry ułożone plany. Najprawdopodobniej, nawet gdyby Czarodziej był między nami, decyzja należałaby w tej chwili do ciebie. Taki już los ci przypadł.

Frodo zrazu nic nie odpowiedział. Potem zaczął z wolna:

– Rozumiem, że trzeba się spieszyć, lecz nie mogę zdobyć się na rozstrzygnięcie. Brzemię jest za ciężkie dla mnie. Zostaw mi jeszcze godzinę do namysłu. Chcę zastanowić się w samotności.

Aragorn popatrzył na niego łagodnie i ze współczuciem.

– Zgadzam się, Frodo, synu Droga – rzekł. – Daruję ci godzinę, i to godzinę samotności. Będziemy na ciebie tu czekali, nie odchodź jednak dalej, niż sięgają nasze głosy.

Frodo chwilę siedział ze spuszczonymi oczyma. Sam wpatrywał się w niego z wielką troską, potrząsnął głową i mruknął:

– Jasne jak słońce, ale nie wolno ci, Samie Gamgee, wtrącać teraz swoich trzech groszy.

Frodo wstał i odszedł. Sam zauważył, że gdy wszyscy inni powściągali ciekawość i nie patrzyli za odchodzącym hobbitem, Boromir śledził go pilnie wzrokiem, póki nie zniknął wśród drzew u podnóży Amon Hen.

Błądząc początkowo na chybił trafił po lesie, Frodo wreszcie zrozumiał, że nogi same niosą go ku stokom góry. Znalazł się na ścieżce, która znaczyła ślad dawnej, dziś zniszczonej drogi. W miejscach bardziej stromych wykuto ongi kamienne schody, teraz spękane i zatarte, rozsadzone przez korzenie. Jakiś czas piął się wzwyż, niezbyt uważając na drogę, aż stanął na trawiastej półce. Wokół niej rosły wysokie jesiony, pośrodku leżał duży, płaski głaz. Małą górską łączkę, otwartą na wschód, zalewał blask porannego słońca.

Frodo zatrzymał się i spojrzał na rzekę płynącą daleko w dole, na Tol Brandir i na ptaki, kołujące po szerokim przestworzu, dzielącym go od niedostępnej wyspy. Głos wodogrzmotów Rauros rozlegał się potężnie głębokim, pulsującym hukiem. Frodo siadł na kamieniu, podparł brodę pięściami i patrzał ku wschodowi, ale nic właściwie nie widział. Przed oczyma jego wyobraźni przesuwało się wszystko, co zdarzyło się, odkąd Bilbo opuścił Shire; wspominał i rozważał każde słowo Gandalfa, które utkwiło mu w pamięci. Czas płynął, a Frodo nie zbliżył się ani o krok do decyzji.

Nagle ocknął się z zadumy: miał nieprzyjemne uczucie, że ktoś stoi za jego plecami i że śledzą go czyjeś nieżyczliwe oczy. Zerwał się z kamienia i odwrócił; ku swemu zdumieniu zobaczył tylko Boromira i na jego twarzy przyjazny uśmiech.

– Niepokoiłem się o ciebie – powiedział Boromir, zbliżając się nieco. – Jeżeli Aragorn nie mylił się i orkowie rzeczywiście są tuż, żaden z nas, a szczególnie ty, nie powinien się oddalać od Drużyny. Zbyt wiele od ciebie zawisło. Poza tym, mnie także ciężko na sercu. Czy pozwolisz mi zostać i

pogadać z tobą, skoro cię znalazłem? Rozmowa doda ci otuchy. W gromadzie każda wymiana zdań zmienia się w rozwlekłą naradę. We dwóch prędzej może dojdziemy do najmądrzejszej decyzji.

– Bardzo jesteś poczciwy – odparł Frodo – ale nie sądzę, by jakakolwiek rozmowa mogła mi pomóc. Wiem bowiem, co powinienem zrobić, a wstrzymuje mnie od tego strach. Tak, Boromirze: strach!

Boromir stał w milczeniu. Wodogrzmoty huczały nieustannie. Wiatr szeleścił w gałęziach drzew. Frodo zadrżał.

Nagle Boromir przysunął się i siadł obok hobbita.

– Czy nie przyszło ci na myśl – rzekł – że może dręczysz się niepotrzebnie? Chciałbym ci dopomóc. W trudnym wyborze potrzebujesz rady. Czy przyjmiesz ją ode mnie?

– Zdaje się, że z góry wiem, jakiej mi udzielisz rady, Boromirze – odparł Frodo. – Uznałbym ją za głos mądrości, gdyby mnie serce nie ostrzegło.

– Serce cię ostrzegło? Przed czym? – żywo spytał Boromir.

– Przed zwłoką. Przed drogą z pozoru łatwiejszą. Przed odrzuceniem brzemienia, które mi powierzono. Przed… tak, muszę i to powiedzieć… przed zaufaniem w siłę i szczerość ludzi.

– A jednak ich siła z dawna broniła cię w twoim dalekim kraiku, chociaż nic o tym nie wiedziałeś.

– Nie wątpię w męstwo twojego plemienia. Ale świat się zmienił. Mury grodu Minas Tirith są mocne, nie dość wszakże potężne. Jeśli zawiodą, co wtedy?

– Polegniemy w boju, śmiercią walecznych. Lecz pozostała nam jeszcze nadzieja, że mury nie zawiodą.

– Nie ma nadziei, póki istnieje Pierścień – rzekł Frodo.

– Aha! Pierścień! – powiedział z błyskiem w oku Boromir. – Pierścień! Dziwne zrządzenie losu, że tak wielka trwoga i tyle wątpliwości dręczy nas z powodu tak drobnego przedmiotu! Tak drobnego! I ledwie raz, przez jedno mgnienie, widziałem go w domu Elronda. Czy nie mógłbyś mi go znów choć na chwilę pokazać?

Frodo podniósł wzrok na Boromira. Nagle mróz ścisnął mu serce. Dojrzał w oczach wojownika dziwny błysk, jakkolwiek twarz jego wciąż była łagodna i przyjazna.

– Lepiej, by pozostał w ukryciu – odparł.

– Jak chcesz. Nie nalegam – powiedział Boromir. – Może przynajmniej mówić o nim mi pozwolisz? Bo zdaje mi się, że niesłusznie myślisz wyłącznie o jego potędze w rękach Nieprzyjaciela, zawsze o jego złym użytku, nigdy zaś o dobrym. Świat się zmienia, sam to zauważyłeś. Minas Tirith padnie, jeżeli Pierścień będzie istniał. Pomyśl jednak! Tak by się stało, gdyby Pierścień był w ręku Nieprzyjaciela. Czemuż by nie miało stać się inaczej, gdyby pozostał w naszym ręku?

– Byłeś przecież na Radzie – odparł Frodo. – Nie możemy go użyć, a wszystko, co się za jego sprawą dokona, obraca się zawsze na złe.

Boromir wstał i zaczął niespokojnie przechadzać się po łączce.

– A więc chcesz iść dalej! – krzyknął. – Gandalf, Elrond… wszyscy ci… nauczyli cię tej śpiewki! Może mają swoje własne racje po temu. Bo dla elfów, półelfów i czarodziejów może to byłaby rzeczywiście klęska. Nieraz jednak miałem już wątpliwości, czy przez ich usta przemawia mądrość, czy też tylko bojaźń! Ale niech każdy troszczy się o własne plemię! Ludzie czystego serca nie dadzą się skazić. Nas, w Minas Tirith, zahartowała wielowiekowa próba. Nie potęgi czarodziejów pragniemy, lecz siły do własnej obrony, do obrony słusznej sprawy. Oto w najcięższej dla nas chwili los sprawił, że znalazł się Pierścień Władzy! Powiadam ci, to dar losu, dar przeciwko wrogom Mordoru. Byłoby szaleństwem nie użyć go, nie użyć przeciw Nieprzyjacielowi jego własnej broni. Tylko nieustraszeni i bezwzględni osiągają zwycięstwo. Ileż mógłby zdziałać Aragorn! A jeśli on odmawia – Boromir! Pierścień dałby mi potęgę władzy. Jak pierzchałyby przede mną zastępy Mordoru! Jak garnęliby się ludzie pod moje sztandary!

Boromir biegał po łące tam i sam, krzycząc coraz głośniej. Zdawało się, że niemal zapomniał o obecności Froda, rozprawiając o murach i orężu, o zbrojeniu wojsk; snuł plany wielkich sojuszów i chwalebnych zwycięstw, rozbijał w proch i pył Mordor, widział siebie w glorii najmożniejszego z królów, dobrotliwego i mądrego władcy. Nagle przystanął i zamachnął rękami.

– A oni każą nam go odrzucić! – krzyknął. – Nie sprzeciwiałbym się, gdyby chodziło naprawdę o jego zniszczenie. To by może nie było najgorsze, jeśliby rozum pozwalał żywić bodaj iskrę nadziei, że się uda. Ale to się udać nie może. Cały plan, który nam narzucono, polega na tym, że niziołek pójdzie na oślep do Mordoru i ułatwi tym sposobem

Nieprzyjacielowi zagarnięcie Pierścienia. Szaleństwo! Z pewnością sam to rozumiesz, przyjacielu – zwrócił się niespodzianie znów do Froda. – Powiedziałeś, że się boisz. Jeśli tak, najmężniejszy nawet musi wybaczyć ci ten lęk. Ale czy nie jest to raczej bunt twego zdrowego rozsądku?

– Nie, to strach – odparł Frodo. – Po prostu strach. Cieszę się jednak, że przemówiłeś do mnie tak otwarcie. Rozjaśniło mi się w głowie.

– A więc pójdziesz do Minas Tirith! – zawołał Boromir. Oczy mu błyszczały, twarz miał rozognioną.

– Źle mnie zrozumiałeś – rzekł Frodo.

– Ale zgodzisz się pójść do Minas Tirith przynajmniej na krótki czas? – nalegał Boromir. – Nasz gród leży niedaleko, niewiele też dalej z niego do Mordoru niż stąd. Od dawna wędrujemy przez Dzikie Kraje i przydadzą ci się najnowsze wiadomości o poczynaniach Nieprzyjaciela, zanim podejmiesz jakiś krok ze swej strony. Chodź ze mną, Frodo! – namawiał. – Powinieneś nabrać sił przed trudnym wyczynem, jeśli już koniecznie chcesz go dokonać.

Położył rękę na ramieniu hobbita gestem przyjacielskim, lecz drżenie dłoni zdradziło Frodowi, że Boromir z trudem tłumi podniecenie. Hobbit cofnął się żywo i z przerażeniem spojrzał na rosłego człowieka, który wzrostem przewyższał go niemal dwukrotnie, a siłą zapewne jeszcze bardziej.

– Dlaczego patrzysz na mnie tak nieżyczliwie? – rzekł Boromir. – Nie jestem złodziejem ani zbójcą. Potrzeba mi twego Pierścienia, teraz już o tym wiesz, ale ręczę ci słowem, że nie pragnę go dla siebie zatrzymać. Czy nie pozwolisz, żebym bodaj wypróbował swój plan? Użycz mi Pierścienia!

– Nie! Nie! – krzyknął Frodo. – Rada powierzyła go mnie.

– Własnemu szaleństwu będziesz zawdzięczać swoją klęskę! – wrzasnął Boromir. – Krew się we mnie burzy na tę myśl. To obłęd! Uparty obłęd! Z własnej woli chcesz iść na śmierć i zaprzepaścić naszą sprawę! Jeżeli ktoś ze śmiertelnych może rościć prawa do Pierścienia, to raczej ludzie z Númenoru, a nie wy, niziołki! Dorwaliście się do niego tylko wskutek nieszczęśliwego przypadku. Mógł przecież dostać się mnie. Powinien być mój! Oddaj mi go!

Frodo nie odpowiedział, lecz odskoczył tak, że ogromny głaz dzielił go od Boromira.

– Zastanów się, przyjacielu – podjął łagodniejszym tonem Boromir. – Czy nie masz ochoty pozbyć się go? Uwolniłbyś się od rozterki i strachu! Jeśli chcesz, możesz całą odpowiedzialność zwalić na mnie. Powiesz, że byłem od ciebie silniejszy i wziąłem go przemocą. Bo jestem od ciebie silniejszy, niziołku! – krzyknął i znienacka przeskoczywszy głaz, natarł na Froda. Piękna zwykle i miła twarz wojownika była w tej chwili okropnie zmieniona, oczy płonęły wściekłością.

Frodo wyśliznął się zwinnie i znowu odgrodził od Boromira kamieniem. Nie miał innego ratunku: w momencie gdy Boromir powtórnie dał susa przez głaz, hobbit błyskawicznie wyciągnął z kieszeni łańcuszek i wsunął Pierścień na palec. Wojownik na sekundę osłupiał ze zdziwienia i krzyknął, potem zaczął gorączkowo biegać po łączce, szukając zbiega wśród skał i drzew.

– Nikczemny kuglarzu! – wrzasnął. – Niech ja cię dostanę w swoje ręce! Teraz przejrzałem twoje zamysły! Chcesz zanieść Pierścień Sauronowi i wszystkich nas zaprzedać! Czekałeś tylko na okazję, żeby nas wywieść w pole! Przeklęte niziołki, śmierć i zguba całemu waszemu plemieniu!

Nagle potknął się o kamień i padł jak długi, twarzą do ziemi. Przez chwilę leżał bez ruchu i bez jęku, jak gdyby dosięgła go własna klątwa, potem wybuchnął płaczem. Wstał, przetarł oczy pięścią, strząsnął łzy.

– Co ja powiedziałem! – krzyknął. – Co ja zrobiłem! Frodo! Frodo! – zawołał. – Wróć! Szał mnie ogarnął, ale to już minęło. Wracaj!

Nie było odpowiedzi. Frodo nawet nie słyszał jego wołania. Odbiegł już daleko, na oślep wdzierając się ścieżką pod szczyt. Trząsł się ze strachu i rozżalenia, widział wciąż przed sobą wykrzywioną z wściekłości twarz Boromira, jego płonące gniewem oczy.

Wkrótce znalazł się samotny na szczycie Amon Hen i stanął, chwytając z trudem oddech. Jak przez mgłę zobaczył duży, płaski krąg wybrukowany wielkimi płytami i otoczony rozsypującym się zębatym murem; pośrodku, wsparta na rzeźbionych filarach, wznosiła się strażnica, do której prowadziły długie schody. Frodo wspiął się po nich i siadł w starożytnym krześle; czuł się jak zabłąkane dziecko na tronie królów gór.

Z początku niewiele widział. Miał wrażenie, że znalazł się w kraju mgieł, gdzie nie istnieje nic prócz cieni: miał bowiem wciąż na palcu Pierścień. Po chwili mgła się rozwiała i Frodo ujrzał mnóstwo rzeczy.

Wszystko zdawało się małe, lecz ostro zarysowane, odległe, a mimo to wyraźne jak na dłoni. Nie słyszał żadnych odgłosów, ale miał przed oczyma jasne, żywe obrazy. Cały świat jakby skurczył się i oniemiał. Frodo siedział na szczycie Amon Hen, Góry Wypatrywania, która była okiem ludzi z Númenoru. Spojrzał na wschód: ciągnęły się tam rozległe, nienaznaczone na żadnych mapach obszary, bezimienne równiny, niezbadane lasy. Spojrzał na północ: Wielka Rzeka wiła się wstęgą po dolinie, a Góry Mgliste, małe i twarde, sterczały niby poszczerbione zęby. Spojrzał na zachód: zobaczył szerokie łąki Rohanu i dalej Orthank; iglicę Isengardu jak czarny cień. Spojrzał na południe: tuż u jego stóp rzeka piętrzyła się, wezbraną falą przewalała przez wysoki próg wodogrzmotów Rauros i bryzgając pianą, spadała w przepaść; jasna tęcza grała kolorami nad oparem wodospadu. Zobaczył także Ethir Anduin – ogromną deltę rzeki; miriady wodnego ptactwa, wirujące niby biały kurz w słońcu, a pod nimi zielone i srebrne morze, drobnymi falami uciekające w nieskończoność.

W którąkolwiek stronę spojrzał, widział sygnały wojny. Góry Mgliste roiły się jak mrowiska: orkowie wychodzili z tysiąca pieczar. Pod stropem Mrocznej Puszczy wrzała śmiertelna walka ludzi i elfów, i dzikich zwierząt. Kraj Beorningów stał w płomieniach. Nad Morią zaległa chmura; u granic Lórien wzbijały się dymy.

Przez pastwiska Rohanu gnali jeźdźcy, z Isengardu skradały się stada wilków. Z przystani Haradu okręty wojenne wypływały na morze. Od wschodu ciągnęły niezliczone zastępy: ludzie zbrojni w miecze i dzidy, łucznicy na koniach, wozy dowódców i tabory. Czarny Władca ruszył całą potęgą. Zwróciwszy znów oczy na południe, Frodo dostrzegł Minas Tirith. Gród zdawał się odległy i bardzo piękny: świecił białymi murami; wystrzelał mnóstwem wież, dumny i pełen czaru wznosił się na szczycie góry; zębate blanki lśniły żelazem, na wieżyczkach powiewały różnobarwne chorągwie. Nadzieja ocknęła się w sercu hobbita. Lecz naprzeciw Minas Tirith stała druga twierdza, większa jeszcze i potężniejsza. Wbrew woli Froda wschód ciągnął jego oczy. Przesunął oczy po zburzonych mostach Osgiliath, ziejących wrotach Minas Morgul, po nawiedzonych górach, i spojrzał na Gorgoroth, Dolinę Grozy w Kraju Mordor. Ciemności skłębiły się tam pod słońcem. Spośród kłębów dymu błyskały płomienie. Góra Przeznaczenia ziała ogniem, unosiły się nad nią opary. Wreszcie wzrok Froda zatrzymał się: ujrzał zwarte, spiętrzone blanki, czarną niepokonaną wartownię, górę żelaza, stalową bramę,

niezdobytą wieżę. To była Barad-dûr – forteca Saurona. Nadzieja w sercu Froda zgasła.

Nagle wyczuł obecność Oka. Tam, w Czarnej Wieży, czuwało bezsenne i już świadome, że Frodo je widzi. Skupiała się w nim potężna wola. Skierowało się w stronę hobbita jak wyciągnięty palec, szukając ofiary. Jeszcze chwila, a znajdzie Froda, przygwoździ go do miejsca. Musnęło szczyt Amon Lhaw. Dotknęło szczytu Tol Brandir… Frodo zsunął się błyskawicznie ze strażnicy, skulił się, nakrył głowę szarym kapturem.

Usłyszał własny krzyk, ale nie wiedział, czy woła: „Nigdy! Przenigdy!”, czy też: „Zaprawdę, idę do ciebie! Już idę!”. W tej samej sekundzie jakaś inna siła podszepnęła mu myśl: „Zdejmij go! Zdejmij, głupcze! Zdejmij Pierścień!”.

Dwie siły zmagały się w duszy Froda. Przez chwilę wił się w męce, przeszyty dwoma ostrzami równej mocy. Nagle otrzeźwiał. Nie ten głos i nie Oko, lecz on sam, Frodo, ma wolny wybór i rozporządza jedną, ostatnią chwilą, by wyboru dokonać. Zdjął Pierścień z palca. Klęczał u stóp strażnicy w blasku słońca. Czarny cień niby ramię przesunął się nad nim, lecz ominął Amon Hen, zabłądził dalej na zachód i wreszcie się rozwiał. Niebo znowu było czyste i błękitne, a na każdym drzewie śpiewały ptaki.

Frodo wstał. Czuł się bardzo znużony, ale wolę miał teraz niezachwianą, a serce lżejsze. Przemówił na głos sam do siebie:

– Zrobię, co do mnie należy. To w każdym razie jest jasne: zły czar Pierścienia działa już nawet wśród Drużyny, więc Pierścień musi ją opuścić, nim wyrządzi gorsze szkody. Pójdę sam. Niektórym spośród towarzyszy nie mogę ufać, a ci, którym ufam, są mi zbyt drodzy: biedny poczciwy Sam, kochani Merry i Pippin, a także Obieżyświat. Jemu się przecież serce wyrywa do Minas Tirith, a będzie tam bardzo potrzebny, skoro Boromir uległ złej sile. Pójdę sam. I to zaraz!

Szybko zbiegł ścieżką i wrócił na łączkę, na której przedtem odnalazł go Boromir. Zatrzymał się, nasłuchując. Miał wrażenie, że słyszy krzyki i nawoływania od strony lasów i znad rzeki w dole.

„Szukają mnie – powiedział sobie. – Ciekawe, ile też czasu trwała moja wycieczka. Pewno kilka godzin”. – Zawahał się znowu: – Co robić? – szepnął. – Muszę odejść teraz, inaczej nigdy może się nie uda. Druga taka sposobność chyba się nie nadarzy. Okropnie przykro porzucać Drużynę, i to

bez słowa wyjaśnienia. Ale z pewnością mnie zrozumieją. Sam zrozumie. Zresztą, cóż mogę zrobić innego?

Z wolna wyciągnął z kieszeni Pierścień i znów włożył go na palec. Zniknął i zszedł stokiem w dół ciszej niż szelest wiatru.

Drużyna długo czekała na brzegu rzeki. Przez czas jakiś wszyscy milczeli, kręcąc się niespokojnie, potem jednak siedli kołem i zaczęli rozmawiać. Starali się mówić o innych sprawach, o długiej wędrówce i licznych przygodach: wypytywali Aragorna o królestwo Gondoru i jego dawne dzieje, o szczątki potężnych dzieł, które dotychczas można było oglądać w dziwnej krainie u granic Emyn Muil, jak na przykład kamienne posągi królów, strażnice na szczytach Lhaw i Hen, wielkie schody przy wodogrzmotach Rauros. Lecz myśli i słowa krążyły uparcie wokół Froda i Pierścienia. Co Frodo wybierze? Dlaczego się waha?

– Sądzę, że zastanawia się, która z dwóch dróg jest bardziej rozpaczliwa – rzekł Aragorn. – Trudno mu się dziwić. Droga na wschód rokuje drużynie mniej nadziei niż kiedykolwiek, skoro Gollum nas wytropił i mamy powody lękać się, że tajemnica wyprawy już została zdradzona. Ale idąc do Minas Tirith, nie zbliżymy się do Ognia, nie będzie nam przez to łatwiej zniszczyć naszego brzemienia. Moglibyśmy tam pozostać czas jakiś i mężnie stawiać opór. Nie ma jednak nadziei, by władca Gondoru, Denethor, wraz ze swymi wojownikami dokonał czynu, który, jak sam Elrond stwierdził, przekracza jego siły. Nie uda się długo utrzymać Pierścienia w tajemnicy ani oprzeć się Nieprzyjacielowi, jeśli wystąpi z całą swoją potęgą. Którą drogę wybralibyśmy na miejscu Froda? Nie wiem. Nigdy tak bardzo nie brakowało nam Gandalfa jak w tej chwili.

– Ciężka to strata! – rzekł Legolas. – Musimy jednak bez jego rady rozstrzygnąć tę sprawę. Czemuż nie mielibyśmy sami powziąć decyzji i w ten sposób ulżyć Frodowi? Zawołajmy go i przeprowadźmy głosowanie. Ja opowiem się za Minas Tirith.

– Przyłączyłbym się do ciebie – odezwał się Gimli. – Wysłano nas tylko do pomocy Powiernikowi Pierścienia, nie kazano iść dalej, niż sami zechcemy. Żaden z nas nie zobowiązał się przysięgą ani nie dostał rozkazu, by dotrzeć aż do Góry Przeznaczenia. Bolesne było dla mnie rozstanie z Lórien. Zawędrowałem jednak aż do tych miejsc i dziś mogę powiedzieć: teraz, gdy nadeszła chwila ostatecznego wyboru, nie zawaham się, nie

opuszczę Froda. Wolałbym pomaszerować do Minas Tirith, jeżeli jednak on nie zechce tam iść – pójdę za nim.

– Ja także za nim pójdę – powiedział Legolas. – Rozstać się teraz, znaczyłoby złamać wiarę.

– Tak, gdyby go cała Drużyna opuściła, byłoby to zdradą – rzekł Aragorn. – Jeżeli jednak zechce iść na wschód, nie będzie mu potrzeba tak licznej kompanii, a nawet, moim zdaniem, nie powinni mu towarzyszyć wszyscy. Przedsięwzięcie jest beznadziejne, niezależnie od tego, czy je podejmie ośmiu, czy trzech albo dwóch, albo wręcz jeden śmiałek. Gdybyście zdali się na mój wybór, wyznaczyłbym Frodowi trzech towarzyszy: Sama, który by zresztą nie ścierpiał rozstania, Gimlego i siebie. Boromir mógłby wrócić do ojczyzny, gdzie potrzebny jest ojcu i całemu swojemu ludowi; niechby z nim poszła reszta Drużyny, a w każdym razie Meriadok i Peregrin, jeżeli Legolas nie zgodzi się z nami rozłączyć.

– Niemożliwe! – krzyknął Meriadok. – Nie opuścimy Froda! Pippin i ja od dawna postanowiliśmy iść wszędzie, dokąd on pójdzie, i nie zmieniliśmy zamiarów. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z tego, co to oznacza. Z daleka, w Shire czy w Rivendell, inaczej to wyglądało. Bylibyśmy szaleni i okrutni, gdybyśmy Frodowi pozwolili iść do Mordoru. Czy nie można go od tego powstrzymać?

– Trzeba go powstrzymać – rzekł Pippin. – Jestem pewien, że właśnie ta myśl go tak dręczy. Frodo rozumie, że nie zgodzimy się, by poszedł sam na wschód. A nie chce, biedaczysko, prosić kogokolwiek o dotrzymanie mu kompanii. Wyobraźcie to sobie: iść samotnie do Mordoru! – Pippin aż się wzdrygnął. – Ale nasz kochany nieborak powinien wiedzieć, że nas prosić nie trzeba. Powinien wiedzieć, że jeśli nie uda się mu tych zamiarów wybić z głowy – nie opuścimy go na pewno.

– Za przeproszeniem – odezwał się Sam. – Zdaje mi się, że wcale nie rozumiecie mojego pana. On się nie waha, którą z dwóch dróg wybrać. Ani mowy o tym! Jaki tam pożytek z tego Minas Tirith? To znaczy: dla pana Froda, nie obrażając pana Boromira… – dodał i obejrzał się. Dzięki temu dopiero wszyscy spostrzegli, że Boromira, który początkowo siedział milczący nieco na uboczu kręgu przyjaciół, nie ma już z nimi.

– Gdzież on mógł się podziać? – zawołał Sam z niepokojem. – Wydawał się jakiś dziwny ostatnimi czasy. Zresztą jego i tak nie dotyczy ta sprawa. Pewnie ruszył do domu, jak zapowiadał. Nie można mu tego mieć za złe.

Pan Frodo za to wie, że musi odnaleźć Szczeliny Zagłady, jeżeli to się nie okaże niemożliwe. Ale pan Frodo się boi. Teraz, jak już przyszło co do czego, zdjął go strach. Na tym polega jego udręka. Oczywiście, przeszedł już dobrą szkołę, że się tak wyrażę, wszyscy ją przeszliśmy, odkąd opuściliśmy nasze domy; gdyby nie to, byłby tak przerażony, że cisnąłby Pierścień po prostu do rzeki i wziąłby nogi za pas. Bądź co bądź boi się ruszyć dalej. Nie o to się też martwi, czy zechcemy z nim iść, czy nie, bo dobrze wie, jakie są nasze zamiary. Co innego trapi pana Froda. Jeżeli się uzbroi w odwagę i postanowi iść – będzie chciał iść samotnie. Zapamiętajcie moje słowa! Będziemy z nim mieli kłopot, kiedy wróci tutaj. Bo że się zdobędzie na takie a nie inne postanowienie, to pewne: nie nazywałby się Baggins, gdyby było inaczej!

– Zdaje się, że mówisz rozumniej niż my wszyscy, Samie! – rzekł Aragorn. – Cóż więc zrobimy, jeśli okaże się, że masz rację?

– Zatrzymamy Froda! Nie pozwolimy mu iść! – krzyknął Pippin.

– Nie jestem pewien – odparł Aragorn. – Frodo jest Powiernikiem Pierścienia, odpowiada za jego losy. Nie sądzę, byśmy mieli prawo popychać Froda na tę lub inną drogę. Nie sądzę też, by się nam to udało, nawet gdybyśmy próbowali tak postąpić. Działają tu inne siły, o wiele potężniejsze niż my.

– Ach, chciałbym, żeby Frodo już się wreszcie zdobył na odwagę i wrócił do nas, niechby raz klamka zapadła – powiedział Pippin. – Najgorsze jest takie oczekiwanie. Chyba wyznaczony czas namysłu już minął?

– Tak – rzekł Aragorn. – Godzina dawno upłynęła. Południe się zbliża. Trzeba Froda wołać z powrotem.

W tej samej chwili wrócił Boromir. Wychynął spomiędzy drzew i nic nie mówiąc, zbliżał się do przyjaciół. Twarz miał posępną i smutną. Przystanął, jakby licząc zebranych, a potem siadł opodal, wbijając wzrok w ziemię.

– Gdzież to byłeś, Boromirze? – spytał Aragorn. – Czy nie widziałeś Froda?

Boromir zawahał się na sekundę.

– I tak, i nie – odparł z namysłem. – Tak, bo go odnalazłem na zboczu góry i rozmawiałem z nim. Nalegałem, żeby poszedł do Minas Tirith,

zamiast iść na wschód. Wpadłem w złość i Frodo mnie opuścił. Zniknął. Nic podobnego w życiu nie widziałem, chociaż słyszałem legendy o takich sztukach. Z pewnością włożył Pierścień na palec. Nie zdołałem go już później odszukać. Myślałem, że wrócił do was.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? – spytał Aragorn, wpatrując się w twarz Boromira przenikliwym i wcale nie pobłażliwym spojrzeniem.

– Wszystko – odparł Boromir. – Nic więcej teraz nie powiem.

– Coś złego się dzieje! – krzyknął, zrywając się, Sam. – Nie wiem, co ten człowiek nabroił. Dlaczego pan Frodo użył Pierścienia? Nie powinien tego robić, a jeżeli włożył Pierścień, mogło się zdarzyć nie wiadomo co.

– Ależ Frodo na pewno nie zatrzymał Pierścienia długo na ręku – rzekł Merry. – Z pewnością zdjął go, skoro tylko wymknął się niepożądanemu gościowi. Tak postępował zwykle Bilbo.

– Dokąd poszedł? Gdzie jest? – krzyknął Pippin. – Wieki minęły, odkąd nas opuścił.

– Jak dawno widziałeś ostatni raz Froda, Boromirze? – spytał Aragorn.

– Około pół godziny, może nawet z godzinę temu – odparł Boromir. – Jakiś czas potem błąkałem się po stokach. Nie wiem! Nie wiem! – I kryjąc twarz w dłoniach, skulił się, jakby przytłoczony zgryzotą.

– Godzinę temu zniknął! – wrzasnął Sam. – Trzeba go szukać co żywo! Chodźcie!

– Czekajcie! – zawołał Aragorn. – Podzielimy się na pary i zorganizujemy… Stój! Chwileczkę!

Daremne słowa! Nikt go nie słuchał. Sam pędził pierwszy, Merry i Pippin za nim i już zniknęli wśród przybrzeżnych drzew, krzycząc: „Frodo! Frodo!” wysokimi, donośnymi hobbickimi głosami. Legolas i Gimli pobiegli także, jakby nagle panika czy może obłęd ogarnęły drużynę.

– Rozpierzchniemy się i zagubimy! – jęknął Aragorn. – Boromirze! Nie wiem, jaką rolę odegrałeś w tej złej przygodzie, ale w każdym razie pomóż mi teraz. Goń tych dwóch młodych hobbitów i przynajmniej ich strzeż, jeśli nie zdołasz odnaleźć Froda. Gdybyś znalazł jego lub bodaj jakiś ślad po nim, wracaj tutaj. Będę wkrótce znów na tym miejscu.

Aragorn wielkimi krokami puścił się w pościg za Samem. Dogonił go na łączce wśród górskich jesionów, gdy hobbit zasapany wspinał się pod górę, wciąż krzycząc: „Frodo!”.

– Pójdziemy razem, Samie – rzekł Aragorn. – Żaden z nas nie powinien teraz błąkać się samotnie. Coś złego wisi w powietrzu. Czuję to. Wejdę na szczyt, na strażnicę Amon Hen, rozejrzę się, co stamtąd widać. Słuchaj mnie! Moje serce dobrze przeczuło, że Frodo tam właśnie poszedł. Idź za mną i miej oczy otwarte!

Pospieszył ścieżką pod górę. Sam wyciągał nogi, jak umiał, lecz nie mógł dotrzymać kroku Obieżyświatowi, toteż wkrótce został w tyle. Nie trwało długo, a już Aragorn zniknął mu z oczu. Sam przystanął, chwytając oddech. Nagle palnął się dłonią w czoło.

– Zastanów się, Samie Gamgee! – powiedział głośno. – Skoro nogi masz za krótkie, idź po rozum do głowy. Pomyśl chwilę. Boromir nie łże, to do niego niepodobne. Ale nie powiedział nam całej prawdy. Coś musiało panu Frodowi napędzić porządnego stracha. Zebrał się nagle na odwagę. Postanowił w końcu, że pójdzie dalej. Dokąd? Na wschód. Jak to, bez Sama? A tak, bez nikogo, nawet bez wiernego Sama. To krzywda, okrutna krzywda!

Przetarł pięścią oczy, które mu zaszły łzami.

– Trzymaj się, Samie Gamgee! – rzekł. – Zbierz myśli do kupy. Nie mógł przecież pofrunąć przez rzekę ani przeskoczyć wodogrzmotów. Nie miał z sobą nic. Ani chybi, wrócił do łodzi! Do łodzi! Do łodzi, Samie, migiem!

Sam zawrócił i pędem puścił się ścieżką w dół. Upadł, rozciął sobie kolano. Poderwał się i biegł dalej. Dopadł skraju łąki Parth Galen nad brzegiem, gdzie stały wyciągnięte z rzeki łodzie. Nie było tam żywej duszy. Z lasu dobiegały niewyraźne okrzyki, lecz Sam nie zwracał na nie uwagi. Stał, wytrzeszczając oczy, osłupiały, zdumiony. Jedna z łodzi, puściuteńka, zsuwała się ku wodzie jakby o własnych siłach. Sam wrzasnął i dał susa przez trawę. Łódź już kołysała się na rzece.

– Lecę, panie Frodo! Lecę! – zawołał Sam, odbijając się od brzegu i usiłując chwycić się za burtę odpływającej łodzi. Chybił o cal, z krzykiem plusnął twarzą naprzód w bystrą, głęboką wodę.

Zabulgotało, hobbit poszedł na dno, a rzeka zamknęła się nad jego kędzierzawą głową.

Z pustej łodzi rozległ się okrzyk rozpaczy. Wyciągnęło się wiosło, łódź stanęła w miejscu. W ostatniej chwili Frodo zdążył ucapić Sama za włosy, gdy wierzgając i prychając, topielec wypłynął na powierzchnię. Z okrągłych piwnych oczu patrzył strach.

– Właź do łodzi, chłopcze – powiedział Frodo. – Chwyć się mojej ręki.

– Ratunku, panie Frodo! – jęknął Sam. – Utopiłem się. Nie widzę pańskiej ręki.

– Tutaj, tutaj. Nie szczyp mnie, bracie! Nie bój się, ja cię nie puszczę. Ubijaj wodę stopami i nie szamocz się tak, bo wywrócisz łódkę. No, tak; trzymaj się burty i pozwól mi wiosłować.

Kilku pociągnięciami wioseł Frodo doprowadził łódź z powrotem do brzegu; Sam mógł wreszcie wylądować, zmoknięty jak szczur wodny. Frodo zdjął Pierścień i wyskoczył na trawę.

– Z wszystkich plag świata najgorszą jesteś ty, Samie Gamgee! – powiedział.

– Och, panie Frodo, to krzywda! – odparł, trzęsąc się, Sam. – Krzywda, że pan chciał odejść beze mnie i bez nikogo! Gdybym się nie domyślił prawdy, co by z panem teraz było?

– Wędrowałbym sobie spokojnie dalej.

– Spokojnie! – zawołał Sam. – Samiuteńki, bez mojej pomocy! Nie zniósłbym tego, nie przeżyłbym!

– Nie przeżyjesz, jeśli ze mną pójdziesz, Samie – rzekł Frodo – a tego ja znów znieść nie mogę.

– Mniej pewna śmierć z panem niż bez pana – odparł Sam.

– Ależ ja idę do Mordoru!

– Wiem to dobrze, proszę pana. Nie może być inaczej. A ja idę z panem.

– Słuchaj, Samie – powiedział Frodo. – Nie przeszkadzaj mi! Lada chwila wrócą tamci. Jeśli mnie tutaj przyłapią, będę musiał się spierać i tłumaczyć, a wtedy pewnie zabraknie mi odwagi i sposobności, żeby ruszyć w drogę. Muszę odejść natychmiast. Nie ma wyboru.

– Racja – odparł Sam – ale nie puszczę pana samego. Albo obaj pójdziemy, albo obaj zostaniemy. Dziury we wszystkich łodziach powybijam, a pana samiuteńkiego nie puszczę.

Frodo wreszcie się roześmiał. Zrobiło mu się nagle ciepło i radośnie na sercu.

– Oszczędź chociaż jedną – powiedział. – Potrzebna nam będzie. Ale nie możesz przecież iść bez sprzętu, zapasów i rzeczy.

– Niech pan chwileczkę poczeka! Zaraz przytaszczę swoje manatki! – krzyknął z zapałem Sam. – Wszystko mam spakowane, bo myślałem, że dzisiaj pewnie stąd ruszymy.

Pomknął do obozowiska i ze stosu, który Frodo ułożył, wyładowując z łodzi bagaż towarzyszy, wyciągnął swój worek, złapał dodatkowy koc i kilka paczek żywności na zapas, po czym pędem wrócił do swego pana.

– A więc cały mój plan spalił na panewce! – rzekł Frodo. – Nie sposób uciec przed tobą! Ale rad jestem, Samie. Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo jestem rad! Pójdziesz ze mną. Widzę teraz, że było nam sądzone iść razem. Ruszamy we dwóch, a reszta Drużyny oby trafiła na bezpieczną drogę! Aragorn się nimi zaopiekuje. Nie mam nadziei, żebyśmy się jeszcze w życiu zobaczyli.

– Kto wie, panie Frodo, kto wie! – powiedział Sam.

Tak Frodo i Sam we dwóch rozpoczęli ostatni etap wyprawy. Frodo wiosłował, łódź oddalała się od brzegu, rzeka ją niosła szybko w dół swoim zachodnim ramieniem pod groźnym urwiskiem Tol Brandir. Huk wodogrzmotów zbliżał się z każdą chwilą. Nawet z pomocą Sama, który robił, co mógł, ledwie udało się przeprowadzić łódź z południowego skraju wyspy w poprzek nurtu i skierować ją na wschód, ku drugiemu brzegowi rzeki.

Wreszcie stanęli znów na stałym gruncie, pod południowym stokiem Amon Lhaw. Znaleźli miejsce dogodne do lądowania i wciągnąwszy łódź wysoko na brzeg, ukryli ją za ogromnym głazem. Zarzucili worki na plecy i ruszyli, poszukując ścieżki, która by ich zawiodła przez szare wzgórza Emyn Muil dalej, do Krainy Cienia.

Na tym kończy się pierwsza część historii Wojny o Pierścień. Część druga nosi tytuł *Dwie wieże*, ponieważ ośrodkiem opowiedzianych w niej

zdarzeń jest Orthank – warownia Sarumana – i Minas Morgul – forteca strzegąca tajnego przejścia do Mordoru. Czytelnik dowie się z niej o przygodach wszystkich członków rozbitej już Drużyny i o niebezpieczeństwach, z którymi się zmagali, póki nie nadciągnęły Wielkie Ciemności.

Trzecia część opowie o ostatniej walce z Cieniem i o zakończeniu misji Powiernika Pierścienia. Tytuł jej brzmi: *Powrót króla*.

Część druga:
DWIE WIEŻE

SYNOPSIS

Oto druga część *Władcy Pierścieni*.

Część pierwsza – zatytułowana *Drużyna Pierścienia* – opowiada, jak Gandalf Szary odkrył, że Pierścień znajdujący się w posiadaniu hobbita Froda jest tym Jedynym, który rządzi wszystkimi Pierścieniami Władzy; jak Frodo i jego przyjaciele uciekli z rodzinnego cichego Shire'u, ścigani przez straszliwych Czarnych Jeźdźców Mordoru, aż w końcu, dzięki pomocy Aragorna, Strażnika z Eriadoru, przezwyciężyli śmiertelne niebezpieczeństwo i dotarli do domu Elronda w dolinie Rivendell.

W Rivendell odbyła się wielka narada, na której postanowiono, że trzeba zniszczyć Pierścień, Froda zaś mianowano Powiernikiem Pierścienia. Wybrano też wówczas ośmiu towarzyszy, którzy mieli Frodowi pomóc w jego misji, miał bowiem podjąć próbę przedarcia się do Mordoru w głąb nieprzyjacielskiego kraju i odnaleźć Górę Przeznaczenia, ponieważ tylko tam można było zniszczyć Pierścień. Do drużyny należał Aragorn i Boromir, syn władcy Gondoru – dwaj przedstawiciele ludzi; Legolas, syn króla leśnych elfów z Mrocznej Puszczy; Gimli, syn Glóina spod Samotnej Góry – krasnolud; Frodo ze swym sługą Samem oraz dwoma młodymi krewniakami Peregrinem i Meriadokiem – hobbici, wreszcie Gandalf Szary – Czarodziej.

Drużyna wyruszyła tajemnie z Rivendell, dotarła stamtąd daleko na północ, musiała jednak zawrócić z wysokiej przełęczy Caradhrasu, niemożliwej zimą do przebycia; Gandalf, szukając drogi pod górami, poprowadził ośmiu przyjaciół przez ukrytą w skale bramę do olbrzymich kopalń Morii, lecz w walce z potworem podziemi runął w czarną otchłań. Przewodnictwo objął wówczas Aragorn, który okazał się potomkiem dawnych królów Zachodu, i wywiódłszy drużynę przez Wschodnią Bramę Morii, skierował ją do krainy elfów Lórien, a potem w łodziach z biegiem Wielkiej Rzeki Anduiny aż do wodogrzmotów Rauros. Wędrowcy już wtedy spostrzegli, że są śledzeni przez szpiegów Nieprzyjaciela i że tropi ich Gollum – stwór, który ongi posiadał Pierścień i nie przestał go pożądać.

Drużyna nie mogła dłużej odwlekać decyzji, czy iść na wschód, do Mordoru, czy podążyć wraz z Boromirem na odsiecz stolicy Gondoru

Minas Tirith, zagrożonej wojną, czy też rozdzielić się na dwie grupy. Kiedy stało się jasne, że Powiernik Pierścienia nie odstąpi od swego beznadziejnego przedsięwzięcia i pójdzie dalej, aż do nieprzyjacielskiego kraju, Boromir spróbował wydrzeć Frodowi Pierścień przemocą. Pierwsza część kończy się właśnie tym upadkiem Boromira, skuszonego przez zły czar Pierścienia, ucieczką i zniknięciem Froda oraz Sama, rozbiciem Drużyny, napadniętej znienacka przez orków, wśród których prócz żołnierzy Czarnego Władcy Mordoru byli również podwładni zdrajcy Sarumana z Isengardu. Zdawać by się mogło, że sprawa Powiernika Pierścienia jest już ostatecznie przegrana.

Z drugiej części, pod tytułem *Dwie wieże*, dowiemy się o losach poszczególnych członków drużyny od chwili jej rozproszenia aż do nadejścia Wielkich Ciemności i wybuchu Wojny o Pierścień – o której opowie część trzecia i ostatnia.

Księga trzecia

ROZDZIAŁ 1
POŻEGNANIE BOROMIRA

Aragorn spiesznie wspinał się na wzgórze. Od czasu do czasu schylał się, badając grunt. Hobbici mają lekki chód i niełatwo nawet Strażnikowi odszukać ich trop, lecz nieopodal szczytu potok przecinał ścieżkę i na wilgotnej ziemi Aragorn wreszcie wypatrzył to, czego szukał.

„A więc dobrze odczytałem ślady – rzekł do siebie. – Frodo wspiął się na szczyt wzgórza. Ciekawe, co stamtąd zobaczył? Wrócił jednak tą samą drogą i zszedł na dół”.

Aragorn zawahał się: miał ochotę także dojść na szczyt, spodziewając się, że dostrzeże z góry coś, co mu ułatwi trudny wybór dalszej drogi, ale czas naglił. Decydując się błyskawicznie, skoczył naprzód, wbiegł na szczyt po ogromnych kamiennych płytach i schodami na strażnicę. Siadł w niej i z wysoka spojrzał na świat. Lecz słońce zdawało się przyćmione, ziemia daleka i osnuta mgłą. Powiódł wzrokiem wkoło – od północy z powrotem do północy – nie zobaczył jednak nic prócz odległych gór i gdzieś w dali ogromnego ptaka, jak gdyby orła, z wolna zataczającego w powietrzu szerokie kręgi i zniżającego się ku ziemi.

Kiedy tak patrzył, czujny jego słuch złowił jakiś gwar dochodzący z lasów położonych w dole, na zachodnim brzegu rzeki. Aragorn sprężył się cały: dosłyszał krzyki i ze zgrozą rozróżnił między nimi ochrypłe głosy orków. Nagle głębokim tonem zagrał róg, a jego odbite od gór wołanie rozniosło się echem po zapadlinach tak potężnie, że zagłuszyło grzmot wodospadu.

– Róg Boromira! – krzyknął Aragorn. – Wzywa na pomoc! – Zeskoczył ze strażnicy i pędem puścił się ścieżką w dół. – Biada! Zły los prześladuje mnie dzisiaj, cokolwiek podejmuję – zawodzi. Gdzie jest Sam?

Im niżej zbiegał, tym wyraźniej słyszał wrzawę, lecz głos rogu z każdą chwilą słabł i zdawał się coraz bardziej rozpaczliwy. Naraz wrzask orków buchnął przeraźliwie i dziko, a róg umilkł. Aragorn był już na ostatnim tarasie zbocza, nim jednak znalazł się u stóp wzgórza, wszystko przycichło, a gdy Strażnik, skręciwszy w lewo, pędził w stronę, skąd dobiegały głosy – zgiełk już się cofał i oddalał, aż w końcu Aragorn nic już nie mógł

dosłyszeć. Dobył miecza i z okrzykiem: „Elendil! Elendil!” pędem pomknął przez las.

O jakąś milę od Parth Galen, na polance nieopodal jeziora znalazł Boromira. Rycerz siedział oparty plecami o pień olbrzymiego drzewa, jakby odpoczywając. Lecz Aragorn dostrzegł kilka czarnopiórych strzał tkwiących w jego piersi; Boromir nie wypuścił z ręki miecza, ostrze było jednak strzaskane tuż pod rękojeścią, a róg, pęknięty na dwoje, leżał obok na ziemi. Dokoła i u stóp rycerza piętrzyły się trupy orków.

Aragorn przykląkł. Boromir odemknął oczy. Zmagał się z sobą chwilę, nim w końcu zdołał szepnąć:

– Próbowałem odebrać Frodowi Pierścień. Żałuję… Spłaciłem dług. – Powiódł wzrokiem po trupach nieprzyjaciół: padło ich co najmniej dwudziestu z jego ręki. – Zabrali ich… niziołków. Orkowie porwali. Myślę, że jednak żyją. Związali ich… – Umilkł i zmęczone powieki opadły mu na oczy. Przemówił jednak znowu: – Żegnaj, Aragornie. Idź do Minas Tirith, ocal mój kraj. Ja przegrałem…

– Nie! – rzekł Aragorn, ujmując go za rękę i całując w czoło. – Zwyciężyłeś, Boromirze. Mało kto odniósł równie wielkie zwycięstwo. Bądź spokojny. Minas Tirith nie zginie.

Boromir uśmiechnął się słabo.

– Którędy tamci poszli? Czy Frodo był z nimi? – spytał Aragorn. Lecz Boromir nie powiedział już nic więcej.

– Biada! – zawołał Aragorn. – Tak poległ spadkobierca Denethora, władającego Wieżą Czat. Jakże gorzki koniec! Nasza drużyna rozbita. To ja przegrałem. Zawiodłem ufność, którą we mnie pokładał Gandalf. Cóż poczne teraz? Boromir zobowiązał mnie, żebym poszedł do Minas Tirith, a moje serce tego samego pragnie. Ale gdzie jest Pierścień, gdzie jego Powiernik? Jakże mam go odnaleźć, jak ocalić naszą sprawę od klęski?

Klęczał czas jakiś i pochylony płakał, wciąż jeszcze ściskając rękę Boromira. Tak go zastali Legolas i Gimli. Zeszli cichcem z zachodnich stoków wzgórza, czając się wśród drzew jak na łowach. Gimli trzymał w pogotowiu topór, Legolas – długi nóż, bo strzał już zabrakło w kołczanie. Kiedy wychynęli na polanę, zatrzymali się zdumieni; stali chwilę, skłaniając głowy w bólu, od razu bowiem zrozumieli, co się tutaj rozegrało.

– Niestety! – powiedział Legolas, zbliżając się do Aragorna. – Ścigaliśmy po lesie orków i niejednego ubiliśmy, lecz widzę, że tu bylibyśmy potrzebniejsi. Zawróciliśmy, kiedy nas doszedł głos rogu, za późno jednak! Obawiam się, że jesteś ranny śmiertelnie.

– Boromir poległ – rzekł Aragorn. – Ja jestem nietknięty, bo mnie tutaj nie było przy nim. Padł w obronie hobbitów, kiedy ja byłem daleko, na szczycie wzgórza.

– W obronie hobbitów?! – krzyknął Gimli. – Gdzież tedy są? Gdzie Frodo?

– Nie wiem – odparł ze znużeniem Aragorn. – Boromir przed śmiercią powiedział mi, że ich orkowie pojmali. Przypuszczał, że są jeszcze żywi. Wysłałem go za Meriadokiem i Pippinem. Nie zapytałem zrazu, czy Frodo i Sam byli tutaj również, za późno o tym pomyślałem. Wszystko, cokolwiek dzisiaj podejmowałem, obracało się na złe. Cóż teraz zrobimy?

– Przede wszystkim przystoi nam pogrzebać towarzysza – rzekł Legolas. – Nie godzi się zostawiać go jak padlinę między ścierwem orków.

– Musimy się jednak pospieszyć – zauważył Gimli. – Boromir nie chciałby nas zatrzymać. Trzeba ścigać orków, jeżeli została nadzieja, że któryś z naszych druhów żyje, chociaż w niewoli.

– Ale nie wiemy, czy Powiernik Pierścienia jest z nimi, czy nie – odezwał się Aragorn. – Mamy więc go opuścić? Czy raczej jego najpierw szukać? Ciężki to wybór.

– Zacznijmy od pierwszego obowiązku – powiedział Legolas. – Nie ma czasu ani narzędzi, by pogrzebać przyjaciela jak należy i usypać mu mogiłę. Moglibyśmy jednak zbudować kamienny kurhan.

– Długa i ciężka praca! Kamienie trzeba by nosić aż znad rzeki – stwierdził Gimli.

– Złóżmy go więc w łodzi wraz z jego orężem i bronią pobitych przez niego wrogów – rzekł Aragorn. – Zepchniemy łódź w wodogrzmoty Rauros, powierzymy Boromira Anduinie. Rzeka Gondoru ustrzeże przynajmniej jego kości od sponiewierania przez nikczemne stwory.

Spiesznie przeszukali trupy orków, zgarniając szable, połupane hełmy i tarcze na stos.

– Spójrzcie! – zawołał Aragorn. – Oto mamy znamienne dowody! – Ze stosu morderczych narzędzi wyciągnął dwa noże, o klingach wyciętych w kształt liścia, zdobionych złotymi i czerwonymi wzorami; szukał jeszcze chwilę, aż dobrał do nich pochwy, czarne, wysadzane drobnymi szkarłatnymi kamieniami. – Nie jest to broń orków – powiedział. – Musieli ją nosić hobbici. Z pewnością orkowie ograbili jeńców, lecz nie ośmielili się zatrzymać tych sztyletów, bo się poznali, że to robota Númenorejczyków, a na ostrzach wyryte są zaklęcia zgubne dla Mordoru. A więc nasi przyjaciele, jeżeli nawet żyją, są bezbronni. Wezmę tę broń, ufając przeciw nadziei, że będę mógł ją kiedyś zwrócić prawym właścicielom.

– A ja – rzekł Legolas – pozbieram jak najwięcej strzał, bo kołczan mam pusty.

Znalazł w stosie oręża i dokoła na ziemi sporo strzał nieuszkodzonych, o drzewcu dłuższym, niż miewają strzały, którymi zazwyczaj posługują się orkowie. Przyjrzał im się uważnie.

Aragorn tymczasem, patrząc na pobitych nieprzyjaciół, rzekł:

– Nie wszyscy z tych, co tutaj padli, pochodzą z Mordoru. Znam na tyle orków i rozmaite ich szczepy, by odróżnić przybyszy z Północy i z Gór Mglistych. Ale widzę prócz tego innych, nieznanych. Rynsztunek mają też zgoła niepodobny do używanego przez orków.

Leżeli rzeczywiście wśród zabitych czterej goblini większego niż przeciętni orkowie wzrostu, smagłej cery, kosoocy, o tęgich łydach i grubych łapach. Uzbrojeni byli w krótkie, szerokie miecze, nie zaś w krzywe szable, których orkowie powszechnie używają, łuki zaś mieli z cisowego drzewa, długością i kształtem zbliżone do ludzkich. Na tarczach widniało niezwykłe godło: drobna, biała dłoń na czarnym polu; żelazne hełmy zdobiła nad czołem runa S, wykuta z jakiegoś białego metalu.

– Nigdy jeszcze takich odznak nie spotkałem – powiedział Aragorn. – Co też one mogą znaczyć?

– S to inicjał Saurona – rzekł Gimli. – Nietrudno zgadnąć.

– Nie! – odparł Legolas. – Sauron nie używa runów elfów.

– Nie używa też swego prawdziwego imienia i nie pozwala go wypisywać ani wymawiać – potwierdził Aragorn. – Biel zresztą nie jest jego barwą. Orkowie na służbie w Barad-dûr mają za godło Czerwone Oko.

– Chwilę milczał w zadumie, potem rzekł wreszcie: – Zgaduję, że to S jest literą Sarumana. Coś złego knuje się w Isengardzie, zachodnie kraje nie są już bezpieczne. Sprawdziły się obawy Gandalfa: zdrajca Saruman jakimś sposobem dowiedział się o naszej wyprawie. Zapewne wie także o zgubie Gandalfa. Może ścigający nas wrogowie z Morii wymknęli się strażom elfów z Lórien albo też ominęli tę krainę i dotarli do Isengardu inną drogą. Orkowie umieją szybko maszerować. Zresztą Saruman ma rozmaite sposoby zdobywania wiadomości. Czy pamiętacie tamte ptaki?

– Teraz nie ma czasu na rozwiązywanie zagadek – powiedział Gimli. – Zabierzmy stąd Boromira.

– Potem jednak musimy rozwiązać zagadkę, jeżeli mamy wybrać właściwą dalszą drogę – odparł Aragorn.

– Kto wie, może właściwej drogi w ogóle dla nas nie ma – rzekł Gimli.

Krasnolud swoim toporkiem naciął gałęzi. Powiązali je cięciwami i na tych prymitywnych noszach rozpostarli własne płaszcze. Tak przenieśli nad rzekę zwłoki przyjaciela wraz ze zdobycznym orężem zabranym z pola jego ostatniej bitwy. Droga była niedaleka, okazała się jednak uciążliwa: Boromir był przecież rosłym, potężnym rycerzem.

Aragorn został nad wodą, strzegąc zwłok, podczas gdy Legolas i Gimli pobiegli brzegiem w górę rzeki. Do Parth Galen była mila z okładem, sporo więc czasu trwało, nim zjawili się z powrotem, spływając w dwóch łodziach, ostrożnie trzymając się przy samym brzegu.

– Przynosimy dziwną nowinę – rzekł Legolas. – Zastaliśmy tylko dwie łodzie na łączce. Po trzeciej ani znaku.

– Czyżby orkowie tam doszli? – spytał Aragorn.

– Nie zauważyliśmy żadnych śladów – odparł Gimli. – Orkowie zresztą zabraliby albo zniszczyli wszystkie łodzie, nie szczędząc też bagaży.

– Zbadam grunt, gdy tam wrócimy – rzekł Aragorn.

Złożyli Boromira na dnie łodzi, która go miała ponieść w dal. Pod głowę podścielili szary kaptur i płaszcz elfów. Długie, czarne włosy sczesali rycerzowi na ramiona. Złoty pas – dar z Lórien – błyszczał jasno. Hełm umieścili u boku, pęknięty róg, a także rękojeść i szczątki strzaskanego miecza na piersi, oręż zaś zdobyty na wrogu – u stóp zmarłego. Związali dwie łodzie – jedną za drugą – siedli do pierwszej i wypłynęli na rzekę.

Najpierw wiosłowali w milczeniu wzdłuż brzegu, potem trafili w rwący ostro nurt i wkrótce minęli zieloną łąkę Parth Galen. Strome zbocza Tol Brandir stały w blasku: słońce odbyło już pół drogi od zenitu ku zachodowi. Płynęli na południe, więc wprost przed nimi wzbijał się i migotał w złocistej mgle obłok piany wodogrzmotów Rauros. Pęd i huk wody wstrząsał powietrzem.

Ze smutkiem odczepili żałobną łódź: Boromir leżał w niej cichy, spokojny, ukołysany do snu na łonie żywej wody. Prąd porwał go, podczas gdy przyjaciele wiosłami wstrzymali własną łódkę. Przepłynął obok nich i z wolna oddalał się, malał, aż wreszcie widzieli tylko czarny punkt wśród złotego blasku; nagle znikł im z oczu. Wodospad huczał wciąż jednostajnie. Rzeka zabrała Boromira, syna Denethora, i nikt już odtąd nie ujrzał go w Minas Tirith stojącego na Białej Wieży, na którą zwykł był wychodzić co rano. Lecz przez długie lata później opowiadano w Gondorze o łodzi elfów, co przepłynęła wodogrzmoty i spienione pod nimi jezioro, niosąc zwłoki rycerza przez Osgiliath i dalej rozgałęzionym ujściem Anduiny ku Wielkiemu Morzu, pod niebo iskrzące się nocą od gwiazd.

Trzej przyjaciele milczeli długą chwilę, goniąc wzrokiem łódź Boromira. Wreszcie odezwał się Aragorn.

– Będą go wypatrywali z Białej Wieży – powiedział – ale nie wróci już ani od gór, ani od morza.

I z wolna zaczął śpiewać:

W krainie Rohan pośród pól, wśród traw zielonoburych
Zachodni z szumem wieje wiatr i w krąg owiewa mury.
„O, jakąż, wietrze, niesiesz wieść, gdy dzień dobiega końca?
Czyś Boromira widział cień w poświacie lśnień miesiąca?”
„Widziałem – siedem mijał rzek, dalekie mijał bory,
Aż wszedł w krainę Pustych Ziem, aż krokiem dotarł skorym
Tam, kędy północ rzuca cień… Nie dojrzą go już oczy –
A może słyszał jego głos daleki wiatr północy”.
„O, Boromirze, z blanków wież patrzyłem w mroczne dale –
Lecz nie wróciłeś z Pustych Ziem, gdzie ludzi nie ma wcale”.

Z kolei podjął pieśń Legolas:

Od morza dmie południa wiatr, od wydm i skalnej plaży,
Kwilenie szarych niesie mew i szumem swym się skarży.
„O, jakąż, wietrze, niesiesz wieść, o, ulżyj mej rozterce:
Czyś Boromira widział – mów, bo żal mi ściska serce”.
„Nie pytaj mnie o jego los – odpowiem ci najprościej:
Pod czarnym niebiem w piasku plaż tak wiele leży kości,
Tyle ich płynie nurtem rzek i ginie w morskiej fali!
Niech ci północny powie wiatr, jaką się wieścią chwali”.
„O, Boromirze, tyle dróg ku południowi goni.
A ty nie wracasz z krzykiem mew od szarej morskiej toni!”

I znowu zaśpiewał Aragorn:

Od Wrót Królewskich wieje wiatr i mija wodospady –
Z północy słychać jego róg – czy przybył tu na zwiady?
„O, jakąż mi przynosisz wieść, o, powiedz, wietrze, szczerze:
Czyś Boromira widział ślad na leśnej gdzie kwaterze?”
„Gdzie Amon Hen – słyszałem krzyk, tam walczył śmiałek młody;
Pęknięta tarcza oraz miecz u brzegów wielkiej wody.
Ach, dumną głowę, piękną twarz w młodzieńczych dni urodzie
Raurosu już unosi nurt po złoto lśniącej wodzie”.
„O, Boromirze, odtąd z wież spoglądać będą oczy
Ku wodospadom grzmiących wód Raurosu na północy”[51].

Na tym skończyli. Zawrócili i popłynęli, jak zdołali najspieszniej, pod prąd z powrotem do Parth Galen.

– Zostawiliście Wschodni Wiatr dla mnie – rzekł Gimli – lecz ja nic o nim nie powiem.

– Tak być powinno – odparł Aragorn. – Ludzie z Minas Tirith cierpią wiatr od wschodu, ale nie proszą go o wieści. Teraz jednak, gdy Boromir odszedł w swoją drogę, musimy pospieszyć się z wyborem własnej. – Rozejrzał się szybko, lecz uważnie po zielonej łące, schylając się, żeby zbadać grunt. – Nie było tutaj orków – rzekł. – Nic więcej nie mogę na pewno stwierdzić. Ślady wszystkich członków drużyny krzyżują się w różne strony. Nie potrafię orzec, czy któryś z hobbitów wrócił do obozu, odkąd rozbiegliśmy się na poszukiwanie Froda. – Zszedł na sam brzeg opodal miejsca, gdzie struga ściekała ze źródła do rzeki. – Tu widzę wyraźny trop – powiedział. – Hobbit zbiegł tędy do wody i wrócił na łąkę; nie wiem jednak, jak dawno to mogło być.

– Cóż zatem myślisz o tej zagadce? – spytał Gimli.

Aragorn zrazu nie odpowiedział, lecz zawrócił do obozowiska i przepatrzył bagaże.

– Dwóch worków brak – rzekł. – Na pewno nie ma worka Sama: był większy od innych i ciężki. Mamy więc odpowiedź: Frodo odpłynął łódką, a z nim razem jego wierny giermek. Frodo widocznie wrócił tu, gdy żadnego z nas nie było w obozie. Spotkałem Sama na stoku wzgórza i poleciłem mu, żeby szedł za mną, ale jest oczywiste, że tego nie zrobił. Odgadł zamiary swojego pana i zdążył przybiec nad rzekę, nim Frodo odpłynął. Frodo zobaczył, że nie tak łatwo pozbyć się Sama!

– Ale dlaczego nas się chciał pozbyć, i to bez słowa? – spytał Gimli. – Postąpił bardzo dziwnie.

– I bardzo dzielnie – rzekł Aragorn. – Zdaje się, że Sam miał rację. Frodo nie chciał żadnego z przyjaciół pociągnąć za sobą w śmierć, do Mordoru. Wiedział jednak, że iść tam musi. Gdy się z nami rozstał, przeżył coś, co przemogło w nim strach i wszelkie wahania.

– Może spotkał grasujących orków i uciekł przed nimi? – powiedział Legolas.

– To pewne, że uciekł – odparł Aragorn – nie sądzę jednak, by uciekł przed orkami.

Nie zdradził się z tym, co wiedział o prawdziwej przyczynie nagłej decyzji i ucieczki Froda. Długo zachowywał w tajemnicy ostatnie wyznanie Boromira.

– No, w każdym razie coś niecoś się wyjaśniło – rzekł Legolas. – Wiemy, że Froda nie ma już na tym brzegu rzeki: tylko on mógł zabrać łódkę. Sam jest z nim: tylko on mógł zabrać swój worek.

– Mamy zatem do wyboru – powiedział Gimli – albo siąść w ostatnią łódź i ścigać Froda, albo pieszo ścigać orków. Obie drogi niewiele dają nadziei. Straciliśmy już kilka bezcennych godzin.

– Pozwólcie mi się namyślić – rzekł Aragorn. – Obym wybrał trafnie i przełamał niesprzyjający nam dzisiaj los! – Chwilę stał, milcząc w zadumie. – Pójdę za orkami – oznajmił wreszcie. – Zamierzałem prowadzić Froda do Mordoru i wytrwać przy nim do końca; lecz gdybym teraz chciał go szukać na pustkowiach, musiałbym porzucić wziętych do niewoli hobbitów na pastwę tortur i śmierci. Nareszcie serce przemówiło we mnie wyraźnie: los Powiernika Pierścienia już nie jest w moich rękach. Drużyna wypełniła swoje zadanie. Lecz nam, którzyśmy ocaleli, nie wolno opuścić towarzyszy w niedoli, póki nam sił starczy. W drogę! Ruszajmy. Zostawcie tu wszystko prócz rzeczy najniezbędniejszych. Trzeba będzie pospieszać dniem i nocą.

Wciągnęli ostatnią łódź na brzeg i zanieśli ją między drzewa. Złożyli pod nią sprzęt, którego nie mogli udźwignąć i bez którego można się było obejść. Potem ruszyli z Parth Galen. Zmierzch już zapadał, kiedy znaleźli się z powrotem na polanie, gdzie zginął Boromir. Stąd mieli iść dalej tropem orków, łatwym zresztą do wyśledzenia.

– Żadne inne plemię tak nie tratuje ziemi – zauważył Legolas. – Orkowie jak gdyby znajdowali rozkosz w deptaniu i tępieniu żywej roślinności, choćby im nie zagradzała drogi.

– Mimo to maszerują bardzo szybko – rzekł Aragorn – i są niezmordowani. Może też będziemy musieli później szukać ścieżek przez nagie, trudne tereny.

– A więc spieszmy za nimi! – powiedział Gimli. – Krasnoludy także umieją żwawo maszerować i nie są mniej niż orkowie wytrwali. Ale nieprędko ich dogonimy, wyprzedzili nas znacznie.

– Tak – odparł Aragorn – wszyscy musimy zdobyć się na wytrwałość krasnoludów. W drogę! Z nadzieją czy też bez nadziei, pójdziemy tropem nieprzyjaciela. Biada mu, jeżeli okażemy się od niego szybsi! Ten pościg

zasłynie wśród trzech plemion: elfów, krasnoludów i ludzi. W drogę, trzej łowcy!

I rączo jak jeleń skoczył naprzód. Biegli wśród drzew; Aragorn, odkąd wyzbył się rozterki, przodował nieznużenie i pędził jak wiatr. Wkrótce zostawili daleko za sobą las nad jeziorem i wspięli się długim ramieniem zbocza na ciemny, ostro odcinający się od tła nieba grzbiet górski, purpurowy już w blasku zachodu. Zapadł zmrok. Trzy szare cienie wsiąkły w kamienny krajobraz.

ROZDZIAŁ 2
JEŹDŹCY ROHANU

Mrok gęstniał. W dole pośród drzew zalegała mgła, snująca się po bladych brzegach Anduiny, lecz niebo było czyste. Wzeszły gwiazdy. Malejący już księżyc żeglował od zachodu, pod skałami kładły się czarne cienie. Wędrowcy dotarli do podnóży skalistych gór i posuwali się teraz wolniej, bo ślad już nie tak łatwo było wytropić. Góry Emyn Muil ciągnęły się z północy na południe podwójnym spiętrzonym wałem. Zachodnie stoki obu łańcuchów były strome i niedostępne, wschodnie za to opadały łagodniej, pocięte mnóstwem jarów i wąskich żlebów. Całą noc trzej przyjaciele przedzierali się przez ten kamienny kraj, wspinali się na pierwszy, najwyższy grzbiet, a potem w ciemnościach schodzili ku ukrytej za nim głębokiej krętej dolinie.

Tu zatrzymali się o zimnej godzinie przedświtu na krótki popas. Księżyc dawno już zaszedł, niebo iskrzyło się od gwiazd, pierwszy brzask nowego dnia jeszcze się nie pokazał zza czarnych wzgórz. Aragorn znów się wahał: ślady orków prowadziły w dolinę, lecz ginęły tutaj.

– Jak myślisz, w którą stronę stąd skręcili? – spytał Legolas. – Ku północy, najkrótszą drogą do Isengardu lub Fangornu, jeśli tam zdążają? Czy też na południe, ku Rzece Entów?

– Dokądkolwiek zdążają, na pewno nie poszli ku rzece – odparł Aragorn. – Myślę, że starają się przeciąć pola Rohirrimów możliwie najkrótszą drogą, chyba że w Rohanie dzieje się coś niedobrego, a potęga Sarumana bardzo wzrosła. Chodźmy na północ!

Dolina wrzynała się kamiennym korytem między poszarpane wzgórza, a wśród głazów na jej dnie sączył się strumień. Z prawej strony piętrzyło się ponure urwisko, z lewej majaczyło łagodniejsze zbocze, szare już i zatarte w cieniu wieczoru. Uszli co najmniej milę w kierunku północnym. Aragorn przygięty do ziemi badał grunt zapadlisk i parowów u podnóży zachodniego stoku. Legolas wyprzedzał towarzyszy o parę kroków. Nagle elf krzyknął i wszyscy spiesznie podbiegli do niego.

– Patrzcie! – rzekł. – Dogoniliśmy już kilku z tych, których ścigamy.

Wskazał u stóp wzgórza szarzejące kształty, które na pierwszy rzut oka wzięli za głazy, a które były skulonymi trupami orków. Pięciu ich leżało tam martwych, rozsiekanych okrutnie; dwóch miało głowy odrąbane od tułowia. Ziemia wkoło nasiąkła ciemną krwią.

– Oto nowa zagadka – rzekł Gimli. – Żeby ją rozjaśnić, trzeba by dziennego światła, a nie możemy tu czekać do świtu.

– Jakkolwiek odczytamy ten znak, zwiastuje nam on pewną nadzieję – powiedział Legolas. – Wrogowie orków powinni okazać się naszymi przyjaciółmi. Czy te góry są zamieszkane?

– Nie – odparł Aragorn. – Rohirrimowie rzadko tu się zapuszczają, a do Minas Tirith jest stąd daleko. Mogło się zdarzyć, że jacyś ludzie wybrali się w te strony z niewiadomych nam powodów. Ale nie przypuszczam, by tak było.

– Cóż zatem sądzisz? – spytał Gimli.

– Myślę, że nasi nieprzyjaciele przyprowadzili z sobą własnych nieprzyjaciół – odrzekł Aragorn. – Ci tutaj to orkowie z dalekiej północy. Nie ma wśród zabitych ani jednego olbrzymiego orka z niezwykłym godłem białej ręki i runą S. Zgaduję, że wybuchła jakaś kłótnia, rzecz między tymi dzikusami dość pospolita. Może posprzeczali się o wybór drogi?

– A może o jeńców? – powiedział Gimli. – Miejmy nadzieję, że nasi przyjaciele nie ponieśli również śmierci przy tej sposobności.

Aragorn przeszukał teren w szerokim promieniu wokół tego miejsca, lecz nie znalazł żadnych więcej śladów walki. Drużyna ruszyła znów naprzód. Niebo już bladło na wschodzie, gwiazdy przygasły, a znad widnokręgu podnosił się szary brzask. Nieco dalej na północy trafili na parów, w którym kręty, bystry potoczek żłobił kamienistą ścieżkę w głąb doliny. Na jego brzegach zieleniły się kępy zarośli i spłachetki trawy.

– Nareszcie! – rzekł Aragorn. – Tutaj mamy poszukiwany trop. Wiedzie w górę strumienia. Tędy szli orkowie po załatwieniu między sobą krwawych porachunków.

Zawrócili więc i ruszyli nową ścieżką, skacząc z kamienia na kamień tak lekko, jakby zaczynali dzień po dobrze przespanej nocy. Kiedy w końcu

dotarli na grań szarego wzgórza, nagły powiew rozburzył im włosy i załopotał połami płaszczy. Świt dmuchnął im chłodem w twarze.

Obejrzeli się i zobaczyli za sobą na drugim brzegu rzeki odległe szczyty już rozjarzone pierwszym brzaskiem. Wstawał dzień. Czerwony rąbek słońca ukazał się znad ciemnego grzbietu gór. Ale przed oczami wędrowców, na zachodzie, świat wciąż jeszcze leżał cichy, bezkształtny i szary; jednak w miarę jak patrzyli, cienie nocy rozwiewały się stopniowo, ziemia budziła się, odzyskując barwy: zieleń rozlała się po szerokich łąkach Rohanu, białe opary roziskrzyły się nad wodami, a gdzieś daleko po lewej stronie, o trzydzieści albo i więcej staj, Białe Góry zabłysły błękitem i purpurą, wystrzelając w niebo ostrymi szczytami, na których olśniewająca biel wiecznych śniegów zabarwiła się teraz rumieńcem jutrzenki.

– Gondor! Gondor! – zawołał Aragorn. – Obym cię ujrzał znowu w szczęśliwszej godzinie! Dziś jeszcze moja droga nie prowadzi na południe, ku twoim świetlistym strumieniom.

Gondor między górami a morzem. Tu wiewem
Dął kiedyś wiatr zachodni… Tu nad Srebrnym Drzewem
W dawnych królów ogrodach deszcz światła trzepotał.
Mury, wieże, korono, o, tronie ze złota!
Czyż ludzie Drzewo Srebrne ujrzą, o, Gondorze,
I wiatr między górami dąć będzie a morzem?[52]

– Chodźmy już! – rzekł, odrywając wreszcie oczy od południa i zwracając je na zachód i północ, gdzie wzywał go obowiązek.

Grań, na której stali, opadała stromo spod ich nóg. O kilkadziesiąt stóp niżej szeroka, poszarpana półka skalna urywała się ostrą krawędzią nad przepaścistą, prostopadłą ścianą: to był Wschodni Mur Rohanu. Tu kończyły się wzgórza Emyn Muil, a dalej, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się już tylko zielone równiny Rohirrimów.

– Patrzcie! – krzyknął Legolas, wskazując blade niebo ponad ich głowami. – Znowu orzeł. Wzbił się bardzo wysoko. Wygląda mi na to, że odlatuje z tej krainy z powrotem na północ. Mknie jak strzała. Patrzcie!

– Nie, nawet moje oczy go nie dostrzegą, Legolasie – odrzekł Aragorn. – Musi lecieć rzeczywiście na wielkiej wysokości. Ciekawe, z jakim poselstwem tak spieszy, jeśli to ten sam ptak, którego przedtem zauważyłem. Ale spójrzcie! Tu bliżej widzę coś bardziej niepokojącego. Jakiś ruch na równinie.

– Masz słuszność – odparł Legolas. – Potężny oddział w marszu. Nic więcej jednak nie mogę o nim powiedzieć ani rozróżnić, co to za plemię. Dzieli nas od nich wiele staj, na oko wydaje się, że co najmniej dwanaście. W tym płaskim krajobrazie trudno ocenić odległość.

– Myślę, że bądź co bądź nie potrzebujemy już teraz wypatrywać śladów, żeby wiedzieć, dokąd się skierować – rzekł Gimli. – Szukajmy tylko ścieżki w dół na równinę, i to jak najkrótszej.

– Wątpię, czy znajdziesz ścieżkę krótszą od tej, którą wybrali orkowie – powiedział Aragorn.

Teraz już ścigali nieprzyjaciół w pełnym świetle dziennym.

Wszystko wskazywało, że orkowie posuwali się w wielkim pośpiechu, bo drużyna znajdowała co chwila jakieś pogubione lub odrzucone przedmioty: worki po prowiancie, kromki twardego ciemnego chleba, łachman czarnego płaszcza, ciężki podkuty but, zdarty na kamieniach. Trop wiódł na północ skrajem urwiska, aż w końcu zatrzymywał się nad głęboką rysą, wyżłobioną w ścianie skalnej przez potok spływający z głośnym pluskiem w dół. Brzegiem rysy wąska, stroma jak drabina ścieżka prowadziła aż na równinę.

U stóp tej drabiny znaleźli się nagle na łąkach Rohanu. Jak zielone morze falowały one u samych podnóży Emyn Muil. Potok górski ginął w bujnych kępach rzeżuchy i wszelkiego ziela, tylko cichy plusk zdradzał jego drogę w szmaragdowym tunelu; po łagodnej pochyłości spływał ku moczarom doliny Rzeki Entów. Wędrowcy mieli wrażenie, że zima została za nimi, lgnąc do wzgórz. Tu bowiem miękkie powietrze tchnęło ciepłem i delikatnym zapachem i zdawało się, że wiosna jest już blisko, a soki w trawach i liściach zaczynają wzbierać. Legolas odetchnął głęboko, jakby po długiej wędrówce przez jałową pustynię pił chciwie ożywczą wodę.

– Ach, zapach zieleni! – rzekł. – Lepsze to niż długi sen. Biegnijmy teraz!

– Lekkie stopy mogą tutaj biec chyżo – powiedział Aragorn. – Szybciej pewnie niż obciążone żelazem nogi orków. Teraz może uda się nam dopędzić nieprzyjaciół.

Pobiegli gęsiego, mknąc jak gończe psy za świeżym tropem; oczy im rozbłysły nowym zapałem. Szpetny ślad wydeptany przez orków wskazywał niemal wprost na zachód; gdziekolwiek przeszła banda, słodka trawa Rohanu była stratowana i sczerniała. Nagle Aragorn krzyknął i zatrzymał się w miejscu.

– Stójcie! – zawołał. – Na razie nie idźcie za mną.

Szybko skręcił w prawo od głównego szlaku. Dostrzegł bowiem odgałęziający się trop: odciski drobnych, nieobutych stóp. Niestety, o kilka zaledwie kroków dalej trop gubił się wśród innych, znacznie większych, które również odbiegały od szlaku, potem zaś znowu ku niemu powracały i ginęły w stratowanej zieleni. Tam, gdzie ów nowy trop się kończył, Aragorn schylił się i podniósł coś z trawy. Potem wrócił do przyjaciół.

– Tak jest – rzekł. – To niewątpliwie ślady stóp hobbita. Zapewne Pippina, mniejszego od Meriadoka. Spójrzcie!

Na wyciągniętej dłoni pokazał im znaleziony przedmiot, który błyszczał w słońcu. Podobny był do ledwie rozwiniętego brzozowego liścia, a wydał się piękny i niespodziewany na tej bezdrzewnej równinie.

– Klamra od płaszcza elfów! – wykrzyknęli Legolas i Gimli jednocześnie.

– Liście z drzew Lórien nie opadają na próżno – rzekł Aragorn. – Ten nie został zgubiony przypadkiem. Pippin upuścił go umyślnie, żeby zostawić znak dla tych, którzy będą szukali porwanych hobbitów. Myślę, że po to właśnie odłączył się na chwilę od gromady.

– A więc o nim przynajmniej wiemy, że wzięto go żywcem – stwierdził Gimli. – I że nie stracił przytomności umysłu ani władzy w nogach. Bądź co bądź jest to pewna pociecha. Nie ścigamy bandy daremnie.

– Miejmy nadzieję, że nie przypłacił zbyt drogo swej odwagi – rzekł Legolas. – Dalej! Naprzód! Serce mi się ściska na myśl o tych młodych wesołych hobbitach, pędzonych jak cielęta za stadem.

Słońce podniosło się do zenitu, a potem z wolna osunęło się po niebie. Znad odległego morza, od południa, nadciągnęły lekkie obłoki i odpłynęły z łagodnym podmuchem wiatru. Słońce zaszło. Za plecami wędrowców wyrosły cienie i coraz dłuższymi ramionami sięgały na wschód. Oni jednak wytrwale szli naprzód. Od śmierci Boromira minęła doba, lecz orkowie wciąż byli daleko przed nimi. Nie mogli ich nawet wzrokiem dosięgnąć na rozległej, płaskiej równinie.

Kiedy zapadły ciemności, Aragorn wstrzymał pochód. W ciągu całego dnia ledwie dwa razy popasali, i to krótko; od wschodniej ściany gór, na której stali o świcie, dzieliło ich teraz dwanaście staj.

– Pora dokonać trudnego wyboru – rzekł Aragorn. – Czy odpocząć przez noc, czy też iść dalej, póki nam sił starczy?

– Jeżeli my będziemy całą noc odpoczywać, a nieprzyjaciel nie przerwie marszu, wyprzedzi nas znacznie – powiedział Legolas.

– Chyba nawet orkowie nie mogą maszerować bez wytchnienia – powiedział Gimli.

– Orkowie rzadko puszczają się w biały dzień przez otwarte przestrzenie, a jednak tym razem ważyli się na to – odparł Legolas. – Tym bardziej nie spoczną w nocy.

– Ale nocą nie możemy pilnować śladu – rzekł Gimli.

– Jak sięgnę wzrokiem, ślad wiedzie prosto, nie skręca ani w lewo, ani w prawo – stwierdził Legolas.

– Przypuszczam, że zdołałbym was poprowadzić po ciemku, nie zbaczając z właściwego kierunku – rzekł Aragorn. – Jeślibyśmy wszakże zbłądzili lub gdyby tamci zboczyli ze szlaku, stracilibyśmy jutro dużo czasu, nimby się udało odnaleźć znowu trop.

– W dodatku – powiedział Gimli – tylko za dnia możemy dostrzec, czy jakieś pojedyncze ślady nie odłączają się od gromady. Gdyby któryś z jeńców zbiegł z niewoli albo gdyby któregoś uprowadzono w bok, na wschód na przykład, w stronę Wielkiej Rzeki, w stronę Mordoru, moglibyśmy minąć ten ślad, nie domyślając się niczego.

– To prawda – przyznał Aragorn. – Lecz jeśli dobrze odczytałem poprzednie ślady, orkowie z godłem Białej Ręki wzięli nad innymi górę i

cała banda zmierza teraz do Isengardu. Dotychczas wszystko potwierdza moje przypuszczenie.

– A jednak byłoby nieroztropnie polegać na tym – rzekł Gimli. – Pamiętajmy też o możliwości ucieczki jeńców. Czy zauważylibyśmy tamten trop, który nas doprowadził do klamry w trawie, gdybyśmy przechodzili po ciemku?

– Orkowie z pewnością odtąd zdwoili czujność, a jeńcy są już bardzo zmęczeni – powiedział Legolas. – Nie będą próbowali ucieczki, chyba że z naszą pomocą. Jak im pomożemy, nie sposób przewidzieć, w każdym razie trzeba przede wszystkim doścignąć bandę.

– A jednak nawet ja, krasnolud, zaprawiony w wędrówkach i nie najsłabszy w swoim rodzie, nie zdołam przebiec całej drogi do Isengardu bez wypoczynku – rzekł Gimli. – Mnie też serce boli na myśl o losie pojmanych przyjaciół i gdyby to ode mnie tylko zależało, ruszyłbym wcześniej w pogoń; lecz teraz muszę wytchnąć, aby jutro biec tym szybciej. A jeśli mamy odpoczywać, ciemna noc jest po temu najsposobniejszą porą.

– Powiedziałem na początku, że wybór jest trudny – rzekł Aragorn. – Na czym więc zakończymy tę naradę?

– Ty nam przewodzisz – odparł Gimli – i jesteś najbardziej doświadczonym łowcą. Sam więc rozstrzygnij.

– Serce pcha mnie naprzód – powiedział Legolas. – Musimy jednak trzymać się w gromadzie. Zastosuję się do decyzji Aragorna.

– Szukacie rady u złego doradcy – rzekł Aragorn. – Od chwili gdy przepłynęliśmy przez Wrota Argonath, każdy wybór, którego dokonałem, okazał się błędny.

Umilkł i długo patrzył na północ i na zachód, w gęstniejące ciemności.

– Nie będziemy szli nocą – powiedział wreszcie. – Z dwóch niebezpieczeństw groźniejsze wydaje się prześlepienie jakiegoś ważnego tropu czy znaku. Gdyby księżyc lepiej świecił, moglibyśmy skorzystać z jego blasku. Niestety, wschodzi teraz późno, jest w nowiu i blady.

– Dziś na dobitkę zasłonią go chmury – szepnął Gimli. – Szkoda, że Pani z Lórien nie dała nam w podarunku światła, jak Frodowi.

– Temu, kto go otrzymał, dar ten bardziej się przyda – rzekł Aragorn. – W jego ręku los wyprawy. Nam przypadł tylko maleńki udział w wielkim

dziele naszej epoki. Kto wie, czy od początku cały zamiar nie jest skazany na niepowodzenie, a mój wybór, dobry czy zły, niewiele może tu pomóc lub zaszkodzić. W każdym razie – postanowiłem. Teraz więc skorzystajmy z wypoczynku jak się da najlepiej.

Rzucił się na ziemię i usnął natychmiast, bo od nocy spędzonej w cieniu Tol Brandir nie zmrużył oka. Przed świtem jednak ocknął się i wstał. Gimli leżał jeszcze pogrążony w głębokim śnie, ale Legolas czuwał wyprostowany i wpatrzony w ciemność, zamyślony i cichy jak młode drzewo w bezwietrzną noc.

– Są już bardzo, bardzo daleko – powiedział ze smutkiem, zwracając się do Aragorna. – Dobrze przeczuwałem, że nie spoczną na noc. Teraz tylko orzeł zdołałby ich dogonić.

– Mimo to będziemy ich ścigali w miarę naszych sił – odparł Aragorn. Schylił się i dotknął ramienia krasnoluda. – Wstawaj, Gimli. Ruszamy dalej – rzekł. – Ślad stygnie.

– Ciemno jeszcze – powiedział Gimli. – Nawet Legolas i nawet ze szczytu wzgórza nie dostrzegłby ich, póki słońce nie wzejdzie.

– Obawiam się, że za daleko odeszli, abym ich mógł dostrzec ze wzgórza czy z równiny, przy księżycu czy w słońcu – odparł Legolas.

– Kiedy oczy zawodzą, ziemia może coś powie uszom – rzekł Aragorn – bo z pewnością jęczy pod ich nienawistnymi stopami.

Wyciągnął się w trawie, przytknął ucho do ziemi. Leżał bez ruchu tak długo, że Gimli już zaczął podejrzewać, iż Aragorn omdlał albo usnął znowu. Niebo na wschodzie pojaśniało, siwy brzask z wolna rozpraszał mrok. Kiedy wreszcie Aragorn wstał, przyjaciele zobaczyli jego twarz pobladłą i zapadniętą, a w oczach wyczytali troskę.

– Ziemia drży od niewyraźnych, niezrozumiałych odgłosów – rzekł. – Na wiele mil wkoło nie ma żadnego oddziału w marszu. Tupot nóg naszych nieprzyjaciół ledwie słychać z wielkiej dali. Natomiast głośno tętnią kopyta końskie. Wydaje mi się, że słyszałem je wcześniej już, gdy spałem tej nocy na ziemi, i że tętent koni galopujących na zachód mącił moje sny. Teraz jednak oddalają się od nas, pędzą na północ. Chciałbym wiedzieć, co też się dzieje w tamtych krajach.

– Ruszajmy! – rzekł Legolas.

Tak zaczął się trzeci dzień pościgu. Od rana do zmroku, to pod chmurami, to pod żarem słońca, to wyciągniętym krokiem, to biegiem parli naprzód, jakby gorączka trawiąca ich serca silniejsza była od zmęczenia. Mało z sobą rozmawiali. Sunęli przez rozległe pustkowia, a płaszcze elfów wtapiały się w tło szarozielonych pól, tak że nikt prócz bystrookiego elfa nie dostrzegłby ich z oddali nawet w pełnym blasku południa. Często też z głębi serca dziękowali Pani z Lórien za lembasy, bo żywiąc się nimi w biegu, odzyskiwali nowe, niespożyte siły.

Przez cały dzień trop wskazywał prosto na północo-zachód, nie zbaczając ani nie skręcając nigdzie. Wreszcie, kiedy popołudnie chyliło się już ku wieczorowi, wędrowcy znaleźli się na długim bezdrzewnym zboczu; teren przed nimi wznosił się faliście i łagodnie ku majaczącym na widnokręgu kopulastym pagórkom. Ślad orków prowadził też ku nim, skręcając nieco bardziej na północ i znacząc się mniej niż dotychczas wyraźnie, bo grunt był tutaj twardszy, a trawa mniej bujna. Daleko po lewej ręce błyszczała pośród zieleni kręta srebrna nitka Rzeki Entów. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Aragorn dziwił się, że nie spotykają śladów zwierząt ani ludzi. Siedziby Rohirrimów skupiały się co prawda o wiele staj dalej na południe, pod leśnym stropem Białych Gór, ukrytych teraz we mgle i chmurach, lecz mistrzowie koni trzymali dawniej ogromne stada we Wschodnim Emnecie, kresowej prowincji swojego królestwa, i pasterze koczowali w tych stronach nawet zimą, mieszkając w szałasach lub namiotach. Teraz jednak cała ta kraina opustoszała, a cisza, jaka nad nią panowała, nie zdawała się wcale błoga ani spokojna.

O zmroku przyjaciele zatrzymali się znowu. Przeszli równiną Rohanu dwakroć po dwanaście staj i ściana Emyn Muil zniknęła im z oczu w cieniach wschodu. Wąski sierp księżyca wypłynął na przymglone niebo, lecz świecił blado, a gwiazdy kryły się wśród chmur.

– Teraz bardziej jeszcze żałuję każdej godziny, którą straciliśmy na odpoczynek i popasy w tym marszu – rzekł Legolas. – Orkowie gnają, jakby ich Sauron osobiście biczem popędzał. Boję się, że zdążyli dotrzeć do lasu i stoków górskich; może w tej chwili właśnie wchodzą w cień drzew.

Gimli zgrzytnął zębami.

– Oto gorzki koniec naszych nadziei i trudów – powiedział.

– Koniec nadziei, może, ale trudów z pewnością nie – rzekł Aragorn. – Nie zawrócimy z drogi. Chociaż bardzo jestem znużony. – Obejrzał się na szmat ziemi, który przemierzyli, popatrzył w mrok, gęstniejący na wschodzie. – Coś dziwnego dzieje się w tym kraju. Nie ufam tej ciszy. Nie ufam nawet blademu księżycowi. Gwiazdy świecą mdłym blaskiem, a mnie ogarnęło takie znużenie, jakiego nie powinien znać Strażnik na wytyczonym tropie. Jakaś potężna wola dodaje w biegu sił naszym wrogom, a nam rzuca pod stopy niewidzialne zapory, obezwładnia zmęczeniem serca bardziej niż nogi.

– Prawdę mówisz – rzekł Legolas. – Czułem to od chwili, gdy zeszliśmy z grani Emyn Muil. Ta potężna wola jest bowiem przed nami, nie za nami.

I gestem wskazał krainę Rohanu ledwie rozświetloną nikłą księżycową poświatą i tonącą w mroku na zachodzie.

– Saruman! – mruknął Aragorn. – Nawet on nie zdoła nas zawrócić z drogi. Na razie jednak musimy się zatrzymać. Spójrzcie, już i księżyc znika za chmurami. Lecz jutro skoro świt ruszymy na północ, szlakiem między bagniskiem a wzgórzami.

Nazajutrz, tak samo jak w poprzednich dniach, Legolas pierwszy zerwał się ze snu – jeżeli w ogóle spał tej nocy.

– Wstawać! Wstawać! – wołał. – Wschód już się rumieni. Dziwy czekają nas w cieniu lasu. Dobre czy złe, nie wiem, ale wzywają w drogę. Wstawać!

Tamci obaj zerwali się na równe nogi i nie tracąc ani chwili, trzej przyjaciele znów pomaszerowali przed siebie. Każdy krok przybliżał ich stopniowo ku wzgórzom i na godzinę przed południem stanęli pod zielonymi stokami, które piętrzyły się wyżej jak łyse kopuły, wyciągnięte równym łańcuchem prosto na północ. U ich stóp grunt był suchy, porośnięty niską trawą, lecz między pasmem wzgórz a rzeką, przedzierającą się przez gąszcz trzcin i sitowia, ciągnęło się szerokie na dziesięć mil zapadlisko. Pod najdalej na południe wysuniętym wzgórzem, u jego zachodnich podnóży, spostrzegli w trawie szeroki krąg jakby wydeptany przez tysiąc ciężkich nóg. Stąd ślad orków prowadził dalej ku północy skrawkami suchego terenu pod wzgórzami. Aragorn zatrzymał się i zbadał uważnie tropy.

– Popasali tu czas krótki – rzekł – i nawet ślad wymarszu po odpoczynku jest już dość dawny. Niestety, przeczucie nie zawiodło cię, Legolasie: upłynęło trzykroć dwanaście godzin od chwili, gdy orkowie przebywali na tym miejscu, do którego my doszliśmy dopiero teraz. Jeżeli potem nie zwolnili marszu, wczoraj o zachodzie słońca osiągnęli skraj Fangornu.

– Patrząc na zachód i na północ, nie widzę nic prócz trawy tonącej w dali we mgle – rzekł Gimli. – Czy ze szczytu wzgórza dostrzeglibyśmy las?

– Do lasu jeszcze stąd daleko – powiedział Aragorn. – Jeżeli pamięć mnie nie myli, pasmo wzgórz rozciąga się co najmniej na osiem staj, a za nimi, na północo-zachód od ujścia Rzeki Entów, trzeba przebyć znów jakieś piętnaście staj równiny.

– A więc w drogę! – rzekł Gimli. – Moje nogi muszą odzwyczaić się od liczenia mil. Byłoby to dla nich łatwiejsze, gdyby serce tak bardzo nie ciążyło.

Słońce już się chyliło, gdy wreszcie wędrowcy dotarli do ostatniego wzgórza w całym łańcuchu. Przez wiele godzin maszerowali bez odpoczynku. Teraz posuwali się już bardzo wolno, a Gimli aż zgarbił się ze zmęczenia. Krasnoludy mają żelazną wytrwałość w pracy i wędrówkach, lecz ten niekończący się pościg utrudził Gimlego tym bardziej, że nadzieja przygasła w jego sercu. Aragorn szedł za nim w posępnym milczeniu, od czasu do czasu schylając się, żeby zbadać jakiś znak albo trop na ziemi. Tylko Legolas biegł lekko jak zawsze, ledwie muskając stopami trawę i nie odciskając na niej śladów; chleb elfów wystarczał mu za cały posiłek, a spać umiał z otwartymi oczyma, w marszu, w pełnym świetle dnia; umysł elfa odpoczywa, błądząc po dziwnych ścieżkach marzeń, chociaż ludzie nie nazwaliby tego spaniem.

– Wejdźmy na ten zielony pagórek – rzekł.

Wbiegł pierwszy, a dwaj przyjaciele podążyli za nim, wspinając się mozolnie długim zboczem aż na szczyt, zaokrąglony na kształt kopuły, gładki i nagi, nieco odosobniony od innych i stanowiący ostatnie od północy ogniwo łańcucha. Słońce tymczasem zaszło, mrok wieczorny otulił świat jak zasłona. Trzej wędrowcy stali samotnie nad bezbrzeżną, bezkształtną równiną, wśród jednostajnej szarzyzny krajobrazu. Tylko daleko na północo-zachodzie od tła dogasającego nieba odcinała się głębszą czernią linia Gór Mglistych i ciemnego lasu u ich stóp.

– Nic stąd nie wypatrzymy, co mogłoby nam wskazać dalszą drogę – powiedział Gimli. – W każdym razie trzeba teraz zatrzymać się na noc. Robi się bardzo zimno.

– Wiatr dmie od śnieżnej północy – rzekł Aragorn.

– Rano odwróci się i dmuchnie od wschodu – rzekł Legolas. – Odpocznijmy, skoro czujecie się zmęczeni. Ale nie traćmy nadziei. Nie wiadomo, co nas jutro czeka. Bywa, że wraz ze wschodem słońca zjawia się dobra rada.

– Trzykroć już w tej pogoni oglądaliśmy wschód słońca, a żaden nie przyniósł nam rady – rzekł Gimli.

Noc była bardzo zimna. Aragorn i Gimli spali niespokojnie, a ilekroć któryś z nich budził się, stwierdzał, że Legolas czuwa u wezgłowia przyjaciół albo przechadza się koło nich, nucąc z cicha w swoim ojczystym języku jakąś pieśń, a gdy elf tak śpiewa, na twardym, czarnym stropie niebios rozbłyskują białe gwiazdy. W ten sposób przeszła noc. Wszyscy trzej, już rozbudzeni, patrzyli, jak brzask powoli rozlewa się po niebie, czystym teraz i bezchmurnym, aż wreszcie pokazało się słońce. Wstało blade i jasne. Wiatr dmący od wschodu zmiótł kłęby mgieł. Rozległa kraina leżała przed nimi naga i pusta w surowym świetle ranka.

Na wprost i ku wschodowi ciągnęła się owiana wiatrem wyżyna, płaskowyż Rohanu, który przed kilku dniami dostrzegali z daleka, płynąc z nurtem Wielkiej Rzeki. Na północo-zachodzie czerniał las Fangorn; jeszcze dziesięć staj dzieliło ich od cienistego skraju tej puszczy, a góry w jej głębi ginęły w błękitnej dali. Za Fangornem majaczył na widnokręgu jakby zawieszony w siwej chmurze biały czub smukłego Methedrasu, ostatniego szczytu w łańcuchu Gór Mglistych. Z lasu spływała ku wędrowcom Rzeka Entów, bystrym wąskim strumieniem tocząc się między stromymi brzegami. Trop orków skręcał spod wzgórz ku rzece.

Śledząc wzrokiem trop biegnący nad rzeką, a potem wzdłuż jej brzegów ku puszczy, Aragorn dostrzegł na dalekiej zielonej łące jakiś ciemny, szybko poruszający się mały punkcik. Rzucił się na ziemię i zaczął pilnie wsłuchiwać się w jej głos. Legolas jednak, który stał obok wyprostowany, osłaniając smukłą dłonią swoje jasne oczy elfa, widział nie punkcik, lecz chmarę jeźdźców, drobne z oddali postacie ludzkie na koniach, i w ostrzach włóczni brzask poranka jak migotanie maleńkich gwiazd, niedosięgłych dla

wzroku zwykłych śmiertelników. Gdzieś daleko za pędzącym oddziałem czarny dym wzbijał się wąskim, krętym słupem ku niebu.

Cisza panowała nad pustką stepu taka, że Gimli słyszał szelest każdej trawki.

– Jeźdźcy! – krzyknął Aragorn, zrywając się z ziemi. – Wielu jeźdźców na ścigłych koniach zbliża się do nas.

– Tak – rzekł Legolas. – Jest ich stu pięciu. Włosy mają jasne, a włócznie lśniące. Przewodzi im mąż wysokiego wzrostu.

Aragorn uśmiechnął się.

– Bystre są oczy elfa – powiedział.

– Niewielka sztuka – odparł Legolas. – Ci jeźdźcy są przecież nie dalej niż o pięć staj.

– O pięć staj czy o jedną – odezwał się Gimli – w każdym razie nie unikniemy spotkania na tym pustkowiu. Poczekamy na nich czy też pójdziemy w swoją drogę?

– Poczekamy – rzekł Aragorn. – Jestem znużony, ścigamy nieprzyjaciół wciąż nadaremnie. A może ktoś inny wcześniej ich dogonił? Bo przecież oddział konny wraca tropem orków. Może jeźdźcy będą mieli dla nas jakieś ważne nowiny?

– Albo ostre włócznie – rzekł Gimli.

– Trzy konie niosą puste siodła – powiedział Legolas – ale hobbitów między ludźmi nie ma.

– Nie twierdzę, że będą to pomyślne nowiny – odparł Aragorn – ale na dobre czy złe trzeba tutaj poczekać.

Trzej przyjaciele opuścili szczyt wzgórza, gdzie na tle jasnego nieba stanowili zbyt dobrze widoczny z daleka cel, i z wolna zeszli północnym zboczem niżej. Zatrzymali się jednak, nie schodząc aż do podnóży pagórka, i przycupnęli na stoku w przywiędłej trawie, owinięci w szare płaszcze. Czas płynął leniwie. Wiatr był ostry i przejmujący. Gimli kręcił się niespokojnie.

– Co ci wiadomo o tych jeźdźcach, Aragornie? – spytał. – Może czekamy tu na niechybną śmierć?

– Przebywałem wśród nich – odparł Aragorn. – Są dumni i uparci, lecz serca mają szczere, a myślą i działają szlachetnie; są zuchwali, lecz nie okrutni, mądrzy, chociaż nieuczeni, nie piszą ksiąg, lecz śpiewają wiele pieśni, wzorem ludzkiego plemienia sprzed lat Ciemności. Nie wiem jednak, co tutaj działo się w ostatnich czasach i co teraz postanowili Rohirrimowie, osaczeni z jednej strony przez zdradę Sarumana, a z drugiej przez groźby Saurona. Z dawna żyli w przyjaźni z ludźmi z Gondoru, jakkolwiek nie są tej samej co tamci krwi. W zamierzchłych czasach Eorl Młody ściągnął ich tutaj z Północy, są spokrewnieni najbliżej z plemionami Barda z Dale i Beorna z Puszczy, w których często spotyka się po dziś dzień jasnowłosych, rosłych ludzi podobnych do Jeźdźców Rohanu. W każdym razie nie kochają orków.

– Ale Gandalf wspominał, że krążą pogłoski, jakoby płacili haracz Mordorowi – rzekł Gimli.

– Boromir w to nie uwierzył, ja także nie – odparł Aragorn.

– Wkrótce dowiemy się prawdy – rzekł Legolas. – Już są blisko.

Wreszcie Gimli też usłyszał głuchy tętent galopujących kopyt. Jeźdźcy, wciąż trzymając się tropu orków, skręcili od rzeki ku pagórkom. Pędzili jak wiatr. Donośne, raźne okrzyki rozbrzmiewały nad polami. Nagle wypuścili konie, aż ziemia zadudniła pod kopytami; rycerz jadący na czele zatoczył koniem półkole, okrążając wzgórze, i poprowadził oddział zachodnim skrajem łańcucha, kierując się na południe. Trop w trop za wodzem ciągnęła długa kolumna rycerzy zbrojnych, zwinnych, błyszczących stalą; widok był groźny i piękny zarazem.

Konie mieli rosłe, silne i kształtne, o lśniącej sierści; długie ogony rozwiewały się na wietrze, splecione grzywy zdobiły dumne karki. Jeźdźcy zdawali się godni szlachetnych wierzchowców, jak one dorodni i smukli; spod lekkich hełmów jasne niby len włosy spływały im na plecy, twarze mieli surowe, spojrzenie bystre. W rękach dzierżyli długie jesionowe włócznie, malowane tarcze zawiesili na plecach, a miecze u boku; polerowane kolczugi sięgały im po kolana.

Przemknęli galopem, dwójkami, a chociaż co chwila któryś prostował się w strzemionach i rozglądał na wszystkie strony, żaden, jak się zdawało, nie dostrzegł trzech obcych wędrowców przycupniętych na stoku i przypatrujących się w milczeniu kawalkadzie. Oddział już mijał wzgórze, gdy nagle Aragorn wstał i gromkim głosem zawołał:

– Co słychać w krajach Północy, Jeźdźcy Rohanu?

Błyskawicznie, nad podziw sprawnie osadzili konie, zawrócili, rozwinęli szereg i cwałem natarli prosto na wzgórze. W mig trzej wędrowcy znaleźli się pośrodku ruchomego kręgu wojowników, którzy zachodząc od stoku, od podnóża, z boków, ze wszystkich stron, coraz bardziej zacieśniali pierścień. Aragorn stał w milczeniu, dwaj jego towarzysze zastygli bez ruchu, czekając w napięciu, jaki też obrót weźmie to spotkanie.

Bez słowa, bez okrzyku jeźdźcy zatrzymali się nagle. Gąszcz włóczni jeżył się ostrzami wymierzonymi przeciw obcym podróżnym. Kilku chwyciło łuki i już naciągało je do strzału. Dowódca, górujący wzrostem nad innymi, wysunął się z szeregu; na hełmie zamiast pióropusza zatknięty miał biały ogon koński. Zbliżył się tak, że ledwie parę cali dzieliło ostrze jego włóczni od piersi Aragorna, lecz Aragorn nie drgnął nawet.

– Coście za jedni i czego szukacie w tym kraju? – zapytał jeździec. Mówił Wspólną Mową Zachodu, stylem i tonem przypominającym mowę Boromira, rycerza Gondoru.

– Nazywają mnie Obieżyświatem – odparł Aragorn. – Przybywam z północy. Poluję na orków.

Jeździec zeskoczył z siodła na ziemię. Oddał włócznię jednemu ze swoich podwładnych, który, przysunąwszy się do wodza, również zsiadł z konia; dobył miecza i stanął twarzą w twarz przed Aragornem, przyglądając mu się uważnie i nie bez podziwu. Wreszcie odezwał się znowu:

– W pierwszej chwili myślałem, żeś sam jest orkiem – rzekł. – Teraz widzę, że się omyliłem. Nie znasz orków, jeżeli polujesz na nich w ten sposób. Banda była liczna, chyża i po zęby uzbrojona. Gdybyś ich dogonił, oni to byliby myśliwcami, a ty łatwą dla nich zwierzyną. Ale w tobie tkwi coś dziwnego, Obieżyświacie. – Rycerz zmierzył bystrym spojrzeniem postać Aragorna. – Imię, które podałeś, nie przystaje do takiego jak ty człowieka. Strój także masz dziwny. Czy wyskoczyłeś spod trawy? Jak to się stało, żeśmy cię wcześniej nie dostrzegli? Może jesteście z ludu elfów?

– Nie – odparł Aragorn. – Jeden z nas tylko jest elfem, Legolas z Leśnego Królestwa, z odległej Mrocznej Puszczy. Ale po drodze zabawiliśmy w Lothlórien i od Pani tej krainy otrzymaliśmy dary, widomy znak jej łask.

Rycerz przyjrzał się trójce przyjaciół z nowym podziwem, lecz w jego jasnych oczach pojawił się twardy błysk.

– A więc w Złotym Lesie naprawdę żyje Pani, o której bają stare legendy! – rzekł. – Jak słyszałem, mało kto wymyka się z jej sideł. Dziwne czasy! Jeżeli u niej jesteście w łaskach, zapewne także snujecie sieci i rzucacie czary. – Nagle zwrócił zimne spojrzenie na Legolasa i Gimlego. – Czemuż to nie odzywacie się, milczkowie? – spytał.

Gimli wstał, mocno zaparł się na rozstawionych nogach; rękę zacisnął na trzonku topora, czarne oczy zaiskrzyły mu się gniewnie.

– Powiedz mi swoje imię, władco koni, a wówczas usłyszysz moje i wiele innych rzeczy na dokładkę – powiedział.

– Zwyczaj każe, by cudzoziemiec przedstawił się pierwszy – odparł rycerz, z góry spoglądając na krasnoluda. – Mimo to wiedz, że jestem Éomer, syn Éomunda, a noszę tytuł Trzeciego Marszałka Riddermarchii.

– A więc, Éomerze, synu Éomunda, Trzeci Marszałku Riddermarchii, przyjmij od krasnoluda Gimlego, syna Glóina, przestrogę i nie rzucaj na wiatr niewczesnych słów. Oczerniasz bowiem tę, której piękności nawet wyobrazić sobie nie umiesz. Tylko przez wzgląd na słabość umysłu można cię usprawiedliwić.

Éomerowi oczy rozbłysły, a Jeźdźcy Rohanu z groźnym pomrukiem zacieśnili krąg wokół cudzoziemców i nastawili włócznie.

– Obciąłbym ci głowę razem z brodą, mości krasnoludzie, gdyby nieco wyżej sterczała nad ziemią – rzekł Éomer.

– Gimli nie jest tu sam! – zawołał Legolas; ruchem szybszym niż tchnienie napiął łuk i założył strzałę. – Zginiesz, zanim twój miecz opadnie.

Éomer podniósł miecz i sprzeczka skończyłaby się krwawo, gdyby Aragorn z ręką wzniesioną w górę nie skoczył między przeciwników.

– Wybacz, Éomerze! – krzyknął. – Zrozumiesz gniew moich przyjaciół, gdy ci opowiem naszą historię. Nie żywimy złych zamiarów, nie chcemy skrzywdzić Rohanu i jego mieszkańców, ludzi ani koni. Czy zgodzisz się wysłuchać mnie, zanim użyjesz oręża?

– Zgadzam się – odparł Éomer i opuścił miecz. – Lecz podróżni zapuszczający się w tych niepewnych czasach na pola Riddermarchii

powinni by mniej dufnie sobie poczynać. Przede wszystkim wyznaj mi swoje prawdziwe imię.

– Przede wszystkim powiedz mi, komu służysz – rzekł Aragorn. – Czyś przyjacielem, czy wrogiem Saurona, Czarnego Władcy Mordoru?

– Jednemu tylko panu służę: królowi Marchii, Théodenowi, synowi Thengla – odparł Éomer. – Nie służymy potędze dalekiej Czarnej Krainy, lecz nie prowadzimy też z nią otwartej wojny. Jeśli więc przed nią uciekacie, opuśćcie lepiej nasz kraj. Na całym pograniczu szerzy się niepokój i jesteśmy zagrożeni; pragniemy jednak tylko zachować wolność i żyć tak, jak żyliśmy, poprzestając na swoim, nie służąc obcym panom, ani dobrym, ani złym. W lepszych czasach chętnie i przyjaźnie witaliśmy cudzoziemców, lecz w tych niespokojnych dniach obcy, nieproszeni goście muszą się u nas spotykać z podejrzliwym i surowym przyjęciem. Mówcie! Coście za jedni? Komu służycie? Na czyj rozkaz ścigacie orków po naszym stepie?

– Nie służę żadnemu władcy – odparł Aragorn – ale służalców Saurona ścigam wszędzie, dokądkolwiek ich trop mnie zaprowadzi. Orków znam tak, jak mało kto wśród śmiertelnych, a jeśli na nich poluję w ten sposób, to dlatego, że nie mam wyboru. Banda, którą ścigamy, porwała dwóch naszych przyjaciół. W takiej potrzebie człowiek nie zważa, że nie ma konia, lecz idzie piechotą, i nie pyta o pozwolenie, lecz spieszy tam, gdzie ślad wskazuje drogę. Nie liczy też głów nieprzyjaciół, chyba że ostrzem miecza. Nie jestem bezbronny.

Odrzucił płaszcz z ramion. Wykuta przez elfy pochwa zalśniła jasno, a kiedy Aragorn dobył z niej miecz, klinga Andúrila rozbłysła nagle jak biały płomień.

– Elendil! – zawołał. – Nazywam się Aragorn, syn Arathorna, a zwą mnie też Elessarem, Kamieniem Elfów, Dúnadanem, spadkobiercą Isildura, który był synem Elendila, władcy Gondoru. Oto jest miecz, niegdyś złamany i na nowo dziś przekuty. Czy chcesz mi pomóc, czy też zagrodzić drogę? Wybieraj!

Gimli i Legolas ze zdumieniem patrzyli na swego przewodnika, bo takim, jak w tej chwili, jeszcze go nie widzieli. Zdawało się, że Aragorn urósł nagle, podczas gdy Éomer zmalał; przez wyrazistą twarz przemknął odblask siły i majestatu kamiennych królów. Przez okamgnienie

Legolasowi zdawało się, że biały płomyk otoczył skronie Aragorna świetlistą koroną.

Éomer cofnął się o krok, a twarz jego przybrała wyraz trwożnej czci. Spuścił ku ziemi dumne spojrzenie.

– Dziwne doprawdy czasy – mruknął. – Wcielone sny i legendy wstają spod trawy. Powiedz mi, panie – rzekł głośniej, zwracając się do Aragorna – co cię tu do nas sprowadza? Co znaczą twoje niepojęte słowa? Dawno temu Boromir, syn Denethora, ruszył w świat po wyjaśnienie tej zagadki, a koń, którego mu użyczyliśmy, wrócił bez jeźdźca. Jakie więc przeznaczenie przyszedłeś z Północy nam ogłosić?

– Waszym przeznaczeniem jest wybór – odparł Aragorn. – Powtórz moje słowa Théodenowi, synowi Thengla: czeka go otwarta wojna w szeregach Saurona lub przeciw niemu. Nikt już dziś nie może tak żyć, jak żył dotychczas, i mało kto zachowa to, co uważa za swoją własność. Lecz o tych doniosłych sprawach porozmawiamy później. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, sam odwiedzę waszego króla. W tej chwili jestem w ciężkiej potrzebie i proszę o pomoc albo przynajmniej o radę. Jak już mówiłem, ścigamy orków, którzy porwali naszych przyjaciół. Co możesz mi o tej bandzie powiedzieć?

– Możesz zaniechać dalszego pościgu – odparł Éomer. – Banda jest już rozgromiona.

– A nasi przyjaciele?

– Nie widzieliśmy innych istot prócz orków.

– Dziwne, bardzo dziwne – rzekł Aragorn. – Czy szukaliście wśród poległych? Czy na pobojowisku nie było innych trupów prócz orków? Nasi przyjaciele są małego wzrostu, mogliby wam wydać się dziećmi; nie noszą obuwia, płaszcze mieli szare.

– Nie było tam krasnoludów ani dzieci – odparł Éomer. – Przeliczyliśmy poległych i zabraliśmy broń oraz łupy, potem zaś zgromadziliśmy trupy na stos i spalili, wedle zwyczaju. Popioły jeszcze dymią.

– Nie chodzi o krasnoludów ani o dzieci – odezwał się Gimli. – Nasi przyjaciele to hobbici.

– Hobbici? – zdziwił się Éomer. – A to co takiego? Pierwszy raz słyszę tę dziwną nazwę.

– Dziwna nazwa dziwnego plemienia – powiedział Gimli. – Lecz ci dwaj są nam bardzo drodzy. Może słyszeliście w Rohanie o przepowiedni, która zaniepokoiła władcę z Minas Tirith. Jest w niej mowa o niziołkach. To właśnie hobbici.

– Niziołki! – zaśmiał się jeździec stojący obok Éomera. – Niziołki! Ależ te stworzonka istnieją tylko w starych pieśniach i w bajkach przyniesionych z Północy. Czy znaleźliśmy się w świecie legend, czy też chodzimy po zielonej ziemi w blasku dnia?

– Można żyć w obu tych światach naraz – rzekł Aragorn. – Bo nie my, lecz ci, co przyjdą po nas, stworzą legendę naszych czasów. Zielona ziemia, powiadasz? Jest w niej wiele tematów dla legendy, chociaż ją depczesz w pełnym blasku dnia.

– Nie ma czasu do stracenia – rzekł jeździec, nie zważając na Aragorna. – Trzeba spieszyć na południe, wodzu. Zostawmy tych dziwaków razem z ich mrzonkami. Albo też związmy ich i zawieźmy do króla.

– Milcz, Éothainie! – rozkazał mu Éomer w języku Rohanu. – Chcę porozmawiać z nimi sam. Niech mój éored zbierze się na ścieżce i przygotuje do odmarszu w kierunku Brodu Entów.

Mrucząc coś pod nosem, Éothain oddalił się i przekazał rozkaz oddziałowi. Po chwili Éomer został sam z trzema wędrowcami.

– To, coś mi rzekł, Aragornie, zdaje się bardzo dziwne – powiedział. – A jednak mówisz prawdę, nie wątpię o tym. Ludzie z Marchii nie kłamią, toteż niełatwo dają się oszukać. Lecz nie powiedziałeś mi całej prawdy. Czy zechcesz teraz rzec mi coś więcej o celu waszej wyprawy, abym mógł osądzić, co mi wypada uczynić?

– Wyruszyłem z Imladris, jak nazywają ten kraj stare pieśni, przed wielu tygodniami – odparł Aragorn. – Był ze mną Boromir, rycerz z Minas Tirith. Zamierzałem towarzyszyć synowi Denethora do jego rodzinnego grodu, by pomóc jego ludowi w wojnie z Sauronem. Ale reszta Drużyny, z którą wędrowałem, miała inne zadania do spełnienia. O tym dziś nie wolno mi jeszcze mówić. Naszym przywódcą był Gandalf Szary.

– Gandalf! – zakrzyknął Éomer. – Gandalf Szary znany jest w Marchii. Muszę cię wszakże przestrzec, że jego imię już nie otwiera drogi do łask króla. Gandalf gościł w naszym kraju wielekroć za pamięci ludzkiej,

zjawiając się wedle woli, czasem parę razy do roku, czasem raz na wiele lat. Zawsze był zwiastunem niezwykłych zdarzeń, a jak teraz niektórzy twierdzą, przynosił nieszczęście. To prawda, że od ostatnich jego odwiedzin tego lata sypnęły się na nas niepowodzenia. Wówczas to zaczęły się kłopoty z Sarumanem. Przedtem zaliczaliśmy go do naszych przyjaciół, lecz przybył Gandalf i ostrzegł nas, że Isengard wrze od przygotowań wojennych i że Saruman knuje napaść. Opowiadał, że był więziony w wieży Orthanku i ledwie uszedł z życiem. Błagał o pomoc, ale Théoden nie chciał go wysłuchać, więc Czarodziej opuścił nasz kraj. Nie wymawiaj imienia Gandalfa w obecności Théodena. Król jest na niego zagniewany. Gandalf bowiem wziął sobie wierzchowca imieniem Cienistogrzywy, perłę królewskich stadnin, z rasy mearasów, które tylko władcom Marchii wolno dosiadać. Cienistogrzywy jest potomkiem sławnego konia Eorla, który znał ludzką mowę. Przed tygodniem wrócił, lecz to nie ugasiło gniewu króla, bo koń zdziczał i nie daje do siebie przystępu nikomu.

– A więc Cienistogrzywy sam trafił do domu z dalekiej północy – rzekł Aragorn – bo tam Gandalf rozstał się ze swym wierzchowcem. Niestety! Gandalf już nigdy go nie dosiądzie. Wpadł w ciemne otchłanie Morii i już się z nich nie wydostał na światło dzienne.

– Smutna to nowina – rzekł Éomer. – Smutna przynajmniej dla mnie i dla wielu spośród nas, lecz nie dla wszystkich, jak się zresztą przekonasz, gdy odwiedzisz królewski dwór.

– Nikt w waszym kraju pojąć nie zdoła, jak bardzo martwić się trzeba tą nowiną, chociaż jej skutki pewnie każdy z was odczuje boleśnie, zanim ten rok upłynie – rzekł Aragorn. – Lecz gdy wielcy polegną, mniejsi muszą zastąpić ich na czele pochodu. Mnie przypadło w udziale prowadzić Drużynę przez całą daleką drogę z Morii. Szliśmy przez Lórien – kraj, o którym powinieneś dowiedzieć się czegoś więcej, nim zechcesz znów o nim mówić. A potem wiele mil przepłynęliśmy Wielką Rzeką aż do wodogrzmotów Rauros. Tam właśnie Boromir poległ z rąk tych samych orków, których wyście dzisiaj rozgromili.

– Same żałobne wieści przynosisz nam, Aragornie! – wykrzyknął Éomer z rozpaczą. – Śmierć Boromira to cios dla Minas Tirith i dla nas wszystkich. Mężny to był rycerz, powszechnie go sławiono. Rzadko odwiedzał Marchię, bo wiele czasu poświęcił wojnom na wschodniej granicy, lecz spotkałem się z nim kiedyś. Bardziej mi się wydał podobny do porywczych

synów Eorla niż do statecznych mężów z Gondoru, i pewnie okazałby się wielkim wodzem swego ludu, gdyby doczekał swojej kolei i objął przywództwo. Nie pojmuję, dlaczego z Gondoru nie doszły nas żadne wieści o tym nieszczęściu. Jak dawno się to stało?

– Dziś mija czwarty dzień od śmierci Boromira – odparł Aragorn – a my wyruszyliśmy spod Tol Brandir wieczorem tego pamiętnego dnia.

– Pieszo? – zakrzyknął Éomer.

– Tak jak nas widzisz.

Éomer ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

– Obieżyświat to zbyt skromne przezwisko, synu Arathorna – powiedział. – Ja bym cię raczej nazwał Skrzydlatym. O tym marszu trzech przyjaciół bardowie powinni śpiewać pieśni podczas rycerskich uczt. W niespełna cztery doby przemierzyliście pieszo czterdzieści pięć staj. Dzielny jest ród Elendila! Teraz jednak powiedz mi, Aragornie, czego ode mnie oczekujesz? Trzeba mi bowiem co tchu wracać do Théodena. W obecności moich podwładnych musiałem mówić oględnie. Prawdę rzekłem, nie jesteśmy w otwartej wojnie z Czarnym Krajem i są na dworze nikczemni doradcy, którzy mają dostęp do królewskich uszu. Lecz wojna wisi w powietrzu. Nie zaprzemy się prastarego sojuszu z Gondorem i gdy nasi sprzymierzeńcy walczą, przyjdziemy im z pomocą. Tak ja powiadam i tak myślą wszyscy, którzy ze mną trzymają. Jako Trzeci Marszałek mam zleconą pieczę nad Wschodnią Marchią. Kazałem nasze stada i pasterzy usunąć stąd za Rzekę Entów; tu zostaną tylko straże i zwiadowcy.

– A więc nie płacicie haraczu Sauronowi? – spytał Gimli.

– Nie, i nigdy nie płaciliśmy – odparł Éomer z błyskiem w oczach. – Doszło do moich uszu, że ktoś to kłamstwo rozsiewa po świecie. Przed kilku laty władca Czarnego Kraju chciał kupić od nas konie i ofiarował za nie wielką cenę, lecz odmówiliśmy, bo zwierzęta zmusza do służenia złej sprawie. Wówczas nasłał bandy orków, które od tej pory rabują, co im w rękę wpadnie, a najchętniej porywają konie karej maści, tak że niewiele nam ich pozostało. To właśnie jest powodem naszej zawziętej nienawiści do orków.

W tej chwili jednak najgorszych kłopotów przysparza nam Saruman. Rości sobie prawa do władzy nad całym tym obszarem i od kilku miesięcy toczymy z nim wojnę. Wziął na żołd orków, jeźdźców na wilkach i złych

ludzi, zamknął przed nami Bramę Rohanu, tak że znaleźliśmy się jak w kleszczach, osaczeni i od zachodu, i od wschodu.

Trudno walczyć z takim przeciwnikiem. Saruman jest przecież czarodziejem, chytrym i biegłym w swej sztuce, umie przedzierzgać się w różne postacie. Mówią, że włóczy się to tu, to tam, przebrany za starca w kapturze i płaszczu; bardzo przypomina z pozoru Gandalfa, jak twierdzą ci, co go pamiętają. Jego szpiedzy potrafią się prześliznąć przez wszystkie nasze sieci, złowróżbne ptaki, które mu służą, latają ustawicznie nad naszym krajem. Nie wiem, czym się to skończy, ale w głębi serca dręczą mnie złe przeczucia; jeżeli się nie mylę, nie tylko w Isengardzie ma Saruman sojuszników. Sam zresztą przekonasz się, gdy odwiedzisz królewski dwór. Czy odwiedzisz go? Czy też łudzę się tylko nadzieją, że przysłano cię tutaj, abyś mnie poratował w rozterce i ciężkiej potrzebie?

– Stawię się na dworze króla Théodena, jak tylko będę mógł – rzekł Aragorn.

– Jedź zaraz – prosił Éomer. – Dziedzic Elendila będzie dla synów Eorla potężnym sprzymierzeńcem w tych groźnych czasach. Na polach Zachodniego Emnetu wre w tej chwili bitwa, boję się, że ją przegramy. Wyznam ci, że podjąłem tę wyprawę na północ bez wiedzy króla, gdy ja bowiem ze swym oddziałem opuściłem stolicę, została tam tylko nieliczna straż. Ale zwiadowcy przestrzegli mnie, że banda orków przed trzema dniami zeszła na nasze pola ze Wschodniego Muru i że niektórzy z napastników noszą białe godło Sarumana. Podejrzewając, że stało się to, czego najbardziej się lękam, to znaczy, że między Orthankiem a Czarną Wieżą zawarty został sojusz, ruszyłem na czele éoredu, oddziału złożonego z moich domowników i sług. Dwa dni temu o zmierzchu doścignęliśmy orków w pobliżu Lasu Entów. Okrążyliśmy bandę i wczoraj o świcie stoczyliśmy z nią bitwę. Straciłem w boju piętnastu ludzi i dwanaście koni. Niestety. Banda okazała się liczniejsza, niż przewidywałem. Nowe posiłki nadciągnęły bowiem ze wschodu, zza Wielkiej Rzeki, jak świadczy wyraźny ślad, który odkryliśmy nieco dalej na północ stąd. Inni przyszli też na pomoc swoim od strony lasu: orkowie – olbrzymy, również znaczeni białym godłem Isengardu, a to jest szczep najgroźniejszy i najdzikszy.

Mimo wszystko rozbiliśmy ich w puch. Lecz za długo już bawimy w tych okolicach. Jesteśmy potrzebni na południu i na zachodzie. Jedź z nami. Jak widziałeś, mamy luźne konie. Twój miecz nie będzie próżnował. Tak,

przyda się również topór Gimlego i łuk Legolasa, jeśli twoi przyjaciele zechcą mi wybaczyć zbyt pochopny sąd o Pani Lasu. Powtórzyłem jedynie to, co wszyscy o niej mówią w naszym kraju, lecz chętnie zmienię zdanie, jeśli od was dowiem się, że błądziłem.

– Dzięki za te szlachetne słowa – rzekł Aragorn. – Z serca pragnąłbym iść z tobą, ale nie mogę opuścić przyjaciół, póki zostaje choć cień nadziei, że zdołam ich ocalić.

– Porzuć nadzieję – odparł Éomer. – Nie odnajdziesz swoich druhów na tym północnym pograniczu.

– A jednak nasi przyjaciele nie zostali nigdzie po drodze. Opodal Wschodniego Muru znaleźliśmy niewątpliwy dowód, że przynajmniej jeden z nich żył jeszcze wówczas i przechodził tamtędy. Lecz między ścianą górską a tym płaskowzgórzem nigdzie nie natrafiliśmy na żaden ślad, nikt też nie odłączył się od oddziału i nie zeszedł w bok od szlaku, chyba że zawodzi mnie sztuka odczytywania tropów, w której ćwiczyłem się z dawna.

– Cóż więc mogło się z nimi stać?

– Nie wiem. Myślałem, że zginęli w zamęcie bitwy i ciała ich razem z trupami orków spłonęły na stosie. Lecz skoro ty powiadasz, że to niemożliwe, wyzbyłem się tej obawy. Wolno mi przypuszczać, że zawleczono ich do lasu jeszcze przed bitwą, zanim twój oddział otoczył bandę. Czy mógłbyś przysiąc, że z twoich sieci nie wymknęła się w ten sposób żywa dusza?

– Przysięgnę, że ani jeden ork nie wyśliznął się nam od chwili, gdy wypatrzyliśmy bandę – rzekł Éomer. – Wcześniej niż orkowie dotarliśmy na skraj lasu, potem zaś nie mógł przedrzeć się przez pierścień moich żołnierzy nikt, kto nie umie czarować jak elfowie.

– Nasi druhowie mieli takie same płaszcze jak my – powiedział Aragorn. – A nas przecież minąłeś w biały dzień, nie podejrzewając wcale naszej obecności.

– Tak, o tym zapomniałem – przyznał Éomer. – Wśród tylu dziwów za nic ręczyć nie można. Niepojęte rzeczy dzieją się teraz na świecie. Elf z krasnoludem w parze wędruje przez nasze stepy. Człowiek, który rozmawiał z Leśną Panią, stoi przede mną żywy i cały. Miecz złamany przed laty, zanim ojcowie naszych ojców przybyli do Marchii, wraca, aby

znów wojować. Jak w takich osobliwych czasach rozeznać, co się człowiekowi godzi czynić?

– W osobliwych czasach, tak samo jak w zwykłych, wiadomo, co się godzi – rzekł Aragorn. – Dobro i zło nie zmienia się z biegiem lat. I to samo oznacza dla ludzi co dla krasnoludów albo elfów. Człowiek musi między dobrem i złem wybierać zarówno we własnym domu, jak i w Złotym Lesie.

– Prawdę mówisz – rzekł Éomer. – Lecz nie o tobie wątpiłem ani o wyborze mego serca. Nie wolno mi jednak postępować tak, jak bym sam pragnął. Prawo nasze zabrania cudzoziemcom wędrować na własną rękę po tym kraju, chyba że król da im na to pozwolenie. W dzisiejszych groźnych czasach ten zakaz przestrzegany jest bardziej niż kiedykolwiek surowo. Prosiłem was, byście zgodzili się dobrowolnie iść z nami, lecz odmawiacie. Wzdragam się przed wszczęciem bitwy w stu ludzi przeciw trzem obcoplemieńcom.

– Nie sądzę, aby wasze prawo dotyczyło naszego przypadku – odparł Aragorn. – Nie jestem też dla was obcoplemieńcem. Bywałem w tym kraju nieraz, walczyłem w szeregach Rohirrimów, chociaż pod innym imieniem i w innym stroju. Z tobą nie spotkaliśmy się dotychczas, ale znałem twojego ojca Éomunda i rozmawiałem z Théodenem, synem Thengla. Nie mogło się za dawnych lat zdarzyć, by szlachetny mąż i dostojnik Rohanu zmuszał kogokolwiek do odstąpienia od takich zamiarów, jakie ja żywię. Mój obowiązek jest jasny: wytrwam przy nim. A ty, synu Éomunda, rozstrzygnij wreszcie, co wybierasz. Pomóż nam albo przynajmniej zostaw nam wolność. Albo spróbuj postąpić wedle prawa. Jeśli to zrobisz, ubędzie obrońców waszych granic i króla.

Éomer chwilę namyślał się, w końcu rzekł:

– Obaj nie mamy czasu do stracenia. Mój oddział niecierpliwi się, by ruszać w dalszą drogę, a twoja nadzieja z każdą godziną blednie. Toteż dokonałem wyboru. Odejdziecie wolni. Co więcej, użyczę wam koni. Proszę tylko o jedno: gdy spełnisz swoje zadanie lub gdy przekonasz się, że dalsze wysiłki są daremne, przybądź wraz z końmi do Meduseld, wielkiego domu w Edoras, obecnej siedzibie Théodena. W ten sposób dasz królowi dowód, że nie pobłądziłem w wyborze. Twemu słowu zawierzam moje dobre imię, może nawet życie. Nie zawiedź mnie.

– Nie zawiodę – odparł Aragorn.

Rohirrimowie z oddziału Éomera zdumieli się, gdy dowódca kazał oddać zbywające konie trzem obcoplemieńcom; ten i ów patrzył na intruzów nieufnie spode łba, lecz tylko Éothain ośmielił się odezwać głośno:

– Godzi się może dać wierzchowca temu dostojnemu panu, który, jak powiada, należy do plemienia Gondoru – rzekł – ale nikt jeszcze nie słyszał, żeby konia z Marchii dosiadał krasnolud.

– Nikt nie słyszał i nigdy nie usłyszy, bądź spokojny – odparł Gimli. – Wolę chodzić piechotą, niż wdrapywać się na grzbiet takiego wielkiego zwierzaka, nawet gdybyś mnie prosił, a tym bardziej, jeśli mi go żałujesz.

– Musisz się zgodzić, inaczej opóźniałbyś pościg – rzekł Aragorn.

– Nie trap się, Gimli, przyjacielu – powiedział Legolas. – Siądziesz na jednego konia ze mną. Tak będzie najlepiej. Nie tobie Rohirrimowie pożyczą wierzchowca i nie ty będziesz się z nim parał.

Aragorn dosiadł zaraz konia szpakowatej maści, którego mu przyprowadzono.

– Wabi się Hasufel – wyjaśnił Éomer. – Niech ci służy dobrze i z większym szczęściem niż poprzedniemu panu, Gárulfowi.

Mniejszy i lżejszy wierzchowiec, ofiarowany Legolasowi, zdawał się narowisty i płochliwy. Na imię miał Arod. Legolas poprosił jednak Rohirrimów, żeby zdjęli z niego siodło i uzdę.

– Mnie tego nie potrzeba – rzekł, wskakując lekko na koński grzbiet. Ku powszechnemu zdumieniu Arod nie tylko dał się Legolasowi dosiąść bez oporu, lecz na jedno jego słowo posłusznie spełniał wszelkie życzenia. Tak bowiem elfowie obłaskawiają każde szlachetne zwierzę. Kiedy z kolei Gimlego posadzono na konia, krasnolud przylgnął do przyjaciela, czując się równie nieswojo jak niegdyś Sam Gamgee w łodzi.

– Szczęśliwej drogi, obyście znaleźli swoją zgubę! – zawołał Éomer. – A wracajcie jak najprędzej i niech odtąd nasze miecze błyszczą już zawsze w jednym szeregu!

– Wrócę! – odkrzyknął Aragorn.

– Ja także – powiedział Gimli. – Jeszcześmy z tobą nie skończyli rozmowy o Pani Lasu. Muszę wrócić, żeby cię nauczyć grzeczności.

– Zobaczymy – odparł Éomer. – Tyle dziwnych rzeczy zdarzyło się ostatnimi czasy, że może nie powinienem się dziwić, jeśli krasnolud

toporkiem zechce mi wbijać do głowy cześć dla pięknych pań. Wracaj zdrowy!

Tak się rozstali. Ścigłe były konie ze stadnin Rohanu. Gdy po krótkiej chwili Gimli rzucił okiem wstecz, oddział Éomera ledwie było widać na widnokręgu. Aragorn nie oglądał się za siebie; mimo pędu pilnie wypatrywał znaków na ziemi i cwałował pochylony, z głową na szyi Hasufela. Wkrótce mknęli brzegiem Rzeki Entów i tu odnaleźli wydeptany ze wschodu, od płaskowyżu, drugi szlak, o którym wspominał Éomer.

Aragorn zsiadł z konia i z bliska przyjrzał się tropom, potem znów wskoczył na siodło i odjechał nieco w bok ku wschodowi, trzymając się wciąż skraju wydeptanego szlaku i uważając, by nie zatrzeć śladów. Raz jeszcze zsiadł, zbadał dokładnie grunt i przeszedł kawałek drogi tam i z powrotem piechotą.

– Niewiele się dowiedziałem – rzekł, powróciwszy do towarzyszy. – Na głównym szlaku Jeźdźcy Rohanu zatarli kopytami koni ślady orków. Stąd banda ciągnęła chyba w dalszą drogę bliżej rzeki. Lecz trop od wschodu jest świeży i wyraźny. Żaden też ślad nie wskazuje, by ktoś zawrócił nad Anduinę. Trzeba teraz jechać wolniej i upewnić się, czy nigdzie nie widać śladów odchodzących w bok od gromady. Orkowie, gdy tu doszli, musieli już wiedzieć, że są ścigani; możliwe, że próbowali pozbyć się jeńców lub zabezpieczyć ich w jakiś sposób, nim stawili czoło przeciwnikom.

Tymczasem pogoda zaczęła się psuć. Niskie szare chmury nadpłynęły znad płaskowyżu. Mgła przesłoniła słońce. Leśne stoki Fangornu majaczyły coraz bliżej i coraz ciemniejsze, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi. Nie spostrzegli nigdzie śladów oddalających się od szlaku w prawo czy w lewo, tylko tu i ówdzie natykali się na trupy pojedynczych orków, których śmierć zaskoczyła w ucieczce; siwe pióra strzał sterczały im z pleców lub gardzieli.

Wreszcie, dobrze już pod wieczór, dotarli do skraju lasu i na otwartej polanie między pierwszymi drzewami Fangornu ujrzeli wielkie pogorzelisko; popioły były jeszcze gorące i dymiły. Opodal piętrzył się stos hełmów, zbroi, strzaskanych tarcz, połamanych mieczy, łuków, strzał, dzid i wszelkiego wojennego rynsztunku. Pośrodku tkwił zatknięty na pal ogromny łeb goblina; białe godło można było jeszcze rozróżnić na popękanym hełmie. Nieco dalej, w miejscu, gdzie rzeka wypływała z lasu,

wznosił się kurhan, dopiero co widać usypany, bo nagą ziemię okrywała świeżo wycięta darń, w którą wbito piętnaście włóczni.

Aragorn wraz z przyjaciółmi przeszukał dokładnie teren w szerokim promieniu wokół pobojowiska, lecz już się zmierzchało i wkrótce wieczór zapadł ciemny i mglisty. Noc nadeszła, a nie odkryli jeszcze śladu po Meriadoku i Pippinie.

– Nic więcej nie da się zrobić – rzekł ze smutkiem Gimli. – Niemało zagadek napotkaliśmy, odkąd wyszliśmy spod Tol Brandir, ale ta wydaje się jeszcze trudniejsza do rozwiązania niż wszystkie poprzednie. Myślę, że spalone kości hobbitów zmieszały się z popiołami orków. Bolesna to będzie nowina dla Froda, jeśli dożyje, by się o niej dowiedzieć; bolesna też dla starego hobbita, który czeka w Rivendell. Elrond sprzeciwiał się udziałowi tych dwóch młodzików w wyprawie.

– Ale Gandalf był za tym, żeby ich zabrać – powiedział Legolas.

– Sam Gandalf też chciał iść z nami, a pierwszy zginął – odparł Gimli. – Zawiodło go jasnowidzenie.

– Gandalf nie opierał swoich rad na pewności bezpieczeństwa dla siebie ani dla innych – rzekł Aragorn. – Są zadania, które lepiej podjąć, niż odrzucić, choćby u ich kresu czekała zguba. Ale nie zgodzę się jeszcze stąd odejść. Zresztą musimy i tak czekać do świtu.

Opodal pobojowiska wybrali na nocleg miejsce pod rozłożystym drzewem, które wyglądało trochę jak kasztan, lecz zachowało do tej pory mnóstwo zeszłorocznych liści, dużych i brunatnych, podobnych do wyschłych dłoni o długich rozcapierzonych palcach. Gałęzie szeleściły żałośnie w podmuchach nocnego wiatru.

Gimlim dreszcz wstrząsnął. Mieli z sobą ledwie po jednym kocu.

– Rozpalmy ognisko – rzekł krasnolud. – Nie dbam już o związane z tym niebezpieczeństwo. Niech się orkowie zlecą jak ćmy do świecy.

– Jeżeli ci biedni hobbici błąkają się po lesie, ogień mógłby ich do nas ściągnąć – poparł przyjaciela Legolas.

– Mógłby nam ściągnąć na kark inne jeszcze stwory prócz orków i hobbitów – powiedział Aragorn. – Niedaleko stąd do podgórskich dziedzin zdrajcy Sarumana. Siedzimy na skraju Fangornu, a podobno niebezpiecznie jest ruszać drzewa w tym lesie.

– Rohirrimowie wczoraj zapalili ogromny stos – odparł Gimli – i zrąbali, jak widać, sporo drzew na to ognisko. Spędzili jednak noc spokojnie, obozując tutaj po bitwie.

– Byli w licznej kompanii – rzekł Aragorn – i niestraszny im gniew Fangornu, bo rzadko się tu zapuszczają, a między drzewa nie wchodzą nigdy. Lecz nas droga pewnie zaprowadzi w samo serce lasu. Lepiej bądźmy ostrożni. Nie tykajmy żywych drzew.

– Nie ma potrzeby – odparł Gimli. – Rohirrimowie zostawili dość drew i chrustu, pełno też na ziemi suchych gałęzi.

Zaraz też ruszył zbierać susz, a potem zajął się ułożeniem stosu i rozpaleniem ogniska. Aragorn siedział tymczasem oparty plecami o potężny pień i rozmyślał w milczeniu, Legolas zaś stał nieco dalej na otwartej przestrzeni i, wychylony naprzód, czujnie wpatrywał się w ciemną głąb lasu, jakby nasłuchując głosów wzywających z oddali. Kiedy krasnolud skrzesał iskrę i mały stos rozbłysnął jasnym płomieniem, wszyscy trzej obsiedli ognisko i skulili się nad nim w płaszczach i kapturach, odgradzając własnymi postaciami blask od nocy. Legolas podniósł głowę ku rozłożonej w górze koronie drzewa.

– Spójrzcie! – powiedział. – Drzewo cieszy się z ognia.

Może tańczące cienie łudziły ich wzrok, lecz wszyscy trzej mieli wrażenie, że gałęzie chylą się ku płomieniom i że drzewo przygina konary, by je zbliżyć do ogniska; brunatne liście zesztywniały i ocierały się o siebie jak tłum zziębniętych, szorstkich dłoni, stęsknionych do ciepła.

Zapadła cisza, bo nagle podróżni odczuli mrok bliskiego a nieznanego lasu jak obecność jakiejś wielkiej posępnej istoty, zadumanej o własnych sprawach. Po chwili odezwał się znów Legolas.

– Celeborn ostrzegał, żebyśmy nie zapuszczali się w głąb Fangornu – rzekł. – Czy nie wiesz dlaczego, Aragornie? Jakie legendy o tych lasach znał Boromir?

– Wiele różnych legend słyszałem w Gondorze – odparł Aragorn. – Lecz gdyby nie przestrogi Celeborna, uważałbym je wszystkie za bajki, szerzące się wśród ludzi, odkąd utracili mądrość prawdziwą. Właśnie chciałem ciebie zapytać, ile jest prawdy w tych opowieściach. Jeżeli leśny elf nie wie tego, jakże człowiek mógłby go pouczyć?

– Więcej świata przewędrowałeś niż ja – rzekł Legolas. – W mojej ojczyźnie nic o Fangornie nie mówiono, śpiewano tylko pieśni o dawnych tutejszych mieszkańcach, onodrimach, których ludzie zwą entami. Fangorn bowiem jest lasem bardzo starym, nawet wedle rachuby czasu elfów.

– Tak, jest równie stary jak las za Kurhanami, a znacznie od niego większy. Elrond powiada, że istnieje między nimi więź rodzinna; oba stanowią ostatnie bastiony potęgi leśnej z Dawnych Dni, kiedy Pierworodni wędrowali po świecie, a plemię ludzi jeszcze spało. Ale Fangorn ma jakiś własny sekret. Jaki – tego nie wiem.

– A ja wcale wiedzieć nie chcę – rzekł Gimli. – Ktokolwiek tam mieszka, z mojej strony niech się nie obawia ciekawości.

Pociągnęli losy, żeby ustalić kolejność straży. Pierwsza warta przypadła Gimlemu. Aragorn i Legolas położyli się i zaraz sen ich zmorzył.

– Pamiętaj, Gimli – mruknął jeszcze sennie Aragorn – że niebezpiecznie jest obcinać gałęzie czy bodaj gałązki z żywych drzew Fangornu. Nie zapuszczaj się też dalej w las po chrust. Nawet gdyby ogień miał zagasnąć. A w razie czego, zbudź mnie.

Z tymi słowami usnął. Legolas leżał bez ruchu na wznak, białe ręce skrzyżował na piersiach, oczy miał otwarte; elfowie bowiem w najgłębszym śnie zespalają się z życiem nocy. Gimli przycupnął koło ogniska i w zamyśleniu głaskał ostrze toporka. Liście szeleściły. Poza tym nic nie mąciło ciszy.

Nagle Gimli podniósł wzrok. Tam, gdzie światło bijące od ogniska wsiąkało w mrok, majaczyła sylwetka zgarbionego starca, opartego na lasce, otulonego płaszczem; szerokoskrzydły kapelusz miał wciśnięty głęboko na oczy. Gimli skoczył na równe nogi. W pierwszym momencie ze zdumienia nie mógł głosu dobyć, chociaż od razu błysnęła mu myśl, że to Saruman wytropił ich obozowisko. Zbudzeni gwałtownym ruchem krasnoluda Aragorn i Legolas usiedli na ziemi i wbili wzrok w zagadkową postać. Starzec nie odzywał się ani nie dawał żadnych znaków.

– Czego wam potrzeba, dziadku? – spytał Aragorn, zrywając się szybko. – Zmarzliście może, podejdźcie, ogrzejcie się przy ogniu.

Zrobił krok naprzód, ale starzec już zniknął. Nigdzie w pobliżu nie mogli go wypatrzyć, a dalej nie śmieli zapuszczać się w ciemności. Księżyc zaszedł i noc była czarna jak smoła.

Nagle Legolas krzyknął:

– Konie! Konie!

Konie uciekły. Wyrwały paliki, do których były przywiązane, i zbiegły. Przez długą chwilę przyjaciele stali bez ruchu i bez słowa, ogłuszeni tym nowym ciosem. Byli oto na skraju Fangornu, niezmierzony step dzielił ich od ludzi z Rohanu, jedynych sprzymierzeńców w całej tej rozległej, niebezpiecznej krainie. W pewnej chwili wydało im się, że z daleka, z nocnych mroków dobiega rżenie i prychanie koni. Potem znów wszystko ucichło, tylko zimny wiatr szeleścił wśród liści.

– Stało się, konie umknęły – rzekł wreszcie Aragorn. – Ani ich znaleźć, ani dogonić nie zdołamy. Jeśli więc nie wrócą z własnej woli, musimy się bez nich obejść. Wyruszyliśmy pieszo, a nogi na szczęście nam zostały.

– Nogi? – powiedział Gimli. – Nogi może nas poniosą, ale na pewno nie nakarmią.

Dorzucił parę gałązek do ognia i skulił się znów przy nim.

– Zaledwie kilka godzin temu nie chciałeś dosiąść wierzchowca Rohirrimów – zaśmiał się Legolas. – Widzę, że jeszcze z ciebie będzie jeździec zawołany.

– Wątpię, czy zdarzy się po temu sposobność – odparł Gimli. A po dłuższej chwili dodał: – Jeśli chcecie wiedzieć, co myślę, to wam powiem: myślę, że to był Saruman. Bo któż inny? Nie zapominajcie, co mówił Éomer, że włóczy się po kraju w postaci starca w płaszczu z kapturem. Wszystko się zgadza. Zabrał nam konie albo je spłoszył i popędził w step. Pięknie teraz wyglądamy! Zapamiętajcie moje słowa: nie skończą się na tym nasze kłopoty.

– Zapamiętam twoje słowa – rzekł Aragorn – ale zapamiętałem też coś innego: nasz staruszek miał na głowie kapelusz, a nie kaptur. Mimo to przypuszczam, że masz rację i że grozi nam tutaj niebezpieczeństwo we dnie i w nocy. Tymczasem jednak nic lepszego nie możemy zrobić, jak odpocząć, póki się da. Ja teraz będę trzymał straż, a ty, Gimli, idź spać. Bardziej mi trzeba chwili namysłu niż snu.

Noc wlokła się leniwie. Po Aragornie objął wartę Legolas, którego zastąpił znów Gimli i tak czuwali na zmianę. Nic się jednak nie zdarzyło do rana. Starzec nie pokazał się więcej, konie zaś nie wróciły.

ROZDZIAŁ 3
URUK-HAI

Pippina męczył ponury, koszmarny sen: zdawało mu się, że słyszy własny słaby głos, rozlegający się echem w ciemnym podziemiu i wołający: „Frodo! Frodo!”. Lecz zamiast przyjaciela tłum szkaradnych orków szczerzył z mroku zęby w złośliwym uśmiechu i setki wstrętnych łap wyciągały się po niego ze wszystkich stron. Gdzie jest Merry?

Pippin zbudził się. Zimny wiatr dmuchał mu w twarz. Leżał na wznak. Wieczór zapadał i niebo już poszarzało. Hobbit odwrócił głowę i stwierdził, że jawa niewiele jest lepsza od sennego koszmaru. Ręce, kolana, kostki u nóg miał spętane powrozem. Obok leżał Merry, bardzo blady, z czołem przewiązanym brudną szmatą. Dokoła wszędzie siedzieli lub stali orkowie, cała banda.

Szczątki wspomnień zaczęły się z wolna układać w obolałej głowie Pippina i wreszcie hobbit zaczął odróżniać je od sennych przywidzeń. A więc tak: pobiegł wraz z Merrym w las. Co ich tam pognało? Dlaczego rwali przed siebie, nie zważając na wołanie Obieżyświata? Biegli spory szmat drogi, wciąż nawołując, lecz Pippin nie mógł sobie przypomnieć, dokąd się zapędzili ani jak długo trwał ten bieg. Pamiętał tylko, że nagle wpadli prosto na oddział orków, którzy stali, jak gdyby nasłuchując, i wcale nie spostrzegając dwóch hobbitów, póki ci nie znaleźli się niemal w ich ramionach. Wtedy dopiero wrzasnęli, a na ten krzyk kilkudziesięciu ich pobratymców wyskoczyło z gąszczu. Hobbici chwycili za miecze, ale orkowie nie chcieli bić się z nimi, usiłowali najwyraźniej wziąć ich żywcem, mimo że Merry rąbał nie na żarty. Dzielny, kochany Merry.

Wtem spomiędzy drzew wypadł Boromir. Zmusił orków do walki. Usiekł wielu, inni rozpierzchli się przed nim. Trzej przyjaciele zawrócili ku rzece, lecz nie uszli nawet kilku kroków, gdy nieprzyjaciel znów natarł, tym razem całą chmarą, a byli w niej między innymi orkowie olbrzymiego wzrostu; deszcz strzał sypnął się na osaczonych ze wszystkich stron – a każda z nich mierzyła w Boromira. Boromir zadął w swój róg, aż echo poszło po lesie. Orkowie zrazu zdumieli się i cofnęli, gdy jednak na ten apel nikt nie odpowiedział, zaatakowali ze zdwojoną furią. Więcej nic z tego

zdarzenia Pippin nie pamiętał. Został mu tylko w oczach ostatni obraz: Boromir, plecami oparty o pień drzewa, wyciągający strzałę z własnej piersi. Potem nagle ogarnęły hobbita ciemności.

„Pewnie dostałem pałką po głowie – pomyślał. – Czy Merry jest ciężko ranny? Co się stało z Boromirem? Dlaczego orkowie nas obu nie zabili? Gdzie jesteśmy? Dokąd idziemy?”

Nie znajdował odpowiedzi na te pytania. Drżał z zimna i czuł się bardzo chory.

„Szkoda, że Gandalf przekonał Elronda, który nie chciał nas puścić na wyprawę – myślał. – Na cóż się przydałem w tej podróży? Tylko zawadzałem w marszu. Byłem pasażerem, gorzej: bagażem. A teraz mnie ukradziono i stałem się tobołkiem taszczonym przez orków. Miejmy nadzieję, że Obieżyświat albo któryś z przyjaciół odszuka nas i odbije. Ale czy wolno mi się tego spodziewać? Czy to nie pokrzyżowałoby naszej drużynie wszystkich planów? Ach, żeby tak odzyskać wolność!”

Spróbował poderwać się z ziemi, lecz daremnie. Jeden z siedzących obok orków roześmiał się i zaszwargotał coś w swoim obrzydliwym języku do kamrata.

– Leż spokojnie, póki ci pozwalamy – zwrócił się do Pippina we Wspólnej Mowie, która jednak w jego ustach brzmiała prawie tak samo szkaradnie jak bełkot orków. – Leż spokojnie, durny pętaku, bo wkrótce będziesz miał okazję rozruszać kulasy. A nim dojdziemy do celu, pożałujesz, że je masz.

– Żebym tak mógł się z tobą zabawić, jak bym chciał, to pożałowałbyś nawet, że się urodziłeś – odezwał się drugi ork. – Zapiszczałbyś w mojej garści jak szczur, wyskrobku. – Pochylił się nad Pippinem, szczerząc mu prosto w twarz żółte kły. W ręku miał długi, zębaty nóż. – Leż spokojnie, bo cię połechcę tym cackiem – syknął. – Radzę ci, nie przypominaj mi o sobie, bo mógłbym zapomnieć, jaki dostałem rozkaz. Zaraza na tych Isengardczyków! *Uglúk u bagronk sha pushdug Saruman-glob búbhosh skai* – zaczął w swoim języku długą, gniewną przemowę, którą wreszcie zakończył chrapliwym bełkotem.

Pippin, wystraszony, leżał więc odtąd cicho, chociaż przeguby rąk i kostki nóg bolały go coraz dotkliwiej, a kamienie, na które go rzucono, wrzynały mu się w plecy. Żeby oderwać myśli od własnej niedoli, starał się

jak najczujniej wsłuchiwać we wszystko, co dochodziło do jego uszu z zewnątrz. Gwar mnóstwa głosów rozbrzmiewał dokoła; wprawdzie mowa orków zawsze zdaje się zgrzytać złością i nienawiścią, lecz Pippin zauważył, że tym razem toczy się jakaś sprzeczka, i to coraz gorętsza.

Ku swemu zdumieniu stwierdził, że dość dużo z tego rejwachu rozumie, bo wielu orków używało Wspólnej Mowy. Widocznie spotkało się w bandzie kilka różnych szczepów, które w swoich gwarach nie mogły się porozumieć. Kłócili się o to, co dalej robić, którą drogą iść i jak postąpić z jeńcami.

– Nie ma czasu, żeby ich uśmiercić jak należy – powiedział któryś. – Nie można sobie pozwolić na zabawę w tym marszu.

– Trudno – rzekł inny. – Ale zabić ich raz-dwa przecież by można? Kłopot z nimi diabelny, a nam się spieszy. Wieczór zapada, trzeba ruszać w drogę.

– Mamy rozkaz – odezwał się trzeci głos, zgrzytliwy bas. – „Mordujcie wszystkich prócz niziołków; tych żywcem dostawić jak najszybciej”. Taki mamy rozkaz.

– Na co oni komu potrzebni? – zapytało kilku naraz. – Dlaczego żywcem? Czy te pokraki nadają się do jakiejś szczególnej zabawy?

– Nie! Podobno jeden z nich ma przy sobie coś, co jest bardzo potrzebne na wojnie, jakiś sekret elfów. Dlatego każdy hobbit będzie brany na spytki.

– Więcej nic nie wiesz? A gdyby tak ich obszukać? Może znaleźlibyśmy to coś i obrócili na własny pożytek?

– Bardzo ciekawy pomysł – zauważył drwiąco głos, mniej prostacki niż inne, lecz bardziej niż wszystkie nikczemny. – Będę chyba musiał o nim donieść gdzie trzeba. Jeńców nie wolno rewidować, nie wolno im też nic zabierać. Tak ja rozkazuję.

– Ja także – odezwał się ten sam bas, co poprzednio. – Powiedziano: żywcem i z tym wszystkim, z czym ich ujęto. Nie tykać niczego. Tak rozkazuję!

– Ale my nie posłuchamy – zawołał ten, który pierwszy zadał pytanie. – Idziemy szmat drogi od kopalni po to, żeby zabić, pomścić swoich. Chcę ich zabić i wrócić na północ.

– Chcieć możesz, co ci się podoba – odparł mu bas. – Ale będzie tak, jak ja każę. Uglúk wam rozkazuje. A Uglúk wróci najkrótszą drogą do Isengardu.

– Kto tu rządzi, Saruman czy Wielkie Oko? – spytał głos najbardziej nikczemny. – Mamy wracać niezwłocznie do Lugbúrza.

– Może byśmy to zrobili – rzekł inny – gdyby można przeprawić się za Wielką Rzekę. Ale za mało nas, żeby ryzykować drogę przez mosty.

– A jednak ja się przeprawiłem – powiedział nikczemny. – Skrzydlaty Nazgûl czeka na północ stąd, u wschodniego brzegu.

– Pewnie, pewnie! Ty polecisz z jeńcami, zgarniesz w Lugbúrzu wszystkie nagrody i pochwały, a nas zostawisz, żebyśmy sobie radzili, jak się da, i na własnych nogach wędrowali przez Kraj Koni. Nie! Musimy trzymać się wszyscy razem. To niebezpieczna okolica, roi się tu od buntowników i zbójów.

– Tak, tak, musimy trzymać się razem – zachrypiał Uglúk. – Nie dowierzam wam, świntuchy, wyście odważni tylko w swoim chlewie. Gdyby nie my, ucieklibyście z pola. To my, jesteśmy Uruk-hai, orki bojowe. To my zabiliśmy wielkiego wojownika. To my wzięliśmy jeńców. My, sługi Sarumana Mądrego, Białej Ręki, która nas karmi ludzkim mięsem. My wyszliśmy z Isengardu, żeby was tu przyprowadzić, i my powiedziemy was z powrotem tą drogą, którą sami wybierzemy. Ja wam to mówię, Uglúk.

– Za wiele mówisz, Uglúk – zadrwił nikczemny głos. – Wątpię, czy to się spodoba w Lugbúrzu. Możliwe, że ktoś tam zechce ulżyć twoim ramionom i zdejmie z nich zbyt nadętą głowę. Możliwe też, że ktoś będzie ciekawy, skąd ci przyszły do łba te osobliwe myśli. Czy może Saruman ci je podszepnął? Za kogo on się uważa, że chce rządzić po swojemu i w oczy kłuje tym swoim plugawym białym godłem? Może w Lugbúrzu uwierzą mnie, Grisznákowi, zaufanemu wysłannikowi, gdy powiem: Saruman to głupiec, a co gorsza – podły zdrajca. Ale Wielkie Oko pilnuje Sarumana.

– Nazwałeś nas świntuchami?! Jak on śmie ten gnojek, ten pachoł małego plugawego czarodzieja! Powiadam wam, Biała Ręka nie ludzkim, ale orkowym mięsem tych łajdaków pasie.

Na to ozwały się zewsząd wrzaski w języku orków i szczęknęły szable, dobywane z pochew. Pippin ostrożnie przeturlał się na bok, żeby zobaczyć, co się dalej będzie działo. Strażnicy porzucili jeńców i przyłączyli się do

kłótni. Wytężając w zmroku oczy, Pippin dostrzegł ogromnego czarnego orka i domyślił się, że to jest Uglúk. Twarzą w twarz z olbrzymem stał pokraczny, przysadzisty stwór na krzywych nogach, z szerokimi barami i długimi, zwisającymi niemal do ziemi ramionami – Grisznák. Tłum mniejszych goblinów otaczał w krąg dwóch przywódców. Pippin zgadywał, że Grisznáka popiera plemię orków z północy. Dobyli noży i szabel, nie śmieli jednak jeszcze natrzeć na Uglúka.

Uglúk krzyknął. Gromada rosłych orków, niemal dorównujących mu wzrostem, podbiegła do swego wodza. Znienacka, bez słowa, Uglúk runął do ataku i błyskawicznie rąbnął szablą raz i drugi: w gromadzie przeciwników dwie głowy potoczyły się na ziemię. Grisznák uskoczył w bok i zniknął w ciemnościach, reszta pierzchła. Jeden, umykając, potknął się o bezwładne ciało Meriadoka. Zaklął siarczyście, ale ten przypadek ocalił mu zapewne życie, bo żołdacy Uglúka przeskoczyli przez leżących na ziemi jeńców, a cios szerokiej szabli, dla tamtego przeznaczony, ściął głowę innemu. W tym innym Pippin poznał wartownika, który przedtem straszył go swymi żółtymi kłami. Leżał teraz na hobbicie, martwy, lecz w ręku ściskał nóż, długi i zębaty jak piła.

– Broń do pochew! – krzyknął Uglúk. – Dość tych awantur. Ruszamy prosto na zachód, schodami w dół. Potem przez płaskowyż i wzdłuż rzeki do lasu. Maszerujemy dniem i nocą. Zrozumiano?

„Teraz albo nigdy – pomyślał Pippin. – Zanim ten szkaradny ork zaprowadzi jakiś ład w swojej bandzie, upłynie trochę czasu, a w takim razie – spróbuję szczęścia”.

Ocknęła się w jego sercu odrobina nadziei. Ostrze czarnego noża drasnęło mu ramię i osunęło się ku przegubowi ręki. Czuł wprawdzie ściekające na dłoń krople krwi, ale czuł także dotknięcie zimnej stali.

Orkowie zbierali się do wymarszu, jednak część plemienia z północy nie zaniechała oporu, tak że Isengardczycy zarąbali jeszcze dwóch buntowników, zanim reszta poddała się w końcu rozkazom Uglúka. Wkoło panował zgiełk, rozlegały się wrzaski i przekleństwa. Przez chwilę nikt nie zważał na Pippina. Hobbit miał nogi spętane, lecz rąk, związanych w przegubach, nie wykręcono mu do tyłu. Mógł poruszać nimi, jakkolwiek więzy wpijały się boleśnie w ciało. Zepchnął martwego orka na bok i cichcem, nieledwie wstrzymując dech w piersiach, zaczął przesuwać supeł postronka tam i z powrotem po klindze noża. Nóż był dobrze wyostrzony, a

martwa ręka orka trzymała go mocno. Więzy puściły. Pippin szybko uchwycił koniec powroza palcami, splątał w luźną podwójną bransoletę i owinął nią napięstki. Potem znów leżał nieruchomo.

– Podnieść jeńców z ziemi! – wrzasnął Uglúk. – Tylko bez głupich figli! Jeżeli nie dojdą na miejsce żywi, ktoś za to zapłaci gardłem.

Jeden z orków chwycił Pippina, wetknął głowę między jego spętane ręce, zarzucił go sobie niby wór na plecy i ruszył z ciężarem do szeregu. Drugi w ten sam sposób dźwignął Meriadoka. Pippin miał twarz wciśniętą w kark swego tragarza, łapy orka niby żelazne kleszcze trzymały go za ramiona, pazury wpijały się boleśnie w ciało. Przymknął oczy i zapadł znów w koszmarny sen.

Nagle poczuł, że go znów rzucono na twardą, kamienistą ziemię. Noc była jeszcze wczesna, lecz wąski sierp księżyca zniżał się ku zachodowi. Znajdowali się na skraju urwistej góry, u której stóp falowało morze bladej mgły. Gdzieś w pobliżu pluskała woda.

– Zwiadowcy wrócili nareszcie – powiedział tuż przy nim któryś z orków.

– Mówcie, co widzieliście? – zachrypiał Uglúk.

– Jednego jedynego konnego wojownika, który odjechał na zachód. Droga wolna.

– Na razie. Ale czy na długo? Głupcy! Trzeba go było zabić. Gotów zaalarmować swoich. Do rana ci przeklęci koniarze będą wiedzieli o nas. Musimy tym bardziej przyspieszyć pochód.

Cień jakiś schylił się nad Pippinem. Był to Uglúk.

– Siadaj! – rozkazał. – Moi chłopcy zmęczyli się taszczeniem cię jak barana. Teraz czeka nas zejście z urwiska, musisz pofatygować się na własnych nogach. Ruszaj się żwawo. Tylko bez krzyku i nie próbuj uciekać. Potrafimy w razie potrzeby dać ci taką nauczkę, że odechce ci się na zawsze głupich żartów, a wcale nie stracisz wartości dla naszego władcy.

Przeciął mu więzy na udach i w kostkach, podniósł go za włosy i postawił na nogi. Pippin przewrócił się. Uglúk znów dźwignął go za czuprynę. Kilku orków wybuchnęło śmiechem. Uglúk wetknął hobbitowi manierkę między zęby i wlał w gardło jakiś piekący trunek. Ciepło rozlało

się żarem po wnętrznościach. Ból w udach, łydkach i stopach zniknął. Pippin mógł już teraz utrzymać się na nogach.

– No, teraz następny! – rzekł Uglúk.

Pippin zobaczył, jak olbrzymi ork zbliża się do Meriadoka i kopie go. Merry jęknął. Brutalnym gestem Uglúk podniósł jeńca do pozycji siedzącej i zdarł mu z głowy opatrunek. Wysmarował ranę jakąś ciemną maścią, którą brał z drewnianego pudełeczka. Merry krzyknął i szarpnął się gwałtownie.

Orkowie klaskali w ręce i wrzeszczeli z uciechy.

– Lekarstwa się boi! – wykrzykiwali szyderczo. – Nie rozumie, że to dla jego dobra! Hej, będziemy mieli z nim potem zabawę!

Na razie jednak Uglúk nie myślał o zabawie. Nie miał czasu do stracenia i chciał pokrzepić przymusowych uczestników pochodu. Leczył Meriadoka na sposób orków, a był to sposób rzeczywiście skuteczny. Kiedy bowiem wlał przemocą w gardło jeńca łyk palącego trunku ze swej manierki, przeciął mu więzy na nogach i podniósł go z ziemi, Merry stanął o własnych siłach, bardzo blady, z twarzą zaciętą i wyzywającą, lecz najzupełniej przytomny. Nie czuł już nawet rany na czole, chociaż brunatna blizna została mu na całe życie.

– Witaj, Pippinie! – rzekł. – A więc ty także bierzesz udział w tej majówce? Gdzie będziemy nocowali i jedli śniadanie?

– Dość! – wrzasnął Uglúk. – Bez głupich dowcipów. Język za zębami! Nie wolno wam z sobą gadać. O każdym wybryku dowie się ten, który na was czeka u celu pochodu, a już on potrafi za wszystko wam zapłacić. Ugości was, nie bójcie się, aż wam ta gościna bokiem wylezie.

Banda zaczęła spuszczać się ciasnym żlebem w dół, ku zamglonej równinie. Merry i Pippin, rozdzielni przez kilkunastu co najmniej orków, schodzili razem z innymi. Kiedy poczuli pod nogami trawę, serca zabiły im nową otuchą.

– A teraz prosto przed siebie! – wrzasnął Uglúk. – Na zachód, nieco ku północy. Prowadzi Lugdusz.

– Ale co zrobimy, jak słońce wzejdzie? – zaniepokoili się orkowie z północy.

– Będziemy szli dalej – odparł Uglúk. – A cóżeście myśleli? Że siądziemy sobie na trawie i poczekamy, aż Białoskórzy przyjdą z nami

zatańczyć?

– Ale my przecież nie możemy maszerować w dziennym świetle.

– Jak mnie poczujecie za swoimi plecami, to pomaszerujecie, aż się będzie kurzyło – odparł Uglúk. – Biegiem! Bo inaczej nie zobaczycie już nigdy swoich ukochanych jaskiń. Na Białą Rękę! Co to był za pomysł brać z sobą na wyprawę te górskie pokraki, których nikt przedtem nie nauczył żołnierskiego rzemiosła jak należy. Biegiem, do pioruna! Biegiem, póki noc trwa!

I cała banda puściła się biegiem, sadząc, zwyczajem orków, długimi susami. Nie pilnowali porządku w marszu, popychali się wzajemnie, szturchali, klęli w głos, ale, przyznać trzeba, szli ostro naprzód. Każdego hobbita pilnowało trzech strażników. Jeden z nich miał w garści bicz. Pippin znalazł się dość daleko na tyłach bandy. Z niepokojem myślał, czy długo wytrzyma to szalone tempo; od świtu nic nie jadł. Tymczasem jednak czuł jeszcze w sobie ciepło orkowego napoju i jego umysł pracował gorączkowo.

Co chwila stawał mu w pamięci, chociaż nieprzyzywany, Obieżyświat, i Pippinowi zdawało się, że go widzi, spieszącego niestrudzenie za tropem, z twarzą skupioną, czujnie schyloną nad ziemią. Ale czyż nawet bystre oczy Strażnika dostrzegą na szlaku cokolwiek prócz zmieszanego, splątanego śladu mnóstwa orkowych stóp? Ślady dwóch hobbitów nikły, zadeptane podkutymi butami orków, biegnących za nimi, przed nimi, wszędzie dokoła.

Kiedy uszli niewiele ponad milę od urwiska, teren zaczął opadać łagodnie ku rozległemu, płytkiemu zagłębieniu, w którym ziemia była miękka i wilgotna. Biły od niej gęste opary, połyskujące blado w ostatnich promieniach księżycowego sierpa. Ciemne sylwetki orków na przedzie pochodu przyblakły i rozpłynęły się we mgle.

– Hej, czoło, zwolnić kroku! – krzyknął Uglúk, który zamykał pochód.

Nagła myśl błysnęła w mózgu Pippina i posłuchał jej rady natychmiast. Uskoczył w bok, wywinął się spod ręki swego strażnika i głową naprzód dał nura w mgłę, aż wylądował plackiem w trawie.

– Stój! – ryknął Uglúk.

W tłumie orków zakotłowało się, chwilę trwał zgiełk i zamęt. Pippin zerwał się i pomknął na oślep. Lecz orkowie już pędzili za nim, a kilku

zabiegło mu drogę.

„Nie da się uciec – pomyślał Pippin. – Ale przynajmniej zostawię na mokrym gruncie kilka wyraźnych śladów, których tamci nie zadepczą”.

Związanymi rękami wymacał pod szyją na płaszczu klamrę i odpiął ją. Długie ramiona orków już go dosięgały, twarde kleszcze palców już go chwytały, lecz zdążył rzucić zapinkę na ziemię.

„Będzie tu pewnie leżała do końca świata – pomyślał. – Nie wiem, po co to zrobiłem. Tamci, nawet jeżeli ocaleli, poszli bez wątpienia za Frodem”.

Bicz smagnął po łydkach, owinął się wokół kostek. Pippin zdusił krzyk w gardle.

– Dość! – wrzasnął, nadbiegając, Uglúk. – Ten łajdak będzie jeszcze potrzebował nóg do dalszego marszu. Zmusić ich obu do biegu. Bata używajcie tylko do poganiania. Ale nie myśl, że na tym się skończy – warknął, zwracając się do Pippina. – Nie zapomnę ci tej sztuki. Kara odwlecze się, ale nie uciecze. A teraz, w drogę!

Ani Pippin, ani Merry nie zapamiętali wiele z późniejszego etapu marszu. Straszne sny i równie straszne przebudzenia splątały się jakby w długim czarnym tunelu udręki, a iskierka nadziei została daleko w tyle i błyszczała coraz niklej. Biegli, biegli, wciąż usiłując dotrzymać kroku orkom, smagani co chwila nahajkami, których oprawcy używali z okrutną zręcznością; jeśli któryś jeniec ustawał lub potykał się w biegu, kilku orków chwytało go za ramiona i wlokło przez czas jakiś przemocą.

Dobroczynne ciepło orkowego trunku wyparowało wkrótce. Pippin dygotał z zimna i słabł. W pewnej chwili runął nagle twarzą w trawę. Twarde łapy wpiły się ostrymi pazurami w jego ciało i dźwignęły go z ziemi. Znów któryś ork taszczył go niby tobół na plecach i znów hobbita ogarnęły ciemności, nie wiedział jednak, czy to nowa noc zapada nad światem, czy też on oślepł z wyczerpania.

Jak przez mgłę słyszał wkoło głosy błagalne i jękliwe. Zrozumiał, że wielu spośród orków domaga się chwili odpoczynku. Uglúk krzyczał. Pippina rzucono na ziemię; leżał tak, jak padł, i natychmiast usnął kamiennym snem. Na krótko tylko uciekł od cierpień, bezlitosne łapy znów porwały go w żelazne kleszcze. Długo tak znosił w odrętwieniu wstrząsy i szturchańce, aż stopniowo ciemności zrzedły, a Pippin ocknął się i otworzył

oczy: był ranek. Usłyszał wykrzykiwane wzdłuż kolumny pochodu rozkazy i znów padł, zrzucony z grzbietu orka na ziemię.

Leżał długą chwilę, walcząc z rozpaczą. W głowie mu się kręciło, lecz po gorącu rozlanym w ciele poznał, że napojono go po raz drugi palącym trunkiem. Któryś z orków schylił się nad nim i cisnął mu kawałek chleba i surowego suszonego mięsa. Hobbit zjadł łapczywie stęchły, szary chleb, lecz mięsa nie tknął. Był głodny, lecz nie tak wygłodzony, by wziąć do ust ten ochłap z ręki orka; ze zgrozą odtrącił narzucające się pytanie, z jakiego stworzenia mogło pochodzić mięso.

Usiadł i rozejrzał się. Merry leżał niedaleko od niego. Znajdowali się na brzegu wąskiej, rwącej rzeki. Przed nimi majaczyły góry: strzelisty szczyt już złowił pierwsze promienie słońca. Na pobliskich stokach czerniał las.

W obozowisku wrzało od krzyków i sporów. Zdawało się, że lada chwila wybuchnie znów dzika kłótnia między plemieniem z północy a Isengardczykami. Jedni wskazywali na południe, skąd przyszli, inni na wschód.

– Dobrze więc – rzekł Uglúk. – Zostawcie ich mnie! Zabijać nie wolno, to wam już mówiłem. Lecz jeśli chcecie porzucić zdobycz, po którą szliśmy taki szmat drogi, zróbcie to. Ja się nimi zajmę. Bojowy szczep Uruk-hai jak zawsze weźmie na siebie całą robotę. Skoro boicie się Białoskórych, umykajcie! Umykajcie! Tam jest las. W nim wasza nadzieja. Dalejże, w nogi! A pospieszcie się, zanim znów kilka łbów zetnę, żeby resztę rozumu nauczyć.

Przez chwilę trwał zgiełk przekleństw i szamotanina, potem większość orków z północy – setka czy może więcej – wyrwała się z tłumu i puściła przed siebie, pędząc bezładnie brzegiem rzeki ku górom. Hobbici znaleźli się wśród Isengardczyków. Było ich co najmniej osiem dziesiątków, a wszyscy posępni i smagli, groźni, kosoocy, uzbrojeni w ogromne łuki i krótkie miecze o szerokich klingach. Garstka najroślejszych i najodważniejszych orków z północnego szczepu została przy Uglúku.

– Teraz rozprawimy się z Grisznákiem – rzekł Uglúk. Ale nawet wśród jego współplemieńców ten i ów spoglądał z niepokojem w stronę południa.

– Wiem – mruknął Uglúk. – Przeklęci koniarze zwęszyli nas. To twoja wina, Snago. Powinienem uszy obciąć i tobie, i twoim zwiadowcom. Ale

my jesteśmy bojowi Uruk-hai. Będziemy wkrótce ucztować i zakosztujemy końskiego mięsa, a może też innego, lepszego jeszcze.

W tym właśnie momencie Pippin zrozumiał, co sobie orkowie pokazywali na wschodzie. Stamtąd bowiem doleciały ochrypłe okrzyki i pojawił się Grisznák z kilkudziesięciu orkami swojego szczepu, krzywonogimi poczwarami o długich, niemal do ziemi ramionach. Na tarczach mieli wymalowane czerwone oko. Uglúk wysunął się na ich spotkanie.

– A więc wracacie? – rzekł. – Rozmyśliliście się, co?

– Wróciłem, żeby dopilnować wykonania rozkazów i bezpieczeństwa jeńców – odparł Grisznák.

– Doprawdy? – warknął Uglúk. – Próżny trud. Ja tu dowodzę i rozkazy będą na pewno wykonane. A może wróciliście po coś więcej? Opuszczaliście nas w takim pośpiechu, może zostawiliście tu przez roztargnienie coś cennego?

– Zostawiliśmy głupca – gniewnie odparł Grisznák. – Ale jest przy nim garstka dzielnych orków, których szkoda byłoby stracić. Wiedziałem, że ich prowadzisz do zguby. Przybyłem, żeby ich ratować.

– Pięknie! – zaśmiał się Uglúk. – Jeśli jednak nie palisz się do bitwy, obrałeś złą drogę. Trzeba było uciec prosto do Lugbúrza. Białoskórzy już tu nadciągają. Gdzież się podział twój bezcenny Nazgûl? Czyżby sobie znalazł innego pasażera na lot za rzekę? A może go przyprowadziłeś ze sobą? Bardzo by się przydał, jeśli te całe Nazgûle nie są przechwalone.

– Nazgûle, Nazgûle! – powtórzył Grisznák, drżąc i oblizując wargi, jakby to słowo miało dla niego smak przerażający i rozkoszny zarazem. – Mówisz o sprawach, których nie zdołasz dosięgnąć nawet swoją nikczemną wyobraźnią, Uglúku – rzekł. – Nazgûle! Nazgûle przechwalone! Pożałujesz kiedyś, żeś to powiedział! Małpo! – warknął z wściekłością. – Czy nie wiesz, że to ulubieńcy Wielkiego Oka? Ale nie czas jeszcze na skrzydlatych Nazgûlów, jeszcze nie! Władca nie chce, żeby zobaczono ich na drugim brzegu Wielkiej Rzeki, póki nie wybije godzina. Przeznaczeni są do wojny i do innych zadań.

– Trochę, jak się zdaje, za dużo wiesz – powiedział Uglúk. – A to, jak słyszałem, bywa niezdrowe. W Lugbúrzu ktoś może będzie ciekawy, skąd masz tak wiele wiadomości i po co je zbierałeś. No tak, a tymczasem

szczep Uruk-hai z Isengardu jak zwykle musi odwalić najcięższą robotę. Nie stercz tu, pytlując jęzorem na próżno. Skrzyknij ten swój motłoch. Tamte świntuchy już drałują ku lasom. Radzę ci iść w ich ślady. Do Wielkiej Rzeki nie dotarlibyście żywi. W drogę! Prędzej! Ja pociągnę w tylnej straży.

Dwaj Isengardczycy znów porwali Meriadoka i Pippina i zarzucili ich sobie na plecy. Banda orków ruszyła dalej. Biegli niezmordowanie, godziny mijały bez popasu, ledwie na chwilę zwalniali niekiedy kroku, żeby przekazać jeńców innym tragarzom. Czy to dlatego, że Isengardczycy byli szybsi i wytrwalsi, czy też Grisznák rozmyślnie o to się postarał, dość że współplemieńcy Uglúka stopniowo wyprzedzali żołdaków z Mordoru, którzy wkrótce znaleźli się na tyłach pochodu. Malała też stale odległość między Isengardczykami a gromadą orków z północy, którzy wcześniej pognali naprzód. Las ciemniał coraz bliżej.

Pippin był posiniaczony i podrapany, a jego obolała głowa ustawicznie ocierała się o plugawe policzki i kudłate uszy orka, który go dźwigał. Przed oczyma miał zgięte plecy orków, ich krzepkie grube nogi przebierające tak niestrudzenie, jakby je ulepiono nie z ciała i kości, lecz z drutu i rogu, wybijając koszmarne sekundy nieskończenie długiego dnia. Po południu oddział Uglúka prześcignął szczep z północy. Tamci słabli w blasku słońca, które mimo zimowej pory jasno świeciło na bladym niebie. Głowy im opadały na piersi, jęzory wywalili na wierzch.

– Pokraki! – szydzili Isengardczycy. – Marny wasz los. Białoskórzy przyłapią was i pożrą. Już są blisko!

Lecz w tym momencie Grisznák krzyknął przeraźliwie: złośliwy żart okazał się prawdą. Tylna straż rzeczywiście dostrzegła już jeźdźców pędzących co koń wyskoczy. Byli jeszcze dość daleko, lecz, szybsi od orków, z każdą chwilą zwiększali swoją przewagę nad nimi tak, jak fala przypływu, gdy goni na płaskim brzegu ludzi, grzęznących w sypkim piachu.

Ku zdumieniu Pippina Isengardczycy teraz zdwoili jeszcze tempo, zdobywając się na straszliwy chyba wysiłek po tak długim biegu. Nagle zauważył, że słońce zachodzi i kryje się za Góry Mgliste; cienie wydłużyły się na stepie. Żołdacy Mordoru podnieśli głowy i także przyspieszyli kroku. Czarna ściana lasu była blisko. Już mijali w pędzie pojedyncze drzewa,

forpoczty puszczy. Teren wznosił się tutaj zrazu łagodnie, potem coraz ostrzej, lecz to nie wstrzymało rozpędu orków. Uglúk i Grisznák okrzykami przynaglali bandę do ostatniego zrywu.

„Gotowi się wymknąć. Ocaleją” – myślał Pippin. Udało mu się odwrócić głowę na tyle, by zerknąć jednym okiem przez ramię wstecz. Zobaczył daleko na wschodzie jeźdźców, którzy już byli na tej samej linii, co orkowie, i wyciągniętym galopem gnali przez równinę. Zachodzące słońce złociło ich włócznie i hełmy, połyskiwało na jasnych rozwianych włosach. Najwyraźniej okrążali orków, nie pozwalając im się rozproszyć i zmuszając bandę do trzymania się brzegu rzeki.

Pippin bardzo był ciekaw, co to za lud. Żałował, że w Rivendell nie postarał się zdobyć więcej wiadomości o świecie i nie przyjrzał się pilniej mapom. Lecz wówczas był spokojny, że plan wyprawy jest w rękach osób mądrzejszych od niego; nie postało mu w głowie, że los może go rozłączyć z Gandalfem i Obieżyświatem, a nawet z Frodem. O Rohanie zapamiętał tylko tyle, że szlachetny wierzchowiec Gandalfa, Cienistogrzywy, pochodził z tego kraju. To zdawało się pomyślną wróżbą, jeśli wolno z jednego szczegółu wysnuwać jakieś nadzieje.

„Ale czy odróżnią nas od orków? – myślał. – Chyba nigdy tutaj nie słyszano nawet o hobbitach. Powinienem właściwie cieszyć się, że okrutnym orkom grozi zagłada, ale wolałbym mieć nadzieję na ocalenie własnej skóry”.

Jednakże wszystko przemawiało za tym, że jeńcy zginą razem ze swymi prześladowcami, nim ludzie z Rohanu zdążą dwóch hobbitów zauważyć.

Wśród jeźdźców byli widać łucznicy, wyćwiczeni w strzelaniu w pełnym pędzie z konia. Wysuwając się z szeregu, posyłali strzały orkom, którzy zamarudzili na tyłach bandy, i niejednego kładli trupem; potem szybko wycofywali się ku swoim, tak że strzały wrogów, wypuszczane na oślep, nie mogły ich dosięgnąć. Powtarzali ten manewr kilka razy, a zdarzyło się, że strzały sypnęły się też między Isengardczyków. Ork biegnący tuż przed Pippinem zachwiał się, padł i nie wstał więcej.

Noc nadciągała, lecz Jeźdźcy Rohanu nie stawali do bitwy. Wielu orków poległo, zostało ich jednak jeszcze co najmniej dwie setki. O zmroku banda dotarła do pagórka. Skraj lasu był bardzo blisko, nie dalej chyba niż o pół

mili, ale orkowie nie mogli już posuwać się naprzód. Pierścień jeźdźców zamknął się wokół nich. Wbrew rozkazowi Uglúka oddział orków spróbował przebić się do lasu. Tylko trzech z nich ocalało i wróciło do bandy.

– Otośmy się urządzili! – rzekł szyderczo Grisznák. – Dziękujmy wspaniałemu dowódcy. Mam nadzieję, że wielki Uglúk teraz wyprowadzi nas z tych sideł.

– Zrzucić niziołków na ziemię! – rozkazał Uglúk, nie zważając na słowa Grisznáka. – Ty, Lugduszu dobierz sobie dwóch kompanów i we trzech strażujcie przy jeńcach. Nie uśmiercać ich, chyba że ci podli Białoskórzy nas zmiażdżą. Zrozumiano? Póki ja żyję, oba niziołki są mi potrzebne. Ale nie pozwólcie im krzyczeć ani też nie dopuśćcie, żeby ich tamci odbili. Spętać jeńcom nogi.

Rozkaz spełniono bezlitośnie, lecz po raz pierwszy Pippin znalazł się teraz tuż obok Meriadoka. Orkowie hałasowali okropnie; wśród wrzasków i szczęku broni dwaj przyjaciele znaleźli sposobność, żeby szeptem zamienić kilka słów.

– Nie mam wiele nadziei – rzekł Merry. – Ledwie się w skórze trzymam. Wątpię, czy zdołałbym zawlec się daleko, nawet gdybym był wolny.

– Lembasy! – szepnął Pippin. – Mam jeszcze parę. A ty? Te łotry chyba niczego nam nie zabrały prócz mieczy?

– Tak, została mi w kieszeni paczuszka – odparł Merry – ale pewnie zmielona na kaszę. Zresztą i tak nie sięgnę gębą do kieszeni.

– Bo nie będziesz musiał. Ja…

Lecz w tym momencie brutalny kopniak powiadomił Pippina, że gwar w obozowisku ucichł i że wartownicy znów czuwają nad jeńcami.

Noc była zimna i cicha. Wokół wzgórza, na którym skupili się orkowie, rozbłysły ze wszystkich stron małe, złotoczerwone w ciemnościach ogniska; tworzyły zamknięty krąg. Znajdowały się w zasięgu dobrego strzału z łuku, ale żaden wojownik Rohanu nie pokazał się na tle światła, i orkowie, mierząc w płomienie, zmarnowali mnóstwo strzał, aż wreszcie Uglúk zabronił im tych daremnych prób. Od placówek Rohirrimów nie dochodził najlżejszy bodaj szmer. Później, kiedy księżyc wypłynął spośród

mgieł, można było od czasu do czasu dostrzec nikłe cienie przemykające w białawej poświacie: to krążyły czujne patrole.

– Czekają, przeklętnicy, na wschód słońca! – mruknął jeden z wartujących przy hobbitach orków. – Dlaczego nie próbujemy przebić się zwartą kupą? Co ten Uglúk sobie myśli, chciałbym wiedzieć.

– Pewnie, że byś chciał – zadrwił Uglúk, wysuwając się nagle zza jego pleców. – Może ci się zdaje, że ja w ogóle nie myślę, co? Łajdaku! Nie lepszyś od reszty hołoty, od tych niedojdów z północy i od małp z Lugbúrza. Czy z takim motłochem można próbować natarcia? Zwialiby tchórze z miejsca, a na równinie Białoskórzy, których jest wielka siła, roznieśliby nas po prostu na kopytach. Jedno tylko trzeba niedojdom z północy przyznać: widzą po ciemku niczym dzikie koty. Ale słyszałem, że Białoskórzy mają nocą też wzrok bystrzejszy niż inni ludzie. Nie zapominaj przy tym o ich koniach! Te zwierzaki podobno dostrzegają nawet drżenie powietrza w ciemnościach. A jednak nie wszystko wiedzą szlachetni wojacy: Mauhúr ze swoim oddziałem siedzi w lesie i lada chwila przyjdzie nam z odsieczą.

Słowa Uglúka dodały otuchy Isengardczykom, lecz orkowie z innych szczepów nadal byli zgnębieni i skłonni do buntu. Wystawiono czujki, wartownicy jednak przeważnie kładli się na ziemi i odpoczywali w miłych sobie ciemnościach. A noc była znów czarna jak smoła, bo księżyc skrył się po zachodniej stronie nieba za grubą warstwą chmur. Pippin na kilka stóp wokół nic już nie widział. W kręgu ognisk sam pagórek pozostawał w mroku. Jeźdźcy Rohanu nie poprzestali jednak na oczekiwaniu świtu i nie pozwolili wrogom zaznać nocnego spoczynku. Nagły wrzask od wschodniego stoku wzgórza zaalarmował oblężonych. Kilku ludzi podjechało cichcem i zostawiwszy konie na dole, zakradło się na skraj obozowiska, położyło trupem kilku orków i umknęło bezkarnie. Uglúk skoczył w tę stronę, by uśmierzyć panikę.

Pippin i Merry dźwignęli się z ziemi. Isengardczycy, którzy ich pilnowali, pobiegli za Uglúkiem. Lecz jeśli nawet hobbitom błysnęła w tym momencie myśl ucieczki – to prędko zgasła. Długie kosmate łapy chwyciły ich obu za karki i pociągnęły wstecz. W ciemnościach zamajaczyła między nimi duża głowa Grisznáka i jego ohydna twarz. Cuchnący dech owiał policzki hobbitów, zimne, twarde paluchy zaczęły ich obmacywać od stóp do głów. Pippinowi ciarki przeszły po krzyżu.

– No, malcy – szepnął łagodnie Grisznák. – Jak wam się spało? Przyjemnie? Czy nie bardzo? Trochę może niewygodny nocleg: między szablami i nahajami z jednej strony a lasem brzydkich włóczni z drugiej. Mały ludek nie powinien się mieszać do spraw, które są większe od niego.

Mówiąc to, przebierał wciąż paluchami po ich ciałach. W głębi jego oczu błyszczało światełko, blade, ale gorące.

Nagle Pippinowi zaświtała w głowie pewna myśl, jakby mu ją podszepnęła napięta wola przeciwnika: „Grisznák wie o Pierścieniu! Szuka go, korzystając z chwili, gdy Uglúk zajęty jest czym innym. Pewnie pragnie go dla siebie”.

Serce w nim zamarło ze strachu, lecz nie tracąc jasności umysłu, zaczął się błyskawicznie zastanawiać, czy nie dałoby się chciwości Grisznáka obrócić na własny pożytek.

– Nie sądzę, żebyś tym sposobem coś znalazł – szepnął. – Nie tak to łatwo.

– Coś? – spytał Grisznák. Jego palce przestały błądzić po ciele Pippina, zacisnęły się mocno na jego ramieniu. – Co takiego? O czym mówisz, mój mały?

Przez chwilę Pippin milczał. Potem nagle w ciemnościach dobył z gardła bulgotliwe: glum, glum.

– Nic szczególnego, mój skarbie – dodał.

Poczuł, jak palce Grisznáka zadrżały.

– Aha! – syknął cichutko goblin. – A więc on o tym myśli! Aha! Bardzo, bardzo niebezpieczny pomysł, moi maleńcy.

– Być może – odezwał się Merry, który w lot zrozumiał myśl Pippina. – Być może niebezpieczny nie tylko dla nas. Ale sam wiesz to najlepiej. Chcesz tego czy nie? I co nam za to gotów jesteś dać w zamian?

– Czy ja go chcę? Czy chcę? – powiedział Grisznák, jakby zdumiony. Ale ręce mu się trzęsły. – Co bym gotów za niego dać? Jak to rozumiecie?

– To – odparł Pippin, dobierając starannie słowa – że macaniem po ciemku niewiele wskórasz. Moglibyśmy oszczędzić ci sporo czasu i trudu. Ale musiałbyś nam przede wszystkim rozciąć więzy na nogach. Inaczej nie zrobimy nic i niczego więcej od nas się nie dowiesz.

– Biedne małe głuptasy! – zasyczał Grisznák. – Wszystko, co macie, i wszystko, co wiecie, wydusimy z was, kiedy przyjdzie na to pora. Będziecie tylko żałowali, że nie macie więcej do powiedzenia, aby zaspokoić śledczego. Na pewno! Przekonacie się o tym już wkrótce. Nie będziemy spieszyli się w śledztwie, nie! Jak wam się zdaje, po co oszczędziliśmy wasze życie? Możecie mi wierzyć, kochani, że nie zrobiliśmy tego z dobroci serca. W tym wypadku nawet głupi Uglúk nie popełnił błędu.

– Wierzymy ci bez trudu – odparł Merry. – Ale jeszcze nie trzymasz zdobyczy w garści. I wcale się na to nie zanosi, żebyś ją kiedykolwiek dostał. Jeśli nas zaprowadzą do Isengardu, Grisznák dostanie figę. Wszystko zabierze Saruman. Jeśli chcesz coś mieć dla siebie, teraz jest ostatnia chwila, żeby się z nami ułożyć.

Grisznák zaczął tracić cierpliwość. Imię Sarumana doprowadzało go niemal do furii. Czas upływał, zamęt w obozowisku przycichał. Uglúk i jego Isengardczycy mogli wrócić lada chwila.

– Macie go przy sobie? Ma go któryś z was? – warknął.

– Glum, glum – odparł Pippin.

– Rozwiąż nam najpierw nogi – rzekł Merry.

Czuli, że ramiona orka drżą jak w febrze.

– Przeklęte, podłe, małe gady! – syknął. – Rozwiązać wam nogi? Wolałbym rozszarpać was na strzępki. Czy nie rozumiecie, że mogę was przeszukać aż do szpiku kości? Mało tego! Mogę was posiekać na miazgę. Obejdę się bez pomocy waszych nóg, jeśli zechcę was porwać i mieć wyłącznie dla siebie!

Nagle porwał ich obu. Miał w długich ramionach siłę straszliwą. Wetknął sobie hobbitów pod pachy, brutalnie przycisnął do żeber, ciężkimi dłońmi zatkał im usta. Potem, zgięty wpół, skoczył naprzód. Szybko, cicho przebiegł aż na krawędź pagórka. Wypatrzył lukę między strażnikami i jak upiór pomknął w ciemność, zboczem w dół, a potem na zachód, ku rzece wypływającej z lasu. Od tej strony droga zdawała się wolna, ledwie jedno ognisko błyszczało wśród nocy.

Po kilkunastu krokach zatrzymał się, rozejrzał, posłuchał. Nic nie wypatrzył ani nie usłyszał. Pochylony skradał się dalej. Z uchem przy ziemi znowu chwilę nasłuchiwał. Wreszcie podniósł się i zaryzykował szybki

skok naprzód. Ale w tym samym momencie tuż przed nim zamajaczyła sylwetka jeźdźca. Koń chrapnął i stanął dęba, człowiek krzyknął.

Grisznák przypadł do ziemi, rozpłaszczył się na niej, nakrywając hobbitów własnym ciałem; potem wyciągnął szablę. Niewątpliwie był zdecydowany raczej zabić swoich jeńców, niż dopuścić, by uciekli albo zostali odbici. Szabla brzęknęła z cicha i mignął w niej odblask ogniska, palącego się opodal. Nagle z ciemności świsnęła strzała; może łucznik dobrze wycelował, a może los kierował strzałą, dość że przeszyła prawe ramię orka. Wrzasnął i wypuścił z ręki szablę. W mroku zadudniły kopyta końskie, Grisznák poderwał się z ziemi i rzucił do ucieczki, lecz niemal w tym samym okamgnieniu padł stratowany i przygwożdżony włócznią. Okropny, rozedrgany jęk dobył się z jego gardła, po czym ork znieruchomiał i umilkł. Pippin i Merry leżeli plackiem w trawie, tak jak ich Grisznák zostawił. Drugi jeździec nadjechał pędem na pomoc towarzyszowi. Konie widać miały wzrok niezwykle bystry, a może innym zmysłem wyczuwały hobbitów, bo przeskoczyły lekko nad nimi. Jeźdźcy wszakże nie dostrzegli drobnych postaci otulonych w płaszcze elfów, tak w owej chwili rozbitych, tak przerażonych, że nie śmiały drgnąć z miejsca.

W końcu jednak Merry poruszył się i szepnął cichutko:

– Jak dotąd bardzo pięknie, ale co robić, żeby z kolei nas nie nadziali na sztych?

Odpowiedź zjawiła się jak na zawołanie. Przedśmiertny wrzask Grisznáka zaalarmował bandę. Z krzyków i zgiełku, jaki powstał na wzgórzu, hobbici zorientowali się, że orkowie spostrzegli ich zniknięcie. Uglúk zapewne strącał znowu łby z karków swoich podkomendnych. Nagle od strony lasu i gór, spoza kręgu ognisk oblegających obozowisko, na krzyk bandy odpowiedziały głosy orków. A więc Mauhúr przybywał Uglúkowi z odsieczą i nacierał na Rohirrimów! Rozległ się tętent kopyt. Jeźdźcy zaciskali pierścień wokół wzgórza tuż u jego stóp; nieustraszenie narażali się na strzały z obozu, lecz nie zamierzali dopuścić, by ktokolwiek wymknął się z pułapki. Inny oddział tymczasem ruszył odeprzeć nowych napastników. Nagle Pippin i Merry zrozumieli, że choć nie ruszyli się z miejsca, znaleźli się poza kręgiem oblężenia; nic nie zagradzało im drogi ucieczki.

– Teraz – rzekł Merry – moglibyśmy umknąć, gdybyśmy mieli nogi i ręce wolne. Niestety, nie mogę więzów ani rozsupłać, ani przegryźć.

– Niepotrzebnie byś się trudził – odparł Pippin. – Chciałem właśnie powiedzieć, że od dawna mam wolne ręce. Te sznury zostawiłem tylko dla niepoznaki. Najpierw jednak warto by przekąsić kawałek lembasa.

Zsunął z napięstków więzy i wyciągnął z kieszeni paczuszkę. Suchary były pokruszone, lecz dobrze zachowane w opakowaniu z liści. Zjedli po dwa lembasy z trzech, które każdy miał w zapasie. Smak ich przypomniał hobbitom piękne twarze, śmiechy, posilne jadło, którym cieszyli się tak niedawno, za szczęśliwych dni w Lórien. Przez chwilę gryźli suchary w rozmarzeniu, siedząc w ciemnościach i nie zwracając uwagi na krzyki i zgiełk pobliskiej bitwy. Pippin pierwszy ocknął się i wrócił do rzeczywistości.

– Trzeba stąd wiać – rzekł. – Ale czekaj jeszcze chwileczkę!

Szabla Grisznáka leżała tuż, była jednak za ciężka i nieporęczna dla hobbita, więc Pippin podczołgał się naprzód, odszukał trupa goblina, wyciągnął z pochwy jego długi, ostry nóż. Za pomocą tego narzędzia szybko uwolnił siebie i przyjaciela z pęt.

– Teraz w drogę – powiedział. – Może za chwilę, gdy się w nas krew nieco rozgrzeje, nogi zechcą nas dźwigać i pomaszerujemy. Na razie, żeby nie tracić czasu, spróbujmy się czołgać.

Ruszyli więc w ten sposób. Grunt był miękki, ustępliwy, co ułatwiało zadanie, lecz posuwali się niezmiernie wolno. Okrążyli z daleka ognisko rohańskiej straży i pełzli mozolnie krok za krokiem, póki nie dotarli na skraj nadrzecznej skarpy. Woda pluskała w nieprzeniknionych ciemnościach między wysokimi brzegami. Stąd hobbici spojrzeli za siebie.

Gwar ucichł w oddali. Najwidoczniej oddział Maúhura wycięto w pień lub przepłoszono. Rohirrimowie wrócili na stanowiska i w złowrogiej ciszy otaczali obóz orków na wzgórzu. Wkrótce zapewne sprawa rozstrzygnie się ostatecznie. Noc miała się już bowiem ku końcowi. Na wschodzie bezchmurne niebo zaczynało blednąć.

– Musimy się skryć – powiedział Pippin – żeby nas nie wypatrzyli. Niewiele nam pomoże, jeżeli ci dzielni wojacy po naszej śmierci odkryją, że nie jesteśmy orkami! – Wstał, tupnął parę razy. – Powrozy pokaleczyły

mi skórę, ostre były jak druty; ale czuję już ciepło w nogach. Zdołam chyba pokuśtykać. A jak ty się czujesz, Merry?

Merry wstał.

– Tak, ja też chyba zdołam pokuśtykać. Te lembasy rzeczywiście pokrzepiają nadzwyczajnie. I dają jakąś zdrowszą siłę niż rozgrzewający trunek orków. Ciekawe, z czego oni go przyrządzają. Lepiej może nic o tym nie wiedzieć. Napijmy się wody, żeby spłukać tamto wspomnienie.

– Nie tutaj – odparł Pippin. – Tu brzeg jest za wysoki. W drogę!

Powędrowali z wolna, ramię przy ramieniu, wzdłuż rzeki. Za nimi niebo na wschodzie z każdą chwilą bardziej się rozjaśniało. Idąc, wymieniali wspomnienia i, zwyczajem hobbitów, mówili żartobliwie o wszystkim, co przeżyli w niewoli u orków.

– Spisałeś się dobrze, panie Tuku – rzekł Merry. – Zasłużyłeś, moim zdaniem, na osobny rozdział w księdze starego Bilba, jeżeli oczywiście będę miał sposobność zameldować mu o twoich wyczynach. Piękna rozgrywka. Zaimponowałeś mi szczególnie, kiedy odgadłeś, co knuje ten kudłaty podlec, i potrafiłeś go zaszachować. Ale ciekaw jestem, czy ktokolwiek natrafi na nasz ślad i znajdzie twoją zapinkę. Nie chciałbym swojej stracić, bo co do twojej, obawiam się, że już jej nigdy nie odzyskasz.

Będę musiał porządnie wyciągać nogi, żeby ci dotrzymać kroku. Odtąd kuzynek Brandybuck wysuwa się na czoło pochodu. Na niego teraz kolej. Zdaje mi się, że nie masz pojęcia, gdzie jesteśmy. Ja z większym pożytkiem spędzałem czas w Rivendell niż ty. Otóż znajdujemy się nad Rzeką Entów. Mamy przed sobą ostatnie szczyty Gór Mglistych i las Fangorn.

Właśnie tuż przed nimi wyrosła czarna ściana lasu. Noc jakby tam chroniła się w cień olbrzymich drzew, uciekając przed nadchodzącym świtem.

– Prowadź, panie Brandybucku, naprzód – rzekł Pippin – albo wstecz! Ostrzegano nas przed lasem Fangorn. Zresztą hobbit, który tyle wiedzy połknął, na pewno nie zapomniał również o tej przestrodze.

– Nie zapomniałem – odparł Merry – lecz mimo wszystko las jest dla nas mniej groźny niż powrót w sam wir bitwy.

Poprowadził przyjaciela pod grube konary drzew. Zdawały się stare jak świat. Gęste, splątane brody mchów i porostów zwisały z nich, kołysane

podmuchem wiatru. Schowani w ich cieniu hobbici wyjrzeli na step. Dwie drobne, przyczajone w półmroku figurki wyglądały jak dzieci elfów za dawnych dni, gdy z głębi dziewiczej puszczy patrzyły zdumione na pierwszy wschód słońca.

Daleko za Wielką Rzeką i Brunatnymi Polami, za rozpostartą na wiele mil przestrzenią szarzyzny wstawało słońce, czerwone jak płomień. Na jego powitanie zagrały głośno myśliwskie rogi. Jeźdźcy Rohanu jakby się nagle zbudzili do życia na głos pobudki; zewsząd odpowiedziało granie.

Merry i Pippin usłyszeli wyraźne w chłodnym powietrzu rżenie bojowych koni. Z piersi wojaków buchnęła chórem pieśń. Rąbek słońca płomiennym łukiem wyłonił się nad krawędź ziemi. Wówczas z gromkim okrzykiem Jeźdźcy Rohanu ruszyli od wschodu do ataku. Zbroje i włócznie lśniły czerwonym odblaskiem. Orkowie wrzasnęli i z wszystkich łuków, jakie im jeszcze zostały, świsnął rój strzał. Hobbici widzieli, jak kilku jeźdźców zwaliło się z koni, lecz szereg nie załamał się, prąc stokiem wzgórza, aż pod szczyt, po czym zatoczył krąg, nacierając raz jeszcze z bliska. Niedobitki bandy rozpierzchły się na wszystkie strony; jednego po drugim dopadali jeźdźcy i kładli trupem. Lecz spośród ogólnego zamętu wysunął się zwarty oddział i z desperacką siłą niby czarny klin przebijać się zaczął ku ścianie lasu. Z impetem natarł na strażujących u stóp wzgórza wojaków. Parł naprzód i zdawało się, że ujdzie cało z okrążenia. Już trzech jeźdźców, którzy mu zagrodzili drogę, padło ściętych szablami orków.

– Za długo przyglądaliśmy się tej bitwie – rzekł Merry. – Patrz, to Uglúk! Nie mam ochoty spotkać się z nim znowu.

Hobbici zawrócili i pomknęli w ciemną głąb puszczy. Toteż nie zobaczyli ostatniego starcia, gdy jeźdźcy dopadli Uglúka i osaczyli go pod samą ścianą lasu. Poległ z ręki Éomera. Trzeci Marszałek Rohanu zeskoczył z konia i z mieczem w dłoni natarł na uzbrojonego w szablę wodza Isengardczyków. Tymczasem bystre oczy jeźdźców tropiły na szerokim stepie ostatnich orków, którzy jeszcze mieli siłę uciekać.

Dopełniwszy krwawej roboty, Rohirrimowie zebrali swoich poległych, usypali nad ich ciałami kurhan i odśpiewali żałobną pieśń. Na ogromnym stosie spalili trupy orków i rozsypali prochy wrogów po pobojowisku.

Taki był koniec bandy. Ani jeden świadek klęski nie uszedł, żeby zanieść o niej wieść do Mordoru czy Isengardu. Tylko dym znad stosu wzbił się wysoko pod niebo, gdzie dostrzegły go liczne czujne oczy.

ROZDZIAŁ 4
DRZEWIEC

Dwaj hobbici, kierując się na zachód, szli brzegiem strumienia, wciąż pod górę, coraz dalej w głąb Fangornu, przyspieszając kroku o tyle, o ile pozwalał ciemny, splątany gąszcz. Lecz w miarę oddalania strach przed orkami przygasał, a wędrowcy zwalniali tempo. Ogarnęła ich duszność, jakby powietrze było zanadto rozrzedzone lub dochodziło w głąb lasu zbyt skąpo.

Wreszcie Merry przystanął.

– Nie sposób iść dalej – wysapał. – Muszę zaczerpnąć tchu.

– Napijmy się przynajmniej wody – rzekł Pippin. – Zaschło mi w gardle.

Wczołgał się na potężny korzeń, który krętym ramieniem sięgał strumienia, i nabrał w złożone dłonie trochę wody. Była czysta i zimna; wypił chciwie kilka łyków. Merry poszedł za jego przykładem. Woda odświeżyła ich trochę i jakby dodała otuchy. Przez chwilę siedzieli na brzegu, mocząc obolałe stopy i nogi po kolana. Rozglądali się też dokoła; drzewa otaczały ich milczącym kręgiem, niezliczone szeregi pni ciągnęły się we wszystkie strony bez końca i rozpływały w siwym półmroku.

– Mam nadzieję, że nie zdążyłeś jeszcze zabłądzić, przewodniku? – rzekł Pippin, opierając się o gruby pień. – W każdym razie możemy trzymać się brzegu tej rzeczki, Rzeki Entów czy jak tam ją nazywasz, a potem wrócić tam, skąd przyszliśmy.

– Pewnie. Jeżeli nogi zechcą nas nieść i tchu wystarczy – odparł Merry.

– Tak, bardzo tu ciemno i duszno – przyznał Pippin. – Przypomina mi się, nie wiem czemu, stara sala w Wielkim Dworze Tuków, daleko stąd, u nas w Tukonie. W starej sali od wielu pokoleń nie przestawiano ani nie zmieniano mebli. Tam podobno mieszkał przez długie lata sam Stary Tuk, sala niszczała i starzała się z nim razem, a od jego śmierci, od wieku, nikt w niej niczego nie tknął. Stary Gerontius był moim prapradziadem, a więc ta historia sięga zamierzchłej przeszłości. Lecz wydaje się bardzo młoda w porównaniu ze starością tego lasu. Spójrz na te brody, wąsiska z mchów, jakie są powłóczyste, jakie bujne! A na większości drzew pełno jest

poszarpanych, zeschłych liści, które nie wiadomo czemu nie spadły. Bardzo tu nieschludnie. Trudno sobie wyobrazić, jak w tym lesie wygląda wiosna, jeżeli w ogóle zapuszcza się w te strony. Jeszcze trudniej wyobrazić sobie wiosenne porządki.

– Ale słońce bądź co bądź musi czasem zaglądać – rzekł Merry. – Zupełnie inaczej jest tu niż w Mrocznej Puszczy, o ile pamiętam opowieści Bilba. Tamta jest mroczna, czarna, gnieżdżą się w niej ponure, czarne stwory. Ta – tylko cienista i jakaś strasznie drzewna. Nie można sobie wyobrazić, żeby tu mieszkały, czy choćby przebywały, zwierzęta.

– Albo hobbici – dodał Pippin. – Wcale mi się też nie uśmiecha myśl o wędrówce przez ten las. Jak się zdaje, w promieniu stu mil nic tu nie znajdziemy, co by można na ząb położyć. Jaki jest stan zapasów?

– Mizerny – odparł Merry. – Nie wzięliśmy z sobą nic prócz kilku lembasów, wszystko inne zostało nad Wielką Rzeką. – Obejrzeli resztki prowiantu, w który ich zaopatrzyli elfowie: okruchy mogły starczyć na pięć bardzo postnych dni. – Nie mamy też koców ani żadnych ciepłych rzeczy – stwierdził Merry. – W którąkolwiek stronę pójdziemy, w nocy będziemy marzli.

– Trzeba by już teraz namyślić się, dokąd pójdziemy – rzekł Pippin. – Czas płynie.

W tym właśnie momencie zauważyli, że nieco dalej w głębi lasu pojawiło się złotawe światło, jakby nagle promienie słoneczne przebiły się przez strop liści.

– Oho! – powiedział Merry. – Widocznie słońce schowało się za chmurę, gdy wędrowaliśmy pod drzewami, a teraz znowu wyjrzało; albo może wspięło się dość wysoko, żeby przez jakąś dziurę zajrzeć do lasu. Chodźmy tam, to niedaleko.

Okazało się jednak dalej, niż przewidywali. Teren wciąż wznosił się stromo i był coraz bardziej kamienisty. W miarę jak się zbliżali do celu, światło rosło, a wkrótce zobaczyli przed sobą ścianę skalną – stok jakiegoś wzgórza czy może pojedynczą skałkę, odrastającą tutaj od korzeni odległych gór. Nie było na niej drzew, a słońce świeciło wprost w jej nagą kamienną twarz. Drzewa rosnące u stóp ściany wyciągały sztywne, nieruchome gałęzie, jakby chciały zagrzać się od jej ciepła. Las, który przedtem zdawał się taki wyniszczony i szary, tu lśnił wszędzie soczystymi

odcieniami brązu i gładką czernią kory niby połyskliwą skórą. Pnie jaśniały miękką zielenią jak mokra trawa. Hobbitów otoczyła wiosna, czy może tylko jej przelotne złudzenie.

W skalnej ścianie dostrzegli jak gdyby schody, zapewne przez samą przyrodę wykute, wyżłobione przez wodę i wichry w pękającym lub zwietrzałym kamieniu, bo koślawe i nieregularne. Wysoko w górze, niemal na równi z czubami drzew, widniała pod skałką jak gdyby półka, naga, gdyż tylko skąpa trawa i trochę zielska porastały jej krawędź. Na niej sterczał stary pień z parą przygiętych do dołu gałęzi; wyglądał jak pokręcony od starości dziadyga, wpatrzony w blask poranka.

– Idziemy na górę! – zawołał radośnie Merry. – Tam odetchniemy lżej i rozejrzymy się po okolicy.

Wspięli się po kamiennych schodach z pewnym trudem, bo stopnie były ogromne, nie na miarę hobbickich nóg. Zbyt przejęci wspinaczką, nie zadawali sobie pytania, jakim to zdumiewającym sposobem rany i sińce, wyniesione z niewoli u orków, zagoiły się tak szybko i skąd nagle przybyło im nowych sił. Wreszcie dotarli pod krawędź skalnej półki niemal u stóp starego pniaka. Wywindowali się jednym susem na półkę, gdzie stanęli, obróceni plecami do pagórka, oddychając głęboko i spoglądając ku wschodowi. Stwierdzili, że nie zagłębili się dalej niż na jakieś trzy, cztery mile w las; przed nimi czuby drzew zstępowały po stoku w dół na równinę, a tam, opodal skraju puszczy, wzbijały się w niebo wysokie, skudlone słupy czarnego dymu, który z powiewem wiatru płynął w stronę Fangornu.

– Wiatr zmienił się – rzekł Merry. – Dmucha znów od wschodu. Tu, w górze, jest dość chłodno.

– Tak – odparł Pippin. – Boję się, że pogoda nie utrzyma się długo i wszystko na nowo zszarzeje. Szkoda! Ten stary gąszcz leśny zupełnie inaczej wygląda w blasku słońca. Mam wrażenie, jakbym go niemal polubił.

– On ma wrażenie, jakby niemal polubił las! Dobre sobie! Bardzo łaskawie z twojej strony – przemówił jakiś dziwny, obcy głos. – Odwróćcie się i pokażcie mi twarze. Mam wrażenie, jakbym was obu nie lubił, ale nie chcę sądzić zbyt pochopnie. Obróćcie się, żywo!

Ogromne, sękate dłonie spadły na hobbitów i łagodnie, jakkolwiek stanowczo okręciły nimi w miejscu, po czym dwie wielkie, silne ręce

podniosły ich w powietrze.

Ujrzeli tuż przed sobą zdumiewającą, niezwykłą twarz. Należała do olbrzymiego ni to człowieka, ni to trolla, który miał ze czternaście stóp wzrostu, a głowę podłużną i osadzoną niemal bezpośrednio na krzepkim tułowiu. Trudno było zgadnąć, czy owinięty jest w płaszcz z jakiejś zielonoszarej, podobnej do kory tkaniny, czy też jest to jego własna skóra. W każdym razie ramiona nieco poniżej barku nie były pomarszczone, lecz gładkie i brunatne. U każdej stopy miał siedem palców. Dolną część twarzy zarastała siwa broda, długa, gęsta, krzaczasta, o włosach u nasady prawie tak grubych jak gałązki, ale na końcach cieniejących i puszystych niby mech. Zrazu jednak uwagę hobbitów przykuły wyłącznie oczy olbrzyma, które wpatrywały się w nich bez pośpiechu, uroczyście, ale zarazem bardzo przenikliwie. Oczy te były głębokie, brązowe, rozświetlone zielonymi cętkami. Pippin nieraz później usiłował opisać, jakie na nim zrobiły wrażenie w pierwszej chwili:

„Wyczułem poza nimi jak gdyby bezdenną studnię pełną odwiecznych wspomnień i długich, powolnych, spokojnych rozmyślań; na powierzchni ich wszakże iskrzyło się odbicie teraźniejszości jak odblask słońca na liściach ogromnego drzewa albo na zmarszczonej tafli bardzo głębokiego jeziora. Nie umiem tego wyrazić, ale wydawało mi się, że coś, co wyrasta z ziemi, by tak rzec, uśpione czy też tylko siebie czujące od korzeni po brzeżek liścia, między głębią ziemi a niebem, nagle ocknęło się i patrzy na mnie z takim samym powolnym skupieniem, z jakim od niepamiętnych lat rozważało swoje własne wewnętrzne sprawy”.

– Hm, hm – szepnął głos tak niski, jakby się dobywał z drewnianej basowej trąby. – Dziwne, bardzo dziwne. Nie sądźmy pochopnie, to moja zasada. Gdybym jednak zobaczył was, nim usłyszałem wasze głosy… bo głosy wasze spodobały mi się, wcale przyjemne macie głosiki; coś mi przypominają, ale nie wiem, co… gdybym więc, zamiast usłyszeć, najpierw was zobaczył, zdeptałbym was pewnie, myśląc, że to mali orkowie, a dopiero poniewczasie spostrzegłbym omyłkę. Dziwne jakieś stworzenia. I korzonki, i gałązki bardzo dziwne.

Pippin, chociaż oszołomiony, otrząsnął się już z lęku. Pod spojrzeniem tych niezwykłych oczu dygotał z ciekawości, ale nie ze strachu.

– Proszę cię bardzo – rzekł – powiedz nam, kim i czym ty jesteś?

Stare oczy nagle przygasły jakby ze znużenia; bezdenna studnia zamknęła się w ich głębi.

– Hm, hm – zahuczał basowy głos. – Jestem ent, tak mnie przynajmniej nazywają. Tak, ent. Ent nad entami, jak byście może po swojemu powiedzieli. Jedni nazywają mnie Fangornem, inni Drzewcem. Możecie mnie tak nazywać: Drzewiec.

– Ent? – spytał Merry. – Co to znaczy? A jak ty sam siebie nazywasz? Jakie jest twoje prawdziwe imię?

– Ho, ho! – rzekł Drzewiec. – Ho, ho! Długo by trzeba o tym gadać. Nie bądźcie tacy pochopni. Zresztą, mnie wypada zadawać pytania, a wam odpowiadać. Przyszliście do mojego kraju. Kim wy jesteście? Nie mogę jakoś przypiąć was do żadnego plemienia. Chyba was nie ma w starym spisie, którego nauczono mnie za młodych lat. Ale to było dawno, dawno temu. Może od tego czasu sporządzono nowy spis. Zastanówmy się, zastanówmy… Jak to było?

Masz zapamiętać, kto żyje na świecie.
Najpierw wymienisz cztery wolne szczepy:
Najstarsze elfy, wszystkim przodujące;
Potem w podziemiach ciemnych krasnoludy;
Entowie z ziemi zrodzeni jak góry;
Ludzie śmiertelni, co władają końmi…

– Hm… Hm… Hm…

Bóbr budowniczy, kozioł, śmigły skoczek,
Niedźwiedź, pszczół złodziej, odyniec, co bodzie,
Pies zawsze głodny, zając wystraszony…

– Hm… hm…

Orzeł na szczytach, a wół na pastwisku,
Jeleń rogaty, sokół szybki w locie,
Łabędź najbielszy, najzimniejsza żmija…[53]

– Hm… hm… Jak to idzie dalej? Ram-tam-tam, tam-tam-tam… Bardzo długa lista. No, ale wy nie pasujecie do żadnego z tych plemion.

– Nie wiem, czemu się tak działo, ale zawsze nas pomijano w starych spisach i w starych legendach – rzekł Merry. – A jednak żyjemy na tej ziemi od dość dawna. Jesteśmy hobbici.

– Może by warto dorzucić nowy wiersz do starej listy? – powiedział Pippin. – „Hobbici niedorostki, co mieszkają w norach”. Dolicz nas do czterech wolnych szczepów, zaraz po ludziach, po Dużych Ludziach, a wszystko będzie w porządku.

– Hm! Niezła myśl, wcale niezła – rzekł Drzewiec. – To by załatwiło sprawę. A więc mieszkacie w norach? Bardzo słusznie, bardzo mądrze. A kto was nazwał hobbitami? Bo to mi nie wygląda na słowo z języka elfów. Wszystkie stare słowa pochodzą od elfów, bo elfowie pierwsi zaczęli nadawać nazwy rzeczom.

– Nikt inny tak nas nie nazywa, sami się nazwaliśmy hobbitami – odparł Pippin.

– Hm, hm! No, no. Powoli, powoli! Sami się nazwaliście hobbitami? Nie powinniście tego tak pochopnie mówić każdemu, kogo spotkacie. Jeśli będziecie tacy nieostrożni, zdradzicie swoje prawdziwe imiona.

– My się z tym wcale nie kryjemy – rzekł Merry. – Chętnie ci się przedstawię. Jestem Brandybuck, Meriadok Brandybuck, ale wszyscy mówią mi po prostu Merry.

– A ja jestem Tuk, Peregrin Tuk, ale wszyscy mówią mi po prostu Pippin albo nawet Pip.

– Hm, widzę, że jesteście bardzo pochopni – rzekł Drzewiec. – Zaszczyca mnie wasze zaufanie, ale nie powinniście tak otwarcie mówić z nieznajomymi. Entowie, trzeba wiedzieć, też bywają różni. Istnieją także inne stworzenia, które wyglądają podobnie jak entowie, a wcale entami nie są. Będę was nazywał Merry i Pippin, skoro pozwalacie. To ładne imiona. Ale mojego prawdziwego imienia wam nie wyjawię, przynajmniej jeszcze nie teraz. – Dziwne zielone światełko rozbłysło w jego oczach, które przymrużył na pół porozumiewawczo, a na pół żartobliwie. – Przede wszystkim to jest bardzo długie imię, bo rosło z czasem, a że bardzo, bardzo długo żyję, więc urosło do całej historii. W moim języku, w starej mowie entów, jak wy byście go nazwali, imię zawsze zawiera historię tego,

kto je nosi. To bardzo piękny język, ale trzeba mieć dużo czasu, żeby nim coś powiedzieć, bo my mówimy naszym językiem tylko o tym, co warto bardzo długo opowiadać i czego warto bardzo długo słuchać. Ale teraz mówcie – dodał i zwrócił na nich spojrzenie prawie świdrujące, tak mu oczy pojaśniały i zmalały nagle – co się dzieje? Jaki udział macie wy w tym, co się dzieje? Bo widzę, słyszę, a także czuję nosem i przez skórę, wiele z tego… z tego… z tego *a-lalla-lalla-rumba-kamanda-lind-or-burúmë*… Darujcie, to tylko część nazwy, jaką tym sprawom nadaję w swoim języku. Nie mam pojęcia, jak się one nazywają w innych językach. Rozumiecie? To wszystko, o czym myślę, kiedy stoję w pogodny ranek i patrzę w słońcu na step za lasem, na konie, na chmury, na cały szeroki świat. Co się dzieje? Jakie zamiary ma Gandalf? A tamci… *burárum*… – W gardle mu zahuczało zgrzytliwie, jakby ktoś uderzył fałszywy akord na olbrzymich organach – …tamci, orkowie i młody Saruman w swoim Isengardzie? Lubię wiedzieć, co się dzieje. Tylko nie mówcie za prędko.

– Dzieje się bardzo wiele – odparł Merry. – Nawet gdybyśmy chcieli mówić prędko, zajęłaby ta historia sporo czasu. Ale doradzałeś nam ostrożność. Czy powinniśmy tak od razu zwierzać ci wszystko, co wiemy? Czy obrazisz się, jeśli spytamy najpierw, co zamierzasz z nami zrobić i po czyjej stronie stoisz? Czy znasz Gandalfa?

– Tak, znam go, to jedyny czarodziej, który naprawdę troszczy się o drzewa – rzekł Drzewiec. – A wy go znacie?

– Znaliśmy – odparł Pippin ze smutkiem. – Był naszym serdecznym przyjacielem i przewodnikiem.

– W takim razie odpowiem na pozostałe wasze pytania – rzekł Drzewiec. – Nic nie zamierzam zrobić z wami, a przynajmniej nie zamierzam nic zrobić bez waszej zgody. Wspólnie możemy zrobić wiele. Po czyjej stronie stoję? Nic mi o żadnych stronach nie wiadomo. Idę swoją własną drogą, możliwe jednak, że wasza droga przez jakiś czas będzie równoległa do mojej. Ale dlaczego mówicie o mistrzu Gandalfie tak, jakby należał do historii, która już się skończyła?

– Mówimy tak – odparł ze smutkiem Pippin – bo chociaż historia ciągnie się dalej, Gandalf z niej wypadł.

– Oho, ho, hm… – rzekł Drzewiec. – Hm, ha, no, no… – Umilkł i przez długą chwilę przyglądał się hobbitom. – Hm, ha… sam nie wiem, co powiedzieć. Mówcie!

– Jeżeli życzysz sobie usłyszeć o tym coś więcej – rzekł Merry – opowiemy ci chętnie. Ale to będzie długa historia. Czy nie zechciałbyś nas przedtem postawić na ziemi? Moglibyśmy siąść we trzech i grzać się na słońcu podczas tej opowieści. Pewnie się już zmęczyłeś, dźwigając nas na rękach.

– Czy się zmęczyłem? Niełatwo się męczę. I nie siadam nigdy. Nie jestem bardzo… jak to się mówi?… giętki. Ale słońce się chowa. Opuśćmy tę… zaraz, zaraz, jak wy to miejsce nazywacie?

– Wzgórze? – podpowiedział Pippin.

– Półka? Szczyt schodów? – próbował Merry.

Drzewiec w zamyśleniu powtórzył ich słowa:

– Wzgórze? Niech będzie wzgórze. Ale to o wiele za krótka nazwa na coś, co tu stoi, odkąd ukształtowała się ta część świata. Mniejsza z tym. Chodźmy stąd, ruszajmy!

– Dokąd? – spytał Merry.

– Do mojego domu, a raczej do jednego z moich domów.

– Daleko stąd?

– Bo ja wiem? Wam się wyda może daleko. Czy to jednak ma jakieś znaczenie?

– Widzisz, straciliśmy wszystkie rzeczy – odparł Merry. – Nic nam prawie nie zostało z prowiantu na drogę.

– Aha! Hm… Nie troszczcie się o to – rzekł Drzewiec. – Dam wam napój, od którego długo, długo będziecie zielenili się i rośli. A jeżeli postanowimy się rozstać, zaniosę was za granicę mojego kraju na miejsce, które sami wybierzecie. Chodźmy!

Trzymając hobbitów łagodnie, lecz mocno w ramionach, Drzewiec uniósł do góry najpierw jedną, potem drugą olbrzymią nogę, przysuwając się na krawędź półki. Palcami stóp jak korzeniami czepiał się skały. Ostrożnie, statecznie schodził stopień po stopniu w dół.

Kiedy znalazł się między drzewami, ruszył pewnym, długim krokiem w głąb lasu, trzymając się wciąż w pobliżu strumienia, wspinając się coraz wyżej po zboczu ku górom. Wiele drzew zdawało się jakby uśpionych; te nie zwracały na niego uwagi, podobnie jak na żadne przechodzące lasem

stworzenie; niektóre jednak drżały albo podnosiły gałęzie nad jego głową, kiedy się zbliżał. A Drzewiec, idąc, wciąż coś do siebie mruczał, z jego gardła płynął nieprzerwany strumień dźwięcznych tonów.

Hobbici czas jakiś milczeli. Nie wiedzieć dlaczego czuli się bezpiecznie i błogo, a mieli o czym myśleć i czemu się dziwić.

Wreszcie Pippin odważył się zagadnąć:

– Przepraszam – rzekł. – Czy pozwolisz, że cię o coś spytam, Drzewcze? Dlaczego Celeborn ostrzegał nas przed tym lasem? Mówił nam, żebyśmy nie narażali się na zabłąkanie tutaj.

– Hm… Tak mówił? – mruknął Drzewiec. – A gdybyście szli w przeciwną stronę, ja bym was pewnie ostrzegł przed zabłąkaniem się do jego kraju. Nie narażajcie się na niebezpieczeństwa lasów Laurelindórenan! Tak je niegdyś elfy nazywały, chociaż teraz skróciły nazwę na Lothlórien. Może i słusznie, może tamte lasy więdną, nie rosną. Ongi, dawno temu, były Doliną Śpiewającego Złota. Dziś są Kwiatem Marzeń. No, tak. Ale to tajemniczy kraj i nie każdy może się tam zapuścić bezkarnie. Bardzo mnie dziwi, że stamtąd wyszliście cało, ale jeszcze bardziej mnie dziwi, żeście tam weszli. Od wielu lat żadnemu cudzoziemcowi nie zdarzyło się nic podobnego. Bardzo tajemniczy kraj. Prawdę rzekł wam Celeborn, niejednego tutaj w naszym lesie spotkała zła przygoda. Tak, tak, bardzo zła przygoda. *Laurelindórenan lindelorendor malinornélion ornemalin* – zanucił pod nosem. – Oni się tam chyba odgrodzili od świata – rzekł. – Ani ta puszcza, ani żaden inny kraj poza Złotym Lasem nie jest już dzisiaj taki, jakim go Celeborn znał za młodu. A przecież

Taurelilómëa – tumbalemorna Tumbaletaurëa
Lómëanor[54]

Tak dawniej mawiali elfowie. Świat się zmienił, lecz pozostał jeszcze gdzieniegdzie wierny.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Pippin. – Kto jest wierny?

– Drzewa i entowie – odparł Drzewiec. – Sam nie wszystko z tego, co się dzieje, rozumiem, więc nie mogę wam wytłumaczyć. Niektórzy z nas są po dziś dzień prawdziwymi entami i na swój sposób mają dużo życia w sobie, wielu jednak ogarnia już senność i drzewieją, jeśli tak można rzec. Większość drzew to po prostu tylko drzewa, lecz są między nimi na pół

zbudzone. A niektóre zbudziły się na dobre i są, no… jak by to powiedzieć? …entowate. I te przemiany dokonują się ciągle. Otóż przekonacie się, że niektóre spośród drzew mają złe serca. Nie mam na myśli spróchniałego rdzenia, nie, chodzi o coś zupełnie innego. Znałem na przykład kilka zacnych starych wierzb nad Rzeką Entów; niestety, od dawna już ich nie ma! Były do cna zbutwiałe w środku, rozsypywały się w proch, ale zostały do końca ciche i łagodne jak świeżo rozkwitły liść. A są w dolinach pod górami drzewa zdrowe jak rydz i mimo to na wskroś zepsute. Szerzy się ta choroba coraz bardziej. Zawsze były w tym kraju bardzo niebezpieczne okolice. I są tutaj po dziś dzień bardzo ciemne miejsca.

– Podobnie jak w Starym Lesie na północy, czy tak? – spytał Merry.

– Tak, tak, trochę podobnie, ale znacznie gorzej. Nie wątpię, że tam na północy zostały cienie po Wielkich Ciemnościach, a także złe wspomnienia przekazane z dawnych czasów. W naszym kraju są jednak głębokie doliny, których Ciemności nigdy nie opuściły, a drzewa tam są starsze ode mnie. Robimy wszakże, co możemy. Bronimy wstępu obcym i lekkoduchom. Wychowujemy, uczymy, chodzimy wszędzie i pielemy chwasty.

My bowiem, starzy entowie, jesteśmy pasterzami drzew. Niewielu nas już zostało. Powiadają, że z czasem owce stają się podobne do pasterzy, a pasterze do owiec; ale przemiana odbywa się powoli, a przecież ani owce, ani ich pasterze nie żyją zbyt długo.

Z drzewami i z entami dzieje się to szybciej i wzajemny wpływ jest silniejszy, a przy tym współżyją z sobą przez całe wieki. Entowie mają dużo wspólnego z elfami; mniej niż ludzie interesują się sobą, a za to lepiej umieją zrozumieć wewnętrzne życie innych stworzeń. Ale z ludźmi też mają coś wspólnego, bo mniej są od elfów zmienni, a bystrzej spostrzegają barwy i kształty zewnętrzne. Może też są i od elfów, i od ludzi lepsi, ponieważ więcej mają stałości; jeżeli się czymś raz zajmą, to już wytrwają w tym bardzo długo.

Niektórzy moi współplemieńcy wyglądają dziś zupełnie jak drzewa i nie lada trzeba przyczyny, żeby ich poruszyć; mówią też tylko szeptem. Ale znów niektóre moje drzewa mają gałęzie gibkie i ruchliwe i wiele z nich umie ze mną rozmawiać. Zapoczątkowali to oczywiście elfowie; oni to budzili drzewa, uczyli je swojej mowy i zapoznawali się z ich językiem. Bo dawni elfowie starali się porozumiewać z wszelkim stworzeniem. Dopiero gdy nadciągnęły Wielkie Ciemności, elfowie odpłynęli za Morze albo

uciekli do odległych dolin, gdzie się ukryli, lecz dotychczas śpiewają pieśni o dawnych dniach, które już nigdy nie wrócą. Nigdy. Tak, tak, ongi puszcza ciągnęła się stąd aż po Góry Księżycowe, a ten nasz las był tylko jej ostatnim zakątkiem na wschodzie.

Były to czasy swobody. Mogłem wtedy całe dnie przechadzać się i śpiewać, a nie słyszałem nic prócz echa mojego własnego głosu odbitego od gór. Nasza puszcza podobna była do lasu Lothlórien, ale bujniejsza, mocniejsza, młodsza. A jak pachniało tutaj powietrze! Nieraz przez cały tydzień nie robiłem nic innego, tylko oddychałem.

Drzewiec umilkł. Szedł wciąż naprzód, lecz jego ogromne stopy posuwały się niemal bezszelestnie. Po chwili zaczął nucić, zrazu tylko do siebie, potem coraz głośniej, aż głos przeszedł w śpiewny szept. Hobbici nastawiali uszu i w końcu zrozumieli, że to dla nich olbrzym śpiewa:

Pod wierzbami, łąkami Tasarinan chodziłem wiosną.

Piękna była i pachnąca wiosna w Nan-tasarion.

I rzekłem sobie, że wiosna jest dobra.

Pod wiązami, po lesie wędrowałem latem w Ossiriandzie.

Jasno było, pieśń dzwoniła latem nad Siedmiu Rzekami Ossiru.

I pomyślałem, że lato od wiosny jest lepsze.

Pod buki Neldoreth zaszedłem jesienią.

Złota była i czerwona, liśćmi wzdychająca jesień w Taur-na-neldor.

I wspanialsza mi się zdała niż wszystko na świecie.

Między sosny na wyżynie Dorthonion wspiąłem się zimą.

Wiatrem szumiała, śniegiem bielała zima nad Orod-na-Thôn.

Śpiewałem z radości, a głos wzbijał się pod niebo.

Dziś wszystkie te krainy zalała fala,

A ja chodzę po Ambaróna, Tauremornie i Aldalómë,

Po ojczystym kraju moim, po Fangornie,

Gdzie korzenie w głąb sięgają daleko,

Gdzie lat więcej przeminęło niż liści

W Tauremornalómë[55].

Zakończył pieśń i dalej szedł w milczeniu, a w całym lesie zaległa taka cisza, że nawet listek nigdzie nie szeleścił.

Dzień chylił się ku zachodowi, zmrok osnuwał już pnie drzew.

Wreszcie hobbici zobaczyli majaczący przed nimi stromy czarny stok: znaleźli się u podnóży gór, u zielonych korzeni wyniosłego Methedrasu. Ze swego źródła pod szczytem Rzeka Entów, z pluskiem przeskakując skalne progi, biegła na spotkanie wędrowców. Na prawo od strumienia ciągnęło się wydłużone, trawiaste zbocze, szare w wieczornym zmierzchu. Nie rosły na nim drzewa, nic nie przesłaniało nieba, po którym gwiazdy już płynęły przez czyste jeziora pomiędzy brzegami chmur.

Drzewiec wspinał się ostro pod górę, nie zwalniając prawie kroku. Nagle hobbici ujrzeli przed sobą jakby szerokie wrota. Dwa ogromne drzewa stały z dwóch stron niby żywe odrzwia, lecz drzwi między nimi nie było, tylko splecione ze sobą gałęzie. Kiedy stary ent zbliżył się, drzewa podniosły i rozsunęły gałęzie, a liście ich zadrżały i zaszeleściły. Bo drzewa te nie traciły o żadnej porze roku liści, ciemnych i gładkich, błyszczących w mroku. Za ową bramą otwierała się rozległa płaszczyzna, jakby posadzka wielkiej sali wykutej w zboczu góry. Po obu stronach ściany wznosiły się stopniowo ku górze, do wysokości około piętnastu stóp, a wzdłuż nich ciągnął się szpaler drzew, coraz wyższych w miarę jak biegły w głąb, gdzie zamykała się poprzeczna ściana, stroma i naga, lecz u podnóża wyżłobiona w płytką kolibę, nakrytą sklepieniem: stanowiło ono jedyny dach tej sali, nad którą w głębi splatały się korony drzew, ocieniając cały ten zakątek tak, że tylko pośrodku pozostawała odkryta szeroka ścieżka. Ze źródeł w górze spadał odgałęziony od głównego nurtu mały potoczek i szemrząc perliście po skalnej ścianie, rozpryskiwał się srebrnymi kroplami niby piękna zasłona u wejścia do sklepionej sali. Woda zbierała się w wielkiej kamiennej misie u stóp drzew, a stąd przelewała się i spływała wzdłuż ścieżki, by połączyć się z Rzeką Entów i z nią razem dalej wędrować przez las.

– Hm… Jesteśmy u celu – rzekł Drzewiec, przerywając długie milczenie. – Przeszedłem z wami około siedemdziesięciu tysięcy entowych kroków; ile to wypada w miarach waszego kraju, nie mam pojęcia. W

każdym razie znaleźliśmy się blisko korzeni Ostatniej Góry. Część nazwy tego miejsca brzmi w tłumaczeniu na wasz język: Źródlana Sala. Bardzo ją lubię. Spędzimy tutaj noc.

Opuścił w trawę między szpalerami drzew hobbitów, którzy już na własnych nogach poszli za nim ku wielkiemu sklepieniu w głębi. Teraz dopiero zauważyli, że idąc, Drzewiec prawie wcale nie zginał kolan, sunął jednak krokami olbrzyma. Stąpał tak, że zawsze najpierw dotykał ziemi palcami – które miał niezwykle duże i szerokie – zanim postawił na niej całą stopę.

Na chwilę Drzewiec zatrzymał się pod deszczem kropel spadających ze skał i głęboko wciągnął oddech w piersi, potem zaśmiał się i wszedł pod sklepienie. Stał tu pośrodku ogromny kamienny stół, ale krzeseł nie było. W głębi koliby panowały już ciemności. Ent przyniósł dwie duże misy i postawił na stole. Wypełniała je, jak się zdawało hobbitom, czysta woda, lecz kiedy Drzewiec wyciągnął nad nimi ręce, misy zaczęły lśnić, jedna złocistym, a druga szmaragdowym światłem; te dwa kolory zmieszane z sobą rozjaśniły grotę, jakby słońce zalało ją blaskiem przesianym przez wiosenne liście. Hobbici obejrzeli się i zobaczyli, że na dworze drzewa także zalśniły, zrazu nikłym, lecz stopniowo rosnącym blaskiem, a wkrótce wszystkie liście otoczył świetlisty rąbek, zielony, złoty lub miedziany, a każdy pień zdawał się kolumną wyrzeźbioną w roziskrzonym kamieniu.

– No, teraz możemy znów trochę pogawędzić – rzekł Drzewiec. – Pewnie jesteście spragnieni. A może też zmęczeni. Skosztujcie naszego napoju.

Poszedł w głąb groty, gdzie stały, jak się okazało, wysokie kamienne dzbany opatrzone ciężkimi pokrywami. Uniósł na jednym z nich pokrywę, zanurzył wielki czerpak i napełnił trzy kubki: jeden bardzo duży i dwa mniejsze.

– To jest dom entów, nie ma w nim niestety krzeseł ani stołków – rzekł. – Ale możecie usiąść na stole.

I podniósłszy hobbitów, posadził ich na wielkiej kamiennej płycie, wzniesionej na sześć stóp ponad dno groty. Tak siedzieli z nogami dyndającymi w powietrzu i małymi łykami popijali z kubków. Płyn wyglądał jak woda i smakował też niemal tak samo jak woda, którą zaczerpnęli z Rzeki Entów zaraz po wejściu w granice Fangornu, lecz miał jeszcze jakiś dodatkowy zapach czy może przyprawę, nieznaną hobbitom.

Smak ten, bardzo zresztą nikły, przypominał im woń leśną, płynącą z daleka w chłodnym powiewie nocnego wiatru. Skutek zaś tego napoju odczuli najpierw w palcach u nóg, a potem wrażenie świeżości i niezwykłej siły stopniowo ogarniało całe ich ciała, aż po czubek głowy; tak, bo nawet włosy podniosły im się na głowach, zafalowały, zwinęły się w kędziory, zaczęły rosnąć. Drzewiec tymczasem opłukał nogi w misie pośród drzew, a potem wychylił swój kubek powoli, jednym haustem. Trwało to tak długo, iż zdawało się, że nigdy nie oderwie od niego ust.

W końcu jednak odstawił pusty kubek.

– Aaa! – westchnął. – Hm, hm, teraz możemy pogadać swobodniej. Siądźcie na ziemi, a ja się położę. W ten sposób napój nie pójdzie mi do głowy i nie uśpi mnie.

Pod prawą ścianą groty stało ogromne łoże na niskich nóżkach, ledwie na parę stóp wzniesione nad ziemię, wymoszczone grubo sianem i liśćmi paproci. Drzewiec chylił się nad nim powoli, niedostrzegalnie prawie gnąc się w pasie, aż legł na wznak, ręce podłożył pod głowę, oczy wbił w strop, po którym światło migotało niby słońce wśród liści. Merry i Pippin przycupnęli obok na poduszkach z siana.

– Teraz opowiedzcie mi swoją historię, ale nie za prędko – rzekł Drzewiec.

Hobbici zaczęli więc opowiadać o wszystkich przygodach, jakie ich spotkały, odkąd wyruszyli z Hobbitonu. Nie trzymali się zbyt ściśle porządku, bo coraz to jeden drugiemu wpadał w słowo, a Drzewiec też często przerywał mówiącemu, prosząc, żeby wrócił do jakiegoś wcześniejszego momentu lub wybiegł naprzód i z góry wyjaśnił dalszy bieg sprawy. Jednakże o Pierścieniu nie wspomnieli i nie tłumaczyli ani dlaczego opuścili kraj, ani dokąd zmierzali. Drzewiec zresztą nie pytał o to wcale.

Żywo się wszystkim, co mówili, interesował, zarówno Czarnymi Jeźdźcami, jak i pobytem w Rivendell, wędrówką przez Stary Las, spotkaniem z Bombadilem, przejściem przez kopalnię Morii i odpoczynkiem w Lothlórien w gościnie u Pani Galadrieli. Kazał po wielokroć sobie opisywać Shire i okolice. W pewnej chwili zadał im niespodziane i dziwne pytanie:

– A nigdzie w tamtych stronach nie spotkaliście… hm… hm… żadnych entów? To znaczy, chciałem rzec, entowych kobiet?

– Entowych kobiet? – zdziwił się Pippin. – Jakże one wyglądają? Czy są do ciebie podobne?

– Hm… hm… chyba nie bardzo. A właściwie sam nie wiem – odparł Drzewiec w zadumie. – Przyszło mi do głowy, że może tam są, bo tak myślę, że ten wasz kraj pewnie by się im spodobał.

Szczególnie jednak dopytywał się o wszystko, co dotyczyło Gandalfa, a poza tym o sprawki Sarumana. Hobbici szczerze żałowali, że niewiele o tym wiedzieli, tyle tylko, ile im Sam powtórzył z przemowy Gandalfa na naradzie u Elronda. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że Uglúk ze swoim oddziałem nadciągnął z Isengardu i że mówił o Sarumanie jako o swoim władcy.

– Hm… hm… – mruknął Drzewiec, gdy wreszcie w swej opowieści hobbici doszli do bitwy między bandą orków a Jeźdźcami Rohanu. – No, no. Niemało nowin od was usłyszałem. Nie powiedzieliście mi wszystkiego, nie, dużo przemilczeliście. Ale nie wątpię, że postępujecie tak, jak by sobie Gandalf życzył. Widzę też z tego, że dzieją się ważne rzeczy na świecie, a co właściwie się dzieje, pewnie dowiem się w swoim czasie, w dobrej albo w złej godzinie. Na korzeń i gałązkę! Dziwy, dziwy! Wyrósł nagle z ziemi mały ludek, o którym nie ma ani słowa w starych spisach, i patrzcie! Dziewięciu zapomnianych Jeźdźców zjawia się znowu, żeby tych malców tropić, a Gandalf zabiera ich na wielką wyprawę, Galadriela podejmuje w Caras Galadhon, orkowie ślą za nimi w pogoń swoje bandy het poza granice Dzikich Krajów. Porwała ich w swój wir wielka burza. Miejmy nadzieję, że wyjdą z niej cało.

– A jak będzie z tobą? – spytał Merry.

– Hm… hm… Nie mieszałem się dotychczas do wielkich wojen. To sprawy przede wszystkim elfów i ludzi. A także Czarodziejów, bo ci zawsze troszczą się o przyszłość. Nie stoję po niczyjej właściwie stronie, bo nikt właściwie nie stoi po mojej, jeżeli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. Nikt już nie dba o lasy tak jak ja, nawet dzisiejsi elfowie. Mimo to więcej żywię przyjaźni dla elfów niż dla innych plemion. To elfowie przed wiekami uleczyli nas z niemoty, a mowa jest wielkim darem, nie zapomnimy im tego nigdy, chociaż nasze drogi rozeszły się już od dawna. Są też na świecie stwory, z którymi na pewno nigdy się nie sprzymierzę,

którym jestem z wszystkich sił przeciwny: ci tam… *burárum*… – Drzewiec zamamrotał basem z wielkim obrzydzeniem. – Orkowie i władcy, którym orkowie służą. Niepokoiłem się, kiedy cień zalegał Mroczną Puszczę, ale kiedy cofnął się do Mordoru, przestałem się na jakiś czas martwić. Mordor jest daleko stąd. Teraz jednak zdaje mi się, że wiatr dmie od wschodu, i kto wie, może już zbliża się koniec wszystkich lasów świata. Stary ent nie może nic zrobić, żeby powstrzymać burzę. Musi ją przetrwać albo zginąć.

Ale jest jeszcze Saruman! A Saruman to nasz sąsiad. O tym mi nie wolno zapomnieć. Z Sarumanem muszę coś zrobić. Wiele ostatnio myślałem, co by tu zrobić z Sarumanem.

– Co to za jeden, ten Saruman? – spytał Pippin. – Czy znasz jego historię?

– Saruman jest Czarodziejem – odparł Drzewiec. – Więcej nic wam o nim nie umiem powiedzieć. Nie znam historii Czarodziejów. Pojawili się pierwszy raz, gdy Wielkie Okręty nadpłynęły zza Morza, ale czy przybyli na tych okrętach, tego nie wiem. Saruman, jak słyszałem, cieszył się między nimi wielkim poważaniem. Od pewnego czasu, wedle waszej rachuby od bardzo dawna, zaniechał wędrówek i przestał mieszać się do spraw elfów i ludzi. Osiadł na stałe w Angrenost, czyli w Isengardzie, jak nazywają to miejsce ludzie z Rohanu. Z początku siedział cicho, ale z biegiem lat coraz głośniej było o nim na świecie. Został podobno z wyboru głową Białej Rady, ale nic dobrego z jej poczynań nie wynikło. Teraz myślę, że może Saruman już wtedy knuł jakieś ciemne plany. W każdym razie sąsiadom nie przyczyniał kłopotów. Nieraz z nim rozmawiałem. Był taki czas, gdy lubił przechadzać się po moim lesie. Grzecznie pytał wtedy zawsze o pozwolenie, przynajmniej jeśli mnie spotkał; słuchał pilnie wszystkiego, co mówiłem, a ja mu powiedziałem wiele rzeczy, których by sam na pewno nie odkrył. Nigdy mi jednak nie odwzajemniał się szczerością za szczerość. Nie pamiętam, żeby mi cokolwiek powiedział. Zamykał się w sobie coraz bardziej. Pamiętam jego twarz, chociaż od lat już jej nie widziałem; stała się z czasem jak okno w kamiennym murze, zamknięte od wnętrza okiennicami.

Zdaje mi się, że zgaduję, do czego Saruman teraz dąży. Chce być Potęgą. Jemu w głowie metale i kółka, o żywe stworzenia wcale nie dba, chyba że może posłużyć się nimi chwilowo. Dzisiaj to już jasne jak słońce, że Saruman jest nikczemnym zdrajcą. Zbratał się z najpodlejszym plemieniem,

z orkami. Brm, hm… Ba, gorzej jeszcze: odmienił orków, zadał im jakiś niebezpieczny czar. Isengardczycy stali się bardzo podobni do ludzi, ale do złych, przewrotnych ludzi. Wszelkie złe stwory, które służą Wielkim Ciemnościom, poznaje się po tym, że nie mogą ścierpieć słońca. Ale orkowie Sarumana znoszą je, chociaż na pewno ze wstrętem. Ciekawe, jak on to zrobił? Czy Isengardczycy są ludźmi, których on w orków zaklął, czy też mieszańcami obu tych ras? Straszna byłaby to podłość Sarumana…

Drzewiec mruczał coś pod nosem przez długą chwilę, jakby wymawiał jakieś najgłębsze, podziemne przekleństwo w języku entów.

– Nieraz dawniej dziwiło mnie, że orkowie zapuszczają się tak śmiało w mój las i przechodzą tędy jakby nigdy nic – podjął znowu. – Dopiero ostatnimi czasy zrozumiałem, że to sprawka Sarumana, który od lat śledził ścieżki i odkrył moje tajemnice. Ten niegodziwiec i jego sługi pustoszą las. Na skrajach rąbią drzewa, dobre, zdrowe drzewa. Niektóre zostawiają zwalone, żeby gniły na miejscu, po prostu ze zwykłej orkowej złośliwości. Ale większość pni zabierają z sobą, żeby nimi podsycać ognie Orthanku. Znad Isengardu stale teraz wzbijają się dymy.

Przeklęte niech będą jego korzenie i gałęzie! Wiele spośród tych drzew było moimi przyjaciółmi, znałem je od orzeszka, od nasienia. Wiele z nich mówiło swoim własnym głosem, dziś na zawsze umilkłym. Pustkowia, poręby najeżone pniakami i zarosłe cierniem szerzą się tam, gdzie ongi śpiewał zielony las. Za długo się leniłem. Dopuściłem do szkód. Trzeba temu położyć kres!

Gwałtownym podrzutem Drzewiec zerwał się z łoża, wstał i ciężką rękę położył na stole, aż misy światła zadrżały i wystrzeliły z nich dwa słupy płomieni. W oczach olbrzyma migotały zielone ogniki, a nastroszona broda zjeżyła mu się niby ogromna miotła.

– Położę temu kres – mruknął basem. – Wy pójdziecie ze mną. Będziecie mi zapewne użyteczni. W ten sposób pomożecie też swoim przyjaciołom, bo jeśli nikt nie powstrzyma Sarumana, Rohan i Gondor będą zagrożone od zaplecza tak samo, jak są od frontu. Wspólna droga przed nami: do Isengardu!

– Pójdziemy z tobą – rzekł Merry. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Tak! – rzekł Pippin. – Chciałbym widzieć, jak Biała Ręka zostanie odrąbana. Chciałbym przy tym być, nawet gdybym nie na wiele mógł się przydać. Nigdy nie zapomnę Uglúka i tej drogi przez stepy Rohanu.

– Dobrze! Dobrze! – powiedział Drzewiec. – Ale mówiłem trochę zbyt pochopnie. Trzeba działać rozważnie. Zanadto się rozgrzałem. Muszę najpierw ochłonąć i pomyśleć. Bo łatwiej krzyknąć „hop!”, niż przeskoczyć.

Podszedł do wylotu groty i stał długą chwilę pod rzęsistym deszczem potoku. Zaśmiał się i otrząsnął, a krople, rozpryskując się po ziemi, migotały czerwonymi i zielonymi skrami. Olbrzym wrócił na łoże i pogrążył się w milczącej zadumie.

Po jakimś czasie hobbici znów usłyszeli jego szept. Zdało im się, że Drzewiec liczy coś na palcach. – Fangorn, Finglas, Fladrif, tak, tak – mruczał. – Cała bieda, że niewielu nas zostało – westchnął, zwracając się do hobbitów. – Trzech ledwie spośród starych entów, którzy chadzali po lasach, nim nadciągnęły Ciemności: ja, czyli Fangorn, a poza mną Finglas i Fladrif – jak brzmią nasze imiona w mowie elfów. Możecie tych moich współbraci nazywać Liścieniem i Okorcem, jeśli wolicie. Trzech nas jest, ale Liścień i Okorzec nie bardzo nadają się do tej roboty. Liścień rozespał się, można by rzec, zdrzewiał. Stoi na pół uśpiony i samotny przez całe lato po kolana w wysokiej trawie. Cały obrósł liścianym włosem. Dawniej budził się na zimę, ale ostatnio tak go sen zmorzył, że nawet zimą daleko nie zajdzie. Okorzec mieszkał na stokach gór, na zachód od Isengardu. Tam właśnie najwięcej było zniszczenia. On sam doznał ciężkich ran z ręki orków, a wielu jego poddanych i pasterzy drzew zamordowano i wytępiono. Okorzec schronił się wyżej, między brzozy, które szczególnie kocha, i nie chce stamtąd zejść. Mimo to uzbiera się pewnie drużyna jak się patrzy z młodszych krewniaków, jeśli będę umiał wytłumaczyć im, jaka to pilna i wspólna potrzeba. Jeśli zdołam ich poruszyć, bo niezbyt pochopny jest nasz ród. Szkoda, szkoda, że tak nas mało.

– Dlaczego tak was mało, skoro od bardzo dawna zamieszkujecie ten kraj? – spytał Pippin. – Czy tylu pomarło?

– Ej, nie! – odparł Drzewiec. – Żaden nie umarł od środka, że się tak wyrażę. Niektórzy zginęli w ciągu tylu wieków od złych przygód, to prawda. Ale jeszcze więcej po prostu zdrzewiało. Nigdy jednak nie było nas

wielu i ród się nie rozplenia. Nie ma potomstwa, nie ma entowych dzieci, jak byście wy to powiedzieli, nie rodzą się już od bardzo dawna. Trzeba wam wiedzieć: straciliśmy żony.

– To strasznie smutne! – powiedział Pippin. – Wszystkie wymarły?

– Wymrzeć nie wymarły – odparł Drzewiec. – Nie mówiłem przecież, że umarły. Powiedziałem: straciliśmy żony. Zginęły nam i nie możemy ich odnaleźć. – Westchnął. – Myślałem, że wszystkie inne plemiona wiedzą o tym. Wśród elfów i ludzi w Mrocznej Puszczy i w Gondorze śpiewano pieśni o entach, którzy szukają swoich zagubionych żon. Niemożliwe, żeby już wszystkie te pieśni poszły w zapomnienie.

– Niestety, nie dotarły widać zza gór na zachód, do Shire'u – rzekł Merry. – Czy nie zechciałbyś nam opowiedzieć o tym albo zaśpiewać którejś z tych pieśni?

– Chętnie, chętnie – odparł Drzewiec, najwyraźniej uradowany prośbą hobbita. – Ale nie będę mógł opowiedzieć wszystkiego dokładnie, tylko pokrótce, z grubsza. A potem trzeba będzie zakończyć pogawędkę, bo jutro muszę zwołać naradę i czeka mnie moc roboty, a kto wie, czy nie przyjdzie nam od razu wyruszyć w drogę.

– Dziwna to historia i bardzo smutna – zaczął po chwili namysłu. – W dawnych czasach, kiedy świat był młody, a puszcza rozległa i dzika, entowie wędrowali po niej i mieszkali razem ze swoimi kobietami, a były wśród nich także śliczne młódki… pamiętam Fimbrethil, Gałęzinkę, jak lekko stąpała po lesie za tych dni młodości! Ale serca nasze oddalały się od siebie coraz bardziej, bo entowie co innego kochali niż ich żony. Entowie kochali wielkie drzewa, dziką puszczę, stoki wysokich gór; pili wodę z górskich potoków, a jedli tylko te owoce, które drzewa rzucały im pod nogi na ścieżkę, a gdy nauczyli się od elfów mowy, rozmawiali z drzewami. Lecz żony entów upodobały sobie rzadkie zagajniki i słoneczne łąki na skrajach lasu, wypatrywały ostrężyn w gąszczu, wiosną – kwitnących dzikich jabłoni i wisien, latem – ziół pachnących nad wodą, a jesienią – kłosów wśród trawy. Nie chciały z tymi wszystkimi stworzeniami rozmawiać, żądały tylko, żeby ich słuchały i spełniały ich wolę. Żony entów kazały wszystkiemu rosnąć wedle swoich życzeń, dostarczać sobie liści i owoców; lubiły bowiem porządek, dostatek i spokój, a to wedle ich rozumienia znaczyło, że każda rzecz ma zostawać tam, gdzie one ją

umieściły. W ten sposób żony entów założyły ogrody i zamieszkały w nich. Entowie jednak dalej wędrowali po lasach i tylko od czasu do czasu wracali do ogrodów i do swoich żon. Potem, kiedy Ciemności ogarnęły kraje północy, żony entów przeprawiły się za Wielką Rzekę i założyły na drugim jej brzegu nowe ogrody, uprawiły nowe pola. Już wówczas rzadziej je widywaliśmy. Gdy Ciemności odparto, kraina entowych żon rozkwitła bujnie, pola ich szumiały łanami zbóż. Ludzie nauczyli się od naszych żon niejednej umiejętności i bardzo je szanowali, lecz o nas, ich mężach, nic prawie nie wiedzieli; byliśmy tylko legendą, tajemnicą ukrytą w głębi puszczy. A przecież my żyjemy po dziś dzień, gdy ogrody naszych żon, z dawna już spustoszone, zmieniły się w ugory. Ludzie zwą je teraz Brunatnymi Polami.

Pamiętam, przed laty – w czasach wojny między Sauronem a Ludźmi zza Morza – zatęskniłem za moją Fimbrethil. Kiedy ją widziałem ostatni raz, wydała mi się bardzo piękna, chociaż już niepodobna do entowych żon z dawnych czasów. Bo te nasze żony od ciężkiej pracy przygarbiły się, skóra im ściemniała, włosy spłowiały na słońcu i nabrały odcienia dojrzałego zboża, a policzki pokraśniały jak jabłka. Tylko oczy zostały takie, jakie zawsze w naszym plemieniu bywały. Przeprawiliśmy się przez Anduinę i zawędrowaliśmy aż do kraju naszych żon. Ale ujrzeliśmy tam pustynię, pogorzeliska i nagą ziemię. Wojna bowiem przeszła tamtędy. Po naszych żonach nie znaleźliśmy nawet śladu. Długo nawoływaliśmy, długo szukaliśmy. Każde napotkane stworzenie pytaliśmy, czy nie wie, dokąd wywędrowały entowe żony. Jedni powiadali, że widzieli, jak szły na zachód, inni – że na wschód, a jeszcze inni – że na południe. Lecz szukaliśmy wszędzie na próżno. Wielki był nasz żal, lecz puszcza wzywała i wróciliśmy do niej. Przez wiele lat wychodziliśmy z lasów, wciąż na nowo podejmowaliśmy poszukiwania. Wędrowaliśmy daleko, we wszystkie strony, wywołując piękne imiona naszych żon. Czas płynął, coraz rzadziej wychylaliśmy się poza las, coraz bardziej skracaliśmy te wyprawy. Dziś po naszych żonach zostało nam już tylko wspomnienie, brody wyrosły nam długie i siwe. Elfowie ułożyli wiele pieśni o entach poszukujących swoich żon i niektóre z tych pieśni ludzie przetłumaczyli na swój język. My, śpiewając, nie dobieramy słów, wystarczają nam piękne imiona, które ongi nadaliśmy swoim żonom. Wierzymy, że kiedyś znów spotkamy się z nimi i może znajdziemy taki kraj, w którym będziemy mogli żyć razem, który się nam i naszym żonom równie spodoba. Wedle starej przepowiedni stanie się

to jednak dopiero wówczas, gdy i my, i one utracimy wszystko, co dawniej posiadaliśmy. Kto wie, czy już wreszcie nie zbliża się ta godzina. Bo Sauron już dawno spustoszył ogrody naszych żon, a dziś Nieprzyjaciel grozi zniszczeniem lasów. Elfowie ułożyli pieśń, która o tym mówiła, jeśli ją dobrze zrozumiałem. Śpiewano ją wszędzie na wybrzeżach Wielkiej Rzeki. Zważcie, że nie była to nigdy pieśń entów. W naszej mowie musiałaby ciągnąć się o wiele, wiele dłużej. Umiemy ją jednak na pamięć i nucimy sobie od czasu do czasu. W waszym języku brzmiałaby mniej więcej tak:

Ent:

Gdy w bukach wiosną pęka liść i krąży sok w gałązkach,
Gdy leśny strumień w słońcu lśni, trzepoce w wietrze wstążka,
Gdy pełny oddech, długi krok, a powiew w wiatr się zmienia –
Wróć do mnie, miła, by mi rzec, że piękna moja ziemia!

Żona enta:

Gdy wiosna gości pośród pól, gdy źdźbło nasieniu rade,
Gdy okwiat niby lśniący śnieg króluje ponad sadem,
Gdy słońce i wiosenny deszcz sad w wonny bukiet zmienia –
Zostanę tutaj, bo i tu też piękna moja ziemia!

Ent:

Gdy lato ogarnęło świat, a w południowym skwarze
Pod dachem liści drzewa śnią sen najpiękniejszych marzeń,
Gdy w lesie groty wabi chłód, a wieczór tonie w cieniach –
Wróć do mnie, miła, by mi rzec, że lepsza moja ziemia!

Żona enta:

Gdy lato grzeje owoc drzew i gdy dojrzewa w śliwach,

Gdy złote źdźbło i biały kłos, gdy już skończone żniwa,
Gdy jabłko źrałe, słodki miód i coraz więcej cienia –
Zostanę tutaj, gdzie mój raj, bo lepsza moja ziemia.

Ent:

Gdy przyjdzie zima, kiedy mróz pościna lodem rzeki,
Gdy wstąpi noc, bezgwiezdna noc na nieba szlak daleki,
Gdy śmiercią wionie wschodni wiatr, zapukam do twej bramy –
I w mroźny deszcz, o, miła ma, na pewno się spotkamy!

Żona enta:

Gdy przyjdzie zima, ścichnie pieśń i świat ogarną cienie,
Gdy gałąź z hukiem trzaśnie w pół, znój pójdzie w zapomnienie –
Zapukam wtedy do twych drzwi, a kiedy się spotkamy,
Pójdziemy razem w mroźny deszcz za domu twego bramy.

Oboje:

Pójdziemy razem drogą dróg na Zachód w obcą stronę –
I tam znajdziemy wreszcie kraj i szczęście wymarzone[56].

Drzewiec umilkł.

– Tak brzmi ta pieśń – rzekł po chwili. – Oczywiście, elfowie ją ułożyli po swojemu: lekkomyślnie, pochopnie. Ledwo się rozśpiewasz, a już koniec pieśni. No, ale jest dość ładna, jak mi się zdaje. Entowie, gdyby mieli czas, mogliby o tym znacznie więcej opowiedzieć. Teraz jednak muszę już koniecznie wstać, żeby się trochę zdrzemnąć. A wy gdzie macie ochotę postać?

– My zwykle śpimy na leżąco – rzekł Merry. – Dobrze nam będzie tu, gdzie jesteśmy.

– Na leżąco sypiacie? – zdziwił się Drzewiec. – A tak, tak, oczywiście! Hm… hm… Zapomniałem. Pieśń przeniosła mnie w dawne czasy. Przez chwilę wydało mi się, że mówię do małych enciąt. No, tak… kładźcie się na łożu. Ja postoję sobie pod deszczem. Dobranoc.

Merry i Pippin wygramolili się na łoże i otulili w miękkie siano i paprocie. Posłanie było świeże, pachnące i ciepłe. Światła przygasły i lśnienie drzew przybladło, lecz u wejścia do groty widzieli sylwetę starego Drzewca, który znieruchomiał wyprostowany, z rękami wzniesionymi nad głową. Gwiazdy wzeszły na niebie i w ich blasku krople wody lśniły jak srebrne perły, sypiąc się na jego włosy i ręce, spadając deszczem aż na stopy.

Wsłuchani w szelest kropel, hobbici usnęli.

Kiedy się zbudzili, chłodne słońce rozjaśniało polanę i zaglądało do koliby. Górą pędziły strzępy chmur, gnane ostrym wiatrem od wschodu. Drzewca nigdzie w pobliżu nie było widać, lecz gdy Merry i Pippin kąpali się w misie przed grotą, usłyszeli jego pomruk i piosenkę, a wkrótce i on sam ukazał się na ścieżce między drzewami.

– Hm, hu, ho! Dzień dobry, Merry, dzień dobry, Pippinie! – huknął na ich widok. – Zaspaliście. Ja tymczasem zdążyłem już od rana przejść dobrych paręset kroków. Teraz napijemy się, a potem pójdziemy na Wiec.

Napełnił dla nich dwa kubki, czerpiąc z kamiennej stągwi, lecz teraz z innej niż poprzedniego wieczora. Smak napoju także był inny, bardziej jak gdyby ziemny, pokrzepiający i sycący jak jadło. Gdy hobbici, siadłszy na brzegu łoża, popijali i zagryzali okruchami lembasów – raczej z rozsądku tylko i zwyczaju uzupełniając w ten sposób śniadanie, bo nie czuli głodu – Drzewiec stał, podśpiewując jakąś pieśń entów czy może elfów, w każdym razie w niezrozumiałym języku, i spoglądał w niebo.

– Wysoko to na ten Wiec? – ośmielił się zapytać Pippin.

– Co? Na Wiec? – odparł Drzewiec, obracając się ku niemu. – Wiec to nie góra, ale zgromadzenie entów, zresztą rzadko teraz już zwoływane. Ale dość dużo współbraci obiecało się stawić. Spotkamy się tam, gdzie zawsze dawniej wiecowaliśmy, w Zaklętej Kotlinie – jak ją ludzie nazwali. Leży ona na południe stąd. Musimy zdążyć na miejsce, nim słońce dojdzie do połowy nieba.

Wkrótce też ruszyli w drogę. Drzewiec, tak samo jak poprzedniego dnia, wziął hobbitów na ręce. Od bramy Źródlanej Sali skręcił w prawo, przeskoczył strumień i pomaszerował na południe, trzymając się podnóży wysokich, stromych wzgórz, z rzadka porosłych drzewami. Wyżej na ich stokach widać było kępy brzóz i jarzębin, a ponad nimi ciemny, pnący się ku szczytom bór świerkowy. Po niejakim czasie Drzewiec spod wzgórz zboczył w gęsty las; tak wysokich, rozłożystych i skupionych w zbitą masę drzew nigdzie jeszcze hobbici nie widzieli.

Zrazu ogarnęła ich duszność, podobnie jak wówczas, gdy po raz pierwszy zagłębili się w Fangorn, lecz tym razem szybko odzyskali oddech. Drzewiec nic do nich nie mówił. Nucił sobie coś pod nosem w zamyśleniu, słów jednak hobbici nie mogli rozróżnić; brzmiało to jak: *bum, bum, rumbum, bur, bur, bum…* i tak w kółko, tylko ton i rytm zmieniał się ustawicznie. Od czasu do czasu zdawało im się, że słyszą z głębi lasu odpowiedź, pomruk czy drżący głos, dochodzący jak gdyby spod ziemi czy może z koron liści nad ich głowami, a może z wnętrza pni. Drzewiec wszakże nie zatrzymywał się ani nie odwracał głowy.

Szedł tak dość długo; Pippin próbował liczyć entowe kroki, lecz bez powodzenia, bo już po trzech tysiącach, gdy Drzewiec nieco zwolnił tempo, stracił rachunek. Nagle ent stanął, opuścił hobbitów w trawę, podniósł do ust obie dłonie zwinięte w trąbkę i zaczął nawoływać po swojemu. Potężne „hum, hum!” rozniosło się basem niby głos rogu po lesie i jakby echem odbiło pośród drzew. Z daleka ze wszystkich stron zabrzmiały w odpowiedzi: „hum, huum!” – wywoływane na różne tony.

Drzewiec usadowił teraz hobbitów na swoich ramionach i ruszył znowu, co chwila jednak przystając i pomrukując, a za każdym razem odpowiedzi dolatywały bliższe i głośniejsze. Wreszcie stanęli przed zwartą, nieprzeniknioną, jak się zdawało, ścianą zieleni. Tego gatunku drzew nigdzie dotychczas hobbici nie spotkali; nie traciły na zimę listowia, rozgałęziały się tuż nad ziemią, jakby od samych korzeni, i krył je taki gąszcz ciemnych, połyskliwych liści, że wyglądały jak ogromne ostrokrzewy pozbawione cierni; pośród gałązek sterczały sztywne pędy kwiatowe z nabrzmiałymi oliwkowymi pąkami.

Drzewiec skręcił w lewo i po kilku zamaszystych krokach dotarł do wąskiego przejścia otwartego w tym olbrzymim żywopłocie. Biegła tędy

wydeptana ścieżka, stromo opadająca w dół długim, spadzistym zboczem. Hobbici zorientowali się, że Drzewiec niesie ich w głąb wielkiej kotliny, krągłej jak miska, bardzo szerokiej i zaklęsłej, otoczonej na krawędzi strzelistym, ciemnozielonym murem żywopłotu. Kotlina była wysłana miękką trawą i bezdrzewna, tylko pośrodku, na samym jej dnie, rosły trzy piękne, smukłe, srebrzyste brzozy. Ścieżka, którą obrał Drzewiec, nie była jedyną drogą do tego zakątka; dwie inne wiodły od zachodu i wschodu.

Sporo entów było już na miejscu, a wszystkimi trzema ścieżkami już nadciągało ich więcej. Wreszcie hobbici mogli im się przyjrzeć z bliska. Spodziewali się, że zobaczą gromadę sobowtórów Drzewca, tak do siebie podobnych, jak hobbit do hobbita – przynajmniej w oczach obcoplemieńca – toteż zdumieli się niezmiernie, stwierdzając, że z entami sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Różnili się między sobą tak jak drzewa; niektórzy – jak drzewa tej samej nazwy, które jednak inaczej wyrosły i różne przeszły koleje losu; inni – jak drzewa odmiennych gatunków, tak niepodobne jak brzoza do buka albo dąb do jodły. Kilku sędziwych brodatych entów przypominało drzewa bardzo stare, ale zawsze zdrowe i krzepkie, żaden z nich jednak nie zdawał się tak wiekowy jak Drzewiec. Entowie wysokiego wzrostu, silni, zgrabni i gładcy jak najmłodsze drzewka, byli niewątpliwie młodsi, lecz dojrzali. Dzieci, nowych pędów, próżno hobbici wypatrywali w tej gromadzie. A przecież zebrało się już ze dwa tuziny entów na szerokiej trawiastej polanie i drugie tyle nadciągało stokami kotliny. W pierwszej chwili oszołomiła Meriadoka i Pippina przede wszystkim ta niezwykła różnorodność leśnego plemienia, mnóstwo rozmaitych kolorów, kształtów, sylwetek wyższych i niższych, cieńszych lub grubszych w pasie, o dłuższych lub krótszych ramionach i nogach, o różnej też liczbie palców u rąk i stóp: od trzech do dziewięciu. Paru zdawało się najbliżej spokrewnionych z Drzewcem i przypominało buki czy może dęby. Lecz byli też zupełnie inni entowie, podobni do kasztanowców: brunatni, na krótkich, grubych nogach, o dłoniach szerokich i rozcapierzonych palcach; podobni do jesionów: smukli, wyprostowani, siwi, z mnóstwem palców u rąk i z długimi nogami; podobni do jodły – najroślejsi; podobni do brzóz, do jarzębin, do lip. Dopiero gdy entowie skupili się wokół Drzewca i lekko pochylając głowy, szeptali coś dźwięcznymi, spokojnymi głosami, wpatrując się uważnie, przeciągle w twarze dwóch obcych gości, hobbici spostrzegli, że wszyscy mają jakieś rodzinne podobieństwo i takie same oczy, nie tak stare wprawdzie i

głębokie jak Drzewiec, lecz równie cierpliwe, uparte, zadumane i rozświetlone zielonymi skrami.

Kiedy wreszcie cała gromada zebrała się w kotlinie i otoczyła szerokim kręgiem Drzewca, zaczęła się dziwna, niezrozumiała dla hobbitów rozmowa. Entowie zanucili z cicha: któryś zaintonował pierwszy, drugi mu zawtórował, aż w końcu wszyscy włączyli głosy do chóru. Powolny śpiew to wznosił się, to opadał, czasem rozbrzmiewał wyraźniej po jednej stronie kręgu, by po chwili przycichnąć i znów wezbrać potężnie, lecz już od innej strony. Pippin nie mógł ani zrozumieć, ani nawet odróżnić słów, domyślał się tylko, że to jest mowa entów i z początku wydała mu się tak ładna, że słuchał jej z przyjemnością; wkrótce jednak ogarnęło go roztargnienie. Czas płynął, pieśń wlokła się bez końca, aż hobbit zaczął podejrzewać, że entowie w swoim „niepochopnym języku” nie zdążyli jeszcze powiedzieć sobie nawzajem „dzień dobry”. Przyszło mu też do głowy, że jeśli Drzewiec zechce przeprowadzić apel, wymienienie imion całego pogłowia entów może potrwać ładnych kilka dni. „Ciekaw jestem, jak w ich mowie brzmi «tak» i «nie»” – pomyślał i ziewnął.

Drzewiec spostrzegł to natychmiast.

– Hm, hm, mój Pippinie! – rzekł, a wszyscy entowie przerwali śpiew. – Zapomniałem, że wy, hobbici, należycie do bardzo pochopnego plemienia. Zresztą każdy by się szybko znudził, słuchając przemówień, z których nic nie rozumie. Możecie się trochę przejść. Już was przedstawiłem entom, obejrzeli was, upewnili się, że nie jesteście orkami, i przyznali, że należy do spisu mieszkańców ziemi dodać nową linijkę. Więcej jak dotąd Wiec nie uchwalił, ale i to dużo, jak na zebranie entów, szybko się dziś posuwamy. Jeżeli macie ochotę, pospacerujcie po kotlinie. Znajdziecie źródło tam, na północnej skarpie, woda jest czysta, napijcie się, to was odświeży. My musimy wymienić jeszcze parę wstępnych słów, zanim Wiec rozpocznie się na dobre. Odszukam was i powiadomię, jak sprawy stoją, gdy będzie już coś postanowione.

Postawił hobbitów na ziemi. Merry i Pippin, zanim odeszli, ukłonili się grzecznie. Ten gest ubawił entów ogromnie, jak można się było domyślić z ich pomruku i z nagłego błysku w oczach; zaraz jednak podjęli znów naradę. Hobbici wspięli się ścieżką, która prowadziła z zachodniego stoku, i wyjrzeli przez lukę za żywopłot. Nad krawędzią kotliny wznosiły się zalesione zbocza, a w oddali, nad czubami świerków porastających

najdalsze wzgórza, ostro wystrzelały pod niebo śnieżnobiałe szczyty wysokiego górskiego łańcucha. Patrząc w lewo, w stronę południa, widzieli tylko morze lasu spływające w dół i roztapiające się we mgle. Na odległym widnokręgu prześwitywała blada zieleń: stepy Rohanu – jak domyślał się Merry.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie jest Isengard – powiedział Pippin.

– Nie wiem dokładnie, gdzie jesteśmy – odparł Merry. – Ten szczyt to zapewne Methedras, a jeśli mnie pamięć nie myli, krąg gór otaczający Isengard znajduje się w rozwidleniu, czy raczej w głębokim kotle u końca górskiego łańcucha, a więc jest ukryty za tym ogromnym grzbietem. Wydaje mi się nawet, że dostrzegam dym albo jakieś opary tam, na lewo od tego wierzchołka.

– Jak wygląda Isengard? – spytał Pippin. – Zastanawiam się, czy entowie w ogóle mogą coś zdziałać przeciw tej twierdzy Sarumana.

– Ja się też nad tym zastanawiam – rzekł Merry. – Isengard to, o ile mi wiadomo, płaska przestrzeń otoczona kręgiem skał, ze sterczącą pośrodku na kamiennej wyspie czy cokole wieżą, zwaną Orthankiem. Tam mieszka Saruman. W ścianie gór jest brama, a także, jeśli dobrze pamiętam, przełom, przez który płynie rzeka. Spływa ona od źródeł w górach ku Wrotom Rohanu. Trudno sobie wyobrazić, żeby entowie mogli być niebezpieczni dla tak obwarowanej fortecy. Ale nie jestem tego zupełnie pewny. Entowie są trochę zagadkowi, kto wie, może groźniejsi i wcale nie tacy, powiedzmy, zabawni, jak by się z pozoru wydawało; niby powolni, cierpliwi, dziwni, niemal smutni. A mimo to sądzę, że można ich rozruszać. A jeżeli raz się ruszą, nie chciałbym być w skórze ich przeciwników.

– Tak! – odparł Pippin. – Rozumiem cię dobrze. Różnica mniej więcej taka, jak między starą krową, przeżuwającą flegmatycznie trawę na pastwisku, a rozjuszonym bykiem. Zmiana może nastąpić w okamgnieniu. Ciekawe, czy Drzewiec zdoła ich rozruszać? Sam przecież rozruszał się nagle wczoraj wieczorem, ale natychmiast zdrętwiał znowu.

Zawrócili ku kotlinie. Głosy entów w dalszym ciągu to podnosiły się, to opadały: narada trwała. Słońce stało już tak wysoko, że zaglądało ponad żywopłotem i błyszczało na czubach brzóz, zalewając zwrócone na północ stoki chłodnym złotym światłem. W jego blasku hobbici zauważyli małe migocące źródełko. Ruszyli w tym kierunku krawędzią kotliny pod

żywopłotem – przyjemnie było poczuć znów świeżą trawę pod stopami i wędrować bez pośpiechu – a potem zeszli w dół, ku perlącej się wodzie. Była czysta, zimna, orzeźwiająca; wypili po łyku i przysiedli na omszałym kamieniu, obserwując, jak plamy słońca połyskują w trawie i jak cienie żeglujących obłoków suną przez dno kotliny. Entowie mruczeli dalej. Cały ten zakątek wydał się hobbitom niezwykły, obcy, odcięty od ich własnego świata, odległy od wszystkiego, co kiedykolwiek przeżyli. I nagle zatęsknili gorąco do twarzy i głosów przyjaciół, a najbardziej do Froda, Sama i Obieżyświata.

Wreszcie entowie przerwali swój śpiew. Podnosząc głowy, hobbici zobaczyli Drzewca idącego w ich stronę z jakimś drugim entem u boku.

– Hm, hm… Jestem wreszcie – rzekł Drzewiec. – Znudziliście się pewnie? Uprzykrzyło wam się oczekiwanie, hę? No, trudno, musicie się zdobyć na jeszcze trochę cierpliwości. Skończyliśmy pierwszą część narady, ale teraz muszę z kolei wytłumaczyć całą sprawę tym, którzy mieszkają daleko stąd i daleko od Isengardu, a także tym, których nie zdążyłem odwiedzić przed wiecem, a dopiero potem zdecydujemy się, co robić. Jednakże decyzja, co robić, nie zajmuje zwykle entom tak wiele czasu, jak przegląd wszystkich faktów oraz zdarzeń, które wymagają osądzenia. Mimo to nie ukrywam, że narada potrwa jeszcze dość długo, może kilka dni. Dlatego przyprowadziłem wam kompana. W języku elfów jego imię brzmi Bregalad. Ma tu w pobliżu dom. Powiada, że ma już zdanie wyrobione i nie potrzebuje wobec tego uczestniczyć w dalszym ciągu wiecu. Hm, hm… Bregalad, jak na enta, jest dość pochopnego usposobienia. Powinniście się z nim dogadać. Do widzenia!

Drzewiec obrócił się i odszedł. Bregalad stał przez chwilę w milczeniu, przyglądając się hobbitom, a hobbici przyglądali mu się nawzajem, bardzo ciekawi, kiedy nareszcie zdradzi swoją „pochopność”. Wzrostu był wysokiego i wyglądał na młodego jeszcze enta, bo skórę na ramionach i nogach miał gładką, wargi rumiane, a włosy szarozielone. Giął się i kołysał jak smukłe drzewo na wietrze. W końcu przemówił. Głos, chociaż donośny, brzmiał czyściej i nie tak basowo jak w ustach Drzewca.

– Hm, hm… Może byśmy się trochę przeszli po lesie? – rzekł. – Nazywam się Bregalad, co na wasz język tłumaczy się: Żwawiec. Ale to tylko przezwisko, oczywiście. Obdarzono mnie nim, gdy kiedyś odpowiedziałem: „tak!” pewnemu starszemu entowi, zanim dokończył

pytania. Piję też szybciej od moich współbraci i zwykle wychodzę, zanim oni zdążą kubek przechylić. Chodźcie ze mną.

Wyciągnął smukłe ramiona i każdemu z hobbitów podał jedną rękę. Cały dzień wędrowali z nim po lesie, śpiewając i śmiejąc się, bo Żwawiec lubił się śmiać. Śmiał się, kiedy słońce wyjrzało zza chmur, śmiał się, kiedy spotkali na swej drodze potok albo źródło; zawsze wtedy pochylał się i oblewał sobie wodą stopy i głowę; śmiał się też z szeptów i szumu drzew. Ilekroć zaś zobaczył jarzębinę, przystawał, rozkładał ramiona i zaczynał śpiewać, a śpiewając, kołysał się łagodnie.

O zmroku zaprowadził hobbitów do swego domu; co prawda był to tylko omszały głaz sterczący z trawy na zielonej skarpie. Wkoło rosły jarzębiny, nie brakowało też oczywiście wody, jak zawsze w siedzibie enta: ze skarpy spływał szumiący potok. Gawędzili we trzech, patrząc, jak noc ogarnia las. Z niezbyt odległej kotliny wciąż jeszcze dochodziły głosy wiecujących entów, brzmiały jednak coraz niższymi tonami i mniej ociężale, a chwilami jeden wybijał się nagle ponad milknący chór wysoką, żywą nutą. Bregalad tymczasem po cichu, niemal szeptem, wciąż coś opowiadał w ich języku. Hobbici dowiedzieli się, że nowy przyjaciel należy do rodu Okorca i że kraina, którą dawniej zamieszkiwał, została spustoszona. Toteż nie potrzebowali już pytać, dlaczego Żwawiec jest bardziej niż inni entowie „pochopny”, przynajmniej gdy chodzi o niechęć do orków.

– Rosły w moich ojczystych stronach jarzębiny – szeptał Bregalad ze smutkiem – drzewa, które zapuściły w tej ziemi korzenie, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem, wiele, wiele lat temu, za dni pokoju. Najstarsze posadzili tam entowie, żeby przypodobać się swoim żonom, one jednak, obejrzawszy je, oznajmiły z uśmiechem, że znają kraj, w którym kwitną piękniejsze kwiaty i rodzą się dorodniejsze owoce. Ale dla mnie nie ma piękniejszych drzew nad jarzębiny. Rosły tak bujnie, że cień każdej z nich tworzył jak gdyby zielony dom, a jesienią gałęzie uginały się od jagód czerwonych i pięknych nad podziw. Zlatywały się do nich ptaki. Lubię ptaki, nawet gadatliwe, a jarzębina ma owoców dość, żeby się z wszystkimi podzielić. Ale ptaki z czasem stały się nieprzyjazne i łapczywe, oskubywały gałęzie, zrzucały jagody na ziemię, wcale ich nie jedząc. Potem przyszli orkowie z siekierami i ścięli moje drzewa. Na próżno wywoływałem ich najmilsze imiona, nie drgnął ani jeden listek, jarzębiny nie słyszały mnie i nie odpowiadały. Leżały martwe.

O, Orofarnë, Lassemista, Carnimírië!
Jarzębino – ktoś twój długi włos ustroił w biały kwiat.
Jarzębino moja, twój lśniący strój ozdobą złotych lat.
Gałązek kiść i lekki liść, łagodny szum i szept,
Twój rudy czub połączył ślub z błękitem górnych nieb.
Jarzębino – dziś już martwy liść – i kruchy, siwy włos,
Bo nadszedł dzień, że skruszał pień i ścichł na wieki głos.
O, Orofarnë, Lassemista, Carnimírië![57]

Hobbici usnęli, słuchając łagodnego głosu Bregalada, jego pieśni opłakującej jak gdyby w wielu różnych językach śmierć drzew, które ent kochał.

Następny dzień spędzili również w towarzystwie Żwawca, lecz nie oddalali się od jego domu. Wiele godzin przesiedzieli w milczeniu w zacisznym kącie pod skarpą, wiatr bowiem dmuchał chłodem, a ciemne chmury nisko zawisły nad stropem lasu. Słońce z rzadka tylko przeświecało, w oddali zaś głosy wiecujących entów wciąż to podnosiły się, to opadały, niekiedy donośne i silne, niekiedy ciche i smutne, chwilami przyspieszając rytm, a chwilami zwalniając uroczyście, jakby zawodziły pieśń żałobną. Druga noc nadeszła, lecz entowie radzili dalej pod chmurami, które z wiatrem mknęły po niebie w niepewnym, mrugającym świetle gwiazd.

Trzeci dzień wstał chłodny i wietrzny. O świcie głosy wiecujących entów wzbiły się nagle wielkim krzykiem, lecz zaraz potem znowu ścichły. W miarę jak płynęły godziny poranka, wiatr uspokajał się i nad lasem powietrze stało się ciężkie, jakby naładowane oczekiwaniem. Hobbici spostrzegli, że Bregalad wsłuchuje się w napięciu w dolatujące z kotliny głosy, które jednak im, siedzącym w zaciszu entowego domu, wydawały się bardzo nikłe.

Nadeszło popołudnie i słońce, wędrując na zachód, ku górom, słało spomiędzy chmur wydłużone złote słupy blasku. Nagle hobbici zauważyli, że wszystko wkoło nich znieruchomiało, jak gdyby cały las nasłuchiwał w skupieniu. Tak, to głosy entów umilkły zupełnie. Co mogła znaczyć ta

cisza? Bregalad stał wyprostowany i sprężony, patrząc w stronę północy, gdzie leżała Zaklęta Kotlina.

Nagle zagrzmiał potężny okrzyk: „Ra – hum – raa!”. Drzewa zadrżały i przygięły się, jakby od podmuchu wichury. Znów zaległa na chwilę cisza, a potem odezwały się bębny uroczystym rytmem marsza i nad ich werbel wzbił się chór głosów czystych i silnych.

Naprzód, naprzód, bęben nasz gra: ta-randa randa randa ram!

Entowie ruszyli. Coraz bliżej rozlegała się pieśń:

Naprzód, naprzód, bęben dudni i róg nam gra: ta-runa runa runa ram!

Bregalad wziął hobbitów na ręce i także ruszył ze swego domu. Po chwili hobbici ujrzeli zastęp w marszu: entowie sadzili wielkimi krokami stokiem wzgórza w dół. Na czele szedł Drzewiec, za nim z pół setki współbraci, którzy postępowali dwójkami, w nogę, wyklaskując dłońmi na udach regularny rytm. Byli już tak blisko, że hobbici widzieli błysk i zielone skry w ich oczach.

– Hum, hm! Ruszyliśmy hucznie, ruszyliśmy nareszcie! – zawołał Drzewiec, spostrzegłszy Bregalada i hobbitów. – Chodźcie z nami, przyłączcie się do gromady. Ruszyliśmy. Idziemy na Isengard!

– Na Isengard! – odkrzyknęły liczne głosy.

– Na Isengard!

Na Isengard, na Isengard! Zły czeka los kamienną włość!

Choć Isengard, jak hardy czart i gładki dość, jak goła kość –

Dziś każdy woj z nim stoczy bój i dźwignie głaz i w dźwierza prask!

Już pień się tli, pryskają skry, bój wzywa nas – idziemy wraz!

Na Isengard, i mieczem w pierś, niesiemy śmierć, niesiemy śmierć![58]

Tak śpiewali, maszerując na południe.

Bregalad z ogniem w oczach poskoczył do szeregu i zajął miejsce u boku Drzewca. Stary ent wziął od niego hobbitów i znów usadowił ich sobie na ramionach. Sunęli więc dumnie na czele rozśpiewanego pochodu, serca biły im mocno, głowy zadzierali wysoko. Oczekiwali, że stanie się coś niezwykłego, a mimo to zadziwiło ich przeobrażenie entów. Jakby nagle runęły upusty, z dawna powstrzymywane przez potężną zaporę.

– Jednakże entowie namyślili się dość szybko, prawda? – ośmielił się zagadnąć Pippin, gdy po jakimś czasie śpiew umilkł i tylko tupot nóg i klaskanie rąk rozlegało się w ciszy.

– Szybko? – rzekł Drzewiec. – Hm… Rzeczywiście. Szybciej, niż się spodziewałem. Od wieków nie widziałem ich tak wzburzonych. My, entowie, nie lubimy się burzyć. I nie burzymy się nigdy, póki nie przekonamy się na pewno, że naszym drzewom i nam samym grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nic podobnego nie zdarzyło się w tym lesie od czasu wojen między Sauronem a ludźmi zza Morza. Cała wina spada na orków, że niszczyli las z samej złośliwości… *rárum*… bo nie mają na swoje usprawiedliwienie nawet tego, że potrzebowali drew do podsycania ognia w swoich piecach. To nas najbardziej zgniewało, a także zdradziecki postępek sąsiada, który powinien był nas wspierać. Od Czarodziejów wymaga się czegoś więcej i zazwyczaj inaczej też postępują. Na taką zdradę nie ma dość strasznej klątwy, dość nikczemnej nazwy w języku elfów, entów ani ludzi. Precz z Sarumanem!

– Czy naprawdę rozwalicie bramy Isengardu? – spytał Merry.

– Hm, hm… być może, być może. Nie wiesz, jaką mamy siłę. Czy słyszałeś o trollach? Są bardzo silne. A przecież to tylko poczwary, które za dni Wielkich Ciemności stworzył Nieprzyjaciel, przedrzeźniając entów, tak samo jak na drwinę z elfów wyhodował orków. My jesteśmy od trollów silniejsi, jesteśmy kością z kości ziemi. Jak korzenie drzew, tak i my umiemy rozsadzać głazy, ale robimy to szybciej niż one, znacznie szybciej, gdy wpadniemy w gniew. Jeżeli nas siekierami nie zetną, ogniem nie spalą albo nie zniszczą czarami, rozłupiemy na drzazgi cały Isengard i obrócimy jego mury w perzynę.

– Ale Saruman pewnie będzie starał się was powstrzymać?

– Hm, ha! Pewnie, że tak. Nie zapomniałem o tym. Długo o tym rozmyślałem. Ale, widzicie, wielu entów jest ode mnie młodszych o kilka pokoleń drzew. Teraz wszyscy wzburzyli się i jedno im tylko w głowie:

rozbić Isengard. Wkrótce wszakże zaczną znów zastanawiać się, ochłoną, kiedy przyjdzie pora na wieczorny kubek napoju. Okrutnie będziemy spragnieni. A teraz niech maszerują ze śpiewem. Daleka droga przed nami, wystarczy czasu do namysłu. Najważniejsze, że już ruszyliśmy.

Przez chwilę Drzewiec maszerował, śpiewając razem z innymi, potem głos zniżył do szeptu i wreszcie umilkł zupełnie. Pippin widział, że sędziwy ent czoło ma chmurne i zmarszczone. Kiedy wreszcie starzec podniósł wzrok, hobbit dostrzegł w jego oczach wyraz smutku. Smutku, ale nie desperacji. Światło bowiem migotało w nich tak, jakby zielone płomyki zapadły jeszcze głębiej w ciemną studnię myśli.

– Oczywiście, bardzo być może, drodzy przyjaciele – rzekł wreszcie – bardzo być może, że idziemy ku własnej zgubie i że to jest ostatni marsz entów. Gdybyśmy jednak zostali w domu z założonymi rękoma, zguba i tak by nas tam znalazła prędzej czy później. Ta myśl od bardzo dawna dojrzewa w naszych sercach i dlatego właśnie ruszyliśmy dzisiaj. Nie ważyliśmy się na ten krok pochopnie. Jeśli to ma być ostatni marsz entów, niechże będzie przynajmniej wart pieśni. Tak, tak – westchnął – może chociaż innym plemionom na coś się przydamy, zanim przeminiemy. A swoją drogą, chciałbym dożyć tego dnia, kiedy się spełni przepowiednia i entowie odnajdą żony. Radowałbym się, gdybym mógł znów zobaczyć swoją Fimbrethil. Ale cóż, pieśni, tak samo jak drzewa, dają owoce dopiero wtedy, gdy się ich czas wypełni, i na swój sposób; a bywa, że zwiędną przedwcześnie.

Entowie maszerowali krokami olbrzymów. Przemierzyli już długi stok opadający na południe i zaczęli się teraz wspinać pod górę, wciąż pod górę, na wysoki zachodni grzbiet. Las został za nimi w dole, coraz rzadziej spotykali rozrzucone kępy brzóz, aż wreszcie wydostali się na nagi stok, gdzie nie rosło nic prócz mizernych sosenek. Słońce skryło się przed nimi za ciemny łańcuch gór. Zmierzch zapadł.

Pippin obejrzał się za siebie. Entów przybyło… czy może stało się coś jeszcze dziwniejszego? Szare, nagie zbocza, przez które dopiero co szli, falowały gęstym lasem. Ten las poruszał się, sunął naprzód! Czyżby drzewa Fangornu obudziły się, czyżby cała puszcza ruszyła ku górom na wojnę? Pippin przetarł oczy, myśląc, że łudzi go sen i zmierzch. Ale wciąż widział ogromne szare postacie wytrwale maszerujące pod górę. Szum się podniósł

jak w lesie, gdy wiatr szeleści w gałęziach. Entowie zbliżali się do szczytu górskiego grzebienia i nikt już teraz nie śpiewał. Mrok zapadł, cisza ogarnęła świat. Nic nie było słychać prócz głuchego dudnienia ziemi pod stopami gromady entów i cichego szelestu jak gdyby tysięcy spadających liści. Wreszcie stanęli na szczycie i spojrzeli w dół, w czarną przepaść: pod ich stopami u końca górskiego łańcucha ział głęboki kocioł, Nan Curunír, Dolina Sarumana.

– Noc leży nad Isengardem – rzekł Drzewiec.

ROZDZIAŁ 5
BIAŁY JEŹDZIEC

– Przemarzłem do szpiku kości – powiedział Gimli, zabijając ramiona i przytupując. Nareszcie wstał dzień. O świcie wędrowcy przegryźli coś niecoś na śniadanie, a teraz, skoro się rozwidniło, zamierzali przeszukać znów teren w nadziei, że odnajdą jakiś ślad hobbitów.

– A nie zapominajmy o tym staruchu – rzekł Gimli. – Byłbym spokojniejszy, gdybym zobaczył odcisk jego butów na ziemi.

– Dlaczego to miałoby cię uspokoić? – spytał Legolas.

– Dlatego że staruszek, którego nogi odciskają ślad na trawie, jest tym, na kogo wygląda, i niczym innym – odparł Gimli.

– Może – powiedział elf – ale nawet ciężki but niekoniecznie zostawiłby po sobie ślady; trawa jest tutaj bujna i sprężysta.

– Nie zmyliłaby jednak oczu Strażnika – rzekł Gimli. – Aragorn odczyta prawdę z jednego bodaj przygiętego źdźbła. Ale nie spodziewam się, żebyśmy tu znaleźli jakieś ślady. To, co widzieliśmy w nocy, było złą zjawą Sarumana. Jestem tego pewny, nawet teraz, w świetle ranka. Może w tej chwili także jego oczy szpiegują nas z Fangornu.

– To dość prawdopodobne – powiedział Aragorn – lecz pewności nie mam. Myślę o koniach. Powiedziałeś tej nocy, Gimli, że ktoś je spłoszył. Mnie się zdaje, że było inaczej. Czyś słyszał, jak uciekały, Legolasie? Czy zrobiło to wrażenie panicznej ucieczki?

– Nie – odparł Legolas. – Słyszałem wyraźnie. Gdyby nie ciemności i nasz własny strach, powiedziałbym, że zwierzęta oszalały z nagłej radości. Ich głosy brzmiały tak, jak zwykle brzmi mowa koni, gdy spotkają niewidzianego od dawna przyjaciela.

– Mnie się też tak wydało – rzekł Aragorn – ale nie rozwiążemy tej zagadki, chyba że konie do nas wrócą. Ruszmy się wreszcie. Dzień rozwidnia się szybko. Najpierw zbadajmy grunt, a potem będziemy zgadywać. Zaczniemy tutaj, w pobliżu miejsca naszego popasu; przeszukajmy dokładnie najbliższą okolicę, posuwając się w górę zbocza pod las. Cokolwiek byśmy myśleli o naszym nocnym gościu, mamy przed

sobą ważniejsze zadanie: odnaleźć hobbitów. Jeżeli szczęśliwym przypadkiem zdołali uciec, musieli ukryć się wśród drzew, inaczej by ich dostrzeżono. Gdybyśmy nie trafili na żaden ślad tutaj, między obozowiskiem a skrajem lasu, przeszukamy po raz ostatni pobojowisko, przetrząśniemy nawet popioły. Ale tam niewiele można się spodziewać. Jeźdźcy Rohanu zbyt dobrze wykonali swoją robotę.

Przez czas jakiś wszyscy trzej czołgali się, obmacując dokładnie grunt. Drzewa stały nad nimi posępne, suche liście zwisały bezwładnie, szeleszcząc na zimnym, wschodnim wietrze. Aragorn oddalał się z wolna. Doszedł aż do popiołów po ognisku zostawionych przez czatę na brzegu rzeki i stamtąd cofał się znów ku pagórkowi, wokół którego toczyła się bitwa. Nagle przystanął i schylił się tak nisko, że twarzą niemal dotknął trawy. Zawołał na towarzyszy. Podbiegli co prędzej.

– Nareszcie jakiś trop – rzekł Aragorn. Podniósł w górę oddarty kawałek dużego jasnozłotawego liścia, który, więdnąc, nabrał brunatnego odcienia. – To liść mallornu z Lórien, a na nim drobne okruchy. Takie same okruszyny dostrzegam w trawie. A tam, patrzcie, strzępy przeciętego powroza!

– Jest także nóż, którym powróz przecięto – powiedział Gimli. Schylił się i z kępy trawy wyciągnął krótki, zębaty sztylet, wdeptany w ziemię jak gdyby ciężkim butem. Trzonek, z którego wyrwano ostrze, leżał opodal. – To broń orka – rzekł Gimli, trzymając sztylet ostrożnie i przyglądając się z odrazą rzeźbionemu trzonkowi. Wyobrażał szkaradną głowę z kosymi oczyma i szyderczym uśmiechem.

– Oto najdziwniejsza z wszystkich dotychczasowych zagadek! – wykrzyknął Legolas. – Spętany jeniec umyka zarówno orkom, jak i oblegającym ich jeźdźcom. Zatrzymuje się w otwartym polu i przecina swoje pęta orkowym sztyletem. Jak to zrobił? Dlaczego? Jeżeli nogi miał skrępowane, jakim sposobem doszedł aż tutaj? A jeżeli miał związane ręce, jak mógł posłużyć się nożem? Gdyby nie był spętany, po cóż by przecinał powrozy? Zadowolony ze swej sztuczki usiadł i z całym spokojem pożywiał się sucharami! Gdybyśmy nie mieli innego dowodu, a mianowicie liścia mallornu, ten jeden wystarczyłby, żeby nie wątpić, że to był hobbit. Potem chyba przemienił swoje ramiona w skrzydła i śpiewając, pofrunął między drzewa. W takim razie odnajdziemy go bez trudu, byleśmy także nauczyli się latać.

– Pewnie, że musiały tu działać jakieś czary – rzekł Gimli. – Co miał tutaj ten staruch do roboty? I co ty sądzisz, Aragornie, o domysłach Legolasa? Czy może umiesz lepiej odczytać te ślady?

– Może umiem – odparł z uśmiechem Aragorn. – Są bowiem dokoła inne jeszcze ślady, których dotychczas nie wzięliście pod uwagę. Zgadzam się, że jeniec niewątpliwie był hobbitem i że musiał albo ręce, albo nogi uwolnić z pęt, zanim tu przyszedł. Zakładam, że miał raczej ręce wolne, bo w ten sposób zagadka się upraszcza, a przy tym, sądząc ze śladów, jeniec został na to miejsce przyniesiony przez jakiegoś orka. O kilka kroków stąd jest plama przelanej krwi, krwi orkowej. Wszędzie wkoło dostrzegam głębokie odciski kopyt i pewne oznaki wskazują, że wleczono po trawie jakiś ciężki przedmiot. A więc jeźdźcy zabili tu orka i potem zawlekli jego ciało do ogniska. Lecz hobbita nie zobaczyli; nie było go łatwo dostrzec w ciemną noc, zresztą miał na sobie płaszcz elfów. Był wyczerpany, głodny, nie trzeba się zatem dziwić, że gdy przeciął swoje więzy sztyletem zabitego wroga, odpoczywał chwilę i zjadł coś, zanim poczołgał się dalej. Bardzo pocieszający jest dowód, że zachował trochę lembasów w kieszeni, chociaż uciekł bez sprzętu i bagażów. To także charakterystyczne dla hobbita. Mówię: hobbit, ale mam nadzieję, że byli to dwaj hobbici, Pippin i Merry. Brak wszakże dowodów na potwierdzenie tej mojej nadziei.

– A jakim sposobem jeden z naszych przyjaciół zdołał uwolnić z pęt ręce? – spytał Gimli.

– Nie wiem, jak się to stało – odparł Aragorn. – Nie wiem też, dlaczego któryś z orków wyniósł hobbitów poza obozowisko. Bo na pewno nie zamierzał dopomóc im w ucieczce. Ale zaczynam teraz rozumieć pewną zagadkę, nad którą od początku łamałem sobie głowę: dlaczego po zabiciu Boromira orkowie nie nastawali na życie hobbitów, lecz tylko porwali ich w niewolę. Nie szukali reszty drużyny, nie atakowali naszego obozu nad rzeką, ale pospiesznie ruszyli w stronę Isengardu. Czy przypuszczali, że mają w ręku Powiernika Pierścienia i jego wiernego sługę? Nie sądzę. Ich władcy nie ośmieliliby się dać orkom tak jasnych rozkazów, nawet gdyby sami o wszystkim dokładnie wiedzieli. Nie mówiliby im otwarcie o Pierścieniu, bo nie mogą ufać orkom. Myślę, że rozkazali im tylko brać każdego napotkanego hobbita żywcem, i to za wszelką cenę. Później, jeszcze przed rozpoczęciem bitwy, ktoś usiłował wymknąć się z okrążenia, unosząc cennych jeńców. Może zdrajca, bo tych nie brak w orkowym

plemieniu. Któryś z większych i zuchwalszych orków chciał może uciec i wykraść łup dla osobistej korzyści. Tak ja odczytuję tę historię. Można też snuć inne domysły. W każdym razie wiemy już na pewno, że co najmniej jeden z naszych przyjaciół ocalał. Musimy go odnaleźć i dopomóc mu, zanim wrócimy do Rohanu. Nie wolno nam cofnąć się przed grozą Fangornu, skoro zły los zapędził hobbita w ciemną głąb tej puszczy.

– Wcale nie jestem pewny, czego się bardziej boję: Fangornu czy też drałowania piechotą przez wiele mil stepami Rohanu – rzekł Gimli.

– Chodźmy więc w las! – powiedział Aragorn.

Nim doszli do lasu, Aragorn wypatrzył nowe ślady. W pobliżu rzeki dostrzegł odciski stóp hobbitów, tak jednak niewyraźne, że niewiele z nich można było odczytać. Nieco dalej, pod ogromnym drzewem na skraju puszczy, natrafił na podobny trop. Ziemia była wszakże sucha i naga, nie zachowała innych śladów.

– Jeden hobbit niewątpliwie stał tutaj przez chwilę i wyglądał na step, a potem odwrócił się i poszedł w głąb lasu – powiedział Aragorn.

– W takim razie my także tam pójdziemy – rzekł Gimli. – Nie podoba mi się jednak ten Fangorn. Pamiętajcie, że nas przed nim ostrzegano. Wolałbym, żeby ślad prowadził w inne strony.

– Mimo wszystko, co się o nim mówi, ten las nie pachnie mi źle – rzekł Legolas. Stał na skraju puszczy wychylony do przodu, jak gdyby nasłuchując i przepatrując gąszcz szeroko otwartymi oczyma. – Nie, ten las nie jest zły, a jeśli nawet czai się w nim coś złego, to bardzo daleko stąd. Z ciemnych zakątków, w których serca drzew sczerniały, chwytam słuchem zaledwie nikłe echa. Nie ma podłości nigdzie w pobliżu nas, ale jest czujność i gniew.

– Na mnie las nie ma o co się gniewać – rzekł Gimli. – Nie zrobiłem mu żadnej krzywdy.

– Tym lepiej dla ciebie – odparł Legolas. – Mimo to las doznał krzywd. W jego wnętrzu coś się dzieje albo może stanie się niebawem. Czy nie wyczuwacie napięcia? Mnie ono aż dech zapiera.

– Duszno tu – rzekł krasnolud. – Ten las, chociaż jaśniejszy od Mrocznej Puszczy, wydaje się zatęchły i zniszczony.

– Jest stary, bardzo stary – odparł elf. – Tak stary, że przy nim ja czuję się znowu młody, a nie zdarzyło mi się to, odkąd wędruję w waszym towarzystwie, młokosy. Jest stary i pełen wspomnień. Mógłbym być szczęśliwy, gdybym trafił tu w dni pokoju.

– Pewnie, że mógłbyś być szczęśliwy – mruknął Gimli. – Jesteś bądź co bądź leśnym elfem, a zresztą wszyscy elfowie są dziwakami. Dodałeś mi jednak ducha. Gdzie ty idziesz, tam i ja pójdę. Ale trzymaj łuk w pogotowiu, a ja też wysunę nieco toporek zza pasa. Nie przeciw drzewom, nie! – dodał pospiesznie, zerkając na drzewo, pod którym stali. – Po prostu na wypadek niespodzianego spotkania z tamtym staruchem wolę mieć pod ręką odpowiedź dla niego. No, chodźmy.

I na tym skończywszy rozmowę, trzech wędrowców zapuściło się w las Fangornu. Legolas i Gimli zdali szukanie tropów na Aragorna. Strażnik jednak także niewiele mógł tutaj wypatrzeć, bo suchy grunt zaścielały grube pokłady liści. Domyślając się, że zbiegli jeńcy zapewne trzymali się w pobliżu wody, Aragorn wciąż wracał nad potok. Dzięki temu natrafił wreszcie na miejsce, gdzie Merry i Pippin gasili pragnienie i chłodzili nogi. Odciski stóp obu hobbitów – jedne nieco mniejsze – były tutaj już zupełnie wyraźne dla wszystkich.

– Oto dobra nowina! – rzekł Aragorn. – Ale to są ślady sprzed dwóch dni. Zdaje się też, że hobbici, odchodząc stąd, oddalili się od rzeki.

– Cóż więc teraz zrobimy? – spytał Gimli. – Nie możemy przecież ścigać ich przez dzikie ostępy Fangornu. Jeżeli nie odnajdziemy ich szybko, na nic się biedakom nie przydamy, chyba na to, żeby usiąść przy nich i dać dowód przyjaźni, umierając razem z głodu.

– Jeżeli rzeczywiście nie sposób zdziałać nic więcej, zrobimy przynajmniej tyle – odparł Aragorn. – W drogę!

Szli, aż stanęli przed stromym urwiskiem, z którego Drzewiec lubił spoglądać na świat, i podniósłszy głowy, zauważyli w skalnej ścianie wyciosane stopnie prowadzące na półkę. Słońce przeświecało spoza wystrzępionych chmur i las zdawał się teraz mniej szary i jakby weselszy.

– Wejdźmy na górę i rozejrzyjmy się stamtąd! – rzekł Legolas. – Wciąż jeszcze trudno mi tu oddychać. Chciałbym chociaż przez chwilę posmakować świeżego powietrza.

Wspięli się na półkę skalną. Aragorn szedł ostatni i pilnie przyglądał się stopniom.

– Mógłbym niemal ręczyć, że hobbici także się tędy wspinali – powiedział. – Są jednak również inne ślady, bardzo osobliwe, których nie rozpoznaję. Może z półki zobaczymy coś, co pozwoli nam odgadnąć, jaką drogę dalej obrali.

Wyprostował się i rozejrzał uważnie, lecz nie dostrzegł żadnych znaków. Półka zwrócona była na południe i na wschód, lecz jedynie od wschodu otwierał się szerszy widok. Patrząc w tę stronę, zobaczyli morze drzew zstępujących zwartymi szeregami ku równinie, z której tu przyszli.

– Nadłożyliśmy dużo drogi – rzekł Legolas – a mogliśmy znaleźć się tutaj wszyscy razem i bezpiecznie, gdybyśmy drugiego czy trzeciego dnia opuścili Wielką Rzekę i skręcili na zachód. Nikt prawie nie wie, dokąd go zaprowadzi droga, póki nie stanie u celu.

– Nie chcieliśmy przecież trafić do Fangornu – odparł Gimli.

– A jednak trafiliśmy… i złapano nas zgrabnie w pułapkę – rzekł Legolas. – Patrzcie!

– Gdzie mamy patrzeć? – spytał Gimli.

– Tam, między drzewa.

– Gdzie? Nie każdy ma oczy elfa.

– Psst! Mów ciszej. Spójrz! – szepnął Legolas, pokazując coś palcem. – Tam w dole, w tej stronie, skąd przyszliśmy. To on. Czyż nie widzisz? Przemyka od drzewa do drzewa.

– Widzę, teraz widzę! – syknął Gimli. – Patrz, Aragornie. Czy nie mówiłem? Ten staruch! Ma na sobie brudne, szare łachmany, dlatego nie spostrzegliśmy go zrazu.

Aragorn spojrzał i zobaczył posuwającą się z wolna przygarbioną postać. Nieznajomy wyglądał jak stary żebrak, kuśtykajacy ciężko, podpierający się kijem. Głowę miał spuszczoną i nie patrzył w ich stronę. W innym kraju pozdrowiliby go życzliwym słowem, tu jednak milczeli wszyscy w pełnym napięcia oczekiwaniu: zbliżała się do nich obca istota, obdarzona tajemną siłą, a może nawet groźna. Staruch przybliżał się krok za krokiem, a Gimli, wpatrzony w niego, coraz szerzej otwierał oczy. Nagle, nie mogąc dłużej powstrzymać wzburzenia, wybuchnął:

– Chwyć łuk, Legolasie! Napnij łuk! Bądź gotów! To Saruman. Nie czekaj, aż przemówi, bo rzuci na nas czar. Strzelaj!

Legolas chwycił łuk. Naciągał cięciwę powoli, jakby zwalczając opór jakiejś obcej siły. Trzymał w ręku strzałę, lecz jej nie zakładał. Aragorn milczał. Na twarzy miał wyraz czujności i skupienia.

– Na co czekasz? Co ci się stało? – spytał Gimli świszczącym szeptem.

– Legolas słusznie się wzdraga – rzekł spokojnie Aragorn. – Mimo podejrzeń i strachu nie godzi się znienacka, bez ostrzeżenia i bez wyzwania, zabić tego starca. Czekajmy, co zrobi.

W tym momencie starzec przyspieszył kroku i niespodzianie żwawo podbiegł do stóp skalnej ściany. Nagle podniósł głowę. Trzej wędrowcy zamarli na skalnej półce z oczyma utkwionymi w postaci nieznajomego. Cisza była jak makiem zasiał.

Nie widzieli jego twarzy, miał bowiem kaptur nasunięty głęboko, a na kapturze szerokoskrzydły kapelusz, spod którego ledwie wystawał czubek nosa i siwa broda. Mimo to Aragornowi wydało się, że w cieniu kaptura dostrzega jasny, przenikliwy błysk oczu. Wreszcie starzec przemówił:

– Bardzo pomyślne spotkanie, drodzy przyjaciele! – rzekł. – Chciałem z wami pogadać. Czy zejdziecie na dół, czy też ja mam przyjść do was?

I zanim coś odpowiedzieli, zaczął wspinać się na górę.

– Teraz! – krzyknął Gimli. – Zatrzymaj go, Legolasie!

– Mówię przecież, że chcę z wami pogadać – rzekł starzec. – Odłóż łuk, panie elfie!

Łuk i strzały wysunęły się z rąk Legolasa, ramiona zwisły mu bezwładnie.

– A ty, panie krasnoludzie, bądź łaskaw zdjąć rękę z trzonka topora, póki nie przyjdę do was. Obejdziemy się bez tak mocnych argumentów.

Gimli wzdrygnął się i niemal skamieniał, wpatrzony w starca, który sadził po wielkich kamiennych stopniach ze zwinnością kozicy. Poprzednia ociężałość jakby z niego opadła. Gdy stanął na półce, szare łachmany rozwiały się na mgnienie oka i błysnęła spod nich olśniewająca biel, trwało to jednak tak krótko, że mogło być tylko przywidzeniem. Gimli wciągnął dech w płuca, aż świsnęło wśród głuchej ciszy.

– Bardzo pomyślne spotkanie, jak już rzekłem – powiedział starzec, podchodząc bliżej. Zatrzymał się o krok od trzech przyjaciół, oparty na lasce, wychylony, z głową wysuniętą naprzód, i przyjrzał im się spod kaptura. – Co też robicie w tych stronach? Elf, człowiek i krasnolud, a wszyscy w płaszczach elfów! Z pewnością kryje się za tym jakaś ciekawa historia, której bym rad posłuchał. Nieczęsto widujemy tutaj takich gości.

– Mówisz, jakbyś znał dobrze Fangorn – rzekł Aragorn. – Czy tak?

– Dobrze go nie znam – odparł starzec – bo trzeba by życia kilku pokoleń, żeby zgłębić wszystkie jego tajemnice. Ale bywałem tu od czasu do czasu.

– Czy zechcesz powiedzieć nam swoje imię, a potem resztę tego, co masz do powiedzenia? – spytał Aragorn. – Ranek mija, a my mamy przed sobą zadanie, które nie może czekać.

– To, co mam do powiedzenia, jużem powiedział – rzekł starzec. – Spytałem, co tutaj robicie i jaka jest wasza historia. Jeśli zaś chodzi o moje imię… – urwał i zaśmiał się cicho, przeciągle. Na dźwięk tego śmiechu ciarki przeszły Aragorna i wstrząsnął nim dziwny, lodowaty dreszcz. A jednak nie był to strach ani zgroza, lecz takie uczucie, jakby nagły świeży podmuch albo strumień zimnego deszczu obudził go z niespokojnego snu.

– Moje imię! – powtórzył starzec. – Więc nie odgadliście go jeszcze? Obiło się wam chyba kiedyś o uszy. Tak, tak, słyszeliście je z pewnością. Ale może najpierw opowiecie swoją historię?

Trzej wędrowcy stali bez ruchu i milczeli.

– Ktoś inny na moim miejscu mógłby pomyśleć, że przyszliście tutaj w jakimś podejrzanym celu – rzekł starzec. – Ja na szczęście wiem o was coś niecoś. Szukacie śladów dwóch młodych hobbitów, jak mi się zdaje. Tak, właśnie hobbitów. Nie wytrzeszczajcie oczu, jakbyście pierwszy raz w życiu słyszeli to określenie. Znacie je dobrze, tak jak i ja. Wiedzcie, że hobbici byli na tym miejscu przedwczoraj i spotkali tu kogoś bardzo niespodzianie. Czy ta wiadomość nie cieszy was? Chcielibyście pewnie dowiedzieć się, dokąd ich zabrano. Możliwe, że na ten temat miałbym coś do powiedzenia. Ale czemu stoimy wszyscy? Wasze zadanie wcale nie jest już takie pilne, jak wam się zdawało. Usiądźmy i pogawędźmy spokojnie.

Odwrócił się i odszedł parę kroków, gdzie pod ścianą sterczącą nad półką leżało kilka głazów i odłamków skalnych. Natychmiast, jakby z nich

czar zdjęto, trzej przyjaciele odetchnęli i poruszyli się swobodniej. Gimli znów sięgnął ręką do trzonka topora, Aragorn dobył miecza, Legolas podniósł łuk.

Starzec, nie zwracając na to uwagi, przysiadł na niskim, płaskim kamieniu. Szary płaszcz rozchylił się i teraz już bez żadnych wątpliwości zobaczyli, że nieznajomy ma na sobie śnieżnobiałą szatę.

– Saruman! – krzyknął Gimli i rzucił się na niego z toporem w ręku. – Gadaj! Gdzie ukryłeś naszych przyjaciół? Coś z nimi zrobił? Gadaj albo ci tak toporkiem kapelusz naznaczę, że nawet czary nic ci nie pomogą.

Starzec był jednak zwinniejszy od krasnoluda. Zerwał się i jednym susem wskoczył na szczyt skałki. Wyprostował się, jakby urósł nagle. Odrzucił szary łachman i kaptur. Stanął w olśniewającej bieli. Podniósł laskę. Topór z głośnym szczękiem wypadł z garści Gimlego na ziemię. Miecz zesztywniał w bezsilnej nagle ręce Aragorna i rozbłysnął płomieniem. Legolas krzyknął i strzała z jego łuku wzbiła się prosto w górę, a potem rozsypała się ognistymi skrami.

– Mithrandir! – zawołał elf. – Mithrandir!

– Mówiłem przecież, że to pomyślne spotkanie, Legolasie – odparł starzec.

Wszyscy wpatrzyli się w niego. Włosy miał białe jak śnieg w słońcu. Szata także oślepiała bielą. Oczy pod wysokim czołem iskrzyły się, jasne i przenikliwe, jak promienie słońca. Jego ręka miała czarodziejską władzę. W rozterce między zdumieniem, radością i trwogą nie znajdowali słów.

Wreszcie pierwszy ocknął się Aragorn.

– Gandalf! – rzekł. – Straciliśmy już nadzieję, a przecież wracasz do nas w godzinie trudnej próby! Jakie łuski zaćmiły mi wzrok? Gandalf!

Gimli nie rzekł nic, lecz padł na kolana i zasłonił dłonią oczy.

– Gandalf! – powtórzył starzec, jakby wywołując z pamięci dawno niesłyszane słowo. – Tak, tak brzmiało moje imię. Nazywałem się Gandalf.

Zszedł ze skały i podniósłszy szary płaszcz, okrył się nim znowu. Patrzącym wydało się, że słońce nagle zaszło za chmury.

– Tak, możecie mnie znowu nazywać Gandalfem – powiedział głosem dawnego ich przewodnika i przyjaciela. – Wstań, mój zacny Gimli! Aniś ty

nie zawinił, ani mnie krzywda nie spotkała. Żaden z was, moi drodzy, nie ma broni, która by mogła mnie zranić. Weselcie się, że znów jesteśmy razem. Odwrócił się wiatr. Sroga burza nadciąga, ale wiatr się już odmienił.

Położył rękę na głowie krasnoluda, a Gimli podniósł ku niemu oczy i roześmiał się nagle.

– Gandalf! – zawołał. – To ty chodzisz teraz w bieli?

– Tak, jestem teraz biały – odparł Gandalf. – Jestem Sarumanem, można by rzec, ale takim, jakim Saruman być powinien. Najpierw wszakże opowiedzcie mi o sobie. Odkąd rozstałem się z wami, przeszedłem przez ogień i głęboką wodę. Zapomniałem wiele z tego, co – jak mi się zdawało – wiedziałem; nauczyłem się za to wiele z tego, co ongi zapomniałem. Widzę mnóstwo rzeczy dalekich, lecz nie dostrzegam mnóstwa najbliższych. Mówcie mi o sobie!

– Co chciałbyś usłyszeć? – zapytał Aragorn. – Długo trzeba opowiadać o wszystkich przygodach, które nas spotkały od chwili rozstania z tobą na moście. Czy nie mógłbyś przedtem powiedzieć nam, co się dzieje z hobbitami? Czyś ich odnalazł? Czy są bezpieczni?

– Nie, nie odnalazłem ich – odparł Gandalf. – Ciemno było nad dolinami Emyn Muil, nic nie wiedziałem, że ich schwytano, póki mi orzeł nie przyniósł o tym wieści.

– Orzeł! – zawołał Legolas. – Widziałem orła wysoko i daleko na niebie przed trzema dniami, nad Emyn Muil.

– A tak – rzekł Gandalf. – Był to Gwaihir, Władca Wichrów, ten sam, który mnie kiedyś wyzwolił z Orthanku. Wysłałem go nad Wielką Rzekę po wiadomości. Wzrok ma bystry, lecz nie widzi wszystkiego, co dzieje się pod górami i pod drzewami. Pewne rzeczy wypatrzył, inne sam dostrzegłem. Pierścień znalazł się poza zasięgiem mojej pomocy, nikt też spośród Drużyny, która wyruszyła z Rivendell, nie może go już chronić. Omal nie został ujawniony oczom Nieprzyjaciela, ocalał jednak. Trochę się do tego przyczyniłem, bo znajdowałem się podówczas na wysokiej górze i zmagałem się z Czarną Wieżą. Cień odstąpił. Ale czułem się po tej walce straszliwie zmęczony. Długo wędrowałem osaczony przez czarne myśli.

– Wiesz zatem, co się dzieje z Frodem! – rzekł Gimli. – Jak mu się wiedzie?

– Nie mogę wam na to pytanie odpowiedzieć. Ocalał z wielkiego niebezpieczeństwa, lecz niejedno jeszcze czyha na jego drodze. Postanowił iść do Mordoru i ruszył w tamtą stronę. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

– O ile nam wiadomo – rzekł Legolas – Sam poszedł razem z nim.

– Doprawdy? – zakrzyknął Gandalf. Oczy mu rozbłysły, uśmiechnął się radośnie. – Doprawdy? To nowina! Lecz nie niespodzianka. To dobrze! Bardzo dobrze! Kamień zdjęliście mi z serca. Mówcie, co jeszcze wiecie! Usiądźcie przy mnie i opowiedzcie całą historię waszej wędrówki.

Przyjaciele usiedli u jego stóp i Aragorn zaczął opowieść. Przez długi czas Gandalf nie przerywał mu ani słowem, nie zadał ani jednego pytania. Ręce wsparł o kolana i przymknął oczy. Kiedy wreszcie Aragorn opowiedział o śmierci Boromira i o jego ostatniej podróży z biegiem Wielkiej Rzeki, starzec westchnął.

– Aragornie, mój przyjacielu, nie rzekłeś wszystkiego, co wiesz albo czego się domyślasz – powiedział cicho. – Biedny Boromir! Nie mogłem dostrzec, co się z nim stało. Ciężka to była próba dla rycerza i władcy wśród ludzi. Galadriela ostrzegała mnie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Lecz wyszedł z próby mimo wszystko zwycięsko. To mnie cieszy. Nie na próżno wzięliśmy z sobą na wyprawę młodych hobbitów, dzięki nim Boromir zwyciężył. Ale ci dwaj nie tylko tę jedną rolę mieli do spełnienia. Zawędrowali do Fangornu i przybycie ich poruszyło las, tak jak czasem dwa małe kamyczki, spadając, mogą poruszyć lawinę. Nawet w tej chwili, gdy tu ze sobą rozmawiamy, słyszę z oddali pierwsze grzmoty burzy. Lepiej byłoby dla Sarumana, gdyby nie włóczył się poza swoją wieżą w chwili, gdy zapora runie!

– Pod jednym przynajmniej względem wcale się nie zmieniłeś – powiedział Aragorn. – Mówisz zagadkami!

– Co takiego? Zagadki? – odparł Gandalf. – Nie! Po prostu mówiłem głośno do siebie. Prastary zwyczaj kazał zwracać się do najmądrzejszej osoby wśród obecnych, bo długie wyjaśnienia, których by trzeba udzielać młodym, są nudne.

Roześmiał się, ale teraz jego śmiech zdawał się ciepły i miły jak blask słońca.

– Nie jestem już młody, nawet wedle miar ludzi ze Starożytnych Rodów – powiedział Aragorn. – Czy nie zechcesz wyjawić mi swoich myśli wyraźniej?

– Cóż ci mam powiedzieć? – rzekł Gandalf i zamyślił się na chwilę. – Przedstawię ci pokrótce i możliwie najjaśniej, jak w tej chwili wygląda, moim zdaniem, cała sprawa. Nieprzyjaciel oczywiście od dawna już wie, że Pierścień jest w drodze i że niesie go hobbit. Wie także, ilu nas wyruszyło z Rivendell i do jakich należymy plemion. Lecz dotychczas nie odgadł jeszcze naszych zamierzeń. Przypuszcza, że wszyscy zdążamy do Minas Tirith, ponieważ tak on sam by postąpił na naszym miejscu. Rozumie, że byłby to dotkliwy cios dla jego potęgi. Jest w strachu, bo sądzi, że lada chwila może pojawić się władca rozporządzający czarem Pierścienia i wydać mu wojnę, usiłując zrzucić z tronu, żeby zająć jego miejsce. Nie postała mu w głowie myśl, że my pragniemy go strącić, ale wcale nie chcemy zastąpić go kimś innym. A w najczarniejszych nawet snach nie zaświtało mu podejrzenie, że zechcemy zniszczyć Pierścień. W tym, jak łatwo dostrzeżesz, jest nasza szansa i cała nadzieja. Bo wyobrażając sobie, że grozi mu wojna, sam ją rozpętał, przekonany, że nie ma czasu do stracenia. Wszak ten, kto na wojnie pierwszy uderzy dostatecznie mocno, może już nie potrzebować zadawać drugiego ciosu. Dlatego Nieprzyjaciel wysyła do boju swoje z dawna przygotowane siły wcześniej, niż planował. Ale przechytrzył! Gdyby użył wszystkich sił do obrony Mordoru i zamknął tym sposobem wstęp do swego kraju, gdyby całej swej podstępnej sztuki użył do ścigania Pierścienia – wówczas nie byłoby dla nas nadziei. I Pierścień, i Powiernik Pierścienia wkrótce by wpadli w jego ręce. Lecz on, zamiast pilnować własnego kraju, oko ma utkwione w oddali, a przede wszystkim zwraca je na Minas Tirith. Lada dzień całą potęgą spadnie na ten gród jak burza.

Już wie, że jego wysłańcy, którzy mieli wciągnąć naszą drużynę w zasadzkę, ponieśli klęskę. Nie znaleźli Pierścienia. Nie uprowadzili też żadnego hobbita jako zakładnika. Gdyby tego dokonali, byłaby to dla nas ciężka klęska, może nawet ostateczna zguba. Nie zatruwajmy jednak sobie serc myślą o próbach, którym w Czarnej Wieży poddano by przyjaźń i wierność hobbitów, gdyby popadli w niewolę. Jak dotąd Nieprzyjacielowi nie udało się urzeczywistnić swoich planów. Dzięki Sarumanowi.

– A więc Saruman nie jest zdrajcą? – spytał Gimli.

– Jest zdrajcą, i to podwójnym – odparł Gandalf. – Czy to nie dziwne? Ze wszystkich przeciwności, na jakie się ostatnio natykaliśmy, zdrada Isengardu zdawała się najbardziej złowróżbna. Saruman, nawet gdyby go oceniać jak zwykłego wodza i władcę, zgromadził znaczną potęgę. Zagraża Rohanowi i uniemożliwia Rohirrimom pójście na pomoc sąsiadom z Minas Tirith w momencie, gdy do ich stolicy zbliża się niebezpieczeństwo od wschodu. Lecz broń zdrady zawsze jest obosieczna. Saruman skrycie marzy o zdobyciu Pierścienia na własny użytek, a przynajmniej o porwaniu hobbitów dla swoich nikczemnych celów. I tak się stało, że wysiłki obu naszych wrogów dały tylko jeden nieoczekiwany wynik: Merry i Pippin w zdumiewająco szybkim czasie znaleźli się w puszczy Fangornu, do której nigdy by innym sposobem nie trafili!

Poza tym zrodziły się w umyśle obu wrogów wątpliwości, zakłócające ich plany. Jeźdźcy Rohanu postarali się, żeby ani jeden świadek bitwy nie wrócił do Mordoru, lecz Czarny Władca wie, że w Emyn Muil wzięto do niewoli dwóch hobbitów i że powleczono ich w stronę Isengardu wbrew woli jego służalców. Wie też, że niebezpieczeństwo grozi mu nie tylko ze strony Minas Tirith, lecz także od Isengardu. Jeżeli Minas Tirith padnie, źle będzie z Sarumanem.

– Szkoda tylko, że pomiędzy nimi dwoma są nasi przyjaciele – rzekł Gimli. – Gdyby Isengardu nie dzielił od Mordoru żaden kraj, niechby się te dwie potęgi tłukły ze sobą. Moglibyśmy przyglądać się temu spokojnie i czekać.

– Zwycięzca wyszedłby z tej walki silniejszy niż kiedykolwiek i wolny od wątpliwości – odparł Gandalf. – Ale Isengard nie może toczyć wojny z Mordorem, jeżeli Saruman nie zdobędzie przedtem Pierścienia. A już teraz nam wiadomo, że go nigdy nie zdobędzie. On jednak nie wie jeszcze, co mu grozi. O wielu rzeczach nie wie. Tak pilno było mu położyć rękę na zdobyczy, że zamiast czekać w domu, wybrał się na spotkanie swoich wysłanników, chcąc też wyśledzić, czy wiernie spełniają jego rozkazy. Przybył za późno, bitwa skończyła się, zanim tu dotarł, i nic już nie było do uratowania. Nie pozostawał tutaj długo. Czytam w jego myślach i znam jego rozterkę. W lesie Saruman źle się czuje. Przypuszcza, że Rohirrimowie wycięli w pień i spalili po bitwie wszystko, nikogo i niczego nie oszczędzając. Ale nie wie, czy orkowie uprowadzili z sobą jeńców. Nie wie

też o kłótni między swoimi sługami a orkami z Mordoru. Nie wie również o Skrzydlatym Wysłanniku.

– Skrzydlaty Wysłannik! – zawołał Legolas. – Puściłem w niego strzałę z łuku Galadrieli nad Sarn Gebir i strąciłem go z nieba. Bardzo nas przeraził. Co to za nowe straszydło?

– Nie dosięgniesz go żadną strzałą – odparł Gandalf. – Przeszyłeś tylko jego wierzchowca. Dobrze zrobiłeś, lecz jeździec wkrótce otrzymał nowego. Był to bowiem Nazgûl, jeden z Dziewięciu, którzy teraz dosiadają skrzydlatych wierzchowców. Niebawem groza tych skrzydeł padnie cieniem na ostatnie zastępy naszych przyjaciół i przesłoni im słońce. Dotychczas wszakże nie pozwolono Skrzydlatym przekroczyć Wielkiej Rzeki, toteż Saruman nie wie o nowej postaci, jaką przybrały upiory Pierścienia. Wszystkie jego myśli skupiają się na Pierścieniu. Czy był wśród bitwy? Czy go znaleziono? Co się stanie, jeśli zdobędzie go i pozna jego moc Théoden, władca Riddermarchii? Tego niebezpieczeństwa najbardziej się lęka, toteż pospieszył z powrotem do Isengardu, żeby podwoić czy nawet potroić siły, które przygotowuje do napaści na Rohan. A tymczasem inne niebezpieczeństwo grozi mu tuż, pod jego progiem, lecz Saruman go nie widzi, zaprzątnięty swymi knowaniami. Zapomniał o Drzewcu.

– Znowu mówisz do siebie – rzekł Aragorn z uśmiechem. – Nie znam żadnego Drzewca. Zaczynam już rozumieć podwójną zdradę Sarumana, ale wciąż jeszcze nie pojmuję, jaki pożytek wyniknął ze zjawienia się w lesie Fangorn dwóch hobbitów, prócz tego, że nas to zmusiło do uciążliwego i daremnego pościgu.

– Chwileczkę! – krzyknął Gimli. – Pozwól, że najpierw spytam o coś innego. Czy to ciebie, Gandalfie, czy też Sarumana widzieliśmy wczorajszej nocy?

– Mnie z pewnością nie widzieliście – odparł Gandalf. – A zatem trzeba się domyślać, że był to Saruman. Jesteśmy, jak się okazuje, tak podobni do siebie, że muszę ci przebaczyć nawet zamach na mój kapelusz.

– Nie mówmy już o tym! – rzekł Gimli. – Cieszę się, że wówczas, w nocy, to nie byłeś ty.

Gandalf roześmiał się znowu.

– Tak, mój zacny krasnoludzie – powiedział – wielka to pociecha przekonać się, że nie we wszystkim się omyliliśmy. Wiem o tym aż nadto dobrze. Oczywiście, ani przez chwilę nie miałem ci za złe nieżyczliwego powitania. Jakżebym mógł się gniewać, skoro sam tyle razy powtarzałem przyjaciołom, żeby nawet własnym rękom nie ufali, kiedy mają do czynienia z Nieprzyjacielem. Nie martw się, Gimli, synu Glóina! Może kiedyś ujrzysz nas obu razem i wówczas odróżnisz mnie od Sarumana.

– Ale co się dzieje z hobbitami? – wpadł mu w słowa Legolas. – Przewędrowaliśmy kawał świata, szukając ich, a ty, Gandalfie, wiesz, jak się zdaje, gdzie przebywają Merry i Pippin. Powiedz wreszcie!

– Są wśród entów, z Drzewcem – odparł Gandalf.

– Wśród entów! – wykrzyknął Aragorn. – A więc prawdę mówią stare baśnie o mieszkańcach leśnych ostępów, olbrzymich pasterzach drzew! Czy entowie po dziś dzień żyją na świecie? Myślałem, że to wspomnienia z dawnych dni, a może tylko legenda Rohanu.

– Legenda Rohanu! – zawołał Legolas. – Jakże! Przecież każdy elf w Dzikich Krajach zna pieśni o starych onodrimach i odwiecznym ich kłopocie. Lecz nawet wśród elfów żyją oni jedynie we wspomnieniu. Poczułbym się znów młodzieniaszkiem, gdybym spotkał onodrima chodzącego po ziemi. Drzewiec to nazwa Fangornu przetłumaczona na Wspólną Mowę, a ty, Gandalfie, mówisz jakby nie o tej puszczy, ale o jakiejś osobie. Któż to taki?

– Nie, to za trudne pytanie! – odparł Gandalf. – Wiem o nim bardzo mało, ale nawet ta znikoma cząstka jego pradawnej i rozwlekłej historii wymagałaby tak długiej opowieści, że nie ma na nią dzisiaj czasu. Drzewiec to Fangorn, opiekun tej puszczy, najstarszy nie tylko z entów, ale z wszystkich istot chodzących jeszcze pod słońcem Śródziemia. Mam nadzieję, Legolasie, że się z nim kiedyś spotkasz. Merry i Pippin mieli szczęście, natknęli się na niego tutaj, na tym właśnie miejscu. Było to przed dwoma dniami. Drzewiec zabrał ich obu do swojej odległej siedziby, leżącej u korzeni gór. Często przychodzi na tę skałkę, zwłaszcza gdy dręczy go jakiś niepokój albo gdy zaalarmują go wieści z szerokiego świata. Widziałem cztery dni temu, jak przechadzał się wśród drzew; pewnie zauważył mnie nawzajem, bo przystanął; nie zagadałem jednak do niego, bo uginałem się pod brzemieniem ciężkich myśli i byłem bardzo

wyczerpany po walce z Okiem Mordoru. On też nie zawołał mnie po imieniu.

– Może on też wziął cię za Sarumana – powiedział Gimli. – Mówisz o nim jak o przyjacielu, a ja myślałem, że Fangorn jest groźny.

– Groźny! – wykrzyknął Gandalf. – Ja także jestem groźny, nawet bardzo. Z nikim groźniejszym ode mnie nigdy się nie spotkacie, chyba że staniecie przed obliczem Czarnego Władcy. Aragorn jest groźny i Legolas jest groźny. Otoczony jesteś niebezpiecznymi istotami, Gimli, synu Glóina, a sam również na swój sposób jesteś groźny. Las Fangorn z pewnością jest niebezpieczny, tym bardziej dla tych, którzy wymachują zbyt pochopnie toporkiem. Sam Drzewiec też jest groźny, ale zarazem mądry i łagodny. Dziś wszakże jego powolny, z dawna wzbierający gniew kipi i przelewa się przez brzegi, wypełniając cały las. Przybycie hobbitów i wieści przez nich przyniesione stały się kroplą, która przepełniła miarę, wkrótce fala tego gniewu popłynie jak rzeka; lecz nurt jej skieruje się przeciw Sarumanowi i siekierom Isengardu. Lada chwila zdarzy się coś, czego nie widziano w Śródziemiu od dawnych dni: entowie zbudzą się i przekonają, że mają dość jeszcze w sobie siły.

– Cóż zatem zrobią? – spytał Legolas ze zdumieniem.

– Nie wiem – odparł Gandalf. – Myślę, że oni sami tego również nie wiedzą. Chciałbym zgadnąć.

I Czarodziej umilkł, pochylając w zamyśleniu głowę.

Przyjaciele patrzyli na niego. Spomiędzy płynących po niebie chmur promień słońca padł prosto na jego ręce, spoczywające na kolanach i odwrócone dłońmi do góry; wydawało się, że pełne są światła, jak miska po wręby napełniona wodą. Wreszcie podniósł wzrok i spojrzał ku słońcu.

– Południe blisko – rzekł. – Wkrótce musimy wyruszyć.

– Czy pójdziemy na poszukiwanie hobbitów i Drzewca? – spytał Aragorn.

– Nie – odparł Gandalf. – Nie tam wiedzie nasza droga. Przemawiałem słowami nadziei. Lecz tylko nadziei. A nadzieja to jeszcze nie zwycięstwo. Wojna wisi nad nami i nad wszystkimi naszymi przyjaciółmi. Jedynie użycie Pierścienia dałoby nam pewność zwycięstwa. Przytłacza mnie troska i lęk, bo wiele trzeba będzie zniszczyć, a może też wszystko utracić. Jestem Gandalf, Gandalf Biały, lecz Czarny jest jeszcze potężniejszy ode mnie.

Wstał i osłaniając oczy, popatrzył na wschód, jak gdyby widział w oddali coś, czego żaden z jego towarzyszy nie mógł dostrzec. Potrząsnął głową.

– Nie! – rzekł z cicha. – Znalazł się już poza naszym zasięgiem. Z tego przynajmniej powinniśmy być radzi. Nie najdzie nas już pokusa, by użyć Pierścienia. Pójdziemy stawić czoło niebezpieczeństwu, a choć jest ono wielkie, możemy się pocieszać, że gorsze, śmiertelne niebezpieczeństwo odsunęło się od nas.

Odwrócił głowę.

– Nie żałuj wyboru, którego dokonałeś w dolinie w górach Emyn Muil, Aragornie, synu Arathorna! – powiedział. – Nie nazywaj też tego pościgu daremnym. Wśród rozterki wybierałeś drogę, która wydała ci się słuszna. Dobrze zrobiłeś i wysiłek twój został uwieńczony powodzeniem. Bo dzięki temu spotkaliśmy się w porę, inaczej zaś mogło się to stać poniewczasie. Lecz teraz twoja misja poszukiwania hobbitów jest już wypełniona. Dałeś słowo Éomerowi, ono wytycza kierunek twojej dalszej drogi. Pójdziesz do Edoras, odwiedzisz Théodena w jego Złotym Dworze. Tam bowiem jesteś potrzebny. Andúril musi błysnąć światłem w bitwie, na którą z dawna czeka. W Rohanie toczy się wojna, a gorsze jeszcze od wojny zło osaczyło Théodena.

– A więc nie zobaczymy naszych młodych, wesołych hobbitów? – spytał Legolas.

– Tego nie powiedziałem – odparł Gandalf. – Kto wie? Miejcie trochę cierpliwości. Idźcie, gdzie was wzywa obowiązek, i zachowajcie nadzieję. W drogę, do Edoras! Ja też tam się wybieram.

– Daleka to droga dla pieszych, ciężka zarówno dla młodych, jak i dla starych – rzekł Aragorn. – Obawiam się, że bitwa będzie skończona, zanim dotrę na plac boju.

– Zobaczymy, zobaczymy – powiedział Gandalf. – Czy zechcesz wędrować razem ze mną?

– Możemy razem wyruszyć – odparł Aragorn – lecz nie wątpię, że mnie wyprzedzisz, jeśli taka będzie twoja wola!

Wstał i przez długą chwilę wpatrywał się w Gandalfa. Stali tak twarzą w twarz, a Legolas i Gimli w milczeniu przyglądali się tej scenie. Okryty szarym płaszczem Aragorn, syn Arathorna, wysoki, poważny niczym

kamienny posąg, z ręką na głowicy miecza, wyglądał jak król, który z mgieł morza wstąpił na ląd pośledniejszego ludzkiego plemienia. Naprzeciw niego starzec w bieli, świecącej teraz tak, jakby ją od wnętrza prześwietlał blask, zgarbiony i sędziwy, a przecież władający siłą potężniejszą niż władza królów.

– Czyż nie rzekłem prawdy, Gandalfie, że możesz znaleźć się wszędzie, gdzie zechcesz, prędzej niż ja? – spytał wreszcie Aragorn. – A powiem ci więcej: tyś jest naszym wodzem i chorążym. Czarny Władca ma Dziewięciu. My – tylko jednego, lecz możniejszego od nich: Białego Jeźdźca. Przeszedł on przez płomienie otchłani i nieprzyjaciele muszą drżeć przed nim. Pójdziemy, dokądkolwiek nas poprowadzi.

– Tak, wszyscy pójdziemy za tobą – rzekł Legolas. – Lecz przedtem, Gandalfie, zdjąłbyś mi kamień z serca, gdybyś opowiedział, co stało się z tobą w Morii. Czy zechcesz nam to powiedzieć? Czy zechcesz przynajmniej wyznać przyjaciołom, jakim sposobem zostałeś stamtąd wyzwolony?

– Zbyt już długo tutaj zabawiłem – odparł Gandalf. – Czas nagli. Lecz nawet gdybyśmy mieli cały rok na rozmowę, nie powiedziałbym wam wszystkiego.

– Powiedz tyle, ile chcesz i na ile pozwoli czas! – odezwał się Gimli. – Proszę cię, Gandalfie, powiedz, jak rozprawiłeś się z Balrogiem?

– Nie wymawiaj jego imienia! – zawołał Gandalf i na moment cień bólu przesłonił mu twarz. Milczał i zdawał się stary jak sama śmierć. – Długo, długo spadałem w dół – powiedział wreszcie, a mówił z wolna, jakby z wysiłkiem odnajdywał w pamięci przeszłość. – Długo spadałem, on zaś spadał wraz ze mną. Jego płomień owiewał mnie, przepalał. Potem obaj zanurzyliśmy się w głęboką wodę i otoczyły nas ciemności. Woda była zimna jak nurt śmierci, zmroziła niemal moje serce.

– Głęboka jest otchłań, nad którą wznosi się most Durina, i nikt jej nie zmierzył – powiedział Gimli.

– A jednak otchłań ma dno, gdzie nie sięga ani światło, ani wiedza – rzekł Gandalf. – Tam się znalazłem, u kamiennych podstaw ziemi. On był wciąż ze mną. Jego ogień zgasł, lecz on sam przemienił się w oślizłą poczwarę, silniejszą niż wąż dusiciel.

Walczyliśmy z sobą tam, w głębinach najdalszych od ziemskiego życia, w których nie liczy się czasu. On wciąż mnie trzymał w uścisku, a ja wciąż odpychałem go, aż w końcu uciekł w tunel ciemności. Tych korytarzy nie budowało plemię Durina, wiedz o tym, Gimli, synu Glóina. Głęboko, głęboko pod najgłębszymi pieczarami krasnoludów drążą ziemię bezimienne stwory. Nawet Sauron ich nie zna. Starsze są niż on. Ja tamtędy przeszedłem, lecz nie chcę zaćmiewać światła dnia ich opisem. Na dnie rozpaczy mój wróg był mi jedyną nadzieją, za nim więc biegłem, chwyciwszy się jego stóp. Tak wywiódł mnie w końcu z powrotem tajemnymi ścieżkami Khâzâd-dûm, bo on znał je wszystkie aż nazbyt dobrze. Wspinaliśmy się wciąż pod górę i dotarliśmy do Nieskończonych Schodów.

– Od dawna ślad ich zaginął – rzekł Gimli. – Wielu twierdziło, że nigdy ich nie zbudowano, że istnieją jedynie w legendzie, inni zaś powiadali, że były, ale zostały zniszczone.

– Zbudowano je i nie są zniszczone – odparł Gandalf. – Wznoszą się od najniższych lochów aż po najwyższy szczyt, prowadzą ślimakiem, wielu tysiącami nieprzerwanych stopni, na Wieżę Durina, wyrzeźbioną w żywej skale Zirakzigil na ośnieżonym wierzchołku Srebrnej Góry.

Tam w ścianie Celebdila jest okno, a przed nim wąska półka, zawieszone w powietrzu orle gniazdo, górujące nad morzem mgieł. Na szczycie słońce świeciło jaskrawym blaskiem, niżej jednak chmury przesłaniały świat. Skoczył przez to okno, ja za nim, ale w tejże chwili on znowu stanął w ogniu. Nie mieliśmy tam świadka, gdyby nie to, przez wieki śpiewano by pieśni o tej bitwie na szczycie. – Nagle Gandalf roześmiał się. – Cóż jednak opowiadałaby pieśń? Kto widziałby nas z daleka, pomyślałby, że nad wierzchołkiem góry rozszalała się burza. Słyszałby grzmoty, widziałby błyskawice rozszczepiające się na Celebdilu i odskakujące od skały we wstęgach płomieni. Czyż to nie dosyć? Otoczyły nas kłęby dymu, obłoki gorącej pary. Siekło nas gęstym gradem. Strąciłem przeciwnika, on zaś, spadając z wysokości, rozwalił w gruzy całe zbocze. Wówczas ogarnęła mnie ciemność, straciłem świadomość i rachubę czasu i wędrowałem daleko drogami, o których mówić nie będę.

Nagi zostałem przywrócony światu na krótki tylko czas, póki nie dopełnię swego zadania. Nagi leżałem na szczycie Celebdila. Wieża za mną rozpadła się w proch, okno zniknęło. Osmalone od ognia i pokruszone skały

zawaliły przejście schodów. Byłem sam, zapomniany, bez ratunku porzucony na kamiennym wierzchołku świata. Patrzyłem w niebo, po którym przesuwały się gwiazdy, a każdy dzień trwał tutaj wieki. Z dołu dochodził mnie stłumiony głos wszystkich krajów ziemi: wiosennych przebudzeń i śmierci, pieśni i płaczu, a także wiekuisty jęk obciążonych nad miarę kamieni. Aż wreszcie odnalazł mnie po raz drugi Gwaihir, Władca Wichrów, i znów zdjął mnie z wyżyn, by ponieść w świat.

– Widać sądzone mi być zawsze twoim brzemieniem, przyjacielu, który zjawiasz się w najgorszej godzinie! – rzekłem.

– Wtedy byłeś brzemieniem – odparł – lecz nie dziś. Stałeś się lekki jak pióro łabędzie w moich szponach. Słońce przez ciebie prześwieca. Doprawdy, nie sądzę, abym ci był potrzebny. Gdybym cię upuścił, pofrunąłbyś z wiatrem.

– Lepiej mnie nie upuszczaj! – szepnąłem przerażony, bo już we mnie wstępowało nowe życie. – Nieś mnie do Lothlórien.

– Tak właśnie rozkazała mi Pani Galadriela, ona to bowiem przysłała mnie po ciebie – odparł.

Tym sposobem przybyłem do Caras Galadhon, lecz już po waszym odejściu. Wyleczono tam moje rany i odziano mnie w biel. Dawałem rady i słuchałem rad. Potem wędrowałem dziwnymi drogami aż do tej puszczy. Każdemu z was przynoszę z Lothlórien wieści. Aragornowi kazano mi powtórzyć takie oto słowa:

Gdzież są Dúnedainowie, o, Elessarze?
Cóż twoim krewnym w drogę ruszyć każe?
Lud Zagubiony już z mgły się wyłania,
Z Północy jedzie zaś Szara Kompania.
Dla ciebie mroczna ścieżyna, sąsiedzie;
Trup strzeże drogi, co ku morzu wiedzie[59].

A Legolasowi poleciła Galadriela rzec tak:

O, Legolasie, dobrze żyłeś w lesie
W ciągłej radości. Teraz morza strzeż się!

Gdy krzyk usłyszysz mewy o wieczorze,

Serce twe nigdy nie spocznie już w borze![60]

Gandalf umilkł i przymknął oczy.

– A więc dla mnie nie przyniosłeś nic od niej? – rzekł Gimli, spuszczając głowę.

– Zagadkowe są jej słowa – powiedział Legolas. – Niewiele z nich odgadnąć mogą ci, dla których są przeznaczone.

– Mała to dla mnie pociecha – rzekł Gimli.

– Jakże? – odparł Legolas. – Czy chciałbyś, żeby otwarcie mówiła o twojej śmierci?

– Tak, jeśliby nic innego nie miała do powiedzenia.

– O co wam chodzi? – odezwał się Gandalf, odmykając oczy. – Zdaje mi się, że rozumiem, co chciała przez to rzec. Wybacz, Gimli! Rozważałem na nowo słowa Galadrieli. Ale mam jeszcze coś dla ciebie i nie jest to ani zagadka, ani smutna przepowiednia.

„Gimlego, syna Glóina – mówiła – pozdrów ode mnie. Wszędzie, gdziekolwiek jest, moje myśli biegną za nim. Niech jednak pamięta zawsze uważnie obejrzeć drzewo, zanim podniesie na nie swój toporek”.

– W szczęśliwą godzinę powróciłeś do nas, Gandalfie! – wykrzyknął krasnolud, skacząc i podśpiewując głośno w swoim dziwnym krasnoludzkim języku. – Dalejże! Dalej! – wołał, wymachując toporkiem. – Skoro głowa Gandalfa jest święta i nietykalna, poszukajmy innej, którą by mi wolno było rozłupać.

– Niedaleko trzeba będzie szukać – rzekł Gandalf, wstając. – W drogę! Za długo święcimy to przyjacielskie spotkanie. Nie wolno już więcej tracić ani chwili.

Owinął się w łachmany starego płaszcza i ruszył pierwszy. Za nim trzej przyjaciele zbiegli z wysokiej półki, a potem spiesznym krokiem poszli przez las w dół, ku brzegom Rzeki Entów. Nie rozmawiali z sobą, póki nie stanęli w trawie na skraju Fangornu. Koni nie było nigdzie ani śladu.

– A więc nie wróciły! – rzekł Legolas. – Ciężki nas czeka marsz.

– Nie pójdę pieszo. Czas nagli – odparł Gandalf. Podniósł głowę i gwizdnął przeciągle, a tak czysto i donośnie, że trzej towarzysze zdumieli się, słysząc tę młodzieńczą nutę z ust siwobrodego starca. Po trzykroć powtórzył gwizd, aż od stepów doleciało wraz ze wschodnim wiatrem nikłe jeszcze w oddali rżenie konia. Czekali w podziwie. Wkrótce usłyszeli tętent kopyt, zrazu tak stłumiony jak lekkie drganie ziemi, dosłyszalne jedynie dla ucha Aragorna, gdy je przytykał do trawy, potem coraz głośniejsze, wyraźniejsze, a szybkie w rytmie.

– Koni jest kilka – rzekł Aragorn.

– Pewnie! – odparł Gandalf. – Za wielu nas na jednego.

– Trzy! – rzekł Legolas, wpatrując się w step. – Spójrzcie, jak mkną z wichrem, Hasufel, a przy nim mój przyjaciel Arod. Ale na przodzie cwałuje inny jeszcze koń, ogromny. Nie spotkałem jeszcze w życiu takiego rumaka.

– I nie zobaczysz drugiego – powiedział Gandalf. – To Cienistogrzywy. Przywódca mearasów, książąt wśród koni. Nawet Théoden, król Rohanu, nigdy lepszego rumaka nie widział. Błyszczy jak srebro, a mknie gładko jak żywy strumień. Po mnie przybywa, to wierzchowiec Białego Jeźdźca. Z nim razem ruszę na wojnę.

Nim stary Czarodziej skończył te słowa, ogromny rumak już zaczął wspinać się ku nim po stoku wzgórza. Sierść migotała srebrem, grzywa powiewała w pędzie. Dwa inne konie szły jego śladem. Na widok Gandalfa Cienistogrzywy zwolnił kroku i zarżał głośno. Lekkim truchtem podbiegł i schylając dumną głowę, przylgnął nozdrzami do szyi starca. Gandalf pogłaskał go.

– Daleko stąd do Rivendell, przyjacielu! – rzekł. – Mądrze jednak zrobiłeś, żeś się pospieszył. A teraz już razem ruszymy dalej w ten świat i nie rozstaniemy się więcej!

Zaraz też zbliżyły się dwa pozostałe konie i przystanęły, jakby czekając na rozkazy.

– Udamy się co prędzej do Meduseld, na dwór waszego władcy Théodena – zwrócił się do nich Gandalf z powagą. Konie skinęły głowami. – Nie ma czasu do stracenia, więc jeśli się zgadzacie, ruszymy natychmiast. Prosimy was o pośpiech. Hasufel poniesie Aragorna, Arod zaś – Legolasa. Gimlego wezmę przed siebie, Cienistogrzywy zechce łaskawie dźwigać nas obu. Teraz tylko napijemy się wody przed drogą.

– Zaczynam rozumieć tajemnicę wczorajszej nocy – rzekł Legolas, skacząc lekko na grzbiet Aroda. – Nie wiem, czy konie nasze zbiegły w popłochu, czy nie, ale to pewne, że spotkały Cienistogrzywego, swego przywódcę, i powitały go radośnie. Czy wiedziałeś, że on jest w pobliżu, Gandalfie?

– Tak, wiedziałem – odparł Czarodziej. – Przyzywałem go myślą i prosiłem o pośpiech. Wczoraj bowiem był jeszcze daleko stąd, na południu. Oby mnie tam jak najprędzej zaniósł znowu!

Powiedział coś do wierzchowca i Cienistogrzywy ruszył z miejsca galopem, lecz miarkując krok wedle możliwości swoich dwóch towarzyszy. W pewnej chwili skręcił nagle i wybierając miejsce, gdzie brzegi były niższe, przeszedł w bród rzekę, potem zaś poprowadził kawalkadę na południe, krajem płaskim, bezdrzewnym i otwartym. Jak okiem sięgnąć trawa szarą falą kołysała się na wietrze. Żaden ślad nie znaczył drogi ani szlaku, lecz Cienistogrzywy nie błądził i nie wahał się ani sekundy.

– Kierujemy się na przełaj prosto ku dworowi Théodena u podnóży Białych Gór – rzekł Gandalf. – W ten sposób najszybciej tam staniemy. Grunt jest pewniejszy we Wschodnim Emnecie, którędy wiedzie główny północny szlak przecinający rzekę, ale Cienistogrzywy zna drogę przez wszystkie moczary i zapadliska.

Mknęli tak długie godziny wśród łąk i rzecznych zalewów. W wielu miejscach trawa rosła tak bujnie, że sięgała jeźdźcom nad kolana, a wierzchowce zdawały się płynąć w szarozielonym morzu. Natykali się czasem na ukryte w zieleni stawy, na rozległe łany trzcin szumiących nad zdradzieckimi bagnami, lecz Cienistogrzywy znajdował wszędzie bezpieczną ścieżkę, a dwa konie szły za nim trop w trop. Z wolna słońce chyliło się na niebie ku zachodowi. Przez chwilę jeźdźcy widzieli je w wielkiej dali nad rozległym stepem jak czerwony płomień zapadający w trawę. Tuż nad widnokręgiem zbocza gór zapaliły się czerwienią. Dymy wzbiły się od ziemi, przesłaniając tarczę słoneczną krwawą łuną, jakby zachodzące za krawędź ziemi słońce podpaliło stepową trawę.

– Tam jest Brama Rohanu – rzekł Gandalf. – Niemal dokładnie na zachód od nas. Za nią leży Isengard.

– Widzę ogromne dymy – powiedział Legolas. – Co to może oznaczać?

– Bitwę i wojnę! – odparł Gandalf. – Naprzód!

ROZDZIAŁ 6
KRÓL ZE ZŁOTEGO DWORU

Cwałowali, a tymczasem słońce zaszło, zmrok zapadł z wolna i nadciągnęła noc. Kiedy się wreszcie zatrzymali i zeskoczyli z siodeł, nawet Aragorn ciało miał odrętwiałe i był znużony. Gandalf jednak ledwie przez parę godzin pozwolił im odpoczywać. Gimli i Legolas usnęli, Aragorn leżał wyciągnięty na wznak, lecz Gandalf stał, oparty na lasce, i wpatrywał się w ciemności, to na wschód, to na zachód. Cisza panowała dokoła, nie pokazała się i nie odezwała żadna żywa dusza. Kiedy wędrowcy wstali znowu, chmury długimi pasmami przekreślały niebo, sunąc z chłodnym podmuchem wiatru. Przy zimnej poświacie księżyca mknęli dalej równie szybko jak w blasku dnia.

Godziny płynęły, a jeźdźcy pędzili wciąż naprzód. Gimli zdrzemnął się i byłby spadł z konia, gdyby Gandalf nie chwycił go w porę i nie potrząsnął. Dwa konie mimo zmęczenia ambitnie dotrzymywały kroku niezmordowanemu przywódcy, który pomykał przed nimi jak ledwo dostrzegalny szary cień. Tak przebyli wiele mil. Wreszcie księżyc skrył się na zachodzie w chmurach.

Dmuchnęło przejmującym chłodem. Powoli ciemność na wschodzie bladła, przybierając zimną, szarą barwę. Czerwone słupy blasku wystrzeliły zza czarnych ścian odległych wzgórz Emyn Muil. Świt wstawał jasny, pogodny, wiatr dmuchał w poprzek ich ścieżki, trawy chyliły się z szelestem. Nagle Cienistogrzywy stanął i zarżał. Gandalf wyciągnął rękę.

– Patrzcie! – zawołał. Wędrowcy podnieśli zmęczone oczy. Przed nimi piętrzyły się góry Południa, ubielone szczyty, poznaczone czarnymi smugami. Zieleń łąk sięgała wzgórz, które skupiły się u stóp gór, a potem rozbiegała się w mnóstwo dolin, jeszcze w tej chwili zamglonych i mrocznych, nietkniętych światłem brzasku, wciskających się kręto między wzgórza. Tuż przed wędrowcami najszersza z nich otwierała się jak wydłużona zatoka wśród gór. W głębi majaczył zwalisty masyw górski, nad którym wystrzelał jeden tylko wysoki szczyt. W wylocie tej zatoki, jakby na warcie, sterczał samotny pagórek. U jego stóp wił się srebrną nitką potok

spływający doliną; grzbiet pagórka łowił już złoty blask dalekiego jeszcze słońca.

– Mów, Legolasie – rzekł Gandalf. – Mów, co widzisz przed nami.

Legolas osłonił oczy od poziomych promieni wschodu.

– Widzę biały potok spływający ze śnieżnych pól – powiedział. – Tam, gdzie wychyla się z cieni doliny, od wschodniej strony zielenieje pagórek. Otacza go fosa, potężny wał i najeżony cierniem żywopłot. Wewnątrz ogrodzenia widzę dachy domów, a pośrodku, na zielonej terasie, dumny, wysoki, ogromny dwór, siedzibę ludzi. Jeśli mnie wzrok nie myli, ten dwór kryty jest złotem. Blask od niego bije szeroko w krąg. Złote są także słupy u jego bram. Czuwają tam ludzie w błyszczących zbrojach, lecz wszyscy inni śpią jeszcze.

– Dziedziniec wokół dworu zwie się Edoras – rzekł Gandalf – a Złoty Dwór to Meduseld. Mieszka w nim Théoden, syn Thengla, król Rohanu. Przybywamy wraz ze świtem. Droga teraz przed nami prosta i widna. Musimy jednak posuwać się ostrożnie, bo w tych stronach trwa wojna, a Rohirrimowie, hodowcy i mistrzowie koni, nie śpią, wbrew pozorom. Radzę, niech żaden z was nie dobywa oręża ani nie odzywa się wyniośle, póki nie staniemy przed tronem Théodena.

Ranek świecił już jasno i ptaki śpiewały, gdy zajechali nad potok. Bystrym nurtem toczył się na równinę, a opłynąwszy pagórek, skręcał szerokim łukiem i przecinał drogę wędrowcom, kierując się ku wschodowi, żeby gdzieś w oddali zasilić Rzekę Entów, duszącą się wśród trzcin i sitowia na moczarach. Kraj zielenił się dokoła, na wilgotnych łąkach i trawiastych brzegach potoku gęsto rosły wierzby. Tu, na południu, końce wierzbowych gałązek już zabarwiały się czerwienią w przeczuciu bliskiej wiosny. Przez potok prowadził bród, łącząc niskie brzegi stratowane końskimi kopytami. Jeźdźcy przeprawili się i na drugim brzegu trafili na szeroką wyżłobioną drogę, która wiodła pod górę.

U stóp obronnego wzgórza droga biegła w cieniu wyniosłych zielonych kopców. Ich zachodnie stoki zdawały się oprószone śniegiem, tak gęsto kwitły na nich niezliczone, drobne, podobne do gwiazdeczek kwiaty.

– Spójrzcie! – powiedział Gandalf. – Jak piękne są jasne oczy tych kwiatów wśród trawy. Nazwano je niezapominki, *simbelmynë* w języku tutejszych ludzi, bo kwitną przez cały rok na miejscu, gdzie spoczywają

zmarli. Wiedzcie, że znaleźliśmy się wśród kurhanów, w których śpią przodkowie Théodena.

– Siedem kopców po lewej i dziewięć z prawej strony – rzekł Aragorn. – Wiele pokoleń ludzkich przeminęło, odkąd zbudowano Złoty Dwór.

– Pięćset razy czerwone liście opadły z drzew w mojej ojczystej Mrocznej Puszczy od tamtych dni – powiedział Legolas – lecz nam ten czas zdaje się jedną chwilką.

– Ale dla Rohirrimów to okres tak długi – rzekł Aragorn – że po dniach budowy zostały tylko wspomnienia w pieśni, a lata poprzednie giną we mgle przeszłości. Dziś ten kraj nazywają swoją ojczyzną, ziemią rodzinną, a mową też różnią się już bardzo od swoich pobratymców z północy.

I zaczął nucić jakąś pieśń w języku nieznanym elfowi i krasnoludowi. Słuchali go jednak chętnie, bo melodia była piękna.

– Domyślam się, że to język Rohirrimów – rzekł Legolas – bo przypomina ten kraj, gdzieniegdzie bujny i rozkołysany, a gdzieniegdzie surowy i poważny jak góry. Nie mogę jednak zgadnąć, co mówi ta pieśń, czuję tylko, że nabrzmiała jest od smutku śmiertelnych ludzi.

– Przetłumaczę ją dla was na Wspólną Mowę – odparł Aragorn – jak zdołam najwierniej.

Gdzież teraz jeździec i koń? Gdzież róg, co graniem wiódł w pole?
Gdzież jest kolczuga i hełm, i włos rozwiany na czole?
O, gdzie jest harfa i dłoń, gdzie ogień złotoczerwony,
Gdzie jest czas wiosny i żniw, gdzie zboża dojrzałe plony?
Wszystko minęło jak deszcz, jak w polu wiatr porywisty,
Na zachód odeszły dni, za góry mroczne i mgliste…
Któż będzie zbierał dym, martwego lasu, co zgorzał,
Któż ujrzy mijanie lat, co powracają od Morza?[61]

Ułożył tę pieśń przed wiekami zapomniany poeta Rohanu, wspominając, jak smukły i piękny był Eorl Młody, gdy przybył tu z północy. Jego wierzchowiec miał skrzydła u nóg, a nazywał się Felaróf, ojciec koni. Po dziś dzień śpiewają o tym ludzie wieczorami.

Tak mówił im Aragorn, a tymczasem wyjechali spomiędzy milczących kurhanów. Droga zwinięta na kształt ślimaka prowadziła teraz po zielonym zboczu na wzgórze, aż wreszcie stanęli przed szeroką, wystawioną na wiatr od stepów bramą Edoras. Zaraz też obskoczyli ich ludzie w błyszczących zbrojach i włóczniami zagrodzili wjazd.

– Stójcie, nieznani cudzoziemcy! – krzyknęli w języku Rohanu; po czym zaczęli się dopytywać o imiona i cel podróży. W oczach ich można było wyczytać podziw, lecz niezbyt przyjazny. Szczególnie na Gandalfa spoglądali podejrzliwie.

– Rozumiem waszą mowę – odpowiedział w tym samym języku Gandalf. – Ale mało kto ją zna wśród obcoplemieńców. Jeśli pragniecie odpowiedzi, dlaczego nie używacie Wspólnej Mowy, jak jest w zwyczaju na całym zachodzie?

– Król Théoden rozkazał nie otwierać bram nikomu, kto nie zna naszego języka i nie jest nam przyjacielem – odparł jeden z wartowników. – Niechętnie witamy w tych dniach wojny gości spoza własnego plemienia, chyba że przybywają z Mundburga, z Gondoru. Kim jesteście, że tak beztrosko podróżujecie przez step w dziwacznych strojach, na wierzchowcach podobnych do naszych koni? Od dawna trzymamy tu straż i wypatrzyliśmy was z daleka. Nigdy jeszcze nie widziano tu jeźdźców tak niezwykłych ani konia wspanialszego niż ten, którego dosiadasz. Jeżeli oczu nam nie omamił jakiś czar, jest to jeden z mearasów. Możeś ty czarodziej, szpieg Sarumana albo widmo przez niego nasłane? Mów, a żywo!

– Nie jesteśmy widmami – odezwał się Aragorn – i oczy was nie mylą. To są konie z waszych stadnin, pewnie je poznałeś, nim jeszcze zacząłeś nas wypytywać. Złodziej wszakże nie wracałby z koniem do stajni właściciela. Oto Hasufel i Arod, wierzchowce, których użyczył nam ledwie przed dwoma dniami Éomer, Trzeci Marszałek Rohanu. Odprowadzamy je tak, jak przyrzekliśmy. Czy Éomer nie wrócił z wyprawy i nie zapowiedział naszego przybycia?

Wartownik zmieszał się wyraźnie.

– Nic wam o Éomerze powiedzieć nie mogę – rzekł. – Jeżeli prawdę mówicie, król z pewnością będzie coś o tym wiedział. Może wasze przybycie nie jest całkiem nieoczekiwane. Przed dwoma dniami wieczorem

Gadzi Język był tutaj i oznajmił, że z woli Théodena żaden obcoplemieniec nie śmie odtąd przestąpić tej bramy.

– Gadzi Język? – spytał Gandalf, uważnie patrząc na wartownika. – Ani słowa więcej! Nie do niego, lecz do władcy Rohanu mam sprawę. I to pilną! Czy zechcesz iść sam, czy też poślesz kogoś, aby o tym królowi oznajmić?

Oczy Gandalfa błyszczały, gdy pochyliwszy się, spod ściągniętych brwi zaglądał pilnie w twarz Rohirrima.

– Pójdę sam – odparł tamten po namyśle. – Ale jakie imiona mam oznajmić królowi? Co mu o was powiedzieć? Zdajesz się stary i znużony, a jednak groźny i srogi, wbrew pozorom.

– Dobrześ przyjrzał się i słusznie osądził – rzekł Czarodziej. – Jestem Gandalf. Wracam. I zważ: odprowadzam królowi konia. To Cienistogrzywy Wielki, którego niczyja ręka prócz mojej nie okiełzna. Ze mną jest Aragorn, syn Arathorna, spadkobierca królów, który dąży do Mundburga. A oto Legolas, elf, i Gimli, krasnolud – nasi przyjaciele. Idź i powiedz swemu panu, że stanęliśmy u jego bram i pragniemy z nim rozmowy, jeśli dopuści nas na swój dwór.

– Niezwykłe wymieniłeś imiona! Powtórzę je wszakże mojemu władcy. Zobaczymy, co na to król powie! – odparł wartownik. – Czekajcie na mnie, przyniosę wam odpowiedź, jaką Théoden uzna za właściwą. Nie obiecujcie sobie za wiele. Czasy mamy teraz surowe.

I odszedł szybkim krokiem, pozostawiając obcych pod czujną strażą swoich towarzyszy.

Wrócił po chwili.

– Chodźcie ze mną – rzekł. – Théoden pozwolił was wpuścić, lecz wszelką broń, nawet kije, macie złożyć u progu. Odźwierny wam ją przechowa.

Posępne wrota otwarły się wreszcie. Wędrowcy weszli przez nie gęsiego, w ślad za przewodnikiem. Znaleźli się na szerokiej ulicy wybrukowanej ciosanym kamieniem, wznoszącej się wciąż pod górę, niekiedy ślimakiem, a niekiedy kilku stopniami starannie zbudowanych schodów. Minęli mnóstwo drewnianych domów i ciemnych drzwi. Równolegle do ulicy perlił się i szumiał jasny potok, ujęty w kamienne

koryto. W końcu dotarli na szczyt wzgórza. Wysoki pomost górował nad zielonym tarasem, u którego stóp, spod kamienia wyrzeźbionego w kształt końskiej głowy, tryskało wesołe źródełko. Woda ściekała z niego do wielkiego zbiornika, a dalej do potoku. Przez taras wiodły schody szerokie i ogromne, a na ostatnim stopniu stały z dwóch stron wykute w kamieniu ławy. Siedzieli tam królewscy strażnicy, którzy trzymali na kolanach obnażone miecze. Złociste włosy mieli splecione w warkocze. Słońce grało w ich zielonych tarczach i w jasnych, polerowanych pancerzach. Gdy się podnieśli z ław, wędrowcy ujrzeli mężów tak rosłych, jak rzadko bywają śmiertelnicy.

– Drzwi są tu na wprost – rzekł przewodnik. – Ja muszę wracać do bramy na służbę. Żegnajcie! Oby was król raczył przyjąć łaskawie.

Zawrócił i odszedł spiesznie. Wędrowcy wstępowali po ogromnych stopniach pod okiem straży. Gwardziści króla patrzyli na nich z góry bez słowa, póki Gandalf nie stanął na kamiennym tarasie u szczytu schodów. Wówczas niespodzianie pozdrowili go chórem dźwięcznych głosów w swoim rodzinnym języku.

– Witajcie, przybysze z dalekich stron – powiedzieli, zwracając miecze rękojeścią do gości na znak pokojowych zamiarów. Zielone drogocenne kamienie zamigotały w słońcu. Potem jeden z gwardzistów wystąpił z szeregu i odezwał się we Wspólnej Mowie:

– Jestem odźwiernym Théodena – rzekł. – Nazywam się Háma. Proszę, odłóżcie wszelki oręż, nim wejdziecie do pałacu.

Pierwszy Legolas złożył w jego ręce swój sztylet o srebrnym trzonku, kołczan i łuk.

– Strzeż pilnie mojej broni – powiedział – bo pochodzi ona ze Złotego Lasu i dostałem ją w darze od Pani z Lórien.

Zdumienie błysnęło w oczach odźwiernego. Pospiesznie odstawił broń pod mur, jak gdyby bojąc się jej dotykać.

– Obiecuję ci, że jej tu nikt nie ruszy – rzekł.

Aragorn wahał się przez chwilę.

– Wola moja wzdraga się – rzekł – przed odłożeniem miecza i powierzeniem Andúrila w ręce innego człowieka.

– Taka jest wola Théodena – powiedział Háma.

– Nie mam pewności, czy wola Théodena, syna Thengla, jakkolwiek jest on władcą Rohanu, powinna przeważać nad wolą Aragorna, syna Arathorna, dziedzica Elendila z Gondoru.

– Stoisz przed domem Théodena, nie zaś Aragorna, nawet gdyby ów Aragorn był królem Gondoru i zasiadał na stolicy Denethora – odparł Háma, szybko stając przed drzwiami i zagradzając drogę. Miecz zwrócił teraz ostrzem ku gościom.

– Jałowy spór – wmieszał się Gandalf. – Żądanie Théodena jest zgoła niepotrzebne, lecz daremnie próbowalibyśmy się sprzeciwiać. Wola króla, słuszna czy nie, rozstrzyga w jego własnym pałacu.

– Prawda – rzekł Aragorn – i chętnie spełniłbym życzenie gospodarza, choćby nim był drwal w swoim szałasie, gdybym nosił u pasa inny miecz. Lecz to jest Andúril.

– Jakkolwiek zwie się twój oręż, odłóż go tutaj – powiedział Háma – jeśli nie chcesz walczyć sam jeden przeciw wszystkim mężom w Edoras.

– Nie walczyłby sam jeden – odezwał się Gimli, przesuwając palcem po ostrzu toporka i groźnie spoglądając na odźwiernego, jakby to było młode drzewko, które nadaje się do ścięcia. – Nie sam by walczył!

– Spokój, spokój! – rzekł Gandalf. – Jesteśmy wszyscy tu przyjaciółmi. A przynajmniej powinniśmy być przyjaciółmi. Kłótnią nic nie zyskamy, tylko ucieszymy Mordor. Ja w każdym razie oddaję mój miecz, strzeż go, Hámo, dobrze, bo to Glamdring, wykuty przez elfów bardzo dawno temu. A teraz przepuść mnie. Dalejże, Aragornie!

Z wolna Aragorn odpiął pas i sam odstawił swój miecz pod ścianę.

– Zostawiam Andúrila tutaj – rzekł – lecz nie waż się, Hámo, dotknąć go ani też nie pozwól, by go tknął ktokolwiek. W pochwie przez elfów sporządzonej kryje się bowiem ostrze, które było złamane i zostało na nowo przekute. Ongi wykuł je Telchar w zamierzchłej przeszłości. Prócz spadkobiercy Elendila każdy, kto by jego miecza dobył, padnie rażony śmiercią.

Odźwierny cofnął się o krok i ze zdumieniem spojrzał na Aragorna.

– Rzekłby kto, że przybyłeś z niepamiętnych czasów na skrzydłach legendy – powiedział. – Będzie, jak rozkazujesz.

– Ano, w towarzystwie Andúrila może i mój toporek bez wstydu odpocząć – mruknął Gimli i położył swój oręż na ziemi. – Zrobiliśmy wszystko, czego od nas żądałeś. Prowadź teraz do swego króla!

Lecz odźwierny jeszcze się wahał.

– Masz laskę – zwrócił się do Gandalfa. – Wybacz, ale kij także musisz zostawić pod drzwiami.

– Od rzeczy gadasz! – odparł Gandalf. – Co innego przezorność, a co innego grubiaństwo. Jestem stary. Jeśli nie pozwolisz mi wspierać się na lasce, siądę tutaj i poczekam, aby Théoden raczył do mnie wyjść na pogawędkę.

Aragorn zaśmiał się.

– Każdy ma jakiś skarb, który zanadto miłuje, by go powierzyć w cudze ręce. Czy każecie starcowi wyzbyć się jedynej podpory? Pozwólcie nam wreszcie wejść.

– Laska w ręku czarodzieja to pewnie coś więcej niż tylko podpora starości – odparł Háma. Uważnie przyjrzał się jesionowej różdżce, na której opierał się Gandalf. – Lecz w przypadku wątpliwym wolno uczciwemu człowiekowi powodować się własnym sądem. Wierzę, że jesteście nam przyjaciółmi, godnymi zaufania gośćmi, którzy nie żywią złych zamiarów. Wejdźcie!

Gwardziści odsunęli ciężkie rygle i pchnęli drzwi, które otworzyły się z wolna, ze zgrzytem zawiasów. Goście weszli. Wnętrze wydało się ciemne i gorące w porównaniu z jasnością i świeżością pagórka. Sień była długa, obszerna, pełna cieni i półświateł. Potężne filary wspierały wysoki strop. Lecz tu i ówdzie snopy słonecznego blasku padały z okien zwróconych na wschód i umieszczonych w górze pod szerokimi okapami. Przez wycięty w stropie otwór smużki dymu wzbijały się ku blademu błękitowi nieba. Gdy oczy przybyszów nawykły do półmroku, dostrzegli, że posadzka ułożona jest z różnobarwnych kamieni i że znaki runiczne oraz dziwne napisy wiją się po niej u ich stóp. Zauważyli, że filary są bogato rzeźbione i lśnią matowym złotem, mieniąc się przygaszonymi kolorami. Na ścianach wisiały rozpięte ogromne tkaniny, przedstawiające postaci z dawnych legend, niektóre spłowiałe ze starości, a niektóre zatarte w mroku. Lecz jeden z tych obrazów jaśniał w pełnym słonecznym blasku; wyobrażał on młodego rycerza na białym koniu. Młodzieniec dął w wielki róg, a złote

włosy rozwiewał mu wiatr. Koń miał głowę podniesioną, czerwone nozdrza, szeroko rozdęte, węszyły w oddali bitwę. Pienista zielona i biała woda sięgała mu burzliwą falą do kolan.

– Patrzcie! To Eorl Młody! – rzekł Aragorn. – Tak wyglądał, gdy wyruszał z północy, aby stoczyć bitwę na Polach Celebrantu.

Czterej przyjaciele szli dalej. Minęli ogień płonący pośrodku sali na wydłużonym kamiennym palenisku. Pod przeciwległą ścianą domu, za ogniskiem, na wprost wychodzących na północ drzwi, trzy szerokie stopnie prowadziły na wzniesienie. Tam we wspaniałym złoconym fotelu siedział starzec, tak zgarbiony pod brzemieniem lat, że wyglądał niemal jak karzeł. Długie siwe włosy, splecione w grube warkocze, opadały spod wąskiej złotej przepaski otaczającej mu skronie. Osadzony pośrodku czoła lśnił jeden jedyny biały diament. Broda biała jak śnieg sięgała do kolan starca. Oczy tylko świeciły jeszcze żywym blaskiem i roziskrzyły się, kiedy władca spojrzał na przybyszy. Za jego fotelem stała kobieta w białej sukni. U nóg, na stopniach wzniesienia, przysiadł chudy człowiek, twarz miał bladą i chytrą, a powieki opuchnięte.

Chwilę trwała cisza. Starzec nie drgnął nawet w swoim fotelu.

W końcu odezwał się Gandalf:

– Witaj, Théodenie, synu Thengla! Wróciłem. Albowiem burza nadciąga i wszyscy przyjaciele powinni trzymać się w gromadzie, żeby każdego z osobna nie powaliła wichura.

Starzec z wolna dźwignął się na nogi, ciężko oparty na krótkiej czarnej lasce z białą kościaną gałką. Teraz dopiero ci, co widzieli go po raz pierwszy, przekonali się, że mimo przygarbienia Théoden jest mężem olbrzymiego wzrostu, a za młodu musiał zadziwiać wspaniałą postawą.

– Witaj – rzekł. – Może oczekiwałeś, że powitam cię radośnie. Jeśli wszakże mam być szczery, twoje odwiedziny są wątpliwą radością dla tego domu, mistrzu Gandalfie. Zawsze jesteś zwiastunem nieszczęść. Troski ciągną za tobą jak kruki, a za każdym twoim zjawieniem gorsze. Nie będę cię łudził: gdym usłyszał, że Cienistogrzywy wrócił z pustym siodłem, ucieszyłem się z odzyskania rumaka, lecz jeszcze bardziej ze zguby jeźdźca. A gdy Éomer przyniósł wiadomość, że ty, Gandalfie, odszedłeś wreszcie do swej wiekuistej ojczyzny, nie płakałem po tobie. Lecz wieści z daleka rzadko się sprawdzają. Oto znów jesteś tutaj! I przynosisz, jak

można się spodziewać, nowiny jeszcze bardziej złowróżbne niż poprzednio. Czemuż miałbym się cieszyć z twego widoku, Gandalfie, zwiastunie burzy? Odpowiedz!

I powolnym ruchem król opadł znów na swój fotel.

– Słuszne są twoje słowa, panie! – odezwał się blady dworzanin siedzący na stopniach u nóg króla. – Ledwie pięć dni upłynęło od żałobnej wieści, że na polach Zachodniej Marchii poległ twój syn, Théodred, prawa ręka króla i Drugi Marszałek Rohanu. Éomerowi nie sposób zaufać. Gdyby on tu rządził, niewielu zostałoby obrońców w murach twojej stolicy. A właśnie z Gondoru doszły nas ostrzeżenia, że Czarny Władca gotuje napaść od wschodu. W takiej to godzinie ten włóczęga zjawia się znów u nas. Jakże możemy witać cię chętnym sercem, zwiastunie nieszczęścia? Láthspell – takie dałem ci imię: Zła Nowina. Zły to gość, który złe wieści przynosi.

Zaśmiał się szyderczo i podnosząc na moment ciężkie powieki, błysnął ku obcoplemieńcom ponurymi czarnymi oczyma.

– Uchodzisz za mędrca, Gadzi Języku, i niewątpliwie jesteś wielką podporą dla swego pana – odparł Gandalf cichym głosem. – Ale można być zwiastunem złych wieści na różne sposoby. Można być sprawcą zła albo też przyjacielem, który w szczęściu opuszcza, lecz w potrzebie zjawia się z pomocą.

– Tak – odparł Gadzi Język – jest również trzecia odmiana. Są ci, co ogryzają kości, mieszają się do cudzych spraw, drapieżcy, tuczący się na wojnach. Jaką pomoc dałeś nam kiedykolwiek, złowróżbny kruku? Jaką dzisiaj przynosisz? Kiedy byłeś tu ostatnim razem, szukałeś u nas pomocy dla siebie. Król pozwolił ci wybrać konia, byleś stąd odjechał. Ku powszechnemu oburzeniu ośmieliłeś się wybrać Cienistogrzywego. Króla bardzo dotknęło to zuchwalstwo, lecz niejeden z nas sądził, że warto zapłacić każdą cenę, żeby tylko pozbyć się ciebie. Pewny jestem, że i tym razem wyjdzie to samo szydło z worka i zażądasz od nas pomocy, zamiast jej nam udzielić. Czy przyprowadziłeś wojowników? Czy masz konie, miecze, włócznie? To bowiem byłaby pomoc i tego nam dziś potrzeba. Ale któż z tobą przyszedł? Trzech obdartusów w szarych łachmanach, a ty bardziej jeszcze niż oni wyglądasz na żebraka!

– Widzę, Théodenie, synu Thengla, że ostatnimi czasy grzeczność staniała na twoim dworze – rzekł Gandalf. – Czy wartownik, którego od bramy przysłałem, nie powiedział ci imion moich towarzyszy? Rzadko

władcy Rohanu podejmowali w swoim domu równie godnych gości. Oręż, który zostawiliśmy na twoim progu, byłby godny najmożniejszego nawet śmiertelnika. Moi przyjaciele noszą płaszcze szare, bo tak ich okryli elfowie, aby mogli przemknąć przez cienie straszliwych niebezpieczeństw i dotrzeć aż do tej sali.

– A więc prawdę mówił Éomer, że jesteście sojusznikami czarownicy ze Złotego Lasu? – rzekł Gadzi Język. – Nie dziwi mnie to wcale, bo sieci zdrady zawsze motano w Dwimordene.

Gimli postąpił krok naprzód, lecz ręka Gandalfa spadła na jego ramię i powstrzymała go w miejscu. Krasnolud stanął jak skamieniały.

W Dwimordene, w Lórienie
Rzadko ludzkie błądzą cienie,
Rzadko człowiek widzi blask,
Który lśni tam cały czas.
Galadrielo, patrz, przejrzysta
Woda w studni twej i czysta.
Biała gwiazda w białej dłoni.
Niezniszczalny, niesplamiony,
Liść i kraj – o piękne ziemie
W Dwimordene, w Lórienie
Ponad ludzkie rozumienie![62]

Gandalf prześpiewał z cicha, lecz wyraźnie tę pieśń. Nagle przeobraził się cały. Odrzucił łachman płaszcza, wyprostował się, nie korzystając już z podpory laski, i przemówił dźwięcznym, zimnym głosem:

– Mądry człowiek mówi tylko o tym, na czym się zna, Grímo, synu Gálmóda. Tyś odezwał się jak bezrozumny gad. Milcz lepiej, trzymaj za zębami swój jadowity język. Nie po to przeszedłem przez ogień i wodę, żeby w oczekiwaniu na grom bawić się sporem z kłamliwym sługusem.

Podniósł laskę. Zahuczał grzmot. Słońce we wschodnich oknach zgasło i noc wypełniła salę. Ogień na palenisku zbladł i zszarzał na popiół. W mroku nie było widać nic prócz postaci Gandalfa, smukłej i białej,

górującej nad poczerniałym ogniskiem. Głos Gadziego Języka zasyczał w ciemnościach:

– Czyż nie radziłem ci, królu, byś zabronił mu wejść z laską? Dureń Háma zdradził nas!

Błysnęło, jakby piorun rozszczepił strop. Potem zaległa znów cisza. Smoczy Język przypadł twarzą do ziemi.

– Czy teraz zechcesz mnie wysłuchać, Théodenie, synu Thengla? – spytał Gandalf. – Czy przyszedłem prosić was o pomoc? – Podniósł laskę i wskazał nią okno w stropie. Na niebie mrok jakby się rozpraszał i wysoko w górze przeświecała już plama pogodnego błękitu. – Ciemności nie ogarnęły całego świata. Nabierz ducha, władco Rohanu, bo lepszej pomocy próżno byś szukał. Nie mam rad dla tych, którzy zrozpaczyli o ratunku. A tobie chcę udzielić rady i przynoszę ci słowa otuchy. Czy chcesz je usłyszeć? Nie dla wszystkich uszu są przeznaczone. Błagam cię, wyjdź ze mną przed próg i spójrz na swój kraj. Zbyt długo już ślęczysz w mroku, dając posłuch kłamliwym wiadomościom i przewrotnym podszeptom.

Z wolna Théoden dźwigał się z fotela. Nikłe światło znów rozjaśniło salę. Kobieta w białej sukni pospieszyła do boku króla i ujęła go pod ramię, gdy starzec chwiejnym krokiem zstępował ze wzniesienia, a potem szedł przez salę ku drzwiom. Smoczy Język wciąż leżał na podłodze. Gdy zbliżyli się do drzwi, Gandalf zapukał w nie.

– Otwórzcie! – krzyknął. – Król idzie!

Drzwi otworzyły się, a powiew świeżego powietrza ze świstem wtargnął do wnętrza. Wiatr dął na pagórku.

– Odeślij, panie, swoją przyboczną straż na niższe stopnie schodów – rzekł Gandalf. – A ty, pani, zechciej nas zostawić samych z królem. Obiecuję ci czuwać nad nim.

– Idź, Éowino, córko mej siostry! – powiedział sędziwy król. – Czas trwogi już przeminął.

Kobieta zawróciła wolnym krokiem do pałacu. W progu obejrzała się raz jeszcze. Oczy miała poważne i zadumane, a na króla patrzyła ze spokojną litością. Była bardzo piękna, a włosy spływały na jej ramiona jak rzeka złota. W białej sukni przepasanej srebrem wydawała się smukła i wiotka, lecz zarazem mocna jak stal i dumna, jak przystało córce królów. Tak się

zdarzyło, że Aragorn w pełnym świetle dnia zobaczył Éowinę, księżniczkę Rohanu, piękną i chłodną jak poranek wczesnej wiosny, nierozkwitłą jeszcze pełnią kobiecej urody. I w tej samej chwili ona dostrzegła Aragorna; spadkobierca królewskiego rodu, mądry mądrością wielu zim, chwałę swoją krył pod szarym płaszczem, lecz Éowina ją wyczuła. Na sekundę jakby skamieniała w bezruchu, lecz zaraz ocknęła się, odwróciła i szybko odeszła.

– A teraz, królu – rzekł Gandalf – spójrz na swój kraj! Odetchnij znowu świeżym powietrzem!

Z podsienia na szczycie wysokiego tarasu otwierał się ponad potokiem widok na zielony step Rohanu ginący w szarej dali. Skośne smugi deszczu, smaganego wiatrem, łączyły niebo z ziemią. Od zachodu ciągnęły ciemne chmury i gdzieś daleko wśród niewidocznych szczytów co chwila migotały błyskawice. Lecz wiatr już się zmienił, wiał teraz od północy i burza, która nadeszła od wschodu, cofała się na południe, ku morzu. Nagle przez rozdarte chmury przebił się snop słonecznych promieni. Deszcz roziskrzył się jak srebro, a rzeka w oddali rozbłysła jak lustrzana tafla.

– Tutaj nie jest tak ciemno – rzekł Théoden.

– Nie jest ciemno – odparł Gandalf – a wiek nie przytłacza twoich ramion tak, jak niektórzy chcieliby ci wmówić. Odrzuć laskę!

Czarna laska z brzękiem wypadła z ręki króla na kamienie. Théoden prostował się z wolna, jak ktoś, kto odrętwiał, dźwigając przez długi czas zbyt ciężkie brzemię. Stał teraz prosty i wysoki, a gdy spojrzał w otwarte niebo, oczy jego były znów błękitne.

– Ponury sen dręczył mnie ostatnimi czasy – powiedział – lecz w tej chwili jakbym się zbudził nareszcie. Szkoda, żeś nie przyszedł wcześniej, Gandalfie. Lękam się bowiem, że jest już bardzo późno i że przybyłeś po to tylko, by ujrzeć ostatnie dni mojego rodu. Nie będzie już stał długo ten wyniosły dwór, który wzniósł Brego, syn Eorla. Ogień zniszczy nasze górskie gniazdo. Cóż jeszcze można zdziałać?

– Bardzo wiele – odparł Gandalf. – Przede wszystkim przywołaj Éomera. Bo chyba trafnie odgadłem, że uwięziłeś go za radą Grímy, którego wszyscy prócz ciebie zwą Gadzim Językiem?

– Tak jest – rzekł Théoden. – Éomer zbuntował się przeciw moim rozkazom i w moim domu groził Grímie śmiercią.

– A przecież można kochać ciebie, nie kochając Gadziego Języka i jego rad – rzekł Gandalf.

– Może masz słuszność. Zrobię, czego sobie życzysz. Zawołaj tu Hámę. Skoro okazał się niegodny zaufania jako odźwierny, niech będzie gońcem. Winowajca sprowadzi drugiego winowajcę na sąd – rzekł Théoden; chociaż mówił to surowym głosem, uśmiechnął się do Gandalfa, a w tym uśmiechu sieć smutnych zmarszczek na jego twarzy wygładziła się i zniknęła bezpowrotnie.

Gdy Háma, przywołany, pobiegł wypełnić zlecenie, Gandalf zaprowadził Théodena na kamienną ławę, a sam siadł przed nim na najwyższym stopniu schodów. Aragorn i jego towarzysze stali opodal.

– Nie starczy czasu, żeby powiedzieć ci wszystko, o czym powinieneś usłyszeć – rzekł Gandalf. – Jeśli wszakże nie łudzi mnie nadzieja, wkrótce będę mógł z tobą pomówić obszerniej. Wiedz, królu, że grozi ci niebezpieczeństwo straszniejsze niż koszmary, którymi Gadzi Język osnuł twoje sny. Lecz teraz już nie śpisz. Żyjesz! Dwa kraje – Gondor i Rohan – nie są osamotnione. Siła nieprzyjaciela przerasta nasze wyobrażenie, a jednak przyświeca nam nadzieja, o której on nic nie wie.

Gandalf zaczął mówić szybko, głosem tak ściszonym, że nikt prócz króla nie słyszał jego słów. Lecz w miarę jak Czarodziej mówił, oczy Théodena zapalały się coraz żywszym blaskiem, aż wreszcie król wstał w całej okazałości ogromnego wzrostu, żeby z Gandalfem u boku spojrzeć z wyżyny ku wschodowi.

– Tak jest – rzekł Gandalf głosem już teraz doniosłym i wyraźnym – w tej stronie, gdzie czai się najstraszniejsza groźba, świta także nadzieja. Los waży się na wątłej nitce. Ale nadzieja istnieje i nie zgaśnie, jeżeli przynajmniej przez krótki jeszcze czas oprzemy się podbojowi.

Wszyscy zwrócili oczy na wschód. Ponad rozległymi otwartymi polami, tam, dalej niż sięgał wzrok, trwoga i nadzieja niosły ich myśli aż za posępny wał gór, do Krainy Cienia. Gdzie był w tej chwili Powiernik Pierścienia? Jakże wątła była ta niteczka, na której zawisł los! Legolasowi, kiedy wytężył swoje bystre oczy elfa, wydało się, że dostrzega jasny blask: odbicie słońca na szczycie odległej Wieży Czat – Minas Tirith. A jeszcze dalej, nieskończenie dalekie, a przecież bardzo bliskie niebezpieczeństwo: nikły język płomienia.

Théoden usiadł ciężko, jakby znużenie jeszcze wciąż walczyło w nim z wolą Gandalfa. Podniósł oczy na swój wspaniały dom.

– Szkoda – powiedział – że złe dni nastały za mojego właśnie życia i wtedy dopiero kiedy się zestarzałem i oczekiwałem zasłużonego odpoczynku. Szkoda mężnego Boromira! Młodzi giną, a zostają uwiędli starcy.

Ścisnął kolana pomarszczonymi rękami.

– Twoje palce przypomną sobie dawną siłę, jeśli dotkną znowu rękojeści miecza – powiedział Gandalf.

Théoden wstał i sięgnął ręką do boku, lecz u jego pasa nie było oręża.

– Gdzież ten Gríma schował mój miecz? – mruknął do siebie.

– Weź mój, ukochany królu! – odezwał się jasny głos. – Ten miecz zawsze tobie tylko służył!

Dwaj mężowie cicho weszli po schodach i stali już o parę zaledwie stopni od szczytu. Jednym z nich był Éomer. Nie miał na głowie hełmu ani pancerza na piersi, lecz w ręku trzymał obnażony miecz. Przykląkł i podał go rękojeścią naprzód swojemu władcy.

– Jakże się to stało? – spytał surowo Théoden. Zwrócił się do Éomera, a przybysze patrzyli zdumieni na króla, tak stał się wysoki, dumny i prosty. Gdzie podział się zgrzybiały starzec, którego niedawno widzieli skulonego w fotelu albo ciężko wspierającego się na lasce?

– Moja to sprawa – odparł, drżąc, Háma. – Zrozumiałem, że Éomer ma być uwolniony. Z nadmiaru radości może zbłądziłem. Lecz skoro odzyskuje wolność, a jest Marszałkiem Rohanu, zwróciłem mu jego miecz, o który mnie prosił.

– Po to, żeby go złożyć u twoich stóp, królu – rzekł Éomer.

Przez chwilę trwało milczenie. Théoden z góry spoglądał na klęczącego przed nim rycerza. Nikt się nie poruszył.

– Królu, czy nie weźmiesz tego miecza? – spytał Gandalf.

Théoden powoli wyciągnął rękę. Kiedy palce jego dotknęły rękojeści, patrzącym wydało się, że widzą, jak nowa siła wypełnia zwiędłe ramię. Nagle król podniósł miecz do góry i zakręcił nim, siejąc błyski, aż powietrze zafurkotało. Krzyknął głośno. Czystym, dźwięcznym głosem rozbrzmiała w języku Rohirrimów pobudka do broni:

Powstańcie, jeźdźcy Théodena!
Czas drogi nadszedł, chmurzy się wschód,
Siodłajcie konie, dmijcie w rogi!
Naprzód, Eorla plemię![63]

Gwardziści, myśląc, że to ich król wzywa, pędem wbiegli po schodach. Ze zdumieniem spojrzeli na swego władcę i jak jeden mąż dobyli mieczy, żeby je złożyć u jego nóg.

– Prowadź, królu! – krzyknęli.

– *Westu Théoden hal*! – zawołał Éomer. – Co za radość ujrzeć cię znowu w pełni sił, panie! Nikt już teraz nie ośmieli się twierdzić, że Gandalf nie przynosi nic prócz trosk.

– Weź swój miecz, Éomerze, synu mojej siostry – powiedział król. – A ty Hámo, poszukaj mojego. Gríma wziął go na przechowanie. Jego też tutaj przyprowadź. Gandalfie, mówiłeś, że masz dla mnie radę, jeśli zechcę ją od ciebie przyjąć. Jakaż twoja rada?

– Jużeś jej posłuchał – odparł Gandalf – skoro zaufałeś Éomerowi, zamiast wierzyć tamtemu przewrotnemu doradcy. Odrzuciłeś żal i strach. Postanowiłeś działać. Wszystkich mężów zdolnych dosiąść konia wypraw niezwłocznie na zachód, jak radził ci Éomer. Trzeba zażegnać groźbę ze strony Sarumana, póki czas. Jeżeli to się nie uda – zginiemy. Jeżeli się uda, stawimy z kolei czoło następnemu zadaniu. Ci, co zostaną, kobiety, dzieci i starcy, niech uciekają stąd do obronnych grodów, które masz w górach. Są pewnie przygotowani na ciężkie godziny, jakie się teraz zbliżają. Powinni wziąć z sobą zapasy żywności, lecz nie wolno odkładać ucieczki ani też obciążać się skarbami, czy to bogatymi, czy też skromnymi. Gra idzie o życie.

– Rada zdaje się dobra – odparł Théoden. – Ogłoście, niech lud zbiera się do drogi. Lecz wy, moi goście… Prawdę rzekłeś, Gandalfie, że grzeczność staniała na moim dworze. Jechaliście całą noc, a teraz zbliża się już południe. Nie pokrzepiliście się snem ani jadłem! Każę natychmiast przygotować gospodę, musicie przespać się i najeść.

– Nie, królu – rzekł Aragorn. – Jeszcze nie pora nam odpoczywać. Wojownicy Rohanu siadają na koń, z nimi będzie nasz topór, łuk i miecz. Nie po to przynieśliśmy broń, aby próżnowała pod ścianą twego domu,

władco Rohanu. Przyrzekłem Éomerowi, że u jego boku dobędę miecza we wspólnej walce.

– Teraz zaprawdę mamy nadzieję zwycięstwa – rzekł Éomer.

– Nadzieję mamy – powiedział Gandalf. – Ale Isengard jest potężny. Inne też niebezpieczeństwa zbliżają się ku nam. Nie zwlekaj, Théodenie, po naszym odjeździe zaraz poprowadź swój lud do Wartowni Dunharrow, w góry.

– Nie, Gandalfie! – odparł król. – Nie znasz, jak widzę, siły swoich leków. Inaczej się stanie. Wyruszę razem z moimi wojownikami do walki i polegnę w boju, jeśli tak być musi. Lepszym wówczas zasnę snem.

– A więc nawet gdyby Rohan poniósł klęskę, pieśń ją okryje chwałą – rzekł Aragorn.

Zbrojni mężowie stojący opodal dobyli broni, krzycząc:

– Król z nami! Naprzód, Eorlingowie!

– Ale nie powinieneś zostawiać ludu bez broni i bez pasterza – rzekł Gandalf. – Któż go poprowadzi i kto będzie nim rządził?

– Pomyślę o wyborze swojego zastępcy, nim wyruszę – odparł Théoden. – Oto idzie mój doradca.

Właśnie z pałacu wracał Háma, a za nim, skulony między dwoma eskortującymi go ludźmi, Gríma Gadzi Język. Był bardzo blady. Wychodząc na słońce, mrużył oczy. Háma ukląkł i podał Théodenowi długi miecz w pochwie ze złotymi okuciami i wysadzanej drogocennymi zielonymi kamieniami.

– Oto, królu, Herugrim, twój starożytny oręż – powiedział. – Znalazłem go w skrzyni Grímy. Wzdragał się oddać mi klucze. Jest tam wiele innych rzeczy, które różnym osobom zginęły.

– Kłamiesz! – zawołał Gadzi Język. – Król sam oddał mi swój miecz na przechowanie.

– A więc dzisiaj żąda zwrotu – rzekł Théoden. – Czy ci to nie w smak?

– Cóż znowu, królu! – odparł Gadzi Język. – Dbam o ciebie i twoje sprawy jak najtroskliwiej. Lecz nie przeceniaj swoich sił. Zdaj na kogoś innego zabawianie tych niemiłych gości. Za chwilę podadzą obiad. Czy nie raczysz zasiąść do stołu?

– Raczę – rzekł Théoden. – I wraz ze mną zasiądą goście. Wojsko dziś rusza w pole. Niech heroldowie zagrają pobudkę. Wezwać wszystkich, kto żyw w grodzie. Mężczyźni, młodzi chłopcy, ktokolwiek zdolny jest do noszenia broni, a ma wierzchowca, niech stawi się konno u bramy przed drugą godziną popołudnia.

– Królu miłościwy! – krzyknął Gadzi Język. – Sprawdzają się moje obawy. Ten czarodziej opętał cię. Czyż nikt nie zostanie do obrony Złotego Dworu twoich przodków i skarbca? Nikt nie będzie strzegł bezpieczeństwa króla Rohanu?

– Jeśli to opętanie – odparł Théoden – więcej w nim zdrowia niż w twoich podszeptach. Gdybym twoich leków dłużej zażywał, wkrótce bym pewnie chodził na czworakach jak zwierz. Nie, nikt nie zostanie, nawet Gríma. Gríma pójdzie także. Żywo! Może zdążysz jeszcze oczyścić z rdzy swój miecz.

– Litości, panie! – jęknął Gadzi Język, przypadając do ziemi. – Zmiłuj się nade mną! W twojej służbie strawiłem wszystkie siły. Nie oddalaj mnie od siebie. Niechże chociaż ja stoję u twego boku, gdy wszyscy cię opuszczą. Nie odtrącaj swego Grímy!

– Mam nad tobą litość – rzekł Théoden – i nie oddalam cię od mego boku. Ja bowiem ruszam wraz z moim wojskiem w pole. Wzywam cię, żebyś jechał ze mną i w ten sposób dał dowód wierności.

Gadzi Język powiódł wzrokiem po twarzach obecnych. Oczy jego miały taki wyraz, jak ślepia zaszczutego zwierzęcia, gdy szuka wyłomu w pierścieniu osaczających go łowców. Długim bladym językiem oblizał wargi.

– Można było spodziewać się takiego postanowienia po dostojnym dziedzicu Eorla, mimo jego sędziwych lat – rzekł. – Lecz ci, którzy prawdziwie go miłują, powinni by szczędzić jego starości. Widzę jednak, że za późno przyszedłem. Inni doradcy, których śmierć mojego króla tak jak mnie nie zasmuci, już go przeciągnęli na swoją stronę. Skoro nie mogę odrobić tego, co tamci zrobili, wysłuchaj, królu, chociaż jednej mojej prośby. Zostaw w grodzie zastępcę, który zna twoje zamysły i szanuje twoją wolę. Wyznacz godnego namiestnika. Pozwól, by twój najwierniejszy doradca, Gríma, strzegł porządku, póki nie wrócisz – a będę błagał los, by dał nam co rychlej ujrzeć cię z powrotem, jakkolwiek zdrowy rozsądek nie usprawiedliwia tej nadziei.

Éomer roześmiał się.

– A jeśli ta twoja prośba nie wystarczy, żeby uchronić cię od udziału w boju, szlachetny Grímo, jaki inny mniej zaszczytny urząd raczysz przyjąć? – spytał. – Może zgodzisz się dźwigać do górskiej warowni wory z mąką, jeżeli oczywiście znajdzie się ktoś, kto zechce ci je powierzyć.

– Nie, Éomerze, nie pojąłeś w pełni myśli czcigodnego Gadziego Języka – powiedział Gandalf, zwracając na zdrajcę przenikliwe spojrzenie. – Jest odważny i chytry. Igra nawet w tej chwili z niebezpieczeństwem i wygrywa jeden przynajmniej rzut kości. Już ukradł sporo mojego czasu. Na ziemię, gadzino! – krzyknął nagle gromkim głosem. – Brzuchem w proch! Gadaj, jak dawno cię kupił Saruman? Jaką ci przyrzekł zapłatę? Kiedy inni mężowie polegną, tyś miał zostać i wybrać swoją część ze skarbca, a także wziąć sobie tę, której pożądasz. Zbyt długo przyglądałeś się jej ukradkiem i śledziłeś każdy jej krok.

Éomer porwał za miecz.

– Wiedziałem o tym – wyjąkał. – Dlatego właśnie chciałem go wówczas zabić, nie pomnąc na prawa królewskiego domu. Są wszakże inne jeszcze powody.

Wystąpił naprzód, ale Gandalf chwycił go za ramię.

– Éowina jest już bezpieczna – rzekł. – Lecz ty, Gadzi Języku, robiłeś dla swojego prawdziwego pana, co było w twojej mocy. Zasłużyłeś na jakąś nagrodę. Saruman jednak łatwo zapomina o przyrzeczeniach. Radziłbym ci pospieszyć do niego i przypomnieć mu o nich, bo może nie zechce pamiętać o twoich zasługach.

– Kłamiesz – powiedział Gadzi Język.

– Zbyt często słowo to wraca na twoje usta – rzekł Gandalf. – Ja nie kłamię. Widzisz, Théodenie, tego gada? Nie jest dla ciebie bezpiecznie brać go z sobą ani też pozostawiać w domu. Najsłuszniej byłoby ściąć mu łeb. Ale nie zawsze był podłym gadem jak dziś. Kiedyś był człowiekiem i służył ci na swój sposób. Daj mu konia. Niech natychmiast odjedzie, dokąd zechce. Osądzisz go, królu, wedle wyboru, jakiego dokona.

– Słyszysz, Gadzi Języku? – spytał Théoden. – Wybieraj! Jedź ze mną na wojnę, a podczas bitwy przekonamy się o twojej wierności. Albo też jedź, dokąd chcesz, lecz jeśli spotkamy się kiedyś znowu, nie będę już miał wówczas nad tobą litości.

Gadzi Język z wolna podniósł się z ziemi. Popatrzył na zebranych spod ciężkich powiek. Na ostatku spojrzał w twarz Théodena i otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć. Nagle sprężył się cały. Zamachał rękami. Oczy mu rozbłysły, a tyle w nich było złośliwości, że wszyscy cofnęli się jak przed gadem. Wyszczerzył zęby, wciągnął dech ze świstem i niespodziewanie strzyknął śliną tuż pod nogi króla. Potem odskoczył na bok i puścił się pędem po schodach w dół.

– Biegnij tam który za nim! – zawołał Théoden. – Przypilnować trzeba, żeby nikomu krzywdy nie wyrządził, ale nie bijcie go ani nie zatrzymujcie. Dać mu konia, jeśli zechce.

– I jeśli któryś koń zechce go nosić – rzekł Éomer.

Jeden z gwardzistów pobiegł za zdrajcą, inny przyniósł w hełmie wodę, zaczerpniętą ze studzienki u stóp tarasu, i starannie umył kamienie, splugawione śliną Gadziego Języka.

– A teraz proszę do stołu, mili goście – powiedział Théoden. – Zjemy co się da naprędce.

Wrócili do Dworu. Z dołu już dochodziły wołania heroldów i głos wojennych rogów. Król bowiem postanowił wyruszyć, gdy tylko mężowie z grodu i najbliższych osiedli zdążą się uzbroić i zgromadzić.

Za stołem królewskim zasiedli czterej goście i Éomer, a usługiwała królowi jego siostrzenica, Éowina. Jedli i pili pospiesznie. Théoden rozpytywał Gandalfa o Sarumana, inni przysłuchiwali się w milczeniu.

– Któż zgadnie, kiedy wylęgła się zdrada? – rzekł Gandalf. – Saruman nie zawsze był zły. Nie wątpię, że kiedyś żywił szczerą przyjaźń dla Rohanu, a nawet potem, gdy już w nim serce stygło, sprzyjał wam, ponieważ byliście mu użyteczni. Lecz już od wielu lat spiskował na waszą zgubę, udając przyjaciela i cichcem gromadząc siły. Gadzi Język miał wtedy łatwe zadanie, a w Isengardzie wiedziano o wszystkim, co się u was działo, bo kraj był otwarty, obcoplemieńcy kręcili się po nim do woli. Gadzi Język wciąż szeptał swoje rady do twego, królu, ucha i zatruwał twoje myśli, mroził serce, osłabiał ciało, inni zaś widzieli to, lecz nic nie mogli zrobić, bo ten gad opanował twoją wolę.

Kiedy uciekłem z Orthanku i ostrzegłem cię, maska opadła z twarzy Sarumana, przynajmniej w oczach tych, którzy chcieli dostrzec prawdę. Odtąd gra Gadziego Języka stała się niebezpieczna. Usiłował stale

powstrzymywać cię od czynu, nie dopuszczać do skupienia wszystkich sił Rohanu. Zręczny był: usypiał czujność albo też podsycał strach, zależnie od okoliczności. Czy pamiętasz, jak uparcie nalegał, żeby ani jednego wojownika nie wysyłać przeciw urojonym groźbom na północy, skoro bezpośrednie niebezpieczeństwo grozi od wschodu? Wymógł na tobie, że zabroniłeś Éomerowi ścigania grasujących po stepie orków. Gdyby nie to, że Éomer odmówił posłuchu rozkazom Gadziego Języka, przemawiającego ustami króla, orkowie dotarliby spokojnie do Isengardu razem ze swoim bezcennym łupem. Nie była to wprawdzie zdobycz, której Saruman ponad wszystko pożąda, ale bądź co bądź dwaj członkowie naszej drużyny, uczestnicy tajemnej nadziei, o której nawet tobie, królu, nie śmiem mówić otwarcie. Czy nie wzdragasz się na myśl o strasznych mękach, jakie w tej chwili ci dwaj cierpieliby z rąk katów, albo na myśl o tym, jakie tajemnice wydarłby z nich Saruman, ku naszej nieuchronnej zgubie?

– Wiele zawdzięczam Éomerowi – rzekł Théoden. – Człowiek wiernego serca nieraz miewa krnąbrny język.

– Dodaj królu – odparł Gandalf – że prawda miewa skrzywione oblicze, jeśli na nią patrzą fałszywe oczy.

– Moje oczy były zaiste niemal ślepe – rzekł Théoden. – Najwięcej jednak wdzięczności tobie jestem winien, miły gościu. Tym razem znowu zjawiłeś się w samą porę. Pragnę ci ofiarować jakiś dar, zanim ruszymy w drogę. Wybierz, co chcesz. Rozporządzaj wszystkim, co mam. Jedno tylko sobie zastrzegam: swój miecz.

– Czy zjawiłem się w porę, to dopiero przyszłość pokaże – odparł Gandalf. – A co do podarku, wybieram, królu, to, czego bardzo mi potrzeba: szybkiego i wiernego wierzchowca. Daj mi Cienistogrzywego. Przedtem pożyczyłeś go tylko, jeśli można to nazwać pożyczką. Teraz jednak pojadę na nim w bój bardzo niebezpieczny, rzucę do gry srebro przeciw czerni. Nie chciałbym ryzykować coś, co do mnie nie należy. A przy tym jest już między mną a tym koniem więź przyjaźni.

– Dobrze wybrałeś – rzekł Théoden. – Dam ci go bardzo chętnie. Ale to cenny dar. Nie ma drugiego takiego konia na świecie. W nim odrodziły się wspaniałe rumaki z dawnych dni. Lecz żaden z nich nie wróci już więcej. I ciebie, Gandalfie, i wszystkich gości proszę, by prócz tego wybrali sobie, co wyda im się przydatne z mojej zbrojowni. Mieczy nie potrzebujecie, lecz są u nas hełmy i zbroje pięknej roboty, które przodkowie moi dostawali w

darze od sąsiadów z Gondoru. Zanim ruszymy, weźcie, co wam się spodoba, i oby wam służyło na szczęście.

Zaraz też ludzie królewscy przynieśli ze skarbca sprzęt wojenny i ubrali Aragorna oraz Legolasa w lśniące zbroje. Obaj też wybrali sobie hełmy i krągłe tarcze ze złotymi guzami, wysadzane zielonymi, czerwonymi i białymi kamieniami. Gandalf nie wziął zbroi, a Gimli nie potrzebował jej, nawet gdyby się znalazło w Edoras coś na jego miarę, bo próżno by szukać u ludzi czegoś lepszego niż krótka kolczuga, którą wykuto pod Samotną Górą na północy. Wybrał sobie jednak czapkę z żelaza i skóry, dobrze pasującą na jego okrągłą głowę, a także małą tarczę. Był na niej wymalowany biały koń w galopie na zielonym polu – godło rodu Eorla.

– Niech cię osłania skutecznie! – rzekł Théoden. – Zrobiono tę tarczę dla mnie za życia króla Thengla, kiedy byłem małym chłopcem.

Gimli skłonił się nisko.

– Z dumą, królu, będę nosił twoje godło na tarczy – powiedział. – Wolę doprawdy nosić konia, niż go dosiadać. Chętniej polegam na własnych nogach. Może jeszcze znajdę się w takiej bitwie, gdzie będę mógł walczyć pieszo.

– Bardzo być może! – odparł Théoden.

Król wstał, Éowina zaś podeszła do niego z pucharem pełnym wina.

– *Ferthu Théoden hál!* – powiedziała. – Przyjmij ten kielich i wypij za pomyślność wyprawy. Jedź szczęśliwie i wracaj w dobrym zdrowiu!

Gdy Théoden upił nieco z pucharu, księżniczka Rohanu podawała go kolejno wszystkim gościom. Przed Aragornem zatrzymała się na długą chwilę i podniosła ku niemu błyszczące oczy. Aragorn spojrzał z uśmiechem w jej piękną twarz; gdy brał kielich, ręce ich spotkały się i poczuł, że księżniczka zadrżała.

– Bądź zdrów, Aragornie, synu Arathorna! – powiedziała.

– Bądź zdrowa, księżniczko Rohanu! – odparł, lecz twarz mu spochmurniała i uśmiech zniknął z warg.

Wypili wszyscy, a potem król ruszył przez sień ku drzwiom. Czekała tam na niego przyboczna gwardia i heroldowie, a także wszyscy dostojnicy i wodzowie, którzy podówczas znaleźli się w grodzie lub przybyli z najbliższych okolic.

– Słuchajcie mnie uważnie! Ruszamy w pole i bardzo być może, że będzie to moja ostatnia wyprawa – rzekł Théoden. – Nie mam dzieci. Jedyny mój syn Théodred poległ. Mianuję tedy swoim dziedzicem Éomera, syna mojej siostry. Gdyby zaś żaden z nas dwóch nie wrócił, wybierzcie nowego króla wedle własnej woli. Dziś wszakże muszę komuś powierzyć opiekę nad ludem, który tu zostawiam, i sprawowanie rządów w moim imieniu. Kto z was zostaje?

Żaden z mężów nie odezwał się na to.

– Wymieńcie imię tego, kogo chcielibyście widzieć jako mojego namiestnika! Komu najbardziej ufa lud?

– Rodowi Eorla – rzekł Háma.

– Éomera jednak potrzebuję na wyprawie, a zresztą nie zgodziłby się zostać – odparł król. – On zaś jest ostatnim z rodu.

– Nie miałem na myśli Éomera – rzekł Háma – i nie jest on ostatnim. Ma przecież siostrę, Éowinę, córkę Éomunda. To serce nieulękłe i szlachetne. Wszyscy ją miłują. Niech ona panuje plemieniu Eorla przez czas twojej nieobecności, królu!

– Tak będzie – odparł Théoden. – Heroldowie ogłoszą zaraz ludowi, że poprowadzi go księżniczka Éowina.

Po czym król siadł na ławie przed drzwiami swego złotego domu, Éowina zaś uklękła i otrzymała z jego rąk miecz oraz piękny pancerz.

– Bądź zdrowa, córko mojej siostry – rzekł Théoden. – W smutnej godzinie żegnamy się, lecz może jeszcze wrócimy razem do Złotego Dworu. W Warowni Dunharrow lud długo może się bronić, a gdybyśmy przegrali bitwę, tam przyjdą wszyscy, którzy nie polegną.

– Nie mów tak, królu! – odpowiedziała. – Każdy dzień będzie mi się zdawał rokiem, dopóki nie powrócisz.

Ale mówiąc to, spojrzała na Aragorna, który stał obok.

– Król wróci – rzekł Aragorn. – Nie lękaj się, Éowino. Nie na zachodzie, lecz na wschodzie los się dopełni.

Z Gandalfem u boku zszedł król po schodach, a wszyscy za nimi. Wchodząc w bramę, Aragorn obejrzał się raz jeszcze. Na szczycie schodów przed wejściem do królewskiego domu Éowina stała samotna; miecz

trzymała oparty o ziemię, dłonie położyła na rękojeści. Miała na sobie pancerz i w słońcu jaśniała jak srebrny posąg.

Gimli szedł w parze z Legolasem, a topór niósł na ramieniu.

– Nareszcie ruszamy! – rzekł. – Ludzie nie mogą obejść się bez mnóstwa słów, zanim wezmą się do czynu. Toporek pali mi się już w ręku. Nie wątpię, że Rohirrimowie nie próżnują, kiedy już raz przyjdzie do bitwy. Mimo to nie jest to wojna wedle mojego serca. Jakże dostanę się na pole walki? Wolałbym iść na własnych nogach, niż trząść się jak worek na siodle Gandalfa.

– Bezpieczniejsze to miejsce niż każde inne – rzekł Legolas. – Ale Gandalf z pewnością zgodzi się postawić cię na ziemi, kiedy zacznie się bitwa. Albo też sam Cienistogrzywy o tym pomyśli. Topór nie jest odpowiednią bronią dla jeźdźca.

– A krasnolud nie jest jeźdźcem. Chcę ścinać łby orkom, a nie golić głowy ludziom – odparł Gimli, poklepując ostrze toporka.

Przed bramą zastali pokaźny oddział ludzi, starych i młodych, a wszystkich na koniach. Ponad tysiąc jeźdźców zgromadziło się tutaj. Włócznie jeżyły się jak młody las. Głośno, wesoło pozdrowili króla. Ktoś podał mu wodze konia, który się zwał Śnieżnogrzywy, ktoś inny podprowadził wierzchowce Aragornowi i Legolasowi. Gimli patrzył na to spode łba, mocno zaniepokojony, lecz Éomer podszedł do niego, wiodąc za uzdę swego rumaka.

– Witaj, Gimli, synu Glóina! – zawołał. – Nie starczyło czasu na lekcje grzeczności pod twoją rózgą, jakeś mi obiecał. Ale może zgodzisz się odłożyć na później nasz spór? W każdym razie nigdy już nie odezwę się złym słowem o Pani ze Złotego Lasu, to ci przyrzekam.

– Zapomnę na razie o moim gniewie, synu Éomunda – odparł Gimli – jeśli wszakże zobaczysz kiedyś na własne oczy Panią Galadrielę, a nie przyznasz, że jest najpiękniejszą wśród pań tego świata, będzie to kres naszej przyjaźni już na zawsze.

– Niech tak będzie! – rzekł Éomer. – Tymczasem jednak przebacz mi, a na dowód, że nie masz urazy, siądź ze mną razem na konia. Gandalf z królem pojedzie na czele oddziału, ale Ognisty, mój wierzchowiec, zechce nas dźwigać, byleś się ty na to zgodził.

– Dzięki ci, Éomerze – odparł Gimli, szczerze zadowolony. – Chętnie pojadę z tobą, jeśli Legolas, mój druh, będzie jechał obok.

– Tak postanowiliśmy – rzekł Éomer. – Legolas pojedzie z lewej, Aragorn z prawej strony, a nikt się nam nie oprze!

– Gdzie jest Cienistogrzywy? – spytał Gandalf.

– Hasa po stepie – odparło kilku ludzi. – Nikomu nie pozwala się tknąć. Patrzcie, tam pomyka, nad brodem, jak cień między wierzbami.

Gandalf gwizdnął i głośno zawołał konia po imieniu; Cienistogrzywy podniósł głowę i z daleka odpowiedział rżeniem. Jak strzała puścił się w stronę bramy i oddziału.

– Gdyby Wiatr Zachodu przybrał widomą postać, nie inaczej by wyglądał – rzekł Éomer, gdy ogromny rumak stanął przed Czarodziejem.

– Jak się zdaje, podarunek już sobie wziąłeś – powiedział król. – Ale niech wszyscy usłyszą! Oto mianuję mego gościa Gandalfa Szarego, najmądrzejszego doradcę, najmilej witanego wędrowca, księciem Rohanu i wodzem Eorlingów, a godność tę ma piastować, póki nasz ród nie zginie na ziemi. Daję mu też w podarunku Cienistogrzywego, księcia wśród koni.

– Dzięki, królu Théodenie – rzekł Gandalf. Nagle odrzucił szary płaszcz, zdjął kapelusz, skoczył na koński grzbiet. Nie miał hełmu ani pancerza. Śnieżne włosy rozwiały się na wietrze, biała szata błyszczała olśniewająco w słońcu.

– Patrzcie! Oto Biały Jeździec! – zawołał Aragorn, a wszyscy jęli powtarzać jego okrzyk.

– Nasz król i Biały Jeździec! – wołano. – Naprzód, Eorlingowie!

Zagrały trąby. Konie rżały i stawały dęba. Włócznie szczękały o tarcze. Król podniósł rękę. Szum powstał, jakby wicher potężny zerwał się w stepie, i ostatnia armia Rohanu niby grom runęła naprzód, na zachód.

Długo jeszcze w oddali na równinie Éowina widziała błysk włóczni, gdy stała bez ruchu, samotna, przed drzwiami milczącego domu.

ROZDZIAŁ 7
HELMOWY JAR

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy wyruszali z Edoras, i świeciło im prosto w oczy, zamieniając szerokie stepy Rohanu w jeden ogromny, złocisty obłok. U podnóży Białych Gór biegł na północo-zachód bity gościniec, tędy więc jechali, to w górę, to w dół zielonym, falistym krajem, przeprawiając się często w bród przez małe, lecz bystre strumienie. Daleko po prawej ręce majaczyły Góry Mgliste, a z każdą przebytą milą zdawały się wyższe i ciemniejsze. Przed jeźdźcami słońce z wolna zachodziło. Za nimi nadciągał wieczór.

Oddział posuwał się szybko naprzód. Czas naglił. Bojąc się zajechać na miejsce za późno, pędzili co koń wyskoczy i popasali z rzadka. Śmigłe i wytrwałe są konie Rohanu. Lecz wiele staj miały do przebycia. Z Edoras do brodu na Isenie, gdzie spodziewano się zastać królewskie wojska powstrzymujące napór armii Sarumana, było ich lotem ptaka ponad czterdzieści.

Ciemności ich już ogarnęły, kiedy wreszcie zatrzymali się i rozbili obóz. Po pięciu godzinach jazdy znaleźli się daleko na zachodniej równinie, lecz dobre pół drogi było jeszcze przed nimi. Rozłożyli się na biwak szerokim kręgiem pod wygwieżdżonym niebem w poświacie rosnącego księżyca. Ognisk nie rozpalali, bo czas był na to zbyt niespokojny, ale wystawili wokół obozowiska straże, a zwiadowcy rozesłani w step przemykali niby cienie, kryjąc się w bruzdach terenu. Noc wlokła się pomału bez zdarzeń i alarmów. O świcie zagrały rogi, a w godzinę później oddział szedł znów naprzód.

Na niebie nie pokazały się jeszcze chmury, ale powietrze zdawało się ciężkie; jak na tę porę roku było niezwykle ciepło. Słońce wzeszło omglone, a w ślad za nim podnosiła się z ziemi ku górze ciemność, jakby wielka burza ciągnęła od wschodu. Daleko na północo-zachodzie u stóp Gór Mglistych gęstniał drugi wał mroków, cień wypełzający powoli z Doliny Czarodzieja. Gandalf cofnął się aż do szeregu, w którym kłusował Legolas obok Éomera.

– Masz bystre oczy swojego szlachetnego plemienia, Legolasie – rzekł – na staję odróżnisz wróbla od łuszczyka. Powiedz mi, czy widzisz coś tam, w stronie Isengardu?

– Wiele mil nas dzieli – rzekł Legolas, wytężając wzrok i osłaniając oczy smukłą dłonią. – Widzę ciemność. Poruszają się w niej jakieś postacie, ogromne postacie, ale daleko stąd, na brzegu rzeki. Co to za jedni – powiedzieć nie mogę. Nie przesłania mi oczu mgła ani chmura, lecz cień, który czyjaś potężna wola rozpostarła nad okolicą i który posuwa się z wolna z biegiem wody. Wygląda to jak półmrok wśród tysięcy drzew spływający ze wzgórz.

– A za nami zbliża się straszna burza Mordoru – powiedział Gandalf. – Czeka nas ciemna noc.

Drugiego dnia marszu powietrze stało się jeszcze bardziej duszne.

Po południu zaczęły jeźdźców doganiać czarne chmury, jakby żałobny baldachim, na brzegach skłębiony i nakrapiany skrami światła. Słońce zaszło krwawo w dymiących oparach. Ostrza włóczni błysnęły ogniście, kiedy ostatnie promienie rozjarzyły strome ściany Trójrogu; teraz bowiem tuż nad głowami wojowników wystrzelały na tle nieba trzy ostre, poszarpane szczyty wieńczące od północo-zachodu wysunięte ramię Białych Gór. W ostatnim czerwonym blasku przednia straż dostrzegła czarny punkt: sylwetkę jeźdźca pędzącego na spotkanie oddziału. Wstrzymano konie, czekając na wieści.

Wojownik zdawał się bardzo znużony; hełm miał zaklęsły, najwidoczniej od ciosu, a tarczę pękniętą. Z wolna osunął się z konia i chwilę stał, chwytając oddech, zanim przemówił.

– Czy Éomer jest tu z wami? – spytał. – Nareszcie przybywacie, lecz za późno i w zbyt małej sile. Odkąd Théodred padł, wszystko się dla nas na złe obróciło. Wczoraj odepchnięto nas za Isenę, ponieśliśmy ciężkie straty; wielu naszych zginęło podczas przeprawy. Dziś w nocy na tamten brzeg nadciągnęły do nieprzyjacielskiego obozu posiłki. Isengard został chyba pusty. Saruman uzbroił też dzikich górali i pasterzy z Dunlandu, zza gór; całą tę zgraję rzucił przeciw nam. Zmiażdżyli nas liczebną przewagą, mur naszych tarcz pękł pod ich naporem. Erkenbrand z Zachodniej Bruzdy pozbierał niedobitków i z nimi cofa się do warowni, którą ma w Helmowym Jarze. Reszta wojsk rozpierzchła się po stepie… Gdzie jest

Éomer? Powiedzcie mu, że nie ma po co iść dalej. Niech lepiej zawróci do Edoras, póki tu nie dopadną go wilki z Isengardu.

Théoden słuchał dotychczas, milcząc, ukryty przed wojownikiem za szeregiem swojej gwardii, teraz jednak pchnął naprzód konia.

– Stań przede mną, Ceorlu! – rzekł. – Jestem i ja tutaj. Ostatnia armia Eorlingów wyruszyła w pole. Nie odstąpi bez bitwy.

Twarz wojownika zajaśniała radością i podziwem. Wyprostował się, potem ukląkł i wyciągnął miecz, rękojeścią zwrócony do króla.

– Rozkazuj, królu! – zawołał. – Wybacz! Myślałem…

– Myślałeś, że zostałem w Meduseld przygięty do ziemi jak stare drzewo pod zimowym śniegiem. Tak też było naprawdę, kiedy wyjeżdżałeś na wojnę. Ale wiatr od zachodu potrząsnął gałęziami – rzekł Théoden. – Dajcie temu wojownikowi wypoczętego konia! W drogę, Erkenbrand czeka na odsiecz.

Gdy Théoden mówił, Gandalf wysunął się z koniem nieco naprzód i długo wpatrywał się w stronę Isengardu, na północ, potem zaś na zachód, w chylące się słońce. Teraz wrócił do oddziału.

– Jedź, Théodenie! – rzekł. – Kieruj się do Helmowego Jaru. Nie jedź do brodu na Isenie i nie marudź na otwartym stepie. Ja na czas krótki muszę cię opuścić. Cienistogrzywy poniesie mnie tam, gdzie wzywa pilna sprawa. – Zwracając się do Aragorna, Éomera i całej królewskiej świty, krzyknął: – Strzeżcie króla, póki nie wrócę! Czekajcie na mnie u Helmowych Wrót. A teraz, bywajcie!

Szepnął coś Cienistogrzywemu i ogromny koń runął naprzód jak strzała wypuszczona z łuku. Zanim się wojownicy spostrzegli, już go nie było, mignął im jak błysk srebra w zachodzącym słońcu, jak wiatr w trawie, jak cień, co umyka i ginie z oczu. Śnieżnogrzywy chrapnął i wspiął się, gotów skoczyć za księciem koni, lecz tamtego chyba tylko ptak mógłby lotem dogonić.

– Co to ma znaczyć? – spytał któryś z gwardzistów, zwracając się do Hámy.

– Że Gandalf Szary bardzo się spieszy – odparł Háma. – Zawsze odchodzi i przychodzi niespodzianie.

– Gadzi Język, gdyby tu był, pewnie bez trudu znalazłby wyjaśnienie – rzekł gwardzista.

– Na pewno – odparł Háma. – Ale ja wolę zaczekać, aż znów zobaczę Gandalfa.

– Może będziesz na to musiał długo czekać – rzekł tamten.

Oddział skręcił więc z drogi prowadzącej do brodu na Isenie i skierował się ku południowi. Noc zapadła, Rohirrimowie wszakże nie przerwali marszu. Góry były już blisko, lecz wysokie szczyty Trójrogu ledwie majaczyły na pociemniałym niebie. O parę mil dalej, po drugiej stronie Doliny Zachodniej Bruzdy, leżała jakby zielona, rozległa zatoka, a z niej w głąb gór prowadził wąwóz. Ludzie nazwali go Helmowym Jarem, od imienia Helma, bohatera dawnych wojen, który to miejsce obrał sobie ongi za kryjówkę. Jar zwężał się i coraz bardziej stromo wspinał w górę, biegnąc od północy w cieniu Trójroga aż pod urwiste skały, które sterczały nad nimi z obu stron jak potężne baszty, odcinając go zupełnie od światła dziennego.

W Helmowych Wrotach, u wejścia do Jaru, północna skała wysuwała naprzód jakby ostrogę, na niej zaś wznosiły się wysokie mury z prastarego kamienia, a w ich obrębie stała strzelista wieża. Ludzie mówili, że w zamierzchłych latach świetności Gondoru królowie morza zbudowali tę warownię rękoma olbrzymów. Nazywano ją Rogatym Grodem, a kiedy trąby grały na wieży, echo odbijało głos w Jarze i zdawało się, że to zastępy dawno zapomnianych rycerzy wyruszają z podgórskich pieczar na wojnę. Ludzie w owych niepamiętnych czasach zbudowali też mur między Rogatym Grodem a południowym urwiskiem, zagradzając w ten sposób wstęp do wąwozu. Pod murem wybito przepust, przez który wydostawał się Helmowy Potok. Okrążając podnóża Rogatej Skały, potok ściekał dalej głębokim korytem, wyżłobionym pośrodku szerokiego trawiastego klina, łagodnie opadającego od Helmowych Wrót do Helmowego Szańca, a stąd przez Zieloną Roztokę w Dolinę Zachodniej Bruzdy. W takiej to warowni, w Rogatym Grodzie nad Helmowymi Wrotami, osiadł teraz Erkenbrand, pan Zachodniej Bruzdy na pograniczu Rohanu. Widząc zaś gromadzące się nad krajem chmury i rozumiejąc groźbę wojny, doświadczony ten wojownik naprawił skruszałe mury i umocnił twierdzę.

Jeźdźcy byli w niższej części doliny i jeszcze nie dotarli do Zielonej Roztoki, kiedy zwiadowcy, wysłani naprzód, zaalarmowali oddział

krzykiem i graniem rogu. Z ciemności świsnęły strzały. Jeden ze zwiadowców wrócił galopem z wieścią, że jeźdźcy na wilkach buszują po dolinie i że banda orków wraz z dzikimi ludźmi ciągnie od brodu na Isenie, kierując się wyraźnie na południe, ku Helmowemu Jarowi.

– Natknęliśmy się na liczne trupy naszych, którzy, widać, padli, wycofując się w tę stronę – mówił. – Spotkaliśmy także rozbite oddziały, błąkające się bezładnie i bez dowódcy. Nikt nie umie powiedzieć, co się stało z Erkenbrandem. Zanim dotrze do Helmowych Wrót, pewnie go orkowie dopadną, jeżeli już wcześniej nie poległ.

– Czy nikt nie widział Gandalfa? – spytał Théoden.

– Owszem. Wielu ludzi widziało starca w bieli, który konno rwał jak wicher przez step. Niektórzy myślą, że to Saruman. Powiadają, że nim noc zapadła, zniknął z oczu, pędząc w stronę Isengardu. Wcześniej za dnia podobno Gadzi Język w kompanii orków także pospieszył na północ.

– Biada Gadziemu Językowi, jeżeli Gandalf go doścignie! – rzekł Théoden. – A więc opuścili mnie obaj doradcy, dawny i nowy. Teraz jednak nie ma wyboru, trzeba iść, tak jak Gandalf zalecał, do Helmowych Wrót, choćbyśmy tam mieli nie zastać Erkenbranda. Czy wiadomo, jakimi siłami ciągnie nieprzyjaciel z północy?

– Bardzo znacznymi – odparł zwiadowca. – Żołnierzowi, gdy ucieka, zawsze przeciwnik dwoi się w oczach, lecz wypytywałem mężnych wojowników. Nie można wątpić, że siły wroga wielokrotnie przewyższają nasze.

– Tym bardziej więc spieszmy – rzekł Éomer. – Musimy przebić się impetem przez nieprzyjaciół, jeśli już są między nami a warownią. W Helmowym Jarze są pieczary, w których setki ludzi mogą przyczaić się w zasadzce, a stamtąd są tajemne przejścia w góry.

– Nie należy ufać tajemnym drogom – powiedział król. – Saruman od dawna miał szpiegów w tym kraju. W każdym jednak razie długo można bronić się w warowni. Naprzód!

Aragorn i Legolas jechali teraz razem z Éomerem w przedniej straży. Posuwali się naprzód wśród nocy, lecz coraz wolniej, w miarę jak ciemności gęstniały, a droga wspinała się coraz wyżej przez pofałdowany teren ku podnóżom gór. Większych sił nieprzyjacielskich nie spotkali na

szlaku. Parę razy co prawda dostrzegli wałęsające się mniejsze bandy orków, ci jednak umykali na widok Rohirrimów, tak że nie udało się żadnego dosięgnąć ani wziąć języka.

– Obawiam się – rzekł Éomer – że wiadomość o pochodzie króla na czele oddziału nie zachowa się długo w tajemnicy przed nieprzyjacielskim wodzem, czy jest nim sam Saruman, czy też jakiś jego namiestnik.

W stepie zgiełk wojenny potężniał. Słyszeli już nawet ochrypłe śpiewy. Kiedy dotarli nad Zieloną Roztokę, obejrzeli się za siebie. Zobaczyli światła pochodu, niezliczone ogniste punkciki, rozsiane w ciemnościach niczym czerwone kwiaty lub też wijące się krętym sznurem z niziny ku górze. Tu i ówdzie jaśniały większe ogniska.

– Ogromna armia ściga nas uparcie – rzekł Aragorn.

– Niosą z sobą ogień – powiedział Théoden – i palą po drodze wszystko: stogi, szałasy i drzewa. To bogata dolina, wiele w niej jest ludzkich osiedli. Nieszczęsny mój lud!

– A my nie możemy tej nocy spaść jak burza z góry na tę bandę! – rzekł Aragorn. – Boli mnie, że musimy przed nimi uchodzić.

– Nie będziemy potrzebowali uchodzić daleko – odparł Éomer. – Helmowy Szaniec już blisko, stara fosa i wały przecinają w poprzek dolinę o ćwierć mili przed Wrotami. Tam możemy się zatrzymać i stawić czoło orkom.

– Nie, za mało nas, żeby bronić Szańca – rzekł Théoden. – Ma on więcej niż milę długości, a w dodatku przerwa między wałami jest szeroka.

– Przerwy musi bronić tylna straż, jeśli nieprzyjaciel będzie nam następował na pięty – powiedział Éomer.

Nie było na niebie ani gwiazd, ani księżyca, kiedy dojechali do przerwy w wałach, przez którą spływał z góry potok, a jego brzegiem biegła droga z Rogatego Grodu. Szaniec zamajaczył przed jeźdźcami znienacka niby olbrzymi cień nad czarną czeluścią. Gdy oddział zbliżył się, z wałów okrzyknęła go straż.

– Król Rohanu jedzie do Helmowych Wrót! – zawołał w odpowiedzi Éomer. – Mówi Éomer, syn Éomunda.

– Oto pomyślna a niespodziewana nowina! – odparł wartownik. – Pospieszajcie! Nieprzyjaciel jest już blisko!

Jeźdźcy minęli przerwę między wałami i zatrzymali się ponad nią na trawiastym stoku. Ucieszyła ich wiadomość, że Erkenbrand zostawił dla obrony Helmowych Wrót sporą załogę, do której potem przyłączyło się jeszcze wielu wojowników spośród cofających się od brodu oddziałów.

– Zbierze się chyba tysiąc ludzi zdolnych do walki wręcz – powiedział Gamling, stary wojownik, dowódca załogi Szańca. – Lecz większość z nich – jak ja – dźwiga na grzbiecie za wiele zim albo za mało – jak mój wnuk. Czy słyszeliście coś o Erkenbrandzie? Wczoraj mieliśmy wieści, że ciągnie ku Helmowemu Jarowi wraz z resztą swojej wyborowej piechoty. Dotychczas jednak nie przybył.

– Boję się, że go nie zobaczymy – odparł Éomer. – Zwiadowcy nie przynieśli o nim żadnych wiadomości, a całą dolinę za nami zajął już nieprzyjaciel.

– Bardzo bym pragnął, żeby Erkenbrand ocalał – rzekł Théoden. – To dzielny człowiek. W nim odżyło męstwo Helma, zwanego Młotem. Ale nie możemy na niego tutaj czekać. Trzeba wszystkie nasze siły skupić za murami. Czy w grodzie są zapasy? Wieziemy z sobą niewiele prowiantu, bo spodziewaliśmy się bitwy w otwartym polu, a nie oblężenia.

– W jaskiniach Jaru schroniła się moc ludu z Zachodniej Bruzdy, starców, dzieci i kobiet – odrzekł Gamling. – Ale zgromadziliśmy także sporo żywności; jest nawet bydło i pasza dla niego.

– To się dobrze stało – powiedział Théoden. – Orkowie palą i grabią wszystko, co znajdą w dolinie.

– Jeżeli się połakomią na nasze mienie przechowywane za Helmowymi Wrotami, drogo za nie zapłacą – odparł Gamling.

Król ze swoim oddziałem pojechał dalej. Przed groblą wzniesioną nad potokiem zsiedli z koni. Długą kolumną, gęsiego, przeprowadzili wierzchowce i weszli w bramę Rogatego Grodu. Tu również powitano ich okrzykami radości i rozbudzonej na nowo nadziei, bo dzięki przybyciu królewskiego oddziału w warowni znalazło się dość ludzi, żeby obsadzić zarówno sam gród, jak i zewnętrzny mur obronny.

Oddział Éomera zaraz stanął w pogotowiu. Król ze świtą został w Rogatym Grodzie, podobnie jak wielu wojowników z Zachodniej Bruzdy. Éomer jednak rozstawił większą część swoich ludzi na zewnętrznym

murze, w jego baszcie i tuż za nim, ponieważ to miejsce było najtrudniejsze do obrony, gdyby nieprzyjaciel natarł całą potęgą. Konie odesłano daleko w głąb Jaru z paru zaledwie ludźmi, żeby nie uszczuplać załogi.

Mur miał dwadzieścia stóp wysokości, a tak był szeroki, że czterech wojowników mogło w szeregu zmieścić się na jego szczycie, osłoniętym parapetem, zza którego najroślejszym nawet mężom głowa tylko wystawała. Tu i ówdzie między kamieniami ziały wąskie szpary strzelnicze. Z zewnętrznego dziedzińca Rogatego Grodu, a także od tyłu, z Jaru, prowadziły tutaj schody, lecz od czoła mur był całkiem gładki, a ogromne kamienie ułożone tak, że nigdzie w spojeniach nie dawały oparcia stopom, u szczytu zaś tworzyły przewieszkę nad zawrotną przepaścią.

Gimli stał oparty o przedpiersie muru. Legolas siedział wyżej, na parapecie, z łukiem gotowym do strzału, z oczyma wpatrzonymi w ciemność.

– To już wolę – powiedział krasnolud, przytupując na kamieniach. – Zawsze serce mi rośnie, kiedy się znajdę bliżej gór. Skała tu dobra. Ta ziemia ma zdrowe kości. Poczułem je w nogach, gdy wspinaliśmy się od Szańca. Daj mi rok i setkę moich braci do pomocy, a zrobię z tego miejsca fortecę, o którą każda armia rozbije się jak woda.

– Wierzę ci – odparł Legolas. – No, cóż, jesteś krasnoludem, a to plemię dziwaków. Mnie się ta okolica wcale nie podoba, a pewnie za dnia także nie wyda mi się piękniejsza. Ale dodajesz mi otuchy, Gimli, i cieszę się, że stoisz przy mnie na swoich krzepkich nogach, ze swoim ostrym toporkiem. Szkoda, że nie ma z nami więcej twoich współplemieńców. Jeszcze większa szkoda, że nie ma chociaż setki wprawnych łuczników z Mrocznej Puszczy. Bardzo by się przydali. Rohirrimowie na swój sposób nieźle szyją z łuków, ale za mało ich, o wiele za mało.

– Dla łuczników za ciemno teraz – rzekł Gimli. – Właściwie pora nadaje się do spania. Och, spać! Chyba jeszcze nigdy żadnemu krasnoludowi nie chciało się tak spać, jak mnie w tej chwili. Konna jazda okropnie męczy. Lecz toporek niecierpliwi się w mojej garści. Niech się tylko nawinie pod rękę kilka orkowych karków i niech mam miejsce, żeby się zamachnąć, a zaraz mnie i sen, i zmęczenie odleci.

Czas wlókł się leniwie. Daleko w dolinie wciąż płonęły rozproszone ogniska. Isengardczycy posuwali się teraz wśród ciszy. Światła pochodni wspinały się pod górę niezliczonymi krętymi sznurami. Nagle od strony Szańca buchnęły wrzaski orków i zapalczywe wojenne okrzyki ludzi. Ogniste głownie pokazały się nad krawędzią fosy i skupiły gęsto w przerwie między wałami. Potem rozpierzchły się i zniknęły. Przez pole i podjazd pod bramy Rogatego Grodu galopem gnali jeźdźcy. To tylna straż, złożona z wojowników Zachodniej Bruzdy, wracała, odepchnięta, ku swoim.

– Nieprzyjaciel tuż! – wołali. – Nie mamy już ani jednej strzały w kołczanach, trupami orków wypełniła się fosa. Lecz nie na długo ich to wstrzyma. Już lezą na wał jak mrówki. Oduczyliśmy ich przynajmniej świecenia łuczywem.

Minęła już północ. Niebo było zupełnie czarne, a cisza w dusznym powietrzu zapowiadała burzę. Nagle oślepiająca błyskawica rozdarła chmury. Piorun rozszczepił się na szczycie od wschodu.

W olśniewającym rozbłysku czuwający na murze wojownicy zobaczyli całą przestrzeń między grodem a szańcem zalaną białym światłem, w którym kipiało i roiło się mrowie orków: jedni przysadziści, grubi, inni wysocy i chudzi, a wszyscy w spiczastych hełmach i z czarnymi tarczami. Coraz to nowe setki wdzierały się przez Szaniec i cisnęły w przerwie wałów. Ciemna fala wzbierała od skały do skały aż pod mur. Po dolinie przetoczył się grzmot. Lunął deszcz.

I jak deszcz gęste świsnęły nad murem strzały, ze szczękiem i błyskiem padając na kamienie. Niejedna trafiła w żywy cel. Rozpoczął się szturm na Helmowy Jar, lecz z twierdzy nie odezwał się żaden głos i nie odpowiedziano strzałami.

Napastnicy zatrzymali się zbici z tropu milczącą grozą skał i murów. Raz za razem znów błyskawica rozświetlała ciemności. Orkowie wrzasnęli, wywijając dzidami i szablami; nowy rój strzał sypnął się na obrońców muru, których błyskawica ukazała oczom napastników. Wojownicy Rohanu ze zdumieniem patrzyli w dolinę, gdzie, jak im się wydało, falował łan czarnego zboża, skłębionego w podmuchu wojennej burzy, a każdy kłos połyskiwał ostrzem. Zagrzmiały mosiężne trąby. Zgraja nieprzyjaciół runęła naprzód; jedni atakowali mur, inni groblę i podjazd, który prowadził do

bram Rogatego Grodu. Tam właśnie zgromadzili się najroślejsi z orków i dzicy ludzie z pustkowi Dunlandu. Chwilę jakby wahali się, potem natarli. W świetle błyskawicy ukazała się na hełmach i tarczach biała ręka, nienawistne godło Isengardu. Napastnicy już osiągnęli szczyt skały i parli ku bramie.

Wreszcie gród odpowiedział: spotkał nacierających huraganem strzał i gradem kamieni. Szeregi orków zachwiały się, załamały, cofnęły; po chwili natarły znowu i znów pierzchły; za każdym jednak razem, jak fala przypływu, zatrzymywały się wyżej. Po raz wtóry zagrały trąby i czarna zgraja z wrzaskiem runęła naprzód. Ogromne tarcze trzymali jak dach nad głowami, pośrodku tłumu nieśli dwa potężne pnie drzew. Za ich osłoną kryli się łucznicy, szyjąc strzałami w stronę murów. Dosięgli bramy. Pnie, rozkołysane w mocnych ramionach, uderzyły w nią, aż belki jęknęły głośno. Gdy któryś z napastników osuwał się na ziemię, zmiażdżony ciśniętym z góry kamieniem, dwóch innych stawało zaraz w szeregu na jego miejscu. I wciąż na nowo dwa potężne tarany z rozmachem waliły w bramę. Éomer i Aragorn stali razem na zewnętrznym murze. Słyszeli wrzaski i głuche dudnienie taranów. Nagle w świetle błyskawicy zobaczyli, co się dzieje u bramy i jakie grozi jej niebezpieczeństwo.

– Idziemy! – rzekł Aragorn. – Wybiła godzina, abyśmy razem dobyli mieczów.

Pomknęli szczytem muru, po schodach w górę, ku zewnętrznemu dziedzińcowi na skale. W biegu skrzyknęli jeszcze kilku dzielnych wojowników. Od zachodu, w narożniku murów otaczających gród, tam, gdzie stykały się one z wysuniętym ramieniem urwiska, była mała furtka. Od tej strony ku głównej bramie biegła między murem a skrajem przepaści wąska ścieżka. Éomer i Aragorn jednocześnie skoczyli w furtkę, a garstka wojowników tuż za nimi. Dwa miecze dobyte z pochew błysnęły jak jedno ostrze.

– Gúthwinë! – krzyknął Éomer. – Gúthwinë, miecz Rohanu!

– Andúril! – krzyknął Aragorn. – Andúril, miecz Dúnedainów!

Niespodzianie, z boku, runęli na tłum dzikusów. Andúril wznosił się i opadał, krzesząc białe iskry. Krzyk wzbił się z murów aż pod wieżę:

– Andúril! Andúril wraca do boju! Ostrze, niegdyś złamane, znowu błyska!

Napastnicy, przerażeni, odrzucili tarany i zwrócili się przeciw nacierającym rycerzom. Lecz mur orkowych tarcz pękł jak gdyby piorunem rozcięty, oni zaś sami, odepchnięci potężnie, padali na miejscu trupem albo walili się z urwiska w dół, w kamienne koryto potoku. Łucznicy orków chwilę jeszcze strzelali na oślep, potem uciekli także.

Éomer i Aragorn na moment zatrzymali się pod bramą. Grzmot huczał teraz gdzieś bardzo daleko. Błyskawice jeszcze migotały nad odległymi górami południa. Przenikliwy wiatr dął od północy. Chmury poszarpane płynęły szybko, spośród nich wyjrzały już gwiazdy. Nad wzgórzami od strony Zielonej Roztoki pokazał się księżyc i lśnił żółty na zmytym przez burzę niebie.

– Zjawiliśmy się w samą porę – rzekł Aragorn, przyglądając się bramie. Ogromne zawiasy i żelazne zasuwy były poskręcane i wygięte, belki w wielu miejscach pękły.

– Nie możemy jednak zostać tu poza murami, żeby ich bronić – powiedział Éomer. – Patrz! – Wskazał groblę. Tłum orków i dzikich ludzi już gromadził się znowu na drugim brzegu potoku. Gwizdnęły strzały i kilka z nich upadło na kamienie wokół rycerzy. – Chodźmy stąd! Trzeba od środka podeprzeć i wzmocnić bramę głazami i belkami. Chodźmy!

Odwrócili się i pobiegli. W tej samej chwili kilkunastu orków, którzy przyczaili się pośród trupów, nagle zerwało się na nogi i milczkiem, chyłkiem puściło się za rycerzami w pogoń. Dwaj rzucili się na ziemię, zahaczając znienacka nogi Éomera; padł i w okamgnieniu nakryli go swymi ciałami. Lecz nagle drobna ciemna figurka wyskoczyła z cienia, gdzie kryła się niedostrzeżona przez nikogo, i rozległ się gardłowy okrzyk: „*Baruk Khâzâd! Khâzâd ai-mênu!*”. Śmignął w powietrzu toporek. Potoczyły się dwie orkowe głowy. Reszta napastników pierzchła.

Éomer dźwigał się już z ziemi, kiedy Aragorn, zawróciwszy, biegł mu na ratunek.

Zamknięto furtkę, umocniono bramę od wewnętrznej strony żelaznymi sztabami i kamieniami. Gdy wszyscy znaleźli się bezpiecznie za murem, Éomer rzekł:

– Dziękuję ci, Gimli, synu Glóina! Nie wiedziałem wcale, że brałeś udział w tej naszej wycieczce. Często jednak gość niezaproszony okazuje

się najcenniejszym towarzyszem. Jakim sposobem znalazłeś się tak w porę na miejscu?

– Poszedłem za wami, żeby rozczmuchać się ze snu – odparł Gimli – ale kiedy zobaczyłem dzikusów z gór, wydali mi się za wielcy dla mnie, więc przysiadłem na kamieniu i przyglądałem się robocie waszych mieczy.

– Nie wiem, jak ci odpłacę – rzekł Éomer.

– Trafi się może niejedna sposobność, zanim noc przeminie – zaśmiał się krasnolud. – Bardzo jestem rad. Dotychczas, od wyjścia z Morii, mój toporek nic nie rąbał prócz drzew.

– Dwóch! – oznajmił Gimli, poklepując ostrze toporka. Wrócił właśnie na dawne miejsce pod parapetem zewnętrznego muru.

– Dwóch? – odparł Legolas. – Ja się lepiej spisałem; teraz jednak muszę poszukać strzał, bo kołczan mam pusty. Myślę, że położyłem co najmniej dwudziestu. Ale to ledwie kilka listków, a został cały las!

Niebo rozwidniało się szybko, a zachodzący księżyc świecił jasno. Lecz światło niosło ze sobą niewiele nadziei dla rycerzy Rohanu. Szeregi nieprzyjaciół nie zmalały, przeciwnie, urosły, od doliny zaś przez przerwę w wałach cisnęły się wciąż nowe posiłki. Wycieczka na skałę dała obrońcom tylko krótką chwilę wytchnienia. Teraz napastnicy szturmowali bramę ze zdwojoną furią. Pod zewnętrznym murem tłum Isengardczyków kipiał jak morze. Orkowie i dzicy górale roili się u podnóży kamiennej ściany na całej jej długości. Liny opatrzone hakami zarzucali na parapet tak szybko, że obrońcy nie mogli nadążyć z odcinaniem ich, setki wysokich drabin przystawiano jednocześnie do muru. Wiele z nich strącono, lecz na miejsce każdej, która runęła strzaskana, wyrastała nowa, orkowie zaś wspinali się zwinnie jak małpy z ciemnych lasów południa. U stóp muru zwał trupów, rannych i pogruchotanego drewna piętrzył się jak ławica żwiru na morskim brzegu po burzy. Straszliwe te zaspy rosły coraz wyżej i wciąż przybywało napastników.

Znużenie ogarnęło obrońców. Zużyli już wszystkie strzały, kołczany mieli puste, miecze wyszczerbione, tarcze spękane. Trzykroć Aragorn i Éomer podrywali ich do boju, trzykroć Andúril rozpłomieniał się w desperackim natarciu, trzykroć odparto nieprzyjaciół od muru.

Nagle z głębi jaru buchnął wrzask. Orkowie jak szczury wpełzli przez przepust, którym pod murem spływał potok. Zgromadzeni w cieniu urwisk czekali na chwilę, gdy walka pod szczytem muru rozgorzała najbardziej i gdy tam skupiła się cała czujność i wszystkie siły obrony. Wtedy dopiero wyskoczyli z ukrycia. Część bandy wdarła się w głąb Jaru, gdzie były spędzone konie, i rzuciła się na pilnujących stadniny koniuchów.

Jednym susem Gimli skoczył w dół i dziki okrzyk: „*Khâzâd! Khâzâd*!” echem odbił się wśród skał. Topór miał tam wkrótce dość roboty.

– Hej! Hej! – krzyknął Gimli. – Orkowie za murem! Hej! Bywaj Legolasie! Starczy ich tutaj dla nas obu. *Khâzâd ai-mênu!*

Na głos krasnoluda, wzbijający się ponad zgiełk bitwy, stary Gamling spojrzał z baszty Rogatego Grodu.

– Orkowie w Jarze! – krzyknął. – Helm! Helm! Naprzód, plemię Helma!

I z tym okrzykiem pędził po schodach ze skały, a za nim biegli wojownicy z Zachodniej Bruzdy.

Natarli z furią i tak niespodzianie, że orkowie załamali się pod ich naporem. Zepchnięci i osaczeni w najciaśniejszym kącie Jaru napastnicy ginęli od mieczy lub z wrzaskiem umykali w boczne przesmyki, gdzie czekała ich śmierć z rąk straży, strzegących tajemnych pieczar.

– Dwudziesty pierwszy! – zawołał Gimli i zamachem obu rąk położył ostatniego orka trupem u swoich nóg. – A więc prześcignąłem cię, panie elfie!

– Trzeba zatkać tę szczurzą dziurę – rzekł Gamling. – Podobno krasnoludy są mistrzami, gdy chodzi o budowle z kamieni. Pomóż nam, panie.

– Nie używamy co prawda do ciosania skał wojennych toporów ani też własnych paznokci – odparł Gimli. – Ale zrobię, co się da.

Zgarnęli głazy i odłamki skalne, jakie się nawinęły pod rękę, i pod kierunkiem Gimlego ludzie z Zachodniej Bruzdy zatkali wewnętrzny wylot przełomu, zostawiając tylko wąską szparę. Potok, który wezbrał po deszczu, kipiał i bulgotał, zdławiony w ciasnej szczelinie, i z wolna rozlewał się zimnym stawem pomiędzy dwoma urwiskami.

– W górze będzie suszej – rzekł Gimli. – Chodź, Gamlingu, zobaczymy, co się dzieje na murach.

Wspiął się po schodach; zastał na szczycie muru Legolasa wraz z Aragornem i Éomerem. Elf trzymał swój długi sztylet. Chwilowo panował tu spokój, napastnicy, po nieudanej próbie przedarcia się przez przełom potoku, zaniechali na razie szturmu.

– Dwudziestu jeden – oznajmił Gimli.

– Wspaniale! – odparł Legolas. – Ale ja tymczasem doliczyłem już do dwóch tuzinów. Walka tutaj szła na noże.

Éomer i Aragorn znużeni opierali się o miecze. W oddali, po lewej stronie, zgiełk bitwy toczonej na skale wzmógł się znowu. Lecz Rogaty Gród trwał niezłomnie, jak wyspa pośród morza. Bramy jego leżały strzaskane, ale przez barykady z kłód i głazów nie przedostał się ani jeden nieprzyjacielski żołnierz.

Aragorn popatrzył w blade gwiazdy i w księżyc, który zniżył się teraz nad zachodnie stoki zamykające dolinę.

– Ta noc dłuży się jak lata – rzekł. – Kiedyż nareszcie wstanie dzień?

– Świt już blisko – powiedział Gamling, który również wszedł na mur – ale wątpię, czy nam to pomoże.

– Jednakże świt zawsze jest nadzieją człowieka – rzekł Aragorn.

– Służalcy Isengardu, półorkowie czy gobliny, nikczemne stwory, które sobie Saruman wyhodował, nie ulękną się słońca – powiedział Gamling. – Nie boją się go także dzicy górale. Czy nie słyszycie ich głosów?

– Słyszę – rzekł Éomer – lecz brzmią w moich uszach jak skrzek ptasi albo ryk zwierzęcy.

– A przecież wielu żołnierzy Sarumana wykrzykuje w języku Dunlendingów – odparł Gamling. – Znam ich mowę. To dawny język ludzki, używany ongi w zachodnich dolinach Riddemarchii. Posłuchajcie! Nienawidzą nas i cieszą się, bo nasza zguba wydaje im się nieuchronna. „Król! – wrzeszczą. – Król! Weźmiemy do niewoli ich króla! Śmierć Forgoilom! Śmierć słomianym łbom! Śmierć zbójcom z północy!”. To przezwiska, które nam nadali. Po pięciu wiekach nie zapomnieli i nie przebaczyli, że władcy Gondoru oddali Riddemarchię Eorlowi Młodemu i zawarli z nim przymierze. Saruman rozjątrzył starą nienawiść. To lud dziki, jeśli go podburzyć. Nie ustąpią ani o zmierzchu, ani o świcie, dopóki nie wezmą Théodena do niewoli lub nie polegną sami.

– Mimo wszystko świt przyniesie mi nadzieję – powiedział Aragorn. – Czyż nie mówi się w tym kraju, że Rogaty Gród nigdy nie został zdobyty, jeżeli go ludzie bronili?

– Tak mówią pieśni – rzekł Éomer.

– A więc brońmy go i nie traćmy nadziei! – zawołał Aragorn.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy nagle zagrzmiały trąby. Huk się rozległ, błysnęły płomienie, wzbił się obłok dymu. Woda z Helmowego Potoku, sycząc i pieniąc się, runęła przez przełom: tama puściła, w murze ziała ogromna dziura. Chmara czarnych orków już przez nią cisnęła się do Jaru.

– Oto diabelska sztuczka Sarumana! – krzyknął Aragorn. – Podpełzali znów do przepustu, kiedy my tu z sobą rozmawialiśmy, i podpalili ognie Orthanku tuż u naszych stóp. Elendil! Elendil! – zawołał, biegnąc ku wyłomowi. Lecz w tym samym okamgnieniu sto drabin wysunęło się nad parapet muru. Górą i dołem zalał go ostatni szturm jak czarna fala zatapiająca piaszczystą wydmę. Furia ataku zmiotła obrońców. Jedni cofali się coraz głębiej w Jar, znacząc odwrót gęstym trupem własnym i nieprzyjacielskim, broniąc każdej piędzi i zmierzając ku tajnym pieczarom. Inni wyrąbywali sobie drogę do twierdzy.

Z Jaru na Skałę aż pod bramę Rogatego Grodu wiodły szerokie schody. Aragorn stał na jednym z najniższych stopni. W jego ręku błyszczał Andúril i przez czas jakiś groza tego miecza wstrzymywała nieprzyjaciół, aby Rohirrimowie, którzy zdołali dotrzeć do schodów, mogli wspiąć się pod bramę. Wyżej nieco nad Aragornem przykląkł Legolas. Naciągnął łuk, lecz została mu tylko jedna strzała; wychylony naprzód czekał, gotów ustrzelić pierwszego orka, który ośmieli się zbliżyć do schodów.

– Wszyscy, którzy tu doszli żywi, są już bezpieczni za murem twierdzy, Aragornie! – zawołał. – Chodź i ty na górę!

Aragorn odwrócił się i zaczął biec po schodach, lecz był straszliwie zmęczony i potknął się w biegu. Natychmiast skorzystał z tego nieprzyjaciel. Orkowie z wrzaskiem skoczyli ku rycerzowi, żeby go pochwycić. Pierwszy padł z ostatnią strzałą Legolasa w gardle, inni jednak przesadzili jednym susem trupa i biegli dalej. Nagle zepchnięty z góry ogromny głaz runął na schody i napastnicy stoczyli się w głąb Jaru. Aragorn dopadł bramy i zatrzasnął ją za sobą.

– Zły obrót bierze bitwa, przyjaciele – rzekł, ocierając ramieniem pot z czoła.

– Zły, ale nie beznadziejny – odparł Legolas. – Póki ty jesteś wśród nas. A gdzie podział się Gimli?

– Nie wiem – rzekł Aragorn. – Widziałem go ostatni raz, jak walczył w Jarze za murem, lecz potem nieprzyjaciel nas rozdzielił.

– Niestety! Smutna to nowina! – powiedział Legolas.

– Gimli jest silny i dzielny – odparł Aragorn. – Miejmy nadzieję, że ucieknie do pieczar. Tam byłby na razie bezpieczny. Bezpieczniejszy niż my. Schron podziemny przypadnie krasnoludowi do serca.

– Tą nadzieją muszę się pocieszać – rzekł Legolas. – Wolałbym jednak, żeby obrał tę samą co my drogę. Chciałem powiedzieć mu, że mam już trzydziestu dziewięciu orków na swoim rachunku.

– Jeżeli przedrze się do pieczar, pewnie po drodze odzyska nad tobą przewagę – zaśmiał się Aragorn. – Nie widziałem, by ktoś lepiej władał toporkiem od tego krasnoluda.

– Muszę poszukać strzał – rzekł Legolas. – Oby wreszcie przeminęła ta noc! Przy świetle dziennym celniej strzela się z łuku.

Aragorn poszedł do zamku. Ku wielkiej rozpaczy dowiedział się, że Éomera nie ma w grodzie.

– Nie, nie wrócił na skałę – rzekł Aragornowi jeden z wojowników z Zachodniej Bruzdy. – Ostatni raz widziałem go, jak zbierał wokół siebie ludzi i walczył u wylotu Jaru. Byli z nim Gamling i krasnolud, ja jednak nie zdołałem się tam przedrzeć.

Aragorn minął wewnętrzny dziedziniec i wszedł po schodach do komnaty mieszczącej się wysoko w wieży. Na tle okna odcinała się ciemna sylwetka króla, który stąd patrzył w dolinę.

– Jakie wieści przynosisz, Aragornie? – zapytał.

– Mur zewnętrzny wzięty, wszyscy obrońcy zepchnięci, wielu jednak zdołało schronić się do Grodu.

– Czy Éomer jest tutaj?

– Nie, królu, lecz znaczna część twoich wojowników cofnęła się w głąb Jaru. Podobno między nimi był Éomer. W ciasnych przesmykach mogą

powstrzymać nieprzyjaciela i dotrzeć do pieczar. Jaką tam znajdą nadzieję ratunku, nie wiem.

– Lepszą niż my tutaj. Mówiono mi, że w pieczarach są zgromadzone duże zapasy. Powietrze też jest zdrowe, bo dochodzi z góry, przez kominy otwarte wysoko w skałach. Nikt nie wedrze się do tych podziemi, jeśli wstępu bronią mężni ludzie. Mogą wytrwać bardzo długo.

– Orkowie jednak przynieśli z Orthanku diabelskie sztuki – rzekł Aragorn. – Mają ogień, co rozsadza skały; tym właśnie sposobem zdobyli zewnętrzny mur. Jeżeli nie zdołają wedrzeć się do pieczar, gotowi zamknąć ich wylot i zamurować ludzi w podziemiu. Ale teraz musimy wytężyć wszystkie siły ku własnej obronie.

– Duszę się w tym więzieniu – rzekł król. – Gdybym mógł z włócznią u siodła ruszyć na czele moich wojowników w pole, może odnalazłbym radość walki i skończył chwalebnie żywot. Ale tutaj nie na wiele się przydaję.

– Tutaj, królu, jesteś przynajmniej chroniony murami najpotężniejszej twierdzy Rohanu – odparł Aragorn. – Więcej masz nadziei, że się obronisz w Rogatym Grodzie, niż w Edoras czy nawet w górach, w Warowni Dunharrow.

– Podobno nigdy jeszcze nieprzyjaciel nie zdobył Rogatego Grodu szturmem – rzekł Théoden – ale dziś dręczy mnie zwątpienie. Świat zmienia się, a to, co ongi było potęgą, teraz może okazać się słabe. Jaka baszta oprze się tak wielkiej liczbie napastników i tak zuchwałej nienawiści? Gdybym był wiedział, jak bardzo Isengard wzmógł swoje siły, może nie spieszyłbym tak pochopnie na ich spotkanie, mimo wszystkich czarów Gandalfa. Jego rady teraz wydają się mniej dobre, niż były w blasku poranka.

– Nie sądź, królu, mądrości Gandalfa, póki nie skończy się rozprawa – rzekł Aragorn.

– Koniec zapewne już niedaleki – odparł Théoden. – Ale nie chcę skończyć tutaj jak stary borsuk w pułapce. Śnieżnogrzywy, Hasufel i wierzchowce moich gwardzistów są w grodzie, na zewnętrznym dziedzińcu. O świcie zwołam ludzi głosem Helmowego rogu i wyjadę za mury do bitwy. Czy pojedziesz ze mną, Aragornie, synu Arathorna? Może

sobie przerąbiemy drogę, a może znajdziemy śmierć godną pieśni… jeżeli zostanie na tej ziemi ktoś, kto by o nas mógł śpiewać w przyszłości.

– Pojadę z tobą, królu – rzekł Aragorn.

Pożegnał Théodena i wrócił na mury, obszedł je w krąg, dodając ducha wojownikom i wspierając obrońców tam, gdzie orkowie atakowali najzażarciej. Towarzyszył mu Legolas. Ogniste wybuchy ustawicznie wstrząsały kamiennym murem. Zewsząd na jego szczyt zarzucano haki, przystawiano drabiny. Nieprzyjaciel co chwila wdzierał się na przedmurze, lecz za każdym razem obrońcy strącali go na skały.

Wreszcie Aragorn stanął ponad główną bramą, nie zważając na nieprzyjacielskie strzały. Wpatrując się przed siebie, dostrzegł, że na wschodzie niebo zaczyna blednąć. Podniósł nieuzbrojoną rękę, zwracając ją dłonią do napastników na znak, że chce parlamentować. Orkowie odpowiedzieli szyderczym wrzaskiem.

– Zleź na dół! Zleź! – wołali. – Jeżeli chcesz z nami gadać, zleź tutaj! A przyprowadź ze sobą króla! My jesteśmy waleczni Uruk-hai. Wywleczemy go z nory, jeżeli sam nie wyjdzie. Przyprowadź króla, niech się nie wymiguje!

– Króla wola, czy wyjdzie, czy zostanie na zamku – odparł Aragorn.

– Po coś tu przyszedł, jeśli tak? – pytali. – Czego tam wypatrujesz? Czy chcesz nas policzyć? My jesteśmy waleczni Uruk-hai!

– Wypatruję świtu – rzekł Aragorn.

– A cóż wam świt pomoże? – szydzili. – My jesteśmy waleczni Uruk-hai, nie przerywamy walki w nocy ani we dnie, w pogodę ani podczas burzy. Przyszliśmy zabijać w świetle słońca tak samo jak przy księżycu. Cóż wam pomoże świt?

– Nikt nie wie, co mu nowy dzień przyniesie – rzekł Aragorn. – Odstąpcie, zanim wstanie dzień waszej zguby.

– Złaź albo zestrzelimy cię z muru! – wrzasnęli. – Nie chcemy takiego parlamentarza. Nie masz nic do powiedzenia.

– Owszem, powiem wam coś jeszcze – rzekł Aragorn. – Nigdy w dziejach żaden nieprzyjaciel nie zdobył Rogatego Grodu. Odstąpcie, jeżeli nie chcecie wyginąć do nogi. Ani jeden nie ujdzie z życiem, żeby zanieść na północ wieść o klęsce. Nie wiecie nawet, co wam grozi.

A kiedy tak Aragorn stał na gruzach bramy, samotny wobec zgrai nieprzyjaciół, biło od niego tyle siły i majestatu, że niejeden dziki góral umilkł i oglądał się przez ramię na dolinę albo podnosił zaniepokojone oczy w niebo. Orkowie jednak śmiali się głośno. Grad pocisków i strzał śmignął w górę ku szczytowi muru. Aragorn zeskoczył na dziedziniec.

Huk się rozległ i buchnęły płomienie. Sklepienie bramy, na którym przed chwilą jeszcze stał rycerz, pękło i runęło strzaskane w proch i pył. Jakby piorun rozniósł barykadę. Aragorn pobiegł do królewskiej wieży.

Lecz w tym samym momencie, gdy runęła brama, orkowie zaś z wrzaskiem gotowali się do nowego natarcia, w dole za ich plecami szept się zerwał niby szelest nadciągającego wiatru i rósł z każdą sekundą, aż wybuchnął krzykiem mnóstwa głosów, obwieszczających o świcie niezwykłą nowinę. Orkowie na skale, słysząc ten trwożny zgiełk, zawahali się i obejrzeli za siebie. Nagle ze szczytu wieży nieoczekiwany i straszliwy rozbrzmiał głos wielkiego rogu Helma.

Na ten głos zadrżeli wszyscy. Wielu orków rzuciło się na ziemię, zatykając uszy szponiastymi łapami. Z głębi Jaru odpowiedziały echa, granie rogu powtarzało się zwielokrotnione, jakby na każdym urwisku, na każdym szczycie stał wspaniały herold. Obrońcy spojrzeli z murów ku wieży i słuchali w podziwie, echa bowiem nie milkły. Muzyka rogów wciąż rozlegała się wśród gór, coraz bliższa, coraz głośniejsza, jakby jeden drugiemu odpowiadał bojowym, śmiałym wezwaniem.

– Helm! Helm! – krzyknęli Rohirrimowie. – Helm się zbudził i wraca do boju! Helm walczy za króla Théodena.

Wśród tych okrzyków zjawił się król na koniu białym jak śnieg, ze złotą tarczą i długą włócznią. Po jego prawej ręce jechał Aragorn, spadkobierca Elendila, za nimi – dostojni rycerze rodu Eorla Młodego. Niebo się rozjaśniło. Noc pierzchła.

– Naprzód, Eorlingowie!

Natarli z krzykiem i wielkim zgiełkiem. Jak grzmot rwali od bramy, przez groblę, jak wicher rozgarniający trawę zmiatali ze swojej drogi zastępy Isengardu. Z głębi Jaru buchnęły gromkie głosy wojowników, którzy wybiegli teraz z pieczar i spychali przed sobą nieprzyjacielską zgraję. Z grodu wysypywali się wszyscy mężczyźni, którzy dotychczas zostawali w jego murach. A rogi wciąż grały i echo niosło się wśród gór.

Król ze swoją świtą gnał naprzód. Dowódcy i szeregowi padali albo uciekali przerażeni. Ani ork, ani człowiek żaden nie stawił im czoła. Plecy nadstawili na miecze i włócznie jeźdźców, twarze zwrócili ku dolinie. Uciekali z wrzaskiem i jękiem, bo wraz z wstającym nowym dniem strach padł na nich i ujrzeli niepojęte dziwy.

Tak wyjechał król Théoden przez Helmowe Wrota i utorował sobie przejście aż do wielkiego Szańca. Cały oddział zatrzymał się tutaj. Dzień wokół rozwidniał się już na dobre. Snopy słonecznych promieni biły znad wzgórz na wschodzie i rozbłyskiwały w ostrzach włóczni. Rycerze milczeli i z siodeł spoglądali na Zieloną Roztokę. Kraj się odmienił. Gdzie przedtem zieleniła się dolina, trawiastymi zboczami wspinając się ku podnóżom gór, teraz czerniał las. Ogromne drzewa, nagie i milczące, splątane gąszczem gałęzi, stały w niezliczonych szeregach i wznosiły sędziwe korony. Ich kręte korzenie kryły się w bujnej trawie. Pod nimi panował mrok. Szaniec od tego bezimiennego lasu dzieliło niecałe pół mili otwartego pola. Tam teraz zbiły się w popłochu dumne zastępy Sarumana, zamknięte między groźnym królem a grozą drzew. Ściągnęli spod Helmowych Wrót, cała przestrzeń powyżej Szańca była wolna, oni jednak skupili się jak rój czarnych much na tym małym skrawku ziemi. Daremnie próbowali czołgać się i wspinać na zbocza Roztoki, szukając drogi ucieczki. Od wschodu zbocza były niedostępne i kamieniste, od zachodu zbliżała się ich zguba.

Nagle na grzbiecie wzgórza ukazał się jeździec w bieli, lśniący w promieniach wschodzącego słońca. Na dalszych niskich pagórkach zagrały rogi. Za jeźdźcem wydłużonymi stokami w dół schodziło tysiąc pieszych wojowników; miecze trzymali w ręku. Między nimi szedł mąż wysokiego wzrostu, potężnej budowy. Pancerz miał czerwony. Gdy zbliżył się nad krawędź doliny, przytknął do ust wielki czarny róg. Rozległa się dźwięczna, silna nuta.

– Erkenbrand! – krzyknęli Rohirrimowie. – Erkenbrand!

– Patrzcie! Biały Jeździec! – zawołał Aragorn. – Gandalf wraca!

– Mithrandir! Mithrandir! – krzyknął Legolas. – To czary nie lada. Chodźmy, chciałbym przyjrzeć się temu lasowi, zanim czar przeminie.

Tłum żołnierzy Isengardu zahuczał, zafalował, w rozterce zwracając się to ku jednemu, to ku drugiemu niebezpieczeństwu. Z wieży znów odezwał się głos rogu. Z góry, od przerwy między szańcami, ruszył do natarcia

oddział króla. Z góry, od strony wzgórz, pędził na czele swoich Erkenbrand, pan Zachodniej Bruzdy. Z krawędzi Roztoki skoczył Cienistogrzywy, jak kozica pewnie mknąc wśród gór. Dosiadał go Biały Jeździec, a na jego widok szaleństwo ogarnęło nieprzyjacielskie szeregi. Dzicy górale padali przed nim na twarz. Orkowie z wyciem i wrzaskiem ciskali na ziemię szable i dzidy. Gnali jak czarny dym pędzony gwałtownym wiatrem. Z jękiem wpadali w cień drzew. Ani jeden już stamtąd nie wyszedł.

ROZDZIAŁ 8
DROGA DO ISENGARDU

Tak się stało, że w blasku pogodnego ranka król Théoden i Gandalf, Biały Jeździec, znowu spotkali się na zielonej trawie nad Helmowym Potokiem. Byli też z nimi Aragorn, syn Arathorna, elf Legolas, Erkenbrand z Zachodniej Bruzdy i dostojnicy Złotego Dworu. Otaczali ich tłumnie Rohirrimowie, jeźdźcy Riddermarchii; zdumienie było silniejsze jeszcze niż radość zwycięstwa, toteż wszystkie oczy zwracały się na las.

Nagle rozległy się głośne okrzyki i od strony Szańca ukazała się gromada tych spośród obrońców muru, którzy zepchnięci przez nieprzyjaciela wycofali się przedtem w głąb Jaru. Szedł więc Gamling Stary i Éomer, syn Éomunda, a z nimi Gimli, krasnolud. Nie miał hełmu na głowie, przewiązanej zakrwawionym opatrunkiem, ale głos jego dźwięczał donośnie i mocno.

– Czterdziestu dwóch, mości Legolasie! – wołał. – Niestety! Toporek mi się wyszczerbił. Czterdziesty drugi miał na szyi żelazny kołnierz. A co ty powiesz?

– Masz jeden punkt przewagi nade mną – odparł Legolas. – Lecz chętnie ci użyczam zwycięstwa, bo cieszę się bardzo, że wracasz na własnych nogach.

– Witaj, Éomerze, synu mojej siostry! – rzekł Théoden. – Wielka jest moja radość, że cię oglądam w dobrym zdrowiu!

– Witaj, królu! – rzekł Éomer. – Ciemna noc przeminęła, dzień jasny znowu świeci. Dziwne ten dzień przyniósł nowiny! – Obejrzał się i ze zdumieniem popatrzył najpierw na las, a potem na Gandalfa. – A więc i tym razem zjawiłeś się w godzinie najcięższej próby i nieoczekiwanie! – rzekł.

– Nieoczekiwanie? – powtórzył Gandalf. – Obiecałem przecież, że wrócę i że się na tym miejscu spotkamy.

– Nie wyznaczyłeś jednak godziny i nie zapowiedziałeś, jakim sposobem wrócisz. Osobliwe przyprowadzasz posiłki. Wielki z ciebie czarodziej, Gandalfie Biały.

– Może to prawda. Ale jeszcze nie pokazałem siły moich czarów. Jak dotąd dałem wam tylko dobrą radę w chwili niebezpieczeństwa i posłużyłem się chyżością Cienistogrzywego. Więcej dokonało wasze własne męstwo, a także krzepkie nogi wojowników z Zachodniej Bruzdy, którzy maszerowali przez całą noc.

Teraz już wszyscy patrzyli na Gandalfa z tym większym zdumieniem. Ten i ów spode łba zerkał na las i przecierał ręką powieki, jakby podejrzewając, że oczy go mylą. Gandalf roześmiał się wesoło.

– O te drzewa wam chodzi? – rzekł. – Ależ tak, widzę je równie wyraźnie jak wy! Nie są jednak moim dziełem. To sprawa od Rady Mędrców niezależna. Stało się lepiej, niż sobie ułożyłem i niż mogłem się spodziewać.

– Czyj zatem czar to sprawił, jeżeli nie twój? – spytał Théoden. – Na pewno nie Sarumana. Czyżby istniał jeszcze potężniejszy czarodziej, o którym do tej pory nic nie wiedzieliśmy?

– Nie czar tutaj działał, lecz siła od wszystkich czarów starsza – odparł Gandalf. – Siła, która na ziemi istniała, zanim pierwszy elf zaśpiewał i pierwszy młot zadzwonił.

Nim kopano żelazo, zanim drzewo ścięto,
Gdy pagórek był młody pod młodym miesiącem,
Zanim Pierścień wykuto, wywołano biedę –
To chodziło po lesie lat temu tysiące[64].

– Jakież jest rozwiązanie tej zagadki? – spytał Théoden.

– Jeżeli chcesz je poznać, jedź ze mną do Isengardu – odparł Gandalf.

– Do Isengardu?! – zakrzyknęli wszyscy.

– Tak – rzekł Gandalf. – Wracam do Isengardu, a kto zechce, niech jedzie ze mną. Napatrzymy się tam pewnie dziwów.

– Nawet gdybym wszystkich rozproszonych zgromadził i wszystkich rannych lub zmęczonych uzdrowił, nie ma w Rohanie dość wojowników, żeby porwać się na warownię Sarumana – powiedział Théoden.

– A jednak ja wybieram się do Isengardu – rzekł Gandalf. – Nie zabawię tam długo. Czeka mnie droga na wschód. Wyglądajcie mnie w Edoras,

zanim księżyc się odmieni.

– Nie! – odparł Théoden. – W czarnej godzinie przed świtem poddawałem się zwątpieniu, lecz teraz nie myślę rozłączać się z tobą. Pojedziemy razem, skoro tak radzisz.

– Chcę rozmówić się z Sarumanem możliwie najrychlej – rzekł Gandalf – ponieważ zaś tobie, królu, wyrządził on wiele zła, przystoi, abyś też był obecny przy tej rozmowie. Kiedy najwcześniej mógłbyś wyruszyć i jak szybko zdołasz jechać?

– Ludzie są zmęczeni po bitwie – odparł król – a ja także. Odbyłem długi marsz i mało spałem. Niestety! Mój sędziwy wiek nie jest tylko złudzeniem ani skutkiem podszeptów Gadziego Języka. Starość to choroba, z której całkowicie żaden medyk nie uleczy, nawet ty, Gandalfie.

– Pozwólmy więc wszystkim, którzy chcą ze mną jechać, odpocząć teraz – rzekł Gandalf. – Ruszymy dopiero o zmierzchu. Tak będzie nawet lepiej, bo powinniśmy od tej chwili wszystkie nasze ruchy i posunięcia zachowywać w jak najściślejszej tajemnicy. Nie zabieraj ze sobą wielu wojowników, Théodenie. Jedziemy rokować, a nie walczyć!

Król, wybrawszy kilku jeźdźców, którzy z bitwy wyszli nietknięci i mieli ścigłe konie, rozesłał ich po wszystkich dolinach Riddermarchii z wieścią o zwycięstwie oraz z wezwaniem, aby mężczyźni, starzy zarówno jak młodzi, zewsząd pospieszyli do Edoras. Tam bowiem nazajutrz po pełni księżyca władca Marchii zwołuje zgromadzenie wszystkich mężów zdolnych do dźwigania broni. W podróż do Isengardu postanowił król wziąć z sobą Éomera i dwudziestu przybocznych jeźdźców. Gandalfowi mieli towarzyszyć Aragorn, Legolas i Gimli. Mimo ran krasnolud za nic nie chciał pozostać w obozie.

– Cios był dość słaby – oznajmił – a zresztą czapka mnie chroniła. Czegoś więcej trzeba niż takie draśnięcie, żeby mnie powstrzymać.

– Opatrzę ci tę ranę, nim ruszymy w drogę – rzekł Aragorn.

Na razie król wrócił do Rogatego Grodu i przespał się snem prawdziwie spokojnym, jakiego od wielu lat nie zaznał; wojownicy, którzy mieli jechać z królem do Isengardu, zażywali również spoczynku; inni, z wyjątkiem rannych, musieli wziąć się do najcięższej roboty, mnóstwo bowiem poległych leżało na polu albo w Jarze.

Z orków żaden nie został żywy, trupów ich niepodobna było zliczyć. Lecz wielu dzikich górali poddało się zwycięzcom; ci bali się okropnie i błagali o łaskę.

Rohirrimowie odebrali im broń i zapędzili do pracy.

– Pomóżcie naprawić zło, do którego się przyczyniliście – powiedział Erkenbrand – a potem złożycie przysięgę, że nigdy więcej nie przekroczycie zbrojnie brodu na Isenie ani też nie dacie się zaciągnąć w szeregi wrogów ludzi. Pod tym warunkiem odzyskacie wolność i wrócicie do swojego kraju. Saruman was oszukał. Wielu z was śmiercią przypłaciło wiarę w jego obietnice; wiedzcie, że gdyby nawet on odniósł zwycięstwo, nie lepszą wzięlibyście zapłatę.

Ludzie z Dunlandu dziwili się niezmiernie, bo Saruman mówił im, że Rohirrimowie są okrutni i żywcem palą jeńców.

Pośrodku pola u stóp Rogatego Grodu usypano dwa kurhany, pod którymi złożono zwłoki wszystkich poległych obrońców, po jednej stronie jeźdźców ze wschodnich dolin, po drugiej – wojowników z Zachodniej Bruzdy. W osobnej mogile w cieniu warowni spoczął Háma, dowódca królewskiej gwardii. Padł on w boju u bramy. Ciała orków zgromadzono w stosy z dala od ludzkich grobów, opodal skraju lasu. Rohirrimowie bardzo się trapili, bo nie było sposobu ani pochować, ani spalić tak wielkiej ilości padliny. Drew na stos mieli mało, a nikt nie ośmieliłby się tknąć siekierą niezwykłych drzew, nawet gdyby Gandalf nie ostrzegł, że skaleczenie choćby najmniejszej gałązki grozi srogim niebezpieczeństwem.

– Zostawmy orków – rzekł Gandalf. – Może jutro znajdzie się jakaś rada.

Po południu królewska kompania zaczęła przygotowywać się do drogi. Wtedy też odbyły się uroczystości pogrzebowe. Théoden z wielkim żalem żegnał Hámę i sam rzucił pierwszą grudę ziemi na jego mogiłę.

– Ciężką krzywdę wyrządził Saruman mnie i całemu krajowi – rzekł. – Będę o tym pamiętał, gdy się z nim spotkamy.

Słońce już się zniżyło nad wzgórzami po zachodniej stronie Roztoki, gdy wreszcie Théoden z Gandalfem i świtą ruszyli spod Szańca. Za nimi zebrały się liczne zastępy jeźdźców, a także gromada ludzi z Zachodniej Bruzdy, starców, młodzieży, kobiet i dzieci, ukrywających się podczas

bitwy w pieczarach. Chór czystych głosów odśpiewał pieśń zwycięstwa, potem zaś wszyscy ucichli i czekali, co się dalej stanie, z trwogą spoglądając na tajemnicze drzewa.

Jeźdźcy pojechali pod las i zatrzymali się, konie bowiem, zarówno jak ludzie, wzdragały się wejść w jego cień. Drzewa stały szare i groźne, osnute cieniem czy może mgłą. Końce długich, powłóczystych gałęzi zwisały jak chciwe palce, korzenie sterczały z ziemi niby odnóża dziwacznych potworów, a pod nimi ziały ciemne jamy. Gandalf jednak ruszył pierwszy, prowadząc cały oddział. W miejscu, gdzie droga z Rogatego Grodu wchodziła w las, otwarła się przed jeźdźcami jakby olbrzymia brama pod sklepieniem grubych konarów. Gandalf wjechał w nią, inni za nim. Ze zdumieniem przekonali się, że droga biegnie dalej wśród drzew, obok niej płynie Helmowy Potok, a nad nią niebo świeci złotym blaskiem. Lecz po obu stronach mrok już zalegał galerie lasu, a w ich głębi panowały nieprzeniknione ciemności. Jeźdźcy słyszeli stamtąd trzask i szum gałęzi, i jakieś dalekie krzyki, gwar bez słów i gniewne pomruki. Nigdzie jednak nie było widać orków ani żadnej żywej istoty. Legolas i Gimli jechali teraz na jednym koniu i trzymali się jak najbliżej Gandalfa, ponieważ krasnolud bał się lasu.

– Gorąco tutaj – rzekł Legolas do Gandalfa. – Kipi dokoła srogi gniew. Czy nie czujesz, jak powietrze pulsuje ci w uszach?

– Czuję – odparł Gandalf.

– Co się stało z tymi łajdakami orkami? – spytał Legolas.

– Tego, jak mi się zdaje, nikt się nigdy nie dowie – odparł Gandalf.

Chwilę posuwali się w milczeniu, Legolas jednak wciąż rozglądał się na boki i chętnie by przystanął, żeby posłuchać głosów z lasu, ale Gimli mu na to nie pozwalał.

– W życiu nie widziałem tak dziwnych drzew – powiedział elf – a przecież wiele dębów znałem od żołędzia aż do spróchniałej starości. Chciałbym między nimi powłóczyć się swobodnie; mają głos, z czasem pewnie bym się nauczył rozumieć ich myśli.

– Nie! Nie! – zawołał Gimli. – Wyjedźmy stąd co prędzej. Ja rozumiem już teraz ich myśli: nienawidzą wszelkich stworzeń chodzących na dwóch nogach. Mówią o miażdżeniu i duszeniu.

– Mylisz się, wcale nie wszelkich dwunogów nienawidzą – odparł Legolas – lecz tylko orków. Nie znają bowiem elfów ani ludzi, pochodząc z bardzo daleka, z głębi dolin Fangornu. Bo widzisz, Gimli, domyślam się, że właśnie stamtąd przyszły.

– A więc jest to najniebezpieczniejszy z wszystkich lasów Śródziemia – rzekł Gimli. – Wdzięczny im jestem za to, czego dokonały, ale ich nie kocham. Może tobie wydają się cudowne, ja jednak widziałem w tym kraju większy dziw, piękniejszą rzecz niż puszcze i gaje całego świata. Serce mam jeszcze pełne zachwytu. Cóż za dziwacy z tych Dużych Ludzi! Mają tu jeden z cudów północy, a co mówią o nim? Pieczary! Dla nich to po prostu pieczary! Schron podczas wojny i skład na paszę! Czy nie widziałeś, mój poczciwy Legolasie, jak ogromne i wspaniałe są pieczary w Helmowym Jarze? Gdyby o tym na świecie wiedziano, krasnoludy pielgrzymowałyby tutaj tłumnie, żeby je chociaż zobaczyć. Tak! Płacilibyśmy szczerym złotem za jedno krótkie spojrzenie!

– Ja bym dużo zapłacił, żeby ich nie oglądać – rzekł Legolas – a gdybym tam zabłądził, ofiarowałbym podwójną cenę, byle się stamtąd wydostać.

– Nie widziałeś ich, dlatego wybaczę ci te żarty – odparł Gimli. – Ale mówisz głupstwa. Czyż nie jest piękny pałac, w którym mieszka twój król, pod wzgórzem w Mrocznej Puszczy, i który krasnoludowie przed wiekami pomagali wam budować? A to po prostu nędzna buda w porównaniu z tutejszymi jaskiniami! Są tu olbrzymie sale, rozbrzmiewające wieczną muzyką wody, która kropliście ścieka do jezior tak pięknych jak Kheled-zâram w blasku gwiazd.

W dodatku, Legolasie, gdy zapalono łuczywa i ludzie szli po piaszczystym dnie pod dzwoniącymi od ech stropami, drogie kamienie, kryształy i żyły bezcennego złota zalśniły na gładkich ścianach. Światło prześwieca przez bryły marmuru mieniące się perłowo, przezroczyste jak żywe ręce królowej Galadrieli. Legolasie, tam są kolumny białe i szafranowe, i różowe jak jutrzenka, żłobione i wygięte w kształty z marzeń sennych. Wyrastają z różnokolorowej posadzki na spotkanie błyszczących sopli, które zwisają od stropu niby skrzydła, sznury, zasłony delikatne jak zamarznięty obłok, włócznie, sztandary, wieżyczki napowietrznych zamków. Ich obraz odbija się w cichych jeziorach; z ciemnych wód, pokrytych szkłem lodu, wyziera migocąca blaskami kraina, jakiej nawet Durin w najpiękniejszym śnie pewnie by nie wymarzył, sięgająca alejami i

krużgankami w głąb, do ciemnych czeluści, gdzie nigdy nie dociera światło. Nagle – plum! – spada srebrna kropla, w kręgach zmarszczek na zwierciadle wieże gną się i chwieją jak wodorosty i korale w morskiej grocie. Nadchodzi wieczór, obraz blednie i gaśnie, łuczywa przechodzą do następnej komnaty, ukazuje się inny sen. Otwierają się coraz to nowe komory, sale, kopuły, schody, kręte ścieżki prowadzą wciąż dalej, aż do serca gór. Pieczary! Pieczary Helmowego Jaru! Szczęśliwy los, który mnie do nich przywiódł! Płakałem, kiedy musiałem je opuścić.

– Skoro to dla ciebie taka radość, życzę ci, Gimli, żebyś wrócił cały z wojny i znów te jaskinie zobaczył – rzekł elf. – Ale nie opowiadaj o nich wszystkim swoim współplemieńcom! Sądząc z twoich słów, niewiele dla nich na świecie zostało roboty. Może tutejsi ludzie mądrze robią, że nie rozgłaszają wieści o tych cudach; przecież jedna rodzina pracowitych krasnoludów uzbrojonych w młoty i dłuta więcej może zburzyć, niż plemię ludzkie zbudowało przez wieki.

– Nie, nie rozumiesz nas – odparł Gimli. – Nie ma krasnoluda, którego by nie wzruszyło to piękno. Żaden z synów Durina nie zmieniłby tych pieczar w kamieniołomy ani w kopalnie kruszcu, choćby kryły się w nich najcenniejsze brylanty i złoto. Czy ściąłbyś kwitnący wiosną gaj na opał? Nie zburzylibyśmy tego kamiennego grodu, roztoczylibyśmy nad nim opiekę. Może czasem, bardzo ostrożnie, stuknęlibyśmy młotkiem i odłupali małą drzazgę skały tu czy tam, aż w ciągu długich lat powstałyby tym sposobem nowe korytarze, otwarłyby się nowe komnaty, dziś jeszcze tonące w ciemnościach, tak że ledwie można się domyślać ich istnienia, kiedy za jakąś szczeliną w ścianie wyczuwa się zionącą pustkę. A światło, Legolasie! Wprowadzilibyśmy tam światło, zrobilibyśmy takie lampy, jakie ongi świeciły w Khazad-dûm. Moglibyśmy, gdybyśmy zechcieli, wypędzić noc, która tam zalega od dnia narodzin gór.

– Wzruszasz mnie, Gimli – rzekł Legolas. – Nigdy jeszcze nie słyszałem z twoich ust takich słów. Niemal żałuję, że nie widziałem pieczar w Helmowym Jarze. Słuchaj! Zawrzyjmy umowę. Jeżeli obaj żywi wyjdziemy z niebezpiecznych przygód, które nas jeszcze czekają, będziemy jakiś czas wędrowali razem po świecie. Ty zwiedzisz ze mną Fangorn, a potem ja z tobą pójdę obejrzeć tamte podziemia.

– Gdyby to ode mnie zależało, wybrałbym inną drogę – odparł Gimli – ale dobrze, przecierpię Fangorn, jeżeli obiecasz mi, że wrócimy do pieczar i

będziesz je razem ze mną podziwiał.

– Obiecuję! – rzekł Legolas. – Niestety! Na razie musimy porzucić zarówno pieczary, jak i las. Spójrz! Wyjeżdżamy już spośród drzew. Gandalfie, jak daleko stąd do Isengardu?

– Dla Sarumanowych kruków około piętnastu staj – odparł Gandalf. – Pięć od wylotu Zielonej Roztoki do brodów, a potem dziesięć od rzeki do bram Isengardu. Ale nie będziemy dzisiejszej nocy odbywali całej tej drogi.

– Co zobaczymy, gdy znajdziemy się u celu? – spytał Gimli. – Ty może wiesz, ale ja na próżno usiłuję zgadnąć.

– Na pewno i ja tego nie wiem – odparł Czarodziej. – Byłem tam wczoraj o zmierzchu, wiele jednak mogło się zmienić od tego czasu. Mimo wszystko myślę, że nie pożałujesz tej podróży i nie wyda ci się daremna… chociaż musiałeś dla niej porzucić Błyszczące Pieczary Aglarondu.

Wreszcie wyjechali spośród drzew i stwierdzili, że są na dnie Roztoki w miejscu, gdzie droga z Helmowego Jaru rozgałęzia się na wschód – do Edoras – i na północ – do brodów na Isenie. Nim oddalili się od skraju lasu, Legolas wstrzymał konia i obejrzał się z żalem za siebie. Nagle krzyknął.

– Tam są jakieś oczy! – zawołał. – Oczy patrzą z mroku, spod gałęzi! Takich oczu jeszcze nigdy nie widziałem.

Inni jeźdźcy, zaskoczeni tym okrzykiem, również przystanęli i spojrzeli na las. Legolas zawrócił wierzchowca, gotów galopować z powrotem.

– Nie! Nie! – wrzasnął Gimli. – Rób, co chcesz, skoro jesteś szaleńcem, ale przedtem pozwól mi zsiąść z twego konia. Nie chcę widzieć tych dziwnych oczu.

– Zostań, Legolasie – rzekł Gandalf. – Nie wracaj do lasu, teraz tam nie wracaj. Jeszcze nie wybiła twoja godzina.

W tej samej chwili spomiędzy drzew wysunęły się trzy niezwykłe postacie. Olbrzymie jak trolle, miały co najmniej dwanaście stóp wzrostu, zdawały się krzepkie, silne jak młode drzewa, i były ciasno opięte w szaty, czy może skórę szarobrunatnego koloru. Kończyny miały bardzo długie, a palców u rąk mnóstwo, włosy sztywne i brody szarozielone jak mech. Spoglądały poważnymi oczyma, lecz wcale nie na jeźdźców, wzrok miały zwrócony ku północy. Nagle podniosły długie ręce do ust i zaczęły nawoływać dźwięcznie, głosem donośnym jak granie rogu, ale bardziej

melodyjnym, i na różne tony. Z oddali odpowiedziały im podobne głosy; jeźdźcy obrócili się znowu i zobaczyli, że od północy przez trawę maszeruje więcej takich samych postaci. Zbliżały się szybko, ruchami przypominały brodzące czaple, lecz stawiając olbrzymie kroki, posuwały się naprzód tak prędko, że czapla nie dogoniłaby ich nawet na skrzydłach. Okrzyk zdumienia wydarł się z piersi jeźdźców, a ten i ów sięgnął do miecza.

– Oręż nie będzie wam potrzebny – rzekł Gandalf. – To przecież tylko pasterze. Nie są naszymi nieprzyjaciółmi, po prostu wcale ich nie obchodzimy.

Łatwo było w to uwierzyć, bo olbrzymie postacie, nie spojrzawszy nawet na konny oddział, weszły w las i zniknęły w jego cieniu.

– Pasterze! – powiedział Théoden. – A gdzież trzoda? Co to za jedni, Gandalfie? Mów, bo widać z tego, że ty jeden spośród nas nie po raz pierwszy z nimi się spotykasz.

– Pasterze drzew – odparł Gandalf. – A więc nie pamiętasz już bajek, których słuchałeś w dzieciństwie przy kominku? Dzieci z twojego kraju umiałyby wysnuć odpowiedź na te pytania z zawiłych wątków legend. Widziałeś, królu, entów, entów z lasu Fangorn, który przecież w waszym języku nazywa się Lasem Entów. Czy myślisz, że ta nazwa powstała z samej fantazji? Nie, Théodenie, jest zupełnie inaczej: to wy, Rohirrimowie, jesteście dla nich tylko przelotną bajką. Wszystkie lata, które upłynęły od Eorla Młodego do Théodena Sędziwego, wydają się im ledwie chwilą, a wszystkie czyny twojego rodu – błahostką.

Król milczał.

– Entowie! – rzekł wreszcie. – Poprzez mroki legendy zaczyna mi świtać wyjaśnienie zagadki tych drzew. Dziwnych czasów dożyłem. Przez długie lata hodowaliśmy zwierzęta, uprawiali pola, budowali domy, wyrabiali narzędzia, a gdy trzeba było pomóc Gondorowi w jego wojnach, siadaliśmy na koń. I to wydawało nam się życiem ludzi, drogą tego świata. Niewiele troszczyliśmy się o wszystko, co działo się poza granicami naszego kraju. Mówiły o tych sprawach nasze pieśni, lecz my zapominaliśmy o nich, a jeżeli uczyliśmy ich nasze dzieci, robiliśmy to po prostu tak, ze zwyczaju. A dziś pieśni zjawiły się żywe wśród nas, przyszły ze swojej tajemniczej krainy i w widomej postaci chodzą w biały dzień po ziemi.

– Powinieneś cieszyć się z tego, królu Théodenie – rzekł Gandalf. – Dziś bowiem zagrożone jest nie tylko wasze błahe ludzkie życie, ale również istnienie tych, których przeczuwaliście jedynie w legendach. Nie jesteście sami, macie sprzymierzeńców, chociaż ich nie znacie.

– Zarazem jednak powinienem się smucić – odparł Théoden – jakkolwiek bowiem rozstrzygną się losy wojny, czyż nie może zakończyć się na tym, że wiele rzeczy pięknych i dziwnych na zawsze opuści Śródziemie?

– Może – rzekł Gandalf. – Zła, które Sauron sieje, nie wytępimy całkowicie i nie zatrzemy doszczętnie jego śladów. W takich czasach kazał nam los żyć, na to nie ma rady. Ale teraz jedźmy dalej, skoro wybraliśmy drogę.

Odwróciwszy się więc od Roztoki i lasu, jeźdźcy ruszyli naprzód, ku Brodom na Isenie. Legolas niechętnie pociągnął za oddziałem.

Słońce zaszło i skryło się już za krawędzią ziemi, lecz kiedy wychynęli z cienia gór i spojrzeli na zachód, gdzie otwierały się Wrota Rohanu, niebo było nad nimi jeszcze czerwone, a pod żeglującymi górą obłokami płonęło łuną. Na jej tle zobaczyli jeźdźcy chmary czarnych ptaków. Wiele z nich przeleciało nad nimi z posępnym krzykiem, wracając do swoich gniazd pomiędzy skały.

– Drapieżne ptaki miały dużo roboty na pobojowisku – rzekł Éomer.

Posuwali się teraz bez pośpiechu, a równinę za nimi ogarniał mrok. Księżyc rosnący ku pełni wszedł leniwie i w zimnej srebrnej poświacie sfalowany step to wznosił się, to opadał jak ogromne szare morze. Upłynęły już ze cztery godziny, odkąd jeźdźcy ruszyli z rozstaju dróg, i Brody na Isenie były już bardzo blisko przed nimi.

Wydłużone stoki stromo teraz spadały w dół, ku rzece rozlanej szeroką kamienistą płyciznę pomiędzy wysokimi trawiastymi tarasami. Z wiatrem dolatywało dalekie wycie wilków. Jeźdźcy posuwali się z ciężkim sercem, bo pamiętali, że wielu Rohirrimów poległo w boju na tym miejscu.

Droga wrzynała się tu głęboko między porosłe murawą skarpy, przebijając się przez tarasy nad rzeką, a potem wznosząc się znowu na drugi jej brzeg. Pieszym ułatwiały przeprawę trzy rzędy płaskich kamieni ułożonych w poprzek nurtu, między nimi zaś były brody dla koni, sięgające

od obu brzegów do nagiej wysepki pośrodku rzecznego koryta. Jeźdźcom, gdy zobaczyli z góry to znajome miejsce, wydało się ono obce. Zwykle bowiem u brodów na kamieniach szumiała głośno woda, a dzisiaj panowała tu głucha cisza. Łożysko rzeki niemal zupełnie wyschło, ukazując nagi żwir i piasek.

– Bardzo tu teraz ponuro – rzekł Éomer. – Jaka straszna choroba wycieńczyła tę rzekę? Wiele pięknych rzeczy zniszczył Saruman. Czyżby pożarł też źródła Iseny?

– Zdaje się, że tak – powiedział Gandalf.

– Niestety! – rzekł Théoden. – Czy nie możemy ominąć tej drogi, przy której dzikie zwierzęta i ptaki pożerają ciała tylu szlachetnych wojowników Riddermarchii?

– Tędy nasza droga prowadzi – odparł Gandalf. – Bolesna jest śmierć twoich rycerzy, królu, przekonasz się jednak, że nie pożarły ich zwłok wilki. Te ucztują na ścierwie swoich przyjaciół orków. Taka jest przyjaźń między nikczemnymi plemionami! Jedźmy!

Zjechali nad rzekę, lecz nim się zbliżyli, wilki ucichły i umknęły. Strach padł na nie, kiedy w blasku księżyca ujrzały Gandalfa na lśniącym srebrzyście koniu. Jeźdźcy dotarli na wysepkę. Z ciemnych brzegów śledziły ich łyskające blado wilcze ślepia.

– Patrzcie – rzekł Gandalf. – Działali tutaj wasi przyjaciele.

Pośrodku wysepki wznosił się kurhan uwieńczony koroną kamieni, najeżony zatkniętymi w ziemię włóczniami.

– Tu leżą wszyscy wojownicy Riddermarchii, którzy polegli w pobliżu Brodów – rzekł Gandalf.

– Niech śpią w spokoju! – powiedział Éomer. – A nawet wówczas, gdy włócznie ich zbutwieją i zardzewieją, niech ta mogiła strzeże Brodów na Isenie.

– Czy to także twoje dzieło, Gandalfie, drogi przyjacielu? – spytał Théoden. – Niemałych rzeczy dokonałeś w ciągu wieczora i jednej nocy!

– Z pomocą Cienistogrzywego… i innych – odparł Gandalf. – Szybko jechałem i daleką odbyłem drogę. Lecz tu, u stóp tej mogiły, chcę ci, królu, powiedzieć coś, co cię pocieszy. Wielu twoich rycerzy poległo w bitwie u Brodów, nie tylu jednak, ilu pogrzebała pierwsza pogłoska. Więcej ich

rozpierzchło się, niż zginęło. Wszystkich, których zdołałem odszukać, zgromadziłem na nowo; część odesłałem do Erkenbranda, część wziąłem do tej roboty, której wyniki tutaj oglądasz; ci są już teraz z powrotem w Edoras. Spory oddział wyprawiłem też stąd już wcześniej, żeby strzegł twojego dworu. Wiedziałem, że Saruman rzucił wszystkie swoje siły przeciw tobie i że jego słudzy zaniechali wszelkich innych spraw, aby pomaszerować na Helmowy Jar. Kraj zdawał się ogołocony z nieprzyjacielskich wojsk, lecz bałem się, że wilczych jeźdźców i rabusiów skusi bezbronny dwór w Meduseld. Teraz myślę, że możesz się tego nie lękać. Gdy wrócisz, twój dom powita cię radośnie.

– A ja uraduję się nawzajem jego widokiem – odparł Théoden – chociaż niedługo już pewnie w nim pomieszkam.

Rozstali się po tych słowach z wysepką i kurhanem, przeprawili przez rzekę i wspięli na jej drugi brzeg. Ruszyli dalej żwawo, radzi zostawić za sobą ponury bród. Gdy się oddalali, wycie wilków podniosło się znowu wśród nocy.

Od Brodów prowadził do Isengardu stary gościniec. Jakiś czas biegł on wzdłuż rzeki, razem z nią skręcając najpierw na wschód, a potem na północ. Wkrótce jednak odrywał się od Iseny i kierował prosto do bram Isengardu, które znajdowały się u stóp górskiej ściany po zachodniej stronie doliny, kilkanaście mil za jej wylotem. Jeźdźcy trzymali się gościńca, lecz nie jechali po nim, bo po obu jego bokach grunt był pewny i równy, na przestrzeni wielu mil porośnięty krótką, sprężystą trawą. Posuwali się teraz szybciej i około północy niemal pięć staj dzieliło ich już od Brodów. Zatrzymali się tutaj, bo król czuł się znużony. Byli już blisko podnóży Gór Mglistych, długie ramiona Nan Curunír wyciągały się jakby na ich spotkanie. Przed nimi dolina tonęła w ciemnościach, bo księżyc posunął się na zachód i góry przesłaniały jego światło. Lecz z głębi mrocznej doliny bił szeroki słup dymu i pary, który wznosząc się, nasiąkał blaskiem zachodzącego księżyca i rozpływał się lśniącymi, czarnymi i srebrnymi kłębami po wygwieżdżonym niebie.

– Co o tym sądzisz, Gandalfie? – spytał Aragorn. – Można by pomyśleć, że cała Dolina Czarodzieja płonie.

– W ostatnich czasach dym stale bije z doliny Sarumana – odezwał się Éomer – lecz dzisiaj wygląda to inaczej niż zwykle. Kłębią się nad Isengardem opary, a nie dymy. Saruman gotuje jakieś piekielne sztuki na

nasze powitanie. Może to woda Iseny kipi tak i paruje? To by wyjaśniło, dlaczego rzeka wyschła.

– Może – odparł Gandalf. – Jutro dowiemy się, co Saruman robi. Teraz, póki czas, odpocznijmy trochę.

Rozbili obóz nad suchym korytem Iseny. Niektórzy jeźdźcy przespali parę godzin, lecz wśród nocy zbudził wszystkich okrzyk wartowników. Księżyc zniknął. W górze świeciły gwiazdy, ale po ziemi pełzła ciemna chmura, ciemniejsza niż mrok nocy, i toczyła się obu brzegami rzeki ku obozowisku ludzi, sunąc na północ.

– Nie ruszajcie się z miejsc! – rzekł Gandalf. – Nie dobywajcie broni! Czekajcie, aż chmura nas wyminie.

Wokół nich zgęstniała mgła. Nad ich głowami wciąż jeszcze migotały blado gwiazdy. Lecz po obu stronach obozowiska wyrósł mur nieprzeniknionych ciemności. Oddział znalazł się w wąskim przesmyku pomiędzy dwiema ruchomymi basztami cienia. Ludzie słyszeli głosy, szepty i pomruki, jakieś przeciągłe, szeleszczące westchnienia. Ziemia drżała pod nimi. Zdawało im się, że bardzo już długo siedzą tak w trwożnym oczekiwaniu, w końcu jednak gwar ucichł, a ciemność przesunęła się i znikła między ramionami gór.

Daleko na południu, w Rogatym Grodzie, ludzie usłyszeli o północy hałas, jakby wicher wtargnął w dolinę. Ziemia drżała. Zlękli się i nikt nie śmiał wyjść z twierdzy na zwiady. Dopiero rankiem wyjrzeli z Jaru i stanęli osłupiali: wszystkie trupy orków zniknęły, a po lesie także nie zostało śladu. Tylko trawa na wielkiej przestrzeni, aż w głąb Jaru, była połamana i stratowana, jakby olbrzymi pasterze paśli tutaj swoje niezliczone trzody. O milę poniżej Szańca wykopana była w ziemi ogromna jama i sterczał spiętrzony nad nią wysoki kopiec kamieni. Ludzie domyślali się, że pochowano tam orków poległych w bitwie; czy w tym grobie znalazły się również trupy tych, którzy zbiegli do lasu, tego nikt się nie dowiedział, a żaden człowiek nie odważył się wstąpić na tę kamienną górę. Nazwano ją Wzgórzem Śmierci i trawa nigdy na niej nie wyrosła. Nigdy też nie zobaczono już drzew w Zielonej Roztoce. Nocą odeszły i wróciły do odległych dolin Fangornu. Dokonały zemsty na orkach.

Król i jego świta nie zmrużyli już tej nocy oczu, ale nie zobaczyli ani nie usłyszeli więcej dziwów, prócz jednego: rzeka nagle odzyskała głos. Fala wody z szumem spłynęła z góry po kamieniach i od tej chwili Isena znów pluskała i pieniła się w swoim łożysku jak dawniej.

O świcie oddział przygotował się do wymarszu. Dzień zajaśniał szary i blady, lecz jeźdźcy nie widzieli wschodu słońca. Powietrze wokół było duszne od mgły i przesycone jakąś przykrą wonią. Posuwali się z wolna, teraz już samym gościńcem, szerokim, twardym i dobrze utrzymanym. Wśród oparów od lewej strony majaczył niewyraźnie grzbiet górski. Znaleźli się już w Nan Curunír – Dolinie Czarodzieja. Dolinę tę z trzech stron zamykały góry, jedyny wylot z niej otwierał się na południe. Niegdyś zieleniła się pięknie, a przepływająca jej środkiem Isena już tutaj, przed osiągnięciem równiny, była głęboką i potężną rzeką, bo zasilały ją liczne źródła i strumienie spływające ze zlewanych często deszczem gór. Wszędzie też ciągnęły się nad jej brzegami żyzne, pogodne ziemie.

Teraz zmieniło się tutaj wszystko. Pod murami Isengardu zostały spłachetki pól, uprawianych przez niewolników Sarumana, lecz większą część doliny zarastały chwasty i ciernie. Kolczaste pędy rozpełzły się po ziemi albo wspinały na krzaki i skarpy nadrzeczne, splatając się i tworząc kryjówki, w których gnieździły się drobne zwierzęta. Drzewa tu nie rosły, ale wśród wybujałej trawy sterczały gdzieniegdzie wypalone lub zrąbane pniaki, ślad po dawnym lesie. Smutna to była kraina i cisza panowała w niej zupełna, tylko bystra woda szumiała na kamieniach. Dymy i opary snuły się ciężkimi kłębami i zalegały po rozpadlinach. Jeźdźcy posuwali się w milczeniu. Do niejednego serca zakradło się zwątpienie i niejeden zadawał sobie pytanie, jaki groźny los czeka ich u celu tej podróży.

Kilka mil dalej bity gościniec zmienił się w szeroką ulicę wybrukowaną płaskimi kamieniami, które musiały obciosywać i układać wprawne ręce. Ani źdźbła trawy nie było widać między spoistym brukiem. Po obu stronach ciągnęły się głębokie ścieki, którymi spływała woda. Nagle tuż przed jeźdźcami wyrósł potężny czarny słup. Tkwił na nim wielki kamień wyrzeźbiony i pomalowany tak, że wyglądał jak długa Biała Ręka. Palce jej wskazywały na północ. Była to zapowiedź, że bramy Isengardu są tuż przed nimi, więc serca zaciążyły tym bardzej w piersiach jeźdźców, chociaż oczy ich nie mogły nic dostrzec poprzez mgłę.

Od niepamiętnych lat pod ramieniem górskim w Dolinie Czarodzieja stał gród nazwany przez ludzi Isengardem. W znacznej mierze ukształtowały go same góry, niemało przyczynili się też ongi do jego budowy ludzie z Westernesse, a Saruman, który od dawna tu zamieszkiwał, również nie próżnował.

Kiedy Saruman stał u szczytu swej potęgi i uznawany był za przywódcę wszystkich czarodziejów, Isengard wyglądał tak: olbrzymi pierścień kamienny, spiętrzony jak urwisko, wysuwał się spod górskiej ściany i zatoczywszy krąg, wracał do niej. Wejście było tylko jedno, przez ogromną sklepioną bramę w ścianie południowej. Brama miała kształt długiego tunelu wykutego w czarnej skale i zamkniętego z obu końców potężnymi żelaznymi drzwiami. Drzwi, osadzone na ogromnych zawiasach między stalowymi futrynami, wklinowanymi w kamienną ścianę, można było, gdy odsunięto rygle, otworzyć lekkim pchnięciem ramienia zupełnie bezszelestnie. Kto by przez ten rozbrzmiewający echem tunel wydostał się na drugą stronę, ujrzałby gładkie, olbrzymie koło, nieco zaklęsłe, jak wielka płytka miska. Miało ono około mili średnicy. Dawnymi czasy było tutaj zielono od sadów, wiły się między nimi piękne aleje, a liczne potoki spływały z gór do jeziora. Lecz w późniejszym okresie panowania Sarumana wszelka zieleń zniknęła stąd bez śladu. Drogi wybrukowano czarnym, twardym kamieniem i obsadzono nie drzewami owocowymi, lecz rzędami słupów z marmuru, miedzi i żelaza, łącząc je ciężkimi łańcuchami.

Domy, komnaty, hale i korytarze wykuto w ścianach górskich od wewnętrznej strony, tak że krągłą kotlinę otaczały wokół niezliczone okna i drzwi. Mogły się tam pomieścić tysiące mieszkańców, robotników, sług, jeńców i wojowników, a także wielkie zbrojownie. W głębokich jamach u podnóży ścian trzymano wilki. Cała kotlina była zryta i podziurawiona. Daleko w głąb ziemi sięgały szyby, których wyloty nakryto niskimi kopcami lub kamiennymi kopułami; w księżycowej poświacie Krąg Isengardu wyglądał jak cmentarzysko, w którego grobach zbudzili się umarli, bo ziemia drżała ustawicznie. Szyby pochylniami lub kręconymi schodami prowadziły do głębokich lochów; tam Saruman miał swoje skarbce, składy, arsenały, kuźnie i wielkie piece. Nieustannie obracały się żelazne koła i stukały młoty. Nocą pióropusze dymu i pary unosiły się znad szybów, oświetlone od spodu czerwonym, niebieskim lub jadowicie zielonym blaskiem.

Wszystkie drogi prowadzące między łańcuchami zbiegały się w środku kotliny. Piętrzyła się tam wieża przedziwnego kształtu. Wznieśli ją budowniczowie dawnych wieków, którzy też wyrównali dno kotliny, ale patrząc na nią, wierzyć się nie chciało, że jest dziełem rąk ludzkich; zdawało się, że wyrosła z kośćca ziemi, gdy w pierwotnych kataklizmach rodziły się góry. Była to jakby skalna wyspa, czarna i połyskliwa. Składały się na nią cztery potężne filary z kamiennych wieloboków, spojone z sobą, ale u szczytu rozchylone na kształt wygiętych rogów i zjeżone wieżyczkami ostrymi jak włócznie i oszlifowanymi na kantach jak noże. Pomiędzy nimi mieściła się niewielka płyta z płaskich, gładkich kamieni pokrytych tajemniczymi napisami; stojący tu człowiek ujrzałby z wysokości pięciuset stóp całą równinę. Tak wyglądała cytadela Sarumana, której nazwa, Orthank – może umyślnie, a może przypadkiem – miała podwójne znaczenie. *Orthank* znaczy bowiem w języku elfów Góra-Kieł, a w mowie Rohirrimów – Chytra Głowa.

Ongi był Isengard nie tylko niezdobytą warownią, lecz również bardzo piękną siedzibą; mieszkali tu wspaniali rycerze, strzegący zachodniej granicy Gondoru, i mędrcy śledzący gwiazdy. Saruman jednak z czasem przekształcił to miejsce, dostosowując je do swoich podstępnych zamierzeń. Myślał, że je udoskonalił, mylił się wszakże, bo chytre sztuki i przemyślne sposoby, dla których poświęcił swoją dawną prawdziwą mądrość i które uważał za własny pomysł, zostały mu podsunięte z Mordoru. Całe jego dzieło było tylko zmniejszoną kopią, budowlą dziecka czy pochlebstwem niewolnika, naśladownictwem olbrzymiej twierdzy, zbrojowni, więzienia, ognistego kotła, wielkiej potęgi Barad-dûr, Czarnej Wieży, która nie ścierpiałaby rywala, śmiała się z pochlebstw i czekała spokojnie na swój czas, czując się bezpiecznie w swojej pysze i niezmiernej sile.

Tyle o warowni Sarumana wiedzieli ludzie z Rohanu, a wiedzieli jedynie z krążących opowieści, bo za pamięci tego pokolenia nikt z ich rodaków nie przekroczył bramy Isengardu, chyba Gadzi Język, który tu bywał ukradkiem i nikomu o tym, co widział, nie opowiadał.

Teraz Gandalf pierwszy dotarł do kamiennego słupa z Białą Ręką i minął go; wtedy dopiero jeźdźcy ze zdumieniem spostrzegli czerwone paznokcie; ręka nie była już wcale biała, lecz poplamiona jak gdyby skrzepłą krwią. Gandalf odważnie posuwał się naprzód we mgle, inni, chociaż niechętnie,

jechali za nim. Okolica wyglądała tak, jakby przeszła przez nią gwałtowna powódź, przy drodze rozlewały się szerokie kałuże, woda wypełniała wszystkie zagłębienia i ciekła strugami wśród kamieni.

Wreszcie Gandalf zatrzymał się i skinął na towarzyszy. Przed nimi mgła się rozwiała, świeciło blade słońce. Minęło już południe. Stanęli u bramy Isengardu.

Ale brama leżała na ziemi, wyłamana, pogięta. Wszędzie wokół, rozrzucone w szerokim promieniu lub zwalone na bezładne kopce, poniewierały się kamienie, strzaskane i połupane w ostre drzazgi. Ogromny sklepiony łuk trzymał się jeszcze, lecz za nim otwierała się nienakryta już stropem jama; tunel był odsłonięty, a po obu stronach bramy w urwistych ścianach ziały ogromne wyłomy i szerokie szpary. Baszty zmieniły się w kupy gruzu. Gdyby Wielkie Morze uniosło się gniewem i runęło z burzą na ścianę gór, nie dokonałoby większego spustoszenia.

Cały wewnętrzny krąg, zalany bulgocącą wodą, wyglądał jak kocioł pełen wrzątku, w którym kołysały się i miotały przeróżne szczątki, belki, słupy, skrzynie, beczki i rozbite narzędzia. Pogięte, wyłamane filary sterczały rozszczepionymi głowicami z topieli, lecz drogi były pod wodą. Na pół przesłonięta oparami skalista wysepka majaczyła jakby w wielkiej dali. Wciąż jeszcze czarna i smukła wieża Orthank stała nietknięta przez burzę. Jasna fala lizała jej podnóża.

Król i jego towarzysze patrzyli na to w osłupieniu. Rozumieli już, że potęga Sarumana legła w gruzach, lecz nie mogli pojąć, jak się to stało. Kiedy po chwili odwrócili wzrok ku sklepieniu nad rozbitą bramą, zobaczyli tuż obok olbrzymie rumowisko, a na nim dwie drobne figurki, wyciągnięte w swobodnych pozach, w szarych płaszczach, ledwie widoczne na kamieniach. Przy nich stały butelki, miski i talerze, jak gdyby dopiero co zjedli obfity posiłek i teraz odpoczywali po trudzie. Jeden, jak się zdawało, spał, drugi, oparty plecami o skalny złom, założywszy nogę na nogę, a ręce pod głowę, wydmuchiwał z ust długie pasma i małe pierścionki lekkiego niebieskiego dymu.

Théoden, Éomer i wszyscy Rohirrimowie długą chwilę przyglądali im się ze zdumieniem. Był to rzeczywiście niezwykły obrazek wśród spustoszenia Isengardu. Zanim jednak król zdążył przemówić, mała osóbka puszczająca kółka dymu spostrzegła nagle jeźdźców, którzy nieruchomi i

milczący wyłaniali się z mgły, i zerwała się na równe nogi. Był to jak gdyby młodzieniec, lecz wzrostem dwa razy mniejszy, niż bywają ludzie. Głowę miał odkrytą, ukazując bujną kasztanowatą i kędzierzawą czuprynę, ale spowijał go mocno zniszczony płaszcz tego samego kroju i koloru co płaszcze, w których przyjaciele Gandalfa przybyli do Edoras. Ukłonił się bardzo nisko, kładąc dłoń na piersi. Potem, jak gdyby nie spostrzegając wcale Czarodzieja i jego towarzyszy, zwrócił się do Éomera i Théodena.

– Witajcie w Isengardzie, dostojni panowie! – powiedział. – Jesteśmy tu odźwiernymi, Meriadok, syn Saradoka, do usług, a oto mój przyjaciel, którego, niestety, zmogło zmęczenie! – Tu trącił nogą leżącego towarzysza. – Nazywa się Peregrin, syn Paladina, z rodu Tuków. Pochodzimy z dalekiej północy. Czcigodny Saruman jest w domu, ale na razie zajęty rozmową z niejakim Gadzim Językiem. Gdyby nie to, z pewnością wyszedłby na powitanie tak znakomitych gości.

– Z pewnością! – zaśmiał się Gandalf. – Czy to Saruman kazał wam pilnować swojej rozwalonej bramy i wypatrywać gości w krótkich przerwach między jedną a drugą butelką?

– Nie, szlachetny panie, ten szczegół uszedł jego uwagi – odparł Merry bardzo serio. – Był zajęty czym innym. Rozkaz otrzymaliśmy od Drzewca, który przejął zarząd Isengardu. Polecił mi przywitać władcę Rohanu w stosownych słowach. Zrobiłem to, jak umiałem najlepiej.

– A nas, swoich druhów, nie witasz wcale? Mnie i Legolasowi nic nie powiesz? – wybuchnął Gimli, niezdolny już dłużej panować nad sobą. – O łajdaki, włóczykije, powsinogi kudłate! Ładnie nas urządziliście! Z drugiego końca świata gnamy przez bagna i puszcze, przez bitwy i śmierć na wasz ratunek. A wy tu sobie ucztujecie i leżycie brzuchami do góry, a na domiar wszystkiego ćmicie fajki! Fajki! Skąd wytrzasnęliście fajkowe ziele, nicponie? Tam do licha! Tak mnie na przemian złość i radość rozpiera, że cud będzie, jeżeli nie pęknę.

– Z ust mi to wyjąłeś, Gimli – rzekł, śmiejąc się Legolas. – Z tą różnicą, że ja bym przede wszystkim spytał, skąd wytrzasnęliście wino?

– Czego jak czego, ale dowcipu wam przez ten czas nie przybyło – odezwał się Pippin, otwierając jedno oko. – Zastajecie nas na polu chwały, wśród dowodów zwycięstwa i zdobycznych łupów, a pytacie, jak doszliśmy do tej odrobiny dobrze zasłużonych pociech.

– Dobrze zasłużonych? – spytał Gimli. – Trudno mi w to uwierzyć.

Jeźdźcy śmiali się, słuchając tej rozmowy.

– Nie ma wątpliwości – rzekł Théoden – że jesteśmy świadkami spotkania kochających się przyjaciół. A więc to są, Gandalfie, twoi zagubieni towarzysze? Sądzone nam w tych dniach oglądać coraz to nowe dziwy. Wiele ich już widziałem, odkąd wyruszyłem z domu, a teraz oto mam przed sobą jeszcze jedno plemię znane tylko z legend. Czy się mylę, czy też jesteście niziołki, a jak u was mówią: hobbitowie?

– Hobbici, królu, jeśli łaska – poprawił Pippin.

– Hobbici? – powtórzył Théoden. – Dziwnie zmieniacie wyrazy, ale ta nazwa brzmi dość ładnie. Hobbici! Wszystko, co słyszałem o was, blednie wobec rzeczywistości.

Merry ukłonił się. Pippin także wstał i złożył królowi niski ukłon.

– Łaskawy jesteś dla nas, królu! Bo mam nadzieję, że tak należy sobie twoje słowa tłumaczyć – rzekł. – Ale mamy nowe dziwo. Przewędrowałem bowiem wiele krajów, odkąd opuściłem własny, a nie spotkałem ludu, który by znał jakieś opowieści o hobbitach.

– Mój lud przybył przed laty z północy – odparł Théoden. – Nie będę cię jednak zwodził: nie ma wśród nas legend o hobbitach. Mówi się tylko, że gdzieś, bardzo daleko, za górami i rzekami, żyje plemię niziołków, zamieszkujące nory wykopane w piaszczystych wydmach. Lecz legendy nie wspominają o wspaniałych czynach tego plemienia, ponieważ wieść głosi, że nie lubi ono trudzić się i schodzi z oczu ludziom, umiejąc znikać błyskawicznie, a także zmieniać głos i ćwierkać jak ptaki. Teraz widzę, że można by znacznie więcej o was powiedzieć.

– Z pewnością, królu – rzekł Merry.

– Na przykład – ciągnął Théoden – nikt mi nie mówił, że hobbici puszczają ustami dym.

– W tym nie ma nic dziwnego – odparł Merry – bo sztukę tę uprawiamy dopiero od kilku pokoleń. Tobold Hornblower z Longbottom, z Południowej Ćwiartki, pierwszy wyhodował w swoim ogrodzie prawdziwe fajkowe ziele około roku 1070, według naszej rachuby czasu. Jakim sposobem stary Toby to ziele zdobył…

– Nie wiesz nawet, królu, co ci grozi – przerwał Gandalf. – Hobbici gotowi, siedząc na ruinach, rozprawiać o uciechach stołu lub rozpamiętywać szczegóły z życia swoich ojców, dziadków, pra- i prapradziadków oraz dalszych krewniaków aż do kuzynów dziewiątego stopnia, jeżeli zachęcisz ich do tego nadmierną cierpliwością. Odłóżmy historię fajkowego ziela do sposobniejszej chwili. Powiedz mi, Merry, gdzie jest Drzewiec?

– Daleko stąd po stronie północnej – odparł Merry. – Poszedł napić się wody, czystej wody. Większość entów jest tam z nim, ale jeszcze nie skończyli roboty.

Merry wskazał ręką na dymiące jezioro. Patrząc na nie, jeźdźcy usłyszeli odległy łoskot i turkot, jakby lawina toczyła się ze zbocza gór. Gdzieś w oddali rozlegało się pohukiwanie, przypominające tryumfalny głos mnóstwa rogów.

– A więc Orthank został bez straży? – spytał Gandalf.

– Wystarczyłaby woda – rzekł Merry. – Ale Żwawiec i paru innych entów czuwa. Nie wszystkie słupy i filary widoczne na równinie wbił tutaj Saruman. Żwawiec, jeśli się nie mylę, stoi pod skałą, opodal podnóża schodów.

– Tak, widzę tam wysokiego, siwego enta – powiedział Legolas. – Ramiona trzyma spuszczone i stoi nieruchomo jak słup.

– Południe minęło – rzekł Gandalf – a my od świtu nic w ustach nie mieliśmy. Mimo to chciałbym pogadać z Drzewcem możliwie bez zwłoki. Czy nie zostawił dla mnie żadnych poleceń, czy też może wywietrzały wam z głowy przy butelce i pełnej misce?

– Zostawił – odparł Merry – i właśnie miałem ci to powiedzieć, ale zasypaliście mnie innymi pytaniami. Kazał oświadczyć, że jeśli król Riddermarchii i Gandalf zechcą łaskawie pofatygować się pod północną ścianę, zastaną tam Drzewca, który rad ich powita. Od siebie dodam, że znajdą tam również obiad, i to najlepsze przysmaki, specjalnie wyszukane i dobrane przez waszego tu obecnego pokornego sługę – zakończył z ukłonem.

Gandalf roześmiał się.

– Od tego należało zacząć! – rzekł. – No, co, Théodenie, czy chcesz jechać ze mną na spotkanie z Drzewcem? Trzeba okrążyć jezioro, ale nie

będzie to daleka droga. Od Drzewca dowiesz się wielu ciekawych rzeczy. Bo to jest Fangorn, najstarszy i najdostojniejszy z entów, a z jego ust usłyszysz mowę najstarszych istot żyjących na świecie.

– Pojadę z tobą – odparł Théoden. – Do widzenia, hobbici! Chciałbym was ujrzeć w swoim domu! Tam siądziemy sobie wygodnie i opowiecie mi wszystko, co wam serce podyktuje, o swoich przodkach, choćby od stworzenia świata, o Toboldzie Starym i o jego ziołach. Do widzenia!

Hobbici skłonili się nisko.

– A więc to jest król Rohanu! – szepnął Pippin. – Sympatyczny staruszek. Bardzo grzeczny.

ROZDZIAŁ 9
ZDOBYCZE WOJENNE

Gandalf wraz z królem odjechali, skręcając na wschód, aby okrążyć pierścień zwalonych murów Isengardu. Aragorn, Gimli i Legolas zostali przy ruinach bramy. Konie puścili luzem, pozwalając im poszukać sobie trawy, sami zaś usiedli obok hobbitów.

– Tak, tak! – rzekł Aragorn. – Łowy skończone, spotkaliśmy się wreszcie znowu, i to w miejscu, do którego żaden z nas nie spodziewał się zawędrować.

– A skoro wielcy oddalili się, żeby omawiać wielkie sprawy – powiedział Legolas – my, skromni myśliwi, może postaramy się rozwiązać nasze skromne zagadki. Odnaleźliśmy wasz trop, który zaprowadził nas do lasu, wiele jednak szczegółów pozostało niezrozumiałych i bardzo chciałbym je z wami wyjaśnić.

– My także chcielibyśmy dowiedzieć się o was różnych szczegółów – odparł Merry. – Coś niecoś opowiedział nam stary ent Drzewiec, lecz o wiele za mało.

– Zachowajmy właściwy porządek – rzekł Legolas. – Ponieważ to my was tropiliśmy, więc wypada, żebyście wy odpowiedzieli przede wszystkim na nasze pytania.

– Ale może nie przed obiadem – zauważył Gimli. – Mam rozbitą głowę i południe już minęło. Słuchajcie, rabusie, wiele bym wam przebaczył, gdybyście nam udzielili jakiejś cząstki łupów, o których wspominaliście. Jadłem i napojem można by wyrównać część porachunków między nami.

– Dostaniesz jeść i pić – rzekł Pippin. – Czy wolisz, abyśmy ci podali obiad tutaj, czy też z większymi wygodami w szczątkach Sarumanowej kordegardy, tam, pod łukiem bramy? My musieliśmy przekąsić pod gołym niebem, żeby nie spuszczać drogi z oczu.

– O ile zauważyłem, przymykaliście tu co najmniej jedno oko – odparł Gimli. – Noga moja nie postanie w żadnym orkowym domu i nie tknę mięsa ani niczego, co orkowie mieli w łapach.

– Nikt też od ciebie tego nie wymaga – rzekł Merry. – Czy myślisz, że nam też orkowie nie obrzydli na resztę życia? W Isengardzie były prócz nich różne inne plemiona. Saruman zachował resztki rozsądku i nie ufał orkom. Do strzeżenia bramy trzymał ludzi, wybierając ich zapewne spośród najwierniejszych sług. Ci mieli wyjątkowe przywileje i dostawali dobry wikt.

– A także fajkowe ziele? – spytał Gimli.

– Nie, chyba nie! – roześmiał się Merry. – To już zupełnie inna historia, którą usłyszysz dopiero po obiedzie.

– Chodźmy więc teraz coś zjeść! – rzekł krasnolud.

Hobbici poprowadzili przyjaciół pod łukiem bramy przez wielkie drzwi po lewej stronie, a potem na górę schodami do obszernej komnaty; na wprost wejścia były drugie drzwi, znacznie mniejsze, a pod boczną ścianą palenisko i komin. Komnata, wykuta w kamieniu, musiała dawniej być ciemna, bo okna jej wychodziły na mroczny tunel, teraz jednak światło wpadało tutaj przez rozwalony strop. Na kominie płonęło kilka szczap drewna.

– Zapaliłem ogieniek – rzekł Pippin. – Trochę nas pocieszał wśród tej mgły. Chrustu mieliśmy mało, drewno, które udało się w pobliżu uzbierać, było mokre. Ale komin ciągnie potężnie. Wylot pewnie ma wysoko między skałami, na szczęście niezatkany. Przyda się ten ogień. Zrobię wam kilka grzanek, bo chleb, niestety, jest czerstwy, sprzed kilku dni.

Aragorn, Legolas i Gimli siedli przy końcu długiego stołu, a hobbici zniknęli za wewnętrznymi drzwiami.

– Spiżarnia mieści się tu na piętrze, więc powódź jej nie zalała – powiedział Pippin, gdy wrócił obładowany talerzami, miskami, kubkami, nożami i mnóstwem przeróżnych prowiantów.

– Nie kręć nosem na te przysmaki, mój Gimli – rzekł Merry. – To nie jest żarcie orków, ale jadło ludzkie, jak by powiedział Drzewiec. Co wolisz, piwo czy wino? Jest bardzo przyzwoita beczułka. A tu solona wieprzowina, pierwszorzędna. Jeżeli sobie życzysz, mogę przysmażyć parę plasterków boczku. Szkoda, że nie ma żadnych jarzyn. Dostawy ostatnimi dniami zawiodły. Więcej nic ci nie mogę zaofiarować prócz masła i miodu do chleba. Czy to cię zadowoli?

– Nawet bardzo – odparł Gimli. – Skreślę z twojego długu dość poważną sumkę.

Wkrótce trzej przyjaciele zabrali się do jadła. Hobbici bezwstydnie pałaszowali drugi tego dnia obiad.

– Wypada dotrzymać gościom kompanii – mówili.

– Niezwykle jesteście dzisiaj uprzejmi – zaśmiał się Legolas. – Ale gdybyśmy nie przyjechali, pewnie i tak jeden hobbit drugiemu musiałby przez grzeczność dotrzymać kompanii w powtórnym obiedzie.

– Może, może. Czemuż by nie? – rzekł Pippin. – W niewoli u orków podle nas karmiono, a przedtem też od dość dawna skromnie się żyło. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz najadłem się do syta.

– Nie widać, żeby wam post zaszkodził – rzekł Aragorn. – Kwitniecie zdrowiem.

– To prawda – potwierdził Gimli, przyglądając im się znad kubka. – Włosy macie dwa razy bujniejsze i bardziej kędzierzawe niż przy naszym rozstaniu, a nawet przysiągłbym, że obaj urośliście trochę, jeżeli to w ogóle możliwe u hobbitów w tym wieku. Drzewiec bądź co bądź nie zamorzył was głodem.

– Nie – odparł Merry – ale entowie tylko piją, a napojami trudno się najeść. Trunki Drzewca są zapewne bardzo odżywcze, hobbitowi jednak potrzeba czegoś solidniejszego. Nawet lembasy miło czasem odmienić na inne potrawy.

– Piliście wodę entów, prawda? – spytał Legolas. – W takim razie oczy Gimlego się nie mylą. Dziwne rzeczy opowiadają stare pieśni o wodzie Fangornu.

– Dużo dziwnych legend krąży o tym lesie – rzekł Aragorn. – Nigdy tam nie byłem. Opowiedzcie mi o nim jak najwięcej, a także o entach.

– Entowie! – rzekł Pippin. – Entowie… no, tak, entowie są bardzo rozmaici. To jedno. A poza tym mają takie oczy, takie przedziwne oczy! – Próbował coś jeszcze powiedzieć, zająknął się jednak i umilkł. – Zresztą – dodał – widzieliście już kilku entów z daleka, przynajmniej oni was dostrzegli i zawiadomili, że jesteście w drodze do Isengardu; pewnie zobaczycie ich z bliska, nim stąd odjedziecie. Sami sobie wyrobicie o nich pojęcie.

– Do rzeczy, do rzeczy! – powiedział Gimli. – Zaczynamy opowieść od środka. Chciałbym ją usłyszeć po kolei, od początku, czyli od tego niezwykłego dnia, w którym rozpadła się nasza drużyna.

– Wszystko opowiemy, jeżeli czasu starczy – rzekł Merry. – Najpierw jednak – skoro skończyliście obiad – nabijcie fajki i zapalcie. Będzie nam się chociaż przez chwilę zdawało, że wróciliśmy szczęśliwie do Bree albo do Rivendell.

Wydobył mały skórzany kapciuch pełen tytoniu.

– Mamy tego dobrego w bród – powiedział. – Jeżeli chcecie, możecie, odjeżdżając stąd, zabrać, ile dusza zapragnie. Dziś rano zabawialiśmy się z Pippinem wyławianiem zalanego powodzią dobytku. Pippin spostrzegł dwie niewielkie beczułki, które prawdopodobnie woda wypłukała z jakiegoś piwnicznego składu. Kiedy je otworzyliśmy, okazało się, że jest w nich suszone ziele fajkowe najprzedniejszego gatunku i w doskonałym stanie.

Gimli wziął szczyptę na dłoń, roztarł i powąchał.

– Wydaje się bardzo dobre i pachnie pięknie – rzekł.

– Jest bardzo dobre! – odparł Merry. – Przecież to Liście z Longbottom! Na beczułkach były znaki firmowe Hornblowerów. Jakim sposobem znalazły się tutaj, pojęcia nie mam. Pewnie Saruman sprowadzał je na swój osobisty użytek. Nie przypuszczałem, że wywozi się je do tak odległych krajów. Ale przyda się teraz, co?

– Przydałoby się – powiedział Gimli – gdybym miał fajkę. Niestety, zgubiłem ją w Morii, czy może nawet jeszcze wcześniej. Nie ma tam jakiej fajeczki między waszymi łupami?

– Obawiam się, że nie ma – odparł Merry. – Nie znaleźliśmy nigdzie tutaj fajki, nawet w tej kordegardzie. Saruman widać zastrzegł takie zbytki wyłącznie dla siebie. A wątpię, czy opłaciłoby się zapukać do drzwi Orthanku i poprosić go o fajeczkę. Nie ma innej rady w tej biedzie, musimy po przyjacielsku podzielić się tą jedną fajką.

– Zaraz, zaraz! – powiedział Pippin. Wsunął rękę za pazuchę i wyciągnął zawieszony na tasiemce mały woreczek z miękkiej skóry. Trzymam na sercu kilka swoich skarbów, równie dla mnie cennych jak Pierścień. Oto jeden z nich: moja stara drewniana fajka. Oto drugi: fajka zapasowa. Niosłem ją przez pół świata, sam nie wiedząc po co. Bo nie spodziewałem

się znaleźć fajkowego ziela, kiedy się wyczerpią podróżne zapasy. A jednak przyda się teraz! – I podał Gimlemu fajeczkę z szeroką, płaską główką. – Czy to wyrównuje rachunki między nami? – spytał.

– Czy wyrównuje?! – krzyknął Gimli. – Najzacniejszy z hobbitów! Jestem odtąd twoim dłużnikiem!

– Co do mnie, chciałbym wyjść na świeże powietrze i sprawdzić, skąd wiatr wieje i jak niebo wygląda – rzekł Legolas.

– Wyjdziemy wszyscy z tobą – powiedział Aragorn.

Wyszli i rozsiedli się na kupie gruzów przed bramą. Mieli stąd widok daleki w dolinę, bo mgła już się podnosiła i rozpływała w lekkim wietrzyku.

– Tu sobie odpoczniemy chociaż chwilę – rzekł Aragorn. – Siądziemy na ruinach i będziemy gadali, jak to określa Gandalf, póki on sam zajęty jest gdzie indziej. Nieczęsto w życiu bywałem tak zmęczony jak dzisiaj.

Owinął się szarym płaszczem, zakrywając zbroję, i rozprostował swoje długie nogi. Leżąc na wznak, wypuszczał z ust cienki słupek dymu.

– Patrzcie! – zawołał Pippin. – Strażnik Obieżyświat wrócił!

– Nigdy was nie opuszczał – odparł Aragorn. – Jestem zarazem Obieżyświatem i Dúnadanem, należę zarówno do Gondoru, jak i do Północy.

Przez długą chwilę w milczeniu ćmili fajki, a słońce oświetlało ich skośnymi promieniami, które padały w dolinę spośród białych obłoków płynących wysoko po zachodniej stronie nieba. Legolas czas jakiś leżał bez ruchu, patrząc bez zmrużenia oka w niebo i w słońce i podśpiewując z cicha. Wreszcie wstał.

– No, przyjaciele! – rzekł – czas ucieka, mgła się rozwiała i powietrze byłoby czyste, gdybyście z dziwnym upodobaniem nie wędzili nas w dymie. Może byśmy zaczęli opowieść?

– Moja historia zaczyna się od przebudzenia w ciemnościach, w pętach i pośród obozowiska orków – rzekł Pippin. – Ale jaki to dzisiaj mamy dzień?

– Piąty marca według Kalendarza Shire’u – rzekł Aragorn. Pippin policzył na palcach.

– A więc było to ledwie dziewięć dni temu![65] – powiedział. – Zdawało mi się, że rok upłynął, odkąd dostaliśmy się do niewoli. Połowę tego czasu spędziłem jak w koszmarnym śnie, lecz później nastąpiła najstraszniejsza jawa. Merry mnie poprawi, jeśli zapomnę o jakimś ważnym zdarzeniu. Nie chcę się wdawać w szczegóły, mówiąc o nahajach, brudzie i smrodzie czy tym podobnych okropnościach. Lepiej tego nie wspominać.

I Pippin przedstawił wszystko po kolei: ostatnią walkę Boromira i marsz orków z Emyn Muil aż pod las Fangorn. Słuchacze kiwaniem głowy przytakiwali, ilekroć jakiś szczegół zgadzał się z ich domysłami.

– Zaraz odzyskacie trochę utraconych skarbów – rzekł Aragorn. – Będziecie chyba z tego radzi!

Rozluźnił pas pod płaszczem i wyciągnął dwa sztylety w pochwach.

– Patrzcie państwo! – zawołał Merry. – Straciłem nadzieję, że je kiedykolwiek znowu zobaczę. Tym oto nożem naznaczyłem kilku orków, lecz Uglúk zabrał nam broń. Łypał przy tym oczyma okropnie. Myślałem, że mnie na miejscu zakłuje, ale odrzucił oba sztylety daleko, jakby go parzyły.

– Jest także twoja zapinka, Pippinie – powiedział Aragorn. – Przechowałem ją troskliwie, bo to cenna rzecz.

– Wiem – odparł Pippin. – Rozstałem się z nią z wielkim żalem, cóż jednak mogłem zrobić innego?

– Nic – przyznał Aragorn. – Kto nie umie w potrzebie rozstać się ze skarbem, jest jak niewolnik w pętach. Dobrze postąpiłeś.

– Bardzo mi się też podoba ta sztuka z rozcięciem więzów – powiedział Gimli. – Sprzyjał wam szczęśliwy traf, ale też chwyciliście go, można by rzec, obu rękami.

– A nam zadaliście trudną zagadkę – dodał Legolas. – Zastanawiałem się, czy nie wyrosły wam skrzydła.

– Niestety, nie! – odparł Pippin. – Ale nie wiecie jeszcze nic o Grisznáku.

Wstrząsnął się i umilkł, pozostawiając Meriadokowi ostatnią, najstraszniejszą część opowieści: o łapach obmacujących hobbitów, o palącym oddechu i potwornej sile kudłatych ramion Grisznáka.

– Niepokoi mnie to, co mówicie o tych orkach z Mordoru, czyli Lugbúrza, jak oni go nazywają – rzekł Aragorn. – Czarny Władca, a także część jego sług, za dużo już wie. Grisznák po kłótni bez wątpienia wysłał jakieś meldunki za Rzekę. Czerwone Oko z pewnością śledzi Isengard. Ale Saruman w każdym razie wpadł w pułapkę, którą sam zastawił.

– Tak, którakolwiek strona wygra, widoki Sarumana są marne – powiedział Merry. – Sprawy przybrały zły dla niego obrót, z chwilą gdy orkowie weszli na ziemie Rohanu.

– Stary łotr pokazał nam się pod lasem na stepie – rzekł Gimli. – Przynajmniej tak wynika z napomknień Gandalfa.

– Kiedy to było? – spytał Pippin.

– Pięć nocy temu – odparł Aragorn.

– Zastanówmy się… pięć nocy, powiadasz… Ano, pora opowiedzieć dalsze przygody, o których jeszcze nic nie wiecie. Nazajutrz po bitwie orków z Jeźdźcami Rohanu spotkaliśmy Drzewca. Noc spędziliśmy w Źródlanej Sali, w jednym z domów starego enta. Następnego dnia poszliśmy na wiec entów i byliśmy świadkami najdziwniejszego zgromadzenia na świecie. Trwało ono cały dzień, a potem drugi. Noc między tymi dniami przespaliśmy u innego enta, zwanego Żwawcem. Wreszcie, późnym popołudniem drugiego dnia narady, entowie ruszyli się nagle. Było to oszałamiające wrażenie. W lesie takie panowało napięcie, jakby w nim burza wzbierała. Potem nastąpił wybuch. Szkoda, że nie słyszeliście pieśni, którą śpiewali w marszu.

– Gdyby ją Saruman posłyszał, umknąłby sto mil stąd, choćby piechotą – dodał Pippin.

> *Choć mocny jest i twardy, zimny jak głaz, nagi jak kość*
> *Isengard,*
>
> *Naprzód, entowie, wojna, wojna! Rąbać kamienie, walić*
> *mury![66]*

Pieśń była znacznie dłuższa, ale przeważnie obywała się bez słów, brzmiała jak muzyka rogów i bębnów. Była bardzo poruszająca. Myślałem jednak, że po prostu przygrywają sobie tak do marszu i że to tylko pieśń. Tak sądziłem, póki wraz z nimi nie doszedłem tutaj. Teraz dopiero wszystko rozumiem.

– Zeszliśmy z ostatniego grzbietu do Nan Curunír po zapadnięciu nocy – ciągnął dalej Merry. – Wówczas po raz pierwszy wydało mi się, że cały las ruszył za nami w drogę. Myślałem z początku, że przyśnił mi się entowy sen, ale Pippin także spostrzegł maszerujący las. Byliśmy obaj przerażeni, dopiero później wyjaśniła się cała sprawa.

Byli to huornowie, tak ich entowie nazywają w „skróconym języku". Drzewiec niechętnie o nich mówi, sądzę jednak, że są to entowie, którzy upodobnili się niemal całkowicie do drzew, przynajmniej z wyglądu. Stoją milczący tu i ówdzie wśród lasu albo na jego skrajach i niestrudzenie czuwają nad drzewami; w głębi ciemnych dolin jest ich, zdaje się, wiele setek.

Tkwi w nich ogromna siła, a potrafią kryć się w cieniu i trudno zobaczyć ich w ruchu. Jednakże ruszają się niekiedy. Ruszają się nawet bardzo żywo, gdy wpadną w gniew. Na przykład rozglądasz się po niebie albo słuchasz szelestu wiatru i nagle spostrzegasz, że otacza cię las, tłum ogromnych drzew ciśnie się dokoła. Zachowali dotychczas głos i mogą porozumiewać się z entami, ale zdziwaczeli i zdziczeli. Są niebezpieczni. Bałbym się spotkać z nimi, gdyby nie było prawdziwych entów w pobliżu.

Jak więc mówiłem, z wieczora długim wąwozem zeszła w górny koniec Doliny Czarodzieja gromada entów, a w ślad za nią szeleszczący tłum huornów. Nie widzieliśmy ich oczywiście, lecz powietrze wokół pełne było skrzypienia i trzasków. Noc zapadła ciemna i pochmurna. Huornowie po zejściu z gór posuwali się niezwykle szybko i z głośnym szumem jakby porywistego wiatru. Księżyc nie wypłynął z chmur; wkrótce na wszystkich północnych stokach w krąg nad Isengardem wyrósł wielki las. Nieprzyjaciel nie pokazywał się i nie dawał znaku życia. Tylko wysoko na wieży świeciło się jedno okno.

Drzewiec wraz z kilku entami zaczaili się w pobliżu, w miejscu, z którego był widok na bramę. Byliśmy tam obaj z Pippinem. Siedzieliśmy na ramionach Drzewca i wyczuwałem, jak się stary ent pręży w napięciu. Lecz entowie nawet w największym wzburzeniu zachowują ostrożność i cierpliwość. Stali wszyscy jak kamienne posągi, ledwo oddychając i pilnie nasłuchując.

Nagle wybuchnął przeraźliwy zgiełk. Zagrały trąby i głos ich odbił się echem wśród ścian Isengardu. Myśleliśmy, że nas dostrzeżono i że zaraz rozpocznie się bitwa. Nic podobnego! Armia Sarumana wychodziła z

twierdzy. Niewiele wiem o tej wojnie i o Jeźdźcach Rohanu, lecz zdaje mi się, że Saruman chciał jednym potężnym uderzeniem zniszczyć króla i całe jego wojsko. Ogołocił Isengard z załogi. Widziałem przemarsz wojsk, niezliczone szeregi orków, a między nimi pułki jazdy na olbrzymich wilkach. Były też oddziały złożone z ludzi. Nieśli pochodnie, więc w blasku płomieni rozróżniałem twarze. Większość stanowili zwykli ludzie, rośli, ciemnowłosi, posępni, lecz nie zdawali się do cna źli. Byli jednak także inni, straszni: ludzkiego wzrostu, ale z gębami goblinów, smagli, kosoocy, złośliwie szczerzący zęby. Wiecie, od razu przypomniał mi się na ich widok ten południowiec z Bree, chociaż tamten nie był tak wyraźnie podobny do orka jak większość tych żołdaków Isengardu.

– Ja też właśnie o nim pomyślałem – rzekł Aragorn. – W Helmowym Jarze mieliśmy do czynienia z mnóstwem takich półorków. Wydaje się niewątpliwe, że ów południowiec z Bree był szpiegiem Sarumana. Czy jednak działał na rzecz Czarnych Jeźdźców, czy też wyłącznie dla Sarumana, nie wiem. Wśród tych nikczemnych istot nigdy nie wiadomo, kto jest z kim w sojuszu i kto kogo oszukuje.

– Wszystkich razem musiało być co najmniej dziesięć tysięcy – podjął swoją opowieść Merry. – Godzinę trwał przemarsz przez bramę. Część poszła gościńcem ku Brodom, a część skręciła na wschód. O milę od twierdzy, w miejscu, gdzie rzeka płynie głębokim kanałem, zbudowano most. Gdybyście wstali, dostrzeglibyście go stąd. Żołdacy śpiewali ochrypłymi głosami, śmiali się, wrzeszczeli dziko. Pomyślałem, że źle może się to skończyć dla Rohanu. Drzewiec jednak był niewzruszony. Powiedział: „Ja mam dzisiaj rozprawić się z Isengardem, z jego skałą i kamieniem”.

Nie widziałem w ciemnościach, co się dzieje, miałem jednak wrażenie, że huornowie natychmiast po zamknięciu się bramy za orkowym wojskiem ruszyli w stronę południa. Oni widać chcieli rozprawić się tego dnia z orkami. Rano byli już daleko, w niższej części doliny, tak się przynajmniej domyślałem, bo cień leżał tam nieprzenikniony.

Kiedy Sarumanowa armia odmaszerowała, przystąpiliśmy do ataku. Drzewiec postawił mnie i Pippina na ziemi, zbliżył się do bramy i zaczął w nią łomotać, wzywając Sarumana. Zamiast odpowiedzi sypnęły się z murów strzały i kamienie. Strzały jednak nie są groźne dla entów. Kaleczą ich oczywiście, a nade wszystko drażnią, lecz tak jak nas drażnią

dokuczliwe muchy. Ent nadziany strzałami jak poduszka na szpilki wcale jeszcze nie czuje się ranny. Po pierwsze entowie nie są wrażliwi na żadne jady, a po drugie skórę mają grubą, twardszą od kory. Trzeba nie lada topora, żeby ich naprawdę zranić. Nie cierpią zresztą toporów. Ale przeciw jednemu entowi musiałoby walczyć kilkunastu toporników, bo kto raz go zadraśnie, nie powtórzy ciosu: pięść enta zgniecie najhartowniejszą stal niby cienką blachę.

Gdy w ciele Drzewca tkwiło już kilka strzał, stary ent rozgrzał się tak, że można by go niemal nazwać „pochopnym”, wedle jego ulubionego określenia. Krzyknął głośno swoje „hum, hum!” i kilkunastu entów podeszło pod bramę. Ent bywa straszny w gniewie. Palcami rąk i nóg wpija się w skałę i drze ją, jakby to była skórka na bochnie chleba. Widziałem, jak w ciągu krótkiej chwili dokonywali niszczycielskiej roboty, na którą korzenie potężnych drzew potrzebowałyby wieków.

Darli, ciągnęli, rwali, trzęśli, tłukli. Po pięciu minutach olbrzymia brama ze szczękiem i łoskotem runęła w gruzy. Inni tymczasem już się wgryźli w mury jak króliki w piaszczystą wydmę. Nie wiem, czy Saruman rozumiał, co się dzieje, w każdym razie nie umiał na to nic poradzić. Możliwe, że ostatnio moc jego czarów osłabła, myślę jednak, że przede wszystkim stracił hart ducha, prościej mówiąc, odwagę, kiedy przeciwnik dopadł go osamotnionego, bez gromady niewolników, odciętego od machin i temu podobnych rzeczy. Ani się umywa do Gandalfa! Zastanawiam się, czy całej sławy nie zawdzięcza jedynie temu, że obrał Isengard na swoją siedzibę.

– Nie! – odparł Aragorn. – Był kiedyś wielki, godny swojej sławy. Wiedzę miał głęboką, myśl lotną, ręce nad podziw zręczne. Posiadał też niezwykłą władzę nad umysłami innych istot. Mędrców przekonywał, prostaczków obezwładniał strachem. Tę władzę z pewnością po dziś dzień zachował. Nawet teraz, kiedy poniósł tak ciężką klęskę, mało kto by mu się oparł, gdyby z nim porozmawiał w cztery oczy. Gandalf, Elrond, Galadriela – ci by mu nie ulegli, skoro jego przewrotność wyszła już na jaw, lecz poza nimi mało kto.

– O entów jestem spokojny – rzekł Pippin. – Raz, o ile mi wiadomo, dali się obałamucić, ale nie powtórzy się to na pewno nigdy więcej. Zresztą Saruman ich nie docenił i popełnił wielki błąd, nie licząc się z nimi w swoich rachubach. Pominął ich, knując swoje plany, a kiedy stanęli pod Isengardem, za późno było, żeby błąd naprawić. Gdy przypuściliśmy

szturm, resztka szczurów kryjących się jeszcze w twierdzy zaczęła umykać wszystkimi dziurami, które entowie wybili w murach. Ludzi entowie puszczali z życiem, wypytawszy przedtem każdego dokładnie; było ich ze dwa, trzy tuziny. Ale orków niewielu chyba ocalało. W każdym razie żadnemu nie darowali życia huornowie, jeśli który na nich się natknął, a było to niemal nieuchronne, bo otaczali Isengard gęstym lasem, pomimo że duży ich oddział odszedł w dolinę.

Kiedy pod ciosami entów większa część południowego muru rozpadła się w proch, a reszta żołdaków uciekała, opuszczając władcę, Saruman umknął w popłochu. Był, jak się zdaje, przy bramie w chwili rozpoczęcia szturmu, zapewne przyszedł popatrzeć na wymarsz swojej wspaniałej armii. Dopiero gdy entowie wtargnęli do twierdzy, wziął nogi za pas. Zrazu nikt go nie spostrzegł. Noc jednak rozpogodziła się i gwiazdy jasno świeciły, a to wystarcza oczom entów. Nagle Żwawiec krzyknął: „Morderca drzew! Morderca drzew!”. Żwawiec ma serce łagodne, lecz dlatego właśnie pała nienawiścią do Sarumana, wielu bowiem jego współbraci ucierpiało okrutnie od orkowych toporów. Pędem rzucił się naprzód po ścieżce prowadzącej do wewnętrznych wrót, a biega bardzo szybko, gdy gniew go ponosi. Nikła postać czarodzieja migała nam w oczach, to wynurzając się, to niknąc w cieniu słupów; Saruman dopadł schodów pod wieżą w ostatnim momencie. Jeszcze chwila, a byłby go Żwawiec dogonił i zmiażdżył; był o krok za nim, gdy tamten wśliznął się w drzwi i zatrzasnął je błyskawicznie.

Saruman znalazł się więc bezpieczny w wieży i wkrótce potem uruchomił swoje ukochane machiny. Wielu entów było już wówczas wewnątrz murów Isengardu; jedni pobiegli tropem Żwawca, inni wtargnęli od północy i wschodu. Buszowali po kotlinie, niszcząc, co się dało. Nagle buchnęły płomienie i cuchnące dymy. Wszystkie otwory i szyby zionęły ogniem. Niejeden ent doznał ciężkich oparzeń. Niejaki Brzozowiec, jeśli dobrze zrozumiałem jego imię, wysoki, piękny ent, dostał się w strugę tryskającego płynnego ognia i spłonął jak pochodnia. Straszny to był widok.

Entów ogarnęło istne szaleństwo. Przedtem wydawali się wzburzeni, lecz w owej chwili przekonałem się, że to była tylko przygrywka. Teraz dopiero zobaczyłem, jak wygląda prawdziwy gniew entów. Zakotłowało się wszystko. Ryczeli, pohukiwali, trąbili, tak że od samego zgiełku kamienie pękały. My obaj z Merrym leżeliśmy na ziemi, zatykając płaszczami uszy.

Entowie zaś miotali się tam i sam po skałach wokół Orthanku z hukiem, szumem i wyciem huraganu, druzgocąc słupy, lawinami głazów zasypując szyby; ciężkie kamienne płyty fruwały niby liście w powietrzu. Wieża tkwiła jak gdyby w oku cyklonu. Widziałem, jak żelazne belki i bryły skalne wzlatywały na setki stóp w górę, waląc w okna Orthanku. Drzewiec jednak nie stracił głowy. Na szczęście nie tknęły go płomienie. Nie chciał, żeby jego współbracia narażali się w furii walki na rany, i obawiał się, że Saruman skorzysta z zamętu, żeby uciec przez jakąś dziurę. Tłum entów napierał, lecz skała Orthanku nie uległa. Gładka jest i twarda. Może tkwi w niej jakaś czarodziejska moc, dawniejsza jeszcze i potężniejsza niż władza Sarumana. To pewne, że entowie nie mogli jej pokonać ani nawet zadrasnąć, kaleczyli się tylko i tłukli o jej ściany.

Drzewiec wystąpił na środek i krzyknął. Jego potężny głos wybił się nad zgiełk bitwy. Nagle zapadła głucha cisza. I wśród tej ciszy z górnego okna wieży rozległ się przeraźliwy, świdrujący śmiech. Dziwne to zrobiło na entach wrażenie. Przed chwilą kipieli, teraz błyskawicznie ostygli, ucichli, jakby ścięci lodem. Opuścili plac przed wieżą, skupili się wokół Drzewca, znieruchomieli. On zaś przemówił do nich w ich własnym języku; myślę, że tłumaczył im plan z dawna ułożony w jego sędziwej głowie. Potem wszyscy się po prostu rozpłynęli cicho w szarym brzasku. Bo dzień już wtedy świtał.

Przypuszczam, że rozstawili czaty wokół wieży, ale wartownicy tak się ukryli w cieniu i tak cicho się zachowywali, że nie mogłem ich dostrzec. Inni odeszli ku północy. Przez cały dzień zajmowała ich tam jakaś robota i nie było ich widać. O nas dwóch nikt się nie troszczył. Dzień wlókł się ponuro. Trochę kręciliśmy się po kotlinie, lecz uważając, by nas z wieży nikt nie mógł zobaczyć, bo okna jej patrzyły ku nam bardzo groźnie. Sporo czasu zajęło nam poszukiwanie jakiegoś prowiantu. Gawędziliśmy też, zastanawiając się, co tymczasem dzieje się na południu, w Rohanie, i co mogło się stać z resztą naszej drużyny. Od czasu do czasu dochodził do naszych uszu z oddali grzechot walących się kamieni i głuchy łoskot odbijający się echem wśród gór.

Po południu wyszliśmy poza krąg murów, żeby zbadać, co się dzieje wkoło nas. U wylotu doliny czerniał ogromny las huornów, drugi otaczał północną ścianę. Nie odważyliśmy się wejść w jego cień. Słychać było w gąszczu jakieś hałasy, coś tam rozdzierano, wleczono. Entowie i huornowie

kopali ogromne jamy i rowy, budowali zbiorniki i tamy, łączyli wody Iseny i wszystkich innych potoków czy strumieni. Zostawiliśmy ich przy tej robocie. O zmierzchu wrócił pod bramę Drzewiec. Podśpiewywał, mruczał coś do siebie, zdawał się zadowolony. Przeciągnął się, rozprostował długie ramiona i nogi, odetchnął głęboko. Zapytałem, czy jest zmęczony.

– Zmęczony? – powtórzył. – Zmęczony? Nie, nie jestem zmęczony, tylko trochę zdrętwiałem. Przydałby mi się łyk wody z Rzeki Entów. Ciężką mieliśmy robotę. Przez długie lata nie nałupaliśmy tyle kamieni, nie przerobiliśmy tyle ziemi, co przez dzisiejszy dzień. Ale wszystko już prawie gotowe. Kiedy noc zapadnie, radzę wam nie kręcić się w pobliżu bramy ani w starym tunelu. Woda pewnie sięgnie aż tutaj, a będzie to plugawa woda, przynajmniej na razie, dopóki cały brud Sarumana nie spłynie. Wtedy Isena znowu będzie czysta.

Mówiąc, Drzewiec od niechcenia, jakby dla zabawy, rozbijał dalej mur.

Zastanawialiśmy się właśnie, gdzie by tu najbezpieczniej położyć się do snu, gdy stało się coś nieoczekiwanego. Od gościńca zatętniły końskie kopyta, jakiś jeździec zbliżał się galopem. Obaj z Meriadokiem leżeliśmy cichutko, a Drzewiec schował się w cień pod sklepieniem bramy. Nagle między nas wpadł niby srebrna strzała ogromny rumak. Mimo zmroku widziałem wyraźnie twarz jeźdźca. Zdawało się, że bije od niej blask, a cała postać ubrana była w biel. Poderwałem się, wlepiłem w niego oczy, otwarłem usta. Chciałem krzyknąć, lecz nie mogłem dobyć głosu.

Dobrze, że nie krzyknąłem. Bo jeździec zatrzymał się tuż i spojrzał na nas z góry.

– Gandalf! – zdołałem wreszcie wymówić, chociaż tylko szeptem. Czy myślicie, że odpowiedział: „Dobry wieczór, Pippinie! Cóż za miła niespodzianka?”. Wcale nie! Powiedział: – Wstawaj, Tuku, bęcwale jeden! Gdzie, u diaska, podziewa się Drzewiec wśród tego rumowiska? Mam do niego sprawę. I to pilną!

Drzewiec poznał jego głos i zaraz wyszedł z cienia. Osobliwe to było spotkanie. Nie mogłem się nadziwić, że żaden z nich nie był nim zdziwiony. Najwidoczniej Gandalf spodziewał się zastać Drzewca na tym miejscu, a Drzewiec może nawet dlatego marudził pod bramą, że liczył na przyjazd Gandalfa. A przecież opowiedzieliśmy staremu entowi o przygodzie w Morii. Przypomniałem sobie dopiero wtedy, że słuchając tej części naszego sprawozdania, Drzewiec dziwnie na nas jakoś patrzył. Tylko

tak mogę to sobie tłumaczyć, że widywał się z Gandalfem albo miał o nim wiadomości, lecz nie chciał nam o tym przedwcześnie mówić. „Nie bądźmy zbyt pochopni” – to jego hasło. Co prawda nikt, nawet elfowie, nie mówi o poczynaniach Gandalfa pod jego nieobecność.

– Hm, Gandalf! – rzekł Drzewiec. – Cieszę się, że przyjechałeś. Z wodą i lasem, z korzeniami i kamieniem sam sobie poradzę, tu jednak trzeba się uporać z czarodziejem.

– To ja potrzebuję twojej pomocy – odparł Gandalf. – Zrobiłeś dużo, ale jest więcej jeszcze do zrobienia. Trzeba rozgromić dziesięć tysięcy orków.

Odeszli na bok, żeby naradzić się w jakimś zakątku. Musiało to Drzewcowi wydać się bardzo pochopne, bo Gandalfowi było tak pilno, że zaczął mówić strasznie szybko, zanim jeszcze znaleźli się poza zasięgiem naszych uszu. Narada trwała kilkanaście minut, może kwadrans. Potem Gandalf wrócił do nas, zdawał się spokojniejszy, niemal wesół. Wtedy nareszcie powiedział, że cieszy się ze spotkania z nami.

– Gandalfie! – zawołałem. – Gdzieżeś ty bywał? Czy widziałeś naszych przyjaciół?

– Gdziekolwiek byłem, wróciłem! – odparł po swojemu wesoło. – Tak, spotkałem się też z innymi. Ale nie czas teraz na pogawędkę. Groźna to noc, muszę zaraz jechać. Może świt przyniesie odmianę, a w takim razie zobaczymy się znowu. Bądźcie ostrożni i trzymajcie się z dala od Orthanku. Do widzenia!

Drzewiec po odjeździe Gandalfa pogrążył się w zadumie.

Najoczywiściej dowiedział się w tak krótkim czasie tylu nowin, że musiał je przetrawić. Popatrzył na nas i rzekł:

– Hm, przekonuję się, że nie jesteście tacy pochopni, jak myślałem. Powiedzieliście mi trochę mniej, niż mogliście, a na pewno nie więcej, niż wam było wolno. Hm, nowiny, nowiny, nie ma co mówić! No, ale teraz Drzewiec weźmie się znów do roboty!

Nim nas opuścił, podzielił się z nami najświeższymi wiadomościami. Nie były zbyt pocieszające. Na razie jednak więcej myśleliśmy o was trzech niż o Frodzie i Samie czy o biednym Boromirze. Bo wiedzieliśmy, że wielka bitwa już toczy się albo wybuchnie lada godzina i że weźmiecie w niej udział, i kto wie, czy z niej wyjdziecie żywi.

– Huornowie pomogą – rzekł Drzewiec. Potem odszedł i nie zobaczyliśmy go aż do dzisiejszego ranka.

Noc była ciemna. Leżąc na szczycie kamiennego usypiska, nic wokół nie widzieliśmy. Wszystko spowijały mgły, czy może cienie jak olbrzymia zasłona. Otaczało nas powietrze gorące i ciężkie, pełne szelestów, skrzypienia, szeptów, jakby unosiły się w nim jakieś głosy. Myślę, że setki huornów przeciągnęły koło nas, spiesząc na odsiecz Rohirrimom. W późniejszych godzinach od strony południa grzmiało potężnie i daleko nad Rohanem niebo błyskało od piorunów. W ich świetle ukazywały nam się od czasu do czasu odległe góry; czarne i białe szczyty nagle zjawiały się na tle nieba i zaraz znikały w ciemności. Z przeciwnej strony, znad Isengardu, także rozlegały się grzmoty, ale inne. Chwilami cała dolina grała echem.

Jakoś około północy entowie rozbili tamy i zgromadzona masa wody runęła przez wyrwę w północnym murze na Isengard. Cień huornów rozproszył się, grzmot oddalił. Księżyc zniżał się nad góry na zachodzie.

Czarne strugi i kałuże rozpełzły się po całym Kręgu Isengardu. Połyskując w ostatnich blaskach księżyca, rozszerzały się i wypełniały kotlinę. Tu i ówdzie natrafiały na otwarte szyby i wyloty podziemnych przejść; wzbijały się z nich białe syczące obłoki, dym kłębił się grubymi zwałami. Tryskały słupy ognia. Ogromna smuga zwełnionej pary dosięgła Orthanku i owinęła się wokół wieży, która sterczała jak szczyt w chmurach, od dołu rozświetlona łuną, od góry poświatą księżyca. Woda tymczasem wzbierała i toczyła się dalej, aż cały Isengard zamienił się w olbrzymią płaską misę, dymiącą i bulgocącą.

– Zeszłej nocy, gdy stanęliśmy u wylotu Nan Curunír, widzieliśmy z daleka dymy i opary – rzekł Aragorn. – Obawialiśmy się, że to Saruman przygotowuje w swoim kotle jakieś diabelskie sztuki na nasze powitanie.

– Nic podobnego! – odparł Pippin. – Już wtedy nie myślał o sztuczkach, lecz dusił się pewnie z wściekłości. Rano – wczoraj rano – woda wypełniła wszystkie dziury i kotlinę zaległa gęsta mgła. Schroniliśmy się do kordegardy w bramie, trochę wystraszeni. Jezioro przelewało się przez brzegi i stary tunel już był pod wodą, która szybko wzbierała, sięgając schodów. Strach nas zdjął, że wpadliśmy razem z orkami w pułapkę. Znaleźliśmy jednak za spiżarnią drugie kręcone schody, które nas wyprowadziły na szczyt bramy. Ledwie się tam przecisnęliśmy, bo przejścia były zawalone kamieniami i gruzem. Wreszcie usiedliśmy wysoko ponad

rozlaną wodą i spojrzeliśmy na zatopiony Isengard. Entowie wciąż jeszcze puszczali nowe fale wody, póki wszystkie pieczary nie wypełniły się i wszystkie ognie nie zgasły. Opary z wolna skupiały się i unosiły na kształt olbrzymiego parasola z chmur, unoszącego się co najmniej na milę ponad ziemią. Wieczorem nad wschodnią ścianą gór pokazała się ogromna tęcza, a potem rzęsisty deszcz spadł na przeciwległe stoki i przesłonił zachodzące słońce. Zrobiło się cicho, tylko gdzieś daleko wyły wilki. W nocy entowie zamknęli upusty i zawrócili Isenę w jej dawne łożysko. Było po wszystkim.

Potem wody zaczęły opadać. Pod ziemią musi być chyba jakiś odpływ z lochów. Jeżeli Saruman wyglądał którymś oknem z wieży, zobaczył ponury, brudny śmietnik. Czuliśmy się bardzo samotni. Wśród gruzów nie pokazał się ani jeden ent, nie było z kim pogadać ani od kogo dowiedzieć się nowin. Spędziliśmy bezsenną noc na szczycie bramy, drżąc z zimna i wilgoci. Mieliśmy wrażenie, że lada chwila stanie się coś niezwykłego. Saruman dotychczas jest w swojej wieży. W nocy słyszeliśmy hałas, jakby wicher dął w dolinie. Myślę, że to huornowie, którzy przedtem odeszli, powrócili; nie mam jednak pojęcia, dokąd chadzali. Był mglisty, dżdżysty ranek, kiedy wreszcie zeszliśmy na dół i rozejrzeli się wkoło; nikogo jednak nie było w pobliżu. Więcej już chyba nie mam nic do opowiedzenia. Teraz, po wczorajszym zgiełku i zamęcie, Isengard wydaje mi się niemal zupełnie spokojny, a w dodatku bezpieczny, skoro Gandalf jest znów z nami. Chętnie bym się przespał.

Wszyscy na chwilę umilkli. Gimli po raz drugi napchał tytoniem fajkę.

– Jednej jeszcze rzeczy nie rozumiem – rzekł, zapalając ją za pomocą hubki i krzesiwa. – Mówiłeś Théodenowi, że Gadzi Język jest u Sarumana. Jak się tam dostał?

– Rzeczywiście, zapomniałem opowiedzieć o tym – odparł Pippin. – Przyszedł dopiero dzisiaj rano. Rozpaliliśmy właśnie ogień i zjedli jakie takie śniadanie, kiedy zjawił się Drzewiec. Usłyszeliśmy jego głos, bo pohukiwał i wołał nas po imieniu.

– Przybywam, żeby sprawdzić, co porabiacie – rzekł – no i wyjaśnić wam, co się dzieje. Huornowie wrócili. Wszystko poszło dobrze, tak, tak, nawet bardzo dobrze! – Ze śmiechem poklepał się po udach. – Nie ma już w Isengardzie orków, nie ma siekier! A zanim ten dzień przeminie,

będziemy mieli gości z południa, między nimi takich, którymi bardzo się ucieszycie.

Ledwie skończył mówić, na gościńcu zatętniły kopyta. Wybiegliśmy przed bramę; wypatrywałem oczy, bo myślałem, że ujrzę cwałujących na czele armii Gandalfa i Obieżyświata. Zamiast nich wychynął z mgły nieznajomy człowiek na starej, zmęczonej szkapie, trochę pokraczny. Jechał sam. Kiedy mgła przed nim się rozstąpiła, zobaczył nagle bramę w gruzach i rozwalony mur, więc stanął jak wryty, a twarz mu niemal pozieleniała. Tak był oszołomiony, że zrazu wcale nas nie zauważył. Dopiero po chwili spojrzał na nas, wrzasnął i chciał zawrócić konia, żeby zwiać. Drzewiec jednak zrobił trzy kroki naprzód, wyciągnął swoje długie ramię i zdjął go z siodła. Koń, przerażony, dał szczupaka, człowiek znalazł się na ziemi. Leżąc plackiem, przedstawił się jako Gríma, przyjaciel i doradca króla; twierdził, że Théoden przysłał go z ważnym poselstwem do Sarumana.

– Nikt inny nie odważyłby się jechać przez otwarty step, rojący się od orków – mówił. – Dlatego musiałem się tego podjąć sam. Jestem głodny i znużony po niebezpiecznej podróży. Nadłożyłem wiele drogi, skręcając na północ, bo ścigały mnie wilki.

Przyłapałem jednak spojrzenie, które rzucał ukradkiem na Drzewca, i powiedziałem sobie: „To kłamca”. Drzewiec przyglądał mu się długą chwilę, po swojemu uparcie i przeciągle, a nieszczęśnik wił się pod tym wzrokiem jak piskorz. Wreszcie ent przemówił:

– Ha, hm… Spodziewałem się ciebie, Gadzi Języku! – Tamten wzdrygnął się, słysząc to przezwisko. – Gandalf przybył przed tobą. Dzięki niemu wiem o tobie tyle, ile wiedzieć należy, i wiem też, jak z tobą postąpić. „Zamknij wszystkie szczury w jednej pułapce” – radził mi Gandalf. Posłucham jego rady. Isengardem ja teraz rządzę, lecz Saruman jest w swojej wieży. Możesz iść tam do niego i powiedzieć mu wszystko, co ci na myśl przyjdzie.

– Przepuść mnie! – rzekł Gadzi Język. – Znam drogę.

– Znałeś ją, o tym nie wątpię – odparł Drzewiec. – Ale trochę się tutaj ostatnio zmieniło. Wejdź i zobacz!

Przepuścił go. Gadzi Język pokuśtykał pod bramę, a my szliśmy za nim. Kiedy znalazł się wewnątrz kręgu murów i zobaczył spustoszenie, które dzieliło go od Orthanku, odwrócił się do nas.

– Pozwólcie mi stąd odejść! – zaskomlał. – Pozwólcie mi odejść! Moje poselstwo jest już teraz bezcelowe.

– To prawda – przyznał Drzewiec. – Ale masz do wyboru albo czekać ze mną na przybycie Gandalfa i twojego króla, albo przeprawić się przez ten zalew. Co wolisz?

Gadzi Język zadrżał na wspomnienie króla i postąpił krok naprzód, zanurzając jedną nogę w wodzie. Zatrzymał się jednak.

– Nie umiem pływać – rzekł.

– Woda nie jest głęboka – odparł Drzewiec. – Bardzo tylko brudna, ale to nie powinno ci przeszkadzać. Dalejże!

Wtedy nieszczęśnik wlazł w topiel. Zanim go straciłem z oczu, nurzał się już po brodę. Potem znów mignął mi z daleka, przylepiony do jakiejś starej beczki, czy może kłody. Drzewiec wszakże wszedł za nim do wody i śledził tę żeglugę.

– No, dostał się do Orthanku – powiedział, gdy wrócił do nas. – Widziałem, jak wczołgiwał się na schody niby zmokły szczur. Ktoś czuwa w wieży, bo wysunęła się z niej ręka i wciągnęła gościa do wnętrza. Jest więc w Orthanku i mam nadzieję, że przyjęto go tam mile. Ale teraz muszę się opłukać ze szlamu i brudu. Gdyby ktoś o mnie pytał, będę na północnym stoku. Tutaj nie ma wody dość czystej, żeby ent mógł się napić albo wykąpać. Proszę was, trzymajcie tymczasem straż przy bramie, a wypatrujcie gości. Będzie między nimi władca stepów Rohanu. Powinniście go przywitać, jak umiecie najgodniej. Pamiętajcie, że jego wojsko stoczyło wielką bitwę z orkami. Myślę, że lepiej niż entowie znacie słowa, którymi wypada przyjąć tak dostojnego monarchę. Odkąd żyję, wielu władców panowało nad zielonymi łąkami tego kraju, ale nie nauczyłem się nigdy ich mowy ani nie zapamiętałem imion. Będzie trzeba poczęstować ich ludzkim jedzeniem, a na tym także znacie się z pewnością lepiej ode mnie. Postarajcie się znaleźć prowianty stosowne, waszym zdaniem, dla króla.

Na tym koniec opowieści. Z kolei może wy mnie powiecie, co to za jeden ów Gadzi Język. Czy naprawdę był królewskim doradcą?

– Tak – odparł Aragorn – ale zarazem szpiegiem Sarumana i jego sługą w Rohanie. Los obszedł się z nim surowo, lecz zasłużył sobie na to. Sam widok ruin tej potęgi, którą uważał za niezwyciężoną i wspaniałą, jest

chyba dostateczną dla niego karą. Obawiam się jednak, że czeka go jeszcze gorsza.

– I ja myślę, że Drzewiec, wyprawiając go do Orthanku, nie zrobił tego z dobroci serca – powiedział Merry. – Miałem wrażenie, że znajduje w tym jakąś ponurą uciechę, bo śmiał się do siebie, odchodząc na poszukiwanie napoju i kąpieli. Mieliśmy potem pełne ręce roboty, wyławiając z wody co się dało i szperając po okolicy. W różnych miejscach nieopodal znaleźliśmy parę spiżarni wzniesionych ponad poziom zalewu. Ale Drzewiec przysłał entów, którzy zabrali sporo zapasów i wszelkiego dobra.

– Potrzebujemy ludzkiego jedzenia dla dwustu pięciu ludzi – oznajmili. Z tego widać, że policzyli królewską kompanię dokładnie jeszcze przed waszym przybyciem. Was trzech zamierzano oczywiście podejmować razem z najdostojniejszymi gośćmi. Nie straciliście jednak, ucztując z nami. Zatrzymaliśmy na wszelki wypadek połowę zapasów. Nawet lepszą połowę, bo w tamtej nie było wina.

– Weźmiecie trunki? – spytałem entów.

– W Isenie jest woda – odpowiedzieli. – To wystarczy dla entów i ludzi.

Mam nadzieję, że entowie zdążyli przyprawić po swojemu napoje z górskich źródeł i że Gandalf wróci do nas z brodą bujniejszą i kędzierzawą. Po odejściu entów czuliśmy się bardzo zmęczeni i głodni, lecz nie narzekaliśmy, bo nasz trud przyniósł obfite owoce. Właśnie przy poszukiwaniu prowiantów dla ludzi Pippin odkrył najcenniejszy łup: beczułki z pieczęciami Hornblowerów. „Fajka smakuje najlepiej po dobrym obiedzie” – stwierdził. W ten sposób doszło do sytuacji, w której nas zastaliście.

– Teraz wszystko doskonale rozumiemy – rzekł Gimli.

– Z wyjątkiem jednego szczegółu – powiedział Aragorn. – Jakim sposobem liście z Południowej Ćwiartki dostały się do Isengardu? Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mnie to dziwi. W Isengardzie, co prawda, nigdy przedtem nie byłem, ale znam dobrze wszystkie kraje leżące między Rohanem a Shire’em. Od wielu lat nie wędrują tą drogą ani podróżni, ani towary, chyba że ukradkiem. Obawiam się, że Saruman ma w Shire jakiegoś potajemnego sojusznika. Nie tylko na dworze króla Théodena można spotkać Gadzie Języki! Czy na beczułkach były wypisane jakieś daty?

– Były – odparł Pippin. – Liście pochodzą z roku 1417, czyli z ostatnich zbiorów… Co też ja mówię! Z zeszłego roku. Urodzaj był wtedy piękny.

– No, tak. Jeśli kryła się w tym jakaś nikczemność, należy już bądź co bądź do przeszłości, a w każdym razie nie możemy na nią teraz zaradzić – rzekł Aragorn. – Mimo wszystko wspomnę o tym Gandalfowi, chociaż wśród jego wielkich spraw ten szczegół może wyda się błahy.

– Ciekawe, co Gandalf tam robi tak długo – zastanawiał się Merry. – Wieczór się zbliża. Chodźmy trochę się przejść. Skoro nigdy tu nie byłeś, Obieżyświacie, masz teraz, jeśli chcesz, wolny wstęp do Isengardu. Uprzedzam cię, że widok jest niewesoły.

ROZDZIAŁ 10
GŁOS SARUMANA

Przeszli przez zburzony tunel i stanęli na stosie gruzów, żeby przyjrzeć się czarnej skale Orthanku i jej niezliczonym oknom, wciąż jeszcze wznoszącym się jak groźba nad okolicznym spustoszeniem. Woda niemal zupełnie już opadła. Tu i ówdzie zostały ciemne kałuże pełne szumowin i szczątków, lecz większa część ogromnego kręgu rozpościerała się znów naga, oślizła od mułu, zasypana rumowiskiem, podziurawiona czarnymi studniami, poprzegradzana leżącymi bezładnie i pogiętymi słupami czy filarami. Na krawędzi tej strzaskanej misy piętrzyły się rozległe stoki i kopce, jak zwały żwiru i kamieni wyrzuconych na brzeg przez straszliwą burzę. Dalej zielona i kręta dolina zwężała się w długi czarny wąwóz, objęty dwoma ciemnymi ramionami gór. Środkiem spustoszonej kotliny przedzierała się grupa jeźdźców, zmierzali od północy i byli już blisko Orthanku.

– To Gandalf i Théoden ze swoją kompanią – rzekł Legolas. – Chodźmy do nich!

– Uważajcie! – ostrzegł Merry. – Trzeba iść bardzo ostrożnie. Pełno tu chwiejnych płyt, jeśli na którą nastąpicie, może was odrzucić prosto w jakąś dziurę!

Trzymali się śladów dawnej drogi wiodącej od bramy do wieży i posuwali się wolno, bruk bowiem był spękany i oślizły. Jeźdźcy, spostrzegłszy idących, wstrzymali konie w cieniu skały i czekali, a Gandalf wysunął się na ich spotkanie.

– Odbyłem z Drzewcem bardzo interesującą rozmowę i ułożyliśmy dalsze plany – powiedział. – Zażyliśmy też bardzo pożądanego odpoczynku. Czas ruszać znów w drogę. Mam nadzieję, że wy również najedliście się i odpoczęli?

– Owszem – odparł Merry. – Ale nasze rozmowy zaczęły się od fajki i na fajce się skończyły. Mimo to nasza złość na Sarumana nieco ostygła.

– Doprawdy? – rzekł Gandalf. – Moja jest równie gorąca jak przedtem. Zanim stąd odjadę, muszę dopełnić jednego jeszcze obowiązku: złożę

Sarumanowi pożegnalną wizytę. Niebezpieczna i prawdopodobnie daremna próba, lecz nie wolno jej zaniechać. Kto ma ochotę, może mi towarzyszyć, pamiętajcie jednak – bez żartów. Nie pora na to.

– Ja pójdę – rzekł Gimli. – Chcę go zobaczyć i przekonać się, czy rzeczywiście jest do ciebie podobny.

– Jakże się o tym przekonasz, panie krasnoludzie? – odpowiedział Gandalf. – Saruman może dla twoich oczu upodobnić się do mnie, jeżeli to uzna za potrzebne, żeby cię użyć do swoich planów. Czyś zmądrzał już na tyle, żeby poznać się na jego oszustwach? Ano, zobaczymy. Możliwe też, że nie zechce pokazać się tak wielu różnym oczom naraz. Poleciłem jednak entom usunąć się tak, żeby ich nie widział, może więc da się namówić i wyjdzie z wieży.

– Na czym polega niebezpieczeństwo? – spytał Pippin. – Czy będzie do nas strzelał albo prażył ogniem z okien, czy też rzuci urok z daleka?

– To ostatnie niebezpieczeństwo jest najbardziej prawdopodobne, jeżeli podejdziesz pod jego drzwi z lekkim sercem – odparł Gandalf. – Nie sposób wszakże przewidzieć, jaką ma jeszcze moc i czego zechce próbować. Osaczona bestia zawsze jest groźna. A Saruman rozporządza władzą, o jakiej wy nie macie nawet pojęcia. Strzeżcie się jego głosu!

Stanęli u stóp Orthanku. Wznosił się, czarny, a skała lśniła wilgocią. Ściany kamiennego wieloboku miały krawędzie ostre, jak gdyby świeżo wyszlifowane. Wściekły atak entów zostawił na nich ledwie parę szram i odłupanych, drobnych jak łuska drzazg w podstawie wieży.

Od wschodu, w narożniku utworzonym przez dwa filary, były ogromne drzwi, wzniesione wysoko nad ziemią. Ponad nimi zasłonięte okiennicą okno otwierało się na ganek, chroniony żelazną kratą. Dwadzieścia siedem szerokich stopni, wykutych niezwykłą sztuką w jednym czarnym kamieniu, prowadziło na próg. Było to jedyne wejście do wieży, lecz mnóstwo okien wyzierało z głębokich wnęk na całej wysokości ścian; najwyższe wyglądały niby oczy otwarte w gładkiej powierzchni wygiętego na kształt rogów szczytu. U stóp schodów Gandalf i król zsiedli z koni.

– Ja wejdę wyżej – rzekł Gandalf. – Byłem w Orthanku i zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mi tutaj grozi.

– Pójdę z tobą – oświadczył król. – Jestem stary i nie lękam się już niczego. Chcę rozmówić się z przeciwnikiem, który wyrządził mi tyle złego. Éomer będzie mi towarzyszył, wspierając, gdyby moje stare nogi zawiodły.

– Twoja wola – odparł Gandalf. – Ze mną pójdzie Aragorn. Inni niech czekają u stóp schodów. Będą z tego miejsca słyszeli i widzieli dość, jeżeli w ogóle będzie czego słuchać i na co patrzeć.

– Nie! – zaprotestował Gimli. – Obaj z Legolasem chcemy wszystko widzieć z bliska. Jesteśmy tu jedynymi przedstawicielami naszych plemion. Pójdziemy z tobą.

– A więc dobrze! – zgodził się Gandalf. Zaczął wspinać się po schodach, a król szedł u jego boku.

Jeźdźcy Rohanu, zgrupowani po obu stronach schodów, niespokojnie kręcili się w siodłach i posępnie patrzyli na wieżę, lękając się o los swojego króla. Merry i Pippin przycupnęli na najniższym stopniu; nie czuli się tutaj ani potrzebni, ani bezpieczni.

– Stąd do bramy jest co najmniej pół mili – mruknął Pippin. – Chętnie bym ukradkiem pomknął do naszej kordegardy. Po cośmy tu przyszli? Nikt nas nie potrzebuje.

Gandalf stanął przed drzwiami Orthanku i zapukał w nie różdżką. Drzwi zadudniły głucho.

– Sarumanie! Sarumanie! – krzyknął Gandalf głośno i rozkazująco. – Wyjdź do nas, Sarumanie!

Długo nie było odpowiedzi. Wreszcie w oknie nad wejściem uchyliły się okiennice, lecz nikt się nie pokazał w ciemnym otworze.

– Kto tam? – zapytał ktoś z wnętrza. – Czego chcecie?

Théoden wzdrygnął się.

– Poznaję ten głos – rzekł. – Przeklinam dzień, w którym go po raz pierwszy posłuchałem.

– Sprowadź Sarumana, skoro zostałeś teraz jego sługusem, Grímo Gadzi Języku! – zawołał Gandalf. – Nie trać na próżno czasu!

Okno zamknęło się znowu. Czekali. Nagle z wieży przemówił inny głos, niski i melodyjny. Samo jego brzmienie rzucało czar. Kto słuchał nieopatrznie tego głosu, nie umiał zwykle powtórzyć zasłyszanych słów, a

jeśli je powtarzał, ze zdziwieniem stwierdzał, że w jego własnych ustach niewiele zachowały siły. Najczęściej pamiętał jedynie, że słuchanie ich sprawiało mu rozkosz, że zdawały się mądre i słuszne i że gorliwie pragnął im przytakiwać, by okazać się równie mądrym. Wszystko, co mówili inni, brzmiało przez kontrast szorstko i prostacko, a jeżeli sprzeciwiało się głosowi Sarumana, wzniecało gniew w sercu oczarowanego. Nad niektórymi słuchaczami czar panował tylko dopóty, dopóki Saruman mówił do nich, kiedy zaś zwracał się do innych, uśmiechali się jak ktoś, kto przejrzał na wylot sztuki kuglarza, budzące zachwyt i zdumienie w niedoświadczonych widzach. Wielu jednak sam dźwięk tego głosu ujarzmiał, a jeśli czar nimi zawładnął, nawet z dala od Sarumana słyszeli wciąż jego słodkie podszepty i natrętne polecenia. Nikt w każdym razie nie mógł słuchać tego głosu obojętnie. Nikt nie mógł bez wielkiego wysiłku umysłu i woli odtrącić jego próśb czy rozkazów, dopóki Saruman władał swoim czarodziejskim głosem.

– O co chodzi? – zapytał bardzo łagodnie. – Dlaczego zakłócacie mój spoczynek? Czy nie dacie mi chwili spokoju w dzień ani w nocy?

Mówił to wszystko tonem istoty dobrotliwej, rozżalonej niezasłużoną zniewagą.

Zaskoczeni spojrzeli na wieżę, bo nie słyszeli żadnego szmeru, kiedy Saruman wychodził na ganek. Stał u kraty, przyglądając im się z góry, spowity w obszerny płaszcz, którego koloru nie umieli określić, bo za każdym poruszeniem mienił się w ich oczach coraz to inną barwą. Saruman twarz miał długą, czoło wysokie, oczy głębokie i ciemne, nieodgadnione, w tej chwili jednak zdawały się poważne, życzliwe i trochę znużone. W siwych włosach i brodzie pozostały jeszcze koło ust i uszu ciemne pasma.

– Podobny i niepodobny – mruknął Gimli.

– Porozmawiajmy jednak – ciągnął dalej łagodny głos. – Dwóch przynajmniej z was znam z imienia. Gandalfa znam nawet tak dobrze, że nie łudzę się nadzieją, iż szuka u mnie pomocy lub rady. Lecz ty, Théodenie, władco Rohanu, słyniesz ze szlachetnych czynów, a bardziej jeszcze z pięknej odwagi, cnoty rodu Eorla. O, godny synu Thengla, po trzykroć wsławionego! Czemuż nie przybyłeś tu wcześniej i jako przyjaciel? Gorąco pragnąłem ujrzeć cię, najpotężniejszy królu zachodnich krajów, szczególnie ostatnimi laty, chciałem bowiem ostrzec cię przed nieroztropnymi i złymi doradcami, którzy cię otoczyli. Czy dziś jest już za

późno? Mimo krzywd, które mi wyrządzono, a do których, niestety, ludzie z Rohanu przyłożyli również rękę, gotów jestem ratować cię i ocalić od zguby, nieuchronnej, jeśli nie zawrócisz z obranej na swoje nieszczęście drogi. Wierz mi, tylko ja mogę ci teraz pomóc.

Théoden już otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz rozmyślił się widać, bo nie rzekł nic. Podniósł wzrok w górę i popatrzył w wychyloną z ganku twarz Sarumana, w jego ciemne, poważne oczy; potem spojrzał na stojącego tuż obok Gandalfa. Widać było, że król jest w rozterce. Gandalf jednak nie drgnął nawet. Stał milczący, skamieniały, jak ktoś, kto cierpliwie czeka na wezwanie. Jeźdźcy poruszyli się w siodłach, zaczęli szeptać między sobą, pochwalając słowa Sarumana, ale po chwili umilkli i znieruchomieli, urzeczeni. Myśleli, że Gandalf nigdy nie przemawiał do ich króla tak pięknie i tak grzecznie. Wydało im się, że od początku traktował Théodena szorstko i dumnie. Cień zakradł się do ich serc, strach przed okropnym niebezpieczeństwem, przed zagładą Rohanu, przed ciemnością, ku której popycha ich Gandalf, podczas gdy Saruman stoi u jedynych drzwi prowadzących do szczęśliwej przyszłości i uchyla je, aby przepuścić promień nadziei. Zapadło ciężkie milczenie.

Przerwał je nagle krasnolud Gimli.

– Ten czarodziej używa mowy na opak – mruknął, ściskając trzonek toporka w garści. – W języku Orthanku „pomoc” znaczy „zguba”, a „ratować” znaczy „zabijać”, to jasne. Ale my nie przyszliśmy tu żebrać.

– Spokojnie – rzekł Saruman i na krótką chwilę głos jego stracił słodycz, a w oczach błysnęły płomyki. – Tymczasem nie mówię jeszcze do ciebie, Gimli, synu Glóina. Ojczyzna twoja leży daleko stąd i mało cię obchodzą sprawy tej krainy. Lecz wiem, że nie z własnej ochoty zostałeś w nie uwikłany, nie będę więc potępiał cię za rolę, którą odegrałeś, zresztą bardzo mężnie, o tym nie wątpię. Proszę cię jednak, nie przeszkadzaj, gdy rozmawiam z królem Rohanu, moim sąsiadem i do niedawna przyjacielem. Cóż mi odpowiesz, Théodenie? Czy pragniesz pokoju między nami i wszelkiej pomocy, jakiej może ci udzielić moja mądrość, oparta na wiekowym doświadczeniu? Czy chcesz, abyśmy wspólnie naradzili się, jak działać w tych dniach grozy, jak naprawić wyrządzone sobie wzajemnie krzywdy i dołożyć najlepszej woli, żeby oba nasze państwa rozkwitły piękniej niż kiedykolwiek?

Théoden i tym razem nie odpowiedział. Trudno było odgadnąć, czy zmaga się z gniewem, czy też z wątpliwościami. Odezwał się natomiast Éomer.

– Posłuchaj mnie, królu – rzekł. – Zawisło nad nami niebezpieczeństwo, przed którym nas przestrzegano. Czy po to walczyliśmy i zwyciężyli, żeby dać się teraz obałamucić staremu kłamcy, który miodem posmarował swój jadowity język? Tak samo przemawiałby wilk osaczony przez sforę, gdyby umiał mówić. Jaką pomoc może ci ofiarować? Chodzi mu jedynie o to, by ocalić własną skórę z tej klęski. Czy zgodzisz się rokować z tym oszustem i mordercą? Wspomnij mogiłę Hámy w Helmowym Jarze.

– Skoro mowa o jadowitych językach, cóż powiedzieć o twoim, młoda żmijo? – rzekł Saruman i tym razem płomień gniewu jeszcze wyraźniej błysnął w jego źrenicach. – Ale nie unośmy się, Éomerze, synu Éomunda – dodał, łagodząc znowu głos. – Każdy ma swoje pole działania. Tobie przystoją zbrojne czyny i zasłużyłeś nimi na najwyższą cześć. Nie mieszaj się wszakże do polityki, na której się nie znasz. Może gdy sam zostaniesz królem, zrozumiesz, że władca musi być bardzo ostrożny w wyborze przyjaciół. Nie godzi wam się lekkomyślnie odtrącać Sarumana i potęgi Orthanku, choćby między nami były w przeszłości urazy, słuszne lub urojone. Wygraliście bitwę, lecz nie wojnę, a i to z pomocą sprzymierzeńca, na którego nie możecie nadal liczyć. Kto wie, czy nie ujrzycie wkrótce cieni lasu u własnych progów. Las jest kapryśny i bezrozumny, nie kocha też wcale ludzi.

Czy zasługuję na miano mordercy, królu Rohanu, dlatego tylko, że w boju zginęli twoi mężni wojownicy? Skoro podjąłeś wojnę – niepotrzebnie, bo ja jej nie chciałem – musiały być ofiary. Jeżeli mnie z tego powodu uznasz za mordercę, odpowiem, że ta sama plama ciąży na całym rodzie Eorla. Czyż bowiem ród ten nie toczył wielu wojen, czyż nie zwalczał tych, którzy mu się przeciwstawiali? A przecież z niejednym przeciwnikiem zawierał po wojnie pokój i nie wychodził źle na takiej polityce. Raz jeszcze pytam, królu Théodenie, czy chcesz pokoju i przyjaźni ze mną? Od ciebie to tylko zależy.

– Chcemy pokoju – rzekł wreszcie Théoden głosem zdławionym, jakby z wysiłkiem. Kilku jeźdźców krzyknęło radośnie. Lecz król podniósł rękę. – Chcemy pokoju – powtórzył czystym już głosem – i będziemy go mieli, gdy rozgromimy ciebie i udaremnimy wszystkie zamysły twoje i twego

ponurego władcy, któremu chcesz nas wydać w ręce. Jesteś kłamcą, Sarumanie, i trucicielem serc ludzkich. Wyciągasz do mnie rękę, lecz ja widzę, że to są szpony Mordoru, okrutne i zimne! Choćbyś był dziesięćkroć mądrzejszy, niż jesteś, i tak nie miałbyś prawa rządzić mną i moim ludem ku własnej korzyści, jak to sobie planowałeś. Nie była więc sprawiedliwa wojna, którą przeciw mnie wszcząłeś; lecz nawet gdybyś jej cel umiał usprawiedliwić, jak wytłumaczysz się z pożogi, w której spłonęły osiedla Zachodniej Bruzdy, jak zadośćuczynisz za śmierć pomordowanych tam dzieci? Twoi siepacze porąbali martwe już ciało Hámy, leżące u bram Rogatego Grodu. Zawrę pokój z tobą i z Orthankiem dopiero wtedy, kiedy zawiśniesz na haku w oknie swojej wieży, wydany na pastwę drapieżnych ptaków, które ci dzisiaj służą. Tak ci odpowiadam w imieniu rodu Eorla. Jestem tylko małym potomkiem wielkich królów, lecz nie będę lizał twojej ręki. Gdzie indziej szukaj sług. Obawiam się jednak, że twój głos stracił czarodziejską moc.

Jeźdźcy patrzyli na Théodena, jakby ich nagle zbudził z marzeń. Jego głos po muzyce słów Sarumana zabrzmiał w ich uszach niby krakanie sędziwego kruka. Lecz Saruman na chwilę dał się ponieść złości. Wychylił się przez kraty gwałtownie, jakby chciał króla uderzyć swą różdżką. Niektórym spośród świadków tej sceny wydało się, że widzą żmiję, sprężoną i gotową kąsać.

– Szubienice i wrony! – syknął, aż dreszcz przejął słuchaczy, zaskoczonych tak nagłą i okropną zmianą. – Brednie starego ramola! Czymże jest dwór Eorla? Chałupą, w której zbóje wędzą się w dymie i piją, a ich bachory tarzają się po podłodze razem z psami. To was zbyt długo omijał stryczek. Ale już zaciska się pętla, powoli ją zarzucano, ale mocno i twardo ściśnie was w końcu. Będziesz wisiał, skoro chciałeś. – W miarę jak mówił, głos mu znowu łagodniał. Saruman widać odzyskiwał zimną krew. – Nie wiem, dlaczego okazuję wam tyle cierpliwości i tak długo was przekonuję. Nie jesteś mi przecież potrzebny ani ty, Théodenie, mistrzu koni, ani twoja banda, równie skora do galopu w ucieczce jak w marszu naprzód. Przed laty ofiarowałem ci wspaniałe państwo, dar ponad miarę twoich zasług i rozumu. Ofiarowałem ci je teraz powtórnie, żeby podwładni, których prowadzisz ku zgubie, jasno uświadomili sobie, między jakimi dwiema drogami masz wybór. Odpowiedziałeś mi przechwałkami i obelgami. Niech tak będzie. Wracajcie do swoich chałup!

Ale ty, Gandalfie! Twoja postawa naprawdę mnie zasmuca i boli mnie twoje poniżenie. Jakże możesz cierpieć taką kompanię? Jesteś przecież dumny, Gandalfie, i słusznie, bo masz umysł szlachetny, a wzrokiem sięgasz głęboko i daleko. Czy nawet teraz nie zechcesz posłuchać mojej rady?

Gandalf drgnął i podniósł wzrok.

– Czy masz dzisiaj do powiedzenia coś więcej niż podczas naszej ostatniej rozmowy? – spytał. – A może chciałbyś odwołać coś z tego, co wówczas mówiłeś?

Saruman milczał przez chwilę.

– Odwołać? – powtórzył po namyśle, jakby niezmiernie zdziwiony. – Odwołać? Usiłowałem radzić ci dla twego dobra, lecz ty nie chciałeś mnie nawet wysłuchać. Jesteś dumny, nie lubisz rad, mając zaprawdę dość własnego rozumu. W tym przypadku jednak popełniłeś błąd, jak mi się zdaje, przez upór przekręcając moje intencje. Niestety, tak bardzo pragnąłem cię przekonać, że w zapale straciłem cierpliwość. Żałuję tego szczerze. Nie życzyłem ci źle, nawet teraz źle ci nie życzę, chociaż wróciłeś w kompanii gwałtowników i nieuków. Jakże mógłbym? Czyż nie należymy do tego samego starożytnego i zaszczytnego bractwa, do grona najdostojniejszego na obszarze Śródziemia? Obaj skorzystamy, jeśli zawrzemy przyjaźń. Razem możemy zdziałać wiele i uleczyć rany świata. My dwaj zrozumiemy się na pewno, a podlejszych ras nie będziemy pytali o zdanie. Niech czekają na nasze rozkazy. W imię wspólnego dobra gotów jestem wymazać dawne spory i przyjąć cię w swoim domu.

Czy zechcesz naradzić się ze mną? Czy wejdziesz do Orthanku?

Tyle było mocy w tych słowach Sarumana, że nikt nie mógł słuchać ich bez wzruszenia. Lecz czar teraz działał w inny sposób, zdawało się wszystkim, że są świadkami łagodnych wymówek, które dobrotliwy król robi swojemu zbłąkanemu, ale kochanemu dworzaninowi. Nie ich dotyczyła ta przemowa, słuchali nie dla nich przeznaczonych argumentów, jak źle wychowane dzieci albo głupi służący, gdy podsłuchują pod drzwiami i podchwytują oderwane słowa ze sporu dorosłych czy zwierzchników, usiłując odgadnąć, jak wpłynie on na ich własny los. Ze szlachetniejszej niż oni gliny ulepieni byli dwaj czarodzieje, czcigodni mędrcy. Nie dziw, że zawrą sojusz. Gandalf wejdzie do wieży, aby w górnych komnatach Orthanku radzić z Sarumanem o doniosłych sprawach,

niepojętych dla umysłów zwykłych ludzi. Drzwi się zatrzasną przed nimi i będą czekali, by wyznaczono im pracę albo wymierzono karę. Nawet przez głowę Théodena przemknęła cieniem zwątpienia myśl: „Gandalf zdradzi nas, wejdzie, będziemy zgubieni”.

Nagle Gandalf wybuchnął śmiechem. Czar rozwiał się jak dym.

– Ach, Sarumanie, Sarumanie! – mówił, wciąż śmiejąc się, Gandalf. – Rozminąłeś się z powołaniem. Powinieneś zostać królewskim trefnisiem, zarobiłbyś na chleb, a może także na zaszczyty, przedrzeźniając doradców króla. Mówisz – ciągnął dalej, opanowując wesołość – że my dwaj zrozumiemy się z pewnością. Obawiam się, że ty mnie nigdy nie zrozumiesz. Ale ja widzę cię teraz na wylot. Dokładniej pamiętam twoje argumenty i postępki, niż ci się wydaje. Kiedy odwiedziłem cię poprzednio, byłeś dozorcą więziennym Mordoru i tam zamierzałeś mnie odesłać. Nie! Gość, który raz uciekł z twojej wieży przez dach, dobrze się namyśli, zanim wejdzie do niej powtórnie przez drzwi. Nie, nie przyjmę twego zaproszenia. Ale ostatni raz pytam: czy nie zejdziesz tu między nas? Isengard, jak widzisz, jest mniej potężny, niż się spodziewałeś i niż sobie uroiłeś. Podobnie mogą zawieść cię inne potęgi, którym dziś jeszcze ufasz. Może warto by je opuścić na czas jakiś? Zwrócić się ku nowym? Zastanów się dobrze, Sarumanie. Czy zejdziesz?

Cień przemknął po twarzy Sarumana, a potem okryła ją śmiertelna bladość. Nim zdążył znów przybrać maskę, wszyscy dostrzegli i zrozumieli, że Saruman nie śmie pozostać w wieży, lecz jednocześnie boi się opuścić to schronienie. Przez chwilę wahał się, a wszyscy wstrzymali dech w piersiach. Gdy wreszcie przemówił, głos zabrzmiał ostro i zimno. Pycha i nienawiść wzięły górę.

– Czy zejdę? – powtórzył szyderczo. – Czy bezbronny człowiek wyszedłby przed swój próg paktować ze zbójami? Stąd słyszę doskonale, co macie mi do powiedzenia. Nie jestem głupcem i nie ufam ci, Gandalfie. Dzikie leśne potwory nie stoją wprawdzie jawnie na schodach mojej wieży, lecz wiem, gdzie się czają z twojego rozkazu.

– Zdrajcy zwykle bywają podejrzliwi – odparł Gandalf ze znużeniem. – Ale możesz być spokojny o swoją skórę. Nie chcę cię zabić ani zranić, powinieneś o tym wiedzieć, gdybyś naprawdę mnie rozumiał. Mam moc, żeby cię obronić. Daję ci ostatnią szansę. Jeżeli się zgodzisz, wolny opuścisz Orthank.

– To brzmi pięknie! – zadrwił Saruman. – Jak przystoi słowom Gandalfa Szarego, nader łaskawie i dobrotliwie. Nie wątpię, że odchodząc, ułatwiłbym twoje plany i że w Orthanku znalazłbyś wygodną siedzibę. Ale nic mnie do odejścia stąd nie skłania. Nie wiem też, co w twoich ustach znaczy „wolny”. Przypuszczam, że postawiłbyś pewne warunki, czy tak?

– Do odejścia mógłby cię skłonić choćby widok, który oglądasz ze swoich okien – powiedział Gandalf. – Inne powody również chyba znajdziesz, jeśli się zastanowisz. Słudzy twoi padli albo poszli w rozsypkę. Z sąsiadów zrobiłeś sobie wrogów, a nowego swego pana oszukałeś albo zamierzałeś oszukać. Gdy zwróci w tę stronę oko, będzie ono z pewnością czerwone od krwawego gniewu. Mówiąc „wolny”, miałem na myśli wolność prawdziwą, bez więzów, bez łańcuchów i bez rozkazów. Pozwolę ci odejść, dokąd chcesz, choćby do Mordoru, jeżeli taka jest twoja wola, Sarumanie. Przedtem oddasz mi tylko klucz Orthanku i swoją różdżkę. Zatrzymam je jako zastaw i zwrócię ci później, jeżeli swoim zachowaniem na to zasłużysz.

Sarumanowi twarz posiniała i wykrzywiła się ze złości, w oczach mu rozbłysły czerwone światełka. Zaśmiał się dziko.

– Później! – zawołał, podnosząc głos do krzyku. – Później! Pewnie wtedy, kiedy zdobędziesz również klucze od Barad-dûr, a może także korony siedmiu królów i różdżki Pięciu Czarodziejów, kiedy kupisz sobie buty znacznie większe od tych, w których teraz chodzisz. Skromne plany! Spełnisz je bez mojej pomocy. Mam co innego do roboty. Nie bądź głupcem. Jeżeli chcesz ze mną rokować, póki jeszcze czas odejdź i wróć, gdy wytrzeźwiejesz. I nie ciągnij za sobą tych morderców i całej tej hałastry, która trzyma się twojej poły. Do widzenia!

Odwrócił się i znikł z balkonu.

– Wracaj, Sarumanie! – rzekł Gandalf tonem rozkazu. Ku zdumieniu świadków Saruman ukazał się znów na balkonie, lecz tak wolno podchodził do żelaznej kraty i tak ciężko dyszał, opierając się o nią, jakby jakaś obca siła przywlokła go tutaj wbrew jego woli. Twarz miał ściągniętą i pooraną zmarszczkami. Palce jak szpony wpijał w masywną czarną laskę.

– Nie pozwoliłem ci się oddalić – surowo rzekł Gandalf. – Nie skończyłem jeszcze. Oszalałeś, Sarumanie, lecz budzisz we mnie litość. Mógłbyś nawet teraz porzucić szaleństwo i zło i oddać usługi dobrej sprawie. Wolisz zostać w swojej wieży i przeżuwać resztki swoich dawnych

zdradzieckich planów. Siedź więc tam! Ostrzegam cię jednak, że niełatwo ci będzie wyjść później. Chyba że ciemne ręce sług Saurona dosięgną cię i wywloką. Słuchaj, Sarumanie! – krzyknął głosem potężnym i władczym. – Nie jestem już Gandalfem Szarym, którego zdradziłeś. Stoi przed tobą Gandalf Biały, który powrócił z krainy śmierci. Ty nie masz już teraz własnej barwy, toteż wykluczam cię z bractwa i Rady!

Podniósł rękę i z wolna jasnym, chłodnym głosem powiedział:

– Sarumanie, twoja różdżka jest złamana! – Rozległ się trzask i różdżka pękła w ręku Sarumana, a główka jej upadła do stóp Gandalfowi. – Precz! – zawołał Gandalf.

Saruman krzyknął, cofnął się i wyczołgał z ganku. W tej samej chwili ciężki kulisty pocisk ciśnięty z góry błysnął w powietrzu, trącił żelazną kratę, od której ledwie zdążył odsunąć się Saruman, przeleciał o włos od głowy Gandalfa i runął na stopień schodów, tuż pod jego stopy. Żelazna krata załamała się ze szczękiem. Stopień rozsypał się w roziskrzone kamienne drzazgi. Lecz ciemna kryształowa kula przeświecająca płomiennym jądrem, nieuszkodzona, spadała po schodach niżej. Kiedy w podskokach toczyła się do rozlanej kałuży, Pippin puścił się za nią w pogoń i chwycił ją.

– Łotr! Skrytobójca! – krzyknął Éomer.

Gandalf jednak stał niewzruszony w miejscu.

– Nie, tego pocisku nie rzucił ani też nie kazał rzucić Saruman – rzekł. – Kula spadła ze znacznie wyższego piętra. Jeśli się nie mylę, był to pożegnalny strzał Gadziego Języka, ale chybił celu.

– Chybił pewnie dlatego, że nie mógł się zdecydować, kogo bardziej nienawidzi, ciebie czy Sarumana – powiedział Aragorn.

– Bardzo możliwe – odparł Gandalf. – Ci dwaj niewiele znajdą pociechy w przymusowym sam na sam; będą się wzajem ranili złym słowem. Ale słuszna spotyka ich kara. Jeżeli Gadzi Język ujdzie z Orthanku żywy, będzie miał szczęście, na które nie zasłużył.

– Ejże, hobbicie, oddaj mi to! – zawołał, odwróciwszy nagle głowę i spostrzegłszy, że Pippin wspina się po schodach, wolno, jak gdyby niósł niezwykle ciężkie brzemię. – Nie prosiłem cię, żebyś to podnosił! – Zbiegł na spotkanie hobbita, spiesznie wziął z jego rąk ciemną kulę, owinął ją w

połę swego płaszcza. – Już ja się nią zaopiekuję – rzekł. – Saruman z własnej woli nigdy by jej nie wyrzucił.

– Ale może ma coś innego do wyrzucenia – powiedział Gimli. – Jeżeli skończyłeś rozmowę, wolałbym odsunąć się stąd co najmniej o rzut kamieniem!

– Skończyłem – odparł Gandalf. – Chodźmy!

Odwrócili się plecami do drzwi Orthanku i zeszli w dół. Jeźdźcy powitali swego króla z radością, a Gandalfa z szacunkiem. Czar Sarumana prysnął. Wszyscy bowiem widzieli, jak na rozkaz Gandalfa stawił się, a potem, odprawiony przez niego, posłusznie odszedł.

– No, tak, jedno zadanie spełnione – rzekł Gandalf. – Teraz muszę odszukać Drzewca i opowiedzieć mu, jaki jest wynik rokowań.

– Chyba sam odgadł – powiedział Merry. – Czy można było spodziewać się czegoś innego?

– Nadzieja była niewielka – odparł Gandalf – chociaż włos mógł przeważyć szalę. Miałem jednak swoje powody, by mimo wszystko próbować, niektóre wielkoduszne, inne mniej. Po pierwsze, przekonałem Sarumana, że czar jego głosu słabnie. Nie można być zarazem tyranem i doradcą. Spisek, gdy dojrzeje, nie da się utrzymać w tajemnicy. Jednakże Saruman wpadł w pułapkę i usiłował każdą z upatrzonych ofiar omotywać z osobna, podczas gdy inne przysłuchiwały się temu. Po drugie, dałem mu po raz ostatni możność wyboru, i to uczciwie; zaproponowałem, żeby poniechał zarówno sojuszu z Mordorem, jak i własnych planów i naprawił błędy, pomagając nam w naszych zamierzeniach. Zna nasze trudności lepiej niż ktokolwiek. Mógłby oddać nam wielkie usługi. Lecz wolał odmówić i zachować panowanie nad Orthankiem. Nie chce służyć, lecz rządzić. Drży teraz ze strachu przed cieniem Mordoru, ale wciąż jeszcze łudzi się, że przetrzyma nawałnicę. Nieszczęsny szaleniec! Potęga Mordoru zmiażdży go, jeżeli jej ramię dosięgnie Isengardu. My z zewnątrz nie możemy zburzyć Orthanku, ale Sauron… Kto wie, jaką on mocą rozporządza?

– Ale jeżeli Sauron nie zwycięży? Co zrobisz z Sarumanem? – spytał Pippin.

– Ja? Nic mu nie zrobię – odparł Gandalf. – Nic. Nie pragnę władzy. Co się z nim wszakże stanie? Nie wiem. Boli mnie, że tyle siły, niegdyś dobrej,

teraz w złej służbie niszczeje w tej wieży. Dla nas jednak ułożyły się sprawy dość pomyślnie. Dziwnie toczy się koło losu. Często nienawiść sama sobie zadaje rany. Myślę, że nawet gdybyśmy zajęli Orthank, nie znaleźlibyśmy tam skarbu cenniejszego niż ta kula, którą Gadzi Język rzucił, chcąc nas ugodzić.

Przeraźliwy krzyk dobiegł z otwartego wysoko w wieży okna.

– Jak się zdaje, Saruman jest tego samego zdania – rzekł Gandalf. – Zostawmy tych dwóch wspólników samych.

Powrócili do zburzonej bramy. Ledwie wydostali się za nią, z cienia pod stosem rumowisk wychynął Drzewiec, a za nim kilkunastu entów. Aragorn, Gimli i Legolas patrzyli na nich z podziwem.

– Oto moi towarzysze – rzekł Gandalf, zwracając się do Drzewca. – Mówiłem ci o nich, lecz jeszcze ich nie widziałeś.

I wymienił kolejno imiona przyjaciół.

Stary ent badawczo i długo przyglądał się każdemu z osobna, witając go w kilku słowach. Ostatniego zagadnął Legolasa:

– A więc przybyłeś do nas z Mrocznej Puszczy, szlachetny elfie? Wielki to był kiedyś las.

– Wielki pozostał do dziś – odparł elf. – Lecz żadnemu z jego mieszkańców nie uprzykrzyły się mimo to drzewa i wszyscy chętnie oglądają nowe. Bardzo bym chciał poznać lepiej Las Fangorn. Wędrowałem ledwie jego skrajem, a już żal było mi go opuszczać.

Oczy Drzewca błysnęły z radości.

– Mam nadzieję, że spełni się twoje życzenie, zanim te góry zdążą się postarzeć – powiedział.

– Przyjdę, jeżeli los okaże się łaskawy – rzekł Legolas. – Zawarłem umowę z przyjacielem, że jeśli wszystko pójdzie szczęśliwie, razem odwiedzimy Fangorn, oczywiście za twoim pozwoleniem.

– Każdy elf, którego przyprowadzisz, będzie dla nas miłym gościem – powiedział Drzewiec.

– Przyjaciel, o którym mówię, nie jest elfem – odparł Legolas. – To Gimli, syn Glóina.

Gimli skłonił się nisko i przy tym geście toporek wysunął mu się zza pasa, z głośnym brzękiem padając na ziemię.

– Hm, hum. Aha. Krasnolud z toporem! – rzekł Drzewiec. – Hm… Lubię elfy, ale ty za wiele ode mnie żądasz. Osobliwa to przyjaźń.

– Może wydaje się osobliwa – powiedział Legolas – póki wszakże Gimli żyje, nie przyjdę sam do Fangornu, władco lasu. Ten krasnolud ściął w bitwie czterdzieści dwa orkowe łby.

– Ho, ho! Tak powiadaj – rzekł Drzewiec. – To mi się podoba. No, zobaczymy, co będzie, to będzie, nie trzeba się spieszyć ani wyprzedzać wypadków. Teraz musimy znów rozstać się na czas jakiś. Dzień chyli się ku wieczorowi. Gandalf mówi, że chce wyruszyć przed zmrokiem, a królowi Rohanu także pilno wracać do domu.

– Tak, musimy jechać, i to zaraz – rzekł Gandalf. – Wybacz, że zabiorę twoich odźwiernych. Mam jednak nadzieję, że jakoś sobie bez nich poradzisz?

– Może sobie poradzę – powiedział Drzewiec – ale będzie mi ich brakowało. Chyba na starość staję się pochopny, by zaprzyjaźniłem się z nimi bardzo, mimo krótkiej znajomości; widać z wiekiem młodość wraca. Co prawda od wielu, wielu lat nie spotkałem nic nowego pod słońcem lub pod księżycem, póki nie zobaczyłem tych hobbitów. Nigdy też o nich nie zapomnę. Już dołączyłem ich imię do Długiego Spisu. Entowie będą ich pamiętać.

Entowie z ziemi zrodzeni, starzy jak góry,
Co chodzą lasami i wodą się poją,
I wesołe hobbity, żarłoczne jak myśliwi,
Skore do śmiechu, a małe jak dzieci[67].

Przyjaźń między nami przetrwa, póki na świecie będą się liście zieleniły co wiosnę. Bywajcie zdrowi! Gdybyście w swoim miłym ojczystym kraju zasłyszeli jakieś nowiny, przyślijcie mi słówko. Rozumiecie chyba, o co mi chodzi: czy nie widziano tam gdzieś entowych żon. A jeśli zdarzy się sposobność, odwiedźcie mnie koniecznie.

– Odwiedzimy Fangorn na pewno! – jednocześnie odpowiedzieli Merry i Pippin, po czym szybko odwrócili oczy. Drzewiec długą chwilę patrzył na

nich w milczeniu i kiwał głową. Wreszcie zagadnął Gandalfa:

– A więc Saruman nie chce opuścić Orthanku? Niczego innego nie spodziewałem się po nim. Serce ma zbutwiałe jak czarny huorn. Swoją drogą, przyznam się, że gdyby mnie pokonano i wycięto wszystkie drzewa, ja też bym nie odszedł, póki zostałaby mi chociaż jedna ciemna kryjówka.

– Tak, ale ty nie knułeś spisków, żeby cały świat obsadzić drzewami i zdusić wszelkie inne życie na ziemi – odparł Gandalf. – Saruman został, by dalej hodować swoją nienawiść i w miarę możności snuć nowe sieci zdrady. Ma klucz Orthanku. Lecz nie dajcie mu uciec.

– Nie damy. Entowie go przypilnują – rzekł Drzewiec. – Saruman bez mego pozwolenia kroku nie zrobi poza tę skałę. Entowie będą trzymali straż.

– Dobrze! – powiedział Gandalf. – Na to liczyłem. Mogę więc opuścić Isengard i zająć się innymi sprawami, zrzuciwszy tę troskę z serca. Musicie jednak czuwać pilnie. Woda już opadła. Straże wokół wieży nie wystarczą. Na pewno są jakieś podziemne lochy, którymi Saruman zechce może wkrótce wydostać się niepostrzeżenie. Jeżeli nie wzdragacie się przed tą ciężką pracą, proszę was, znowu zalejcie kotlinę wodą i utrzymujcie, dopóki Isengard nie zamieni się w stojącą sadzawkę albo dopóki nie odkryjecie tajemnych przejść. Jeżeli podziemia będą zalane, a wyjścia zabarykadowane, Saruman będzie musiał siedzieć na górze i tylko wyglądać przez okna na świat.

– Zdaj to na entów – rzekł Drzewiec. – Zbadamy dolinę od szczytów do dna i zajrzymy pod każdy kamień. Wrócą do niej znów drzewa. Nazwiemy to miejsce Lasem Strażników. Nawet wiewiórka nie przemknie się tędy bez mojej wiedzy. Zdaj to na entów. Póki nie upłynie siedemkroć tyle lat, ile Saruman nas dręczył, nie zejdziemy z warty.

ROZDZIAŁ 11
PALANTÍR

Słońce już zachodziło za wydłużone ramię gór, gdy Gandalf ze swoją drużyną i król ze swymi jeźdźcami wyruszyli wreszcie z Isengardu. Gandalf wziął na konia Meriadoka, Aragorn zaś Pippina. Dwaj królewscy wojownicy, wyprzedzając oddział, puścili się zaraz za bramą w cwał i wkrótce zniknęli towarzyszom z oczu. Reszta posuwała się bez zbytniego pośpiechu.

Entowie ustawili się szpalerem po obu stronach bramy, wznosząc długie ramiona pożegnalnym gestem, lecz zachowali milczenie. Ujechawszy krętą drogą dość daleko w górę doliny, hobbici obejrzeli się za siebie. Na niebie jeszcze świeciło słońce, ale nad Isengardem rozpostarły się cienie i szare gruzy ledwie majaczyły w mroku. Drzewiec stał przed bramą samotnie i wyglądał jak pień starego drzewa. Hobbitom ten widok przypominał pierwsze spotkanie z entem na słonecznej półce skalnej u skraju Fangornu. Zbliżali się do słupa z godłem Białej Ręki. Słup stał po dawnemu, lecz rzeźbiona ręka leżała strzaskana na ziemi. Pośrodku drogi bielał długi kamienny palec wskazujący, a niegdyś czerwony paznokieć teraz pociemniał i sczerniał.

– Entowie nie pomijają najdrobniejszych nawet szczegółów – rzekł Gandalf.

Ruszyli dalej wśród gęstniejących ciemności.

– Czy będziemy jechali przez całą noc? – spytał po jakimś czasie Merry. – Nie wiem, Gandalfie, jak ty się czujesz z uczepioną twojej poły hałastrą, ale hałastra chętnie by się odczepiła i położyła spać.

– A więc słyszałeś te obelgi? – odparł Gandalf. – Nie pozwól im jątrzyć się w swym sercu. Bądź zadowolony, że Saruman nie poczęstował was dłuższym przemówieniem. Nigdy przedtem nie spotkał hobbitów i nie wiedział, w jaki ton uderzyć, zwracając się do nich. Dobrze jednak wam się przyjrzał. Jeżeli to może być plastrem na twoją zranioną dumę, to wiedz, że w tej chwili pewnie więcej myśli o tobie i Pippinie niż o nas wszystkich. Kim jesteście? Jak się dostaliście do Isengardu i po co? Ile wiecie? Czy

byliście w niewoli, a jeśli tak, jakim sposobem uratowaliście życie, skoro orków wybito do nogi? Nad tymi zagadkami biedzi się teraz mądra głowa Sarumana. Szyderstwo z tych ust, Meriadoku, jest zaszczytem, jeśli cenisz sobie jego zainteresowanie.

– Dziękuję ci – odparł Merry – ale największym zaszczytem jest dla mnie czepianie się twojej poły, Gandalfie. Po pierwsze dlatego, że dzięki temu mogę powtórzyć raz jeszcze to samo pytanie: czy będziemy jechali przez całą noc?

Gandalf roześmiał się.

– Nie pozwolisz nikomu wykręcić się sianem. Każdy czarodziej powinien mieć hobbita albo kilku hobbitów stale u boku; już oni by go nauczyli wyrażać się ściśle i nie bujać w obłokach. Przepraszam cię, Merry. Dobrze więc, pomówimy o tych przyziemnych szczegółach. Będziemy jechali jeszcze parę godzin, bez pośpiechu zresztą, aż do wylotu doliny. Jutro ruszymy szybciej. Zamierzałem z Isengardu wracać prosto przez step do królewskiego domu w Edoras, ale po namyśle zmieniliśmy plany. Wysłaliśmy gońców do Helmowego Jaru, żeby zapowiedzieli tam na jutro powrót króla. Stamtąd Théoden z liczniejszą świtą pojedzie do Warowni Dunharrow, przekradając się ścieżkami przez góry. Odtąd bowiem nie będziemy się w większej gromadzie pokazywać na otwartym polu we dnie ani w nocy, chyba że nie da się tego w żaden sposób uniknąć.

– Z tobą tak zawsze: albo nic, albo wszystko naraz – rzekł Merry. – Mnie tymczasem interesował tylko dzisiejszy nocleg. Gdzie jest ów Helmowy Jar i co to za miejsce? Pamiętaj, że nie znam wcale tych okolic.

– A więc warto, byś się o nich czegoś dowiedział, jeżeli chcesz zrozumieć, co się dokoła nas dzieje. Ale nie ode mnie się tego dowiesz i nie w tej chwili. Za dużo mam teraz pilnych spraw do przemyślenia.

– Dobrze, wezmę na spytki Obieżyświata podczas najbliższego popasu. On jest mniej obraźliwy od ciebie. Ale powiedz mi przynajmniej, dlaczego musimy się kryć? Myślałem, że wygraliśmy bitwę.

– Owszem, wygraliśmy, lecz to dopiero pierwsze zwycięstwo, a odniósłszy je, tym bardziej jesteśmy zagrożeni. Między Isengardem a Mordorem istnieje jakaś łączność, której nie podejrzewałem. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób się porozumiewają, lecz na pewno wymieniali wiadomości. Oko Barad-dûr będzie, jak sądzę, z niecierpliwością

wpatrywało się w Dolinę Czarodzieja, a także w stepy Rohanu. Im mniej zobaczy, tym dla nas lepiej.

Z wolna posuwali się krętą drogą w dół doliny. Isena w swoim kamiennym korycie to przybliżała się, to znów oddalała. Noc zeszła z gór. Mgła ustąpiła już zupełnie. Dmuchnął chłodny wiatr. Księżyc, bliski tego wieczora pełni, rozlewał na wschodniej części nieba bladą, zimną poświatę. Z prawej strony ramiona góry zniżyły się, opadając nagimi stokami. Przed podróżnymi ukazała się szeroka szara równina.

Wreszcie zatrzymali się, a potem skręcili z gościńca na miękką trawę płaskowyżu. Przejechali niewiele ponad milę w kierunku na wschód i znaleźli się w małej dolince, otwartej od południa, a wspartej o zbocza ostatniego w południowym łańcuchu kopulastego wzgórza Dol Baran, zanurzonego w zieleni i zwieńczonego u szczytu kępami wrzosów. Stoki dolinki zarastał gąszcz zeszłorocznych paproci, wśród których mocno zwinięte wiosenne pędy ledwie się przebijały przez pachnącą świeżością ziemię. Niżej krzewiły się bujnie kolczaste zarośla i w ich cieniu wędrowcy rozbili obóz na dwie godziny przed północą. Rozpalili ognisko w wykrocie między rozcapierzonymi korzeniami głogu, wysokiego jak drzewo, pokrzywionego ze starości, ale zdrowego i krzepkiego. Na każdej jego gałązce już nabrzmiewały pączki.

Wyznaczono straże, po dwóch na każdą wartę. Reszta kompanii, zjadłszy wieczerzę, owinęła się w płaszcze i posnęła. Hobbici leżeli nieco odosobnieni w jakimś zakątku na podściółce z suchych paproci. Merry był senny, lecz Pippina ogarnął dziwny niepokój. Paprocie trzeszczały i szeleściły pod nim, gdy kręcił się i przewracał ustawicznie.

– Co ci jest? – spytał Merry. – Możeś trafił na mrowisko?

– Nie – odparł Pippin – ale okropnie mi niewygodnie. Usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spałem w łóżku.

Merry ziewnął.

– Policz na palcach – rzekł. – Chyba wiesz, ile czasu upłynęło, odkąd opuściliśmy Lórien?

– Ech, to się nie liczy – powiedział Pippin. – Myślę o prawdziwej sypialni i łóżku.

– W takim razie trzeba liczyć od pobytu w Rivendell – rzekł Merry. – Ale ja usnąłbym dzisiaj na każdym posłaniu.

– Szczęściarz z ciebie – odezwał się po chwili milczenia Pippin ściszonym głosem – jechałeś razem z Gandalfem.

– No to co z tego?

– Może z niego wydobyłeś jakieś wiadomości i nowiny?

– Nawet mnóstwo. Więcej niż kiedykolwiek. Chyba jednak słyszałeś, co mówił, bo jechaliście blisko nas, a my nie robiliśmy z naszej rozmowy sekretu. Skoro myślisz, że dowiesz się od Gandalfa więcej niż ja, usiądź jutro na jego konia. Oczywiście, jeżeli Gandalf zgodzi się na zamianę pasażera.

– Ustąpisz mi miejsca? Świetnie. Ale Gandalf jest okropnie skryty. Nic się nie zmienił, prawda?

– Owszem, zmienił się – odparł Merry, trzeźwiejąc ze snu i trochę już zaniepokojony pytaniami przyjaciela. – Jak gdyby urósł. Jest zarazem bardziej dobrotliwy i bardziej groźny, i weselszy, i bardziej uroczysty niż dawniej. Zmienił się, ale dotychczas nie mieliśmy sposobności przekonać się, jak głęboko ta zmiana sięga. Przypomnij sobie zakończenie rozprawy z Sarumanem. Przecież Saruman był dawniej zwierzchnikiem Gandalfa, głową Rady… chociaż nie wiem dokładnie, co to właściwie znaczy. Był Sarumanem Białym. A teraz Gandalf chodzi w bieli. Saruman stawił się na jego wezwanie, stracił swoją różdżkę, a potem na jedno słowo Gandalfa wycofał się posłusznie.

– No tak, trochę może się Gandalf zmienił, ale skrytości się nie oduczył, przeciwnie, nabrał jej jeszcze więcej – odparł Pippin. – Na przykład ta historia ze szklaną kulą. Widać było po nim, że się z tej zdobyczy ucieszył. Coś o niej wie albo przynajmniej czegoś się domyśla. Ale czy nam coś powiedział? Ani słówka. A przecież to ja ją podniosłem, gdyby nie ja, stoczyłaby się do wody. „Ejże, hobbicie, oddaj mi to” – i na tym koniec. Ciekawa rzecz, co to za kula. Wydała mi się okropnie ciężka.

Ostatnie słowa Pippin wyszeptał cichutko, jakby mówił do siebie.

– Aha! – rzekł Merry. – Więc to cię tak korci. Mój Pippinku kochany, przypomnij sobie, co Gildor powiedział, a co Sam lubił powtarzać: „Nie wtrącaj się do spraw Czarodziejów, bo są chytrzy i skorzy do gniewu”.

– Ależ my od wielu miesięcy nie robimy nic innego, tylko wtrącamy się do spraw Czarodziejów – odparł Pippin. – Chętnie bym się naraził na niewielkie niebezpieczeństwo, byle się czegoś dowiedzieć. Chciałbym też przyjrzeć się lepiej tej kuli.

– Śpij wreszcie – rzekł Merry. – Prędzej czy później dowiesz się wszystkiego. Zapewniam cię, że nigdy Tuk nie przewyższył Brandybucka ciekawością, ale przyznaj, że teraz nie pora na te dociekania.

– Dobrze. Ale cóż szkodzi przyznać się, że chciałbym przyjrzeć się lepiej tej kuli? Wiem, że to niemożliwe. Gandalf siedzi na niej jak kokosz na jajach. Niewielka jednak dla mnie pociecha, kiedy od ciebie słyszę, że skoro nie mogę mieć tego, o czym marzę, powinienem iść spać.

– A cóż innego mogę ci odpowiedzieć? – rzekł Merry. – Przykro mi, ale doprawdy musisz poczekać do rana. Po śniadaniu będę nie mniej od ciebie zaciekawiony tą tajemnicą i pomogę ci, jak będę umiał, w wydobyciu od Czarodzieja jakiegoś wyjaśnienia. Tymczasem zanadto mi się oczy kleją. Jeżeli ziewnę jeszcze raz, gęba mi pęknie od ucha do ucha. Dobranoc.

Pippin nic już na to nie odpowiedział. Leżał cicho, ale spać nie chciało mu się ani trochę, nie działał nawet dobry przykład Meriadoka, który obok oddychał równo i spokojnie, pogrążony w głębokim śnie. W ciszy nocnej myśl o czarnej kuli opanowała Pippina jeszcze natrętniej. Hobbit czuł znowu ciężar kryształu w ręku, widział tajemnicze czerwone jądro, które przez krótką chwilę błysnęło mu z głębi. Kręcił się i przewracał z boku na bok, daremnie usiłując myśleć o czym innym.

Wreszcie nie mógł już znieść tej udręki. Wstał i rozejrzał się. Księżyc rozjaśniał dolinkę zimną białą poświatą, pod krzewami leżały czarne cienie. Wszyscy w obozie spali. Dwóch wartowników nie było widać w pobliżu; czuwali pewnie wyżej na pagórku albo schowali się w paprociach. Sam nie rozumiejąc, co go popycha, Pippin cichcem podkradł się do Gandalfa. Chwilę patrzył na niego. Czarodziej, jak się zdawało, spał, lecz powieki miał na pół tylko przymknięte; oczy przebłyskiwały spod długich rzęs. Pippin cofnął się szybko. Gandalf jednak nie drgnął nawet, więc hobbit raz jeszcze, niemal wbrew swojej woli, pchany nieodpartą jakąś siłą, podpełznął, zachodząc Czarodzieja od tyłu, zatrzymał się o krok od jego głowy. Gandalf był nakryty kocem, a płaszcz rozpostarł na wierzchu; między zgiętym w łokciu ramieniem a prawym bokiem zarysowywał się

kulisty kształt jakiegoś przedmiotu zawiniętego w ciemne sukno; dłoń Czarodzieja jakby właśnie przed chwilą osunęła się z zawiniątka i leżała tuż obok na ziemi.

Wstrzymując dech w piersiach, Pippin ostrożnie przybliżył się do śpiącego. Wreszcie ukląkł przy nim. Wyciągnął ręce i ukradkiem, powolutku zaczął podnosić zawiniątko do góry. Było mniej ciężkie, niż się spodziewał. „Pewnie jakieś rupiecie” – pomyślał z dziwnym uczuciem ulgi. Lecz nie odłożył zawiniątka z powrotem na miejsce. Stał chwilę, tuląc je w rękach. W głowie zaświtał mu nowy pomysł. Wycofał się na palcach, wyszukał spory kamień i wrócił z nim. Szybko rozmotał paczuszkę, zawinął w sukno kamień i przyklękając, położył go u boku Czarodzieja. Dopiero wtedy spojrzał na wydobyty z zawiniątka przedmiot. Tak, to było to, czego pragnął: gładka kryształowa kula, teraz ciemna i martwa, leżała w trawie u jego kolan. Podniósł ją spiesznie, owinął połą własnego płaszcza i właśnie odwracał się, żeby pobiec ze zdobyczą na swoje legowisko, gdy nagle Gandalf poruszył się we śnie i mruknął coś z cicha; Pippin miał wrażenie, że były to słowa jakiejś obcej mowy. Ręka Czarodzieja trafiła po omacku na zawinięty w sukno kamień i zacisnęła się na nim. Gandalf westchnął i znieruchomiał znowu.

„Głupcze! – szepnął sam do siebie Pippin. – Chcesz sobie napytać biedy? Odłóż to natychmiast”. Lecz kolana mu się trzęsły, nie śmiał zbliżyć się do Czarodzieja ani sięgnąć po zawiniątko. „Nie uda mi się teraz – pomyślał. – Zbudzę Gandalfa z pewnością. Muszę poczekać, aż trochę ochłonę. A w takim razie mogę tymczasem rzucić na nią okiem. Jednakże nie tutaj”. Wymknął się cichcem i przysiadł na zielonej kępie nieopodal swego legowiska. Księżyc świecił nad krawędzią dolinki.

Pippin przykucnął, podciągnąwszy wysoko kolana, i ścisnął kulę między nimi. Pochylony nad nią chciwie, wyglądał jak łakome dziecko, które z pełną miską uciekło w kąt z dala od rówieśników. Odwinął płaszcz i spojrzał. Powietrze dokoła jakby zastygło i stężało, pełne napięcia. Zrazu kula była ciemna, czarna jak agat, tylko jej powierzchnia lśniła odblaskiem księżyca. Potem w środku kuli coś drgnęło i rozżarzyło się lekko, a świetliste jądro przykuło wzrok hobbita, tak że już nie mógł oderwać oczu. Wkrótce całe wnętrze płonęło. Pippin miał wrażenie, że albo kula wiruje, albo też światła w niej obracają się z zawrotną szybkością. Nagle wszystko zgasło. Hobbit krzyknął, szarpnął się, lecz na próżno; nie mógł

wyprostować grzbietu, zgięty wpół ściskał oburącz kryształ. Schylał się coraz niżej, aż w końcu zdrętwiał zupełnie. Długą chwilę poruszał wargami, nim dobył głosu. Z krótkim, zdławionym okrzykiem padł na wznak.

Krzyk zabrzmiał przeraźliwie. Wartownicy pędem zbiegli ze zboczy. Cały obóz zerwał się na równe nogi.

– Mamy złodzieja! – rzekł Gandalf. – Spiesznie zarzucił płaszcz na leżącą w trawie kulę. – I to ty, mój Pippinie! Bardzo przykra niespodzianka. – Ukląkł przy zemdlonym hobbicie, który, wyciągnięty na wznak, nieprzytomnym wzrokiem patrzył w niebo. – Co za łajdactwo! Jaką to biedę ściągnął na siebie i na nas ten nieborak?

Czarodziej mówił to z twarzą chmurną i zatroskaną. Ujął ręce Pippina, schylił się nad nim, nadsłuchując oddechu, potem położył dłoń na jego czole. Hobbit zadrżał. Zamknął oczy. Krzyknął, usiadł i ze zdumieniem powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go przyjaciół, bladych w księżycowym świetle.

– Nie dla ciebie, Sarumanie! – zawołał przenikliwym, bezdźwięcznym głosem, odsuwając się od Gandalfa. – Przyślę po nią wkrótce. Zrozumiałeś? Powtórz tylko tyle.

Szarpnął się, usiłując wstać i uciec, lecz Gandalf powstrzymał go łagodnie, chociaż stanowczo.

– Peregrinie Tuku! – rzekł. – Wróć! – Hobbit rozprężył się i opadł na ziemię, chwytając za rękę Czarodzieja.

– Gandalfie! – krzyknął. – Gandalfie! Przebacz!

– Mam ci przebaczyć? – odparł Czarodziej. – Najpierw powiedz, co właściwie zrobiłeś?

– Wziąłem… wziąłem kulę i patrzyłem w nią – wyjąkał Pippin – i zobaczyłem coś, co mnie przeraziło. Chciałem uciec, ale nie mogłem. A wtedy przyszedł on i zaczął mi zadawać pytania. Patrzył na mnie i… i więcej nic nie pamiętam.

– Tym się nie wykręcisz – rzekł Gandalf surowo. – Coś widział i co mu powiedziałeś?

Pippin przymknął oczy i zadrżał, lecz nie odpowiedział. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w niego, jeden tylko Merry odwrócił wzrok. Twarz Gandalfa nie złagodniała jednak.

– Mów! – rozkazał.

Pippin zaczął głosem cichym i niepewnym, lecz w miarę jak mówił, uspokajał się, a słowa jego brzmiały coraz wyraźniej i donośniej.

– Zobaczyłem ciemne niebo i wysokie obronne mury – rzekł – i maleńkie gwiazdy. Wszystko zdawało się bardzo dalekie i dawne, mimo to jasne i ostre. W pewnej chwili gwiazdy zaczęły to znikać, to znów się pojawiać, bo pod nimi przelatywały jakieś skrzydlate stwory. Olbrzymie, jak mi się zdawało, chociaż w kryształe wyglądały nie większe niż nietoperze krążące wokół wieży. Jeśli się nie mylę, było ich dziewięć. Jeden leciał prosto na mnie, rósł mi w oczach… Miał straszliwe… nie, nie! Nie mogę o tym mówić.

Chciałem uciec, bo miałem wrażenie, że ten stwór wyfrunie z kuli, ale gdy przesłonił całą jej powierzchnię, nagle zniknął. I wtedy przyszedł on. Mówił do mnie, lecz nie słyszałem głosu ani słów. Po prostu patrzył, a ja czytałem w jego wzroku pytanie: „A więc wróciłeś? Dlaczego nie zgłaszałeś się tak długo?”. Nic nie odpowiedziałem. Znowu spytał: „Ktoś ty jest?”. Nie odpowiadałem, ale to była męka, on nalegał, cisnął mnie, aż w końcu rzekłem: „Hobbit”.

Jak gdyby dopiero wtedy nagle mnie zobaczył, roześmiał się szyderczo, okrutnie. Jakby mnie nożami dźgał. Próbowałem się wyrwać. Ale on powiedział: „Czekaj no chwilę. Spotkamy się znów niebawem. Powiedz Sarumanowi, że to cacko nie jest dla niego. Przyślę po nie lada dzień. Zrozumiałeś? Powtórz tylko tyle”. Wpijał się we mnie wzrokiem. Miałem wrażenie, że rozsypuję się w proch. Nie, nie! Więcej nic nie pamiętam.

– Spójrz na mnie – rzekł Gandalf.

Pippin spojrzał mu prosto w oczy. Czarodziej przez długą chwilę w milczeniu wpatrywał się w niego. Potem twarz mu złagodniała, ukazał się na niej cień uśmiechu. Miękkim gestem położył dłoń na głowie hobbita.

– W porządku – powiedział. – Możesz nic więcej nie mówić. Nie odniosłeś poważniejszej szkody. Nie ma w twoich oczach kłamstwa, a tego się najbardziej bałem. Za krótko tamten z tobą rozmawiał. Zawsze byłeś postrzelony, ale jesteś w dalszym ciągu postrzeleńcem uczciwym, Peregrinie Tuku. Niejeden mądrzejszy od ciebie gorzej by wyszedł pokiereszowany z takiego spotkania. Bądź jednak ostrożny. Ocalałeś, a wraz z tobą ocaleli twoi przyjaciele, jedynie szczęśliwym trafem, jak się to

potocznie mówi. Nie licz drugi raz na podobne szczęście. Gdyby cię wziął na spytki, niemal pewne, że powiedziałbyś mu wszystko, co wiesz, na naszą wspólną zgubę. On jednak nie wypytywał cię zbyt natarczywie. Bardziej niż o wiadomości chodziło mu o ciebie, chciał jak najszybciej dosięgnąć cię, ściągnąć do Czarnej Wieży i tam bez pośpiechu wydobyć z ciebie wszystko. Nie drżyj. Skoro wtrącasz się do spraw Czarodziejów, musisz być przygotowany na takie przygody. No, niech tam. Przebaczam ci, Pippinie. Głowa do góry, bądź co bądź uniknęliśmy najgorszego.

Łagodnie dźwignął Pippina i zaniósł go na poprzednie legowisko. Merry szedł krok w krok za nim i usiadł przy wezgłowiu przyjaciela.

– Leż i odpoczywaj, a jeśli możesz, zaśnij – rzekł Gandalf. – Zaufaj mi. Jeśli znów palce cię będą kiedyś świerzbić, powiedz mi o tym. Są na to lekarstwa. A w każdym razie proszę cię, mój hobbicie, nie wtykaj mi nigdy pod łokieć twardego kamienia. Tymczasem zostawiam was tu we dwóch.

To rzekłszy, Gandalf odszedł i wrócił do towarzyszy, wciąż jeszcze stojących w zadumie i niepokoju nad kryształem Orthanku.

– Niebezpieczeństwo zjawia się nocą i w chwili gdy go nie oczekiwaliśmy – rzekł. – Byliśmy o włos od zguby.

– Jak się czuje Pippin? – spytał Aragorn.

– Myślę, że nic mu nie będzie – odparł Gandalf. – Zbyt krótko był w mocy tamtego, a zresztą hobbici mają zadziwiającą odporność. Wspomnienie, a przynajmniej jego groza szybko zapewne zblednie. Nawet za szybko. Czy zgodzisz się, Aragornie, wziąć kryształ Orthanku pod swoją opiekę? Wiedz, że to niebezpieczne zadanie.

– Niebezpieczne z pewnością, ale nie dla wszystkich – rzekł Aragorn. – Jest ktoś, kto ma do tego kryształu prawo. Bo to przecież bez wątpienia *palantír* ze skarbca Elendila, powierzony strażnicy Orthanku przez królów Gondoru. Zbliża się moja godzina. Tak, wezmę go i będę strzegł.

Gandalf spojrzał na Aragorna, a potem ku zdumieniu świadków podniósł zawinięty w płaszcz kryształ i podał rycerzowi z niskim ukłonem.

– Przyjmij go, dostojny panie – rzekł – jako zadatek innych skarbów, które będą ci zwrócone. Lecz jeżeli pozwolisz, bym ci radził w sprawach twojej niezaprzeczalnej własności, posłuchaj mnie i nie używaj go, przynajmniej nie teraz jeszcze. Bądź ostrożny!

– Czy byłem kiedykolwiek niecierpliwy i nieostrożny, ja, który czekałem i przygotowywałem się przez tak długie lata? – odparł Aragorn.

– To prawda. Uważaj więc, abyś nie potknął się u kresu drogi – rzekł Gandalf. – Zachowaj sekret! O to proszę też wszystkich obecnych. Nikt, a przede wszystkim Peregrin, nie powinien wiedzieć, kto przechowuje kryształ. Pokusa może wrócić, bo hobbit, niestety, miał kulę w ręku i zaglądał w nią, a to nie powinno było się zdarzyć. Źle się stało, że dotknął jej wtedy w Isengardzie; wyrzucam sobie, żem nie dość szybko mu ją odebrał. Byłem jednak zaprzątnięty myślami o Sarumanie i za późno odgadłem, jaką moc ma pocisk, który rzucono w nas z wieży. Dopiero teraz wiem to na pewno.

– Tak, nie ma co do tego wątpliwości – rzekł Aragorn. – Nareszcie wiemy, w jaki sposób Isengard utrzymywał łączność z Mordorem. Wiele zagadek się wyjaśniło.

– Zadziwiająca jest potęga naszych wrogów i równie zadziwiające są ich słabości – powiedział Théoden. – Istnieje co prawda stare przysłowie: złość często sama siebie złością niszczy.

– Nieraz tak bywało – rzekł Gandalf – lecz tym razem los szczególnie nam sprzyjał. Kto wie, może hobbit uchronił mnie przed groźnym błędem. Zastanawiałem się bowiem, czy nie wypróbować by tego kryształu, żeby odkryć, do czego służy. Gdybym to zrobił, ujawniłbym się przed wrogiem. A nie jestem jeszcze gotów do tej próby, nie wiem nawet, czy kiedykolwiek będę do niej dostatecznie przygotowany. Nawet gdyby starczyło mi sił, żeby się w porę cofnąć, on by mnie zobaczył, a to oznaczałoby dla nas klęskę. Nie powinien o mnie nic wiedzieć, póki nie wybije godzina, gdy tajemnica nie będzie już na nic potrzebna.

– Myślę, że ta godzina już nadeszła – rzekł Aragorn.

– Jeszcze nie – odparł Gandalf. – Pozostaje krótki czas niepewności, którą musimy wykorzystać. Nieprzyjaciel, to jasne, przypuszcza, że kryształ znajduje się w Orthanku. Skąd mógłby wiedzieć, że jest inaczej? Sądzi więc, że hobbit tam przebywa uwięziony i że Saruman, torturując jeńca, zmusił go do spojrzenia w kryształ. W jego ponurym umyśle utkwił głos i obraz hobbita, oczekuje teraz na skutki wydanych poleceń. Upłynie trochę czasu, nim zrozumie swoją omyłkę. Nie wolno nam tego czasu zmarnować. Zbyt długo zwlekamy. Trzeba się pospieszyć. Nie należy marudzić w tak bliskim sąsiedztwie Isengardu. Co do mnie, ruszę stąd

natychmiast i wezmę z sobą Peregrina Tuka. Lepiej, żeby podróżował ze mną, zamiast leżeć w ciemnościach i czuwać wśród śpiących towarzyszy.

– Ja zatrzymam Éomera i dziesięciu jeźdźców – rzekł król. – O świcie pojedziemy dalej. Aragorn niech obejmie dowództwo nad resztą i rozstrzygnie, kiedy chce z nimi wyruszyć.

– Twoja wola, Théodenie – odparł Gandalf. – Ale staraj się jak najprędzej schronić wśród gór, w Helmowym Jarze.

Jeszcze nie skończył tych słów, gdy dziwny cień padł na dolinkę. Coś nagle odgrodziło jasny księżyc od ziemi. Kilku jeźdźców krzyknęło i przysiadło w trawie, osłaniając głowy rękami, jakby z góry zagrażał cios; zimny dreszcz przejął wszystkich i poraził trwogą. Przyczajeni, spojrzeli ukradkiem w niebo. Ogromny skrzydlaty kształt niby czarna chmura przesuwał się na tle tarczy księżyca. Zatoczył łuk i skręcił na północ, lecąc szybciej niż najszybsze wichry Śródziemia. Gwiazdy przy nim gasły. Zniknął. Ludzie w dolince podnieśli się z ziemi, oszołomieni. Gandalf wciąż patrzył w niebo, ramiona wyciągał sztywno przed siebie i zaciskał splecione dłonie.

– Nazgûl! – krzyknął. – Wysłannik Mordoru. Burza jest już blisko. Nazgûle przebyły granicę Wielkiej Rzeki. W drogę! W drogę! Nie czekajcie świtu! Nie oglądajcie się na maruderów! W drogę!

Odskoczył od gromady i biegnąc, przyzywał Cienistogrzywego. Aragorn pospieszył za Czarodziejem, który tymczasem dopadł do legowiska hobbitów i podniósł w ramionach Pippina.

– Pojedziesz teraz ze mną – rzekł. – Przekonasz się, jak niesie Cienistogrzywy.

Pędem wrócił na miejsce, gdzie przedtem spał. Cienistogrzywy już tam na niego czekał. Zarzuciwszy na ramię małą torbę, w której mieścił się cały jego podróżny dobytek, Czarodziej skoczył na konia. Aragorn podał mu Pippina, a Gandalf usadowił przed sobą hobbita, otulonego w płaszcz i pled.

– Bądźcie zdrowi! Pospieszajcie za mną! – zawołał Gandalf. – Ruszaj, Cienistogrzywy!

Wspaniały rumak potrząsnął łbem, machnął rozwianym ogonem, błysnął srebrzyście w świetle księżyca i skoczył naprzód, aż grudki ziemi bryznęły

spod kopyt. Śmignął z miejsca jak górski wiatr.

– Piękna noc i znakomity odpoczynek – powiedział Merry, zwracając się do Aragorna. – Są na świecie szczęściarze! Pippin nie chciał spać, a miał ochotę na jazdę z Gandalfem. No i proszę! Pojechał, zamiast obrócić się w kamień i sterczeć tu ku przestrodze potomności.

– A gdybyś tak ty, nie Pippin, podniósł kryształ Orthanku, kto wie, co by się stało – rzekł Aragorn. – Może spisałbyś się jeszcze gorzej? Nic nie wiadomo… Teraz więc będziesz podróżował na moim siodle. Jedziemy natychmiast dalej. Przygotuj się i pozbieraj wszystkie manatki Pippina. A pospiesz się, mój hobbicie.

Cienistogrzywy gnał przez równinę; nie trzeba było nim kierować ani też go popędzać. W niespełna godzinę dotarli do Brodów na Isenie i przeprawili się na drugi brzeg. Minęli Kurhan Rohirrimów zjeżony zimną stalą włóczni.

Pippinowi siły wracały. Było mu ciepło, lecz wiatr rzeźwił jego twarz chłodem. Czuł bliskość Gandalfa. Groza kryształu i przerażającego cienia, który zaćmił nad dolinką księżyc, bladła w jego pamięci jak coś, co zostało daleko we mgle gór albo zdarzyło się tylko we śnie. Odetchnął głęboko.

– Nie wiedziałem, że jeździsz na oklep, Gandalfie – rzekł. – Nie masz ani siodła, ani uzdy.

– Na ogół nie jeżdżę na modłę elfów, ale inna sprawa, gdy dosiadam Cienistogrzywego – odparł Gandalf. – Ten koń nie zniósłby wędzidła. Nikt nie jest jego panem, niesie tylko tego, kogo chce nosić. A jeśli chce, niczego więcej nie trzeba. Sam przypilnuje, żebyś utrzymał się na jego grzbiecie, chyba że wyskoczyłbyś w powietrze dobrowolnie.

– Z jaką szybkością biegnie? – spytał Pippin. – Sądząc z podmuchu wiatru, mknie bardzo prędko, ale nie czuje się zupełnie wstrząsów. Jakże lekki ma chód!

– Pędzi teraz tak, że najściglejszy koń z trudem dotrzymywałby mu kroku w pełnym galopie – odrzekł Gandalf – lecz dla Cienistogrzywego to fraszka. Teren tutaj wzniósł się nieco i jest mniej równy niż za rzeką. Spójrz jednak na Białe Góry, jak zdają się już bliskie pod gwiazdami. Tam niby czarne włócznie sterczą szczyty Trójrogu. Wkrótce znajdziemy się u

rozstajnych dróg i w Zielonej Roztoce, gdzie przed dwoma dniami rozegrała się bitwa.

Pippin jeszcze przez długą chwilę milczał. Słyszał, że Gandalf coś sobie z cicha nuci i mruczy jakieś urywki wierszy w różnych językach. Tymczasem ziemia mila za milą umykała spod końskich kopyt. Wreszcie Czarodziej zaśpiewał głośniej, tak że hobbit zrozumiał słowa pieśni; kilka linijek wyraźnie dobiegło do jego uszu poprzez szum wiatru:

Smukłe okręty, smukli królowie,
Trzykroć po trzy:
Co nam przynieśli z ziem zatopionych
Ponad potopu falą?
Gwiazd siedem nieśli, siedem kamieni
I drzewa białego pęd[68].

– Co mówisz, Gandalfie? – spytał Pippin.

– Przepowiadałem sobie z pamięci parę zwrotek Pieśni Wiedzy – odparł Czarodziej. – Hobbici pewnie o niej zapomnieli, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją znali.

– Nie, nie zapomnieliśmy – rzekł Pippin. – Mamy też podobne własne pieśni, chociaż może ciebie by one nie interesowały. Tej jednak, którą nuciłeś, nigdy nie słyszałem. O czym to jest? Co to za siedem gwiazd i siedem kamieni?

– Pieśń mówi o palantírach dawnych królów – powiedział Gandalf.

– Palantíry? Co to takiego?

– Nazwa ta znaczy „ten, który widzi daleko”. Jednym z palantírów jest kryształ Orthanku.

– A więc nie jest dziełem… – Pippin zająknął się – nie jest dziełem Nieprzyjaciela?

– Nie – odparł Gandalf. – Ani też Sarumana. Bo ani jemu, ani Sauronowi nie starczyłoby na to wiedzy i władzy. Palantíry są starsze niż Westernesse, pochodzą z Eldamaru. Są dziełem Noldorów, może nawet samego Fëanora, ale to było tak dawno temu, że nie sposób nawet przemierzyć tego czasu latami. Nie ma jednak takiej rzeczy pod słońcem, której by Sauron nie mógł

obrócić na zły użytek. Na nieszczęście dla Sarumana! To bowiem, jak teraz zrozumiałem, przywiodło go do upadku. Dla każdego z nas niebezpieczne są narzędzia wiedzy głębszej niż ta, którą sami posiadamy. Ale Saruman zawinił także. Szalony! Chciał zachować kryształ w tajemnicy, dla własnej tylko korzyści. Nigdy ani słowem o nim nie wspomniał nikomu z członków Rady. Nie wiedzieliśmy wcale, że jeden z palantírów ocalał z klęski Gondoru. Poza Radą wszyscy wśród ludzi i elfów zapomnieli, że takie rzeczy istniały kiedyś, jedynie ród Aragorna przechował o nich pamięć w swojej Pieśni Dziejów.

– Do czego ludzie w dawnych czasach używali tych palantírów? – spytał Pippin, zachwycony i zdziwiony, że otrzymuje odpowiedzi na tak wiele pytań, i ciekawy, czy ten humor Czarodzieja długo potrwa.

– Widzieli za ich pomocą na wielką odległość i mogli wymieniać z sobą myśli – odparł Gandalf. – Dzięki temu przez długie wieki strzegli bezpieczeństwa i jedności królestwa Gondoru. Rozmieścili po jednym krysztale w Minas Anor, w Minas Ithil i w Orthanku, w kręgu Isengardu. Najważniejszy *palantír*, panujący nad innymi, znajdował się pod Gwiaździstą Kopułą, dopóki nie zburzono Osgiliath, a trzy pozostałe w bardzo odległych krajach na północy. Dziś mało kto wie, gdzie mianowicie, bo tego żadna pieśń nie wyjawia. Lecz w domu Elronda powiadają, że te trzy przechowywano w Annúminas, na Amon Sûl i na jednym z Wieżowych Wzgórz, zwróconych ku Mithlondowi w Zatoce Księżycowej, gdzie szare okręty miały swoją przystań.

Każdy *palantír* mógł nawiązać łączność z drugim palantírem, lecz tylko kryształ z Osgiliath panował nad wszystkimi jednocześnie. Okazuje się, że *palantír* z Orthanku przetrwał na miejscu po dziś dzień, ponieważ ta skała oparła się burzom dziejowym. Lecz sam, wobec zaginięcia innych kryształów, nie na wiele się zdał, pokazywał jedynie maleńkie obrazy rzeczy odległych i czasów zamierzchłych. Niewątpliwie, był użyteczny Sarumanowi, ale to go nie zadowalało. Sięgał poprzez *palantír* wzrokiem coraz dalej, aż dosięgnął Barad-dûr. W ten sposób wpadł pod władzę Saurona.

Kto wie, gdzie podziały się palantíry Gondoru i Arnoru, strzaskane, zakopane pod ziemią czy może zatopione w głębinach? Lecz jeden co najmniej dostał się w ręce Saurona, który posługuje się nim do własnych celów. Przypuszczam, że to jest kryształ z Minas Ithil, bo tą fortecą od

bardzo dawna zawładnął i przeobraził ją w siedlisko zła, zwane teraz Minas Morgul.

Łatwo wyobrazić sobie, jak się stało, że zabłąkane oczy Sarumana trafiły do pułapki, z której już nie mógł się wyrwać; jak z dala nim kierowano, najpierw perswazją, a jeśli nie skutkowała perswazja – postrachem. Nosił wilk, ponieśli wilka! Sokół wpadł w szpony orła, pająk uwikłał się w stalowej sieci. Ciekaw jestem, od jak dawna był już zmuszony zgłaszać się regularnie za pośrednictwem palantíru do apelu i po rozkazy; od jak dawna kryształ Orthanku tak ściśle był połączony z Barad-dûr, że ktokolwiek w niego spojrzał, jeśli nie oparł się niezłomną siłą woli, przenosił się błyskawicznie myślą i spojrzeniem do twierdzy Czarnego Władcy. A jak ten kryształ przyciąga! Czyż sam nie zaznałem jego siły? Nawet w tej chwili kusi mnie, żeby wypróbować potęgę mojej woli, przekonać się, czy nie zdołam go wyrwać spod władzy Nieprzyjaciela i skierować tam, gdzie pragnę, ponad morzami wody i czasu zobaczyć piękny Tirion, poznać niezgłębioną mądrość Fëanora i podpatrzeć mistrzostwo jego ręki przy pracy, ujrzeć świat z tamtych dni, kiedy kwitło Białe i Złote Drzewo!

Gandalf westchnął i umilkł.

– Szkoda, że wcześniej tego wszystkiego nie wiedziałem – rzekł Pippin. – Nie miałem pojęcia, co robię!

– Owszem, pewne pojęcie miałeś – odparł Gandalf. – Wiedziałeś, że postępujesz źle i głupio. Nawet mówiłeś to sobie, ale sam siebie nie chciałeś słuchać. Ale ja nie powiedziałem ci o tym wcześniej dlatego, że dopiero teraz, przed chwilą, rozważając wszystkie zdarzenia ostatnich dni, zrozumiałem jasno całą historię. Ale gdybym nawet przestrzegł cię zawczasu, nie uchroniłbym cię od pokusy ani nie ułatwił jej odparcia. Przeciwnie! Musiałeś sparzyć się, żeby zapamiętać, że płomień piecze. Dopiero teraz przestroga przed ogniem trafia ci do rozumu.

– Trafiła – przyznał Pippin. – Choćby przede mną położono siedem kryształów, zamknąłbym oczy i schował ręce do kieszeni.

– Znakomicie! – powiedział Gandalf. – Tego się właśnie spodziewałem.

– Chciałbym jednak wiedzieć… – zaczął Pippin.

– Litości! – wykrzyknął Gandalf. – Jeżeli na to, żeby cię oduczyć wścibstwa, muszę odpowiadać na wszystkie twoje pytania, nie będę miał

już do końca życia czasu na żadne inne zajęcie. Cóż ty chcesz jeszcze wiedzieć?

– Imiona wszystkich gwiazd i wszystkich stworzeń żyjących na świecie, całą historię Środziemia, a także Sfer Nadniebnych i Mórz Rozłąki – zaśmiał się Pippin. – Oczywiście! Czy mógłbym chcieć mniej? Ale nie spieszy mi się, nie żądam tego wszystkiego dzisiejszej nocy. Na razie interesuje mnie głównie Czarny Cień. Słyszałem, jak krzyczałeś: „Wysłannik Mordoru!”. Kto to był? Po co spieszył do Isengardu?

– To był uskrzydlony Czarny Jeździec, Nazgûl – odparł Gandalf. – Chciał zabrać cię do Czarnej Wieży.

– Ależ jego przecież nie po mnie wysłano? – drżącym głosem spytał Pippin. – Chyba nie wiedział, że to właśnie ja dorwałem się do…

– Nie wiedział – rzekł Gandalf. – Lotem ptaka z Barad-dûr do Orthanku jest dwie setki staj, a może więcej, nawet Nazgûl na przebycie tej drogi potrzebuje kilku godzin. Ale Saruman od dnia, w którym wyprawił orków na wojnę, nieraz pewnie zaglądał w kryształ i więcej jego tajnych myśli odczytano po drugiej stronie, niż zamierzał ujawnić. Wysłano posła, żeby zbadał, co Saruman robi. A po zdarzeniach ostatniego wieczora przybędzie, jak sądzę, następny wysłannik, i to niebawem. Zaciska się potrzask, w który Saruman nieopatrznie wsadził rękę. Nie ma jeńca, którego obiecał dostarczyć. Nie ma kryształu, a więc nie może ani zobaczyć, co się w oddali dzieje, ani odpowiedzieć na wezwania władcy. Sauron podejrzewa, że Saruman jeńca zatrzymał sobie i że uchyla się od spojrzenia w kryształ. Nie ułatwi to Sarumanowi rozmowy z posłem. Jakkolwiek bowiem Isengard leży w gruzach, on cały i żywy siedzi w nietkniętej wieży Orthank. Czy chce, czy nie chce, wygląda w oczach Saurona na buntownika. A przecież odtrącił nasze propozycje, żeby tego właśnie uniknąć! Jak wybrnie z tych tarapatów, nie mam pojęcia. Myślę, że póki siedzi w Orthanku, ma dość sił, żeby oprzeć się Dziewięciu Jeźdźcom. Możliwe, że spróbuje oporu. Możliwe, że uwięzi Nazgûla albo przynajmniej zabije jego skrzydlatego wierzchowca. A wtedy Rohan niech drży o bezpieczeństwo swoich stadnin!

Nie umiem przewidzieć, czy wyjdzie to nam na dobre, czy też na złe. Może waśń z Sarumanem pokrzyżuje lub nawet unicestwi plany Nieprzyjaciela. Zapewne Sauron dowie się, że byłem w Isengardzie i stałem na schodach Orthanku, z hobbitami uczepionymi mojej poły. Albo też, że

dziedzic Elendila żyje i że był tam ze mną. Jeśli rohańska zbroja nie zmyliła oczu Gadziego Języka, mógł on zapamiętać Aragorna i tytuł, jakim się przedstawił. Oto, czego najbardziej się lękam. Wiedz, że uciekając przed jednym niebezpieczeństwem, pędzimy na spotkanie drugiego, jeszcze groźniejszego. Każdy skok Cienistogrzywego zbliża nas do Krainy Cienia, Peregrinie Tuku!

Pippin nie odpowiedział, lecz otulił się płaszczem, jakby go nagle dreszcz przeszedł. A tymczasem szara ziemia umykała spod kopyt rumaka.

– Spójrz! – powiedział Gandalf. – Doliny Zachodniej Bruzdy otwierają się przed nami. Wróciliśmy na drogę, która prowadzi ku wschodowi. Ta ciemna plama to wylot Zielonej Roztoki. Tam leży Aglarond i Błyszczące Pieczary. Ale o nich nie ja ci opowiem! Zapytaj Gimlego, a przynajmniej raz w życiu usłyszysz odpowiedź znacznie obszerniejszą, niżbyś pragnął. Nie zobaczysz jednak pieczar, w każdym razie nie w tej jeszcze podróży. Zostawimy je wkrótce za sobą.

– Myślałem, że zatrzymamy się w Helmowym Jarze! – rzekł Pippin. – Dokąd zmierzamy?

– Do Minas Tirith, póki tej twierdzy morze wojny nie ogarnie.

– Ha! A daleko stąd do Minas Tirith?

– Wiele, wiele staj – odparł Gandalf. – Trzy razy dalej niż do dworu króla Théodena, a jego stolica znajduje się o sto mil na wschód stąd w linii powietrznej, na przykład dla skrzydlatych posłańców Mordoru. Cienistogrzywy musi biec dłuższą drogą. Kto okaże się szybszy? Nie zatrzymamy się do świtu, to znaczy jeszcze przez parę godzin. Potem nawet niestrudzony Cienistogrzywy będzie musiał odpocząć w jakiejś kotlinie górskiej, a może w Edoras. Radzę ci, prześpij się, jeśli zdołasz teraz usnąć. Kto wie, czy w pierwszych promieniach brzasku nie ujrzysz złotego dachu dworu Eorla. A za dwa dni zobaczysz fioletowy cień pod górą Mindolluiną i białe ściany wieży Denethora w blasku poranka.

Naprzód, Cienistogrzywy! Pędź, mój dzielny, jak nigdy jeszcze nie pędziłeś w życiu! Jesteśmy już na twojej rodzinnej ziemi, znasz tutaj każdy kamień. Pędź, bo cała nadzieja w pośpiechu!

Cienistogrzywy podniósł łeb i zarżał głośno, jakby usłyszał trąby bitewne.

Skoczył naprzód. Skry sypnęły się spod podków, pruł ciemność nocy jak błyskawica.

Zapadając z wolna w sen, Pippin miał dziwne wrażenie, jak gdyby Gandalf z nim razem zastygł w kamienną postać na posągu pędzącego konia, a świat cały uciekał im spod stóp w potężnym szumie wichru.

Księga czwarta

ROZDZIAŁ 1
OBŁASKAWIENIE SMÉAGOLA

– No, proszę pana, źle z nami – rzekł Sam Gamgee. Stał zrozpaczony, kuląc się obok Froda i wytrzeszczonymi oczyma wpatrywał się w mrok.

Był wieczór trzeciego dnia od ucieczki Froda z obozowiska drużyny, tak przynajmniej im się zdawało, bo niemal stracili rachunek czasu, wytrwale wspinając się i trudząc wśród nagich, kamienistych zboczy łańcucha Emyn Muil, często zawracając, bo droga urywała się przed nimi, nieraz stwierdzając, że zatoczywszy krąg, znaleźli się na tym samym miejscu, z którego przed wielu godzinami wyszli. Mimo wszystko posunęli się znacznie na wschód, starali się wciąż, w miarę możności, trzymać zewnętrznej krawędzi splątanego dziwacznie węzła gór. Jednak najczęściej zewnętrzne zbocza okazywały się strome, wyniosłe, niedostępne, spiętrzone nad rozległą równiną; u ich stóp spod rumowiska osypanych skał ciągnęły się w sinych oparach zgniłe bagna, na których oko nie dostrzegało śladu życia, nawet przelatującego ptaka.

Hobbici stali na skraju wysokiego, nagiego i ponurego urwiska, którego podnóża ginęły we mgle; za plecami wędrowców wznosiła się poszarpana ściana gór, nad nimi płynęły chmury. Zimny wiatr dął od wschodu. Wieczór już zapadał nad posępną okolicą, zgniła zieleń trzęsawisk nabierała o zmroku szarobrunatnej barwy. Po prawej stronie Anduina, która za dnia, ilekroć słońce przedzierało się przez chmury, połyskiwała z oddali, teraz ukryła się w ciemnościach. Lecz wzrok hobbitów nie zwracał się na rzekę ani wstecz, ku Gondorowi, ku przyjaciołom i krajom życzliwych ludzi. Spoglądali na południe i na wschód, gdzie na granicy nadciągającej nocy rysował się ciemny wał, jakby odległe pasmo gór albo nieruchoma smuga dymu. Od czasu do czasu w miejscu, gdzie ziemia spotykała się z niebem, wzbijało się w górę czerwone światełko.

– Ależ źle z nami! – powtórzył Sam. – Z wszystkich krajów świata, o których słyszeliśmy, tego jednego wolelibyśmy nigdy z bliska nie oglądać. I właśnie tam musimy się dostać. Co prawda bieda w tym, że chyba się nie dostaniemy. Coś mi się zdaje, że wybraliśmy złą drogę. Zejść na dół nie

sposób, a gdybyśmy nawet jakoś zleźli, założę się, że pod tą zielenią czeka na nas paskudne bagno. Fe! Czuje pan, panie Frodo, jak cuchnie?

Sam pociągnął nosem pod wiatr.

– Czuję – odparł Frodo, nie poruszył się jednak ani nie oderwał oczu od ciemnego wału na widnokręgu i od migących na jego tle płomyków. – Mordor! – szepnął ledwie dosłyszalnie. – Skoro już muszę tam iść, chciałbym jak najprędzej znaleźć się u celu i niechby się wreszcie to wszystko skończyło. – Zadrżał. Wiatr był lodowaty, a przy tym przesycony zimnym smrodem zgnilizny. – No trudno – rzekł, odwracając w końcu wzrok – czy z nami źle, czy dobrze, w każdym razie nie możemy tu stać do rana. Trzeba wyszukać jakiś zaciszniejszy kąt i jedną więcej noc spędzić na biwaku. Może jutro w świetle dnia znajdziemy ścieżkę.

– Może jutro, a może pojutrze albo popojutrze – mruknął Sam. – A może nigdy. Poszliśmy złą drogą.

– Nie wiem – odparł Frodo. – Myślę, że skoro los chce, żebym zawędrował do Krainy Cienia, droga się znajdzie. Ale czy pokaże mi ją przyjaciel, czy wróg? Jeśli jest dla nas jakaś nadzieja, to jedynie w pośpiechu. Każda chwila zwłoki przeważa szalę na korzyść Nieprzyjaciela – i jak na złość wciąż wstrzymują mnie różne przeszkody. Czy to może wola Czarnej Wieży kieruje tak naszymi krokami? Wszystkie moje dotychczasowe decyzje okazały się błędne. Powinienem był znacznie wcześniej porzucić drużynę, zajść od północy wschodnim brzegiem Anduiny i wschodnim skrajem gór Emyn Muil, przez twardy grunt równiny, którą nazwano Polem Bitwy, prosto do bram Mordoru. Teraz jednak nie odnajdziemy drogi powrotnej, a zresztą na wschodnim brzegu grasują bandy orków. Każdy upływający dzień to strata cennego czasu. Jestem bardzo znużony, Samie. Nie wiem, co robić. Czy mamy jeszcze jakieś zapasy żywności?

– Tylko te, jak je tam zwą, lembasy. Nawet sporo ich jeszcze zostało. Lepsze to bądź co bądź niż nic. Kiedy pierwszy raz wziąłem je do ust, nie myślałem, że kiedykolwiek mi się uprzykrzą. Ale teraz chętnie bym zjadł dla odmiany choćby kromkę zwykłego chleba z kwaterką czy niechby półkwaterkiem piwa dla spłukania gardła. Zabrałem z ostatniego obozu cały sprzęt kuchenny i taszczę go na plecach, ale, jak widać, niepotrzebnie. Przede wszystkim nie ma z czego ogniska rozpalić, a poza tym nie ma nic, co by się dało do garnka włożyć, nawet trawy!

Zawrócili, wyszukali kamienistą jamkę i zeszli na jej dno. Chmury przesłaniały zachodzące słońce, więc noc szybko zapadła. Noc spędzili jak się dało, kuląc się z zimna i przewracając z boku na bok wśród ogromnych kamiennych drzazg sterczących ze zwietrzałej skały. Bądź co bądź w zapadlinie byli osłonięci od wschodniego wiatru.

– Widział je pan znowu, panie Frodo? – spytał Sam, gdy zdrętwiali i zziębnięci podnieśli się w szary chłodny poranek i siedzieli, żując lembasy.

– Nie – odparł Frodo. – Nic nie słyszałem i nic nie widziałem już od dwóch nocy.

– Ja też – mówił Sam. – Brr! Ciarki mnie przechodzą, jak wspomnę te ślepia. Może w końcu pozbyliśmy się tego paskudnego szpiega. Gollum! Już on by zagulgotał, żebym tak kiedyś dobrał się pazurami do jego gardzieli.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał do niego się dobierać – powiedział Frodo. – Nie wiem, jakim sposobem nas przedtem wytropił, ale możliwe, że jak powiadasz, pozbyliśmy się go teraz. W tym suchym, jałowym kraju nie zostawiamy śladów stóp na ziemi ani żadnych tropów, które mógłby wywęszyć swoim czujnym nosem.

– Oby tak było! – rzekł Sam. – Chciałbym, żeby odczepił się od nas raz na zawsze.

– Pewnie, że chciałbym tego również – powiedział Frodo – ale nie Gollum jest moim największym zmartwieniem. Przede wszystkim marzę, żeby wydostać się z tych gór. Nie cierpię ich. Tak się czuję, jakbym stał nagi, odsłonięty od wschodu, z dala widoczny na tej wysokości, oddzielony tylko pustą płaszczyzną od Krainy Cienia. Stamtąd przecież wypatruje mnie wrogie Oko. No, w drogę! Musimy dziś jakimś sposobem zejść na dół.

Lecz dzień upłynął, popołudnie chyliło się ku wieczorowi, a dwaj hobbici wciąż wędrowali grzbietem gór, nie mogąc znaleźć zejścia. Niekiedy wydawało im się, że w ciszy pustkowia słyszą jakieś szmery za sobą, szelest osuwającego się kamienia czy też może człapiące kroki wśród skał. Gdy jednak zatrzymywali się i wytężali słuch, nic już nie mogli złowić uchem prócz westchnień wiatru ocierającego się o kamienną grań, ale ten odgłos przypominał im także oddech świszczący między ostrymi zębami.

Tego jednak dnia zauważyli, że w miarę jak posuwają się mozolnie naprzód, łańcuch Emyn Muil stopniowo, lecz wyraźnie skręca na północ. Grzbiet był tutaj dość szeroki, płaski, zasypany rumowiskiem zwietrzałych skał, poprzerzynany żlebami wąskimi jak fosa, ostro opadającymi po urwistej ścianie w dół. Żeby przedostać się przez te coraz częstsze i coraz głębsze szczerby, Frodo i Sam musieli obchodzić je od lewej strony, oddalając się od zewnętrznej krawędzi; uszli parę mil, nim spostrzegli, że z wolna wprawdzie, lecz stale schodzą coraz niżej; grań była lekko pochylona.

Wreszcie musieli się zatrzymać. Grzbiet w tym miejscu ostro skręcał ku północy, a przed hobbitami ział wąwóz groźniejszy niż wszystkie dotychczasowe. Po drugiej stronie piętrzyła się nad wąwozem ściana, próg na kilkadziesiąt stóp wysoki i niedostępny, ogromna, szara skała podcięta ostro, jakby ją ktoś nożem odrąbał. Nie sposób było iść naprzód, mieli do wyboru pójść na zachód albo na wschód. Ale wybierając zachód, musieliby się liczyć z dalszą utrudzającą wspinaczką i stratą czasu, bo wróciliby ku sercu gór. Od wschodu natomiast otwierała się przepaść.

– Nie ma innej rady, trzeba spuścić się w głąb tego żlebu, mój Samie – rzekł Frodo. – Zobaczymy, dokąd nas on zaprowadzi.

– Założę się, że do jakiejś paskudnej dziury – odparł Sam.

Żleb okazał się dłuższy i głębszy, niż się zrazu wydawało. Zszedłszy nieco niżej, napotkali kępę skarlałych i koślawych drzew; były to od kilku dni pierwsze drzewa na ich drodze, przeważnie mizerne brzozy, ale trafiał się wśród nich od czasu do czasu także świerk. Wiele między nimi było martwych, wyschłych, do rdzenia przeżartych ostrym wschodnim wichrem. Kiedyś, za lepszych dni, musiał tu szumieć piękny, bujny las, teraz jednak ledwie garstka drzew została, tylko stare spróchniałe pieńki sterczały niemal aż po krawędź urwiska. Żleb ciągnął się wzdłuż skalnego uskoku, dno miał kamieniste i ostro spadał w dół. Kiedy doszli wreszcie do jego końca, Frodo przykucnął i pochylił się nad krawędzią.

– Popatrz! – rzekł do Sama. – Albo uszliśmy spory kawał drogi, albo też skała się obniżyła. Stąd wydaje się znacznie bliżej do równiny i zejście łatwiejsze.

Sam przyklęknął obok Froda i bardzo niechętnie spojrzał w dół. Potem podniósł wzrok na urwisko spiętrzone nad ich głowami po lewej stronie.

– Łatwiejsze! – mruknął. – No, z dwojga złego rzeczywiście łatwiej zleźć, niż wdrapać się na tę górę. Kto nie umie fruwać, zawsze potrafi skoczyć.

– Skok rzeczywiście niemały – powiedział Frodo. Chwilę mierzył wzrokiem ścianę. – Będzie ze sto, sto dziesięć stóp na oko. Nie więcej.

– Wystarczy – rzekł Sam. – Uf! Nie cierpię nawet patrzeć z wysokości w dół. A przecież patrzeć łatwiej, niż złazić.

– Mimo wszystko myślę, że tutaj można by zleźć – odparł Frodo. – Patrz, ściana inna niż na całej dotychczasowej długości grzbietu. Nieco nachylona i popękana.

Rzeczywiście krawędź w tym miejscu nie obrywała się prostopadle, lecz opadała nieco ukośnie jak olbrzymi wał ochronny lub falochron, pod którym fundamenty się osunęły i wskutek tego w nieregularnej, skrzywionej ścianie powstały rysy, ostre szczerby, gdzieniegdzie tak niemal szerokie jak stopnie schodów.

– Ale jeśli chcemy spróbować szczęścia, nie ma na co czekać. Ściemnia się dzisiaj wcześnie. Mam wrażenie, że zbiera się na burzę.

Osnuty dymem wał gór na wschodzie ginął w głębszej niż zwykle ciemności, która już wyciągała długie ramiona ku zachodowi. Z daleka dochodził stłumiony jeszcze, głuchy pomruk burzy. Frodo wystawił nos pod wiatr i nieufnie popatrzył na niebo. Zacisnął pas na płaszczu i umocował lekki worek na plecach, potem zbliżył się do krawędzi.

– Spróbuję – powiedział.

– Niech będzie – markotnie rzekł Sam. – Ale ja pójdę pierwszy.

– Ty? – zdziwił się Frodo. – Czemuż to zmieniłeś tak nagle zdanie?

– Wcale nie zmieniłem zdania, ale rozsądek dyktuje, że pierwszy musi iść ten, kto najpewniej na łeb na szyję poleci. Nie chcę spaść na pana, panie Frodo, po co jednym strzałem dwóch od razu zabijać.

I zanim Frodo zdążył go powstrzymać, Sam usiadł, przerzucił nogi przez krawędź, odwrócił się i zawisnął na rękach, szukając stopami jakiegoś punktu oparcia. Nigdy w życiu chyba nie zdobył się z zimną krwią na czyn równie bohaterski i równie niemądry.

– Nie! Nie! Samie, kochany stary ośle! – zawołał Frodo. – Zabijesz się niechybnie, złażąc w ten sposób, nawet nie wypatrzywszy przedtem drogi.

Wracaj natychmiast! – Chwycił Sama pod pachy i wywindował z powrotem. – Czekaj chwilę, cierpliwości! – rzekł. Położył się na skale, wychylił głowę i uważnie popatrzył w dół. Słońce jeszcze nie zaszło, lecz ściemniało się szybko dokoła. – Myślę, że damy radę – powiedział Frodo. – Ja w każdym razie zlezę, a ty także, pod warunkiem że nie stracisz głowy i będziesz ostrożnie szedł moim śladem.

– Boję się, że pan jest zbyt pewny siebie, panie Frodo – odparł Sam. – Przecież w tej ciemności nawet nie widać, co pod nami. A jeśli pan niżej trafi na takie miejsce, gdzie nie będzie o co ani nóg, ani rąk zaczepić?

– No, to wrócę na górę – rzekł Frodo.

– Łatwo powiedzieć! – westchnął Sam. – Ja radzę czekać do rana, aż się rozwidni.

– Nie! To już byłaby ostateczność! – uniósł się nagle Frodo. – Szkoda każdej godziny, każdej minuty. Zlezę trochę niżej, zbadam drogę. Ty nie idź za mną, póki nie zawołam.

Wczepił palce w kamienny próg i ostrożnie spuszczał się po ścianie; ramiona już miał wyprężone w całej długości, gdy wreszcie zmacał stopą mały występ skalny.

– Pierwszy krok zrobiony! – oświadczył. – Ta półeczka rozszerza się ku prawej stronie! Tam będę mógł stanąć bez pomocy rąk. Zaraz… Urwał nagle.

Ciemność gęstniejąca z każdą sekundą gnała z wiatrem od wschodu i już ogarnęła całe niebo. Tuż nad ich głowami suchy trzask gromu rozdarł powietrze. Wraz z gwałtownym podmuchem wichury, zmieszany z jej szumem, rozległ się wysoki, przenikliwy okrzyk. Hobbici znali ten głos: słyszeli go z oddali na Moczarach, uchodząc z Hobbitonu, a nawet tam, w swojskich lasach rodzinnego kraju, mroził im krew w żyłach. Tu, daleko od ojczyzny, na pustkowiu, zabrzmiał jeszcze straszniej, przeszył ich zimnym ostrzem grozy i rozpaczy. Na chwilę zabrakło im tchu, serca jakby ustały w piersiach. Sam padł plackiem na ziemię. Frodo mimo woli oderwał ręce od skały, żeby zasłonić sobie uszy. Zachwiał się, pośliznął i z przeciągłym jękiem osunął w dół.

Sam usłyszał jęk i podczołgał się na sam skraj urwiska.

– Panie Frodo! – wołał. – Panie Frodo!

Nie było odpowiedzi. Sam trząsł się cały, ale nabrał tchu w płuca i znowu krzyknął: – Panie! – Wiatr wpychał mu głos z powrotem do gardła, lecz wśród huku i szumu, rozbijającego się echem po górach, do uszu Sama doleciał nikły, znajomy głos.

– W porządku, w porządku. Jestem tutaj. Ale nic nie widzę.

Frodo ledwie dobywał głosu. Nie był wcale daleko. Nie spadł, lecz tylko osunął się i wylądował, wprawdzie brutalnie, lecz na równe nogi, na szerszej półeczce skalnej, ledwie o kilkanaście stóp niżej. Szczęściem ściana w tym miejscu była odchylona, a wiatr przycisnął do niej hobbita tak, że nie runął w przepaść. Chwilę odpoczywał, tuląc twarz do zimnego kamienia; serce waliło mu jak młotem, nie rozumiał, czy zapadły nagle nieprzeniknione ciemności, czy tylko jemu ćmi się w oczach. Otaczała go zewsząd czarna noc. Przemknęło mu przez myśl, że oślepł. Zaczerpnął w płuca powietrze.

– Niech pan wraca! Niech pan wraca! – w ciemności gdzieś nad nim wołał Sam.

– Nie mogę – odpowiedział. – Nic nie widzę. Nie znajduję żadnego uchwytu w skale. Nie mogę się na razie ruszyć.

– Jak panu pomóc?! Co robić?! – krzyknął Sam, wychylając się z narażeniem życia przez krawędź. Dlaczego Frodo nic nie widział? Było dość ciemno, nie tak jednak, by nie móc rozeznać najbliższego otoczenia. Sam widział Froda, małą, samotną figurkę przytuloną do ściany. Nie mógł jednak dosięgnąć go pomocnym ramieniem.

Znów trzasnął piorun i lunął deszcz. Gęste strugi ulewy zmieszanej z gradem smagały ścianę lodowatym biczem.

– Zejdę do pana! – krzyknął Sam, chociaż nie miał pojęcia, jakim sposobem zdoła pomóc Frodowi.

– Nie! Nie! Czekaj! – odkrzyknął Frodo mocniejszym już głosem. – Już trochę wracam do siebie. Czekaj! Bez liny i tak mi nic nie pomożesz.

– Lina! – zawołał Sam. Rozgorączkowany i nagle podniesiony na duchu, zaczął gadać do siebie: – Zasłużyłem, żeby zadyndać na linie ku przestrodze innym półgłówkom. Głąb z ciebie, Samie Gamgee, słusznie mi to mój Dziadunio powtarzał, święte jego słowa. Lina!

– Przestań pleść! – krzyknął Frodo, odzyskując na tyle siły, by zarazem zirytować się i roześmiać. – Daj spokój swojemu Dziaduniowi. Czy chcesz wmówić sobie i mnie, że masz linę w kieszeni? Jeśli tak, dawaj ją tu!

– Właśnie, proszę pana, że mam w worku linę. Taszczę ją setki mil, a na śmierć o niej zapomniałem.

– No to rusz się wreszcie i spuść mi ją prędko!

Sam co prędzej rozwiązał tobołek i zaczął w nim szperać. Rzeczywiście na dnie wymacał zwój jedwabistej szarej liny skręconej przez elfów z Lórien. Rzucił jej koniec Frodowi. W tym samym momencie albo ciemności zrzedły, albo hobbitowi w oczach pojaśniało. Widział szary sznur kołyszący się w powietrzu, a nawet wydało mu się, że dostrzega bijący od niego nikły srebrzysty blask. Miał już punkt jaśniejszy wśród nocy, na którym mógł skupić wzrok, i dzięki temu zaraz przestało mu się w głowie kręcić. Odkleił się od ściany, owiązał w pasie liną, chwycił się jej mocno oburącz. Sam cofnął się o krok czy dwa od krawędzi i zaparł nogami o sterczący pieniek. Trochę o własnych siłach, a przede wszystkim ciągnięty na linie, Frodo wreszcie wywindował się na górę i padł na ziemię obok przyjaciela.

Grzmoty przetaczały się już gdzieś dalej, deszcz jednak wciąż lał jak z cebra. Hobbici podpełzli w głąb żlebu, lecz i tam nie znaleźli zbyt zacisznego schronienia. Zewsząd ciekły strugi wody, wkrótce dnem żlebu płynął bystry, spieniony na kamieniach potok i przelewając się przez krawędź, chlustał jak z rynny olbrzymiego dachu.

– Zalałoby mnie albo spłukało w przepaść, gdybym został na tej półce – rzekł Frodo. – Co za szczęście, że mieliśmy linę!

– Byłoby jeszcze większe szczęście, gdybym sobie o niej w czas przypomniał – powiedział Sam. – Może pan pamięta, że gdy opuszczaliśmy Lórien, elfowie dali nam do każdej łodzi zwój liny. Tak mi się ta lina spodobała, że jeden zwój wpakowałem do swojego worka. Zdaje się, że to było nie wiedzieć ile lat temu! „Może wam się przydać w niejednej potrzebie” – powiedział któryś z elfów, Haldir chyba. Miał rację!

– Szkoda, że nie przyszło mi na myśl zabrać jeszcze drugiego zwoju – rzekł Frodo. – Rozstawałem się z drużyną w takim pośpiechu i zamęcie, że o tym nie pomyślałem. Gdybyśmy mieli więcej liny, moglibyśmy jej użyć do zjazdu na dół. Ciekaw jestem, ile ta twoja lina ma długości?

Sam z wolna zaczął rozwijać linę, mierząc ją ramieniem.

– Pięć, dziesięć, dwadzieścia… będzie ze trzydzieści łokci mniej więcej – oznajmił.

– No, no! Kto by się spodziewał! – wykrzyknął Frodo.

– Ha! – odparł Sam. – Elfy to wspaniałe plemię. Lina zdaje się cienka, ale jest bardzo mocna, a przy tym miękka i nie drapie ręki. Zwija się ciasno, a lekka jak piórko. Wspaniałe plemię, ani słowa!

– Trzydzieści łokci! – w zamyśleniu powtórzył Frodo. – To chyba wystarczy. Jeżeli burza ucichnie przed nocą, spróbuję dziś jeszcze.

– Deszcz prawie już ustał – powiedział Sam – ale niech pan po ciemku nie ryzykuje, panie Frodo. Nie wiem, czy pan już zapomniał, ale ja jeszcze mam w uszach krzyk, który z wichrem do nas doleciał. Taki głos mają Czarni Jeźdźcy, ale ten chyba w powietrzu galopował, bo krzyk szedł znad gór. Na mój rozum trzeba w tej dziurze przeczekać do rana.

– A na mój rozum ani chwili dłużej nie wolno marudzić na tym grzbiecie, gdzie nas oczy patrzące z Czarnego Kraju poprzez bagniska jak na dłoni zobaczą – odparł Frodo.

Z tymi słowy zerwał się i znowu zszedł na skraj wąwozu. Wyjrzał przez krawędź. Na wschodzie niebo się już przetarło. Boczne skrzydła burzy, postrzępione i mokre, rozpraszały się; główna bitwa stoczona została na szerokim froncie ponad łańcuchem Emyn Muil, gdzie zatrzymały się dłużej ponure myśli Saurona. Stąd poszło natarcie na dolinę Anduiny, zasypując ją gradem i piorunami, potem czarny cień groźbą wojny padł na Minas Tirith. Wreszcie burza osunęła się z gór i skłębionymi chmurami przepłynęła z wolna nad Gondorem i pograniczem Rohanu; rycerze Théodena, jadąc na zachód, widzieli z daleka nad równiną jej czarne, pionowe smugi jak wieże sunące za słońcem. Tu jednak, nad pustkowiem bagien, otworzyło się czyste, ciemnoszafirowe wieczorne niebo i kilka bladych gwiazd błysnęło niby maleńkie, białe okienka w baldachimie rozpiętym nad sierpem księżyca.

– Jak przyjemnie znów oglądać świat! – powiedział Frodo, wzdychając głęboko. – Wyobraź sobie, że przez chwilę miałem wrażenie, że straciłem wzrok. Od pioruna czy może od gorszego jeszcze wstrząsu. Nic a nic nie widziałem, dopóki nie spuściłeś mi liny. Ta lina jakby świeciła wśród nocy.

– Tak, w ciemności lśni srebrem. Przedtem nigdy tego nie zauważyłem. Co prawda nie pamiętam, żebym się jej kiedyś przyglądał, odkąd ją zwiniętą wpakowałem do worka. Ale jeżeli pan się upiera zjeżdżać na linie, jak to zrobimy? Trzydzieści łokci to mniej więcej tyle, na ile pan ocenił wysokość ściany, prawda?

Frodo chwilę się namyślał.

– Umocujesz linę wokół tego pieńka – rzekł. – Tym razem spełnię twoje życzenie i pozwolę ci zjechać pierwszemu. Będę po trochu zwalniał linę, a ty musisz tylko odpychać się rękami i stopami od skały. Swoją drogą będę ci wdzięczny, jeżeli od czasu do czasu ulżysz mi, stając o własnych siłach na którejś półeczce. Jak już będziesz na dole, zjadę do ciebie. Czuję się znowu w dobrej formie.

– Dobrze – odparł Sam niezbyt ochoczo. – Raz kozie śmierć.

Owiązał linę wokół pnia sterczącego tuż nad krawędzią. Drugim końcem owinął się w pasie. Markotnie zwrócił się ku przepaści, gotów po raz drugi przekroczyć jej próg.

Zjazd okazał się jednak mniej straszny, niż się Sam spodziewał. Lina jakby mu dodawała ducha, chociaż co prędzej zamykał oczy, ilekroć zerknął w dół. Jedno miejsce było szczególnie przykre; nie mógł zmacać stopami żadnej szczeliny w stromej, a nawet podciętej ścianie; obsunął się i zawisł na srebrnej nici. Lecz Frodo opuszczał linę łagodnie i pewnie, tak że wreszcie powietrzna jazda skończyła się szczęśliwie. Najbardziej lękał się Sam, że liny nie starczy i że znajdzie się wówczas bezradny między niebem a ziemią; lecz Frodo miał jeszcze sporą pętlę w ręku, gdy Sam stanął u podnóża ściany i krzyknął: „Wylądowałem!”. Głos zabrzmiał wyraźnie, Frodo jednak nie widział przyjaciela, bo szary płaszcz elfów stopił się ze zmierzchem.

Frodowi zejście zajęło nieco więcej czasu. Zwój liny owinął sobie w pasie, umocował koniec wokół pnia, tak miarkując długość, żeby go podtrzymywała, zanim stopami dotknie gruntu. Nie ryzykował jednak zbytnio, starał się raczej schodzić, niż zjeżdżać, bo nie miał tej wiary co Sam w niezawodną moc cienkiej liny. Mimo to dwakroć po drodze trafił na takie miejsce, gdzie musiał całkowicie jej zaufać, bo na gładkiej ścianie nawet krzepkie hobbickie palce nie znajdowały nic, czego by się mogły

uczepić, a półki były zbyt odległe jedna od drugiej. W końcu Frodo także stanął na równinie.

– Udało się! – krzyknął. – Umknęliśmy górom Emyn Muil. Pytam, co dalej? Kto wie, czy wkrótce nie zatęsknimy do twardej skały pod nogami.

Lecz Sam nie odpowiadał; patrzył uparcie do góry, ku szczytowi urwiska.

– Och, półgłówek ze mnie! Gamoń! – jęknął. – Moja piękna lina! Uwiązana tam w górze do pnia, a my tutaj na dole! Nie mogliśmy dostarczyć wygodniejszej drabiny dla tego szpiega Golluma! Już lepiej było postawić drogowskaz z napisem „Tędy droga!”. Przeczuwałem, że jakieś szydło wylezie z worka, za łatwo nam poszło.

– Jeżeli masz sposób, żeby zjechać na linie i mieć ją nadal przy sobie, możesz mi odstąpić tytuł półgłówka i gamonia, a także wszystkie inne, jakimi cię Dziadunio obdarzył – rzekł Frodo. – Wleź z powrotem na grań, odwiąż linę i zjedź raz jeszcze, proszę bardzo.

Sam podrapał się w głowę.

– Niech pan wybaczy, panie Frodo, nie znam takiego sposobu – odparł. – Ale przykro mi tę linę zostawić mimo wszystko. – Pogłaskał koniec liny i potrząsnął nią z lekka. – Ciężko rozstać się z każdą rzeczą, która pochodzi z kraju elfów. Może Galadriela sama sznur plotła? Galadriela! – szepnął, ze smutkiem kiwając głową.

Spojrzał znów do góry i po raz ostatni, jakby na pożegnanie, pociągnął linę.

Ku zdumieniu hobbitów węzeł puścił. Sam padł na wznak, a długie szare zwoje cicho osunęły się i ułożyły na jego brzuchu. Frodo wybuchnął śmiechem.

– Kto zaciągnął tak dobrze węzeł? – spytał. – Szczęście, że nie puścił wcześniej! Pomyśleć, że zawierzyłem twojemu supełkowi całą moją żywą wagę.

Sam jednak nie śmiał się wcale.

– Zgoda, proszę pana, że po górach wspinać się nie umiem – rzekł urażonym tonem – ale na linach i węzłach znam się naprawdę. To u nas, że tak powiem, rodzinne rzemiosło. Mój dziadek, a po nim stryj Andy, najstarszy brat Dziadunia, prowadzili warsztat powroźniczy przez długie

lata. Ani w Shire, ani gdzie indziej na świecie nie ma mistrza, który by lepszy węzeł założył na ten pniak, niż ja założyłem.

– W takim razie lina musiała się zerwać, przetrzeć na ostrej krawędzi skały – powiedział Frodo.

– Założę się, że nie – odparł Sam, jeszcze bardziej tym drugim przypuszczeniem dotknięty. – Nie, nie zerwała się, nie przetarła nawet jedna nitka.

– A więc jednak supeł zawinił.

Sam potrząsnął głową, nic nie odpowiadając. W zamyśleniu przesuwał linę w palcach.

– Niech pan mówi, co chce, panie Frodo – powiedział wreszcie – ale ja myślę, że lina sama z siebie przybiegła, kiedy na nią zawołałem. – Zwinął linę i pieczołowicie schował do worka.

– Jakimkolwiek sposobem to się stało, najważniejsze, że jest – stwierdził Frodo. – Teraz jednak trzeba się zastanowić nad następnym krokiem. Wkrótce noc zapadnie. Jakie śliczne gwiazdy! Jaki piękny księżyc!

– To dodaje otuchy, prawda? – rzekł Sam, podnosząc wzrok ku niebu. – Gwiazdy przypominają o elfach. Księżyc rośnie. Nie widzieliśmy go przez dwie ostatnie noce, bo było chmurno. Teraz już dość jasno świeci.

– Tak – powiedział Frodo – ale w pełni będzie dopiero za kilka dni. Nie sądzę, byśmy mogli wędrować przez bagnisko przy świetle półksiężyca.

Z zapadnięciem nocnego mroku rozpoczęli nowy etap marszu. Po jakimś czasie Sam obejrzał się na przebytą drogę. Wylot żlebu znaczył się czarną plamą na szarym urwisku.

– Cieszę się, że ściągnęliśmy linę – powiedział. – Przynajmniej zadaliśmy tej pokrace niezłą zagadkę. Niech popróbuje człapać swoim sposobem z półki na półkę po skalnej ścianie.

Od podnóży urwiska poszli dzikim pustkowiem, klucząc wśród głazów i kamieni, mokrych i oślizłych po ulewnym deszczu. Teren wciąż jeszcze opadał dość stromo. Nie oddalili się od gór więcej niż kilkadziesiąt kroków, gdy drogę zagrodziła im szczelina, która znienacka ukazała się tuż przed nimi, ziejąc czarną głębią. Nie była zbyt szeroka, lecz nie tak wąska, by odważyli się przez nią przeskoczyć, i to po ciemku. Wydawało im się, że słyszą bulgot wody na dnie. Na lewo od nich szczelina skręcała ku północy,

z powrotem pod góry, tędy więc w żaden sposób iść nie mogli, przynajmniej dopóki noc trwała.

– Trzeba chyba zawrócić na południe wzdłuż urwiska – rzekł Sam. – Może znajdziemy jakiś zaciszny kąt albo nawet jaskinię czy coś w tym rodzaju.

– Masz rację – odparł Frodo. – Jestem zmęczony i nie miałbym siły dłużej leźć wśród kamieni po nocy, mimo że każda chwila droga. Gdyby tak mieć równą ścieżkę przed sobą, maszerowałbym, póki by się pode mną nogi nie ugięły!

Droga wzdłuż podnóży Emyn Muil nie okazała się wcale mniej uciążliwa. Nie znaleźli też nigdzie przytulnego schronu, nic prócz nagich kamiennych stoków, coraz wyższych i bardziej stromych, w miarę jak cofali się na południe. W końcu, wyczerpani, rzucili się po prostu na ziemię pod osłoną głazu, sterczącego niemal u stóp urwiska. Jakiś czas siedzieli skuleni i smutni, drżąc z zimna na kamieniach, lecz potem sen ich zmógł, mimo że usiłowali się przed nim bronić. Księżyc płynął wysoko po bezchmurnym już niebie. Nikła biała poświata rozjaśniała skalne stoki i zalewała chłodnym blaskiem urwisko pod żlebem, tak że ogromna ściana zdawała się jasnoszarą płachtą poznaczoną gdzieniegdzie czarnymi plamami.

– Wiesz co, Samie – rzekł w pewnej chwili Frodo, wstając i otulając się szczelniej płaszczem – prześpij się trochę i weź tymczasem również mój koc, a ja pospaceruję i będę pełnił wartę. – Nagle wzdrygnął się i chwycił Sama za rękaw. – Co to? – szepnął. – Spójrz na urwisko!

Sam spojrzał i zachłysnął się z wrażenia.

– Tsss! – rzekł. – To on. Gollum. Do stu żmij i padalców! A ja się cieszyłem, że zadaliśmy mu zagadkę i że nie będzie umiał zleźć ze skały! Niech pan patrzy! Lezie jak obrzydły pająk po ścianie.

Po prostopadłej i zupełnie gładkiej, jak się zdawało w bladym świetle księżyca, ścianie spuszczał się mały, ciemny stwór, lgnąc do skały rozcapierzonymi kończynami. Może jego miękkie, czepliwe ręce i palce u nóg znajdowały szpary i chwyty, których żaden hobbit nie zmacałby ani nie umiał wykorzystać, wyglądało to jednak tak, jakby spełzał po prostu na lepkich łapach niby olbrzymi drapieżny owad. Lazł głową w dół, węsząc drogę przed sobą. Od czasu do czasu z wolna podnosił głowę, obracał ją na

długiej, chudej szyi, a wówczas hobbitom migały dwa blade, lśniące światełka: oczy Golluma na jedno mgnienie błyskające w poświacie księżyca, co prędzej znów zasłonięte powiekami.

– Czy pan myśli, że on nas widzi? – spytał Sam.

– Nie wiem – odparł Frodo cichutko – sądzę, że nie. Nawet przyjaznym oczom trudno rozróżnić w zmroku płaszcze elfów. Ja ledwie dostrzegam ciebie z odległości dwóch kroków. Słyszałem też, że on nie znosi słońca ani księżyca.

– To czemu złazi właśnie w tym miejscu? – spytał Sam.

– Cicho! – ostrzegł Frodo. – Możliwe, że nas wyczuł nosem. Słuch ma też, zdaje się, bystry jak elfowie. Myślę, że coś usłyszał, może nasze głosy. Nakrzyczeliśmy się niemało, schodząc z góry, a przed chwilą także za głośno gadaliśmy.

– No, ja mam go już wyżej uszu – rzekł Sam. – Tym razem przebrał miarkę i w końcu powiem mu słówko prawdy, jeżeli go dopadnę. I tak już teraz nie zdołalibyśmy wymknąć mu się niepostrzeżenie.

I Sam, naciągnąwszy szary kaptur na twarz, zakradł się chyłkiem pod urwisko.

– Ostrożnie! – szepnął Frodo, idąc za nim. – Nie spłosz go. Jest groźniejszy, niżby można przypuszczać.

Spełzający czarny stwór miał już za sobą trzy czwarte drogi, znajdował się o jakieś piętnaście stóp, czy może nawet mniej od podnóża ściany. Hobbici, przyczajeni bez ruchu w cieniu wielkiego głazu, nie odrywali od Golluma oczu. Słyszeli sapanie, a nawet od czasu do czasu świszczący oddech, który brzmiał jak przekleństwa. Kiedy podnosił głowę, wydało im się, że pluje. Potem znów ruszył dalej w dół. Był już tak blisko, że skrzekliwy, świszczący głos dochodził zupełnie wyraźnie.

– Sss! Ostrożnie, mój skarbie! Spiesz się powoli. Nie wolno nam narażać karku, mój skarbie, nie! Glum, glum! – Znów podniósł głowę, zamrugał w blasku księżyca i szybko zamknął ślepia. – Wstrętne, wstrętne zimne światło… sss… szpieguje cię, mój skarbie, rani ci oczy.

Im niżej się opuszczał, tym lepiej rozróżniali w jego syku słowa.

– Gdzie się podział mój skarb, mój ssskarb? Bo to nasz ssskarb, nasz własssny, musimy go odebrać. Złodzieje, złodzieje, wstrętne małe

złodziejaszki. Gdzie się ssschowali z moim ssskarbem? Niech ich licho. Nienawidzimy ich.

– Z tego by wynikało, że nie wie, gdzie jesteśmy – szepnął Sam. – Co on nazywa swoim skarbem? Czyżby…?

– Cicho! – szepnął Frodo. – Zbliża się, mógłby już dosłyszeć nasze szepty.

Gollum rzeczywiście zatrzymał się nagle i chwiał ogromną głową na chudej szyi z boku na bok, jakby nasłuchując. Na wpół odemknął blade ślepia. Sam pohamował się, chociaż ręka go świerzbiła. Z gniewem i wstrętem wlepił wzrok w obrzydłego stwora, który znów się ruszył, nie przestając mruczeć i syczeć pod nosem. W końcu znajdował się już tylko o kilka stóp od ziemi, wprost nad głowami hobbitów. Ściana w tym miejscu opadała gwałtownie i była podcięta, nawet Gollum nie mógł w niej znaleźć punktu oparcia. Hobbici mieli wrażenie, że potwór chce się odwrócić głową ku górze, lecz w tym momencie odpadł od ściany, runął w dół z przeraźliwym świszczącym wrzaskiem. Skulił się w powietrzu jak pająk, gdy pęknie nić pajęczyny, na której zwisał.

Sam poderwał się błyskawicznie z kryjówki i w paru susach dopadł podnóża urwiska. Nim Gollum dźwignął się z ziemi, hobbit siedział mu na karku. Lecz Gollum, nawet zaskoczony znienacka i rozbity, okazał się groźnym przeciwnikiem. Sam nie zdążył przycisnąć stwora, gdy już tamten oplótł go długimi ramionami i nogami, obezwładniając ręce, obejmując miękkim, lecz straszliwym uchwytem, zacieśniając z wolna oplot jak stryczek; lepkie palce sięgały hobbitowi do gardła, ostre zęby wpijały mu się w ramię. Sam, nie mogąc się bronić inaczej, usiłował przynajmniej tłuc okrągłą, twardą głową w twarz Golluma. Stwór syczał i pluł, ale nie rozluźniał uchwytu.

Źle zapewne skończyłaby się dla Sama ta przygoda, gdyby nie Frodo, który skoczył naprzód z obnażonym Żądłem w garści. Lewą ręką złapał Golluma za rzadkie włosy, tak by blade, zionące jadem złości oczy musiały spojrzeć prosto w niebo.

– Puść mego przyjaciela, Gollumie – rzekł. – To jest Żądło. Jużeś je w życiu widział przed laty. Puść mego przyjaciela, bo inaczej poznasz się z tym ostrzem z bliska. Utnę ci łeb.

Gollum nagle opadł z sił, zmiękł niby mokry postronek. Sam wstał, obmacując posiniaczone ramiona. Oczy płonęły mu gniewem, lecz nie mógł się zemścić, gdy nieszczęsny przeciwnik leżał na kamieniach, kuląc się i skamląc.

– Nie rób nam krzywdy! Nie pozwól mu skrzywdzić nas, mój ssskarbie! Nie zechcą nas przecież skrzywdzić dobre małe hobbity? Nie mieliśmy złych zamiarów, to one rzuciły się na nas jak kocury na biedną mysz. My tacy biedni, samotni, glum, glum. Będziemy grzeczni, bardzo grzeczni, jeśli małe hobbity dla nas będą także grzeczne…

– No i co z tym paskudztwem zrobimy? – spytał Sam. – Ja radzę spętać dobrze nogi, żeby nie mógł dłużej za nami człapać.

– Ależ to byłaby dla nas śmierć, śmierć – chlipał Gollum. – Okrutne małe hobbity. Spętać nas chcą i porzucić wśród zimnych kamieni, glum, glum.

Łkanie bulgotało mu w gardle.

– Nie! – rzekł Frodo. – Jeślibyśmy musieli go zabić, to jednym ciosem, na miejscu. Ale w tej sytuacji nie możemy go zabić. Nieszczęsny stwór! Ostatecznie nic złego nam nie zrobił.

– Jak to? – odparł Sam, rozcierając obolałe ramię. – W każdym razie na pewno miał ku temu jak najlepsze chęci, a założę się, że je ma w dalszym ciągu. Udusi nas, gdy pośniemy, o tym tylko marzy.

– Zapewne masz słuszność – rzekł Frodo. – Ale nie w tym rzecz.

Zamyślił się na długą chwilę. Gollum leżał cicho, przestał chlipać. Sam stał nad nim, nie spuszczając go z oczu.

A Frodowi zabrzmiały w uszach wyraźne, chociaż odległe głosy przeszłości:

„Jakże mi żal, że Bilbo nie przebił mieczem podłego stwora, skoro miał sposobność!

Żal? Przecież to żal i litość wstrzymały wówczas jego rękę. Litość i miłosierdzie nie pozwoliły mu zabijać bez koniecznej potrzeby.

Nie czuję litości dla Golluma. Zasłużył na śmierć.

Zasłużył! Racja. Wielu z tych, którzy żyją, zasłużyło na śmierć. Niejeden też z tych, którzy zasłużyli na życie, umarł. Czy możesz tym umarłym zwrócić życie? Nie szafuj więc pochopnie śmiercią w imię sprawiedliwości,

bo narazisz własne bezpieczeństwo. Nawet najmądrzejsi mędrcy nie wszystko wiedzą”.

– Dobrze – odpowiedział głośno i opuścił miecz. – Boję się, ale, jak widzisz, nie tknę tego stwora. Teraz, gdy go zobaczyłem, poczułem, że mi go żal.

Sam zdziwiony patrzył na swego pana, który przemawiał jakby do kogoś niewidzialnego. Gollum podniósł głowę.

– Tak, tak, jesteśmy nieszczęśliwi – zaskomlał. – Litości, litości! Hobbity nas nie zabiją, dobre małe hobbity.

– Nie zabijemy cię – rzekł Frodo – lecz nie puścimy cię także na wolność. Bo po tobie można się spodziewać tylko podstępów i złośliwości, Gollumie. Pójdziesz z nami, będziemy cię mieli na oku. Nic gorszego cię nie spotka, ale musisz nam pomóc w miarę swoich możliwości. Odpłać nam, żeśmy ci darowali życie.

– Tak, tak, odpłacimy – zasyczał Gollum. – Zacne małe hobbity! Pójdziemy z nimi. Znajdziemy w ciemnościach bezpieczne ścieżki. Ale dokąd to spieszą przez te dzikie pustkowia, bardzo jesteśmy ciekawi, bardzo ciekawi.

Podniósł wzrok na hobbitów i chytry, żywy błysk mignął mu w bladych, przymrużonych oczach.

Sam zmarszczył brwi i zagryzł usta. Czuł jednak, że w postawie Froda jest coś niezwykłego i że żadnym argumentem nie skłoni go teraz do zmiany decyzji. Mimo wszystko zdumiała go odpowiedź Froda.

Frodo patrzył prosto w oczy Gollumowi, a nieszczęsny stwór kulił się i wił pod tym spojrzeniem.

– Wiesz dużo albo przynajmniej domyślasz się, Sméagolu, wielu rzeczy – powiedział surowym, spokojnym tonem. – Zdążamy oczywiście do Mordoru. A ty, jeśli się nie mylę, znasz drogę do tego kraju.

– Ach! Sss! – syknął Gollum, zatykając uszy rękami, jak gdyby ta otwarta mowa, te głośno wymawiane imiona raniły go. – Domyślaliśmy się, domyślali – szepnął. – I nie chcieliśmy, żeby hobbity tam doszły. Nie, ssskarbie, małe, dobre hobbity nie powinny tam iść. Popioły, popioły, prochy, susza, kopalnie, szyby, orkowie, tysiące orków. Dobre hobbity niech tam nie idą, nie, to nie jest miejsce dla nich.

– A więc ty tam byłeś? – nalegał Frodo. – I ciągnie cię tam znowu, co?

– Tak. Tak. Nie! – wrzasnął Gollum. – Raz zaszliśmy przypadkiem, prawda, mój skarbie, że to był przypadek? Ale nie wrócimy już, nie! – Nagle zmienił głos, a także język i szlochając, mówił jak gdyby nie do hobbitów: – Zostaw mnie w spokoju, glum! Och, jak boli. Moje biedne ręce, glum! Ja… my… ja nie chcę wracać. Nie mogę go odnaleźć. Jestem zmęczony. Ja… my nie możemy go znaleźć, glum, glum, nigdzie go nie ma. Tamci czuwają nieustannie. Krasnoludy, ludzie, elfowie, straszliwi elfowie ze świetlistymi oczyma. Nie mogę. Ach! – Wstał i zaciskając długie ręce w kościsty, bezcielesny węzeł, potrząsał nimi w stronę wschodu. – Nie! – krzyknął. – Nie dla ciebie! – Znów osłabł. – Glum, glum – zachlipał, przypadając twarzą do ziemi. – Nie patrz na nas! Odejdź! Idź spać!

– On nie odejdzie ani też nie zaśnie na twój rozkaz, Sméagolu – rzekł Frodo. – Ale jeśli naprawdę chcesz się od niego znów uwolnić, musisz mi pomóc. W tym celu, niestety, trzeba znaleźć najpierw ścieżkę prowadzącą do niego. Nie będę jednak od ciebie wymagał, żebyś szedł z nami aż do końca, za bramę tego kraju.

Gollum usiadł i popatrzył na Froda spod przymrużonych powiek.

– On jest tam – zaskrzeczał. – Jak zawsze. Orkowie zaprowadzą cię na miejsce. Orków bez trudu spotkasz na wschodnim brzegu rzeki. Nie proś o to Sméagola. Biedny, biedny Sméagol odszedł bardzo dawno temu. Zabrali mu jego skarb i Sméagol jest zgubiony.

– Może go odnajdziemy, jeśli pójdziesz z nami – powiedział Frodo.

– Nie, nie, przenigdy! Stracił swój skarb – odparł Gollum.

– Wstań! – rozkazał Frodo.

Gollum wstał i cofnął się pod urwisko.

– Mów! – rzekł Frodo. – Czy łatwiej ci wskazać nam drogę za dnia, czy też nocą? Jesteśmy zmęczeni, ale jeśli wolisz noc, ruszymy natychmiast.

– Wielkie światła rażą nasze oczy, to boli – jęknął Gollum. – Ta biała twarz na niebie także przeszkadza, ale wkrótce schowa się za góry, wtedy pójdziemy. Teraz niech dobre hobbity chwilę odpoczną.

– Siadaj więc i nie waż się ruszyć – rzekł Frodo.

Hobbici usiedli przy nim, biorąc go między siebie; plecami oparli się o kamienną ścianę, nogi rozprostowali swobodnie. Obeszło się bez słów, obaj rozumieli, że żadnemu z nich nie wolno oka zmrużyć ani na chwilę. Księżyc sunął leniwie po niebie. Cień od gór wydłużał się i zatapiał cały krajobraz przed nimi w mroku, ale nad ich głowami gęsto i jasno świeciły gwiazdy. Wszyscy trzej trwali bez ruchu. Gollum, skulony, opierał brodę o kolana, płaskie dłonie i stopy położył na ziemi, oczy miał zamknięte; hobbici spostrzegli jednak, że stwór czuwa w napięciu, rozmyślając i nasłuchując.

Frodo chyłkiem spojrzał na Sama. Oczy ich spotkały się i porozumiały. Osunęli się, odchylili głowy do tyłu, przymrużyli powieki. Po chwili już obaj oddychali równo, głośno. Gollumowi ręce zadrżały lekko. Niemal niedostrzegalnym ruchem obrócił głowę w lewo, w prawo, odemknął najpierw jedno, potem drugie oko. Hobbici nie drgnęli nawet.

Nagle ze zdumiewającą zwinnością i szybkością Gollum dał susa, podrywając się jak pasikonik czy też żaba jednym zamachem z ziemi, i skoczył w ciemność. Ale Frodo i Sam na to właśnie czekali. Gollum nie zdążył zrobić drugiego kroku, gdy Sam już siedział mu na karku, a Frodo, nadbiegając, szarpnął go za nogę i powalił.

– Twoja lina przyda nam się, Samie – powiedział.

Sam wydobył linę z tobołka.

– Dokąd to się pan wybierał w tej kamienistej i zimnej okolicy, panie Gollumie? – mruknął. – Bardzo jesteśmy tego ciekawi, bardzo ciekawi. Pewnie chciałeś poszukać swoich kumotrów orków, co? Obrzydły zdrajco! Zasłużyłeś, żeby ci sznur na szyję założyć i zaciągnąć pętlę.

Gollum leżał cicho i nie próbował stawiać oporu. Za całą odpowiedź rzucił Samowi szybkie, nienawistne spojrzenie.

– Chodzi tylko o to, żeby nam nie umknął – powiedział Frodo. – Chcemy, żeby szedł z nami, więc nie można pętać mu nóg ani rąk, bo używa ich na równi niemal z nogami. Zawiąż mu w kostce jeden koniec liny, a drugi trzymaj mocno w garści.

Stał nad Gollumem, podczas gdy Sam zaciągał węzeł. Skutek tego zabiegu był dla obu hobbitów zgoła niespodziany: Gollum zaczął wrzeszczeć cienkim, rozdzierającym głosem, trudnym dla słuchaczy do

zniesienia. Zwijał się, usiłował zębami dosięgnąć kostki i przegryźć sznur. Krzyczał coraz okropniej.

Wreszcie Frodo musiał uwierzyć, że stwór naprawdę cierpi nad siły. Nie mogły jednak sprawiać mu takiego bólu więzy. Frodo zbadał je uważnie, pętla nie była zbyt ciasno zaciśnięta, a nawet zdawała się zupełnie luźna. Sam miał ręce znacznie łagodniejsze niż język.

– Co ci jest? – spytał Frodo. – Skoro próbowałeś uciec, musimy cię związać, ale nie chcemy cię dręczyć.

– Boli, boli! – chlipał Gollum. – Mrozem przejmuje, gryzie! Robota elfów, przeklętych elfów! Och, niedobre, okrutne hobbity! Właśnie dlatego chcieliśmy od nich uciec, mój skarbie. Przeczuwaliśmy, że to są okrutne, złe hobbity. Zadają się z elfami, ze strasznymi elfami, które mają świetliste oczy. Zdejmijcie to! Boli!

– Nie, nie zdejmę z ciebie więzów – odparł Frodo – chyba że… – urwał i namyślał się przez chwilę – chyba że istnieje taka przysięga, której mógłbym, gdybyś ją złożył, zaufać.

– Przysięgniemy, że będziemy robili, co każesz, tak, tak! – powiedział Gollum, wciąż wijąc się i chwytając za spętaną kostkę u nogi. – Boli!

– Przysięgniesz? – spytał Frodo.

– Sméagol – rzekł Gollum niespodziewanie wyraźnym głosem, otwierając szeroko oczy i patrząc na Froda z dziwnym błyskiem w źrenicach – Sméagol przysięgnie na swój skarb.

Frodo wyprostował się i gdy przemówił, znowu zdumiał Sama treścią i surowym tonem swoich słów.

– Na skarb? Czyżbyś się ośmielił? – rzekł. – Pomyśl!

Jeden, by wszystkimi rządzić i w ciemności związać.

– Czy zechcesz wobec niego zobowiązać się, Sméagolu? Taka przysięga zwiąże cię na pewno. Ale on jest bardziej jeszcze niźli ty zdradziecki. Może przekręcić twoje słowa. Strzeż się, Sméagolu.

Gollum skulił się na ziemi.

– Na skarb! Na skarb! – powtarzał.

– A co przysięgniesz? – spytał Frodo.

– Że będę dobry, bardzo dobry! – odparł Gollum. Czołgał się u nóg Froda, wił się, szeptał ochrypłym głosem, dygotał, jakby do szpiku kości przejęty grozą własnych słów: – Sméagol przysięgnie, że nigdy, nigdy nie dopuści, żeby go Tamten dostał. Nigdy. Sméagol was ocali. Ale musi przysiąc na swój skarb.

– Nie! – odparł Frodo, spoglądając na Golluma z góry okiem surowym, lecz pełnym litości. – Chodzi ci tylko o to, żeby go zobaczyć i dotknąć, chociaż wiesz, że to cię może przyprawić o szaleństwo. Nie! Przysięgniesz, ale tylko w jego obecności, nie kładąc na nim ręki. Wiesz, gdzie on jest. Wiesz, Sméagolu. Masz go przed sobą.

Przez moment zdawało się Samowi, że jego pan urósł, a Gollum się skurczył. Wysoki poważny cień, władca, ukrywający blask swej potęgi pod szarym obłokiem; u jego stóp zaś mały skomlący psiak. Lecz nie byli sobie mimo wszystko obcy, istniało między nimi dziwne jakieś podobieństwo i rozumieli nawzajem swoje myśli.

Gollum podniósł się i zaczął sięgać rękoma do piersi Froda, łasząc się u jego kolan.

– Łapy przy sobie! – rozkazał Frodo. – Złóż teraz przyczeczenie.

– Przyrzekamy, tak, przyrzekamy – powiedział Gollum – służyć panu mojego skarbu. Pan dobry, Sméagol dobry, glum, glum. – Nagle się rozpłakał, chwytając zębami kostkę u swej nogi.

– Zdejmij mu więzy, Samie – rzekł Frodo.

Sam posłuchał, chociaż niechętnie. Gollum wyprostował się błyskawicznie jak zbity kundel, co służy na dwóch łapach, kiedy pan go wreszcie pogłaszcze. Od tej chwili dokonała się w nim jakby przemiana, która utrwaliła się na pewien czas. Mniej syczał, mniej chlipał, mówił wprost do hobbitów, a nie do siebie, nazywając się skarbem. Kurczył się i cofał, gdy zbliżali się do niego lub spłoszyli go jakimś żywszym ruchem, unikał zetknięcia z płaszczami elfów, lecz zdawał się przyjazny i rozbrajająco zabiegał o ich łaski. Ilekroć któryś z hobbitów zażartował lub gdy Frodo odezwał się do niego łagodnie, Gollum wybuchał gdaczącym śmiechem i brykał z radości, a najlżejszą naganę z ust Froda oblewał łzami. Sam rzadko się do niego odzywał. Ufał mu jeszcze mniej niż przedtem, ten odmieniony Sméagol budził w nim gorsze obrzydzenie niż dawny Gollum.

– Ano, Gollumie, czy jak cię tam zwą – rzekł – jazda! Księżyc zaszedł, noc upływa. Ruszajmy.

– Tak, tak – przytaknął Gollum, podrygując gorliwie. – Idziemy. Jest tylko jedno przejście między północnym a południowym trzęsawiskiem. Ja je wypatrzyłem. Orkowie tamtędy nie chodzą, nie znają ścieżki. Orkowie nie przeprawiają się przez bagna, wolą je okrążać na mile wkoło. Szczęście, że przyszliście tą właśnie drogą. Szczęście, że spotkaliście Sméagola. Sméagol was poprowadzi!

Odbiegł parę kroków i obejrzał się pytająco, jak pies, gdy zaprasza swego pana na przechadzkę.

– Czekajże! – krzyknął Sam. – Nie wyprzedzaj nas zanadto. Będę ci deptał po piętach, a linkę mam w pogotowiu.

– Nie, nie! – powiedział Gollum. – Sméagol przyrzekł.

Ruszyli w głęboką noc pod jasnymi, surowymi gwiazdami. Zrazu Gollum prowadził na północ, z powrotem drogą, którą tu przyszli, potem skręcił skośnie w prawo, oddalając się od stromej krawędzi Emyn Muil piarżystym stokiem, który zbiegał ku rozległym bagnom, ciągnącym się w dole. Szybko, cicho sunęli przez ciemności. Czarna cisza zalegała ogromne pustkowia na przedprożu Mordoru.

ROZDZIAŁ 2
PRZEZ MOCZARY

Gollum szedł raźno, wysuwał szyję i głowę naprzód, często pomagał sobie rękami. Frodo i Sam musieli dobrze wyciągać nogi, żeby mu dotrzymać kroku; zdawało się jednak, że stwór już nie myśli uciekać, ilekroć bowiem hobbici zostali w tyle, przystawał i czekał na nich. Po pewnym czasie doprowadził ich na skraj tej samej rozpadliny, którą już raz napotkali na swej drodze, lecz teraz w miejscu bardziej oddalonym od gór.

– Tutaj! – wykrzyknął Gollum. – Tak, tu jest ścieżka w dół. Tędy dojdziemy aż tam, daleko! – tłumaczył, pokazując na południo-wschód, ku trzęsawiskom. Bił od nich smród ciężki i przykry nawet w chłodnym nocnym powietrzu.

Gollum kręcił się tam i sam wzdłuż krawędzi rozpadliny, wreszcie zawołał:

– Tutaj! Można zejść. Sméagol raz już przeszedł tą ścieżką. Schował się przed orkami.

Schodził pierwszy, a hobbici za nim w głąb ciemnego parowu.

Zejście okazało się nietrudne, bo rozpadlina miała tu nie więcej niż piętnaście stóp głębokości, a ze dwanaście szerokości. Na dnie płynęła woda, jedna z wielu małych rzeczułek ściekających z gór do stojących stawów i rozlewisk na moczarach. Gollum skręcił w prawo, mniej więcej na południe, i brnął płytkim kamienistym potokiem, człapiąc płaskimi stopami. Cieszył się wodą, chichotał do siebie, a nawet próbował skrzeczącym głosem nucić jakąś niby-piosenkę:

Ziemia zmarznięta
Stopy nam pęta
I rani ręce.
Głazy jak gnaty,
Które przed laty
Były czymś więcej.

Lecz w stawie woda –
Cóż za ochłoda
Rękom i stopom.
I jeszcze gdyby…[69]

– Aha! Czego jeszcze sobie życzymy? – rzekł, zerkając z ukosa na hobbitów. – Zaraz powiemy! – zagdakał. – On to kiedyś odgadł, Baggins odgadł.

Oczy mu zalśniły, a Samowi, który spostrzegł ten błysk w ciemnościach, nie wydał on się wcale przyjemny.

Żywa bez tchu,
zimna jak trup;
nie pragnie, a wciąż pije,
nie dźwięczy łusek zbroją.
Tonie na lądzie,
o wyspie sądzi
że to jest góra;
myśli, że źródło –
powietrza bańką.
Tak śliczna, tak gładka!
Ach, jaka gratka!
My tylko chcemy
pochwycić rybę
soczyście słodką![70]

Piosenka przypomniała Samowi natrętnie pewną troskę, która nękała go już od chwili, gdy zrozumiał, że jego pan chce Golluma wziąć za przewodnika: sprawę wyżywienia. Nie przypuszczał, żeby Frodo o tym myślał, lecz podejrzewał, że Gollum myśli na pewno. Czym ten stwór żywił się przez cały czas samotnej wędrówki? „Nie jadał za dobrze – mówił sobie Sam – wygląda na głodomora. Nie jest wybredny, na bezrybiu zgodziłby się

spróbować, jak smakuje hobbit, gdyby mu się udało przyłapać nas we śnie. Ale nie przyłapie, chyba żeby tu Sama Gamgee nie było”.

Maszerowali ciemnym, krętym wąwozem dość długo, a przynajmniej marsz zdawał się długi znużonym stopom Sama i Froda. Wąwóz skręcał ku wschodowi, rozszerzał się stopniowo i coraz był płytszy. Wreszcie niebo nad nimi zbladło pierwszym szarym brzaskiem przedświtu. Gollum dotychczas nie zdradzał zmęczenia, teraz jednak podniósł wzrok w górę i przystanął.

– Dzień już bliski – szepnął, jakby dzień uważał za niebezpieczną istotę, która może podsłuchać jego słowa i rzucić mu się do gardła. – Sméagol tu zostanie, ja tu zostanę, żeby Żółta Twarz mnie nie dostrzegła.

– Chętnie byśmy zobaczyli słońce – rzekł Frodo – ale zostaniemy z tobą, zbyt jesteśmy zmęczeni, żeby iść dalej bez odpoczynku.

– Niemądrze mówisz, że chętnie byście zobaczyli Żółtą Twarz – powiedział Gollum. – Ona by was pokazała innym. Dobre, roztropne hobbity zostaną ze Sméagolem. Tu wkoło pełno orków i złych stworzeń. Mają dobre oczy. Schowajcie się razem ze mną.

Przycupnęli wszyscy trzej pod skalistą ścianą wąwozu, która tutaj nie była wyższa od rosłego człowieka; u jej podnóży leżały kamienie płaskie i suche; potok płynął wąskim korytem bliżej przeciwległej ściany. Frodo i Sam siedli na jednym kamieniu, plecami oparci o skałę. Gollum z pluskiem brodził po wodzie.

– Trzeba coś przegryźć – rzekł Frodo. – Pewnie jesteś głodny, Sméagolu? Niewiele mamy prowiantu, ale podzielimy się z tobą, czym możemy.

Na dźwięk słowa: „głodny” zielonkawe światełka błysnęły w bladych oczach Golluma, wytrzeszczonych tak, że niemal z orbit wyłaziły pośród mizernej, chudej twarzy. Na chwilę wrócił do dawnego swojego języka:

– Głodni jesteśmy, głodni, mój ssskarbie – zasyczał. – Co też one jadają? Może mają sssmaczne rybki?

Wysunął język spomiędzy ostrych, żółtych zębów i oblizał bezkrwiste wargi.

– Nie, ryb nie mamy – odparł Frodo. – Tylko to – rzekł, pokazując kawałek lembasa – no i wodę, jeśli tutejsza woda nadaje się do picia.

– Tak, tak, dobra woda – powiedział Gollum. – Pijcie, pijcie, póki możecie. Ale co one tam mają, mój ssskarbie? Czy to kruche? Czy smaczne?

Frodo ułamał kęs suchara i podał mu na liściu, w który lembas był zawinięty. Gollum powąchał liść i nagle zmienił się na twarzy; grymas obrzydzenia wykrzywił mu usta, w oczach mignął wyraz dawnej złośliwości.

– Sméagol zna ten zapach! – rzekł. – Liście z lasu elfów, fu! Cuchną. Sméagol wlazł tam na drzewo i nie mógł później zmyć zapachu z rąk, ze swoich biednych, z naszych biednych rąk.

Odrzucając liść, ukruszył odrobinę lembasa i włożył do ust. Splunął natychmiast i zaniósł się kaszlem.

– Och, nie! – krzyknął, plując i prychając. – Chcą otruć, zadusić biednego Sméagola. Kurz, popiół, tego nie możemy jeść. Sméagol musi głodować. Trudno, nie będziemy się gniewać. Hobbity dobre. Sméagol przyrzekł. Umrzemy z głodu. Nie możemy jeść hobbickiego jedzenia. Umrzemy z głodu. Biedny, chudy Sméagol.

– Bardzo mi przykro – powiedział Frodo – nic jednak nie mogę na to poradzić. Myślę, że te suchary poszłyby ci na zdrowie, gdybyś ich zechciał spróbować. Ale pewnie nawet spróbować nie możesz, jeszcze na to nie czas.

Hobbici w milczeniu żuli lembasy. Samowi od dawna smak ich nie wydawał się tak znakomity jak tego ranka, może dlatego, że dziwne zachowanie się Golluma przypomniało mu o niezwykłych właściwościach sucharów. Czuł się jednak skrępowany, bo Gollum przeprowadzał wzrokiem każdy kęs, który hobbici nieśli do ust, niczym pies czekający pod stołem na resztki z obiadu pana. Dopiero gdy skończyli posiłek i zaczęli się układać na spoczynek, Gollum uwierzył wreszcie, że nie schowali przed nim żadnych smakołyków. Oddalił się o parę kroków i siadł samotnie, chlipiąc z cicha.

– Proszę pana! – szepnął Sam do Froda, niezbyt zresztą dbając, czy Gollum te słowa usłyszy, czy nie. – Musimy trochę się przespać koniecznie, ale nie obaj naraz, skoro jest tuż obok ten stwór, bo przyrzeczenie przyrzeczeniem, a głód głodem. Założę się, że chociaż z Golluma przezwał się Sméagolem, lepszych obyczajów tak prędko nie nabierze. Niech pan

teraz śpi, panie Frodo, zbudzę pana, kiedy już w żaden sposób nie będę mógł oczu trzymać otwartych. On się przecież kręci i wije tak samo jak przedtem, a jest nieuwiązany.

– Może masz rację, Samie – odrzekł Frodo, nie zniżając głosu. – Zmienił się, nie jestem jednak pewny, jak głęboko ta zmiana sięga. W gruncie rzeczy myślę, że nie ma powodu do obaw, przynajmniej tymczasem. Czuwaj, jeśli chcesz. Pozwól mi przespać dwie godziny, nie więcej, a potem mnie obudź.

Frodo był tak zmęczony, że zanim skończył mówić, głowa już mu opadła na piersi i zasnął natychmiast. Gollum jak gdyby wyzbył się strachu. Zwinięty w kłębek, ułożył się do snu, nie pytając o nic więcej. Oddychał z lekkim poświstem przez zacięte zęby, leżał jednak nieruchomo jak głaz. Sam zląkł się po chwili, że regularne oddechy towarzyszy ukołyszą jego także do snu, więc wstał i zaczął się przechadzać. Trącił Golluma lekko nogą. Tamtemu tylko ręce drgnęły i rozwarł zwinięte pięści, zaraz jednak znieruchomiał znowu. Sam pochylił się i prosto w ucho szepnął mu: – Ryba! – lecz Gollum i na to hasło ani się nie odezwał, ani nawet nie sapnął głośniej.

Sam podrapał się w głowę.

– Chyba rzeczywiście śpi – mruknął do siebie. – Gdybym ja był taki jak Gollum, nieborak nie zbudziłby się już nigdy.

Zaświtała mu myśl o mieczu i powrozie, lecz odtrącił ją i usiadł u boku swego pana.

Kiedy się ocknął, niebo w górze było szare i ciemniejsze niż wówczas, gdy jedli śniadanie. Sam zerwał się na równe nogi. Zdziwił się, że jest taki żwawy i głodny, aż nagle zrozumiał, że przespał cały dzień, co najmniej dziewięć godzin. Frodo, wciąż jeszcze pogrążony we śnie, leżał obok, wyciągnięty jak długi. Golluma nigdzie w pobliżu nie było widać. Sam, czerpiąc z Dziaduniowego skarbca wyzwisk, robił sobie gorzkie wyrzuty, lecz pocieszył się myślą, że Frodo, jak się okazało, miał słuszność: na razie Gollum nie był niebezpieczny. Bądź co bądź obaj hobbici żyli i nikt im we śnie gardeł nie poderżnął.

– Biedaczysko! – powiedział z niejakim zawstydzeniem. – Ciekawe, gdzie się podziewa?

– Niedaleko, niedaleko! – odpowiedział mu głos z góry. Sam podniósł wzrok i zobaczył na tle wieczornego nieba wielką głowę Golluma i jego odstające uszy.

– Ejże, co ty tam robisz? – krzyknął Sam, bo na ten widok nieufność ocknęła się znowu w jego sercu.

– Sméagol jest głodny – rzekł Gollum. – Wkrótce wróci.

– Wracaj natychmiast! – krzyknął Sam. – Ejże! Wracaj!

Ale Gollum już zniknął.

Krzyk obudził Froda. Usiadł, trąc oczy pięściami.

– Co tam znowu? – spytał. – Czy się coś złego stało? Która to godzina?

– Nie wiem – odparł Sam. – Po zachodzie słońca, jak się zdaje. Gollum poszedł sobie. Mówił, że jest głodny.

– Nie martw się – rzekł Frodo. – Nic na to nie poradzimy. Zobaczysz, on wróci. Przyrzeczenie jeszcze go jakiś czas będzie wiązało. Zresztą nie zechce rozstać się ze swoim skarbem.

Frodo wcale się nie przejął, gdy mu Sam powiedział, że obaj spali jak susły przez wiele godzin tuż obok Golluma, w dodatku zgłodniałego i niespętanego.

– Nie przemawiaj do siebie językiem swego Dziadunia – rzekł. – Byłeś wyczerpany, a wreszcie wszystko dobrze się skończyło: obaj jesteśmy wypoczęci. Czeka nas ciężka, najcięższa droga.

– Myślę, jak będzie z zaprowiantowaniem – rzekł Sam. – Ile czasu zajmie nam doprowadzenie naszej sprawy do końca? I co potem zrobimy, jak już wykonamy zadanie? Ten chleb podróżny elfów rzeczywiście krzepi nadzwyczajnie, ale, że tak powiem, brzucha nie napełnia jak należy; przynajmniej mojego, bez obrazy szanownych osób, co te sucharki piekły. W każdym razie, choć po trochu, jeść co dzień trzeba, a lembasów nie przybywa. Liczę, że zapas starczy najwyżej na jakieś trzy tygodnie, i to jeśli będziemy zaciskali pasów. Dotychczas szafowaliśmy jadłem trochę zbyt hojnie.

– Nie wiem, ile czasu zajmie nam doprowadzenie sprawy do… do końca – odparł Frodo. – Zamarudziliśmy, niestety, w górach. Ale Samie Gamgee, hobbicie kochany, najukochańszy, najlepszy z przyjaciół, nie sądzę, żebyśmy potrzebowali troszczyć się o to, co będzie potem. Powiedziałeś:

wykonać zadanie. Czy wolno nam żywić nadzieję, że je wykonamy kiedykolwiek? A jeśli nawet to się uda, kto wie, co z tego wyniknie? Kiedy Jedyny zginie, a my zostaniemy w pobliżu Ognia? Zastanów się, Samie, czy jest prawdopodobne, żeby nam wówczas był chleb potrzebny? Myślę, że nie. Zebrać siły, żeby dotrzeć do Góry Przeznaczenia – oto wszystko, czego możemy od siebie wymagać. Ale to dużo, obawiam się nawet, że za dużo, przynajmniej dla mnie.

Sam skinął głową w milczeniu. Ujął rękę Froda, pochylił się nad nią. Nie pocałował jej, lecz skropił łzami. Potem odwrócił się, otarł nos rękawem, wstał, przeszedł parę kroków, usiłując pogwizdywać i powtarzając co chwila między jednym a drugim gwizdem: – Gdzie się ta pokraka zawieruszyła?

Gollum zresztą zjawił się wkrótce z powrotem, nadszedł jednak cichcem, tak że usłyszeli go dopiero wówczas, gdy stanął przed nimi. Palce i gębę miał umazane błotem. Ślinił się i żuł jeszcze, ale co żuł – hobbici nie pytali, a nawet woleli się nad tym nie zastanawiać.

„Jakieś gady, robaki czy inne oślizłe paskudztwa z bagien – pomyślał Sam. – Brr! Obrzydliwy stwór. Nieszczęsna pokraka”.

Gollum nic nie mówił, dopóki nie napił się wody i nie umył w strudze. Potem zbliżył się do hobbitów, oblizując wargi.

– Teraz mi lepiej – powiedział. – Czy wypoczęliśmy? Czyśmy gotowi do drogi? Dobre hobbity, spały smacznie. Ufają Sméagolowi, prawda? To dobrze, to bardzo dobrze.

Następny etap marszu podobny był do poprzedniego. W miarę jak się posuwali, wąwóz stawał się coraz płytszy, zbiegał w dół coraz łagodniej. Dno było nie tak już kamieniste, grunt pod nogami miększy, ściany zmieniły się w niewysokie ziemne skarpy. Wąwóz wił się i skręcał. Noc miała się ku końcowi, lecz chmury zasłoniły i gwiazdy, i księżyc, tak że wędrowcy poznawali bliskość świtu jedynie po rozlewającym się z wolna nikłym szarym brzasku. O zimnej godzinie przedświtu doszli do końca strumienia. Brzegi tu wznosiły się płaskimi, porosłymi mchem pagórkami. Przez kamienny, wyszczerbiony próg strumień z bulgotem spadał w brunatne bagnisko i ginął. Suche trawy chwiały się i szeleściły, chociaż wędrowcy nie czuli wcale wiatru.

Na prawo, na lewo i na wprost jak okiem sięgnąć ciągnęły się w mętnym półświetle w stronę południa i wschodu moczary i bagna. Znad czarnych, cuchnących rozlewisk podnosiły się kłęby mgły i oparów. Nieruchome powietrze nasycone było duszącym smrodem. Daleko, niemal dokładnie na południu, majaczyły górskie ściany Mordoru niby czarny wał postrzępionych chmur zbitych nad groźnym, zasnutym mgłą morzem.

Hobbici byli teraz całkowicie zdani na Golluma. Nie wiedzieli i nie mogli zgadnąć w nikłym, mętnym świetle, że znaleźli się ledwie na północnym skraju bagien, których główny obszar ciągnął się dalej na południe stąd. Gdyby znali okolicę, mogliby, nieco opóźniając marsz, zawrócić, skręcić na wschód i dotrzeć po twardym gruncie do jałowej równiny Dagorlad, gdzie ongi rozegrała się wielka bitwa pod bramami Mordoru. Co prawda niewiele ta droga dawała im nadziei. Nie było się gdzie ukryć na otwartej kamienistej płaszczyźnie, przez którą prowadził szlak orków i żołnierzy nieprzyjacielskiej armii. Nawet płaszcze z Lórien nie stanowiłyby tutaj dla hobbitów ochrony.

– Jaki teraz kurs obierzemy, Sméagolu? – spytał Frodo. – Czy musimy brnąć przez te cuchnące moczary?

– Nie musimy – odparł Gollum. – Nie musimy, jeżeli hobbity chcą jak najszybciej dojść do ciemnych gór i stanąć przed Władcą. Można się trochę cofnąć, obejść kołem – zatoczył chudym ramieniem od północy na wschód – i twardą, zimną drogą dojdziemy wprost do bram jego kraju. Tam mnóstwo sług gospodarza wypatruje gości i z radością prowadzi ich od razu do niego. Tak, tak. Jego Oko strzeże tej drogi nieustannie. Dawno, dawno temu dostrzegło na niej Sméagola. – Gollum zadrżał. – Ale od tego czasu Sméagol nie próżnował, tak, tak, pracowały moje oczy, nogi, nos. Teraz znam inne drogi. Trudniejsze, dalsze, powolniejsze, ale lepsze, jeżeli nie chcemy, żeby Tamten nas zobaczył. Idźcie za Sméagolem! On was poprowadzi przez moczary, przez mgły, przez dobre, gęste mgły. Idźcie za Sméagolem ostrożnie, a może zajdziecie daleko, bardzo daleko, zanim Tamten was złapie.

Dzień już był niemal biały, ranek bezwietrzny i posępny, nad bagnami kłębiły się ciężkie opary. Ani jeden promień słońca nie przebijał niskiego pułapu chmur, a Gollum przynaglał, żeby maszerować dalej, nie zwlekając ani chwili. Toteż po krótkim popasie ruszyli znów i zanurzyli się w

ciemnym, milczącym świecie, tracąc z oczu wszystkie inne krainy, góry, z których niedawno zeszli, i góry, ku którym zdążali. Szli cicho, pojedynczym szeregiem: pierwszy Gollum, potem Sam, na końcu Frodo.

Frodo zdawał się najbardziej zmęczony i chociaż posuwali się wolno, często zostawał w tyle. Hobbici wkrótce przekonali się, że obszar, który z dala wyglądał jak jedno ogromne trzęsawisko, jest w rzeczywistości pokryty niezmierzoną siatką rozlanych wód, miękkich błot i krętych, ledwie cieknących strumieni. Bystre oko i zwinne nogi mogły wśród nich odnaleźć ścieżkę. Gollum z pewnością miał i wzrok bystry, i nogi zwinne, i bardzo mu te przymioty były tutaj użyteczne. Ustawicznie kręcił głową to w prawo, to w lewo, węszył i mruczał coś pod nosem. Niekiedy podnosił rękę, zatrzymując hobbitów, a sam szedł naprzód na czworakach, próbując gruntu rękami i stopami lub nasłuchując z uchem przyciśniętym do ziemi.

Krajobraz był ponury i monotonny. Chłodna, lepka zima trwała jeszcze na tym pustkowiu. Nic się nie zieleniło, prócz bladego kożucha wodorostów na ciemnych zwierciadłach mętnych, gęstych wód. Zwiędła trawa i butwiejące trzciny sterczały z morza mgły jak nędzne pamiątki po zapomnianym od dawna lecie.

Około południa dzień się nieco rozwidnił, a mgły podniosły wyżej, rozcieńczone i trochę bardziej przejrzyste. Wysoko ponad zgnilizną i oparami tej krainy złote słońce wędrowało pięknym światem, którego fundament stanowiły olśniewające białe obłoki, lecz tu, w dole, wędrowcy dostrzegali jedynie wyblakłe, nikłe, bezbarwne światło, niedające ciepła. Gollum wszakże krzywił się i kulił nawet przed tak wątłym dowodem obecności słońca. Wstrzymał pochód, przycupnęli na odpoczynek niby małe, zaszczute zwierzątka na skraju wielkiej, brunatnej kępy sitowia. Cisza panowała dokoła głęboka, ledwie mącił jej powierzchnię kruchy szelest pustych pióropuszy trzcin i połamanych traw, kołyszących się w lekkim podmuchu, niedostrzegalnym dla hobbitów.

– Ani ptaszka! – markotnie zauważył Sam.

– Ani ptaszka! – powtórzył Gollum. – Ptaszki dobre! – Oblizał się. – Tu nie ma ptaszków. Są tylko węże, gady, robaki w kałużach. Mnóstwo stworzeń, paskudnych stworzeń. Ale ptaszków nie ma – zakończył żałośnie.

Sam spojrzał na niego z obrzydzeniem.

Tak minął trzeci dzień wędrówki hobbitów z Gollumem. Zanim w szczęśliwszych krajach wydłużyły się wieczorne cienie, ruszyli dalej; posuwali się wytrwale naprzód, rzadko i na krótko zatrzymując się w marszu, a i to nie tyle dla odpoczynku, ile przez wzgląd na Golluma, bo tutaj już i on musiał być bardzo ostrożny, i często wahał się długą chwilę nad wyborem drogi. Znaleźli się w samym sercu Martwych Bagien i w zupełnych ciemnościach. Szli powoli, pochyleni, jeden tuż za drugim, naśladując pilnie każdy ruch przewodnika. Teren był coraz bardziej podmokły, wszędzie dokoła rozlewały się wielkie stojące kałuże i z każdym krokiem trudniej było między nimi trafić na pewny grunt, gdzie by można postawić nogę, nie zapadając się w chlupoczące błoto. Gdyby nie to, że wszyscy trzej wędrowcy nie ważyli wiele, żaden by nie przebrnął przez trzęsawisko.

Noc zapadła głęboka, nawet powietrze wydawało się czarne i tak gęste, że zapierało dech w piersiach. Gdy zjawiły się światełka, Sam przetarł oczy, podejrzewając, że mu się coś przywidziało ze zmęczenia. Najpierw kątem lewego oka zobaczył jedno światełko, bladozielony ognik, który zgasł zaraz w oddali; potem wszakże rozbłysły nowe, niektóre jak dym przeświecający czerwienią, inne jak przymglone płomyki rozchwiane nad niewidzialną świecą; tu i ówdzie rozpościerały się nagle szeroko, jakby widmowe ręce strzepywały je z upiornych całunów. Lecz ani Frodo, ani Gollum nie odzywali się słowem. Sam nie mógł dłużej znieść milczenia.

– Co to jest? – spytał szeptem Golluma. – Co to za światła? Otaczają nas ze wszystkich stron. Czy to pułapka? Kto ją zastawia?

Gollum podniósł głowę. Przed nimi rozlewała się ciemna woda, czołgał się na czworakach to w jedną, to w drugą stronę, szukając drogi.

– Tak, otaczają nas – odszepnął. – Błędne ogniki. Świece umarłych, tak, tak. Nie zwracaj na nie uwagi. Nie patrz na nie! Nie goń ich! Gdzie jest pan?

Sam obejrzał się i stwierdził, że Frodo znowu zamarudził. Nie było go widać wśród nocy. Sam cofnął się o kilka kroków, nie śmiejąc jednak oddalać się ani nawoływać głośno; ochrypłym głosem powtarzał tylko imię swego pana. Niespodzianie natknął się na niego w ciemności. Frodo stał zatopiony w myślach, wpatrzony w blade światełka. Ręce trzymał sztywno opuszczone wzdłuż ciała, kapało z nich błoto i woda.

– Panie Frodo, chodźmy – rzekł Sam. – Nie wolno na nie patrzeć, Gollum mówi, że nie wolno. Musimy trzymać się Golluma i nie ustawać, póki nie przebrniemy przez te przeklęte moczary… jeśli w ogóle przez nie przebrniemy.

– Dobrze – odparł Frodo, jakby zbudzony ze snu. – Chodźmy!

Wracając pospiesznie, Sam potknął się, zahaczywszy nogą o jakiś stary korzeń czy o sterczącą kępę. Upadł ciężko, wyciągając przed siebie ręce, które zapadły głęboko w gęstą maź; twarz jego znalazła się tuż nad powierzchnią czarnego rozlewiska. Rozległ się syk, wionęło cuchnącym oparem, światełka zamigotały, zatańczyły, zawirowały. Przez okamgnienie czarna tafla wody wydała się oknem powleczonym ciemną, brudną glazurą, przez które zajrzał do wnętrza. Wyszarpnął ręce z błota i odskoczył z krzykiem.

– Tam są pod wodą umarli! – powiedział ze zgrozą. – Trupie twarze!

Gollum roześmiał się.

– Tak, tak, Martwe Bagna, przecież tak się nazywają! – zaskrzeczał. – Nie trzeba w nie zaglądać, kiedy się świece palą.

– Kto tam jest? Co? – spytał Sam, dygocąc i odwracając się do Froda, który stał teraz tuż za nim.

– Nie wiem – odparł Frodo sennym głosem. – Ale ja także coś widziałem. W stawach, kiedy się świece palą. Głęboko, głęboko pod czarną wodą widać wszędzie blade oblicza. Widziałem. Twarze posępne, złe, inne zaś szlachetne i smutne. Wiele dumnych i pięknych, wodorosty wplątały się w ich srebrzyste włosy. Ale wszystkie martwe, rozkładające się, zgniłe. Jarzą się okropnym światłem. – Frodo zakrył dłońmi oczy. – Nie wiem, kto to jest, zdawało mi się, że rozróżniam ludzi i elfów, ale prócz nich także orków.

– Tak, tak – rzekł Gollum. – Wszyscy martwi, wszyscy zgnili. Elfowie, ludzie, orkowie. Martwe Bagna. Dawno, dawno temu odbyła się tutaj wielka bitwa, opowiadano o niej Sméagolowi, kiedy był mały, kiedy byłem mały, zanim skarb się znalazł. Wielka bitwa. Duzi ludzie, miecze, straszliwi elfowie, wrzask orków. Bili się na równinie pod Czarną Bramą przez długie dni, przez całe miesiące. Ale od tamtych czasów moczary rozlały się szerzej i pochłonęły groby; wciąż dalej się rozlewają, wciąż dalej.

– Ależ wieki minęły od tamtej bitwy – powiedział Sam. – Umarli nie mogą naprawdę być po dziś dzień tutaj. To chyba jakieś złe czary Krainy Cienia?

– Kto wie? Sméagol nie wie – powiedział Gollum. – Nie można ich dosięgnąć, nie można ich dotknąć. Próbowaliśmy kiedyś, mój skarbie. Ja kiedyś spróbowałem, ale nie mogłem ich dosięgnąć. To są cienie, można je tylko widzieć, nie można dotknąć. Nie, mój skarbie. Oni wszyscy umarli.

Sam ponuro spojrzał na niego i wzdrygnął się, bo miał wrażenie, że odgadł, po co Gollum usiłował dosięgnąć tych cieni.

– Wolałbym ich nie widzieć nigdy więcej! – oświadczył. – Czy nie myślisz, że warto by prędzej stąd odejść?

– Tak, tak, chodźmy, ale powolutku, powolutku – odparł Gollum. – Bardzo ostrożnie! Bo inaczej hobbici zapadną się w bagna i przyłączą się do umarłych, i zapalą swoje świeczki. Trzymajcie się Sméagola! Nie patrzcie na światła!

Czołgając się, skręcił w prawo w poszukiwaniu ścieżki okrążającej rozlaną wodę. Hobbici szli tuż za nim, przychyleni do ziemi, często, jego wzorem, uciekając się do pomocy rąk. „Jeśli to potrwa dłużej, będzie z nas trzech ślicznych Gollumów sunących gęsiego” – myślał Sam.

Wreszcie dotarli do końca czarnego rozlewiska i przeprawili się za nie, pełznąc lub skacząc z jednej zdradzieckiej kępy na drugą. Często musieli brodzić w wodzie cuchnącej jak gnojówka, często wpadali w nią po kolana lub nurzali w niej ręce, aż wreszcie byli od stóp do głów umazani lepkim błotem i każdy czuł, że jego towarzysze śmierdzą.

Noc miała się ku końcowi, gdy nareszcie wydostali się na pewny grunt. Gollum syczał i szeptał do siebie, lecz zdawał się zadowolony; tajemniczym sposobem, dzięki połączonym zmysłom dotyku i powonienia, a także dzięki niezwykłej pamięci odtwarzającej w ciemnościach kształty raz widziane, poznawał miejsce, na którym się znaleźli, i znów bez wahania wskazywał dalszą drogę.

– Teraz naprzód! – powiedział. – Dobre hobbity! Dzielne hobbity! Bardzo, bardzo zmęczone, pewnie, że zmęczone. My także, mój skarbie. Ale trzeba jak najprędzej wyprowadzić naszego pana spośród tych świateł, tak, tak, trzeba koniecznie!

I z tymi słowy ruszył niemal biegiem, skręcając w długą jak gdyby miedzę, która dzieliła dwie ściany wysokich trzcin. Hobbici podążali za nim, jak mogli najspieszniej. Gollum jednak po chwili przystanął nagle i zaczął podejrzliwie węszyć wkoło, sycząc i znów objawiając niepokój czy może niezadowolenie.

– Co tam znowu? – fuknął Sam, fałszywie tłumacząc sobie to zachowanie Golluma. – Czemu kręcisz nosem? Nawet zatykając nos, o mało nie mdleję od tego smrodu. Cuchniesz ty, cuchnie pan Frodo, wszystko tutaj cuchnie.

– Tak, tak, Sam także cuchnie. Biedny Sméagol czuje, ale dobry Sméagol znosi to cierpliwie. Chce pomóc dobremu panu. Nie o to chodzi. Wiatr się odwrócił, pogoda się zmienia. Sméagol niepokoi się, martwi.

Ruszył znów naprzód, ale wyraźnie był zaniepokojony, co chwila przystawał, prostował grzbiet, kręcił szyją, obracając twarz to na wschód, to na południe. Hobbici jednak wciąż jeszcze nie słyszeli ani nie czuli nic, co by tłumaczyło obawy Golluma. Nagle stanęli wszyscy trzej jak wryci i wytężyli słuch. Frodowi i Samowi wydało się, że z daleka dolatuje przeciągły, ponury krzyk, wysoki, przenikliwy i okrutny. Zadrżeli. W tym samym momencie wyczuli jakiś ruch w powietrzu. Zrobiło się bardzo zimno. Gdy stali tak, nadstawiając uszu, usłyszeli szum, jakby z oddali nadciągał wicher. Światła we mgle zachybotały się, przyćmiły, zgasły.

Gollum nie ruszał się z miejsca. Trząsł się i bełkotał coś do siebie, dopóki podmuch wiatru nie owiał ich, świszcząc i hucząc nad moczarami. Rozwidniło się na tyle, że widzieli, choć niewyraźnie, bezkształtne smugi mgły kłębiące się i przewalające nad ich głowami. Podnieśli wzrok i stwierdzili, że powała chmur pęka i rozprasza się szybko. Od południa spośród strzępków pędzącej chmury wychynął jasny księżyc.

Zrazu jego widok ucieszył Froda i Sama, lecz Gollum skulił się przy ziemi, przeklinając Białą Twarz. I wtedy hobbici, patrząc w niebo i chciwie wdychając świeższy powiew, zobaczyli mały obłoczek nadlatujący od wrogich gór, czarny cień oderwany od ciemności Mordoru, złowieszczy, skrzydlaty kształt. Przemknął na tle księżycowej tarczy i ze straszliwym okrzykiem oddalił się na wschód, prześcigając w pędzie wiatr.

Padli na twarze, odruchowo przywarli do zimnej ziemi. Lecz groźny cień zatoczył krąg i wrócił, przelatując tym razem niżej, wprost nad nimi,

zgarniając potwornymi skrzydłami cuchnące opary bagniska. Potem zniknął, odleciał z powrotem do Mordoru, jakby gnany gniewem Saurona. Za nim z szumem pomknął wiatr, opuszczając zimne pustkowie Martwych Bagien. Nagą płaszczyznę jak okiem sięgnąć, aż po odległą groźną ścianę gór, zalała zwodnicza księżycowa poświata.

Frodo i Sam wstali, przecierając oczy, jak dzieci zbudzone z koszmarnego snu, i ze zdumieniem stwierdzili, że noc spokojna i zwyczajna trwa nad światem. Gollum jednak leżał wciąż na ziemi jakby ogłuszony. Z trudem go dźwignęli, lecz przez długą chwilę jeszcze nie chciał podnieść twarzy, klęczał, podpierając się na łokciach, i wielkimi płaskimi dłońmi ściskał głowę.

– Upiory! – jęczał. – Skrzydlate upiory! Skarb jest ich panem. Widzą wszystko, wszystko. Nic się przed nimi nie ukryje. Przeklęta Biała Twarz! I wszystko powiedzą Jemu. On widzi, On wie. Och, glum, glum, glum!

Dopiero gdy księżyc zaszedł i skrył się za szczytem Tol Brandir, nieszczęsny Gollum ośmielił się wstać i ruszyć dalej.

Od tej przygody Sam zauważył, że Gollum znowu się zmienia. Łasił się jeszcze gorliwiej i udawał życzliwość, lecz Sam spostrzegł ukradkowe niewyraźne spojrzenia, które rzucał niekiedy na hobbitów, szczególnie na Froda, a poza tym Gollum znów bełkotał i używał swoich dziwacznych wyrażeń. Nie było to jedyne zmartwienie Sama: Frodo zdawał się bardzo zmęczony, bliski zupełnego wyczerpania. Nic nie mówił o tym, bo w ogóle rzadko teraz się odzywał, nie skarżył się, lecz robił wrażenie istoty obarczonej za ciężkim i z każdą chwilą cięższym brzemieniem. Wlókł się teraz coraz wolniej, tak że Sam musiał często prosić Golluma, żeby zatrzymał się i poczekał, inaczej bowiem Frodo zostałby samotny na pustkowiu.

Frodo rzeczywiście czuł, jak z każdym krokiem zbliżającym go do bram Mordoru rośnie i przytłacza go do ziemi ciężar Pierścienia, który niósł na łańcuszku u szyi. Bardziej jeszcze niż to brzemię gnębiła go myśl o Oku, bo tak na swój użytek nazwał Nieprzyjaciela. Nie tylko Pierścień zginał mu kark, zmuszał do kulenia się i garbienia w marszu. Oko! Coraz wyraźniej, z coraz większą zgrozą wyczuwał wrogą, napiętą potężnie wolę, usiłującą przebić ciemność i chmury, ziemię i ciało, żeby go dostrzec, spętać morderczym spojrzeniem, obnażyć i obezwładnić. Osłony, które go jeszcze

dotychczas chroniły, stały się bardzo cienkie i słabe. Frodo wiedział dokładnie, gdzie jest siedlisko i ośrodek tej woli. Wiedział to tak, jak człowiek z zamkniętymi oczyma umie pokazać, gdzie jest słońce. Stał twarzą w twarz z obcą potęgą, promienie bijące od niej padały wprost na jego czoło.

Gollum zapewne czuł coś bardzo podobnego. Lecz hobbici nie mogli zgadnąć, co się dzieje w jego udręczonym sercu, gdy się szamoce między rozkazami Oka, pożądliwością, którą budzi w nim bliskość Pierścienia, i więzami obietnicy, danej pod naciskiem strachu, pod grozą miecza. Frodo o tym nie myślał, a Sam przede wszystkim troszczył się o swego pana i nie zważał nawet na ciemną chmurę, która okryła jego własne serce. Pilnował, żeby Frodo szedł zawsze przed nim, nie spuszczał go ani na chwilę z oka, gotów chwiejącego się podtrzymać ramieniem, pokrzepić zacnym, choć nieudolnym słowem.

Gdy wreszcie zaświtał dzień, hobbici ze zdumieniem zobaczyli, jak bardzo zbliżyły się do nich złowrogie góry. Było zimno, w dość czystym powietrzu ściany Mordoru, jakkolwiek wciąż jeszcze odległe, nie majaczyły mglistą groźbą na widnokręgu, lecz piętrzyły się czarnymi wieżami u drugiego krańca ponurego pustkowia. Doszli do granicy bagien, które tu przechodziły w rozległą płaszczyznę torfowisk i wyschłego, spękanego błota. Teren nieco się podnosił i wydłużonymi, niskimi fałdami, jałowy i bezlitosny ciągnął się aż ku pustkowiu, leżącemu u bram krainy Saurona.

Póki szary dzień nie przeminął, kryli się, skuleni jak robaki pod czarnym kamieniem, żeby nie wypatrzył ich okrutnymi oczyma przelatujący skrzydlaty potwór. Reszta wędrówki zapadła w cień strachu, w którym pamięć nie odnajdywała później żadnego jaśniejszego momentu. Dwie noce jeszcze brnęli przez puste bezdroża. Powietrze, jak im się zdawało, nabrało dziwnej ostrości i przesycone było gorzkim, przykrym zapachem, dusznym i wysuszającym gardła.

Wreszcie piątego ranka wspólnego marszu z Gollumem zatrzymali się znów na popas. Przed nimi w nikłym świetle brzasku olbrzymie góry sięgały pułapu chmur i dymów. Od ich podnóży wysuwały się potężne skarpy i skalne rumowiska; od najbliższych z nich nie dzieliło hobbitów więcej niż kilkanaście mil. Frodo ze zgrozą rozglądał się wokół. Straszne

były Martwe Bagna i jałowe pustkowia Ziemi Niczyjej, lecz jeszcze okropniej przedstawiał się kraj, który wstający dzień z wolna odsłaniał przed jego przerażonymi oczyma. Nawet na rozlewiskach topielców musiało o swojej porze zjawiać się blade widmo wiosny, ale tutaj z pewnością nigdy nie mogła zakwitnąć wiosna ani lato. Nie było ani śladu życia, nawet marnych porostów czy grzybów, karmiących się zgnilizną. Sadzawki dymiły oparami, zasypane popiołem i pełne błota, sinobiałe i szare, jakby góry wszystkie nieczystości ze swoich trzewi wyrzygały na okoliczne pola. Wysokie kopuły spękanej i pokruszonej skały, olbrzymie stożki ziemi poznaczone ognistymi piętnami rdzy i trujących jadów wznosiły się niby potworne nagrobki niezliczonymi szeregami, które wyłaniały się stopniowo, w miarę jak rozjaśniał się z wolna dzień.

Dotarli na granicę spustoszonej ziemi u wrót Mordoru, był to wieczny pomnik niszczycielskiej pracy dokonanej przez niewolników Czarnego Władcy, pomnik, który miał przetrwać nawet wówczas, gdy inne jego dzieła zostaną unicestwione; kraj splugawiony i skażony nieodwracalnie, chyba że Wielkie Morze wtargnęłoby tutaj i zatopiło tę ziemię w falach niepamięci.

– Mdli mnie od tego widoku – powiedział Sam. Frodo milczał.

Długą chwilę stali tak, jak ludzie zatrzymują się na krawędzi snu, w którym czają się okropne koszmary, wiedząc jednak, że tylko przez ich mroki prowadzi droga do następnego jasnego ranka. Dzień rozwidniał się coraz ostrzejszym światłem. Ziejące rozpadliny i zatrute wzgórza ukazały się w okrutnej jasności. Słońce wzeszło wysoko, posuwało się wśród chmur i kłębów dymu, lecz nawet blask słoneczny był tutaj bezsilny. Hobbici nie powitali światła z radością, zdawało się bowiem nieprzyjazne, ujawniające całą ich bezsilność; byli jak małe, kwilące widma, zabłąkane wśród popielisk Czarnego Władcy.

Zbyt znużeni, żeby iść dalej, wyszukali jakieś zaciszniejsze miejsce na odpoczynek. Chwilę siedzieli w milczeniu pod kopcem żużla, lecz wypełzały z niego cuchnące dymy, które wgryzały się w gardła i zapierały oddech. Gollum wstał pierwszy. Splunął, zaklął i odsunął się na czworakach bez słowa, bez spojrzenia w stronę hobbitów. Frodo i Sam powlekli się za nim. Trafili na szeroki, niemal dokładnie kolisty lej, odgrodzony od zachodu wysoką skarpą. Ziało z niego chłodem i pustką, a na dnie stała

gęsta, cuchnąca, mieniąca się tęczowo oleista maź. W tym wstrętnym dole ukryli się, mając nadzieję, że nie dosięgnie ich tutaj czujne Oko.

Dzień upływał leniwie. Wędrowcom dokuczało pragnienie, lecz wypili tylko po kilka kropel wody z manierek, napełnionych przed czterema dniami w wąwozie, który teraz, gdy go wspominali, zdawał im się zacisznym i pięknym zakątkiem. Hobbici kolejno pełnili wartę. Zrazu mimo zmęczenia obaj czuli, że nie zasną, ale potem, gdy słońce zaczęło się zniżać wśród powolnie przepływających chmur, Sam zdrzemnął się wreszcie. Frodo miał czuwać. Leżał oparty plecami o zbocze leja, ciężar jednak nie zelżał wcale na jego piersi. Frodo patrzył w górę na zasnute dymami niebo i widział na nim dziwne zjawy, ciemne sylwety jeźdźców, twarze znajome z przeszłości. Stracił rachubę czasu, chwilę wahał się między snem a jawą, aż w końcu zapadł w sen.

Sam zbudził się nagle: wydało mu się, że jego pan go woła. Był wieczór. Frodo nie mógł wołać, bo spał i we śnie osunął się niżej, niemal na dno leja. Gollum przysiadł obok niego. Sam w pierwszej chwili myślał, że Gollum usiłuje obudzić Froda, lecz wkrótce spostrzegł, że dzieje się coś zupełnie innego. Gollum gadał sam ze sobą. Sméagol toczył spór z jakąś tkwiącą w nim drugą istotą, która przemawiała jego własnym głosem, ale nadając mu skrzeczące i syczące brzmienie.

– Sméagol przyrzekł – mówił jeden głos.

– Tak, tak, mój skarbie – zasyczał drugi.

– Przyrzekliśmy, żeby ocalić skarb, nie dopuścić do oddania go w ręce Tamtego. Ale on do Tamtego zdąża. Tak, każdy krok zbliża go do Tamtego. Co hobbit zamierza zrobić ze skarbem, chcielibyśmy wiedzieć, bardzo byśmy chcieli wiedzieć.

– Nie wiem. Nic nie poradzę. Pan ma go przy sobie. Sméagol przyrzekł dopomóc panu.

– Tak, tak, bo to pan skarbu. Ale jeśli to my będziemy panem skarbu, moglibyśmy dotrzymać przyrzeczenia, pomagając sami sobie.

– A Sméagol obiecał, że będzie bardzo, bardzo dobry. Hobbit dobry. Zdjął okrutny powróz z nogi Sméagola. Zawsze do niego przemawia grzecznie.

– Bardzo, bardzo dobry, mój skarbie! Bądźmy dobrzy, dobrzy jak ryby, ale sami dla siebie. Nic złego nie zrobimy hobbitom, nie.

– Ale skarb dotrzymuje przyrzeczenia – powiedział Sméagol.

– Więc go sobie weź – odparł drugi głos. – Wtedy my będziemy panem skarbu, glum! Niech przed nami pełza na brzuchu ten drugi hobbit, ten niemiły, podejrzliwy hobbit, glum!

– Ale tego dobrego hobbita nie będziemy karać?

– Jeżeli nie masz ochoty, to nie. Jednakże to jest Baggins, mój skarbie, tak, Baggins. A Baggins cię okradł. Znalazł skarb i nie przyznał się do tego. Nienawidzimy Bagginsa.

– Nie, nie tego przecież.

– Tak, tak, każdego Bagginsa. Każdego, kto ma w ręku skarb. Musimy skarb odzyskać.

– Tamten zobaczy. Tamten się dowie. Tamten zabierze nam go.

– Tamten widzi. Wie. Słyszał, jak składaliśmy to głupie przyrzeczenie wbrew jego rozkazom. Musimy skarb odzyskać. Upiory go szukają. Trzeba go wziąć.

– Nie dla Tamtego.

– Nie, mój najmilszy. Pomyśl, skarbie – kiedy będziesz go miał, możesz uciec, nawet przed Tamtym. Może nabierzemy też siły, wielkiej, większej, niż mają Upiory. Książę Sméagol. Gollum Wielki. Sławny Gollum. Co dzień świeża ryba, trzy razy dziennie świeże ryby, prosto z morza. Mój prześliczny Gollumku! Musisz go dostać. Chcemy, chcemy, chcemy go mieć.

– Jest ich dwóch. Obudzą się przed czasem i zabiją nas – jęknął Sméagol, sprzeciwiając się ostatnim jeszcze wysiłkiem. – Nie dziś. Nie teraz.

– Chcemy go mieć! Ale… – Głos urwał i długą chwilę milczał, nim podjął znowu: – Nie teraz? Może racja. Ona mogłaby nam potem pomóc. Mogłaby, tak, tak.

– Nie, nie! Nie chcę w ten sposób! – zaskomlił Sméagol.

– Tak! Chcemy go mieć! Chcemy!

Za każdym razem, gdy przemawiał ten drugi skrzeczący głos, długie ramię Golluma wysuwało się z wolna naprzód, pełznąc ku piersi Froda, lecz cofało się gwałtownie, gdy odzywał się głos Sméagola. W końcu obie ręce z drgającymi, zakrzywionymi palcami sięgnęły hobbitowi do gardła.

Sam leżał bez ruchu, zafascynowany tym dwugłosem, lecz spod półprzymkniętych powiek czujnie śledził każdy ruch Golluma. W prostocie ducha uważał dotychczas, że Gollum może być niebezpieczny tylko dlatego, ponieważ jest głodny; bał się, że stwór zechce wreszcie zjeść hobbitów. Dopiero teraz zrozumiał, że nie na tym polega groźba. Gollum odczuwał straszliwy czar Pierścienia. Tamten – to był oczywiście Czarny Władca, ale kogo miał na myśli Gollum, mówiąc: „ona pomoże”? Zapewne w swoich wędrówkach zawarł przyjaźń z jakąś nikczemną poczwarą. Sam nie miał jednak czasu zastanawiać się dłużej nad tą zagadką, bo sytuacja stała się zbyt groźna. Musiał działać. Ciężki bezwład przykuwał go do ziemi, ale hobbit zdobył się na wysiłek i usiadł. Instynkt ostrzegł go, że trzeba zachować wielką ostrożność i nie wolno zdradzić, że słyszał naradę Golluma ze Sméagolem. Westchnął głośno i ziewnął potężnie.

– Która to godzina? – spytał zaspanym głosem.

Gollum syknął przez zęby przeciągle. Zerwał się i chwilę stał napięty, groźny, potem zwiotczał nagle, opadł na czworaki i odpełznął na skraj leja.

– Dobre hobbity! – powiedział. – Dobry Sam. Śpiochy, śpiochy. Spały pod opieką Sméagola. Ale już jest wieczór. Ciemno. Czas ruszać.

„Wielki czas! – pomyślał Sam. – Czas też, żebyśmy się rozstali”. Ale potem przyszło mu do głowy, że Gollum błąkający się swobodnie po świecie nie będzie dla hobbitów mniej niebezpieczny niż w roli przewodnika i towarzysza wędrówki. – Licho go nadało! Szkoda, że się własną śliną nie udławił – mruknął. Zsunął się po zboczu niżej i obudził swego pana.

Ku własnemu zdziwieniu Frodo czuł się znacznie pokrzepiony. Miał sny. Czarny Cień oddalił się, a hobbita na tej spustoszonej ziemi nawiedziła świetlista zjawa. Nic z niej nie zostało w jego pamięci, mimo to było mu weselej i lżej na sercu. Brzemię nie ciążyło tak strasznie jak przedtem. Gollum powitał przebudzenie Froda radośnie, jak pies powracającego pana. Chichotał, gadał, prztykał w palce, ocierał się o kolana hobbita. Frodo uśmiechnął się do niego.

– Słuchaj no! – rzekł. – Byłeś przewodnikiem dobrym i wiernym. Zaczyna się ostatni etap wędrówki. Poprowadź nas do Bramy, niczego więcej od ciebie nie będziemy żądali. Podprowadź nas do Bramy, a potem idź, dokąd chcesz, byle nie do naszych wrogów.

– Do Bramy? – zaskrzeczał Gollum, jakby zdziwiony i przerażony. – Do Bramy, powiada nasz pan? Tak, tak powiedział. Dobry Sméagol robi wszystko, co pan każe. Tak. Ale jak podejdziemy bliżej, zobaczymy, zobaczymy, co wtedy pan powie. Nie będzie to piękny widok, nie, o nie!

– Przestań skrzeczeć – rzekł Sam – i ruszajmy wreszcie.

O zmierzchu wygramolili się z głębi leja i z wolna zaczęli torować sobie drogę przez martwy kraj. Wkrótce jednak ogarnął ich znów ten sam lęk, którego zaznali, kiedy skrzydlaty upiór przeleciał nad bagniskiem. Zatrzymali się, przypadli do cuchnącej ziemi, lecz nie zobaczyli nic na ponurym wieczornym niebie i groza szybko przeminęła; potwór leciał zapewne bardzo wysoko i spieszył się, wysłany z jakimś rozkazem z Barad-dûr. Po chwili Gollum wstał i pomrukując, drżąc na całym ciele, powlókł się dalej.

W godzinę mniej więcej po północy cień grozy spadł na nich po raz trzeci, lecz zdawał się jeszcze bardziej odległy, jakby przemknął nad chmurami, pędząc ze straszliwą szybkością ku zachodowi. Golluma jednak obezwładnił lęk, nieszczęśnik trząsł się, przeświadczony, że są śledzeni i że Nieprzyjaciel wie o ich obecności.

– Trzy razy! – chlipał. – Trzy razy to ostrzeżenie. Wyczuli nas, wyczuli skarb. Skarb jest ich panem. Nie można dalej iść tą drogą. Nie można, nie!

Nic nie pomagały prośby ani łagodne słowa. Dopiero gdy Frodo gniewnym tonem wydał rozkaz i rękę oparł na głowicy miecza, Gollum dźwignął się z ziemi, ale burczał pod nosem i szedł przed hobbitami niby obity pies.

Tak wlekli się do końca ponurej nocy, póki nie zaświtał nowy dzień trwogi; szli w milczeniu, ze spuszczonymi głowami, nie widząc nic, nie słysząc nic prócz wichru świszczącego im koło uszu.

ROZDZIAŁ 3
CZARNA BRAMA JEST ZAMKNIĘTA

Nim zaświtał nowy dzień, skończyli swój marsz do Mordoru. Za sobą mieli bagna i pustkowia. Przed sobą potężne czarne góry, hardo wznoszące głowy na tle bladego nieba.

Od zachodu strzegł Mordoru mroczny łańcuch Efel Dúath, Gór Cienia, od północy – poszarpane szczyty i łyse grzbiety Ered Lithui, Gór Popielnych, szare jak popiół. Dwa te łańcuchy stanowiły dwie ściany jednego muru opasującego posępne równiny Lithlad i Gorgoroth wraz z rozlanym pośród nich olbrzymim gorzkim jeziorem czy morzem wewnętrznym Núrnen, w miejscu zaś, gdzie się stykały, wysuwały długie ramiona ku północy; między tymi ramionami otwierał się głęboki wąwóz. To była Cirith Gorgor, Nawiedzona Przełęcz, wejście do kraju Nieprzyjaciela. Z dwóch stron piętrzyły się nad nią urwiska, a wstępu broniły dwie pionowe skały, czarne i nagie. Na nich sterczały Zęby Mordoru, dwie potężne wysokie wieże. Ongi wznieśli je ludzie z Gondoru, dumni i silni po obaleniu Saurona i jego ucieczce; z tych wież miały czuwać straże, by go nie dopuścić, gdyby kiedykolwiek próbował wrócić do swego królestwa. Lecz potęga Gondoru zmierzchła, ludzie zgnuśnieli, na wiele lat wieże opustoszały. Wówczas powrócił Sauron. Rozsypujące się w gruzy strażnice odbudował, uzbroił, obsadził czujną załogą. Z kamiennych ścian czarne okna patrzyły na północ, wschód i zachód, a w każdym z nich zawsze czuwały bystre oczy.

Wylot wąwozu od urwiska zagrodził Czarny Władca kamiennym szańcem. Była w nim jedna jedyna brama, cała z żelaza, a po jej blankach nieustannie przechadzali się strażnicy. W skale u podnóży gór wywiercono z obu stron setki jaskiń i lochów, w których czaiły się zastępy orków, gotowe na jeden znak Władcy wypełznąć niby armie czarnych mrówek na wojnę. Zęby Mordoru zmiażdżyłyby każdego, kto by spróbował między nimi się przemknąć, chyba że szedłby na wezwanie Saurona lub znał tajemne hasło, otwierające Morannon, Czarną Bramę tego królestwa.

Frodo i Sam z rozpaczą patrzyli na wieże i obronny szaniec. Nawet z dala w mętnym porannym świetle widać było ruch czarnych strażników na

murach i warty pod bramą. Hobbici wyglądali zza krawędzi skalistej rozpadliny, gdzie leżeli ukryci w cieniu najdalej na północ wysuniętej skarpy Gór Cienia. Kruk, mknąc przez zamglone powietrze z tej kryjówki wprost na czarny szczyt najbliższej wieży, miałby mniej niż ćwierć mili do przelecenia. Cienka, kręta smuga dymu biła z niej w górę, jakby u jej fundamentów we wnętrzu skały tlił się ogień.

Dzień wstał, zblakłe słońce ukazało się zza martwego grzbietu Gór Popielnych. Nagle wrzask buchnął z mosiężnych gardzieli trąb, z wież strażniczych odezwał się hejnał, a zewsząd z tajemnych kazamat i wysuniętych placówek odpowiedziano trąbieniem; w dali zaś, odległe, lecz głębokie i złowieszcze, zadudniły zwielokrotnione echem wśród wydrążonych gór bębny i zagrały wojenne rogi Barad-dûr. Nowy dzień trwogi i trudu świtał dla Mordoru; nocne straże, odwołane, zeszły do swoich podziemnych kwater, a na ich miejsca nadciągnęli żołdacy o srogich, okrutnych oczach, i objęli wartę. Blanki warownej bramy lśniły stalą.

– Ano, doszliśmy! – rzekł Sam. – Jesteśmy pod Bramą, ale zdaje mi się, że dalej nie zajdziemy. Ależby mi Dziadunio wygarnął słowa prawdy, gdyby mnie tu zobaczył. Nieraz powtarzał, że źle skończę, jeżeli nie będę ostrożniejszy. Co prawda, wątpię, czy jeszcze w życiu z Dziaduniem się spotkam. Straci okazję tryumfowania: „A co, nie mówiłem?”. Szkoda. Chętnie bym się zgodził wysłuchać wszystkiego, co miałby do powiedzenia, niechby gderał ile sił w płucach, bylebym znów mógł popatrzeć w twarz mojego staruszka. Musiałbym tylko wykąpać się przedtem, boby mnie nie poznał… Myślę, że nie trzeba już pytać, którędy dalej pójdziemy; nie ruszymy ani kroku dalej, chyba że poprosimy orków o pomoc.

– Nie, nie! Na nic! – powiedział Gollum. – Nie można iść dalej. Sméagol wam to mówił: dojdziemy do Bramy, a tam zobaczymy. Zobaczyliśmy. Tak, tak, mój skarbie, zobaczyliśmy. Sméagol z góry wiedział, że hobbity tędy przejść nie mogą. Tak, tak, Sméagol wiedział.

– To po jakie licho tutaj nas przyprowadziłeś? – rzekł Sam, zbyt rozżalony, żeby się zdobyć na rozsądek i sprawiedliwość.

– Pan kazał. Pan powiedział: prowadź do Bramy. Dobry Sméagol posłuchał pana. Pan kazał, pan mądry.

– Kazałem – przyznał Frodo. Twarz jego miała wyraz surowy i zacięty, ale nieulękły. Był brudny, wynędzniały, ledwie żywy ze zmęczenia, lecz trzymał się teraz prosto i oczy świeciły mu jasno. – Kazałem, bo postanowiłem wejść do Mordoru, a nie znam innej drogi. Toteż pójdę przez Bramę. Żadnego z was nie proszę, żeby mi towarzyszył.

– Nie, nie, panie! – jęknął Gollum, wyciągając do niego ręce z rozpaczą. – Tędy nie można! To na nic! Nie zanoś skarbu Tamtemu! Tamten wszystkich nas pożre, jeśli dostanie skarb, pożre cały świat. Zachowaj skarb, dobry panie, i zlituj się nad Sméagolem. Nie oddawaj skarbu Tamtemu. Albo odejdźmy stąd, powędrujemy do pięknych krajów, a skarb zwróć małemu Sméagolowi. Tak, tak, panie, zwróć skarb Sméagolowi! Sméagol będzie go strzegł pilnie. Zrobi wiele dobrego, a najwięcej dobrym hobbitom. Hobbity niech idą do domu. Niech się nie zbliżają do tej Bramy!

– Kazano mi iść do Mordoru, więc pójdę – rzekł Frodo. – Jeśli jest tylko ta jedna jedyna droga, nie mam wyboru. Niech się stanie, co się stać musi.

Sam milczał. Patrząc w twarz Froda, zrozumiał, że słowa na nic się nie zdadzą. W gruncie rzeczy od początku nie miał nadziei na szczęśliwe zakończenie wyprawy, lecz jako dzielny i pogodny hobbit obywał się bez nadziei, dopóki mógł odsuwać od siebie rozpacz. Teraz nadszedł kres wysiłków. Sam przez całą drogę wytrwał wiernie przy swoim panu, po to właściwie z nim poszedł, był więc zdecydowany nie opuścić go do końca. Jego pan nie pójdzie do Mordoru samotnie. On będzie mu towarzyszył, tyle przynajmniej zyskają, że pozbędą się wreszcie Golluma.

Gollum jednak wcale nie chciał się z nimi rozstać, jeszcze nie. Ukląkł przed Frodem, załamując ręce i skrzecząc.

– Nie tędy, panie! – błagał. – Jest inna droga. Naprawdę jest! Inna, ciemniejsza, trudniejsza do odszukania, bardziej ukryta. Ale Sméagol ją wam wskaże.

– Inna droga? – z powątpiewaniem spytał Frodo, patrząc z góry badawczo w oczy Golluma.

– Tak, tak! Naprawdę! Była inna droga. Sméagol ją znalazł. Chodźmy, przekonamy się, czy jeszcze jest.

– Nic o tym przedtem nie wspominałeś.

– Nie. Pan nie pytał. Pan nie mówił, jakie ma zamiary. Nic nie mówił biednemu Sméagolowi. Powiedział: zaprowadź do Bramy, a potem idź, gdzie chcesz. Sméagol mógłby teraz odejść, uczciwie mógłby odejść. Ale teraz pan mówi: postanowiłem pójść do Mordoru przez Bramę. Więc Sméagol bardzo się przestraszył. Nie chce stracić dobrego pana. Obiecał, pan mu kazał obiecać, że ocali skarb. Ale pan chce skarb zanieść Tamtemu, iść prosto w czarne ręce Tamtego. Sméagol musi ocalić i pana, i skarb, dlatego przypomniał sobie o innej drodze, która kiedyś na pewno istniała. Dobry pan. Sméagol także dobry, bardzo dobry, zawsze pomaga.

Sam zmarszczył brwi. Gdyby mógł wzrokiem przewiercić Golluma na wylot, stwór byłby już dziurawy jak sito. Hobbita osaczyły wątpliwości. Pozory przemawiały za tym, że Gollum jest szczerze zrozpaczony i gorąco pragnie pomóc Frodowi. Lecz Sam pamiętał podsłuchany dwugłos i nie mógł uwierzyć, by Sméagol, przez tak długie lata ujarzmiany, wziął teraz górę nad Gollumem. Nie jego przecież głos wypowiedział ostatnie słowo w dyspucie. Sam przypuszczał, że dwie połowy tego stwora, Sméagol i Gollum (czy też Krętacz i Śmierdziel, jak ich w myślach przezwał), zawarły rozejm i chwilowy sojusz. Żaden z nich nie chciał, żeby Pierścień dostał się Nieprzyjacielowi. Obaj chcieli ustrzec Froda od wpadnięcia Tamtemu w ręce i woleli nie spuszczać go z oka jak najdłużej, w każdym razie dopóty, dopóki Gollumowi nie uda się zdobyć skarbu. W istnienie innej drogi do Mordoru Sam nie bardzo wierzył.

„Dobrze chociaż, że ani jedna, ani druga połowa tego starego łotra nie wie, co pan Frodo naprawdę zamierza zrobić – myślał. – Gdyby Gollum wiedział, że pan Frodo będzie się starał zniszczyć ten jego skarb raz na zawsze, niedługo czekalibyśmy na awanturę. Śmierdziel tak się trzęsie ze strachu przed Nieprzyjacielem – a w jakiś sposób jest, czy przynajmniej był, od jego rozkazów zależny – że raczej nas zdradzi, niż da się przyłapać na udzielaniu nam pomocy, a może też będzie wolał nas wydać Tamtemu w łapy, niż pozwolić, by jego skarb stopniał w ogniu. Na mój rozum tak to wygląda. Miejmy nadzieję, że pan Frodo namyśli się, zanim coś postanowi. Rozumu przecież mu nie brakuje, tylko serce ma za miękkie. Żaden Gamgee nie zgadnie, co panu Frodowi może przyjść do głowy”.

Frodo nie od razu odpowiedział Gollumowi. Podczas gdy Sam w swojej sprytnej, lecz nieco powolnej mózgownicy rozważał te wątpliwości, Frodo stał z oczyma zwróconymi ku czarnym urwiskom Cirith Gorgor.

Rozpadlina, do której się schronili, była wydrążona w stoku niewielkiego wzgórza, nieco powyżej poziomu równiny. Między wzgórzem a wysuniętą skarpą górskiej ściany ciągnęła się długa na kształt rowu dolina. W świetle ranka wyraźnie stąd było widać szare, zapylone drogi zbiegające się pod Bramą Mordoru; jedna z nich wiła się kręto na północ, druga zbaczała ku wschodowi, kierując się w mgłę czepiającą się podnóży Gór Popielnych; trzecia zaś ostrym łukiem otaczała zachodnią wieżę strażniczą, a potem prowadziła wzdłuż doliny do stóp pagórka, na którego zboczu przyczaili się hobbici, i przebiegała o kilka zaledwie stóp poniżej ich kryjówki. Nieco dalej skrajem górskiego ramienia skręcała na południe, wchodząc w głęboki cień osłaniający cały zachodni skłon Gór Cienia, i ginęła z oczu na wąskim pasie ziemi, dzielącym łańcuch gór od Wielkiej Rzeki.

Patrząc tak, Frodo wyczuł niezwykły ruch na równinie. Jak gdyby cała ogromna armia ruszyła przez nią marszem, lecz ukryta za zasłoną oparów i dymów unoszących się nad bagniskiem i pustkowiem. Tu i ówdzie przebłyskiwały jednak włócznie i hełmy, a płaskimi polami wzdłuż dróg przemykały oddziały konne. Frodowi stanął w pamięci widok oglądany z Amon Hen ledwie kilka dni temu, chociaż tamta godzina zdawała się teraz odległa o lata całe. Zrozumiał, że nadzieja, która na krótką chwilę oszołomiła jego serce, była zwodnicza. Trąby zagrały nie pobudkę do boju, lecz na powitanie. To nie zastępy ludzi z Gondoru nacierały na twierdzę Czarnego Władcy, to nie polegli przed wiekami mężni rycerze szukali pomsty za dawną klęskę. Ludzie z obcych plemion, osiadłych na rozległych przestrzeniach Wschodu, zbierali się na rozkaz swego wodza; armie, które obozowały przez noc u jego Bramy, teraz miały wejść przez nią, by powiększyć wciąż jeszcze rosnącą potęgę Mordoru. Jakby nagle uświadamiając sobie grozę położenia i teraz dopiero spostrzegając, że stoi w świetle ranka tak blisko straszliwego Nieprzyjaciela, Frodo naciągnął cienki szary kaptur na głowę i cofnął się w głąb rozpadliny. Zwrócił się do Golluma:

– Sméagolu, raz jeszcze ci zaufam. Zdaje się, że to los każe mi przyjąć pomoc od ciebie, od istoty, od której najmniej tego oczekiwałem, a tobie nakazuje, byś udzielił pomocy hobbitowi, którego tak długo tropiłeś z jak najgorszymi zamiarami. Jak dotąd oddałeś mi wielką przysługę i dotrzymałeś wiernie obietnicy. Tak, gotów jestem to potwierdzić – dodał, zerkając na Sama – bo dwakroć byliśmy zdani na twoją wolę i nie zrobiłeś nam krzywdy. Nie próbowałeś nawet odebrać mi tego, czego szukałeś i

pragnąłeś od dawna. Oby po raz trzeci udała ci się ta sztuka! Ostrzegam cię jednak, Sméagolu: jesteś w niebezpieczeństwie.

– Tak, tak, panie! – odparł Gollum. – W okropnym niebezpieczeństwie! Sméagol trzęsie się cały ze strachu, ale nie ucieka. Musi pomóc dobremu panu.

– Nie mam na myśli niebezpieczeństwa, które nam wszystkim trzem grozi – powiedział Frodo. – Jest inne, które ciebie wyłącznie dotyczy. Zaprzysiągłeś na to, co nazywasz swoim skarbem. Pamiętaj! Siła tego skarbu wiąże cię i zmusza do dotrzymania słowa, ale będzie starała się na swój przewrotny sposób zwieść cię, ku twej zgubie. Już się dałeś uwieść. I głupio się z tym zdradziłeś. Powiedziałeś: „Zwróć skarb Sméagolowi”. Nigdy więcej nie powtórz tego! Nie pozwalaj tej myśli zagnieździć się w twojej głowie. Nie odzyskasz go nigdy. Ale jeśli będziesz go pożądał, możesz bardzo źle skończyć. Powiadam ci: nie odzyskasz go nigdy. W ostatecznej potrzebie włożę go na palec, Sméagolu, on zaś, który tak długo miał nad tobą władzę, ujarzmi cię znowu. Cokolwiek ci wówczas rozkażę, posłuchasz mnie, choćbyś miał skoczyć w przepaść albo rzucić się w ogień. Bo taki dam rozkaz. Ostrzegam cię, pamiętaj, Sméagolu!

Sam spojrzał na Froda z uznaniem, a zarazem ze zdumieniem, bo takiego wyrazu na jego twarzy nigdy jeszcze nie widział i nigdy nie słyszał takiego tonu w jego głosie. Zawsze w głębi duszy myślał, że niepojęta dobroć pana Froda wypływa z pewnego zaślepienia. Oczywiście, nie wątpił mimo to, wbrew logice, że pan Frodo jest najmądrzejszą osobą pod słońcem, ma się rozumieć, jeśli pominąć Gandalfa i starego pana Bilba. Tym bardziej mógł podobną omyłkę popełnić Gollum, który Froda znał krócej i łatwo dał się złudzić, biorąc dobroć za zaślepienie. Niespodziane słowa hobbita przeraziły go i zgnębiły. Przypadł do ziemi i bełkotał niezrozumiale, wciąż tylko powtarzając: „dobry pan”.

Frodo chwilę czekał cierpliwie, potem odezwał się nieco mniej surowo:

– A teraz, Gollumie czy Sméagolu, jeśli wolisz to imię, powiedz, jaka jest ta inna droga, i wytłumacz mi, jeśli możesz, czy daje ona dość nadziei, żebym miał prawo zboczyć dla niej z prostej ścieżki. Mów, bo czas nagli!

Lecz Gollum był zanadto oszołomiony, pogróżka z ust Froda zamąciła mu w głowie zupełnie. Trudno było wydobyć od niego jakieś zrozumiałe wyjaśnienie, tak chlipał, skrzeczał, urywał w pół słowa, czołgając się u nóg hobbitów i błagając ich obu o litość nad „biednym małym Sméagolem”.

Dopiero po długiej chwili, gdy się nieco uspokoił, Frodo zdołał z jego bełkotu zrozumieć, że idąc drogą skręcającą ku zachodowi od Gór Cienia, trafią wreszcie na rozdroże w kręgu ciemnych drzew. Stamtąd w prawo wiedzie droga do Osgiliath i mostu na Anduinie; druga zaś droga, środkowa, prowadzi na południe.

– Daleko, daleko, daleko – mówił Gollum. – Nigdy tą drogą nie szliśmy, ale mówią, że biegnie sto staj, aż nad wielką wodę, która nigdy nie przestaje się burzyć. Tam jest mnóstwo ryb i ogromnych ptaków, które jedzą ryby. Dobre ptaki. Ale myśmy tam nigdy nie byli, niestety, nie! Nie mieliśmy tego szczęścia. A jeszcze dalej podobno są inne kraje, gdzie Żółta Twarz bardzo mocno grzeje, gdzie rzadko widać chmury, gdzie mieszkają ludzie o ciemnych twarzach, wielcy wojownicy. Nie chcemy wcale poznać tych krajów.

– Nie! – rzekł Frodo. – Ale do rzeczy. Dokąd prowadzi trzecia droga?

– Tak, tak, jest trzecia droga – przyznał Gollum. – Skręca w lewo. Od razu wspina się pod górę, wije się i pnie ku ogromnym cieniom. A kiedy okrąży czarną skałę, zobaczysz, nagle zobaczysz tuż nad sobą i zechcesz się schować choćby pod ziemię.

– Co zobaczę? Co takiego?

– Starą, bardzo starą twierdzę, teraz bardzo straszną. Słyszeliśmy opowieści o niej od podróżnych z południa, dawno temu, kiedy Sméagol był młody. Tak, tak, słuchaliśmy wielu opowieści wieczorami, siedząc nad brzegiem Wielkiej Rzeki w cieniu wierzb, kiedy rzeka także była jeszcze młoda, glum, glum.

Zaczął płakać i mruczeć. Hobbici czekali cierpliwie.

– Opowieści z południa – podjął znowu Gollum – o wysokich ludziach z błyszczącymi oczyma, o domach jak góry z kamieni, o srebrnej koronie króla i o jego Białym Drzewie. Piękne opowieści! Duzi Ludzie budowali wysokie wieże; jedna była srebrnobiała, przechowywano w niej kamień jasny jak księżyc, a dokoła opasywały ją grube białe mury. Tak, mnóstwo opowieści słyszeliśmy o Księżycowej Wieży.

– To pewnie Minas Ithil, wieża, którą zbudował Isildur, syn Elendila – rzekł Frodo. – Isildur właśnie obciął palec Nieprzyjacielowi.

– Tak, tak, ma tylko cztery palce u Czarnej Ręki, ale i cztery mu wystarczają – powiedział, wzdrygając się, Gollum. – Znienawidził gród

Isildura.

– Czyż on nie nienawidzi wszystkiego? – rzekł Frodo. – Ale co ma wspólnego Wieża Księżycowa z naszą drogą?

– Wieża, panie, była i jest, wielka wieża, białe domy i mury, ale teraz już nie piękne, nie dobre. Tamten podbił je dawno temu. Teraz to okropne miejsce. Podróżni drżą na jego widok, uciekają, unikają nawet jego cienia. Ale pan musiałby tamtędy iść. To jedyna inna droga. Bo tam góry są niższe, a stara droga pnie się wyżej, wyżej, aż na ciemną przełęcz, i potem spada w dół, w dół, znowu ku Gorgoroth. – Gollum zniżył głos do szeptu i dygotał cały.

– Co to nam pomoże? – spytał Sam. – Nieprzyjaciel z pewnością zna swoje góry i strzeże tej drugiej drogi, tak jak i tej przez Bramę. Wieża chyba nie stoi pusta?

– O, nie, nie! – odparł Gollum. – Wydaje się pusta, ale nie jest, nie! Mieszkają w niej okropne stwory, orkowie, tak, orkowie są tam zawsze, ale prócz nich gorsze stwory, gorsze są tam także. Droga wspina się prosto w cień murów i prowadzi przez bramę. Nikt na niej kroku nie zrobi, żeby go nie dostrzegli. Ci, co siedzą w wieży, wszystko widzą. Milczący Wartownicy.

– A więc ty radzisz odbyć nowy długi marsz na południe po to, żeby wpaść w taką samą albo gorszą pułapkę jak tutaj – rzekł Sam. – Jeżeli w ogóle doszlibyśmy tak daleko.

– Nie, nie! – powiedział Gollum. – Hobbici muszą się zastanowić, zrozumieć. Tamten nie spodziewa się ataku od strony Księżycowej Wieży. Jego Oko widzi wszystko wokół, ale niektórych miejsc pilnuje czujniej niż innych. Wszystkiego naraz nie może widzieć, nie, jeszcze nie może. Podbił cały kraj na zachód od Gór Cienia aż po Rzekę i ma w swoim ręku mosty. Myśli, że nikt nie może podejść pod Wieżę Księżycową bez wielkiej bitwy na mostach albo też bez łodzi, które on by na Rzece zawczasu dostrzegł.

– Ty, jak się zdaje, wiesz dużo o nim i jego myślach – rzekł Sam. – Czyś z nim niedawno rozmawiał? Czy też nasłuchałeś się plotek od swoich kumotrów orków?

– Niedobry hobbit, nieroztropny – odparł Gollum, z gniewem odwracając się od Sama do Froda. – Sméagol rozmawiał z orkami, tak, rozmawiał, zanim spotkał pana, rozmawiał z różnymi stworami. Mówi to,

co słyszał od wielu. Największe niebezpieczeństwo grozi Tamtemu od północy, więc nam także tu najniebezpieczniej. Tamten wyjdzie przez Czarną Bramę, może już wkrótce, lada dzień. Tylko tędy może wyjść wielkie wojsko. Ale od zachodu Tamten niczego się nie boi, tam czuwają Milczący Wartownicy.

– Otóż to! – powiedział Sam, nie dając się zbić z tropu. – A my pójdziemy tam, zapukamy do bramy i spytamy grzecznie, czy jesteśmy na właściwej drodze do Mordoru. Czy może ci wartownicy są tak milczący, że nic nam nie odpowiedzą? Bzdura. Z tym samym powodzeniem możemy tutaj próbować szczęścia, przynajmniej nóg oszczędzimy.

– Nie kpij – syknął Gollum. – To nie żarty, nie, nie zabawa. W ogóle nie trzeba wchodzić do Mordoru. Ale jeżeli pan powiada, że musi tam wejść, że chce, to trzeba próbować jakiejś drogi. Ale pan nie powinien iść do tych strasznych wież. Nie, nie! I w tym pomoże mu Sméagol, dobry Sméagol, chociaż nikt mu nie chce wytłumaczyć, po co to wszystko. Sméagol raz jeszcze pomoże. Sméagol znalazł. Wie.

– Co znalazłeś? – spytał Frodo.

Gollum skulił się i znów zniżył głos do szeptu.

– Małą ścieżynkę, która prowadzi pod górę, a potem schody, wąskie schodki, tak, tak, bardzo długie, bardzo wąskie. I jeszcze jedne schody. A potem – szeptał coraz ciszej – tunel, ciemny tunel i w końcu małą szczelinę i ścieżkę wysoko nad przełęczą. Tamtędy Sméagol wydostał się z ciemności. Ale to było dawno, dawno temu. Może ścieżki już nie ma. A może, może jest…

– Wszystko to wcale mi się nie podoba – rzekł Sam. – Nie może to być takie łatwe, jak gadasz. Jeżeli ścieżka po dziś dzień istnieje, na pewno jest strzeżona. Czy dawniej nie była strzeżona? Mów, Gollumie.

Gdy to mówił, spostrzegł, a może mu się wydało, że w oczach Golluma błysnęło zielone światełko. Gollum mruczał, lecz nie odpowiadał.

– Czy nie jest strzeżona? – spytał surowo Frodo. – Czy to prawda, że ty, Sméagolu, uciekłeś z kraju ciemności? Czy nie wyszedłeś raczej za pozwoleniem i z polecenia Nieprzyjaciela? Tak przecież sądził Aragorn, który cię przed paru laty odnalazł na Martwych Bagnach.

– Kłamstwo! – syknął Gollum, a na dźwięk imienia Aragorna znów oczy zaświeciły mu złością. – On nakłamał o mnie, tak, nakłamał. Uciekłem o

własnych siłach, biedny Sméagol uciekł. Kazano mi szukać skarbu, to prawda, toteż szukałem, szukałem. Ale nie dla Czarnego, nie dla Tamtego. Skarb jest nasz, był mój, przecież mówiłem. Uciekłem.

Frodo był dziwnie przeświadczony, że w tym wypadku Gollum nie odbiega od prawdy tak daleko, jak można by z pozoru przypuszczać; wierzył, że Gollum znalazł drogę z Mordoru, czy też przynajmniej łudził się, że wydostał się stamtąd dzięki własnej przemyślności. Przede wszystkim Frodo zauważył, że Gollum powiedział „ja", a to było oznaką rzadką, lecz dość pewną, że resztki dawnej prawdomówności biorą w nim chwilowo górę nad znikczemnieniem. Ale nawet gdyby Gollumowi można było co do tego szczegółu zaufać, Frodo nie zapominał o podstępach Nieprzyjaciela. Możliwe, że czuwający w Czarnej Wieży władca umyślnie pozwolił Gollumowi uciec albo nawet sam tę ucieczkę ułożył i wszystko o niej wiedział. W każdym razie Gollum na pewno wiele zataił.

– Raz jeszcze pytam – rzekł – czy owa tajemnicza droga nie była strzeżona?

Gollum jednak, odkąd wspomniano Aragorna, zaciął się i stracił chęć do rozmowy. Miał obrażoną minę kłamcy, któremu nie wierzą, gdy raz wyjątkowo powiedział prawdę czy przynajmniej część prawdy. Nie odpowiadał.

– Czy nie jest strzeżona? – powtórzył Frodo.

– Może, może. W tym kraju nie ma bezpiecznych miejsc – odparł ponuro Gollum. – Nie ma. Ale pan musi albo spróbować tej ścieżki, albo zawrócić do domu. Innej drogi nie ma.

Więcej nic z niego nie zdołali wydobyć. Nie umiał, czy może nie chciał powiedzieć, jak się nazywa to straszliwe miejsce i przełęcz pod nim.

A nazywało się Cirith Ungol i miało okropną sławę. Aragorn mógłby hobbitom pewnie tę nazwę wyjawić i wytłumaczyć jej znaczenie. Gandalf ostrzegłby ich przed nią. Lecz tu byli zdani na własne siły. Aragorn przebywał bardzo daleko, Gandalf stał wśród ruin Isengardu i zmagał się ze zdrajcą Sarumanem, który umyślnie starał się go jak najdłużej przetrzymać. Co prawda, nawet w chwili gdy kierował ostatnie słowa do Sarumana, gdy *palantír* upadł, krzesząc skry na schodach pod Orthankiem, Gandalf pamiętał o Frodzie i Samie, poprzez wielkie dzielące ich przestrzenie słał

ku nim myśli, usiłując natchnąć hobbitów nadzieją i wesprzeć współczuciem.

Może Frodo wyczuł to bezwiednie, tak jak przedtem na Amon Hen, chociaż myślał, że Gandalf odszedł na zawsze w ciemności Morii, w najdalszą drogę. Hobbit siedział na ziemi długą chwilę i z głową spuszczoną na piersi w milczeniu usiłował przypomnieć sobie wszystko, co Gandalf mu kiedykolwiek mówił. Lecz nie mógł w pamięci odnaleźć nic, co by mu teraz pomogło w wyborze. Za wcześnie zabrakło im przewodnictwa Gandalfa, o wiele za wcześnie, nim jeszcze zbliżyli się do Czarnego Kraju. Gandalf nie pouczył ich, jakim sposobem mają wejść w jego granice. Może sam nie wiedział. Do północnej twierdzy Nieprzyjaciela, Dol Guldur, Gandalf kiedyś dotarł. Czy jednak zawędrował do Mordoru, na Górę Ognia, do Barad-dûr, odkąd Czarny Władca wzmógł ponownie swe siły? Frodo przypuszczał, że raczej nie. I oto on, mały niziołek z Shire'u, prosty hobbit z cichego kraiku, miał znaleźć drogę, na którą nie umiał czy nie ważył się wstąpić nikt z wielkich. Srogi mu przypadł los. Lecz Frodo zgodził się na ten los dobrowolnie, wtedy, we własnym domu, owego dnia zeszłorocznej wiosny, tak dziś odległej, jak rozdział z legendy o młodości świata, kiedy to na ziemi kwitło Złote i Srebrne Drzewo. Wybór był trudny. Którą drogą powinien pójść? A jeśli obie prowadzą w grozę i śmierć, czy warto zastanawiać się nad wyborem?

Dzień upływał. Głęboka cisza zaległa nad małą, szarą jamką, w której przycupnęli, tuż nad granicą krainy trwogi; cisza niemal namacalna, jak gęsta zasłona oddzielająca ich od reszty świata. Blada kopuła nieba poznaczona smugami dymu zdawała się wysoka i odległa, jakby ku niej spoglądali z wielkiej głębi, poprzez ciężkie od smutnych myśli powietrze.

Nawet orzeł, gdyby zawisł pod słońcem, nie wypatrzyłby w tej kryjówce hobbitów, skulonych pod brzemieniem losu, milczących, nieruchomych, owiniętych w cienkie szare płaszcze. Może przez jedno mgnienie zatrzymałby wzrok na drobnej, płasko na ziemi rozpostartej postaci Golluma, lecz wziąłby ją pewnie za szkielet zamorzonego głodem ludzkiego dziecka, okrytego resztą łachmanów, z nogami i ramionami bielejącymi jak kość i wychudłymi do kości; ta odrobina mięsa niewarta była nawet dziobnięcia.

Frodo skłonił twarz na kolana, ale Sam leżał na wznak, podłożywszy ręce pod głowę, i spod kaptura patrzył w pustkę nieba. Bo niebo przez dłuższy czas było puste. Nagle Samowi wydało się, że dostrzega ciemną sylwetkę ptaka, który zataczał koła w promieniu dostępnym jego oczom, zawisał w powietrzu, krążył znowu, oddalał się, wracał. Potem przyłączył się do niego drugi ptak, trzeci, czwarty… Z daleka wydawały się maleńkie, lecz Sam poznawał, chociaż nie wiedział po czym, że są olbrzymie, skrzydła mają szeroko rozpięte i latają bardzo wysoko. Zasłonił oczy i skurczył się, przywarł do ziemi. Zdjął go ten sam strach, który kiedyś ostrzegł hobbitów o zbliżaniu się Czarnych Jeźdźców, to samo bezradne przerażenie, którym przejął ich okrzyk, niesiony wiatrem, i cień migający na tle księżycowej tarczy. Tym razem jednak strach był nie tak przytłaczający, mniej natarczywy. Niebezpieczeństwo groziło z dala. Groziło wszakże niechybnie. Frodo również je wyczuł. Myśli zmąciły się w jego głowie. Poruszył się, zadrżał, lecz nie podniósł oczu. Gollum zwinął się w kłębek jak spłoszony pająk. Skrzydlate stwory zatoczyły koło i zniżając ostro lot, zawróciły do Mordoru. Sam odetchnął głęboko.

– Jeźdźcy znowu się kręcą, ale teraz w powietrzu – powiedział ochrypłym szeptem. – Widziałem ich. Czy pan myśli, że mogli nas dostrzec? Byli bardzo wysoko. Jeżeli to są ci sami Czarni Jeźdźcy, nie widzą dobrze przy świetle dziennym, prawda?

– Nie, chyba niewiele widzą – odparł Frodo. – Ale ich wierzchowce widzą. Te skrzydlate stwory, których teraz dosiadają, zapewne mają wzrok bystrzejszy niż wszystkie inne istoty na świecie. To jakby olbrzymie drapieżne ptaki. Czegoś szukają, obawiam się, że Nieprzyjaciel jest zaalarmowany.

Uczucie grozy minęło, lecz zasłona ciszy pękła. Przez pewien czas hobbici czuli się odcięci od świata jak gdyby na niewidzialnej wyspie; teraz znów byli odsłonięci, wystawieni na niebezpieczeństwo. Mimo to Frodo nie odzywał się do Golluma, nie oznajmiał, co postanowił. Przymknął oczy, jakby drzemał albo zaglądał w głąb własnego serca i pamięci. W końcu otrząsnął się i wstał; Sam był pewien, że jego pan wymówi rozstrzygające słowo, lecz Frodo niespodzianie szepnął:

– Słuchaj. Co to jest?

Na nowo ogarnął ich strach. Usłyszeli śpiew i chrypliwe krzyki. Zrazu zdawały się bardzo dalekie, rosły jednak z każdą chwilą i wyraźnie zbliżały się ku nim. Wszystkim trzem błysnęła myśl, że Czarne Skrzydła wyśledziły ich i nasłały zbrojnych żołnierzy, by ich porwali w niewolę. Dla straszliwych sług Saurona nie istniały przecież odległości ani przeszkody. Hobbici i Gollum przywarli do ziemi, nasłuchując. Głosy i szczęk oręża dochodziły już z bardzo bliska. Frodo i Sam wysunęli mieczyki z pochew. O ucieczce nie było co myśleć.

Gollum podniósł się z wolna i jak robak wypełzł na krawędź rozpadliny. Ostrożnie, cal za calem posuwał się w górę, aż znalazł miejsce, gdzie mógł wyjrzeć na świat spomiędzy dwóch odłamków skały. Długą chwilę trwał bez ruchu, wstrzymując niemal oddech. Zgiełk teraz znów się oddalał i cichnął stopniowo. Daleko, na murach Morannonu zadęto w róg. Gollum bezszelestnie osunął się z powrotem na dno kryjówki.

– To ludzie. Nowe wojska przybyły do Mordoru – rzekł cicho. – Ciemne Twarze. Takich ludzi nigdy jeszcze nie widzieliśmy, nie, Sméagol nie widział. Są straszni. Mają czarne oczy i długie czarne włosy, i złote kolczyki w uszach. Tak, dużo pięknego złota. Niektórzy są wymalowani na policzkach czerwoną farbą i ubrani w czerwone płaszcze. Niosą czerwone chorągwie i włócznie z czerwonymi ostrzami. Tarcze mają okrągłe, żółte i czarne, najeżone mnóstwem wielkich kolców. Niedobrzy ludzie. Okrutni, źli ludzie. Prawie tak samo dzicy jak orkowie, ale jeszcze więksi od orków. Sméagol myśli, że to ludzie z południa, zza ujścia Wielkiej Rzeki, bo przyjechali drogą z tamtej strony. Już są za Czarną Bramą, ale mogą nadciągnąć inni, ludzie wciąż przybywają do Mordoru. Kiedyś wszyscy tam się znajdą.

– A czy widziałeś olifanty? – spytał Sam, z ciekawości zapominając o strachu, bo zawsze był chciwy wiadomości o dalekich krajach.

– A co to jest, te olifanty? – odpowiedział Gollum pytaniem.

Sam wstał, założył ręce za plecy, jak zawsze, gdy deklamował wiersz, i zaczął:

Szary jestem jak szczur,
Wielki – jak mur,
Mój nos jak wąż, jak trąba.

Kiedy śród trawy stąpam,
Dokoła ziemia drży
I drzewa trzeszczą.
W pysku mi błyszczą kły
Złowieszczo,
A uszy kłapią – kłap,
Gdy na południe człapię – człap!
Od iluż, iluż lat
Przemierzam świat –
Lecz nawet w śmierci chwili,
Gdy mi się łeb pochyli –
Nikt mnie nie ujrzy, bym się kładł!
Ja jestem o-li-fant,
Pustyni pan,
Olbrzymi, stary olifant…
Kto raz mnie ujrzał, taki człek,
Zachowa obraz mój przez wiek.
Kto mnie nie widział, bądźmy szczerzy –
W istnienie moje nie uwierzy,
Bom olifant, co radziej
Wędruje, niż się kładzie[71].

– To jest wierszyk, który wszyscy znają w Shire – oświadczył na zakończenie. – Może głupstwo, a może nie. Mamy swoje legendy i także coś niecoś słyszeliśmy o krajach na południu. Za dawnych dni hobbici od czasu do czasu wypuszczali się w szeroki świat. Nie wszyscy i nie we wszystko, co opowiadano, wierzyli. Jest nawet porzekadło: „nowinki z Bree” i „tyle prawdy, ile w plotkach z Shire”. Ale słyszałem opowieści o Dużych Ludziach z południa. Nazywamy ich Swertami w tych legendach. Podobno dosiadają olifantów, kiedy jadą na wojnę. Na grzbietach olifantów stawiają domy i wieże, i różne rzeczy, a te olifanty wyrywają drzewa i skały i rzucają nimi. Więc kiedy powiedziałeś, że jadą ludzie z południa w

czerwieni i w złocie, spytałem, czy widziałeś też olifanty. Bo gdyby one tam były, niech tam, zaryzykowałbym i wytknąłbym głowę, żeby je zobaczyć. No, ale pewnie już nie będę miał w życiu okazji. Może zresztą wcale nie ma żadnych olifantów.

I Sam westchnął.

– Nie, nie ma olifantów – rzekł Gollum. – Sméagol nigdy o nich nie słyszał. Nie chce wcale ich widzieć. Nie chce, żeby były na świecie. Sméagol chce odejść stąd i schować się w bezpieczniejszym miejscu. Sméagol chce, żeby pan stąd odszedł. Dobry pan, czy nie pójdzie za Sméagolem?

Frodo wstał. Kiedy Sam recytował stary wierszyk, tylekroć powtarzany w Shire wieczorem przy kominku, Frodo mimo wszystkich trosk śmiał się szczerze, a śmiech wyzwolił go z rozterki.

– Szkoda, że nie mamy tysiąca olifantów, a na ich czele Gandalfa na białym olifancie – rzekł. – Wtedy może byśmy sobie utorowali drogę do tego złego kraju. Ale nie mamy nic prócz własnych zmęczonych nóg. Trudno. No, Sméagolu, do trzech razy sztuka, może ta trzecia próba okaże się z wszystkich najpomyślniejsza. Pójdę za tobą.

– Dobry pan, mądry pan, miły pan! – krzyknął uradowany Gollum, głaszcząc kolana Froda. – Dobry pan. Niech teraz dobre hobbity odpoczną w cieniu tego kamienia, jak najbliżej kamienia. Prześpijcie się, póki Żółta Twarz nie zniknie. Potem pójdziemy prędziutko. Cicho, prędko, musimy biec jak cienie.

ROZDZIAŁ 4
O ZIOŁACH I POTRAWCE Z KRÓLIKA

Odpoczywali przez parę godzin, póki trwał dzień, przesuwając się, w miarę jak słońce wędrowało po niebie, aż wreszcie cień zachodniej krawędzi wydłużył się i wypełnił mrokiem całą rozpadlinę. Wówczas hobbici zjedli po kęsku lembasa i popili odrobiną wody. Gollum nie jadł nic, lecz wodę przyjął chętnie.

– Wkrótce będzie świeża woda – powiedział, oblizując wargi. – Dobra woda płynie potokami do Wielkiej Rzeki, smaczna jest woda w okolicach, do których teraz idziemy. Może Sméagol znajdzie też coś do jedzenia. Jest głodny, bardzo głodny, glum, glum.

Przycisnął wielkie, płaskie dłonie do zapadniętego brzucha, a w jego oczach zatliło się zielone światełko.

Mrok już był gęsty, kiedy wreszcie ruszyli, wypełzając z rozpadliny przez zachodnią krawędź i znikając niby zjawy w nierównym terenie na skraju drogi. Do pełni brakowało już tylko trzech dni, ale księżyc dopiero około północy wychynął zza gór i noc była bardzo ciemna. Wysoko na jednej z wież, zwanych Zębami Mordoru, błyszczało samotne czerwone światełko, lecz poza tym żaden sygnał ani głos nie zdradzał, że na Morannonie czuwa bezsenna straż.

Przez wiele mil ścigało ich jak gdyby czerwone oko, gdy biegli, potykając się wśród kamieni i rumowisk zalegających tę jałową ziemię. Nie odważyli się iść drogą, lecz trzymali się jej lewego skraju i w miarę możności starali się posuwać równolegle do niej w pewnym nieznacznym oddaleniu. Wreszcie pod koniec nocy, kiedy wędrowcy porządnie już byli zmęczeni, bo pozwalali sobie na krótkie tylko chwile wytchnienia w marszu, oko zmalało, zmieniło się w drobny ognisty punkcik, a potem znikło: znaczyło to, że okrążyli już ciemne północne ramię gór i skręcili wprost na południe.

Zatrzymali się na odpoczynek z uczuciem dziwnej ulgi w sercach, lecz nie na długo. Gollum naglił do pośpiechu. Wedle jego rachuby od Morannonu do rozdroża nad Osgiliath było około trzydziestu staj i miał nadzieję, że przebędą je w ciągu czterech nocy. Znowu więc ruszyli i szli,

póki brzask nie zaczął z wolna rozlewać się nad szerokim, szarym pustkowiem. Przebyli prawie osiem staj; wyczerpani hobbici nie mogli dłużej maszerować, nawet gdyby się nie lękali światła dziennego.

Kiedy się rozwidniło, zobaczyli wokół krajobraz mniej tutaj nagi i spustoszony niż na północy. Góry groźnie piętrzyły się po lewej stronie, lecz bliżej wiła się droga na południe, w tym miejscu dość oddalona od podnóży górskiego łańcucha i skosem odbiegająca nieco ku zachodowi. Za nią, na zboczach, drzewa ciemniały niby chmury, po drugiej jednak stronie falował step porosły wrzosem, ostrą trawą i rozmaitymi krzewami, których nawet hobbici nie znali. Tu i ówdzie wystrzelały kępy smukłych sosen. Mimo zmęczenia wędrowcom znowu raźniej trochę zrobiło się na sercu; powietrze, świeże i wonne, przypomniało im wyżynę dalekiej Północnej Ćwiartki. Czuli się tak, jakby ciążący nad nimi wyrok odroczono, i cieszył ich widok krainy, która od kilku lat dopiero znalazłszy się pod jarzmem Czarnego Władcy, nie uległa jeszcze spustoszeniu. Nie zapominali jednak o niebezpieczeństwie i o Czarnej Bramie, przesłoniętej ponurą ścianą, lecz bardzo bliskiej. Rozejrzeli się za jakąś kryjówką, aby się schronić przed wrogimi oczyma, dopóki noc nie zapadnie.

Dzień spędzili niezbyt wygodnie. Leżeli w bujnych wrzosach, licząc wlokące się leniwie godziny, nieprzynoszące prawie zmian; byli jeszcze wciąż pod osłoną Gór Cienia, słońce świeciło blado. Frodo od czasu do czasu zasypiał głęboko i spokojnie; może ufał Gollumowi, a może po prostu zanadto był zmęczony, żeby się o cokolwiek troszczyć. Sam jednak ledwie trochę się zdrzemnął, usnąć nie mógł nawet wtedy, gdy się upewnił, że Gollum śpi jak suseł, pochlipując i drżąc, jakby go dręczyły koszmary. Nieufność, a bardziej jeszcze głód, spędzały sen z powiek hobbita; od dawna tęsknił do porządnego, ciepłego posiłku.

Kiedy z nadejściem wieczoru wszystko wokół poszarzało i zatarło się w mroku, ruszyli znowu. Wkrótce Gollum wyprowadził ich na południową drogę i odtąd mimo zwiększonego niebezpieczeństwa posuwali się szybciej. Pilnie nadstawiali uszu, czy za sobą lub przed sobą nie usłyszą tętentu kopyt, lecz noc minęła, a nie pojawił się w zasięgu ich wzroku i słuchu ani pieszy, ani konny nieprzyjaciel.

Drogę tę zbudowano w zamierzchłych czasach; na odcinku trzydziestu mil od Morannonu była widocznie niedawno naprawiona, lecz im dalej na

południe, tym bardziej dzika przyroda brała górę nad dziełem ludzi z pradawnych pokoleń. Ślad ich sztuki można było jeszcze odnaleźć w prostej, pewnie wytyczonej linii tego szlaku, który tu i ówdzie przecinał stok wzgórza lub śmiałym łukiem mostu przeprawiał się nad strumieniem. Lecz w miarę jak hobbici posuwali się naprzód, coraz rzadziej natrafiali na resztki kamiennej budowy, aż w końcu nie zostało z niej nic prócz zgruchotanych słupów sterczących pośród gąszcza krzewów lub omszałego bruku przeświecającego gdzieniegdzie spod zielska i mchu. Wrzosy, drzewa i paprocie zarosły skarpy, a nawet wdzierały się na środek drogi. Zwężała się wreszcie tak, że wyglądała na rzadko używaną polną dróżkę, lecz nie krążyła i nie błądziła, biegła w dalszym ciągu prosto i najkrótszym szlakiem prowadziła podróżnych do celu.

Tak dotarli do północnego pogranicza kraju, który ludzie niegdyś nazywali Ithilien, pięknego kraju wzgórz, lasów i bystrych potoków. Noc rozpogodziła się, błysnęły gwiazdy, księżyc świecił pełnią, a hobbitom zdawało się, że powietrze pachnie coraz piękniej i coraz mocniej. Z pomruków i sapania Golluma wywnioskowali, że on także to czuje i że wcale się z tego nie cieszy. O pierwszym brzasku zatrzymali się znowu. Doszli do końca głębokiego i długiego wąwozu, którym między stromymi ścianami droga wrzynała się w kamienny grzbiet górski. Wspięli się na zachodnią skarpę, żeby wyjrzeć na okolicę.

Niebo już się rozwidniało i w rannym świetle hobbici stwierdzili, że znacznie oddalili się od gór, które wygiętym łukiem cofały się ku wschodowi i ginęły z oczu na widnokręgu. Zwracając się na zachód, widzieli łagodne wzgórza opadające ku odległej równinie owianej złocistą mgłą. Wokół widzieli niewielkie laski, rozdzielone dużymi polanami, a wśród pachnących żywicą drzew prócz jodeł, cedrów i cyprysów rozróżniali inne jeszcze odmiany, nieznane w Shire; wszędzie też rosło mnóstwo wonnych ziół i krzewów. Długa wędrówka z Rivendell przywiodła ich daleko na południe od ojczystego kraju, lecz dopiero w tej bardzo osłoniętej okolicy hobbici odczuli różnicę klimatu. Tutaj wiosna już się zaczęła, młode pędy wystrzelały spośród mchów i darni, modrzewiom rosły jasnozielone palce, drobne kwiatki otwierały się w trawie, ptaki śpiewały. Ithilien, ogród Gondoru, dziś wyludniony, zachował mimo opuszczenia niezwykły urok.

Od południa i zachodu zwrócony ku ciepłym dolinom Anduiny, od wschodu osłonięty ścianą Efel Dúath, lecz na tyle od niej odległy, że nie padały nań cienie gór, od północy chroniony przez pasmo Emyn Muil, kraj ten stał otworem dla powiewów południa i wilgotnych wiatrów od dalekiego morza. Wiele olbrzymich drzew, zasadzonych w niepamiętnej przeszłości, starzało się bez opieki wśród tłumu swego niedbałego potomstwa; w zaroślach i gajach stały zbitą gęstwą tamaryszki, aromatyczne drzewa terpentynowe, oliwki i wawrzyny. Rósł także jałowiec i mirt, tymianek krzewił się bujnie i rozpełzał zdrewniałymi pędami wśród kamieni, okrywając je grubym kobiercem; rozmaite odmiany szałwii kwitły błękitem, czerwienią lub jasną zielenią; obok majeranku i pietruszki Sam dostrzegał rozmaite wonne ziółka, których nie spotkał w swojej ogrodniczej praktyce w ojczyźnie. Ściany i rozpadliny pstrzyły się od rozpełzłych skalnych pnączy. Prymule i anemony kwitły wśród poszycia leśnego, asfodele i liczne liliowe kwiaty kołysały w trawie na pół otwartymi koronami, a ciemniejsza zieleń otaczała jeziorka rozlane w miejscach, gdzie spadające z gór potoki zatrzymywały się w chłodnych zagłębieniach na swej drodze ku Anduinie.

Wędrowcy odwrócili się od drogi i zeszli niżej. Kiedy przedzierali się przez zarośla i brodzili w trawie, słodkie zapachy biły im w nozdrza. Gollum krztusił się i prychał, a hobbici wciągali powietrze w płuca jak mogli najgłębiej, Sam w pewnej chwili zaśmiał się w głos, po prostu z nadmiaru radości. Trzymali się biegu strumienia, który raźno spływał w dół, aż doprowadził ich do czystego jeziorka w płytkiej kotlinie; woda lśniła wśród ruin starego kamiennego zbiornika, jego rzeźbione obmurowanie zarosło niemal całkowicie mchem i głogiem. Kosaćce otaczały je wkoło kwiecistymi szablami, lilie wodne rozkładały płaskie liście na ciemnej porysowanej drobnymi zmarszczkami tafli; jezioro było głębokie i chłodne, a u jego drugiego końca nurt odpływał dalej przez kamienny próg.

Hobbici umyli się i napili do syta czystej, świeżej wody. Potem zaczęli rozglądać się za jakimś zacisznym schronieniem, bo chociaż ten kraj tchnął jeszcze takim urokiem, należał już teraz do terytorium Nieprzyjaciela. Wędrowcy nie odeszli daleko od drogi, a przecież nawet na tej niewielkiej przestrzeni natknęli się na ślady dawnych wojen i na świeże rany, zadane tej ziemi przez orków i innych nikczemnych służalców Czarnego Władcy: odkrytą jamę pełną nieczystości i śmieci, drzewa podcięte w niszczycielskiej pasji i zostawione na pastwę powolnej śmierci, inne

naznaczone runami lub złowieszczym godłem Oka wyrytym na żywej korze.

Sam zapuścił się poniżej ujścia jeziora, wąchając i oglądając nieznane kwiaty i drzewa; nie myślał przez tę chwilę o Mordorze, lecz niebezpieczeństwo przypomniało mu o swej bliskiej obecności. Natrafił niespodzianie na krąg wypalonej trawy, a pośrodku zobaczył stos osmalonych, potrzaskanych kości i czaszek. Bujnie krzewiące się ciernie, głogi i powoje już zdążyły przesłonić zielenią to straszliwe miejsce rzezi i uczty, lecz ślady ognia były dość świeże. Sam pośpiesznie wrócił do towarzyszy, nic im jednak o swoim odkryciu nie powiedział. Wolał, żeby kości zostawiono w spokoju i żeby w nich Gollum nie przebierał łapami.

– Poszukajmy jakiego kąta, gdzie by się położyć – rzekł – ale nie w dole, raczej tam, w górze.

Nieco powyżej jeziora znaleźli miękkie posłanie w kępie suchych zeszłorocznych paproci. Nad nią gąszcz drzew laurowych o lśniących ciemnych liściach piął się po stromym zboczu uwieńczonym gajem starych cedrów. Tu hobbici postanowili spędzić dzień, który zapowiadał się pogodny i ciepły. W taki dzień miło byłoby spacerować po lasach i polankach Ithilien, lecz orkowie, chociaż boją się słonecznego blasku, mogli mieć tu swoje kryjówki i straże, a prócz orków wiele innych wrogich oczu zapewne czuwało nad tą krainą. Sauron ma mnóstwo różnych sług. Gollum w każdym razie nie zgodziłby się ruszyć, póki świeciła Żółta Twarz. Słońce wkrótce miało wyjrzeć zza ciemnego grzbietu gór, a wtedy Gollum zwykle słabł i kulił się, unikając światła i ciepła.

Sam już od dawna poważnie się niepokoił o zaopatrzenie w żywność. Teraz, kiedy groza niedostępnej Bramy została daleko za nimi, nie był już tak jak jego pan obojętny na wszystko, co może się z nimi zdarzyć po dopełnieniu misji; w każdym razie rozsądek nakazywał oszczędzać chleba elfów na najgorsze godziny, które ich jeszcze czekały. Tydzień prawie minął od dnia, gdy Sam wyliczył, że nawet przy wielkiej oszczędności lembasów nie starczy na dłużej niż trzy tygodnie.

„Nie zanosi się na to, żebyśmy w tym czasie doszli na Górę Ognia – myślał. – A może jednak zechcemy wrócić. Kto wie?”.

W dodatku po całonocnym marszu, po kąpieli i odświeżeniu gardła Sam był jeszcze bardziej głodny niż zwykle. Marzyło mu się porządne śniadanie

czy raczej kolacja w starej kuchni domku w zaułku Bagshot. Zaświtał mu w głowie pewien pomysł, więc żywo zwrócił się do Golluma. Gollum właśnie swoim zwyczajem wymykał się chyłkiem na czworakach przez paprocie.

– Ej! Gollumie! – zawołał Sam. – Dokąd się wybierasz? Na polowanie? Słuchaj, stary grymaśniku, tobie nie smakują nasze suchary, ale wiedz, że ja także chętnie bym dla odmiany coś innego wziął na ząb. Twoje najnowsze hasło brzmi: zawsze do usług gotowy. Czy nie mógłbyś znaleźć czegoś odpowiedniego dla głodnego hobbita?

– Tak, tak, może znajdę – odparł Gollum. – Sméagol zawsze pomaga, jeżeli go proszą… grzecznie proszą.

– No, dobrze – powiedział Sam – prosiłem cię grzecznie, a jeśli to jeszcze za mało, proszę uniżenie.

Gollum zniknął. Nie było go przez czas dłuższy; Frodo zjadł parę okruchów lembasa, zakopał się głęboko w brunatne paprocie i usnął. Sam przyjrzał się swemu panu. Światło dnia ledwie dosięgało cienia pod drzewami, lecz widział bardzo wyraźnie twarz Froda i ręce nieruchomo spoczywające na ziemi po obu jego bokach.

Przypomniały mu się tamte dni, kiedy Frodo ciężko ranny leżał uśpiony w domu Elronda. Już wtedy, czuwając przy nim, Sam spostrzegł, że od czasu do czasu przez ciało hobbita prześwieca jakby od wewnątrz nikłe światełko; teraz światło było jeszcze jaśniejsze i silniejsze. Frodo twarz miał spokojną, wyraz lęku i troski znikł z niej zupełnie; wydawała się jednak stara, stara i piękna, jakby długie lata wyrzeźbiły ją delikatnym dłutem i wydobyły niewidoczne przedtem szlachetne rysy, chociaż w zasadzie twarz się nie zmieniła. Sam Gamgee co prawda nie określił tej zmiany tak wymyślnie. Pokiwał głową, jakby słowa nic tu nie mogły pomóc, i szepnął do siebie: „Kocham go. Jest, jaki jest, a czasem prześwieca dziwnie. Ale, tak czy owak, kocham go”.

Gollum wrócił cichcem i zajrzał przez ramię Sama. Popatrzył na Froda, przymknął ślepia i wycofał się bezszelestnie. Sam poszedł za nim. Zastał go żującego coś i mamroczącego pod nosem. Na ziemi przy nim leżały dwa małe króliki, na które Gollum zerkał chciwie.

– Sméagol zawsze pomaga – rzekł. – Przyniósł króliki, dobre króliki. Ale pan śpi, Sam pewnie także chce spać. Sam pewnie nie chce już teraz jeść

królików? Sméagol stara się pomóc, ale nie może upolować zwierzyny na zawołanie.

Sam jednak wcale nie uważał, że już za późno na śniadanie, i jasno to Gollumowi oznajmił. Zwłaszcza jeśli są widoki na potrawkę z królika! Wszyscy hobbici umieją oczywiście gotować, bo tę sztukę wpajają im rodzice jeszcze przed abecadłem – do abecadła zresztą nie każdy dochodzi – Sam wszakże był wyjątkowo dobrym kucharzem nawet wśród hobbitów i nabył dodatkowej wprawy, przyrządzając polowym sposobem posiłki w czasie tej wędrówki, ilekroć miał co do garnka włożyć. Nie tracąc nadziei, wciąż nosił w swoim worku sprzęt kuchenny: hubkę, dwa małe płytkie rondelki tak dobrane, że jeden mieścił się w drugim, a prócz tego drewnianą łyżkę, krótki dwuzębny widelec i parę szpikulców; na dnie tobołka w płaskim drewnianym pudełeczku miał schowany skarb, cenny i już mocno nadszarpnięty: szczyptę soli. Potrzebował jeszcze ognia i pewnych dodatków. Wyciągnął nóż, otarł go do czysta, naostrzył na kamieniu i zaczął oprawiać króliki, zastanawiając się, co dalej zrobić. Nie chciał zostawić śpiącego Froda samego ani na chwilę.

– Wiesz co, Gollum – rzekł. – Mam dla ciebie następną robotę. Idź i zaczerpnij wody do tych rondelków.

– Sméagol przyniesie wodę, tak – odparł Gollum. – Ale na co hobbitowi woda? Napił się już i umył.

– Mniejsza z tym – powiedział Sam. – Jeżeli nie zgadłeś, to dowiesz się wkrótce. Im prędzej wrócisz z wodą, tym wcześniej będziesz to wiedział. I nie zgub ani nie zniszcz mi garnków, bo cię posiekam na kotlety.

Gollum zniknął, a Sam znowu popatrzył na swego pana. Frodo spał w dalszym ciągu spokojnie, lecz Sama uderzyła niezwykła chudość jego twarzy i rąk. „Chudy, wymizerowany – mruknął do siebie. – Czy to tak hobbit powinien wyglądać? Jak tylko ugotuję potrawkę, zbudzę go”.

Zgarnął kopczyk najsuchszych paproci, nazbierał na pobliskim stoku trochę chrustu i drewek, na wierzch stosu przeznaczył złamaną gałąź cedrową, która mogła długo podtrzymać ogień. Wszystko to umieścił w wygrzebanym u stóp zbocza dołku, z dala od kępy uschłych paproci. Wprawnie, szybko skrzesał ogień za pomocą hubki i krzesiwa. Mały ogieniek nie dymił prawie wcale, za to roztaczał miły zapach. Sam właśnie klęczał pochylony nad ogniem, osłaniając go i dokładając po trosze drewek

coraz grubszych, gdy zjawił się Gollum; niósł ostrożnie rondle pełne wody i mamrotał coś do siebie.

Postawił rondle na ziemi i nagle zobaczył dzieło Sama. Krzyknął cienkim, skrzeczącym głosem, jakby przerażony i gniewny.

– Och! Sss! – syczał. – Nie! Niemądre hobbity, nieroztropne, tak, nieroztropne! Nie trzeba tego robić.

– Czego nie trzeba robić? – zdziwił się Sam.

– Tych wstrętnych czerwonych jęzorów! – syknął Gollum. – Ogień! Ogień! To bardzo niebezpieczne. Pali, zabija. I może ściągnąć nieprzyjaciół, tak, tak!

– Chyba nie – odparł Sam. – Nie powinno się to zdarzyć, jeśli nie dołożysz do ognia mokrych liści, bo wtedy by się dymiło. Zresztą niech się dzieje, co chce. Zaryzykuję. Muszę ugotować króliki.

– Ugotować? – jęknął Gollum z rozpaczą. – Zepsuć dobre mięso, które Sméagol wam oddał, biedny, głodny Sméagol! I po co? Po co, głupi hobbicie? Króliki są młode, miękkie, smaczne. Zjedz je, zjedz je tak.

Chwycił królika, już odartego ze skóry i leżącego przy ognisku.

– Uspokój się – rzekł Sam. – Co jednemu miód, to drugiemu trucizna. Tobie w gardle staje nasz chleb, a nam twoje surowe mięso. Jeśli dajesz mi w prezencie królika, wolno mi go ugotować, skoro tak chcę. Nikt ci nie każe przyglądać się, jak będę go zjadał. Złap sobie drugiego i zjedz po swojemu, w jakimś kącie, aby nie na moich oczach. Ty nie będziesz widział ognia, a ja nie będę widział ciebie, co nam obu sprawi przyjemność. Przypilnuję, żeby ognisko nie dymiło, jeżeli ci na tym zależy.

Gollum oddalił się, mrucząc i zniknął w paprociach. Sam zajął się garnkami. „Hobbitowi do potrawki z królika – myślał – potrzeba trochę zieleniny i przypraw korzennych, a jeszcze bardziej ziemniaków, nie mówiąc już o chlebie. Tym razem muszę, zdaje się, poprzestać na ziołach”.

– Gollum! – zawołał z cicha. – Mam do ciebie trzecią prośbę. Poszukaj ziół!

Gollum wytknął głowę z paproci, lecz minę miał nieprzyjazną i najwyraźniej nie był skory do pomocy.

– Parę listków laurowych, trochę tymianku i szałwii wystarczy, ale chcę je mieć, zanim się woda zagotuje.

– Nie! – odparł Gollum. – To się Sméagolowi wcale nie podoba. Sméagol nie lubi pachnących ziół. Nie jada trawy ani korzeni, nie, mój skarbie, chyba że umiera z głodu albo jest bardzo chory, biedny Sméagol.

– Ugotuję Sméagola na miękko w tym garnku, jeżeli nie zrobi tego, o co go grzecznie proszę – fuknął Sam. – Sam wpakuje twój łeb do wrzątku, mój skarbie. Gdyby nie to, że pora roku jest nieodpowiednia, posłałbym biednego Sméagola również po rzepę, ziemniaki i marchew. Założę się, że w tym kraju rosną dziko różne dobre jarzynki. A dużo bym dał za kilka ziemniaków.

– Sméagol nie pójdzie, nie, mój skarbie, teraz nie – zasyczał Gollum. – Sméagol boi się i jest bardzo zmęczony, hobbit niedobry, nie, niedobry. Sméagol nie będzie kopał korzeni, marchwi ani ziemniaków. A co to jest, mój skarbie, ziemniaki?

– Ziemniaki, czyli kartofelki – odparł Sam – to ulubiona potrawa Dziadunia i najlepszy sposób zapełnienia pustego żołądka. Tu i teraz na pewno byś ich nie znalazł, więc nie szukaj. Bądź tylko łaskaw przynieść trochę zieleniny, a nabiorę o tobie lepszej opinii. Co więcej, jeżeli się poprawisz i wytrwasz w dobrych obyczajach, obiecuję ci kiedyś ugotować ziemniaki, tak że będziesz palce lizał. Smażone ziemniaki i rybka to specjalność Sama Gamgee. Założę się, że nie pogardziłbyś tym daniem.

– Owszem, pogardziłbym! Zepsułbyś smaczną rybkę, smażąc ją na patelni. Daj mi rybę na surowo, a te ziemniaki zjedz sobie sam.

– Nie ma na ciebie rady – rzekł Sam. – Idź spać.

W końcu musiał obejść się bez pomocy Golluma, ale nie chodził daleko po upragnione zioła, znalazł je na szczęście w pobliżu, gdyż nie chciał spuszczać z oka śpiącego Froda. Jakiś czas siedział, pilnując ognia i czekając, żeby woda zakipiała. Godziny płynęły, dzień był jasny i ciepły, rosa wyschła na trawie i liściach. Wkrótce potrawka z królika gotowała się w rondelkach wraz z pęczkiem ziół. Sam niemal drzemał. Zostawił garnki na ogniu przez godzinę bez mała, próbując od czasu do czasu widelcem, czy mięso zmiękło, a łyżką, czy sos smaczny.

Gdy uznał, że potrawka gotowa, odstawił ją i wczołgał się między paprocie do Froda. Frodo na pół odemknął oczy, kiedy Sam nad nim stanął, a potem zbudził się ze snu; a miał sen miły, bezpowrotnie stracony sen o spokoju.

– Co tam, Samie? – spytał. – Czemu nie śpisz? Czy coś się stało? Która godzina?

– Ranek już biały – odparł Sam. – Wedle zegara w Shire byłoby pewnie pół do dziesiątej. Nic się nie stało złego, ale najlepiej też nie jest, bo nie ma cebulki, talerzy ani ziemniaków. Zaraz panu podam potrawkę i zupę, to panu dobrze zrobi. Będzie pan musiał jeść z kubka albo prosto z garnka, jak trochę ostygnie. Nie wziąłem z sobą porcelany ani nakryć jak się należy.

Frodo przeciągnął się i ziewnął.

– Powinieneś był się przespać – powiedział. – Nie trzeba było rozpalać tu ogniska. Ale głodny jestem porządnie. Hm… Co to tak pachnie? Coś ty ugotował?

– Prezent od Sméagola – odparł Sam – parę młodych królików; zdaje się, że Gollum żałuje teraz swojej szczodrobliwości. Tylko że do potrawki nic nie ma prócz zieleniny.

Siedli razem w gąszczu paproci i jedli potrawkę prosto z rondli, dzieląc się starym widelcem i łyżką. Pozwolili sobie zagryźć kawałkiem lembasa. Dawno nie zaznali podobnej uczty.

– Hej, Gollum! – zawołał Sam i gwizdnął z cicha. – Chodź no tutaj. Ostatnia chwila, żebyś się rozmyślił. Zostało trochę potrawki, jeżeli chcesz skosztować.

Nie było odpowiedzi.

– No, trudno, pewnie poszedł, żeby coś sobie upolować. Skończymy bez niego – rzekł Sam.

– A potem musisz się przespać – powiedział Frodo.

– Ale niech pan się nie zdrzemnie, póki ja będę spał. Nie jestem całkiem pewny Sméagola, ten drugi, Śmierdziel, wciąż w nim tkwi i znowu chyba bierze górę. A jakby co do czego przyszło, założę się, że mnie pierwszego by udusił. Niedobrana z nas para, Sméagol nie lubi Sama, nie, mój skarbie, wcale go nie lubi.

Zjedli wszystko i Sam zszedł nad strumyk, żeby umyć naczynia. Kiedy się wyprostował po tej robocie i odwrócił, spojrzał w górę na stok. Właśnie słońce podnosiło się znad oparów czy mgieł, czy może cieni zalegających widnokrąg na wschodzie i promienie złociły drzewami polany dokoła.

Nagle Sam spostrzegł cienką smugę niebieskawego dymu, doskonale widoczną w blasku słonecznym, bijącą w niebo znad gąszczu na zboczu. Z przerażeniem uświadomił sobie, że to jego kuchenka polowa dymi, ponieważ zaniedbał wygaszenia ognia.

– Ładna historia! Kto by się spodziewał, że tak będzie dymiło! – mruknął i pędem puścił się z powrotem na górę. Lecz nagle stanął i nadstawił uszu. Czy mu się zdawało, czy ktoś gwizdnął? Może to był głos jakiegoś nieznanego ptaka? Gwizd w każdym razie nie dochodził od zarośli, w których siedział Frodo. Znowu ktoś gwizdnął z innej strony. Sam pobiegł ile sił w nogach.

Stwierdził, że od gałęzi sterczącej z ogniska zapaliła się sucha paproć, a z kolei od niej zatliła się trawa. Co prędzej zadeptał resztkę ognia, rozmiótł popiół, przykrył całe to miejsce wilgotną darniną. Potem wlazł między paprocie do legowiska Froda.

– Słyszał pan ten gwizd przed chwilą i drugi, który mu odpowiedział? – spytał. – Miejmy nadzieję, że to były ptaki, ale głos brzmiał na mój rozum tak, jakby ktoś naśladował ptaka. Niestety, mój ogieniek narobił trochę dymu. Jeżeli ściągnąłem na nas biedę przez swoje niedbalstwo, nigdy sobie tego nie daruję. Pewnie zresztą nie będę już miał okazji, nawet żebym chciał.

– Cicho! – szepnął Frodo. – Zdaje mi się, że słyszę jakieś głosy.

Dwaj hobbici zwinęli tobołki, żeby były gotowe na wypadek ucieczki, i wpełzli głębiej w paprocie. Tu przycupnęli, nasłuchując. Nie mogli dłużej wątpić, głosy dochodziły wyraźnie, przyciszone i ostrożne, ale bliskie, coraz bliższe.

– Tu! Stąd podnosił się dym! – mówił ktoś. – Na pewno w tym miejscu. W tym gąszczu paproci weźmiemy ich jak króliki w potrzask. Przekonamy się, co to za jedni.

– I dowiemy się, co wiedzą – dodał drugi głos.

Czterech ludzi naraz weszło z czterech stron w paprocie. Ani uciec, ani ukrywać się dłużej nie było sposobu, więc Frodo i Sam zerwali się na równe nogi, wsparli o siebie plecami i dobyli mieczyków. Widok, który im się ukazał, bardzo ich zadziwił, ale napastnicy zdumieli się jeszcze bardziej. Czterech rosłych ludzi stanęło przed hobbitami. Dwóch miało w rękach

włócznie osadzone na grubym jasnym drzewcu, dwóch niosło łuki niemal tak wysokie, jak oni sami, w kołczanach zaś długie strzały z jasnozielonymi piórami. Wszyscy mieli u boku miecze; ubrani byli w kolory zielone i brunatne różnych odcieni, jakby po to, żeby niepostrzeżenie przemykać przez polany Ithilien. Dłonie też nikły w zielonych rękawicach, a twarze pod kapturami i zielonymi maskami, tylko oczy z nich świeciły jasne i bystre. Frodowi stanął w pamięci Boromir, bo ludzie ci byli do niego podobni ze wzrostu i postawy, a także z mowy.

– Nie to znaleźliśmy, czegośmy szukali – rzekł jeden z nich. – Ale co właściwie znaleźliśmy?

– Nie orków – powiedział drugi, zdejmując rękę z głowicy miecza, do której sięgnął, gdy mu błysnęło Żądło Froda.

– Elfowie? – z powątpiewaniem spytał trzeci.

– Nie! Nie elfów – odparł czwarty, najwyższy i, jak się zdawało, najstarszy między nimi rangą. – Elfowie nie chadzają teraz po Ithilien. Elfowie zresztą, jak słyszałem, są bardzo piękni.

– Czyli że my urodą nie grzeszymy, jeśli dobrze zrozumiałem – rzekł Sam. – Dziękujemy za komplement. Jak skończycie tę rozmowę na nasz temat, bądźcie łaskawi nam powiedzieć, kim jesteście i dlaczego zakłócacie odpoczynek strudzonym podróżnym?

Wysoki zielony człowiek zaśmiał się ponuro.

– Nazywam się Faramir, kapitan wojsk Gondoru – oświadczył. – Ale w tym kraju nie bywają podróżni, są tylko słudzy wieży Czarnej albo Białej.

– My nie jesteśmy niczyimi sługami – odezwał się Frodo. – Jesteśmy podróżnymi, chociaż kapitan Faramir nie chce w to, jak widzę, uwierzyć.

– Powiedzcie więc prędko, jak się zwiecie i po coście przyszli? – rzekł Faramir. – Mamy swoją robotę, nie czas i nie miejsce tutaj na zagadki i pogawędki. Mówcie! Gdzie jest trzeci wasz kompan?

– Trzeci?

– Tak, ten, co się tam czaił nad wodą, że ledwie mu nos wystawał. Źle mu z oczu patrzyło. Pewnie szpieg, jakaś odmiana orkowego plemienia albo ich sługa. Wyśliznął nam się lisim sposobem.

– Nie wiem, gdzie się podział – odparł Frodo. – To przypadkowy towarzysz podróży, którego spotkaliśmy po drodze; za niego nie mogę

odpowiadać. Jeżeli go złapiecie, proszę, nie róbcie mu krzywdy. Przyprowadźcie albo przyślijcie do nas. Nieszczęsny, nędzny stwór, ale chwilowo poczuwam się do opieki nad nim. Co do nas, jesteśmy hobbici z Shire'u, z dalekiego kraju na północo-zachodzie, zza wielu rzek. Ja nazywam się Frodo, syn Droga, a to jest Sam, syn Hamfasta, zacny hobbit na służbie u mnie. Odbyliśmy długą drogę z Rivendell, czyli Imladris, jak tę dolinę zwą niektórzy. – Gdy Frodo wymówił tę nazwę, Faramir drgnął, wyraźnie poruszony. – Mieliśmy siedmiu towarzyszy; jednego straciliśmy w Morii, z innymi rozstaliśmy się na łące Parth Galen, nad wodogrzmotami Rauros, a byli wśród nich dwaj nasi współplemieńcy, jeden krasnolud, jeden elf i dwóch ludzi: Aragorn i Boromir, który pochodził z Minas Tirith, z grodu na południu.

– Boromir! – krzyknęli wszyscy czterej ludzie naraz.

– Boromir, syn Denethora? – spytał Faramir, a twarz jego przybrała dziwnie poważny wyraz. – Wędrowaliście z Boromirem? Wielka to nowina, jeśli prawdziwa. Wiedzcie, mali cudzoziemcy, że Boromir, syn Denethora, był Najwyższym Strażnikiem Białej Wieży, naszym wodzem. Bardzo go opłakujemy. Coście wy za jedni i co mieliście z nim wspólnego? Mówcie żywo, bo słońce już wysoko.

– Czy znane wam są zagadkowe słowa, których wyjaśnienia Boromir szukał w Rivendell? – spytał Frodo.

Znajdź miecz, który był złamany,
Imladris kryją go jary[72].

– Znamy te słowa – odparł Faramir zdumiony. – A jeśli wy znacie je również, to już niejako dowód, że mówicie prawdę.

– Aragorn, którego wymieniłem przed chwilą, nosi u boku miecz, który był złamany – rzekł Frodo. – My jesteśmy niziołki, o których wspomina pieśń.

– To widzę – powiedział z namysłem Faramir. – A przynajmniej widzę, że przystaje do was ta nazwa. A co jest Zgubą Isildura?

– To jeszcze wciąż tajemnica – odparł Frodo – lecz niewątpliwie ona też wyjaśni się z czasem.

– Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tym i o sprawach, które was sprowadziły tak daleko na wschód, aż pod ten cień – rzekł, wskazując góry, lecz nie wymawiając ich nazwy. – Lecz teraz nie czas po temu. Mamy pilną robotę. Jesteście w niebezpieczeństwie, nie zaszlibyście dzisiaj daleko drogą ani bezdrożem. Nim bowiem dzień ten dojrzeje do południa, niedaleko stąd rozegra się ostra bitwa. Wybór mielibyście między śmiercią albo szybką ucieczką z powrotem nad Anduinę. Zostawię dwóch ludzi przy was na straży, zarówno dla waszego, jak i dla mojego bezpieczeństwa. Rozum wzbrania ufać zbytnio obcym, spotkanym przypadkowo w tych okolicach. Jeżeli wrócę, pogadamy.

– Wracaj szczęśliwie – rzekł Frodo, kłaniając się nisko. – Cokolwiek myślisz o mnie, jestem przyjacielem nieprzyjaciół naszego jedynego Nieprzyjaciela. Poszlibyśmy z tobą razem, gdybyśmy mogli spodziewać się, że małe niziołki przydadzą się dzielnym i silnym dużym ludziom, i gdyby pozwalał na to mój obowiązek. Niech słońce świeci w waszych mieczach!

– Niewiele wiem o niziołkach, ale widzę, że plemię wasze zna rycerskie obyczaje – odparł Faramir. – Bądźcie zdrowi!

Hobbici znowu usiedli, lecz milczeli, nie dzieląc się myślami i wątpliwościami. Tuż obok w koronkowym cieniu laurowego drzewa zostali dwaj wartownicy. Co chwila zdejmowali zielone maski dla ochłody, bo dzień był już gorący. Frodo więc zobaczył ich twarze, smutne, dumne i dobrotliwe, jasną cerę, ciemne włosy i siwe oczy. Rozmawiali między sobą przyciszonym głosem, zrazu we Wspólnej Mowie, ale jakby staroświeckim stylem, potem przeszli na własny język, a Frodo ze zdumieniem stwierdził, że niewiele się on różni od języka elfów; spojrzał na wartowników z podziwem, zrozumiał bowiem, że muszą to być Dúnedainowie z południa, ludzie z plemienia panującego na Westernesse.

Po jakimś czasie spróbował ich zagadnąć, odpowiadali jednak powściągliwie i ostrożnie. Przedstawili się jako Mablung i Damrod, żołnierze Gondoru, wyznaczeni do strażowania w Ithilien, bo przodkowie ich tutaj mieszkali, dopóki kraju nie zagarnął Nieprzyjaciel. Z takich to ludzi ich władca, Denethor, tworzył oddziały, które przeprawiały się tajemnie przez Anduinę (ale jakim sposobem, nie chcieli hobbitom

wyjawić), by nękać orków i inne nieprzyjacielskie bandy grasujące między rzeką a Górami Cienia.

– Stąd do wschodniego brzegu Anduiny jest bez mała dziesięć staj – rzekł Mablung. – Nieczęsto zapuszczamy się tak daleko. Tym razem wszakże otrzymaliśmy szczególne zadanie. Mamy czekać w zasadzce na ludzi z Haradu. Bodaj ich piekło pochłonęło!

– Przeklęci południowcy! – dodał Damrod. – Pono między Gondorem a królami Haradu z dalekiego południa była ongi sąsiedzka zażyłość, chociaż nigdy do wielkiej przyjaźni nie doszło. Nasze granice podówczas sięgały na południu za ujście Anduiny, Umbar zaś, najbliższe z tamtejszych królestw, uznawało nasze zwierzchnictwo. Lecz to dawne czasy. Wiele pokoleń ludzkich przeminęło, odkąd witaliśmy u siebie ostatnich gości z tamtych krajów lub któryś z naszych do nich się udawał. Ostatnio doszły nas słuchy, że Nieprzyjaciel był u nich i że przeszli czy może wrócili na jego stronę, ponieważ zawsze łatwo ulegali jego woli, jak zresztą wiele plemion na wschodzie. Nie wątpię, że dni Gondoru są policzone, mury Minas Tirith skazane na zagładę, wielka jest bowiem potęga i przewrotność Czarnego Władcy.

– Mimo to nie zamierzamy siedzieć z założonymi rękami i nie pozwolimy mu na wszystko, czego by pragnął – rzekł Mablung. – Przeklęci południowcy ciągną starą drogą, żeby wzmocnić załogę Czarnej Wieży. Tak, użyli do tego drogi zbudowanej niegdyś przez budowniczych Gondoru. Maszerują, jak nam powiadano, bez straży, dufni, że potęga ich nowego pana tak jest wielka, iż sam cień jego gór starczy im za ochronę. Przybyliśmy, żeby dać im nauczkę. Parę dni temu donieśli nam zwiadowcy, że liczne pułki dążą ku północy. Jeden z nich, wedle naszych obliczeń, przejdzie jeszcze przed południem górnym szlakiem, który przecina drogę ukrytą w wąwozie. Na tym rozstaju będą mieli niespodziankę. Nie przejdą, póki kapitan Faramir stoi na czele swego oddziału. On teraz zawsze prowadzi na najniebezpieczniejsze wyprawy. Jego życia broni jakiś czar, może też los szczędzi go w boju, przeznaczając mu inny koniec.

Rozmowa urwała się, ludzie i hobbici milczeli, nasłuchując. Wkoło panowała cisza pełna jakby napięcia. Sam, przycupnąwszy na skraju gęstwiny paproci, wyjrzał na świat. Bystrym okiem dostrzegł w pobliżu wielu żołnierzy. Skradali się na stokach w pojedynkę lub długimi

szeregami, zawsze w cieniu drzew i krzewów, niekiedy pełznąc w trawie i paprociach, gdzie w swej zielonobrunatnej odzieży byli prawie niewidzialni. Wszyscy mieli kaptury, maski i rękawice, uzbrojenie zaś takie jak Faramir i jego towarzysze. Wkrótce zniknęli, posuwając się dalej. Słońce już niemal dosięgło szczytu nieba. Cienie skurczyły się znacznie.

„Ciekawe, gdzie się ten zatracony Gollum podziewa? – myślał Sam, czołgając się z powrotem w głąb chaszczy. – Łatwo może się zdarzyć, że wezmą go za orka albo że go Żółta Twarz żywcem upiecze. Da sobie chyba radę bez mojej pomocy”. Ułożył się obok Froda i zasnął.

Ocknął się pod wrażeniem, że zbudziło go granie rogów. Usiadł. Było samo południe. Strażnicy, czujni i wyprężeni, stali w cieniu laurowych drzew. Nagle rogi odezwały się wyraźniej, a głos ich dochodził bez wątpienia z góry, zza szczytu wzgórza. Samowi wydało się, że słyszy również krzyki i dzikie wycie, ale bardzo nikłe, jakby dobywające się z odległej jaskini. Potem zgiełk bitewny wybuchnął tuż nad kryjówką hobbitów. Sam odróżniał wyraźnie zgrzyt stali ścierającej się ze stalą, szczęk mieczy spadający na żelazne hełmy, głuchy dźwięk ostrza napotykającego opór tarczy. Ludzie krzyczeli, a jeden jasny głos wzbijał się nad innymi, wołając: – Gondor! Gondor!

– Myślałby kto, że stu kowali naraz kuje na kowadle – powiedział Sam do Froda. – Wolałbym, żeby bliżej już się do nas nie przysuwali.

Lecz zgiełk zbliżał się coraz bardziej.

– Idą! – krzyknął Damrod. – Patrzcie! Gromada południowców wyrwała się z pułapki i pędzi w bok od drogi. Ku nam idą! Nasi za nimi, a kapitan na przodzie.

Sam, ciekawy widoku, przyłączył się do strażników. Wdrapał się nawet na gałąź rozłożystego lauru. Migały mu przed oczyma smagłe twarze ludzi w czerwieni, mknących w dół stokiem, a w pewnej odległości za nimi zielone ubrania ścigających, młócących w pędzie mieczami. Strzały gęsto świszczały w powietrzu. Nagle któryś wojownik runął z krawędzi wzgórza, osłaniającej kryjówkę w paprociach, i druzgocąc wątłe krzewy, zwalił się niemal wprost na hobbitów. Padł o parę stóp od nich w gąszcz paproci, twarzą do ziemi. Spod złotego kołnierza sterczała mu na karku strzała z zielonym piórem. Szkarłatny kaftan był podarty, pancerz z mosiężnych łusek pogięty i spękany; czarne włosy, przeplecione złotymi nićmi w warkocze, nasiąkły krwią.

W brunatnej dłoni ściskał jeszcze rękojeść złamanego miecza. Sam po raz pierwszy w życiu widział walkę ludzi z ludźmi i widok ten wcale mu się nie spodobał. Rad był, że przynajmniej nie zobaczył twarzy zabitego. Jakie imię nosił ten człowiek, skąd pochodził, czy naprawdę miał serce do gruntu złe, czy też może kłamstwa lub groźby wywabiły go z domu w ten daleki marsz? Kto wie, czy nie wolałby – gdyby miał wybór – zostać spokojnie wśród swoich? Wszystkie te pytania przemknęły Samowi przez głowę, lecz nie zadomowiły się w niej, bo właśnie w chwili gdy Mablung zrobił krok naprzód, żeby podejść do leżącego południowca, buchnęła na nowo wrzawa. Rozległy się krzyki i nawoływania, a wśród nich Sam dosłyszał przenikliwy ryk, jakby trąby. Potem ziemia zadrżała i zadudniła głucho jak pod ciosami taranów.

– Czuwaj! Czuwaj! – krzyknął Damrod do swego towarzysza. – Oby ich Valarowie odpędzili w bok! *Mûmak*! *Mûmak*!

Ku zdumieniu, zgrozie, a wreszcie i radości Sama spomiędzy drzew wychynął ogromny zwierz i puścił się pędem ze wzgórza w dół. Większy niż dom, znacznie większy wydał się hobbitowi; szara ruchoma góra. Strach i podziw, być może, powiększały stwora w oczach Sama, lecz mûmak z Haradu był naprawdę olbrzymią bestią: w całym Śródziemiu nie spotykało się podobnego. Dziś żyjące jego potomstwo daje ledwie słabe wyobrażenie o wzroście i majestacie przodków. Biegł prosto na kryjówkę hobbitów, w ostatniej chwili zakołysał się i odsunął błyskawicznie, mijając ich ledwie o parę kroków. Ziemia pod nim drżała, nogi miał grube jak drzewa, uszy rozpostarte niby żagle, nos wydłużony na kształt węża prężącego się do skoku, małe czerwone oczka płonące gniewem. Wygięte, podobne do rogów kły były ozdobione złotymi wstęgami, lecz ociekały krwią. Czaprak ze szkarłatu i złota zwisał na boki w strzępach. Ruiny jakby wieży wojennej chwiały mu się na grzbiecie i rozsypywały coraz bardziej, gdy wściekle pędząc, przeciskał się między drzewami. Lecz wysoko na karku tkwiła jeszcze żałosna, drobna postać – ciało krzepkiego wojownika, który wśród Swertów uchodził za wielkoluda.

Olbrzymi zwierz parł przed siebie jak burza, oślepiony gniewem nie zważał na gąszcze ani rozlewiska. Strzały odbijały się bezsilnie od jego grubej skóry. Ludzie pierzchali przed nim na wszystkie strony, wielu wszakże dopędził i zmiażdżył, wdeptując w ziemię. Wkrótce zniknął hobbitom z oczu, tylko głos trąby i grzmot kroków długo dochodził jeszcze

z oddali. Sam nigdy nie dowiedział się, jaki los spotkał potem mûmaka, czy uszedł i czas jakiś żył na swobodzie, póki nie zginął z dala od ojczystego kraju lub nie wpadł w jakąś głęboką jamę; czy może w szale rzucił się w wody Wielkiej Rzeki i utonął.

Sam westchnął głośno.

– Olifant! – powiedział. – A więc olifanty istnieją i jednego z nich widziałem na własne oczy. Co za świat! Ale w domu i tak nikt mi nie uwierzy. No, skończyło się widowisko, teraz się trochę prześpię.

– Śpij, póki można – rzekł Mablung. – Wkrótce kapitan nadejdzie, jeśli wyszedł z bitwy cało. A wtedy pewnie zaraz każe nam stąd ruszać. Bo gdy wieść o zasadzce dotrze do Nieprzyjaciela, niechybnie wyśle za nami pościg. Nie mamy czasu do stracenia.

– Idźcie, skoro musicie – rzekł Sam. – Ale mnie nie potrzebujecie z tego powodu budzić. Całą noc maszerowałem.

Mablung odpowiedział śmiechem.

– Nie myślę, żeby kapitan chciał was tutaj zostawić – rzekł. – Zobaczymy!

ROZDZIAŁ 5
OKNO ZACHODU

Sam miał wrażenie, że ledwie zdążył się zdrzemnąć, kiedy już go zbudzono; popołudnie miało się ku końcowi, Faramir nie tylko wrócił, lecz przyprowadził z sobą gromadę ludzi. Wszyscy uczestnicy wyprawy, którzy z niej uszli z życiem, zebrali się na pobliskim zboczu; było ich dwie, a może trzy setki. Rozsiedli się szerokim półkręgiem. Między jego otwartymi ramionami Faramir siadł na ziemi, Frodo zaś stał przed nim. Wyglądało to prawie jak przesłuchanie jeńca.

Sam wypełzł z gąszczu paproci, nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi, zajął więc miejsce u końca półkola, tak by wszystko dobrze widzieć i słyszeć. Patrzył i słuchał pilnie, gotów w każdej chwili skoczyć na pomoc swemu panu, gdyby zaszła potrzeba. Widział twarz Faramira, bo rycerz zdjął maskę; miała wyraz surowy i władczy, a w przenikliwym spojrzeniu jarzyło się światło bystrego rozumu. Szare oczy nieufnie wpatrywały się we Froda.

Sam prędko zrozumiał, że kapitan nie jest przekonany o prawdziwości opowiadania Froda i że wiele szczegółów budzi jego podejrzenia; wypytywał, jaką rolę Frodo grał w drużynie, która wyruszyła z Rivendell, dlaczego rozstał się z Boromirem, dokąd teraz zmierza. Ze szczególną natarczywością wracał wciąż do zagadki Zguby Isildura. Najwyraźniej wyczuł, że Frodo zataja przed nim jakąś niezwykle doniosłą sprawę.

– Przecież właśnie z pojawieniem się niziołków Zguba Isildura miała znów nam zagrozić, tak trzeba wnioskować ze słów przepowiedni – nalegał. – Jeśli więc wy jesteście owymi niziołkami, z pewnością przynieśliście z sobą ową rzecz, choć nie wiem, co to być może, na Radę u Elronda, o której wspomniałeś. Tak więc musiał ją Boromir widzieć. Czy zaprzeczasz temu?

Frodo nie odpowiedział.

– A więc tak! – rzekł Faramir. – Zatem chcę się o tym od ciebie czegoś więcej dowiedzieć, a także o Boromirze, wszystko bowiem, co jego dotyczy, bardzo mnie obchodzi. Stare opowieści mówią, że Isildura zabiła strzała z orkowego łuku. Lecz takich strzał są tysiące, widok jednej z nich

nie mógł być poczytany za zapowiedź losu przez Boromira, księcia Gondoru. Czy masz tę rzecz przy sobie? Powiedziałeś, że jest ukryta. Czy może z własnej woli ją ukrywasz?

– Nie – odparł Frodo – nie moja w tym wola. Ta rzecz nie należy do mnie. Nie należy do nikogo ze śmiertelnych, wielkich czy małych. Gdyby ktokolwiek mógł do niej rościć prawo, to chyba tylko Aragorn, syn Arathorna, którego też wymieniłem jako przywódcę drużyny na drodze z Morii do wodogrzmotów Rauros.

– Dlaczego nie przewodził wam Boromir, książę kraju, który założyli synowie Elendila?

– Ponieważ Aragorn wywodzi się w prostej linii od Isildura, syna Elendila. Miecz, który nosi u boku, otrzymał w dziedzictwie po Elendilu.

Szmer zdziwienia obiegł krąg ludzki. Ten i ów głośno wykrzykiwał: – Miecz Elendila! Miecz Elendila wraca do Minas Tirith! Wielka to nowina!

Lecz twarz Faramira pozostała niewzruszona.

– Może to prawda – rzekł – lecz Aragorn, jeśli przybędzie rzeczywiście do Minas Tirith, będzie musiał tak wysokie roszczenia uzasadnić i poprzeć niezbitymi dowodami. Wyruszyłem z grodu przed sześciu dniami i wiem, że do tego czasu ani on się nie zjawił, ani żaden z twoich towarzyszy.

– Boromir nie wątpił o prawach Aragorna – odrzekł Frodo. – Gdyby Boromir tu był, odpowiedziałby na wszystkie twoje pytania. Przed kilku dniami dotarł do wodogrzmotów Rauros i zamierzał stamtąd prosto iść do waszego grodu; myślę więc, że gdy tam wrócisz, niezadługo zaspokoisz ciekawość. Boromir wie, tak samo jak wszyscy uczestnicy wyprawy, jaką w niej miałem rolę do spełnienia, gdyż wyznaczył mi ją Elrond, dziedzic Imladris, w obecności całej Rady. Powierzono mi obowiązek i on to przywiódł mnie w te strony, lecz nie wolno mi go wyjawić nikomu prócz członków drużyny. Powiem ci tylko, że kto walczy z Nieprzyjacielem, nie powinien stawiać przeszkód na mojej drodze.

Cokolwiek działo się w sercu Froda, głos jego brzmiał bardzo godnie, i Sam podziwiał swego pana. Faramira wszakże dumny ton nie zaspokoił.

– A więc tak! – rzekł. – Innymi słowy, radzisz mi, żebym pilnował własnych spraw i odszedł do domu, tobie zaś pozwolił iść swoją drogą. Boromir, gdy wróci, wyjaśni wszystko. Gdy wróci, powiadasz. Czy byłeś Boromirowi przyjacielem?

Frodowi stanęła żywo w pamięci napaść Boromira i zawahał się na chwilę. Faramir surowo patrzył mu w twarz.

– Boromir był mężnym towarzyszem naszej wyprawy – powiedział wreszcie Frodo. – Tak, byłem mu przyjacielem.

Faramir uśmiechnął się posępnie.

– A więc zmartwiłaby cię wiadomość, że Boromir nie żyje?

– Zmartwiłaby mnie bardzo – rzekł Frodo, lecz nagle, czytając w oczach Faramira, zająknął się i powtórzył: – Nie żyje? Czy to znaczy, że Boromir nie żyje? Wiesz, że on nie żyje? Czy też zastawiasz tylko pułapkę ze słów i drwisz ze mnie? A może chcesz mnie kłamstwem usidlić?

– Nawet orka nie usidlałbym kłamstwem – rzekł Faramir.

– Jaką śmiercią zginął? Skąd wiesz o tym? Mówiłeś przecież, że nikt z mojej drużyny nie dotarł do waszego grodu.

– Jaką śmiercią zginął, tego spodziewamy się dowiedzieć od przyjaciela i towarzysza jego ostatniej drogi.

– Był zdrów i krzepki, gdy się rozstawaliśmy. Wedle moich wiadomości powinien żyć w dobrym zdrowiu. Lecz wiele niebezpieczeństw czyha na świecie.

– Wiele niebezpieczeństw – rzekł Faramir – a zdrada nie jest wśród nich najmniejszym.

Sama, gdy słuchał tej rozmowy, coraz większa ogarniała niecierpliwość i złość. Ostatnie słowo przebrało miarę i nie mogąc już się pohamować, skoczył na środek kręgu i podbiegł do pana.

– Z przeproszeniem pańskim, panie Frodo – rzekł – ale za długo już przeciąga się ta gawęda. Ten człowiek nie ma prawa odzywać się do pana tym tonem. Mało to pan wycierpiał dla jego dobra, dla dobra wszystkich Dużych Ludzi, jak i dla innych plemion?

A pan, panie kapitanie, niech posłucha! – To mówiąc, Sam stanął przed Faramirem z zadartą głową, z rękoma na biodrach, z taką miną, jakby przemawiał do młodocianego hobbita, który ośmielił się odpowiedzieć mu zuchwale na pytanie, dlaczego się kręci po cudzym sadzie. Pomruk oburzenia dał się słyszeć wśród ludzi, lecz niejeden uśmiechnął się, bo widok kapitana siedzącego na ziemi oko w oko z hobbitem, który mocno rozparłszy krótkie nogi, kipiał gniewem, był rzeczywiście niecodzienny. –

Niech pan słucha, kapitanie! – rzekł Sam. – Do czego pan zmierza? Skończmy z tym, zanim wszyscy orkowie z Mordoru na kark nam spadną. Jeżeli pan podejrzewa, że mój pan zabił Boromira i uciekł, to pan ma źle w głowie, ale przynajmniej niech pan mówi otwarcie, co pan myśli. I niech pan otwarcie powie, co pan chce z nami zrobić. Bardzo to smutne, że ludzie, którzy podobno zwalczają Nieprzyjaciela, przeszkadzają innym w przyłożeniu na swój sposób ręki do tej walki i chcą się koniecznie wtrącać w ich sprawy. Tamten pewnie by się ucieszył, gdyby nas tu w tej chwili zobaczył. Pomyślałby, że zyskał nowego sprzymierzeńca.

– Uspokój się! – odparł Faramir, lecz bez gniewu. – Nie zabieraj głosu w obecności swego pana, bo on jest od ciebie mądrzejszy. Od żadnego z was nie potrzebuję przypomnienia o niebezpieczeństwie. Nie mam wiele czasu, lecz nie żałuję go na sprawiedliwe rozpatrzenie trudnej sprawy. Gdybym był tak niecierpliwy jak ty, od razu bym was uśmiercił, bez długich namysłów. Mam bowiem rozkaz nie żywić nikogo, kto po tym kraju włóczy się bez pozwolenia władcy Gondoru. Nie zabijam jednak ani ludzi, ani zwierząt bez potrzeby, a nawet gdy muszę, nie sprawia mi to przyjemności. Nie rzucam też słów na wiatr. Bądź spokojny. Siądź obok swego pana i milcz.

Sam, mocno zaczerwieniony, usiadł ciężko. Faramir zwrócił się znowu do Froda.

– Pytałeś, skąd wiem, że syn Denethora nie żyje. Żałobne wieści mają wiele skrzydeł. „Noc często przynosi złe nowiny”, powiada przysłowie. Boromir był moim bratem.

Cień smutku przemknął przez jego twarz.

– Czy pamiętasz jakiś szczególny przedmiot, który Boromir nosił przy sobie?

Frodo zastanawiał się chwilę, bojąc się nowej pułapki i zadając sobie pytanie, jak się skończy ta rozprawa. Z trudem zdołał obronić Pierścień przed dumną zachłannością Boromira, ale czy oprze się takiej przewadze ludzi zbrojnych i silnych? W głębi serca jednak czuł, że Faramir, chociaż bardzo do brata podobny, jest od niego mniej zarozumiały, może surowszy, lecz także mądrzejszy.

– Pamiętam, że Boromir nosił róg u pasa – rzekł wreszcie.

– Dobrześ to zapamiętał, musiałeś go widzieć rzeczywiście – powiedział Faramir. – Spróbuj przywołać przed oczy pamięci ten wielki róg bawoli, okuty srebrem i zapisany starożytnym pismem. Róg ten przechodził w naszym rodzie z ojca na najstarszego syna od wielu pokoleń. Legenda mówi, że jeśli zagra gdziekolwiek na obszarach dawnego królestwa Gondoru, wzywając w potrzebie na pomoc, głos jego muszą usłyszeć przyjaciele.

Na pięć dni przed wyruszeniem na tę wyprawę, a więc dokładnie co do godziny jedenaście dni temu, usłyszałem głos tego rogu; granie dolatywało od północy, stłumione, jakby echo tylko odbijało je w moich myślach. Obaj z ojcem przyjęliśmy to za zły omen, tym bardziej że Boromir ani razu nie dał znaku życia, odkąd opuścił dom, a straże nie spostrzegły, by przekraczał nasze granice. W trzy dni później zdarzyło mi się coś jeszcze dziwniejszego. Późnym wieczorem, w szarej pomroce przy księżycowym nowiu, siedziałem nad Anduiną, patrząc w jej wiecznie toczący się naprzód nurt; trzciny szeleściły smutno. Zawsze nocą strażujemy pod Osgiliath nad rzeką, bo nieprzyjaciel opanował częściowo drugi brzeg i często stamtąd śle napaści, by łupić nasze ziemie. Lecz owego dnia o północy świat cały spał wśród ciszy. I wtedy zobaczyłem, a przynajmniej wydało mi się, że zobaczyłem, małą, połyskującą, szarą łódkę dziwacznego kształtu, z wysoko wzniesioną rufą; spływała z nurtem, u wioseł ani u steru nie było w niej nikogo. Zdjął mnie lęk, bo otaczało ją blade światło. Zszedłem ze skarpy na sam brzeg, a potem do wody, bo ta łódź ciągnęła mnie nieodparcie. Zbliżyła się, wolniuteńko przesunęła się koło mnie tak blisko, że mogłem ją ręką dosięgnąć, lecz nie śmiałem dotknąć burty.

Zanurzała się głęboko, jakby bardzo obciążona, i wydało mi się, że jest niemal pełna przezroczystej wody, od której bije blask, w tej wodzie zaś spoczywa uśpiony rycerz.

Na kolanach jego leżał złamany miecz. Ciało okryte było mnóstwem ran. To był Boromir, mój brat, martwy. Poznałem zbroję i miecz, poznałem jego kochaną twarz. Brakowało tylko rogu; jedna rzecz w jego stroju zdała mi się obca: piękny pas, jakby spleciony ze złotych liści. „Boromirze! – zawołałem. – Gdzie zgubiłeś róg? Dokąd płyniesz? O, Boromirze!”. Lecz on już zniknął. Łódź porwana prądem oddalała się, świecąc w ciemnościach. Był to jak gdyby sen, ale nie sen, bom się po nim nie

zbudził. I nie wątpię, że brat mój umarł i popłynął z biegiem rzeki na morze.

– Niestety! – powiedział Frodo. – Musiał to być naprawdę Boromir, opis się zgadza. Złoty pas dostał w Lórien od Pani Galadrieli. Ona bowiem przyodziała nas w szare płaszcze, które widzisz. Klamra przy nich także jest roboty elfów.

Pokazał zielonosrebrny liść spinający mu płaszcz pod szyją. Faramir obejrzał klejnot z bliska.

– Piękne! – rzekł. – Tak, to robota tych samych mistrzów. A więc przechodziliście przez Lórien? Za dawnych lat nazywaliśmy tę krainę Laurelindórenan, od wieków wszakże ludzie nic już o niej nie wiedzą – dodał łagodniej, patrząc na Froda z nowym podziwem w oczach. – Zaczynam rozumieć różne rzeczy, które w tobie zdawały mi się niepojęte. Czy zechcesz opowiedzieć coś więcej? Gorzka bowiem jest dla mnie myśl, że Boromir zginął tak blisko granic swego ojczystego kraju.

– Niemal wszystko, co mogłem, już ci opowiedziałem – odparł Frodo. – Lecz twoja opowieść przejęła mnie trwogą. Myślę, że była to zjawa tylko, cień złego losu, który czai się w przyszłości lub już się dopełnił. A może nawet kłamstwo, podsunięte czarami Nieprzyjaciela. Na Martwych Bagnach widziałem w rozlewiskach pod wodą twarze szlachetnych rycerzy z dawnych czasów, lecz to także było może złudzenie, które Tamten swoją złowieszczą sztuką wywołał.

– Nie – rzekł Faramir. – Zjawy, które Tamten zsyła, napełniają serca wstrętem, lecz moje serce wezbrało żalem i litością.

– Jakże jednak mogło się to zdarzyć prawdziwie? – spytał Frodo. – Żadna łódź nie przebyłaby kamiennych progów poniżej Tol Brandir; Boromir zresztą zamierzał iść do domu, przeprawiając się przez Rzekę Entów, a potem stepami Rohanu. Czyż łódź mogłaby spłynąć przez spienione, olbrzymie wodospady, nie zatonąć w kipieli u ich stóp, tym bardziej że, jak powiadasz, była pełna wody?

– Nie wiem – odparł Faramir. – Skąd pochodziła łódź?

– Z Lórien – przyznał Frodo. – W trzech takich łodziach spłynęliśmy Anduiną aż po wodogrzmoty. Łodzie również były przez elfów budowane.

– Przeszedłeś przez Ukryty Kraj – powiedział Faramir – ale zdaje się, żeś niewiele pojął z jego czarów. Ludzie, którzy mają do czynienia z Mistrzynią Magii mieszkającą w Złotym Lesie, wiedzą, że czeka ich mnóstwo dziwnych zdarzeń. Niebezpiecznie jest dla śmiertelnego człowieka wychodzić poza granice naszego podsłonecznego świata; dawnymi laty mało kto wracał stamtąd nieodmieniony, jak u nas mówią… Boromirze! Boromirze! – krzyknął nagle. – Cóż rzekła ci piękna Pani, nad którą śmierć nie ma władzy? Co ci przepowiedziała? Co zbudziła w twoim sercu? Czemuż zabłądziłeś do Laurelindórenan, zamiast prostą, własną drogą pocwałować konno przez step Rohanu i stanąć o poranku w progu rodzinnego domu?

Znów zwracając się do Froda, mówił łagodnym już teraz głosem:

– Myślę, że na te pytania mógłbyś mi odpowiedzieć, Frodo, synu Droga. Może jednak nie teraz i nie tutaj. Żebyś nie sądził, że wszystko, co ci mówiłem, było przywidzeniem, wiedz, że róg Boromira w końcu wrócił do kraju, a to już dowód, który można wziąć w rękę. Róg wrócił, lecz pęknięty na pół, jakby rozrąbany toporem czy mieczem. Dwie jego części osobno wyrzuciła woda na brzeg; jedną znaleziono w sitowiu, gdzie kryli się na czatach żołnierze Gondoru, na północnej granicy, poniżej ujścia Rzeki Entów. Drugą dostrzegł płynącą na fali jeden z naszych wartowników strzegących rzeki. Najdziwniejszymi sposobami zbrodnia zawsze na jaw wychodzi. Teraz strzaskany róg, dziedzictwo pierworodnego syna, leży na kolanach Denethora, który w swojej stolicy czeka dalszych wieści. Czy o tym strzaskanym rogu nic mi nie możesz powiedzieć?

– Od ciebie dopiero usłyszałem, że został strzaskany – odparł Frodo. – Jeśli wszakże nie mylisz się w rachunku, słyszałeś głos rogu tego właśnie dnia, w którym rozłączyliśmy się, w którym ja z Samem opuściłem Drużynę. Toteż grozą przejmuje mnie twoja opowieść, skoro bowiem Boromir znalazł się wówczas w niebezpieczeństwie i poległ, lękam się, że zginęli wszyscy moi towarzysze. A byli to moi bliscy krewni i przyjaciele. Czy teraz zgodzisz się zaniechać podejrzeń i zwolnisz mnie, abym mógł odejść swoją drogą? Jestem zmęczony, zbolały, wylękły. Mam jednak do spełnienia zadanie; może nie zdołam go wykonać, muszę jednak przynajmniej spróbować, zanim także zginę. Tym bardziej powinienem się spieszyć, jeżeli z całej Drużyny tylko my dwaj hobbici pozostaliśmy żywi.

Wracaj do swego kraju, dzielny kapitanie Gondoru, broń swego grodu, a mnie pozwól odejść tam, gdzie los wzywa.

– Ja nie znalazłem pociechy w rozmowie z tobą – rzekł Faramir – ty jednak wyciągasz z niej wnioski znacznie gorsze, niżby należało. Któż bowiem złożył Boromira w łodzi? Nie myślę, żeby przyszli oddać mu tę ostatnią usługę elfowie z Lórien, na pewno też nie zrobili tego orkowie ani słudzy Tamtego. A więc musiał wyjść z życiem ktoś z twojej Drużyny.

Cokolwiek wszakże stało się tam, na dawnym naszym północnym pograniczu, nie żywię już podejrzeń co do twojej roli, mój Frodo. Gorzkie doświadczenie nauczyło mnie sądzić sprawiedliwie ludzi z ich słów i z twarzy; myślę, że na niziołkach także umiem się poznać. Co prawda – dodał z uśmiechem – jest w tobie coś niesamowitego, Frodo, coś z elfa. Lecz z tej naszej rozmowy więcej wynikło, niż się spodziewałem. Powinienem was teraz zabrać z sobą do Minas Tirith, abyście złożyli zeznania Denethorowi; jeżeli to, co dzisiaj postanowię, wyjdzie na zgubę mego kraju, narażę też własne życie. Nie chcę więc rozstrzygać pochopnie, co dalej robić. Stąd wszakże trzeba ruszać, nie zwlekając.

Zerwał się i wydał rozkazy. Żołnierze natychmiast rozdzielili się na małe grupki i zaczęli się rozpraszać różnymi drogami, znikając szybko w cieniu skał i drzew. Wkrótce zostali tylko Mablung i Damrod.

– Wy pójdziecie ze mną i z moją przyboczną strażą – rzekł Faramir do Froda i Sama. – Gościńcem południowym i tak nie moglibyście iść, jeśli nawet tamtędy prowadzi wasza droga. Przez kilka najbliższych dni byłoby to zbyt niebezpieczne. Po naszej dzisiejszej zasadzce Nieprzyjaciel strzec będzie tego szlaku ze zdwojoną czujnością. Zresztą nie zaszlibyście dziś daleko, jesteście bardzo zmęczeni. My również. Zdążamy do kryjówki, którą mamy o niespełna dziesięć mil stąd. Orkowie i szpiedzy Nieprzyjaciela nic, jak dotąd, o niej nie wiedzą, a gdyby ją nawet odkryli, moglibyśmy bronić się tam długo, nawet przeciw wielkiej sile. Prześpimy się, odpoczniemy wszyscy, wy razem z nami. Jutro rano rozsądzę, co powinienem uczynić dla swojego i waszego dobra.

Frodo nie miał wyboru, musiał zgodzić się na to zaproszenie, które było właściwie rozkazem. Co prawda, na razie nic lepszego nie mógłby zrobić, bo po wypadzie wojowników Gondoru droga przez Ithilien groziła większym niż kiedykolwiek niebezpieczeństwem. Ruszyli niezwłocznie,

Mablung i Damrod szli pierwsi, a hobbici z Faramirem za nimi. Okrążywszy jezioro od tej strony, po której poprzednio wędrowcy kąpali się i czerpali wodę, przeprawili się przez strumień, wspięli na wydłużony stok i zagłębili w zielony cień lasu opadającego ku zachodowi. Pospieszając o tyle, o ile hobbici mogli za ludźmi nadążyć, rozmawiali ściszonym głosem.

– Przerwałem dziś z wami rozprawę – rzekł Faramir – nie tylko dlatego że czas nagli, jak słusznie Sam Gamgee przypomniał, lecz również dlatego że zbliżyliśmy się do sedna spraw, których nie trzeba roztrząsać otwarcie w obecności zbyt wielu świadków. Z tego właśnie powodu zwróciłem rozmowę na inne tory i mówiłem o moim bracie zamiast wypytywać o Zgubę Isildura. Nie byłeś ze mną całkiem szczery, Frodo!

– Nie powiedziałem kłamstwa, a prawdy wyjawiłem tyle, ile mi było wolno – odparł Frodo.

– Nie mam ci tego za złe – rzekł Faramir. – W najtrudniejszym momencie znajdowałeś słowa zręczne i rozumne, jak mi się wydaje. Lecz dowiedziałem się z nich lub domyśliłem więcej, niż pozornie mówiły. Nie było przyjaźni z tobą a Boromirem, a w każdym razie nie rozstaliście się jak przyjaciele. I ty, i Sam Gamgee taicie jakąś urazę. Kochałem mojego brata serdecznie i rad bym pomścić jego śmierć, lecz znałem go dobrze. Zguba Isildura… Jestem pewny, że Zguba Isildura stała się kością niezgody i przyczyną sporów w waszej Drużynie. Zapewne cenne to dziedzictwo, a takie rzeczy często mącą zgodę między sprzymierzeńcami; pouczają nas o tym stare opowieści. Czy trafiłem w sedno?

– Blisko – odparł Frodo – lecz jeszcze nie w sedno. W Drużynie do sporów nie doszło, była jedynie rozterka, bo nie wiedzieliśmy, jaką dalszą drogę obrać z Emyn Muil. Cokolwiek się wówczas stało, pamiętajmy przestrogę starych opowieści i nie rzucajmy zbyt pochopnie słów, gdy chodzi o sprawy takie, jak dziedzictwo.

– A więc zgadłem! Z samym tylko Boromirem miałeś kłopoty. Brat mój chciał pewnie, żebyś ów przedmiot zaniósł do Minas Tirith. Niestety. Przewrotny los pieczęcią tajemnicy zamyka usta tego właśnie, kto ostatni rozmawiał z Boromirem, i każe mu ukryć przede mną wiadomość najbardziej upragnioną: co działo się w sercu i myślach mego brata w przedśmiertnej godzinie. Nawet jeśli Boromir zbłądził, jestem przeświadczony, że umarł dobrą śmiercią, spełniając jakiś szlachetny czyn. Twarz bowiem miał piękniejszą niż za życia.

Wybacz mi, Frodo, że zrazu tak nalegałem, byś mówił mi, co wiesz o Zgubie Isildura. Nieroztropnie zrobiłem, nie było to miejsce ani pora stosowna. Nie miałem czasu zastanowić się spokojnie. Stoczyliśmy srogą bitwę, o niczym innym nie mogłem przez dzień cały myśleć. Lecz już podczas rozmowy z tobą, gdy wyczułem, że zbliżam się do sedna sprawy, umyślnie od niego odbiegłem. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że wśród rządzących naszym krajem przechowało się wiele ze starodawnej tajemnej wiedzy, o której poza naszymi granicami nikt nie ma pojęcia. Nasz ród nie wywodzi się od Elendila, jakkolwiek w żyłach naszych płynie krew númenorejska. Przodkiem naszym był Mardil, godny namiestnik, który rządził w zastępstwie króla, gdy ten wyruszał na wojnę. Mardil piastował władzę w imieniu Eärnura, który nie wrócił nigdy z wyprawy i nie zostawił potomstwa, tak że na nim wygasła linia Anáriona. Odtąd, to znaczy od wielu już pokoleń ludzkich, po dziś dzień państwem naszym rządzą namiestnicy.

Pamiętam, jak w dzieciństwie, gdy obaj uczyliśmy się historii naszego rodu i kraju, Boromir zżymał się gniewnie, że nasz ojciec nie jest królem. „Ile wieków trzeba czekać, żeby namiestnik mógł zostać królem, jeśli król nie wraca?” – spytał. „W innych krajach, gdzie królowie są mniej dostojni, wystarczyłoby pewnie kilka lat – odpowiedział mu ojciec. – W Gondorze i dziesięciu tysiącleci byłoby mało”. Biedny Boromir. Przyznaj, że to wspomnienie z jego chłopięcych lat mówi o nim wiele.

– Tak – rzekł Frodo. – Mimo to zawsze odnosił się z należną czcią do Aragorna.

– Nie wątpię – powiedział Faramir. – Jeśli przekonano go, jak mówiłeś, o słuszności praw Aragorna, musiał go czcić głęboko. Lecz nie doszło do najcięższej próby. Nie wkroczyli razem do Minas Tirith ani też nie współzawodniczyli z sobą w boju na czele wojsk Gondoru… Znów jednak odbiegam od rzeczy. Otóż w rodzie Denethora z dawnej tradycji przechowaliśmy wiele tajemnej starożytnej wiedzy, a ponadto w skarbcu naszym znaleźć można księgi, tablice, zżółkłe pergaminy, także kamienie, ba, nawet srebrne i złote liście pokryte napisami w różnych językach, znakami różnych alfabetów. Są wśród nich takie, których nikt dziś odczytać nie potrafi, reszta zaś dostępna jest tylko dla nielicznych. Mnie uczono tej sztuki, lecz jedynie część starych dokumentów zdołam odcyfrować. Właśnie te zgromadzone u nas pamiątki zwabiły do Gondoru Szarego

Pielgrzyma. Pierwszy raz zobaczyłem go, gdy byłem małym chłopcem, potem dwa czy może trzy razy gościł u nas znowu.

– Szary Pielgrzym? – spytał Frodo. – Czy miał jakieś imię?

– Na modłę elfów nazywaliśmy go Mithrandirem – odparł Faramir – i to mu się podobało. „Wiele mam różnych imion w wielu różnych krajach – mówił. – Mithrandir dla elfów, Tharkun dla krasnoludów; Olórinem zwano mnie za niepamiętnych czasów mojej młodości na zachodzie; Incánusem – na południu, Gandalfem – na północy. Na wschód zaś nie zapuszczałem się nigdy”.

– Gandalf! – rzekł Frodo. – Tak też myślałem. Gandalf Szary, ukochany doradca, przewodnik naszej wyprawy, zginął w Morii.

– Mithrandir zginął? – zakrzyknął Faramir. – Zły los, jak widzę, prześladował waszą Drużynę. Uwierzyć trudno, że mędrzec tak wielkiej wiedzy i potęgi – bo niezwykłych rzeczy dokazywał w naszym kraju – mógł zginąć! Z nim razem zabraknie światu znajomości wielu tajemnic. Czy jesteś pewny, że Mithrandir zginął? Może tylko porzucił was, odchodząc swoją własną drogą?

– Niestety! – odparł Frodo. – Widziałem, jak runął w otchłań.

– Straszliwą i groźną historię masz, jak widzę, do opowiedzenia – rzekł Faramir – lepiej wszakże nie mówić o tym przed nocą. Teraz dopiero zrozumiałem, że Mithrandir był nie tylko mistrzem tajemnej wiedzy, lecz również przywódcą, który kierował wielkimi dziełami naszych czasów. Gdyby przebywał w naszym kraju, gdy biedziliśmy się nad zagadką snu, który nas nawiedził, wyjaśniłby nam z pewnością wszystko i nie musielibyśmy wyprawiać Boromira z poselstwem. Może jednak Mithrandir nic by nam nie powiedział, bo podróż była sądzona Boromirowi. Mithrandir nigdy nie odsłaniał przed nami tajemnic przyszłości ani nie zwierzał się ze swoich planów. Nie wiem, jakim sposobem uzyskał od Denethora wstęp do naszego skarbca; coś niecoś skorzystałem z jego pouczeń, chociaż rzadko mi ich chciał udzielać. Bardzo był zajęty badaniem dokumentów i wypytywał nas przede wszystkim o Wielką Bitwę, stoczoną na polach Dagorladu w czasach, gdy powstało królestwo Gondoru, a Tamten, którego imienia nie wymawiamy, strącony został ze swego tronu. Bardzo był też ciekawy historii o Isildurze, lecz o tym niewiele mogliśmy mu powiedzieć; nic pewnego nie wiadomo o jego śmierci.

Faramir zniżył głos do szeptu. – Czegoś jednak dowiedziałem się lub domyśliłem, a strzegłem pilnie sekretu tego odkrycia: Isildur zabrał jakiś przedmiot, zanim opuścił Gondor, by nigdy już nie ukazać się wśród śmiertelnych ludzi. Myślę, że to jest właśnie odpowiedź na pytania Mithrandira. Lecz wówczas zdawało mi się, że to sprawa ważna jedynie dla badaczy starej tajemnej wiedzy. Nawet wtedy, gdy rozstrząsaliśmy zagadkę słów zasłyszanych we śnie, nie przyszło mi do głowy, że chodzi o Zgubę Isildura. Wedle bowiem jedynej legendy, którą znaliśmy, Isildur zginął od strzały orka, a Mithrandir nic więcej o tym mi nie powiedział. Wciąż jeszcze nie odgadłem, co to naprawdę jest, lecz musi to być dziedzictwo związane z wielką władzą i z wielkim niebezpieczeństwem. Może jakaś straszliwa broń, wynaleziona przez Władcę Ciemności. Jeśli to jest coś, co daje przewagę w boju, łatwo zrozumieć, że Boromir, dumny i nieustraszony, popędliwy, spragniony zwycięstwa dla Minas Tirith – a także, wraz z chwałą ojczyzny, własnej chwały – mógł tej rzeczy pożądać i że go ona kusiła. Nieszczęsny dzień, gdy wyruszył w swą podróż! Wybór ojca padłby z pewnością na mnie, lecz Boromir sam się ofiarował, przypominając, że jest starszy i dzielniejszy, co zresztą prawda, i nie chciał ustąpić.

Lecz teraz możesz się wyzbyć lęku. Ja tej rzeczy nie wezmę, nie schyliłbym się po nią, gdyby leżała na gościńcu. Nawet gdyby Minas Tirith chwiała się w posadach i gdybym ja tylko mógł ją uratować, używając oręża Czarnego Władcy dla jej dobra i ku własnej sławie. Nie, nie pragnę takich tryumfów, wiedz o tym, Frodo, synu Droga.

– Nie pragnęła ich również Rada – rzekł Frodo – i nie pragnę ja. Wolałbym nic nie mieć wspólnego z takimi sprawami.

– Co do mnie – powiedział Faramir – pragnąłbym tylko ujrzeć znów Białe Drzewo kwitnące na dziedzińcu królewskim, doczekać powrotu Srebrnej Korony i Minas Tirith zażywającej pokoju; pragnąłbym, żeby Minas Anor jak ongi jaśniała światłem, smukła i piękna, jak królowa wśród innych królowych, ale nie chciałbym, żeby była panią mnóstwa niewolników, nawet gdyby była łagodną panią dobrowolnych niewolników. Wojna jest nieuchronna, skoro trzeba bronić życia przed niszczycielem, który wszystkich nas by pożarł; ale nie kocham lśniącego miecza za ostrość jego stali, nie kocham strzały za jej chyżość ani żołnierza za wojenną sławę. Kocham tylko to, czego bronią miecze, strzały i żołnierze: kraj ludzi z

Númenoru. I chcę, żeby go kochano za jego przeszłość, za starożytność, za piękno i za dzisiejszą mądrość. Nie chcę, żeby się go lękano, chyba tak tylko, jak lękają się ludzie czcigodnego, rozumnego starca.

Nie bój się mnie. Nie żądam, byś mi więcej wyjawił. Nie proszę nawet, żebyś mi powiedział, czy teraz zbliżyłem się do sedna sprawy. Jeśli wszakże zaufasz mi, może będę mógł służyć ci radą w trudnym zadaniu, które stoi przed tobą, nie pytając, na czym ono polega; kto wie, może nawet mógłbym ci pomóc.

Frodo nie odpowiedział. Omal nie uległ tęsknocie do pomocy i rady, miał ochotę wyznać wszystko temu poważnemu młodzieńcowi, którego słowa zdawały się mądre i szlachetne. Coś jednak wstrzymało go w ostatniej chwili. Na sercu ciążyło mu brzemię trwogi i troski. Jeżeli z Dziewięciu Wędrowców tylko on i Sam pozostali na świecie – jak można było się obawiać – to nikt prócz niego nie znał w pełni tajemnicy jego posłannictwa. Lepiej zawinić niesłuszną podejrzliwością niż pochopnymi słowy. Wspomnienie Boromira i okropnej przemiany, której uległ rycerz pod wpływem uroku Pierścienia, ożyło w pamięci Froda, gdy patrzył na Faramira i słuchał jego głosu, bo Faramir, chociaż tak bardzo różnił się od brata, był przecież do niego jak brat podobny.

Szli przez długą chwilę w milczeniu wśród szarych i zielonych cieni u stóp starych drzew, przemykając bez szelestu między pniami; nad ich głowami świergotało mnóstwo ptaków, słońce złociło wypolerowany strop ciemnych liści w wiecznie zielonych lasach Ithilien.

Sam nie brał udziału w rozmowie, chociaż przysłuchiwał jej się, nadstawiając jednocześnie swoich czujnych hobbickich uszu na łagodne głosy leśnej krainy. Zauważył, że między Faramirem a Frodem nie padło ani razu imię Golluma. Sam był z tego rad, ale czuł, że łudziłby się próżną nadzieją, gdyby myślał, że nigdy więcej o Gollumie nie usłyszy. Wkrótce też zorientował się, że jakkolwiek wędrują pozornie sami z Faramirem, w pobliżu jest mnóstwo ludzi, nie mówiąc już o Damrodzie i Mablungu, którzy to wynurzali się, to znikali w cieniu przed nimi; po obu ich stronach lasem przemykali się żołnierze, wszyscy dążąc spiesznie tajnymi ścieżkami do jakiegoś wytkniętego wspólnego celu.

W pewnej chwili obejrzał się nagle, jakby na karku poczuł ukłucie szpiegującego spojrzenia, i wydało mu się, że dostrzegł drobną, ciemną

sylwetkę przyczajoną za pniem drzewa. Otworzył usta, żeby powiedzieć o tym Frodowi, ale rozmyślił się, mówiąc sobie: „Nie jestem pewny, czy mi się nie przywidziało. Po co przypominać o starym łajdaku, jeżeli pan Frodo i Faramir wolą o nim nie pamiętać? Szkoda, że ja nie mogę także zapomnieć”.

Wreszcie las dokoła zrzedł, a teren zaczął coraz stromiej opadać. Skręcili w prawo i po kilku krokach znaleźli się nad małym strumieniem płynącym w wąskim jarze. Był to ten sam strumień, który daleko w górze wypływał z kolistego jeziora; tu nabrał rozpędu i bystrym nurtem rwał przez kamienne, głęboko wcięte łożysko, nad którym rozpościerały cień skalne dęby i ciemne krzewy bukszpanu. Patrząc ku zachodowi, wędrowcy widzieli w świetlistych oparach ciągnącą się w dole nizinę i rozległe łąki, a w wielkiej dali błyszczącą w ostatnich promieniach słońca szeroką wstęgę Anduiny.

– Teraz, niestety, muszę uchybić grzeczności – rzekł Faramir. – Mam jednak nadzieję, że wybaczycie to człowiekowi, który dotychczas wbrew rozkazom okazał wam tyle względów, że ani głów wam nie uciął, ani nie spętał was jako jeńców. Nie wolno bowiem nikomu, nawet walczącym u naszego boku Rohirrimom, wstąpić na ścieżkę, którą odtąd pójdziemy, z niezawiązanymi oczyma. Muszę wam dać przepaski na oczy.

– Twoja wola – odparł Frodo. – Nawet elfowie niekiedy tak postępują; z zawiązanymi oczyma przeprowadzono nas przez granicę pięknego Lothlórien. Krasnolud Gimli bardzo się burzył, ale hobbici znieśli to cierpliwie.

– Ja prowadzę was do mniej pięknego schronienia – rzekł Faramir – lecz rad jestem, że się zgadzacie po dobroci, bo przykro byłoby zadawać wam gwałt.

Zawołał z cicha, natychmiast spośród drzew wysunęli się Damrod i Mablung, podbiegając do kapitana.

– Zawiążcie naszym gościom oczy – powiedział Faramir. – Szczelnie, ale tak, by im przepaska nie dokuczała. Rąk nie trzeba im pętać. Dadzą słowo, że nie będą się starali nic podpatrzyć. Mógłbym im zaufać, że nie otworzą oczu nawet bez opaski, ale oczy same mrugają, kiedy noga się potyka. Prowadźcie ich ostrożnie, żeby nie ucierpieli w drodze.

Strażnicy zawiązali hobbitom oczy zielonymi chustkami i nasunęli im kaptury na twarze. Potem Mablung wziął jednego, a Damrod drugiego pod

rękę i ruszyli naprzód. O ostatniej mili wędrówki Sam i Frodo wiedzieli więc tylko tyle, ile odgadli po omacku. Wkrótce zauważyli, że ścieżka ostro opada w dół; po jakimś czasie tak się zwężała, że trzeba było posuwać się gęsiego, strażnicy więc kierowali ich krokami, idąc za nimi i trzymając ręce na ich ramionach. Niekiedy w najtrudniejszych miejscach podnosili hobbitów w powietrze, by po chwili znów postawić na ziemi. Szum wody wciąż dochodził od prawej strony, coraz bliższy i głośniejszy. W końcu pochód się zatrzymał. Mablung i Damrod obrócili hobbitów kilka razy w kółko, wskutek czego ci stracili całkowicie orientację. Potem jeszcze wspinali się nieco ku górze; owiał ich chłód, a szum potoku przycichł. Znowu strażnicy chwycili ich w ramiona i nieśli po schodach długo, długo w dół, a następnie wzięli ostry zakręt. Nagle usłyszeli plusk i szum, bardzo głośny i bliski. Mieli wrażenie, że woda otacza ich zewsząd, na dłoniach i policzkach czuli drobniutkie krople deszczu. Znowu postawiono ich na ziemi. Chwilę stali oszołomieni, trochę wystraszeni, nie mając pojęcia, gdzie się znajdują. Nikt się nie odzywał. Wtem głos Faramira zabrzmiał tuż za nimi.

– Zdjąć opaski! – rozkazał.

Strażnicy rozsupłali zielone chusty i odsunęli im z twarzy kaptury. Hobbici olśnieni aż zachłysnęli się z podziwu.

Stali na mokrych, wypolerowanych kamieniach, jak gdyby w progu wyciosanej w skale bramy, której czarny otwór ział za ich plecami. Przed nimi zwisała przezrocza zasłona wody, tak blisko, że Frodo mógł jej dosięgnąć ręką. Brama otwierała się ku zachodowi. Poziome promienie zachodzącego słońca padały na wodną kurtynę i czerwone światło rozszczepiało się w kroplach na migotliwe tęczowe kolory. Hobbitom zdawało się, że stoją w oknie zaczarowanej wieży elfów przed zasłoną usnutą z drogocennych klejnotów, ze srebra, złota, rubinów, szafirów i ametystów, żarzących się zimnym ogniem.

– Szczęśliwym przypadkiem zdążyliśmy na tę porę, by pięknym widokiem nagrodzić waszą cierpliwość – rzekł Faramir. – To jest Okno Zachodzącego Słońca, Henneth Annûn, najpiękniejszy wodospad Ithilien, krainy tysiąca źródeł. Mało kto spośród cudzoziemców oglądał ten cud. Żaden pałac królewski nie może się z nim równać. Wejdźcie.

Ledwie skończył mówić, gdy słońce się skryło, ogień zgasł w strumieniach wody. Hobbici odwrócili się i przeszli pod niskim, groźnym łukiem bramy. Znaleźli się w komorze skalnej, rozległej, topornie wyciosanej pod nierównym, nawisłym stropem. Kilka pochodni rozjaśniało mętnym światłem połyskliwe ściany. Było tu już mnóstwo ludzi, a wciąż nowi przybywali, po dwóch, po trzech, przez wąskie drzwiczki widoczne w jednej ze ścian. Gdy wzrok ich oswoił się z ciemnością, hobbici stwierdzili, że pieczara jest większa, niż im się zrazu wydało, i że pełno w niej oręża, a także zapasów.

– Oto nasz schron – rzekł Faramir. – Nie ma tu wielkich wygód, lecz noc można spędzić bezpiecznie, jest sucho i nie brak jadła, chociaż ognia nie rozpalimy. Niegdyś woda płynęła tymi lochami i wydostawała się przez bramę, lecz nasi sprawni robotnicy zmienili jej bieg przed wiekami, ujmując nurt u źródeł, kierując wąwozem i z dwakroć większej wysokości spuszczając wodospadem ku nowemu łożysku. Potem uszczelnili wszystkie drogi wiodące do tej groty tak, że ani woda, ani żaden nieprzyjaciel wtargnąć tu nie może. Zostały dwa tylko wyjścia: przez korytarz, którym was przyprowadziliśmy, i przez okno zasłonięte wodną kurtyną, ale pod nim w głębokiej niecce pełnej wody jeżą się ostre jak noże skałki. Odpocznijcie teraz chwilę, zanim przygotują nam wieczerzę.

Odprowadzono hobbitów w zaciszny kąt i wskazano niskie łóżko, na którym mogli odpocząć. Ludzie tymczasem sprawnie i szybko krzątali się po pieczarze. Spod ścian wysunięto lekkie stoły na kozłach i nakryto je do posiłku. Zastawa była skromna, przeważnie nieozdobna, lecz porządna i starannie wykonana: okrągłe półmiski, kubki i talerze z polewanej brunatnej gliny lub wytoczone z bukszpanowego drzewa, gładkie i czyste. Tu i ówdzie błyszczał puchar lub miska z lśniącego brązu, a przed miejscem kapitana, pośrodku głównego stołu, stał kielich ze srebra. Faramir przechadzał się między wojownikami, każdego nowego przybysza wypytując ściszonym głosem. Wracali ci, którzy ścigali rozproszonych przeciwników, na końcu zaś zjawili się zwiadowcy, pozostawieni do ostatka na straży przy drodze. Wszystkich południowców wytropiono, lecz nikt nie odnalazł mûmaka, czyli olifanta, i nie wiedziano, co się z nim stało. Nie zauważono też żadnych ruchów nieprzyjacielskich, nawet szpiegów w okolicy nie było widać.

– Nic nie widziałeś ani nie słyszałeś, Anbornie? – spytał Faramir ostatniego wchodzącego do pieczary żołnierza.

– Nie, kapitanie – odparł. – W każdym razie nie wypatrzyłem ani jednego orka. Lecz widziałem lub zdawało mi się, że widzę, jakieś dziwaczne stworzenie. Zdarzyło się to o szarej godzinie, kiedy wszystko wydaje się oczom większe, niż jest naprawdę. Możliwe, że była to po prostu wiewiórka.

Na te słowa żołnierza Sam nadstawił uszu.

– Jeżeli wiewiórka, to czarna i bez ogona – ciągnął dalej Anborn. – Mignęło mi to coś niby cień przy samej ziemi, skryło się za pniem drzewa, gdy podszedłem bliżej, i pomknęło między gałęzie w górę, tak zwinnie jak wiewiórka. Nie pozwalasz nam zabijać bez potrzeby zwierząt leśnych, więc nie użyłem łuku. Zresztą w zmroku strzał byłby niepewny, tym bardziej że stworzenie to w okamgnieniu skryło się wśród liści. Stałem jednak dość długo pod drzewem, bo rzecz wydała mi się dziwna, wreszcie odszedłem. Kiedy się odwróciłem, miałem wrażenie, że z drzewa dochodzi jakby syk. Może to była duża wiewiórka. Może w cieniu Nienazwanego jakieś zwierzaki z Mrocznej Puszczy zakradły się do naszych lasów. Tam podobno żyją wielkie czarne wiewiórki.

– Może – powiedział Faramir – ale zły byłby to omen, gdybyś trafnie odgadł. Nie chcemy zbiegów z Mrocznej Puszczy w Ithilien.

Samowi wydało się, że mówiąc to, Faramir z ukosa spojrzał w stronę hobbitów. Żaden z nich jednak nie odezwał się; obaj leżeli jakiś czas na wznak, patrząc na płonące łuczywa i na krzątających się i porozumiewających szeptem ludzi. W pewnej chwili Frodo nagle zasnął.

Sam, w rozterce, mówił sobie w duchu: „Może to człowiek uczciwy, a może nie. Piękne słowa kryją czasem niepiękne serce”. Ziewnął. „Tydzień mógłbym przespać i jeszcze nie miałbym dość. Czy zda się na coś czuwanie? Ja jestem jeden, a tych dużych ludzi cała gromada. Pewnie, że nie dałbym im rady. Mimo to, Samie Gemgee, będziesz czuwał, nie wolno ci usnąć”. Udało mu się odpędzić sen.

W bramie pieczary światło przygasło, szara zasłona wody zmętniała i znikła w mroku. Tylko szum wodospadu trwał niezmienny, monotonny, rankiem taki sam jak wieczorem czy nocą. Szemrał mile i namawiał do snu. Sam wetknął kułaki do oczu, żeby się nie zamknęły.

Zapalono więcej pochodni. Przytoczono beczkę wina, otworzono skrzynie z prowiantem. Ludzie nabierali wodę spod wodospadu, niektórzy myli ręce. Faramirowi przyniesiono mosiężną miednicę i biały ręcznik.

– Zbudźcie gości – rozkazał – i dajcie im także wodę, niech się umyją. Czas siąść do stołu.

Frodo siadł na posłaniu, przeciągnął się i ziewnął. Sam, nieprzyzwyczajony, żeby mu usługiwano, ze zdumieniem spojrzał na rosłego żołnierza, który, pochyliwszy się w ukłonie, trzymał przed nim miednicę.

– Proszę, niech pan to postawi na ziemi – rzekł hobbit. – Będzie nam obu wygodniej.

Ku zdumieniu i wesołości ludzi zanurzył głowę w zimnej wodzie, zlał nią kark i uszy.

– Czy w waszym kraju jest taki zwyczaj, żeby przed wieczerzą myć głowy? – spytał żołnierz usługujący hobbitom.

– Nie, robimy to raczej przed pierwszym śniadaniem – odparł Sam. – Ale niewyspanego zimna woda rzeźwi jak deszcz zwiędłą sałatę. No, teraz mam nadzieję nie zasnąć, nim się najem.

Usadowiono ich obok Faramira, na okrytych skórami baryłkach, znacznie wyższych niż ławy dla ludzi, tak że hobbici w sam raz wygodnie sięgali do stołu. Kapitan i wszyscy wojownicy przed zabraniem się do jedzenia chwilę stali, milcząc, zwróceni ku zachodowi. Faramir dał znak obu gościom, że powinni w tym naśladować ludzi.

– Zawsze tak robimy – rzekł, gdy znowu usiedli. – Zwracamy oczy w stronę Númenoru, który przeminął, poza Númenor ku ojczyźnie elfów, która trwa, i ku temu, co jest poza nią i co nigdy nie przemija. Czy wasze plemię nie zna tego zwyczaju?

– Nie – odparł Frodo, który nagle poczuł się nieokrzesanym prostakiem. – Ale gdy jesteśmy w gościnie, kłaniamy się gospodarzowi, a wstając po jedzeniu, dziękujemy mu.

– Tak również my postępujemy – rzekł Faramir.

Po długiej wędrówce i popasach pod gołym niebem, po tylu dniach spędzonych na odludnych pustkowiach wieczerza wydała się hobbitom wspaniałą ucztą; pili bowiem jasnozłociste, chłodne i aromatyczne wino,

jedli chleb z masłem, solone mięso, suszone owoce, doskonały czerwony ser, a w dodatku mieli czyste ręce, czyste noże i czyste talerze. Ani Frodo, ani Sam nie odmówili żadnego dania, którym ich częstowano, nie uchylili się nawet od drugiej i trzeciej porcji. Wino rozgrzało krew w żyłach, rozpływając się po zmęczonych członkach, serca poweselały; hobbici nabrali humoru, jakiego nie mieli od dnia opuszczenia Lórien.

Po wieczerzy Faramir zaprowadził ich w głąb pieczary, do wnęki częściowo odgrodzonej zasłoną. Przyniesiono tu fotel i dwa stołki. W niszy stała zapalona gliniana lampka.

– Wkrótce pewnie zechcecie spać – powiedział Faramir. – Zwłaszcza poczciwy Sam, który przed posiłkiem oka nie zmrużył – nie wiem, czy dlatego, że lękał się stracić wspaniały apetyt, czy też ze strachu przede mną. Nie jest zdrowo spać natychmiast po jedzeniu, tym bardziej jeśli się jadło pierwszy raz do syta po długim poście. Pogawędzimy trochę. Wędrując z Rivendell, przeżyliście niewątpliwie mnóstwo przygód wartych opowieści. Wy ze swej strony na pewno też pragniecie od nas dowiedzieć się czegoś o krajach, do których trafiliście. Mówcie jak najwięcej o moim bracie Boromirze, o starym Mithrandirze, o szlachetnym plemieniu z Lothlórien.

Frodo, już wyspany, był chętny do rozmowy. Ale choć jedzenie i wino rozwiązały mu język, nie wyzbył się całkowicie ostrożności. Sam uśmiechał się i nucił pod nosem, gdy jednak Frodo zaczął mówić, przysłuchiwał się, milcząc, i tylko czasem dorzucał jakiś wykrzyknik na potwierdzenie słów swego pana.

Frodo opowiadał różne historie, wciąż jednak omijał sprawę Pierścienia i zadania, którego podjęła się Drużyna, szeroko natomiast rozwodził się nad męstwem Boromira i podkreślał oddane przez niego usługi, czy to podczas spotkania z wilkami, czy w zaspach śnieżnych pod Caradhrasem, a także w walce z orkami w kopalniach Morii, gdzie zginął Gandalf. Najbardziej wzruszyła Faramira opowieść o walce na moście.

– Musiało to wzburzyć Boromira, że przyszło mu uciekać przed orkami – rzekł – czy nawet przed straszliwym potworem, którego nazywacie Balrogiem. Boromir musiał kipieć gniewem, mimo że uciekł ostatni.

– Ostatni – przyznał Frodo. – Pamiętać jednak trzeba, że Aragorn nie miał prawa się narażać, on jeden bowiem po stracie Gandalfa znał drogę i mógł wyprowadzić nas z podziemi. Gdyby nie było nas, małoludów,

którymi musieli opiekować się, ręczę, że nie uciekłby wówczas z pola bitwy ani Boromir, ani Aragorn.

– Może byłoby dla Boromira lepiej, gdyby był tam poległ razem z Mithrandirem – powiedział Faramir – zamiast iść dalej na spotkanie losu, który go czekał nad wodogrzmotami Rauros.

– Może. Ale teraz opowiedz mi o swoich przygodach – rzekł Frodo, znowu odwracając rozmowę od niebezpiecznego tematu. – Chciałbym coś więcej wiedzieć o Minas Ithil, Osgiliath i niezdobytej Minas Tirith. Jakie macie nadzieje na utrzymanie grodu w razie długiej wojny?

– Jakie mamy nadzieje? – powtórzył Faramir. – Od dawna poniechaliśmy wszelkiej nadziei. Miecz Elendila, jeżeli powróci, może na nowo jej iskrę wykrzesze, lecz nie sądzę, by zdziałał coś więcej ponad to, że odroczy dzień klęski; chyba że zjawi się inna jeszcze nieoczekiwana pomoc ze strony elfów albo ludzi. Nieprzyjaciel bowiem wzrasta w siły, a my wciąż słabniemy. Naród nasz przeżywa zmierzch, jesień, po której już nie rozkwitnie wiosna.

Ludzie z Númenoru żyli na rozległych obszarach wybrzeży i nadmorskich krajów, lecz w większości popadli w zepsucie i szaleństwa. Wielu rozmiłowało się w ciemnościach i czarnej magii. Niektóre plemiona całkowicie oddały się próżniactwu i uciechom życia, inne zaś biły się między sobą, aż wreszcie osłabionymi przez lenistwo lub niezgodę zawładnęły złe, dzikie ludy.

Nikt nie powie, że w Gondorze kiedykolwiek praktykowano czarną magię lub wymawiano bodaj z czcią imię Nienazwanego. Dawna mądrość i piękno przyniesione z Zachodu długo żyły w królestwie synów Elendila i po dziś dzień tam przetrwały. Lecz nawet sam Gondor ściągnął na siebie upadek, gnuśniejąc po trosze i łudząc się, że Nieprzyjaciel śpi, podczas gdy on był wprawdzie przepędzony z tych stron, wcale jednak nie zmiażdżony.

Śmierć wciąż była wśród nas, ponieważ Númenorejczycy, jak za dawnych lat królestwa, które wskutek tego utracili, marzyli o niekończącym się i niezmiennym życiu. Królowie budowali grobowce wspanialsze niźli domy dla żyjących, z większą radością wymawiali prastare imiona swoich przodków niż imiona potomków. Bezdzietni władcy zasiadali w starodawnych pałacach, rozmyślając o zamierzchłej świetności swego rodu. W tajemnych komnatach uczeni przyrządzali potężne czarodziejskie napoje

lub z wysokości smukłych, zimnych wież rzucali pytania gwiazdom. Ostatni król z linii Anáriona nie zostawił dziedzica.

Namiestnicy wszakże byli roztropniejsi i szczęśliwsi. Roztropniejsi, bo werbowali do sił zbrojnych ludzi z krzepkich plemion nadmorskich i dzielnych górali z Ered Nimrais. Zawarli też sojusz z dumnym ludem z północy, który często szarpał nasze granice i był wojowniczy, ale z dawna związany z nami pokrewieństwem, nie tak obcy jak dzicy Easterlingowie lub okrutni Haradrimowie.

Dzięki temu za czasów Ciriona, Dwunastego Namiestnika (ojciec mój jest dwudziestym szóstym z kolei), pobratymcy z północy przybyli nam z odsieczą i brali udział w wielkiej bitwie na polach Celebrantu, kiedy to zniszczyliśmy nieprzyjaciół, którzy zagarnęli nasze północne prowincje. Tych sojuszników nazywamy Rohirrimami, mistrzami koni; odstąpiliśmy im prowincję Calenardhon, która odtąd zwie się Rohanem. Kraj ten bowiem przez długie wieki był niemal bezludnym pustkowiem. Rohirrimowie stali się naszymi sprzymierzeńcami, złożyli wiele dowodów wierności, wspierając nas w potrzebie i strzegąc północnego pogranicza oraz Wrót Rohanu.

Przejęli z naszych obyczajów i nauk, ile chcieli, co dostojniejsi wśród nich władają naszą mową, lecz na ogół trzymają się we wszystkim wzorów, które im zostawili przodkowie, i własnych tradycji, mówią zaś swoim językiem, przyniesionym z północy. Są nam mili ci rośli mężowie i piękne niewiasty, nie mniej dzielne od mężów, plemię złotowłose, jasnookie i krzepkie. Przypominają nam młodość człowieczą z Dawnych Dni. Nasi uczeni w księgach powiadają, że łączy nas z Rohirrimami prastare pokrewieństwo, należą bowiem do jednego z tych samych Trzech Rodów co Númenorejczycy, pochodzą wszakże nie od Hadora Złotowłosego, Przyjaciela Elfów, lecz od tych jego synów i pobratymców, którzy nie wywędrowali za Morze, odrzucając wezwanie.

My bowiem w naszych dziejach rozróżniamy ludzi, których nazywamy Dostojnymi albo Ludźmi Zachodu, czyli Númenorejczyków; Ludzi Średnich, albo Ludzi Półmroku, i do tych zaliczamy Rohirrimów oraz pokrewne im plemiona zamieszkujące po dziś dzień na dalekiej północy; wreszcie Dzikich, czyli Ludzi Ciemności.

Teraz wszakże, gdy Rohirrimowie pod wielu względami do nas się zbliżyli, wyćwiczyli w różnych umiejętnościach i ogładzili obyczaje, my

zaś upodobniliśmy się do nich, nie możemy już rościć prawa do nazwy Ludzi Dostojnych. Jesteśmy dziś Średnimi Ludźmi, Ludźmi Półmroku, lecz przechowujemy pamięć lepszych dni. Tak samo jak Rohirrimowie kochamy obecnie wojnę i odwagę dla nich samych, zarówno ze względu na cel, któremu służą, jak i na radości, których pozwalają nam zaznawać. Wprawdzie wciąż jeszcze wierzymy, że wojownik powinien mieć inną jeszcze wiedzę i umiejętności prócz znajomości władania bronią i żołnierskiego rzemiosła, lecz cenimy żołnierzy ponad ludzi trudzących się innymi sprawami. Taki jest nakaz chwili. Toteż Boromir dla swego wojennego męstwa cieszył się w Gondorze najwyższym uznaniem. Był naprawdę dzielny. Od dawna Minas Tirith nie miało dziedzica równie wytrwałego na trudy i równie mężnego w boju; nikt też tak potężnie jak on nie umiał zadąć w Wielki Róg.

Faramir westchnął i umilkł na długą chwilę.

– Mało było o elfach w tych wszystkich opowieściach – odezwał się Sam, nagle nabierając odwagi. Zauważył, że Faramir wspomina elfów zawsze z szacunkiem, i to przejednało Sama, uspokajając jego podejrzliwość skuteczniej niż grzeczne słowa, jadło i wino.

– Mało – rzekł Faramir – bo nie zgłębiałem historii elfów i niewiele wiem o tym plemieniu. To właśnie jedna z tych zmian, jakie zaszły w nas, kiedy z Númenoru przesiedliliśmy się do Śródziemia. Skoro Mithrandir był towarzyszem waszej wyprawy i rozmawialiście po drodze z Elrondem, wiecie zapewne, że przodkowie Númenorejczyków walczyli u boku elfów w zamierzchłych wojnach, za co w nagrodę otrzymali królestwo pośród morza, w zasięgu spojrzenia z Ojczyzny Elfów. Lecz na obszarach Śródziemia za dni ciemności ludzie stracili łączność z elfami na skutek podstępów Nieprzyjaciela, a także z powodu nurtu czasu, który niósł każde plemię w inną stronę jego własną drogą. Dziś ludzie lękają się elfów i nie ufają im, niewiele o nich wiedząc. My zaś w Gondorze, tak samo jak Rohirrimowie, staliśmy się podobni do innych ludzi. Rohirrimowie bowiem, chociaż są wrogami Władcy Ciemności, nie ufają elfom i mówią o Złotym Lesie ze zgrozą.

Jednakże są jeszcze wśród nas ludzie podtrzymujący z elfami w miarę możności znajomość i niekiedy ten czy ów wymyka się potajemnie do Lórien, a mało który wraca. Ja do tych śmiałków nie należę. Sądzę, że w

naszych czasach niebezpiecznie jest dla śmiertelników z własnej woli szukać porozumienia z Najstarszym Plemieniem. Ale zazdroszczę tym, którzy widzieli Białą Panią.

– Panią z Lórien! Galadrielę! – wykrzyknął Sam. – Ach, gdyby ją pan mógł ujrzeć! Ja, proszę pana, jestem prosty hobbit, ogrodnik z zawodu, nie znam się na poezji, w każdym razie nie umiem wierszy układać, chyba że jakiś żarcik rymowany mi się uda, a i to rzadko, na prawdziwy poemat nigdy bym się nie zdobył… No więc nie umiem powiedzieć tego, co bym chciał. To trzeba zaśpiewać. Żeby tu był Obieżyświat, czyli, chciałem rzec, Aragorn, albo stary pan Bilbo, ci by umieli! Szkoda, że nie potrafię o niej ułożyć pieśni. Jest piękna, urocza! Czasem jak ogromne drzewo w kwiatach, czasem jak biały narcyz, drobny i smukły. Twarda jak diament, łagodna jak światło księżyca. Ciepła jak promień słońca, zimna jak gwiazda. Dumna i daleka jak szczyt w śniegach, wesoła jak wiejska dziewczyna, która wiosną wplata stokrotki w warkocze. Ale ja gadam i gadam, a wszystkich słów za mało, żeby jej oddać sprawiedliwość.

– Musi być naprawdę urocza – rzekł Faramir. – Niebezpiecznie piękna.

– Nic nie wiem o tym, żeby była niebezpieczna – odparł Sam. – Uważam, że ludzie biorą niebezpieczeństwo z sobą do Lórien, znajdują tam tylko to, co sami przynieśli. Może zresztą słusznie widzą w niej istotę niebezpieczną, bo ma w sobie wielką siłę. Można się o nią rozbić jak łódź na skale, można zatonąć jak hobbit w rzece; ale czy wolno winić skałę albo rzekę? A właśnie Boro…

Sam urwał i oblał się rumieńcem.

– Tak? Boromir? Co chciałeś powiedzieć? – podchwycił Faramir. – Czy Boromir z sobą przyniósł do Lórien niebezpieczeństwo?

– Tak, z przeproszeniem pańskim, przyniósł je z sobą, chociaż taki był z niego wspaniały człowiek, jeśli wolno tak się wyrazić. Pan zresztą od początku był na tropie. Dobrze się Boromirowi przyglądałem i pilnie go słuchałem przez cały czas wędrówki z Rivendell. Musiałem strzec mego pana, rozumie się, nie znaczy to wcale, żebym do Boromira nie miał zaufania. I myślę, że właśnie w Lórien Boromir jasno zrozumiał to, czego ja się już przedtem domyśliłem, i zrozumiał to, czego pragnie. A pragnął Pierścienia, pragnął go, odkąd go zobaczył.

– Sam! – krzyknął Frodo przerażony. Zamyślił się na długą chwilę i nagle ocknął z zadumy, lecz już poniewczasie.

– Rety! – jęknął Sam, blednąc i zaraz potem czerwieniejąc gwałtownie. – Znowu palnąłem głupstwo. Rację miał Dziadunio, kiedy mówił: „Ile razy otworzysz usta, lepiej zatkaj je prędko, choćby własną piętą”. O rety, rety!

– Niech pan słucha, kapitanie – zwrócił się do Faramira, zbierając całą odwagę, na jaką go było stać. – Proszę, niech pan nie wykorzysta przeciw mojemu panu głupoty jego sługi. Pan tak pięknie mówił o elfach i tak dalej, że zapomniałem się wreszcie. Ale nie sztuka pięknie mówić, trzeba pięknie postępować – jak powiada hobbickie przysłowie. To będzie próba pańskiej wspaniałomyślności.

– Tak i ja sądzę – odparł Faramir z wolna i bardzo łagodnie, uśmiechając się dziwnie. – A więc mamy rozwiązanie wszystkich zagadek. Jedyny Pierścień, o którym mniemano, że zginął raz na zawsze dla świata. I Boromir chciał go odebrać przemocą? A tyś uciekł? Biegłeś tyle mil, żeby wpaść prosto w moje ręce! W górach, na pustkowiu mam was w swojej mocy, dwóch niziołków przeciw setce żołnierzy, których mogę skrzyknąć w jednej chwili, i Pierścień nad Pierścieniami. Piękny dar losu! Faramir, kapitan Gondoru, ma w tej próbie dać miarę swej wspaniałomyślności. Ha!

Wstał, wyprostował się, ogromny, a szare jego oczy rozbłysły.

Frodo i Sam zerwali się ze stołków, skoczyli pod ścianę, wsparli o nią plecami; ręce ich gorączkowo sięgnęły do mieczy. Zapadła cisza. Wszyscy zebrani w pieczarze wojownicy przerwali rozmowy i ze zdumieniem patrzyli na hobbitów. Lecz Faramir usiadł z powrotem, zaśmiał się z cicha i zaraz znowu spoważniał.

– Biedny Boromir! Za ciężka dla niego była ta próba! – odezwał się w końcu. – Dorzuciliście jeszcze cięższe brzemię do mego żalu, dziwni przybysze z dalekich krajów, przynoszący niebezpieczeństwo między ludzi! Ale okazuje się, że ja lepiej umiałem poznać się na niziołkach niż niziołki na człowieku. My, ludzie z Gondoru, jesteśmy prawdomówni. Rzadko się chełpimy, a jeśli coś przyrzekamy, raczej zginiemy, niż złamiemy słowo. Powiedziałem: „Nie schyliłbym się po niego, nawet gdyby leżał na gościńcu”. Toteż nawet gdybym był człowiekiem zdolnym pożądać takiej rzeczy, i jakkolwiek mówiąc to, nie wiedziałem jeszcze, czym ona jest naprawdę, uważałbym, że te słowa mnie wiążą, i nie postąpiłbym wbrew własnemu oświadczeniu.

Mnie jednak wcale nie kusi ta rzecz. Może po prostu dość mam wiedzy, żeby rozumieć, iż są pewne niebezpieczeństwa, od których człowiek powinien uciekać. Siadajcie, bądźcie spokojni. Pociesz się, Samie. Wygadałeś się mimo woli, widocznie los tego chciał. Serce masz mądre zarówno jak wierne, ono widzi jaśniej niż twoje oczy. Bo jakkolwiek wyda wam się to dziwne, nie naraziliście się na żadne niebezpieczeństwo, wyjawiając mi tę tajemnicę. Kto wie, Samie, może właśnie tym sposobem pomogłeś swemu panu, którego tak kochasz. Twój błąd wyjdzie wam na dobre, o ile to ode mnie będzie zależało. Pociesz się, Samie. Lecz nigdy więcej nie wymawiaj nazwy tej rzeczy głośno. Ten jeden raz wystarczy.

Hobbici wrócili na swoje miejsca i siedzieli cichutko. Żołnierze znowu zajęli się popijaniem wina i rozmową, sądząc, że ich dowódca żartował z gośćmi i że ta zabawa już się skończyła.

– Teraz nareszcie rozumiemy się wzajemnie dobrze, mój Frodo! – rzekł Faramir. – Jeżeli wziąłeś tę rzecz w powiernictwo, nie pragnąc jej, posłuszny prośbie innych osób, zasłużyłeś na mój szacunek i na moje współczucie. Podziwiam cię też, że trzymasz ją w ukryciu i nie używasz jej. Jesteście dla mnie istotami z nieznanego plemienia i nieznanego świata. Czy wszyscy wasi współplemieńcy są do was podobni? Wasz kraj musi być dziedziną spokoju i pogody, ogrodnicy zaś cieszą się pewnie wielkim poważaniem.

– Nie wszystko jest u nas doskonałe – odparł Frodo – lecz ogrodników rzeczywiście bardzo szanujemy.

– Nawet tam, w swoich ogrodach, znacie pewnie zmęczenie, jak każda istota pod słońcem. Cóż dopiero tutaj, z dala od domu i po długiej podróży. Dość na dzisiaj rozmów. Uśnijcie obaj spokojnie, jeśli zdołacie. Nie bójcie się, ja nie chcę tej rzeczy zobaczyć ani dotknąć, nie chcę też wiedzieć o niej więcej, niż wiem (wiem już za wiele!), aby nie skusiła mnie podstępem i abym się w tej próbie nie okazał gorszy niż Frodo, syn Droga. Idźcie teraz spocząć, lecz przedtem powiedzcie tylko, jeżeli możecie, dokąd zamierzacie stąd się udać i co robić. Ja bowiem muszę czuwać, czekać, rozmyślać. Czas upływa. Rankiem każdy z nas pospieszy swoją drogą.

Frodo po pierwszym wstrząsie strachu przez długą chwilę drżał cały. Teraz ogromne zmęczenie mgłą przesłoniło mu oczy. Nie miał już siły dłużej udawać i opierać się pytaniom.

– Szukałem drogi do Mordoru – powiedział słabym głosem. – Szedłem ku Gorgoroth. Muszę odnaleźć Górę Ognia i rzucić tę rzecz w Szczeliny Zagłady. Tak kazał Gandalf. Ale myślę, że nigdy nie dojdę do celu.

Faramir chwilę patrzył na niego z powagą i zdumieniem. Widząc, że hobbit chwieje się na nogach, dźwignął go łagodnie w ramionach, zaniósł na legowisko, ułożył i otulił ciepło. Frodo natychmiast zapadł w głęboki sen. Tuż obok ustawiono drugie posłanie dla jego sługi. Sam zawahał się na moment, po czym z niskim ukłonem zwrócił się do Faramira:

– Dobranoc! Wygrałeś, szlachetny panie.

– Doprawdy? – spytał Faramir.

– Kruszec okazał się najwyższej próby.

Faramir przyjął to z uśmiechem.

– Śmiałego sługę ma Frodo! – rzekł. – Ale niech tam! Pochwała z zacnych ust jest najwyższą nagrodą. Nie zasłużyłem na nią jednak. Nie miałem bowiem pokusy ani chęci postąpić inaczej.

– Wierzę – odparł Sam. – Powiedziałeś, szlachetny panie, że mój pan ma w sobie coś z elfa. To prawda. Ja wszakże powiem, że w tobie, panie, jest też coś, co mi przypomina… no tak! Czarodzieja Gandalfa!

– To możliwe – rzekł Faramir. – Może wyczuwasz daleki wiew powietrza Númenoru. Dobranoc!

ROZDZIAŁ 6
ZAKAZANE JEZIORO

Budząc się, Frodo ujrzał schylonego nad sobą Faramira. Na mgnienie oka zawładnął nim dawny strach i hobbit usiadł, cofnąwszy się pod ścianę.

– Nie masz się czego obawiać – rzekł Faramir.

– Czy to już rano? – spytał, ziewając, Frodo.

– Jeszcze nie, lecz noc ma się ku końcowi, a księżyc zachodzi. Czy chcesz go zobaczyć? Chciałbym też w pewnej sprawie zasięgnąć twojej rady. Przykro mi, że musiałem przerwać ci spoczynek. Czy pójdziesz ze mną?

– Pójdę – odparł Frodo, wstając. Dreszcz nim wstrząsnął, gdy wychynął z ciepłych koców i futer. Zimno było w pieczarze, gdzie nie palono ogniska. Szum wody rozlegał się głośno wśród ciszy. Hobbit zarzucił płaszcz i poszedł za Faramirem.

Sam, budząc się nagle, jakby ostrzeżony czujnym instynktem, od razu spojrzał na puste legowisko swego pana i zerwał się na równe nogi. Zobaczył dwie ciemne sylwetki, Froda i wysokiego mężczyzny, rysujące się na tle sklepionej bramy, którą teraz wypełniało blade białawe światło. Pobiegł ku nim między rzędami wojowników śpiących na siennikach wzdłuż ścian. Mijając bramę, spostrzegł, że Zasłona wygląda teraz jak olśniewający welon jedwabny, przetykany perłami i srebrem jak topniejące sople księżycowej poświaty. Nie zatrzymał się jednak, żeby podziwiać ten widok, i skręcił w ślad za swoim panem w wąskie drzwiczki, otwarte w ścianie pieczary.

Szli najpierw ciemnym korytarzem, potem po mokrych stopniach schodów w górę, aż znaleźli się na małej, płaskiej platformie wyciosanej w skale i rozjaśnionej bladym światłem płynącym z nieba przez otwór wycięty wysoko u szczytu długiego szybu. Stąd schody rozchodziły się: jedne, jak się zdawało, prowadziły na stromy brzeg potoku, drugie zwrócone były w lewo. Tam właśnie prowadził hobbitów Faramir. Schody, jak w wieży, zbudowane były na kształt spirali.

Wreszcie wydostali się z ciemności kamiennych ścian i rozejrzeli wkoło. Stali na szerokiej, płaskiej skale, niczym nieogrodzonej. Z prawej strony, od wschodu, potok z pluskiem zeskakiwał z nielicznych tarasów, dalej zaś spływał po stromiźnie gładko wyżłobionym korytem; ciemna, wzburzona woda pieniła się i toczyła wśród wirów niemal tuż u ich stóp i znikała na podciętej krawędzi przepaści, która ziała po prawej stronie. Nad brzegiem, zapatrzony w jej głąb, stał milczący wojownik.

Frodo przez chwilę śledził wzrokiem kręte i strome przesmyki wodne, potem podniósł wzrok i spojrzał w dal. Świat był cichy, chłodny, jakby zbliżał się już brzask. Nad zachodnim widnokręgiem księżyc zniżał się, pełny i jasny. Blade opary migotały w rozległej dolinie; szeroki parów kipiał srebrną mgłą, a jego dnem toczyły się w nocnym chłodzie fale Anduiny. Za rzeką kłębiły się czarne ciemności, a w nich tu i ówdzie połyskiwały zimne, ostre, obce i białe jak zęby upiora szczyty Ered Nimrais, Białych Gór królestwa Gondoru, okryte wiecznym śniegiem.

Długą chwilę Frodo stał na tym kamiennym wzniesieniu i dreszcz przejął go na myśl, że może tam, pośród przesłoniętych ciemnością rozległych przestrzeni, jego przyjaciele wędrują, a może śpią, jeśli nie leżą martwi pod całunem mgły. Po co Faramir przywiódł go tutaj i wyrwał z błogiego zapomnienia snu?

Sam stawiał sobie również to pytanie i nie mógł powstrzymać się od szepnięcia paru słów, łudząc się, że nikt prócz Froda ich nie usłyszy:

– Piękny widok, panie Frodo, trudno zaprzeczyć, ale ziąb przejmuje do kości, nie mówiąc już o sercu. Co się dzieje?

Faramir usłyszał i odpowiedział:

– Księżyc zachodzi nad Gondorem. Piękny Ithil, opuszczając Śródziemie, spogląda raz jeszcze na białe kędziory sędziwej Mindolluiny. Widok wart jest paru dreszczy. Lecz nie dla tego widoku sprowadziłem was tutaj, a prawdę mówiąc, Sama w ogóle nie prosiłem na tę przechadzkę: jeśli mu zimno, płaci cenę własnej zbytniej czujności. Łyk wina szybko was potem rozgrzeje. Patrzcie!

Posunął się na krawędź przepaści i stanął obok wartownika. Frodo poszedł za nim, lecz Sam nie ruszył się z miejsca. Nawet z dala od brzegu na tej wilgotnej, wysokiej platformie czuł się nieswojo. Faramir i Frodo patrzyli w dół. Daleko pod stopami widzieli białą wodę, która wlewała się

do ogromnej, kipiącej misy i wirowała w przepaścistym owalnym zagłębieniu pośród skał, póki nie znalazła ujścia przez wąski przesmyk; tędy uciekała z szumem i pluskiem ku spokojniejszym, bardziej równinnym okolicom. Skośne promienie księżyca sięgały jeszcze podnóża wodospadu i lśniły na sfalowanej tafli jeziora. Nagle Frodo spostrzegł na bliższym jego brzegu skulonego, małego stwora, lecz w tejże chwili stwór dał nura do wody i zniknął tuż pod kipielą wodospadu, rozcinając czarną toń tak cicho i gładko jak strzała z łuku lub obły kamyk.

Faramir zagadnął wartownika:

– Co teraz powiesz o tym, Anbornie? Wiewiórka czy zimorodek? Czy nad ciemnymi sadzawkami Mrocznej Puszczy żyją czarne zimorodki?

– Nie wiem, co to za stwór, lecz z pewnością nie ptak – odparł Anborn. – Ma cztery łapy i nurkuje na sposób człowieczy. Trzeba przyznać, że mistrz w tej sztuce nie lada! Czego on szuka? Drogi poprzez Zasłonę do naszej pieczary? Zdaje się, że tym razem nasz schron został wykryty. Mam z sobą łuk, a na obu brzegach rozstawiłem też co najlepszych łuczników. Czekamy tylko na twój rozkaz, żeby wypuścić strzały, kapitanie.

– Co powiesz? Mamy strzelać? – spytał Faramir, odwracając się żywo do Froda.

Frodo przez chwilę nie odpowiadał.

– Nie! – rzekł wreszcie. – Nie! Proszę was, nie strzelajcie!

Samowi nie ochoty, lecz śmiałości zabrakło, żeby głośniej i szybciej krzyknąć: „Tak!”. Nie widział wprawdzie stwora, o którym była mowa, lecz bez trudu odgadł, kogo Frodo zobaczył w dole.

– A więc znasz tego stwora? – powiedział Faramir. – Teraz, skoro go obaj widzieliśmy, wytłumacz, dlaczego, twoim zdaniem, należy go oszczędzić. W długich rozmowach tylko jeden raz wspomniałeś o trzecim, przygodnym towarzyszu, a ja chwilowo nie wypytywałem o niego. Czekałem, aż go moi ludzie schwycą i sprowadzą do mnie. Wysłałem najlepszych łowców na poszukiwania, on wszakże wszystkim się wymykał, tak że nikt go nawet nie widział prócz tu obecnego Anborna, któremu wczoraj wieczorem mignął o zmroku. Dziś jednak ów łotrzyk dopuścił się gorszego przestępstwa niźli łowienie na wyżynie królików w sidła: ośmielił się wtargnąć do Henneth Annûn. Przypłaci zuchwalstwo życiem. Nie pojmuję tego stwora! Tak skryty i zmyślny, a przychodzi kąpać się w

jeziorku pod samym naszym oknem. Czy myśli, że ludzie nocą śpią, nie rozstawiwszy wart? Dlaczego on to zrobił?

– Można dać na to pytanie dwie odpowiedzi – odparł Frodo. – Po pierwsze, nie zna ludzi, a chociaż jest chytry, może wcale nie wie, że tu się ukrywacie; wasz schron dobrze jest zamaskowany. Po drugie, przypuszczam, że ściągnęło go tutaj nieodparte pożądanie, silniejsze od przezorności.

– Mówisz, że go tutaj coś przyciąga? – spytał Faramir, ściszając głos. – Czy to możliwe, żeby wiedział o brzemieniu, które dźwigasz?

– Tak. Ponieważ on dźwigał je przez długie lata.

– On je dźwigał? – powtórzył Faramir, tłumiąc okrzyk zdumienia. – Sprawa wikła się w coraz to nowe zagadki! A więc czyha na tę rzecz?

– Być może. Jest mu droga i cenna. Ale nie to miałem na myśli.

– Czegóż zatem szuka tutaj?

– Ryb – rzekł Frodo. – Patrz!

Spojrzeli w dół ku ciemnemu jezioru. U dalekiego brzegu ukazała się mała, czarna głowa, ledwie wychylona z głębokiego cienia pod skałami. Mignął srebrzysty błysk, drobniutkie kręgi rozeszły się po wodzie. Stwór dopłynął do brzegu i z nieprawdopodobną zwinnością, jak żaba, wyskoczył z wody na wysoką skarpę. Usiadł i zaczął się wgryzać w mały, srebrzysty przedmiot, który połyskiwał przy każdym ruchu jego palców, bo ostatnie promienie księżyca padały spoza kamiennej ściany na ten koniec jeziora.

Faramir roześmiał się z cicha.

– Ryb! – powiedział. – Ten głód jest mniej niebezpieczny. A może nie! Ryby z jeziorka Henneth Annûn mogą kosztować go bardzo drogo.

– Mam go na ostrzu strzały – odezwał się Anborn. – Czy nie wolno mi jej wypuścić, kapitanie? Prawo karze śmiercią każdego, kto bez pozwolenia wejdzie w tę dolinę.

– Czekaj, Anbornie – odparł Faramir. – Sprawa jest trudniejsza, niż ci się zdaje. Co powiesz, Frodo? Dlaczego mamy go oszczędzić?

– Jest nieszczęśliwy i głodny – powiedział Frodo – i nic nie wie o grożącym niebezpieczeństwie. Gandalf, wasz Mithrandir, prosiłby cię, żebyś mu darował życie, choćby dla tych powodów, zarówno jak dla innych

jeszcze. Elfom zalecił go oszczędzić. Nie wiem dokładnie dlaczego: trochę się domyślam, lecz nie mogę teraz o tym mówić. Ten stwór jest w jakiś sposób związany z moim zadaniem. Dopókiś ty nas nie wykrył i nie uprowadził z sobą, on był naszym przewodnikiem.

– Przewodnikiem? – zdumiał się znów Faramir. – Nowe dziwy! Na wiele jestem dla ciebie gotów, mój Frodo, tego jednak nie mogę zrobić; jeśli zostawię na wolności chytrego włóczęgę i pozwolę mu iść, gdzie zechce, może przyłączy się do ciebie w dalszej drodze, a może wpadnie w łapy orków, którym wyśpiewa pod grozą tortur wszystko, co wie. Trzeba go zabić albo wziąć do niewoli. Zabić, jeżeli nie da się szybko pochwycić. Jakże jednak doścignąć stwora tak zwinnego i przemyślnego inaczej niż strzałą z łuku?

– Pozwól, żebym cichutko zszedł do niego – rzekł Frodo. – Trzymajcie łuki napięte i zastrzelcie przynajmniej mnie, jeżeli mój sposób zawiedzie. Na pewno nie ucieknę.

– Idź, a pospiesz się! – odparł Faramir. – Jeżeli wyjdzie z tej przygody żywy, powinien ci wiernie służyć do końca swych nędznych dni. Anbornie, sprowadź Froda na dół, ale idźcie bardzo ostrożnie. Ten stwór ma węch i słuch. Wezmę twój łuk.

Anborn mruczał z niezadowolenia, lecz poprowadził hobbita krętymi schodami na niższą platformę, a z niej drugimi schodami dalej, aż doszli do wąskiego wyjścia zarośniętego gęstwą krzaków. Frodo bezszelestnie przedarł się przez nie i stanął na wysokim południowym brzegu, górującym nad jeziorem. Było już teraz ciemno, wodospad przybladł i zszarzał, odzwierciedlając ledwie nikły pobrzask, który księżyc zostawił na zachodnim niebie. Golluma stąd nie widział. Posunął się kilka kroków naprzód. Anborn cicho szedł za nim.

– Dalej! – szepnął Frodowi do ucha. – Uważaj, po prawej stronie jest brzeg. Jeżeli wpadniesz do wody, nikt cię nie wyratuje, chyba twój przyjaciel zimorodek. Pamiętaj, że łucznicy stoją bardzo blisko, chociaż ich pewnie nie widzisz.

Frodo, wzorując się na Gollumie, pomagał sobie rękami, żeby pewniej trzymać się gruntu i wymacywać przed sobą drogę. Skały były tu przeważnie płaskie i gładkie, lecz śliskie. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Zrazu nie słyszał nic prócz nieustannego szumu wodospadu za sobą. Nagle blisko przed nim rozległ się świszczący szept:

– Ryby, dobre ryby. Biała Twarz znikła, mój skarbie, wreszcie znikła, tak. Teraz możemy spokojnie zjeść rybkę. Nie, nie, mój skarbie, nie spokojnie! Bo zginął nasz skarb. Zginął. Podłe hobbity, złośliwe hobbity. Poszły sobie, zostawiły nas samych, glum. Zabrały skarb. Biedny Sméagol samiuteńki. Nie ma skarbu. Źli ludzie zabiorą go, ukradną mój skarb. Złodzieje. Nienawidzimy ich. Ryby, dobre ryby. Dodadzą nam sił. Będziemy mieli bystre oczy, mocne palce, tak, tak. Zadusimy ich wszystkich, żebyśmy tylko mieli sposobność. Dobre ryby, dobre ryby!

Ten jego pomruk był niemal tak nieustanny jak szum wody, przerywany jedynie mlaskaniem i bulgotem. Frodo, słuchając tych odgłosów, wzdrygnął się z litości i wstrętu. Marzył, by ten bełkot ustał wreszcie, by nie musiał go nigdy już słuchać. Anborn przyczaił się tuż. Wystarczyłoby cofnąć się do niego, szepnąć, żeby kazał łucznikom wypuścić strzały. Nie chybiliby pewnie, bo Gollum, jedząc łapczywie, nie myślał o ostrożności. Jeden trafny strzał i Frodo na zawsze pozbyłby się tego nieszczęsnego, wstrętnego głosu. Ale nie mógł tego zrobić. Gollum miał pewne prawo do jego opieki. Sługa ma prawo do opieki pana, nawet jeśli służy pod przymusem strachu. Gdyby nie Gollum, hobbici zginęliby na Martwych Bagnach. Frodo czuł w głębi serca, że Gandalf na pewno nie życzyłby sobie takiego postępku.

– Sméagolu! – zawołał cicho.

– Ryby, dobre ryby – syczał Gollum.

– Sméagolu! – trochę głośniej powtórzył Frodo. Gollum umilkł.

– Sméagolu, twój pan przyszedł po ciebie. Twój pan jest tutaj. Zbliż się, Sméagolu.

Zamiast odpowiedzi usłyszał lekki syk, jakby Gollum przez zęby wciągał oddech. – Chodź tutaj, Sméagolu – rzekł Frodo. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ludzie zabiją cię, jeżeli tu cię znajdą. Chodź prędko, jeżeli chcesz uniknąć śmierci. Chodź do swego pana.

– Nie! – odparł głos. – Pan niedobry. Porzucił Sméagola i odszedł z nowymi przyjaciółmi. Teraz niech pan czeka. Sméagol nie skończył ryby.

– Nie ma czasu do stracenia! – rzekł Frodo. – Weź rybę z sobą i chodź.

– Nie. Muszę skonczyć rybę.

– Sméagolu! – zawołał Frodo z rozpaczą. – Skarb się na ciebie pogniewa. Powiem skarbowi: spraw, żeby połknął ość i udławił się na

śmierć. Nigdy więcej nie skosztujesz ryb. Chodź, skarb na ciebie czeka!

Rozległ się przenikliwy syk. Z ciemności wypełznął na czworakach Gollum niby pies przywołany z włóczęgi do nogi pana. Jedną na pół zjedzoną rybę trzymał w zębach, drugą ściskał w garści. Zbliżył się do Froda niemal nos w nos i obwąchał go. Blade oczy lśniły. Nagle wyjął z ust rybę i wyprostował się przed hobbitem.

– Dobry pan! – szepnął. – Dobry hobbit, wrócił po biednego Sméagola. Dobry Sméagol przyszedł do pana. Chodźmy teraz prędko, tak. Między drzewami, póki obie Twarze nie świecą. Tak, chodźmy!

– Pójdziemy – odparł Frodo – ale nie zaraz. Pójdę z tobą tak, jak przyrzekłem. Powtarzam obietnicę! Ale nie zaraz. Jeszcze nie jesteś bezpieczny. Uratuję cię, musisz jednak mi zaufać.

– Zaufać mojemu panu? – nieufnie spytał Gollum. – Dlaczego? Gdzie jest ten drugi hobbit, ten zły, ordynarny hobbit? Gdzie on jest?

– Tam na górze – odparł Frodo, wskazując wodospad. – Nie zostawię go tutaj samego. Musimy po niego wrócić.

Serce mu się ścisnęło. Te namowy zbyt były podobne do wciągania w pułapkę. Nie obawiał się, co prawda, żeby Faramir pozwolił zabić Golluma, lecz przypuszczał, że każe go uwięzić i spętać, a wówczas nieszczęsny, zdradziecki stwór na pewno poczuje się zdradzony przez hobbita. Nigdy może nie zrozumie ani nie uwierzy, że Frodo ocalił mu życie i że nie było innego sposobu ratunku. Cóż bowiem mógł zrobić Frodo, jeśli chciał obu stronom w miarę możności dochować wiary?

– Chodź, Sméagolu – rzekł – bo skarb rozgniewa się, jeśli mnie nie posłuchasz. Wracamy w górę strumienia. Idź pierwszy.

Gollum przepełznął kawałek drogi tuż nad krawędzią, chlipiąc i węsząc podejrzliwie. Nagle zatrzymał się i podniósł głowę.

– Tu ktoś jest! – powiedział. – Nie tylko hobbit. – Odwrócił się znienacka. W wyłupiastych oczach migotało zielone światełko. – Niedobry pan! – syknął. – Zły! Podstępny! Fałszywy! – Splunął i wyciągnął długie ramię zakończone białymi, chwytliwymi palcami.

W tym samym okamgnieniu ogromna, ciemna sylwetka Anborna wynurzyła się tuż za nim. Człowiek dopadł Golluma, silną, ciężką ręką chwycił go za kark i przygiął do ziemi. Stwór błyskawicznie skręcił się

cały; wilgotny i oślizły wił się niczym węgorz, a gryzł i drapał napastnika jak kot. Lecz z mroku już wybiegło dwóch żołnierzy, spiesząc z pomocą Anbornowi.

– Ani się rusz – powiedział jeden z nich do Golluma – bo naszpikujemy cię tak, że się w jeża zamienisz. Ani się rusz!

Gollum opadł bezsilnie, jęcząc i płacząc. Ludzie związali go dość brutalnie.

– Nie tak ostro! – odezwał się Frodo. – Ten biedak nie może się z wami mierzyć na siły. Starajcie się nie sprawiać mu bólu. On wówczas także spokojnie się zachowa. Sméagolu! Nie bój się, oni ci nic złego nie zrobią. Pójdę razem z tobą, nie spotka cię od ludzi żadna krzywda. Chyba że ja także zginę z ich rąk. Zaufaj swojemu panu.

Gollum odwrócił się i splunął hobbitowi pod nogi. Żołnierze podnieśli go z ziemi, nasunęli mu na głowę kaptur i powlekli z sobą. Frodo szedł za nimi bardzo zgnębiony. Przez ukryty w gąszczu otwór, a potem schodami i korytarzami wrócili do pieczary. Płonęło kilka pochodni, ludzie krzątali się, już zbudzeni. Sam, który tu czekał na Froda, obrzucił zagadkowym spojrzeniem bezwładny tłumok wleczony przez żołnierzy.

– Złapali go? – spytał.

– Tak. Właściwie nie. Nie złapali – odparł Frodo. – Przyszedł dobrowolnie do mnie, bo zaufał memu słowu. Nie chciałem, żeby go tak porwano, związanego. Mam nadzieję, że wszystko się dobrze skończy, ale przykro mi okropnie, że tak się to odbywa.

– Mnie też przykro – rzekł Sam – ale z tą nieszczęsną pokraką nic się nie może odbywać przyzwoicie.

Jeden z żołnierzy skinął na nich i zaprosił do wnęki w głębi pieczary. Faramir siedział w fotelu, a nad jego głową świeciła umieszczona w niszy latarnia. Wskazał hobbitom stołki, a gdy siedli, rzekł do podwładnego:

– Podaj gościom wino i każ przyprowadzić jeńca.

Przyniesiono wino, a po chwili zjawił się Anborn, niosąc w ramionach Golluma. Zdjął z jego głowy kaptur, postawił go na ziemi i został przy nim, by go podtrzymywać na nogach. Gollum mrużył oczy, skrywając chytre spojrzenie pod ciężkimi, bladymi powiekami. Wyglądał żałośnie, przemoczony do nitki, ociekał wodą i cuchnął rybami; jedną z nich ściskał

wciąż jeszcze w garści. Rzadkie kosmyki jak zbutwiałe wodorosty zwisały mu nad kościstym czołem; pociągał zasmarkanym nosem.

– Rozwiążcie! Rozwiążcie! – bełkotał. – Sznur nas rani, tak, rani nas, a przecież nic złego nie zrobiliśmy.

– Nic złego nie zrobiłeś? – rzekł Faramir, patrząc na nieszczęśnika przenikliwie, lecz z kamienną twarzą, w której nie było ani gniewu, ani zdumienia, ani litości. – Tak powiadasz? Nigdy nie popełniłeś nic takiego, żeby zasłużyć na więzy lub jeszcze cięższą karę? Jednakże nie do mnie należy sąd nad tobą za tamte sprawy. Dziś ujęliśmy cię tam, gdzie nie wolno wchodzić pod karą śmierci. Za ryby z tej sadzawki trzeba drogo płacić.

Gollum wypuścił rybę z ręki.

– Nie chcę ryb – powiedział.

– Cena nie jest nałożona na ryby – rzekł Faramir. – Karzemy śmiercią za wtargnięcie w ten zakątek gór, za jedno spojrzenie na jezioro. Darowałem ci dotychczas życie na prośbę Froda, który twierdzi, że ma wobec ciebie jakieś długi wdzięczności. Ale musisz się przede mną usprawiedliwić. Jak się nazywasz? Skąd przyszedłeś? Dokąd idziesz? Czego szukasz?

– Zabłąkani jesteśmy, zgubieni – odparł Gollum. – Nie mamy imienia, niczego nie szukamy, straciliśmy skarb, nie zostało nam nic. Tylko pustka. Tylko głód, tak, głód. Za kilka rybek, za marne ościste rybki chcą biedne stworzenie karać śmiercią. Taka jest ich mądrość, taka sprawiedliwość, taka wielka sprawiedliwość.

– Może nie jesteśmy bardzo mądrzy – powiedział Faramir – ale sprawiedliwi z pewnością na tyle, na ile nasza niewielka mądrość pozwala. Rozwiąż mu pęta, Frodo!

Faramir wyciągnął zza pasa mały nożyk i podał go Frodowi.

Gollum, na swój sposób rozumiejąc ten gest, wrzasnął i padł na ziemię.

– Spokojnie, Sméagolu! – rzekł Frodo. – Powinieneś mi zaufać. Nie opuszczę cię w biedzie. Odpowiadaj na pytania, jak umiesz najuczciwiej. To ci nie zaszkodzi, lecz właśnie pomoże.

Przeciął powróz krępujący napięstki i kostki Golluma, podniósł go z ziemi.

– Podejdź bliżej! – rozkazał Faramir. – Patrz mi w oczy! Czy wiesz, jak się nazywa to miejsce? Czy byłeś tu już kiedyś?

Gollum z wolna podniósł powieki, niechętnie zwrócił ku Faramirowi ślepia; nie tliła się w nich teraz ani odrobina światła, blade i matowe, spoglądały przez chwilę w jasne, nieustraszone oczy rycerza z Gondoru. Zaległa głucha cisza. Nagle Gollum spuścił głowę, skurczył się i przypadł do ziemi, dygocąc na całym ciele.

– Nie wiemy, nie chcemy wiedzieć – zajęczał. – Nigdy tu nie byliśmy. Nigdy więcej nie przyjdziemy.

– Są w twoim umyśle zatrzaśnięte drzwi i zamknięte okna, a za nimi ciemne komory – rzekł Faramir. – Powiedziałeś jednak, jak sądzę, prawdę. Na twoje szczęście. Jaką przysięgę złożysz, żeby mi zaręczyć, że nigdy tutaj nie wrócisz i że nigdy słowem ani znakiem nie wskażesz drogi do tego miejsca żadnemu żywemu stworzeniu?

– Mój pan wie – odparł Gollum, zerkając z ukosa na Froda. – Tak, pan wie. Przyrzekliśmy naszemu panu, jeśli nas uratuje. Przysięgamy skarbowi, tak! – Przyczołgał się do stóp Froda. – Uratuj nas, dobry panie! – zaskomlał. – Sméagol obiecuje skarbowi, obiecuje uczciwie. Nigdy nie wróci, nie powie ani słowa. Tak, skarbie!

– Czy tobie to wystarcza, Frodo? – spytał Faramir.

– Tak – rzekł Frodo. – Masz do wyboru albo zadowolić się tą przysięgą, albo postąpić, jak wymaga twoje prawo. Nic bowiem innego od tego jeńca nie usłyszysz. Lecz ja mu przyrzekłem, że nie dozna krzywdy, jeśli pójdzie ze mną. Nie chciałbym, żeby się zawiódł na moim słowie.

Faramir długą chwilę milczał zamyślony.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Oddaję cię w ręce twojego pana. Frodo, syn Droga, niech powie, co chce z tobą zrobić.

– Ależ ty, szlachetny kapitanie, jeszcze nie powiedziałeś, co zamierzasz zrobić z Frodem! – odparł z ukłonem hobbit. – Póki zaś Frodo nie zna twojej woli, nie może układać planów dla siebie i swoich towarzyszy. Odroczyłeś wyrok do rana, lecz dzień już świta.

– Ogłoszę więc swoją wolę – rzekł Faramir. – Co do ciebie, Frodo, to na mocy władzy, udzielonej mi przez mego władcę, przyznaję ci swobodę ruchów w granicach Gondoru aż po najdalsze kresy starego królestwa.

Zastrzegam jedynie, że ani ty, ani żaden z twych towarzyszy nie ma prawa bez wyraźnego wezwania powrócić do tej kryjówki. Daję ci ten przywilej na jeden rok i jeden dzień od dziś, potem nie będzie ci już przysługiwał, chyba że przed upływem wyznaczonego terminu stawisz się w Minas Tirith przed obliczem władcy, namiestnika królestwa. Wtedy bowiem poproszę go, by zatwierdził i przedłużył na całe twe życie przywilej, który ode mnie otrzymałeś. Tymczasem każdy, kogo weźmiesz pod swą opiekę, będzie miał we mnie również opiekuna, a tarcze Gondoru go osłonią. Czy to ci starcza za odpowiedź?

Frodo ukłonił się nisko.

– Tak jest – rzekł – i oddaję się na twoje usługi, jeśli mogą one mieć jakąś cenę w oczach tak szlachetnego i wielkiego rycerza.

– Cenię je wysoko – odparł Faramir. – A teraz powiedz: czy bierzesz pod opiekę tego oto Sméagola?

– Biorę Sméagola pod swoją opiekę – oświadczył Frodo. Sam westchnął głośno. Nie był to objaw zniecierpliwienia wobec przydługiej wymiany uprzejmości, bo Sam, jak przystało hobbitowi, pochwalał ceremonie tego rodzaju. Podobna rozmowa w Shire nie obeszłaby się bez większej jeszcze ilości słów i ukłonów.

– A więc słuchaj! – zwrócił się Faramir do Golluma. – Zapadł nad tobą wyrok śmierci, lecz póki będziesz się trzymał Froda, włos ci nie spadnie z głowy, a przynajmniej nikt z nas cię nie tknie. Gdyby wszakże spotkał cię któryś z żołnierzy Gondoru wałęsającego się bez Froda, wykona wyrok. I niechaj cię śmierć dosięgnie, w granicach tego królestwa lub poza nim, jeżeli będziesz źle służył swojemu panu. Teraz odpowiedz: dokąd zamierzasz iść? Frodo poświadczył, że byłeś jego przewodnikiem. Dokąd go prowadzisz?

Gollum milczał.

– Muszę to wiedzieć – rzekł Faramir. – Odpowiedz albo odwołam ułaskawienie.

Gollum wciąż milczał.

– Ja odpowiem za niego – odezwał się Frodo. – Na moje żądanie zaprowadził mnie do Czarnej Bramy, lecz okazało się, że nie można jej przekroczyć.

– Nie ma otwartych wrót do Bezimiennego Kraju – powiedział Faramir.

– Widząc to, zawróciliśmy na drogę południową – ciągnął dalej Frodo – przewodnik bowiem mówił, że jest, a przynajmniej może być, ścieżka dostępna w pobliżu Minas Ithil.

– Minas Morgul – rzekł Faramir.

– Nie wiem dokładnie – powiedział Frodo – lecz podobno ścieżka wspina się pod górę północnym stokiem doliny, nad którą stoi stary gród. Wznosi się na wysoką przełęcz, a potem schodzi do… do krainy leżącej za górami.

– Czy znasz nazwę tej przełęczy? – spytał Faramir.

– Nie – odparł Frodo.

– To jest Cirith Ungol.

Gollum syknął przenikliwie i zaczął mamrotać pod nosem.

– Czy tak brzmi nazwa przełęczy? – spytał Faramir, zwracając się do niego.

– Nie! – wrzasnął Gollum piskliwie, jakby go ukłuto. – Tak, tak, słyszeliśmy kiedyś tę nazwę. Ale cóż dla nas nazwa znaczy? Pan powiedział, że musimy się tam dostać. Trzeba szukać jakiejś drogi. A nie ma innej, nie, nie ma.

– Nie ma innej? – rzekł Faramir. – Skąd wiesz? Kto zbadał wszystkie pogranicza królestwa ciemności? – Długo, z namysłem przyglądał się Gollumowi. Potem odezwał się znowu. – Odprowadź jeńca, Anbornie. Traktuj go łagodnie, lecz nie spuszczaj z oka. A ty, Sméagolu, nie próbuj skakać w wodospad. Skały tam mają tak ostre zęby, że zginąłbyś przedwcześnie. Idź stąd, a weź tę swoją rybę.

Anborn wyszedł, popychając przed sobą skulonego Golluma. Nad wejściem do wnęki zaciągnięto zasłonę.

– Myślę, mój Frodo, że nieroztropnie postępujesz – rzekł Faramir. – Nie powinieneś trzymać przy sobie tego przewodnika. To stwór nikczemny.

– Nie, nie jest nikczemny na wskroś – odparł Frodo.

– Może nie na wskroś – powiedział Faramir – lecz zło przeżera go jak rak, coraz głębiej. On cię nie doprowadzi do niczego dobrego. Jeżeli się z

nim rozstaniesz, dam mu list żelazny i eskortę do tego miejsca na granicy Gondoru, które sobie sam wybierze.

– Nie zgodziłby się na to – odparł Frodo. – Poszedłby za mną, tak jak idzie już od dawna moim tropem. Przyrzekłem zresztą i wiele razy powtórzyłem przyrzeczenie, że wezmę go w opiekę i pójdę, dokąd mnie prowadzi. Nie żądasz chyba ode mnie, abym złamał słowo?

– Nie – rzekł Faramir. – Lecz serce moje tego pragnie. Co innego samemu nie dochować wiary, a co innego radzić przyjacielowi, aby złamał słowo, szczególnie kiedy bezwiednie na własną zgubę związał się przyrzeczeniem. Ale – nie! Musisz Golluma ścierpieć przy sobie, jeśli zechce iść z tobą. Nie sądzę wszakże, abyś był obowiązany do wyboru drogi przez przełęcz Cirith Ungol, o której twój przewodnik nie powiedział ci wszystkiego, co wie. To wyczytałem jasno w jego myślach. Nie idź na Cirith Ungol.

– Gdzież więc mam iść? – spytał Frodo. – Z powrotem do Czarnej Bramy i zdać się na łaskę lub niełaskę jej wartowników? Co wiesz o tej przełęczy, że nazwa jej budzi w tobie tyle grozy?

– Nie wiem nic pewnego – odparł Faramir. – My, ludzie z Gondoru, nie zapuszczamy się tymi czasy na wschód od gościńca, nikt spośród młodego mojego pokolenia tak daleko nie był ani też nie wspinał się na Góry Cienia. Znamy je tylko ze starych opowieści i pogłosek, które przetrwały z dawnych lat. To jednak pewne, że na przełęczach nad Minas Morgul czyhają jakieś złowrogie, straszne moce. Starcy i uczeni, którzy zbadali tajniki wiedzy, bledną i milkną na dźwięk nazwy Cirith Ungol.

Dolina pod Minas Morgul bardzo dawno temu popadła we władzę złych sił; nawet wówczas, gdy wygnany Nieprzyjaciel przebywał jeszcze daleko, a większa część Ithilien należała do nas, stamtąd wiało grozą i strachem. Jak ci wiadomo, stał tam ongi gród piękny i warowny, Minas Ithil, bliźni brat naszej stolicy. Zawładnęli nim jednak ludzie nikczemni i dzicy, których Nieprzyjaciel w pierwszym okresie swojej potęgi ujarzmił i wziął na służbę; ci po jego upadku błąkali się, bezdomni i bezpańscy. Mówią, że przywódcami ich byli Númenorejczycy o spodlonych sercach; Nieprzyjaciel obdarzył ich pierścieniami władzy i wyniszczył tak, że zmienili się w żywe upiory, straszne i złe. Po jego wygnaniu zajęli Minas Ithil, osiedli tam, obrócili gród i całą okolicę w ruinę. Zdawała się pusta, lecz wśród gruzów żył strach. Tych dziewięciu wodzów przygotowało

skrycie powrót swego władcy i pomogło mu; sami też wzmogli się znów na siłach. Dziewięciu Jeźdźców wyruszyło w świat przez straszną bramę, a my nie mogliśmy im zagrodzić drogi. Nie zbliżaj się do ich twierdzy! Będziesz śledzony nieustannie. Tam czuwa nigdy nieusypiająca zła moc, stamtąd patrzy sto par nigdy nieprzymykających się oczu. Nie idź tą drogą.

– Dokąd więc radzisz iść? – spytał Frodo. – Powiedziałeś, że nie możesz mi wskazać ani ścieżki ku górom, ani przejść przez góry. Lecz ja muszę się poza ich wał dostać, bo zobowiązałem się uroczyście wobec całej Rady, że znajdę drogę lub szukając jej, zginę. Gdybym zawrócił, wzdragając się przed ostatnią, najcięższą próbą, jakże mógłbym stanąć przed elfami i ludźmi? Czy przyjąłbyś mnie w Gondorze, gdybym tam zjawił się z tym brzemieniem, które noszę i które opętało szaleństwem twojego brata? Jaki urok rzuciłoby na Minas Tirith? Kto wie, czy wówczas dwie wieże Minas Morgul nie spoglądałyby ku sobie ponad spustoszonym, zalanym zgnilizną krajem.

– Tego bym nie chciał – rzekł Faramir.

– Cóż więc chcesz, abym zrobił? – spytał Frodo.

– Nie wiem. Ale nie chcę, żebyś szedł na śmierć lub mękę. Nie myślę też, by Mithrandir wybrał dla ciebie tę drogę.

– Skoro on zginął, muszę sam iść jedyną ścieżką, którą znalazłem. Nie mam czasu na szukanie lepszej.

– Srogi przypadł ci los, beznadziejne zadanie – rzekł Faramir. – Pamiętaj przynajmniej moją przestrogę: nie ufaj przewodnikowi, nie ufaj temu Sméagolowi. Ma już na sumieniu morderstwo. Wyczytałem to w jego oczach. – Faramir westchnął. – Tak więc spotkały się nasze ścieżki i znów się rozchodzą, Frodo, synu Droga. Ciebie nie trzeba łudzić próżnymi słowy. Wiedz, że nie mam nadziei ujrzeć cię kiedykolwiek pod słońcem tej ziemi. Będę jednak odtąd przyjacielem twoim i całego twojego plemienia. A teraz odpocznij, my tymczasem przygotujemy ci prowiant na drogę.

Bardzo jestem ciekaw, jakim sposobem ten pokurcz Sméagol znalazł się w posiadaniu owego skarbu, o którym wspominałeś, i jak go później stracił; nie będę jednak trudził cię, wypytując dziś o te sprawy. Jeżeli mimo wszystko wrócisz do krainy żywych i siądziemy pod ścianą w blasku słońca, śmiejąc się z minionych trosk, będziesz musiał mi opowiedzieć całą

historię dokładnie. Póki nie nadejdzie ten dzień lub jakiś inny, którego nawet czarodziejski kryształ Númenoru nie może nam objawić, żegnaj.

Faramir wstał, ukłonił się nisko Frodowi i rozsuwając zasłonę, przeszedł do pieczary.

ROZDZIAŁ 7
KU ROZSTAJOWI DRÓG

Frodo i Sam wrócili do swoich legowisk i czas jakiś odpoczywali w milczeniu; dzień już się zaczynał i ludzie krzątali się dokoła. Wreszcie przyniesiono hobbitom wodę do mycia i zaproszono do stołu nakrytego na trzy osoby. Faramir siadł z nimi do śniadania. Nie kładł się ani na chwilę od poprzedniego dnia, w którym jego oddział stoczył bitwę, lecz nie zdawał się wcale zmęczony. Gdy się posilili, wstał.

– Głód nie dokuczy wam w drodze – rzekł. – Wasze zapasy wyczerpały się, ale trochę prowiantu, stosownego w podróży, kazałem zapakować wam do worków. Na brak wody nie będziecie się uskarżać, póki będziecie szli przez Ithilien, nie pijcie jednak ze strumieni, które spływają z Imlad Morgul, z Doliny Żywej Śmierci. Chcę wam jeszcze coś powiedzieć: moi zwiadowcy i strażnicy wrócili wszyscy, a niektórzy z nich dotarli w pobliże Morannonu. Przynieśli dziwne wieści. Cała okolica w krąg opustoszała. Na drogach nie widzieli żywej duszy, nie słyszeli kroków, głosu rogu ani nawet dźwięku naciąganej cięciwy. Cisza pełna oczekiwania zalega nad Bezimiennym Krajem. Nie wiem, co to znaczy. Na pewno jednak zbliża się moment wielkiej rozprawy. Nadciąga burza. Spieszcie, póki czas! Jeżeli jesteście gotowi, wyruszymy natychmiast. Wkrótce słońce zaświeci nad królestwem cienia.

Przyniesiono hobbitom ich tobołki, znacznie teraz cięższe, a także dwie grube laski z wygładzonego drzewa, okute żelazem i opatrzone rzeźbionymi główkami, przez które przeciągnięte były rzemienne paski.

– Nie mam dla was darów godnych tej chwili pożegnania – rzekł Faramir – weźcie jednak te laski. Mogą się przydać w wędrówce przez góry i puszcze. Takich kijów używają mieszkańcy Białych Gór, lecz te przycięto na waszą miarę i okuto na nowo. Zrobiono je z pięknego drzewa *lebethron*, które jest ulubionym tworzywem naszych stolarzy i cieśli, a mają one ten dar, że zgubione wracają zawsze do właścicieli. Oby nie straciły tej zalety i nie zawiodły was w mrocznej krainie, do której idziecie!

Hobbici skłonili się w pas.

– Najgościnniejszy gospodarzu! – rzekł Frodo. – Elrond Półelf przepowiedział mi, że w podróży spotkam przyjaźń ukrytą w głębi serca i nieoczekiwaną. Prawdę mówił, bo nie mogłem spodziewać się od ciebie tyle przyjaźni, ile mi okazałeś. Dzięki tej niespodziance ze złej przygody wynikło wiele dobrego.

Zaczęli się zbierać do wymarszu. Z jakiegoś zakamarka przyprowadzono Golluma, który wyraźnie nabrał już otuchy, chociaż w dalszym ciągu trzymał się jak najbliżej Froda, unikając wzroku Faramira.

– Twemu przewodnikowi musimy zawiązać oczy – rzekł Faramir – tobie jednak i twojemu służącemu chętnie oszczędzimy tej przykrości, jeśli sobie tak życzycie.

Gollum skrzeczał, wykręcał się, czepiał Froda, kiedy żołnierze podeszli, by zawiązać mu oczy. Frodo więc powiedział:

– Załóżcie nam wszystkim trzem opaski, a zacznijcie ode mnie, wówczas Sméagol przekona się, że nie macie złych zamiarów.

Tak też zrobiono, po czym wyprowadzono całą trójkę z Henneth Annûn. Jakiś czas wędrowali przez korytarze i schody, aż w pewnej chwili owiała ich rześka, miła świeżość poranka. Szli dalej, wciąż jeszcze nic nie widząc, pod górę i znowu łagodnym skłonem w dół. Wreszcie Faramir kazał im odsłonić oczy.

Stali znowu pod sklepieniem lasu. Szum wodospadu nie dochodził do ich uszu, bo od rozpadliny, w której płynął potok, dzieliło ich wyciągnięte na południe długie ramię wzgórza. Od zachodu pomiędzy drzewami prześwitywało światło, jakby tam, za lasem, świat się kończył i poza jego krawędzią nie było nic prócz nieba.

– Tu ostatecznie rozchodzą się nasze drogi – rzekł Faramir. – Jeżeli posłuchacie mojej rady, nie skręcicie stąd zaraz na wschód. Pójdziecie prosto, w ten sposób bowiem wiele jeszcze mil przebędziecie pod osłoną lasu. Od zachodu teren obrywa się nad dolinami niekiedy stromo, niekiedy łagodniej, wydłużonym pochyłym zboczem. Trzymajcie się wciąż w pobliżu tej krawędzi i skraju lasu. Zrazu możecie, jak sądzę, wędrować nawet w świetle dziennym. Cała okolica jest uśpiona i pozornie spokojna, złe oczy na chwilę odwróciły się od niej. Bądźcie zdrowi i pospieszajcie, póki można.

Uścisnął hobbitów, zwyczajem swego plemienia pochylając się nad nimi, kładąc ręce na ich ramiona i całując w czoła.

– Życzliwa myśl wszystkich ludzi dobrej woli towarzyszy wam w drodze! – powiedział.

Ukłonili się aż do ziemi. Faramir zawrócił i nie oglądając się już za siebie, odszedł ku dwóm żołnierzom, którzy czekali w pewnym oddaleniu. Hobbici z podziwem patrzyli, jak szybko umieją poruszać się ci ludzie w zielonych ubraniach, zniknęli bowiem niemal w okamgnieniu wśród drzew. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Faramir, teraz był tylko las, pusty i posępny; można by myśleć, że rycerz Gondoru przywidział im się we śnie.

Frodo westchnął i odwrócił się twarzą na południe. Gollum, jakby umyślnie okazując wzgardę dla pożegnalnych ceremonii, rozgrzebywał ziemię pod korzeniem drzewa. „Śmierdziel już znowu chyba głodny? – pomyślał Sam. – Ano, zaczyna się cała zabawa od nowa”.

– Poszli sobie nareszcie? – spytał Gollum. – Źli, wstrętni ludzie. Sméagola jeszcze kark boli, tak, boli jeszcze. Chodźmy stąd!

– Chodźmy – rzekł Frodo. – Ale jeśli umiesz tylko złorzeczyć ludziom, od których doznałeś łaski, nie mów lepiej nic.

– Mój pan dobry – zaskrzeczał Gollum. – Sméagol żartował. Zawsze przebacza, nie chowa urazy, tak, nawet do dobrego pana, który go zawiódł. Tak, pan dobry, Sméagol też dobry.

Ani Frodo, ani Sam nic na to nie odpowiedzieli. Zarzucili tobołki na plecy, ścisnęli kije w garści i ruszyli naprzód przez las Ithilien. Dwakroć w ciągu tego dnia odpoczywali, posilając się odrobiną prowiantu, który do ich worków kazał zapakować Faramir. Byli zaopatrzeni w suszone owoce i solone mięso na czas dłuższy, chleba zaś dostali tyle, ile mogli zjeść przez pierwsze dni, póki nie stracił świeżości. Gollum nie tknął jadła.

Słońce podniosło się na niebie i przesunęło nad stropem lasu niewidzialne, potem zaczęło się chylić, złocąc pnie drzew od zachodniej strony, a wędrowcy wciąż szli w chłodnym zielonym cieniu, w niezmąconej ciszy. Nawet ptaków nie było słychać, jakby wszystkie stąd odleciały albo oniemiały.

Zmrok wcześnie ogarnął milczące lasy; wędrowcy zatrzymali się jeszcze przed zapadnięciem nocy, bardzo zmęczeni, bo przebyli co najmniej siedem staj od wyjścia z pieczary. Frodo przespał noc na miękkiej ziemi pod starym drzewem. Sam leżał obok niego, lecz nie zaznał spokoju, budził się, co chwila rozglądał i nasłuchiwał. Gollum zniknął chyłkiem, gdy hobbici rozłożyli się na spoczynek. Nie przyznał się, czy zasnął w jakiejś pobliskiej norze, czy też błąkał się, polując wśród ciemności po lesie, w każdym razie o pierwszym brzasku wrócił i obudził hobbitów.

– Trzeba wstawać, tak, trzeba wstawać! – mówił. – Mamy jeszcze daleką drogę, na południe i na wschód. Hobbity muszą się spieszyć!

Dzień przeminął niemal tak samo jak poprzedni, z tą jedynie różnicą, że cisza zdawała się wokół jeszcze głębsza, a powietrze bardziej parne i w lesie zrobiło się duszno. Zbierało się jakby na burzę. Gollum często przystawał, węsząc, mruczał coś pod nosem i przynaglał do pośpiechu.

Na trzecim etapie dziennego marszu, pod wieczór, weszli w rzadszy las, gdzie drzewa rosły większe, lecz rozproszone. Ogromne dęby skalne o potężnych pniach stały, cieniste i godne, pośród szerokich polanek, tu i ówdzie przemieszane z sędziwymi jesionami i olbrzymimi dębami, na których właśnie rozkwitały brunatnozielone pąki. U ich stóp w jasnej, młodej trawie bielały kwiaty jaskółczego ziela i anemonów, o tej porze zamykające już kielichy do snu. Na mile w krąg zieleniły się liście leśnych hiacyntów, smukłe łodyżki kwiatów już przebijały się przez pulchną glebę. Nie było widać nigdzie żywej duszy, zwierzyny ani ptactwa, mimo to Golluma na otwartej przestrzeni zdjął strach i wędrowcy posuwali się bardzo ostrożnie, chyłkiem przebiegając od drzewa do drzewa.

Dzień już dogasał, kiedy dotarli na skraj lasu. Usiedli pod starym, sękatym dębem, który wyciągał pokrętne niby węże korzenie w dół po stromej, osypującej się skarpie. Mieli przed sobą głęboką, mroczną dolinę. Na jej przeciwległym brzegu las znowu stał gęsty, szarobłękitny w posępnym wieczornym zmierzchu i ciągnął się aż po widnokrąg na południe. Po prawej stronie, na zachodzie, majaczyły odległe góry Gondoru, rozjarzone odblaskiem łuny zalewającej niebo. Z lewej strony panowała już noc i piętrzyła się czarna ściana Mordoru. Z ciemności wyłaniała się długa dolina i opadała stromo rozszerzającym się stopniowo korytem ku Anduinie. Dnem jej płynął bystry potok. Frodo słyszał jego

kamienny głos, wyraźny w wieczornej ciszy. Wzdłuż potoku, na drugim jego brzegu wiła się krętą bladą wstążką droga, ginąc w zimnej szarej mgle, której nie przenikały promienie zachodzącego słońca. Hobbitowi zdawało się, że rozróżnia w oddali wyrastające jakby z morza cieni omglone szczyty i poszczerbione wieżyczki prastarych twierdz, ciemnych i opustoszałych. Odwrócił się do Golluma.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał.

– Tak, panie. W niebezpiecznym miejscu. To droga z Wieży Księżycowej do zburzonego grodu nad Rzeką; zburzony gród, tak, tak, złe miejsce, pełne nieprzyjaciół. Niedobrze zrobiliśmy, słuchając rady tamtego człowieka. Hobbity oddaliły się bardzo od ścieżki. Teraz muszą iść stąd na wschód i pod górę. – Zamachał chudymi ramionami w stronę majaczącego w zmierzchu łańcucha górskiego. – Nie można iść tą drogą. Nie. Tą drogą spod Wieży chodzą okrutni nieprzyjaciele.

Frodo spojrzał z góry na drogę. W tej chwili w każdym razie nie było na niej nikogo. Zdawała się bezludna, opuszczona, a zbiegała w dół ku pustce ruin ukrytych we mgle. Lecz coś złego czaiło się nad nią w powietrzu, jakby rzeczywiście snuły się tam jakieś niedostrzegalne dla oczu istoty. Froda dreszcz przebiegł, gdy spojrzał znowu na ledwie już widoczne w ciemności odległe wieże, a plusk wody wydał mu się zimny i okrutny; był to głos Morgulduiny, zatrutego potoku spływającego z Doliny Upiorów.

– Co teraz zrobimy? – spytał. – Przeszliśmy dziś wiele mil. Może cofniemy się w las i poszukamy jakiegoś zakątka, żeby odpocząć w ukryciu?

– W nocy kryć się nie trzeba – odparł Gollum. – To w dzień hobbity muszą się odtąd chować, tak, w dzień.

– Dajże spokój! – powiedział Sam. – Musimy trochę odpocząć, choćbyśmy nawet mieli ruszyć znów po północy. Będziemy wtedy mieli jeszcze wiele godzin do świtu, zdążymy przejść porządny kawał drogi, oczywiście jeżeli znasz drogę.

Gollum zgodził się niechętnie na popas i zawrócił pomiędzy drzewa, kierując się na wschód skrajem lasu. Nie pozwolił hobbitom rozłożyć się do snu na ziemi w tak bliskim sąsiedztwie drogi, więc po krótkiej naradzie postanowili wspiąć się wszyscy trzej na pień ogromnego dębu i usadowić w rozwidleniu konarów; grube rozłożyste gałęzie osłaniały ich dobrze, a

kryjówka stanowiła zarazem dość wygodne schronienie. Gdy noc zapadła, pod koroną drzewa ciemność była nieprzenikniona. Frodo i Sam napili się wody i przegryźli chlebem oraz suszonymi owocami, lecz Gollum od razu zwinął się w kłębek i usnął. Hobbici nie zmrużyli tej nocy oka.

Jakoś wkrótce po północy Gollum się zbudził; nagle błysnął ku nim bladymi otwartymi ślepiami. Chwilę nasłuchiwał i węszył, tym bowiem sposobem, jak już zauważyli od dawna, rozpoznawał zwykle porę dnia.

– Czy odpoczęliśmy? Czy wyspaliśmy się dobrze? – spytał. – Idziemy!

– Nie odpoczęliśmy i nie spaliśmy – odburknął Sam. – Ale pójdziemy, skoro trzeba.

Gollum skoczył zwinnie z gałęzi, spadając na cztery łapy, hobbici nieco wolniej zsunęli się po pniu.

Ledwie stanęli na ziemi, ruszyli w drogę za przewodem Golluma, kierując się w ciemnościach opadającym w dół zboczem ku wschodowi. Niewiele widzieli, noc bowiem była tak głęboka, że nieraz dopiero w ostatniej chwili dostrzegali pień drzewa, nim się na niego natknęli. Teren był nierówny, marsz utrudniony, lecz Gollum szedł pewnie. Prowadził hobbitów przez gąszcze i kolczaste zarośla, czasem skrajem głębokiej rozpadliny albo czarnej jamy, czasem osuwając się w głąb ciemnego, zarosłego krzakami jaru, by potem wspinać się na jego drugi brzeg. Schodzili niekiedy w dół, lecz każdy następny stok górował nad poprzednim i był od niego bardziej stromy. Toteż wznosili się coraz wyżej. Na pierwszym postoju, gdy obejrzeli się za siebie, ledwie dostrzegli strop lasu, z którego wyszli, rozpostarty niby gęsty, ogromny cień, plama nocy ciemniejącej pod mrocznym, posępnym niebem. Od wschodu pełzła z wolna jak gdyby ogromna czarna chmura, pochłaniając nikłe, przyćmione gwiazdy. Księżyc, chyląc się ku zachodowi, umknął przed jej pościgiem, lecz spowijała go w krąg obwódka zgniłożółtej mgły. W końcu Gollum odwrócił się do hobbitów.

– Dzień już blisko – rzekł. – Hobbity muszą się spieszyć. Nie jest bezpiecznie stać tak na otwartym miejscu w tej okolicy. Prędzej!

Przyspieszył kroku, oni zaś mimo znużenia podążali za nim. Wkrótce zaczęli wspinać się na ogromny grzbiet pagórka, porośniętego gąszczem kolczoliści, borówek i niskiej, szorstkiej tarniny, gdzieniegdzie tylko otwierały się w zieleni łyse polany, wypalone świeżo ogniem. Im bliżej

szczytu, tym więcej było kolczastych krzewów, bardzo starych i wysokich, od dołu nagich i wątłych, lecz w górze rozrośniętych bujnie i już rozkwitających żółtymi pączkami, które jaśniały wśród ciemności i rozsiewały delikatną słodką woń. Pierwsze gałęzie wyrastały z pni tak wysoko, że hobbici mogli iść przez te zarośla wyprostowani, jak przez długie galerie wysłane suchym, grubym, szorstkim chodnikiem.

Gdy dotarli do końca szerokiego grzbietu, zatrzymali się i szukając kryjówki, wpełzli pod zbity wał tarniny. Jej powykręcane gałęzie zwisały aż do ziemi, a z ziemi pięły się na nie splątaną masą dzikie głogi. Głęboko w tym gąszczu otwierała się pusta przestrzeń jak gdyby altana podparta suchymi gałęziami i nakryta stropem młodych liści oraz wiosennych pędów. Tu wędrowcy leżeli długą chwilę, zbyt zmęczeni, żeby myśleć o jedzeniu, i przez otwierające się w ścianach schronu szpary patrzyli, jak z wolna świta nowy dzień.

Lecz dzień nie zaświtał jasny, po niebie rozlał się tylko bury, posępny półmrok. Na wschodzie ciemnoczerwona łuna świeciła pod niskim pułapem chmur; nie była to zorza poranna. Oddzielone od nich szeroką, stromą doliną piętrzyły się góry Efel Dúath, czarne i bezkształtne u podnóży, osłoniętych nieprzemijającą nocą, ostre, poszarpane i zjeżone groźnie u szczytów, widocznych na tle krwawego blasku. Dalej na prawo czerniało pośród mroku ogromne ramię górskie, wysunięte ku wschodowi.

– Którędy stąd pójdziemy? – spytał Frodo. – Czy tam, za tym czarnym masywem, otwiera się zejście do Doliny Morgul?

– Po co teraz o tym myśleć? – odparł Sam. – Z pewnością nie ruszymy się z miejsca przed końcem dnia, jeżeli w ogóle można to dniem nazwać.

– Może, może – powiedział Gollum. – Ale musimy spieszyć się do Rozstaja Dróg. Tak, tak, do Rozstaja. Tamtędy pójdziemy, tak, tamtędy mój pan pójdzie.

Czerwona łuna przygasła nad Mordorem. Półmrok zgęstniał, gdy ze wschodu podniosły się opary i zasnuły całą okolicę. Frodo i Sam zjedli coś niecoś i ułożyli się do snu, lecz Gollum kręcił się niespokojnie. Nie chciał tknąć jadła, przyjął od nich tylko łyk wody, a potem czołgał się wśród krzaków, węsząc i pomrukując. W pewnej chwili zniknął nagle.

– Poszedł pewnie na polowanie – rzekł Sam, ziewając. Wedle umowy on teraz miał się przespać, wkrótce też zapadł w głęboki sen. Śniło mu się, że

jest w Bag End i szuka czegoś w ogrodzie, ale ma na plecach ciężki wór, który go przygniata do ziemi. Ogród był zachwaszczony i zarośnięty, ciernie i paprocie wtargnęły na grządki pod żywopłotem u stóp pagórka.

– Tyle roboty, a ja taki zmęczony – mówił sobie. Naraz przypomniało mu się, czego szuka. – Gdzie moja fajka? – powiedział i obudził się w tym momencie.

– Ośle! – rzekł sam do siebie, otwierając oczy i dziwiąc się, dlaczego leży w krzakach. – Masz ją przecież w tobołku!

Wtedy dopiero uprzytomnił sobie, po pierwsze, że wprawdzie fajka jest w tobołku, ale ziela do niej nie ma, a po drugie, że setki mil dzielą go od ogrodu w Bag End. Usiadł. Było niemal ciemno. Dlaczego Frodo pozwolił mu spać dużej, niż wypadało z umowy, aż do wieczora?

– Pan wcale się nie przespał, panie Frodo? – spytał. – Która to godzina? Musi być już bardzo późno?

– Nie, ale dzień zamiast się rozjaśniać, ciemnieje coraz bardziej – odparł Frodo. – Jeśli się nie mylę, nie ma jeszcze południa, a ty spałeś zaledwie trzy godziny.

– Nie rozumiem, co się święci – rzekł Sam. – Może zbiera się na burzę. W takim razie będzie to burza nie na żarty. Lepiej by nam było w jakiejś głębokiej norce niż w tych krzakach. – Nasłuchiwał chwilę. – Co to jest? Grzmot, warkot bębnów czy jeszcze coś innego?

– Nie wiem – powiedział Frodo. – Słyszę to już od dawna. Czasem mam wrażenie, że ziemia drży, czasem, że to parne powietrze tak dudni w uszach.

Sam rozejrzał się wkoło.

– Gdzie Gollum? – spytał. – Czy jeszcze nie wrócił?

– Nie – odparł Frodo. – Nie pokazał się i nie odezwał dotychczas.

– Prawdę mówiąc, nie tęsknię do niego – rzekł Sam. – Nigdy chyba nie miałem z sobą w podróży nic takiego, co bym porzucił z mniejszym żalem na drodze. Ale to właśnie do niego podobne, żeby po przejściu tylu mil zniknąć teraz, kiedy najbardziej jest potrzebny… oczywiście, jeżeli można w ogóle spodziewać się jakiegoś pożytku z tej pokraki, o czym śmiem wątpić.

– Zapominasz, jak było na Bagnach! – rzekł Frodo. – Mam nadzieję, że nie spotkało go nic złego.

– A ja mam nadzieję, że nie spłata nam psiego figla – powiedział Sam. – Bądź co bądź nie chciałbym, żeby wpadł tamtym w łapy. Bo wtedy z nami byłoby krucho.

Nagle odgłos grzmotów czy bębnów rozległ się głośniejszy i głębszy. Zdawało się, że ziemia drży pod hobbitami.

– Już jest z nami krucho – powiedział Frodo. – Obawiam się, że zbliża się kres naszej wędrówki.

– Może – odparł Sam – ale póki życia, póty nadziei, jak mawiał mój Dziadunio, a często dodawał: i póty jeść trzeba. Niech pan coś przegryzie, panie Frodo, a potem się prześpi.

Popołudnie, o ile Sam dobrze orientował się w czasie, dobiegało końca. Wyglądając z gąszczu, widział tylko posępny krajobraz bez świateł i cieni, z wolna zanurzający się w bezkształtnym i beznadziejnym zmierzchu. Było duszno, ale nie gorąco. Frodo spał niespokojnie, przewracając się i szamocząc we śnie, czasem coś szepcząc z cicha. Dwa razy Sam miał wrażenie, że słyszy w tym szepcie imię Gandalfa. Czas wlókł się nieznośnie. Nagle Sam usłyszał syk i gdy się obejrzał, zobaczył Golluma, który na czworakach wpatrywał się w hobbitów świecącymi oczyma.

– Wstawać! Wstawać, śpiochy! – szepnął. – Wstawać. Nie ma czasu do stracenia. Musimy iść zaraz. Nie ma czasu do stracenia.

Sam popatrzył na niego nieufnie. Gollum zdawał się wystraszony, czy może podniecony.

– Iść? Zaraz? Coś ty wykombinował? Jeszcze nie pora. Nikt nawet jeszcze nie je podwieczorku, oczywiście w przyzwoitych krajach, gdzie się w ogóle jada podwieczorki.

– Głupi hobbit! – syknął Gollum. – Nie jesteśmy w przyzwoitym kraju. Czas ucieka, tak, ucieka szybko. Nie ma chwili do stracenia. Trzeba ruszać. Niech mój pan zbudzi się wreszcie!

Szarpnął Froda, aż hobbit poderwał się z ziemi, usiadł i chwycił go za ramię. Gollum wyrwał mu się i odskoczył.

– Nie bądźcie głupi – syczał. – Trzeba iść. Nie ma czasu do stracenia.

Nic więcej nie mogli się od niego dowiedzieć. Nie chciał powiedzieć, gdzie chadzał ani też co go skłania do pośpiechu. Sam był pełen podejrzeń i okazywał je niedwuznacznie, lecz Frodo niczym nie zdradził swoich myśli. Westchnął, zarzucił tobołek na plecy i gotów był wyruszyć wśród gęstniejącego mroku.

Gollum, prowadząc ich po zboczu w dół, zachowywał szczególną ostrożność, starał się trzymać osłony krzewów, a przez otwarte przestrzenie biegł zgięty niemal przy ziemi. Wieczór co prawda tak był ciemny, że najbystrzejsze nawet oko nie dostrzegłoby hobbitów otulonych w kaptury i szare płaszcze, najczujniejszy zwierz nie usłyszałby ich cichych kroków. Ani gałązka nie trzasnęła, ani liść nie zaszeleścił, gdy przemykali się lekko i szybko.

Szli tak godzinę, wciąż w milczeniu, gęsiego, przygnębieni mrokiem i głuchą ciszą, którą zakłócał tylko od czasu do czasu daleki grzmot, czy może warkot bębnów dochodzący spomiędzy gór. Zeszli już znacznie poniżej kryjówki w tarninie i skręcili na południe, starając się trzymać prosto wytkniętego kierunku, o ile na to pozwalał długi, wyboisty stok wznoszący się ku ścianie gór. W niewielkim oddaleniu przed nimi czarnym murem rysował się pas drzew. Podchodząc bliżej, stwierdzili, że drzewa są olbrzymie, bardzo stare i wystrzelają wysoko, chociaż czuby mają połamane i ogołocone, jak gdyby burza z piorunami przeszła nad nimi, lecz nie zdołała ich zabić ani wstrząsnąć korzeniami sięgającymi głęboko w ziemię.

– Rozstaj, tak – szepnął Gollum. Było to pierwsze słowo, które wymówił, odkąd wychynęli z gęstwy cierni. – Tą drogą trzeba iść.

Skręcił teraz na wschód i prowadził pod górę. Nagle ukazała się Południowa Droga, okrążająca podnóża gór i niknąca w wielkim pierścieniu drzew.

– To jedyna droga – szepnął Gollum. – Nie ma ścieżki, tylko ta droga. Nie ma ścieżki. Trzeba iść do Rozstaja. Prędko! Cicho!

Skradając się, jak zwiadowcy do obozu nieprzyjaciela, zsunęli się ku drodze i pomknęli jej zachodnim brzegiem pod kamienną skarpą, szare sylwetki wśród szarych głazów, stąpające bezszelestnie niby koty na łowach. Wreszcie dotarli do drzew otaczających wielki, otwarty krąg pod ciemnym niebem; przestrzeń pomiędzy potężnymi pniami tworzyła jakby

olbrzymie sklepienie zburzonej pałacowej sali. Pośrodku krzyżowały się cztery drogi. Wędrowcy mieli za sobą drogę z Morannonu, która stąd wybiegała naprzód daleko na południe; z prawej strony wspinała się droga ze starego grodu Osgiliath i przecinając skrzyżowanie, wiodła ku wschodowi, w ciemność. Tą właśnie drogą mieli pójść.

Frodo długą chwilę stał u Rozstaja, przejęty grozą, gdy nagle spostrzegł światło. Jego odblask padał na twarz Sama. Szukając źródła światła, Frodo poprzez okno sklepione z konarów zwrócił wzrok na drogę do Osgiliath, która niby napięta taśma opadała w dół ku zachodowi. Na dalekim widnokręgu, poza smutną ziemią Gondoru, otuloną w mrok, zachodzące słońce trafiło wreszcie na skrawek nieba niezasłonięty przez ogromny skłębiony całun chmur i świecąc złowieszczą pożogą, zniżało się ku nieskalanemu jeszcze Morzu. Blask oświetlił na chwilę ogromny posąg przedstawiający siedzącego mężczyznę, dostojnego i spokojnego jak kamienni królowie z Argonath. Ząb czasu skruszył ten pomnik i okaleczyły go brutalne ręce. Zamiast głowy ktoś na drwinę umieścił okrągły, grubo ciosany głaz i namalował na nim niezdarnie twarz wyszczerzoną w szyderczym uśmiechu, z jednym jedynym wielkim czerwonym okiem pośrodku czoła. Nagryzmolone i wydrapane napisy, bezmyślne zygzaki i wstrętne godła, rozpowszechnione wśród dalekich ludów Mordoru, pokrywały kolana, wspaniały tron i cokół posągu.

Nagle ostatnie poziome promienie słońca wskazały Frodowi odrąbaną głowę kamiennego króla. Poniewierała się opodal drogi na ziemi.

– Spójrz, Samie! – krzyknął Frodo, zdumiony. – Spójrz! Król odzyskał koronę!

Oczodoły ziały pustką, rzeźbione kędziory brody były spękane, lecz wysokie surowe czoło otaczała srebrna i złota korona. Pnącze o drobnych, białych, podobnych do gwiazd kwiatach oplotły skronie, jak gdyby składając hołd obalonemu władcy, a wśród kamiennych pukli włosów kwitły żółte rozchodniki.

– Nie został pokonany na zawsze! – rzekł Frodo.

W tym momencie ostatni promień zgasł. Słońce zanurzyło się w morzu i znikło; jakby ktoś zdmuchnął lampę nad światem, od razu zapadła czarna noc.

ROZDZIAŁ 8
SCHODY CIRITH UNGOL

Gollum ciągnął Froda za połę płaszcza, sycząc ze strachu i niecierpliwości.

– Trzeba iść – mówił. – Nie można tutaj stać. Prędzej!

Frodo niechętnie odwrócił się od zachodu i poszedł za przewodnikiem w ciemność, na wschód. Wyszli z kręgu drzew i posuwali się wzdłuż drogi prowadzącej ku górom. Droga z początku biegła prosto, potem jednak wygięła się nieco na południe i wkrótce przywiodła wędrowców tuż pod ogromne skaliste ramię gór, które od dawna widzieli z daleka. Czarny, niedostępny grzbiet piętrzył się teraz nad ich głowami masą zgęszczonego mroku na tle mrocznego nieba. Droga ciągnęła się w jego cieniu i okrążając go, skręcała znów wprost na wschód, ostro pod górę.

Frodo i Sam szli z wysiłkiem, serca ciążyły im tak, że nie mogli już nawet myśleć o grożących niebezpieczeństwach. Frodo miał głowę spuszczoną; brzemię, które niósł, znów ciągnęło go ku ziemi. Póki przebywali w Ithilien, nie czuł prawie ciężaru Pierścienia, odkąd jednak minęli Rozstaj, Pierścień zdawał się z każdą chwilą przybierać na wadze. Wyczuwając pod stopami coraz ostrzejszą stromiznę, hobbit dźwignął zmęczoną głowę, by spojrzeć na czekającą go ścieżkę. Wówczas – tak jak mu to Gollum przepowiedział – ujrzał nagle gród Upiorów Pierścienia. Skulił się, przywierając do kamiennej skarpy.

Długa, stromo wznosząca się dolina wspinała się głębokim, ciemnym wąwozem w góry. U jej dalekiego końca, między dwoma ramionami, wysoko na czarnym skalistym cokole pod szczytami Gór Cienia, wznosiły się mury i wieża Minas Morgul. Niebo i ziemia dokoła tonęły w ciemności, lecz z wieży biło światło. Nie była to poświata miesięczna, uwięziona wśród marmurowych ścian dawnej Minas Ithil, Wieży Księżyca, piękna i radosna, rozjaśniająca ongi ten zakątek gór. To światło zdawało się bledsze niż księżyc zamierający podczas powolnego zaćmienia, rozchwiane i mętne jak opar nad zgniłym bagnem; trupie światło, które nie oświetlało niczego. W murach i w wieży mnóstwo okien otwierało się niezliczonymi czarnymi dziurami, za którymi ziała pustka. Lecz sam szczyt wieży obracał się to w

jedną, to w drugą stronę niby ogromna upiorna głowa wypatrująca czegoś wśród nocy.

Przez chwilę trzej wędrowcy stali w osłupieniu; wieża przykuwała ich oczy. Pierwszy ocknął się Gollum. Znów szarpnął hobbitów za płaszcze, tym razem jednak bez słowa. Nieomal pociągnął ich przemocą z miejsca. Nogi odmawiały posłuszeństwa, czas jak gdyby zwolnił biegu, zdawało się, że między oderwaniem stopy a postawieniem jej znów na ziemi potrzeba kilku minut, by zwalczyć opór.

Z wolna dowlekli się do białego mostu. Tu droga połyskująca nikłym światłem przeprawiała się przez potok płynący środkiem doliny i biegła dalej zakosami pod górę ku bramie grodu, otwierającej się czarną czeluścią w zewnętrznym pierścieniu murów od północy. Z obu stron potoku szerokim pasem ciągnęły się cieniste łąki, usiane białawymi kwiatami. Kwiaty te również lśniły światłem i były piękne, lecz zarazem straszne, jak bywają przedmioty obłędnie zniekształcone w koszmarnym śnie. Unosiła się nad nimi mdła, trupia woń, wszystko wkoło cuchnęło rozkładem. Most spinał dwie łąki. U jego przyczółków stały posągi zmyślnie wyrzeźbione w kształt ludzi lub zwierząt, lecz okaleczone i szkaradne. Woda płynęła cicho i parowała, para wszakże kłębiąca się i snująca nad mostem była lodowato zimna. Frodowi kręciło się w głowie, czuł, że traci przytomność. Nagle, jakby pchnięty jakąś siłą niezależną od jego woli, poderwał się i zaczął biec przed siebie, z wyciągniętymi w ciemność rękoma; głowa chwiała mu się bezwładnie na karku. Sam i Gollum dogonili go. Wierny sługa chwycił pana w ramiona, gdy ten potknął się i omal nie upadł na progu mostu.

– Nie tędy! Nie tędy! – zasyczał przewodnik, lecz oddech dobywający się spomiędzy jego zębów rozdarł ciszę tak przenikliwym poświstem, że wystraszony Gollum przypadł do ziemi.

– Niech się pan wstrzyma, panie Frodo! – szepnął Sam na ucho swemu panu. – Niech pan wraca! Nie tędy droga! Gollum tak mówi, a ja wyjątkowo tym razem zgadzam się z nim.

Frodo przetarł ręką czoło i oderwał wzrok od wzniesionego na skale grodu. Świetlisty szczyt wieży urzekał go i hobbit musiał z wszystkich sił walczyć z szalonym pragnieniem, które ciągnęło go na lśniącą drogę ku bramie. Wreszcie przezwyciężył się, zawrócił, chociaż w tym momencie Pierścień zaciążył mu straszliwie i stawiając opór, zacisnął łańcuch na jego

szyi. Oczy też, gdy je odwrócił od wieży, zabolały go i jak gdyby na chwilę oślepły. Miał przed sobą nieprzeniknioną noc.

Gollum, czołgając się po ziemi niby przerażone zwierzę, już znikał w ciemnościach. Sam, podtrzymując i prowadząc chwiejącego się Froda, podążał za przewodnikiem jak mógł najspieszniej. Niedaleko od brzegu strumienia w kamiennym murze nad drogą otwierała się szczelina. Przedostali się przez nią na wąską ścieżkę, która na początku lśniła nikle, tak jak główna droga, dalej jednak, gdy wspięła się ponad łąkę trupich kwiatów, przygasła i ściemniała, wijąc się w skrętach pod górę na północne zbocze doliny.

Tą ścieżką wlekli się dwaj hobbici ramię przy ramieniu, lecz Golluma, który szedł przodem, nie widzieli przed sobą; tylko od czasu do czasu, gdy odwracał się, żeby ich przywołać, dostrzegali jego oczy świecące jasnozielonymi płomykami – może odbiciem strasznego blasku Morgulu, a może jakimś wewnętrznym wzbudzonym przez ten blask ogniem. Frodo i Sam wciąż czuli obecność tego trupiego blasku i spojrzenie czarnych oczodołów, toteż raz po raz z lękiem oglądali się za siebie, ustawicznie wytężali wzrok, wypatrując przed sobą ścieżki w ciemności. Z wolna brnęli naprzód. Kiedy wspięli się wyżej, ponad cuchnący opar zatrutego strumienia, odetchnęli lżej i rozjaśniło im się trochę w głowach; byli jednak zmęczeni tak okrutnie, jakby przez noc całą maszerowali z wielkim ciężarem na plecach lub płynęli przeciw potężnemu nurtowi rzeki. Wreszcie musieli zatrzymać się na odpoczynek. Frodo przysiadł na jakimś kamieniu. Znajdowali się na szczycie wysokiego garbu nagiej skały. Przed nimi w zboczu doliny otwierała się jakby wklęsła zatoka i jej brzegiem biegła ścieżka, tworząc wąziutką półkę nad ściętym z prawej strony urwiskiem; ścieżka pięła się dalej stromo po zwróconej ku południowi litej ścianie góry i znikała gdzieś wysoko w gęstych ciemnościach.

– Muszę chwilkę odpocząć, Samie – szepnął Frodo. – Nie umiem ci powiedzieć, chłopcze kochany, jak strasznie ciąży mi moje brzemię. Zaczynam wątpić, czy długo jeszcze zdołam je nieść. W każdym razie muszę odpocząć, zanim spróbuję iść dalej, tam! – I wskazał wąską stromą ścieżkę pod górę.

– Tss! Tss! – syknął Gollum, wracając spiesznie do hobbitów. Palec trzymał na ustach, trząsł głową, przynaglając bez słów do pośpiechu;

chwytał Froda za rękaw i wskazywał drogę, lecz hobbit nie ruszył się z miejsca.

– Za chwilę! – mówił. – Za chwilę! – Przytłaczało go zmęczenie i nie tylko zmęczenie: jakby urok obezwładnił jego ciało i ducha. – Muszę odpocząć – mruczał.

Golluma jednak, kiedy usłyszał tę odpowiedź, ogarnął taki strach, że w podnieceniu zagadał, sycząc i przesłaniając usta ręką, jakby chciał zataić słowa przed niewidzialnymi, rozproszonymi wokół słuchaczami.

– Nie tu! Nie wolno odpoczywać tutaj! Głupcy! Tu widzą nas Oczy. Przyjdą na most i zobaczą nas! Chodźcie stąd! Pod górę, pod górę! Prędko!

– Niech pan wstanie, panie Frodo – rzekł Sam. – Ta pokraka znowu ma rację. Nie można tu marudzić.

– Dobrze – odparł Frodo głosem półprzytomnym, jakby przez sen. – Spróbuję.

I z wysiłkiem dźwignął się z kamienia.

Lecz było już za późno. W tym samym bowiem momencie skała zakołysała się i zadrżała pod ich stopami. Potężny grzmiący huk, głośniejszy niż wszystkie poprzednie, przetoczył się w głębi ziemi i rozbił echem wśród gór. Wielka czerwona błyskawica rozjarzyła się znienacka. Strzeliła na niebo daleko spoza wschodniej ściany gór i rozbryznęła szkarłatną łunę po niskim pułapie chmur. W tej dolinie cieni i zimnego trupiego światła czerwień błyskawicy zdawała się nie do zniesienia jaskrawa i okrutna. Na płomiennym tle czarne kamienne szczyty rysowały się niby zębate noże wbite w krwawiące niebo nad równiną Gorgoroth. Potem z ogłuszającym trzaskiem spadł piorun.

Twierdza Minas Morgul odpowiedziała. Z wieży i otaczających ją szczytów strzeliły ku posępnym chmurom sine błyskawice i rozdwojone języki błękitnych płomieni. Ziemia jęknęła, zza murów grodu rozległ się krzyk. Zmieszany z ostrym, wysokim wizgiem drapieżnych ptaków, z przenikliwym rżeniem koni, oszalałych z gniewu i strachu, krzyk ten rozdzierał uszy, potężniał z każdą chwilą i wznosił się ku przeraźliwej najwyższej nucie, już niedostępnej słuchowi śmiertelników. Hobbici padli na ziemię, zatykając rękami uszy.

Straszliwy krzyk, opadając przeciągłym skowytem, umilkł wreszcie; Frodo podniósł z wolna głowę. Po drugiej stronie wąskiej doliny, niemal na wysokości oczu hobbita, wznosiły się mury złowrogiego grodu, a czeluść bramy, na kształt paszczy rozdziawionej i zjeżonej zębami, stała teraz otworem. Z bramy ciągnęły zastępy wojska. Wszyscy żołnierze ubrani na czarno, mroczni jak noc. Na tle szarawych murów i świecącego bruku gościńca Frodo widział drobne czarne sylwetki maszerujące w szeregach krokiem cichym i spiesznym, wypływające z bram twierdzy niekończącym się strumieniem. Piechotę poprzedzał liczny oddział konnych, sunący niby chmara widm w szyku bojowym, a na czele jechał jeździec od wszystkich roślejszy, cały w czerni, tylko na okrytej kapturem głowie połyskiwał złowrogim blaskiem hełm na kształt korony. Zbliżał się już do mostu w dole; Frodo śledził go szeroko otwartymi oczyma, niezdolny przymknąć powiek ani odwrócić spojrzenia. Czyż nie był to wódz Dziewięciu Jeźdźców, który powrócił na ziemię, żeby poprowadzić upiorne wojsko do bitwy? Tak, Frodo nie mógł wątpić. Widział znów tego samego widmowego króla, którego lodowata ręka ugodziła Powiernika Pierścienia morderczym nożem. Ból odżył w starej ranie, zimny dreszcz dosięgnął serca Froda.

W momencie gdy myśli te przemykały przez głowę hobbita i przeszywały go zgrozą, jeździec tuż przed mostem zatrzymał się nagle, a całe wojsko znieruchomiało za jego plecami. Zaległa śmiertelna cisza. Może Wódz Upiorów dosłyszał zew Pierścienia i zawahał się na chwilę, wyczuwając obecność drugiej, obcej potęgi w dolinie. Ciemna głowa w hełmie i koronie grozy obróciła się w prawo, potem w lewo, niewidzące oczy przeszukały ciemności dokoła. Frodo nie mógł się poruszyć, czekał jak ptak, do którego zbliża się żmija. Nigdy jeszcze tak silnie jak w tej chwili nie czuł pokusy wsunięcia Pierścienia na palec. Lecz mimo natarczywości pokusy nie był skłonny jej ulec. Wiedział, że Pierścień z pewnością oszukałby go tylko, a nawet gdyby go włożył, nie miał dość mocy, by zmierzyć się z królem Morgulu, jeszcze nie! Jednak mimo porażenia strachem wola jego nie odpowiadała już teraz na rozkaz, który hobbit odczuwał jedynie jako atak potężnej siły z zewnątrz. Ta obca siła zawładnęła jego ręką; nie przyzwalając, lecz w napięciu oczekując, co się stanie, tak jakby patrzył na coś rozgrywającego się gdzieś bardzo daleko i bardzo dawno temu, Frodo śledził ruch własnej dłoni zbliżającej się z wolna do zawieszonego na szyi łańcuszka. Lecz w tym momencie ocknęła się w nim wola; przemocą, wbrew oporowi, cofnął rękę, skierował ją ku

innemu celowi, ku drobnemu przedmiotowi, który miał na piersi. Przedmiot ów wydał mu się twardy i zimny, kiedy wreszcie zacisnął na nim palce: był to dar Galadrieli, flakonik, od tak dawna pieczołowicie przechowywany i niemal zapomniany aż do tej chwili. Kiedy go dotknął, wszystkie myśli o Pierścieniu rozpierzchły się, hobbit odetchnął i schylił głowę.

W tym samym okamgnieniu Król Upiorów odwrócił się, spiął wierzchowca ostrogą i ruszył na most, a cała czarna armia za nim. Może kaptur elfów ochronił Froda przed jego wzrokiem, może pokrzepiona wola małego przeciwnika odparła atak wrogiej woli. Jeździec spieszył się, godzina już wybiła, potężny Władca rozkazał wojenny pochód na zachód.

Wkrótce zniknął niby cień, rozpływając się wśród cieni na krętej drodze, a czarne szeregi przeszły jego śladem przez most. Od czasów świetności Isildura nigdy jeszcze równie potężna armia nie przekroczyła progów tej doliny; nigdy jeszcze równie dzikie i równie groźne zbrojne zastępy nie dotarły nad brzegi Anduiny; a przecież była to tylko jedna z wielu armii, wcale nie największa z wszystkich, które Mordor pchał do walki.

Frodo drgnął. Nagle wspomniał Faramira i serce mu zabiło silniej. „A więc burza wreszcie wybuchła – pomyślał. – Ten las włóczni i mieczy ciągnie pod Osgiliath. Czy Faramir zdąży ujść za rzekę? Przewidywał wojnę, czy jednak przewidział ją co do godziny? Kto obroni przepraw przez Anduinę teraz, gdy Król Upiorów zbliża się nad jej brzegi? Za tymi pierwszymi pójdą dalsze pułki. Zapóźniłem się w drodze. Wszystko stracone. Zanadto marudziłem. Wszystko stracone. Nawet jeśli spełnię zadanie, nikt się już o tym nigdy nie dowie. Nie pozostanie nikt, komu bym mógł o swoim wyczynie opowiedzieć. Cały trud pójdzie na marne”.

Ogarnęła go słabość i zapłakał. A tymczasem zastępy Mordoru wciąż szły przez most. W tej jednak chwili z wielkiej dali, jakby z głębi wspomnień o kraju rodzinnym, o słonecznych porankach w Shire, gdy dzień wstawał i drzwi się otwierały, dobiegł do uszu Froda głos Sama:

– Niech się pan zbudzi, panie Frodo! Niech się pan zbudzi!

Frodo nawet by się nie zdziwił, gdyby Sam dodał: „Śniadanie na stole!”. Sam nalegał:

– Niech się pan zbudzi, panie Frodo! Tamci już przeszli – mówił.

Rozległ się głuchy szczęk. Bramy Minas Morgul zamknęły się znowu. Ostatni szereg zjeżonych włóczni zniknął na drodze. Wieża sterczała złowrogo nad doliną, lecz jej światła przygasały. Cały gród zanurzał się znowu w posępnym, ciężkim cieniu i w ciszy. Lecz mimo to zdawał się czuwać w napięciu.

– Niech się pan zbudzi, panie Frodo! Tamci przeszli, nam też pora w drogę. Ktoś tam jeszcze został w starym grodzie, ktoś, kto ma oczy albo inny sposób śledzenia okolicy. Im dłużej będziemy tkwili na jednym miejscu, tym prędzej nas wytropi. Chodźmy stąd, panie Frodo!

Frodo podniósł głowę, a potem wstał. Rozpacz nie opuściła go, lecz moment słabości przeminął. Zdobył się nawet na niewesoły uśmiech; przez chwilę przeświadczony był o czymś wręcz przeciwnym, teraz jednak nie mniej jasno rozumiał, że to, do czego się zobowiązał, musi spełnić, że musi do tego dążyć w miarę sił i że nie jest wcale ważne, czy Faramir, Aragorn, Elrond, Galadriela, Gandalf lub ktokolwiek inny na świecie pozna kiedykolwiek jego historię. Ścisnął laskę w jednej ręce, a flakonik w drugiej. Gdy zobaczył, że jasne światło przebija poprzez jego palce, ukrył flakonik pod kurtką, na sercu. Odwracając się od Wieży Morgul, która teraz ledwie szarą poświatą majaczyła nad ciemną doliną, hobbit gotów był wspinać się dalej.

Gollum w momencie gdy bramy Minas Morgul otwarto, poczołgał się skrajem półki skalnej wstecz i zniknął w mroku, zostawiając hobbitów samych. Teraz wychynął znów z ciemności, dzwoniąc zębami i wyłamując palce.

– Szaleńcy! Głupcy! – syczał. – Prędzej! Niech się hobbity nie łudzą, że niebezpieczeństwo minęło. Nie! Prędzej!

Nie odpowiedzieli mu nic, ale pospieszyli za jego przewodem stromą półką pod górę. Wspinaczka, nawet po tylu niebezpiecznych doświadczeniach, nie wydała im się łatwa, lecz na szczęście nie trwała długo. Wkrótce półka skalna doprowadziła ich na szeroki kolisty zakręt, za którym stok znów złagodniał, po czym niespodzianie znaleźli się przed wąską szczeliną w ścianie góry. Była to pierwsza część schodów, o których wspominał im Gollum. Panowały tu niemal zupełne ciemności, wzrok hobbitów nie przenikał ich dalej niż na odległość wyciągniętej ręki. Lecz ślepia Golluma lśniły blado o kilka stóp nad nimi, gdy przewodnik odwrócił się, szepcząc:

– Ostrożnie! Schody. Mnóstwo schodów. Trzeba bardzo uważać.

Rzeczywiście, ostrożność była konieczna. Z początku Frodo i Sam czuli się nieco pewniej, mając po obu stronach ściany skalne, schody jednak były strome jak drabina, a im wyżej się po nich wspinali, tym przykrzejsza stawała się świadomość ziejącej u ich stóp czarnej przepaści. Stopnie przy tym były wąskie, nieregularne, często zdradzieckie, starte na krawędziach i oślizłe, niekiedy spękane, niekiedy tak kruche, że trącone nogą rozsypywały się w gruz. Hobbici szli mozolnie naprzód, aż wreszcie musieli czepiać się rozpaczliwie palcami rąk stopni nad swymi głowami i podciągać z wysiłkiem obolałe, zesztywniałe w kolanach nogi. W miarę zaś jak schody wrzynały się głębiej w stok góry, skaliste ściany piętrzyły się po obu stronach coraz wyżej.

W końcu ogarnęło ich takie znużenie, że nie czuli się już zdolni iść dalej, lecz w tej chwili właśnie Gollum znów odwrócił się i błysnął ku nim ślepiami.

– Koniec! – szepnął. – Pierwsze schody już za nami. Dzielne hobbity zaszły bardzo wysoko. Jeszcze parę kroków, i koniec!

Słaniając się z wyczerpania, Sam i Frodo przeczołgali się przez ostatnie stopnie i usiedli, rozcierając kolana i łydki. Gollum wszakże nie pozwolił im odpoczywać długo.

– Przed nami następne schody – powiedział. – Jeszcze dłuższe. Odpoczniecie, kiedy je przejdziemy. Nie teraz!

Sam jęknął.

– Jeszcze dłuższe, powiadasz? – spytał.

– Tak, tak, jeszcze dłuższe – odparł Gollum. – Ale nie takie trudne. Hobbity już przeszły Proste Schody. Teraz będą Kręte Schody.

– A potem? – spytał Sam.

– Potem zobaczymy – odparł Gollum. – O, tak, zobaczymy.

– Jeśli się nie mylę, mówiłeś coś o tunelu – rzekł Sam. – Jest jakiś tunel czy coś w tym rodzaju, prawda?

– Tak, tak, jest tunel – powiedział Gollum. – Ale hobbity będą mogły odpocząć, zanim spróbujemy tamtędy się przedostać. A jeżeli się

przedostaniemy, będą już blisko szczytu. Bardzo blisko. Jeżeli się przedostaniemy. Tak, tak!

Froda przeszedł dreszcz. Spocił się podczas wspinaczki, lecz teraz ciało miał zziębnięte i lepkie, a ciemnym korytarzem ciągnął od niedostrzegalnych szczytów mroźny podmuch. Wstał i otrząsnął się energicznie.

– Chodźmy! – powiedział. – Tutaj rzeczywiście nie można siedzieć.

Korytarz ciągnął się milami, a zimny powiew nie ustawał, lecz w miarę jak się posuwali, dął coraz silniej i przenikał mrozem. Zdawało się, że góry chcą śmiałków poskromić swoim zabójczym tchnieniem, nie dopuścić do tajemnic wyżyn i strącić z powrotem w ciemne przepaście. Wędrowcy byli bliscy ostatecznego wyczerpania, gdy nagle wyczuli, że po prawej ręce nie ma już ściany. Nie widzieli nic prawie. Olbrzymie, czarne, bezkształtne bryły i głębokie, szare cienie wznosiły się nad nimi i wokół nich, lecz od czasu do czasu mętne czerwonawe światło migotało pod niskimi chmurami i w jego przebłyskach hobbici dostrzegli przed sobą i po obu bokach wyniosłe szczyty, niby filary podpierające rozległy, zaklęsły strop. Znaleźli się na szerokiej platformie, na wysokości kilkuset stóp. Od lewej strony piętrzyło się nad nią urwisko, od prawej ziała przepaść.

Gollum prowadził tuż pod urwiskiem. Nie musieli teraz wspinać się pod górę, lecz marsz po nierównym, wyboistym terenie groził w ciemnościach mnóstwem niebezpieczeństw, a głazy i rumowiska skalne zagradzały drogę. Posuwali się wolno i ostrożnie. Ani Sam, ani Frodo nie zdawali już sobie sprawy, ile godzin upłynęło, odkąd weszli do Doliny Morgul. Noc dłużyła się bez końca.

Wreszcie znowu zamajaczyła przed nimi ściana i otwarły się drugie schody. Stanęli na chwilę, potem rozpoczęli wspinaczkę, długą i bardzo mozolną, lecz tym razem schody nie wrzynały się żlebem w masyw góry. Stok tutaj był podcięty, a ścieżka jak wąż wiła się po nim w skrętach. W pewnym momencie spełzała na samą krawędź czarnej otchłani, a Frodo, zerkając w dół, ujrzał u swych stóp kotlinę u krańca Doliny Morgul, rozwartą niby ogromna bezdenna studnia. W jej głębi błyszczała jakby usiana świetlikami zaczarowana upiorna droga z Martwego Grodu na Bezimienną Przełęcz. Frodo co prędzej odwrócił oczy.

Schody wiły się wciąż pod górę, aż w końcu ostatni ich odcinek, krótki i prosty, wyprowadzał na następną platformę. Ścieżka, oddalona już znacznie od głównego szlaku przez wielki jar, biegła swoim własnym niebezpiecznym torem po dnie mniejszego żlebu ku najwyższym strefom Gór Cienia. Hobbici z trudem rozróżniali w ciemnościach wysokie filary i postrzępione kamienne ostrza, sterczące po obu stronach, a między nimi szerokie rozpadliny i szczeliny, czerniejące wśród nocy, zasypane rumowiskiem głazów, które nigdy nie oglądając słońca, skruszały i rozpadły się, rzeźbione od zamierzchłych czasów dłutem nieprzemijającej zimy. Teraz czerwone światło jaśniej rozbłysło na niebie, lecz wędrowcy nie wiedzieli, czy to surowy poranek świta naprawdę nad tą krainą cienia, czy też ją rozświetlają płomienie, które Sauron rozniecił w swoich straszliwych kuźniach na płaskowyżu Gorgoroth za górami. Bardzo jeszcze daleko przed sobą i nad sobą Frodo, podnosząc wzrok, zobaczył, jak mu się zdawało, kres i szczyt uciążliwej ścieżki. Na tle matowej czerwieni wschodniego nieba rysowała się w najwyższym grzbiecie górskim szczelina, wąska, wcięta głęboko między dwa czarne ramiona; z każdego z nich sterczała jak ząb ostra skała.

Frodo przystanął i rozejrzał się uważniej. Skała na lewym ramieniu była wysoka, smukła i jarzyła się czerwonym światłem, albo może to łuna znad położonego za górami kraju przeświecała przez jej szczeliny. Hobbit uświadomił sobie, że to jest Czarna Wieża czuwająca nad przełęczą. Dotknął ramienia Sama i pokazał mu palcem skałę.

– To mi się bardzo nie podoba – rzekł Sam. – A więc ta twoja tajemna droga jest jednak strzeżona – mruknął, zwracając się do Golluma. – Pewnie wiedziałeś o tym od początku.

– Wszystkie drogi są strzeżone, tak, tak – odparł Gollum. – Pewnie, że są strzeżone. Ale hobbici muszą którejś z tych dróg spróbować. Ta jest może najmniej strzeżona. Może cała załoga poszła na wielką wojnę. Może!

– Może! – gniewnie powtórzył Sam. – W każdym razie jeszcze to dość daleko przed nami i dość wysoko trzeba się wspiąć, zanim tam dojdziemy. Czeka nas też przejście przez tunel. Uważam, że powinien pan teraz odpocząć, panie Frodo. Nie mam pojęcia, która jest godzina dnia czy nocy, ale to wiem, że maszerujemy od wielu godzin.

– Tak, trzeba odpocząć – rzekł Frodo. – Znajdźmy sobie jakiś kącik zasłonięty od wiatru i zbierzmy siły przed ostatnim skokiem.

Tak bowiem w tym momencie oceniał sytuację. Niebezpieczeństwa krainy za górami i zadania, które tam miał spełnić, zdawały mu się jeszcze odległe, zbyt dalekie, żeby się o nie troszczyć. Wszystkie myśli skupiał na trudnościach przejścia przez ten niedostępny mur i ominięcia czuwających na nim straży. Gdyby się udało dokonać tej nieprawdopodobnej sztuki, dalszą część misji spełni tak czy inaczej – tak mu się przynajmniej zdawało w owej ciężkiej godzinie, gdy znużony piął się z trudem wśród kamiennych cieni pod Cirith Ungol.

Usiedli w ciemnej szczelinie między dwoma wielkimi filarami skalnymi. Frodo i Sam usadowili się w głębi, Gollum przykucnął w pobliżu wylotu rozpadliny. Hobbici zjedli coś niecoś, myśląc, że pewnie to ostatni posiłek przed zejściem w Bezimienną Krainę, a może w ogóle ostatni wspólny na tej ziemi. Zjedli trochę prowiantu otrzymanego od ludzi z Gondoru i trochę podróżnego chleba elfów, popili wodą. Wodę jednak bardzo oszczędzali, pozwolili sobie ledwie zwilżyć zeschnięte wargi.

– Ciekawe, gdzie w dalszej drodze znajdziemy wodę – zastanawiał się Sam. – Chyba nawet w tym kraju mieszkańcy coś piją. Orkowie przecież piją.

– Tak – rzekł Frodo. – Ale nie mówmy o tym. Nie dla nas ich napoje.

– Tym bardziej wobec tego warto by napełnić manierki – stwierdził Sam. – Tu, co prawda, nigdzie nie widać źródeł, nie słychać szumu potoków. Faramir zresztą ostrzegał przed wodą w Dolinie Morgul.

– Nie pijcie wody płynącej z Imlad Morgul, tak powiedział – rzekł Frodo. – Teraz już jesteśmy ponad doliną, gdybyśmy spotkali strumień, płynąłby do niej, a nie z niej.

– Nie miałbym i tak do tej wody zaufania – odparł Sam – wolałbym umrzeć z pragnienia. Cała ta okolica wydaje się zatruta. – I, pociągając nosem, dodał: – Pachnie też brzydko, stęchlizną. Wcale mi się tu nie podoba.

– Mnie też, wcale a wcale – rzekł Frodo. – Nie podoba mi się ziemia ani kamienie, powietrze ani niebo. Wszystko wydaje się przeklęte. Ale cóż robić, skoro tu nas przyprowadziła ścieżka.

– No tak – przyznał Sam. – Pewnie też nigdy byśmy się tu nie znaleźli, gdybyśmy przed ruszeniem na wyprawę wiedzieli więcej o tych krajach.

Chyba tak zawsze się dzieje. Wspaniałe czyny, o których mówią legendy, przygody, jak je niegdyś nazywałem, tak właśnie wyglądały naprawdę. Dawniej myślałem, że dzielni bohaterowie legend specjalnie owych przygód szukali, że ich pragnęli, bo są ciekawe, a zwykłe życie bywa trochę nudne, że uprawiali je, że tak powiem, dla rozrywki. Ale w tych legendach, które mają głębszy sens i pozostają w pamięci, prawda wygląda inaczej. Bohaterów zwykle los mimo ich woli wciąga w przygodę, doprowadza ich do niej ścieżka, jak pan to wyraził. Pewnie każdy z nich podobnie jak my miał po drodze mnóstwo okazji, żeby zawrócić, lecz nie zrobił tego. Gdyby któryś zawrócił w pół drogi, no to byśmy nic o tym nie wiedzieli, pamięć by o nim zaginęła. Wiadomo tylko o tych, którzy wytrwali do końca, choć nie zawsze ten koniec był szczęśliwy, przynajmniej w oczach uczestników, bo stojąc z boku, nieraz widzi się rzecz inaczej, niż biorąc w niej udział. Na przykład jeśli ktoś – jak stary pan Bilbo – z wyprawy wróci cały, zastanie wszystko niby w porządku, chociaż niezupełnie tak, jak przedtem było. Dla słuchaczy często nie te historie są najciekawsze, których bohaterom najlepiej się powiodło. Ciekaw jestem, w jaki rodzaj historii my dwaj się zaplątaliśmy?

– Ja też jestem tego ciekawy – rzekł Frodo – ale nie wiem. I tak być musi w prawdziwej historii. W jednej z tych, które zawsze szczególnie lubiłeś. Słuchacze opowieści mogą wiedzieć czy przynajmniej zgadywać z góry, jak się ona rozwinie, czy skończy się pomyślnie, czy też smutno, lecz bohaterowie jej nic o tym nie wiedzą; nikt nawet by nie chciał, żeby wiedzieli.

– Pewnie, proszę pana. Na przykład Berenowi nawet w głowie nie świtało, że zdobędzie Silmaril z żelaznej korony w Thangorodrimie, a przecież go zdobył i znalazł się w gorszym jeszcze kraju i w groźniejszym niebezpieczeństwie niż my tutaj. Ale to długa historia, mieści się w niej i szczęście, i smutki, i coś więcej jeszcze, a potem Silmaril dostał się do rąk Eärendila. A na dobitkę… Że też mi to wcześniej na myśl nie przyszło! Przecież my… pan, panie Frodo, ma cząstkę jego światła w tym gwiaździstym szkiełku, które dała panu Galadriela. A więc my jesteśmy bohaterami dalszego ciągu tej samej historii! Ona jeszcze trwa! Czy wielkie historie nigdy się nie kończą?

– Sama historia nie kończy się – odparł Frodo – lecz osoby biorące w niej udział odchodzą, gdy skończy się ich rola. Nasza rola także się

skończy, prędzej czy później.

– A wówczas będziemy mogli odpocząć i wyspać się wreszcie – rzekł Sam. Zaśmiał się ponuro. – Dosłownie: tego tylko pragnę, odpocząć i wyspać się najzwyczajniej w świecie, a potem zbudzić się i zabrać do roboty w ogrodzie. Zdaje się, że przez cały czas o niczym innym nie marzyłem. Nie nadaję się do wielkich, ważnych spraw. Ale mimo wszystko ciekaw jestem, czy będą kiedyś o nas opowiadali legendy albo śpiewali pieśni. Oczywiście, uczestniczymy w niezwykłej historii, ale nie wiadomo, czy z tego powstanie opowieść powtarzana przy kominku albo zapisana czarnymi literami w grubej księdze i odczytywana po wielu, wielu latach. Może kiedyś hobbici będą mówili: „Opowiedz historię Froda i Pierścienia”, a jakiś malec zawoła: „Tak, tak, to moja ulubiona historia. Frodo jest bardzo dzielny, prawda tatusiu?”. „Oczywiście, synku, Frodo jest najsławniejszy wśród hobbitów, a to coś znaczy!”.

– Gruba przesada! – odparł Frodo, śmiejąc się głośno i serdecznie. Takiego śmiechu nie słyszano w tych okolicach, odkąd Sauron zjawił się w Śródziemiu. Samowi wydało się, że wszystkie kamienie nasłuchują i że szczyty pochyliły się zaciekawione. Frodo jednak, na nic nie zważając, śmiał się dalej.

– Wiesz, Samie – powiedział – kiedy słucham twoich słów, ogarnia mnie taka wesołość, jakby cała historia już była opisana w księdze. Ale zapomniałeś o jednej z czołowych postaci, o mężnym Samie. „Tatusiu, opowiedz coś więcej o Samie. Dlaczego w legendzie tak mało zapisano jego przemówień? Strasznie je lubię, zawsze można się z nich pośmiać. Prawda, tatusiu, że Frodo niedaleko by zaszedł bez Sama?”.

– Nie powinien pan obracać tego w żart, panie Frodo – rzekł Sam. – Ja mówiłem poważnie.

– Ja także – powiedział Frodo. – Jak najpoważniej. Ale obaj trochę się zagalopowaliśmy. Na razie tkwimy w najgorszym miejscu całej historii i bardzo jest prawdopodobne, że kiedyś w przyszłości mały hobbit powie: „Zamknij, tatusiu, książkę, nie chcę słuchać dalszego ciągu”.

– Może – odparł Sam – ale ja na jego miejscu tak bym nie powiedział. Dawne, minione dzieje, gdy się staną częścią historii, przedstawiają się zupełnie inaczej. Kto wie, może nawet Gollum wyda się w opowieści dobry, w każdym razie lepszy, niż jest. Jeżeli można mu wierzyć, podobno kiedyś lubił legendy. Ciekawe, czy uważa się za bohatera, czy też za czarny

charakter? Ej, Gollum! – zawołał. – Chciałbyś być bohaterem? Ale gdzież on się znowu podziewa?

Ani u wejścia do szczeliny, ani nigdzie w pobliżu nie było widać Golluma. Jak zwykle nie przyjął od hobbitów prowiantu, wypił tylko trochę wody, a potem skulił się na ziemi jakby do snu. Gdy poprzedniego dnia zniknął na czas dłuższy, hobbici pocieszali się, że jeśli nie wyłącznym, to przynajmniej głównym celem jego wyprawy było poszukiwanie odpowiedniego jadła. Dziś najoczywiściej wymknął się znowu, gdy się zagadali. Po co tym razem?

– Nie lubię, kiedy się tak wymyka bez słowa – rzekł Sam. – Zwłaszcza tutaj i teraz. Tu przecież nie może spodziewać się, że upoluje coś do jedzenia, chyba że ma apetyt na kamienie. Nawet źdźbła mchu nie znajdzie.

– Nie ma co martwić się teraz o niego – odparł Frodo. – Nie dotarlibyśmy tak daleko, nie zobaczylibyśmy w ogóle tej przełęczy, gdyby nie Gollum, musimy więc pogodzić się z jego dziwnymi obyczajami. Jeśli jest fałszywy, no to trudno.

– Mimo wszystko wolałbym go mieć stale na oku – rzekł Sam. – Tym bardziej jeżeli jest fałszywy. Pamięta pan, że on za nic nie chciał powiedzieć, czy to przejście jest strzeżone. Teraz widzimy wieżę nad przełęczą, może przez Nieprzyjaciela opuszczoną, a może nie. Nie przypuszcza pan, że poszedł tam, żeby ściągnąć nam na kark orków czy inne poczwary?

– Nie, tego nie przypuszczam – odparł Frodo. – Nawet jeśli rzeczywiście knuje jakąś złośliwość, co wydaje mi się dość prawdopodobne. Ale nie myślę, żeby ta złośliwość na tym miała polegać. Nie, nie sprowadzi orków ani innych sług Nieprzyjaciela. Gdyby takie miał zamiary, po cóż czekałby tak długo, trudził się mozolną wspinaczką i podchodził tak blisko do kraju, którego się straszliwie boi? Odkąd się z nim spotkaliśmy, miał z pewnością wiele okazji, żeby nas zdradzić i wydać orkom. Nie! Myślę, że ma raczej jakiś własny plan, którego tajemnicy z nikim nie chce dzielić.

– Myślę, że ma pan rację – rzekł Sam – ale niewielka to pociecha. Nie łudzę się, wiem, że mnie wydałby orkom z pocałowaniem rączek. Ale pamiętajmy o skarbie. Jemu od początku i zawsze chodzi przede wszystkim o to, żeby „biedny Sméagol odzyskał swój skarb”. Nie wiem, co knuje, ale na pewno we wszystkim ten jeden cel mu przyświeca. Chociaż doprawdy

nie pojmuję, dlaczego nas aż tak daleko przyprowadził. Czyżby to mu ułatwiało sprawę?

– On sam pewnie też tego nie pojmuje – rzekł Frodo. – Wątpię, żeby w jego zmętniałym umyśle powstał jakiś jasno określony plan. Sądzę, że po prostu stara się, póki może, nie dopuścić, by skarb wpadł w ręce Nieprzyjaciela. To bowiem byłoby dla niego także ostateczną klęską. A poza tym gra na zwłokę i czeka na okazję.

– Krętacz i Śmierdziel, zawsze to wiedziałem – rzekł Sam. – Im bliżej do wrogiego kraju, tym gorzej Krętacz śmierdzi. Niech pan zapamięta moje słowa: jeżeli w ogóle dobrniemy na przełęcz, nie pozwoli nam zanieść skarbu w granice nieprzyjacielskiego kraju bez jakiejś grubszej awantury.

– Jeszcześmy do tej granicy nie dobrnęli – powiedział Frodo.

– Nie, ale trzeba już teraz oczy mieć wciąż otwarte. Śmierdziel prędko by sobie z nami poradził, gdyby nas zaskoczył we śnie. Mimo to może pan się na razie zdrzemnąć bezpiecznie. Byle tuż przy mnie! Chciałbym bardzo, żeby pan trochę odpoczął. Będę nad panem czuwał pilnie, a jeśli pan położy się bliziutko, żebym mógł pana objąć ramieniem, nie uda się nikomu tknąć pana bez mojej wiedzy.

– Spać! – westchnął Frodo z utęsknieniem, jakby na pustyni ujrzał miraż zielonej oazy. – Och, tak, mógłbym usnąć nawet tutaj!

– Niechże pan śpi! A głowę niech pan położy na moich kolanach.

Tak zastał hobbitów Gollum, gdy po kilku godzinach wrócił chyłkiem, skradając się ścieżką prowadzącą w dół z ciemnych szczytów. Sam siedział oparty o głaz, z głową przechyloną na bok, oddychając ciężko. Na jego kolanach spoczywała głowa uśpionego Froda; sługa jedną śniadą rękę trzymał na bladym czole, drugą na piersi swego pana. Na twarzach obu malował się spokój.

Gollum patrzył na nich. Dziwny wyraz przemknął przez jego chudą, wygłodniałą twarz. Światełka w źrenicach przygasły, oczy zmatowiały, nagle poszarzałe, stare i znużone. Gollum skulił się w bolesnym skurczu, odszedł parę kroków, spoglądając w stronę przełęczy i trzęsąc głową, jakby szarpany wewnętrzną rozterką. Potem wrócił, wyciągnął z wolna drżącą rękę i bardzo ostrożnie, niemal pieszczotliwie dotknął kolana Froda. Gdyby w tym okamgnieniu któryś ze śpiących ocknął się i zobaczył Golluma,

pomyślałby zrazu, że stoi przed nim bardzo sędziwy, zmęczony hobbit, skurczony ze starości, która przeciągnęła ponad miarę jego życie, tak że ostał się poza swoją epoką, bez przyjaciół i krewnych, z dala od łąk i strumieni młodości – biedny, żałosny, zagłodzony staruszek. Lecz pod jego dotknięciem Frodo poruszył się i z cicha krzyknął przez sen, a Sam natychmiast wytrzeźwiał z drzemki. Zobaczył Golluma „dobierającego się” – jak pomyślał – do pana Froda.

– Ejże! – powiedział ostro. – Co robisz?

– Nic, nic – łagodnie odpowiedział Gollum. – Pan dobry.

– Myślę, że dobry – rzekł Sam – ale gdzieżeś ty się włóczył? Wymknąłeś się jak złodziej i jak złodziej wróciłeś, stary łajdaku.

Gollum cofnął się, zielone światełka błysnęły pod jego ciężkimi powiekami. Teraz, gdy przycupnął na zgiętych nogach i wytrzeszczył oczy, wyglądał niemal jak pająk. Dobra przelotna chwila minęła bezpowrotnie.

– Jak złodziej! Jak złodziej! – syknął. – Hobbity zawsze są grzeczne. Och, dobre hobbity! Sméagol prowadzi ich tajemnymi drogami, których nikt prócz niego nigdy nie znalazł. Pomaga im, wyszukuje ścieżki, a za to oni mówią: złodziej! Dobrzy przyjaciele, mój skarbie, tak, tak, dobrzy!

Sam miał lekkie wyrzuty sumienia, ale w dalszym ciągu nie ufał Gollumowi.

– Przepraszam! – powiedział. – Przepraszam, ale zaskoczyłeś mnie znienacka we śnie. Nie powinienem był zasnąć, dlatego obudziłem się trochę zły. Pan Frodo jest taki zmęczony, że prosiłem go, by się przespał. No i tak się to złożyło jedno z drugim. Przepraszam. Ale gdzieżeś bywał?

– Na złodziejskiej wyprawie – odparł Gollum. Zielone światełka nie znikały z jego źrenic.

– Nie chcesz odpowiedzieć, to nie – rzekł Sam. – Zresztą pewnie niedalekie to od prawdy. A teraz wymknijmy się po złodziejsku wszyscy razem. Która to godzina? Czy to jeszcze dziś, czy już jutro?

– Jutro – rzekł Gollum. – Było już jutro, kiedy hobbity posnęły. Bardzo niemądrze, bardzo niebezpiecznie, gdyby biedny Sméagol nie czuwał w pobliżu swoim złodziejskim sposobem.

– Chyba wszystkim nam już się to słówko uprzykrzyło – rzekł Sam. – Ale mniejsza o to. Trzeba zbudzić pana.

Delikatnie odgarnął Frodowi włosy z czoła i pochylając się, szepnął łagodnie:

– Niech się pan zbudzi, panie Frodo, niech się pan zbudzi!

Frodo drgnął, otworzył oczy i na widok twarzy Sama – schylonej nad nim – uśmiechnął się przyjaźnie.

– Tak wcześnie mnie budzisz, Samie – rzekł. – Przecież jeszcze ciemno.

– Tutaj zawsze jest ciemno – odparł Sam. – Ale Gollum wrócił, proszę pana, i mówi, że już jest jutro. Trzeba ruszać w drogę. Ostatni skok!

Frodo odetchnął głęboko i usiadł.

– Ostatni skok! – powtórzył. – Witaj, Sméagolu! Znalazłeś coś do jedzenia? Odpocząłeś?

– Ani jadła, ani snu, niczego Sméagol nie użył – powiedział Gollum. – Jest złodziejem.

Sam żachnął się zniecierpliwiony, lecz pohamował gniew i zmilczał.

– Nie nadawaj sobie przezwisk, Sméagolu – rzekł Frodo – prawdziwych ani fałszywych. Nie trzeba!

– Sméagol przyjął, czym go obdarzono – odparł Gollum. – Łaskawy pan Sam, przemądrzały hobbit, dał mu to przezwisko.

Frodo spojrzał na Sama.

– Tak, proszę pana – rzekł Sam. – Wypsnęło mi się to słówko, kiedy nagle zbudzony ze snu zobaczyłem go przy nas. Przeprosiłem, ale jak tak dalej pójdzie, może i odwołam przeprosiny.

– Więc lepiej zapomnijmy o tym – rzekł Frodo. – Słuchaj, Sméagolu, musimy się rozmówić. Powiedz mi, czy możemy resztę drogi znaleźć sami? Przełęcz już stąd widać, jest niedaleko, jeżeli zdołamy trafić sami, możemy uznać naszą umowę za dopełnioną. Dotrzymałeś obietnicy, jesteś wolny, możesz wrócić do krajów, gdzie nie zabraknie ci jedzenia ani snu, dokądkolwiek, byle nie do sług Nieprzyjaciela. Może kiedyś będę mógł cię nagrodzić, a jeśli nie ja, to ktoś z przyjaciół, kto będzie mnie pamiętał.

– Nie, nie, jeszcze nie! – jęknął Gollum. – Nie! Hobbity same nie znajdą drogi, nie! Teraz trzeba iść przez tunel. Sméagol musi pójść z wami dalej. Nie wolno mu spać. Nie wolno mu jeść. Jeszcze nie!

ROZDZIAŁ 9
JASKINIA SZELOBY

Możliwe, że był już dzień, jak twierdził Gollum, ale hobbici nie dostrzegali między dniem a nocą większej różnicy, chyba tylko tę, że ciężkie niebo zdawało się nieco mniej czarne i przypominało raczej strop gęstego dymu, a zamiast nieprzeniknionej nocy, zalegającej wciąż jeszcze w szczelinach i zagłębieniach, szary, mętny cień osnuwał cały kamienny świat dokoła. Gollum szedł przodem, hobbici za nim ramię przy ramieniu, i tak wspinali się długim wąwozem pomiędzy filarami i kolumnami poszarpanych, zwietrzałych skał, sterczących po obu stronach niby olbrzymie bezkształtne posągi. Cisza panowała zupełna. O milę mniej więcej przed sobą widzieli ogromną szarą ścianę, ostatnie wielkie spiętrzenie górskiego łańcucha. Ściana ta odcinała się ciemniejszą plamą na tle mroku i rosła, w miarę jak się do niej zbliżali, aż wreszcie spiętrzyła się tuż przed nimi, przesłaniając całkowicie widok krainy ukrytej za górami. Głęboki cień zalegał u jej stóp. Sam pokręcił nosem.

– Uf! Co za smród! – mruknął. – Cuchnie tu coraz potężniej.

Stali w cieniu skały i zobaczyli pośrodku niej otwarty wylot jaskini.

– Tędy droga – cicho szepnął Gollum. – To wejście do tunelu.

Nie powiedział im jego nazwy: Torech Ungol – Jaskinia Szeloby. Bił od niej smród gorszy niż mdły zaduch zgnilizny na polach Doliny Morgul, ohydna woń, jakby w mrocznym wnętrzu nagromadziły się grube zwały nieopisanego plugastwa.

– Czy to jedyna droga, Sméagolu? – spytał Frodo.

– Tak, tak – odparł Gollum. – Tak, trzeba iść tędy.

– Czy rzeczywiście przeszedłeś kiedyś przez te lochy? – spytał Sam. – No cóż, tobie pewnie smród nie przeszkadza.

Gollumowi oczy rozbłysły.

– Hobbit nam nie dowierza, mój skarbie – syknął. – Nie chce nam wierzyć. Ale Sméagol dużo zniesie. Tak. Przeszedł tędy, tak, aż na drugą stronę. To jedyna droga.

– Co tam tak cuchnie? – dziwił się Sam. – Przypomina… Nie, lepiej nie mówić o tym. Wstrętna jaskinia orków, moim zdaniem, z nagromadzonym od setek lat orkowym paskudztwem.

– Niech tam – rzekł Frodo. – Czy siedzą w niej orkowie, czy nie, skoro innej drogi nie ma, musimy iść tędy.

Zaczerpnęli tchu i weszli do jaskini. Ledwie posunęli się kilka kroków, gdy ogarnęła ich czarna, nieprzenikniona noc. Frodo i Sam w życiu swoim nie spotkali tak straszliwych ciemności, bo nawet w pozbawionych światła korytarzach Morii mrok nie był tak głęboki i gęsty. Tam przynajmniej przewiew poruszał niekiedy powietrzem, odzywało się echo, wędrowcy wyczuwali wokół siebie przestrzeń. Tu powietrze, nieruchome i ciężkie, tłumiło każdy dźwięk. Szli jak gdyby w czarnych oparach, unoszących się z samego jądra ciemności, a gdy je z oddechem wciągali w płuca, zdawało im się, że ślepota opanowuje nie tylko ich oczy, lecz także umysły, tak iż nawet wspomnienie barw, kształtów i światła zamiera w ich pamięci. Noc była zawsze i nigdy nie przeminie, nie istnieje nic prócz nocy. Zrazu jednak nie stracili całkowicie czucia, a nawet przeciwnie, zmysł dotyku w ich stopach i palcach zaostrzył się niemal do bólu. Ku swemu zdumieniu stwierdzili, że ściany tunelu są gładkie, a dno, na ogół wyrównane, wznosi się regularnie dość stromo w górę; czasem tylko pochylnię przerywało parę stopni schodów. Korytarz był tak wysoki i szeroki, że hobbici ledwie dosięgali wyciągniętymi rękami ścian, a chociaż szli obok siebie, mieli wrażenie, że są rozdzieleni i odcięci jeden od drugiego, każdy zdany na samotny marsz w ciemnościach.

Gollum wyprzedził ich, lecz zdawało im się, że jest tuż, o parę kroków przed nimi. Dopóki jeszcze byli zdolni zwracać uwagę na takie szczegóły, słyszeli jego świszczący i zachłystujący się oddech w pobliżu. Po pewnym wszakże czasie zmysły ich jakby odrętwiały, zarówno słuch, jak i dotyk stępiał, a jeśli szli wytrwale po omacku dalej, to jedynie wysiłkiem woli, która kazała im przekroczyć próg jaskini, dążyć wytrwale do celu, do wyniosłej bramy za górami. Stracili już rachubę czasu i orientację w przestrzeni, zapewne jednak nie uszli zbyt daleko, gdy Sam pod prawą ręką zamiast ściany wyczuł pustkę, otwarte w tę stronę boczne przejście; na krótką chwilę owionęło go nieco świeższe powietrze, lecz nie zatrzymując się, poszedł dalej.

– Jest tu więcej korytarzy – szepnął z wysiłkiem, bo dobycie dźwięku z gardła zdawało się tutaj niełatwą sztuką. – Ani chybi, jaskinia orków.

Potem zmacał jeszcze jedną przerwę w ścianie z prawej strony, Frodo zaś z lewej natrafił na drugą, a w miarę jak się posuwali – na kilka następnych, szerszych lub węższych; nie wahali się jednak w wyborze właściwej drogi, bo korytarz, którym szli, był prosty, nie zakręcał nigdzie i ustawicznie wznosił się pod górę. Ale nie mieli pojęcia, jak jest długi, ile jeszcze będą musieli wycierpieć i czy im starczy sił. Im wyżej się wspinali, tym było duszniej, a niekiedy mieli wrażenie, że walczą z oporem jakiejś materii bardziej zgęszczonej niż cuchnące powietrze. Brnąc przez nią naprzód, czuli od czasu do czasu na głowach i rękach muśnięcie jakby ocierających się macek, czy może zwisających z pułapu porostów. Ohydna woń dokuczała coraz bardziej. Potęgowała się z każdą chwilą i zdawało się hobbitom, że spośród wszystkich zmysłów zachowali jedynie powonienie, lecz zmieniło się ono dla nich w narzędzie tortur. Nie zdawali sobie sprawy, ile czasu trwa ten marsz przez ciemne lochy: godzinę, dwie czy trzy… Godziny dłużyły się jak dni całe, jak tygodnie. Sam, odsuwając się od ścian tunelu, przylgnął do Froda, chwycili się za ręce i szli, odtąd trzymając się jak najbliżej siebie. W końcu Frodo, wymacując lewą ręką ścianę, natrafił nagle znów na pustkę. Omal nie wpadł w nią z rozpędu. Otwór w skale był tym razem znacznie szerszy od wszystkich poprzednich; a ciągnął z niego smród tak odrażający i tchnęła obecność tak napiętej złośliwej woli, że Frodo poczuł zawrót głowy. Jednocześnie Sam zachwiał się i padł twarzą naprzód; usiłując opanować słabość i strach. Frodo chwycił Sama za rękę.

– Wstawaj! – szepnął ochryple, niemal bezgłośnie. – Cały smród i niebezpieczeństwo skupione są właśnie tutaj, w tym bocznym korytarzu. Prędko! Dalej!

Zbierając resztki sił i odwagi, dźwignął Sama i postawił na nogi; zmusił własne omdlałe ciało do marszu. Sam, potykając się, szedł u jego boku. Jeden krok, drugi, trzeci… Sześć! Nie wiedzieli, czy minęli wylot niewidzialnego korytarza, lecz nagle odzyskali swobodę ruchów, jakby wroga wola na chwilę rozluźniła narzucone im pęta. Brnęli naprzód, wciąż trzymając się za ręce.

Raptem jednak natknęli się na nową przeszkodę. Tunel rozwidlał się, a przynajmniej tak im się zdawało, w każdym razie po ciemku nie mogli się zorientować, który z dwóch korytarzy jest szerszy i który bliższy

wytkniętego kursu. Gdzie powinni skręcić, w prawo czy w lewo? Nie mieli żadnych wskazówek, wybrać musieli na oślep, a przecież zdawali sobie sprawę, że błąd w wyborze oznacza niechybną śmierć.

– Którym korytarzem poszedł Gollum? – szepnął bez tchu Sam. – Dlaczego na nas nie poczekał?

– Sméagolu! – spróbował zawołać Frodo. – Sméagolu!

Ale głos załamywał się w gardle, imię Sméagola ledwie dosłyszalne dobyło się z jego ust. Nikt nie odpowiedział, nawet echo, powietrze wokół nie drgnęło.

– Tym razem, jak mi się zdaje, odszedł już na dobre – mruknął Sam. – Może z góry uplanował sobie, że właśnie w to miejsce nas zapędzi. Gollum! Jeśli kiedyś dostanę go w swoje ręce, gorzko zapłacze, pokraka.

Wreszcie stwierdzili, obmacując w ciemnościach ściany, że korytarz odbiegający w lewo jest zablokowany – albo stanowi ślepą wnękę, albo też zagrodził go jakiś zwalony wielki głaz.

– Droga nie może prowadzić tędy – szepnął Frodo. – Musimy iść w prawo, nie ma wyboru.

– Chodźmy, i to prędko – wysapał Sam. – Tutaj czai się jakiś stwór gorszy od Golluma. Czuję, że ktoś na nas patrzy.

Nie uszli daleko, gdy dogonił ich niezwykły głos, niespodziany i przerażający w tej głuchej ciszy: jak gdyby bełkot i bulgot, przeciągły złośliwy syk. Odwrócili się, lecz nie zobaczyli za sobą nic. Osłupiali, przykuci do miejsca, wpatrywali się w mrok, czekając nie wiedzieć na co.

– To pułapka – rzekł Sam i położył rękę na głowicy miecza.

Wspomniał przy tym ciemność Kurhanu, z którego oręż pochodził. „Ach, gdyby teraz Tom Bombadil był gdzieś w pobliżu!” – pomyślał. Gdy tak stał, otoczony nocą, z sercem pełnym czarnej rozpaczy i gniewu, wydało mu się nagle, że dostrzega światło, lecz widział je tylko oczyma duszy; zrazu olśniło go, jak promień słońca oślepia wzrok więźnia po długim przebywaniu w lochu bez okien. Potem rozszczepiło się na kolory i zagrało zielenią, złotem, srebrem, bielą. W dali, jak gdyby na maleńkim obrazku wymalowanym zręcznymi palcami elfa, zobaczył Panią Galadrielę stojącą na łące Lórien z podarunkami w rękach. „Dla ciebie, Powierniku

Pierścienia – usłyszał jej głos, odległy, lecz wyraźny – przygotowałam ten oto dar”.

Bełkotliwy syk zbliżał się, a towarzyszyło mu skrzypienie, jakby w mroku jakiś olbrzymi stawonóg o skrzypiących stawach sunął z wolna, lecz zdecydowanie naprzód, śląc przed siebie fale odrażającej woni.

– Panie Frodo! Panie Frodo! – krzyknął Sam, odzyskując nagle głos i energię. – Dar Pani Galadrieli! Gwiaździste szkiełko! Światło, które ci zaświeci w ciemności, jak obiecała Pani Elfów. Gwiaździste szkiełko!

– Gwiaździste szkiełko? – powtórzył Frodo jakby przez sen, nie bardzo rozumiejąc, o czym Sam mówi. – Ach, prawda! Jak mogłem o nim zapomnieć! Światło, gdy wszystkie inne światła zgasną. Tak, teraz tylko światło może nam dopomóc.

Z wolna wsunął rękę za pazuchę i z wolna wydobył flakonik Galadrieli. Kryształ chwilkę lśnił blado niby gwiazda, gdy wschodzi i z trudem przebija gęste mgły zalegające nad ziemią, potem, w miarę jak wzmagała się moc zaczarowanego szkiełka, a jednocześnie nadzieja krzepła w sercu Froda, rozżarzył się, zapłonął srebrnym płomieniem jak maleńkie serduszko olśniewającego blasku; można by pomyśleć, że to Eärendil we własnej osobie zstąpił ze swoich słonecznych, podniebnych szlaków z ostatnim Silmarilem świecącym nad czołem. Ciemność cofała się przed blaskiem bijącym z wnętrza kryształowej czarodziejskiej kuli, a ręka, która ją trzymała, iskrzyła się białym ogniem.

Frodo z podziwem patrzył na ten cudowny podarunek, który nosił od tak dawna na sercu, nie znając jego wielkiej wartości i mocy. Rzadko myślał o nim w podróży, dopóki nie znalazł się w Dolinie Morgul, i nigdy go nie użył dotychczas, bojąc się, że światło zdradzi ich przed oczyma nieprzyjaciół. – *Aiya Eärendil Elenion Ancalima*! – krzyknął, nie zdając sobie sprawy z wymawianych słów, jakby czyjś obcy głos przemówił przez jego usta, dźwięczny, niestłumiony ciężkim, zatrutym powietrzem lochów.

Ale istnieją w Śródziemiu inne siły, potęgi nocy, prastare i bardzo mocne. Ta, która skradała się w ciemnościach ku hobbitom, znała sprzed wieków zawołanie elfów, lecz nie lękała się go nigdy, a teraz także nie dała się nim poskromić. Okrzyk jeszcze nie przebrzmiał, gdy Frodo poczuł skupioną na sobie złośliwą wolę i mordercze spojrzenie. W tunelu, między hobbitami a wylotem korytarza, przed którym obaj zachwiali się i omdleli,

zabłysły oczy, dwa grona małych oczek, każde złożone z wielu źrenic. Czające się niebezpieczeństwo wreszcie pokazało swoje oblicze. Blask gwiezdnego szkiełka załamał się, odbity od tysiąca tych owadzich oczu, lecz powierzchnia ich lśniła morderczym bladym ogniem, płomieniem rozżarzonym w otchłaniach przewrotnej, złośliwej myśli. Były to oczy potworne, odrażające, bestialskie, zarazem pełne skupionej woli i wstrętnej radości, wpatrzone z okrutną rozkoszą w ofiary zamknięte w pułapce, z której nie istniała możliwość ucieczki.

Frodo i Sam w przerażeniu zaczęli się cofać, nie mogąc oderwać wzroku od straszliwych złowrogich oczu poczwary; w miarę jednak jak się cofali, straszne oczy posuwały się naprzód. Ręka Froda, trzymająca świetlisty flakonik, omdlała i z wolna opadła. Potem nagle oczy jakby dla zabawy zwolniły ich na chwilę z uwięzi i obaj hobbici, odwróciwszy się, przebiegli w ślepej panice kilkanaście kroków naprzód. Frodo jednak w biegu obejrzał się i ze zgrozą stwierdził, że oczy zbliżają się do nich gwałtownymi skokami. Owionął ich trupi zaduch.

– Stój! Stój! – krzyknął w rozpaczy. – Ucieczka nie zda się na nic.

Oczy skradały się coraz bliżej.

– Galadrielo! – zawołał i zbierając resztki odwagi, podniósł znów w górę kryształowy flakonik.

Oczy się zatrzymały. Na moment spojrzenie ich przygasło, jakby zmącone przelotnym zwątpieniem. Wówczas w piersi Froda serce zapłonęło męstwem i hobbit bez namysłu, nie zastanawiając się, czy to, co robi, jest szaleństwem, aktem rozpaczy, czy męstwa, chwycił flakonik w lewą rękę, a prawą wyciągnął z pochwy mieczyk. Żądło zabłysło, ostra stal elfów roziskrzyła się srebrnym światłem, lecz z klingi wystrzeliły niebieskie płomyki. Z czarodziejskim kryształem wzniesionym nad głową, z mieczem w dłoni Frodo, hobbit z dalekiego, cichego kraju, szedł nieustraszenie na spotkanie wrogich oczu.

Oczy zadrżały. Im bliżej było światło, tym wyraźniej mętniały w rozterce. Jedno po drugim przygasało i wszystkie cofały się z wolna. Nigdy jeszcze nie olśnił ich równie potężny blask. Przed światłem słońca, księżyca i gwiazd kryły się zawsze pod ziemią, teraz jednak gwiazda zeszła w głąb lochów. Zbliżała się ciągle; oczy ulękły się jej. Już zgasły wszystkie. Ogromne cielsko zawróciło w tunelu, uchodząc poza zasięg światła, zagradzając mu drogę swoim olbrzymim cieniem. Oczy zniknęły.

– Panie Frodo! Panie Frodo! – krzyknął Sam. Szedł krok w krok za swym panem, również z obnażonym mieczem w ręku. – Chwała gwiazdom! Ależ piękną pieśń ułożyliby o tym spotkaniu elfowie, gdyby się o nim dowiedzieli. Obym dożył tej chwili, żeby im opowiedzieć wszystko, a potem posłuchać ich śpiewu. Niech się już pan zatrzyma, panie Frodo! Niech pan nie idzie w głąb jamy! Teraz mamy ostatnią szansę. Umykajmy z tej wstrętnej nory!

Raz jeszcze zawrócili, z początku idąc, potem biegnąc; tunel wznosił się ostro w górę i z każdym krokiem wydobywali się wyżej ponad ohydny zaduch bijący od ukrytego w ciemności legowiska poczwary, toteż nowa otucha i nowe siły wstępowały w serca hobbitów. W pewnej chwili na ich spotkanie dmuchnął powiew chłodnego rozrzedzonego powietrza. Wylot, drugi koniec tunelu, mieli wreszcie tuż przed sobą. Zdyszani, stęsknieni do widoku nieba nad głową, rzucili się naprzód, lecz nagle, ku swemu zdumieniu, zachwiali się i cofnęli. Wylot był zamknięty, chociaż nieprzywalony kamieniem; zagradzała go miękka, jak się z pozoru zdawało dość ustępliwa, lecz w rzeczywistości mocna i nieprzenikniona zasłona; powietrze przedostawało się przez nią, ale nie dopuszczała promieni światła. Raz jeszcze hobbici natarli na przeszkodę i znów zostali odepchnięci. Podnosząc w górę kryształowy flakonik, Frodo zobaczył szarą zasłonę; blask gwiezdnego szkiełka nie przebijał jej i nie rozświetlał, była jak gdyby utkana z cienia, który nie powstał ze światła i którego światło nie mogło rozproszyć. W poprzek, na całą wysokość tunelu, rozsnuta była ogromna tkanina podobna w regularnym rysunku do sieci olbrzymiego pająka, lecz gęstsza i większa, a nici jej miały grubość postronków.

Sam zaśmiał się ponuro.

– Pajęczyna! – rzekł. – Tylko pajęczyna! Ale cóż za pająk ją osnuł! Naprzód, zniszczmy ją co prędzej!

Z furią zaczął rąbać mieczem, ale nici nie pękały pod ciosami. Uginały się lekko i wracały na swoje miejsce niby cięciwy łuku, odpychając broń i dzierżące ją ramię. Trzykroć Sam nacierał z wszystkich sił, aż wreszcie jedna jedyna spośród niezliczonych nici pękła i zwinęła się, ze świstem przecinając powietrze. Luźny jej koniec chlasnął Sama po ręku. Hobbit krzyknął z bólu, odskoczył i odruchowo przytknął rękę do ust.

– Tym sposobem nie otworzymy sobie drogi nawet przez tydzień – rzekł. – Co robić? Czy te ślepia znów nas gonią?

– Nie widać ich – odparł Frodo – ale czuję, że patrzą na mnie albo ścigają mnie myślą. Pewnie poczwara knuje nowy podstęp. Gdyby światło osłabło albo zgasło, wróciłaby na pewno w jednej chwili.

– Złapali nas w ostatnim momencie w potrzask! – z goryczą stwierdził Sam; gniew znowu brał w nim górę nad zmęczeniem i rozpaczą. – Jak muchy w sieci! Oby klątwa Faramira dosięgła Golluma, i to jak najprędzej.

– Nam by to w tej chwili nie pomogło – rzekł Frodo. – Dalejże! Spróbujmy, czego Żądło dokaże w potrzebie. Przecież to ostrze elfów. W ciemnych jarach Beleriandu, gdzie je wykuto, także były straszliwe pajęczyny. Ty, Samie, pilnuj tymczasem, żeby oczy się nie zbliżyły. Masz tu gwiezdne szkiełko. Nie bój się, trzymaj je wysoko i czuwaj.

Frodo, podsunąwszy się pod szarą pajęczą zasłonę, rąbnął z całych sił i jednym zamachem przeciągnął ostrzem przez cały splot gęsto usnutej sieci, po czym odskoczył szybko. Błękitnawe, lśniące ostrze przeszło przez sieć jak kosa przez łan trawy, aż szare postronki drgnęły gwałtownie, zwinęły się i zwisły. W zasłonie otworzyła się spora dziura. Cios za ciosem zadawał hobbit, póki ostatnia pajęcza nić w zasięgu jego ramienia nie została przecięta. Górna część rozdartej zasłony powiewała luźno jak welon na wietrze. Potrzask był otwarty.

– Naprzód! – krzyknął Frodo. – Naprzód!

Szalona radość, że oto wymykają się z rozpaczliwej pułapki, napełniła nagle jego serce. W głowie zaszumiało mu jak od mocnego wina. Krzycząc, jednym susem wypadł z jaskini.

Po kilku godzinach spędzonych w samym siedlisku nocy świat wydał się jego oczom niemal jasny. Ogromne dymy podniosły się ku górze i przerzedziły, kończył się właśnie mroczny dzień; krwawa łuna Mordoru zbladła w posępnym zmierzchu, Frodowi jednak zdawało się, że przed nim świta poranek nieoczekiwanej nadziei. Dotarł niemal na szczyt górskiego wału. Jeszcze jedno tylko, ostatnie wzniesienie. Widział przed sobą przełęcz Cirith Ungol, jak ciemną szczerbę wyciętą w czarnym grzbiecie, a po obu jej stronach sterczące ku niebu zjeżone skały. Krótki bieg, ostatni wysiłek i znajdzie się za ścianą gór.

– Przełęcz, Samie! – krzyknął, nie zważając na to, że jego głos, wyzwolony wreszcie z zaduchu podziemi, rozlega się przenikliwie i

donośnie. – Przełęcz! Biegiem! Za chwilę będziemy po drugiej stronie, nikt nas już teraz nie zdoła powstrzymać!

Sam podążał za swym panem ile sił w nogach, lecz mimo radości wyzwolenia z lochu nie czuł się wcale bezpieczny i wciąż zerkał przez ramię ku czarnej bramie jaskini, w strachu, że oczy lub jakiś niewiadomy koszmarny stwór lada chwila wyskoczy z niej w pogoń za uciekinierami. Ani on, ani jego pan nie znali siły i przebiegłości Szeloby. Miała ona niejedno wyjście ze swego legowiska.

Mieszkała tu od wieków ta zła istota, mająca postać olbrzymiej pajęczycy, podobna do tych, jakie żyły ongi na zachodzie w Kraju Elfów, teraz zatopionym przez Morze; z takimi właśnie pająkami walczył Beren w Górach Zgrozy, w Doriath, i podczas jednej z tych swoich wypraw przed laty ujrzał na zielonej polanie między modrzewiami piękną Lúthien w blasku księżyca. Nie wiadomo, jakim sposobem Szeloba, uciekłszy ze zniszczonej krainy, zawędrowała w te strony, bo z Czarnych Lat niewiele zachowało się opowieści. W każdym razie mieszkała tu od dawna, zanim jeszcze zjawił się Sauron i położono pierwsze kamienie pod mury Barad-dûr. Nie służyła nikomu, tylko sobie samej, piła krew ludzi i elfów, puchła i tyła, trawiąc gnuśnie swoje samotne uczty i snując w cieniu sieci; każde żywe stworzenie było jej strawą, a rzygała czarną ciemnością. Słabsze od matki liczne dzieci, bękarty spłodzone z nieszczęsnymi samcami, których mordowała, żyły rozproszone po dolinach od Gór Cienia aż po dalekie góry na wschodzie, po Dol Guldur i dzikie ostępy Mrocznej Puszczy. Żaden wszakże z potomków nie mógł się równać z ostatnią córką Ungolianty, Szelobą Wielką, która przetrwała na udrękę i nieszczęście dla świata.

Przed laty spotkał się z nią Gollum, trafił do niej Sméagol, zamiłowany w szperaniu po najciemniejszych jaskiniach, i wówczas już, za dawnych dni, złożył jej pokłon i oddał hołd; odtąd jej przewrotna wola i złowrogie siły towarzyszyły mu stale w tułaczce, nie dopuszczając do niego światła ani skruchy. Przyrzekł jej dostarczać żeru, lecz nie podzielał jej łakomstwa. Szeloba bowiem nie wiedziała nic o wieżach, pierścieniach i przemyślnych dziełach ludzkich rąk, nie dbała o te rzeczy, pragnęła tylko dla wszystkich innych istot śmierci, śmierci na ciele i duszy, dla siebie zaś samotnego życia i sytości; chciała jeść i puchnąć, tuczyć się, tak by wreszcie góry nie mogły jej pomieścić ani ciemności objąć.

Ale do spełnienia tych marzeń było jeszcze daleko, od dawna głodowała, kryjąc się w swojej jaskini, podczas gdy moc Saurona rosła, a wszelkie żyjące stworzenia unikały jego krainy. Grody nad doliną stały martwe, nie zbliżał się tutaj człowiek ani elf, czasem tylko zabłąkany ork trafiał w sieci Szeloby. Marna to była strawa i niełatwa do złowienia. Pajęczyca musiała coś jeść, chociaż więc orkowie pracowicie budowali coraz to nowe zawiłe ścieżki z przełęczy do swojej wieży, umiała zawsze jakimś podstępem usidlić ofiary. Tęskniła jednak do smaczniejszego mięsa. I wreszcie Gollum dostarczył jej upragnionych przysmaków.

– Zobaczymy, zobaczymy – powtarzał, ilekroć wpadał w najgorszy humor podczas wędrówki ze wzgórz Emyn Muil do Doliny Morgul. – Zobaczymy. Kto wie, tak, może się zdarzyć, kiedy ona odrzuci kości i puste ubrania, że znajdziemy nasz skarb, zapłatę dla biednego Sméagola za smaczne jadło. Uratujemy skarb, dotrzymamy przyrzeczenia. Tak, tak. A kiedy skarb będziemy mieli zabezpieczony, ona też dowie się o tym, jej także odpłacimy z nawiązką.

Tak rozmyślał w najskrytszym zakątku chytrego mózgu, spodziewając się, że zdoła przed Szelobą zataić własne plany, gdy korzystając ze snu hobbitów, poszedł, żeby się przed nią pokłonić.

Co do Saurona, to wiedział on, gdzie się gnieździ Szeloba. Był zadowolony, że osiedliła się w bliskości jego twierdzy, głodna, lecz nieposkromiona w swej przewrotności; strzegła starej ścieżki do jego kraju lepiej niż wszystkie straże i zapory, jakie by mógł tam postawić. Orków jej nie żałował, bo chociaż jako niewolnicy byli mu użyteczni, miał ich niezliczone tysiące. Jeśli od czasu do czasu Szeloba złowiła któregoś, żeby zaspokoić swój apetyt, Sauron nie żywił do niej pretensji, jeden ork więcej czy mniej nic nie znaczył. Jak człowiek rzuca niekiedy ochłap swojej kocicy (nazywając ją „swoją” kotką, lecz nawzajem nie przyznając jej prawa do siebie), tak Sauron czasem posyłał Szelobie w darze jeńców, z których nie mógł mieć żadnego pożytku. Kazał nieszczęśników wrzucać do jaskini i opowiadać sobie potem, jak się pajęczyca z nimi zabawiała.

Żyli więc oboje, każde zajęte własnymi planami, nie lękając się napaści, buntu ani wstrząsu, który by mógł ich nikczemnej władzy położyć kres. Nigdy jeszcze nawet mucha nie wymknęła się z sieci Szeloby, a w ostatnich czasach pajęczyca była bardziej niż kiedykolwiek rozjuszona i głodna.

Biedny Sam nic jednak nie wiedział o złych siłach, które przeciw sobie rozpętali, czuł tylko rosnący strach przed niewidzialnym niebezpieczeństwem; ten strach tak mu ciążył, że biegł, uginając się pod jego brzemieniem, i nogi miał jak z ołowiu.

Zewsząd otaczała go groza, przed nim na przełęczy czuwały nieprzyjacielskie straże, a jego ukochany pan pędził jak urzeczony na ich spotkanie, nie zachowując ostrożności. Odwracając wzrok od cieni, które zostawiał za sobą, i od głębokiego mroku zalegającego pod urwiskiem od lewej strony, Sam spojrzał przed siebie i zobaczył dwie rzeczy, które tym bardziej spotęgowały jego trwogę. Spostrzegł, że miecz, wciąż obnażony i wzniesiony w ręku Froda, lśni błękitnym płomieniem, spostrzegł też, że chociaż niebo w oddali ściemniało, w oknie wieży błyszczy krwawe światło.

– Orkowie! – jęknął Sam. – Przebojem nic tu nie zwojujemy. Wkoło pełno orków, a może gorszych jeszcze potworów.

Szybko nawracając do starego nawyku skrytości, zacisnął pięść na cennym flakoniku Galadrieli, który wciąż trzymał w ręku. Dłoń przez chwilę przebłyskiwała czerwienią żywej krwi. Hobbit jednak zaraz wsunął świecący zdradziecko kryształ głęboko do kieszeni na piersi i otulił się szczelnie szarym płaszczem elfów. Spróbował przyspieszyć kroku. Odległość między nim a Frodem rosła, już ich dzieliło ze dwadzieścia długich kroków; Frodo mknął jak cień, jeszcze chwila, a miał zniknąć swemu słudze z oczu, roztapiając się w szarzyźnie świata.

Ledwie Sam zdążył ukryć blask gwiezdnego szkiełka, gdy pojawiła się Szeloba. Nieco na lewo przed sobą ujrzał Sam znienacka najobrzydliwszą stworę, jaką w życiu spotkał, okropniejszą od najstraszliwszych sennych koszmarów. Z budowy podobna do pająka, lecz większa od największych drapieżnych zwierząt, zdawała się bardziej od nich przerażająca, ponieważ w jej bezlitosnych oczach czaił się złowrogi, świadomy zamysł. Oczy, wbrew złudzeniom hobbitów nieposkromione i nieulękłe, świeciły znowu złym blaskiem. Biegła z wysuniętą naprzód głową, z której sterczały wielkie rogi; za krótką sztywną szyją ciągnął się ogromny spęczniały kadłub z wypiętym, wydętym brzuchem, obwisłym i kołyszącym się między nogami. Cielsko całe było czarne, upstrzone sinymi plamami, lecz brzuch, białawy i świecący, ział okropnym smrodem. Nogi miała przygięte,

z wielkimi supłami stawów sterczącymi aż ponad grzbiet, owłosione szczeciną twardą jak stalowe kolce, a na każdej ostry pazur.

Gdy raz zdołała przecisnąć miękki rozpuchły kadłub i pogięte kończyny przez górny wylot swej jaskini, poruszała się z przerażającą zwinnością, to biegnąc na skrzypiących nogach, to sadząc susami. Znalazła się między Samem a jego panem. Albo nie spostrzegła Sama, albo wolała go na razie pominąć jako tego, który miał przy sobie świecący kryształ, bo wszystkie siły skupiła na pościgu za jedną ofiarą, za Frodem, pozbawionym świecącego szkiełka i biegnącym zuchwale środkiem ścieżki, nieświadomym jeszcze grożącego niebezpieczeństwa. Pędził, ale Szeloba była szybsza od niego. Jeszcze parę susów, a pochwyci go niechybnie.

Sam jęknął i dobywając resztek sił z piersi, wrzasnął:

– Uwaga! Panie Frodo, niech pan się obejrzy! Ja…

Nagle głos uwiązł Samowi w gardle. Długa, lepka ręka zatkała mu usta, jakieś macki oplotły mu nogi. Zaskoczony, upadł do tyłu, prosto w ramiona napastnika.

– Mamy go! – syknął Gollum nad jego uchem. – Wreszcie go mamy, mój skarbie, mamy w garści wstrętnego hobbita. Tego sobie zatrzymamy. Ona weźmie drugiego. Tak, tak, jego weźmie Szeloba, nie Sméagol, bo Sméagol przyrzekł, że nie tknie, nie skrzywdzi dobrego pana. Ale ciebie Sméagol ma w garści, wstrętny, podły złodzieju.

I plunął na kark Samowi.

Oburzony zdradą, zrozpaczony, że wstrzymano go w pędzie, gdy biegł na ratunek zagrożonemu śmiertelnie panu, Sam znalazł w sobie zapał i siły, których Gollum nigdy się nie spodziewał po flegmatycznym, głupim hobbicie, za jakiego go uważał. Nawet Gollum nie umiałby zwinniej wywijać się z uścisku i zawzięciej walczyć niż Sam w tej chwili. Szarpnął głową, wyzwalając się od kneblującej usta łapy, dał nura i znów rzucił się gwałtownie naprzód, usiłując uwolnić się od drugiej łapy Golluma, zaciśniętej na jego karku. Miecz trzymał wciąż w garści, a na lewym ramieniu, zawieszoną na rzemiennej pętli, miał laskę, dar Faramira. Rozpaczliwie próbował odwrócić się i dźgnąć sztychem przeciwnika, lecz Gollum był bardzo zwinny. Błyskawicznie wyciągnął prawe ramię i chwycił Sama za przegub ręki. Palce miał twarde jak żelazne kleszcze; z wolna, nieubłaganie zginał dłoń hobbita, aż Sam z okrzykiem bólu

wypuścił miecz na ziemię. Druga ręka Golluma przez cały czas zaciskała się na jego gardle.

Wówczas Sam spróbował ostatniego fortelu. Odchylił się od Golluma i ze wszystkich sił zaparł nogami o ziemię, po czym nagle, odepchnąwszy się stopami od gruntu, runął z rozmachem na plecy. Nie spodziewając się tak prostej sztuki, Gollum, pchnięty znienacka, padł także, a krępy hobbit całym swoim ciężarem przycisnął mu brzuch. Gollum syknął przeraźliwie i na okamgnienie rozluźnił uchwyt palców na gardle Sama, lecz nie puścił przegubu jego prawej ręki. Sam szarpnął się, odsunął od przeciwnika, wstał, okręcił się błyskawicznie w prawo wokół ręki uwięzionej w uścisku Golluma. Lewą ręką chwycił laskę i śmignął nią z rozmachem po wyciągniętym ramieniu przeciwnika, trafiając go tuż pod łokciem.

Gollum zawył i wypuścił z garści napięstek Sama. Wtedy Sam przeszedł do ataku. Nie tracąc czasu na przerzucanie laski z lewej do prawej ręki, rąbnął z furią po raz drugi. Gollum zwinny jak jaszczurka skręcił się cały, toteż cios przeznaczony dla jego głowy spadł na grzbiet. Laska pękła z trzaskiem. Tego już było Gollumowi za wiele. Z dawna wyćwiczył się w napaściach zza pleców i rzadko zawodziła go ta sztuka. Tym razem, zaślepiony złością, popełnił błąd: pozwolił sobie gadać i chełpić się, nim obie ręce zacisnął ofierze na gardle. Cały jego piękny plan załamał się, odkąd w ciemnościach niespodzianie błysnęło straszliwe światło. A teraz znalazł się twarzą w twarz z rozwścieczonym przeciwnikiem, niewiele od niego mniejszym. Nie lubił takiej walki. Sam chwycił z ziemi miecz i podniósł go w górę. Gollum wrzasnął i odskakując na czworakach w bok, dał susa niby żaba. Zanim Sam do niego dobiegł, już był daleko, pędząc z zawrotną szybkością z powrotem w stronę tunelu. Z mieczem w ręku Sam ruszył za nim. Przez chwilę zapomniał o całym świecie, czerwona mgła przesłoniła mu oczy, wiedział tylko jedno: że chce zabić Golluma. Lecz Gollum zniknął. Dopiero na widok czarnego wylotu jamy i owiany bijącym z niej smrodem Sam nagle oprzytomniał. Jak piorun poraziła go myśl o Frodzie ściganym przez poczwarę. Zawrócił na pięcie i co sił w nogach puścił się ścieżką pod górę, wykrzykując imię pana. Ale już było za późno. Przynajmniej ta część planu Golluma nie zawiodła.

ROZDZIAŁ 10
SAM W ROZTERCE

Frodo leżał twarzą do ziemi, a poczwara schylała się nad nim, tak zajęta jeńcem, że nie zwracała uwagi na krzyk Sama, póki hobbit nie znalazł się tuż przy niej. Nadbiegając, stwierdził, że Frodo jest związany postronkami, oplatającymi go od kostek do ramion, a poczwara ogromnymi przednimi kończynami już go dźwiga, żeby powlec do swej jamy.

Miecz roboty elfów błyszczał u boku Froda na ziemi, tak jak wypadł mu z ręki, nim zdążył spróbować obrony. Sam nie miał czasu zastanawiać się, co robić, ani też stawiać sobie pytania, czy popycha go do czynu męstwo, wierność wobec Froda, czy też wściekły gniew. Z wrzaskiem skoczył naprzód, chwycił w lewą rękę miecz swego pana. Wtedy natarł. Takiej furii nie widział chyba nigdy świat nawet wśród zwierząt, gdy doprowadzone do rozpaczy małe stworzonko uzbrojone ledwie w kilka zębów rzuca się samotnie na okrytego rogową łuską i grubą skórą smoka, który stoi nad jego powalonym towarzyszem.

Jakby zbudzona tym wątłym okrzykiem z lubieżnego rozmarzenia Szeloba z wolna obróciła na Sama okrutne, złośliwe spojrzenie. Lecz zanim zdążyła zrozumieć, że czeka ją rozprawa z męstwem, jakiego od niepamiętnych czasów nie spotkała u swych przeciwników, lśniące ostrze dosięgło jej stopy, odrąbując pazur. Sam skoczył między nogi poczwary i błyskawicznym ruchem dźgnął w straszliwe oko, którego mógł dosięgnąć, bo poczwara miała głowę pochyloną. Jedno oko zgasło.

Mały przeciwnik znalazł się więc pod jej kadłubem i na razie nie mogła go dosięgnąć żądłem ani pazurami. Ogromny jej brzuch lśnił nad hobbitem, a bijący od cielska pajęczycy smród przyprawiał go niemal o omdlenie. Starczyło mu mimo to zaciekłości na jeden jeszcze cios, a potem, nim Szeloba mogła zmiażdżyć go i zdusić w nim wraz z życiem płomień jego odwagi, Sam z siłą rozpaczy chlasnął drugą ręką, w której dzierżył własny mieczyk, po podbrzuszu poczwary.

Ale Szeloba nie miała, jak smoki, nieopancerzonych miejsc na swym ciele prócz oczu. Jej skóra w ciągu wieków okryła się obrzydliwymi guzami, lecz wskutek nawarstwienia całych pokładów narośli stała się

jeszcze grubsza. Ostrze naznaczyło ją okropną szramą, lecz tych odrażających fałdów nie mogła przebić siła człowieka, nie dokonałaby tego nawet ręka Berena czy Túrina, uzbrojona w stal wykutą w kuźniach elfów lub krasnoludów. Szeloba wzdrygnęła się pod ciosem i zakołysała olbrzymim worem brzucha wysoko nad głową Sama. Z rany wysączył się kroplisty, spieniony jad. Rozsuwając nogi, poczwara opuściła kadłub, żeby zmiażdżyć śmiałka. Lecz pospieszyła się zanadto. Sam trzymał się jeszcze prosto na nogach i porzuciwszy własny miecz, chwycił oburącz miecz elfów, nastawił go ostrzem do góry, by przebić nim potworny strop nad swoją głową; Szeloba w morderczych zamiarach opuściła tułów i z impetem, jakiego by nie miał cios wymierzony przez najpotężniejszego nawet wojownika, sama nadziała się na ostry stalowy kolec. Wpijał się on coraz głębiej w jej cielsko, w miarę jak hobbit, z wolna przyciskany, chylił się ku ziemi.

W ciągu wieków swego przewrotnego żywota Szeloba nigdy nie zaznała równie okrutnego bólu ani nawet nie wyobrażała sobie podobnego cierpienia. Najtęższi rycerze prastarego Gondoru, najdziksi złowieni w sieć orkowie nigdy nie zadali jej takiego ciosu i nikt dotąd nie wraził ostrego żelaza w to cielsko, które poczwara kochała i pielęgnowała. Dreszcz ją przebiegł. Dźwignąwszy znów kadłub w górę, usiłując uciec od bólu, przygięła nogi i konwulsyjnym susem odskoczyła wstecz.

Sam padł na kolana tuż obok głowy Froda. Zmysły mącił mu ohydny zaduch, ale ściskał wciąż oburącz głowicę miecza. Przez mgłę zasłaniającą oczy widział niewyraźnie twarz Froda i uporczywie walczył teraz z własną słabością, żeby otrząsnąć się z omdlenia. Powoli uniósł głowę i zobaczył, że Szeloba zatrzymała się o kilka zaledwie kroków od niego, śledząc go wzrokiem; z pyska kapały jej krople jadu, z ranionego oka ściekała zielona ropa. Przycupnęła rozdygotana, miękkim cielskiem przylgnęła do ziemi, pogięte nogi drżały. Zbierała się do skoku, tym razem gotowa jednym zamachem zmiażdżyć i zakłuć na śmierć przeciwnika. Zwykle wsączała tylko małą dawkę trucizny w ciało ofiary, żeby ją obezwładnić, lecz dziś płonęła przede wszystkim żądzą mordu, by dopiero martwe ciało rozedrzeć na sztuki.

Sam także przysiadł i patrzył, widząc niechybną śmierć wyzierającą z oczu poczwary. W tym momencie zaświtała mu pewna myśl, jakby podszepnięta z oddali przez czyjś obcy głos; sięgnął lewą ręką za pazuchę i

znalazł to, czego szukał: zimny, twardy, oporny wydał mu się pod palcami kryształowy flakonik Galadrieli, kiedy go ścisnął w ręku pośród koszmarów tego złowrogiego kraju.

– Galadrielo! – szepnął słabo i usłyszał głosy odległe, lecz czyste i wyraźne: okrzyki elfów wędrujących pod gwiazdami w miłych, cienistych lasach Shire'u, muzykę elfów usłyszaną niegdyś w półśnie w Sali Kominkowej w domu Elronda.

Gilthoniel A Elbereth!

Język mu się rozluźnił. Sam zawołał w mowie elfów, chociaż wcale nie wiedział, że ją zapamiętał:

A Elbereth Gilthoniel
o menel palan-diriel,
le nallon si di'nguruthos!
A tiro nin, Fanuilos!

Z tym wołaniem dźwignął się, stanął i znów był sobą, hobbitem, Samem, synem Hamfasta.

– Chodź no tu, wstrętna poczwaro! – krzyknął. – Zraniłaś mego pana, bestio, zapłacisz mi za to. Pilno nam w dalszą drogę, ale z tobą rozprawimy się zaraz. Chodź no, niech cię jeszcze połechcę tym Żądłem.

Flakonik Galadrieli nagle rozjarzył się niby biała pochodnia w jego ręku, jakby nieujarzmiony duch hobbita udzielił mu swego żaru. Kryształ płonął jak gwiazda, gdy, spadając, rozcina ciemność nocy olśniewającym blaskiem. Nigdy jeszcze tak groźny ogień z niebios nie zaświecił Szelobie w oczy. Jego promienie, przenikając do zranionej głowy pajęczycy, piekły nieznośnie, a groza światła wzmagała się, pomnożona w mnóstwie źrenic. Szeloba cofnęła się, trzepiąc przednimi kończynami w okropnych męczarniach. Wreszcie odwróciła zbolałą głowę, odsunęła się na bok, drapiąc pazurami skałę zaczęła się czołgać ku ziejącemu w czarnym urwisku wylotowi jaskini.

Sam szedł za nią. Zataczał się jak pijany, ale szedł wytrwale.

Szeloba, wreszcie poskromiona, skurczona ze strachu, podrygiwała i miotała się, usiłując jak najprędzej uciec przed hobbitem. Dotarła do wylotu

nory i wcisnęła się do wnętrza, znacząc ślad żółtozieloną posoką; nim znikła, Sam zdołał jeszcze raz rąbnąć mieczem po wlokących się za kadłubem tylnych odnóżach. Potem wyczerpany padł na ziemię.

Szeloba zniknęła. Nie należy do tej historii opowieść o dalszych jej losach: może przetrwała w swej kryjówce długie lata, wściekła i nieszczęśliwa, aż z wolna wśród nocy zagoiły się jej wnętrzności, wyzdrowiały oczy, a wówczas śmiertelny głód znów kazał jej snuć straszliwe sieci na ścieżkach i w dolinach Gór Cienia.

Sam został na pobojowisku, a kiedy wieczór Bezimiennego Kraju zapadł, powlókł się do swego pana.

– Panie Frodo, ukochany mój panie! – wołał, lecz Frodo nie odzywał się ani słowem. Kiedy bowiem biegł upojony wolnością, Szeloba dopędziła go i błyskawicznie wbiła zatrute żądło w jego kark. Leżał teraz blady, nie słyszał nic, nie poruszał się wcale.

– Panie, ukochany mój panie! – powtórzył Sam i długą chwilę czekał wśród ciszy na odpowiedź. Na próżno!

Wówczas, jak mógł najprędzej, poprzecinał obezwładniające Froda więzy i przytknął twarz najpierw do jego piersi, potem do ust; nie wyczuł jednak tchnienia życia ani najlżejszego bodaj drgnięcia serca. Ustawicznie rozcierał mu ręce i stopy, dotykał czoła, lecz czoło Froda pozostało zimne.

– Frodo! Panie Frodo! – wołał. – Nie opuszczaj mnie! Usłysz, to twój Sam cię wzywa! Nie odchodź tam, dokąd nie mogę iść z tobą. Zbudź się! Zbudź się, kochany, kochany panie Frodo! Zbudź się, wstań!

Gniew zakipiał w sercu Sama, hobbit zaczął się motać wokół ciała swego pana, z furią siekąc mieczem powietrze, rąbiąc kamienie, krzykiem wyzywając nieprzyjaciół. Wreszcie wrócił do Froda, pochylił się i zapatrzył w jego twarz bladą w szarzyźnie zmierzchu. Nagle spostrzegł, że jest w tej chwili postacią z obrazu, który mu objawiło kiedyś zwierciadło Galadrieli w Lórien. Widział przecież wtedy Froda pobladłego, pogrążonego w głębokim śnie pod ogromnym urwiskiem skalnym. Wówczas myślał, że Frodo śpi. „Ale on umarł! – powiedział sobie teraz. – To nie sen, to śmierć!”. I w tym momencie, jakby tymi słowami wspomógł siłę trucizny, wydało się Samowi, że bladość na twarzy Froda przybrała sinozielony odcień.

Ogarnęła go czarna rozpacz. Skulił się na ziemi, nasunął szary kaptur na czoło, noc zawładnęła jego sercem i stracił przytomność.

Gdy wreszcie ta czarna noc przeminęła, Sam otworzył oczy: otaczały go cienie i nie wiedział, ile minut, czy może godzin, upłynęło na świecie od tamtego momentu. Siedział na tym samym miejscu; a Frodo leżał obok niego, martwy. Góry nie zawaliły się, ziemia nie rozsypała się w gruzy.

– Co teraz pocznę, co pocznę! – rzekł. – Czy zaszedłem tak daleko za moim panem na próżno?

Nagle zabrzmiał mu w uszach własny głos wymawiający słowa, których podówczas, na początku wyprawy, nie mógł zrozumieć: „Zanim się skończy wędrówka, będę miał ja także coś do zrobienia. Muszę być z panem do końca, niech pan to wie, panie Frodo!”.

– Ale co mogę zrobić? Zostawić pana Froda martwego, bez pogrzebu, tu, wśród gór, i wracać do domu? Czy iść dalej? Dalej? – powtarzał; na chwilę opanowały go zwątpienie i strach. – Iść dalej? Czy to powinienem zrobić? Opuścić Froda?

W końcu zaczął płakać. Ułożył ciało Froda jak do wiecznego spoczynku, skrzyżował jego zimne ręce na piersi, owinął płaszczem, własny miecz dał mu do boku, a z drugiej strony laskę daną na drogę przez Faramira.

– Jeśli mam iść dalej – powiedział – muszę wziąć pański miecz, panie Frodo, niech mi pan wybaczy. Swój za to położę przy panu, wedle obyczaju dawnych królów śpiących pod Kurhanami. Ma pan też na sobie piękną zbroję z mithrilu, dar starego pana Bilba. Gwiezdne szkiełko, którego mi pan użyczył, zatrzymam, będzie mi bardzo potrzebne, bo odtąd zawsze już będę szedł w ciemnościach. To dar zbyt piękny dla mnie, Pani Galadriela dała go panu, panie Frodo, ale może zrozumie i wybaczy. Pan wybacza, prawda? Muszę przecież iść dalej.

Nie mógł się jednak zdobyć na wyruszenie w dalszą drogę, jeszcze nie. Klęczał, trzymając Froda za rękę, nie wypuszczał jej z uścisku. Czas płynął, a Sam trwał tak na klęczkach, tuląc dłoń swego pana, z rozterką w duszy.

Usiłował zebrać siły, żeby oderwać się i ruszyć na samotną wędrówkę – w imię zemsty. Gdyby raz wyruszył z miejsca, gniew niósłby go wszystkimi drogami świata, dopóki nie odnalazłby w końcu Golluma. Wtedy Gollum zginąłby z jego ręki. Ale przecież nie po to podjęto

wyprawę. Dla takiego celu nie byłoby warto opuszczać Froda. Zemsta go nie wskrzesi. Nic go już nie wskrzesi. Lepiej umrzeć z nim razem. Ale to by także oznaczało samotną daleką podróż.

Spojrzał na lśniące ostrze miecza. Pomyślał o miejscach w górach, gdzie za czarną krawędzią otwiera się pustka przepaści. Nie, to nie była droga ucieczki. To by oznaczało wyrzeczenie się wszelkiego czynu, a nawet żałoby. Nie po to Sam wyruszył z domu.

– Co począć?! – krzyknął głośno i wydało mu się, że słyszy wyraźnie odpowiedź: wytrwać do końca. Iść dalej w nową samotną drogę, gorszą niż wszystkie dotychczasowe.

„Jak to? Samotnie iść do Szczelin Zagłady? – Wzdragał się przed tą decyzją, ale już mu się narzucała z całą siłą. – Jak to? Zabrać panu Frodowi Pierścień? Ja? Przecież Rada jemu go powierzyła!”

Lecz odpowiedź nasunęła się błyskawicznie: „Rada przydała mu też towarzyszy podróży, aby zadanie zostało spełnione bez zawodu. Ty jesteś ostatnim towarzyszem, który przy nim wytrwał. Zadanie musi być spełnione”.

– Czemuż to ja zostałem z nim jako ostatni towarzysz! – jęknął Sam. – Czemuż nie stary Gandalf lub ktoś inny z kompanii! Czemuż to ja właśnie muszę rozstrzygać teraz o wszystkim bez niczyjej pomocy i rady! Z pewnością omylę się w wyborze. Wcale też się nie godzi, żebym to ja niósł Pierścień i sięgał po pierwszą rolę!

„Ależ to nie ty po nią sięgnąłeś, to los wypchnął cię na czołowe miejsce. Racja, nie jesteś dość ważną i odpowiednią osobą, ale nie był nią też, prawdę rzekłszy, ani Frodo, ani Bilbo. Nie z własnej ochoty wzięli na siebie ten obowiązek”.

– No, niech będzie. Muszę się więc zdecydować. Zdecyduję coś. Ale z pewnością pobłądzę. Sam Gamgee nie ma głowy do takich spraw.

Zastanówmy się: jeżeli tu przyłapią mnie albo znajdą pana Froda i przy nim Pierścień, zagarnie go Nieprzyjaciel. To by oznaczało koniec dla nas wszystkich, dla Lórien, Rivendell, Shire’u i reszty naszego świata. Nie ma czasu do stracenia, bo tak czy owak wszystko się zawali. Wojna już zaczęta, a bardzo prawdopodobne, że Nieprzyjaciel bierze w niej górę. Nie mogę wrócić po radę i pełnomocnictwa. Mam do wyboru: albo siedzieć tu i czekać, aż łotry przyjdą i zabiją mnie nad ciałem mego pana, a Pierścień

zabiorą, albo wziąć Pierścień i z nim pomaszerować dalej. – Sam westchnął głęboko. – No, więc biorę go i ruszam w drogę.

Schylił się nad Frodem. Delikatnym gestem rozpiął mu klamrę u szyi i wsunął rękę pod kurtkę; drugą ręką uniósł jego głowę, ucałował zimne czoło i ostrożnie zdjął łańcuszek. Ułożył znów głowę jak do snu. Spokojna twarz Froda nie drgnęła i to bardziej niż wszystkie inne objawy przekonało Sama, że jego pan naprawdę umarł i zaniechał swojej misji.

– Żegnaj, mój panie kochany! – szepnął. – Przebacz swojemu Samowi. Sam wróci tutaj, gdy spełni zadanie… jeżeli je zdoła spełnić! Wówczas już cię nie opuści. Śpij spokojnie, póki nie wrócę. Mam nadzieję, że nie zbliży się tu do ciebie żadne nikczemne stworzenie. Jeśli Pani Galadriela słyszy mnie i zechce spełnić moje życzenie, to mam tylko jedno jedyne: żebym mógł wrócić i odnaleźć ciebie. Żegnaj!

Schylając głowę, zarzucił sobie łańcuszek na szyję. W pierwszej chwili aż przygiął się pod brzemieniem, Pierścień niby ciężki kamień ciągnął go ku ziemi. Z wolna jednak ciężar malał, czy może Samowi sił przybywało, dość że wyprostował głowę, a potem z wysiłkiem podniósł się na nogi. Stwierdził, że może się poruszać i że udźwignie brzemię. Na chwilkę wyjął z ukrycia gwiezdne szkiełko i spojrzał na swego pana; dar Galadrieli jaśniał łagodnym blaskiem, jak wieczorna gwiazda w noc letnią, a w tym świetle twarz Froda miała znów piękną barwę, bladą, lecz podobnie jak twarze elfów szlachetną bladością istot, które odbyły długą wędrówkę przez ciemności. Unosząc w sercu żałosną pociechę tego ostatniego spojrzenia, Sam odwrócił się, schował kryształ i ruszył naprzód w gęstniejący mrok.

Nie miał dalekiej drogi. Tunel został za nim, a przed nim ciemniał żleb odległy o kilkaset zaledwie kroków. Ścieżkę widział wyraźnie, wydeptana od wieków wrzynała się głęboką koleiną wśród skał i wznosiła łagodnie długim jarem między urwistymi ścianami. Jar zwężał się znienacka. Sam znalazł się u stóp szerokich schodów o dość niskich stopniach. Wieża orków piętrzyła się teraz wprost nad jego głową, groźna i czarna, z jednym jedynym świecącym czerwono okiem. Hobbita na razie krył jej cień. Wspiął się na szczyt schodów i wreszcie stanął na przełęczy.

– Postanowiłem nieodwołalnie – powtarzał sobie, ale nie mógł się wyzbyć wątpliwości. Przemyślał decyzję, jak umiał najsumienniej, to

wszakże, co robił, sprzeciwiało się jego najgłębszej naturze. – Może się omyliłem? – mruczał. – Jak należało postąpić?

Gdy strome ściany żlebu zamykały się wokół niego, zanim dotarł na właściwy szczyt i spojrzał wreszcie na ścieżkę, która miała go sprowadzić w dół na drugą stronę gór, do Bezimiennego Kraju, odwrócił się raz jeszcze. Przez chwilę znieruchomiał szarpany rozterką i patrzył na przebytą drogę. Widział stąd jeszcze wylot tunelu niby czarny punkcik w narastających ciemnościach; miał wrażenie, że dostrzega też albo przynajmniej odgaduje miejsce, gdzie leży Frodo; zdawało mu się, że tam na ziemi coś lśni jasno, może jednak wprowadziły go w błąd łzy, wzbierające w oczach, gdy patrzył na ten kamienny, wzniesiony wysoko skrawek ziemi, na którym całe jego życie rozsypało się w proch.

– Żeby chociaż spełniło się moje życzenie! – westchnął. – Żebym chociaż mógł tam wrócić i odnaleźć Froda.

Wreszcie odwrócił się twarzą do ścieżki, którą miał iść dalej, i postąpił kilka kroków naprzód; nigdy jeszcze żaden krok w życiu nie kosztował go tyle wysiłku.

Tylko kilka kroków, jeszcze kilka następnych, a zacznie schodzić w dół i nigdy już nie ujrzy tego kamiennego wzniesienia pod urwiskiem. Nagle usłyszał jakieś głosy i krzyki. Stanął jak wryty. To były głosy orków. Musieli być wszędzie: przed nim i za nim. Tupot nóg i ochrypłe wrzaski: orkowie podchodzili na przełęcz od drugiego stoku, zapewne od którejś z bram wieży. Tupot nóg i nawoływania od drugiej strony. Sam odwrócił się w miejscu. Zobaczył czerwone światełka, pochodnie migocące daleko w dole: orkowie wychodzili z tunelu. Pułapka się zamykała. A więc czerwone oko wieży nie było ślepe. Sam zrozumiał, że jest zgubiony.

Chybotliwe światła pochodni i szczęk stali zbliżały się do niego od drugiego stoku bardzo szybko. Za chwilę znajdą się na szczycie i pochwycą go. Za wiele czasu stracił na namysły, teraz wszystko przepadło. Jakże zdoła się wymknąć, uratować siebie i Pierścień? Pierścień! Sam nie uświadamiał sobie żadnych myśli, nie podejmował świadomie decyzji. Nie wiedząc kiedy i jak, ściągnął przez głowę łańcuszek i wziął Pierścień do ręki. Tuż przed nim ukazały się już zza grzbietu góry pierwsze szeregi orków. I w tym momencie Sam wsunął Pierścień na palec.

Świat się nagle odmienił, w jednej sekundzie przemknęły hobbitowi przez głowę myśli długiej godziny. Zdał sobie sprawę, że słuch ma teraz wyostrzony, a wzrok przyćmiony, lecz inaczej niż podczas wędrówki przez jaskinię Szeloby. Wszystko wkoło wydawało się nie ciemne jak przedtem, lecz mętne. Znajdował się w świecie szarej mgły jak czarny solidny kamień, a Pierścień obciążający jego lewą rękę był jak gdyby krążkiem rozpalonego złota. Sam nie czuł się niewidzialny, lecz przeciwnie, przerażająco, całkowicie odsłonięty. Zrozumiał, że gdzieś czuwa Oko, które go szuka.

Słyszał trzask pękających kamieni i szmer wody w odległej Dolinie Morgul, i z oddali, spod ziemi, skowyt nieszczęsnej Szeloby błąkającej się na oślep po zakamarkach tunelu; słyszał głosy z lochów Wieży i krzyki orków wychodzących z jaskini, i ogłuszający, dudniący w uszach tupot nóg, i rozdzierający zgiełk orków, którzy ciągnęli ku niemu zza gór. Przylgnął do ściany urwiska. Tamci tymczasem maszerowali jak zastęp upiorów; szare zamazane sylwetki niosące blade płomienie zdawały się we mgle widmami strachu. Gdy przechodzili obok niego, Sam skulony usiłował wcisnąć się w jakąś szczelinę i zniknąć.

Nasłuchiwał. Orkowie ciągnący od strony tunelu i drugi oddział, schodzący długą kolumną z przełęczy na spotkanie pierwszego, zobaczyli się wzajemnie i z krzykiem biegli ku sobie. Słyszał wyraźnie ich głosy i rozumiał, co wołali. Może Pierścień pozwala rozumieć wszystkie języki, a może tylko przenikać myśli, zwłaszcza sług Saurona, swego twórcy, w każdym razie Sam, jeśli chciał, rozumiał i tłumaczył sobie na własną mowę to, co tamci krzyczeli. Pierścień widać nabrał tym większej potęgi, znalazłszy się tak blisko miejsca, z którego pochodził, ale nie miał mocy obdarzenia tego, kto go nosił, cnotą odwagi. Sam w tej chwili myślał wyłącznie o tym, żeby się ukryć, przyczaić i przeczekać, póki nie wróci cisza i spokój. Z trwogą wytężał słuch. Nie umiał określić, z jakiej odległości dochodzą głosy orków, zdawało mu się, że ich słowa rozbrzmiewają w jego uszach.

– Hej, Gorbag. Co tu robisz w górach? Czy ci się już sprzykrzyła wojna?

– Taki dostałem rozkaz, durny Szagracie. A co ty tutaj robisz? Znudziło ci się siedzieć w murach? Zachciało ci się wojować?

– Nic ci do tego. Tu, na przełęczy, ja rozkazuję, więc odzywaj się grzeczniej. Co masz do zameldowania?

– Nic.

– Hej! Hej! Hej! – wrzask przerwał rozmowę dwóch dowódców.

Orkowie, którzy zeszli pod przełęcz, zauważyli coś niezwykłego. Puścili się nagle pędem. Inni pobiegli ich śladem.

– Hej! Hola! Tu coś jest! Coś leży na drodze. Szpieg! Szpieg!

Zagrały zgrzytliwe rogi, podniósł się zgiełk i wrzawa.

Jakby piorun zbudził Sama z osłupienia. Orkowie spostrzegli Froda! Co z nim zrobią? Nieraz słyszał o orkach opowieści mrożące krew w żyłach. Nie, do tego nie można dopuścić! W okamgnieniu Sam wyrzekł się podjętej misji, wszystkich niedawnych postanowień, a razem z nimi wyzbył się nagle strachu i zwątpienia. Już wiedział, gdzie jest jego miejsce: u boku kochanego pana, jakkolwiek nie miał pojęcia, co będzie mógł zrobić w jego obronie. Zbiegł szybko po stopniach i dalej ścieżką z powrotem w dół.

„Ilu ich jest? – myślał. – Trzydziestu, czterdziestu w oddziale z Wieży, więcej niż drugie tyle w tym, który nadszedł z tunelu. Ilu zdołam ukatrupić, zanim mnie obezwładnią? Gdy wyciągnę miecz z pochwy, zobaczą jego błysk i prędzej czy później złapią mnie. Ciekawe, czy też kiedyś jakaś pieśń wspomni, jak Sam poległ na górskiej przełęczy, kładąc wał z trupów nieprzyjaciół wokół zwłok swojego pana. Nie, nie będzie takiej pieśni. Oczywiście! Orkowie znajdą Pierścień i nie będzie już na świecie żadnych pieśni. Trudno. Moje miejsce jest przy panu. Muszą to w swej mądrości zrozumieć wszyscy: Elrond, cała Rada, wielcy władcy i władczynie. Ich plany zawiodły. Ja nie nadaję się na Powiernika Pierścienia. Bez pana Froda jestem do niczego”.

Tymczasem orkowie zniknęli sprzed jego zamglonych oczu. Sam dotąd nie zważał na własne zmęczenie, lecz nagle uświadomił sobie, że jest niemal u kresu sił. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Posuwał się o wiele za wolno. Miał wrażenie, że ścieżka wyciągnęła się na całe mile przed nim. Gdzież w tej mgle podziali się orkowie? Zobaczył ich znowu po chwili. Byli już daleko. Całą gromadą cisnęli się wokół leżącego na ziemi ciała. Kilku rozbiegło się na wszystkie strony jak psy węszące trop. Sam z trudem poderwał się do szybszego biegu.

– Żywo, Samie – mówił sobie – bo znowu się spóźnisz!

Obluźnił miecz w pochwie. Za chwilę dobędzie go, a wtedy…

Buchnął dziki wrzask, pohukiwania i śmiechy; orkowie dźwigali ciało z ziemi.

– *Ya hoi! Ya horri hoi!* Nuże!

Potem pojedynczy głos krzyknął:

– Bierzcie go! Najkrótszą drogą do Dolnej Bramy. Szeloba z pewnością nie będzie nam dziś przeszkadzała.

Orkowie całą bandą ruszyli z miejsca. Pośrodku czterech niosło wysoko w ramionach ciało Froda.

– *Ya hoi!*

Zabrali Froda. Zniknęli. Sam nie mógł ich doścignąć. Wlókł się z wysiłkiem za nimi, lecz orkowie już dotarli do wylotu tunelu i wchodzili w podziemia: czterech dźwigających ciało hobbita na przodzie, reszta za nimi, cisnąc się i tłocząc bezładnie. Sam wciąż brnął naprzód. Dobył miecza, który błękitnym blaskiem świecił w jego drżącej ręce, ale orkowie nic nie spostrzegli. Kiedy bez tchu dobiegł wreszcie pod wylot tunelu, ostatni szereg orków już znikał w czarnej jamie.

Przez chwilę Sam stał, dysząc ciężko i ręką przyciskając serce. Potem przesunął rękawem po twarzy, ocierając kurz, pot i łzy.

– Łotry przeklęte! – jęknął i skoczył za nimi w ciemność.

Teraz jednak ciemność tunelu nie wydała mu się tak czarna jak poprzednio, miał tylko wrażenie, że z lekkiej mgły wszedł w gęściejszą. Z każdą chwilą bardziej czuł się znużony, ale zacinał się tym mocniej w uporze. Zdawało mu się, że dostrzega przed sobą dość niedaleko pochodnie, lecz mimo wysiłków nie mógł ich dogonić. Orkowie poruszają się szczególnie zwinnie w podziemiach, a ten tunel w dodatku znali dobrze, bo mimo strachu przed Szelobą często musieli go używać jako najkrótszej drogi z Martwego Grodu na drugą stronę gór. Nie wiedzieli, jak dawno w zamierzchłej przeszłości powstał główny tunel i wielki okrągły szyb, który od wieków Szeloba obrała sobie za siedzibę; sami jednak zbudowali liczne boczne korytarze i wyjścia na różne strony, żeby umożliwić sobie ratunek przed napaścią pajęczycy, gdy z rozkazu swego władcy musieli tędy

przechodzić. Tego wieczora nie zamierzali zapuszczać się daleko w głąb jaskini, spieszyli prosto do korytarza, który prowadził do wieży strażniczej na urwisku. Większość cieszyła się i głośno tryumfowała z powodu dokonanego odkrycia, toteż biegnąc, zgodnie ze zwyczajem swego plemienia objawiała radość bełkotem i wrzaskiem. Sam słyszał gwar ochrypłych głosów, bezdźwięczny i stłumiony w nieruchomym zaduchu podziemi, i rozróżniał pośród chóru dwa głosy prowadzące z sobą rozmowę. Głosy te brzmiały donośniej i bliżej niż inne. Dowódcy obu oddziałów zamykali najwidoczniej pochód, gawędząc w marszu.

– Czy nie mógłbyś uciszyć tej swojej hołoty, Szagracie? – gniewnie mówił pierwszy głos. – Ściągną nam Szelobę na kark.

– Dajże spokój, Gorbagu. Twoi hałasują tak samo jak moi – odparł drugi głos. – Niech się chłopcy nacieszą. Na razie, o ile mi wiadomo, Szeloba nie jest groźna. Jak się zdaje, siadła na gwoździu. Nie będziemy z tego powodu płakali, co? Czyś nie zauważył śladów posoki na całej drodze od wejścia aż do tej przeklętej dziury? Ten jeden raz pozwólmy się chłopakom pobawić. Niech się śmieją. Mieliśmy szczęście, wreszcie znaleźliśmy coś, czego Lugbúrz szuka.

– Lugbúrz tego szuka, naprawdę? A co to właściwie za stwór? Trochę wygląda na elfa, ale za mały. Czy taki pokurcz może być niebezpieczny?

– Nie wiem, póki mu się lepiej nie przyjrzę.

– Aha! Nie powiedziano ci więc wyraźnie, czego masz szukać? Nam nigdy nie mówi się wszystkiego. Nawet połowy tego, co wiedzą zwierzchnicy. Ale i oni czasem się mylą, nawet ci najwyżsi.

– Ciszej, Gorbacie! – Szagrat zniżył głos tak, że Sam mimo niezwykle wyostrzonego słuchu ledwie go słyszał. – Może się czasem mylą, ale wszędzie mają oczy i uszy, dałbym głowę, że nie brak ich nawet wśród moich żołnierzy. Jedno jest pewne, że zwierzchnicy mają jakieś kłopoty. Wedle wieści, które przyniosłeś z dolin, Nazgûlowie są zaniepokojeni, a ja wiem, że w Lugbúrzu także się czymś kłopoczą. Coś omal nam się nie wymknęło.

– Omal, powiadasz! – rzekł Gorbag.

– Tak, ale pogadamy o tym później – odparł Szagrat. – Poczekaj, aż znajdziemy się na Dolnej Ścieżce. Tam jest taki kącik, gdzie można

bezpiecznie pogawędzić, kiedy chłopcy pójdą naprzód.

W chwilę potem łuczywa zniknęły sprzed oczu Sama. Coś zgrzytnęło i huknęło, a gdy Sam podbiegł bliżej, rozległ się głuchy łoskot. Domyślał się, że orkowie skręcili i poszli tym samym bocznym korytarzem, na który hobbici natknęli się w drodze przez tunel, stwierdzając, że jest zawalony ogromnym głazem. Głaz był w dalszym ciągu na miejscu.

Orkowie jednak ominęli go jakimś sposobem, bo słychać było ich głosy w korytarzu. Biegli naprzód, coraz dalej w głąb góry, wracając do Wieży. Sama ogarnęła rozpacz. Unosili przecież ciało jego pana, z pewnością w nikczemnych zamiarach, a on nie mógł za nimi podążyć. Rzucił się na głaz, próbując go odepchnąć, lecz przeszkoda nie ustąpiła. Nagle po drugiej stronie, bardzo blisko, jak się wydało hobbitowi, zabrzmiały znów głosy dwóch dowódców, ciągnących swą pogawędkę. Sam znieruchomiał i nadstawił uszu w nadziei, że z tej rozmowy dowie się czegoś użytecznego. Myślał też, że Gorbag, który należał, jak wynikało z jego słów, do załogi Minas Morgul, zechce może wrócić i wówczas otworzy mu drogę do korytarza.

– Nie wiem – mówił Gorbag. – Na ogół wiadomości dochodzą szybciej, niż ptak doleciał. Nie pytałem jednak, jakim sposobem to się dzieje. Bezpieczniej nie pytać. Brr! Ciarki po mnie chodzą, kiedy widzę tych Nazgûlów. Jak spojrzą na ciebie, to masz wrażenie, że cię oczyma ze skóry obłupili, że się znalazłeś na zimnie i w ciemnościach, z dala od swoich. Ale on ich lubi, to teraz jego ulubieńcy, więc nie pomogą skargi. Powiadam ci, służba w stolicy to dzisiaj bardzo ciężki kawałek chleba.

– Spróbowałbyś życia w tych górach, w najbliższym sąsiedztwie Szeloby! – odparł Szagrat.

– Wolałbym się znaleźć z dala i od Nazgûlów, i od niej. Ale teraz mamy wojnę, potem może będzie lżej.

– Na wojnie dobrze się nam wiedzie, jak mówią.

– Mówią, co chcą – mruknął Gorbag. – Zobaczymy. W każdym razie, jeśli powiedzie się rzeczywiście, będzie dla nas więcej miejsca na świecie. Jak myślisz, gdyby się trafiła sposobność, warto by we dwóch wywędrować cichcem z kilku dobranymi, zaufanymi chłopakami i na własną rękę urządzić się w jakimś wygodnym zakątku, gdzie o łup łatwo, a wielcy zwierzchnicy nie depcą po piętach.

– Ha! – rzekł Szagrat. – Przypomniałyby się dawne czasy.

– Właśnie. Nie ciesz się jednak przedwcześnie. Trochę jestem niespokojny. Jak ci mówiłem, nawet najwyżsi zwierzchnicy… – Gorbag zniżył głos do szeptu: – Tak, nawet ci na samej górze mogą się pomylić. Powiedziałeś, że coś omal nam się nie wymknęło. A ja ci powiadam, że coś nam się wymknęło na dobre. Musimy tego teraz szukać. Kiedy trzeba naprawić czyjeś błędy, zawsze biednych Uruków gna się do najcięższej roboty i nawet nie podziękuje im nikt, jak by należało. Pamiętaj też, że przeciwnicy nienawidzą nas tak samo jak Jego, i jeśliby go zwyciężyli, czeka nas marny koniec… Powiedz no, kiedy dostałeś rozkaz, żeby wyjść z oddziałem na przełęcz?

– Przed godziną, na krótko przed naszym spotkaniem. Przysłano wiadomość. „Nazgûl zaniepokojony. Niebezpieczeństwo szpiegów na Schodach. Zdwoić czujność. Wysłać zwiad na szczyt Schodów”. No więc ruszyłem z żołnierzami natychmiast.

– Coś tu jest nie w porządku – rzekł Gorbag. – Wiem na pewno, że nasi Milczący Wartownicy już dwa dni temu, jeśli nie dawniej, byli zaniepokojeni. Ale mnie wyprawiono z patrolem wczoraj dopiero i nie wysłano żadnego raportu do Lugbúrza; może dlatego że wciągnięto na maszt Wielki Sygnał, że Najwyższy Nazgûl wyruszał na wojnę i tak dalej. Podobno Lugbúrz nie przyjmował żadnych wiadomości przez dość długi czas.

– Oko było zajęte czymś innym zapewne – rzekł Szagrat. – Mówią, że na zachodzie dzieją się ważne rzeczy.

– To wiadomo – mruknął Gorbag – ale tymczasem nieprzyjaciele zakradli się na Schody. Coś ty robił na swojej wieży! Masz przecież obowiązek trzymać straż nad przełęczą, nie czekając na szczególne rozkazy. Od czego jesteś?

– Daj spokój. Nie próbuj mnie uczyć moich obowiązków. Nie śpimy na wieży, wiedzieliśmy, że dzieje się coś dziwnego.

– Nawet bardzo dziwnego!

– No tak, zauważyliśmy światło i krzyki. Ale Szeloba wylazła z jaskini. Moi chłopcy widzieli ją i jej Służkę.

– Jej Służkę? Co za jeden?

– Chyba go znasz: mały, czarny, chudy stwór, trochę także do pająka podobny, ale bardziej jeszcze do zagłodzonej żaby. Był u nas już kiedyś. Przed laty po raz pierwszy wyszedł z Lugbúrza i mieliśmy rozkaz z samej Góry, żeby go przepuścić. Potem wracał parę razy na Schody, ale go nie zaczepialiśmy: zawarł chyba jakiś układ z Jej Książęcą Mością. Przypuszczam, że nie nadaje się do jedzenia, bo w przeciwnym razie Szeloba nie uszanowałaby rozkazów naszych władz. Czuwaliśmy jednak nad doliną pilnie, wiemy, że Służka Szeloby odwiedził ją w przeddzień całej tej awantury. Widzieliśmy go wczoraj z wieczora, przed nocą. Moi zwiadowcy donieśli, że Jej Książęca Mość czeka gości i przygotowuje się tam zabawa; zadowoliłem się tą wiadomością, póki nie dostałem rozkazu z góry. Myślałem, że Służka postarał się dla niej o rozrywkę, albo może wy z dolin przysłaliście jej podarunek, jeńca wojennego czy coś w tym rodzaju. Nie wtrącam się do jej zabaw. Wiadomo, że kiedy Szeloba poluje, żadna zwierzyna nie wymknie się żywa z tunelu.

– Tak myślisz? Czyś nie widział tego pokurcza pod urwiskiem? Powtarzam ci: jestem mocno zaniepokojony. Nie wiem, co to za jeden, ale skoro doszedł do Schodów, wydostał się widać żywy z tunelu i umknął sprzed nosa Szelobie. Przeciął zaporę z pajęczyny i wyszedł z jaskini. To daje do myślenia, przyznaj.

– W końcu przecież go dopadła.

– Dopadła go? Tego malca? Gdyby prócz niego nie było nikogo, zawlokłaby go od razu do swojej spiżarni i tam by został. A skoro z Lugbúrza upominają się o niego, musiałbyś go tam iść szukać. Nie zazdrościłbym ci zadania! Nie, z pewnością było ich więcej.

Sam w tym momencie zainteresował się rozmową orków i przycisnął ucho do kamienia.

– Kto przeciął pęta, którymi go Szeloba omotała, Szagracie? Ten sam, kto przeciął pajęczynę w drzwiach. Czy to nie bije w oczy? Kto wbił szpikulec w brzuch Jej Książecej Mości? Wciąż ten sam śmiałek. A gdzież on się podział? Mów, gdzie on jest, Szagracie!

Szagrat nie odpowiedział.

– Warto się nad tym zastanowić, to nie przelewki. Wiesz chyba równie dobrze jak ja, że nikt dotychczas nie zdołał wbić Szelobie szpilki pod skórę. Pewnie, trudno ubolewać, że to ją spotkało, ale to znaczy, że krąży tu gdzieś

nieprzyjaciel groźniejszy od wszystkich buntowników, jacy od dni wielkiego oblężenia pokazali się na naszym pograniczu. Coś nam się wymknęło!

– Ale co to jest? – stęknął Szagrat.

– Sądząc z oznak, kapitanie Szagracie, jest to wielki wojownik, najprawdopodobniej elf, w każdym razie uzbrojony w miecz elfów, a może też w topór. Krąży cały i zdrów po okolicy, nad którą powierzono ci straż, a tyś go nie wytropił. Bardzo dziwna sprawa!

Gorbag splunął, a Sam uśmiechnął się niewesoło, słysząc ten swój rysopis.

– Ty zawsze wszystko widzisz w czarnych kolorach – rzekł Szagrat. – Oznaki można sobie rozmaicie tłumaczyć, tak jak ty je odczytałeś, albo zupełnie inaczej. Rozstawiłem warty wszędzie dokoła i będę wszystkie sprawy załatwiał po kolei. Na razie muszę się zająć tym intruzem, którego złapałem, a potem dopiero zacznę się martwić o innych.

– Jeśli się nie mylę, nie będzie wielkiej korzyści z tego przyłapanego jeńca – rzekł Gorbag. – Może on nawet nie ma nic wspólnego z właściwą sprawą. Tamten siłacz z mieczem nie przywiązywał widać wagi do osoby tego malca, skoro go zostawił nieprzytomnego pod urwiskiem. To na pewno podstęp, jak znam elfów.

– Zobaczymy. Teraz czas w drogę. Za długo gadamy. Chodźmy i przyjrzyjmy się lepiej jeńcowi.

– Co z nim zamierzasz zrobić? Nie zapominaj, że to ja pierwszy go spostrzegłem. Jeżeli będzie wolno z nim pohulać, ja i moi chłopcy musimy mieć także udział w zabawie.

– Poczekaj, poczekaj! – odburknął Szagrat. – Mam wyraźne rozkazy. A za ich złamanie odpowiadałbym własną skórą i twoją także. Każdy obcy włóczęga ujęty przez nasze straże ma być żywcem przetrzymywany w wieży. Jeńca mam zrewidować, odebrać mu wszystko, co przy nim znajdę. Dokładny opis każdego przedmiotu, części odzieży, broni, listów, pierścieni czy drobiazgów muszę przesłać natychmiast do Lugbúrza i tylko tam. Jeńca nie wolno tknąć pod karą śmierci, głową ręczą za jego całość wszyscy dozorcy, póki On nie przyśle po niego albo nie przybędzie osobiście, żeby go wybadać. Rozkaz jasny, wykonam go, oczywiście.

– Masz go do naga obedrzeć? – rzekł Gorbag. – Także z zębów, paznokci i włosów, co?

– Nie. Przecież ci powiedziałem, że jeniec należy do Lugbúrza. Ma być tam dostarczony żywy i cały.

– Trochę będzie trudno wykonać ten rozkaz – zaśmiał się Gorbag. – To już zimne ścierwo. Co w Lugbúrzu zrobią z taką zdobyczą, nie mam pojęcia. Równie dobrze można go wsadzić do garnka.

– Głupcze! – mruknął Szagrat. – Gadasz niby mądrze, ale nie wszystkie rozumy zjadłeś, nie wiesz nawet tego, co prawie każdy ork wie. Trafisz do garnka Szeloby, jeśli będziesz taki nieostrożny. Ścierwo! A więc nie znasz sztuczek Jej Książęcej Mości? Kiedy pęta ofiarę, to znaczy, że przeznacza ją do zjedzenia. A Szeloba nie jada ścierwa i nie pije krwi trupów. Ten pokurcz jest żywy.

Sam zachwiał się i oparł o głaz. Wydało mu się, że cały czarny świat zakołysał się i zawirował wokół niego. Wstrząs był tak silny, że hobbit omal nie padł zemdlony; walcząc z ogarniającą go słabością, mówił sobie w głębi duszy: „Ach, głupi Samie, przecież serce szeptało ci, że on żyje, a ty uwierzyłeś, że umarł. Nigdy nie ufaj swojej głowie, bo to najmniej udana część twego ciała. W tym rzecz, że od początku nie miałeś nadziei. Co teraz robić? Chwilowo nic, wystarczy oprzeć się o ten nieruchomy głaz i posłuchać jeszcze wstrętnych orkowych głosów”.

– Ba! – mówił Szagrat. – Szeloba ma niejedną truciznę. Kiedy poluje, zwykle raz tylko dźgnie ofiarę żądłem w kark, a to wystarcza, żeby każde stworzenie zmiękło jak ryba po wyjęciu ości i żeby mogła z nim zrobić, co chce. Pamiętasz starego Uftaka? Zginął i nie wracał od wielu dni. Znaleźliśmy go w kącie jaskini: wisiał, ale był przytomny i oczy miał otwarte. Ale się wtedy uśmialiśmy! Szeloba pewnie o nim zapomniała, mimo to woleliśmy go nie ruszać, żeby się nie narażać na jej gniew. Ten mały pokurcz zbudzi się za kilka godzin zdrów zupełnie, co najwyżej będzie go na razie trochę mdliło. No i zdrów zostanie, dopóki się nim w Lugbúrzu nie zajmą. Nie będzie nic wiedział, gdzie się znajduje i co się z nim stało.

– I nie przeczuje, co go czeka! – zaśmiał się Gorbag. – Jeżeli nie wolno nic więcej, opowiemy mu przynajmniej parę historyjek na ten temat. Nigdy

pewnie dotychczas nie był w pięknym Lugbúrzu, więc nie wyobraża sobie, jakich tam zazna przyjemności. Zabawa będzie lepsza, niż się spodziewałem. Chodźmy!

– Powiadam ci, że żadnej zabawy nie będzie – odparł Szagrat. – Jeńcowi włos z głowy spaść nie może albo my obaj pożegnamy się z głowami.

– No, niech tam. Ale ja na twoim miejscu wolałbym schwytać tamtego siłacza, który umknął, zanimbym wysłał meldunek do Lugbúrza. Nie ma się czym chwalić, że złapałeś kocię, jeśli lew uciekł.

Głosy zaczęły się oddalać. Sam słyszał cichnący tupot nóg. Otrząsnął się z pierwszego oszołomienia i z kolei ogarnął go dziki gniew.

– Wszystko poplątałem! – krzyczał. – Wiedziałem, że tak będzie. Teraz porwali Froda, mają go w swoich łapach, łotry przeklęte. Nigdy, nigdy nie wolno słudze opuszczać pana! Tej zasady nie powinienem był łamać. Czułem to w głębi serca. Czy mój pan mi przebaczy? Muszę go wyzwolić. Tak czy inaczej, muszę!

Znów dobył miecza i próbował stukać w kamień rękojeścią, lecz głaz jęknął tylko głucho i nie drgnął z miejsca. Ostrze za to rozbłysło tak jasno, że hobbit mógł się lepiej rozejrzeć po jaskini. Ze zdumieniem stwierdził, że kamień ma kształt ciężkich drzwi, dwa razy niemal wyższych od niego. W górze między górną krawędzią głazu a niskim stropem korytarza ziała szeroka szpara. Drzwi miały zapewne chronić orków od napaści Szeloby i były od wnętrza zamknięte na zasuwę i rygle, których pajęczyca mimo swej chytrości nie mogła dosięgnąć ani otworzyć. Resztkami sił Sam podskoczył i uchwycił się górnej krawędzi głazu, wlazł na nią i spuścił się na drugą stronę. Z lśniącym mieczem w ręku pobiegł na oślep przez kręty korytarz. Wiadomość, że pan jego żyje, pobudziła Sama do ostatniego zrywu i kazała mu zapomnieć o zmęczeniu.

Nie widział drogi przed sobą, bo nowe korytarze wciąż wiły się i skręcały, lecz zdawało mu się, że już dogania dwóch orków, bo ich głosy znów słyszał wyraźniej, jak gdyby z bardzo bliska.

– Tak zrobię – mówił Szagrat gniewnym tonem. – Wpakuję go do najwyższej izby.

– Dlaczego? – mruknął Gorbag. – Czy nie macie zamykanych lochów?

– Muszę go strzec, już ci tłumaczyłem – odparł Szagrat. – Nie rozumiesz? To cenny jeniec. Nie ufam ani moim, ani twoim chłopcom, ani nawet tobie, bo zanadto lubisz zabawę. Umieszczę go tam, gdzie chcę i gdzie ty się nie dostaniesz, jeśli nie będziesz się zachowywał przyzwoicie. Na samej górze. Tam będzie bezpieczny.

– Czyżby? – powiedział Sam. – Zapomniałeś o wielkim siłaczu, o elfie, który krąży w pobliżu!

Z tym słowy obiegł pędem ostatni zakręt; niestety przekonał się, że zwiódł go chytrze zbudowany tunel lub może wyostrzony dzięki Pierścieniowi słuch i że omylił się w ocenie odległości.

Dwaj orkowie byli jeszcze daleko przed nim. Widział ich czarne sylwetki na tle czerwonego blasku. Korytarz biegł tutaj nareszcie prosto i wznosił się pod górę. U jego końca widniały otwarte na oścież szerokie dwuskrzydłowe drzwi prowadzące zapewne do głębokich podziemnych komór pod wysoką wieżą. Orkowie niosący jeńca już weszli do wnętrza. Gorbag i Szagrat zbliżali się do drzwi. Buchnął dziki śpiew, zagrały rogi, zadzwonił gong, rozebrzmiał okropny zgiełk. Gorbag i Szagrat już osiągnęli próg.

Sam z krzykiem wywijał Żądłem, lecz jego słaby głos ginął w straszliwej wrzawie. Nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Wielkie drzwi zatrzasnęły się z łoskotem: bum! Żelazne sztaby zapadły się ze szczękiem. Brama była zamknięta. Sam z impetem rzucił się na zaryglowaną spiżową zaporę i padł zemdlony. Leżał pod drzwiami wśród ciemności. Frodo żył, ale był jeńcem Nieprzyjaciela.

Tu kończy się druga część historii Wojny o Pierścień.

Część trzecia mówi o ostatniej walce z Cieniem i o zakończeniu misji Powiernika Pierścienia. Nosi tytuł *Powrót króla*.

Część trzecia:
POWRÓT KRÓLA

SYNOPSIS

Oto trzecia część *Władcy Pierścieni*.

Część pierwsza – zatytułowana *Drużyna Pierścienia* – opowiada, jak Gandalf Szary odkrył, że Pierścień znajdujący się w posiadaniu hobbita Froda jest tym Jedynym, który rządzi wszystkimi Pierścieniami Władzy; jak Frodo i jego przyjaciele uciekli z rodzinnego, cichego Shire'u, ścigani przez straszliwych Czarnych Jeźdźców Mordoru, aż w końcu, dzięki pomocy Aragorna, Strażnika z Eriadoru, przezwyciężyli śmiertelne niebezpieczeństwo i dotarli do domu Elronda w dolinie Rivendell.

W Rivendell odbyła się Wielka Narada, na której postanowiono, że trzeba zniszczyć Pierścień, Froda zaś mianowano Powiernikiem Pierścienia. Wybrano też wówczas ośmiu towarzyszy, którzy mieli Frodowi pomóc w jego misji, miał bowiem podjąć próbę przedarcia się do Mordoru w głąb nieprzyjacielskiego kraju i odnaleźć Górę Przeznaczenia, ponieważ tylko tam można było zniszczyć Pierścień. Do drużyny należeli Aragorn i Boromir, syn władcy Gondoru – dwaj przedstawiciele ludzi; Legolas, syn króla Leśnych Elfów z Mrocznej Puszczy; Gimli, syn Glóina spod Samotnej Góry – krasnolud; Frodo ze swym sługą Samem oraz dwoma młodymi krewniakami, Peregrinem i Meriadokiem – hobbici, wreszcie – Gandalf Szary, czarodziej.

Drużyna wyruszyła tajemnie z Rivendell, dotarła stamtąd daleko na północ, musiała jednak zawrócić z wysokiej przełęczy Caradhrasu, niemożliwej zimą do przebycia; Gandalf, szukając drogi pod górami, poprowadził ośmiu przyjaciół przez ukrytą w skale bramę do olbrzymich kopalń Morii, lecz w walce z potworem podziemi runął w czarną otchłań. Przewodnictwo objął wówczas Aragorn, który okazał się potomkiem dawnych królów Zachodu, i wywiódłszy drużynę przez Wschodnią Bramę Morii, skierował ją do krainy elfów Lórien, a potem w łodziach z biegiem Wielkiej Rzeki Anduiny aż do wodogrzmotów Rauros. Wędrowcy już wtedy spostrzegli, że są śledzeni przez szpiegów Nieprzyjaciela i że tropi ich Gollum – stwór, który ongi posiadał Pierścień i nie przestał go pożądać.

Drużyna nie mogła dłużej odwlekać decyzji, czy iść na wschód, do Mordoru, czy też wraz z Boromirem na odsiecz stolicy Gondoru, Minas

Tirith, zagrożonej wojną, czy też rozdzielić się na dwie grupy. Kiedy stało się jasne, że Powiernik Pierścienia nie odstąpi od swego beznadziejnego przedsięwzięcia i pójdzie dalej, aż do nieprzyjacielskiego kraju, Boromir spróbował wydrzeć Frodowi Pierścień przemocą. Pierwsza część kończy się właśnie tym upadkiem Boromira, skuszonego przez zły czar Pierścienia, ucieczką i zniknięciem Froda oraz Sama, rozbiciem Drużyny, napadniętej znienacka przez orków, wśród których prócz żołnierzy Czarnego Władcy Mordoru byli również podwładni zdrajcy Sarumana z Isengardu. Zdawać by się mogło, że sprawa Powiernika Pierścienia jest już ostatecznie przegrana.

W drugiej części, obejmującej księgę trzecią i czwartą, a zatytułowanej *Dwie wieże*, dowiadujemy się o dalszych losach rozbitej Drużyny. Księga trzecia opowiada o skrusze i śmierci Boromira, którego ciało przyjaciele złożyli w łodzi i oddali w opiekę rzece; o schwytaniu Meriadoka i Peregrina, których okrutni orkowie pędzili przez stepy Rohanu w stronę Isengardu, podczas gdy przyjaciele – Aragorn, Legolas i Gimli – starali się odnaleźć i ocalić porwanych hobbitów.

W tym momencie pojawili się Jeźdźcy Rohanu. Oddział konny pod wodzą Éomera otoczył orków i rozbił ich w puch na pograniczu puszczy Fangorn; hobbici uciekali do lasu i tam spotkali enta Drzewca, tajemniczego władcę Fangornu. U jego boku byli świadkami wzburzenia leśnego ludu i marszu entów na Isengard.

Tymczasem Aragorn z dwoma towarzyszami spotkał Éomera powracającego po bitwie. Éomer użyczył wędrowcom koni, aby mogli prędzej dotrzeć do lasu. Próżno szukali tam zaginionych hobbitów, lecz niespodzianie zjawił się Gandalf, który wyrwał się z krainy śmierci i był teraz Białym Jeźdźcem, chociaż ukrytym jeszcze pod szarym płaszczem. Razem udali się na dwór króla Rohanu, Théodena. Gandalf uzdrowił sędziwego króla i wyzwolił go od złego doradcy, Gadziego Języka, który okazał się tajnym sprzymierzeńcem Sarumana. Z królem i jego wojskiem Aragorn, Legolas i Gimli ruszyli na wojnę przeciw potędze Isengardu i wzięli udział w rozpaczliwej, lecz ostatecznie zwycięskiej bitwie o Rogaty Gród. Potem Gandalf powiódł ich do Isengardu, gdzie zastali warownię w gruzach, zburzoną przez entów, a Sarumana i Gadziego Języka oblężonych w niezdobytej wieży Orthank.

Podczas rokowań u stóp wieży Saruman, nieskruszony, stawił opór, Gandalf wykluczył go więc z Białej Rady Czarodziejów i złamał jego różdżkę, po czym zostawił go pod strażą entów. Gadzi Język cisnął z okna wieży kamień, chcąc ugodzić Gandalfa, lecz pocisk chybił celu; Peregrin podniósł tajemniczą kulę, która była, jak się okazuje, jednym z trzech palantírów – kryształów jasnowidzenia – przywiezionych ongi przez ludzi z Númenoru. Później tej samej nocy Peregrin, ulegając czarodziejskiej sile kryształu, wykradł go, a kiedy się w niego wpatrywał, mimo woli nawiązał łączność z Sauronem. Księga trzecia kończy się w chwili przelotu nad stepami Rohanu Nazgûla, skrzydlatego Upiora Pierścienia, zwiastującego bliską już grozę wojny. Gandalf oddaje *palantír* Aragornowi, a Peregrina bierze na swoje siodło, jadąc do Minas Tirith.

Księga czwarta zawiera historię Froda i Sama, zabłąkanych wśród nagich skał Emyn Muil. Dwaj hobbici przedostali się wreszcie przez góry, lecz dogonił ich Sméagol-Gollum. Frodo obłaskawił Golluma i niemal zwyciężył jego złośliwość, tak że stwór stał się przewodnikiem wędrowców przez Martwe Bagna i spustoszony kraj w drodze do Morannonu, Czarnych Wrót Mordoru na północy.

Nie sposób jednak było przejść przez tę bramę, Frodo więc za radą Golluma postanowił spróbować położonej dalej na południu drogi – tajemnej ścieżki, znanej rzekomo przewodnikowi, a pnącej się na przełęcz w Górach Cienia, stanowiących zachodni mur Mordoru. W drodze natknęli się na zwiadowców armii Gondoru, którymi dowodził Faramir, brat Boromira. Faramir odgadł cel wyprawy, lecz oparł się pokusie, której uległ Boromir, i pomógł hobbitom, zmierzającym ku przełęczy Cirith Ungol, czyli Przełęczy Pająka, ostrzegł jednak Froda, że na tej ścieżce, o której Gollum nie powiedział wszystkiego, co sam wie, grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy hobbici doszli do Rozstaja Dróg, przed wstąpieniem na ścieżkę do złowrogiego grodu Minas Morgul ogarnęły ich wielkie ciemności płynące z Mordoru, które zaległy całą okolicę. Pod osłoną ciemności Sauron wysyłał z warowni swoje pierwsze pułki, z Królem Upiorów na czele. Wojna o Pierścień już się zaczęła.

Gollum poprowadził Froda i Sama na tajemną ścieżkę, omijającą Minas Morgul. Nocą podeszli wreszcie pod Cirith Ungol. Gollum znów dostał się we władzę złych sił i próbował zaprzedać hobbitów potwornej strażniczce

przełęczy, Szelobie. Zdradzieckie zamiary udaremnił bohaterski Sam, odpierając napaść Golluma i raniąc Szelobę.

Czwarta księga kończy się w chwili, gdy Sam musi dokonać trudnego wyboru. Frodo, zatruty jadem Szeloby, leży, wyglądając jak martwy. Trzeba więc albo pogrzebać sprawę Pierścienia, albo Sam, porzucając swego pana, musi kontynuować jego misję. Sam decyduje się przejąć Pierścień i bez nadziei, samotnie ponieść go dalej. W ostatnim jednak momencie, gdy Sam już schodzi z przełęczy do Mordoru, spod wieży wieńczącej Cirith Ungol nadciąga patrol orków. Niewidzialny dzięki czarom Pierścienia Sam podsłuchuje rozmowę żołdaków i dowiaduje się, że Frodo, wbrew jego przypuszczeniom, żyje, jest tylko uśpiony trucizną. Sam nie może dogonić orków, unoszących ciało Froda przez tunel do podziemnego wejścia fortecy. Pada zemdlony przed zatrzaśniętą żelazną bramą.

Trzecia i ostatnia część *Władcy Pierścieni* opowiada o strategicznej rozgrywce między Gandalfem a Sauronem, zakończonej rozpędzeniem Ciemności, zwyciężonych raz na zawsze. Wróćmy więc do ważących się losów bitwy na Zachodzie.

Księga piąta

ROZDZIAŁ 1
MINAS TIRITH

Pippin wyjrzał spod osłony Gandalfowego płaszcza. Nie był pewny, czy się już zbudził, czy też śpi dalej i przebywa wśród migocących szybko wizji sennych, które go otaczały, odkąd zaczęła się ta oszałamiająca jazda. W ciemnościach świat cały zdawał się pędzić wraz z nim, a wiatr szumiał mu w uszach. Nie widział nic prócz sunących po niebie gwiazd i olbrzymich gór południa, majaczących gdzieś daleko po prawej stronie na widnokręgu, i także umykających wstecz. Ospale próbował wyliczyć czas i poszczególne etapy podróży, lecz pamięć, otępiała od snu, zawodziła.

Przypomniał sobie pierwszy zawrotny pęd bez wytchnienia, a potem o brzasku nikły blask złota i przybycie do milczącego miasta i wielkiego pustego domu na wzgórzu. Ledwie się pod dach tego domu schronili, gdy znów Skrzydlaty Cień przeleciał nad nimi, a ludzie pobledli z trwogi. Gandalf wszakże przemówił do hobbita paru łagodnymi słowy i Pippin usnął w kątku znużony, lecz niespokojny, jak przez mgłę słysząc dokoła krzątaninę i rozmowy, a także rozkazy wydawane przez Czarodzieja. Po zmierzchu ruszyli dalej. Była to druga… nie, trzecia już noc od przygody z palantírem. Na to okropne wspomnienie Pippin otrząsnął się ze snu i zadrżał, a szum wiatru rozbrzmiał groźnymi głosami.

Światło rozbłysło na niebie, jakby łuna ognia spoza czarnego wału. Pippin skulił się zrazu przestraszony, zadając sobie pytanie, do jakiej złowrogiej krainy wiezie go Gandalf. Przetarł oczy i wówczas zobaczył, że to tylko księżyc, teraz już niemal w pełni, wstaje na mrocznym niebie u wschodu. A więc noc dopiero się zaczęła, jazda w ciemnościach potrwa jeszcze wiele godzin. Hobbit poruszył się i zapytał:

– Gdzie jesteśmy, Gandalfie?

– W królestwie Gondoru – odparł Czarodziej. – Jedziemy wciąż jeszcze przez Anorien.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem Pippin krzyknął nagle i chwycił kurczowo za płaszcz Gandalfa.

– Co to jest? – zawołał. – Spójrz! Płomień, czerwony płomień! Czy w tym kraju są smoki? Patrz, drugi!

Zamiast odpowiedzieć hobbitowi, Gandalf krzyknął głośno do swego wierzchowca:

– Naprzód, Cienistogrzywy! Trzeba się spieszyć. Czas nagli. Patrz! W Gondorze zapalono wojenne sygnały, wzywają pomocy. Wojna już wybuchła. Patrz, płoną ogniska na Amon Dîn, na Eilenach, zapalają się coraz dalej na zachodzie! Rozbłyska Nardol, Erelas, Min-Rimmon, Calenhad, a także Halifirien na granicy Rohanu.

Lecz Cienistogrzywy zwolnił biegu i przeszedł w stępa, a potem zadarł łeb i zarżał. Z ciemności odpowiedziało mu rżenie innych koni, zagrzmiał tętent kopyt, trzej jeźdźcy niby widma przemknęli pędem w poświacie księżyca i zniknęli na zachodzie. Dopiero wtedy Cienistogrzywy zebrał się w sobie i skoczył naprzód, a noc jak burza huczała wokół pędzącego rumaka.

Pippin znowu poczuł się senny i niezbyt uważnie słuchał, co Gandalf opowiada mu o zwyczajach Gondoru. Wszędzie tu na szczytach najwyższych gór wzdłuż granic rozległego kraju były przygotowane stosy i czuwały posterunki z wypoczętymi końmi, by na rozkaz władcy w każdej chwili móc rozpalić wici i rozesłać gońców na północ do Rohanu i na południe do Belfalas.

– Od dawna już nie zapalano tych sygnałów – mówił Gandalf. – Za starożytnych czasów Gondoru nie było to potrzebne, bo królowie Zachodu mieli siedem palantírów! – Na te słowa Pippin wzdrygnął się niespokojnie, więc Czarodziej szybko dodał: – Śpij, nie bój się niczego. Nie podążasz, jak Frodo, do Mordoru, lecz do Minas Tirith, tam zaś będziesz bezpieczny o tyle, o ile w dzisiejszych czasach można być gdziekolwiek bezpiecznym. Jeśli Gondor upadnie albo też Pierścień dostanie się w ręce Nieprzyjaciela, wtedy nawet Shire nie zapewni spokojnego schronienia.

– Ładnieś mnie pocieszył – mruknął Pippin, lecz mimo to senność ogarnęła go znowu. Zanim pogrążył się w głębokim śnie, mignęły mu w oczach białe szczyty wynurzone jak pływające wyspy z morza chmur i świecące blaskiem zachodzącego księżyca. Zdążył pomyśleć o przyjacielu, pytając sam siebie, czy Frodo już dotarł do Mordoru i czy żyje. Nie wiedział, że Frodo z daleka patrzył na ten sam księżyc zniżający się nad Gondorem przed świtem nowego dnia.

Obudził Pippina gwar licznych głosów. A więc przeminęła znów jedna doba, dzień w ukryciu i noc w podróży. Szarzało już, zbliżał się chłodny brzask, zimne szare mgły spowijały świat. Cienistogrzywy parował, zgrzany po galopie, lecz szyję trzymał dumnie podniesioną i nie zdradzał zmęczenia. Dokoła stali rośli ludzie w grubych płaszczach, a za nimi majaczył we mgle kamienny mur. Zdawał się częściowo zburzony, lecz mimo wczesnej pory krzątali się przy nim robotnicy, słychać było stuk młotów, szczęk kielni, skrzyp kół. Tu i ówdzie przez mgłę przebłyskiwały nikłe światła pochodni i latarń. Gandalf pertraktował z ludźmi, którzy mu zastąpili drogę, a przysłuchując się, Pippin stwierdził, że mowa właśnie o nim.

– Ciebie, Mithrandirze, znamy – powiedział przywódca ludzi – zresztą ty znasz hasło Siedmiu Bram, wolno ci więc jechać dalej. O twoim towarzyszu wszakże nic nam nie wiadomo. Co to za jeden? Krasnolud z gór północy? Nie chcemy w dzisiejszych czasach mieć w swoim kraju obcych gości, chyba że są to mężni i zbrojni wojownicy, na których pomocy i wierności możemy polegać.

– Poręczę za niego przed tronem Denethora – odparł Gandalf. – A co do męstwa, nie trzeba go mierzyć wzrostem. Mój towarzysz ma za sobą więcej bitew i niebezpiecznych przygód niż ty, Ingoldzie, chociaż jesteś od niego dwakroć wyższy. Przybywa prosto ze zdobytego Isengardu, o którego upadku przywozimy wam nowinę; jest bardzo utrudzony, gdyby nie to, zaraz bym go obudził. Nazywa się Peregrin; to mąż wielkiej waleczności.

– Mąż? – z powątpiewaniem rzekł Ingold, a inni zaśmiali się drwiąco.

– Mąż! – krzyknął Pippin, nagle trzeźwiejąc ze snu. – Mąż! Nic podobnego! Jestem hobbitem, nie człowiekiem i nie wojownikiem, chociaż zdarzało mi się wojować, gdy innej rady nie było! Nie dajcie się Gandalfowi zbałamucić!

– Niejeden zasłużony w bojach nie umiałby piękniej się przedstawić – powiedział Ingold. – Cóż to znaczy: hobbit?

– Niziołek – odparł Gandalf, a spostrzegając wrażenie, jakie ta nazwa wywarła na ludziach, wyjaśnił: – Nie, nie ten, lecz jego współplemieniec.

– I towarzysz jego wyprawy – dodał Pippin. – Był też z nami Boromir, wasz rodak, on to mnie ocalił wśród śniegów północy, a potem zginął w mojej obronie, stawiając czoło przewadze napastników.

– Bądź cicho! – przerwał mu Gandalf. – Tę żałobną wieść wypada najpierw oznajmić jego ojcu.

– Już się jej domyślamy – odparł Ingold – bo dziwne znaki przestrzegały nas ostatnimi czasy. Skoro tak, jedźcie, nie zwlekając, do grodu. Władca Minas Tirith zechce pewnie co prędzej wysłuchać tego, kto mu przynosi ostatnie pożegnanie od syna, niechby to był człowiek czy też…

– Hobbit – rzekł Pippin. – Niewielkie usługi mogę oddać waszemu Władcy, lecz przez pamięć dzielnego Boromira zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Bądźcie zdrowi – powiedział Ingold. Ludzie rozstąpili się przed Cienistogrzywym, który wszedł zaraz w wąską bramę otwartą w murach. – Obyś wsparł Denethora dobrą radą w godzinie ciężkiej dla niego i dla nas wszystkich, Mithrandirze! – zawołał Ingold. – Szkoda, że znów przynosisz wieści o żałobie i niebezpieczeństwie, jak to jest podobno twoim zwyczajem.

– Rzadko się bowiem zjawiam i tylko wtedy, gdy potrzebna jest moja pomoc – odparł Gandalf. – Jeśli chcesz mojej rady, to sądzę, że za późno bierzecie się do naprawy murów wokół Pelennoru. Przeciw burzy, która się zbliża, najlepszą obroną będzie wam własna odwaga, a także nadzieja, którą wam przynoszę. Nie same tylko złe wieści wiozę! Zaniechajcie kielni, pora ostrzyć miecze!

– Te roboty skończymy dziś przed wieczorem – rzekł Ingold. – Naprawiamy już ostatnią część muru, najmniej zresztą narażoną, bo zwróconą w stronę sprzymierzonego z nami Rohanu. Czy wiesz coś o Rohańczykach? Czy stawią się na wezwanie? Jak sądzisz?

– Tak jest, przyjdą. Ale stoczyli już wiele bitew na waszym zapleczu. Ta droga, podobnie jak wszystkie inne, dziś już nie prowadzi w bezpieczne strony. Czuwajcie! Gdyby nie Gandalf, kruk złych wieści, zobaczylibyście ciągnące od Anorien zastępy Nieprzyjaciela zamiast Jeźdźców Rohanu. Nie wiem na pewno, czy tak się mimo wszystko nie stanie. Żegnajcie i pamiętajcie, że trzeba mieć oczy otwarte!

Gandalf wjechał więc w szeroki pas ziemi za Rammas Echor – tak Gondorczycy nazwali zewnętrzny mur, wzniesiony niemałym trudem, gdy Ithilien znalazło się w zasięgu wrogiego cienia. Mur ten miał ponad dziesięć staj długości i odbiegając od stóp gór, wracał ku nim, zatoczywszy

szeroki krąg wokół pól Pelennoru; piękne, żyzne podgrodzie rozpościerało się na wydłużonych zboczach i terasach, które opadały ku głębokiej dolinie Anduiny. W najdalej na północo-wschód wysuniętym punkcie mur odległy był od Wielkich Wrót stolicy o cztery staje; w tym miejscu szczególnie wysoki i potężny, górował na urwistej skarpie ponad pasmem nadrzecznej równiny; tu bowiem na podmurowanej grobli biegła od brodów i mostów Osgiliath droga przechodząca między warownymi wieżami przez strzeżoną bramę. Na południo-zachodzie odległość między murem a miastem wynosiła najmniej, bo tylko jedną staję; tam Anduina, opływając szerokim zakolem góry Emyn Arnen w południowym Ithilien, skręcała ostro na zachód, a zewnętrzny mur piętrzył się tuż nad jej brzegiem, gdzie ciągnęły się bulwary i przystań Harlond dla łodzi przybywających pod prąd Rzeki z południowych prowincji. Podgrodzie było bogate w pola uprawne i sady, koło domów stały szopy i spichrze, owczarnie i obory; liczne potoki, perląc się, spływały z gór do Anduiny. Niewielu wszakże pasterzy i rolników żyło na tym obszarze, większość ludności Gondoru skupiała się w siedmiu kręgach stolicy lub w wysoko położonych dolinach na podgórzu, w Lossarnach czy też na południe w pięknej krainie Lebennin, nad jej pięciu bystrymi strumieniami. Dzielne plemię osiadło między górami a Morzem. Uważano ich za Gondorczyków, lecz mieli w żyłach krew mieszaną, byli przeważnie krępej budowy i smagłej cery; wywodzili się od dawno zapomnianego ludu, który żył w cieniu gór za Czarnych Lat, przed nastaniem królów. Dalej jeszcze, w lennej krainie Belfalas mieszkał w zamku Dol Amroth nad Morzem książę Imrahil, potomek wielkiego rodu, a całe jego plemię rosłych ludzi miało oczy szarozielone jak morskie fale.

Gandalf jechał czas jakiś, aż niebo rozwidniło się zupełnie, Pippin zaś, wybity wreszcie ze snu, rozglądał się wkoło. Po lewej ręce widział tylko jezioro mgieł wzbijających się ku złowrogim cieniom wschodu, po prawej natomiast spiętrzony od zachodu łańcuch górski urywał się nagle, jak gdyby kształtująca ten teren potężna Rzeka przerwała olbrzymią zaporę i wyżłobiła szeroką dolinę, która miała się stać później polem bitew i kością niezgody. Tam zaś, gdzie Białe Góry, Ered Nimrais, kończyły się, ujrzał Pippin – tak jak zapowiedział to Gandalf – ciemną bryłę góry Mindolluiny, fioletowe cienie w głębi wysoko położonych wąwozów i strzelistą ścianę bielejącą w blasku wstającego dnia. Na wysuniętym ramieniu tej góry stało miasto, strzeżone przez siedem kręgów kamiennych murów, tak stare i

potężne, że zdawało się nie zbudowane, lecz wyrzeźbione przez olbrzymów w kośćcu ziemi.

Pippin patrzył z podziwem, gdy nagle szare mury zbielały i zarumieniły się od porannej zorzy, słońce wychynęło nad cienie wschodu i wiązka promieni objęła gród. Hobbit krzyknął z zachwytu, bo wieża Ectheliona, wystrzelająca pośród ostatniego i najwyższego obrębu murów, rozbłysła na tle nieba jak iglica z pereł i srebra, smukła, piękna, kształtna, uwieńczona szczytem iskrzącym się jak kryształ. Z blanków powiały białe chorągwie, trzepocząc na rannym wietrze, a z wysoka i z daleka dobiegł głos dźwięczny jakby srebrnych trąb.

Tak Gandalf i Peregrin o wschodzie słońca wjechali pod Wielkie Wrota Gondoru i żelazne drzwi otwarły się przed Cienistogrzywym.

– Mithrandir! Mithrandir! – zawołali ludzie. – A więc burza jest naprawdę już blisko.

– Burza nadciąga – odparł Gandalf. – Przylatuję na jej skrzydłach. Muszę stanąć przed waszym władcą Denethorem, póki trwa jego namiestnictwo. Cokolwiek bowiem się zdarzy, zbliża się koniec Gondoru takiego, jaki znaliście dotychczas. Nie zatrzymujcie mnie!

Ludzie na rozkaz posłusznie odstąpili od niego i nie zadawali więcej pytań, chociaż ze zdziwieniem przyglądali się hobbitowi siedzącemu przed nim, a także wspaniałemu wierzchowcowi.

Mieszkańcy grodu nie używali bowiem koni i rzadko widywano je na ulicach, chyba że niosły gońców Denethora. Toteż ludzie mówili między sobą:

– To z pewnością koń ze sławnych stajen króla Rohanu. Może Rohirrimowie wkrótce przybędą nam na pomoc.

Cienistogrzywy tymczasem dumnie stąpał po długiej, krętej drodze pod górę.

Gród Minas Tirith rozsiadł się na siedmiu poziomach, z których każdy wrzynał się w zbocze góry i otoczony był murem, w każdym zaś murze była brama. Bram tych nie rozmieszczono wzdłuż prostej linii, jednej nad drugą. Pierwsza, Wielkie Wrota, otwierała się w dolnym kręgu murów od wschodu, następna odsunięta była nieco na południe, trzecia – na północ, i tak dalej, aż pod szczyt, tak że brukowana droga wspinająca się ku twierdzy

przecinała stok zygzakiem to w tę, to w drugą stronę. Ilekroć zaś znalazła się nad Wielkimi Wrotami, wchodziła w sklepiony tunel, przebijający olbrzymi filar skalny, którego potężny, wystający blok dzielił wszystkie kręgi grodu z wyjątkiem pierwszego. Częściowo ukształtowała tak górę sama przyroda, częściowo praca i przemyślność ludzi sprzed wieków, dość że na tyłach rozległego dziedzińca za Wrotami piętrzył się bastion kamienny, ostrą niby kil statku krawędzią zwrócony ku wschodowi. Wznosił się aż do najwyższego kręgu, gdzie wieńczyła go obmurowana galeria; obrońcy twierdzy mogli więc jak załoga olbrzymiego okrętu z bocianiego gniazda spoglądać z wysoka na Wrota leżące o siedemset stóp niżej. Wejście do twierdzy również otwierało się od wschodu, lecz było wgłębione w rdzeń skały; stąd długi, oświetlony latarniami skłon prowadził pod Siódmą Bramę. Za nią dopiero znajdował się Najwyższy Dziedziniec i Plac Wodotrysku u stóp Białej Wieży. Wieża ta, piękna i wyniosła, mierzyła pięćdziesiąt sążni od podstawy do szczytu, z którego flaga Namiestników powiewała na wysokości tysiąca stóp ponad równiną.

Była to doprawdy potężna warownia, nie do zdobycia dla największej nawet nieprzyjacielskiej armii, jeśli w murach znaleźli się ludzie zdolni do noszenia broni; napastnicy mogliby wtargnąć łatwiej od tyłu, wspinając się po niższych od tej strony zboczach Mindolluiny, aż na wąskie ramię, które łączyło Górę Straży z głównym masywem. Lecz ramię to, wzniesione do wysokości piątego muru, zagradzały mocne szańce wsparte o urwistą, przewieszoną nad nimi ścianę skalną. Tutaj w sklepionych grobowcach spoczywali dawni królowie i władcy, na zawsze milczący między górą a wieżą.

Pippin z coraz większym podziwem patrzył na ogromne kamienne miasto, nawet we śnie nie widział dotąd nic równie wielkiego i wspaniałego. Ten gród był od Isengardu nie tylko rozleglejszy i potężniejszy, lecz znacznie piękniejszy. Niestety, wszystkie oznaki wskazywały, że podupadał z roku na rok i żyła w nim już teraz ledwie połowa ludzi, których by mógł wygodnie pomieścić. Na każdej ulicy jeźdźcy mijali wielkie domy i dziedzińce, a nad łukami bram Pippin spostrzegał rzeźbione piękne litery dziwnego i starodawnego pisma; domyślał się, że to nazwiska dostojnych mężów i rodów, zamieszkujących tu niegdyś; teraz siedziby ich stały opuszczone, na bruku wspaniałych dziedzińców nie dźwięczały niczyje kroki, głos żaden nie rozbrzmiewał w

salach, ani jedna twarz nie ukazywała się w drzwiach czy też w pustych oknach.

Wreszcie znaleźli się przed Siódmą Bramą, a ciepłe słońce, to samo, które lśniło za Rzeką, gdy Frodo wędrował dolinkami Ithilien, błyszczało tu na gładkich ścianach, na mocno osadzonych w skale filarach i na ogromnym sklepieniu, którego zwornik wyrzeźbiony był na kształt ukoronowanej królewskiej głowy. Gandalf zsiadł z wierzchowca, bo koni nie wpuszczano do wnętrza twierdzy, a Cienistogrzywy, zachęcony łagodnym szeptem swego pana, pozwolił się odprowadzić na bok.

Strażnicy u bramy mieli czarne płaszcze, a hełmy niezwykłe, bardzo wysokie, nisko zachodzące na policzki i ciasno obejmujące twarze; hełmy te, ozdobione nad skronią białym skrzydłem mewy, błyszczały jak srebrne płomienie, były bowiem wykute ze szczerego mithrilu i stanowiły dziedzictwo z dni dawnej chwały. Na czarnych pancerzach widniało wyhaftowane białym jak śnieg jedwabiem kwitnące drzewo, a nad nim srebrna korona i gwiazdy. Był to tradycyjny strój potomków Elendila i nikt go już nie nosił w Gondorze prócz strażników twierdzy pilnujących wstępu na Plac Wodotrysku, gdzie ongi rosło Białe Drzewo.

Wieść o przybyciu gości musiała ich zapewne wyprzedzić, bo otwarto bramę natychmiast, o nic nie pytając. Gandalf szybkim krokiem wszedł na wybrukowany białymi płytami dziedziniec.

Urocza fontanna tryskała tu w blasku porannego słońca; otaczała ją świeża zieleń, lecz pośrodku, schylone nad basenem, stało Martwe Drzewo, a krople smutnie spadały z jego nagich, połamanych gałęzi z powrotem w czystą wodę.

Pippin zerknął na nie, spiesząc za Gandalfem. Wydawało mu się ponure i zdziwił się, że zostawiono uschnięte drzewo w tak porządnie utrzymanym otoczeniu.

Gwiazd siedem, siedem kamieni i drzewa białego pęd.

Przypomniał sobie te słowa, wyszeptane kiedyś przez Gandalfa. Lecz już stał u drzwi wielkiej sali pod jaśniejącą wieżą; w ślad za Czarodziejem minął rosłych, milczących odźwiernych i znalazł się w chłodnym, cienistym, dzwoniącym echami wnętrzu kamiennego domu. W długim, pustym, wyłożonym płytami korytarzu Gandalf po cichu przemówił do Pippina:

– Rozważaj każde słowo, mości Peregrinie! Nie miejsce to i nie pora na hobbickie gadulstwo. Théoden to dobrotliwy staruszek. Denethor jest z innej zgoła gliny, dumny i przebiegły, znacznie też wspanialszego rodu i możniejszy, chociaż nie tytułują go królem. Będzie przede wszystkim zwracał się do ciebie i zada ci mnóstwo pytań, skoro możesz mu wiele powiedzieć o jego synu Boromirze. Kochał go bardzo, może za bardzo; tym bardziej że wcale do siebie nie byli podobni. Lecz zapewne użyje osłony miłości, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co chce, licząc, że łatwiej się tego dowie od ciebie niż ode mnie. Nie mów nic ponad to, co konieczne, a zwłaszcza nie wspominaj o misji Froda. Ja sam to wyjaśnię we właściwej chwili. Jeśli się da, nie mów też nic o Aragornie.

– Dlaczego? Co zawinił Obieżyświat? – szepnął Pippin. – Chciał przecież także przyjść tutaj, prawda? I niechybnie wkrótce zjawi się we własnej osobie.

– Może, może – odparł Gandalf. – Jeśli się jednak zjawi, nadjedzie pewnie inną drogą, niż myślimy, inną, niż myśli sam Denethor. Tak będzie lepiej. W każdym razie nie my zapowiemy jego przybycie.

Gandalf zatrzymał się przed wysokimi drzwiami z polerowanego metalu.

– Widzisz, mój Pippinie, brak mi czasu na wykład z historii Gondoru, chociaż wielka szkoda, żeś się czegoś więcej nie nauczył za młodu, zamiast plądrować ptasie gniazda po drzewach i wagarować w lasach Shire’u. Posłuchaj jednak mojej rady. Nie byłoby mądrze, przynosząc potężnemu władcy wieść o śmierci spadkobiercy, opowiadać szeroko o bliskim nadejściu kogoś, kto – jeśli przyjdzie – ma prawo zażądać tronu. Zrozumiałeś?

– Tronu? – powtórzył oszołomiony Pippin.

– Tak jest – rzekł Gandalf. – Jeżeli dotychczas wędrowałeś po świecie z zatkanymi uszami i uśpionym umysłem, obudź się wreszcie!

I zapukał do drzwi.

Drzwi się otwarły, lecz nikogo za nimi nie było. Pippin ujrzał ogromną salę. Światło docierało do niej przez okna, głęboko wcięte w grube mury dwóch bocznych naw, odgrodzonych od środkowej rzędami wysmukłych kolumn podpierających strop. Kolumny z litego czarnego marmuru rozkwitały u szczytów kapitelami wyrzeźbionymi w dziwne postacie

zwierząt i liście osobliwego kształtu. Wysoko w górze ogromne sklepienie połyskiwało w półmroku matowym złotem, inkrustowanym w różnobarwny deseń. W tej długiej, uroczystej sali nie było zasłon ani dywanów, żadnych tkanin ani drewnianych sprzętów, tylko pomiędzy kolumnami mnóstwo milczących posągów wykutych w zimnym kamieniu.

Pippin nagle przypomniał sobie wyciosane w skale Argonath pomniki i z trwożną czcią spojrzał w perspektywę tego szpaleru dawno zmarłych królów. W głębi, wzniesiony na kilku stopniach, stał wysoki tron pod baldachimem z marmuru rzeźbionym na kształt ukoronowanego hełmu. Za nim na ścianie mozaika z drogocennych kamieni przedstawiała kwitnące drzewo. Tron był pusty. U podnóża wzniesienia, na najniższym stopniu, szerokim i wysokim, umieszczono kamienny fotel, czarny i gładki, a na nim siedział stary człowiek ze spuszczonymi oczyma. W ręku trzymał białą różdżkę opatrzoną złotą gałką. Nie podniósł wzroku. Dwaj przybysze z wolna szli ku niemu, aż stanęli o trzy kroki przed kamiennym fotelem. Wówczas Gandalf przemówił:

– Witaj, Władco i Namiestniku Minas Tirith, Denethorze, synu Ectheliona! Przynoszę ci radę i wieści w tej ciężkiej godzinie.

Dopiero wtedy stary człowiek dźwignął głowę. Pippin zobaczył rzeźbioną pięknie twarz, dumne rysy, cerę koloru kości słoniowej, długi, orli nos pomiędzy ciemnymi, głęboko osadzonymi oczyma. Wydała mu się bardziej podobna do Aragorna niż do Boromira.

– Godzina jest zaprawdę ciężka – rzekł starzec – a ty masz zwyczaj zjawiać się w takich właśnie chwilach, Mithrandirze. Lecz chociaż wszystkie znaki zwiastują nam, że wkrótce los Gondoru się przesili, mniej ciąży mojemu sercu ta sprawa niźli własne nieszczęście. Powiedziano mi, żeś przywiózł kogoś, kto był świadkiem zgonu mojego syna. Czy to ten twój towarzysz?

– Tak jest – odparł Gandalf. – Jeden z dwóch świadków. Drugi został u boku Théodena, króla Rohanu, i niebawem zapewne też przybędzie. Są to, jak widzisz, niziołki, lecz żaden z nich nie jest tym, o którym mówi przepowiednia.

– Bądź co bądź niziołki – posępnie stwierdził Denethor – a niezbyt miła jest dla mnie ta nazwa, odkąd złowieszcze słowa zakłóciły spokój tego dworu i popchnęły mojego syna do szaleńczej wyprawy, w której znalazł

śmierć! Mój Boromir! Jakże nam go dzisiaj brak! To Faramir powinien był iść zamiast niego.

– I poszedłby chętnie – rzekł Gandalf. – Nie bądź niesprawiedliwy w swoim żalu. Boromir domagał się tej misji dla siebie i za nic nie zgadzał się, by go ktoś inny zastąpił. Miał charakter władczy, zagarniał to, czego pragnął. Długo wędrowałem w jego towarzystwie i dobrze go poznałem. Ale mówisz o jego śmierci. Więc ta wiadomość doszła do ciebie wcześniej niż my?

– Doszło do moich rąk to – powiedział Denethor i odkładając różdżkę, podniósł ze swych kolan przedmiot, w który się wpatrywał, gdy goście zbliżali się do tronu. W każdej ręce trzymał połowę dużego, pękniętego na dwoje bawolego rogu okutego srebrem.

– To róg, który Boromir nosił zawsze przy sobie! – wykrzyknął Pippin.

– Tak jest – rzekł Denethor. – W swoim czasie i ja go nosiłem, jak wszyscy pierworodni synowie w moim rodzie od zamierzchłych czasów, jeszcze sprzed upadku królów, od czasów, gdy Vorondil, ojciec Mardila, polował na białe bawoły Arawa na dalekich stepach Rhûn. Trzynaście dni temu usłyszałem znad północnego pogranicza ściszony głos rogu, potem zaś Rzeka przyniosła mi go, lecz pęknięty; nigdy już więcej nie zagra. – Denethor umilkł i zapadła posępna cisza. Nagle zwrócił czarne oczy na Pippina. – Co powiesz na to, niziołku?

– Trzynaście dni temu… – wyjąkał Pippin. – Tak, to się zgadza. Stałem przy nim, gdy zadął w róg. Lecz pomoc nie nadeszła. Tylko nowe bandy orków.

– A więc byłeś przy tym – rzekł Denethor, patrząc pilnie w twarz hobbita. – Opowiedz mi wszystko. Dlaczego pomoc nie nadeszła? Jakim sposobem ty ocalałeś, a poległ Boromir, mąż tak wielkiej siły, mając tylko garść orków przeciw sobie?

Pippin zaczerwienił się i zapomniał o strachu.

– Najsilniejszy mąż zginąć może od jednej strzały – odparł – a Boromira przeszył cały rój strzał. Gdy go ostatni raz widziałem, osunął się pod drzewo i wyciągał ze swego boku czarnopióry grot. Co do mnie, omdlałem w tym momencie i wzięto mnie do niewoli. Później już nie widziałem Boromira i nic więcej o nim nie słyszałem. Ale czczę jego pamięć, bo to był mężny człowiek. Umarł, żeby nas ocalić, mnie i mego współplemieńca

Meriadoka; żołdacy Czarnego Władcy porwali nas obu i powlekli w lasy. Chociaż nie zdołał nas obronić, nie umniejsza to mojej wdzięczności.

Pippin spojrzał Denethorowi prosto w oczy, bo zbudziła się w nim jakaś dziwna duma i zranił go ton wzgardy czy podejrzenia w zimnym głosie starca.

– Wiem, że tak możnemu władcy ludzi nie na wiele się przydadzą usługi hobbita, niziołka z dalekiego północnego kraju, lecz to, na co mnie stać, ofiarowuję ci na spłatę mego długu.

I odrzucając z ramion szary płaszcz, Pippin dobył mieczyka, by złożyć go u stóp Denethora.

Nikły uśmiech, jak chłodny błysk słońca w zimowy wieczór, przemknął po starczej twarzy; Denethor spuścił jednak głowę i wyciągnął rękę, odkładając na bok szczątki Boromirowego rogu.

– Podaj mi swój oręż! – rzekł. Pippin podniósł mieczyk i podał władcy rękojeścią do przodu.

– Skąd go masz? – spytał Denethor. – Wiele, wiele lat przetrwała ta stal. To niewątpliwie ostrze wykute przez nasze plemię na Północy w niepamiętnej przeszłości.

– Broń ta pochodzi z Kurhanów, które wznoszą się na pograniczu mojego kraju – odparł Pippin. – Lecz dziś mieszkają tam jedynie złośliwe upiory i wolałbym o nich nie mówić więcej.

– Dziwne legendy krążą o was – rzekł Denethor. – Raz jeszcze sprawdza się przysłowie, że nie należy sądzić człowieka – lub niziołka – po pozorach. Przyjmuję twoje usługi. Niełatwo cię bowiem nastraszyć słowami i umiesz przemawiać dworną mową, chociaż brzmi ona niezwykle w uszach ludów Południa. Nadchodzą czasy, gdy potrzebni nam będą pomocnicy rycerskich obyczajów, mali czy wielcy. Przysięgnij mi teraz wierność.

– Ujmij rękojeść miecza – pouczył hobbita Gandalf – i powtarzaj za Denethorem przysięgę, jeśli nie zmieniłeś postanowienia.

– Nie zmieniłem – rzekł Pippin.

Starzec położył mieczyk na swych kolanach i zaczął recytować formułę przysięgi, Pippin zaś, z ręką na gardzie, powtarzał z wolna słowo po słowie:

– Ślubuję wierność i służbę Gondorowi i Namiestnikowi władającemu tym królestwem. Jemu posłuszny, będę usta otwierał lub zamykał, czynił

lub powstrzymywał się od czynów, pójdę, gdzie mi rozkaże, lub wrócę na jego wezwanie, służyć mu będę w biedzie lub w dostatku, w czas pokoju lub wojny, życiem lub śmiercią, od tej chwili, aż dopóki mój pan mnie nie zwolni lub śmierć nie zabierze, lub świat się nie skończy. Tak rzekłem ja, Peregrin, syn Paladina, niziołek z Shire'u.

– Przyjąłem te słowa, ja, Denethor, syn Ectheliona, Władca Gondoru, Namiestnik Wielkiego Króla, i nie zapomnę ich ani też nie omieszkam wynagrodzić sprawiedliwie: wierności miłością, męstwa czcią, wiarołomstwa pomstą.

Po czym Pippin otrzymał z powrotem swój mieczyk i wsunął go do pochwy.

– A teraz – rzekł Denethor – daję ci pierwszy rozkaz: mów i nie przemilczaj prawdy. Opowiedz mi całą historię, przypomnij sobie wszystko, co wiesz o moim synu Boromirze. Siądź i zaczynaj!

Mówiąc to, uderzył w mały srebrny gong stojący obok jego podnóżka i natychmiast zjawili się słudzy. Pippin zrozumiał, że stali od początku w niszach po obu stronach drzwi, gdzie ani on, ani Gandalf nie mogli ich widzieć.

– Przynieście wino, jadło i krzesła dla gości – rzekł Denethor – i pilnujcie, by nikt nam nie przeszkodził w ciągu następnej godziny.

– Tyle tylko czasu mogę wam poświęcić – dodał, zwracając się do Gandalfa – bo wiele spraw ciąży na mojej głowie. Może nawet ważniejszych, lecz mniej dla mnie pilnych. Ale jeśli się da, porozmawiamy znowu dziś wieczorem.

– Mam nadzieję, że wcześniej jeszcze – odparł Gandalf. – Spieszyłem bowiem z wiatrem na wyścigi z odległego o sto pięćdziesiąt staj Isengardu nie po to tylko, by ci przywieźć jednego małego wojaka, choćby najdworniejszych obyczajów. Czy nie ma dla ciebie wagi wiadomość, że Théoden stoczył wielką bitwę, że Isengard padł i że złamałem różdżkę Sarumana?

– Nowiny bardzo ważne, lecz wiedziałem o tym bez ciebie, dość by powziąć własne plany ku obronie od groźby ze wschodu.

Denethor zwrócił ciemne oczy na Gandalfa, a Pippin nagle spostrzegł między nimi dwoma jakieś podobieństwo i wyczuł napięcie dwóch sił, jak

gdyby tlący się lont łączył dwie pary oczu i lada chwila mógł wybuchnąć płomieniem.

Denethor nawet bardziej wyglądał na czarodzieja niż Gandalf, więcej miał w sobie majestatu, urody i siły. Zdawał się też starszy. Lecz inny jakiś zmysł na przekór wzrokowi upewnił Peregrina, że Gandalf posiada większą moc, głębszą mądrość i majestat wspanialszy, chociaż ukryty. Na pewno był też starszy. „Ile on może mieć lat?" – pomyślał Pippin i zdziwił się, że nigdy dotychczas nie zadał sobie tego pytania. Drzewiec mruczał coś o czarodziejach, lecz słuchając go, hobbit nie pamiętał, że to dotyczy również Gandalfa. Kim jest naprawdę Gandalf? W jakiej odległej przeszłości, w jakim kraju przyszedł na świat? Kiedy go opuści? Pippin ocknął się z zadumy. Denethor i Gandalf wciąż patrzyli sobie w oczy, jakby nawzajem czytając swe myśli. Lecz Denethor pierwszy odwrócił twarz.

– Tak – powiedział. – Kryształy jasnowidzenia podobno zaginęły, mimo to władcy Gondoru mają wzrok bystrzejszy niż pospolici ludzie i wiele nowin dociera do nich. Ale teraz proszę, siądźcie.

Słudzy przynieśli fotel i niskie krzesełko, podali na tacy srebrny dzban, kubki i białe ciasto. Pippin usiadł, lecz nie mógł oderwać oczu od starego władcy. Czy mu się zdawało, czy też rzeczywiście, mówiąc o kryształach, Denethor z nagłym błyskiem w oczach spojrzał na niego.

– Opowiedz swoją historię, mój wasalu – rzekł Denethor na pół żartobliwie, a na pół drwiąco. – Cenne są dla mnie słowa tego, kto przyjaźnił się z moim synem.

Pippin na zawsze zapamiętał tę godzinę spędzoną w ogromnej sali pod przenikliwym spojrzeniem Władcy Gondoru, w ogniu coraz to nowych podchwytliwych pytań, z Gandalfem u boku przysłuchującym się czujnie i powściągającym – hobbit wyczuwał to nieomylnie – gniewną niecierpliwość. Kiedy minął wyznaczony czas i Denethor znów zadzwonił w gong, Pippin był bardzo znużony.

„Jest chyba niewiele po dziewiątej – myślał. – Mógłbym teraz zjeść trzy śniadania za jednym zamachem".

– Zaprowadźcie dostojnego Mithrandira do przygotowanego dlań domu – powiedział Denethor do sług. – Jego towarzysz może, jeśli sobie życzy, zamieszkać tymczasem razem z nim. Ale wiedzcie, że zaprzysiągł mi służbę; nazywa się Peregrin, syn Paladina, trzeba go wtajemniczyć w

pomniejsze hasła. Zawiadomcie dowódców, że mają się stawić tutaj u mnie możliwie zaraz po wybiciu trzeciej godziny. Ty, czcigodny Mithrandirze, przyjdź również, jeśli i kiedy ci się spodoba. O każdej porze masz do mnie wstęp wolny, z wyjątkiem krótkich godzin mego snu. Ochłoń z gniewu, który w tobie wzbudziło szaleństwo starca, i wróć, by mnie wesprzeć radą i pociechą.

– Szaleństwo? – powtórzył Gandalf. – O nie! Prędzej umrzesz, niż stracisz rozum, dostojny panie. Umiesz nawet żałoby użyć jako płaszcza. Czy sądzisz, że nie zrozumiałem, dlaczego przez godzinę wypytywałeś tego, który wie mniej, chociaż ja siedziałem tuż obok?

– Jeśli zrozumiałeś, możesz być zadowolony – odparł Denethor. – Szaleństwem byłaby duma, która by wzgardziła pomocą i radą w potrzebie; lecz ty udzielasz tych darów wedle własnych zamysłów. Władca Gondoru nie będzie nigdy narzędziem cudzych planów, choćby najszlachetniejszych. W jego bowiem oczach żaden cel na tym świecie nie może górować nad sprawą Gondoru. A Gondorem ja rządzę, nikt inny, chyba że wrócą królowie.

– Chyba że wrócą królowie? – powtórzył Gandalf. – Słusznie, czcigodny Namiestniku, twoim obowiązkiem jest zachować królestwo na ten przypadek, którego dziś już mało kto się spodziewa. I w tym zadaniu użyczę ci wszelkiej pomocy, jaką zechcesz ode mnie przyjąć. Ale powiem jasno: nie rządzę żadnym królestwem, Gondorem ani innym państwem, wielkim czy małym. Obchodzi mnie wszakże każde dobro zagrożone niebezpieczeństwem na tym dzisiejszym świecie. W moim sumieniu nie uznam, że nie spełniłem obowiązku, choćby Gondor zginął, jeśli przetrwa tę noc coś innego, co może jutro rozkwitnąć i przynieść owoce. Ja bowiem także jestem namiestnikiem. Czyś o tym nie wiedział?

I rzekłszy to, odwrócił się i wyszedł z sali, a Pippin pobiegł za nim do wyjścia, usiłując dotrzymać mu kroku.

Gandalf nie spojrzał na hobbita ani się nie odezwał do niego przez całą drogę. Przewodnik wyprowadził ich od drzwi sali przez Plac Wodotrysku na uliczkę między wysokie kamienne budynki. Skręcali parę razy, nim wreszcie zatrzymali się przed domem w pobliżu muru strzegącego twierdzy od północnej strony, opodal ramienia, które łączyło gród z głównym masywem góry. Weszli po szerokich rzeźbionych schodach na piętro, gdzie znaleźli się w pięknym pokoju, jasnym i przestronnym, ozdobionym

zasłonami z gładkiej, lśniącej, złocistej tkaniny. Sprzętów było tu niewiele, nic prócz stolika, dwóch krzeseł i ławy, ale po obu stronach w niezasłoniętych alkowach przygotowano łóżka z porządną pościelą, a także miski i dzbany z wodą do mycia. Trzy wysokie wąskie okna otwierały widok na północ, ponad szeroką pętlą Anduiny, wciąż jeszcze osnutej mgłą, ku odległym wzgórzom Emyn Muil i wodogrzmotom Rauros. Pippin musiał wleźć na ławę i wychylić się przez szeroki kamienny parapet, by wyjrzeć na świat.

– Czy gniewasz się na mnie, Gandalfie? – spytał, gdy przewodnik pozostawił ich samych i zamknął drzwi. – Zrobiłem, co mogłem.

– Bez wątpienia! – odparł Gandalf, wybuchając nagle śmiechem; podszedł do Pippina, objął go ramieniem i także popatrzył przez okno. Pippin zerknął na twarz Czarodzieja, górującą tuż nad jego głową, trochę zaskoczony, bo śmiech zabrzmiał beztrosko i wesoło. A jednak porysowana zmarszczkami twarz Gandalfa wydała mu się w pierwszej chwili zakłopotana i smutna; dopiero po dłuższej obserwacji dostrzegł pod tą maską wyraz wielkiej radości, ukryte źródło wesela, tak bogate, że mogłoby śmiechem wypełnić całe królestwo, gdyby trysnęło swobodnie.

– Niewątpliwie zrobiłeś, co mogłeś – rzekł Czarodziej. – Mam nadzieję, że nieprędko po raz drugi znajdziesz się w równie trudnym położeniu, między dwoma tak groźnymi starcami. Mimo wszystko Władca Gondoru dowiedział się od ciebie więcej, niż przypuszczasz, Pippinie. Nie zdołałeś ukryć przed nim, że nie Boromir przewodził Drużynie po wyjściu z Morii i że był wśród was ktoś niezwykle dostojny, kto wkrótce przybędzie do Minas Tirith, i że ten ktoś ma u boku legendarny miecz. Ludzie w Gondorze myślą wiele o starych legendach, a Denethor, odkąd Boromir ruszył na wyprawę, nieraz rozważał słowa wyroczni i zastanawiał się, co miała znaczyć „Zguba Isildura”.

To człowiek niepospolity wśród ludzi tych czasów, Pippinie; kimkolwiek byli jego przodkowie, niemal najczystsza krew Westernesse płynie w żyłach Denethora, tak jak i w żyłach jego młodszego syna Faramira; Boromir, którego ojciec najbardziej kochał, był jednak inny. Denethor sięga wzrokiem daleko. Jeśli wytęży wolę, może wyczytać wiele z tego, co inni myślą, nawet jeśli przebywają w odległym kraju. Niełatwo go oszukać i niebezpiecznie byłoby tego próbować.

Pamiętaj o tym, Pippinie. Zaprzysiągłeś mu bowiem służbę. Nie wiem, skąd ci ten pomysł przyszedł do głowy czy może do serca. Ale dobrze postąpiłeś. Nie przeszkodziłem ci w tym, bo zimny rozsądek nie powinien nigdy hamować szlachetnych porywów. Nie tylko wprawiłeś go w dobry humor, ale wzruszyłeś jego serce. Zyskałeś zaś przynajmniej swobodę poruszania się do woli po Minas Tirith – gdy nie będziesz na służbie. Medal ma bowiem drugą stronę. Oddałeś się pod rozkazy Denethora; on o tym nie zapomni. Bądź nadal ostrożny!

Gandalf umilkł i westchnął.

– No tak, ale nie trzeba zbyt wiele myśleć o jutrze. Przede wszystkim dlatego, że każdy następny dzień przez długi czas jeszcze będzie przynosił gorsze troski niż poprzedni. A ja nie będę ci mógł teraz w niczym pomóc. Szachownica jest zastawiona, figury już poszły w ruch; jedną z nich bardzo chciałbym odnaleźć, a mianowicie Faramira, który jest obecnie spadkobiercą Denethora. Nie sądzę, by przebywał w stolicy, ale nie miałem czasu na zasięgnięcie języka. Muszę już iść, Pippinie. Muszę wziąć udział w naradzie dowódców i dowiedzieć się z niej jak najwięcej. Teraz jednak kolej na ruch przeciwnika, który lada chwila otworzy wielką grę. A pionki zagrają w niej nie mniejsze role niż figury, Peregrinie, synu Paladina, żołnierzu Gondoru. Wyostrz swój miecz!

Gandalf podszedł do drzwi, lecz odwrócił się od progu raz jeszcze.

– Spieszę się, Pippinie – rzekł. – Oddaj mi pewną przysługę, gdy wyjdziesz na miasto. Zrób to, zanim położysz się na spoczynek, jeśli nie jesteś zanadto zmęczony. Odszukaj Cienistogrzywego i sprawdź, jak go zaopatrzono. Tutejsi ludzie są dobrzy dla zwierząt, bo to lud zacny i rozumny, ale nie umieją się obchodzić z końmi tak, jak Rohirrimowie.

Z tymi słowy Gandalf wyszedł, a w tejże chwili z wieży fortecznej rozległ się głos dzwonu, czysty i dźwięczny. Trzy uderzenia srebrzyście rozbrzmiały w powietrzu i umilkły: wybiła godzina trzecia po wschodzie słońca.

Pippin wkrótce potem zbiegł ze schodów i rozejrzał się po ulicy. Słońce świeciło jasne i ciepłe, wieże i wysokie domy rzucały wydłużone, ostre cienie w stronę zachodu. W górze pod błękitem szczyt Mindolluiny wznosił kołpak i okryte śnieżnym płaszczem ramiona. Wszystkimi ulicami grodu

zbrojni mężowie dążyli w różnych kierunkach, jakby z wybiciem trzeciej godziny spieszyli zmienić straże i objąć posterunki.

– W Shire liczylibyśmy godzinę dziewiątą – stwierdził głośno sam do siebie Pippin. – Pora smacznego śniadania i otwarcia okna na blask wiosennego słońca. Ach, jak chętnie bym zjadł śniadanie! Ciekawe, czy ci ludzie tutaj w ogóle znają ten zwyczaj; może u nich już dawno po śniadaniu? Kiedy też podają obiad i gdzie?

W tym momencie zobaczył mężczyznę w czarno-białej odzieży zbliżającego się wąską uliczką od centrum twierdzy. Pippin czuł się samotny, postanowił więc zagadnąć nieznajomego, gdy ten będzie go mijał; okazało się to jednak niepotrzebne, bo mężczyzna podszedł wprost do niego.

– Ty jesteś niziołek Peregrin? – spytał. – Powiedziano mi, że złożyłeś przysięgę na służbę władcy tego grodu. Witaj! – Wyciągnął rękę, którą Pippin uścisnął. – Nazywam się Beregond, syn Baranora. Mam wolne przedpołudnie, więc zlecono mi wyuczyć cię haseł i wyjaśnić przynajmniej część tego, co z pewnością chciałbyś wiedzieć. Ja ze swej strony też spodziewam się nauczyć od ciebie niejednego. Nigdy bowiem jeszcze nie widzieliśmy w tym kraju niziołka, a choć doszły nas różne słuchy o waszym plemieniu, stare historie, które się u nas zachowały, nic prawie o was nie mówią. Co więcej, jesteś przyjacielem Mithrandira. Czy znasz go dobrze?

– Jak by ci rzec? – odparł Pippin. – Nasłuchałem się o nim wiele przez całe moje krótkie życie, ostatnio zaś odbyłem daleką podróż w jego towarzystwie. Ale w tej księdze czytać by można długo, a ja nie mogę się chwalić, że poznałem z niej więcej niż jedną, może dwie kartki. Myślę jednak, że mało kto zna go lepiej. Na przykład w naszej kompanii tylko Aragorn znał go naprawdę.

– Aragorn? – spytał Beregond. – Co to za jeden?

– Hm… – zająknął się Pippin. – Człowiek, który z nami wędrował. Zdaje się, że teraz bawi w Rohanie.

– Ty również, jak mi mówiono, byłeś w Rohanie. Chętnie bym cię o ten kraj także wypytywał, bo znaczną część tej nikłej nadziei, jaka nam została, w nim właśnie pokładamy. Ale zaniedbuję swe obowiązki, przede

wszystkim bowiem miałem odpowiadać na twoje pytania. Czego pragniesz się dowiedzieć, Peregrinie?

– Jeśli wolno… hm… najpierw chciałbym zadać pytanie dość dla mnie w tej chwili palące, w sprawie śniadania i rzeczy temu podobnych. Mówiąc prościej, ciekaw jestem, w jakich porach jada się u was, a także gdzie mieści się sala jadalna, jeśli w ogóle istnieje. A gospody? Rozglądałem się, jadąc pod górę, lecz nic w tym rodzaju nie dostrzegłem, chociaż w drodze krzepiła mnie nadzieja na łyk dobrego piwa, który spodziewałem się dostać w tej siedzibie mądrych i uprzejmych ludzi.

Beregond popatrzył na niego z powagą.

– Stary wojak z ciebie, jak widzę – rzekł. – Powiadają, że żołnierze na wyprawie wojennej zawsze rozglądają się za okazją do jadła i napitku; nie wiem, czy to prawda, bo sam niewiele po świecie podróżowałem. A więc nic jeszcze dzisiaj w ustach nie miałeś?

– Żeby nie skłamać, muszę przyznać, że miałem – odparł Pippin – ale tylko kubek wina i kawałek ciasta, z łaski waszego władcy, który mnie przy tym poczęstunku tak wyżyłował pytaniami, że mi się jeszcze bardziej jeść zachciało.

Beregond śmiał się serdecznie.

– Jest u nas gadka, że mali ludzie największych przy stole prześcigają. Wiedz, że nie gorsze jadłeś śniadanie niż reszta załogi w grodzie, chociaż bardziej zaszczytne. Żyjemy w warowni, w wieży strażniczej i w stanie wojennego pogotowia. Wstajemy wcześniej niż słońce, przegryzamy byle czym o brzasku i obejmujemy służbę wraz ze świtem. Ale nie rozpaczaj! – Zaśmiał się znowu, widząc, jak Pippinowi mina zrzedła. – Ci, którzy wykonują ciężkie prace, posilają się dodatkowo w ciągu przedpołudnia. Potem jemy śniadanie w południe lub później, jak komu obowiązki pozwolą; a po zachodzie słońca zbieramy się na główny posiłek i zabawiamy się wtedy, o tyle, o ile jeszcze w tych czasach zabawiać się można. A teraz chodźmy! Oprowadzę cię po grodzie, postaramy się o jakiś prowiant i zjemy na murach, ciesząc się pięknym porankiem.

– Zaraz, zaraz! – odparł, rumieniąc się, Pippin. – Łakomstwo czy też głód, jeśli zechcesz łaskawie tak to nazwać, wymazało z mej pamięci ważniejszą sprawę. Gandalf – Mithrandir, jak wy go nazywacie – polecił mi, bym odwiedził jego wierzchowca Cienistogrzywego, wspaniałego

rumaka z Rohanu, perłę królewskiej stadniny, którego mimo to król Théoden podarował Mithrandirowi za jego zasługi. Zdaje mi się, że nowy właściciel kocha to zwierzę serdeczniej niż niejednego człowieka, jeśli więc chcecie go sobie zjednać, potraktujcie Cienistogrzywego z wszelkimi honorami, w miarę możności lepiej nawet niż hobbita…

– Hobbita? – przerwał mu Beregond.

– Tak my siebie nazywamy – wyjaśnił Pippin.

– Cieszę się, żeś mnie tej nazwy nauczył – rzekł Beregond – bo teraz mogę powiedzieć, że obcy akcent nie szpeci pięknej wymowy, a hobbici to plemię bardzo wymowne. Chodźmy! Zapoznasz mnie z tym szlachetnym koniem. Lubię zwierzęta, niestety rzadko je widuję w naszym kamiennym grodzie; wychowałem się jednak gdzie indziej, w dolinie u podnóża gór, a rodzina moja pochodzi z Ithilien. Bądź wszakże spokojny! Złożymy Cienistogrzywemu krótką wizytę, tyle tylko, ile grzeczność wymaga, potem zaś pospieszymy do spiżarni.

Pippin zastał Cienistogrzywego w porządnej stajni i dobrze opatrzonego. W szóstym bowiem kręgu poza murami warowni było kilka stajen, gdzie trzymano rącze wierzchowce w pobliżu kwatery gońców Namiestnika; gońcy czuwali, gotowi zawsze do drogi na rozkaz Denethora lub któregoś z najwyższych dowódców. Tego jednak ranka wszyscy ci ludzie i ich konie byli poza grodem na służbie. Cienistogrzywy na widok Pippina zarżał i zwrócił ku niemu łeb.

– Dzień dobry! – powiedział Pippin. – Gandalf przyjdzie, jak tylko będzie miał chwilę wolną. Jest zajęty, ale przysyła ci pozdrowienia oraz mnie, żebym sprawdził, czy ci czego nie brakuje i czyś już odpoczął po trudach.

Cienistogrzywy zadzierał łeb i grzebał nogą, lecz pozwolił Beregondowi pogłaskać się i poklepać lekko po karku.

– Wygląda, jakby rwał się do wyścigu, a nie jakby właśnie przybył z dalekiej drogi – rzekł Beregond. – Silny i dumny koń. A gdzie siodło i uzda? Należałby mu się strój bogaty i piękny.

– Nie ma dość bogatego i pięknego rzędu dla takiego konia – odparł Pippin. – Nie zniósłby też wędzidła. Jeśli zgodzi się nieść jeźdźca, niczego

więcej nie trzeba; jeśli nie zechce, nie zmusisz go wędzidłem, ostrogą ani biczem. Do widzenia, Cienistogrzywy. Bądź cierpliwy. Bitwa już blisko.

Rumak zadarł łeb i zarżał tak potężnie, że mury stajni zatrzęsły się, a Beregond i Pippin zatkali uszy. Sprawdzili jeszcze, czy w żłobie jest dość obroku, i wreszcie pożegnali Cienistogrzywego.

– A teraz poszukajmy obroku dla siebie – rzekł Beregond, prowadząc Pippina z powrotem do twierdzy, pod bramę w północnym murze ogromnej wieży. Stąd zeszli po długich schodach wiodących w szeroki chłodny korytarz, oświetlony latarniami. Po obu jego stronach widniały szeregi drzwi, a jedne z nich były właśnie otwarte.

– Tu mieszczą się składy i spiżarnie mojego oddziału – powiedział Beregond. – Witaj, Targonie! – zawołał przez uchylone drzwi. – Wcześnie jeszcze, ale przyprowadziłem gościa, którego Denethor przyjął dziś do służby. Przybywa z daleka, wypościł się w drodze, ranek spędził na ciężkiej pracy i jest głodny. Daj nam, co tam masz pod ręką.

Dostali chleb, masło, ser i jabłka z resztek zimowego zapasu, pomarszczone, lecz zdrowe i słodkie, a także skórzany bukłak z młodym piwem oraz drewniane talerze i kubki. Wszystko to zapakowali do łozinowego koszyka i wyszli znowu na słoneczny świat. Beregond zaprowadził teraz Pippina na wschodni kraniec wielkiego, wysuniętego niby ramię muru, gdzie była wnęka strzelnicza, a pod jej parapetem kamienna ława. Otwierał się stąd szeroki widok na okolicę zalaną światłem poranka.

Zjedli i wypili, a potem gawędzili trochę o Gondorze, o tutejszym życiu i obyczajach, a trochę o dalekiej ojczyźnie Pippina i o dziwnych krajach, które w swych wędrówkach poznał. Beregond z coraz większym podziwem przyglądał się hobbitowi, gdy ten kiwał w powietrzu krótkimi nogami, siedząc na kamiennej ławie, lub właził na nią i wspinał się na palce, aby wyjrzeć na kraj rozpostarty u stóp fortecy.

– Nie chcę taić przed tobą, zacny Pippinie – rzekł wreszcie – że wśród nas wyglądasz jak dziecko, nie jesteś większy niż nasi chłopcy w dziewiątym roku życia; a mimo to zaznałeś tylu niebezpieczeństw i widziałeś takie różne cuda, że niewielu siwych i brodatych starców mogłoby się podobnymi przygodami pochwalić. Myślałem, że dla kaprysu nasz władca chce wziąć sobie szlachetnie urodzonego pazia, jak podobno

mieli dawni królowie w zwyczaju. Widzę jednak, że się myliłem, i przepraszam cię za tę omyłkę.

– Wybaczam ci – odparł Pippin – tym bardziej żeś się niewiele pomylił. W mojej ojczyźnie uchodziłbym za wyrostka, cztery lata brakuje mi jeszcze do pełnoletności, jak ją w Shire liczą. Lecz nie mówmy wciąż o mnie. Rozejrzyjmy się razem po okolicy i objaśnij mi łaskawie, co stąd widać.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, mgła z nizin podniosła się w górę, a resztki jej płynęły nad głowami jak białe strzępy obłoku przygnanego od wschodu wiatrem, który wzmógł się teraz i łopotał białymi flagami i sztandarami na wieży. W dole, na dnie doliny, o jakieś pięć staj w linii prostej od wylotu strzelnicy, połyskiwały szare wody Wielkiej Rzeki, która, płynąc od północo-zachodu, zataczała szeroki łuk na południe i z powrotem na zachód, by zginąć w omglonym blasku, kryjącym odległe o pięćdziesiąt staj Morze.

Pippin obejmował wzrokiem cały obszar Pelennoru, usiany w dali mnóstwem zagród wiejskich; widział niskie murki, stodoły i obory, lecz nigdzie nie dostrzegał bydła ani zwierząt domowych. Drogi i ścieżki gęstą siecią przecinały zieleń pól i ruch na nich panował ożywiony; sznury wozów ciągnęły ku Wielkiej Bramie lub spod niej w głąb kraju. Od czasu do czasu u Bramy zjawiał się jeździec, zeskakiwał z siodła i spieszył do grodu. Najbardziej uczęszczany zdawał się główny gościniec prowadzący na południe, przecinający Rzekę skróconym szlakiem u podnóża gór i ginący szybko z oczu. Gościniec był szeroki, porządnie wybrukowany, a jego wschodnim skrajem pod wysokim murem biegła szeroka zielona ścieżka dla konnych. Tędy jeźdźcy pędzili w obu kierunkach, lecz duże, kryte budami wozy, tłumnie zapełniające bity szlak, kierowały się wszystkie na południe. Przyjrzawszy się uważnie, Pippin stwierdził, że ruch odbywa się w wielkim porządku, wozy toczą się trzema kolumnami; w pierwszej sunęły najszybsze wozy, ciągnione przez konie, w drugiej – wielkie furgony okryte różnobarwnymi budami, zaprzężone w powolne woły; w trzeciej, na zachodnim skraju, ludzie popychali lekkie, małe wózki.

– Ta droga prowadzi do dolin Tumladen i Lossarnach, a także do wiosek górskich, dalej zaś do Lebenninu – powiedział Beregond. – Wozami odjeżdżają ostatni już wyprawiani dla bezpieczeństwa z grodu starcy i dzieci, a z nimi kobiety, niezbędne jako ich opiekunki. Do południa muszą

wszyscy znaleźć się poza Bramą i oswobodzić drogę na długość jednej stai; taki jest rozkaz. Smutna konieczność! – westchnął. – Wielu z tych, którzy dziś się rozstali, nigdy się już z sobą w życiu nie spotka. Zawsze było za mało dzieci w naszym mieście, teraz nie ma ich już wcale, z wyjątkiem garstki chłopców, którzy nie zgodzili się opuścić grodu i dla których znajdą się jakieś zadania. Między nimi został mój syn.

Na chwilę zaległo milczenie. Pippin z niepokojem spoglądał na wschód, jakby w obawie, że lada chwila ujrzy tysiączne bandy orków nacierające stamtąd na zielone pola.

– A co tam widać? – spytał, wskazując coś pośrodku wielkiego łuku Anduiny. – Drugi gród chyba?

– Był to niegdyś najwspanialszy gród Gondoru, a tu, gdzie się znajdujemy, znajdowała się jedynie jego twierdza – odparł Beregond. – Dziś po obu stronach Rzeki piętrzą się tylko ruiny Osgiliath, zdobytego i spalonego przez Nieprzyjaciela wiele lat temu. W czasach młodości Denethora odbiliśmy te ruiny, nie zamierzając zresztą wskrzeszać miasta; utrzymaliśmy tam jednak wysuniętą placówkę i odbudowaliśmy most, po którym nasze wojska mogły się przeprawiać. Ale potem z Minas Morgul wysłano Okrutnych Jeźdźców.

– Czarnych Jeźdźców? – rzekł Pippin, a jego oczy rozszerzyły się i pociemniały od rozbudzonej na nowo dawnej grozy.

– Tak – przyznał Beregond. – Widzę, że wiesz o nich coś niecoś, chociaż nic nie wspomniałeś o tym w swoich opowieściach.

– Wiem o nich różne rzeczy – odszepnął Pippin – ale nie chcę mówić tego tutaj, tak blisko… tak blisko… – Urwał, podniósł wzrok ku drugiemu brzegowi Rzeki i wydawało mu się, że nie widzi tam nic prócz ogromnego złowrogiego cienia. Może był to majaczący na widnokręgu łańcuch gór, których poszarpane szczyty z odległości przeszło dwudziestu staj rozpływały się niejako we mgle. Pippin jednak miał wrażenie, że mrok rośnie w jego oczach, gęstnieje powoli, wzbierając, by zalać słoneczną krainę.

– Tak blisko Mordoru? – spokojnie skończył za niego Beregond. – Tak, tam leży Mordor. Rzadko wymieniamy tę nazwę, lecz od dawna widzimy wciąż ten cień nad naszą granicą, niekiedy wydaje się bledszy i bardziej odległy, niekiedy przybliża się i ciemnieje. Teraz rośnie i zagęszcza się

coraz bardziej, a wraz z nim rośnie nasz niepokój i strach. Niespełna rok temu Okrutni Jeźdźcy znów zawładnęli przeprawą przez Rzekę. Wielu naszych najdzielniejszych rycerzy poległo wówczas w boju. Wreszcie Boromir wyparł nieprzyjaciela z zachodniego brzegu i utrzymaliśmy po dziś dzień bliższą połowę Osgiliath. Na razie. Czeka nas bowiem lada chwila nowa bitwa na tym polu. Będzie to może najważniejsza bitwa wojny, która rozegra się wkrótce.

– Kiedy? – spytał Pippin. – Skąd wiecie? Widziałem tej nocy rozpalone wici i pędzących gońców. Gandalf wyjaśnił mi, że to są sygnały rozpoczętej już wojny. Spieszył tu, jakby każda chwila rozstrzygała o życiu lub śmierci. Dziś jednak nie widzę tu gorączkowego pośpiechu.

– Tylko dlatego, że wszystko już gotowe – rzekł Beregond. – Nabieramy tchu przed wielkim skokiem.

– Czemuż więc ogniska na wzgórzach płonęły tej nocy?

– Za późno wzywać pomoc, gdy już się jest osaczonym – odparł Beregond. – Nie znam jednak zamysłów władcy i jego wodzów. Mają oni różne sposoby zdobywania wieści. Nasz Denethor nie jest zwykłym człowiekiem, wzrok jego sięga daleko. Powiadają, że gdy nocą w swojej komnacie na wieży skupia myśli, to odgaduje przyszłość; czyta nawet w myślach Nieprzyjaciela, zmagając się z jego wolą. Dlatego właśnie postarzał się i wyniszczył przedwcześnie. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, ale wiem, że dowódca mój, Faramir, przebywa daleko za Anduiną na niebezpiecznej wyprawie; może to on nadsyła Namiestnikowi nowiny.

Powiem ci jednak szczerze, Pippinie, czego się domyślam: wici kazano rozpalić z powodu wieści, jakie wczoraj z wieczora nadeszły z Lebennin. W pobliżu ujścia Anduiny zgromadziła się wielka flota, okręty korsarzy z Umbaru na południu. Od dawna rozbójnicy ci przestali bać się potęgi Gondoru i zawarli sojusz z Nieprzyjacielem, teraz zaś gotują się zadać nam cios, by wesprzeć jego sprawę. Napaść ich zwiąże znaczną część sił Lebennin i Belfalas, na których pomoc liczyliśmy, bo tamtejsze plemiona są liczne i dzielne. Z tym większym więc niepokojem zwracamy oczy na północ, ku Rohanowi, i tym bardziej raduje nas wieść o zwycięstwie, którą nam przynosicie.

A jednak… – Beregond urwał i wstał, by się rozejrzeć na trzy strony świata. – A jednak wydarzenia, które się rozegrały w Isengardzie, powinny nas przestrzec, że już się wokół zamyka wielka sieć, że zaczyna się wielka

gra. To już nie utarczki na przeprawach rzecznych, nie wypady z Ithilien lub Anórien, nie zasadzki i rabunkowe najazdy. To wielka, z dawna zaplanowana wojna, w której my – cokolwiek by nam duma podszeptywała – jesteśmy tylko jednym z pionków. Zwiadowcy donoszą, że wszędzie wszczął się ruch: daleko na wschodzie za Morzem Wewnętrznym, na północy w Mrocznej Puszczy i poza nią, na południu w Haradzie. Wszystkie królestwa stoją wobec rozstrzygającej próby, oprą się lub runą, a wtedy wpadną pod władzę Ciemności.

Jednakże, mój Peregrinie, przypadł nam zaszczyt, że nas pierwszych i z największą siłą atakuje zawsze nienawiść Czarnego Władcy, nienawiść zrodzona w głębi wieków za głębiną Morza. Na ten kraj spadnie najcięższe uderzenie młota. Dlatego właśnie Mithrandir dążył tu z takim pośpiechem. Jeśli my się załamiemy, któż się ostoi? Czy dostrzegasz, Peregrinie, chociaż iskrę nadziei, że zdołamy się obronić?

Pippin nie odpowiedział. Patrzył na grube mury, na wieże i dumne proporce, na słońce stojące wysoko na niebie, a potem spojrzał na zbierający się u wschodu mrok i pomyślał o chciwych palcach Cienia, o bandach orków czających się w lasach i wśród gór, o zdradzie Isengardu, o szpiegujących ptakach, o Czarnych Jeźdźcach zapędzających się aż na ścieżki Shire’u – i o skrzydlatych posłańcach strachu, o Nazgûlach. Dreszcz go przejął, nadzieja przygasła w sercu. I w tym momencie słońce na chwilę zaćmiło się, jakby je zasłonił cień przelatującego czarnego skrzydła. Pippinowi wydało się, że słyszy niemal nieuchwytny dla ucha, daleki, z wysoka dolatujący krzyk, stłumiony, lecz mrożący krew w żyłach, okrutny i zimny. Pobladł i skulił się pod ścianą.

– Co to było? – spytał Beregond. – Czyś ty także coś wyczuł?

– Tak – szepnął Pippin. – To zwiastun naszej klęski, cień zguby, Okrutny Jeździec cwałujący w powietrzu.

– Tak, cień zguby – rzekł Beregond. – Boję się, że Minas Tirith padnie. Nadciąga noc. Mam wrażenie, jakby krew we mnie zastygła.

Czas jakiś siedzieli, spuściwszy głowy, bez słowa. Potem Pippin nagle podniósł wzrok: słońce świeciło znowu, flagi powiewały na wietrze. Otrząsnął się z przygnębienia.

– Przeleciał – rzekł. – Nie, nie straciłem jeszcze nadziei. Gandalf runął w przepaść, lecz powrócił i jest z nami. Ostoimy się, choćby na jednej tylko

nodze, a w najgorszym razie przetrwamy na klęczkach.

– Dobrze mówisz! – zawołał Beregond; wstał i zaczął przechadzać się tam i sam. – Każda rzecz na świecie osiąga kres w swoim czasie, lecz Gondor nie zginie jeszcze teraz. Nawet jeśli zuchwały Nieprzyjaciel wedrze się na mury, ścieląc pod nimi zwały trupów. Mamy inne twierdze, są też tajemne drogi ucieczki w góry. Nadzieja i pamięć przetrwają w jakiejś ukrytej dolince, gdzie trawa zieleni się świeżością.

– Bądź co bądź, wolałbym, żeby już było po wszystkim, wóz albo przewóz – powiedział Pippin. – Nie jestem wojakiem, nie lubię myśleć o wojnie. Ale nie ma chyba nic gorszego niż oczekiwanie na bliską już bitwę, której nie sposób uniknąć. Jakże się dłuży ten dzień dzisiaj! Lżej byłoby mi na duszy, gdybyśmy nie musieli stać z założonymi rękoma, lecz zamiast czekać, uderzyli pierwsi. Jeśli się nie mylę, Rohan też by się nie ruszył, gdyby nie Gandalf.

– Otóż to, dotknąłeś naszego bolesnego miejsca – rzekł Beregond. – Może jednak wszystko się zmieni, gdy powróci Faramir. On ma odwagę, ma więcej odwagi, niż ludzie sądzą; w naszych bowiem czasach ludziom trudno uwierzyć, że taki mędrzec, uczony badacz starych ksiąg i pieśni, jak Faramir, może być zarazem nieugiętym żołnierzem i dowódcą zdolnym do szybkich, śmiałych decyzji w polu. Faramir jest takim wodzem. Mniej zuchwały i porywczy niż Boromir, dorównuje mu wszakże męstwem. Cóż jednak może zrobić? Nie sposób zaatakować gór tamtego… tamtego królestwa. Za krótkie mamy ramię, nie możemy uderzyć, póki Nieprzyjaciel nie stanie na naszej ziemi. Ale wówczas trzeba będzie mieć ciężką rękę. – To mówiąc, Beregond położył dłoń na rękojeści miecza.

Pippin spojrzał na niego; był wysoki, dumny, szlachetny jak wszyscy ludzie spotykani w tym kraju; na myśl o bitwie oczy mu się iskrzyły.

„Niestety, moja ręka nie więcej waży niż piórko – pomyślał hobbit. – Jak to mówił Gandalf? Pionek? Może, ale ustawiony na niewłaściwym polu szachownicy”.

Rozmawiali tak z sobą, póki słońce nie dosięgło zenitu i nie odezwały się nagle dzwony ogłaszające południe. Ruch powstał w grodzie, wszyscy bowiem z wyjątkiem wartowników spieszyli na obiad.

– Pójdziesz ze mną? – spytał Beregond. – Mógłbyś dzisiaj przyłączyć się do naszego stołu; nie wiem, w której kompanii masz służyć; kto wie, czy

Namiestnik nie zatrzyma cię przy sobie do szczególnych poruczeń. Moi towarzysze z pewnością przyjmą cię mile. Warto też, byś poznał tu jak najwięcej ludzi, póki jeszcze mamy trochę wolnego czasu.

– Chętnie pójdę z tobą – odparł Pippin. – Prawdę rzekłszy, czuję się nieco osamotniony. Najbliższy mój przyjaciel został w Rohanie, nie mam z kim pogawędzić i pożartować. Czy nie mógłbym dostać się do twojej kompanii na służbę? Czy ty nią dowodzisz? W takim razie zechcesz mnie chyba przyjąć albo przynajmniej poprzeć moją prośbę?

– Nie, nie! – zaśmiał się Beregond. – Nie jestem dowódcą. Nie mam wysokiej rangi, nie piastuję żadnych urzędów ani godności, jestem prostym żołnierzem w Trzeciej Kompanii twierdzy. Ale wiedz, Peregrinie, że być prostym żołnierzem gwardii strzegącej tej wieży to nie lada zaszczyt w naszym grodzie, cały kraj patrzy na takich ludzi ze czcią.

– Trudno mi to wszystko pojąć – rzekł Pippin. – Zaprowadź mnie najpierw na naszą kwaterę, a jeśli nie zastaniemy tam Gandalfa, pójdę z tobą, gdzie zechcesz, i będę twoim gościem.

Nie zastali Gandalfa ani żadnych od niego poleceń, Pippin poszedł więc z Beregondem na obiad i zawarł znajomość z Trzecią Kompanią. Doznał tam przyjęcia, które pochlebiło nie tylko jemu, lecz również Beregondowi, wprowadzającemu tak pożądanego gościa. W grodzie bowiem rozeszły się już pogłoski o przyjacielu Mithrandira i o długiej rozmowie, jaką z nim Namiestnik odbył na osobności. Opowiadano w mieście, że książę niziołków przybył z północy, by ofiarować Gondorowi usługi i pięć tysięcy zbrojnych. Ktoś puścił nawet plotkę, że gdy nadjadą Rohirrimowie, każdy z nich na siodle przywiezie jednego niziołka, wprawdzie niskiego wzrostu, lecz dzielnego żołnierza.

Pippin, choć z żalem, musiał rozwiać te złudne nadzieje, lecz tytuł księcia przylgnął do niego na dobre; w pojęciu bowiem Gondorczyków musiał być co najmniej księciem, skoro przyjaźnił się z Boromirem i został z honorami potraktowany przez Denethora. Dziękowali mu więc za przybycie, chłonęli z zapartym tchem każde słowo jego opowiadań o nieznanych krajach, karmiąc przy tym gościa i pojąc go obficie. Jeśli mu czegoś do szczęścia brakowało, to tylko swobody, musiał bowiem pamiętać o doradzanej przez Gandalfa ostrożności i nie pozwalał sobie rozpuścić języka, jak by to chętnie zrobił w zaufanym hobbickim towarzystwie.

Wreszcie Beregond wstał.

– Czas się pożegnać, Peregrinie – rzekł. – Teraz bowiem kolej na mnie, a jak się zdaje, na całą kompanię również, objąć służbę aż do zachodu słońca. Jeśli dokucza ci samotność, może chciałbyś mieć wesołego przewodnika. Syn mój chętnie pokaże ci miasto. To dobry chłopiec. Jeśli spodoba ci się ta myśl, zejdź w najniższy krąg i spytaj o drogę do Starej Gospody przy Rath Celerdain, czyli ulicy Latarników. Zastaniesz tam mojego syna wraz z wszystkimi chłopcami, którzy nie opuścili miasta. Myślę, że ciekawych rzeczy napatrzysz się przy Wielkiej Bramie, zanim ją dzisiaj na noc zamkną.

Beregond wyszedł, a wkrótce rozeszła się też reszta kompanii. Dzień wciąż był pogodny, chociaż nieco mglisty i jak na tę porę roku niezwykle gorący, nawet w tym południowym kraju. Pippina trochę sen morzył, lecz w pustych pokojach czuł się nieswojo, postanowił zatem wyjść i zwiedzić miasto. Zaniósł Cienistogrzywemu parę zaoszczędzonych kąsków, które rumak przyjął wdzięcznie, chociaż na niczym mu w gościnie nie zbywało.

Opuściwszy stajnię, hobbit skierował się krętymi ulicami w dół. Ludzie pilnie mu się przyglądali. Kłaniali się z powagą, bardzo grzecznie, zwyczajem Gondoru pochylając głowy i krzyżując ręce na piersi, a za jego plecami wymieniali różne uwagi. Niejeden, stojąc na progu lub w oknie, przywoływał z wnętrza resztę domowników, by także zobaczyli księcia niziołków, przybyłego wraz z Mithrandirem. Większość ludzi używała tu języka różnego od Wspólnej Mowy, ale Pippin wkrótce oswoił się z nim przynajmniej na tyle, że odróżniał nadawany mu tytuł: *Ernil i Pheriannath*, przekonując się w ten sposób, że pogłoska o rzekomym jego dostojeństwie już obiegła miasto.

Idąc tak pod sklepionymi krużgankami przez piękne aleje i place, znalazł się w końcu w najniższym i największym kręgu grodu; wskazano mu ulicę Latarników, szeroką drogę wiodącą do Wielkiej Bramy, a przy niej Starą Gospodę, duży budynek z szarego kamienia, na którym czas odcisnął swoje piętno. Dwa skrzydła zwrócone bokiem do ulicy obejmowały z dwóch stron wąski trawnik, w głębi zaś błyszczał mnóstwem okien dom z wspartym na kolumnach podcieniem, ciągnącym się wzdłuż całej fasady, i schodami zbiegającymi wprost na murawę. Wśród kolumn bawili się chłopcy. Pippin dotychczas nie widział w Minas Tirith dzieci, z tym większą więc ciekawością przystanął, aby się im przyjrzeć.

W pewnej chwili jeden z chłopców zauważył go i z głośnym okrzykiem puścił się pędem przez trawnik ku ulicy. Inni pobiegli za przywódcą. Stanęli gromadą naprzeciw Pippina, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

– Witamy! – powiedział pierwszy chłopak. – Skąd przybywasz? Bo jesteś nietutejszy.

– Byłem nietutejszy – odparł Pippin – aż do dzisiaj, teraz jednak zostałem żołnierzem Gondoru.

– Patrzcie państwo! – zawołał chłopiec. – Wszyscy jesteśmy żołnierzami Gondoru. Ile masz lat i jak się nazywasz? Bo ja mam dziesięć lat i mało mi już brakuje wzrostu do pięciu stóp. Jestem wyższy od ciebie. Co prawda mój ojciec służy w gwardii i należy do najroślejszych w swojej kompanii. A co robi twój ojciec?

– Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć? – spytał Pippin. – Zacznę od końca. Ojciec mój gospodaruje nad Białym Źródłem, pod Tukonem, w Shire. Kończę lat dwadzieścia dziewięć, biję cię więc w tym punkcie. Mierzę natomiast tylko cztery stopy i nie spodziewam się już urosnąć, chyba wszerz.

– Dwadzieścia dziewięć! – gwizdnął z podziwu chłopiec. – Stary chłop! Jesteś w wieku mojego wuja Iorlasa. Mimo to – dodał dufnie – mógłbym postawić cię na głowie albo położyć na łopatki.

– Mógłbyś, gdybym ci pozwolił – odparł Pippin ze śmiechem. – Pewnie też ja mógłbym ci się odwzajemnić; znamy różne chwyty walki zapaśniczej w naszym kraiku. Wiedz też, że w mojej ojczyźnie uchodzę za wyjątkowo rosłego i silnego; nigdy jeszcze nikomu nie udało się postawić mnie na głowie. Jeślibyś ty chciał spróbować tej sztuki, gotów bym cię zabić, gdyby inne sposoby zawiodły. Jak będziesz starszy, przekonasz się, że nie trzeba nikogo sądzić z pozorów; wziąłeś mnie za obcego chłopca i niedojdę, za łatwą ofiarę, ale muszę cię ostrzec: mylisz się, jestem niziołkiem, silnym, odważnym i złym niziołkiem.

To mówiąc, Pippin zrobił tak srogą minę, że chłopiec cofnął się o krok, zaraz jednak znów podszedł bliżej z zaciśniętymi pięściami i wojowniczym błyskiem w oczach.

– Nie! – zaśmiał się Pippin. – Nie trzeba wierzyć we wszystko, co obcy opowiadają o sobie! Nie jestem wcale zabijaką! Ale byłoby grzeczniej, gdybyś, wzywając do walki, przedstawił się najpierw.

Chłopak wyprostował się dumnie.

– Jestem Bergil, syn Beregonda, żołnierza gwardii – oświadczył.

– Domyślałem się tego – rzekł Pippin – boś bardzo podobny do ojca. Znam go i właśnie on mnie tutaj do ciebie przysłał.

– Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? – odparł Bergil i nagle spochmurniał. – Chyba ojciec nie rozmyślił się i nie chce mnie wyprawić z miasta razem z dziewczętami? Nie, to niemożliwe, ostatnie wozy już odjechały.

– Polecenie, które przynoszę od ojca, nie jest aż tak przykre, chociaż może nie będzie ci miłe – rzekł Pippin. – Ojciec twój radzi, żebyś zamiast kłaść mnie na łopatki, oprowadził po mieście i pocieszył trochę w samotności. Odwdzięczę ci się opowieścią o różnych dalekich krajach.

Bergil klasnął w ręce i roześmiał się z ulgą.

– Świetnie! – wykrzyknął. – Zgoda! Zamierzaliśmy właśnie wybrać się pod Bramę i popatrzeć. Pójdziemy zaraz.

– A cóż tam dzieje się ciekawego?

– Spodziewamy się, że przed zachodem słońca nadciągną Południowym Gościńcem wodzowie z zaprzyjaźnionych ościennych krajów. Chodź z nami, zobaczysz.

Bergil okazał się miłym kompanem, najmilszym, jakim Pippina los obdarzył od rozłąki z Meriadokiem; wkrótce obaj śmiali się i gawędzili wesoło, idąc ulicami i nie zważając na zaciekawione spojrzenia, którymi ich obrzucano. Niebawem znaleźli się w tłumie ludzi dążących ku Wielkiej Bramie. Tu Pippin zyskał sobie szacunek Bergila, gdy bowiem przedstawił się i wymówił hasło, strażnicy zasalutowali i przepuścili go natychmiast, a co ważniejsze, pozwolili przejść również jego towarzyszowi.

– To się udało! – stwierdził Bergil. – Nas, chłopców, nie wypuszczają teraz za Bramę bez opieki dorosłego mężczyzny. Stąd będziemy widzieli lepiej.

Za Bramą wzdłuż drogi i wokół brukowanego placu, gdzie zbiegały się wszystkie drogi prowadzące do Minas Tirith, ludzie cisnęli się gęstym szpalerem. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę południa i wkrótce rozległy się szepty:

– Tam, tam, już się podnosi tuman pyłu! Idą!

Pippin i Bergil przecisnęli się do pierwszego szeregu i czekali wraz z innymi. Z oddali dobiegł głos rogów, a zgiełk powitalnych okrzyków zbliżał się jak wzbierająca wichura. Potem trąbka zagrała przeciągle i krzyk rozległ się tuż koło ich uszu.

– Forlong! Forlong!

Słysząc te powtarzające się wołania, Pippin zapytał swego przewodnika:

– O czym oni mówią?

– Forlong przybył! – odparł Bergil. – Stary Forlong Gruby, władca Lossarnach, krainy, gdzie mieszkają moi dziadkowie. Hura! Forlong jedzie, zacny stary Forlong!

Pierwszy jechał na ogromnym, grubokościstym koniu barczysty, opasły mężczyzna, stary już, z siwą brodą, ale w kolczudze, w czarnym hełmie na głowie i z długą, ciężką włócznią u siodła. Za nim w obłoku pyłu maszerowali dumnie wojownicy dobrze uzbrojeni, z potężnymi wojennymi toporami w rękach; twarze mieli posępne, byli niższego wzrostu i smaglejszej cery niż ludzie, których Pippin dotychczas spotykał w Gondorze.

– Forlong! – krzyczał tłum. – Wierne serce, wierny przyjaciel! Forlong!

Kiedy jednak oddział przeszedł, odezwały się szepty:

– Tylko ta garstka! Cóż znaczą dwie setki toporników! Spodziewaliśmy się dziesięćkroć liczniejszych posiłków. Oto skutek wieści o gromadzeniu się korsarskiej floty opodal ujścia Anduiny. Nasi sojusznicy mogli nam użyczyć ledwie dziesiątej części swoich sił. No, trudno, każdy żołnierz się przyda.

Za tym pierwszym nadciągały inne oddziały; a wszystkie, pozdrawiane okrzykami, przekraczały Bramę. Ludzie z ościennych krajów szli bronić stolicy Gondoru w godzinie niebezpieczeństwa, lecz wszystkie kraje nadesłały posiłki mniej liczne, niż oczekiwano i niż wymagała ciężka potrzeba. Syn władcy doliny Ringlo, Dervorin, prowadził trzy setki pieszych. Z wyżyny Morthondu, z wielkiej Doliny Czarnego Korzenia, smukły Duinhir, z synami Duilinem i Derufinem, wiódł pięciuset łuczników. Z Anfalas, odległego Długiego Wybrzeża, przymaszerowali rozciągniętą kolumną myśliwcy, pasterze, ludzie z wiosek, lecz z wyjątkiem

przybocznej straży ich władcy Golasgila nędznie odziani i uzbrojeni. Z Lamedonu przyszła garstka zawziętych górali, bez wodza. Z Ethiru ponad setka rybaków, tylu, ilu można było zwolnić ze służby na wojennych statkach. Hirluin Piękny z Pinnath Gelin, czyli Zielonych Gór, przywiódł trzystu dzielnych wojaków w zielonych mundurach. Ostatni zjawił się najdumniejszy z wodzów książę Dol Amrothu, Imrahil, krewny Namiestnika, pod złocistymi chorągwiami, na których błyszczały godła jego rodu: Okręt i Srebrny Łabędź, z pocztem rycerzy w pełnym uzbrojeniu, na siwych koniach; za nimi z pieśnią na ustach szło siedmiuset pieszych, a wszyscy wysokiego wzrostu jak ich książę, siwoocy i ciemnowłosi.

Na tym się skończyło, naliczono razem nie więcej niż trzy tysiące żołnierzy. Nie było już na co czekać. Gwar i tupot nóg przebrzmiał, oddalając się ku miastu, aż ucichł zupełnie. Tłum stał jeszcze chwilę w milczeniu. Kurz wisiał w powietrzu, bo wiatr ustał i wieczór był duszny. Zbliżała się godzina zamknięcia Bramy, czerwona tarcza słońca skryła się za górę Mindolluinę. Cień zapadł nad grodem. Pippin podniósł wzrok i wydało mu się, że niebo ma kolor popiołu, jakby ogromna chmura pyłu i dymu rozpostarła się w górze, przyćmiewając światło dzienne. Tylko na zachodzie gasnące słońce rozjarzyło opary płomienną czerwienią i Mindolluina rysowała się czarną bryłą na przydymionym, iskrzącym się jeszcze tu i ówdzie tle.

– Tak więc piękny dzień kończy się pożogą! – szepnął Pippin, zapominając o chłopcu, który stał przy nim.

– Dla mnie też źle się skończy, jeśli nie wrócę przed wieczornym dzwonieniem – odparł Bergil. – Chodźmy! Już trąbią na zamknięcie Bramy.

Trzymając się za ręce, wrócili do grodu i ostatni przekroczyli Bramę, zanim ją zamknięto, a gdy weszli na ulicę Latarników, odezwał się z wież uroczysty głos dzwonów. W oknach zabłysły światła, z domów i kwater żołnierskich rozmieszczonych pod murami rozległy się śpiewy.

– Na razie żegnaj – powiedział Bergil. – Pozdrów ode mnie ojca i podziękuj w moim imieniu za przysłanie tak miłego towarzysza. Mam nadzieję, że wkrótce znów mnie odwiedzisz. Niemal wolałbym, żeby nie doszło do wojny, bo moglibyśmy we dwóch bawić się wspaniale. Pojechalibyśmy na przykład do Lossarnach, do moich dziadków; pięknie

tam wiosną, kiedy w lasach i na łąkach jest pełno kwiatów. Ale kto wie, może kiedyś znajdziemy się tam razem. Nikt przecież nie pokona naszego władcy, a mój ojciec jest bardzo dobrym żołnierzem. Żegnaj i do zobaczenia!

Rozstali się i Pippin pospieszył do twierdzy. Droga wydała mu się długa, bo był zgrzany i bardzo głodny. Noc zapadała szybko. Ani jedna gwiazda nie wypłynęła na niebo. Hobbit spóźnił się na wspólną wieczerzę, lecz Beregond powitał go z radością, zrobił mu miejsce przy stole obok siebie i wypytywał o syna. Po wieczerzy Pippin gawędził chwilę z kompanią, lecz pożegnał ją dość prędko, ponieważ ogarnął go dziwny niepokój i pragnął co rychlej spotkać się znów z Gandalfem.

– Czy trafisz sam do swojej kwatery? – spytał Beregond, zatrzymując się na progu małej sali pod północną ścianą twierdzy, gdzie spędzili wieczór. – Noc ciemna dzisiaj, tym ciemniejsza, że nakazano przyćmić światła w mieście, a nie zapalać ich w ogóle po zewnętrznej stronie murów. Mam też dla ciebie inną nowinę: jutro wczesnym rankiem zostaniesz wezwany do Denethora. Obawiam się, że Namiestnik nie przydzieli cię do Trzeciej Kompanii. Mimo to spotkamy się chyba jeszcze. Do widzenia, śpij spokojnie!

Na kwaterze panowały ciemności, ledwie rozproszone światłem stojącej na stole małej latarni. Gandalfa nie było. Pippin czuł się coraz bardziej przygnębiony. Wspiął się na ławkę i usiłował wyjrzeć przez okno, lecz miał wrażenie, że patrzy w kałużę atramentu. Zlazł więc, zamknął okiennice i położył się do łóżka. Czas jakiś nasłuchiwał, tęskniąc do powrotu Gandalfa, potem zapadł w niespokojny sen.

W nocy obudziło go światło. Przez szparę w kotarze osłaniającej alkowę zobaczył Gandalfa przechadzającego się tam i sam po pokoju. Na stole płonęły świece i leżały zwoje pergaminu. Czarodziej westchnął i szepnął:

– Kiedyż wreszcie powróci Faramir!

– Hej, Gandalfie! – zawołał Pippin, wytykając głowę za kotarę. – Myślałem, żeś o mnie całkiem zapomniał. Cieszę się, że cię w końcu widzę. Dzień bez ciebie dłużył mi się bardzo.

– Noc za to będzie krótka – odparł Gandalf. – Wróciłem, bo muszę namyślić się w spokoju i samotności. Śpij, póki możesz wylegiwać się w

łóżku. O świcie zaprowadzę cię znowu do Denethora. A raczej nie o świcie, lecz kiedy przyjdzie wezwanie. Zapadły już Ciemności. Nie będzie świtu.

ROZDZIAŁ 2
SZARA DRUŻYNA

Gandalf odjechał, a tętent kopyt Cienistogrzywego ucichł wśród nocy, gdy Merry wrócił do Aragorna. Niósł tylko lekkie zawiniątko, stracił bowiem worek podróżny w Parth Galen i nie miał nic, prócz kilku najniezbędniejszych rzeczy pozbieranych wśród ruin Isengardu.

Hasufel już czekał osiodłany. Legolas i Gimli stali obok ze swoim wierzchowcem.

– A więc zostało nas czterech – rzekł Aragorn. – Pojedziemy dalej razem. Nie sami wszakże, jak przedtem myślałem. Król chce wyruszyć, nie zwlekając. Gdy przeleciał nad nami Skrzydlaty Cień, Théoden zmienił plany i postanowił wracać pod osłoną nocy do swoich górskich gniazd.

– A z nich dokąd? – spytał Legolas.

– Tego nie wiem jeszcze – odparł Aragorn. – Król podąży do Edoras, tam bowiem za cztery dni ma się odbyć na jego rozkaz wielki przegląd sił. Myślę, że skoro nadejdą wieści o wojnie, Jeźdźcy Rohanu ruszą na pomoc do Minas Tirith. Jeśli o mnie chodzi i o tych, którzy zechcą dalej trzymać się ze mną…

– Ja pierwszy! – krzyknął Legolas.

– A Gimli drugi! – zawołał krasnolud.

– Otóż jeśli chodzi o mnie, nic jeszcze nie wiem – ciągnął dalej Aragorn. – Muszę także spieszyć do Minas Tirith, lecz nie widzę przed sobą drogi. Zbliża się z dawna dojrzewająca godzina.

– Weźcie i mnie – odezwał się Merry. – Nie na wiele się przydałem do tej pory, ale nie chcę być odstawiony w kąt niby tobołek, który odbiera się z przechowalni dopiero wtedy, gdy już jest po wszystkim. Rohirrimowie pewnie teraz nie mieliby ochoty taszczyć mnie ze sobą. Co prawda król wspominał, że gdy wróci do domu, pragnie mnie mieć u swego boku, żebym mu opowiedział o naszym Shire.

– Tak – rzekł Aragorn. – Myślę, że twoja droga wiedzie u boku króla. Nie spodziewaj się jednak u jej celu samych radości. Dużo wody upłynie,

zanim Théoden znów zasiądzie spokojnie w Meduseld. Wiele nadziei zwarzy ta sroga wiosna.

Wkrótce byli gotowi wszyscy; dwadzieścia cztery konie, a na jednym z nich Gimli siedział za Legolasem, na drugim – Merry przed Aragornem w siodle. Pomknęli wśród nocy. Nie ujechali wszakże daleko za bród na Isenie, gdy jeździec zamykający pochód dopadł galopem pierwszego szeregu i zameldował królowi:

– Miłościwy panie, jacyś jeźdźcy gonią nas. Już podczas przeprawy przez rzekę wydawało mi się, że ich słyszę. Teraz jestem pewny. Dopędzają nas, jadą ostro.

Théoden natychmiast wstrzymał pochód. Rohirrimowie zawrócili końmi i chwycili za włócznie. Aragorn zeskoczył z siodła, zsadził Meriadoka na ziemię i dobywszy miecza, stanął tuż przy królewskim strzemieniu. Éomer ze swoim giermkiem cwałem wrócił do tylnej straży. Merry czuł się bardziej niż kiedykolwiek niepotrzebnym tobołkiem i zastanawiał się gorączkowo, jak się powinien zachować w razie bitwy. Cóż by się z nim stało, gdyby nieliczna królewska eskorta uległa nieprzyjacielskiej przewadze, on zaś zdołałby umknąć w ciemnościach? Jak poradziłby sobie sam na pustkowiach Rohanu, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje wśród bezbrzeżnych stepów?

„Źle ze mną” – pomyślał. Wyciągnął mieczyk i zacisnął pasa. Na chwilę chmura przesłoniła zniżający się już księżyc, który teraz wypłynął i zaświecił jasno. Wszyscy już słyszeli narastający grzmot końskich kopyt, a w tym momencie ujrzeli pędzące ścieżką od strony brodu ciemne postacie. Ostrza włóczni połyskiwały w księżycowym blasku. Liczbę napastników trudno było ustalić, zdawało się jednak, że jest ich co najmniej tylu, ilu obrońców ma król w swojej świcie. Gdy zbliżyli się na pięćdziesiąt kroków, Éomer krzyknął gromkim głosem:

– Stój! Stój! Kto jedzie przez pola Rohanu?

Tamci osadzili wierzchowce w miejscu. Zapadła cisza, a potem Rohirrimowie w świetle księżyca dostrzegli, że jeden z jeźdźców zeskakuje z konia i wolno podchodzi ku nim. Wyciągnął białą w mroku rękę, otwartą dłonią do góry, na znak pokojowych zamiarów, lecz ludzie królewscy nie podnieśli włóczni. Nieznajomy zatrzymał się o dziesięć kroków przed nimi. Widzieli smukłą, wyprostowaną sylwetkę. Potem usłyszeli dźwięczny głos:

– Pola Rohanu? Pola Rohanu, powiadasz? Dobra to dla nas nowina. Z daleka jedziemy i pilno nam właśnie do tego kraju.

– To jest Rohan – odpowiedział Éomer. – Weszliście w jego granice, gdy przeprawiliście się brodem przez rzekę. Ale to jest ziemia króla Théodena. Nikt nie śmie jej deptać bez królewskiego zezwolenia. Coście za jedni? Dlaczego tak spieszycie?

– Jestem Halbarad Dúnadan, Strażnik Północy! – krzyknął tamten. – Szukamy Aragorna, syna Arathorna, a doszły nas wieści, że przebywa w Rohanie.

– Znaleźliście go! – zawołał Aragorn. Rzucił uzdę Meriadokowi, podbiegł do Halbarada i padł mu w ramiona.

– Halbarad! Wszystkiego raczej się spodziewałem niż tej radości!

Merry odetchnął. Obawiał się, że to ostatni podstęp Sarumana, by zaskoczyć króla w szczerym polu, z garstką ledwie ludzi u boku; przyszłoby wtedy hobbitowi pewnie polec w obronie majestatu, ale, jak się okazało, jeszcze ta godzina nie wybiła. Wsunął więc mieczyk do pochwy.

– Wszystko w porządku – oznajmił Aragorn, powracając do orszaku. – To moi pobratymcy z dalekiego kraju, gdzie dotąd mieszkałem. Ale dlaczego tu przybywają i w jakiej sile, powie nam sam Halbarad.

– Wybrało się ze mną trzydziestu – rzekł Halbarad. – Tylu, ilu z naszego ludu dało się skrzyknąć naprędce; ale przyłączyli się potem bracia Elladan i Elrohil, pragnąc wziąć udział w wojnie. Spieszyliśmy co tchu i ruszyliśmy natychmiast po otrzymaniu twojego wezwania.

– Ależ ja was nie wzywałem! – rzekł Aragorn. – Chyba tylko w głębi serca. Myśli moje często zwracały się ku wam, a już najbardziej uporczywie tej ostatniej nocy, nie wysłałem jednak do was gońca. Nie pora wszakże o tym rozprawiać. Spotkaliście nas w podróży, pilnej i niebezpiecznej. Jedźcie razem z nami, jeśli król zezwoli.

Théoden przyjął propozycję z radością.

– Dobrze się stało – rzekł. – Jeśli twoi krewniacy podobni są do ciebie, Aragornie, trzydziestu takich rycerzy to potęga, której nie da się ocenić wedle pogłowia.

Ruszono więc w dalszą drogę razem; Aragorn czas jakiś jechał wśród Dúnedainów, a gdy już wymienili najważniejsze wiadomości z północy i

południa, Elrohir odezwał się do niego:

– Ojciec kazał ci powtórzyć te słowa: „Dni są policzone. Jeśli się spieszysz, pamiętaj o Ścieżce Umarłych”.

– Zawsze dni zdawały mi się za krótkie, by wypełnić moje zadanie – odparł Aragorn. – Bardzo jednak musiałbym się spieszyć, żeby wybrać tę ścieżkę.

– Wkrótce rzecz się wyjaśni – powiedział Elrohir. – Teraz, w otwartym polu, nie mówmy lepiej o tym.

Aragorn zwrócił się do Halbarada:

– Co to wieziesz z sobą, krewniaku? – spytał, widząc, że Strażnik zamiast włóczni ma długie drzewce, jak gdyby chorągiew, lecz zwiniętą i szczelnie okrytą czarnym suknem, mocno ściągniętym rzemieniami.

– Wiozę podarek dla ciebie od Pani z Rivendell – odparł Halbarad. – Przygotowała go w tajemnicy i wiele godzin pracowała nad nim. Przesyła ci również te słowa: „Dni są już policzone. Zbliża się spełnienie naszej nadziei lub kres wszelkiej nadziei świata. Dlatego ślę ci ten dar, robotę własnych mych rąk. Bądź zdrów, Kamieniu Elfów!”.

– Wiem, co to jest – rzekł Aragorn – ale proszę cię, zatrzymaj ten dar przez krótki czas przy sobie.

Odwrócił się i spojrzał w stronę północy, gdzie świeciły wielkie gwiazdy, a potem zamyślił się i od tej chwili milczał aż do końca nocnej jazdy.

Noc przemijała, niebo szarzało na wschodzie, gdy wreszcie wyjechali z Zielonej Roztoki i znaleźli się znów w Rogatym Grodzie. Tu mieli wytchnąć, przespać się trochę i naradzić.

Merry spał długo, aż w końcu Legolas i Gimli obudzili go.

– Słońce już wysoko – rzekł elf. – Wszyscy dawno są na nogach. Wstawaj, leniuchu, nie trać okazji i obejrzyj warownię.

– Przed trzema dniami toczyła się tu bitwa – powiedział Gimli – a my z Legolasem stanęliśmy do zawodów; wygrałem, chociaż miałem tylko o jednego orka więcej na swoim rachunku. Chodź, opowiemy ci, jak to było. A jakie tu są groty, jakie cudowne groty! Czy moglibyśmy je zwiedzić, jak myślisz, Legolasie?

– Nie, na to nie ma czasu – odparł elf. – W pośpiechu nie docenia się cudów. Dałem ci słowo, że kiedyś tutaj wrócę z tobą, jeśli nastaną dni pokoju i wolności. Teraz jednak południe już blisko, a w południe zjemy obiad i zaraz potem ruszymy, jak słyszałem, dalej.

Merry wstał, ziewając. Kilka godzin snu nie zadowoliło go wcale, był zmęczony i trochę niespokojny. Brakowało mu Pippina, czuł się piątym kołem u wozu, podczas gdy wszystkich towarzyszy zaprzątały plany doniosłego przedsięwzięcia, którego celu i wagi hobbit nie pojmował.

– Gdzie jest Aragorn? – spytał.

– W górnej komnacie Wieży – odparł Legolas. – O ile mi wiadomo, nie spał ani nie odpoczywał wcale. Poszedł na górę przed paru godzinami, mówiąc, że musi zebrać myśli; tylko jego krewniak Halbarad dotrzymuje mu towarzystwa. Czuję, że nękają go jakieś wątpliwości czy może troski!

– Dziwni ludzie ci jego pobratymcy – powiedział Legolas. – Postawę mają tak wspaniałą, że Jeźdźcy Rohanu wyglądają przy nich niemal na młodzieniaszków, a twarze surowe, zniszczone niby skała od wichrów i słoty, podobnie jak Aragorn, i przeważnie milczą.

– Ale podobnie jak Aragorn, jeśli się odzywają, mówią bardzo dwornie – rzekł Legolas. – Czy zwróciłeś uwagę na braci Elladana i Elrohira? Ci noszą jaśniejsze płaszcze, a piękni są i pogodni jak książęta elfów. Nic w tym zresztą dziwnego, to przecież synowie Elronda z Rivendell.

– Dlaczego oni także przybyli tutaj? Może wiesz, Legolasie? – spytał Merry. Był już ubrany i zarzucił na ramiona swój szary płaszcz. Wszyscy trzej poszli w stronę rozwalonej bramy grodu.

– Słyszałeś, że stawili się na wezwanie – rzekł Gimli. – Powiadają, że w Rivendell otrzymano wiadomość: „Aragorn potrzebuje wsparcia swych pobratymców. Niech Dúnedainowie pospieszą do Rohanu”. Skąd jednak ta wieść nadeszła, nie wiadomo na pewno. Ja myślę, że przysłał ją Gandalf.

– Nie, raczej Galadriela – powiedział Legolas. – Czyż nie zapowiadała przez usta Gandalfa przybycia Szarej Drużyny z Północy?

– Masz słuszność – przyznał Gimli. – Piękna Pani ze Złotego Lasu! Galadriela umie czytać w sercach i zgaduje ich pragnienia. Szkoda, że my też nie wezwaliśmy tajemnie naszych współplemieńców, Legolasie!

Legolas stał przed bramą i wpatrywał się bystrymi oczami w dal, na północ i na wschód; piękną twarz powlókł mu teraz cień smutku. – Myślę, że nie przyszliby i tak – odparł. – Po cóż mieliby spieszyć na spotkanie wojny, skoro wojna już wkracza w ich własne granice.

Długą chwilę rozmawiali, przechadzając się, o różnych momentach pamiętnej bitwy, a potem zeszli spod rozbitej bramy i minąwszy usypane wzdłuż drogi mogiły poległych, wspięli się na Helmowy Szaniec i spojrzeli z góry na Zieloną Roztokę. Kopiec Śmierci już wznosił się pośród równiny, czarny, ogromny, kamienisty, a wokół trawa sczerniała, stratowana ciężkimi stopami Huornów.

Dunlendingowie i inni ludzie pracowali, naprawiając zburzone wały, usuwając szkody na polach i w zewnętrznych murach obronnych. Mimo tej krzątaniny dziwny spokój panował w okolicy, jakby zmęczona dolina odpoczywała po straszliwej burzy. Trzej przyjaciele wkrótce musieli wracać na obiad do sali zamkowej.

Król już tam był, a gdy weszli, zawołał Meriadoka i wyznaczył mu miejsce obok siebie.

– Inaczej to sobie planowałem – rzekł – bo nie jest tutaj tak pięknie, jak w moim pałacu w Edoras, a przy tym brakuje twego przyjaciela, którego pragnąłbym również mieć przy sobie. Ale nieprędko pewnie będziemy mogli zasiąść razem za stołem w Meduseld. Nawet gdy tam wrócę, nie pora będzie na uczty. Tymczasem więc tutaj jedzmy, pijmy i rozmawiajmy, póki czas pozwala. Potem zaś pojedziesz ze mną.

– Doprawdy? – wykrzyknął Merry, zaskoczony i uradowany. – To wspaniale! – Nigdy chyba nie był równie wdzięczny za łaskawe słowo. – Obawiam się, że tylko zawadzam w tej wyprawie – wyjąkał – ale chciałbym się przydać i gotów bym wszystko zrobić, wszystko!

– Nie wątpię – rzekł król. – Kazałem przygotować dla ciebie dzielnego górskiego kucyka. Nie da się on prześcignąć dużym koniom na drogach, które nas czekają. Pojadę bowiem stąd górskimi ścieżkami, nie zaś przez równinę, tak że po drodze do Edoras zawadzimy o Dunharrow, gdzie czeka na mnie Éowina. Jeśli chcesz, będziesz moim giermkiem. Czy znajdzie się w tutejszej warowni zbroja stosowna dla mojego przybocznego giermka, Éomerze?

– Zbrojownia tu skromna – odparł Éomer – ale może się dobierze lekki hełm; zbroi ani miecza nie mamy na jego miarę.

– Miecz mam – oświadczył Merry, zsuwając się ze stołka i dobywając z czarnej pochwy małe błyszczące ostrze. W nagłym porywie czułości do dostojnego starca przykląkł na jedno kolano i ucałował królewską rękę. – Królu Théodenie! – zawołał. – Czy pozwolisz, bym na twych kolanach złożył miecz Meriadoka z Shire'u? Czy przyjmiesz moje usługi?

– Szczerym sercem przyjmuję – odparł król i kładąc długie, starcze dłonie na ciemnej czuprynie hobbita, pobłogosławił go uroczyście. – Wstań, Meriadoku, rycerzu Rohanu, domowniku królewskiego dworu w Meduseld! – rzekł. – Weź swój miecz i niech ci służy szczęśliwie i sławnie.

– Będziesz mi ojcem, miłościwy królu – powiedział Meriadok.

– Przez krótki już tylko czas – odparł Théoden.

Tak rozmawiali przy stole, aż wreszcie Éomer powiedział:

– Królu, zbliża się godzina, którą wyznaczyłeś. Czy mam rozkazać, by zagrały rogi? Gdzie się podziewa Aragorn? Miejsce jego jest puste, nie jadł nic.

– Przygotujmy się do odjazdu – odrzekł Théoden – ale uprzedźcie zaraz Aragorna, że wkrótce pora wyruszać.

Król ze swą świtą i z Meriadokiem u boku zszedł spod bramy grodu na błonia, gdzie gromadzili się jeźdźcy. Wielu już siedziało na koniach. Zastęp był liczny, bo król zostawiał w grodzie tylko niezbędną, szczupłą załogę, wszyscy inni ciągnęli do Edoras na wielki przegląd sił zbrojnych. Tysiąc włóczników odmaszerowało już nocą, lecz około pięciuset miało towarzyszyć królowi; w większości byli to ludzie z pól i dolin Zachodniej Bruzdy.

Strażnicy trzymali się nieco na uboczu, w porządnym szyku, milczący, uzbrojeni we włócznie, łuki i miecze. Ubrani byli w ciemnoszare płaszcze, z kapturami naciągniętymi na hełmy. Konie, mocne i szlachetnej krwi, sierść jednak miały szorstką i niewypielęgnowaną; jeden z pustym siodłem czekał na jeźdźca – wierzchowiec Aragorna, Roheryn, którego strażnicy przywiedli z północy. W rynsztunku ludzi ani też w rzędach końskich nie lśniły drogie kamienie, złoto czy inne ozdoby; Dúnedainowie nie mieli

godeł ani odznak, z wyjątkiem srebrnej klamry w kształcie promienistej gwiazdy, spinającej płaszcz na lewym ramieniu.

Król dosiadł Śnieżnogrzywego, a Merry wskoczył na grzbiet kucyka, który się zwał Stybba. W tej samej chwili od strony bramy ukazał się Éomer, a za nim Aragorn i Halbarad, z długim drzewcem omotanym czarną płachtą w ręku, oraz dwaj wysmukli rycerze, którzy zdawali się ani starzy, ani młodzi. Synowie Elronda tak byli do siebie podobni, że mało kto ich odróżniał; obaj mieli ciemne włosy, siwe oczy i piękne rysy elfów, ubrani zaś byli jednakowo, w lśniące kolczugi pod srebrzystoszarymi płaszczami. Za nimi szli Legolas i Gimli. Merry jednak nie mógł oczu oderwać od Aragorna, zdumiewając się zmianą, jaka w nim zaszła, jak gdyby w ciągu jednej nocy przybyło mu wiele lat. Twarz miał posępną, zszarzałą i znużoną.

– Dręczy mnie rozterka, królu – rzekł, przystając obok królewskiego wierzchowca. – Otrzymałem dziwną radę i widzę przed sobą nowe niebezpieczeństwa. Długo biłem się z myślami i muszę niestety zmienić poprzednie plany. Powiedz mi, królu Théodenie, jak długo potrwa marsz stąd do Dunharrow?

– Od południa upłynęła już godzina – odpowiedział za króla Éomer. – Dojedziemy do warowni przed wieczorem trzeciego dnia. Będzie wtedy pierwsza noc po pełni księżyca, a następnego dnia zbiorą się wezwane przez króla do Edoras wojska. Nic się w tym planie przyspieszyć nie da, jeśli mamy zgromadzić wszystkie siły Rohanu.

Aragorn chwilę milczał.

– Trzy dni – szepnął wreszcie – zanim się rozpocznie przegląd sił. Rozumiem jednak, że nie można tych terminów skrócić. – Podniósł wzrok i łatwo było zgadnąć, że powziął jakąś decyzję, bo twarz mu się rozjaśniła. – Wobec tego, za twoim, królu, pozwoleniem, muszę wytyczyć sobie i swoim pobratymcom inne plany. Pojedziemy własną drogą i już nie będziemy się dłużej kryli. Skończył się dla mnie czas działania w ukryciu. Pospieszę na wschód najkrótszą drogą, Ścieżką Umarłych.

– Ścieżką Umarłych! – powtórzył Théoden i zadrżał. – Dlaczego o niej wspominasz? – Éomer odwrócił się i spojrzał Aragornowi w oczy; Merry miał wrażenie, że twarze stojących w pobliżu rycerzy, którzy dosłyszeli te słowa, pobladły nagle. – Jeśli rzeczywiście istnieje ta ścieżka – ciągnął

Théoden – jej brama jest w Dunharrow, ale nikt z żyjących tą drogą nie przejedzie.

– Niestety, Aragornie, przyjacielu, miałem nadzieję, że ramię przy ramieniu wyruszymy na wojnę – odezwał się Éomer – lecz skoro wybrałeś Ścieżkę Umarłych, musimy się rozstać i mało jest prawdopodobne, byśmy kiedykolwiek znów się spotkali na słonecznym świecie.

– Mimo to poszukam tej drogi – odparł Aragorn. – Lecz nie wątpię, że w boju znajdziemy się, Éomerze, znów razem, choćby cała potęga Mordoru stanęła między nami.

– Zrób wedle swojej woli, Aragornie – powiedział Théoden. – Może twój los każe ci właśnie obierać ścieżki, na które inni nie ważą się wstąpić. Rozłąka z tobą zasmuca mnie i uszczupla moje siły. Teraz jednak pora ruszać górskimi drogami, nie ma czasu do stracenia. Bądź zdrów, Aragornie.

– Bądź zdrów, królu Théodenie. Jedź po nową sławę. Bądź zdrów, Merry. Zostawiam cię w dobrych rękach, nie mogłem spodziewać się dla ciebie tak pomyślnej odmiany, gdy ścigaliśmy bandę orków aż pod las Fangorn. Legolas i Gimli będą nadal wędrować ze mną, ale nie zapomnimy o tobie.

– Do widzenia! – powiedział Merry. Nie mógł wykrztusić nic więcej. Czuł się bardzo mały, wszystkie te posępne słowa brzmiały dla niego zagadkowo i przygnębiały go. Bardziej niż kiedykolwiek tęsknił za niewyczerpanym humorem wesołego Pippina. Jeźdźcy byli już gotowi, konie zniecierpliwione tańczyły w miejscu. Hobbit także już czekał niecierpliwie, żeby wreszcie skończyła się scena pożegnania.

Z kolei Théoden dał rozkaz Éomerowi; ten podniósł rękę i krzyknął głośno. Oddział ruszył. Wyjechali jarem i dalej przez Zieloną Roztokę, a potem skręcili ostro ku wschodowi na ścieżkę, która na odcinku mniej więcej mili biegła wzdłuż podnóży górskiego łańcucha, następnie zaś zataczała łuk ku południowi i znikała wśród gór. Aragorn z szańca patrzył za oddalającym się królewskim pocztem. Kiedy oddział zginął mu z oczu, zwrócił się do Halbarada.

– Pożegnałem trzech przyjaciół, których wszystkich kocham, a najmniejszego z nich nie mniej niż wielkich – rzekł. – Nie wie on, ku jakiemu losowi podąża, lecz gdyby wiedział, nie cofnąłby się na pewno.

– Ludek z Shire’u jest mały wzrostem, ale wielkie ma zalety – powiedział Halbarad. – Nic prawie nie wie o długich latach naszych trudów na straży jego granic, nie żal mi jednak, że się dla niego trudziłem.

– Losy nasze są teraz związane – odparł Aragorn – a mimo to trzeba się było dzisiaj rozstać. Teraz muszę coś zjeść naprędce i nie zwlekając, ruszymy także. Chodź, Legolasie. Chodź, Gimli. Chcę z wami porozmawiać.

Razem wrócili do fortecy, lecz przy stole Aragorn długo milczał, a dwaj przyjaciele nie odzywali się, czekając, by przemówił pierwszy. W końcu Legolas przerwał milczenie.

– Mów! – powiedział do Aragorna. – Zrzuć z serca, co na nim ciąży, otrząśnij się ze smutku. Co się stało przez tych kilka godzin, które upłynęły od szarego brzasku, gdy wróciliśmy do tej posępnej twierdzy?

– Stoczyłem walkę cięższą dla mnie niż wielka bitwa o Rogaty Gród – odparł Aragorn. – Zajrzałem w kryształ Orthanku.

– Zajrzałeś w ten przeklęty zaczarowany kryształ! – krzyknął Gimli z trwogą i zdumieniem. – Czy to znaczy, że widziałeś… Jego? Nawet Gandalf bał się tego spotkania.

– Zapominasz, z kim mówisz – surowo odparł Aragorn i oczy mu rozbłysły. – Czyż u bram Edoras nie rozgłosiłem przysługującego mi tytułu? Nie, mój Gimli – ciągnął łagodniejszym już tonem; twarz mu się rozpogodziła, lecz wyglądał jak ktoś, kto wiele nocy spędził bezsennie na ciężkiej pracy. – Nie, moi przyjaciele, jestem prawowitym panem tego kryształu, mam zarówno prawo, jak i siłę, by go użyć. Tak przynajmniej sądziłem. Co do prawa, nie można go podać w wątpliwość. Ale siły zaledwie starczyło na tę próbę.

Odetchnął głęboko.

– Była to straszna walka i zmęczenie po niej jeszcze nie minęło. Nie odezwałem się do Tamtego ani słowem i w końcu zmusiłem kryształ do posłuszeństwa mojej woli. Już to samo będzie dla Nieprzyjaciela przykrą porażką. Poza tym – zobaczył mnie. Tak, Gimli, zobaczył mnie, ale w innej postaci, niż ty mnie widzisz w tej chwili. Jeśli to wyjdzie mu na pożytek, zrobiłem błąd. Myślę jednak, że nie. Wiadomość, że żyję dotychczas i chodzę po ziemi, jest dla niego bolesnym ciosem. Nie wiedział bowiem o tym do dziś. Nie zapomniał wszakże Isildura i miecza Elendila. Teraz, w

rozstrzygającej godzinie, gdy przystępuje do urzeczywistnienia wielkiego planu, ukazał mu się spadkobierca Isildura i jego miecz; pokazałem mu bowiem ostrze przekute na nowo do walki z nim. Nie jest tak potężny, by nie znał już lęku; nie, jego także nękają wątpliwości.

– Ale włada potężnym państwem – rzekł Gimli – i teraz pewnie tym szybciej uderzy.

– Pospieszne ciosy zwykle chybiają celu – odparł Aragorn. – Musimy naciskać wroga, już nie pora czekać biernie na jego pierwszy ruch. Wiedzcie też, przyjaciele, że patrząc w kryształ, dowiedziałem się wielu rzeczy. Dostrzegłem poważne niebezpieczeństwo grożące Gondorowi z nieoczekiwanej strony, od południa; dzieje się tam coś, co odciągnie znaczną część sił od obrony Minas Tirith. Jeżeli nie zażegnamy tej groźby, lękam się, że gród upadnie, zanim upłynie dziesięć dni.

– A więc musi upaść – powiedział Gimli. – Jakiej bowiem pomocy możemy mu udzielić z takiej odległości? Jak moglibyśmy zdążyć na czas?

– Nie mogę wysłać posiłków, a więc muszę iść sam – odparł Aragorn. – Jest tylko jedna droga przez góry, która zaprowadzi nas do nadbrzeżnych krain, zanim los Minas Tirith będzie przesądzony: Ścieżka Umarłych.

– Ścieżka Umarłych – powtórzył Gimli. – Okropna nazwa. Zauważyłem też, że Rohirrimowie bardzo jej nie lubią. Czy żywi mogą użyć tej drogi i nie zginąć na niej? A nawet jeśli przejdziemy, cóż znaczy nas trzech przeciw potędze Mordoru?

– Nikt z żywych nie zapuszczał się na tę ścieżkę, odkąd Rohirrimowie osiedli w tym kraju – powiedział Aragorn. – Jest bowiem dla nich zamknięta. Lecz w czarnej godzinie spadkobierca Isildura może jej użyć, jeśli mu starczy odwagi. Słuchajcie. Oto, jaką radę przynieśli mi synowie Elronda z Rivendell od swego ojca, najznakomitszego mędrca, uczonego w księgach dziejów: „Niech Aragorn pamięta o słowach wróżby i o Ścieżce Umarłych”.

– Jak brzmią słowa wróżby? – spytał Legolas.

– Wieszczek Malbeth za czasów Arvedui, ostatniego króla na Fornoście, przepowiedział tak:

Nad krajem wielki zaległ Cień,

Na zachód czarnym skrzydłem sięga,

Drżą mury wieży; ku monarchów grobom
Nadciąga zguba. Budzą się umarli.
Bije godzina dla wiarołomców,
Aby stanęli znów u Głazu Erech,
Gdzie im głos rogu echo gór przyniesie.
Czyj to róg zagra? Kto rzuci wyzwanie
I lud z pomroki wskrzesi zapomniany?
Potomek tego, któremu przysięgli.
Z północy przyjdzie w wyrocznej godzinie,
I drzwi przekroczy na Ścieżce Umarłych[73].

– Tajemnicza ścieżka, ale dla mnie również tajemnicze są te wiersze – rzekł Gimli.

– Jeżeli je mimo to trochę rozumiesz, proszę cię, chodź ze mną tą ścieżką, którą obrałem – powiedział Aragorn. – Nie wstępuję na nią chętnie, zmusza mnie do tego konieczność. Ty jednak, jeżeli pójdziesz, musisz to zrobić z własnej wolnej woli, inaczej nie zgodzę się wziąć cię ze sobą; wiedz, że czeka cię zarówno wiele trudu, jak i strachu, a może coś jeszcze gorszego.

– Pójdę z tobą nawet Ścieżką Umarłych i wszędzie, gdzie poprowadzisz – rzekł Gimli.

– Ja także pójdę z tobą – powiedział Legolas – elf bowiem nie lęka się Umarłych.

– Mam nadzieję, że lud zapomniany nie zapomniał sztuki wojennej – dodał Gimli. – W przeciwnym razie daremnie byśmy go trudzili.

– Przekonamy się, gdy staniemy na Erech, jeżeli w ogóle tam dojdziemy – odparł Aragorn. – Przysięga, którą złamali, obowiązywała ich do walki z Sauronem, muszą więc walczyć, aby jej dopełnić. Na Erech stoi Czarny Głaz, przywieziony, jak mówią, przez Isildura z Númenoru. Ustawiono go na szczycie i tu Król Gór przysiągł Isildurowi służbę w zaraniu królestwa Gondoru. Kiedy Sauron powrócił i odzyskał potęgę, Isildur wezwał Lud Gór do wypełnienia zobowiązań przysięgi. Górale wszakże odmówili, ponieważ ongi, za Czarnych Lat, składali hołd Sauronowi.

Wówczas Isildur powiedział Królowi Gór: „Będziesz ostatnim królem swego plemienia. Jeśli Númenor okaże się potężniejszy od Czarnego Władcy, niechaj na lud twój spadnie ta klątwa: oby nigdy nie zaznał spoczynku, póki nie uczyni zadość przysiędze. Wojna bowiem potrwa przez niezliczone wieki, a nim się zakończy, będziecie raz jeszcze wezwani do walki”. Górale uciekli przed gniewem Isildura i nie ośmielili się wziąć udziału w wojnie po stronie Saurona. Kryli się po tajemnych zakątkach górskich, unikając spotkań z innymi plemionami i wycofując się coraz wyżej, między nagie szczyty, aż wyginęli z czasem. Ale groza Umarłych, co nie zaznali spoczynku, przetrwała na Erech i wszędzie, gdzie kiedyś żył ten lud. Tam więc muszę iść, skoro spośród żyjących nikt mi nie może pomóc.

Aragorn wstał.

– W drogę! – zawołał, dobywając miecza, który błysnął w półmroku zamkowej sali. – Do Głazu na Erech! Szukam Ścieżki Umarłych. Kto gotów, za mną!

Legolas i Gimli bez słowa wstali także i wyszli za Aragornem z sali. Na błoniu czekali, milczący i nieruchomi, zakapturzeni Strażnicy. Legolas i Gimli dosiedli koni. Aragorn skoczył na grzbiet Roheryna. Halbarad podniósł wielki róg, a głos jego rozległ się echem w Helmowym Jarze. Ludzie z załogi twierdzy patrzyli z podziwem, jak oddział Aragorna ruszył z miejsca galopem i niby burza przemknął przez Zieloną Roztokę.

Podczas gdy Théoden posuwał się z wolna górskimi dróżkami, Szara Drużyna szybko przebyła równinę i nazajutrz po południu stanęła w Edoras; odpoczywała tu krótko i zaraz pociągnęła dalej w górę doliny, by dotrzeć tegoż wieczora do Dunharrow.

Éowina powitała ich z radością, ciesząc się z takich gości, bo nie spotkała w życiu wspanialszych rycerzy niż Dúnedainowie i piękni synowie Elronda, lecz najczęściej wzrok jej zatrzymywał się na twarzy Aragorna. Posadziła go po swej prawej ręce przy stole i rozmawiali z sobą wiele; dowiedziała się wszystkich szczegółów wydarzeń, które się rozegrały od chwili wyjazdu Théodena, a które znała dotąd jedynie ze skąpo nadsyłanych wieści; oczy jej błyszczały, gdy słuchała o bitwie w Helmowym Jarze, o rozgromieniu napastników i o wyprawie, którą król podjął na czele swych rycerzy. W końcu powiedziała jednak:

– Zmęczeni jesteście, zacni panowie, powinniście teraz odpocząć; naprędce przygotowaliśmy dla was posłania niezbyt wygodne, ale jutro postaramy się dla miłych gości o lepsze kwatery.

– Nie troszcz się o nas, pani – odparł Aragorn. – Wystarczy, jeśli pozwolisz nam przespać tę noc i posilić się jutro rano. Pilna sprawa zmusza mnie do wielkiego pośpiechu, skoro świt wyruszymy stąd dalej.

Éowina uśmiechnęła się do niego, mówiąc:

– Bardzo to łaskawie z twojej strony, że zechciałeś trudzić się, nadkładając tyle mil, żeby przywieźć Éowinie wieści i pocieszyć biedną wygnankę.

– Nie ma na świecie mężczyzny, który by taki trud uważał za stracony – odparł Aragorn – lecz nie przybyłbym tutaj, gdyby nie to, że droga, którą wypadło mi obrać, prowadzi przez Dunharrow.

Widać było, że nie w smak poszła jej ta odpowiedź.

– W takim razie zabłądziłeś, panie. Z Harrowdale nie ma drogi ani na wschód, ani na południe; będziesz musiał zawrócić tą samą, która cię tu przywiodła.

– Nie, nie zabłądziłem. Znam tę ziemię, po której chodziłem, zanim ty, o pani, urodziłaś się ku jej ozdobie. Jest droga z tej doliny i tę drogę wybrałem. Jutro pojadę Ścieżką Umarłych.

Spojrzała na niego jakby gromem rażona i pobladła bardzo; długi czas nie odzywała się, a wszyscy wokoło milczeli także.

– Czy śmierci szukasz, Aragornie? – spytała wreszcie. – Nic bowiem innego nie znajdziesz na tej ścieżce. Umarli nie pozwalają przejść nikomu z żyjących.

– Mnie jednak może przepuszczą – powiedział Aragorn. – Bądź co bądź postanowiłem zaryzykować. Innej drogi dla mnie nie ma.

– Ależ to szaleństwo! – zawołała. – Są z tobą sławni i mężni rycerze, których nie w cień śmierci godzi się prowadzić, lecz na pole walki, gdzie bardziej są potrzebni. Błagam cię, zostań. Pojedziesz do Edoras wraz z moim bratem. Twoja obecność pokrzepi serca i doda nam wszystkim nadziei.

– Nie popełniam szaleństwa – odparł Aragorn – bo wstępuję na ścieżkę, na którą zostałem wezwany. Lecz ci, którzy idą za mną, robią to z własnej,

nieprzymuszonej woli. Oni więc, jeśli chcą, mogą zostać i wyruszyć później z Rohirrimami na wojnę. Ja pójdę swoją drogą choćby sam, jeśli tak się stanie.

Na tym skończyła się rozmowa i reszta wieczerzy upłynęła w milczeniu, lecz Éowina nie odrywała oczu od Aragorna w jawnym wzburzeniu i rozterce. Wreszcie wszyscy wstali od stołu, skłonili się przed panią domu, podziękowali za gościnność i rozeszli się na spoczynek.

Gdy wszakże Aragorn zbliżał się do namiotu, gdzie miał nocować wraz z Legolasem i Gimlim, którzy wcześniej już tam się udali, usłyszał głos Éowiny. Biegła za nim, wołając go po imieniu. Odwrócił się i zobaczył w ciemności blask białej sukni i rozognionych oczu.

– Aragornie, dlaczego chcesz iść drogą śmierci? – spytała.

– Muszę – odparł. – Inaczej nie ma nadziei, bym spełnił swoje zadanie w walce z Sauronem. Nie wybieram ścieżek niebezpieczeństwa, Éowino. Gdybym mógł iść tam, gdzie zostało moje serce, poszedłbym na daleką północ i przebywałbym dziś w pięknej dolinie Rivendell.

Przez chwilę Éowina nie odzywała się, jakby rozważając, co miały znaczyć te słowa. Nagle położyła rękę na jego ramieniu.

– Jesteś surowy i stanowczy – powiedziała. – Tacy zdobywają sławę. – Umilkła, potem jednak podjęła znowu: – Jeśli musisz tamtą drogą iść, pozwól mi przyłączyć się do twojej świty. Zbrzydło mi już to czajenie się w górskich kryjówkach, chcę stawić czoło niebezpieczeństwu w otwartej walce.

– Masz obowiązek zostać ze swoim ludem – odparł.

– Wciąż tylko słyszę o swoich obowiązkach! – krzyknęła. – Czyż nie jestem córką rodu Eorla, której przystoi walka i zbroja bardziej niż niańczenie niedołęgów i pieluchy? Dość już długo czekałam i uginałam kolana. Teraz, gdy wreszcie mocno stoję na nogach, czy mi nie wolno rozporządzić swoim życiem tak, jak sama chcę?

– Innej kobiecie przyniosłaby zaszczyt taka wola – odparł. – Ty jednak wzięłaś na siebie pieczę i władzę nad ludem, póki nie wróci król. Gdyby nie wybrano ciebie, któryś z marszałków lub dowódców znalazłby się na twoim miejscu i nie ważyłby się opuścić posterunku, choćby mu zbrzydło podjęte zadanie.

– Czy zawsze na mnie padać będzie wybór? – spytała z goryczą. – Czy zawsze mam zostawać w domu, gdy jeźdźcy ruszają w pole, pilnować gospodarstwa, gdy oni zdobywają sławę, czekać na ich powrót, przygotowując dla nich jadło i kwatery?

– Wkrótce może nadejdzie taki dzień, że nie wróci żaden z tych, co ruszyli w pole – powiedział Aragorn. – Wtedy potrzebne będzie męstwo bez sławy, bo nikt nie zapamięta czynów dokonanych w ostatniej obronie naszych domów. Ale brak chwały nie ujmuje tym czynom męstwa.

– Piękne słowa, lecz naprawdę znaczą tylko tyle: jesteś kobietą, siedź w domu – odpowiedziała Éowina. – Kiedy mężowie polegną na polu chwały, będzie ci wolno podpalić dom, na nic im już niepotrzebny, i spłonąć z nim razem. Ale jam z rodu Eorla, a nie dziewka służebna. Umiem dosiadać konia i władać mieczem, nie boję się trudu ani śmierci.

– A czego się boisz, Éowino? – zapytał.

– Klatki – odpowiedziała. – Czekania za kratami, aż zmęczenie i starość każą się z nimi pogodzić, aż wszelka nadzieja wielkich czynów nie tylko przepadnie, lecz straci powab.

– I mimo to radziłaś mi, żebym się wyrzekł obranej drogi, ponieważ jest niebezpieczna?

– Innym można dawać takie rady – odparła. – Nie namawiam cię jednak, żebyś uciekał przed niebezpieczeństwem, lecz żebyś stanął do bitwy, w której możesz mieczem zasłużyć na zwycięstwo i sławę. Ścierpieć nie mogę, gdy wyrzuca się na marne rzecz cenną i doskonałą.

– Ja także bym tego nie ścierpiał – rzekł Aragorn. – Toteż powiadam ci, Éowino: zostań! Nie masz obowiązku do spełnienia na południu.

– Jeźdźcy, którzy ci towarzyszą, także nie mają tego obowiązku. Jadą, ponieważ nie chcą rozstać się z tobą, ponieważ cię kochają.

Odwróciła się i znikła wśród nocy.

Gdy niebo pojaśniało, chociaż słońce jeszcze nie wyjrzało znad wysokiej krawędzi gór na wschodzie, Aragorn kazał przygotować się do odjazdu. Drużyna już dosiadła koni, on zaś właśnie miał skoczyć na siodło, kiedy nadeszła Éowina, żeby ich pożegnać. Miała na sobie strój jeźdźca i miecz u pasa. W ręku trzymała puchar, z którego upiła łyk wina, życząc swym

gościom szczęśliwej drogi, po czym podała go Aragornowi, a ten wychylił kielich, mówiąc:

– Żegnaj, księżniczko Rohanu. Piję za pomyślność twego rodu, twoją i całego plemienia. Powtórz swojemu bratu te słowa: na drugim brzegu ciemności może spotkamy się znowu!

Gimlemu i Legolasowi, stojącym tuż obok, zdawało się, że Éowina jest bliska łez, i wzruszył ich jej smutek, tym bardziej że zazwyczaj była tak dumna i dzielna. Spytała jednak tylko:

– Więc jedziesz, Aragornie?

– Jadę, księżniczko.

– I nie pozwolisz mi jechać w swojej świcie, jakem cię prosiła?

– Nie, księżniczko. Nie mogę ci na to pozwolić bez wiedzy twego ojca i brata, którzy nie zjawią się tutaj wcześniej niż jutro wieczorem. Ja zaś nie mam teraz ani godziny, ani chwili do stracenia. Bądź zdrowa!

Wtedy padła na kolana, mówiąc:

– Błagam cię, Aragornie!

– Nie, księżniczko! – odparł i ująwszy Éowinę za ręce, podniósł ją, ucałował jej dłoń, skoczył na siodło i ruszył, nie oglądając się już za siebie. Tylko ci, którzy najlepiej go znali i byli najbliżej, rozumieli, jak bardzo cierpiał.

Lecz Éowina stała niby posąg kamienny, opuściwszy ramiona, i zaciskając pięści, patrzyła za odjeżdżającymi, póki nie skryli się w cieniu pod czarną ścianą Dwimorbergu, Nawiedzonej Góry, w której otwierała się Brama Umarłych. Kiedy znikli jej z oczu, zawróciła i potykając się jak ślepiec, poszła ku domowi. Nikt jednak z jej ludu nie widział tego pożegnania, bo wszyscy pochowali się wystraszeni i nie chcieli wyjść ze swych kątów, póki dzień nie rozjaśni się na dobre i nie opuszczą Dunharrow obcy, nieulękli goście.

Ten i ów mówił:

– To nasienie elfów. Niechże jadą tam, gdzie ich miejsce, w jakieś ciemne krainy, i nigdy do nas nie wracają. I bez nich dość mamy biedy.

Jechali w szarym półmroku, bo słońce jeszcze nie podniosło się nad wysoki czarny grzbiet Nawiedzonej Góry, spiętrzonej przed nimi. Dreszcz

ich przeszedł, gdy między dwoma rzędami starych głazów zbliżali się do Dimholt. Tu pod czarnymi drzewami, których posępny cień nawet Legolas znosił z trudem, odszukali otwarte miejsce u korzeni góry, a pośrodku ścieżki ujrzeli samotny olbrzymi głaz, sterczący groźnie jak palec ostrzegający przed zgubą.

– Krew zamarza mi w żyłach – powiedział Gimli, inni wszakże milczeli, a głos krasnoluda zabrzmiał głucho, jakby się zapadł w wilgotną ściółkę świerkowych igieł pod ich stopami. Konie wzdragały się przejść obok złowróżbnego kamienia, więc jeźdźcy zsiedli i pieszo poprowadzili wierzchowce. Tak zeszli w głąb i stanęli przed nagą ścianą, w której Czarne Wrota ziały jak paszcza nocy. Wyryte na ogromnym łuku sklepienia znaki i cyfry tak się zatarły z biegiem lat, że były już nieczytelne, lecz groza je spowijała niby czarny obłok.

Drużyna zatrzymała się i pewnie nie było w tej gromadzie ani jednego serca, które by nie zadrżało z trwogi, prócz serca Legolasa, bo elfowie nie boją się ludzkich upiorów.

– To straszne wrota – powiedział Halbarad. – Czuję, że za nimi czai się moja śmierć. Mimo to wejdę w nie, ale konie wejść nie zechcą.

– Musimy wejść, a więc i konie muszą pójść z nami – odparł Aragorn. – Jeśli bowiem uda nam się przebrnąć przez ciemności, będziemy mieli jeszcze więcej staj drogi przed sobą, a każda chwila zwłoki przybliżyłaby tryumf Saurona. Za mną!

Wszedł pierwszy, a taka była potęga jego woli w tej godzinie, że wszyscy Dúnedainowie poszli za nim, a ich wierzchowce dały się im wprowadzić. Konie Strażników tak bowiem kochały swoich panów, że gotowe były przezwyciężyć nawet grozę tych Czarnych Wrót, gdy wyczuwały spokój w sercach ludzi. Lecz Arod, koń z Rohanu, nie chciał przekroczyć progu ciemności i stanął, zlany potem i dygocący z przerażenia tak, że budził litość. Wówczas Legolas zasłonił mu rękoma oczy i zanucił kilka słów, które łagodnie zadźwięczały w mroku; koń poddał się i elf przeszedł z nim razem. Gimli został sam. Kolana uginały się pod nim i zły był na siebie.

– Niesłychana rzecz – powiedział. – Elf wchodzi do podziemi, a krasnolud wzdraga się wejść!

Z tymi słowy skoczył naprzód. Ale zdawało mu się, że wlecze przez próg nogi ciężkie jak z ołowiu, i ogarnęły go ciemności tak nieprzeniknione, że nawet on, Gimli, syn Glóina, który bez trwogi przemierzał najgłębsze lochy świata – jakby oślepł nagle.

Aragorn zaopatrzył się w Dunharrow w łuczywa i teraz, idąc na czele, trzymał jedno z nich wzniesione nad głową; drugie niósł Elladan, który szedł ostatni za grupą Strażników; Gimli, potykając się, usiłował go dopędzić. Nie widział nic prócz dymiących płomieni pochodni, lecz kiedy drużyna przystanęła na chwilę, miał wrażenie, że otacza go ze wszystkich stron szmer nieustannego szeptu, ściszony gwar słów w języku, którego nigdy jeszcze nie słyszał w życiu.

Nikt ich nie napastował, żadne przeszkody nie hamowały marszu, a mimo to strach rosnący z każdą chwilą ogarniał krasnoluda; przede wszystkim wiedział, że nie ma z tej drogi odwrotu, bo czuł za swoimi plecami tłum niewidzialnej armii, prącej w ciemnościach naprzód trop w trop za drużyną.

Tak szli czas jakiś, aż wreszcie Gimli ujrzał widok, którego nigdy później nie mógł wspomnieć bez grozy. Ścieżka, o ile się orientował, była od początku dość szeroka, lecz w pewnej chwili ściany z obu stron jakby się rozstąpiły i drużyna wydostała się niespodzianie na rozległą pustą przestrzeń. Strach niemal obezwładnił krasnoluda. Daleko po lewej ręce coś zalśniło w ciemnościach w świetle łuczywa, z którym zbliżał się tam właśnie Aragorn. Najwidoczniej chciał zbadać ów lśniący przedmiot.

– Że też on się nie boi – mruknął krasnolud. – W każdej innej pieczarze Gimli, syn Glóina, pierwszy pobiegłby za przebłyskiem złota. Ale nie tutaj! Niechby zostało tu w spokoju!

Mimo wszystko podsunął się bliżej i zobaczył, że Aragorn klęczy, Elladan zaś przyświeca mu dwiema pochodniami. Przed nimi widniał szkielet ogromnego mężczyzny, w kolczudze, obok niego zaś broń, niezniszczona, bo w jaskini było niezwykle sucho, a zmarły miał zbroję i oręż pozłacane, pas złoty wysadzany granatami i bogato zdobiony złotem hełm, wciśnięty na trupią czaszkę; leżał twarzą do ziemi. Upadł pod odsuniętą w głąb ścianą. Wpatrując się, Gimli dostrzegł w tej ścianie zamknięte kamienne drzwi; palce trupa czepiały się zarysowanej w nich

szczeliny, a wyszczerbiony miecz, porzucony u jego boku, świadczył, że rycerz w śmiertelnej rozpaczy próbował wyrąbać sobie przejście w skale.

Aragorn nie dotknął szkieletu, ale długo przyglądał mu się w milczeniu, potem zaś wstał i westchnął głęboko.

– Temu nieborakowi kwiaty *simbelmynë* nie zakwitną do końca świata! – szepnął. – Dziewięć Kurhanów i siedem mogił zieleni się o tej porze pod słońcem, on jednak przeleżał długie lata pod drzwiami, których nie zdołał otworzyć. Dokąd prowadzą? Dlaczego chciał przez nie przejść? Nikt nigdy się nie dowie.

– To nie moja sprawa! – krzyknął, odwracając się ku rozszeptanym ciemnościom podziemi. – Zachowajcie swoje skarby i swoje tajemnice zrodzone w Czarnych Latach! Ja nie żądam niczego prócz pośpiechu. Dajcie nam przejść i przybywajcie, wzywam was pod Głaz na Erech!

Nikt mu nie odpowiedział, chyba że odpowiedzią była głucha cisza, bardziej jeszcze przerażająca niż poprzednie szepty; potem mroźny podmuch wionął podziemiem, płomienie łuczywa zachybotały, zgasły i nie dały się już na nowo zapalić. Z tego, co się działo przez następną godzinę, Gimli niewiele zapamiętał. Drużyna parła naprzód, on jednak wciąż biegł ostatni, gnany lękiem przed czającą się grozą, wciąż pod wrażeniem, że niewidzialny tłum następuje mu niemal na pięty; słyszał za swymi plecami szelest, jakby widmowe kroki niezliczonych stóp. Potykał się, osuwał na czworaki jak zwierzę, myśląc w trwodze, że nie zniesie dłużej tej męczarni, że jeśli nie nastąpi wkrótce jej koniec, oszalały ze strachu zawróci i ucieknie prosto w ramiona ścigającej go zmory.

Nagle usłyszał szmer wody, twardy i czysty dźwięk jak odgłos kamienia spadającego w senną czarną studnię. Rozwidniło się i drużyna niespodzianie przekroczyła drugą bramę, sklepioną wysokim i szerokim łukiem; obok nich płynął potok, a pod nim rysowała się ścieżka, stromo opadająca pomiędzy ścianami urwiska spiętrzonego ostrymi jak noże szczytami aż pod niebo. Wąwóz był tak głęboki i wąski, że niebo zdawało się ciemne i błyszczały na nim maleńkie gwiazdy. A przecież – jak się później Gimli dowiedział – brakowało jeszcze dwóch godzin do zachodu słońca i do wieczora tego dnia, w którym wyruszyli z Dunharrow; w tym jednak momencie uwierzyłby, gdyby mu powiedziano, że to zmierzch dnia wiele lat później lub nad innym światem.

Jeźdźcy znów dosiedli koni. Gimli wraz z Legolasem wspólnego wierzchowca. Jechali dwójkami, a tymczasem wieczór zapadł i otoczył ich ciemnoszafirowym zmrokiem. Strach ścigał ich wciąż. Kiedy Legolas odwrócił się, mówiąc coś do krasnoluda, i spojrzał wstecz, Gimli dostrzegł dziwny blask w jasnych oczach elfa. Za nimi cwałował Elladan, ostatni z drużyny, lecz nie ostatni z wędrowców spieszących tą drogą ku nizinom.

– Umarli ciągną za nami – rzekł Legolas. – Widzę sylwetki ludzi i koni, widzę sztandary blade jak strzępy obłoków, włócznie jak nagi zimowy las we mgle. Umarli ciągną za nami.

– Tak jest – potwierdził Elladan. – Usłuchali wezwania.

Wychynęli wreszcie z wąwozu, a stało się to tak nagle, jakby przez szczelinę w murze wypadli na otwartą przestrzeń. Przed nimi leżała górna część wielkiej doliny, a płynący obok potok z zimnym pluskiem spadał z jej progów w dół.

– W jakim miejscu Śródziemia jesteśmy teraz? – spytał Gimli.

– Zjechaliśmy wąwozem od źródła Morthondy, długiej i zimnej rzeki, która daleko stąd wpada do Morza obmywającego skały Dol Amrothu. Nie będziesz już musiał pytać, bo sam zrozumiesz, dlaczego ludzie nazwali ją Czarnym Korzeniem.

Dolina Morthondy tworzyła szerokie zakole, sięgając aż pod urwistą południową ścianę gór. Strome stoki porastała trawa, zdawały się jednak szare o tej porze, bo słońce już zaszło i daleko w dole w oknach siedzib ludzkich migotały światełka. Dolina była żyzna i miała wielu mieszkańców.

W pewnej chwili Aragorn, nie odwracając się, zawołał tak donośnie, że wszyscy go usłyszeli:

– Przyjaciele, zapomnijcie o zmęczeniu! Naprzód! Naprzód! Trzeba nam stanąć przy Głazie na Erech, zanim ten dzień się skończy, a droga jeszcze daleka.

Nie oglądając się więc na nic, mknęli przez górskie hale, aż trafili na most przerzucony nad wezbranym potokiem, a stąd na drogę prowadzącą ku nizinom.

W domach wiosek, które mijali, światła gasły, drzwi się zatrzaskiwały, a ludzie, jeśli byli w polu, uciekali przed nimi z krzykiem, spłoszeni jak

ścigane sarny. W gęstniejącym mroku coraz to rozlegały się te same okrzyki:

– Król Umarłych! Król Umarłych najechał naszą krainę!

Gdzieś w dole dzwony uderzyły na trwogę; nie było człowieka, który by na widok Aragorna nie umykał w popłochu. Ale Szara Drużyna pędziła niby gromada myśliwych za zwierzyną, aż wreszcie konie znużone zaczęły potykać się i ustawać. Tuż przed północą, wśród ciemności równie czarnych jak pod ziemią w górskich pieczarach, znaleźli się na szczycie Erech.

Z dawna groza Umarłych panowała nad tym wzgórzem i nad pustką okolicznych pól. Na szczycie bowiem stał Czarny Głaz, utoczony na kształt olbrzymiej kuli, której wierzchołek sięgał na wysokość rosłego mężczyzny, chociaż do połowy zagrzebana była w ziemi.

Wyglądała niesamowicie, jak gdyby spadła tutaj z nieba; niektórzy nawet twierdzili, że tak właśnie było, lecz inni, pamiętający jeszcze stare dzieje Westernesse, powiadali, że przywieziono ów Głaz z zatopionego Númenoru i że to Isildur po wylądowaniu na tym wybrzeżu kazał go tutaj ustawić. Ludzie z doliny nie śmieli do niego się zbliżać ani osiedlać się w jego bliskim sąsiedztwie, mówiąc, że na tym miejscu wyznaczają sobie spotkania cienie ludzkie, by w dniach trwogi, cisnąc się wokół Głazu, toczyć szeptem narady.

Do tego to Głazu dotarła Drużyna i przy nim zatrzymała się wśród głuchej nocy. Elrohir podał srebrny róg Aragornowi, który podniósł go do ust i zagrał; stojącym wokół wydawało się, że słyszą odzew wielu innych rogów, jakby echo z głębi odległych pieczar. Innych głosów nie słyszeli, mimo to czuli obecność wielkiej armii zgromadzonej wokół wzgórza; mroźny wiatr niby tchnienie upiorów ciągnął od szczytów. Aragorn zsiadł z konia i stojąc tuż przy Głazie, krzyknął donośnie:

– Wiarołomcy, po coście tu przyszli?

Z ciemności, jak gdyby z bardzo daleka nadeszła odpowiedź:

– Aby dopełnić przysięgi i odzyskać spokój.

Wówczas Aragorn rzekł:

– Wybiła dla was wreszcie ta godzina. Jadę do Pelargiru nad Anduinę, wy zaś pojedziecie za mną. I dopiero gdy cały ten kraj zostanie

oczyszczony ze sług Saurona, uznam, że dotrzymaliście przysięgi; wtedy odejdziecie, by na zawsze odnaleźć spokój. Jam jest Elessar, spadkobierca Isildura z Gondoru.

To rzekłszy, kazał Halbaradowi rozwinąć wielką chorągiew, którą przywiózł z Rivendell. O dziwo, była cała czarna, jeśli zaś na niej wyszyto jakieś znaki czy słowa, nikt ich nie mógł w ciemności dostrzec. Potem zaległa cisza, której przez długie godziny nocy nie zmącił nawet szept ani westchnienie. Drużyna rozbiła obóz przy Głazie, lecz niewiele zaznała snu, bo groza osaczających wzgórze Cieni nie pozwalała zmrużyć oczu.

Gdy zajaśniał świt, blady i zimny, Aragorn zerwał się i powiódł drużynę w dalszą drogę, marszem tak forsownym i nużącym, że nawet dla zahartowanych wędrowców niesłychanym; sam tylko Aragorn jakby nie znał zmęczenia i jego wola wszystkich podtrzymywała. Nikt z ludzi śmiertelnych nie zniósłby takich trudów prócz Dúnedainów z północy i dwóch ich towarzyszy: elfa Legolasa i krasnoluda Gimlego.

Przez Ostrogę Tarlanga wydostali się do Lamedonu, a Zastęp Cieni wciąż pędził ich tropem, przed nimi zaś wciąż biegła trwoga, aż wreszcie dotarli do Calembel, grodu położonego nad rzeką Ciril, skąd ujrzeli słońce zachodzące krwawo za Pinnath Gelin, które zostawili daleko za sobą. Miasto i brody na rzece zastali opustoszałe, bo większość mężczyzn ruszyła na wojnę, reszta zaś ludności zbiegła w góry na wieść, że zbliża się Król Umarłych. Następnego dnia brzask nie rozjaśnił nieba, Szarą Drużynę ogarnęły ciemności Mordoru tak, że zniknęła sprzed oczu ludzkich. Ale Umarli ciągnęli za nią wciąż trop w trop.

ROZDZIAŁ 3
PRZEGLĄD SIŁ ROHANU

Wszystkie drogi zbiegały się w jedną, zmierzając ku wschodowi na spotkanie bliskiej już wojny i napaści złowrogiego Cienia. W tej samej chwili, gdy Pippin patrzył na księcia Dol Amrothu, wjeżdżającego w łopocie sztandarów przez Wielką Bramę grodu, król Rohanu wyprowadzał swój poczet jeźdźców spośród gór.

Dzień chylił się ku wieczorowi. W ostatnich promieniach słońca wydłużone spiczaste cienie jeźdźców kładły się przed nimi na ziemi. Pod szumiące świerki, które porastały strome górskie zbocza, zakradł się już zmrok. Król jechał teraz wolno po całym dniu marszu. Ścieżka właśnie okrążyła ogromne nagie ramię skalne, zanurzając się w cień i łagodny poszum drzew. Kiedy wreszcie znaleźli się u wylotu wąwozu, wieczór już panował na nizinie. Słońce zniknęło. Zmierzch przesłonił wodospady.

Przez cały dzień widzieli pod swymi stopami bystry potok, spływający z wysokiej przełęczy, która została za nimi, wrzynający się wąskim korytem między porośnięte lasem zbocza; tu, w dole, potok przelewał się przez kamienną bramę w szerszą dolinę. Jeźdźcy, posuwając się teraz wzdłuż jego brzegu, ujrzeli nagle Harrowdale i usłyszeli głośny szum wody wśród ciszy wieczoru. Tędy bowiem biały Śnieżny Potok, zgarniając z obu stron mniejsze strumienie, mknął, pieniąc się po kamieniach, ku Edoras, ku zielonym wzgórzom i równinom. Daleko na prawo u przyczółka wielkiej doliny majaczył potężny Nagi Wierch, spiętrzony na szerokim cokole spowitym w chmury; tylko poszarpany szczyt ubielony wiecznym śniegiem lśnił ponad światem, okryty od wschodu niebieskim cieniem, od zachodu zaś migocący czerwonym odblaskiem chylącego się słońca.

Merry z podziwem przyglądał się nieznanej krainie, o której nasłuchał się wiele podczas długiej podróży. Był to świat bez nieba, gdzie wzrok poprzez mętne topiele mglistego powietrza błądził tylko wśród coraz wyżej wznoszących się zboczy i groźnych przepaści, osnutych białym oparem. Hobbit siedział długą chwilę rozmarzony, wsłuchując się w szum wody, w szepty ciemnych drzew, w trzask kamieni, w ogromną ciszę przyczajoną jakby w oczekiwaniu pod tymi wszystkimi głosami. Kochał góry, a raczej

kochał ich obraz ukazujący się na marginesach opowieści przyniesionych z dalekich stron, teraz jednak przytłaczał go nad miarę wielki ciężar Śródziemia i Merry zatęsknił, by odciąć się od tych ogromów czterema ścianami i zasiąść w zacisznym pokoju przy kominku.

Był zmęczony, bo chociaż posuwali się z wolna, bardzo rzadko popasali. Przez trzy długie dni godzina po godzinie trząsł się na siodle, to wspinając się pod górę, to zjeżdżając w dół, przez przełęcze, przez doliny, w bród przez niezliczone potoki. Czasem, gdy ścieżka rozszerzała się, jechał obok króla, nie spostrzegając uśmiechów, z jakimi inni jeźdźcy przyglądali się dziwnej parze: hobbitowi na małym, kudłatym, siwym kucyku i Władcy Rohanu na ogromnym białym koniu. Gawędził wtedy z Théodenem, opowiadając mu o swojej ojczyźnie i zwyczajach mieszkańców Shire'u albo słuchając opowieści o Riddermarchii i jej dawnych bohaterach. Najczęściej jednak, zwłaszcza ostatniego dnia, trzymał się samotnie tuż za królem, milcząc i starając się zrozumieć powolną, dźwięczną mowę Rohanu, którą posługiwali się wokół niego ludzie. Miał wrażenie, że jest w tym języku wiele słów znajomych, jakkolwiek brzmiących w ustach Rohirrimów soczyściej i mocniej niż w Shire; nie mógł jednak powiązać tych wyrazów w zdania. Niekiedy któryś z jeźdźców śpiewał czystym głosem jakąś wzruszającą pieśń, a wówczas serce hobbita biło żywiej, mimo że nie rozumiał treści.

Bądź co bądź czuł się osamotniony, a teraz, pod koniec podróży, bardziej jeszcze niż na początku. Zastanawiał się, gdzie pośród tego dziwnego świata obraca się Pippin, co dzieje się z Aragornem, Legolasem i Gimlim. W pewnej chwili mróz przejął mu serce, gdy nagle stanęli mu w pamięci Frodo i Sam. „Zapomniałem o nich! – powiedział do siebie z wyrzutem. – A przecież oni dwaj ważniejsi są od nas wszystkich. Wyruszyłem z domu, żeby im pomóc, a teraz są gdzieś daleko, o setki mil ode mnie, jeśli w ogóle jeszcze żyją". I na tę myśl zadrżał.

– Wreszcie Harrowdale przed nami! – rzekł Éomer. – Jesteśmy niemal u celu.

Zatrzymali się; ścieżka opadała wąskim jarem stromo w dół. W omglonej dali ledwie mały wycinek wielkiej doliny ukazywał się jak gdyby przez wysokie okno; nad rzeką mrugało jedno jedyne światełko.

– Na dziś podróż się kończy – rzekł Théoden – ale przede mną droga jeszcze daleka. Zeszłej nocy księżyc był w pełni, jutro o świcie ruszę więc do Edoras na wielki zlot wojowników Marchii.

– Jeśli jednak posłuchasz mojej rady, królu – powiedział, zniżając głos, Éomer – wrócisz po przeglądzie znowu tutaj, by przeczekać, aż wojna się rozstrzygnie zwycięstwem albo klęską.

Théoden uśmiechnął się na to.

– Nie, mój synu – bo pozwól, że tak będę cię teraz nazywał – nie sącz ospałych słówek Gadziego Języka w moje starcze uszy! – Wyprostował się w siodle i obejrzał na szeregi rozciągniętej za nim kolumny jeźdźców, ginącej dalej w mroku. – Zdaje mi się, że lata całe przeżyłem w ciągu tych dni, które upłynęły, odkąd wyruszyłem na zachód, lecz nigdy już nie będę wspierał się ciężko na lasce. Jeśli wojnę przegramy, cóż mi pomoże kryć się wśród gór? Jeśli zaś wygramy, któż by się martwił, choćbym zginął, strawiwszy dla zwycięstwa resztkę sił? Na razie wszakże nie będziemy o tym rozprawiali. Tę noc spędzę w Warowni Dunharrow. Przynajmniej ten jeden wieczór spokoju pozostał nam jeszcze. Naprzód!

W gęstniejącym zmierzchu zagłębili się w dolinę. Śnieżny Potok płynął tu pod zachodnimi jej ścianami; ścieżka wkrótce doprowadziła jeźdźców do brodu, gdzie płytko rozlana woda pluskała głośno wśród kamieni. Bród był strzeżony. Gdy oddział zbliżył się, spod skał, gdzie kryli się w cieniu, wyskoczyli zbrojni ludzie, lecz poznając króla, zakrzyknęli z radością:

– Król Théoden! Król Théoden! Król Marchii wrócił!

Potem któryś z nich zadął w róg. Echo poszło po dolinie. Inne rogi odpowiedziały na apel i na drugim brzegu rozbłysły światła.

Nagle z góry, jakby z ukrytej wśród szczytów kotliny, zabrzmiały trąby; głosy ich połączone w zgodny chór rozlegały się donośnie, odbite od kamiennych ścian.

Tak król Marchii wrócił zwycięsko z wyprawy na zachód do Warowni Dunharrow u podnóży Białych Gór. Zastał tu zgromadzoną już resztę wojowników ze swego plemienia, bo na wieść o jego pochodzie dowódcy pospieszyli na spotkanie króla do brodu, przynosząc zlecone przez Gandalfa rady. Przewodził im Dúnhere, wódz ludu zamieszkującego Harrowdale.

– Trzy dni temu o świcie Cienistogrzywy przygnał jak wiatr z zachodu do Edoras – mówił Dúnhere. – Gandalf, ku wielkiej naszej radości, przywiózł nowinę o twoim, królu, zwycięstwie. Przywiózł także twój rozkaz, by przyspieszyć zlot zbrojnych jeźdźców w stolicy. Potem wszakże zjawił się Skrzydlaty Cień.

– Skrzydlaty Cień? – powiedział Théoden. – Widzieliśmy go także, lecz w ciemną noc, przed rozstaniem z Gandalfem.

– Być może, królu – odparł Dúnhere. – Lecz ten sam Cień lub może drugi, zupełnie do tamtego podobny, złowroga ciemna chmura w postaci olbrzymiego ptaka, przeleciał dziś rano nad Edoras, a na wszystkich ludzi padła wielka trwoga. Nurkując bowiem nad pałacem Meduseld, zniżył się tak, że niemal musnął szczyt dachu, i wydał okrzyk, od którego serca w nas zamarły. Wówczas to Gandalf poradził nam nie gromadzić się na przegląd w otwartym polu, lecz spotkać cię, królu, tutaj, w dolinie pod górami. Zalecał też nie zapalać ognisk i świateł, prócz najniezbędniejszych. Tak też robiliśmy. Gandalf przemawiał bowiem bardzo stanowczo. Ufamy, że nie sprzeciwia się to twoim królewskim zamiarom. W Harrowdale nie zauważono żadnych złowróżbnych znaków.

– Dobrze zrobiliście – rzekł Théoden. – Pojadę teraz do Warowni i tam przed udaniem się na spoczynek chcę naradzić się z marszałkami i dowódcami. Niech więc wszyscy stawią się jak najrychlej.

Droga prowadziła na wschód w poprzek doliny, która w tym miejscu miała nieco ponad pół mili szerokości. Wkoło ciągnęła się równina, łąka porośnięta szorstką trawą, szarą w zapadającym mroku, lecz w dali u drugiego krańca doliny Merry dostrzegł surową ścianę, ostatnią wysuniętą straż olbrzymich korzeni Nagiego Wierchu, w której rzeka przebiła sobie wyłom przed niezliczonymi wiekami. Wszędzie, gdzie teren był bardziej wyrównany, roiło się od ludzi. Niektórzy cisnęli się na skraju drogi, witając radosnymi okrzykami króla i jeźdźców wracających z zachodu. Za tym jednak szpalerem ciągnęły się jak okiem sięgnąć regularne rzędy namiotów i szałasów, szeregi uwiązanych przy palikach koni, stosy broni, pęki włóczni zatknięte w ziemię i zjeżone niby gąszcz młodego lasu. Całe to wielkie zgromadzenie tonęło w mroku, lecz mimo nocnego chłodu wiejącego od gór nigdzie nie błyszczały latarnie ani też nie rozpalono

ognisk. Wartownicy otuleni w grube płaszcze przechadzali się tam i sam wokół obozowiska.

Merry zastanawiał się, ilu też jeźdźców pomieściła dolina. W mroku nie mógł ocenić dokładnie liczby, miał jednak wrażenie, że jest tu ogromna, wielotysięczna armia. Rozglądał się ciekawie na wszystkie strony i ani się spostrzegł, gdy oddział królewski dotarł pod nawisłe groźne urwisko u wschodniej ściany doliny; ścieżka nagle zaczęła piąć się stromo pod górę, Merry zaś, podniósłszy wzrok, osłupiał z podziwu. Takiej drogi nigdy jeszcze w życiu nie spotkał; musiało to być dzieło potężnych ludzkich rąk z czasów dawniejszych niż najdawniejsze pieśni. Droga, wijąc się jak wąż, wrzynała się w nagą skałę. Stroma jak schody, skręcała to w jedną, to w drugą stronę, wstępując coraz wyżej. Mogły po niej iść konie, mogły nawet powoli wjeżdżać wozy, lecz jeśliby obrońcy czuwali na górze, Nieprzyjaciel nie zdołałby jej pokonać, chyba lotem ptaka. U każdego zakrętu sterczał wielki kamień, wyrzeźbiony na podobieństwo ludzkiej postaci, z grubo ciosanymi kończynami; jakby olbrzym kamienny przycupnął, krzyżując potężne, niezdarne uda i splótłszy krótkie, tępe ręce na tłustym brzuchu. Wielu z nich czas zatarł oblicza, pozostawiając tylko ciemne jamy oczu, które smutnie patrzyły na jadących drogą podróżnych. Jeźdźcy prawie ich nie dostrzegali, nazywali je Púkelami i nie zwracali na nich uwagi, rzeźby straciły bowiem od dawna odstraszającą moc; Merry jednak przyglądał im się z podziwem i niemal z litością, tak żałosne wydały mu się wśród zmierzchu.

Kiedy po chwili obejrzał się za siebie, stwierdził, że jest już o paręset stóp ponad doliną, lecz wciąż jeszcze, choć z dala, dostrzega w mroku krętą kolumnę jeźdźców przeprawiających się przez brody i ciągnących ku przygotowanemu dla nich obozowisku. Tylko król z przyboczną gwardią jechał na górę do Warowni.

Wreszcie poczet królewski dotarł na ostrą grań, skąd droga, wrzynając się między ściany skalne, wiodła krótkim zboczem na rozległą platformę. Ludzie zwali ją Firienfeld, a była to zielona hala porosła trawą i wrzosem, górująca nad głębokim korytem Śnieżnego Potoku, wsparta o zbocza ogromnych gór, które ją osłaniały; od południa piętrzył się nad nią Nagi Wierch, od północy zębaty jak piła masyw Irensagi, między nimi zaś, na wprost jadących, wznosiła się ponura czarna ściana Dwimorbergu, Nawiedzonej Góry, wystrzelającej ponad zalesione ciemnymi świerkami

stoki. Dwa szeregi sterczących pionowo, bezkształtnych głazów dzieliły płaszczyznę na pół, niknąc w oddali w mroku i w cieniu drzew. Kto by się odważył iść tą drogą, zaprowadziłaby go wkrótce do czarnego lasu Dimholt pod Nawiedzoną Górą, przed ostrzegawczy kamienny słup i ziejącą ciemną paszczę zakazanych drzwi.

Tak wyglądała Warownia Dunharrow, dzieło dawno zapomnianego plemienia. Zaginęło w niepamięci nawet jego imię, niezachowane w żadnej pieśni ani legendzie. Nikt też nie wiedział, jakiemu celowi służyło pierwotnie to obronne miejsce, czy było tu ongi miasto, czy może tajemna świątynia, czy też grobowiec króla. Ludzie trudzili się, ociosując tu skały za Czarnych Lat, zanim pierwszy statek przybił do zachodnich wybrzeży, zanim Dúnedainowie założyli państwo Gondoru; nie zostało po dawnych mieszkańcach innych śladów prócz kamiennych posągów wytrwale strzegących każdego zakrętu drogi.

Merry przyglądał się szpalerowi kamieni; były czarne i poszczerbione zębem czasu, niektóre pochyliły się, inne padły na ziemię, jeszcze inne popękały i rozsypały się w gruzy. Wyglądały jak rzędy starych drapieżnych zębów. Zastanawiając się, jakie mogło być ich przeznaczenie, hobbit miał nadzieję, że król nie zamierza jechać wytyczonym przez nie szlakiem dalej w noc. Nagle spostrzegł po obu stronach kamiennej drogi zgrupowane namioty i szałasy, wszystkie jednak odsunięte nieco od drzew i skupione raczej w pobliżu krawędzi urwiska. Większa ich część znajdowała się na prawo od drogi, tam bowiem Firienfeld rozpościerało się szerzej; na lewo rozbity był mniejszy obóz, w środku którego wznosił się wysoki namiot. Z tej właśnie strony na spotkanie skręcających z drogi przybyszów wyjechał jeździec.

Jeździec okazał się kobietą, jak Merry stwierdził, podjeżdżając bliżej; w zmroku lśniły długie warkocze, chociaż głowę okrywał rycerski hełm, a pierś zbroja, u pasa zaś zwisał miecz.

– Witaj, władco Marchii! – krzyknęła. – Serce moje raduje się z twojego powodu.

– Witaj, Éowino! – odparł Théoden. – Wszystko w porządku?

– W porządku – odpowiedziała, lecz Merry miał wrażenie, że głos kłamie słowom i że młoda pani jest spłakana, jeśli można posądzać o łzy kobietę o tak mężnym obliczu. – Wszystko dobrze. Ciężka to była wyprawa dla ludzi oderwanych znienacka od rodzinnych domów. Doszło do

sprzeczek i narzekań, bo przecież dawno już wojna nie wypędzała nas z naszych zielonych pól. Teraz jednak panuje zgoda i porządek, jak widzisz. Mieszkanie dla ciebie przygotowane, doszły mnie bowiem wieści, że wracasz, i oczekiwałam cię właśnie o tej godzinie.

– A więc Aragorn dojechał pomyślnie – rzekł Éomer. – Czy jest może jeszcze tutaj?

– Nie, już go nie ma – odparła Éowina, odwracając twarz i patrząc na góry, ciemniejące od wschodu i południa.

– Dokąd pojechał? – spytał Éomer.

– Nie wiem – odparła. – Przybył późnym wieczorem i ruszył dalej wczoraj o świcie, zanim słońce wyjrzało zza szczytów.

– Widzę, że jesteś zmartwiona, moja córko – rzekł Théoden. – Co się stało? Powiedz, czy mówił ci o tej ścieżce? – Wskazał Nawiedzoną Górę majaczącą u końca kamiennej drogi, która już ginęła w mroku. – Czy wspominał o Ścieżce Umarłych?

– Tak, królu – odparła Éowina. – Przekroczył próg ciemności, z których nikt nigdy jeszcze nie powrócił. Nie mogłam go od tego powstrzymać. Poszedł tam.

– A więc rozstały się nasze drogi – powiedział Éomer. – Aragorn zginął. Musimy dalej jechać bez niego i z mniejszą nadzieją w sercu.

Posuwali się z wolna przez niskie wrzosy i trawę, nie rozmawiając już więcej, aż znaleźli się przed namiotem królewskim. Wszystko było na przyjęcie gości gotowe, a Merry przekonał się, że nie zapomniano nawet o nim. Tuż obok królewskiej siedziby wzniesiono namiocik, z którego hobbit, siedząc samotnie, obserwował ludzi wchodzących do wielkiego namiotu i wychodzących z niego po otrzymaniu od króla rozkazów. Noc zapadła, gwiazdy uwieńczyły ledwie widoczne szczyty górskie na zachodzie, lecz na wschodzie niebo było czarne i puste. Szpaler kamieni ginął sprzed oczu, za nim jednak majaczyła czarniejsza niż ciemność nocy ogromna i zwalista bryła Nawiedzonej Góry.

– Ścieżka Umarłych – mruknął do siebie Merry. – Ścieżka Umarłych? Co to znaczy? Wszyscy mnie porzucili. Wszyscy poszli na spotkanie groźnego losu: Gandalf i Pippin na wschód, na wojnę; Sam i Frodo do Mordoru, a Legolas z Gimlim na Ścieżkę Umarłych. Ale teraz pewnie

przyjdzie wkrótce kolej i na mnie. Ciekawe, o czym oni tu dokoła tak rozprawiają i co król zamierza robić. Bo oczywiście wypadnie mi pójść tam, dokąd on pójdzie.

Wśród tych posępnych rozmyślań nagle przypomniał sobie, że jest okropnie głodny, wstał więc, żeby rozejrzeć się po dziwnym obozowisku, czy nie znajdzie się w nim nikt, kto by podzielał jego apetyt. W tej samej jednak chwili zagrała trąbka i przed namiocikiem stanął goniec, wzywając Théodenowego giermka do służby przy królewskim stole.

Pośrodku namiotu odgrodzono haftowanymi zasłonami niewielką przestrzeń i wysłano ją skórami. Tam przy małym stole zasiadł Théoden z Éowiną, Éomerem i Dúnhere, wodzem ludzi z Harrowdale. Merry stanął za krzesłem króla, aby mu służyć, lecz po chwili starzec, ocknąwszy się z zadumy, zwrócił się do niego z uśmiechem:

– Nie, mości Meriadoku – rzekł – nie będziesz tak stał. Możesz siedzieć obok mnie zawsze, dopóki jesteśmy w granicach mego królestwa, i masz rozweselać mnie opowieściami.

Zrobiono hobbitowi miejsce po lewej ręce króla, nikt jednak nie prosił go o opowieści. Mało rozmawiano w ogóle, wszyscy jedli i pili w milczeniu, aż w końcu, zbierając się na odwagę, Merry zadał pytanie, które dręczyło go od dawna.

– Miłościwy panie, dwakroć już przy mnie wspominano o Ścieżce Umarłych – rzekł. – Co to za szlak? Gdzie jest Obieżyświat, czyli, chciałem powiedzieć, dostojny Aragorn? Dokąd się udał?

Król westchnął, nikt jednak nie kwapił się z odpowiedzią, dopiero po dłuższej chwili odezwał się Éomer:

– Nie wiemy i bardzo jesteśmy stroskani. A co do Ścieżki Umarłych, to ty sam, Meriadoku, postawiłeś już na niej pierwsze kroki. Nie, nie chcę cię przerażać złą wróżbą! Po prostu droga, którą wspinaliśmy się tutaj, prowadzi dalej pod Drzwi otwierające się w lesie Dimholt. Co jednak za nimi się znajduje, nikt nie wie.

– Nikt nie wie – rzekł Théoden – lecz stare legendy, rzadko dziś opowiadane, mówią o tym coś niecoś. Jeśli nie kłamią te pradawne opowieści, które w rodzie Eorla przekazywano z ojca na syna, za drzwiami pod Nawiedzoną Górą istnieje tajemna ścieżka prowadząca pod ziemią ku

nieznanemu celowi. Nie znalazł się śmiałek, który by odważył się zbadać jej sekrety, od czasu gdy Baldor, syn Brega, przekroczył owe drzwi, by nigdy nie wrócić pomiędzy żyjących. Podczas uczty, którą Brego wyprawił z okazji uroczystego otwarcia pałacu Meduseld, Baldor, rozgrzany winem, złożył pochopnie przysięgę, że wyjaśni tajemnicę tej drogi. Tak się stało, iż nigdy nie zasiadł na tronie, przeznaczonym mu z prawa dziedzictwa.

Ludzie mówią, że ścieżki tej strzeże plemię Umarłych z czasów Czarnych Lat i że ci strażnicy nie dopuszczają nikogo z żyjących do swej tajemnej siedziby, lecz sami niekiedy pokazują się w postaci cieni, przemykających spod drzwi wzdłuż kamiennej drogi.

Mieszkańcy Harrowdale zamykają wtedy na trzy spusty drzwi swych domów, zasłaniają okna i drżą ze strachu. Ale Umarli rzadko wychodzą z podziemi, zdarza się to tylko w czasach wielkiego niepokoju i śmiertelnego zagrożenia.

– Mówią jednak w Harrowdale – powiedziała Éowina, ściszając głos – że niedawno w bezksiężycową noc widziano przeciągające tędy wielkie wojska w dziwnych zbrojach. Skąd ta armia przybyła, nie wiadomo, lecz dążyła kamienną drogą pod górę i zniknęła w jej wnętrzu, jakby spiesząc na umówione spotkanie.

– Dlaczego więc Aragorn obrał tę drogę? – spytał Merry. – Czy nikt nie może tego wyjaśnić?

– Jeśli tobie, jako przyjacielowi, nic o tym nie powiedział – odparł Éomer – nikt z ludzi żyjących nie wie, czym się kierował i do czego zmierzał.

– Wydał mi się bardzo zmieniony od owego dnia, gdy go pierwszy raz ujrzałam w królewskim pałacu – powiedziała Éowina – bardziej posępny i starszy. Można by myśleć, że go coś urzekło, jak bywa z ludźmi, których wzywają Umarli.

– Może go wezwali – odparł Théoden. – Serce mi mówi, że już go więcej w życiu nie zobaczę. Ale to mąż królewskiej krwi, powołany do wielkich przeznaczeń. Tym się pociesz, córko, bo widzę, że zasmuca cię jego los i potrzebujesz pociechy. Legendy mówią, że kiedy potomkowie Eorla po przybyciu z Północy przeprawili się przez Śnieżny Potok, szukając obronnych miejsc i schronów na dni grozy, Brego ze swoim synem

Baldorem wspiął się po skalnych schodach do tej Warowni i tędy doszedł pod Drzwi Umarłych.

W progu siedział starzec, którego lat nie dało się zliczyć wedle naszej rachuby czasu; był wysoki, królewskiej postawy, lecz zmurszały jak odwieczny głaz. Toteż w pierwszej chwili wzięli go za stary kamień, bo nie poruszał się i nie odzywał, dopóki nie spróbowali wyminąć go i wejść do pieczary. Wtedy z jego piersi jak spod ziemi dobył się głos i ku ich zdumieniu przemówił w języku zachodnich plemion:

„Droga jest zamknięta”.

Zatrzymali się więc, spojrzeli na niego uważniej i dopiero wówczas zrozumieli, że to żywy człowiek. On jednak nie patrzył na nich.

„Droga jest zamknięta – powtórzył. – Zbudowali ją ci, którzy dziś są Umarli, oni też jej strzegą, póki się czas nie dopełni. Droga jest zamknięta”.

„A kiedy czas się dopełni?” – spytał Baldor. Nie usłyszał jednak odpowiedzi. W tym bowiem momencie starzec padł martwy, twarzą ku ziemi. Nigdy nikt w naszym plemieniu nie zdobył więcej wiadomości o dawnych mieszkańcach tych gór. Kto wie, może dziś właśnie wybiła zapowiedziana godzina i zamknięta droga otworzy się przed Aragornem.

– Jakże jednak inaczej przekonać się, czy już czas się dopełnił, jeśli nie próbując przekroczyć progu? – rzekł Éomer. – Nie, ja nie zrobiłbym tego, choćby mnie ścigała cała armia Mordoru, choćbym był sam i nie miał innej drogi ucieczki. Wielkie to nieszczęście, że na wezwanie Umarłych odpowiedział mąż tak wspaniałego męstwa, tak nam potrzebny w ciężkiej godzinie. Czy nie dość złych istot nawiedziło świat, by szukać ich jeszcze pod ziemią? Wojna przecież wybuchnie lada dzień.

Umilkł, bo w tym momencie z dworu dobiegł gwar: ktoś wywoływał imię Théodena, a wartownik przed namiotem bronił wstępu.

Dowódca straży rozchylił zasłonę.

– Konny wysłaniec Gondoru, miłościwy panie – zameldował. – Prosi, żeby mógł bez zwłoki stanąć przed tobą.

– Wprowadzić go! – rzekł Théoden.

Wszedł wysmukły mężczyzna. Merry omal nie krzyknął głośno, bo w pierwszej chwili wydało mu się, że to wskrzeszony Boromir powrócił z zaświatów. Potem, przyjrzawszy się lepiej, stwierdził, że nie jest to

Boromir, lecz ktoś tak do niego podobny jak bliski krewny: wysoki, z siwymi oczyma, dumnej postawy. Miał na sobie strój jeźdźca i ciemnozielony płaszcz zarzucony na kolczugę pięknej roboty. Hełm nad czołem zdobiła mała srebrna gwiazda. W ręku trzymał strzałę, opatrzoną czarnym piórem i stalowym ostrzem, pomalowanym na końcu czerwoną farbą. Przykląkł na jedno kolano, pokazując Théodenowi strzałę.

– Pozdrawiam cię, Władco Rohirrimów, przyjacielu Gondoru – rzekł. – Nazywam się Hirgon, jestem gońcem Denethora, który przysyła ci ten znak wojny. Gondor pilnie potrzebuje pomocy. Rohirrimowie wspierali nas nieraz, dziś jednak pan nasz, Denethor, wzywa ich, aby przybyli w jak największej sile i jak najspieszniej, inaczej bowiem Gondor zginie.

– Czerwona Strzała! – powiedział Théoden, biorąc z rąk gońca strzałę. Widać było po nim, że z dawna oczekiwał tego znaku, a mimo to nie mógł obronić się przed zgrozą, gdy go ujrzał. Ręka mu drżała. – Nigdy jeszcze za moich dni nie zjawiła się w Marchii Czerwona Strzała! A więc do tego już doszło! Na jakie posiłki, na jaki pośpiech z mojej strony liczyć może Denethor?

– To już sam wiesz najlepiej, miłościwy królu – odparł Hirgon. – Lecz wkrótce może się zdarzyć, że Minas Tirith będzie ze wszech stron otoczone, jeśli więc nie rozporządzasz taką potęgą, by przebić się przez pierścień wielu oblegających gród armii, władca nasz, Denethor, polecił mi oznajmić, że w takim przypadku wedle jego mniemania lepiej byłoby, aby siły zbrojne Rohanu znalazły się w obrębie fortecznych murów, nie zaś poza nimi.

– Lecz władca wasz z pewnością wie, że Rohirrimowie przywykli raczej bić się konno i w otwartym polu, a także i to, że plemię nasze żyje w rozproszeniu i trzeba czasu, żeby zgromadzić wszystkich jeźdźców. Czy mylę się, Hirgonie, sądząc, że Władca Minas Tirith więcej wie, niż powiedział w swoim wezwaniu? Sam chyba widzisz, że my już toczymy wojnę i że nie zastałeś nas całkowicie nieprzygotowanych. Był u nas Gandalf Szary, a dziś właśnie zebraliśmy się tutaj na przegląd sił przed wyruszeniem do boju na wschód.

– Nie mogę ci odpowiedzieć, królu, na pytanie, co nasz władca wie o tych sprawach i czego się domyśla – odparł Hirgon. – To wszakże pewne, że jesteśmy w rozpaczliwym położeniu. Mój władca nie przysyła rozkazów, lecz prosi, abyś wspomniał na dawną przyjaźń i na z dawna wiążące cię przysięgi i uczynił wszystko, co w twojej mocy, zarówno dla naszego, jak i

dla własnego dobra. Doszły nas wieści, że wielu królów ze Wschodu ciągnie ze swymi zastępami, by oddać się na służbę Mordorowi. Od Północy aż do pól Dagorladu wszędzie już toczą się utarczki i słychać zgiełk wojenny. Na południu ruszyli się Haradrimowie i strach padł na całą krainę zaprzyjaźnionych z nami nadbrzeżnych plemion, tak że niewiele od nich możemy oczekiwać posiłków. Pospieszaj, królu! Nie gdzie indziej bowiem, lecz pod murami Minas Tirith rozstrzygnie się los dzisiejszego świata, a jeśli tam nie powstrzymamy fali, zaleje ona wkrótce piękne stepy Rohanu i nawet ta warownia wśród gór nie będzie bezpiecznym schronieniem.

– Straszne przynosisz wieści, lecz nie wszystkie one są dla nas niespodzianką – rzekł Théoden. – Powiedz Denethorowi, że nawet gdyby Rohan nie czuł się sam zagrożony i tak przyszedłby mu z pomocą. Lecz ponieśliśmy srogie straty w bitwie ze zdrajcą Sarumanem i musimy pamiętać zarówno o naszych północnych, jak i wschodnich granicach; przypominają nam o tym nowiny przez Denethora nadesłane. Może się też zdarzyć wobec wielkiej potęgi, jaką teraz Władca Ciemności rozporządza, że nas okrąży, zanim dotrzemy do waszego grodu, i że natrze przeważającymi siłami zza rzeki, nie dopuszczając do Królewskiej Bramy.

Ale dość na dziś tych słów rozwagi. Pójdziemy wam na pomoc. Jutro ma się odbyć przegląd broni. Potem wydam rozkazy i wyruszymy w drogę. Myślałem, że będę mógł wysłać stepem na postrach wrogowi dziesięć tysięcy włóczni. Teraz niestety widzę, że będzie ich mniej; nie śmiem bowiem zostawić moich warowni bez obrony. Sześć tysięcy wszakże poprowadzę pod Minas Tirith. To powiedz Denethorowi, że w ciężkiej godzinie król Marchii sam spieszy do Gondoru, choć pewnie żywy nie wróci z tej wyprawy. Ale to daleka droga, przy tym ludzie i konie muszą dojść na miejsce w pełni sił do walki. Od jutrzejszego ranka upłynie tydzień, zanim usłyszycie bojowy okrzyk synów Eorla nadciągających z północy.

– Tydzień! – powiedział Hirgon. – Musimy się z tym pogodzić, skoro inaczej być nie może. Ale kto wie, czy przybywając za siedem dni, nie ujrzycie już tylko zburzonych murów, jeśli nie zjawi się wcześniej jakaś inna pomoc z nieoczekiwanej strony. Nawet jednak w najgorszym razie dobrze się stanie, że zakłócicie orkom i Dzikim Ludziom ich tryumfalną ucztę wśród ruin Białej Wieży.

– Tyle przynajmniej zrobimy na pewno – rzekł Théoden. – Teraz wybacz, jestem znużony po niedawnej bitwie i długim marszu, muszę odpocząć. Zostań tutaj na tę jedną noc. Jutro zobaczysz przegląd sił Rohanu i napatrzywszy się im, odjedziesz z lżejszym sercem i tym żwawiej po wypoczynku. Ranek nieraz przynosi radę, a noc często odmienia myśli.

Król podniósł się i wszyscy wstali ze swoich miejsc.

– Rozejdźcie się i śpijcie dobrze – powiedział król. – Ciebie, mój Meriadoku, nie będę już dziś potrzebował. Bądź jednak gotów na wezwanie o wschodzie słońca.

– Będę gotów – odparł Merry – choćbyś mi, królu, kazał za sobą jechać Ścieżką Umarłych.

– Nie wymawiaj tych złowróżbnych słów! – rzekł król. – Niejedną bowiem ścieżkę można by takim mianem nazwać. Nie powiedziałem też wcale, że wezmę cię z sobą w dalszą drogę. Dobranoc!

– Nie chcę zostać i czekać, aż przypomną sobie o mnie po wszystkim – rzekł Merry. – Nie chcę zostać, nie chcę!

I tak powtarzając wciąż w kółko ten protest, usnął wreszcie pod swoim namiotem. Zbudził go jakiś człowiek, potrząsając za ramiona.

– Wstawaj, wstawaj, mości niziołku! – krzyczał. Merry w końcu ocknął się z głębokiego snu i zerwał z posłania. Stwierdził, że jest jeszcze bardzo ciemno.

– Co się stało? – zapytał.

– Król cię wzywa.

– Słońce przecież nie wzeszło jeszcze.

– Nie i nie wzejdzie dzisiaj. Wygląda na to, że nigdy go już nie zobaczymy zza tej chmury. Ale czas nie zatrzymał się, chociaż zagubił słońce. Pospiesz się, żywo!

Chwytając szybko płaszcz, Merry wyjrzał z namiotu. Świat był mroczny. Nawet powietrze zdawało się jakieś bure, wszystko wkoło było czarne i szare, a żaden kształt nie rzucał na ziemię cienia; cisza panowała zupełna. Nie widać było zarysów chmury, tylko gdzieś w dali rozpostarty szeroko na wschodzie mrok wysuwał przed siebie jak gdyby łapczywe palce, między którymi przeświecała odrobina światła. Wprost nad głową hobbita zawisł

ciężki strop bezkształtnych ciemności, a światło, zamiast się potęgować, przygasało z każdą chwilą.

Na polanie dostrzegł mnóstwo ludzi, a wszyscy patrzyli w górę i coś mruczeli z cicha; twarze mieli smutne i zszarzałe, niektórzy wyraźnie drżeli z lęku. Ze ściśniętym sercem szedł Merry do króla. Hirgon, goniec z Gondoru, wyprzedził hobbita, a towarzyszył mu drugi człowiek, podobny do niego z rysów i ubioru, lecz niższy i tęższy. Gdy Merry wchodził do królewskiego namiotu, Gondorczyk rozmawiał z Théodenem.

– Ciemność przyszła z Mordoru – mówił. – Nadciągnęła wczoraj o zachodzie słońca. Ze wzgórz Wschodniej Bruzdy twojego królestwa widziałem, jak się podnosi i pełznie po niebie, w nocy zaś, gdy jechałem, goniła mnie, pożerając gwiazdy. Teraz ogromna chmura zawisła nad całą krainą pomiędzy nami a Górami Cienia i coraz bardziej się rozrasta. Wojna już się zaczęła.

Przez chwilę król milczał. Wreszcie przemówił:

– A więc stało się! Już wybuchła ta wielka bitwa naszych czasów, która przyniesie kres wielu rzeczy. Bądź co bądź nie pora już ukrywać się dłużej. Pojedziemy najprostszą drogą, otwarcie, ile sił w koniach. Przegląd zacznie się natychmiast, nie będziemy czekali na maruderów. Czy macie w Minas Tirith przygotowane zapasy? Jeśli bowiem mamy ruszyć spiesznym marszem, nie możemy obciążać się niczym, weźmiemy tyle tylko wody i chleba, żeby przeżyć do pierwszej bitwy.

– Mamy wielkie zapasy z dawna przygotowane – odparł Hirgon. – Jedźcie bez juków i pospieszajcie.

– Zawołaj, Éomerze, trębaczy – powiedział Théoden. – Niech jeźdźcy staną w ordynku.

Éomer wyszedł i niemal zaraz potem w Warowni rozległa się pobudka, a w dolinie odpowiedziały na nią głosy trąbek; nie zabrzmiały jednak teraz w uszach Meriadoka tak czysto i śmiało jak poprzedniego wieczora. W ciężkim powietrzu grały głucho i ochryple, złowieszczo i jękliwie.

Król zwrócił się do hobbita:

– Jadę na wojnę, mój Meriadoku – rzekł. – Ruszam za chwilę w drogę. Zwalniam cię ze służby, chociaż nie cofam ci przyjaźni. Zostaniesz tutaj i

jeżeli zechcesz, będziesz służył księżniczce Éowinie, która w moim zastępstwie sprawować ma rządy nad naszym ludem.

– Ale… ale… królu – wyjąkał Merry – ofiarowałem ci przecież mój miecz… Nie chcę rozstać się z tobą w ten sposób, królu Théodenie. Wszyscy moi przyjaciele wezmą udział w walce, wstydziłbym się zostać na tyłach.

– Jedziemy na dużych i śmigłych koniach – powiedział Théoden – a ty, chociaż serce masz dzielne, nie możesz dosiąść takiego wierzchowca.

– Więc mnie przywiąż do siodła albo powieś na strzemieniu. Zrób, co chcesz, byleś mnie wziął ze sobą – odparł Merry. – Droga daleka, ale ja muszę ją przebyć. Jeśli nie konno, to piechotą, choćbym miał nogi zedrzeć i przyjść o parę tygodni za późno.

Théoden uśmiechnął się na to.

– Wolałbym wziąć cię na siodło Śnieżnogrzywego wraz z sobą, niż pozwolić na coś podobnego. W każdym razie pojedziesz ze mną do Edoras i zobaczysz Meduseld. Tamtędy bowiem wiedzie nasza droga. Do Edoras doniesie cię twój Stybba, wielki bieg zacznie się dopiero potem, na równinie.

– Chodź ze mną, Meriadoku – odezwała się, wstając, Éowina. – Pokażę ci zbroję, którą kazałam dla ciebie przygotować.

Wyszli więc we dwoje.

– O jedno tylko prosił mnie Aragorn – powiedziała Éowina, prowadząc hobbita między namiotami. – O to, żebym cię uzbroiła do bitwy. Obiecałam mu zrobić wszystko, co w mojej mocy. Serce mi mówi, że będzie ci potrzebna zbroja, zanim ta wojna się skończy.

Stanęli przed szałasem pośród stanowisk królewskiej gwardii. Zbrojmistrz wyniósł z wnętrza mały hełm, okrągłą tarczę i inne części bojowego rynsztunku.

– Nie znalazła się u nas kolczuga na twoją miarę – powiedziała Éowina – i nie było czasu, żeby wykuć dla ciebie nową; jest za to mocna kurtka ze skóry, pas i nóż. Miecz masz własny.

Merry skłonił się, a księżniczka pokazała mu tarczę, podobną do tej, którą dostał Gimli, i naznaczoną godłem Białego Konia.

– Weź to wszystko – powiedziała – i niech ci służy szczęśliwie. Bądź zdrów, Meriadoku. Myślę, że się jeszcze spotkamy.

Tak więc w gęstniejącym mroku król Marchii gotował się do wyruszenia na czele swoich jeźdźców ku wschodowi. Serca ludziom ciążyły, niejeden kulił się z trwogi przed ciemnością. Ale był to lud mężny, wierny swemu królowi, toteż niewiele słyszało się płaczu i szemrania, nawet w obozowisku Warowni, gdzie schronili się uchodźcy z Edoras, kobiety, dzieci i starcy. Złowrogi los zawisł nad nimi, stawili mu jednak czoło bez skarg.

Dwie godziny przemknęły szybko i król już siedział na swoim siwym koniu, lśniącym w półmroku. Zdawał się dumny i wielki, chociaż spod wysokiego hełmu spływały mu na ramiona białe jak śnieg włosy. Ten i ów, spoglądając na niego z podziwem, nabierał otuchy, widząc, że król jest nieugięty i niestrudzony.

Na rozległej płaszczyźnie za huczącym potokiem ustawiły się w porządku zastępy wojska, około pięciu tysięcy jeźdźców w pełnym uzbrojeniu, dalej zaś kilkuset luzaków z zapasowymi końmi, lekko objuczonymi. Zagrała jedna tylko trąbka. Król podniósł rękę i armia Marchii w głuchej ciszy ruszyła z miejsca. Najpierw jechało dwunastu przybocznych królewskich gwardzistów, doborowi, najsławniejsi jeźdźcy; potem sam król z Éomerem u boku. Pożegnał się z Éowiną na górze, w Warowni, i pamięć tej chwili bolała go jeszcze, ale już zwracał myśli ku drodze, która leżała przed nim. Tuż za królem człapał na kucyku Merry wśród dwóch gońców z Gondoru, a za nimi znów dwunastu królewskich gwardzistów. Jechali zrazu między długim podwójnym szpalerem żołnierzy, czekających z surowymi, niewzruszonymi twarzami. Dopiero gdy dosięgli niemal końca wyciągniętych szeregów, jeden z ludzi spojrzał uważnie i przenikliwie na hobbita. Odwzajemniając spojrzenie, Merry zobaczył młodego, jak mu się wydało, jeźdźca, mniejszego i szczuplejszego niż inni. Dostrzegł błysk jasnoszarych oczu i zadrżał, bo nagle zrozumiał, że to jest twarz człowieka, który rusza w drogę bez nadziei, szukając śmierci.

Zjeżdżali w dół drogą wzdłuż Śnieżnego Potoku rwącego kamienistym łożyskiem, przez wioski Podskale i Przyrzecze, gdzie z uchylonych drzwi ciemnych chat patrzyły na nich smutne kobiety; bez grania rogów, bez

muzyki i bez śpiewu zaczynała się ta pamiętna wyprawa na Wschód, którą potem przez wiele pokoleń sławić miała pieśń Rohanu:

Z mroku Dunharrow o mglistym poranku
z wodzami swymi wyruszył syn Thengla
Wprost ku prastarym pałacom Edoras
Marchii monarchów, we mgle teraz skrytym;
złote ich dachy zmierzchu przykrył ciężar.
Tam król swój naród pożegnał swobodny,
salę tronową, miejsca uświęcone,
w których świętował, nim światło przygasło.
Ruszył Théoden. Trwogę miał za sobą,
los miał przed sobą. Swych przysiąg dotrzymał,
sojuszy dawnych miał wiernie dopełnić.
Król ruszył w pole. Przez pięć dni i nocy
na wschód dążyły wojska Eorlingów
przez Bruzdę, Fenmarch i przez lasy Firien;
lanc sześć tysięcy gnało ku Sunlending,
Mundburga grodu pod Mindolluiną,
pięknej stolicy Królestwa Południa
w pierścieniu ognia, w pętli oblężenia.
Los ich prowadził. Ciemność pochłonęła
konie i jeźdźców. Kopyt głos daleki
zatonął w ciszy. Tak pieśń nam powiada[74].

Król wjeżdżał do Edoras w samo południe, lecz mrok coraz ciemniejszy zalegał nad światem. Théoden zatrzymał się w stolicy krótko i wzmocnił swój zastęp o kilka dziesiątków jeźdźców, którzy nie zdążyli stawić się na przegląd wojsk. Posiliwszy się, gotów był do dalszej drogi, zechciał jednak przedtem łaskawie pożegnać swego giermka. Merry raz jeszcze spróbował ubłagać króla, żeby mu pozwolił towarzyszyć w wyprawie.

– Czeka nas droga, której na takim wierzchowcu jak Stybba nie zdołałbyś przebyć – odparł Théoden. – Cóż byś zresztą robił w bitwie, którą mamy stoczyć na polach Gondoru, mój dzielny Meriadoku, mimo że nosisz miecz i że serce masz wielkie w małym ciele?

– Nikt tego z góry nie wie, co zrobi w bitwie – rzekł Merry. – Ale po co, miłościwy panie, przyjąłeś mnie na giermka, jeśli nie po to, żebym był zawsze u twego boku? Nie chcę, żeby kiedyś w pieśni wspominano o mnie tylko jako o tym, który stale zostawał w domu.

– Powierzono mi ciebie w opiekę – odpowiedział Théoden – i zdano twój los na moją wolę. Żaden z mych jeźdźców nie może wziąć dodatkowego ciężaru na siodło. Gdyby bitwa rozgrywała się tutaj, u naszych bram, kto wie, czy nie dokonałbyś czynów godnych uwiecznienia w pieśniach; ale od Mundburga, stolicy Denethora, dzieli nas przeszło sto staj. To moje ostatnie słowo, Meriadoku.

Merry skłonił się i odszedł zrozpaczony, by jeszcze przyjrzeć się ustawionym w szeregach jeźdźcom. Kompanie przygotowywały się do wymarszu, ludzie zaciskali popręgi, opatrywali siodła, poklepywali konie; ten i ów niespokojnie zerkał na nisko nawisłe chmury. Nagle jeden z jeźdźców chyłkiem przysunął się do hobbita.

– Gdzie nie brak chęci, tam sposób zawsze się znajdzie – szepnął mu do ucha. – Dlatego na twojej drodze ja się znalazłem. – Merry spojrzał mu w twarz i poznał młodego rycerza, który rano zwrócił jego uwagę. – Chcesz jechać tam, dokąd wybiera się Władca Marchii, czytam to z twoich oczu.

– Tak – przyznał Merry.

– A więc pojedziesz ze mną – rzekł młody jeździec. – Wezmę cię przed siebie na siodło i ukryję pod płaszczem, póki nie będziemy daleko stąd, na stepie, wśród bardziej jeszcze nieprzeniknionych ciemności. Takiej dobrej woli, jaką ty masz, nie wolno się sprzeciwiać. Nie mów nic nikomu i chodź za mną.

– Dziękuję ci, dziękuję z całego serca – powiedział Merry. – Nie znam jednak twojego imienia.

– Nie znasz? – z cicha odparł jeździec. – Możesz mnie nazywać Dernhelmem.

Tak stało się, że gdy król wyruszał w dalszy pochód, na siodle przed Dernhelmem jechał z nim hobbit Meriadok, a rosły siwy wierzchowiec Windfola nie czuł nawet dodatkowego ciężaru; Dernhelm bowiem, choć zwinny i zgrabnej budowy, ważył mniej niż większość rycerzy.

Cwałowali wśród mroków. Na noc rozbili obóz w gęstwie wierzb opodal ujścia Śnieżnego Potoku do Rzeki Entów, o dwanaście staj na wschód od Edoras. O świcie ruszyli dalej przez Bruzdę, a potem przez Bagna, gdzie po ich prawej ręce wielkie lasy dębowe pięły się na podnóża gór w cieniu Halifirien, wznoszącej się na pograniczu Gondoru, po lewej zaś mgły zasnuwały trzęsawiska ciągnące się nad dolnym biegiem Rzeki. W drodze doszły ich pogłoski o wojnie na północy. Samotni jeźdźcy pędzący co koń wyskoczy zatrzymywali się, by królowi meldować o napaści na wschodnie granice, o bandzie orków, która wtargnęła na płaskowyż Rohanu.

– Naprzód! Naprzód! – wołał Éomer. – Nie czas już oglądać się na boki. Moczary nadrzeczne muszą strzec naszych flanków. Nam nie wolno tracić ani chwili. Naprzód!

Król Théoden porzucił więc własne królestwo, oddalał się od niego mila za milą, po długiej drodze wijącej się na wschód, i mijał w pochodzie kolejne wzgórza ognistych wici: Calenhad, Min-Rimmon, Erelas, Nardol. Ale ogniska na szczytach już wygasły. Kraj wokół był szary i cichy, tylko w miarę jak się posuwali, cień gęstniał, a nadzieja słabła we wszystkich sercach.

ROZDZIAŁ 4
OBLĘŻENIE GONDORU

Pippina obudził Gandalf. W izbie paliły się świece, bo przez okna sączył się ledwie mętny półmrok. Powietrze było parne jak przed burzą.

– Która godzina? – spytał, ziewając, Pippin.

– Minęła druga – odparł Gandalf. – Pora, żebyś wstał i ubrał się przyzwoicie. Wzywa cię władca grodu; zaczniesz się uczyć swoich nowych obowiązków.

– A czy władca da mi śniadanie?

– Nie, ale ja ci tu przygotowałem coś do przegryzienia. To musi ci wystarczyć do południa. Wydano rozkaz oszczędzania prowiantów.

Pippin markotnie spojrzał na skąpą kromkę chleba i zupełnie – jego zdaniem – niedostateczną porcję masła, przygotowane obok kubka cienkiego mleka.

– Ach, po cóż mnie tu przywiozłeś! – westchnął.

– Dobrze wiesz, po co – odparł Gandalf. – Żeby cię ustrzec od gorszych tarapatów. A jeśli ci się tutaj nie podoba, nie zapominaj, że sam sobie napytałeś biedy.

Pippin ucichł od razu.

Wkrótce potem znów szedł wraz z Gandalfem przez zimne korytarze do drzwi Sali Wieżowej. Denethor siedział tam w szarym półmroku. „Jak stary, cierpliwy pająk” – pomyślał Pippin; można by uwierzyć, że nie ruszył się z tego miejsca od wczoraj. Wskazał Gandalfowi krzesło, ale na stojącego przed nim Pippina przez dłuższą chwilę nie zwracał jakby uwagi. Wreszcie zwrócił się do niego, mówiąc:

– No, mości Peregrinie, mam nadzieję, że dzień wczorajszy spędziłeś pożytecznie i przyjemnie? Obawiam się tylko, że wikt w naszym mieście jest nieco za skromny jak na twoje upodobania.

Pippin doznał niemiłego wrażenia, że władca grodu jakimś sposobem zna wszystkie jego słowa i uczynki, a nawet zgaduje myśli. Nic nie odpowiedział.

– Co chcesz robić w mojej służbie?

– Myślałem, miłościwy panie, że ty wyznaczysz mi obowiązki.

– Tak też zrobię, ale najpierw muszę się dowiedzieć, do czego się nadajesz – odparł Denethor. – A dowiem się tego wcześniej, jeżeli zatrzymam cię przy sobie. Właśnie mój przyboczny giermek pałacowy poprosił o zwolnienie, wezmę więc ciebie tymczasem na jego miejsce. Będziesz mi usługiwał, chodził na posyłki i zabawiał mnie rozmową, jeżeli wojna i narady pozostawią na to czas wolny. Czy umiesz śpiewać?

– Owszem – odrzekł Pippin. – To znaczy, że umiałem śpiewać dość dobrze w swoim kółku, ale my, w Shire, nie znamy pieśni stosownych do wielkich pałaców ani też na ciężkie czasy, miłościwy panie. Większość naszych piosenek mówi o rzeczach zabawnych, z których można się pośmiać, albo o jedzeniu i piciu.

– Czemuż by takie pieśni miały być niestosowne na moim dworze i w dzisiejszych czasach? Żyliśmy tak długo pod grozą Cienia, że tym chętniej posłuchamy echa z kraju, który tych trosk nie zaznał. Może wtedy lepiej zrozumiemy, że czuwaliśmy tutaj nie na próżno, chociaż ci, którzy z tego korzystali, nie wiedzieli, komu swoje szczęście zawdzięczają.

Pippin zmarkotniał. Nie zachwycała go myśl o śpiewaniu Władcy Minas Tirith piosenek z Shire’u, a zwłaszcza piosenek żartobliwych, które umiał najlepiej; wydawały mu się zanadto prostackie na tak uroczystą okazję. Na razie jednak ciężka próba została mu oszczędzona. Denethor nie zażądał śpiewu. Zwrócił się do Gandalfa, wypytując o Rohirrimów, o ich zamiary i o stanowisko Éomera, królewskiego siostrzeńca. Pippin nie mógł się nadziwić, że Denethor, który z pewnością od wielu lat nie oddalał się poza granice państwa, tyle ma wiadomości o narodzie mieszkającym tak daleko od jego stolicy.

W pewnej chwili władca skinął na hobbita i znów go odprawił.

– Idź do zbrojowni w Twierdzy – rzekł. – Dostaniesz tam ubiór i broń jak wszyscy, którzy pełnią służbę w Wieży. Zastaniesz te rzeczy przygotowane. Wczoraj dałem odpowiednie rozkazy. Przebierz się i wracaj do mnie.

Wszystko było rzeczywiście gotowe i wkrótce Pippin ujrzał się w niezwykłym stroju – całym z czerni i srebra. Mała kolczuga z pierścieni, jak się zdawało, stalowych, była czarna jak agat; wysoki hełm zdobiły z obu

stron małe skrzydła krucze, nad czołem zaś widniała srebrna gwiazda wpisana w koło. Zbroję przykrywała krótka czarna kurtka z wyhaftowanym na piersi srebrnym godłem Drzewa. Stare ubranie hobbita zwinięto i odłożono do magazynów, pozwolono mu tylko zatrzymać szary płaszcz, dar z Lórien, chociaż miał go używać jedynie poza służbą. Pippin oczywiście tego nie wiedział, ale wyglądał w tym stroju doprawdy jak *Ernil i Pheriannath*, Książę Niziołków, jak go w Gondorze przezwano; czuł się jednak bardzo nieswojo. Ponury mrok działał na niego przygnębiająco.

Przez cały dzień było ciemno i chmurno. Od bezsłonecznego świtu do wieczora cień gęstniał coraz bardziej, a wszystkie serca w grodzie ściskały się od złych przeczuć. Od Kraju Ciemności górą pełzła z wolna na zachód ogromna chmura, która pochłaniała światło i posuwała się wraz z wichrem wojny; w dole jednak powietrze było jeszcze ciche i spokojne, jak gdyby cała Dolina Anduiny czekała na nadejście niszczycielskiej burzy.

Około jedenastej, nareszcie zwolniony na chwilę ze służby, Pippin wyszedł na poszukiwanie kęsa strawy i kropli napoju, by rozpogodzić serce i skrócić czas nieznośnego oczekiwania.

W żołnierskiej kantynie spotkał znów Beregonda, który powrócił właśnie z Pelennoru, gdzie go wysłano z rozkazami do wież strażniczych czuwających na Wielkiej Grobli. We dwóch więc wyszli na mury, bo Pippin czuł się wśród ścian jak w więzieniu i duszno mu było nawet pod wysokimi stropami Wieży. Siedli znów w niszy otwartej ku wschodowi, na tym samym miejscu, gdzie posilali się i gawędzili poprzedniego dnia.

Miało się ku zachodowi, lecz całun cieni rozpostarł się daleko i słońce dopiero w ostatniej chwili, już zanurzając się w Morzu, zdołało przed nocą przemycić kilka pożegnalnych promieni, tych właśnie, które Frodo ujrzał złocące głowę obalonego króla u Rozstaja Dróg. Na pola Pelennoru jednak, okryte cieniem Mindolluiny, nie sięgnął nawet ten przelotny blask; pozostały brunatne i posępne.

Pippin miał wrażenie, że lata upłynęły od chwili, gdy siedział tutaj po raz pierwszy, w jakiejś odległej, na pół zapomnianej epoce, gdy był jeszcze hobbitem, lekkomyślnym wędrowcem, którego serce ledwo po wierzchu musnęły wszystkie przebyte niebezpieczeństwa. Teraz stał się małym żołnierzem w grodzie przygotowującym się do odparcia straszliwej napaści, nosił dumny, lecz ponury strój strażników Wieży.

W innym czasie i innym miejscu Pippin może by się bawił nowym przebraniem, lecz rozumiał, że to nie w zabawie bierze udział, że jest naprawdę w służbie posępnego władcy i związał się ze sprawami śmiertelnej powagi. Kolczuga uwierała go, hełm ciążył na głowie. Płaszcz położył obok na kamiennej ławie. Odwrócił zmęczony wzrok od ciemniejących na dole pól, ziewnął i westchnął.

– Zmęczył cię dzisiejszy dzień? – spytał Beregond.

– Bardzo! – odparł Pippin. – Zmęczyło mnie próżniactwo i oczekiwanie. Obijałem pięty o zamknięte drzwi komnaty mojego pana, podczas gdy on przez długie godziny toczył narady z Gandalfem, z księciem i innymi dostojnymi osobami. Wiedz też, Beregondzie, że nie przywykłem z pustym brzuchem usługiwać ludziom, kiedy jedzą. To jest dla hobbita ciężka próba. Ty zapewne uważasz, że powinienem sobie wyżej cenić ów zaszczyt. Ale co po takich zaszczytach? Więcej powiem, co po jadle i napitkach pod grozą tego nadpełzającego cienia? Co to za cień? Powietrze samo zdaje się gęste i bure. Czy macie często takie ponure mgły, kiedy wiatr wieje od wschodu?

– Nie – odrzekł Beregond. – To nie jest zwykła niepogoda. To złośliwy podstęp Tamtego, który znad Góry Ognia śle jakieś trucizny i dymy, żeby zamroczyć serca i rozumy. Bardzo skutecznie zresztą. Chciałbym, żeby już wrócił Faramir. On nie poddałby się lękowi. Ale kto wie, czy Faramir zdoła w ogóle powrócić zza Rzeki pośród tych Ciemności?

– Tak, Gandalf także jest zaniepokojony – rzekł Pippin. – Zdaje mi się, że nieobecność Faramira odczuł jako dotkliwy zawód. Gdzie się podziewa Gandalf? Opuścił naradę u władcy przed południowym posiłkiem, i to z bardzo, jak widziałem, chmurną miną. Może ma złe przeczucia albo dostał niepomyślne wiadomości?

Nagle rozmowa urwała się, obaj oniemieli, zastygli, nasłuchując. Pippin przycupnął na kamieniach, zatykając rękami uszy, lecz Beregond, który, mówiąc o Faramirze, podszedł do parapetu i wyglądał zza niego ku wschodowi, pozostał w tej postawie, wpatrzony wytężonym wzrokiem przed siebie. Pippin znał przerażający krzyk, który przed chwilą rozdarł im uszy; słyszał go ongi na Moczarach w Shire, lecz głos od tamtego dnia spotężniał, nabrzmiał bardziej jeszcze nienawiścią, przeszywał serca i sączył w nie jad rozpaczy.

Wreszcie Beregond otrząsnął się i z trudem znowu przemówił:

– Nadleciały! Zdobądź się na odwagę i spójrz! Zobaczysz okrutne potwory.

Pippin niechętnie wdrapał się na kamienną ławę i wyjrzał zza muru. U jego stóp majaczyły w mroku pola Pelennoru, ginąc we mgle na linii Wielkiej Rzeki, którą odgadywał raczej, niż dostrzegał w oddali. Lecz na pośredniej wysokości, pomiędzy szczytem Mindolluiny a równiną, krążyły szybko, niby cienie nocy, olbrzymie, podobne do ptaków stwory, odrażające jak sępy, lecz większe niż orły, a bezlitosne jak sama śmierć. To przybliżały się zuchwale, niemal na odległość strzału z łuku, to oddalały, zataczając szersze kręgi.

– Czarni Jeźdźcy! – szepnął Pippin. – Czarni Jeźdźcy w powietrzu! Ale spójrz, Beregondzie! – krzyknął nagle. – Oni czegoś szukają! Spójrz, jak kołują i zniżają lot wciąż nad jednym miejscem. Czy widzisz? Tam coś rusza się na ziemi. Drobne, ciemne figurki… Tak, to ludzie na koniach! Czterech, pięciu konnych. Ach, nie mogę na to patrzeć! Gandalfie! Gandalfie, ratuj!

Po raz drugi rozległ się okropny, przeciągły okrzyk, a Pippin odskoczył od parapetu i skulił się za murem, dysząc jak ścigane zwierzę. Nikły, stłumiony przez tamten straszliwy głos, przebił się z dołu sygnał trąbki zakończony długą, wysoką nutą.

– Faramir! Nasz Faramir! To jego sygnał! – krzyknął Beregond. – On się nie uląkł. Ale jakże utoruje sobie drogę do Bramy, jeśli te piekielne ptaki mają inną broń prócz strachu! Patrz! Nasi jeźdźcy nie cofnęli się, dotrą do Bramy… Nie! Konie uciekają spłoszone. Patrz! Jeźdźcy zeskoczyli z siodeł, biegną pieszo ku Bramie. Jeden został na koniu, ale i on spieszy za innymi. To kapitan. Jego słuchają zwierzęta i ludzie. Ach! Potwór zniża się, godzi w niego! Ratunku! Ratunku! Czy nikt nie przyjdzie mu z pomocą? Faramir!

I Beregond z tym imieniem na ustach pobiegł po murze, zniknął w ciemności. Zawstydzony, że bał się o własną skórę, gdy Beregond przede wszystkim myślał o ukochanym dowódcy, Pippin podniósł się i znów wyjrzał zza parapetu. W tej samej chwili od północy mignęła mu jakby biała i srebrna gwiazdka pośród ciemnych pól. Mknęła jak strzała i zbliżając się, rosła, zmierzając w trop za czterema ludźmi w stronę Bramy. Pippinowi zdawało się, że gwiazdka promieniuje bladym światłem i że

czarne cienie ustępują przed nią, a gdy już znalazła się blisko, posłyszał niby echo odbite od murów potężne wołanie.

– Gandalf! – krzyknął Pippin. – Gandalf! On zawsze się zjawia w najczarniejszej godzinie. Naprzód, naprzód, Biały Jeźdźcze! Gandalf! Gandalf! – wykrzykiwał gorączkowo jak widzowie podczas wielkich wyścigów zagrzewający głosem zawodnika, który wcale ich zachęty nie potrzebuje.

Teraz już czarne, krążące w powietrzu cienie także dostrzegły nowego przeciwnika. Jeden skręcił i zniżył się nad nim, lecz w okamgnieniu Biały Jeździec podniósł rękę i Pippinowi wydało się, że strzeliła z niej w górę wiązka jasnych promieni. Nazgûl z przeciągłym jękliwym okrzykiem poszybował chwiejnie wstecz, a cztery inne zawahały się, potem zaś, szybkimi spiralami wzbijając się wyżej, odleciały na wschód i zniknęły w nawisłej na widnokręgu czarnej chmurze. Przez chwilę nad Pelennorem mrok trochę pojaśniał.

Pippin patrzył, jak konny rycerz spotkał się z Białym Jeźdźcem, jak obaj zatrzymali się, czekając na pieszych. Z grodu biegli teraz ku nim ludzie. Wkrótce zewnętrzny mur przesłonił ich tak, że hobbit nie widział już nikogo, wiedział jednak, że weszli pod Bramę, i zgadywał, że udadzą się prosto do Wieży i do Namiestnika. Zbiegł więc szybko z murów, podążając ku Bramie twierdzy. Znalazł się w tłumie, wszyscy bowiem, którzy z murów obserwowali wyścig i szczęśliwy jego wynik, spieszyli witać ocalonych.

Wieść o całym zdarzeniu rozeszła się w lot po mieście i na ulicach, wiodących od zewnętrznych jego kręgów ku górze, zgromadzili się ludzie, wiwatując i wykrzykując imiona Faramira i Mithrandira.

Wreszcie Pippin zobaczył pochodnie i na czele cisnącego się tłumu dwóch jeźdźców posuwających się stępa; jeden, cały w bieli, nie jaśniał już blaskiem, blady zdawał się w półmroku, jakby walka wyczerpała lub stłumiła jego ogień; drugi, w ciemnej odzieży, jechał z głową pochyloną na piersi. Zsiedli z koni, które zaraz stajenni wzięli pod opiekę, i ruszyli pieszo ku posterunkom strzegącym wejścia do Cytadeli. Gandalf szedł pewnym krokiem; szary płaszcz odrzucił z ramion, w oczach tlił mu się jeszcze żar. Drugi przybysz, w zielonym płaszczu, szedł powoli, chwiejąc się trochę na nogach, jak gdyby bardzo znużony albo ranny.

Pippin przesunął się do pierwszego szeregu wiwatujących i w świetle latarni pod sklepieniem Bramy spojrzał z bliska w bladą twarz Faramira. Z wrażenia aż mu dech zaparło. Była to bowiem twarz człowieka, który przeżył okropny strach czy może ból i opanował je wielkim wysiłkiem. Dumny i poważny, stał przez chwilę, rozmawiając z wartownikiem; Pippin przyglądał mu się i dostrzegł teraz niezwykłe jego podobieństwo do Boromira, którego hobbit od pierwszej chwili bardzo lubił, podziwiając jego trochę wielkopańską, choć dobrotliwą postawę. Lecz Faramir zbudził w nim niespodzianie jakieś nieznane dotychczas uczucie. Ten rycerz Gondoru miał w sobie dziwne dostojeństwo; takie, jakie niekiedy objawiało się w Aragornie, nie tak może wzniosłe, ale też mniej nieobliczalne i niedostępne; był to jeden z królów ludzkich, urodzonych w tej późnej epoce, lecz tchnęła od niego zarazem mądrość i smutek starszych braci ludzkiego rodu – elfów. Pippin zrozumiał, dlaczego Beregond wymawiał imię Faramira z taką miłością. Za tym dowódcą chętnie szli żołnierze, za nim nawet hobbit poszedłby bez wahania, choćby w cień czarnych skrzydeł.

– Faramir! – krzyknął Pippin wraz z innymi. – Faramir!

Faramir dosłyszał ten głos, odmienny w chórze Gondorczyków, odwrócił się i spojrzawszy z góry na Pippina, zdziwił się bardzo.

– A ty skąd się tutaj wziąłeś? – zapytał. – Niziołek w barwach wieżowej straży! Skąd?

W tej chwili Gandalf podszedł do niego i wyjaśnił:

– Przybył wraz ze mną z ojczyzny niziołków – rzekł. – Ja go tu przywiodłem. Ale nie marudźmy dłużej. Wiele mamy do omówienia i zrobienia, a ty jesteś zmęczony. Niziołek pójdzie zresztą z nami. Musi, jeśli bowiem pamięta nie gorzej ode mnie o swoich nowych obowiązkach, wie, że powinien stawić się do służby przy swoim panu. Chodź, Pippinie!

Wreszcie więc dotarli do osobistej komnaty władcy grodu. Przed kominkiem, na którym tlił się żar, ustawiono głębokie fotele; podano wino, ale Pippin, stojąc za plecami Denethora, nawet nie spojrzał na nie i nie pamiętał już o zmęczeniu, z takim zaciekawieniem słuchał, co mówiono.

Faramir zjadł kromkę białego chleba, wypił łyk wina i usiadł na niskim fotelu po lewej ręce swego ojca. Po drugiej stronie, trochę na uboczu, zajął miejsce na rzeźbionym krześle Gandalf; z początku zdawał się drzemać.

Faramir bowiem zaczął od relacji ze swej wyprawy, na którą go posłał władca przed dziesięciu dniami; przekazywał wiadomości z Ithilien, mówił o ruchach Nieprzyjaciela i jego sprzymierzeńców, o walce stoczonej na gościńcu, o rozbiciu oddziału ludzi z Haradu, którzy z sobą sprowadzili straszliwe bestie, olifanty; słowem, było to jedno z tych sprawozdań, które władca zapewne nieraz już słyszał z ust swoich wysłanników, opowieść o pogranicznych utarczkach, tak częstych, że już się im nie dziwiono i nie przywiązywano do nich większej wagi.

Nagle Faramir spojrzał na Pippina.

– Teraz zaczyna się dziwna część mojej relacji – rzekł. – Albowiem ten giermek nie jest pierwszym niziołkiem, który z północnych legend zawędrował w nasze południowe kraje.

Gandalf ocknął się, wyprostował i mocno zacisnął ręce na poręczach krzesła. Nie rzekł jednak nic i wzrokiem nakazał Pippinowi milczenie. Denethor spojrzał na nich obu i skinął głową na znak, że wiele z tych nowin znał, zanim mu je oznajmiono. Wszyscy więc milczeli, a Faramir z wolna snuł swą opowieść, nie spuszczając niemal oczu z twarzy Gandalfa, chyba po to, by zerknąć od czasu do czasu na Pippina, jak gdyby chciał odświeżyć w pamięci obraz niziołków spotkanych za Wielką Rzeką.

Gdy mówił o spotkaniu z Frodem i jego wiernym sługą, a potem o wydarzeniach w Henneth Annûn, Pippin zauważył, że ręce Gandalfa, zaciśnięte na poręczach fotela, drżą. Wydawały się teraz białe, bardzo stare, i hobbit z nagłym dreszczem przerażenia zrozumiał, że Gandalf – nawet Gandalf! – jest zaniepokojony, może nawet przestraszony. W pokoju było duszno i cicho. Wreszcie, gdy Faramir opowiedział, jak rozstał się z wędrowcami, którzy postanowili iść na przełęcz Cirith Ungol, głos mu się załamał, rycerz potrząsnął głową i westchnął. Gandalf poderwał się z miejsca.

– Cirith Ungol? Dolina Morgul? – zawołał. – Kiedy to było, Faramirze? Powiedz dokładnie, kiedy się z nimi pożegnałeś? Kiedy mogli dotrzeć do tej przeklętej doliny?

– Rozstaliśmy się rankiem dwa dni temu – odparł Faramir. – Jeśli szli wprost na południe, mieli stamtąd do doliny Morgulduiny piętnaście staj, a potem jeszcze pięć na wschód do przeklętej wieży. Nawet najspieszniejszym marszem nie mogli więc dojść wcześniej niż dziś, a może do tej pory jeszcze nie doszli. Rozumiem, czego się lękasz. Ale

ciemności nie są skutkiem ich wyprawy. Zaczęły się bowiem gromadzić wczoraj wieczorem i całe Ithilien ogarnęły w ciągu ostatniej nocy. Jasne jest dla mnie, że Nieprzyjaciel z dawna planował napaść na nas i wyznaczył godzinę ataku, zanim jeszcze wypuściłem tych wędrowców spod mojej straży.

Gandalf przemierzał nerwowo komnatę.

– Rankiem przed dwoma dniami, blisko trzy dni marszu! Jak daleko stąd do miejsca, w którym się rozstaliście?

– Około dwudziestu pięciu staj lotem ptaka – odparł Faramir. – Nie mogłem przybyć wcześniej. Wczoraj zatrzymałem oddział na Cair Andros, długiej wyspie na środku rzeki, gdzie trzymamy stały posterunek. Konie zostawiliśmy na drugim brzegu. Gdy nadciągnęły ciemności, wiedziałem, że trzeba się spieszyć, więc nie czekając na resztę, ruszyłem z trzema jeźdźcami, którzy mieli wierzchowce pod ręką. Oddziałowi kazałem iść na południe, aby wzmocnić załogę broniącą brodów pod Osgiliath. Mam nadzieję, że nie popełniłem błędu? – spytał, patrząc na ojca.

– Dlaczego pytasz?! – krzyknął Denethor z nagłym błyskiem w oczach. – Ty jesteś dowódcą, tobie podlega oddział. A może chcesz usłyszeć mój sąd o wszystkich innych swoich poczynaniach? W mojej obecności zachowujesz się pokornie, ale od dawna ani razu nie zawróciłeś z własnej drogi, żeby mnie zapytać o radę. Przed chwilą mówiłeś tak zręcznie, jak zwykle. Widziałem jednak, żeś wpijał oczy w twarz Mithrandira, szukając na niej potwierdzenia, czy dobrze przedstawiasz sprawę, czyś nie za wiele powiedział. Od dawna Mithrandir panuje nad twoim sercem. Tak, synu, ojciec jest stary, lecz wiek nie zaćmił jego umysłu. Wzrok i słuch mam bystry jak za młodu. Nic z tego, czegoś nie dopowiedział lub co pominąłeś milczeniem, nie uszło mej uwagi. Znam odpowiedzi na wiele z tych zagadek. Biada mi, biada, żem stracił Boromira!

– W czym cię nie zadowoliłem, ojcze? – spytał spokojnie Faramir. – Boleję, że nie mogłem zasięgnąć twojej rady, nim musiałem wziąć na swoje barki brzemię tak wielkiej odpowiedzialności.

– Czy zmieniłbyś swoje zdanie pod moim wpływem? – odparł Denethor. – Z pewnością postąpiłbyś i tak wedle własnego rozumu. Znam cię na wylot. Zawsze chcesz wydać się wielkoduszny i wspaniałomyślny jak dawni królowie, łaskawy i łagodny. Może to przystoi potomkowi wielkiego

rodu, władającemu w czasach pokoju. Ale w godzinie rozpaczliwego niebezpieczeństwa łagodność często przypłaca się życiem.

– Gotów jestem zapłacić – rzekł Faramir.

– Gotów jesteś zapłacić?! – krzyknął Denethor. – Ale nie twoje tylko życie postawiłeś na kartę, Faramirze! Także życie swego ojca i całego ludu, którego masz obowiązek bronić dziś, skoro zabrakło Boromira.

– Żałujesz, ojcze, że nie spotkał mnie los Boromira? – spytał Faramir.

– Tak! – odparł Denethor. – Ponieważ Boromir był mi wiernym synem, a nie wychowankiem Czarodzieja. On pamiętałby, w jakiej ciężkiej potrzebie znalazł się ojciec, i nie roztrwoniłby tego, co mu przypadek włożył w ręce. Przyniósłby ten wspaniały dar ojcu.

Na chwilę Faramir dał się ponieść wzburzeniu.

– Zechciej przypomnieć sobie, ojcze, dlaczego nie mój brat, lecz ja właśnie znalazłem się w Ithilien. Rozstrzygnęła o tym twoja wola. Władca grodu sam wybrał Boromira na wysłannika w tamtej misji.

– Nie poruszaj goryczy w tym pucharze, który sam sobie przyrządziłem – rzekł Denethor. – Czyż nie czuję smaku jej w ustach, od wielu nocy lękając się, że najgorsza trucizna czeka mnie jeszcze w mętach na dnie? I dziś sprawdzają się moje obawy. Czemuż się tak stało! Czemuż nie dostałem tego w swoje ręce!

– Pociesz się – odezwał się Gandalf – bo w żadnym przypadku Boromir nie przyniósłby ci tego. Zginął, zginął szlachetną śmiercią, niech śpi w pokoju. Ale ty się łudzisz, Denethorze. Gdyby Boromir sięgnął po ten skarb i posiadł go, zatraciłby się na zawsze. Zatrzymałby go dla siebie i gdyby z nim tutaj wrócił, nie poznałbyś własnego syna.

Denethor zachował twarz zimną i zaciętą:

– Tobie nie udało się Boromira nagiąć do swej woli, prawda, Mithrandirze? – odparł z cicha. – Ale ja, rodzony jego ojciec, powiadam ci, że Boromir oddałby mi na pewno ów skarb. Może jesteś mądry, ale mimo całej swojej chytrości nie zjadłeś wszystkich rozumów. Są rady i sposoby inne niż sieci intryg snute przez czarodziejów i niż pochopne zuchwalstwa głupców. Wiem o tych sprawach więcej, niż ci się wydaje.

– Cóż zatem wiesz? – spytał Gandalf.

– Dość, żeby rozumieć, iż dwóch błędów należało się wystrzegać. Posługiwać się ową rzeczą jest niebezpiecznie. Ale w tej groźnej godzinie wysłać ją pod opieką głupiego niziołka do kraju Nieprzyjaciela, jak to zrobiłeś ty, Mithrandirze, do spółki z moim synem – to szaleństwo.

– A jak postąpiłby mądry Denethor?

– Nie popełniłby ani pierwszego, ani drugiego z tych błędów. Ale przede wszystkim z pewnością nie dałby się żadnym argumentem skłonić do tego ryzykownego kroku, któremu szaleniec tylko może rokować jakieś szanse powodzenia, a który tym się skończy, że Nieprzyjaciel odzyska swoją zgubę, to zaś oznaczać będzie naszą ostateczną klęskę. Ten skarb należało zatrzymać wśród nas, ukryć jak najgłębiej i jak najtajniej. Nie użyć go, chyba w najbardziej rozpaczliwej potrzebie, ale zabezpieczyć tak, żeby Nieprzyjaciel nie mógł go wydrzeć, chyba po zwycięstwie druzgocącym wszystko; wtedy jednak nic by nas to już nie obchodziło, ponieważ nie zostalibyśmy żywi na świecie.

– Myślisz, jak władcy Gondoru przystoi, o swoim tylko kraju – rzekł Gandalf. – Ale są inne plemiona, inni ludzie i świat się nie kończy na dniu dzisiejszym. Co do mnie, lituję się nawet nad niewolnikami Tamtego.

– A dokąd zwrócą się inni ludzie o pomoc, jeśli Gondor upadnie? – spytał Denethor. – Gdybym miał tę rzecz teraz ukrytą w głębokich lochach mojej fortecy, nie drżelibyśmy z lęku przed cieniem, nie balibyśmy się najgorszego, moglibyśmy naradzić się w spokoju. Jeżeli nie ufasz, że wyszedłbym z tej próby zwycięsko, nie znasz mnie, Gandalfie.

– Mimo wszystko nie ufam ci, Denethorze – odparł Gandalf. – Gdyby nie to, przysłałbym ową rzecz tutaj na przechowanie, oszczędzając sobie i innym wielu trudów. Słysząc zaś, co dziś mówisz, tym mniej mogę ci ufać, podobnie jak nie mogłem ufać Boromirowi. Ale nie unoś się gniewem! W tej sprawie sobie samemu także nie ufam, odmówiłem przyjęcia tego skarbu, chociaż mi go dobrowolnie ofiarowywano. Jesteś silny, Denethorze, i wiem, że władasz sobą w pewnych sprawach. Gdybyś jednak dostał ów skarb, on by tobą zawładnął. Choćbyś go zagrzebał pod korzeniami Mindolluiny, paliłby twoje serce, spalałby je w miarę jak narastałyby okrutne zdarzenia, które nas czekają już wkrótce.

Na moment oczy Denethora rozbłysły znowu, gdy władca zwrócił twarz ku Gandalfowi, i Pippin wyczuł znów napięte, zmagające się z sobą siły dwóch starców, lecz tym razem spojrzenia jak sztylety godziły w siebie i

skrzyły się ogniem gniewu. Pippin drżał, oczekując jakiegoś straszliwego ciosu. Nagle jednak Denethor przygasł i jego twarz zlodowaciała znowu. Wzruszył ramionami.

– Gdybym ja go dostał! Gdybyś ty go zatrzymał! – powiedział. – Gdyby… Próżne słowa. Odszedł do Kraju Ciemności i tylko czas może nam objawić, jaki los czeka jego i nas. Czas już niedługi. W te dni, które nam zostały, niechże wszyscy walczący, chociaż różnymi sposobami, z wspólnym Nieprzyjacielem mają nadzieję, póki jeszcze mieć ją wolno, a gdy nadzieja zgaśnie, niech starczy im męstwa, żeby umrzeć jak wolni ludzie. – Zwrócił się do Faramira. – Co sądzisz o załodze w Osgiliath?

– Nie jest dość silna – odparł Faramir. – Posłałem oddział z Ithilien, żeby ją wzmocnić, jak już mówiłem.

– Te posiłki nie wystarczą, moim zdaniem – rzekł Denethor. – Osgiliath musi wytrzymać pierwszy impet napaści. Trzeba by tam najdzielniejszego dowódcy.

– I tam, i w wielu innych miejscach – powiedział z westchnieniem Faramir. – Niestety, brak mego brata, którego ja też serdecznie kochałem! – Wstał. – Czy wolno mi pożegnać cię, ojcze?

To mówiąc, zachwiał się i musiał oprzeć się o krzesło.

– Jesteś, jak widzę, bardzo znużony – rzekł Denethor. – Za szybko jechałeś, za daleko się zapuściłeś pod grozą zła krążącego w powietrzu.

– Nie mówmy teraz o tym – powiedział Faramir.

– Jak sobie życzysz – odparł Denethor. – Idź, odpocznij, póki można. Jutro czeka cię dzień cięższy jeszcze niż dzisiejszy.

Wszyscy pożegnali Władcę i odeszli, by odpocząć, korzystając z ostatnich chwil ciszy przed bitwą. Na dworze noc była czarna i bezgwiezdna, kiedy Gandalf z Pippinem, który przyświecał Czarodziejowi łuczywem, wracali na swoją kwaterę. Nie rozmawiali, póki nie znaleźli się za zamkniętymi drzwiami. Wtedy dopiero hobbit chwycił Gandalfa za rękę.

– Powiedz mi – prosił – czy jest bodaj iskra nadziei? Chodzi mi o Froda, a przynajmniej najbardziej o Froda.

Gandalf położył dłoń na jego głowie.

– Od początku nie było wiele nadziei – powiedział. – Tylko szaleniec mógł rokować szansę powodzenia całemu przedsięwzięciu, jak nam przed chwilą powiedziano. Ale kiedy usłyszałem o Cirith Ungol… – Urwał i podszedł do okna, jakby chcąc wzrokiem przebić noc czerniejącą na wschodzie. – Cirith Ungol – szepnął. – Dlaczego obrał tę drogę? – Odwrócił się do hobbita. – Wiedz, Pippinie, że na dźwięk tej nazwy serce omal nie zamarło we mnie. A jednak mówię ci prawdę, że w wieściach przyniesionych przez Faramira upatruję pewną nadzieję. Wynika z nich bowiem jasno, że Nieprzyjaciel rozpoczął pierwsze wojenne kroki, gdy Frodo jeszcze chodził wolny po świecie. A więc Oko przez kilka dni na pewno będzie zwrócone w innym kierunku, poza granice Kraju Ciemności. Wyczuwam jednak z daleka niepokój i pośpiech Nieprzyjaciela. Zaczął rozgrywkę wcześniej, niż zamierzał. Musiało się zdarzyć coś, co go przynagliło.

Przez chwilę Gandalf rozmyślał w milczeniu.

– Może – szepnął. – Może nawet twój szaleńczy wybryk pomógł w tym trochę, Pippinie. Zastanówmy się: jakieś pięć dni temu odkrył zapewne, że rozgromiliśmy Sarumana i zabrali z Orthanku kryształ. Ale cóż z tego? Nie bardzo mogliśmy się nim posługiwać bez wiedzy Nieprzyjaciela. A może… Może Aragorn? Jego dzień się przybliża. On jest silny i surowy, śmiały i stanowczy, zdolny do powzięcia własnej decyzji i zaryzykowania w potrzebie najwyższej stawki. To wydaje się prawdopodobne. Aragorn mógł zajrzeć w kryształ i ukazać się Nieprzyjacielowi, aby mu rzucić wyzwanie. Ciekawe! Ano, nie dowiemy się prawdy, dopóki nie przybędą jeźdźcy Rohanu… jeśli nie przybędą za późno! Czekają nas złe dni. Śpijmy dziś, skoro jeszcze można.

– Ale… – zaczął Pippin.

– O co chodzi? Na dziś wypraszam sobie więcej „ale”.

– Ale Gollum! – powiedział Pippin. – Jakże to możliwe, że Frodo i Sam wędrują razem z Gollumem, a nawet za jego przewodem? Wyczułem, że droga, którą obrali, przeraża Faramira nie mniej niż ciebie. Co na niej grozi?

– Tego ci nie mogę dzisiaj wytłumaczyć – odparł Gandalf – ale serce moje z dawna przeczuwało, że Frodo spotka się z Gollumem, zanim dopełni swojej misji. Na szczęście albo na zgubę. O Cirith Ungol na razie nie chcę nic mówić. Boję się zdrady ze strony tego nieszczęsnego stwora. Tak

jednak być musi. Pamiętajmy, że często zdrajca sam siebie zdradza i mimo woli oddaje usługi dobrej sprawie. Bywa tak, bywa. Dobranoc, Pippinie!

Nazajutrz poranek był szary jak zmierzch, a w sercach ludzkich otucha, na krótko ożywiona dzięki powrotowi Faramira, znów zamarła. Skrzydlatych Cieni nie ujrzano tego dnia nad grodem, lecz raz po raz z wysoka dochodził uszu mieszkańców nikły okrzyk i każdy, kto go usłyszał, kulił się na chwilę z przerażenia, a co słabsi duchem jęczeli i płakali.

Faramir znów opuścił stolicę. „Nie dają mu wytchnąć – szemrali ludzie. – Władca zbyt wiele wymaga od swego syna; obciąża go podwójnymi obowiązkami, skoro drugi syn zginął". Wszyscy też wypatrywali od północy przybycia sojuszników, pytając: „Gdzie są jeźdźcy Rohanu?"

Faramir nie wyjechał z własnej ochoty. Władca grodu zazwyczaj narzucał swoją wolę Radzie, a w owych dniach mniej niż kiedykolwiek skłonny był ulegać cudzemu zdaniu. Wczesnym rankiem zwołał Radę. Podczas niej wszyscy dowódcy stwierdzili zgodnie, że wobec zagrożenia od południa siły ich są niedostateczne i nie mogą ze swej strony poczynić żadnych kroków wojennych, dopóki nie przybędą Jeźdźcy Rohanu. Na razie trzeba tylko obsadzić mury wojskiem i czekać.

– Mimo wszystko – rzekł Denethor – nie wolno lekkomyślnie opuszczać zewnętrznych placówek obronnych, murów Rammas z tak wielkim nakładem pracy pobudowanych. Nieprzyjaciel musi drogo zapłacić za przekroczenie Rzeki. Nie może zaś tego dokonać w większej sile, zdolnej zagrozić naszemu grodowi, ani od północy w Cair Andros, gdzie chronią przeprawy bagna, ani też od południa w okolicy Lebennin, gdzie Rzeka jest bardzo szeroka i potrzebowałby wielkiej floty, aby ją przebyć. Uderzy z całą pewnością całym impetem na Osgiliath, jak niegdyś, kiedy Boromir zagrodził mu skutecznie drogę.

– To była tylko próba – powiedział Faramir. – Teraz, gdyby nawet przeprawa kosztowała Nieprzyjaciela dziesięćkroć więcej niż nas, i tak byłby to dla nas opłakany rachunek. On bowiem mniej ucierpi na stracie całej armii niż my na stracie jednej kompanii. A ci, których pozostawiamy na tak daleko wysuniętych placówkach, będą mieli odwrót odcięty, gdy nieprzyjacielskie wojska wedrą się w głąb granic.

– Co stanie się z Cair Andros? – spytał książę. – Tę strażnicę koniecznie trzeba utrzymać, jeśli chcemy obronić Osgiliath. Nie zapominajmy o

niebezpieczeństwie grożącym od lewego skrzydła. Rohirrimowie może nadejdą, a może nie. Faramir powiadomił nas, jak wielka potęga zgromadziła się za Czarną Bramą. Niejedna armia stamtąd wyruszy i nie w jednym tylko miejscu spróbuje zapewne przekroczyć Rzekę.

– Na wojnie nie obejdzie się bez wielkiego ryzyka – odparł Denethor. – W Cair Andros mamy załogę, większych posiłków nie możemy posłać na tak odległą placówkę. Ale nie oddam linii Rzeki ani Pelennoru bez walki, chyba żeby zabrakło dowódcy, gotowego spełnić mężnie rozkazy swego Władcy.

Na te słowa umilkli wszyscy. Po długiej chwili odezwał się Faramir:

– Nie sprzeciwię się twojej woli, ojcze. Skoro los zabrał Boromira, pójdę, gdzie rozkażesz, i zrobię, co w mojej mocy, aby go zastąpić. Czy taka jest twoja decyzja?

– Tak – powiedział Denethor.

– A więc żegnaj, ojcze – rzekł Faramir. – Jeżeli wrócę, może wtedy zechcesz mnie sądzić łaskawiej.

– To będzie zależało od tego, z czym powrócisz – odparł Denethor.

Ostatni rozmawiał z Faramirem Gandalf, zanim syn Namiestnika wyruszył na wschód.

– Nie szukaj pochopnie i w rozgoryczeniu śmierci – powiedział. – Będziesz potrzebny tutaj do innych zadań niż wojenne. Ojciec kocha cię, Faramirze, i z pewnością o tym sobie przypomni w ostatniej chwili. Bywaj zdrów!

Tak więc Faramir znów odjechał, biorąc z sobą garstkę żołnierzy, których można było ująć załodze stolicy i którzy chcieli w tej wyprawie wziąć udział. Z murów Gondoru ludzie spoglądali ku zburzonej twierdzy Osgiliath, usiłując odgadnąć, co się tam dzieje, i nic nie widząc w pomroce. Inni patrzyli wciąż ku północy, licząc staje dzielące ich gród od Rohanu i jeźdźców Théodena. „Czy przybędzie? Czy nie zapomniał o dawnym przymierzu?” – pytali z niepokojem.

– Tak, przybędzie – odpowiadał Gandalf. – Nawet gdyby miał przybyć za późno. Ale zastanówcie się: Czerwona Strzała mogła dojść do jego rąk w najlepszym razie przed dwoma dniami, a droga z Edoras daleka.

Nowin doczekali się dopiero w nocy. Od brodów na rzece przygnał konny wysłaniec z wieścią, że z Minas Morgul wyszła wielka armia i ciągnie na Osgiliath; są w niej pułki rosłych, okrutnych ludzi z południa, Haradrimów.

– Dowiedzieliśmy się – mówił wysłaniec – że dowodzi nimi znowu Czarny Wódz, a imię jego szerzy postrach na wybrzeżach Rzeki.

Tymi złowieszczymi słowy zakończył się trzeci dzień pobytu Pippina w Minas Tirith. Mało kto zasnął tej nocy w grodzie, wszyscy bowiem rozumieli, że nadzieja jest znikoma i że nawet Faramir nie utrzyma długo brodów na Anduinie.

Nazajutrz, chociaż ciemności osiągnęły już swoją pełnię i nie mogły się bardziej jeszcze pogłębiać, ciążyły coraz dotkliwszym brzemieniem na sercach ludzkich przejętych trwogą. Znowu nadeszły złe nowiny. Nieprzyjaciel przekroczył Anduinę. Faramir cofnął się ku murom Pelennoru, ściągając swe oddziały do strażnic na Grobli, ale napastnik rozporządzał dziesięćkroć większymi siłami niż obrońcy.

– Jeśli Faramir przedrze się przez pola Pelennoru, Nieprzyjaciel będzie mu następował na pięty – mówił goniec. – Przeprawa kosztowała go drogo, ale nie tak jednak drogo, jak się spodziewaliśmy. Plan napaści był doskonale obmyślony. Teraz dopiero wydało się, że od dawna we wschodnim Osgiliath budowano potężną flotę i przygotowano mnóstwo łodzi. Przepłynęli Rzekę całym mrowiem. Ale zgubą naszą jest Czarny Wódz. Mało kto chce mu stawić czoło, a wielu ucieka na sam dźwięk jego imienia. Jego poddani drżą przed nim, każdy gotów poderżnąć sobie gardło na jedno jego słowo.

– Bardziej tam jestem potrzebny niż tutaj – oświadczył Gandalf i natychmiast skoczył na Cienistogrzywego. Jak błyskawica mignął na polach i znikł z oczu. A Pippin – przez całą noc samotny – czuwał na murach, wytężając wzrok w stronę wschodu.

Znowu ozwały się dzwony oznajmiające świt nowego dnia, jak na urągowisko, bo ciemności nie ustąpiły. W tej samej chwili Pippin dostrzegł w oddali ognie rozbłyskujące to tu, to tam na majaczącej niewyraźnie linii zewnętrznych murów Pelennoru. Wartownicy krzyknęli głośno, wszyscy żołnierze grodu stanęli w pogotowiu bojowym. Czerwone płomienie

mnożyły się na widnokręgu i przez duszne powietrze już dochodziły głuche grzmoty wybuchów.

– Zdobyli mury! – wołali ludzie. – Wysadzają je w powietrze, by otworzyć wyłomy! Nadchodzą!

– Gdzie Faramir? – krzyknął z rozpaczą Beregond. – Nie mówcie mi, że zginął!

Pierwsze dokładne wiadomości przywiózł Gandalf. Wraz z kilku jeźdźcami zjawił się przed południem, eskortując kolumnę krytych budami wozów. Na wozach przywieziono rannych, niedobitków straszliwej walki stoczonej w Strażnicach na Grobli. Gandalf udał się natychmiast do Denethora. Władca siedział w komnacie na szczycie Białej Wieży, nad wielką salą, a Pippin stał u jego boku. Patrząc przez mętne okna to na północ, to na południe, to na wschód, Denethor wytężał swe ciemne oczy, usiłując przebić złowrogie ciemności otaczające gród ze wszystkich stron. Najczęściej zwracał wzrok ku północy i nasłuchiwał, jak gdyby jego uszy znały jakąś starodawną sztukę i umiały złowić z daleka tętent kopyt na równinie.

– Czy Faramir wrócił? – spytał.

– Nie – odrzekł Gandalf. – Ale żył, kiedym się z nim rozstawał. Postanowił zostać z tylną strażą, aby odwrót przez pola Pelennoru nie zamienił się w paniczną ucieczkę. Może uda mu się utrzymać żołnierzy dostatecznie długo w karności, nie jestem tego jednak pewien. Ma przeciw sobie druzgocącą przewagę. Pojawił się bowiem ktoś, kogo najbardziej lękałem się ujrzeć na czele nieprzyjacielskich wojsk.

– Czy… czy to sam Władca Ciemności?! – krzyknął Pippin, z przerażenia zapominając, gdzie jest i co mu wolno.

Denethor zaśmiał się z goryczą.

– Nie, jeszcze nie, mości Peregrinie! On zjawi się dopiero po zwycięstwie, żeby nade mną tryumfować. Do walki używa innych swoich narzędzi. Tak postępują wszyscy wielcy władcy, jeśli mają rozum, wiedz o tym, niziołku. Gdyby nie to, czyż ja siedziałbym w swojej Wieży i rozmyślał, i wypatrywał, i czekał, poświęcając nawet własnych synów? Wszakże sam umiem jeszcze władać orężem!

Wstał i odrzucił długi płaszcz, pod którym ukazała się kolczuga i zawieszony u pasa miecz o wielkiej gardzie, ukryty w czarno-srebrnej

pochwie.

– W takim odzieniu chadzam i sypiam od wielu lat – powiedział – aby z wiekiem ciało nie zmiękło i nie straciło hartu.

– Mimo to w tej chwili zewnętrzne mury twojego kraju zdobył w imieniu Władcy Barad-dûr najokrutniejszy z jego wodzów – rzekł Gandalf – ten, który niegdyś był królem Angmaru, Czarnoksiężnikiem, Upiorem Pierścienia, a teraz jest Wodzem Nazgûlów, biczem postrachu w ręku Saurona, cieniem rozpaczy.

– W takim razie masz wreszcie, Mithrandirze, godnego siebie przeciwnika – odparł Denethor. – Co do mnie, to od dawna wiedziałem, kto jest naczelnym wodzem sił Czarnej Wieży. Czy wróciłeś tylko po to, żeby mnie o tym powiadomić? Czy też może wycofałeś się ze starcia, ponieważ zostałeś już pokonany?

Pippin zadrżał, bojąc się, że Gandalf pod wpływem zniewagi wpadnie w gniew, lecz obawy hobbita okazały się płonne.

– Mogłoby się to stać – odparł łagodnie Gandalf – ale nie doszło jeszcze do próby sił między nami. Jeżeli jednak wierzyć starym przepowiedniom, ten mój przeciwnik nie zginie z ręki mężczyzny, ale jaki spotka go los, tego żaden z mędrców nie wie. W każdym razie Wódz Rozpaczy nie wysuwa się na czoło w walce. Trzyma się raczej zasady, o której wspomniałeś, Denethorze, i z zaplecza kieruje swoimi podwładnymi, zagrzewając ich do morderczego marszu naprzód.

Powróciłem tu przede wszystkim po to, żeby ochraniać w drodze transport rannych, których można jeszcze uratować. Wyłomy poczynione w zewnętrznych szańcach są szerokie i liczne, wkrótce armia Morgulu wtargnie przez nie w wielu miejscach naraz.

Chciałem ci też jedną jeszcze dać radę, Denethorze. Lada godzina bitwa rozegra się na tych polach. Trzeba przygotować zbrojną wycieczkę za mury grodu. Najlepiej oddział konny. W konnicy nasza cała nadzieja, bo to jedyna broń, na której Nieprzyjacielowi zbywa.

– My jej także nie mamy wiele. Teraz już liczę chwile do zjawienia się Jeźdźców Rohanu – rzekł Denethor.

– Wcześniej zapewne doczekamy się innych gości – odparł Gandalf. – Uchodźcy z Cair Andros już są w grodzie. Wyspa zdobyta. Inna armia wymaszerowała z Czarnej Bramy i okrążyła nas od północo-wschodu.

– Zarzucano ci, Mithrandirze, jakobyś lubił przynosić złe wieści – powiedział Denethor – lecz ta nie jest dla mnie nowiną. Znam ją od wczorajszego wieczora. Co do zbrojnej wycieczki, już o niej pomyślałem. A teraz zejdźmy na dół.

Czas płynął. Wkrótce strażnicy z murów zobaczyli wycofujące się ku grodowi załogi pogranicznych placówek. Najpierw pojawiły się bezładne drobne grupy znużonych, a często też rannych żołnierzy; wielu z nich biegło w panice, jak gdyby ich ścigano. W oddali na wschodzie migotały płomienie; potem zaczęły się rozpełzać coraz bardziej i bliżej po równinie. Paliły się domy i spichrze. Wreszcie z wielu punktów rozbiegły się szybkie, małe strużki ognia, znacząc się czerwienią w szarym zmroku, dążąc wszystkie na linię szerokiego gościńca, który od bramy grodu prowadził do Osgiliath.

– Nieprzyjaciel! – szeptali ludzie. – Grobla zdobyta. Wdzierają się przez jej wyłomy w głąb kraju. Niosą, jak się zdaje, żagwie. Gdzie podziewają się nasi?

Wedle zegarów był wczesny wieczór, lecz ściemniło się tak, że nawet najbystrzejsze oczy nie mogły wiele dostrzec z tego, co się rozgrywało na przedpolach, prócz linii ognia, które rozszerzały się i przysuwały coraz szybciej. W końcu w odległości niespełna mili od grodu pojawił się dość znaczny oddział, maszerujący w porządku, nie biegnący, trzymający się w zwartej grupie. Obserwatorzy na murach krzyknęli bez tchu:

– Faramir! To Faramir z pewnością ich prowadzi! Jego słuchają ludzie i zwierzęta. Faramir mimo wszystko opanuje sytuację.

Główna kolumna cofających się wojsk znalazła się już o niespełna ćwierć mili od murów. Z ciemności wyłonił się w galopie mały konny oddział, reszta straży tylnej. Raz jeszcze jeźdźcy zawrócili półkolem i stawili czoło nadciągającej ognistej linii. Nagle wzbił się w niebo zgiełk dzikich okrzyków. Zjawiła się nieprzyjacielska konnica. Linie ognia zlały się w wezbrany potok, szereg za szeregiem parli naprzód orkowie z zapalonymi żagwiami, dzicy południowcy pod czerwonymi chorągwiami wykrzykujący coś w swoim chrapliwym języku, a cały ten tłum rósł w oczach i już wyprzedzał oddział Gondorczyków w odwrocie. I w tym momencie z przenikliwym wrzaskiem spadły nań spod nieba Skrzydlate Cienie; Nazgûle nurkowały nad polem, szerząc śmierć.

Odwrót zamienił się w panikę. Szeregi załamały się, ludzie w obłędzie rozbiegli się na wszystkie strony, rzucając broń, z okrzykiem strachu padając na ziemię.

Wtedy z wyżyn twierdzy zagrała trąbka. Denethor wreszcie wysyłał oddział zbrojnych na odsiecz. Żołnierze od dawna czekali na sygnał ukryci pod Bramą lub w cieniu zewnętrznego kręgu murów.

Zebrano tu wszystkich konnych, jacy byli w grodzie. Skoczyli naprzód, sformowali się w szyku, pomknęli galopem i natarli z głośnym okrzykiem. Z murów odpowiedział im krzyk współplemieńców; na czele bowiem rycerzy spod znaku Łabędzia cwałował książę Dol Amrothu, a nad nim powiewała błękitna chorągiew.

– Amroth z Gondorem! – wołali ludzie. – Amroth z Faramirem!

Jak grom runęli na nieprzyjaciół na obu skrzydłach okrążających oddział w odwrocie. Lecz jeden jeździec wszystkich innych wyprzedził, szybszy niż wiatr w stepie: niósł go Cienistogrzywy. Blask bił od Gandalfa, błyskawice strzelały w górę z podniesionej ręki.

Nazgûle z wrzaskiem odleciały na wschód, bo wódz ich nie przybył jeszcze, żeby się zmierzyć z białym ogniem swego wroga. Bandy Morgulu, zaprzątnięte walką, zaskoczone znienacka, rozpierzchły się jak iskry rozniesione przez wichurę. Oddziały Gondorczyków, wiwatując głośno, rzuciły się z kolei w pościg za nimi. Zwierzyna przeobraziła się w myśliwych. Odwrót zamienił się w krwawe zwycięstwo. Trupy orków i ludzi zasłały pole, nad którym z porzuconych żagwi wiły się słupy cuchnącego dymu. Jeźdźcy z księciem na czele gnali za pierzchającym nieprzyjacielem. Denethor jednak nie pozwolił im zapędzić się daleko. Wprawdzie napaść była na razie powstrzymana i odparta, lecz od wschodu ciągnęły nowe i potężne siły. Raz jeszcze zagrała trąbka, tym razem wzywając do powrotu. Jeźdźcy Gondoru wstrzymali konie. Za ich osłoną oddziały ze straconych pogranicznych placówek sformowały szeregi. Teraz maszerowali w stronę grodu pewnym krokiem. Z dumą też patrzyli na nich ludzie z grodu, sławiąc ich męstwo okrzykami, lecz serca ściskał smutek. Szeregi bowiem powracających były bardzo przerzedzone. Faramir stracił jedną trzecią swego wojska. I gdzież był Faramir?

Przybył ostatni. Wszyscy jego żołnierze już się znaleźli za Bramą. Nadjechali też konni, a na końcu pod błękitną chorągwią książę Dol

Amrothu; obejmował przed sobą na siodle ciało swego krewniaka, Faramira, syna Denethora, zabrane z pobojowiska.

– Faramir! Faramir! – z płaczem wołali zgromadzeni na ulicach ludzie. Nie mógł im odpowiedzieć. Tłum odprowadzał go krętymi drogami aż pod Wieżę, dom jego ojca. W momencie kiedy Nazgûle rozpierzchły się przed Białym Jeźdźcem, mordercza strzała dosięgła Faramira, który właśnie staczał pojedynek z olbrzymim jeźdźcem z Haradu. Syn Denethora padł na ziemię. Tylko szarża konnicy księcia Dol Amrothu ocaliła go od dzikich południowców, którzy niechybnie dobiliby rannego. Książę Imrahil wniósł Faramira do Białej Wieży.

– Twój syn wrócił, Denethorze – oznajmił. – Dokonał czynów godnych bohatera.

I opowiedział o wszystkim, co na własne oczy widział. Denethor wstał, spojrzał w twarz swego syna i nie wyrzekł ani słowa. Wreszcie kazał złożyć Faramira na posłaniu w swojej komnacie i odprawił wszystkich. Sam zaś udał się do tajemnej izby pod szczytem Wieży; ktokolwiek w tym czasie podniósł wzrok ku górze, mógł obserwować nikłe światło błyszczące i mrugające przez chwilę w wąskich oknach, a potem rozbłysk i ciemność. Kiedy Denethor zszedł i usiadł, milcząc przy wezgłowiu Faramira, poszarzała twarz ojca zdawała się wyraźniej naznaczona piętnem śmierci niż twarz syna.

Miasto było teraz oblężone, zamknięte w pierścieniu wrogich wojsk. Zewnętrzne szańce pękły. Cały Pelennor znalazł się w rękach napastnika. Ostatnie wieści, jakie dotarły spod murów, przynieśli przed zamknięciem Bramy uciekinierzy, którzy przybyli drogą z północy. Była to garstka żołnierzy ocalałych z pogromu placówki strzegącej miejsca, gdzie szlaki z Anórien i Rohanu wychodziły na przedpola grodu. Prowadził ich Ingold, ten sam, który ledwie pięć dni temu, gdy jeszcze słońce świeciło i ranek darzył nadzieją, przepuścił Gandalfa i Pippina przez zewnętrzną Bramę.

– O Rohirrimach ani słychu – powiedział. – Teraz już nie można ich oczekiwać. A nawet gdyby przybyli, na nic to się już nie zda. Wyprzedziło ich inne wojsko, które, jak nam mówiono, przeprawiło się przez rzekę koło Cair Andros. Potężna armia, są w niej pułki orków z godłem Oka, a prócz nich zastępy ludzi nieznanego dotychczas plemienia. Niewysocy, ale krzepcy i okrutni, brody noszą jak krasnoludy i uzbrojeni są w ciężkie

topory. Przybyli pono z jakiegoś dzikiego kraju daleko na wschodzie. Ci panują nad szlakami północnymi, a wielu przeszło też do Anórien. Rohirrimowie nie mogą przybyć.

Zamknięto Bramę. Przez całą noc strażnicy na murach słyszeli, jak na polach mrowią się nieprzyjacielskie wojska, paląc zboża i drzewa, nie szczędząc nikogo, żywych ani umarłych. W ciemnościach trudno było odgadnąć, ilu napastników już przeprawiło się na ten brzeg Anduiny, lecz rankiem, a raczej w bledszej nieco pomroce za dnia, przekonano się, że strach nocny niewiele wyolbrzymił groźną prawdę. Na równinie aż czarno było od maszerujących oddziałów, a jak wzrokiem sięgnąć otaczało miasto mrowie czarnych lub ciemnoczerwonych namiotów, wyglądających jak potworne grzyby, co wyrosły w ciągu jednej nocy na polach.

Pracowici jak mrówki orkowie krzątali się, kopali w olbrzymim kręgu głębokie rowy, na strzał z łuku odległe od murów grodu; gdy rowy były gotowe, zapalono w nich ognie, nie wiadomo jaką sztuką czy diabelskim czarem, bo nie gromadzono ani nie dorzucano drew czy też innego paliwa. Przez cały dzień nie ustawała robota, a ludzie z Minas Tirith przyglądali się jej bezsilnie, nie mogąc w niczym przeszkodzić. Kiedy wszystkie rowy osiągnęły wyznaczoną długość, nadjechały ogromne kryte wozy. Wkrótce nowe oddziały nieprzyjacielskie zaczęły się spiesznie krzątać, ustawiając pod osłoną okopów wielkie machiny do miotania pocisków. W grodzie nie było machin równie potężnych, zdolnych sięgnąć pociskiem tak daleko i zahamować złowrogie przygotowania.

Z początku ludzie śmiali się i nie bardzo bali się tych dziwnych wynalazków. Główny bowiem mur twierdzy był wysoki i gruby nad podziw, zbudowany jeszcze za dawnych czasów, nim ludzie z Númenoru zatracili na wygnaniu swoje siły i umiejętności. Zewnętrzna ściana, twarda i czarna jak Wieża Orthanku, mogła się oprzeć stali i płomieniom; żeby ją rozbić, trzeba było wstrząsnąć chyba fundamentem ziemi, na której stała.

– Nie! – mówili Gondorczycy. – Nawet gdyby Bezimienny we własnej osobie przyszedł tu, nie wdarłby się przez nasze mury, póki my żyjemy.

Ten i ów jednak odpowiadał:

– Póki my żyjemy? A czy pożyjemy długo? Nieprzyjaciel rozporządza bronią, która już najpotężniejszą twierdzę przywiodła do upadku, odkąd

świat istnieje: jest nią głód. Wszystkie drogi odcięte. Rohan nie przyjdzie z odsieczą.

Machiny nie trwoniły jednak pocisków na niezwyciężoną ścianę. Atakiem na największego wroga Władcy Mordoru nie kierował przecież prosty zbój ani też dziki ork, lecz umysł mądry w swej złośliwości. Gdy wśród wielu okrzyków, skrzypienia lin i bloków ustawiono wreszcie potężne katapulty, zaczęły one zaraz miotać kule bardzo wysoko, tak że przelatywały tuż nad blankami i spadały z hukiem na pierwszy krąg grodu; wiele z nich dzięki jakiemuś tajemnemu wynalazkowi wybuchało ogniem jeszcze przed upadkiem.

Wkrótce niebezpieczeństwo pożarów zagroziło miastu i wszyscy wolni od innych pilnych obowiązków mieli pełne ręce roboty, gasząc płomienie wytryskujące wciąż w różnych punktach grodu. Potem wśród cięższych bomb sypnął się grad pocisków mniej zabójczych, ale bardziej jeszcze przerażających. Ulice i zaułki za murami usłały dziwne niewielkie kule, które nie buchały ogniem. Gdy jednak ludzie nadbiegli, by zbadać nowe, nieznane niebezpieczeństwo, rozległy się jęki i głośny płacz: Nieprzyjaciel ciskał na miasto głowy poległych w walkach pod Osgiliath, na granicznym murze i na przepolach grodu. Straszny to był widok; wiele głów rozrąbanych okrutnie, zmiażdżonych i bezkształtnych, wiele jednak zachowało rozpoznawalne rysy i twarze świadczące o przedśmiertnej męce: wszystkie nosiły wypalone złowrogie piętno: Oko bez powiek. Niejednokrotnie w tych skalanych i zbezczeszczonych szczątkach poznawano twarze przyjaciół, którzy niedawno jeszcze chodzili dumni i zbrojni po mieście, uprawiali okoliczne pola albo przyjeżdżali tu w dni świąteczne na zabawy z zielonych dolin pośród gór.

Ludzie w bezsilnym gniewie wygrażali pięścią okrutnemu wrogowi, oblegającemu czarnym mrowiem Bramę. Tamci nie słyszeli przekleństw albo ich nie rozumieli, nie znając języka Zachodu, porozumiewając się wrzaskliwie ochrypłymi głosami jak dzikie zwierzęta lub drapieżne ptaki-ścierwojady. Wkrótce też w Minas Tirith mało kto miał jeszcze dość odwagi, by pokazać się na murach i wyzywać napastników. Władca Czarnej Wieży posiadał bowiem broń zwyciężającą szybciej niż głód: strach i rozpacz. Pojawiły się znów Nazgûle, a że Władca Ciemności wzrósł w siły i potęgę, ich głosy, które wyrażały tylko jego wolę i złośliwość, także nabrzmiały większą jeszcze złością i grozą. Nazgûle krążyły wciąż nad

miastem niby sępy w oczekiwaniu uczty z ciał skazanych na śmierć ludzi. Latały poza zasięgiem wzroku i strzał, jednak stale obecne, a zabójczy ich krzyk rozdzierał powietrze. Nikt się z nim nie mógł oswoić, każdy następny krzyk przerażał bardziej jeszcze niż poprzedni. Wreszcie nawet najodważniejsi padali na ziemię, gdy nad nimi przelatywał niewidzialny morderca, albo też stawali osłupiali, wypuszczając z bezwładnych rąk oręż, a w ich zamroczonych głowach gasła myśl o walce, ustępując miejsca myślom o kryjówce, pokornym pełzaniu, o śmierci.

Przez cały ten ponury dzień Faramir leżał na posłaniu w komnacie Białej Wieży, majacząc w straszliwej gorączce. Ktoś powiedział: „Umiera” – i wkrótce wszędzie na murach i na ulicach z ust do ust podawano sobie tę wieść: „Umiera”. Ojciec siedział, wpatrzony w niego bez słowa, nie troszcząc się już o obronę grodu. Gorszych godzin nie przeżył Pippin nawet w pazurach dzikich Uruk-hai. Obowiązek nakazywał mu usługiwać władcy, który jak gdyby o nim zapomniał, więc hobbit stał u drzwi nieoświetlonej komnaty, starając się w miarę swych sił panować nad strachem. Zdawało mu się, gdy patrzył na Denethora, że w jego oczach władca starzeje się z każdą chwilą, jakby pękła sprężyna jego dumnej woli i zaćmiła jasność surowego umysłu. Zapewne dręczył go żal i wyrzuty sumienia. Hobbit dostrzegł bowiem łzy spływające po tej zawsze tak zimnej twarzy, i przeraziły go one bardziej niż poprzednie wybuchy gniewu.

– Nie płacz, panie – wyszeptał. – Może jeszcze wyzdrowieje. Czy prosiłeś o radę Gandalfa?

– Nie próbuj mnie pocieszać imieniem Czarodzieja – odparł Denethor. – Szaleńcza nadzieja zawiodła. Nieprzyjaciel dostał w swe ręce skarb, władza jego wzrasta; czyta nawet nasze myśli, a wszystko, co podejmujemy, obraca się na naszą zgubę. Wysłałem syna bez dobrego słowa, bez błogosławieństwa, naraziłem go niepotrzebnie; oto leży przede mną, a w jego żyłach płynie trucizna. Nie, nie, jakiekolwiek będą losy tej wojny, mój ród wygasa, kończy się dynastia Namiestników. Samozwańcy będą odtąd rządzili resztką królewskiego plemienia, kryjącego się pośród gór, dopóki ostatni Gondorczyk nie zostanie wytropiony.

Coraz to pod drzwi Wieży przybiegał ktoś, domagając się z krzykiem, by władca wyszedł i wydał rozkazy.

– Nie wyjdę – odpowiadał Denethor. – Muszę czuwać przy moim synu. Może przemówi przed śmiercią. A śmierć jest już blisko. Słuchajcie, kogo chcecie, choćby Szarego Szaleńca, jakkolwiek jego nadzieja zawiodła. Ja tutaj zostanę.

Tak więc Gandalf objął dowództwo w rozpaczliwej obronie stolicy Gondoru. Gdziekolwiek się pojawiał, ludziom serca rosły i zapominali o grozie Skrzydlatych Cieni. Niezmordowanie stary Czarodziej przemierzał wciąż drogę z Cytadeli do Bramy, z północy na południe wzdłuż murów grodu, a z nim książę Dol Amrothu w swej błyszczącej kolczudze. On bowiem i jego rycerze wytrwali w dumnej postawie szczerych potomków Númenoru. Ludzie na jego widok szeptali: „Prawdę mówią stare legendy, krew elfów płynie w żyłach tego plemienia; przecież lud Nimrodel długo przemieszkiwał ongi w ich kraju”. I często ktoś wśród zmroku zaczynał nucić strofki o Nimrodel albo inne pieśni z zamierzchłej przeszłości Doliny Wielkiej Rzeki.

Ale kiedy ci dwaj odchodzili, cień znów ogarniał ludzi, serca stygły, męstwo Gondoru rozsypywało się w proch. Tak z wolna mijał mroczny dzień trwogi i nastawała ciemna noc rozpaczy. Pożary już nieposkromione szalały w najniższym kręgu grodu, załoga pierwszego muru była w wielu miejscach odcięta bez możliwości odwrotu. Co prawda, niewielu żołnierzy wytrwało wiernie na tych posterunkach, większość zbiegła za Drugą Bramę.

Tymczasem na zapleczu bitwy przez Rzekę przerzucono zbudowane pospiesznie mosty i w ciągu całego dnia napływały zza niej nowe nieprzyjacielskie wojska i sprzęt wojenny. Wreszcie około północy rozpoczął się szturm na miasto. Przednie straże wysunęły się przed zasieki ognia, w których pozostawiono liczne, chytrze obmyślone przejścia. Żołdacy Mordoru szli naprzód zuchwale, bezładną kupą zbliżyli się na odległość strzału. Na murach jednak niewielu zostało obrońców, zdolnych wyrządzić w ich szeregach poważniejsze szkody, chociaż napastnicy w świetle płomieni stanowili łatwy cel, a Gondor niegdyś szczycił się mistrzostwem swoich łuczników. Widząc, że duch już w oblężonym grodzie podupadł, niewidzialny wódz rzucił do walki główne swoje siły. Olbrzymie wieże oblężnicze zbudowane w Osgiliath toczyły się w ciemnościach ku murom.

Znów gońcy zakołatali do drzwi Białej Wieży, i to tak natarczywie, że Pippin wpuścił ich do komnaty. Denethor powoli odwrócił wzrok od twarzy Faramira i w milczeniu spojrzał na natrętów.

– Pierwszy krąg miasta płonie – mówili. – Jakie są twoje rozkazy? Jesteś przecież władcą i Namiestnikiem. Nie wszyscy chcą iść pod komendę Mithrandira. Ludzie uciekają z murów, pozostawiając je bez obrony.

– Dlaczego? Dlaczego ci głupcy uciekają? – odpowiedział Denethor. – Skoro musimy spłonąć, czyż nie lepiej spłonąć od razu? Wracajcie w ogień. A ja? Ja zbuduję sobie własny stos. Wstąpię nań. Nie będzie grobowców Denethora i Faramira. Nie chcę grobowców ani długiego snu zabalsamowanej śmierci. My dwaj spłoniemy jak pogańscy królowie z dawnych czasów, przed pojawieniem się pierwszych okrętów z Zachodu. Zachód ginie. Wracajcie w ogień.

Wysłańcy bez ukłonu i bez odpowiedzi uciekli.

Denethor wstał, wypuścił z uścisku rozgorączkowaną dłoń Faramira, którą dotychczas trzymał w swych rękach.

– On już płonie, już płonie – rzekł ze smutkiem. – Dom jego już się wali. – Podszedł bliżej do Pippina i spojrzał na niego z góry.

– Żegnaj! – powiedział. – Żegnaj, Peregrinie, synu Paladina. Krótko trwała twoja służba u mnie i już dobiega końca. Zwalniam cię od tej chwili na tę niewielką resztkę życia, jaka ci zostaje. Idź umrzeć śmiercią, która wyda ci się najlepsza. Idź, z kim chcesz, choćby z tym przyjacielem, którego szaleństwo masz przypłacić życiem. Przyślij mi tutaj pachołków, a sam odejdź. Żegnaj.

– Nie, nie żegnam się z tobą, mój panie – odparł Pippin, przyklękając. Lecz nagle ocknęła się w nim hobbicka czupurność; wyprostował się i spojrzał prosto w oczy staremu władcy. – Odejdę teraz – rzekł – ponieważ chcę koniecznie porozumieć się z Gandalfem. Nie jest on szaleńcem, a ja nie chcę myśleć o śmierci, póki on nie straci nadziei na życie. Nie będę się też czuł zwolniony z mego słowa i od służby, dopóki ty, panie, żyjesz. A jeśli nieprzyjaciele wtargną do tej Wieży, mam nadzieję, że będę u twego boku i może okażę się godny tego oręża, który z twojej łaski otrzymałem.

– Zrób, jak ci się podoba, panie niziołku – rzekł Denethor – ale wiedz, że moje życie jest już złamane. Zawołaj tu sługi.

I z tymi słowy wrócił do wezgłowia Faramira.

Pippin wybiegł i zawołał sługi pałacowe, sześciu pachołków krzepkich i dorodnych, którzy mimo to zadrżeli, słysząc wezwanie. Denethor wszakże łagodnym tonem polecił im okryć Faramira ciepłymi derkami i wynieść go wraz z łożem. Spełnili rozkaz, dźwignęli łoże i wynieśli z komnaty. Stąpali ostrożnie, by pogrążony w gorączce chory jak najmniej odczuł wstrząsy; za nimi zgarbiony i wsparty na lasce szedł Denethor, na końcu zaś Pippin.

Niby orszak pogrzebowy wyszli z Białej Wieży w ciemną noc, pod nawisłe ciężkie chmury, rozświetlane od dołu czerwonymi migocącymi skrami. Z wolna minęli Najwyższy Dziedziniec, gdzie na skinienie Denethora przystanęli pod Martwym Drzewem. Z niższych kręgów grodu dochodził zgiełk wojenny, tu jednak panowała taka cisza, że słychać było smutny szelest kropel spadających z uschłych gałęzi do czarnego jeziorka. Potem wyszli za bramę Cytadeli, odprowadzani zdumionym i zrozpaczonym wzrokiem wartownika. Skręcili na zachód i wreszcie dotarli do drzwi w wewnętrznej ścianie szóstego muru. Zwano je Fen Hollen i otwierano jedynie podczas pogrzebów; wolno było tędy przechodzić tylko władcy i ludziom noszącym odznakę służby grobowej, utrzymującej w porządku Domy Umarłych. Za drzwiami kryła się ścieżka zstępująca ślimakiem w dół ku wąskiemu skrawkowi łąki, na której w cieniu urwistej ściany Mindolluiny stały grobowce zmarłych królów oraz królewskich Namiestników.

Odźwierny, siedzący przed małym domkiem przy drodze, na widok nadchodzących zerwał się wystraszony, z latarnią wzniesioną w ręku. Na rozkaz władcy otworzył drzwi, które odchyliły się bezszelestnie. Przeszli przez nie, wziąwszy od odźwiernego latarnię. Na stromej drodze między starymi murami było ciemno, tylko snop światła rzucany przez rozkołysaną latarnię wydobywał z mroku po obu stronach filarki długich rzeźbionych balustrad. Schodzili wciąż w dół, a powolne ich kroki rozlegały się echem w tym kamiennym korytarzu, aż w końcu znaleźli się na Rath Dín – ulicy Milczenia – między bielejącymi niewyraźnie kopułami, pustymi pałacami i posągami z dawna umarłych ludzi. Weszli do Domu Namiestników i tu postawili na podłodze łóżko z rannym Faramirem. Rozglądając się z niepokojem wkoło, Pippin ujrzał dużą sklepioną komnatę, ozdobioną jak gdyby draperiami ogromnych cieni, które mała latarka rzucała na obite kirem ściany. W mroku rozróżnił szeregi rzeźbionych marmurowych stołów, a na każdym z nich postać spoczywającą jakby we śnie, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, z głową opartą na kamiennej poduszce. Lecz

jeden wielki stół, najbliższy, był pusty. Tam na rozkaz Denethora złożono Faramira; ojciec wyciągnął się obok niego, a słudzy nakryli obu jednym całunem i stanęli, chyląc głowy jak żałobnicy nad łożem śmierci. Denethor ściszonym głosem powiedział:

– Tu będziemy czekali. Nie przysyłajcie mistrzów balsamowania. Przynieście drzewo wysuszone dobrze, podłóżcie kłody wokół nas i pod tym stołem, oblejcie wszystko oliwą. A kiedy dam znak, wrzucicie w stos zapalone żagwie. Tak wam rozkazuję. Nic już teraz nie mówcie do mnie. Żegnajcie!

– Przepraszam, miłościwy panie, ale teraz muszę cię opuścić! – zawołał Pippin, zawrócił na pięcie i w panice umknął z tego domu śmierci. „Biedny Faramir! – myślał. – Trzeba co prędzej odnaleźć Gandalfa. Biedny Faramir! Prawdopodobnie bardziej przydałyby mu się lekarstwa niż łzy. Och, gdzie szukać Gandalfa? Pewnie tam, gdzie najgoręcej kipi walka. Nie będzie może miał czasu do stracenia dla umierających albo obłąkanych”.

W drzwiach zagadnął jednego z pachołków, którego zostawiono tutaj na straży.

– Twój pan nie wie, co czyni – powiedział. – Zwlekajcie z wykonaniem jego rozkazów. Nie podpalajcie stosu, dopóki Faramir żyje. Nie róbcie nic, czekajcie, aż przyjdzie Gandalf.

– Kto rządzi w Minas Tirith? Nasz pan, Denethor, czy Szary Wędrowiec? – odparł sługa.

– Jak się zdaje, Szary Wędrowiec i nikt poza nim – odpowiedział Pippin i puścił się ile sił w nogach z powrotem krętą drogą pod górę, minął zdumionego odźwiernego, wypadł za wrota i pędził dalej, dalej, aż znalazł się wreszcie w pobliżu bramy twierdzy. Wartownik krzyknął na niego i Pippin poznał głos Beregonda.

– Dokąd tak pędzisz, mości Peregrinie?

– Szukam Mithrandira! – odkrzyknął Pippin.

– Zapewne władca wysłał cię w pilnych sprawach i nie chciałbym ci w wykonaniu jego zleceń przeszkadzać – rzekł Beregond – lecz jeśli możesz, powiedz mi pokrótce, co się właściwie dzieje? Dokąd udał się Namiestnik? Dopiero co objąłem wartę, ale słyszałem, że poszedł ku Zamkniętej Furcie, a słudzy nieśli przed nim Faramira.

– Tak – odparł Pippin. – Poszedł na ulicę Milczenia.

Beregond zwiesił głowę na piersi, by ukryć łzy.

– Ludzie mówili, że umiera – westchnął. – A więc naprawdę umarł!

– Nie! – zaprzeczył Pippin. – Jeszcze nie! I myślę, że nawet teraz można by go od śmierci ocalić. Ale władca grodu poddał się, Beregondzie, zanim wróg zdobył jego gród. Popadł w niebezpieczny obłęd. – Szybko opowiedział Beregondowi o dziwnych słowach i postępkach Denethora. – Muszę natychmiast odnaleźć Gandalfa – zakończył.

– W takim razie musisz iść w najgorętszy wir bitwy.

– Wiem. Denethor zwolnił mnie ze służby. Tymczasem, Beregondzie, błagam cię, zrób co w twej mocy, żeby nie dopuścić do spełnienia tych okropności.

– Władca nie pozwala tym, którzy noszą barwy czarne i srebrne, opuszczać posterunków pod żadnym pozorem, chyba na jego osobisty rozkaz.

– A więc wybieraj między wiernością rozkazom a życiem Faramira – powiedział Pippin. – A poza tym jestem przekonany, że w tej chwili nie mamy już do czynienia z władcą, lecz z obłąkanym starcem. Ale na mnie czas. Wrócę, gdy będę mógł.

Pobiegł w dół w stronę zewnętrznych kręgów miasta. Spotykał ludzi uciekających z płonących dzielnic, a niektórzy na widok jego barw odwracali się, coś wykrzykując, lecz hobbit nie zważał na nic.

Wreszcie minął Drugą Bramę, za którą spomiędzy murów wszędzie buchały płomienie. Mimo to panowała niesamowita cisza. Nie dochodził tu zgiełk bitwy ani krzyki walczących, ani szczęk broni. Nagle rozległ się okropny wrzask, ziemia zadrżała od potężnego wstrząsu, dał się słyszeć głęboki, grzmiący łoskot. Przezwyciężając strach, który go ogarnął i niemal rzucił dygocącego ze zgrozy na kolana, Pippin wypadł zza zakrętu na duży otwarty plac tuż za Bramą grodu. Stanął jak wryty. Odnalazł Gandalfa, lecz cofnął się skulony w cień muru.

Od późnego wieczora nieprzerwanie trwał szturm na miasto. Grzmiały werble. Od północy i od południa Nieprzyjaciel rzucał coraz to nowe pułki do walki pod mury. Olbrzymie bestie Haradu, *mûmakile*, niby ruchome domy w czerwonym blasku migotliwych płomieni przesuwały się pomiędzy

wieżami oblężniczymi i miotającymi ogień machinami. Wódz Mordoru nie dbał o to, jak walczą jego podwładni i ilu ich zginie. Wysyłał ich do boju tylko po to, by wypróbować siły obrońców i rozproszyć je na całej długości murów. Główne natarcie przygotowywał na Bramę grodu. Była potężna, wykuta ze stali i żelaza, broniona przez wieże i bastiony z niewzruszonego kamienia, lecz stanowiła klucz, najsłabszy punkt w nieprzeniknionym kręgu murów.

Werble odezwały się głośniej. Płomienie wystrzeliły w górę. Ciężkie machiny ruszyły przez pole; między nimi ogromny taran, niby pień olbrzymiego drzewa długi na sto stóp, kołysał się na łańcuchach. Od dawna wykuwano go pracowicie z żelaza w posępnych kuźniach Mordoru; potworna głowica odlana była z czarnej stali na kształt wilczego łba szczerzącego zęby, a na niej wypisane były złowieszcze runiczne zaklęcia. Zwano ten taran Grond, na pamiątkę Młota pradawnych Podziemnych Krain. Ciągnęły go olbrzymie *mûmakile*, otaczały go tłumy orków, a na końcu szli trolle z gór, siłacze, którzy umieli się nim posługiwać.

Młot pełznął naprzód. Ogień go się nie imał. Ogromne bestie ciągnące taran wpadały niekiedy w szał i tratowały stłoczonych wokół orków, szerząc wśród nich śmierć, lecz nikt się tym nie wzruszał; odsuwano tylko z drogi trupy i zaraz miejsce pomordowanych zajmowali nowi żołdacy.

Młot pełznął naprzód. Werble dudniły dzikim rytmem. Nad zwałami trupów zjawiła się straszliwa postać: wysoki jeździec z twarzą ukrytą w kapturze, spowity czarnym płaszczem. Z wolna, miażdżąc kopytami wierzchowca ciała poległych, zbliżał się, nie zważając na niebezpieczeństwo strzał. Zatrzymał konia i podniósł długi blady miecz. Strach poraził wszystkich, zarówno napastników, jak i obrońców; ludziom na murach ręce zwisły bezwładnie, ani jedna strzała nie śmignęła w powietrzu. Na chwilę zaległa głucha cisza.

Werble wciąż grały. Z potężnym rozmachem ręce olbrzymów pchnęły naprzód żelazny Młot. Dosięgnął Bramy. Zakołysał się, uderzył. Głęboki huk przetoczył się nad miastem jak grzmot w chmurach. Ale żelazne drzwi i stalowe filary wytrzymały cios. Wtedy Czarny Wódz stanął w strzemionach i straszliwym głosem krzyknął w jakimś zapomnianym języku słowa władcze i groźne, zaklęcie burzące serca i kamienie.

Trzykroć powtarzał okrzyk. Trzykroć wielki taran uderzał w Bramę. I nagle za trzecim ciosem Brama Gondoru pękła. Jakby ją rozpruło

niewidzialne zaczarowane ostrze, w oślepiających iskrach błyskawicy rozpadła się w bezładny stos żelastwa.

Wjechał do grodu Wódz Nazgûlów. Olbrzymią czarną sylwetką na tle łuny pożarów górował nad wszystkim, urastał do symbolu grozy i rozpaczy. Pod sklepieniem murów, których nigdy jeszcze nie przekroczył nieprzyjaciel, wjechał do grodu Wódz Nazgûlów, a kto żyw umknął albo padł na twarz.

Z jednym jedynym wyjątkiem. Na pustym placu za Bramą czekał Gandalf na swoim wierzchowcu; spośród wolnych koni całej ziemi tylko Cienistogrzywy nie ugiął się przed grozą, niewzruszony, spokojny, jak kamienny posąg rumaka z Rath Dínen.

– Nie wejdziesz! – powiedział Gandalf, a czarny olbrzymi cień zatrzymał się w miejscu. – Wracaj do otchłani, która cię oczekuje. Wracaj tam! Rozwiej się w nicość, która czeka ciebie i twojego pana. Precz stąd!

Czarny Jeździec zrzucił kaptur i oto ukazała się królewska korona; nie było jednak pod nią widzialnej głowy. Między koroną a ramionami, okrytymi szerokim czarnym płaszczem, świeciły czerwone płomienie. Z niewidzialnych ust dobył się śmiech mrożący krew w żyłach.

– Stary głupcze! – wyrzekł upiór. – Stary głupcze! Dziś wybiła moja godzina. Czy nie poznajesz śmierci, kiedy patrzysz w jej oblicze? Próżne są twoje klątwy! Giń!

Podniósł swój długi miecz, płomienie przebiegły po klindze.

Gandalf nie drgnął. W tym samym momencie gdzieś daleko, na którymś podwórku miejskim zapiał kogut. Przenikliwie, donośnie, ptak niewiedzący nic o czarach ani o wojnie pozdrawiał nowy dzień, który wysoko ponad mrokami śmierci wstawał wraz ze świtem na niebie. Jak gdyby w odpowiedzi z daleka odezwały się inne głosy: granie rogów. Echo rozniosło ich muzykę po ciemnych zboczach Mindolluiny. Sławne rogi Północy grały wezwanie do boju. Rohan wreszcie przybył z odsieczą.

ROZDZIAŁ 5
DROGA ROHIRRIMÓW

W ciemnościach, leżąc na ziemi i okryty derką, Merry nic nie widział, ale chociaż noc była parna i bezwietrzna, wszędzie dokoła niewidoczne drzewa wzdychały z cicha. Merry podniósł głowę. Wciąż słyszał ten sam dźwięk, jak gdyby nikłe dudnienie bębnów dochodzące z zalesionych podgórzy i stoków górskich. Dudnienie to milkło nagle, to odzywało się znowu w innym miejscu, raz bliżej, raz dalej. Hobbit zadał sobie pytanie, czy wartownicy również słyszą te dziwne odgłosy.

Nie widział ich, ale wiedział, że wszędzie wokół obozują Rohirrimowie. Czuł w ciemności zapach koni, słyszał, jak przestępują z nogi na nogę albo uderzają kopytem o miękką iglastą ściółkę. Jeźdźcy rozbili biwak w sosnowym borze pod wzgórzem ognistych wici zwanym Eilenach, wystrzelającym nad długim grzbietem lasu Drúadan, który opodal gościńca ciągnął się do wschodniego Anórien.

Mimo zmęczenia Merry nie mógł spać. Wędrował na końskim grzbiecie od czterech dni, a pogłębiający się stopniowo mrok przytłaczał go coraz bardziej. Hobbit zaczął już nawet dziwić się sam sobie, dlaczego tak się upierał, żeby wziąć udział w tej wyprawie, skoro wszystko, nawet królewski rozkaz, upoważniał go do pozostania w Edoras. Zastanawiał się, czy stary król wie o jego nieposłuszeństwie i czy się bardzo gniewa. Może wcale nie?

Wydawało się, że istnieje jakieś ciche porozumienie między Dernhelmem a dowódcą éoredu Elfhelmem, który, podobnie jak wszyscy inni Rohirrimowie, jak gdyby nie widział i nie słyszał hobbita. Traktowali go, jakby był dodatkowym workiem przytroczonym do siodła Dernhelma. W Dernhelmie nie znalazł Merry pocieszyciela, bo młody jeździec okazał się bardzo małomówny. Hobbit czuł się mały, nikomu niepotrzebny i osamotniony. W powietrzu wisiał niepokój, dokoła czaiło się niebezpieczeństwo. Niespełna dzień marszu dzielił teraz Rohirrimów od zewnętrznych murów Minas Tirith, opasujących szeroki krąg podgrodzia. Wysłano naprzód zwiadowców. Niektórzy w ogóle nie wrócili, inni przynieśli wieści, że dalsza droga jest odcięta. O trzy mile na zachód od

Amon Dîn rozbiła po obu jej stronach obóz nieprzyjacielska armia, silne patrole zapuszczają się wzdłuż drogi w głąb kraju, dochodząc do miejsca postoju wojsk Rohanu na odległość nie większą niż trzy staje. Po górach i lasach okolicznych grasują orkowie. Król i Éomer naradzali się do późna w noc.

Merry tęsknił za towarzyszem, z którym mógłby pogadać, i wiele myślał o Pippinie. Ale te myśli jeszcze potęgowały jego niepokój. Biedny Pippin, zamknięty w wielkim kamiennym mieście, samotny i przerażony. Merry żałował, że nie jest dużym jeźdźcem, jak Éomer, bo wówczas zadąłby w róg, dałby przyjacielowi jakiś sygnał i galopem pomknąłby mu na ratunek. Usiadł, nasłuchując głosu bębnów, które teraz dudniły gdzieś bliżej. W tej samej chwili tuż obok niego odezwały się przyciszone głosy ludzkie i zamajaczyła na pół osłonięta latarka posuwająca się wśród drzew. Obozujący w pobliżu ludzie zaczęli krzątać się niepewnie po ciemku.

Jakaś wysoka postać wychynęła z mroku, potknęła się o leżącego hobbita, mruknęła coś o przeklętych korzeniach, o które człowiek nogi może połamać. Merry poznał głos Elfhelma, dowódcy szwadronu, z którym wędrował.

– Nie jestem korzeniem, poruczniku, ani workiem – powiedział – tylko posiniaczonym hobbitem. Należy mi się dla zadośćuczynienia przynajmniej informacja, co się właściwie święci.

– Nikt tego dokładnie nie wie w tych diabelskich ciemnościach – odparł oficer. – Dostałem jednak rozkaz, abyśmy byli w pogotowiu, bo w każdej chwili można się spodziewać wymarszu.

– Czy nieprzyjaciel się zbliża? – zapytał zaalarmowany Merry. – Co to za bębny tak grają? Już myślałem, że mnie słuch łudzi, bo nikt prócz mnie na to bębnienie nie zwraca uwagi.

– Nie, nie – uspokoił go Elfhelm. – Nieprzyjaciel jest na drodze, nie wśród gór. Słyszysz bębny Wosów, Dzikich Leśnych Ludzi, oni w ten sposób porozumiewają się między sobą na odległość. Podobno zamieszkują jeszcze las Drúadan. To już tylko szczątek prastarego plemienia, niewielu ich jest i żyją w ukryciu, dzicy i czujni – jak leśne zwierzęta. Nie biorą udziału w wojnach przeciw Gondorowi lub Marchii. Teraz zaniepokoiły ich ciemności i nadejście w te strony band orków; boją się powrotu Czarnych Lat, co wydaje się dość prawdopodobne. Dziękujmy losowi, że nie na nas polują, mają bowiem zatrute strzały, a jak chodzą słuchy, myśliwcy z nich

są niezrównani. Ale ofiarowali swe usługi Théodenowi. Właśnie w tej chwili ich przywódcę prowadzą na rozmowę z królem. O, tam idą ze światłami. Tyle wiem, nic ponadto. Zbierz się do kupy, panie worku. Teraz muszę się zająć wypełnianiem królewskich rozkazów.

Elfhelm zniknął w ciemności. Merry niezbyt był podniesiony na duchu opowiadaniem o zatrutych strzałach i Dzikich Ludziach, lecz niezależnie od tego nękał go szczególny niepokój. Oczekiwanie przewlekało się nieznośnie. Hobbit niecierpliwił się, bardzo chciał wreszcie wiedzieć, co najbliższa przyszłość mu gotuje. Wstał i markotnie powlókł się za światełkiem ostatniej latarki, zanim zniknęło pośród drzew.

Wyszedł na polanę, gdzie pod wielkim drzewem ustawiono mały namiot króla. Z konara zwisała duża, nakryta od góry latarnia, rzucając na trawę krąg bladego światła. Tam siedział Théoden z Éomerem, przed nim zaś na ziemi przycupnął dziwaczny, krępy człowiek, obrośnięty jak stary głaz, z rzadką brodą zjeżoną niby suchy mech na masywnej szczęce. Nogi miał krótkie, ramiona grube, mięsiste i toporne, odziany był jedynie w spódniczkę z traw okrywającą biodra. Merry miał wrażenie, że już go gdzieś w życiu widział, i nagle przypomniał sobie figurki Púkelów w Dunharrow. Oto miał teraz przed oczyma jakby ożywiony tamten posążek lub może istotę w prostej linii pochodzącą od tych, które posłużyły za wzór rzeźbiarzowi w zamierzchłej przeszłości.

Gdy Merry przemykał bliżej, panowało właśnie milczenie, po chwili jednak Dziki Leśny Człowiek przemówił, jakby odpowiadając na zadane pytanie. Głos miał gruby i gardłowy, lecz ku zdumieniu hobbita posługiwał się Wspólną Mową, jakkolwiek trochę zająkliwie i mieszając od czasu do czasu jakieś barbarzyńskie wyrazy.

– Nie, Ojcze Jeźdźców – mówił. – Nie prowadzimy wojny. Polujemy tylko. Zabijamy w lesie *gorgûny*, nienawidzimy orków. Wy także nienawidzicie *gorgûnów*. Pomagamy, jak możemy. Dzicy Ludzie mają bystre oczy, czujne uszy; znają wszystkie ścieżki. Dzicy Ludzie byli tu wcześniej niż kamienne domy, zanim Wysocy Ludzie przypłynęli zza Wielkiej Wody.

– Nam trzeba pomocy w bitwie – odparł Éomer. – Jaką może nam dać twój lud?

– Możemy dostarczać wieści – powiedział Dziki Człowiek. – Wypatrujemy ze szczytów gór. Wspinamy się wysoko i spoglądamy w doliny. Kamienne miasto jest otoczone. Dokoła niego ogień, a teraz widać już także płomienie w samym mieście. Chcecie tam dojechać? Musicie się spieszyć. Ale gorgûny i ludzie stamtąd – machnął krótkim sękatym ramieniem w stronę wschodu – obsadzili gościniec. Jest ich dużo, bardzo dużo, więcej niż waszych jeźdźców.

– Skąd to wiesz? – zapytał Éomer.

Ani płaska twarz starca, ani jego ciemne oczy nie zmieniły wyrazu, lecz w głosie zabrzmiała uraza:

– Dzicy Ludzie są dzicy i wolni, ale nie są dziećmi – odparł. – Ja wśród nich jestem wielkim naczelnikiem, nazywają mnie Ghân-buri-Ghân. Umiem liczyć różne rzeczy: gwiazdy na niebie, liście na drzewach i ludzi w ciemności. Was jest dziesięć i pięć razy po dwadzieścia dwusetek. Tamtych dużo więcej. Wielka bitwa. Kto wygra? A wokół murów kamiennego miasta zebrało się też dużo wojska.

– Niestety, mądrze, aż za mądrze mówi ten człowiek – powiedział Théoden. – Zwiadowcy donieśli, że nieprzyjaciel zrobił wykopy i palisady w poprzek drogi. Nie będziemy mogli zaskoczyć przeciwników i zgnieść impetem natarcia.

– Mimo to trzeba się spieszyć – rzekł Éomer. – Mundburg płonie.

– Pozwólcie, żeby Ghân-buri-Ghân dokończył – odezwał się Dziki Człowiek. – On zna niejedną drogę. Poprowadzi was taką, na której nie ma wilczych dołów, po której nie chodzą *gorgûny*, a tylko Dzicy Ludzie i zwierzęta. Za czasów, gdy ludzie z kamiennych domów byli silniejsi, pobudowali dużo różnych ścieżek. Ćwiartowali skały tak, jak myśliwy ubitego zwierza. Dzicy Ludzie myślą, że się żywili kamieniami. Jeździli przez Drúadan ku Rimmon wielkimi wozami. Teraz już nie jeżdżą. Zapomnieli o tej drodze, ale Dzicy Ludzie pamiętają o niej. Biegnie ona nad górą i za górą w trawie, pośród drzew, za Rimmon w dół ku Dîn i zawraca znów do Szlaku Jeźdźców. Dzicy Ludzie pokażą wam tę drogę. Pozabijacie *gorgûny*, rozpędzicie te brzydkie ciemności jasnymi mieczami, a Dzicy Ludzie będą mogli znowu spać spokojnie w dzikim lesie.

Éomer wymienił z królem kilka zdań w języku Rohanu. Wreszcie Théoden zwrócił się do Dzikiego Człowieka.

– Przyjmujemy twoją propozycję – powiedział. – Wprawdzie zostawimy w ten sposób za swoimi plecami poważne siły nieprzyjacielskie, ale to już nie ma znaczenia. Jeśli Kamienne Miasto upadnie, i tak nie będzie dla nas odwrotu. Jeśli zaś ocaleje, bandy orków znajdą się w potrzasku. Okaż się wierny, Ghân-buri-Ghânie, a przyrzekam ci sowitą nagrodę i przyjaźń Marchii na wieki.

– Umarli nie mogą być przyjaciółmi żywych ani obdarzać ich podarkami – odrzekł Dziki Człowiek. – Lecz jeśli będziesz żywy po przeminięciu ciemności, zostaw Dzikich Ludzi w spokoju w lasach i nie poluj na nich jak na zwierzynę. Ghân-buri-Ghân nie zwabi cię w pułapkę. Sam pójdzie z Ojcem Jeźdźców, a gdyby prowadził źle, możesz go zabić.

– A więc umowa zawarta! – powiedział Théoden.

– Ile trzeba czasu, żeby wyminąć nieprzyjaciół i powrócić na szlak? – spytał Éomer. – Będziemy musieli jechać stępa, skoro będziesz szedł przed nami. A droga z pewnością jest wąska.

– Dzicy Ludzie chodzą szybko. Droga w Dolinie Kamiennych Wozów jest dość szeroka, by mogło nią jechać czterech konnych obok siebie – odparł Ghân i wskazał w stronę południa. – Ale na początku i na końcu bardzo wąska. Dzicy Ludzie, jeśli stąd wyjdą o świcie, są w Dîn o południu.

– Można więc spodziewać się, że czoło pochodu dojdzie w siedem godzin – rzekł Éomer. – Dla całego wojska trzeba jednak liczyć około dziesięciu godzin. Mogą też być jakieś nieprzewidziane przeszkody, a że kolumna będzie bardzo rozciągnięta, musimy mieć sporo czasu na sformowanie szyku, gdy wyjdziemy z gór. Która jest teraz godzina?

– Któż to zgadnie? – powiedział Théoden. – Teraz noc trwa całą dobę.

– Jest ciemno, ale już nie noc – stwierdził Ghân. – Kiedy słońce wschodzi, czujemy je, chociaż się ukrywa. Już się wznosi nad Wschodnie Góry. Wysoko na niebie dzień się właśnie zaczyna.

– Skoro tak, trzeba ruszać, nie zwlekając – rzekł Éomer. – Wątpię jednak, czy nawet przy największym pośpiechu zdążymy jeszcze dziś przyjść Gondorowi z pomocą.

Merry nie czekał dłużej, wymknął się i zaczął przygotowywać do wymarszu. A więc kończył się ostatni popas przed bitwą. Hobbit nie miał

nadziei, by wielu z nich ją przeżyło, lecz myśl o Pippinie i o płonącym grodzie Minas Tirith tak go pochłaniała, że zapomniał o własnym strachu.

Wszystko tego dnia poszło gładko, nie widzieli też ani nie słyszeli nieprzyjaciół czyhających w zasadzce na drodze. Dzicy Ludzie dla osłony rozstawili doświadczonych myśliwców wzdłuż szlaku, którym miał ciągnąć oddział, aby żaden ork czy też inny szpieg nie zauważył ruchu w górach. Mrok gęstniał w miarę, jak przybliżali się do oblężonego miasta, jeźdźcy sunęli długą kolumną niby cienie ludzi i koni. Na czele każdego szwadronu szedł przewodnik, Leśny Człowiek, a stary Ghân trzymał się u boku króla. Z początku posuwali się wolniej, niż przewidywali, bo jeźdźcy musieli zsiąść z koni i prowadzić je za uzdy, wyszukując przejść w gęstwinie na stoku wznoszącym się nad miejscem biwaku, i potem schodzić w dół ku ukrytej Dolinie Kamiennych Wozów. Późnym popołudniem czoło pochodu dotarło do szarych zarośli za wschodnim zboczem Amon Dîn, maskującym szeroką wyrwę w łańcuchu gór, które ciągnęły się z zachodu na wschód od Nardol do Dîn. Przez tę wyrwę zapomniana stara droga wozów zbiegała ku niżej położonemu głównemu szlakowi dla konnych, łączącemu gród z prowincją Anórien; od wielu pokoleń ludzkich miejsce to było zaniedbane, wyrosły więc gęsto drzewa, potworzyły się zapadliska i wyboje, liście niezliczonych jesieni usłały grubą warstwą ziemię. Lecz właśnie ta gęstwina dawała jeźdźcom ostatnią szansę ukrycia się przed wystąpieniem do otwartej walki, dalej bowiem ciągnął się szlak konny i rozpościerała równina Anduiny, a od wschodu i południa wznosiły się nagie skaliste stoki, gdyż tu góry skupiały się i piętrzyły bastion za bastionem ku rozłożystym ramionom i potężnemu masywowi Mindolluiny.

Czoło pochodu zatrzymało się, czekając, by wszystkie szwadrony nadeszły z głębi doliny i rozstawiły się w porządku pod szarymi drzewami. Król wezwał dowódców na odprawę. Éomer rozesłał zwiadowców, żeby przepatrzyli szlak, ale stary Ghân kręcił na to głową.

– Nie ma po co wysyłać jeźdźców – rzekł. – Dzicy Ludzie już wypatrzyli wszystko, co można dostrzec w tej ciemności. Przyjdą tu wkrótce, żeby zdać mi sprawę.

Dowódcy zebrali się wokół króla, a w tym momencie spośród drzew wychynęło ostrożnie kilka stworów tak podobnych do Ghâna, że Merry’emu trudno je było od niego odróżnić.

Zaszeptali coś do swego naczelnika w dziwnym, chrapliwym języku. Ghân zwrócił się do króla:

– Dzicy Ludzie mówią wiele różnych rzeczy – powiedział. – Po pierwsze: bądźcie ostrożni! O niespełna godzinę marszu stąd w obozowisku za Dînen jest jeszcze dużo nieprzyjacielskich żołnierzy. – Wskazał w kierunku czarnego szczytu. – Ale nie ma nikogo pomiędzy nami a nowymi murami Kamiennych Ludzi; tam jest wielki ruch. Mury są obalone. *Gorgûny* rozbijają je za pomocą podziemnych piorunów i drągów z czarnego żelaza. Na nic nie zważają, nie oglądają się za siebie. Myślą, że ich przyjaciele dobrze pilnują wszystkich dróg!

To mówiąc, stary Ghân wydawał z gardła dziwne bulgocące odgłosy, zapewne oznaczające śmiech.

– Dobra nowina! – zawołał Éomer. – Mimo mroków znowu nam świta nadzieja. Podstępy wroga na przekór jego zamiarom wyjdą nam na pożytek. Nawet te przeklęte ciemności posłużyły nam za osłonę. A burząc w niszczycielskim zapale mury Gondoru, orkowie usunęli przeszkodę, której się najbardziej obawiałem. Mogliby nas długo przetrzymać za zewnętrznymi murami. Teraz przedostaniemy się przez nie bez trudu… jeśli zdołamy się do nich przebić.

– Raz jeszcze dziękuję ci, Ghân-buri-Ghânie, dzielny człowieku z lasów – rzekł Théoden – za dobre wieści i przewodnictwo.

– Zabijcie gorgûny! Zabijcie orków! Niczym innym nie ucieszycie Dzikich Ludzi – odparł Ghân. – Rozpędźcie złą pogodę i ciemności jasnymi mieczami!

– Po to właśnie przybyliśmy tutaj z daleka – powiedział król – i spróbujemy tego dokonać. Czy nam się uda, jutro dopiero pokaże.

Ghân-buri-Ghân skulił się i swoim twardym czołem dotknął ziemi na znak pożegnania. Potem wstał i już miał się oddalić, gdy nagle zatrzymał się i podniósł głowę, jak leśne zwierzę węsząc ze zdziwieniem jakiś osobliwy zapach. Oczy mu rozbłysły.

– Wiatr się zmienia! – krzyknął. Z tymi słowy Ghân i jego współplemieńcy zniknęli w okamgnieniu w mroku drzew i żaden z Jeźdźców Rohanu w życiu już ich nie spotkał. Wkrótce potem daleko na wschodzie odezwało się nikłe dudnienie bębnów. Lecz w niczyjej głowie

nie postała myśl, że Dzicy Ludzie mogliby okazać się zdrajcami, chociaż byli tak dziwaczni i brzydcy z pozoru.

– Teraz już nie potrzeba nam przewodników – rzekł Elfhelm – są bowiem między nami jeźdźcy, którzy nieraz za dni pokoju odbywali drogę do Mundburga. Na przykład ja sam. Gdy znajdziemy się na szlaku w miejscu, gdzie skręca on ku południowi, będziemy mieli jeszcze siedem staj do zewnętrznych murów podgrodzia. Po obu stronach drogi ciągną się bujne łąki. Na tym odcinku konni posłańcy Gondoru osiągają zwykle najlepsze tempo. My też możemy tam puścić się galopem, nie czyniąc hałasu.

– Wówczas będziemy musieli najbardziej wystrzegać się zasadzek i być w pełni sił – powiedział Éomer. – Moim zdaniem powinniśmy tutaj odpocząć i ruszyć nocą, obliczając tak, by rozpocząć bój na polach pod grodem z pierwszym brzaskiem dnia, chociaż zapewne niewiele on da nam światła, lub też w każdej chwili na znak dany przez króla.

Król przychylił się do tej rady i dowódcy się rozeszli. Po chwili jednak Elfhelm wrócił.

– Zwiadowcy nic godnego uwagi nie spostrzegli poza granicą szarego lasu – oznajmił królowi – prócz dwóch trupów ludzkich i dwóch końskich.

– Jak to sobie tłumaczyć? – spytał Éomer.

– Zabici to dwaj gońcy Gondoru, jednym z nich był zapewne Hirgon. Tak przypuszczam, bo w ręku ściskał jeszcze Czerwoną Strzałę, ale głowę odrąbali mu zbóje. Można też wnosić z różnych oznak, że gońcy polegli, uciekając na zachód. Myślę, że wracając po spełnieniu poselstwa, zastali nieprzyjaciół już na zewnętrznym murze lub też nań właśnie nacierających; musiało to się dziać wieczorem dwa dni temu, jeśli użyli rozstawnych koni, jak to mają w zwyczaju. Niemożliwe, żeby dotarli do grodu i zawrócili stamtąd.

– A więc Denethor nie doczekał się wiadomości, że Rohan rusza mu z odsieczą – rzekł Théoden – i nie może pokrzepić się nadzieją na pomoc z naszej strony.

– Dwakroć daje, kto w porę daje – powiedział Éomer – ale też lepiej późno niż nigdy. Kto wie, czy tym razem stare przysłowie nie okaże się bardziej niż kiedykolwiek prawdziwe.

Była noc. Jeźdźcy Rohanu mknęli bezszelestnie w trawie po obu stronach drogi. Właśnie tu szlak, okrążając wysunięte podnóże Mindolluiny, skręcał na południe. W oddali, na wprost przed nimi, czerwona łuna świeciła pod czarnym niebem, a na jej tle rysowały się ciemne zbocza ogromnej góry. Zbliżali się do zewnętrznych murów opasujących Pelennor, ale dzień jeszcze nie świtał.

Król jechał w czołowym oddziale, otoczony przez straż przyboczną. Następnie ciągnął *éored* Elfhelma; Merry zauważył, że Dernhelm opuścił swoje miejsce w szeregach i pod osłoną ciemności wysuwa się stale ku przodowi, aż wreszcie wmieszał się pomiędzy tylną straż królewskiego pocztu. W pewnej chwili czoło pochodu zatrzymało się nagle. Merry usłyszał prowadzoną ściszonym głosem rozmowę. To wysłani naprzód zwiadowcy, którzy dotarli niemal pod same mury, powrócili z wiadomościami. Zdawali sprawę królowi.

– Widać wielkie pożary – mówił jeden. – Miasto całe zdaje się objęte płomieniami, a pola wokół roją się od nieprzyjacielskich wojsk. Wszystkie siły, jak można przypuszczać, ściągnęli do oblężenia. Przy zewnętrznych murach zostało niewielu żołnierzy, a ci, zajęci burzeniem, na nic poza tym nie zważają.

– Pamiętasz, miłościwy panie, słowa Dzikiego Człowieka? – zapytał drugi goniec. – Ja w czasach pokojowych mieszkam na otwartej wyżynie, nazywam się Wídfara i umiem z powietrza łowić wiadomości. Wiatr się już zmienia. Tchnienie ciągnie od południa, jest w nim zapach Morza, nikły, ale nieomylny. Ranek przyniesie zmiany. Ponad dymami zobaczymy świt, gdy przejdziemy za mury.

– Jeśli to prawda, bądź błogosławiony za taką nowinę do końca swoich dni, Wídfaro! – odparł król. Odwrócił się do skupionych najbliżej ludzi z przybocznej straży i przemówił tak donośnie, że usłyszało go wielu jeźdźców z pierwszego éoredu: – Teraz bije nasza godzina, jeźdźcy Marchii, synowie Eorla! Przed wami nieprzyjaciel, za wami daleko wasze rodzinne domy. Pamiętajcie, że chociaż walczyć będziecie na obcym polu, sława, którą się okryjecie, do was będzie należała na wieki. Złożyliście przysięgę, dzisiaj ją wypełnimy wszyscy, wierni swemu władcy, krajowi i sojuszowi przyjaźni.

Jeźdźcy uderzyli włóczniami o tarcze.

– Éomerze, synu mój! Ty poprowadzisz pierwszy *éored* – rzekł Théoden – który uderzy pod królewskim sztandarem pośrodku; Elfhelm zaraz po przebyciu muru powiedzie swoich na prawe skrzydło. Grimbold na lewe. Następne éoredy pójdą śladem trzech pierwszych, jak im się uda. Nacierajcie wszędzie, gdzie skupia się nieprzyjaciel. Ściślejszych planów teraz nie możemy robić, nie wiedząc, co się dzieje na polach Pelennoru. Naprzód i nie lękajcie się ciemności.

Oddział czołowy ruszył, jak mógł najspieszniej, było bowiem wciąż bardzo ciemno, mimo przepowiedni Wídfary. Merry siedział na koniu za Dernhelmem, jedną ręką trzymając się mocno siodła, drugą usiłując rozluźnić miecz w pochwie. Gorzko w tej chwili odczuwał prawdę królewskich słów: „W takiej bitwie, cóż byś zdziałał, Meriadoku?”. „Tylko tyle – myślał zrozpaczony hobbit – że przeszkadzam jeźdźcowi, a w najlepszym razie mogę mieć nadzieję, że utrzymam się na koniu i nie dam się stratować na miazgę kopytami w galopie”.

Nie więcej niż staja dzieliła ich od linii, na której dawniej ciągnęły się zewnętrzne mury. Toteż osiągnęli je prędko, aż za prędko, jak na życzenie Meriadoka. Buchnął dziki wrzask, tu i ówdzie wywiązała się potyczka, ale trwało to wszystko bardzo krótko. Garstkę orków, zaprzątniętych swoją niszczycielską robotą i zaskoczonych znienacka, rozniesiono i wybito niemal błyskawicznie. Nad gruzami północnej bramy murów Pelennoru król zatrzymał się przez chwilę. Pierwszy *éored* osłonił go od tyłu i otoczył z dwóch stron. Dernhelm nie odstępował króla, chociaż oddział Elfhelma skręcił w prawo. Jeźdźcy pod wodzą Grimbolda zawrócili w lewo i przeszli przez szeroki wyłom, otwarty nieco dalej na wschód.

Merry wyjrzał zza pleców Dernhelma. Daleko, o jakieś dziesięć mil od nich, widać było ogromny pożar, lecz między nim a królewskim wojskiem płonęły wszędzie linie ognia wygięte w kształt półksiężyca, a najbliższa znajdowała się nie dalej niż o staję. Hobbit niewiele poza tym mógł dostrzec na ciemnej równinie i jak dotąd nie widział nadziei poranka ani też nie czuł powiewu wiatru z tej czy innej strony.

W ciszy Jeźdźcy Rohanu wtargnęli na pola Gondoru, sunąc naprzód wolno, lecz wytrwale, niby wezbrana fala przypływu, gdy raz przerwie tamy, które ludziom zdawały się niezwyciężone. Umysł i wola Czarnego

Wodza skupiły się wyłącznie na walce o gród; dotychczas nie dosięgło go żadne ostrzeżenie o niespodziance, która mogła pokrzyżować jego zamiary.

Po jakimś czasie król poprowadził swój oddział nieco ku wschodowi, aby się znaleźć między ogniem oblężenia a zewnętrznym polem. Wciąż jeszcze posuwali się bez zaczepki i Théoden nie dawał rozkazu natarcia. Wreszcie znów się zatrzymał. Gród był już bliżej. W powietrzu czuło się swąd spalenizny i przyczajony cień śmierci. Konie się niepokoiły. Król jednak siedział na swym wierzchowcu nieporuszony i patrzył na agonię Minas Tirith, jakby nagle poraził go zły urok zgrozy czy może lęku. Zdawało się, że zmalał, przytłoczony wiekiem. Merry też poddał się grozie i zwątpieniu. Serce w jego piersi zwolniło. Miał wrażenie, że czas zatrzymał się i zawahał. Przybyli za późno! Za późno to gorzej niż nigdy. Może Théoden zapłacze, skłoni sędziwą głowę, zawróci i wyśliźnie się, żeby szukać schronienia w górach.

Nagle Merry wyczuł zmianę, tym razem bez wątpliwości. Wiatr dmuchał mu prosto w twarz. Dzień się rozwidniał. Daleko, bardzo daleko na południu można było rozróżnić chmury: majaczące niewyraźnie odległe szare kształty, skłębione, podnoszące się ku górze; za nimi jaśniał poranek.

Lecz w tym momencie trysnęło światło, jakby błyskawica strzeliła z ziemi pod grodem. Przez krótką wstrząsającą chwilę miasto ukazało się w olśniewającym blasku, czarne i białe, z wieżą na szczycie niby roziskrzona iglica; potem zasłona ciemności zapadła z powrotem, a ciężki grzmot przetoczył się nad polami.

Zgarbiona sylwetka króla wyprostowała się nagle. Zdawała się znów wysmukła i dumna. Théoden stanął w strzemionach i głosem jasnym, jakiego nigdy chyba żaden z obecnych nie słyszał dotąd z ust śmiertelnika, zakrzyknął:

Powstańcie, jeźdźcy Théodena!
Srogi was czeka bój, ogień i rzeź!
Niejedna włócznia wypadnie z rąk,
Niejedna pęknie tarcza,
Czerwonym błyskiem miecz
Rozjaśni dzień przed świtem.

Naprzód, naprzód, do Gondoru![75]

Chwycił z rąk chorążego Guthláfa wielki róg i zadął weń tak potężnie, że róg pękł na dwoje. Natychmiast wszystkie rogi podjęły muzykę i pieśń Rohanu rozległa się nad polami jak burza, echo zaś grzmotem odbiło ją wśród gór.

Naprzód, naprzód, do Gondoru!

Król krzyknął coś Śnieżnogrzywemu i koń skoczył naprzód. Za nim trzepotała na wietrze chorągiew, godło białego konia na zielonym polu, lecz król ją wyprzedził. Za nim mknęli rycerze przyboczni, lecz ich także wyprzedził król. Éomer spiął swego wierzchowca ostrogą, biały ogon koński na hełmie rozwiał się w pędzie, cały pierwszy *éored* gnał w grzmocie podków jak spieniona fala z szumem atakująca brzeg, lecz króla nikt nie prześcignął. Zdawał się urzeczony, a może w jego żyłach zakipiała bojowa furia praojców, bo dawał się ponosić Śnieżnogrzywemu, a wyglądał jak dawny bóg, jak Oromë Wielki walczący w wojnie Valarów w czasach, gdy świat był jeszcze młody. Odsłonięta złota tarcza błyszczała odbiciem słońca i trawa jaśniała świeżą zielenią pod białymi nogami królewskiego rumaka. Bo oto wstał ranek i wiatr dmuchał od Morza. Ciemności rozpierzchły się, jęk przebiegł przez zastępy Mordoru, zdjęci przerażeniem wojownicy Czarnego Wodza uciekali i ginęli pod kopytami rozjątrzonych bitwą koni. Z szeregów Rohanu buchnęła chóralna pieśń; śpiewali, zadając śmierć, bo radość bitwy przepełniała ich serca, a piękny i groźny głos pieśni dosięgnął uszu obrońców oblężonego miasta.

ROZDZIAŁ 6
BITWA NA POLACH PELENNORU

Ale napaścią na Gondor nie kierował herszt orków ani zwykły rozbójnik. Ciemności ustąpiły za wcześnie, przed terminem, który im wyznaczył ich władca. Szczęście zawiodło go na chwilę, świat obrócił się przeciw niemu, zwycięstwo wymykało się w momencie, gdy je już niemal dosięgał ręką. Miał jednak długie ramię. Dowodził armią, rozporządzał wielką potęgą. Król Upiorów Pierścienia, Wódz Nazgûlów władał niejedną bronią. Opuścił Bramę i zniknął.

Król Marchii Théoden dotarł do drogi, biegnącej spod Bramy ku Rzece, i zwrócił się w stronę miasta, odległego już tylko o niespełna milę. Wstrzymał nieco wierzchowca, rozglądając się za nowym przeciwnikiem, a wtedy wreszcie dopędzili go jego rycerze; między nimi był też Dernhelm. Dalej na przodzie, a bliżej murów grodu, jeźdźcy Elfhelma szaleli wśród machin oblężniczych, rąbiąc, siekąc, zapędzając nieprzyjacielskich żołdaków w ziejące ogniem rowy. Cała prawie północna połać Pelennoru była oczyszczona z wroga, obóz nieprzyjacielski płonął, orkowie uciekali ku Rzece jak zwierzyna ścigana przez myśliwców; wszędzie tam Rohirrimowie panowali nad polem bitwy. Lecz nie przerwali jeszcze oblężenia, nie zdobyli Bramy. Pod nią zostały znaczne siły przeciwnika, a na drugiej połowie pola zgromadziły się nietknięte jeszcze, niezliczone zastępy Mordoru. Na południu od drogi skupił się trzon armii Haradrimów, ich konnica otaczała chorągiew dowódcy. Ten dostrzegł w jasnym już teraz świetle dziennym sztandar króla, powiewający w tej chwili z dala od głównego wiru walki pośród garstki jeźdźców. Wódz Haradrimów zapłonął wściekłym gniewem, krzyknął, rozwinął swoją chorągiew, czarnego węża na krwawym szkarłacie, i runął do ataku na sztandar z białym koniem na tle zieleni, a za nim gnał tłum Haradrimów; wzniesione w górę krzywe ich szable migotały niby rój gwiazd.

Théoden zobaczył go, a nie chcąc czekać biernie na napaść, pomknął na spotkanie przeciwnika. Starli się ze straszliwym impetem. Lecz biała furia rycerzy Północy rozgorzała goręcej, lepiej też znali wojenne rzemiosło, bieglej i bardziej zabójczo władali długimi włóczniami. Mniej ich było, lecz

rąbali sobie drogę przez tłum Haradrimów niby przesiekę w lesie. W najgęstszym bitewnym wirze przecisnął się Théoden, syn Thengla. Włócznia jego śmignęła w powietrzu, godząc w nieprzyjacielskiego dowódcę. Błyskawicznie dobył miecza i jednym ciosem rozszczepił drzewce chorągwi wraz z ciałem chorążego; czarny wąż opadł na ziemię. Resztka rozgromionej konnicy Haradrimów umknęła w popłochu.

Lecz nagle w tym momencie tryumfu złota tarcza króla przygasła. Jasny poranek zniknął z nieba. Przesłonił go znowu mrok. Konie zarżały, stając dęba. Ludzie spadali z siodeł i wili się po ziemi.

– Do mnie! Do mnie! – krzyknął Théoden. – Naprzód, Eorlingowie! Nie lękajcie się ciemności!

Ale oszalały ze strachu Śnieżnogrzywy wspiął się na zadnie nogi, jakby walcząc z powietrzem, i z głośnym rżeniem zwalił się na bok, przeszyty czarną strzałą. Król runął wraz z koniem, przygnieciony jego ciężarem.

Czarny cień zniżył się jak chmura oderwana od stropu nieba. Nie, to nie była chmura. Dziwna skrzydlata poczwara, jeśli ptak – to większy niż wszystkie znane ptaki świata i nagi, nieupierzony; skrzydła miał wielkie, z grubej błony rozpiętej między zrogowaciałymi palcami. Stwór, być może, z dawnego świata, z gatunku, który przetrwał w zakątku niezbadanych, zimnych gór pod księżycem dłużej niż jego epoka i w jakimś ohydnym gnieździe na szczytach wyhodował to ostatnie zapóźnione potomstwo, zwyrodniałe i złowieszcze. Czarny Władca wziął je pod swoją opiekę, wykarmił ochłapami mięsa, aż potwór wyrósł ponad miarę wszelkich innych latających istot. Wtedy Czarny Władca podarował go swemu słudze jako wierzchowca. Skrzydlaty stwór spuścił się na ziemię, zwinął błoniaste skrzydła, wydał z siebie okropny chrapliwy wrzask i usiadł na ciele Śnieżnogrzywego, wpijając w nie szpony i wyginając w dół długą, nagą szyję.

Dosiadał go jeździec w czarnym płaszczu, olbrzymi i groźny, w stalowej koronie, lecz między jej obręczą a zapięciem płaszcza ziała pustka, pośród której świeciły tylko morderczym blaskiem oczy. Wódz Nazgûlów! Gdy rozwiały się ciemności, zniknął z pola, aby przywoławszy swego wierzchowca, powrócić i znów szerzyć śmierć, zmienić nadzieję w rozpacz, zwycięstwo w pogrom. W ręku trzymał wielką czarną buławę.

Lecz Théoden nie przez wszystkich był opuszczony. Wprawdzie przyboczni rycerze albo polegli przy nim, albo nie zdołali opanować oszalałych koni, które ponosiły ich dalej w pole, jeden wszakże pozostał przy królu: młody Dernhelm, nieustraszony w swojej wierności, płakał nad leżącym starcem, którego snadź kochał jak ojca. Przez cały czas walki Merry, siedząc za Dernhelmem, nie doznał żadnego szwanku, dopóki Cień nie nadciągnął ponownie, wtedy bowiem Windfola, w panice stając dęba, zrzucił obu jeźdźców i uciekł. Merry czołgał się teraz na czworakach jak oszołomiony zwierzak, oślepły i bezwładny ze zgrozy.

„Giermek królewski! Giermek królewski! – powtarzał sobie w duchu. – Musisz wytrwać przy królu. Sam powiedziałeś, że będziesz go czcił jak rodzonego ojca”.

Lecz wola nie odpowiadała głosowi serca, a całe ciało dygotało ze strachu. Merry nie śmiał otworzyć oczu i spojrzeć. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy głos Dernhelma, lecz bardzo dziwny, podobny do głosu innej spotkanej kiedyś osoby.

– Precz stąd, odmieńcze, wodzu sępów! Zostaw umarłych w spokoju.

Lodowaty głos odpowiedział:

– Nie wtrącaj się między Nazgûla a jego łup. Ukarze cię gorzej niż śmiercią. Zabierze cię do kraju rozpaczy, na dno ciemności, gdzie staniesz się bezcielesnym upiorem, gdzie Oko Bez Powiek przejrzy na wylot każdą twoją myśl.

Szczęknął wyciągany z pochwy miecz.

– Możesz grozić, czym chcesz, ale ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci w spełnieniu groźby przeszkodzić.

– Przeszkodzić? Mnie? Głupcze! Żadnemu najwaleczniejszemu nawet mężowi świata nie uda się nigdy i w niczym mi przeszkodzić.

Wtedy Merry usłyszał coś, czego najmniej się w tej groźnej chwili spodziewał: śmiech. Dernhelm śmiał się, a jego czysty głos dźwięczał jak stal.

– Ale ja nie jestem żadnym z mężów tego świata! Masz przed sobą kobietę. Jestem Éowina, córka Éomunda. Bronisz mi dostępu do mojego króla i krewnego. Idź precz, chyba żeś pewny swej nieśmiertelności.

Czymkolwiek bowiem jesteś, żywą istotą czy też chodzącym trupem, mój miecz spadnie na ciebie, jeżeli dotkniesz króla.

Skrzydlaty potwór krzyknął, lecz Upiór Pierścienia nic nie odpowiedział, umilkł, jakby nagle ogarnęły go wątpliwości. Zdumienie i ciekawość pomogły hobbitowi przezwyciężyć na chwilę strach. Otworzył oczy, czarna zasłona lęku już mu nie przesłaniała widoku. O parę kroków przed nim siedziała olbrzymia poczwara, a nad nią niby cień rozpaczy górował Wódz Nazgûlów. Nieco w lewo, twarzą do nich zwrócona stała ta, którą Merry do niedawna nazywał Dernhelmem. Nie krył już jej twarzy hełm, jasne włosy uwolnione spływały na ramiona, lśniąc bladym złotem. Szare jak morze oczy spoglądały surowo i gniewnie, a mimo to łzy spływały z nich na policzki. W ręku trzymała miecz, wzniesioną tarczą osłaniała się od okropnego spojrzenia wroga.

To była Éowina i Dernhelm zarazem, Merry bowiem w przebłysku wspomnienia ujrzał twarz, która zwróciła jego uwagę przy wyjeździe z Dunharrow, twarz młodego rycerza, ruszającego na spotkanie śmierci, bez nadziei w sercu. Wraz z podziwem ocknęła się w hobbicie litość i właściwe temu plemieniu nieskore męstwo. Zacisnął pięści. Nie mógł pozwolić, by ta piękna, zrozpaczona księżniczka zginęła. Przynajmniej nie dopuści, by zginęła sama i bez obrony.

Twarz wroga była od niego odwrócona, pomimo to Merry nie śmiał poruszyć się, żeby nie ściągnąć na siebie morderczego spojrzenia tych okropnych oczu. Z wolna zaczął czołgać się w trawie. Lecz Czarny Wódz, z wahaniem i złością wpatrzony w kobietę, która mu stawiała czoło, nie zważał na hobbita bardziej niż na robaka pełznącego w błocie.

Nagle ohydny smród wionął powietrzem; to skrzydlaty potwór zatrzepotał skrzydłami, poderwał się w górę i błyskawicznie rzucił się na Éowinę, z przeraźliwym wrzaskiem godząc w nią dziobem i szponami.

Éowina nie drgnęła nawet: księżniczka Rohirrimów, córka królów, smukła, lecz silna jak stal, piękna, lecz groźna. Zadała cios z rozmachem, potężny i celny. Miecz przeciął wyciągniętą szyję potwora, odrąbana głowa jak kamień spadła na ziemię. Éowina odskoczyła wstecz przed walącym się olbrzymim cielskiem, które z rozpostartymi skrzydłami runęło w trawę. W tym samym momencie rozwiał się cień. Światło zalało postać księżniczki, a jasne jej włosy rozbłysły w rannym słońcu.

Lecz znad ścierwa zabitego wierzchowca dźwignął się Czarny Jeździec, straszny, olbrzymi, górujący nad smukłą przeciwniczką. Z okrzykiem nabrzmiałym taką nienawiścią, że sam dźwięk jego głosu rozdzierał uszy i zatruwał serca, podniósł ciężką buławę i uderzył. Tarcza Éowiny rozsypała się w kawałki, strzaskane ramię opadło bezsilnie. Księżniczka osunęła się na kolana. Upiór schylił się nad nią, przesłonił ją jak chmura; oczy pałały mu ogniem. Znów podniósł buławę, tym razem, żeby dobić ofiarę.

Nagle zachwiał się z jękiem bólu, cios chybił, koniec buławy zarył w ziemi. To Merry, zaszedłszy z tyłu, śmignął mieczykiem i przebijając czarny płaszcz, przeciął niechronione kolczugą ścięgno pod kolanem.

– Éowino! Éowino! – krzyknął Merry.

Éowina dźwignęła się z trudem i ostatkiem sił rąbnęła mieczem między płaszcz a koronę, nad schylonymi ku niej potężnymi ramionami. Miecz, sypiąc skry, rozpadł się w drzazgi. Korona z brzękiem potoczyła się po ziemi. Éowina padła twarzą naprzód na trupa przeciwnika. O dziwo! Płaszcz i kolczuga kryły pustkę. Leżały jak łachman w trawie, a w górze nad polem rozległ się krzyk, przechodzący w jęk coraz cichszy, oddalający się z wiatrem, w głos bezcielesny i wątły, który zamierał, ginął, by nigdy już więcej nie odezwać się nad światem.

Meriadok stał pośród zasłanego trupami pobojowiska, mrużąc oczy jak sowa w blasku dnia, bo łzy oślepiły go zupełnie. Przez mgłę widział piękną głowę Éowiny, znieruchomiałej, wyciągniętej w trawie, a tuż obok oblicze króla Théodena poległego w chwale. Śnieżnogrzywy w drgawkach agonii zsunął się z ciała swego pana, którego zabił mimo woli.

Merry schylił się i podniósł królewską rękę, żeby na niej złożyć pocałunek, wtedy jednak Théoden otworzył oczy; patrzyły przytomnie, a głos zabrzmiał spokojnie, chociaż słabo, gdy król przemówił:

– Żegnaj, zacny hobbicie. Moje ciało – zdruzgotane. Odchodzę do ojców. Lecz nawet w ich dostojnym towarzystwie nie będę się teraz musiał wstydzić. Powaliłem czarnego węża. Po mrocznym ranku wstał dzień jasny i zaświeciło złote słońce.

Merry nie mógł mówić, płakał znów gorzko.

– Przebacz mi, królu – wyjąkał wreszcie – że złamałem twój rozkaz, chociaż nie mogę ci oddać innych usług prócz tych łez na pożegnanie.

Sędziwy król odpowiedział uśmiechem.

– Nie martw się, hobbicie. Przebaczam ci nieposłuszeństwo. Szczerego serca nikt nie odtrąci. Obyś żył długo i szczęśliwie, a kiedy w czasach pokoju siądziesz, ćmiąc fajkę przy kominku, wspomnij o mnie! Ja bowiem nie będę mógł już dotrzymać obietnicy i w Meduseld nauczyć się od ciebie sztuki fajkowego ziela. – Przymknął powieki, Merry zaś schylił się nad nim. Po chwili król odezwał się znowu: – Gdzie jest Éomer? Ciemność zasnuwa mi oczy, a chciałbym go ujrzeć jeszcze przed śmiercią. On ma być po mnie królem. Przekaż też słowa pożegnania Éowinie. Wzdragała się rozstać ze mną… Teraz już nigdy nie zobaczę tej, którą kochałem bardziej niż rodzoną córkę.

– Królu, królu – zaczął urywanym głosem Merry. – Éowina… Lecz w tym momencie rozległa się wrzawa, jakby dokoła wszystkie rogi i trąby zagrały naraz. Merry rozejrzał się po polu. Zapomniał o wojnie, o całym świecie; zdawało mu się, że od chwili gdy król ruszył do swego ostatniego boju, minęło wiele godzin, w rzeczywistości jednak cały dramat rozegrał się w ciągu kilku minut. Teraz hobbit zrozumiał, że grozi im niebezpieczeństwo, bo mogą znaleźć się w sercu bitwy, która rozgorzeje lada chwila z nową siłą.

Wróg rzucał do walki świeże pułki sprowadzone pospiesznie drogą znad Rzeki; spod murów grodu zbliżały się zastępy Morgulu, od południa ciągnęła piechota Haradu, poprzedzana przez konnicę, za nią zaś widać było z daleka olbrzymie grzbiety *mûmakili*, dźwigających wieże oblężnicze. Od północy natomiast biała kita na hełmie Éomera powiewała na czele Rohirrimów, sformowanych znów w szyku bojowym, a z grodu wyszli na pole wszyscy zdolni jeszcze do noszenia broni mężczyźni, którym przewodził Srebrny Łabędź Dol Amrothu i którzy zdołali odeprzeć napastników spod Bramy.

Przez głowę hobbita przemknęła myśl: „Gdzie jest Gandalf? Czy nie ma go tutaj? On może umiałby ocalić króla i Éowinę”. W tym samym momencie nadjechał w galopie Éomer, a z nim garstka niedobitków świty, przybocznych rycerzy króla, którzy zdołali wreszcie opanować spłoszone wierzchowce. Patrzyli teraz zdumieni na cielsko ubitej poczwary; konie nie chciały podejść do niej bliżej. Éomer zeskoczył z siodła, a ból i żal odmalowały się na jego twarzy, gdy zobaczył króla, i stanął w milczeniu nad jego bezwładnym ciałem.

Jeden z rycerzy wyjął królewską chorągiew z zaciśniętej dłoni poległego chorążego Guthláfa i podniósł ją w górę. Théoden z wolna otworzył oczy. Widząc wzniesione godło, dał znak, by je oddano Éomerowi.

– Witaj, królu Marchii – powiedział. – Ruszaj teraz po zwycięstwo! Pożegnaj ode mnie Éowinę!

Z tymi słowami skonał, nie wiedząc, że Éowina leży tuż obok.

Otaczający go ludzie płakali, wołając: „Król Théoden! Nasz Król Théoden!”. Wtedy przemówił do nich Éomer:

Nie wylewajcie próżnych łez. Odszedł mężny
I chlubną poległ śmiercią. Nad jego kurhanem
Niech zapłaczą kobiety. Nas dziś wzywa bój![76]

Lecz sam, mówiąc to, płakał.

– Niechaj giermkowie królewscy zostaną tutaj – rzekł – i wyniosą ze czcią zwłoki króla z pola, które lada chwila ogarnąć może znów bitwa. Są też inni polegli ze świty Théodena.

Spojrzał na leżące wkoło trupy, poznając i nazywając po imieniu towarzyszy broni. Nagle ujrzał swoją siostrę Éowinę leżącą opodal. Stanął bez tchu jak człowiek, który w pół krzyku oniemiał, trafiony strzałą prosto w serce; śmiertelna bladość powlokła jego oblicze, a gniew zmroził mu krew w żyłach tak, że długo nie mógł dobyć słowa z gardła. Jakby szał nim zawładnął.

– Éowino! Éowino! – krzyknął wreszcie. – Éowino, skąd się tutaj wzięłaś? Czy to obłęd, czy zły czar mami moje oczy? Śmierci, śmierci, śmierci! Śmierci, zabierz nas wszystkich!

I bez namysłu, nie czekając, aż zbliży się oddział wysłany z grodu, skoczył na konia, pognał sam przeciw całej nieprzyjacielskiej armii, dmąc w róg i głośnym okrzykiem wzywając swoich do natarcia. Nad polem rozbrzmiał jego czysty donośny głos:

– Śmierci! Naprzód, po śmierć, po koniec świata!

Wojsko ruszyło za nim. Rohirrimowie już teraz nie śpiewali, idąc do walki. Tylko złowieszczy okrzyk: „Śmierci!” towarzyszył tętentowi kopyt,

gdy fala jeźdźców, mijając poległego króla, runęła na spotkanie nieprzyjaciół ku południowemu krańcowi pola.

A hobbit Meriadok wciąż jeszcze stał, ślepy od łez, na tym samym miejscu; nikt do niego się nie odezwał, nikt chyba nawet go nie zauważył. Otarł oczy, schylił się, żeby podnieść zieloną tarczę, dar Éowiny, i zarzucić ją sobie na plecy. Potem rozejrzał się za mieczykiem, który zgubił, w chwili bowiem, gdy zadawał cios Czarnemu Wodzowi, ramię nagle mu ścierpło i odtąd mógł posługiwać się jedynie lewą ręką. Znalazł swój oręż, lecz ze zdumieniem ujrzał, że ostrze dymi niby sucha gałąź wyjęta z płomieni; patrzył na nie, jak gięło się i kurczyło, aż całe je strawił ogień.

Taki był koniec miecza wykutego ongi przez ludzi z Westernesse i znalezionego przez hobbita pod Kurhanem. Lecz dumny z jego losu byłby płatnerz, który go przed wiekami wykuwał cierpliwie w Królestwie Północnym, gdy Dúnedainowie byli młodym plemieniem, a najzawziętszym ich wrogiem było straszliwe królestwo Angmar i jego król, Czarnoksiężnik. Żaden inny oręż, chociaż w mocniejszych rękach, nie zadał wrogowi równie dotkliwej rany, rozdzierając upiorne ciało, niszcząc zły urok, który niewidzialne ścięgna łączył ze źródłem woli.

Rycerze z włóczni nakrytych płaszczami sporządzili naprędce nosze i dźwignęli króla, niosąc go w stronę grodu, podczas gdy inni nieśli za nim ostrożnie Éowinę. Nie mogli jednak zabrać wszystkich poległych z królewskiej świty, siedmiu bowiem gwardzistów padło obok swego pana, a między nimi Déorwin, dowódca gwardii. Tych więc złożyli Rohirrimowie z dala od trupów nieprzyjacielskich i od zabitej skrzydlatej bestii i zatknęli wokół nich włócznie. Później wrócili na to miejsce i spalili ścierwo poczwary, dla Śnieżnogrzywego wszakże wykopali grób i naznaczyli go kamieniem, na którym w dwóch językach – Marchii i Gondoru – wyryto napis:

Zgubą był panu ten sługa poczciwy –
Po Lekkostopym szybki Śnieżnogrzywy[77].

Zielona i bujna trawa wyrosła na mogile Śnieżnogrzywego, lecz na zawsze czarna i jałowa pozostała ziemia w miejscu, gdzie spalono skrzydlatą bestię.

Powoli wlókł się smutny Merry obok noszy, nie zważając wcale na toczącą się jeszcze bitwę. Był znużony, zbolały, drżał jak w febrze. Wiatr od Morza przyniósł rzęsisty deszcz i zdawało się, że cały świat płacze po Théodenie i Éowinie, gasząc pożary w grodzie potokami szarych łez. Jak przez mgłę zobaczył hobbit zbliżające się pierwsze szeregi obrońców Gondoru. Imrahil, książę Dol Amrothu, zatrzymał konia na widok smutnego orszaku.

– Kogo niesiecie, przyjaciele z Rohanu? – zapytał.

– Króla Théodena – odpowiedzieli. – Król Théoden poległ. Ale król Éomer walczy, poznacie go po białej kicie na hełmie.

Książę zsiadł z konia, ukląkł przy noszach, oddając hołd zmarłemu królowi i jego bohaterskiej śmierci, i zapłakał. Potem wstał, a widząc na drugich noszach Éowinę, zdumiał się bardzo.

– Przecież to kobieta – rzekł. – Czy kobiety Rohirrimów także chwyciły za oręż w naszej obronie?

– Nie, tylko ta jedna – odpowiedzieli Rohirrimowie. – Księżniczka Éowina, siostra Éomera. Nie wiedzieliśmy, że była między nami, dopóki nie znaleźliśmy jej na pobojowisku, i opłakujemy ją gorzko.

Piękność jej twarzy, chociaż bladej i zimnej, wzruszyła księcia, pochylił się, by z bliska przyjrzeć się księżniczce, i dotknął jej ręki.

– Przyjaciele! – krzyknął. – Czy nie ma między wami lekarzy? Księżniczka jest ranna, może śmiertelnie, ale jeszcze żyje!

Zsunął z ramienia polerowany naramiennik i przytknął go do zimnych warg Éowiny: lekka, prawie niedostrzegalna mgiełka oddechu przyćmiła blask metalu.

– Nie ma chwili do stracenia – powiedział, wyprawiając konnego gońca z powrotem do grodu z wieścią, że ranna potrzebuje pilnie pomocy. Sam jednak skłonił się raz jeszcze poległemu królowi i rannej księżniczce, pożegnał Rohirrimów, wskoczył na siodło i pomknął na czele swoich do walki.

Bitwa rozgorzała teraz wściekła na polach Pelennoru, szczęk oręża wzbijał się ku niebu wraz z krzykiem ludzi i rżeniem koni. Grały rogi i trąby, ryczały pędzone do boju mûmakile. Pod południowym murem grodu piechota Gondoru natarła na skupione tu jeszcze znaczne siły Morgulu.

Jeźdźcy wszakże pognali ku wschodniej stronie pola, na pomoc Éomerowi: Húrin Smukły, Strażnik Kluczy, i książę Lossarnach, Hirluin z Zielonych Wzgórz i piękny książę Imrahil w otoczeniu swoich żołnierzy.

W samą porę zjawiła się ta pomoc dla Rohirrimów, szala bowiem przeważała na stronę nieprzyjaciela, a zapał bojowy Éomera obrócił się przeciw niemu. Furia pierwszego natarcia zmiażdżyła pierwsze nieprzyjacielskie szeregi, Jeźdźcy Rohanu szerokimi klinami wbili się w głąb tłumu południowców, zrzucając z siodeł konnych, tratując pieszych. Tam wszakże, gdzie były mûmakile, konie iść nie chciały, stawały dęba i uskakiwały na boki; olbrzymie zwierzęta, nieatakowane, górowały nad bitwą niby fortece, a Haradrimowie skupili się wokół nich. Jeśli od początku Rohirrimowie mieli przeciw sobie trzykrotną liczebną przewagę samych tylko Haradrimów, teraz stosunek sił jeszcze się zmienił na ich niekorzyść, nowe bowiem zastępy wroga ściągały od strony Osgiliath. Zebrano je na zapleczu, aby na ostatku rzucić na zdobyty gród, który miały splądrować i złupić; czekały tylko na rozkaz swego wodza. Wódz zginął, lecz teraz Gothmog, dowódca wojsk Morgulu, poprowadził ich w wir bitwy; szli za nim ludzie ze Wschodu zbrojni w topory, Variagowie z Khandu, południowcy w szkarłatnej odzieży i wojownicy z Dalekiego Haradu, podobni do trollów, błyskający białkami oczu i czerwienią języków w czarnych twarzach. Część tej armii okrążyła Rohirrimów od tyłu, część stanęła na wschodnim skrzydle, by powstrzymać oddziały Gondoru i nie dopuścić do ich połączenia z Jeźdźcami Rohanu.

W tym samym momencie, gdy na polu zarysowała się tak groźna dla obrońców sytuacja i zwątpienie zakradło się znów do serc, krzyk rozległ się w grodzie, bo wtedy właśnie, późnym przedpołudniem, wiatr dmuchnął silniej, unosząc deszcz ku północy, słońce błysnęło i w jego blasku wartownicy z murów dostrzegli w oddali nowe niebezpieczeństwo, widok niweczący resztkę nadziei.

Anduina, zataczając łuk od Harlondu, widoczna była z miasta na dość znacznym odcinku swego biegu i bystre oczy dostrzegły płynące po niej statki. Wytężywszy wzrok, strażnicy krzyknęli z rozpaczy, bo na tle lśniącej wstęgi Rzeki ukazała im się sunąca z wiatrem groźna flotylla: galery wojenne pchane wielu parami wioseł i okręty o czarnych żaglach wydętych bryzą.

– Korsarze z Umbaru! – wołali ludzie. – Korsarze z Umbaru! Patrzcie! Korsarze z Umbaru przybywają. A więc Belfalas został zdobyty, Ethir i Lebennin są w ręku wroga. Korsarze ciągną tutaj. To ostatni cios, jesteśmy zgubieni.

Ten i ów – bez rozkazu, bo w grodzie zabrakło dowódcy – biegł do dzwonów i uderzał na alarm; inni, chwyciwszy trąby, zagrali sygnał do odwrotu.

– Na mury! – krzyczeli. – Wracajcie na mury! Wracajcie do grodu, zanim was do szczętu rozgromią.

Ale paniczny krzyk rozwiewał wiatr, który gnał ku miastu obce okręty.

Rohirrimom zresztą ostrzeżenie nie było potrzebne. Aż za dobrze sami widzieli czarne żagle. Éomer bowiem zapędził się tak, że dzieliła go od Harlondu niespełna mila, na której między nim a przystanią skupiły się nieprzyjacielskie siły odparte z przedpola miasta, podczas gdy inni wojownicy zaroili się za plecami Rohirrimów, odcinając ich od oddziału księcia Imrahila. Teraz Éomer spojrzał na Rzekę i nadzieja zgasła w jego sercu; przeklinał wiatr, dotychczas błogosławiony. Natomiast w żołdaków Mordoru nowy duch wstąpił i z furią, z tryumfalnym wrzaskiem natarli na jeźdźców.

Éomer ochłonął już z oszołomienia, myślał trzeźwo i jasno. Kazał zadąć w rogi i zwołać ludzi, by każdy, kto tylko zdoła, stanął przy sztandarze królewskim. Postanowił bowiem tutaj wznieść z tarcz ostatni mur obronny i bić się, póki sił starczy, stoczyć walkę godną legendy i pieśni, chociażby nikt nie miał pozostać na tych ziemiach, kto by zachował pamięć o ostatnim królu Marchii. Wjechał na zielony pagórek, tu zatknął trzepoczący na wietrze sztandar z godłem Białego Konia.

Po zwątpieniach i mroku przedświtu
Pieśnią i nagim mieczem powitałem słońce.
Walczyłem do kresu nadziei, w żałobie serca,
Noc zajdzie w krwawej łunie nad ostatnią klęską[78].

Ale ze śmiechem wygłaszał tę strofę pieśni. Znów bowiem porwał go zapał wojenny; oszczędziły go dotychczas miecze i dzidy, był młody i przewodził

dzielnemu plemieniu. Wzywając pieśnią niebezpieczeństwo, spojrzał na czarne okręty i podniósł miecz.

Nagle zobaczył coś, co zdumiało go i napełniło radością. Podrzucił miecz w blask słońca, chwycił zręcznie, nie przerywając śpiewu. Wszystkie oczy zwróciły się w ślad za jego spojrzeniem. W tym momencie na głównym maszcie pierwszego statku, skręcającego właśnie ku przystani w Harlondzie, wiatr rozwiał flagę. Kwitło na niej Białe Drzewo Gondoru, lecz otaczało je Siedem Gwiazd i w górze nad nim błyszczała wysoka korona – godło Elendila, królewskie godło, którego tu nikt nie widział od niepamiętnych lat. Gwiazdy skrzyły się w słońcu, bo Arwena, córka Elronda, wyszyła ten sztandar drogimi kamieniami; korona z mithrilu i złota jaśniała w blasku dnia.

Aragorn, syn Arathorna, Elessar, spadkobierca Isildura, przebył Ścieżkę Umarłych i teraz z wiatrem od Morza przypłynął do Gondoru. Wesołość Rohirrimów wybuchnęła w śmiechu i szczęku oręża, a radość miasta rozśpiewała się fanfarami trąb i muzyką dzwonów. Ale żołdacy Mordoru, zdjęci trwogą, nie mogli pojąć, jaki czar sprawił, że na okrętach ich sprzymierzeńców zjawili się wrogowie, i drżąc, zrozumieli, że los odwrócił się od nich i że muszą zginąć.

Rycerze Dol Amrothu pędzili teraz przed sobą na wschód rozbite zastępy trollów, Variagów i orków, którzy nie znoszą blasku słońca. Éomer ze swoimi jeźdźcami pomknął w stronę południa, a nieprzyjaciel, znalazłszy się niejako między młotem a kowadłem, uciekał w popłochu. Bo już ze statków na nadbrzeża Harlondu wysypywał się zbrojny oddział i jak burza parł na północ. W pierwszych szeregach biegli Legolas i Gimli z toporkiem w ręku, Halbarad ze sztandarem, Elladan i Elrohir z gwiazdami na czołach, Dúnedainowie, Strażnicy Północy, o krzepkich rękach, a za nimi dzielny lud z Lebenninu i Lamedonu i z innych lennych krajów Południa. Prowadził ich wszystkich Aragorn, wznosząc w ręku Płomień Zachodu, Andúril, miecz ognisty, przekuty na nowo stary Narsil, nie mniej niż ongi groźny. Na czole Aragorna świeciła Gwiazda Elendila.

Tak się stało, że spotkali się wśród bitwy Éomer i Aragorn; wsparci na mieczach spojrzeli sobie w oczy z radością.

– A więc spotkaliśmy się znów, chociaż nas rozdzieliły wszystkie zastępy Mordoru – rzekł Aragorn. – Czyż nie obiecałem ci tego, wówczas, w Rogatym Grodzie?

– Tak! – odparł Éomer – ale nadzieja często zwodzi, a nie wiedziałem, że umiesz przepowiadać przyszłość. Podwójnym błogosławieństwem jest pomoc, gdy zjawia się nieoczekiwana. Nigdy chyba dwaj przyjaciele nie radowali się tak bardzo ze spotkania! – Uścisnęli sobie ręce, po czym Éomer dodał: – Nigdy też chyba nie spotkali się tak bardzo w porę. Przybyłeś w ostatniej chwili. Ponieśliśmy ciężkie straty.

– A więc pomścijmy je, zanim mi o nich opowiesz – odparł Aragorn i ramię przy ramieniu ruszyli obaj do bitwy.

Sroga jeszcze czekała ich walka i wiele trudów, południowcy bowiem byli plemieniem bitnym i dzielnym, a rozpacz dodawała im męstwa, wojownicy zaś z krain Wschodu przeszli dobrą szkołę wojenną w Mordorze i żaden z nich nie myślał się poddawać. Wszędzie więc na rozległym polu, na zgliszczach zagród i spichrzów, na pagórkach, pod murami skupiały się gromady nieprzyjaciół, gotowych walczyć do ostatka, i bitwa przeciągała się do wieczora.

Wreszcie słońce skryło się za Mindolluinę, rozlewając na niebie ogromną łunę, tak że wzgórza i szczyty gór zarumieniły się krwawym odblaskiem. Rzeka zdawała się płonąć, a trawa nabrała odcienia rudej czerwieni. Wraz z zachodem słońca skończyła się wielka bitwa pod Minas Tirith i ani jeden nieprzyjaciel nie został żywy w kręgu zewnętrznych murów Pelennoru. Wybito ich co do nogi, a ci, którzy zbiegli, mieli niemal wszyscy wyginąć z ran lub utonąć w spienionych nurtach Rzeki. Ledwie garstka niedobitków wróciła do Morgulu lub Mordoru, a do Haradu dotarła tylko legenda o strasznej zemście i potędze napadniętego Gondoru.

Aragorn, Éomer i Imrahil razem wracali ku Bramie grodu, tak zmęczeni, że niezdolni zarówno do radości, jak i do smutku. Wszyscy trzej wyszli z bitwy niedraśnięci nawet, bo sprzyjało im szczęście, chroniła moc ramienia i niezawodny oręż; mało kto ośmielał się stawiać im czoło lub bodaj spojrzeć w twarze, rozognione gniewem. Lecz wielu innych rycerzy poległo na polu chwały albo odniosło ciężkie rany. Forlong, walcząc samotnie po utracie konia, padł od ciosów topora; Duilin z Morthondu i brat jego stratowani zostali na śmierć, gdy prowadzili do ataku na mûmakile łuczników, którzy z bliska puszczali strzały w ślepia bestii. Nigdy już piękny Hirluin nie miał wrócić do ojczystego Pinnath Gelin ani też Grimbold do swego domu w Grimslade, ani krzepki Strażnik Halbarad do

swego rodzinnego kraju na dalekiej północy. Niemało poległo bojowników, sławnych i bezimiennych, dowódców i żołnierzy. Była to wielka bitwa i nikt jeszcze nie opowiedział całej jej historii. Wiele lat później śpiewak z Rohanu tak mówił o tym w swej pieśni o mogilnych kopcach Mundburga:

Słyszeliśmy o brzmiących rogach pośród wzgórz,
mieczach połyskujących w Królestwie Południa.
Rumaki popędziły jak poranny wiatr
do Stoninglandu. Rozgorzała wojna.
I zginął Théoden, potężny Thengling,
pan zbrojnych zastępów, do złotych pałaców,
zielonych łąk północy nie powrócił nigdy.
Harding i Guthláf, Dúnhern i Déorwin,
dzielny Grimbold, Herefara, Herubrand i Horn,
i Fastred walczyli i polegli tam,
w kraju dalekim: w grobowcach Mundburga
spoczywają pospołu z panami Gondoru,
swymi sprzymierzeńcami. Szlachetny Hirluin
do nadmorskich wzgórz ani Forlong stary
do kwitnących dolin Arnachu już nigdy
nie powrócą w tryumfie; ni smukli łucznicy,
Derufin i Duilin, nie wrócą do czarnych
jezior Morthondu ukrytych wśród gór.
Śmierć rankiem i kiedy już kończył się dzień
panów brała i sługi. Od dawna już śpią
pod trawą Gondoru, gdzie brzeg Wielkiej Rzeki,
teraz szarej jak łzy, srebrem połyskliwej.
Wtedy były czerwone jej pieniste wody:
krwią barwione gorzały w zachodzącym słońcu;
niby wici płonęły góry o wieczorze;
czerwień rosą spadała na Rammas Echor[79].

ROZDZIAŁ 7
STOS DENETHORA

Kiedy posępny cień cofnął się sprzed Bramy, Gandalf przez długą jeszcze chwilę trwał nieruchomo pośród dziedzińca. Pippin natomiast zerwał się błyskawicznie i wyprostował, jak gdyby ktoś zdjął nieznośne brzemię z jego ramion; stał, nasłuchując grania rogów i radość rozpierała mu serce. Zawsze odtąd, nawet po latach, łzy napływały mu do oczu na dźwięk odzywającego się w oddali rogu. Teraz jednak przypomniał sobie nagle, z jaką wieścią spieszył do Gandalfa. Podbiegł więc do niego w momencie, gdy Czarodziej, który właśnie ocknął się z zadumy i szepnął coś Cienistogrzywemu nad uchem, zamierzał wyjechać poza Bramę.

– Gandalfie! Gandalfie! – krzyknął Pippin.

Cienistogrzywy przystanął w miejscu.

– A ty co tutaj robisz? – spytał Gandalf. – O ile wiem, wedle praw grodu, tym, którzy noszą srebrno-czarne barwy, nie wolno opuszczać Cytadeli bez specjalnego pozwolenia.

– Denethor zwolnił mnie ze służby – odparł Pippin. – Odprawił mnie. Gandalfie, drżę z przerażenia. Tam na górze mogą się stać okropne rzeczy. Denethor popadł w obłęd, jak mi się wydaje. Boję się, że chce zabić nie tylko siebie, ale także Faramira. Czy nie mógłbyś temu przeszkodzić?

Gandalf patrzył przed siebie, w wylot otwartej Bramy. Z pola już dobiegał wzmożony zgiełk bitwy. Czarodziej zacisnął pięści.

– Muszę iść tam, gdzie toczy się bitwa – powiedział. – Czarny Jeździec krąży wolny po polu, może ściągnąć na nas zgubę. Nie mam teraz czasu na nic innego.

– Ale co będzie z Faramirem? – krzyknął Pippin. – On żyje! Denethor gotów go spalić żywcem, jeśli nikt go nie powstrzyma.

– Spalić żywcem? – powtórzył Gandalf. – O czym ty mówisz? Wytłumacz mi, ale prędko!

– Denethor wszedł do grobowca i zabrał ze sobą Faramira. Mówi, że i tak wszyscy spłoniemy, więc nie chce dłużej na to czekać; kazał zbudować stos i zamierza na nim spłonąć razem z Faramirem. Posłał pachołków po

drewno i oliwę. Ostrzegłem Beregonda, ale nie jestem pewny, czy ośmieli się opuścić posterunek, bo właśnie stoi u drzwi Wieży na warcie. Zresztą, cóż Beregond może tu pomóc? – Pippin jednym tchem wyrecytował swą opowieść, a na zakończenie wyciągnął błagalnie ramiona i drżącymi palcami dotknął kolan Gandalfa. – Czy nie możesz ocalić Faramira?

– Może bym mógł – odparł Gandalf – lecz jeśli nim się zajmę, obawiam się, że tymczasem poginą inni. No tak, pójdę z tobą, skoro Faramirowi nikt prócz mnie pomóc nie może. Ale wynikną z tego nieuchronnie rzeczy złe i smutne. Nieprzyjaciel swoim jadem sięga w samo serce grodu, jego to bowiem wola działa w tej okrutnej sprawie.

Skoro raz powziął decyzję, szybko zamienił ją w czyn. Podniósł Pippina z ziemi, wziął przed siebie na konia, jednym słowem dał Cienistogrzywemu znak, by zawrócił do grodu. Pięli się spiesznie stromymi ulicami Minas Tirith, których bruk dzwonił pod kopytami rumaka, a z pola dolatywał coraz głośniejszy zgiełk bitwy. Zewsząd biegli ludzie, zbudzeni z rozpaczy i drętwoty, chwytając za broń i nawołując jedni drugich:

– Rohan przybył z odsieczą!

Dowódcy wykrzykiwali rozkazy, oddziały ustawiały się w szyku i ciągnęły w dół ku Bramie. W drodze spotkał Gandalf księcia Imrahila, który go zagadnął:

– Dokąd spieszysz, Mithrandirze? Rohirrimowie walczą na polach Gondoru! Trzeba teraz skupić wszystkie nasze siły.

– Wiem, każde ręce będą potrzebne – odparł Gandalf. – Toteż wrócę na pole, gdy tylko będę mógł. Ale teraz mam do Denethora sprawę, która nie cierpi zwłoki. Obejmij dowództwo w zastępstwie Namiestnika!

Jechali dalej, a im byli bliżej Cytadeli, tym wyraźniej czuli na twarzach powiew wiatru i dostrzegali blask poranka na rozjaśniającym się u wschodu niebie. Niewiele jednak dodawało im to nadziei, nie wiedzieli bowiem, co zastaną na górze i czy nie zjawią się na ratunek poniewczasie.

– Ciemności przemijają – powiedział Gandalf – ale nad miastem jeszcze ciąży mrok.

U drzwi Cytadeli nie było warty.

– A więc Beregond poszedł do Denethora – stwierdził trochę pocieszony Pippin.

Skręcili spod Wieży i pospieszyli drogą ku Zamkniętej Furcie. Stała otworem; odźwierny leżał przed jej progiem zabity; nie miał klucza w ręku.

– To także robota Nieprzyjaciela – rzekł Gandalf. – Nic go tak nie cieszy jak bratobójcza walka, niezgoda posiana między wierne serca, które nie mogą rozeznać drogi obowiązku. – Zsiadł z konia, polecił Cienistogrzywemu wrócić do stajni. – Powinniśmy obaj, przyjacielu, od dawna być na polu bitwy – rzekł do niego – lecz wstrzymują mnie inne sprawy. Przybiegnij szybko, gdy cię zawołam!

Przeszli Furtę i zbiegli krętą ścieżką w dół. Rozwidniło się, smukłe kolumny i rzeźbione posągi po obu stronach zdawały się sunąć obok nich jak szare zjawy.

Nagle ciszę zakłóciły krzyki i szczęk broni dochodzące z dołu – zgiełk, jakiego nigdy od dnia zbudowania grodu nie słyszało to uświęcone miejsce. Wreszcie znaleźli się na ulicy Milczenia, przed Domem Namiestników majaczącym w półmroku pod ogromną kopułą.

– Wstrzymajcie się! – krzyknął Gandalf. – Wstrzymajcie się, szaleńcy!

Albowiem w progu pachołkowie Denethora z mieczami i żagwiami w rękach nacierali na Beregonda, który sam jeden w swoich srebrno-czarnych barwach gwardii stał na najwyższym stopniu schodów pod sklepionym gankiem i bronił przystępu do drzwi. Dwóch ludzi już padło od jego miecza, plamiąc krwią świętość grobowca, inni miotali przekleństwa, nazywając Beregonda wyrzutkiem i zdrajcą, zbuntowanym przeciw własnemu panu.

Podbiegając, Gandalf i Pippin usłyszeli z wnętrza Domu Umarłych głos Denethora nawołujący do pośpiechu:

– Prędzej! Prędzej! Róbcie, co wam rozkazałem. Zabijcie tego zdrajcę albo też sam go ukarzę.

Drzwi, które Beregond usiłował podeprzeć lewą ręką, otworzyły się nagle i w progu ukazał się władca grodu, wspaniały i groźny. Oczy skrzyły mu się gorączkowo, obnażony miecz wznosił się do ciosu.

Lecz Gandalf jednym susem znalazł się na schodach. Słudzy rozstąpili się przed nim, osłaniając oczy, bo Czarodziej wdarł się między nich jak lśnienie białej błyskawicy w ciemności, cały rozpłomieniony gniewem. Podniósł ramię i w okamgnieniu miecz zawahał się w ręku Denethora,

wysunął się z bezsilnej dłoni starca i padł na posadzkę mrocznej sieni. Denethor jakby oślepiony cofnął się przed Gandalfem.

– Co tu się dzieje, Denethorze? – spytał Czarodziej. – Dom Umarłych nie jest miejscem dla żywych. Dlaczego twoi słudzy biją się pośród grobów, gdy pod Bramą grodu toczy się rozstrzygająca walka? Czyżby Nieprzyjaciel dotarł aż tu, na ulicę Milczenia?

– Odkąd to Władca Gondoru obowiązany jest zdawać ci sprawę ze swoich zarządzeń? – spytał Denethor. – Czy już nie wolno mi rozkazywać własnym pachołkom?

– Wolno ci, Denethorze – odparł Gandalf – ale wolno też ludziom przeciwstawić się twoim rozkazom, jeśli są szaleńcze i złe. Gdzie jest twój syn, Faramir?

– Tu, we wnętrzu Domu Namiestników – powiedział Denethor. – Płonie, już płonie! Już podłożyli ogień pod jego ciało. Wkrótce spłoniemy wszyscy. Zachód ginie. Chcę odejść stąd w wielkim ognistym całopaleniu, niech wszystko skończy się w ogniu, w popiele, w słupie dymu, który uleci z wiatrem.

Gandalf, widząc, że władcę szał opętał, zląkł się, czy starzec nie wprowadził już w czyn swoich okrutnych zamiarów, rzucił się więc naprzód, a za nim pobiegli Pippin i Beregond. Denethor cofnął się tymczasem i stanął przy marmurowym stole w wielkiej sali. Faramir leżał tam, pogrążony w gorączkowym śnie, lecz żywy jeszcze. Pod jego posłaniem i dokoła niego piętrzył się stos z suchego drewna oblanego oliwą, którą przesycona była także odzież Faramira i okrywająca go płachta. Stos był gotów, ale nie zapalono go jeszcze. W tym momencie Gandalf okazał siłę, która w nim tkwiła, podobnie jak blask czarodziejskiej mocy, ukryta pod szarym płaszczem. Skoczył na spiętrzone kłody, chwycił rannego na ręce, zeskoczył na podłogę i pędem puścił się wraz ze swym cennym brzemieniem do wyjścia. Faramir jęknął i przez sen zawołał swego ojca.

Denethor jakby się nagle ocknął z osłupienia; oczy mu przygasły, spłynęły z nich łzy.

– Nie odbierajcie mi syna! On mnie woła! – powiedział.

– Tak – odparł Gandalf. – Syn cię woła, lecz jeszcze nie możesz się do niego zbliżyć. Faramir stoi na progu śmierci, ale być może nie przekroczy

go, może uda się go uzdrowić. Ty zaś powinieneś teraz być na polu bitwy pod Bramą twojego grodu, gdzie być może czeka cię śmierć. Sam o tym wiesz w głębi serca.

– Faramir już się nie obudzi – odparł Denethor – a walka jest daremna. Dlaczegoż miałbym pragnąć przedłużenia życia? Dlaczego nie mielibyśmy umrzeć razem?

– Ani tobie, ani żadnemu władcy na ziemi nie przysługuje prawo wyznaczania godziny własnej śmierci – rzekł Gandalf. – Tylko pogańscy królowie podlegli Władzy Ciemności sami sobie zadawali śmierć, zaślepieni pychą i rozpaczą, zabijając też swoich najbliższych, aby lżej im było rozstać się z tym światem.

Wyniósł Faramira z Domu Umarłych, złożył go na tym samym łożu, na którym go tu przyniesiono, a które stało w sieni. Denethor szedł za Czarodziejem, zatrzymał się jednak w progu i drżąc, wpatrywał się z wyrazem tęsknoty w twarz syna. Wszyscy umilkli i znieruchomieli w obliczu widocznej udręki starca, który stał długą chwilę niezdecydowany.

– Pójdź z nami, Denethorze – powiedział wreszcie Gandalf. – Obaj jesteśmy w grodzie potrzebni. Możesz jeszcze wiele dokonać.

Nagle Denethor wybuchnął śmiechem. Wyprostował się znów dumnie, szybko wbiegł do sali i chwycił ze stołu poduszkę, na której przedtem opierał głowę. Wracając do drzwi, odsłonił powłoczkę: był pod nią ukryty *palantír*! Starzec podniósł go w górę i świadkom tej sceny wydało się, że kryształowa kula w ich oczach rozżarza się wewnętrznym płomieniem, rzucając czerwony odblask na wychudłą twarz Namiestnika, na rysy jakby wyrzeźbione w kamieniu, ostro podkreślone cieniami, szlachetne, dumne i groźne. Oczy mu znów się roziskrzyły.

– Pycha i rozpacz! – krzyknął. – Czy myślisz, że w Białej Wieży oczy były ślepe? Nie, widziały więcej, niż ty z całą swoją mądrością dostrzegasz, Szary Głupcze! Twoja nadzieja polega na niewiedzy. Idź, próbuj uzdrawiać umarłych. Idź i walcz! Wszystko daremne! Na krótko, na jeden dzień może zatryumfujesz na polu bitwy. Ale przeciw potędze, która rozrosła się w Czarnej Wieży, nic nie wskórasz. Tylko jeden palec tej potęgi sięgnął po nasz gród. Cały Wschód rusza na podbój. Ten wiatr, który złudził cię nadzieją, pędzi po Anduinie flotę czarnych żagli. Zachód ginie. Pora, by wszyscy, którzy nie chcą być niewolnikami, odeszli ze świata.

– Gdybyśmy słuchali takich rad, rzeczywiście oddalibyśmy zwycięstwo Nieprzyjacielowi – powiedział Gandalf.

– A więc łudź się dalej nadzieją! – zaśmiał się Denethor. – Czyż nie znam cię, Mithrandirze? Masz nadzieję, że obejmiesz po mnie władzę, że staniesz za tronami wszystkich władców Północy, Południa i Zachodu. Czytam w twoich myślach, przeniknąłem twoje plany. Wiem, żeś temu niziołkowi kazał przemilczeć prawdę. Żeś go wprowadził do mnie jako swojego szpiega. Mimo to z rozmów z nim dowiedziałem się imion i zamiarów wszystkich twoich sojuszników. Tak! Jedną ręką chciałeś mnie pchnąć przeciw Mordorowi, bym ci posłużył za tarczę, drugą zaś ściągnąłeś tutaj owego Strażnika Północy, aby zajął moje miejsce. Ale powiadam ci, Gandalfie Mithrandirze, nie będę w twoim ręku narzędziem! Jestem Namiestnikiem rodu Anáriona. Nie dam się poniżyć do roli zgrzybiałego szambelana na dworze byle przybłędy. Nawet gdyby udowodnił swoje prawa, jest tylko dalekim potomkiem Isildura. Nie skłonię głowy przed ostatnim z rodu od dawna wyzutego z władzy i godności.

– Jakże byś więc chciał ułożyć sprawy, Denethorze, gdybyś mógł przeprowadzić swoją wolę? – zapytał Gandalf.

– Chciałbym, aby wszystko pozostało tak, jak było za dni mego życia aż po dziś – odparł Denethor – i za dni moich pradziadów; chciałbym w pokoju władać grodem i przekazać rządy synowi, który by miał własną wolę, a nie ulegał podszeptom czarodzieja. Jeśli tego mi los odmawia, niech raczej wszystko przepadnie, nie chcę życia poniżonego, miłości podzielonej, czci uszczuplonej.

– W moim przeświadczeniu Namiestnik, który wiernie zwraca władzę prawowitemu królowi, nie traci miłości ani czci – rzekł Gandalf. – W każdym zaś razie nie powinieneś swego syna pozbawiać prawa wyboru, gdy jeszcze nie zgasła nadzieja, że może uniknąć śmierci.

Ale na te słowa płomień gniewu znowu się rozjarzył w oczach Denethora; wsunąwszy sobie kryształ pod ramię, starzec dobył sztyletu i podszedł do noszy. Beregond jednak uprzedził go błyskawicznym skokiem i zasłonił Faramira własnym ciałem.

– A więc to tak! – krzyknął Denethor. – Już mi ukradłeś połowę synowskiego serca. Teraz okradasz mnie także z miłości moich sług, aby ci pomogli obrabować mnie nawet ze szczątków mego syna. W jednym przynajmniej nie zdołasz mi przeszkodzić, umrę tak, jak postanowiłem. Do

mnie! – zawołał na sługi. – Do mnie! Czy sami tylko zaprzańcy zostali między wami?

Dwóch pachołków wbiegło po schodach na rozkaz swego władcy. Denethor wyrwał jednemu z nich żagiew i uskoczył w głąb domu. Nim Gandalf zdążył go powstrzymać, cisnął płonącą żagiew na stos, który natychmiast gwałtownie zajął się ogniem.

Denethor wskoczył na stół; stojąc tak w ognistym wieńcu, podniósł swoje namiestnikowskie berło i złamał je na kolanie. Rzucił je w ogień, a sam położył się na stole, oburącz przyciskając *palantír* do piersi. Wieść głosi, że odtąd ktokolwiek spojrzał w kryształ, jeśli nie miał dość potężnej woli, by go do swoich celów nakłonić, widział w nim tylko dwie starcze dłonie trawione żarem płomieni.

Gandalf w bólu i zgrozie odwrócił twarz i zamknął drzwi. Chwilę stał zamyślony i milczący w progu; z wnętrza grobowego domu słychać było szum rozszalałego ognia. Potem Denethor krzyknął wielkim głosem jeden jedyny raz i umilkł na zawsze. Nikt ze śmiertelnych nie ujrzał go już nigdy.

– Tak zginął Denethor, syn Ectheliona – rzekł Gandalf. Zwrócił się do Beregonda i do pachołków, osłupiałych z przerażenia. – I z nim razem skończyły się dni Gondoru, takiego, jaki znaliście przez całe swoje życie. Wszystko bowiem, dobre czy złe, kiedyś się kończy. Byliśmy tu świadkami wielu niecnych czynów, ale wyzbądźcie się wrogich uczuć, które was dzielą, bo wszystko to stało się za sprawą Nieprzyjaciela i on to posłużył się wami do własnych celów.

Wpadliście w sieć sprzecznych obowiązków, lecz nie wasze ręce tę sieć usnuły. Pamiętajcie, wierni słudzy Denethora, ślepi w swym posłuszeństwie, że gdyby nie zdrada Beregonda – Faramir, dowódca straży Białej Wieży, już byłby tylko garstką popiołu. Zabierzcie z tego nieszczęsnego miejsca ciała waszych zabitych towarzyszy. My zaś poniesiemy Faramira, Namiestnika Gondoru, tam, gdzie będzie mógł spać spokojnie lub umrzeć, jeśli tak los każe.

Gandalf i Beregond dźwignęli nosze i ruszyli w stronę Domów Uzdrowień. Pippin szedł za nimi z głową zwieszoną na piersi. Ale pachołkowie Denethora jakby w ziemię wrośli, zapatrzeni na Dom Umarłych; Gandalf był już u wylotu ulicy Milczenia, gdy rozległ się głośny łoskot. Obejrzawszy się za siebie, zobaczyli, że kopuła Domu

Namiestników pękła i kłęby dymu wydobywają się z niej ku niebu; zapadła się ze straszliwym rumorem walących się kamieni, lecz na gruzach wciąż jeszcze pełgały żywe płomienie. Dopiero wtedy pachołkowie, zdjęci strachem, uciekli w ślad za Czarodziejem ku furcie.

Kiedy przed nią stanęli, Beregond z gorzkim żalem spojrzał na martwego odźwiernego.

– Ten swój uczynek będę opłakiwał do śmierci – powiedział – ale szał mnie ogarnął, czas naglił, on zaś nie chciał słuchać moich błagań i wyciągnął miecz. – Kluczem, wyrwanym przedtem z rąk wartownika, zamknął furtę. – Teraz klucz ten należeć będzie do Faramira – powiedział.

– Pod nieobecność Namiestnika władzę pełni tymczasem książę Dol Amrothu – rzekł Gandalf. – Skoro go nie ma tutaj, pozwolę sobie rozstrzygnąć tę sprawę. Proszę cię, Beregondzie, zachowaj ten klucz i strzeż go, dopóki w mieście nie zapanuje na nowo porządek.

Wreszcie znaleźli się w górnych kręgach grodu i w blasku dnia szli dalej ku Domom Uzdrowień; były to piękne domy, przeznaczone w czasach pokoju dla ciężko chorych, teraz jednak przygotowane dla rannych znoszonych z pola bitwy. Stały w pobliżu Bramy Cytadeli, w szóstym kręgu, opodal południowego muru, otoczone ogrodem i łąką porośniętą drzewami, w jedynym zielonym zakątku grodu. Krzątało się tu kilka kobiet, którym pozwolono zostać w Minas Tirith, ponieważ były biegłe w sztuce leczniczej i wyćwiczone w posługach dla chorych.

Gandalf ze swymi towarzyszami właśnie wchodził przez główne wejście do ogrodu, gdy z pola pod Bramą wzbił się przeraźliwy, głośny krzyk, przemknął z wiatrem nad ich głowami i zamarł w oddali. Głos brzmiał tak okropnie, że na chwilę stanęli oszołomieni, lecz gdy przeminął, wstąpiła nagle w ich serca otucha, jakiej nie było w nich od dnia, kiedy ciemności nadciągnęły od Wschodu. Wydało im się, że dzień rozwidnił się nagle i że słońce przebiło się spoza chmur.

Lecz twarz Gandalfa zachowała wyraz powagi i smutku; Czarodziej polecił Beregondowi i Pippinowi wnieść Faramira do Domu Uzdrowień, sam zaś wybiegł na najbliższy mur. Stanął tam jak biały posąg i w świeżym blasku słonecznym wyjrzał na pole. Objął wzrokiem wszystko, co się tam rozgrywało, i dostrzegł Éomera, który jadąc do walki, zatrzymał się przy

poległych i rannych. Gandalf z westchnieniem owinął się znów szarym płaszczem i zbiegł z muru. Beregond i Pippin, wychodząc z Domu Uzdrowień, zastali go zadumanego przy wejściu. Patrzyli nań pytająco, lecz Czarodziej długą chwilę milczał. Wreszcie przemówił:

– Przyjaciele moi i wy wszyscy, obywatele tego grodu i mieszkańcy zachodnich krajów! Zdarzyło się dziś wiele rzeczy bolesnych i wiele chlubnych. Czy powinniśmy płakać, czy też się radować? Stało się coś, czego w najśmielszych nadziejach nie mogliśmy się spodziewać, zginął bowiem Wódz wrogiej armii; słyszeliśmy echo jego ostatniego rozpaczliwego krzyku. Lecz tryumf ten przypłacony został ciężką żałobą i wielką stratą. Mogłem był jej zapobiec, gdyby nie szaleństwo Denethora. Aż tak daleko w głąb naszego obozu sięgnęła władza Nieprzyjaciela! Dziś dopiero zrozumiałem w pełni, jakim sposobem zdołał swoją wolę narzucić tu, w samym sercu grodu. Namiestnicy przypuszczali, że nikt nie zna ich sekretu, ja jednak od dawna wiedziałem, że w Białej Wieży, podobnie jak w Orthanku, przechował się jeden z Siedmiu Kryształów. Za dni swej mądrości Denethor nie ważył się nim posługiwać ani wyzywać Saurona, zdając sobie sprawę z granicy własnych sił. Lecz rozum starca osłabł. Gdy niebezpieczeństwo zagroziło bezpośrednio jego królestwu, spojrzał w kryształ i dał się oszukać; po wyprawieniu Boromira na północ robił to zapewne coraz częściej. Był zbyt wielkoduszny, by się poddać woli Władcy Ciemności, lecz widział w krysztale tylko to, co tamten mu dojrzeć pozwolił. Zdobywał dzięki temu bez wątpienia wiadomości nieraz pożyteczne, jednakże wizje ogromnej potęgi Mordoru, które mu wciąż podsuwano, rozjątrzały w jego sercu rozpacz, aż w końcu zaćmiły jego umysł.

– Teraz wyjaśnia się zagadka, nad którą się głowiłem – powiedział Pippin, drżąc na samo wspomnienie przeżytych okropności. – Denethor wyszedł na czas pewien z komnaty, w której leżał Faramir, i dopiero po powrocie wydał mi się odmieniony, zgrzybiały i złamany.

– Wkrótce potem, jak wniesiono Faramira do Wieży, ludzie zauważyli dziwne światła w najwyższym jej oknie – odezwał się Beregond. – Widywaliśmy co prawda takie światła nieraz i od dawna w grodzie krążyły pogłoski, że Namiestnik zmaga się myślą z Nieprzyjacielem.

– Niestety, były to trafne przypuszczenia – rzekł Gandalf. – Tą drogą wola Saurona wdarła się do Minas Tirith. Dlatego też ja, zamiast być w

polu, tu musiałem pozostać. I teraz jeszcze odejść stąd nie mogę, bo wkrótce oprócz Faramira będę miał innych rannych i chorych pod opieką. Pójdę na ich spotkanie. Zobaczyłem z murów widok bardzo dla mego serca bolesny, kto wie, czy nie czekają nas dotkliwsze jeszcze troski. Chodź ze mną, Pippinie. A ty, Beregondzie, powinieneś wrócić do Cytadeli i zdać dowódcy sprawę z wszystkiego, co zaszło. Obawiam się, że uzna za swój obowiązek wykluczyć cię z gwardii. Powiedz mu jednak, że – jeśli zechce się liczyć z moim zdaniem – radzę mu odesłać cię do Domów Uzdrowień, abyś służył tam swojemu choremu Władcy i znalazł się przy nim, gdy ocknie się ze snu – jeśli w ogóle kiedyś się ocknie. Tobie bowiem zawdzięcza, że nie spłonął żywcem. Idź, Beregondzie. Co do mnie, powrócę tu niebawem.

Z tymi słowy ruszył ku niższym kręgom grodu w towarzystwie Pippina. Szli przez miasto, gdy zaczął padać rzęsisty deszcz, gasząc wszystkie pożary, tak że tylko ogromne kłęby dymu wzbijały się wszędzie przed nimi.

ROZDZIAŁ 8
DOMY UZDROWIEŃ

Zmęczenie i łzy przesłaniały mgłą oczy Meriadoka, kiedy się zbliżał do zburzonej Bramy Minas Tirith. Hobbit prawie nie widział ruin i trupów zalegających pole. Powietrze gęste było od ognia, dymu i zaduchu, wiele bowiem machin wojennych spłonęło lub zwaliło się w huczące płomieniami rowy, gdzie spadł też niejeden trup ludzki lub zwierzęcy. Tu i ówdzie leżały ogromne martwe cielska południowych mûmakilów, na pół zwęglone albo zmiażdżone kamiennymi pociskami, z oczami wykłutymi przez celne strzały łuczników z Morthondu; wszędzie w dolnych dzielnicach grodu cuchnęło spalenizną.

Ludzie już krzątali się na przedpolach, oczyszczając drogę przez pobojowisko, a z Bramy wyniesiono nosze. Złożono Éowinę ostrożnie na miękkich poduszkach, zwłoki zaś króla okryto wspaniałym złocistym całunem; otoczyli je Rohirrimowie z zapalonymi pochodniami w ręku i blade w słonecznym blasku płomyki chwiały się na wietrze.

Tak wkroczyli do grodu król Théoden i Éowina, a każdy na ich widok odkrywał głowę i schylał ją z czcią. Niesiono ich wśród pogorzelisk i dymów spalonego kręgu przez kamienne ulice ku górze. Meriadokowi dłużył się ten marsz nieznośnie, szedł jak w koszmarnym, niezrozumiałym śnie, wspinając się mozolnie do jakiegoś odległego celu, którego nie mógł odnaleźć w pamięci. Coraz niklej przebłyskiwały przed jego oczyma światła pochodni, aż wreszcie pogasły zupełnie i hobbit wlókł się w ciemnościach, myśląc:

„To podziemny korytarz, wiodący do grobu, w którym zostaniemy już na zawsze”. Nagle w jego sen wtargnął czyjś żywy głos:

– Merry! Nareszcie! Co za szczęście, że cię odnalazłem!

Podniósł wzrok i mgła przesłaniająca mu oczy przerzedziła się nieco. Zobaczył Pippina! Stali twarzą w twarz pośrodku wąskiej uliczki, gdzie prócz nich dwóch nie było nikogo. Merry przetarł oczy.

– Gdzie jest król? – spytał. – Gdzie Éowina?

Zachwiał się, przysiadł na jakimś progu i rozpłakał się znowu.

– Ponieśli ich na górę, do Cytadeli – odparł Pippin. – Zdaje się, że idąc, usnąłeś i zabłądziłeś na którymś zakręcie. Kiedy stwierdziliśmy, że nie ma cię w królewskim orszaku, Gandalf wysłał mnie na poszukiwania. Biedaczysko! Jakże się cieszę, że cię znowu widzę. Ale ty jesteś okropnie wyczerpany, teraz nie będę cię męczył rozmową. Powiedz tylko, czy jesteś ranny? Skaleczony?

– Nie – powiedział Merry. – Zdaje się, że nie. Ale wiesz, Pippinie, od chwili kiedy zraniłem tamtego, straciłem władzę w prawym ramieniu, a mój miecz spalił się do szczętu jak kawałek drewna.

Na twarzy Pippina odmalowało się zaniepokojenie.

– Myślę, że powinieneś teraz iść ze mną, jak możesz najspieszniej – rzekł. – Niestety, nie mogę cię zanieść. Widzę, że ledwie powłóczysz nogami. Szkoda, że nie wzięli cię od razu na nosze, trzeba im to jednak wybaczyć; za wiele strasznych rzeczy zdarzyło się dziś w grodzie, nic dziwnego, że przegapiono małego biednego hobbita wracającego z pola bitwy.

– Czasem można na takim przegapieniu wygrać – odparł Merry. – Nie dostrzegł mnie przecież w porę… Nie! Nie mogę o tym teraz mówić. Pomóż mi, Pippinie. Ciemno mi w oczach, a ramię mam zimne jak lód.

– Oprzyj się na mnie, Merry, przyjacielu kochany! Chodźmy! Powolutku dojdziemy. To już niedaleko.

– Czy wyprawisz mi pogrzeb? – spytał Merry.

– Co ty pleciesz? – zaprotestował Pippin, siląc się na wesołość, chociaż serce ściskało mu się ze strachu i litości. – Idziemy do Domów Uzdrowień.

Z uliczki biegnącej między rzędem wysokich kamienic a zewnętrznym murem czwartego kręgu skręcili na główną ulicę, która wspinała się ku Cytadeli. Posuwali się krok za krokiem, Merry chwiał się na nogach i mruczał coś jak gdyby przez sen.

„Nigdy w ten sposób nie dojdziemy – martwił się w duchu Pippin. – Czy nikt mi nie pomoże? Nie mogę przecież biedaka zostawić ani na chwilę samego”.

Ledwie to pomyślał, niespodziewanie dogonił ich biegnący chyżo chłopiec, a gdy ich mijał, Pippin poznał Bergila, syna Beregonda.

– Hej, Bergilu! – zawołał. – Dokąd pędzisz? Cieszę się, że cię znów spotykam, całego i zdrowego.

– Jestem Gońcem Uzdrowicieli – oznajmił Bergil. – Nie mogę się zatrzymać.

– Nie trzeba! – powiedział Pippin. – Powiedz tylko, że mam tutaj chorego hobbita, periana, jak wy nas zwiecie, który wraca z pola bitwy. Zdaje się, że nie zajdzie o własnych siłach tak daleko. Jeżeli tam jest Mithrandir, uradujesz go tą nowiną.

Bergil pobiegł naprzód.

„Lepiej będzie, jeśli tutaj poczekamy na pomoc” – pomyślał Pippin.

Łagodnie usadowił Meriadoka na krawędzi chodnika w słonecznym miejscu i siadłszy obok niego, ułożył głowę chorego przyjaciela na własnych kolanach. Ostrożnie obmacał ciało i ujął jego ręce w swoje dłonie. Prawa ręka była zimna jak lód.

Wkrótce zjawił się Gandalf we własnej osobie. Pochylił się nad Meriadokiem i pogłaskał jego czoło, potem dźwignął chorego w ramionach.

– Należałby mu się tryumfalny wjazd do grodu – powiedział. – Nie zawiódł mego zaufania, gdyby bowiem Elrond nie ustąpił moim naleganiom, żaden z was, moi hobbici, nie wziąłby udziału w tej wyprawie i ponieślibyśmy dziś cięższe jeszcze straty. – Czarodziej westchnął i dodał: – No i mam jednego więcej chorego na głowie, a tymczasem los bitwy wciąż waży się na szali.

Wreszcie wszyscy: Faramir, Éowina i Merry, znaleźli się w łóżkach w Domu Uzdrowień, pod troskliwą opieką. Wprawdzie w tych czasach dawna wiedza nie jaśniała już pełnią światła, jak w odległej przeszłości, lecz sztuka uzdrawiania stała jeszcze w Gondorze wysoko, umiano leczyć rany i wszelkie choroby, którym podlegali ludzie na wschodnich wybrzeżach Morza. Wszystkie oprócz starości. Na nią nie znano lekarstwa i tutejsi ludzie żyli teraz niewiele dłużej niż inne plemiona, a szczęśliwców, którzy wtedy w pełni sił przekraczali setkę lat, można było na palcach zliczyć, z wyjątkiem rodów najczystszej krwi. Ostatnio wszakże sztuka uzdrowicieli zawodziła, szerzyła się bowiem nowa choroba, na którą nie znano rady. Nazwano ją Czarnym Cieniem, ponieważ jej sprawcami były Nazgûle. Dotknięci nią chorzy zapadali stopniowo w coraz głębszy sen, potem milkli

i śmiertelny chłód ogarniał ich ciała, w końcu umierali. W Domu Uzdrowień podejrzewano, że właśnie ta straszna choroba nęka niziołka i księżniczkę Rohanu. Przed południem oboje chorzy jeszcze mówili, szepcząc coś jakby we śnie; opiekunowie pilnie się temu przysłuchiwali w nadziei, że dowiedzą się może czegoś, co pomoże w zrozumieniu ich cierpień i znalezieniu na nie ratunku. Lecz chorzy wkrótce umilkli, zasnęli głębiej, a gdy słońce schyliło się ku zachodowi, szary cień powlókł ich twarze. Faramira natomiast spalała gorączka, której żadne środki nie mogły uśmierzyć.

Gandalf chodził od jednego do drugiego łoża, a opiekunowie powtarzali mu każde słowo zasłyszane z ust chorych. Tak mijał tutaj dzień, podczas gdy na polu wielka bitwa toczyła się wśród zmiennego szczęścia i dziwnych niespodzianek. Wreszcie czerwony blask zachodu rozlał się po niebie i przez okna dosięgnął poszarzałych twarzy chorych. Tym, którzy wtedy przy nich czuwali, wydawało się, że rumieńce zdrowia wracają na wynędzniałe policzki, ale była to zwodnicza nadzieja.

Patrząc na piękne oblicze Faramira, najstarsza z posługujących w Domu Uzdrowień kobiet, Ioreth, zapłakała, bo wszyscy w grodzie kochali młodego rycerza.

– Wielkie to będzie nieszczęście, jeśli nam umrze! – powiedziała. – Gdybyż byli na świecie królowie Gondoru, jak za dawnych czasów! Stare księgi mówią, że „ręce króla mają moc uzdrawiania”. Po tym właśnie rozpoznawano zawsze prawowitych królów.

Gandalf, który stał obok, odpowiedział jej:

– Oby ludzie zapamiętali twoje słowa, Ioreth! W nich bowiem jest nadzieja. Może naprawdę król wrócił do Gondoru. Czy nie słyszałaś dziwnych wieści, które krążą w grodzie?

– Miałam tu pełne ręce roboty, nie słuchałam, co krzyczą albo szepczą – odparła. – A co do nadziei, to spodziewam się przynajmniej tego, że ci mordercy nie wtargną do naszych Domów i nie zakłócą spokoju chorych.

Gandalf wyszedł spiesznym krokiem. Łuna już dopalała się na niebie, rozżarzone szczyty gór zbladły, szary jak popiół wieczór rozpełzał się po nizinie.

Po zachodzie słońca Aragorn, Éomer i książę Imrahil nadciągnęli wraz ze swymi dowódcami i rycerzami pod miasto, a gdy znaleźli się pod Bramą, Aragorn przemówił:

– Spójrzcie na ten pożar, który roznieciło zachodzące słońce! To znak kresu i upadku wielu rzeczy i zmiany w biegu spraw na tym świecie. Gród ten pozostawał pod władzą Namiestników przez tak długie wieki, iż lękam się, że gdybym do niego wkroczył nieproszony, wybuchłyby spory i wątpliwości, bardzo niepożądane w czasie wojny. Nie wejdę więc do stolicy ani nie zgłoszę swoich roszczeń do tronu, póki nie rozstrzygnie się ostatecznie, kto zwyciężył: my czy też Mordor. Każę rozbić swój namiot na polu i tutaj będę czekał, aż wezwie mnie z dobrej woli Władca grodu.

– Już podniosłeś sztandar królewski i objawiłeś godła rodu Elendila – odparł na to Éomer. – Czy ścierpisz, by ktoś odmówił im należnej czci?

– Nie – powiedział Aragorn – ale czas nie dojrzał jeszcze, a ja nie chcę starcia z nikim, chyba z Nieprzyjacielem i jego sługami.

Zabrał z kolei głos książę Imrahil:

– Jeżeli pozwolisz, by swoje zdanie wyraził bliski krewny Denethora, wiedz, że twoje postanowienie wydaje mi się mądre. Denethor jest uparty i dumny, ale stary. Odkąd ujrzał syna ciężko rannego, zachowuje się bardzo dziwnie. Nie godzi się jednak, abyś pozostał jak żebrak przed Bramą.

– Nie jak żebrak – odparł Aragorn – ale jak dowódca Strażników, którzy nie przywykli do miast i domów z kamienia.

Kazał zwinąć swój sztandar, a przedtem zdjął z niego gwiazdę Północnego Królestwa i oddał ją na przechowanie synom Elronda.

Książę Imrahil i Éomer pożegnali więc Aragorna i bez niego weszli do grodu, aby wśród wiwatujących na ulicach ludzi wspiąć się na górę do Cytadeli. Tu w Sali Wieżowej spodziewali się zastać Namiestnika, lecz zobaczyli jego fotel pusty, a pośrodku, pod baldachimem, spoczywające na wspaniałym łożu zwłoki Théodena, króla Marchii. Dwanaście pochodni płonęło wokół niego i dwunastu rycerzy, z Rohanu i Gondoru, pełniło straż. Łoże udrapowano barwami białą i zieloną, lecz całun, okrywający króla po pierś, był ze złotogłowiu, na nim zaś błyszczał nagi miecz i u stóp zmarłego leżała jego tarcza. Siwe włosy w migotliwym świetle pochodni lśniły jak

krople wody w słońcu, piękna twarz zdawała się młoda, chociaż bił z niej spokój, jakiego nie zna młodość. Można by pomyśleć, że sędziwy król śpi.

Długą chwilę stali w milczeniu przed zmarłym królem, wreszcie odezwał się książę Imrahil:

– Gdzie jest Namiestnik? Gdzie Mithrandir?

Odpowiedział mu jeden z pełniących wartę rycerzy:

– Namiestnik Gondoru przebywa w Domu Uzdrowień.

– A gdzie moja siostra Éowina? – spytał Éomer. – Zasłużyła na miejsce obok króla, w nie mniejszej chwale. Dokąd ją zabrano?

– Ależ księżniczka żyła, gdy ją podniesiono z pobojowiska! – odparł książę Imrahil. – Czy nie wiedziałeś o tym, Éomerze?

Tak więc niespodziewana już nadzieja powróciła w serce Éomera, a wraz z nią nowe troski i obawy. Bez słowa wyszedł z sali; książę podążył za nim. Na dworze wieczór już zapadł i rój gwiazd świecił na niebie. U drzwi Domu Uzdrowień spotkali Gandalfa, któremu towarzyszył jakiś człowiek spowity szarym płaszczem. Powitali Czarodzieja, mówiąc:

– Szukamy Namiestnika. Powiedziano nam, że znajduje się w tych Domach. Czy odniósł jakieś rany? I gdzie jest Éowina?

– Éowinę znajdziecie tutaj – odparł Gandalf. – Nie umarła, lecz bliska jest śmierci. Faramir, zraniony zatrutą strzałą, także tu leży chory. On jest teraz Namiestnikiem Gondoru. Denethor odszedł do swych przodków, jego domem jest garść popiołów.

Z bólem i zdumieniem słuchali, gdy opowiadał im o śmierci starego władcy.

– A więc święcimy zwycięstwo bez radości – rzekł książę Imrahil – okupione wielką ceną, skoro w jednym dniu zarówno Rohan, jak i Gondor utraciły swych Władców. Rohirrimom przewodzi Éomer. Kto będzie tymczasem rządził w grodzie? Czy nie należałoby posłać po Aragorna?

– Jest już między wami – odezwał się człowiek w szarym płaszczu.

Postąpił krok naprzód i w świetle latarni wiszącej nad drzwiami poznali Aragorna, który na zbroję narzucił szary płaszcz z Lórien i z wszystkich godeł zachował tylko zielony kamień Galadrieli. – Przyszedłem na gorącą prośbę Gandalfa – ciągnął dalej Aragorn – ale jedynie jako dowódca Dúnedainów z Arnoru. Rządy w grodzie należą do księcia Dol Amrothu,

dopóki Faramir nie odzyska przytomności. Moim wszakże zdaniem wszyscy powinniśmy w najbliższych dniach oddać się pod rozkazy Gandalfa w naszej wspólnej walce z Nieprzyjacielem.

– Przede wszystkim nie stójmy dłużej pod tymi drzwiami – rzekł Gandalf. – Nie ma chwili do stracenia. Wejdźmy do środka, bo w Aragornie cała nadzieja ratunku dla chorych, leżących w tym domu. Tak powiedziała Ioreth, doświadczona stara kobieta: „Ręce królewskie mają moc uzdrawiania, po tym poznaje się prawowitego króla”.

Aragorn wszedł pierwszy, inni za nim. W progu czuwało dwóch gwardzistów w srebrno-czarnych barwach Białej Wieży. Jeden z nich był rosłym mężczyzną, drugi miał wzrost małego chłopca. Ten właśnie na widok wchodzących krzyknął głośno ze zdziwienia i radości:

– Obieżyświat! Co za spotkanie! Wiesz, od razu zgadłem, że to ty płyniesz na czarnym okręcie. Ale wszyscy krzyczeli: „Korsarze!”, i nikt nie chciał mnie słuchać. Jakżeś tego dokonał?

Aragorn ze śmiechem uścisnął rękę hobbita.

– Ja też się cieszę z tego spotkania – rzekł. – Teraz jednak nie ma czasu na opowieści o przygodach w podróży.

Imrahil zwrócił się do Éomera:

– Czy tak rozmawiacie ze swoimi królami? – spytał. – Spodziewam się, że ukoronujemy go pod innym imieniem!

Aragorn usłyszał tę uwagę i odpowiedział księciu:

– Z pewnością. W szlachetnym dawnym języku nazywam się Elessar, Kamień Elfów, i Envinyatar, Odnowiciel! – To mówiąc, wskazał zielony kamień przypięty do piersi. – Ale ród mój – jeśli w ogóle założę ród – przyjmie miano Obieżyświat. W mowie Númenoru nie będzie to brzmiało źle: Telcontar. Takie imię przekażę mojemu potomstwu.

Z tymi słowami wszedł do Domu Uzdrowień, a zanim doszli do pokoju, gdzie leżeli chorzy, Gandalf opowiedział mu o czynach Éowiny i Meriadoka na polu bitwy.

– Długo czuwałem u ich wezgłowi – rzekł. – Z początku wiele mówili przez sen, zanim popadli w śmiertelną drętwotę. Resztę wiem, ponieważ dany mi jest dar widzenia rzeczy odległych.

Aragorn pospieszył najpierw do Faramira, potem do Éowiny, na końcu do Meriadoka. Gdy przyjrzał się ich twarzom i ranom, westchnął.

– Muszę tu użyć całej mocy i wiedzy, jaką rozporządzam – powiedział. – Szkoda, że nie ma wśród nas Elronda, on bowiem jest najstarszy w naszym plemieniu i najpotężniejszy.

Éomer, widząc, że obaj – Gandalf i Aragorn – zdają się zatroskani i zmęczeni, rzekł:

– Czy nie powinniście najpierw odpocząć i posilić się trochę?

– Nie, dla tych trojga, a szczególnie dla Faramira, każda chwila może rozstrzygnąć o życiu – odparł Aragorn. – Nie wolno zwlekać.

Przywołał starą Ioreth i zapytał:

– Ty masz pieczę nad zapasami ziół w tym domu, prawda?

– Tak, panie – odpowiedziała – ale nie starczy nam ziół dla wszystkich, którzy potrzebują leczenia. Nie wiem, skąd wziąć ich więcej, bo w mieście po tych okropnych zdarzeniach niczego się nie znajdzie, ogień zniszczył tyle domów, chłopców na posyłki mamy niewielu, a drogi odcięte. Od niepamiętnych dni nie przybywają z Lossarnach wozy z dostawami na rynek. Gospodarujemy tym, co tu mamy, jak się da najlepiej, dostojny pan może mi wierzyć.

– Uwierzę, gdy zobaczę – powiedział Aragorn. – Brak nie tylko ziół, ale również czasu na dłuższe gawędy. Czy macie liście *athelas*?

– Nie wiem, dostojny panie – odparła Ioreth. – W każdym razie nie znam takiej nazwy. Zapytam mistrza zielarza, on zna stare nazwy.

– Niekiedy zwą je również królewskimi liśćmi – wyjaśnił Aragorn – może pod tym mianem o nich słyszałaś, bo tak je lud w późniejszych czasach przezwał.

– Ach, te liście! – zdziwiła się Ioreth. – Owszem, gdyby wielmożny pan od razu tak je nazwał, mogłabym odpowiedzieć bez namysłu. Nie, nie mamy ich tutaj. Nigdy też nie słyszałam, żeby miały jakieś uzdrawiające własności; często nawet mówiłam siostrom, kiedy spotkałyśmy to ziele w lesie: „To są królewskie liście. – Tak mówiłam. – Dziwaczna nazwa, ciekawe, dlaczego je tak nazwano, bo gdybym ja była królem, hodowałabym piękniejsze rośliny w swoim ogrodzie”. Ale przyznaję, że

pachną bardzo przyjemnie, gdy je zmiąć w ręku. Może zresztą źle się wyraziłam, nie tyle przyjemnie, ile orzeźwiająco.

– Bardzo orzeźwiająco – rzekł Aragorn. – Ale teraz, jeśli kochasz Faramira, puść w ruch nogi zamiast języka i pobiegnij po te zioła. Przetrząśnij całe miasto i przynieś choćby jeden liść.

– A jeśli nie znajdzie się nic w grodzie – wtrącił się Gandalf – pogalopuję do Lossarnach i wezmę z sobą Ioreth, żeby tym razem nie swoim siostrom, ale mnie pokazała w lesie owe liście. W zamian Cienistogrzywy pokaże jej, jak się należy spieszyć w potrzebie.

Po odprawieniu Ioreth polecił Aragorn innym kobietom, żeby zagrzały wodę, sam zaś siadł przy Faramirze i jedną ręką ująwszy dłoń chorego, drugą położył na jego czole. Było zroszone obficie potem; Faramir nie poruszał się, nie zareagował na dotknięcie, ledwie oddychał.

– Resztki sił z niego uchodzą – rzekł Aragorn, zwracając się do Gandalfa. – Nie sama rana jest jednak tego przyczyną. Spójrz, goi się dobrze. Gdyby go ugodziła strzała Nazgûla, jak przypuszczałeś, już by nie przeżył tej nocy. Musiał go zranić z łuku jakiś południowiec. Kto wyciągnął strzałę? Czy ją zachowano?

– Strzałę wyciągnąłem ja – powiedział Imrahil – i założyłem pierwszy opatrunek. Nie zachowałem jej wszakże, bo działo się to w gorączce bitwy. Wyglądała, jeśli mnie pamięć nie myli, jak zwykłe strzały używane przez południowców. Myślę jednak, że zesłał ją z powietrza Skrzydlaty Cień, jakże bowiem inaczej tłumaczyć sobie tę uporczywą gorączkę i całą chorobę; rana nie jest przecież głęboka, nie zostały naruszone żadne ważne narządy ciała. Jak to wyjaśnisz?

– Wszystko się tutaj razem sprzysięgło: utrudzenie, ból z powodu ojcowskiej niełaski, rana, a co najgorsze, tchnienie Ciemnych Sił – odparł Aragorn. – Faramir ma wiele hartu, lecz jeszcze przed bitwą o zewnętrzne mury Pelennoru przebywał długi czas na obszarach, których Cień dosięgał. Stopniowo ciemność go przenikała, nawet w momentach najgorętszej walki. Wielka szkoda, że nie mogłem tu przybyć wcześniej!

W tejże chwili wszedł do pokoju mistrz zielarstwa.

– Dostojny pan zapytywał o królewskie liście, jak je lud nazywa, czyli *athelas* w języku uczonych lub tych, którzy mają niejakie pojęcie o mowie

Valinoru…

– Tak, pytałem, i jest mi obojętne, czy nazwiecie to ziele *asëa aranion* czy królewskim liściem, bylem je dostał – przerwał mu Aragorn.

– Proszę mi wybaczyć, dostojny panie – odparł zielarz. – Widzę, że mam przed sobą człowieka uczonego, nie zaś zwykłego wojaka. Niestety, nie trzymamy tego ziela w naszych Domach Uzdrowień, gdzie pielęgnujemy wyłącznie poważnie rannych lub chorych. Ziele to bowiem nie posiada, o ile nam wiadomo, cennych właściwości poza tą, że odświeża powietrze i rozprasza przelotne uczucie znużenia. Chyba że ktoś daje wiarę starym porzekadłom, które powtarzają po dziś dzień babinki takie jak Ioreth, nie rozumiejąc nawet, co mówią:

Przeciw czarnych potęg tchnieniu,
Gdy zabójcze rosną cienie,
Gdy ostatni promień zgasł,
Ty nas ratuj, athelas!
Ręką króla liść podany
Wraca życie, goi rany![80]

Ale, moim zdaniem, to zwykła bajka, tkwiąca w pamięci przesądnych kobiet. Dostojny pan sam osądzi, jaki z niej wyciągnąć wniosek i czy w ogóle ma ona sens. Starzy ludzie rzeczywiście piją wywar z tego ziela, który rzekomo pomaga im na bóle głowy.

– A więc w imieniu króla idź i poszukaj jakiegoś starego człowieka, mniej uczonego, ale za to rozumniejszego od mędrców rządzących w tym domu! – krzyknął Gandalf.

Aragorn ukląkł przy łóżku Faramira, trzymając wciąż rękę na jego czole. Wszyscy obecni wyczuli, że toczy się tutaj jakaś ciężka walka. Twarz Aragorna bowiem pobladła z wysiłku; powtarzał imię Faramira, lecz głos jego coraz słabiej dochodził do uszu świadków tej sceny, jak gdyby Aragorn oddalał się od nich i zagłębiał w jakąś ciemną dolinę, nawołując zabłąkanego w niej przyjaciela.

Wreszcie nadbiegł Bergil, niosąc sześć liści zawiniętych w chustkę.

– Proszę, oto królewskie liście – oznajmił. – Niestety, nie są świeże. Zerwano je przed dwoma co najmniej tygodniami. Mam nadzieję, że pomimo to przydadzą się na coś.

I spojrzawszy na Faramira, chłopiec wybuchnął płaczem. Aragorn wszakże uśmiechnął się do niego.

– Przydadzą się na pewno! – powiedział. – Najgorsze już przeminęło. Zostań tutaj i bądź dobrej myśli.

Wybrał dwa liście, położył na swej dłoni, chuchnął na nie, a potem skruszył je w ręku; natychmiast odżywcza woń napełniła pokój, jakby powietrze samo zbudziło się i zaperliło radością. Aragorn rzucił ziele do misy z wrzącą wodą, którą przed nim postawiono. W serca wszystkich wstąpiła nagle otucha, zapach ten bowiem każdemu przyniósł jak gdyby wspomnienie błyszczących od rosy wiosennych poranków pod bezchmurnym niebem, w krainie, która sama jest wiosną, przelotnym wspomnieniem piękniejszego świata. Aragorn wstał, jak gdyby pokrzepiony na nowo, z uśmiechem w oczach podsunął misę przed uśpioną twarz Faramira.

– Patrzcie państwo! – powiedziała Ioreth do stojącej obok kobiety. – Któż by się spodziewał? Lepsze to ziele, niż myślałam. Przypomina mi róże z Imloth Melui, które widziałam, kiedy byłam jeszcze młodą dziewczyną; sam król nie mógł żądać wspanialszego zapachu.

Faramir poruszył się, otworzył oczy i spojrzał na schylonego nad łożem Aragorna wzrokiem przytomnym i pełnym miłości, mówiąc z cicha:

– Wołałeś mnie, królu. Jestem. Co mój król rozkaże?

– Abyś się dłużej nie błąkał w ciemnościach. Zbudź się, Faramirze! – odparł Aragorn. – Jesteś zmęczony. Odpocznij, posil się i bądź gotów, gdy po ciebie wrócę.

– Będę gotów, miłościwy panie – rzekł Faramir. – Któż chciałby leżeć bezczynnie w chwili, gdy król powraca?

– Tymczasem żegnaj! – powiedział Aragorn. – Muszę iść do innych, którzy także mnie potrzebują.

Wyszedł wraz z Gandalfem i Imrahilem, Beregond jednak i jego syn pozostali przy Faramirze; nie usiłowali nawet taić swej radości. Pippin, idąc za Gandalfem, usłyszał, nim zamknął drzwi, okrzyk starej Ioreth:

– Król! Słyszeliście? A co, nie mówiłam? Ręce królewskie mają moc uzdrawiania. Dawno to wiedziałam!

Wieść obiegła błyskawicą Dom Uzdrowień i wkrótce rozeszła się po całym grodzie nowina, że król prawowity wrócił i uzdrawia tych, którzy w bitwie odnieśli rany.

Aragorn tymczasem stanął nad łożem Éowiny i orzekł:

– Ciężkie to rany, okrutny cios poraził księżniczkę. Złamane ramię opatrzono jak należy i powinno zrosnąć się z czasem, jeśli chora okaże się dość silna, by przeżyć. W lewej ręce, która trzymała tarczę, kość została strzaskana, ale głównym źródłem choroby jest prawa, która władała mieczem; chociaż w niej kość jest nienaruszona, ręka zdaje się martwa. Éowina walczyła z przeciwnikiem potężnym nad miarę jej sił cielesnych i duchowych. Kto na takiego wroga chce podnieść miecz, musi być twardszy niźli stal; inaczej zabije go sam wstrząs starcia. Zły los postawił tego nieprzyjaciela na jej drodze. A przecież to młoda dziewczyna i piękna, najpiękniejsza wśród córek królewskich. Nie wiem zresztą, jak ją osądzić. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę księżniczkę i zrozumiałem jej smutek, zdawało mi się, że patrzę na biały kwiat, smukły i dumny, uroczy jak lilia, a zarazem wyczuwałem w nim hart, jakby go elfowie wyrzeźbili ze stali. A może to mróz ściął lodem jego soki i dlatego kwiat wyprostowany jeszcze, słodki i gorzki jednocześnie, piękny z pozoru, był już we wnętrzu swym zraniony, skazany na wczesne zwiędnięcie i śmierć? Choroba zaczęła ją nurtować bardzo dawno, prawda, Éomerze?

– Dziwię się, że mnie właśnie pytasz o to, miłościwy panie – odparł Éomer. – Nie obwiniam cię w tej sprawie ani w żadnej innej, lecz wiem, że Éowiny, mojej siostry, nie zmroził nigdy złowrogi dreszcz, póki ciebie nie ujrzała. Żywiła pewne troski i obawy, którymi dzieliła się ze mną, za czasów, gdy Gadzi Język władał umysłem naszego króla i trzymał go pod swoim złym urokiem. Czuwała nad Théodenem z coraz większym niepokojem. Ale nie to przecież doprowadziło ją do tak ciężkiej choroby.

– Przyjacielu! – rzekł Gandalf. – Ty miałeś konie, zbrojne wyprawy, swobodę otwartych stepów, ale twoja siostra urodziła się z ciałem pięknej dziewczyny, chociaż duch w niej żył nie mniej mężny od twego. Przypadło jej w udziale pielęgnowanie starca, którego kochała jak ojca, i czuwanie, aby nie zhańbił swej sławy, poddając się niedołęstwu starości. W tej roli

czuła się czymś mniej ważnym niż laska, na której wspierał się sędziwy król. Czy myślisz, że Gadzi Język sączył truciznę tylko w uszy Théodena? „Stary ramol! Dwór potomków Eorla to kryta strzechą chałupa, w której zbóje wędzą się w dymie i piją, a ich bachory tarzają się razem z psami po podłodze”. Czyś nie słyszał kiedyś tych obelg? Tak mówił Saruman, mistrz Gadziego Języka. Nie wątpię, oczywiście, że Gadzi Język wyrażał ten sąd bardziej oględnie i podstępnie pod dachem Théodena. Gdyby miłość do ciebie, Éomerze, i wierność obowiązkom nie zamykały jej ust, usłyszałbyś może od swojej siostry i takie słowa. Ale kto wie, co mówiła w ciemności, gdy była sama, w gorzkie bezsenne noce, myśląc o swoim życiu, z każdym dniem uboższym, w czterech ścianach pokoju, w którym czuła się uwięziona jak leśne zwierzątko w ciasnej klatce.

Éomer nic nie odpowiedział. Patrzył na swoją siostrę, jakby teraz w innym świetle zobaczył wszystkie dni dzieciństwa i młodości przeżyte z nią razem.

– Wiem o tym, coś ty odgadł, Éomerze – odezwał się Aragorn. – Wśród ciosów, które nam los gotuje na tym świecie, mało jest równie gorzkich i tak zawstydzających dla męskiego serca, jak miłość ofiarowana przez piękną i godną czci dziewczynę, gdy jej nie można odpowiedzieć wzajemnością. Ból i żal ani na chwilę nie opuściły mnie, odkąd w Dunharrow pożegnałem księżniczkę tak głęboko zrozpaczoną, aby przemierzyć Ścieżkę Umarłych, i żaden strach na tej Ścieżce nie stłumił we mnie lęku o dalsze losy Éowiny. A jednak, Éomerze, wiem, że ciebie ona kocha głębiej niż mnie. Ciebie bowiem zna dobrze, we mnie zaś pokochała tylko cień i marzenie, nadzieję sławy i wielkich czynów, urok nieznanych krajów, odległych od stepów Rohanu.

Może mam moc, by uzdrowić jej ciało i przywołać je do powrotu z mrocznych dolin. Ale nie wiem, do czego się zbudzi: do nadziei, do zapomnienia czy też do rozpaczy. Jeśliby się zbudziła w rozpaczy, umrze, chyba że uzdrowi ją inne lekarstwo, którym ja nie rozporządzam. Byłaby to wielka strata, tym bardziej że twoja piękna siostra zdobyła swymi ostatnimi czynami miejsce wśród najsławniejszych księżniczek świata.

Aragorn pochylił się, zajrzał w jej twarz białą jak lilie, ściętą lodem, zastygłą niby kamienna rzeźba. Pocałował jej czoło, szepcąc łagodnie:

– Zbudź się, Éowino, córko Éomunda! Twój nieprzyjaciel zginął z twojej ręki!

Nie poruszyła się, lecz zaczęła oddychać głębiej, tak że widać było, jak pod białym prześcieradłem pierś podnosi się i opada miarowo. Znowu więc Aragorn skruszył dwa liście ziela *athelas* i rzucił je na kipiącą wodę; przemył naparem czoło chorej i prawe ramię, zimne i bezwładnie spoczywające na kołdrze.

Może Aragorn rzeczywiście posiadał jakąś zapomnianą czarodziejską moc dawnego plemienia Dúnedainów, a może słowa jego wzruszyły słuchaczy, dość, że gdy słodki zapach ziela rozszedł się po izbie, wszystkim zebranym wydało się, że od okna powiał chłodny wiatr, który nie niósł z sobą żadnych woni, lecz powietrze świeże, czyste, młode, nieskażone oddechem żadnego żywego stworzenia, płynące prosto z ośnieżonych szczytów, spod kopuły gwiazd albo z dalekich wybrzeży obmywanych srebrną pianą morza.

– Zbudź się Éowino, księżniczko Rohanu! – powtórzył Aragorn, ujmując jej prawą rękę w swoją dłoń. – Zbudź się! Cień przeminął, ciemności rozwiały się, świat jest znowu jasny. – Cofnął się, powierzając rękę chorej Éomerowi. – Zawołaj ją, Éomerze – powiedział i cicho wyszedł z pokoju.

– Éowino! Éowino! – krzyknął Éomer z płaczem.

Księżniczka otworzyła oczy.

– Éomer! Co za szczęście! Mówili mi, żeś poległ. Ach nie, to mi tylko podszeptywały złe głosy we śnie. Czy długo spałam?

– Niedługo, siostro – odparł Éomer. – Nie myśl już o tym.

– Jestem dziwnie zmęczona – powiedziała. – Muszę chwilę odpocząć. Ale powiedz mi, co się stało z królem Marchii? Niestety wiem, że to nie był sen, nie próbuj mnie łudzić. Zginął, sprawdziły się moje przeczucia.

– Umarł – powiedział Éomer – lecz przed śmiercią przekazał słowa pożegnania dla Éowiny, droższej mu niż rodzona córka. Spoczywa w chwale w wielkiej Sali Wieżowej Gondoru.

– Bolesna nowina, a mimo to dobra ponad spodziewanie; o takiej śmierci dla niego nie śmiałam marzyć w ponurych latach, gdy zdawało się, że Dom Eorla mniej godny się stał chwały niż najnędzniejsza pasterska chata. A co się stało z giermkiem króla, niziołkiem? Wiesz, Éomerze, zasłużył sobie, żeby go mianować rycerzem Marchii. Mężnie stawał w polu.

– Leży tu obok, chory. Zaraz do niego pójdę – wtrącił się Gandalf. – Ty, Éomerze, zostań tu jeszcze chwilę. Nie rozmawiajcie jednak o wojnie i smutkach, póki Éowina nie odzyska sił. Cieszymy się wszyscy, że się zbudziła, znów zdrowa i pełna nadziei, najwaleczniejsza z księżniczek!

– Zdrowa? Może. Przynajmniej dopóty, dopóki będę mogła na pustym siodle zastąpić w szeregach Rohanu poległego jeźdźca. Ale pełna nadziei? Nie, nie wiem, czy odzyskam nadzieję – odparła Éowina.

Gandalf i Pippin weszli do pokoju, gdzie leżał Merry, i zastali tu, przy wezgłowiu hobbita, Aragorna.

– Mój biedny, kochany Merry! – zawołał Pippin, podbiegając do łóżka, wydało mu się bowiem, że przyjaciel wygląda gorzej niż przedtem: twarz jego przybrała szary odcień i jakby postarzała, napiętnowana troską i smutkiem. Strach zdjął nagle Pippina, że Merry umiera.

– Nie bój się – uspokoił go Aragorn. – Zjawiłem się w porę, przywołałem go już z powrotem do życia. Jest bardzo zmęczony i zasmucony; odniósł taką samą ranę jak Éowina, bo odważył się zadać cios straszliwemu przeciwnikowi. Ale te rany zagoją się, zwycięży je ten silny i wesoły duch, który w nim tkwi. O przeżytym smutku Merry już nie zapomni, lecz nie straci wesela w sercu, będzie tylko odtąd mądrzejszy.

Aragorn położył dłoń na czole Meriadoka, pogładził łagodnie ciemną czuprynę, dotknął powiek i zawołał hobbita po imieniu. A gdy aromat królewskich liści rozszedł się w powietrzu niby zapach sadów i wrzosowiska brzęczącego od pszczół w dzień słoneczny, Merry ocknął się nagle i powiedział:

– Jeść mi się chce. Która to godzina?

– Pora kolacji minęła – odparł Pippin – ale postaram się przynieść ci coś do przegryzienia, jeśli mi tutejsi ludzie nie odmówią.

– Nie odmówią z pewnością – rzekł Gandalf. – Wszystko, co się znajdzie w Minas Tirith, dadzą chętnie dla tego rycerza Rohanu, którego imię cieszy się wielką sławą.

– Świetnie! – wykrzyknął Merry. – W takim razie proszę najpierw o kolację, a potem o fajkę… – Spochmurniał nagle. – Nie, fajki nie chcę. Nie będę już chyba nigdy palił fajkowego ziela.

– Dlaczego? – spytał Pippin.

– Dlatego – z wolna odpowiedział Merry – że stary król nie żyje. Teraz wszystko sobie przypomniałem. Żegnając mnie, żałował, że nie miał sposobności pogawędzić ze mną o sztuce palenia fajki. To były niemal ostatnie jego słowa. Nigdy bym nie mógł zapalić fajki bez wspomnienia o nim, Pippinie, i o tym dniu, gdy przybył do Isengardu i potraktował nas tak łaskawie.

– A więc pal fajkę i wspominaj króla Théodena! – rzekł Aragorn. – Miał zacne serce i był wielkim królem; dotrzymał przysięgi i wydźwignął się z mroków w ostatni piękny, słoneczny poranek. Krótko trwała twoja służba przy nim, ale powinno ci po niej zostać wspomnienie miłe i chlubne do końca twoich dni.

Merry uśmiechnął się na to.

– A więc dobrze – powiedział. – Jeżeli Obieżyświat dostarczy mi wszystkiego co trzeba, będę ćmił fajeczkę, myśląc o królu Théodenie. Miałem w swoim tobołku garść ziela, najprzedniejszego z zapasów Sarumana, ale nie wiem, gdzie się po bitwie moje bagaże podziały.

– Grubo się mylisz, mości Meriadoku, jeżeli sądzisz, że przedarłem się przez góry i przemierzyłem pola Gondoru, torując sobie drogę ogniem i mieczem, po to, żeby zaopatrzyć w fajkowe ziele niedbałego żołnierza, który zgubił cały swój ekwipunek – odparł Aragorn. – Albo się twój tobołek odnajdzie, albo będziesz musiał zwrócić się do tutejszego mistrza zielarza. On powie ci, że nic mu nie wiadomo, jakoby to pożądane przez ciebie ziele posiadało jakieś zalety, wie natomiast, że nazywa się ono wulgarnie fajkowym liściem, naukowo *galenas*, a w mowie różnych plemion tak lub owak; uraczy cię starym rymowanym porzekadłem, którego sensu sam nie rozumie, po czym z ubolewaniem oświadczy, że ziela tego w Domu Uzdrowień nie ma ani na lekarstwo, ty zaś będziesz mógł się pocieszyć rozmyślaniem o historii języków. Ale teraz muszę cię pożegnać. Nie spałem w takim łóżku, w jakim ty się tu wylegujesz, odkąd opuściłem Dunharrow, a od wczorajszego wieczora nic w ustach nie miałem.

Merry chwycił jego rękę i ucałował.

– Przepraszam, że cię zatrzymałem – powiedział. – Idź, nie zwlekając dłużej. Od tamtej nocy w gospodzie „Pod Rozbrykanym Kucykiem” w Bree wiecznie ci tylko przysparzamy kłopotów. Ale my, hobbici, taki już mamy zwyczaj, że w chwilach wzruszenia uciekamy się do błahych słów i mniej

mówimy, niż czujemy. Boimy się powiedzieć za dużo. Dlatego brak nam właściwych słów, gdy nie wypada żartować.

– Wiem o tym, znam was dobrze – odparł Aragorn. – Gdyby nie to, nie odpłacałbym wam często tą samą monetą. Niech żyje Shire i nigdy nie straci humoru!

Pocałował Meriadoka i wyszedł, zabierając z sobą Gandalfa.

Pippin został z przyjacielem.

– Kogo w świecie można porównać z Aragornem? – powiedział. – Chyba jednego Gandalfa. Myślę, że między nimi jest jakieś pokrewieństwo. Słuchaj, gapo, przecież twój tobołek leży pod łóżkiem; miałeś go na plecach, kiedy cię spotkałem. Obieżyświat oczywiście widział go przez cały czas, kiedy z tobą rozprawiał. Zresztą ja też mam zapasik fajkowego ziela. Nie żałuj sobie! Liście z Południowej Ćwiartki Shire'u! Nabij fajkę, a ja tymczasem skoczę poszukać czegoś do zjedzenia. A potem wreszcie pogadamy zwyczajnie jak hobbici. U licha! My, Tukowie i Brandybuckowie, nie umiemy długo żyć na wyżynach.

– Nie umiemy – przyznał Merry. – Przynajmniej ja. Jeszcze nie. Ale bądź co bądź umiemy je teraz dostrzec i uczcić. Myślę, że najlepiej jest, kiedy się po prostu kocha to, do czego serce samo od urodzenia ciągnie; od czegoś przecież trzeba zacząć, a gleba w Shire jest głęboka. Ale istnieją rzeczy głębsze i wyższe. I gdyby nie one, żaden dziadek w naszym kraju nie mógłby uprawiać swego ogródka, ciesząc się pokojem – czy tym, co mu się pokojem wydaje. Cieszę się, że teraz o tych rzeczach coś niecoś wiem. Ale po co ja o tym gadam. Daj no te liście. I wyjmij z tobołka moją fajkę, jeśli się nie połamała.

Aragorn i Gandalf poszli do Głównego Opiekuna Domu Uzdrowień i poradzili mu, żeby Faramira i Éowinę zatrzymał jeszcze przez czas dłuższy, pielęgnując troskliwie.

– Księżniczka Éowina – powiedział Aragorn – będzie się rwała z łóżka i zechce wkrótce wyjść na świat, ale nie trzeba jej na to pozwolić, jeśli da się przekonać, co najmniej przez dziesięć dni.

– Co do Faramira – dodał Gandalf – będzie musiał wkrótce dowiedzieć się o śmierci ojca. Nie należy jednak opowiadać mu całej prawdy o szaleństwie Denethora, póki nie wyzdrowieje zupełnie i nie przyjdzie pora

na objęcie przez niego nowych obowiązków. Trzeba dopilnować, żeby Beregond i niziołek, *perian*, którzy byli świadkami tych strasznych zdarzeń, nie wygadali się przed czasem.

– A jak mam postąpić z drugim *perianem*, z tym, który leży również chory? – spytał Opiekun.

– Prawdopodobnie zechce już jutro na chwilę wstać – odparł Aragorn. – Można mu na to pozwolić, jeśli będzie miał ochotę. Niech się trochę przespaceruje pod opieką przyjaciół.

– Bardzo dziwne plemię – stwierdził Opiekun, kręcąc głową. – Kijem ich nie dobijesz!

U wejścia do Domów Uzdrowień tłum się zgromadził, czekając na Aragorna; zebrani pospieszyli za nim. Gdy wreszcie zjadł wieczerzę, zaczęli go nagabywać różni ludzie, prosząc, żeby uzdrowił temu krewniaka, a innemu przyjaciela niebezpiecznie rannego lub zatrutego przez Czarny Cień. Aragorn wezwał do pomocy synów Elronda i we trzech do późna w noc odwiedzali chorych. Po całym grodzie rozeszła się nowina: „Król wrócił naprawdę”. Gondorczycy nazwali go Kamieniem Elfów, z powodu zielonego klejnotu, który lśnił na jego piersi, i w ten sposób od własnego ludu otrzymał imię, które przepowiedziano mu niegdyś w dniu jego urodzenia.

Gdy w końcu zabrakło mu sił, owinął się płaszczem i wymknął cichaczem z grodu, aby pod namiotem przespać choć parę godzin do świtu. Rankiem na Wieży powiewała flaga Dol Amrothu, biały okręt niby łabędź kołysał się na błękitnej fali, a lud spoglądając nań, dziwił się i pytał sam siebie, czy powrót króla nie był tylko przywidzeniem sennym.

ROZDZIAŁ 9
OSTATNIA NARADA

Nazajutrz po bitwie dzień wstał pogodny, lekkie białe obłoczki płynęły po niebie, a wiatr obrócił się ku wschodowi. Legolas i Gimli wcześniej byli na nogach i wyjednali sobie pozwolenie pójścia do grodu, chcieli bowiem co prędzej zobaczyć Meriadoka i Pippina.

– Cieszę się, że obaj żyją – powiedział Gimli. – Dużo mieliśmy z nimi kłopotów w marszu przez Rohan, dobrze, że przynajmniej tyle trudu nie poszło na marne.

Elf z krasnoludem razem wkroczyli do Minas Tirith, a Gondorczycy na ulicach ze zdziwieniem patrzyli na tę osobliwą parę, bo Legolas jaśniał niespotykaną wśród ludzi urodą i śpiewał, idąc w porannym blasku, jakąś pieśń elfów czystym i dźwięcznym głosem, Gimli zaś dreptał u jego boku, gładząc brodę i rozglądając się ciekawie wkoło.

– Znają się na kamieniarskiej robocie – orzekł, przyjrzawszy się murom – ale czasem partaczą, bo ten bruk uliczny można by lepiej ogładzić. Jak Aragorn obejmie gospodarstwo, zaofiaruję mu usługi naszych kamieniarzy spod Góry; już my zbudujemy mu stolicę, którą będzie mógł się szczycić.

– Przydałoby się tu więcej ogrodów – zauważył Legolas. – Domy są martwe, za mało żywej zieleni, która rośnie i cieszy się z życia. Jeśli Aragorn obejmie gospodarstwo, Leśne Plemię przyśle mu śpiewające ptaki i drzewa, które nie umierają zimą.

Stanęli wreszcie przed księciem Imrahilem. Legolas przyjrzał mu się i złożył niski ukłon, bo poznał człowieka, w którego żyłach płynęła krew elfów.

– Witaj! – powiedział. – Dawno już potomkowie Nimrodel opuścili lasy Lórien, a jednak nie wszyscy, jak widać, pożeglowali z przystani Amrotha na zachód, za wielką wodę.

– Tak mówią stare legendy mojej ojczyzny – odparł książę – ale nigdy jeszcze od niepamiętnych lat nie zjawił się w tych stronach syn najpiękniejszego plemienia. Dziwi mnie to spotkanie pośród trosk i wojny. Czego szukasz tutaj?

– Jestem jednym z dziewięciu uczestników wyprawy, którą Mithrandir podjął, wyruszając z Imladris – przedstawił się Legolas – i przybyłem tu wraz z moim przyjacielem, tym oto krasnoludem, w świcie Aragorna. Chcielibyśmy zobaczyć się z naszymi druhami, Meriadokiem i Peregrinem, którzy, jak nam mówiono, są twoimi podkomendnymi.

– Znajdziecie ich obu w Domu Uzdrowień. Chętnie was tam zaprowadzę – odparł książę.

– Wystarczy, jeśli będziesz łaskaw dać nam jakiegoś mniej dostojnego przewodnika – rzekł Legolas. – Przyniosłem bowiem wezwanie od Aragorna; nie chce on teraz wracać do grodu, ale ponieważ trzeba, żeby dowódcy naradzili się niezwłocznie, zaprasza ciebie i Éomera do swego namiotu. Mithrandir już tam jest, Aragornowi zależy na pośpiechu.

– Pójdziemy zaraz – odrzekł Imrahil i rozstali się, wymieniając jeszcze na pożegnanie uprzejme słowa.

– Szlachetny książę i wielki wódz – stwierdził Legolas. – Jeśli Gondor takich mężów ma jeszcze dziś, o zmierzchu swojej historii, jakże wspaniały musiał być ten kraj w chwale swego świtu.

– W kamieniu też wtedy dobrze pracowali – zauważył Gimli. – Najlepsza robota w najwcześniejszych budowlach. Tak to jest z ludźmi; zaczynają gorliwie, ale wiosną zdarzają się przymrozki, a latem burze, i późniejsze dzieło nie dotrzymuje pierwszych obietnic.

– Rzadko jednak ziarno obumiera całkowicie – powiedział Legolas. – Czeka nieraz w pyle i zgniliźnie, by wykiełkować mimo wszystko w czasie i w miejscu nieprzewidzianym. Dzieła ludzkie przeżyją nas, mój Gimli.

– A przecież w końcu okażą się tylko cieniem tego, co być mogło – rzekł krasnolud.

– Na to elfowie nie znają odpowiedzi – odparł Legolas.

Nadszedł wyznaczony przez księcia sługa, aby ich zaprowadzić do Domu Uzdrowień, gdzie zastali w ogrodzie swych przyjaciół. Radosne to było spotkanie; chwilę przechadzali się razem, korzystając z krótkiego odpoczynku w spokoju i ciszy poranka, chłonąc świeży powiew w tych górnych, wystawionych na wiatr kręgach grodu. Potem, gdy Merry zmęczył się, zasiedli na murze, plecami odwróceni do zielonej oazy otaczającej Domy Uzdrowień, twarzami na południe, ku lśniącej w słońcu Anduinie, która płynęła w oddali tak, że nawet bystre oczy Legolasa nie widziały jej

wyraźnie, i ginęła pośród rozległych równin i przymglonej zieleni Lebenninu i Południowego Ithilien.

Legolas milczał, gdy inni gawędzili, wpatrzony w dal, aż dostrzegł w słońcu białe morskie ptaki lecące w górę Rzeki.

– Patrzcie! – zawołał. – Mewy! Lecą w głąb lądu. Dziwi mnie to i niepokoi. Nigdy jeszcze nie spotkałem ich, dopóki nie dotarliśmy do Pelargiru, a i tam słyszałem tylko ich okrzyk w powietrzu, kiedy płynęliśmy do bitwy na okrętach. Wtedy na moment zapomniałem o wojnie na obszarach Śródziemia, bo ich żałosny głos mówił mi o Morzu. Morze! Niestety, nie widziałem go. Ale głęboko w sercach moich współplemieńców drzemie tęsknota do Morza, którą niebezpiecznie jest budzić. Mewy ją we mnie zbudziły. Nie zaznam już spokoju pod dębami i bukami w lesie.

– Nie mów tak! – odparł Gimli. – Zostało nam jeszcze w Śródziemiu mnóstwo rzeczy do zobaczenia i wiele do zrobienia. Gdyby wszyscy elfowie odpłynęli z Przystani, świat byłby mniej piękny dla tych, którzy muszą trwać tutaj dalej.

– Mniej piękny i straszny – powiedział Merry. – Nie myśl o Szarej Przystani, Legolasie. Zawsze będą różne istoty, duże albo małe, a nawet przemądrzałe krasnoludy, którym będziesz bardzo potrzebny. Przynajmniej taką mam nadzieję. Chociaż czasem myślę, że najgorsze dni tej wojny są jeszcze przed nami. Jakżebym chciał, żeby się wreszcie skończyła i żeby się skończyła dobrze.

– Nie kracz! – zawołał Pippin. – Słońce świeci, jesteśmy razem dziś, a pewnie potrwa to jeszcze co najmniej parę dni. Opowiedzmy sobie o swoich przygodach. Mów, Gimli! Obaj z Legolasem dziś od rana wiele razy napomykaliście o dziwnej podróży, którą odbyliście z Obieżyświatem, ale nie opowiedzieliście właściwie nic o niej.

– Tu wprawdzie słońce świeci – rzekł Gimli – ale zachowałem po tej podróży wspomnienia, których wolę nie wywoływać z mroku. Gdybym z góry wiedział, co mnie tam czeka, nawet najserdeczniejsza przyjaźń nie skłoniłaby mnie chyba do wstąpienia na Ścieżkę Umarłych.

– Ścieżka Umarłych! – powtórzył Pippin. – Słyszałem, jak Aragorn wspominał tę nazwę, i dziwiłem się, co to znaczy. Czy możesz mi wytłumaczyć?

– Niechętnie – odparł Gimli. – Spotkał mnie na tej Ścieżce wstyd. Ja, Gimli, syn Glóina, który siebie uważałem za odważniejszego i wytrwalszego od ludzi, a w podziemiach nawet od elfów, zawiodłem się na sobie. Tylko wola Aragorna trzymała mnie podczas tej podróży.

– Wola Aragorna i twoja miłość do niego – powiedział Legolas. – Ktokolwiek bowiem go pozna, musi go pokochać na swój sposób, nawet ta zimna księżniczka Rohirrimów. Opuszczaliśmy Dunharrow o świcie w wilię tego dnia, w którym ty przybyłeś tam, Merry; strach tak poraził ludzi, że nikt nie zjawił się, by nas pożegnać, prócz tej pięknej dziewczyny, która teraz leży tutaj ciężko ranna. Rozstanie było bolesne, i mnie, gdym na nie patrzył, też serce bolało.

– Ja, niestety, miałem dość własnych zmartwień – oświadczył Gimli. – Nie, nie chcę mówić o tej podróży.

Umilkł, ale Pippin i Merry tak dopominali się o opowieść, że w końcu Legolas rzekł:

– Powiem wam tyle, ile trzeba, żeby zaspokoić na razie waszą ciekawość. Co do mnie, widma ludzi nie budziły we mnie zgrozy ani strachu, wydawały się bowiem bezsilne i wątłe.

Pokrótce opowiedział o upiornej drodze pod górami, o spotkaniu przy Głazie Erech, o spiesznym marszu do odległego stamtąd o dziewięćdziesiąt trzy staje Pelargiru nad Anduiną.

– Cztery dni i cztery noce jechaliśmy bez spoczynku od Czarnego Głazu, aż piątego dnia, kiedy znaleźliśmy się w Cieniu Mordoru, wstąpiła we mnie otucha, bo w ciemnościach Zastęp Cieni jak gdyby nabrał więcej sił i wyglądał znacznie groźniej. Byli tam wojownicy na koniach i piesi, wszyscy jednak posuwali się równie szybko. Milczeli, ale oczy im błyszczały. Na wyżynie Lamedonu prześcignęli naszych jeźdźców i otoczyli nas, byliby bez nas poszli naprzód, gdyby ich Aragorn nie wstrzymał. Na jego rozkaz cofnęli się natychmiast. „Nawet widma umarłych ludzi są posłuszne jego woli – pomyślałem. – Mogą nam jeszcze oddać duże usługi”.

Minął jeden dzień jasny i drugi, w którym słońce nie wzeszło, a my jechaliśmy wciąż dalej, przeprawiając się przez rzeki Ciril i Ringló. Trzeciego dnia dotarliśmy do Linhiru, przy ujściu Gilrainy. Tam ludzie z Lamedonu bronili brodów przed zbójcami z Umbaru i Haradu, którzy

napłynęli z dolnego biegu rzeki. Ale zarówno obrońcy, jak i napastnicy porzucili bitwę i uciekli na nasz widok, krzycząc, że zjawił się Król Umarłych. Tylko władca Lamedonu, Angbor, odważył się czekać na niezwykłych gości. Aragorn polecił mu zebrać znów swoich wojowników i po przejściu widmowego wojska pociągnąć za nami, jeśli im starczy na to odwagi. „W Pelargirze spadkobierca Isildura będzie was potrzebował” – rzekł Aragorn.

Przeprawiliśmy się więc przez Gilrainę, pędząc przerażonych sojuszników Mordoru przed sobą, a na drugim brzegu odpoczęliśmy chwilę. Wkrótce jednak Aragorn zerwał się, mówiąc: „Minas Tirith już jest oblężone! Lękam się, że gród padnie, zanim przybędziemy z odsieczą”. Nie czekając, aż noc minie, skoczyliśmy znów na siodła i pomknęli ile sił w koniach przez równiny Lebenninu.

Legolas przerwał, westchnął i zwracając wzrok na południe, zaśpiewał z cicha:

Srebrem płyną rzeki od Celos do Erui
Przez zielone łąki Lebenninu!
Bujna rośnie trawa, na wietrze od Morza
Lilie się kołyszą.
Dzwonią złote dzwonki, mallos i alfirin,
Na wietrze od Morza[81].

– W pieśniach elfów łąki Lebenninu są zielone, wtedy jednak zalegał nad nimi mrok i zdawały się szare wśród czarnej nocy. Po całym ich rozległym obszarze, depcąc kwiaty i trawę, ścigaliśmy nieprzyjaciół do rana i przez następny dzień, aż wieczorem dotarliśmy nad Wielką Rzekę.

Serce mi mówiło, że Morze jest stamtąd niedaleko, woda bowiem rozlewała się w ciemności szeroka i niezliczone chmary ptactwa gnieździły się po wybrzeżach. Tam na swoją niedolę usłyszałem krzyk mew. Czyż piękna Pani z Lórien nie ostrzegała mnie przed nim? Odtąd już go nie mogę zapomnieć.

– Co do mnie, to nie zwracałem na ptactwo uwagi – rzekł Gimli – bo tam nareszcie na dobre zaczęła się bitwa. W przystani Pelargiru stała główna flota Umbaru, pięćdziesiąt dużych okrętów i mniejszych statków

bez liku. Wielu uchodzących przed nami nieprzyjaciół dobiegło wcześniej już do Pelargiru, siejąc tam panikę. Niektóre okręty wypłynęły z przystani, próbując uciec w dół Rzeki albo schronić się przy odległym przeciwległym brzegu, a sporo mniejszych statków podpalono, by ich nie oddać w nasze ręce. Ale Haradrimowie, przyciśnięci niejako do muru, zdecydowali się stawić nam czoło i bili się z desperacką furią. Ze śmiechem natarli na nasz mały oddział, bo mieli wciąż jeszcze ogromną przewagę liczebną. Wtedy jednak Aragorn stanął w strzemionach, obrócił się i potężnym głosem krzyknął: „Do mnie! Na Czarny Głaz zaklinam, do mnie!”. I nagle Zastęp Cieni, który trzymał się dotychczas za nami, runął naprzód niby szara fala przypływu, zmiatając wszystko, co napotkał na swej drodze. Słyszałem stłumione wołania, nikły głos rogów, szept niezliczonych ust; brzmiało to jak echo jakiejś zapomnianej bitwy z dawnych zamierzchłych Czarnych Lat. Błyskały blade miecze, ale nie dowiedziałem się, czy ostrza ich nie stępiały po wiekach, bo Umarli nie potrzebowali używać innego oręża prócz strachu. Nikt nie ośmielił się im przeciwstawić.

Najpierw wpadli na okręty przycumowane przy brzegu, potem zagarnęli te, które stały na kotwicy pośrodku nurtu; załoga, oszalała z przerażenia, skakała za burty, z wyjątkiem niewolników przykutych do wioseł. Bez przeszkód, rozbijając w puch resztki uciekających nieprzyjaciół, osiągnęliśmy brzeg Rzeki. Na każdy z dużych okrętów posłał Aragorn jednego z Dúnedainów, którzy uspokoili wylękłych galerników i uwolnili ich z łańcuchów.

Zanim się ten mroczny dzień skończył, zabrakło nam przeciwników do walki; kto z nich nie zginął lub nie utonął, ten umykał na południe w nadziei, że pieszo uda mu się dotrzeć do swej ojczyzny. Dziwne i niepojęte wydało mi się, że zamiary Mordoru pokrzyżowane zostały za sprawą upiorów szerzących postrach i wylęgłych z ciemności. Pokonaliśmy Nieprzyjaciela jego własną bronią.

– Tak, to dziwna rzecz – przyznał Legolas. – Patrzyłem wtedy na Aragorna i myślałem, jak wielkim i groźnym władcą mógłby się stać człowiek o takiej sile woli, gdyby zatrzymał dla siebie Pierścień Władzy. Nie na próżno Mordor tak przed nim drży. Ale to duch szlachetniejszy, ponad pojęcie Saurona; czyż nie jest z rodu pięknej Lúthien? Nigdy potomstwo jej nie wyginie, choćby nieprzeliczone lata przeszły nad światem.

– Takie przepowiednie sięgają dalej niż wzrok krasnoludów – rzekł Gimli – ale to prawda, że wspaniały i potężny wydał nam się Aragorn owego dnia. Cała czarna flota znalazła się w jego ręku; wybrał sobie największy okręt i wszedł na jego pokład. Kazał zagrać na wszystkich surmach zdobytych na nieprzyjacielu; na ten sygnał Zastęp Cieni wycofał się na brzeg. Umarli stanęli tam w ciszy; nie było widać nic prócz ich oczu, świecących czerwonym odblaskiem pożaru okrętów. Aragorn przemówił do nich grzmiącym głosem: „Słuchajcie, co wam oznajmia spadkobierca Isildura! Dopełniliście przysięgi. Wracajcie do swej siedziby i nigdy więcej nie nawiedzajcie dolin. Odejdźcie w pokoju!”.

Król Umarłych wystąpił naprzód, złamał włócznię i rzucił jej szczątki na ziemię. Skłonił się nisko, odwrócił i szara chmura jego wojowników zaczęła oddalać się, aż znikła niby mgła rozwiana gwałtownym podmuchem wiatru. Miałem wrażenie, że budzę się ze snu.

Tej nocy odpoczywaliśmy, gdy inni pracowali. Uwolniono wielu jeńców i niewolników, wśród których nie brakowało Gondorczyków pojmanych w czasie łupieżczych wypadów; wkrótce też zgromadziło się mnóstwo ludzi z Lebenninu i Ethiru; przybył Angbor z Lamedonu, prowadząc tylu jeźdźców, ilu zdołał zebrać. Skoro strach posiany przez Zastęp Cieni rozwiał się, przyszli nam na pomoc i pragnęli zobaczyć spadkobiercę Isildura, którego imię było już na ustach wszystkich i przyciągało tłumy niby ogień świecący w ciemności.

Opowieść nasza dobiega końca. Wieczorem bowiem i nocą przygotowano okręty do dalszej drogi i obsadzono załogą, a ze świtem flota popłynęła w górę Rzeki. Wydaje się, że to już bardzo dawna historia, a przecież działo się to zaledwie przedwczoraj, rankiem szóstego dnia od wyruszenia z Dunharrow. Aragorn wciąż przynaglał do pośpiechu, bojąc się przybyć pod Minas Tirith za późno.

„Czterdzieści dwie staje dzielą Pelargir od przystani w Harlondzie – powiedział. – A musimy tam dopłynąć jutro. Inaczej wszystko będzie stracone”.

Przy wiosłach siedzieli teraz wolni ludzie i pracowali dzielnie. Posuwaliśmy się jednak wolno, bo pod prąd, a chociaż tu, w dolnym biegu Rzeki, nie jest on zbyt ostry, nie wspierał nas w żegludze wiatr. Toteż mimo zwycięstwa odniesionego w Pelargirze ciężko byłoby mi na sercu, gdyby Legolas nie roześmiał się nagle.

„Podnieś brodę do góry, synu Durina! – zawołał. – Przypomnij sobie przysłowie: «Kiedy jest najciemniej, wtedy błyska znów nadzieja»”. Nie chciał mi wszakże powiedzieć, w czym upatruje nadzieję. Noc nie była ciemniejsza od dnia, a nas paliła niecierpliwość, bo w dali na północy zobaczyliśmy pod chmurami ogromną łunę, Aragorn zaś rzekł: „Minas Tirith płonie!”.

Lecz około północy rzeczywiście zjawiła się nadzieja. Doświadczeni żeglarze, spoglądając na południe, przepowiadali zmianę pogody i wiatr od Morza. Daleko jeszcze było do świtu, gdy na maszty wciągnięto żagle i statki popłynęły szybciej, tak że o brzasku dzioby ich pruły ostro białą pianę wody. Dalszy ciąg znasz: około trzeciej godziny poranka przy pomyślnym wietrze wpłynęliśmy do przystani w Harlondzie i rozwinęliśmy sztandar, idąc do bitwy. Wielki to był dzień, pamiętna zostanie ta godzina, cokolwiek miałoby się w przyszłości zdarzyć.

– Cokolwiek się zdarzy, wielkich czynów nic nie umniejszy – powiedział Legolas. – Przejście Ścieżki Umarłych było wielkim czynem i wielkim czynem zostanie, choćby w Gondorze zabrakło kiedyś ludzi, aby o nim wyśpiewali pieśń.

– Kto wie, czy nie dojdzie do tego – rzekł Gimli. – Aragorn i Gandalf miny mają zatroskane. Ciekaw jestem, co uradzą pod namiotem w polu. Zgadzam się z Meriadokiem i także bym pragnął, żeby tym naszym zwycięstwem zakończyła się już wojna. Ale jeżeli zostało jeszcze coś do zrobienia, chciałbym w tym wziąć udział dla honoru plemienia spod Samotnej Góry.

– A ja dla honoru plemienia z Wielkiego Lasu – powiedział Legolas – i z miłości do Władcy Krainy Białego Drzewa.

Przyjaciele umilkli, chociaż dość długo jeszcze siedzieli w tym górującym nad polami ogrodzie, każdy zatopiony we własnych myślach. A dowódcy tymczasem toczyli naradę.

Książę Imrahil, pożegnawszy Gimlego i Legolasa, natychmiast wysłał gońca po Éomera i razem z nim wyszedł z grodu, spiesząc ku namiotowi Aragorna, ustawionemu na polu niedaleko od miejsca, gdzie poległ król Théoden. Zastali tam, prócz Aragorna i Gandalfa, synów Elronda, również wezwanych na tę naradę.

– Najpierw chcę wam przekazać ostatnie słowa Namiestnika Gondoru, które przed zgonem w mojej obecności wypowiedział – zagaił Gandalf. – Denethor rzekł: „Na krótko, na jeden dzień może zatryumfujesz na polu bitwy. Ale przeciw potędze, która rozrosła się w Czarnej Wieży, nic nie wskórasz”. Nie wzywam was, za jego przykładem, do rozpaczy, ale do rozważenia zawartej w tych słowach prawdy.

Kryształy nie kłamią, nawet władca Barad-dûr do tego zmusić ich nie umie. Może jednak podsuwać słabszemu duchem człowiekowi te widoki, które sam wybierze, lub też narzucić mu błędne ich rozumienie. Mimo wszystko nie wątpię, że Denethor, gdy zobaczył potężne siły zgromadzone przeciw nam w Mordorze i wciąż narastające – zobaczył rzeczy prawdziwe.

Ledwie nam starczyło sił, żeby odepchnąć pierwsze poważne natarcie. Następne będzie z pewnością jeszcze groźniejsze. W tej wojnie, jak słusznie mówił Denethor, nie mamy nadziei na ostateczne zwycięstwo. Nie da się osiągnąć go zbrojnie, czy to siedząc w grodzie i wytrzymując jedno oblężenie po drugim, czy to ruszając w otwarte pole za Rzekę, gdzie musielibyśmy ulec miażdżącej przewadze. Możemy wybierać między tymi dwiema możliwościami, a obie są złe. Ostrożność radziłaby umocnić posiadane fortece i czekać na napaść. W ten sposób przedłużylibyśmy czas, jaki nam jeszcze został.

– A więc radzisz zamknąć się w Minas Tirith czy też w Dol Amroth albo w Dunharrow i siedzieć tam jak dzieci w zamku z piasku, gdy nadciąga fala przypływu? – zapytał Imrahil.

– Nie byłoby to nic nowego – odparł Gandalf. – Czy wiele więcej robiliście przez cały czas panowania Denethora? Ale ja tego nie radzę. Powiedziałem, że tak radziłaby ostrożność. Nie jestem zwolennikiem ostrożności. Stwierdziłem, że nie da się osiągnąć zwycięstwa czynem zbrojnym. Wierzę nadal w zwycięstwo, nie liczę tylko na siłę oręża. Pamiętajmy, że główną sprężyną wojennych poczynań Mordoru jest Pierścień Władzy, fundament siły Barad-dûr, nadzieja Saurona.

Wszyscy tu obecni wiedzą o tej sprawie dość, by jasno rozumieć położenie nasze i Saurona. Jeżeli Nieprzyjaciel odzyska Pierścień, na nic się nie zda nasze męstwo; Sauron odniesie zwycięstwo szybkie i tak pełne, że nikt nie mógłby spodziewać się końca jego tryumfów, póki trwać będzie ten świat. Jeśli Pierścień zostanie zniszczony, Sauron upadnie, i to tak głęboko, że nie sposób przewidywać, by kiedykolwiek powstał. Straci

bowiem najcenniejszą cząstkę swojej potęgi, tę, którą miał na początku, która była nieodłączna od jego istoty; wszystko, cokolwiek z jej pomocą zdziałał i rozpoczął, zwali się wtedy w gruzy, on zaś na zawsze będzie pokonany, zmieni się w nędznego złego ducha, który w ciemnościach sam siebie zżera, nie mogąc na nowo przybrać kształtu ani rosnąć. Wtedy świat byłby uwolniony od wielkiego zła.

Inne złe siły mogą się pojawić, bo Sauron też jest tylko sługą czy też wysłannikiem. Ale nie do nas należy panowanie nad wszystkimi erami tego świata; my mamy za zadanie zrobić, co w naszej mocy, dla epoki, w której żyjemy, wytrzebić zło ze znanego nam pola, aby przekazać następcom rolę czystą, gotową do uprawy. Jaka im będzie sprzyjała pogoda, to już nie nasza rzecz.

Sauron wszystko to dobrze wie i wie, że skarb, który niegdyś utracił, został odnaleziony. Nie wie jednak, gdzie jest ten skarb… przynajmniej mam nadzieję, że tego jeszcze nie wie. Toteż dręczą go wątpliwości. Gdyby Pierścień był w naszym posiadaniu, są między nami ludzie dość silni, by się nim posłużyć. To również wie Sauron. Nie mylę się chyba, Aragornie, zgadując, że pokazałeś mu się w krysztale Orthanku?

– Tak, zrobiłem to przed wyjazdem z Rogatego Grodu – odparł Aragorn. – Osądziłem, że czas dojrzał do tego i że kryształ nie przypadkiem wpadł mi w ręce. Było to dziesięć dni po wyruszeniu powiernika Pierścienia znad wodogrzmotów Rauros na wschód; uważałem, że trzeba odciągnąć Oko Saurona od jego własnej krainy. Zbyt nieliczni byli śmiałkowie, którzy odważali się rzucać mu wyzwanie, odkąd powrócił do Czarnej Wieży. Gdybym jednak przewidział, jak błyskawicznie odpowie przyspieszeniem napaści, może bym się nie ośmielił mu pokazać. O mały włos, a nie zdążyłbym z odsieczą do Minas Tirith.

– Nie rozumiem – odezwał się Éomer. – Powiedziałeś, Gandalfie, że wszelkie wysiłki byłyby daremne, gdyby Sauron odzyskał Pierścień. Czyżby on nie zaniechał daremnej napaści, gdyby podejrzewał, że my go posiadamy?

– Nie jest pewny – odparł Gandalf – i nie budował swojej potęgi na biernym oczekiwaniu, aż przeciwnik umocni swoje stanowisko, jak to my robiliśmy. Wie też, że z dnia na dzień nie nauczylibyśmy się wykorzystywać w pełni władzy Pierścienia. Pierścień może mieć jednego tylko pana, nigdy kilku naraz. Może Sauron czyha na wybuch sporu między

nami; gdyby jeden z najsilniejszych wśród nas zagarnął skarb, poniżając innych, Sauron mógłby może coś na tym zyskać, gdyby się w porę zorientował.

Toteż czuwa i śledzi nas. Dużo widzi, dużo słyszy. Nazgûle wciąż krążą nad światem. Dzisiaj przed wschodem słońca przelatywały nad tym polem, chociaż mało kto z utrudzonych i śpiących ludzi to zauważył. Bada znaki: miecz, który ongi zabrał mu Pierścień i który teraz przekuto na nowo; wiatr, który się obrócił na naszą korzyść; niespodziewaną porażkę pierwszego natarcia; upadek swego wielkiego wodza.

Przez ten czas, gdy tutaj obradujemy, jego wątpliwości jeszcze się wzmogły. Oko, wysilone, śledzi nas, niemal ślepe na wszystko inne. Musimy je na sobie jak najdłużej skupić. W tym cała nadzieja. Moja rada jest więc taka: Nie mamy Pierścienia. Mądrość czy też szaleństwo kazało nam wysłać go tam, gdzie może zostać zniszczony, nie zaś czekać, by on nas zniszczył. Bez niego nie możemy siłą przeciwstawić się potędze Saurona. Ale musimy za wszelką cenę odwrócić uwagę Oka od istotnego niebezpieczeństwa, które mu grozi. Nie możemy zwyciężyć orężem, lecz walką orężną możemy wzmocnić tę nikłą szansę, jedyną szansę, jaką ma Powiernik Pierścienia, by spełnić swoją misję.

Trzeba podjąć to, co zaczął Aragorn, zmusić Saurona do wypuszczenia ostatniej strzały z kołczana. Wywabić do walki wszystkie jego siły, aby z nich ogołocił własny kraj. Ruszymy na spotkanie z Nieprzyjacielem natychmiast. Staniemy się przynętą, chociaż pewnie wpadniemy w jego paszczę. Chwyci tę przynętę jako jedyną szansę albo z chciwości, pomyśli bowiem, że nasze zuchwalstwo jest dowodem zadufania nowego posiadacza Pierścienia. Powie sobie: „A więc tak! Zbyt pospiesznie i za daleko nowy władca wysuwa głowę. Niech no podejdzie bliżej, a już ja go złapię w potrzask, z którego się nie wymknie. Zmiażdżę go, a skarb, który miał czelność zagarnąć, znów będzie mój, i to na wieki!”.

Musimy z otwartymi oczyma wleźć do pułapki, odważnie, bez wielkiej nadziei na własne ocalenie. Bardzo wydaje się prawdopodobne, że zginiemy w boju z ciemnością, w krainie cieni, z dala od ojczyzny i przyjaciół; nawet jeżeli Barad-dûr rozsypie się w gruzy, my nie dożyjemy może nowych, lepszych czasów. Mimo to uważam, że obowiązek nakazuje nam tak właśnie postąpić. Zresztą lepiej zginąć w ten sposób niż inaczej, bo zguba nieuchronnie spotkałaby nas i tak, gdybyśmy bezczynnie tutaj

czekali, ale wtedy ginęlibyśmy, wiedząc, że nowy, lepszy dzień nigdy nad światem nie wzejdzie.

Długą chwilę trwało milczenie. Wreszcie odezwał się Aragorn.

– Skoro zacząłem, pójdę aż do końca tą drogą. Stanęliśmy teraz na krawędzi, gdzie się spotyka nadzieja z rozpaczą; wahając się, na pewno runiemy w przepaść. Nie wolno dziś odrzucać rady Gandalfa, bo prowadzona przez niego od lat walka z Sauronem teraz dojrzała do ostatecznej próby. Gdyby nie Gandalf, dawno wszystko byłoby stracone. Jednakże nie chcę nikomu narzucać mojej woli. Niech każdy sam dokona wyboru.

Zabrał głos Elrohir:

– Po to wędrowaliśmy aż tutaj z dalekiej Północy i taką samą radę przynieśliśmy od naszego ojca Elronda. Nie zawrócimy z drogi.

– Co do mnie – rzekł Éomer – niewiele wiem o tych trudnych i tajemniczych sprawach. Ale też niepotrzebna mi głębsza wiedza. Wystarczy mi wiedzieć, że mój przyjaciel Aragorn ocalił mnie i mój lud. Pójdę za jego wezwaniem.

– Ja zaś uważam się za lennika króla Aragorna, czy on tego żąda, czy nie – powiedział książę Imrahil. – Jego życzenie jest dla mnie rozkazem. Pójdę za nim. Tymczasem jednak zastępuję Namiestnika Gondoru i winienem przede wszystkim myśleć o plemieniu, które mi powierzono w opiekę. Nie wolno zaniedbać całkowicie ostrożności. Musimy być przygotowani zarówno na nieszczęśliwy, jak i na pomyślny wynik przedsięwzięcia. Zostaje mimo wszystko iskra nadziei, że zwyciężymy, a w takim razie Gondor warto zabezpieczyć. Nie chciałbym wrócić zwycięski do zburzonego grodu i wyniszczonego kraju. A mogłoby się to stać za naszymi plecami. Rohirrimowie donieśli, że na prawym skrzydle została armia nieprzyjacielska jeszcze nietknięta.

– To prawda – rzekł Gandalf. – Nie radzę też wcale, aby gród ogołocić z załogi. Niepotrzebna nam w tej wyprawie na wschód armia, która by mogła poważnie zagrozić Mordorowi, lecz taka, która wystarczy, by skusić Nieprzyjaciela do stoczenia bitwy. Ważny jest też pośpiech. Pytam więc dowódców wojskowych, jakie siły mogą zebrać i mieć gotowe do wymarszu najdalej za dwa dni? Muszą to być ludzie mężni, świadomi niebezpieczeństwa i gotowi zmierzyć się z nim dobrowolnie.

– Wszyscy są strudzeni, wielu jest ciężej lub lżej rannych – powiedział Éomer. – Ponieśliśmy duże straty w koniach, co dotkliwie umniejsza gotowość naszych oddziałów. Jeśli mamy ruszyć już za dwa dni, nie spodziewam się zgromadzić więcej niż dwa tysiące jeźdźców, tym bardziej że trzeba przecież drugie tyle zostawić do obrony grodu.

– Możemy liczyć nie tylko na oddziały, które walczyły pod Minas Tirith – rzekł Aragorn. – Nowe nadciągną z południowych krajów lennych, skoro już wybrzeże zostało wyzwolone od nieprzyjaciela. Cztery tysiące ludzi wysłałem z Pelargiru przez Lossarnach dwa dni temu, prowadzi je nieustraszony Angbor. Jeśli wyruszymy dopiero za dwa dni, zdążą tu na czas. Poza tym liczniejsze jeszcze zastępy wezwałem do przybycia drogą wodną, wszelkimi statkami i barkami, jakimi mogą rozporządzać. Wiatr jest pomyślny, więc przypłyną wkrótce, wiele statków już się zjawiło w Harlondzie. Myślę, że zbierzemy około siedmiu tysięcy konnych i pieszych i mimo to zostawimy w grodzie silniejszą załogę, niż miało Minas Tirith w momencie pierwszej napaści.

– Brama zburzona – przypomniał Imrahil. – Gdzie znaleźć rzemieślników, zdolnych ją odbudować jak należy?

– W Ereborze, w królestwie Dáina – odparł Aragorn. – Jeśli nasze nadzieje nie zawiodą, wyślę później Gimlego, syna Glóina, z prośbą o użyczenie nam biegłych robotników spod Samotnej Góry. Ludzie jednak więcej znaczą niż najmocniejsze bramy; nie wstrzyma Nieprzyjaciela żadna brama, jeśli opuszczą ją obrońcy.

Na tym skończyła się narada dowódców. Postanowiono wyruszyć dwa dni później, w sile siedmiu tysięcy, jeżeli uda się tyle żołnierzy zebrać; znaczną część miała stanowić piechota, bo górzysty kraj, do którego się wybierano, nie nadawał się dla konnicy.

Aragorn miał zgromadzić około dwóch tysięcy spośród zwerbowanych na południu lenników; Imrahil przyrzekł trzy i pół tysiąca wojowników; Éomer – pięciuset Rohirrimów, którzy stracili konie, lecz byli zdolni do walki; sam zaś miał stanąć na czele pięciuset doborowych jeźdźców; w drugim oddziale jazdy, również złożonym z pięciuset konnych, mieli jechać Dúnedainowie i rycerze z Dol Amrothu; w sumie – sześć tysięcy pieszych i tysiąc konnych. Główne siły Rohirrimów, którzy mieli wierzchowce i sami byli w pełni zdolni do władania bronią, około trzech tysięcy jeźdźców,

miały strzec Zachodniego Szlaku przed nieprzyjacielską armią z Anórien. Natychmiast rozesłano zwiadowców na północ i na wschód, żeby przepatrzyli kraj między Osgiliath a drogą do Minas Morgul.

Gdy zakończono obrachunek sił, zarządzono przygotowania do wyprawy i opracowano marszrutę, nagle Imrahil wybuchnął śmiechem.

– Doprawdy! – wykrzyknął. – To najwspanialszy żart w dziejach Gondoru. Ruszamy w siedem tysięcy, z oddziałem godnym stanowić w najlepszym razie tylko przednią straż tej armii, którą rozporządzaliśmy za dni naszej potęgi, aby sforsować ścianę gór i niezdobytą Czarną Bramę! Równie dobrze mogłoby dziecko napaść na zakutego w zbroję rycerza, mając łuk ze sznurka i strzałę z wierzbowej gałązki. Jeżeli Władca Ciemności rzeczywiście tak dużo wie, jak nam to mówiłeś, Mithrandirze, to pewnie zamiast drżeć ze strachu, uśmiecha się w tej chwili, pewny, że zgniecie nas jednym palcem niby natrętną osę, która go chciała ukłuć.

– Nie. Będzie próbował złowić osę, żeby jej wyrwać żądło – odparł Gandalf. – Są też wśród nas tacy, których imię więcej na wojnie znaczy niż tysiąc zakutych w zbroję rycerzy. Nie. Sauron nie będzie się uśmiechał.

– Ani my – powiedział Aragorn. – Jeśli to żart, to zbyt gorzki, by pobudzać do uśmiechów. Ale to nie żart, lecz ostatnie posunięcie, które rozstrzygnie i tak czy owak zakończy bardzo groźną grę. – Dobył Andúrila i uniósł go w blask słońca. – Nie wrócisz już do pochwy, póki nie rozegra się ostatnia bitwa!

ROZDZIAŁ 10
CZARNA BRAMA SIĘ OTWIERA

Dwa dni później armia gotowa do wymarszu zebrała się na polach Pelennoru. Banda orków i ludzi służących Sauronowi posunęła się z Anórien ku grodowi, lecz zaatakowana i rozbita przez Rohirrimów, pierzchła niemal bez walki w stronę Cair Andros; kiedy więc to zagrożenie znikło i nadeszły posiłki z południa, gród był dość dobrze zabezpieczony. Zwiadowcy stwierdzili, że na wschodnim szlaku aż do Rozstaja Dróg przy pomniku obalonego króla nigdzie nie ma nieprzyjacielskich wojsk. Wszystko było gotowe do ostatniej próby.

Legolas i Gimli na jednym koniu jechali w oddziale Aragorna; Gandalf, Dúnedainowie i synowie Elronda należeli do jego przedniej straży. Ale Merry, ku swemu wielkiemu zawstydzeniu, nie uczestniczył w wyprawie.

– Brak ci jeszcze sił do takiej podróży – powiedział Aragorn – nie masz się jednak czego wstydzić. Gdybyś nawet w tej wojnie nic więcej nie zdziałał, już zdobyłeś prawo do największej chluby. Peregrin będzie z nami jako przedstawiciel plemienia hobbitów z Shire’u. Nie zazdrość mu tego niebezpiecznego zaszczytu, bo chociaż sprawiał się dzielnie, na tyle, na ile mu na to pozwalały okoliczności, nie dorównał jeszcze twoim wyczynom. Wiedz też, że w gruncie rzeczy wszyscy są jednako narażeni. Może nam przyjdzie zginąć pod Bramą Mordoru, a wówczas ty będziesz walczył na ostatniej placówce, czy tutaj, czy gdziekolwiek cię nawała ciemności dosięgnie. Bywaj zdrów!

Stał więc Merry zrozpaczony i patrzył na wyciągnięte w szyku szeregi. Towarzyszył mu Bergil, również smutny, bo ojciec jego miał maszerować w oddziale ochotników z grodu, nie mogąc powrócić do królewskiej gwardii, póki nie zostanie osądzony. Do tego samego oddziału włączono Pippina jako żołnierza Gondoru. Merry widział go z dość bliska, małą, lecz dzielnie sprężoną figurkę między rosłymi ludźmi z Minas Tirith.

Zagrały trąby i armia ruszyła w pochód. Pułk za pułkiem, kompania za kompanią przesuwały się, dążąc na wschód. Dawno już zniknęli z oczu na drodze wiodącej ku Grobli, a Merry wciąż stał zamyślony na miejscu.

Ostatni odblask porannego słońca zamigotał w grotach włóczni i hełmach i zgasł w oddali, lecz hobbit nie mógł się zdecydować na powrót do miasta; zwiesił głowę, zasmucony rozłąką z przyjaciółmi i bardzo samotny. Wszyscy najbliżsi sercu odeszli i zniknęli we mgle osnuwającej widnokrąg na wschodzie, nie było też wielkiej nadziei, że kiedykolwiek w życiu zobaczy ich znowu.

Jak gdyby rozbudzony przez ten bolesny nastrój, ból w ręce odezwał się na nowo; Merry czuł się stary i słaby, a słońce zdawało mu się dziwnie blade. Ocknął się, gdy Bergil dotknął jego ramienia.

– Chodźmy, dzielny perianie – powiedział chłopiec. – Jesteś jeszcze cierpiący, jak widzę. Odprowadzę cię do Domów Uzdrowień. Nic się nie bój! Nasi wrócą. Nikt nie pokona ludzi z Minas Tirith, tym bardziej teraz, kiedy jest z nimi Kamień Elfów, no i gwardzista Beregond!

Przed południem armia dotarła do Osgiliath. Krzątali się tam robotnicy i rzemieślnicy, ilu ich zdołano zgromadzić. Jedni wzmacniali promy i związane z czółen mosty, które nieprzyjaciel zbudował, a potem przed ucieczką częściowo zniszczył; inni porządkowali w składach zapasy i zdobycze, a jeszcze inni na wschodnim brzegu Rzeki sypali pospiesznie obronne szańce.

Czoło pochodu minęło ruiny Dawnego Gondoru i przeprawiwszy się przez Anduinę, pociągnęło dalej gościńcem, który za dobrych czasów łączył piękną Wieżę Słońca ze strzelistą Wieżą Księżyca, dziś przezwaną Minas Morgul i sterczącą nad przeklętą doliną. Pięć mil za Osgiliath rozbito obóz, kończąc marsz dzienny.

Jeźdźcy wszakże pocwałowali dalej, by przed wieczorem stanąć u Rozstaja Dróg. W wielkim kręgu drzew cisza panowała zupełna; nie widać było nigdzie w pobliżu nieprzyjaciół, nie słychać było krzyków ani wołania, żadna strzała nie świsnęła spośród skalnych złomisk czy też z gęstwy zarośli, a mimo to w miarę posuwania się naprzód wszyscy wyczuwali czujne napięcie całej okolicy. Drzewa, kamienie i liście jak gdyby nasłuchiwały. Ciemności rozproszyły się i słońce zachodziło w blasku nad doliną Anduiny, a białe szczyty gór rumieniły się w niebieskiej dali, lecz nad Ephel Dúath zalegał cień i mrok.

Aragorn rozstawił trębaczy na każdej z czterech dróg rozbiegających się z kręgu drzew, by zagrali głośną fanfarę, po czym heroldowie obwieścili

donośnie: „Prawi władcy Gondoru powrócili i obejmują znów w posiadanie podległy sobie kraj!”. Strącono i rozbito szkaradny łeb orka sterczący na kamiennym posągu i osadzono z powrotem na swym miejscu głowę króla, nie tykając jednak wieńca białych i złocistych kwiatów, które ją oplotły koroną; ludzie zmyli i zatarli też bluźniercze znaki, którymi orkowie splugawili kamienny cokół.

Podczas narady były głosy, aby zacząć od ataku na Minas Morgul, gdyby zaś udało się wieżę zdobyć, zburzyć ją doszczętnie. „Kto wie – mówił Imrahil – czy droga prowadząca stamtąd na przełęcz nie okaże się dogodniejsza do głównego natarcia na siedzibę Nieprzyjaciela niż Czarna Brama od północy”.

Gandalf jednak sprzeciwiał się temu stanowczo z uwagi na złą sławę tej doliny, której okropność przyprawiała ludzi o obłęd, a także z powodu wiadomości dostarczonych przez Faramira. Jeśli bowiem Powiernik Pierścienia rzeczywiście tę drogę obrał, nie wolno było na nią ściągnąć uwagi czujnego Oka Mordoru. Gdy więc nazajutrz cała armia dołączyła się do przedniej straży, rozstawiono silne warty na Rozstaju Dróg, aby bronić tego miejsca, gdyby Nieprzyjaciel próbował przez przełęcz Morgul wysłać jakieś wojska lub ściągnąć tędy posiłki z południa. Do tej służby przeznaczono najlepszych łuczników znających teren w Ithilien; mieli oni, ukryci w lesie i na stokach, czuwać wokół Rozstaja Dróg. Gandalf i Aragorn wraz z czołowym oddziałem podjechali jednak do wylotu doliny Morgul, żeby spojrzeć z dala na przeklętą fortecę.

Ukazała im się ciemna i cicha, bo orkowie oraz inni pośledniejsi słudzy Władcy Ciemności, zazwyczaj stanowiący jej załogę, wyginęli w bitwie, Nazgûlów zaś nie było teraz w tych stronach. Mimo to powietrze doliny zdawało się ciężkie od grozy i wrogości. Gondorczycy rozwalili most i podpalili cuchnące łąki, po czym opuścili to miejsce.

Następnego dnia, trzeciego od wyruszenia z Minas Tirith, armia rozpoczęła marsz gościńcem na północ. Tą drogą było od Rozstaja do Morannonu około stu mil, nikt też nie mógł przewidzieć, co ich czeka, nim do celu dotrą. Posuwali się jawnie, chociaż ostrożnie, poprzedzani przez konnych zwiadowców i strzeżeni z obu stron gościńca, zwłaszcza od wschodu, przez pieszych; tu bowiem biegł wzdłuż drogi ciemny gąszcz, teren był zryty rozpadlinami i zjeżony skałkami, nad którymi piętrzył się

wydłużony, ponury grzbiet Ephel Dúath. Pogoda była dość piękna, wiatr wciąż dmuchał od zachodu, lecz nic nie mogło rozwiać mroków i posępnych mgieł lgnących do zboczy Gór Cienia; zza ich ściany wzbijały się niekiedy słupy gęstego dymu, tworząc ciemne chmury wysoko na niebie.

Od czasu do czasu na rozkaz Gandalfa heroldowie powtarzali zawołanie: „Władcy Gondoru wracają! Niech bezprawni posiadacze opuszczą ten kraj i oddadzą go prawowitemu gospodarzowi”.

– Nie powinni wołać: „Władcy Gondoru”, lecz: „Król Elessar powrócił” – rzekł Imrahil. – To przecież prawda, chociaż król jeszcze nie objął tronu, a na Nieprzyjacielu większe zrobi wrażenie, jeśli heroldowie będą rozgłaszać to imię.

Odtąd więc trzy razy dziennie heroldowie oznajmiali pochód króla Elessara. Nikt jednak nie odpowiedział na to wyzwanie.

Jakkolwiek posuwali się pozornie bez przeszkód, ciężar niepokoju przytłaczał wszystkie serca, od najwyższych dowódców do ostatniego żołnierza, z każdą zaś przebytą milą potęgowały się złe przeczucia. Pod koniec drugiego dnia od wymarszu z Rozstaja Dróg po raz pierwszy nadarzyła się sposobność starcia z nieprzyjacielem. Silny oddział orków i ludzi z dalekich wschodnich krajów spróbował wciągnąć przednią straż w zasadzkę. Stało się to w tym samym miejscu, gdzie Faramir zaskoczył kiedyś wojska Haradu; droga tu wcinała się głęboko pomiędzy wysunięte ramiona górskiego łańcucha. Lecz zwiadowcy, doświadczeni żołnierze z Henneth Annûn prowadzeni przez Mablunga, w porę ostrzegli o niebezpieczeństwie, a zasadzka zamieniła się w pułapkę dla orków. Jeźdźcy bowiem ominęli to miejsce szerokim łukiem od zachodu i natarli z flanki na nieprzyjaciół, kładąc większość trupem, a niedobitków przepędzając ku wschodowi i górom.

Zwycięstwo to niezbyt jednak podniosło na duchu dowódców.

– To był podstęp – rzekł Aragorn – który miał na celu, jak przypuszczam, omamienie nas rzekomą słabością przeciwnika, nie zaś poważne przeszkodzenie nam w marszu.

Od tego wieczora pojawiły się Nazgûle i śledziły wszystkie ruchy armii. Latały wciąż wysoko, niedostrzegalne dla oczu słabszych niż oczy Legolasa, lecz ludzie poznawali ich obecność po gęstnieniu cieni i

zamgleniu słońca, a chociaż Upiory Pierścienia nie zniżały się nad wojskiem i milczały, nie trwożąc ludzi krzykiem, siały strach, z którego trudno było się otrząsnąć.

Tak mijał czas i ciągnął się beznadziejny marsz. Czwartego dnia po opuszczeniu Rozstaja, a szóstego od wyjścia z Minas Tirith dotarli do kresu krain kwitnących życiem i wkroczyli na ziemie spustoszone, leżące przed wrotami przełęczy Cirith Gorgor; stąd widzieli bagniska i pustkowia, które ciągnęły się na północ i wschód aż do Emyn Muil. Był to kraj tak posępny i tchnący tak okropną grozą, że co słabszym ludziom zabrakło odwagi, by iść lub jechać dalej na północ.

Aragorn patrzył na nich raczej ze smutkiem niż z gniewem, byli to bowiem młodzi chłopcy z Rohanu, z odległej Zachodniej Bruzdy, albo też rolnicy z Lossarnach, którzy od dzieciństwa przywykli Mordor uważać nie za kraj istniejący rzeczywiście, lecz za symbol zła, za legendę, niemającą nic wspólnego z ich powszednim życiem. Teraz nagle koszmarny sen okazał się okrutną jawą, a nieszczęśnicy nie rozumieli ani sensu tej wojny, ani dlaczego los ich właśnie w jej wiry zepchnął.

– Wracajcie – powiedział im Aragorn – ale zachowajcie przynajmniej tyle honoru, aby nie uciekać w panice. Możecie też spełnić pewne zadanie, aby uniknąć ostatecznej hańby. Kierujcie się na południowy zachód, by trafić na Cair Andros, a jeśli tamtejsza placówka, jak przypuszczam, jest w ręku wroga, odbijcie ją, bo to się wam może udać, i utrzymujcie do końca dla ochrony Gondoru i Rohanu.

Niektórzy, zawstydzeni litością wodza, przezwyciężyli swój strach i zostali, by dalej uczestniczyć w wyprawie; inni, ożywieni nową nadzieją, że mają do spełnienia obowiązek nieprzekraczający ich sił, odeszli. Ponieważ zaś spory oddział został już przedtem na straży Rozstaja, ledwie sześć tysięcy ruszyło teraz do boju o Czarną Bramę przeciw potędze Mordoru.

Posuwali się wolno, oczekując lada chwila jakiejś odpowiedzi na rzucone wyzwanie, i trzymali się w zwartej kolumnie, bo wysłanie zwiadowców lub małych patroli zdawało się próżną stratą, osłabiającą tylko główne siły. Wieczorem piątego dnia marszu z Doliny Morgul rozbili ostatni obóz i rozpalili ogniska z suchych gałęzi i wrzosów, z trudem zebranych na tej jałowej ziemi. Noc spędzili, czuwając, na pół świadomi obecności różnych stworów, które czaiły się wokół, i nasłuchując wycia

wilków. Wiatr ustał, powietrze znieruchomiało. Nic prawie nie było widać, mimo czystego nieba i rosnącego od czterech nocy księżyca, bo dymy i opary snuły się nad ziemią, a księżyc przesłaniała mgła Mordoru.

Zrobiło się zimno. Nad ranem wiatr się znów podniósł, lecz wiał teraz z północy i wkrótce zmienił się w ostry, chłodny podmuch. Nocne stwory zniknęły, okolica wydawała się pusta. Na północy wśród cuchnących jam pokazały się pierwsze ogromne usypiska żużlu, rumowisk skalnych, spopielałej ziemi – ślady kreciej roboty niewolników Mordoru; na południu i znacznie już bliżej piętrzył się potężny mur Cirith Gorgor, z Czarną Bramą pośrodku, z dwiema wysokimi, ponurymi Zębatymi Wieżami z obu jej stron. Na ostatnim bowiem etapie marszu dowódcy sprowadzili swoją armię ze starego gościńca w miejscu, gdzie skręcał on na wschód, i uniknąwszy w ten sposób zdradzieckich pagórków, zbliżali się teraz do Morannonu od północo-zachodu, podobnie jak przedtem Frodo.

Ujrzeli dwoje ogromnych odrzwi Czarnej Bramy, zamkniętych szczelnie pod surowymi łukami sklepień. Na wieżach nie było widać żywej duszy. Panowała cisza, ale cisza pełna napięcia. Doszli więc do celu szaleńczej wyprawy i stanęli bezradnie, zziębnięci w szarym brzasku dnia, przed fortecą i murami tak potężnymi, że nie mogli mieć nadziei, próbując je atakować, nawet gdyby przyprowadzili z sobą machiny oblężnicze i gdyby Nieprzyjaciel rozporządzał tylko garstką obrońców, wystarczającą zaledwie do obsadzenia samej Bramy. A przecież, jak wiedzieli, góry i skały nad Morannonem roiły się od ukrytych nieprzyjacielskich żołnierzy, a w ciemnym wąwozie z wydrążonymi tunelami czyhały złowrogie siły. Zobaczyli też wszystkie Nazgûle, krążące niby sępy w powietrzu nad Zębatymi Wieżami, wiedzieli, że są śledzeni, lecz wciąż jeszcze Nieprzyjaciel nie dawał znaku życia.

Nie mieli wyboru, musieli do końca prowadzić rozpoczętą grę. Aragorn ustawił swoją armię w takim porządku, na jaki teren pozwalał; szeregi skupiły się na dwóch dużych pagórkach, utworzonych ze zgruchotanych kamieni i ziemi podczas długich lat mozolnej pracy orków. Przed nimi ku Mordorowi ciągnęło się niby fosa rozległe bagnisko, pełne cuchnącego błota i zgniłych rozlewisk. Gdy skończono przygotowania, grupa dowódców wysunęła się pod Czarną Bramę w otoczeniu przybocznej straży, z chorągwią, heroldami i trębaczami. Byli w tej grupie Gandalf, jako główny herold, Aragorn, synowie Elronda, Éomer z Rohanu i książę

Imrahil; dołączono też Legolasa, Gimlego oraz Pippina, żeby wszystkie plemiona walczące z Mordorem miały swoich świadków w tym poselstwie.

Zbliżyli się do Morannonu na odległość głosu, rozwinęli sztandar i zadęli w trąby; heroldowie wysunęli się naprzód, by donośnymi głosami dosięgnąć uszu ukrytych za murami.

– Pokażcie się! – krzyknęli. – Niech Władca Kraju Ciemności wyjdzie do nas na rozmowę! Przybywamy wymierzyć sprawiedliwość. Albowiem winien jest napaści na Gondor i zniszczenia tego kraju. Król Gondoru żąda, aby naprawił wyrządzone szkody i wycofał się na zawsze. Wyjdźcie do nas na rozmowę!

Zapadła cisza i przez długą chwilę żaden głos, okrzyk ani szmer nie odpowiedział na wyzwanie. Sauron wszystko jednak z góry obmyślił i zamierzał okrutnie poigrać z myszą, nim zada jej śmiertelny cios. Kiedy dowódcy chcieli zawrócić spod Bramy, nagle ciszę zakłócił przeciągły werbel niby grzmot toczący się wśród gór, a potem ryk rogów tak potężny, że kamienie zadrżały, a ludzie zdrętwieli, ogłuszeni. Jedne z odrzwi Czarnej Bramy otwarły się z głośnym brzękiem i ukazało się w nich poselstwo wysłane z Czarnej Wieży. Na czele jechał wysoki mąż odrażającej postaci, na czarnym koniu, jeśli godzi się nazwać koniem ogromną, wstrętną bestię o straszliwym pysku, z łbem podobnym do trupiej końskiej czaszki, ziejącą płomieniem z oczodołów i nozdrzy. Jeździec, owinięty czarnym płaszczem, w wysokim czarnym szyszaku, nie był jednak upiorem, lecz żywym człowiekiem. Imienia tego pełnomocnika Barad-dûr nie zachowała żadna pieśń ani legenda, on sam bowiem je zapomniał, kiedy przedstawiając się, rzekł:

– Jestem rzecznikiem Saurona.

Mówiono jednak, że był to odszczepieniec z plemienia tak zwanych Czarnych Númenorejczyków, którzy osiedli w Śródziemiu za czasów potęgi Saurona i oddawali mu cześć, ponieważ rozmiłowali się w tajemnej wiedzy czarnoksięstwa. Ten człowiek oddał się służbie Czarnej Wieży natychmiast po odrodzeniu się jej potęgi, a dzięki chytrości piął się coraz wyżej w hierarchii sług Saurona i pozyskał jego łaski. Zgłębił też sztukę czarnoksięską i znał dość dobrze zamysły swego pana, w okrucieństwie zaś nie ustępował orkom.

Takiego parlamentariusza wysłał Sauron w otoczeniu kilku tylko na czarno odzianych żołnierzy, z czarną flagą naznaczoną czerwonym godłem

strasznego Oka. Zatrzymawszy się w odległości paru kroków od grupy Aragorna, poseł Mordoru zmierzył wzrokiem przeciwników i roześmiał się głośno.

– Czy jest w tej zgrai ktoś na tyle poważny, by ze mną prowadzić rokowania? – spytał. – Albo przynajmniej dość rozgarnięty, żeby mnie zrozumieć? Chyba nie ty? – zadrwił, zwracając się do Aragorna. – Żeby uchodzić za króla, nie wystarczy przypiąć sobie szkiełko elfów i otoczyć się zbrojną hałastrą. No cóż, każdy rozbójnik z gór może poszczycić się podobną bandą.

Aragorn nic nie odpowiedział, lecz spojrzał tamtemu w oczy i nie odrywał wzroku przez długą chwilę; zmagali się spojrzeniem, a chociaż Aragorn nie poruszył się ani ręką nie sięgnął do broni, wysłannik Mordoru zachwiał się i cofnął, jakby pod grozą ciosu.

– Jestem heroldem i posłem, nie godzi się mnie tknąć! – krzyknął.

– Tam, gdzie tego rodzaju prawa są w poszanowaniu, poseł zazwyczaj nie pozwala sobie na tak obelżywy ton – odparł Gandalf. – Nikt jednak tutaj nie zamierzał cię tknąć. Nie obawiaj się z naszej strony niczego, dopóki pełnisz swoją misję poselską. Potem wszakże, jeśli twój pan nie okaże rozsądku, wszyscy jego słudzy z tobą włącznie znajdą się rzeczywiście w wielkim niebezpieczeństwie.

– Ach tak! – rzekł poseł Mordoru. – A więc ty jesteś rzecznikiem tej zgrai, siwy brodaczu! Od dawna cię znamy, wiemy wszystko o twoich podróżach, o spiskach i złośliwych przeciw nam intrygach, które knujesz, sam jednak trzymając się zwykle w bezpiecznej odległości. Tym razem nareszcie wysunąłeś swój wścibski nos za daleko, Gandalfie, przekonasz się, co spotyka tych, którzy ośmielają się w swym szaleństwie spiskować przeciw Wielkiemu Sauronowi. Mam tutaj kilka drobiazgów, które on polecił właśnie tobie przekazać, gdybyś ośmielił się przyjść pod jego Bramę.

To rzekłszy, skinął na jednego ze swoich żołnierzy, który wystąpił, niosąc zawiniątko okryte czarną płachtą.

Wysłannik Mordoru rozwinął je; ku swemu zdumieniu i rozpaczy towarzysze Aragorna zobaczyli w ręku straszliwego posła najpierw krótki mieczyk, który zwykł był nosić u boku Sam, potem szary płaszcz spięty klamrą elfów, wreszcie kolczugę z mithrilu, którą Frodo ukrywał pod

zniszczonym wierzchnim ubraniem. Na ten widok pociemniało im w oczach; mieli wrażenie, że przez chwilę napiętej ciszy świat zatrzymał się w biegu, serca w ich piersi zamarły i ostatnia iskra nadziei zgasła. Pippin, stojący za księciem Imrahilem, skoczył naprzód z okrzykiem bólu.

– Spokój! – surowo rozkazał Gandalf, osadzając hobbita w miejscu. Wysłannik Mordoru roześmiał się szyderczo.

– A więc przyprowadziliście z sobą więcej tych pokurczów! – zawołał. – Trudno pojąć, jaki z nich pożytek, w każdym razie wysłanie ich jako szpiegów do Mordoru to pomysł przekraczający nawet granice waszego znanego szaleństwa. Mimo wszystko dziękuję temu smykowi, bo dostarczył mi dowodu, że nie pierwszy raz widzi te rzeczy; próżno teraz wypieralibyście się, że ich nie znacie.

– Nie myślę się tego wypierać – odparł Gandalf. – Tak jest, znam te rzeczy i całą ich historię; ty natomiast, mimo swej pychy, nikczemny rzeczniku Mordoru, niewiele o nich wiesz. Dlaczego je tutaj przyniosłeś?

– Zbroja krasnoludów, płaszcz elfów, miecz z zatopionego Zachodu i szpieg z nędznego kraiku zwanego Shire… Wzdrygnąłeś się? Tak, tak, o tym kraiku także nam wszystko wiadomo. A więc – mamy niezbite dowody spisku. Może ten, który te rzeczy nosił, jest wam obojętny i jego los wcale was nie wzrusza, a może przeciwnie, jest wam bardzo drogi? Jeśli tak, radzę wam iść po rozum do głowy, po tę resztkę rozumu, jaka wam została. Sauron nie cacka się ze szpiegami, a los tego pokurcza zawisł od tego, co teraz postanowicie.

Nikt mu nie odpowiedział, ale rzecznik Mordoru spostrzegł bladość na ich twarzach i wyraz zgrozy w oczach; roześmiał się znowu, rad z celności zadanego ciosu.

– A więc tak! – powiedział. – Jest wam drogi, to jasne. Albo może zadanie, które mu wyznaczyliście, miało dla was szczególną wagę? Nie spełnił go oczywiście. Teraz poniesie karę, powolną, na wiele lat rozłożoną torturę, wedle sztuki, z której słynie nasza Wspaniała Wieża, i nigdy nie wyjdzie na wolność, chyba po to, żeby się wam pokazać tak odmieniony i złamany, iż pożałujecie własnego szaleństwa. To się stanie, jeżeli nie przyjmiecie warunków mojego Władcy.

– Wymień je – rzekł Gandalf głosem stanowczym, lecz ci, którzy stali blisko niego, widzieli na twarzy Czarodzieja wyraz tajonej udręki i wydał

im się nagle bardzo starym, bardzo znużonym człowiekiem, przybitym i ostatecznie pokonanym. Nikt nie wątpił, że Gandalf przyjmie podyktowane warunki.

– Oto one – powiedział wysłannik Saurona i ze złośliwym uśmiechem powiódł spojrzeniem po twarzach przeciwników. – Banda Gondoru i jego obałamuconych sprzymierzeńców wycofa się natychmiast poza Anduinę, złożywszy przedtem przysięgę, że nigdy więcej nie ośmieli się napastować Wielkiego Saurona zbrojnie, jawnie ani też skrycie. Wszystkie ziemie na wschód od Anduiny należeć będą do Saurona odtąd i na wieki. Kraj położony na zachodnim brzegu Anduiny aż po Góry Mgliste i Wrota Rohanu będzie stanowił lenno Mordoru; ludziom tam zamieszkałym nie wolno będzie posiadać broni, lecz zarząd sprawami wewnętrznymi w tych krajach pozostanie w ich rękach. Pomogą w odbudowie Isengardu, który tak bezmyślnie zniszczyli, a który odtąd należeć będzie do Saurona; mój władca osadzi tam swego pełnomocnika, nie Sarumana, lecz kogoś bardziej godnego zaufania.

Słuchacze, patrząc w oczy wysłannika Mordoru, odgadli jego myśl. On to miał być pełnomocnikiem Mordoru w Isengardzie i stamtąd sprawować władzę nad niedobitkami Zachodu; miał być ich tyranem, oni zaś jego niewolnikami.

– Wysoka cena za jednego jeńca – odparł Gandalf. – Twój władca chciałby w zamian za niego otrzymać to wszystko, co inaczej musiałby zdobywać w wielu ciężkich wyprawach wojennych. Czy może na polach Gondoru zgubił wiarę w wojenne zwycięstwa i woli przetargi od walki? Gdybyśmy nawet byli gotowi zapłacić tak drogo za tego jeńca, jakież mamy gwarancje, że Sauron, nikczemny mistrz oszustwa, dotrzyma ze swej strony umowy? Gdzie jest ten jeniec? Przyprowadź go i oddaj nam, dopiero wówczas zastanowimy się nad twoimi żądaniami.

Gandalf nie spuszczał wzroku z twarzy wysłannika Mordoru, czujny jak szermierz w śmiertelnym pojedynku, i wydawało mu się, że na jedno okamgnienie tamten zawahał się, nie znajdując odpowiedzi, szybko jednak zapanował nad sobą i wybuchnął śmiechem.

– Nie targuj się, kiedy mówisz do rzecznika Wielkiego Saurona! – krzyknął. – Wymagasz gwarancji? Sauron ci ich nie da. Skoro uciekasz się do jego łaski, musisz mu wierzyć na słowo. Znacie warunki. Możecie je przyjąć lub odrzucić.

– Przyjmiemy to! – niespodzianie krzyknął Gandalf. Rozchylił płaszcz i białe światło rozbłysło jak ostrze miecza na tle czarnych murów. Wysłannik Mordoru cofnął się przed podniesioną ręką Czarodzieja, a Gandalf szybko chwycił płaszcz elfów, kolczugę i miecz Sama. – To przyjmiemy na pamiątkę po naszych przyjaciołach! – zawołał. – Ale wasze warunki odrzucamy bez namysłu! Możesz odejść, twoje poselstwo skończone, a śmierć stoi już blisko przy tobie. Nie przyszliśmy tutaj, by tracić słowa na rokowania z Sauronem, przeklętym wiarołomcą, a tym bardziej nie chcemy rokować z jego niewolnikami. Idź precz!

Wysłannik Mordoru już się teraz nie śmiał. Zdumienie i złość wykrzywiły mu twarz; wyglądał jak dziki zwierz, który w ostatniej chwili, kiedy już wpijał pazury w ofiarę, dostał nagle rozpalonym prętem przez pysk. Wściekły, trzęsącymi się konwulsyjnie wargami rzucił jakieś niezrozumiałe przekleństwo, z trudem dobywając głosu z zaciśniętego gardła. Spojrzał w srogie twarze i błyszczące gniewem oczy towarzyszy Gandalfa i strach zatryumfował w nim nad złością. Z krzykiem odwrócił się, skoczył na swego wierzchowca i galopem ruszył z powrotem w stronę Cirith Gorgor, a cała jego świta za nim. Lecz zawracając, żołnierze Mordoru zdążyli zatrąbić, dając umówiony z góry sygnał. Nim jeszcze dopadli Bramy, Sauron uruchomił przygotowaną pułapkę.

Zagrzmiały bębny, wystrzeliły w górę płomienie. Wszystkie drzwi Morannonu rozwarły się nagle na oścież. Runęły przez nie zbrojne oddziały, jak fala przez otwarte śluzy.

Aragorn ze swą świtą odjechał sprzed Bramy, żegnany wrzaskiem dzikich żołdaków Mordoru. Kurz wzbił się chmurą w powietrze spod nóg maszerującego pułku Easterlingów, którzy na sygnał wyszli z cienia Ered Lithui, wznoszącego się za dalszą Wieżą. Niezliczone zastępy orków zbiegały po zboczach gór po obu stronach Morannonu. Armia ludów Zachodu znalazła się w potrzasku; wokół szarych pagórków, na których się skupiła, wkrótce zamknął się krąg wojsk nieprzyjacielskich, dziesięciokroć co najmniej liczniejszych. Sauron schwycił przynętę w stalowe szczęki.

Niewiele czasu miał Aragorn na ustawienie swojej armii do bitwy. Sam stał na pagórku wraz z Gandalfem pod chorągwią z Drzewem i Gwiazdami, którą kazał rozwinąć w pięknym i desperackim geście. Na drugim pagórku jaśniały sztandary Rohanu i Dol Amrothu, Biały Koń i Srebrny Łabędź.

Wokół każdego wzgórza stanął żywy mur wojowników, twarzami zwróconych na wszystkie strony świata, zbrojnych we włócznie i miecze. Na wprost Bramy Mordoru, skąd miał przyjść pierwszy, najzaciętszy atak, stali synowie Elronda, mając po lewej ręce Dúnedainów, a po prawej księcia Imrahila i smukłych rycerzy Dol Amrothu oraz wybranych najdzielniejszych gwardzistów z Minas Tirith.

Zadął wiatr, zagrały surmy, świsnęły strzały; słońce podnoszące się ku zenitowi przesłoniły dymy Mordoru i w tej złowrogiej aureoli świeciło z daleka ciemną czerwienią, jakby już zbliżał się koniec dnia, czy może koniec wszystkich jasnych dni świata. W gęstniejącym mroku ukazały się Nazgûle i rozległ się ich mrożący krew w żyłach morderczy krzyk; nadzieja zamarła w sercach.

Pippin skulił się ze zgrozy, gdy usłyszał, jak Gandalf odrzuca warunki Nieprzyjaciela, skazując Froda na tortury Czarnej Wieży; pokonał jednak rozpacz i stał teraz obok Beregonda w pierwszym szeregu Gondorczyków, wraz z rycerzami Dol Amrothu. Uznał bowiem, że gdy wszystko zawiodło, trzeba co rychlej przypieczętować śmiercią tę gorzką historię życia.

– Szkoda, że nie ma tutaj Meriadoka! – usłyszał swój własny głos. Myśli roiły się w jego głowie, gdy śledził ruchy przeciwnika, posuwającego się już do natarcia. – Teraz dopiero zaczynam rozumieć biednego Denethora. Moglibyśmy przynajmniej razem zginąć, Merry i ja, skoro i tak zginąć trzeba. No, ale Merry jest daleko stąd, miejmy więc nadzieję, że przypadnie mu w udziale śmierć mniej okrutna. Bądź co bądź, muszę sprzedać życie jak najdrożej.

Wyciągnął miecz i przyjrzał się splecionym na ostrzu czerwonym i złotym liniom; piękne pismo Númenoru lśniło ogniście w stali.

„Wykuto tę broń na tę właśnie godzinę – myślał Pippin. – Gdyby mi się udało zabić tego nikczemnego wysłannika, dorównałbym niemal Meriadokowi. No, kogoś z tej podłej zgrai na pewno uśmiercę, zanim sam padnę. Szkoda, że nigdy już nie zobaczę jasnego słońca i świeżej trawy!”

W tym momencie pierwsza fala natarcia uderzyła o mur obrońców. Orkowie, nie mogąc się przedostać przez bagnisko leżące u stóp pagórka, zatrzymali się na brzegu i stamtąd sypnęli strzałami. Lecz przez bandę orków przecisnął się duży oddział górskich trolli z Gorgoroth. Biegli, rycząc jak dzikie bestie; więksi i tęższi niż ludzie, okryci tylko przylegającą

ciasno do ciała łuską, która może była ich zbroją, a może własną potworną skórą, mieli wielkie, krągłe, czarne tarcze i w sękatych potężnych rękach nieśli wzniesione do ciosu ciężkie młoty. Bez wahania skoczyli w błotniste rozlewiska i brnęli przez nie wśród ogłuszającego wrzasku. Jak burza spadli na zwarte szeregi Gondoru, druzgocąc hełmy i czaszki, ramiona i tarcze, niby kowale kujący rozgrzane i miękkie żelazo. U boku Pippina Beregond zachwiał się i padł. Olbrzymi przywódca trolli pochylił się nad leżącym, wyciągając chciwe pazury, bo te bestie miały zwyczaj przegryzać gardła pokonanych przeciwników. Pippin dźgnął w pasji mieczem; pokryte runami ostrze przebiło łuski i dosięgło trzewi trolla. Trysnęła czarna posoka. Olbrzym jak podcięta skała runął naprzód, grzebiąc pod swoim cielskiem hobbita. Pippin, przygnieciony, jęknął z bólu; otoczyła go ciemność, wstrętny smród zaparł mu oddech; tracił przytomność, zapadał w czarną otchłań.

„A więc koniec taki, jak przewidziałem” – podszepnęła mu ostatnia umykająca myśl i zdążył jeszcze zaśmiać się w głębi duszy, bo wydało mu się niemal radosne, że wyzwala się wreszcie z resztek wątpliwości, trosk i strachu. Ale pogrążając się w niepamięci, usłyszał głosy i rozróżnił w nich słowa, jak gdyby wracające z dalekiego, zapomnianego świata: „Orły! Orły nadlatują!”.

Na mgnienie oka Pippin zawahał się na krawędzi ciemności. „Bilbo! – przemknęło mu przez głowę. – Ale nie! To działo się w jego historii, dawno, dawno temu. A teraz rozgrywa się, a właściwie kończy, moja historia. Żegnajcie!” Myśli uciekły gdzieś bardzo daleko, przed oczami rozpostarła się ciemność.

Księga szósta

ROZDZIAŁ 1
WIEŻA NAD CIRITH UNGOL

Sam z trudem dźwignął się z ziemi. W pierwszym momencie nie mógł się zorientować, gdzie jest, ale po chwili przypomniał sobie wszystko, całą beznadziejną i rozpaczliwą prawdę. Znajdował się przed dolną bramą orkowej fortecy; spiżowe drzwi były zamknięte.

Musiał zemdleć, gdy próbował je otworzyć naporem własnego ciała, ale nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny. Przedtem był rozgorączkowany, zdesperowany i wściekły, teraz dygotał z zimna. Przyczołgał się pod drzwi i przytknął do nich ucho.

Z daleka dochodziła wrzawa i zmieszane głosy orków, lecz coraz niklejsze, oddalające się, aż wreszcie ucichły zupełnie. Głowa go bolała, przed oczami migotały w ciemności skry, starał się jednak pozbierać myśli. Jedno zdawało się bądź co bądź jasne: że przez te drzwi nie dostanie się do fortecy orków. Musiałby czekać na ich otwarcie, kto wie, ile dni, a na to nie mógł sobie pozwolić, każda chwila była rozpaczliwie cenna. Nie miał już wątpliwości, co jest jego pierwszym obowiązkiem; wiedział, że musi ocalić Froda, choćby mu przyszło tę próbę przypłacić własnym życiem.

„Najbardziej prawdopodobne, że zginę, to zresztą najłatwiejsze” – powiedział sobie markotnie, chowając Żądło do pochwy i odwracając się od spiżowych drzwi. Z wolna wlókł się w górę ciemnym tunelem, nie odważając się użyć światła elfów. Idąc, usiłował w głowie uporządkować wszystkie zdarzenia od początku wędrówki z Rozstaja Dróg. Nie mógł się zorientować w porze dnia; przypuszczał, że jest noc, ale nawet rachunek dni mylił mu się teraz. W tym kraju ciemności gubiło się dni, tak jak gubił się każdy, kto tutaj zabłądził.

„Ciekawe, czy też przyjaciele w ogóle o nas pamiętają – myślał – i co się z nimi dzieje tam, w ich świecie?” Niezdecydowanym gestem wskazał przed siebie, nie wiedząc, że kierując się znów do tunelu Szeloby, jest zwrócony twarzą ku południowi, nie ku zachodowi, jak sądził. Na jasnym świecie słońce stało blisko zenitu i był dzień czternastego marca według kalendarza Shire’u; Aragorn właśnie płynął na czele czarnej floty z Pelargiru, Merry z Rohirrimami cwałował przez Dolinę Kamiennych

Wozów, a w Minas Tirith szerzyły się pożary i Pippin z przerażeniem śledził coraz wyraźniejszy obłęd w oczach Denethora. Ale wśród wszystkich trosk i niebezpieczeństw myśli przyjaciół wciąż zwracały się do Froda i Sama. Nie byli zapomniani, ale znaleźli się poza zasięgiem bratniej pomocy, a najżyczliwsza myśl nie mogła poratować w tym momencie Sama, syna Hamfasta. Był zdany wyłącznie na siebie.

Dotarł wreszcie do kamiennych drzwi zagradzających wejście orkowego korytarza, a nie mogąc wykryć zamka ani skobla, przelazł tak jak poprzednio górą i zgrabnie zsunął się znów na ziemię.

Ostrożnie przekradł się obok wylotu tunelu Szeloby, gdzie w zimnym przeciągu powiewały jeszcze szczątki podartej ogromnej sieci pajęczej. Po cuchnącym cieple w głębszym korytarzu tutaj owiał Sama przejmujący chłód, lecz to orzeźwiło go nieco. Chyłkiem wypełznął na otwartą ścieżkę.

Panowała tu złowroga cisza. Nie było jaśniej, niż zazwyczaj bywa o zmierzchu chmurnego dnia. Ogromne kłęby pary wzbijające się znad Mordoru płynęły nisko nad jego głową w stronę zachodu, tworząc pułap z dymu i chmur, oświetlony od spodu posępnym krwawym blaskiem.

Sam podniósł wzrok na wieżę orków i nagle z jej wąskich okien błysnęły światła jak małe czerwone oczy. Mógł to być jakiś sygnał. Strach przed orkami, na czas pewien przytłumiony gniewem i rozpaczą, znowu ogarnął hobbita. Nie widział innej rady, musiał szukać głównego wejścia do strasznej Wieży, lecz kolana uginały się pod nim i dygotał z przerażenia. Odwracając oczy w dół od Wieży i sterczących nad wąwozem urwisk, zmusił oporne nogi do posłuszeństwa i nasłuchując pilnie, wpatrzony w gęsty mrok skupiony pod skalnymi ścianami po obu stronach drogi, z wolna zawrócił, minął miejsce, gdzie przedtem leżał Frodo i gdzie jeszcze przetrwał wstrętny smród Szeloby, poszedł dalej, pod górę, aż dotarł znów do tej samej wnęki, w której ukrył się przed orkami, kładąc na palec Pierścień, i skąd obserwował przemarsz oddziału Szagrata.

Przystanął, usiadł; na razie nie mógł zdobyć się na dalszą wędrówkę.

Rozumiał, że jeśli przejdzie szczyt przełęczy, następny krok zaprowadzi go już naprawdę do Mordoru i że będzie to krok nieodwołalny. Nie mógłby marzyć o odwrocie. Bez wyraźnego celu wsunął znowu Pierścień na palec. Natychmiast poczuł ogromny ciężar tego brzemienia i jeszcze silniej, jeszcze bardziej paląco niż przedtem wyczuł złośliwość Oka Mordoru;

szukało skarbu, usiłowało przeniknąć ciemności, które Nieprzyjaciel dla własnej osłony zesłał, lecz które mu teraz przeszkadzały, potęgując jego niepokój i wątpliwości.

I znowu Sam stwierdził, że nagle słuch mu się wyostrzył, lecz wszystkie przedmioty świata przedstawiają się jego oczom blado i niewyraźnie. Widział ściany skalne jak przez mgłę, za to z wielkiej odległości słyszał bełkot nieszczęsnej Szeloby, a jak gdyby tuż obok ostre, wyraźne krzyki i szczęk metalu. Zerwał się i przylgnął płasko do skały przy ścieżce. Na szczęście miał Pierścień na palcu, bo nadciągała nowa banda orków. Tak mu się przynajmniej w pierwszej chwili zdawało. Potem jednak zrozumiał omyłkę; wyczulony słuch wprowadził go w błąd. Wrzaski orków pochodziły z wnętrza wieży, której najwyższy róg sterczał wprost nad nim, po lewej stronie skalnej wnęki.

Drżał, walczył sam ze sobą, żeby zmusić się do działania. Z pewnością w wieży rozgrywały się jakieś okropne sceny. Może wbrew rozkazom orkowie ulegli wrodzonemu okrucieństwu i torturują Froda, może rozszarpują go na sztuki. Sam wytężył słuch; odzyskał odrobinę nadziei. Niewątpliwie w wieży toczyła się walka, orkowie bili się ze sobą, doszło do bójki między Szagratem a Gorbagiem. Nadzieja, jaką ten domysł natchnął hobbita, była bardzo znikoma, a jednak wystarczyła, żeby go zagrzać do czynu. W niezgodzie orków upatrywał pewną szansę. Nad wszystkimi myślami zatryumfowała miłość do Froda i zapominając o niebezpieczeństwach, Sam krzyknął w głos: „Idę, panie Frodo!”.

Potem pędem wbiegł na przełęcz i przekroczył ją. Droga skręcała w lewo i opadała stromo w dół. Sam był w Mordorze.

Zdjął Pierścień; zrobił to może za podszeptem jakiegoś bardzo głęboko ukrytego przeczucia groźby, ale zdawało mu się, że po prostu chce widzieć jaśniej. „Lepiej nawet najgorszej prawdzie patrzeć w oczy – mruknął do siebie. – Nic niewarte takie błądzenie we mgle”.

Surowy, okrutny i przykry widok ukazał się oczom hobbita. Spod jego stóp najwyższa grań Ephel Dúath opadała stromo w ciemność jaru, za którym wznosiła się grań następna, znacznie niższa, poszarpana i najeżona turniami sterczącymi niby czarne kły na tle czerwonego blasku: ponury łańcuch Morgai, wewnętrzny krąg obronnych wałów Mordoru. Dalej, bardzo jeszcze daleko, lecz niemal na wprost, za rozlanym jeziorem

ciemności przetkanej rozbłyskującymi tu i ówdzie płomieniami, żarzyła się ogromna łuna; strzelały z niej wielkie słupy dymu ciemnoczerwone u podstawy, a czarne w górze, tam, gdzie łączyły się w skłębiony baldachim rozpięty nad całą tą przeklętą krainą.

Sam widział przed sobą Orodruinę, Górę Ognia. Wieczne, niewyczerpane źródła ognia, zagrzebane głęboko pod stożkiem popiołów, rozpalały się wciąż na nowo, wzbierały i z łoskotem wyrzucały potoki stopionej skały przez pęknięcia i szczeliny ziejące na zboczach. Jedne z nich spływały ku Barad-dûr szerokimi kanałami, inne wiły się, torując sobie drogę przez kamienistą równinę, aż wreszcie ochłodzone zastygały w dziwne kształty, niby potworne smoki wyplute z głębi udręczonej ziemi. W takim to momencie ujrzał Sam Górę Przeznaczenia, a jej złowrogi blask, przesłonięty wysokim grzbietem Ephel Dúath przed wzrokiem wędrowców, którzy wspinali się ścieżką od zachodu, teraz ukazał się hobbitowi wśród nagich skalnych ścian, jak gdyby skąpanych we krwi.

Sam, olśniony tym światłem, osłupiał ze zgrozy, albowiem po swej lewej ręce zobaczył w całej okazałości Wieżę Cirith Ungol. Sterczący róg, który przedtem widział z tamtej strony przełęczy, był tylko jej szczytową iglicą. Wschodnia ściana wznosiła się trzema kondygnacjami nad półką skalną, wysuniętą ze zbocza daleko w dole; od tyłu wsparta o potężną skałę, wyrastała z niej obronnymi bastionami, które, spiętrzone jeden nad drugim, zwężały się ku górze i zwracały na północo-wschód oraz na południo-wschód olbrzymie mury, wygładzone przez dobrze w swej sztuce wyćwiczonych kamieniarzy. Wokół dolnej kondygnacji, dwieście stóp poniżej miejsca, gdzie stał Sam, wznosił się groźny mur opasujący wąski dziedziniec. Od południo-wschodu otwierała się brama, a prowadziła ku niej szeroka droga, której zewnętrzny parapet biegł skrajem przepaści, a która dalej skręcała na południe i zygzakami schodziła w mroczną dolinę, gdzie łączyła się z drogą zstępującą z Przełęczy Morgul, potem zaś ciągnęła się dnem żlebu w stoku Morgai aż w Dolinę Gorgoroth i dalej do Barad-dûr. Wąski górski szlak, na którym stał Sam, zniżał się gwałtownie schodami i stromą ścieżką ku głównej drodze i spotykał się z nią w cieniu groźnych murów opodal bramy Wieży.

Sam doznał niemal wstrząsu, gdy nagle zrozumiał, że tę twierdzę zbudowano nie po to, by nie dopuścić wroga do Mordoru, lecz by go tam zatrzymać. Była dziełem ludzi z Gondoru, ich wysuniętą najdalej na

wschód placówką służącą obronie Ithilien; wzniesiono ją, gdy po zawarciu Ostatniego Przymierza ludzie z Westernesse trzymali straż nad złowrogim krajem Saurona, którego poplecznicy jeszcze się czaili wśród gór. Lecz podobnie jak w dwóch Zębatych Wieżach, Narchost i Carchost, czujność tutaj zawiodła, zdrada wydała Wieżę Wodzowi Upiorów Pierścienia i odtąd przez długie wieki pozostawała ta forteca we władaniu sił ciemności. Sauron po powrocie do Mordoru uznał, że będzie mu bardzo użyteczna, miał bowiem niewiele oddanych mu sług, mnóstwo natomiast niewolników trzymanych postrachem; toteż głównym celem twierdzy było teraz, tak jak ongi, zapobieganie ucieczkom z Mordoru. Na wszelki jednak wypadek, gdyby znalazł się śmiałek, który zdołałby zakraść się w granice tej krainy, czuwała tu ostatnia, bezsenna straż, aby ująć zuchwalca, jeśliby nawet wymknął się wszystkim innym granicznym posterunkom i uszedł z życiem z tunelu Szeloby.

Z rozpaczliwą jasnością Sam uświadomił sobie, jak beznadziejne byłyby próby prześliźnięcia się pod murem strzeżonym przez tyle par oczu i pod bramą, gdzie z pewnością czuwały warty. Gdyby wbrew prawdopodobieństwu tego dokonał, nie zaszedłby daleko; nawet czarne cienie zalegające wszędzie tam, gdzie nie sięgał czerwony blask łuny, nie ukryłyby go przed orkami, lepiej widzącymi w nocy niż w dzień. A przecież obowiązek narzucał mu jeszcze trudniejsze zadanie, kazał nie unikać bramy, nie uciekać od Wieży jak najdalej, lecz wejść samotnie do jej wnętrza.

Wspomniał o Pierścieniu, ale w tej myśli zamiast pociechy znalazł strach i nowe zagrożenie. Odkąd zobaczył płonącą w oddali Górę Przeznaczenia, Pierścień zaciążył mu z nową siłą. W miarę zbliżania się do wielkich ognisk, w których ongi, w zamierzchłej przeszłości, został wykuty i ukształtowany, Pierścień wzmagał swą władzę i przewrotność tak, że opanować go mogłaby tylko bardzo potężna wola. Sam nie miał go na palcu, lecz na łańcuszku założonym na szyję; mimo to czuł się jak gdyby sztucznie powiększony, spowity we własny rozdęty cień, i stał niby ogromny, groźny siłacz na murach Mordoru. Czuł, że ma teraz do wyboru tylko dwie drogi: albo sprzeciwi się pokusie Pierścienia, chociaż oznaczało to znoszenie okrutnych męczarni, albo przywłaszczy go sobie i wyzwie potęgę zaczajoną w ponurej fortecy w dolinie ciemności. Pierścień kusił go, kruszył jego wolę, zaćmiewał umysł. W głowie roiły się hobbitowi

fantastyczne wizje; widział już siebie, Samwise’a Potężnego, Bohatera Historii, kroczącego z płomiennym mieczem przez mroczny kraj na czele armii, która zgromadziła się na jedno jego skinienie, maszerującego na podbój Barad-dûr. A gdyby zwyciężył, wszystkie chmury rozpierzchłyby się, zajaśniałoby słońce, na rozkaz tryumfatora Dolina Gorgoroth zmieniłaby się w kwitnący ogród, pełen drzew owocujących obficie. Wystarczyłoby wsunąć Pierścień na palec i przejąć go na własność, a spełniłoby się fantastyczne marzenie.

W tej godzinie próby najwięcej pomogła mu miłość do Froda, ale poza tym tkwiący w jego naturze, mocno zakorzeniony, wciąż żywy i niezwyciężony zdrowy hobbicki rozsądek. Sam w głębi serca wiedział, że nie dorósł do udźwignięcia takiego brzemienia, nawet gdyby uwodzicielskie wizje nie były tylko złudą podsuniętą umyślnie i zdradziecko, aby go zmamić. Zdawał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy potrzebuje do szczęścia i powinien pragnąć jedynie małego ogródka, w którym by mógł gospodarować swobodnie, nie zaś olbrzymiego królestwa; rozumiał, że jego zadaniem jest praca własnych rąk, a nie rozporządzanie trudem rąk cudzych.

„Zresztą wszystko to jest oszustwo – powiedział sobie. – Tamten wytropiłby mnie i zgniótł, zanimbym zdążył krzyknąć. Tutaj, w Mordorze, znalazłby mnie w okamgnieniu, gdybym teraz włożył Pierścień na palec. No cóż, trzeba przyznać, że moje położenie jest beznadziejne jak przymrozek na wiosnę. Właśnie teraz, kiedy najbardziej przydałaby mi się niewidzialność, nie wolno mi użyć Pierścienia! A jeżeli nawet zdołam posunąć się dalej w głąb kraju, Pierścień nie tylko nic mi nie pomoże, ale też na dobitkę z każdym krokiem coraz bardziej będzie mi ciążył i okrutniej będzie mnie dręczył. Co robić?”

Naprawdę jednak nie miał wcale wątpliwości. Wiedział, że musi zejść do Bramy, nie ociągając się dłużej. Wzruszył ramionami, jakby otrząsając z siebie cień i przywidzenia, i z wolna ruszył w dół. Miał wrażenie, że z każdym krokiem maleje. Wkrótce już czuł się znowu bardzo małym i przestraszonym hobbitem. Znalazł się tuż pod ścianą Wieży i wrzaski oraz zgiełk bójki słyszał wyraźnie nawet bez pomocy Pierścienia. Teraz zgiełk dochodził z bliska, z dziedzińca, zza zewnętrznego muru.

Sam był w połowie zbiegającej stromo w dół ścieżki, kiedy z ciemnej bramy wypadło dwóch orków. Pędzili jednak nie w jego stronę: zmierzali ku głównej drodze; niespodzianie jeden, potem drugi potknął się, padł i znieruchomiał. Sam nie widział strzał, ale odgadł, że to orkowie ukryci na murze lub w cieniu Bramy strzelili za własnymi kamratami. Szedł dalej, tuląc się do ściany lewym ramieniem. Jedno spojrzenie w górę przekonało go, że o wspięciu się na mur nie ma mowy. Gładki kamień bez szczelin i pęknięć wznosił się na trzydzieści stóp ku przewieszonym skośnie blankom. Nie było innej drogi do wnętrza niż przez bramę.

Pełznąc wytrwale naprzód, Sam zastanawiał się, ilu orków siedzi w wieży, ilu ma pod swoją komendą Szagrat, a ilu Gorbag, i o co się dwaj dowódcy pokłócili – jeśli rzeczywiście, jak przypuszczał, wybuchła między nimi kłótnia. Oddział Szagrata liczył około czterdziestu żołnierzy, a Gorbaga dwakroć więcej, ale Szagrat poprowadził oczywiście na patrol tylko część załogi twierdzy. Niemal pewny był, że posprzeczali się o Froda i łupy. Tknięty nagłą myślą Sam aż zatrzymał się na chwilę; zrozumiał wszystko tak jasno, jakby cała scena rozegrała się na jego oczach. Kolczuga z mithrilu! Frodo przecież miał ją na sobie, musieli ją znaleźć. Z tego zaś, co Sam podsłuchał, wynikało, że Gorbag bardzo chciał tę kolczugę zagarnąć. Jedyną obroną Froda były rozkazy z Czarnej Wieży, jeśli dowódca orków je złamie, Frodo może zginąć każdej chwili.

„Prędzej, nikczemny leniu!” – przynaglił sam siebie i dobywając Żądła, pobiegł do otwartej bramy. Lecz gdy miał już przejść pod ciemnym łukiem wielkiego sklepienia, poczuł wstrząs, jakby się natknął na pajęczą zasłonę Szeloby, tym razem jednak niewidzialną. Nie widział przeszkody, która zagradzała mu drogę, silniejsza od jego woli, niepokonana. Rozejrzał się i w mroku bramy zobaczył dwóch Wartowników.

Niby olbrzymie posągi siedzieli na wysokich tronach. Każdy miał trzy zrośnięte tułowia i trzy głowy, zwrócone ku wnętrzu dziedzińca, ku środkowi bramy i ku drodze. Były to głowy sępów, a złożone na kolanach ręce miały palce na kształt szponów. Jakby wyrzeźbieni z ogromnego bloku skalnego, Wartownicy siedzieli nieruchomo, a jednak czuwali; tkwiła w nich jakaś straszliwa, czujna siła, poznająca nieprzyjaciół. Widzialna czy niewidzialna istota nie mogła przemknąć obok nich niedostrzeżona. Nie pozwalali ani wejść, ani uciec nikomu.

Wytężając wolę, Sam raz jeszcze rzucił się naprzód i znów stanął, chwiejąc się na nogach, jakby odepchnięty potężnym ciosem, który go trafił w pierś i głowę. Nie mogąc nic innego wymyślić, w porywie odwagi wyciągnął zza kurtki flakonik Galadrieli i podniósł go w górę. Białe światło rozbłysło natychmiast, rozpraszając mroki pod bramą. Potworni Wartownicy, zimni i niewzruszeni, ukazali się teraz w całej okropności. Lśnienie ich czarnych kamiennych oczu miało w sobie tak straszny ładunek wrogiej siły, że Sam na moment skulił się z przerażenia; jednak zdawał sobie sprawę, że z każdą chwilą wola potworów słabnie i załamuje się w lęku.

Jednym susem przemknął między nimi, ale gdy, jeszcze w pędzie, chował znów flakonik za pazuchę, odczuł wyraźnie, że Wartownicy znów się ocknęli i jakby stalowa sztaba zapadła za jego plecami w bramie. Z potwornych głów dobył się wysoki, świdrujący w uszach krzyk, który echo rozniosło wśród murów Wieży przed nim. Gdzieś w górze odpowiedziało na sygnał pojedyncze ochrypłe uderzenie dzwonu.

„Już po mnie! – pomyślał Sam. – Jakbym zadzwonił do frontowych drzwi!”

– No, wychodź tam który! – krzyknął. – Zamelduj kapitanowi Szagratowi, że wielki wojownik, elf, przyszedł z wizytą i ma w garści miecz elfów!

Nie doczekał się odpowiedzi. Biegł dalej. Żądło lśniło błękitnie w jego ręku. Dziedziniec tonął w mroku, mimo to Sam zauważył gęsto rozrzucone na kamiennym bruku trupy. Niemal potknął się o ciała dwóch orków łuczników, z których pleców sterczały sztylety. Im dalej, tym było ich więcej; jedni leżeli samotnie, tak jak padli od ciosu lub strzały, inni parami, spleceni ze sobą w walce, jeszcze inni gromadnie, zastygli w dzikich gestach, wzajemnie dusząc się, gryząc, dźgając nożami. Kamienie stały się śliskie od rozlanej ciemnej posoki.

Sam rozróżniał na odzieży martwych orków dwa godła: Znak Czerwonego Oka i Znak Księżyca, zniekształconego ohydną trupią maską; nie zatrzymywał się jednak, aby zbadać rzecz z bliska. W głębi dziedzińca u stóp Wieży drzwi były uchylone i z wnętrza sączyło się czerwone światło. W progu leżał trup ogromnego orka. Sam przeskoczył przez niego i stanął, rozglądając się bezradnie. Od drzwi ku stokom góry biegł szeroki,

dzwoniący echem korytarz. Oświetlały go mętnie migocące pochodnie, zatknięte w specjalnych uchwytach na ścianach, lecz głąb korytarza niknęła w ciemności. Po obu stronach hobbit dostrzegał mnóstwo drzwi; nigdzie nie było żywej duszy, tylko kilka trupów poniewierało się na ziemi. Z tego, co zasłyszał, Sam wiedział, że Frodo – żywy czy umarły – najprawdopodobniej zamknięty jest w górnej komorze na szczycie wysokiej wieży, mógłby jednak szukać przez cały dzień, zanimby odkrył właściwą drogę.

– Wejście musi być chyba gdzieś w głębi – powiedział do siebie Sam. – Cała Wieża spiętrza się jakby na tyłach. W każdym razie najlepiej kierować się światłami.

Posuwał się naprzód korytarzem, ale bardzo wolno; z każdą chwilą musiał przezwyciężać większy opór. Znowu ogarniał go strach. W głuchej ciszy jego wyolbrzymione echem kroki rozlegały się głośno, można by pomyśleć, że to jakiś olbrzym klepie płaską dłonią kamienie. Trupy, pustka, wilgotne ściany, jak gdyby ociekające krwią, strach przed nagłą śmiercią, może przyczajoną za najbliższymi drzwiami lub w ciemnym zakamarku, świadomość, że za plecami w bramie czuwa i czeka tajemnicza zła siła – za wiele tego było na jednego hobbita. Wolał stoczyć walkę – byle nie z całą zgrają nieprzyjaciół naraz – niż cierpieć tę okropną, ponurą niepewność. Starał się skupiać myśl na przyjacielu, udręczonym, a może martwym i leżącym gdzieś wśród tych groźnych murów. Szedł wytrwale dalej. Już za nim została oświetlona łuczywami część korytarza, już prawie dotarł do wielkich sklepionych drzwi w głębi, które, jak się domyślał, stanowiły wewnętrzny wylot podziemnej bramy, gdy nagle z góry dobiegł do jego uszu przeraźliwy zduszony krzyk. Sam stanął jak wryty. Usłyszał tupot zbliżających się kroków. Ktoś pędził w dół po schodach, które musiały być blisko, bo tupot rozlegał się tuż nad głową hobbita.

Wola była w nim zbyt słaba i nie działała dość szybko, żeby powstrzymać rękę, która sięgnęła do łańcuszka i szukała Pierścienia. Sam jednak nie włożył go na palec; w momencie gdy już zamykał na nim dłoń, zobaczył biegnącego przeciwnika. Ork wyskoczył z ciemnego otworu ziejącego w prawej ścianie i biegł prosto na niego; Sam słyszał zdyszany oddech i widział błysk w przekrwionych oczach. Ork zatrzymał się osłupiały. Ujrzał bowiem nie małego wystraszonego hobbita, z trudem utrzymującego miecz w drżącej ręce, lecz wielką milczącą postać, spowitą

w szary cień, rysującą się groźnie na tle migotliwego światła pochodni; postać ta wznosiła broń, której blask zadawał ból oczom orka, drugą zaś rękę zaciskała na piersi, kryjąc jakiś tajemniczy oręż, źródło wielkiej i zabójczej mocy.

Ork skulił się, wrzasnął z przerażenia, zawrócił i uciekł tam, skąd przyszedł. Nigdy jeszcze żaden pies na widok umykającej zwierzyny nie wpadł w taki bojowy szał, jak Sam wobec tego nieoczekiwanego zwycięstwa. Z krzykiem puścił się w pogoń.

– Tak! – wołał. – Elf, niezwyciężony wojownik, wtargnął do waszej twierdzy. Naprzód! Pokaż mi drogę na szczyt Wieży, jeśli nie chcesz, żebym cię ze skóry obłupił, łajdaku!

Ale ork był na własnym, znanym sobie terenie, przy tym zwinny i dobrze odżywiony, Sam natomiast nie znał tego miejsca, był głodny i wyczerpany. Schody wiły się stromo, stopnie miały bardzo wysokie; wkrótce hobbit zasapał się na nich. Ork zniknął mu z oczu, tupot jego nóg dochodził coraz cichszy, z coraz wyższych pięter. Jeszcze od czasu do czasu echo niosło wśród murów jego przenikliwe wrzaski. Potem wszystko ucichło.

Sam brnął dalej. Czuł, że jest na właściwej drodze, i nabrał otuchy. Odtrącił ręką Pierścień, zacisnął pasa. „Dobra nasza – rzekł sobie. – Jeżeli wszyscy orkowie tak nie lubią mnie i mego Żądła, może cała sprawa lepiej się zakończy, niż przewidywałem. Jak się zdaje, Szagrat, Gorbag i ich kamraci odwalili za mnie lwią część roboty. Z wyjątkiem tego spłoszonego szczura nie ma chyba już w fortecy żywej duszy”.

Ledwie to wymówił, zdrętwiał i stanął, jakby głową wyrżnął o kamienną ścianę. Uprzytomnił sobie nagle sens ostatniego zdania. Nie ma już żywej duszy! Czyj to przedśmiertny jęk słyszał przed chwilą? „Frodo! Frodo! – zaszlochał Sam. – Mój pan kochany! Jeśli cię zabili, co zrobię? Idę, idę aż na szczyt Wieży, muszę się dowiedzieć całej prawdy, choćby najgorszej!”

Wspinał się coraz wyżej. Otaczały go ciemności, tylko z rzadka rozproszone światłem łuczywa na zakręcie lub przy wejściu na następne piętra wieży. Próbował liczyć schody, lecz po dwustu stracił rachunek. Posuwał się teraz ostrożnie, bo miał wrażenie, że gdzieś w górze słychać głosy, jakby rozmowę. Znaczyłoby to, że nie jeden szczur pozostał żywy w twierdzy.

W chwili gdy już desperował, nie mogąc złapać tchu i udźwignąć zmęczonych nóg, schody skończyły się niespodzianie. Sam przystanął. Rozmowa dochodziła teraz wyraźnie do jego uszu. Rozejrzał się wkoło. Stał na płaskim dachu trzeciej, najwyższej kondygnacji wieży, na otwartym tarasie szerokości około dwudziestu kroków, ogrodzonym niskim parapetem. Wylot schodów znajdował się pośrodku dachu, w małej, nakrytej kopułą komórce, skąd dwoje niskich drzwi prowadziło na wschód i zachód. Na wschodzie widział Sam ciągnącą się w dole rozległą, ciemną równinę Mordoru i w oddali buchającą ogniem górę. Właśnie znów zakipiała w swych przepaścistych głębiach, bo nowe ogniste potoki wylały się z jej wnętrza tak rozżarzone, że łuna docierała nawet na tę odległość i oblewała czerwonym blaskiem szczyt Wieży. Widok na zachód przesłaniał cokół potężnej iglicy, sterczącej na tyłach górnego tarasu; jej zagięty róg wznosił się nad grzbietami okolicznych gór, a z wąskiego okna sączyło się światło. Drzwi do niej znajdowały się nie dalej niż dziesięć kroków od miejsca, gdzie stał Sam; były ciemne, lecz otwarte, i dobiegały zza nich głosy.

Zrazu Sam nie słuchał rozmowy, lecz wysunąwszy się ze wschodnich drzwi, wyjrzał na taras. Od jednego rzutu oka stwierdził, że tutaj rozegrała się najzawziętsza walka. Taras usłany był trupami orków, odrąbanymi głowami, rękami, nogami. Zaduch śmierci unosił się nad tym pobojowiskiem. Nagle Sam uskoczył pod osłonę kopuły, spłoszony chrapliwym warknięciem, po którym zaraz rozległ się łoskot i wrzask. Hobbit poznał podniesiony, gniewny głos, ostry, brutalny i zimny głos Szagrata, komendanta Wieży.

– A więc powiadasz, Snago, że nie wrócisz na dół? Podły tchórzu! Jeżeli ci się zdaje, że już mi nie starczy sił, żeby się z tobą rozprawić, to mylisz się grubo. Chodź no bliżej. Wyłupię ci oczy, tak jak przed chwilą Radbugowi. A jak przybiegną inni, każę im rzucić cię na pastwę Szeloby.

– Nikt nie przyjdzie, a w każdym razie ty już tego nie dożyjesz – odparł zuchwale Snaga. – Czy ci nie mówiłem, że łajdak Gorbag pierwszy dopadł Bramy i żaden z naszych przez nią się nie wydostał? Lagduf i Muzgash wyskoczyli, ale zaraz za progiem padli od strzał. Widziałem wszystko dokładnie z okna. Ci dwaj byli ostatni z naszych.

– A więc musisz iść. Ja muszę zostać. Zresztą jestem ranny. Żeby Czarna Otchłań pożarła tego przeklętego buntownika Gorbaga! – Szagrat bluznął

potokiem najplugawszych wyzwisk i przekleństw.

– Dałem mu więcej, niż sam wziąłem, a ten łotr dźgnął mnie nożem, zanim zdążyłem go udusić. Musisz iść, jeśli nie chcesz, żebym cię tu na śmierć zagryzł. Trzeba przekazać zaraz wiadomość do Lugbúrza, inaczej obu nas czeka Czarna Otchłań. Tak, tak, ciebie też! Nie wymigasz się, jeśli będziesz tu dłużej tkwił, tchórzu.

– Nie zejdę drugi raz po tych schodach – warknął Snaga – choćby mi dziesięciu dowódców rozkazywało. Rzuć ten nóż, bo ci wpakuję strzałę w brzuch. Niedługo będziesz komendantem, jak się w Lugbúrzu dowiedzą, co tu się działo. Ja zrobiłem swoje, biłem się z tymi morgulskimi szczurami w obronie Wieży, ale wy, obaj dowódcy, ładnego piwa nawarzyliście, kłócąc się o łupy.

– Nie pyskuj! – ofuknął go Szagrat. – Trzymałem się rozkazów. To Gorbag zaczął bójkę, bo chciał przywłaszczyć sobie tę piękną kolczugę.

– Ale tyś go rozjątrzył, dmąc się i chełpiąc. On zresztą okazał się mądrzejszy od ciebie. Powtarzał ci parę razy, że najgroźniejszy szpieg pozostał na wolności, a ty nie chciałeś uwierzyć. Gorbag miał rację. Kręci się tu wielki wojownik, przeklęty elf czy też tark. Powiadam ci, że idzie tu na górę. Słyszałeś przecież dzwon. Przeszedł między Wartownikami, a to mogło się udać tylko tarkowi. Jest na schodach. I dopóki z nich nie zejdzie, ja nie pójdę na dół. Choćbyś był nie orkiem, ale Nazgûlem, nie pójdę.

– Tak gadasz?! – wrzasnął Szagrat. – To zrobisz, tamtego nie zrobisz? A jak ten wojownik zjawi się tutaj, umkniesz i zostawisz mnie samego? Niedoczekanie twoje! Przedtem ci flaki wypruję.

Z wieżyczki wyskoczył mniejszy ork, za nim Szagrat, rosły ork z długimi rękami, które sięgały do ziemi, gdy biegł zgarbiony. Lecz jedno ramię zwisało mu bezwładnie i krwawiło, pod drugim zaś trzymał spory tobołek, owinięty w czarną płachtę. Sam przykucnął za drzwiami; dostrzegł w przelocie oświetloną czerwoną łuną wstrętną, wykrzywioną z wściekłości twarz, pooraną jakby pazurami i umazaną krwią; pomiędzy wyszczerzonymi kłami pieniła się ślina, z gardła dobywał się zwierzęcy ryk.

Na ile Sam ze swego ukrycia mógł obserwować tę scenę, Szagrat ścigał Snagę wokół tarasu, aż w końcu mniejszy ork, wymigując się z łap większego, dał nura z powrotem do wnętrza wieżyczki i zniknął. Szagrat

nie pobiegł za nim. Przez wschodnie drzwi Sam zobaczył go stojącego przy parapecie, zasapanego, bezsilnie poruszającego lewą dłonią. Ork odłożył tobołek na podłogę, prawą ręką wyciągnął długi czerwony sztylet i splunął na ostrze.

Wychylając się przez parapet, spoglądał w dół na dziedziniec przed bramą. Dwakroć krzyknął, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Gdy Szagrat stał tak pochylony, odwrócony plecami do tarasu, Sam ku swemu zdumieniu spostrzegł, że jeden z rzekomych trupów porusza się, czołga, wysuwa chciwe szpony i chwyta czarne zawiniątko, a potem dźwiga się na chwiejne nogi. Miał w ręku dzidę o szerokim ostrzu na krótkim złamanym trzonku. Zamierzył się, żeby przebić nią plecy Szagrata, lecz w tym momencie syknął z bólu, czy może z nienawiści. Szagrat, zwinny jak jaszczurka, uchylił się błyskawicznie, okręcił na pięcie i wbił sztylet w gardło napastnika.

– Masz za swoje, Gorbagu! – krzyknął. – A więc jeszcze nie zdechłeś? No, teraz wykończyłem cię wreszcie.

Skoczył na pierś trupa i z furią tratował, miażdżył martwe już ciało, przysiadając co chwila, by raz jeszcze dźgnąć je nożem. W końcu nasycił się zemstą, odrzucił wstecz głowę i straszliwym, ochrypłym głosem wrzasnął tryumfalnie. Oblizał ostrze sztyletu, chwycił go w zęby, porwał zawiniątko i puścił się pędem w stronę drzwi prowadzących na schody.

Sam nie miał czasu, żeby się zastanawiać. Mógłby wymknąć się przez drugie drzwi, lecz prawie na pewno ork by go dostrzegł i niedługo trwałaby zabawa w chowanego między hobbitem a dwoma okrutnymi orkami. Sam zrobił więc to, co miał najlepszego do zrobienia. Z głośnym okrzykiem wyskoczył z ukrycia, by zastąpić Szagratowi drogę. Nie trzymał już ręki na Pierścieniu, ale miał na piersi tę ukrytą broń, ujarzmiającą postrachem niewolników Mordoru, a z wzniesionego w prawej ręce miecza bił blask i ranił oczy orka jak bezlitosne światło gwiazd ze straszliwego kraju elfów, którego wspomnienie wystarczało, żeby zmrozić krew w żyłach nikczemnych sług ciemności. Szagrat nie mógł przyjąć walki, nie porzucając cennego łupu. Zatrzymał się, warcząc złowrogo i szczerząc kły. Potem z właściwą orkom zwinnością dał susa w bok, a gdy Sam skoczył naprzód do ataku, Szagrat użył ciężkiego tobołka jako tarczy i oręża zarazem, ciskając go z rozmachem w twarz przeciwnika. Sam zachwiał się i

nim odzyskał równowagę, Szagrat przemknął obok niego i zbiegł po schodach w dół.

Sam, klnąc, puścił się w pogoń, ale po paru krokach dał za wygraną. Przede wszystkim musiał ratować Froda; przypomniał sobie, że drugi ork wrócił do wieżyczki. Raz jeszcze trzeba było wybierać, a Sam nie miał ani chwili do namysłu. Jeśli pozwoli uciec Szagratowi, dowódca orków sprowadzi kamratów i wróci na czele całej zgrai. Jeśli go będzie gonił, mniejszy ork może tymczasem dokonać straszliwej zbrodni. Zresztą Sam nie mógł być pewny, czy zdoła dogonić Szagrata i czy nie polegnie w walce z nim. Zawrócił więc na górę. „Może znowu robię błąd – westchnął – ale cokolwiek potem się stanie, teraz powinienem jak najszybciej odnaleźć Froda”.

Szagrat więc bez przeszkód zbiegł po schodach, przemknął przez dziedziniec i wypadł za bramę, tuląc pod pachą czarne zawiniątko. Gdyby Sam to widział, gdyby mógł wiedzieć, jakie skutki wynikną z ucieczki Szagrata, pewnie by zadrżał. Lecz Sam był zajęty wyłącznie swoim bezpośrednim zadaniem na tym ostatnim etapie drogi do uwięzionego przyjaciela. Ostrożnie podszedł do drzwi wieżyczki i przekroczył próg. Było ciemno, lecz z prawej strony zauważył mętne światło płynące z wylotu wąskiej klatki schodowej; kręte schody biegły wokół ścian na szczyt wieżyczki. Wysoko w górze migotał płomień łuczywa.

Sam zaczął się wspinać, jak umiał najciszej. Dotarł do pochodni, dopalającej się nad drzwiami z lewej strony, naprzeciw wąskiego jak strzelnica okna zwróconego na zachód. A więc to było jedno z tych czerwonych oczu, które wraz z Frodem zobaczyli z dołu, gdy wybiegli z tunelu! Szybko minął drzwi i pospieszył na następne piętro, drżąc ze strachu, że lada chwila wróg napadnie go znienacka od tyłu i zaciśnie mu palce na gardle. Następne okno wychodziło na wschód i znów naprzeciw niego płonęła pochodnia nad drzwiami prowadzącymi na korytarz, który przecinał wieżyczkę po średnicy. Drzwi były otwarte, korytarz ciemny, rozjaśniony tylko odblaskiem łuczywa i czerwonej łuny świecącej przez szczelinę okna. Schody tutaj się kończyły. Sam ostrożnie wśliznął się na korytarz. Po obu stronach zobaczył niskie drzwi, zamknięte i zaryglowane. Panowała głucha cisza.

„Zapędziłem się w ślepą uliczkę – pomyślał Sam. – I po to wspinałem się tyle pięter! Niemożliwe, żeby to był szczyt wieżyczki. Co teraz robić?”

Wrócił na niższe piętro i spróbował pchnąć drzwi. Nie drgnęły nawet. Wbiegł znów wyżej. Kroplisty pot spływał mu po twarzy. Zdawał sobie sprawę, że każda minuta jest bezcenna, lecz tracił ich wiele na daremnych wciąż próbach. Już mu było obojętne, co zrobią Szagrat, Snaga i wszyscy orkowie, jakich ziemia nosiła. Pragnął tylko jednego: odnaleźć swego pana, spojrzeć w jego twarz, dotknąć jego ręki.

W końcu, zmęczony, z poczuciem ostatecznej porażki, siadł na stopniu poniżej korytarza i ukrył twarz w dłoniach. Otaczała go cisza, złowróżbna cisza. Pochodnia, która już się dopalała w chwili, gdy tu przyszedł, syknęła i zgasła. Ciemności jak fala przypływu zalały hobbita. I nagle, ku własnemu zdumieniu, siedząc tak bezradnie u kresu długiej daremnej wędrówki, przytłoczony smutkiem, Sam zaczął śpiewać, posłuszny jakiemuś niezrozumiałemu podszeptowi z głębi serca.

Głos brzmiał słabo i drżąco w zimnej, ciemnej wieży; był to głos zabłąkanego i znużonego hobbita, żaden obdarzony uszami ork nie mógłby się pomylić i wziąć tego śpiewu za hymn wspaniałego Księcia Elfów. Sam nucił stare dziecinne piosenki, z Shire’u i urywki wierszy układanych przez Bilba, które mu nasuwały wspomnienie dalekiej ojczyzny. Niespodzianie wstąpiły w niego nowe siły i głos zmężniał, a słowa same cisnęły się na usta w rytm prostej melodii:

W zachodnich krajach, w słońcu wiosny
kwiaty się budzą, kwitną drzewa,
ruszają wody, śpiew radosny
ptaków, być może, tam rozbrzmiewa.
Lub może tam, bezchmurną nocą,
buki wiatrami kołysane
elfickich gwiazd klejnoty rodzą
w gałęzie ich wczesane.

Tutaj, u kresu mej podróży,
spoczywam pogrążony w mroku
z dala od wież dumnych i dużych,
z dala od gór wysokich;

tam nad cieniami słońca blask
i gwiazd tam milion lśni:
lecz ja nie żegnam światła gwiazd
ani słonecznych dni[82].

– „Z dala od wież dumnych i dużych” – powtórzył i urwał. Wydało mu się bowiem, że usłyszał nikły głos, odpowiadający śpiewem na śpiew. Ale na próżno teraz wytężał słuch. Owszem, słyszał coś, lecz wcale nie śpiew: kroki, coraz bliższe. Ktoś cicho otworzył drzwi do korytarza na górze; skrzypnęły zawiasy. Sam przyczaił się, nastawiając uszu. Drzwi zamknęły się z głuchym łoskotem i rozległ się chrapliwy głos orka:

– Hola! Słuchaj no, przeklęty szczurze, co tam siedzisz w pułapce! Przestań piszczeć, bo przyjdę i nauczę cię rozumu. Słyszałeś?

Nikt nie odpowiedział.

– Nie chcesz gadać, dobrze – warknął Snaga. – Zajrzę wobec tego do ciebie i sprawdzę, co tam wyprawiasz.

Znów skrzypnęły zawiasy i Sam, wysuwając ze swego kącika głowę nad ostatni stopień schodów, zobaczył światełko migające w otwartych drzwiach i niewyraźną sylwetkę wychodzącego z nich orka. Niósł coś na ramieniu, jak gdyby drabinę. Teraz Sam wszystko zrozumiał. Do izby na szczycie wieży można było wejść tylko przez klapę umieszczoną w suficie korytarza. Snaga przystawił drabinę, umocował ją, a potem wspiął się na nią i zniknął z pola widzenia Sama. Hobbit usłyszał stuk odciąganych rygli, a potem ten sam ochrypły głos.

– Leż spokojnie, bo jak nie, to inaczej się z tobą rozprawię. Nie zostawią cię tu długo w spokoju, o ile mi wiadomo, a jeśli nie chcesz, żeby zabawa rozpoczęła się już teraz, radzę ci nie ruszać drzwi pułapki. Żebyś zapamiętał tę naukę, masz tu mały zadatek.

Świsnęła nahajka. Wściekły gniew zakipiał w sercu Sama. Zerwał się i cicho jak kot wbiegł na drabinę. Kiedy wytknął głowę przez otwór, stwierdził, że wylot włazu znajduje się pośrodku dużej okrągłej izby. Z jej stropu zwisała czerwona latarnia, wysokie, wąskie, zwrócone na zachód okno było ciemne. Na podłodze pod ścianą opodal okna leżał więzień; ork stał nad nim rozkraczony i właśnie podnosił nahajkę do następnego ciosu. Lecz cios ten nie spadł nigdy.

Sam z okrzykiem skoczył ku oknu, ściskając mieczyk w garści. Ork odwrócił się szybko, nie zdążył jednak zrobić żadnego gestu, bo Sam błyskawicznie chlasnął go Żądłem po ręce uzbrojonej w nahajkę. Wyjąc z bólu i przerażenia, ale z odwagą rozpaczy ork zaatakował zgięty wpół, głową podany naprzód. Drugi zamach Sama trafił w próżnię, a hobbit, straciwszy równowagę, przewrócił się na wznak, usiłując przytrzymać napastnika, który zwalił się na niego. Zanim Sam zdołał się dźwignąć, rozległ się wrzask i łoskot. Ork w ślepej panice potknął się o wystający z włazu ostatni szczebel drabiny i runął przez otwór w dół. Sam nie interesował się jego losem. Podbiegł do leżącego więźnia. Był nim Frodo.

Zupełnie nagi leżał jakby omdlały na stosie brudnych szmat; ramieniem osłaniał głowę, na jego boku widniał świeży ślad nahajki.

– Frodo, Frodo, mój panie ukochany! – krzyknął Sam, nie widząc prawie nic przez łzy. – To ja, Sam, przyszedłem do pana.

Podniósł go, przytulił do piersi. Frodo otworzył oczy.

– Czy ja śnię jeszcze? – szepnął. – Ale wszystkie tamte sny były okropne.

– Nie, nie śni pan, panie Frodo – odparł Sam. – Przyszedłem naprawdę. To ja, Sam. Jestem przy panu.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział Frodo, chwytając go za ramiona. – Był tu jakiś ork z nahajką, a teraz nagle zmienił się w Sama. A więc nie przyśniło mi się tylko, że słyszę z dołu śpiew? Próbowałem odpowiedzieć. To ty śpiewałeś?

– Ja, panie Frodo. Już właściwie straciłem nadzieję. Nie mogłem pana odnaleźć.

– Ale w końcu odnalazłeś, Samie, mój najmilszy Samie – rzekł Frodo i ułożył się w objęciach Sama, zamykając oczy jak dziecko uspokojone, gdy czyjaś łagodna, kochająca ręka lub znajomy głos rozproszy nocne strachy.

Sam chętnie by tak siedział w błogim nastroju do końca świata, ale rozumiał, że nie wolno mu teraz marudzić. Nie dość było odnaleźć Froda, należało go jeszcze wyzwolić i uratować. Pocałował go w czoło.

– Niech pan się zbudzi, panie Frodo, trzeba wstawać – powiedział, starając się nadać tym słowom pogodny ton, jakiego zwykle używał, gdy w

letni poranek rozsuwał zasłony w oknach sypialni w Bag End. Frodo usiadł z westchnieniem.

– Gdzie jesteśmy? Skąd ja się tutaj wziąłem? – zapytał.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, póki się stąd nie wydostaniemy – odparł Sam. – Jesteśmy na szczycie wieży, którą obaj widzieliśmy z dołu, kiedy wyszliśmy z tunelu i zanim pana orkowie porwali. Jak dawno to się stało, nie wiem dokładnie. Chyba minęła przeszło doba od tego czasu.

– Tylko doba? – zdziwił się Frodo. – Myślałem, że kilka tygodni. Musisz mi o tym wszystkim opowiedzieć, jeśli będziemy mieli jeszcze sposobność do pogawędki. Coś mnie uderzyło w głowę, prawda? Zapadłem w ciemność, pełną złych snów, a kiedy się ocknąłem, jawa okazała się gorsza od sennych koszmarów. Otaczał mnie tłum orków. Zdaje się, że wlewali mi w gardło jakiś wstrętny, piekący napój. Rozjaśniło mi się w głowie, ale czułem się strasznie zmęczony i obolały. Obdarli mnie do naga; potem przyszli dwaj orkowie, wielkie brutalne bestie, i zaczęli mnie przesłuchiwać, dręcząc pytaniami, aż myślałem, że od tego oszaleję. Stali nade mną i wygrażali nożami. Nigdy nie zapomnę ich pazurów i ślepi.

– Opowiadając o tym, na pewno pan nie zapomni – powiedział Sam. – A jeśli nie chcemy ich znowu zobaczyć, musimy stąd uciekać, im szybciej, tym lepiej. Czy może pan iść?

– Tak, mogę – rzekł Frodo, wstając powoli. – Nie jestem ranny, Samie, tylko bardzo znużony. Coś mnie też boli, tutaj…

Dotknął ręką karku nad lewą łopatką. Podniósł się; Sam widział jego sylwetkę skąpaną w płomieniach, gdyż naga skóra Froda odbija czerwone światło latarni.

Hobbit przeszedł się tam i z powrotem po izbie.

– Trochę mi lepiej – powiedział raźniej. – Gdy tu siedziałem, nie mogłem się ruszyć, bo zaraz wpadał któryś ze strażników. A potem zaczęli wrzeszczeć i bić się ze sobą. Tamci dwaj brutale pokłócili się między sobą o moje rzeczy, jeśli dobrze zrozumiałem. Leżałem tutaj przerażony. A potem zapanowała głucha cisza, bardziej jeszcze przerażająca niż zgiełk.

– Tak, zdaje się, że wybuchła kłótnia między orkami – rzekł Sam. – Musiało być w wieży parę setek tego plugastwa. Siła złego na jednego Sama Gamgee, trzeba przyznać. Ale wyręczyli mnie i pozabijali się nawzajem. Wielkie to dla nas szczęście, ale piosenka jest za długa, żeby ją

teraz całą wyśpiewać, dopóki tutaj tkwimy. Co dalej? Pan nie może przecież spacerować nagi po tym kraju.

– Zabrali mi wszystko – rzekł Frodo. – Wszystko, co miałem. Rozumiesz, Samie? Wszystko! – Skulił się znów na podłodze i zwiesił głowę, jakby przy tych słowach uprzytomnił sobie ogrom klęski i poddał się rozpaczy. – Wyprawa kończy się porażką, Samie. Choćbym się stąd wydostał, nie uciekniemy. Tylko elfowie ocaleją. Uciekną daleko z Śródziemia, za Morze, jeśli Morze jest wystarczająco szerokie, by powstrzymać Cień.

– Nie, nie wszystko panu zabrali, panie Frodo – odparł Sam. – Wyprawa nie kończy się klęską, a przynajmniej jeszcze się nie skończyła. To ja zabrałem Pierścień, niech mi pan wybaczy. Przechowałem go bezpiecznie. Mam go na szyi, bardzo mi ciąży. – To mówiąc, Sam dotknął przez kurtkę łańcuszka. – Teraz chyba muszę go panu zwrócić.

Ale czuł dziwną niechęć, gdy przyszła chwila pozbycia się tego brzemienia i obciążenia nim znowu Froda.

– Masz go przy sobie?! – zawołał zdumiony Frodo. – Masz go tutaj? Samie, jesteś nieoceniony! – Nagle głos mu się zmienił. – Oddaj go zaraz! – krzyknął, wstając i wyciągając rozdygotane ręce. – Oddaj natychmiast. Nie wolno ci go zatrzymywać!

– Dobrze, już oddaję – odparł Sam, trochę zaskoczony. – Proszę. – Z wolna wyciągnął Pierścień zza pazuchy i zdjął przez głowę łańcuszek. – Ale jesteśmy w Mordorze, proszę pana; gdy stąd wyjdziemy, zobaczy pan Górę Ognistą i cały ten kraj. Pierścień będzie bardzo niebezpieczny i ciężki do dźwigania. To przykry obowiązek. Czy nie mógłbym z panem dzielić jego trudów?

– Nie! – krzyknął Frodo, chwytając Pierścień i łańcuszek z rąk Sama. – Nie, nie dostaniesz go, złodzieju! – Bez tchu patrzył na Sama oczyma rozszerzonymi z trwogi i złości. Nagle, zaciskając Pierścień w stulonej pięści, znieruchomiał. Zamglony przed chwilą wzrok rozjaśnił się; Frodo przetarł dłonią obolałe czoło. Był wciąż jeszcze oszołomiony od rany i przeżytego strachu, wstrętna wizja wydała mu się niezwykle realna. Sam na jego oczach przeobraził się w orka, sięgającego łapczywie po skarb, w nikczemnego małego stwora z łakomym spojrzeniem i oślinioną gębą. Ale wizja zniknęła. Znów przed nim klęczał Sam, z twarzą skurczoną z bólu, jakby trafiony prosto w serce; oczy miał pełne łez.

– Ach, Samie! – krzyknął Frodo. – Co ja powiedziałem? Jak mogłem! Przebacz mi! Po wszystkim, coś dla mnie zrobił! To potworna władza tego Pierścienia. Bodajby nikt go nigdy nie odnalazł. Nie gniewaj się na mnie, Samie. Muszę dźwigać brzemię do końca. Nie da się już w tym nic odmienić. Nie możesz stanąć między mną a przeznaczeniem.

– Dobrze, dobrze, panie Frodo kochany – odparł Sam, ocierając rękawem łzy. – Rozumiem. Ale pomóc mogę, prawda? Muszę pana stąd wyprowadzić. I to jak najprędzej. Przedtem jednak trzeba zdobyć jakieś ubranie dla pana i broń, a także coś do jedzenia. Najłatwiej będzie o ubranie. Skoro jesteśmy w Mordorze, najlepiej przyodziać się wedle tutejszej mody; zresztą nie ma wyboru. Nie znajdę nic innego jak łachy orka, niestety. Ja też się tak przebiorę. Wędrując razem, musimy wyglądać na dobraną parę. Na razie niech się pan tym okryje.

Zdjąwszy z siebie szary płaszcz, Sam zarzucił go Frodowi na ramiona. Dobył Żądło z pochwy. Zaledwie nikłe lśnienie można było dostrzec na ostrzu.

– Zapomniałem o tym, panie Frodo – rzekł. – Pan mi przecież pożyczył swój miecz, pewnie pan pamięta, a także szkiełko Galadrieli. Mam jedno i drugie. Ale niech mi pan je zostawi jeszcze na chwilę. Rozejrzę się, może znajdę to, czego nam potrzeba. Pan tu na mnie poczeka. Nie będę długo marudził. Nie odejdę daleko.

– Uważaj, Samie – powiedział Frodo – i pospiesz się; kto wie, czy jakieś niedobitki orków nie czają się tutaj po kątach.

– Nie ma rady, trzeba zaryzykować – odparł Sam. Zsunął się po drabinie w dół. W minutę później wytknął znów głowę z włazu. Rzucił na podłogę długi sztylet.

– Może się przydać – rzekł. – Ten ork, który pana bił nahajką, już nie żyje. Z nadmiaru pośpiechu skręcił kark. Niech pan wciągnie drabinę, jeżeli panu starczy sił, i nie spuszcza jej, póki nie zawołam hasła „Elbereth”. To słowo elfów, żaden ork na pewno go nie wymówi.

Frodo przez chwilę siedział, drżąc cały; przez głowę przemykały mu gorączkowe, okropne myśli. Wreszcie wstał, owinął się płaszczem elfów i żeby odpędzić strach, zaczął przechadzać się tam i sam po izbie, zaglądając we wszystkie kąty swego więzienia.

W trwodze każda minuta dłużyła się jak godzina, ale wkrótce doczekał się powrotu Sama, który z korytarza zawołał z cicha: „Elbereth, Elbereth!”. Frodo spuścił lekką drabinę. Sam wygramolił się zasapany, niósł na głowie spory tobołek. Z łoskotem cisnął go na podłogę.

– A teraz prędko, panie Frodo – powiedział. – Straciłem trochę czasu, zanim znalazłem te rzeczy, jako tako odpowiednie na naszą miarę. Musimy się tym zadowolić w braku czegoś lepszego. Trzeba się bardzo spieszyć. Nie spotkałem żywej duszy, nic nie widziałem alarmującego, ale jestem niespokojny. Mam wrażenie, że ktoś to miejsce śledzi. Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu czuję, że gdzieś w pobliżu, może na ciemnym niebie, gdzie choć oko wykol, nic nie można dostrzec, kręci się jeden z tych okropnych latających jeźdźców.

Rozwinął tobołek. Frodo z obrzydzeniem patrzył na jego zawartość, ale nie było rady, musiał albo ubrać się w te wstrętne rzeczy, albo chodzić nago. Sam przyniósł długie, kosmate spodnie, zrobione z futra jakiegoś wstrętnego zwierzaka, i brudną skórzaną kurtkę. Frodo włożył to wszystko, a na wierzch kolczugę z mocnych metalowych obrączek, zapewne krótką na rosłym orku, lecz dla hobbita długą i ciężką. Ściągnął ją pasem, u którego w krótkiej pochwie wisiał sztylet o szerokim ostrzu. Sam dostarczył również do wyboru kilka hełmów. Jeden z nich jako tako pasował na Froda; była to czarna czapka z żelaznym rondem i żelazną, obciągniętą skórą przepaską; nad sterczącym niby dziób ptaka nosalem widniało czerwone godło potwornego Oka.

– Rzeczy z godłami Morgulu, należące do żołnierzy Gorbaga, są mniejsze i porządniejsze – powiedział Sam – ale po tej bójce, która się tutaj odbyła, nie byłoby bezpiecznie paradować w nich po Mordorze. Niech się panu przyjrzę, panie Frodo. Istny młody ork, za przeproszeniem, a raczej wyglądałby pan na prawdziwego orka, gdyby panu twarz zasłonić maską, przysztukować ręce i wykoślawić nogi. Dla pewności niech pan jeszcze się tym okryje – dodał, podając mu suty czarny płaszcz. – Teraz jest pan gotów. Po drodze jeszcze weźmiemy jakąś tarczę.

– A ty, Samie? – spytał Frodo. – Miałeś się przebrać ze mną do pary.

– Wie pan, zastanowiłem się, że byłoby nieostrożnie zostawiać tu moje własne łachy, a zniszczyć ich nie ma sposobu – odparł Sam. – Nie mogę na to wszystko włożyć orkowej kolczugi, więc po prostu zawinę się w jakiś płaszcz.

Przykląkł i starannie złożył płaszcz elfów. Paczuszka okazała się zdumiewająco mała. Wsunął ją do tobołka leżącego na podłodze. Wstał, zarzucił tobołek na plecy, włożył na głowę hełm orka, okrył się cały czarnym płaszczem.

– Tak – powiedział. – Teraz do siebie mniej więcej pasujemy. Trzeba ruszać w drogę.

– Nie będę miał siły, żeby biec długo – rzekł Frodo z markotnym uśmiechem. – Mam nadzieję, że rozpytałeś o najlepsze gospody na szlaku? Czy też zapomniałeś o jadle i napoju?

– Niech mnie kule biją, zapomniałem rzeczywiście! – odparł Sam. Gwizdnął z desperacji. – Teraz, kiedy pan o tym przypomniał, głód mi kiszki skręca, a gardło pali pragnienie. Nie wiem, kiedy ostatni raz miałem coś w ustach. Przez to szukanie pana wszystko inne wyleciało mi z głowy. Zaraz, zaraz… Niedawno przecież sprawdzałem, że lembasy i to, co nam dał na drogę Faramir, przy oszczędnej gospodarce utrzymają mnie na nogach przez parę tygodni. W manierce za to ledwie kropelka została na dnie. Dla dwóch nie starczy, mowy nie ma. Czy ci orkowie nie jedzą ani nie piją? Czy karmią się tylko cuchnącym powietrzem i trucizną?

– Jedzą i piją, Samie – odparł Frodo. – Cień, który ich wyhodował, może tylko przedrzeźniać, ale nie stwarzać; wśród jego dzieł nie ma nic naprawdę nowego. Myślę, że orków także nie powołał do życia, tylko ich zatruł i zaprawił do nikczemności. Skoro żyją, muszą jeść tak jak wszelkie żywe istoty. Zadowalają się brudną wodą i wstrętnym jadłem, lecz nie znieśliby trucizny. Karmili mnie, toteż jestem lepiej odżywiony niż ty. Na pewno muszą tu być jakieś zapasy.

– Ale nie ma czasu na szukanie – stwierdził Sam.

– Sprawa przedstawia się lepiej, niż myślisz – powiedział Frodo. – Podczas twojej nieobecności odkryłem, że rzeczywiście nie zabrali mi wszystkiego. Między szmatami na podłodze znalazłem swój chlebak. Oczywiście przetrząśnięty, ale orkowie nienawidzą widoku i zapachu lembasów jeszcze serdeczniej niż Gollum. Rozsypali je, podeptali częściowo i pokruszyli, trochę jednak zebrałem. Niewiele jestem od ciebie biedniejszy pod tym względem. Żywność od Faramira zrabowali i rozbili moją manierkę.

– No, to nie ma co dłużej dyskutować – rzekł Sam. – Mamy dość jadła na początek. Gorzej będzie z wodą. Chodźmy. Jeśli będziemy marudzili, nie pomoże nam nawet jezioro przy drodze.

– Musisz najpierw posilić się chociaż trochę – odparł Frodo. – Inaczej nie ruszę się z miejsca. Masz tu kawałek chleba elfów, popij go resztką wody ze swej manierki. Cała sprawa jest beznadziejna, nie ma sensu troszczyć się o jutro. Prawdopodobnie jutra w ogóle nie będzie.

Wreszcie wyruszyli. Zeszli po drabinie, którą potem Sam ściągnął i położył w korytarzu obok skulonego ciała zabitego orka. Na schodach było ciemno, lecz płaski dach oświetlała jeszcze łuna Góry Ognistej, chociaż już teraz dogasająca w ponurej, brudnej czerwieni. Hobbici wybrali dwie tarcze i uzupełniwszy w ten sposób swoje przebrania, poszli dalej.

Mozolnie zeszli wielkimi schodami. Górna izba wieży, w której się spotkali i którą zostawili za sobą, wydawała im się niemal przytulnym schronieniem. Teraz bowiem znowu byli ze wszystkich stron odsłonięci, wśród murów tchnących okropną grozą. Wszystko wymarło w Wieży Cirith Ungol, lecz pozostał w niej żywy strach i przyczajona wroga siła.

W końcu dotarli do drzwi prowadzących na zewnętrzny dziedziniec i tu zatrzymali się na chwilę. Nawet z tej odległości obezwładniał ich zły czar Wartowników, dwóch czarnych milczących postaci, które czuwały po obu stronach bramy na tle widocznej w jej wylocie przyćmionej łuny Mordoru. Torując sobie drogę przez usłany ohydnymi trupami orków dziedziniec, z każdym krokiem musieli pokonywać większy opór. Zanim jeszcze osiągnęli sklepiony tunel bramy, stanęli wyczerpani. Posunięcie się bodaj o cal dalej wymagało przezwyciężenia nieznośnego bólu we wszystkich członkach i wytężenia osłabłej woli. Frodo nie miał sił do takiej walki. Osunął się na ziemię.

– Nie mogę iść dalej, Samie – szepnął. – Zdaje się, że zemdleję. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Ale ja wiem, proszę pana. Niech pan się trzyma! Brama przed nami. To z niej biją jakieś diabelskie czary. A jednak tamtędy dostałem się do twierdzy i tamtędy teraz wyjdziemy. Nie może to być bardziej niebezpieczne, niż było przed godziną. Naprzód!

Dobył zza pazuchy szkiełko Galadrieli. Jakby w nagrodę za męstwo Sama i na chwałę tej wiernej, śniadej hobbickiej ręki, która dokonała tylu

niezwykłych czynów, kryształowy flakonik zajaśniał natychmiast i cały mroczny dziedziniec zalało światło olśniewające i nagłe jak błyskawica, lecz trwalsze od niej.

– *Gilthoniel, A Elbereth*! – krzyknął Sam. Nie wiedział dlaczego, ale w tym momencie stanęli mu przed oczyma elfowie spotkani w lasach Shire’u i zabrzmiała w uszach ich pieśń, która spłoszyła kiedyś Czarnego Jeźdźca.

– *Aiya elenion ankalima*! – zawołał Frodo, podążając znów za nim.

Wola Wartowników załamała się tak gwałtownie, jak pęka czasem naciągnięta struna; Frodo i Sam szli, a potem biegli naprzód. Minęli bramę i dwie siedzące w niej postacie z roziskrzonymi oczyma. Rozległ się huk. Niemal tuż za ich plecami zwornik sklepienia runął i cała brama rozsypała się w gruzy. Śmierć o włos minęła hobbitów. Odezwał się dzwon, Wartownicy wydali przeraźliwy, wysoki jęk. Z ciemności kłębiących się w górze nadeszła odpowiedź. Z czarnego nieba jak pocisk spadł Skrzydlaty Cień z upiornym krzykiem, rozdzierając chmury.

ROZDZIAŁ 2
KRAINA CIENIA

Sam zachował tyle przytomności umysłu, że prędko wsunął flakonik pod kurtkę na piersi.

– Biegiem, panie Frodo! – krzyknął. – Nie, nie tędy. Tam zaraz za murem jest przepaść. Za mną!

Pomknęli drogą spod bramy. O pięćdziesiąt kroków od niej droga zataczała łuk wokół wystającego, wzniesionego na urwisku bastionu, dzięki czemu znaleźli się poza polem widzenia z Wieży. Na razie byli ocaleni. Lgnąc do skał, zatrzymali się, by zaczerpnąć tchu, i nagle serca w nich znowu zamarły. Z muru obok zburzonej bramy Nazgûl wysłał w świat swój morderczy sygnał. Echo odbiło się od gór.

Hobbici, odrętwiali z przerażenia, powlekli się dalej. Nowy ostry skręt drogi ku wschodowi wydał ich z powrotem na pastwę wrogich oczu z Wieży. Przez tę straszliwą chwilę, gdy biegli bez osłony, zdążyli obejrzeć się i zobaczyć ogromną czarną sylwetkę nad blankami murów; wpadli znów między wysokie skalne ściany żlebu, opadającego stromo ku drodze do Morgulu. Dotarli do skrzyżowania dróg. Nigdzie nie natknęli się na ślad orków, nikt nie odpowiedział na krzyk Nazgûla; mimo to wiedzieli, że cisza nie potrwa długo i że lada moment ruszy za nimi pościg.

– To na nic, Samie – rzekł Frodo. – Gdybyśmy naprawdę byli orkami, pędzilibyśmy w stronę Wieży, zamiast od niej uciekać. Pierwszy napotkany nieprzyjaciel pozna nas. Musimy zejść z tej drogi.

– Ale nie możemy tego zrobić – odparł Sam. – Chyba żebyśmy mieli skrzydła.

Wschodnie ściany Ephel Dúath opadały niemal prostopadle nagimi skałami, wśród urwisk i przepaści, ku czarnemu wąwozowi, który je oddzielał od następnego łańcucha górskiego. Za skrzyżowaniem dróg i krótką stromizną natknęli się na mostek przerzucony nad otchłanią i skrótem prowadzący ku groźnym grzbietom i dolinom Morgai. Frodo i Sam z odwagą rozpaczy puścili się na ten most, ledwie jednak dosięgnęli drugiego brzegu, gdy wrzaski i wycia rozdarły powietrze. Wieża Cirith

Ungol majaczyła już daleko za nimi i wysoko ponad zboczem, na którym się znaleźli. Jej kamienne ściany lśniły ponuro. Dzwon jęknął ochryple i głos jego rozsypał się drżącym echem. Zagrały rogi. Zza mostu buchnęły w odpowiedzi okrzyki. Do ciemnego wąwozu nie dochodził gasnący już blask Orodruiny, hobbici nie mogli więc nic dostrzec przed sobą, lecz słyszeli tupot podkutych żelazem butów i szczęk podków wybijających spieszny rytm na kamiennej drodze.

– Prędko! Skaczemy! – zawołał Frodo.

Przeleźli przez niską barierę mostu. Na szczęście nie mieli pod stopami przepaści, bo zbocza Morgai w tym miejscu wznosiły się już prawie do poziomu drogi. Było jednak tak ciemno, że nie mogli się zorientować, jak daleko wylądują, skacząc.

– No to lecę! – odkrzyknął Sam. – Do widzenia, panie Frodo.

Skoczył pierwszy. Frodo za nim. Padając, słyszeli grzmot kopyt na moście, a potem kroki pieszego oddziału orków. Mimo to Sam z trudem powstrzymał się od śmiechu. Ryzykując bowiem złamanie karku na nieznanych skałach, hobbici doznali miłej niespodzianki, gdy zaledwie o kilkanaście stóp niżej z głuchym łoskotem i chrzęstem łamanych gałązek wpadli w gęstą kępę kolczastych krzaków. Sam leżał w nich teraz, ssąc podrapaną rękę. Po chwili, gdy ucichł tętent i tupot, ośmielił się szepnąć:

– A to dopiero, panie Frodo! Nigdy bym się nie spodziewał, że w Mordorze jest jakaś roślinność. Gdybyśmy nawet celowali, nie moglibyśmy lepiej trafić. Ale te ciernie mają chyba stopę długości, sądząc ze skutków. Przebiły na wylot wszystkie łachy, które na siebie powkładałem. Szkoda, że nie pożyczyłem od orków kolczugi.

– Na te ciernie kolczuga orków też by ci nie pomogła – odparł Frodo. – Nawet skórzany kaftan przed nimi nie chroni.

Z trudem wyplątali się z gąszczu. Ciernie i kolczaste gałęzie były twarde jak druty i czepiały się wszystkiego jak szpony. Hobbici podarli w strzępy płaszcze, zanim się wreszcie uwolnili.

– Teraz idziemy w dół – szepnął Frodo. – Co prędzej w dolinę, a potem ile sił w nogach na północ.

Na jasnym świecie wstawał nowy dzień i gdzieś daleko, poza ciemnościami Mordoru, słońce podnosiło się nad wschodnią krawędź

Śródziemia, ale tutaj nadal panowała noc. Góra dymiła, ognie jej wygasły. Czerwony odblask przybladł na urwistych ścianach skał. Wschodni wiatr, który dął nieustannie, odkąd opuścili Ithilien, ucichł zupełnie. Powoli, mozolnie schodzili w dół; podpierając się rękami, potykając, klucząc wśród głazów, kłujących zarośli i zwalonych pni, na oślep w mroku wymacując drogę, schodzili coraz niżej, aż do wyczerpania ostatnich sił.

Wreszcie zatrzymali się i usiedli obok siebie, plecami oparci o wielki kamień. Obaj byli mokrzy od potu.

– Nawet gdyby sam Szagrat poczęstował mnie szklanką wody, przyjąłbym z ukłonem – westchnął Sam.

– Nie mów o wodzie – odparł Frodo. – Na samo wspomnienie jeszcze gorzej pić się zachciewa. – Wyciągnął się na ziemi; oszołomiony i zmęczony, przez długą chwilę milczał. Potem z wysiłkiem dźwignął się na nogi. Ku swemu zdumieniu spostrzegł, że Sam śpi.

– Zbudź się, Samie – powiedział. – Wstawaj! Trzeba iść dalej!

Sam podniósł się ciężko

– No wiecie państwo! – rzekł. – Zdrzemnąłem się chyba. Prawdę mówiąc, od dawna już nie spałem jak należy; oczy same musiały mi się skleić.

Teraz prowadził Frodo, starając się kierować możliwie wprost na północ pośród kamieni i złomisk zaścielających dno wielkiego jaru. Nagle stanął.

– Nic z tego nie będzie – rzekł. – Nie dam rady. Nie wytrzymam w tej kolczudze. Zanadto osłabłem. Nawet moja własna kolczuga z mithrilu ciążyła mi bardzo, kiedy byłem zmęczony. A ta jest o wiele cięższa. Zresztą, co mi po niej? Na zwycięstwo w walce i tak nie możemy liczyć.

– Ale musimy się liczyć z tym, że do walki dojdzie – odparł Sam. – Nie zapominajmy też o sztyletach i zabłąkanych strzałach. No i ten łajdak Gollum chodzi jeszcze po świecie. Nie mógłbym być spokojny, gdyby między pańską skórą a zdradzieckim ciosem nie było nic prócz tej cienkiej łosiowej kurty.

– Zrozum, Samie, kochany przyjacielu – odparł Frodo. – Jestem zmęczony, wyniszczony, straciłem nadzieję. Ale dopóki się mogę poruszać, będę usiłował dotrzeć do Góry. Brzemię Pierścienia wystarcza. Każde dodatkowe obciążenie jest zabójcze. Muszę je zrzucić. Nie posądzaj mnie o

niewdzięczność. Nie mogę bez drżenia myśleć, że podjąłeś tak odrażającą robotę, obdzierając trupy, byle mi dostarczyć tych rzeczy.

– Nie mówmy o tym, proszę pana. Przecież ja bym chętnie poniósł pana na plecach, gdyby to było możliwe. Dobrze więc, niech pan zdejmie z siebie, co chce.

Frodo zdjął płaszcz, a potem kolczugę, którą odrzucił daleko. Drżał trochę.

– Przydałoby mi się natomiast coś ciepłego – powiedział. – Albo zrobiło się tu zimno, albo ja mam dreszcze.

– Proszę, niech pan weźmie mój płaszcz – rzekł Sam, rozwijając tobołek i wyciągając z niego płaszcz elfów. – Jak się panu podoba? Może pan ten orkowy łach ścisnąć paskiem, a płaszcz włożyć na wierzch. Nie bardzo pasuje do orkowego stroju, za to ogrzeje pana z pewnością, a spodziewam się też, że lepiej niż wszystkie zbroje ochroni od złej przygody. Przecież utkała go Pani ze Złotego Lasu.

Frodo owinął się płaszczem i spiął go pod brodą klamrą.

– Teraz znacznie mi lepiej – oświadczył. – Czuję się dużo lżejszy. Mogę iść dalej. W więzieniu próbowałem przypomnieć sobie Brandywinę, Leśny Zakątek i rzekę płynącą pod młynem w Hobbitonie. Nie mogę jednak teraz wyobrazić sobie tamtych widoków.

– No, proszę, i kto tym razem zaczął mówić o wodzie? – spytał Sam. – Gdyby Galadriela mogła nas widzieć i słyszeć, powiedziałbym jej: „Pani! O nic nie prosimy, tylko o światło i wodę, czystą wodę i zwykłe światło dzienne, cenniejsze niż klejnoty, jeśli mi wolno mieć o tym własne zdanie”. Niestety, Lórien zostało tam, daleko stąd.

Sam westchnął i machnął ręką w stronę szczytów Ephel Dúnath, które na tle czarnego nieba majaczyły jeszcze czarniejszą plamą.

Ruszyli znów w drogę. Wkrótce jednak Frodo przystanął.

– Czarny Jeździec jest gdzieś nad nami – powiedział. – Czuję go. Lepiej przeczekajmy chwilę.

Skuleni pod wielkim głazem siedzieli, patrząc ku zachodowi i milcząc dość długo. Wreszcie Frodo odetchnął z ulgą.

– Odleciał! – rzekł.

Wstali i nagle obaj osłupieli ze zdumienia. Po lewej stronie, od południa, niebo szarzało, a szczyty i grzbiety ogromnego łańcucha górskiego rysowały się na nim czarną, wyraźną sylwetą. Na wschodzie rozwidniało się, światło dnia z wolna pełzło ku północy. Gdzieś wysoko w przestworzach toczyła się bitwa. Skłębione chmury Mordoru były w odwrocie, brzegi ich strzępiły się pod tchnieniem wiatru, który wiał z żywego świata, wypierając dymy i ciężkie opary w głąb czarnego kraju. Ponury strop ciemności podnosił się z wolna, a zza niego przezierało nikłe światło, sącząc się do Mordoru jak blady poranek przez mętne okno więzienia.

– Widzi pan, panie Frodo? – rzekł Sam. – Widzi pan? Wiatr się odmienił. Coś się dzieje. Nie wszystko idzie po myśli Nieprzyjaciela. Ciemności rozpraszają się nad światem. Ach, żeby tak wiedzieć, co się tam dzieje!

Był to ranek piętnastego marca, nad doliną Anduiny wstawało słońce, przezwyciężając noc Mordoru, i wiatr dął od południo-zachodu. Théoden konał na polach Pelennoru.

Na oczach hobbitów rąbek światła rozciągał się nad całą linią Ephel Dúath i nagle ujrzeli jakiś kształt mknący w powietrzu od zachodu; zrazu widzieli tylko czarny punkcik na tle świetlistej wstążki nieba rozpiętej ponad górskim łańcuchem, lecz punkcik ten rósł z każdą sekundą, aż wpadł jak pocisk w czarne kłębowisko chmur i przeleciał wysoko nad głowami wędrowców. W locie wydał długi przenikliwy okrzyk, okrzyk Nazgûla, lecz teraz głos ten nie przejął ich już grozą, bo brzmiała w nim rozpacz i skarga, złowieszcze nowiny dla Czarnej Wieży: Wodza Upiornych Jeźdźców dosięgła zguba.

– A co, nie mówiłem! – wykrzyknął Sam. – Coś się stało. Szagrat twierdził, że na wojnie powodzi im się znakomicie, ale Gorbag miał co do tego wątpliwości. I słusznie! Karta się odwróciła, panie Frodo. Czy wciąż nie ma pan ani źdźbła nadziei?

– Nie mam jej wiele – westchnął Frodo. – Może dzieje się coś pomyślnego, ale daleko stąd, za górami. My natomiast idziemy na wschód, nie na zachód. Jestem też okropnie zmęczony. A Pierścień bardzo mi ciąży, Samie. Teraz wciąż stoi mi przed oczyma jak ogromne ogniste koło.

Radość Sama zgasła natychmiast. Z niepokojem przyjrzał się swemu panu i wziął go za rękę.

– Głowa do góry, panie Frodo – rzekł. – Jedną z tych rzeczy, do których tęskniliśmy, już mamy; odrobinę światła. Dość, żeby nam ułatwić wędrówkę, ale pewnie też dość, żeby narazić nas na niebezpieczeństwo. Spróbujmy jeszcze trochę dalej się posunąć, a potem położymy się i odpoczniemy. Niech pan jednak zje najpierw kęs chleba elfów, może to pana pokrzepi.

Podzielili się kawałkiem lembasa i żując go z trudem w zaschniętych ustach, powlekli się dalej. Nie było jaśniej, niż bywa o chmurnym zmierzchu, mimo to jednak mogli zorientować się, że są w głębokiej dolinie między górami. Dolina wznosiła się łagodnie ku północy, a jej dno stanowiło łożysko wyschłego już strumienia. Wzdłuż kamienistego koryta biegła, wijąc się u podnóży zachodnich urwisk, wydeptana ścieżka. Gdyby o niej wiedzieli, mogliby wcześniej już do niej dotrzeć, bo skręcała z głównego gościńca do Morgulu przy zachodnim krańcu mostu i prowadziła wykutymi w skale długimi schodami w dolinę. Służyła patrolom i gońcom spieszącym do mniejszych strażnic i twierdz na północy, wznoszących się między Cirith Ungol a przesmykiem Isen, czyli Żelazną Paszczą, zwaną Carach Angren.

Hobbici wiele ryzykowali, zapuszczając się na tę ścieżkę, lecz zależało im na pośpiechu, a Frodo czuł, że nie starczyłoby mu sił, żeby wspinać się mozolnie wśród głazów albo bezdrożami brnąć przez dolinki Morgai. Zdawało mu się też, że prześladowcy będą go szukali raczej na innych szlakach niż na tym, który wiódł wprost ku północy. Zapewne przede wszystkim tropią go na drodze po wschodniej stronie równiny albo na przełęczy otwierającej drogę ku zachodowi. Toteż zamierzał najpierw posunąć się daleko na północ od Wieży i dopiero potem szukać drogi, która by go zaprowadziła na wschód, i rozpocząć ostatni, beznadziejny etap wyprawy. Przeszli więc na drugi brzeg suchego koryta i ruszyli dalej ścieżką orków, której trzymali się przez czas jakiś. Od lewej strony nawisy skalne osłaniały hobbitów przed oczyma tych, którzy by mogli ich tropić z góry, lecz ścieżka miała wiele ostrych zakrętów, a przed każdym wędrowcy zaciskali ręce na głowniach mieczy i skradali się jak najostrożniej.

Dzień nie rozwidniał się bardziej, bo Orodruina wciąż ziała gęstym dymem, który, odpychany przez nieprzychylny mu wiatr, wzbijał się coraz wyżej, aż dosięgnął strefy bezwietrznej i tam się rozpostarł niby olbrzymi strop, podparty w środku niedostrzegalnym w ciemnej dali filarem. Szli

dobrą godzinę, gdy usłyszeli dziwny szmer, który kazał im się zatrzymać. Nie do wiary, a jednak słuch nie mógł ich mylić. Gdzieś w pobliżu pluskała woda. Ze żlebu w prawej ścianie, tak wąskiego i ostrego, jak gdyby ktoś olbrzymim toporem rozłupał czarne urwisko, sączyła się woda, może ostatnie krople jakiegoś ożywczego deszczu, który niegdyś wiatr przyniósł znad nagrzanych słońcem mórz i który trafił nieszczęśliwie do skalistego Kraju Ciemności, żeby po daremnej wędrówce wsiąknąć w jałowe popioły. Tutaj ściekał spomiędzy skał wąskim strumykiem, przecinając ścieżkę, zawracał na południe i prędko umykał, ginąc wśród martwych głazów. Sam skoczył ku niemu.

– Jeżeli kiedyś jeszcze spotkam panią Galadrielę, podziękuję jej! – krzyknął. – Światło, a teraz woda! – Nagle zatrzymał się w biegu. – Niech pan pozwoli, że ja napiję się pierwszy – powiedział.

– Dobrze, ale miejsca jest dość dla dwóch.

– Nie o to mi chodzi – odparł Sam. – Myślę, że może być zatruta albo coś w tym rodzaju i że to się od razu pokaże. Lepiej, żeby na mnie padło niż na pana, chyba mnie pan rozumie.

– Rozumiem. Sądzę jednak, że powinniśmy obaj zaufać naszemu szczęściu, czy może zesłanemu darowi. Uważaj tylko, czy nie za zimna.

Woda była świeża, lecz nie lodowata i smak miała nieprzyjemny, jednocześnie gorzki i oleisty. Tak by ją ocenili w Shire. Tu wszakże nie znajdowali dla niej dość pochwał i zapomnieli o wszelkiej ostrożności. Ugasili pragnienie i napełnili manierkę Sama. Frodo poczuł się zaraz lepiej, toteż maszerowali kilka mil bez odpoczynku, aż wreszcie ścieżka rozszerzyła się, a na krawędzi ścian ponad nią ukazał się początek surowego muru – znak ostrzegawczy, że w pobliżu jest jakaś warownia orków.

– Tu więc skręcimy ze ścieżki – powiedział Frodo. – I trzeba skręcić na wschód! – Westchnął, spoglądając na posępne urwiska spiętrzone po drugiej stronie doliny. – Wystarczy mi jeszcze sił, żeby tam, na górze, poszukać jakiejś nory. Potem muszę trochę odpocząć.

Koryto rzeki leżało w tym miejscu nieco poniżej ścieżki. Zleźli w nie i zaczęli przecinać w poprzek. Ku swemu zdumieniu natrafili na ciemne kałuże zasilane strużkami wody, która ciekła z jakiegoś źródła, tryskającego w górnej części doliny. Skraj Mordoru pod zachodnią ścianą granicznych

gór był krainą zamierającą, lecz jeszcze niezupełnie martwą. Rosły tu jakieś trawy i krzewy, szorstkie, poskręcane, gorzkie, ciężko walczące o życie.

W dolinkach Morgai po drugiej stronie doliny niskie, rozłożyste drzewa czepiały się ziemi, kępy szarej, ostrej trawy wyzierały spomiędzy głazów, na których plenił się suchy mech, wszędzie zaś rozpełzały się wśród kamieni kolczaste, splątane zarośla. Niektóre krzaki miały długie, spiczaste ciernie, inne zakrzywione jak haczyki i tnące jak sztylety kolce. Zwiędłe, skurczone, zeszłoroczne liście chrzęściły i szeleściły smutno, nowe pączki, już zżarte przez robactwo, właśnie się otwierały. Szare, bure i czarne muchy, naznaczone jak orkowie plamą podobną do czerwonego Oka, brzęczały wkoło i kłuły boleśnie; nad gęstwiną cierni tańczyły rozbrzęczane chmary wygłodniałych komarów.

– Zbroja orków na nic się nie zda – rzekł Sam, opędzając się rękami. – Szkoda, że nie mamy orkowej skóry.

W końcu Frodowi zabrakło sił. Wspięli się już wysoko wąskim żlebem, ale długi, mozolny marsz dzielił ich jeszcze od miejsca, z którego mogliby chociaż dostrzec ostatni postrzępiony grzbiet górski.

– Muszę odpocząć, Samie, i przespać się, jeśli to będzie możliwe – powiedział Frodo. Rozejrzał się, lecz na tym okropnym pustkowiu nie było przytulnego schronienia czy bodaj jamki, do której jakieś zwierzę mogłoby wpełznąć. Wreszcie hobbici, wyczerpani, wśliznęli się pod zasłonę splątanych cierni, zwisających niby mata z niskiego występu skalnego.

Siedząc tam, pożywili się ze swoich skąpych zapasów. Odkładając cenne lembasy na przewidywane najcięższe dni, zjedli połowę zachowanych w chlebaku Sama resztek prowiantów od Faramira: po garstce suszonych owoców i po małym plasterku wędzonego mięsa, popijając to wodą. W drodze przez dolinę pili parokrotnie, lecz pragnienie ciągle im dokuczało. Powietrze Mordoru miało gorzki posmak wysuszający gardło. Na myśl o wodzie nawet optymizm Sama przygasał. Za górami Morgai czekał ich przecież marsz przez straszliwą równinę Gorgoroth.

– Niech pan się prześpi pierwszy, panie Frodo – rzekł Sam. – Znowu się robi ciemno. Pewnie to już wieczór.

Frodo westchnął i usnął, zanim Sam zakończył to zdanie. Wierny giermek usiłował przezwyciężyć własną senność i siedząc tuż obok swego pana, trzymał go za rękę; wytrwał tak, dopóki noc nie zapadła na dobre.

Wtedy wreszcie, by się nieco otrzeźwić, wypełznął z kryjówki i rozejrzał się wkoło. W ciemności ustawicznie rozlegały się jakieś szelesty, trzaski i szmery, lecz nie było słychać głosów ani kroków. W oddali na zachodzie nad Ephel Dúath nocne niebo wciąż jeszcze szarzało blado. W tej stronie, wysoko nad sterczącym szczytem górskim, biała gwiazda wyjrzała właśnie spośród rozdartych chmur. Gdy ją tak ujrzał, zagubiony w przeklętym wrogim kraju, wzruszyło go jej piękno, a nadzieja wstąpiła znów w jego serce. Jak chłodny, jasny promień olśniła go bowiem nagle myśl, że bądź co bądź Cień jest czymś małym i przemijającym; istnieje światło i piękno, którego nigdy nie dosięgnie. Jeśli Sam śpiewał w Wieży Cirith Ungol, to pieśń jego raczej oznaczała wyzwanie niż nadzieję, ponieważ wtedy myślał o sobie. Teraz na chwilę przestał się troszczyć o własny los, a nawet o los ukochanego pana. Wczołgał się z powrotem pod zasłonę cierni i wolny od wszelkich strachów zasnął głębokim, spokojnym snem.

Zbudzili się obaj jednocześnie, złączeni uściskiem dłoni. Sam czuł się niemal rześki, gotów na trudy nowego dnia, lecz Frodo wzdychał. Noc spędził niespokojnie, we śnie wciąż widział ogień, a przebudzenie też nie przyniosło mu ukojenia. Mimo wszystko sen zawsze krzepi, toteż Frodo odzyskał nieco sił i zdolności do podjęcia brzemienia na następnym etapie wędrówki. Nie orientowali się w porze dnia i nie wiedzieli, jak długo spali; przegryźli coś, wypili łyk wody i ruszyli dalej w górę żlebem, który doprowadził ich wreszcie do stromego zbocza zasypanego piargiem i osuwającym się spod nóg żwirem. Tu już nawet najbardziej uparte życie nie mogło się ostać; ogołocone z krzewów i trawy szczyty Morgai były nagie, poszarpane i martwe.

Po dość długim błądzeniu i poszukiwaniach znaleźli możliwe wejście, chociaż ostatnie sto stóp wzniesienia pokonali z trudem, czepiając się rękami skały. Znaleźli się w szczerbie dzielącej dwie czarne turnie, a kiedy ją przebyli, stanęli na krawędzi ostatniego obronnego wału Mordoru. Przed nimi o jakieś tysiąc pięćset stóp niżej, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się wewnętrzna równina i roztapiała się na widnokręgu we mgle i mroku. Wiatr wiał teraz ze świata od zachodu, olbrzymie chmury płynęły wysoko w górze ku wschodowi, ale do ponurych pól Gorgoroth docierało wciąż tylko mętne, szarawe półświatło. Dymy snuły się przy ziemi i zbierały w zagłębieniach terenu, a ze szczelin i rozpadlin wznosiły się opary.

Wciąż jeszcze daleka, o czterdzieści co najmniej mil odległa, ukazała się hobbitom Góra Przeznaczenia; podnóża jej grzęzły w usypisku popiołów, ogromny stożek piętrzył się pod niebo, szczyt tonął w obłoku cuchnących wyziewów. Ogień w tej chwili przygasł, góra tliła się ledwie, groźna jednak i podstępna jak uśpiona bestia. Za nią niby złowroga chmura burzowa rozlewał się szeroko cień, przesłaniając Barad-dûr, Czarną Wieżę, wzniesioną tam, w dali, na długiej ostrodze Gór Popielnych, wysuniętej z północy ku środkowi równiny. Władca Ciemności pogrążony był w myślach, przymknął Oko, rozważając nowiny zagadkowe i niebezpieczne; skupił wzrok na obrazie lśniącego miecza i surowego, królewskiego oblicza. Wszystko w potężnej warowni Mordoru, niezliczone bramy i wieże, spowijał posępny, senny mrok.

Frodo i Sam patrzyli ze wstrętem i zarazem z podziwem na ten znienawidzony kraj. Między sobą a dymiącą górą, a także wszędzie na północy i południu, nie widzieli nic prócz ruin i martwoty, pustkowia wypalonego i dusznego od dymów. Zastanawiali się, jakim sposobem Władca tego królestwa utrzymuje i żywi swych niewolników oraz swoje armie. Bo miał armie wszędzie; gdziekolwiek zwrócili oczy, wzdłuż łańcucha Morgai i dalej na południu, dostrzegali obozy wojskowe, niektóre pod namiotami, inne zabudowane porządnie jak miasteczka. Jeden z największych mieli tuż u swych stóp. O milę niespełna oddalony od ściany gór, podobny był do ogromnego gniazda owadów, przecięty regularnymi monotonnymi ulicami, przy których ciągnęły się szeregi bud i długich, niskich, brzydkich domów. Na polach wokół niego panował ożywiony ruch i krzątały się jakieś postacie; szeroka droga biegła stąd na południo-wschód ku głównemu gościńcowi prowadzącemu do Morgulu, ciągnęły po niej spiesznie liczne kolumny czarnych, drobnych w oddali figurek.

– Wcale mi się to nie podoba – rzekł Sam. – Sprawa wygląda beznadziejnie, choć z drugiej strony trzeba się spodziewać, że gdzie tyle wojska, tam muszą być źródła lub studnie, nie mówiąc już o żywności. Jeśli mnie wzrok nie myli, to nie orkowie, ale ludzie.

Hobbici nic nie wiedzieli o rozległych, uprawianych przez niewolników polach w południowej części ogromnego państwa, ukrytych za dymiącą górą nad smutnymi ciemnymi wodami jeziora Nûrnen; nie wiedzieli też o szerokich bitych drogach łączących Mordor z krajami hołdowniczymi na wschodzie i południu, skąd żołdacy Czarnej Wieży sprowadzali całe

karawany wozów naładowanych rozmaitym dobrem i łupami, a ponadto coraz to nowe zastępy niewolników. W północnych prowincjach znajdowały się kopalnie i kuźnie; tu także ćwiczono pułki do z dawna przygotowywanej wojny; tu Czarny Władca, przesuwając całe armie niby pionki na szachownicy, gromadził swoje siły zbrojne. Pierwsze ich ruchy, pierwsze posunięcia mające na celu wypróbowanie sprawności, trafiły na opór na całej linii zachodniej, zarówno na północy, jak i na południu. Wycofał więc je chwilowo i ściągnął nowe armie, skupiając wszystkie w pobliżu Cirith Gorgor, aby stąd rzucić je do następnej, odwetowej kampanii. Nawet gdyby działał celowo, nie mógłby lepiej zagrodzić przeciwnikom dostępu do Ognistej Góry.

– Co prawda, choćby mieli tam najwspanialsze zapasy jadła i trunków, my tych smakołyków nie skosztujemy. Nie widzę sposobu, żeby stąd zejść na dół. A zresztą, nawet gdybyśmy jakoś zleźli, nie moglibyśmy maszerować przez otwarte pola rojące się od nieprzyjaciół.

– A jednak musimy tego spróbować – odparł Frodo. – Sytuacja nie jest gorsza, niż przewidywałem. Nigdy nie miałem nadziei, że się przez ten kraj przedrę. Nie mam jej również teraz. Mimo to muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy. W tej chwili najważniejsze zadanie to wymykać się możliwie jak najdłużej z ich łap. Trzeba więc, jak mi się zdaje, iść dalej na północ i zbadać, jak rzecz wygląda tam, gdzie otwarta równina jest najwęższa.

– Domyślam się z góry – powiedział Sam. – Gdzie równina jest najwęższa, tam ścisk orków i ludzi będzie największy. Przekona się pan, panie Frodo.

– Z pewnością, jeżeli w ogóle dojdziemy tak daleko – odparł Frodo i zawrócił ku północy.

Wkrótce stwierdzili, że nie sposób iść granią Morgai ani nawet pod nią, bo wyższe stoki gór były niedostępne, najeżone skałami i poprzerzynane głębokimi szczelinami. Hobbici musieli ostatecznie zejść z powrotem tym samym żlebem, którym wspięli się przedtem, i szukać drogi wzdłuż doliny. Brnęli bezdrożem, nie śmieli bowiem przeprawiać się na drugą stronę, do ścieżki pod zachodnimi zboczami. O milę mniej więcej na północ zobaczyli przyczajoną forteczkę orków, której istnienia w pobliżu przedtem już się domyślali. Mur i kamienne szałasy otaczały czarny wylot pieczary. Nie zauważyli żadnego ruchu, mimo to czołgali się bardzo ostrożnie i nie

wychylali z gąszcza cierni, które tu rosły bujnie na obu brzegach wyschłego strumienia.

Tak posunęli się o następnych parę mil i forteczka orków została za nimi i zniknęła z pola widzenia. Już zaczęli znów swobodniej oddychać, gdy nagle dobiegły ich uszu chrapliwe, donośne głosy. W okamgnieniu obaj hobbici dali nura w brunatne karłowate zarośla. Głosy przybliżały się szybko. Po chwili ukazali się dwaj orkowie. Jeden w obszarpanej burej kurcie, uzbrojony w łuk, drobnej budowy, ciemnoskóry, z szerokimi, rozdętymi nozdrzami: niewątpliwie tropiciel. Drugi z roślejszej rasy wojowników, jak podwładni Szagrata, z godłem Oka na hełmie. Ten również miał przewieszony przez plecy łuk, a w ręku krótką dzidę z szerokim ostrzem. Jak zwykle kłócili się, a że należeli do dwóch różnych szczepów, porozumiewali się we Wspólnej Mowie.

Niespełna dwadzieścia kroków od kryjówki hobbitów mniejszy ork przystanął.

– Dość! – warknął. – Wracam do domu! – wskazał w głąb doliny, ku forteczce. – Nie myślę dłużej obijać nosa o kamienie. Powiadam ci, że trop się urwał. Straciłem go przez ciebie, dlatego że ci ustąpiłem. Trop prowadzi w góry, nie wzdłuż doliny, ja miałem rację, a nie ty.

– Niewielki pożytek z takich pętaków węszycieli – odciął się drugi. – Więcej warte nasze oczy niż te wasze zasmarkane nochale.

– A cóżeś ty wypatrzył tymi swoimi ślepiami? – odparł pierwszy. – Nawet nie wiesz, czego szukasz.

– Czyja to wina? – spytał wojownik. – Nie moja przecież. Z dowództwa dostałem bałamutne rozkazy. Najpierw mówili o wielkim elfie w błyszczącej zbroi, potem o karłowatym człowieczku, a w końcu o bandzie zbuntowanych Uruk-hai, czy może o wszystkich naraz.

– W dowództwie potracili głowy – rzekł tropiciel. – A niektórzy dowódcy pewnie je stracą naprawdę, jeżeli potwierdzą się krążące już pogłoski, że nieprzyjaciel wtargnął do Wieży, że setki twoich kamratów poległy i że jeniec uciekł. Skoro tak się sprawiacie, wy, bojowi orkowie, nic dziwnego, że z pola bitwy nadchodzą złe nowiny.

– Kto powiedział, że nowiny są złe? – ryknął wojownik.

– A kto mówi, że są dobre?

– To są plotki szerzone przez buntowników! Przestań pyskować, bo cię nożem dźgnę. Zrozumiano?

– Zrozumiano, zrozumiano. Pary z gęby nie puszczę, ale co myślę, to myślę. Ciekawe, co wspólnego z tą całą hecą ma tamten mały krętacz. Ten żarłok z łapami jak płetwy.

– Nie wiem. Może nic. Ale na pewno coś knuje, bo kręci się i nos wścibia, gdzie nie trzeba. Niech go zaraza udusi! Ledwie nam się z rąk wyśliznął i umknął, natychmiast przyszedł rozkaz, żeby go żywcem złapać, i to prędko.

– Mam nadzieję, że go złapią i że dostanie nauczkę – mruknął tropiciel. – To on zmylił ślady, bo ubrał się w kolczugę, którą znalazł porzuconą, i zadeptał całe to miejsce, zanim przyszliśmy.

– Kolczuga tę pokrakę uratowała – powiedział bojowy ork. – Jeszcze nie miałem rozkazu, żeby brać jeńca żywcem, i postrzeliłem go z odległości pięćdziesięciu kroków w plecy, ale nie upadł i pobiegł dalej.

– Boś spudłował – odparł tropiciel. – Strzelasz źle, ruszasz się za wolno, a potem ściągasz biednego tropiciela na pomoc. Mam tego wyżej uszu.

Obrócił się na pięcie i puścił biegiem w drugą stronę.

– Wracaj! – wrzasnął bojowy ork. – Bo zamelduję, żeś zdezerterował!

– Komu? Chyba nie twojemu sławnemu Szagratowi. Ten już nie będzie nami dowodził.

– Podam twoje imię i numer Nazgûlom – odpowiedział bojownik, zniżając głos do syczącego szeptu. – Jeden z nich objął komendę na Wieży.

Mniejszy ork zatrzymał się. Głos mu drżał z wściekłości i strachu.

– Ty łajdaku, zdrajco, donosicielu! – krzyknął. – Nie znasz swego rzemiosła, a tak jesteś podły, że własne plemię byś zaprzedał. Dobrze, idź do tych krzykaczy, niech ci zmrożą krew w żyłach. Jeżeli przedtem tamci ich nie sprzątną. Pierwszego, jak słyszałem, sprzątnęli. Mam nadzieję, że to prawdziwa pogłoska.

Duży ork z dzidą w ręku rzucił się za nim w pogoń. Lecz tropiciel uskoczył, kryjąc się za jakimś głazem, podniósł błyskawicznie łuk i puścił strzałę prosto w oko przeciwnika, który zwalił się ciężko na ziemię. Mniejszy ork umknął i zniknął w głębi doliny.

Przez chwilę hobbici siedzieli w milczeniu. Wreszcie Sam ocknął się pierwszy.

– Ano, bardzo pięknie – rzekł. – Jeśli takie przyjazne stosunki panują powszechnie w Mordorze, będziemy mieli sprawę znacznie ułatwioną.

– Bądź cicho, Samie! – szepnął Frodo. – Mogą się tu kręcić inni w okolicy. Mało brakowało, a byłoby po nas; pościg jest na tropie i bliżej, niż przypuszczaliśmy. Ale tak, taki w Mordorze duch panuje, że do każdego zakątka tego kraju wciska się niezgoda. Jeśli wierzyć starym legendom, orkowie zawsze mieli takie zwyczaje, nawet gdy sami rządzili jeszcze u siebie. Nie należy jednak w tym pokładać wielkich nadziei. Nade wszystko nienawidzą nas, i to także od wieków. Gdyby ci dwaj nas dostrzegli, przestaliby się kłócić, dopóki by nas nie zabili.

Znowu zapadło milczenie. Przerwał je tym razem także Sam, ale już szeptem.

– Słyszał pan, co gadali o tym żarłoku, panie Frodo? Mówiłem panu, że Gollum żyje.

– Pamiętam. Dziwiłem się, jak na to wpadłeś – rzekł Frodo. – Nie powinniśmy stąd wychylać się przed nocą. Mamy więc trochę czasu i możesz mi wreszcie opowiedzieć, skąd wiesz o Gollumie i co się z tobą działo, gdy byliśmy rozłączeni. Ale nie narób hałasu!

– Postaram się – odparł Sam. – Co prawda, gdy myślę o tym śmierdzielu, krew mnie zalewa i mam ochotę krzyczeć.

Przesiedzieli więc pod osłoną kolczastych krzaków, czekając, aż mętne światło dnia zamieni się z wolna w czarną i bezgwiezdną noc Mordoru. Sam opowiedział na ucho Frodowi wszystko, co zdołał w słowach wyrazić, o zdradzieckiej napaści Golluma, o potwornej Szelobie i o własnych przygodach z orkami. Gdy skończył, Frodo w milczeniu uścisnął jego rękę. Dopiero po chwili rzekł:

– Teraz chyba pora wyruszyć. Ciekaw jestem, jak długo uda nam się wymykać, kiedy skończy się wreszcie to skradanie i prześlizgiwanie się chyłkiem, cała ta męka, w dodatku daremna! – Wstał. – Ciemno okropnie, a szkiełka Galadrieli nie możemy użyć. Przechowuj je dla mnie, Samie. Ja nie miałbym gdzie go teraz ukryć, chyba w garści, a będę potrzebował obu rąk, żeby drogę macać po nocy. Co do Żądła, to daję ci je na zawsze. Mam miecz orków, ale myślę, że nie wypadnie mi już nigdy walczyć taką bronią.

Trudno było i niebezpiecznie wędrować po bezdrożach, jednak powoli, potykając się często, hobbici brnęli, godzina za godziną, coraz dalej na północ, wzdłuż wschodniego brzegu kamiennej doliny.

Kiedy blade, szare światło rozpełzło się po zachodnich zboczach w górze, w parę godzin po wzejściu dnia nad innymi krajami, wędrowcy znów przycupnęli w ukryciu i przespali się kolejno, czuwając na zmianę. Podczas swojej warty Sam rozmyślał o sprawach aprowizacji. Gdy Frodo zbudził się i powiedział, że trzeba coś przegryźć i przygotować się do dalszych trudów, Sam zadał mu pytanie, które go od dawna mocno niepokoiło:

– Za przeproszeniem pańskim, czy pan ma chociaż jakieś pojęcie, jak długo jeszcze musimy maszerować?

– Bardzo niedokładne – odparł Frodo. – W Rivendell, zanim ruszyliśmy na wyprawę, pokazano mi mapę Mordoru, sporządzoną przed powrotem Nieprzyjaciela do tego kraju, ale nie zapamiętałem jej dobrze. To jedno wiem, że jest takie miejsce, gdzie oba górskie łańcuchy, zachodni i północny, wysuwają ku środkowi równiny ramiona, które się niemal z sobą stykają. Miejsce to musi być odległe co najmniej o dwadzieścia staj od mostu pod Wieżą. Tam chyba najlepiej próbować przeprawy przez równiny. Oczywiście, w ten sposób oddalimy się znacznie od Góry Ognistej, pewnie o jakieś sześćdziesiąt mil. Liczę, że od mostu uszliśmy ze dwanaście staj na północ. Nawet gdyby wszystko układało się pomyślnie, prędzej niż za tydzień nie dotrę do Góry. Obawiam się, Samie, że brzemię stanie się bardzo ciężkie, a ja będę się wlókł coraz wolniej w miarę zbliżania się do celu.

Sam westchnął.

– Tego się właśnie bałem – rzekł. – Ano, nie mówiąc już o wodzie, musimy, proszę pana, albo jeść odtąd jeszcze mniej, albo przyspieszyć kroku; w każdym razie teraz, póki idziemy doliną. Jedna przekąska i zapasy się skończą, zostanie tylko trochę chleba elfów.

– Będę się starał iść trochę prędzej – odparł Frodo, nabierając tchu w płuca. – A teraz w drogę. Zaczynamy nowy marsz.

Wyruszyli, choć nie było jeszcze całkiem ciemno. Szli do późna w noc. Godziny mijały, a dwaj hobbici wlekli się wytrwale, z rzadka pozwalając sobie na krótkie wytchnienie. Kiedy pierwszy nikły ślad szarego brzasku

pojawił się na skraju ciemnego stropu nieba, zapadli znów w jakąś norę pod występem skalnym.

Rozwidniało się powoli i dzień wstawał jaśniejszy niż wszystkie poprzednie. Silny zachodni wiatr zmiatał dymy Mordoru nawet z górnych warstw nieba. Wkrótce hobbici mogli już rozróżnić zarysy krajobrazu na kilka mil wkoło. Parów, dzielący graniczny łańcuch od pasma Morgai, wspinał się coraz wyżej i stopniowo zacieśniał, aż wreszcie wewnętrzny grzbiet górski przeobraził się w półkę skalną na stromym zboczu Ephel Dúath; od wschodu opadał jednak ku płaszczyźnie Gorgoroth niemal prostopadłą ścianą. Łożysko potoku kończyło się w górze pod spękanymi stopniami skalnymi, tu bowiem od głównego masywu gór wysoka, naga ostroga wybiegała niby mur obronny ku wschodowi. Szary, zamglony łańcuch północny, Eret Lithui, wyciągał na jej spotkanie długie, potężne ramię, tak że pozostawał między nimi tylko wąski przesmyk – Carach Angren, Żelazna Paszcza; za tą bramą skalną leżała głęboka Dolina Udûn. Tutaj, za Morannonem, kryły się podziemne zbrojownie, przygotowane przez służalców Mordoru do obrony Czarnej Bramy, otwierającej dostęp do ich kraju. Tutaj też Czarny Władca gromadził obecnie w pośpiechu wielkie siły, by odeprzeć najazd wodzów Zachodu. Na wysuniętych ostrogach górskich wzniesiono forty i wieże, rozpalono ognie strażnicze, a przesmyk zagrodzono wałem ziemnym i przepaścistą fosą, nad którą przerzucono jeden tylko most.

O parę mil dalej na północ, w załomie, gdzie od głównego łańcucha odgałęziała się zachodnia ostroga, stał wysoko wśród szczytów dawny zamek Durthang, zamieniony teraz na jedną z trzech twierdz strzegących Doliny Udûn. Z miejsca, w którym znaleźli się hobbici, widać już było w potęgującym się świetle poranka wijącą się od zamku w dół drogę; o jakąś milę lub dwie stąd skręcała na wschód i biegła po wykutej w zboczu ostrogi półce, zniżając się stopniowo ku równinie, a potem przez nią zmierzała do Żelaznej Paszczy.

Hobbici, rozglądając się z ukrycia, musieli dojść do wniosku, że całą tę uciążliwą wędrówkę na północ odbyli daremnie. Dolina, rozścielająca się na prawo od nich, była mroczna i zadymiona, nie dostrzegali w niej obozów ani też ruchu wojsk, lecz górująca nad nią forteca Carach Angren dobrze jej strzegła.

– Zabrnęliśmy w ślepą uliczkę, Samie – rzekł Frodo. – Jeśli pójdziemy dalej pod górę, trafimy prosto do twierdzy orków, w dół nie można zejść inaczej niż drogą, która spod tej twierdzy biegnie. Nie pozostaje nam nic, tylko zawrócić, skąd przyszliśmy. Stąd nie zdołamy wspiąć się na zachodni grzbiet ani też zejść ze wschodniego.

– W takim razie trzeba iść drogą – odparł Sam. – Musimy zaryzykować i liczyć na szczęście, jeśli w Mordorze szczęście w ogóle mieszka! Nie sposób błąkać się dłużej ani też próbować odwrotu; to już lepiej byłoby od razu się poddać. Prowiant nam się kończy. Skoro innej rady nie ma, idziemy naprzód, i to biegiem!

– Zgoda, Samie – rzekł Frodo. – Prowadź! Dopóki masz bodaj odrobinę nadziei. Mnie już jej zabrakło. Ale biec naprawdę nie mogę. Będę się, w najlepszym razie, wlókł za tobą.

– Nawet żeby się wlec, potrzeba panu najpierw trochę snu i jedzenia. Skorzystajmy z jednego i drugiego w miarę możności.

Oddał Frodowi manierkę z wodą i dodatkowy kawałek chleba elfów, a potem zwinął swój płaszcz i wsunął go pod głowę ukochanemu panu. Frodo był zanadto zmęczony, żeby protestować, zresztą nie zorientował się, że wypił ostatnią kroplę wody i zjadł, prócz swojej, porcję wiernego giermka. Gdy Frodo usnął, Sam pochylony nad nim wsłuchiwał się w jego oddech i wpatrywał w jego twarz; mimo wychudzenia i głębokich bruzd wydała mu się pogodna i nieustraszona. „Ano, nie ma rady, mój panie! – szepnął w duchu Sam. – Muszę cię na chwilkę opuścić i spróbować szczęścia. Bez wody nie zajdziemy nigdzie”.

Wymknął się i skacząc z kamienia na kamień z ostrożnością nawet dla hobbita niezwykłą, zbiegł w dół ku wyschłemu łożysku strumienia, potem zaś zaczął wspinać się jego brzegiem na północ, aż pod stopnie skalne, po których niewątpliwie musiała ongi spływać kaskadą tryskająca ze źródła woda. Teraz miejsce to zdawało się suche i martwe. Sam jednak, nie dając za wygraną, schylił się i przytknął niemal ucho do skał; ku swej wielkiej radości usłyszał nikły szmer kropel. Wdrapał się jeszcze trochę wyżej i trafił na wąską strużkę ciemnej wody ściekającą ze zbocza do małego zagłębienia, skąd rozlewała się znowu, ginąc pod kamieniami. Sam skosztował wody. Wydała mu się wcale niezła. Napił się do syta i napełnił manierkę, lecz w momencie gdy odwracał się od źródła, mignęła mu wśród skał opodal kryjówki Froda jakaś czarna postać, czy może cień. Stłumił

okrzyk, który mu się rwał na usta, jednym susem znalazł się u stóp skalnego progu i sadząc w skokach przez kamienie, pomknął ile sił w nogach. Stwór był czujny, krył się zręcznie, ale Sam rozpoznał go niemal na pewno i ręce go świerzbiły, żeby je zacisnąć na gardle zdrajcy. Tamten jednak usłyszał kroki hobbita i wyśliznął się zręcznie. Sam miał wrażenie, że raz jeszcze dostrzegł wytkniętą nad krawędzią wschodniej przepaści głowę, która natychmiast znikła.

– Ano, szczęście mnie nie opuściło – mruknął Sam – ale mało brakowało! Nie dość, że tysiące orków mamy na karku, jeszcze ten śmierdziel przyszedł tutaj węszyć. Że też łajdaka jeszcze ziemia nosi!

Usiadł obok Froda, lecz nie zaalarmował go od razu. Bał się jednak usnąć, a kiedy w końcu zrozumiał, że dłużej się od snu nie obroni, bo oczy same się kleją, zbudził łagodnie swego pana.

– Gollum się znowu koło nas kręci, panie Frodo – rzekł. – A jeśli to nie on, to widać ma sobowtóra. Poszedłem szukać wody i na mgnienie oka dostrzegłem, odwracając się od źródła, jak się czaił i podglądał nas. Uważam, że nie byłoby bezpiecznie, gdybyśmy obaj spali, a z przeproszeniem pańskim, oczy mi się już kleją okropnie.

– Samie kochany! Połóż się i prześpij, należy ci się to od dawna – odparł Frodo. – Z dwojga złego wolę Golluma niż orków. Bądź co bądź on teraz nie wyda nas w ich łapy, chyba żeby sam w nie wpadł.

– Ale własną łapą może się dopuścić grabieży, a nawet morderstwa – mruknął Sam. – Niech pan ma oczy otwarte! Proszę, tu jest manierka pełna wody. Może pan pić śmiało. Zanim stąd ruszymy, napełnię ją na nowo.

I z tymi słowy Sam zasnął.

Kiedy się zbudził, zapadał znowu mrok. Frodo siedział oparty plecami o skałę i spał. Manierka była pusta. Gollum się nie pokazał. Ciemności Mordoru powróciły, tylko ognie strażnicze na szczytach świeciły jaskrawą czerwienią, gdy hobbici rozpoczynali ostatni, najgroźniejszy etap wędrówki. Najpierw poszli do źródła, a potem, mozolnie pnąc się pod górę, dotarli do drogi w miejscu, gdzie zakręcała na wschód ku odległemu o dwadzieścia mil przesmykowi Żelaznej Paszczy. Droga była niezbyt szeroka, niezabezpieczona murem ani poręczą, chociaż biegła skrajem przepaści, pogłębiającej się z każdą chwilą. Hobbici nasłuchiwali chwilę,

lecz nie słysząc żadnych podejrzanych szmerów, puścili się energicznym krokiem w kierunku wschodnim.

Dopiero po dwunastu mniej więcej milach przystanęli. Przed chwilą minęli zakręt drogi, która tu zbaczała nieco ku północy, toteż nie mogli obserwować przebytego już odcinka. Okazało się to dla nich zgubne. Ledwie bowiem odpoczęli kilka minut, gdy nagle w ciszy nocnej dobiegł ich uszu odgłos, którego najbardziej się w głębi serc lękali: tupot maszerujących żołnierzy. Przeciwnicy byli jeszcze dość daleko, ale o milę niespełna zza zakrętu błyskały już światła pochodni i zbliżały się szybko, tak szybko, że Frodo nie miał szansy uciec przed nimi, biegnąc naprzód drogą.

– Tego się właśnie bałem – powiedział. – Zaufaliśmy szczęściu i szczęście nas zawiodło. Jesteśmy w pułapce! – Rozejrzał się gorączkowo po niedostępnej ścianie skalnej, którą dawni budowniczowie ociosali i wygładzili na wiele sążni w górę ponad drogą. Przebiegł na drugą stronę i wyjrzał poza krawędź w głąb ciemnej przepaści. – Jesteśmy w pułapce! – powtórzył. Osunął się na skałę i zwiesił głowę na piersi.

– Zdaje się, że tak – powiedział Sam. – Ano, trzeba czekać. Zobaczymy, co dalej się stanie.

Siadł obok Froda w cieniu urwiska.

Nie czekali długo. Orkowie maszerowali bardzo szybko. Żołnierze z pierwszych szeregów nieśli zapalone łuczywa. Zbliżali się, czerwone płomienie rosły w ciemnościach z każdą sekundą. Teraz już Sam także zwiesił głowę, w nadziei, że w ten sposób ukryje twarz, gdy padnie na nich blask pochodni. Tarcze ustawił oparte o kolana tak, by zasłaniały hobbickie stopy.

„Może w pośpiechu zostawią dwóch zmęczonych maruderów w spokoju” – myślał.

Rzeczywiście, zdawało się to możliwe. Pierwsi żołnierze minęli ich zdyszani, ze spuszczonymi głowami. Była to banda mniejszych orków, pędzonych wbrew ich woli do walki za sprawę Czarnego Władcy. Tych nic nie obchodziło, myśleli tylko o tym, żeby wreszcie skończył się ten marsz i żeby uniknąć chłosty. Wzdłuż kolumny uwijali się dwaj ogromni dzicy Uruk-hai, wymachując nahajami i pokrzykując. Szereg za szeregiem sunął drogą, niebezpieczne łuczywa już znalazły się dość daleko na przedzie.

Sam wstrzymał oddech. Połowa kolumny już przeszła. Nagle jeden z poganiaczy zauważył dwie postacie przytulone do skalnej ściany. Świsnął nahajem nad nimi i wrzasnął:

– Hej, wstawać, pokurcze!

Nie odpowiedzieli. Ork krzyknął komendę i zatrzymał oddział.

– Ruszcie się, lenie przeklęte! – wrzasnął. – Teraz nie pora spać. – Przysunął się o krok bliżej i mimo mroku rozpoznał godła na tarczach. – Dezerterzy, co? – warknął. – Zachciało wam się wiać? Wszyscy z waszego szczepu powinni już od wczorajszego wieczora być w Dolinie Udûn. Wiecie to dobrze. Dalejże, wstawać! Do szeregu! Prędzej, bo podam wasze numery dowódcy.

Dźwignęli się ciężko, zgarbieni, i kulejąc jak znużeni forsownym marszem żołnierze powlekli się do ostatniego szeregu.

– Nie tam! – huknął poganiacz. – W trzecim szeregu od końca! A nie próbujcie wiać, bo będę miał na was oko.

Długa nahajka świsnęła nad ich głowami, potem strzeliła drugi raz, gdy Uruk-hai krzykiem ponaglał cały oddział do biegu. Nawet Sam, nieborak, wyczerpany długą podróżą, z trudem nadążał, ale Frodo cierpiał męki, które wkrótce spotęgowały się w istną torturę. Zaciął zęby, usiłował stłumić wszelkie myśli, rozpaczliwie parł naprzód. Dusił się od wstrętnego smrodu spoconych orków, omdlewał niemal z pragnienia. Biegli, biegli wciąż; Frodo z największym wysiłkiem chwytał dech w płuca, zmuszał nogi do marszu; nie śmiał odgadywać, do jakiego strasznego celu tak się spieszy. Nie było nadziei, żeby udało im się wymknąć. Poganiacz co chwila podbiegał do tylnych szeregów i sprawdzał, jak się zachowują.

– Biegiem! – wrzeszczał, śmiejąc się i smagając ich nahajem po łydkach. – Pod batem każdy siły znajdzie. Prędzej, pokurcze! Dałbym wam lepszą nauczkę, ale i tak dostaniecie za swoje, jak się stawicie z opóźnieniem do obozu. Dobrze wam to zrobi. Nie wiecie może, że jest wojna?

Przebiegli kilka mil. Frodo już gonił ostatkiem sił i wola w nim słabła, gdy wreszcie droga zaczęła opadać wydłużonym stokiem ku równinie. Frodo zataczał się i potykał. Sam, zrozpaczony, starał się mu pomagać, podtrzymywał go, chociaż jemu także brakło już tchu i nogi się pod nim uginały. Przeczuwał, że lada chwila nastąpi katastrofa, Frodo zemdleje albo upadnie, wszystko się wyda, a cały morderczy wysiłek okaże się daremny.

„Ale z tym drabem poganiaczem jeszcze się przedtem porachuję” – myślał. Już sięgał do rękojeści mieczyka, kiedy zjawił się nieoczekiwany ratunek. Byli już na równinie i dość blisko wejścia do Udûn. Nieco przed nimi, przed bramą i przyczółkiem mostu, droga wschodnia łączyła się z innymi, prowadzącymi z południa i od Barad-dûr. Wszystkimi tymi drogami ciągnęły wojska, bo zastępy Gondoru posuwały się naprzód i Władca Ciemności pchał swoje armie na północ. Zdarzyło się właśnie, że u zbiegu dróg, w ciemnościach, gdzie nie dochodziło światło rozpalonych na skałach ognisk, spotkało się kilka oddziałów. Powstał zamęt i zgiełk, rozległy się wrzaski i klątwy, bo każdy oddział chciał pierwszy dotrzeć do celu, odpychając inne. Na próżno poganiacze krzyczeli i wymachiwali nahajkami; między orkami wybuchły bójki, ten i ów wyciągnął nawet miecz z pochwy. Pułk ciężkozbrojnych Uruk-hai z Barad-dûr natarł na maszerującą spod zamku Durthang kolumnę. Szeregi załamały się i rozpierzchły pod tym naporem.

Oszołomiony bólem i zmęczeniem Sam ocknął się i błyskawicznie wykorzystując okazję, rzucił się na ziemię; pociągnął Froda za sobą. Orkowie pośród przekleństw i wrzasków potykali się o nich, przewracali jedni na drugich. Hobbici, czołgając się na czworakach, zdołali z wolna wydostać się z tłoku i niepostrzeżenie dotarli wreszcie na skraj drogi. Ułożono na jej brzegu wysoki krawężnik, żeby dowódcom ułatwić orientację w ciemne noce lub we mgle, a równina ciągnęła się o kilka zaledwie stóp niżej.

Chwilę leżeli nieruchomo. Za ciemno było, żeby rozglądać się za kryjówką, a zresztą pewnie by jej w tych okolicach nie znaleźli. Sam jednak rozumiał, że trzeba odsunąć się jak najdalej od szlaku i poza krąg światła pochodni.

– Naprzód, panie Frodo – szepnął. – Podpełznijmy choć parę kroków, a potem pan będzie mógł odpocząć.

Frodo ostatnim desperackim wysiłkiem przeczołgał się o jakieś dwadzieścia kroków w bok od drogi i nagle natrafił na płytki dół, nieoczekiwanie ziejący pośród pola. Zapadł weń i legł na dnie, śmiertelnie wyczerpany.

ROZDZIAŁ 3
GÓRA PRZEZNACZENIA

Sam wsunął swój podarty czarny płaszcz orków pod głowę pana i nakrył się z nim razem szarym płaszczem elfów, a gdy to robił, myśli jego pobiegły do pięknego Lórien i do jego mieszkańców, a w serce wstąpiła otucha, że tkanina ich rękami usnuta osłoni wędrowców w beznadziejnym położeniu, w tym okropnym kraju. Zgiełk i wrzask przycichał stopniowo, pułki orków przeszły za Żelazną Paszczę. Można było pocieszać się, że w zamęcie i przemieszaniu różnych oddziałów nie zauważono braku dwóch maruderów, przynajmniej na razie.

Sam wypił ledwie jeden łyk wody, lecz swego pana napoił obficie, a gdy Frodo wreszcie odzyskał trochę sił, nakłonił go do zjedzenia całego kawałka nieocenionego chleba elfów. Potem, tak wyczerpani, że nawet nie czuli strachu, wyciągnęli się na ziemi. Spali czas jakiś, ale niespokojnie, budząc się często i drżąc, bo obsychający na ciałach pot przejmował ich chłodem, a na twardych kamieniach bolały wszystkie kości. Z północy, od Czarnej Bramy przez Cirith Ungol, ciągnął przy ziemi mroźny powiew.

Rankiem znów zajaśniało szare półświatło, gdyż górą po niebie wciąż jeszcze dął zachodni wiatr, niżej wszakże, w wewnętrznym kręgu gór, na kamiennej równinie Kraju Ciemności powietrze zdawało się niemal martwe, jednocześnie duszne i zimne. Sam wyjrzał z jamy. Otaczały ich posępne, płaskie, szarobure pola. Na pobliskiej drodze wszelki ruch ustał, lecz Sam lękał się czujnych oczu wypatrujących ze strażnic nad Żelazną Paszczą, która otwierała się nie dalej niż o ćwierć mili na północ stąd. Na południo-wschód w oddali Góra Ognista majaczyła niby ogromny, wzniesiony nad horyzontem cień. Biały znad jej wierzchołka dymy, których część, uniesiona wzwyż, płynęła ku wschodowi, część zaś skłębionymi zwałami osuwała się po stokach i rozpełzała po okolicy. O kilka mil na północo-wschód ciemniały szare podnóża Gór Popielnych, a za nimi omglona północna grań niby odległa chmura wisiała w powietrzu, ledwie trochę ciemniejsza na tle niskiego pułapu nieba.

Sam usiłował zorientować się w odległościach i wybrać właściwą drogę.

– Co najmniej pięćdziesiąt mil – mruczał zatroskany, patrząc na złowrogą Górę – czyli dobry tydzień marszu wobec stanu biednego pana Froda.

Tak kalkulując, potrząsał z powątpiewaniem głową, którą z wolna opanowywały czarne myśli. W jego dzielnym sercu nadzieja nie zamierała nigdy i dotychczas zawsze mimo wszystko troszczył się o drogę powrotną. Dopiero w tej chwili uprzytomnił sobie jasno gorzką prawdę: zapasy starczą z trudem na dojście do celu. Potem, po spełnieniu misji, muszą obaj z Frodem zginąć, samotni, bezdomni, głodni pośród okrutnego pustkowia. Nie ma dla nich powrotu.

„A więc na tym polega zadanie, które wziąłem na siebie, wyruszając w tę drogę – myślał Sam. – Mam wspomagać pana Froda do ostatka, a potem umrzeć razem z nim. Ano trudno, jeśli tak jest, muszę zrobić, co do mnie należy. Ale bardzo bym chciał zobaczyć jeszcze w życiu dom Nad Wodą, Różyczkę Cotton i jej braci, i Dziadunia, i Marigold, i wszystkich sąsiadów z Hobbitonu. Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby Gandalf wyprawił pana Froda w tę podróż, gdyby nie było odrobiny nadziei, że z niej powróci. Cała sprawa przybrała zły obrót, odkąd Gandalf zginął w Morii. Szkoda! On by nas z pewnością wyratował”.

Ale nawet teraz, gdy nadzieja naprawdę, czy może tylko pozornie, zgasła, przeobraziła się w jego duszy w nowe męstwo. Pospolita twarz Sama przybrała wyraz surowy, niemal posępny. Obudziła się w hobbicie zawziętość, dreszcz przebiegł jego ciało, jak gdyby zmieniał się w istotę z kamienia i stali, tak twardą, że ani rozpacz, ani zmęczenie, ani ciągnąca się bez końca wędrówka przez pustkowia nie może jej pokonać.

Z nowym poczuciem odpowiedzialności zwrócił teraz oczy na otaczającą ich bliższą okolicę, zastanawiając się nad następnym krokiem. Tymczasem rozwidniło się trochę i Sam ku swemu zdziwieniu stwierdził, że okolica, która z daleka wydawała się monotonną, wielką płaszczyzną, jest w rzeczywistości pełna nierówności, pokryta rumowiskiem i usypiskami. Cała rozległa równina Gorgoroth zryta była ogromnymi jamami, można by pomyśleć, że niegdyś zalegał ją miękki muł, na który spadł z procy olbrzymów grad kamiennych pocisków. Największe zapadliska otaczał wał gruzów skalnych i we wszystkie strony rozbiegały się od nich promieniście szerokie szczeliny. W takim terenie można było przekradać się od kryjówki do kryjówki bez obawy wytropienia przez

najczujniejsze nawet oczy; można było, co prawda, pod warunkiem że miało się na to dość sił i dużo czasu. Dla zgłodniałych i znużonych wędrowców, którzy musieli odbyć daleką drogę, zanim wyczerpią resztkę zapasów i sił, zadanie przedstawiało się niemal beznadziejnie.

Rozważając te sprawy, Sam wrócił do Froda. Nie potrzebował go budzić. Frodo leżał na wznak z otwartymi oczyma i wpatrywał się w chmurne niebo.

– Ano, proszę pana – rzekł Sam – rozejrzałem się trochę i namyśliłem. Na drogach cisza, trzeba ruszać, póki to możliwe. Da pan radę?

– Dam – odparł Frodo. – Muszę.

Znowu więc ruszyli naprzód, pełznąc od jamy do jamy, wykorzystując każdą osłonę, jaka się nastręczała, i wciąż kierując się na przełaj ku podnóżom północnego łańcucha gór. Najdalej na wschód wysunięta droga biegła zrazu równolegle do szlaku hobbitów, aż wreszcie tuląc się do podnóży gór, zanurzyła się w ich cieniu. Na jej płaskiej szarej taśmie pusto było i cicho, bo przemarsze armii Mordoru już się niemal całkowicie skończyły, a przy tym Władca Ciemności nawet w obrębie swego warownego państwa wolał przesuwać pułki pod osłoną nocy, obawiając się wichrów ze świata, które obróciły się przeciw niemu i rozdzierały dymy; niepokoiły też Saurona pogłoski o zuchwałych szpiegach, którzy przedarli się przez granice.

Po kilku w trudzie przebytych milach hobbici zatrzymali się, żeby wytchnąć. Frodo był u kresu sił. Sam rozumiał, że wiele dalej nie zajdą w ten sposób, to czołgając się, to zgięci wpół, to wlokąc się i niepewnie wymacując drogę, to biegnąc wśród wybojów.

– Wracajmy na drogę, póki jest jasno, proszę pana – rzekł. – Zaufajmy raz jeszcze szczęściu. Omal nas nie opuściło w ostatniej przygodzie, a jednak nie zawiodło. Kilka mil dobrego marszu i będziemy mogli odpocząć.

Ryzyko było większe, niż przypuszczał, lecz Frodo, zajęty brzemieniem, które dźwigał, i wewnętrzną rozterką, przy tym ostatecznie już zdesperowany, zgadzał się na wszystko. Wspięli się na nasyp i poszli dalej twardą, okrutną drogą, wiodącą wprost do Czarnej Wieży. Szczęście jednak nadal im sprzyjało, bo do wieczora nie spotkali żywego ducha, a w nocy skryły ich ciemności. Cały kraj przyczaił się w ciszy jak przed srogą burzą;

wodzowie Zachodu minęli już Rozstaj Dróg i podpalili straszne pola Imlad Morgul.

Tak trwała rozpaczliwa wędrówka, Pierścień dążył na południe, a sztandary królewskie na północ. Każdy dzień i każda mila potęgowały udrękę hobbitów, siły bowiem wyczerpywały się, a wrogi kraj stawał się coraz groźniejszy. Za dnia nie spotykali nieprzyjaciół. W nocy, kryjąc się i drzemiąc niespokojnie w jakiejś jamie opodal drogi, słyszeli wrzaski i tupot wielu stóp albo spieszny tętent bezlitośnie poganianych koni. Gorsza jednak od tych niebezpieczeństw była groza tego miejsca, do którego zmierzali, groza tej potęgi, zatopionej w swych myślach, bezsennie knującej przewrotne plany w okrytej zasłoną ciemności stolicy. Im bliżej do niej podchodzili, tym bardziej złowrogi zdawał się jej czarny cień jak ściana nocy na ostatniej granicy świata.

Nadszedł wreszcie najstraszniejszy wieczór; w tym samym czasie, gdy armia Gondoru dotarła do kresu żywych ziem, dwaj wędrowcy przeżywali czarną godzinę rozpaczy. Cztery dni minęły, odkąd uciekli z szeregów orków, lecz ten cały okres zdawał im się stopniowym pogrążaniem w głąb koszmarnego snu. Czwartego dnia Frodo prawie się nie odzywał, szedł zgarbiony, zgięty wpół, i potykał się często, jak gdyby nie widząc już drogi pod stopami. Sam domyślał się, że wśród wspólnie znoszonych cierpień Frodowi przypadło najdotkliwsze: rosnący ustawicznie ciężar Pierścienia, nieznośne brzemię dla ciała i udręka dla duszy. Z niepokojem wierny giermek obserwował, że Frodo często podnosi lewą rękę, jakby broniąc się przed ciosem, lub osłania przerażone oczy przed okrutnym, szukającym go spojrzeniem straszliwego Oka. Czasem też prawa ręka Froda skradała się do zawieszonego na piersiach Pierścienia, sięgała chciwie po niego i w ostatnim momencie opadała, ulegając nakazowi woli.

Gdy teraz wróciły nocne ciemności, Frodo siadł z głową wtuloną między kolana, ręce zwiesił bezwładnie ku ziemi, tylko palce drżały mu lekko. Sam czuwał, patrząc na niego, póki noc nie ogarnęła ich tak, że nie mogli widzieć się nawzajem. Sam nie znajdował już słów pociechy, pogrążył się więc we własnych niewesołych myślach. On też był zmęczony i drżał z lęku, ale zachował trochę sił. Lembasy miały niezwykłą moc krzepiącą, gdyby nie to, obaj hobbici dawno już ustaliby w drodze i poddali się śmierci. Lembasy nie zaspokajały jednak apetytu, toteż Sam nieraz wspominał tęsknie różne potrawy i marzył o zwykłym chlebie i mięsie.

Mimo to chleb elfów miał potężne działanie, tym potężniejsze, że wędrowcy posilali się nim teraz wyłącznie, obywając się bez innego jadła. Żywił ich, dawał siłę do przetrwania, krzepił do wysiłku, na jaki żadna śmiertelna istota nie zdobyłaby się bez takiej pomocy. W tej chwili jednak musieli powziąć nową decyzję. Nie mogli dłużej iść tą drogą, wiodła bowiem na wschód, w samo serce ciemności, podczas gdy Góra Ognista, do której powinni zmierzać, wznosiła się na prawo od nich, niemal wprost na południe. Dzieliła ich od niej jeszcze rozległa przestrzeń martwego, dymiącego, pociętego rozpadlinami i zasypanego popiołem kraju.

– Wody! Wody! – szepnął Sam. Skąpił sobie każdej kropli, w zaschniętych ustach język stwardniał mu i spuchł z pragnienia; mimo tej oszczędności zostało im ledwie pół manierki, a mieli przed sobą jeszcze kilka dni wędrówki. Dawno wyczerpaliby skromne zapasy, gdyby nie ośmielili się pójść drogą orków. Przy niej bowiem w dość znacznych odstępach były zbiorniki, przygotowane dla wojska na wypadek spiesznego marszu przez bezwodne pustkowia. W jednym z nich Sam zaczerpnął trochę wody, zatęchłej, zmąconej, ale bądź co bądź zdatnej do użycia w ostatniej potrzebie. Zdarzyło się to jednak przed dwoma dniami. W przyszłości nie mogli liczyć na podobne szczęście.

W końcu zmęczony posępnymi rozmyślaniami Sam zdrzemnął się, rezygnując z troski o jutro, skoro nie mógł na razie i tak nic przedsięwziąć. Sen i jawa mieszały się w jego zgorączkowanej głowie. Widział światła, jak gdyby rozjarzone ślepia, i skradające się cienie; słyszał głosy jak gdyby dzikich zwierząt i okropne krzyki torturowanych, ale gdy zrywał się ze snu, stwierdzał, że otacza go ciemność, pustka i cisza. Raz tylko, stojąc i rozglądając się pilnie dokoła, miał wrażenie, chociaż na pewno w tym momencie nie spał, że dostrzega blady błysk dwojga oczu, które jednak natychmiast przygasły i zniknęły.

Okropna noc wlokła się nieznośnie. Świt nastał mętny, bo w pobliżu Góry Ognistej panował zawsze mrok: sięgały tutaj macki ciemności, które Sauron rozsnuwał wokół swojej Czarnej Wieży. Frodo leżał bez ruchu na wznak, Sam stał nad nim; niechętnie zabierał głos, ale rozumiał, że teraz jest to jego obowiązkiem i że musi skłonić swego pana do nowego wysiłku. Pochylił się i głaszcząc czoło Froda, szepnął mu do ucha:

– Panie Frodo, proszę wstawać! Pora ruszać w drogę!

Frodo podniósł się zaraz, jakby zbudzony nagłym dźwiękiem dzwonka, i spojrzał w stronę południa. Gdy wszakże zobaczył Górę i pustkowie, cofnął się i skulił.

– Nie mogę, Samie – rzekł. – Nie udźwignę tego ciężaru, to nad moje siły.

Sam wiedział, że to, co powie, będzie daremne i że słowa te więcej wyrządzą szkody, niż pomogą, lecz, zdjęty litością, nie mógł ich przemilczeć.

– Niech pan pozwoli, żebym ja go teraz chwilę dźwigał – powiedział. – Pan przecież wie, że zrobię wszystko, dopóki tej resztki sił mi starczy.

Oczy Froda rozbłysły gwałtownym gniewem.

– Nie zbliżaj się do mnie! Nie dotykaj mnie! – krzyknął. – On jest mój. Precz! – Ręką szukał głowicy miecza. Nagle głos mu złagodniał: – Ach, nie, Samie – rzekł ze smutkiem. – Staraj się mnie zrozumieć. To moje brzemię, nikt inny nie może go nieść. Za późno już, Samie, przyjacielu kochany. W ten sposób nie możesz mi teraz pomóc. Jestem już niemal całkowicie w jego władzy. Nie mogę oddać Pierścienia nikomu, a gdybyś chciał mi go odebrać, oszalałbym chyba.

Sam skinął głową.

– Rozumiem – odparł. – Ale myślę, proszę pana, że możemy się pozbyć innych ciężarów. Czemuż by nie ulżyć sobie choć trochę? Pójdziemy stąd możliwie najprostszą drogą do celu. – Wskazał Górę. – Nie warto brać rzeczy, które zapewne nie będą nam niezbędne.

Frodo spojrzał znów w stronę Góry.

– Słusznie – rzekł. – Niewielu rzeczy będziemy odtąd potrzebowali w drodze. U celu nic już nam nie będzie potrzebne.

Chwycił tarczę orków, odrzucił ją daleko od siebie, a potem cisnął też za nią hełm. Zdjął płaszcz, rozpiął ciężki pas i pozwolił mu opaść na ziemię razem z mieczem schowanym w pochwie. Czarny płaszcz podarł na strzępy i rozsypał je wkoło.

– Nie będę udawał orka! – zawołał. – Pójdę dalej bez broni, czy to szlachetnej, czy to nikczemnej. Niech mnie zabiją, jeśli chcą.

Sam poszedł za jego przykładem, pozbył się orkowego przebrania i oręża; wyciągnął też z tobołka własne rzeczy. Dziwnie stały mu się miłe,

może po prostu dlatego, że dźwigał je z tak daleka w niemałym trudzie. Najboleśniej było mu rozstać się z przyborami kuchennymi. Łzy stanęły mu w oczach, kiedy je odrzucał.

– Pamięta pan tę potrawkę z królika, panie Frodo? – spytał. – Ten zakątek pod nagrzaną od słońca skarpą w kraju Faramira w dniu, kiedy zobaczyliśmy olifanta?

– Niestety, Samie – odparł Frodo – nic już nie pamiętam, a raczej wiem, że to przeżyłem, ale nie widzę tego oczyma pamięci. Nie zostało mi nic, zgubiłem smak jadła, świeżość wody, szum wiatru, wspomnienie drzew, trawy i kwiatów, obraz księżyca i gwiazd. Jestem nagi wśród ciemności, żadna zasłona nie dzieli mnie od ognistego koła. Widzę je teraz już nawet na jawie, otwartymi oczyma, a wszystko inne zanika we mgle.

Sam pocałował jego rękę.

– A więc trzeba się spieszyć, im prędzej pozbędziemy się brzemienia, tym prędzej będzie pan mógł odpocząć – mówił rwącym się głosem, nie znajdując lepszych słów pociechy. „Gadaniem nic tu nie pomogę – myślał, zbierając porzucone rzeczy. Nie chciał ich zostawiać na pustkowiu, w miejscu otwartym, gdzie łatwo mógłby je ktoś zauważyć. – Śmierdziel znalazł kolczugę, jak się zdaje, nie trzeba, żeby na dodatek uzbroił się w miecz. Z gołymi łapami dość jest niebezpieczny. I niedoczekanie jego, żeby miał dotykać moich rondli!”. Zaniósł wszystko nad jedną z licznych szczelin, ziejących w ziemi, i cisnął w głąb. Brzęk cennych rondli spadających w czarną czeluść zabrzmiał w uszach Sama jak dzwony pogrzebowe.

Wrócił do Froda, odciął kawałek liny elfów, opasał nią swego pana i owiązał na nim ciasno szary płaszcz. Resztę liny zwinął starannie i schował do swego tobołka. Zatrzymał prócz niej tylko resztki lembasów, manierkę i Żądło, nadal wiszące mu u pasa. Głęboko w kieszeni na piersiach miał też schowany kryształowy flakonik Galadrieli i małą szkatułkę, którą od niej dostał w darze.

Wreszcie ruszyli, twarzami zwróceni ku Górze, nie kryjąc się już teraz, walcząc ze zmęczeniem i skupiając słabnącą wolę na jedynym zadaniu, byle iść naprzód. W mroku posępnego dnia nawet w tym dobrze strzeżonym kraju trudno byłoby szpiegom wypatrzyć hobbitów, chyba że z bliska. Spośród wszystkich niewolników Czarnego Władcy tylko Nazgûle

mogłyby go ostrzec o tych niebezpiecznych wędrowcach, małych, lecz nieugiętych, wlokących się wytrwale w głąb strzeżonego Królestwa Ciemności. Nazgûle jednak poszybowały na swych czarnych skrzydłach daleko stąd, bo wyznaczono im inną służbę: śledziły marsz armii królewskiej ciągnącej z zachodu pod bramy Mordoru; w tamtą stronę zwróciła się też cała uwaga Czarnej Wieży.

Tego dnia Samowi zdawało się, że Frodo odżył, i dziwiło go to, bo przecież ujął swemu panu tylko drobną część ciężaru. Zrazu więc szli znacznie szybciej, niż Sam przewidział. Teren był trudny, okolica wroga, mimo to posunęli się na pierwszym etapie marszu tak, że Góra wyłaniała się przed nimi dość już blisko. Ale dzień minął; wcześnie, za wcześnie zmierzchło mętne światło dzienne, Frodo znów się zgarbił i zaczął się chwiać na nogach, jakby w tym ostatnim zrywie zużył resztki sił. Gdy zatrzymali się na popas, osunął się na ziemię, mówiąc:

– Pić mi się chce, Samie.

Potem umilkł. Sam dał mu łyk wody. W manierce zostało tylko kilka kropel. Sam odmówił ich sobie, toteż gdy raz jeszcze noc Mordoru zamknęła się wokół wędrowców, nie mógł myśleć o niczym prócz wody; wszystkie rzeki, strumienie i potoki, jakie w życiu widział, jedne błyszczące w słońcu, inne ocienione liśćmi wierzb, ze szmerem i pluskiem przepływały przed jego udręczonymi oczyma. Czuł pod stopami chłodny piasek na dnie stawu Nad Wodą, gdzie brodził w dzieciństwie z Jollym Cottonem i Tomem, i Nibsem, i małą ich siostrą Różyczką. „Ale to było dawno – westchnął – i daleko! Droga powrotna, jeśli w ogóle istnieje, prowadzi przez tę Górę”.

Nie mógł zasnąć i dyskutował sam ze sobą.

„Ano przyznaj, że jak dotąd lepiej nam się powiodło, niż się spodziewałeś – pocieszał się w duchu. – Bądź co bądź początek wcale niezły. Chyba przeszliśmy połowę drogi, zanim ustaliśmy w końcu. Jeszcze jeden dzień i będzie po wszystkim”.

„Nie bądź głupi, Samie Gamgee – zareplikował po chwili namysłu. – Frodo drugiego dnia takiego marszu nie wytrzyma, a może nie będzie mógł nawet ruszyć z miejsca. Ty także nie zajdziesz daleko, jeżeli będziesz mu odstępował swoje porcje chleba i wody”.

„Mogę jeszcze iść dalej i zajdę”.

„Dokąd?”

„Na Górę, oczywiście”.

„A co potem, Samie Gamgee? Co potem? Co zrobisz, jeśli nawet tam dojdziesz? Frodo o własnych siłach niczego nie zdziała”.

Z rozpaczą Sam stwierdził, że na to nie znajduje odpowiedzi. Nie miał pojęcia, co należy zrobić. Frodo niewiele mówił mu o swojej misji, Sam wiedział tylko tyle, że Pierścień trzeba w jakiś sposób wrzucić w ogień. „Szczeliny Zagłady – mruknął, bo nazwa ta wypłynęła nagle z głębi jego pamięci. – Pan Frodo pewnie wie, jak je znaleźć, ale ja nie wiem”.

„A widzisz! – odpowiedział sobie. – Wszystko na nic. Frodo też tak mówił. Jesteś głupi, że łudzisz się nadzieją i nie przestajesz się tak męczyć daremnie. Żeby nie twój upór, od dawna już położylibyście się obaj w jakiejś dziurze i zasnęli na dobre. Śmierć was i tak nie minie albo spotka was coś gorszego od śmierci. Lepiej dać za wygraną i nie wstawać już więcej. Nigdy nie zdołacie wedrzeć się na ten szczyt”.

„Dojdę na szczyt, choćbym miał tam tylko własne kości dowlec – odparł. – I zaniosę pana Froda, choćby mi grzbiet miał od tego pęknąć razem z sercem. Przestań mi się sprzeciwiać, bo nie ustąpię”.

W tej chwili Sam poczuł pod swymi plecami drżenie ziemi i usłyszał jakby daleki grzmot przetaczający się w jej głębi. Pod chmurami błysnął czerwony płomień i zaraz przygasł. Góra Ognista także miała sen niespokojny.

Zaczął się ostatni etap wędrówki i okazał się tak uciążliwy, że Sam nie mógł pojąć, jakim cudem znosi tę mękę. Wyczerpany, obolały, cierpiał okropne pragnienie i przez zaschnięte gardło nie mógł już przepchnąć ani kęsa chleba. Było ciemno, nie tylko z powodu bijących znad Góry dymów; zbierało się na burzę, a w oddali na południo-wschodzie błyskawice migotały po czarnym niebie. Co najgorsze, powietrze tak było przesycone oparami, że hobbici z trudem chwytali oddech; w głowach im się kręciło, zataczali się i przewracali coraz częściej. A jednak z niezachwianą wolą brnęli dalej.

Góra z wolna przybliżała się, aż w pewnym momencie, gdy dźwignęli ociężałe głowy, ujrzeli ją tuż nad sobą; ogromny jej masyw przesłonił im świat. Piętrzyła się, usypana z popiołu, żużlu i przepalonej skały, stromy jej

stożek ginął w chmurach. Zanim dogasł półmrok dzienny i zapadła prawdziwa noc, hobbici dowlekli się na chwiejnych nogach aż do samego jej podnóża.

Frodo z jękiem padł na ziemię. Sam usiadł przy nim. Ku swemu zdumieniu mimo zmęczenia czuł się jakby lżejszy i rozjaśniło mu się w głowie. Nie nękała go już rozterka. Znał wszystkie argumenty rozpaczy i nie chciał ich słuchać. Zawziął się, tylko śmierć mogła złamać jego wolę. Otrząsnął się z senności, rozumiał, że musi czuwać. Wiedział, że wszystkie groźby i niebezpieczeństwa skupiają się teraz w jednym punkcie: następny dzień będzie rozstrzygający, jutro dopełni się los, jutro czeka ich ostatni wysiłek albo klęska i kres.

Ale kiedy nadejdzie to jutro? Noc wlokła się w nieskończoność, jakby czas zastygł; minuty upływały w martwocie i składały się na martwe godziny, nieprzynoszące żadnej zmiany. Sam już zaczął przypuszczać, że rozpoczęła się nowa era ciemności i dzień nie zaświta nigdy. Po omacku poszukał ręki Froda. Była zimna i drżała. Frodo dygotał wstrząsany dreszczami.

– Źle zrobiłem, że wyrzuciłem swój koc – mruknął Sam i położył się obok Froda, objął biedaka, usiłując rozgrzać go własnym ciepłem.

W końcu Sama zmorzył sen, a mętny brzask ostatniego dnia wędrówki zastał obu hobbitów śpiących ramię przy ramieniu. Wiatr, który poprzedniego dnia ucichł, wzmagał się teraz i wiał już nie z zachodu, lecz z północy; z wolna światło niewidocznego słońca przedarło się przez cienie do legowiska wędrowców.

– W drogę! Do ostatniego skoku! – zawołał Sam, dźwigając się z ziemi. Łagodnie zbudził swego pana. Frodo jęknął; ogromnym wysiłkiem woli zdołał wstać, lecz natychmiast padł znowu na kolana. Podniósł z trudem oczy na czarne stoki Góry Przznaczenia, która piętrzyła się nad nimi, i zaczął rozpaczliwie czołgać się na czworakach naprzód.

Samowi, gdy patrzył na to, serce pękało z żalu, lecz ani jedna łza nie spłynęła z suchych, przekrwionych oczu. „Powiedziałem, że go zaniosę na grzbiecie, choćby mi grzbiet miał pęknąć – pomyślał. – Tak też i zrobię”.

– Nie mogę przejąć pańskiego brzemienia, ale pana mogę przecież nieść z nim razem! – krzyknął. – Niech pan włazi mi na plecy, panie Frodo

kochany. Sam posłuży panu za wierzchowca. Powie pan tylko, dokąd iść, i zajedzie pan, gdzie pan zechce.

Frodo przylgnął do pleców Sama, rękami lekko obejmując go za szyję, a Sam mocno przycisnął ramionami nogi Froda do swych boków i przez chwilę stał bardzo niepewnie; brzemię okazało jednak zdumiewająco lekkie. Sam trochę wątpił, czy mu starczy sił, żeby dźwignąć Froda, bał się, że odczuje dodatkowy, przytłaczający ciężar przeklętego Pierścienia. Stało się inaczej. Może Frodo był tak wyniszczony przez długotrwałe trudy, ranę zadaną nożem, jad wsączony przez Szelobę, smutki, trwogę i bezdomne, wędrowne życie, a może Sam w tej chwili otrzymał w darze wyjątkową siłę, dość że podniósł swego pana tak swobodnie, jakby wziął na barana jakieś hobbiciątko, bawiąc się z dziećmi na zielonym trawniku albo na łące w Shire. Zaczerpnął tchu i pomaszerował przed siebie.

Podeszli do Góry od północnego zbocza, w jego zachodniej części; wydłużony szary skłon, chociaż poszarpany, nie był zbyt stromy. Frodo milczał, więc Sam, zdany na własną orientację, kierował się tylko jedną myślą: chciał jak najprędzej dojść jak najwyżej, zanim go siły opuszczą lub wola zawiedzie. Szedł uparcie pod górę, zakosami, by złagodzić stromiznę, często potykając się, padając na kolana, w końcu pełznąc jak ślimak z ciężką muszlą na grzbiecie. Wreszcie wola w nim omdlała, mięśnie odmówiły posłuszeństwa i Sam zatrzymał się, składając Froda ostrożnie na ziemi.

Frodo otworzył oczy i westchnął. Tu, na wysokości, łatwiej było oddychać, bo cuchnące opary spływały po zboczach i gromadziły się u podnóży Góry

– Dziękuję ci, Samie – szepnął ochryple. – Czy stąd daleko jeszcze mam iść?

– Nie wiem – odparł Sam – bo nie mam pojęcia, dokąd idziemy.

Spojrzał w dół, spojrzał w górę i zdziwił się, że ten ostatni wysiłek tak wysoko ich doprowadził. Orodruina, odosobniona i groźna, zdawała się z dołu bardziej wyniosła, niż była w rzeczywistości. Sam przekonał się dopiero teraz, że jest niższa od przełęczy w łańcuchu Ephel Dúath, którą przedtem z Frodem pokonali. Nieregularne, rozłożyste ramiona ogromnej podstawy wznosiły się na jakieś trzy tysiące stóp ponad równinę, a wyrastający z nich smukły główny szczyt w kształcie stożka miał ledwie

połowę tej wysokości i przypominał olbrzymi komin chmielarni z otwartym pośrodku kraterem o poszarpanych brzegach. Hobbici przebyli już więcej niż pół drogi zboczem podstawy; równina Gorgoroth niknęła we mgle u ich stóp, spowita w dymy i cienie. Spoglądając w górę, Sam omal nie krzyknął; z zaschniętego gardła nie mógł jednak dobyć głosu. Zobaczył wyraźnie biegnącą między garbami i zapadliskami stoku ścieżkę. Wspinała się od zachodu i w skrętach wiła po zboczu, dosięgała od wschodu podnóży stożka i potem ginęła z oczu, okrążając go z drugiej strony.

Sam nie widział tego jej odcinka, który przebiegał tuż nad miejscem, gdzie stał w tym momencie, ponieważ stromy tutaj stok zasłaniał mu widok; domyślał się jednak, że gdyby wydostali się nieco wyżej, trafiliby na dogodną drogę. Znowu odżyła iskierka nadziei.

Zdobycie szczytu wydało się możliwe. „Jakby ktoś umyślnie podsunął nam ścieżkę – powiedział sobie Sam. – Gdyby jej tutaj nie było, musiałbym uznać, że u kresu drogi zostaliśmy pokonani”. Ale ścieżki tej nie zbudowano umyślnie dla Sama. Nic o tym nie wiedząc, hobbit oglądał drogę Saurona łączącą Barad-dûr z Sammath Naur, Komorami Ognia. Z ogromnej zachodniej bramy Czarnej Wieży ta ścieżka biegła po żelaznym moście ponad głęboką przepaścią, a dalej po równinie między dwiema dymiącymi otchłaniami ku długiej, pochyłej grobli wspinającej się na wschodnie zbocze Ognistej Góry. Wijąc się od południa na północ, opasywała potężne jej podnóża i docierała wysoko na wieńczący ją stożek, lecz nie sięgała do dyszącego ogniem szczytu, zmierzając ku ciemnemu otwartemu w stoku wylotowi, zwróconemu na wschód, wprost ku temu oknu spowitej w cień twierdzy, z którego patrzyło straszne Oko Saurona.

Wybuchy Ognistej Góry często zasypywały i niszczyły ścieżkę kamiennymi pociskami, lecz niezliczone zastępy roboczych orków naprawiały ją co prędzej i utrzymywały stale w porządku.

Sam nabrał tchu w płuca. A więc istniała ścieżka; nie wiedział jednak, jak się na nią dostać. Przede wszystkim musiał dać trochę odpoczynku obolałym plecom. Leżał czas jakiś obok Froda. Żaden z nich się nie odzywał. Tymczasem rozwidniało się z wolna. Nagle Sam, nie rozumiejąc dlaczego, poczuł, że trzeba się spieszyć. Jakby mu ktoś krzyknął nad uchem: „Naprzód! Prędko! Za chwilę będzie za późno!”. Zebrał siły i wstał. Frodo chyba także usłyszał wezwanie, bo dźwignął się na klęczki.

– Poczołgam się dalej, Samie – szepnął.

Niby szare mrówki pełzli stokiem pod górę. Dotarli na ścieżkę; była szeroka, wybrukowana tłuczonym kamieniem i pokryta ubitym popiołem. Frodo stanął na niej i jakby pod przymusem z wolna obrócił twarz ku wschodowi. W dali snuły się w powietrzu cienie Saurona, lecz rozdarta pod tchnieniem wiatru z innych krain zasłona otwarła się na chwilę; Frodo zobaczył czarne, ciemniejsze niż otaczające je ogromne ciemności, groźne iglice i żelazną koronę na szczycie najwyższej wieży Barad-dûr. Trwało to ledwie chwilę, lecz z jakiegoś wielkiego okna, górującego na niewiarygodnej wysokości, mignęła, lecąc na północ, czerwona błyskawica, płomienne, przeszywające spojrzenie okrutnego Oka. Potem cienie znowu się zwarły i przesłoniły ten straszliwy widok. Oko nie było zwrócone na hobbitów, patrzyło na północ, gdzie u bram Królestwa Ciemności stanęli wodzowie Zachodu; tam także kierowały się wszystkie nienawistne myśli Saurona, zamierzającego właśnie zadać przeciwnikom śmiertelny cios. Mimo to Frodo, jakby porażony płomienną wizją, padł na ziemię. Ręka jego szarpała zwisający z szyi łańcuszek.

Sam ukląkł przy nim. Słabym, prawie niedosłyszalnym głosem Frodo szepnął:

– Pomóż, Samie! Pomóż! Zatrzymaj moją rękę. Ja już nie mogę…

Sam ujął obie ręce swego pana, złożył je razem, dłoń na dłoni, i ucałował, a potem łagodnie przytrzymał. Nagle zaświtała mu w głowie myśl: „Wytropił nas! Wszystko przepadło albo przepadnie za chwilę. Teraz, Samie Gamgee, koniec z wami!”.

Znowu więc wziął swego pana na plecy, lecz pozwolił już nogom Froda zwisać bez podpory, bo rękoma przyciskał jego złożone dłonie do swojej piersi. Z pochyloną głową wspinał się mozolnie ścieżką pod górę. Nie było to takie łatwe, jak się spodziewał. Szczęściem wybuch, który Sam obserwował niedawno z Cirith Ungol, wyrzucił swoje ogniste potoki głównie na południowe i zachodnie zbocze, ścieżka więc z tej strony nie została zniszczona. W wielu wszakże miejscach zapadła się albo przecinały ją rozwarte szczeliny. Czas jakiś prowadziła wprost na wschód, po czym zawracała pod ostrym kątem z powrotem na zachód. Na zakręcie zagradzał ją do połowy ogromny zmurszały głaz, wypluty ongi z krateru podczas jakiejś gwałtownej eksplozji. Zgięty pod brzemieniem Sam właśnie znalazł się w tym miejscu, gdy nagle kątem oka dostrzegł, że z głazu coś spada, jak

gdyby czarny kamień; zdążył pomyśleć, że to on go pewnie strącił, przechodząc, lecz w okamgnieniu silne uderzenie zwaliło go z nóg.

Sam runął na twarz, kalecząc sobie ręce, z których nie wypuścił dłoni Froda. Wtedy dopiero zrozumiał, co się stało, bo tuż nad uchem usłyszał znajomy, znienawidzony głos.

– Zły pan! – syczał ten głos. – Zły! Oszukał nasss! Oszukał Sméagola, glum, glum! Nie wolno iść tam. Nie wolno gubić skarbu. Oddaj go Sméagolowi, oddaj, oddaj…

Sam gwałtownym ruchem zdołał się poderwać z ziemi. Błyskawicznie wyciągnął miecz. Nie mógł jednak go użyć. Gollum i Frodo byli spleceni ze sobą. Gollum szarpał Froda, usiłując chwycić łańcuszek i Pierścień. Nic innego nie wskrzesiłoby tak zamierającej w sercu Froda woli i nie zbudziłoby w nim resztek sił; bronił się z furią, która zadziwiła nie tylko Sama, ale także Golluma. Mimo to walka przybrałaby pewnie inny obrót, gdyby Gollum również nie zmienił się bardzo w ostatnich czasach; wędrówka niewiadomymi ścieżkami, po których od dawna błąkał się samotny, bez jadła i wody, trawiony pożądliwością i nękany strachem, wycisnęła na nieszczęśniku żałosne piętno. Był teraz chudym, zagłodzonym, wynędzniałym stworzeniem, pod zwiotczałą żółtawą skórą zostały mu tylko kości. Oczy błyszczały dziko, ale złość i chytrość nie miały już do rozporządzenia dawnej siły chwytliwych rąk. Frodo strącił go z siebie i wstał, cały drżąc.

– Precz! Precz! – krzyknął rwącym się głosem i rękę zacisnął na piersi, poprzez skórzany kaftan zamykając w dłoni Pierścień. – Precz, podstępny stworze, precz z mojej drogi! Skończyły się twoje czasy. Teraz nie możesz już mnie zdradzić ani zabić!

Nagle znów, jak kiedyś pod ścianą Emyn Muil, ukazała się Samowi inna zupełnie wizja tych dwóch rywali. Jeden, skulony na ziemi, był ledwie cieniem żywej istoty, wyniszczonej do cna i pokonanej, a jednak dyszącej pożądaniem i wściekłością; drugi stał nad nim, niedostępny teraz dla żalu i litości, spowity białym płaszczem, ale przyciskał do piersi ogniste koło. Z płomieni dobywał się rozkazujący głos:

– Idź precz i nie waż się przeszkadzać mi dłużej. Jeżeli mnie chociaż raz jeszcze spróbujesz tknąć, pochłonie cię Ogień Zagłady.

Skulony stwór cofał się, mrużąc przerażone oczy, w których jednak paliła się wciąż gorączka pożądania.

Wizja zgasła. Sam znowu widział Froda stojącego z ręką na piersi, dyszącego ciężko, a Golluma u jego stóp na kolanach, wspartego szeroko rozstawionymi płaskimi dłońmi o ziemię.

– Uwaga! – krzyknął Sam. – On skoczy! – Zrobił krok naprzód z mieczem podniesionym do ciosu. – Panie Frodo, prędko! – jęknął. – Naprzód, naprzód! Nie ma chwili do stracenia. Ja się z nim rozprawię. Naprzód!

Frodo spojrzał na niego jakby z wielkiej dali.

– Tak, trzeba iść naprzód – powiedział. – Żegnaj, Samie. To już nareszcie koniec wszystkiego. Na Górze Przeznaczenia dopełni się przeznaczenie. Żegnaj!

Odwrócił się z wolna, lecz wyprostowany, odszedł ścieżką pod górę.

– Teraz wreszcie mogę porachować się z tobą! – rzekł Sam i z obnażonym mieczem natarł na Golluma. Ale Gollum nie skoczył mu do gardła. Leżał rozpłaszczony na ziemi i płakał.

– Nie zabijaj nas! – chlipał. – Nie rań nas tym wstrętnym, okrutnym żelazem. Pozwól nam żyć jeszcze trochę, chociaż trochę dłużej. Zgubieni, jesteśmy zgubieni! Jeżeli skarb przepadnie, umrzemy, tak, umrzemy, rozsypiemy się w proch! – Długimi kościstymi palcami rozdrapywał na ścieżce popiół. – Proch! – syczał.

Samowi ręka zadrżała. Hobbit kipiał gniewem, rozjątrzony wspomnieniem doznanych od Golluma krzywd. Postąpiłby sprawiedliwie, zabijając tę zdradziecką pokrakę, tego mordercę, który po stokroć na śmierć zasłużył; rozsądek mówił mu, że powinien to zrobić dla bezpieczeństwa Froda i we własnej obronie. Lecz na dnie serca tkwiło coś, co go powstrzymywało: nie mógł uderzyć leżącego w prochu, zabłąkanego, pokonanego nędzarza. Niósł Pierścień na piersi, jakkolwiek przez bardzo krótki czas, i niejasno rozumiał mękę znikczemniałej duszy i zabiedzonego ciała Golluma, niewolnika Pierścienia, tak opętanego przez zły czar, że nie było już dla niego spokoju ani życia na ziemi. Jednak Sam nie umiał swoich uczuć wyrażać w słowach.

– A niech cię licho porwie, śmierdzielu – rzekł. – Jazda stąd! Niech cię nie widzę. Nie ufam ci, brzydziłbym się dotknąć cię, choćby po to, żeby ci dać kopniaka. Jazda! Bo cię połaskoczę tym brzydkim, okrutnym żelazem!

Gollum na czworakach wycofał się na odległość kilku kroków, a potem odwrócił się i widząc, że Sam ma zamiar pożegnać go jednak kopniakiem, umknął ścieżką w dół. Sam przestał się nim interesować. Przypomniał sobie nagle o swoim panu. Spojrzał w górę, ale nie dostrzegł na ścieżce Froda. Ile sił w nogach puścił się w stronę szczytu. Gdyby się obejrzał, pewnie by zauważył, że Gollum o parę stóp niżej zawrócił i z rozpłomienionymi szaleństwem oczyma wspina się ostrożnie, lecz bardzo szybko na stożek Orodruiny, przemykając niby cień pośród kamieni.

Ścieżka pięła się wzwyż. Wkrótce znów skręcała na wschód i stąd już prosto, przecinając zbocze stożka, biegła ku ciemnym wrotom góry, ku drzwiom do Sammath Naur. W oddali słońce, wznosząc się już ku zenitowi, przebijało się przez dymy i opary złowrogim blaskiem zaczerwienionej, przyćmionej tarczy. Wokół Orodruiny rozpościerał się kraj martwy, milczący, osnuty cieniem, jakby przyczajony przed jakimś straszliwym ciosem.

Sam podszedł do ziejącej jamy i zajrzał. Głąb jej była ciemna i gorąca; głuchy podziemny grzmot wstrząsnął powietrzem.

– Panie Frodo! Frodo! – zawołał Sam. Nikt mu nie odpowiedział. Sam stał chwilę, serce waliło mu w piersi, oszalałe ze strachu; potem wszedł. Cień pomknął jego śladem.

Zrazu nie widział nic. W tej ciężkiej potrzebie zdecydował się wyciągnąć znów szkiełko Galadrieli, lecz pozostało blade i zimne w jego drżących rękach i nie rozświetliło dusznych ciemności. Sam znalazł się w samym sercu królestwa Saurona, w kuźni jego dawnej potęgi, panującej nad całym Śródziemiem, nad wszystkimi innymi ujarzmionymi krajami. Posunął się lękliwie parę kroków dalej wśród mroków, gdy nagle czerwona błyskawica trysnęła z dołu pod wysoki czarny pułap. W jej świetle Sam zorientował się, że jest w długiej pieczarze, czy może w tunelu wydrążonym w trzonie Góry, prowadzącym do jej dymiącego stożka. Nieco dalej dno i ściany z obu stron przecinała głęboka szczelina, z której bił czerwony żar, to wystrzelający płomieniem, to zapadający w głąb

ciemności; a przez cały czas z dołu dochodził jakby warkot i drganie tętniących ruchem wielkich machin.

Znów błysnęło światło i Sam ujrzał wreszcie Froda: na samej krawędzi otchłani rysowała się jego czarna sylwetka, wyraźnie odcięta na tle łuny, wyprostowana, napięta, ale nieruchoma, jakby skamieniała.

– Panie Frodo! – krzyknął Sam.

Frodo drgnął. Gdy się odezwał, głos jego wydał się Samowi tak dźwięczny i donośny jak nigdy; poprzez zgiełk i zamęt Orodruiny słowa rozbrzmiewały wyraźnie pod stropem i między ścianami tunelu.

– Przyszedłem – powiedział Frodo. – Ale nie spełnię tego, po co tu dążyłem. Nie uczynię tego. Pierścień należy do mnie.

I nagle wsunął Pierścień na palec, niknąc Samowi sprzed oczu. Sam otworzył usta i nabrał tchu, lecz nie zdążył krzyknąć, bo w tym momencie stało się coś dziwnego i wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Sam poczuł gwałtowne uderzenie w plecy, ktoś podciął mu nogi i przewrócił, potem odepchnął na bok tak, że hobbit głową rąbnął o kamienną podłogę. Jakiś cień przeskoczył przez niego. Sam na krótką chwilę zapadł w czarną noc.

W tej samej sekundzie, gdy Frodo, stojąc w sercu Królestwa Ciemności, włożył na palec Pierścień, oznajmiając, że przejmuje go na własność, daleko w Barad-dûr zakołysała się ziemia i Czarna Wieża zadrżała od posad aż po dumną i straszną koronę. Teraz Sauron nagle go dostrzegł; jego Oko, przebijając cienie, spojrzało ponad równinę na drzwi, które sam przecież stworzył. W błyskawicznym olśnieniu ujrzał ogrom własnego błędu i jasny stał się dla niego podstęp przeciwników. Gniew jego zapłonął niszczycielskim ogniem, ale strach wzbił się olbrzymią czarną chmurą dymu i zaparł mu dech w piersi. Władca wiedział, że grozi mu ostateczne niebezpieczeństwo i że los jego zawisł na wątłej niteczce.

Umysł kierujący potęgą ciemności otrząsnął z siebie w tej chwili wszystkie plany wojenne, całą sieć uplecioną chytrze z postrachu i zdrady; dreszcz przebiegł przez królestwo Mordoru, niewolnicy zadrżeli, dowódcy, nagle zbici z tropu, zachwiali się bezwolni, ogarnięci rozpaczą. Władca bowiem zapomniał o nich. Myśl i wola, potęga, która nimi władała, odbiegła ich, by skupić się na szczycie Ognistej Góry. Na jej wezwanie Nazgûle, Upiory Pierścienia, z szumem skrzydeł, z rozdzierającym

krzykiem pomknęły na południe, prześcigając wiatr w ostatniej, desperackiej gonitwie.

Sam dźwignął się na nogi. Był ogłuszony, krew z rozbitej głowy ściekała mu do oczu. Po omacku brnął przed siebie, aż wreszcie zobaczył dziwną i okropną scenę. Na skraju otchłani Gollum walczył jak opętaniec z niewidzialnym przeciwnikiem. Chwiał się to w przód, to w tył, niekiedy tak blisko krawędzi, że jeden krok tylko dzielił go od zguby, niekiedy odsuwając się od niej, padając na ziemię, wstając, padając znów. I przez cały czas syczał, chociaż nie wymawiał żadnych słów.

Podziemne ognie rozbudziły się, gniewne, czerwony żar buchnął, wypełniając pieczarę blaskiem i gorącem. Nagle Sam spostrzegł, że Gollum podnosi swoje długie ręce do ust; błysnęły białe kły i zwarły się ze szczękiem. Frodo krzyknął. Sam zobaczył go, klęczącego na krawędzi otchłani. Gollum, wirując w szaleńczym tańcu, trzymał we wzniesionej ręce Pierścień razem z palcem Froda, tkwiącym jeszcze w złotej obrączce. Pierścień lśnił jak żywy płomień.

– Mój skarb, mój skarb, mój skarb! – wykrzykiwał Gollum. – Mój skarb! Och, mój skarb!

Tak krzycząc, wpatrzony chciwie w swoją zdobycz, zrobił o jeden krok za wiele, potknął się, przez sekundę chwiał się na krawędzi, potem z przeraźliwym wrzaskiem runął w ognistą czeluść. Ostatni przeciągły jęk: „Mój skarb!” – dobiegł z otchłani. Gollum zniknął.

Rozległ się grzmot, straszliwy zgiełk rozpętał się wkoło. Ognie, wystrzelając z głębi, lizały pułap jaskini. Drżenie ziemi wzmogło się gwałtownie, Góra zatrzęsła się w posadach. Sam podbiegł do Froda, chwycił go w ramiona, wywlókł za drzwi. I tutaj, u progu ciemności Sammath Naur, wysoko ponad równinami Mordoru, ogarnął hobbita taki podziw i taka groza, że zapominając o wszystkim, stanął osłupiały.

Ujrzał bowiem na mgnienie oka wielką wirującą chmurę, a pośrodku niej wieże i fortece potężne jak góry, wzniesione na wspaniałych cokołach ponad niezgłębionymi przepaściami; dziedzińce i bastiony, więzienia o murach nagich i ślepych jak skały, otwarte na oścież stalowe, niezdobyte bramy. Potem wszystko znikło. Wieże runęły, góry się zapadły, ściany rozsypały się w proch i pył; ogromne spirale dymów i słupy pary skłębiły się w powietrzu i wzbijały się coraz wyżej i wyżej, aż spiętrzona olbrzymia

fala z postrzępioną dziko grzywą przewaliła się nagle i opadła z powrotem na ziemię. Wtedy dopiero przez cały ogromny obszar przetoczył się głuchy pomruk, potężniejąc do ogłuszającego huku i grzmotu. Ziemia drżała, równina wzdymała się i pękała, Orodruina chwiała się jakby podcięta u korzeni. Ogień tryskał z jej rozłupanego wierzchołka. Pioruny błyskawicami przeszywały niebo. Czarne strugi deszczu jak bicze smagały ziemię. I w to serce nawałnicy z krzykiem, który wzbijał się ponad cały ten zgiełk, rozdzierając skrzydłami chmury, wtargnęły jak ogniste pociski Nazgûle, aż porwane w wir walących się gór i rozszalałego nieba one także rozprysły się, spopieliły, zginęły.

– Koniec, Samie Gamgee – odezwał się głos tuż obok niego. Frodo, blady i zmęczony, był jednak znowu sobą. W oczach miał spokój; napięcie woli, szaleństwo i strach zniknęły z nich wreszcie. Frodo uwolnił się od brzemienia. U boku Sama stał jego ukochany pan z dawnych, miłych dni w Hobbitonie.

– O mój panie kochany! – wykrzyknął Sam, padając na kolana. Pośród ruin świata przeżywał w tej chwili najczystszą wielką radość. Zadanie zostało wykonane, Frodo ocalony, taki jak dawniej, wolny. Lecz potem wzrok Sama padł na jego okaleczoną i krwawiącą rękę.

– Pan jest ranny – powiedział. – A ja nic nie mam tutaj, żeby ranę przewiązać i opatrzyć! Wolałbym temu łajdakowi swoją łapę podarować aż po ramię. Ale już po nim, nie zobaczymy go nigdy.

– Tak – odparł Frodo. – Czy pamiętasz słowa Gandalfa: „Nawet Gollum może jeszcze przyczynić się do naszej sprawy”. Gdyby nie on, nie mógłbym zniszczyć Pierścienia. Cała wyprawa byłaby daremna, mimo że doszliśmy do celu z takim trudem. Przebaczmy więc Gollumowi. Zadanie wykonane, wszystko skończone. Cieszę się, że jesteś tutaj ze mną, Samie. Tutaj, w ostatniej godzinie świata.

ROZDZIAŁ 4
NA POLACH CORMALLEN

Wszędzie wokół pagórków roiło się od wojsk Mordoru. Wzbierające morze nieprzyjacielskiej armii niemal zalewało wodzów Zachodu.

Słońce świeciło czerwono, a spod skrzydeł Nazgûlów czarne cienie śmierci padały na ziemię. Aragorn, stojąc pod sztandarem, milczący i surowy, zdawał się zatopiony w myślach o sprawach bardzo dawnych lub dalekich, lecz oczy mu błyszczały jak gwiazdy, tym bardziej promienne, im ciemność była głębsza. Gandalf na samym szczycie wzgórza jaśniał bielą i złotem; jego cień nie dosięgał. Ataki rozbijały się niby fale o zbocza obleganych pagórków, pośród walki i szczęku oręża zgiełk głosów huczał jak morze w godzinie przypływu.

Gandalf drgnął, jakby oczom jego objawił się nagle niezwykły widok; obrócił się ku północy, gdzie niebo było blade i czyste. Potem uniósł ręce i donośnym głosem przekrzykując wrzawę bitwy, zawołał: – Orły nadlatują! – Natychmiast inni podjęli ten okrzyk: „Orły, orły nadlatują!”. Żołnierze Mordoru patrzyli w niebo zaskoczeni, nie wiedząc, co może znaczyć ten znak z nieba.

Leciały ku nim: Gwaihir, Władca Wichrów, i brat jego, Landrowal, najwspanialsze z orłów Północy, szlachetnych potomków starego Thorondora, który gniazda swe zbudował na szczytach Gór Okrężnych w zaraniu Śródziemia. Za nimi, gnane wzmagającym się wiatrem, mknęły szeregi ich wasali z gór północnych. Orły, nagle zniżając lot, spadły z wysoka prosto na karki Nazgûlom, ogromne ich skrzydła jak huragan zamiotły powietrze.

Lecz Nazgûle, słysząc w tym momencie straszliwy głos, który ich wzywał z Czarnej Wieży, pierzchły i zniknęły w cieniu Mordoru; jednocześnie dreszcz przebiegł przez wszystkie szeregi armii ciemności, zwątpienie ogarnęło serca, dziki śmiech zamarł na ustach, z trzęsących się rąk wypadła broń, kolana ugięły się pod niewolnikami Saurona. Władca, którego moc pchała ich do walki, który natchnął ich nienawiścią i furią, zawahał się, przestał ich wspierać swoją wolą. Toteż patrząc w oczy przeciwników, zobaczyli teraz zabójczą światłość i zlękli się jej.

Wodzowie Zachodu krzyknęli tryumfalnie, bo wśród mroków nowa nadzieja zaświtała im w sercach. Rycerze Gondoru, Jeźdźcy Rohanu, Dúnedainowie Północy w zwartych szeregach ruszyli z oblężonych pagórków do ataku na oszołomione zastępy wroga, ostrzem włóczni torując sobie drogę wśród tłumu. Lecz Gandalf podniósł ramiona i znów krzyknął wielkim głosem:

– Stójcie, Ludzie Zachodu! Stójcie i czekajcie! Wybiła godzina przeznaczenia!

Nim przebrzmiało to wołanie, grunt zakołysał się pod ich stopami.

W oddali, za wieżami Czarnej Bramy, wysoko ponad szczyty gór wystrzeliła ku niebu olbrzymia ciemna chmura, iskrząca się od płomieni. Ziemia jęczała i drżała. Zębate Wieże Morannonu zachwiały się, zatrzęsły i runęły; potężny mur rozsypał się w gruzy, Czarna Brama legła w prochu; z większej jeszcze dali, to cichszy, to głośniejszy, wzbijający się aż pod obłoki, dobiegł łoskot, huk, zwielokrotniony przez echo grzmot jakby kamiennej lawiny.

– Oto koniec królestwa Saurona! – rzekł Gandalf. – Powiernik Pierścienia wypełnił swoją misję!

A kiedy patrzyli na południe, na krainę Mordor, wydało im się, że widzą, jak na tle bladego obłoku wznosi się ogromny kształt, ciemny, nieprzenikniony, uwieńczony koroną błyskawic, wypełniający całe niebo. Zawisł nad światem, olbrzymi i potworny, wyciągnął ku nim długą rękę, jak gdyby grożąc, złowrogi, ale bezsilny; w chwili bowiem gdy się nad nimi zniżył, silny podmuch wiatru porwał go i uniósł gdzieś w dal. Potem wszystko ucichło.

Wodzowie Gondoru pochylili czoła, a gdy je znów podnieśli, zdumieli się, bo oto wroga armia uciekała w rozsypce, a potęga Ciemności rozwiała się jak kurz na wietrze. Kiedy śmierć porazi obrzmiałą, płodną istotę, zamieszkującą pośrodku mrowiska i rządzącą całym rojem, mrówki rozbiegają się bezradne i niedołężne, słabną i mrą; tak też i słudzy Saurona – orkowie, trolle i ujarzmione złym czarem zwierzęta – rozpierzchli się, ogłupiali nagle, i kręcili się bez sensu to tu, to tam. Niektórzy sami sobie zadawali śmierć, rzucając się na ostrza własnych dzid lub w przepaście, inni z wrzaskiem uciekali, by skryć się w norach i ciemnych podziemiach, gdzie

nie sięga światło ani nadzieja. Lecz ludzie z Rhûn i z Haradu, Easterlingowie i południowcy ujrzeli jasno klęskę swojego władcy i wielki majestat wodzów Gondoru. Ci spośród nich, którzy najdłużej służyli Sauronowi i do głębi byli zatruci nienawiścią, a mimo to zachowali dumę i odwagę, zebrali się razem, aby stoczyć ostatnią, rozpaczliwą bitwę. Większość wszakże uciekała w panice na wschód, a było wielu takich, którzy porzucając oręż, błagali o łaskę.

Wówczas Gandalf, pozostawiając wszystkie sprawy wojenne i dowództwo Aragornowi oraz jego sprzymierzeńcom, stanął na szczycie pagórka i krzyknął głośno; spod nieba spłynął na to wezwanie wspaniały orzeł, Gwaihir, Władca Wichrów.

– Dwakroć nosiłeś mnie, Gwaihirze, mój przyjacielu – rzekł Gandalf. – Trzeci raz ukoronujesz swoją przyjaźń, jeśli zechcesz mi usłużyć. Przekonasz się, że nie jestem o wiele cięższy niż wtedy, gdy mnie zabrałeś z Zirakzigil, gdzie przepaliło się w płomieniach moje dawne życie.

– Poniosę cię, dokąd chcesz, choćbyś był ciężki jak kamień – odparł Gwaihir.

– A więc lećmy! Weź też z sobą brata i kilku swoich najlotniejszych współplemieńców, Gwaihirze. Musimy prześcignąć nie tylko wiatr, ale także skrzydła Nazgûlów.

– Wiatr wieje z północy, ale my go prześcigniemy – odparł Gwaihir. Uniósł Gandalfa i pomknął na południe, a z nim Landrowal i Meneldor, orzeł młody i chyży. Kiedy lecieli nad Doliną Udûn i nad równiną Gorgoroth, mieli pod sobą cały kraj w gruzach i w zamęcie, przed sobą zaś Górę Przeznaczenia ziejącą ogniem.

– Cieszę się, że jesteś tutaj ze mną, Samie – powiedział Frodo. – Tutaj, w ostatniej godzinie świata.

– Tak, jestem z panem, panie Frodo – odparł Sam, kładąc okaleczoną rękę Froda ostrożnie na jego piersi. – I pan jest ze mną. Wędrówka skończona. Ale skoro doszliśmy tak daleko, nie mam ochoty dawać teraz za wygraną. To do mnie niepodobne, proszę pana, pan mnie przecież zna.

– Może to do ciebie niepodobne, ale tak właśnie jest na tym świecie – rzekł Frodo. – Nadzieje zawodzą. Wszystko ma swój kres. Teraz już nie

będziemy długo czekać. Zabłąkaliśmy się między ruiny, świat się wkoło nas wali i nie ma dla nas ratunku.

– Bądź co bądź, proszę pana, moglibyśmy trochę oddalić się z tego niebezpiecznego miejsca, od tej Szczeliny Zagłady, jak ją podobno nazywają. Tyle przecież możemy zrobić, prawda? Zejdźmy przynajmniej ścieżką w dół.

– Dobrze, Samie. Jeśli chcesz, pójdę z tobą.

Zaczęli z wolna schodzić krętą dróżką, a w momencie kiedy znaleźli się wreszcie u rozedrganych podnóży Góry, nagle z wrót Sammath Naur buchnął dym i para, zbocze stożka pękło na dwoje, rzygnęła z niego ognista struga, która grzmiącą kaskadą stoczyła się po wschodnim stoku Orodruiny.

Frodo i Sam nie byli zdolni do dalszego marszu. Resztki sił ducha i ciała topniały w nich szybko. Dotarli na niski, usypany z popiołu wzgórek u stóp Orodruiny, ale stąd nie widzieli drogi ratunku.

Byli jak gdyby na wyspie, która nie mogła długo oprzeć się atakom rozszalałej burzy. Wszędzie dokoła ziemia pękała, z rozwartych głębokich szczelin i lejów ziały dymy i opary. Za nimi Góra dygotała w konwulsjach, na zboczach otwierały się rozpadliny, po wydłużonych stokach spełzały leniwie rzeki ognia, zmierzając w stronę ich schronienia. Rozumieli, że wkrótce zaleje ich ta fala.

Na głowy ich sypał się gorący deszcz popiołu.

Stali na pagórku; Sam wciąż tulił rękę Froda do piersi. Westchnął.

– Trzeba przyznać, że wzięliśmy udział w bardzo pięknej historii, prawda, proszę pana? – rzekł. – Szkoda, że nie usłyszę, jak ją będą sobie na świecie opowiadali. Pewnie ktoś zapowie: „A teraz kolej na historię Froda Dziewięciopalcego i Pierścienia Władzy”. Wszyscy ucichną, jak my w Rivendell, kiedy czekaliśmy na opowieść o Berenie Jednorękim i Wielkim Klejnocie. Chciałbym to usłyszeć. I bardzo jestem ciekawy następnego rozdziału, już bez nas.

Mówił to, starając się do ostatka bronić przed strachem, lecz jednocześnie wzrok kierował na północ, pod wiatr, gdzie niebo nad widnokręgiem było czyste, bo zimny podmuch, urastający do huraganowej siły, odpychał ciemności i kłęby wzburzonych chmur.

Tak hobbitów dostrzegły bystre oczy Gwaihira; zniżył lot i mimo wichury, nie zważając na groźne burzliwe niebo, okrążył w powietrzu pagórek: dwie drobne, ciemne i osamotnione postacie stały, trzymając się za ręce, na niewielkim wzniesieniu; ziemia drżała pod ich stopami, ziejąc dymem, rzeki ogniste zbliżały się ku nim. W chwili gdy orzeł wypatrzył ich i opuszczał się już na skrzydłach w dół, obaj zachwiali się i upadli, może mdlejąc z wyczerpania, a może dusząc się od oparów i gorąca albo poddając się w końcu rozpaczy i nie chcąc spojrzeć w oczy nieuchronnej śmierci.

Leżeli obok siebie. A tymczasem spłynął na ziemię Gwaihir i Landrowal, i chyży Meneldor; we śnie, nieświadomych swego losu, orły uniosły hobbitów wysoko w przestworza, daleko od ciemności i ognia.

Sam zbudził się na miękkim posłaniu. Nad nim kołysały się łagodnie grube gałęzie buku, przez młode liście przeświecał blask słońca, zielony i złoty, powietrze pachniało słodkim, złożonym z wielu woni zapachem.

Sam poznał ten zapach, zapach łąk Ithilien. „A to śpioch ze mnie – pomyślał. – Jak też długo spałem?” Zdawało mu się bowiem, że trwa jeszcze tamten dzień, kiedy to rozniecił małe ognisko pod ciepłą od słońca skarpą; wszystko, co się potem zdarzyło, uleciało na razie z jego nie całkiem jeszcze rozbudzonej pamięci. Przeciągnął się i odetchnął głęboko. „Ale też miałem sen! – myślał. – Dobrze, żem się wreszcie zbudził”. Usiadł i wtedy dopiero spostrzegł Froda, leżącego obok i śpiącego spokojnie, z jedną ręką zarzuconą nad głową, z drugą złożoną na kołdrze. Była to prawa ręka i brakowało u niej środkowego palca.

Samowi nagle wróciła pamięć. Krzyknął głośno:

– To nie był sen! Ale w takim razie, gdzie jesteśmy?

Ktoś stojący za jego plecami odpowiedział uprzejmie:

– W Ithilien, pod opieką króla, który na was czeka. – Gandalf ukazał się w białym płaszczu, z brodą świecącą jak czysty śnieg w przesianym przez liście słońcu. – Jak się czujesz, Samie Gamgee? – spytał.

Ale Sam opadł na posłanie i dość długo leżał z otwartymi ustami, oniemiały, zanadto zdumiony i zarazem szczęśliwy, by przemówić. W końcu szepnął: – Gandalf! A ja myślałem, że nie żyjesz. Co prawda, o sobie

też byłem tego zdania. Czy wszystkie zmartwienia okażą się pomyłką? Co się stało?

– Wielki Cień zniknął – odparł Gandalf i zaśmiał się, a zabrzmiało to jak muzyka. Albo jak szmer wody na wyschłym pustkowiu; Sam uprzytomnił sobie, że od niezliczonych dni nie słyszał śmiechu, tej czystej melodii wesela. Dźwięczała mu teraz w uszach echem wszystkich radości, jakich w życiu zaznał. Ale niespodzianie w odpowiedzi na nią zapłakał. Dopiero po chwili – tak jak po ciepłym deszczu wiatr wiosenny rozpędza chmury i słońce obmyte tym jaśniej świeci – łzy wyschły, a w piersi Sama wezbrał śmiech. Ze śmiechem hobbit zerwał się z łóżka.

– Jak się czuję? – zawołał. – Nie, tego się nie da powiedzieć! Czuję się… czuję… – Rozgarnął ramionami powietrze. – Czuję się jak wiosna po zimie, jak słońce wśród liści, jak fanfara trąb, jak śpiew harfy, jak wszystkie pieśni świata… – Urwał i zwrócił się do swego pana. – Ale jak czuje się pan Frodo? – spytał. – Żal tej jego biednej ręki. Mam nadzieję, że poza tym jest zdrów i cały. Okropne rzeczy musiał przecierpieć.

– Tak, poza tym jestem zdrów – oznajmił Frodo, podnosząc się i także wybuchając śmiechem. – Usnąłem po raz drugi, czekając na ciebie, Samie, niepoprawny śpiochu. Zbudziłem się o świcie, a teraz pewnie już blisko południe.

– Południe? – powtórzył Sam, usiłując obliczyć czas. – Południe, ale którego dnia?

– Czternastego po Nowym Roku – odparł Gandalf – albo, jeśli wolisz, ósmy kwietnia według kalendarza Shire[83]. W Gondorze zawsze odtąd Nowy Rok będzie zaczynał się dwudziestego piątego marca, na pamiątkę dnia, w którym załamała się potęga Saurona, a wy dwaj zostaliście uratowani z ognia i przyniesieni do króla. On to was pielęgnował, a teraz wzywa przed swoje oblicze. Z nim razem siądziecie do stołu. Zaprowadzę was, gdy będziecie gotowi.

– Król? – spytał Sam. – Co za król? Kto?

– Król Gondoru, władca wszystkich Krain Zachodnich – rzekł Gandalf – który objął z powrotem we władanie swoje dawne królestwo. Wkrótce pojedzie do stolicy na koronację, ale czekał na was.

– W czym mu się pokażemy? – zapytał Sam, nie widząc nic prócz starych i podartych łachów, w których odbyli wędrówkę i które leżały

złożone obok ich łóżek.

– W tych ubraniach, w których wędrowaliście do Mordoru – odparł Gandalf. – Nawet te łachy orka, które musiałeś, Frodo, przywdziać w Krainie Ciemności, przechowamy z szacunkiem. Jedwab ani płótno, zbroja ani herby nie mogłyby wam przynieść więcej zaszczytu. A potem oczywiście pomyślimy o innych strojach.

Wyciągnął do nich ręce i zobaczyli, że z dłoni jego promieniuje światło.

– Co ty tam masz, Gandalfie?! – krzyknął Frodo. – Czy możliwe, że…

– Przyniosłem wam dwa skarby. Znaleźliśmy je ukryte pod kurtką Sama, gdy orły was uratowały. Dary pani Galadrieli: flakonik Froda i szkatułka Sama. Miło wam chyba je odzyskać.

Umyli się, przyodziali, zjedli lekki posiłek i wreszcie poszli za Gandalfem. Wyprowadził ich z bukowego lasku, gdzie odpoczywali, przez długi pas zielonej, zalanej słońcem łąki ku grupie majestatycznych drzew o ciemnych liściach i czerwonych kwiatach. Gdzieś za sobą hobbici słyszeli szum wodospadu, strumień spływał między kwitnącymi brzegami, dążąc do lasu zamykającego łąkę w głębi, i wpadał pod strop gałęzi i liści, lecz daleko pomiędzy drzewami przebłyskiwała znów wstążka wody.

Hobbici znaleźli się na polanie i ze zdumieniem ujrzeli tu rycerzy w lśniących zbrojach, rosłych gwardzistów w czerni i srebrze, oczekujących, by powitać wędrowców z honorami, nisko kłaniając się przed nimi. Potem zagrała przeciągle trąbka i ruszyli dalej wyciętą wśród lasu aleją, wzdłuż rozśpiewanego strumienia. Tak doszli do rozległego zielonego pola; dalej widać było szeroką rzekę w srebrzystej mgiełce, nad którą wyrastała długa, zalesiona wyspa, i przy brzegu stojące liczne statki. Na polu wyciągnięte w szeregach stały w blasku słońca pułki wielkiej armii. Kiedy hobbici zbliżyli się, rozbłysły wyciągnięte miecze, szczęknęły włócznie, zagrały rogi i trąby, a chór wielogłosowy i różnojęzyczny zakrzyknął na powitanie:

Niech żyją niziołki! Chwała im!

Cuio i Pheriain anann! Aglar’ni Pheriannath!

Sława Frodowi i Samowi!

Daur a Berhael, Conin en Annûn! Eglerio!

Chwała im!

Eglerio!

A laita te, laita te! Andave laituvalmet!

Chwała!

Cormacolindor, a laita tárienna!

Chwała im! Powiernikom Pierścienia sława na wieki!

Tak Frodo i Sam, oszołomieni, z rumieńcami bijącymi im na policzki, z błyszczącymi oczyma, szli pośród wiwatujących wojsk ku trzem siedziskom wzniesionym z darni. Nad fotelem z prawego brzegu powiewał sztandar z białym koniem na zielonym polu; z lewej zaś strony – ze srebrnym okrętem, o wyrzeźbionym w kształt łabędzia dziobie, na błękitnym morzu; lecz nad najwyższym tronem pośrodku rozpostarty na wietrze ogromny czarny sztandar rozkwitał białym drzewem z koroną i siedmiu roziskrzonymi gwiazdami. Na tronie siedział mąż w kolczudze, z wielkim mieczem złożonym na kolanach, bez hełmu. Wstał, gdy podeszli. Wtedy poznali go, chociaż bardzo się zmienił: zdawał się wspaniały ten władca ludzi, ciemnowłosy, z siwymi oczyma, z twarzą promienną, prawdziwie królewską. Frodo puścił się ku niemu biegiem, Sam za nim.

– To już szczyt wszystkiego! – zawołał. – Obieżyświat, jeśli mnie oczy nie mylą!

– Tak, Samie, Obieżyświat – odparł Aragorn. – Daleką drogę odbyliśmy z Bree, gdzie w gospodzie przy pierwszym spotkaniu wcale ci się nie spodobałem, prawda? Dla wszystkich była to droga daleka, ale najcięższa dla was dwóch.

Ku zdumieniu i wielkiemu zmieszaniu Sama król zgiął przed nimi kolano; ujął ich za ręce, poprowadził do tronu i usadowił Froda po prawej, a Sama po lewej jego stronie, po czym zwrócił się do zebranych dowódców i rycerzy, wołając głosem donośnym, tak by wszyscy na polu go słyszeli:

– Chwała niziołkom! Sława!

Gromki okrzyk wzbił się z tysięcy piersi, a kiedy ucichł, wystąpił ku wielkiemu zadowoleniu i najczystszej radości Sama minstrel Gondoru, przyklęknął i poprosił o zezwolenie na odśpiewanie pieśni.

Oto, jak zaczął:

– Wzywam was, rycerze i wojownicy o nieulękłych sercach, królowie i książęta, szlachetni mężowie Gondoru, Jeźdźcy Rohanu, i wy, synowie Elronda, i Dúnedainowie Północy, elfie i krasnoludzie, i dzielni synowie Shire’u. Wszystkie wolne ludy, słuchajcie mojej pieśni! Albowiem śpiewać będę o sławnych czynach Froda Dziewięciopalcego i o Pierścieniu Władzy.

Słysząc to, Sam wybuchnął śmiechem uszczęśliwiony i zrywając się z miejsca, krzyknął:

– Jak to wspaniale, jak pięknie! Wszystkie moje życzenia spełniły się teraz.

I rozpłakał się nagle. A z nim razem śmiało się i płakało całe wojsko i dopiero gdy wśród śmiechu i łez czysty głos minstrela wzbił się dźwiękiem złota i srebra, ucichli wszyscy. Minstrel śpiewał to w języku elfów, to we Wspólnej Mowie, aż serca słuchaczy poruszone słodyczą słów wypełniły się radością ostrą jak miecze i myśl ich uleciała w krainę, gdzie ból i szczęście stapiają się w jedno, a łzy poją weselem jak wino.

Wreszcie, kiedy już słońce zaczęło się zniżać, a cienie drzew wydłużyły się, minstrel zakończył pieśń. – Chwała im! – rzekł, przyklękając. Wówczas Aragorn wstał, całe wojsko ruszyło z pola i wszyscy podążyli do zastawionych pod namiotami stołów, aby jeść, pić i weselić się, póki dnia starczyło.

Froda i Sama zaprowadzono do namiotu, gdzie zdjęli stare ubrania, lecz usługujący im ludzie złożyli je starannie i zachowali z szacunkiem; hobbici dostali czystą bieliznę, po czym zjawił się Gandalf, przynosząc, ku zdumieniu Froda, miecz, płaszcz elfów i kolczugę z mithrilu – rzeczy zrabowane jeńcowi Mordoru. Dla Sama znalazła się kolczuga ze złoconej siatki, a płaszcz jego, naprawiony i oczyszczony, znów wyglądał jak nowy.

Wreszcie położył przed nimi dwa miecze.

– Nie, nie chcę miecza – rzekł Frodo.

– Jednakże dziś powinieneś go mieć u boku – odparł Gandalf.

Frodo wziął więc krótki mieczyk, który należał do Sama i który wierny giermek zostawił swemu panu, odchodząc z Cirith Ungol. – Żądło darowałem Samowi – powiedział.

– Och, nie, panie Frodo! Pan Bilbo dał go panu razem z kolczugą. Z pewnością nie chciał, żeby ktokolwiek inny nosił tę broń!

Frodo ustąpił, a Gandalf, klęknąwszy jak giermek, przypasał im broń, po czym powstał i nałożył im na skronie srebrne przepaski. Kiedy hobbici byli gotowi, udali się na królewską ucztę, gdzie za stołem zasiedli wraz z nimi, prócz króla Aragorna, Gandalf, Éomer, król Rohanu, książę Imrahil, najdostojniejsi spośród dowódców, a także Gimli i Legolas.

Gdy po chwili uroczystego milczenia napełniano kielichy winem, Sam spostrzegł dwóch giermków, którzy, jak sądził, przyszli posługiwać swym władcom; jeden nosił czarno-srebrne barwy gwardii z Minas Tirith, drugi – białe i zielone. Sam w pierwszej chwili zdziwił się, że takich młodzieniaszków przyjęto do służby w armii, pomiędzy rosłych mężów. Gdy się jednak zbliżyli i przyjrzał im się lepiej, wykrzyknął:

– Panie Frodo, niech no pan patrzy! Przecież to Pippin! Czyli pan Peregrin Tuk, chciałem powiedzieć, i pan Meriadok. Jak wyrośli! A niechże to! Widzę, że nie my jedni mamy ciekawą historię do opowiadania.

– Rzeczywiście – odparł Pippin, odwracając się do niego. – I chętnie ją opowiemy zaraz po uczcie. Tymczasem spróbuj pociągnąć za język Gandalfa. Nie jest już teraz taki skryty jak dawniej, chociaż więcej się śmieje, niż mówi. Na razie obaj z Meriadokiem mamy pełne ręce roboty. Ja jestem giermkiem Gondoru, a Merry – Rohanu, jak już pewnie się domyśliłeś.

Skończył się wreszcie ten szczęśliwy dzień, a gdy słońce zaszło i pyzaty księżyc z wolna wypłynął z mgieł nad Anduiną, siejąc przez liście srebrną poświatę, Frodo i Sam siedzieli pod szeleszczącymi drzewami, ciesząc się wonnym powietrzem pięknej ziemi Ithilien. Do późnej nocy gawędzili z Meriadokiem, Pippinem i Gandalfem, a wkrótce przyłączyli się do nich Gimli i Legolas. Frodo i Sam dowiedzieli się wielu rzeczy o losach Drużyny po jej rozproszeniu w pamiętnym, nieszczęsnym dniu na wybrzeżu Parth Galen u wodogrzmotów Rauros, lecz pytań i odpowiedzi nie mogli wciąż jeszcze wyczerpać.

Orkowie, gadające drzewa, mile stepu, jeźdźcy w galopie, błyszczące od klejnotów groty, białe wieże i złote pałace, bitwy, smukłe statki z rozpiętymi żaglami, wszystko to przesuwało się przed oczyma wyobraźni Sama i wprawiało go w oszołomienie. Wśród tylu dziwów wracał uparcie do jednego, nie mogąc pojąć, jakim sposobem Merry i Pippin tak wyrośli.

Ustawiał ich plecy w plecy to z Frodem, to z sobą, mierzył, drapał się w głowę.

– Nie rozumiem, jak to się w waszym wieku mogło zdarzyć – rzekł w końcu. – Ale fakt: mierzycie o trzy cale więcej, niż się hobbitom należy, albo też ja jestem krasnolud.

– Na pewno nie – odparł Gimli. – Czy nie mówiłem? Śmiertelnik może pić wody entów i łudzić się, że nie wyniknie z tego nic więcej niż z wychylenia kufla piwa.

– Woda entów? – spytał Sam. – Wciąż wspominacie o jakichś entach, ale niech mnie zabiją, jeśli wiem, co to za jedni. Będzie trzeba kilka tygodni przegadać, zanim wszystko sobie nawzajem wyjaśnimy.

– Co najmniej kilka tygodni – przyznał Pippin. – A Froda zamkniemy chyba na wieży w Minas Tirith, żeby wszystkie swoje przygody opisał. Inaczej gotów połowę zapomnieć i zrobiłby ogromny zawód biednemu Bilbowi.

W końcu Gandalf wstał.

– Ręce króla mają moc uzdrawiania – rzekł – ale wy, moi przyjaciele, staliście na progu śmierci, zanim was przywołał z powrotem, używając całej swojej władzy, i obdarzył słodkim zapomnieniem snu. Spaliście wprawdzie długo i spokojnie, przyda wam się jednak teraz znowu trochę odpoczynku.

– Nie tylko Frodowi i Samowi, tobie także, Pippinie – powiedział Gimli. – Pokochałem cię, choćby za to, żeś mnie wiele fatygi kosztował, czego ci nie zapomnę nigdy. Tak samo jak nie zapomnę chwili, kiedy cię znalazłem na wzgórzu po ostatniej bitwie. Gdyby nie Gimli, zginąłbyś niechybnie. Nauczyłem się przy tej sposobności, jak wygląda stopa hobbita, gdy z całej jego osoby tylko ona sterczy spod zwału trupów. A kiedy ściągnąłem wreszcie z ciebie cielsko trolla, byłem pewny, że już nie żyjesz. O mało sobie brody nie wyrwałem z rozpaczy. Ledwie dzień minął, odkąd się dźwignąłeś z łóżka. Pora, żebyś do niego wrócił na chwilkę. Ja też chętnie to zrobię.

– A ja – odezwał się Legolas – przejdę się trochę po lasach tej pięknej krainy; to będzie najlepszy dla mnie odpoczynek.

W przyszłości, jeśli król nasz się zgodzi, ściągnę tutaj część naszego plemienia, a wtedy Ithilien stanie się krajem szczęśliwym… na czas jakiś… może na miesiąc, może na okres pokolenia, może na sto człowieczych lat. Anduina blisko, Anduina, która jest drogą do Morza. Do Morza!

Na Morze, na Morze! Krzyczą mewy białe,
Dmie wicher i pianę rozpryskują fale.
Na zachód, gdzie krągłe zapada się słońce!
Statku, o szary statku, słyszysz wołające
Głosy tych co odeszli, których jestem bratem?
Nasze dni już się kończą, już nam ciążą lata,
Odejdę i opuszczę las, który mnie zrodził.
Przepłynę wielkie wody w mej samotnej łodzi.
Na Brzeg Ostatni fale szeroko się niosą,
Brzmią słodko na Utraconej Wyspie głosy
Na Eressëi, w Kraju Elfów dla ludzi nieznanym,
Gdzie liść z drzewa nie spada, gdzie lud mój kochany![84]

Ze śpiewem Legolas zszedł ze wzgórza w las.

Potem rozeszli się też inni, a Frodo i Sam zasnęli na swoich posłaniach. Nazajutrz zbudzili się pełni nadziei i spokoju. Tak spędzili w Ithilien wiele dni. Pola Cormallen, gdzie obozowało wojsko, leżały w pobliżu Henneth Annûn; nocą słychać tu było szum strumienia, który spływał kaskadą z jej wysokości, przez skalne wrota ku kwitnącym łąkom, by koło wyspy Cair Andros wpaść do Anduiny. Hobbici błąkali się po okolicy, odwiedzając miejsca, które przedtem w swej wędrówce poznali. Sam nie tracił nadziei, że gdzieś w cieniu lasu albo w ukrytej dolince mignie mu może znów olbrzymi olifant. A gdy się dowiedział, że podczas oblężenia Gondoru wiele tych bestii przyprowadzili nieprzyjaciele pod mury grodu, lecz wszystkie wyginęły w bitwie – bardzo się zmartwił.

– Nie można być wszędzie jednocześnie – westchnął. – Ale, jak widać, straciłem wiele na tym, że mnie tu wtedy nie było.

Tymczasem wojsko gotowe już było powracać do stolicy. Znużenie minęło, rany się zagoiły. Niektóre bowiem oddziały bardzo były utrudzone zawziętą walką z najupartszymi niedobitkami armii Saurona, których ostatecznie wszystkich pokonano. Najpóźniej ściągnęli do obozu ci, którzy zapędzili się aż w głąb Mordoru, żeby zburzyć fortece w północnej części Sauronowego państwa.

W końcu kwietnia wodzowie dali wreszcie rozkaz odwrotu i statki uniosły ich z Cair Andros nurtem Anduiny do Osgiliath; tam popasano dzień jeden, a następnego wieczora cała armia wraz ze świtą królewską dotarła na zielone pola Pelennoru i ujrzała znów białe wieże pod szczytem wyniosłej Mindolluiny, gród Gondoru, ostatnią placówkę ludzi z Westernesse, która po przejściu przez noc i ogień doczekała świtu nowych dni.

Pośród pól rozbito namioty, by spędzić noc pod nimi; nazajutrz bowiem był pierwszy dzień maja i wraz ze wschodem słońca król miał przekroczyć bramę swojej stolicy.

ROZDZIAŁ 5
NAMIESTNIK I KRÓL

W mieście panowały zwątpienie i trwoga. Piękna pogoda i jasne słońce zdawały się ludziom drwiną z ich losu w owych dniach, gdy nadziei nie mieli wiele, oczekując lada godzina wieści o klęsce.

Władca ich umarł, ciało jego spłonęło; w sali na Wieży spoczywały śmiertelne szczątki króla Rohanu, a nowy król, który zjawił się nocą, odszedł znów na wojnę z potęgą tak straszną i złą, że daremne zdawały się przeciw niej wysiłki najmężniejszych nawet rycerzy.

Wieści nie nadchodziły. Odkąd wojska Gondoru opuściły Dolinę Morgul i ruszyły dalej na północ, w cień gór, nie przybył do grodu żaden goniec i nie dotarła żadna pogłoska o losach wojny toczącej się w dalekim kraju.

W dwa dni po wyruszeniu armii księżniczka Éowina kazała przynieść sobie szaty i nie słuchając perswazji pielęgnujących ją kobiet, wstała z łóżka; ubrana, z ręką na temblaku z płótna, udała się do Głównego Opiekuna mającego nadzór nad Domami Uzdrowień.

– Dręczy mnie wielki niepokój – oznajmiła mu – i nie mogę dłużej leżeć bezczynnie.

– Nie jesteś zdrowa, księżniczko – odparł. – Polecono mi otoczyć cię szczególną opieką. Nie powinnaś wstać przez tydzień jeszcze, tak mi nakazano. Proszę cię, wróć do łóżka.

– Jestem już zdrowa – powiedziała. – Przynajmniej na ciele, z wyjątkiem lewej ręki, w której jednak też czuję dużą poprawę. Ale rozchoruję się na nowo, jeśli nie będę mogła w niczym przyczynić się do naszej sprawy. Czy nie ma wieści z pola? Kobiety nic nie umieją mi o tym powiedzieć.

– Wieści nie ma – odparł Opiekun – prócz tej, że wojska weszły w Dolinę Morgul. Podobno dowodzi nimi nowy wódz przybyły z północy. Dostojny mąż i uzdrowiciel; to właśnie najbardziej mnie dziwi, że ręka, która uzdrawia, umie też władać orężem. Tego w Gondorze za naszych czasów się nie spotyka, choć dawniej tak bywało, jeśli wierzyć starym legendom. Od wielu lat my, uzdrowiciele, zajmowaliśmy się tylko gojeniem ran zadawanych przez tych, którzy mieczem wojują. Co prawda i bez tego

mielibyśmy dość roboty. Wiele jest na świecie chorób i nieszczęść nawet bez wojny, która je mnoży.

– Wystarczy niekiedy, żeby jeden z przeciwników chciał wojny – odparła Éowina – a ci, którzy mieczem nie wojują, też często od miecza giną. Czy zgodziłbyś się, aby Gondorczycy tylko zioła zbierali, gdy Władca Ciemności gromadzi armie? Nie zawsze też uzdrowienie ciała jest szczęściem. Podobnie jak nie zawsze jest nieszczęściem polec w bitwie, choćby w męce. Gdyby mi zostawiono wybór w tej czarnej godzinie, wolałabym śmierć w boju.

Opiekun przyjrzał się jej uważnie. Stała przed nim wysmukła, z oczyma świecącymi w bladej twarzy, z rękoma splecionymi, zapatrzona w okno wychodzące na wschód. Westchnął i pokiwał głową. Po chwili Éowina podjęła znowu:

– Czy nie ma dla mnie żadnego zadania? – spytała. – Kto rządzi w grodzie?

– Nie wiem dokładnie – odparł. – Nie zajmuję się takimi sprawami. Jeźdźcy Rohanu mają swego dowódcę, a Húrin, jak mi mówiono, rozkazuje Gondorczykom. Ale prawowitym Namiestnikiem jest Faramir.

– Gdzie go mam szukać?

– W tym domu, księżniczko. Odniósł ciężkie rany, ale wraca już po trosze do zdrowia. Nie wiem jednak…

– Zaprowadźcie mnie do niego, a będziecie wiedzieli.

Faramir przechadzał się samotnie po ogrodzie wśród Domów Uzdrowień; słońce grzało i czuł, że nowe życie wstępuje w niego, lecz ciężko mu było na sercu i wciąż spoglądał zza murów ku wschodowi. Tak zastał go Opiekun, przychodząc, by powtórzyć żądanie księżniczki. Zawołany, Faramir odwrócił się i ujrzał księżniczkę Rohanu. Widząc ją bladą i ranną, wzruszył się, tym bardziej że bystre jego oczy dostrzegły jej niepokój i smutek.

– Panie! – rzekł Opiekun. – Oto księżniczka Rohanu, Éowina. Walczyła u boku króla i leczy się u nas z ciężkich ran. Nie jest jednak z pobytu w tym Domu zadowolona i chce rozmawiać z Namiestnikiem Gondoru.

– Chciej mnie dobrze zrozumieć – powiedziała Éowina. – Nie skarżę się na brak troskliwej opieki. Nigdzie nie mogłoby być lepiej komuś, kto

pragnie ozdrowienia. Ale ja nie znoszę bezczynności, próżniactwa, zamknięcia w klatce. Szukałam śmierci na polu bitwy. Nie znalazłam jej, a wojna jeszcze trwa.

Na znak dany przez Faramira Opiekun skłonił się i oddalił.

– Co chcesz, abym dla ciebie uczynił? – spytał Faramir. – Ja też jestem więźniem lekarzy. – Patrzył na nią, a że miał serce wrażliwe, piękność i smutek księżniczki raniły je boleśnie. Wychowana pośród wojowników Éowina wiedziała, że ma przed sobą rycerza, którego żaden z Jeźdźców Rohanu nie przewyższyłby męstwem w bitwie, a mimo to w jego poważnym spojrzeniu dostrzegła tkliwość. – Czego żądasz ode mnie? – spytał raz jeszcze. – Wszystko, co w mojej mocy, zrobię dla ciebie.

– Rozkaż Opiekunowi tego Domu, żeby mnie stąd wypuścił – odparła, ale chociaż słowa jej były dumne, serce już się zawahało i po raz pierwszy Éowina zwątpiła o sobie. Zrozumiała, że temu rycerzowi, tak poważnemu i łagodnemu zarazem, może się to wydać po prostu kaprysem, zachcianką dziecka, które nie ma dość hartu, żeby wytrwać w nudnym obowiązku do końca.

– Ja sam jestem pod władzą Opiekuna – rzekł Faramir. – Nie objąłem też jeszcze rządów w grodzie. Ale nawet gdybym je sprawował, słuchałbym rad lekarza i w sprawach, na których on zna się lepiej, nie sprzeciwiałbym się jego woli, chyba w ostatecznej potrzebie.

– Ale ja nie pragnę uzdrowienia – powiedziała Éowina. – Chcę wziąć udział w wojnie, jak mój brat Éomer, a raczej jak król Théoden, bo on poległ, zyskując sławę i spokój zarazem.

– Za późno, księżniczko, nie dogoniłabyś już naszych wojsk, choćby ci sił na tę wyprawę starczyło – odparł Faramir. – Śmierć w boju może jednak spotkać nas również tutaj, czy pragniemy jej, czy też nie. Będziesz umiała lepiej stawić jej czoło, jeśli teraz, póki czas jeszcze, posłuchasz rady lekarza. Oboje musimy cierpliwie znieść godziny oczekiwania.

Nic na to nie odpowiedziała, lecz kiedy na nią spojrzał, wydało mu się, że wyraz jej oczu zmiękł nieco, jakby srogie lody tajały pod pierwszym nikłym powiewem przedwiośnia. Łza błysnęła w jej oku i spłynęła po policzku, lśniąc jak kropla rosy. Dumna głowa pochyliła się lekko. Potem spokojnie, bardziej do siebie niż do niego, powiedziała:

– Lekarze chcieliby mnie jeszcze przez cały tydzień trzymać w łóżku. A z mego pokoju okna wychodzą na inną stronę, nie na wschód.

Głos jej zabrzmiał teraz dziewczęco i smutno.

Faramir uśmiechnął się, chociaż serce w nim topniało z litości.

– Okno nie wychodzi na wschód? Znajdzie się na to rada – rzekł. – W tej sprawie mogę wydać rozkaz Opiekunowi. Jeśli zgodzisz się, księżniczko, pozostać w tym domu pod naszą opieką i odpoczywać tutaj, będziesz mogła do woli przechadzać się w słońcu po tym ogrodzie i spoglądać ku wschodowi, gdzie wszystkie twoje nadzieje odbiegły. W ogrodzie zaś spotkasz zawsze mnie, bo ja też przechadzam się tutaj chętnie i spoglądam na wschód. Osłodzisz mi troskę, jeśli zechcesz ze mną pogawędzić i znosić moje towarzystwo.

Podniosła czoło i znów spojrzała mu w oczy; lekki rumieniec zabarwił jej policzki. – Jakże mogłabym osłodzić twoje troski? – powiedziała. – Nie pragnę zresztą rozmów z żyjącymi.

– Czy chcesz, abym ci odpowiedział szczerze, księżniczko?

– Tak.

– A więc powiem ci, Éowino, że jesteś piękna. W dolinach pośród naszych gór rosną prześliczne jasne kwiaty, a piękniejsze od nich są nasze dziewczęta. Ale żaden kwiat i żadna dziewczyna, które dotąd znałem, równać się nie mogą z księżniczką, którą teraz spotkałem w Gondorze, uroczą i smutną. Kto wie, może zaledwie kilka dni nam zostało, może wkrótce już Ciemności ogarną nasz świat; gdy się to stanie, mam nadzieję, że mężnie spojrzę w twarz klęsce; byłoby mi jednak lżej na sercu, gdybym mógł napatrzeć się na ciebie, dopóki jeszcze słońce świeci. Oboje nas musnął swym skrzydłem straszny Cień i ta sama ręka zawróciła nas na drogę życia.

– Niestety, mnie Cień nie opuścił dotychczas – odparła. – Ode mnie nie oczekuj uzdrowienia. Przywykłam do miecza i tarczy, rękę mam twardą. Ale dziękuję ci, że nie będę musiała leżeć zamknięta w czterech ścianach. Z łaski Namiestnika będę przechadzała się po ogrodzie.

Złożyła mu dworny ukłon i odeszła ku domowi. Faramir długo potem samotnie błądził po ogrodzie, ale wzrok jego częściej zwracał się na okna domu niż na wschodnie mury.

Po powrocie do własnej komnaty wezwał Opiekuna i kazał mu opowiedzieć wszystko, co wiedział o księżniczce Rohanu.

– Nie wątpię – rzekł Opiekun na zakończenie – że więcej o niej może powiedzieć niziołek, który tu również przebywa, brał bowiem udział w wyprawie króla Théodena i do końca bitwy nie odstępował podobno księżniczki.

Musiał więc Merry stawić się u Faramira. Na rozmowie zszedł im czas do wieczora; młody Namiestnik wiele się dowiedział, więcej nawet, niż Merry umiał w słowach wyrazić, i lepiej zrozumiał smutek i niepokój Éowiny. Wieczorem we dwóch z Meriadokiem przechadzali się znów po ogrodzie, lecz Éowina nie przyłączyła się do nich.

Nazajutrz jednak, gdy Faramir wyszedł przed dom, zobaczył ją na murach; biała jej suknia jaśniała w słońcu. Zawołał ją po imieniu i Éowina zeszła do ogrodu; przechadzali się po trawie, odpoczywali w cieniu drzew, trochę milcząc, a trochę rozmawiając. Odtąd spędzali w ten sposób dzień po dniu. Opiekun patrzył na nich z okna z zadowoleniem, cieszyło bowiem lekarza, że choć lęk i troska przytłaczały wówczas wszystkie ludzkie serca, tych dwoje, powierzonych jego pieczy, z każdym dniem nabierało wyraźnie więcej sił i otuchy.

Minęło już pięć dni od pierwszego spotkania księżniczki z Faramirem. Stali właśnie na murach grodu, wyglądając na świat. Wieści nadal nie było żadnych, ludzie w mieście posępnieli coraz bardziej. Pogoda także się popsuła. Było zimno. W nocy zerwał się wiatr z północy, a w ciągu dnia wzmagał się stale; kraj wkoło był szary i posępny.

Faramir i Éowina mieli na sobie ciepłe ubrania i grube płaszcze; księżniczka narzuciła na ramiona suty płaszcz, szafirowy jak niebo w noc letnią, z gwiazdami wyhaftowanymi srebrem na rąbku u szyi. Faramirowi wydawała się piękna i majestatyczna w tych szatach. Specjalnie dla niej sprowadził do Domu Uzdrowień ten płaszcz i sam go zarzucił na jej ramiona; płaszcz ten utkano niegdyś dla jego matki, Finduilas z Amrothu, zmarłej przedwcześnie; był więc dla Namiestnika pamiątką po szczęściu dzieciństwa i pierwszym w jego życiu smutku i zdawał mu się strojem najstosowniejszym dla uroczej i smutnej księżniczki.

Lecz mimo gwiaździstego płaszcza Éowina zadrżała, patrząc ponad szarymi polami pod wiatr ku północy, gdzie nad widnokręgiem niebo jaśniało czyste i surowe.

– Co tam widzisz, Éowino? – spytał Faramir.

– Tam, na wprost, jest Czarna Brama, prawda? – odpowiedziała. – Już pewnie do niej dotarł. Tydzień upłynął, odkąd wyruszył.

– Tydzień – potwierdził Faramir. – Nie myśl o mnie źle, jeśli ci powiem, że ten tydzień przyniósł mi zarazem radość i ból, jakich dotychczas nie znałem. Radość, że cię widzę; ból – ponieważ lęk i zwątpienie tych dni zaciążyły mi na sercu tym dotkliwiej. Éowino, nie chciałbym, żeby świat się skończył, nie chciałbym tak prędko utracić tego, co dopiero teraz znalazłem.

– Utracić, co znalazłeś? – spytała. Spojrzała mu w oczy poważnie i łagodnie. – Nie wiem, co mógłbyś w tych dniach znaleźć i co obawiasz się stracić. Nie, nie mówmy o tym, przyjacielu. Nie mówmy o niczym! Stoję na jakiejś okropnej krawędzi, ciemności nieprzeniknione wypełniają otchłań u moich stóp i nie wiem, czy za mną jest jakieś światło. Nie mogę się jeszcze odwrócić. Czekam na dopełnienie się losu.

– Wszyscy na to czekamy – rzekł Faramir.

Nie rozmawiali już więcej; wydało im się, gdy tak stali na murach, że wiatr ustał, dzień zmierzchł, słońce zbladło, a wszystkie głosy w grodzie i na polach dokoła ścichły. Nie słyszeli ani szumu wiatru, ani szelestu liści, ani głosów ludzkich, ani świegotu ptaków, ani nawet bicia własnych serc. Czas się zatrzymał.

Ręce ich spotkały się i objęły, ale oni jakby o tym nie wiedzieli. Zastygli w oczekiwaniu, sami nie rozumiejąc, na co czekają.

W pewnej chwili wydało im się, że nad łańcuchem odległych gór wzbiła się inna góra, olbrzymia góra ciemności, wzbierająca niby fala, która gotuje się zalać świat, roziskrzona od błyskawic. Potem drżenie przebiegło ziemię, aż wzdrygnęły się mury grodu. Jak gdyby kraj cały dokoła westchnął, im zaś serca znów zabiły żywiej.

– To przypomina mi Númenor – rzekł Faramir i ze zdziwieniem usłyszał własny głos wypowiadający te słowa.

– Númenor? – spytała Éowina.

– Tak, zaginiony kraj Westernesse i wielką czarną falę, która podniosła się nad zielone pola i ponad góry, wszystko zatapiając nieuchronnie w Ciemnościach. Często śnię o tym.

– A więc myślisz, że zbliżają się Ciemności? Nieuchronne Ciemności? – I mówiąc to, przytuliła się bliżej do niego.

– Nie – odparł Faramir, patrząc jej w oczy. – To tylko obraz, który się zjawił w mojej wyobraźni. Nie wiem, co się dzieje. Trzeźwy rozum mówi mi, że stało się coś bardzo złego i że doszliśmy do kresu naszych dni. Ale serce temu zaprzecza, czuję się lekki, ogarnia mnie radość i nadzieja, których rozum nie może zwyciężyć. Éowino, biała księżniczko Rohanu, w tej chwili nie wierzę, by Ciemności mogły zatryumfować.

I schylając się, ucałował jej czoło.

Stali na murach grodu i znów wiatr dmuchnął potężnie, a krucze i złote włosy rozwiane podmuchem splątały się z sobą w powietrzu. Cień zniknął, słońce wyjrzało na niebo, jasne światło zalało świat; wody Anduiny zalśniły srebrem, we wszystkich domach ludzie zaczęli śpiewać z radości, która z nieodgadnionych źródeł spłynęła do ich serc.

Ledwie słońce minęło zenit, gdy od wschodu nadleciał olbrzymi orzeł, niosąc od wodzów armii Gondoru wieści ponad wszelkie spodziewanie pomyślne.

Śpiewajcie, ludzie z Wieży Anoru,
Bo już skruszona moc Saurona
I w proch upadła Czarna Wieża.

Śpiewajcie, ludzie ze Strażnicy,
Bo niedaremna wasza straż,
Pękła żelazna Czarna Brama,
Przekroczył ją zwycięski król.

Śpiewajcie, wolnych krajów dzieci,
Bo wkrótce wróci do was król
I będzie mieszkał w swej stolicy
Odtąd na zawsze już.

Drzewo, co zwiędło, znów rozkwitnie,
Królewską ręką zasadzone,

A gród szczęśliwe pozna dni.

Śpiewajcie wszyscy radość waszą![85]

Śpiew rozbrzmiał na wszystkich ulicach grodu.

Nastały potem dni złote, wiosna połączyła się z latem i umaiła pola Gondoru. Gońcy na ścigłych koniach przybyli z Cair Andros z nowinami, miasto zakipiało od przygotowań na przyjęcie króla. Meriodoka wyprawiono z wozami pełnymi prowiantu do Cair Andros, skąd statki miały je powieźć do Osgiliath. Faramir został w Minas Tirith, bo, już uzdrowiony zupełnie, objął urząd Namiestnika, jakkolwiek na krótki czas, żeby w porządku przekazać powiernictwo prawemu władcy.

Została też Éowina, mimo że brat wzywał ją na pola Cormallen. Jej decyzja zdziwiła Faramira. Zajęty doniosłymi obowiązkami, rzadko ją w tych dniach widywał; księżniczka przebywała nadal w Domu Uzdrowień, samotnie przechadzając się po ogrodzie, i znów przybladła. W całym mieście ona jedna zdawała się cierpiąca i smutna.

Kiedy ją Faramir odwiedził, wyszli raz jeszcze we dwoje na mury.

– Éowino, dlaczego zostałaś tutaj i nie pospieszyłaś na radosne uroczystości do obozu za Cair Andros, gdzie oczekuje cię brat? – spytał.

– Czyż nie wiesz dlaczego? – odparła.

– Mogą być dwie przyczyny, nie wiem, która jest prawdziwa.

– Nie chcę się bawić w zagadki, Faramirze. Mów jaśniej.

– Skoro każesz, księżniczko, powiem, co myślę. Nie pospieszyłaś na pola Cormallen, bo tylko brat cię wezwał, a widok tryumfującego Aragorna, spadkobiercy Elendila, nie sprawiłby ci radości. Albo dlatego, że ja tam nie jadę, a pragniesz być bliżej mnie. A może dla obu tych powodów naraz i sama nie wiesz, który jest dla ciebie ważniejszy. Czy nie kochasz mnie, czy nie chcesz mnie pokochać, Éowino?

– Chciałam być kochana przez kogoś innego – odparła. – Ale od nikogo nie pragnę litości.

– Wiem. Chciałaś zdobyć miłość króla Aragorna. Ponieważ był wspaniały i potężny, a ty pragnęłaś sławy i chwały, i wyniesienia ponad wszelkie nędzne, pełzające po ziemi i nikczemne robactwo. Olśniewał cię,

jak wielki wódz młodego żołnierza. Jest bowiem naprawdę władcą wśród ludzi, największym dziś na ziemi. Ale gdy ofiarował ci tylko wyrozumiałość i współczucie, odtrąciłaś to wszystko i nie pragnęłaś już niczego prócz chwalebnej śmierci w boju. Spójrz na mnie, Éowino!

Patrzyła mu w oczy długo i bez drżenia. Faramir podjął znowu:

– Nie pogardzaj litością, gdy płynie ze szlachetnego serca, Éowino! Ale ja nie litość ci ofiarowuję. Jesteś księżniczką wielkiego rodu i męstwa, zdobyłaś sławę, której świat nie zapomni. Jesteś też piękna ponad wszelki wyraz najpiękniejszego języka elfów. Kocham cię. W pierwszej chwili litowałem się nad twoim smutkiem. Teraz jednak kochałbym cię, nawet gdybyś była wolna od smutku, trwogi i tęsknoty, nawet gdybyś jaśniała szczęściem na tronie Gondoru. Czy nie pokochasz mnie, Éowino?

Nagle serce jej odmieniło się, a może tylko w tym momencie zrozumiała, że odmieniło się już przedtem. W nim także zima ustąpiła wiośnie.

– Stoję na murach Minas Anor, Wieży Słońca – powiedziała. – Cień zniknął. Nie będę już dziewiczym rycerzem, nie ruszę w pole z Jeźdźcami Rohanu, nie znajdę szczęścia w bojowych pieśniach. Będę uzdrowicielką, pokocham wszystko, co rośnie i co nie jest jałowe. – Spojrzała znów w oczy Faramira. – Nie pragnę już być królową.

Faramir roześmiał się wesoło.

– To dobrze! Bo ja nie jestem królem. Ale będę mężem Białej Księżniczki Rohanu, jeśli się na to zgodzi. Pojedziemy za Rzekę, w szczęśliwej przyszłości zamieszkamy w Ithilien i tam, na tej pięknej ziemi, założymy ogród. Wszystko będzie rosło i radowało się z przybycia Białej Księżniczki.

– A więc muszę porzucić własny lud, Gondorczyku? – spytała. – Chcesz, żeby twoje dumne plemię mówiło o tobie: „Oto nasz wódz zaślubił dziką księżniczkę z północy. Czy nie mógł znaleźć sobie żony wśród Númenorejczyków?”.

– Tak, tego chcę! – odparł Faramir, biorąc ją w ramiona. Całował ją pod słonecznym niebem, nie dbając o to, że wielu ludzi może ich zobaczyć, stojących na wysokim murze. Rzeczywiście widziało ich wielu i wtedy, i później, gdy promieniejąc radością, szli trzymając się za ręce ku Domom Uzdrowień.

– Księżniczka Rohanu jest już uzdrowiona – oznajmił Faramir Opiekunowi.

– A więc zwalniam ją spod mej pieczy i żegnając, życzę, aby nigdy więcej nie cierpiała ran ani choroby. Powierzam ją opiece Namiestnika Gondoru aż do powrotu jej brata – odparł Opiekun.

– Teraz, kiedy wolno mi odejść, wolałabym zostać. Ten dom bowiem stał mi się od wszystkich innych milszy – powiedziała Éowina. Została w Domu Uzdrowień aż do przyjazdu króla.

Wszystko już było gotowe, a wieść rozeszła się szeroko po kraju, od Min-Rimmon aż po Pinnath Gelin i po dalekie wybrzeża morskie; kto żyw, spieszył do ogrodu i zebrała się moc ludzi. Miasto znów zaroiło się od kobiet i ślicznych dzieci, które wracały do domów z naręczami kwiatów; z Dol Amrothu ściągnęli harfiarze, pierwsi mistrzowie muzyki w Gondorze; byli też inni muzykanci, z wiolami, fletami i rogami ze srebra, a także śpiewacy z dolin Lebenninu, obdarzeni najpiękniejszymi głosami.

Nadszedł wreszcie wieczór, gdy już z murów ujrzano rozbity na polach obóz; światła w domach nie pogasły przez noc całą, bo wszyscy czuwali w oczekiwaniu świtu. Słońce wstało jasne nad górami od wschodu, gdzie już nie zalegały cienie. Uderzono w dzwony, rozwinięte sztandary załopotały na wietrze, a nad Białą Wieżą po raz ostatni ukazała się biała chorągiew Namiestników bez godeł i haseł, iskrząc się srebrzyście niby śnieg w słonecznym blasku. Wodzowie wiedli swą armię ku miastu, a lud patrzył, jak zbliżają się szereg za szeregiem, lśniący w promieniach świtu i migocący jak srebro. Podeszli pod Bramę i zatrzymali się w odległości kilkudziesięciu kroków od murów. Ale Bramy nie odbudowano jeszcze po bitwie, tylko wejście zagrodzono w poprzek barierą i postawiono po obu jej stronach gwardzistów w srebrno-czarnych barwach, z obnażonymi długimi mieczami. Za barierą czekali Faramir, Namiestnik Gondoru, Húrin, Strażnik Kluczy, Éowina, księżniczka Rohanu, Elfhelm, marszałek, i grono rycerzy Marchii. Dalej zaś cisnął się zewsząd tłum strojny, różnokolorowy, niosąc wieńce i girlandy kwiatów.

Utworzyła się więc pod murami Minas Tirith wolna przestrzeń, otoczona w krąg przez rycerstwo i żołnierzy Gondoru oraz Rohanu, przez lud miejski i przybyszów z całego kraju. Cisza zaległa w tłumie, gdy z szeregów wystąpili Dúnedainowie, w strojach szarych ze srebrem, a na ich czele

Aragorn. Ubrany był w czarną kolczugę, ze srebrnym pasem, i w długi śnieżnobiały płaszcz, spięty pod szyją dużym zielonym kamieniem, który skrzył się z daleka. Głowę miał odsłoniętą. Towarzyszyli mu Éomer z Rohanu, książę Imrahil, Gandalf, cały w bieli, oraz cztery drobne postacie, których widok wielu ludzi zadziwił.

– Nie, krewniaczko, to nie chłopcy – tłumaczyła Ioreth stojącej obok niej kobiecie z Imloth Melui. – To *perianowie* z dalekiego kraju niziołków; podobno są książętami wielkiej sławy wśród swoich. Dobrze wiem, bo jednego z nich pielęgnowałam w Domach Uzdrowień. Mali są, lecz dzielni. Nie uwierzysz, ale jeden z nich zapuścił się sam, z giermkiem tylko, do Kraju Ciemności i pobił Czarnego Władcę, i podpalił Czarną Wieżę. Tak przynajmniej opowiadają w naszym mieście. To ten, który idzie teraz razem z Kamieniem Elfów. Są, jak słyszałam, w serdecznej przyjaźni. Wspaniały jest nasz król, niezbyt może uprzejmy, za to serce ma złote; wszyscy to mówią. A jego ręce uzdrawiają. „Ręce króla mają moc uzdrawiania” – powiedziałam im. W ten sposób wszystko się wykryło. A Mithrandir rzekł na to: „Ioreth, ludzie długo będą pamiętali twoje słowa”. No i…

Ioreth nie mogła dłużej pouczać swojej krewniaczki, bo w tym momencie zagrała trąbka i zapadła wielka cisza. Z bramy wyszedł Faramir, mając u boku jedynie Strażnika Kluczy Húrina; za nimi szli czterej mężowie w wysokich hełmach i zbrojach, niosąc dużą szkatułę z czarnego drewna *lebethron*, okutą srebrem.

Faramir i Aragorn spotkali się pośrodku wolnej przestrzeni. Faramir, przyklęknąwszy, rzekł:

– Ostatni Namiestnik Gondoru prosi, byś mu zezwolił zdać namiestnictwo!

I podał królowi białą różdżkę, lecz Aragorn zwrócił mu ją natychmiast.

– Zadanie twoje nie jest jeszcze skończone – powiedział. – Będziesz nadal piastował tę godność, ty, a po tobie twoi potomkowie, dopóki mój ród nie wygaśnie. A teraz wypełnij swoją powinność.

Faramir wstał i donośnym głosem zawołał:

– Ludu Gondoru, słuchaj, co mówi Namiestnik królestwa! Nareszcie przybył prawy król, by upomnieć się o swoje dziedzictwo. Oto Aragorn, syn Arathorna, pierwszy wśród Dúnedainów z Arnoru, wódz armii Zachodu, rycerz z Gwiazdą Północy, który włada mieczem na nowo

przekutym, zwycięski w boju, uzdrowiciel, Kamień Elfów, Elessar z rodu Valandila, syna Isildura z Númenoru. Czy chcecie go na swego króla? Czy chcecie, aby wkroczył do grodu i po wsze czasy osiadł na swej stolicy?

Całe wojsko i lud cały jednym głosem wykrzyknęli: „Tak!”.

Ioreth zaś wyjaśniła krewniaczce:

– Taka ceremonia jest u nas w stolicy w zwyczaju, ale jak ci już mówiłam, Kamień Elfów już raz wszedł do grodu i powiedział do mnie…

Ale znów była zmuszona przerwać, ponieważ zabrał głos Faramir:

– Ludu Gondoru! Uczeni nasi powiadają, że wedle starego obyczaju król powinien otrzymać koronę od ojca, przed jego zgonem; gdyby zaś to było niemożliwe, sam ma ją wziąć z rąk ojca spoczywającego w grobie. Dziś wszakże władzą Namiestnika zarządziłem inaczej. Przynoszę z Rath Dínen koronę Eärnura, ostatniego króla, który panował przed wiekiem, za praojców naszych.

Wystąpili czterej gwardziści, Faramir otworzył szkatułę i wyjął z niej starożytną koronę. Kształtem podobna do hełmu gwardzistów Wieży, była jednak jeszcze wyższa i biała, umieszczone zaś na niej po obu bokach srebrne i wysadzane perłami skrzydła przypominały skrzydła morskiej mewy, ptaka, który był godłem królów przybyłych ongi zza Morza. Siedem diamentów zdobiło opaskę na czole, jeden zaś, ze wszystkich najwspanialszy, błyszczał jak płomień u szczytu hełmu.

Aragorn wziął z rąk Faramira koronę i podniósłszy ją w górę, rzekł:

– *Et Eärello Endorenna utúlien. Sinome maruvan ar Hildinyar ten’ Ambar-metta!*

Były to słowa, które Elendil wymówił, gdy na skrzydłach wiatru przybył na to wybrzeże: „Zza Wielkiego Morza przybyłem do Śródziemia. Tu pozostanę i tu żyć będą potomkowie moi aż do końca świata”.

Ku zdumieniu obecnych Aragorn nie włożył korony na głowę, lecz oddał ją znów Faramirowi, mówiąc:

– Dziedzictwo swe odzyskałem dzięki trudom i męstwu wielu przyjaciół. Na znak wdzięczności życzę sobie, żeby koronę przyniósł mi Powiernik Pierścienia, a Mithrandir, jeśli się zgodzi, niech włoży ją na moją głowę. On bowiem był duszą wszystkiego, co przedsięwzięliśmy, i on to odniósł zwycięstwo, które dziś święcimy.

Frodo wziął od Faramira koronę i podał ją Gandalfowi. Aragorn ukląkł, a Gandalf włożył mu na skronie Białą Koronę, mówiąc:

– Oto nastały dni króla, niech upływają błogosławione, dopóki trwać będą trony Valarów.

Lecz kiedy Aragorn wstał, wszyscy, patrząc na niego, umilkli, bo wydało im się, że go widzą po raz pierwszy. Wysmukły jak dawni zamorscy królowie, górował nad całą świtą; zdawał się dostojny wiekiem, a zarazem w kwiecie lat męskich, mądrość wypisana była na jego czole, ręce miał silne i obdarzone władzą uzdrawiania, od całej zaś postaci bił jasny blask.

– Oto nasz król – rzekł wreszcie Faramir.

Wszystkie trąby naraz zagrały fanfarę, król Elessar zbliżył się do bariery, którą Strażnik Kluczy Húrin usunął przed nim. Wśród muzyki harf, wioli i fletów, wśród chóru czystych głosów król przeszedł ukwieconymi ulicami aż do Wieży i wkroczył do jej wnętrza. Na szczycie pojawił się rozwiany sztandar z białym drzewem i siedmiu gwiazdami i rozpoczęło się panowanie Elessara, opiewane w tysiącu pieśni.

Gród wówczas stał się piękniejszy niż kiedykolwiek w swej historii, piękniejszy nawet niż za czasów pierwszej świetności. Pojawiły się w nim drzewa i fontanny, bramy wykute z mithrilu i stali, ulice wybrukowane białym marmurem; plemiona z gór pracowały nad upiększeniem stolicy, a plemiona z lasów odwiedzały ją chętnie.

Wszystkie szkody naprawiono i wynagrodzono, domy zapełniły się szczęśliwymi ludźmi i rozbrzmiewały śmiechem dzieci, ani jedno okno nie pozostało ślepe, ani jeden dziedziniec nie świecił pustkami. A gdy skończyła się Trzecia Era świata, pamięć o chwale tych lat przeszła w wiek następny.

Król po koronacji przez kilka dni rozsądzał sprawy i ogłaszał wyroki, siedząc na swym tronie w Wielkiej Sali Białej Wieży. Przyjmował też poselstwa od wielu krajów i ludów, ze wschodu i południa, z pogranicza Mrocznej Puszczy i z Dunlandu na zachodzie.

Wybaczył Easterlingom, którzy zdali się na jego łaskę; odesłał ich wolnych do ojczyzny, zawierając pokój również z południowcami z Haradu. Wyzwolił niewolników Mordoru i dał im na własność kraj leżący

wokół jeziora Nûrnen. Przyprowadzono też do króla dzielnych żołnierzy, by z jego rąk otrzymali nagrodę i pochwałę za męstwo.

Na ostatku zaś dowódca gwardii przywiódł na sąd Beregonda.

– Beregondzie! – rzekł król. – Tyś mieczem swoim rozlał krew w miejscu uświęconym, gdzie nie wolno dobywać oręża. Opuściłeś też posterunek bez pozwolenia Namiestnika lub swego dowódcy. Stare prawa za takie przewiny żądają kary śmierci. Muszę więc wydać na ciebie wyrok. Słuchaj! Wszystkie kary odpuszczam ci za męstwo w boju, a także dlatego, żeś wszystko to czynił z miłości do Faramira. Jednakże musisz opuścić szeregi gwardii i gród Minas Tirith.

Krew uciekła Beregondowi z twarzy, z sercem ściśniętym bólem zwiesił głowę. Lecz król mówił dalej:

– Tak być musi, ponieważ odtąd będziesz należał do Białej Kompanii, do gwardii przybocznej Faramira, księcia Ithilien; będziesz dowódcą tej gwardii i zamieszkasz w Emyn Arnen, w sławie i spokoju. Służyć będziesz Faramirowi, dla niego bowiem, żeby go wyrwać śmierci, wszystko postawiłeś na jedną kartę.

Wtedy Beregond, rozumiejąc nareszcie, jak sprawiedliwie i łaskawie król go osądził, ukląkł, ucałował królewską rękę i odszedł z radością w sercu. Aragorn dał Faramirowi krainę Ithilien jako udzielne księstwo, prosząc, by osiedlił się wśród gór Emyn Arnen, w zasięgu spojrzenia z Wieży.

– Minas Ithil w dolinie Morgul będzie zburzone doszczętnie – rzekł – a chociaż z czasem kraj ten się oczyści, nikt tam mieszkać nie powinien przez długie jeszcze lata.

W końcu Aragorn wezwał Éomera, uścisnął go i powiedział:

– Między nami nie potrzeba słów ani nagród, bo jesteśmy braćmi. W szczęśliwy dzień przybył Eorl z północy! Świat nie znał pomyślniejszego sojuszu niźli sojusz Gondoru z Rohanem, nigdy bowiem żaden z tych sprzymierzonych nie zawiódł się i nigdy się nie zawiedzie na drugim. Złożyliśmy Théodena Sławnego w grobowcu pomiędzy królami Gondoru i tam zostanie, jeśli taka jest twoja wola. Lecz jeśli pragniesz, aby zwłoki jego wróciły do Rohanu, odprowadzimy je tam z czcią.

– Od chwili gdy mi się pierwszy raz ukazałeś, wstając z trawy na wzgórzach, pokochałem cię i na pewno nie zawiedziesz się na moim sercu.

Teraz jednak muszę pospieszyć na czas jakiś do mego królestwa, gdyż wiele spraw wymaga naprawy i uporządkowania. Co do poległego króla, wrócę po niego, gdy wszystko przygotuję na jego przyjęcie. Tymczasem niech tutaj śpi w spokoju.

Éowina rzekła Faramirowi:

– Ja też muszę wrócić do ojczyzny i raz jeszcze spojrzeć na nią, a także pomóc bratu w jego obowiązkach; gdy jednak ten, którego kochałam jak ojca, spocznie w rodzinnej ziemi, powrócę do ciebie.

Tak przeminęły te szczęśliwe dni. Jeźdźcy Rohanu przygotowali się do podróży i ruszyli szlakiem północnym; od bram grodu aż w głąb pól Pelennoru jechali między szpalerem Gondorczyków, którzy zbiegli się, by ich pożegnać z wdzięcznością i czcią. Wszyscy przybysze z dalekich stron wracali z radością do swych domów. W grodzie jednak wrzała robota, do której wielu ochoczo przykładało ręki, odbudowując, naprawiając, zacierając blizny wojenne i wspomnienie Ciemności.

Hobbici przebywali nadal w Minas Tirith, wraz z Legolasem i Gimlim, bo Aragornowi żal było rozstać się z Drużyną.

– Wszystko ma swój koniec – rzekł – ale poczekajcie jeszcze trochę, aż dopełni się cała historia, w której tak dzielnie braliście udział. Zbliża się dzień, do którego tęskniłem przez długie lata, odkąd wyrosłem z młodzieńca na męża, a gdy nadejdzie, chciałbym mieć przyjaciół u swego boku.

Nie wyjaśnił im wszakże, o jakim dniu mówi.

Członkowie Drużyny Pierścienia mieszkali wówczas w pięknym domu razem z Gandalfem, swobodnie przechadzając się po grodzie.

– Czy nie wiesz, jaki to dzień Aragorn miał na myśli? – spytał Frodo Czarodzieja. – Dobrze nam tu i nie rwę się do wyjazdu, lecz czas upływa, Bilbo czeka, a mój dom jest w Shire.

– Jeśli o Bilba ci chodzi – odparł Gandalf – to on również na ten dzień czeka i wie, co was tutaj zatrzymuje. Czas rzeczywiście płynie, lecz mamy dopiero maj, jeszcze daleko do pełni lata. Wprawdzie wydaje się nam, że wszystko bardzo się zmieniło, jak gdyby zamknął się stary wiek świata, ale dla drzew i trawy nie minął jeszcze rok, odkąd wyruszyłeś z domu.

– Pippinie! – rzekł Frodo. – Mówiłeś, że Gandalf jest mniej skryty niż dawniej. Widocznie był zrazu zbyt zmęczony po trudach kampanii. Teraz wraca do siebie.

– Wiele osób lubi z góry wiedzieć, co znajdzie się na stole – odparł Gandalf – lecz ci, którzy pracowali nad przygotowaniem uczty, lubią zachować do końca swój sekret, bo niespodzianka budzi tym głośniejsze pochwały. Zresztą Aragorn także czeka na znak.

Pewnego wieczora Gandalf zniknął i przyjaciele głowili się, co to może znaczyć. A Gandalf wyprowadził tymczasem Aragorna za miasto, do południowych podnóży Mindolluiny, i odnaleźli tam we dwóch ścieżkę, zbudowaną przed wiekami, po której dziś nikt prawie nie śmiał chodzić. Wiodła bowiem ku świętym wyżynom, gdzie tylko królowie mieli prawo przebywać. Pięli się stromo pod górę, aż stanęli na wysokiej półce pod ośnieżonym szczytem, skąd otwierał się widok na przepaść po drugiej stronie Mindolluiny. Świtało już, widzieli więc pola rozpostarte w dole i tuż u swoich stóp miasto, wieże sterczące niby białe pióra w słońcu, całą dolinę Anduiny kwitnącą jak ogród i na widnokręgu Góry Mgliste w złotej mgiełce.

W jedną stronę wzrok sięgał szarych wzgórz Emyn Muil, a wodogrzmoty Rauros błyszczały niby gwiazdy w oddali; patrząc w drugą stronę, dostrzegali Wielką Rzekę niby wstążkę wijącą się aż po Pelargir, a za nią świetlisty rąbek pod niebem przypominał o dalekim Morzu.

– Oto twoje królestwo, zarodek jeszcze większego królestwa przyszłości – powiedział Gandalf. – Trzecia Era świata skończyła się, nowa era się zaczyna. Twoim zadaniem jest pokierować tym początkiem i zachować to, co na trwanie zasługuje. Wiele bowiem ocaliliśmy, lecz wiele również musi teraz zniknąć. Władza Trzech Pierścieni także się skończyła. Wszystkie kraje, które stąd oglądasz, i inne, dalsze jeszcze, będą siedzibami ludzi. Nadchodzi czas panowania człowieka, Najstarsze Plemię zwiędnie lub odejdzie.

– Wiem to dobrze, mój przyjacielu – odparł Aragorn – ale potrzeba mi wciąż jeszcze twoich rad.

– Niedługo będę ci mógł nimi służyć – rzekł Gandalf. – Trzecia Era była moją epoką. Byłem Nieprzyjacielem Saurona, spełniłem swoje zadanie. Wkrótce odejdę. Brzemię przejmiesz ty i twoje plemię.

– Ale ja umrę – powiedział Aragorn. – Jestem śmiertelnym człowiekiem, a chociaż mam w żyłach czystą krew Númenoru i pożyję znacznie dłużej niż inni ludzie, to nie mam już wiele czasu przed sobą; gdy ci, którzy są jeszcze w łonach matek, urodzą się i postarzeją, ja także będę stary. Jeśli nie spełni się moje marzenie, kto wtedy będzie rządził Gondorem i tymi wszystkimi ludami, które na nasz gród patrzą jak na swoją królową? Drzewo na Placu Wodotrysku jest wciąż jeszcze suche i jałowe. Kiedy otrzymam znak, że to się wreszcie zmieni?

– Odwróć twarz od zielonego świata i spójrz tam, gdzie wszystko wydaje się jałowe i zimne – rzekł Gandalf.

Aragorn odwrócił się i spojrzał na kamieniste zbocze opadające spod granicy śniegów. Wśród martwoty jedna jedyna istota była tutaj żywa. Wspiął się ku niej. Na samym skraju śniegu wyrastało na trzy stopy w górę młodziutkie drzewko. Już wypuściło świeże liście, podłużne, kształtne, ciemne z wierzchu, a srebrne od spodu; na smukłej koronie rozkwitł bukiecik kwiatów, których białe płatki miały blask śniegu w słońcu.

– *Yé! Utúvienyes!* – wykrzyknął Aragorn. – Znalazłem! Oto latorośl Najstarszego z Drzew! Skąd się tu wzięła? Nie ma chyba jeszcze siedmiu lat.

Gandalf podszedł, przyjrzał się drzewku i rzekł:

– Tak, to latorośl z rodu pięknej Nimloth z nasienia Galathiliona, z owocu Telperiona o wielu imionach, Najstarszego z Drzew świata. Któż zgadnie, skąd się wzięło, gdy nadeszła ta godzina? Ale to jest miejsce prastare i uświęcone, zapewne ktoś zasiał tutaj ziarno, zanim zabrakło królów i zanim Białe Drzewo zwiędło. Chociaż bowiem owoc jego rzadko, jak mówią, dojrzewa, lecz ziarno zachowuje utajone życie przez wiele lat i nigdy nie można przewidzieć, kiedy się zbudzi i ożyje. Pamiętaj o tym. Ilekroć owoc jakiś dojrzeje, trzeba posiać ziarno, aby ród nie wymarł. To nasienie przetrwało ukryte wśród gór, podobnie jak potomkowie Elendila na pustkowiach północy. Ale ród Nimloth starszy jest niźli twój, królu Elessarze!

Aragorn ostrożnie ujął drzewko ręką i okazało się, że ledwie trzymało się ziemi, bo dało mu się z niej wyciągnąć lekko i bez szkody; król zaniósł je do grodu. Wykopano zwiędłe drzewo, ale z całym szacunkiem; nie spalono go, lecz złożono na spoczynek w ciszy Rath Dínen. Aragorn

posadził na Placu Wodotrysku młode drzewko, które szybko i zdrowo zaczęło się tu rozrastać, a w czerwcu okryło się kwieciem.

– Otrzymałem znak. Mój dzień jest już bliski – rzekł Aragorn i rozstawił na murze czaty.

W przeddzień najdłuższego dnia roku przybiegli do grodu gońcy z Amon Dîn z wieścią, że od północy nadciąga orszak elfów i już zbliża się do murów Pelennoru.

– Nareszcie! – powiedział król. – Niech miasto przygotuje się na powitanie gości.

W wigilię więc pełni lata, gdy niebo przybrało barwę szafiru i białe gwiazdy rozbłysły na wschodzie, lecz zachód złocił się jeszcze od słońca, gościńcem północnym pod bramę Minas Tirith nadjechał orszak konny. Prowadzili go Elrohir i Elladan pod srebrną chorągwią, za nimi jechali Glorfindel i Erestor, i wszyscy domownicy dworu w Rivendell, a dalej Pani Galadriela z Celebornem, władcą Lórien, na białych wierzchowcach, w otoczeniu mnóstwa przedstawicieli najpiękniejszego plemienia elfów, w szarych płaszczach i z białymi klejnotami we włosach; wreszcie Elrond, szanowany wśród elfów i ludzi, z berłem Annúminas w ręku; a u jego boku na siwym koniu Arwena, córka Elronda, Gwiazda Wieczorna swego plemienia. Frodo z zachwytem patrzył na nią, gdy się zbliżała jaśniejąca wśród zmierzchu, z gwiazdami nad czołem, w obłoku słodkich woni.

– Teraz wreszcie rozumiem, na cośmy czekali – rzekł do Gandalfa.

– Teraz dopiero kończy się nasza historia. Odtąd nie tylko dzień będzie miły, ale noc także piękna i szczęśliwa, wolna od lęku.

Król przywitał gości, którzy zsiedli z koni. Elrond oddał Aragornowi berło i połączył dłoń swej córki z dłonią króla; wszyscy razem podążyli w górę ku Wysokiemu Grodowi pod niebem roziskrzonym od gwiazd. Aragorn, król Elessar, zaślubił Arwenę Undómiel w swej stolicy, środkowego dnia lata. Tak zakończyła się historia długiego oczekiwania i tęsknoty.

ROZDZIAŁ 6
WIELE POŻEGNAŃ

Kiedy minęły dni wesela, a przyjaciele wreszcie zaczęli myśleć o powrocie do swoich własnych domów, Frodo udał się do króla, który odpoczywał przy fontannie pod rozkwitłym bujnie drzewem, słuchając pieśni śpiewanej przez królową Arwenę. Aragorn wstał na powitanie hobbita i rzekł:

– Wiem, co chcesz mi powiedzieć, Frodo! Pragniesz wracać do domu. Tak, przyjacielu kochany, każde drzewo najlepiej rośnie w ziemi swoich przodków; pamiętaj jednak, że wszystkie kraje królestwa zawsze będą przed tobą otwarte. A chociaż twoje plemię dotychczas niewiele zajmowało miejsca w bohaterskich legendach większych ludów, odtąd cieszyć się będzie sławą, jaką nie każde potężne królestwo może się poszczycić.

– Tak, pragnę wrócić do Shire'u – odparł Frodo – przedtem jednak muszę wstąpić do Rivendell. Jeśli bowiem czegoś mi brak w tych dniach szczęścia, to tylko obecności Bilba. Zmartwiłem się, gdy nie zobaczyłem go w orszaku Elronda.

– Czy to cię zdziwiło, Powierniku Pierścienia? – odezwała się Arwena. – Znasz przecież moc tego klejnotu, który dzięki tobie został unicestwiony; wszystko, co z jego władzy powstało, dziś przemija. Twój wuj posiadał Pierścień dłużej niż ty. Dożył wieku sędziwego, wedle miary czasu swego plemienia. Czeka na ciebie, ale sam już nie wybierze się w daleką podróż… chyba w ostatnią.

– Pozwól więc, królu, żebym ruszył natychmiast – rzekł Frodo.

– Za tydzień ruszymy razem – odparł Aragorn. – Wypada nam wspólna droga aż do Rohanu. Za trzy dni Éomer wróci po zwłoki Théodena, będziemy towarzyszyli im do Marchii, żeby uczcić poległego króla. Nim jednak opuścisz nas, chcę potwierdzić słowo Faramira, który przyrzekł tobie i twoim wszelką swobodę ruchu i pomoc w granicach Gondoru. Gdybym rozporządzał nagrodą godną twoich zasług, pewnie bym ci jej nie skąpił. Weźmiesz stąd, co zechcesz, wyjedziesz żegnany z honorami, strojny i zbrojny jak książę.

– Ja mam dla ciebie dar – powiedziała Arwena. – Jestem przecież córką Elronda. Nie odjadę z nim, gdy będzie udawał się do Szarej Przystani, ja

bowiem wybrałam, tak jak ongi Lúthien, los słodki i gorzki zarazem. Odstępuję ci moje miejsce, Powierniku Pierścienia; gdy wybije twoja godzina, będziesz mógł – jeśli zechcesz – odpłynąć z elfami za Morze. Jeżeli cię będą jeszcze bolały stare rany i zaciąży pamięć tego, coś dźwigał, wolno ci odejść na daleki zachód, po ukojenie bólu i znużenia. A to noś na pamiątkę Kamienia Elfów i Gwiazdy Wieczornej, z którymi cię życie związało. – To mówiąc, zawiesiła mu na szyi zdjęty z własnej piersi biały klejnot, lśniący na srebrnym łańcuszku jak gwiazda.

– W tym znajdziesz obronę, ilekroć cię nękać będzie wspomnienie strachu i ciemności – rzekła.

Tak jak król zapowiedział, w trzy dni potem przybył Éomer na czele éoredu najznakomitszych rycerzy Rohanu. Powitano go jak przystało, a kiedy wszyscy zasiedli do stołu w Merethrond, w Wielkiej Sali Uczt, i Éomer zobaczył królową Arwenę i Panią Galadrielę, zdziwił się bardzo; nim odszedł na swą kwaterę, zawołał krasnoluda Gimlego, by mu rzec:

– Gimli, synu Glóina, czy masz pod ręką swój topór?

– Nie, ale mogę po niego skoczyć, jeśli trzeba – odparł Gimli.

– Zaraz się to okaże! – powiedział Éomer. – Ja bowiem oznajmiam, że nie Pani Galadriela jest najpiękniejsza na ziemi.

– W takim razie biegnę po toporek – rzekł Gimli.

– Pozwól, że najpierw spróbuję się usprawiedliwić – powiedział Éomer. – Gdybym ją ujrzał w innym otoczeniu, przyznałbym ci pewnie wszystko, czego byś żądał. Ale dziś oddaję pierwszeństwo królowej Arwenie, Gwieździe Wieczornej, i gotów jestem stanąć na ubitej ziemi przeciw każdemu, kto mi zaprzeczy. Czy mam dobyć miecza?

Gimli ukłonił się w pas.

– Jesteś usprawiedliwiony w moich oczach, królu – rzekł. – Wybrałeś Wieczór, gdy ja pokochałem Poranek. Ale serce mi mówi, że ten Poranek wkrótce przeminie.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu na północ i rycerski orszak przygotował się do opuszczenia grodu. Królowie Gondoru i Rohanu udali się do grobów królewskich przy Rath Dínen. Na złotych marach niesiono króla Théodena przez milczące miasto. Złożono zwłoki bohatera na

wspaniałym wozie; rozwinięto sztandar, Jeźdźcy Rohanu otoczyli wóz, a Merry jako giermek Théodena siedział przy nim, trzymając miecz i tarczę zmarłego.

Dla innych członków Drużyny przygotowano wierzchowce stosowne do wzrostu; Frodo i Sam jechali u boku Aragorna, Gandalf dosiadł Cienistogrzywego, Pippin przyłączył się do rycerstwa Gondoru, Legolasa zaś z Gimlim po dawnemu niósł Arod.

Jechali też w orszaku królowa Arwena, Celeborn i Galadriela z gromadką elfów, Elrond i jego synowie, książęta Dol Amrothu i Ithilien, oraz wielu dowódców i rycerzy. Nigdy jeszcze żaden król Marchii nie miał w podróży takiej świty jak Théoden, syn Thengla, gdy wracał spocząć w ziemi swych ojców.

Bez pośpiechu, spokojnie minęli Anórien i zatrzymali się pod Szarym Lasem u stóp Amon Dîn; słyszeli tu wśród gór dudnienie bębnów, lecz nie zobaczyli żywego ducha. Aragorn kazał zadąć w trąby; heroldowie zakrzyknęli:

– Słuchajcie! Przybył król Elessar! Oddaje lasy Drúadanu w wieczyste władanie Ghânowi-buri-Ghânowi i ludowi jego! Noga żadnego człowieka nie postanie odtąd na tej ziemi bez pozwolenia Ghân-buri-Ghâna i jego ludu!

Bębny zagrały głośniej i umilkły.

Wreszcie po dwóch tygodniach podróży przez zielone stepy Rohanu wóz króla Théodena dotarł do Edoras i tu orszak cały zatrzymał się na dłużej. Złoty Dwór, przystrojony kobiercami, jarzył się od świateł; gotów był na uroczystość, jakiej nie pamiętały te mury od dnia, gdy je wzniesiono. W trzy dni później złożono bowiem zwłoki króla Théodena w kamiennym grobowcu wraz ze zbroją, orężem i wielu pięknymi przedmiotami, które mu służyły za życia; usypano nad grobem wysoki kopiec, pokryty darniną i usiany białymi gwiazdkami niezapominek. Tak więc osiem Kurhanów wznosiło się teraz po wschodniej stronie Mogilnego Pola.

Jeźdźcy z królewskiej gwardii na białych koniach otoczyli w krąg Kurhan i zaśpiewali pieśń o Théodenie, synu Thengla, którą ułożył królewski bard Gleowin, nigdy już odtąd nie składając innych wierszy. Głębokie głosy jeźdźców poruszyły wszystkie serca, nawet tych, którzy nie rozumieli mowy Rohirrimów; lecz synom Marchii, gdy słuchali tych słów,

rozbłysły oczy i zdawało im się, że słyszą tętent koni pędzących z północy i głos Eorla wydającego rozkazy w bitwie na Srebrnym Polu; w pieśni bowiem zawarta była legenda królów, róg Helma echem rozbrzmiewał wśród gór, nadciągały Ciemności, król Théoden zrywał się do boju z Cieniem i Ogniem, ginął w chwale, a słońce, wbrew rozpaczy, wracało nad świat i ranek błyszczał nad Mindolluiną.

Po zwątpieniu, po nocy, na spotkanie świtu
Jechał z pieśnią ku słońcu z nagim mieczem w dłoni,
Wskrzesił zmarłą nadzieję i z nadzieją zginął.
Pokonał śmierć i trwogę, i losu wyroki,
A za cenę żywota sławę zdobył wieczną[86].

Merry u stóp zielonego Kurhanu płakał, a gdy pieśń ucichła, zawołał:

– Królu Théodenie, królu Théodenie! Żegnaj! Byłeś mi ojcem, na krótki czas zwróconym. Żegnaj!

Kiedy skończyły się obrzędy pogrzebowe i ucichł płacz kobiet, Théoden został samotny pod Kurhanem, a lud zgromadził się w Złotym Dworze na wielkie święto, wolny już od żałoby; król Théoden dożył przecież sędziwej starości i poległ chlubnie jak najsławniejsi jego przodkowie. Wedle obyczaju Marchii godziło się po upływie kilku dni uczcić zmarłego pucharem wina. Księżniczka Rohanu, Éowina, w szatach mieniących się złotem słońca i bielą śniegu, podała pierwszy puchar Éomerowi.

Wystąpił bard i kronikarz Rohanu, by wymienić we właściwej kolejności imiona wszystkich władców Marchii: Eorla Młodego, Brega, który wzniósł Dwór, Aldora, brata nieszczęśnika Baldora; Frea, Freawina, Goldowina i Deora, Grama i Helma, który się schronił w swej kryjówce wśród Białych Gór, kiedy wróg zagarnął kraj; tych dziewięciu spało snem wiecznym pod Dziewięciu Kurhanami po zachodniej stronie Mogilnego Pola, na Helmie bowiem kończyła się dynastia, a nową rozpoczynał, złożony po wschodniej stronie Frealaf, siostrzeniec Helma, a dalej szli: Brytta, Walda, Folka, Folkwin, Fengel, Thengel i ostatni – Théoden. Gdy padło to imię, Éowina kazała służbie napełnić znów winem puchary, wszyscy wstali i pijąc zdrowie nowego króla, krzyknęli:

– Niech żyje Éomer, król Marchii!

Wreszcie pod koniec uroczystości przemówił Éomer:

– Zebraliśmy się na ucztę żałobną ku czci króla Théodena, lecz nim się rozejdziemy, chcę wam oznajmić radosną nowinę, wiem bowiem, że zmarły król nie miałby mi tego za złe, kochając siostrę moją Éowinę ojcowską miłością. Wiedzcie tedy, szlachetni goście z Lórien i innych królestw, najdostojniejsi, jakich Dwór ten kiedykolwiek miał zaszczyt witać! Faramir, Namiestnik Gondoru i książę Ithilien, prosił o rękę Éowiny, księżniczki Rohanu. Ona zaś zgodziła się zostać jego żoną. Teraz właśnie w obecności waszej odbędą się ich zaręczyny.

Faramir i Éowina podali sobie ręce, a wszyscy wypili ich zdrowie.

– Tym bardziej się cieszę – rzekł Éomer – że nowe te więzy zacieśnią jeszcze przyjaźń między Marchią a Gondorem.

– Szczodry z ciebie przyjaciel, Éomerze, skoro ofiarowujesz Gondorowi to, co w twoim królestwie najpiękniejsze! – powiedział Aragorn.

Éowina zaś, patrząc Aragornowi prosto w oczy, rzekła:

– Królu, uzdrowicielu mój, życz mi dziś szczęścia.

– Zawszem ci go życzył – odparł – od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. A widok twojej radości uzdrowił moje serce.

Skończyły się święta, a ci, którzy mieli przed sobą dalszą podróż, pożegnali króla Éomera. Gotowali się w drogę Aragorn i rycerze Gondoru, elfy z Lórien i ród Elronda z Rivendell, lecz Faramir i książę Imrahil zostawali w Edoras. Zostawała też Arwena, Gwiazda Wieczorna, toteż musiała pożegnać się ze swymi braćmi. Nikt nie był świadkiem jej ostatniej rozmowy z ojcem, poszli bowiem we dwoje w góry i tam spędzili długie godziny; gorzkie musiało być dla nich rozstanie, które miało trwać poza koniec świata.

Wreszcie, nim goście ruszyli, Éomer i Éowina przyszli do Meriadoka, by mu rzec:

– Żegnaj, Meriadoku, rycerzu Shire’u i Wielki Podczaszy Marchii! Szczęśliwej drogi! Uradujesz nas, jeśli prędko znów przybędziesz w odwiedziny.

– Dawni królowie obdarzyliby cię za zasługi na polach Mundburga skarbami, których największy wóz by nie pomieścił; ale ty nie chcesz nagrody prócz zbroi, którą nosiłeś tak chlubnie – dodał Éomer. – Muszę się

na to zgodzić, skoro nie mam nic, co by godne było ciebie. Siostra moja prosi jednak, abyś przyjął ten drobiazg na pamiątkę Dernhelma i muzyki rogów, które w Marchii witają każdy poranek.

Éowina podała hobbitowi starożytny róg, mały, lecz misternej roboty, srebrny, na zielonej taśmie; złotnik wyrzeźbił na nim jeźdźców pędzących konno w szeregu i ten ornament wił się w srebrze od ustnika do wylotu rogu, a wplecione weń były runiczne znaki przynoszące szczęście.

– Róg ten był z dawna w naszym rodzie – powiedziała Éowina. – Wyrzeźbiły go krasnoludy, pochodzi ze skarbca smoka Skata. Eorl przywiózł go z Północy. Kto w potrzebie zadmie w ten róg, porazi strachem serca wrogów, a radością napełni serca przyjaciół, którzy przybiegną zaraz na jego głos.

Merry przyjął róg, takiego bowiem daru nie godziło się odrzucać, i ucałował rękę Éowiny. Raz jeszcze Éomer uścisnął hobbita i tak się rozstali.

Na odjezdnym wychylono strzemiennego, po czym podróżni ruszyli w stronę Helmowego Jaru, gdzie odpoczywali znów dwa dni.

Legolas, dotrzymując zawartej z Gimlim umowy, zwiedził z nim Błyszczące Pieczary. Wrócił milczący, nie chciał nic opowiadać, twierdząc, że tylko Gimli znajduje w tym przypadku odpowiednie słowa.

– Nigdy się jeszcze dotychczas nie zdarzyło, aby krasnolud krasomówstwem przewyższał elfa – rzekł. – Toteż musimy z kolei powędrować do lasów Fangornu, tam pewnie wyrównam rachunek.

Z Zielonej Roztoki skierowali się na Isengard, gdzie gospodarowały teraz enty. Zburzyły i usunęły kamienny krąg, kotlinę całą zamieniły w ogród zielony od sadów i lasu, przecięty strumieniem. Pośrodku jaśniało wszakże jezioro, a z niego wyrastała Wieża Orthank, wciąż jeszcze wyniosła i niezdobyta; czarne jej ściany przeglądały się w lustrze wody.

Wędrowcy odpoczywali chwilę w miejscu, gdzie przedtem stała Brama Isengardu, dziś natomiast dwa smukłe drzewa strzegły wejścia na zieloną ścieżkę wiodącą do Orthanku. Podziwiali dokonane tu prace, tym bardziej zdumiewające, że przez czas dłuższy nie było widać nigdzie ani żywej duszy. Wreszcie doszło ich uszu znajome chrząkanie: „Hum, hum” i na ścieżce ukazał się Drzewiec w towarzystwie Żwawca, spieszący na powitanie gości.

– Witajcie w Ogrodzie Orthanku! – rzekł. – Wiedziałem, że przyjedziecie, ale miałem robotę dalej w dolinie. Dużo jest jeszcze tutaj roboty! Wy też nie próżnowaliście w dalekich krajach na południu i wschodzie, jak słyszałem; same dobre rzeczy o was słyszałem, tak, tak!

Chwalił ich czyny, o których, jak się okazało, wiedział wszystko, a w końcu urwał i zatrzymał wzrok na twarzy Gandalfa.

– A ty co powiesz? – spytał. – Dowiodłeś, że jesteś mocniejszy od innych, i wszystkiego, co zamierzałeś, udało ci się dokonać. Dokąd się teraz wybierasz? I po co tutaj przybyłeś?

– Żeby zobaczyć, jak sobie radzicie, przyjacielu – odparł Gandalf – i żeby podziękować wam za pomoc.

– Hm, słusznie, enty zrobiły, co do nich należało – powiedział Drzewiec. – Rozprawiliśmy się nie tylko z tym tu… hm… przeklętym mordercą drzew, ale także z całą bandą *burárum*, szpetnookich-czarnorękich-krzywonogich-cuchnących i krwiożerczych *morimaitesinkahonda.*.. hm… No, tak, cała nazwa tych wstrętnych orków byłaby dla uszu waszych pochopnych plemion za długa, nie moglibyście jej zapamiętać. Przyszli bandą z północy, okrążając las Laurelinodórenan, bo tam nie zdołali się wedrzeć dzięki potędze Wielkich Osób, które tu mam zaszczyt oglądać. – To mówiąc, skłonił się przed Celebornem i Galadrielą, władcami Lórien, po czym ciągnął dalej. – Podli orkowie bardzo się zdziwili, spotykając nas tutaj, bo nigdy jeszcze nie słyszeli o entach, chociaż co prawda wiele przyzwoitszych stworzeń także nie wie nic o nas. I niewielu orków będzie nas pamiętać, bo mało kto z tej bandy ocalał, większość ich połknęła Rzeka. Wasze szczęście, bo żeby na nas się nie natknęli, król stepów niedaleko by zajechał, a w każdym razie nie miałbym już po co do swego domu wracać.

– Wiemy o tym – rzekł Aragorn – i nigdy nie zapomnimy w Minas Tirith ani w Edoras.

– „Nigdy” to za długo nawet dla mnie – odparł Drzewiec. – Chciałeś powiedzieć: póki wasze królestwa przetrwają. Będą musiały trwać długo, żeby entom wydał się ten czas naprawdę długi.

– Zaczyna się Nowa Era – powiedział Gandalf – i może się okazać, że królestwa człowieka przetrwają nawet ciebie, przyjacielu Fangornie. Ale teraz powiedz, jak się wywiązałeś z zadania, które ci wyznaczyłem. Co się

dzieje z Sarumanem? Czy jeszcze mu się nie znudził Orthank? Bo nie sądzę, żeby go bawił widok, który urządziłeś pod jego oknami.

Drzewiec rzucił Gandalfowi przeciągłe spojrzenie, prawie chytre – jak stwierdził Merry.

– Ha! – powiedział. – Spodziewałem się tych pytań od ciebie. Czy mu się znudził Orthank? Bardzo, ale nie tak bardzo jak mój głos. Hm… Opowiedziałem mu kilka dość długich historii, przynajmniej dość długich wedle waszych pojęć.

– Dlaczego więc słuchał ich? Czyś go odwiedzał w Wieży? – spytał Gandalf.

– Hm, nie, ja do Wieży nie wchodziłem, ale on stał w oknie i słuchał, bo innym sposobem nie mógłby się dowiedzieć żadnych nowin, a chociaż te nowiny były mu niemiłe, chciwie na nie czekał. Już ja dopilnowałem, żeby go nie ominęły co weselsze. I od siebie sporo dodawałem takich rzeczy, które uważałem, że wyjdą mu na zdrowie, jak się nad nimi zastanowi. Znudził się z czasem. Zawsze był zanadto pochopny. To go właśnie zgubiło.

– Spostrzegam, kochany Fangornie, że wciąż mówisz: „słuchał”, „znudził się”, „był”. Ani razu nie powiedziałeś: „jest”. Czyżby umarł?

– Hm, nie, nie umarł, o ile mi wiadomo. Ale się stąd wyniósł. Tak, poszedł sobie. Wypuściłem go. Zresztą niewiele z niego zostało, jak zobaczyłem, kiedy z Wieży wylazł, a ten gad, który mu dotrzymywał towarzystwa, wyglądał po prostu jak cień. Proszę cię, Gandalfie, nie mów, że obiecałem go przypilnować, bo sam pamiętam to dobrze. Ale wiele się od tego czasu zmieniło. Trzymałem go tutaj, póki groziło, że może nam zaszkodzić. Powinieneś wiedzieć, że nie cierpię więzić żywych istot i nawet takiego podłego stwora nie mogłem więzić w klatce dłużej, niż to było konieczne. Nawet żmiję, gdy jej wyrwano jadowite zęby, można wypuścić na wolność, niech pełza, gdzie jej się podoba.

– Może masz rację – odparł Gandalf – ale tej żmii został, jak mi się zdaje, jeszcze jeden ząb. Trucizna była w jego głosie, myślę, że nawet ciebie umiał nim zbałamucić, znając słabą stronę twego serca. Ale trudno, stało się, nie będziemy więcej o tym mówili. Wieża Orthank jednak wraca teraz we władanie króla, do którego z prawa należy. Jakkolwiek pewnie mu nie będzie już potrzebna…

– Czas to okaże – powiedział Aragorn. – Całą tę dolinę oddaję w każdym razie entom, niech gospodarują wedle swej woli, byle strzegły Wieży i nie wpuściły tam nikogo bez mego pozwolenia.

– Jest zamknięta – rzekł Drzewiec. – Kazałem Sarumanowi zamknąć i oddać klucze. Żwawiec je przechowuje.

Żwawiec skłonił się jak drzewo przygięte wiatrem, wręczając Aragornowi dwa wielkie czarne klucze wycięte w zawiłe kształty i połączone stalowym kółkiem.

– Jeszcze raz dziękuję wam – powiedział Aragorn. – Tymczasem żegnajcie! Oby las rósł znowu w spokoju. Gdyby wam w dolinie zrobiło się kiedyś za ciasno, jest dość miejsca na zachód od gór, gdzie mieszkały niegdyś enty.

Drzewiec posmutniał.

– Lasy pewnie się rozrosną – rzekł. – Ale enty się nie rozrodzą. Nie ma już małych enciąt.

– Może jednak teraz będziecie mogły wznowić poszukiwania z większą nadzieją – powiedział Aragorn. – Otwarły się przed wami różne krainy na wschodzie, które dotychczas były niedostępne.

– Za daleka droga! – odparł Drzewiec, potrząsając głową. – I za wiele mieszka dziś wszędzie ludzi… Ale ja tu gadam i zaniedbuję obowiązki grzeczności. Czy zechcecie łaskawie gościć u nas dłużej? A może ktoś z was chciałby przejść przez Fangorn i skrócić sobie w ten sposób drogę do domu?

Pytająco spoglądał na Celeborna i Galadrielę, wszyscy jednak oświadczyli, że muszą niestety pożegnać się i bez zwłoki ruszać dalej na południe lub na zachód. Tylko Legolas zakrzyknął:

– Słyszysz, Gimli? Za pozwoleniem samego Fangorna możemy obaj zapuścić się w głąb jego lasów; zobaczymy drzewa, jakich nigdzie indziej nie ma w Śródziemiu. Dotrzymasz chyba umowy i pójdziesz ze mną? Będziemy razem wędrowali aż do naszych ojczystych krajów, do Mrocznej Puszczy i poza nią.

Gimli zgodził się, lecz bez wielkiego, jak się zdawało, zapału.

– Tak w końcu rozwiązuje się ostatecznie Drużyna Pierścienia – powiedział Aragorn. – Ale mam nadzieję, że wkrótce zobaczę was w moim

kraju. Obiecaliście przecież pomóc w odbudowie.

– Przyjdziemy, jeśli nasi władcy nam pozwolą – odparł Gimli. – No, żegnajcie, hobbici! Teraz chyba zawędrujecie bez przygód do domu, nareszcie będę mógł spać spokojnie, zamiast martwić się o was. Przy pierwszej okazji przyślę wam słówko, a myślę, że będziemy się od czasu do czasu widywali. Ale obawiam się, że cała kompania już się nigdy nie zgromadzi.

Drzewiec pożegnał każdego z osobna, a przed Celebornem i Galadrielą trzy razy kiwnął się z wolna w pokłonie z wielkim szacunkiem.

– Dawno, dawno to było, kiedy się poznaliśmy u korzeni i u fundamentów – powiedział. – *A vanimar, vanimálion nostari!* Smutno, że spotykamy się po raz drugi dopiero teraz, kiedy wszystko się kończy. Bo świat się zmienia. Czuję to w smaku wody i ziemi, i powietrza. Nie mam nadziei, żebyśmy się jeszcze kiedyś mogli zobaczyć.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć, Najstarszy! – rzekł Celeborn.

– Nie spotkamy się w Śródziemiu – powiedziała Galadriela – dopóki ziemia, którą nakryły fale, nie zostanie ponownie wydźwignięta. Wtedy może się spotkamy wiosną pod wierzbami na łąkach Tasarinan. Żegnaj!

Ostatni żegnali się z Drzewcem Merry i Pippin. Stary ent poweselał, patrząc na nich.

– No i co, weseli ludkowie, czy nie napijecie się nawet ze mną na pożegnanie? – spytał.

– Bardzo chętnie! – zawołali.

Drzewiec zaprowadził ich parę kroków w bok, gdzie w cieniu drzew stał ogromny kamienny dzban. Napełnił trzy kubki i pili wszyscy trzej; hobbici zauważyli, że ent znad swego kubka przygląda się im bacznie swoimi dziwnymi oczyma.

– Uważajcie, uważajcie! – powiedział. – Bardzo już urośliście od ostatniego spotkania.

Śmiejąc się, wychylili napój do dna.

– Do widzenia! I nie zapominajcie przysłać mi słówka, gdybyście w waszej ojczyźnie usłyszeli coś o żonach entowych – powiedział Drzewiec.

Machał wielkimi rękami na pożegnanie kompanii, kiedy ruszyła w drogę, a potem zawrócił i zniknął między drzewami.

Jechali teraz szybciej, zmierzając ku Bramie Rohanu. Aragorn pożegnał się z nimi wreszcie opodal miejsca, w którym ongi Pippin zajrzał w kryształ Orthanku. Hobbitów zasmucało rozstanie.

Aragorn przecież nigdy ich nie zawiódł w żadnej potrzebie i pod jego przewodem wyszli cało z wielu niebezpieczeństw.

– Chciałbym mieć taki kryształ, w którym by można widzieć wszystkich przyjaciół – rzekł Pippin. – Chciałbym znać sposób, żeby z nimi rozmawiać choćby z daleka.

– Jeden tylko został teraz kryształ, którego mógłbyś używać – odparł Aragorn. – Tego bowiem, co pokazałby ci kryształ z Minas Tirith, z pewnością wolałbyś nie oglądać. Lecz *palantír* Orthanku zatrzyma sam król, żeby wiedzieć wszystko, co dzieje się w jego państwie i co robią jego podwładni. Pamiętaj, Peregrinie, że pasowano cię na rycerza Gondoru, a ja nie myślę zwalniać cię ze służby. Puszczam cię na urlop, ale mogę wezwać cię wkrótce znowu. Pamiętajcie też, przyjaciele z Shire’u, że królestwo moje obejmuje również Północ; któregoś dnia przybędę tam z pewnością.

Z kolei Aragorn pożegnał się z Celebornem i Galadrielą.

– Kamieniu Elfów! – powiedziała pani z Lórien. – Przez Ciemności doszedłeś do ziszczenia nadziei i masz dziś wszystko, czego pragnąłeś. Użyj jak najlepiej danych ci dni!

– Żegnaj, krewniaku – rzekł Celeborn. – Oby los był łaskawszy dla ciebie niż dla mnie! Obyś skarb swój zachował do końca!

Z tym się rozstali. Słońce właśnie zachodziło i gdy hobbici po chwili odwrócili się, ujrzeli króla na koniu, pośród rycerzy; w blasku zachodu zbroje świeciły jak czerwone złoto, a biały płaszcz Aragorna zdawał się płomieniem. Król podniósł w górę swój zielony klejnot i szmaragdowy ogień roziskrzył mu się w ręku.

Uszczuplona gromadka wkrótce stanęła nad Iseną, przeprawiła się na drugi brzeg, gdzie ciągnęły się rozległe pustkowia, i skręcając ku północy, posuwała się wzdłuż granic Dunlandu. Mieszkańcy tutejsi uciekali, kryjąc się przed nimi, bardzo bowiem lękali się elfów, chociaż elfowie rzadko odwiedzali ich kraje. Wędrowcy natomiast nie bali się Dunlendingów; byli

przecież w dość jeszcze licznej kompanii i zaopatrzeni dobrze. Jechali więc swobodnie, rozbijając namioty, gdzie im się podobało. Tymczasem lato upływało.

Za Dunlandem znaleźli się w krainie bezludnej, gdzie nawet zwierza lub ptaka rzadko się widywało, i jechali przez las schodzący tu ze wzgórz u podnóży Gór Mglistych, które mieli teraz wciąż po prawej ręce. Wydostając się z lasu znowu na otwartą przestrzeń, dogonili starca wspierającego się na lasce i odzianego w łachmany brudnobiałej barwy; trop w trop za nim wlókł się drugi żebrak, zgarbiony i pochlipujący.

– Dokąd to, Sarumanie? – spytał Gandalf.

– Co ci do tego? – odparł starzec. – Czy chcesz nadal mi rozkazywać? Czy nie dość ci mojej klęski?

– Znasz z góry odpowiedź na wszystkie trzy pytania: nie, nie i nie! Ale czas moich trudów dobiega końca. Brzemię z mych barków przejął król. Gdybyś był poczekał w Orthanku, ujrzałbyś go i przekonał się o jego mądrości i miłosierdziu.

– Tym bardziej cieszę się, że nie czekałem – rzekł Saruman – bo nie chcę mu nic zawdzięczać. Jeśli chcesz znać odpowiedź na swoje pierwsze pytanie, wiedz, że szukam wyjścia poza granice jego królestwa.

– W takim razie znowu obrałeś złą drogę – odparł Gandalf. – Na tej bowiem nie widzę dla ciebie nadziei. Czy wzgardzisz naszą pomocą? Bo ofiarujemy ci pomoc.

– Mnie? – rzekł Saruman. – Nie, nie uśmiechaj się do mnie. Wolę już, kiedy marszczysz czoło. A co do Pani, którą widzę w waszym gronie, to nie ufam jej; zawsze nienawidziła mnie i spiskowała na twoją korzyść. Pewnie umyślnie sprowadziła cię na tę drogę, żeby naigrawać się z mojej nędzy. Gdyby mnie przestrzeżono o tym pościgu, postarałbym się nie dostarczyć wam tej przyjemności.

– Sarumanie – powiedziała Galadriela – mamy inne zadania i inne troski, pilniejsze w naszych oczach niż tropienie ciebie. Powinieneś cieszyć się, że nas spotkałeś. To uśmiech szczęścia, ostatnia twoja szansa.

– Będę się cieszył, jeśli naprawdę okaże się ostatnią – odparł Saruman – abym nie musiał drugi raz trudzić się odrzucaniem jej. Moja nadzieja runęła. Ale nie chcę dzielić waszej. Jeśli ją macie… – Oczy rozbłysły mu na chwilę. – Tak! Nie na próżno ślęczałem tyle lat nad tajemnymi księgami.

Wiem, że wy też jesteście skazani na zagładę. Wy także o tym wiecie. Będzie to pewną pociechą dla tułacza, że niszcząc mój dom, zburzyliście także swój własny. Jakiż statek poniesie was z powrotem przez tak wielkie morze? – spytał szyderczo. – Ach, szary statek pełen widm – zaśmiał się, ale głos jego skrzeczał szkaradnie. – Wstawaj, głupcze! – krzyknął na drugiego żebraka, który przysiadł na ziemi, i uderzył go laską. – Zawracaj! Jeśli ci szlachetni państwo idą naszą drogą, my obierzemy inną. Ruszaj się, a żywo, bo nie dostaniesz nawet ochłapów na wieczerzę.

Żebrak odwrócił się i powlókł, chlipiąc:

– Biedny stary Gríma! Biedny stary Gríma! Stale bity i lżony. Jak ja go nienawidzę! Och, żebym mógł go porzucić!

– A więc porzuć go! – rzekł Gandalf.

Gadzi Język rzucił tylko na Gandalfa spojrzenie swych spłoszonych, wyblakłych oczu, i pokusztykał co prędzej za Sarumanem. Kiedy para nieszczęśników, mijając orszak podróżnych, znalazła się przy hobbitach, Saruman zatrzymał się i popatrzył na nich, lecz spotkał ich wzrok pełen litości.

– A więc wy także przyszliście tutaj, żeby się napatrzeć mojej nędzy? – powiedział. – Nie obchodzi was, że cierpię niedostatek, co? Wam za to nie brak niczego, jadła, pięknych strojów i najlepszego ziela do fajek. Tak, tak, wiem wszystko. Wiem, skąd je macie. Nie dalibyście żebrakowi choć garsteczki?

– Dałbym, gdybym miał – rzekł Frodo.

– Oddam ci resztkę, którą mam jeszcze – powiedział Merry – jeśli chwilę poczekasz. – Zszedł z konia i zaczął szperać w podróżnym worku przytroczonym do siodła. Wreszcie podał Sarumanowi skórzaną sakiewkę. – Bierz! Przyjmiesz ją pewnie chętnie, bo to część zdobyczy wyłowionej z powodzi Isengardu.

– Moja własność, za wysoką cenę kupiona! – krzyknął Saruman, chwytając łapczywie sakiewkę. – Ale to tylko symboliczne odszkodowanie, wziąłeś przecież z pewnością dużo więcej. No cóż, żebrak musi być wdzięczny, jeśli złodziej zwraca mu bodaj cząstkę zrabowanej własności. Będziesz się miał z pyszna, kiedy po powrocie do swego kraju zobaczysz, że w Południowej Ćwiartce nie wszystko wygląda tak, jak byś sobie życzył. Przez długie lata niełatwo będzie w Shire o fajkowe liście.

– Dziękuję za dobre słowo – odparł Merry. – W takim razie oddaj mi sakiewkę, która nigdy do ciebie nie należała i od dawna ze mną wędruje. Zawiń sobie liście we własne szmaty.

– Za kradzież wypada płacić kradzieżą – powiedział Saruman i odwracając się do Meriadoka plecami, przynaglił swego niewolnika kopniakiem, po czym obaj oddalili się w stronę lasu.

– Coś podobnego! – prychnął Pippin. – Kradzież! Jakby nam się nie należała odpłata za porwanie i wleczenie wśród orków przez stepy Rohanu!

– Łajdak – rzekł Sam. – Co on mówił, że kupił to ziele? Jakim sposobem, ciekaw jestem. Bardzo mi się też nie podobała ta wzmianka o Południowej Ćwiartce. Czas, żebyśmy znaleźli się już w kraju.

– Racja – przyznał Frodo. – Ale nie można skrócić drogi, jeśli mam zobaczyć się z Bilbem. Cokolwiek się zdarzy, najpierw muszę wstąpić do Rivendell.

– Tak, sądzę, że tak powinieneś postąpić – rzekł Gandalf. – Nieszczęsny ten Saruman! Obawiam się, że nie da się już nic dla niego zrobić. I mimo wszystko ten nikczemnik może jeszcze wyrządzić jakieś szkody, choćby pomniejsze, ale dotkliwe.

Następnego dnia wkroczyli do północnego Dunlandu; nikt tam teraz nie mieszkał, choć kraina była zielona i pełna uroku. Wrzesień zaczął się złotymi dniami i srebrnymi nocami, oni zaś wędrowali bez pośpiechu, aż wreszcie dotarli do Łabędzianki i odnaleźli stary bród na wschód od wodospadu, którym rzeka przelewała się gwałtownie na położone niżej łęgi. Daleko na zachodzie mgliście przezierał obraz mokradeł i ostrowów, wśród których nurt wił się, by na koniec wpłynąć do Szarej Wody. Bez liku łabędzi zamieszkiwało ową zarośniętą trzcinami krainę.

Tak oto znaleźli się w Eregionie, i wreszcie pewnego pięknego poranka, gdy słońce wzbiło się nad roziskrzone mgły, wędrowcy, spoglądając ze swego obozu, rozbitego na niewysokim wzgórzu, zobaczyli na wschodzie trzy szczyty, które wystrzeliły w niebo poprzez żeglujące nisko obłoki: Caradhras, Celebdil i Fanuidhol. Byli więc już w pobliżu wejścia do Morii.

Zostali tu przez cały tydzień, zbliżała się bowiem godzina nowego rozstania, przed którym wzdrygały się serca. Wkrótce Celeborn i Galadriela, wraz ze swą świtą, mieli skręcić na wschód i przez Przełęcz Czerwonego Rogu, a dalej Schodami Dimrilla zejść nad Srebrną Żyłę,

dążąc do własnego kraju. Nadłożyli sporo drogi, ponieważ mieli sobie wiele do opowiedzenia z Gandalfem i Elrondem; nawet teraz ociągali się jeszcze, spędzając dni na rozmowach z przyjaciółmi. Często do późna w noc, gdy hobbici spali już smacznie, tamci czuwali pod gwiazdami, wspominając dawne, minione czasy, wszystkie swoje trudy i radości, albo też naradzając się nad przyszłością nowego wieku. Przechodzień, który by ich przypadkiem zaskoczył, niewiele by zobaczył i usłyszał; wydaliby mu się szarymi postaciami wykutymi w kamieniu, pomnikami zapomnianych spraw, porzuconymi w wyludnionej już krainie.

Nie uciekali się bowiem w rozmowie do gestów ani słów, lecz czytali wzajem w swych umysłach, tylko błyszczące oczy poruszały się i rozbłyskiwały do wtóru przepływającym myślom.

W końcu wszystko zostało powiedziane i rozstali się na krótko, zanim przyjdzie czas, aby Trzy Pierścienie odeszły ze Śródziemia. Elfowie z Lórien w swych szarych płaszczach znikli szybko wśród głazów, kierując się ku górom. Reszta kompanii, która miała stąd ruszyć do Rivendell, patrzyła za oddalającymi się ze wzgórza, dopóki nie ujrzała we mgle krótkiej błyskawicy, po czym wszystko zginęło jej sprzed oczu. Frodo zrozumiał, że Galadriela na pożegnanie błysnęła podniesionym pierścieniem.

– Szkoda, że nie mogę wrócić do Lórien – westchnął Sam.

W końcu pewnego wieczora dotarli na krawędź porosłej wrzosem wyżyny i nagle – jak zwykle wydawało się podróżnym – ukazała się u ich stóp głęboka dolina Rivendell i daleko w dole świecące latarnie domu Elronda. Zeszli w dolinę, przeprawili się mostem za rzekę i stanęli u drzwi, a wtedy cały dom rozbłysnął światłami i rozdźwięczał pieśnią, witając radośnie powrót Elronda.

Hobbici, zanim umyli się i posilili, w płaszczach jeszcze, pobiegli szukać Bilba. Zastali go samotnego w jego pokoiku, zasypanym kartkami papieru, piórami i ołówkami. Bilbo siedział w fotelu przed małym, wesoło trzaskającym na kominku ogniem. Zdawał się bardzo stary, ale spokojny i senny. Kiedy weszli, otworzył oczy i odwrócił głowę.

– Witajcie! – powiedział. – A więc jesteście z powrotem. Jutro moje urodziny. Trafiliście doskonale. Czy wiecie, że kończę sto dwadzieścia

dziewięć lat? Za rok, jeśli pożyję, dorównam staremu Tukowi. Chciałbym go prześcignąć, ale zobaczymy.

Po uroczystościach urodzinowych czterej hobbici zostali jeszcze w Rivendell kilka dni, przesiadując dużo ze starym przyjacielem, który prawie cały czas spędzał w swoim pokoiku, wychodząc tylko na wspólne posiłki do jadalni. W tych bowiem sprawach nadal przestrzegał punktualności i rzadko się zdarzało, by przespał godzinę śniadania lub obiadu. Siedząc z nim przy kominku, opowiedzieli mu kolejno wszystko, co zapamiętali ze swoich wędrówek i przygód. Z początku Bilbo próbował niby notować, lecz usypiał często, a budząc się mówił: „Jak to wspaniale! Jak to cudownie! Na czym to stanęliśmy?”. Wtedy musieli zaczynać swoje historie znów od miejsca, przy którym staruszek się zdrzemnął. Naprawdę wzruszył go i zainteresował najżywiej jedynie opis koronacji i zaślubin Aragorna.

– Byłem oczywiście zaproszony na wesele – powiedział. – Czekałem przecież na nie tyle lat! Ale gdy wreszcie do tego przyszło, jakoś nie mogłem się wybrać; mam tutaj moc roboty, zresztą z pakowaniem rzeczy zawsze jest okropny kłopot.

Tak minęły dwa tygodnie, aż któregoś ranka Frodo, spojrzawszy przez okno, stwierdził, że nocą osiadł szron i pajęczyny babiego lata zmieniły się w siatkę bieli. Nagle uświadomił sobie, że pora ruszać w drogę i pożegnać Bilba. Pogoda wciąż jeszcze trzymała się spokojna i piękna po najpiękniejszym lecie za pamięci ludzkiej. Ale nastał już październik, można było spodziewać się lada dzień słoty i wichrów. A czekała Froda podróż daleka. W gruncie rzeczy jednak nie lęk przed zmianą pogody skłaniał hobbita do pośpiechu. Frodo czuł, że powinien wracać już do Shire’u. Sam podzielał to zdanie. Właśnie poprzedniego wieczora powiedział:

– Byliśmy daleko i widzieliśmy wiele, a mimo to jakoś nie znaleźliśmy na świecie lepszego miejsca niż Rivendell. Nie wiem, proszę pana, czy dobrze się wyrażam, ale tutaj wydaje się, że odnajdujemy po trosze i Shire, i Złoty Las, i Gondor, i królewski dwór, i gospody przydrożne, i łąki – i wszystko naraz. A jednak czuję, nie wiem dlaczego, że trzeba wkrótce stąd wyruszyć. Jeśli mam być szczery, powiem panu, że niepokoję się o Dziadunia.

– Masz rację, Samie, tutaj wszystkiego jest po trosze, oprócz Morza – odparł Frodo. I powtórzył jakby do siebie: – Oprócz Morza.

Tego dnia Frodo porozmawiał z Elrondem i postanowiono, że hobbici wyruszą nazajutrz. Ku ich radości Gandalf oznajmił:

– Jadę z wami. Przynajmniej aż do Bree. Mam interes do Butterbura.

Wieczorem poszli do Bilba, żeby się z nim pożegnać.

– No cóż, jeśli tak trzeba, to nie ma rady – rzekł Bilbo. – Szkoda. Będzie mi was brakowało. Przyjemnie było wiedzieć, że jesteście w pobliżu. Ale teraz bardzo mi się chce spać.

Podarował Frodowi swoją mithrilową kolczugę i Żądło, zapomniawszy, że mu już raz te rzeczy dał; ofiarował też siostrzeńcowi kilka książek, poświęconych wiedzy i historii, a napisanych jego ręką cienkimi pajęczymi literami w różnych okresach życia, tomy oprawne w czerwone okładki i opatrzone wyjaśnieniem: „Przełożył z języka elfów B.B.”.

Samowi wręczył niedużą sakiewkę pełną złota.

– To już ostatki zdobyczy ze skarbca Smauga – rzekł. – Przyda ci się, zwłaszcza jeśli zechcesz się ożenić, Samie.

Sam zaczerwienił się po uszy.

– Wam, młodzi przyjaciele, nic nie mam do ofiarowania prócz dobrej rady – powiedział Bilbo do Meriadoka i Pippina. A na zakończenie krótkiego kazanka dorzucił żarcik w stylu mówców Shire’u: – Uważajcie, żeby wam głowy nie wyrosły z kapeluszy. Jeśli nie przestaniecie rosnąć w tym tempie, wkrótce kapelusze i ubrania będą za drogie na waszą kieszeń.

– Jeśli ty chcesz pobić wiekiem starego Tuka, czemuż my nie mielibyśmy przerosnąć Bullroarera? – spytał Pippin.

Bilbo roześmiał się i wyciągnął z kieszeni dwie piękne fajki; miały ustniki z masy perłowej, okute misternie rzeźbionym srebrem.

– Myślcie o starym Bilbie, pykając z tych fajek – rzekł. – Zrobili je dla mnie elfowie, ale ja już nie palę. – Nagle głowa mu się kiwnęła i na chwilę zasnął. Gdy się ocknął, powiedział: – Na czym to stanęliśmy? Aha, rozdawałem prezenty. To mi coś przypomina… Słuchaj no, Frodo, gdzie podział się ten pierścień, który ci kiedyś dałem?

– Zgubiłem go, Bilbo kochany – odparł Frodo. – Widzisz, pozbyłem się go.

– Co za szkoda! – westchnął Bilbo. – Chętnie bym go znów zobaczył. Ale nie, głupstwa plotę! Przecież właśnie po to wyruszyłeś w podróż, prawda? Żeby się go pozbyć. Trudno się połapać, tyle różnych spraw z tym się łączy, zadanie Aragorna i Biała Rada, i Gondor, i jeźdźcy, i południowcy, i olifanty… Naprawdę widziałeś je, Samie?… i pieczary, i wieże, i złote drzewa, i… kto by tam spamiętał wszystko!

Teraz widzę, że zbyt prostą drogą wróciłem ongi z mojej wyprawy. Szkoda, że Gandalf nie pokazał mi wtedy więcej świata. Tylko że w takim razie spóźniłbym się na licytację mojego domu i miałbym z tym jeszcze gorsze kłopoty. No, dziś już i tak za późno; zresztą uważam, że znacznie wygodniej siedzieć tutaj i słuchać o tych różnych dziwach. Po pierwsze, bardzo tu przytulnie, a po drugie, elfowie są na każde zawołanie pod ręką. Czegóż więcej pragnąć?

A droga wiedzie w przód i w przód,
Za drzwiami się zaczyna tuż,
Daleko zaszła droga ta.
Kto może, niech ją goni już!
Niech w podróż nową puszcza się,
Lecz ja zdrożone nogi mam,
Światło gospody wzywa mnie,
Prześpię się i wypocznę tam[87].

Szepcząc ostatnie słowa piosenki, Bilbo zwiesił głowę na piersi i zasnął.

Mrok wieczorny zgęstniał w pokoju, ogień na kominku rozpalił się jaśniej, przyjaciele patrzyli na śpiącego Bilba; stary hobbit uśmiechał się przez sen. Czas jakiś siedzieli w milczeniu, wreszcie Sam rozejrzał się wkoło, na cienie tańczące po ścianach, i zwracając się do Froda, powiedział z cicha:

– Coś mi się zdaje, proszę pana, że pan Bilbo niewiele napisał przez czas naszej nieobecności. Chyba już nie napisze naszej historii.

Bilbo otworzył oczy, jak gdyby usłyszał tę uwagę. Uniósł głowę.

– No, widzicie, znowu mi się chce spać – powiedział. – Jeżeli mam czas na pisanie, lubię naprawdę tylko układać wiersze. Chciałem się zapytać, czy

bardzo wielki sprawiłoby ci to kłopot, mój Frodo kochany, gdybyś trochę uporządkował moje papiery, zanim odjedziesz? To znaczy, gdybyś pozbierał zapiski i luźne kartki i zabrał je z sobą. Rozumie się, jeśli masz ochotę. Widzisz, ja już nie mam dość czasu, żeby wybrać co trzeba i skomponować, i tak dalej. Sam mógłby ci pomóc, a jak to wszystko jakoś uładzisz, przywieziesz mi do przejrzenia. Obiecuję, że nie będę krytykował zbyt surowo.

– Oczywiście, zrobię to chętnie – odparł Frodo. – Oczywiście, przyjadę wkrótce znowu, teraz podróż nie grozi już niebezpieczeństwami. Mamy przecież nowego króla, już on zaprowadzi spokój i porządek na drogach.

– Dziękuję ci, mój drogi – powiedział Bilbo. – Zdejmujesz wielki ciężar z mego serca.

I Bilbo znów zasnął głęboko.

Nazajutrz Gandalf i hobbici pożegnali Bilba raz jeszcze, wstąpiwszy do jego pokoiku, bo na dworze za zimno było dla staruszka. Potem pożegnali Elronda i domowników.

Gdy Frodo stanął w progu, Elrond, życząc mu szczęśliwej podróży, rzekł:

– Myślę, że nie będziesz miał po co wracać tutaj, jeśli bardzo się z tym nie pospieszysz. Mniej więcej o tej porze za rok, kiedy liście ozłocą się, nim opadną, czekaj na Bilba w lasach Shire’u. Ja będę z nim także[88].

Nikt inny tych słów nie słyszał, a Frodo z nikim się nimi nie podzielił.

ROZDZIAŁ 7
DO DOMU!

Teraz wreszcie jechali prosto do domu. Pilno im było zobaczyć znowu Shire, ale z początku posuwali się dość wolno, bo Frodo czuł się nieswój. Gdy przybyli do Brodu Bruinen, zatrzymał całą kompanię i najwyraźniej wzdragał się przed wejściem w wodę.

Przyjaciele zauważyli, że przez chwilę wzrok miał nieprzytomny, jakby nie widział ich i całego otoczenia. Do wieczora milczał potem.

Był to dzień szósty października.

– Czy ci coś dolega? – spytał Gandalf z cicha, przysuwając się z koniem do Froda.

– Tak – odparł Frodo. – Ramię. Stara rana boli, a wspomnienie Ciemności ciąży na sercu. Dziś właśnie rocznica.

– Niestety, są rany, które nigdy się całkowicie nie goją – powiedział Gandalf.

– Obawiam się, że moja rana do takich należy – odparł Frodo. – Nie ma w gruncie rzeczy powrotu. Może nawet dojadę do Shire’u, ale nic już nie będzie takie jak dawniej, bo ja jestem inny. Skaleczyły mnie sztylet, jadowite żądło, ostre zęby, długo dźwigane brzemię. Gdzie znajdę spoczynek?

Gandalf nie odpowiedział.

Pod wieczór następnego dnia ustał ból i minął niepokój, Frodo znów poweselał, jak gdyby nie pamiętał o czarnych myślach poprzedniego ranka. Odtąd jechali bez przygód, a dni płynęły szybko; wędrowali swobodnie, często odpoczywając w pięknych lasach, gdzie drzewa w jesiennym słońcu mieniły się czerwienią i złotem. W końcu znaleźli się pod Wichrowym Czubem. Zapadł zmierzch, gęsty cień leżał na drodze. Frodo poprosił przyjaciół o popędzenie koni i nie chciał spojrzeć na górę, lecz cień jej przekroczył ze spuszczoną głową, otulając się szczelniej płaszczem. W nocy pogoda się zmieniła, wiatr od zachodu przyniósł deszcz, dął ostry i zimny, a żółte liście wirowały jak ptactwo w powietrzu. Gdy dotarli do

Zalesia, drzewa stały już niemal nagie, a wielka kurtyna deszczu przesłaniała im widok na wzgórze Bree.

Tak więc przed wieczorem wietrznego i dżdżystego dnia pod koniec października pięciu podróżnych wjechało w końcu stromą drogą na wzgórze i stanęło u południowej bramy miasteczka Bree. Brama była zamknięta na cztery spusty, deszcz chłostał ich twarze, po ciemnym niebie pędziły chmury, a serca wędrowców ścisnęły się zawiedzione, bo spodziewali się bardziej przyjaznego przyjęcia.

Po wielokrotnych nawoływaniach zjawił się wreszcie odźwierny. W ręku miał grubą pałkę. Popatrzył na gości lękliwie i nieufnie, ale gdy dostrzegł między nimi Gandalfa i w jego towarzyszach poznał, mimo dziwnych strojów i zbroi, hobbitów, rozchmurzył czoło i przywitał ich życzliwie.

– Wjeżdżajcie! – powiedział, otwierając bramę. – Trudno gawędzić tutaj, na deszczu i zimnie w tę okropną noc, ale stary Barley z pewnością przyjmie was serdecznie „Pod Rozbrykanym Kucykiem”, a tam dowiecie się wszystkich nowin.

– A ty potem dowiesz się z pewnością wszystkich nowin, które my wieziemy – zaśmiał się Gandalf. – Jak się miewa Harry?

Odźwierny skrzywił się wyraźnie.

– Nie ma go – odparł. – Spytaj o niego Barlimana. Dobranoc!

– Dobranoc! – odpowiedzieli i pojechali dalej; spostrzegli, że za żywopłotem przy drodze wyrósł długi niski budynek i że zza ściany krzewów śledzą ich oczy wielu mężczyzn. Koło zagrody Billa Ferny’ego żywopłot był niestrzyżony i zachwaszczony, okna zaś domu zabite deskami.

– Może tyś go wtedy zabił jabłkami, Samie – powiedział Pippin.

– Na tyle szczęścia nie liczę – odparł Sam – ale bardzo jestem ciekawy, co się stało z tym biednym konikiem. Nieraz myślałem o nim, został wtedy nieborak pod drzwiami Morii wśród wyjących wilków.

Gospoda „Pod Rozbrykanym Kucykiem” z pozoru zdawała się niezmieniona. Za czerwonymi zasłonami w oknach parteru świeciły światła. Dzwonek zadzwonił, Nob przybiegł i uchyliwszy drzwi, wyjrzał przez szparę. Na widok gości stojących w blasku latarni krzyknął ze zdumienia.

– Panie Butterbur! Gospodarzu! – wrzasnął. – Wrócili!

– Co mówisz! No, już ja ich odprawię! – rozległ się głos Butterbura, który chwilę potem wypadł za drzwi, wymachując tęgim kijem.

Poznając przybyłych, osłupiał, a groźny mars na jego czole rozpłynął się w wyrazie zdziwienia i radości.

– Nob, ty barani łbie, nie mogłeś to starych przyjaciół nazwać po imieniu? Porządnego stracha napędził mi dureń, i to w dzisiejszych czasach! Witam, witam! Skąd przybywacie? Nie spodziewałem się, że was w życiu jeszcze zobaczę, słowo daję. Poszliście przecież z Obieżyświatem do Dzikich Krajów, gdzie roi się od najgorszych ludzi. Cieszę się bardzo, że was widzę, a już najbardziej Gandalfa. Proszę, proszę, wchodźcie. Pokoje chcecie chyba te same co wtedy? Są wolne. W ogóle większość pokoi stoi pustkami, nie myślę tego przed wami taić, bo i tak prędko byście sami to zauważyli. Zobaczę, co się znajdzie dla was na kolację, i postaram się podać raz-dwa, ale ciężko będzie, bo służby nie ma wiele. Nob, ty gamoniu, zawołaj Boba! Co też ja mówię, zapomniałem, Boba przecież już nie ma, zawsze teraz przed zmrokiem wraca do swoich, do rodziny. Zabierz kucyki do stajni, Nob. A ty, Gandalfie, pewnie swego konia sam zechcesz odprowadzić? Piękny wierzchowiec, już ci to powiedziałem, jakem go pierwszy raz zobaczył. Proszę, wchodźcie. Rozgośćcie się jak w domu.

Butterbur bądź co bądź nie stracił wymowy i po dawnemu żył w stałym pospiesznym zamęcie. Ale w gospodzie prawie nikogo nie było widać ani słychać, ze wspólnej izby dochodził nikły szmer jakby dwóch tylko czy trzech głosów. Kiedy zaś przybysze dokładniej przyjrzeli się gospodarzowi w blasku dwóch świec, które zapalił, oświetlając przed nimi drogę, stwierdzili, że twarz starego Butterbura jest pomarszczona i zatroskana.

Prowadził ich korytarzem do bawialni, w której przed rokiem spędzili tak niezwykłą noc. Szli za nim z pewnym zaniepokojeniem, bo jasne było, że Barliman buńczuczną miną pokrywa jakieś kłopoty. W Bree widocznie wszystko się zmieniło. Nie mówili jednak nic, czekali.

Tak, jak się spodziewali, Butterbur przyszedł do bawialni po kolacji zapytać, czy są zadowoleni. Oczywiście byli, ponieważ „Pod Rozbrykanym Kucykiem” po staremu piwo i jedzenie miało smak doskonały.

– Nie ośmielę się dzisiaj namawiać, abyście resztę wieczoru spędzili we wspólnej izbie – powiedział Butterbur. – Jesteście pewnie zmęczeni, zresztą prawie nikogo tam nie ma. Ale jeśli zechcecie użyczyć mi przed pójściem

do łóżek małej półgodzinki, chciałbym bardzo pogadać z wami spokojnie i bez postronnych świadków.

– Zgadłeś nasze życzenia – odparł Gandalf. – Nie jesteśmy zmęczeni. Podróżowaliśmy wygodnie. Byliśmy przemoknięci, zziębnięci i głodni, ale z tego jużeś nas wyleczył. Siadaj, Barlimanie. Jeżeli dasz nam w dodatku trochę fajkowego ziela, będziemy cię błogosławić.

– Wołałbym, żebyście zażądali czegokolwiek innego – powiedział Butterbur. – Ziela właśnie nam brak najbardziej, bo tyle go tylko mamy, ile sami wyhodujemy, a to oczywiście za mało na nasze potrzeby. Z Shire'u teraz nie sposób coś dostać. Ale postaram się w miarę możności.

Poszedł i w chwilę później wrócił z wiązką niepokrajanych liści, które mogły im wystarczyć na jakieś dwa dni do fajek.

– Najlepsze, jakie mam, niezłe, ale nie umywają się do liści z Południowej Ćwiartki, zawsze to mówiłem, chociaż na ogół, za przeproszeniem, wolę Bree od Shire'u.

Przysunęli dla gospodarza obszerny fotel do kominka, Gandalf usadowił się naprzeciwko, hobbici zaś na niskich krzesełkach między nimi; przegadali nie jedną półgodzinkę, ale kilka, wymieniając nowiny, których Butterbur chciał słuchać albo nawzajem udzielać. Niemal wszystko, co opowiadali wędrowcy, zdumiewało starego Barlimana i nie mieściło mu się w głowie, toteż nie doczekali się innych uwag z jego ust jak wielokrotne okrzyki powtarzane tak, jakby zacny Butterbur nie ufał własnym uszom: „Co ja słyszę, panie Baggins, a raczej panie Underhill? Bo już mi się poplątało z kretesem… Co ja słyszę, mistrzu Gandalfie? Nie do wiary! Kto by to pomyślał! W naszych czasach!".

Butterbur także miał niemało do opowiadania. W Bree wcale nie było spokojnie. Interesy szły marnie, a prawdę rzekłszy, nawet całkiem kiepsko.

– Nikt z zagranicy nie przybywa już do nas – mówił. – Miejscowi siedzą w domach zamknięci na cztery spusty. Wszystko przez tych obcych przybyszów, włóczęgów, co do nas zaczęli ściągać Zieloną Ścieżką przed rokiem, jak pewnie pamiętacie; potem zjawiało się ich coraz więcej, całe gromady. Trafiali się między nimi po prostu biedacy, uciekający przed burzą, ale większość to byli źli ludzie, złodzieje i podstępni zbójcy. Doszło u nas w Bree do bardzo przykrych rzeczy, nawet do prawdziwej potyczki, w

której padło kilku zabitych, na śmierć zabitych! Słowo daję, nie przesadzam.

– Wierzę – powiedział Gandalf. – Ilu?

– Trzech i dwóch – odparł Butterbur, oddzielnie licząc Dużych Ludzi i hobbitów. – Nieborak Mat Heathertoes, Rowlie Appledore i mały Tom Pickthorn zza Wzgórza, a także Willie Banks i jeden z Underhillów ze Staddle. Wszystko zacne dusze, po których stracie nie pocieszyliśmy się dotąd. A Harry, ten co był odźwiernym przy zachodniej bramie, i Bill Ferny przeszli na stronę obcych przybłędów i potem razem z nimi uciekli; myślę, że to oni wpuścili napastników do miasta tej nocy, kiedy wybuchła bójka. Na krótko przedtem, jakoś pod koniec roku, pokazaliśmy im bramy i wyrzuciliśmy ich bez ceregieli, a zaraz po Nowym Roku, kiedy spadły duże śniegi, zdarzyły się te awantury.

Harry i Bill poszli na rozbój i teraz siedzą w lasach za wioską Archet albo na pustkowiach, gdzieś na północ od Wzgórza. Zupełnie jak w strasznych czasach, o których opowiadają stare bajki. Na gościńcach nikt się nie czuje bezpieczny, wszyscy unikają dalszych podróży i co wieczór wcześnie zamykają się w domach. Musimy trzymać warty wszędzie wzdłuż żywopłotu i obsadziliśmy bramy wzmocnionymi strażami.

– Nas jakoś nikt nie zaczepiał – rzekł Pippin – chociaż jechaliśmy powoli i bez ubezpieczenia. Myśleliśmy, że wszystkie kłopoty zostały już za nami.

– Oj, nie, nie, panie Peregrinie, kłopotów jeszcze dość przed wami – odparł Butterbur. – Nic też dziwnego, że was zbóje nie napastowali. Woleli nie porywać się na zbrojnych, którzy mają miecze, hełmy, tarcze i tak dalej. Każdy by się dwa razy namyślił, zanimby was zaczepił. Prawdę mówiąc, ja też na wasz widok trochę się wystraszyłem.

Nagle hobbici zrozumieli, że jeśli miejscowa ludność przyglądała im się ze zdumieniem, to nie tyle dziwiła się ich powrotowi, ile ich zbrojom. Sami tak się już oswoili z wojennym rynsztunkiem, obracając się wśród dobrze uzbrojonych plemion, że nie pomyśleli, jak niezwykłe wrażenie w ich ojczystych stronach zrobią kolczugi błyszczące spod płaszczy, hełmy Gondorczyków i Rohirrimów oraz tarcze zdobione pięknymi godłami. A na domiar wszystkiego Gandalf jechał na wielkim siwym koniu, cały w bieli, okryty sutym płaszczem mieniącym się od błękitu i srebra, z długim mieczem Glamdringiem u pasa.

– A to dobre! – zaśmiał się Gandalf. – Jeśli nasza piątka napędza im stracha, to pocieszmy się, bo gorszych przeciwników spotykaliśmy w naszej wędrówce. Przynajmniej możesz być spokojny, że nie spróbują cię napadać, póki my tu jesteśmy.

– Ale czy to długo potrwa? – rzekł Butterbur. – Nie przeczę, chętnie bym was zatrzymał tutaj na jakiś czas. Bo to, jak wiecie, myśmy do takich bójek nie przywykli, a Strażnicy podobno wszyscy wynieśli się z naszych stron. Widzę dopiero teraz, że dawniej nie docenialiśmy, ile im zawdzięczamy. Bo kręcą się dokoła groźniejsi jeszcze od zbójów wrogowie. Zeszłej zimy wilki wyły pod żywopłotem. W lesie czają się jakieś ciemne stwory, tak okropne, że na samą myśl o nich krew w żyłach zastyga. Doprawdy bardzo, bardzo to wszystko było niepokojące.

– Rzeczywiście – przyznał Gandalf. – Wszystkie prawie kraje przeżywały ostatnio wielki niepokój. Ale pociesz się, Barlimanie. Bree znalazło się na krawędzi bardzo ciężkich kłopotów i z ulgą stwierdzam, że nie wpadło w nie głębiej. Świtają teraz lepsze czasy. Tak dobrych czasów nikt już pewnie tu nie pamięta! Strażnicy wrócili. My wróciliśmy wraz z nimi. I znowu mamy króla, Barlimanie; król wkrótce przypomni sobie o tej części swojego królestwa. Ożyje Zielona Ścieżka, gońcy królewscy będą po niej mknęli tam i z powrotem, a złe stwory znikną, wyparte z dzikich krain. Pustkowia zaludnią się i zamienią w pola uprawne.

Butterbur kiwał głową.

– Pewnie, trochę uczciwszych podróżnych na gościńcach nikomu nie zaszkodzi. Ale nie życzymy sobie więcej nicponiów i zabijaków. Nie chcemy widzieć obcych w Bree ani nawet w pobliżu Bree. Niech nas zostawią w spokoju. Nie chcę, żeby tłum obcych tutaj się panoszył i osiedlał, karczując puszczę dokoła.

– Będziecie mieli spokój, Barlimanie – odparł Gandalf. – Dla wszystkich starczy miejsca pomiędzy Iseną a Szarą Wodą lub też na południowym brzegu Brandywiny; nikt nie będzie się cisnął pod same granice Bree. Niegdyś mnóstwo ludzi mieszkało na północy, o sto mil albo dalej stąd, u końca Zielonej Ścieżki, na Północnych Wzgórzach i nad Jeziorem Evendim.

– Na Północy, za Szańcem Umarłych? – z rosnącym powątpiewaniem odrzekł Butterbur. – To są podobno kraje nawiedzane przez upiory. Nikt prócz zbójców tam się nie zapuści.

– A jednak Strażnicy tam bywają – powiedział Gandalf. – Mówisz: Szaniec Umarłych. Tak rzeczywiście zwą to miejsce od wielu lat; prawdziwa jednak dawna nazwa brzmi Fornost Erain, Norbury, Północny Gród Królów. I pewnego dnia król tam powróci, a wtedy zobaczysz na gościńcu wspaniałych podróżnych.

– No, tak, to już daje trochę lepsze widoki na przyszłość – rzekł Butterbur – i można by się wtedy spodziewać poprawy interesów. Byle ten król zostawił Bree w spokoju.

– Na pewno zostawi – odparł Gandalf. – Zna wasz kraj i kocha.

– A to jakim cudem? – zdziwił się Butterbur. – Nie rozumiem. Skoro siedzi sobie na wspaniałym tronie w potężnym zamku setki mil stąd, skądże by mógł nas znać? Pewnie pija wino ze złotych pucharów. Cóż dla niego znaczy moja gospoda i piwo w kuflach? Chociaż co do piwa, to nie możesz, Gandalfie, zaprzeczyć, że jest dobre. Nabrało wyśmienitego smaku od jesieni zeszłego roku, kiedyś nas odwiedził i obdarzył je łaskawym słowem. To była jedyna dla mnie pociecha w tych ciężkich czasach.

– Król mówi, że zawsze u ciebie piwo było dobre – wtrącił się Sam.

– Król?

– A jakże! Przecież to Obieżyświat! Wódz Strażników. Czy jeszcze nic ci w głowie nie świta?

Zaświtało i Butterbur zbaraniał ze zdziwienia. Oczy mu omal z orbit nie wyskoczyły, rozdziawił usta i sapał głośno.

– Obieżyświat! – krzyknął wreszcie, odzyskując dech. – Obieżyświat w koronie, ze złotym pucharem! Czego to dożyliśmy!

– Lepszych czasów, w każdym razie dla Bree – rzekł Gandalf.

– Pewnie, pewnie, teraz już w to wierzę – odparł Butterbur. – No, wiecie państwo, od dawna nie gadało mi się z nikim tak miło jak z wami. Szczerze powiem, że tej nocy zasnę z lżejszym sercem. Jest o czym myśleć po tej rozmówce, ale odłożę to do jutra. Teraz ciągnie mnie już do łóżka, a was z pewnością także. Hej, Nob! – zawołał, podchodząc do drzwi. – Nob, niezguło! – Palnął się ręką w czoło. – …Zaraz, zaraz… Nob? Coś mi to przypomina, ale co?

– Może znów jakiś zapomniany list? – spytał Merry.

– Niełądnie, że mi pan jeszcze nie wybaczył starej historii, panie Meriadoku! Przerwał mi pan wątek. Na czym to stanąłem? Nob… stajnia… Aha! Mam tu na przechowaniu coś, co jest waszą własnością. Jeżeli pamiętacie Billa Ferny’ego, tego koniokrada, i kucyka, którego Bill wam sprzedał, no to właśnie o niego chodzi. Kucyk wrócił do mnie sam, dobrowolnie. Skąd? To już wy lepiej wiecie niż ja. Przyszedł kudłaty jak stare psisko i chudy jak patyk, ale żywy. Nob go tutaj pielęgnuje.

– Nie może być! Mój Bill! – wrzasnął Sam. – W czepku się urodziłem, niech Dziadunio mówi, co chce. Znowu spełnione życzenie! Gdzie on jest?

Sam nie chciał się położyć, dopóki nie odwiedził kucyka w stajni.

Wędrowcy zostali w Bree przez cały następny dzień, a Butterbur nie mógł uskarżać się na zastój w interesach, przynajmniej tego drugiego wieczora. Ciekawość okazała się silniejsza od strachu i w gospodzie było rojno jak nigdy. Hobbici przez grzeczność zaszli do wspólnej izby i odpowiedzieli na mnóstwo pytań. A że ludzie z Bree mają dobrą pamięć, wielu z nich pytało Froda, czy napisał swoją książkę.

– Jeszcze nie – odpowiadał. – Jadę do domu, tam dopiero uporządkuję przywiezione zapiski.

Musiał obiecać, że nie pominie nadzwyczajnych wydarzeń, które w Bree się rozegrały, ponieważ bez tego wydawała im się za mało interesująca książka, poświęcona przeważnie dalekim i znacznie mniej ważnym wypadkom „gdzieś na południu”.

Potem jeden z młodszych mężczyzn poprosił o piosenkę. Ale wtedy zaległa nagle cisza, starsi ukradkiem zgromili lekkomyślnego młokosa i nikt prośby nie podtrzymał. Jasne było, że ludzie z Bree nie pragnęli powtórzenia się niesamowitych awantur w gospodzie.

Nic też nie zakłóciło spokoju we dnie ani w nocy, dopóki podróżni gościli w Bree. Nazajutrz jednak zerwali się o świcie, bo z uwagi na dżdżystą wciąż pogodę chcieli dotrzeć do Shire przed wieczorem, a drogę mieli dość daleką. Ludzie z Bree stawili się tłumnie, żeby ich pożegnać, w weselszym nastroju niż zazwyczaj w ciągu ubiegłego roku; kto przedtem nie widział gości w pełnym rynsztunku, ten otwierał teraz oczy z podziwu, gdy ukazał się Gandalf z białą brodą, cały promieniejący światłem, w błękitnym płaszczu, który zdawał się jak obłok przesłaniający słońce, a przy Czarodzieju czterej hobbici niby błędni rycerze z dawnych, niemal

zapomnianych legend. Nawet ci, którzy zrazu wyśmiewali nowiny o królu, zaczęli podejrzewać, że jest w nich mimo wszystko trochę prawdy.

– Ano, szczęśliwej podróży i szczęśliwego powrotu do domów! – rzekł Butterbur. – Może powinienem wcześniej uprzedzić was, że w Shire także niedobrze się dzieje, takie przynajmniej do nas słuchy dochodzą. Podobno zdarzyły się tam dziwne rzeczy. Ale wciąż to to, to owo, człowiek ma za dużo własnych kłopotów na głowie. Co prawda, jeśli wolno mówić szczerze, przyjechaliście z tej podróży tacy odmienieni, że z pewnością dacie sobie radę ze wszystkimi kłopotami. Nie wątpię, że prędko zaprowadzicie u siebie porządek. Życzę szczęścia! A pamiętajcie, że im częściej będziecie się pokazywali „Pod Rozbrykanym Kucykiem”, tym bardziej się wami ucieszę.

Pożegnali go nawzajem serdecznie i ruszyli przez Bramę Zachodnią w stronę Shire. Kucyka Billa wzięli z sobą, a chociaż musiał znów dźwigać spore juki, biegł raźno obok wierzchowca Sama i zdawał się bardzo zadowolony.

– Ciekawe, co też stary Barliman miał na myśli – odezwał się Frodo.

– Trochę zgaduję – posępnie odparł Sam. – Pewnie to, co zobaczyłem kiedyś w zwierciadle Pani Galadrieli: ścięte drzewa i mojego Dziadunia wygnanego z domu. Żałuję, że się bardziej nie spieszyłem z powrotem.

– Na pewno też coś niedobrego stało się w Południowej Ćwiartce – powiedział Merry. – Wszędzie brak fajkowego ziela.

– Cokolwiek tam się złego święci, założę się, że Lotho w tym palce macza – rzekł Pippin.

– Palce może macza, ale na dnie kto inny wodę mąci – powiedział Gandalf. – Zapomnieliście o Sarumanie. On wcześniej niż Mordor zaczął interesować się Shire.

– Ale przecież ty jesteś z nami – rzekł Merry – więc wszystko prędko się naprawi.

– Jestem z wami teraz – odparł Gandalf – wkrótce jednak się rozstaniemy. Nie pojadę do Shire. Sami musicie swoje sprawy załatwić, do tego właśnie od dawna was przygotowywałem. Czy jeszczeście nie zrozumieli? Mój czas minął, nie jest już moim zadaniem wprowadzanie ładu na świecie ani nawet pomaganie innym, gdy się do tego zabierają. Wy

zresztą, przyjaciele, już nie potrzebujecie pomocy. Wyrośliście bardzo wysoko, dosięgliście największych, o was wszystkich już mogę być spokojny.

Wiedzcie, że wkrótce skręcę w inną ścieżkę. Zamierzam pogawędzić z Bombadilem, i to tak obszernie, jak jeszcze nigdy w życiu. On był tym kamieniem, który mchem obrasta, podczas kiedy mnie wypadło toczyć się po świecie. Ale już skończyły się moje wędrówki, teraz będziemy mieli sobie dużo do powiedzenia z Bombadilem.

W jakiś czas potem dotarli do tego miejsca na Wschodnim Gościńcu, gdzie niegdyś pożegnali Bombadila. Hobbici marzyli, a nawet oczekiwali, że ujrzą go tutaj, spodziewając się, że wyjdzie na ich spotkanie. Lecz nie dał znaku życia; od południa szara mgła słała się na Kurhanach, a Stary Las w oddali zniknął za jej gęstą zasłoną.

Zatrzymali się na chwilę; Frodo tęsknie spoglądał na południe.

– Bardzo bym chciał zobaczyć znów starego przyjaciela – rzekł. – Ciekaw jestem, jak mu się wiedzie.

– Doskonale, jak zawsze, ręczę ci za to – odparł Gandalf. – Beztroski Bombadil pewnie nawet niezbyt się interesuje tym, co zdziałaliśmy i widzieli, chyba tylko waszym spotkaniem z entami. Może później przyjdzie i na to czas, żebyś go odwiedził. Teraz na twoim miejscu nie marudziłbym ani chwili, bo inaczej nie zdążycie przed zamknięciem bramy mostu na Brandywinie.

– Ależ tam nie ma żadnej bramy! – zawołał Merry. – Nie na tym szlaku! Wiesz to chyba, Gandalfie, równie dobrze jak ja. W Bucklandzie jest brama, oczywiście, ale tę otworzą przede mną o każdej porze.

– Powiedz raczej, że przedtem na tym szlaku bramy nie było – odparł Gandalf. – Teraz ją tam zastaniesz. I nawet w Bucklandzie możesz się natknąć na większe trudności, niż myślisz. Ale przezwyciężysz je szczęśliwie. Do widzenia, przyjaciele kochani! Nie rozstajemy się na zawsze. Jeszcze nie. Do widzenia.

Skierował Cienistogrzywego w bok od gościńca; rumak przesadził lekko szeroki zielony wał ciągnący się tu wzdłuż drogi. Gandalf zakrzyknął na niego i Cienistogrzywy pomknął w stronę Kurhanów jak wiatr z północy.

– Ano zostało nas czterech, tak jak z domu ruszaliśmy – rzekł Merry. – Wszystkich towarzyszy, jednego po drugim, zostawiliśmy po drodze. Można by pomyśleć, że to sen, który powoli się rozwiewa.

– Mnie się zdaje przeciwnie – powiedział Frodo – że teraz zasypiam z powrotem.

ROZDZIAŁ 8
PORZĄDKI W SHIRE

Już po zmroku zmoknięci i zmęczeni wędrowcy zajechali nad Brandywinę i zastali tam drogę zagrodzoną. U dwóch końców mostu jeżyły się ostrokołowe bramy. Na drugim brzegu rzeki dostrzegli nowo zbudowane domy, piętrowe, z wąskimi, prostokątnymi oknami, nagie i źle oświetlone, ponure i obce.

Stukali w bramę i wołali, nikt jednak zrazu nie odpowiedział; potem usłyszeli ze zdumieniem głos rogu i zobaczyli, że w domach za rzeką światła gasną. Ktoś w ciemności krzyknął:

– Kto tam?! Odstąpcie spod bramy. Nie wjedziecie teraz. Czy nie umiecie czytać? Jest przecież napis: „Zamknięte od zachodu do wschodu słońca”.

– Rozumie się, że nie umiemy czytać po ciemku! – odkrzyknął Sam. – Ale jeśli hobbici z Shire’u mają przez ten wasz napis moknąć przez całą zimną noc, to poszukam tego ogłoszenia i zerwę je zaraz.

Rozległ się trzask zamykanego okna i z domu po lewej stronie wysypał się tłum hobbitów z latarniami w rękach. Otworzyli na drugim końcu bramę, a niektórzy nawet przebiegli most. Na widok podróżnych przystanęli wystraszeni.

– Chodźże tu bliżej, Hobie Hayward! – zawołał Merry, rozróżniając w świetle latarni jednego z dawnych znajomych. – Nie widzisz, że to ja, Merry Brandybuck? Wytłumacz mi, co to wszystko znaczy, co tu robi porządny Bucklandczyk, jak ty? O ile pamiętam, byłeś odźwiernym przy Zielonej Bramie?

– O rety! Pan Meriadok, oczy mnie nie mylą, a uzbrojony jak na wojnę! – krzyknął stary Hob. – A tu już opowiadali, że pan zginął. A w każdym razie, że pan zabłądził w Starym Lesie. To radość, że pana widzę całego i żywego!

– Zamiast się na mnie gapić przez szpary w płocie, otwórz lepiej bramę! – powiedział Merry.

– Niech mi pan wybaczy, nie mogę. Mamy taki rozkaz.

– Kto go wam dał?

– Wódz z Bag End.

– Wódz, jaki wódz? Chciałeś powiedzieć: Lotho? – spytał Frodo.

– Tak, ale kazał mówić teraz na siebie: Wódz.

– To pięknie; przynajmniej nie używa nazwiska Bagginsów – odparł Frodo. – Ale, jak widzę, pora, żeby krewni zajęli się nim i przywołali go do porządku.

Zza bramy dobiegł zgorszony i przerażony szept:

– Lepiej takich rzeczy nie mówić. On się może dowiedzieć. A poza tym jak będziecie tak hałasowali, gotów się zbudzić Duży Człowiek Wodza.

– Już my go obudzimy tak, że się nieprędko przestanie dziwić – rzekł Merry. – Jeżeli to znaczy, że twój wspaniały Wódz wziął do swej służby najemnych zbirów z Pustkowi, to widzę, żeśmy rzeczywiście za długo czekali z powrotem. – Zeskoczył z kuca, a dostrzegłszy w błysku latarni ogłoszenie, zdarł je i cisnął za bramę.

Hobbici cofnęli się, żaden nie podszedł, by otworzyć skoble. – Do mnie, Pippin! Nas dwóch wystarczy.

Merry i Pippin wdrapali się na bramę. Hobbici uciekli z mostu.

Znowu zagrał róg. Z większego domu po prawej stronie wychynęła duża, ciężka postać, wyraźnie widoczna na tle oświetlonych drzwi.

– Co to za hałasy! – warknął, zbliżając się. – Kto się ośmielił przez bramę włazić? Jazda stąd, bo karki poskręcam, nędzne pokurcze.

Nagle stanął, bo dostrzegł błysk mieczy.

– Billu Ferny! – rzekł Merry. – Jeżeli w ciągu dziesięciu sekund nie otworzysz bramy, gorzko pożałujesz. Nauczę cię posłuchu tym oto żelazem. Otwórz bramę i wynoś się za nią. Żebym cię tu więcej nie spotkał, łotrzyku, zbóju!

Bill Ferny skulił się, powlókł pod bramę, otworzył rygle.

– Oddaj klucz! – powiedział Merry.

Ale zbój cisnął mu klucze w twarz i dał nura w ciemność. Kiedy mijał kuce, jeden z nich wierzgnął i trafił go kopytami. Bill Ferny zawył i zniknął w mroku. Nigdy nikt więcej o nim nie posłyszał.

– Brawo, Billy – pochwalił kucyka Sam.

– A więc wasz Duży Człowiek już załatwiony – rzekł Merry. – Z Wodzem policzymy się w swoim czasie. Na razie potrzebujemy na noc kwatery, a że jak widzę, zburzyliście gospodę, która stała przy moście, i zamiast niej pobudowali te szkaradne domy, musicie nas jakoś w nich umieścić.

– Bardzo przepraszam, panie Meriadoku, ale to zabronione – odparł Hob.

– Co jest zabronione?

– Przyjmowanie podróżnych, jedzenie poza porami regularnych posiłków i w ogóle różne takie rzeczy.

– Co się tu dzieje? – spytał Merry. – Czy mieliście w tym roku klęskę nieurodzaju? Zdawało mi się, że lato było piękne i zbiory bogate.

– Owszem, rok był dość dobry – odparł Hob. – Zebraliśmy dużo plonów, ale nie wiadomo dokładnie, co się z nimi stało. Rozeszło się chyba między rozmaitych „poborców” i „szafarzy”, co to chodzą po kraju, liczą, mierzą i odstawiają wszystko do składów. Więcej zbierają, niż rozdzielają, i prawie nic z tego potem do nas nie wraca.

– Słowo daję, to takie nudne, że nie mam siły słuchać dłużej po nocy – rzekł Pippin, ziewając. – Mamy prowianty w workach podróżnych. Dajcie nam byle jaką izbę, żebyśmy mogli głowy skłonić. Nocowało się już gorzej po drodze!

Hobbici spod bramy wciąż jeszcze zdawali się zaniepokojeni, najwidoczniej propozycja Pippina nie zgadzała się z obowiązującymi przepisami; nikt jednak nie ośmielił się sprzeciwiać dłużej tak groźnie uzbrojonym podróżnym, z których dwaj byli na dobitkę wyjątkowo rośli i silni. Frodo kazał bramę z powrotem zaryglować.

Ostrożność taka miała bądź co bądź pewien sens, skoro w okolicy kręcili się zbóje. Potem czterej przyjaciele weszli do hobbickiej kordegardy i rozgościli się tam, jak mogli. Była to izba naga i brzydka, ze skąpym kominkiem, który nie pozwalał na rozpalenie porządnego ognia. Na piętrze w sypialniach wartowników ciągnęły się rzędy twardych łóżek, a na ścianach wisiały różne pouczenia i długa lista przepisów. Pippin zdarł je natychmiast. Piwa nie było wcale, jadła bardzo mało, ale z prowiantów, które wydobyto z podróżnych worków i rozdzielono między wszystkich obecnych, złożyła się niezła kolacja. Pippin, łamiąc przepis numer cztery,

dorzucił na palenisko prawie całą wiązkę drew przeznaczonych na dzień następny.

– Przydałaby się teraz fajeczka, paląc, milej by się słuchało waszej opowieści o tym, co się dzieje w Shire – powiedział.

– Ziela fajkowego nie ma – odparł Hob – a raczej jest tylko dla Dużych Ludzi Wodza. Cały zapas podobno się wyczerpał. Jak słyszeliśmy, karawany wozów załadowanych liśćmi wysłano z Południowej Ćwiartki starą drogą, przez Bród Sarn. Stało się to pod koniec zeszłego roku, wkrótce po waszym wyjeździe. Ale podobno wcześniej jeszcze ziele cichcem wyciekało z kraju w mniejszych ilościach. Ten Lotho…

– Trzymaj język za zębami, Hobie Hayward! – krzyknęło kilku hobbitów naraz. – Wiesz, że takie gadanie jest zabronione. Wódz dowie się, co mówiłeś, a wtedy wszyscy będziemy w opałach.

– Nie dowiedziałby się, gdyby między wami nie było lizusów – odparł zapalczywie Hob.

– Spokojnie, spokojnie! – rzekł Sam. – Wiemy już dość. Nie trzeba ani słowa więcej, gościnności nie ma, piwa nie ma, ziela do fajki nie ma, za to przepisów w bród i kłótnie jak wśród orków. Spodziewałem się, że odpocznę wreszcie, ale widzę, że czekają nas nowe trudy i kłopoty. Tymczasem chodźmy spać i odłóżmy te sprawy do rana.

Nowy „Wódz” najwidoczniej miał swoje sposoby, żeby wiedzieć o wszystkim. Od mostu do Bag End było czterdzieści mil z hakiem, ale ktoś niewątpliwie pospieszył z wiadomościami. Frodo i jego towarzysze wkrótce się o tym przekonali.

Nie mieli ustalonych ściśle planów, lecz zamierzali najpierw udać się do Ustroni na krótki wypoczynek. Teraz jednak, widząc, co się święci, postanowili jechać wprost do Hobbitonu. Wyruszyli więc nazajutrz gościńcem, popędzając konie. Wiatr przycichł, ale niebo było chmurne. Kraj zdawał się smutny i opuszczony; co prawda był to już pierwszy dzień listopada, koniec jesieni. Mimo wszystko ogniska płonęły nawet na tę porę roku niezwykle gęsto, a wszędzie dokoła dym wzbijał się nad ziemię i ciężką chmurą płynął w stronę Leśnego Zakątka.

Pod wieczór wędrowcy zbliżyli się do Żabiej Łąki – sporej wsi przy gościńcu, oddalonej o dwadzieścia dwie mile od mostu. Tam chcieli przenocować, pamiętając, że gospoda „Pod Pływającą Kłodą” cieszy się

dobrą sławą. Ale u wjazdu do wsi natknęli się na barierę zagradzającą gościniec i opatrzoną wielką tablicą z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Za barierą stał liczny oddział szeryfów z pałkami w garści i z piórami na czapkach; miny mieli nadęte i trochę wystraszone zarazem.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytał Frodo, powstrzymując się od śmiechu.

– Znaczy to, panie Baggins – odparł dowódca szeryfów, hobbit odznaczający się podwójnym piórem na czapce – że jest pan aresztowany za włamanie się przez bramę, zdarcie ogłoszeń urzędowych, napaść na odźwiernego, bezprawne przekroczenie granic, nocowanie w budynku państwowym bez zezwolenia i przekupienie poczęstunkiem wartowników pełniących służbę.

– Nic więcej? – spytał Frodo.

– Ja bym mógł coś niecoś dorzucić, jeśli chcecie – powiedział Sam.

– Nazwanie Wodza po imieniu, świerzbienie ręki, żeby mu kułakiem zamalować tę jego pryszczatą buzię, a także posądzenie szeryfów, że są bandą durniów.

– Dość tego! Zgodnie z rozkazem Wodza macie iść tam z nami bez oporu. Zaprowadzimy was Nad Wodę i oddamy w ręce Dużych Ludzi Wodza. Wszystko, co macie do powiedzenia, powiecie na rozprawie. Ale jeśli nie chcecie dłużej jeszcze posiedzieć w więzieniu, radzę wam za wiele nie gadać.

Szeryfowie speszyli się mocno, kiedy Frodo wraz z całą kompanią wybuchnął na to gromkim śmiechem.

– Nie pleć głupstw – rzekł Frodo. – Pojadę, gdzie mi się spodoba, i wtedy, kiedy zechcę. Przypadkiem wybieram się do Bag End, gdzie mam interesy, ale jeśli upierasz się iść tam z nami, proszę bardzo, to twoja sprawa.

– Niech i tak będzie, panie Baggins – odparł dowódca szeryfów – ale niech pan nie zapomina, że pana aresztowałem.

– Nie zapomnę! – rzekł Frodo. – Nigdy! Ale może ci to kiedyś wybaczę. W każdym razie dzisiaj nigdzie dalej nie jadę, bądź więc łaskaw odprowadzić mnie do gospody „Pod Pływającą Kłodą”.

– Nie mogę, proszę pana. Gospoda zamknięta. Jest tylko dom szeryfów na drugim końcu wsi. Tam was zaprowadzę.

– Zgoda – powiedział Frodo. – Idź naprzód, jedziemy za tobą.

Sam tymczasem, przeglądając szeregi, wypatrzył wśród szeryfów dawnego znajomka.

– Ejże, Robinie Smallburrow! Chodź no bliżej, chciałbym z tobą pogadać! – zawołał.

Robin Smallburrow zerknął lękliwie na dowódcę, który nasrożył się, lecz nie śmiał oponować, po czym cofnął się i podszedł do Sama.

Sam zeskoczył z kucyka.

– Słuchaj no, Robinku – rzekł – wychowałeś się w Hobbitonie i powinieneś mieć więcej oleju w głowie. Czy ci nie wstyd napastować pana Froda? I co to ma znaczyć, że gospoda zamknięta?

– Wszystkie gospody zamknięto – odparł Robin. – Wódz piwa nie cierpi. Od tego się przynajmniej zaczęło. Bo teraz, prawdę mówiąc, Duzi Ludzie Wodza piją, ile chcą. On nie cierpi też, żeby się ktoś po kraju kręcił, więc jeśli już któryś hobbit musi albo chce podróżować, ma zgłaszać się w domach szeryfów po drodze i tłumaczyć się, po co i skąd wędruje.

– Wstydziłbyś się brać udział w takich głupich bezeceństwach – rzekł Sam. – Pamiętam, żeś zawsze wolał gospody oglądać od środka niż z zewnątrz. Na służbie czy poza służbą, chętnie wpadałeś na kufelek piwa.

– I dalej bym to chętnie robił, gdybym mógł. Ale nie bądź dla mnie za surowy, Samie. Cóż poradzę? Wstąpiłem do szeryfów na służbę siedem lat temu, kiedy nikomu nie śniło się o takich porządkach, jakie dziś mamy. Myślałem, że będę miał okazję włóczyć się po kraju, słuchać plotek, gdzie piwo lepsze. Stało się teraz inaczej.

– No, to rzuć to, do licha, nie bądź dłużej szeryfem, skoro to przestało być zajęciem stosownym dla uczciwego hobbita – rzekł Sam.

– To wzbronione – odparł Robin.

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę to piękne słówko, rozgniewam się na dobre – powiedział Sam.

– Szczerze mówiąc, nawet bym się nie zmartwił – odparł Robin, zniżając głos. – Gdybyśmy rozgniewali się wszyscy razem, może by dało się coś

zrobić. Ale zrozum, Samie, Wódz ma swoich Dużych Ludzi. Rozsyła ich wszędzie, a jeśli ktoś z nas, małych ludzi, upomina się o swoje prawa – zamykają go w więzieniu. Pierwszego zamknęli naszego starego tłuściocha Willa Whitfoota, burmistrza, a potem wielu innych. Ostatnio dzieje się coraz gorzej. Często biją więźniów.

– Dlaczego więc dla nich pracujesz? – spytał Sam ze złością. – Kto cię posłał do Żabiej Łąki?

– Nikt. Stale tam jesteśmy na posterunku w dużym domu szeryfów. Należę do pierwszej grupy Wschodniej Ćwiartki. Razem jest teraz paruset szeryfów i werbują ich jeszcze więcej, bo wyszły nowe przepisy. Większość służy wbrew woli, ale nie wszyscy. Nawet w Shire są tacy, którzy lubią wścibiać nosy w cudze sprawy i udawać ważnych. Co gorsza, nie brak też szpiegów, donoszących o wszystkim Wodzowi i jego Dużym Ludziom.

– Ha! Więc tym sposobem o nas się dowiedział, czy tak?

– Tak. Zwykłym obywatelom nie wolno korzystać z pospiesznej poczty, ale oni jej używają i trzymają umyślnych gońców w różnych punktach kraju. Jeden taki goniec przybiegł w nocy z Bamfurlong z „tajną wiadomością”, drugi poniósł ją stąd dalej. A dziś po południu przyszedł tą drogą rozkaz, żeby was aresztować i odstawić Nad Wodę, nie wprost do więzienia. Wódz chce widocznie rozprawić się z wami jak najprędzej.

– Odechce mu się, jak pan Frodo z nim pogada – rzekł Sam.

Dom szeryfów w Żabiej Łące nie był lepszy od kordegardy przy moście. Nie miał piętra, lecz okna równie wąskie, i zbudowany był z brzydkiej, szarej cegły, niedbale kładzionej. Wnętrze okazało się wilgotne i ponure, a kolację podano na długim stole z nieheblowanych desek, których na dobitkę od dawna nikt porządnie nie wyszorował. Jadło było zresztą niegodne lepszego stołu.

Podróżni nie mieli ochoty zatrzymywać się tu dłużej, a że od Wody dzieliło ich jeszcze około osiemnastu mil, ruszyli o dziesiątej rano w drogę. Wyruszyliby znacznie wcześniej, gdyby nie to, że zwłoka wyraźnie złościła dowódcę szeryfów. Wiatr skręcił z zachodu na północ, pochłodniało, lecz deszcz nie padał.

Kawalkada, opuszczając wieś, wyglądała dość zabawnie, mimo to kilku tutejszych mieszkańców, którzy wylegli z domów, żeby popatrzeć na odjazd

podróżnych, wahało się, nie wiedząc, czy śmiech jest dozwolony. Dwunastu szeryfom kazano eskortować „więźniów”, lecz Merry zmusił ich, żeby maszerowali na czele, podczas gdy Frodo ze swą kompanią jechał za nimi. Merry, Pippin i Sam śmiali się, śpiewali i gawędzili swobodnie, szeryfowie natomiast kroczyli sztywno, usiłując nadać sobie surowy i poważny wygląd. Frodo milczał, zdawał się smutny i zamyślony. Ostatnią osobą, którą we wsi mijali, był krzepki staruszek zajęty właśnie strzyżeniem żywopłotu.

– Hola, hola! – zawołał na ich widok. – Kto tu właściwie kogo aresztował?

Dwaj szeryfowie, odłączając się natychmiast od oddziału, skierowali się ku niemu.

– Panie oficerze! – krzyknął Merry. – Proszę natychmiast przywołać swoich podwładnych do porządku, jeśli nie chcesz, żebym ja to zrobił.

Dwaj hobbici na ostry rozkaz dowódcy wrócili z ponurymi minami do szeregu.

– Naprzód, marsz! – zakomenderował Merry.

Jeźdźcy postarali się, żeby piesza eskorta musiała dobrze wyciągać nogi. Słońce wyjrzało zza chmur i mimo chłodnego wiatru szeryfowie zasapali się i spocili porządnie.

Przy Kamieniu Trzech Ćwiartek dali za wygraną. Przebiegli blisko czternaście mil z jednym tylko popasem w południe. Teraz była już godzina trzecia. Głodni, z poobijanymi nogami, nie mogli dłużej dotrzymać kroku kucykom.

– No, trudno, przyjdziecie za nami, kiedy zdołacie – rzekł Merry. – My jedziemy dalej.

– Do widzenia, Robinku! – powiedział Sam. – Czekam cię przed „Zielonym Smokiem”, jeśli nie zapomniałeś drogi do gospody. Nie marudź za długo!

– Aresztanci, uciekając, łamią znów przepisy – markotnie stwierdził dowódca. – Ja za to nie chcę brać odpowiedzialności.

– Nie bój się, złamiemy jeszcze niejeden bez twojego pozwolenia – odparł Pippin. – Życzę szczęścia!

Puścili się kłusem i gdy słońce zaczęło zniżać się na zachodnim widnokręgu ku Białym Wzgórzom, dotarli Nad Wodę, nad wielki staw. Tu czekał ich pierwszy naprawdę bolesny wstrząs. Były to przecież rodzinne strony Froda i Sama, obaj też dopiero w tym momencie zrozumieli, że są im droższe niż wszystkie kraje świata. Wielu znajomych domów brakowało. Niektóre, jak się zdawało, spłonęły. W północnym stoku wzgórza Nad Wodą miłe hobbickie norki opustoszały; ogródki, dawniej zbiegające barwnym kobiercem aż na brzeg, były zapuszczone i pełne chwastów. Co gorsza, tam gdzie przedtem droga do Hobbitonu ciągnęła się tuż nad stawem, wyrósł rząd szpetnych nowych budowli. Niegdyś wzdłuż drogi szumiały drzewa. Dziś wszystkie zniknęły. Patrząc z rozpaczą w stronę Bag End, ujrzeli w oddali wysoki komin z cegły. Pluł czarnym dymem pod wieczorne niebo. Sam nie posiadał się z oburzenia.

– Nie wytrzymam, panie Frodo! – krzyknął. – Jadę tam! Muszę przekonać się, co to znaczy. Muszę odszukać Dziadunia.

– Najpierw trzeba się dowiedzieć, co nas tam czeka – rzekł Merry. – „Wódz” pewnie ma pod ręką bandę swoich zbirów. Powinniśmy przede wszystkim znaleźć tu kogoś, kto nam wyjaśni, jak sprawy stoją.

Ale Nad Wodą wszystkie domy i norki były zamknięte, nikt nie wyszedł powitać wędrowców. Dziwiło ich to, wkrótce jednak zrozumieli przyczynę. Kiedy bowiem dojechali do gospody „Pod Zielonym Smokiem”, mieszczącej się w ostatnim domu przy drodze do Hobbitonu – martwym teraz i ziejącym powybijanymi szybami – zobaczyli pod ścianą zaczajoną grupę Dużych Ludzi, rosłych i złowrogich. Mieli skośne oczy i śniadą cerę.

– Przypomina się Bill Ferny z Bree – rzekł Sam.

– I wielu jego współplemieńców z Isengardu – mruknął Merry.

Zbóje mieli pałki w rękach i rogi u pasa, lecz poza tym – na ile hobbici mogli dostrzec z tej odległości – nie byli uzbrojeni. Kiedy podróżni zbliżali się, tamci wyskoczyli na gościniec i zagrodzili przejazd.

– Dokąd to? – spytał jeden z nich, największy i najszpetniejszy ze wszystkich. – Dalej jechać nie wolno. Gdzie się podziała wasza sławetna eskorta?

– Idą za nami – odparł Merry. – Trochę ich już nogi bolą. Obiecaliśmy, że tu na nich zaczekamy.

– A co, nie mówiłem? – rzekł zbój, zwracając się do swych kamratów. – Od razu powiedziałem Sharkeyowi, że tym małym durniom ufać nie można. Powinien był wysłać paru naszych.

– Na to samo by wyszło – powiedział Merry. – Co prawda nie przywykliśmy do pieszych rozbójników w naszym kraju, ale potrafimy sobie i z nimi dać radę.

– Rozbójników? Tak się o nas mówi? Radzę ci zmienić ton po dobroci, bo inaczej z tobą pogadam. Przewróciło się pokurczom w głowach. Nie liczcie zanadto na miękkie serce Wodza. Jest teraz Sharkey i Wódz zrobi to, co mu Sharkey każe.

– A cóż on każe? – spytał spokojnie Frodo.

– Ten kraj trzeba obudzić i nauczyć praw – oświadczył zbój. – Sharkey to zrobi i nie będzie się z wami cackał, jeśli go rozgniewacie. Wam trzeba większego władcy. I będziecie go mieli, nim ten rok upłynie, jeśli nie przestaniecie się buntować. Dostanie nauczkę ten szczurzy pomiot.

– Ach, tak! Dobrze, że mi wyjaśniłeś plany – rzekł Frodo. – Jadę właśnie do pana Lotho, który pewnie również się nimi zainteresuje.

Zbir wybuchnął śmiechem.

– Lotho! Lotho je zna. Nie martw się o niego. Lotho posłucha Sharkeya. Bo jeśli Wódz grymasi, to zmienia się Wodza. Rozumiesz? A jeśli mały ludek próbuje mieszać się do nie swoich spraw, to się go unieszkodliwia. Rozumiesz?

– Owszem – rzekł Frodo. – Po pierwsze widzę, że bardzo tu jesteście opóźnieni i nie wiecie nic o tym, co się na szerokim świecie dzieje. A tymczasem na południu wiele się zmieniło, odkąd je opuściłeś. Skończyły się twoje czasy, czasy zbójców. Czarna Wieża padła, w Gondorze panuje król. Isengard zburzony, twój sławetny mistrz błądzi po pustkowiu i jest żebrakiem. Minąłem go po drodze. Teraz już nie łotrzykowie z Isengardu, ale wysłańcy króla będą przybywali do nas Zieloną Ścieżką.

Zbój patrzył na Froda z szyderczym uśmiechem.

– Żebrakiem, powiadasz? Czyżby? – zadrwił. – Przechwalaj się, przechwalaj, zadufku. Nie przeszkodzi to nam żyć wygodnie w tym sytym kraiku, gdzie dość długo hobbici próżnowali. A co do królewskich

wysłańców – rzekł, prztykając palcami przed nosem Froda – to tyle sobie z nich robię! Tyle! Jeśli w ogóle będę łaskaw na nich zwrócić uwagę.

Tego było Pippinowi za wiele. Wspomniał pola Cormallen i krew w nim zakipiała, że taki zezowaty łotr ośmiela się Powiernika Pierścienia nazywać zadufkiem. Odrzucił płaszcz z ramion, dobył miecza i w blasku srebra na czerni Gondoru wysunął się z koniem naprzód.

– Jestem wysłańcem króla! – rzekł. – Mówisz z królewskim przyjacielem, który wsławił się w krajach Zachodu. Jesteś nie tylko łotrem, ale też głupcem. Na kolana, w proch, błagaj o przebaczenie, jeśli nie chcesz, żebym cię pokarał tym ostrzem, które gromiło trollów.

Miecz błysnął w zachodzącym słońcu. Merry i Sam także sięgnęli do broni i przysunęli się do Pippina, żeby go wesprzeć w walce. Frodo jednak nie drgnął. Zbóje cofnęli się z drogi. Dotychczas łatwo sobie radzili z bezbronnymi wieśniakami w Bree albo z oszołomionym ludem w Shire. Nieustraszeni hobbici z lśniącymi mieczami i surowymi twarzami byli dla nich wielką niespodzianką. W głosie podróżnych brzmiał ton, jakiego nie słyszeli jeszcze nigdy. Zdjął ich strach.

– Precz stąd! – rzekł Merry. – A jeśli poważycie się kiedykolwiek znowu mącić spokój tej wioski, pożałujecie!

Czterej hobbici powędrowali dalej, zbójcy uciekli drogą w przeciwnym kierunku, lecz w biegu trąbili na rogach.

– Ano, nie za wcześnie wróciliśmy! – powiedział Merry.

– Na pewno. Może nawet za późno, przynajmniej za późno, żeby ocalić Lotha – rzekł Frodo. – Nikczemny głupiec, ale mi go żal.

– Ocalić Lotha? Co mówisz? – zdziwił się Pippin. – Chciałeś chyba powiedzieć zniszczyć.

– Zdaje się, że niezupełnie rozumiesz tę sprawę, Pippinie – odparł Frodo. – Lotho nie zamierzał doprowadzić kraju do tej klęski. Był głupi i nikczemny, ale teraz znalazł się w pułapce. Zbójcy wzięli wszystko w swoje ręce, rabują, tyranizują lud, rządzą i burzą samowolnie, posługując się jego imieniem. A nawet już zaczynają obywać się bez tego imienia. Lotho jest w gruncie rzeczy więźniem w Bag End i pewnie drży ze strachu. Musimy spróbować, czy nie da się go ocalić.

– W głowie mi się kręci! – rzekł Pippin. – Wszystkiego się spodziewałem na zakończenie naszej wyprawy, ale nie tego, że będę musiał bić się z półorkami i zbójami na własnej ziemi, i to w obronie pryszczatego Lotha!

– Bić się? Tak, może i do tego przyjdzie – odparł Frodo. – Ale pamiętaj: nie wolno ci zabić żadnego hobbita, nawet gdyby stał po stronie przeciwników, to znaczy nawet gdyby im naprawdę sprzyjał, bo nie mówię o tych, którzy ze strachu ulegają rozkazom łotrów. Nigdy jeszcze w Shire hobbit nie zabił umyślnie hobbita. Nie odstąpimy od tej tradycji. Innych też staraj się oszczędzać, nie zadawaj śmierci, chyba że będzie to naprawdę nieuniknione. Powściągaj zapalczywość i własne ręce aż do ostatniej chwili.

– Jeśli zbirów jest dużo – odparł Merry – nie da się uniknąć walki. Nie uratujemy Lotha ani Shire’u samym oburzeniem i smutkiem, mój Frodo.

– Nie, nie będzie łatwo drugi raz ich nastraszyć – powiedział Pippin. – Tych się udało spłoszyć, bo ich zaskoczyliśmy. Słyszeliście, że dęli w rogi? Są więc z pewnością inni zbóje w pobliżu. W gromadzie będą odważniejsi. Trzeba rozejrzeć się za jakimś schronieniem na noc. Bądź co bądź jest nas tylko czterech, chociaż uzbrojonych.

– Mam pomysł! – rzekł Sam. – Chodźmy do starego Toma Cottona. Mieszkał przy Południowej Ścieżce i zawsze był zacnym hobbitem. Ma też kupę synów, a wszyscy – moi przyjaciele.

– Nie! – odparł Merry. – Nie zda się na nic „szukać schronienia”. Tak właśnie postępował zazwyczaj tutejszy ludek i to ułatwia sprawę zbirom. Przyjdą po nas w przeważającej sile, osaczą w kryjówce i albo z niej wypędzą, albo spalą z nią razem. Nie, musimy działać, nie zwlekając.

– Jak? – spytał Pippin.

– Wzniecić w Shire powstanie – rzekł Merry. – Zaraz! Budźcie hobbitów! Oni wszyscy nienawidzą nowych porządków, to jasne. Wszyscy z wyjątkiem może paru łajdaków i paru głupców, którzy chcą w ten sposób zdobyć stanowiska, nie rozumiejąc wcale, co się naprawdę dzieje. Ale hobbici w Shire tak długo cieszyli się spokojem i wygodami, że teraz nie wiedzą, co robić. Wystarczy jednak przytknąć żagiew, a kraj stanie w ogniu. Ludzie Wodza pewnie to wiedzą. Będą próbowali nas zdeptać i zgasić możliwie szybko. Nie ma chwili do stracenia. Samie, jeśli chcesz, skocz na

farmę Cottona. To najbardziej szanowany gospodarz w okolicy i najdzielniejszy. Żywo! Zadmę w róg Rohanu. Jeszcze tu nie słyszano takiej muzyki.

Galopem wrócili do środka wsi. Sam skręcił w boczną ścieżkę i pognał do zagrody Cottona. Nie zdążył się oddalić, gdy nagle dobiegł jego uszu czysty, bijący ku niebu śpiew rogu. Daleko w górach i na polach odpowiedziały echa, a tak było to wezwanie naglące, że Sam omal nie zawrócił z miejsca, by pospieszyć za tym głosem. Kucyk stanął dęba i zarżał.

– Naprzód! Naprzód! – zawołał Sam. – Nie bój się, wkrótce zawrócimy.

Potem usłyszał, jak Merry, zmieniwszy nutę, gra pobudkę Bucklandu, aż powietrze drży od okrzyku:

– Zbudźcie się! Zbudźcie! Trwoga, napaść, pożoga! Zbudźcie się! Gore! Napaść!

Za plecami Sama, we wsi, rozległ się gwar, szczęk, trzask zamykanych drzwi. Przed nim w zmierzchu wybłysnęły światła, zaszczekały psy, zatupotały spieszne kroki. Nim dotarł do końca ścieżki, spotkał biegnących hobbitów, starego Cottona i trzech jego synów: Toma, Jolly’ego i Nicka. Z toporami w ręku zastąpili mu drogę.

– Nie, to nie zbój! – wstrzymał synów stary gospodarz. – Ze wzrostu wygląda na hobbita, ale ubrany dziwnie. Hej! – krzyknął. – Coś za jeden i co to za alarm?

– To ja, Sam Gamgee! Wróciłem.

Stary Cotton podszedł bliżej i przyjrzał mu się bacznie w półmroku.

– A to dopiero! – wykrzyknął. – Głos Sama i twarz Sama, nie gorsza, niż była. Ale takeś się ustroił, że mógłbym się o ciebie otrzeć na drodze i nie zgadłbym, z kim mam zaszczyt. Jak słyszę, podróżowałeś daleko? Baliśmy się, że już nie żyjesz.

– Żyję, żyję – odparł Sam. – I pan Frodo żyje. Jest tutaj z przyjaciółmi. Właśnie dlatego ten alarm: budzimy Shire do powstania. Trzeba przepędzić zbirów i tego ich Wodza. Ruszamy zaraz.

– Dobra nowina! – zawołał Cotton. – Nareszcie! Przez cały ten rok świerzbią mnie ręce. Ale nikt nie chciał mi pomóc. W dodatku muszę

pilnować żony i Różyczki. Te zbiry nie na próżno się tutaj kręcą. Ale skoro tak, dalejże, chłopcy! Nad Wodą powstanie! My z nim!

– A co będzie z waszą żoną i Różyczką? – spytał Sam. – Niebezpiecznie, żeby zostały tu bez obrony.

– Nibs ich strzeże. Jeśli uważasz, że trzeba mu pomóc, to jedź do nich – rzekł stary Cotton z domyślnym uśmiechem. Po czym wraz z synami pobiegł ku wsi.

Sam pospieszył do domu Cottonów. W głębi rozległego podwórka na najwyższym stopniu schodów w okrągłych drzwiach stała matka z córką, a przed nimi młody Nibs z widłami wzniesionymi w ręku.

– To ja, Sam Gamgee! – zawołał w pędzie jeszcze Sam. – Nie próbuj mnie nadziać na widły, Nibsie! Zresztą, mam na sobie kolczugę.

Zeskoczył z kuca i wbiegł na schodki. Tamci wpatrywali się w niego w osłupieniu.

– Dobry wieczór, pani Cotton! – rzekł. – Dobry wieczór, Różyczko.

– Dobry wieczór, Samie – odpowiedziała Różyczka. – Gdzieżeś to bywał? Mówili, żeś zginął, ale ja od wiosny już czekałam na ciebie. Nie bardzo się spieszyłeś.

– Może – odparł Sam – za to teraz bardzo się spieszę. Robimy porządek ze zbirami i muszę wracać do pana Froda. Chciałem tylko wpaść na chwilkę i zobaczyć, jak się miewacie, pani Cotton i ty, Różyczko.

– Miewamy się doskonale – odpowiedziała pani Cotton. – A raczej miewałybyśmy się dobrze, gdyby nie ci rabusie, zbóje.

– No, Samie, umykaj! – powiedziała Różyczka. – Jeśli przez tak długi czas opiekowałeś się panem Frodem, to nieładnie, że go opuszczasz teraz, gdy zaczyna być naprawdę niebezpiecznie.

Sam oniemiał wobec tak niesprawiedliwego zarzutu. Zawrócił na pięcie, skoczył na kucyka. W ostatniej chwili Różyczka zbiegła jednak ze schodków.

– Wiesz, Samie, wyglądasz wspaniale! – powiedziała. – Jedź! Ale bądź ostrożny i jak tylko przepędzisz tych zbirów, wracaj prosto do nas.

We wsi tymczasem już wrzało. Sam po powrocie zastał nie tylko gromadkę młodzików, ale też przeszło setkę starszych, krzepkich hobbitów, uzbrojonych w topory, ciężkie młoty, długie noże i grube kije; niektórzy

mieli nawet myśliwskie łuki. Z okolicznych farm przybywało coraz więcej ochotników.

Paru wieśniaków roznieciło duże ognisko, przede wszystkim dlatego, że było to przez Wodza surowo zabronione. Ogień rozjarzył się jasno, gdy już zapadła noc. Inni na rozkaz Meriadoka ustawili w poprzek drogi zapory na obu końcach wsi. Oddział szeryfów, natknąwszy się na jedną z nich, stanął zdumiony, a gdy szeryfowie zorientowali się o co chodzi, większość zdarła pióra z kapeluszy i przyłączyła się do powstania. Reszta zbiegła chyłkiem.

Gdy Sam nadszedł, Frodo i jego przyjaciele rozmawiali właśnie ze starym Tomem Cottonem, a tłum wieśniaków z Nad Wody otaczał ich w krąg z ciekawością i podziwem.

– Od czego więc zaczniemy? – pytał Cotton.

– Jeszcze tego nie rozstrzygnąłem, muszę najpierw zebrać więcej wiadomości – odparł Frodo. – Ilu zbirów jest w pobliżu?

– Trudno powiedzieć – rzekł Cotton. – Kręcą się wciąż, to przychodzą, to odchodzą. Około pół setki w tej ich budzie przy drodze do Hobbitonu; stamtąd rozłażą się po okolicy, kradnąc czy też, jak to nazywają, „rekwirując”. Ale zwykle co najmniej dwudziestu trzyma się przy naczelniku, bo tak Wodza tytułują. Wódz mieszka, czy też mieszkał, w Bag End, ale ostatnio wcale się nie pokazuje. Nikt od paru już tygodni go nie widział. Co prawda jego Ludzie nie dopuszczają nikogo w pobliże tej siedziby.

– Nie tylko w Hobbitonie są Ludzie Wodza, prawda? – spytał Pippin.

– Gdzie ich nie ma! – odparł Cotton. – Spora banda na południu, w Longbottom i nad Brodem Sarn, jak słyszałem; siedzą też przyczajeni w Leśnym Zakątku i mają swoją budę przy Rozdrożu. A poza tym są lochy, to znaczy stare podziemne składy w Michel Delving, zamienione teraz na więzienia dla tych, którzy ośmielają się zbirom przeciwstawić. Razem nie ma tych łajdaków więcej niż trzy setki w całym Shire, a może trochę mniej. Damy im radę, jeśli weźmiemy się do kupy.

– Broń mają? – spytał Merry.

– Nahajki, noże i pałki. To im wystarcza do tej brudnej roboty. Z inną bronią jak dotąd jeszcze się nie zdradzili – odparł Cotton – ale myślę, że sięgną po coś więcej, jeśli przyjdzie do walki. Niektórzy mają na pewno łuki. Ustrzelili paru hobbitów.

– A widzisz, Frodo! – zawołał Merry. – Mówiłem ci, że bez walki się nie obejdzie. Tamci pierwsi zaczęli zabijać.

– Niezupełnie – wyjaśnił Cotton. – W każdym razie nie oni zaczęli strzelaninę, ale Tukowie. Pański ojciec, panie Peregrinie, od początku nie chciał się z Lothem zadawać, mówił, że jeśli ktoś ma w naszych czasach rządzić Shire'em, to chyba tylko prawowity than, a nie samozwaniec. A kiedy Lotho nasłał na niego swoich ludzi, pan Tuk nie dał sobie dmuchać w kaszę. Tukowie to szczęściarze, mają w Zielonych Wzgórzach głębokie nory, Wielkie Smajale i tak dalej, więc zbiry nie mogły się do nich dobrać, a Tukowie nie chcą nawet wpuszczać łajdaków na swoją ziemię. Jeśli któryś się tam zapędzi – wyganiają. Trzech, których przyłapali na rabunku, zastrzelili. Odtąd zbiry tym gorzej się rozsierdziły. I mają oko na Tuków. Nikt tam teraz nie dostanie się ani stamtąd nie wyjdzie.

– Górą Tukowie! – zawołał Pippin. – Ale ktoś jednak do Tukonu się dostanie. Jadę do Smajalów. Kto ze mną?

Zgłosiło się kilku młodzików na kucach i Pippin ruszył wraz z nimi.

– Do prędkiego zobaczenia! – krzyknął na odjezdnym. – Na przełaj mamy nie więcej niż czternaście mil. Jutro rano stawię się z całą armią Tuków.

Merry zadął w róg, gdy znikali w gęstym już zmroku. Hobbici wszyscy krzyknęli im na wiwat.

– Mimo wszystko – rzekł Frodo do stojących najbliżej przyjaciół – nie chcę zabijania, oszczędzajcie nawet zbirów, chyba że nie byłoby innego sposobu obrony życia hobbitów.

– Dobrze – odparł Merry. – Ale możemy lada chwila spodziewać się odwiedzin tej bandy z Hobbitonu. Nie przyjdą na pogawędkę. Będziemy starali się potraktować ich wspaniałomyślnie, musimy jednak być przygotowani na najgorsze. Mam pewien plan.

– Zgoda – rzekł Frodo. – Ty zarządź wszystko.

W tej właśnie chwili nadbiegło paru hobbitów wysłanych przedtem na zwiady w stronę Hobbitonu.

– Idą już! – oznajmili. – Około dwudziestu zbirów, może więcej. Ale dwaj skręcili przez pola na zachód.

– Z pewnością do Rozstajów – powiedział Cotton – po posiłki. Bądź co bądź mają piętnaście mil w każdą stronę do przebycia. Na razie możemy się o to nie martwić.

Merry pospieszył wydać rozkazy. Tom Cotton oczyścił drogę, odsyłając do domu wszystkich z wyjątkiem starszych hobbitów zaopatrzonych w jakąś broń. Nie czekali długo. Wkrótce usłyszeli donośne głosy, a potem tupot ciężkich stóp. Zaraz też cały oddział zbirów pokazał się na drodze. Na widok zapory wybuchnęli śmiechem. Nie wyobrażali sobie, żeby w tym kraiku znalazł się ktoś, kto stawi czoło dwom dziesiątkom Dużych Ludzi.

Hobbici otworzyli zaporę i ustawili się na skraju drogi.

– Dziękujemy! – szyderczo zawołali ludzie. – A teraz jazda stąd do domów, pod pierzynę, jeśli nie chcecie dostać lania. – I maszerując przez ulicę wsi, wrzeszczeli: – Gasić światła! Wszyscy do domów, niech nikt nie waży się nosa wytknąć. W razie nieposłuszeństwa weźmiemy pięćdziesięciu tutejszych hobbitów na rok do lochów. Do domów! Naczelnik traci już cierpliwość.

Nikt nie zważał na te rozkazy, lecz gdy oddział przeszedł, hobbici sformowali się w szeregi i ruszyli za nim. Przy ognisku zbiry zastały samotnego Toma Cottona, grzejącego sobie ręce.

– Jak się zwiesz i co tu robisz? – spytał dowódca zbirów.

Tom Cotton z wolna podniósł na niego wzrok.

– Właśnie o to samo chciałem was zapytać – powiedział. – To nie wasz kraj i nikt was tu sobie nie życzy.

– Ale my życzymy sobie ciebie obejrzeć z bliska – odparł dowódca. – Brać go, chłopcy! Do lochów z nim! A po drodze dajcie mu nauczkę, żeby się uspokoił.

Paru zbirów podbiegło ku niemu, lecz od razu stanęli jak wryci.

Zewsząd wkoło rozległy się głosy i napastnicy zrozumieli nagle, że stary farmer nie jest tu sam. Byli otoczeni. W mroku, na skraju światła promieniującego od ogniska, stali kręgiem hobbici, którzy cichcem podpełzli pod osłoną ciemności. Było ich prawie dwustu i wszyscy uzbrojeni.

Wystąpił Merry.

– Spotkaliśmy się już raz i ostrzegałem cię, żebyś się więcej tu nie pokazywał – rzekł do dowódcy. – Ostrzegam cię po raz wtóry: stoisz w pełnym świetle, a nasi łucznicy wzięli cię na cel. Jeśli któryś z was tknie tego gospodarza czy też innego hobbita, dosięgną go strzały. Odrzućcie wszelką broń, jaką macie przy sobie.

Dowódca zbirów rozejrzał się wkoło. Był w pułapce. Nie zląkł się jednak, czuł się pewnie, mając dwudziestu kamratów u boku. Za mało znał hobbitów, żeby docenić niebezpieczeństwo. W swym zaślepieniu postanowił walczyć. Wydawało mu się, że będzie bardzo łatwo przebić się przez szeregi oblegających.

– Bić ich, chłopcy! – krzyknął. – Bić, nie żałować!

Z długim nożem w jednej ręce, z kijem w drugiej rzucił się na krąg hobbitów, chcąc przedostać się z powrotem do Hobbitonu. Napotkał na swej drodze Meriadoka i z furią zamachnął się na niego kijem. Lecz w tym samym momencie padł martwy, przeszyty czterema strzałami. Nauka nie poszła w las. Reszta zbirów poddała się hobbitom. Odebrano im broń, związano powrozami w szeregi i zaprowadzono do pustego budynku, który sami sobie zbudowali; tam spętanych zostawiono pod kluczem i pod strażą. Zabitego dowódcę pochowano opodal drogi.

– Aż za łatwo poszło, prawda? – rzekł Cotton. – Przepowiadałem, że damy im radę. Potrzebny był nam tylko sygnał. Wróciliście w samą porę, panie Merry!

– Jeszcze mamy sporo do zrobienia – odparł Merry. – Jeżeli twój rachunek był słuszny, unieszkodliwiliśmy dopiero dziesiątą część przeciwników. Ale teraz już ciemno. Trzeba chyba z następnym krokiem czekać do rana. Wtedy złożymy wizytę Wodzowi.

– Czemu nie zaraz? – spytał Sam. – Ledwie szósta godzina. A mnie pilno zobaczyć Dziadunia. Czy nie wie pan, co u niego słychać, panie Cotton?

– Nic dobrego, ale też nic bardzo złego – odpowiedział farmer. – Rozkopali całą skarpę nad Bagshot, a to był dla Dziadunia ciężki cios. Musiał przenieść się do jednego z nowych domów, które pobudowali Ludzie Wodza w tym okresie, kiedy jeszcze zajmowali się czymś poza paleniem i kradzieżą; mieszka teraz o niespełna milę od granicy wsi Nad Wodą. Odwiedza mnie przy każdej sposobności; wydaje się lepiej

odżywiony niż wielu innych biedaków. Tak jak wszyscy jest przeciwnikiem nowych porządków. Zaprosiłbym go na stałe do siebie, ale to wzbronione.

– Dziękuję, panie Cotton, nigdy panu tego nie zapomnę – rzekł Sam. – Chcę koniecznie zobaczyć Dziadunia. Ten cały Wódz i jego Sharkey, czy jak go tam zwą, mogliby w ciągu nocy uknuć jakieś łotrostwo.

– Rób, jak uważasz, Samie – odparł Cotton. – Dobierz sobie do kompanii chłopaka albo ze dwóch i sprowadźcie Dziadunia do mego domu. Nie będziesz musiał wcale zbliżać się do starego Hobbitonu Nad Wodą. Jolly pokaże ci drogę.

Sam wybrał się niezwłocznie. Merry rozesłał zwiady w okolicę wsi i rozstawił na noc warty przy zaporach. Potem wraz z Frodem poszedł do domu Cottona. Siedzieli w gronie jego rodziny w ciepłej kuchni; Cottonowie grzecznie zadali kilka pytań o historię ich podróży, ale słuchali odpowiedzi jednym uchem, zanadto pochłonięci wydarzeniami w kraju.

– Zaczęło się wszystko przez tego Pypcia, jak przezwaliśmy Lotha – mówił Cotton. – I zaczęło się wkrótce po pańskim odejściu, panie Frodo. Pypeć miał dziwne pomysły. Wszystko chciał zagarnąć, a potem rządzić wszystkimi. Prędko się wydało, że już od dawna nagromadził wielki majątek, co mu wcale na zdrowie nie wyszło. Ale dalej skupował coraz więcej, chociaż nie wiadomo, skąd brał na to pieniądze. Już miał młyny i browary, i gospody, i farmy, i plantacje fajkowego ziela. Podobno jeszcze zanim się sprowadził do Bag End, kupił od Sandymana młyn.

Oczywiście, od początku miał po ojcu duże dobra w Południowej Ćwiartce i sprzedawał, jak chodziły słuchy, najlepsze liście za granicę, wywożąc je cichcem już od dwóch lat. Pod koniec zeszłego roku zaczął wysyłać już nie liście, ale przygotowane ziele, i to całymi karawanami wozów. Zaczęło ziela w kraju brakować, a na domiar złego zbliżała się zima. Hobbici burzyli się na to, lecz umiał ich uspokoić. Na wozach zjechała gromada Dużych Ludzi, przeważnie zbójów; niektórzy mieli się zająć przewożeniem towaru na południe, inni zostali na dobre w Shire. Potem ściągnęło ich jeszcze więcej. Zanim się opatrzyliśmy, już ich było pełno wszędzie; wycinali drzewa, kopali, budowali sobie szopy i domy, robili, co chcieli. Zrazu Pypeć płacił za wyrządzone przez nich szkody, ale wkrótce rozpanoszyli się tak, że po prostu brali, co im się podobało.

W kraju zaczęto szemrać, nie dość jednak głośno. Stary burmistrz, Will, wybrał się z protestem, ale nie doszedł do Bag End. Po drodze opadły go zbiry, zawlokły do Lochów w Michel Delving i tam po dziś dzień biedak siedzi. Stało się to jakoś zaraz po Nowym Roku, a gdy zabrakło burmistrza, Pypeć ogłosił się Naczelnym Szeryfem i odtąd rządził samowolnie wszystkim. Kto się ośmielił, jak to oni teraz nazywają, na „krnąbrność", tego spotykał los Willa. Z każdym dniem było gorzej. Ziela do fajek nikt nie miał prócz Ludzi Wodza; Wódz nie lubi piwa, więc go hobbitom odmówił, pozwalając pić tylko swoim Ludziom; wszystkiego było coraz mniej, tylko przepisów coraz więcej, żeby nikt nie mógł nic z własnego dobra zachować, gdy zbiry plądrowały dom po domu, niby to dokonując „sprawiedliwego rozdziału"; w rzeczywistości brali wszystko dla siebie, a hobbitom nie dawali nic, prócz resztek, które można nabyć w domach szeryfów, ale to paskudztwo nie do strawienia. Źle się działo. Odkąd jednak zjawił się Sharkey, nastała istna klęska.

– Kto zacz ten Sharkey? – spytał Merry. – Jeden ze zbirów coś nam o nim wspominał.

– Zbir nad zbirami, o ile mi wiadomo – odparł Cotton. – Pierwszy raz usłyszeliśmy jego imię mniej więcej w okresie żniw, jakoś pod koniec września. Nigdyśmy go nie widzieli; podobno mieszka w Bag End. On to, jak się domyślam, jest teraz naszym prawdziwym władcą. Zbiry wykonują jego wolę, a on każe rąbać, palić, burzyć. Ostatnio także – zabijać. Już w tym nie sposób dopatrzyć się sensu, bodaj nawet złośliwego. Walą drzewa i zostawiają na miejscu, żeby gniły. Palą domy i przestali nowe budować.

Posłuchajcie, jak było z młynem Sandymana. Pypeć go zburzył, jak tylko sprowadził się do Bag End. Potem sprowadził bandę Dużych Ludzi, z minami zbójów, żeby zbudowali nowy młyn, większy i pełen różnych zagranicznych wynalazków. Tylko durny Ted cieszył się z tego i pracuje przy czyszczeniu machin u Dużych Ludzi na tym miejscu, gdzie jego ojciec był młynarzem i gospodarzem.

Pypeć zapowiadał, że w jego młynie będzie się mełło więcej i szybciej. Ma takich młynów kilka. Ale żeby mleć, trzeba mieć ziarno, a do nowego młyna nie dostarczano go więcej niż do starego. Odkąd Sharkey panuje, w ogóle nie ma co mleć. Wciąż tylko słychać łoskot, dym bucha z komina, smród zapowietrza okolicę, a w Hobbitonie nikt nie zazna spokoju za dnia ani w nocy. Umyślnie wylewają jakieś brudy, zapaskudzili nimi w dolnym

biegu wodę i całe to plugastwo spływa do Brandywiny. Jeśli im o to chodzi, żeby Shire zamienić w pustynię, to wybrali dobrą drogę. Nie przypuszczam, żeby ten głupi Pypeć do tego dążył. Moim zdaniem to robota Sharkeya.

– Na pewno! – odezwał się młody Tom Cotton. – Przecież uwięzili starą matkę Pypcia, Lobelię, którą Pypeć bardzo kocha, ją chyba jedną na świecie. Hobbici z Hobbitonu widzieli, jak to się stało. Lobelia szła ścieżką z Pagórka i miała w ręku swój stary parasol. Spotkała kilku zbirów jadących wielkim wozem pod górę.

– Dokąd jedziecie? – pyta.

– Do Bag End.

– Po co?

– Budować szopy dla Sharkeya.

– Kto wam pozwolił?

– Sharkey – odparli. – Ustąp z drogi, stara jędzo.

– Ja wam pokażę Sharkeya, podli zbóje, złodzieje! – krzyknęła i z parasolem w garści rzuciła się na przywódcę, dwa razy większego niż ona. Oczywiście obezwładnili ją i zabrali. Powlekli do lochów, a to przecież starowina. Więżą innych, bardziej nam miłych i potrzebnych, nie da się jednak zaprzeczyć, że Lobelia okazała się dzielniejsza od wielu hobbitów.

W tym momencie rozmowa się urwała, bo do kuchni wpadł Sam, prowadząc Dziadunia. Stary Gamgee z pozoru nie postarzał się przez ten rok, ale ogłuchł jeszcze bardziej.

– Dobry wieczór, panie Baggins – powiedział. – Cieszę się, że cię widzę z powrotem całego i zdrowego. Ale mam z panem na pieńku, że tak powiem, jeśli wolno mi być szczerym. Nie powinien pan był sprzedawać Bag End, od początku to mówiłem. Od tego zaczęły się wszystkie biedy. A przez ten czas, kiedy pan sobie podróżował po obcych krajach, wojując w górach z Czarnym Ludem – jeśli dobrze zrozumiałem, co Sam plecie, bo z nim trudno się dogadać – tutaj zbóje przekopali nasz Pagórek i zniszczyli moje ziemniaki.

– Bardzo mi przykro, panie Gamgee – odparł Frodo. – Teraz, skoro wróciłem, postaram się w miarę moich sił naprawić szkody.

– Sprawiedliwie pan mówi – rzekł Dziadunio. – Pan Frodo Baggins jest uczciwym hobbitem, zawsze to powiadałem, chociaż nie o wszystkich osobach tego nazwiska, za przeproszeniem, można to samo powiedzieć. Mam nadzieję, że mój Sam sprawował się w podróży przyzwoicie i że pan z niego jest zadowolony?

– Najzupełniej! – odparł Frodo. – Nie wiem, czy mi pan uwierzy, ale Sam teraz jest osobistością sławną na całym świecie; we wszystkich krajach, stąd aż do Morza i na drugim brzegu Rzeki, ludzie śpiewają pieśni o nim i o jego czynach.

Sam zaczerwienił się, ale z wdzięcznością spojrzał na Froda, bo Różyczce oczy zabłysły i uśmiechnęła się do młodego bohatera.

– Trudno w to uwierzyć – rzekł Dziadunio. – Ale widzę, że mój Sam dostał się w dziwną kompanię. Co on za kubrak ma na sobie? Nie podoba mi się, żeby rozsądny hobbit ubierał się w żelastwo, chociaż możliwe, że to się nie zedrze tak prędko jak inne ubrania.

Nazajutrz rodzina Cottonów i jej goście wstali o świcie. Noc minęła spokojnie, ale można było spodziewać się, że dzień przyniesie z pewnością niejedną przygodę.

– Tak wygląda, jakby w Bag End nie było już zbirów – rzekł stary Cotton – ale banda z Rozstajów zjawi się lada chwila.

Ledwie zjedli śniadanie, nadjechał goniec z Tukonu. Był pełen zapału.

– Than zerwał na nogi cały kraj – powiedział. – Wieść szerzy się wszędzie jak pożar, zbóje, którzy pilnowali Tukonu, a raczej ci z nich, którzy uszli z życiem, zbiegli na południe. Than ściga ich, żeby nie dopuścić do połączenia się na drodze z wielką bandą. Pana Peregrina jednak odesłał z tylu hobbitami, ilu mogli ze swego oddziału bez narażenia wyprawy odstąpić.

Następna nowina była mniej pomyślna. Merry, który całą noc spędził na koniu, przyjechał około dziesiątej na farmę.

– Silna banda nadciąga, są nie dalej niż o cztery mile stąd – oznajmił. – Idą gościńcem od Rozstajów, ale po drodze przyłączyli się do nich ludzie z różnych oddziałów. Będzie razem koło stu, a wszystko, co im się nawinie w marszu, podpalają. Łajdacy!

– Ha! Ci nie będą się wdawali w układy, idą zabijać – rzekł stary Cotton. – Jeśli Tukowie nie zjawią się wcześniej niż oni, musimy się ukryć i z zasadzki strzelać bez ostrzeżenia. Nie obejdzie się bez walki, zanim przywrócimy ład, panie Frodo!

Tukowie jednak wyprzedzili nieprzyjaciół. Przymaszerowała z Tukonu i Zielonych Wzgórz setka dziarskich hobbitów z Pippinem na czele. Merry miał teraz dość podkomendnych, żeby rozprawić się ze zbirami. Zwiadowcy donieśli, że przeciwnicy trzymają się zwartą kupą. Wiedzieli już, że kraj powstał przeciw nim, i najwyraźniej zamierzali stłumić bunt bez litości, a przecież Nad Wodą był główny ośrodek ruchu. Banda zdawała się groźna i zawzięta, brakowało jej wszakże dowódcy biegłego w sztuce wojennej. W marszu nie zachowywała żadnej ostrożności. Merry szybko ułożył plan działania.

Zbójcy maszerowali Wschodnim Gościńcem, po czym, nie zatrzymując się, zboczyli na drogę prowadzącą Nad Wodę; droga ta biegła czas jakiś stokiem w dół pomiędzy wysokimi skarpami porośniętymi u szczytu niskim żywopłotem. Za pierwszym skrętem, o niespełna ćwierć mili od gościńca, zbójcy natknęli się na przeszkodę: drogę zagradzał ciężki przewrócony wóz chłopski. To wstrzymało pochód. W tym samym momencie spostrzegli, że po obu stronach za żywopłotem, wprost nad ich głowami, stoi mur hobbitów. Inni hobbici tymczasem już wtaczali wozy, ukryte na polach, i barykadowali drogę, zamykając zbójom odwrót. Z góry rozległ się głos:

– Tak więc wleźliście w potrzask – mówił Merry. – To samo przytrafiło się waszym kamratom z Hobbitonu; jeden z nich poległ, inni są naszymi więźniami. Złóżcie broń! Cofnijcie się o dwadzieścia kroków i siądźcie. Kto by próbował ucieczki, tego zastrzelimy.

Ale zbójcy nie dali się tak łatwo nastraszyć. Kilku chciało posłuchać wezwania, lecz natychmiast współtowarzysze wybili im to z głowy. Ze dwudziestu zawróciło i rzuciło się na wozy tarasujące drogę. Sześciu padło od strzał, lecz inni przedarli się, zabijając dwóch hobbitów, i w rozsypce puścili się przez pola w kierunku Leśnego Zakątka. Dwaj z nich polegli dosięgnięci w biegu strzałami. Merry głośno zadął w róg i z oddali odpowiedziało mu granie rogów.

– Nie uciekną daleko – rzekł Pippin. – Cała okolica roi się teraz od naszych sprzymierzeńców.

Tymczasem zamknięci w pułapce na drodze zbójcy, których tu było jeszcze z osiemdziesięciu, próbowali wdrapywać się na barykady lub na skarpy, tak że hobbici musieli użyć łuków i toporów. Mimo strat wielu najsilniejszych i najbardziej zawziętych zbójów wydostało się na zachodni stok i stąd nacierało z furią na przeciwnika, szukając teraz krwawej pomsty raczej niż ucieczki. Kilku hobbitów poległo, opór już zaczynał słabnąć, gdy ze wschodniej strony nadbiegli Merry i Pippin i rzucili się w wir walki. Merry własną ręką ściął dowódcę zbirów, zezowatego dzikiego wielkoluda, podobnego do ogromnego orka. Potem wycofał oddział, zostawiając wkoło garstki niedobitków szeroki krąg łuczników.

Wreszcie było po wszystkim. Blisko siedemdziesięciu zbójów padło w walce, kilkunastu dostało się do niewoli. Straty hobbitów wynosiły dziewiętnastu zabitych i trzydziestu rannych. Trupy zbójów załadowano na wozy, przewieziono do dołu pobliskiej kopalni piasku i pogrzebano. Odtąd miejsce to nazywało się Bitewnym Dołem. Poległych hobbitów złożono we wspólnym grobie na stoku wzgórza i postawiono tam później wielki kamień z napisem, a wokół zasadzono ogród. Tak się skończyła bitwa Nad Wodą w roku 1419, ostatnia bitwa stoczona na ziemiach Shire’u i pierwsza, jaka w tym kraju rozegrała się od dnia bitwy na Zielonych Polach, w Północnej Ćwiartce, w roku 1147. Toteż, chociaż nie nazbyt krwawa, zajęła cały rozdział w Czerwonej Księdze, a imiona jej uczestników spisano, tak że kronikarze Shire’u umieli je na pamięć. Od tego czasu datuje się znaczny wzrost sławy i majętności rodu Cottonów; na czele jednak listy we wszystkich sprawozdaniach stały nazwiska dowódców: Meriadoka i Peregrina.

Frodo był w tej bitwie, lecz nie dobył miecza z pochwy; rola jego polegała głównie na tym, że powściągał hobbitów, uniesionych gniewem i bólem wobec straty tylu przyjaciół, i nie dopuścił, by ktokolwiek tknął przeciwnika zdającego się na łaskę zwycięzców. Po bitwie i pogrzebaniu ofiar Merry, Pippin i Sam wraz z Frodem ruszyli z powrotem do zagrody Cottonów. Gdy zjedli obiad, Frodo westchnął i rzekł:

– Teraz, jak myślę, pora rozprawić się z „Wodzem”.

– Tak jest, im prędzej, tym lepiej – powiedział Merry. – I nie bądź zbyt łagodny! To on przecież jest odpowiedzialny za sprowadzenie do Shire’u zbirów i za wszystkie krzywdy, które w kraju wyrządzili.

Stary Cotton zebrał świtę złożoną z dwudziestu kilku dzielnych hobbitów.

– Przypuszczam, że w Bag End nie ma już zbirów – rzekł – ale na pewno tego nie wiadomo.

Oddział wymaszerował; Frodo, Sam, Merry i Pippin prowadzili.

Były to najsmutniejsze godziny w ich życiu. Przed nimi sterczał w niebo olbrzymi komin, a gdy się zbliżali do starego osiedla, położonego na drugim brzegu Wody, idąc drogą pomiędzy dwoma rzędami nowych, lichych domów, zobaczyli nowy młyn w całej jego złowrogiej i brudnej brzydocie: duży budynek z cegły okraczał rzeczkę i plugawił jej nurt, wylewając weń potoki dymiącej i cuchnącej cieczy. Wszędzie wzdłuż drogi ścięto drzewa.

Kiedy przeszli przez most i podnieśli oczy na Pagórek, z wrażenia dech im zaparło w piersi. Nawet wizja, która Samowi ukazała się w Zwierciadle Galadrieli, nie przygotowała ich na tak okropny widok. Po zachodniej stronie stary spichlerz zburzono i na jego miejscu wyrosły umazane smołą budy. Drzewa kasztanowe zniknęły. Zielone skarpy i żywopłoty zniszczono. Na dawnym trawniku ciągnęło się nagie udeptane pole, a na nim stały rozrzucone bezładnie ogromne wozy. Gdzie przedtem była uliczka Bagshot Row, ział rozkopany dół i piętrzyło się usypisko piachu zmieszanego ze żwirem. Samego Bag End nie mogli dostrzec, bo dawną siedzibę Bagginsów przesłaniały skupione na stoku duże szopy.

– Ścięli urodzinowe drzewo! – krzyknął Sam. Wskazywał miejsce, gdzie niegdyś rosło drzewo, pod którym Bilbo wygłosił swoją pożegnalną mowę. Zwalone i martwe, leżało pośród pola. Jak gdyby ta ostatnia kropla przepełniła miarę, Sam wybuchnął płaczem.

Odpowiedział mu szyderczy śmiech. Hobbit, który wyglądał zza niskiego muru, opasującego dziedziniec młyna, miał prostacką, roześmianą, usmoloną gębę i czarne od brudu ręce.

– Nie w smak ci to wszystko, Samie, co? – zadrwił. – Zawsześ był mazgajem. Myślałem, żeś odpłynął na jednym z tych statków, o których tyle bajek plotłeś, i że sobie żeglujesz po morzach. Po co wracasz? My tutaj teraz ciężko pracujemy.

– A widzę! – odparł Sam. – Takiś zapracowany, aż zabrakło ci czasu, żeby się umyć, ale starczyło, żeby się gapić zza płotu. Mamy z sobą stare

porachunki, radzę ci nic do nich więcej swoimi dowcipami nie dodawać, bo i tak nie wiem, czy własną skórą nie będziesz musiał dopłacać.

Ted Sandyman splunął ponad murem.

– Nie boję się ciebie – rzekł. – Palcem mnie nawet nie odważysz się tknąć, bo jestem przyjacielem Wodza. On za to ciebie tknie, i to nie palcem, jeśli choć słowo jeszcze piśniesz.

– Nie trać czasu dla tego durnia, Samie – powiedział Frodo. – Mam nadzieję, że niewielu hobbitów tak zgłupiało jak ten. Byłoby to smutniejsze niż wszystkie inne szkody, które nam zbójcy wyrządzili.

– Brudas i gbur z ciebie, Sandymanie – rzekł Merry. – A w dodatku trafiłeś kulą w płot. Idziemy na Pagórek, żeby wyrzucić stąd twojego Wodza. Jego ludzi już rozbiliśmy w puch.

Ted zbaraniał, w tej bowiem chwili dopiero zobaczył zbrojną świtę, która na rozkaz Meriadoka maszerowała właśnie przez most.

Umknął do młyna, lecz natychmiast wyskoczył znów z rogiem w ręku i zadął w niego donośnie.

– Oszczędzaj tchu – zaśmiał się Merry – bo ja mam lepszy głos.

Podniósł do ust srebrny róg i zagrał; czysta muzyka wzbiła się na Pagórek, a z wszystkich nor, bud i szpetnych domów Hobbitonu odpowiedzieli na ten zew hobbici, wybiegając tłumnie na drogę, by wśród wiwatów i radosnych okrzyków towarzyszyć wyprawie do Bag End.

U szczytu ścieżki cała gromada zatrzymała się, tylko Frodo z przyjaciółmi poszedł dalej; znaleźli się wreszcie w tej niegdyś ukochanej siedzibie. Ogród był zabudowany szopami i budami, a niektóre stały tak blisko okien wychodzących na zachód, że nie dopuszczały do nich światła. Wszędzie piętrzyły się kupy śmieci i odpadków. Drzwi były odrapane, sznur od dzwonka zwisał oderwany, a dzwonek nie dzwonił. Na kołatanie nie doczekali się odpowiedzi. W końcu naparli siłą na drzwi, które ustąpiły. Weszli.

Wnętrze cuchnęło, brudne i nieporządne: można by myśleć, że od dawna nikt tu nie mieszka.

– Gdzież się ten nikczemny Lotho schował? – spytał Merry. Przeszukali wszystkie pokoje i nie znaleźli żywej duszy, prócz szczurów i myszy. – Może każemy ochotnikom przetrząsnąć szopy i budy?

– Gorsze to niż Mordor – powiedział Sam. – Tak, dużo gorsze, bardziej rani serce, bo to przecież dom rodzinny, który pamiętamy z dawnych dni, zanim go zniszczono.

– To jest Mordor – powiedział Frodo. – Jedno z dzieł Mordoru. Saruman dla Mordoru pracował nawet wtedy, gdy mu się zdawało, że dąży do własnych celów. Tak samo jak wszyscy, którzy dali się Sarumanowi opętać, na przykład Lotho.

Merry rozglądał się z rozpaczą i wstrętem.

– Wyjdźmy stąd! – rzekł. – Gdybym wiedział o wszystkim, co tutaj nabrojono, wepchnąłbym Sarumanowi sakiewkę z zielem pięścią do gardła.

– Pewnie, pewnie! Aleś tego nie zrobił, dzięki czemu mogę cię dziś tutaj powitać!

W progu stał Saruman we własnej osobie, dobrze odżywiony i zadowolony; oczy mu błyszczały złośliwością i rozbawieniem.

Frodo w nagłym olśnieniu zrozumiał.

– Sharkey! – krzyknął.

Saruman zaśmiał się głośno.

– A więc słyszałeś już moje imię? Tak mnie nazywali podwładni jeszcze w Isengardzie. Myślę, że w dowód przywiązania[89]. Oczywiście nie spodziewałeś się spotkać mnie w Bag End.

– Nie – odparł Frodo. – A mogłem był to przewidzieć. Mała, nikczemna złośliwość! Gandalf ostrzegał mnie, że do tego jeszcze zachowałeś zdolność.

– Całkowitą – rzekł Saruman. – Zdolny jestem nawet do wcale nie małych złośliwości. Śmiać mi się chciało, kiedy patrzyłem na was, hobbiccy półpankowie, jak jedziecie w orszaku wielkich ludzi tacy dufni, tacy zadowoleni ze swoich małych osóbek. Zdawało wam się, że cała ta historia już się szczęśliwie zakończyła i że po prostu spacerkiem pojedziecie do swego kraju, gdzie resztę życia spędzicie miło i wygodnie. Można było zburzyć dom Sarumanowi i wygnać go na tułaczkę, ale mowy o tym być nie może, by ktoś naruszył ten wasz dom. Co to, to nie! Przecież wami opiekuje się Gandalf… – Saruman znów się zaśmiał. – Ale nie znacie Gandalfa. Skoro narzędzia w jego ręku wykonały robotę, rzuca je w kąt.

Wyście jednak czepiali się go nadal, marudząc, gadając, podróżując okrężną drogą, dwa razy dłuższą od prostej.

Jeśli są tak głupi – pomyślałem – wyprzedzę ich i dam nauczkę. Wet za wet, z kolei ja sprawię im niespodziankę. Nauczka byłaby jeszcze lepsza, gdybyście mi zostawili trochę więcej czasu i gdybym miał więcej ludzi na swoje usługi. Ale i tak zdziałałem sporo, przekonacie się, nie starczy wam życia, żeby to wszystko naprawić albo odrobić. Miła to dla mnie myśl, znajdę w niej pewne zadośćuczynienie za swoje krzywdy.

– Jeśli w tym znajdujesz przyjemność, żal mi cię, Sarumanie – rzekł Frodo. – Obawiam się zresztą, że wkrótce zostanie ci po tej przyjemności co najwyżej wspomnienie. A teraz odejdź stąd i nie wracaj nigdy.

Hobbici z wiosek zauważyli Sarumana wychodzącego z którejś szopy i natychmiast zbiegli się tłumnie pod drzwi. Gdy usłyszeli rozkaz Froda, zaczęli szemrać gniewnie:

– Nie wypuszczać go z życiem! Zabić go! To łotr i morderca. Zabić!

Saruman powiódł wzrokiem po wrogich twarzach i uśmiechnął się szyderczo.

– Zabić? – rzekł. – Spróbujcie, jeśli wam się zdaje, że macie dość sił, żeby się porwać na to, moi poczciwi hobbici! – Wyprostował się i wbił w nich spojrzenie posępnych czarnych oczu. – Ale nie myślcie, że wraz z całym mieniem utraciłem całą moc. Ktokolwiek podniesie na mnie rękę, ściągnie na siebie klątwę. A jeśli moja krew splami Shire, ziemia ta zwiędnie i nigdy już nie zagoi swoich ran.

Hobbici cofnęli się, a Frodo rzekł:

– Nie wierzcie mu! Stracił moc, zachował tylko głos, który będzie was straszył i oszukiwał, jeśli mu się poddacie. Nie chcę jednak, byście go zabijali. Na nic się nie zda zemstą płacić za zemstę, tak nie zbuduje się nic dobrego. Odejdź, Sarumanie, odejdź jak najprędzej.

– Gadzie, Gadzie! – zawołał Saruman. Z sąsiedniej szopy pełznął, płaszcząc się jak pies, Gadzi Język. – Znowu ruszamy w drogę, Gadzie! – powiedział Saruman. – Ci szlachetni hobbici i półpankowie wypędzają nas znów na tułaczkę. Chodźmy!

Saruman odwrócił się i ruszył, a Gadzi Język poczłapał za nim. Lecz gdy mijali Froda, w ręku Sarumana znienacka błysnął nóż. Dźgnął

błyskawicznie. Ostrze wygięło się na ukrytej pod płaszczem kolczudze i pękło. Kilkunastu hobbitów z Samem na czele skoczyło naprzód, obaliło łotra na ziemię. Sam wyciągnął miecz.

– Stój, Samie! – krzyknął Frodo. – Nawet teraz nie zabijaj! Nie zranił mnie. A w każdym razie nie pozwolę, byś go zabił w tak haniebny sposób. Był kiedyś wielki, należał do szlachetnego bractwa, przeciw któremu żaden z nas nie śmiałby podnieść ręki. Upadł, nie w naszej mocy go dźwignąć. Ale oszczędźmy jego życie w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto go będzie umiał podźwignąć.

Saruman wstał i popatrzył na Froda. Oczy jego miały zagadkowy wyraz podziwu, szacunku i nienawiści zarazem.

– Wyrosłeś, niziołku – powiedział. – Tak, tak, bardzo wyrosłeś. Jesteś mądry i okrutny. Odarłeś moją zemstę ze słodyczy i muszę stąd odejść z gorzkim poczuciem, że zawdzięczam życie twojej litości. Nienawidzę ciebie. Odchodzę, nie będę cię więcej niepokoił. Nie spodziewaj się jednak ode mnie życzeń zdrowia i długiego życia. Nie będziesz się cieszył ani jednym, ani drugim. Ale to już nie za moją sprawą. Ja tylko przepowiadam.

Gdy odchodził, hobbici rozstąpili się, otwierając mu przejście, lecz tak silnie ściskali w garści broń, że kostki na rękach im zbielały. Gadzi Język wahał się chwilę, potem ruszył za swym panem.

– Gadzi Języku! – zawołał Frodo. – Nie jesteś zmuszony iść za nim. O ile mi wiadomo, nie wyrządziłeś mi nic złego. Możesz odpocząć i odżywić się tutaj, a gdy nabierzesz sił, pójść własną drogą.

Gadzi Język przystanął i obejrzał się na Froda, jak gdyby prawie już zdecydowany pozostać. Lecz Saruman odwrócił się szybko.

– Nic złego ci nie wyrządził? – zaskrzeczał. – Och, nie! Nawet gdy się wymykał po nocach, chciał tylko popatrzeć na gwiazdy. Ale czy mi się zdawało, czy też ktoś pytał, gdzie schował się biedny Lotho? Ty coś o tym wiesz, Gadzie, prawda? Może im powiesz?

Gadzi Język skulił się i wyjąkał:

– Nie, nie!

– A więc ja powiem – rzekł Saruman. – Gadzi Język zabił waszego Wodza, biednego malca, poczciwego naczelnika. Prawda, Gadzie? Zadźgałeś go śpiącego, jak przypuszczam. I pochowałeś, mam nadzieję;

chociaż nie wiem, bo Gad ostatnio był bardzo zgłodniały. Nie, Gad nie jest przyjemną osobistością. Radzę wam oddać go pod moją opiekę.

Dzika nienawiść zabłysła w przekrwionych oczach Gadziego Języka.

– To tyś mi kazał, tyś mnie zmusił – syknął.

– A ty zawsze robisz, co Sharkey każe, czy tak? – zaśmiał się Saruman. – Więc teraz powiadam ci: chodź ze mną.

Kopnął w twarz kulącego się na ziemi niewolnika, odwrócił się i już miał odejść, gdy nagle Gadzi Język, jakby na sprężynie, zerwał się i wyciągnąwszy ukryty w fałdach odzieży sztylet, skoczył Sarumanowi na kark, szarpnął wstecz głowę i poderżnął gardziel, po czym z krzykiem pomknął ścieżką w dół. Zanim Frodo zdążył oprzytomnieć i przemówić, trzy cięciwy hobbickich łuków zadzwoniły jednocześnie i Gadzi Język padł martwy.

Ku zdumieniu wszystkich zgromadzonych szara mgła spowiła ciało Sarumana i wzbijając się z wolna ku niebu, niby dym z ogniska zawisła nad szczytem Pagórka jak blada, całunem okryta postać ludzka. Chwilę kołysała się tam, zwrócona ku zachodowi, lecz w tym momencie dmuchnął zimny zachodni wiatr; postać przygięła się i z westchnieniem rozpłynęła w nicość.

Frodo z litością i zgrozą patrzył na wyciągnięte u swych stóp martwe ciało, bo wyglądało tak, jakby nagle w nim objawiły się długie lata śmierci; malało w oczach, skurczona twarz przeobraziła się w strzęp skóry spowijający ohydną czaszkę. Frodo chwycił rąbek porzuconego obok brudnego płaszcza, nakrył nim ten straszny zewłok i odwrócił się.

– A więc koniec – rzekł Sam. – Paskudny koniec, wolałbym go nie oglądać. W każdym razie pozbyliśmy się ich.

– A zarazem Wojna skończyła się już ostatecznie – powiedział Merry.

– Mam nadzieję! – westchnął Frodo. – To był ostatni cios. Że też musiał spaść właśnie tutaj, w progu Bag End! Wśród tylu nadziei i obaw, tego nie przewidywałem.

– Prawdziwie skończy się wojna dopiero wtedy, kiedy naprawimy wszystkie szkody – rzekł ponuro Sam. – Zajmie to wiele czasu i pracy!

ROZDZIAŁ 9
SZARA PRZYSTAŃ

Rzeczywiście, z przywracaniem w kraju ładu było niemało roboty, wszystko to jednak trwało krócej, niż Sam się obawiał. Nazajutrz po bitwie Frodo pojechał do Michel Delving, żeby uwolnić z lochów więźniów. Wśród pierwszych od razu znalazł się Fredegar Bolger – już teraz niezasługujący na przezwisko Grubasa. Ludzie Wodza uwięzili go, gdy wyparli z kryjówek w Krzywych Jamach koło wzgórz Scary całą grupę opornych, którym przewodził Fredegar.

– Okazuje się, że byłbyś lepiej wyszedł, idąc z nami w świat, biedaku! – powiedział Pippin, gdy więźnia wynoszono z Lochów, bo nieborak był doszczętnie wyczerpany.

Fredegar otworzył jedno oko i zdobył się na uśmiech.

– A to co za olbrzym przemawia tak potężnym głosem? – spytał szeptem. – Niemożliwe, żeby to był nasz mały Pippin. Który numer kapelusza nosisz teraz?

Wśród wyzwolonych była też Lobelia. Wyciągnięto ją z ciemnej i ciasnej celi, bardzo starą i okropnie wychudłą. Uparła się jednak, że wyjdzie na własnych nogach, a gdy się ukazała, wsparta na ramieniu Froda, trzymając wciąż jeszcze parasol w zaciśniętej dłoni, tłum przywitał ją owacyjnie, nie szczędząc oklasków i wiwatów, tak że Lobelia wzruszyła się do łez. Po raz pierwszy pozyskała ogólną sympatię. Zmiażdżyła ją dopiero wiadomość o śmierci Lotha i nie chciała wracać do Bag End. Oddała z powrotem Frodowi jego dawną siedzibę, a sama osiadła u swoich krewnych, Bracegirdle’ów w Kamiennym Siole.

Gdy następnej wiosny zmarła – miała bądź co bądź ponad sto lat – Froda spotkała wzruszająca niespodzianka: biedna Lobelia zostawiła mu w testamencie cały majątek swój i Lotha, prosząc, by zużył go na wsparcie dla hobbitów poszkodowanych w czasie powszechnych zamieszek. Tak się zakończyła stara rodzinna waśń.

Sędziwy Will Whitfoot przesiedział w Lochach dłużej niż inni więźniowie, a chociaż niejednego traktowano tam gorzej niż jego, musiał porządnie odżywiać się, zanim odzyskał postawę, jaka przystoi

burmistrzowi stolicy hobbitów. Na razie więc, póki Will nie nabrał odpowiedniej tuszy, zastępował go Frodo. Właściwie przeprowadził w okresie burmistrzowania jedną tylko reformę: zmniejszył liczbę szeryfów i ograniczył ich funkcję do poprzedniego stanu. Obowiązek wytępienia resztek zbirów powierzono Meriadokowi i Pippinowi, którzy też prędko wywiązali się z tego zadania. Bandy południowców, na wieść o bitwie Nad Wodą, umykały z Shire, nie stawiając niemal oporu wojsku thana. Przed końcem roku niedobitków otoczono w lasach, a tych, którzy się poddali, odstawiono do granicy kraju.

Tymczasem wrzała praca nad odbudową i Sam uwijał się od rana do wieczora. Hobbici bywają pracowici niczym mrówki, gdy zajdzie potrzeba i gdy chcą. Nie brakowało teraz tysięcy ochoczych rąk, od małych, lecz zręcznych rączek chłopięcych i dziewczęcych, aż do spracowanych i sękatych rąk dziadków i babek. Nim nadszedł dzień zimowego przesilenia, cegła na cegle nie została z nowych domów szeryfów i ze wszystkich budowli wzniesionych przez Ludzi Wodza. Cegieł jednak nie zmarnowano, lecz użyto ich do naprawy starych hobbickich nor, które dzięki temu stały się bardziej przytulne i suchsze. W szopach, stodołach i odludnych norach odkryto wielkie ilości sprzętów, zapasy prowiantów i piwa, pochowane tam przez zbirów; zwłaszcza w tunelach pod Michel Delving i w starych kamieniołomach pod Wypłoszem znaleziono mnóstwo ukrytych towarów, żywności, beczek piwa, więc tegoroczne gody można było obchodzić hucznie i wesoło.

Przede wszystkim – nawet przed rozbiórką nowego młyna – przystąpiono do uporządkowania Pagórka i Bag End oraz do odbudowy zaułka na zboczu. Nową kopalnię piasku i żwiru zasypano, stok Pagórka zamieniono w duży, zaciszny ogród, a w południowym zboczu wydrążono nowe norki, obszerne i wyłożone cegłą. Dziadunio wprowadził się z powrotem pod numer trzeci; powtarzał też każdemu, kto chciał słuchać:

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. A wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Trochę się spierano, jak nazwać odbudowaną uliczkę. Jedni głosowali za „Ogrodem Bitwy”, inni woleli „Lepsze Smajale”. Ostatecznie zwyciężył zdrowy hobbicki rozsądek i wybrano po prostu nazwę: Uliczka Nowa. Nad Wodą dowcipnisie czasem jednak nazywali ją „*Nagrobkiem Sharkeya*”.

Najdotkliwszą stratą było wyniszczenie drzew, bo na rozkaz Sharkeya wycięto je bez litości na całym obszarze kraju. Sam ubolewał nad tym bardziej niż nad innymi szkodami wyrządzonymi przez zbirów. Ta rana nie mogła się bowiem zagoić przed upływem długich lat i Sam myślał, że dopiero jego prawnuki zobaczą Shire taki, jaki być powinien.

Wśród nawału pracy nie miał czasu na wspomnienia o przygodach wyprawy, nagle jednak pewnego dnia przypomniał sobie dar Galadrieli. Wyjął szkatułkę i pokazał ją innym Wędrowcom – bo tak ich teraz powszechnie nazywano – prosząc o radę.

– Zastanawiałem się już, kiedy wreszcie o tym pomyślisz – rzekł Frodo. – Otwórz szkatułkę.

Wypełniał ją szary pył, miękki i drobnoziarnisty, a pośrodku tkwiło w nim nasienie podobne do orzecha w srebrnej łupinie.

– Co mam z tym zrobić? – spytał Sam.

– Rzuć na wiatr w pierwszy wietrzny dzień, a o resztę się nie troszcz – powiedział Pippin.

– Ale co z tego wyniknie?

– Wybierz kawałek ziemi na pólko doświadczalne; zobaczysz, jak będą się tam rośliny czuły – rzekł Merry.

– Pani Galadriela z pewnością nie życzyłaby sobie, żebym wszystko zużył we własnym ogrodzie, skoro tylu innych hobbitów poniosło straty.

– Musisz, Samie, kierować się rozsądkiem i doświadczeniem, a tego daru użyj tak, żeby wspomógł twoją pracę i polepszył jej wyniki – powiedział Frodo. – Szkatułka jest mała, a każde ziarenko ma zapewne wielką wartość.

Sam posadził więc młode drzewka wszędzie, gdzie źli ludzie zniszczyli szczególnie piękne i kochane drzewa, i przy korzeniach każdej sadzonki umieścił w ziemi po jednym cennym pyłku z Lórien. Przemierzył cały kraj wzdłuż i wszerz, pracując pilnie, lecz najtroskliwiej opiekował się Hobbitonem i sadami Nad Wodą – czego nikt nie mógł mu wziąć za złe. Gdy w końcu stwierdził, że została mu jeszcze odrobina pyłu, poszedł do Kamienia Trzech Ćwiartek, znaczącego niemal dokładnie środek Shire’u, i rozrzucił tę resztkę na cztery strony świata. Srebrny orzeszek zasadził na trawniku w Bag End, gdzie odbywały się niegdyś zabawy urodzinowe i

gdzie dawniej rosło pamiętne drzewo. Bardzo był ciekaw, co z tego nasienia wyrośnie. Zimę przeczekał jako tako cierpliwie, chociaż korciło go wciąż, żeby zaglądać w to miejsce, czy nic tam się jeszcze nie dzieje.

Wiosna przewyższyła jego najśmielsze nadzieje. Drzewa puszczały pędy i rosły tak gwałtownie, jakby czas przyspieszył biegu i chciał w ciągu jednego roku spełnić zadania dwudziestu lat. Na urodzinowym trawniku wystrzeliło z ziemi śliczne młodziutkie drzewko; korę miało srebrną, liście podłużne, a w kwietniu okryło się złotymi kwiatami. Był to prawdziwy *mallorn*, który stał się przedmiotem podziwu całej okolicy. Po latach, gdy wyrósł bujnie i wypiękniał jeszcze bardziej, zasłynął szeroko; z daleka przybywali goście, żeby go zobaczyć, był to bowiem jedyny *mallorn* na zachód od Gór i na wschód od Morza, a piękniejszego nie znalazłoby się na całym świecie.

Rok 1420 zapisał się w ogóle w Shire wyjątkowym urodzajem. Słońce świeciło wspaniale, deszcz świeży spadał zawsze w porę i w miarę, a co dziwniejsze, powietrze tchnęło ożywczym, pobudzającym zapachem i blask, nieznany śmiertelnikom w innych latach, ozłocił przelotnie Śródziemie. Dzieci poczęte lub urodzone tego roku – a było ich mnóstwo i wszystkie urodziwe i silne – miały przeważnie bujne złote włosy, co wśród hobbitów przedtem należało do rzadkości. Owoce tak obrodziły, że małe hobbicięta niemal kąpały się w truskawkach ze śmietaną, a później, siedząc w trawie pod śliwą, jadły śliwki dopóty, dopóki z pestek nie zbudowały miniaturowych piramid, niby zwycięzcy piętrzący na pobojowisku czaszki rozgromionych wrogów. Nikt się jednak od tego nie rozchorował i wszyscy byli zadowoleni oprócz kosiarzy, którzy potem kosili trawę.

W Południowej Ćwiartce winorośl uginała się od gron winnych, a plon liści fajkowych zebrano zdumiewająco obfity; wszystkie też spichrze pomieścić nie mogły ziarna po żniwach. Jęczmień w Północnej Ćwiartce tak się udał, że hobbici zapamiętali na długo piwo ze zbiorów roku 1420 i nawet stało się ono przysłowiowe. W wiele pokoleń później można było w gospodzie usłyszeć, jak stary hobbit po dobrze zasłużonym kufelku wzdycha: „Dobre! Prawie jak w czterysta dwudziestym roku”.

Sam z początku wraz z Frodem mieszkał u Cottonów, gdy jednak zbudowano Nową Uliczkę, przeniósł się tam z Dziaduniem. Poza wszystkimi swoimi pracami kierował również uprzątaniem i odnawianiem

siedziby w Bag End, często wszakże wyjeżdżał sadzić i pielęgnować drzewa na całym obszarze Shire’u. Dlatego też nie było go w domu w pierwszej połowie marca i nie wiedział nic o tym, że Frodo zachorował. Trzynastego marca stary Cotton znalazł Froda leżącego w łóżku; zaciskał w ręku biały kamień, który stale nosił na łańcuszku u szyi, i zdawał się pogrążony w półśnie.

– Zniknął na zawsze – szeptał. – A teraz została tylko ciemność i pustka.

Atak minął i gdy Sam dwudziestego piątego wrócił, Frodo był już zdrów; nic też przyjacielowi o swej chorobie nie wspomniał. Właśnie w tym czasie ukończono porządki w Bag End, a Merry i Pippin przywieźli z Ustroni stare meble oraz sprzęty, tak że stara siedziba wyglądała jak za dawnych dni. Gdy wszystko było gotowe, Frodo spytał Sama:

– Kiedy wprowadzisz się, żeby znów mieszkać ze mną, Samie?

Sam trochę się zmieszał.

– Nie chcę cię przynaglać – rzekł Frodo – jeśli nie masz ochoty. Ale Dziadunio byłby naszym najbliższym sąsiadem, a wdowa Rumble zaopiekuje się nim na pewno troskliwie.

– Nie o to mi chodzi, proszę pana – odparł Sam, czerwieniąc się jak burak.

– A więc powiedz, o co?

– O Różyczkę, o Różę Cotton. Była, jak się okazuje, bardzo nierada, biedulka, kiedy puszczałem się w daleką podróż; ale że ja jej wtedy nic nie powiedziałem, nie mogła pierwsza przemówić. A ja milczałem, bo najpierw wypadało uporać się z robotą. Teraz wreszcie wyznałem Różyczce, co miałem na sercu, a ona mi tak odpowiedziała: „Rok już zmarnowałeś, po co dłużej zwlekać?”. A ja na to: „Zmarnowałem? Nie, w tym ci racji nie mogę przyznać!”. No, ale rozumiem, co miała na myśli. Można by rzec, że czuję się tak, jakby mnie na dwoje rozdarto.

– Rozumiem – odparł Frodo. – Chcesz się ożenić, ale także chcesz mieszkać razem ze mną w Bag End. Samie kochany, nic łatwiejszego! Ożeń się co prędzej i wprowadź do mego domu razem z Różyczką. W Bag End starczy miejsca dla wszystkich, choćbyś nawet najliczniejszą rodzinę założył.

Tak się też stało. Sam Gamgee ożenił się z Różyczką Cotton wiosną 1420 roku (słynnego między innymi również z mnóstwa wesel), a młoda para zamieszkała w Bag End. Jeśli Sam uważał to za wielkie szczęście, Frodo czuł się tym bardziej uszczęśliwiony; w całym Shire nie było bowiem hobbita otoczonego czulszą opieką niż on. Kiedy plany odbudowy zostały opracowane, a wszystkie roboty zorganizowane, Frodo mógł wieść spokojny żywot, wiele czasu poświęcając na pisanie i przegląd nagromadzonych zapisków. W dzień Sobótki, podczas Wolnego Jarmarku, złożył urząd burmistrza i przez następnych lat siedem zacny Will Whitfoot znowu przewodniczył na oficjalnych bankietach.

Merry i Pippin czas jakiś razem mieszkali w Ustroni; ruch wtedy panował ożywiony między Bucklandem a Bag End. Dwaj młodzi Wędrowcy olśniewali cały Shire pieśniami, opowieściami, a także elegancją i wspaniałymi przyjęciami. Przezwano ich „królewiętami”, ale bez złośliwości, bo wszystkie serca rosły na widok tych hobbitów dosiadających koni, strojnych w błyszczące kolczugi, z pięknymi godłami na tarczach, zawsze roześmianych i gotowych śpiewać pieśni z dalekich stron. Wzrost mieli niezwykły i postawę imponującą, lecz poza tym nic się nie zmienili, chyba tylko o tyle, że nabrali wymowy, a wesołości i chęci do zabawy jeszcze im przybyło.

Frodo i Sam jednak wrócili do zwykłych hobbickich ubrań, z tą różnicą, że w potrzebie zarzucali na ramiona szare długie płaszcze z przedziwnie delikatnej tkaniny, spięte pod szyją misterną klamrą. Frodo nosił też zawsze na łańcuszku biały kamień i często dotykał go palcami.

Wszystko szło dobrze i była nadzieja, że będzie coraz lepiej; Sam miał pracy i radości tyle, ile hobbicka dusza może zapragnąć. Nic nie zaćmiewało jego szczęścia w tym roku, prócz niejasnej obawy o kochanego pana. Frodo bowiem cichcem usunął się od wszelkich spraw. Sam z bólem obserwował, jak mało ten najbardziej zasłużony z hobbitów odbiera hołdów w ojczyźnie. Nieliczni tylko wiedzieli czy chcieli wiedzieć o jego czynach i przygodach, cały podziw i całą cześć skupiono na Meriadoku i Pippinie, a także na Samie, który wszakże nawet tego nie spostrzegł. W dodatku jesienią pojawił się znów cień dawnych niedoli.

Pewnego wieczora Sam, wchodząc do pracowni, zastał Froda dziwnie zmienionego. Był blady, a jego oczy zdawały się zapatrzone w jakiś odległy widok.

– Co się stało, panie Frodo? – spytał Sam.

– Jestem ranny – odparł Frodo. – Rana nigdy się nie zagoi naprawdę.

Ale wstał, można się było łudzić, że słabość przeminęła, bo nazajutrz zachowywał się zupełnie normalnie. Dopiero później Sam uprzytomnił sobie, że zdarzyło się to dnia szóstego października, w drugą rocznicę owego dnia pod Wichrowym Czubem, gdzie ich ogarnęły po raz pierwszy Ciemności.

Czas płynął, zaczął się rok 1421. W marcu Frodo znów zachorował, lecz wielkim wysiłkiem woli zataił to przed Samem, który właśnie miał zgoła co innego w głowie. Dwudziestego piątego marca bowiem, w dniu odtąd dla Sama pamiętnym, Różyczka urodziła mu pierwsze dziecko.

– Jesteśmy w kłopocie, proszę pana – oznajmił Frodowi – bo zamierzaliśmy dać mu na imię Frodo, za pozwoleniem pańskim. A tymczasem zamiast syna przyszła na świat córka. Zresztą śliczne dziewczątko jak rzadko, wzięła na szczęście piękność nie z ojca, ale z matki. No i teraz nie wiemy, jak ją nazwać.

– A czemuż by nie trzymać się starych dobrych zwyczajów? – odparł Frodo. – Wybierz imię kwiatu, jak na przykład Róża. Połowa dziewcząt w Shire nosi takie imiona, cóż znajdziesz lepszego?

– Może i racja, proszę pana – rzekł Sam. – Słyszałem co prawda, wędrując po świecie, wiele pięknych imion, ale trochę, że tak powiem, za wspaniałych na powszedni użytek. Dziadunio powiada: „Daj jej krótkie imię, żebyś dla wygody nie potrzebował go do połowy obcinać”. Jeśli jednak będzie to nazwa kwiatu, nie będę się troszczył nawet o jej krótkość. Musi to być piękny kwiat, bo ta mała, proszę pana, wydaje mi się bardzo ładna, a z pewnością wyrośnie jeszcze piękniejsza.

Frodo chwilę się namyślał.

– A jak by ci się podobało imię Elanor, co znaczy gwiazda słoneczna; pamiętasz chyba te drobne złote kwiatki w trawach Lothlórien?

– Jak zawsze utrafił pan w sedno! – odparł Sam zachwycony. – Właśnie to, co mi się marzyło.

Mała Elanor miała sześć miesięcy i rok 1421 chylił się ku jesieni, gdy pewnego dnia Frodo wezwał Sama do swej pracowni.

– W czwartek przypadają urodziny Bilba – powiedział. – Prześcignie starego Tuka. Kończy sto trzydzieści jeden lat!

– Brawo! – rzekł Sam. – Pan Bilbo jest nadzwyczajny.

– W związku z tym, mój Samie, chciałbym, żebyś porozmawiał z Różą i spytał, czy obejdzie się bez ciebie przez czas jakiś, ażebyś mógł ze mną pojechać w małą podróż. Oczywiście, teraz nie możesz wybierać się daleko ani na długo – dodał Frodo z lekką nutką żalu w głosie.

– Rzeczywiście, proszę pana, trudno by mi było.

– Rozumiem. Nie o to jednak chodzi. Chciałbym tylko, żebyś mi towarzyszył kawałek drogi. Powiedz Róży, że twoja nieobecność nie przeciągnie się ponad dwa tygodnie i że wrócisz na pewno cały.

– Chętnie pojechałbym z panem aż do Rivendell i rad bym zobaczyć pana Bilba – rzekł Sam. – A przecież naprawdę chcę przebywać tylko w jednym miejscu na świecie, to znaczy tutaj. Rozdarty jestem na dwoje.

– Biedny Samie! Obawiałem się, że będziesz się tak czuł – powiedział Frodo. – Ale wkrótce się z tego wyleczysz. Stworzony jesteś na zdrowego i silnego hobbita z jednej bryły i takim też będziesz.

Przez parę dni Frodo wraz z Samem przeglądał papiery i zapiski, a potem przekazał wiernemu giermkowi klucze. Najważniejszą część jego dobytku stanowiła gruba księga oprawna w gładką czerwoną skórę; niemal wszystkie jej stronice były już zapisane, pierwsze chwiejną nieco ręką Bilba, ale większość energicznym charakterem Froda. Całość dzieliła się na rozdziały, osiemdziesiąty rozdział był jednak niedokończony i pozostało jeszcze kilka białych kartek. Na pierwszej stronie kilka tytułów kolejno wykreślono, a brzmiały one tak:

Mój dziennik. Niespodziewana podróż.

Tam i z powrotem, i co się stało później.

Przygody pięciu hobbitów. Historie Wielkiego Pierścienia,

zebrane przez Bilba Bagginsa z własnych spostrzeżeń i opowieści przyjaciół.

Nasz udział w Wojnie o Pierścień.

Na tym kończyło się pismo Bilba i ręka Froda dodała:

Upadek Władcy Pierścieni

i

Powrót Króla

(tak, jak te sprawy przedstawiły się oczom Małego Ludu; według pamiętników Bilba i Froda z Shire’u, uzupełnionych relacjami przyjaciół i nauką Mędrców)

oraz wyjątki z Ksiąg Wiedzy

przetłumaczone przez Bilba w Rivendell.

– Widzę, że pan prawie dokończył księgi! – zakrzyknął Sam. – Trzeba przyznać, że pracował pan wytrwale.

– Skończyłem całkowicie – rzekł Frodo. – Ostatnie strony zostawiłem tobie.

Dwudziestego pierwszego września wyruszyli, Frodo na kucyku, który go niósł przez całą drogę z Minas Tirith i wabił się teraz Obieżyświat, a Sam na swoim ukochanym Billu. Ranek był pogodny i słoneczny; Sam domyślał się celu podróży, o nic więc nie pytał.

Skręcili zaraz za wzgórzem na Drogę do Słupków w kierunku Leśnego Zakątka, pozwalając kucykom biec swobodnie truchtem.

Przenocowali w Zielonych Wzgórzach i dwudziestego drugiego późnym popołudniem zjeżdżali łagodnym stokiem w dół ku pierwszym drzewom lasu.

– To za tym chyba drzewem skrył się pan, panie Frodo, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy Czarnego Jeźdźca – rzekł Sam, wskazując w lewo. – Dziś wydaje się, że to był sen.

Wieczór zapadł i gwiazdy błyszczały na zachodnim niebie, gdy mijali zwalony dąb na ścieżce opadającej łagodnie między gęstwiną leszczyny. Sam milczał zatopiony we wspomnieniach. Nagle usłyszał, że Frodo nuci z cicha, jakby dla siebie tylko, starą piosenkę podróżną, ale zmieniając w niej słowa:

Kto wie, co zakręt bliski kryje,

Drzwi tajemnicy, dziwną ścieżkę.

Tylem ją razy w życiu mijał,
Aż przyjdzie chwila, gdy nareszcie
Otworzy mi się droga nowa
Tam, dokąd księżyc nam się chowa,
I zaprowadzi mnie najdalej,
Tam, skąd nad ziemią słońce wstaje[90].

Jak gdyby w odpowiedzi z doliny dobiegł śpiew:

A! Elbereth Gilthoniel!
silivren penna míriel
o menel aglar elenath,
Gilthoniel, A! Elbereth!
W dalekich krajach, w zielonym borze
Pamiętał lud nasz Gwiazdy blask,
Co srebrem lśni nad Morzem[91].

Frodo i Sam bez słowa zatrzymali się i siedząc w łagodnym cieniu, czekali, aby migocący światłami orszak przybliżył się do nich. Zobaczyli Gildora wśród gromady pięknych elfów, a potem, ku zdumieniu Sama, ukazali się Elrond i Galadriela. Elrond miał na ramionach szary płaszcz, a na czole gwiazdę, w ręku zaś srebrną harfę, a na palcu złoty pierścień z ogromnym błękitnym kamieniem – pierścień Vilya, najpotężniejszy z Trzech. Galadriela jechała na białym koniu, w białej sukni, świetlistej jak obłoki wokół księżyca; zdawało się, że postać jej cała promieniuje łagodnym światłem. Na palcu miała Nenyę, pierścień z mithrilu, w którym jeden jedyny biały kamień iskrzył się jak lodowa gwiazda. Za nimi z wolna, kiwając się jakby we śnie, człapał na małym siwym kucyku Bilbo. Elrond pozdrowił hobbitów poważnie i serdecznie, a Galadriela uśmiechnęła się do nich.

– Słyszałam, że dobrze użyłeś mojego daru, Samie Gamgee! – powiedziała. – Shire będzie teraz bardziej niż kiedykolwiek krainą błogosławioną i kochaną.

Sam skłonił się, ale zabrakło mu słów, by odpowiedzieć. Zapomniał, jak piękna jest pani z Lórien. Bilbo nagle ocknął się i otworzył oczy.

– Jak się masz, Frodo! – rzekł. – No widzisz, prześcignąłem dziś starego Tuka. To więc już załatwione. Teraz, zdaje się, gotów jestem do nowej podróży. Czy jedziesz z nami?

– Tak – odparł Frodo. – Powiernicy Pierścienia powinni odejść razem.

– Dokąd pan się wybiera?! – krzyknął Sam, bo w tej chwili dopiero zrozumiał, co się dzieje.

– Do Przystani, Samie – odpowiedział Frodo.

– A ja nie mogę tam iść z panem!

– Nie, Samie, nie możesz. W każdym razie jeszcze nie teraz i nie dalej niż do Przystani. Wprawdzie ty także byłeś Powiernikiem Pierścienia, chociaż przez krótki tylko czas. Może i dla ciebie wybije kiedyś godzina. Nie smuć się, Samie. Nie możesz być zawsze rozdarty na dwoje. Musisz być zdrów i cały, z jednej bryły, przez wiele, wiele lat. Tyle przed tobą radości, tyle zadań, tyle roboty!

– Ale ja marzyłem, że przez długie lata pan też będzie się cieszył Shire’em po tym wszystkim, czego pan dokonał – powiedział Sam ze łzami w oczach.

– Ja też kiedyś o tym marzyłem. Ale za głębokie są moje rany. Starałem się uratować Shire i uratowałem, ale nie dla siebie. Często tak bywa, Samie, gdy jakiś skarb znajdzie się w niebezpieczeństwie: ktoś musi się go wyrzec, utracić, by inni mogli go zachować. Ty jesteś moim spadkobiercą, wszystko, cokolwiek posiadałem, co mi się należy – oddaję tobie. Poza tym masz Różę i Elanor, a z czasem zjawią się mały Frodo i mała Różyczka, i Merry, i Złotogłówka, i Pippin. Może jeszcze inni, których nie widzę w tej chwili. Bardzo będą potrzebne i twoje ręce, i twój rozum. Zostaniesz oczywiście burmistrzem, będziesz tę godność piastował tak długo, jak zechcesz, i zasłyniesz jako najlepszy w dziejach Shire ogrodnik. Będziesz odczytywał Czerwoną Księgę i podtrzymywał wśród hobbitów wspomnienie minionego wieku, aby pamiętając o Strasznym Niebezpieczeństwie, tym bardziej kochali swój kraj. Będziesz miał tyle pracy i tyle szczęścia, ile można mieć w Śródziemiu; przynajmniej twój rozdział w historii będzie do końca radosny!

A teraz w drogę, odprowadzisz mnie.

Elrond i Galadriela odjeżdżali, bo skończyła się Trzecia Era, minęły dni Pierścieni, dobiegała końca historia i pieśń tej epoki. Odchodziło z nimi mnóstwo Elfów Wysokiego Rodu, nie chcąc dłużej pozostawać w Śródziemiu. Między nimi, przepełnieni smutkiem, ale smutkiem szczęśliwym, niezatrutym goryczą, jechali Sam, Frodo i Bilbo, a elfowie odnosili się do nich z wielkim szacunkiem.

Jechali cały wieczór i całą noc przez Shire, lecz nikt ich nie widział prócz leśnych i polnych zwierząt; może zresztą jakiemuś zapóźnionemu wędrowcowi mignęły w mroku pod drzewami blaski albo światła na przemian z cieniem sunące po trawie, w miarę jak księżyc przepływał ku zachodowi. A kiedy znaleźli się poza granicami Shire'u, omijając od południa Białe Wzgórza, dotarli do Dalekich, a potem do Wieżowych Wzgórz, skąd ujrzeli w oddali Morze. Wreszcie przez Mithlond przybyli do Szarej Przystani nad długą, wąską Zatokę Księżycową.

Budowniczy okrętów, Círdan, wyszedł na ich powitanie do bramy. Był wysokiego wzrostu, brodę miał po pas, zdawał się bardzo stary, ale oczy mu błyszczały jak gwiazdy. Skłonił się, mówiąc:

– Wszystko gotowe.

Poprowadził ich do Przystani, gdzie kołysał się na wodzie biały okręt, a na nabrzeżu czekał ktoś, cały w bieli. Gdy się odwrócił i podszedł bliżej, Frodo poznał Gandalfa. Czarodziej miał na palcu Trzeci Pierścień, Naryę, z kamieniem czerwonym jak żywy płomień. A wszyscy, którzy mieli odpłynąć statkiem, ucieszyli się, że Gandalf popłynie razem z nimi.

Ale Sam stał na brzegu i serce ściskało mu się z bólu; myślał, że gorzka jest rozłąka, ale jeszcze smutniejsza będzie długa samotna droga do domu. Lecz w ostatniej chwili, gdy elfowie już wchodzili na pokład i kończono ostatnie przygotowania, rozległ się spieszny tętent i Merry z Pippinem nadjechali galopem, osadzając konie w miejscu na wybrzeżu. Pippin śmiał się, chociaż łzy płynęły mu z oczu.

– Raz już próbowałeś nam się wymknąć chyłkiem i nie udało ci się to, mój Frodo! – powiedział. – Tym razem niewiele brakowało, a byłbyś nas zwiódł, ale jednak cię dogoniliśmy. Tylko że teraz nie Sam zdradził twój sekret, lecz Gandalf we własnej osobie.

– Tak – rzekł Gandalf. – Nie chciałem, żeby Sam wracał bez towarzystwa, wolę, żebyście stąd do kraju jechali we trzech. Dziś,

przyjaciele, na tym wybrzeżu kończy się ostatecznie nasza bratnia wspólnota w Śródziemiu. Zostańcie w pokoju! Nie powiem: nie płaczcie, bo nie wszystkie łzy są złe.

Frodo ucałował Meriadoka i Pippina, a na ostatku Sama i wstąpił na pokład; wciągnięto żagle, dmuchnął wiatr i z wolna statek zaczął się oddalać po szarej wodzie Zatoki; szkiełko Galadrieli w ręku Froda rozbłysło i zniknęło. Statek wypłynął na pełne Morze i żeglował ku zachodowi, aż wreszcie pewnej dżdżystej nocy Frodo poczuł słodki zapach w powietrzu i usłyszał śpiew dolatujący nad wodą. Wydało mu się, jak we śnie tamtej nocy w domu Bombadila, że szara zasłona deszczu przemienia się w srebrne szkło i rozsuwa, ukazując białe wybrzeże, a za nim daleko zielony kraj w blasku wschodzącego szybko słońca.

Ale dla Sama tego wieczora, gdy stał w Przystani, noc zapadła ciemna, i na szarym Morzu nie widział nic prócz cienia sunącego po falach i niknącego na zachodzie. Czekał długo w noc, słysząc tylko westchnienia i szmer fal bijących o ląd Śródziemia, i głos ten zapadł mu głęboko w serce. Obok niego stali milczący Merry i Pippin.

W końcu trzej przyjaciele odwrócili się od Morza i już nie oglądając się za siebie ni razu, z wolna ruszyli w stronę domu. Żaden nie przemówił, póki nie znaleźli się znów w granicach Shire’u, mimo to każdy czerpał pociechę z obecności przyjaciół na tej długiej, szarej drodze.

Gdy wreszcie ze wzgórz zjechali na Wschodni Gościniec, Merry i Pippin skręcili do Bucklandu; już znów śpiewali, cwałując przez znajome okolice. Sam zawrócił Nad Wodę i pod wieczór dotarł na Pagórek. Wspinając się po zboczu, z daleka zobaczył żółte światełko w oknie i odblask ognia płonącego na kominku. Wieczerza była gotowa, tak jak się spodziewał. Różyczka wciągnęła go do domu, usadowiła w fotelu i posadziła mu na kolanach małą Elanor. Sam odetchnął głęboko.

– Ano, wróciłem! – powiedział.

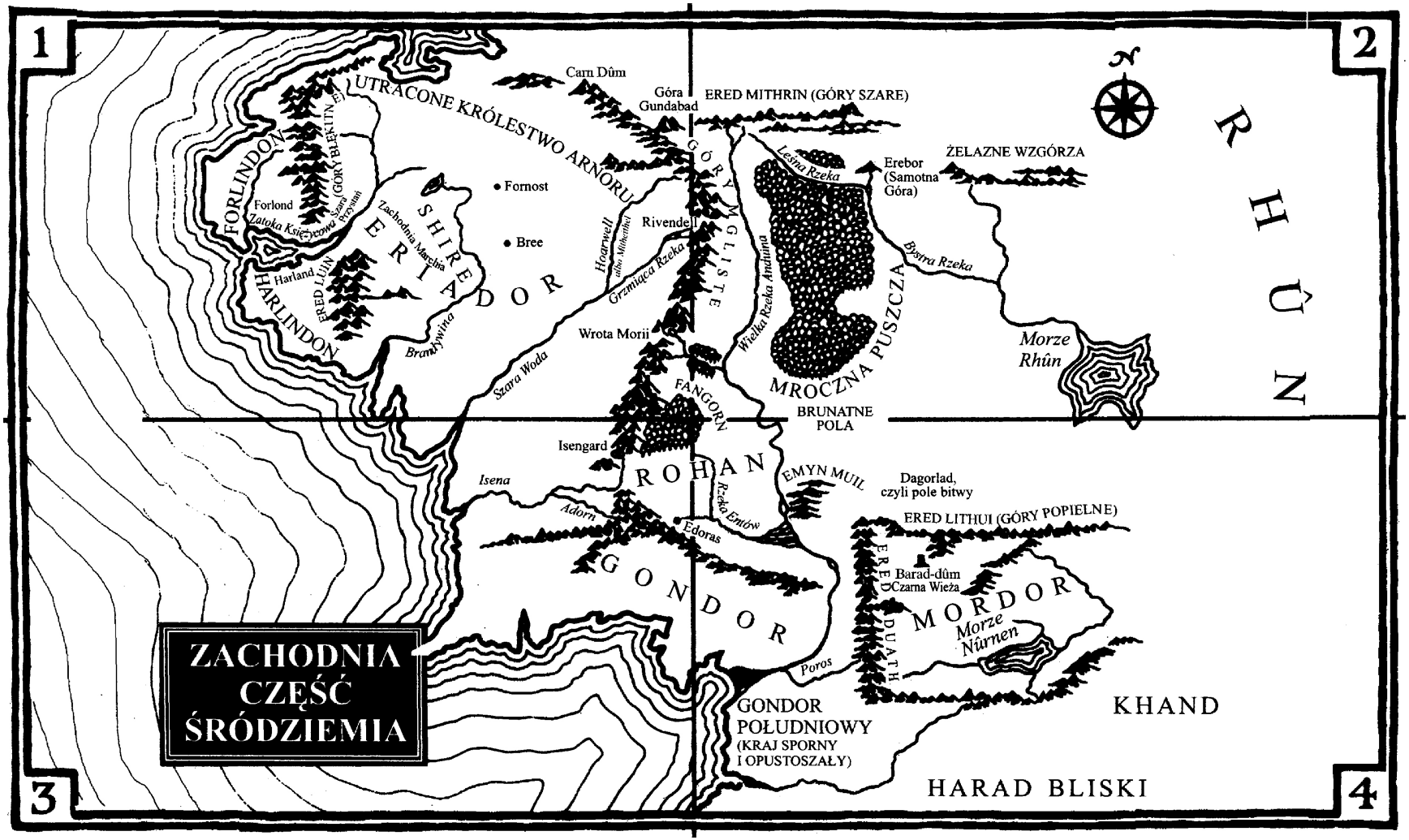
1
2
3
4
ZACHODNIA CZĘŚĆ ŚRÓDZIEMIA
UTRACONE KRÓLESTWO ARNORU
Carn Dûm
Góra Gundabad
ERED MITHRIN (GÓRY SZARE)
ŻELAZNE WZGÓRZA
Erebor (Samotna Góra)
Leśna Rzeka
Bystra Rzeka
RHÛN
Morze Rhûn
FORLINDON
Forlond
Zatoka Księżycowa
Szara Przystań
(GÓRY BŁĘKITNE)
Harland
ERED LUIN
HARLINDON
SHIRE
ERIADOR
Zachodnia Marchia
Fornost
Bree
Brandywina
Hoarwell
albo Mithethel
Rivendell
Grzmiąca Rzeka
GÓRY MGLISTE
Wielka Rzeka Anduina
MROCZNA PUSZCZA
Wrota Morii
Szara Woda
FANGORN
BRUNATNE POLA
Isengard
ROHAN
Isena
Adorn
Rzeka Entów
Edoras
EMYN MUIL
Dagorlad, czyli pole bitwy
ERED LITHUI (GÓRY POPIELNE)
GONDOR
ERED DUATH
Barad-dûm Czarna Wieża
MORDOR
Morze Nûrnen
Poros
GONDOR POŁUDNIOWY (KRAJ SPORNY I OPUSTOSZAŁY)
KHAND
HARAD BLISKI

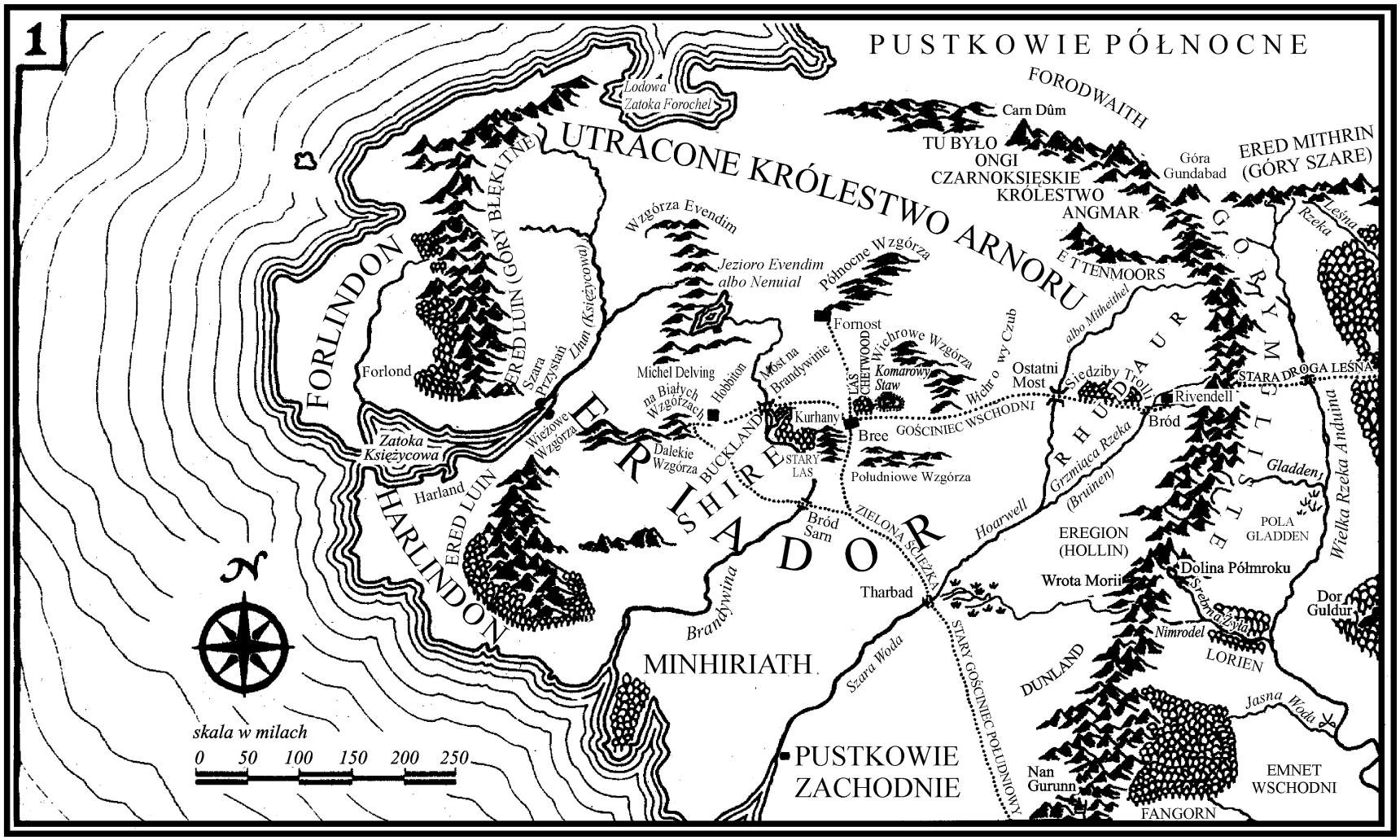
1
PUSTKOWIE PÓŁNOCNE
FORODWAITH
Carn Dûm
TU BYŁO ONGI CZARNOKSIĘSKIE KRÓLESTWO ANGMAR
Góra Gundabad
ERED MITHRIN (GÓRY SZARE)
Leśna Rzeka
Lodowa Zatoka Forochel
UTRACONE KRÓLESTWO ARNORU
FORLINDON
ERED LUIN (GÓRY BŁĘKITNE)
Wzgórza Evendim
Jezioro Evendim albo Nenuial
Północne Wzgórza
ETTENMOORS
GÓRY MGLISTE
albo Mitheithel
Fornost
Wichrowe Wzgórza
Wichrowy Czub
Ostatni Most
Siedziby Trolli
RHUDAUR
STARA DROGA LEŚNA
Rivendell
Bród
Forlond
Szara Przystań
Lhun (Księżycowa)
Michel Delving
Hobbiton
Most na Brandywinie
LAS CHETWOOD
Komarowy Staw
na Białych Wzgórzach
Kurhany
Bree
GOŚCINIEC WSCHODNI
Zatoka Księżycowa
Wieżowe Wzgórza
Dalekie Wzgórza
BUCKLAND
STARY LAS
Południowe Wzgórza
Grzmiąca Rzeka (Bruinen)
Gladden
Wielka Rzeka Anduina
Harland
ERED LUIN
HARLINDON
ERIADOR
SHIRE
Bród Sarn
ZIELONA ŚCIEŻKA
Hoarwell
EREGION (HOLLIN)
POLA GLADDEN
Dolina Półmroku
Wrota Morii
Tharbad
Brandywina
Srebrna Żyła
Dor Guldur
Nimrodel
LORIEN
MINHIRIATH
Szara Woda
STARY GOŚCINIEC POŁUDNIOWY
DUNLAND
Jasna Woda
skala w milach
0 50 100 150 200 250
PUSTKOWIE ZACHODNIE
Nan Gurunn
EMNET WSCHODNI
FANGORN

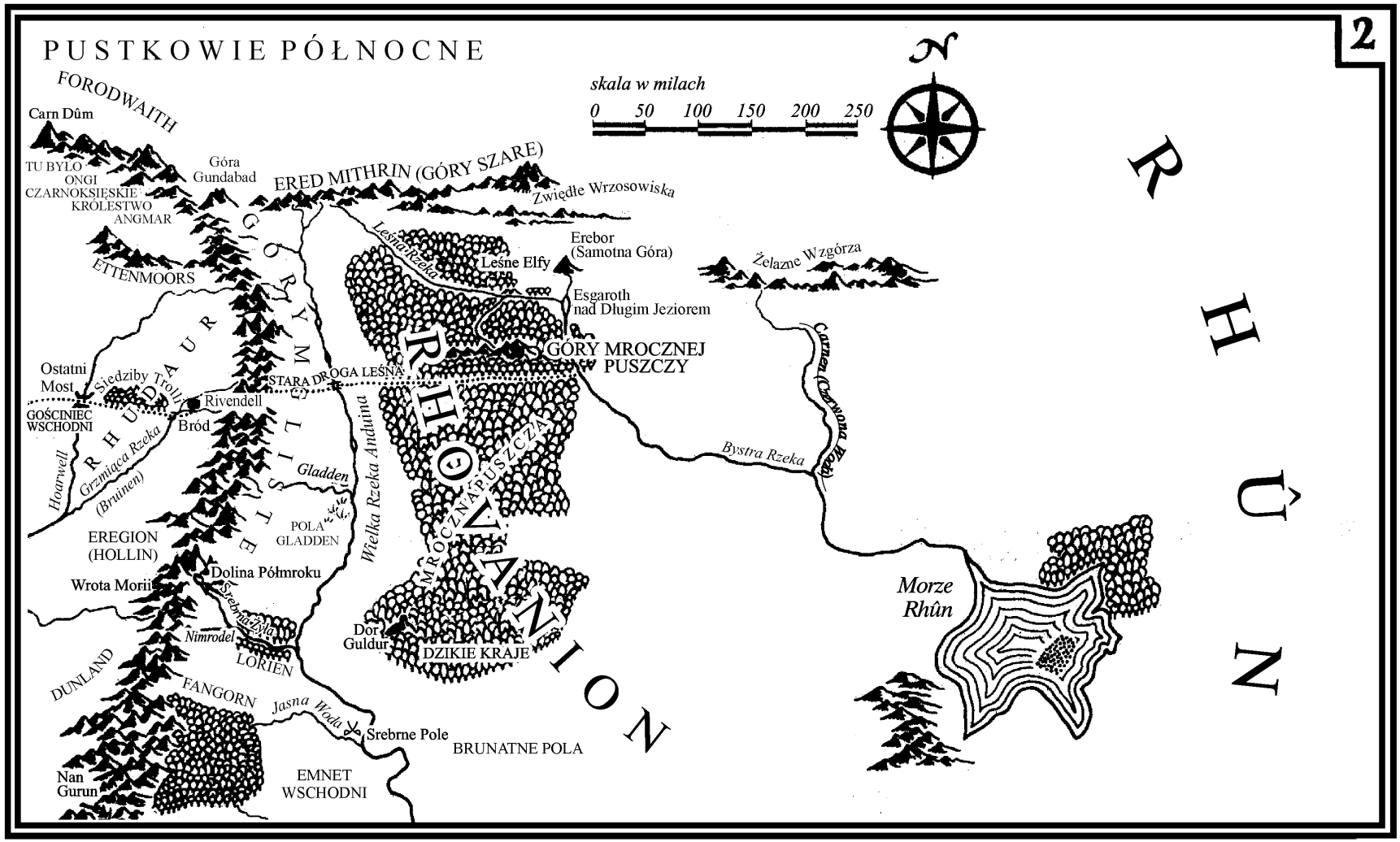
2
PUSTKOWIE PÓŁNOCNE
N
skala w milach
0 50 100 150 200 250
FORODWAITH
Carn Dûm
TU BYŁO ONGI CZARNOKSIĘSKIE KRÓLESTWO ANGMAR
Góra Gundabad
ERED MITHRIN (GÓRY SZARE)
Zwiędłe Wrzosowiska
ETTENMOORS
GÓRY MGLISTE
Leśna Rzeka
Leśne Elfy
Erebor (Samotna Góra)
Esgaroth nad Długim Jeziorem
Żelazne Wzgórza
GÓRY MROCZNEJ PUSZCZY
RHOVANION
MROCZNA PUSZCZA
Carnen (Czerwona Rzeka)
Bystra Rzeka
RHÛN
Morze Rhûn
RHUDAUR
Ostatni Most
Siedziby Trolli
STARA DROGA LEŚNA
Rivendell
GOŚCINIEC WSCHODNI
Bród
Hoarwell
Grzmiąca Rzeka (Bruinen)
Gladden
Wielka Rzeka Anduina
POLA GLADDEN
EREGION (HOLLIN)
Dolina Półmroku
Wrota Morii
Srebrna Fiala
Nimrodel
LORIEN
Dor Guldur
DZIKIE KRAJE
DUNLAND
FANGORN
Jasna Woda
Srebrne Pole
BRUNATNE POLA
Nan Gurun
EMNET WSCHODNI

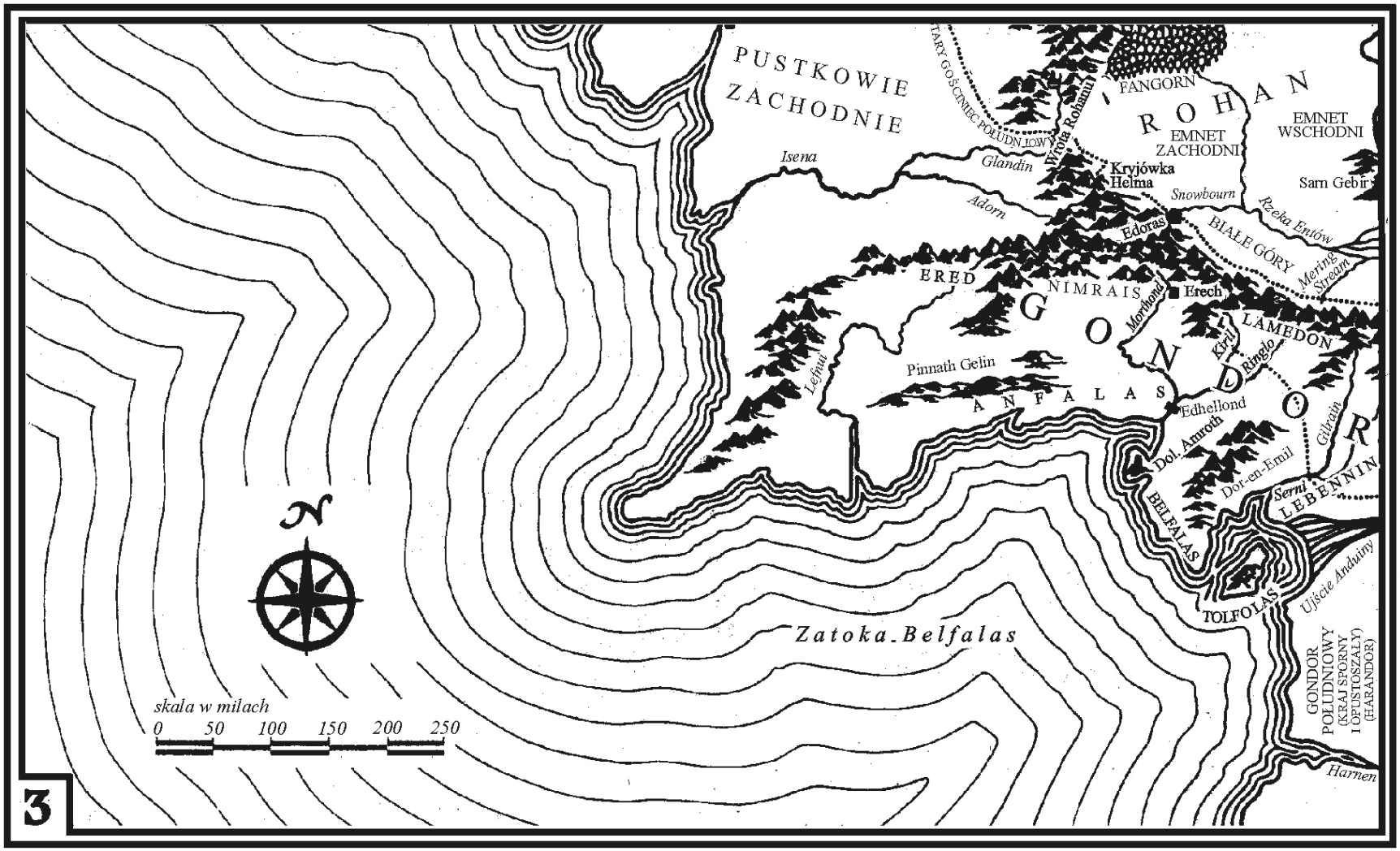
PUSTKOWIE ZACHODNIE
TARY GOŚCINIEC POŁUDNIOWY
Wrota Rohanu
FANGORN
ROHAN
EMNET ZACHODNI
EMNET WSCHODNI
Isena
Glandin
Kryjówka Helma
Snowbourn
Sarn Gebir
Adorn
Rzeka Entów
Edoras
BIAŁE GÓRY
Mering Stream
ERED NIMRAIS
Erech
Morthond
GONDOR
LAMEDON
Kiril
Ringlo
Lefnui
Pinnath Gelin
ANFALAS
Edhellond
Dol Amroth
Gilrain
Dor-en-Emil
Serni
LEBENNIN
BELFALAS
TOLFOLAS
Ujście Anduiny
Zatoka Belfalas
GONDOR POŁUDNIOWY (KRAJ SPORNY I OPUSTOSZAŁY) (HARANDOR)
Harnen
N
skala w milach
0 50 100 150 200 250
3

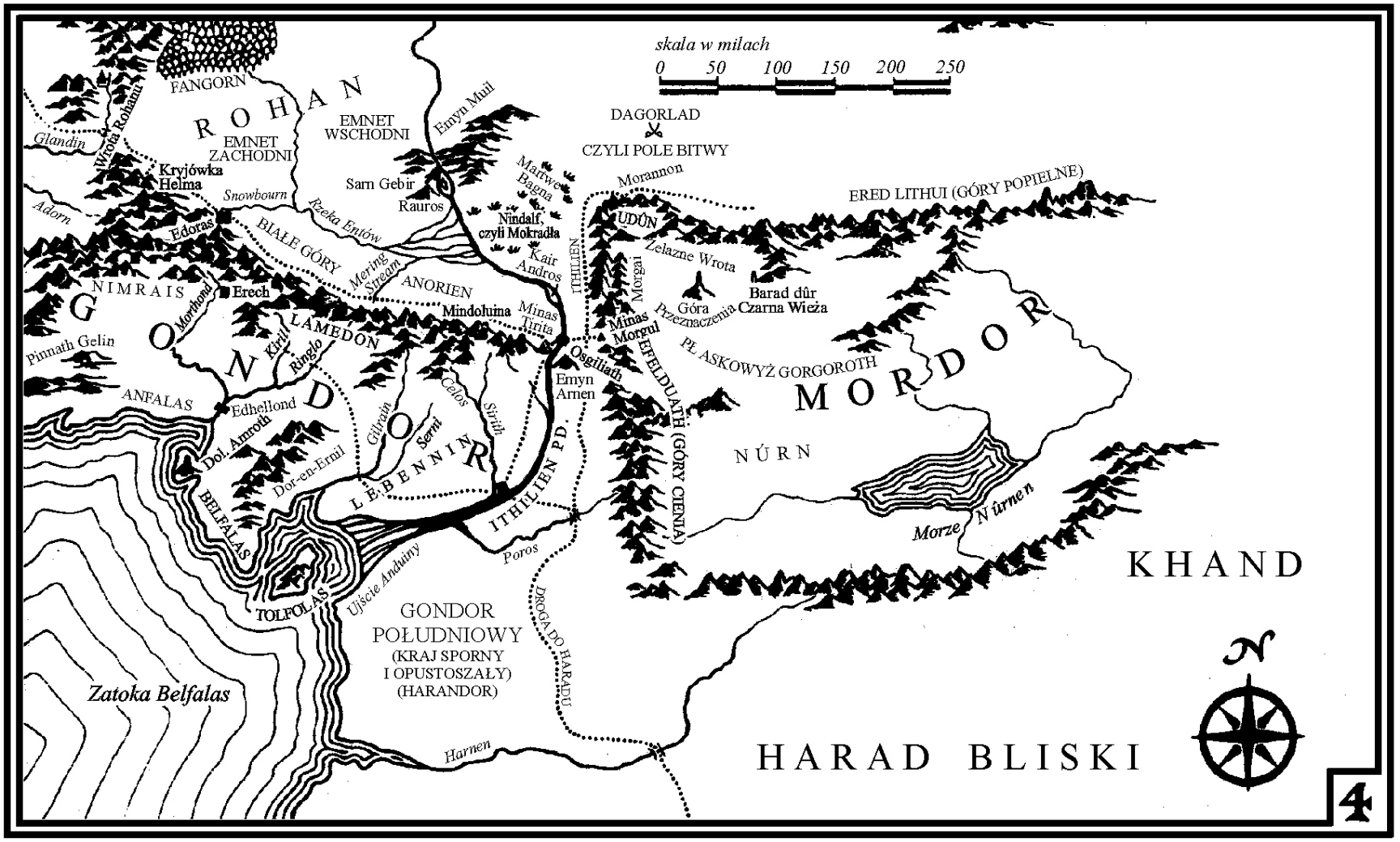
skala w milach
0 50 100 150 200 250
ROHAN
FANGORN
EMNET ZACHODNI
EMNET WSCHODNI
Emyn Muil
Wrota Rohanu
Glandin
Kryjówka Helma
Snowbourn
Adorn
Edoras
Sarn Gebir
Rauros
Rzeka Entów
BIAŁE GÓRY
Mering Stream
Martwe Bagna
Nindalf, czyli Mokradła
Kair Andros
ANORIEN
NIMRAIS
GONDOR
Morthond
Erech
Mindolluin
Minas Tirith
LAMEDON
Kiril
Ringlo
Pinnath Gelin
ANFALAS
Edhellond
Dol Amroth
Dor-en-Ernil
Gilrain
Celos
Serni
Sirith
LEBENNIN
ITHILIEN PD.
Osgiliath
Emyn Arnen
BELFALAS
TOLFOLAS
Ujście Anduiny
Poros
GONDOR POŁUDNIOWY
(KRAJ SPORNY I OPUSTOSZAŁY)
(HARANDOR)
Zatoka Belfalas
Harnen
DROGA DO HARADU
DAGORLAD
CZYLI POLE BITWY
Morannon
ERED LITHUI (GÓRY POPIELNE)
UDÛN
Żelazne Wrota
ITHILIEN
Morgai
Góra Przeznaczenia
Barad dûr Czarna Wieża
Minas Morgul
EFEL DUATH (GÓRY CIENIA)
PŁASKOWYŻ GORGOROTH
MORDOR
NÚRN
Morze Nûrnen
KHAND
HARAD BLISKI
N
4

ROHAN
GONDOR
MORDOR
Bród Entów
EMYN MUIL
MARTWE BAGNA
Śnieżny Potok
Edoras
Nagi Wierch
WSCHODNIA BRUZDA
BRUZDA
Rzeka Entów
granica Rohanu
Wodogrzmoty Rauros
NINDALF czyliMokradła
Wielka Rzeka Anduina
Ujście
Rzeki Entów
Morthond
Erech
Gościniec Zachodni
FENMARCH
Stumień Mering
Las Firien
ANÓRIEN
Halifirien
Calenhad
Ostroga Tarlanga
LAMEDON
Min-Rimmon
Erelas
Nardol
Las Druadan
Eilenach
Amon Dîn
Szary Las
Droga Kamiennych Wozów
Góra Mindolluinna
Cair Andros
Ciril
Calembel
Ethring
Ringlo
Celos
Sirith
Lossarnach
Bród na Erui
Emyn Amen
Minas Tirith
Osgiliath
LEBENNIN
Erui
Anduina
DOR-EN-ERNIL
Gilrain
Serni
Linhir
BELFALAS
Ethir Anduin (Ujście Anduiny)
Pelargir
POŁUDNIOWE ITHILIEN
Bród na Poros
Poros
Droga do Haradu
DAGORLAD
(Pole Bitwy)
Morannon
(Góry Popielne)
EREDLITHUI
UDÛN
Durthang
Żelazne Wrota
PÓŁNOCNE ITHILIEN
Henneth Annûn
Morgai
ORODRUINA
Góra Przeznaczenia
Obóz
Barad-dûr (Czarna Wieża)
PŁASKOWYŻ GORGOROTH
Minas Morgul
Cirith Ungol
EPHEL DÚATH (Góry Cienia)
NÚRN
N
skala w milach
0 10 20 30 40 50

Dodatki

DODATEK A

KRONIKI KRÓLÓW I WŁADCÓW

Źródła, z których zaczerpnąłem większą część materiałów zawartych w Dodatkach, szczególnie w Dodatkach A–D, wskazane są w Nocie do prologu. Część III Dodatku A pt. „Plemię Durina” prawdopodobnie oparta jest na relacjach Gimlego, gdyż krasnolud ten podtrzymywał przyjazne stosunki z Peregrinem i Meriadokiem, często spotykając się z nimi w Gondorze i Rohanie.

W źródłach tych legendy, opowieści oraz informacje o charakterze naukowym przedstawione są bardzo obszernie, toteż w niniejszej książce mogłem zamieścić jedynie wybór, i to przeważnie ze znacznymi skrótami. Głównym ich celem jest zilustrowanie Wojny o Pierścień oraz jej przyczyn, a także uzupełnienie luk w zasadniczym wątku historii. Starożytne legendy Pierwszej Ery, stanowiące przedmiot największego zainteresowania Bilba, wspominamy jedynie pokrótce, gdyż dotyczą przodków Elronda i królów oraz wodzów Númenoru.

Wszystkie daty dotyczą Trzeciej Ery, jeśli nie zaznaczono, że chodzi o Drugą lub Czwartą. Na ogół za koniec Trzeciej Ery przyjmowano wrzesień 3021 roku, kiedy Trzy Pierścienie opuściły Śródziemie, lecz w Gondorze liczono Czwartą Erę od 25 marca tegoż roku. Jak przeliczać daty ery Shire’u na kalendarz Gondoru, wyjaśniliśmy na s. 21 i 1240.

Podane po imionach królów i władców daty wymieniają rok ich śmierci; przy niektórych tylko imionach figuruje też druga data – rok urodzenia. Znaczek krzyża oznacza śmierć na polu bitwy lub inny gwałtowny rodzaj śmierci, chociaż jej okoliczności nie zawsze są opisane. Odnośniki odsyłają czytelników do trylogii *Władca Pierścieni* lub do książki *Hobbit*[92].

I. KRÓLOWIE NÚMENORU

1. Númenor

Fëanor był wśród Eldarów najbieglejszy w sztukach i nauce, lecz zarazem najbardziej pyszny i samowolny. Jego dziełem były trzy klejnoty – Silmarile. Obdarzył je blaskiem dwóch czarodziejskich drzew: Telperiona i Laurelinu[93], oświetlających krainę Valarów. Nieprzyjaciel, Morgoth, pożądał tych klejnotów i ukradł je, a po zniszczeniu cudownych drzew zabrał Silmarile ze sobą do Śródziemia i strzegł ich w twierdzy Thangorodrim.

Fëanor wbrew woli Valarów opuścił Błogosławione Królestwo, udając się na obczyznę, do Śródziemia, i uprowadzając ze sobą znaczną część swego plemienia; zaślepiony pychą postanowił przemocą odebrać Morgothowi klejnoty. Tak doszło do beznadziejnej wojny, w której Eldarowie i Edainowie wspólnymi siłami próbowali zdobyć Thangorodrim i ponieśli w końcu straszliwą klęskę. Edainami (Atani) nazywano trzy plemiona ludzi przybyłe najwcześniej na Zachód Śródziemia i na wybrzeża Wielkiego Morza; te plemiona były sprzymierzeńcami Eldarów w walce z Nieprzyjacielem.

W dziejach zdarzyły się tylko trzy związki małżeńskie między Eldarami a Edainami: Lúthien z Berenem, Idril z Tuorem, Arweny z Aragornem. W tym ostatnim małżeństwie połączyły się dwie z dawna rozdzielone linie półelfów i odnowiony został ich ród.

Lúthien Tinúviel była córką Thingola zwanego Szarym Płaszczem, króla Doriath w Pierwszej Erze, i Meliany, należącej do Valarów. Beren był synem Barahira z Pierwszego Domu Edainów. Lúthien z Berenem wydarli z żelaznej korony Morgotha piękny Silmaril. Lúthien, poślubiając człowieka, wyrzekła się nieśmiertelności i opuściła plemię elfów. Syn jej miał na imię Dior, a jego córka Elwinga przechowywała cenny Silmaril.

Idril Celebrindal była córką Turgona, króla ukrytego państwa Gondolin[94]. Tuor był synem Huora z Rodu Hadora, Trzeciego Domu Edainów; wsławił się w wojnach z Morgothem. Synem Idril i Tuora był Eärendil Żeglarz.

Eärendil poślubił Elwingę, wspierany czarem Silmarila przeszedł przez Ciemności i dotarł na Najdalszy Zachód; przemawiając w imieniu zarówno elfów, jak i ludzi, uzyskał pomoc, dzięki której pokonano Morgotha. Eärendilowi jednak nie pozwolono wracać pomiędzy śmiertelników; statek Eärendila uniósł Silmaril w niebiosa, gdzie odtąd klejnot błyszczał w postaci gwiazdy na znak nadziei dla mieszkańców Śródziemia, uciskanych

przez Wielkiego Nieprzyjaciela i jego sługi. Silmarile przechowały dawne światło Dwóch Drzew Valinoru kwitnących dopóty, dopóki ich Morgoth nie zatruł. Dwa inne zginęły pod koniec Pierwszej Ery. Całą ich historię oraz wiele innych wiadomości dotyczących elfów i ludzi można znaleźć w książce pt. *Silmarillion*.

Synami Eärendila byli Elros i Elrond, *peredhil*, czyli półelfowie. W nich tylko przetrwała linia bohaterskich wodzów Edainów z Pierwszej Ery. Po upadku Gil-galada tylko ich potomkowie reprezentowali w Śródziemiu linię królewską elfów.

Pod koniec Pierwszej Ery Valarowie zażądali od półelfów, by nieodwołalnie wybrali, do którego z dwóch plemion chcą należeć. Elrond wybrał plemię elfów i stał się mistrzem wiedzy. Przysługiwał mu więc ten sam przywilej co Elfom Wysokiego Rodu przebywającym jeszcze w Śródziemiu, mieli oni mianowicie prawo, gdy poczuli się już znużeni życiem wśród śmiertelników, wejść w Szarej Przystani na pokład statku i odpłynąć na Najdalszy Zachód; przywilej ten zachował moc nawet po odmianie świata. Dzieciom Elronda również dano wybór: mogły albo wraz z nim odejść z tych krain, albo tracąc dar nieśmiertelności, zostać w Śródziemiu i tu umrzeć, gdy się czas dopełni. Dlatego to Elrondowi czy to pomyślne, czy niepomyślne zakończenie Wojny o Pierścień musiało przynieść boleść i smutek.

Elros wybrał plemię ludzkie i pozostał wśród Edainów, ale zarówno on, jak i jego potomni cieszyli się szczególną długowiecznością.

Valarowie, Opiekunowie Świata, dali Edainom w nagrodę za ofiary poniesione w walkach z Morgothem kraj odgrodzony od niebezpieczeństw nękających Śródziemie. Większość więc Edainów pożeglowała za Morze i kierując się światłem gwiazdy Eärendila, dopłynęła do wielkiej wyspy Elenny, położonej najdalej na zachód ze śmiertelnych krajów. Tam założyli królestwo Númenor.

Pośrodku wyspy wznosiła się wysoka góra, Meneltarma; z jej szczytu człowiek obdarzony bystrym wzrokiem mógł dostrzec białą wieżę przystani Eldarów w Eressëi. Eldarowie nawiązali z Edainami przyjazne stosunki, wzbogacając ich wiedzą i hojnymi darami; jedno wszakże wyznaczono Edainom ograniczenie, Zakaz Valarów: nie wolno im było żeglować dalej na zachód, niż sięgali wzrokiem ze swoich wybrzeży, ani postawić stopy w Krajach Nieśmiertelnych. Chociaż bowiem długowieczni w pierwszych

czasach żyli trzykroć dłużej niż zwykli ludzie – musieli pozostać śmiertelni, bo Valarowie nie mieli prawa pozbawić ich Przywileju Człowieka. (Czy może Przekleństwa Człowieka – jak później ten dar nazwano).

Elros był pierwszym królem Númenoru i zapisał się w dziejach pod imieniem Tar-Minyatur – tak bowiem brzmiało to w języku elfów. Potomkowie jego żyli długo, ale podlegali śmierci. Później, gdy zdobyli znaczną potęgę, mieli żal do praojca, który wybrał los ludzi; zazdrościli nieśmiertelności przysługującej Eldarom i szemrali na Zakaz Valarów. Tak się zaczął ich bunt, podsycany przewrotnymi radami Saurona, bunt, który doprowadził do upadku Númenoru i ruiny dawnego świata – o czym opowiada księga *Akallabêth*.

Oto imiona królów i królowych Númenoru: Elros Tar-Minyatur, Vardamir, Tar-Amandil, Tar-Elendil, Tar-Meneldur, Tar-Aldarion, Tar-Ankalimë (pierwsza panująca królowa), Tar-Anárion, Tar-Súrion, Tar-Telperiën (druga królowa), Tar-Minastir, Tar-Ciryatan, Tar-Atanamir Wielki, Tar-Ancalimon, Tar-Telemmaitë, Tar-Vanimeldë (trzecia królowa), Tar-Alcarin, Tar-Calmacil.

Następcy Calmacila, porzucając imiona elfów, panowali pod imionami wziętymi z języka númenorejskiego (czyli adûnajskiego): Ar-Adûnakhôr, Ar-Zimrathôn, Ar-Sakalthôr, Ar-Gimilzôr, Ar-Inziladûn. Inziladûn jednak, żałując tej zmiany, przybrał imię Tar-Palantir – „Dalekowidzący”. Córka jego miała być czwartą królową, Tar-Míriel, lecz siostrzeniec królewski zagarnął podstępnie tron i władał jako Ar-Pharazôn Złoty, ostatni król Númenoru.

Za czasów Tar-Elendila pierwsze statki Númenorejczyków przybiły znów do brzegów Śródziemia. Pierworodna jego córka, Silmariën, miała syna Valandila, który był pierwszym władcą zachodniego kraju Andúnië i przyjaźnił się z Eldarami. Potomkami Valandila w prostej linii byli Amandil, ostatni władca Andúnië, i jego syn Elendil Smukły.

Szósty król zostawił jednego tylko potomka – córkę. Była pierwszą królową Númenoru, stało się bowiem prawem dynastii królewskiej, że berło przejmuje pierworodne dziecko króla, czy to syn, czy córka.

Królestwo Númenoru przetrwało do końca Drugiej Ery, a nawet wzrosło w potęgę i chwałę; Númenorejczycy zaś aż do drugiej połowy tej ery również wzrastali w mądrości i szczęściu. Pierwsza zapowiedź cienia, który

miał zaćmić ich los, zjawiła się za panowania Tar-Minastira, jedenastego z królów. On to wysłał znaczne siły na pomoc Gil-galadowi. Kochał Eldarów, lecz zazdrościł im. Númenorejczycy stali się podówczas znakomitymi żeglarzami, a poznawszy obszar mórz daleko na wschód, zaczęli marzyć o wyprawach na zachód i o zakazanych wodach; im zaś szczęśliwsze było ich życie, tym goręcej pragnęli nieśmiertelności, którą cieszyli się Eldarowie.

Co gorsza, królowie, następcy Minastira, zapałali chciwością bogactw i władzy. Początkowo Númenorejczycy przybyli do Śródziemia jako nauczyciele i przyjaciele słabszych ludzkich plemion, zagrożonych przez Saurona; teraz jednak przystanie ich zamieniły się w twierdze panujące nad rozległymi nadbrzeżnymi krainami. Atanamir i jego spadkobiercy ściągali ciężkie haracze, a statki Númenorejczyków wracały załadowane łupem.

Pierwszy wystąpił przeciw Zakazowi Valarów Tar-Atanamir, oświadczając, że z prawa należy mu się wieczne życie jak Eldarom. Cień wtedy pogłębił się nad krajem, a myśl o śmierci trwożyła serca ludzkie. Nastąpił wśród Númenorejczyków rozłam: jedni stali przy królach i ich zwolennikach, zrywając więzy z Eldarami i Valarami; drudzy – nieliczna garstka, mieniąca się Wiernymi – skupili się głównie w zachodniej części królestwa.

Królowie oraz ich zwolennicy stopniowo porzucali mowę Eldarów, aż wreszcie dwudziesty król przybrał imię wzięte z języka númenorejskiego: Ar-Adûnakhôr, co znaczy „Władca Zachodu”. Wydało się ono złowróżbne Wiernym, oni bowiem dotychczas tytułowali w ten sposób jedynie najdostojniejszych Valarów lub samego Odwiecznego Króla. Rzeczywiście Ar-Adûnakhôr zaczął prześladować Wiernych i karał tych, którzy jawnie używali języków elfów. Eldarowie już nie odwiedzali Númenoru.

Potęga i bogactwa Númenorejczyków wzrastały nadal, lecz żyli coraz krócej i coraz bardziej lękali się śmierci, a radość ich opuściła. Tar-Palantir próbował naprawić zło, było jednak już za późno; w Númenorze rozpętały się bunty i zwady. Po zgonie Tar-Palantira przywódca rebeliantów zagarnął tron pod mianem króla Ar-Pharazôna. Ar-Pharazôn Złoty był najdumniejszym i najpotężniejszym z królów i nic prócz panowania nad całym światem nie mogło go zadowolić.

Postanowił Sauronowi Wielkiemu odebrać władzę nad Śródziemiem i pożeglował na czele silnej floty do Umbaru. Tak wielka była potęga i bogactwa Númenorejczyków, że nawet właśni słudzy Saurona opuścili go,

on zaś musiał ukorzyć się, złożyć zwycięzcy hołd i prosić go o łaskę. Wówczas Ar-Pharazôn zaślepiony pychą wziął Saurona z sobą jako jeńca do Númenoru. Sauron nie potrzebował wiele czasu, by opętać króla i owładnąć jego doradcami; wkrótce też przeciągnął serca wszystkich Númenorejczyków – z wyjątkiem garstki Wiernych – z powrotem na stronę Ciemności.

Sauron okłamał króla, zapewniając go, że kto zapanuje nad Nieśmiertelnymi Krajami, zyska wieczne życie, i że Zakaz został mu narzucony dlatego tylko, by królowie ludzcy nie mogli przewyższyć Valarów. „Ale wielki władca sam bierze to, do czego ma prawo” – mówił.

W końcu Ar-Pharazôn posłuchał rady Saurona, czuł bowiem, że zbliża się do kresu swoich dni, a strach przed śmiercią zaćmiewał mu rozum. Zgromadził najpotężniejszy oręż, jaki znał ówczesny świat, a gdy wszystko było gotowe, kazał zagrać trębaczom pobudkę i pożeglował na wojnę. Złamał Zakaz Valarów, próbował zdobyć nieśmiertelność przemocą w walce z Władcami Zachodu. Gdy jednak Ar-Pharazôn wstąpił na wybrzeże Błogosławionego Amanu, Valarowie, zrzekając się swej opiekuńczej roli, odwołali się do Jedynego i cały świat się odmienił. Númenor runął pochłonięty przez Morze, a Nieśmiertelne Kraje odsunęły się daleko, poza okręgi świata. Tak się skończyła chwała Númenoru.

Ostatni przywódcy Wiernych, Elendil i jego synowie, ocaleli, uciekając na dziewięciu statkach i zabrali z sobą nasienie Nimloth oraz Siedem Kryształów Jasnowidzenia (dary otrzymane przez ród Elendila od Eldarów). Na skrzydłach burzy przeniesieni na brzeg Śródziemia, tu założyli w północno-zachodnim jego kącie Królestwa Númenorejskie na Wygnaniu: Arnor i Gondor. Elendil był Królem Najwyższym i zamieszkał w Annúminas na północy, oddając południowe prowincje dwóm swoim synom, Isildurowi i Anárionowi. Oni to zbudowali Osgiliath między dwiema wieżami – Minas Ithil i Minas Anor, opodal granicy Mordoru. Tyle bowiem dobrego wynikło z zagłady Númenoru, że przynajmniej Sauron również w niej zginął – jak sądzili.

Mylili się co do tego; Sauron wprawdzie został dotknięty katastrofą Númenoru tak, że stracił cielesną powłokę, w której od dawna znany był światu, lecz ze złym wichrem umknął z powrotem do Śródziemia jako duch nienawiści. Odtąd nigdy już nie zdołał odzyskać postaci, która by ludziom wydawała się piękna; czarny i wstrętny, zachował jedną tylko broń dającą

mu władzę: broń postrachu. Wrócił do Mordoru i przez czas jakiś krył się tu, nie dając znaku życia. Zapałał jednak srogim gniewem, dowiadując się, że Elendil, którego bardziej niż kogokolwiek nienawidził, ocalał i zakłada królestwo tuż pod progiem jego własnej siedziby.

Dlatego to wkrótce potem rozpoczął wojnę z Wygnańcami, by nie dopuścić do umocnienia się ich państwa w tych stronach. Orodruina znów wybuchła płomieniem i w Gondorze nadano jej nazwę Amon Amarth – Góra Przeznaczenia. Sauron wszakże uderzył za wcześnie, zanim zdążył odbudować swoją potęgę, podczas gdy potęga Gil-galada wzrosła już znacznie. Związani Ostatnim Przymierzem sojusznicy pokonali Saurona, odbierając mu Jedyny Pierścień. Na tym zakończyła się Druga Era.

2. Królestwa na wygnaniu

Linia Północna

Spadkobiercy Isildura

Arnor. Elendil † Druga Era 3441; Isildur † 2; Valandil 249[95]; Eldakar 339; Arantar 435; Tarcil 515; Tarondor 602; Valandur † 652; Elendur 777; Eärendur 861.

Arthedain. Amlaith z Fornostu[96] (najstarszy syn Eärendura) 946; Beleg 1029; Mallor 1110; Celefarn 1191; Celebrindor 1272; Malvegil 1349[97]; Argeleb I † 1356; Arveleg I 1409; Araphor 1589; Argeleb II 1670; Arvegil 1743; Arveleg II 1813; Araval 1891; Arafant 1964; Arvedui Ostatni Król † 1975. Koniec Królestwa Północy.

Wodzowie. Aranarth (najstarszy syn Arvedui) 2106; Arahael 2177; Aranuir 2247; Aravir 2319; Aragorn I † 2327; Araglas 2455; Arahad I 2523; Aragost 2588; Aravorn 2654; Arahad II 2719; Arassuil 2784; Arathorn I † 2848; Argonui 2912; Arador † 2930; Arathorn II † 2933; Aragorn II, Czwarta Era 120.

Linia Południowa

Spadkobiercy Anáriona

Królowie Gondoru. Elendil, (Isildur) i Anárion † Druga Era 3440; Meneldil, syn Anáriona 158; Cemendur 238; Eärendil 324; Anardil 411;

Ostoher 492; Rómendacil I (Tarostar) † 541; Turambar 667; Atanatar I 748; Siriondil 830. Potem następują czterej Królowie Żeglarze:

Tarannon Falastur 913 – pierwszy król bezdzietny, zostawił tron bratankowi, synowi Tarciryana. Eärnil I † 936; Ciryandil † 1015; Hyarmendacil I (Ciryaher) 1149. Gondor osiąga szczyt potęgi.

Atanatar II Alcarin „Sławny” 1226; Narmacil I 1294 – drugi król bezdzietny; po nim objął władzę jego młodszy brat Calmacil 1304; Minalcar (regent 1240–1304), koronowany jako Rómendacil II 1304, zmarł 1366; Valacar; za jego czasów rozpoczęła się klęska Gondoru – bratobójcze waśnie.

Eldacar, syn Valacara (zwany początkowo Vinitharya), strącony z tronu w 1437; Castamir Samozwaniec † 1447; Eldacar po raz wtóry obejmuje tron, umiera w 1490.

Aldamir (drugi syn Eldacara) † 1540; Hyarmendacil II (Vinyarion) 1621; Minardil † 1634; Telemnar † 1636; Telemnar wraz z całym potomstwem zginął w czasie moru; jego następcą został bratanek, syn Minastana, który był młodszym synem Minardila; Tarondor 1798; Telumehtar Umbardacil 1850; Narmacil II † 1856; Calimehtar 1936; Ondoher † 1944. Ondoher wraz z dwoma synami poległ w boju. Po roku 1945 koronę oddano zwycięskiemu wodzowi Eärnilowi, potomkowi Telumehtara Umbardacila. Eärnil II 2043; Eärnur † 2050. Na nim urywa się linia królów, wznowiona dopiero w 3019 przez Elessara Telcontara. Królestwem rządzili tymczasem Namiestnicy.

Namiestnicy Gondoru. Ród Húrina: Pelendur 1998. Rządził przez rok po śmierci Ondohera i skłonił Gondorczyków, aby odrzucili pretensje Arvedui do tronu Gondoru. Vorondil Łowca 2029[98]. Mardil Voronwe „Stateczny”, pierwszy Namiestnik rządzący krajem. Jego następcy zarzucili imiona elfów.

Namiestnicy rządzący Gondorem. Mardil 2080; Eradan 2116; Herion 2148; Belegorn 2204; Húrin I 2244; Túrin I 2278; Hador 2395; Barahir 2412; Dior 2435; Denethor I 2477; Boromir 2489; Cirion 2567. Za czasów Ciriona przybyli do Calenardhon Rohirrimowie.

Hallas 2605; Húrin II 2628; Belecthor I 2655; Orodreth 2685; Ecthelion I 2698; Egalmoth 2743; Beren 2763; Beregond 2811; Belecthor II 2872; Thorondir 2882; Túrin II 2914; Turgon 2953; Ecthelion II 2984; Denethor

II – ostatni rządzący Namiestnik, po nim nastąpił syn jego, Faramir, książę Emyn Arnen, Namiestnik króla Elessara, Czwarta Era 82.

3. Eriador, Arnor i dziedzice Isildura

„Eriadorem nazywano z dawna wszystkie ziemie leżące między Górami Mglistymi a Błękitnymi; granicę ich od południa stanowiła Szara Woda i wpadająca do niej ponad Tharbadem rzeka Glanduina. W okresie największego rozkwitu Arnor obejmował cały Eriador z wyjątkiem okolic Rzeki Księżycowej i ziem położonych na wschód od Szarej Wody oraz Grzmiącej Rzeki, gdzie znajdowały się Rivendell i Hollin. Od Rzeki Księżycowej zaczynały się krainy elfów, zielone i ciche, nieodwiedzane przez ludzi, krasnoludowie wszakże mieszkali i po dziś dzień mieszkają po wschodniej stronie Gór Błękitnych, zwłaszcza w tej ich części, która ciągnie się na południe od Zatoki Księżycowej, gdzie mają kopalnie, czynne dotychczas. Dlatego w drodze na wschód często wędrują Wielkim Gościńcem, podobnie jak niegdyś, zanim my osiedliliśmy się w Shire. W Szarej Przystani mieszkał Círdan, Budowniczy Okrętów; chodzą słuchy, że mieszka tam nadal i że pozostanie, dopóki ostatni okręt nie odpłynie na zachód. Za dni królów większość Elfów Wysokiego Rodu, przebywających jeszcze w Śródziemiu, mieszkała wraz z Círdanem lub też w nadmorskich krajach Lindonu. Dziś w Śródziemiu elfów jest bardzo mało – a może już nie ma ich wcale”.

Królestwo Północne i Dúnedainowie

Po Elendilu i Isildurze panowało w Arnorze ośmiu królów. Gdy jednak synowie ostatniego z nich, Eärendura, nie mogli się z sobą pogodzić, podzielono królestwo na trzy części: Arthedain, Rhudaur i Cardolan. Arthedain, część północno-zachodnia, obejmował ziemie między Brandywiną a Rzeką Księżycową, jak również kraj na północ od Wielkiego Gościńca aż po Wichrowy Czub. Rhudaur leżał na północo-wschodzie między Ettenmoors a Wichrowym Czubem i Górami Mglistymi, lecz obejmował również Klin między Szarą Wodą a Grzmiącą Rzeką. Granice południowej części – Cardolanu – wyznaczały Brandywina i Szara Woda oraz Wielki Gościniec.

W Arthedain dynastia Isildura utrwaliła się na długo, lecz w Cardolanie i Rhudaurze wkrótce wygasła. Często wybuchały między tymi królestwami

spory i walki, wskutek czego Dúnedainowie ginęli. Główną kością niezgody były Wichrowe Wzgórza oraz kraj ciągnący się na zachód od nich w stronę Bree. Zarówno Rhudaur, jak i Cardolan pragnął zawładnąć Wichrowym Czubem (który zwał się Amon Sûl) stojącym na granicy obu królestw, ponieważ na Wieży Amon Sûl przechowywano najważniejszy *palantír* północy, podczas gdy dwa pozostałe znajdowały się w Arthedainie.

„W Arthedainie zaczął panować Malvegil, gdy po raz pierwszy na Arnor padł cień trwogi. Wtedy bowiem powstało na północy, za Ettenmoors, królestwo Angmar. Ziemie jego leżały po obu stronach gór i skupiło się tam mnóstwo złych ludzi, orków i innych dzikich stworów. (Władca Angmaru, znany pod mianem Czarnoksiężnika, był, jak się dopiero znacznie później wykryło, wodzem Upiorów Pierścienia i przybył na północ po to, by zniszczyć Dúnedainów z Arnoru, niezgoda bowiem panująca wśród nich sprzyjała jego planom, podczas gdy Gondor zdawał się niezwyciężony).

Za panowania Argeleba, syna Malvegila, królowie Arthedainu znów wystąpili z pretensjami do tronu w Arnorze na tej podstawie, że nie było tam już potomków Isildura. Rhudaur jednak sprzeciwił się temu. Dúnedainów zostało niewielu, władzę przejął zły człowiek, przywódca plemion górskich pozostający w tajnym sojuszu z Angmarem. Argeleb zbudował fortyfikacje na Wichrowych Wzgórzach, lecz poległ na wojnie z Rhudaurem i Angmarem. Arveleg, syn Argeleba, z pomocą Cardolanu i Lindonu odparł przeciwników z Wichrowych Wzgórz; przez wiele lat później Arthedain i Cardolan trzymały silne straże na granicy pod pasmem Wzgórz, wzdłuż Wielkiego Gościńca oraz nad górnym biegiem Szarej Wody. Podobno w tym okresie nawet Rivendell było kiedyś oblegane. Wielka armia nadciągnęła z Angmaru w roku 1409 i przekroczywszy rzekę, wtargnęła do Cardolanu, otaczając Wichrowy Czub.

Dúnedainowie ponieśli klęskę, Arveleg padł w boju. Wieża Amon Sûl została spalona i zburzona, lecz *palantír* uratowano i ukryto w Fornoście, stolicy dalekiej północy; Rhudaur dostał się pod władzę złych ludzi służących Angmarowi, a niedobitki Dúnedainów zbiegły na zachód. Najeźdźcy zniszczyli Cardolan. Araphor, syn Arvelega, był podówczas niedorosłym jeszcze, ale mężnym chłopcem; z pomocą Círdana wypędził nieprzyjaciół z Fornostu i z Północnych Wzgórz. Resztki wiernych Dúnedainów z Cardolanu broniły się w Tyrn Gorthad (na Kurhanach) lub uciekły w lasy.

Podobno elfowie z Lindonu na czas jakiś poskromili Angmar; Elrond przyprowadził im też posiłki z Rivendell i zza Gór, z Lórien. Wtedy to Stoorowie, którzy mieszkali w klinie między Szarą Wodą a Grzmiącą Rzeką, przenieśli się stąd na zachód i na południe, z powodu wojen, strachu przed Angmarem oraz klimatu, pogarszającego się coraz bardziej zwłaszcza we wschodniej części Eriadoru. Niektórzy wrócili w Dzikie Kraje nad rzeką Gladden, przeobrażając się w plemię rybaków.

Za panowania Argeleba II z południo-wschodu pojawił się w Eriadorze mór, od którego wyginęła większa część ludności Cardolanu, szczególnie w Minhiriath. Mocno też wówczas ucierpieli hobbici, lecz plaga słabła w miarę posuwania się na północ, tak że północne prowincje Arthedainu nie doznały już od niej większych szkód. W tym czasie nastąpił zmierzch Dúnedainów w Cardolanie, a złe siły z Angmaru i Rhudauru zajęły opustoszałe wzgórza i na długo tu się umocniły.

Wieść głosi, że wzgórza Tyrn Gorthad, zwane później Kurhanami, bardzo są starożytne i że wiele z nich usypali w zamierzchłych czasach Pierwszej Ery praojcowie Edainów, zanim przeprawili się za Góry Błękitne do Beleriandu, kraju, z którego tylko Lindon przetrwał. Dlatego to Dúnedainowie po powrocie w te strony czcili Kurhany i wielu ich królów i wodzów tam właśnie pogrzebano. Zdaniem niektórych kronikarzy Kurhan, gdzie uwięziono Powiernika Pierścienia, był grobowcem ostatniego księcia Cardolanu, poległego w 1409 roku”.

„W 1974 roku potęga Angmaru znów wzrosła, a Czarnoksiężnik przed końcem zimy napadł na Arthedain. Podbił Fornost i wyparł większość żyjących tam jeszcze Dúnedainów za Rzekę Księżycową; wśród nich byli synowie króla. Lecz król Arvedui do ostatka bronił się na Wzgórzach Północnych, po czym zbiegł z garstką przybocznej straży dalej jeszcze na północ; ocaleli dzięki chyżości wierzchowców.

Czas jakiś Arvedui krył się w pieczarach dawnych kopalń krasnoludzkich w odległej części gór, lecz wreszcie głód zmusił go do szukania pomocy u Lossothów, Śnieżnych Ludzi znad Zatoki Forochel[99]. Natknął się na ich obóz na wybrzeżu, oni jednak nie kwapili się z pomocą, bo król nie miał nic do zaoferowania w zamian prócz paru klejnotów, które u nich nie były w cenie.

Obawiali się też Czarnoksiężnika, który – jak powiadali – zsyłał mróz albo odwilż wedle swej woli. Jednakże, trochę z litości nad wygłodzonym królem i jego świtą, trochę zaś ze strachu przed ich orężem, dali biedakom nieco jedzenia i pobudowali dla nich chaty ze śniegu. Tam Arvedui musiał czekać jakiejś pomocy z południa, stracił bowiem wszystkie konie.

Gdy Círdan dowiedział się od Aranartha, syna Arvedui, o ucieczce króla na północ, wysłał natychmiast po niego statek do Forochel. Statek wiele dni płynął, walcząc z przeciwnym wiatrem, aż wreszcie zawinął do Forochel i żeglarze zobaczyli z daleka małe ognisko, które tułacze rozpalili i stale podtrzymywali z niemałym trudem. Lecz zima owego roku długo nie wyzwalała wód ze swych okowów i chociaż zaczął się już marzec, Zatoka na znacznej przestrzeni pokryta była przy brzegu lodem.

Śnieżni Ludzie na widok okrętu zdumieli się i przerazili, nigdy bowiem jeszcze za ich pamięci żaden statek nie pojawił się w tych stronach. Nabrali jednak większej przychylności dla króla i niedobitków jego świty; na saniach przewieźli ich jak się dało najdalej po lodzie, gdzie spuszczona ze statku łódź mogła już dotrzeć.

Śnieżni Ludzie niepokoili się jednak, twierdząc, że czują w powietrzu niebezpieczeństwo. Przywódca Lossothów powiedział królowi Arvedui: «Nie dosiadaj tego morskiego potwora! Jeśli żeglarze mają z sobą zapasy, niech nam udzielą żywności i innych potrzebnych rzeczy, abyście mogli zostać z nami, póki Czarnoksiężnik nie odejdzie do swego kraju. Latem siły jego zawsze słabną, lecz teraz dech tchnie śmiercią, a zimne ramię sięga daleko». Arvedui nie posłuchał tej rady. Podziękował Śnieżnym Ludziom i żegnając się, dał przywódcy pierścień, mówiąc: «To rzecz więcej warta, niż możesz sobie wyobrazić. Choćby tylko dla swej starożytności! Nie tkwi w nim żaden czar, prócz tego, że budzi szacunek każdego, kto kocha mój ród. Nie pomoże ci w niebezpieczeństwach, ale w potrzebie, jeżeli ten pierścień zaniesiesz do moich współplemieńców, wykupią go na pewno za cenę, jakiej zażądasz»[100].

Czy Śnieżny Człowiek miał dar przeczuwania niebezpieczeństw, czy też przypadkiem, w każdym razie okazało się, że radził dobrze, zanim bowiem wypłynęli na pełne morze, zerwała się wielka burza i wichura, niosąc śnieżną zamieć z północy i spychając okręt z powrotem na lód, który spiętrzył się wokół niego. Nawet żeglarze Círdana byli bezradni; nocą lód przebił kadłub i statek zatonął. Tak zginął Averdui, ostatni król, a z nim

razem poszły na dno palantíry[101]. Dopiero wiele lat później od Śnieżnych Ludzi dowiedziały się inne plemiona o tym zdarzeniu”.

Mieszkańcy Shire’u ocaleli, chociaż wojna przeszła przez ich kraj i wielu musiało się ratować ucieczką. Na pomoc królowi posłali oddział łuczników, którzy nigdy już nie wrócili do domów; inni wzięli udział w bitwie, w której rozbito wreszcie potęgę Angmaru (obszerniej o tym wspominają kroniki Południa). W czasach pokoju, który później zapanował, lud Shire’u urządził się samodzielnie i pomyślnie. Wybierał sobie thana na miejsce króla i żył szczęśliwie, chociaż przez długie lata tęsknił jeszcze do powrotu króla. W końcu wszakże zapomniał o tej nadziei i zachowało się tylko przysłowie: „Jak król wróci”, używane, gdy mowa była o niedostępnym, a pożądanym przedmiocie lub też o niedającym się odwrócić nieszczęściu. Pierwszym thanem był niejaki Bukka z Moczarów, od którego wywodzi się rodzina Oldbucków. Objął on swój urząd w roku 379 według kalendarza Shire’u, czyli w 1979 kalendarza Gondoru.

Ze śmiercią Arvedui skończyło się Królestwo Północy, Dúnedainów bowiem zostało niewielu i wszystkie plemiona Eriadoru były przetrzebione. Ród królów wszakże przetrwał w wodzach Dúnedainów, z których pierwszym był Aranarth, syn Arvedui. Syn Aranartha, Arahael, wychowywał się w Rivendell jak i wszyscy późniejsi synowie wodzów; tam też przechowywano dziedzictwo rodu, pierścień Barahira, strzaskany miecz Narsil, gwiazdę Elendila i berło z Annúminas[102].

„Odtąd królestwo przestało istnieć, Dúnedainowie usunęli się z widowni i żyli w ukryciu, wędrując po świecie, a trudy ich i czyny rzadko opiewali bardowie lub zapisywali kronikarze. Teraz, gdy Elrond odpłynął z Śródziemia, mało nam już o tych sprawach wiadomo. Nim jeszcze skończył się okres Niespokojnego Pokoju, złe siły zaczęły nękać Eriador, napastując go jawnie lub tajemnie; mimo to większość wodzów dożyła późnego wieku. Podobno Aragorna Pierwszego rozszarpały wilki, które stanowiły zawsze wielkie dla Eriadoru niebezpieczeństwo, po dziś nie całkiem zażegnane. Za czasów Arahada Pierwszego nagle dali o sobie znać orkowie, którzy – jak się później okazało – od dawna przyczaili się w warowniach pośród Gór Mglistych, aby zagrodzić wszelkie przełęcze do Eriadoru. Gdy bowiem w roku 2509 żona Elronda, Celebriana, jechała do Lórien przez przełęcz Czerwonego Rogu, napadli znienacka, rozbili orszak, a ją samą porwali. Elladan i Elrohir puścili się w pogoń i odbili matkę, lecz ucierpiała w

niewoli i odniosła ciężką ranę od zatrutej broni. Wróciła do Imladris, gdzie Elrond uzdrowił ją z cielesnych ran, nie mogła jednak odtąd przywyknąć do życia w Śródziemiu i w rok później udała się do Przystani, by odpłynąć za Morze. Potem, za czasów Arassuila, orkowie rozmnożyli się w Górach Mglistych i rozzuchwalili tak, że niszczyli okoliczne kraje, a Dúnedainowie wraz z synami Elronda musieli ich zwalczać. W tym to okresie duża banda orków zapuściła się na zachód aż w granice Shire'u i przepędzona została przez Bandobrasa Tuka".

Było piętnastu wodzów przed urodzeniem się szesnastego, Aragorna II, który był potem królem Gondoru i Arnoru zarazem. „Nazywamy go Naszym Królem i wszyscy obywatele Shire'u radują się, ilekroć król odwiedza północ i w drodze do swego odbudowanego dworu w Annúminas odpoczywa nad Jeziorem Evendim. Nigdy jednak nie przekracza granic naszego kraju, stosując się do prawa, które sam wydał, zabraniającego Dużym Ludziom naruszać ziemię hobbitów. Często wszakże w otoczeniu swej świty przybywa na Wielki Most i tam spotyka się z przyjaciółmi oraz tymi wszystkimi, którzy pragną go widzieć. Nieraz też hobbici przyłączają się do królewskiego orszaku lub odwiedzają króla w jego domu, gdzie goszczą tak długo, jak mają ochotę. W ten sposób często odwiedzali króla than Peregrin, a także burmistrz Pan Samwise; córka Sama, śliczna Elanor, jest dwórką królowej Arweny – Gwiazdy Wieczornej".

Linia Północna, ku podziwowi świata i na swą chlubę, mimo utraty potęgi i rozproszeniu ludu, przechowała z ojca na syna dziedzictwo nieprzerwane. A chociaż okres życia wszystkich Dúnedainów w Śródziemiu kurczył się stale, ród z Północy żył przecież dłużej niż mu pokrewny ród z Gondoru po wygaśnięciu dynastii ich królów; wielu wodzów północy przeżyło dwukrotny wiek ludzki, osiągając sędziwość nieznaną nawet wśród hobbitów; Aragorn żył do stu dziewięćdziesięciu lat, a więc dłużej niż ktokolwiek z jego przodków od czasów króla Arvegila; w nim bowiem – w Elessarze – odrodziła się godność dawnych królów.

4. Gondor i spadkobiercy Anáriona

Po Anárionie, który poległ pod Barad-dûr, Gondor miał trzydziestu jeden królów. Chociaż na pograniczach wojna nigdy nie wygasała, Dúnedainowie z południa gromadzili przez tysiąc przeszło lat coraz większe bogactwa i

władzę na lądzie i na morzu, aż do czasów Atanatara Drugiego, zwanego Alcarinem, czyli Wspaniałym. Pojawiały się wszakże już wcześniej pierwsze oznaki zapowiadające zmierzch, bo mężowie z najdostojniejszych rodów południa żenili się późno i niewiele mieli potomstwa. Pierwszym bezdzietnym królem był Falastur, drugim Narmacil I, syn Atanatara Alcarina.

Siódmy król, Ostoher, odbudował Minas Anor i tam odtąd królowie przenosili się zwykle na lato zamiast pozostawać w Osgiliath. Za panowania Ostohera także po raz pierwszy napadli na Gondor Dzicy Ludzie ze wschodu, lecz syn króla, Tarostar, odparł napastników; dlatego nazwano go Rómendacilem – Zwycięzcą Wschodu. Rómendacil zginął później w walce z inną hordą Easterlingów. Śmierć ojca pomścił Turambar, rozszerzając znacznie granice Gondoru na wschód.

Od dwunastego króla, Tarannona, zaczyna się dynastia Królów Żeglarzy, którzy budowali okręty i rozciągnęli władzę Gondoru na wybrzeża położone na zachód i południe od ujścia Anduiny. By upamiętnić zwycięstwa odniesione na czele armii, Tarannon przybrał imię Falastur, co znaczy: Władca Wybrzeży.

Bratanek jego i następca na tronie, Eärnil I, odbudował starą przystań Pelargir i stworzył potężną flotę. Obległ od morza i lądu Umbar, zdobył go i zamienił na wielki port i zarazem twierdzę Gondoru[103].

Eärnil jednak niedługo cieszył się swym tryumfem, zatonął bowiem wraz z wielu okrętami i żeglarzami podczas burzy przy brzegach Umbaru. Syn jego Ciryandil nadal rozbudowywał flotę, lecz ludzie z Haradu, podburzeni przez wygnanych z Umbaru władców, napadli na twierdzę przeważającymi siłami, a król Ciryandil poległ w bitwie w Haradwaith.

Nieprzyjaciel przez lata całe oblegał Umbar, lecz gród pozostał niezdobyty dzięki potędze morskiej Gondoru. Syn Ciryandila, Ciryaher, przeczekał cierpliwie, dopóki nie zgromadził wielkich sił; wówczas dopiero zaatakował od lądu i od morza oblegających, przeprawił się na czele armii przez rzekę Harnen i rozbił doszczętnie wojska ludzi z Haradu, zmuszając ich królów do uznania zwierzchnictwa Gondoru (1050). Ciryaher przybrał miano Hyarmendacil – Zwycięzca Południa.

Do końca długiego życia Hyarmendacila nikt nie śmiał podać w wątpliwość jego zwierzchniej władzy. Królował on przez sto trzydzieści cztery lata – było to najdłuższe, z jednym wyjątkiem, panowanie w dziejach

dynastii Anáriona. Gondor wówczas osiągnął szczyt potęgi. Królestwo rozciągało się na północy do rzeki Celebrant i do południowego skraju Mrocznej Puszczy; na zachód – do Szarej Wody; na wschód – do Wewnętrznego Morza Rhûn; na południe – do rzeki Harnen, a dalej wybrzeżem do półwyspu i przystani Umbaru. Ludzie z dolin Anduiny uznawali jego władzę, królowie Haradu składali mu hołd, a ich synowie jako zakładnicy przebywali na dworze króla Gondoru. Mordor kipiał gniewem, lecz nie mógł nic przedsięwziąć, strzeżony przez potężne warownie czuwające na wszystkich przełęczach.

Na Hyarmendacilu skończyła się dynastia Królów Żeglarzy. Syn jego, Atanatar Alcarin, pędził życie w wielkim przepychu, tak że mówiono, iż „w Gondorze dzieci bawią się drogocennymi kamieniami jak piaskiem”. Atanatar jednak lubił tylko używać życia, nie trudząc się podtrzymywaniem odziedziczonej potęgi.

Jeszcze przed jego śmiercią zaczął się zmierzch Gondoru, co niewątpliwie nie uszło uwagi nieprzyjaciół. Zaniedbano też straży na granicach Mordoru. Dopiero jednak za panowania Valacara zarysowało się pierwsze prawdziwe niebezpieczeństwo: wybuchła Waśń Rodzinna i wojna domowa, która spowodowała wielkie zniszczenia i straty, nigdy w pełni niepowetowane.

Syn Calmacila, Minalcar, odznaczał się wielką energią, toteż Narmacil, chcąc się pozbyć wszelkich kłopotów, mianował go w 1240 roku regentem. Odtąd Minalcar rządził Gondorem z ramienia króla, dopóki nie odziedziczył tronu po ojcu. Troszczył się głównie o Nortów.

Nortowie w okresie pokoju, ubezpieczonego potęgą Gondoru, wzrośli znacznie w siły; królowie okazywali im łaskawość, byli to bowiem wśród zwykłych ludzi najbliżsi pobratymcy Dúnedainów (jako po większej części potomstwo plemienia, z którego wywodzili się starożytni Edainowie). Nortowie otrzymali więc z łaski królów rozległe ziemie na drugim brzegu Anduiny, na południe od Wielkiego Zielonego Lasu; mieli stanowić straż Gondoru przed Easterlingami, którzy z dawna najczęściej napadali od strony równin ciągnących się między Wewnętrznym Morzem a Górami Popielnymi.

Napaści te ponowiły się za czasów Narmacila Pierwszego, jakkolwiek zrazu były niezbyt groźne. Okazało się jednak wtedy, że Nortowie nie

zawsze dochowują wierności Gondorowi i że niektórzy z nich łączą się z Easterlingami, czy to z żądzy łupów, czy to wskutek zastarzałych waśni między ich książętami. Toteż Minalcar w 1248 roku wyruszył na czele potężnej armii, pomiędzy Rhovanionem a Morzem Wewnętrznym rozbił znaczne siły Easterlingów i zburzył ich osady oraz obozy na wschód od Morza. Po tym zwycięstwie przybrał imię Rómendacila.

Rómendacil umocnił więc wschodnie brzegi Anduiny aż po ujście Mętnej Wody i zamknął przed obcymi drogę rzeczną na południe od Emyn Muil. Wtedy też zbudował królewskie kolumny Argonath u wejścia na Jezioro Nen Hithoel. Ponieważ jednak potrzebował ludzi i pragnął zacieśnić więzy przyjaźni z Nortami, wielu z nich przyjął do swej służby i niektórym powierzył wysokie stanowiska w armii.

Rómendacil szczególnymi łaskami darzył Vidugavię, który mu pomógł w czasie wojny. Nazwał siebie Królem Rhovanionu i był rzeczywiście najmożniejszym z książąt Północy, chociaż własne jego królestwo leżało pomiędzy Zielonym Lasem a Celduiną (czyli Bystrą Rzeką). W 1250 roku Rómendacil posłał swego syna Valacara jako ambasadora do Vidugavii, pragnąc, by młodzieniec poznał język, obyczaje i politykę Nortów. Lecz Valacar nie poprzestał na tym, rozmiłował się bowiem w kraju i jego mieszkańcach, a wkrótce też zaślubił Vidumavi, córkę Vidugavii. Do ojczystego kraju wrócił dopiero po kilku latach. Małżeństwo to stało się później przyczyną wojny zwanej Waśnią Rodzinną.

„Albowiem dumni Gondorczycy krzywo patrzyli na Nortów piastujących w ich armii wysokie godności; było też rzeczą niesłychaną, aby dziedzic korony i syn królewski brał za żonę kobietę z mniej szlachetnego i obcego plemienia. Gdy Valacar postarzał się, w prowincjach południowych wybuchł przeciw niemu bunt. Królowa była piękną i godną panią, lecz, jak wszyscy ludzie z mniej dostojnych plemion, nie miała przywileju długowieczności, toteż Dúnedainowie obawiali się, że potomstwo z niej zrodzone również będzie żyło krótko i że ród królów wśród ludzi straci wskutek tego swój prastary majestat. Nie chcieli więc uznać za króla jej syna, który wprawdzie nosił imię Eldacara, lecz urodził się w obcym kraju i w dzieciństwie zwany był Vinitharyą w języku swej matki.

Gdy więc Eldacar objął po ojcu tron, rozpętała się w Gondorze wojna. Młody król okazał się uparty w obronie swoich praw. Prócz dziedzictwa

krwi ojcowskiej miał w żyłach mężną, bojową krew Nortów. Gdy sprzysiężeni przeciw niemu Gondorczycy pod wodzą innych królewskich potomków zaatakowali go, bronił się do ostatka zawzięcie. Oblężony w Osgiliath, trzymał się tam długo, póki głód i miażdżąca przewaga wrogów nie zmusiły go do opuszczenia płonącej twierdzy. Podczas tych walk i pożaru zniszczona została Wieża Kryształu Osgiliath, a *palantír* utonął w nurtach rzeki.

Eldacar wymknął się jednak z rąk przeciwników i zbiegł na północ, do swych krewnych w Rhovanionie. Skupiło się przy nim wielu zwolenników, zarówno spośród Nortów, służących w armii Gondoru, jak i spośród Dúnedainów mieszkających w północnych prowincjach; wielu z nich bowiem nabrało szacunku dla Eldacara, a jeszcze więcej pałało nienawiścią do jego rywala. Tym rywalem był Castamir, wnuk Calimenthara, młodszego brata Rómendacila Drugiego. Castamir nie tylko legitymował się najbliższym pokrewieństwem z panującym rodem, lecz ponadto miał więcej niż inni pretendenci poplecznikó w, bo jako Dowódca Floty cieszył się poparciem mieszkańców wybrzeża i wielkich portów: Pelargiru oraz Umbaru.

Wkrótce po objęciu władzy Castamir zraził sobie ludzi wyniosłością i skąpstwem; był też okrutny, z czym zdradził się jeszcze podczas oblężenia Osgiliath. Skazał na śmierć wziętego do niewoli Ornendila, syna Eldacara, a rzeź i zniszczenie, jakie z jego rozkazu spadły na gród, nie dały się usprawiedliwić koniecznością wojenną. Nie zapomniano tego nowemu królowi w Minas Anor i w Ithilien; do reszty zaś stracił Castamir miłość ludu, gdy przekonano się, że nie dba o ziemię, kocha tylko swoją flotę i dlatego zamierza przenieść stolicę do Pelargiru.

Po dziesięciu latach jego panowania Eldacar uznał, że przyszedł czas pomyślny, by odzyskać tron; z wielką armią wtargnął od północy, a wtedy z Calenardhonu, z Anorien i z Ithilien podążyli na jego spotkanie liczni zwolennicy. W Lebennin, nad brodem na rzece Erui, rozegrała się wielka bitwa, w której przelano dużo najszlachetniejszej krwi Gondoru. Eldacar własną ręką zabił w boju Castamira, biorąc zemstę za straconego syna. Lecz synowie Castamira ocaleli i długo jeszcze na czele krewnych oraz przyjaciół bronili się w Pelargirze.

Eldacar nie rozporządzał flotą, aby ich osaczyć od Morza, wreszcie więc, zgromadziwszy znaczne siły, wypłynęli z Pelargiru, by osiąść na

dobre w Umbarze. Umbar stał się odtąd schronieniem wszystkich wrogów króla i państewkiem niezależnym od korony; przez wiele pokoleń prowadził z Gondorem wojnę, zagrażając nadbrzeżnym prowincjom i żegludze królewskiej floty. Nigdy się całkowicie nie poddał – dopóki nie powrócił król Elessar – a cały południowy Gondor stał się na długie wieki ziemią sporną między korsarzami a królami.

Strata Umbaru boleśnie dotknęła Gondor nie tylko dlatego, że umniejszyło to południowe prowincje królestwa i osłabiło jego władzę zwierzchnią nad Haradem, lecz także dlatego, że było to miejsce pamiętne zwycięstwem Ar-Pharazôna Złotego, ostatniego króla Númenoru, który tu wylądował i złamał potęgę Saurona.

Jakkolwiek potem Ar-Pharazôn ściągnął na Númenor zagładę, nawet zwolennicy Elendila chlubili się wspomnieniem floty Ar-Pharazôna, jego wielkiej armii, która wynurzyła się jak gdyby z Morza; toteż na najwyższym wzgórzu przylądka nad przystanią postawili jako upamiętnienie ogromny biały słup, a na nim umieścili kryształową kulę, by łowiła promienie słońca lub księżyca i świeciła niby jasna gwiazda, widoczna przy pięknej pogodzie nawet z wybrzeży Gondoru lub z dalekich wód zachodniego Morza. Pomnik ten przetrwał aż do ponownego wzrostu potęgi Saurona, wówczas bowiem Umbar dostał się pod panowanie jego sług i obalono pamiątkę upokorzenia Władcy Ciemności”.

Od powrotu na tron Eldacara krew królewskiego rodu i innych Dúnedainów częściej mieszała się z krwią mniej dostojnych plemion. Wielu bowiem najszlachetniejszych synów Gondoru zginęło w domowej wojnie, a przy tym Eldacar popierał Nortów, którzy mu pomogli odzyskać koronę, i zaludniał spustoszony kraj mnóstwem nowych osadników sprowadzanych z Rhovanionu.

Przemieszanie to nie spowodowało zrazu gwałtownego osłabienia Dúnedainów, jak się obawiano; stopniowo jednak życie ich skracało się nadal. Niewątpliwie działał tu wpływ Śródziemia, a przy tym od upadku Gwiaździstej Krainy z wolna Dúnedainowie tracili dary Númenoru. Co do Eldacara, to przeżył lat dwieście trzydzieści pięć, a królem był przez lat pięćdziesiąt osiem, z czego dziesięć spędził na wygnaniu.

Drugie i gorsze jeszcze nieszczęście spadło na Gondor za panowania Telemnara, dwudziestego szóstego króla, którego ojciec, Minardil, syn Eldacara, poległ w Pelargirze w walce z korsarzami z Umbaru. (Przewodzili im Angamaitë i Sangahyando, prawnukowie Castamira). Wkrótce potem czarny wiatr od wschodu przyniósł morową zarazę. Umarł król i wszystkie jego dzieci, wyginęło mnóstwo ludzi, zwłaszcza spośród mieszkańców Osgiliath. Wobec zdziesiątkowania ludności i powszechnego zgnębienia osłabła czujność na granicach Mordoru, a twierdze strzegące przełęczy pozostały bez załogi.

Później dopiero zauważono, że wszystko działo się w czasie, gdy w Zielonym Lesie stopniowo gęstniał mrok i zaczęły pojawiać się licznie różne złe stwory, co było nieomylnym znakiem, że Sauron znów wzrasta w siły. Wprawdzie ucierpieli od tych plag również przeciwnicy Gondoru – gdyby nie to, skorzystaliby z jego osłabienia, aby nim zawładnąć – Sauron jednak wolał czekać, ponieważ przede wszystkim pragnął uwolnienia Mordoru spod straży.

Po śmierci króla Telemnara zwiędło i umarło Białe Drzewo w Minas Anor, lecz bratanek i następca Telemnara, Tarondor, posadził na dziedzińcu Cytadeli nowe. Tarondor właśnie przeniósł na stałe siedzibę królewską do Minas Anor, Osgiliath bowiem opustoszał i zaczął się rozsypywać w gruzy. Mieszkańcy, którzy ze strachu przed pomorem zbiegli do Ithilien lub do zachodnich dolin, nie mieli ochoty powracać stamtąd.

Tarondor młodo wstąpił na tron i panował najdłużej ze wszystkich królów Gondoru, nie zdołał jednak wiele dokonać poza tym, że przywrócił wewnątrz państwa porządek i z wolna odbudowywał jego siły obronne. Syn jego, Telumehtar, pamiętając śmierć Minardila i zaniepokojony zuchwalstwem korsarzy, którzy zapuszczali się w łupieżczych wyprawach aż do Anfalas, zgromadził wojsko i w roku 1810 zdobył szturmem Umbar. W tej wojnie zginęli ostatni potomkowie Castamira, Umbar zaś znowu wrócił pod władzę królów. Telumehtar dodał do swego imienia przydomek Umbardacil – Zwycięzca Umbaru. Lecz wkrótce w nowej zawierusze Umbar odpadł od korony i dostał się w ręce ludzi z Haradu.

Trzecim nieszczęściem były najazdy Woźników, nękające osłabiony kraj przez sto niemal lat. Woźnicy, obce plemię, a raczej zlepek wielu plemion ze wschodu, w tym okresie wzmocnili swe siły i uzbroili jak nigdy

przedtem. Plemię to wędrowało w wielkich krytych wozach, a jego wojownicy ruszali do walki na rydwanach. Podburzeni, jak się później okazało przez wysłanników Saurona, Woźnicy napadli znienacka na Gondor i w roku 1856 w bitwie na drugim brzegu Anduiny zabili króla Narmacila II. Ujarzmili wschodnią i południową część Rhovanionu, a granica Gondoru cofnęła się do Anduiny i wzgórz Emyn Muil. (W tym czasie, jak można przypuszczać, Upiory Pierścienia powróciły do Mordoru).

Calimehtar, syn Narmacila II, wykorzystując powstanie w Rhovanionie, pomścił śmierć ojca, gdy w 1899 roku odniósł na polach Dagorlad walne zwycięstwo nad Easterlingami. W ten sposób na czas jakiś niebezpieczeństwo z tej strony zostało zażegnane. Za panowania Arafanta na północy, a Ondohera, syna Calimehtara, na południu dwa królestwa po długim okresie rozdziału i milczenia znów spotkały się na wspólną naradę. W końcu bowiem zrozumiano, że tymi atakami z różnych stron na niedobitków Númenoru kieruje jakaś jedna potęga i wola. Wtedy to Arvedui, spadkobierca Arafanta, poślubił Firiel, córkę Ondohera (1940). Dwa królestwa nie mogły wszakże wspomóc się wzajemnie, bo kiedy Angmar ponowił napaść na Arthedain, potężne bandy Woźników najechały Gondor.

Wielu Woźników już wcześniej przedostało się na południe od Mordoru i sprzymierzyło z ludźmi z Khand i z Bliskiego Haradu; uderzając z wielką siłą od północy i południa, napastnicy omal nie rozbili doszczętnie Gondoru. W roku 1944 król Ondoher wraz z dwoma synami, Artamirem i Faramirem, poległ w bitwie na północ od Morannonu, a nieprzyjaciel wtargnął do Ithilien. Jednakże Eärnil, dowódca Armii Południa, odniósł w południowej części Ithilien wielkie zwycięstwo, niszcząc wojska Haradu, które przeprawiły się za rzekę Poros. Spiesząc na północ, Eärnil zebrał rozproszone resztki Armii Północy i zaskoczył główny obóz nieprzyjacielski w chwili, gdy Woźnicy, upojeni tryumfem, przekonani o całkowitej bezsilności Gondoru, ucztowali, myśląc, że nie pozostało im już do roboty nic prócz rabunku w podbitym kraju. Eärnil rozbił obóz pierwszym impetem, podpalił wozy i wypędził z Ithiliern ogarniętych paniką najeźdźców. Wielu z nich, uciekając przed Gondorczykami, potonęło w Martwych Bagnach.

„Po śmierci Ondohera i jego synów swe prawa do korony Gondoru zgłosił władca Północnego Królestwa, Arvedui, jako potomek w prostej linii Isildura i małżonek Fíriel, jedynej pozostałej przy życiu dziedziczki Ondohera. Odrzucono wszakże jego roszczenia, głównie za sprawą Pelendura, który był ongiś Namiestnikiem króla Ondohera.

Rada koronna Gondoru taką dała odpowiedź: «Korona i władza w Gondorze należą się wyłącznie spadkobiercom Meneldila, syna Anáriona, któremu Isildur odstąpił to królestwo. Wedle zwyczajów Gondoru prawo dziedzictwa przysługuje tylko potomkom męskim, o ile zaś nam wiadomo, w Arnorze obowiązuje ten sam obyczaj».

Na to Arvedui odparł: «Elendil miał dwóch synów, z których Isildur jako pierworodny był spadkobiercą ojca. Słyszeliśmy, że imię Elendila po dziś dzień otwiera linię królów Gondoru, i słusznie, on bowiem uznany był za zwierzchnika wszystkich królów na ziemiach Dúnedainów. Za życia Elendila synowie z jego ręki otrzymali we wspólne władanie Królestwo Południowe, lecz kiedy Elendil zginął, Isildur udał się na północ, by objąć tron po ojcu, zlecając władzę nad południem synowi swego brata. Nie wyrzekł się nigdy zwierzchniej władzy nad Gondorem ani też nie myślał, by królestwo Elendila miało na zawsze pozostać rozdzielone. Ponadto w dawnym Númenorze korona przechodziła na najstarsze dziecko króla, czy to był syn, czy też córka. Tego starego prawa nie przestrzegano w królestwach na wygnaniu, trapionych ustawicznie wojnami, lecz prawo to istniało w naszym plemieniu i do niego się dzisiaj odwołujemy, skoro synowie Ondohera zginęli bezpotomnie»[104].

Na to Gondor już nic nie odpowiedział. O koronę ubiegał się Eärnil, zwycięski dowódca wojsk; oddano mu ją za zgodą wszystkich Dúnedainów z Gondoru, należał bowiem do królewskiego rodu. Był synem Siriondila, syna Calimmacila, syna Arciryasa i brata Narmacila II. Arvedui nie dochodził swoich praw; nie miał sił ani chęci, by sprzeciwiać się woli Dúnedainów z Gondoru. Potomkowie jego wszakże nie zapomnieli o tych prawach, nawet wówczas, gdy Północne Królestwo upadło. W latach bowiem, o których mówimy, upadek Północnego Królestwa był już bliski.

Arvedui był ostatnim królem Północy, co zresztą wyraża się w jego imieniu. Podobno nadał mu je zaraz po narodzeniu Wieszczek Malbeth, mówiąc jego ojcu: «Dasz mu na imię Arvedui, bo on będzie ostatnim władcą Arthedainu. Będzie wprawdzie dany Dúnedainom wybór, a jeśli

wybiorą drogę pozornie bardziej beznadziejną, syn twój zmieni imię i zostanie królem wielkiego królestwa. W przeciwnym razie czeka ich wiele trosk i trudów i dużo pokoleń ludzkich przeminie, zanim Dúnedainowie znów się dźwigną i zjednoczą».

W Gondorze również po Eärnilu jeden tylko król panował. Być może, gdyby dwa królestwa połączyły się pod jednym berłem, utrzymałaby się linia królów nieprzerwana i uniknięto by wielu nieszczęść. Eärnil był zresztą mądrym człowiekiem i nie unosił się pychą, jakkolwiek jemu też, jak większości Gondorczyków, królestwo Arthedain wydawało się, mimo szlachetnego pochodzenia panujących tam władców, kraikiem niewartym większej uwagi. Posłał do Arvedui gońców z zawiadomieniem, że otrzymał koronę Gondoru zgodnie z prawem i w myśl interesów Południowego Królestwa. «Nigdy jednak nie zapomnę o królestwie Arnoru ani też nie wyprę się więzów braterstwa, nie chcąc, aby królestwa Elendila stały się sobie obce – zapewniał. – W potrzebie dostarczę wam zawsze pomocy w miarę mych sił».

Przez długi jednak czas potem Eärnil sam nie dość czuł się bezpieczny, aby móc spełnić tę obietnicę. Król Arafant mimo słabnących sił starał się odpierać napaści Angmaru, gdy po ojcu objął panowanie, w końcu wszakże, jesienią 1973 roku, doszły do Gondoru wieści, że Arthedain jest śmiertelnie zagrożony i że Czarnoksiężnik przygotowuje nowy, ostateczny cios. Wtedy jak najspieszniej Eärnil wysłał na północ flotę i tylu wojowników, ilu mógł bez narażania własnych granic wyprawić, a na czele tych posiłków postawił swego syna Eärnura. Zanim jednak Eärnur dotarł do brzegów Lindonu, Czarnoksiężnik podbił całe królestwo Arthedain, ostatni zaś król, Arvedui, stracił życie.

W Szarej Przystani, gdy Eärnur do niej zawinął, ludzie i elfowie powitali go z radością i podziwem. Flota była tak liczna, a przy tym wielkie okręty zanurzały się tak głęboko, że nie mogły wszystkie znaleźć schronienia w porcie, chociaż zapełniły również przystanie w Harlond i Forlond. Z pokładów zeszła wspaniała armia, zaopatrzona i uzbrojona do wojny między potężnymi królami. Tak się przynajmniej zdawało ludziom z Północy, bo w rzeczywistości była to zaledwie część potęgi Gondoru, wydzielona na tę daleką wyprawę. Największy zachwyt budziły konie, przeważnie wyhodowane w dolinach Anduiny, a dosiadali ich jeźdźcy rośli i piękni, dumni książęta Rhovanionu.

Círdan wezwał pod broń wszystkich zdolnych do walki mężów z Lindonu i Arnoru, a gdy cała armia była gotowa, przeprawiła się przez Rzekę Księżycową i pospieszyła na północ przeciw Czarnoksiężnikowi, władcy Angmaru. Mieszkał on wówczas, jak już wspominaliśmy, w Fornoście, zagarnąwszy siedzibę królów wraz z ich władzą, i skupił przy sobie wielu złych ludzi. Zadufany w swe siły, nie czekał, aż go przeciwnicy zaatakują w jego twierdzy, lecz wyszedł im na spotkanie na czele swych wojsk, pewny, że zmiażdży ich jednym uderzeniem, podobnie jak przedtem armię północną.

Armia Zachodu zagrodziła mu drogę, wychodząc z gór Evendim i wielka bitwa rozegrała się na równinie między Nenuial a Wzgórzami Północnymi. Wojska Angmaru już się załamały i zaczęły cofać się w kierunku Fornostu, gdy niespodzianie konnica Gondoru, która okrążyła góry, zaskoczyła cofających się od północy. Odwrót zamienił się w pogrom i paniczną ucieczkę. Czarnoksiężnik z garstką niedobitków umknął, zdążając wprost do Angmaru. Zanim zdążył się schronić w Carn Dûm, dopędzili go jeźdźcy Gondoru z Eärnurem na czele. Jednocześnie z Rivendell przybył na pomoc Gondorowi zastęp elfów prowadzony przez Glorfindela. Klęska Angmaru była tak druzgocąca, że ani jeden poplecznik Czarnoksiężnika, czy to człowiek, czy ork, nie pozostał na zachód od Gór.

Podobno jednak, gdy sprawa Angmaru zdawała się już stracona, zjawił się nagle sam Czarnoksiężnik, w czarnym płaszczu, w czarnej masce i na karym koniu. Strach poraził ludzi na jego widok. On wszakże za cel swej straszliwej nienawiści obrał wodza Gondoru i z krzykiem natarł wprost na niego. Eärnur gotów był stawić mu czoło, lecz wierzchowiec przerażony uskoczył w bok i uniósł jeźdźca, który nie zdążył go w porę opanować.

Czarnoksiężnik zaśmiał się, a nikt z ludzi, którzy słyszeli ten śmiech, nie mógł odtąd zapomnieć jego grozy. Wtedy jednak wysunął się z szeregów Glorfindel na białym koniu. Śmiech uwiązł Czarnoksiężnikowi w gardle. Zawróciwszy na miejscu, czarny jeździec pomknął galopem i zginął w ciemnościach, noc bowiem zapadła już nad polem bitwy. Czarnoksiężnik zniknął, nikt nie wiedział, gdzie się skrył.

Eärnur właśnie wrócił, lecz Glorfindel, wpatrując się w gęstniejący mrok, powiedział:

– Nie ścigaj go! Nigdy już nie wróci do tej krainy. Zguba dosięgnie go daleko stąd, nieprędko i nie z ręki męża.

Wielu Gondorczyków zapamiętało te słowa elfa. Eärnur kipiał jednak gniewem i pragnął pomścić doznane upokorzenie.

Tak się skończyło nikczemne królestwo Angmaru. Tak też Eärnur, wódz Gondoru, zasłużył sobie na straszliwą nienawiść Czarnoksiężnika; wiele wszakże lat musiało upłynąć, zanim wyszło to na jaw".

Dopiero po latach również odkryto, że właśnie wówczas, za panowania króla Eärnila, Czarnoksiężnik, opuściwszy Północ, udał się do Mordoru i tam zwołał Upiory Pierścienia, których był wodzem. Nie wcześniej jednak niż w roku 2000 Upiory Pierścienia przekroczyły przełęcz Cirith Ungol i poprowadziły armię pod Minas Ithil. Po dwóch latach oblężenia słudzy Mordoru zdobyli tę Wieżę wraz z przechowywanym tam palantírem i utrzymali ją w swych rękach do końca Trzeciej Ery. Minas Ithil, Wieża Wschodzącego Księżyca, stała się siedliskiem grozy i zmieniła nazwę na Minas Morgul – Wieża Złych Czarów. Większość ludzi zamieszkujących Ithilien opuściła te strony.

„Eärnur dorównywał swemu ojcu męstwem, lecz nie mądrością. Był krzepki i porywczy; nie chciał pojąć żony, bo znajdował uciechę tylko w bitwie i w ćwiczeniu wojska. Władał bronią tak dzielnie, że nikt nie mógł dotrzymać mu pola podczas turniejów, które nade wszystko lubił, podobniejszy do siłacza i mistrza szermierki niźli do wodza czy króla. Zachował też siłę i zręczność do niezwykle późnego wieku".

Gdy w roku 2043 Eärnur przejął koronę, król Minas Morgul wyzwał go do walki w pojedynkę, przypominając szyderczo, że niegdyś nie ośmielił się z nim potykać w bitwie na północy. Tym razem Namiestnik królewski Mardil zdołał gniewnego Eärnura powstrzymać od szaleństwa. Głównym grodem Gondoru i siedzibą królów od czasów króla Telemnara była Minas Anor – Wieża Wschodzącego Słońca, przezwana wówczas Minas Tirith – Wieżą Czat, ponieważ czuwano w niej nieustannie pod grozą Morgulu. W siedem lat później władca Morgulu powtórzył wyzwanie, szydząc z Eärnura, że za młodu już miał zajęcze serce, teraz zaś pewnie jest nie tylko tchórzem, lecz w dodatku słabym starcem. Mardil nie mógł dłużej powściągnąć gniewu króla, który z nieliczną świtą stawił się pod bramą Minas Morgul. Ani o królu, ani o żadnym z jego towarzyszy nie usłyszano więcej w Gondorze. Powszechnie mniemano, że zdradziecki Nieprzyjaciel porwał Eärnura i że król umarł torturowany w Minas Morgul. Nie było

jednak świadków śmierci króla, więc władzę w jego imieniu sprawował przez wiele lat Mardil, zwany Dobrym Namiestnikiem.

Potomków królewskiej linii było już wtedy niewielu. Wojna domowa zdziesiątkowała ród, a ponadto od czasów tej waśni królowie, zazdrośni o władzę, nieufnie odnosili się do krewniaków. Często któryś z nich, czując się śledzony i podejrzewany, uciekał do Umbaru i przyłączał się do buntowników. Niejeden też, wyrzekając się przywilejów Númenoru, brał żonę z pośledniejszego plemienia. Nie znalazł się więc pretendent do tronu czystej krwi númenorejskiej, i to taki, na którego inni zechcieliby się zgodzić. Wspomnienie wojny domowej ciążyło na wszystkich, obawiano się jej nawrotu, rozumiejąc, że w obecnym położeniu waśń zgubiłaby ostatecznie Gondor. Toteż lata płynęły, a Gondorem rządził nadal Namiestnik, korona zaś Elendila spoczywała u stóp króla Eärnila w Domu Umarłych, tam gdzie ją Eärnur zostawił.

Namiestnicy

Ród Namiestników zwał się rodem Húrina, bo wywodził się od Namiestnika króla Minardila (1621–1634), o imieniu Húrin. Húrin z Emyn Arnen miał w żyłach szlachetną krew Númenoru. Następni królowie zawsze wybierali sobie Namiestników spośród jego potomstwa, a od czasów Pelendura godność ta stała się tak samo dziedziczna jak korona i przechodziła z ojca na syna lub najbliższego spadkobiercę.

Każdy nowy Namiestnik, obejmując urząd, składał przysięgę, że będzie rządził w „imieniu króla aż do jego powrotu”. Wkrótce jednak słowa te stały się czczą formułą, do której niewiele przywiązywano wagi, bo Namiestnicy w rzeczywistości mieli pełną władzę królewską. Wśród Gondorczyków przetrwała mimo to wiara, że król kiedyś wróci; niektórzy pamiętali też o istnieniu Północnej Linii rodu królewskiego i krążyły słuchy, że jej potomkowie żyją w ukryciu. Namiestnicy woleli zamykać uszy na takie pogłoski. Nigdy jednak żaden Namiestnik nie zasiadał na starodawnym tronie ani nie nosił korony i berła. Godłem ich władzy była biała różdżka, a białej chorągwi namiestnikowskiej nie zdobiły żadne znaki, podczas gdy na królewskiej pośród czarnego pola widniało białe kwitnące drzewo pod siedmiu gwiazdami.

Linię rozpoczyna Mardil Voronwë, uznawany za protoplastę, po czym następują imiona dwudziestu czterech rządzących Gondorem

Namiestników i zamyka listę dwudziesty szósty, ostatni z nich – Denethor II. Początkowo rządy ich upływały w ciszy, bo trwał okres Niespokojnego Pokoju, kiedy to Sauron cofnął się przed potęgą Białej Rady, a Upiory Pierścienia czaiły się w ukryciu Doliny Morgul. Dopiero od czasów Denethora ciszę zamąciły ustawiczne groźne starcia na pograniczu, chociaż nikt wojny jawnie nie wypowiedział.

Pod koniec rządów Denethora I pojawiło się z Mordoru plemię Uruków, czarnych orków niezwykłej siły, a w roku 2475 banda ich wtargnęła do Ithilien i szturmem wzięła Osgiliath. Boromir, syn Denethora (na którego pamiątkę nosił to imię Boromir, uczestnik Wyprawy Dziewięciu), rozgromił orków i oswobodził Ithilien, lecz Osgiliath zostało ostatecznie zburzone, a wielki kamienny most rozbity. Boromir był wielkim wodzem i bał się go nawet Czarnoksiężnik. Szlachetny, piękny, krzepkiego ciała i silnej woli, Boromir odniósł w tej walce ranę zatrutą jadem Morgulu, która skróciła mu życie; wyniszczony cierpieniem, ledwie o dwanaście lat przeżył swego ojca.

Po nim nastąpiły długoletnie rządy Ciriona, przezornego i sumiennego Namiestnika, który wszakże niewiele mógł zdziałać, bo Gondor miał już ruchy bardzo skrępowane. Cirion starał się bronić granic, ale nie było w jego mocy odparowanie ciosów, złośliwie zadawanych przez przeciwników, a raczej przez tajemną siłę, która nimi kierowała. Korsarze łupili wybrzeża, główne jednak niebezpieczeństwo groziło Gondorowi od północy. Na rozległych ziemiach Rhovanionu, między Mroczną Puszczą a Bystrą Rzeką, osiedlił się teraz dziki lud, całkowicie pogrążony w cieniu Dol Guldur. Rzesze owych Balków rosły, bo przyłączały się do nich coraz to nowe pokrewne szczepy ciągnące z Dzikich Krajów, podczas gdy plemię z Calenardhonu wymierało. Cirion z największym trudem utrzymywał linię Anduiny.

„Przewidując burzę, Cirion w roku 2510 posłał gońców na północ, prosząc o pomoc, lecz było już za późno. Balkowie zdążyli tymczasem zbudować mnóstwo dużych łodzi i tratew na wschodnim brzegu Anduiny, przeprawili się hurmą przez rzekę i rozbili obrońców. Armii maszerującej z południa odcięli drogę, po czym odepchnęli ją ku północy aż za Mętną Wodę, skąd, znienacka zaatakowana przez orków z Gór, musiała wycofać się nad Anduinę. Wówczas jednak nadeszła niespodziewana pomoc. W Gondorze po raz pierwszy usłyszano muzykę rogów Rohirrimów. Eorl

Młody na czele swych jeźdźców rozproszył nieprzyjacielską hordę i ścigał Balków, tępiąc ich na całym obszarze Calenardhonu. Cirion oddał więc ten kraj we władanie Eorlowi, który zaręczył słowem i poprzysiągł władcom Gondoru przyjaźń i pomoc w potrzebie lub na każde wezwanie”.

Za rządów Berena, dziewiętnastego Namiestnika, Gondor znalazł się w gorszym jeszcze niebezpieczeństwie. Trzy wielkie floty korsarskie, od dawna przygotowywane, nadpłynęły z Umbaru i Haradu, atakując potężnymi siłami wybrzeże; w wielu miejscach nieprzyjaciel zdołał wylądować, docierając na północ aż do ujścia Iseny. Jednocześnie na Rohirrimów dokonano napaści od zachodu i wschodu, tak że musieli z zalanego przez napastników kraju uchodzić w doliny Białych Gór. W roku owym – 2758 – Długa Zima przyniosła wcześnie z północy i wschodu mróz i śnieżyce, a trwała blisko pięć miesięcy. Helm z Rohanu wraz z dwoma synami poległ na wojnie, śmierć i nieszczęścia zapanowały w Eriadorze i Rohanie. W Gondorze jednak, położonym na południe od Gór, działo się nieco lepiej i jeszcze przed wiosną Beregond, syn Berena, rozgromił najeźdźców. Natychmiast wysłał posiłki do Rohanu. Beregond był największym wodzem Gondoru od czasów Boromira, toteż gdy w roku 2763 objął po ojcu władzę, kraj zaczął dźwigać się szybko. Rohan wszakże wolniej wracał do sił po odniesionych ranach. Dlatego Beren chętnie przyjął Sarumana i oddał mu klucze Orthanku. Odtąd, czyli od roku 2759, Saruman zamieszkał w Isengardzie.

Za rządów Beregonda krasnoludowie toczyli wojnę z orkami w Górach Mglistych (2793–2799), o czym na południu dowiedziano się dopiero wtedy, gdy uciekający z Nanduhirionu orkowie usiłowali przez Rohan przedostać się w Białe Góry, aby się tam osiedlić. Wiele walk rozegrało się w dolinach, nim zażegnano niebezpieczeństwo. Gdy zmarł Belecthor II, dwudziesty pierwszy Namiestnik, Białe Drzewo zwiędło w Minas Tirith, ponieważ jednak nie można było znaleźć nigdzie nasienia, zostawiono martwy pień na miejscu „do powrotu króla”.

Za Túrina II nieprzyjaciele Gondoru znów się zaczęli ruszać, Sauron bowiem nabierał już nowych sił i zbliżał się dzień odrodzenia jego potęgi. Tylko garstka najdzielniejszych ludzi została w Ithilien, większość przeniosła się na zachodni brzeg Anduiny, uciekając przed bandami orków z Mordoru. Wtedy to Túrin zbudował w Ithilien dla swych żołnierzy tajne

schrony, z których najdłużej przetrwał i był w użyciu Henneth Annûn. Túrin też umocnił wyspę Cair Andros[105] ku obronie Ithilien. Przede wszystkim jednak Gondor zagrożony był od południa. Haradrimowie bowiem zajęli południowe prowincje, a nad rzeką Poros ustawicznie toczyły się walki. Gdy orkowie znacznymi siłami wtargnęli do Ithilien, król Rohanu Folkwin dotrzymał złożonej przez Eorla przysięgi i spłacił dług zaciągnięty niegdyś u Beregonda, wysyłając liczny zastęp wojowników do Gondoru. Z ich pomocą Túrin odniósł zwycięstwo u brodu na Poros, lecz obaj synowie Folkwina polegli w tej bitwie. Jeźdźcy Rohanu pogrzebali ich wedle obyczaju swego plemienia i braciom bliźniakom usypali wspólny kurhan. Przez długie lata wznosił się ten Haudh in Gwanur nad brzegiem rzeki, a wrogowie Gondoru bali się tędy przeprawiać.

Po Túrinie objął namiestnictwo Turgon, lecz z okresu jego rządów upamiętniło się jedynie to zdarzenie, iż na dwa lata przed jego zgonem Sauron znów powstał, wystąpił jawnie i wkroczył z powrotem do Mordoru, od dawna gotowego na przyjęcie Władcy Ciemności. Znowu więc wyrosły mury Barad-dûr, a Góra Przeznaczenia wybuchła ogniem, ostatni zaś mieszkaniec uciekł z Ithilien. Gdy Turgon umarł, Saruman zawładnął Isengardem i zamienił go w niezdobytą fortecę.

„Ecthelion II, syn Turgona, był rozumnym władcą. Wszystkich sił, jakimi jeszcze rozporządzał, użył do umocnienia kraju od napaści Mordoru. Chętnie przyjmował na służbę szlachetnych ludzi z daleka lub z bliska, a tych, którzy się okazali godni zaufania, nagradzał hojnie i wyróżniał. Wielkiej pomocy i rady udzielał mu znakomity wódz, którego Namiestnik pokochał bardziej niż innych. Nazywano tego wodza w Gondorze Thorongilem, Orłem Gwiazdy, był bowiem szybki, wzrok miał bystry, a na płaszczu nosił gwiaździsty znak; nikt wszakże nie znał jego prawdziwego imienia ani też nie wiedział, z jakiego kraju pochodzi. Przybył na dwór Ectheliona z Rohanu, gdzie przedtem służył królowi Thenglowi, nie był jednak rodowitym Rohirrimem. Na morzu i lądzie zasłynął jako wódz znakomity i znajdował wielki posłuch u ludzi, zniknął jednak przed zgonem Ectheliona równie tajemniczo, jak się przedtem pojawił. Thorongil nieraz przekonywał Ectheliona, że potęga buntowników z Umbaru stanowi groźbę dla Gondoru i dla lenników na południu, a może się okazać śmiertelnym niebezpieczeństwem, w razie gdyby Sauron otwarcie zaczął wojnę. Wreszcie uzyskał zezwolenie Namiestnika, zgromadził całą flotę, znienacka

zaskoczył nocą Umbar i spalił tam większą część korsarskich okrętów. W bitwie na wybrzeżu zabił komendanta przystani, po czym wycofał się z nieznacznymi stratami. Gdy wszakże flota zawinęła do Pelargiru, ku zdziwieniu i smutkowi podwładnych nie chciał wraz z nimi wracać do Minas Tirith, gdzie czekały go zaszczyty i nagroda. Przez gońca przekazał Ecthelionowi słowa pożegnania: «Wzywają mnie teraz inne obowiązki i wiele zapewne czasu upłynie, wiele niebezpieczeństw będę musiał przezwyciężyć, zanim powrócę do Gondoru – jeśli taki będzie wyrok losu». Nikt nie wiedział, jakie wzywały go obowiązki ani skąd otrzymał wezwanie, lecz wiedziano, w którą stronę odszedł. Przeprawił się bowiem łodzią przez Anduinę, pożegnał towarzyszy i oddalił się samotnie. Kiedy go widzieli po raz ostatni, był twarzą zwrócony ku Górom Cienia. W Minas Tirith wieść o odejściu Thorongila wzbudziła wielki żal, wszystkim zdawało się to ciężką stratą. Wszystkim – z wyjątkiem Denethora, syna Ectheliona, który był podówczas już mężem dojrzałym do objęcia władzy i wkrótce też, bo w cztery lata po śmierci ojca, został Namiestnikiem.

Denethor był dumny, rosły, dzielny; od wielu pokoleń ludzie w Gondorze nie mieli władcy tak królewskiej postawy; był przy tym mądry, przewidujący, uczony w księgach dziejów. Między nim a Thorongilem istniało niemal braterskie podobieństwo, lecz dotychczas zawsze musiał temu obcemu przybyszowi ustępować pierwszego miejsca zarówno w sercach ludzi, jak i w szacunku ojca. Wielu Gondorczyków myślało podówczas, że Thorongil usunął się, by nie doczekać chwili, gdy rywal stanie się jego zwierzchnikiem; ale w rzeczywistości Thorongil nigdy nie współzawodniczył z Denethorem ani też nie wynosił się ponad stan, który przyjął: sługi Ectheliona. W jednej tylko sprawie rady ich różniły się bardzo. Thorongil przestrzegał Namiestnika, aby nie ufał Sarumanowi Białemu z Isengardu, lecz raczej zaprzyjaźnił się z Gandalfem Szarym; między Denethorem a Gandalfem nigdy nie nawiązała się przyjaźń, a po śmierci Ectheliona Szary Pielgrzym nie doznawał już zbyt miłego przyjęcia w Minas Tirith. Toteż później, gdy wszystko już się wyjaśniło, wielu ludzi sądziło, że Denethor, obdarzony przenikliwym umysłem, sięgający wzrokiem dalej i głębiej niż inni, wcześnie odkrył, kim był naprawdę dziwny cudzoziemiec, i podejrzewał, że Thorongil wraz z Mithrandirem spiskują przeciw niemu, chcąc go pozbawić władzy.

Gdy Denethor został Namiestnikiem (2984), okazał się władcą silnej ręki i mocno dzierżył ster rządów w Gondorze. Mówił mało, słuchał rad, ale potem robił zawsze wszystko wedle własnej myśli. Ożenił się późno (2976), biorąc za żonę Finduilas, córkę Adrahila, księcia Dol Amrothu. Była to pani wielkiej urody i tkliwego serca, lecz zmarła po dwunastu zaledwie latach małżeństwa. Denethor na swój sposób kochał ją goręcej niż kogokolwiek w świecie, z wyjątkiem może starszego z dwóch synów, którymi go żona obdarzyła. Zdawało się jednak, że Finduilas więdnie w kamiennym grodzie, jak kwiat z nadmorskich dolin przesadzony na jałowy, skalisty grunt. Cień padający od Mordoru przerażał ją, odwracała wciąż oczy na południe, ku Morzu, do którego tęskniła.

Po jej śmierci Denethor spochmurniał i stał się bardziej jeszcze milczący niż przedtem; dni całe przesiadywał w wieży pogrążony w rozmyślaniach, przewidując, że gdy dopełni się czas, Mordor zaatakuje jego kraj nieuchronnie. Powszechnie później przypuszczano, że Denethor, żądny wiedzy, a tak dumny, iż ufał sile swej woli, ośmielił się wówczas zajrzeć w *palantír* Białej Wieży. Żaden z poprzednich Namiestników na to się nie odważył, nawet królowie Eärnil i Eärnur nie czynili tego, odkąd po upadku Minas Ithil *palantír* Isildura dostał się do rąk Nieprzyjaciela, kryształ bowiem przechowywany w Minas Tirith, czyli *palantír* Anáriona, związany był ściśle z kryształem, który teraz należał do Saurona.

Tak Denethor zdobył sposób, by wiedzieć o wszystkim, co działo się w jego państwie, a także daleko poza jego granicami; ludzie podziwiali jego przenikliwość, lecz Namiestnik opłacił ją wielką ceną i postarzał się przedwcześnie, wyczerpany zmaganiem się z wolą Saurona. Rosła w jego sercu duma wraz z rozpaczą, aż w końcu wszystkie inne sprawy przesłoniła mu ta jedna: walka władcy Białej Wieży z władcą Barad-dûr; nie ufał nikomu, kto wprawdzie przeciwstawiał się Sauronowi, lecz nie służył wyłącznie Władcy Gondoru.

Tymczasem zbliżał się wybuch Wojny o Pierścień, a synowie Denethora wyrośli na dojrzałych mężów. Boromir, o pięć lat starszy, ulubieniec ojca, był do niego podobny z urody i dumy, lecz z niczego więcej. Przypominał raczej króla Eärnura, jak on bowiem nie ożenił się i nade wszystko kochał wojenne rzemiosło; odważny, silny, nie miał zamiłowania do starych ksiąg, chociaż lubił opowieści o dawnych bitwach. Młodszy, Faramir, podobny był do brata z twarzy i postawy, lecz nie z usposobienia. Przenikał serca

ludzkie równie jasno jak jego ojciec, ale to, co w nich czytał, budziło w nim częściej litość niż wzgardę. Łagodnego obejścia, kochał księgi i muzykę, toteż niejeden, sądząc z pozoru, niżej cenił jego męstwo niż męstwo Boromira. Naprawdę dorównywał odwagą bratu, lecz nie szukał chwały w narażaniu się bez potrzeby na niebezpieczeństwa. Ilekroć Gandalf przybywał do grodu, Faramir witał go przyjaźnie i uczył się od niego mądrości, a to – podobnie jak wiele innych rzeczy w młodszym synu – bardzo się nie podobało Denethorowi.

Bracia jednak kochali się szczerze od dzieciństwa; starszy Boromir zawsze wspierał i bronił Faramira. Później też nie powstała między nimi nigdy zazdrość ani rywalizacja o łaski ojcowskie i o pochwały ludzkie. Faramirowi wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek w Gondorze współzawodniczyć mógł z Boromirem, spadkobiercą Denethora, dowódcą straży Białej Wieży. Boromir podzielał co do tego zdanie brata. Los miał dowieść, że się mylili obaj. Ale o wszystkim, co się tym trzem ludziom zdarzyło podczas Wojny o Pierścień, opowiedziano w innym miejscu. Po zakończeniu tej wojny skończyły się też rządy Namiestników w Gondorze, powrócił bowiem spadkobierca Isildura, królestwo zostało wskrzeszone, a na wieży Ectheliona powiała znów chorągiew z godłem Białego Drzewa”.

5. Fragment historii Aragorna i Arweny

„Arador był dziadkiem króla. Syn Aradora, Arathorn, pojął za żonę Gilraenę Piękną, córkę Dírhaela, który wywodził się z krwi Aranartha. Dírhael sprzeciwiał się temu małżeństwu, ponieważ Gilraena nie osiągnęła jeszcze wieku, w którym Dúnedainowie zwykli swe córki wydawać za mąż.

– Ponadto – rzekł – Arathorn jest poważnym człowiekiem w kwiecie lat i wkrótce, prędzej, niż się ludzie spodziewają, zostanie wodzem, ale serce ostrzega mnie, że nie będzie żył długo.

Ivorwena jednak, żona Dírhaela, także obdarzona jasnowidzeniem, odparła:

– Tym bardziej trzeba się spieszyć! Niebo się chmurzy, nadciąga burza, wielkie rzeczy będą się rozstrzygały. Jeśli tych dwoje zwiążemy teraz małżeństwem, może z nich zrodzi się nadzieja naszego plemienia, lecz jeśli

małżeństwo ich się odwlecze, wiek nasz przeminie, zanim wzejdzie nadzieja.

Zdarzyło się rzeczywiście, że w rok po zaślubinach Arathorna z Gilraeną Arador wpadł na Zimnych Polach na północ od Rivendell w zasadzkę górskich trollów i zginął. Arathorn został wodzem Dúnedainów.

W rok później Gilraena urodziła syna i dano mu na imię Aragorn. Aragorn miał dwa lata, gdy Arathorn ruszył wraz z synami Elronda na wyprawę przeciw orkom i poległ od strzały z łuku, która przebiła mu źrenicę. Sprawdziła się przepowiednia, żył niezwykle krótko jak na długowiecznego Dúnedaina, miał bowiem wówczas zaledwie sześćdziesiąt lat.

Aragorn był więc spadkobiercą Isildura; zamieszkał wraz z matką w domu Elronda, który zastępował mu ojca i kochał go nie mniej niż rodzonych synów. Nazywano chłopca Estelem, to znaczy nadzieją, prawdziwe zaś imię i rodowód trzymano w tajemnicy. Tak zarządził Elrond, mędrcy bowiem wiedzieli, że Nieprzyjaciel poszukuje Spadkobiercy Isildura, niepewny, czy ten prawowity dziedzic królów żyje na ziemi.

Gdy Estel miał lat dwadzieścia, wrócił kiedyś okryty chwałą z wyprawy, którą podejmował w towarzystwie synów Elronda. Elrond przyjrzał mu się z zadowoleniem. Estel bowiem był piękny i szlachetny, wcześnie dojrzały, chociaż miał jeszcze urosnąć zarówno ciałem, jak i duchem. Tego więc dnia Elrond nazwał go własnym jego imieniem, powiedział mu, czyim jest synem, i wręczył mu dziedzictwo rodu.

– Oto pierścień Barahira – rzekł – znak naszego dalekiego pokrewieństwa; weź też szczątki Narsila. Może tym orężem dokonasz jeszcze wielkich czynów, przepowiadam ci bowiem, że będziesz żył długo nad miarę ludzkiego wieku, chyba że ulegniesz złej sile albo że nie wytrzymasz próby. Próba będzie ciężka i długa. Berła Annúminas jeszcze ci nie daję, musisz na nie zasłużyć.

Nazajutrz o zachodzie słońca Aragorn samotnie przechadzał się po lesie, a serce miał pełne radości; śpiewał, bo nadzieja świeciła mu jasno, a świat był piękny. Nagle zobaczył młodą dziewczynę idącą przez zieloną trawę między białymi pniami brzóz. Stanął zdumiony, wydało mu się bowiem, że zabłądził w kraj snów albo że otrzymał dar elfów minstreli, którzy umieją przed oczyma słuchaczy wyczarowywać to, o czym mówi ich pieśń.

Aragorn śpiewał właśnie pieśń, która opowiada o spotkaniu Lúthien z Berenem w lesie Neldoreth i oto stanęła przed nim w Rivendell Lúthien w płaszczu srebrnym i błękitnym, piękna jak zmierzch w domu elfów; podmuch wiatru rozwiał jej ciemne włosy, nad czołem klejnoty błyszczały jak gwiazdy.

Chwilę Aragorn patrzył na nią w milczeniu, lecz bojąc się, by nie odeszła i nie zniknęła mu na zawsze, krzyknął wreszcie tak jak ongi, za Dawnych Dni, Beren: – Tinúviel! Tinúviel!

Piękna dziewczyna zwróciła się do niego z uśmiechem, pytając:

– Ktoś jest? I dlaczego wołasz mnie tym imieniem?

– Ponieważ uwierzyłem, że naprawdę widzę Lúthien Tinúviel, o której śpiewałem – odparł. – Jeśli nawet nią nie jesteś, wyglądasz jak jej rodzona siostra.

– Mówiono mi to nieraz – odpowiedziała z powagą – ale noszę inne imię. Kto wie, czy nie czeka mnie los do jej losu podobny. Ale kim ty jesteś?

– Nazywano mnie Estelem – rzekł – lecz jestem Aragorn, syn Arathorna, spadkobierca Isildura, wódz Dúnedainów.

Mówiąc to, poczuł nagle, że wszystkie dostojeństwa, które tak go cieszyły, stają się teraz małe i nic niewarte wobec godności i urody nieznajomej. Ona jednak roześmiała się wesoło.

– A więc jesteśmy dalekimi krewnymi. Nazywam się Arwena, córka Elronda, a niekiedy zwą mnie też Undómiel.

– Często się zdarza – powiedział Aragorn – że w czasach niebezpiecznych ludzie kryją swój najcenniejszy klejnot. Mimo to dziwię się twemu ojcu i braciom, że chociaż przebywam w ich domu od dzieciństwa, nigdy ani słowem nie wspomnieli mi o tobie. Jak się to stało, że nie spotkaliśmy się dotychczas? Ojciec chyba nie trzymał cię zamkniętej w skarbcu?

– Nie – odparła, spoglądając ku górom spiętrzonym na wschodzie. – Mieszkałam czas jakiś w ojczyźnie mojej matki, w dalekim kraju Lothlórien. Niedawno dopiero wróciłam do domu ojca w odwiedziny. Od wielu lat nie tknęłam stopą trawy Imladris.

Aragorn zdziwił się, bo nie wydała mu się starsza od niego, który ledwie dwadzieścia lat przeżył w Śródziemiu. Arwena jednak spojrzała mu prosto w oczy, mówiąc:

– Nie dziw się! Dzieci Elronda mają przecież dar życia Eldarów.

Wtedy Aragorn zmieszał się bardzo, dostrzegł bowiem w jej oczach światło elfów i mądrość wielu lat. W tej wszakże chwili pokochał Arwenę Undómiel, córkę Elronda.

Przez następnych dni kilka był milczący i zadumany, aż matka zauważyła, że syn zmienił się dziwnie; wreszcie uległ i na jej pytania opowiedział o przedwieczornym spotkaniu w lesie.

– Synu – rzekła Gilraena – wysoko mierzysz, bardzo wysoko nawet dla potomka królów. To jest bowiem najpiękniejsza dziewczyna i córka najdostojniejszego rodu, jaki żyje na tej ziemi. Nie godzi się, aby człowiek śmiertelny szukał małżonki wśród elfów.

– A jednak jest między nami odległe pokrewieństwo – odparł Aragorn – jeżeli historia moich przodków, której mnie uczono, mówi prawdę.

– Mówi prawdę – rzekła Gilraena – lecz było to dawno temu, w innym wieku Śródziemia, zanim plemię nasze skarlało. Toteż zmartwiłeś mnie, widzę bowiem, że jeżeli nie uzyskasz zgody Elronda, ród spadkobierców Isildura wygaśnie wkrótce. Nie spodziewam się, aby Elrond w tej sprawie zechciał spełnić twoje życzenie.

– Gorzki wtedy byłby mój los – rzekł Aragorn. – Odejdę stąd i będę odtąd samotnie błąkał się po pustkowiach.

– Tak, taki cię czeka los – powiedziała Gilraena. Ona też miała w pewnej mierze dar zgadywania przyszłości, ale na razie nic więcej synowi nie mówiła o swym niepokoju ani też nikomu nie powtórzyła jego zwierzeń.

Elrond jednak miał oczy otwarte i czytał w sercach ludzkich. Pewnego dnia tego samego roku, zanim nastała jesień, zawołał Aragorna do swej komnaty i rzekł:

– Słuchaj mnie, Aragornie, synu Arathorna, wodzu Dúnedainów! Przed tobą wielki los: albo się wzniesiesz ponad wszystkich swoich przodków od dni Elendila, albo upadniesz w ciemności wraz ze wszystkim, co zostało jeszcze twojemu plemieniu. Czekają cię długie lata ciężkich prób. Nie wolno ci pojąć żony ani nawet związać słowem żadnej kobiety, dopóki się

czas nie dopełni i dopóki nie będziesz uznany za godnego chwały i szczęścia.

Aragorn zmieszał się bardzo.

– Czyżby matka moja powiedziała ci coś o mnie? – spytał.

– Nie, ale oczy twoje cię zdradziły – odparł Elrond. – Nie mówię jednak tylko o mojej córce. Teraz nie wolno ci związać się z żadną dziewczyną. Co do Arweny Pięknej, księżniczki Imladris i Lórien, Gwiazdy Wieczornej swego plemienia, należy ona do rodu wspanialszego niż twój i chodzi po świecie od dawna, tak że wobec niej ty jesteś jak jednoroczny pęd wobec młodej brzozy, która kwitnie już od kilku wiosen. Arwena stoi wyżej, za wysoko dla ciebie. Myślę, że ona sama też tak tę sprawę osądza. Nawet jednak gdyby się jej serce do ciebie skłaniało, przyjąłbym to ze smutkiem, z powodu wyroku przeznaczenia, który nad nami ciąży.

– Jakiż to wyrok? – spytał Aragorn.

– Arwena ma cieszyć się długo młodością Eldarów, dopóki ja mieszkam tutaj – rzekł Elrond – a gdy odejdę, będzie mogła odejść wraz ze mną, jeśli taki los wybierze.

– Rozumiem, podniosłem oczy na klejnot nie mniej cenny niż skarb Thingola, którego Beren ongi zapragnął. Taki mój los – rzekł Aragorn. Nagle jednak, w przebłysku jasnowidzenia, które było przywilejem jego rodu, dodał: – Ale przecież, Elrondzie, czas oczekiwania już niedługi, wkrótce dzieci twoje będą musiały wybierać między rozłąką z tobą a porzuceniem Śródziemia.

– Prawda! – odparł Elrond. – Czasu zostało mało, jeśli mierzyć naszą miarą, lecz wedle rachuby ludzkiej upłynąć musi wiele jeszcze lat. Zresztą dla ukochanej córki mojej Arweny nie będzie wyboru, chyba że ty staniesz między nami i zgotujesz jednemu z nas – mnie albo sobie – gorycz rozłąki na czas dłuższy niż trwanie świata. Sam nie wiesz, czego żądasz ode mnie! – Westchnął i po chwili, poważnie spoglądając na młodzieńca, podjął znowu: – Czekajmy, co czas przyniesie. Nie będziemy do tej sprawy wracali aż za wiele lat. Niebo się chmurzy, wkrótce zaczną się srogie burze nad Śródziemiem.

Tak więc Aragorn pożegnał Elronda serdecznie, a potem pożegnał też matkę i Arwenę, wyruszając na pustkowia. Przez blisko trzy dziesiątki lat

trudził się dla dobrej sprawy w walce z Sauronem; zawarł przyjaźń z Gandalfem Mądrym i wiele się od niego nauczył. Razem odbywali niebezpieczne podróże, z czasem jednak Aragorn coraz częściej wędrował samotnie. Długie to były i niełatwe wędrówki, toteż twarz Aragorna spochmurniała i zdawała się sroga – z wyjątkiem chwil, gdy ją rozjaśniał uśmiech; mimo to ludzie poznawali w nim człowieka godnego czci, jak gdyby króla na wygnaniu, gdy nie ukrywał swej prawdziwej postaci. Często bowiem chadzał po świecie w przebraniu i zasłynął pod wielu różnymi imionami. Jeździł w szeregach Rohirrimów do bitwy i walczył w imię władcy Gondoru na lądzie i na morzu, a po zwycięstwie zniknął z oczu ludzi Zachodu, odchodząc samotnie daleko na południe i na wschód, badając serca ludzkie, zarówno dobre, jak i złe, wykrywając spiski i knowania służalców Saurona.

Zahartował się w trudach tak, że nikt ze śmiertelnych ludzi nie mógł się z nim równać, wyćwiczył w ich umiejętnościach i nauczył ich historii, a mimo to inny był niż oni, miał bowiem mądrość elfów, a gdy blask rozjarzał mu się w oczach, mało kto mógł znieść ogień tego spojrzenia. Twarz jego była smutna i surowa, ponieważ ciążył mu los, który mu przypadł, ale w głębi serca zachował nadzieję i z niej nieraz jak źródło ze skały tryskała wesołość.

Zdarzyło się, gdy Aragorn miał lat czterdzieści dziewięć, że wracał kiedyś z niebezpiecznej wyprawy w mroczne pogranicza Mordoru, gdzie Sauron już znowu mieszkał i knuł przewrotne swoje plany. Aragorn był znużony i zamierzał iść do Rivendell, by odpocząć czas jakiś przed następną podróżą do odległych ziem, lecz po drodze zaszedł na skraj Lórien i Pani Galadriela zaprosiła go do ukrytego kraju elfów.

Aragorn nie wiedział o tym, lecz przebywała tam wówczas Arwena, która znów odwiedziła ojczyznę swojej matki. Niewiele się zmieniła, bo lata, bezlitosne dla śmiertelników, ją oszczędzały, ale twarz miała poważniejszą i rzadziej się uśmiechała niż dawniej. Aragorn natomiast dojrzał przez ten czas duchem i ciałem. Galadriela poleciła mu zrzucić zniszczony strój podróżny, ubrała go w szaty srebrne i białe, okryła szarym płaszczem elfów i ozdobiła mu czoło błyszczącym klejnotem. Wyglądał w tym piękniej niż król ludzkiego plemienia, jak książę elfów z dalekich zachodnich wysp. Takiego zobaczyła go Arwena po raz pierwszy po latach rozłąki, gdy spotkali się pod kwitnącymi złociście drzewami Caras

Galadhon. W tej też chwili dokonała wyboru i los jej został przypieczętowany.

Przez całą wiosnę przechadzali się razem po lesie Lothlórien, aż nadeszła pora i Aragorn musiał ruszyć znów w drogę. Wieczorem przed najkrótszą nocą lata Aragorn, syn Arathorna, i Arwena, córka Elronda, weszli na piękne wzgórze Cerin Amroth, wznoszące się pośrodku tej krainy, i tam bosymi stopami brodzili w trawie niewiędnącej nigdy i usianej kwiatami *nifredil* i *elanor*. Z wysoka patrzyli na Wschód okryty Cieniem i na Zachód w Zmierzchu. Przyrzekli sobie nawzajem miłość i byli szczęśliwi.

– Czarny jest Cień – powiedziała Arwena – ale serce moje raduje się, bo ty, Estelu, będziesz wśród najmężniejszych, którzy ten Cień zniszczą.

– Niestety! – odparł Aragorn. – Nie widzę jeszcze przed sobą tego dnia i nie wiem, jak tego dokonam. Ale twoja nadzieja krzepi moją. Odtrącam od siebie Cień na zawsze. Lecz Zmierzch także jest nie dla mnie, należę do śmiertelników, a jeśli ty wytrwasz przy mnie, Gwiazdo Wieczorna, będziesz musiała również wyrzec się Zmierzchu.

Arwena stała u jego boku nieruchoma jak srebrzyste drzewo, zapatrzona w zachód, i po długiej chwili dopiero odpowiedziała:

– Wytrwam przy tobie, Dúnadanie, odwrócę się od Zmierzchu. Ale tam jest ojczyzna mojego plemienia i odwieczny kraj mojego rodu.

Bardzo kochała swego ojca, Elronda.

Gdy Elrond dowiedział się o wyborze córki, serce mu się ścisnęło z bólu, a wyrok losu, chociaż od dawna wiadomy, nie wydał mu się przez to łatwiejszy do zniesienia. Powitał jednak Aragorna w Rivendell z miłością i powiedział:

– Synu, nadchodzą lata, gdy nadzieja przygaśnie, i nie widzę jasno, co po nich nastąpi. Cień leży pomiędzy nami. Może tak jest sądzone, że ja muszę utracić królestwo, aby ludzie odzyskali swoje. Chociaż więc kocham cię, powiadam: Arwena Undómiel może wyrzec się przywileju elfów tylko dla największej sprawy. Jeśli poślubi śmiertelnego człowieka, to tylko króla obu królestw, Gondoru i Arnoru. Mnie nawet wówczas zwycięstwo przyniesie jedynie smutek i rozłąkę, tobie – nadzieję szczęścia na krótki

czas. Na krótki czas! Tak, synu, lękam się, że Arwenie los człowieczy wyda się w końcu zbyt srogi.

Na tym między nimi stanęło i nie mówili więcej o tej sprawie, lecz Aragorn wkrótce znów wyruszył na niebezpieczną wyprawę i podjął nowe trudy. Niebo nad światem pociemniało, strach padł na Śródziemie, potęga Saurona rosła, mury Barad-dûr coraz wyżej i potężniej piętrzyły się nad Mordorem, a tymczasem Arwena mieszkała w Rivendell i gdy Aragorn wędrował po dalekich krajach, czuwała nad nim myślą; powodowana nadzieją sporządziła wspaniały królewski sztandar, jaki przystoi władcy Númenorejczyków i spadkobiercy Isildura.

W kilka lat później Gilraena pożegnała Elronda i wróciła do własnej rodziny w Eriadorze. Tam żyła samotnie, rzadko widując syna, który lata całe spędzał w dalekich krajach. Gdy wreszcie kiedyś Aragorn przybył na północ i odwiedził ją, powiedziała mu przed rozstaniem:

– To nasze ostatnie pożegnanie, Estelu, synu mój. Wśród trosk postarzałam się wcześnie, tak jakbym była z krótkowiecznego plemienia. Teraz jednak, gdy zbliża się burza, nie mogę ścierpieć Ciemności naszych czasów, które zbierają się nad Śródziemiem. Wkrótce odejdę.

Aragorn starał się pocieszyć matkę, mówiąc:

– Za ciemnymi chmurami pewnie świeci słońce, a jeśli to prawda, zobaczysz je i będziesz się nim cieszyła.

Odpowiedziała mu wierszem z pieśni:

«Onen i-Estel Edain, û-chebin estel anim…»[106].

Aragorn odszedł z ciężkim sercem. Gilraena umarła przed następną wiosną.

Tak płynęły lata, zbliżała się Wojna o Pierścień, o której opowiedziano szerzej w innym miejscu, wiemy tedy, jak się znalazł nieprzewidziany sposób zniszczenia potęgi Saurona i jak się spełniły nadzieje. Wiemy też, że w godzinie klęski zjawił się Aragorn, przybywając od strony Morza i rozwinął sztandar Arweny podczas bitwy na polach Pelennoru, potem zaś przywitano w jego osobie powracającego króla. Wreszcie odzyskał dziedzictwo praojców, otrzymał koronę Gondoru i berło Arnoru, a wtedy w najdłuższy dzień lata w roku upadku Saurona wprowadził Arwenę Undómiel za rękę do Minas Tirith i w stolicy odbyły się królewskie gody. Trzecia Era skończyła się zwycięstwem w blasku nadziei, ale wśród

smutków tych dni najsmutniejsze było pożegnanie Elronda z Arweną, miało ich bowiem do końca świata i poza koniec świata rozdzielić Morze i wyrok losu.

Kiedy został zniszczony Najpotężniejszy z Pierścieni, Trzy Pierścienie elfów także straciły swoją moc, Elrond zaś, zmęczony wreszcie długim życiem w Śródziemiu, opuścił je, by już nigdy nie wrócić. Arwena jednak, poślubiając Aragorna, przyjęła los śmiertelnej kobiety, chociaż miała umrzeć wtedy dopiero, gdy wszystko, co za tę cenę zdobyła, utraci.

Jako królowa elfów i ludzi przeżyła z Aragornem sto dwadzieścia lat w szczęściu i chwale; gdy wreszcie Aragorn poczuł, że starość się zbliża i że dobiegają końca odmierzone, jakkolwiek długie dni, powiedział do Arweny:

– Teraz, Gwiazdo Wieczorna, najpiękniejsza w świecie i najbardziej ukochana, słońce zachodzi nad moim światem. Zbieraliśmy plony i spożywaliśmy je, przyszła godzina zapłaty.

Arwena zrozumiała jego myśl, z dawna przewidziała tę godzinę; mimo to ogarnął ją wielki smutek.

– Czy chcesz, królu mój, przed czasem opuścić lud, który czci każde twoje słowo? – spytała.

– Nie przed czasem – odparł. – Jeśli bowiem nie odejdę teraz dobrowolnie, wkrótce będę musiał odejść po niewoli. Nasz syn Eldarion dojrzał już do królowania.

Udał się więc Aragorn do Domu Królów przy ulicy Milczenia i ułożył się na przygotowanym dla niego od dawna łożu. Pożegnał się z Eldarionem i w jego ręce złożył skrzydlatą koronę Gondoru oraz berło Arnoru. Potem wszyscy wyszli, zostawiając go samego z Arweną, która stała u jego wezgłowia. A chociaż była to pani tak wielkiego rodu i wielkiej mądrości, nie mogła się wstrzymać od prośby, żeby został z nią jeszcze choć chwilę. Nie czuła się jeszcze znużona i syta życia, toteż poznała gorzki smak losu śmiertelnych ludzi, który zgodziła się podzielić.

– Gwiazdo Wieczorna – powiedział Aragorn – ciężka to godzina, ale była nam przeznaczona od tego dnia, gdy spotkaliśmy się pod białymi brzozami w ogrodzie Elronda, po którym dziś nikt już się nie przechadza; tego dnia, gdy na wzgórzu Cerin Amroth wyrzekliśmy się oboje zarówno Ciemności, jak i Zmierzchu, przyjęliśmy nasz los. Spytaj sama siebie,

ukochana, czy chciałabyś, abym czekał, aż zwiędnę i bez sił, bez rozumu osunę się z mego wysokiego tronu. Nie, Gwiazdo moja, jestem ostatnim z Númenorejczyków, ostatnim królem Dawnych Dni; wymierzono mi miarę trzech pokoleń ludzi Śródziemia i dano mi prawo, bym sam wybrał godzinę odejścia. Pora zwrócić użyczony dar. Zasnę już teraz. Nie próbuję cię pocieszać, bo świat nie zna pociechy na taki ból. Masz po raz ostatni wybór, cofnij się, jedź do przystani, zabierz z sobą za Morze pamięć naszych dni, które tam na zawsze zostaną utrwalone, ale tylko we wspomnieniu; albo też – poddaj się losowi człowieczemu.

– Nie, królu mój, wybrałam już od dawna – odparła Arwena. – Nie ma już w przystani okrętu, który by mnie zabrał, i muszę się poddać losowi człowieczemu, czy chcę, czy nie chcę. Ale wiedz, królu Númenorejczyków, że dopiero w tej chwili zrozumiałam dzieje twojego plemienia i jego upadku. Gardziłam twymi współplemieńcami, myśląc, że to są złe i głupie istoty, teraz jednak współczuję im wreszcie. Gorzko przyjąć to, co jest – jak mówią Eldarowie – darem Jedynego dla ludzi.

– Tak się wydaje – odparł Aragorn – ale nie dajmy się załamać w ostatniej próbie, my, cośmy niegdyś wyrzekli się Ciemności i Pierścienia. Musimy odejść w smutku, lecz nie w rozpaczy. Nie na zawsze przykuci jesteśmy do okręgów świata, poza nimi zaś istnieje coś więcej niż wspomnienie. Żegnaj!

– Estelu! Estelu! – krzyknęła, Aragorn zaś ujął jej rękę, ucałował ją i zasnął. Twarz jego zajaśniała niezwykłą pięknością, tak że wszyscy, którzy weszli potem do Domu Królów, patrzyli na niego z podziwem, ujrzeli bowiem Aragorna w uroku młodości i w sile lat męskich, a zarazem w pełni mądrości i w majestacie sędziwego wieku. Długo spoczywał tak i widzieli w nim obraz chwały królów ludzkich w nieprzyćmionym blasku, jak o poranku świata.

Kiedy jednak Arwena wyszła z Domu Królów, oczy miała przygasłe i wydało się ludowi Gondoru, że królowa jest teraz zimna i szara jak bezgwiezdna zimowa noc. Pożegnała się z Eldarionem, z córkami i z wszystkimi, których kochała, opuściła Minas Tirith, udała się do Lórien, by zamieszkać tam samotnie pod więdnącymi drzewami. Galadriela bowiem odpłynęła także za Morze, odszedł też Celeborn, a las elfów milczał.

Wreszcie, gdy liście mallornów opadły już, a wiosna jeszcze nie nadeszła, mogła Arwena położyć się na spoczynek na wzgórzu Cerin

Amroth. Tam zieleni się jej mogiła i będzie tak, dopóki świat się nie odmieni. Ludzie, którzy przyszli potem na ziemię, zapomnieli o Arwenie i nic nie wiedzą o jej życiu, a elanory i nifredile nie kwitną już na wschodnim wybrzeżu Morza.

Taki jest koniec historii, która do nas doszła z Południa; odejściem Gwiazdy Wieczornej zamyka się w księdze rozdział Dawnych Dni”.

II. RÓD EORLA

„Eorl Młody był władcą ludzi z Éothéodu. Kraj ten leżał opodal źródeł Anduiny, między ostatnim łańcuchem Gór Mglistych a północną częścią Mrocznej Puszczy. Éothéodowie przesiedlili się tutaj za panowania króla Eärnila II, opuszczając dolinę rzeczną położoną między Samotną Skałą a Polami Gladden; lud ten był blisko spokrewniony z plemieniem Beorna i mieszkańcami zachodniego skraju puszczy. Przodkowie Eorla, wywodzący swój ród od królów Rhovanionu, którzy przed najazdami Woźników władali krajem za Mroczną Puszczą, uważali za swoich krewnych królów Gondoru, potomków Eldacara. Lubili żyć na równinach, bo kochali się w koniach i w sztuce jeździeckiej, ponieważ jednak w dolinach środkowego biegu Anduiny mieszkało podówczas mnóstwo ludzi, a w dodatku cień Dol Guldur sięgał w nie coraz dalej, Éothéodowie na wieść o rozgromieniu potęgi Czarnoksiężnika postanowili szukać sobie przestronniejszego miejsca na północy i tam osiedli, wypędzając resztki ludności Angmaru na wschód, za Góry. Za czasów wszakże Léoda, ojca Eorla, lud ten tak się rozmnożył, że na nowej ziemi znów było mu za ciasno.

W roku 2510 Trzeciej Ery nowe niebezpieczeństwo zawisło nad Gondorem. Silne bandy Dzikich Ludzi z północo-wschodu opanowały Rhovanion i posuwając się od Brunatnych Pól nad Anduinę, przeprawiły się na tratwach na jej zachodni brzeg. Jednocześnie, dziwnym zbiegiem okoliczności – a może w myśl uknutego pierwotnie planu – orkowie, którzy wtedy, nieosłabieni jeszcze wojną z krasnoludami, rozporządzali wielką potęgą, wtargnęli z Gór na równiny; napastnicy zajęli Calenardhon; Cirion, Namiestnik Gondoru, posłał na Północ wezwanie o pomoc, z dawna bowiem ludzi z dolin Anduiny wiązała przyjaźń z Gondorczykami. Lecz w dolinach została ledwie garstka ludzi, i to rozproszonych, niezdolnych do udzielenia szybkiej i skutecznej pomocy. Wreszcie o groźnym położeniu

Gondoru dowiedział się Eorl, a chociaż zdawało się, że już jest za późno na ratunek, wyruszył natychmiast z licznym zastępem swoich jeźdźców.

Zdążył zjawić się w dniu, gdy toczono bitwę na Polach Celebrantu, jak zwała się zielona kraina między Srebrną Żyłą a Mętną Wodą. Północnej armii Gondoru groziła klęska; pobita na Płaskowyżu, odcięta od południa, zmuszona przekroczyć Mętną Wodę, została tutaj nagle zaatakowana przez orków i zepchnięta nad Anduinę. Zdawało się, że wszelka nadzieja stracona, gdy niespodzianie z Północy przybyli z odsieczą jeźdźcy i natarli na nieprzyjacielskie tyły. Losy bitwy odmieniły się błyskawicznie, orkowie zdziesiątkowani umykali za Mętną Wodę. Eorl na czele swych wojowników ścigał ich, a taki postrach budzili powszechnie jeźdźcy Północy, że napastnicy na Płaskowyżu również ulegli panice; rzucili się do ucieczki, Rohirrimowie zaś, nie ustając w pogoni, wytępili rozproszonych po równinie Calenardhonu niedobitków”.

Ludność tych okolic, przerzedzona na skutek pomoru, wyginęła do reszty w czasie ustawicznych napadów okrutnych Easterlingów. W nagrodę więc za pomoc Cirion oddał wyludniony kraj między Anduiną a Iseną na wieczne czasy Eorlowi i jego plemieniu. Jeźdźcy sprowadzili z Północy żony i dzieci, zwieźli dobytek i osiedli w Calenardhonie. Nazwali ten kraj Marchią Jeźdźców, siebie zaś – Eorlingami, lecz w Gondorze nazywano ich państwo Rohanem, a jego mieszkańców Rohirrimami, co znaczy: mistrzowie koni. Tak Eorl został pierwszym królem Marchii i obrał na swą stolicę miejsce na zielonym wzgórzu u stóp Białych Gór, które stanowiły południowy mur obronny jego królestwa. Odtąd Rohirrimowie żyli tam jako lud wolny, rządzony przez własnego króla i własne prawa, lecz w wieczystym przymierzu z Gondorem.

„Pieśni Rohanu utrwaliły imiona wielu mężnych władców i wojowników, pięknych i dzielnych kobiet, których po dziś dzień nie zapomniano na Północy. Wedle tych pieśni Frumgar wyprowadził swój lud do Éothéodu. Syn jego, Fram, zabił ogromnego smoka Skata z Ered Mithrin i na zawsze uwolnił kraj od krwiożerczych potworów. Ów Fram zdobył niezmierne bogactwa, lecz naraził się na waśń z krasnoludami, którzy rościli sobie prawa do skarbu Skata. Fram nie chciał im ani grosza ustąpić, posłał zamiast tego naszyjnik z zębów smoka, oznajmiając: «Takich klejnotów na pewno nie macie w swoim skarbcu, bo niełatwo je nabyć!».

Podobno krasnoludowie, mszcząc się za tę zniewagę, zabili Frama. W każdym razie nigdy między nimi a Éothéodami nie było wielkiej przyjaźni.

Ojciec Eorla miał na imię Léod. Był mistrzem w ujeżdżaniu dzikich koni, bo podówczas mnóstwo ich żyło na stepach. Złowił kiedyś siwego źrebca, który wkrótce wyrósł na silnego, dumnego i pięknego konia. Nikt jednak nie mógł go okiełznać. Gdy Léod ośmielił się go dosiąść, rumak poniósł jeźdźca i zrzucił daleko w polu. Léod uderzył głową o kamień i poniósł śmierć. Miał zaledwie czterdzieści dwa lata, a syn jego był szesnastoletnim chłopcem.

Eorl przysiągł, że pomści ojca. Długo szukał w stepie, aż wreszcie wypatrzył siwego konia. Towarzysze spodziewali się, że zechce go podejść na odległość strzały i zabić. Lecz gdy się zbliżył, Eorl wyprostował się i zawołał gromkim głosem: «Chodź no tu, Ludobójco, abym ci nadał nowe imię!». Ku powszechnemu zdumieniu koń spojrzał na Eorla, podbiegł i stanął przed nim. Eorl rzekł: «Odtąd będziesz się zwał Felaróf, miłośnik wolności; nie mogę cię potępiać za to, że ją kochasz, ale winien mi jesteś wielki okup i musisz zrzec się wolności, a poddać mojej woli do końca twego życia».

Eorl dosiadł konia. Felaróf nie sprzeciwił mu się i zaniósł go do domu, bez wędzidła ani uzdy. Zawsze potem tak na nim Eorl jeździł. Siwy rumak rozumiał mowę ludzką, nigdy jednak nie pozwolił dosiąść się nikomu z wyjątkiem Eorla. Właśnie Felaróf zaniósł Eorla do bitwy na polach Celebrantu, okazał się bowiem długowieczny jak ludzie i ten sam przywilej odziedziczyło jego potomstwo. Konie po Felarófie nazywano mearasami. Nie służyły nikomu prócz królów Marchii oraz ich synów, aż do czasu, gdy Cienistogrzywy oddał się w służbę Gandalfowi. Wśród ludzi zachowała się wieść, że Béma (którego Eldarowie nazywali Oromë) przyprowadził ich praojca zza zachodniego Morza.

Spośród królów Marchii panujących między Eorlem a Théodenem najwięcej mówią stare pieśni o Helmie Żelaznorękim. Był to człowiek posępny, wielkiej siły. Żył podówczas w Marchii niejaki Freka, który podawał się za potomka króla Fréawina, jakkolwiek w rzeczywistości miał w żyłach krew Dunlandu, co poznać było można po ciemnych włosach. Freka wzbogacił się i zwielmożniał, posiadał bowiem rozległe włości na obu brzegach Adornu – dopływu Iseny spływającego z zachodnich zboczy

Ered Nimrais. W pobliżu źródeł tej rzeki zbudował sobie twierdzę i lekceważył króla. Helm mu nie ufał, lecz wzywał go na narady, a Freka albo stawiał się na wezwanie, albo nie, wedle własnej woli.

Pewnego razu przyjechał na naradę z liczną świtą i poprosił króla o rękę jego córki dla swego syna, Wulfa. Helm odparł: «Urosłeś, Freko, od naszego ostatniego spotkania, ale głównie, jak widzę, przybyło ci sadła». Wszyscy się roześmiali, bo Freka rzeczywiście miał brzuch potężny.

Freka, rozwścieczony, zasypał króla obelgami, a zakończył je tak: «Starzy królowie, którzy odtrącają ofiarowaną podporę, zwykle potem proszą o nią na kolanach!». Helm odpowiedział: «Milcz! Małżeństwo twojego syna to błahostka. O niej Helm z Freką pogada później w cztery oczy. Teraz król i jego doradcy mają ważniejsze sprawy do rozważania».

Po skończonej naradzie Helm wstał i kładąc ciężką rękę na ramieniu Freki, rzekł: «Król nie pozwala na burdy w swoim domu; więcej wolno awanturnikom na polu!». Wypchnął Frekę za drzwi i za bramę Edoras. Jego ludziom, którzy nadbiegli, powiedział: «Precz stąd! Nie potrzeba nam świadków. Będziemy rozmawiali o poufnych sprawach sam na sam. Wy możecie tymczasem pogadać z moimi żołnierzami!». Widząc, że król ma przewagę liczebną, ustąpili.

«Teraz, Dunlendingu – rzekł król – masz tylko z Helmem do czynienia, i to z Helmem bezbronnym. Ale mówiłeś dość, na mnie kolej. Freko, razem z brzuchem urosła twoja głupota. Wspomniałeś o podporze. Helm, jeśli mu się nie podoba koślawy kij, który mu ofiarowują, łamie go, ot tak!». I to rzekłszy, uderzył pięścią Frekę, on zaś ogłuszony padł na wznak; wkrótce potem umarł.

Helm ogłosił syna Freki i jego najbliższych krewnych wrogami królewskimi. Musieli uciekać z kraju, bo wysłał natychmiast jeźdźców, aby ich pojmali w zachodnich prowincjach Rohanu”.

W cztery lata później, w 2758 roku, Rohan przeżywał ciężkie chwile, a od sojuszników nie mógł oczekiwać posiłków, bo trzy floty korsarskie napadły Gondor i wojna wrzała na wszystkich jego wybrzeżach. Jednocześnie Easterlingowie znów wtargnęli do Rohanu, a Dunlendingowie skorzystali z tego, by przeprawić się za Isenę i natrzeć od strony Isengardu. Okazało się, że prowadził ich Wulf. Natarli znacznymi siłami, ponieważ przyłączyli się do nich wrogowie Gondoru, którzy wylądowali przy ujściu rzeki Lefnui i Iseny.

Rohirrimowie ponieśli klęskę, Nieprzyjaciel zajął cały kraj; kto z mieszkańców nie zginął lub nie dostał się do niewoli, chronił się w dolinach wśród gór. Helm z ciężkimi stratami wycofał się od brodów na Isenie do Rogatego Grodu i ukrytego za nim wąwozu (który odtąd nazywano zawsze Helmowym Jarem). Tu wytrzymał długie oblężenie. Wulf zdobył Edoras, zasiadł na tronie w Meduseld i ogłosił się królem. U bram stolicy jako ostatni z obrońców poległ Haleth, syn Helma.

Wkrótce potem nastała Długa Zima, śnieg zasypał Rohan na pięć miesięcy (od listopada do marca 2758–59). Zarówno Rohirrimowie, jak i ich przeciwnicy cierpieli srodze od mrozów, a dłużej jeszcze od niedostatku. W Helmowym Jarze zapanował od zimowego przesilenia straszliwy głód. Młodszy syn Helma, Háma, w porywie desperacji wbrew zakazowi ojca wyprowadził spory oddział na zbrojną wycieczkę i poszukiwanie prowiantu, lecz zginął wraz z wszystkimi ludźmi pośród śniegów. Wygłodniały i zrozpaczony Helm stał się straszny. Bano się go tak, że sam dźwięk jego imienia starczał za dziesięciu obrońców twierdzy. W pojedynkę, okryty białym płaszczem, zakradał się niby śnieżny troll do nieprzyjacielskich namiotów i gołymi rękami dusił zaskoczonych wrogów. Mówiono o nim, że dopóki chodzi bez broni, oręż go się nie ima. Dunlendingowie opowiadali, że jeśli innego jadła nie znajdował, pożerał ludzkie mięso. Długo ta legenda krążyła po Dunlandzie. Helm miał wielki róg i zauważono, że przed wyruszeniem na każdą wyprawę dmie weń, aby echo zwielokrotnione powtórzyło w Jarze głos, który porażał strachem przeciwników tak, że zamiast się zebrać razem, ująć Helma lub zabić, rozbiegali się w panice po Zielonej Roztoce.

Pewnej nocy ludzie słyszeli głos rogu, ale Helm nie wrócił z wycieczki. Rankiem po raz pierwszy od wielu dni zaświeciło słońce i wtedy ujrzeli białą postać nieruchomo stojącą na szańcu i samotną, bo żaden z Dunlendingów nie ośmielił się do niej zbliżyć. To był Helm; martwy, skamieniały, nie ugiął jednak kolan. Ludzie wszakże opowiadali, że nieraz jeszcze słyszeli w Jarze głos jego rogu i że upiór Helma błądzi między wrogami Rohanu, którzy padają martwi, przerażeni jego widokiem.

Wkrótce potem zima ustąpiła. Wtedy z Dunharrow, gdzie schroniło się wielu Rohirrimów, wyszedł Fréaláf, syn Hildy, siostry Helma; z małym oddziałem desperatów natarł znienacka w Meduseld na Wulfa, zabił go i odbił Edoras. Po śnieżnej zimie nastąpiły roztopy, wody wezbrały, dolina

Rzeki Entów zamieniła się w olbrzymie moczary. Najeźdźcy wyginęli lub zbiegli. Wreszcie też zjawiły się posiłki z Gondoru, dążąc drogami po zachodniej i wschodniej stronie gór. Nim skończył się rok 2795, wypędzono Dunlendingów z całego kraju, wyparto ich nawet z Isengardu, a Fréaláf został królem. Zwłoki Helma przewieziono z Rogatego Grodu do Edoras i pochowano pod Dziewiątym Kurhanem. Białe *simbelmynë* kwitły na nim tak obficie, że zdawał się zawsze jakby obsypany śniegiem. Gdy umarł Fréaláf, zapoczątkowano nowy szereg mogił.

Wojna, głód, strata koni i bydła – wszystko to bardzo osłabiło Rohirrimów; szczęściem przez wiele następnych lat żadne groźniejsze niebezpieczeństwo nie nawiedziło ich kraju, bo dopiero za panowania króla Folkwina odzyskali dawne siły.

Na uroczystość koronacji Fréaláfa przybył Saruman; przyniósł dary i wychwalał męstwo Rohirrimów. Uznano go powszechnie za miłego gościa. Wkrótce potem osiedlił się na dobre w Isengardzie. Zezwolił mu na to Beren, Namiestnik Gondoru, bo Isengard był twierdzą tego królestwa, nie zaś Rohanu. Beren też powierzył Sarumanowi klucze Orthanku. Wieży nie zdołał zniszczyć ani zdobyć żaden nieprzyjaciel.

W ten sposób Saruman zaczął się rządzić jak władca, zrazu bowiem otrzymał Isengard z rąk Namiestnika w powiernictwo i miał w jego imieniu strzec wieży. Lecz Fréaláf rad był z tego postanowienia Berena, myśląc, że ma teraz w Isengardzie potężnego przyjaciela.

Dość długo Saruman uchodził za przyjaciela Rohanu i może nawet z początku był nim naprawdę. Później dopiero zaczęto podejrzewać, że obejmując Isengard, taił nadzieję, iż znajdzie tam kryształ Jasnowidzenia, i zamierzał twierdzę przeobrazić w fundament własnej potęgi. Z pewnością po ostatnim zebraniu Białej Rady (2953) żywił już w stosunku do Rohanu złe zamiary, jakkolwiek jeszcze się z nimi krył. Zawładnął Isengardem, zbudował twierdzę niezdobytą i siejącą postrach wkoło, rywalkę niejako wieży Barad-dûr. Otoczył się poplecznikami i sługami, skupiając przy sobie wszelkie istoty nienawidzące Gondoru i Rohanu, zarówno ludzi, jak i inne, gorsze stwory.

Królowie Marchii

Pierwsza dynastia

Rok[107]

1. Eorl Młody (2485–2545). Taki otrzymał przydomek, ponieważ bardzo młodo odziedziczył władzę po ojcu i zachował jasne włosy oraz siły młodzieńcze do końca swych dni. Czas życia skrócił mu ponowny napad Easterlingów, Eorl bowiem poległ w bitwie na Płaskowyżu. Na jego cześć usypano Pierwszy Kurhan. Z nim razem pogrzebano jego konia Felarófa.

2. Brego (2512–2570). Wypędził nieprzyjaciół z Płaskowyżu, po czym Rohan przez wiele lat nie doznał napaści. W 2569 ukończył budowę pałacu Meduseld. Podczas uczty syn Brega, Baldor, przysiągł, że odważy się przejść Ścieżkę Umarłych, lecz z niej nie powrócił. Brego w rok później umarł z żalu.

3. Aldor Stary – młodszy syn Brega (2544–2645). Przezwano go Starym, bo dożył sędziwego wieku i panował przez 75 lat. Za jego czasów Rohirrimowie rozmnożyli się i wyparli lub ujarzmili resztki Dunlandczyków mieszkających jeszcze na wschodnim brzegu Iseny. W Harrowdale i innych dolinach górskich założono osiedla. O następnych trzech królach nie ma wiele do powiedzenia, Rohan bowiem kwitł wówczas w pokoju i dobrobycie.

4. Fréa (2570–2659). Najstarszy syn, ale czwarte dziecko Aldora. Objął panowanie w podeszłym już wieku.

5. Fréawin (2594–2680).

6. Goldwin (2619–2699).

7. Déor (2644–2718). W jego czasach Dunlendingowie często dokonywali wypadów za Isenę. W 2710 zajęli opuszczony krąg Isengardu i nie dało się ich stamtąd przepędzić.

8. Gram (2668–2741).

9. Helm Żelaznoręki (2691–2759). Pod koniec jego panowania Rohan poniósł ciężkie straty wskutek najazdów oraz srogiej zimy. Helm i dwaj jego synowie polegli na wojnie. Królem został syn jego siostry, Fréaláf.

Druga dynastia

10. Fréaláf, syn Hildy (2726–2798). Za jego czasów Saruman osiadł w Isengardzie, z którego wypędzono Dunlendingów. Rohirrimowie zrazu

skorzystali na przyjaźni z Sarumanem podczas głodu i późniejszego osłabienia ich kraju.

11. Brytta (2752–2842). Przez współplemieńców zwany Léofa, to znaczy „umiłowany”, bo go wszyscy kochali. Był hojny i chętnie każdego wspomagał w potrzebie. Za jego czasów toczyła się wojna z orkami, którzy, wypędzeni z Północy, szukali schronienia w Białych Górach. Po śmierci Brytty mniemano, że orkowie są raz na zawsze pokonani. Okazało się, że była to pomyłka.

12. Walda (2780–2851). Panował tylko przez dziewięć lat. Zginął wraz ze swą świtą, wpadłszy w zasadzkę orków, gdy jechał górskimi ścieżkami z Dunharrow.

13. Folka (2804–2864). Rozmiłowany w łowach, ślubował jednak, że nie będzie polował na zwierzynę, dopóki nie przepędzi z Rohanu ostatniego orka. Gdy wykryto i zniszczono ostatnią kryjówkę orków, Folka wybrał się na polowanie i ubił w lesie Firien olbrzymiego dzika z Everholt, lecz zmarł od ran, jakie dzik mu zadał kłami.

14. Folkwin (2830–2903). Gdy został królem, Rohirrimowie powrócili do sił. Odbił pogranicze zachodnie (między Adorną a Iseną) zagrabione przez Dunlendingów. Rohan w złych dniach otrzymał wiele pomocy z Gondoru, toteż na wieść, że Haradrimowie napadli znacznymi siłami na Gondor, Folkwin posłał Namiestnikowi na odsiecz jeźdźców; chciał sam ruszyć z nimi, lecz odradzono mu to, i zastąpili go dwaj synowie: Folkred i Fastred (urodzony w r. 2858). Obaj polegli w bitwie o Ithilien (2885). Túrin II, Namiestnik Gondoru, wypłacił Folkwinowi w złocie hojny okup przelanej krwi.

15. Fengel (2870–2953). Czwarte dziecko, a trzeci syn Folkwina. Nie zostawił chlubnej pamięci. Był łakomy u stołu i chciwy złota, wadził się ze swymi doradcami i z własnymi dziećmi. Thengel, jego trzecie dziecko i zarazem jedyny syn, dorósłszy, opuścił Rohan i długo przebywał w Gondorze, gdzie w służbie Turgona zyskał sławę.

16. Thengel (2905–2980). Ożenił się bardzo późno, dopiero w r. 2943, z Morweną z Lossarnach, prowincji Gondoru, o osiemnaście lat młodszą od niego. Urodziła mu w Gondorze troje dzieci, a między nimi jednego tylko syna – Théodena. Po śmierci Fengla Rohirrimowie wezwali Thengla, który, choć niechętnie, powrócił do kraju. Okazał się dobrym i mądrym królem, jakkolwiek na jego dworze panował język Gondoru, co nie wszystkim się

podobało. Już w czasie pobytu w Rohanie urodziły mu się dwie córki; najmłodsza, Théodwina, chociaż późno się zjawiła (2963), była najpiękniejsza. Brat kochał ją serdecznie.

Wkrótce po powrocie Thengla do kraju Saruman ogłosił się władcą Isengardu i zaczął niepokoić Rohan, szarpiąc granice i popierając jego wrogów.

17. Théoden (2948–3019). W kronikach Rohanu nazwano go Théodenem Odrodzonym, ponieważ za sprawą czarów Sarumana zniedołężniał, lecz został przez Gandalfa uzdrowiony i w ostatnim roku swego życia, dźwignąwszy się z niemocy, poprowadził jeźdźców do zwycięstwa pod Rogatym Grodem, a wkrótce potem na pola Pelennoru, gdzie rozegrała się największa bitwa Trzeciej Ery. Poległ u bram Mundburga. Czas jakiś zwłoki jego spoczywały w kraju, gdzie się urodził, wśród zmarłych królów Gondoru, po czym przewieziono je i pochowano pod Ósmym Kurhanem jego dynastii w Edoras. Po nim zaczęła się dynastia nowa.

Trzecia dynastia

W roku 2989 Théodwina zaślubiła Éomunda ze Wschodniej Bruzdy, naczelnego wodza Marchii. Syn jej, Éomer, urodził się w 2991 roku, córka zaś, Éowina, w 2995. Sauron podówczas już ponownie wzrósł w potęgę, a cień Mordoru dosięgał Rohanu. Orkowie zaczęli napaści na wschodnie części kraju, mordując lub porywając konie. Inne bandy napadały od Gór Mglistych, przeważnie olbrzymi orkowie Uruk-hai, na służbie Sarumana – jakkolwiek to odkryto dopiero znacznie później. Główne zadania obronne miał Éomund na pograniczach wschodnich; kochał bardzo konie, a nienawidził orków. Nieraz, na wieść o pojawieniu się napastników, ruszał przeciw nim natychmiast w porywie gniewu na czele garstki ludzi. Jedna z takich wypraw w roku 3002 skończyła się jego śmiercią, ścigając bowiem małą bandę orków aż po stoki Emyn Muil, wpadł tam wśród skał w zasadzkę i zginął w walce z przeważającymi siłami.

Wkrótce potem, ku wielkiej żałości króla, Théodwina zachorowała i umarła. Król wziął dzieci jej na swój dwór i nazywał je swym synem i swoją córką. Miał rodzonego syna, jedynaka, podówczas dwudziestoczteroletniego Théodreda; królowa Elfhilda umarła przy jego urodzeniu, a Théoden nie ożenił się powtórnie. Éomer i Éowina wychowywali się więc w Edoras i widzieli, jak cień ogarnia stopniowo

dwór Théodena. Éomer podobny był do ojca, lecz Éowina miała smukłą postać, wdzięk i dumę południowego plemienia po swej babce, Morwenie z Lossarnach, której Rohirrimowie dali przezwisko „Kwiat ze Stali”.

Éomer Éadig [2991–63 Czwartej Ery (3084)]. Młodo mianowany wodzem Marchii (3017), odziedziczył po ojcu obowiązki obrony wschodnich pograniczy. W Wojnie o Pierścień Théodred poległ w boju z Sarumanem u Brodu na Isenie. Dlatego Théoden, przed swą śmiercią na polach Pelennoru, wyznaczył Éomera na swego następcę i przyszłego króla Rohanu. Wtedy też Éowina okryła się chwałą, walcząc w przebraniu męskim, i zasłynęła później w Marchii jako „Księżniczka ze Strzaskanym Ramieniem”[108].

Éomer był znakomitym władcą, a że objął tron za młodu, panował przez sześćdziesiąt pięć lat, czyli dłużej niż inni królowie Rohanu z wyjątkiem Aldora Starego. Podczas Wojny o Pierścień związał się przyjaźnią z królem Elessarem i z księciem Dol Amrothu, Imrahilem, często też bywał gościem w Gondorze. W ostatnim roku Trzeciej Ery pojął za żonę Lothiriel, córkę Imrahila. Syn ich, Elfwin Piękny, panował po ojcu.

Za panowania Éomera każdy w Marchii, kto chciał, mógł cieszyć się pokojem; ludność w dolinach i na równinie wzrosła w dwójnasób, stadniny rozmnożyły się wielokrotnie. Nad Gondorem i Arnorem panował wówczas król Elessar; był władcą wszystkich krajów dawnego królestwa prócz Rohanu, odnowił bowiem dar Ciriona, Éomer zaś powtórzył wobec króla przysięgę Eorla. Nieraz miał sposobność dotrzymywać jej, bo chociaż Sauron zniknął, nienawiści przez niego wzniecone i zło przez niego posiane żyły nadal; królowie Gondoru i Rohanu mieli licznych wrogów, których musieli pokonać, aby Białe Drzewo mogło rozkwitać w pokoju. Ilekroć król Elessar ruszał na wojnę, król Éomer mu towarzyszył; tętent koni Rohirrimów rozlegał się nieraz grzmotem w odległych ziemiach, za Morzem Rhûn i na polach dalekiego południa, a zielona chorągiew z białym koniem łopotała na różnych wichrach, dopóki Éomer się nie postarzał.

III. PLEMIĘ DURINA

Co do początków krasnoludzkiego plemienia dziwne legendy krążyły zarówno wśród Eldarów, jak i wśród samych krasnoludów, ponieważ jednak są to sprawy bardzo zamierzchłej przeszłości, niewiele o nich mówi nasza księga. Imieniem Durin nazywali krasnoludowie najstarszego z Siedmiu Ojców plemienia, przodka wszystkich królów plemienia Długobrodych[109]. Spał on samotnie, dopóki pewnego dnia, w pomroce dziejów, nie zbudził się jego lud; wtedy on przybył do Azanulbizar i w pieczarach nad Kheled-zâram, na wschodnich zboczach Gór Mglistych, założył swoją siedzibę; później powstały na tym miejscu kopalnie Morii, rozsławione w pieśniach. Żył tak długo, że świat szeroki poznał go pod mianem Durina Nieśmiertelnego. W końcu jednak umarł, i to zanim przeminęły Dawne Dni, a grobowiec zbudowano mu w Khazad-dûm; ród wszakże przetrwał i pięciokrotnie wśród jego potomstwa rodził się syn tak podobny do praojca, iż dawano mu na imię Durin. Krasnoludowie nawet byli przekonani, że pięć razy powrócił do nich Nieśmiertelny, mieli bowiem najdziwniejsze legendy i wierzenia dotyczące swojej rasy i jej roli pośród świata.

Gdy skończyła się Pierwsza Era, gdy padł Thangorodrim, a starożytne miasta Nogrod i Belegost w Górach Błękitnych zostały zburzone, Khazad-dûm rozkwitł i wzbogacił się, przybyło nie tylko ludu, lecz rozwinęła się też wiedza i rozmaite rzemiosła. Moria, nieosłabiona, przetrwała Czarne Lata i pierwszy okres władzy Saurona, chociaż bowiem Eregion był spustoszony, a bramy Morii zamknięte, Sauron nie mógł z zewnątrz zdobyć głębokich podziemi Khazad-dûm, w których żyło plemię liczne i dzielne. Długo przechowały się tam nienaruszone bogactwa, nawet wtedy gdy ludu już ubywało. W połowie Trzeciej Ery panował nad krasnoludami znów Durin, szósty król tego imienia. Sauron, sługa Morgotha, wzrastał w potęgę, jakkolwiek nie domyślano się jeszcze wtedy, co oznacza Cień zalegający lasy ciągnące się na wschód od Morii. Wszystkie złe stwory zaczęły się budzić do życia. Krasnoludowie podówczas kopali głęboko pod górą Barazinbar, szukając mithrilu, bezcennego metalu, który z każdym rokiem trudniej było zdobywać. Przy tych pracach zbudziły ze snu[110] okropnego potwora, który, uciekłszy z Thangorodrimu, od dnia przybycia tam armii Beleriandu ukrywał się w fundamentach ziemi. Był to Balrog, jeden ze służalców Morgotha; z jego to ręki zginął Durin, a w rok później syn Durina, Náin I. Tak przeminęła świetność Morii, a jej lud zdziesiątkowany rozproszył się po świecie.

Większość uciekinierów powędrowała na północ; Thráin I, syn Náina, dotarł do Ereboru i pod Samotną Górą, opodal wschodniego skraju Mrocznej Puszczy, założył nowe kopalnie. Thráin został królem spod Góry. W Ereborze znalazł drogocenny kamień, klejnot nad klejnotami, Serce Góry[111]. Lecz syn Thráina, Thorin I, przeniósł się dalej na północ, w Góry Szare, gdzie wówczas zgromadziło się najwięcej krasnoludów, były to bowiem góry bardzo bogate, a mało jeszcze znane. Niestety, na pustkowiach za nimi żyły smoki, które w wiele lat później, gdy rozmnożyły się i odzyskały siły, zaczęły gnębić plemię Durina i napastować podziemne państwo. Wreszcie Dáin I wraz ze swym młodszym synem Frórem zabity został przez olbrzymiego zimnego smoka w progu własnej komnaty.

Wkrótce potem plemię Durina opuściło Góry Szare. Trzeci syn Dáina, Grór, osiadł ze sporym zastępem swych zwolenników wśród Żelaznych Wzgórz, ale Thror, spadkobierca Dáina, razem ze swym stryjem Borinem i resztą plemienia wrócił do Ereboru. Klejnot nad klejnotami znów znalazł się w wielkiej sali Thráina, a plemię krasnoludów żyło wśród pomyślności i bogactw, przyjaźniąc się z ludźmi mieszkającymi w tej okolicy. Krasnoludowie wyrabiali bowiem nie tylko przedmioty podziwiane dla ich piękna, lecz także oręż i zbroje, które ceniono wysoko; utrzymywali w związku z tym ożywione stosunki ze swymi pobratymcami z Żelaznych Wzgórz, wymieniając z nimi kruszce. Nortowie, mieszkający między Celduiną (Bystrą Rzeką) a Carnenem (Rudą Wodą), zaopatrzeni dobrze w broń, wzrośli w potęgę i odparli wszystkich wrogów napastujących ich wschodnie granice, plemię Durina zaś żyło dostatnio, ucztując i śpiewając w podziemnych pałacach Ereboru[112]. Wieść o skarbach Ereboru rozeszła się szeroko i dosięgła uszu smoków, a w każdym razie największego z nich, Smauga Złotego; Smaug znienacka napadł na królestwo Thróra i w płomieniach opadł na Górę. W krótkim czasie zniszczył cały kraj, pobliskie miasto Dal opustoszało i zamieniło się w ruinę, Smaug zaś wtargnął do Wielkiej Hali i tam legł na kopcu złota.

Niewielu krasnoludów ocalało z tego pogromu; ostatni z niedobitków wydostał się z podziemi przez tajemne drzwi – sam Thrór wraz z synem, Thráinem II. Ruszyli z rodzinami[113] i garstką współplemieńców, krewnych i najwierniejszych przyjaciół na południe i długo potem pędzili życie tułacze.

W wiele lat później Thrór, już stary, biedny i zrozpaczony, oddał synowi Thráinowi jedyny klejnot, jaki jeszcze posiadał: ostatni z Siedmiu Pierścieni; po czym w towarzystwie starego przyjaciela Nára opuścił gromadę. Na pożegnanie powiedział Thráinowi:

– Może ten Pierścień stanie się dla ciebie zaczątkiem nowego bogactwa, chociaż wydaje się to mało prawdopodobne. Żeby złoto rozmnożyć, trzeba je mieć.

– Nie zamierzasz chyba, ojcze, wracać do Ereboru? – spytał Thráin.

– To już w moim wieku na nic by się nie zdało – odparł Thrór. – Pomstę na Smaugu zostawiam tobie i twoim synom. Ale zmęczyło mnie ubóstwo i wzgarda ludzka. Spróbuję poszukać lepszej doli.

Nie powiedział, dokąd się wybiera. Od starości, biedy i rozmyślań o dawnych bogactwach Morii za dni jego pradziadów zapewne rozum mu się trochę zmącił albo też Pierścień zaczął wywierać zły czar teraz, gdy jego władca zbudził się znów do życia, i skusił sędziwego króla krasnoludów do szaleńczej, zgubnej próby. Thrór powędrował z Dunlandu, gdzie ostatnio mieszkał, na północ, przeprawił się przez przełęcz Czerwonego Rogu i zszedł w Dolinę Azanulbizar. Bramę Morii zastał otwartą. Nár błagał króla, by nie narażał się na niebezpieczeństwo, lecz Thrór nie chciał go słuchać. Wkroczył do Morii dumnie, jak powracający prawowity spadkobierca. Nikt go już więcej żywego nie ujrzał. Nár przez wiele dni czekał, kryjąc się w pobliżu bramy. Pewnego dnia usłyszał głośny okrzyk, głos rogu i łoskot ciała staczającego się ze schodów. Obawiając się, że to Thróra spotkała tak zła przygoda, podczołgał się bliżej i wtedy zza bramy dobiegł go głos:

– Chodź no tu, brodaczu! Widzę cię dobrze. Nie bój się, tym razem jesteś mi potrzebny, żeby zanieść ode mnie wiadomość swoim kamratom.

Nár podszedł do bramy i zobaczył ciało Thróra, lecz bez głowy, która odrąbana leżała obok, twarzą do ziemi. Kiedy przykląkł nad nią, z ciemności rozległ się szyderczy śmiech i ten sam głos orka podjął znowu:

– Tak oto przyjmuję żebraka, jeśli zamiast czekać pokornie pod drzwiami wślizguje się do wnętrza i próbuje kraść. Każdy z was, który by ośmielił się kiedykolwiek wetknąć tutaj swoją wstrętną brodę, dostanie taką samą nauczkę. Idź i powiedz to swoim! A jeżeli jego krewniacy są ciekawi, kto teraz panuje w Morii, mogą imię króla odczytać na twarzy tego żebraka. Wypisałem je! Zabiłem go! Ja tutaj jestem panem.

Nar odwrócił martwą głowę i ujrzał wypalone na czole Thróra runami krasnoludzkimi, które umiał czytać, imię Azog. Odtąd to imię wypalone było na zawsze w sercu Nára i wszystkich krasnoludów. Nár pochylił się, chcąc zabrać głowę króla, lecz Azog[114] wstrzymał go krzykiem:

– Rzuć to! Idź precz! Masz tu na piwo, brodaty żebraku.

Mała sakiewka uderzyła go w twarz. Było w niej ledwie kilka marnych groszy.

Z płaczem Nár uciekł brzegiem Srebrnej Żyły, raz jednak obejrzał się za siebie i zobaczył orków, którzy wyległszy przed bramę, rąbali ciało króla na sztuki, rzucając je na żer czarnym krukom.

Taką opowieść przyniósł Nár Thráinowi; Thráin płakał i szarpał z rozpaczy brodę, a potem zamilkł. Przez siedem dni nie odezwał się ani słowem. Wreszcie wstał i rzekł: – Tego dłużej znosić nie można!

Tak się zaczęła wojna krasnoludów z orkami, długa i krwawa, toczona przeważnie głęboko pod ziemią.

Thráin natychmiast rozesłał na cztery strony świata gońców z wieścią o losie starego króla, lecz upłynęły trzy lata, zanim krasnoludowie przygotowali się do walki. Plemię Durina wystawiło zbrojny zastęp, przyłączyły się do niego liczne pułki spośród dzieci innych Ojców plemienia, bo zniewaga, wyrządzona spadkobiercy najstarszego Ojca krasnoludzkiej rasy, wszystkich rozjątrzyła do żywego. Gdy wszystko było gotowe, ruszyli i zdobywali kolejno warowne grody orków rozrzucone między górą Gundabad a rzeką Gladden. Obie strony walczyły bez litości, ciemne noce i jasne dni wypełniły się śmiercią i okrucieństwem. Krasnoludowie zwyciężyli dzięki męstwu i dzięki doskonałej broni, a także dlatego że straszny gniew nie wygasł w ich sercach, gdy tropili Azoga we wszystkich lochach pod górami.

W końcu orkowie zbiegli z całej krainy do Morii, a krasnoludzka armia dotarła w pościgu do Azanulbizaru. Była to wielka dolina między ramionami gór otaczającymi jezioro Kheled-zâram; stanowiła ongi część królestwa Khazad-dûm. Kiedy krasnoludowie ujrzeli otwartą w stoku górskim bramę swej dawnej wspaniałej siedziby, gromki okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi. Ale nad nimi na zboczach już się rozstawiły potężne zastępy przeciwników, z bramy zaś wysypała się banda orków, zachowana tam przez Azoga na ostatnią, rozstrzygającą bitwę.

Zrazu los nie sprzyjał krasnoludom; dzień był ciemny, zimny i bezsłoneczny, toteż orkowie nacierali śmiało, a mieli przytłaczającą liczebną przewagę i wygodniejsze do walki stanowisko. Tak zaczęła się bitwa w Azanulbizarze (czyli, w języku elfów, w Nanduhirionie), na której wspomnienie orkowie dotychczas drżą, a krasnoludowie płaczą. Przednią straż, którą do ataku poprowadził sam Thráin, orkowie odparli, zadając jej ciężkie straty; Thráin musiał cofnąć się w las, rosnący po dziś dzień opodal jeziora Kheled-zâram. Tam poległ syn jego, Frerin, krewniak Fundin i wielu innych, a Thráin i Thorin odnieśli rany[115]. Wszędzie wkoło szale bitwy wahały się to na jedną, to na drugą stronę, z wielkim krwi przelewem, dopóki nie zjawiła się armia z Żelaznych Wzgórz. Wojownicy, których wiódł Náin, syn Gróra, ubrani w kolczugi, przybyli ostatni, za to niezmęczeni marszem, i pędzili przed sobą orków aż pod próg Morii, z okrzykiem „Azog! Azog!”, waląc oskardami każdego, kto im próbował drogę zagrodzić. Náin stanął pod bramą Morii i wielkim głosem zawołał:

– Azogu! Jeśli tam jesteś, wyjdź! A może cię strach obleciał?

Azog wyszedł. Olbrzymi ork, z ciężkim żelaznym hełmem na głowie, był mimo to zwinny i niezwykle silny. Za nim sypnęli się z bramy inni, podobnej postawy, wojownicy z jego przybocznej straży. Ci starli się z towarzyszami Náina, a tymczasem Azog rzekł do Náina szyderczo:

– Co widzę? Drugi żebrak pod moimi drzwiami? Czy ciebie też będę musiał napiętnować?

I z tymi słowy rzucił się na niego. Náin był niemal ślepy z gniewu, a przy tym znużony po bitwie; Azog – wypoczęty, dziki i przebiegły. Náin, zbierając resztki sił, z rozmachem rąbnął oskardem, lecz Azog uchylił się i odskoczył, kopiąc przeciwnika w nogę. Oskard pękł, uderzając o kamień, Náin potknął się i pochylił naprzód. Azog błyskawicznie chlasnął szablą po jego szyi. Ostrze nie przecięło kolczugi, ale cios był tak potężny, że zmiażdżył kark i Náin padł martwy.

Azog wybuchnął śmiechem i zadarłszy głowę, chciał okrzyknąć swój tryumf, lecz nagle głos zamarł mu w gardle. Zobaczył bowiem, że w całej dolinie wojska jego cofają się w popłochu, a krasnoludowie prą naprzód, ścieląc drogę trupami przeciwników; który z orków zdołał ujść z życiem, wrzeszcząc, umykał na południe. Tuż obok Azog ujrzał trupy własnych gwardzistów, wybitych co do nogi. Zawrócił i pędem puścił się z powrotem ku bramie.

Skoczył za nim na schody krasnolud ze skrwawionym toporem w ręku. Był to Dáin Żelazna Stopa, syn Náina. Dopadł Azoga niemal w progu i straszliwym zamachem rąbnął w głowę. Wielką sławę przyniósł ten czyn Dáinowi, tym bardziej że wśród krasnoludów uchodził za młodzika. Czekało go długie życie i wiele bitew, aż wreszcie stary, lecz do końca nieugięty, polec miał w Wojnie o Pierścień. Ale w owym dniu, mimo hartu i gniewnego uniesienia, wrócił spod drzwi Morii z twarzą poszarzałą, jak gdyby przeżył tam chwilę okropnej grozy.

Wreszcie bitwa skończyła się zwycięstwem. Krasnoludowie, którzy z niej wyszli żywi, zgromadzili się w Dolinie Azanulbizar. Głowę Azoga nadziali na pal, wtłoczywszy do jej ust sakiewkę z kilku nędznymi groszakami. Nie było jednak uczty ani śpiewów tej nocy, bo poległych współplemieńców nawet zliczyć nikt nie umiał. Podobno ledwie połowa z tych, co walczyli w tej bitwie, trzymała się jeszcze na nogach lub mogła żywić nadzieję, że powstanie z ran. Mimo to nazajutrz Thráin przemówił do swych wojowników. Stracił bezpowrotnie wzrok w jednym oku i kulał ciężko, ale powiedział:

– Dobrze, bracia. Zwyciężyliśmy, Khazad-dûm jest nasz.

Na to wszakże odrzekli mu:

– Jesteś spadkobiercą Durina, ale nawet jednym okiem powinieneś widzieć lepiej. Ruszyliśmy na tę wojnę, żeby wziąć pomstę, i pomstę mamy. Ale nie jest słodka. Jeśli to ma być zwycięstwo, za małe są nasze ręce, żeby je utrzymać.

Inni, którzy nie należeli do plemienia Durina, mówili:

– Khazad-dûm nie naszych Ojców był domem. Czymże jest dla nas, jeśli nie nadzieją bogatej zdobyczy? Jeśli musimy wracać bez nagrody i bez należnej zapłaty za przelaną krew, wolimy przynajmniej wrócić jak najprędzej do własnych krajów.

Wtedy Thráin zagadnął Dáina:

– Ale ty, krewniaku, chyba nie opuścisz mnie? – spytał.

– Nie – odparł Dáin. – Jesteś ojcem naszego plemienia, na twoje słowo przelewaliśmy krew i nigdy ci jej nie odmówimy. Ale do Khazad-dûm nie wejdziemy. Ty także nie wejdziesz tam. Ledwie zajrzałem w ciemność za bramę. Za nią czyha nadal Zguba Durina. Świat musi się odmienić, inna niż

nasza moc musi zwyciężyć, zanim plemię Durina znów przekroczy próg Morii.

Tak więc po bitwie w Dolinie Azanulbizar krasnoludowie znów się rozproszyli. Najpierw jednak w niemałym trudzie rozebrali ze zbroi wszystkich poległych, żeby orkowie nie mogli zagarnąć obfitego łupu oręża i kolczug. Podobno każdy krasnolud wracający z tego pobojowiska uginał się pod brzemieniem podwójnej zbroi. Zbudowali mnóstwo stosów i spalili ciała zabitych współbraci. Na te stosy ścięli drzewa w dolinie, która odtąd została jałowa na zawsze, a dym bijący znad ognisk dostrzeżono nawet w Lórien[116].

Gdy z tych strasznych ognisk zostały tylko popioły, sprzymierzeńcy odeszli do własnych siedzib, a Dáin Żelazna Stopa poprowadził plemię swego ojca z powrotem do Żelaznych Wzgórz. Thráin zaś, stanąwszy przed palem, rzekł do Thorina zwanego Dębową Tarczą:

– Drogo zapłaciliśmy za tę głowę. Daliśmy za nią co najmniej nasze królestwo. Czy wrócisz razem ze mną do kuźni? Czy też wolisz żebrać pod drzwiami pyszałków?

– Wracam do kuźni – odparł Thorin. – Młot bądź co bądź pozwoli mi zachować siłę w rękach, póki znów nie będę mógł chwycić w nie ostrzejszego narzędzia.

Tak więc Thráin i Thorin z garstką niedobitków, między którymi znaleźli się Balin i Glóin, wrócili do Dunlandu, a wkrótce stamtąd ruszyli na wędrówki po Eriadorze, aż wreszcie osiedli na wygnaniu we wschodniej części Ered Luin, za Rzeką Księżycową. Tu wprawdzie kuli przeważnie żelazo, lecz powodziło im się niezgorzej i z wolna plemię się rozmnażało[117]. Ale – jak słusznie powiedział Thrór – Pierścień, by rozmnożyć złoto, musiałby mieć go choć trochę na początek, a w Ered Luin ani złota, ani innych szlachetnych kruszców nie znajdowano wcale lub też znikome ilości.

Wypada z kolei powiedzieć słów parę o tym Pierścieniu. Plemię Durina wierzyło, że jest to pierwszy z Siedmiu, najwcześniej z nich wykuty; krasnoludowie twierdzili, że dostał go król Khazad-dûm, Durin III, od złotników elfów, nie zaś od Saurona, jakkolwiek z pewnością ciążyły na nim przewrotne czary Saurona, który przecież pomagał w wykuwaniu wszystkich Siedmiu. Właściciele Pierścienia nigdy go publicznie nie pokazywali i rzadko wyrzekali się go wcześniej niż w przededniu śmierci;

postronni nie wiedzieli też nigdy dokładnie, gdzie Pierścień jest przechowywany. Niektórzy myśleli, że pozostał w Khazad-dûm, w tajemnym grobowcu królewskim, jeśli nie znaleźli go tam rabusie. W najbliższym otoczeniu spadkobiercy Durina przypuszczano (niesłusznie), że Thrór miał Pierścień przy sobie, gdy nieopatrznie wybrał się na starość z powrotem do siedziby przodków; co się stało z klejnotem po śmierci Thróra, nie wiedziano. W każdym razie nie odnaleziono go przy zabitym Azogu.

Później dopiero krasnoludowie zaczęli się domyślać, być może trafnie, że Sauron dzięki swym czarom odkrył, kto posiada ów Pierścień, ostatni z Siedmiu jeszcze pozostający na wolnym świecie, i że nieszczęścia prześladujące spadkobierców Durina były dziełem jego złośliwości. Krasnoludów bowiem nie udało się ujarzmić za pośrednictwem Pierścienia; wywierał na nich tylko ten wpływ, że rozpalał w nich namiętne pożądanie złota i klejnotów tak, iż wszystko inne, najlepsze nawet rzeczy, mieli za nic i pałając strasznym gniewem na tych, którzy im te najbardziej umiłowane skarby wydarli, gotowi byli krwawo pomścić swą krzywdę. Plemię to jednak od początku taką miało naturę, że sprzeciwiało się stanowczo wszelkiej narzucanej władzy. Można było krasnoludów zabijać i rujnować, nigdy wszakże nie dali się zamienić w cienie i nie ulegli cudzej woli. Dlatego też Pierścień nie oddziałał na ich życie, nie przedłużył go ani nie skrócił. Sauron z tego powodu szczególnie ich nienawidził i pragnął im wydrzeć Pierścień.

W pewnej mierze zapewne złym czarom Pierścienia należy przypisać niepokój i rozgoryczenie, które w kilka lat później ogarnęły Thráina. Dręczyła go żądza złota. Wreszcie, nie mogąc tego dłużej znieść, zaczął myśleć o Ereborze i postanowił tam wrócić. Nie zwierzył się Thorinowi ze swych tajemnych planów, lecz wraz z Balinem, Dwalinem i garstką innych ruszył w drogę.

Niewiele wiadomo o jego późniejszych losach. Zdaje się, że wkrótce wędrującą gromadkę wytropili gońcy Saurona. Napastowały ją wilki, otaczali orkowie, złe ptaki śledziły jej kroki, a w miarę jak posuwała się na północ, napotykała coraz cięższe przeszkody. Pewnej ciemnej nocy, gdy Thráin i jego towarzysze znajdowali się za Anduiną, czarny deszcz zmusił ich do schronienia się pod drzewa Mrocznej Puszczy. Rankiem Thráin zniknął z obozu i przyjaciele daremnie go nawoływali po lesie. Kilka dni

czekali, nie ustając w poszukiwaniach, wreszcie stracili nadzieję i zawrócili z drogi, by po długiej tułaczce dotrzeć do Thorina. Dopiero w wiele lat później okazało się, że Thráina ujęto żywcem, porwano i zawleczono do lochów Dol Guldur; torturowany, obrabowany z Pierścienia, wkrótce zmarł w więzieniu.

Tak więc spadkobiercą Durina został Thorin, lecz nie dostała mu się w spadku nadzieja. Miał dziewięćdziesiąt lat, gdy zginął Thráin, był krasnoludem wspaniałej i dumnej postawy, lecz nie rwał się, by opuścić Eriador. Pracował tam od dawna, kupczył wyrobami swych kuźni i zdobył trochę mienia; plemię jego rozrosło się, bo liczni tułający się krasnoludowie przybywali, znęceni wieścią o nowej siedzibie założonej na Zachodzie. W górach pobudowano piękne podziemne sale, składy zapełniły się wyrobami krasnoludzkiej sztuki, życie płynęło znośnie, chociaż pieśni wciąż przypominały o straconej, dalekiej Samotnej Górze.

Mijały lata. Zdawało się, że w sercu Thorina popiół przysypał żar, lecz ogień nie zgasł i z czasem rozpalał się coraz żywiej, gdy król rozpamiętywał krzywdy swego rodu i obowiązek zemsty na smoku, przekazany w dziedzictwie przez ojca. Ciężki młot dzwonił wytrwale w kuźni, a Thorin, pracując, myślał o broni, o zbrojach, o sojuszach. Armie jednak były rozproszone, sojusze zerwane, a we własnym plemieniu niewiele mógł naliczyć bojowych toporów. Toteż straszny gniew, nieostudzony nadzieją, palił jego serce, gdy Thorin kuł czerwone żelazo na kowadle.

Wreszcie los zdarzył, że Thorin spotkał Gandalfa, i to spotkanie nie tylko rozstrzygnęło o dalszych losach plemienia Durina, lecz także doprowadziło do innych jeszcze, o wiele donioślejszych zdarzeń. Pewnego razu (15 marca 2941 roku) Thorin, wracając z podróży na zachód, zatrzymał się na nocleg w Bree. Znalazł się tam tego dnia również Gandalf; wędrował do Shire’u, którego nie odwiedzał już od dwudziestu lat. Był znużony i chciał trochę odpocząć.

Wśród innych trosk nękała go myśl o niebezpieczeństwie grożącym Północy. Wiedział bowiem, że Sauron już przygotowuje się do wojny i że, gdy zbierze dostateczne siły, uderzy najpierw na Rivendell. Wiedział, że jeśli Nieprzyjaciel spróbuje odzyskać Angmar i północne przełęcze górskie, nikt mu nie stawi oporu prócz krasnoludów z Żelaznych Wzgórz. A za tymi

wzgórzami ciągnęły się pustkowia i panował nad nimi smok. Sauron mógł smoka użyć do swych celów z jak najokropniejszym skutkiem.

Gandalf rozmyślał więc, jak unieszkodliwić smoka Smauga. Siedział pogrążony w tych myślach, gdy stanął przed nim Thorin i rzekł:

– Mistrzu Gandalfie, znam cię tylko z widzenia, ale chciałbym z tobą pogadać. Często bowiem ostatnimi czasy wspominałem cię i coś mi szeptało, żeby cię odszukać. Posłuchałbym tej rady z pewnością, ale nie miałem pojęcia, gdzie się podziewasz.

Gandalf spojrzał na niego zdumiony.

– Dziwna rzecz! – powiedział. – Ja właśnie też ciebie wspominałem, Thorinie Dębowa Tarczo! Wybrałem się do Shire’u, ale pamiętałem, że tędy prowadzi droga również do twojej siedziby.

– Zbyt pięknie nazywasz ją, Gandalfie. To zaledwie przytułek wygnańca! – odparł Thorin. – Ale będziesz gościem zawsze mile widzianym. Słyszałem, że jesteś mądry i więcej niż inni wiesz o tym, co się na świecie dzieje. Mam poważne troski i chciałbym zasięgnąć twojej rady.

– Przyjdę! – rzekł Gandalf. – Zdaje się, że teraz nareszcie mamy obaj tę samą troskę na sercu. Mnie bowiem dręczy myśl o smoku z Ereboru, a sądzę, że wnuk Thróra również o nim nie zapomniał.

W innej książce zawarta jest opowieść o przygodach, które wynikły z tego spotkania, o niezwykłym planie, który Gandalf ułożył po myśli Thorina, o wyprawie, którą Thorin z przyjaciółmi podjął, ruszając z Shire’u ku Samotnej Górze, i o nieoczekiwanym a wspaniałym zakończeniu tego przedsięwzięcia. Na tych kartkach przypomnę tylko zdarzenia związane bezpośrednio z historią ludu Durina.

Smok zginął od strzały Barda z Esgaroth, a na polach Dal rozegrała się wielka bitwa. Na wieść bowiem o powrocie krasnoludów orkowie co prędzej wtargnęli do Ereboru, a przewodził im Bolg, syn Azoga, którego Dáin za młodu uśmiercił. W tej pierwszej bitwie w dolinie Dal Thorin Dębowa Tarcza odniósł ciężkie rany i zmarł; pochowano go w grobowcu pod Górą, kładąc klejnot nad klejnotami na piersiach. Polegli również i Fíli, i Kíli, jego siostrzeńcy. Dáin Żelazna Stopa, krewny Thorina, który przybył mu na pomoc, a był również prawowitym spadkobiercą Durina, został królem i jako Dáin II panował nad królestwem spod Samotnej Góry,

wskrzeszonym zgodnie z życzeniem Gandalfa. Dáin II okazał się wielkim i rozumnym władcą, a krasnoludowie za jego czasów cieszyli się pomyślnością i odzyskiwali dawną siłę.

Pod koniec lata tego samego roku (2941) Gandalf wreszcie skłonił Sarumana i Białą Radę do podjęcia wyprawy przeciw Dol Guldur; Sauron musiał wycofać się do Mordoru, gdzie czuł się całkowicie bezpieczny. Dlatego też, gdy wojna wreszcie wybuchła, pierwsze główne uderzenie skierował na południe; a jednak Sauron ręce miał długie i pewnie by prawicą dosięgnął północy, wyrządzając wiele zła w położonych tam krajach, gdyby król Dáin i król Brand nie zagrodzili mu drogi. Gandalf tłumaczył to później Gimlemu i Frodowi, gdy razem czas jakiś przebywali w Minas Tirith. Właśnie na krótko przedtem dotarły do Gondoru wieści z odległych stron.

– Opłakiwałem śmierć Thorina – rzekł Gandalf – a teraz dowiadujemy się, że Dáin poległ, także w boju na polach Dale, i to w dniu, w którym my tutaj walczyliśmy również. Nazwałbym tę śmierć ciężką stratą, gdyby nie to, iż raczej dziwić się trzeba, że Dáin mimo sędziwego wieku mógł jeszcze władać toporem tak dzielnie, jak podobno władał, stojąc nad ciałem króla Branda przed bramą Ereboru, póki nie zapadła noc.

Mogło się stać inaczej i znacznie gorzej. Ilekroć pomyślicie o bitwie w Pelennorze, nie zapominajcie też o bitwie w Dale i o męstwie Durinowego plemienia. Zastanówcie się, co mogło się zdarzyć. Ogień smoczy i szable dzikusów w Eriadorze, ciemności nad Rivendell. Mogłoby nie być królowej w Gondorze. Moglibyśmy po zwycięstwie wrócić tu do ruin i zgliszcz tylko. Tego wszystkiego uniknęliśmy, ponieważ w pewien przedwiosenny wieczór przed laty spotkałem w Bree Thorina Dębową Tarczę. Zbieg okoliczności – jak mówią w Śródziemiu!

Dís była córką Thráina II. Jest to jedyna krasnoludzka kobieta, której imię zapisano w kronikach. Gimli opowiadał, że w jego plemieniu kobiet jest bardzo mało, nie stanowią nawet trzeciej części ludności. Bez koniecznej potrzeby nie pokazują się nigdzie poza domem. Z głosu i postawy tak są podobne do swych mężów, zwłaszcza że wybierając się w podróż, odziewają się tak samo jak oni, iż obcy nie mogą ich odróżnić. Stąd powstała wśród ludzi niedorzeczna legenda, że krasnoludzkich kobiet w ogóle nie ma, a krasnoludowie rodzą się „na kamieniu”.

Z powodu tak małej liczby kobiet plemię krasnoludzkie rozmnaża się bardzo powoli, a istnienie jego jest zagrożone, gdy brak bezpiecznych siedzib. Nigdy bowiem więcej niż raz w życiu nie wiążą się małżeństwem i zazdrośnie strzegą, jak zresztą we wszelkich innych dziedzinach, swoich praw. W praktyce żeni się mniej niż trzecia część krasnoludów, bo nie wszystkie ich kobiety wychodzą za mąż; niektóre nie życzą sobie w ogóle męża, niektóre pragną nie tego, kogo mieć mogą, innego zaś nie chcą. Mężczyźni też nie zawsze mają ochotę do żeniaczki, bo pochłaniają ich inne sprawy.

Wielką sławę zdobył Gimli, syn Glóina, należał bowiem do Dziewiątki Wędrowców, czyli do Drużyny Pierścienia, i przez cały czas wojny przebywał u boku króla Elessara. Nazwano go przyjacielem elfów, ponieważ wzajemne serdeczne przywiązanie łączyło go z Legolasem, synem króla Thranduila, i ponieważ uwielbiał Panią Galadrielę.

Po upadku Saurona Gimli sprowadził część plemienia krasnoludów z Ereboru na południe i został władcą Błyszczących Jaskiń. Wraz ze swym ludem wykonał wiele pięknych dzieł w Rohanie i Gondorze. Na miejscu zburzonej przez upiornego Czarnoksiężnika bramy w Minas Tirith krasnoludowie wykuli nową, z mithrilu i stali. Legolas również ściągnął z Zielonego Lasu na południe elfów, którzy osiedli w Ithilien; kraj ten znów rozkwitł i zasłynął jako najpiękniejszy zakątek Śródziemia.

Gdy jednak król Elessar wyrzekł się życia, Legolas posłuchał wreszcie głosu swojej dawnej tęsknoty i odpłynął za Morze.

A oto jeden z ostatnich zapisków Czerwonej Księgi:

„Doszły nas słuchy, że Legolas zabrał z sobą Gimlego, syna Glóina, ze względu na łączącą ich przyjaźń, jakiej nigdy w dziejach nie spotkano poza tym między elfem a krasnoludem. Jeśli to prawda, stała się rzecz bardzo niezwykła. Nie do wiary, żeby krasnolud dobrowolnie opuścił Śródziemie dla jakiejkolwiek miłości i żeby Eldarowie zechcieli przyjąć krasnoluda, i żeby władcy zamorscy na to zezwolili. Wieść jednak głosi, że Gimli odpłynął za Morze, ponieważ bardzo pragnął zobaczyć znów jasne oblicze Galadrieli; kto wie, czy nie ona właśnie, ciesząc się wśród Eldarów wielką

czcią, uzyskała dla krasnoluda tę wyjątkową łaskę. Więcej nic o tym powiedzieć się nie da”.

DODATEK B

KRONIKA LAT
(KRONIKA KRÓLESTW ZACHODNICH)

Pierwsza Era skończyła się Wielką Bitwą, w której zastępy Valinoru zdruzgotały Thangorodrim i obaliły Morgotha. Większość Noldorów wróciła potem na daleki Zachód[118] i osiadła w Eressei, na widnokręgu Valinoru, a wielu Sindarów odpłynęło też za Morze. Druga Era skończyła się pierwszym upadkiem Saurona, sługi Morgotha, i odebraniem mu Jedynego Pierścienia.

Trzecia Era dobiegła kresu po rozegraniu Wojny o Pierścień, lecz za początek Czwartej Ery uznano dzień, w którym Elrond odpłynął z Przystani, wtedy bowiem zaczęło się panowanie ludzi i zmierzch wszelkich innych istot obdarzonych mową i żyjących dotąd w Śródziemiu.

W Czwartej Erze wszystkie poprzednie nazywano Dawnymi Dniami, lecz ściślej ta nazwa odnosi się do czasów poprzedzających wygnanie Morgotha. Opowieści z tamtych Dawnych Dni nie są zawarte w naszej księdze.

Druga Era

Były to dla ludzi ze Śródziemia złe czasy, ale dla Númenoru dni chwały. O zdarzeniach w Śródziemiu mamy z tej epoki nieliczne tylko i krótkie wzmianki, a daty są przeważnie niepewne.

Na początku Drugiej Ery żyło jeszcze w Śródziemiu wielu Elfów Wysokiego Rodu. Większość z nich mieszkała w Lindonie, na zachód od Ered Luin, lecz zanim wybudowano Barad-dûr, wielu Sindarów przeniosło się dalej na wschód, a niektórzy z nich założyli królestwa w odległych lasach. Poddanymi ich były w większości Elfy Leśne. Jednym z takich władców był Thranduil, król północnej części Wielkiego Zielonego Lasu. W Lindonie, na północ od Rzeki Księżycowej, osiedlił się Gil-galad, ostatni spadkobierca królów Noldorów na wygnaniu. Uznawano go za

Najwyższego Króla elfów na Zachodzie. W Lindonie, na południe od Rzeki Księżycowej, mieszkał przez pewien czas Celeborn, krewniak Thingola; jego żoną była Galadriela, najsławniejsza z kobiet elfów, siostra Finroda Felagunda, Przyjaciela Ludzi, ongi króla Nargothrondu, który zginął, ratując życie Berena, syna Barahira.

Później część Noldorów zawędrowała do Eregionu, na zachód od Gór Mglistych, w pobliżu Zachodniej Bramy Morii. Znęciła ich tam wieść o odkryciu w Morii żył mithrilu. Noldorowie, biegli w rzemiosłach i sztukach, na ogół mniej nieżyczliwie odnosili się do krasnoludów niż Sindarowie, lecz wyjatkowa przyjaźń rozwinęła się między plemieniem Durina a kowalami elfami z Eregionu. Władcą Eregionu i największym jego mistrzem rzemiosł był Celebrimbor; był on potomkiem Fëanora.

Rok

1 Budowa Szarej Przystani i założenie królestwa Lindonu.

32 Edainowie docierają do Númenoru.

ok. 40 Wielu krasnoludów, opuszczając stare siedziby w Ered Luin, przenosi się do Morii, dokąd ściągają coraz liczniej ich współplemieńcy.

442 Śmierć Elrosa Tar-Minyatura.

ok. 500 Sauron zaczyna znów działać w Śródziemiu.

548 Silmariën rodzi się w Númenorze.

600 Pierwsze okręty Númenorejczyków pojawiają się u wybrzeży.

750 Noldorowie zakładają Eregion.

ok. 1000 Sauron, zaniepokojony rosnącą potęgą Númenorejczyków, obiera Mordor za swą siedzibę i warownię. Zaczyna budowę Barad-dûr.

1075 Tar-Ankalimë zostaje pierwszą rządzącą królową Númenoru.

1200 Sauron próbuje zjednać sobie Eldarów. Gil-galad nie chce z nim rokować, ale kowale z Eregionu dają się zwieść jego obłudnymi słowami. Númenorejczycy zaczynają budować sobie stałe przystanie.

ok. 1500 Elfowie kowale pouczeni przez Saurona osiągają mistrzostwo w swym rzemiośle. Zaczynają wykuwać Pierścienie Władzy.

ok. 1590 Trzy Pierścienie gotowe w Eregionie.

ok. 1600 Sauron we wnętrzu góry Orodruiny wykuwa Jedyny Pierścień. Kończy budowę Barad-dûr. Celebrimbor odgaduje plany Saurona.

1693 Zaczyna się wojna między elfami a Sauronem. Trzy Pierścienie znajdują się w ukryciu.

1695 Wojska Saurona napadają na Eriador. Gil-galad wysyła Elronda do Eregionu.

1697 Spustoszenie Eregionu. Śmierć Celebrimbora. Zamknięcie bram Morii. Elrond wycofuje się wraz z niedobitkami Noldorów i zakłada siedzibę w Imladris.

1699 Sauron opanowuje Eriador.

1700 Tar-Minastir wysyła silną flotę z Númenoru do Lindonu. Porażka Saurona.

1701 Wypędzenie Saurona z Eriadoru. Kraje zachodnie mogą cieszyć się przez czas jakiś spokojem.

ok. 1800 Od tego mniej więcej czasu Númenorejczycy zaczynają utrwalać swoje panowanie nad wybrzeżami. Sauron rozszerza swoją władzę na wschód. Cień pada na Númenor.

2251 Tar-Atanamir obejmuje tron. Początki buntu i rozdziału wśród Númenorejczyków. Mniej więcej w tym czasie Nazgûle, czyli Upiory Pierścienia, pojawiają się po raz pierwszy.

2280 Umbar staje się potężną twierdzą Númenoru.

2350 Budowa Pelargiru, który staje się głównym portem Wiernych Númenorejczyków.

2899 Ar-Adûnakhôr obejmuje tron.

3175 Skrucha Tar-Palantira. Wojna domowa w Númenorze.

3255 Ar-Pharazôn Złoty przejmuje berło.

3261 Ar-Pharazôn odpływa z Númenoru i ląduje w Umbarze.

3262 Sauron wzięty do niewoli Númenoru; 3262–3310 Sauron zyskuje wpływ na króla i deprawuje Númenorejczyków.

3310 Ar-Pharazôn rozpoczyna wielkie zbrojenia.

3319 Ar-Pharazôn napada na Valinor. Upadek Númenoru. Elendil z synami uchodzi.

3320 Założenie Królestw na Wygnaniu: Arnoru i Gondoru. Rozdział kryształów jasnowidzenia między dwa królestwa. Sauron wraca do Mordoru.

3429 Sauron napada na Gondor, zdobywa Minas Ithil, pali Białe Drzewo. Isildur ucieka w dół Anduiny i udaje się na północ do Elendila. Anárion broni Minas Anor i Osgiliath.

3430 Zawiązuje się Ostatnie Przymierze.

3431 Gil-galad i Elendil ruszają na wschód, do Imladris.

3434 Wojska Przymierza przekraczają Góry Mgliste. Bitwa na polach Dagorladu i klęska Saurona. Zaczyna się oblężenie Barad-dûr.

3440 Śmierć Anáriona.

3441 Sauron pokonany przez Elendila i Gil-galada, którzy giną. Isildur zabiera Jedyny Pierścień. Sauron znika, a Upiory Pierścienia kryją się w ciemnościach. Koniec Drugiej Ery.

Trzecia Era

Był to okres zmierzchu Eldarów. Od dawna cieszyli się pokojem, rozporządzając Trzema Pierścieniami, podczas gdy Sauron spał, a Pierścień Jedyny był zagubiony; nie szukali jednak niczego nowego, żyjąc wspomnieniami przeszłości. Krasnoludowie ukryli się w głębokich podziemiach, strzegąc swoich skarbów, lecz gdy złe siły zaczęły znów działać, a smoki pojawiły się ponownie jeden po drugim, gdy rozgrabiono starożytne krasnoludzkie skarbce, plemię rozproszyło się i podjęło żywot tułaczy. Moria przez długi czas pozostała bezpieczna, lecz ubywało z niej ludu, aż wreszcie ogromne jej hale opustoszały i zapanowały w nich ciemności.

Númenorejczycy, odkąd zmieszali się z ludźmi mniej szlachetnej krwi, tracili stopniowo przywilej mądrości i długiego życia. W jakieś tysiąc lat potem, kiedy pierwszy cień padł na Wielki Zielony Las, zjawili się w Śródziemiu czarodzieje, czyli Istari. Później opowiadano, że przybyli zza Morza, z Najdalszego Zachodu, przysłani po to, aby przeciwstawić się potędze Saurona i zjednoczyć tych wszystkich, którzy chcieli Sauronowi stawić opór; zabroniono im jednak walczyć tą samą co Sauron bronią i zdobywać władzę nad elfami lub ludźmi przemocą i postrachem.

Zjawili się więc pod postacią ludzką, jakkolwiek nigdy nie byli młodzi, a starzeli się bardzo powoli; znali wiele sztuk, zarówno umysły, jak i ręce mieli wyćwiczone. Mało komu zwierzali swe prawdziwe imiona, przyjmując te, które im w Śródziemiu nadawano. Dwaj najdostojniejsi z tego bractwa (które podobno liczyło pięciu członków) nazwani zostali przez Eldarów Curunirem – Mistrzem Rzemiosł, i Mithrandirem – Szarym Pielgrzymem, a przez ludzi z Północy – Sarumanem i Gandalfem. Curunir często zapuszczał się na wschód, ale osiadł w końcu w Isengardzie. Mithrandir zaprzyjaźnił się najserdeczniej z Eldarami, wędrował przeważnie po krajach zachodnich i nie obrał sobie nigdy stałej siedziby.

W ciągu całej Trzeciej Ery nikt nie wiedział, gdzie przechowywane są Trzy Pierścienie – prócz tych, którzy je posiadali. W końcu wszakże okazało się, że początkowo były w rękach trojga najdostojniejszych Eldarów: Gil-galada, Galadrieli i Círdana. Gil-galad oddał swój Pierścień Elrondowi, Círdan – Mithrandirowi.

Círdan bowiem dalej i głębiej sięgał wzrokiem niż ktokolwiek z mieszkańców Śródziemia i on to witał Mithrandira w Szarej Przystani, wiedząc, skąd przybył i dokąd kiedyś powróci.

– Weź ten Pierścień, Mistrzu – powiedział – bo zadanie będziesz miał bardzo trudne do spełnienia; on cię podtrzyma, gdy znużysz się brzemieniem. Jest to Pierścień Ognia, z jego pomocą będziesz mógł rozpalać na nowo serca na tym ziębnącym świecie. Co do mnie, to serce moje związane jest z Morzem, zostanę na wybrzeżu, póki nie odpłynie ostatni okręt. Będę tutaj na ciebie czekał.

Rok

2 Isildur sadzi młode Białe Drzewo w Minas Anor. Oddaje Królestwo Południowe Meneldilowi. Klęska na Polach Gladden; Isildur ginie wraz z trzema swymi starszymi synami.

3 Ohtar przynosi szczątki miecza Narsila do Imladris.

10 Valandil zostaje królem Arnoru.

109 Elrond zaślubia Celebrianę, córkę Celeborna.

130 Narodziny Elladana i Elrohira, synów Elronda.

241 Narodziny Arweny Undómiel.

420 Król Ostoher odbudowuje Minas Anor.

490 Pierwsza napaść Easterlingów.

500 Romendacil I zwycięża Easterlingów.

541 Romendacil ginie w boju.

830 Falastur rozpoczyna dynastię Królów Żeglarzy w Gondorze.

861 Śmierć Eärendura i podział Arnoru.

933 Król Eärnir I zdobywa Umbar, który staje się twierdzą Gondoru.

936 Eärnil ginie na morzu.

1015 Król Ciryandil ginie podczas oblężenia Umbaru.

1050 Hyarmendacil podbija Harad. Gondor osiąga szczyt potęgi. Mniej więcej w tym czasie cień ogarnia Zielony Las, który ludzie zaczynają nazywać Mroczną Puszczą. Po raz pierwszy w kronikach pojawia się wzmianka o *periannath* – niziołkach, gdyż Harfootowie przybywają do Eriadoru.

ok. 1100 Mędrcy (Istari czarodzieje oraz najwięksi z Eldarów) odkrywają, że w Dol Guldur złe siły zbudowały sobie twierdzę; przypuszcza się, że osiadł w niej jeden z Nazgûlów.

1149 Początek panowania Atanatara Alcarina.

ok. 1150 Fallohidzi przybywają do Eriadoru. Stoorowie przez przełęcz Czerwonego Rogu dostają się do Klina i do Dunlandu.

ok. 1300 Znów mnożą się w Śródziemiu złe stwory. Orkowie z Gór Mglistych napastują krasnoludów. Ponownie ukazują się Nazgûle. Wódz ich przybywa na północ, do Angmaru. Perianowie przenoszą się dalej na zachód. Wielu z nich osiedla się w Bree.

1356 Król Argeleb I ginie w wojnie z królestwem Rhudaur. W tym czasie Stoorowie opuszczają Klin i część ich wraca do Dzikiego Kraju.

1409 Czarnoksiężnik, król Angmaru, napada na Arnor. Śmierć króla Arvelega I. Obrona Fornostu i Tyrn Gorthad. Zburzenie wieży Amon Sûl.

1432 Śmierć króla Gondoru Valacara; początek Waśni Rodzinnej i wojny domowej.

1437 Spalenie Osgiliath i strata palantíru. Eldacar ucieka do Rhovanionu, syn jego Ornendil ginie zamordowany.

1447 Powrót Eldacara i wypędzenie samozwańca Castamira. Bitwa u Brodu na Erui. Oblężenie Pelargiru.

1448 Buntownicy uciekają i zajmują Umbar.

1540 Król Aldamir ginie na wojnie z Haradem i korsarzami z Umbaru.

1551 Hyarmendacil II zwycięża ludzi z Haradu.

1601 Perianowie, emigrujący z Bree, otrzymują ziemię za Baranduiną od króla Argeleba II.

ok. 1630 Przyłączając się do nich, Stoorowie przybywają z Dunlandu.

1634 Korsarze łupią Pelargil i zabijają króla Minardila.

1636 Wielki mór w Gondorze. Śmierć króla Telemnara i jego dzieci. Białe Drzewo usycha w Minas Anor. Mór szerzy się na północ i zachód; wiele okolic Eriadoru pustoszeje. Perianowie utrzymują się za Baranduiną mimo ciężkich strat.

1640 Król Tarondor przenosi siedzibę królewską do Minas Anor i zasadza nowe Białe Drzewo. Osgiliath zaczyna rozsypywać się w gruzy. Straże nie czuwają już na granicach Mordoru.

1810 Król Telumehtar Umbardacil odbija Umbar i wypędza korsarzy.

1851 Początek najazdów Woźników na Gondor.

1856 Gondor traci ziemie na wschodzie, Narmacil II ginie na polu bitwy.

1899 Król Calimehtar zwycięża Woźników na polach Dagorladu.

1900 Calimehtar buduje Białą Wieżę w Minas Anor.

1940 Gondor i Arnor wznawiają łączność i zawierają sojusz. Arvedui zaślubia córkę Ondohera z Gondoru, Fíriel.

1944 Ondoher ginie w bitwie. Eärnil wypiera nieprzyjaciół z południowej części Ithilien. Zwycięża w bitwie o obóz i wypędza Woźników na Martwe Bagna. Arvedui zgłasza swe prawa do korony Gondoru.

1945 Koronacja Eärnila II.

1974 Koniec Królestwa Północnego. Czarnoksiężnik napada na Arthedain i zdobywa Fornost.

1975 Arvedui tonie w Zatoce Forochel. Giną palantíry z Annúminas i Amon Sûl. Eärnur prowadzi flotę do Lindonu. Klęska Czarnoksiężnika pod Fornostem: ścigany aż do Ettenmoors, opuszcza Północ.

1976 Aranarth zostaje wodzem Dúnedainów. Spuściznę Arnoru bierze na przechowanie Elrond.

1977 Frumgar prowadzi Éothéodów na Północ.

1979 Wybór Bukki z Moczarów na pierwszego thana Shire'u.

1980 Czarnoksiężnik przybywa do Mordoru i tam gromadzi Nazgûlów. W Morii pojawia się Balrog i zabija Durina VI.

1981 Ginie Náin I. Krasnoludowie uciekają z Morii. Wielu leśnych elfów z Lórien uchodzi na południe. Giną Amroth i Nimrodel.

1999 Thráin I przybywa z Ereboru i zakłada krasnoludzkie królestwo pod Samotną Górą.

2000 Nazgûle z Mordoru atakują i oblegają Minas Ithil.

2002 Upadek Minas Ithil, wieży przezwanej później Minas Morgul. Nieprzyjaciel zdobywa *palantír*.

2043 Eärnur zostaje królem Gondoru. Czarnoksiężnik znieważa go i wyzywa do walki.

2050 Powtórne wyzwanie. Eärnur rusza pod Minas Ithil i znika bez wieści. Mardil obejmuje rządy jako Namiestnik.

2060 Wzrost potęgi Dol Guldur. Mędrcy obawiają się, że to Sauron wraca w nowej postaci.

2063 Gandalf udaje się do Dol Guldur. Sauron wycofuje się i kryje dalej na wschodzie. Początek Niespokojnego Pokoju. Nazgûle przyczajeni w Minas Morgul nie dają znaków życia.

2210 Thorin I opuszcza Erebor, wędrując na północ ku Szarym Górom, gdzie skupiają się teraz najliczniej resztki Durinowego plemienia.

2340 Isumbras I zostaje trzynastym thanem, jest pierwszym na tym urzędzie przedstawicielem rodu Tuków. Oldbuckowie zajmują Buckland.

2460 Koniec Niespokojnego Pokoju. Sauron ze wzmożonymi siłami wraca do Dol Guldur.

2463 Utworzenie Białej Rady. W tym mniej więcej czasie Déagol, ze szczepu Stoorów, znajduje Jedyny Pierścień i ginie zamordowany przez Sméagola.

2470 Sméagol-Gollum kryje się w Górach Mglistych.

2475 Ponowna napaść na Gondor. Ostateczne zburzenie Osgiliath i kamiennego mostu.

ok. 2480 Orkowie zaczynają budować tajemne twierdze w Górach Mglistych, żeby zagrodzić przejścia do Eriadoru. Sauron zaczyna zaludniać Morię potworami, które są na jego służbie.

2509 Orkowie z zasadzki napadają na przełęczy Czerwonego Rogu Celebrianę, która tamtędy jechała do Lórien, porywają ją i ranią zatrutą bronią.

2510 Celebriana odpływa za Morze. Orkowie i Easterlingowie napadają na Calenardhon. Eorl Młody zwycięża nad Celebrantem. Rohirrimowie osiedlają się w Calenardhonie.

2545 Śmierć Eorla w bitwie na Płaskowyżu.

2569 Brego, syn Eorla, kończy budowę Złotego Dworu.

2570 Baldor, syn Brega, przekracza Zakazane Wrota i ginie. W tym czasie na dalekiej północy pojawiają się znów smoki i zaczynają nękać krasnoludów.

2589 Smok zabija Dáina I.

2590 Thrór wraca do Ereboru. Brat jego Grór osiada w Żelaznych Wzgórzach.

ok. 2670 Tobold zakłada w Południowej Ćwiartce pierwszą plantację fajkowego ziela.

2683 Isengrim II zostaje dziesiątym thanem i rozpoczyna budowę Wielkich Smajalów.

2698 Ecthelion I odbudowuje Białą Wieżę w Minas Tirith.

2740 Orkowie wznawiają napaści na Eriador.

2747 Bandobras Tuk gromi bandę orków w Północnej Ćwiartce.

2758 Rohan, napadnięty jednocześnie od zachodu i wschodu, dostaje się w ręce nieprzyjaciół. Gondor walczy z korsarzami. Helm z Rohanu chroni się w Helmowym Jarze. Wulf zdobywa Edoras.

2758–59 Długa Zima. Ludność Eriadoru i Rohanu ponosi dotkliwe straty. Gandalf spieszy z pomocą mieszkańcom Shire’u.

2759 Śmierć Helma. Fréaláf wypędza Wulfa i daje początek nowej dynastii królów Marchii. Saruman osiada w Isengardzie.

2770 Smok Smaug napada na Erebor. Zniszczenie Dale. Thrór ucieka, a z nim Thráin II i Thorin II.

2790 Olbrzymi ork zabija Thróra w Morii. Krasnoludowie przygotowują się do wojny odwetowej. Narodziny Gerontiusa, znanego później pod mianem Starego Tuka.

2793 Początek wojny krasnoludów z orkami.

2799 Bitwa w Nanduhirion pod Wschodnią Bramą Morii. Dáin Żelazna Stopa wraca do Żelaznych Wzgórz. Thráin II i jego syn Thorin wędrują na zachód. Osiedlają się w południowej części Gór Błękitnych, na zachód od Shire'u (2802).

2800–64 Orkowie z północy nękają Rohan; zabijają króla Waldę (2851).

2841 Thráin II postanawia udać się do Ereboru, lecz jest tropiony przez sługi Saurona.

2845 Thráin uwięziony w Dol Guldur. Nieprzyjaciel odbiera mu ostatni z Siedmiu Pierścieni.

2850 Gandalf ponownie przybywa do Dol Guldur i przekonuje się, że panuje tam rzeczywiście Sauron, który chce w swym ręku skupić wszystkie Pierścienie, a szczególnie poszukuje Jedynego Pierścienia i zbiera wiadomości o spadkobiercy Isildura. Gandalf spotyka się z Thráinem, który mu oddaje klucz do tajemnych drzwi Ereboru. Thráin umiera w Dol Guldur.

2851 Zebranie Białej Rady. Gandalf nakłania do wyprawy na Dol Guldur, lecz przeważa zdanie Sarumana[119]. Saruman rozpoczyna poszukiwania w okolicy Pól Gladden.

2852 Śmierć Belecthora II, króla Gondoru. Białe Drzewo usycha; ponieważ w Gondorze nie ma nowego nasienia, martwy pień pozostaje na miejscu.

2885 Podburzeni przez wysłańców Saurona Haradrimowie przeprawiają się przez Poros i napadają na Gondor. Synowie króla Rohanu, Folkwina, giną w obronie Gondoru.

2890 Narodziny Bilba w Shire.

2901 Większość pozostałych mieszkańców Ithilien opuszcza ten kraj, nękany napaściami Uruków z Mordoru. Budowa tajnego schronu Henneth Annûn.

2907 Narodziny Gilraeny, matki Aragorna II.

2911 Sroga Zima. Baranduina i inne rzeki skute lodem. Białe wilki napadają z północy na Eriador.

2912 Wielka powódź nawiedza Enedwaith i Minhiriath. Zniszczenie Tharbadu.

2920 Śmierć Starego Tuka.

2929 Arathorn, syn Aradora, wodza Dúnedainów, zaślubia Gilraenę.

2930 Arador ginie zabity przez trollów. W Minas Tirith narodziny Denethora II, syna Ectheliona II.

2931 Narodziny Aragorna, syna Arathorna II.

2933 Śmierć Arathorna II. Gilraena przenosi się z synem do Imladris. Elrond zastępuje mu ojca i nadaje mu imię Estel (Nadzieja); prawda o pochodzeniu Aragorna trzymana jest w tajemnicy.

2939 Saruman odkrywa, że słudzy Saurona przeszukują Anduinę w okolicy Pól Gladden, a więc że Sauron wie o losie Isildura. Saruman, zaniepokojony, nie dzieli się jednak tymi wiadomościami z Białą Radą.

2941 Thorin Dębowa Tarcza i Gandalf odwiedzają Bilba w Shire. Bilbo spotyka Golluma i znajduje Pierścień. Zebranie Białej Rady. Saruman zgadza się na zaatakowanie Dol Guldur, teraz bowiem pragnie przeszkodzić Sauronowi w dalszych poszukiwaniach na dnie Anduiny. Sauron, ustaliwszy swe plany, opuszcza Dol Guldur. Bitwa Pięciu Armii w Dolinie Dale. Śmierć Thorina II. Bard z Esgaroth zabija smoka Smauga. Dáin z Żelaznych Wzgórz zostaje królem pod Górą (Dáin II).

2942 Bilbo wraca do Shire’u z Pierścieniem. Sauron potajemnie wraca do Mordoru.

2944 Bard odbudowuje Dale i zostaje królem. Gollum opuszcza Góry i udaje się na poszukiwanie „złodzieja”, który zabrał Pierścień.

2948 Narodziny Théodena, syna Thengla, króla Rohanu.

2949 Gandalf i Balin odwiedzają Bilba w Shire.

2950 Narodziny Finduilas, córki Adrahila, księcia Dol Amrothu.

2951 Sauron występuje jawnie i gromadzi siły w Mordorze. Zaczyna odbudowę Barad-dûr. Gollum wędruje do Mordoru. Sauron wysyła Nazgûle, żeby zajęły znowu Dol Guldur. Elrond wyjawia Estelowi jego prawdziwe imię i dziedzictwo, oddaje mu szczątki Narsila. Arwena po

powrocie z Lórien spotyka Aragorna w lesie Imladris. Aragorn rusza na pustkowia.

2953 Ostatnie posiedzenie Białej Rady. Debata o Pierścieniach. Saruman kłamliwie zapewnia, że Jedyny Pierścień spłynął Anduiną do Morza. Saruman wycofuje się do Isengardu, obejmuje go na własność i umacnia. Zazdrosny o Gandalfa i bojąc się go, szpieguje jego posunięcia; zauważa, że Gandalf interesuje się Shire'em. Wkrótce nasyła swoich szpiegów do Bree i do Południowej Ćwiartki.

2954 Góra Przeznaczenia znów wybucha ogniem. Ostatni mieszkańcy Ithilien uchodzą za Anduinę.

2956 Spotkanie Aragorna z Gandalfem i początek ich przyjaźni.

2957–80 Aragorn podejmuje swe wielkie podróże i wędrówki. W przebraniu służy Thenglowi w Rohanie i Ecthelionowi II w Gondorze.

2968 Narodziny Froda.

2976 Denethor pojmuje za żonę Finduilas z Dol Amrothu.

2977 Bain, syn Barda, zostaje królem Dale.

2978 Narodziny Boromira, syna Denethora II.

2980 Aragorn odwiedza Lórien i spotyka tu Arwenę Undómiel; ofiarowuje jej pierścień Barahira: na wzgórzu Cerin Amroth Aragorn i Arwena wymieniają przyrzeczenie wierności. Mniej więcej w tym czasie Gollum dociera do granic Mordoru i spotyka Szelobę. Théoden zostaje królem Rohanu.

2983 Narodziny Faramira, syna Denethora. Narodziny Sama.

2984 Śmierć Ectheliona II. Denethor II zostaje Namiestnikiem Gondoru.

2988 Finduilas umiera młodo.

2989 Balin opuszcza Erebor, udając się do Morii.

2991 Narodziny Éomera, syna Éomunda, w Rohanie.

2994 Balin ginie. Rozgromienie krasnoludów w Morii.

2995 Narodziny siostry Éomera, Éowiny.

ok. 3000 Cień Mordoru rozszerza się; Saruman odważa się użyć palantíru Orthanku i zostaje usidlony przez Saurona, który rozporządza palantírem z Minas Ithil. Saruman zdradza Białą Radę. Staje się szpiegiem Saurona, donosi mu, że Strażnicy czuwają szczególnie nad Shire'em.

3001 Pożegnalne przyjęcie u Bilba. Gandalf nabiera podejrzeń, że pierścień Bilba jest poszukiwanym Jedynym Pierścieniem. Podwojenie czujności wokół Shire'u. Gandalf szuka wieści o Gollumie i wzywa na pomoc Aragorna.

3002 Bilbo odwiedza Elronda i na zawsze osiada w Rivendell.

3004 Gandalf odwiedza Froda w Shire i odtąd powtarza często swe wizyty przez cztery następne lata.

3007 Brand, syn Baina, zostaje królem Dale. Śmierć Gilraeny.

3008 Jesienią Gandalf po raz ostatni odwiedza Froda.

3009 Gandalf i Aragorn wznawiają poszukiwania Golluma i w ciągu ośmiu lat tropią go w dolinach Anduiny, w Mrocznej Puszczy, w Rhovanionie, na pograniczu Mordoru. W tym samym czasie Gollum ośmiela się zapuścić do Mordoru i wpada w ręce Saurona. Elrond posyła po Arwenę, która wraca do Imladris; góry i kraje położone na wschód od gór stają się obszarem zagrożonym.

3017 Wypuszczenie Golluma z Mordoru. Aragorn spotyka Golluma na Martwych Bagnach i odprowadza do Mrocznej Puszczy, powierzając pieczy Thranduila. Gandalf odwiedza Minas Tirith i odczytuje stare dokumenty Isildura.

Wielkie Lata

3018

Kwiecień

(12) Gandalf przybywa do Hobbitonu.

Czerwiec

(20) Sauron napada na Osgiliath. Mniej więcej jednocześnie orkowie napastują Thranduila i Gollum ucieka.

Lipiec

(4) Boromir wyrusza z Minas Tirith.

(10) Gandalf uwięziony w Orthanku.

Sierpień

Gollum znika bez śladu. Prawdopodobnie, ścigany zarówno przez elfów, jak i przez sługi Saurona, schronił się w Morii, lecz chociaż w końcu odkrył drogę do Zachodniej Bramy, nie mógł wyjść.

Wrzesień

(18) Uwolnienie Gandalfa z Orthanku. Czarni Jeźdźcy przeprawiają się przez bród na Isenie.

(19) Gandalf jako żebrak przybywa do Edoras, gdzie odmawiają mu wstępu.

(20) Gandalf dostaje się do Edoras. Théoden każe mu opuścić swój dom, ale pozwala mu wybrać ze swej stadniny konia.

(21) Gandalf spotyka Cienistogrzywego, lecz koń nie pozwala mu zbliżyć się do siebie. Gandalf idzie za nim w głąb stepu.

(22) Czarni Jeźdźcy przybywają wieczorem do Brodu Sarn i wypłaszają Strażników. Gandalf odnajduje Cienistogrzywego w stepie.

(23) Czterej Czarni Jeźdźcy o świcie przekraczają granicę Shire'u. Inni ścigają Strażników uciekających na wschód, po czym wracają, by strzec Zielonego Gościńca. Czarny Jeździec zjawia się w Hobbitonie. Frodo opuszcza Bag End. Gandalf, oswoiwszy Cienistogrzywego, wyjeżdża na nim z Rohanu.

(24) Gandalf przeprawia się przez Isenę.

(26) Stary Las. Frodo gości u Bombadila.

(27) Gandalf przeprawia się przez Szarą Wodę. Druga noc u Bombadila.

(28) Upiór Kurhanu więzi hobbitów. Gandalf dociera do Brodu Sarn.

(29) Frodo wieczorem przybywa do Bree. Gandalf odwiedza starego Dziadunia Gamgee.

(30) Nocny napad na Ustroń i na gospodę w Bree. Frodo opuszcza Bree. Gandalf wstępuje do Ustroni po drodze do Bree, gdzie przybywa wieczorem.

Październik

(1) Gandalf opuszcza Bree.

(3) Napaść na Gandalfa na Wichrowym Czubie.

(6) Obóz pod Wichrowym Czubem przeżywa nocną napaść. Frodo ranny.

(9) Glorfindel wyrusza z Rivendell.

(11) Glorfindel wypłasza jeźdźców z mostu na Mitheithel (Szara Woda).

(13) Frodo przejeżdża przez most.

(18) Glorfindel spotyka o zmroku Froda. Gandalf przybywa do Rivendell.

(20) Przeprawa przez Bród Bruinen.

(24) Frodo odzyskuje przytomność. Przybycie Boromira do Rivendell.

(25) Narada u Elronda.

Grudzień

(25) Drużyna Pierścienia wyrusza o zmroku z Rivendell.

3019

Styczeń

(8) Drużyna przybywa do Hollinu.

(11,12) Śnieżyca pod Caradhrasem.

(13) Przed świtem napad wilków. O zmroku Drużyna dociera do bram Morii. Gollum zaczyna tropić Powiernika Pierścienia.

(14) Noc w sali Dwudziestej Pierwszej.

(15) Walka na moście Khazad-dûm. Gandalf spada w przepaść. Późną nocą Drużyna dochodzi nad strumień Nimrodel.

(17) Wieczorem Drużyna przybywa do Caras Galadhon.

(23) Gandalf w ślad za Balrogiem wspina się na szczyt Zirak-zigil.

(25) Gandalf strąca z góry Balroga i odchodzi ze świata. Ciało jego zostaje na szczycie.

Luty

(14) Zwierciadło Galadrieli. Gandalf zostaje przywrócony do życia, leży w letargu na szczycie.

(16) Pożegnanie z Lórien. Gollum ukryty na zachodnim brzegu śledzi odjazd Wędrowców.

(17) Gwaihir przenosi Gandalfa do Lórien.

(23) W pobliżu Sarn Gebir orkowie nocą atakują łodzie Drużyny.

(25) Drużyna przepływa przez Argonath i biwakuje w Parth Galen. Pierwsza bitwa u Brodów na Isenie, śmierć Théodreda, syna Théodena z Rohanu.

(26) Rozbicie Drużyny. Śmierć Boromira; głos jego rogu dochodzi do Minas Tirith. Meriadok i Peregrin dostają się do niewoli. Frodo i Sam docierają do wschodniej części Emyn Muil. Aragorn wieczorem rusza w pogoń za orkami. Éomer otrzymuje wiadomość o bandzie orków, która wtargnęła od wzgórz Emyn Muil do Rohanu.

(27) Aragorn o świcie staje na zachodniej krawędzi Płaskowyżu. O północy Éomer wbrew rozkazom Théodena rusza ze Wschodniej Bruzdy przeciw orkom.

(28) Éomer zagradza orkom drogę tuż pod lasem Fangorn.

(29) Meriadok i Peregrin uciekają z niewoli i spotykają Drzewca. Rohirrimowie o wschodzie słońca staczają bitwę i zadają klęskę orkom. Frodo schodzi z grani Emyn Muil i spotyka Golluma. Faramir zauważa na rzece łódź niosącą zwłoki Boromira.

(30) Początek wiecu entów. Éomer wraca do Edoras i spotyka Aragorna.

Marzec

(1) Frodo rozpoczyna o świcie marsz przez Martwe Bagna. Wiec entów trwa. Aragorn spotyka Gandalfa Białego i razem udają się do Edoras. Faramir rusza z Minas Tirith na wyprawę do Ithilien.

(2) Frodo dociera do końca bagien. Gandalf w Edoras uzdrawia Théodena. Rohirrimowie ruszają na zachód przeciw Sarumanowi. Druga bitwa u Brodów na Isenie. Porażka Erkenbranda. Po południu rozwiązuje się wiec entów. Nocny marsz do Isengardu.

(3) Théoden wycofuje się do Helmowego Jaru. Początek bitwy o Rogaty Gród. Entowie dopełniają zniszczenia Isengardu.

(4) Théoden i Gandalf wyruszają z Helmowego Jaru w kierunku Isengardu. Frodo znajduje się wśród wysypisk żużlu na skraju Pustaci

Morannonu.

(5) W południe Théoden przybywa do Isengardu. Rokowania z Sarumanem pod Wieżą Orthanku. Skrzydlaty Nazgûl przelatuje nad obozem w Dol Baran. Gandalf z Peregrinem wyruszają do Minas Tirith. Frodo kryje się przed oczyma wartowników Morannonu i o zmroku rusza w dalszą drogę.

(6) Przed świtem Dúnedainowie odnajdują w stepie Aragorna. Théoden rusza z Rogatego Grodu do Harrowdale, Aragorn wkrótce po nim.

(7) Żołnierze Faramira spotykają Froda i prowadzą go do Henneth Annûn. Aragorn przybywa wieczorem do Dunharrow.

(8) Aragorn o świcie wstępuje na Ścieżkę Umarłych, o północy staje na szczycie Erech. Frodo opuszcza Henneth Annûn.

(9) Gandalf przybywa do Minas Tirith. Faramir opuszcza Henneth Annûn. Aragorn z Erech dociera do Calembel. Frodo o zmroku znajduje się na drodze do Morgulu. Théoden przybywa do Dunharrow. Z Mordoru zaczynają napływać nad świat ciemności.

(10) Dzień bez świtu. Przegląd wojsk Rohanu. Rohirrimowie ruszają z Harrowdale. Gandalf ratuje Faramira na przedpolach grodu, Aragorn przeprawia się przez rzekę Ringló. Armia z Morannonu wkracza do Anorien, zdobywając po drodze Cair Andros. Frodo mija Rozstaj i obserwuje wymarsz wojsk z Morgulu.

(11) Gollum odwiedza Szelobę, lecz patrząc na uśpionego Froda, niemal żałuje swojej zdrady. Denethor wysyła Faramira do Osgiliath. Aragorn dociera do Linhiru i wkracza do Lebennin. Napaść z północy na wschodnie prowincje Rohanu. Pierwszy atak na Lórien.

(12) Gollum zwabia Froda do kryjówki Szeloby. Faramir cofa się ku fortom na grobli. Théoden biwakuje pod Minrimmonem. Aragorn wypiera nieprzyjaciół w kierunku Pelargiru. Entowie rozbijają napastników grożących Rohanowi.

(13) Frodo wpada w ręce orków z Wieży na Cirith Ungol. Nieprzyjaciel zajmuje Pelennor. Faramir odnosi ranę. Aragorn przybywa do Pelargiru i zdobywa flotę. Théoden obozuje w lesie Drúadan.

(14) Sam odnajduje Froda na Wieży. Oblężenie Minas Tirith. Rohirrimowie, za przewodem Dzikich Ludzi, docierają do Szarego Lasu.

(15) Po północy Czarnoksiężnik burzy bramę grodu. Denethor wstępuje na stos. O pierwszych kurach dobiega głos rogów Rohanu. Bitwa na polach Pelennoru. Śmierć Théodena. Frodo i Sam uciekają z wieży orków i rozpoczynają wędrówkę na północ wzdłuż grzbietu Morgai. Bitwa pod drzewami w Mrocznej Puszczy. Thranduil odpiera napaść z Dol Guldur. Drugi atak na Lórien.

(16) Narada wodzów. Frodo ze szczytu Morgai obserwuje obóz i w oddali Górę Przeznaczenia.

(17) Bitwa w Dale. Śmierć króla Branda i króla Dáina Żelaznej Stopy. Krasnoludowie i ludzie chronią się w Ereborze, gdzie przetrzymują oblężenie. Szagrat przynosi do Barad-dûr płaszcz, kolczugę i miecz Froda.

(18) Armie Gondoru i Rohanu wyruszają z Minas Tirith. Frodo zbliża się do Żelaznej Paszczy i na drodze z Durthangu do Udûnu wpada w ręce orków.

(19) Armia wkracza w dolinę Morgulu. Frodo i Sam uciekają orkom i zaczynają wędrówkę wzdłuż gościńca do Barad-dûr.

(22) Okropny wieczór, Frodo i Sam skręcają z drogi na południe, ku Górze Przeznaczenia. Trzeci atak na Lórien.

(23) Armia opuszcza Ithilien, Aragorn zwalnia małodusznych. Frodo i Sam porzucają broń i sprzęt.

(24) Frodo i Sam podejmują ostatni marsz od stóp Góry Przeznaczenia. Armia obozuje na Pustaci Morannonu.

(25) Armia otoczona na kopcach żużlu. Frodo i Sam osiągają Sammath Naur. Gollum wyrywa Frodowi Pierścień i spada w Szczeliny Zagłady. Upadek Barad-dûr i koniec Saurona.

Po upadku Czarnej Wieży i zniknięciu Saurona Cień rozwiał się i wszyscy jego przeciwnicy odetchnęli swobodnie, lecz strach padł na jego sługi i sojuszników. Z Dol Guldur trzykrotnie atakowano Lórien, lecz elfowie bronili się mężnie, a ponadto czarodziejska moc tej krainy zbyt była potężna, by ją mogły zwyciężyć inne siły, chyba że Sauron we własnej osobie wziąłby udział w walce. Piękne drzewa na skraju lasu ucierpiały srodze, napaść wszakże odparto, a gdy cień przeminął, Celeborn poprowadził zastęp elfów z Lórien, przeprawił się na łodziach przez

Anduinę i zdobył Dol Guldur. Galadriela zaklęciem zburzyła mury twierdzy i zamknęła ziejące szyby. Las został oczyszczony.

Na północy także szerzyła się wojna i działały złe siły. Napadły one na królestwo Thranduila, pod drzewami rozegrała się wielka bitwa, las został w wielu miejscach zniszczony mieczem i ogniem, w końcu jednak Thranduil zwyciężył. W dzień Nowego Roku (według kalendarza elfów) Celeborn i Thranduil spotkali się pośrodku puszczy i nadali jej nową nazwę Eryn Lasgalen, to znaczy Puszcza Zielonych Liści. Thranduil zajął północną jej część aż pod góry wyrastające z lasu, a Celeborn włączył do swego królestwa część południową jako wschodnią prowincję Lórien; środkowy wszakże rozległy obszar, dzielący dwa państwa elfów, oddano we władanie plemieniu Beorna i Leśnym Ludziom. Lecz w kilka lat po odpłynięciu Galadrieli Celeborn poczuł się znużony życiem w swym królestwie, udał się do Imladris i zamieszkał tam z synami Elronda. Elfy Leśne spokojnie mieszkały w Zielonym Lesie, w Lórien natomiast wiodło smutne życie niewielu już tylko z jego dotychczasowych mieszkańców i w Caras Galadhon nie stało światła ni pieśni.

Kiedy potężne armie oblegały Minas Tirith, inne wojska, złożone z sojuszników Saurona od dawna zagrażających państwu króla Branda, przekroczyły rzekę Carnen i zepchnęły obrońców w Dolinę Dal. Brandowi przyszli na pomoc krasnoludowie z Ereboru i u stóp Samotnej Góry stoczono wielką bitwę. Trwała ona trzy dni; obaj królowie – Brand i Dáin Żelazna Stopa – polegli. Easterlingowie tryumfowali, nie mogli jednak zdobyć Bramy Ereboru, a krasnoludowie i ludzie, którzy się za nią schronili, przetrwali oblężenie.

Kiedy nadeszła wieść o zwycięstwie królów na południu, panika ogarnęła północne armie Saurona; oblężeni dokonali wypadu za Bramę i rozbili nieprzyjacielskie zastępy, które zdziesiątkowane uciekły, by nigdy odtąd nie napastować już Dal. Królem tego kraju został Bard II, syn Branda, a pod Górą objął panowanie Thorin III Kamienny Hełm, syn Dáina. Obaj władcy wysłali posłów na koronację króla Elessara. Królestwa ich przetrwały długie wieki, a zawsze żyły w przyjaźni z Gondorem, należały do koronnych krajów króla Zachodu i pozostawały pod jego opieką.

Najważniejsze daty okresu od upadku Barad-dûr do końca Trzeciej Ery[120]

3019

Według kalendarza Shire'u 1419

[27 marca. Bard II i Thorin III Kamienny Hełm wypędzają z Dale nieprzyjaciół. 28. Celeborn przekracza Anduinę, rozpoczyna się burzenie Dol Guldur.

6 kwietnia. Spotkanie Celeborna z Thranduilem. 8. Powiernicy Pierścienia odbierają hołd na polach Cormallen.

1 maja. Koronacja króla Elessara. Elrond i Arwena wyruszają z Rivendell. 8. Éomer i Éowina wyjeżdżają do Rohanu z synami Elronda. 20. Elrond i Arwena przybywają do Lórien. 27. Świta Arweny opuszcza Lórien.

14 czerwca. Synowie Elronda spotykają się z eskortą i udają się z nią do Edoras. 16. Wyruszają do Gondoru. 25. Król Elessar znajduje pęd Białego Drzewa.

1 lipca. Arwena przybywa do grodu.

Dzień Środka Roku. Gody Elessara i Arweny.

18 lipca. Éomer powraca do Minas Tirith. 19. Wyrusza orszak pogrzebowy króla Théodena.

7 sierpnia. Orszak przybywa do Edoras. 10. Pogrzeb króla Théodena. 14. Goście opuszczają dwór króla Éomera. 18. Przybywają do Helmowego Jaru. 22. Przybywają do Isengardu i o zachodzie słońca rozstają się z królem Elessarem. 28. Spotykają Sarumana; Saruman zwraca się w kierunku Shire'u.

6 września. Popas w górach opodal Morii. 13. Rozstanie z Celebornem i Galadrielą, reszta Wędrowców zmierza do Rivendell. 21. Przybycie do Rivendell. 22. Sto dwudzieste dziewiąte urodziny Bilba. Saruman zjawia się w Shire.

5 października. Gandalf i hobbici opuszczają Rivendell. 6. Przeprawiają się przez Bród Bruinen; nawrót bólu w ranie Froda. 28. Wieczorem przybywają do Bree. 30. Wyjeżdżają z Bree i po ciemku docierają do mostu na Brandywinie.

1 listopada. Szeryfowie zatrzymują ich w Żabiej Łące. 2. Przybywają Nad Wodę i zrywają ludność Shire'u do powstania. 3. Bitwa Nad Wodą i unicestwienie Sarumana. Koniec Wojny o Pierścień.

3020

Według kalendarza Shire'u 1420: Rok Obfitości

13 marca. Choroba Froda (w rocznicę wsączenia jadu przez Szelobę).

6 kwietnia. Na urodzinowej Łące zakwita *mallorn*.

1 maja. Wesele Sama i Róży.

Dzień Środka Roku. Frodo zrzeka się godności burmistrza, którą obejmuje z powrotem Will Whitfoot.

22 września. Sto trzydzieste urodziny Bilba.

6 października. Ponowna choroba Froda.

3021

Według kalendarza Shire'u 1421: Ostatni Rok Trzeciej Ery

13 marca. Nowy nawrót choroby Froda. 25. Narodziny Elanor Pięknej[121], córki Sama. Według kalendarza Gondoru tego dnia zaczęła się Czwarta Era.

21 września. Frodo z Samem wyjeżdżają z Hobbitonu. 22. W Leśnym Zakątku spotykają się Powiernicy Pierścieni, by razem ruszyć na Ostatnią Wyprawę. 29. Przybywają do Szarej Przystani. Frodo i Bilbo odpływają za Morze wraz z Trzema Pierścieniami. Koniec Trzeciej Ery.

6 października. Powrót Sama do Bag End.

Późniejsze wypadki dotyczące członków Drużyny Pierścienia

Rok według kalendarza Shire'u

1422 Z początkiem tego roku zaczęła się według kalendarza Shire'u Czwarta Era, lecz lata liczono po dawnemu.

1427 Will Whitfoot składa urząd. Hobbici wybierają na burmistrza Sama Gamgee. Peregrin zaślubia Perełkę z Long Cleeve. Król Elessar ogłasza prawo, na mocy którego Dużym Ludziom wzbroniony jest wstęp do Shire'u, wolnego kraju pod opieką Północnego Królestwa.

1430 Narodziny Faramira, syna Peregrina.

1431 Narodziny Złotogłówki, córki Sama.

1432 Meriadok, zwany Wspaniałym, zostaje zarządcą Bucklandu. Otrzymuje hojne dary od króla Éomera i Éowiny z Ithilien.

1434 Peregrin zostaje Tukiem i thanem. Król Elessar mianuje thana, zarządcę i burmistrza członkami Rady Królestwa Północy. Sam Gamgee ponownie w wyborach zdobywa godność burmistrza.

1436 Król Elessar w podróży na północ zatrzymuje się nad Jeziorem Evendim. Spotyka przyjaciół pośrodku mostu na Brandywinie. Obdarowuje Sama Gwiazdą Dúnedainów. Elanor zostaje dwórką w świcie królowej Arweny.

1441 Sam Gamgee po raz trzeci otrzymuje urząd burmistrza.

1442 Sam z żoną i córką Elanor gości przez rok w Gondorze. Zastępuje go na urzędzie młody Tolman Cotton.

1448 Sam zostaje burmistrzem po raz czwarty.

1451 Elanor Piękna wychodzi za mąż za Fastreda z Greenholmu.

1452 Król rozszerza granice Shire'u, włączając do niego Marchię

Zachodnią (od Dalekich Wzgórz po Wzgórze Wieżowe – Emyn Beraid). Wielu hobbitów tam się przeniosło.

1454 Narodziny Elfstana, syna Fastreda i Elanor.

1455 Sam po raz piąty zostaje burmistrzem. Na jego prośbę than mianuje Fastreda, męża Elanor, Opiekunem Zachodniej Marchii (nowo zasiedlonego okręgu); Fastred i Elanor zamieszkują w domu Pod Wieżami na Wieżowych Wzgórzach, gdzie żyć będzie potem wiele pokoleń ich potomstwa.

1462 Sam po raz szósty zostaje burmistrzem.

1463 Faramir Tuk poślubia Złotogłówkę, córkę Sama.

1469 Sam zostaje burmistrzem po raz siódmy i ostatni; w roku 1476, składając urząd, liczy sobie lat dziewięćdziesiąt sześć.

1482 W połowie lata śmierć Róży, żony Sama. 22 września Sam opuszcza Bag End. Odwiedza na Wieżowych Wzgórzach córkę Elanor i powierza jej Czerwoną Księgę, która odtąd przechowywana jest w rodzie Fairbairnsów. Istnieje też w tym rodzie tradycja, pochodząca od Elanor, że Sam podążył za góry do Szarej Przystani, by odpłynąć za Morze, jako ostatni z Powierników Pierścienia.

1484 Wiosną przybył z Rohanu do Bucklandu goniec z wieścią, że król Éomer pragnie zobaczyć raz jeszcze pana Holdwine'a. Meriadok był już stary (102 lata), lecz zawsze krzepki. Po naradzie ze swym przyjacielem thanem obaj przekazali synom mienie oraz urzędy i przeprawili się przez Bród Sarn. Nigdy więcej nie widziano ich w Shire. Doszły jednak słuchy, że Meriadok przebywał w Edoras aż do jesieni, kiedy to zmarł król Éomer. Wówczas Meriadok i Peregrin udali się do Gondoru i tam spędzili resztę lat, jakie im do życia zostały, a gdy zmarli, pochowano ich w grobowcach Rath Dínen wśród najznakomitszych mężów Gondoru.

1541 Tego roku[122] opuścił Śródziemie król Elessar. Podobno Meriadok i Peregrin spoczęli na wieczny sen po obu stronach króla w jego grobowcu. Wtedy to Legolas zbudował w Ithilien szary okręt i popłynął z biegiem Anduiny ku Morzu. Z nim, jak wieść głosi, pożeglował krasnolud Gimli. I tak, gdy okręt zniknął z widnokręgu, zamknęła się w dziejach Śródziemia karta Drużyny Pierścienia.

DODATEK C

RODOWODY

W rodowodach tych figuruje tylko część imion wybranych spośród mnóstwa. Wymieniono tych, którzy brali udział w pożegnalnym przyjęciu u Froda, lub ich bezpośrednich przodków. Imiona gości pamiętnej zabawy podkreślono. Włączono również imiona osób związanych z opowiedzianymi w książce zdarzeniami. Wreszcie podano parę wiadomości o pochodzeniu Sama, założyciela rodu Ogrodników, który w późniejszych czasach zdobył wpływy i rozgłos. Daty umieszczone pod imionami oznaczają lata urodzenia (i śmierci – jeśli jest druga data). Wszystkie daty oznaczono według kalendarza Shire’u, który za rok pierwszy przyjął rok przekroczenia Brandywiny przez braci Marcha i Blanka (rok 1601 Trzeciej Ery).

BAGGINSOWIE Z HOBBITONU

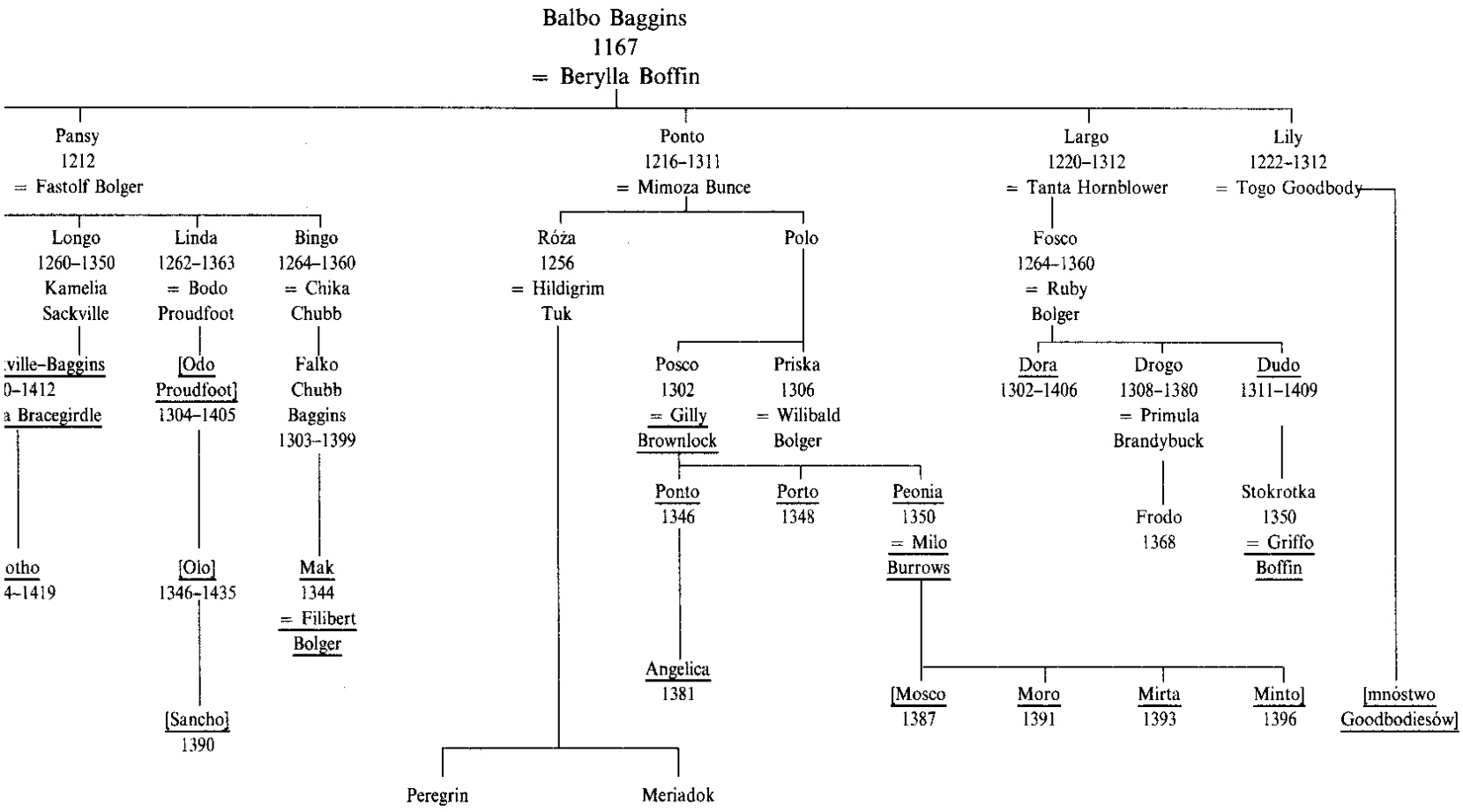

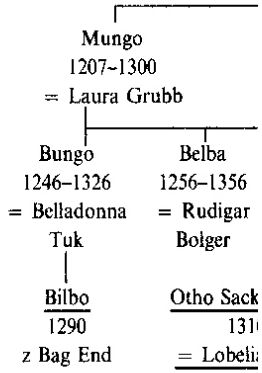
Mungo
1207–1300
= Laura Grubb
Bungo
1246–1326
= Belladonna
Tuk
Bilbo
1290
z Bag End
Belba
1256–1356
= Rudigar
Bolger
Otho Sack
131
= Lobeli
L
136

TUKOWIE Z WIELKICH SMAJALÓW

Isengrim II (Dziesiąty Than z rodu Tuków)
1020–1122
Isumbras III
1066–1159

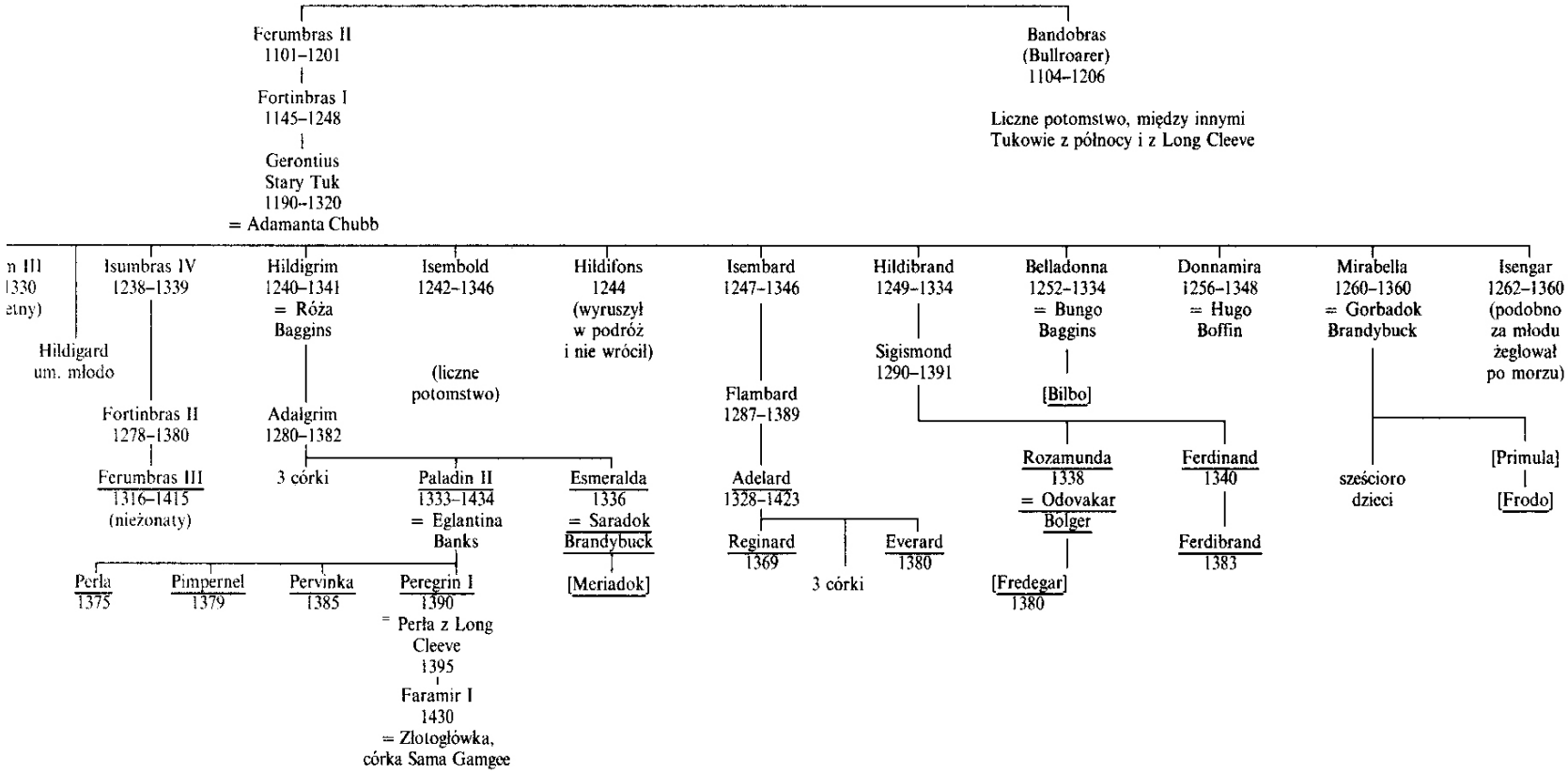

Γ
Isengri
1232–1
(bezdzi

BRANDYBUCKOWIE Z BUCKLANDU

Gorhendad Oldbuck z Marish ok. 740 zaczął budować Brandy Hall i zmienił rodowe nazwisko na Brandybuck

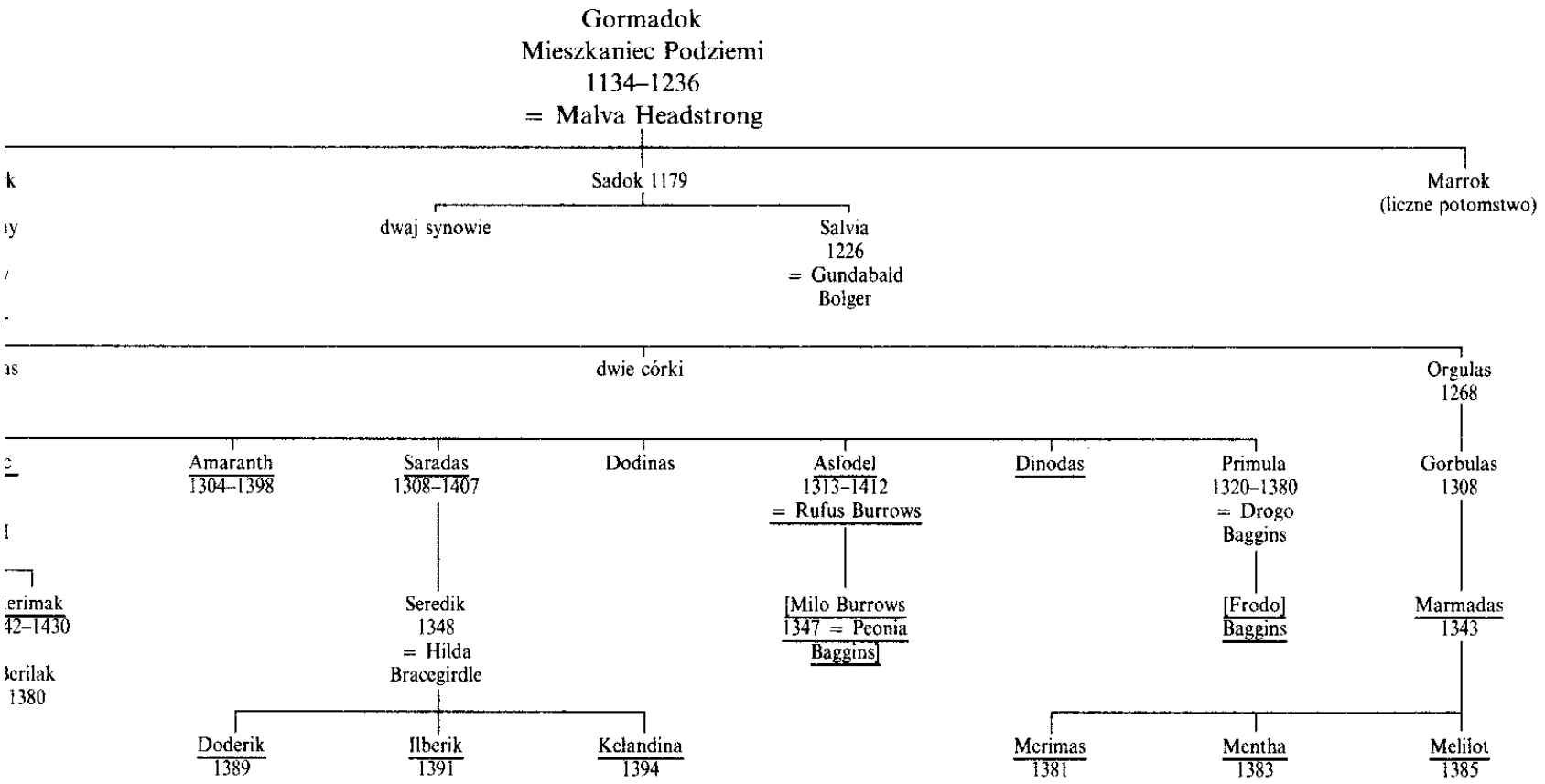

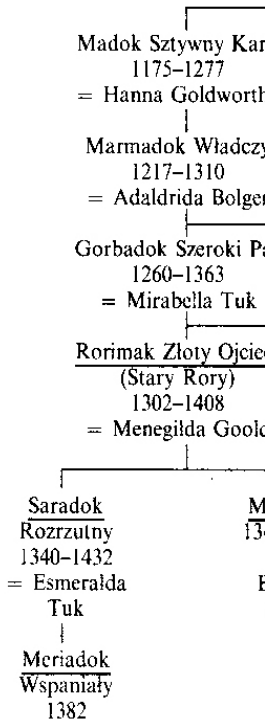
Madok Sztywny Kar
1175–1277
= Hanna Goldworth
Marmadok Władczy
1217–1310
= Adaldrida Bolger
Gorbadok Szeroki P
1260–1363
= Mirabella Tuk
Rorimak Złoty Ojcie
(Stary Rory)
1302–1408
= Menegilda Goold
Saradok
Rozrzutny
1340–1432
= Esmeralda
Tuk
Meriadok
Wspaniały
1382

RODOWÓD SAMA GAMGEE

obrazujący także pochodzenie rodu Ogrodników z Pagórka i Fairbairnów z Wieżowych Gór

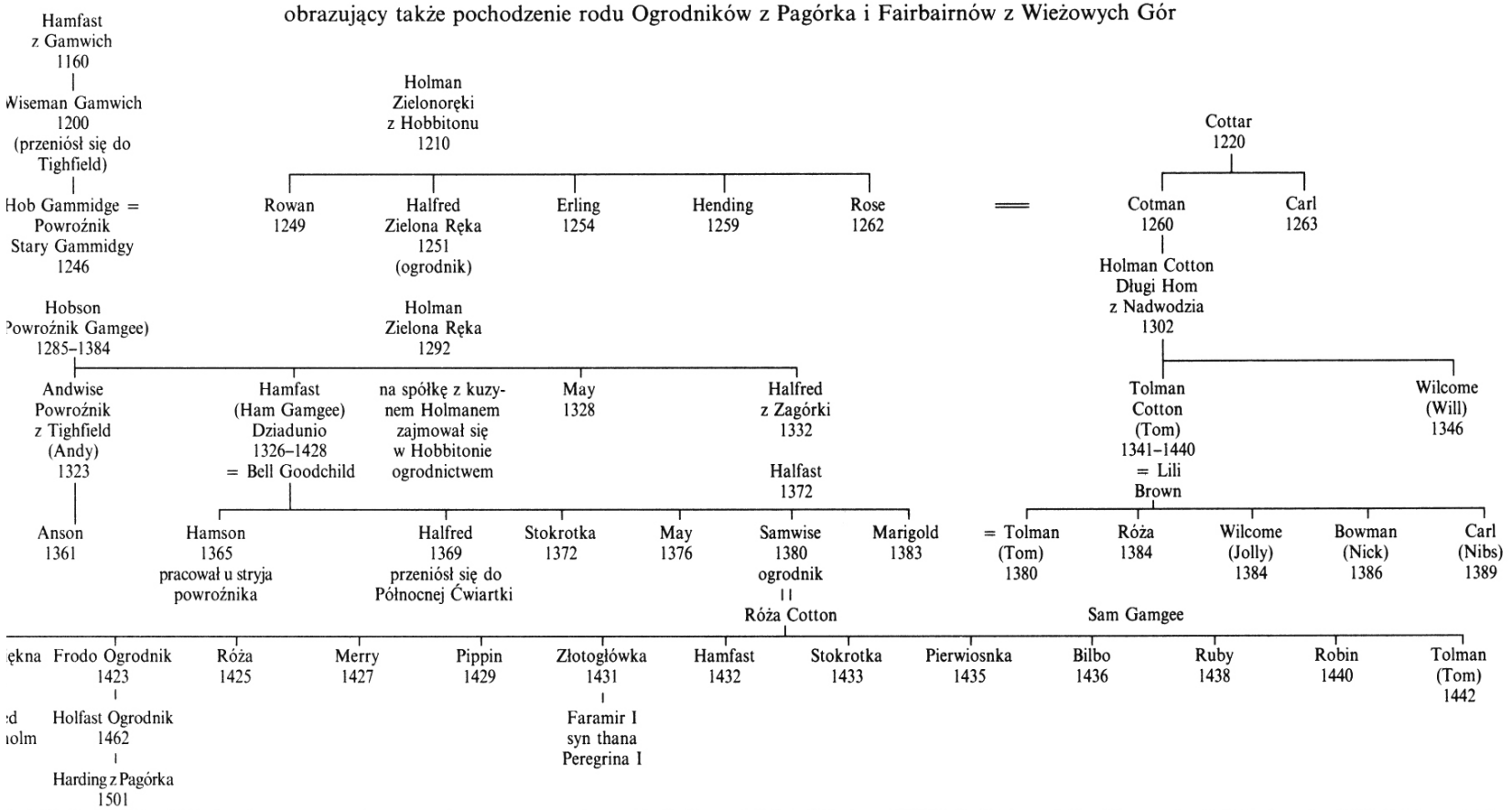

ię do Zachodniej Marchii, kraju wówczas zagospodarowanego (a otrzymanego w darze od króla Elessara), Między Wzgórzami Dalekimi a Wieżowymi. Od nich wywodzą się Fairbairnowie z Wież, Opiekunowie Marchii j, którzy odziedziczyli Czerwoną Księgę i przepisali ją, dodając późniejsze wiadomości oraz wyjaśnienia.

Elanor Pi
1421
II
Fastre
z Greenl

Przenieśli s
Zachodnie

RODOWÓD KRASNOLUDÓW Z EREBORU SPISANY PRZEZ GIMLEGO, SYNA GLÓINA NA ŻYCZENIE KRÓLA ELESSARA

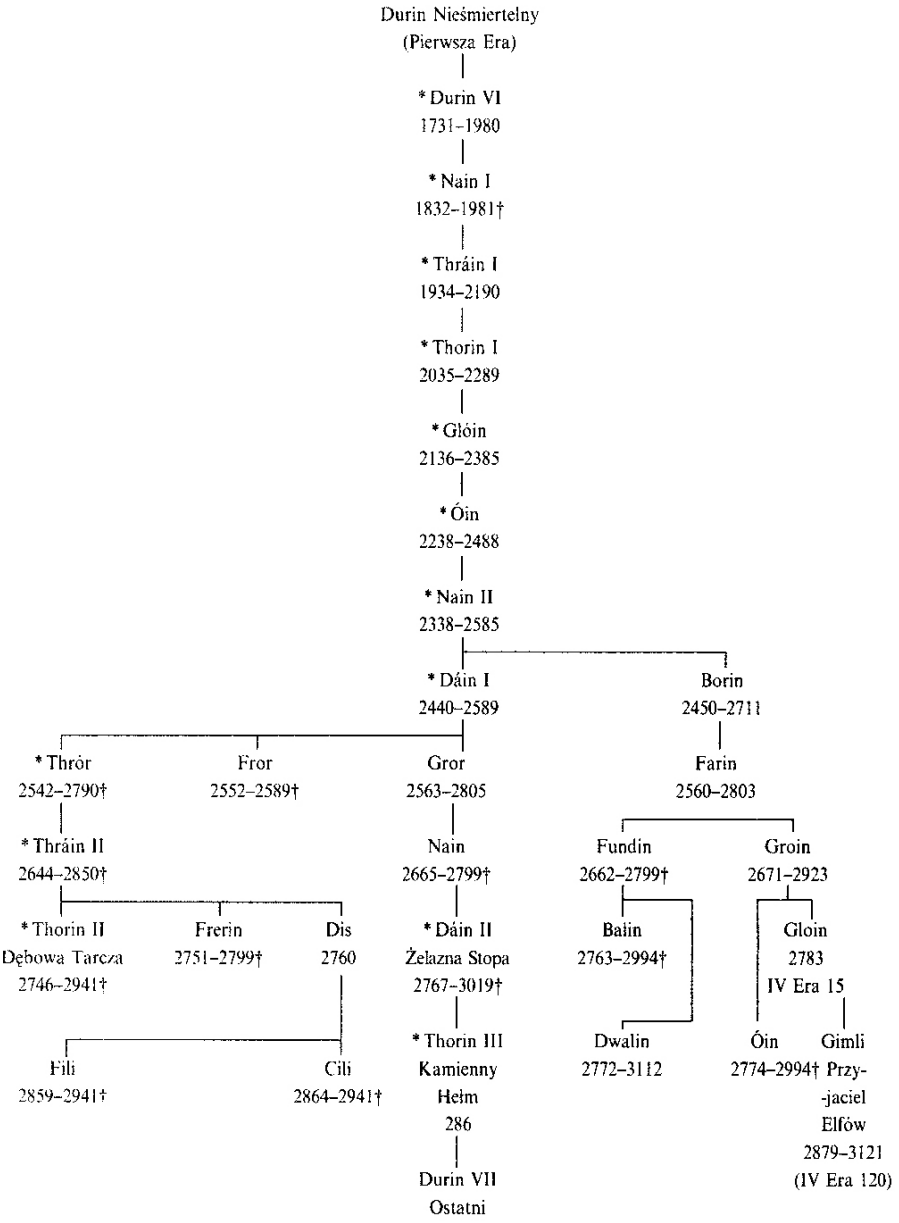

Założenie Ereboru	1999	Wojna krasnoludów z orkami	2793–2799
Dáin I zabity przez smoka	2589	Bitwa o Nanduhirion	2799
Powrót do Ereboru	2590	Thráin rusza na tułaczkę	2841
Spustoszenie Ereboru	2770	Śmierć Thráina i strata Pierścienia	2850
Zamordowanie Thróra	2790	Bitwa Pięciu Armii i śmierć Thórina II	2941
Zbrojenia armii krasnoludzkiej	2790–2793	Balin udaje się do Morii	2989

Gwiazdkami oznaczono imiona tych, którzy byli uznawani za królów Durinowego plemienia, chociażby na wygnaniu. Spośród innych towarzyszy wyprawy Thorina Dębowej Tarczy do Ereboru należeli do rodu Durina Ori, Nori i Dori, a dalsi krewni: Bifur, Bofur i Bombur wywodzili się od krasnoludów z Morii, ale nie z linii Durina. Krzyżyk oznacza śmierć w boju lub inną śmierć gwałtowną.

DODATEK D

KALENDARZ SHIRE’U

Można go stosować każdego roku

(1) *Afteryule*	(4) *Astron*	(7) *Afterlithe*	(10) *Winterfilth*
YULE 7 14 21 28	1 8 15 22 29	LITHE 7 14 21 28	1 8 15 22 29
1 8 15 22 29	2 9 16 23 30	1 8 15 22 29	2 9 16 23 30
2 9 16 23 30	3 10 17 24 –	2 9 16 23 30	3 10 17 24 –
3 10 17 24 –	4 11 18 25 –	3 10 17 24 –	4 11 18 25 –
4 11 18 25 –	5 12 19 26 –	4 11 18 25 –	5 12 19 26 –
5 12 19 26 –	6 13 20 27 –	5 12 19 26 –	6 13 20 27 –
6 13 20 27 –	7 14 21 28 –	6 13 20 27 –	7 14 21 28 –
(2) *Solmath*	(5) *Thrimidge*	(8) *Wedmath*	(11) *Blotmath*
– 5 12 19 26	– 6 13 20 27	– 5 12 19 26	– 6 13 20 27
– 6 13 20 27	– 7 14 21 28	– 6 13 20 27	– 7 14 21 28
– 7 14 21 28	1 8 15 22 29	– 7 14 21 28	1 8 15 22 29
1 8 15 22 29	2 9 16 23 30	1 8 15 22 29	2 9 16 23 30
2 9 16 23 30	3 10 17 24 –	2 9 16 23 30	3 10 17 24 –
3 10 17 24 –	4 11 18 25 –	3 10 17 24 –	4 11 18 25 –
4 11 18 25 –	5 12 19 26 –	4 11 18 25 –	5 12 19 26 –
(3) *Rethe*	(6) *Forelithe*	(9) *Halimath*	(12) *Foreyule*
– 3 10 17 24	– 4 11 18 25	– 3 10 17 24	– 4 11 18 25
– 4 11 18 25	– 5 12 19 26	– 4 11 18 25	– 5 12 19 26
– 5 12 19 26	– 6 13 20 27	– 5 12 19 26	– 6 13 20 27
– 6 13 20 27	– 7 14 21 28	– 6 13 20 27	– 7 14 21 28
– 7 14 21 28	1 8 15 22 29	– 7 14 21 28	1 8 15 22 29
1 8 15 22 29	2 9 16 23 30	1 8 15 22 29	2 9 16 23 30
2 9 16 23 30	3 10 17 24 LITHE	2 9 16 23 30	3 10 17 24 YULE
	DZIEŃ ŚRODKA ROKU (OVERLITHE)		

Każdy rok rozpoczynał się pierwszego dnia tygodnia, w sobotę, a kończył ostatniego dnia tygodnia, w piątek. Sobótka – Dzień Środka Roku, a w latach przestępnych także Overlithe (dzień po Sobótce), nie miały żadnych nazw dni tygodnia. Wigilia Sobótki nazywała się 1 Lithe, natomiast dniem po Sobótce było 2 Lithe. Dzień Godów (ang. *Yule*) w samym końcu roku nazywany był 1 Yule, a ten, który rok rozpoczynał – 2 Yule. Overlithe było dniem wyjątkowego święta, o którym niestety nie ma mowy w historii Jedynego Pierścienia. Obchodzono je natomiast w roku 1420, roku wspaniałych żniw i cudownego lata. Powiadają też, że uroczystości i

zabawy tamtego roku zapisały się w pamięci i kronikach jako najznamienitsze w dziejach.

O kalendarzach

Kalendarz w Shire rozmaitymi szczegółami różnił się od naszego. Rok[123] niewątpliwie miał tę samą długość, bo chociaż, gdy mierzyć długością lat i żywotów ludzkich, tamte czasy zdają się bardzo dawne, nie są one tak odległe w skali pamięci Ziemi. Przekazy hobbitów sięgały czasów, gdy – za dni swej wędrówki – nie znali pojęcia tygodnia i chociaż Księżyc, lepiej lub gorzej, kierował hobbickimi miesiącami, daty przez nich wyznaczane były bardzo niedokładne. W zachodnich krainach Eriadoru, gdzie wkrótce się osiedlili, przyjęli królewską rachubę Dúnedainów, mającą swe źródła już u Eldarów, jednak hobbici wprowadzili do niej wiele pomniejszych udoskonaleń. Ten kalendarz, zwany kalendarzem Shire'u, ostatecznie przyjął się też w Bree, z wyjątkiem tego, że tam nie liczono pierwszego roku od dnia kolonizacji Shire'u.

Czasem w starych opowieściach i dawnej tradycji niełatwo odnaleźć informacje precyzyjnie tłumaczące rzeczy dobrze znane naszym przodkom – rzeczy, które były w ich czasach całkiem oczywiste (jak nazwy dni tygodnia, liter, długość miesięcy i ich nazwy). Ale dzięki zainteresowaniu hobbitów genealogią oraz dzięki temu, że po Wojnie o Pierścień wzrosło nagle wśród nich zainteresowanie starożytną historią, mieli oni bardzo wiele do czynienia z datami, a nawet rysowali skomplikowane tablice, ukazujące relacje między ich kalendarzem a innymi. Nie jestem zbyt uzdolniony w tych sprawach i mogłem narobić mnóstwo błędów; w każdym razie chronologia tak kluczowych lat 1418 i 1419 wg kalendarza Shire'u została przedstawiona bardzo dokładnie w Czerwonej Księdze i nie może tu być mowy o jakichkolwiek niedokładnościach.

To oczywiste, że Eldarowie w Śródziemiu, którzy, jak słusznie zauważył Samwise, mieli do dyspozycji więcej czasu, dzielili ten czas na długie odcinki i wyraz *yén* w języku quenya, zwykle tłumaczony jako „rok" (s. 419), w rzeczywistości oznacza 144 nasze lata. Jeśli tylko to było możliwe, Eldarowie woleli liczyć szóstkami i dwunastkami. Dobę (dzień) nazywali *re* i liczyli ją od zachodu Słońca do ponownego zachodu. *Yén* zawierał w sobie

52596 takich dni. Z przyczyn raczej religijnych niż praktycznych tydzień Eldarów, czyli *enquië*, składał się z sześciu dni. *Yén* miał 8766 takich *enquier*, które stale zliczano w danym okresie.

W Śródziemiu Eldarowie posługiwali się krótszą jednostką czasu – rokiem słonecznym. Zwali go *coranar* – obieg Słońca – wiążąc go w ten sposób z zaobserwowanym zjawiskiem astronomicznym. Zwykle jednak określali rok terminem *loa*, wzrastanie (szczególnie w krainach północno-zachodnich), nawiązując w szczególności do sezonowych zmian w świecie roślinnym, co charakterystyczne jest właśnie dla elfów. *Loa* dzielił się jeszcze na krótsze odcinki – długie miesiące lub krótkie pory roku – jak kto woli. Niewątpliwie różniły się one w zależności od regionu, ale hobbici przekazali nam jedynie informacje o kalendarzu z Imladris. W nim zaś było sześć takich „pór roku". W języku quenya nosiły one nazwy: *tuilë*, *lairë*, *yávië*, *quellë*, *hrívë i coirë*, które można przetłumaczyć jako: wiosna, lato, jesień, szaruga, zima, przedwiośnie. Sindarińskie nazwy pór roku to: *ethuil*, *laer*, *iavas*, *firith*, *rhîw* i *echuir*. Szaruga jesienna nosiła też nazwę *lasse-lanta*, „opadanie liści" lub – w sindarinie – *narbeleth* – „zanikanie Słońca".

Zarówno *lairë*, jak i *hrívë* liczyły po 72 dni; pozostałe pory po 54 dni każda. *Loa* rozpoczynał się z dniem *yestarë*, bezpośrednio poprzedzającym *tuilë*, a kończył się *mettarë*, dniem następującym zaraz po *coirë*. Pomiędzy *yávië* i *quellë* znajdowały się trzy *enderi*, czyli „dni środkowe". To powodowało, że rok liczył 365 dni, a co dwanaście lat był uzupełniany przez podwojenie *enderi* (dodawano trzy dni).

Dokładnie nie wiemy, jak były traktowane wszystkie tego typu niedokładności. Jeżeli rok był wówczas tej samej długości co dziś, *yén* stawał się o jeden dzień dłuższy, niż należało. O tym, że istniała kwestia takiej niedokładności, świadczy uwaga do kalendarzy w Czerwonej Księdze stwierdzająca, że w rachubie z Rivendell ostatni rok co trzeciego *yén* skracano o trzy dni – pomijano wówczas zwyczajowe podwojenie trzech *enderi*. Lecz, jak się tam stwierdza, „nic takiego nie miało miejsca w naszych czasach". Poza tym fragmentem nie ma już mowy o poprawkach pozostałych nieścisłości.

Númenorejczycy zmienili ten porządek. Podzielili *loa* na krótsze odcinki o bardziej regularnej długości. Trzymali się też zwyczaju rozpoczynania roku w środku zimy – zwyczaju ludzi północnego zachodu z Pierwszej Ery, od których się wywodzili. Wkrótce ich tydzień zaczął liczyć siedem dni, a

doba trwała od wschodu Słońca nad morskim horyzontem do kolejnego wschodu.

Zarówno w Númenorze, jak i na obszarze Arnoru i Gondoru, númenorejski system zwał się Kalendarzem Królów. Zwykły rok składał się z 365 dni. Był podzielony na dwanaście *astar*, czyli miesięcy, z których dziesięć miało po 30, a dwa po 31 dni. „Długie” *astar* rozdzielono po jednym w każdym półroczu. Znajdowały się one przed Dniem Środka Roku i po nim i w przybliżeniu odpowiadały naszemu czerwcowi i lipcowi. Pierwszy dzień roku zwał się *yestarë*, środkowy (sto osiemdziesiąty trzeci) – *loëndë*, a ostatni – *mettarë*; te trzy dni nie należały do żadnego miesiąca. Co cztery lata – oprócz ostatniego roku w danym wieku (*haranyë*) – dwa *ender*i były używane w zastępstwie jednego *loëndë*.

W Númenorze zaczęto liczyć czas wraz z pierwszym rokiem Drugiej Ery. Regulowanie deficytu przez odejmowanie jednego dnia od ostatniego roku danego wieku nie wystarczało, by dopełnić ostatni rok każdego tysiąclecia. Milenijny deficyt wynosił 4 godziny, 46 minut, 40 sekund. W latach 1000, 2000, 3000 Drugiej Ery dodawano ten czas. Po Upadku Númenoru w roku 3319 Drugiej Ery system ten przetrwał, przejęty przez wygnańców, lecz został bardzo poważnie naruszony wraz z początkiem Trzeciej Ery. Z nową numeracją 3442 rok Drugiej Ery stał się pierwszym rokiem Trzeciej Ery. Ponieważ 4 rok Trzeciej Ery uznano za rok przestępny w miejsce 3 r. T.E. (3444 r. D.E.), wprowadzenie jednego więcej krótkiego 365-dniowego roku powiększyło deficyt do 5 godzin, 48 minut, 46 sekund. Milenijnych poprawek dokonano 441 lat później: w roku 1000 T.E. (4441 r. D.E.) i w 2000 r. T.E. (5441 r. D.E.). Aby zlikwidować w ten sposób powstałe błędy i nagromadzony deficyt, namiestnik Mardil stworzył i wydał poprawiony kalendarz. Obowiązywał on od 2060 r. T.E., po wcześniejszym dodaniu dwóch dni do roku 2059 (5500 r. D.E.) – pięć i pół tysiąca lat od początku númenorejskiej rachuby. Jednak wciąż jeszcze pozostawał deficyt około ośmiu godzin. Hador dodał do roku 2360 jeden dzień, mimo iż deficyt nie osiągnął jeszcze takiej sumy. Później nie wprowadzano już żadnych korekt – w roku 3000 Trzeciej Ery, pod groźbą wiszącej nad głowami wojny, tego typu sprawy zostały zaniedbane. W końcu Trzeciej Ery, 600 lat później, deficyt nie osiągnął jeszcze jednego pełnego dnia.

Wprowadzony przez Mardila poprawiony kalendarz nazywał się Kalendarzem Namiestników i ostatecznie został przejęty przez wszystkie ludy mówiące językiem westron – wszystkie oprócz hobbitów. W nowym kalendarzu wszystkie miesiące miały po 30 dni, a dwa dodatkowe dni poza miesiącami umieszczono między trzecim i czwartym miesiącem (marcem i kwietniem) oraz między dziewiątym i dziesiątym (wrześniem i październikiem). Wszystkie te pozamiesięczne dni – *yestarë, tuilérë, loëndë, yáviérë* i *mettarë* – były świętami.

Konserwatywni hobbici w dalszym ciągu używali Kalendarza Królów przyporządkowanego ich własnym zwyczajom. Wszystkie miesiące miały po 30 dni. Trzy Letnie Dni, zwane w Shire dniami Sobótki [*Lithe, Lithedays*], obchodzono między czerwcem i lipcem. Ostatni dzień roku i pierwszy roku następnego nazywano Godami [*Yuledays*]. Gody i Sobótki pozostawały poza miesiącami, zatem 1 stycznia był drugim, a nie pierwszym dniem roku. Co cztery lata, prócz ostatniego roku w stuleciu[124], w środku lata świętowano cztery Sobótki [*Lithedays*]. Sobótki i Gody były głównymi świętami hobbitów, okresem wielkich uroczystości. Ów dodatkowy sobótkowy dzień, wprowadzany po Dniu Środka Roku – sto osiemdziesiąty czwarty dzień roku przestępnego – zwał się Overlithe i był szczególnym świętem. Pełne Gody obejmowały sześć dni – ostatnie trzy i pierwsze trzy dni każdego roku.

Lud Shire’u wprowadził jedną małą innowację własnego pomysłu (ostatecznie przyjętą też w Bree), którą nazwał Reformą Shire’u. Stwierdzono, że niewygodna i kłopotliwa jest taka zmienność i nieporządek w relacjach między dniami tygodnia i datami. Zatem za czasów Isengrima II hobbici umówili się, że ten dodatkowy sobótkowy dzień, który wprowadza tyle bałaganu, nie będzie miał nazwy dnia tygodnia (zob. s. 197). Od tego czasu Dzień Środka Roku (i następujący po nim Overlithe) znany był już tylko pod swą własną nazwą i nie należał do żadnego tygodnia. W wyniku tej reformy rok zawsze zaczynał się Pierwszym Dniem tygodnia, a kończył Ostatnim Dniem tygodnia. Co roku ta sama data miała przyporządkowany ten sam dzień tygodnia i mieszkańcy Shire’u już nigdy nie musieli kłopotać się pisaniem nazw dni tygodnia w swoich listach i pamiętnikach[125].

Było to bardzo wygodne w domu, ale nie tak wygodne, gdy ktoś wybierał się w podróż dalszą niż do Bree.

W powyższych uwagach oraz w samej książce używałem naszych współczesnych terminów w odniesieniu do miesięcy i dni tygodnia, chociaż oczywiście ani Eldarowie, ani Dúnedainowie, ani też hobbici ich nie używali. Tłumaczenie poszczególnych nazw z westronu wydawało mi się niezbędne do uniknięcia bałaganu, jako że charakter i znaczenie tych związanych z porami roku nazw są mniej więcej takie same w Shire i u nas. Ponadto wydaje się, że Dzień Środka Roku – Sobótka – w jakimś stopniu pokrywa się z dniem przesilenia letniego, to zaś sprawia, że daty w Shire wyprzedzają nasze o jakieś dziesięć dni. Zatem nasz Nowy Rok przypada mniej więcej na 9 stycznia w Shire.

Nazwy miesięcy w języku quenya zwykle przyjmowały się w westronie, podobnie jak nazwy łacińskie są szeroko stosowane w naszych językach. Brzmiały one następująco: *Narvinyë*, *Nénimë*, *Súlimë*, *Víressë*, *Lótessë*, *Nárië*, *Cermië*, *Urimë*, *Yavannië*, *Narquelië*, *Hísimë*, *Ringarë*. Nazwy sindarińskie (używane tylko przez Dúnedainów) to *Narwain*, *Nínui*, *Gwaeron*, *Gwirith*, *Lothron*, *Nórui*, *Cerveth*, *Urui*, *Ivanneth*, *Narbeleth*, *Hithui*, *Girithron*.

W nazewnictwie miesięcy hobbici, zarówno ci z Shire'u, jak i ci z Bree, trzymali się starych, archaicznych, lokalnych nazw ze swego pierwotnego języka, które, jak się zdaje, w starożytności przejęli od ludzi z doliny Anduiny. W każdym razie podobne nazwy można było spotkać w Dale i w Rohanie (patrz uwagi o językach, s.1264, 1271–1272). Tym samym różnili się od innych ludów używających westronu. Znaczenie tych określeń, wymyślonych przez ludzi, w zasadzie zostało zapomniane przez hobbitów, nawet jeśli pierwotnie wiedzieli, co one znaczą. W konsekwencji formy nazw stały się niezrozumiałe. Na przykład: *-math* na końcu wielu z nich jest redukcją wyrazu *month* [czyli miesiąc].

Nazwy miesięcy używane w Shire znajdują się w przedstawionym na wstępie kalendarzu. Warto zauważyć, że *Solmath* był zwykle wymawiany, a nawet pisany jako *Somath*. *Thrimidge* pisano też *Thrimich* (pierwotnie *Thrimilch*), natomiast *Blotmath* wymawiano *Blodmath* lub *Blommath*. W Bree nazwy trochę się różniły i brzmiały: *Frery*, *Solmath*, *Rethe*, *Chithing*, *Thrimidge*, *Lithe*, *Letnie Dni*, *Mede*, *Wedmath*, *Harvestmath*, *Wintring*, *Blooting* i *Yulemath*. *Frery*, *Chithing* i *Yulemath* były też używane we Wschodniej Ćwiartce[126].

Hobbicki tydzień został zapożyczony od Dúnedainów i nazwy dni były dosłownym tłumaczeniem tych, których używano w dawnym Królestwie Północy, a które z kolei wzięto od Eldarów. Sześciodniowy tydzień elfów miał dni poświęcone: Gwiazdom, Słońcu, Księżycowi, Dwóm Drzewom, Niebiosom i Valarom (czyli Mocom), które od nich zostały nazwane: *Elenya*, *Anarya*, *Isilya*, *Aldúya*, *Menelya* i *Valanya* (lub *Tárion*). Sindarińskie nazwy to: *Orgilion*, *Oranor*, *Orithil*, *Orgaladhad*, *Ormenel* i *Orbelain* (lub *Rodyn*).

Númenorejczycy przejęli od elfów ową kolejność i nazwy. Zmienili jednak czwarty dzień na *Aldëa* (*Orgaladh*), nawiązując do Białego Drzewa, bo jak wierzyli, Nimloth rosnąca na Królewskim Dziedzińcu w Númenorze była jego potomkinią. Zażyczywszy też sobie siódmego dnia w tygodniu, a będąc wspaniałymi żeglarzami, wprowadzili „Dzień Morza" – *Earenya* (*Oraearon*) po Dniu Niebios.

Hobbici przejęli ten system, lecz wkrótce zapomnieli znaczenia przetłumaczonych przez siebie nazw lub po prostu o to nie dbali i formy uległy znacznej redukcji, szczególnie w szybkiej codziennej wymowie. Prawdopodobnie númenorejskie nazwy przetłumaczono po raz pierwszy dwa tysiące lub więcej lat przed końcem Trzeciej Ery, kiedy to tydzień Dúnedainów (ten sposób ich rachowania, który najwcześniej przejęty obce ludy) został zapożyczony przez ludzi północy. Hobbici nazwy te potraktowali podobnie jak nazwy miesięcy, tłumacząc je po prostu na swój własny język, chociaż na innych obszarach, na których posługiwano się westronem, ludy używały nazw quenejskich.

Niewiele starożytnych dokumentów przetrwało w Shire. W końcu Trzeciej Ery najbardziej godnym uwagi archiwalium była księga zwana Żółtoskórą, czyli Rocznik z Tukonu[127]. Jak się wydaje, najwcześniejsze zrobione w nim notatki zapisano co najmniej dziewięćset lat przed czasami, w których żył Frodo; są one często cytowane w annałach i genealogiach w Czerwonej Księdze. Tam też nazwy dni tygodnia występują w formach archaicznych, a najstarsze z nich to: (1) *Sterrendei*, (2) *Sunnendei*, (3) *Monendei*, (4) *Trewesdei*, (5) *Hevenesdei*, (6) *Meresdei* i (7) *Highdei*. W języku z czasów Wojny o Pierścień brzmiały one następująco: *Sterday, Sunday, Monday, Trewsday, Hevenesday* (lub *Hensday*), *Mersday, Highday.*

Przetłumaczyłem te nazwy na współczesną angielszczyznę, rozpoczynając oczywiście od *Sunday* [niedzieli] i *Monday* [poniedziałku],

które w hobbickim tygodniu noszą identyczne nazwy jak angielskie. Trzeba jednak pamiętać, że skojarzenia związane z poszczególnymi dniami były w Shire całkiem odmienne. Ostatni dzień tygodnia – piątek (*Highday*) – był dniem wolnym od pracy, po południu świętowanym i kończonym wieczornymi przyjęciami. Zatem sobota odpowiadała bardziej naszemu poniedziałkowi, a czwartek naszej sobocie[128].

Można jeszcze wspomnieć o kilku innych terminach odnoszących się do okresów czasu – wszelako nie tak już precyzyjnych. Pory roku zwykle zwano: *tuilë* – wiosna, *lairë* – lato, *yávië* – jesień (czyli żniwa) i *hrívë* – zima. Nazwy te nie były precyzyjne i dla nazwania późnej jesieni i początku zimy używano też słów *quellë* lub *lasselanta*.

Eldarowie przywiązywali szczególne znaczenie do brzasku (w krajach położonych bardziej na północ), przede wszystkim gdy dotyczyło czasu wschodzenia i zachodzenia gwiazd. Znali wiele terminów określających to zjawisko, z nich zaś najczęściej używali nazw *tindómë* i *undómë*. Pierwsza z nich odnosiła się do chwili przed wschodem Słońca, a druga do pory wieczornej po zachodzie. W sindarinie zjawiska te określano wyrazem *uial*, który mógł występować w formie precyzyjniejszej jako *minuial* i *aduial*. W Shire odpowiednie słowa brzmiały: *morrowdim* („jutrzenka”) i *evendim* („zmierzch”). Dlatego też nazwa Jeziora Evendim to tłumaczenie elfickiego Nenuial.

Kwestie rachuby czasu w Shire oraz daty są jednymi z istotnych aspektów opowieści poświęconej Wojnie o Pierścień. W Czerwonej Księdze każdy dzień, miesiąc i rok został podany wedle kalendarza Shire’u i przekształcony w termin hobbicki lub zestawiony z nim w przypisach. Dlatego też miesiące i dni we *Władcy Pierścieni* odnoszą się do kalendarza Shire’u. Jedyne miejsca, w których wyraźniej zaznaczają się rozbieżności między nim a naszym kalendarzem, przypadające na kluczowy okres końca 3018 i początku 3019 roku (czyli 1418 i 1419 roku ery Shire’u), są następujące: październik 1418 roku ma tylko 30 dni, 1 stycznia przypada na drugi dzień 1419 roku, a następujący później luty ma 30 dni. Zatem 25 marca – dzień upadku Barad-dûr – może być utożsamiany z naszym 27 marca, jeśli przyjmiemy, że nasz rok rozpoczyna się w tym samym dniu co rok hobbitów. W Kalendarzu Królów i w Kalendarzu Namiestników był to niemniej jednak 25 marca.

Nowa rachuba czasu zaczęła obowiązywać wraz z odbudową Królestwa w 3019 roku Trzeciej Ery. Przywrócono w ten sposób Kalendarz Królów przystosowany do liczenia początku roku wiosną – jak w eldarińskim *loa*[129].

W tym nowym kalendarzu rok rozpoczynał się 25 marca według starego stylu, dla upamiętnienia upadku Saurona i czynów Powierników Pierścienia. Miesiące zachowały swe dawne nazwy. *Viressë* (kwiecień) rozpoczynał teraz rok, ale obejmował okres, który pierwotnie był o pięć dni późniejszy. Każdy miesiąc miał 30 dni. Pomiędzy *Yavannië* (wrześniem) i *Narquelië* (październikiem) znajdowały się trzy *Enderi* – „Dni Środkowe” – z których drugi nazywał się *Loëndë*. Odpowiadały one datom 23, 24 i 25 września starego stylu. Na cześć Froda 30 *Yavannië*, odpowiadający dawnemu 22 września, dniowi jego urodzin, obchodzono jako święto, a w roku przestępnym podwajano go, dodatkowy dzień nazywając *Cormarë* – „Dniem Pierścienia”.

Uważano, że Czwarta Era rozpoczęła się z dniem odejścia Mistrza Elronda, we wrześniu 3021 roku. Ale gdy przyszło zapisać ten rok w kronikach, za pierwszy rok Czwartej Ery przyjęto ten, który otwierał nową rachubę, a więc rozpoczynający się 25 marca 3021 roku według starego stylu.

Za panowania króla Elessara ta rachuba czasu przyjęła się we wszystkich krajach z wyjątkiem Shire’u, gdzie pozostano przy starym kalendarzu i kontynuowano dawną rachubę Shire’u. Zatem pierwszy rok Czwartej Ery zwano rokiem 1422, a jakkolwiek uznano zmianę ery, utrzymywano, że rozpoczęła się ona dnia 2 Yule roku 1422, a nie w marcu.

W pamięci ludu hobbitów w Shire nie zapisały się jakoś szczególnie obchody jakiegokolwiek 25 marca lub 22 września. Jednakże w Zachodniej Ćwiartce, a szczególnie wokół Hobbitonu i Pagórka, narodził się obyczaj świętowania 6 kwietnia i tańców na Urodzinowej Łące, jeśli pogoda na to pozwalała. Jedni twierdzili, że to dzień urodzin Sama Ogrodnika, inni, że w tym dniu po raz pierwszy zakwitło Złote Drzewo w roku 1420, a jeszcze inni, że to Nowy Rok elfów. O zachodzie słońca każdego 2 listopada w Bucklandzie dęto w Róg Marchii, a potem następował czas palenia wielkich ognisk i wesołego ucztowania[130].

Tłumaczył Ryszard Derdziński

DODATEK E

PISOWNIA I RODZAJE LITER

1. Wymowa wyrazów i nazw własnych

Westron, czyli Wspólną Mowę, w całości przetłumaczono na język angielski. Stąd wszelkie hobbickie imiona i nazwy własne należy wymawiać zgodnie z regułami tego właśnie języka. Dla przykładu głoska *g* w nazwisku Bolger brzmi tak samo jak w angielskim słowie *bulge* [zatem jest to polskie *dż*], a *mathom* rymuje się z angielskim słowem *fathom*.

Podczas transkrypcji starożytnych rękopisów starałem się możliwie dokładnie odtworzyć oryginalne dźwięki (oczywiście na tyle, na ile się dało), a jednocześnie usiłowałem stworzyć takie słowa i nazwy, które nie wyglądałyby dziwacznie napisane współczesnym alfabetem. Quenyę Elfów Wysokiego Rodu zapisałem jak łacinę, w stopniu, na jaki pozwalały głoski tego języka. Z tego powodu *c* zastępuje głoskę *k* w obydwu językach Eldarów.

Tych, którzy interesują się podobnymi detalami, mogą zainteresować następujące uwagi.

Spółgłoski

C zawsze czytamy jak *k*, nawet przed *e* oraz *i*: *celeb* „srebro” powinniśmy wymawiać *keleb*.

CH wyobraża wyłącznie dźwięk, który słyszymy w słowie *bach* (w języku niemieckim lub walijskim), nie zaś w angielskim *church* [jest to zatem polskie *h*, a nie *cz*]. Z wyjątkiem sytuacji, gdy głoska ta występuje na końcu wyrazu lub przed *t*, w wymowie Gondoru osłabła ona do *h* [tak zapisujemy tu polską gloskę bezdźwięczną *ch*]. Przemianę tę obserwujemy w kilku nazwach, takich jak *Rohan, Rohirrim.* (*Imrahil* to imię númenorejskie).

DH to dźwięczne *th*, jak w angielskim *these clothes* [w transkrypcji fonetycznej to ð, czyli *z* wymawiane z językiem między zębami]. Najczęściej głoska ta jest spokrewniona z *d* – na przykład sindarińskie *galadh* „drzewo” to w języku guenejskim *alda*. Niekiedy jednak pochodzi ono z zestawienia *n*+*r*, np. nazwa *Caradhras* „Czerwony Róg” od *caran-rass*.

F to zwykłe *f* – tylko na końcu wyrazów używa się go do przedstawienia głoski *v* [polskiego *w*], jak w nazwach *Nindalf, Fladrif*.

G to zawsze wyłącznie *g* jak w angielskich wyrazach *give* i *get* [czyli polskie *g*], dlatego *gil* „gwiazda” w nazwach własnych *Gindor, Gilraen, Osgiliath* zaczyna się jak angielskie *gild*.

H, gdy stoi osobno, nie sąsiadując z innymi spółgłoskami, ma wartość *h*, czyli taką jak w angielskich słowach *house* i *behold* [i nie różni się zasadniczo od polskiego *ch*]. Quenejska kombinacja *ht* brzmi jak *cht* w niemieckich *echt* i *acht* – na przykład w nazwie *Telumehtar* „Orion”[131]. Zob. także CH, DH, L, R, TH, W, Y.

I, gdy w sindarinie znajduje się na początku wyrazu, przed inną samogłoską, to zawsze wyobraża spółgłoskowe angielskie *y*, jak w *you* i *yore* [czyli polskie *j*]: np. *Ioreth, Iarwain*. Zobacz Y.

K zostało użyte, by wyobrażać głoskę *c* [polskie *k*] w nazwach własnych pochodzących z języków innych niż mowa elfów; a zatem *kh* to to samo co *ch* w orkowym *Grishnákh* czy w pochodzącym z języka adûnaic (númenorejskiego) *Adûnakhôr*. W sprawie języka krasnoludzkiego (khuzdul) patrz uwagi końcowe.

L brzmi prawie tak samo, jak początkowe *l* w języku angielskim – jak w słowie *let*. Głoska ta była jednak do pewnego stopnia „spalatalizowana” pomiędzy *e, i* a spółgłoską lub na końcu, po *e* lub *i* (Eldarowie zapisaliby prawdopodobnie angielskie *bell, fill* jako *beol, fiol*). LH wyobraża bezdźwięczną wersję tej spółgłoski (zwykle wywodzącą się z początkowego *sl*-). W (archaicznym) quenya zapisywano tę spółgłoskę jako *hl*, lecz w Trzeciej Erze powszechnie wymawiano ją jak *l*.

NG jest to *ng* jak w angielskim *finger* [lub polskim *hangar*]. Wyjątkiem jest sytuacja, gdy NG występuje na końcu wyrazu – wtedy brzmi tak jak w angielskim *sing* [w polskim w takich słowach jak *bank, ping-pong*, w transkrypcji fonetycznej ŋ. Ostatnio wymieniony dźwięk występował też w

języku quenya na początku wyrazów – ja jednak w transkrypcji umieszczałem tam *n* (jak *Noldo*), zgodnie z wymową Trzeciej Ery.

Ph wyobraża tę samą głoskę co *f*. Użyto jej (1) gdy głoska *f* występuje na końcu wyrazu, np. *alph* „łabędź”; (2) gdy głoska *f* jest spokrewniona lub pochodzi od *p*, jak w *i-Pheriannath* „niziołki” (*perian*); (3) pojawia się też w środku wyrazu, gdzie wyobraża długie *ff* (pochodzące od *pp*), jak w *Ephel* „zewnętrzne ogrodzenie”; oraz (4) spotkamy ją w języku adûnaic i w westronie, np. *Ar-Pharazôn* (od *pharaz* „złoto”).

QU użyto do zapisania *cw* [czyli *ku*] – jest to kombinacja bardzo częsta w języku quenya i niewystępująca wcale w sindarinie.

R to wibrujące *r* niezależnie od umiejscowienia [identyczne z polskim r]. Dźwięk ten nie zanikał przed spółgłoskami jak w języku angielskim (np. w słowie *part*). Powiada się, że orkowie i krasnoludy, ale tylko niektóre, używali ponoć *r* tylnego, dla Eldarów brzmiącego okropnie. RH wyobraża bezdźwięczne *r* (zwykle pochodzące od starszego, występującego na początku wyrazów *sr*-). W quenya zapisywano je jak *hr*. Patrz L.

S [takie samo jak w polskim] w angielszczyźnie jest to *s* bezdźwięczne, jak w słowach *so*, *geese*. Głoski *z* nie spotkalibyśmy w ówczesnym języku quenya lub w sindarinie. SH spotykane w westronie, w mowie krasnoludów oraz orków wyobraża głoskę podobną do angielskiego *sh* [czyli mniej więcej do polskiego *sz*].

TH to bezdźwięczne *th* [w transkrypcji fonetycznej θ], jak w angielskim *thin cloth*. W potocznej odmianie języka quenya głoska ta wymawiana była jak *s*, chociaż ciągle zapisywano ją inną literą, np. w quenya *Isil*, sindarińskie *Ithil* „Księżyc”.

TY wyobraża prawdopodobnie dźwięk podobny do *t* w angielskim słowie *tune* [coś pomiędzy polskim *t* i *ć*]. Głównie wywodził się on od *c* lub od *t+y*. Mówiący językiem westron mieli tendencję do zastępowania tej głoski dźwiękiem *ch* [mniej więcej polskie *cz*, *ć*], bardzo częstym w tym języku. Patrz HY przy omawianiu Y.

V ma wartość angielskiego *v* [polskiego *w*]. Nie używano tej litery na końcu wyrazów. Patrz F.

W wyobraża angielskie *w* [polskie *u* niezgłoskotwórcze]. HW to bezdźwięczna odmiana *w*, jak w angielskim *white* (chodzi o wymowę w północnej Anglii). W języku quenya nie był to rzadki dźwięk na początku

wyrazów, choć zdaje się, że w tej książce nie znajdujemy tego rodzaju przykładów. W transkrypcji języka quenya użyto zarówno *v*, jak i *w* – choć w łacinie brak takiego rozróżnienia – gdyż obydwie te głoski, o odmiennym pochodzeniu, występowały w tym języku.

Y w języku quenya wyobraża angielską spółgłoskę *y* [polskie *j*], jak w słowie *you*. Natomiast w sindarinie *y* to samogłoska [jak polskie *y*] – patrz niżej. HY jest w tej samej relacji do *y* jak HW do *w* i wyobraża głoskę często słyszaną w angielskim *hew, huge* [zatem nie polskie *hj*, a raczej dźwięk słyszany w niemieckim *ich*]. To samo brzmienie miało quenejskie *h* w złożeniach *eht, iht*. Mówiący w westronie zastępowali ten dźwięk głoską *sh* [po polsku *sz, ś*], bardzo powszechną w tym języku. Zobacz TY – powyżej. HY zazwyczaj pochodziło od *sy-* i *khy-*; w obu przypadkach pokrewne słowa sindarińskie mają tam początkowe *h*, np. w quenya *Hyarmen* „południe”, sindarińskie *Harad*.

Należy zauważyć, że spółgłoski pisane podwójnie, jak *tt, ll, ss, nn*, wyobrażają długie, czyli „podwójne” głoski [podobnie jak w języku polskim]. Na końcu wyrazu mającego więcej niż jedną sylabę ulegały one zazwyczaj skróceniu: np. *Rohan* z *Rochann* (forma archaiczna *Rochand*).

W sindarinie kombinacje *ng, nd, mb*, szczególnie rozpowszechnione we wczesnych językach eldarińskich, uległy różnym zmianom. Na przykład *mb* stało się *m* we wszystkich przypadkach, choć przy akcentowaniu wciąż zaliczało się do długich spółgłosek i gdy istniały wątpliwości co do przyłożenia akcentu, zapisywano je jako *mm*[132]. Kombinacja *ng* nie uległa zmianie z wyjątkiem początku i końca wyrazu, gdzie przekształciła się w prostą głoskę nosową (jak w angielskim *sing*). Inna kombinacja – *nd* – przekształciła się w *nn*, np. w słowie *Ennor* „Śródziemie”, w quenya *Endóre*. Wyjątkowo *nd* nie uległo przemianie na końcu w pełni akcentowanych wyrazów jednosylabowych – takich jak *thond* „korzeń” (zob. *Morthond* „Czarny Korzeń”), oraz przed *r* – jak w *Andros* „długa piana”. Takie *nd* spotykamy też w niektórych starożytnych nazwach własnych pochodzących z odległej przeszłości, takich jak *Nargothrond, Gondolin, Beleriand*. W Trzeciej Erze końcowe *nd* poprzez *nn* przekształciło się w *n* w długich wyrazach – np. w *Ithilien, Rohan, Anórien*.

Samogłoski

Do zaznaczenia samogłosek użyto liter *i*, *e*, *a*, *o*, *u* oraz (tylko w sindarinie) *y*. Na tyle, na ile da się to określić, widać jasno, że głoski oznaczane przez te litery nie wyróżniały się czymś szczególnym, chociaż naszej uwadze umykają pewne lokalne różnice[133]. Zatem głoski przedstawiane za pomocą liter *i*, *e*, *a*, *o*, *u* [prawie identyczne z polskimi wartościami tych liter] odpowiadają samogłoskom w angielskich słowach *machine, were, father, for, brute*, niezależnie od iloczasu.

W języku sindarińskim długie *e*, *a*, *o* były po prostu dłużej wymawianymi odmianami krótkich samogłosek, od których względnie niedawno się wyodrębniły (starsze *é*, *á*, *ó* uległy zmianom). W poprawnej wymowie języka quenya, np. w wykonaniu Eldarów, długie *é* i *ó* były bardziej „ściśnięte” i zwarte niż samogłoski krótkie.

Sindarin jako jedyny język tamtych czasów posiadał „zmodyfikowane”, czyli przednie *u*, podobne do *u* we francuskim słowie *lune*. Była to częściowo modyfikacja *o* i *u*, po części zaś głoska ta pochodziła od wcześniejszych dwugłosek *eu* i *iu*. Do zaznaczenia tej głoski użyto litery *y* (jak w dawnej angielszczyźnie): np. *lyg* „wąż”, w quenya *leuca*; oraz *emyn*, liczba mnoga słowa *amon* „wzgórze”. W Gondorze *y* wymawiano jak *i*.

Długie samogłoski zaznaczano zazwyczaj ukośną kreseczką podobną do akcentu nad literą, jak w niektórych odmianach pisma Fëanora. W sindarinie długie samogłoski w jednosylabowych wyrazach akcentowanych zaznaczono za pomocą cyrkumfleksu (daszka nad literą), jako że istniała tendencja do szczególnego ich wydłużania[134]; stąd *dûn*, ale i *Dúnadan*. Użycie cyrkumfleksu w innych językach, na przykład w języku adûnaic lub w języku krasnoludów, nie ma szczególnego znaczenia – chodziło o podkreślenie ich obcości w stosunku do języków elfów (podobnie jak to było z użyciem *k*).

Końcowe *e* nigdy nie jest nieme, nigdy też nie jest jedynie oznacznikiem długości, jak w języku angielskim. Aby zaznaczyć tę jego cechę, stosuje się (choć niekonsekwentnie) znak *ë*.

Złożenia *er, ir, ur* (na końcu wyrazu lub przed spółgłoską) wymawiamy jak w angielskim *air, eer, oor*, nie zaś jak *fern*, *fir*, *fur* [i z grubsza tak, jak się je czyta w języku polskim].

W quenya *ui*, *oi*, *ai* oraz *iu*, *eu*, *au* są dyftongami, czyli dwugłoskami (oznacza to, że są wymawiane jako jedna sylaba). Wszystkie inne pary samogłosek wymawiamy jak dwie sylaby. Zaznaczono to przez pisanie *ëa (Ëa)*, *äo*, *oë*.

W sindarinie dyftongi zapisano jako *ae*, *ai*, *ei*, *oi*, *ui* oraz *au*. Pozostałe kombinacje nie są dyftongami. Zapisywanie końcowego *au* jako *aw* jest w zgodzie z angielską tradycją i też nieobce było ortografii feanoryjskiej.

Wszystkie te dyftongi były dwugłoskami „opadającymi”[135], to znaczy, że nacisk w wymowie padał na pierwszy element, i złożone były z połączonych samogłosek. Dlatego też *ai*, *ei*, *oi*, *ui* [polskie *aj*, *ej*, *oj*, *uj*] wymawiamy jak angielskie *rye* (nie *ray*) *grey, boy, ruin*, natomiast *au* (*aw*) [w polskim *au*] jak w wyrazach *loud, how* – a nie jak w *laud, haw.*

Dwugłoski *ae, oe, eu* nie mają swych ścisłych odpowiedników w języku angielskim; *ae* i *oe* mogą być wymawiane jak *ai* i *oi* [po polsku wymawiamy je jak *ai, oi, eu*].

Akcent

Miejsc, gdzie pada akcent, nie zaznaczano, gdyż w językach eldarińskich zależy to od formy wyrazu. W słowach dwusylabowych pada on praktycznie zawsze na pierwszą zgłoskę. W wyrazach dłuższych akcent pada na sylabę przedostatnią, gdy zawiera ona długą samogłoskę, dyftong bądź samogłoskę, po której następują dwie (lub więcej) spółgłoski. Jeżeli przedostatnia sylaba zawiera (a tak jest w większości przypadków) krótką samogłoskę, po której jest tylko jedna spółgłoska (lub nie ma żadnej), to akcent pada na poprzednią sylabę, trzecią od końca. Wyrazy tego ostatniego rodzaju przeważają w językach eldarińskich, szczególnie w języku quenya.

W poniższych przykładach samogłoskę akcentowaną zaznaczono wielką literą: *isIldur, Orome*, *ErEssëa*, *fËanor, ancAlima, elentÁri; dEnethor, periAnnath, ecthElion, pelArgir, silIvren*. Wyrazy typu *elentÁri*, „królowa gwiazd”, w których występują samogłoski *é, á, ó,* są rzadkie w języku quenya, chyba że (jak w tym przypadku) są to wyrazy złożone. Częściej natomiast spotykamy takie, które zawierają samogłoski *í, ú* – jak w *andÚne* „zachód słońca, zachód”. Nie występują one w sindarinie z wyjątkiem wyrazów złożonych. Istotne jest też i to, że sindarińskie *dh*, *th*, *ch* są

pojedynczymi spółgłoskami i w oryginalnych tekstach zapisane są za pomocą pojedynczych liter.

Uwagi

W przypadku nazw własnych pochodzących z innych niż eldariński języków zastosowano te same wartości liter, chyba że powyżej zaznaczono inaczej. Wyjątkiem jest mowa krasnoludów. W języku krasnoludzkim, który nie zawiera głosek opisanych wyżej jako *th* i *ch (kh)*, złożenia *th* i *kh* są aspiratami – znaczy to, że po *t* i *k* następuje *h*, mniej więcej jak w angielskich słowach *backhand* i *outhouse*.

W wypadku występowania *z* czytamy tę głoskę jak angielskie [i polskie] *z*. Występujące w Czarnej Mowie i w języku orków *gh* jest tak zwanym tylnym aspirantem [jest to spółgłoska szczelinowa] – np. *ghâsh*, *agh*. Ma się do *g* jak *dh* do *d*.

Ludzkie, czyli „jawne” imiona krasnoludów podane zostały wedle zasad przyjętych na Północy, ale wartość liter odpowiada w nich wyżej opisanym regułom. Tak samo postąpiono w przypadku nazw osobowych i miejscowych pochodzących z Rohanu (jeżeli nie zostały one zmodernizowane), z tym tylko, że *éa* i *éo* są dyftongami. Oddać je można za pomocą *ea* w angielskim *bear* i *eo* w *Theobald; y* w tym przypadku jest zmodyfikowanym *u*. Formy uwspółcześnione [które często zostały przetłumaczone na język polski, np. Gadzi Język, ang. *Wormtongue*] czytamy zgodnie z regułami języka angielskiego. W większości są to nazwy miejscowe, np. *Dunharrow*, które pochodzi od staroangielskiego *Dúnharg*.

2. Alfabety i pisma

W zasadzie wszystkie systemy pism i liter w Trzeciej Erze miały swe początki w dziele Eldarów i już w tamtych czasach wzbudzały wielki szacunek swą starożytnością. Choć niektóre z nich osiągnęły status w pełni rozwiniętego alfabetu, to wciąż w użyciu były takie dawne odmiany pisma, w których literami oznaczano tylko spółgłoski.

Istniały wówczas dwa podstawowe, powstałe całkiem niezależnie, alfabety: *tengwar*, czyli *tîw*, słowo tutaj przetłumaczone jako „litery”, i

certar – w sindarinie *cirth*, tu przełożony jako „runy”. Litery tengwaru służyły do pisania pędzlem lub piórem, a ich ostra i kanciasta odmiana ryta w metalu lub w kamieniu wywodziła się wprost z formy pisanej. Runy certaru przeznaczone były do wyskrobywanych lub nacinanych inskrypcji.

Tengwar był bardziej starożytny – stworzyli go Noldorowie, szczep Eldarów najbardziej uzdolniony w podobnych materiach, na długo przed swym wygnaniem. Najstarszego z elfowych pism, tengwaru Rúmila, nie znano nigdy w Śródziemiu. Młodsze litery tengwaru Fëanora, chociaż były już w zasadzie czymś zupełnie nowym, to jednak wiele zawdzięczały dziełu Rúmila. Do Śródziemia przynieśli je uchodzący Noldorowie i tym sposobem pismo to stało się znane wśród Edainów, a potem i wśród Númenorejczyków. W Trzeciej Erze litery tego pisma rozprzestrzeniły się na tym obszarze, na którym posługiwano się Wspólną Mową.

W Beleriandzie Sindarowie stworzyli *cirth*, pismo, które przez wiele wieków służyło upamiętnianiu imion i zapisywaniu krótkich pamiątkowych inskrypcji rytych w drewnie lub kamieniu. Stąd pochodzą ich kanciaste kształty, które tak bardzo upodobniają je do runów w naszych czasach, chociaż istnieje wiele detali różniących je od siebie, a już najwięcej rozbieżności jest w sferze znaczeniowej. W Drugiej Erze *cirth*, w swej starszej i prostszej formie, rozprzestrzeniły się na Wschodzie, by stać się znane wielu plemionom – krasnoludom, ludziom, a nawet orkom. Wśród nich też *cirth* często ulegał różnym zmianom, zgodnie z ich potrzebami i umiejętnościami lub ich brakiem. Takiej właśnie prostszej odmiany cirthu wciąż jeszcze używali ludzie z Dale, podobnej zaś Rohirrimowie.

Tengwar

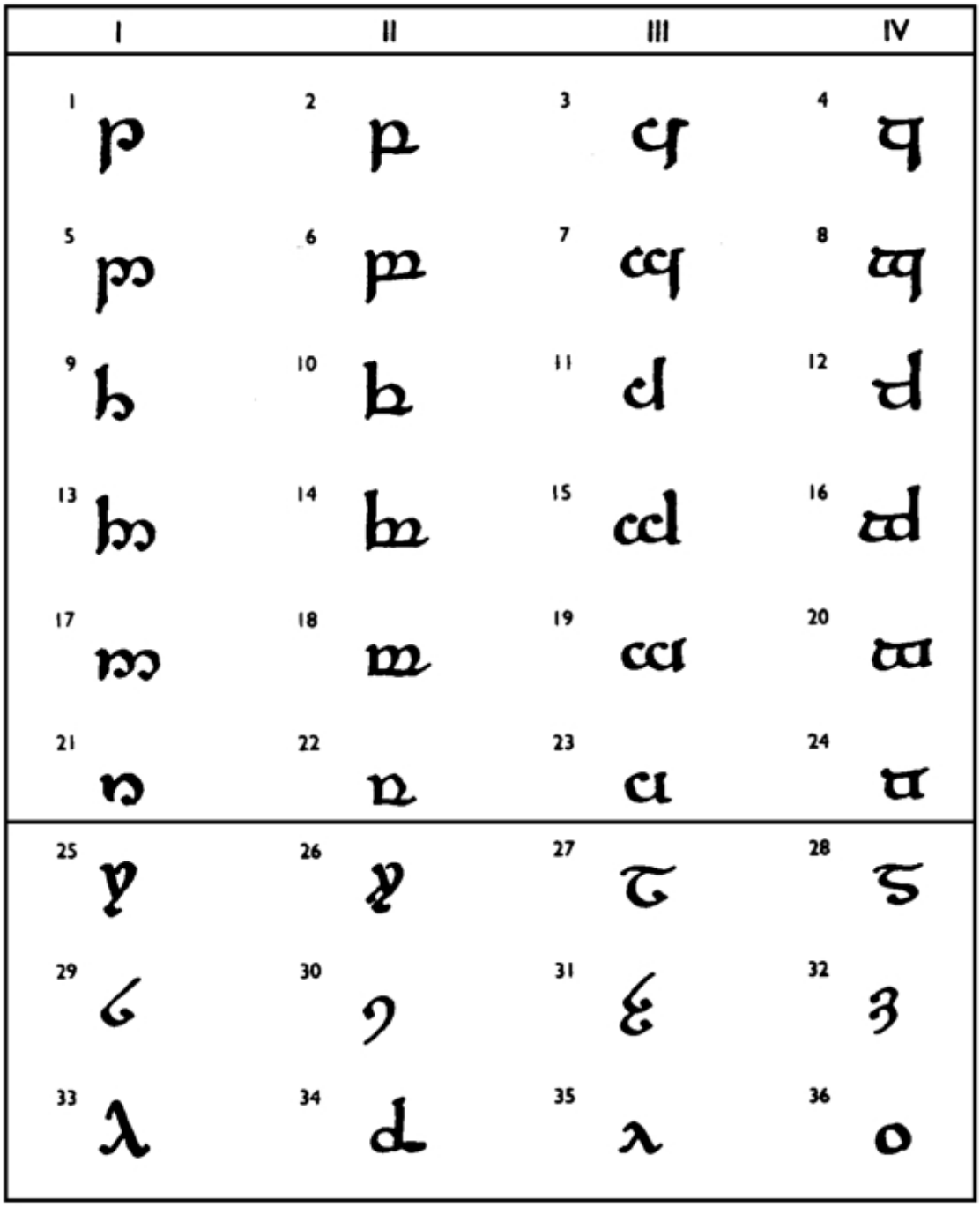

Jednak przed końcem Pierwszej Ery w Beleriandzie cirth, częściowo pod wpływem nowo przybyłego z Zachodu tengwaru Noldorów, został raz jeszcze uporządkowany i udoskonalony. Jego najświetniejsza, najbardziej zalecana forma znana była jako alfabet Daerona, bo, jak powiadała tradycja

elfów, stworzył ją Daeron – minstrel i najznakomitszy uczony na dworze króla Thingola w Doriath. Alfabet ten nigdy wśród Eldarów nie zyskał ręcznej formy pisanej, ponieważ elfowie przy pisaniu używali zazwyczaj liter Fëanora. W istocie z czasem elfowie z Zachodu w większości całkiem odrzucili runy. Wyjątkiem był Eregion, gdzie alfabet Daerona przetrwał i był wciąż w użyciu, stamtąd zaś zawędrował do Morii. Tamtejsi krasnoludowie stosowali go z upodobaniem przez całe wieki i z nimi dostał się on na Północ. Odtąd często alfabet ten zwano *Angerthas Moria*, czyli „Długie szeregi run z Morii". Krasnoludowie używali takiego pisma, jakie w danym momencie było najpowszechniejsze, a wielu z nich potrafiło bardzo zręcznie stawiać litery Fëanora; jednak we własnym języku zawsze używali runów cirth. Wykształcili nawet z runów takie litery, które można było zapisać piórem.

Litery Fëanora

Przedstawiona dalej tabela w przystępny sposób ukazuje wszystkie litery tak powszechnie używane w zachodnich krainach Śródziemia w Trzeciej Erze. W takim porządku zazwyczaj je recytowano; był on wówczas najpopularniejszy.

Pismo to nie powstało jako „alfabet", czyli seria przypadkowych liter o odrębnych wartościach fonetycznych, podawanych w umownej kolejności, niemającej odniesienia do ich kształtu czy funkcji[136]. Był to raczej system znaków spółgłoskowych, zbliżonych do siebie kształtem i podobnych w stylu, które można było stosować do zapisu spółgłosek wybranego języka Eldarów. Żadna z liter nie miała sama w sobie przyporządkowanej jakiejś stałej wartości, choć powszechnie uznawano istnienie między nimi pewnych relacji.

System ten składał się z 24 liter podstawowych, ułożonych w cztery *témar* (serie), z których każda miała po sześć *tyeller* (rzędów). Do tego dochodziły litery dodatkowe (25–36). Tylko dwie z nich – 27 i 29 – to litery w pełnym tego słowa znaczeniu, pozostałe są po prostu modyfikacjami innych. Poza tym system zawierał też pewną liczbę znaków *tehtar* o przeróżnym zastosowaniu. Znaków tych nie pokazano w tabeli[137].

Litery podstawowe składały się zawsze z *telco* (trzonu) i *lúva* (łuku). Formy 1–4 uważano za pierwotne i podstawowe – ulegające

przekształceniom. Trzon bywał podnoszony, jak w przypadku 9–16, bądź skracany, jak w przypadku liter 17–24. Łuk mógł być otwarty (serie I i III) albo zamknięty (II i IV). Zawsze też można go było podwoić, np. 5–8.

Teoretyczna swoboda w stosowaniu liter uległa w Trzeciej Erze pewnym zwyczajowym ograniczeniom. Seria I używana była zazwyczaj do zapisu głosek zębowych, czyli grupy *t* (*tincotéma*), a seria II do wargowych – grupy *p* (*parmatéma*). Serie III i IV miały różne zastosowanie w zależności od języka, któremu służyły. W takich językach jak westron, w których często pojawiały się spółgłoski[138] takie jak *ch* [czyli polskie *cz*], *sh* [polskie *sz*], *j* [polskie *dż*], do ich zapisu stosowana była seria III; w tym wypadku serii IV używano do grupy *k* (*calmatéma*). W języku quenya, gdzie oprócz *calmatéma* są też głoski miękkie (*tyelpetéma*) i zlabializowane [„uwargowione”] (*quessetéma*), te pierwsze wyobrażał znak diakrytyczny „następujące *y*” (zazwyczaj dwie kropki pod literą), a te drugie – litery grupy *kw*, czyli serii IV.

Zazwyczaj przestrzegano również następujących reguł: rząd 1 służył do zapisywania bezdźwięcznych głosek zwartych – *t*, *p*, *k* itd.; podwojenie łuku oznaczało udźwięcznienie – gdy 1, 2, 3, 4 = *t*, *p*, *ch* [polskie *cz*], *k* (albo *t*, *p*, *k*, *kw*), to 5, 6, 7, 8 oznaczały kolejno – *d*, *b*, *j* [polskie *dż*], *g*, (albo *d*, *b*, *g*, *gw*); podniesienie trzonu oznaczało otwarcie spółgłoski do spiranta, zatem przy podanych powyżej wartościach rzędu 1 – rząd 3 (9–12) = *th*, *f*, *sh* [polskie *sz*], *h* (albo *th*, *f*, *kh*, *khw/hw*), a rząd 4 (13–16) = *dh*, *v*, *zh* [polskie *ż*], *gh* (albo *dh*, *v*, *gh*, *ghw/w*).

System Fëanora pierwotnie posiadał też rząd liter o rozciągniętym trzonie – pod i ponad poziomem łuku. Zwykle wyobrażał on spółgłoski, które uległy aspiracji [wymawiane na przydechu – efektem słabe *h* po spółgłosce], to znaczy *t+h*, *p+h*, *k+h*. Rzędu tego używano też do przedstawienia innych wariacji spółgłoskowych. W Trzeciej Erze w żadnym z języków zapisywanych tym pismem nie istniała potrzeba używania takich liter. A jednak owe rozciągnięte formy były dość często stosowane jako warianty (lepiej odróżniające się od rzędu 1) rzędów 3 i 4.

Rząd 5 (17–20) wyobrażał zazwyczaj spółgłoski nosowe – a zatem znaki 17 i 18 oznaczały najczęściej *n* i *m*. Zgodnie z dotychczas obserwowaną regułą rząd 6 powinien opisywać bezdźwięczne spółgłoski nosowe (na przykład walijskie *nh* czy staroangielskie *hn*), ponieważ jednak w interesujących nas językach pojawiały się one nader rzadko, rząd 6 (21–24)

służył najczęściej do zapisu najsłabszych, „półwokalicznych” głosek każdej serii. Rząd ten to najprostsze i najmniejsze z liter podstawowych. Znak 21 oznaczał zwykle słabe, niewibrujące *r*, występujące pierwotnie w języku quenya i uważane w systemie tego języka za najsłabszą spółgłoskę w serii *tinocotéma*. Znaku 22 używano powszechnie jako *w* [polskie *u* niezgłoskotwórcze], a tam, gdzie potrzebne były miękkie, spalatalizowane spółgłoski i dla nich przeznaczono serię III, znak 23 oznaczał spółgłoskowe *y* [polskie *j*][139].

Ponieważ niektóre ze spółgłosek rzędu 4 wykazywały tendencję do osłabienia w wymowie, a także zbliżały się, czy wręcz zlewały, z tymi z rzędu 6 (jak to powiedziano powyżej), wiele z tych ostatnich przestało pełnić wyraźniejszą funkcję w językach eldarińskich. To właśnie w większości z tych znaków wywodziły się późniejsze litery wyobrażające samogłoski.

Uwagi

Standardowa ortografia języka quenya odbiegała od rozwiązań omówionych powyżej. Rzędu 2 używano dla *nd*, *mb*, *ng*, *ngw* – kombinacji bardzo powszechnych w tym języku – zaś głoski *b*, *g*, *gw* występowały jedynie w takich złożeniach, a dla *rd*, *ld* używano specjalnych liter 26 i 28 (by zapisać *lv*, ale nie *lw*, wielu użytkowników tego języka stosowało *lb* – pisane jako 27+6, ponieważ nie istniało złożenie *lmb*). Podobnie rzędu 4 używano dla *nt*, *mp*, *mk*, *nqu*, bo w języku quenya nie było głosek *dh*, *gh*, *ghw*; a dla *v* zaadaptowano znak 22. Zobacz poniżej nazwy liter w języku quenya.

Litery dodatkowe. Znaku 27 używano powszechnie do zapisu głoski *l*. Litera 25 (pierwotnie modyfikacja znaku 21) wyobrażała „pełne”, wibrujące *r*. Znaki 26 i 28 były modyfikacjami tychże. Zazwyczaj odniosły się do bezdźwięcznego *r* (*rh*) i *l* (*lh*). Jednakże w języku quenya używano ich dla *rd* i *ld*. Litera 29 wyobrażała *s*, a 31 (z podwojonym zawijasem) *z* w językach, w których takie głoski występowały. Odwrócone ich warianty 30 i 32, chociaż mogły być wykorzystane jako znaki niezależne, zazwyczaj były tylko odmianą 29 i 31 dla potrzeb zapisu – na przykład ułatwiały stawianie *tehtar*.

Numer 33 pierwotnie wyobrażał którąś z odmian (słabszych) litery 11. W Trzeciej Erze jego najczęstszą wartością było *h*. Najczęściej (o ile nie zawsze) litera 34 oznaczała bezdźwięczne *w* (*hw*) [czyli odmianę polskiego *u*]. Znaki 35 i 36 jako spółgłoski najczęściej odnosiły się do *y* i *w* [czyli polskich *j* i *u*].

Samogłoski w wielu systemach przedstawiano za pomocą *tehtar* – znaków umieszczanych zazwyczaj ponad spółgłoską. W takich językach jak quenya, gdzie większość wyrazów kończyła się samogłoską, *tehta* umieszczano nad poprzednią spółgłoską. Natomiast w językach typu sindarin, gdzie to spółgłoska najczęściej kończyła wyrazy, znaki te umieszczano ponad następną spółgłoską. Jeżeli w wymaganym miejscu nie znajdowała się żadna spółgłoska, *tehta* pisano nad specjalnym „krótkim powiernikiem", który w swej formie przypominał literę *i* bez kropki. W różnych językach istniały różne warianty owych *tehtar*. Formy najczęściej używane, przeznaczone dla głosek *e*, *i*, *a*, *o*, *u*, zostały pokazane w podanych w naszej książce przykładach. Trzy kropki, które w starannej kaligrafii wyobrażały głoskę *a*, w pisowni szybszej przekształcić się mogły w cyrkumfleks albo w ogóle je opuszczano[140]. Pojedyncza kropka oraz znak w formie kreski używanej dla zaznaczenia akcentu często oznaczały samogłoski *i* i *e* (choć niekiedy też *e* i *i*). Znaki w formie zawijasów stosowano dla *o* i *u*. W inskrypcji na Pierścieniu zawijas otwarty na prawo wyobraża głoskę *u*, ale na stronie tytułowej taki znak zastępuje głoskę *o*, natomiast *u* – zawijas odwrócony w lewo. Zazwyczaj preferowano w użyciu zawijas otwarty na prawo, a jego zastosowanie zależało od wymagań danego języka – np. w Czarnej Mowie *o* było rzadkością.

Samogłoski długie przedstawiano najczęściej jako znak *tehta* umieszczony nad tak zwanym długim powiernikiem, przypominającym naszą literę *j* bez kropki. Ale w tym samym celu można było po prostu podwoić znak *tehta*. Ma się rozumieć, najłatwiej było to zrobić z zawijasami i czasem z akcentem. Dwie kropki najczęściej oznaczały następujące *y* [czyli w polskiej wymowie *j*].

Inskrypcja na zachodniej bramie Morii to przykład tak zwanego pełnego pisma, gdzie samogłoski przedstawiane są jako niezależne litery. Znajdziemy tam przykłady wszystkich liter, a godne uwagi jest przedstawienie samogłoski *y* za pomocą znaku 30 i użycie dwóch kropek „następującego *y*" ponad samogłoskami dla zaznaczenia dyftongów. Dla

wyrażenia następującego *w* [czytanego po polsku jak *u*] w dwugłoskach *au*, *aw* zazwyczaj używano zawijasa oznaczającego *u* lub jego modyfikacji: *∂*. Często jednak dyftongi zapisywano dwoma znakami, tak samo jak w transkrypcji. W omawianym teraz stylu pisania długość samogłoski zaznaczano „akcentem”, w tym przypadku zwanym *andaith* „znak długości”.

Oprócz wymienionych powyżej znaków *tehtar* w użyciu była jeszcze wielka liczba innych. Wymyślano je w celu skrócenia pisania, a wyrażały one kombinacje spółgłosek po to, aby nie trzeba było zapisywać ich w całości. Wśród nich „beleczka” (albo znak hiszpańskiej tyldy) nad spółgłoską oznaczała często, że spółgłoskę tę poprzedza inna – nosowa – z tej samej serii (jak w przypadku *nt*, *mp* lub *nk*). Podobny znak umieszczony pod spółgłoską oznaczał, że taka spółgłoska jest „długa”, czyli podwojona. Skierowany w dół „haczyk” przymocowany do łuku litery to „następujące *s*” – szczególnie w kombinacjach *ts*, *ps*, *ks* (*x*), tak popularnych w języku quenya.

Naturalnie nie istniał żaden „styl” dostosowany do wymagań języka angielskiego [i polskiego], choć można oczywiście wyprowadzić taki zapis fonetyczny z systemu Fëanora. Krótki przykład zapisu na stronie tytułowej angielskiego wydania *Władcy Pierścieni* nie jest tego próbą – jest to raczej przykład tego, co mógłby stworzyć mieszkaniec Gondoru wahający się pomiędzy wartościami liter w jego własnym alfabecie a tradycyjną ortografią języka angielskiego. Warto zauważyć, że kropka pod literą (zazwyczaj stosowana do zaznaczenia słabych, zanikających samogłosek) wyobraża tu ciche, końcowe *e* – jak w słowie *here*, ale także użyto jej w nieakcentowanym spójniku *and*. Przedimki *the*, *of* oraz *of the* zostały tam wyrażone za pomocą specjalnych „skrótów”: rozciągniętego *dh*, rozciągniętego *v* i tego ostatniego znaku z kreseczką u dołu.

Nazwy liter. W każdej z odmian tego systemu, w poszczególnych językach, wszystkie litery i znaki miały własne nazwy. Zostały one nadane po to, aby zaprezentować i opisać ich fonetyczne zastosowanie w poszczególnych odmianach. Jednak – szczególnie podczas prób opisania wartości fonetycznej liter w odmianach – zaistniała potrzeba takich powszechnych nazw, które stale będą kojarzone z poszczególnymi kształtami liter. W tym celu używano powszechnie pochodzących z języka

quenya „pełnych” nazw, nawet gdyby miały się one odnosić do zastosowań osobliwych i niespotykanych w tym języku. Każda taka „pełna” nazwa była rzeczywistym quenejskim słowem, w którym występowała odpowiednia głoska. Na ile to było możliwe, rozpoczynała ona dane słowo; jeśli owa głoska lub kombinacja głosek nie mogły rozpoczynać wyrazu, znajdowały się one zaraz po pierwszej samogłosce. A oto nazwy wszystkich liter z tabeli: (1) *tinco* „metal”, *parma* „księga”, *calma* „lampa”, *quesse* „pióro”; (2) *ando* „brama”, *umbar* „przeznaczenie”, *anga* „żelazo”, *ungwe* „pajęczyna”; (3) *thúle* (*súle*) „duch”, *formen* „północ”, *harma* „skarb” (lub *aha* „gniew”), *hwesta* „wietrzyk”; (4) *anto* „usta”, *ampa* „hak”, *anca* „paszcza”, *unque* „jama”; (5) *númen* „zachód”, *malta* „złoto”, *noldo* (dawniej *ngoldo*) „członek szczepu Noldorów”, *nwalme* (dawniej *ngwalme*) „cierpienie”; (6) *óre* „serce” („wewnętrzna świadomość”), *vala* „moc anielska”, *anna* „dar”, *vilya* „powietrze”, „niebo” (dawniej *wilya*); *rómen* „wschód”, *arda* „obszar”, *lambe* „język”, *alda* „drzewo”; *silme* „gwiezdny blask”, *silme nuquerna* (*s odwrócone), áre „światło słoneczne” (lub esse „imię”), áre nuquerna; hyarmen „południe”, hwesta sindarinwa, yanta „most”, úre „upał”*.

Widoczne rozbieżności – warianty nazw – to skutek ewolucji języka quenya, która dokonała się wśród Wygnańców po nadaniu nazw literom. Stąd litera numer 11 została nazwana *harma*, gdy przedstawiała szczelinowe *ch* (spirant), niezależnie od umiejscowienia – gdy jednak na początku wyrazów dźwięk ten przekształcił się w *h* na przydechu[141] (choć nie uległ tej przemianie w środku wyrazów), nadano mu nazwę *aha*. Pierwotnie nazwa *áre* miała postać *áze*, ale gdy głoska *z* przestała różnić się od tej pod numerem 21, zaczęto używać owego znaku do wyobrażania bardzo popularnego w tym języku *ss* i nadano mu nazwę *esse*. Literę *hwesta sindarinwa* „*hw* Elfów Szarych”, nazwano tak dlatego, że w języku quenya już numer 12 służył głosce *hw* i specjalne oddzielne znaki dla *hw* i *chw* nie były po prostu potrzebne. Istniały takie nazwy liter, które były znane i używane niezwykle powszechnie – były to 17 *n*, 33 *hy*, 25 *r* i 9 *f*, czyli *númen*, *hyarmen*, *rómen*, *formen* – „zachód”, „południe”, „wschód”, „północ” (w sindarinie *dûn* lub *annûn*, *harad*, *rhûn* lub *amrûn*, *forod*). Pełniły one tę samą funkcję co nasze W, S, E, N, – nawet w językach, które dla stron świata miały całkiem inne terminy. W krajach Zachodu wymieniono je w takiej właśnie kolejności – głównym kierunkiem był zachód i od niego rozpoczynano wymienianie stron świata. Słowa *hyarmen*

i *formen* w rzeczywistości znaczą „kraina na lewo” i „kraina na prawo” (inaczej niż w wielu ludzkich językach).

Angerthas

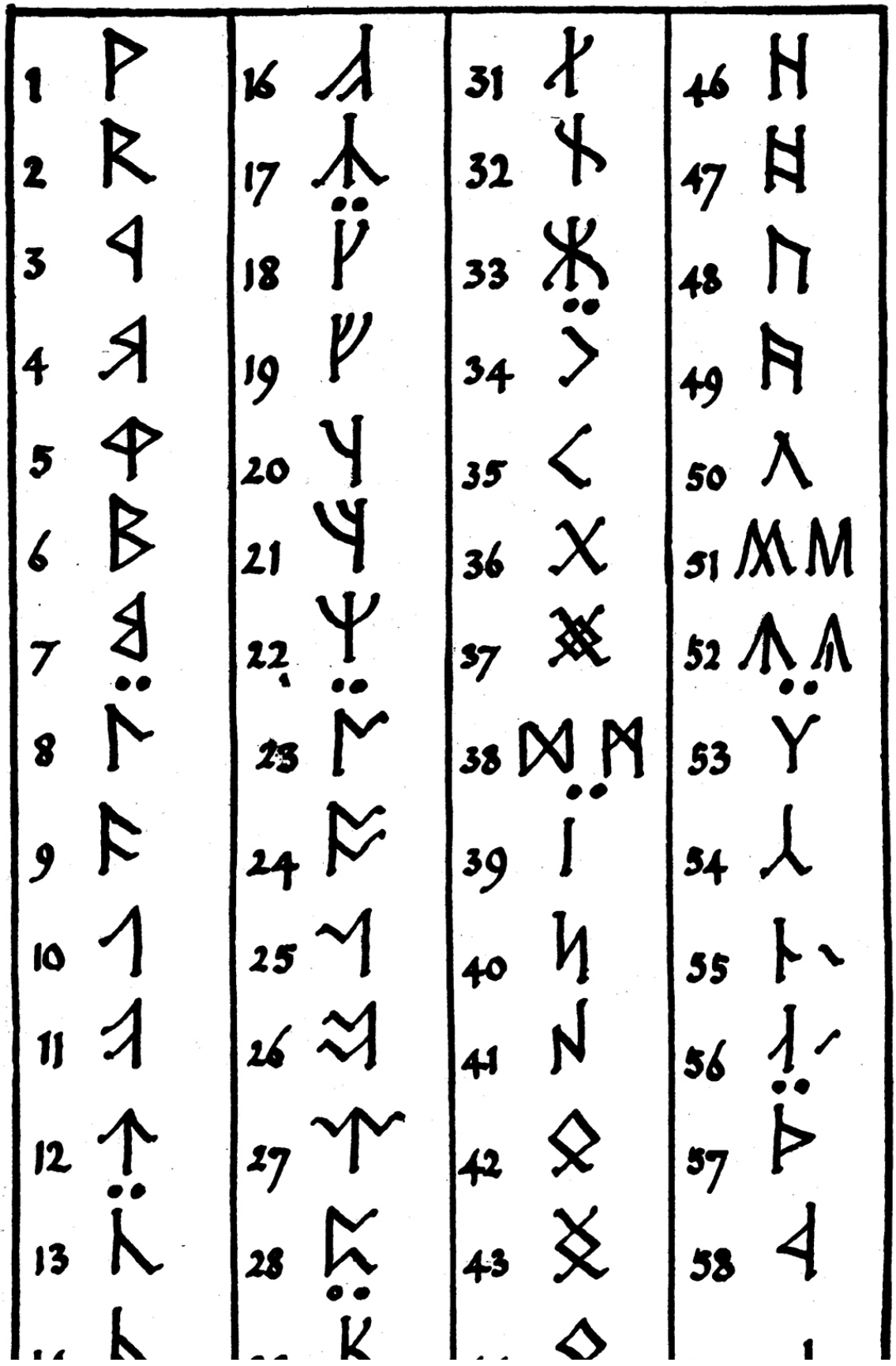

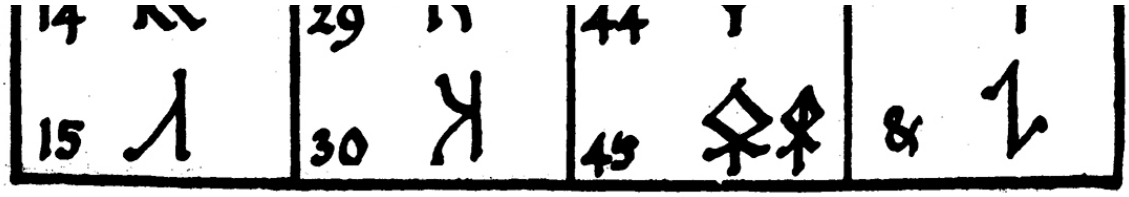

Wartości znaków

1	p	16	zh	31	l	46	e
2	b	17	nj—z	32	lh	47	ɐ
3	f	18	k	33	ng—nd	48	a
4	v	19	g	34	s—h	49	ă
5	hw	20	kh	35	s—ʾ	50	o
6	m	21	gh	36	z—ŋ	51	ŏ
7	(mh) mb	22	ŋ—n	37	ng*	52	ö
8	t	23	kw	38	nd—nj	53	n*
9	d	24	gw	39	i (y)	54	h—s
10	th	25	khw	40	y*	55	*
11	dh	26	ghw,w	41	hy*	56	*
12	n—r	27	ngw	42	u	57	ps*
13	ch	28	nw	43	ū	58	ts*
14	j	29	r—j	44	w		+h

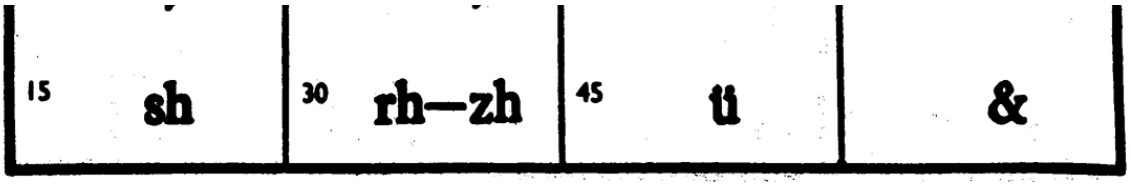

Cirth

Certhas Daeron stworzono pierwotnie tylko do zapisu dźwięków języka sindarin. Najstarszymi runami *cirth* były numery: 1, 2, 5, 6; 8, 9, 12; 18, 19, 22; 29, 31; 35, 36; 39, 42, 46, 50 oraz *certh* 13 albo 15. Wartości tych znaków nie były usystematyzowane. Runy 39, 42, 46 i 50 były samogłoskami i tak pozostało nawet po późniejszych przekształceniach. Znaków 13 i 15 używano dla spółgłoski *h* lub *s*, w zależności od tego, jaką wartość przyjęto dla runy 35 – czy *s*, czy *h*. Tendencja do wahań w zapisie *s* i *h* przetrwała i w późniejszych, rozwiniętych odmianach. Wśród tych run, które składały się z „pnia” i „gałęzi” – czyli od numeru 1 do 31 – gdy gałąź miała być przyłączona tylko z jednej strony, wybierano zazwyczaj prawą stronę. Nierzadko czyniono to i z drugiej strony, ale nie miało to żadnego fonetycznego znaczenia.

Rozszerzenie i nowe opracowanie run *certhas*, w swej starszej formie, nazywało się *Angerthas Daeron*, ponieważ dodanie nowych run do starszego *cirth* i ich reorganizację przypisywano Daeronowi. Jednakże podstawowych zmian – wyprowadzenia dwóch nowych serii: 13–17 oraz 23–28 – dokonali najprawdopodobniej Noldorowie z Eregionu, bo serii tych używano dla głosek obcych językowi sindarin.

W nowym uporządkowaniu run *Angerthas* dostrzec można następujące zasady (niewątpliwie inspirowane systemem Fëanora): (1) dodanie kreseczki obok gałęzi udźwięczniało spółgłoskę; (2) odwrócenie runy *certh* oznaczało przemianę spółgłoski w spirant [spółgłoskę szczelinową]; (3) umieszczenie gałęzi po obydwu stronach pnia oznaczało udźwięcznienie i nazalizację. Zasady te sprawdzały się bez zarzutu z jednym wyjątkiem. Sindarin (archaiczny) wymagał znaku dla szczelinowego *m* (lub nosowego *v*), a ponieważ do tego celu najlepsze by było odwrócenie znaku dla *m*, zdatny do odwracania numer 6 przeznaczono do zapisu tej głoski – jednak runie 5 musiano nadać wartość *hw*.

Teoretyczną wartością znaku 36 było *z*, ale w ortografii sindarinu i języka quenya ta runa służyła do zapisu *ss* – patrz numer 31 w systemie

Fëanora. Znaku 39 używano zarówno dla *i*, jak i *y* [czyli spółgłoski, jak polskie *j*]. Bez rozróżnienia 34 i 35 służyły do zapisu *s*, a znak 38 wyobrażał bardzo rozpowszechnioną kombinację *nd*, chociaż swym kształtem nie nawiązywał bezpośrednio do głosek zębowych.

W tabeli opisującej głoskowe wartości run za każdym razem, gdy wartości zostały rozdzielone znakiem pauzy, ta z nich, która jest po lewej stronie, odnosi się do dawniejszego *Angerthas*. Natomiast wartości po prawej dotyczą krasnoludzkiego *Angerthas Moria*[142]. Krasnoludowie z Morii wprowadzili, jak widzimy, całą masę nieusystematyzowanych zmian w wartościach run, włączając też nowe *cirth*: 37, 40, 41, 53, 55, 56. Przemieszczenie wartości znaków głównie polegało na: (1) zmianie znaczenia run 34, 35, 54 dotyczącego *h* (czyste rozpoczęcie wyrazu przez samogłoskę, jak to miało miejsce w języku khuzdul) oraz *s*; (2) zrezygnowaniu z 14 i 16, które zostały przez krasnoludów zastąpione runami 29 i 30. Dostrzec można i inne modyfikacje: w konsekwencji ostatnio wzmiankowanej zamiany głoskę *r* wyobrażał teraz znak 12, dla *n* stworzono 53 (co wprowadziło zamieszanie wobec istnienia 22); 17 zaczęto używać jako *z*, co wiązało się z użyciem 54 jako *s*, a w konsekwencji 36 zaczęło wyobrażać *n*, dla *ng* zaś stworzono nową *certh* 37. Nowe runy 55 i 56 pisano pierwotnie jako połówki znaku 46, a używano ich dla takich samogłosek jak słyszana w angielskim *butter* – bardzo rozpowszechnionych w języku krasnoludów i w westronie. Kiedy głoski takie słabły, runę często redukowano do zwykłej kreski bez pnia. Przykład *Angerthas Moria* znajdujemy w inskrypcji na grobie Balina.

Krasnoludy z Ereboru posługiwały się dalszą modyfikacją tego systemu, zwaną stylem ereborskim. Przykład tego pisma znjdujemy w Księdze Mazarbul. Jego cechy charakterystyczne to: użycie 43 jako *z*, 17 jako *ks* (*x*) oraz stworzenie dwu nowych *cirth* – 57 i 58 – dla *ps* i *ts*. Krasnoludowie nadali znakom 14 i 16 ponownie wartości *j* i *zh*, ale 29 i 30 używali dla głosek *g* i *gh* jako zwykłe warianty 19 i 21. Osobliwości tych nie zaznaczono w tabeli poza specjalnymi ereborskimi *cirth* 57 i 58.

Tłumaczył

Ryszard Derdziński

OD TŁUMACZA „DODATKU E” NA POLSKI

Oto propozycja dostosowania liter Fëanora do systemu fonetycznego języka polskiego, odwołująca się do powyższych uwag J.R.R. Tolkiena. Podstawową zasadą tej wersji polskiego tengwaru jest to, że nie respektuje ona zawiłości polskiej ortografii (która jest wynikiem rozwoju historycznego naszego języka), opierając się na takich głoskach, jakie dziś składają się na polski system fonetyczny.

Spółgłoski

Rząd: (1) *t*, *p*, *cz*, *k*; (2) *d*, *b*, *dż*, *g*; (3) *c*, *f*, *sz*, *h* (*ch*); (4) *dz*, *w*, *ż* (*rz*); (5) *n*, *m*, –, –; (6) *r*, *ł*, *j*, –; litery dodatkowe 25–32: *r*, –; *l*, –; *s*, *s*, *z*, *z;* znaków 33–36 nie używamy.

Wprowadzono tu podwójne warianty dla *r* (21 i 25), *s* (29 i 30) i *z* (31 i 32), aby ułatwić stawianie *tehtar* samogłoskowych. Spółgłoski miękkie: *ć*, *ń*, *ś*, *ź*, *dź* zapisujemy przez umieszczenie znaku „następujące *j*” (dwie kropki) pod znakami spółgłosek: *cz*, *n*, *sz*, *ż*, *dż*. Gdy chcemy zapisać: *ci*, *ni*, *si*, *zi*, *dzi* (spółgłoski zmiękczone przez następujące *i*), to zamiast dwóch kropek stawiamy tylko *tehta i* nad wyżej wymienionymi spółgłoskami.

Samogłoski

Proponuję stawiać samogłoskowe znaki *tehtar* nad poprzedzającymi samogłoskę spółgłoskami – jak przy zapisie języka quenya. Samogłoska *a* to trzy kropki, cyrkumfleks bądź taki znaczek, jaki dla *a* znajduje się w inskrypcji na Pierścieniu; *e* to znak „akcentu”; *i* to pojedyncza kropka; *o* to zawijas w prawo; *u* – zawijas w lewo; *y* to *a* do góry nogami. Samogłoski nosowe *ą* i *ę* to podwojenie *tehtar* dla *o* i dla *e* (bo *ą* to nosówka spokrewniona z *o*, nie z *a*). „Krótkiego powiernika” używamy zgodnie z radą Tolkiena.

DODATEK F

1. JĘZYKI I LUDY TRZECIEJ ERY

Czerwona Księga pisana była językiem westron, czyli Wspólną Mową zachodnich krajów Śródziemia w Trzeciej Erze. Język ten w owej epoce rozpowszechnił się i stał się ojczystym językiem dla wszystkich niemal istot obdarzonych mową (z wyjątkiem elfów), zamieszkujących w granicach dawnych królestw Arnoru i Gondoru, to znaczy na wybrzeżach ciągnących się od Umbaru ku północy aż po zatokę Forochel i na ziemiach ciągnących się w głąb lądu aż po Góry Mgliste i Góry Cienia. Wspólna Mowa rozprzestrzeniła się dalej wzdłuż Anduiny ku jej źródłom i zapanowała na zachodnich brzegach rzeki oraz na wschód od Gór, sięgając do Pól Gladden. W okresie Wojny o Pierścień zasięg jej jako mowy ojczystej miał te właśnie granice, jakkolwiek duże połacie Eriadoru były wyludnione i niewielu ludzi żyło nad Anduiną między Gladden a Rauros. Garstka niedobitków pradawnego plemienia Dzikich Ludzi gnieździła się jeszcze w lasach Drúadan w Anorien, a wśród gór Dunlandu przetrwały resztki dawnych mieszkańców, osiadłych tu wcześniej, niż powstał w Śródziemiu Gondor. Ci trzymali się własnej mowy, podczas gdy na równinach Rohanu zagospodarowali się od pięciu stuleci przybysze z północy, Rohirrimowie. Jednakże nawet te ludy, które zachowały odrębny język, znały westron i posługiwały się nim w rozmowach z cudzoziemcami; Wspólnej Mowy używali nawet elfowie nie tylko w Arnorze i Gondorze, lecz także we wszystkich dolinach Anduiny i na wschód od Mrocznej Puszczy. Wśród dzikich ludzi i Dunlendingów też można było porozumieć się Wspólną Mową, oczywiście kaleczoną przez tych odludków stroniących od obcych.

Elfowie

Plemię elfów w zamierzchłej przeszłości, za Dawnych Dni, podzieliło się na dwie główne gałęzie, zachodnich, czyli Eldarów, i wschodnich. Z tej wschodniej gałęzi wywodziły się niemal wszystkie szczepy elfów

zamieszkujące Mroczną Puszczę i Lórien, lecz ich język nie występuje w tej opowieści, w której nazwy, imiona i wyrazy podano w formie eldarin[143].

Rozróżniamy w tej książce dwa języki eldarin: język Elfów Wysokiego Rodu, czyli quenya, oraz język Szarych Elfów, czyli sindarin. Quenya był to pradawny język Eldamaru za Morzem, pierwszy, który utrwalono na piśmie. Z czasem wyszedł z powszechnego użycia i stał się dla elfów tym, czym jest dla nas łacina, językiem ceremonialnym, używanym przez Elfów Wysokiego Rodu, którzy pod koniec Pierwszej Ery powrócili jako wygnańcy do Śródziemia, do wyrażania najwznioślejszych spraw nauki i poezji. Sindarin był początkowo blisko spokrewniony z quenya, jako język tych elfów, którzy, przybywszy na brzegi Śródziemia, nie odpłynęli za Morze, lecz pozostali na wybrzeżach Beleriandu. Panował nad nimi w tej krainie Thingol Szary Płaszcz, król Doriath, a w ciągu długiej epoki półmroku na tej zmiennej ziemi śmiertelników język ich uległ przemianom i odbiegł dość daleko od mowy Eldarów żyjących za Morzem. Wygnańcy, żyjąc wśród liczniejszych Elfów Szarych, przyjęli sindarin na codzienny użytek i dlatego to stał się on językiem wszystkich elfów oraz ich książąt w naszej opowieści. Występujący w niej bowiem elfowie należeli do gałęzi Eldarów, nawet jeśli panowali nad ludem mniej szlachetnego pochodzenia. Najdostojniejsza ze wszystkich była Pani Galadriela z królewskiego rodu Finarfina, siostra Finroda Felagunda, który władał Nargothrondem. W sercach Wygnańców nigdy nie cichła tęsknota za Morzem; w sercach Elfów Szarych tęsknota drzemała, lecz raz zbudzona, nie dała się już niczym ukoić.

Ludzie

Westron był mową rodzaju ludzkiego, chociaż wzbogacił ją i złagodził wpływ elfów. Był to pierwotnie język tych, którzy u Eldarów nazywali się Atani lub Edainowie, „Ojcowie ludzi”, wywodzący się z Trzech Rodów Przyjaciół Elfów, które przybyły w Pierwszej Erze do Beleriandu i pomogły Eldarom w Wojnie o Wielkie Klejnoty przeciw Władcy Ciemności z północy. Po obaleniu Władcy Ciemności, gdy znaczna część Beleriandu leżała w ruinie lub zalana była przez Morze, Przyjaciołom Elfów udzielono w nagrodę za zasługi tego przywileju, że mogli podobnie jak Eldarowie

odpływać na zachód za Morze. Ponieważ jednak wzbroniony był im wstęp do Królestwa Nieśmiertelnych, dostali we władanie osobną wielką wyspę, położoną na zachodniej granicy krainy Śmiertelników. Wyspa nazywała się Númenor (Westernesse). Większość Przyjaciół Elfów osiedlała się więc odtąd w Númenorze, gdzie powstało wspaniałe, potężne królestwo, rozwinęła się sztuka żeglarska i zbudowano mnóstwo okrętów. Ludzie ci byli piękni z oblicza i postawy, a żyli trzykroć dłużej niż mieszkańcy Śródziemia. Zwali się Númenorejczykami, a w języku elfów Dúnedainami i uważano ich za królów wśród ludzi. Spośród wszystkich plemion ludzkich jedynie Dúnedainowie znali język elfów i mówili nim, ponieważ ich praojcowie nauczyli się języka sindarin i przekazywali tę umiejętność z pokolenia na pokolenie jako część skarbu wiedzy, niewiele w tej mowie z biegiem wieków zmieniając. Uczeni wśród Dúnedainów znali język Elfów Wysokiego Rodu, quenya, i cenili go ponad wszystkie inne; z tego też języka czerpali nazwy dla sławnych i czczonych miejscowości oraz imiona dla ludzi królewskiego dostojeństwa i wielkiej sławy[144].

Ojczystą wszakże mową pozostał dla większości Númenorejczyków język ich przodków, adûnaic, i do niego powracali królowie i wodzowie w późniejszych dniach chwały, porzucając język elfów, któremu wierni zostali tylko nieliczni, najściślej związani starą przyjaźnią z Eldarami. W okresie potęgi Númenorejczycy utrzymywali wiele twierdz i przystani na zachodnich wybrzeżach Śródziemia dla obrony swej floty; do głównych obronnych portów zaliczał się Pelargir w pobliżu ujścia Anduiny. Mieszkańcy tutejsi mówili językiem adûnajskim, przeplatając go mnóstwem wyrazów z języków pośledniejszych plemion; i tak powstała Wspólna Mowa, która stąd rozprzestrzeniła się wzdłuż wybrzeży na wszystkie kraje mające jakieś stosunki z Westernesse.

Po upadku Númenoru Elendil sprowadził garstkę ocalonych Przyjaciół Elfów z powrotem na północno-zachodnie wybrzeże Śródziemia. Mieszkało tam już sporo ludzi czystej lub zmieszanej krwi númenorejskiej, lecz mało kto pamiętał język elfów. Od początku Dúnedainów było więc znacznie mniej niż pośledniejszych plemion, wśród których żyli i którymi rządzili, jako władcy obdarzeni długim życiem, wielką potęgą i mądrością. Używali Wspólnej Mowy w stosunkach z innymi plemionami i poddanymi swoich rozległych królestw, lecz rozwinęli ten język i wzbogacili go wielu wyrazami z języka elfów.

W epoce królów númenorejskich ten uszlachetniony język westron rozpowszechnił się szeroko, nawet między nieprzyjaciółmi, a sami Dúnedainowie posługiwali się nim coraz częściej, tak że w latach Wojny o Pierścień tylko mała cząstka ludów Gondoru znała język elfów, a jeszcze mniejsza używała go w codziennej praktyce. Takich ludzi znalazłoby się tylko w Minas Tirith i w najbliższym sąsiedztwie grodu oraz w krajach lennych książąt Dol Amrothu. Mimo to imiona własne i nazwy w Gondorze przeważnie miały formę i znaczenie zaczerpnięte z mowy elfów. Źródłosłów kilku nazw zatarł się z biegiem czasu w pamięci; pochodziły one niewątpliwie z pradawnej epoki, gdy okręty Númenorejczyków jeszcze nie wypłynęły na Morze; do takich nazw należały: Umbar, Arnach, Erech, Eilenach, Rimmon i Forlong.

Większość ludzi z krajów północnych i zachodnich pochodziła od Edainów z Pierwszej Ery lub od ich bliskich pobratymców. Języki ich były więc spokrewnione z językiem adûnajskim i niektóre zachowały podobieństwo do Wspólnej Mowy. Do tej rodziny zaliczały się języki plemion zamieszkujących doliny w górnym biegu Anduiny, Beoringów i Leśnych Ludzi z zachodniej części Mrocznej Puszczy, dalej zaś na północy i wschodzie – ludzi znad Długiego Jeziora i z Dale. Plemię, które w Gondorze znano pod mianem Rohirrimów, Mistrzów Koni, przybyło z krainy położonej między Gladden a Carrock. Zachowując mowę przodków, Rohirrimowie nadali niemal wszystkim miejscowościom w nowym swoim kraju nowe nazwy; sami nazywali siebie Eorlingami albo ludźmi z Marchii. Przywódcy ich jednak biegle władali Wspólną Mową i poprawnie wymawiali słowa na wzór swych sprzymierzeńców z Gondoru; język ten bowiem, który się w Gondorze narodził, tam też przetrwał w najczystszym starym stylu i najpiękniejszym brzmieniu.

Zupełnie obcy był język Dzikich Ludzi z lasu Drúadan. Obcy czy też bardzo daleko spokrewniony był również język Dunlendingów, nielicznego plemienia wywodzącego się od dawnych mieszkańców dolin w Górach Białych. Ich bliskimi krewniakami byli Umarli z Dunharrow. Za Lat Ciemności jednak przodkowie Dunlendingów przeważnie wywędrowali do południowych dolin Gór Mglistych; stamtąd zaś ku północy na pustkowiu aż po Kurhany. Od nich pochodzili ludzie z Bree, lecz ci przed wiekami dostali się w obręb Północnego Królestwa Arnoru i przyjęli Wspólną Mowę. Tylko w Dunlandzie ludzie tej rasy zachowali swój dawny język i

dawne obyczaje. Lud ten żył w odosobnieniu, nieprzyjaźnie odnosił się do Dúnedainów i nienawidził Rohirrimów.

Nie ma w tej książce przykładów ich języka prócz nazwy Forgoilów, którą Dunlendingowie nadali Rohirrimom (podobno znaczyło to „Słomiane Łby"). Dunland, Dunlendingowie – to nazwy, którymi określili ów kraj i jego mieszkańców Rohirrimowie od słowa *dunn*, czyli ciemny, bo plemię to miało włosy ciemne i smagłą cerę; nie ma wszakże to słowo nic wspólnego z wyrazem Dûn, który w mowie Szarych Elfów znaczył „zachód".

Hobbici

W czasach, których dotyczy nasza opowieść, Wspólna Mowa zadomowiła się wśród hobbitów z Shire'u i z Bree zapewne już od tysiąca lat. Posługiwano się nią swobodnie i beztrosko, jakkolwiek bardziej wykształceni hobbici rozporządzali również wyrażeniami i formami poprawniejszymi i umieli ich w razie potrzeby używać. Nie zachowały się żadne ślady języka wyłącznie hobbitom właściwego. Jak się zdaje, od najdawniejszych czasów mówili językami ludzi, z którymi sąsiadowali lub wśród których żyli. Po osiedleniu się w Eriadorze szybko przyjęli Wspólną Mowę, w okresie kolonizowania Bree wielu z nich już nawet nie pamiętało swego pierwotnego języka. Musiał on być podobny do ludzkiego języka mieszkańców dolin górnej Anduiny, pokrewny zatem językowi Rohirrimów, chociaż Stoorowie przed przybyciem do północnej części Shire'u mówili zapewne językiem któregoś z plemion dunlandzkich[145].

Za czasów Froda mało już było śladów pierwotnego języka w nazwach miejscowych lub imionach, podobnych na ogół do imion i nazw spotykanych w Dale i w Rohanie. Na uwagę zasługują tylko nazwy dni, miesięcy i pór roku oraz takie pojedyncze wyrazy, używane powszechnie, jak „mathom" i „smajale"; najwięcej starych form zachowało się w nazwach geograficznych na obszarze Shire'u i Bree. Imiona hobbitów również miały charakterystyczne brzmienie i wiele pochodziło z odległej przeszłości.

Hobbitami nazywali mieszkańcy Shire'u wszystkich swoich współplemieńców. Ludzie mówili na nich „niziołki", elfowie zaś – *periannath*. Źródłosłowu nazwy hobbit zapomniano, zdaje się jednak, że pierwotnie tak nazywali Harfootów Fallohidzi i Stoorowie i że jest to

przekręcona forma wyrazu zachowanego w poprawnej postaci w języku Rohirrimów: *holbytla* – „budowniczy nor ziemnych”.

Inne plemiona

Enty

Najstarszym plemieniem, które przetrwało do Trzeciej Ery, byli Onodrimowie, czyli Enydzi. Enty – to nazwa tego plemienia w języku Rohanu. Enty w zamierzchłej przeszłości zetknęły się z Eldarami i właśnie im zawdzięczały jeśli nie język, to w każdym razie chęć władania jakąś mową. Stworzyły sobie język niepodobny do wszystkich innych, powolny, górnolotny, pełen zlepków słów i powtórzeń, doprawdy wymagający głębokiego oddechu; ukształtowany z różnorodnych odcieni samogłosek, akcentów, długości, język tak zawiły, że nawet uczeni Eldarowie nie próbowali go przedstawić w piśmie. Enty używały swego języka tylko między sobą, nie potrzebowały go jednak otaczać tajemnicą, bo nikt prócz nich nie mógł się i tak tej niezwykłej mowy nauczyć. Enty były wszakże zdolne do języków, uczyły się ich szybko, a tego, co raz zapamiętały, nigdy nie zapominały. Bardziej niż inne plemiona lubiły mowę Eldarów, a w szczególności starożytny język Elfów Wysokiego Rodu. Toteż dziwne słowa i nazwy, które hobbici słyszeli z ust Drzewca lub innych entów, są wyrazami czy też fragmentami wyrazów z języka elfów, posklejanymi z sobą na modłę entów[146]. Niektóre z tych wyrazów należą do języka quenya, na przykład: *Taurelilomëa-tumbalemorna Tumbaletaurea Lomeanor*, co mniej więcej znaczy: „Wielolesistycienisty głębokodolinnoczarny głębokodolinnoleśny mrocznykraj”. Drzewiec w ten sposób dawał do zrozumienia, że „czarny cień leży w głębokich dolinach lasu”. Niektóre nazwy pochodzą z języka sindarin, na przykład Fangorn – broda drzewa albo Fimbrethil – smukła brzoza.

Orkowie i Czarna Mowa

Inne plemiona nazywały to nikczemne plemię orkami, a pochodzi ta nazwa z języka Rohanu. W języku sindarin słowo to brzmiało *orch*. Z nią wiąże się zapewne nazwa *uruk*, chociaż odnosiła się ona w Czarnej Mowie zazwyczaj jedynie do szczepu rosłych wojowników-orków, wyhodowanego

podówczas w Mordorze i Isengardzie. Dla mniejszych szczepów była w użyciu – zwłaszcza wśród Uruk-hai – nazwa *snaga*, co znaczy: niewolnik.

Orków pierwotnie wyhodował za Dawnych Dni Władca Ciemności na północy. Plemię to podobno nigdy nie miało własnej mowy, lecz chwytało wyrazy z innych języków i przekręcało je wedle swych upodobań; powstała w ten sposób grubiańska gwara, niewystarczająca nawet na ich prymitywne potrzeby, bogata tylko w klątwy i wyzwiska. Stwory te, nienawidzące nawet własnego gatunku, wkrótce rozwinęły tyle barbarzyńskich dialektów, ile było zgrupowań i ośrodków ich rasy; toteż nawet między sobą różne szczepy nie mogły się porozumiewać językiem orków.

Dlatego w Trzeciej Erze orkowie używali w stosunkach między sobą języka westron; wiele grup starszych, na przykład orkowie, którzy przetrwali na północy i w Górach Mglistych, od dawna zresztą uważało westron za swoją mowę ojczystą, jakkolwiek tak ją przetworzyli, że brzmiała nie piękniej od rdzennego orkowego szwargotu. W tym żargonie *tark* – człowiek z Gondoru, był zniekształconą formą słowa *tarkil*, które wywodziło się z języka quenya i używane było w mowie westron na oznaczenie człowieka pochodzenia númenorejskiego.

Czarną Mowę podobno wymyślił w Latach Ciemności Sauron, pragnąc narzucić ten język wszystkim swoim sługom, co mu się zresztą nie udało. Z tej jednak mowy przyjęły się i upowszechniły wśród orków w Trzeciej Erze niektóre wyrazy, jak *ghash* – ogień, lecz język sam w swej pierwotnej postaci po pierwszym upadku Saurona poszedł w zapomnienie i zachowały go jedynie Nazgûle. Gdy Sauron powstał na nowo, ten język zapanował znów w Barad-dûr i między dowódcami sił Mordoru. Napis na Pierścieniu jest przykładem pierwotnej Czarnej Mowy, ale przekleństwa orków przytoczone w rozdziale „Uruk-hai” to zniekształcona jej postać, używana przez żołdaków Czarnej Wieży, których dowódcą był Grisznak. *Sharku* w tej mowie znaczy: staruszek.

Trolle

Nazwa troll jest odpowiednikiem wyrazu *torog* z języka sindarin. Trolle w zamierzchłej epoce półmroku Dawnych Dni były stworami tępymi i niezdarnymi i podobnie jak zwierzęta nie znały mowy. Sauron, chcąc posłużyć się nimi do swoich celów, postarał się je okrzesać na tyle, na ile pozwalała wrodzona tępota tych osiłków, i wzbogacił ich ubogą inteligencję

przewrotnością. Trolle więc nauczyły się trochę języka orków, a w krajach zachodnich Trolle Kamienne posługiwały się zniekształconą Wspólną Mową.

Pod koniec wszakże Trzeciej Ery pojawiła się w południowej części Mrocznej Puszczy i w górach na pograniczu Mordoru nowa, nieznana przedtem odmiana trolli. Nazywano je w Czarnej Mowie Ologh-hai. Niewątpliwie wyhodował ten szczep Sauron, nie wiadomo jednak z jakiego plemienia. Niektórzy historycy sądzą, że byli to po prostu olbrzymi orkowie, lecz wydaje się to nieprawdopodobne, bo z postaci i umysłowości różnili się bardzo od najroślejszych nawet orków, znacznie przewyższając ich wzrostem i siłą. Musiały to być trolle, których Władca Ciemności natchnął swoją złą wolą; nikczemna rasa, krzepka, zręczna, dzika i chytra, a twardsza niż kamienie. W przeciwieństwie do pierwotnych trolli z okresu Półmroku, znosiły dobrze światło słoneczne, dopóki wola Saurona je podtrzymywała. Mówiły mało i nie znały innego języka prócz Czarnej Mowy Barad-dûr.

Krasnoludowie

Krasnoludowie to rasa odrębna. O dziwnych jej początkach i o przyczynach, dla których stała się jednocześnie tak bardzo podobna i tak bardzo niepodobna do ludzi, mówi księga *Silmarillion*; pośledniejsi elfowie ze Śródziemia nie znała jej jednak, a późniejsze krążące wśród ludzi legendy są pełne błędów i zapożyczeń z historii innych plemion.

Krasnoludowie są na ogół hartowni, zawzięci, skryci, pracowici, nie zapominają krzywd (ani dobrodziejstw); kochają kamienie, klejnoty i rzeczy zrobione ręką biegłego rzemieślnika bardziej niż to, co żyje własnym życiem. Nie są wszakże z natury źli i cokolwiek by ludzie bajali, bardzo niewiele krasnoludów dobrowolnie poszło na służbę Sił Ciemności. Ludzie jednak z dawna zazdrościli krasnoludom skarbów i pięknych wyrobów, które z ich rąk wychodziły, dlatego powstała między dwiema rasami nieufność.

W Trzeciej Erze wszakże przyjaźń często łączyła ludzi z krasnoludami; zgodnie ze swą naturą krasnoludowie, po zniszczeniu pierwotnych siedzib zmuszeni wędrować, pracować i handlować w różnych krajach, zaczęli używać języków ludzi, wśród których przebywali. Lecz w tajemnicy – której w przeciwieństwie do elfów nie zdradzali nawet przyjaciołom –

posługiwali się własnym dziwnym językiem, prawie niezmieniającym się w ciągu wieków; stał się on bowiem językiem uczonych raczej niż mową dzieciństwa, a był pielęgnowany i strzeżony jak bezcenna spuścizna przeszłości. Nikt chyba z obcoplemieńców go nie znał. W naszej opowieści występuje tylko w nazwach geograficznych, które Gimli zwierzył towarzyszom wędrówki, oraz w okrzyku bojowym, który wydał podczas oblężenia Rogatego Grodu. Ten okrzyk przynajmniej nie wymagał zatajenia i słyszano go na wielu polach bitew od zarania świata: *„Baruk Khazâd! Khazâd ai-mênu*!” – „Topory krasnoludów! Krasnoludowie biją!”

Imię Gimlego, podobnie jak imiona jego pobratymców, wywodzi się z języka ludzi Północy. Własnych, prawdziwych imion, używanych tylko w gronie krasnoludów, nigdy nie ujawniano przedstawicielom innych plemion. Nie pisali ich krasnoludowie nawet na grobowcach.

2. ZASADY PRZEKŁADU

Przedstawiając treść Czerwonej Księgi dzisiejszym czytelnikom, starano się wyrazić ją w miarę możności językiem naszych czasów. Tylko cytaty z języków innych niż Wspólna Mowa pozostawiono w oryginale; co prawda są to przeważnie imiona osób lub nazwy geograficzne.

Wspólną Mowę, język hobbitów i spisane przez nich opowieści, przełożono oczywiście na współczesną angielszczyznę. Zatarły się przy tym odcienie języka westron, nieco odmiennego w różnych krajach. Próbowano te odcienie z lekka zaznaczyć, lecz różnice między wymową oraz idiomami Shire’u a językiem westron w ustach elfów i szlachetnie urodzonych ludzi Gondoru były o wiele większe, niż to można z naszej książki wywnioskować. Hobbici w rzeczywistości używali najczęściej wiejskiego dialektu, podczas gdy w Gondorze i Rohanie zachowały się formy starsze, panował styl bardziej uroczysty i zwięzły.

Między innymi okazała się niemożliwa do uwypuklenia w przekładzie pewna znamienna różnica, polegająca na tym, że westron w zasadzie odróżniał formy oficjalne i poufałe w drugiej osobie czy to liczby pojedynczej, czy też mnogiej: hobbici natomiast do wszystkich zwracali się jednakowo. Formy oficjalne zachowały się tylko między rówieśnikami w Zachodniej Ćwiartce, ale miały tam znaczenie raczej pieszczotliwego zdrobnienia. Tym się tłumaczą przede wszystkim uwagi ludzi z Gondoru, że

hobbici mówią trochę dziwnie. Peregrin Tuk na przykład od pierwszego dnia pobytu w Minas Tirith zwracał się w formie poufałej do osób wszelkiej rangi, z Władcą włącznie. Mogło to bawić sędziwego Namiestnika Denethora, ale dziwiło jego podwładnych. Niewątpliwie też ten właśnie zwyczaj Peregrina przyczynił się do rozpowszechnienia pogłoski o jego rzekomo książęcym stanowisku w ojczyźnie. Czytelnik może zauważy, że hobbici, na przykład Frodo, oraz takie postacie, jak Gandalf czy Aragorn, nie zawsze mówią jednakim stylem. Nie jest to przypadek. Wykształceni i zdolniejsi hobbici mieli pewne pojęcie o „języku książkowym", jak go w Shire nazywano; bystro podchwytywali i zapamiętywali styl osób, z którymi się stykali. W każdym razie było rzeczą naturalną, że osoby wiele po świecie podróżujące przejmowały sposób mówienia tych, wśród których się znalazły, zwłaszcza gdy tak jak Aragorn usiłowały ukryć swoje pochodzenie i zamiary. Jednakże wszyscy nieprzyjaciele Nieprzyjaciela szanowali podówczas spuściznę przeszłości, w języku podobnie jak w innych dziedzinach, i sprawiało im satysfakcję pielęgnowanie mowy w granicach swej wiedzy. Eldarowie szczególnie mieli dar słowa i opanowali wiele rozmaitych stylów, jakkolwiek przeważnie trzymali się zwyczajów własnej mowy, bardziej jeszcze starożytnej niż mowa Gondoru. Krasnoludowie również byli obrotni w języku i łatwo przystosowywali się pod tym względem do otoczenia, chociaż wymowę mieli nieco chropawą i gardłową. Natomiast orkowie i trolle mówili byle jak, nie znając miłości do słów jak i do innych rzeczy, toteż język ich był jeszcze bardziej nikczemny i plugawy, niż to w książce uwidoczniono. Nie sądzę, by ktokolwiek żałował, iż autor nie oddał w tym przypadku całej prawdy, jakkolwiek nietrudno by mu było znaleźć współczesne wzory. Podobną mowę słyszy się nieraz w ustach ludzi orkowej natury, ponurą, mało urozmaiconą, ziejącą nienawiścią i wzgardą, od tak dawna już oddaloną od źródeł dobra, że nie zostało jej nic nawet z przekonującej mocy słów i przemawia tylko do uszu tych, którym brutalność wydaje się jedyną siłą.

Taki sposób tłumaczenia jest przyjęty, a nawet nieuchronny, gdy chodzi o historię z odległej przeszłości. Rzadko tłumacz pozwala sobie na więcej, ja jednak na tym nie poprzestałem.

Przetłumaczyłem również imiona własne z języka westron stosownie do ich znaczenia. Angielskie imiona i tytuły użyte w tej książce są odpowiednikami powszechnie wówczas we Wspólnej Mowie używanych

imion; obok nich występują imiona wzięte z innych języków (przeważnie z języka elfów).

Nazwy w języku westron były na ogół tłumaczeniem nazw starszych, na przykład Srebrna Igła, Nieprzyjaciel, Czarna Wieża. Niektóre nabrały innego niż pierwotnie znaczenia, jak Góra Przeznaczenia, która nazywała się przedtem Orodruiną, to jest Górą Ognia; Mroczna Puszcza zamiast Taur e-Ndaedelos, czyli „Las Wielkiego Strachu”. Niekiedy pozostały nazwy dawne, z języka elfów, ale zniekształcone, jak Brandywina – z Baranduin.

Być może wymaga to pewnego usprawiedliwienia. Wydawało mi się, że dziś wszystkie te nazwy w swoim pierwotnym brzmieniu zaciemniłyby istotne cechy epoki, które dostrzegali hobbici (bo ich punkt widzenia starałem się przede wszystkim zachować), a więc kontrast między językiem zwykłym dla nich i swojskim jak angielski dla Anglików a żywymi zabytkami znacznie starszej i bardziej czcigodnej mowy. Nazwy po prostu podane w transkrypcji byłyby dla współczesnego czytelnika jednakowo obce, na przykład w języku elfów Imladris, a we Wspólnej Mowie Karningul; dałem więc temu miejscu zwykłą angielską nazwę Rivendell. Jeśli ktoś nazywał je Imladris, brzmiało to wtedy tak, jak dla dzisiejszego Anglika brzmi Camelot użyte zamiast Winchester, z tą tylko różnicą, że w Trzeciej Erze w nikim ta dwoistość nazwy nie mogła budzić wątpliwości, dopóki w Rivendell mieszkał sławny władca, znacznie starszy, niż byłby król Artur, gdyby po dziś dzień przebywał w Winchester. Nazwy Shire’u (Sûza) oraz innych miejscowości w kraju hobbitów zostały więc zanglicyzowane; nie nastręczało to większych trudności, składały się bowiem na ogół z podobnych elementów jak najpospolitsze nazwy angielskie, a więc takich cząstek jak *hill* czy *ton* (z *town*). Niektóre wszakże wywodziły się, jak już zaznaczyłem, ze starych hobbickich wyrazów, zaniechanych w potocznej mowie, i te wyraziłem przez angielskie odpowiedniki: *wich, bottle* (siedziba), *michel* (wielki).

Co do imion własnych odnoszących się do osób, to miały one w Shire i w Bree dość szczególny charakter, a przede wszystkim ustalił się w krajach hobbickich zwyczaj, w owej epoce wyjątkowy, że już od paru stuleci przekazywano w dziedzictwie z pokolenia na pokolenie nazwiska. Większość ich miała w potocznej mowie wyraźne znaczenie i pochodziła niewątpliwie od dawnych przezwisk, często żartobliwych albo od miejsca zamieszkania czy wreszcie (zwłaszcza w Bree) od nazw roślin i drzew.

Nazwiska tego typu łatwo było przetłumaczyć na angielski, pozostało jednak parę starszych, o niezrozumiałym już wówczas znaczeniu, jak Tûk lub Boffin, i te podałem w oryginalnym brzmieniu, dostosowując tylko pisownię do angielskiej ortografii: Took i Bophin[147].

Imiona hobbickie starałem się oddać jak najwierniej zgodnie z tą samą zasadą. Dziewczęta nazywano w Shire zwykle nazwami kwiatów lub drogich kamieni. Chłopcom dawano imiona bez specjalnego znaczenia, zresztą zdarzało się to również kobietom. Tego typu imionami były: Bilbo, Bungo, Polo, Loto, Tanta, Nina itp. Nieuchronnie trafiają się pewne przypadkowe podobieństwa do imion znanych lub używanych dzisiaj, jak Otho, Odo, Drogo, Dora, Kora; zachowałem je, często jednak zmieniając zakończenie, bo u hobbitów końcówka „a” charakteryzowała rodzaj męski, „e” – żeński.

W niektórych starych rodzinach, zwłaszcza pochodzących od Fallohidów, jak Tukowie lub Bolgerowie, były w zwyczaju imiona szumnie brzmiące. Zapożyczano je, jak się zdaje, przeważnie z dawnych legend obu plemion, ludzkiego i hobbickiego, a niektóre, dla hobbitów z Trzeciej Ery nic już nieznaczące, przypominały imiona spotykane wśród Dużych Ludzi osiadłych w Dolinie Anduiny, w Dale czy też w Marchii. Zastąpiłem je przez stare imiona, najczęściej czerpane z legend Franków i Gotów, używane po dziś dzień u nas albo przynajmniej znane z historii i literatury. W ten sposób zachowałem bądź co bądź śmieszny nieraz kontrast między imieniem a przezwiskiem; hobbici sami zdawali sobie z tej śmieszności sprawę doskonale. Do zasobu imion klasycznych sięgałem rzadko, ponieważ najbliższymi odpowiednikami tego, czym dla nas jest greka i łacina, były dla hobbitów języki elfów, ale imion i nazw nie mieli zwyczaju z nich czerpać. Nieliczni zresztą znali „język królów”, jak go określano. Nazwy geograficzne w Bucklandzie różnią się od nazw w innych częściach Shire’u. Ludność z Marish oraz z kolonii na drugim brzegu Brandywiny podobno w ogóle wyróżniała się wśród hobbitów. Wiele osobliwych, starych nazw odziedziczyła ta kraina niewątpliwie z dawnego języka południowych Stoorów. Zostawiłem je bez zmiany, bo chociaż brzmią dziwnie, tak samo dziwiły w Trzeciej Erze. Miały własny charakter, który niejasno wyczuwano, mniej więcej tak, jak my wyczuwamy obcość słów celtyckich.

Ponieważ zachowane ślady starszego języka Stoorów i pierwotnych mieszkańców Bree stanowią pewną analogię do zachowania w Anglii elementów celtyckich, naśladowałem je niekiedy w moim przekładzie. Nazwy Bree, Combe (Coomb), Archet, Chetwood wzorowałem na reliktach brytyjskiego nazewnictwa, dobierając wyrazy stosownie do znaczenia: *bree – hill* (wzgórze), *chet – wood* (las). Z imion osób jedno tylko utworzyłem tą metodą: Meriadoka ochrzciłem tak, nie inaczej, bo w oryginale nosi imię Kali, co w języku westron znaczyło wesoły, żwawy, chociaż był to w rzeczywistości skrót bucklandzkiego, nic nam dziś niemówiącego imienia Kalimac.

Nie używałem w tej adaptacji imion hebrajskich lub z pokrewnych źródeł, nie ma bowiem u hobbitów żadnego odpowiednika dla tego elementu naszej mowy. Jednozgłoskowe imiona, jak Sam, Tom, Tim, Mat, były pospolitymi skrótami hobbickich imion Tomba, Tolha, Matta i tym podobnych. Ale Sam i jego ojciec Ham nazywają się w oryginale Ban i Ran, co jest skrótem od pierwotnych przezwisk Banazîr i Ranugad, które znaczyły „Półmędrek” i „Domator”, lecz z czasem, gdy stare słowa wyszły z potocznego użycia, zachowały się jako tradycyjne imiona w pewnych rodzinach. Aby ten ich charakter oddać, wybrałem imiona Samwise i Hamfast, zmodernizowane staroangielskie *samwîs* i *hámfæst*, o możliwie zbliżonym do hobbickich imion znaczeniu.

Skoro podjąłem próbę unowocześnienia i przybliżenia języka oraz imion hobbitów, okazały się potrzebne dalsze transpozycje. Języki Dużych Ludzi, spokrewnione z westronem, powinny być, jak mi się zdawało, również oddane przez formy związane w podobny sposób z angielskim. Dlatego język ludzi z Rohanu upodobniłem do starej angielszczyzny; był przecież spokrewniony (dalej) ze Wspólną Mową i zarazem (bardzo blisko) z pierwotną postacią języka hobbitów z Północy, a w porównaniu z westronem – archaiczny. W Czerwonej Księdze spotyka się wzmianki, że hobbici rozumieli z mowy Rohirrimów wiele słów i że wydawała im się podobna do ich własnego języka; nie miało więc sensu podawanie nazw i wyrazów z Rohanu w całkowicie obcym brzmieniu.

W wielu przypadkach unowocześniłem formy i pisownię geograficznych nazw w tym kraju, na przykład Dunharrow, ale nie przestrzegałem ścisłej konsekwencji, naśladując w tym hobbitów. Oni też w podobny sposób zmieniali zasłyszane nazwy, jeśli w nich poznawali jakieś swojskie cząstki

lub jeśli przypominały im nazwy z Shire'u; inne nazwy zostawili jednak bez zmiany, na przykład Edoras – co znaczy: dziedzińce[148].

W ten sposób mogłem też bez trudu zrekonstruować pewne szczególne lokalne wyrazy hobbickie pochodzące z północy. Nadałem im takie formy, jakie mogłyby przybrać zaginione wyrazy angielskie, gdyby przetrwały do naszych czasów. Na przykład *mathom* utworzyłem ze staroangielskiego *mathm*, co stanowi analogię hobbickiej przemiany wyrazu *kast* na *kastu*. Podobnie *smial* (lub: *smile*) – „jama" – wydaje się formą prawdopodobną, pochodną od *smygel*, i oddaje w hobbickim języku przemianę *tran – trahan*. Sméagol i Déagol to odpowiedniki imion Trahald (kopiący jamy, wdrążający się w ziemię) i Nahald (skryty) w językach Północy.

Język plemion z dalej jeszcze na północ wysuniętych krajów, z Dale, reprezentują w naszej książce tylko imiona krasnoludów pochodzących z tamtych stron; przyswoiwszy sobie mowę ludzi, wśród których żyli, z niej zaczerpnęli imiona „jawne". Zarówno w tej książce, jak i w historii pt. *Hobbit* tworzyłem od rzeczownika *dwarf* (krasnolud) liczbę mnogą *dwarves*, jakkolwiek słowniki podają prawidłową formę *dwarfs*. Powinna by ona mieć postać *dwarrows* (lub *dwerrows*), gdyby liczba pojedyncza i liczba mnoga poszły każda własną drogą poprzez wieki, podobnie jak stało się to z rzeczownikami *man* – l.mn. *men*; *goose* – l.mn. *geese*. Ale rzadziej mówimy o krasnoludach niż o ludziach lub gęsiach; pamięć większości ludzi nie zdołała więc zachować specjalnej formy liczby mnogiej dla plemienia tak dziś odtrąconego w świat legendy ludowej, gdzie przetrwał bodaj nikły cień prawdy, czy też w świat niedorzecznych bajek, w którym z krasnoludów zrobiono po prostu postacie komiczne. W Trzeciej Erze coś niecoś z prawdziwego charakteru dawnej sławy tego ludu przebłyskiwało jeszcze, chociaż już wówczas przyćmionym trochę blaskiem. Byli to potomkowie Naugrimów z Dawnych Dni i w sercach ich płonął jeszcze stary ogień kowala Aulëgo, tliła się też zadawniona niechęć do elfów. Słynęli też jeszcze wtedy jako niedościgli mistrzowie w obróbce kamieni.

To chciałem zaznaczyć, pozwalając sobie na odstępstwo od utartej formy gramatycznej[149]. Sądziłem, że w ten sposób odetnę się od fałszywych wyobrażeń, jakie o krasnoludach dają niedorzeczne bajki z późniejszej epoki. Może bardziej prawidłowa byłaby forma *dwarrows*, lecz tej użyłem jedynie w złożeniu „Dwarrowdelf", nazwie Morii, która we Wspólnej Mowie brzmiała Phurunargian, a znaczyła „Kopalnia krasnoludów"; było to

wszakże słowo już wtedy archaiczne. Nazwę „Moria” dali temu miejscu elfowie, którzy odnosili się do niego nieżyczliwie, bo Eldarowie, jakkolwiek w potrzebie – na przykład podczas zażartych wojen z Siłami Ciemności – zakładali podziemne fortece, dobrowolnie nigdy nie przebywali w podziemiach. Kochali zieleń ziemi i światła przystani; Moria w ich języku znaczyło „Czarna Otchłań”. Sami krasnoludowie wyjątkowo nie zatajali nazwy, którą to miejsce ochrzcili: Khazad-dûm – „Dwór Khazadów”, bo swoją rasę nazywali „Khazadami”, starym imieniem, które Aulë nadał im w zamierzchłej przeszłości, u kolebki rodzaju krasnoludzkiego.

Elfowie w oryginale noszą miano Quendi, „Mówiący”, bo tak siebie określali Elfowie Wysokiego Rodu; Eldarowie – to nazwa Trzech Pokrewnych Rodów, które szukały Królestwa Nieśmiertelnych i dotarły do niego w zaraniu dziejów świata (z wyjątkiem Sindarów). Nie rozporządzałem lepszą nazwą niż to stare, znane słowo, w pierwotnym znaczeniu naprawdę stosowne dla istot, których pamięć przechowali ludzie, czy też dla wyobrażeń, jakie o nich ludzie niegdyś mieli. Niestety, słowo to z biegiem czasu skarlało i dziś kojarzy się raczej z fantastycznymi duszkami, ładnymi i głupiutkimi, tak niepodobnymi do prawdziwych Quendich jak motyl do sokoła; nie należy jednak z tego porównania wnosić, że Quendi kiedykolwiek posiadali cielesne skrzydła; tak jak i ludzie elfowie nie mieli nigdy skrzydeł. Quendi byli rasą wspaniałą i piękną, najstarszymi dziećmi świata, między nimi zaś królowali Eldarowie, którzy już dawno odeszli, Wielcy Wędrowcy, Plemię Gwiazdy. Smukli, jasnej cery, oczy mieli szare, lecz włosy ciemne z wyjątkiem złotowłosego rodu Finroda; głosy ich brzmiały melodią, o jakiej głos żadnego śmiertelnika dziś nie może dać wyobrażenia. Było to plemię mężne, lecz historia tych elfów, którzy wrócili do Śródziemia i tu żyli na wygnaniu, była bolesna; a chociaż w odległej przeszłości drogi ich skrzyżowały się z drogami naszych praojców, los ich był inny niż los ludzi. Czas ich przeminął dawno, elfowie mieszkają poza obrębem świata i nigdy nie powrócą.

Wyjaśnienie nazw:
hobbit, Gamgee, Brandywina

Hobbit – to wyraz wymyślony przez autora. W języku westron, jeśli w ogóle znajdują się wzmianki o tym plemieniu, określano je nazwą *banakil*, czyli „niziołek”. Mieszkańcy Shire’u i Bree nazywali własną rasę „kudukami”, lecz nazwą tą nie posługiwano się w żadnym innym kraju. Meriadok zanotował jednak, że król Rohanu użył słowa *kûd-dûkan* – mieszkaniec nor. Ponieważ, jak już mówiłem, stary język hobbitów był blisko spokrewniony z językiem Rohirrimów, wydaje się prawdopodobne, że „kuduk” był skróconą formą *kûd-dûkan*. Przetłumaczyłem te nazwę jako *holbytla* i utworzyłem skróconą jej formę „hobbit” – bo tak przekształciłby się zapewne ten wyraz, gdyby istniał w naszym starym języku.

Gamgee. Wedle tradycji rodzinnej, zapisanej w Czerwonej Księdze, nazwisko Galbasi – lub w formie skróconej Galpsi – pochodzi od nazwy wsi Galabas; powszechnie uważano, że ta nazwa pochodzi od słowa *galab* – zwierzyna, a stary przyrostek *bas* jest mniej więcej odpowiednikiem angielskiego *wick*, *wich*. Dlatego stosowne wydało mi się brzmienie nazwiska Gamwich (wymawianego jak angielskie *Gammidge*). Redukując jednak Gammidge do Gamgee, żeby stworzyć odpowiednik Galpsi, nie zamierzałem robić aluzji do powiązań Samewise’a z rodziną Cottonów, chociaż byłby to żart w duchu hobbickim – gdyby znajdował usprawiedliwienie filologiczne.

Cotton, w oryginale Hlothran, było dość pospolitą w Shire nazwą wsi, złożoną z *hloth* – dwuizbowe mieszkanie lub nora – i *ran(u)* – grupka takich mieszkań na zboczu góry. Jako przezwisko „Hlothran” było zapewne zniekształceniem wyrazu *hlothram(a)* – zagrodnik. Dziadek farmera Cottona nosił nazwisko Hlothram, w moim przekładzie zmienione na Cotman.

Brandywina. Hobbicka nazwa tej rzeki była zniekształceniem nazwy brzmiącej w języku elfów Baranduin (z akcentem na and), złożonej z *baran* – złotobrunatny – i *duin* – wielka rzeka. Starszą formą hobbicką była „Branda-nîn” – graniczna woda, lecz ze względu na ciemną barwę wody nazywano rzekę żartobliwie „Bralda-hîm” – mocne piwo.

Trzeba wszakże zaznaczyć, że kiedy Oldbuckowie (Zaragamba) zmieniali nazwisko na Brandybuck (Brandagamba), pierwsza część nazwy znaczyła: pogranicze. Bardzo zuchwały musiałby być hobbit, który by zaryzykował nazwanie Dziedzica Bucklandu „Braldagambą”.

[1] Dúnedainami nazwali elfowie jedyną rasę ludzką znającą język elfów. Dúnedainowie, mieszkańcy Númenoru, czyli Westernesse, byli jasnowłosi, większego wzrostu niż inni ludzie i żyli trzy razy dłużej od nich; znakomici żeglarze, królowali wśród ludzi.

[2] Według kronik Gondoru był nim wówczas Argeleb II, dwudziesty władca z dynastii Północnej, która wygasła w trzysta lat później na królu Arvedui.

[3] Znaczy to, że chcąc ustalić jakąś datę według rachuby czasu elfów i Dúnedainów, należy dodać 1600 do daty według rachuby Shire'u.

[4] Patrz Dodatek B: zapiski dotyczące lat 1451, 1462, 1482 i wyjaśnienie na końcu genealogii rodów Gamgee i Fairbairnów w Dodatku C.

[5] Zamieszczona w znacznie skróconej wersji w Dodatku B, a doprowadzona do końca Trzeciej Ery.

[6] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[7] Przełożyła Maria Skibniewska.

[8] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[9] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[10] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[11] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[12] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[13] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[14] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[15] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[16] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[17] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[18] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[19] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[20] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[21] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[22] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[23] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[24] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[25] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[26] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[27] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[28] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[29] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[30] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[31] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[32] Por. Dodatek D.

[33] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[34] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[35] Sierp – tak hobbici nazywają Wielki Wóz, czyli Wielką Niedźwiedzicę.

[36] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[37] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[38] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[39] Tj. rzeką Brandywiną.

[40] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[41] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[42] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[43] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[44] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[45] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[46] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[47] Zob. uwagi w Dodatku F, część pt. „Elfowie”.

[48] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[49] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[50] Przełożył Tadeusz A. Olszański.

[51] Przełożył Włodzimierz Lewik.

[52] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[53] Przełożyła Maria Skibniewska.
[54] Zob. Dodatek F w części poświęconej entom.
[55] Przełożyła Maria Skibniewska.
[56] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[57] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[58] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[59] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[60] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[61] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[62] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[63] Przełożyła Maria Skibniewska.
[64] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[65] Według Kalendarza Shire’u wszystkie miesiące mają po 30 dni.
[66] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[67] Przełożyła Maria Skibniewska.
[68] Przełożył Tadeusz A. Olszański.
[69] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[70] Przełożył Tadeusz A. Olszański.
[71] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[72] Przełożył Włodzimierz Lewik.
[73] Przełożyła Maria Skibniewska.
[74] Przełożył Tadeusz A. Olszański.
[75] Przełożyła Maria Skibniewska.
[76] Przełożyła Maria Skibniewska.
[77] Przełożył Tadeusz A. Olszański.
[78] Przełożyła Maria Skibniewska.
[79] Przełożył Andrzej Nowicki.
[80] Przełożyła Maria Skibniewska.
[81] Przełożyła Maria Skibniewska.

[82] Przełożył Andrzej Nowicki.

[83] Marzec, czyli Rethe, w kalendarzu Shire'u liczył 30 dni.

[84] Przełożył Andrzej Nowicki.

[85] Przełożyła Maria Skibniewska.

[86] Przełożyła Maria Skibniewska.

[87] Przełożył Andrzej Nowicki.

[88] W tym jedynym wypadku dar przewidywania zawiódł Elronda – a może pomylił się przepisujący tekst kopista? Do spotkania Froda z Bilbem i elfami doszło nie za rok, lecz za dwa lata od owego czasu. Ponieważ ta pomyłka nie została nigdy skorygowana w angielskiej wersji powieści, w przekładzie również jej nie poprawiamy (przyp. redaktora).

[89] Wyraz ten prawdopodobnie pochodził z języka orków, w którym *sharkû* znaczy „staruszek".

[90] Przełożyła Maria Skibniewska.

[91] Przełożyła Maria Skibniewska.

[92] *Hobbit, czyli Tam i z powrotem*, II wyd., „Iskry", Warszawa 1985 oraz późniejsze wznowienia.

[93] W Śródziemiu nie zachował się żaden wizerunek Złocistego Drzewa Laurelin.

[94] *Hobbit*, s. 45.

[95] Valandil był czwartym synem Isildura, urodzonym w Imladris. Jego bracia polegli w bitwie na Polach Gladden.

[96] Od Eärendura królowie już nie nosili imion z języka elfów.

[97] Od Malvegila królowie na Fornoście znów zaczęli rościć sobie prawo do władzy nad całym Arnorem i do imion swych dodawali przedrostek „ar" na znak tych roszczeń.

[98] Dzikie białe bawoły, które wówczas jeszcze pasły się w pobliżu Morza Rhûn, wywodziły się, jak głosi legenda, od bawołów Arawa, myśliwca należącego do Valarów, on jedyny z Valarów często odwiedzał Śródziemie za Dawnych Dni. Imię jego w języku Elfów Wysokiego Rodu brzmi Oromë.

[99] Jest to dziwne, nieprzyjazne plemię, szczątki ludu Forodwaith, Dawnych Ludzi, nawykłych do ostrych mrozów w królestwie Morgotha. Jakkolwiek kraj ten oddalony jest ledwie o sto staj na północ od Shire'u, panuje w nim srogie zimno. Lossothowie budują sobie domy ze śniegu i podobno umieją biegać po lodzie na przytwierdzonych do podeszew kościanych łyżwach; używają też wozów bez kół. Większość ich mieszka na niedostępnym Przylądku Forochel, zamykającym od północy ogromną zatokę tej samej nazwy; często jednak koczują na południowych wybrzeżach Zatoki u stóp gór.

[100] W ten sposób ocalał pierścień rodu Isildura, wykupili go bowiem potem Dúnedainowie. Był to podobno ten sam pierścień, który Felagund z Nargothrondu dał Barahirowi, a Beren odzyskał po niebezpiecznej przygodzie.

[101] Były to kryształy z Annúminas i Amon Sûl. Został na północy tylko jeden *palantír*, w Wieży na Emyn Beraid, zwrócony ku Zatoce Księżycowej. Strzegli go elfowie i chociaż nic o nim nie wiedzieliśmy, pozostawał tam, dopóki Círdan nie zaniósł go na statek, którym odpływał Elrond. Słyszeliśmy jednak, że różnił się od pozostałych palantírów i nie mógł z nimi współdziałać: był skierowany tylko ku Morzu. Tak go nastawił Elendil, aby móc patrzeć prosto na Eressëę na utraconym Zachodzie, ale zagięte morza na zawsze skryły zatopiony Númenor.

[102] Berło, jak nam król wyjaśnił, było głównym godłem władzy w Númenorze, a także w Arnorze, gdzie królowie nie nosili korony, lecz tylko pojedynczy biały kamień, Elendilmir, Gwiazdę Elendila, na srebrnej opasce nad czołem. Berło Númenoru podobno zginęło wraz z królem Ar-Pharazônem. Berłem Annuminasu była srebrna różdżka władców Andúnië, najstarsze chyba dzieło rąk ludzkich zachowane do dziś w Śródziemiu. Liczyło sobie ponad pięć tysięcy lat, gdy je Elrond przekazał Aragornowi. Korona Gondoru wzorowana była na dawnym wojennym hełmie Númenorejczyków. Początkowo miała postać zwykłego hełmu; miał to być ten sam hełm, który Isildur nosił podczas bitwy na polach Dagorladu (hełm Anáriona został zmiażdżony, gdy kamień rzucony z Barad-dûr ugodził króla śmiertelnie w głowę). Za czasów Atanatara Alcarina hełm ten

zastąpiono innym, zdobnym w drogie kamienie. Tym właśnie hełmem ukoronowano Aragorna.

[103] Duży przylądek i zamknięta Zatoka Umbaru od dawnych czasów należały do Númenorejczyków, lecz zrobili z tego miejsca swą twierdzę Ludzie Królewscy, którzy ulegli wpływom Saurona; nazwano ich Czarnymi Númenorejczykami. Ci ponad wszystko nienawidzili zwolenników Elendila. Po upadku Saurona plemię to szybko wymarło lub pomieszało się z innymi ludami Śródziemia, lecz zachowało żywą wrogość wobec Gondoru. Toteż zdobycie Umbaru było ciężkim i trudnym zwycięstwem.

[104] Prawo to – jak nam król wyjaśnił – wprowadzono w Númenorze, gdy szósty król, Tar-Aldarion, pozostawił tylko córkę jedynaczkę. Była to pierwsza rządząca królowa, Tar-Ancalimë. Przedtem wszakże obowiązywały inne prawa. Następcą czwartego króla, Tar-Elendila, był syn, Tar-Meneldur, chociaż żyła starsza od niego córka królewska, Silmariën. Elendil jednak wywodził się właśnie od Silmariën.

[105] Nazwa ta znaczy „Okręt na spienionej fali”, bo wyspa miała kształt wielkiego statku z wysokim dziobem zwróconym na północ, o którego skały fale Anduiny rozbijały się białą pianą.

[106] „Nadzieję odstępuję Dúnedainom, nie mam jej dla siebie”.

[107] Daty podano tu według rachuby czasu Gondoru; dotyczą one Trzeciej Ery. Daty w nawiasie oznaczają rok urodzenia i śmierci.

[108] Lewe ramię, na którym nosiła tarczę, strzaskał jej podczas walki maczugą Król Upiorów, lecz sam został unicestwiony; tak się spełniła przepowiednia Glorfindela, objawiona ongi królowi Eärnurowi, że Król Upiorów nie zginie z ręki męża, a nawet nie z ręki człowieka. Éowinie bowiem, jak mówią stare pieśni Marchii, pomagał w bitwie giermek Théodena, niziołek z dalekiego kraju; Éomer nadał temu niziołkowi tytuł Holdwine i godności Marchii, przyjmował go też z czcią na swym dworze.
[Chodzi oczywiście o Meriadoka Wspaniałego, dziedzica Bucklandu].

[109] *Hobbit*, s. 46.

[110] Zbudziły lub może tylko wyzwoliły z więzienia; potwór zapewne wcześniej został obudzony za sprawą Saurona.

[111] *Hobbit*, s. 179.

[112] *Hobbit*, s. 31

[113] Między innymi były tam dzieci Thráina II: Thorin (zwany potem Dębową Tarczą), Frerin i Dís. Thorin wedle pojęć krasnoludzkich był wówczas młokosem. Później okazało się, że spod Samotnej Góry ocalało więcej krasnoludów, niż zrazu przypuszczano, większość jednak udała się do Żelaznych Wzgórz.

[114] Azog był ojcem Bolga.

[115] Podobno wówczas Thorin, gdy tarcza jego pękła, odrąbał toporem gałąź dębową i nią osłaniał się od ciosów lub też sam ciosy zadawał. Stąd powstał jego przydomek „Dębowa Tarcza".

[116] Krasnoludowie z ciężkim sercem musieli postąpić tak ze swoimi zmarłymi, było to bowiem sprzeczne z ich obyczajem; ale budowa grobów, które zwykli kuć w kamieniu, nie zaś kopać w ziemi, trwałaby kilka lat. Woleli więc oddać zwłoki płomieniom, niż je zostawić na pastwę orków i karmiących się trupami kruków. Pamięć poległych w Azanulbizar czcili jednak zawsze i po dziś dzień niejeden krasnolud chlubi się pradziadem „spalonym", a wszyscy rozumieją, co to znaczy.

[117] Było w nim bardzo niewiele krasnoludzkich kobiet. Córka Thráina, Dís, urodziła w Ered Luin dwóch synów, którzy nosili imiona Fíli i Kíli. Thorin nigdy się nie ożenił.

[118] *Hobbit*, s. 132.

[119] Dopiero znacznie później wyjaśniło się, że Saruman już wtedy pragnął Jedynego Pierścienia dla siebie; liczył na to, że Pierścień objawi się, poszukując swego pana i dlatego chciał przez czas jakiś oszczędzać Saurona.

[120] Miesiące i dni podane są według kalendarza Shire'u.

[121] Elanor, córka Sama, wyglądała podobno bardziej na córkę elfa niż hobbita. Miała złote włosy, co było w Shire rzadkością, ale dwie następne córki Sama również miały takie włosy, jak wiele dzieci urodzonych w tym okresie.

[122] Rok 120 Czwartej Ery, według rachuby Gondoru.

[123] Czyli 365 dni, 5 godzin, 48 minut, 46 sekund.

[124] Tak było w Shire, gdzie rok 1 odnosił się do 1601 roku Trzeciej Ery. W Bree, gdzie rok 1 był równoznaczny z 1300 rokiem Trzeciej Ery, był to pierwszy rok stulecia.

[125] Patrząc na kalendarz Shire'u, można dostrzec, że jedynym dniem, który nie rozpoczynał żadnego miesiąca, był piątek. Toteż w Shire można było sobie żartować, mówiąc: „Pierwszego w piątek..." o dniu, który nigdy nie istniał albo w którym wydarzyły się jakieś niemożliwe rzeczy, np. ktoś widział latające świnie lub (szczególnie w Shire) chodzące drzewa. Dla podkreślenia niezwykłości mówiono: „Pierwszego w piątek w Summerfilth" (czyli również w miesiącu, który nie istniał).

[126] W Bree funkcjonowało żartobliwe powiedzonko: „Winterfilth w (bagnistym) Shire" [*winter*, „zima", *filth*, „brud"]. Jednakże zgodnie z tym, co twierdzili hobbici w Shire, obowiązująca w Bree nazwa *Wintring* była zniekształceniem nazwy starszej, która pierwotnie nawiązywała do dopełniania [*to fill*] roku przed nastaniem zimy. Pochodziła jeszcze z czasów przed przyjęciem przez hobbitów pełnego Kalendarza Królów, a więc z czasów, gdy Nowy Rok następował po żniwach.

[127] Zawierał on zapisy urodzin, ślubów i dat śmierci rodziny Tuków oraz inne notatki, jak ceny sprzedaży ziemi oraz opisy rozmaitych zdarzeń.

[128] Dlatego też w piosence Bilba zamiast czwartku i piątku mowa jest o sobocie i niedzieli.

[129] Chociaż faktycznie *yestarë* w nowej rachubie czasu przypadało wcześniej niż w kalendarzu z Imladris, gdzie wypadało ono mniej więcej na 6 kwietnia (wg kalendarza Shire'u).

[130] W rocznicę dnia, gdy zadęto weń po raz pierwszy w Shire, w 3019 roku.

[131] Znany w sindarinie zazwyczaj jako *Menelvagor*, a w języku quenya *Menelmacar*.

[132] Jak w zwrocie *galadhremmin ennorath* „drzewami tkane krainy Śródziemia". *Remmirath* zawiera *rem* „sieć", w quenya *rembe*, + *mir* „klejnot".

[133] Szeroko rozpowszechniona wymowa długiego *e* i *o* jako *ei* [polskie *ej*] i *ou* [polskie *ou*], mniej więcej jak w angielskim *say no*, w

westronie i w charakterystycznej dla mówiących tym językiem wymowie nazw quenejskich oddana jest w piśmie za pomocą *ei* i *ou* (lub ich odpowiedników w ówczesnych alfabetach). Uważano jednak taką wymowę za niepoprawną, a nawet prostacką. Rzecz jasna w Shire była ona na porządku dziennym. Stąd wszyscy, którzy wymawiają *yeni unotime* „długie lata niezliczone” w sposób naturalny dla angielszczyzny [to znaczy mniej więcej jak *jejni unoutaimi*], odchodzą od właściwej wymowy tylko trochę bardziej niż Bilbo, Meriadok albo Peregrin. O Frodzie zaś powiadano, że wykazywał wielkie „zdolności do obcych dźwięków”.

[134] Zatem także w *Annûn* „zachód Słońca”, *Amrûn* „wschód Słońca” – pod wpływem pokrewnych *dûn* „zachód” i *rhûn* „wschód”.

[135] Pierwotnie, bo już w Trzeciej Erze *iu* w języku quenya wymawiano jak dyftong wznoszący – np. jak *yu* w angielskim *yule*.

[136] Jedyne pokrewieństwo między literami naszego alfabetu, które byłoby zrozumiałe dla Eldara, zachodzi między literami P i B. Absurdem zaś zdałoby mu się odseparowanie ich od siebie, jak i od F, M i W.

[137] Ich przykłady znajdziemy na stronie tytułowej oraz w inskrypcji w rozdziale „Cień Przeszłości”, której transkrypcja znajduje się w rozdziale „Narada u Elronda”. Głównie wyrażano za ich pomocą samogłoski albo, w zwięzły sposób, pewne częste kombinacje spółgłosek.

[138] Patrz poprzednie rozważania o wymowie spółgłosek.

[139] Inskrypcja z zachodniej Bramy Morii dostarcza nam przykładu na jeden ze sposobów zapisywania głosek sindarinu, gdzie rząd 6 wyobrażał proste nosówki; ale rząd 5 wyobrażał, często stosowane w sindarinie, podwójne spółgłoski nosowe: 17 = *nn*, ale 21 = *n*.

[140] W języku quenya, gdzie *a* było bardzo częste, znak tej głoski często całkiem pomijano. Zatem słowo *calma* „lampa” można by zapisać *clm* – czytano by to *calma*, gdyż w quenya nie istnieje kombinacja *cl* na początku wyrazu, a *m* nigdy nie spotkamy na końcu. Możliwe jest też odczytanie tego jako *calmama*, ale taki wyraz po prostu nie istniał.

[141] Dla *h* na wydechu używano pierwotnie w quenya pojedynczego pnia bez łuku, zwanego *halla* „wysoki”. Znak ten umiejscowiony przed

spółgłoską oznaczał, że jest ona bezgłośna i wymawiana na przydechu. W ten sposób zaznaczano bezdźwięczne *r* i *l*, w transkrypcji *hr* i *hl*. Litery 33 używano dla niezależnego *h*, a *hy* zaznaczano przez dodanie do niej *tehta* „następującego *y*”.

[142] Te wewnątrz nawiasów ( ) są wartościami używanymi tylko przez elfów; gwiazdka* oznacza *cirth* używane jedynie przez krasnoludów.

[143] W tym okresie w Lórien używano języka sindarińskiego, lecz nadawano mu szczególny miejscowy akcent, ponieważ większość mieszkańców wywodziła się ze szczepu Leśnych Elfów. Ten akcent oraz niedostateczna znajomość języka sindarin wprowadzały w błąd Froda (jak zaznacza pewien gondoryjski komentator w Księdze Thana). Wszystkie cytaty z mowy elfów w tomie I, rozdz. 6, 7, 8 są w rzeczywistości wzięte z języka sindarińskiego, podobnie jak większość nazw geograficznych lub imion własnych. Lecz *Lórien*, *Caras Galadhon*, *Amroth*, *Nimrodel* prawdopodobnie pochodzą z języka Elfów Leśnych i zostały tylko przystosowane do języka sindarin.

[144] Z języka quenya pochodziły nazwy i imiona: Númenor (pełne brzmienie Númenore), Elendil, Isildur, Anárion, Gondor, Elessar. Większość imion Dúnedainów pochodzi z języka sindarin, np. Aragorn, Denethor, Gilraena. Często tworzono je na pamiątkę elfów lub ludzi wymienianych w starych pieśniach i legendach z Pierwszej Ery, np. Beren, Húrin. Zdarzają się też nieliczne formy mieszane, jak Boromir.

[145] Stoorowie z Klina, którzy powrócili do Dzikich Krajów, znali już Wspólną Mowę, lecz imiona takie, jak Sméagol i Deagol, pochodzą z języków ludzi zamieszkujących w okolicach Gladden.

[146] Z wyjątkiem przypadku, gdy hobbici próbowali zapisać pomruki i wołania entów: *a-lalla-lalla-rumba-kamanda-lindor-burume*; nie jest to język elfów, lecz zapis (prawdopodobnie bardzo niedokładny) brzmienia właściwej mowy entów.

[147] Tłumacz polski przywrócił im pisownię hobbicką.

[148] Ten zabieg lingwistyczny nie powinien jednak sugerować jakiegoś głębszego podobieństwa między Rohirrimami a dawnymi Anglikami w dziedzinie kultury, sztuki, sposobów wojowania itp. Podobieństwo

ogranicza się do ogólnych cech, wynikłych z sytuacji: mamy tu lud prostszy, bardziej prymitywny, żyjący w kontakcie z kulturą wyższą i starszą, zamieszkujący tereny ongiś przez nią zajmowane.

[149] Tłumacz polski pozwolił sobie również na użycie formy „krasnoludowie” w podobnej intencji.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa
tel. 22 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: MAGRAF s.c., Bydgoszcz